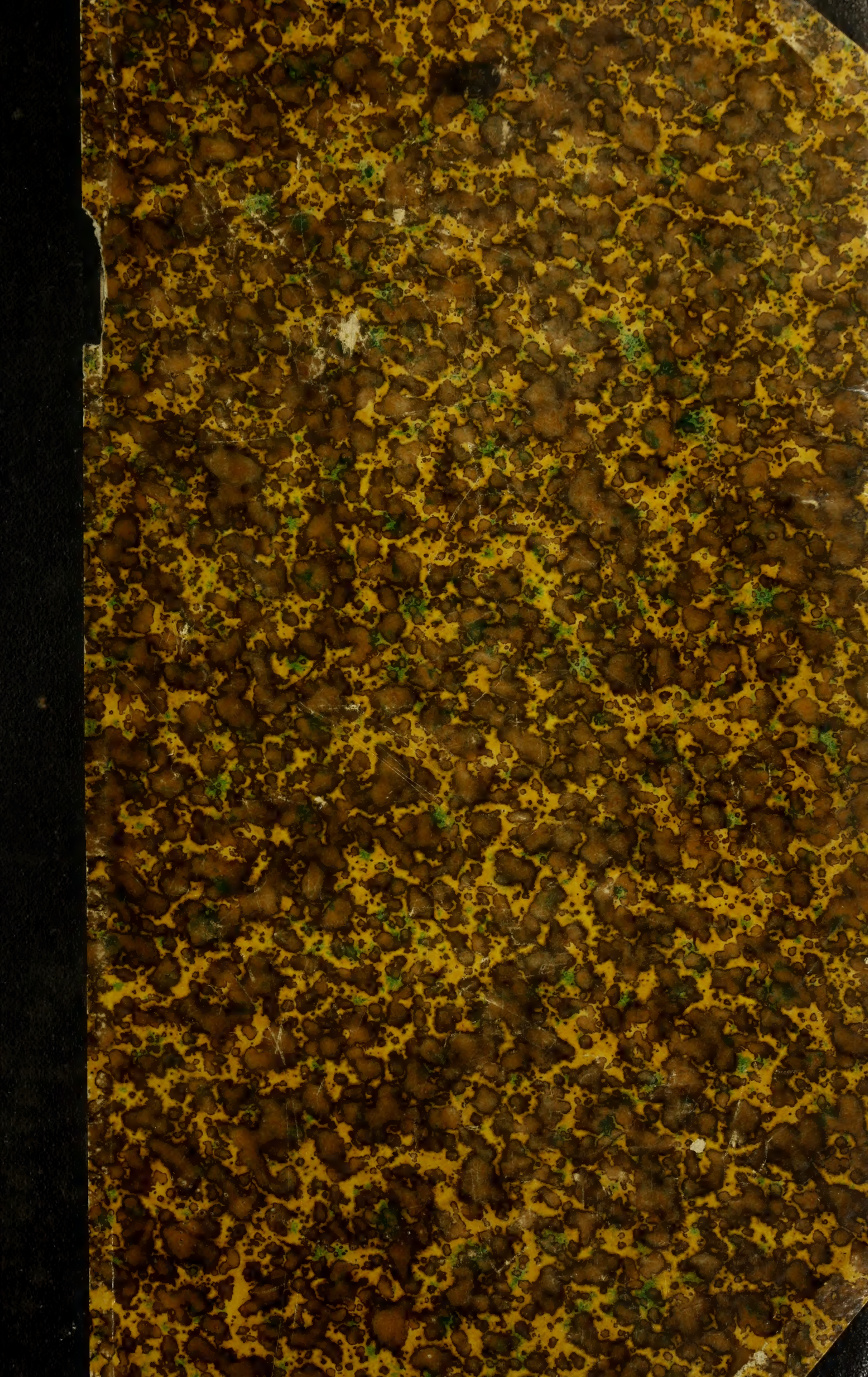
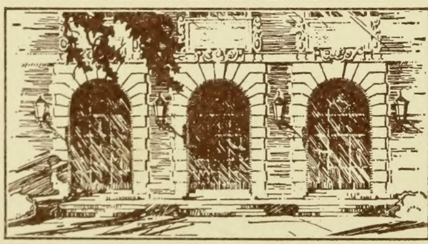




PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

DODATEK MIESIĘCZNY DO „GAZETY LWOWSKIEJ“

Rocznik XXIV. — 1896.

Odpowiedzialny redaktor: ADAM KRECHOWIECKI.

L W Ó W.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „GAZETY LWOWSKIEJ“

Z drukarni Władysława Łozińskiego. — Zarządca W. J. Weber.

1 8 9 6

SPIS RZECZY

zawartych w dwudziestym czwartym roczniku 1896.

I. Historya.

II. Literatura.

III. Filozofia.

IV. Prawo i nauki społeczne.

V. Pamiętniki.

VI. Podróże.

VII. Kronika literacka.

KLEJNOTY KORONNE POLSKIE.

W roku 1869 August Bielowski ogłosił był w czasopiśmie *Biblioteka Ossolińskich* (t. XII. 103—140) inwentarz skarbu koronnego i archiwum, sporządzony w r. 1730 przez delegowanych na sejmie grodzieńskim z r. 1726 Komisarzy Rzplitej.

Odpis Bielowskiego dopełniony został według kopii współczesnej i autentycznej, znajdującej się w zbiorach rękopiśmiennych Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, z nadmienieniem, że oryginałów wzmiankowanego inwentarza, wydawcy po bibliotekach nigdzie widzieć się nie zdarzyło.

W chwili publikacyi odpisu Bielowskiego istniały już ogłoszone wcześniej inwentarze skarbu koronnego i archiwum, o czem widocznie Bielowski nie wiedział.

W roku 1861 Leopold Hubert w *Pamiętnikach historycznych* (Warszawa, tom I. str. 125—162) ogłosił najautentyczniejszy przedruk owego inwentarza z r. 1669 z ksiąg metryki koronnej, obejmującego między innemi i wyliczenie zawartości skarbca koronnego z roku 1475. W rok później po Hubercie, Rykaczewski w zbiorze: *Inventarium omnium et singul. privilegiorum* etc. (Paryż 1862), zamieścił przedruk inwentarza skarbca koronnego z czasów Sobieskiego (1682), którego oryginał znajdować się ma w bibliotece watykańskiej. Przedruk Rykaczewskiego, upstrzony błędami, pomieszczony w końcu książki, już po indeksie wyrazowym dzieła, nie pozostaje z treścią wydawnictwa w bezpośrednim związku.

Z tem wszystkiem tak ten ostatni przedruk, jako i przedruk Bielowskiego, mają dla badacza zabytków ojczystych niezaprzeczoną wagę, gdyż mogą służyć jako materyał porównawczy, jako podstawa do badań, nad smutnemi kolejami losu owych szacownych zabytków

udzielności narodu, zmniejszanych i uszczuplanych stopniowo, aż do zupełnego rozprószenia się ich po szerokim świecie...

Opisy szczegółowe skarbca koronnego dopełniały się w różnych czasach z rozporządzenia sejmów, zwłaszcza przy obejmowaniu tronu Rzplitej przez wybrańców narodu, lub też w okolicznościach wyjątkowych.

Komisarze Rzplitej z roku 1730, wymienieni w odpisie Bielowskiego, mieli na uwadze dawniejsze inwentarze i już wówczas zauważyli brak wielu klejnotów skarbca koronnego.

„Przeczytawszy dawniejsze inwentarze — pisali — a osobliwie ostatni, anni 1690 w żadnej skrzyni, ani w żadnem miejscu nie znaleźliśmy *ex pretiosis monilibus* (z kosztownych naszyjników) w inwentarzu *specificatis*, ani się informować nie mogliśmy, przez kogo i kiedy podniesione... Niektóre zaś rzeczy w tym inwentarzu specyfikowane *hostilitas suetica* (nieprzyjaciel szwedzki) pozabierała... O koronie moskiewskiej, testamentem od ś. p. Władysława IV. Rzplitej legowanej, w tymże inwentarzu specyfikowanej, nie mogliśmy dojść żadnego *vestigium* (śladu), jako i dyamentu wielkiego in anno 1638 w skarbcu zaległego.“

W roku 1792 Tadeusz Czacki, starosta nowogrodzki, wydelegowany przez sejm do zrewidowania koron, klejnotów i insigniów Rzplitej, odbył w dniu 18. kwietnia tę czynność w asystencyi generał-majora Wodzickiego i w obecności znakomitszych przedstawicieli stanu duchownego, rycerskiego, dam i municypalności miasta Krakowa. Była to już ostatnia, niestety, inwentaryzacya skarbu koronnego.

Wówczas jeszcze znajdowały się w posiadaniu narodu:

K o r o n y: 1. Korona złota, *originalis*, *sive privilegiata* przez Ottona III. cesarza Bolesławowi Chrobremu dana, z dziesięciu części złożona, przy koronacyi Stanisława Augusta użyta i przez niego ozdobiona, z przydaniem obłąka złotego i jednej części kamieni większych i mniejszych, jakoto: rubinów, szmaragdów, szafirów i pereł, w ogólnej ilości sztuk 474.

2. Korona szczerozłota, której używano do koronowania królowych polskich, złożona z części ośmiu, w której znajdowało się kamieni drogich i pereł sztuk 142.

3. Korona szczerozłota, *Homagialis*, kosztem króla Stanisława Augusta z powodu inwestytury księcia kurlandzkiego, ze wszystkiem zreperowana, złożona z części dziesięciu, w której kamieni drogich i pereł było sztuk 178.

4. Korona węgierska, szczerozłota, roboty filigranowej (nadpsuta), złożona z części ośmiu, którą królowie Ludwik i Stefan Batory koronowani byli.

5. Korona zwana szwedzką, znacznie nadpsuta, z części dziesięciu złożona, w której było osadzonych dyamentów 21, a innych kamieni drogich i pereł sztuk 255.

Berła: 1. Berło szczerozłote, ozdobione dziewięcioma sztukami kamieni drogich.

2. Berło małe, złote, od korony węgierskiej, u góry w listki złote zakończone.

3. Berło srebrne, wyzłacane, u wierzchu w koronie wyszczerbione.

4. Berło srebrne, wyzłacane, u wierzchu kształt bukietu mające.

Jabłka: 1. Jabłko szczerozłote, na którem kula ziemska odrysowana, z krzyżykiem z pereł i rubinów.

2. Jabłko złote z krzyżykiem, należące do korony królowych.

3. Trzy innych jabłek z krzyżykami, srebrnych, wyzłacanych.

Łańcuchy: 1. Łańcuchy dwa złote, drutowej roboty, ważące dukatów 144.

2. Dwa łańcuchy szmelcowane, z tych jeden w rycerskie węzły, ważył dukatów 364, drugi, kręcony w pukle, ważący dukatów 288.

Miecze: 1. Miecz Szczerbiec.

2. Dwa miecze; jeden z herbem koronnym, orłem na wierzchu, drugi, z herbem litewskim, pogonią; rękojeście i całe ich okucie srebrne, pozłacane.

3. Miecz, Zygmuntowskim zwany, na kształt pół koncerza; rękojeść, krzyż i osada srebrne, pozłacane, napis nad rękojeścią; *Sigismundus rex justus.*

Opisał prócz tego Czacki: 1) Chorągiew wielką, z herbem obojga narodów; 2) Dwie chorągwie na jednem drzewcu z herbami wielkiego księstwa litewskiego; 3) Szesnaście chorągwi wojewódzkich i ziemiańskich, z herbami; 4) Zabytki po carze Dymitrze: 1) Miednicę małą srebrną wyzłacaną, z napisem słowiańskim w około; w środku obraz Najświętszej Panny; 2) Relikwiarzyk moskiewski srebrny, wyzłacany; 3) Krzyż srebrny, wyzłacany, otwierający się, w środku obraz Ukrzyżowanego Pana Jezusa; 4) Mnóstwo pałaszy, koncerzy, buzdyganów, czapraków staroświeckich, kulbak, ostróg żelaznych dawnych, cugli od muszkietów itp. cennych zabytków.

1*

Przeniesione ponownie w dniu 21. kwietnia 1792 r. do skarbca krakowskiego i tam opieczętowane, drogie te pamiątki podzieliły smutny los kraju.

Wśród powszechnego zamętu, wywołanego rozbiorami, nie znalazł się niestety, podobny do biskupa kujawskiego Stanisława Szembeka, z roku 1702, przezorny opiekun owych narodowych pamiątek, aby je, tak jak on, pod swoją wziął był opiekę i ocalił przed chciwością najezdnika pruskiego.

Większa część klejnotów skarbca krakowskiego od roku 1795 kryje się w skarbcu państwa pruskiego, lub też stroi monarsze przybory jego władzców.

„Der königliche Schatz wurde eine Beute der Eroberer“, pisze Andrée w dziele: *Polen in geogr. gesch. und culturhist. Hinsicht*... Lipsk 1831, str. 67), wzmiankując o wtargnięciu Prusaków do Krakowa w r. 1794.

Czasopismo *Lech* w roczniku z 1878 (I. 142) w artykule redaktora Chociszewskiego, opartym na pracy prof. Łepkowskiego: *Koronacye i skarbiec koronny*, podaje, że w r. 1794 kustosz koronny, X. Sierakowski, z malarzem Stachowiczem i paroma murarzami, zrobiwszy dziurę w opieczętowanym przez Prusaków skarbcu, zdołał jedynie zabrać koronę piastowską i ukryć ją szczęśliwie przed chciwością najezdników. Podobiznę tej korony według rysunku Łepkowskiego (brata archeologa), zdjętą z sarkofagu króla Michała Korybuta, oraz niektórych insigniów królewskich, pomieściło powołane czasopismo z krótkiem objaśnieniem.

Losy resztek szacownych zabytków udzielności państwa polskiego i potęgi jego monarchów są dotąd przedmiotem legend i podań, przechodzących z pokolenia na pokolenie, a wskazujących miejsce ich schronienia w rozmaitych dzielnicach dawnej Rzplitej, lub też u rodzin, których nazwiska półgębkiem i tajemniczo się wymieniają.

Z pomiędzy wielu podań, krążących o zaginionych insigniach królewskich, przytoczyć warto jedno, wydrukowane w dniu 24. maja 1829 r. w dzienniku paryskim *Constitutionnel* z okazyi przygotowanego w owym czasie w Warszawie obchodu koronacyi Mikołaja I. na króla polskiego.

„Od lat sześćdziesięciu — brzmiał artykuł *Constitutionnela* — nie widział naród polski uroczystości koronacyjnej. Ostatnia tego rodzaju uroczystość odbyła się w r. 1764 po obiorze Piasta — Stanisława Augusta Poniatowskiego. Obecnie, po tak długim, nieszczęściami i rewolucyami wypełnionym okresie czasu, wyznacza samo-

władzca Wszech Rossyi na dzień 24. maja swoją koronacyę. W dniu tym dożyją Polacy po raz wtóry widowiska, na którem ich monarcha uroczystą przysięgę na ustawę zasadniczą, zabezpieczającą wolność ich osób i prasy, wykona.

„Już nowa korona, kosztująca trzy miliony złotych, przygotowaną została. Musiano się zgodzić na poniesienie tego wydatku, gdyż dawne korony, które zdobiły czoła królów Rzplitej — zaginęły. Mają one istnieć po dziś dzień, ale w ukryciu tak pewnem, że jeszcze stulecia całe miną, zanim się ukażą na nowo, chyba, że jakieś nadzwyczajne wydarzenie przyspieszy odkrycie tajemnicy.

„Usunięcie owych resztek świetności dawnego tronu polskiego opowiadają w sposób następujący:

„Podczas ostatniego rozbioru Polski, wtargnęło dwóch mnichów w towarzystwie sześciu ślusarzy, którzy uroczystą na dochowanie tajemnicy wykonali przysięgę, do miejsca, gdzie się chronił skarb koronny, i zabrawszy jedynie insignia królewskie, udało się na Litwę i tam je oddano do zachowania bratu jednego z owych mnichów. Poczem wszyscy trzej wykonali przysięgę, iż insignia te nie ujrzą dopóty światła dziennego, dopóki Polska do dawnej swej świetności nie wróci.“

Dobrze jest jednak przedstawić żyjącemu obecnie pokoleniu całkowity obraz wszystkich klejnotów dawnego skarbca krakowskiego w takiej postaci, w jakiej się on przedstawiał, według wcześniejszych od protokołu z r. 1730 inwentarzy.

Podnietą ku temu służy przechowywana w rękopisie (G. 4) biblioteki królewskiej drezdeńskiej taxa wszystkich owych klejnotów, której publikacye Huberta z r. 1860, Rykaczewskiego z r. 1862 i Bielowskiego z r. 1869 nie obejmują. Iwentarz drezdeński sporządzonym jest w języku francuzkim. Nie ma on daty, lecz prawdopodobnie stanowi przekład jednego z dawniejszych inwentarzy, przygotowany dla któregoś z Augustów saskich w epoce uroczystości koronacyjnej, przyczem porządek opisywanych klejnotów różni się nieco od spisów dotąd znanych.

Przysięga panów jubilerów, wykonana przed taxą w obecności komisyi, jest osnowy następującej:

„Ja N. N. przysięgam Panu Bogu w Trójcy Św. Jedynemu, że w taxie klejnotów Rzplitej wiernie, według Boga i sumienia i według najwyższej mojej umiejętności pomienione klejnoty taxować i estymować będę; wagę, wodę, cursum, albo przedaż do obcych krajów uważając; sekret przytem tak taxy uczynionej, jako i wszystkiego, cokolwiek się na tej komisyi i przy bytności mojej na

pożytek Rzplitej odprawować będzie nienaruszenie zachowam. Tak mi Panie Boże dopomóż i męko Jego gorzka."

Szkatuła pierwsza.

1. Alzband koński, turkusami, dyamentami w kolumnach ozdobiony, sztuk 18, waży z kamieniami i noskiem *(cise)* wewnątrz 313 gran . . . 400 duk.

2. Nóż turecki, andziar tulich, w srebrze, perłami suty, których jest 48; inszych niedostaje.

3. Nóż złoty, andziar, emaliowany, rękojeść jaspisowa, z trzema rubinami, czterema turkusami, dwoma dyamentami, na pochwie turkus i rubin.

4. Andżarek złoty z rękojeścią kościaną, rubinami i turkusami sadzony, których wiele niedostaje.

5. Nóż w złoto oprawny, z rubinkami i turkusami z łańcuszkiem, pochwa aksamitna.

6. Pas lub taśma z guzikami i puklami złotemi.

7. Pas na aksamicie czarnym, ze złotemi puklami, jaspisów 16.

8. Okrąg szczerozłoty, otwierający się, waży duk. 87.

9. Mała gałka złocista z perfumami.

10. Andziar turecki z pasem szerokim, w złoto oprawny, turkusami, dyamentami, rubinami sadzony na aksamicie.

11. Łyżka srebrna, z rękojeścią kryształową.

12. Takaż łyżka; trzonek złamany.

Szkatuła druga.

Tablica pierwsza.

Rzęd pierwszy.

	Duk.
1. Pierścień z tabliczką przedziurawioną	10
2. Szafir	3
3. Szafir trójkątny	6
4. Szafir podłużny	2
5. Szafir tablica	10
6. Szafir ostry	4
7. Agat rzezany	1
8. Szafir tabliczkowy emaliowany	30
9. Inna tabliczka szafiru	40

Rzęd wtóry.

	Duk.
1. Pierścień szafir	15
2. Pierścień z szafirem ośmiokątnym	2
3. Szafir ostrokończasty	4
4. Szafir ostry, rzezany w kształcie litery O . . .	2
5. Szafir tabliczka	4
6. Szafir w ośm gran	3
7. Szafir bez folgi (?) *(feuille)*	6
8. Szafir tablica podłużna	20
9. Szafir w ośm gran	30

Rzęd trzeci.

1. Pierścień szafir z wołkiem	6
2. Szafir podłużny	4
3. Szafir ośmiokątny	15
4. Szafir sygnet, orzeł i pogoń	5
5. Szafir sygnet pruski	7
6. Szafir podłużny i drugi tabliczka	11
7. Dwa szafiry, jeden okrągły, drugi podłużny . . .	15

Rzęd czwarty.

1. Pierścień z szafirem	2
2. Agat rzezany	1
3. Agat szary	1
4. Dwa dyamenciki	1
5. Szafir ośmiokątny	5
6. Mały szafirek	2
7. Tabliczka szafiru	3
8. Szafirek sygnet z herbem królowej Bony	3

Rzęd piąty.

1. Pierścień z jednym rubinkiem	1
2. Dwa rubiny	1
3. Agat Westalka	3
4. Mały rubinek	1
5. Turkus	2
6. Dwa rubiny	2
7. Szafir	2

Rzęd szósty.

	Duk.
1. Pierścień z jaspisem	1
2. Agat szary	1
3. Jaspis rzezany	1
4. Granat	1
5. Serpentyn	1
6. Granat	1
7. Szafir z twarzą rzniętą	2
8. Szafir z herbem cesarskim	4

Rzęd siódmy.

1. Pierścień z turkusem w serpentynie	1
2. Agat rznięty w główkę	2
3. Szeląg poznański w złocie	1
4. Dwa granaty	2
5. Agat główka biała	3
6. Turkusik ostry	1
7. Granat	1
8. Rubin ostry	3

Rzęd ósmy.

1. Pierścień granat	1
2. Onyx ostry	1
3. Dwa granaty	2
4. Rubin dublet	2
5. Cztery rubiny, piątego niedostaje	3

Rzęd dziewiąty.

1. Pierścień z serpentynem i agatem	3
2. Agat z muszką	1
3. Lapis lazuli	1
4. Granat	1
5. Pięć rubinów	3
6. Pierścień bez kamienia	1
7. Herb cesarski rznięty na szkle	2

Tablica druga.

Rzęd pierwszy.

	Duk.
1. Pierścień z dyamentem rzezanym w formie serca, 4 rubiny i 10 dyamentów ważących 9 gran . .	150
2. Dyament rzezany w szyby i 5 rubinów	70
3. Tabliczka dyament, 8 rubinów i 8 dyamencików . .	25
4. Tabliczka dyament, 8 rubinów i 4 dyamenty . .	27
5. Dyament ostry, 4 rubiny i 8 dyam.	10
6. Dyament fasetkowy, 3 rubiny i 6 dyamentów . .	10
7. Dyament fasetkowy, 3 rubiny i 3 szmaragdy . .	7
8. Dyament tabliczka z 4. dyamencikami i 8. rubinami .	15
9. Dyament ostry z czterema rubinkami i 4. szmaragdami	25
10. Dyament ostry z czterema dyamencikami i dwoma rubinami	10

Rzęd wtóry.

1. Pierścień z dyamentem i 8 rubinami	12
2. Drugi takiż sam	10
3. Dwa dyamenty i dwa rubiny	10
4. Cztery dyamenty ostre w obrączce	10
5. Dyament ostry	2
6. Dyament tabliczka	3
7. Dyament trójkątny	10
8. Pięć dyamentów ostrych, 4 inne, 4 rubiny . . .	9

Rzęd trzeci.

Dziewięć pierścieni, z których kilka jest w formie różyczek .	29

Rzęd czwarty.

Ośm pierścieni dyamentowych, rubinowych i szmaragdowych	28

Rzęd piąty.

Dziewięć takichże pierścieni	20

Rzęd szósty.

Dziewięć takichże pierścieni	104

Rzęd siódmy.

	Duk.
Dziewięć pierścieni rubinowych	17

Rzęd ósmy.

Dziewięć takichże pierścieni	12

Rzęd dziewiąty.

Ośm pierścieni, rubinów i dyamentów	12

Tablica trzecia.

Rzęd pierwszy.

Dziewięć pierścieni rubinowych, z tych kilka z dyamencikami	236

Rzęd drugi.

Dziewięć pierścieni dyamentowych	53

Rzęd trzeci.

Dziewięć pierścieni dyamentowych	88

Rzęd czwarty.

Dziewięć pierścieni rubinowych	40

Rzęd piąty.

Dziewięć pierścieni rubinowych	36

Rzęd szósty.

Dziewięć pierścieni w tabl. rubinowych	27

Rzęd siódmy.

Jedenaście pierścieni rubinowych	106

Rzęd ósmy.

Dziewięć pierścieni rubin. spinella	45

Rzęd dziewiąty.

Ośm rubinów i dwa dyamenty	92

Szkatuła trzecia.

Tablica czwarta.

Rzęd pierwszy.

	Duk.
Dziewięć pierścieni dyamentowych różnej piękności i wagi	1229

Rzęd drugi.

Dziewięć pierścieni dyamentowych	233

Rzęd trzeci.

Dziewięć takichże pierścieni	150

Rzęd czwarty.

Dziewięć takichże pierścieni	145

Rzęd piąty.

Dziewięć takichże pierścieni, między którymi krzyżyk o 5 dyamentach	76

Rzęd szósty.

Dziewięć takichże pierścieni	152

Rzęd siódmy.

Dziewięć takichże pierścieni, między nimi jeden w formie litery A	163

Rzęd ósmy.

Dziewięć takichże pierścieni	329

Rzęd dziewiąty.

Takichże dziewięć pierścieni	345

Tablica piąta.

Rzęd pierwszy.

Cztery pierścienie ze szmaragdami	15

Rzęd drugi.

Siedm pierścieni ze szmaragdami i główkami agatu . .	17

Rzęd trzeci.

	Duk.
Pięć pierścieni ze szmaragdami, szafirami i główkami agatu	30

Rzęd czwarty.

Pięć takichże pierścieni	18

Rzęd piąty.

Cztery takichże pierścieni	20

Rzęd szósty.

Trzy takież pierścienie	35

Rzęd ósmy.

Szmaragd, agat mucha, agat rak	28

Rzęd dziewiąty.

Cztery pierścienie szmaragdowe i trzy główki agatu . .	22

W tejże samej szufladzie mieszczą się: *aqua marina orientalis*	120
Kilka szafirów i hyacentów	174
Dwadzieścia sześć pereł, między któremi jedna wielka, w złoto oprawna	300
Dwie perły mniejsze	225
Rozmaite inne perły	156

Szkatuła czwarta.

Kaszta rubinów, szmaragdów, dyamentów, dużej perły i dwóch nierównych w końcu	600
Tablica szafirowa, nad nią rubinowy balas, i piękna perła .	700
Rubin, w środku 4 tablice dyamentowe	60
Zawieszenie szafir, z rubinami w kolumnie	300
Zawieszenie rubin z dwiema perłami, dwoma szafirami, dwoma dyamentami	130
Zapona dyamentowa z rubinami, szmaragdami i perłami .	60
Zawieszenie ze szmaragdów, pereł i dyamentów . . .	120
Takież	60
Takież z dyamentów w kształcie szyb, jeden rubin i jeden szmaragd	200
Pięć tabliczek dyamentów w formie krzyża	600

	Duk.
Flecik z trąbką szafirową, ozdobiony dyamentami i perłami .	50
Zawieszenie z wielkiego szafiru	125
Takież z jednym rubinem, dwoma dyamentami, jednym szmaragdem	45
Garnitur z literami S. A. z dyamentów, z koroną, z rubinów i pereł	100
Cztery garnitury i krzyżyki z dyamentów, szmaragdów, rubinów i pereł	502
Zawieszenie ze szmaragdów, cztery rubiny, cztery dyamenty	140
Medalion z Venus i Marsem, przystrojony z rubinami i perłami	60
Dwanaście zawieszeń z szafirów, rubinów i pereł . .	2060
Flecik z sówką, przystrojony drogimi kamieniami . .	40
Dwa medaliony: Sąd Parysa i Leda z łabędziem . . .	40
Zawieszenie z szafirów z perłą	60
Popiersie Karola V. rżnięte i osadzone w złocie . . .	5
Dziesięć zawieszeń z dyamentów i innych drogich kamieni	665
Medal przedstawiający bajkę o olbrzymach, z sercem rubinowem, sześcioma innymi rubinami i 6 dyamentami .	12
Zapona, przedstawiająca króla Dawida, przystrojona drogimi kamieniami	60
Inna ze świętym Jerzym i smokiem	55
Scofin z pikami trzema, dyamenty, perły	20
Lew złoty, ozdobiony dyamentami	45

Szkatuła piąta.

Mnóstwo szafirów, medalionów, ozdobionych brylantami i perłami, zawieszenia z pereł i kamieni . . .	2268
Smok złoty ozdobiony perłami i kamieniami . . .	55
Topaz	4
Trzy jabłka kryształowe, ozdobione złotem i rubinami, we środku krzyż	5
Krzyżyk ze srebra pozłacanego	1/4
Imię Jezus małe dyamentowe	70

Szkatuła szósta.

Wachlarz ozdobiony dyamentami, rubinami i piórami różnokolorowemi	300

	Duk.
Medalion z agatu z obliczem Rzymianina, zdobny w dyamenty	20
Święty Jerzy ze smokiem	36
Medalion Venus z lusterkiem	9
Sześć guzów złotych suto ozdobionych dyamentami	250
Róża dyamentowa, ozdobiona rubinami i szmaragdami	816

Szkatuła siódma.

Materacyk pierwszy.

Naszyjnik z 11. szafirami, 10. pereł, złoty	650
Drugi z 13. szafirami i perłami płaskiemi	250
Inny z 18. szafirami, 18. perłami	432
Takiż 15. rubinami, 2. perłami	55
Łańcuch złoty z perłami i dyamentami	174
Inny łańcuch	60
Rękojeść wachlarza ze złota	40
Takaż rękojeść	70

Materacyk drugi.

Pas z rubinami, dyamentami i perłami	240
Takiż pas	170
Łańcuch złoty z rubinami i perłami	85
Pas z rubinami i perłami	200
Takiż pas	380
Takiż pas z jedną perłą i wieloma innemi	1870
Sznur długi z gałką z ciągnionego złota	64

Szkatuła ósma.

Naszyjnik o 36 rubinach	58
Takiż z rubinami i jedną perłą	35
Takiż o 16. sztukach, 15. agrafach i 4. perłach	900
Kilka pereł oderwanych	48
Pierścienie agatowe, topaz fałszywy, pierścień z rubinem	12
Naszyjnik z 7. dyamentami i perłami	80
Bransoletka z dyamentami i rubinami	60
Cztery obrączki, zdobne w dyamenty	75
Trzy obrączki, z których jedna w formie węża	520

Szkatuła dziewiąta.

	Duk.
Naszyjnik ze szmaragdów i pereł	500
Dwie takież bransoletki	400
Takież	300
Naszyjnik z rubinów i pereł	550
Takiż z 13. róż dyamentowych	600
Takiż z 15. róż rubinów i pereł	450
Takiż mniejszy	200
Takiż z rozetek dyamentowych	100
Takiż z pereł	120
Takiż z rubinów, szmaragdów, pereł	250
Takiż z pereł	160
Dwie bransoletki ze szmaragdami i perłami	150
Naszyjnik z rubinów i pereł	100
Naszyjnik z rubinów i pereł płaskich	70
Takiż	40

Szkatuła dziesiąta.

Naszyjnik z dyamentów rzterokaratowych	8140
Dwudziestodwukaratowych	12000
Mały bukiet przedziurawiony i zepsuty	14
Wielki dyament 18. karatowy	9000
Wielki dyament i 4 rubiny w zastawie u JMci X. biskupa krakowskiego	2950
Dwie wielkie perły płaskie	1500
Perła z emalią	100
Wielki szafir $65^1/_5$ kar. z perłą w złocie	1000
Spinella ze szmaragdem i wielkim rubinem $119^1/_2$ kar. .	5050
Duży dyament z perłą. Dyament 27 karatów wartości 20.000 duk. a perła 2.500 duk.	22500
Kubek złoty	500

Jednorożec, kurtki, tabula graeca, widelce srebrne pozostały w Krakowie, ponieważ nie chciano wieźć je do Warszawy.

Pudełko z pierścieniami.

Sześć pierścieni z turkusami, opalem i jaspisem . . .	14
Wiele figurek z agatu i z kamieni	25

Pudełko białe opieczętowane.

	Duk.
Baranek z pentaliku emaliowanego z wieloma sztukami złotemi	850
Czarka jaspisowa	25
Sto tuzinów turkusów	50
Dziesięć szabel zdobnych w turkusy	250
Szabla z pochwą garnirowaną kamieniami	350
Trzy czarki kryształowe, jaspisowe zielone, kamienie białe .	100
Solniczka srebrna i relikwie	50
Dwa miecze zostały w Krakowie.	
Wielkie puzderko z kory. W niem wiele paczek rozmaitej wielkości, kilka dyamentów, alzbantów dla panów, małych krzyżyków, szkaplerzy, guzów złotych . .	1134

Sumaryusz klejnotów podany w r. 1683 komisyi klejnotawej przez JMci podskarbiego Morsztyna

Szacunek i taxa wszystkich klejnotów Rzplitej wynosiły	101670
Z tej sumy Rzplita poleciła wypłacić w kosztownościach na podstawie konstytucyi z r. 1673 sumy dłużne J. K. M. jako na on czas marszałkowi i hetmanowi w. k. .	5053
wojsku	48017
Zastawiono u J. K. M. kosztowności	26100
Wielki dyament wartości 12.500 zostawiony w skarbie. Lecz JMć pan podskarbi zamierza wykupić owe kosztowności na rzecz Rzplitej w niejakim czasie.	
Pozostaje w skarbcu wartość	48600

Raport komisyi z r. 1676.

W dniu dzisiejszym JMć pan podskarbi w. k., Andrzej Morstyn, złożył i zamknął w skarbcu koronnym klejnoty i insignia królewskie, jak następuje:

1. Wielki dyament ut supra z perłą.

2. Pas aksamitny ze sztukami złota i jaspisu ze szkatuł 1. i 7, nie oszacowany, *propter antiquitatem.*

Tabula graeca obwiedziona srebrem, z której krzyżyk wyjął król Michał.

Krzyżyk moskiewski ze srebra i złota.

Pacyfikał ruski złocisty.

Jednorożec mniejszy.

Złożono następnie insignia państwa, któremi są:

1. Korona królewska, porcyj 10.
2. Korona koronacyi królowej, porcyj 7.
3. Korona węgierska złota, 8. wielkich kamieni.
4. Korona homagialis, porcyj 9.
5. Korone szwedzka, porcyj 10.
6. Berło węgierskie, należące do korony, zakończone u góry lilią.
7. Wielkie berło ze złoconego srebra.
8. Takież berło.
9. Jabłko złote z krzyżykiem i perłami.
10. Trzy jabłka ze srebra złoconego.
11. Mały mieczyk króla Bolesława, Szczerbcem zwany.
12. Półmisek ze złoconego srebra od korony.

Nadto JM. pan podskarbi złożył klejnoty nowe, przedewszystkiem wykupione od JMci p. referendarza koronnego po śmierci ojca tegoż p. Krasińskiego, podskarbiego koronnego.

1. Łańcuch złoty, w węzły rycerskie z emalią . 361 duk.
2. Łańcuch kręcony z emalią . . . . . 288 „
3. Dwa łańcuchy drutowej roboty . . . 142 „

Te cztery łańcuchy, wzięte w roku 1655 przez JM. księcia Ostrogskiego, wróciły do skarbca wraz z nożem tureckim, andżarem w złoto oprawnym, wziętym następnie do używania przez króla Jana.

4. Garnitur z dyamentów, u góry rubin bez emalii.
5. Garnitur z dyamentów, u góry rubin, u spodu perła.
6. Święty Jerzy z dyamentów.

Te trzy sztuki były w zastawie u JMci pana Leszczyńskiego, kanclerza koronnego.

Nakoniec wniósł i złożył tenże JMć pan podskarbi:

Koronę moskiewską, różnemi wielkiemi kamieniami i perłami ozdobioną, szafirem wielkim w kształcie gałki na wierzchu i krzyżykiem dyamentowym na niej, przez krcla JMci Władysława IV. Rzplitej legowaną i dopiero po śmierci króla JMci na sejmie *convocationis* 1674 r. oddaną.

Te wszystkie klejnoty i insignia *ut supra*, w skrzynię wielką żelazną włożyliśmy i kłódkami JMć panów senatorów, do skarbu klucze *ex vi legis publicae* mających, zamknęliśmy.

W drugim dalszym sklepie, którego nie otwierano *post revisionem* skarbu *anno* 1669, zostaje skrzynia wtóra, w której jednorożec wielki i trzy trąby wielkie.

Także skrzynia wielka trzecia, w której skrypta różne, oryginały publiczne z Warszawy *anno* 1669 przywiezione, w inwentarzu skarbu koronnego tegoż roku spisanym specyfikowane, do archiwum państwa należące.

JMość panowie komisarze zlecają JMci panu podskarbiemu w. k., aby klejnoty te, które w rękach J. K. M. Jana III. zostają, najdalej w sześć miesięcy *ex proventibus Reipubl. ordinariis* wykupił i sumę na teraźniejsze *necessitates* skarbowi króla JMci oddawszy, klejnoty do siebie odebrał i na przyszłym sejmie stanom Rzplitej okazał. Którą funkcyę *a tota Republica* na nas włożoną tak odprawiwszy, akt niniejszy dla pewniejszej wagi i wiary przy zwykłych pieczęciach naszych rękami własnemi podpisujemy.

Działo się w zamku krakowskim dnia 8. miesiąca marca, roku Pańskiego 1676."

(podpisy).

Alkar.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d' ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.

1767.

I.

Pogłoski o zastępstwie ambasadora Repnina. — Polowanie królewskie. — Uroczystości dworskie. — Repnin ciągle niezadowolony. — W przewidywaniu ważnych wypadków faworyci królewscy przygotowują się do wyjazdu.

Warszawa, 17. stycznia 1767.

Książę Repnin powrócił z Węgrowa 14. stycznia; brak jednak wskazówek, z którychby domyślać się można było treści rozkazów, jakie otrzymał z Petersburga. Nie wypadało mi ujawniać zbytniej ciekawości i dowiadywać się od przyjaciół, jak rzeczy stoją. Wiadomo wszakże, że przywrócenie praw dyssydentom jest najważniejszą częścią negocyacyj ambasadora. Sądzą, że księciu oddane zostanie dowództwo nad mającemi tu wkroczyć wojskami, oraz że ambasadorem mianowany będzie inny minister. Ma on się wyprowadzić z pałacu Brühlowskiego i zająć pałac marszałka wielkiego litewskiego, ustępując tym sposobem obecne swoje apartamenta nowemu ministrowi, rozumie się, jeżeli podobna kombinacya nastąpi, gdyż książę Repnin oświadcza sam i daje do zrozumienia, że Rosya nie potrzebuje ambasadora w tym kraju:

Utrzymują, że książę Repnin dla tego tu powrócił we środę, aby się we czwartek nie spotkać z królem, który właśnie wybrał się na łowy w tamte strony. Król nie był zadowolony z łowów, jakie urządził mu książę wojewoda bracławski. Słyszałem od Zabiełły i Bratkowskiego, którzy byli na tych łowach, że wszyscy bili zwierzynę przed królem bez zachowania względów etykiety.

Dziś jest wielka uroczystość u dworu, na którą otrzymały zaproszenie i damy: nie będzie jednak ani obiadu, ani przyjęcia wieczornego. Daną będzie tylko nowa sztuka teatralna i nowy balet, wykonane przez artystów francuskich, poczem stolnik Moszyński ma puszczać fajerwerki na Woli, za które niewiadomo kto zapłaci.

Książę Repnin, brat jego, oraz oficerowie rosyjscy będą obiadować u krajczego, do którego się zaprosił ambasador jeszcze przed ośmioma dniami. Pani krajczyna, będąc u mnie, powiedziała mi, że zwracała uwagę ambasadora, iż dzień, jaki wyznaczył na obiad, jest dniem urodzin króla. Dla tego przytaczam te szczegóły, gdyż one dowodzą, że Rosya i jej ambasador nie są w dobrych stosunkach z dworem tutejszym. Faworyci królewscy, w przewidywaniu wypadków, zaczynają zawczasu przygotowywać się na wszelkie ewentualności.

Aby dać pojęcie, w jak wielkiej są obawie, dosyć jest przytoczyć fakta, których się dowiedziałem od krajczego.

Branicki sprzedał za 850 tysięcy starostwo halickie, które kupiła kasztelanowa kamieniecka dla jednego ze swoich krewnych.

Ronikier wyjechał na Litwę, aby sprzedać swoje starostwo. Wypuścił on również w dzierżawę położone pod Warszawą dobra swoje i wywozi wszystkie srebra i klejnoty za granicę, aby je tam spieniężyć. Przejeżdżać ma przez Drezno w podróży do Spa, dokąd towarzyszy księżnie marszałkowej wielkiej.

Powiadają, że książę wojewoda, pomimo przywrócenia sobie kredytu w Rosyi, przygotowuje się również do wyjazdu.

Im trudniejszem staje się położenie króla i Czartoryskich, tem większych korzyści spodziewać się można dla Waszej Królewiczowskiej Mości, czego mu z całego serca życzą wszyscy Jego wierni słudzy i dla których to korzyści ja pracuję z taką gorliwością.

II.

Król zamierza opierać się żądaniom Rosyi. — Ogólne usposobienie umysłów w Polsce. — Malkontenci trzymają z Rosyą, ale nie chcą słyszeć o żądnych ustępstwach na rzecz dyssyeentów lub króla, a tem mniej Czartoryskich. — Ambasador nagli, aby się stanowczo oświadczyli, z kim chcą trzymać. —

Rosya obiecuje swoim zwolennikom poparcie w wojsku i pieniądzach. — Wszystkich niepokoi jedna myśl: W czyje ręce złożyć naczelną władzę, gdy rzeczy dojdą do ostateczności? — Ambasador nagli o powrót Radziwiłła. — D'Aloy z polecenia Repnina odnosi się w tej sprawie do dworu saskiego. — Warunki, pod jakimi Repnin ma polecenie traktować z Radziwiłłem.

Warszawa, 24. stycznia 1767.

Jak zapewniają z wiarogodnych źródeł, król mniej niż kiedykolwiek okazuje chęci do zgodzenia się na żądania Rosyi, i przed kilku dniami, jak mi powiedział Essenius, wyprawiono kuryera do Wiednia.

Wszyscy zwolennicy króla są tego zdania, że ze względu na kwestye religijne cesarz będzie popierał króla i naród przeciwko Rosyi, Prusom i dyssydentom.

Że cesarz gotów jest do wojny, przytaczają na to fakt, iż zniósł radę wojskową, i że naradza się jedynie z dwoma generałami (Laudonem i Laseym), a to celem zachowania jak najściślejszej tajemnicy we wszystkiem.

Przeciwnicy króla utrzymują znowu, że cesarz nic nie może przedsięwziąć bez cesarzowej, która pragnie pokoju, że dwór wiedeński miał kategorycznie oświadczyć księciu Galicynowi, iż wcale się nie chce mieszać do spraw Polski. Wszakże prymas pisze do mnie w tej chwili: „że sprawa religii jest sprawą Boga i że bronić będzie katolików jako ludu wybranego, jest przeto zdania, że cały naród powstanie w tej sprawie i że Lasey na czele 20 tysięcy ludzi byłby więcej niż dostateczny do wyparcia stąd wojsk rosyjskich.“

Ci znowu, którzy lękają się wypadków i życzą sobie trwałości obecnego panowania, sądzą, że król najrozsądniejby postąpił, gdyby przystał na Sejm extraordynaryjny, aby Rosya i naród porozumiały się z sobą, z czegoby mógł i dla siebie wielkie osiągnąć korzyści. Ze względu na spodziewaną pomoc rosyjską, oraz dla utrzymania swobód i przywrócenia dawnego porządku rzeczy, malkontenci wszyscy trzymają z Rosyą, ale nie chcą wcale słyszeć o żadnych ustępstwach na rzecz dyssydentów, a mianowicie dla greków, albo też dla króla, a tem mniej dla Czartoryskich.

Takie jest ogólne usposobienie umysłów w Polsce, które znam dobrze a które Rosya postara się wyzyskać na swoją korzyść, jeżeli żadne inne mocarstwo nie wystąpi z interwencyą. Każe ona żądać Sejmu extraordynaryjnego, którego jeżeli król odmówi, spodziewać się należy konfederacyi, popartej przez wojska rosyjskie, których korpus, według pogłosek, jest już gotów do wkroczenia na Litwę.

Ambasador nagli Czartoryskich o spieszne zdecydowanie się. Żądania jego, jak słyszałem, nie idą w tym kierunku, żeby pozostawić sprawy do ich dyspozycyi, ale żeby się stanowczo oświadczyli za lub przeciw malkontentom, uważanym przez Rosyę za jej przyjaciół. Czartoryscy proszą o czas do namysłu. Książę kanclerz przeciwny jest planom Rosyi; książę wojewoda pragnąłby być zupełnie neutralnym i mówi o swoim wyjeździe; hrabia Fleming zachęca księcia Adama do zadośćuczynienia żądaniom Rosyi, aby tym sposobem zabezpieczyć sobie na przyszłość widoki korzystania z dobrych intencyj imperatorowej, jakie niegdyś okazywała, obiecując mu tron polski.

Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się od jednego z przyjaciół, mającego wielki wpływ na te sprawy.

Repnin oczekuje tylko na wspomnianą decyzyę, poczem ma wysłać kuryera do imperatorowej. Mówił on Podoskiemu i polecił mu upewnić o tem wszystkich przyjaciół, że otrzymają poparcie w wojsku i pieniądzach. Mnie się jednak zdaje, że wszystkich głównie niepokoi jedna kwestya: w czyje ręce złożyć władzę, gdyby rzeczy doszły do ostateczności, a czego niepodobna przewidzieć.

Generał Goltz mówił mi, że przyjdzie do ważnych następstw, jeżeli król będzie się upierał, oraz że obecnie wszyscy zajmują się wyborem naczelnika. Mniszech dobry byłby do przedsięwzięcia, ale nie posiada dostatecznej energii jako wykonawca. Wojewoda kijowski, książę Radziwiłł i kilka innych osób są również w liczbie kandydatów na tę godność.

Referendarz Podoski znajdował się właśnie w dniu wczorajszym u księcia Repnina, gdy rozpoczęto rozmowę o Radziwille. Książę Repnin oznajmił, że ma rozkaz z nim traktować, i prosił Podoskiego, aby pisał do księcia o przysłanie w tym celu swojego pełnomocnictwa na imię jakiej rozsądnej osoby, z którąby ambasador mógł prowadzić pertraktacye w jego imieniu. Podoski zaproponował mnie, ambasador propozycyę tę zaakceptował i kazał mu napisać do księcia, aby mi przysłał plenipotencyę. Zamiast tego, referendarz napisał do księcia administratora i upraszał Waszą Królewiczowską Mość, aby, jeżeli to za stosowne uzna, powierzył mi całą tę sprawę, kazał poprosić do siebie księcia, zalecił mu wielką tajemnicę i wziął od niego plenipotencyę *in blanco* z wpisaniem na niej mego nazwiska i opatrzeniem swoim podpisem, którą to plenipotencyę Wasza Królewiczowska Mość raczy mi łaskawie przesłać wraz ze swojem zezwoleniem».

Ambasador mówił dziś Esseniusowi, że ma polecenie traktować z księciem Radziwiłłem pod następującymi warunkami:

1. Ażeby książę Radziwiłł trzymał się Rosyi. Stan Litwy, obecne położenie księcia, korzyści, jakie Saksonia w tym razie odnieść może, wymagają tego, aby książę zgodził się na ten punkt.

2. Aby popierał dyssydentów. Stawiać on będzie trudności, jak to już oświadczyła jego ciotka, bazdzo oburzona na ten artykuł, ale zgotuje sobie zgubę, jeżeli go odrzuci, a Rosya i bez jego pomocy dopnie celu. Wreszcie to nie on, ale sejm ma przywrócić prawa dyssydentom: dosyć będzie, jeżeli tylko książę nie stawi opozycyi. Oprócz tego musi utrzymać fundacye swoich poprzedników na korzyść dyssydentów. Nie ma tu mowy ani o religii, ani o krzywdach katolików, ale tylko o restytucyi dyssydentom praw, jakich używali w Rzeczypospolitej, kiedy ta była w stanie kwitnącym.

3. Aby książę wspierał greków na Litwie, gdy ci zostaną uznani przez sejm.

Z mocy tego artykułu, Rosya uczyni księcia panem Litwy, jeżeli tylko będzie postępował rozsądnie.

4. Aby książę tak wszystko urządził, iżby honor i przyjaźń Rosyi nie były narażone na szwank.

Wasza Królewiczowska Mość uznać raczy ważność tego zlecenia i osądzić zarazem, jak wielkiej wymaga wszystko tajemnicy. Zręczne pokierowanie tą sprawą nie tylko dla Waszych Królewiczowskich Mości, ale i dla całej Saksonii nieobliczone korzyści wydać może.

III.

Podoski otrzymuje od Repnina instrukcyę. — Główną rolę chcą porczyć biskupowi kamienieckiemu i Ossolińskiemu. — Prymas zjednany dla sprawy. — Hrabia Razumowski. — Powrót Rzewuskiego z Petersburga. — Punkta do deklaracyi Radziwiłła. — Burza zbiera się nad królem. — Rosya objaśnia Portę Ottomańską, że wysłała wojska do Polski jedynie dla obrony swobód tego kraju przeciwko despotyzmowi. — Król wysyła do Konstantynopola kuryera dla zaprzeczenia temu. — Podoski i Repnin otrzymują subwencyę.

Warszawa, 4. lutego 1767.

W dniu wczorajszym traktowałem znowu z referendarzem Podoskim, który dziś wybrał się w drogę dla wykonania objazdu z rozkazu księcia Repnina. Głównych aktorów ma być nie wielu.

Podoski otrzymał stosowne instrukcye z poleceniem skłonienia do planów Rosyi następujących wpływowych obywateli: biskupa krakowskiego, wielkiego podskarbiego, starostę sandomierskiego, jego ojca, marszałka nadwornego, wojewodę kijowskiego, biskupa kamienieckiego, kasztelanową kamieniecką, która ma być użytą dla zjednania dla tej sprawy całej rodziny Potockich.

Ossoliński i biskup kamieniecki, który znacznie przewyższa umysłem wojewodę kijowskiego, mają odegrać główną rolę i działać w porozumieniu ze mną. Oprócz tego mam księcia Radziwiłła i prymasa, ktory do tego stopnia jest mi oddany, że gdybym obecnie zażądał jego przyjazdu, zrobiłby to z pewnością, a nawet, jak sam powiedział, gotów jest na wszystko, cobym tylko rozkazał.

Porozumiawszy się z nim przed odjazdem, byłem tego samego dnia u ambasadora, oraz u hrabiego Razumowskiego. Książę był nadzwyczaj zadowolony z usposobienia prymasa, powiedział jednak, aby tu nie przyjeżdżał, bo na to jeszcze nie pora. Razumowski zaś bardzo był rad, że Wasza Królewiczowska Mość raczył o nim pamiętać, i prosił, abym Waszą Kr. Mość zapewnił o jego głębokiem uszanowaniu i nieograniczonem przywiązaniu. Nadzwyczaj żałował, że nie może jechać na Drezno, i mówił tak mnie, jak również Esseniusowi i księżnie wojewodzinie, że gdyby mógł przejeżdżać tamtędy, to uczyniłby to jedynie dla tego, aby złożyć uszanowanie Waszej Królewiczowskiej Mości.

Co do interesów Waszej Kr. Mości, nadmienił mi, że imperatorowę w tem oszukano, że on i jego przyjaciele nie omieszkają przy sposobności powiedzieć bardzo wiele dobrego o Waszej Królewiczowskiej Mości.

Dziś rano powrócił Rzewuski, zabawiwszy dni kilka w Białymstoku. Skarży się na króla, że mu kazał w Petersburgu składać deklaracye sprzeczne zupełnie z tem, co sam tu osobiście oświadczał. Imperatorowa ma być tem bardzo urażona i nie chce zrobić żadnych ustępstw w sprawie dyssydentów. Dowiedziałem się również, że familia stoi w oczach Rosyi i u ambasadora bardzo źle, podobnie jak sam król. Wszystkie negocyacye tego ministra prowadzą się teraz ze stronnictwem przeciwnem Czartoryskim, mimo iż jeden z przyjaciół mówił mi, że księżna marszałkowa robi starania za swoim ojcem tak u księcia Repnina, jak i u ministra pruskiego, p. Benoit.

Oświadczono tu ze strony niektórych osób ambasadorowi, że byłoby to z wielką korzyścią dla spraw obecnych, aby Wasza Królewiczowska Mość przybył teraz do Polski. Książę odpowiedział, że jeszcze nie nadeszła na to pora, ale okoliczność tę sobie zanotował,

i sądzę, że to zrobił w tym celu, aby zapytać w tej kwestyi swego dworu.

Bardzo proszę Waszą Kr. Mość, aby raczył nadesłać mi list do tego księcia, chociażby tylko z podziękowaniem, iż sługę Jego zaufaniem zaszczycił i powierzył mu pełnomocnictwo w sprawie księcia Radziwiłła.

Ambasador rosyjski dał mi punkta do deklaracyi ks. Radziwiłła, polecając zredagowanie takowej. Styl bez wątpienia jest może nieco za ostry, ale przecie to tylko projekt, a ja proszę Waszą Kr. Mość, aby po zakomunikowaniu ks. Radziwiłłowi tego projektu, który załączam, raczył mnie zawiadomić jak najspieszniej, co o nim myśli książę, gdyż czasu jest bardzo mało, a Rosya nie chce nic odkładać. Kto potrzebuje przyjęcia ofiarowanej przez Rosyę pomocy, niech jej nie odrzuca. Można będzie przy pertraktacyach uzyskać pewne korzyści, ale nie należy zapominać, że imperatorowa nie lubi, aby się za daleko posuwać. Wtedy wszystko gotowa odrzucić, gdy się nie uczyni zadość jej żądaniom.

Przewidują tu wszyscy burzę, zbierającą się nad królem. Ci, co mu schlebiają, mówią, że nie ma się czego obawiać i że dosyć jest, aby zachował się biernie i dozwolił Rosyi działać według jej woli. Pierwsze jednak niepowodzenie może go zdyskredytować. Obraził on rodzinę Lubomirskich, a mianowicie księżnę wojewodzinę lubelską, oraz wszystkich urzędników województwa, a to przez utrzymanie przemocą na trybunale Dłuskiego, którego obdarzył nieograniczonem zaufaniem. Najmłodszy Małachowski jest marszałkiem trynbuału piotrkowskiego, a kasztelan Hilsen udał się do Wilna również na marszałka trybunału.

Wszyscy ci, którymi posługuje się książę Repnin, są przyjaciółmi Waszej Kr. Mości. Konieczną jest rzeczą, aby książę Radziwiłł napisał do ambasadora, jeżeli dotąd tego nie zrobił. Ale kto mu tam przygotuje odpowiedni referat, jeżeli Wasza Kr. Mość mu w tem nie dopomoże, nie upomni go i nie zachęci?

Sądzę, że mógłby ten referat wypracować minister rosyjski przy dworze tamtejszym, podnosząc przy tej sposobności zasługi i starania Waszej Kr. Mości w tej sprawie.

Rosya poleciła objaśnić Portę Ottomańską o prawdziwych powodach wysłania wojsk swoich do Polski, a mianowicie, że uczyniła to dla obrony swobód tego kraju przeciwko despotyzmowi. Dwór tutejszy wysłał onegdaj kuryera do Konstantynopola z objaśnieniem, że rzecz ma się przeciwnie.

Ambasador kazał odszukać manifest ks. Radziwiłła, o czem dwór tutejszy jest już uwiadomiony. Essenius uprzedził go również, że Radziwiłł postąpi zgodnie z życzeniem Rosyi; nie ma zatem czasu na cofnięcie się, tem bardziej, że odmowa ze strony księcia ściągnęłaby winę na Saksonię, a głownie na Waszą Królewiczowską Mość.

W deklaracyi, jak rownież w tem wszystkiem, czego żąda ambasador od księcia, postaram się złagodzić wyrażenia, aby tym sposobem nie wystawić na szwank jego honoru.

Prusacy wszędzie na gwałt zakupują konie. Kazałem wydać pieniądze Podoskiemu. Co zaś do ambasadora, załatwiłem to przez generała Goltza. Co do mnie, nie wezmę ich ani od Rosyi, ani od przyjaciół, ani nawet od naszego dworu saskiego, ale tylko w razie potrzeby od Waszej Królewiczowskiej Mości, gdyż sądzę, iż tak mi czynić wypada.

IV.

Książę Repnin zawiadamia o marszu do Polski korpusu rosyjskiego w sile czterdziestu tysięcy ludzi. — Pogłoski, że wojsko to ma być przeznaczone w pomoc królowi pruskiemu. — Benoit zaprzecza temu. — Chybione porozumienie ambasadora z królem na wieczorze u rezydenta angielskiego. — Treść rozmowy rezydenta pruskiego z rezydentem saskim Esseniusem. — Rosya nie chce, aby Saksonia została zgnieciona i ma zobowiązać króla pruskiego do szanowania jej neutralności. — Nieufność między Austryą i Rosyą. — Groźna postawa dworu wiedeńskiego.

Warszawa, 28. lutego 1767.

Książę Repnin nic nie powiedział o treści depesz, jakie otrzymał niedawno od swego dworu; nadmienił tylko, że 40. tysięcy wojska rosyjskiego marsz już rozpoczęło.

Rezydent angielski dawał obiad dla ambasadora angielskiego, na który został zaproszony również i król. Utrzymują tu, że pomieniony rezydent, jako przyjaciel króla, chciał mu ułatwić rozmowę z ambasadorem dla poznania rzeczywistych zamiarów dworu petersburskiego. Ambasador wszakże ani słowa w tej sprawie nie przemówił. Polecił Bronikowskiemu i Goltzowi, aby przybyli tu bezzwłocznie. Dopóki ci panowie nie powrócą i dopóki nie przyjedzie referendarz, a głównie dopóki nie zostaną ukończone negocyacye, tyczące się sprawy księcia Radziwiłła, ambasador nie wyda żadnych dyspozycyj, i dopiero wtedy, gdy nastąpi to, co wyżej wymieniłem, zarządzi od razu wykonanie całego zamierzonego planu.

Ze wszystkiego wnosić wypada, że nie komu innemu, ale jemu powierzone będzie naczelne dowództwo nad wojskiem, gdyż nie słychać tu nic o żadnym innym wodzu, ks. Repnin zaś nie szuka dla siebie lokalu, mimo iż pałac Brühlowski został sprzedany.

Co do marszu wojsk rosyjskich utrzymują powszechnie, że one są przeznaczone na pomoc dla króla pruskiego, ale Benoit w rozmowie, jaką miał z nim Essenius na balu u księżnej wojewodziny, zapewniał go, że pomienione wojska są przeznaczone do poparcia planów imperatorowej w kraju tutejszym. Chce ona działać stanowczo, zwłaszcza, że utrzymanie ich będzie ją mniej kosztować w Polsce, aniżeli we własnem państwie.

Aby Wasza Kr. Mość mógł lepiej ocenić wszystkie okoliczności, przytaczam treść rozmowy pomienionego rezydenta z panem Esseniusem, oraz eksplikacyę, jaką tenże miał z ambasadorem rosyjskim.

Pan Essenius, jak wiadomo Waszej Królewiczowskiej Mości, ma rozkaz trzymać się, o ile można, biernie w tem wszystkiem, co się odnosi do dyssydentow i wyjaśnić ks. ambasadorowi stanowisko Saksonii na przypadek wojny Austryi i Prus, a przytem winien badać w najdrobniejszych szczegółach wszelkie przygotowania króla pruskiego. Dla tego to właśnie zawiadomił ambasadora o tych przygotowaniach i o nieszczęśliwem położeniu, w jakiemby się znalazła Saksonia w razie wybuchu wojny.

Ambasador odpowiedział na to, że nie ma od swego dworu ani rozkazów, ani instrukcyj w tej sprawie, jest jednak w możności mu oświadczyć, że Rosya nie chce, aby Saksonia została pobitą, że jest jej potrzebną tak przeciwko Austryi, jak również i przeciwko Prusom, że zatem dwór saski najlepiej uczyni, jeżeli nie tracąc czasu, i z całą otwartością zwróci się do dworu petersburskiego z zapytaniem, czego ten ostatni sobie życzy i czego spodziewać się można po jego przyjaźni. Jeżeli Saksonia otrzymała pozwolenie, aby pozostała neutralną, położenie jej będzie stosunkowo pomyślne. Jestem zdania, że Rosya zobowiąże króla pruskiego do szanowania neutralności Saksonii, i nie przypuszczam, aby Austrya tak mało miała przyjaźni dla Saksonii, iżby ją zmuszała do zdeklarowania się.

Co do pana Benoit, powiedział mu Essenius, że rozkazy dworu saskiego dotyczą tylko strzeżenia u ambasndora interesów Saksonii i wyjeduania apanażów dla Waszych Królewiczowskich Mości i że jest zdania, iż jakiekolwiek instrukcye ma p. Benoit w przedmiocie podtrzymywania stosunków z Rosyą, nie mogą one być tego rodzaju, iżby ze swej strony miał oponować przeciwko powyższym jego żądaniom.

— „Pan miałeś przywiązanie do księcia kurlandzkiego — rzekł Essenius — mógłbyś też przyczynić się do skutecznego poparcia jego żądań.“

— „Nie mam wyraźnych co do tego rozkazów króla pana mojego — odparł Benoit — mam zatem zupełnie wolne ręce i działać będę z największą chęcią na korzyść królewiczów, a mianowicie księcia kurlandzkiego.“

Essenius zapytał wtedy p. Benoit, czy może mi to oświadczyć, na co tenże się zgodził.

Wyszedłszy z balu o północy, Essenius bezzwłocznie zawiadomił mnie o tem wszystkiem, a jednocześnie dodał jeszcze, iż go Benoit pytał, jakie otrzymał rozkazy co do obecnych stosunków w Polsce. Na to mu Essenius odpowiedział, że ma rozkaz, aby się do niczego nie mięszał.

— „Rzeczy mogą zajść bardzo daleko“ — powiedział Benoit.

— „To jest możliwe — odparł Essenius — ale najwięcej mnie niepokoją przygotowania króla pruskiego.“

Na to Benoit:

— „Groźna postawa cesarza nakazuje królowi być przygotowanym na wszystko. Wiadomo bowiem, że dwór wiedeński kazał zakupić 15 tysięcy koni w Holsztynie, że 30 tysięcy siodeł ma być gotowych w końcu przyszłego miesiąca, że wojska na Węgrzech i we Włoszech otrzymały rozkaz, aby były gotowe do marszu. Rzecz przeto naturalna, że król i pan mój musi ze swej strony przedsiębrać odpowiednie środki.“

W każdym razie, czy wojna wybuchnie, czy nie, czy Austryacy wejdą do Polski i będą popierać jakie stronnictwo przeciwko Rosyi, czy nie, zdaje mi się, że nie narażę w niczem księcia Radziwiłła, występując w jego imieniu w przedmiocie restytucyi jego dóbr w Polsce, tem więcej, że Litwa już przez samo położenie swoje bliższa jest Rosyi i pewniejsza jej poparcia, niż z czyjej innej strony; postępowaniem zaś swojem nie mogę skompromitować przed narodem, jako też i przed dworem wiedeńskim ani Waszej Królewiczowskiej Mości, ani Saksonii.

Wszakże aby działać prawnie w tej sprawie, jako plenipotent księcia Radziwiłła, potrzebnem jest, aby Wasza Królewiczowska Mość raczył oświadczyć księciu Repninowi, że mnie oddaje pod rozkazy dworu rosyjskiego i jego ambasadora.

V.

Ambasador oczekuje niecierpliwie podpisania deklaracyi przez Radziwiłła. — Sprawa dyssydentów jest tylko pretekstem; Rosya chce szkodzić królowi. — Dwulicowość Czartoryskich zdemaskowana przez Repnina. — Carowa chce się niby opiekować prawami i swobodami kraju.

Warszawa, 4. marca 1767.

Z niecierpliwością oczekuje książę Repnin powrotu Podoskiego i podpisania deklaracyi przez księcia Radziwiłła.

Pytałem go, czy nie czas byłoby już przygotować księcia do opuszczenia Drezna i przeniesienia się do Królewca. Polecił mi wstrzymać się z tem jeszcze.

Książę Repnin zaczął już rozdawać swoje deklaracye na korzyść dyssydentów; mnie również wręczył kilka egzemplarzy dla rozdzielenia ich pomiędzy znajomych i przyjaciół, nadmieniając jednocześnie, że jeżeli będę potrzebował, to mogę ich dostać, ile zechcę. Toż samo oświadczył i panu Esseniusowi. Wszakże w sprawie dyssydentów postępować winienem bardzo ostrożnie, nie mięszając się wcale do rozmów w tej materyi.

Panuje tu ogólne przekonanie, że sprawa dyssydentów służy jedynie za pretekst, że Rosya tylko chce szkodzić królowi. W samej rzeczy trzy ostatnie paragrafy drugiego ustępu pomienionego projektu wyraźnie to wykazują. Że jednak imperatorowa nie chce od razu burzyć własnego dzieła, oddaje przeto swojego dawnego protegowanego pod władzę narodu, który mu wcale nie sprzyja. Wasza Królewiczowska Mość może się o tem przekonać z tego, co tu onegdaj jawnie wyrzekł u księcia wojewody biskup płocki, oddany w zupełności dworowi i familii: „Nam trzeba, powiedział, innego zupełnie króla, nie Piasta!“

Gdybym chciał opowiadać wszystko, co tu mówią o królu, relacya moja byłaby zbyt długą. Powiem tylko, że interesa króla nie stoją dobrze i że jest bardzo źle obsługiwany, podczas gdy familia stara się wszelkimi sposobami o pozyskanie przyjaźni i zaufania przebywających tu Rosyan oraz dworu rosyjskiego.

Jak mnie objaśniono poufnie w kołach dobrze poinformowanych, minister imporatorowej odkrył nieszczerość familii i starał się wszelkimi sposobami zdemaskować dwulicowość Czartoryskich, ale odpowiedź ich była tak wymijającą, iż wskutek tego książę Repnin otrzymał rozkaz przedsięwzięcia stanowczych środków dla wprowadzenia w wykonanie planów Rosyi. Zdecydowano się tedy popierać

dyssydentów i jeżeliby pierwsza armia nie była dostateczną do osiągnięcia tego celu, wtedy druga wkroczy bezzwłocznie; wszakże, ponieważ właściwiej byłoby postępować łagodnie, to imperatorowa chce się niby opiekować prawami i swobodami kraju, t. j. bierze na siebie ich obronę, wskutek czego pragnący wyswobodzić się z pod ucisku stronnictwa, mającego obecnie przewagę, powinni bezzwłocznie przejść na stronę Rosyi i działać zgodnie z jej planami. Jest to również chwila bardzo ważna dla naszego stronnictwa, której pomijać nie należy: nie prędko bowiem zdarzyć się nam może podobna sposobność. Jeżeli z niej obecnie nie skorzystamy, wyrzucać sobie wiecznie będziemy naszą opieszałość.

VI.

Major Sitteman przywozi listy do Panina i Repnina, oraz deklaracyę księcia Radziwiłła. — Niezadowolenie ambasadora rosyjskiego. — Radziwiłł ma otrzymać wszelkie możliwe gwarancye. — Projekt zjednania matki Radziwiłła. — Marsz korpusu Sołtykowa ku prowincyom pruskim. — Dwór wiedeński nie chce się wcale mięszać do spraw Polski. — Rosya popierać ma wszystkie konfederacye malkontentów. — Deklaracya rosyjska kładzie główny nacisk na utrzymanie swobód i przywilejów szlachty.

Warszawa, 11. marca 1767.

W dniu wczorajszym przybył tu major Sittemann i oddał mi około godziny 10ej pakiet od księcia wojewody, oraz list, przy którym załączone były dwa inne, a mianowicie do Repnina i Panina. Wręczyłem natychmiast oba ambasadorowi, który nie był z nich wcale zadowolony; gniewał się nawet na pomienionego majora za to, że, jak tenże nie bardzo zręcznie się tłómaczył, na ostatniej stacyi pocztowej pozostawił kufer, w którym miały się znajdować wszystkie inne papiery. Zacny to człowiek, jak się zdaje, otrzymał polecenie żądania odemnie pewnych wyjaśnień przed oddaniem mi pełnomocnictwa i deklaracyi. Zaspokoiłem go w zupełności co do tego punktu.

Popołudniu oddał mi drugi list od księcia wojewody z dwiema deklaracyami podpisanemi, ale bez pieczęci. Wręczyłem obydwie ambasadorowi, lecz książę nie przyjął tej, w której wojewoda zrobił dopisek, aby imperatorowa nie zmuszała go nigdy do działania na szkodę jego ojczyzny. „Jak to można — powiedział — przypuszczać coś podobnego? Czyżby imperatorowa zdolną była żądać tego?“ Zatrzymał drugi egzemplarz, przepisany dosłownie z poprawionej minuty. Dziś wysyła kuryera, donosząc imperatorowej o otrzymaniu

deklaracyi od księcia Radziwiłła, a jednocześnie pisze list do tegoż księcia, zapewniając go o protekcyi imperatorowej i winszując najpomyślniejszych skutków.

Jak tylko kuryer ten powróci z Petersburga, ambasador przez odpowiednią deklaracyę lub w inny jakikolwiek sposób da księciu wszelkie możliwe gwarancye.

Dziś rano zaprosił mnie do siebie ambasador za pośrednictwem Bronikowskiego, oświadczając, iż wysoko ceni pracę Waszej Królewiczowskiej Mości, mającą na celu skłonienie księcia Radziwiłła do przyjęcia warunków powrotu, a przytem polecił mi prosić Waszą Królewiczowską Mość, aby się niczem nie zrażał i utrzymał księcia w raz powziętem postanowieniu, nadmieniając, że w przeciwnym razie książę Radziwiłł mógłby zaszkodzić nietylko sobie, ale i Waszej Królewiczowskiej Mości. Matka księcia oświadczała mi ciągle o wielkiem swojem przywiązaniu do Waszej Kr. Mości, byłoby zatem może najwłaściwiej przedstawić jej istotny stan rzeczy, a mianowicie: że obecnie nadeszła stosowna pora do korzystania z okoliczności, i właśnie teraz można zatryumfować nad nieprzyjaciołmi; że książę nic nie ryzykuje, rodacy uznają jego postąpienie za legalne, gdy odzyska dobra swoje, a wskutek geograficznego położenia Litwy i przyjaźni Rosyi nie potrzebuje się niczego obawiać, że wreszcie nie kto inny, ale jedynie konfederacya przywróci mu prawa, oraz zniesie wyroki ferowane przeciwko niemu zaocznie.

Wszystko to będzie przeprowadzone i zatwierdzone na sejmie pacyfikacyjnym, który zwołany zostanie na św. Jan.

Dalej wytłómaczyć należy, że właśnie sama Rzeczpospolita przywróci księcia i zatwierdzi prawa jego przy potężnem pośrednictwie i pomocy Rosyi, bez której protekcyi niczegoby nie otrzymał; że wreszcie w sprawie dyssydentów również sama Rzeczpospolita zredagować musi odpowiedni artykuł, a tem samem ani książę, ani księżna nie zostaną przez to skompromitowani. Książę wojewoda powinien rozważyć to dobrze, do jakiego stopnia był spotwarzony przed dworem petersburskim, skoro tak wiele musiałem ponieść trudów, aby mu przywrócić zaufanie i przychylność tego dworu. Oficer, jaki ma mu towarzyszyć, pozostanie przy nim tylko dopóty, dopóki dwór petersburski nie nabędzie przekonania, że może na pewno liczyć, iż książę nie nadużyje danej mu władzy przeciwko rodakom swoim i słuszności (!).

Ponieważ ambasador żąda, aby książę Radziwiłł przysłał pieczęć dla opatrzenia nią deklaracyi, przeto uważałbym za właściwe, aby książę zamiast pieczęci przysłał mi podpis swój *in blanco*

z przyłożoną pieczęcią, a to dla napisania na takim blankiecie deklaracyi w mowie będącej, do której, ręczę za to moim honorem, ani jedno słowo więcej dodane nie będzie. A może też zdołam skłonić ambasadora do opuszczenia w tej deklaracyi tego, czegoby książę sobie życzył, albo też wpisania czego innego na jego korzyść.

Od czterech już dni korpus Sołtykowa rozpoczął marsz w kierunku prowincyj pruskich, a kilka tysięcy ludzi ma się udać znowu do Wielkopolski. Zapowiedziane dawniej czterdzieści tysięcy wojsk rosyjskich już wkracza w granice kraju.

Przybyły w poniedziałek kuryer z Wiednia przywiózł deklaracyę dworu wiedeńskiego, że tenże wcale mięszać się nie chce do spraw Polski, ani też nie ma zamiaru zaczepiać króla pruskiego. Co do Rosyi, ta popierać będzie jedynie wszystkie konfederacye malkontentów.

Bardzo energiczna deklaracya rosyjska opiera się głównie na utrzymaniu swobód i przywilejów szlachty. Król nie może pozostać neutralnym i musi się oświadczyć za albo przeciw dyssydentom, a co się tyczy familii, dowiedziałem się w dniu dzisiejszym, że ta już jest gotewą zgodzić się na wszystko; ale podobno obejdą tu się już bez niej, a to dla tego, aby malkontenci nie obawiali się, że jej będzie cała zasługa z tego przedsięwzięcia.

Dowiedziałem się również przed chwilą, że kolumna w sile dziewięciu tysięcy ludzi wkroczyła od strony Smoleńska, oraz że ona ma pozostać na Litwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

Władysławowi Pobóg Górskiemu

pracę niniejszą poświęcam.

W dziewięćdziesiątą rocznicę otwarcia gimnazyum wołyńskiego w Krzemieńcu oddaję pod sąd czytelników pracę, nad którą od dłuższego pracowałem czasu. — Nie jest ona zupełną i do tego też nie rości sobie żadnych pzetensyi; z tych względów nie nazwałem jej Monografią sympatycznej szkoły. Z drugiej strony jednak, przyznaję, że staraniem mojem było dać obraz możliwie w obecnych warunkach najpełniejszy. Korzystałem ze zbiorów Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich we Lwowie, z Biblioteki Jagiellońskiej a co najważniejsza z papierów Czackiego, znajdujących się w bogatem Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie. Niejeden ważny szczegół znalazłem w archiwum ś. p. Ojca mego, zgłaszałem się do paru, żyjących dotąd, wychowańców krzemienieckich, przeglądałem współczesne pamiętniki i pisma peryodyczne, druki szkolne, mowy i pisma ulotne, monografie i studya przez moich poprzedników skreślone, a w niektórych wypadkach opierać się byłem zmuszony na autorach rossyjskich, którzy korzystać mogą pełną garścią z papierów, wywiezionych z Krzemieńca, co zresztą liczne odsyłacze najwyraźniej wskazują.

Jeżeli moja praca zachęci innych do poczynienia odpowiednich uzupełnień, powstanie w ten sposób Monografia szkoły, we właściwem słowa znaczeniu, na którą ona w zupełności — mimo pewnych wad i braków — zasłużyła.

I.

Krótki pogląd na dzieje oświaty na Wołyniu za rządów polskich.

Ruś zawsze pod względem oświaty niższe od Polski a nawet od Litwy zajmowała miejsce. — Nie można jednak winić jej za to; przeciwnie — znalazłoby się aż nadto wiele okoliczności łagodzących i usprawiedliwiających zarzut powyżej uczyniony. Wszak już samo położenie geograficzne a wskutek tegoż bezustanne czambuły tatarskie, puszczające z dymem cały plon ludzkiej pracy — uniemożliwiały — choćby w najskromniejszych ramach — wzrost słabo nawet tlejących ognisk pierwotnej oświaty. Kto tam zresztą miał myśl swoją i czas zaprzątać fundowaniem zakładów naukowych, kiedy ni wielki ni maluczki nie był pewnym — czy dnia następnego, zamiast wschodu słońca, krwawej łuny na horyzoncie oglądać mu nie wypadnie. — Dodajmy do owej peryodycznie powtarzającej się plagi, długoletnią walkę Litwy z Koroną o te prowincye; przypomnijmy sobie wojny szwedzkie; uwidocznijmy bunty Chmielnickiego, spory dwóch wyznań: zachodniego i wschodniego — a otrzymamy tło wcale ku szerzeniu się oświaty niesposobne.

Ostrogscy pragnęli szkół ruskich; Firleje, Leszczyńscy, Radziwiłłowie byli kalwinami; książęta Prońscy, Niemierycze, Hojscy, Czaplice i inni trwali w błędach aryańskich, popierając zbory i szkoły swych współwyznawców, dopiero więc koniec XVII. stulecia można uważać za nieco odpowiedniejszy i bardziej sprzyjający powstawaniu szkół na Wołyniu[1]).

Dzieje oświaty na Rusi podzielić można na pięć odrębnych okresów. Pierwszy, rozpoczynając się za rządów Włodzimierza Wielkiego, sięga doby wkroczenia Jezuitów na Ruś 1612. roku; drugi zamyka powołanie do życia komisyi Edukacyjnej — 1776. r.; trzeci kończy się z dniem otwarcia gimnazyum krzemienieckiego w 1805 r.; czwarty obejmuje czas trwania tejże szkoły; piąty wreszcie, rozpoczynając się z chwilą zamknięcia liceum, nie może być chyba uważanym dotąd za ukończony[2]), nie możemy również epoki tej

---

[1]) Łukasiewicz: Histor. szkół do 1794 r. Poznań 1849. T. I. 370, 376, 451; T. J. Stecki: Wołyń pod względem stat., hist. i arch. Lwów 1864. T. I. 130—185; Dr. Antoni J.: Oświata na dawnych kresach (*Przewodnik nauk. i liter.* 1876, str. 83, 176, 279, 378).

[2]) Stecki j. w.

wliczać w zakres dziejów polskiej oświaty, przeciwnie, stanowi ona okres pierwszy oświecenia powszechnego rossyjskiego.

Zdaniem Schlözera — Włodzimierz Wielki i jego potomkowie mieli być założycielami pierwszych szkółek na Rusi [1]). Nic jednak nie da się powiedzieć o owych pierwotnych siedzibach oświaty; najniechybniej zgniotły je najazdy tatarskie a może później przy monastyrach istniały w ukryciu, kształcąc — nielicznych adeptów swoich — w nader skromnych rozmiarach.

Gdziekolwiek Niemcy choćby w małej osiadali liczbie, starali się natychmiast o prawo magdeburskie i o zakładanie odrębnych szkółek elementarnych, w których bakałarzował — zazwyczaj sprowadzony zdala — ich współplemiennik. Zapewne, pragnąc przeciwdziałać owej powolnej germanizacyi miejscowego żywiołu, wydaje wyższe duchowieństwo, zwołane 1285 r. — przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakóba Świnkę — na synod do Łęczycy — ustawę, aby szkołami zarządzali jedynie znający dobrze język polski. Zresztą już — i na kilkanaście lat przedtem — zalecał arcybiskup gnieźnieński Fulko, „aby wszyscy plebani po wszystkich dyecezyach, dla zaszczytu swoich kościołów i na chwałę pańską utrzymywali z wolą bożą ustanowione szkoły [2])“. Tego rodzaju szkółki elementarne, czyli inaczej parafialne, istniały więc i na Rusi, ale w jakże opłakanym stanie.

Nadeszła dla Polski wprawdzie nader ważna chwila powstania krakowskiej akademii, przyczyniła się ona niemało do podniesienia oświaty, wpływ jej atoli nie sięgnął aż po owe kresy obszarów polskich; czekały one przybycia Jezuitów, którzy — zakładając kollegia wychowawcze armii Jezusowej — stwarzali równocześnie i szkoły ogółowi szlachty dostępne. W tym samym prawie czasie Ostrogscy — zagorzali przeciwnicy unii — fundują w Ostrogu szkołę ruską, uposażając ją paru wioskami [3]), lecz z biegiem lat książęta przechodzą na łono rzymskiego kościoła, i szkoła więc — im byt zawdzięczająca — tem samem podupaść musiała. — Wogóle przyznać trzeba, że duchowieństwo dyzunickie o wiele niżej stało od unickiego, czerpiącego wiedzę w Wilnie, gdzie nawet Jezuici pewnych nauczali przedmiotów, albo w Łucku i Włodzimierzu u Bazylianów [4]).

[1]) Łukaszewicz I. 11, 349.
[2]) Ibid. I. 11—12.
[3]) Ibid. I. 350.
[4]) Ibid. I. 353—354.

Okres drugi — jak już wiemy — to działalność zakonu św. Ignacego Lojoli. Pierwszym etapem w ich wędrówce na Ruś był Łuck: kollegium łuckie zaliczyć też wypadnie do najzamożniejszych — istniały tu szkoły wyższe z kursem teologii i filozofii. W roku 1624. Anna Aloiza z Ostrogskich Chodkiewiczowa funduje kollegium w Ostrogu, uposażając je z książęcą prawdziwie hojnością. Cieszyło się ono najliczniejszą frekwencyą uczących się [1]).

W połowie XVII. stulecia oficyał kijowski Aleksander Jelec zakłada takież kollegium w głuszy leśnej województwa kijowskiego, w małej mieścinie Ksawerowie; z czasem „dla większego pomnożenia Chwały Bożej" przeniesione ono zostało do Owrucza [2]). — Około roku 1720. wreszcie doczekał się i Krzemieniec niższej szkoły jezuickiej, fundowanej przez Janusza Antoniego — dwojga imion — Wiśniowieckiego, kasztelana krakowskiego, zmarłego we Lwowie w dwadzieścia jeden lat później [3]), i podobno brata jego Michała [4]). Istniały tutaj i dwa konwikty: jeden dla synów niezamożnej herbowej drużyny (Bazyliskich); drugi dla neofitów (Temczwarowskich). — Ostatnim z kolei zakładem jezuickim na Wołyniu było kollegium żytomierskie, założone przez Kazimierza Steckiego, kasztelana kijowskiego w 1724. roku [5]).

Reformy niezapomnianego Stanisława Konarskiego — jak wszystkie inne — nieodrazu na kresy dotarły, przyszła atoli — choć nieco spóźniona — chwila, w której i Wołyń odczuł silne i ożywcze działanie nowo-rodzących się zapatrywań i poglądów na kierunek i sposób szerzenia oświaty. Szkoły pijarskie w Dąbrowicy, fundacyi Jana Karola Dolskiego, marszałka W. księstwa litewskiego [6]), jak również w Międzyrzeczu Koreckiem, założone przez Lubomirskich [7]), stały — pod względem nauczania — na dość wybitnem stanowisku, cieszyły się też sympatyą i uznaniem obywatelstwa wołyńskiego i podolskiego, których najmłodsze pokolenie w nich właśnie zgłębiało tajniki wiedzy ludzkiej. — W tej epoce powstały w Ołyce

---

1) Stecki T. J. j. w.

2) *Volum. Leg.* V. s. 291.; Niesiecki IV. 479.

3) Niesiecki IX. 362.

4) Łukaszew. IV. 102.

5) Stecki j. w.

6) Ks. Ant. Moszyński: *Kronika kol. Lnbieszowskiego*... Kraków 1876, str. 10. — Fundator zapisuje 2. V. 1864 na 12. zakonników kwotę 46.000 złot.

7) Tenże: Monografia kolleg. i szkoły pijarskiej w Międz. koreck. — Kraków 1876, str. 9. i następne.

i Żytomierzu pierwsze seminarya wychowujące kler rzymsko katolicki [1]). — Natomiast duchowieństwo zakonne unickie kształciło się w Wilnie u Jezuitów, we Lwowie u Teatynów, w kollegium greckiem w Rzymie, w Ołomuńcu, w Pradze, Wiedniu i Brunsbergu [2]).

Z czasem powstało w Łucku seminaryum ruskie, założone przez władykę Rudnickiego i przez tegoż oddane w zarząd Bazylianom, którzy w szkołach swoich świeckich wykładali już w języku łacińskim i polskim. Szkółki parafialne w najopłakańszym znajdowały się stanie, oddane pod opiekę proboszczów, uczących zarazem katechizmu, innych przedmiotów udzielał nieszczęśliwy, tak ośmieszony, bakałarz, wizytatorem był dziekan miejscowy [3]). Praktycznego wychowania szkółki tego rodzaju nie dawały żadnego, co najwięcej przysposabiały przyszłą służbę kościelną, czego chyba pragnęli założyciele tychże, przeważnie sami plebani.

Najlepiej stosunkowo prosperowały w danej epoce szkółki elementarne w Równem, Turzysku, Owruczu, Zasławiu, Dubnie i może jeszcze paru innych miejscowościach. Bunty Chmielnickiego wszystkim im na czas długi kres położyły: niełatwo było zbyt prędko — po zawierusze tego rodzaju — odrodzić się z trudem zdobytym przybytkom oświaty. Sejm warszawski 1775. r. — na wniosek podkanclerzego litewskiego Joachima Chreptowicza — postanowił obrócić pozostałość — po zniesionym przed dwoma niespełna laty zakonie Jezuitów — na rzecz powszechnego oświecenia [4]). Uchwała ta samemu wnioskodawcy, jak również wszystkim jego kolegom, prawdziwy przynosi zaszczyt i na uwiecznienie zasługuje. Jest ona bezsprzecznie niemałym dowodem, jak u nas zapatrywano się pod koniec XVIII. stulecia na tyle piekącą kwestyę i wynadgradza poniekąd — choć w drobnej części — dotychczasowe na polu szkolnictwa zaniedbanie.

Komisya Edukacyjna — 1776. r. ustanowiona — obejmuje naczelny zarząd funduszów edukacyjnych i zwierzchnictwo nad wychowaniem publicznem. — Instytucya świeżo uchwalona, jedna z najwznioślejszych, jakie u nas w ogóle istniały, walczyć musiała z całym szeregiem prawdziwych rabusiów, szarpiących pojezuickie majątki, a także z brakiem ludzi, którymby wychowanie młodzi

---

[1]) Łukaszewicz IV. 471.

[2]) Ibid. I. 353.

[3]) Ibid. I. 69, 318—325; Dr. Antoni J.: Oświata na dawn. kres. (j. w.).

[4]) *Vol. Leg.* VIII. 153—157.

poruczyć można było[1]). — Ogólnie wiadomo, że cały dotychczasowy legion kierowników i krzewicieli nauk składał się z duchowieństwa zakonnego. Obecnie eks-Jezuici usunęli się w znacznej części od tego rodzaju zajęcia: Piarów stosunkowo było nadto mało, pozostawali więc tylko Bazylianie.

Komisya Edukacyjna — widząc się w danych warunkach mocno ograniczoną — postanowiła też na razie baczniejszą zwrócić uwagę na dwa środowiska oświaty: Kraków i Wilno — zkąd dopiero nowy kontyngens światłych nauczycieli miał się rozpłynąć po kresach, by wsiąknąć w Podole, Wołyń i Ukrainę.

Jeden z najwytrawniejszych badaczów przeszłości naszej nazywa Komisyę Edukacyjną instytucyą „stosunkowo tak wzorową, że z trudnością znaleźlibyśmy podobną w ówczesnej Europie", dodając, że czynność jej świadczy o tem — „żeśmy i na tem polu zaradzić chcieli jednemu z największych naszych braków, bo przecież jedynie tylko dostarczając Polsce społeczeństwo prawdziwie wykształcone, dać jej mogliśmy ludzi kierujących się szerszemi poglądami"[2]).

Otóż ta właśnie stosunkowo tak wzorowa instytucya miała dopiero sprawę nauczania na nowe pchnąć tory. Że przeszkód do zwalczania miała sporo — i to niepodrzędnej wagi — zaznaczyliśmy nieco wyżej, ale przy szczerych chęciach, pracy wytrwałej i warunkach sprzyjających dałoby się niejedno przezwyciężyć.

Z kolei i o Krzemieńcu pomyśleć należało, nie pominięto go też zupełnie. W utworzonej przez Komisyę Edukacyjną szkole wydziałowej wołyńskiej powierzono wykład pewnych przedmiotów wychowańcom krakowskiej akademii, inne spoczywały znowu w rękach członków zniesionego przez papieża zakonu[3]). Nowo powstała

---

[1]) Tad. Czacki: O stanie jeneraln. oświec. gub. Wołyńsk. [Hugona Kołłątaja koresp.... II. 241. Wyd. Kojsiewicza. Kraków 1844].

[2]) Liske: prof. Bobrzyńskiego Dzieje Polski. Kraków 1879, str. 6—7.

[3]) W ostatnich latach liczba uczniów 230. Grono profesorskie tworzyli: Jan Nep. Tylkowski, rektor, dr. filoz., patent. król. geom., (lat 49, służby 24); Franc. Tecław, prof. kl. I., (41—14); ks. Benedykt Krzesz, ex-Jezuita, prof. kl. 2. (63—23); Maciej Oćwiejowski, prof. wymowy (43 21); Wojc. Jarkowski, prof. matem., król. przysięgły geom. (35—16); Karol Mirowski, prof. fizyki, kr. przysięgły geom. (43—19); Ant. Jarkowski, prof. prawa i nauk moraln. (43—19); Michał Butowski, naucz. jęz. ros. (35—6); Tomasz Jentz, j. niemiecki (42—23); Paweł Jar-

szkoła mieściła się w murach pojezuickich, nie była na razie licznie uczęszczaną. W ostatniej ćwierci np. ubiegłego wieku, rektor wraz z siedmiu profesorami mieli w swej opiece stu kilkunastu zaledwie wychowańców[1]; i któż przypuszczał wtedy, że — po niewielu latach — cichy i zapomniany Krzemieniec zajaśnieje, jako ognisko towarzyskiego i naukowego życia.

Druga równorzędna szkoła wydziałowa, więcej uczęszczana, powstała w Żytomierzu: w Owruczu, Ołyce, Łucku i Beresteczku urządzono szkoły podwydziałowe. W ostatniej z wymienionych miejscowości istniała przedtem szkółka elementarna zgromadzenia księży Trynitarzy. Równocześnie roiło się w zakładach naukowych bazyliańskich, liczna rzesza młodzieży czerpała w nich światło wiedzy i przyznać konieczna, że szkoły unickiego zakonu cieszyły się teraz na kresach wielką wziętością[2]).

Naturalnym rzeczy porządkiem zwróciła Komisya Edukacyjna baczniejszą uwagę i na szkółki elementarne, masom ludowym dostępne. Tak więc powolny, niemniej jednak racyonalny i ciągły postęp dał się odczuwać na polu szkolnictwa, na owych obszarach wieków tyle odłogiem leżących. Następstwa, bez kwestyi złe, dotychczasowego zapomnienia starano się ile możności łagodzić, ale nadchodząca epoka nie była niestety ku temu odpowiednią; ostatni rozbiór Polski zniweczył starania ludzi dobrej woli; w zawierusze politycznej i gmach powszechnego oświecenia, z trudem takim wzniesiony, rozsypał się w gruzy, dopiero Tadeusz Czacki — do pomocy wezwawszy mistrza w swoim zawodzie, księdza podkanclerzego Hugona Kołłątaja — stać się miał owym fortunnym budowniczym, któremu danem było, ze składek publicznych, wspaniały wznieść pałac.

Dzieje tego okresu szkolnictwa stanowią właściwy temat niniejszej pracy; poznajmyż jednak przedtem bliżej nieco człowieka, co tak głęboko wrósł w pamięć i w serca swoich współrodaków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle.

---

kowski, j. franc. (23—2); X. Bazyli Sobkiewicz, kapelan (47—3). (*Muz. Czart. Rękop.* Nr. 3441. T. I. *Szkoły krzemienieckie* 1803—1806).

[1]) Łukaszewicz IV. 103.

[2]) Dr. Antoni J., j. w.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

Część I.

Zaczątki ustroju państwowego.

1. Czynniki obce, które w przemianie ustroju społeczeństwa udział wzięły.

Punktem wyjścia do badania społeczeństwa, istniejącego w XI. w. na Rusi północno i południowo-wschodniej, służy fakt, niezaprzeczony, — najazdu Waregów czyli, jak pisarze rossyjscy mówią — Warego-Russów. Nie był on zjawiskiem jednorazowem, lecz powtarzał się peryodycznie w ciągu długich lat. Pierwszy z pośród kronikarzy rossyjskich głuchą wzmiankę daje o tym fakcie Nestor, mówiąc, że za panowania Cesarza Michała późniejsza Rzpta Nowogrodzka i późniejsza ziemia Kijowska „nacza sia prozywaty ruskaja ziemla[1])“, od imienia zdobywców Warego-Russów. Fakt ten zanotowany został pod r. 852. W kilka lat potem, w r. 859, zawitali znowu Waregowie i poczęli brać „dań na Słowianach“[2]), do których Nestor zalicza Polan, Derewlan, Krywiczan, ziemię Nowogrodzką i Pskowską, jakoteż na plemionach obcych, sąsiadujących z Słowianami. Równo w rok potem znowu przyjechali, żą-

[1]) A. Bielowski: Monumenta poloniae historica t. I., str. 562. Według tej edycyi cytować będę zawsze Nestora, posługując się także latopisem hipackim i in.

[2]) ibid. 563.

dając dani, ale napotkali czynny opór. Ludność „izhnasza Wariahy za more i nie dasza im dani“ [1]). Teraz następuje znana normańska legenda o zaprosinach i opiece. Po wypędzeniu Waregów zdecydowano rządzić się samodzielnie, ale nieład i spory, jakie z tego wynikły, miały zmusić ludność do zaproszenia tych, których niedawno wypędzono. Na te zaprosiny mieli przyjść trzej bracia „z rodami“ swoimi: najstarszy z nich Ruryk osiadł w Ładodze, drugi Sineus w Białem jeziorze, a trzeci Truwor w Izborsku [2]).

Fakt najazdu, niczem niedający się zaprzeczyć, był podwaliną, na której powstać miała przyszła budowa państwowa a równocześnie rozpoczęła się reorganizacya istniejącego już poprzednio społeczeństwa fakt mający tem donioślejsze historyczne znaczenie, że objął sobą nie tylko grupę północnych Słowian [3]). Waregowie przywykli do życia

---

[1]) ibid. 564.

[2]) ibid. 564.

[3]) Ostatniemi czasy wracają, jak się zdaje, za przewodem profesora uniwersytetu kijowskiego, Antonowicza, dawne historyczne poglądy tak zwanych anti-Nestorowców. Wywody te są tak wysoce tendencyjne i tak jednostronne, że się utrzymać nie dadzą. Dotyczą one głównie poglądu na fakt najazdu Warego-Russów i wpływu ich na utworzenie się państwa pod nazwą Rusi. W poglądach tych i wywodach dużo bardzo niedomówień i niejasności, trochę zrozumiałych, lecz zasadnicza teza da się streścić w hipotezie, że już przed faktem przyjścia Warego Russów istniał jakoby odrębny organizm państwowy, w dodatku jednolity, który się nazywał Rusią.

W tej na półfantastycznej Rusi istnieć miał ustrój gminno-państwowy — nawiasem powiedziawszy prawie nieznany przed Nestorem, — „świadomość jedności szczepowej i solidarność“, wysoka kultura umysłowa (która doszczętnie prawie zginęła) i wysoki stopień cywilizacyi.

W jaki sposób odbyło się przejście od ustroju gminno-państwowego do gminno-drużynowego, który miał zapanować już później, mniej więcej w epoce najazdu Warego-Russów, latopisiec — powiada jeden z najmłodszych zwolenników anti-Nestorowskiej hipotezy, p. Hruszewskij — *Oczerk istorii Kijewskoj ziemli*. Kijew 1891, str. 290), nie wiedział już dobrze i przemianę tę wyjaśnił zdobyciem Kijowa przez normańską drużynę, przybyłą z północy. Opowiadanie o normańskich podbojach nie ma prawie żadnej podstawy historycznej według mniemania p. Hruszewskiego.

Wytworzenie się na Rusi czynnika drużynowego wywołane zostało najazdami obcoplemieńców i koniecznością obrony — tłumaczy się nieco dalej tenże autor. Latopisiec utrzymuje — p. Hruszewskij nie wymienia nigdy Nestora — że Polanie „bysza obidimi Derewlany i inymi okolnymi“, że Chazarowie podbili ich i nałożyli na nich daninę; ostatni ten fakt miał miejsce, o ile przypuszczać wolno, około połowy VIII. w., a według tegoż latopisca Polanie nie mieli jeszcze książąt. Władza cu-

wśród wodnego, że tak powiem, żywiołu, zoryentowali się rychło, zetknąwszy się z wielką drogą wodną, jaką był Dniepr. Chadzali oni i dawniej już do Carogrodu tą drogą, lecz teraz za cel sobie postawili opanowanie jej — czego też w bardzo krótkim czasie do-

---

dzoziemska wywołała oczywiście reakcyę; w celu podtrzymywania przeto systematycznej walki z przybyszami, jakoteż zabezpieczenia plemienia od dalszych zaborów i niepokojów, musiała się utworzyć w przyszłości „instytucya“ kniaziów-wojewodów (wojenaczalnikow), czyli że dawna gminna starszyzna otrzymała władzę wojskową, a ze społeczeństwa wydzieliła się odrębna warstwa żołnierzy-drużynników.

Nic a nic nie można byłoby tej hipotezie zarzucić, gdyby na potwierdzenie jej bodaj jeden dowód dał się odnaleźć.

Ideę absolutnej odrębności i jedności Rusi ten sam autor, już jako profesor lwowskiego uniwersytetu, wyraża w sposób jeszcze bardziej stanowczy we wstępnym odczycie swoim „z dawnoi istorii Rusi“ — właściwie z historyi nieistniejącej Rusi. (Patrz: *Wstupnyj wykład prof. M. Hruszewskaho z dawnoi istorii Rusi.* IV. tom Zap. nauk. towar. im. Szewczenki).

Przytoczywszy odnośny tekst z Nestora „niewiadomego z imienia autora powieści wremiennych liet“, że za panowania Michała „naczasia prozywaty Ruśkaja zemla“, autor słusznie nie godzi się na to, ażeby fakt powyższy można było uważać za początek istnienia Rusi. Pierwsze zarysy form państwowych zaznaczyły się o wiele wcześniej i przekształcały się powoli a długo. Nie to jednak boli p. Hruszewskiego. Przytacza on słowa Focyusza: „naród, o którym tak często mówiono, naród, prześcigający innych w szorstkości i zamiłowaniu do mordów, podbiwszy innych sąsiadów i nabrawszy stąd dumy, podniósł ręce na państwo bizantyńskie...“, — i dodaje, że słowa te nie mogą być w żaden sposób odniesione do pierwszej chwili wystąpienia tego narodu (Rusi) na arenę politycznego życia; wskazują one na długi poprzedzający okres gminnej i państwowej ewolucyi. U Araba Ibn-Chordadbe (około 850 r.) znajduje on notatkę, że „kupcy z Rusi, narodu słowiańskiego“, wozili do Bizancyum różną drogą towary.

Wiadomości te mają świadczyć, że narody słowiańskie z Rusią na czele, która nadała im swoje imię, już przed epoką Nestorową przebyły proces państwowego zjednoczenia, zapewne nie krótko trwający, nawiązały już stosunki kulturalne nietylko z najbliższymi sąsiadami, lecz i z dalekiemi krajami; wówczas już przeto miały za sobą polityczno-gminną (polityczno-hromadźku) i cywilizacyjną przeszłość.

Poszukiwanie tego wysokiego cywilizacyjnego stanu, w jakim Ruś miała się znajdować według autora, daleko trudniej idzie — niż twierdzenia i hipotezy. „Ruśki Słowianie“, jak ich w czambuł nazywa szanowny autor, znali i robili wszystko, co tylko wykopaliska archeologiczne odnalazły, chociaż wykopaliska nie zostały jeszcze dotychczas usystemizowane i nie zawsze do Słowian w ogóle należą. Autor tak radby wszystkie cnoty i wszystką wiedzę owoczesną ukochanej swojej odrębnej, samodzielnej i jednolitej Rusi przypisać, że kościół św. Zofii

pięli, zajmując wybitniejsze posterunki na Dnieprze. Dążyli do tego z żelazną, można powiedzieć wytrwałością i konsekwencyą. Punkt zdobyty przedewszystkiem starali się wzmocnić, ażeby pozyskać

---

z jego mozaiką, rzeźbami i freskami zalicza do zabytków kultury „ruskich Słowian“, nie wspomniawszy nawet o Grecyi w ferworze.

Ruś p. Hruszewskiego występuje jako ideał potęgi państwowej. „Wielkie, jedno z największych państw — powiada on — zbudowane zostało już w X. w., a w XI. w. przeobraża się, jak utrzymujemy często za Kostomarowym (nie wszyscy wprawdzie) — w federacyę, ale w federacyę *sui generis* tylko, gdzie odrębność i autonomia ziem łączyła się z jednością ruskiego narodu, uosobioną w jedności mowy, kultury, religii i ustroju gminnego.“ Dziwić się zaiste należy, że autor tak zwykle ostrożny, posługujący się za często nawet słówkami: zapewne, prawdopodobnie, być może itp., tym razem bez należytego uzasadnienia staje się zbyt stanowczym; boć przecie nie mogło być mowy o jedności kultury, gdzie jedne plemiona żyły po lasach, „jak dzikie zwierzęta“, inne miały „obyczaj przodków“, jak Polanie, łagodny.

Kardynalnym błędem szan. autora jest posługiwanie się wyrazami „Ruś“, „naród“, „państwo“ w znaczeniu teraźniejszem. Zdawałoby się, że autor ma dzisiejszą Ruś przed sobą i samoistności jej broni, nie bacząc wcale na to, że pojęcie narodu u pisarzy IX. i X. w., a tem bardziej wcześniejszych, ściągało się do różnicy mowy i nie wmieszczało w sobie śladu pojęcia państwowości. To zaś, co mówi Ibn-Chordadba o „kupcach z Rusi narodu słowiańskiego“, ściąga się do kupców narodu słowiańskiego, nie zaś Rusi.

Chodzi mi przedewszystkiem o przedstawienie zasadniczych poglądów autora w możliwem skróceniu, nie zaś o polemikę z nim. Przytoczyłem je dla tego tylko, aby wykazać jak daleko zaprowadzić może dowodzenie naprzód postawionej tezy.

P. Hruszewskij pominął wszystko starannie, co tylko jego tezę i dowody osłabić mogło, nie ze złej woli, tylko skutkiem zaślepienia tendencyjnego.

Zapatrzony w ideę powstania i ustroju Rusi bez wpływu i współudziału Warego-Russów, do tego stopnia odrzuca wszystko, coby cień rzucić mogło na pokrewieństwo duchowe z Normanami że nie zadaje sobie trudu zapoznania czytelnika z poglądami autorów innego kierunku; więcej nawet powiem: zdaje się ich nieznać. W spisie dzieł, poprzedzających Zarys historyi ziemi kijowskiej, nie cytuje wcale prac i autorów północnych, piszących o Normanach, pomija Strinholma: *Pochody Wikingów*, a nawet dostępny mu przekład rossyjski Szemiakina. W obec tego nic dziwnego, że oświetlenie tak wielkiego dziejowego faktu, jakim było utworzenie się państwa ruskiego, wypadło jednostronnie, blado i sztucznie z tej racyi, że dla poparcia swojej hipotezy, po za kilku uwagami pisarzy greckich, luźnemi i źle zastosowanemi, w źródłach krajowych autor nie znalazł i nie mógł znaleźć dostatecznego materyału.

stałą podstawę działania. Budowanie grodów i osadzanie ich swoimi zaufanymi i krewnymi prowadziło najlepiej do tego. Zbudował tedy Ruryk gród nad Wołchowem — pózniejszy Nowogród, a dostojni-

---

Przypatrzmy się odwrotnej stronie kwestyi: o ile najazdy Normanów czyli Warego-Russów mogły wpłynąć na utworzenie się państwa, zwanego przez zdobywców „Ruskaja ziemla“ a przez Greków, dobrze poinformowanych, Rusią.

Przedewszystkiem nasuwa się pytanie: czy fakt najazdu, podany przez Nestora — owego „dawnego kniżnika“, mógł mieć miejsce w takiej formie, w jakiej jest podany.

Nie przedstawia się on bynajmniej zjawiskiem odosobnionem.

Przestrzeń ziemi, zajętej przez Słowian, którymi się zajmujemy — powiadają Rulikowski i Radzimiński za Strinholmem — (*Kniaziowie i szlachta*, t. I. Kraków 1880, str. 43 i n.), przerzynały rzeki, które dziś będąc spławnemi, w owej porze jeszcze dogodniejszemi być musiały dla żeglugi. Rzeki te, jak Dźwina zachodnia, Wołchow, wpadają do morza Baltyckiego, Dniepr zaś do morza Czarnego. W odległej starożytności widzimy, że to były drogi handlowe; już za Herodota spławność Dniepru była znaną, powiada bowiem, że handlarze potrzebowali 40 dni płynąć Dnieprem. Nestor zaś nazywa go „szlakiem z Wareg do Grecyi“. Tą drogą, a przytem w dalszych ziemiach słowiańskich Odrą, Wisłą, Niemnem, nietylko handel prowadziły północne narody, jak Gotowie i inni, ale niemi wkraczały, podbijały i dalej się ku południowi posuwały przez ziemie słowiańskie.

Tą drogą, przez Nestora wskazaną, prowadzą kronikarze szwedzcy bajecznych swoich bohaterów, jak Swegdera i in., którzy pielgrzymowali do morza Czarnego dla wynalezienia Godheima i Odina. W sagach skandynawskich czytamy o podróżach handlowych tą drogą do Holmgardu, a oraz o złocistych kobiercach, złotych tkaninach i innych kosztownych towarach, które od południa tam przychodziły, a kupowano je dla północnych królów.

Tą drogą, wskazaną przez Nestora, wikingowie skandynawscy wkraczali do Holmgardu (Nowogrodu) a dalej szli Dnieprem ku południowi, łącząc rzemiosło wojenne z handlowem. W wyprawach naprzemian te cechy się zmieniały. Zwykle, gdy przybijali do brzegu, rozpoczynali od dobrowolnych tranzakcyi z krajowcami; ale wnet się zmieniał charakter ich przybycia, gdy się interesa handlowe zakończyły, i wojna, to jest grabieże się rozpoczynały. Tym sposobem widzimy ich w Biarmii handlujących, tak było wszędzie, gdzie tylko ich stopa stanęła.

Wszystkie prawie podania sag skandynawskich i fakty dziejowe schodzą się z opowieścią Nestora, „bezimiennego kniżnika“, który powiada, że Waregowie, tak bowiem nazywa wikingów wschodnich, przechodząc morze, brali daninę od Czudów, od Słowian, od Merów, Wesów i Krywiczan, tak jak Chazarowie od Polan, Siewierzan, Radymiczów i Wiatyczów. Jużci, jeżeli na przestworze od Baltyku do morza Czarnego, była taka bodaj rozmaitość, jaką stwierdzić możemy, szczepowa, pomijając plemienną, to nie można na seryo mówić o jedności mowy,

kom swoim rozdał włości i grody[1]: jeden z nich dostał Połock, drugi Rostów, inny Białe jezioro.

Ziemia słowiańska nęciła przybyszów. Za Rurykiem napływali inni „z rodami swoimi“, a kiedy późniejszy protoplasta dynastyi

---

kultury, religii i ustroju, a wszelka świadoma federacya, chociażby nawet Kostomarowska, może być zaliczoną do fantazyi historycznych.

Idźmy jednak dalej. O pochodach Wikingów skandynawskich na wschód napotykamy świadectwa już w Prokopie w r. 552, który powiada, że Skandynawowie przychodzili i osobiście znał ich. Któredyż dostać się tam mogli, jeżeli nie drogą wskazaną przez Nestora? — słusznie zapytuje Szafarzyk (*Kniaziowie i szlachta* Rulikowskiego i Radzimińskiego, t. I. 124 i n.). Zresztą trzeba się koniecznie liczyć z ogólnym charakterem dziejowym pewnego narodu. Nikt nie przeczy, że roku przyjścia Ruryka i założenia państwa nie można brać według „niewiadomego kniżnika“, a dobrze znanego Nestora, dosłownie i stanowczo; ale to nie ulega wątpliwości, że biorąc fakt najdonioślejszy pod względem dziejowym, Nestor nie minął się z prawdą. Skoro zachodni wikingowie, po długich łupieżczych wędrówkach, zakładali państwa w Irlandyi, Anglii, Normadii, Włoszech i Azyi, nie ma najmniejszej racyi odrzucenia prawdopodobieństwa założenia takiego państwa wzdłuż basenu Dnieprowego, g' woli wrzekomej jedności, jednolitości, odrębności, wysokiej kultury, jakoteż innych cech społecznych i państwowych Rusi.

Jeżeli się przeto nie da zaprzeczyć fakt najazdu, jako pierwszy impuls ku utworzeniu, z podbitych i podzielonych na drobne odłamy narodów, organizmu państwowego, tem bardziej nie da się zaprzeczyć wpływ tego obcego pierwiastku na państwowy i społeczny ustrój tworzącego się organizmu. Czynniki te odnajdujemy u Skandynawów w tej samej niekiedy formie, w jakiej się zaznaczyły w życiu publicznem późniejszej Rusi. Religia, prawodawstwo, zwyczaje dostarczają dużo materyału porównawczego. (Lech. pocz. Polski str. 220 i n.).

Co do nas, nie mamy nawet zamiaru dotykać tego materyału, chyba wyjątkowo, gdyż celem naszym jest próba naszkicowania ustroju państwowo-społecznego Rusi w tym okresie, kiedy zaczątki życia państwowego w XI. i XII. w. pozwalają nam główne przynajmniej kontury jego poznać.

Jakkolwiek i w naszej literaturze historycznej były usiłowania wytłumaczenia pierwotnej organizacyi społeczeństwa polskiego hipotezą najazdu, próby świetnie bronione przez Szajnochę i Piekosińskiego, pozostały jednak znaczne luki, które nie rychło się dadzą wypełnić. Hipoteza najazdu, jako jedna z najważniejszych podstaw organizowania się, a raczej przekształcania się społeczeństwa polskiego w XI. w. nie da się w sposób zupełnie zadowalniający obronić, opierając się o źródła nasze wyłącznie; wielkie jednak światło na nią rzucić mogą badania społeczeństw ościennych, a przedewszystkiem Słowian północno i połu-

[1]) A. Bielow. I., 564 r. 862.

Rurykowiczów, zdobywszy ziemię, wzmacniał się na stanowisku, owi przybysze, bardziej awanturniczy, a szukający dla siebie stałej siedziby, puszczali się wzdłuż Dniepru. Jakkolwiek tworzyli oni odrębne rody, czuli się jednak w pewnej zależności od głównego wodza — Ruryka i bez jego pozwolenia wypraw na własną rękę nie rozpoczynali. Jednym z takich awanturników był Dir, nie należący ani do plemienia Ruryka, ani nawet niebędący jego „bojarzynem“. Wyprosił się on na wyprawę Dnieprem i pierwszy z drużyny najazdowej dotarł do Kijowa [1]), a zdobywszy to miasto, poszedł do Corogrodu. Działo się to między r. 862 a 866.

Ruryk, zajęty organizowaniem obrony i wzmocnieniem nowozdobytego kraju, poza jego granice nie wychylał się, a w robocie tej śmierć go zaskoczyła. Zdołał tylko rządy złożyć w ręce Olega, który był „z jego rodu“, i to stało się jedynie z powodu małoletności syna Olegowego Igora. Oleg, bardziej przedsiębiorczy, dotarł do Smoleńska, zdobył go i „swoimi ludźmi“ osadził. Była to już wyprawa śladem Dira. Czy miał o tej wyprawie relacye, czy też zachęcony odwagą i rzutkością poprzednika, poszedł dalej; wziąwszy Lubecz, stanął przed temi samemi górami kijowskiemi, przed któremi Dir się zatrzymał, zwabił do siebie szczęśliwszego od niego Warega, mianującego się księciem, zamordował, a gród opanował.

Obcy z początku językiem i obyczajem, rozsadowili się Rurykowicze coraz szerzej wśród rozmaitych plemion słowiańskich, stopniowo, powoli, przemocą lub przebiegłością zdobywając władzę nad nimi, ale środek ciężkości nowo organizującego się państwa przenosił się powoli do Kijowa, na południe: ztąd było bliżej do Grecyi, która ich pociągała dla rabunku i zdobyczy, tu był łagodniejszy klimat i dogodny punkt handlowy, zarówno z Grecyą jakoteż z Tauryką i z pobrzeżem Pontu Euxińskiego, gdzie jeszcze kwitły, jakkolwiek chyliły się już do upadku, kolonie greckie.

dniowo-wschodnich, t. j. tego odłamu Słowiańszczyzny, który bez żadnego zaprzeczenia uległ podbojowi Waregów, a pod ich naciskiem dokonała się reorganizacya poprzednio istniejącego społeczeństwa. Pod wpływem Waregów wytworzyły się nieistniejące wprzód formy i stosunki życia społecznego, nietylko mające pewne podobieństwo z niektóremi formami i stosunkami życia społecznego u nas, ale które oddziaływać musiały na nasz ustrój państwowy i społeczny, przeszły do naszych obyczajów a nawet prawodawstwa. Badanie tedy organizacyi społecznej na kresach wschodnich może mieć znaczenie historyczne i dla nas.

[1]) ibid. 565.

Przeszło sto lat upłynęło zanim przybyli „z za morza“ — jak mówi Nestor — Waregowie zdołali wytworzyć w kraju siłę z żywiołów słowiańskich i na tej sile organizacyę państwową oprzeć. Długo oni nie mogli zapomnieć obcego swego pochodzenia i stosunków zdobywców do zdobytych, a w chwilach krytycznych uciekali się do pomocy najemnych współplemieńców. Owi Słowianie, którzy mieli zaprosić do siebie Waregów, w istocie nie łatwo uchylali głowy swoje pod jarzmo zdobywców, bronili się dzielnie, a nieraz i skutecznie. Nie powiódł się wprawdzie bunt Wadima, który padł ofiarą, ale to nie odstraszyło wcale od oporu innych. Wiodła Olga, żona Igora, uporczywą walkę z Drewlanami (945) a inni książęta prowadzili walkę z Krywiczanami i Wiatyczami.

Pierwsi kniaziowie posługiwali się bądź drużynami, bądź siłami najemnemi waregskiemi, zarówno w celach rabunku jak i w walkach wzajemnych ze sobą. Po nieudałej wyprawie na Greków, w której Igor pokonany został „ogniem podobnym do błyskawicy na niebie“, wróciwszy do domu zwyciężony Kniaź „posła po Wariahi za more, wabia ich na Greki [1])“. Pośród waśni braterskiej o kraj nowo-zdobyty, kiedy Jaropełk, pokonawszy Olega, „siadł“ w Kijowie, Włodzimierz, będący wówczas w Nowogrodzie, przestraszony i niepewny jutra, „uciekł za morze [2])“, a zebrawszy tam drużynę, gdyż na szczery udział Słowian liczyć nie mógł, wrócił do Nowogrodu i ztąd dopiero wyruszył na brata pod Kijów. Walka ta zakończyła się śmiercią Jaropełka. Nie szczegóły jej nas interesują, ale fakt udziału najemnych Waregów i charakter tego udziału. Waregowie, pokonawszy nieprzyjaciela, bez ceremonii powiedzieli Włodzimierzowi: „to gród nasz (Kijów) i myśmy go zdobyli, chcemy więc brać z niego okup po dwie grzywny od człeka [3])“. Spór ten z księciem mógł przybrać bardzo ostry charakter. Włodzimierz musiał obiecać i obiecanką ułagodzić rozjuszonych najemników. Pertraktacyi tych użył jednak książę na zjednanie ludzi wybitniejszych pośród nich, których przyjął po prostu na służbę do siebie. Wybrawszy pośród nich ludzi „dobrych, roztropnych i chrobrych rozdał im grody“ w celu wzmocnienia się i wywierania nacisku na ludność tubylczą, reszta zaś nie miała innego punktu wyjścia jak wyruszyć do Grecyi. „Oszukałeś nas; pokażże teraz nam drogę do Grecyi“ — wołali. Włodzimierz drogę pokazał, ale jedno-

---

[1]) A. Bielowski: Mon. I., 587.
[2]) ibid. 618.
[3]) ibid. 621.

cześnie zawiadomił o tem cesarza: „nietrzymaj ich w grodzie — powiadał — albowiem broić będą jak i tu broili, lecz porozsyłaj ich w różne strony i nie puść z powrotem ani jednego“.

Książęta ruscy czuli dobrze, że nieprzerwała się jeszcze nić łącząca ich z dawną ojczyzną, że w nowej nie nawiązały się jeszcze węzły ściślejsze i pewne, więc też zwracali się o pomoc do tego samego źródła, które niegdyś zasiliło drużynę Ruryka. Zachowanie się Waregów względem ludności krajowej odpowiadało w zupełności charakterowi zdobywców: czuli oni i rozumieli że są siłą, zachowywali się przeto jak w kraju podbitym[1]). Jeszcze Jarosław w walce z Świętopełkiem (1015) uciekał się do pomocy Waregów i miał ich tysiąc, ale innego wojska posiadał już 40.000, jeżeli liczba ta nie jest błędnie przeczytaną. W r. 1024 Jarosław, w bratobójczej wojnie z Mścisławem Tmutarakońskim, poraz ostatni odwołał się do Waregów, sprowadziwszy sobie Akuna[2]).

Spotykamy wprawdzie i poźniej Waregów, mianowicie w r. 1036 w walce z Pieczyngami, ale byli to już ludzie z drużyny kniaziowskiej, w kraju osiedli, lecz nie sprowadzani jak dawniej „z za morza“.

Od owej chwili poczyna się ściślejsze spojenie się książąt ze społeczeństwem i jego interesami: Waregowie tracą cechy rozbujniczych drożyn, a natomiast przybierają charakter coraz bardziej słowiański — słowiańszczą się.

Naszkicowawszy w krótkości fakt najazdu i jego charakter według źródła najpełniejszego i najwiarogodniejszego, jakiem jest kronika Nestora, przejdziemy teraz do scharakteryzowania tych czynników, które w organizacyi państwowej i społecznej udział brały.

2. Kniaź i drużyna.

Zaznaczyłem już poprzednio, że zdobycie późniejszej Rusi przez Waregów nosiło najwybitniej charakter gwałtu; mało tego, cała organizacya władzy opierała się na podstawach, mających na celu nadanie popełnionemu gwałtowi charakteru źródła dochodowego. Właściwie w roli zdobywcy występowała drużyna, a kniaź był tylko jej dowódcą i przedstawicielem niejako. Stosunek ten ulegał ciągłej zmianie, ciągłemu przekształcaniu się w tem znaczeniu, że kniaz

[1]) Połnoje Sobr. russ. liet. t. I., 61. „Wariagi biachu mnogi u Jarosława i nasilje tworiachu Nowogrodcem i żenam ich“.

[2]) A. Bielow.: Monum. I., 696.

wchodził powoli w rolę króla, a z drużyny robił narzędzie swojej władzy i woli. Waregowie łatwo dokonali podbicia kraju, ale nie mogli z taką samą łatwością dokonać przekształcenia społeczeństwa, posiadającego rodzime pierwiastki życia państwowego i społecznego zakorzenione głęboko. Pierwszą niejako czynnością zdobywców było tedy wytworzenie własnego środowiska, jako siły przyciągającej i odpornej. Kniaź z konieczności musiał opierać się na żywiole wojskowym. Rys ten występuje od pierwszej niemal chwili przybycia Ruryka, który „siedie kniaża i rozdaju mużem swoim wołosti". Już za czasów Olega Waregowie posiadają Kijów, Czernihów, Perejasław, Rostow, Lubecz, Połock. Kiedy środek ciężkości władzy i siły przenosić się począł do Kijowa, Włodzimierz spostrzegł, że mało jest grodów koło Kijowa (r. 988) i poczyna budować grody nad Desną, Ostrzem, Trubeżą, nad Sułą i nad Stuhmą [1]). W tym czasie powstają także Wasylów, dzisiejszy Wasylków, i Białogród, dzisiejsza Białogródka. W grodach tych osadzał swoich „bojarów i posadników" [2]). To samo czynił syn jego Jarosław [3]).

Źródłem bogactwa i celem dążeń drużyny pierwszych kniaziów była „zdobycz". Przyznają się do tego otwarcie. Z największą siłą parli Waregowie z drużynami do Grecyi, gdzie wybierano upragnioną „dań" — „złoto i pawołoki". Drużyna Igora, wyprawiająca się po ową dań do Carogrodu, gdy się dowiedziała (r. 944), że cesarz obiecuje bez walki taką samą daninę dawać, jaką pobierał Oleg, wręcz powiada: „jeśli tak, to czegoż nam więcej trzeba, jak bez bitwy wziąść srebro, złoto i pawołoki" [4]). Innym razem dużyna, niezadowolona z bezczynności zbyt długiej, odzywa się z wyrzutem do Igora: „mołojcy Swienaldowi w oręże i suknie się przyodziali, a my nadzy. Pójdź książę z nami po dań, to i ty ją zdobędziesz i my" [5]). Taki był początek wyprawy Igora na Drewlanów, która zakończyła się śmiercią kniazia. Igor nie zadowolnił się daniną. Wybrawszy ją, wyprawił część drużyny do domu, a z małą jej cząstką wyruszył po nową zdobycz „żełaja bolsza imienija". Drewlanie, naradziwszy się ze swoim księciem Małem, zamordowali chciwego Warega. Swiętosław, zaglądający bardzo często „w Greki", bierał

---

[1]) A. Biel. Monum. I., 667.

[2]) ibid. 671.

[3]) Połnoje sobr. russ. lietop. I. pod r. 1024 „biejachu Kijewie muži Jarosławli", str. 64; pod r. 1032 „Jarosław pocza stawiti horody po Rsi" str. 65.

[4]) ibid. 588.

[5]) ibid. 596.

z nich daninę nie tylko dla żywych, ale i dla zabitych drużynników, powiadając, że to „ród jego zabierze“ [1]). Drużyna, jakkolwiek stała pod najwyższą władzą wojskową kniaziów swoich, nie zawsze im jednak ufała, gdy chodziło bądź o wybranie daniny u Greków, bądź o zawarcie z nimi stałego przymierza. Wówczas występowali „od rodu ruskiego posły i goście“ [2]), nie zaś kniaź, jak to miało miejsce, kiedy Igor zawierał przymierze z Romanem, Konstantym i Stefanem, cesarzami greckimi. Niekiedy kniaź musiał do pewnego stopnia dzielić władzę z najznakomitszym lub najpopularniejszym „wojewodą“, jak tego domyślać się można ze stosunku Świętosława do Swienalda, który dowodził zupełnie odrębną drużyną, chadzał z nią dla wybierania „dani“, a nawet występował niekiedy równorzędnie z Świętosławem, mianowicie przy zawarciu umowy między Świętosławem a Janem Cymischym w r. 955 [3]). Było to jednak rzeczą wyjątkową i zależało prawdopodobnie od zdolności, przedsiębiorczości i energii wybitniejszych dowódców drużyn grodowych, na czele których odbywali oni wyprawy łącznie z kniaziem.

W czasie wojny i pokoju drużyna była na utrzymaniu kniazia. Własności ziemskiej z początku nie posiadała wcale, jako zródła żywiącego ją. Takiem źródłem była dla niej, jakoteż dla kniazia, wojna i praca innych, czyli, w nojobszerniejszem znaczeniu wyraz ten biorąc, danina. Do przedmiotu tego wrócimy jeszcze nieco później. Danina nie była rodzajem żołdu drużyny; kniaź brał także sobie część — największą, bo w czasie pokoju musiał całą drużynę zaopatrzeć w odzież, „w prty“, w oręż i żywić ją. Z tego wywiązać się musiał między kniaziem a drużyną stosunek ściślejszy. Kniaziowie starali się zawsze mieć drużynę przyjazną sobie. Mścisław (r. 1034) — powiada Nestor — drużynę bardzo lubił, nie szczędził dla niej ani mienia, ani napojów, ani jadła jej nie wzbraniał“ [4]). Podpiwszy sobie, drużyna Włodzimierza sarkała: „źle nam się dzieje! Jadamy łyżkami drewnianemi, nie srebrnemi.“ Narzekania te dochodziły do uszu Włodzimierza, który „kazał ukować srebrne łyżki do jedzenia, mówiąc „z drużyną znajdę srebro i złoto, jako dziad mój i ojciec znaleźli, a srebrem i złotem nie znajdę drużyny [5])“.

Wyżywienie i utrzymanie takiej mnogości ludzi wymagało odpowiedniej organizacyi. Organizacya w rzeczy samej istniała,

[1]) A. Bielow. Monum. I. 614.
[2]) ibid. 588.
[3]) ibid. 615.
[4]) A. Bielow. Monum. I., 698.
[5]) ibid. 672.

a zarząd jej zaśrodkowywał się na kniażym dworze, który nie tylko był siedzibą kniazia, jako władzy najwyższej, ale także centrum administracyjnem. Drużyna była dwojaką: większą i mniejszą. Większą miał do dyspozycyi bezpośredniej kniaź, mniejsza stanowiła prawdopodobnie załogę owych grodów, jako stanowisk ufortyfikowanych, na czele których stał „kniaź muż“. Sama nazwa „mołodszaja“ zdaje się wskazywać, że składały ją żywioły tuziemcze, siły młodsze. Byli to ochotnicy, zaciągający się dobrowolnie w szeregi wojskowe, młodzież chętna oręża, synowie bojarów — „bolarci“ — młodzież w ogóle — „czad'“. — Był to żywioł awanturniczy, chętny do wszelkich rozruchów, występujący nieraz przyciwko kniaziowi. To też się niekiedy zdarzało, że kniaź z takimi „boliarcami“ lub „czad'ią“ postępował bez ceremonii [1]). Z tego dwoistego charakteru wypływa stosunek jej osobisty do kniazia. Drużyna większa była na utrzymaniu kniazia, skupiała się koło kniażego dworu; mniejsza, grodowa była na utrzymaniu „posadnika“ albo „namiestnika“ kniaziowskiego, jednego z tych, którym kniaź rozdawał nietylko „grody“ ale i włoście. Bezpośrednie wybieranie w tych włościach „dani“ dla kniazia i siebie, stanowić mogło źródło utrzymania drużyny.

Wyraz „drużyna kniaziowska“ czyli drużyna będąca przy boku kniazia, jest dość złożonym. Rozumieć pod nim należy nie tylko pewną część wojska, ale także straży przybocznej kniazia. Do drużyny należeli również „grydnie“ i „otroki“ — czyli bezpośrednia straż i służba kniazia, która w razie wojny szła z kniaziem i walczyła. Jarosław w Nowogrodzie tysiąc grzywien dawał rocznej zasługi „grydniom“, a Świątopełk w r. 1093, wybierając się na wojnę, miał przy sobie tylko osiemset „otroków“ [2]). Kronikarz wyraźnie powiada „tylko“, pragnąc dać do zrozumienia, że mogło być ich więcej i że prawdziwa drużyna udziału w walce nie brała. Dla utrzymania tej wielkiej ilości ludzi, skupionych w jednem miejscu, a będących zawsze do dyspozycyi kniaziu, potrzeba było odpowiednio zorganizować, środki wyżywienia. Dwiema przeważnie drogami zdobywały się te środki: zapomocą łowów i danin. Łowy w XI. w. nie były wcale rodzajem rozrywki lub ćwiczeniem wojskowem, jakiem się stały później, ale środkiem zdobycia pożywienia. Wyjątek

[1]) Połnoje sob. russ. liet. t. I. str. 56, 74, 97, pod rokiem 1015, 1068, 1095. „Woszygorodskije bolarci“. Mstisław izsiecze, iże bysza wysiekli Wsiesława, czisłom 70 czadi, a druhija sliepisza.“

[2]) A. Bielow. Monum. I., 766.

stanowiły zabawy łowieckie książąt i wojewodów, posiadające, jak i u nas, inny charakter. Trzeba pamiętać że społeczeństwo, podbite przez Waregów, patrzyło na nich jak na wrogów, z którymi walczono przy każdej sposobności w ciągu dwiestu lat prawie jak Drewlanie, i że, jakkolwiek znało uprawę zbóż, było jednak na poły pasterskiem, a na północno-wschodzie prawie zupełnie pasterskiem. Słowiańscy posłowie, o ile udział brali w zawieraniu umów między pierwszymi kniaziami waregskimi a Cesarzami greckimi, wykonywali przysięgę na boga trzód i bydła — Wołosa. Siedliska ludzkie były rozrzucone po niedostępnych wertepach; w kraju więc, pozbawionym komunikacyi i nieprzychylnie usposobionym dla zdobywców, trzeba było daninę z bronią w ręku zdobywać — a w dodatku nie było pewności ile się tej „dani" zdobędzie, gdzie, jakoteż na jak długo wystarczyć może. Bez pewnych zapasów żywności nie można było żadnej dalszej wyprawy rozpocząć. Zdobycie więc pożywienia i nagromadzenie go w ilości dostatecznej stanowiło dla pierwszych kniaziów ruskich jedno z najważniejszych zadań państwowych. Ponieważ nie można było polegać bezpośrednio na daninie, łowiectwo stanowiło poniekąd dodatkowe źródło prowiantowania się. W tym celu już Olga zorganizowała „łowiszcza", czyli osady łowieckie, mające na kniaży dwór z tych dastarczać zwierzyny [1]). Ażeby zaopatrzyć we wszystkie potrzeby całą drużynę kniaziowską, należało jeszcze, oprócz starania się o żywność, utrzymywać liczne gromady, „rzemieślników, rzemieślniczek i kucharzy [2])". Inaczej nie można sobie wyobrazić w jaki sposób mogło się dokonać żywienie i odziewanie drużyny, tembardziej że nieznajdujemy najmniejszego śladu ażeby w tym celu istniały odrębne folwarki. Na kniażym więc dworze, albo ściślej powiedziawszy na kniażych dworach koncentrowały się składy czyli magazyny publiczne, w których znajdowała się zarówno broń jak i pożywienie. W ten tylko sposób wytłumaczyć możemy dlaczego kniaziowie ochraniali ludność rzemieślniczą, kucharzy, koniuchów itp., którzy, chociaż należeli do klasy ludności niewolnej, cenieni jednak byli wyżej, prawie jak wolni [3]).

Przy ich pomocy tylko mogli kniaziowie żywić na swoim dworze tysiące drużyny i sług. Nestor wyraźnie mówi o Włodzimierzu,

---

[1]) A. Bielowski: Monum. I., 602.

[2]) A. Kucharski: Ant. mon. juris slov. §. 3, 9 i in. Ruską Prawdę zawsze cytować będę według wydania Kucharskiego, gdzie zajdzie potrzeba powołania się na inne wydanie, zanotuję to.

[3]) Ant. monum. 7.

że „kazał codzień we dworze, we świetlicy wyprawiać ucztę, przychodzić bojarom, dworzanom (grid'niom), setnikom i dziesiętnikom i znakomitym mężom, przy księciu i bez księcia: bywało na obiedzie tym mnóstwo miąs bydlęcych i zwierzyny, było podostatkiem wszystkiego“ [1]). Najprzód więc skutkiem głównego celu, w którym kniaź zwoływał i trzymał przy sobie drużynę, a następnie skutkiem ciągłego życia wytworzył się między nim a drużyną stosunek zażyłości; charakter jednak tego stosunku zależał wyłącznie od samego księcia. Widzieliśmy, w jaki sposób Włodzimierz postępował sobie z najemną waregską drużyną: póki była potrzebna — posługiwał się nią, a z chwilą, kiedy mu się groźną stała — wyprawił do Grecyi. Jarosław jeszcze sobie mniej ją ważył: mordował i głaskał według własnej woli. Ale też i drużyna coraz bardziej traciła swój charakter cudzoziemski, a za Jarosława, w czasie jego pobytu w Nowogrodzie, w znacznej mierze składała się z żywiołów tubylczych. Nie była to budowa ściśle spojona; między dwoma szczepami wytwarzały się antagonizmy, w łonie drużyny samej, które doprowadzały do starcia orężnego. W r. 1015 część drużyny nowogrodzkiej powstawszy, wymordowała Waregów; Jarosław odpłacił pięknem za nadobne: sprosił wybitniejszych Nowogrodzian, którzy w rozterce udział brali — i wymordował. Stanął tedy po stronie Waregów. Z tego zajścia widzimy jednak, że w drużynie kniazia bywali już śród Słowian „naroczityi muži“ — mężowie wybitniejsi, a późniejsze odezwanie się Jarosława do pozostałej drużyny świadczy, że na takiej mięszanej drużynie opierała się już siła wojskowa kniaziów. „Drużyno moja kochana — woła kniaź — wczoraj cię pozabijałem, a dziś byłabyś mi potrzebną“ [2]). Było to po śmierci Włodzimierza, kiedy od Predysławy, siostry Jarosława, nadeszła do Nowogrodu wiadomość, że Swiętopełk opanował Kijów i morduje braci, ażeby władzę w swoje ręce zagarnąć.

Mniej więcej od tego czasu zaciera się coraz bardziej nazwa drużyny, w pojęciu wojska najemnego, obcego; wyraz Wareg coraz rzadziej używa się, a występują natomiast wyrazy: „bojare“ i „bolare“ w znaczeniu doradców książęcych. Zdaje się, że byli oni wybitniejszą częścią drużyny, ale pochodzenia słowiańskiego, z czasem weszli do pewnego rodzaju rady przy księciu, a sam źródłosłów „boi“ i „jar-jary“ wskazuje najwyraźniej, że z szeregów wojska wyszli, że byli jego częścią wybitną i dzięki swej wybitności zajęli

[1]) Nestor, 672.
[2]) A. Bielow. Monum. I., 689.

pierwszorzędne stanowisko w obec kniazia, pośrednicząc niejako między władzą wojskową, a interesami i potrzebami kraju [1]). Wyraz drużyna jest imieniem zbiorowem, jak „wojsko“: bojarowie byli starszyzną w tem wojsku, która powoli wpływ na książąt wywierać poczęła. Wyraz to był, a może i władza, rdzennie słowiański, miejscowy, którego Nestor używać poczyna z pierwszą chwilą niemal przybycia Waregów. Mówiąc o Askoldzie i Dirze, utrzymuje, że nie należeli oni do plemienia Rurykowego, nie byli nawet jego „bojarami“ [2]). Posłowie posłują w imieniu księcia i jego „wielkich bojarów“ [3]). W umowie między Igorem a cesarzami greckimi „książę

[1]) Co do źródłosłowu b o l a r y n i b o j a r y n domysły historyków są podzielone. Krug wyprowadza słowo b o l i a r y n, uważając je za formę starszą od b o j a r y n, ze skandynawskiego b o l (praedium, villa) i j a r l (comes). Pogodin przyjmuje etymologię Sabinina, który źródłosłów tego wyrazu w islandzkim języku odnajduje, w wyrazach b a e r (villa, praedium) i menn, mąż, — stąd b a e r m a n n — mąż grodu. Kunik sądzi, że słowo b o l i a r y n powstało z narodowego nazwiska B o l g a r i n, B o l g a r i że później z b o l i a r y n a uległo przemianie na b o j a r y n a. Szafarzyk z finno-uralskiego b o j l a s, b u l i a s. Gedeonow doszukuje się źródłosłowu w słowiańskim języku, w staroczeskim b u j a r y — chrobry, b u j a r o s t' — męstwo, i że słowo b u j a r y powstało z b u j — chrobry i j a r — jary, dzielny, Tatiszczew w uwagach swoich do S u d i e b n i k a Iwana Wasilewicza wyprowadza słowo bojaryn z fińskiego języka i tłumaczy, że to oznacza rozumną głowę, czyli m ą d r e g o c z ł o w i e k a. Nie brak innych prób wyszukania źródłosłowu tego wyrazu — przypominających głębokością swoją etymologię Dębołęckiego.

Na skandynawski źródłosłów tego wyrazu nie godzą się jednak — słusznie — Rulikowski i Radzimiński (*Kniaziowie i szlachta* I., 272). Gdyby nazwa ta była przyniesioną stamtąd, tobyśmy się byli spotkali z nią w Skandynawii i w innych krajach podbitych przez Skandynawów; powtóre, że jeżeli się z nią tam nie spotykamy, to nie rozumiemy, dlaczego miałyby ulegać przekształceniu dla Rusi wyłącznie rodzime nazwy skandynawskie J a r ł ó w i B u n d ó w?

Zdaje się, że wypadałoby przychylić się razem z autorami do zdania Kunika, że nazwa b o l i a r y n przyszła z księgami bulgarskiemi. Co do mnie osobiście wydaje mi się pochodność tego wyrazu od b ó j i j a r y bardziej prawdopodobną i bliższą niż poprzednie, tem bardziej, że obydwa te wyrazy, czysto słowiańskie, znane powszechnie i używane, doskonale się łączą dla oznaczenia człowieka mężnego w boju, śmiałego. W czasach, kiedy na szczęśliwej walce budowano wszystko, nic dziwnego, że człowiek roztropny i śmiały wysuwał się naprzód, zdobywał najpierwsze stanowiska i tuż przy kniaziu miejsce zajmował B o l a r, B o l a r y n mogło być zepsutym wyrazem i w formie zepsutej wejść do kronik.

[2]) A. Bielowski; Monum. I., 565.

[3]) ibid. 575.

ruski i bojarowie“ mają rolę zwierzchniczą: Świętosław, pragnąc przenieść stolicę z Kijowa nad Dunaj, do Perejasławca, przemawia nie do drużyny, lecz do matki i do „bojarów“ [1]). W czasie chrztu Włodzimierza ludzie rozumują: „Gdyby to nie była dobra sprawa, książę i bojarowie nie byliby jej przyjęli“ [2]). Po śmierci Włodzimierza bojarowie opłakują go, jako „obrońciela russkiej ziemi [3]).

Im bliżej XII. w., tem wyraźniej widać, jaką rolę mają bojarowie przy boku kniazia, jak również i to, że Nestor, używając tego wyrazu, mówiąc o Askoldzie i Dirze, a właściwiej o Dirze, przenosi znaczenie jego współczesne jemu, będące pojęciem słowiańskiem, miejscowem, określającem poniekąd władzę autonomiczną, połączoną z dostojeństwem wojskowem, w czasy najazdu Waregów. Później, im bardziej kniaziowie jednoczyli się z interesami ludności tubylczej, tem chętniej mieli przy swoim boku bojarów, jako doradców i pośredników. W ogóle charakter stosunku kniazia, drużyny i ludności miejscowej zmienia się. Kniaź już nie ciągnie za sobą Słowian i nie-Słowian, gdzie sam chce, bez oporu, ale rozbudzona samowiedza narodowa stawi mu tamę nieraz, nakazuje liczyć się z interesami gminy, grodu, w ogóle ludności. Na radzie przeważać poczynają nie żywioły wojskowe, lecz autonomiczne.

Gdy w r. 1093 Świętopełk lekkomyślnie rozpoczynał wojnę z Połowcami, wojna ta nie sympatyczną była ludności, roztropniejsi tedy wręcz powiadali: nie chcemy wojny, za mało masz wojska, a nasza ziemia zubożała wojną i karami ściąganemi na rzecz kniaziów; ludzie tedy nie mają z czego płacić podatku na wojnę [4]).

---

[1]) ibid. 609.

[2]) ibid. 636.

[3]) ibid. 676.

[4]) A. Bielow. Monum. I., 767. Odnośny ustęp w wydaniu Bielowskiego źle przełożony i z tej racyi błędnie powtarzany bywa. Tekst brzmi: „nie licho ti jest'; nasza ziemlia oskudieła jest' ot rati i ot prodaż.“ W przekładzie zaś: „nasza ziemia zubożała wojną i przedażą ludzi“. Wyraz ludzi wydrukowano pochyłemi czcionkami. Wątpię, aby błędu tego dopuścił się Wagilewicz, przypuszczam tedy, że wtrącony on został w korekcie przez Bielowskiego, niby dla objaśnienia tekstu. W rzeczy samej prodaża w tym wypadku nie oznacza bynajmniej przedaży ludzi, lecz kary pieniężne, składane na korzyść kniazia. Widać to najdowodniej z *Prawdy Ruskiej* (Kucharski, Antiq. mon. juris slov., patrz §. 17) — „a onomu płatiti 3 griwny prodaži“, §. 22 — „poznajet li na tołzie u koho kupiw, to swoje kuny wzmet' i semu płatiti czto u niego pogibło, a kniazju prodažju“, §. 29 — „to ti uroci smrdom ože płatiat kniazju prodažu“ i w in. miejscach.

Innym razem takie same słowa troskliwości o kraj wkłada w usta drużynie, która nie szuka już „imienija“, ani „złota i pawołoki“, ale waży dobro kraju na szali. — widocznie tedy składa się z żywiołów rodzimych. Na radzie między Włodzimierzem a Swiętopełkiem — czy rozpocząć na wiosnę wojnę z Połowcami, drużyna Świętopełkowa wręcz powiada: „nie pora na wiosnę wojować; pogubim smerdów i zasiewów nie będzie“ (r. 1103)[1]. W r. 1111 ta sama przestroga powtarza się kniaziowi.

Tak więc, powoli, w miarę zesłowiańszczania się książąt Waregskich, w miarę coraz większego zespalania się z interesami materyalnymi podbitych krajów, poczyna się wytwarzać pojęcie idei państwowej i stawiać jako cel, zamiast dawnego celu — rabunku Nie prędko jednak do tego przyszło, bo jeszcze cały wiek XII. był obrazem ciągle przekształcającego się społeczeństwa.

Kniaziowie poczynali rozumieć swoje obowiązki względem ludności tubylczej i rolę zdobywców łagodzić rolą opiekunów. Przyjęcie religii chrześciańskiej przez Włodzimierza bardzo dodatni wpływ wywarło. Pojęcie obowiązków państwowych zrodziło się z uczucia miłosierdzia chrześciańskiego.

Zaznaczyłem już poprzednio, że kniaziowie zmuszeni byli robić na kniażym dworze zapasy wszelkiego rodzaju: broni, odzieży, pożywienia; krótko mówiąc, posiadali magazyny zapasowe. Magazyny takie zwały się skotnicą. Był to rodzaj skarbca książęcego. W jednym z takich skarbców przechowywały się pieniądze, zwane kunami[2]). Włodzimierz pozwolił ubogim przychodzić na dwór książęcy, zaopatrywać się tam w pożywienie, w napój, a w razie potrzeby w pieniądze[3]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fr. Rawita.

---

[1]) ibid. 810.

[2]) ibid. 672.

[3]) ibid. Wyraz skot oznacza dziś bydło. W w. XI. miał takie same znaczenie; ponieważ jednak w tym wieku przeważało jeszcze gosp. pasterskie, w którem największą siłę posiadało bydło, czyli mówiąc inaczej, stanowiło skarb, stąd w przenośni skarbiec zwał się skotnicą.

PROTOPLAŚCI
W DUCHU
MOLESCHOTTA, BÜCHNERA I HÄCKLA.

Do ulubionych złudzeń nowoczesnego materyalizmu — czyli, jak się sam zwać lubi, „Monizmu“ — należy mniemanie, że materyalizm jest wynikiem olbrzymiego w ostatnich czasach postępu nauk przyrodniczych, że bez tego właśnie kierunku wiedzy ludzkiej nie mógłby istnieć, że w naukach przyrodniczych a nie w spekulacyi znajduje swe uzasadnienie — że wreszcie jest tych nauk ostatnim i koniecznym wynikiem! A cóżby było, gdybyśmy się przekonali, że wszystkie niemal twierdzenia Moleschotta, Büchnera, Häckla i innych koryfeuszów filozofii materyalistycznej wypowiedziano na lat dwa tysiące przeszło przed ich narodzeniem i że twierdzenia te były owcem spekulacyi a nie doświadczeń, co zresztą nie jest rzeczą dziwną, jeżeli zważymy, że najdalej idące uogólnienia każdej nauki muszą wkraczać w dziedzinę spekulacyi, któremu to faktowi składają wymowne świadectwo sami fizycy, mówiąc o „spekulatywnej fizyce“! To bliskie powinowactwo spekulacyi nowoczesnego materyalizmu z początkującą filozofią grecką wystąpi tem jawniej, jeśli przedstawimy główne tylko poglądy greckich myślicieli i w odpowiednich miejscach zwrócimy na nie uwagę naszych czytelników. Zacznijmy od najdawniejszych, tak zwanych jońskich filozofów.

Pierwszym z nich był Tales z Miletu, zaliczany do siedmiu mędrców. Miał on żyć od r. 640 do r. 550 przed Chr.

Wiadomości, jakie nas doszły o nim, są tak szczupłe, że nawet nie wiemy z pewnością, czy spisał swoje zapatrywania.

Pewną zdaje się być rzeczą, że szukał początku wszechbytu w jakiejś pierwotnej materyi i uznał, że jest nią woda jako ocean ziemię otaczająca.

Jakie było uzasadnienie i jakie były dzieje rozwoju tych zdań, dziś już nie wiemy z pewnością.

Systemat jego był, jak się zdaje, rodzajem panteizmu, godzącego się poniekąd z politeizmem greckim.

Starożytni przypisywali mu rozległe wiadomości matematyczne, astronomiczne i techniczne. On to miał być pierwszym z Greków, który na podstawie swych obliczeń zapowiedział zaćmienie słońca.

Wedle opowiadania Herodota podał on Krezusowi myśl sypania grobel na rzece Halys, ażeby sztucznym zalewem powstrzymać najście Persów.

On to nakłaniał Krezusa do ustanowienia w Teos rady związkowej dla Greków jońskich.

Anaximander z Miletu, o jakie 30 lat młodszy od Talesa, uczeń jego, jak mniemają niektórzy.

Dzieło, które zdaje się że napisał, miało nosić tytuł: „Περὶ φύσεως“. Prawie każdy z Hylików pisze dzieło pod tym tytułem.

W Milecie istniała pod ówczas cała szkoła filozoficzna.

Anaximander oddawał się także matematyce i astronomii. Talesa o tyle przewyższył, że próbował już oznaczać odległości i rozmiary ciał niebieskich.

Przypisują mu sporządzanie map i kompasów.

I Anaximander szukał źródła wszechrzeczy w jakiejś pierwotnej materyi, którą nazywał „ἀρχή“, początkiem, pierwiastkiem.

Pojmował ją jako nieokreśloną, nieskończoną, nieprzemijającą, nieograniczoną czasem i przestrzenią, kierującą wszystkiem, zawierającą w sobie zarody wszystkich tworów, które z niej powstają i w niej też nikną z biegiem czasów. Tej tylko ogólnej przyczynie trwały byt przysługuje, wszystko, co z niej powstaje, jest znikome.

Przypomina się tu bardzo, w filozoficzniejszą formę ujęty Chaos kosmogonii greckich — a także Substancya Spinozy.

Z pozostałych wiadomości trudno już dojść, jakie było przeprowadzenie w szczegółach tej ogólnej myśli; zdaje się jednak, że przypisywał całą rozmaitość objawów w łonie owej pierwotnej materyi przeciwieństwom: zimna i ciepła, wilgoci i suchości.

Gorzką wodę morską uważał on jako pozostałość pierwotnego płynnego stanu świata.

Przypuszczał, że w ciepłym namule tworzyły się pęcherzyki, z których powstały twory ustrojowe, a w dalszym rozwoju ludzie, którzy początkowo żyli jako ryby. (Erdmann i Brandis).

W dalszym wyniku swojej teoryi o nieskończoności pierwotnej materyi przypuszczał wielość światów — niewiadomo wszakże dokładnie, czy pojmował tę wielość w czasowem czy w przestrzennem następstwie.

O kosmicznym ustroju świata miał pojęcia bardzo wadliwe i niedokładne — jak też inaczej być nie mogło przy ówczesnym stanie nauk przyrodniczych.

Anaximenes — także z Miletu. Był, zdaje się, uczniem Anaximandra a może i Talesa. Uważa za pierwotną materyę nie wodę, jak Tales, ale powietrze jako lotniejsze, ruchliwsze, podzielniejsze, widoczniej warunkiem wszelkiego życia będące.

Przypisuje powietrzu jako nieodłączną własność wieczny ruch. (Jak dziś materyi przypisują, ażeby uniknąć wyjaśnienia, zkąd pochodzi początek ruchu).

Cały przebieg ogólnego „stawania się" (Hegel: *das Werden)* wyprowadza z rozrzedzania i zgęszczania się tej pierwotnej materyi. W początkowym jej stanie wyobraża ją sobie jako coś pośredniego między wodą a właściwem powietrzem.

To co się zgęszcza i tężeje, określa bliżej jako zimno, co się zaś rozszerza i ulatnia jako ciepło. Przez rozrzedzenie przechodzi powietrze w ogień; przez zgęszczenie staje się wiatrem, chmurą, wodą, nareszcie ziemią i kamieniem.

Ze zgęszczonego ognia powstały gwiazdy z jądrem ziemistem i krążą w około ziemi płaskiej, którą powietrze jakby liść unosi. Duszę utożsamia z ożywiającym wszystko oddechem.

Widzimy więc, że filozofia dawnej szkoły jońskiej ma wybitną cechę kosmologiczną. Jest ona — używając dziś utartego wyrázu — filozofią natury. Nazywano też filozofów do niej należących Fizyologami (od: φύσις) albo Hylikami (od: ὕλη).

Uderzające jest podobieństwo jej pomysłów do nowoczesnych hypotez przyrodniczych, inne są tylko naukowe podstawy i zasoby wiedzy starożytnych Hylików, inne nowoczesnych materyalistów.

Powietrze Anaximenesa naturą swą do wody zbliżone, czyż nie przypomina „pierwotnej mgły" *(Urnebel)* z teoryi kosmologicznej Kanta i Laplace'a. Pęcherzyki, tworzące się w ciepłym namule,

z których Anaximander wywodzi wszystkie twory ustrojowe, czyż nie są zarodem teoryi Lamarcka, Darwina i Häckla?

Na zagadnienie o ostateczne przyczyny wszechświata i o początek tworów ustrojowych na nim żyjących, nie zdobyliśmy się dotąd na zasadniczo inne odpowiedzi, jak te, które nam przekazała filozofia jońska. A jakże ogromnie zwiększył się od tego czasu zasób doświadczeń, które ludzkość zebrała, i jak w skutek tego postąpiły nauki przyrodnicze!

W pojedyńczych szczegółach mamy bez porównania silniejsze uzasadnienie tych teoryi, im dalej jednak zapuszczają się one w przeszłość kosmiczną, tem więcej nabierają cechy domysłów, tem więcej też wartością swoją zbliżają się do starożytnych spekulacyi kosmologicznych.

Na poparcie tych moich zapatrywań dodam, że podobne myśli wypowiada Dühring w swojej „Krytycznej historyi filozofii".

Odrębne nieco stanowisko w obec jońskich „fizyologów" zajmuje Diogenes Apolloniates, urodzony w Apollonii na Krecie. Dorejczyk rodem i odmiennych pod pewnym względem zapatrywań od filożofów jońskich, pisał jednak w narzeczu jońskiem, i dla tego to może zaliczają go starożytni do Jończyków.

Z dzieł jego doszły nas zaledwo urywki. Przypuszcza on istnienie jednej tylko pierwotnej materyi, lotnej i własnościami do powietrza zbliżonej, którą zwie ogólnie „ciałem" (σῶμα).

Cały świat uważa za wynik rozmaitych zmian tego „ciała", polegających na zgęszczaniu i rozrzedzaniu się. Przyczyną tych zmian są przeciwieństwa zimna i ciepła. (Biegunowość: *„die Polarität"*, nowszych filozofów natury). — Tu pierwsza różnica od filozofów jońskich.

Przeczy istnieniu wszystkiego, co nie jest materyą — zdając sobie mimo to jasno sprawę z różnicy między nią a duchem. — Tu druga różnica. Tak tego pytania nie zadali sobie Jończycy.

Rozum utożsamia Diogenes z siłą życiową i przypisuje ją powietrzu, z którem jest nierozdzielnie połączona, dla tego też oddech uważa za źródło życia i poznania zarazem.

Przez rozdział części lekkich od ciężkich powstała ziemia i gwiazdy, które mają bieg kolisty i chłoną pary ulatniające się z ziemi.

Materyalizm, którego nauczał Diogenes Apolloniates, temu dwa tysiące paręset lat, był prawie takim samym, jakim go dziś mamy. Znajdujemy w nim nawet ulubioną wielu przyrodników hipotezę, że istnieje tylko jedna pierwotna materya. Tak on, jak i nowsi mate-

ryaliści nie zdobywają się na wytłumaczenie początku zmian i powstania osobników. „*Principium individuationis*“ pozostaje zawsze zagadką.

Przepowiadał także wyschnięcie ziemi, podobnie jak niektórzy z nowszych przyrodników.

Ciekawy zwrot tego pierwotnego materyalizmu, ku mistycyzmowi o cechach przyrodniczych, tworzy filozofia Heraklejtosa, który nadaje zarazem starożytnej filozofii pewne wykończenie i uzupełnienie w kierunku teoryi poznania — ma się rozumieć nawskróś sensualistycznej, tak że Heraklejtosa uważaćby można za pierwszego wpośród protoplastów sensualizmu — byli bowiem i późniejsi, a dostarczyła ich już starożytna Grecya.

Heraklejtos urodzony w Efezie około r. 500. umarł około 440 przed narodzeniem Chr.

Należał on do możnej kapłańskiej rodziny, był potomkiem Kodrosa.

Z usposobienia dumny, ponury, w sobie zamknięty i melancholijny, odznaczał się niepospolitą potęgą i samoistnością myśli.

Wtajemniczony w mysterya greckie, znał także i egipskie. Pisma jego pełne są alluzyi do tychże mysteryów — alluzyi dziś już często niezrozumiałych. Pytagorasa zdaje się, że znał osobiście, Eleatów z nauk ich dokładnie, niemniej filozofię jońską, do której twórców był już szczepowo i geograficznie zbliżony.

Myśli jego znamy z pozostałych, zdaje się oryginalnych, urywków i późniejszych opracowań.

Już Sokrates powiedział o jego dziełach, ze zwykłą sobie skromnością: „że co zrozumiał, jest doskonałe, a czego nie zrozumiał, uważa również za doskonałe; ale dzieło to wymaga dzielnego pływaka.“

Heraklitejska teorya poznania jest czysto sensualistyczna; powiada on bowiem:

„Zmysły są źródłem wszelkiego poznania — zmysły zawodzą wtedy tylko, kiedy należą do barbarzyńskich dusz“ (t. j. niewykształconych) (Lewes, Hist. Filoz. t. I. str. 181. Berlin, 1871).

We śnie zamknąwszy zmysły na działanie eteru (rozrzedzonego ognia), tracimy świadomość.

W przeciwieństwie do Eleatów Heraklejtos utrzymuje, że jeżeli nie posiadamy prawdy, to nie z winy zmysłów, ale z winy rozumu. Lewes, str. 182). Wrażenie składa się, zdaniem Heraklejtosa, z dwóch czynników: z czynności zmysłów i z czynności duszy (Zeller, *Phil. d. Griechen* t. I. str. 583). Tylko jakiś Bóg, pojęty jako ogólny, nieskończony umysł, posiadałby całą prawdę.

Heraklejtos uznaje trwałość jedynie w niezmienności i stałości praw, miar i stosunków, oznaczających formy i stopnie w ciągłem stawaniu się, które jest treścią świata. Wszystko zmienia się bez przeskoków a nieustannie, jedne rzeczy nikną, inne powstają, niknienie jednych jest powstawaniem innych, jedne w drugie przechodzą i zmieniają się, życie przechodzi w śmierć a smierć w życie (Moleschotta krążenie materyi i życia). Na ruchu i zmianie polega życie i poczucie życia. Żadna rzecz nie jest, ale każda ciągle staje się (znowu *das ewige Werden* Hegla).

Jasno zarysowuje się tu jego przeciwieństwo do współczesnego mu Eleaty, Parmenidesa.

Metafizyczne pojęcie „stawania się“ przechodzi u Heraklejtosa w czysto przyrodnicze pojęcie ruchu i zmian.

Nieustający ten przebieg porównywa on z ciągłem płynięciem, z ciągle zapalającym się i gasnącym ogniem.

„Świata tego — powiada Heraklejtos — nie zrobił żaden z bogów, ani żaden z ludzi, ale był on zawsze i będzie zawsze, wiecznie żyjącym ogniem, który wedle miary się zapala i wedle miary gaśnie.“ — „Nigdy nie spoczywający ogień działa we wszystkiem“. (Zeller, *Phil. d. Griechen*, t. I. str. 537).

Żadna rzecz nie jest tem samem, czem była przed chwilą; ztąd też powiada, że nie można dwa razy w tę samą rzekę wejść; i rzeczywiście z każdą chwilą zmieniają się nietylko cząstki jej wody, ale także piasku i namułu, tworzącego jej dno i brzegi. Góry i skały granitowe, które w ciągu lat wydają nam się niezmiennemi, okażą przecież zmiany widoczne po przejściu wieku, a nie zmieniłyby je i lat tysiące, gdyby nie zmieniały sekundy, powoli, nieznacznie, każdą kroplą deszczu, każdym powiewem wiatru, każdym promieniem słońca.

Dlatego to utrzymuje Heraklejtos, że jeśli zarzucamy zmysłom okłamywanie nas przez okazywanie trwałości, której nie masz nigdzie, to dlatego tylko, że nie umiemy sobie tłómaczyć wrażeń zmysłowych.

„Złymi świadkami są uszy i oczy ludziom, którzy mają niewykształconą duszę.“ Jako przyczynę tych ciągłych zmian, wymienia powszechną walkę (πόλεμος) przeciwieństw, która jednak ujęta potęgą ogólnej, koniecznej prawidłowości (nazywa ją obrazowo: εἱμαρμένη - Δαίμον - Γνώμη - Δίκη) tworzy harmonijną jedność.

Ztąd też mówi: „Bój jest ojcem wszechrzeczy, a jedność rozdwaja się sama z sobą i znów się łączy, jak harmonia łuku i liry.“

Wszystko powstaje z przeciwnych własności, łączy się w sobie — kolejno przeciwne własności biorą górę i przez to rzecz samą zmieniają.

Ową przyczynę wszechrzeczy nazywa Heraklejtos także: Zeus, Eon, Logos i utożsamia tę przyczynę wrzechrzeczy w panteistyczny sposób z wszechświatem — podobnie jak później Spinoza.

Jednak już w starożytności twierdzili niektórzy z licznych komentatorów jego pism, jakoby Heraklejtos uważał ogień za pierwiastek wszechrzeczy, podobnie jak jońscy Hylicy inne żywioły.

Z takiem jednak zapatrywaniem zgodzić się nie można: ogień, o którym Heraklejtos pisze, jest czemś zupełnie innem, owo ciągłe palenie się, o którem on tak często wspomina, jest raczej porównaniem.

Żadnemu z żywiołów nie przyznaje Heraklejtos stale odrębnej jakości, są one tylko różnemi postaciami jednej i tej samej materyi, w którą wszystko zmienić się i z której wszystko powstać może. Ogień i ziemia, to jej krańcowe formy. „Z wszystkiego jedno, a z jednego wszystko, mawiał on (ἐκ πάντων ἓν καὶ ἐξ ἑνὸς πάντα).

Wszystkie zmiany porównuje on najchętniej z płynięciem potoków: „wszystko płynie“ (πάντα ῥεῖ), albo z ciągłem paleniem się: „wszystko można wymienić na ogień, jak towary na złoto, a złoto na towary“, powtarzał on często.

To też nieraz nazywa on ogień, nie wprost ogniem, lecz ogólnym ciepłym wyziewem, albo ciepłem tchnieniem, a nawet duszą ἀναθύμωσις — ψυχή), jak się zdaje materyalistycznie pojętą.

Nie tyle zatem, wedle Heraklejtosa, różne żywioły, ile raczej przeciwne prądy są przyczyną zmian i rozmaitości objawów ἐναντίαῤῥοή — ἐναντιοτροπή — ἐναντιοδρομία) (wedle Descartes'a wiry, które są początkiem światów, są także wynikiem przeciwnych ruchów).

Równie ciemnym i obrazowym jest język, którym Heraklejtos pisze o swoich kosmologicznych zapatrywaniach. Ogień, woda i ziemia są to trzy główne formy materyi, stałą jest tylko ogólna ich ilość, w szczególnych przedmiotach zmienia się stosunek ich zmieszania.

Przejście jednej rzeczy w drugą, jest śmiercią jednej życiem drugiej. I tak tedy często wyraża się, że śmiercią ognia jest powstanie wody, śmiercią wody jest powstanie ziemi.

Swiat uważa jako jeden i jako wieczny, z czasem bowiem spalony do szczętu, powstaje na nowo w stałych okresach.

Przypuszcza więc wyraźnie pewien rodzaj ogólnego krążenia materyi, zmieniającej ciągle swe formy; ruchy ku górze i ku dołowi są najważniejsze w tem ciągłem krążeniu.

Im co więcej do ognia swą naturą zbliżone, tem wyżej się wznosi, poczem się znów zamienia w opadającą wodę, a następnie w ziemię, która się na dnie wody osadza.

Twierdzić nie śmiem, żeby Heraklejtos miał takie pojęcie o działaniu ognia w przyrodzie, jakie my dziś przypisujemy ciepłu, dziwnie był jednak bliskim nowożytnych zapatrywań na krążenie materyi, przy bardzo jeszcze zresztą błędnych i nierozwiniętych pojęciach przyrodniczych.

Słońce i gwiazdy uważał za nagromadzone „wyziewy ogniste“ w pewnych okresach czasu zbierające się i znikające. Ogień utożsamiał często z duszą.

Duszę przedstawiał sobie jako ożywiającą cały organizm parę, która im więcej ma w naturze swej ognia, tem doskonalsza.

Śmierć nazywa ożyciem duszy, która, opuszczając ciało, ulatuje do innego doskonalszego, jakkolwiek materyalistycznie pojętego bytu. O bycie tym wyraża się, że go się ludzie ani spodziewają, ani weń wierzą. Zdaje się, że chce w ten sposób wskazać, jak różnem być musi istnienie pośmiertne od wszystkich naszych w tej mierze wyobrażeń. Przypuszczać można, że przedstawia sobie ów dalszy ciąg istnienia, jako odrodzenie się w zupełnie innych warunkach; dlatego też może mawia: „Śmierć ludzi życiem bogów — życie ludzi śmiercią bogów“, łączą się prawdopodobnie z tem powiedzeniem jego — niejasno zresztą wyrażone — pojęcia o przyszłej karze i nagrodzie.

Poglądy jego etyczne i społeczne nacechowane są ponurem i pesymistycznem zapatrywaniem się na świat i wartość życia. Boleje on nad głupotą, słabością i nędzą ludzi. Nazywała go starożytność filozofem płaczącym, w przeciwieństwie do Demokritosa, którego nazywano śmiejącym się.

Jako najwyższą mądrość uważa on poznawanie stałych praw w ciągle zmieniającym się świecie, jako najwyższą cnotę stosowanie się do ogólnej harmonii przyrody.

Gardząc bezmyślnym tłumem, występywał Heraklejtos przeciw wszelkim demokratycznym ruchom w swem rodzinnem mieście, w którem wybitne zajmował stanowisko.

Ceniąc przedewszystkiem ład i porządek, poleca obywatelom walczyć usilniej w obronie praw, niż w obronie murów miejskich.

Wiele z filozofii jego przyjęli stoicy, którzy też często dzieła Heraklejtosa komentowali.

Teorya ewolucyi ma także swego przedstawiciela w pośród pierwszych filozofów greckich, mają więc Lamarck, Darwin i Häckel swego protoplastę w duchu już w starożytnej Grecyi, był nim: Empedokles z Akragas w Sycylii. Żył około r. 440 przed narodzeniem Chr., pochodził ze znakomitego rodu, oddał się cały staraniu około dobra ludu, słynął nietylko jako filozof, ale także jako lekarz, fizyk, mowca i poeta. Spółcześni przystrajają jego żywot i skon cudownością i tajemniczością.

Podróżował wiele, zdaje się jednak, że tylko po Włoszech południowych i Grecyi, po drodze leczył, otaczając się przytem urokiem nadludzkiej wiedzy i magicznej potęgi.

Późniejsi, mianowicie Plato i Aristoteles, sądzą go już trzeźwiej i surowiej.

Empedokles znał wszystkie ówczesne zapatrywania filozoficzne i wiele z nich wciągnął w skład swego systematu, mającego cechę eklektyczną, pomimo niektórych oryginalnych pomysłów i ogólnego tła przyrodniczo materyalistycznego. Zaliczają go też historycy filozofii jużto do Eleatów, jużto znów do Pytagorejczyków, albo nawet do Hylików. Z dzieł jego napisanych wierszem miarowym pozostało wiele urywków. Starał on się połączyć czysty byt Eleatów ze stawaniem się Heraklejtosa.

Oto główna jego zasada we własnych słowach filozofa zestawiona: „Stawanie się niebytu jest niemożliwem, również zupełne umieranie i znikanie, a głupcy tylko sądzą, że coś powstaje, co pierwej nie było, albo że coś umiera i znika całkowicie. Przeciwnie, nic nie przybywa do tego, co jest: bo skądżeby przybyło i gdzieżby przepadło? przecież niema w świecie nic próżnego i zbytecznego: żadnej próżni, w którąby coś przejść mogło, albo z którejby coś powstało. Sobie samemu równem jest istnienie; samo przez się przechodząc, staje się ciągle czem innem. Nie masz stawania się czegoś, coby było znikomem, ani też czegoś, coby się kończyło niszczącą śmiercią; jest tylko mieszanie się i rozdzielanie tego co się zmieszało, nazwane stawaniem się przez ludzi. Tak to jedno staje się z wielu, i znów jedno rozpada się na wielość.

Tak rzeczy powstają i nie mają udziału w trwałości wiecznej. O ile nie ustaje wieczna zmiana, są one w niezachwianem krążeniu.“ (Brandis, *Entwickelung der griechischen Philosophie)*.

Bytem, co sam przez się trwały, wiecznie się łączy i rozłącza, są **cztery** żywioły: ogień, powietrze, woda i ziemia, z **których żaden w inny przemienić się nie może.**

Tem twierdzeniem stanowczo różni się Empedokles od jońskich Hylików, a zbliża się jeszcze bardziej do nowożytnych materyalistów.

Przyczyną, wywołującą owe łączenie się i rozkładanie, są **siły przyciągania i odpychania**; na tych to siłach polegają wszystkie zmiany w świecie. Te dwie siły zwie Empedokles także **miłością i nienawiścią.**

Początkowo był świat w stanie nierozdzielenia tych żywiołów, pod wpływem miłości bowiem złączone, tworzyły one kulę (σφαῖρος), (tu przypomina się teorya kosmogoniczna Kanta i Laplace'a), dopiero nienawiść (dziś mówimy siła odśrodkowa) wniknąwszy do głębi tej kuli, rozbiła ją.

Teraz dopiero rozwinęło się twórcze działanie miłości, świat i żyjące na nim ustroje zaczęły powstawać. Nieustanny ruch i ciągłe łączenie się żywiołów w nowe związki i ustroje, tudzież rozkład dawniejszych już przeżytych, trwa utrzymywany sprzecznemi dążnościami miłości i nienawiści, przyciągania i odpychania.

Pierwotne twory przyrody nie były od razu udałe — początkowo było wiele chybionych; co się następnie okazało żywotnem, to pozostało i składa się na obecne gatunki roślin i zwierząt. (A. Lange, *Geschichte des Materialismus).*

Tę myśl, którą następnie podjął Lamarck, St. Hilaire, Göthe i inni poprzednicy Darwina, przeprowadza Empedokles w sposób, okazujący nieznajomość prawideł anatomicznej i fizyologicznej logiki i harmonii, a mianowicie tak zwanego „Prawa współzależności rozwoju" *(Correlation des Wachsthums).*

Empedokles przypuszcza, że nie wszystkie członki i narządy były tak połączone, jak je dziś u zwierząt widzimy, pojedyńcze z nich nawet wiodły odrębny żywot.

Nie byłby wprawdzie Empedokles potrafił, jak Cuvier, z jednej kości trafnie odtworzyć budowę całego zwierzęcia, ale on pierwszy powziął myśl, że gatunki przeradzają się, doskonalą i nareszcie ustalają się z biegiem wieków.

Cały przebieg życiowy, żywienie się i oddechanie, tłómaczy Empedokles przyciąganiem się ciał jednorodnych, odpychaniem różnorodnych i ogólną ich dziurkowatością.

Mniej szczęśliwie próbuje on z podobnego stanowiska wyjaśnić działanie zmysłów; i tak powiada, że każdy z żywiołów spostrzegamy

za pośrednictwem jednorodnych z nim cząstek, wchodzących w skład naszego ciała.

Nieśmiertelność duszy pojmuje jako szereg dalszych przemian i kolei materyi lotnej, która jest istotą duszy, i łączy tę naukę z metampsychozą, przyjętą prawdopodobnie od Pythagorejczyków. Empedokles upatruje pewne analogie w życiu roślin i zwierząt, przypisuje im także dusze.

Śmierć tłumaczy ustąpieniem ciepła z ciała.

Działanie przedmiotów na zmysły przypisuje dziurkowatości wszelkiej materyi, a więc i ciała naszego, które w ten sposób przepuszcza do wnętrza swego nadzwyczaj drobne cząstki, odrywające się od otaczających nas przedmiotów, które to cząstki zetknąwszy się z duszą, dostarczają jej wrażeń. (Tu znowu przypomina się teorya emanacyjna światła i ogólnie dziś przyjęty sposób tłumaczenia odrębnych woni, które wydają rozmaite ciała).

Jakie były jego przekonania religijno-metafizyczne, trudno dziś już wyświecić. Czasem mówi o jednem tylko bóstwie, czasem zaś o wielu bogach, często używa nawet nazw tych bogów, ale zdaje się, że tylko obrazowo i alegorycznie, coby zresztą i całości jego systematu więcej odpowiadało. Ile w takich ustępach jest jego przekonania, ile zaś może ulegania wierzeniom ludowym i teroryzmowi pospólstwa, tego już dziś wiedzieć nie możemy.

Najtrudniejszem może zagadnieniem dla każdego materyalizmu jest pytanie: czem jest materya? jaki jej skład, budowa, jaka jej istota? I z tą trudnością próbował się zmierzyć materyalizm starogrecki, nie mniej śmiały w swoich spekulacyach od nowożytnego. Pierwsze bowiem początki teoryi atomistycznej sięgają wedle tradycyi starożytnych Leukipposa. O Leukipposie jednak oprócz wieści, że miał być mistrzem, czy też tylko starszym przyjacielem Demokritosa, nic nie wiemy, starożytną zatem atomistykę, t. j. teoryę, usiłującą odpowiedzieć na pytanie: czem jest materya, poznajemy tylko z pism Demokritosa.

Demokritos urodził się w jońskiej kolonii Abderze, około r. 460 przed narodzeniem Chr. Syn majętnych rodziców, użyć miał całego swego majątku na dalekie podróże w celach naukowych. Z licznych bardzo dzieł jego doszły nas tylko urywki.

Demokritos, zupełnie już na wzór nowszych przyrodników, kładzie główny nacisk w naukach i w badaniu filozoficznem na doświadczanie i metodę matematyczną. O sobie wyraża się z niezwykłą zarozumiałością:

„Ze współczesnych mi ludzi, ja to objechałem największy kawał ziemi, starając się poznać to co najodleglejsze nawet, najwięcej stref i krajów widziałem, ja to najwięcej nasłuchałem się myślących ludzi, a w geometrycznej konstrukcyi i w dowodzeniu nikt mnie nie przewyższył, nawet geometrowie egipscy, u których — razem wziąwszy — przez lat pięć jako przybysz gościłem.“

Poleca, ażeby się starać: „nie o pełnię wiadomości, ale o pełnię rozumu.“

Powróciwszy do swej ojczyzny, zdaje się, że otrzymywał sowite nagrody za swe dzieła. Przepowiednie — podobno do zjawisk przyrodniczych odnoszące się — miały mu zjednać rozgłos magicznej wiedzy.

Zdaje się to być prawie koniecznością psychiczną, że człowiek, żądający wszędzie jasnego zrozumienia i wytłumaczenia zjawisk w drodze mechanicznej, opierający się przy tem na doświadczeniu i matematycznej metodzie, przywykły — jak to z pism jego widać — do ciągłej analizy, gdy zwrócił umysł swój do badania przyrody, doszedł nareszcie do rozłożenia materyi na najdrobniejsze, już dalej niepodzielne, geometrycznie tylko różniące się cząstki, z których w sposób mechaniczny świat swój zbudowuje.

Cząstki te nazywa atomami, czyli niedziałkami.

Atomy jego są materyą na wskróś jednolitą: różnią się tylko kształtem i wielkością, za którą idzie odpowiadający jej ciężar. Dalej przypuszcza Demokritos, że ich kształty są nieskończenie rozmaite, od gładkich i krągłych, do chropowatych, graniastych, a nawet w haczyki zaopatrzonych.

Ze złączenia się tych tak rozmaitych pierwotnych cząstek powstaje ogół wszechrzeczy.

Dalszą podstawą całego systematu jest próżnia i ruch, który wedle Demokritosa bez próżni nie byłby możliwy, gdyż nie może jakieś ciało wejść w miejsce, zajęte przez inne ciało — może ono tylko wejść w próżnię.

Ściśliwość ciał tłumaczy zmniejszaniem się odstępów między atomami — zupełnie w myśl dzisiejszych teoryi.

Widocznie pod wpływem Eleatów, użycza Demokritos swoim atomom stałego i niezmiennego bytu, nie przypisuje im żadnych wewnętrznych zmian, żadnych wewnętrznych stosunków, ani stanów; wszelkie zmiany dzieją się po za atomami, one pozostają bezwzględnie niezmienne. W przeciwieństwie zaś do eleackiego zapatrywania, które uznaje jeden tylko rodzaj bytu, uważa Demokritos próżnię dzielącą atomy, jako coś rzeczywiście istniejącego, jako przeciwwagę pełni, t. j. atomów.

Pełnia i próżnia, atomy materyalne i dzieląca je przestrzeń, to dwie rzeczywistości — chociaż bezpośrednią przyczyną rozmaitości zmian jest to, co wypełnia przestrzeń materyalnie, t. j. atomy.

Tu przypominają się zapatrywania Heraklejtosa i Empedoklesa, owo wieczne stawanie się i znikanie, mięszanie się żywiołów i rozkładanie; tylko że stałym materyałem w ciągłym przebiegu zmian są niezmienne atomy.

Zupełnie w myśl nowożytnej nauki pojmuje Demokritos ruch jako odwieczny stan atomów, tylko ruch ten przedstawia sobie inaczej, niż dzisiejsi przyrodnicy. Wedle jego zapatrywań lecą atomy w nieskończonej przestrzeni, jak spadające krople deszczu; większe, a więc cięższe szybciej, mniejsze, a więc lżejsze wolniej; wskutek tej nierównej szybkości doganiają się, potrącają, uderzają, gniotą, odbijają, następnie potrącając się już w innych kierunkach, wynikających z odbicia, łączą się w rozmaite gromady i znów dzielą.

W inny sposób, jak tylko mechaniczny, nie mogą atomy działać jedne na drugie, są bowiem pozbawione wszelkich jakościowych oznaczeń z wyjątkiem pewnych kształtów, rozmiarów i ciężaru.

Z działania na siebie rozmaitych ruchów, wynikających z odbicia, w kierunku często skośnym do pierwotnego ruchu, wyprowadza Demokritos także i ruch wirowy, a z niego różne przejściowe stany tworzących się światów.

Światów przypuszcza nieskończoną wielość; wynika to już zresztą z koniecznością logiczną z przypuszczenia nieskończonej wielości, tak atomów, jak i kształtów ich, dalej z ich ruchów w nieskończoność i z nieskończoności przestrzeni. W tej zasadzie wiecznego ruchu, nigdy nie ustającego i niezmiennych, nie ginących atomów, pomimo zmienności rzeczy świat składających, widzimy już — później obszerniej rozwiniętą i fizycznymi dowodami popartą — teoryę o niezmiennej ilości materyi i siły w wszechświecie. Teoryę tę w najnowszych czasach nazwano teoryą o zachowaniu energii *(Erhaltung der Energie)*, t. j. jednakowej ilości ruchu w różnych jego formach.

Wypowiada Demokritos już wtedy z całą stanowczością, ogólnie w dzisiejszych naukach przyrodniczych przyjętą zasadę, że: „nic nie dzieje się przypadkowo, ale wszystko z pewnego powodu i z koniecznością“ (Οὖδεν χρῆμα μάτην γίνεται ἀλλὰ πάντα ἐκ λόγου τε καὶ ὑπ ἀνάγκης).

Demokritos jakkolwiek nie wątpi o istnieniu atomów, przyznaje jednak, że jako leżące po za granicami zmysłowego spostrzegania,

nie są one przedmiotem bezpośredniego doświadczenia, ale konieczným wynikiem poznania rozumowego.

Poznanie rozumowe jako bardziej *przedmiotowe* ceni on *wyżej*, niż *zmysłowe*, *zamącone podmiotowością*. Z podmiotowości wrażeń zmysłowych jasno zdaje sobie sprawę Demokritos: ścisłą i wyraźną czyni różnicę między tem, czem jest przedmiot w sobie, a tem, czem nam się być zdaje, wedle sposobu w jaki na nas podziałał za pośrednictwem zmysłów naszych. Powiada on też wyraźnie: „W *mniemaniu* tylko słodycz i w mniemaniu gorycz, w mniemaniu ciepło, w mniemaniu zimno, w mniemaniu barwność, w *rzeczywistości* zaś tylko atomy i próżnia“ (νόμῳ γὰρ γλυκὺ, καὶ νόμῳ πικρόν, νόμῳ θερμὸν, νόμῳ ψυχρόν, μόνῳ χρωμῆ ἐτε ἦ δὲ ἄτομα καὶ κενόν). Wedle niego nie istnieje więc *nic oprócz atomów* i dzielącej je *próżni*, wszystko inne jest mniemaniem, rzecby można prawie, złudzeniem.

Czem jednak jest wszystko to, co się w podmiocie dzieje za wpływem otaczających go przedmiotów, jeżeli oprócz atomów i próżni nic nie ma, tego wcale nie wyjaśnia.

O tem zkąd pochodzi czucie, myśl, wola i w ogóle objawy psychiczne, o tem Demokritos wcale nie mówi — dalej nie zaszła też w tej mierze i tegoczesna atomistyka.

Na podstawie hipotezy atomistycznej zrobiły wprawdzie olbrzymi postęp nauki przyrodnicze, rozmaitemi ruchami i rozmaitemi połączeniami najdrobniejszych cząstek tłumaczy nam dzisiejsza fizyka, zjawiska optyczne, elektromagnetyczne, termiczne, akustyczne, chemiczne, a nawet fizyologiczne, jakoteż odpowiadające tym zjawiskom zmiany w dotyczących przedmiotach; tak samo jednak jak za czasów Demokritosa, tak też i dziś nie jest w stanie atomistyka wytłumaczyć, czem jest *odczucie* światła, głosu, ciepła, smaku i t. d. Wrażenia te nie są zmianami wewnątrz pojedyńczych atomów, nietylko bowiem Demokritos, ale i nowsze hipotezy uznają niemożność wewnętrznych zmian w atomach; tem mniej nie są wrażenia te zmianami w pewnej gromadzie atomów, przybywałaby bowiem z tem przypuszczeniem trudność wytłumaczenia jednolitości wrażeń pomimo próżni, dzielącej szczególne atomy, mózg składające i pomimo prawdopodobnych osobniczych różnic tychże atomów. Bardzo też trafnie powiada Albert Lange: „Pomimo wszystkich postępów nauk, pomimo wszelkich przeobrażeń pojęcia atomu, pozostał brak ten równie wielkim i zupełnie się nie zmniejszy, gdyby się nawet udało podać wyczerpującą teoryę czynności mózgowych i wykazać, jakie są

mechaniczne ruchy, ich początek i rozwój, które odpowiadają uczuciu, czyli mówiąc inaczej, uczucie sprawiają. Nauka nie powinna wątpić.... że zdoła nawet najzawilsze czynności i najważniejsze ruchy żyjącego człowieka podług prawa utrzymania siły wywieść z sił napiętych *(Spannkräfte)*, w mózgu uwalnianych działaniem podrażnień nerwowych, na wieki jednak wzbronionem jej będzie, znaleść łącznik między tem, czem jest najprostszy dźwięk, jako uczucie podmiotu, jako moje uczucie, a przebiegami rozkładowemi w mózgu, które nauka przyjąć musi, ażeby toż samo uczucie dźwięku wyjaśnić jako zmianę w świecie przedmiotów" (A. Lange, *Gesch. des Materialismus)*.

Przypisując różnicę ciał rozmaitości składających je atomów i komplikacyom w ich układzie i rozmieszczeniu, utrzymuje Demokritos, że dusze ludzkie złożone są także z atomów, najmniejszych, najlżejszych, najlotniejszych, najokrąglejszych, najgładszych, najruchliwszych, wszystko przenikających, pokrewnych tym atomom, z których ogień się składa. Ztąd też przypisuje podobnie, jak Empedokles, pewien rodzaj ożywienia wszystkim ustrojom — nawet roślinom.

Wedle Demokritosa oddechaniem uzupełniamy ulatniające się atomy duszy — z ustaniem oddechu ustaje też życie.

Nie można przypuszczać, żeby Demokritos zdawał sobie w zupełności sprawę z działania ciepła w przyrodzie, niektórzy upatrują jednak w myśli, że odrębne, do ognia podobne, atomy wszystko ożywiają, początki późniejszej hypotezy o atomach eteru, przenikających wszystko i będących podstawą tłumaczenia zjawisk elektryczności, światła, ciepła a z niem i życia.

Jak się zdaje, Demokritos wyraźnie się nie oświadczył co do pojęcia ogólnej duszy świata, ożywiającej wszystko, jakkolwiek myśl tę przypisują mu niektórzy, jako dalszy naturalny rozwój poprzednich przypuszczeń.

W systemacie swoim nie wyklucza on możności działania tajemniczych, nieznanych sił przyrody i możności bytu istot doskonalszych, niż ludzie, zamieszkujących może powietrze, zawsze jednak materyalnych i śmiertelnych.

Eudaimonistyczna etyka jego obchodzi się zupełnie bez ówczesnych mitów religijnych. Wiarę w bogów przypisuje on obawie, jaką nieraz budzą w ludziach zjawiska meteorologiczne; obawa ta i bujna wyobraźnia uosabiać mogła pojęcia moralne i siły przyrody.

Uznawszy jednak duszę, jako odrębny chociaż materyalny pierwiastek, oddaje pierwszeństwo potrzebom duchowym człowieka.

Szczęśliwość zasadza Demokritos na pogodnym spokoju umysłu, do czego człowiek dojść może tylko zapanowaniem nad swojemi namiętnościami. Umiarkowanie, czystość uczuć, wykształcenie ducha i rozwój rozumu, dają człowiekowi możność dojścia do owego celu, nawet wbrew przeciwnościom życia. Trwałem jest tylko wewnętrzne zadowolenie, jakie daje spełnianie dobra w poczuciu własnej godności; znikomą jest przyjemność, sprawiona zadowoleniem zmysłów. Demokritos „uważa za szczęśliwszego pokrzywdzonego niż tego, który krzywdę wyrządza, przedstawia zwyciężenie siebie samego jako najpiękniejsze zwycięstwo, a samo-poznanie jako najpotrzebniejszą naukę; najpiękniejszy środek dojścia do szczęścia znajduje w harmonijnym nastroju duszy i życia“ (Zeller, *Phil. d. Griech.).*

(Tak samo pojmował życie Göthe; patrz Lewes, Życiorys Göthego).

Ostateczną jednak miarą, czy coś jest pożytecznem lub szkodliwem, jest użycie lub przykrość; najlepszem zaś jest dla człowieka, żeby przebył to życie, jak najwięcej się ciesząc, o ile możności, jak najmniej się smucąc. Zwano go też śmiejącym się filozofem w przeciwieństwie do Heraklejtosa, któremu przypadło miano płaczącego, jako ponuro i melancholijnie usposobionemu.

Że spokój ducha, jedyny waruuek trwałego szczęścia, da się osiągnąć tylko prawością uczuć i czynów, uważa Demokritos jako pewnik doświadczeniem stwierdzony; pożądanie tych środków, choćby wyłącznie dla celu, jest już tylko rzeczą prostego rozsądku, którego brakowi przypisuje większą część zła na świecie. Myśl tę podejmuje później Sokrates — a jeszcze później Mill.

Oceniając etykę Demokritosa, wypowiada Zeller *(Gesch. d. Phil. d. Gr.)* bardzo trafną uwagę, która, mojem zdaniem, powinna być podstawą sądu i porównania przy krytyce nietylko eudajmonizmu, ale każdej etyki w ogóle; dla tego przytaczam ten ustęp dosłownie: „Nie tyle na tem zależy... czy pojęcie szczęśliwości, czy też pojęcie obowiązku stawiamy na czele, ile raczej na sposobie oznaczania tych pojęć; tamto jest tylko formalną (powierzchowną), to zaś materyalną (istotną) różnicą.

Musimy wprawdzie przyznać, że szczęśliwości nie pojmuje Demokritos tak, jak Aristoteles, przedmiotowo, jako stan właściwy ogólnej naturze ducha, ale tylko podmiotowo, jako zadowolenie; pochodzi to ztąd, że cała etyka Demokritosa nie jest naukowym systematem, lecz tylko dla ogółu ludzi przeznaczonem, rozważaniem stosunków życiowych.

Zupełnie podobny objaw spotykamy i u Sokratesa: z tego jednak powodu nie należy jeszcze przypisywać żadnemu z nich sobkostwa i płaskości w usposobieniu, kiedy przecież podmiotowe zadowolenie, nawet Demokritos czyni zawisłem głównie od obyczajności i wykształcenia ducha".

Tak osądza Zeller etykę Demokritosa. posłuchajmy jeszcze, co mówi znakomity ten historyk i krytyk filozofii o zasadniczej podstawie atomistyki. tem bardziej, że zdanie jego tyczy się także tegoczesnego materyalizmu. o ile się on opiera na teoryach podobnych pod wieloma względami do starożytnej atomistyki.

„Pominąwszy — powiada Zeller — wszystkie niedoskonałości, które atomistyka dzieli z najdawniejszą filozofią w ogóle. jak jednostronne ograniczenie spekulacyj do fizyki, przewagę natury nad duchem, brak dyalektycznej metody, pominąwszy nawet to wszystko, okazuje się niedostateczność tego systematu już w rozwiązaniu najbliższego mu zadania, w wyświeceniu stawania się *(des Werdens)*. Cały świat zjawisk ma tu być wyjaśniony z abstrakcyjnego pojęcia materyi i próżnej przestrzeni, z bytu i niebytu.

Ale te pierwiastki nie wystarczają nawet, ażeby ruch w ogóle z nich wywieść: bo chociaż przecie atomy, przez ruch, nie staną się nigdy rzeczywiście jednością, ale pozostaną zawsze próżnią rozdzielone, co ma je w ogóle spowodować do wyruszenia się ze swego pierwotnego spokojnego rozłożenia? Jeszcze mniej da się pojąć z tego stanowiska ruch oznaczony, prawidłowy, i wynik tegoż, porządek i celowy układ istnienia; chociażby nawet wszelkie stawanie się oznaczone było prawem ciężkości, jako koniecznością, nie można przecież dopatrzeć, jak z tego ogólnego, wszystkimi atomami władającego prawa, wystąpić mają przeciwprądy ruchów i zejście się ich w harmonijny wynik."

DR. ALEKSANDER RACIBORSKI.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część druga.

I.

Józef Rohrer, podróżnik i statystyk, któremu zawdzięczamy wiele ciekawych szczegółów, dotyczących Galicyi w pierwszych latach bieżącego wieku, nie miał równie burzliwej karyery za sobą, jak Kratter, Bretschneider lub Hacquet, choć i jego zawód publiczny odznaczał się rozmaitością zajęć. Rohrer jadał też chleb z niejednego pieca. Urodzony w Wiedniu, w roku 1769, skończył tamże studya i zrazu wstąpił w służbę do buchhalteryi rządowej, by następnie przenieść się do policyi. Jako komisarz policyjny przybył Rohrer do Lwowa w roku 1800 i w tym też prawdopodobnie charakterze odbył w jesieni 1802 r. i w zimie roku następnego podróż przez całą Bukowinę i Galicyę, począwszy od granic multańskich a skończywszy na Białej. Opis tej podróży, zawierający mnóstwo cennych wiadomości, dotyczących ekonomicznego stanu kraju, wydany w dwa lata później, jak niemniej pracowite rozprawy o Słowianach austryackich oraz o żydach, zapewniły mu katedrę w liceum lwowskiem, gdzie obok umiejętności politycznych należały do niego wykłady z kodeksu karnego w dziedzinie cięższych przestępstw policyjnych, oraz prelekcye statystyki i austryackiego państwowego prawa.

Zrazu myślał Rohrer o przeniesieniu się ze Lwowa i w tym celu kilkakrotnie upraszał władzę przełożoną o udzielenie mu innego miejsca przeznaczenia. Skoro jednak w roku 1816 zamianowano go profesorem licealnym w Ołomuńcu, uznał za stosowne dopraszać się o pozostawienie go we Lwowie, gdzie gotowano się do przeistoczenia

liceum w uniwersytet. Uczyniono przeto zadość prośbie Rohrera i do roku 1828 wykładał on jako zwyczajny profesor umiejętności polityczne, gdyż w prelekcyach statystyki wyręczał go od roku 1818 Karol Hüttner. Choroba piersiowa kres położyła profesorskiej i naukowej pracy naszego uczonego, który uwolniony od obowiązków w lutym 1828 r., przesiedlił się do Wiednia, gdzie życia dokonał w dniu 21. września tegoż roku.

Józef Rohrer, którego odróżnić należy od Karola Rohrera, radcy gubernialnego i dyrektora policyi lwowskiej, smutnie zapisanego w historyi rozruchów studenckich, jakie miały miejsce z wiosną 1807 roku na tutejszej wszechnicy, pozostawił prócz pomniejszych rozpraw, umieszczanych w *Vaterländische Blätter*, wcale obfitą spuściznę literacką, złożoną przeważnie z prac statystycznych. Dla nas szczególniejszy przedstawia interes obok rozpraw o Słowianach i żydach w monarchii austryackiej, wspomniany już opis podróży, odbytej od granic tureckich ku Wiedniowi. Tytuł tej pracy brzmi w oryginale, jak następuje: *Bemerkungen auf einer Reise von der Türkischen Gränze über die Bukowina durch Ost und West Galizien, Schlesien und Mähren nach Wien, (Wien 1804 bei Anton Pichler).* Relacya ta spisaną została w formie listów, których liczymy dwadzieścia i jeden. Począwszy od listu drugiego, datowanego z Suczawy, a skończywszy na szesnastym, pisanym w Białej, znajdujemy wzmianki o handlu i przemyśle, bukowińskim i galicyjskim, które mimo zupełnej zmiany stosunków i dziś jeszcze podatny przedstawiają materyał dla statystyka i etnografa. Zauważyć przytem należy, że Bukowina tworzyła w owym czasie jedną całość administracyjną z Galicyą, w skład której wchodziły też w latach 1795—1809 województwa: Krakowskie, Sandomierskie i Lubelskie, tworzące sześć cyrkułów: Krakowski, Kielecki, Sandomierski, Bialski, Koniecki i Lubelski.

I tak zaraz w granicznem mieście Suczawie zauważa Rohrer, że handel miejscowy ogranicza się do pewnych wyrobów tkackich i bawełnianych, służących do stroju wieśniaczego i wywożonych do Multan, gdy te ostatnie wiodły z Galicyą i z Morawią nader ożywiony handel bydłem rogatem. Drugie z kolei bukowińskie miasteczko Seret nie o wiele korzystniejsze sprawiło na nim wrażenie. Na każdym kroku widział ślady barbarzyństwa, począwszy od gburowatego oficera werbunkowego a skończywszy na landsdragonie, rozbijającym się konno po ulicach miasteczka. Ludność Bukowiny wynosiła w roku 1800 głów 190 389, zamieszkałych w trzech miastach, (Czerniowce, Seret, Suczawa), w trzech osadach, (Kimpolung,

Wyżnica, Kocmań), i w 259 wsiach. Ludność krajowa byłaby niewątpliwie o wiele większą, gdyby rząd z powodu znacznych kosztów nie był zmuszony do zaniechania zainaugurowanej przez cesarza Józefa II. kolonizacyi Bukowiny, dzięki której na niewielkiej stosunkowo przestrzeni znalazły się obok siebie rozmaite szczepy i narodowości, jak: Niemcy, Wołosi, Szeklerzy, Żydzi, Ormianie, Polacy, Rusini, Grecy i Cyganie. Kolonie niemieckie najwięcej interesowały naszego podróżnika, który na przestrzeni między Seretem a Suczawą naliczył dziewięć osad tej narodowości, złożonych z kilkunastu i z więcej domostw. Koloniści ci mieli wspólnego pastora, niejakiego Schwarca, Sasa z Siedmiogrodu rodem, człowieka bardzo wykształconego i zacnego.

Dobra droga, wiodąca z Suczawy do Seretu, w korzystnym pozostawała kontraście z bezdrożami mołdawskiemi. Ponieważ jednak transport kołami był stosunkowo dość drogi, przeto zwracał Rohrer uwagę rządu na korzyści, jakieby dla kraju spłynęły z uregulowania rzek bukowińskich. Już Rosyanie podczas wojny tureckiej spławiali Seretem materyał masztowy do Dunaju, a ułatwienie żeglugi na Dniestrze, Prucie, Mołdawie i Suczawie ułatwiłoby w wysokim stopniu handel z posiadłościami tureckiemi. W ogóle Bukowina odznaczała się obfitością wody. Między Dniestrem a Prutem ciągnęły się nieprzebyte prawie bagna, których osuszenie połączone było z nieobliczalnemi korzyściami dla rolnictwa. Niemniej obfitował kraj ten w sól. Za czasów pobytu Rohrera rząd zamknął 49 słonych źródeł. Największa żupa warzonki istniała w Kaczyce, w okolicy Suczawy, w której sprzedawano rocznie do trzech tysięcy cetnarów soli po cenie dwóch złotych za cetnar warzonki dla bydła i 2 złotych 30 krajcarów za sól jadalną. Sól kaczycka, ciesząca się znacznym odbytem na Mołdawii, przez czas dłuższy miała do walczenia z uprzedzeniem. Twierdzono, że jest ona szkodliwą nawet dla bydła i dopiero badania Jacquina wykazały, że warzonka bukowińska lepszą jest znacznie od węgierskiej.

W Fradautz, w dobrach funduszu religijnego, wydzierżawionych przez rząd, mieściła się komenda wojskowych remontów, dostarczająca koni dla lekkiej kawaleryi, stacyonowanej w Galicyi. Utrzymywano stale na stajni 180 ogierów, rozdzielanych z wiosną po rozmaitych stadarniach, a nadto zakupowano konie w Rosyi, w Multanach i na Bukowinie, gdyż w czasach wojennych zakład ten dostarczał armii rocznie 5000—6000 koni. Na czele zakładu stał pułkownik, br. Calavar. Konie remontowe i klacze ze stadniny pasły się przez całe lato w górach i dopiero na zimę powracały na

suchą paszę do Fradautz. W Serecie zrobił nasz podróżnik wcale niemiłe odkrycie. Oto zapotrzebował soli gorzkiej i nie mógł jej dostać w całem mieście, gdyż jedyna w kraju apteka istniała dopiero od roku 1785 w Czerniowcach. Na zdziwienie, wyrażone z tego powodu przez Rohrera, odparł mu gospodarz zajazdu: Dawniej nie było żadnej apteki, a jednak żyliśmy...

W Czerniowcach doznał Rohrer przyjaznego przyjęcia ze strony miejscowych urzędników, jakoteż biskupa wyznania wschodniego, Michała Władowicza, którego był gościem. Biskup ten dawniej pobierał dochody z Radowiec, gdzie wyrabiano wyborne sery, smakiem przypominające ser prowansalski. Za reformy Józefińskiej odebrano biskupowi Radowce, dając mu w zamian płacę roczną w sumie 6.000 złotych. W stolicy Bukowiny — był to koniec listopada — zaskoczyły też naszego podróżnika pierwsze śniegi, a stosy drzewa, jakie rzucano do źle urządzonych pieców, dały mu asumpt do wyrażenia skargi z powodu fatalnej gospodarki lasowej na Bukowinie. Ogromne lasy między Prutem a Dniestrem, tudzież między Prutem a Seretem zostały już znacznie przetrzebione, zaś w najbliższej przyszłości los ten zagrażał również lasom w dolinie Czeremoszu. O świeżych zapustach nikt nie myślał i zrębów używano na pastwiska, miasto siania na łąkach pastewnych roślin. Uprawą koniczu zajmował się w większych rozmiarach jedynie zarząd dóbr kameralnych w Radowcach. Do pustoszenia lasów przyczyniała się nadto opłata od każdej fury wywiezionego drzewa, wynosząca od czterech do dwudziestu krajcarów, która wydzierżawiona prywatnemu przedsiębiorcy za czynszem rocznym 4.500 złr., zniewalała arendarza do powiększania, o ile możności, drzewnego wywozu. Równocześnie właściciele prywatni niszczyli niemiłosiernie swe lasy, utrzymując w nich potażarnie. W roku 1799 było w kraju 90 potażarni, które spostrzebowały w ciągu następnych lat pięciu 1,310.714 sążni drzewa. Wprawdzie ludność uboższa znachodziła zajęcie przy tej robocie, ale główny zysk przypadał w udziale nie właścicielom dóbr, lecz żydom, wywożącym gotowy już produkt do Prus. Rząd położył w końcu tamę tej dewastacyi leśnej, zamykając przeważną część potażarni, otwieranych bez wiedzy władzy, a które, zdaniem autora, należałoby zaprowadzić w bardzo lesistych dobrach kameralnych, w Sołce, w Fratautz, w Iliszestie, gdzie ciągnęły się jeszcze całemi milami bory. Potaż bukowiński szedł na Wrocław i Gdańsk do blichów angielskich, holenderskich, francuzkich i północno-niemieckich, zkąd go z drugiej ręki nabywano znów do Czech i Moraw.

Dla braku opału groziło też zaprzestanie robót w hucie ołowianej Manca w Dadul, eksploatującej tamtejszą rudę ołowianą, zawierającą do czterdziestu procentów czystego ołowiu, prócz 2—8 łutów srebra. O wiele ważniejszą dla przemysłu krajowego była huta żelazna w Jacobeny, posiadająca, prócz wydatnej rudy, dobre położenie, podostatkiem wody i drzewa. Huta ta dostarczała rocznie 4.000 cetnarów.

Przewóz podróżnych i frachtów, podobnie jak domy zajezdne, dzierżawili na Bukowinie żydzi. Nawet główny hotel w Czerniowcach „pod orłem“ był własnością wdowy, żydówki. Żydzi bukowińscy rozpanoszyli się, podobnie jak w Galicyi, na niekorzyść krajowych kupców i przemysłowców. Wprawdzie w roku 1785 zarząd wojenny bukowiński wydalił wszystkich żydów, nieposiadających stałego zajęcia, skutkiem czego pozostało w kraju 175 rodzin żydowskich. Od czasu jednak, jak zarząd wojskowy ustąpił miejsca cywilnemu, podskoczyła liczba rodzin starozakonnych do cyfry 549, głów 3.286. Niektórzy z nich zajmowali się rolnictwem. Przeważna atoli część żydów bawiła się wyszynkiem i kramarstwem.

Wśród straszliwej zamieci dotarł Rohrer z Czerniowiec do Stanisławowa bryką żydowską i zatrzymał się w zajeździe na przedmieściu, utrzymywanym również przez starozakonnego gospodarza, gdyż konie, które go przywiozły, pogubiły podkowy. Gotowych podków nie można było dostać w Stanisławowie, musiał więc autor czekać, zanim kowal na świeżo podkuł zbiedzone drogą konięta. W karczmie widok wieśniaka, przybyłego z gór okolicznych, nasunął mu pod pióro kilka uwag o nędzy tej ludności, która miasto gorliwszego zajęcia się chowem koni, owiec i bydła, rokrocznie udawała się na zarobek w żyżniejsze okolice Galicyi i na Multany. Jako przykład ubóstwa tej ludności przywodzi wieśniaków z dóbr kameralnych Jamna, położonych w dzisiejszym powiecie Nadworniańskim. Wieś ta liczyła 351. numerów, lecz chłopi tamtejsi nie posiadali rozleglejszych gruntów, prócz ogrodów przy chacie, w których sadzili kartofle i jarzynę. Głównym ich dobytkiem były: bydło, trzymane zimą i latem pod gołem niebem, pozbawione w porze zimowej należytej paszy, tudzież konie, wynajmowane żydom celem przewozu płótna, miodu i innych produktów do Węgier. Droga ta była wielce utrudzająca, gdyż w ciągu niej dwukrotnie trzeba się było przeprawiać przez Prut. Podczas przeprawy wozy z towarami przewożono na czółnach, zaś konie płynęły obok czółen. Podobnie smutną była dola włościan w Dorze, liczącej do pięćdziesięciu numerów, przyczem żydzi zabierali im niejednokrotnie bydło, pasące

się na połoninach, za rzekome długi. Ta okoliczność zniewoliła też autora do wystąpienia z wnioskiem, by w sprawach, toczących się między żydami a chłopami, wydanie bydła włościańskiego w ręce wierzyciela uczynić zależnem od zezwolenia władzy politycznej. Chłopi z Łojowej i z Kosmacza zwykli byli szukać zarobku na węgierskiej stronie, przy spławianiu drzewa, zaś wieśniacy z Dźwiniacza i z Babcza zapuszczali się aż na Mołdawię. Poddani z Markowej udawali się podczas żniw na doły, gdzie najmowali się do roboty w polu za dziesiąty lub dwunasty snop, który miał im dostarczyć pożywienia w porze zimowej. Tak samo postępowali chłopi w Żurakach, o ile nie znachodzili zatrudnienia przy zwózce soli. Część wsi Żuraki należała do Dominikanów z Bohorodczan, i do kilku dziedziczek, w innej znów części siedziało około czterdziestu właścicieli, tak zwanej szlachty chodaczkowej nie różniącej się niczem od sąsiadujących z nią chłopów. Ponieważ w Żurakach nie było pastwisk, przeto połowę pól pozostawiano corocznie ugorem dla paszenia bydła. Niedziw przeto, że nędza i głód częstymi w tych stronach były gośćmi a w Cucyłowie, podczas zarazy na bydło ludność w zupełności zaniechała uprawy roli. Zwyczaj ugorowania połowy pól zauważył Rohrer i w Wołosowie i w Tyśmieniczanach a w Czarnołoścach, Podpieczarach i w Hryniowcach leżały role odłogiem po trzy i cztery lata. Na święty Jan ruszono je lekko pługiem, drugi raz na matkę Boską, we wrześniu przeorano zagon na ćwierć łokcia głęboko, zasiano oziminą i zawłóczono. — To była kwintesencya galicyjskiego rolnictwa! — woła nasz autor zaznaczywszy mimochodem nędzną dolę unickiego duchowieństwa, obarczonego dziećmi i zniewolonego konieczną potrzebą do wyzysku swych parafian.

Niedostatek inwentarza roboczego oraz bydła, potrzebnego choćby dla dostarczenia odpowiedniej ilości nawozu, — (zarząd dóbr kameralnych w Galicyi posiadał zaledwo 2.099 sztuk bydła rogatego) — zaniedbanie uprawy roślin pastewnych i zwyczaju karmienia bydła suchą paszą, sprawiały, iż wszelkie marzenia o podniesieniu rolnictwa krajowego uważać należało za chimerę, podobnie jak u szlachetnienie rasy krajowego bydła. Dlatego też Galicya, produkująca tak znaczną ilość zboża, nie mogła dostarczyć swej stolicy dostatecznej ilości bydła opasowego, które musiano sprowadzać z Mołdawii, podczas gdy zboże i bydło w kraju zakupowali żydzi za marną cenę.

Od wsi przechodząc do miasteczek stanisławowskiego cyrkułu, opowiada nam autor o Niżniowie, założonym przez księcia Jabło-

nowskiego a osiadłym głównie przez żydów. W Bohorodczanach zajął go klasztor Dominikański. Cechy tamtejszy: szewski, kowalski, tkacki, posiadały przywileje nadane im w r. 1753 przez kasztelana Kossakowskiego, lecz cechmistrze nie umieli czytać tych dokumentów. Szewcy bohorodczańscy sporządzali buty chłopskie, które sprzedawali następnie na jarmarkach w Obertynie, w Stanisławowie, i w innych miasteczkach, zaś tkacze pozbywali wyrabiane przez nich płótno po dwadzieścia krajcarów za arszyn, ($1^1/_2$ łokcia w.) Mimoto uskarzali się na brak odbytu. Do starszych w kraju miasteczek zaliczała się Nadwórna, gdzie poszczególne cechy szczyciły się również nadaniami dawnych tego miasteczka dziedziców, datującemi się z pierwszej połowy ośmnastego wieku. Było tam do czterdziestu tkaczów, wyrabiających grube płótno. Prócz kuśnierzy i szewców, pozbywających swe wyroby częścią na miejscowych targach, częścią też ciągnących z nimi na jarmarki do Stanisławowa, Otynii i Słotwiny, wiedli żydzi tamtejsi ożywiony handel wszystkimi produktami krajowymi w Galicyi i w górnych Węgrzech. Handlowali wszystkiem, począwszy od zboża a skończywszy na wyrobach żelaznych.

Z kolei opisuje nam autor fizyonomię samego Stanisławowa, w którym oprócz samego kościoła, podobały mu się szczególniej dworki z ogrodami na przedmieściu, pobudowane przez urzędników tamtejszego cyrkułu i *fori nobilii.* Restauracyę w mieście urzymywała holenderska dama w pewnym wieku. Siedziała za bufetem w żółtej, jedwabnej sukni, ufryzowana, z miną wielce zasmuconą po stracie dopieroco zgasłego męża. Pocieszał ją oficer od Wallonów. Po dobrym obiedzie, spożytym w towarzystwie oficerów konsystującego tamże pułku Beaulieu, udał się Rohrer, do jedynej w mieście kawiarni, utrzymywanej przez czeszkę z wielką schludnością.

Po tak sumarycznej relacyi o grodzie Rewery znajdujemy sie z naszym autorem w Haliczu, gdzte głównym przedmiotem jego ciekawości byli Karaici, których rabina spotkał na ulicy. Żulim Zachariewicz zwał się ów naczelnik sekty, człek jeszcze nie stary, lecz ułomny, skutkiem czego wydawał się nad wiek swój sędziwym. Ubrany był w długą, niebieską bekieszę, okładaną czarnym barankiem; na głowie miał konfederatkę a w ręku długą laskę. Rozmawiał z nim Rohrer po polsku, dopytując się o znaczenie obyczaju sekciarzy, unikających widoku śmierci, nawet swych najbliższych Karaita będący mimowolnie świadkiem zgonu którego z swych współwyznawców, spieszy co rychlej do Dniestru, by zanurzyć się

wraz z głową w jego nurtach. Toż samo czynią kobiety dla zmycia z siebie rzekomej skazy, wynikającej z dotknięcia nieboszczyka. Ale na wymowne wywody Rohrera, dowodzącego, że zwyczaj ten jest prawdopodobnie powodem, iż sekta tak szczupłą ilość liczy wyznawców, odpowiedział rabbi z niezachwianym spokojem: Bóg tego chce a z Nim spierać się nie podobna.

Odwiedziwszy okopisko i synagogę Karaitów, pożegnał nasz podróżnik Zacharjewicza, otrzymawszy od niego na drogę błogosławieństwo, ale za powrotem do gospody wysłuchać musiał zjadliwej krytyki, z jaką jeden z uczonych, halickich żydów wystąpił przeciw Karaitom. Szydził ów mędrzec, talmudysta z prostoty obrzędów karaickich, zarzucając sekciarzom, że nie są ani chrześcianami, ani też żydami, jakkolwiek obchodzą sabat. W owych czasach corocznie zjeżdżał z Krymu jeden z Karaitów do Halicza, by zaopatrzyć gminę tamtejszą w księgi święte, zaś sami sekciarze utrzymywali, że przybyli wraz z Tatarami do Polski, gdzie też osiedli otrzymawszy od królów znaczne przywileje. Spisując powyższe wrażenie w karczmie przy świetle łojowej świeczki, dowiedział się Rohrer od swego gospodarza, że jest to jedyna świeca w całem mieście, gdyż dopiero nazajutrz miano znów wylewać świece, szabasówki. Wobec smutnej perspektywy przepędzenia długiego wieczoru po ciemku a co najwyżej przy świetle łuczywa, zastanawia się nasz autor nad dziwnym zaiste ubóstwem w świece i w mydło kraju, który tak jak Galicya opływał w wosk i w łój. Zakupowano wówczas w Galicyi corocznie rosyjskiego mydła za 40.000 złotych a dobre świece drożej kosztowały we Lwowie, aniżeli w Wiedniu.

W liście następnym, pisanym z Bóbrki, dowiadujemy się o robotach rządowych, podjętych celem ułatwienia spławności Dniestru. Odbywały się wówczas próby niwelacyi terenu pod dozorem starosty zaleszczyckiego, barona von Linkena, który właśnie podczas pobytu autora w Haliczu, przybył tamże na osobno w tym celu zbudowanym okręcie. Robotami przedwstępnemi zajmowało się czterech inżynierów, którzy w ciągu trzech lat obiecywali doprowadzić dzieło to do skutku. Żywa fantazya Rohrera pozwalała mu już widzieć zboże galicyjskie, spławiane do Stambułu i do portów morza Śródziemnego. Kazała mu się kłopotać z powodu braku konzula austryackiego w Odessie ale rzeczywistość nie ziściła dotychczas projektu tyle pożądanego dla handlu galicyjskiego.

Od żeglugi na Dniestrze skok do bartnictwa krajowego jest nieco za śmiały, ale u naszego autora obdarzonego widocznie wielką ruchliwością obserwacyjnego zmysłu nie jest on nadzwyczajnością.

Widząc w obwodzie brzeżańskim ogromne łany hreczki, starał się koniecznie dowiedzieć, o ile chów pszczół rozwinął się w tej okolicy. Niestety, nie dostarczono mu żadnych dat w tej mierze. Powraca więc do opisu Bóbrki. Bóbrka sprawiła na nim wrażenie żydowskiego miasteczka, w którem obok zamożnych Izraelitów wegetowało ubogie mieszczaństwo. W gronie tegoż znalazło się do stu tkaczów wyzyskiwanych straszliwie przez żydów. Właściciel zajazdu, w którym zatrzymał się Rohrer, powrócił właśnie z Gdańska, gdzie sprzedał dwa tysiące sztuk płótna workowego, wyrobionego w Bóbrce. Przypuściwszy, że tylko 1 zł. 30 krajcarów zarobił przedsiębiorczy żydek na każdej sztuce, łatwo się obliczy, że operacya ta przyniosła mu na czysto trzy tysiące złotych dochodu.

I znów od tkactwa zwraca się nasz autor do kultury roślin pastewnych i drzew owocowych w cyrkule brzeżańskim, gdzie znajomy jego, zarządca dóbr kameralnych, (dziś g. k. metropolii lwowskiej). Uniowa, niejaki Haüsler pomyślne czynił doświadczenia z uprawą koniczyny a zarazem znalazł skuteczny sposób, by zmusić włościan do szczepienia szlachetnych gatunków owoców na leśnych dziczkach. Oto parobkom i dziewkom, chcącym się pobrać, nie wydawał on tak długo pozwolenia na małżeństwo, dopóki każde z nich nie zasadziło dziesięć szczepów w swym ogrodzie. Podobnemu rygorowi podlegali też wdowcy i wdowy, po raz wtóry wstępujący w związki małżeńskie, więc też niebawem kultura drzew owocowych w dobrach Uniowskich nader okazałe przybrała rozmiary. Tenże sam Haüsler czynił doświadczenia z uprawą krokoszu i buraków. Z buraków, przychodzi nasz autor do cykoryi, zarastającej w stanie dzikim całe łany między Rawą a Tomaszowem. Ludność miejscowa uważała cykoryę za chwast uporczywy, nie wiedząc o tem, że plantatorowie cykoryi w Brunswiku zarabiali corocznie na tym artykule 34.200 talarów. Rozprawy swe na temat rolnictwa przemysłowego zamyka nasz autor wzmianką o plantacyach reumbarbarum a mianowicie o świeżo założonej w Jaktorowie tudzież o dawniej istniejącej w Mierzwicy. Ta ostatnia plantacya na czteromorgowym obszarze liczyła 40.442 sztuk, z których 18.000 w kwietniu i takąż ilość w jesieni t. r. miano przesadzić. Pięćset sztuk siedmioletnich korzeni nadawało się już do preparowania, gdyż starsze gniły w ziemi. Plantacyi mierzwickiej nie rokował Rohrer powodzenia na przyszłość i z powodu wilgotnego terenu i zbytniej przewiewności. Lepiej zadowiadały się, jego zdaniem, plantacye w Jaktorowie i w Mokratynie.

Cztery następne listy poświęcił nasz autor opisowi Lwowa. Przedewszystkiem uderza on na knajpiarstwo Lwowian, którzy najchętniej przebywają w kawiarniach i w cukierniach, choć w domu mogliby mieć napoje i lepsze i tańsze. Tem też się tłómaczy, że w krótkim stosunkowo czasie dwaj kawiarze: Polak, (Lewakowski?), i Niemiec, (Wolf?), tudzież cukiernik Włoch, (Andreolli?), nabyli na własność kamienice w rynku. Istniało też w rynku kasyno w domu lekarza Spawentego, przybyłego tutaj z Trydentu, którego syn również się poświęcił praktyce lekarskiej. Wogóle zawód lekarski opłacał się w Galicyi. Przybyli bez grosza z Niemiec medycy dorabiali się rychło do kilkudziesięciu tysięcy złotych majątku. Nie mogli o tem i marzyć krzepiący ducha, nie ciało. Dzieło w polskim języku drukowane było nadzwyczajną rzadkością. Jedynie podczas kontraktów, trwających od połowy stycznia do końca lutego, rozbijali na rynku swe budy polscy księgarze, którzy otuleni w korzuchy sprzedawali stare kroniki i dzieła teologicznej treści, drukowane dawniej w Zamościu, w Lublinie i w Krakowie. Autorowi znane były tylko dwie drukarnie: polska w Zamościu i niemiecka t. z. Pillerowska we Lwowie. Piller wykonywał przeważnie druki rządowe i posiadał pod Szkłem własną papiernię, która wszakże dostarczała jedynie papieru do druku. Papier do pisania sprowadzała Galicya z Morawii. Wiele papieru drukowego spotrzebowały lwowwskie drukarnie żydowskie, które sprzedawały wytłaczane w nich księgi liturgiczne do Rosyi, Prus Południowych i Węgier. O stanie literatury galicyjskiej nie chce Rohrer zdawać szczegółowej relacyi, twierdząc, iż niema zamiaru rozdrażniania przeciwko sobie grona tak zwanych uczonych. Poprzestaje więc na ogólnikowej uwadze tej treści, że we Lwowie podobnie jak w innych miastach monarchii jest wielu ludzi uczonych, którzy wszakże ze względów przezorności nie chcą uchodzić za autorów. „Doświadczenie poucza nas niestety, że miernota, nie dążąca bynajmniej do czegoś wyższego o wiele łatwiej radzi sobie w świecie i że najłacniej zyskuje się nieprzyjaciół, pisząc lub mówiąc prawdę“ — słowa autora.

Zarazem ubolewa Rohrer, z powodu, iż ogół publiczności tak mało korzysta z biblioteki uniwersyteckiej, obficie zaopatrzonej w dzieła przyrodnicze. Jeden tylko Hacquet pracował z tym samym to w młodszych latach zapałem na niwie piśmiennictwa. Uczony ten jednak prowadził życie tak odosobnione, iż nawet z autorem naszym, swym kolegą po piórze, mieszkającym w najbliższem jego sąsiedztwie, żadnych nie utrzymywał stosunków. Na to odosobnienie pracowitego badacza wpłynęła też zapewne okoliczność, iż ożenił

się z młodą Polką, której osobiste przymioty kazały mu zapomnieć o złośliwych wycieczkach, jakie wymierzał ongi w swych dziełach przeciw instytucyi małżeństwa. Oprócz Hacqueta zajmowali się umiejętnością lekarze: Hiltenbrand, Knec, Krausnecker, Masoch, posiadający zasobne zbiory medyczne. Niektórzy sprowadzili sobie już z Wiednia „galwaniczne aparaty“ i szczepili ospę. Pod względem artystycznym i estetycznym najzasobniejszą była biblioteka Rzewuskiego, stojąca otworem dla każdego cudzoziemca.

Zbliżająca się pora kontraktowa — czytamy w liście z dnia 28. grudnia — ściąga do miasta tysiące chrześcian i żydów. Od powodzenia kontraktów zależały losy całego roku dla kupców i rękodzielników. Kontraktowicze w białych jedwabnych pończochach, i w trzewikach pędzili mimo mrozu na bale, urządzane w kasynie Höchta[1]). Wszystkie artykuły modne znajdywały pokup w owej porze. Szlachta najchętniej odwiedzała sklepy: Klotza, Koberweina, braci Bürgerów, zwanych popularnie Szwajcarami, Nagaszewskiego i Machowskiego tudzież sklepy żydowskie: Zudyka, Bałabana i Götzla. Tych ośmiu kupców zaopatrywało w towary modne nietylko Galicyę wschodnią ale i Kraje Zabrane. Na balach dziecinnych, urządzanych przez tancmistrza, Kurtza, Alzatczyka, spotkać było można obok młodzieży galicyjskiej także przedstawicieli szlacheckich rodzin z Prus południowych i z Krasnorosyi, odbierających tu wykształcenie. Bawiono się z roku na rok huczniej, ale coraz to mniej małżeństw kojarzyło się w owym czasie. Szlachta nie tańczyła na redutach. Chodziła na nie, aby widzieć i być widzianą. W sali przesuwały się kostyumy najrozmaitszych wieków i narodów, zaś złośliwi utrzymywali, że brzydkie panie przebierały się najchętniej za murzynki. Lody i włoskie przysmaki roznoszono po sali podobnie jak w Wiedniu. Ton towarzyski zebrania był o wiele swobodniejszy we Lwowie, aniżeli w Warszawie, gdzie Polacy stronili od Prusaków. W restauracyi Jerzego Hofmana, pod „trzema hakami“ najpierwszej w kraju, codziennie po przedstawieniu gromadziło się towarzystwo, złożone zarówno z Polaków, jak z Niemców. Przy Erlauerze i maślaczu rozprawiano w obu językach. Panie polskie jednak niechętnie mówiły po niemiecku, co nie było rzeczą dziwną, gdy nawet rodowite Niemki chętniej posługiwały się francuszczyzną. W lokalach publicznych przeważała niemczyzna. Nawet Polak Lewakowski, kawiarz, przemawiał ze względu na swych gości tym

[1]) Kasyno Höchta istniało w miejscu, gdzie dziś wznosi się fronton gmachu sejmowego.

językiem [1]). W salach redutowych, codziennie od godziny szóstej do dziewiątej wieczorem odbywało się tak zwane „Kasyno interesowe“, pod nadzorem urzędnika policyjnego i oficera. Wstęp na salę kosztował piętnaście krajcarów. Gromadziła się tu nietylko szlachta galicyjska, ale przybywali też ziemianie z stron dalekich, z pod Berdyczowa i Kijowa. Co krok widać było ściskających się kordyalnie szlachciców, słychać było gorące dysputy polskich adwokatów. Omawiano sprawy w dużej sali, zaś w pobocznym mniejszym pokoju zapijano ponczyk.

Gwar ten wesoły milknął we Lwowie z chwilą ustania kontraktów. Ziemiaństwo powracało do domu z zajmowanych chwilowo kwater, wynajmowanych na parę tygodni za cenę 50—60 dukatów od rodzin urzędniczych, które tymczasem mieściły się, jak mogły, w tylnych komórkach, odstępując frontowe pokoje kontraktowym gościom. W ten tylko sposób mogli ci ludzie opłacać za mieszkania wysokie czynsze, współzawodniczące z cenami wiedeńskiemi. Większość wszakże kontraktowiczów zwłaszcza tych, którzy przybywali bez kobiet, mieściła się w żydowskich zajazdach, ciągnących się między gmachem jeneralnej komendy [2]) a gościńcem janowskim. Co prawda pokoje w tych zajazdach nie grzeszyły wykwintnem urządzeniem. Prócz tapczana, stołu i stołka, nic więcej tam nie znalazłeś. Łóżka z pościelą istniały jedynie w hotelu Höchta, bardzo drogim. W zajazdach żydowskich nie było też mowy o miednicy, o szczotkach lub grzebieniu. Zabrudzony myszures spełniał wszystkie posługi a myto się pod studnią w dziedzińcu.

Zima 1803 roku była nader ostrą. Widać to z listu dziesiątego, pisanego w stczniu t. r. W samym cyrkule lwowskim zmarzło na śmierć 32 osoby, których zresztą nie umiał nikt ratować. Niedostatek opału dawał się najsrożej uczuwać biedniejszej ludności miejskiej, zdanej na łaskę i niełaskę żydów. W okolicy Lwowa lasy już były bardzo przetrzebione zaś w browarach i w gorzelniach marnotrawiono bez potrzeby bardzo wiele materyału opałowego. Zresztą o racyonalnej gospodarce lasowej nie mogło być mowy choćby dlatego, że w całym kraju nie było ani jednego zakładu, kształcącego przyszłych leśników, zaś właściciele lasów gospodarzyli

---

[1]) Jakób Lewakowski, kawiarz i obywatel miasta Lwowa, zmarły dnia 14. listopada 1839 roku.

[2]) Tak zwana komenda jeneralna mieściła się do roku 1839 w nabytej przez miasto od Preschla kamienicy, w której później przez długie lata istniał hotel angielski. Dziś w tem miejscu wznosi się gmach gal. kasy oszczędności.

w nich według własnego upodobania, nie troszcząc się wcale o świeże zapusty. Rząd starał się przyjść w pomoc biednym, pozbawionym podczas mrozów dachu nad głową, zakładając ogrzewalnie na przedmieściach Lwowa, ale liczba tych izb była zupełnie niewystarczającą. To też wielu biedaków, chcąc się ogrzać, przepijało grosz ostatni w szynkach lub żebrało po ulicach. O rozdawnictwie zupy rumfordzkiej lub o jakiemkolwiek ulżeniu nędzy cierpiącej ludzkości, nie pomyślano wcale.

Wśród trzaskających mrozów przypomina sobie nasz autor o przechadzkach, jakie zwykł był latem odbywać do prochowni pod Lonszanówką, (dawny kościółek Świętego Wojciecha), do Lonszanówki [1]), lub do arsenału Sieniawskich [2]), zkąd roztaczał się prześliczny widok na całe miasto. Świat elegancki zwykł był używać przechadzki w przepysznych alejach Jabłonowskich ogrodu, zeszpeconego jedynie zaniedbaniem przyległego pałacu, którego okna zabite deskami, smutny sprawiały widok [3]). Sporo gości pociągał ogród Pojezuicki, wycięty do szczętu i świeżo zasadzony drzewami przez Höchta, który tam podawał wyborną kawę. Najulubieńszem wszakże miejscem przechadzki dla pań były wały, (dziś zwane hetmańskiemi), utrzymywane starannie zwłaszcza od strony gmachu gubernialnego [4]). Wśród drzew pobudowano tam szalety cukiernicze, w których sprzedawano latem lody. Od wałów ku ulicom krakowskiej i janowskiej ciągnęły się domy dwu i trzy piątrowe, należące w przeważnej części do żydów, z wyjątkiem jednego, jedynego, zbudowanego pzzez niemieckiego kiełbaśnika.

Przyjacielem żydów nie był Rohrer. Widać to z jego wywodów, skierowanych w tym ustępie książki przeciw rozlicznym zabobonom żydowskim. Potępia nasz autor ich kilkogodzinne wysiadywanie w synagodze w porze porannej, najbardziej odpowiedniej do pracy, sznury sabatowe, porozwieszane w miasteczkach prowincyonalnych, bosyny, odprawiane po zmarłych, wreszcie zwyczaj pielgżymek, odbywanych w dniu pokutnym do miejsca wiecznego spoczynku rodziców — i domaga się interwencyi państwowej w tych wypadkach, tyle szkodliwych dla samejże ludności żydowskiej.

---

[1]) Lonszanówka znaną dziś jest ogólniej pod nazwą Kaiserwaldu, na pamiątkę bytności Cesarza Józefa II. w czerwcu 1780 r.

[2]) Tak zwany pałac Baworowskich przy ulicy Kornela Ujejskiego.

[3]) Pałac Jabłonowskich nabył rząd na własność w r. 1832 i przerobił na koszary. Ogród wycięto i obrócono na plac ćwiczeń wojskowych.

[4]) Dziś siedziba krajowej dyrekcyi skarbu.

Na tem urywa nasz autor opowiadanie swe o Lwowie, przenosząc się w marcu 1803 roku na chwilowy pobyt do Sambora. Zanim wszakże dowiemy się cośkolwiek o tej miejscowości, musimy wysłuchać żalów naszego podróżnika z powodu złych garnków jakie znajdowały się po karczmach. Jedyna fabryka fajansu istniała w Tomaszowie a niezłego naczynia glinianego dostarczał też Wojniłów. Napomknąwszy jeszcze w kilku słowach o hucie żelaznej w Smolnej oraz o żupach solnych w Drohobyczu i okolicy, przechodzi wreszcie Rohrer do opisu przemysłu tkackiego w Samborze. Tkaczów było w tem mieście sześćdziesięciu, w tej liczbie dziesięciu przedniejszych, wyłącznie Niemców, posiadających po dwa warsztaty. Każdy z przedniejszych majstrów wyrabiał tygodniowo 72 serwety. Gdyby postarano się o lepszy blich i o maszyny do apretury, Sambor mógłby się stać łatno drugim Warnsdorfem. Ale tkacze samborscy byli zbyt ubodzy, by zdobyć się na zakupno podobnych maszyn, zaś ziemianie galicyjscy stronili od wszelkiego przemysłu. Przypuszczalna liczba tkaczów w cyrkule samborskim wynosiła 500 głów. Gdyby każdy z nich utkał rocznie tylko 30 sztuk płótna, każda po 30 łokci, to wyprodukowana przez nich ilość płótna doszłaby do pokaźnej cyfry 15.000 sztuk rocznie. Suma ta była wielce prawdopodobną, gdyż tkactwem zajmował się w tych stronach niemal każdy wieśniak. W obec faktu jednak, iż w produkcyi owej ludu brakło wszelkiego planu, wyzyskiwali tkaczów włościańskich przekupnie żydowscy, którzy zakupując biało i czerwono prążkowane drelichy w Samborskiem, sprzedawali je w okolicy Brodów na fartuchy z znacznym oczywiście zyskiem. Wobec powszechnego ubóstwa tkaczów, nie mogło być mowy o jakichkolwiek ulepszeniach ich produkcyi a pomocnej ręki, którąby dzwignęła przemysł krajowy — brakło...

W cyrkule samborskim Chyrów odznaczał się znaczną produkcyą pończoch, zaś dobra kameralne, Łomna, mimo wysokiego swego położenia dostarczały bardzo dobrego lnu, cieszącego się ustaloną sławą na okolicznych jarmarkach. Wsie, leżące w nadgranicznym pasie węgierskim, były siedzibą owczarzy, pasących powierzane im trzody na stokach gór, w tak zwanych koszarach, co przyczyniało się niepomiernie do użyźnienia gruntów w tych stronach, gdzie dostarczenie nawozu było rzeczą niezmiernie trudną. W okolicach Łomny, zrobił nasz podróżnik wielce ciekawe odkrycie istniejącego wśród ludu zwyczaju pożycia małżeńskiego — we troje. Nie myślimy stawać po obronie patryarchalnych cnót naszego ludu,

ale tym razem stanowczo twierdzić musimy, że Rohrer, lubo policysta z zawodu, padł w tym wypadku ofiarą złośliwej mistyfikacyi.

Bezpośrednio po powrocie z wycieczki w Samborskie, wybrał się nasz autor w podróż do Wiednia. Jechał przeto na Gródek, Jarosław, Przeworsk, Kraków, poświęcając każdej z tej miejscowości kilka słów wzmianki. Refleksyi Rohrera niepodobna ująć w pewny system. Były one bezładne, powstawały pod wpływem drobnych przygód podróży. I tak postronki, rwące się co chwila w zaprzęgu, nasuwają mu pod pióro uwagę, że Lwów, stolica kraju, posiadał zaledwo dwóch powroźników, Niemców, choć galicyjskie konopie znachodziło łatwy odbyt nawet w Wiedniu. Konopie najlepiej udawało się w cyrkułach: złoczowskim, przemyskim, lwowskim, rzeszowskim i brzeżańskim, a i w okolicach Gródka sadzone konopie nie ustępowało pod względem dobroci bolońskiemu. Powroźnictwo i tkanie sieci rybackich byłoby przeto wielce wskazanym, ubocznym zarobkiem dla ludności galicyjskiej, w czem inicyatywa należała z naturalnego porządku rzeczy do szlachty i zamożniejszego ziemiaństwa, któreby sprowadzły z portowych miast niemieckich zawodowych instruktorów.

W wschodnich cyrkułach galicyjskich produkowano znaczną ilość płótna workowego. Na 40.260 sztuk tego artykułu, wyprawionego w roku 1802 z Gdańska do Anglii, Francyi, Holandyi, Portugalii i Hiszpanii, przynajmniej ośm dziesiątych części całego ładunku przypadało na Galicyę, gdzie je żydzi wykupili. Zarobek ten byłby o wiele większy, gdyby postarano się o udoskonalenie wyrobu, oraz, gdyby próbowano wyprodukowany towar spławiać nietylko Wisłą, ale i Dniestrem.

W Złoczowskim cyrkule wyrabiano przeważnie płótno żaglowe. Żydzi spławiali niejednokrotnie do Gdańska po 1000 sztuk tego płótna, każda po 25. arszynów długości. Początek był zatem zrobiony, rąk roboczych w kraju nie brakło, lecz zbywało Galicyi na poczuciu wspólnego działania, inicyatywie, któreby wyrwały setki i tysiące pracowników z niewoli żydowskich przekupniów, wyzyskujących ich haniebnie. „Spi tu jeszcze duch obywatelski“ — słowa Rohrera — „konieczny do wielkich przedsiębiorstw. Zamożny ziemianin nie umie jeszcze należycie zużytkować swej gotowizny i roboty poddanego, ktore są do jego dyspozycyi“ . . .

Jarosław zaliczył nasz autor do bardziej przemysłowych miejscowości w Galicyi. Były tam dwa blichy woskowe. Jeden własność Slavika i Klingsa, drugi Wapińskiego. Oba przerabiały rocznie do czterech tysięcy kamieni wosku na świece. Istniała też w Jaro-

sławiu fabryka sukna, dostarczająca pośledniejszych gatunków na mundury wojskowe. Prócz niej jedna tylko jedyna fabryka sukna w Załościach dostarczała lepszych wyrobów. W ogóle w cyrkule przemyskim czynnych było do dwóch tysięcy warsztatów tkackich, lecz brak im było jednostajności w wymiarach i w sposobie fabrykacyi, skutkiem spekulacya tymi wyrobami na wielką skalę była znacznie utrudnioną. Mieszkańcy Kańczugi trudnili się przeważnie druciarstwem, zapuszczając się daleko na wschód aż do Mołdawii. Głównem wszakże zajęciem mieszkańców przemyskiego i rzeszowskiego cyrkułu było obrabianie drzewa materyałowego, oraz spławianie takowego Sanem i Wisłą do Gdańska. Ludność wiejska z okolic Jarosławia, Kańczugi, Łańcuta i Przeworska poświęcała się flisactwu, znajdując stały zarobek przy spławianiu pszenicy, drzewa, płótna i potażu. Jeden tylko hurtownik, Kellermann, wysełał corocznie 200.000 korcy pszenicy do Gdańska, utrzymując w rozmaitych kraju okolicach agentów, którzy kupowali dla niego zboże. Flisak, wędrujący kilkakrotnie w ciągu roku do Gdańska, zarabiał od 10 do 20 dukatów. Jadąc na spławie, żył dobrze, gdyż dwa razy dziennie dostawał słoninę i wódkę. Zato z powrotem do domu, idąc pieszo, obywali się flisacy byle czem. Słoniny dostarczał całej Galicyi głównie Zbaraż, gdzie wszyscy mieszkańcy byli albo słoniniarzami, albo handlarzami nierogacizny. Obok spławów obrabianie budulca okrętowego dawało zajęcie ludności obwodów: przemyskiego, złoczowskiego, zamojskiego, sandomierskiego i bialskiego. Drzewo materyałowe, spławiane do Gdańska, przedstawiały deski i dyle, a wraz z niemi wysełano też dębowe klepki. Zarówno handel zbożem, jak płótnem i drzewem, zagarnęli w swe ręce żydzi. Największymi hurtownikami drzewa byli: Józef Mendel w Kazimierzu i Mojżesz Pinkes we Lwowie, prócz innych kupcow starozakonnych, przebywających w Józefowie i w Krystynopolu. Wyłącznie drzewem masztowem kupczył Izak Hersch z Brodów, który zakupował od właścicieli lasów każde ścięte przez niego drzewo po dukacie za sztukę. Ścięty materyał oglądali dopiero marynarze, przybywający z Rygi, i za wybrane przez nich sztuki płacili od szesnastu do dwudziestu dukatów, licząc w tej cenie koszta dostawy zakupionego drzewa do Beresteczka.

W okolicy Jarosławia zwróciło uwagę naszego turysty mnóstwo bocianów, o których towarzysz podróży Rohrera, lekarz z Nowego Sącza, opowiedział mu następującą historyę: Pewnemu bocianowi sprzykrzyła się stara, kulawa połowica. Wypędził ją z gniazda i wziął sobie inną, młodszą towarzyszkę życia. Ale postępek ten nie

uszedł bezkarnie płochej awanturnicy. Wszystkie bociany z całej okolicy napadły na gniazdo wiarołomcy, wyrzuciły z niego nową gospodynię i zadzióbawszy ją na śmierć, wprowadziły ponownie prawowitą małżonkę do jej siedziby. Bocianisko, chcąc nie chcąc, musiało powrócić do swej pierwszej miłości.

Opowiadający powyższą historyę, był jednym z pierwszych medyków, który przybywszy z Morawii, osiedlił się w Jarosławiu. Przedtem praktykę lekarską w tem mieście wykonywali Dominikanie, zaś Rusini w razie choroby udawali się do swych parochów, którzy nad głową chorego odczytywali ewangelie. Gdy rząd sprowadził do kraju lekarzy, poczęli ich wzywać zrazu dziedzice, a przy tej sposobności i lud wiejski zasięgał od czasu do czasu rady medyka, darząc go wiktuałami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Dr. Antoni Rehman: *Karpaty opisane pod względem fizyczno-geograficznym.* (Z trzema mapkami). — We Lwowie r. 1895.

Na półkach księgarskich ukazała się niedawno książka, która samym tytułem już wzbudza zainteresowanie. Brzmi on: »Ziemie dawnej Polski i sąsiednich krajów słowiańskich — opisane pod względem fizyczno-geograficznym«. — Część pierwsza: »Karpaty«. Jestto książka znacznych rozmiarów, bo zajmuje 657 stron druku. Autorem jest znany geograf, prof. Antoni Rehman.

Nauka geografii — donosi u wstępu autor — rozwijała się u nas bardzo powoli, a całością geografii ziem polskich zajmował się na seryo tylko Wiucenty Pol w czasie swej profesury na uniwersytecie w Krakowie. Obecnie dopiero ogólne zainteresowanie się krajem rodzinnym popchnęło naprzód geograficzną znajomość tegoż kraju. Zaczęto wydawać »Słownik geograficzny« — zawiązano »Towarzystwo tatrzańskie«, wszystko to jednak dopiero pierwsze kroki do zbudowania całokształtu geograficznego »Ziem dawnej Polski«. Prof. Rehman postanowił dać nam taki całokształt; książka, którą mamy przed sobą, jest I. tomem tego zamierzonego dzieła. Czy cel pracy autora korzystny dla społeczeństwa? tego dowodzić chyba nie potrzeba! Dwa kierunki umiejętne panują w dziedzinie geografii. Ritter opisuje ziemię przedewszystkiem jako mieszkanie człowieka; uczniowie jego chcą cały rozwój społeczny tłómaczyć waruukami terenu, gleby, klimatu i t. p. Prof. Rehman przyznaje wiele zasług temu kierunkowi, ale słusznie zarzuca mu apriorystyczność, teleologię i ograniczenie wielkiego materyału badań geograficznych do geografii głównie politycznej. Humboldt pojmuje geografię jako naukę o ziemi, jednostce wchodzącej w skład wszechświata, i to jest kierunek, którego trzyma się prof. Rehman, kierunek — jak widzimy — głównie przyrodniczy, kładzący największą wagę na zjawisba fizyczno-geograficzne. Naturalnie, fizyczno-geograficzny opis ziem dawnej Polski

nie może się zacieśnić w granicach politycznych tych ziem, dlatego dostaniemy od autora geografię ziem polskich i innych — geograficznie z nimi złączonych — krajów słowiańskich. Początkiem — wyraźną granicą przyrodniczą tych ziem, są Karpaty, stąd też rozpoczyna prof. Rehman dzieło swe od tego górotworu.

Na północy Europy rozłożył się stary górotwór skandynawski i brytyjski, po środku wielki system falistych nizin, a na nich ziemie dawnej Polski, Rusi, Litwy i dzisiejszej Rosyi. Od południa ziemie te dochodzą do Karpat, te zaś stanowią wschodni brzeg całej górzystej Europy południowej. Górotwór karpacki obejmuje 187.000 □ km. i dzieli się geograficznie: na część zachodnią i wschodnią, z których każda znów rozpada się na łańcuchy, poszczególne pasma i gniazda górskie.

W zachodnich Karpatach mamy pięć głównych łańcuchów; w wschodnich cztery, które zamykają między sobą wyżynę siedmiogrodzką. Dawny podział Karpat na 3 części nie wytrzymuje krytyki, to też prof. Rehman odrzuca go stanowczo i książkę swą dzieli na dwie nierówne połowy, z których pierwsza jest opisem zachodnich — druga zaś wschodnich Karpat.

Opis Karpat zachodnich rozpoczyna autor od Tatr — na nie największy nacisk kładzie i napisał o nich także osobną monografię, p. t. »Tatry pod względem fizyczno-geograficznym«. Obok materyału, zaczerpniętego z dzieł, posługuje się prof. Rehman w geografii Tatr bardzo wielu własnemi spostrzeżeniami. Słusznie poświęcił autor tyle pracy i miejsca Tatrom. Wznoszą się one najwyżej wśród Karpat, jakby wyspa wśród dolin, której najwyższe wzniesienia dosięgają granicy wiecznego śniegu. Geologicznie jestto ląd stary granitów, gnejsów z łupków krysztalicznych, na którym wyżłobiła niezatarte ślady epoka lodowcowa i wulkaniczna. Hydrograficznie wchodzą Tatry w skład głównego europejskiego działu wód, klimat z swymi wiatrami polnymi, flora, fauna, człowiek mają tutaj wybitne cechy charakterystyczne. Coraz większa liczba turystów zwiedza te góry, a napływ ich oświeca i podnosi materyalnie ubogich górali.

Tatry i inne łańcuchy górotworu karpackiego opisuje prof. Rehman w ściśle umiejętnym porządku, t. j. kreśli najpierw położenie danego pasma obok sąsiednich, później grzbiet główny i odnóża, ogólną konfiguracyę terenu, układ geologiczny, klimat, wreszcie florę i człowieka, o ile ten ostatni zależny jest od warunków geograficznych. Wszędzie ponadto zwraca autor baczną uwagę na wpływ terenu karpackiego, na rozwój stosunków ekonomicznych górali, dlatego obok opisów fizyczno-geograficznych czytamy ciągle w książce prof. Rehmana ciekawe opisy rolnictwa, wypasu trzód, górnictwa i winnic w Karpatach.

Zawiła konfiguracya geograficzna Karpat zachodnich nastręczała autorowi wiele więcej pracy i więcej też miejsca zajęła w jego książce; mniej powikłany teren fizyczno-geograficzny Karpat wschodnich dał się ująć w ciaśniejsze ramy. Stąd to pochodzi nieproporcyonalność między opisem Karpat zachodnich i wschodnich; jest ona jednak bez kwestyi usprawiedliwioną.

Słusznie uskarża się prof. Rehman na to, że u nas nie jest jeszcze nstaloną umiejętnie terminologia geograficzna; autor uzupełnia ją i prostuje, co również jest znaczną zasługą całej jego pracy.

Ułatwiają korzystanie książki prof. Rehmana trzy bardzo dobrze i przejrzyście wykonane mapki, do niej dodane. Mamy mianowicie mapkę całych Karpat zachodnich, wschodnich i ponadto dokładną mapkę Tatr.

W szczegóły trudno nam wchodzić; z ogólnego stanowiska uważamy »Karpaty« prof. Rehmana za nader cenny nabytek dla naszej wiedzy i literatury geograficznej. Sądząc po tej książce, można się spodziewać, że i inne tomy geografii »ziem polskich i sąsiednich krajów słowiańskich« dorównają pierwszemu, a wówczas, dzięki autorowi, zrównamy się pod względem znajomości geografi ojczystej z innymi narodami. Dr. K. J. Gorzycki.

N. J. Teodorowicz: *Istoriko-statisticzeskoje opisanije cerkwiej i prichodow Wołynskoj eparchiji, sostawił...* T. T. 3. Poczajów 1888—1890. 1893.

Tytuł książki bardzo obiecujący. Zachęcił mię on do przeczytania pracy Teodorowicza. Zamknąwszy ostatnią kartę, gdy mi przychodzi powiedzieć, czem jest ta praca i jakiej wartości — jestem w niemałym ambarasie. Po za obrębem materyału statystycznego, którego dostarczają bardzo chętnie, za koszta przepisania, konsystorze »prawosławne« — można, nie obrażając autora, śmiało powiedzieć, że w niej nic nie ma ciekawego. Odrobina wiadomości historycznych, podanych przez autora, nie dotyczy prawie nigdy historyi tej lub owej cerkwi, jakby się spodziewać można było z tytułu dzieła, lecz historyi raczej miast i miasteczek Wołynia.

Ze względu właśnie na historyę cerkwi, które nie zawsze były cerkwiami, praca Teodorowicza mogłaby być niezmiernie ciekawą, ale autor z materyałów istniejących a wydanych do historyi cerkwi wschodniej na Rusi, w Wilnie i Kijowie. korzystał skąpo. Ograniczał się przeważnie na suchych wypisach z dokumentów i aktów komisyi wileńskiej i kijowskiej i to o ile rzecz dotyczyła historyi miast i wsi, a tam,

gdzie dawał materyał genealogiczny do rodzin Radziwiłłów, Potockich, Sanguszków i in., nie cytował nawet, skąd ten materyał posiadał. Jedyny prawie autor polski, z którego Teodorowicz z upodobaniem czerpie, jest Stecki.

Historyczna przeto część dzieła, o ile ściąga się to do historyi miast, miasteczek a nawet wsi, wchodzących w skład »Wołynskoj eparchii«, bardzo pobieżna.

Historya cerkwi poszczególnych — jako główny cel autora — jeszcze pobieżniej traktowana. Część ta dzieła wykazała w nim pisarza albo naiwnego, albo świadomie tendencyjnego. Autor notował skrzętnie, ile razy rząd lub gmina zbudowały tę lub ową cerkiew, ale bardzo rzadko wspominał o tem, ile razy unickie cerkwie gwałtem zostały na »prawosławne« przerabiane. Zdawałoby się, z opisu i dzieła Teodorowicza sądząc, że ludność na Wołyniu była zawsze jednolitą pod względem religijnym, że rząd rossyjski był dla niej aniołem opiekuńczym, budującym cerkwie i dbającym o moralne podniesienie tej ludności. O huraganie nawracania na »prawosławije«, o ruinie powszechnej, jaką sprowadziło owo nawracanie, o gwałtownem przerabianiu kościołów katolickich i unickich na »prawosławne", nic nie ma. *Voilà comme on écrit l'histoire!*

Pominąwszy stronę wysoce tendencyjną dzieła i oświetlenie w duchu pojmowania prawdy historycznej przez szkołę rossyjskich historyków przyjętą, dzieło Teodorowicza grzeszy brakiem wiadomości miejscowych, niewciągniętych do żadnych rubryk statystycznych konsystorza, t. j. podań, legend, pamiątek etc., przywiązanych do tej lub owej cerkwi, miejsca lub uroczyska. Poprzednik Teodorowicza na tem polu, Pochilewicz, potrafił dużo materyału zebrać z ust ludzi żyjących i objaśnić go mniej lub więcej zadowalniająco. U Teodorowicza w ogóle historya mętna, a historyi cerkwi nie ma. Malowidła, ikonostasy i t. p. pamiątki nie istnieją dla autora.

A jednak pomimo te wady, książka Teodorowicza posiada wielką zaletę: jest nią przedewszystkiem statystyka uposażeń popów ziemią i używalnościami; następnie dokładny — o ile przypuszczać wolno — spis popów, ich rodzin i stopni pokrewieństwa. Wszystkie powyższe wskazówki bardzo są pożądane dla ukończonych kleryków, którzy czekają »prichodów«. Drogą do tego może być tylko ożenienie się, czyli przystąpienie do uposażonej już rodziny »popa«. W tym względzie »statystyczne« dane zebrane są dokładnie w książce Teodorowicza i mogą klerykom, pragnącym przystąpić do sakramentu małżeństwa co najrychlej dostarczyć pożądanych wskazówek.

Nie ma to wprawdzie nic wspólnego z historyą cerkwi na Wołyniu, ale ma bardzo dużo z praktyczną stroną życia prawosławnych popów. R.

Ouida: *The ugliness of modern life.* — Miesięcznik: »The nineteenth century«, zeszyt styczniowy, Londyn 1896.

Głośna powieściopisarka angielska, Ouida (właściwe jej nazwisko brzmi: Louise de la Ramée; urodzona w Anglii, z ojca Francuza, mieszka od wielu lat we Florencyi, a pisze po angielsku), w zacytowanym powyżej, cieszącym się wielką poczytnością miesięczniku londyńskim, ògłosiła artykuł, który z wielu względów zasługuje na uwagę. Jesteśmy przyzwyczajeni uważać czasy obecne za okres wielkiego rozwoju cywilizacyi, za złoty wiek sztuki i literatury: Ouida tymczasem ze spleenem, godnym Angielki pełnej krwi, wyszukuje we współczesnem życiu wszystko, co jest przykre i brzydkie, przedstawiając to życie w najciemniejszych barwach, jako okres ogólnego zacofania i upadku.

Pieknośé ziemi zamiera, jak organizm trawiony rakiem — zaczyna Ouida. Dzisiaj nawet artyści, którzy żyją wśród wrażeń, wywoływanych pięknością linii, kształtów, stosunków i fantazyi, starają się ideał piękności obniżyć. Na każdej wystawie obrazów widzieć można teraz na sto utworów, 99 brzydkich. Odznaczają się one niejednokrotnie godną podziwienia techniką, zupełnem opanowaniem szczegółów, skrupulatnem wykończeniem, nienagannym rysunkiem; połączenie jednak tych wszystkich przymiotów nie daje wrażenia piękności. I oni bowiem, owi artyści-malarze, tak samo jak poeci, gdyby nawet usunęli się od świata nad samotny brzeg morza, jak Tennyson, nie mogą się usunąć z pod wszechwładzy wpływu, który wywierają na nich czasy dzisiejsze, warunki życia i pojęcia współczesne. To też n. p. współczesność sprawiła, że Carnota przedstawiono na posągu w tak nieestetycznym stroju, jak frak, a tego ofraczonego pana tuli w swych objęciach dziewczyna służebna, która ma przedstawiać Francyę! Podobnych przykładów znalezć zaś można tyle! Mówią one wszystkie, że dawna, czysta i wspaniała sztuka upadła, poziom jej się obniżył, a smak i poczucie piękna zwyrodniało. Widać to zresztą także w codziennym stroju, w modach pań i panów.

Podobnie i z życia domowego zniknęły przedmioty, które posiadały urok tradycyi lub klasycznych kształtów, miejsce ich zajęła tandeta, albo przyrządy praktyczne ale tak szpetne, jak maszyna do szycia i inne. Gdyby pojęcie piękna i estetyki nie było tak zatracone u współczesnego pokolenia, kobiety nigdyby nie odważyły się na jazdę — na bicyklu. To samo widać dzisiaj zresztą na każdym kroku:

w urządzeniu mieszkań, w kształtach nowożytnych budowli, we wszystkiem, w czem się na zewnątrz przebija forma życia lub jego treść. Dawniej życie było o wiele barwniejsze niż dzisiaj. Jak to pięknie wyglądało, gdy Henryk Valois wjeżdżał do Wenecyi, gdy Filip Piękny jechał konno przez lasek Vincennes, gdy Petrarkę w Rzymie wieńczono! Dzisiaj podróżny, najdostojniejszy i najgodniejszy, jest szczęśliwy, jeśli może kupić za jednego penny premię ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków na drogach żelaznych, dająca mu zabezpieczenie życia w wysokości 100 funtów sterlingów! Dzisiaj liczy się wartość życia na pieniądze, lekceważy wskutek tego życie własne i drugich, a w następstwie jest się bardzo łagodnie usposobionym dla morderców.

Piękność fizyczna coraz bardziej się zatraca, poczucie piękności ulega zwyrodnieniu, a dla szpetnych drutów telegraficznych lub telefonicznych psujemy i obalamy najpiękniejsze pomniki przeszłości. Militaryzm, handel i socyalizm składają się na to, aby piękność zniszczyć. Kolektywizm nie znosi barwy. Gdy ziemia zostanie pocięta na równe kawałki, malarz pejzażów nie znajdzie podniety do namalowania obrazu. W miarę jak maszyna z jednej, a chemiczne wytwory w dziedzinie ubrania i pożywienia z drugiej strony coraz większe w życiu wywalczają sobie prawa, ceni się coraz niżej zwierzę domowe, a każdy wynalazek nowy oddala człowieka coraz bardziej od przyrody. Marazm zajmuje też dzisiaj miejsce zdrowia, nerwy i obłąkanie miejsce rozsądku, egoizm i trwożliwość miejsce odwagi i wspaniałomyślności, namiętne gonienie za środkami życia miejsce jego piękności i rozkoszy. Oto co dała t. zw. cywilizacya. Może ona okiełznać i pokonać góry i wody, może głos ludzki zakląć w drobnej puszce, może w tej puszce zamknąć materyały, które setkom śmierć przyniosą, ale — nie zdoła ona wrócić ziemi i duszy ludzkiej krzepiącej, słodkiej piękności poranku.

Ouida upatruje ostatni wyraz postępu nowożytnych czasów w — filistrze nowoczesnym, w obec którego najuboższy niewolnik w starej Helladzie, ostatni Fellah w Egipcie, ostatni Paryas w Azyi był jeszcze — gentlemanem. A oto owoc epoki, która ma być epoką kultury: filister — na bicyklu...

Czy pesymistyczny głos Ouidy zupełnie nie ma racyi?

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

INFAMIA.[1]

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

Quanto latius officiorum quam iuris patet regula. Quam multa pietas, humanitas, liberalitas, iustitia, fides exigent, quae omnia extra publicas tabulas sunt.

(Seneca.)

I.

Moralne czynniki rozwoju prawa.

Istota prawa, jego stosunek do moralności, jego stanowisko w rzędzie innych czynników duchowego życia, więc i całego rozwoju cywilizacyjnego ludzkości — krótko mówiąc cała filozoficzna podstawa, na której oprzeć się musi wszelkie zasadnicze badanie czy to poszczególnych działów prawa, czy tylko pewnych urządzeń prawnych, głębiej w życie wnikających, przedstawia w tej chwili widok taki, jakgdyby badacz znajdował się wśród gruzów całego szeregu wielkich budowli, ciężką i długą pracą wzniesionych a nagle demoniczną siłą jakiegoś wypadku elementarnego zachwianych, częściowo nawet wywróconych.

Właściwy schyłkowi XIX. stulecia prąd sceptycyzmu, w najściślejszem zaczepnem przymierzu z duchem negacyi, wtargnął w dziedzinę filozofii prawa i wywołał tam, jeżeli nie zamącenie zasadniczych pojęć, to w każdym razie takie ich zachwianie, że często zaciera się linia demarkacyjna między nauką a filozofią

[1]) Dzieło odznaczone nagrodą na konkursie prawniczym w Warszawie, rozpisanym przez tamtejszą *Gazetę Sądową* w r. 1893 dla upamiętnienia jubileuszu wydawnictwa.

prawa [1]) i przytem otwiera się szerokie pole dla nowych pomysłów a zarazem i dla — nowych paradoxów, zwłaszcza w duchu nie wszechwładnego już wprawdzie, ale zawsze jeszcze dotąd nierozbrojonego, pozytywizmu.

Wtargnięcie prądu pozytywistycznego z hasłem reformatorskiem a właściwie destrukcyjnem w zakres filozofii prawa byłoby może nie sprawiło takiego widocznego zamętu nawet w ustalonych pojęciach, gdyby nie fakt, iż zbiegło się ono fatalnie z zachwianiem do głębi wiary w możność osiągnięcia drogą historycznej metody w badaniu istoty prawa takich rezultatów naukowych, jakich oczekiwano w czasie długiego zachwytu dla panującej w prawie szkoły historycznej. Rozczarowanie połączyło się i w tym wypadku, jak to zwykle w takich razach bywa, z pewnem zwątpieniem w możność znalezienia lepszej drogi wyjścia, co znowu reformatorów wszelkiego autoramentu filozoficznego z nowoczesnych prądów zachęcać musi do tem śmielszego występowania w duchu destrukcyjnym.

Szkoła historyczna z mglistą wiarą w powolny, samodzielny rozwój prawa, z takiego tajemniczego źródła, jakiem w jej teoryi miałoby być samo poczucie prawne, niezależne od wszelkich ideałów prawnych, które wyrugować chciała jako wyraz lekceważonego w jej systemie prawa natury, przypominała w swojem dociekaniu istoty prawa empiryka, ufającego zupełnie przewodnictwu własnych oczu i zamierzającego koniecznie dotrzeć do punktu, w którym za wskazówką samego tylko wzroku niebo niewątpliwie z ziemią stykać się powinno. Po długim, żmudnym pochodzie siły wędrowca opadły, ten urojony punkt zetknięcia jest zawsze jednakowo dalekim, więc kierunek drogi wypada uznać błędnym a cel złudnym. Trzeba wybrać inny kierunek, ale jaki? W tem pytaniu tkwi cała trudność a w szukaniu odpowiedzi ważą się może dalsze losy i koleje filozofii prawa.

Na pytanie powyższe jasnej odpowiedzi znaleść dziś niemożna nawet tam, zkąd padły najsilniejsze ciosy na historyczną szkołę. Żeby dla przykładu wspomnieć tylko o najwybitniejszych głosach naukowych, zwracamy uwagę na klasyczną pod tym względem rozprawę dr. R. Stammlera [2]). Z najsubtelniejszą ścisłością filozoficzną uzasadnił ten autor swój zarzut, że szkoła historyczna nie wzniosła

---

[1]) Dr. Bronisław Łoziński: *Nauka i filozofia prawa.* (W *Przeglądzie prawa i administracyi* z r. 1893 str. 81 i n.)

[2]) Dr. Rudolf Stammler: *Über die Methode der geschichtlichen Rechtstheorie.* — Halle 1889.

się po nad poziome stanowisko empiryczne, wcale nie określiła genezy i istoty prawa a, co najgorsza, całym rezultatem swoich dociekań i wniosków to tylko wykazała, iż drogą tą cel taki w ogóle osiągnąć się nieda. Po tej krytyce jednak niedaje autor nawet wskazówek o kierunku, jaki dalszej swojej pracy filozoficzno prawnej wytknąć zamyśla, lecz tylko zapowiada nowy kierunek w przyszłej seryi studyów. Że będzie to — jeżeli uwagi rzucone w pierwszej pracy nie zawiodą oczekiwań — program zwrotu ku kierunkowi prawdziwie filozoficznemu, tego czytelnik dopiero spodziewać się może.

Tymczasem jednak głos ten wyzyskiwany bywa w sposób jednostronny wszędzie, gdzie z zakresu badań nad istotą prawa chcianoby wyrugować zupełnie tak metodę historyczną jak i wszystko, co tylko przypomina dawne prawo natury, chociażby ono pojmowane być miało jako synonim takiego systemu filozofii prawa, w którym przewodnią rolę miałyby odgrywać jakiekolwiek wyższe, z etyką nierozdzielnie związane ideały prawne. Za przykład, objaśniający tę uwagę, wystarczy fenomenalne pod względem erudycyi, ale zagadkowe co do swojej dążności naukowej dzieło K. Bergbohma [1]). I ta praca, która w bieżącej literaturze filozoficzno-prawnej stanowczo na pierwszy plan się wysuwa, stanowi tylko wstęp do osobnego, na razie jeszcze dobrze odgadnąć się nie dającego systemu. Niepodobna jednak oprzeć się podejrzeniu, że Bergbohm ma na myśli, jak Lasson [2]), ów najświeższy pozytywizm prawny, który zasklepia się w samych ramach konstrukcyi paragrafowo-teoretycznych, po za niemi widzieć niechce ideałów, łączących prawo z etyką a tem samem już w założeniu niemal zrywa z filozofią prawa.

Przeciw takiemu zniżeniu poziomu filozoficznego w badaniu istoty i genezy prawa w niemieckim świecie naukowym dobitna reakcya odzywa się nawet tam, gdzie dotąd przyzwyczajono się uznawać wyższość Niemiec na tem polu za ustaloną, nawet niedościgniona, t. j. we Francyi [3]).

Podstawą i siłą tej reakcyi a zarazem najlepszą wróżbą dla jej przyszłości jest utrzymywanie jaknajściślejszego związku między prawem a etyką. Kto związek ten ma ciągle przed oczyma, dla tego owo okrzyczane prawo natury nie będzie dziwolągiem, lecz

---

[1]) Dr. K. Bergbohm: *Jurisprudenz und Rechtsphilosophie* — Leipzig 1892 (*passim* a szczególnie str. 480 i n.).

[2]) A. Lasson: *System der Rechtsphilosophie* — Berlin & Leipzig 1882.

[3]) Dr. M. Aguiléra: *L'idée du droit* — Paris 1893 (wstęp).

ideą wyższą, chociaż zamgloną, nawet często do karykatury doprowadzaną tak przez tych, którzy jej istoty trafnie nie pojmują, jak i przez tych, którym ona zawadza w dążności do wyemancypowania prawa z pod ściślejszej zależności od czynników moralnych, do zamknięcia prawa w paragrafowym pozytywizmie. „Oburzamy się — mówi Beaussire [1]), pokrewny w zasadniczych poglądach poprzednio powołanemu autorowi — gdy z wrogich ust padło hasło: siła przed prawem a zawsze w kwestyach polityki wewnętrznej i zewnętrznej, prawa prywatnego i publicznego, powtarza się to hasło pod inną formą, w ten sposób: Niema praw przyrodzonych. Są to wymysły filozofów, z których wynikły wszystkie nasze rewolucye. Mamy do czynienia tylko z faktami, które roztropny człowiek uznaje, przed któremi nawet korzy się... A jednak wszystko, co się mówi o stanie natury, nie jest ani mrzonką, ani nawet czystą hypotezą. Stan taki, pojmowany w swojem właściwem znaczeniu, jest rzeczywistością jawną w teraźniejszości i w przeszłości, u wszystkich ras ludzkich, na każdym stopniu cywilizacyi. Nieporozumienie pochodzi ztąd, że stan ten odróżniano od stanu społecznego. Niema między temi dwoma stanami historycznego następstwa: oba występują wszędzie jako współistniejące i przenikają się nawzajem, nawet wtedy, gdy są w niezgodzie i w walce ze sobą... ...Między członkami tego samego społeczeństwa istnieje umowa, umowa cicha, ciągle odnawiana. Człowiek najmniej oświecony, najmniej zdolny do refleksyi, umie przecież mimo to zajmować w danym razie stanowisko w stanie natury i w stanie legalnym.“ Beaussire unika fantastycznych hypotez o stanie pierwotnego człowieka, lecz opiera swoje wnioski na obserwacyach w świetle historyi. Opierając się na tej podstawie uważa idee prawdziwe lub fałszywe, namiętności dobre lub złe, tak ze stanowiska indywidualnego jak i zbiorowego, czyli społecznego, za „prawdziwy rząd ze wszystkiemi organami, z potrójną władzą: ustawodawczą, wykonawczą i sędziowską, rząd w całości moralny, który nie wychyla się z warunków stanu naturalnego a jest często w stanie społecznym potęgą najsilniejszą i najwięcej poważaną.“ W zakresie indywidualnym działanie tego rządu moralnego przedstawiać może tylko wielki interes psychologiczny, lub dramatyczny, na widowni społecznej staje się ono przedmiotem umiejętnego badania, wchodzi w ramy „historyi obyczajów, historyi cywilizacyi a w zakresie szerszym w ramy nowej umiejętności, która przybrała

---

[1]) Emile Beaussire: *Les Principes du Droit* — Paris 1888 (wstęp i pierwszy rozdział).

barbarzyńską nazwę socyologii. Po za tym zakresem niema badań wydatniejszych tak dla poznania człowieka pod względem historycznym i filozoficznym, jak i dla praktycznej dyrektywy dla społeczeństwa ludzkiego. Społeczeństwo może istnieć i rozwijać się tylko w harmonii sił legalnych i moralnych, które dzielą się atrybucyami swojemi w rządzeniu. Mąż stanu, prawnik, filozof i polityk powinni zatem studyować obie kategorye sił w teraźniejszości i w przeszłości, powinni zdawać sobie sprawę ze wszystkich faktów, które mogą utrzymać lub zamącić ich harmonię, krótko mówiąc powinni zawsze mieć na uwadze warunki cichej umowy, która odnawia się nieustannie w sumieniach między stanem społecznym a stanem naturalnym... Siły legalne powinny opierać się na siłach moralnych, jeżeli niemają być pozbawione skutecznego wpływu. *Quid leges sine moribus vanae proficiunt?*"

Nie sami tylko idealiści nawołują do filozoficznej reakcyi. Otwarty pozytywista, G. Tarde, zaczyna jedno z najświeższych dzieł swoich od tego gorzkiego zarzutu, że filozofia zapomniała o prawie, w skutek czego stało się ono domeną pedantycznego komentatorstwa i jałowej doktryny a ekonomia polityczna, nieujęta w karby wyższych teoryi prawnych, wybujała na własną rękę i zbyt śmiałemi experymentami doprowadziła do dzisiejszej reakcyi socyalistycznej [1]). W innem dziele filozoficznem, objaśniającem prawidła i kierunki całej ewolucyi cywilizacyjnej ludzkości, ten sam pisarz, w genialnych porywach swoich, zwłaszcza w stawianiu horoskopów socyologicznych, nieraz śmiało zapędzający się aż po za granice paradoxów, kładzie na moralność nacisk silniejszy, aniżeli na prawo, i posuwa się pod tym względem tak daleko, że niemal jako ideał cywilizacyjny stawia zbędność prawa, zastąpionego przez moralność, więc prawie schodzi na fantastyczne tory tego anarchizmu filozoficznego czy mutualizmu *à la* Proudhon [2]), który miałby kiedyś umożliwić ludzkości pożycie i postęp w stanie cywilizowanym bez przymusu państwowo-prawnego, jedynie pod hasłem milcząco uznawanych prawideł konwencyonalnych [3]).

---

[1]) G. Tarde: *Les Transformations du droit* — Paris 1892 (str. 1—2).

[2]) G. Tarde: *Les lois de l'imitation* — Etude sociologique — Paris 1890, str. 379 (Une moralité achevée permettrait l'avénement de l'a-n-archie).

[3]) Dr. Bronisław Łoziński: *Teorya anarchizmu* (Zeszyt wrześniowy *Przeglądu prawa i administracyi* z r. 1895).

Historyczna metoda badania istoty i genezy prawa niedaje jednak za wygraną, lecz owszem pociąga ku sobie ciągle liczny zastęp adeptów, którzy dziś głównie po porównawczym kierunku badania koleji i rezultatów rozwoju prawa u różnych narodów oczekują rozjaśnienia spornych zagadnień. Jedna z powag na tem polu naukowem, F. Dahn, widzi możność zbadania ogólnych zasad prawa a tem samem i możność stworzenia nowego systemu filozoficznego tylko w analitycznem zbadaniu historycznych pomników prawa [1]). Drugi koryfeusz tej szkoły, A. H. Post, stawia porównawczemu badaniu pomników prawa kres i cel bliższy, ale za to i mniej filozoficzny, aniżeli F. Dahn, gdyż polegając na samych surowych rezultatach studyów etnologiczno-prawnych, głosi już dziś bez dalszego oglądania się na jakiekolwiek apriorystyczne pojęcia o prawie, o dobrem itd. tryumf swojej „etnologicznej jurisprudencyi", przed którą „do 25 lub 50 lat upadnie pyszna warownia dzisiejszej filozofii prawa" [2]).

Rzecz to charakterystyczna, że uczony niemiecki, w którym zazwyczaj widzi się typ ścisłości, posuniętej aż do subtelizacyi, tak jest pochopnym do wysnuwania już w tej chwili ostatecznych wniosków z badań, o których francuski, więc, jakby się zdawało, już z natury skłonniejszy do generalizacyi badacz, Dareste [3]), odzywa się bardzo ostrożnie. I Dareste nie wątpi wprawdzie, że owo tak dziś kwitnące historyczno-porównawcze badanie prawa wszystkich ludów i wieków, badanie, dostarczające już obecnie prawnikowi takiej obfitej kollekcyi materyałów a nadto wzbogacające tę kollekcyę bez przerwy, często z amatorską prawdziwie lub muzealną drobiazgowością, doprowadzi w końcu do wyników rozstrzygających w zgeneralizowaniu pojęć i hypotez o istocie i genezie prawa, ale kres ten jest jeszcze odległy a nawet na razie przewidzieć się niedaje. Życzeniu Dareste'a, aby nauka najpierw wzięła się do historyczno-porównawczej analizy prawa rzymskiego i wykazała na niem wszystkie cechy pokrewieństwa, względnie i wspólności z prawami w odleglejszą jeszcze przeszłość sięgającemi, czynią już w znacznej części

---

[1]) F. Dahn: *Die Vernunft im Recht. Grundlagen der Rechtsphilosophie* — Berlin 1879 (str. 13) i *Vom Wesen und Werden des Rechts* (w *Zeitschrift für die vergleichende Rechtswissenschaft* — t. II. z r. 1880 i t. III. z r. 1882).

[2]) A. H. Post: *Die Grundlagen des Rechts* — Oldenburg 1884 (przedmowa).

[3]) Rodolphe Dareste: *Etudes d'histoire du droit* — Paris 1889 (wstęp).

zadość dzieła B. W. Leista o staroaryjskiem *ius gentium* i *ius civile*, ale czy przez to powyższy cel filozoficzny badań został znacznie zbliżony, to kwestya wątpliwa. Zachodzi nawet obawa, że powtórzy się także tutaj na większą skalę i na szerszym obszarze ów pochód empiryczny nauki, który szkołę historyczną miał zawieść do punktu, gdzie niebo z ziemią się styka a zostawił ją tymczasem, jak to wyżej zaznaczyliśmy, na rozdrożu.

W tej ożywionej rozprawie nad wyborem nowej drogi, nowego kierunku w badaniu istoty, genezy i ostatecznych celów prawa, krótko mówiąc nowego kierunku dla filozofii prawa, zgłasza się do głosu z pretensyą do oryginalności program socyologiczny [1]), który polegałby na takiej syntezie prawa natury z wynikami badań historycznych, aby w dalszym rozwoju swoim prawo zbliżyło się więcej do życia, nie zrywając z filozofią, bez której sam empiryzm jak nie doprowadził dotąd szkoły historycznej do rozwiązania najwyższych problematów, tak i w przyszłości pod tym względem musiałby zawód zgotować.

Nie jestto droga nowa, nie jestto nawet nowa kombinacya. Przypominają się przecież powyżej przytoczone ustępy z dzieła Beaussire'a, który bez pretensyi do odsłaniania całkiem nowych widnokręgów, lub do torowania dróg nowych, stanął tylko w obronie atakowanej przez pozytywizm prawny harmonii sił legalnych z moralnemi w ustroju społecznym, harmonii prawa z etyką.

Głębsze badanie istoty, genezy i granic prawa nie obejdzie się nigdy ani bez tła historycznego, ani bez drogoskazu filozoficznego. W swojem badaniu ducha praw Montesquieu jeszcze w czasach, należących do *saeculum philosophicum*, jak wiek poprzedni nazywano, wypowiedział to jako axiomat, że „trzeba wyjaśniać prawa historyą a historyę prawami“. Z drugiej strony znowu szkoła historyczna — o ile metodę jej oceniać będziemy według postępowania koryfeuszy *saeculi historici* a nie ich jednostronnych naśladowców — przy całej niechęci do teoryi prawa natury nigdy nie zrywała z ogólnym kierunkiem filozoficznym, lecz owszem starała się od początku badania swoje filozoficznie pogłębiać. Nie w całkowitem zatem wykluczeniu jednego lub drugiego kierunku, lecz w mylnem zakreśleniu ich granic tkwi ów błąd, który zwichnął rezultat rachuby naukowej za jednym i drugim razem.

---

[1]) Dr. Reinhard Frank: *Naturrecht, geschichtliches Recht uud sociales Recht* — Leipzig 1891.

Owa socyologiczna metoda miałaby tedy — jeżeli po za tą nową, tak dziś zużywaną i nadużywaną, bo rozmaicie pojmowaną, nazwą kryje się myśl praktyczna — wprowadzić harmonię między obu powyższemi czynnikami dalszych badań naukowych nad genezą, istotą i granicami prawa, sprowadzić niejako te badania z manowców na bity gościniec.

Tak pojmowana metoda socyologiczna miałaby na celu przedewszystkiem zapobieżenie jednostronności, więc zaniedbaniu filozofii prawa i potęgowaniu się dzisiejszego sceptycyzmu co do trafności drogi, przez szkołę historyczną obranej, aż do zobojętnienia dla historyi prawa w ogóle. Nie jestto obawa urojona, gdyż nasuwać się musi każdemu na widok tej prostracyi, w jaką popadła filozofia prawa po dawniejszym okresie wybujałości ogólnej filozofii spekulacyjnej, która, porwawszy i uniosłszy także ogólną naukę prawa w obłoki, w upadku swoim i ją również na szwank narazić musiała.

Trudno w tej sprawie ściśle odmierzyć szkodliwe następstwa jednej lub drugiej jednostronności dla rozwoju nauki prawa. W tej chwili jednak, w okresie widocznego zamętu, czy przełomu, nawet najgorliwszy zwolennik filozoficznego kierunku nie mógłby go forytować kosztem historycznego. Głos *magistrae vitae*, czem historya prawa dla jego dalszego rozwoju nigdy być nie przestanie, ma szczególnie ważne znaczenie dziś, gdy tak ciężkie ciosy wymierzane są na najwrażliwszą i z natury swojej, za świadectwem historyi, pod zmiennemi prądami filozoficznemi najwięcej uginającą się gałęź prawa [1]), na prawo karne. A dodajmy tutaj zaraz, że ciosy te wymierzane są nie na szczegóły mniejszej wagi, nie na techniczno-konstrukcyjną stronę pewnych tylko działów prawa karnego, lecz na jego fundamenta, na moralne czynniki działania ludzkiego, na cały moralny ustrój człowieka w ogóle, więc na podstawy całego prawa, więc w konsekwencyi na jeden z filarów wielkiego gmachu wiekowej cywilizacyi. Prawo karne pod względem wrażliwości na prądy filozoficzne trafnie porównał Ihering [2]) ze splotem najdelikatniejszych nerwów i żył, z obliczem całego organizmu prawnego, na którem odbija się cała indywidualność społeczeństwa, jego myśli, uczucia i namiętności — jednem słowem cały jego ustrój psychiczny i moralny. To oblicze prawa zasługuje zatem na staranne badanie, bo czy się ono nasroży jak w wiekach średnich, czy skrzywi kurczowo

---

[1]) G. Tarde: *Les Transformations du droit* (j. w.) str. 2.
[2]) Dr. R. Ihering: *Das Schuldmoment im römischen Privatrecht* — Giessen 1867, str. 2—3.

pod razami dzisiejszych pozytywistów *a là* Ferri tak, że przypomina — małpią fizyognomię, zawsze pozostanie jednym z najwięcej charakterystycznych rysów danej fazy cywilizacyjnej. Jeżeliby po pewnym narodzie historya nie przekazała nic innego, jak tylko prawo karne, to jak słusznie mówi jeden z pierwszorzędnych dzisiejszych prawników niemieckich, Jellinek [1]), już z tej spuścizny możnaby określić stopień etycznego i w ogóle cywilizacyjnego rozwoju tak samo, jak przyrodnik z jednej kości odtwarza kształty zwierzęcia z czasów przedhistorycznych.

Prawo karne jednak nie doznawało dotąd bynajmniej takich względów ze strony historycznej szkoły, jak prawo prywatne. Możnaby je nawet uważać za poniekąd zaniedbane pod tym względem. I dziś historya prawa karnego nie liczy wielu adeptów. Charakterystycznym w tej mierze jest n. p. fakt, że jeden z prawników [2]) w przedmowie do dzieła poświęconego historyi kanonicznego prawa karnego wyraża się o jego historycznem traktowaniu tak ozięble, jeżeli już nie wprost sceptycznie, iż podziwiać trzeba przezwyciężenie się autora, jeżeli mimo to skończył i wydał swoje dzieło.

Zjawisko to uważać musi za symptom niepomyślny każdy, kto uważniej śledzi obecny stan nauki prawa karnego, mianowicie ów zrywający zupełnie z całą przeszłością zwrot ku „nowym horyzontom" z ich coraz to śmielszemi teoryami, których stałym sensem moralnym jest negacya wolnej woli, winy i odpowiedzialności moralnej, poniżanie człowieka na stanowisko fragmentu wielkiej materyi a jego działania na poziom biologicznego processu. Ta materyalistyczna tendencya tem więcej niepokoić musi zwolennika dotąd panującej i w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości stopniowo uszlachetnianej a zarazem już i wypróbowanej klassycznej teoryi karnej, ile że łączy się ona ściśle z występującą na całym obszarze filozofii chroniczną chorobą dzisiejszych czasów, z gorączkowem dążeniem do szukania nowych poglądów, nowych hypotez, nowych teoryi i, co właśnie najczęściej się zdarza, — nowych paradoxów. Co Proal [2]) mówi, mając na myśli głównie Francyę, to stosuje się dziś do świata naukowego w ogóle a przedewszystkiem do filozofii prawa, zwłaszcza do działu karnego. „Bywają czasy, — mówi ten pisarz

---

[1]) Dr. G. Jellinek: *Die socialethische Bedeutung von Recht, Unrecht und Strafe* — Wien 1878, str. 114—115.

[2]) Edwin Katz: *Ein Grundriss des kanonischen Strafrechts* — Berlin & Leipzig 1881.

[3]) Louis Proal: *Le crime et la peine.* Ouvrage couronné par l'Academie des sciences morales et politiques. — Paris 1892, str. 264 i n.

znamienity zgodnie z innym filozofem francuskim — a do takich i nasz okres należy, kiedy prawdy proste i idee słuszne nie wystarczają do wzbudzenia uwagi. Potrzeba do tego pomysłów z charakterem extrawagancyi a paradox zaczyna wtedy wszędzie przeważać. Każda nowa hypoteza przyjmowana jest z zajęciem dlatego jedynie, że jest przeciwieństwem zasady tradycyjnej. Prawdy moralne są dla niektórych umysłów naciągnięte, nudne, banalne, bo są już tak stare! O ile więcej pociągają szczególnie naukowe hypotezy, które poniżają człowieka! Są one sprzeczne z faktami, bezstronnie obserwowanemi i zdrowo tłumaczonemi, wstrząsają zasadami moralności i prawa karnego, sumienie ludzkie odrzuca je, rozum jest przerażony zniszczeniem, które one przygotowują; — ale co to wszystko obchodzi nowatorów? Społeczeństwo poradzi sobie, jak będzie mogło. Niech zresztą zginie społeczeństwo, byle ostały się hypotezy!"

Wobec takiej propagandy nihilizmu moralnego, podkopującej wieczystą podstawę prawa karnego: sprawiedliwość, pewnie bardzo pożytecznem byłoby popularyzowanie historyi prawa karnego. W ten sposób bowiem wyszłoby dobitniej na jaw, jak owi nowatorowie, odmawiający racyi dalszego bytu klassycznej, na moralnych zasadach opartej teoryi prawa karnego, mistyfikują czasem łatwowiernych czytelników, przedstawiając im raz rzecz starą w nowej formie w ten sposób, jakgdyby to miała być reforma, dotąd nawet nieprzeczuwana, a drugi raz pomysł nowy a zgubny dla moralnego ustroju społeczeństwa tak, jakgdyby on stanowić miał tylko zwrot ku zasadom dawnym, więc wrzekomo zwrot na drogę, na której prawo karne spełniać zaczęło swoją rolę cywilizacyjną a z której zepchnięto je na szkodę społeczeństwa.

Tak się rzecz ma n. p. z twierdzeniem, jakoby nowe teorye karne, odbiegające od zasady sprawiedliwości na rzecz tych rozlicznych, przez pozytywizm w rozmaity sposób zawsze jednak z poniżeniem owej zasady, wynoszonych celów utylitarnych i kryminalnopolitycznych, stanowiły właściwie tylko wznowienie podstawy już w rzymskiem prawie przyjętej. Tymczasem właśnie idea sprawiedliwości postawiona jest w prawie rzymskiem w pierwszych zaraz wierszach Digestów [1]) jako naczelna zasada, jako źródło całego prawa. Że przytem w prawie rzymskiem uwzględnione są także inne cele kary, jak poprawa złoczyńcy, cele zapobiegawcze itd., to fakt nie-

[1]) Iuri operam daturum prius nosse opportet unde nomen iuris descendat. Est autem a iustitia appellatum. (C. 1. D. I. 1. Ulp. De iustitia et iure).

zaprzeczony, ale to właśnie świadczy przeciw nowatorom. Kiedy bowiem w rzymskiem społeczeństwie zasada sprawiedliwości górowała po nad wszystkiem a dalsze cele kary były uwzględniane tylko w obrębie jej granic i zawsze w myśl wymagań zdrowo pojmowanego dobra społecznego [1]), to autorowie dzisiejszych „nowych horyzontów" pojęcie sprawiedliwości nazywają niemal przesądem a złoczyńcę chcieliby czasem traktować jako indywiduum anormalnej organizacyi fizycznej, godne więcej litości niż kary. Proal [2]), który sam jest sędzią, wybornie wyszydza te paradoxy. W ich duchu należałoby tak mówić o zbrodniarzach: „Oto człowiek leniwy i zepsuty zabił starca, aby się wzbogacić i używać wszelkich rozkoszy. Biedny to człowiek! Trzeba go raczej żałować a nie karcić. Drugi otruł swoją żonę, aby ożenić się z metresą. Biedaczysko! Jakżeż można go karać?... Cóżby się stało ze społeczeństwem, jeżeliby uczeni zwracając się do morderców, rabusiów i złodziejów, pocieszali ich temi słowy: Wasze zbrodnie są aktami konieczności, bo spowodowane zostały anormalną organizacyą mózgową. Nie martwcie się wzgardą, jaką wobec waszych czynów przejęci są ignoranci, społeczeństwo niema prawa pogardzać wami."

Owo tak dziś wynoszone hasło, dewiza generalna wszystkich „nowych horyzontów", słowa Seneki, iż „żaden rozsądny człowiek nie wymierza kary dlatego, że występek popełniono, lecz dlatego, żeby znowu nie został popełniony" *(nemo prudens punit, quia peccatum est, sed ne peccetur)*, stanowi ustęp wyrwany z pism filozofa, który w niesamodzielnej zresztą w ogóle filozofii rzymskiej mniej niż inni (n. p. Cicero) oddawał ducha, przebijającego z jurisprudencyi rzymskiej [3]), który jednak pominąwszy nawet tę okoliczność z całości pism swoich powinienby być uważany za zwolennika nie samej tylko teoryi prewencyjnej, lecz kombinacyi zasady sprawiedliwości z innemi względami na dobro społeczne [4]). Rzecz to szczególna, że dzisiejsi twórcy „nowych horyzontów", wynosząc powyższe zdanie

---

[1]) Dr. Wilhelm Rein: *Das Criminalrecht der Römer von Romulus bis auf Justinianus* — Leipzig 1844, str. 81 i n.

[2]) Louis Proal: *Le crime et la peine* (j. w.) str. 419.

[3]) Carolus Ernestus Jarcke: *Commentatio de summis principiis iuris romani* — Gottingae 1822, str. 28.

[4]) J. F. H. Abegg: *Die verschiedenen Strafrechtstheorien in ihrem Verhältnisse zu einander und zu dem positiven Rechte und dessen Geschichte* — Neustadt 1835, str. 100 i n.

Dr. Wilhelm Rein: *Das Criminalrecht der Römer* (j. w.) str. 82 i n.

Seneki, prawie zapominają o tem, iż zasada odwetowa kary, jako aktu wymiaru sprawiedliwości, jest właśnie w Digestach lapidarnie określona [1]), że zatem według tej zasady a nie według wyrywków z pism filozoficznych Seneki oceniać należy ducha pozytywnego prawa karnego Rzymian.

Zasada odwetowa nietylko w ogóle nigdy nie wykluczała połączenia wymagań sprawiedliwości ze wszystkiemi zdrowemi celami społecznemi, lecz owszem łączyła się z niemi faktycznie w dalszych fazach rozwoju prawa karnego. W *Carolinie* n. p. stała się ona przez to właśnie, jak mówi Jarcke [2]), „najobszerniejszą i najtrafniejszą teoryą prawną, jaka kiedykolwiek postawiona została lub w ogóle osnuta być może.“ Niema w tej pochwale, nawet w jej drugiej, już o przyszłości niejako przesądzającej, części, żadnej przesady, skoro nawet i dziś, w okresie hyperprodukcyi „nowych horyzontów“, zasadzie odwetowej, w ten sposób pojmowanej, wystawia takie samo świadectwo nie zwolennik czysto klassycznej, na odwecie opartej teoryi karnej, lecz determinista Merkel [3]), którego nowatorowie do swojego grona zaliczają a który całą ich podstawę operacyjną, owe powyżej przytoczone słowa Seneki zaraz na wstępie swojej świetnej pracy polemicznej nazywa wprost „wrzekomo mądremi a w rzeczywistości nic nie mówiącemi.“ Merkel podniósł przytem, pewnie w sposób bezstronny, jak podniośle przedstawia się klassyczna odwetowa idea karna w pogłębieniu, dokonanem przez chrystyanizm. Tylko ten, kto niezna historyi prawa, lub ją przekręca, może odmówić kościołowi tej zasługi, że w idei kary jako wymiaru sprawiedliwości połączył z jej zadaniem expiacyjnem także najwyższe cele społeczne a przedewszystkiem poprawę przestępcy. Doskonałym wyrazem tego uszlachetnienia kary przez kościół był napis na jednem z więzień rzymskich z czasów świeckiej władzy papiestwa: *Parum est improbos coërcere poena, nisi probos efficias disciplina* [4]).

---

[1]) Poena est noxae vindicta (l. 131. D. 50. 16 Ulp. De verborum significatione).
C. E. Jarcke: *Commentatio* (j. w.) str. 28 i n.

[2]) C. E. Jarcke: *Handbuch des gemeinen deutschen Strafrechts* — Berlin 1827, t. I. str. 245. (Kara ma być wymierzana: „auss lieb der gerechtigkeit und umb gemeynes nutz willen“).

[3]) A. Merkel: *Vergeltungsidee und Zweckgedanke im Strafrechte* — Strassburg 1892.

[4]) F. A. Karl Kraus: *Die Gefangenen und die Verbrecher unter dem Einfluss des Christenthums* — Heidelberg 1889.

Żeśmy w tych uwagach, na dygressyę zakrawających, cofnąć się musieli do starszych pisarzy, których nazwiska dziś niemal w zapomnienie poszły, chociaż w swoim czasie tak były głośne, to stanowi tylko dalszy szczegół charakteryzujący obecną sytuacyę naukową, tak nieprzychylną historyi prawa karnego. Wobec naturalizmu, przeważającego w nowszej literaturze prawa karnego a poniżającego prawo to tak, ze gorętsi (n. p. Ferri) zapowiadają mu już nawet blizką zagładę, jako pierwszy krok do nowego czysto materyalistycznego ustroju stosunków, zwrócenie się ku starym, historyę i tradycye szanującym pisarzom, staje się w tej chwili potrzebnem dla pokrzepienia. Możnaby tą drogą iść dalej i znaleść w historyi prawa karnego najlepsze argumenta nawet przeciw poszczególnym dogmatom tego naturalizmu, który moralne czynniki działania ludzkiego chciałby albo zupełnie wykluczyć ze sfery prawa karnego, albo przynajmniej zepchnąć na szary koniec. Weźmy tylko dla przykładu tak dziś apodyktycznie przez pozytywistów włoskich podnoszoną zależność ducha prawa karnego od warunków przyrodzonych, wśród których żyją społeczeństwa. Gdzież mógłby ten duch być surowszy, aniżeli w ponurej, mroźnej Islandyi a jednak Wilda [1]), rozprawiając o najstarszym starogermańskim pomniku prawnym *(Graugans)*, zaznacza, że w żadnem starem prawie „ciężący na rodzinie i na gminie obowiązek opiekowania się biednymi nie był tak dokładnie określony. Pokazuje się, że srogość przyrody nie zamroziła serc, nie stępiła umysłu, lecz pobudzała także szlachetniejszą stronę ludzkiego ducha, że zahartowała siłę do oporu i walki. Jestto nauka i nowe ostrzeżenie, aby nie przenoszono prawideł życia roślinnego bezwarunkowo na rozwój ludzkich i państwowych stosunków."

Zdawałoby się, że historya prawa karnego może tylko dostarczać wskazówek i objaśnień ogólnego znaczenia, ale nie przykładów, które dziś jeszcze dałyby się naśladować, oczywiście w formie zastosowanej do zmienionego ustroju stosunków. A jednak i pod tym ostatnim względem historya prawa karnego pobudziła już niejednego głębszego badacza do refleksyi charakterystycznych. Żeby tylko poprzestać na sprawach aktualnego znaczenia, zwracamy uwagę, że Tarde n. p. z odrazą pisze o dzisiejszych sposobach wykonywania kary śmierci i stawia za wzór Grecyę, gdzie stracenie najniewinniejszego przestępcy, jaki kiedykolwiek istniał na świecie, Socratesa, odbyło się w sposób, nietylko niewzbudzający odrazy, lecz tak, iż

[1]) Dr. Wilh. Wilda: *Das Strafrecht der Germanen* — Halle 1842, str. 15.

„moglibyśmy dziś wziąć lekcyę u Ateńczyków“ [1]). Franck [2]) także daje nowoczesnemu prawu karnemu lekcyę z prawa starożytnego co do karania przestępstw, popełnionych drukiem, przestępstw myśli (*délits de la pénsée).* Francuski filozof gorszy się tem, że w sposobie karania (więzieniem) przestępcy tego rodzaju stoją na równi z pospolitymi złoczyńcami, oszustami itp. i widzi możność zabezpieczenia społeczeństwa w inny charakterowi czynu więcej odpowiadający sposób. „Mamy przed sobą — mówi ten autor — człowieka, którego opinia lub porywy polityczne nie mogą się pogodzić z prawami, z urządzeniami, z rządem kraju. Niechże on zamieszka, przynajmniej do pewnego czasu, gdzieindziej, niech pod innem niebem, pod innemi ustawami szuka spokoju lub satysfakcyi moralnej, której potrzebuje. Zastąpcie więzienie banicyą, wygnaniem na czas krótszy lub dłuższy, stosownie do wagi przestępstwa. Tak postępowały starożytne narody w wypadkach nadużycia wymowy lub wobec porywów poezyi, co wtedy zastępowało dzienniki i broszury. Tym narodom nie przyszłoby było na myśl traktować mowcy, trybuna lub poety, jakby jakiego oszusta lub złodzieja; wstydziłyby się były takiego postępowania, jakie stosujemy do naszych pisarzy. Kara wygnania jest może surowszą, aniżeli krótkie więzienie, ale jest godniejszą obywatela i odpowiada lepiej urządzeniom wolnego narodu.“

Można spierać się z Tardem i Franckiem o to, czy w powyższych wypadkach lekcya prawa wzięta u Greków przyniosłaby korzyści spodziewane. Ale sam fakt, że dziś może być spór o to, świadczy już dostatecznie o aktualnem znaczeniu, jakie dotąd ma historya prawa karnego i jakie zawsze mieć będzie.

Pozytywizmowi w zakresie prawa karnego zarzuca nawet zwolennik jego, Tarde [3]), że nie ogląda się na historyę prawa, na historyę w ogóle, kiedy tymczasem szkoła klassyczna właśnie w tradycyach szuka jednego z najgłówniejszych punktów oparcia. Jako pozytywista pociesza się Tarde tem, że pozytywizm, „opierając się wyłącznie na obserwacyi faktów widzi w własnej historyi tylko mniej lub więcej zbyteczny wstęp do dalszych wywodów.“ Zbytecznym miałby być ten wstęp dlatego, że pozytywizm robi postępy, więc może polegać na teraźniejszości a o wrzekomo upadającej teoryi

---

[1]) G. Tarde: *La Philosophie pénale* — II. ed. Paris 1891, str. 570.

[2]) Ad. Franck: *Philosophie du droit pénal* — II. ed. Paris 1880, str. 159.

[3]) G. Tarde: *La Philosophie pénale* (j. w.) str. 43—44.

klassycznej można powiedzieć, że musi dziś postępować, jak podupadająca rodzina, która właśnie „nie w chwili blasku najwięcej zajmuje się swoją genealogią“. Prawda mieści się w tych słowach o tyle, że jestto rzeczywiście charakterystycznym rysem pysznego parweniusza, iż żyje głównie teraźniejszością i szydzi z genealogicznych reminiscencyi magnata. Jeżeli jednak pozytywizm karno-prawny wytrzymuje zupełnie porównanie z aroganckim parweniuszem, to klassycyzm dzięki Bogu wcale a wcale nie jest podobny do podupadłego magnata. Jak był, tak jest i będzie — magnatem moralnym, patrzącym spokojnie na przemijający blask parweniuszy, dumnym ze swojej genealogii, jako świetnego obrazu położonych już w ciągu długich wieków wielkich zasług cywilizacyjnych i jako drogoskazu w dalszym pochodzie cywilizacyjnym ludzkości. Takie porównanie pozytywizmu karno-prawnego z parweniuszem nasuwa się tem więcej, że jak każdy parweniusz, oszołomiony powodzeniem, chciałby się koniecznie, bodaj za pomocą historycznych dokumentów wątpliwej autentyczności, wcisnąć w wyższe koła społeczne, tak i pozytywizm pierwotnie zrywający z historyą prawa, aby inaugurować całkiem nowy okres, zaczyna ku niej zwracać się wtedy, gdy pragnie podnieść swoją powagę naukową. W najświeższem wydaniu swojej Socyologii kryminalnej H. Ferri szuka otwarcie sojuszu z historyą prawa. Reklamuje bowiem dla rzymskiego prawa karnego większą uwagę, aniżeli ono dotąd na siebie zwracało wskutek przesadnej opinii o jego niższości wobec prawa dzisiejszego. Wynosząc rzymskie prawo karne, Ferri chciałby z niego wskrzesić niektóre urządzenia, jak n. p. powszechne prawo oskarzania *(actio popularis)*, rozgraniczenie podstępu *(dolus malus* i *dolus bonus)*, karę deportacyi do kopalń *(ad metalla)*, aby zamiast niewinnych robotników tylko sami złoczyńcy stawali się ofiarami wypadków nieszczęśliwych, wydarzających się tak często w kopalniach [1]). Ale tak skory do zarzucania innym eklektycyzmu Ferri w swoim historycyzmie jest także tylko eklektykiem. Wyrywa bowiem z historyi prawa jedynie kary, które w jego systemie mogłyby znaleść zastosowanie. Cały zrasztą rozwój historyczny prawa karnego nie obchodzi go tak samo, jak wszystkich jego towarzyszy w nowatorstwie, marzących pod hasłem *ex morte vita* nie o kontynuacyi missyi cywilizacyjnej prawa karnego, lecz o wywróceniu jego podstaw i stworzeniu nowych, na filozoficznych konsekwencyach Darwinizmu

---

[1]) H. Ferri (w przekładzie francuskim): *La Sociologie criminelle* — III. ed. Paris 1893, str. 444.

opartych, á przedewszystkiem o zerwaniu z „illuzyą antropocentryczną“, która jako wrzekomy *pendant* do obalonej już illuzyi geocentrycznej, stawiającej ziemię w punkcie środkowym całego swiata, wywyższyła człowieka, ów zdaniem tej szkoły filozoficznej nieskończenie mały atom w oceanie życia uniwersalnego, na piedestal urojonej wyższości duchowej nad wszystkiemi stworzeniami.

Gdyby to kryminologowie z „nowych horyzontów“ zwrócili się lojalnie do historyi prawa karnego i nie wyrywali z niej jedynie szczegółow dla swojej tendencyi przydatnych, lecz rzetelnie szukali w przeszłości objaśnień i wskazówek! Z pewnością nie wołaliby wtedy jak Ferri: *ex morte vita*, śmierć prawu dzisiejszemu, aby po jego zagładzie powstało całkiem nowe! Hasła tego nie powtarza już nawet n. p. taki pozytywista jak Tarde, gdyż wniknął głębiej w historyę prawa karnego. Oparty na jej wskazówkach Tarde, mimo predylekcyi dla „nowych horyzontów“, nakreślić mógł w swojej filozofii prawa karnego takie obrazy rozwoju natury przestępstwa i kary, że na ich widok nawet w zwolenniku teoryi klassycznej obudza się przekonanie, iż z tej dzisiejszej tak wydatnej fazy pozytywistycznej pozostać musi ostatecznie niejedna ważna zdobycz naukowa. I tak n. p. idąc za wskazówkami socyologiczno-historycznych badań zapowiada Tarde, że ewolucya systemu karnego zmierza ku wznowieniu dawnego wpływu takich środków społeczno-moralnego znaczenia, jakiemi były w pierwotnym ustroju sądów domowych hańba i pogarda, spadająca na występnego członka rodziny. Żeby poznać, jaki świetny horoskop w społeczno-moralnem, w ogóle w cywilizacyjnem, znaczeniu mieściłaby w sobie ta zapowiedź, trzeba mieć przed oczyma wspaniały obraz działania i wpływu sądów domowych społeczeństwa rzymskiego [1]), które, jak to później poznamy, pozostawiło po sobie w cenzurze, jako trybunale społeczno-moralnym, godny dziś jeszcze uwagi a pod pewnym względem nawet niedościgniony przykład judykatury, wychodzącej po za ramy prawa pozytywnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) Dr. Wilhelm Rein: *Das Criminalrecht der Römer* (j. w.) str. 641.

Dr. A. W. Zumpt: *Das Criminalrecht der römischen Republik* — Berlin 1865, t. I. str. 349 i in.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d' ALOY

REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.

1767.

(Ciąg dalszy).

VII.

Przyjaźń królewicza saskiego dla hr. Razumowskiego bardzo dobrze usposabia Repnina. — Misya posła Kozakowskiego do kasztelanowej mścisławskiej, siostry Pocieja. — Sekretne posiedzenie Rady senatu. — Psarski ma być delegowany do Moskwy w sprawie wkroczenia wojsk rosyjskich. — Projekt aktu konfederacyi litewskiej. — Postawa dyssydentów. — Król zamierza utworzyć rekonfederacyę.

Warszawa, 21. marca 1767.

Otrzymałem depeszę Waszej Królewiczowskiej Mości z dnia 14. marca i dziś jeszcze byłbym mógł donieść o oświadczeniu ambasadorowi podziękowań i wszystkiego tego, co mi Wasza Królewiczowska Mość polecić raczył. Ale spełnię to dopiero popołudniu, gdyż nie miałbym już czasu na szczegółowe sprawozdanie. poczta bowiem odchodzi o godzinie 5ej popołudniu.

Dwa punkta pomienionej depeszy. a mianowicie co do ambasadora i jego monarchini, potrzebowałyby więcej czasu, aby je tu wypowiedzieć z godnością i powagą. jakich wymagają. Nie będę

chyba w stanie inaczej tego dopełnić, jak komunikując ambasadorowi list Waszej Król. Mości do Sackena, z czego, jak sądzę, bardzo będzie zadowolony.

Przyjaźń, jaką Wasza Królewiczowska Mość zaszczyca hrabiego Razumowskiego, wydała już ten rezultat, że ambasador obdarza mnie zupełnem swem zaufaniem. Oprócz referendarza Podoskiego i mnie, nikt tu więcej nie jest wtajemniczony w najdrobniejsze szczegóły planu działań Rosyi w kraju tutejszym. Okazywane przez Kozakowskiego przywiązanie do Waszej Królewiczowskiej Mości i znana mi jego uczciwość jednem wypowiedzianem przezemnie słowem pozyskały mu ufność ambasadora. Dziś wyjechał ze zleceniami do siostry Pocieja, kasztelanowej mścisławskiej, pani wielkiego rozumu, posiadającej zupełne zaufanie szlachty. Ma on jej zakomunikować pod wielkim sekretem, że utworzona zostanie na Litwie konfederacya, którą popierać będzie Rosya; że konfederacya ta mieć będzie na celu restytucyę praw Radziwiłłowi i wszystkim uciśnionym, poprawę wszelkich wad i niedostatków rządu i że, jeżeli imperatorowa zażąda wymiaru sprawiedliwości dla dyssydentów, to przeprowadzi to w taki sposób, aby tego dopełnił sejm bez krzywdy Rzeczypospolitej i panującej religii katolickiej. Kozakowski namawiać ma również tę panią, aby skłoniła brata swego Pocieja, iżby tenże przyjął na siebie sławę przywrócenia wolności swojej ojczyźnie, restytucyi praw dla księcia Raziwiłła i położenia zasług u dworu rosyjskiego, a nadto, aby jako osoba poważna i wysoko położona, został marszałkiem pomienionej konfederacyi lub przedstawił innego, odpowiedniego na tę godnosc kandydata.

Jeżeli pani ta dobrze przyjmie pomieniony projekt i uzna za właściwe wysłać Kozakowskiego do swojego brata, celem skłonienia go, aby takowy zaakceptował, to ma on rozkaz podjąć się tej misyi. Jednocześnie zobaczy się z przyjaciołmi, na których może na pewno liczyć, a między innymi i ze starostą Bystrzyckim, i zwierzy im się w zupełności. W następstwie wyszle tu zaufanego męża na dzień 10. kwietnia z odpowiedniemi informacyami, na który to termin mają również tu przybyć wszyscy, którzy pozostają z nim w porozumieniu. Wziął on z sobą kopię aktu konfederacyi i instrukcyi, które skopiował z ogólnego planu działań, jaki odczytałem jemu i Sittemanowi.

Wczoraj wysłano ztąd przez zaufaną osobę list ambasadora do wojewody kijowskiego z prośbą, aby tu przybył; a osoba pomieniona w razie zastania go w domu, ma wymiarkować, czyby on nie chciał być marszałkiem konfederacyi litewskiej. Zaproponowano go

ambasadorowi na marszałka konfederacyi generalnej i dla tego książe zapytał o zdanie moje w tej kwestyi, oraz czybym nie podjął się przyjąć za niego odpowiedzialności. Samo się przez się rozumie, że nie mogłem tego uczynić. Podoski znowu zaproponował, aby Radziwiłł zrezygnował z województwa, a był mianowany marszałkiem konfederacyi generalnej.

Ambasador sądzi, że w połowie przyszłego miesiąca ukończy pertraktacye w tej sprawie, a około 20. przystąpi do działania.

Dziś oczekujemy tu wiadomości o konfederacyi toruńskiej. Otrzymano bowiem poprzednio doniesienie z Torunia, że nadeszły tam listy królewskie do wszystkich urzędników województwa chełmińskiego, aby występowali z opozycyą przeciwko konfederacyi.

Wysłany z oddziałem wojsk do Wielkopolski major donosi, że nie może się bardzo zapuszczać w głąb tej prowincyi, aby nie być odciętym przez generała Sołtykowa, chociaż korpus tego ostatniego nie byłby w stanie stawić oporu na wszystkich punktach. Wojska rosyjskie, które weszły do kraju, są dopiero w Kownie. Obawiam się zbliżających się świąt Wielkiejnocy, aby te wskutek rozbudzonego fanatyzmu, nie sprowadziły na kraj jakich nieszczęść. Wprawdzie imperatorowa umiałaby się zemścić, ale to nie wskrzesiłoby ofiar.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa król, choćby tylko dla salwowania honoru, nie może pozostać bezczynnym, ale sam utworzy również konfederacyę dla obrony wiary i praw.

W dniu wczorajszym zebrała się na posiedzenie sekretne rada senatu, na którem roztrząsano proponowane punkta w liczbie ośmiu. Najważniejszy z nich jest drugi, a mianowicie, że pograniczna szlachta pruska wystawiona jest na straty, o co też skarżyła się do dworu berlińskiego, który nietylko nie dał jej satysfakcyi, ale nawet żadnej odpowiedzi. Postanowiono, aby wysłać w tej sprawie reprezentanta do dworu berlińskiego.

Na skutek wystąpienia senatu do króla, że największej wagi przedmiotem powinno być obecne wkroczenie wojsk rosyjskich, zdecydowano, aby w kwestyi tej wysłać do Moskwy Psarskiego.

Z powodu obłożnej choroby Podoskiego, ambasador, naradziwszy się ze mną nad ogolnym planem i poczyniwszy niektóre zmiany w artykule o dyssydentach, zobowiązał mnie, abym sam przygotował wszystko dla Litwy ze szczegółową instrukcyą tak, aby Pociej tylko do niej się stosował z całą ścisłością. Musiałem tedy wypracować nawet sam akt konfederacyi, który posłużyć ma za wzór podobnego rodzaju aktów dla całej Polski. Trzeba było, aby zapobiedz fanatyzmowi, przekonać szlachtę, że nie ma tu wcale zamachu na wiarę,

oraz. co ważniejsza, wykazać zamiary Rosyi względem komisyi i rządu, oszczędzając, o ile można, osobę samego króla. Wczoraj zostawiłem księciu Repninowi wszystkie przygotowane minuty, aby je mógł dziś rano odczytać swobodnie.

Generał Goltz miał się już wczoraj znajdować w Toruniu, a dziś przybywa tam Sołtykow. Dzień 20. b. m. został wyznaczony na konfederacyę dyssydentów. Chcieli się oni, jak mówił Bronikowski, uwolnić od zaszczytu tego pierwszeństwa, aby nie wywoływać wielkiego wrażenia w kraju, a jednocześnie nie demaskować się za nadto, zwłaszcza, gdy główne siły rosyjskie są jeszcze bardzo daleko, a przytem byli zdania, że naród ulęknie się bardzo ich wystąpienia, i sądząc, że Rosya ma tylko jeden cel, t. j. sprawę dyssydentów, gotów będzie podnieść wojnę religijną.

Dwór tutejszy ma zamiar wraz z familią, jak tu zapewniają, utworzyć rekonfederacyę i zwołać wielką radę.

VIII.

Hr. Brzostowski mianowany marszałkiem konfederacyi generalnej litewskiej. — Rozmowa króla z ambasadorem w kwestyi powrotu Radziwiłła. — Biskup wileński. — Z decyzyi ambasadora żadna z osób, pobierających subwencyę od Rosyi, nie będzie dopuszczona do udziału we wspomnianych wyżej pracach.

Warszawa, 8. kwietnia 1767.

Książę Repnin zaakceptował już postanowienie mianowania hr. Brzostowskiego marszałkiem konfederacyi generalnej litewskiej. Oto odpowiedź na depeszę Waszej Królewiczowskiej Mości z d. 1. kwietnia. Ambasador tem chętniej na to się zgodził, że Wasza Królewiczowska Mość rekomendował starostę Bystrzyckiego, za którego ręczy książę Radziwiłł; postawił jednak warunek, aby Pociej nie był tem obrażony i obowiązek postarania się o to na mnie włożył.

Wczoraj byłem na radzie u ambasadora, na której postanowiono, że konfederacye mają być utworzone przed posiedzeniem rady senatu *(consilium senatus)*, naznaczonem na dzień 25. maja. Przygotowano już wszystko dla starosty Bystrzyckiego, potrzeba tylko ułożyć jeszcze wspólnie z ambasadorem kwestyę finansową, bez tego bowiem Brzostowski nie byłby w stanie podjąć się funkcyi nie tyle utrudniającej, ile raczej kosztownej, gdyż przyrzekł trzymać się ściśle instrukcyj, jakie stąd odbierać będzie.

Dziś o godzinie 5ej mam być z referendarzem u ambasadora dla uzyskania ostatecznej jego decyzyi co do utworzenia konfederacyj

generalnych: koronnej i litewskiej, oraz konfederacyj szczegółowych obu krajów.

Dotąd wszystko było prowadzone w ten sposób, że w ogóle nic nie wiedziano o konfederacyach, chociaż sam mówiłem o tem kilku osobom z rozkazu ambasadora. Dwór i familia zachowują względną spokojność i zwycięztwo ich nad Rosyą byłoby stanowcze, gdyby po deklaracyi imperatorowej, liście Panina oraz wkroczeniu wojsk, mających popierać malkontentów, naród zrobił powstanie, coby nastąpiło z pewnością, gdyby nie ja i Podoski.

Dla podniesienia kredytu Czartoryskich zwolennicy ich rozszerzają pogłoski, że oni są w zupełnej zgodzie z Rosyą, z wyjątkiem jedynie sprawy dyssydentów. Król i familia jednak są znowu zaniepokojeni sprawą księcia Radziwiłła i robią różne przypuszczenia, zwłaszcza od czasu przybycia starosty.

Ambasador, wróciwszy w niedzielę od króla, poprosił mnie na przechadzkę do ogrodu saskiego i mówił mi, że Jego Kr. Mość pytał go, czy imperatorowa udzieli protekcyi księciu Radziwiłłowi w razie jego powrotu, na co on oświadczył: „że nie może dać na to ani twierdzącej, ani przeczącej odpowiedzi; że gdyby nawet wiedział coś pewnego w tej sprawie, nie mógłby dawać żadnych wyjaśnień bez wyraźnego polecenia swego dworu; że gdyby to nawet miało miejsce w samej rzeczy, dodał, to nie widzi w tem nic złego dla króla, aby powstrzymano grabież majątków księcia, który bez wątpienia należy do rodziny, zasługującej na szacunek."

— „Ale powaga moja — odparł król — byłaby przez to narażoną, gdyby kto inny chciał unieważniać wydane w mojem imieniu wyroki."

Nastąpiło jeszcze kilka zapytań i odpowiedzi pomiędzy ambasadorem a królem, z otrzymanych jednak objaśnień ten ostatni nie mógł być zadowolonym.

Familia okazuje obecnie wielką niespokojność z powodu rozchodzącej się pogłoski o powrocie księcia Radziwiłła, z czego wnosić już można, jak przerażeni będą Czartoryscy, gdy książę ten zostanie marszałkiem konfederacyi koronnej.

Wspomnieć tu muszę o zabawnym wypadku, jaki spotkał biskupa wileńskiego.

Podczas bytności u niego jednego z generałów rosyjskich, po zwykłych ceremoniach, zapytał go biskup, czy był kiedy w Polsce. „Tak jest, za króla Stanisława Leszczyńskiego, odparł tenże z miną poważną; byłem wtedy porucznikiem i rozkazano mi aresztować prymasa Potockiego. Było to polecenie nie bardzo przyjemne więzić

biskupa, ale każdy z moich poruczników musiałby spełnić to samo, gdyby dziś otrzymał odemnie taki rozkaz.“

Biskup, który nie był siebie pewny, wziął to nie za opowiadanie przeszłości, lecz za ostrzeżenie i natychmiast umknął z Wilna.

Przytem winien jestem objaśnić Waszą Królewiczowską Mość, że żadna z osób, pobierających pensyę od Rosyi, nie będzie użytą do przedsiębranego dzieła, i na tym punkcie należy się uznanie prawości i przytomności ambasadora. Bardzo zatem jestem zadowolony, że mnie użyć on raczył za jedną z głównie działających osób, a tem samem, że dał mi sposobność stania się więcej użytecznym Waszej Królewiczowskiej Mości.

IX.

Radziwiłł przez Gdańsk i Królewiec udaje się na Litwę. — Bliższe szczegóły tej podróży i przyszła działalność księcia. — Instrukcya dla pułkownika Carr. — Pojednanie Radziwiłła z Flemingiem. — Jego krytyczne położenie finansowe.

Warszawa, 30. maja 1767.

Wczorajszej nocy powróciłem z podróży, odbytej w celu widzenia się z księciem Radziwiłłem, który nareszcie jedzie przez Gdańsk i Królewiec na Litwę.

Brak mi czasu na szczegółowe opisywanie Waszej Królewiczowskiej Mości spotkania się mojego z księciem.

Przedewszystkiem starałem się obudzić w nim wysokie poczucie honoru wobec roli, jaką powołany jest odegrać, oświadczając, że wysoka protekcya, jakiej mu udziela imperatorowa, wymaga z jego strony jak największej ostrożności w postępowaniu oraz starania się, aby nie ściągnął na siebie najmniejszego podejrzenia ze strony dworu rosyjskiego. Przedstawiłem następnie, że wyznaczenie mu pułkownika Carr uważać powinien za szczególną łaskę imperatorowej, która rozkazuje mieć o nim wszelkie staranie; że pułkownik pomieniony ma jak najsurowszy rozkaz czuwania nad bezpieczeństwem ego osoby, oraz nad wszystkiem, co dotyczy jego honoru i interesów, że nie może go opuszczać, a nawet że będzie obowiązany sypiać w przybocznym pokoju, że winien nie dopuszczać w jego domu nieporządku, że ma rozkaz usuwać osoby, na któreby się skarżył książę, albo któreby mu były natrętne.

Książę Radziwiłł był ze wszystkiego bardzo zadowolony, ale najwięcej rad był temu, że z powodu drażliwej pozycyi, w jakiej

prawdopodobnie znalazłby się w obecności swojej małżonki, do której podobno czuje pewną niechęć, tak wszystko urządziłem, iż pułkownik Carr ma polecone w swojej instrukcyi, aby nie dopuszczał zbliżenia się do niego księżnej. Uściskał mnie serdecznie i oświadczył, że już sama myśl, iż może zobaczyć się ze swoją żoną, przejmowała go niepokojem w ciągu całej jego podróży.

Przedstawiłem mu następnie potrzebę, aby pokładał ufność w księciu ambasadorze, a nie chcąc w nim obudzać pańskich kaprysów, dodałem, że cały plan przywrócenia familii Radziwiłłów do dawnej świetności został już ostatecznie ułożony przez Rosyę i że gdyby chciał upatrywać pewne trudności w jego wykonaniu, to takowy zostanie i bez niego spełniony; że lepiej zatem uczyni, jeżeli w interesie swojej osobistej sławy ściśle do niego się zastosuje, zwłaszcza, że plan ten ma na celu jego własne dobro.

Spodziewałem się, że 23. maja spotkam księcia w Kwidzyniu, ale nie mogąc niczego się dowiedzieć o jego przybyciu, wysłałem pod wieczór kuryera do pana Rebinder, rezydenta rosyjskiego w Gdańsku dla otrzymania wiadomości.

Rezydent bezzwłocznie zawiadomił mnie, że książę przybywa do Piławy w dniu 24. b. m. i dla tego udałem się rano w dniu 25. b. m. do Gdańska, gdzie po zameldowaniu się w bramie miasta, jako pułkownik rosyjski, zatrzymałem się u pomienionego rezydenta, z którym razem udałem się niebawem do księcia Radziwiłła.

Książę uściskał mnie bardzo serdecznie, dając mi tym sposobem dowód swojego zadowolenia i wdzięczności za wszystko, com zrobił dla niego. Oddałem mu list księcia Repnina, który zawierał w przybliżeniu to samo, co wyżej powiedziałem, a nadto dołączyłem prośbę, aby mnie nie chciał długo zatrzymywać, gdyż jestem bardzo potrzebny ambasadorowi.

Najważniejszą rzeczą było ułatwić i udogodnić podróż księciu, aby się znajdował 29. maja w Królewcu, a 30. na granicy, gdzie na niego miał oczekiwać pułkownik Carr. Dnia 2. przyszłego miesiąca ma już być koniecznie pod Wilnem, gdyż w tym dniu utworzona zostanie konfederacya generalna, która ma się zająć restytucyą jego praw; dnia 3. uda się do Wilna i obejmie w posiadanie dobra swoje. Na dzień 5. maja książę powinien stanąć w Białymstoku, gdzie hetman wielki koronny przygotowuje na jego cześć szereg uroczystości i ma go ogłosić marszałkiem konfederacyi podlaskiej.

Po kilkodniowym wypoczynku książę uda się następnie do Radomia na dzień 15. czerwca, który jest wyznaczony na ogłoszenie konfederacyi generalnej koronnej.

Książę Radziwiłł wspominał mi, że wszystko, co mu mówiłem, a zwłaszcza, co się tyczy pułkownika Carr, wydaje mu się snem. Przyrzekł podpisać rewers na dziesięć tysięcy dukatów, którego, jak go objaśniłem, zażąda od niego pułkownik Carr przed doręczeniem aktu konfederacyi generalnej.

Namówiłem go również, aby, odpowiadając na list ambasadora, oświadczył mu, że pamięć na niesprawiedliwość i krzywdy mu wyrządzone zmusza do powątpiewania, aby się nie miał mścić na nieprzyjaciołach swoich, ale że nigdy nie będzie wstępował w ich ślady, unikając ich podłości i nikczemnych postępków, jakiemi się splamili.

Uważałem za obowiązek polecić jeszcze względom księcia hr. Fleminga, który chciał się z nim pojednać. Nie bardzo był rad temu, że ambasador wdawał się w tę sprawę i chciał protegować jego głównego nieprzyjaciela, który najwięcej był w stanie wynagrodzić swoim majątkiem poniesione przez księcia szkody; zezwolił wszakże na to pojednanie pod warunkiem, aby hr. Fleming zwrócił się sam do niego z prośbą w tej kwestyi i usprawiedliwił się z zarzutów co do wyrządzonych księciu krzywd.

Poradziłem mu, aby kazał sporządzić specyfikacyę wszystkich poniesionych strat i powołał do sądów konfederackich kuratorów masy. Przedewszystkiem obaj kanclerze będą najwięcej winni w oczach całej prowincyi i nie stawią się do sądów, a tem samem będą skazani zaocznie.

Książę zobowiązał mnie również, abym mu się postarał o pożyczkę. Napisałem zaraz w tej sprawie, nie wiem wszakże, czy pożyczka ta nie zostanie znegocyowaną zapóźno.

Takie są główne punkta naszych wspólnych narad.

Onegdaj otrzymałem od księcia list z Królewca, którym zawiadamia mnie, że 3. b. m. stanie na pewno w Wilnie.

Pułkownik Fryczyński mówił mi, że książę znajduje się obecnie w krytycznem położeniu finansowem, że zaledwie miał przy sobie około 50 dukatów i że chciałby zaciągnąć pożyczkę w Gdańsku albo w Królewcu. Znajdzie on pieniądze na Litwie, a pierwszy dług, jaki zapłaci, będą to trzy tysiące dukatów, które winien Waszej Królewiczowskiej Mości, a które przyrzekł odesłać jak najspieszniej na moje ręce. Co do mnie, nie ofiarował mi nic, prócz uprzejmych słów.

X.

Referendarz Podoski mianowany prymasem. — Radziwiłł obrany w Radomiu marszałkiem konfederacyi generalnej koronnej. — Carr ściąga korpus piechoty pod to miasto. — Ogólne przerażenie i przygnębienie. — Niechęć Repnina do wojewody kijowskiego. — Ambasador rosyjski wydaje polecenie zamknięcia wszystkich w Radomiu i zamorzenia głodem. — Interwencya rezydenta sasko-kurlandzkiego. — Posłowie chana i baszy chocimskiego. — Wyjazd pana d'Aloy do Radomia. — Jego przemowa do obecnych w języku polskim. — Ogólne uspokojenie. — Biskup kamieniecki opuszcza Radom dla skłonienia biskupów krakowskiego i lwowskiego do przystąpienia do konfederacyi.

Warszawa, 24. czerwca 1767.

Śmierć prymasa i oświadczenie ambasadora, aby wynieść na tę godność referendarza Podoskiego, oto okoliczności, które mogłyby być wyzyskane z wielką korzyścią dla planów Waszej Królewiczowskiej Mości, i niema się co obawiać żadnej opozycyi i żadnych przeszkód w tym względzie.

Książę Radziwiłł został w dniu wczorajszym o godzinie 9ej wieczór obrany w Radomiu marszałkiem konfederacyi generalnej koronnej. Zyskał on tu ogólne uznanie i zadowolenie, konfederacya nabiera coraz większego znaczenia; jedna tylko okoliczność niepokoi mnie bardzo, a mianowicie brak pieniędzy.

Referendarz wezwany został z Radomia przez ambasadora i przybył tu wczoraj w celu usunięcia przeszkód, jakie stawia jego nominacyi na prymasa nuncyusz papieski, gdyż to mogłoby wywołać interwencyę dworu rosyjskiego, który z pewnością podtrzymywałby deklaracyę swojego ambasadora. Dowiedziałem się jednak, że ambasador ma już w ręku tę nominacyę, że Podoski już podobno oświadczył za nią podziękowanie królowi, oraz że nuncyusz został ułagodzony zaraz po pierwszej wizycie Podoskiego. Rezultat zatem jest jak najlepszy.

Obecność dzisiejszego prymasa w Radomiu nie byłaby w stanie przeszkodzić rewolucyi, jaka miała nastąpić z powodu nieporozumień. Korpus piechoty musiał być tam ściągnięty przez pułkownika Carr i gdybym jako wysłaniec ambasadora nie nadjechał tam w piątek, nikt żywy nie byłby na pewno wyszedł z miasta.

Po powrocie z Węgrowa, dokąd udawałem się obecnie w celu porozumienia się z hetmanem wielkim, czyniącym pewne trudności co do zasad ustanowionych dla konfedracyi, w której to sprawie przyrzekł przybyć na Pragę celem traktowania o tem osobiście z ambasadorem, — przekonałem się, że ten ostatni bardzo jest uprze-

dzony względem wojewody kijowskiego, którego uważa za głównego sprawcę zamieszek w Radomiu. Wydał on rozkaz postąpienia jak najsurowiej tak z nim, jak również z jego zwolennikami, polecił nawet, aby wszystkich zamknąć w Radomiu i głodem zamorzyć.

Ze swej strony przedstawiłem ambasadorowi powody, dla których byłem zupełnie innego zdania, zaprzeczając wszystkiemu, co mówiono o wojewodzie kijowskim, chyba żeby powziął nowy jaki projekt, opierający się podobno na pomocy Turcyi; znajdujący się bowiem obecnie u hetmana wielkiego posłowie chana i baszy chocimskiego udawali się poprzednio obaj do wojewody.

Ambasador napisał sam do wojewody, wyrażając w łagodnych słowach powzięte o nim podejrzenie i zobowiązał mnie, abym się udał do Radomia z listami do niego i do biskupa kamienieckiego, którego uważa także za malkontenta.

Przybywszy do wojewody, spostrzegłem na twarzach wszystkich obecnych jakąś niemą rozpacz i dowiedziałem się, że jedni poczynili już swoje ostatnie dyspozycye, gotowi zginąć za wiarę, inni grozili zemstą wszystkim zdrajcom. Wojewoda oświadczył mi, iż spodziewa się, że imperatorowa przyjąć go przynajmniej raczy za swego poddanego, że gotów jest oddać jej swoje dobra, jakie tylko posiada. Inni znowu mówili do biskupa kamienieckiego, że oddadzą pod jego opiekę dzieci swoje, a ci, którym udało się uciec z Radomia, uważali się za bardzo szczęśliwych, iż uszli wielkiego niebezpieczeństwa.

Przedewszystkiem starałem się uspokoić wojewodę, a chcąc wywrzeć taki sam wpływ na liczną szlachtę, jaka się tam zgromadziła, począłem mówić po polsku.

Gdy się dowiedzieli, że w tem wszystkiem jest jakieś nieporozumienie, że carowa chce szczęścia szlachty, że właśnie oczekuje od tej szlachty ustanowienia praw i przedsięwzięcia środków, zmierzających do zapewnienia ogólnego bezpieczeństwa i spokoju; że chce ona pomagać szlachcie i nie opuszczać jej; że wojska, które tu się znajdują, przysłane zostały jedynie po to, aby występowały przeciwko tym, którzyby byli powodem zamięszania i zamachów w konfederacyi, t. j. przeciw wszystkim nieprzyjaciołom ojczyzny; że wreszcie zobowiązuje się piśmiennie, za pośrednictwem ambasadora, wyjaśnić im wszelkie ewentualne wątpliwości, — wtedy, powiadam, uspokoili się cokolwiek.

Całe to zamięszanie i nieporozumienie powstało z powodu jakiegoś manifestu, który starano się ukryć przed ambasadorem, a który obejmować miał dwa główne artykuły: jeden odnoszący się

do zawieszenia praw konfederatów, drugi zaś modyfikujący obietnice, poczynione dyssydentom, co było przyczyną burzliwych narad, powątpiewań i ogólnego zrozpaczenia.

Kiedy spokój znowu nastąpił, udałem się do ambasadora z listem wojewody i dwoma listami biskupa kamienieckiego. Zacny ten prałat opuścił Radom dla namówienia arcybiskupa lwowskiego oraz biskupa krakowskiego, aby przystąpili do konfederacyi, a jednocześnie celem podpisania akcesu do tejże.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

(Ciąg dalszy).

II.

Tadeusz Czacki i projekt urządzenia szkół w Krzemieńcu.

Osobistość to literaturze polskiej bardzo dobrze znana. Obok częstych nader wzmianek, rozrzuconych tu i owdzie po czasopismach, wydawnictwach peryodycznych i rozprawach historyczno-literackich, mamy i wyczerpujące dosyć monografie tego zasłużonego męża — odsyłając więc ciekawych do prac moich poprzedników [1]), wspomnę jedynie dla zachowania pewnej ciągłości, o ile można pobieżnie, ważniejsze wypadki żywota pełnego troski o dobro ogółu i kraju. — Gniazda Czackich szukać chyba należy nie w prowincyi, gdzie ich w późniejszych spotykamy czasach, ale w województwie poznańskiem. I tak Jędrzej, piastując godność dziekana kujawskiego, kantora poznańskiego i kanonika gnieźnieńskiego, cieszył się wśród swoich uznaniem wielkiem i wziętością niemałą. Aż „dwadzieścia i siedm razy zasiadał w trybunale koronnym, z czego takiej w ojczystem

[1]) Stanisław Potocki: Pochwała Tad. Czackiego; Al. Osiński: O życiu i pism. Tad. Czack.; Michał Baliński: Jan Śniadecki i Tad. Czacki; Teofil Ziemba: Tadeusz Czacki w dziejach naszego szkolnictwa; Majchrowicz: Tadeusz Czacki i jego zasługi w dziedzinie wychowania publiczn.; Chmielowski: Enc. wych. T. III. i t. d.

prawie umiejętności nabył, że go ojczyzna do korrektury praw koronnych z sejmu warszawskiego 1589 destynowała i z sejmu 1601 do tejże funkcyi" [1]). Widocznie owa znajomość praw krajowych, pracowitość i stałość zasad w rodzinie Czackich dziedzicznie przechodziła z pokolenia w pokolenie, przyznać bowiem te same zalety wypadnie, obok Tadeusza, i ojcu jego Szczęsnemu.

Dopiero z końcem XVII. stulecia napotykamy, wśród wybitniejszych postaci wołyńskich, Wojciecha Czackiego, chorążego wołyńskiego, starostę włodzimirskiego, porucznika hetmańskiego, który „z dzielności swojej tak rozumu, jako i ręki rycerskiej u Jabłonowskiego hetmana w pierwszych respektach na Wołyniu osiadł" [2]). Z dwóch jego wnuków, starszy — Szczęsny, wskutek swego ruchliwego żywota, stałości charakteru, a może nawet z racyi kilkuletniego uwięzienia przez Rossyan — stał się głośniejszym i znanym. Osobistość podczaszego koronnego z gruntu uczciwa, głęboko religijna, do żadnych kompromisów ze sprawami podejrzanej natury nie nadająca się — była zarazem prototypem wolności i równości szlacheckiej. Zagorzały szermierz w obronie prastarych przywilejów herbowej rzeszy, walczy o nie słowem i piórem, polemizuje z księdzem Konarskim, gani — jako rzecz szkodliwą — tyle sławne konwikty pijarskie, występując w ogóle wrogo przeciw wszelkim zachciankom nowatorskim ludzi liberalniejszego nieco pokroju [2]). Pragnąc dwóch synów wychować na Polaków w prawdziwem słowa znaczeniu, nie zaś na paniczyków, kaleczących mowę ojczystą a paplających natomiast, jak rodowici Paryżanie — po francusku, nie chce ich puścić — zwyczajem wówczas przyjętym — za granicę, lecz przeciwnie wzywa ks. Faustyna Grodzickiego, dawniejszego swego w lwowskiem kollegium Jezuitów profesora, jemu powierzając dalszą pieczę nad umysłami młodzieniaszków, którzy przez przeciąg lat pięciu przebywali w Gdańsku pod okiem stryja Franciszka, strażnika koronnego. Ostatni zajął się losem bratanków — jako najbliższy tychże krewny, matka ich bowiem, Katarzyna Małachowska, siostra przezacnego marszałka wielkiego sejmu, już dawniej rozstała się z tym światem, ojciec zaś — z racyi swoich przekonań — uwięziony, siedział zamknięty i strzeżony pilnie, zdala od rodziny, w Bro-

---

[1]) Niesiecki III. 167.
[2]) Niesiecki j. w.
[3]) Hellenijusz: Kilka rysów i pamiątek *(Szczęsny Czacki)*. Poznań 1860. 367—429. — Niesiecki j. w.

dach a potem w Połonnem [1]). Jak ks. Grodzicki wywiązał się z powierzonej mu misyi — przyszłość najdowodniej wykazała. Śmiało miał prawo chlubić się uczniem, którego dzieje do najwybitniejszych nieomal zaliczyły osobistości.

Tadeusz Czacki, urodzony 28. sierpnia 1765 r. w Porycku na Wołyniu [2]), od lat najmłodszych nie był pochopnym do zabaw dziecięcemu wiekowi właściwych, od lat najmłodszych wzbudzać miał powszechny podziw wśród najbliższego otoczenia z powodu bogactwa wiadomości, odnoszących się do historyi ojczystego kraju. Jako charakterystyczny fakt zapisują jego biografowie, że już w zaraniu życia „podnosił się do tey doskonałości, która się na miłości bliznich wspiera i zasadza.“ Oto umówiwszy nauczyciela, Franciszka Świątkowskiego, „przeznaczone od Rodziców pieniądze na swoie wydatki, obracał na uczenie dzieci osierociałych“ [3]). Umieszczony przez króla w sądach zadwornych, porządkuje z własnej woli z prawdziwem zamiłowaniem Metrykę koronną, nie zapominając w chwilach wolnych od zajęć o pracach naukowych. W r. 1788 — choć tak jeszcze młody — wchodzi z woli sejmu do komisyi skarbowej, wybija się w niej na najwydatniejsze stanowisko, zasłynąwszy u ogółu z pracowitości, znajomości rzeczy i nieskazitelności charakteru. Zwiedziwszy kraj niemal cały, wydaje *Hydrograficzny kraiopis* wszystkich rzek Polski, po oswobodzeniu zaś brzegów Dniepru i Czarnego morza od kozactwa i tatarstwa, krząta się około ułatwienia żeglugi na Dnieprze i Dniestrze, jak również myśli o rozszerzeniu zbytu ziemiopłodów krajowych, porozumiewając się nawet w tej sprawie z hospodarem mołdawskim. W komisyi skarbowej pracował z niemałym dla ogółu pożytkiem całych lat siedm i z pewnością niejedno — wpływając na innych — w konstytucyi majowej ze swej strony dodał [4]). Pozbawiony chciwości, nie starał się o pochwycenie — w nadgrodę za swe czyny — jakiego smacznego kąska w postaci długiego szeregu królewszczyzn; nie ubiegał się też za orderami — choć mimo to dwa z nich posiadał — natomiast na brak uznania współobywateli uskarżać się nie miał powodu. Biskup płocki Szembek wraz z Morskim, kamienieckim kasztelanem —

---

[1]) Osiński: O życiu i pism. Tad. Czackiego 6—11; K. Kaczkowski: Wspomnienia (wyd. Orzechowski), Lwów 1876. I. rozdz. 2.

[2]) Osiński j. w.; Potocki: Pochwała... podaje rok 1766.

[3]) Osiński 10.

[4]) Potocki: Pochwała... (*Roczn. Tow. Król. Warsz. Przyj. Nauk.* Warszawa 1818. T. XII. str. 12—39).

w obliczu króla i sejmujących stanów, sławiąc wielkie zasługi przyszłego założyciela szkoły wołyńskiej, „godne wdzięczności całego narodu, polecali go naymocniey względom króla łaskawym.“ Nie szczędzili swych pochwał i inni a zakończył je sam król, odezwawszy się w następujące słowa: „Nieraz oświadczałem, iak poważam zasługi i talenta J. P. Czackiego, i gdy czas do tego przyydzie, będę wnosił prośbę do stanów zgromadzonych, aby tenże J. P. Czacki nawet bez poprzedzaiącego wyboru, do dalszego Urzędowania zgodnym głosem był wezwany . . .“ [1]).

Działo się to w pierwszych dniach lutego 1791 r.; pan Tadeusz nie był świadkiem naocznym swego odznaczenia, uwolniwszy się bowiem na czas pewien od zajęć, pospieszył na Wołyń, by tam uczestniczyć w pogrzebie ojca, który 12. października poprzedniego roku życie zakończył, jak również przeprowadzić najzgodniej dział majątkowy.

Przeciwny pewnym ustępom konstytucyi 3. maja ogłoszonej, skoro ta jednak moc prawną zyskała, nie chcąc należeć do wichrzycieli, składa 7. maja 1791 r. — wraz z komisyą skarbową — przysięgę na posłuszeństwo zapadłej świeżo ustawie [2]). Jeżeli zauważymy, że — obok prac powyższych — zajmował się Czacki projektem szczegółowego pomiaru Polski, spisywaniem sum duchowieństwa galicyjskiego, reformą stosunków żydowskich [3]) i t. d., wtedy dopiero przedstawi nam się w całej pełni działalność niestrudzonego finansisty, uczonego, ekonomisty-prawnika, historyka i pedagoga. Doprawdy trzeba było mieć spory zasób wiedzy wszechstronnej i zapału do pracy, by temu wszystkiemu podołać. Nadeszła atoli epoka krwawej bratobójczej walki, co wszelkim szlachetniejszym pracom i projektom na czas pewien rozwijać się nie dozwoliła. Kraj uległ przemocy niełaskawych na nas sąsiadów; posypał się szereg długi konfiskat a Czacki należał do nadto wybitnych i znanych osobistości, by i na jego majątku nie poszukiwali nowi władcy odszkodowania za koszta prowadzenia wojny. Zabrano mu Brusiłów i Ostróg, Poryck oddano w sekwestr za długi, co skłoniło Czackiego do przedsięwzięcia — w swoim i innych pokrzywdzonych interesie — żmudnej i długiej podróży do Petersburga. Dopiero Paweł, wstąpiwszy na tron, uwolnił więźniów polskich i sporo konfiskat uznał za niebyłe; w liczbie ostatnich znalazły się i majątki przyszłego wizytatora szkół gubernii kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej.

---

[1]) Osiński 40—41.
[2]) Ibid. 50.
[3]) Ibid. 51—54; Ziemba 9.

Nieszczęścia ogół dręczące, olbrzymie bankructwa Prota Potockiego i innych banków, pociągające w następstwie upadek wielu zamożnych wczoraj jeszcze rodów, i jego dotknęły, mimo to nie ustaje w pracy, energii mu nie braknie. Baczniejszą uwagę teraz zwracać począł na życie Wołynia i Podola, a nie dopatrzywszy na owych pięknych i bogatych obszarach ani jednej — w prawdziwem słowa znaczeniu — szkoły wyższej, ani jednego ogniska, gdzieby młódź krewka, ale zacna i poczciwa, dostateczną ilość pokarmu ducha znaleźć mogła, zaczyna myśleć o założeniu gimnazyum. Że wprowadzenie w czyn powyższego planu łatwem nie było — przyzna każdy, kto zechce zastanowić się, choćby na chwilę, nad ówczesnem położeniem rozerwanego na części i zgnębionego kraju. Starać się należało o zezwolenie władzy, o fundusze i o nauczycieli. Który z trzech warunków największą przedstawiał trudność — niełatwo zaiste powiedzieć, to tylko pewna, że żaden z nich błahym nie był, ale czegóż nie dokaże wytrwałość Czackiego . . .

Wstąpienie na tron Aleksandra I., początkowe usposobienie monarchy, wpływowe stanowisko ks. Czartoryskiego usuwają pierwszy szkopuł; hojność obywateli wołyńskich i sąsiednich gubernii pozwala Czackiemu na przyzwoite opatrzenie szkoły, na zakupno zbiorów i wreszcie na sprowadzenie doświadczonych i znanych profesorów z akademii krakowskiej.

Konieczna atoli było fundusze nowego zakładu na pewniejszej — niż ofiarność obywateli — oprzeć podstawie. I temu zaradził przez zaprojektowanie komisyi ku dochodzeniu funduszów pojezuickich, na czele której za zgodą rządu sam stanął, postępując bez zwracania uwagi na jakiekolwiekbądź — choćby najserdeczniejsze — stosunki znajomości, przyjaźni a nawet powinowactwa, co mu wielu niechętnych przysporzyło, choć z drugiej strony znaleźli się i ludzie poważni, z całem uznaniem odzywający się o tem jego postępowaniu, zaznaczając, że ono zaszczyt Czackiemu, pożytek ogółowi przynosi. „Ta staranność władzy publicznej o podobne fundusze jest wielkiem zachęceniem dla majętnych osób do nowych dobrodziejstw na wsparcie ubogiej przy szkołach młodzi“ [1]). We właściwem miejscu obszerniej o tej sprawie mówimy, na razie notujemy jedynie fakt, że Czacki mianowany został prezesem owej magistratury i ztąd też kwasy i zawiści rzekomo pokrzywdzonych. Nie chcieli bo oni tego zrozumieć, że gdyby Czacki nie wyprosił przeznaczenia owych

[1]) Śniadecki Jan: Pisma rozmaite. Wilno 1818. T. II. 69—70; Potocki: Pochwała 25.

spornych funduszów na cele oświaty, rząd wyciągnąłby je tak samo, z tą różnicą tylko, że na utrzymanie wojska, gdyż takie, a nie inne, było ich pierwotne przeznaczenie. Że starosta nowogrodzki, z przydanymi sobie do pomocy kolegami, nie próżnował, świadczą najwymowniej same cyfry. Przysporzył on wychowaniu publicznemu, ni mniej, ni więcej, tylko 2,350.000 złp. [1]).

Dziennik Wileński z 1805 r. [2]) umieścił wyciąg ze sprawozdania Czackiego o stanie szkół na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, które on jako wizytator napisał. Daje ono nam właśnie pewne wyobrażenie o owych smutnych stosunkach, jakie panowały na polu powszechnego oświecenia, w epoce bezpośrednio otwarcie gimnazyum krzemienieckiego poprzedzającej. Ludność Wołynia wynosiła podówczas 553.202 głów; Podola 577.133; Ukrainy 576.891.

Załączona tabelka najlepiej uwidoczni rzecz całą:

	szlachty	Mieszczan, kupców, wolnych i zagranicznych	włościan	Ogół trzech rubryk
Wołyń:	38.452	28.503	462.450	529.405
uczniów:	1.820	422	96	2.338
jeden uczeń na:	21	67	4.817	226
Podole:	50.638	23.183	480.120	553.941
uczniów:	1.495	436	40	1.971
jeden uczeń na:	33	52	12.003	281
Ukraina:	43.597	18.317	495.145	557.059
uczniów:	432	118	27	577
jeden uczeń na:	100	115	18.338	965

wziąwszy więc pod uwagę całą ludność gubernii, wypadnie na Wołyniu jeden uczący się na 236 mieszkańców; na Podolu jeden na

[1]) Stecki (j. w.) I. 161—165.
[2]) Nr. 2 str. 19 i następne...

292; na Ukrainie nawet cyfra powyższa do 999 głów dochodzi; procent chyba aż nadto mały.

Stosunek ten tłomaczy szanowny wizytator okolicznością, że Wołyń, jako najbliższy stolicy, najgęściej zamieszkały, różnił się i pod względem oświaty od Bracławszczyzny i Kijowszczyzny, które w znacznej części stepowy miały charakter [1]). Gubernia kijowska — zapomniana z wielu powodów przez rząd — nie mogła szczycić się zbytnią tegoż opieką; możni panowie nie zamieszkiwali swoich obszernych włości, ich zaś zastępcy zdawali się nie baczyć na to, że „powszechna ucisku zbrodnia, powszechną musi mieć także karę.“ Wszystkie żywioły jakby zmówiły się, by stawiać bezustanne zapory wzrostowi oświaty. Pierwszym, który w tych stronach — w epoce ogólnego zastoju — przybytek nauki fundował, był Salezy Potocki, założyciel 1765 r. szkoły humańskiej. Krwawej pamięci rzeź humańska i jej na czas pewien śmierć zadała; wskrzeszona ponownie 1774 r. przetrwała zupełnie samotna całych lat czternaście, t. j. do chwili otwarcia szkółki w Kaniowie. Po katastrofie 1794 r. wychowanie publiczne obniżyło się jeszcze więcej. Schwyciwszy za miecz, nie mógł naród równocześnie o szkolnictwie pamiętać, wegetowało więc ono pod nowym rządem z dnia na dzień; szkółki znajdowały się w najopłakańszym stanie, zapełnione w znacznej części stekiem ludzi niepowołanych do nauczania, niedozorowanych *de facto* przez nikogo [2]). To też z entuzyazmem niemałym przyjęto zmiany na lepsze, zaprowadzone przez Aleksandra I. Zaczęły się one od ustanowienia ośmiu departamentów rządowych, wśród których znalazła się i nowość w Rosyi — osobny wydział, zarządzający sprawami oświecenia narodowego. Ukaz odnośny opatrzony datą 8 (20) września 1802 r.; zwierzchnikiem, czyli rodzajem dyrektora departamentu (ministra), został Piotr hrabia Zawadowski, osobistość nie bez pewnych zasług, zupełnie godna zaszczytu na nią

[1]) *Rękop. Muz. Czart. Nr. 3443* podaje bliższe dane, dotyczące szkół krzemienieckich, w epoce między 1787 a 1803 r. W okresie tym liczyły szkoły wzmiankowane 4503 wychowańców: kl. I. — 1814; II. — 904; III. — 738; IV. — 429; V. — 350; VI. — 260. W latach 1794—5 szkoła świeciła pustką. Charakterystyczne są uwagi dyr. Tylkowskiego. I tak: „r. 1794 Rewolucya. Po odprawioney Potyczce w Krzemieńcu Uczniowie i Nauczyciele szukali gdzieindziey bezpieczeństwa. — 1795. Kordony ścieśnione, Szkoły magazinami założone. Nauczyciele małą mieli liczbę Uczniów. Lekcye dawali po Stancyach.“

[2]) Tadeusz Czacki: *O stanie jeneraln. oświecenia gub. Wołyńsk.* Np. w r. 1793 klasa VI. miała uczniów 140; w 1803 — 48; kl. V. w 1793 — 235; w 1803 — 51 i t. d.

włożonego [1]). Tadeusz Czacki powiada o nowym ministrze, że „do wielu umiejętności, które nabył, łączy wiadomość obszerną naszey literatury i mowę polską doskonale posiada“ [2]). Był to więc i dla prowincyi polskich nabytek stosunkowo dodatni, mogący w rezultacie niemałe przynieść korzyści.

Zaczęła się praca nad ułożeniem i wprowadzeniem pewnych zasad powszechnego wychowania; wynik tejże podanym został do wiadomości ogółu już w ostatnich dniach stycznia 1803 r. Dowiadujemy się zeń, że do istniejących już uniwersytetów w Moskwie i Dorpacie, przybywają nowe wyższe zakłady w Petersburgu, Charkowie i Kazaniu. Zasługa ks. Adama Czartoryskiego, że i o Litwie pamiętano; dnia 4. kwietnia 1803 r. wyszedł akt, zatwierdzający uniwersytet w Wilnie, w dwa tygodnie później ogłoszono osobne ustawy tegoż uniwersytetu, jak również szkół — jemu podległych — dotyczące [3]). I fakt ostatni został w przemówieniach Czackiego upamiętniony [4]). Rządy Pawła — oto treść słów jego — nie odpowiadały specyalnemu zajmowaniu się sprawą powszechnego oświecenia; dopiero Aleksander I. wprowadza jednostajny system nauczania, co zbawienny wpływ wywrzeć musiało. W Warszawie powstaje Towarzystwo Przyjaciół Nauk, w koło którego grupować się zaczęła, z dniem każdym niemal liczniejsza, gromadka pracowników pióra. Pierwsze nazwiska w kraju, imiona znane dobrze każdemu z chwil ostatnich istnienia Polski, figurują w spisach członków nowego towarzystwa, w innym zaś zakątku rozerwanej ojczyzny drugie ognisko jaśniej płonąć również zaczyna. Mamy na myśli stolicę Litwy, gdzie — za staraniem, wezwanego do pomocy hr. Zawadowskiemu, ks. Adama Czartoryskiego — otrzymał „godny rektor uniwersytetu... Koadiutor Biskup X. Stroynowski Dyploma dla szkoły główney i szkół ośmiu gubernii dawniey do Polski należących“. Uniwersytet piastuje władzę zwierzchniczą nad pozostałymi zakładami naukowymi, lecz — nazbyt daleko od Wołynia oddalony — nie może być dla ogółu uczących się dostępnym, a przecie nie chodzi nam o posiadanie kilku geniuszów, mędrców, ale o podniesienie powsze-

[1]) Śniadecki Jan: Pisma II. 136—154; W. Szulgin: Istor. Uniw. św. Władimira. S. Petersb. 1860 str. 12; Gust. Olizar: Pamiętniki. Lwów 1892 s. 30.

[2]) *Mowa Tad. Czackiego... dnia 1. Oktobra 1805 r. przy otwarciu Gimn. Woł...* i t. d.

[3]) M. Baliński: Dawna Akad. Wil. Petersburg 1862 str. 552—596.

[4]) *Mowa* — wyżej wspomniana.

chnego poziomu wykształcenia, potrzeba dobrych gospodarzy, mechaników, prawników i t. d., temu zaś wszystkiemu zadosyć uczynić ma gimnazyum wołyńskie.

Bardzo wiele zależało na tem, by wydane rozporządzenia nie zostały — wskutek złego, lub niedbałego wykonania — martwą jedynie literą. Trafnym też bardzo nazwać wypadnie wybór księcia Adama Czartoryskiego — kuratora wileńskiego naukowego okręgu — jak i wezwanych przez niego do współdziałania w zaszczytnej pracy: Jana Śniadeckiego i Tadeusza Czackiego. O wzajemnym do siebie stosunku dwóch ostatnich osobistości, niemałej dla kraju i społeczeństwa zasługi — pisano wiele, tłómacząc w najrozmaitszy — najczęściej błędny — sposób chwilowy może żal jednego lub drugiego. Dopiero Michał Baliński[1], na podstawie źródeł pierwszorzędnego znaczenia, bo obopólnej korespondencyi rektora z wizytatorem — usiłował sprawę na odpowiedniejsze pchnąć tory. Mówić o niej we właściwem miejscu obszerniej nie omieszkamy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle.

---

[1]) *Studia Historyczne*, Wilno 1856. Artykuł p. t. Jan Śniadecki i Tadeusz Czacki.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

(Ciąg dalszy).

3. Ustrój wojskowy.

Organizacya wojskowa, której rysy zasadnicze wskazaliśmy w drużynie, podlegała i musiała podlegać pewnym zmianom, wynikającym zarówno z przystosowania się do topografii kraju, jakoteż w skutek zmieniających się stosunków, w jakim władza najwyższa stawała do społeczeństwa tubylczego.

Pierwsze drużyny Waregów były wyłącznie piesze, a nawet innemi być nie mogły, przychodząc „z za morza". Środkiem komunikacyi mogła być tylko żegluga i jak długo Waregowie trzymali się głównej arteryi wodnej, prowadzącej do państwa wschodniego, tak długo przeważną siłę wojskową musieli opierać na piechocie, przenoszonej z miejsca na miejsce w łodziach. Jak długo dań z Greków stanowiła impuls wypraw drużyn waregskich a głównym celem i źródłem dochodu było „srebro, złoto i pawołoki", tak długo piechota tworzyła podstawę organizacyi wojskowej, a łodzie były najdogodniejszym środkiem przenoszenia się. System wodny Dniepru z dorzeczami żeglownych rzek takich, jak Prypeć, Desna, a nawet pomniejsze jak Suła, Trubież, Roś długo nadawały przewagę pieszej organizacyi wojska. Rzeki powyższe, większe i mniejsze, były niekiedy jedynemi drogami, przy pomocy których później można było porozumiewać się z podbitemi plemionami słowiańskiemi w celu ściągania daniny. Dróg, w znaczeniu teraźniej-

szem. nie było prawie. Włodzimierz, już w późnym wieku, obrażony na syna Jarosława, siedzącego w Nowogrodzie, a uchylającego się od płacenia ojcu „dani". chciał ruszyć na niego wojną i w tym celu rozkazał „trzebić lasy i stawić mosty", co wskazywałoby, że komunikacyę lądową uważał już za dogodniejszą.

Zresztą i o tem pamiętać trzeba, że jak długo Waregowie kupili się koło Nowogrodu, tak długo nie mogło być mowy o drużynie konnej z tej racyi, że koni nie mogli posiadać podostatkiem. Charakter dzikiej hodowli, t. j. opartej na przypadkowości, a pozbawionej zupełnie cech świadomego celu, wymagał koniecznie większych obszarów trawnych. Takie warunki istniały na południu — koło Kijowa, a raczej od Kijowa począwszy.

Pierwsze wyprawy Waregów do Kijowa, zarówno Dira, jak i Olega, były w łodziach. Całe wojsko Olega mieściło się w łodziach; dopiero podpłynąwszy pod Ugorskie uroczysko, kniaź część drużyny wziął ze sobą, a drugą w łodziach ukrył, ażeby tem łatwiej mógł podstępem zdobyć Kijów dla Igora (879—882). Dopiero w szesnaście lat przeszło po tym wypadku, kiedy się już w Kijowie osiedział, utworzył drużynę konną z plemion tubylczych Polanów, Siewierzanów, Dulebów, Tywerców, Drewlanów, Radymiczanów, jakoteż plemion północnych, które ze sobą przyprowadził. Oleg też pierwszy począł opierać się w organizacyi wojskowej na ludności podbitej; „biesza u nieho Słowieni i Wariazi i procza", których wszystkich razem, od imienia zdobywców i przywódców, Grecy nazywali „Rusija" albo „ruskaja ziemla" [1]).

Zgromadziwszy tedy wojsko tak wielkie, jakiego dotychczas nie miał żaden kniaź waregski, wyruszył Oleg „konno i w korabiach na Greków", a było wszystkich korabi 2000 a w korabiu po 40-stu ludzi. Taka wyprawa lądowa i wodna równocześnie, praktykowana później przez Kozaków, którzy temi samemi drogami chadzali do Carogrodu na Turków i Tatarów, miała swoje racye: na Dnieprze trzeba było przebywać tak zwane porohy, wojsko więc konne okazywało w tym wypadku ogromne usługi, nietylko ułatwiając przesunięcie łodzi przez miejsca niebezpieczne, ale tworząc także ochronę dla całego taboru, który mógł być poturbowany zarówno przez dzikich mieszkańców równie dzikich stepów, jak i przez wojska Greków.

---

1) A. Bielowski: Monum. I., 567, 572. Szczegóły o tem w Poł. sobr. russ. liet. t. I. str. 12, 19.

Jeżeli wojsko składało się tylko z żołnierzy pieszych, wtedy cała wyprawa odbywała się w łodziach do porohów, tu przesuwano je brzegiem, tak zwaną „wołoką“. albo wsadzano dla pośpiechu na koła i tak przeciągano; przy asystencyi oddziałów konnych czynność tę spełniały konie. Z powodu wypraw Świętosława na Greków, Nestor zapisał prawdopodobną anegdotę — sposób, w jaki kniaż waregski o mało Carogrodu nie zdobył: Grecy, dowiedziawszy się, że Ruś idzie, zamknęli cieśninę i uniemożebnili dostęp korabiom; wówczas Świętosław, spostrzegłszy, że wiatr jest pomyślny, kazał korabie wsadzić na koła, rozpiąć żagle i w ten sposób pod miasto się zbliżył [1]).

Koń w ogóle bywał w owe czasy rzeczą kosztowną, a szczególnie koń wojskowy; kto miewał poruczoną sobie pieczę nad nim, a był przyczyną kradzieży lub zgubił go w jaki bądź sposób, musiał wysoką karę płacić do skarbca kniaziowskiego, bez względu na to, czyj był koń, z tą tylko różnicą, że za książęcego konia płacono 3 grzywny, a za konia smerdy 2 grzywny [2]). Osiedlenie się, a raczej rozkoczowanie się na późniejszych stepach południowych ku morzu Czarnemu najprzód Pieczyngów, a następnie Połowców, jakoteż ciągłe utarczki z niemi, wywołały nietylko potrzebę obrony zdobytych przez potomków Ruryka krajów, ale odciągały siły wojskowe od najazdów na Państwo Bizantyńskie. Przyczyny te razem wzięte zdziałały tyle, że Waregowie z potęgi na pół morskiej poczęli się powoli przeobrażać na państwo lądowe, tem bardziej, że przyjęcie religii chrześciańskiej z Carogrodu, spokrewnienie się z Bizancyum, jakoteż potrzeba organizowania tych sił, w posiadaniu jakich znaleźli się, uniemożebniła im zupełnie wojnę rabunkową. Następstwem zaś tego musiało być zorganizowanie wojskowości odpowiedniejsze do potrzeb obrony krajowej i do charakteru walki, prowadzonej zawsze na lądzie. Skutkiem tego przewagę brać poczęło wojsko konne. Walki z Pieczyngami, Połowcami, jakoteż innemi plemionami koczowniczemi wymagały także wojska konnego; gdyż na szybkości koni polegało nieraz zwycięstwo. Tak więc z jednej strony zaniechanie wojny rabunkowej z Grecyą, z drugiej potrzeba obrony kraju od nieprzyjaciół lądowych, sąsiadujących z Rusią, i wreszcie postępująca coraz dalej organizacya państwowa, były coraz silniejszym bodźcem do reorganizacyi systemu drużynowego, waregskiego i do

[1]) A. Bielow. Monum. I., 572.

[2]) Kałaczow: Izsliedowanije o Ruskoj Prawdie 93. W spisku synodalnym i akademickim artykułu tego nie ma.

zasilania się organizacyą miejscową, słowiańską, jaka niezawodnie w nader niewyraźnych zarysach istniała przed przybyciem Waregów.

Na oznaczenie pojęcia siły zbrojnej znajdujemy u Nestora trzy wyrazy: drużyna, woi, rat' — wszystkie one są pojęciem zbiorowem i dadzą się rozklasyfikować na inne, składowe czynniki. Co do wyrazu drużyna, stosunek jej do księcia staraliśmy się określić poprzednio, jakoteż skład jej, ulegający ciągłym zmianom w miarę zmieniających się stosunków księcia do zdobytego kraju i ludności miejscowej.

Wyrazy woi i rat' oznaczają stosunek tego samego pojęcia siły zbrojnej do nieprzyjaciela i do księcia. Kiedy mowa o radzie, o przyjacielskim stosunku kniazia do garstki otaczającej go bezpośrednio, która stanowi pewnego rodzaju radę przyboczną jego, składa się z ludzi zaufanych, używa się wyraz „drużyna"; kiedy mowa o żołnierzach tylko używa się wyrazów woi i rat', tak że właściwie wyrazy te zawierają w sobie niekiedy pojęcie drużyny. W X. wieku jeszcze Nestor odróżnia doskonale charakter „drużyny" od „wojów", „rati". Odróżnienie to polega na wskazanych już cechach stosunku drużyny waregskiej do kniazia. Z początku w drużynie nie było Słowian, miała ona charakter jednolity, składała się z Waregów, którzy ze współuczestników walk stali się współrządzącymi i przyjaciołmi kniaziów. Gdzie jednolitego charakteru nie ma, gdzie nie ma cechy stosunku do kniaziów, tam latopiscy używają wyrazów „woi", „rat'" [1]). Na oznaczenie charakteru wojska Nestor posługuje się dwoma wyrazami: pieszci i konni. Później, mianowicie od Jarosława począwszy, wytworzył się odrębny rodzaj wojska, któryby można nazwać strażą przyboczną, zwany otrokami, grydniami (pokojowcami): była to młodzież, synowie drużynników, bojarów, dostojników. Widzieliśmy, że Świętopełk w wojnie z Połowcami posiadał ich osiemset [2]). Bywali oni pod bezpośredniem dowództwem księcia albo wojewodów. Nestor, charakteryzując według pochodzenia, nazywa ich bojarcami, „bolarci" [3]).

Zwierzchniczą władzę nad wojskiem dzierżył kniaź, z początku wyłącznie, później musiał ją dzielić między innych wybitniejszych ludzi, którzy nosili słowiańską nazwę wojewodów. Zastępowali

[1]) Poł. sobr. russ. liet. I., str. 19, 32 i in. pod r. 944: „Igor swokupisza woi mnogi Wariahi, Ruś i Polany, Słoweni i Kriwiczi i Tiwerci..."; pod r. 980 „Wołodimir że sobra woi mnoga Waregi i Słoweni, Czud' i Kriwiczi..."

[2]) A. Bielow.: Monum. I. 767.

[3]) ibid. 680.

oni kniazia na wojnie na czele całej lub części drużyny. Pierwszy raz Nestor używa tego wyrazu pod r. 945, przenosząc pojęcie późniejsze na wcześniejsze, słowiańskie do organizacyi waregskiej. Do śmierci Igora nie używano tego wyrazu, bo właściwym wojewodą w znaczeniu słowiańskiem bywał zwykle sam kniaź; póki żył, nikt go nie zastępował i zastąpić nie mógł, bo z dowództwem nad wojskiem połączoną była najwyższa władza; ten, kto ją dzierżył, był faktycznym kniaziem lub jego zastępcą. Miało to miejsce po śmierci Ruryka, kiedy władzę objął Oleg: to samo nastąpiło po śmierci Igora, z tą tylko różnicą, że władzę nad wojskiem dzierżył człowiek nie z „plemienia i rodu Igora“ — przynajmniej dowodu na to nie ma.

Zastępcą kniazia w obec drużyny Igorowej był Świenald w skutek małoletności Świętosława — nazwany po raz pierwszy wojewodą. Nazwisko Świenalda, bez dodatku „wojewoda“, wspomina się jeszcze za życia Igora jako dowódcy innej jakiejś drużyny, nie Igorowej, która jednak wraz ze swoim naczelnikiem prowadziła wojny, jeżeli nie z własnego popędu, to w każdym razie dla własnego zysku [1]).

„Wojewodą“ w znaczeniu słowiańskiem bywał człowiek, który „woje wodził“, czyli prowadził wojsko do bitwy. Nazywano przeto tym nazwiskiem każdego, kto dowodził częścią wojska. Takim był n. p. Preticz w czasie nieobecności Świętosława, bawiącego w Perejasławiu, prawdopodobnie ze Swienaldem, nad Dunajem, w miejscu, które sobie nietylko upodobał, ale dokąd pragnął przenieść stolicę swego księstwa. Gdy tedy w czasie jego nieobecności Pieczyngowie obsadzili Kijów (r. 968), a mieszkańcy, głodem nękani, bronić się już nie mogli, do pomocy im przybyła część wojska — drużyny — pod wodzą Preticza. Musiała to być jedna z drużyn grodowych, „mniejszych“.

Od tej doby naczelnicy siły zbrojnej stale są nazywani „wojewodami“. Tak Włodzimierz miał wojewodów Błuda i Wilczy Chwost, Igor i Świętosław: Świenalda i Preticza, Jarosław — Wyszatę, Wczesław — Jana Wyszatycza (1088). Bez wymienienia tytułu „wojewoda“ ale z atrybucyami ich władzy są wspomnieni za Świętopełka, oprócz Wyszatycza i Preticza, Iwan Zacharycz i Kozaryn. Niekiedy dostojeństwo wojewodów przechodziło, jak w rodzinie Wyszaty, z ojca na syna.

[1]) A. Bielow.: Monum. I. 596 i nast.

Naturalnie, Nestor nie wymieniał wszystkich wojewodów, ale tych tylko, którzy bezpośredni udział w wojnie brali.

Coraz pewniejsze osiedzenie się w kraju i potrzeba organizacyi państwowej, opartej na sile zbrojnej, nakazywała zwiększenie tej siły. Dawniej odbywało się to sprowadzaniem Waregów „z za morza": z czasem jednak, w miarę zesłowiańszczania się książąt i wytwarzania się wspólności interesów z ludnością podbitą, siła zbrojna coraz bardziej powiększa się napływem żywiołów tubylczych, a jednocześnie następuje większa decentralizacya tych sił, która w w. XII. przybiera już charakter organizacyi prawidłowej. Siła zbrojna w całości nie kupi się już koło kniazia, ale po tych wszystkich grodach, które „mężowie kniaziowscy" bądź zbudowali, bądź w posiadanie objęli. Genezę i potrzebę tego wskazaliśmy wyżej. Jako rezultat takiej potrzeby było powstanie, oprócz drużyny wielkiej, drużyn mniejszych. Drużyny te miały siedliska stałe w grodach, gdzie skupiała się także władza cywilna, sądownicza a w ogóle administracyjna, grody zaś bywały centrami zarządów pewnych powiatów, nie mających ściśle określonych granic, a które zwały się „ziemiami" lub „włościami", z powodu zaś charakteru swego wojskowego przybierały nazwę t y s i ą c z n i k o s t w a. Każde zaś tysiącznikostwo posiadało własną drużynę i własnego wojewodę [1]). Tysiącznikostwa takie istniały w Kijowie, Białogrodzie, Perejasławiu i innych grodach większych, a nazwa siedliska najwyższej władzy wojskowej przechodziła i na nazwę siedliska władzy cywilnej.

Organizacya wojska już w X. wieku była dziesiątkowa. Wojewoda dowodził tysiącem, a rządził tysiącznikostwem; niższe stopnie wojskowe były setników i dziesiętników [2]). W XII. w. „Tysiackij" stał na czele ziemian, bojarów, powołanych do obrony kraju [3]).

W chwilach jednak stanowczych i ważnych książęta uciekali się w najbliższych okręgach koło Kijowa do p o s p o l i t e g o r u s z e n i a: miało to miejsce n. p. w walce Izasława i Wszewołoda z Olegiem Czernihowskim w r. 1078, kiedy Izasław kijowski „powielie sobirati woja ot mała do wielika" [4]).

Z jakich żywiołów tworzyła się siła zbrojna? Trudno dać stanowczą odpowiedź. Czynniki, składające drużynę, a właściwie tę

---

[1]) A. Bielow.: Monum. I., 757.

[2]) Poł. sob. russ. lietop. I., 89 pod r. 1090: „Wojewodstwo derżaszcziu k i j e w s k i j a tysiaszczu Janewi".

[3]) Poł. sobr. tom II. str. 13 pod r. 1136: „Tysiackij że s bojary . . . gnasza po Połowcach . . ."

[4])A. Bielow.: Monum. I., 750.

część jej, która najbardziej zbliżoną była do kniazia, znane są; ale drużyna taka stanowiła tylko cząstkę siły zbrojnej. Drużyny grodowe, owe wspomniane tysiączki, nie mogły składać się ani z dostojników książęcych, ani z bojarów, jako doradców księcia, ani z otroków, ani grydniów z tej racyi, że to wszystko kupiło się koło osoby kniazia, ilość zaś składników, zwanych „bojarcami", w grodach drugorzędnych nie mogła być wielką, a raczej znaczną na tyle, ażeby całe drużyny tworzyć. Drużyny te, formowane z polecenia kniaziów, składała ludność tubylcza, wolna, zajęta uprawą roli i produkcyą ziarna, jakoteż bydła, zwana smerdami w niektórych częściach Rusi [1]). To wątpliwości nie ulega żadnej. Czem zaś byli smerdowie, o tem mówić będziemy w innem miejscu.

Wojsko swoje szykowali książęta ruscy w czoło i dwa skrzydła. W ten sposób n. p. ustawione były szyki w r. 1024 i 1026 za Jarosława, a w r. 1093 w walce z Połowcami [2]): środek zajmował Rościsław, po prawej stronie stał Świętopełk, a po lewej Włodzimierz. Połowcy natomiast uderzyli jedną kolumną, kupą, nawałą, poprzedzając całą armię łucznikami (strzelcami). Prawdopodobnie czyniono to dlatego, ażeby w czasie walki, jak późniejsi Tatarowie, wydzielić z głównego korpusu dwa ramiona i oskrzydlić niemi wojsko nieprzyjacielskie, z boków na niego uderzając. Usprawiedliwia to przezorność książąt ruskich, dzielących na pozór niepotrzebnie siły bojowe.

Wojsko posiadało chorągwie swoje, zwane stiah-em, jak późniejsze tatarskie na Litwie, które zatykano na wałach, w ogóle na tych punktach, około których skupiała się walka. Część wojska, nieokreśloną co do ilości, nazywano pułkiem; pułkami mógł dowodzić albo wojewoda albo kniaź [3]). Germańskie pochodzenie wyrazu „pułk" dowodzi najlepiej, że przyszedł on na Ruś z Waregami i, jakkolwiek latopisce później go używać poczęli od wyrazów drużyna, woje, rat', niewątpliwie jest on pochodzenia wcześniejszego. Kniaziowie jeszcze w XII. w. doskonale odróżniali drużynę od pułku, mówiąc: „drużyna mojá i połk moj" [4]).

Co do gatunków broni, używano mieczów, szabel i łuków. W opisy tej broni wdawać się nie będziemy: archeologia może w tym względzie w zupełności zaspokoić ciekawość. Znajdu-

---

[1]) A. Bielow., Monum. I., 768.
[2]) ibid. 768.
[3]) Poł. sob. II.; „prijecha Rostisław s połky swoimi."
[4]) Połn. sobr. ross. liet. II., 57.

jemy jednak ślady, że używano broni palnej. Walczyli nią Grecy — o czem w miejscu właściwem wspomniałem; od tej chwili przez dwieście lat przeszło żadnej o tem wzmianki nie ma, aż dopiero w w. XII. znajdujemy wiadomość, że Konczak, książę połowiecki, „obrieł muża, takowoho besurmanina, i że streliasze żiwym ohnem“ [1]). W tym-że samym roku, ten sam latopisiec notuje, że u Połowców „biachu łuci tuzi samostrelnii, odwa 50 muż możet napriaszczi.“ Jak jeden i drugi gatunek broni wyglądał, nie mamy najmniejszego pojęcia.

4. Władza cywilna, jej zakres i charakter.

Z chwilą zdobycia Nowogrodu i osiedlenia się tam drużyny Rurykowej rozpoczęła się praca państwowa. Pierwsi kniaziowie waregscy uważali zdobyty posterunek, jako punkt, z którego wszelkie wycieczki do Grecyi były łatwiejsze, gdyż celem ich aspiracyi były „okupy“ greckie, owe „złoto i pawołoki“, tak ponętne dla nich. Z początku zwykle część drużyny „wypraszała się“ na wyprawę do Grecyi, cześ pozostawała na zdobytem stanowisku, na straży niejako. Później weszło w zwyczaj pozostawianie zastępcy. Mając na celu grabież, daninę i okup w Grecyi, które stawały się dla nich niejako źródłem do życia, każdy kniaź wolał osobiście udział przyjąć w wyprawie, niż poprzestawać na tej części, jaką mu przyniesie wódz jego „rodu lub plemienia“, który na czele tej wyprawy stanie. Zresztą nie zawsze była wojna, kniaź siedział na miejscu, zawiązywał bliższe stosunki z ludnością tubylczą, przyjaźnił się z wybitniejszymi „mużami“ (naroczityje ludie, starci), jednał ich dla siebie, żywiołem miejscowym zastępował luki w szeregach najbliższej drużyny; otoczony zewsząd elementem słowiańskim, sam słowiańszczył się, słowiańszczyła się drużyna i taką odświeżoną drużynę ze sobą już wodził. Wszystko to razem wzięte wytwarzało ściślejszą spójnię między kniaziem a podbitem społeczeństwem, dało mu większe zaufanie i z czasem pozwoliło wyręczać się, najprzód przy wyprawach dalekich, zastępcą, a później zastępców swoich, działających w jego imieniu, osadzać na nowych stanowiskach bądź niedawno zdobytych, bądź ważnych. Taka jest geneza posadników. Kiedy Jaropełk w r. 980 walczył na południu z braćmi, miejsce jego w Nowogrodzie zastępował posadnik [2]); gdy Jarosław po śmierci ojca wyruszył na Kijów (r. 1018), w Nowogrodzie zostawił swego posadnika.

---

[1]) Poł. sob. t. II., str. 128 pod r. 1184.

[2]) A. Bielow.: Monum. I., 618.

Z czasem, po przeniesieniu się środka państwowej ciężkości na południe, do Kijowa, a skutkiem rozwinięcia się władzy autonomicznej, zaznaczającej się coraz silniej w miarę tego, jak walki osobiste Rurykowiczów przybierały ostrzejszy i powszechniejszy charakter, wzięły górę prądy starosłowiańskie i rozwinęły się na północy rządy republikańskie (narodoprawstwa), szczególnie w Pskowie i Nowogrodzie. Tam posadnik pozyskał pierwszorzędne znaczenie, stał się faktycznym rządcą kraju i tylko wiec narodowy (wiecze) stał ponad nim: on bowiem usuwał kniaziów lub przywoływał do siebie i godnością posadników obdarzał. Stali się kniaziowie w takim składzie rzeczy po prostu sługami, urzędnikami Pskowa, a przedewszystkiem Nowogrodu. W jaki sposób modyfikowała się władza posadników na północy, zanim zdołała stać się z książęcej autonomiczną, zastanawiać się nad tem nie będę, gdyż przekracza to ramy, zakreślone w niniejszym szkicu.

Jakie były atrybucye pierwszych posadników? Odpowiedzieć na to pytanie niepodobna, szczególnie w zakresie X. i XI. w., tem bardziej, że ścisły podział władzy cywilnej, wojskowej i sądowniczej nie istniał prawie. W każdej osobie, reprezentującej wyższą władzę, łączyły się potrosze atrybucye wszystkich, a im urząd był wyższy, tem zakres władzy bardziej do książęcej się zbliżał. To samo dziać się musiało z posadnikami. Przewagę miała u nich władza wojskowa z powodu samego charakteru i typu władzy książęcej, jakoteż dla tego, że ludność tubylcza posiadała własną organizacyę autonomiczną, jak obaczymy, i długo zostawała odosobniona, żyjąc życiem odrębnem, samoistnem, poza obrębem niejako wytwarzającej się władzy państwowej.

Również niewyraźne są atrybucye władzy Tysięcznika (Tysiaćkoho). I tu jest mięszanina władzy wojskowej z cywilną. Przedewszystkiem nie trzeba brać tego wyrazu w dosłownem znaczeniu: jako dowódca mógł faktycznie dowodzić tysiączką żołnierzy, skąd i nazwę swoją otrzymał, ale w czasie pokoju sprawował on władzę cywilną; każdy wielki gród miał swego tysiącznika, zarówno Kijów, jak i znacznie mniejszy od niego Biełhorod, — ale jaka była ich władza, ściśle określona, i na czem polegała, tego dowiedzieć się nie można.

Organizująca się władza państwowa miała przed sobą trzy zadania pierwszorzędnej ważności do spełnienia: utworzenie skarbu państwowego, rozszerzenie punktów obronnych, jakoteż utworzenie między niemi możebnie najlepszej komunikacyi.

Gdzie znajdował się skarb państwowy i jakim był, — widzieliśmy już. Charakter jego w XI. w. nie był jeszcze wyraźnie zarysowany; skarb państwa był równocześnie skarbem kniazia, rozgraniczenie wybitne nie istniało prawie. Potrzeba skarbu wypłynęła z potrzeby utrzymania drużyny kniaziowskiej, najbliższej, będącej jego żołnierzami i jego doradcami; siedliskiem skarbu był „kniaży dwór". Władza i siła, tak samo jak skarb koncentrowały się w ręku kniazia. Podatek składano w naturaliach i w pieniądzach.

Jednolitego systemu w poborze podatków nie było żadnego; każda grupa etnograficzna plemion, którą opanowali książęta waregscy siłą swego oręża, uiszczała daninę w takiej formie, jaką uważała za najdogodniejszą dla siebie. Rzadko w tym względzie książęta narzucali swoją wolę.

Pominąwszy ową „dań" Polanów, „miecz od dymu", którą można tak dobrze uważać za przenośnię poetycką, jak i za obowiązek wysełania jednego zbrojnego żołnierza od „dworzyszcza", jako jednostki posiadającej pewną ilość ziemi uprawnej, daniny, składane kniaziom, były bardzo rozmaite: Drewlanie płacili miodem i skórami [1]), Wiatycze od pługa [2]), Radymiczanie dawali powóz [3]), a kniaź płacił dziesięcinę kościelną od bydła i od zboża [4]). Bliższego określenia co do ilości daniny nie mamy. W każdym razie danina w naturaliach i obowiązkach tworzy jeszcze pierwszy okres w organizacyi państwowej: książęta waregscy wybierali podatek zarówno w pieniądzach, — tak n. p. czynił Oleg (r. 883) [5]), jak i w naturaliach. Oleg brał od Drewlanów „po czarnej kunie" — nie wiemy tylko, czy od zagrody, czy od gminy może [6]).

Nestor, opisując zemstę Olgi na Drewlanach za śmierć Igora, daje nam możność odtworzenia tego sposobu, w jaki owocześni kniaziowie podbijali plemiona buntownicze lub wolne, jak sobie z podbitą ludnością postępowali i wreszcie, w jaki sposób odbywał się pobór daniny. Chodziło nietylko o to, ażeby plemię pewne podbić i zmusić do opłacania daniny, ale zapewnić sobie odbiór tej daniny sposobem najłatwiejszym, t. j. umożebnić złożenie jej w pewnem

---

[1]) Połnoje sobr. rus. liet. I., 25, pod r. 945.

[2]) A. Bielow.: Monum. I., 624.

[3]) ibid. 626.

[4]) ibid. 756 pod r. 1087: „ot wsich skot swoich i od żyta."

[5]) Poł. sobr. ras. liet. I., 19; „se Oleg nacza gorody stawiti i ustawi dani Słowianem, Kriwiczem i Meri i ustawi Wariagom dań dajati od Nowogoroda griwen 300."

[6]) A. Bielow.: Monum. I., 567.

miejscu i odwiezienie następnie do skarbca głównego książęcego. Otóż dla ułatwienia tego zadania nakładano na pewną część ludności powóz.

Bezbronną, spokojnie siedzącą w puszczach leśnych, któremi cały kraj był pokryty, ludność słowiańską teroryzowano po prostu, dopuszczając się na niej gwałtów i pogróżek. Olga, podbijając ziemię „Derewską", paliła i zdobywała grody, część opornych mordowała, inną oddawała w niewolę „mężom swoim", a kobiety i dzieci pozostawiała w domu, ażeby było komu opłacać daninę „na przyszłość". W taki sposób odbywało się tak zwane „nakładanie dani". Skoro już kraj pewien, czy szczep przyrzekł ową daninę opłacać, odbieranie jej odbywało się spokojniej — jak? Obaczymy. Książęta sami zwykle naznaczali wysokość daniny. Tak robiła Olga, naznaczając „ustawy i uroki, obroki i dani" [1]).

Na tem jednak niepodobna było poprzestać. Daniny te były zwożone do pewnych punktów, które nazywano „stanowiszcza" i „łowiszcza". — Na „stanowiszczach" tedy składano wszystko, cokolwiek było przeznaczone do skarbu książęcego, a dopiero stąd odwożono na miejsce przeznaczenia. Dla ściągania daniny z owych „stanowisk" wysełali książęta osobnych urzędników i orszak zbrojnych ludzi, z kilkuset niekiedy złożony, który konwojował cały pobór do miejsca wskazanego. Punktem takim był Kijów. Z Kijowa wysełał Swiętosław Jana Wyszatycza po daninę aż na Białe jezioro [2]).

Potrzeba wzmocnienia obrony krajowej za pomocą budowania grodów obronnych, które stałyby się z czasem siedliskiem władzy administracyjnej i drużyny miejscowej, była przyczyną utworzenia osobnego urzędnika, jakbyśmy dziś powiedzieli — inżyniera wojskowego, — „gorodnika", któremu skarb książęcy wyznaczał rodzaj pensyi i wiktualia pewne tytułem utrzymania, określając ściśle, ile „kun" ma dostać tygodniowo, ile chleba, jagieł, owsa dla koni, wreszcie ile koni, a nawet słodu — do piwa prawdopodobnie. Niestety, nie możemy dokładnie oznaczyć wysokości tej prowizyi,

---

[1]) Połnoje sobr. russ. lietop. I., 25, pod r. 945, 947. Szczegółowe określenie obowiązków, objętych tymi wyrazami, jest dzisiaj niemożebne; co najwyżej możemy określić pojęcie do nich przywiązane. Pod tym względem wyrazy te różnią się tylko cieniowaniem myśli. Ustawa oznacza postanowienie, dań jest pojęciem zbiorowem, urok-ki określeniem wysokości daniny dla każdego, a „obrok" może być pewnem zobowiązaniem, którego istoty odgadnąć dziś nie możemy.

[2]) A. Bielow.: Monum. I., 724.

z powodu niemożności określenia dokładnej objętości miary sypkiej, znanej pod nazwą „uborok“ i „łukno“ [1]).

Stałym urzędnikiem na żołdzie kniazia był także „mostnik“, odpowiadający dzisiejszemu pojęciu inżyniera drogowego. Obowiązkiem jego było przedewszystkiem budować nowe mosty i reperować stare. Płacono mu od 10 łokci „po nogacie“ za budowę nowego mostu, a przy reperacyi „po kunie“ od „horodni“ [2]).

5. Sądownictwo cywilne i karne.

W XI. i XII. w. nie może być jeszcze mowy o jednolitości systemu państwowego, a więc i o ścisłym podziale władz. Równocześnie z władzą książęcą, która usiłowała skupić w swoim ręku wszystkie siły rządu, istniała także bardzo pierwotna zresztą organizacya władzy ludowej, oparta na prawie zwyczajowem. Istniały więc sądy książęce i sądy ludowe, prawo cywilne i karne ludowe i książęce. Naturalnie, pojęcia tych sądów, jakoteż rozgraniczenia atrybucyi władzy, a nawet określenia tej władzy nie można brać w znaczeniu teraźniejszem; raczej w pojęcia i określenia teraźniejsze da się wcisnąć pewne sposoby postępowania cywilnego i karnego z rozpatrywanej przez nas epoki.

Jakiem było rzeczywiście sądownictwo owoczesne, daje nam dokładne pojęcie o tem *Prawda Ruska*. Nie trzeba jednak łudzić się tem, że obraz tego sądownictwa można byłoby odtworzyć z okruchów pozostałych, tem bardziej, że sama *Prawda Ruska* nie obejmuje chwili ściśle określonej, nie jest kodeksem jednolitym i w jednym czasie powstałym, ale mięszaniną praw książęcych i obyczajowych. Pamiętać o tem również należy, że pierwotnie *Prawda Ruska* była prawem miejskiem, danem przez Jarosława Nowogrodzianom, a dopiero później, przy następcach Jarosława, szczególnie za Włodzimierza Monomacha weszło do niej wiele pierwiastku swojskiego, obyczajowego.

Zaznaczając przeto na tem miejscu istnienie pewnych form sądowniczych w prawie cywilnem i karnem, nad formami temi ani

[1]) Antiquis. monum. A. Kucharski. R. pr. st. 37, §. 75, 65.

[2]) Antiquis. monum. A. Kucharski: str. 39, §. 76, 66. Pod „horodnią“ *Prawda Ruska* zdaje się rozumieć w tym wypadku przęsło, przedział jeden, jedną kładź na długość podłużnych odstępów pali. Most mógł mieć jedną lub kilka „horodni“, stosownie do szerokości wody, a względnie długości mostu. Co oznacza „nogata“ i „kuna“, wyjaśnimy przy zastanowieniu się nad systemem monetarnym.

zastanawiać się nie będziemy, ani też badać ich genetycznie i porównawczo. Rzecz tę pozostawiamy fachowym prawnikom. Dodać tylko muszę, że u nas przedmiotem tym zajmował się Maciejowski — mojem zdaniem niezbyt szczęśliwie [1]). Ażeby jednak dać możliwie dokładny obraz społeczeństwa, jego ustroju i życia w naznaczonym okresie, mówiąc o klasach społecznych i ich stosunku do siebie, wspomniemy także o prawie i procedurze cywilnej i karnej.

6. System monetarny.

Jedną z największych osobliwości ustroju społecznego Rusi w XI. i XII. w. był system monetarny. I tu, jak w każdej dziedzinie życia publicznego, znajdujemy rozdwojenie: początki systemu państwowego idą równorzędnie z pewnemi formami, przez lud wytworzonemi. System monetarny owoczesnej Rusi rozpada się także na dwie części: urzędownie istnieje grzywna złota i srebrna, używana w stosunku zewnętrznym, a ledwie poczynająca wchodzić w stosunkach wewnętrznych. Posługują się nią wielkie miasta: Nowogród i Kijów i stąd nazwa grzywny „nowogrodzka“ albo „kijowska“.

Jaką drogą grzywna na Ruś przyszła i jak się modyfikowała, zanim uzyskała pewną wartość, na razie nas to nie interesuje. Tablice porównawcze wartości grzywny, jakoteż krótką historyę tej monety znajdzie czytelnik u Czackiego [2]). Dość będzie zauważyć, że wartość grzywny, zarówno złotej jak i srebrnej, zależną była od wagi. Grzywna złota i srebrna nigdy na Rusi nie była monetą codziennego użytku; przeciwnie, w życiu codziennem stanowiła pewną ozdobę: zawieszano ją sobie na szyi [3]) lub nad obrazami w rodzaju votum [4]). Nazywano je wyraźnie g r z y w n ą z ł o t a lub s r e b r a na znak, że istniała inna jeszcze. Jakoż istotnie istniała, zwana g r z y w n ą k u n. Tak więc była grzywna czystego złota lub srebra, mało używalna i używalna powszechnie — kunowa — według której wszelkie obrachunki przeprowadzano.

Zanim jednak do tej grzywny przejdziemy, zapoznajmy się z tem, jak wyglądały grzywny metalowe. Niewiele ich doszło do

---

[1]) W. A. Maciejowski: Hist. praw. słowiań. T. III. Warszawa 1859.

[2]) O litew. i pol. praw. T. I. str. 162 i nast. (Wyd. Turowskiego).

[3]) A. Bielow.: Monum. I. 631.

[4]) Słowar' russ. świet. pisatielej Jewg. Bołchowitinowa t. II. str. 95.

nas, bardzo niewiele, te zaś, które posiadamy w muzeum kijowskiem, świadczą, że już Włodzimierz I. usiłował wprowadzić grzywnę jako jednostkę metalową. Z okresu, którym się zajmujemy, mamy kilka typów grzywien:

a) Złota z czasów Włodzimierza I. w stylu bizantyńskim. Na jednej stronie znajduje się postać Zbawiciela, a w otoku nadpis literami słowiańskiemi: Jsus Christos, na drugiej postać Włodzimierza z berłem w ręku, w koronie z krzyżem u góry. W otoku nadpis: Wołodimir a se jeho złato. Przed Włodzimierzem widać znak jakiś, podobny do trójzębu. Waga 42 grany;

b) Srebrna, większa od poprzedniej, przedstawia z jednej strony Włodzimierza z berłem siedzącego na tronie, w otoku nadpis: Wołodimir na stolie; na odwrotnej stronie trójząb z napisem w otoku: a se jeho srebro. Waga 57 granów;

c) Na grzywnie Jarosławowej, srebrnej, z jednej strony znajduje się postać św. Jerzego, z wieńcem na głowie, w chlamidzie na ramionach, z pod której widać uzbrojenie; w prawej ręce dzida, w lewej tarcza. Z drugiej strony napis: ὁ Γεῶργως a w otoku krzyż i Jarosławle srebro. W środku napisu znak podobny do trójzębu [1]).

Że ludność miejscowa nie znała i nie używała grzywny książęcej, najlepszym dowodem służy *Prawda Ruska*, w której wszelkie rachunki i kary obliczone są według systemu kun, t. j. tej jednostki monetarnej, jaka była w okresie XI. i XII. w. znaną ludowi i powszechnie używaną.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że kuny reprezentowały wartość pieniężną obiegową, ale jaką stanowiły wartość i dlaczego kunie mianowicie tylko, nie zaś inne skórki zwierząt, boć tylko o skórkach może być mowa, w rachubę brano? Kuna w lesistej Rusi była zwierzątkiem bardzo pospolitem, zarówno jak i wiewiórka, skórki zaś kun, jak i wiewiórek, były bardzo pożądanym przedmiotem handlu z zachodem i Grecyą. Nestor wskazuje nam wyraźnie punkt na południu, gdzie się koncentrował handel skórami [2]). Handel ten istniał przed najazdem Warego-Russów, a książęta normańscy stworzyli sobie z niego jedno ze źródeł dochodowych.

---

[1]) A. Zakrewskij, Opis. Kijewa, t. II., str. 555, art. Muzeum. Opisy wcześniejszych monet, jako też późniejsze typy wraz z rysunkami znajdzie czytelnik w pracy J. J. Tołstoja, p. t. *Drewniejszija rus. moniety W. K. Kijewsk.*

[2]) A. Bielow.: Monum. I., str. 605, 609.

Oto jest przyczyna, dla której daninę z ludności miejscowej poczęli wybierać kunami i wiewiórkami. Bierali tedy Waregowie z Czudi, Słowian i Krywiczów po wiewiórce, a Oleg z Drewlan brał „po czarnej kunie od dymu“ [1]). Kuny przeto i wiewiórki musiały od najdawniejszych czasów stanowić przedmiot handlu zamiennego pośród ludności miejscowej. W pierwotnych społeczeństwach zawsze przedmioty najbardziej pożądane odgrywają rolę monety w handlu zamiennym. Tak się działo i z kunami. Wybieranie daniny kunami, odnalezienie kilku łebków czy mordek kunich, jakoteż skrawków skóry, zaopatrzonych w pewne znaki, na jakie powołuje się Karamzin, dało powód do fałszywego mniemania, jakoby w XI. i XII. w. używane były na Rusi pieniądze skórzane. Kawałki skóry znaczonej, widziane przez Karamzina, jakoteż łebki kunie i pyski istniały niezawodnie i krążyły śród ludu, nie jako moneta jednak, posiadająca wartość kuny lub wiewiórki lecz jako znak zamienny, przedstawiający pewną wartość dlatego, że służył świadectwem ekwiwalentu złożonej na rzecz kniazia i do jego skarbu daniny.

Wiemy, że po odbiór daniny wysełali kniaziowie swoich mężów zaufania; otóż mężowie ci, wybierając daninę, musieli przecież dawać jakieś znaki, że danina ściągniętą została rzeczywiście. Jaki był procedar przy tem — nie wiemy, Prawdopodobieństwo dawania takich znaków da się stwierdzić tem, że istniał nawet urząd książęcy „znacznika“ (piateńszczyk), do znaczenia koni, należących do stadniny kniaziowskiej, jakoteż innych zwierząt. Być bardzo może, że taki „piateńszczyk“ i łebki kunie znaczył. Znaki te musiano wydawać wszędzie, na każdym z tych punktów, gdzie pobierano daninę. Nie zawsze jednak odcinano łebki i znaczono. Może przez samo odcięcie skórka traciła na wartości, stąd też później zamiast znaczonych łebków poczęto wydawać czworogranne kawałki skóry znaczone, stosownie do miejscowości, gwiazdką, haczykiem lub odciskiem nazwy rzeki, nad brzegami której pobierano daninę. Takie właśnie znaki widział Karamzin. Ponieważ na takich kawałkach skóry nie znajdowano nigdy roku, jako świadectwa, kiedy znak położono, przypuszczać tedy wolno, że co roku odbierano stare znaki a wydawano nowe, ażeby uniknąć zamieszania i dopuszczenia się przeniewierstwa.

Jakiż to ma związek z kunami, jako monetą obiegową?

Mówiliśmy, że ponieważ daninę opłacano skórkami kuniemi lub wiewiórczemi, nic dziwnego przeto, że skórki tych zwierzątek

[1]) A. Bielow.: Monum. I., str. 601.

stanowiły w życiu codziennem przedmiot zamienny, a więc pewnego rodzaju monetę, ale i owe znaki wartości, o których wspomnieliśmy, mogły służyć także przedmiotami handlu zamiennego i dla tego właśnie część tych znaków utrzymała się do naszych czasów. Działo się to w sposób następujący. Jeden posiadał, dajmy na to konia do zbycia, a nie mógł upolować dostatecznej ilości kun, tymczasem podatek musiał płacić nie koniem lecz skórkami kuniemi. Sąsiad jego potrzebował konia, a skórek posiadał więcej jak potrzeba lub miał nadzieję upolowania. Dawał więc za konia pewną ilość skórek lub znaków książęcych, że tyle a tyle skórek jako daninę złożył. Przypuśćmy że w danej chwili, kiedy targu o konia dobijał, skórek nie miał, dał więc znaki. Posiadacz przeto konia, wykazywał się przed poborcą znakami, że skórki złożył za rok bieżący w roku zeszłym, a nabywca konia nie mogąc się wykazać, składał skórki kunie i wiewiórcze w ilości wymaganej wysokością daniny. W ten sposób znaki stawały się synonimem rzeczy i synonimem monety.

Nasuwa się pytanie: w jakim srosunku znajdował się system kunowy, używany śród ludności wiejskiej, rolnej, myśliwczej do pieniędzy metalicznych i jaką wartość sama przez się przedstawiała g r z y w n a k u n? Lange [1]), opierając się na tem, że w póżniejszej nieco od okresu, który nas bezpośrednio zajmuje, umowie ks. Smoleńskiego z Rygą, powiedziano: „płatit' wiescu s dwóch kapiej (24 pudów) kunu, a w umowie Gothlandii z Nowogrodem powiedziano, należy płacić „ot jednoj kapi 9 wiekosz“, wyprowadza wniosek, że kuna równa była co do wartości 18 skórkom wiewiórczym. Co zaś do grzywny kun, zawierała w sobie 50 kun albo „riezan“ albo 20 „nogat'“. W *Prawdzie Ruskiej* spotykamy się z nazwą r i e z a n a k u n a — czemże właściwie ona była? Zważywszy to, cośmy wyżej powiedzieli o odcinaniu łebków i pozostawianiu ich jako znaków zapłaconej daniny, jakoteż o wydawaniu kawałków skóry, znaczonej odpowiednio, łatwo odgadnąć, że ową „riezaną kuną“ była albo kuna bez łebka, któremi kniaź niektóre przedmioty nabywane płacił i następnie napowrót w wypadku kar sądowych lub jako daninę do skarbu swego przyjmował; albo był to ów wycinek znaczony znakiem wartości kuny. Używając wyrazu k u n a równoznacznie z wyrazem „riezana“ t. j. obcięta, chciano przez to dać do zrozumienia, że w obec kniazia nie stanowi to żadnej różnicy. Otóż grzywna kun zawierała 50 kun czyli „riezan“, czyli 20 „nogat'“. W ten sposób każda nogata równałaby się $2^1/_2$ kunom czyli „riezanom“. Najdro-

[1]) N. Lange: Izśliedow. ob ugołow. prawie Rus. pr. str. 52.

bniejszą jednostką w systemie kunowym była wiewiórka, gdyż widzieliśmy, że kuna równała się 18 wiewiórkom, lecz jaki był stosunek jej do nogaty a nawet grzywny kun, dokładnie określić niepodobna.

Co do stosunku kun do teraźniejszych rubli, Lange, po bardzo dokładnych wyliczeniach, których tutaj nie powtarzamy, przychodzi do wniosku, że grzywna kun równą była 1 rs. 18 kop., 1 r. 27 k., 1 rs. i wreszcie 1 rs. 5 kop., a kuna i nogata równały się dwom i pięciom teraźniejszych kopiejek albo nieco więcej niż dwie i nieco więcej niż pięć kopiejek sreb. Jeżeli przeto przyjmiemy, że grzywna kun okrągło wynosiła tyle co rubel jeden, kuna albo „riezana" 2 kop., a nogata pięć kop., to na tej podstawie możemy obliczyć wysokość kar i ceny na niektóre przedmioty. Za głowę książęcego Tiwuna albo urzędnika płacono według *Prawdy Ruskiej* [1]) „wiry" 80 grzywien czyli 80 rs., za Rusina, gridina, kupca, Tiuna bojarskiego, miecznika, izgoja, Słowianina tylko 40 grzywien czyli 40 rs.; „prodaża" 12-o grzywnowa równą była 12 rs., 3 grz. i 30 kun równało się 3 rs. 60 kop., 60 kun = 1 rs. 20 kop. Chłop wartości 5 grzywien kun kosztował 5 rubli, niewolnica 6 rubli, koń = 3 i 2 rs., klacz 3 rs. i 1 rs. 20 kop., krowa 2 rs. 80 kop., cielę 10 kop., baran z początku 5 kop., potem 20 kop., owca 10 do 30 kop., kozioł 20 kop., koza 30 kop., wieprz 30 kop., świnia 10 do 50 kop., prosię 5 kop., kura 18 kop., kaczka 60 kop., łódz morska 3 rs., „nabojnaja" łódź 2 rs., czółno 40 kop., strug = 1 rubl., wóz siana 10 kop., stóg 1 rub., wóz drzewa 10 kop. [2]).

Nasuwałyby się uwagi co do nieproporcyonalności niektórych cen: świnia i cielę trzy razy są tańsze od kury, sześć razy od kaczki. Dałoby się to chyba tem wytłumaczyć, że kury i kaczki były w owe czasy, jako ptaki domowe, rzadkie a więc wysoko cenione.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FR. RAWITA.

---

[1]) A. Kucharski: Antiquiss. mon. juris slov., str. 3 i nast.
[2]) W drugiej części patrz w przypiskach obliczenia karamzina.

KORZENIOWSKI I TEATR LWOWSKI

(1822 — 1844).

Biadał w swoim czasie ś. p. Klemens Kantecki, że zaginęły zupełnie listy, pisywane przez Józefa Korzeniowskiego do znakomitego artysty teatru lwowskiego, Antoniego Benzy, listy, które były w przechowaniu ś. p. Władysława Zawadzkiego [1]). Nie zaginęły one jednak. Z korespondencyą Zawadzkiego przeszły one na własność Zakładu Ossolińskich we Lwowie (nr. ręk. 3458) i temu to szczęśliwemu zdarzeniu zawdzięczamy, że możemy podać o tych listach szczegółową wiadomość, pożądaną tem bardziej, że Zawadzki, pisząc nekrolog Benzy, przytoczył z nich tylko kilka króciutkich wyjątków. A i nekrolog ten mało już dzisiaj jest znany [2]).

Listów tych posiadamy niestety tylko dziesięć, Kantecki znał jeden [3]), a przecież z tego, co powiemy później, łatwo się można przekonać, że listów Korzeniowskiego do Benzy musiało być daleko więcej. Zaprzepaściły się więc bezpowrotnie lub oczekują wydobycia swego z jakiejś kryjówki. Tymczasem korzystajmy z tego, co mamy pod ręką.

Skąd takie zbliżenie się dwu tych ludzi i skąd ta znajomość? Antoni Benza, to jedna z najznamienitszych postaci w historyi teatru lwowskiego. Artysta z powołania, talent wielki, przez więcej niż 30 lat (od r. 1811 do r. 1844) bohater tragiczny sceny, ulubieniec publiczności, obsypywany przez nią oklaskami, kwiatami, niekiedy

---

[1]) Kantecki: Dwaj Krzemieńczanie II. Józef Korzeniowski str. 274.

[2]) Dziennik literacki r. 1859 nr. 85 i 86, potem przedrukowany w zbiorze Zawadzkiego p. t. „Teka Literacka“ str. 207 — 217.

[3]) Kantecki l. c. str. 187 — 188.

(znamy takie wypadki) i złotem. W chwili, gdy się z nim tutaj zaznajamiamy, talent jego i powodzenie są u zenitu.

Benza ożenił się z bliską krewną Korzeniowskiego, Józefą Rożańską, którą wykształcił również na artystkę; należała też ona w swoim czasie do lepszych artystek lwowskich. Grywała role tragiczne i dramatyczne [1]). Powinowactwo więc zbliżyło do siebie Korzeniowskiego i Benzę — usługi, jakie oddawał Benza naszemu autorowi jako artysta sceny lwowskiej, zacieśniały coraz bardziej te węzły. Szkic niniejszy będzie najlepszą tych stosunków ilustracyą, a zarazem nieobojętnym przyczynkiem do biografii Korzeniowskiego, niedostatecznie dotychczas opracowanej i stąd bardzo urywkowej.

I.

(1822 — 1826).

23. lipca 1822 r. spotykamy Korzeniowskiego w Puławach. Był podówczas autor *Krewnych* bibliotekarzem u hr. Zamojskich w Warszawie; w tych zaś dniach opuścił chwilowo miasto i bawił w Podzamczu, miejscu letniego pobytu Zamojskich. Stąd zrobił wycieczkę na kilka dni do Puław, do swego protektora, księcia Adama Czartoryskiego, który mu już okazał tyle życzliwości, do tej wspaniałej rezydencyi, której zbiory dzieł sztuki i pamiątek i bogata biblioteka nie mało musiały pociągać młodzieńca tak bardzo żądnego nauki i wykształcenia. A kto tutaj zjechał, musiał wziąć udział i w tem ruchliwem, barwnem i pełnem pomysłów życiu towarzyskiem książęcego pałacu. Wszakże wiemy, że na jednym z tych licznych „festów" puławskich odśpiewano w czasie przedstawienia allegorycznej sceny i tańców krakowiaka jego pióra [2]).

Z tych więc Puław, z 23. lipca 1822 r., pochodzi pierwszy list naszego zbiorku. Przeprasza Korzeniowski artystę lwowskiego, że tak późno odpisuje, ale list Benzy nie zastał go w Warszawie: przysłał mu go dopiero brat Jan [3]). Benza prosił Korzeniowskiego o wystaranie mu się miejsca przy teatrze warszawskim, u ówcze-

---

[1]) Co do Benzy i jego żony porów. rękopis Preka w Bibliot. Jagiellońskiej nr. 938/IV. K. 112—113 ver., cytowany artykuł Zawadzkiego i Pepłowskiego: „Teatr polski we Lwowie" str. 62 — 63, 68, 70, 185 — 186.

[2]) Wojcicki: Życiorysy znakomitych ludzi. Warszawa 1851 II., 138 — 139. Kantecki l. c. 186 — 187, 191 i 227 — 231.

[3]) Imienia Korzeniowski nie wymienia. Zobacz Kantecki l. c. 163,

snego dyrektora Ludwika Osińskiego. Skłonił do tego Benzę bezwątpienia smutny stan teatru lwowskiego, który właśnie w tym roku o mało co nie rozwiązał się i zawdzięczał dalsze istnienie swoje tylko pomysłowości i nigdy niestrudzonym zabiegom dyrektora, Jana Nepomucena Kamińskiego [1]). Ze wsi pisał więc Korzeniowski w sprawie Benzy do Osińskiego, którego wykładów literatury słuchał i znał osobiście, chociażby od Krasińskich [2]). „Odpowiedział mi, — donosi autor *Klary* — że zupełnie stracił na entreprizie i nie jest wstanie pomnażać liczby artystów, tem bardziej, że ty jako tragik małobyś miał zatrudnienia, gdyż publiczność warszawska nie uczęszcza na sztuki tego rodzaju; wszelako, gdy mu jaki aktor ubędzie, przyrzekł mi, że pierwszym będziesz".

Dotknąwszy jednak widocznie ulobionego sobie przedmiotu — teatru, dodaje o nim Korzeniowski obszerny ustęp, który przytaczamy w całości jako ciekawy i charakterystyczny przyczynek do dziejów teatru warszawskiego, jako głos z obozu poniekąd romantycznego, a więc z obozu wówczas postępowego. Wskazuje on wybornie, jak Korzeniowski już w tym czasie, mając lat dwadzieścia pięć, gorąco zajmował się teatrem, jak go znał doskonale, jak poważnie zapatrywał się na sposób kierowania nim, ażeby całość każdej sztuki wypadła zadowalająco. Co więcej, tutaj już widzimy tę jego niechęć i jakby żal do teatru warszawskiego, który w przyszłości (przekonamy się o tem aż nadto) objawia się przez czas bardzo długi i przy każdej sposobności.

„Znając okoliczności miejscowe, — pisze Korzeniowski — mogę cię zaręczyć, że to tłumaczenie się Osińskiego jest szczerem. W rzeczy samej trudno sobie wyobrazić, jak nędznym jest stan teatru naszego. Powszechnie uskarżają się po wszystkich miastach znaczniejszych na upadek tego rodzaju instytutów, zwłaszcza takich, które przez prywatne osoby utrzymywane, gdzie chciwi naczelnicy, nie kierując smakiem publiczności, bawią ją bzdurstwami do pewnego czasu, a nakoniec i ją zniechęcą i sami tracą. U nas szczególniej dekoracye piękne podobały się i co za tem idzie, melodramy i wszelkie sztuki wystawne. Wysypał na to Osiński dużo pieniędzy, zyskiwał spoczątku wiele, ale cóż się stało? Oto publiczność raz i drugi poszła, lecz wkrótce ją znudziła martwa wystawa, która ani do serca, ani do rozumu nie mówiła. Gdyby był natomiast postarał się o dobrych artystów, pozbierawszy wszystko to, co po

[1]) Pepłowski 107 — 109.
[2]) Kantecki 188 — 189.

prowincyach jest najlepszego, posiadając w ich talentach nieskończoną rozmaitość, która jedynie może przyciągać widzów, i samby dobrze wyszedł, i teatrby na wyższym stopniu postawił. Teraz żadnej sztuki kompletnie dobrze oddać niepodobna, bo kilku tylko jest dobrych, reszta studenci lub karykatury. Jakże można znajdować upodobanie w takiem widowisku? Ciężkie prawda są czasy, lecz próżno narzekać na publiczność. Niechby jej raz pokazał jaką dobrą sztukę, do najmniejszej rolki dobrze wystawioną, a ręczę, żeby sala zawsze zapełnioną była. Potem, pozawracał głowy publiczności francuskim teatrem, chce koniecznie, aby znalazła upodobanie w deklamacyach źle oddanych, kiedy ona szuka na scenie życia, mocnych wzruszeń i gwałtownych namiętności i charakterów, których teatr angielski i niemiecki tak obficie dostarcza; ale jakże tu wystawić dobrze którą z takich sztuk, kiedy do nich potrzeba wielu ludzi biegłych, potrzeba artystów myślących, którzyby przejąć się namiętnością, zgadnąć charakter i nie krzyczeć i rękami machać, ale mówić i żyć umieli. Wiele razy widzę tu jaką sztukę Szylera lub Szekspira, to mię serce boli; i nie dziwię się czasem, że gdy Ofelia wyrzucając kwiatki powinnaby wszystkim łzy wyciskać, niektórzy śmieją się, jak gdyby byli u Bonifratrów, bo widzą obok niej najgłupsze figury króla, królowej i Laertesa. Mimowolnie wpadłem na te uwagi; jeżeli cię nie znudzą, może ci jeszcze kiedy więcej o tem pisać będę...“

To, co tu Korzeniowski o teatrze warszawskim napisał, zgadza się z tem, co wiemy o jego dziejach z tych czasów. Zarzuty Korzeniowskiego są wszystkie słuszne i prawdziwe, ale z drugiej strony należy dodać, że autor nasz czyniąc te zarzuty, wypowiedział je zbyt bezwzględnie. Był to czas dyrekcyi Ludwika Osińskiego. Wszyscy się na to zgadzają, że Osiński położył znaczne zasługi około sceny warszawskiej. Jako jeden z głównych przedstawicieli klasycyzmu, był zapewne w doborze repertuaru, mianowicie z początku swych rządów, do pewnego stopnia jednostronnym, ale poza tem starał się o podniesienie sceny tej w każdym możliwym kierunku — o utrzymanie dramatu, opery i baletu, o artystów, o urozmaicenie i zwiększenie repertuaru, o zewnętrzne urządzenie teatru, nawet o szkołę dramatyczną. Walczył jednak z nadzwyczajnemi trudnościami, z trudnościami dającemi się usunąć chyba po długich latach. Trzeba było wszystko na nowo stwarzać i wyrabiać, zgodzić się z góry na niejeden brak i niedomaganie, walczyć z obojętnością i zamiłowaniami publiczności. Mimo to bowiem, co wówi tutaj Ko-

rzeniowski, publiczność właśnie była powodem, że niemożna było podnieść repertuaru do wyższej miary; trzeba było z konieczności przedstawiać melodramaty, chociaż Osiński z początku występował ostro przeciw temu rodzajowi widowisk. Szersza publiczność bowiem bawiła się rzeczywiście tylko na „bzdurstwach“, na przedstawieniach, na których ważną rolę odgrywały dekoracye, kostyumy, różnobarwne oświetlenia, pochody.... Na sztukach poważnych nudziła się i zniechęcała, do tego pragnęła ciągle i nieustannie nowości. Za dużo więc winy złożył Korzeniowski na barki Osińskiego, chociaż co również przyznają współcześni, Osiński nie odznaczał się nigdy zbytnią pracowitością i ku końcowi swego dyrektorstwa ostygł nieco w swych usiłowaniach i zabiegach [1]).

Z przekąsem i szorstko powiada Korzeniowski o Osińskim: „pozawracał głowy publiczności francuskim teatrem“, kiedy publiczność szuka „na scenie życia, mocnych“ wzruszeń i gwałtownych namiętności i charakterów, których teatr angielski i niemiecki tak obficie dostarcza“. Zwraca się więc Korzeniowski w tych słowach stanowczo przeciw teatrowi francuskiemu czyli tak zwanemu pseudoklasycznemu. Było to wówczas, kiedy przestał on naśladować te wzory fracuskiego klasycyzmu. Było to już po napisaniu *Klary*, która — jak zwrócili na to uwagę nasi historycy literatury — powstała pod wpływem rozczytywania się w Schillerze: było to wreszcie po poznaniu Shakespeare'a (świadectwem list powyżej przytoczony), którego oddziaływanie spostrzega Dr. Chmielowski dopiero w *Anieli* (1825) [2]). A gdy Korzeniowski przesyłał Benzie te słowa, polecał prawie w tym samym czasie swej narzeczonej powypisywać sobie niektóre myśli z *Delfiny* i *Korynny* pani Staël [3]), dzieł, które, wskazując na zwrot wyobrażeń w Niemczech, zwiastowały nową erę w literaturze francuskiej, głosiły wyższość płomiennego uczucia ponad formę i przesądy, uczyły rozkoszować się przepychem i wspaniałością obrazów przyrody, uczyły odczuwać niewysłowioną poezyą katolicyzmu....

Myśli, które wypowiedział Korzeniowski powyżej o teatrze warszawskim i które uważaliśmy za stosowne szerzej omówić, zwracają go wreszcie ku własnym sprawom i ku Benzie; prosi mianowicie kuzyna,

---

[1]) „Teatr warszawski za dyrekcyi Ludwika Osińskiego (1814 — 1820)“, Biblioteka Warszawska 1885 II., 173 — 203 i „Towarzystwo Ixów“, Biblioteka Warszawska 1885 IV., 22 — 47 i 189 — 212.

[2]) Porów. cenne studyum o Korzeniowskim Dra Chmielowskiego: „Nasi powieściopisarze“. Serya II., 18 — 41, Kantecki l. c. 188 — 199.

[3]) Kantecki l. c. 231.

ażeby „znając tak dobrze praktykę teatralną i zastanawiając się nad sztuką“, udzielał mu czasem swoich uwag w tym kierunku. Skorzysta z nich do „pewnej roboty“, którą teraz właśnie myśli się zająć. Do powyższych słów poważania i uznania dla Benzy, dodaje wreszcie Korzeniowski u samego końca listu, co następuje: „jak mi żal, iż nie możecie przenieść się do Warszawy. Lubiłbym interesować się na scenie i tobą samym i twoim rzadkim talentem“.

„Robotą“, o której wspomina Korzeniowski, była prawdopodobnie *Aniela*, co do czasu pierwsza praca jego pióra po *Klarze*; zresztą mógł nią być i jaki inny pomysł.

W sierpniu r. 1823, dzięki przychylności i pomocy księcia Czartoryskiego, przeniósł się Korzeniowski, już z żoną, do Krzemieńca, ażeby tutaj sprawować z ogólnem uznaniem obowiązki profesora literatury i wymowy [1]). Stądto mamy drugi list do Benzy — z dnia 2. października 1825 r. [2]).

Po wymówce, że dawno już nie miał wiadomości od Benzów i po zapewnieniu, że mocno go zmartwiła słabość żony Benzy, Józefy, o której to słabości już od kogoś słyszał, pisze: „W tych czasach kończę tragedyą w pięciu aktach, która chociaż nie z historyi, ale z prywatnego życia wzięta, rozumiem wszelako, że dobrze oddana na scenie, dość silne wrażenie sprawić zdoła. Nie sądzę ja podług podszeptów miłości własnej, ale podług wrażenia, jakie czytanie jej na kilku znających się osobach zrobiło“. Chciałby tę tragedyą przesłać na benefis Benzy, jeżeli on ją przyjmie: miałby w niej „obszerną, dość trudną i dość popisową rolę“. Zapytuje więc, kiedy odbędzie się to benefisowe przedstawienie, porobiłby bowiem w sztuce jeszcze niektóre odmiany i poprawki, kazałby ją wreszcie przepisać.

Tragedyą tą „w pięciu aktach“, wziętą „z życia prywatnego“, która tak się podobała niektórym osobom, może być tylko *Aniela*; można to tem więcej stanowczo twierdzić, że, jak zobaczymy, w roku następnym, 1826., żąda Korzeniowski od Benzy zwrotu sztuki, chcąc przystąpić do jej druku. A wiadomo, że w tymże roku 1826 wydał Korzeniowski w swoich *Próbach dramatycznych* tylko *Klarę*, dramat jednoaktowy i *Anielę* [3]). Wszystkie inne prace wyszły

---

[1]) Kantecki 233 — 237.

[2]) Z podwójnych dat listów bierzemy zawsze daty według rzymskiego kalendarza.

[3]) Własnoręczna notatka Korzeniowskiego, zawierająca spis dzieł i rok napisania, a umieszczona na końcu XII. tomu „Dzieł“ w wydaniu Lewentala, budzi poważne wątpliwości co do ścisłości dat swoich. Przekonamy się bowiem później dostatecznie co do tych utworów, które

z druku daleko później. Rolą więc, przeznaczoną dla Benzy, byłaby rola bohatera *Anieli*, chwiejnego i niestałego Gustawa hr. Przeworskiego.

Zapowiadając Benzie przysłanie *Anieli*, uważa Korzeniowski za stosowne donieść mu o pewnej „nowości“, którą wprowadził do tej sztuki. „Ale zawiadamiam cię oraz, - pisze — iż to jest nowość w literaturze naszej. Pisana jest wierszem miarowym i bez rymów. Wiersz ten nie ma zapewnie pompatyczności naszych trzynastozgłoskowych; ale mi się zdaje bardzo stosownym do dyalogu, do rozmowy naturalnej, jak i do uczuć gwałtownych i wzniosłych. Osoby, na których zdaniu polegać mogę, jak n. p. Xżę. Adam Czartoryski, generał Morawski, Sieńkiewicz, tłumacz *Pani Jeziora* [1]) i inne czytały próby, pochwaliły i zachęcały mię do używania ich w tragedyi“. Wymienionym tutaj osobom podobała się zapewne (wedle wzmianki przytoczonej już nieco wyżej) i cała *Aniela*, która w ogóle miała szczęście i zwróciła na siebie uwagę nawet Mickiewicza i Słowackiego [2]).

Ten rodzaj wiersza, o którym nasz autor donosi Benzie, był rzeczywiście dla artysty „nowością“ — mówimy tu, rozumie się, tylko o utworach Korzeniowskiego. *Klary*, pierwszego dramatu pisanego wierszem białym, i *Mnicha*, jako rzeczy dotychczas drukiem nie ogłoszonych, nie znał widocznie lwowski artysta. Zajmował się Korzeniowski tym wierszem miarowym i bezrymowym już od bardzo dawna i obok Tymowskiego, Brodzińskiego, Elsnera i Królikowskiego, którzy. jak wiadomo, współdziałali w tym kierunku, usiłował długo i wytrwale wyrobić mu prawo obywatelstwa; wiemy, że już w r. 1816 walczył o ten wiersz z kolegą swoim Zakrzewskim [3]), wiemy dalej, że później po napisaniu już tym wierszem kilku swoich dra-

---

wchodzą w zakres naszej pracy, że Korzeniowski podaje w tej notatce zwykle rok napisania wcześniejszy, aniżeli był w istocie. Uderza nas też dziwnie to, że opuścił w niej autor kilka utworów najlepszych i najgłośniejszych. jak „Starego Męża“, „Żydów“, „Pannę Mężatkę“ i t d. Wobec tego sądzimy, że napisał on tę notatkę w późniejszym wieku i posługiwał się tylko swą pamięcią. (Porówn. także Chmielowski l. c. 88). I tak przy „Anieli“ oznacza notatka rok napisania 1823 — z listu zaś naszego wypada koniec roku 1825. Gdybyśmy nawet przypuścili, że w r. 1823 rozpoczął autor pisanie „Anieli“, to w każdym razie umieściłby przy niej raczej datę wykończenia, aniżeli rozpoczęcia.

[1]) Poematu Walter-Scotta.

[2]) Chmielowski 40 — 41.

[3]) Kantecki 180 — 181.

matów i tragedyi, polecał go wymownie w *Kursie poezyi*, wydrukowanym w r. 1829 [1]).

Do listu dołącza Korzeniowski, jak pisze, część monologu z roli przeznaczonej dla Benzy i prosi, ażeby tragik lwowski pokazał wyjątek ten Kamińskiemu, dyrektorowi teatru, i innym osobom na tem się rozumiejącym. „Pan Kamiński szczególniej — mówi dalej — jako znawca, poeta i nietylko z francuską literaturą (jak dyrektor teatru warszawskiego [2]) — dodaje z przekąsem), ale z angielską i niemiecką obeznany, będzie dostatecznym sędzią“. Takie wiersze są trudniejsze do wyuczenia się na pamięć, jak rymowane, nie będą więc może bardzo miłe dla aktorów, lecz gdy tę sztukę wybierze Benza na swój benefis, koledzy już to dla niego zrobią, że ról swoich wyuczą się dobrze na pamięć. Jeżeli po przeczytaniu tragedyi uznają, że przedstawienie jej się uda — „to (woła) wystawcie!“, jeżeli zaś będą uważali, że nie zrobi wrażenia, zechcą mu ją bez ceremonii odesłać. „Nie oddaję jej — kończy — na teatr warszawski, bo znasz i ja znam jego uprzedzenia, bo oni dotąd myślą, że co nie po francusku, to źle“. Skoro we Lwowie pójdzie dobrze, a to zapewne sprawi gra artystów, będzie bardzo zadowolony; za całą nagrodę zamawia sobie zobaczenie swej sztuki raz jeden na scenie, gdy przyjedzie do Lwowa na wielkanoc, a więc w r. 1826. Pisząc to, nie przeczuwał, że los nie dozwoli mu nigdy oglądać swoich utworów na tej scenie, której kilku przedstawieniami zachwycał się jeszcze w latach dziecinnych, przejeżdżając przez Lwów do Czerniowiec [3]).

W domu Benzów nastąpiła zmiana —. 26. listopada 1825 r. zmarła żona artysty i krewna Korzeniowskiego, Józefa Benzowa, jak mówiliśmy już, sama artystka sceny lwowskiej [4]). O słabości jej wspominał nasz autor przed półtora miesiącem. „Radbym wszakże wiedzieć — pisze 7. lipca 1826 r. z Krzemieńca — jak ci służy stan zdrowia, czy nie myślisz znowu się ożenić, czyś zdrów i wesół“. Zmarłą krewnę swoją, która przez zamęście z Benzą spowodowała to zbliżenie się Korzeniowskiego do lwowskiego teatru, długo przechowywał w pamięci.

Anieli tymczasem nie grano we Lwowie. Dlaczego? trudno nam odpowiedzieć. Nie chodziło tu o kierunek, bo na tej scenie zjawiał

---

[1]) Korzeniowski: Dzieła XII., 31 — 32.
[2]) Ludwik Osiński.
[3]) Wojcicki: Życiorysy II., 137.
[4]) Pepłowski 122.

się dość często Schiller i Shakespeare: zresztą panował na niej przedewszystkiem melodramat, podobnie, jak w Warszawie. Co sądzili o sztuce Kamiński i Benza? nie wiemy. To pewna, że Korzeniowski się zniecierpliwił. Przysyłając cytowany już list z 7. lipca 1826 r. przez przyjaciela swego, pana Millo, prosi Benzę o zwrot rękopisu. „Jeżeli jeszcze niegrana sztuka — mówi jakby z pewnem rozdrażnieniem, które jednak w następnych słowach bardziej widoczne — niech już graną nie będzie. Zaczynam ją drukować (w tem dowód, jak wskazaliśmy powyżej, że mowa tu o *Anieli*) [1]) i wolę, niech każdy w kącie o niej sądzi. Wystawienie bowiem uważam u nas za rzecz niebezpieczniejszą, niż druk. Rzecz drukowaną sądzą znawcy i o niej piszą: a na parterze najczęściej krytykują żaki" [2]).

Później, gdy „znawcy" oceniali autora *Krewnych*, jak wiadomo, nieraz bardzo surowo, a nawet niesprawiedliwie, byłby zapewne słów tych nie wygłosił. Pozostają one w żywej sprzeczności z tem, do czego dąży każdy autor, pracujący na polu dramatu i komedyi. Wiemy przecież, jak później troszczył się zawsze Korzeniowski o wystawienie swoich utworów. Słowa te są wynikiem niezadowolenia, że nie mógł się doczekać wprowadzenia swej sztuki na lwowską scenę [2]).

Donosi wreszcie Korzeniowski, że za dwa dni jedzie do Warszawy, gdzie zamieszka w pałacu generała Krasińskiego, w mieszkaniu byłego teścia swego, ś. p. profesora Vogla. W Warszawie zabawi do 7. sierpnia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Czarnik.

---

[1]) Data cenzury na „Próbach Dramatycznych", w których okazała się „Aniela", jest: 7. sierpnia r. 1826.

[2]) „Anielę" przedstawiono we Lwowie dopiero w r. 1846 pod zmienionym tytułem: „Córka lekarza". Pepłowski 202.

GŁOSY PRASY WSPÓŁCZESNEJ

O ZGONIE

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

I.

Trawiony długoletnią i ciężką chorobą piersiową Juliusz Słowacki skonał w Paryżu dnia 3. kwietnia 1849 roku w objęciach młodego przyjaciela swego, Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego.

Nieoceniony sprawiedliwie za życia, wedle własnej przepowiedni dopiero „za grobem wywalczył sobie zwycięstwo“ i dopiero później stał się przedmiotem uwielbienia następnych pokoleń. Stąd też i zgon wielkiego poety, który nastąpił w epoce silnej reakcyi po wstrząsających wypadkach roku poprzedniego, przeszedł cicho, prawie niepostrzeżenie. Ta okoliczność była również powodem, że smutny a doniosłości wielkiej wypadek odbił się słabem bardzo echem we współczesnej prasie polskiej i zagranicznej.

Szukałem wzmianek, nekrologów i artykułów o poecie we wszystkich niemal czasopismach z 1849 r. Plon, jak było do przewidzenia, niezbyt obfity.

Demokrata polski, wychodzący w Paryżu, w miesiąc po zgonie poety, taką tylko, niedokładną nawet co do daty śmierci, zamieścił wzmiankę:

„Dnia 4-go (winno być 3-go) kwietnia b. r. umarł Juliusz Słowacki w 39-tym roku życia swego, które poświęcał pracom literackim. Rodacy znają jego imię, mianowicie z niektórych poezyi, które napisał na obczyźnie.“ (D. 5. maja 1849 r.).

I nic więcej!...

Kilkowierszową również, lecz ciepłą wzmiankę — „o żałosnej wieści z Paryża, o zgonie Juliusza Słowackiego, twórcy tylu wspaniałych poetycznych utworów, całą myślą żyjącym w rodzinnej ziemi swojej“ — zamieścił *Czas* w nr. 45 z dnia 12 kwietnia 1849 r.

Wychodząca w Paryżu *La Tribune des peuples* w nr. 22 z dnia 5-go kwietnia 1849 r. podała ogłoszenie o dacie śmierci i pogrzebu: „La Républîque universelle, l'emigration polonaise et l'art viennent de faire une perte douleureuse dans la personne de Jules Słowacki, décédé hier a 4. heures de l'après midi. Le service funébre aura lien à la paroisse de Saint-Philippe du Roule et la réunion à son domicile rue de Pontieu 34. (30. ancien), jeudi 5. mars (winno być: avril) a 11. heures du matin: le corps sera déposé au cimetière Montmartre.“

Obszerniejszą wzmiankę znajdujemy w *Stadle*, tygodniku rzeczom polskim i słowiańskim poświęconym. Dziennik ten wychodził w Budziszynie pod redakcyą Romana Zmorskiego i z pod jego to pióra spłynęły słowa następujące:

„Naród i piśmiennictwo nasze poniosło świeżo nieporównaną stratę: Juliusz Słowacki, jeden z największych naszego wieku gieniuszy Polski i Europy, prawy Polak i człowiek, zakończył życie w Paryżu dnia 6-go kwietnia (winno być: 3-go). Pogrzeb jego odbył się w cichości 8-go t. m. (winno być: 5-go). Z boleścią dowiedzieliśmy się, że nad mogiłą zmarłego nikt z pozostałych nie podniósł głosu, aby Jego zasługi czci i pamięci braci polecić. Smutno widzieć, jak często u nas najznakomitsi ludzie, jeśli nie służąc szczególnym stronnictw widokom, jedynie dla ogólnego działają pożytku, przechodzą bez współczucia i odgłosu za życia i po śmierci, podczas gdy tyle karlich umysłów i zdolności na szczudłach partyi olbrzymich nabierają kształtów i rozgłosu.“ (Nr. 5 za 1849 r. str. 33).

Obszerniejszy nieco artykuł znajdziemy w nr. 111 *Czasu* z dnia 5. lipca 1849 r.

Oto jak zaczyna się ten piękny artykuł:

„Juliusz Słowacki zgasł przed kilku miesiącami w Paryżu; oniemiał na zawsze najfantystyczniejszy z poetów naszych. Zgon poety, a jeszcze w sile wieku młodzieńca prawie, ma coś w sobie dziwnie rozrzewniającego. Słowik śpiewał w ogrodzie, ożywiał całą okolicę, poetyzował wieczory, naraz, czy jakiś lekkomyślny strzelec, czy ptasznik, czy wreszcie zwierz drapieżny zabija słowika, i oniemiało wszystko, urok traci okolica, maj nie jest już majem, a z oka młodej dziewczyny, która lubiła marzyć przy jego śpiewie, płynie

łza cicha, samotnie marzy u okna, bo już nie ma po co wybieżyć do sadu. Podobne uczucie, ale w wyższym stopniu budzi w narodzie zgon poety. Czytaliśmy go w kole rodzinnem: on nam złotemi snami, czarodziejską fantazyą, muzyką wiersza umilał zimowe chwile i wyprowadzał z bolów i nędz rzeczywistych między rajskie obrazy, w świat zaczarowany, gdzieśmy się spotykali z postaciami innego rozmiaru, niż ludzie zwyczajni, z myślami innego kroju, niż myśli codzienne. I nie być-że to wdzięcznym poecie? I nie sypać-że mu całemi garściami wieńców na tę mogiłę wyżebraną na cudzej ziemi, gdzie prochy jego nie zmieszają się nawet z prochami ojców, gdzie może blizki przechodzień z rodzinnej ziemi nie znajdzie nawet jego grobowca?! Odsłużmy mu przynajmniej żywem wspomnieniem."

Tu następuje dosyć trafna ocena życia i dzieł poety, który:

„nie chciał wyznać, że mu przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć tak strasznie było."

Większych nieco rozmiarów nekrolog zamieścił bezimienny autor w majowym zeszycie *Przeglądu Poznańskiego* za r. 1849.

„Umarł w Paryżu — pisze on — dnia 3. kwietnia Juliusz Słowacki; umarł w całej sile wieku, w pełni wielkich zdolności swoich. Z żalem na wieść tej straty przejęci, nie będziemy wypisywać marnych pochwał, raczej kiedy mamy skreślić w krótkich wyrazach życie nieboszczyka, wobec rzetelnej wielkości prawdę tak, jak ją czujemy, wypowiemy. Prawda, jeśli nie zawsze wielbi, czci najlepiej pamięć ludzi znakomitych."

Po krótkiej wzmiance o szczegółach biograficznych, autor przystępuje do następującej charakterystyki poety:

„Słowacki wiele podróżował, a że żadnym nie był zaprzątniony obowiązkiem, życie natchnieniom fantazyi chętnie powierzał. W towarzystwie dzisiejszem trudne jest bardzo stanowisko poety. Odgłos pierwszych jego powodzeń obudza zaraz uniesienie i oczekiwanie ludzi, dla których poezya jest igraszką tylko, którzy go do buntu przeciw Panu Bogu wyzywają i nie o to pytają, czy wiele kocha, ale o to, jakie nowe, jakie niezwyczajne drogi otwiera. Szczęśliwy, kto te więzy wcześnie zerwał, kto się ukorzył przed Panem Bogiem i gwiazdę miłości wziął za przewodniczkę w życiu. Szczęśliwy, kto zrozumiał, że jaśniej przejrzy, kochając, jak ducha do tytańskich sposobiąc zapasów. Dwadzieścia lat blizko próbował Słowacki jak najrozmaitszych kierunków, wszędzie zostawiając świetne ślady po sobie. Dwadzieścia lat nie mógł znaleźć zaklęcia, któremby zdołał

swój naród poruszyć. Tęsknota i niezadowolenie często walczyły z jego żelazną wytrwałością, nigdy jej nie pokonały. On wierzył w swoje powołanie i tylko dróg jego odszukać nie umiał. *Marya Stuart*, *Mindowe*, *Żmija*, *Jan Bielecki*, *Hugo*, *Lambro*, *Kordyan*, najczystszy z utworów poety *Anhelli*, *Piast Dantyszek*, *Ojciec zadżumionych*, *Balladyna*, *Lilla Weneda*, *Beniowski*, *Ksiądz Marek*, *Srebrny Sen Salomei*, tłómaczenie *Księcia Niezłomnego*, w końcu *Król Duch* stanowią szereg najniezgodniejszych utworów, w których znać naśladownictwo Byrona, Shakespeara, Dantego, Lope de Vegi, Mickiewicza, Zaleskiego, autora Irydiona, wpływ studyów słowiańskich, nawet politycznych zachceń, w których brak ideału, brak rzeczywistego interesu: ale w których sztuka wygórowała zawsze do niesłychanej potęgi. Artystą był Słowacki ogromnym. Kolorytu używał i nadużywał na wzór szkoły weneckiej; cieniował z niesłychaną biegłością; kochał się w wschodnim przepychu barw; wszędzie widział złoto i rubiny, wszędzie słyszał rajskie melodye i czuł wonie kwiatów majowych, najdrobniejsze pyłki poruszał i układał je w wir tęczowy. Językiem władał samowolnie, naginał go do wszystkich zwrotów, do wszystkich wtórów podnosił lub zniżał. Wiersze jego są ciągłą melodyą. Śpiewać je raczej, albo przy muzyce skandować, jak deklamować należy. Sam porwany grą kolorów i ukołysany harmonią, często zapominał o powiązaniu swoich natchnień z tą wysoką rzeczywistością, która jest koniecznym warunkiem wcielenia dla poetycznych pomysłów. Z przeszłości najlepiej rozumiał zbroje stalowe, szyszaki z piórami i delie aksamitne. Czasem tylko zadrgała w sercu jego ta tęsknota, którą tak w Malczewskim cenił i wtedy rzewnie o popiołach ojczyzny wspominał.

Smutne są okoliczności współzawodnictwa Słowackiego najpierw z Mickiewiczem, potem z wieszczem *Psalmów*. Przemilczeć o tem nie można, ale się godzi na prostej wzmiance poprzestać.

Kilka ostatnich lat życia poety zapełniają nieodsłonione jeszcze dzieje Towiańszczyzny. Ani *Ksiądz Marek*, ani *Srebrny Sen Salomei*, ani *Król Duch* nie oświeciły nas dostatecznie w tej mierze. Łatwo tylko przeczuć, że wielkie męki wewnętrzne przeszedł człowiek, który się ze wszystkiemi tajemnicami świata duchowego zmierzyć spróbował. Kilka ostatnich miesięcy przecierpiał na nieuleczoną chorobę, na suchoty. Umarł sieroco, prawie w opuszczeniu. Ostatnie jego słowa były: „Niechże już zrzucę ten płaszcz lichy, co mię więził, pójdę tam!“ Na pogrzeb zebrało się ledwie trzydziestu ziomków. Nikt głosu nad grobem nie zabrał. Ciało poety złożono na smętarzu Montmartre.

Boleśnie pomyśleć, iż jeśli Pan Bóg zostawił Słowackiemu dosyć czasu do pogodzenia się z Sobą, odjął mu sposobność wcielenia w pieśń natchnień zgody, pokoju i miłości, jakie ostatnie jego chwile uzacniły.“

II.

Nie będzie może zbytecznem do tych wspomnień żałobnych dodać jeszcze to, co o zgonie poety ogłosił w *Gazecie Codziennej* [1]) zmarły przed kilku laty w Żytomierzu, przyjaciel rodziny Słowackich, Jan Prusinowski.

Wkrótce po rozejściu się wiadomości o śmierci Słowackiego — pisze Prusinowski — odbyło się w kościele OO. Karmelitów we Lwowie na prośbę przyjaciół i wielbicieli Juliusza Słowackiego nabożeństwo za duszę jego, na którem ksiądz Karol Antoniewicz miał mowę, przeznaczoną do umieszczenia w pamiętniku pomyślanym na cześć Juliusza.

Mowa ta według streszczenia, wypisanego z notat pani Bécu, wszystkich do głębi serca i łez poruszyła... Należeć ona miała do najszczytniejszych, jaką kiedykolwiek kaznodzieja ten wygłosił.

Tej wartości znakomitej potęgi poetycznej był cały szereg obrazów, który wytoczył mówca. Cała rzecz była głęboko pomyślana w duchu religijnym i surowo pojęta w duchu Kościoła; przytem był charakter Juliusza i geniusz jego dziwnie odgadnięty.

Następnie przytacza Prusinowski jeszcze jeden nekrolog, który w tymże czasie ukazał się w *Tygodniku lwowskim* pod tytułem: „Chopin — Słowacki“, który przez śmiały a wytrawny pogląd na ogół pism Słowackiego, nie mniej na powtórzenie zasługuje:

...„Śmierć tych dwóch mężów jest ważnem zdarzeniem.

Mowa muzyki jest zrozumiałą dla wszystkich narodów, więc Chopina znaczenie w dziejach umnictwa już jest pojęte i uznane u innych narodów.

Co do Słowackiego może to zdanie, iż jest dla całej Europy, właściwie dla całego oświeconego świata epoką, potrzebuje usprawiedliwienia: bo słowo nie tak wszystkim dostępne, jak dźwięk.

Usprawiedliwiamy nasze zdanie co do Słowackiego tem, że znaczeniem jego poezyj, równie jak muzyki Chopina — jest wielkość.

[1]) „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“, numera 268 i 270 z 1859 r.

Każda zaś wielkość staje się własnością wszystkich narodów i czasów, a piastujący wielkość stają się w swoim zawodzie mistrzami wszystkich narodów i czasów.

Tak Jeremiego żale są równie naszymi, jak były własnością rodu Izraela. Tak Homer i Sofokles, Dante i Manzoni, Szekspir, Bajron, Göthe i Szyller, Calderon i Cerwantes są i powinni być niemniej mistrzami naszej poezyi: jak Mickiewicz, Słowacki powinni być uważani za mistrzów nietylko dla naszych, ale dla poetów wszystkich narodów. Takie mistrzowskie władanie światem co do Chopina stało się już czynem. Chopina już uznano za twórcę szkoły w muzyce co do kompozycyi i co do wykonania w całym świecie muzycznym.

Słowacki musi być za takiego uznany w świecie poezyi — bo cechą jego poezyi jest wielkość, objawiająca się w nowych formach. Słowacki ma tę zdolność nowego świata, która we wszystkiem, co spotka, w każdej rzeczy, w każdym czynie, w każdem uczuciu, w każdej nawet mrzonce swojej własnej wyobraźni szuka myśli; we wszystkiem, co objawia się, upatruje ducha działającego w głębi. Jestto charakterem poezyi w ogóle, ale dawniejsza poezya czyniła to nieświadomie, nowa wskazuje nam tego ducha działacza świadomie. Jednak ta jest różnica między nowszymi poetami, że jedni przyjmują pewne historyczne osoby na przedstawicieli myśli działającej w świecie — inni wpadają w alegoryę. Do tych należy przedewszystkiem Göthe w 2giej części Fausta, którą nazwałbym rehabilitacyą alegoryi przeciw klątwie, jaką na nią rzuciła estetyka nowszej filozofii. Słowacki może gdzieniegdzie wpadł w tę drugą kategoryę, ale wybitną cechą jego poezyi jest, że jego charaktery, przedstawiciele idei, są osoby nowe, same przezeń utworzone; dlatego wszystkie czyny i mowy jego poetycznych bohaterów noszą na sobie piętno nie minionych i nie istniejących czasów, a zatem wierzyć musimy, że to są osoby przyszłości.

Jestto więc wielkość ta sama, którą dawniej świecił Dante, Szekspir, Calderon; to jest wyprzedzenie czasu swego i jak oni, tak też i Słowacki mało jest zrozumiały dla współczesnych — a nawet mało jest czujących go. Więcej ma podziwiaczy, jak przyjaciół. Drugą odznaczającą cechą Słowackiego jest osobowość w jego poezyi: duch-działacz nie występuje nigdy jako ogół, w jego poematach nie wionie nigdy myśl, której poemat ma być wyrażeniem, nie walczą zasady *(principia)*, ale występują duchy, duchowe indywidua — duch osobisty. Tem się różni jego poezya od poezyi innych narodów.

Wyłuszczenie tych myśli i wykazanie zdania naszego o pojedyńczych pismach Słowackiego zachowujemy sobie na potem: teraz czuliśmy się w obowiązku otworzyć nasz pogląd na umnictwo nowoczesne wspomnieniem tych dwóch mężów i wskazaniem, iż oni stanowią epokę w powszechnych dziejach poezyi i umnictwa.“

III.

Jeżeli zgon Juliusza tak słabem echem odbił się we współczesnej prasie peryodycznej, to natomiast wyobrazić sobie łatwo, jaką siłą ta wieść żałobna uderzyła w serce matczyne i jak odczuła taka matka stratę takiego syna. Zapewne w listach do brata, Teofila, dała ujście tej ciężkiej boleści. Nie przechowały się one jednak u nikogo, a w prasie współczesnej o tem zachowaniu się matki żadnej nie znajdujemy wzmianki. Dopiero w kilka lat później, w artykule, opisującym zgon matki Słowackiego, znajdujemy też kilka szczegółów mniej więcej prawdopodobnych o tem, w jaki sposób przyjęła wiadomość o zgonie swego oyna. „Kiedy wprzód niepokojona przeczuciem — pisze autor tego artykułu — wieść tę odebrała, nikt jej łzy nie widział, bo zdawało się tej matce boleści, że one obrażały Stwórcę, a razem cienie jej syna, z którym jej dusza tak ściśle spojoną była. Zamknęła się tylko w swoim pokoju: nikt jej wtedy nie widział, bo nawet nikogo z domowych nie przypuszczała do siebie. Została samotną w boleści swojej i tę potrafiła zamknąć w sobie, a zbrojna pokorą, z jaką wyrok ten Przedwiecznego przyjęła, po kilku dniach dopiero ukazała się przyjaciołom, bez łzy w oku, z obliczem, na którem uroczyście jaśniał tylko cały majestat macierzyńskiej boleści. Od tej już chwili, otoczywszy się wszystkiemi pamiątkami zmarłego syna, ś. p. Salomea Bécu w nich tylko żyła, a przesiadując zawsze przed medalionem, wyobrażającym rysy pięknej postaci jego, wykonanym z bronzu przez Oleszczyńskiego, zbierała i porządkowała jego listy i pisma, odczytywała je i zagłębiała się w tych pomnikach jego myśli i serca, lecz nigdy o nim nie mówiła“ [1]).

I przyjaciele poety zgon jego odczuli silnie. Na wieść o zgonie Słowackiego szczery jęk żalu wydobył się z piersi Zygmunta Krasińskiego: „Biedny Juliusz Słowacki umarł 3. kwietnia z suchot — pisze w liście do Stanisława Małachowskiego d. 11. kwietnia 1849 r.

---

[1]) Życie matki J. Słowackiego przez Bolesława D(unina) Rz . . . Dziennik literacki, Lwów 1856 r., nr. 29.

z Badenu. — Praniewicza kazał zawołać, sakramenta przyjął, z wielkim spokojem odszedł, mówiąc: „Czas już ten łachman zrzucić i pójść tam!“ Na pogrzebie Mickiewicz się nie pokazał, tylko ze trzydziestu ziomków; lecz żaden nie przemówił; zresztą mów nie potrzeba człowiekowi, którego imię przetrwa, dopóki języka polskiego stanie. Towianizm wyraźnie go dobił.“

P. Zygmunt Wasilewski w pięknem studyum swojem: *O stosunkach Goszczyńskiego ze Słowackim*, przytacza w końcu rzewne bardzo słowa, które na wieść o śmierci Juliusza przelał na papier autor *Zamku Kaniowskiego:*

... „Odchodzą jeden po drugim bracia nasi... Świeczniki, zapalone Duchem Pańskim, gasną jedne po drugich, jakby podmuchem gniewu Pańskiego, a droga długa, a noc gęsta, a do świtu jeszcze daleko...

„Nie tak miało być, nie o to Bóg się z nami umawiał, nie tego chciał, nie na to nas powołał, nie tego się od nas spodziewał.

„Uderzmy się w piersi: nasza wina! Wina tych, co zeszli, wina tych, co pozostali. Błagajmy Boga, aby nas do szczętu nie wytracił“ ... [1])

Mogiła cmętarna na Montmartre natchnęła znów innego z druhów poety do napisania pięknego wiersza, nieznanego zapewne czytelnikom naszym. Oto niektóre wyjątki:

Klątwą istnienia, pęty żelaznemi
Orle niebieski! do klatki skowany,
Krwawiąc pierś własną twardemi kajdany,
Z krzykiem rozpaczy rwałeś się od ziemi.
Aż bezustannem szamotaniem ducha
Stargane, pękły ogniwa łańcucha.
I ty na trupie postawiwszy nogę,
Odszedłeś w duchów tajemniczą drogę.

Gdzieś przez milczące wieczności przestworze
Kroczysz, stąpając po gwiazdach błyszczących,
Jak pątnik górskich rzek wezbrane łoże
Po głazach z głębi przebywa sterczących
Toż, chociaż w sercu smutno mi po tobie,
Dziwnie spokojny stoję na twym grobie
Tak pewien jestem, że jeśli ta droga
Ma koniec, dowieźdź cię musi do Boga.

---

[1]) „Biblioteka Warszawska“, zeszyt III. z 1895 r

Wszakże pod kształty jakbądź promiennemi
Drogę Ci ducha spełniać się dostało,
Gdziekolwiek pójdziesz, wiem, przez wieczność całą
Smętny, że będziesz zwracać wzrok ku ziemi;
I wszystko niebios wesele tej twojej
Wielkiej boleści, wiem, że nie ukoi:
Aż nie zobaczysz, że spełnienie wzięło
Na ziemi święte odkupienia dzieło [1].

. . . .

W smętnych marzeniach roił sobie poeta, że spać może będzie kiedyś snem nieprzespanym na cmętarzu krzemienieckim, pod cieniem tej czereszenki, która osłania grób babuni. Dziś wszakże, gdy odzywają się głosy, że mogiła na Montmartre rozpada się w gruzy, wartoby w czyn wprowadzić marzenie poety... Lecz Krzemieniec tak bardzo zmienił swą postać, że nie dobrze byłoby mu w tej mogile opuszczonej i samotnej... Należy przeto ze wszystkich sił popierać myśl rzuconą niedawno złożenia szczątek śmiertelnych Juliusza na wieczny przy Mickiewiczu spoczynek, ażeby w zaziemskim uścisku pojednania spocząć mogły obok siebie „te dwa na krańcach swych przeciwne bogi“.

LEOPOLD MÉYET.

---

[1] „Pszczoła“, Warszawa 1861 r.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część druga.

I.

(Ciąg dalszy).

Spotkane za Jarosławiem na gościńcu fury, wyładowane miodem i woskiem, dały sposobność naszemu autorowi do skreślenia kilku dat, odnoszących się do handlu tymi artykułami. I tak z chrześciańskich hurtowników najznaczniejszymi byli: Laszkiewicz i baron Bössner z Brodów. Ten ostatni, sprowadzany z Tulczyna, nieczyszczony wosk wysełał do Włoch. Z żydowskich handlarzy znanymi byli najbardziej: Józef Mises we Lwowie i Josel Berl w Mikulińcach. Mikulińce dostarczały corocznie 1.000 kamieni wosku, (każdy po 36 funtów), do Wiednia, dokąd również szły znaczne transporty tego artykuły z Pomorzan. Handlowali też woskiem żydzi z Rozdołu, utrzymując stosunki kupieckie z Wiedniem i z Bernem.

W Radymnie znów kwitnął wyrób sieci rybackich, z któremi przemyślni mieszczanie sami udawali się na jarmarki do Łęcznej, gdzie znajdowali dobrych odbiorców w kupcach z Rosyi przybyłych. W Przeworsku ludność trudniła się głównie wyrobem płócien i drelichów, ale nie zarabiała wiele, gdyż pracowała dla żydów, dostarczających jej przędzy, za wynagrodzeniem ladajakiem. W Przeworsku wstąpił Rohrer do klasztoru Sióstr Miłosierdzia celem zaopatrzenia się w pewne lecznicze ingredyencye, nieodzowne w podróży przez kraj, gdzie apteki były rzadkością. Przy tej sposobności zwiedził szpital i zakład wychowawczy, pozostające pod opieką Sióstr, dla których nie mógł znaleźć dość słów pochwały, i zaopatrzony obficie

w leki ruszył w dalszą drogę do Krakowa. Z podróży tej nie podał nasz autor dokładniejszej relacyi o miastach cyrkularnych, przez które przejeżdżał. Poprzestał jeno na ogólnej wzmiance tej treści, iż wszystko w takiem mieście zależy od osoby naczelnika obwodu, tworzącego każdy dla siebie osobne państewko a wzorującego się według szefa. W Przemyślu i w Rzeszowie raziły Rohrera brud i żydostwo, którego mniejsza ilość w tarnowskiem i w bocheńskim cyrkule szła w parze z rosnącą zamożnością mieszczaństwa i ludu wiejskiego. W cyrkule tarnowskim zwróciło jego uwagę miasteczko Kolbuszowa, gdzie niemal każdy mieszczanin był stolarzem. Wyroby kolbuszowskie: stoły, skrzynie i łóżka, znajdowały chętnych nabywców na jakie trzydzieści mil w około. W okolicy Wieliczki zauważył nasz podróżnik wielce staranną kulturę szlachetnych drzew owocowych, której początek dali sascy górnicy, pracujący ongi w tamtejszych kopalniach. Formalny zakład ogrodniczy utrzymywał dyrektor szkoły wielickiej, Krömer, z pomocą ośmiu chłopaków, którzy u niego prócz nauki znajdowali całe utrzymanie, a podobną misyę w Inwałdzie pod Andrychowem spełniał proboszcz Zeisel wśród ludu wiejskiego, zachęcając swych parafian do uprawy koniczu. Kulturze koniczu, zaprowadzanej na wielkie rozmiary, zawdzięczali też swą zamożność osadnicy niemieccy z okolic Nowego Sącza, wysełający znaczne partye tego artykułu do Gdańska.

Kraków zwiedził Rohrer bardzo pobieżnie. Podobały się mu: ogród botaniczny, pozostający pod zarządem profesora Schneidta, oraz kollekcya motyli i chrząszczów, zebrana przez młodego medyka, Österreichera, syna malarza, sprowadzonego jeszcze przez Stanisława Augusta do tamtejszej szkoły rysunkowej. Zaciągnięto naszego autora na przedstawienie teatru niemieckiego, o którem dyskretnie zamilcza, zaś z okazów przemysłu miejscowego wspomina jedynie o pasach, wyrabianych na Kazimierzu. Szerzej rozpisał się autor o cyrkule myślenickim. Obwód ten nieurodzajny, zaliczał się do najbardziej zamożnych skutkiem ruchliwości swych mieszkańców. Żydów było tam bardzo niewiele, z wyjątkiem kilkunastu rodzin, osiadłych w Andrychowie. Mieszkańcy myślenickiego obwodu trudnili się w przeważnej częci obrabianiem drzewa i spławianiem takowego na Sole i Skawie. W Zębrzycach każdy wieśniak był rybakiem, zaś w okolicy Kalwaryi Zebrzydowskiej chłopi trudnili się łapaniem kwiczołów, które na sprzedaż wysełali do Krakowa a nawet do Warszawy. Za Kalwaryą, w Stryszowie i w Dembowcu kobiety i małe nawet dziewczęta szyły czepeczki, które sprzedawano w szerokim okręgu w Galicyi i w Prusiech południowych. W Swoszowi

cach zasłużyła na uwagę znaczna kopalnia siarki. Prócz dwóch tysięcy cetnarów, które corocznie w lanych sztabach wysełano do Wiednia, sprzedawano tamże co najmniej 500 cetnarów odbiorcom prywatnym w Galicyi i w Prusiech. Górale z cyrkułu myślenickiego schodzili corocznie na zarobek do Królestwa Polskiego a nawet na Litwę podczas sianokosów i żniw. Byli to przeważnie włościanie z okolic Wadowic, Kęt, Rychwałdu. Znajdowali zawsze zajęcie, gdyż góral w ciągu dnia był w stanie zrobić więcej, aniżeli czterech chłopów. Głównymi atoli przedstawicielami przemysłu w tych stronach byli tkacze i drelicharze, osiedli w Andrychowie, we wsiach okolicznych i w Białej. W roku 1792 było w Andrychowie dwudziestu majstrów z dwudziestoma warsztatami; w Białej dziesięciu majstrów i dziesięć warsztatów. Tkacze bialscy trudnili się wyłącznie swem rzemiosłem, podczas gdy tkacze wiejscy uważali je jako poboczny zarobek. Przeważna część tych wyrobów szła do Holandyi, gdzie ich używano na żagle, na ubrania dla majtków oraz dla biedniejszej ludności w koloniach. Ogółem w r. 1792 było w równinach myślenickiego cyrkułu 1.899 warsztatów tkackich, nie licząc wsi górskich, gdzie tkacze pracowali tylko przygodnie, w pewnych porach roku. Len i konopie myślenickie ustąpić musiały co do jakości pierwszeństwa szlązkim produktom tego rodzaju. Dlatego też hurtownicy, zakupujący tu surowe płótno, wysełali je na pruski Szląsk celem dalszej fabrykacyi, a kupujący za drogie pieniądze tak zwane szląskie płócienka ani się domyślali, że nabywali ulepszone wyroby galicyjskie.

W Białej prócz okazałego zboru ewangelickiego, zaopatrzonego w dzwony, zwróciły uwagę Rohrera liczne kuźnie, gdyż w tem mieście zwykli byli jadący frachtowemi brykami furmani przekuwać swe konie. Obok kowali było w Białej sześć warsztatów gwoździarskich, zaopatrujących w gwoździe rozmaitego rodzaju nietylko Galicyę i Bukowinę, ale i Kraje Zabrane. Z Białej też sprowadzano igły, gdyż we Lwowie był tylko jeden, jedyny iglarz. Tu koniec relacyi Rohrera, którego wrażenia pobieżne z dalszej podróży po Szlązku, Morawii i dolnej Austryi streszczają się w końcowych pięciu listach.

Książka Rohrera, mimo lekkiej, beletrystycznej niemal formy opowiadania, zawiera — jak widzimy — wiele dat cennych, zwłaszcza z dziedziny przemysłu galicyjskiego. Nie był nasz autor ani tak skrajnym w swych poglądach jak Kratter, ani też tak ścisłym jak Hacquet. Charakter urzędowy Rohrera a po części też brak tych wiadomości, jakiemi rozporządzał Hacquet, sprawiają, iż książka jego

jest raczej ciekawym dziennikiem podróży, aniżeli dziełem, odźwierciadlającem wszechstronnie stan ówczesny kraju.

Też same zalety i wady posiada dziełko Rohrera, p. t. *Versuch über die slavischen Bewohner der österreichischen Monarchie*, wydane bezimiennie w Wiedniu w roku 1804. W książce tej, złożonej z dwóch części, zastanawia się naprzód autor nad poszczególnymi szczepami słowiańskimi, zamieszkującymi monarchię austryacką, nad ich powierzchownością, sposobem żywienia się i zatrudnienia, by w następnej części określić uzdolnienie artystyczne, umysłowość i religię odnośnych plemion. Jakkolwiek autor mówi w ogólności o Słowianach austryackich, to jednak poświęcił Galicyi znaczniejszą część swej rozprawy, zdradzającej na pierwszy rzut oka niedość dokładne opanowanie całości przedmiotu przez piszącego, który zbyt krótko w kraju naszym przebywał, by do głębi mógł poznać moralną stronę tutejszego społeczeństwa i nie polegać na opowieściach niekiedy tendencyjnych lub z gruntu fałszywych. Łatwiej dać statystyczny obraz danej miejscowości, zwłaszcza, jeżeli się rozporządza urzędowymi wykazami, aniżeli zgodnie z prawdą odmalować życie moralne wszystkich warstw ludności tamże zamieszkałej. Pierwszy rodzaj pracy wymaga dokładności i pilności, drugi wyższych zdolności obserwatorskich, badań długich, mozolnych, czynionych na miejscu. Tego ostatniego warunku nie posiada książka Rohrera, z której podamy jeno najważniejsze szczegóły, nie wdając się w polemikę lub w prostowanie mylnych wywodów autora, na co zresztą sprawozdawczy charakter naszej pracy nie pozwala.

Ogół ludności galicyjskiej wynosił w r. 1801 głów 4,921.845, z czego na Słowian przypadło 4,500.000 dusz. Pod względem rosłości i silnej budowy wielka panowała rozmaitość wśród ludności galicyjskiej. Wynędzniały Rusin był jej przedstawicielem mniej fortunnym obok smukłego górala lub krępego Mazura, który mimo swej pozornej ciężkości najlepszego dostarczał rekruta do lekkiej kawaleryi. Sformowany przez hrabiego Miera trzeci pułk ułanów składał się przeważnie z Mazurów i Podolaków, wyróżniając się czarnemi czapkami od dwóch innych pułków ułańskich. Kołtun, panujący w okolicy nadwiślańskiej, przypisuje nasz autor, wbrew twierdzeniu Lafontaine'a, nie wodzie, lecz niechlujstwu, zapytując nie bez racyi, dlaczego osiadły nad Wisłą kolonista niemiecki nie podpada tej słabości? Co do jedzenia, to obok kaszy i baszczu, wspomina jeszcze Rohrer o kapuśniaku, zaś w rzędzie napojów, używanych przez wyższe klasy społeczeństwa, wymienia wódkę, wino węgierskie i poncz. Przyznaje również, że pijatyka, tak rozwielmożniona za sa-

skich czasów, stawała się corazto rzadszą wśród oświeceńszej klasy narodu, jednakowoż wytyka wódkę jako napój, działający ujemnie na organizm ludzki zarówno pod względem fizycznym jak moralnym. Pędzenie wódki pożerało tyle zboża, że ilość ta wystarczyłaby do wyżywienia podwójnej ilości mieszkańców, a jakkolwiek ustawy rządowe, wydawane w latach 1784—1786, starały się ukrócić, o ile możności, rozpajanie włościan przez mniej sumiennych dziedziców i arendarzów, to jednak skutek praktyczny wydanych rozporządzeń był prawie żaden. Jako jedyny środek odwrócenia chłopa od wódki doradzał Rohrer warzenie lepszego piwa w browarach kameralnych po cenie dla ludu przystępnej, wprowadzenie w użycie jabłecznika oraz innych napojów owocowych, wreszcie pędzenie wódki z kartofli — dla zaoszczędzenia zboża. Co do stroju, to w miastach zamożniejsi używali fraków angielską modą skrojonych, surdutów i okrągłych kapeluszy, który to ubiór zmieniać musieli, przekraczając granicę rosyjską, gdzie suknie i kapelusze tego rodzaju osobnym ukazem były zabronione. Na wsi, po dworach, przeważnie panował dawny strój narodowy, zaś chłop ubierał się tak samo, jak przed wiekami, wdziewając na święto paradny kożuch i bekieszę, nawet w najokropniejsze upały.

Dłużej zatrzymać się nam wypadnie przy ustępie, w którym Rohrer mówi o rodzaju zajęć ludności galicyjskiej. Rzecz swą zaczyna od Galicyi zachodniej, gdzie ogół ludności jest zapobiegliwszy i pracowitszy od Rusinów, zamieszkałych we wschodniej części kraju. Na rozleniwienie chłopa, które stało się niestety drugą jego naturą, wpłynęły niezawodnie dawne stosunki pańszczyźniane, pogorszone jeszcze zwyczajem puszczania dóbr w dzierżawę, niszczącą zarówno ziemię, jak poddanych. Patent o robociznach, regulujący powinności poddańcze, przykład lepszej gospodarki w koloniach niemieckich, wreszcie otwarcie rządowej fabryki tytoniu w Winnikach, polepszyły znacznie dolę włościan w Galicyi. Włościanie w obwodach: zaleszczyckim, stanisławowskim i brzeżańskim, trudnili się przeważnie uprawą tytoniu, dostarczając rocznie co najmniej 150.000 cetnarów surowca. Winnicka fabryka wyrabiała corocznie 8.000 cetnarów tabaki i 45.000 cetnarów tytoniu, który wysełano za granice kraju do Wiednia, do Warszawy, do Gdańska i do Sztokholmu. Ale nietylko włościanin-rolnik gospodarzył źle. Żaden dziedzic nie myślał o sianiu traw na olbrzymich łachach piaszczystych, ani o sadzeniu słoneczników, lub też o uprawie anyżu, którą poczęli się zajmować włościanie w cyrkule kieleckim, zbywając swój produkt z największą łatwością za pruskim kordonem, w Piotrkowie.

Chmiel, rosnący dziko, nadzwyczaj obficie w lasach pod Brzeżanami, uprawiano racyonalnie tylko w cyrkule zamojskim, zaś baron Kaschnitz był pierwszym z krajowych producentów, który chmielowi galicyjskiemu otworzył źródło zbytu w Morawii. Włościanin sprzedawał często bydło swe dla braku paszy za śmiesznie niską cenę, gdyż nikt nie zajmował się kulturą roślin pastewnych, podobnie jak nikt nie troszczył się o drzewa owocowe. Wyjątkiem pod tym względem był Kleparów, słynny z swych czerech, przynoszących właścicielom do tysiąca złotych dochodu rocznego. Mówiono też o tem, gdyby o ósmym cudzie świata, choć sady bankiera Klotza oraz innych mieszczan lwowskich były dowodem, że przy staranności można się doczekać najlepszych rezultatów i w tej okolicy. Podobnie gospodarzyli ogrodnicy krakowscy, handlujący jarzynami i owocami, w okręgu trzydziesto i pięćdziesięciomilowym.

W parze z nędznym stanem gospodarki wiejskiej w Galicyi zachodniej, szło ubóstwo tamtejszych miasteczek. Chlubnym pod tym względem wyjątkiem byli mieszczanie z Biłgoraja, w obwodzie Józefowskim, trudniący się koszykarstwem i sitarstwem, przy pomocy kobiet i dzieci. Zazwyczaj jeden z mieszczan zabierał z sobą wyroby kilku sąsiadów i jechał je sprzedawać w Galicyi, Prusiech Południowych i w Nowej Rosyi. Do koszyków swych używali biłgoraiscy koszykarze prawdopodobnie prątków iwy. W roku 1800 kilkunastu biłgorajskich mieszczan wybrało się z swym towarem do Multan i Wołoszczyzny, zkąd powrócili na Siedmiogród i Bardyów do domu. Sitarze ci słynęli w całym kraju z uczciwości i cieszyli się znacznym stosunkowo dobrobytem. Prócz nich, w Goraju i w Janowie, było kilkuset sukienników, których zachęcił do pracy ordynat Zamojski, wprowadzając wprawnych majstrów z Niemiec. Pierwszym wszakże założycielem spółki dla gospodarzy wiejskich, był zacny pijar, ksiądz Dębski, który w dobrach rządowych, w Borzęcinie. — (cyrkuł sandomierski), — stworzył wspólnie z morawczykiem Postlem instytut dla wzorowych gospodarzy. Uczono tam czytania, pisania, gospodarki, a nawet rysunków. Dziewczęta uczyły się prząść na podwójnym kołowrotku. Niestety ciężka słabość powaliła zacnego kapłana na łoże boleści.

Galicya wschodnia, pozostająca czas dłuższy pod austryackim rządem, przewyższyła — zdaniem Rohrera — przemysłowością zachodnią część kraju. Wieśniakom pobocznego zarobku dostarczały w pierwszym rzędzie saliny, a następnie obrabianie i spławianie drzewa materyałowego, choć nie brakło i zdolnych rękodzielników do przerabiania drzewa w sposób bardziej korzystny. W Kolbuszowej

wyrabiali stolarze sprzęty dobrze w całym kraju znane i płacone, podczas gdy w Brzysku wykonywano zabawki dziecinne, szachy, puszki do przzchowywania korzeni i tym podobne drobiazgi, których wyrobem trudniło się też kilku majstrów w Wiśniczu. Ci ostatni pracowali niestety dla żydów, obnoszących ich wyroby po Węgrzech, a nawet zapuszczających się z niemi do Gdańska. Wyroby te zdradzały wiele zmysłu artystycznego u rękodzielników wisznickich.

Najważniejszą atoli gałęzią przemysłu w Galicyi wschodniej było tkactwo. W długie, zimowe wieczory przędzono wiele lnu w cyrkułach: przemyskim i złoczowskim, a masy płótna, sprzedawane na jarmarku w Gołogórach — (w cyrkule złoczowskim) — zdawałyby się świadczyć o nadzwyczajnym rozwoju krajowego tkactwa. Sam cyrkuł złoczowski dostarczał corocznie do Gdańska płótna za cztery do pięciu tysięcy dukatów. W górach sanockich aż po Duklę tkano również wiele płótna, które na jarmarkach w Dynowie sprzedawano w stanie napół surowym. Lepsze stosunkowo płótna tkano w cyrkule tarnowskim, a zwłaszcza wyróżnili się korzystnie pod tym względem mieszkańcy Czechowic, gdzie każdy gospodarz był zarazem tkaczem. Ten sam przemysł kwitnął w cyrkułach: nowosądeckim i myślenickim, a zwłaszcza w miasteczku Andrychowie. Pod względem delikatności tkaniny i najlepszego bielenia, najwyżej stały wyroby z Dembowca w cyrkule jasielskim. Wszyscy mieszczanie tamtejsi wyrabiali tak zwane rąbki, kupowane nietylko w Galicyi, ale i w Prusiech i w Rosyi. Łokieć rąbka na miejscu kosztował piętnaście krajcarów.

Około roku 1785 nadawała się dla tkactwa galicyjskiego pożądana sposobność wyzwolenia się z objęć żydowskiego wyzysku. Jenny, hurtownik i fabrykant, osiadły w Krakowie, objeżdżając Galicyę, zakupił przeważnie w rzeszowskim cyrkule płótna za sumę 40.000 zł. i wyprawiwszy zakupione zapasy do Marsylii, kazał je ponownie bielić. Sprzedał takowe następnie zarządowi wojskowemu we Francyi, który wyrób ów galicyjski uznał jako nader odpowiedni na bieliznę dla żołnierzy. Zachęcony tym sukcesem, przybył Jenny ponownie w rzeszowskie i rozdał tkaczom tamtejszym znaczne stosunkowo zaliczki na zakupno dobrej przędzy, zaopatrując ich równocześnie w ulepszone narzędzia i warsztaty. Cóż się jednak pokazało? Oto większa część tkaczów sprzedała dostarczoną im przędzę żydom, u których również znalazły się narzędzia i warsztaty zastawione, — za wódkę... Niechcąc się procesować z tak znaczną ilością dłużników, zrzekł się Jenny swych pretensyi i zaniechał dalszych interesów z tutejszymi tkaczami, którzy popadli w zupełną zależność od ży-

dowskich przekupniów, stanowiących dowolnie cenę płótna i zabierających pracującym cały niemal zarobek. Jako objaw niskiego stanu krajowego kupiectwa, przytacza Rohrer jarmarki świętojurskie. „Jakże zdumiałem się“, — słowa autora, — „gdy mię po raz pierwszy zaprowadzono na wzgórze, na którem jarmark się odbywa. Ujrzałem szeregi namiotów i szałasów, w których jeno szynkowano wódkę, piwo i wino. Tuż naprzeciw sprzedawano masy świeżej i wędzonej wędliny. Nie brakło i niemieckich piernikarzy. W pierwszej chwili wśród dymów i pary, buchających z garkuchni, nie mogłem znaleść żadnych wyrobów. W końcu odkryłem kilku chrześciańskich i żydowskich przekupniów, sprzedających wstążki, szkaplerze, fałszywe korale, wyroby stolarskie i buty“. Buty chłopskie wyrabiali w bardzo wielkiej ilości włościanie z Uhnowa, w cyrkule zamojskim, rozwożąc je po sąsiednich targach i jarmarkach. „Jeżeli gdziekolwiek w Galicyi wschodniej“, — pisze Rohrer — „znajdzie się piękne wyroby kobiece, to jest to niezawodnie zasługą zacnych zakonnic, których życie poświęcone zostało cnotliwym uczynkom. Mam tu na myśli Siostry Miłosierdzia. Zgromadzenie ich jest bardziej dobroczynne niż Braci Miłosiernych, pielęgnujących tylko chorych mężczyzn, podczas gdy Siostry we Lwowie, w Krystynopolu, w Przeworsku i w Brodach, nietylko opiekują się słabymi płci obojga, lecz nadto wychowują sieroty, dziewczęta. Ubierają je, żywią i uczą wszelkich robót kobiecych, utrzymując sieroty do wieku dojrzalszego, gdy już sobie same dać mogą radę“.

W części drugiej swojej rozprawy, omawiając zmysł artystyczny mieszkańców Galicyi, pierwszeństwo pod tym względem przyznaje nasz autor ludności cyrkułu myślenickiego, a zwłaszcza góralom z Machowa, którzy oddawali się artystycznemu stolarstwu, zakupując za wspólne pieniądze w Krakowie potrzebne im modele. W ogóle jednak harmonia i symetrya były pojęciami nieznanemi dla przeważnej części ludu Galicyi, podczas gdy w spiewie celowali Rusini. Sam autor spotkał w przejeździe przez Janów sędziwą parę młynarzy okolicznych, śpiewających coś żałośnego, czemu przysłuchiwała się, płacząc, gromadka kobiet i dziewcząt. Jak poinformowano Rohrera, starzy ci zawodzili swe żale z powodu zaorania im dwóch synów w rekruty. „W Wiedniu“ — pisze Rohrer — „śpiewa lud także, lecz najczęściej arye operowe, zasłyszane w teatrach Szikanedra lub Marinellego. We Lwowie słyszy się wszakże wśród ludu rzeczywiste pieśni ludowe. Lud jest tam zarazem kompozytorem i wykonawcą“. Najbardziej rozpowszechnionym instrumentem była angielska gitara, zaś w tańcu cechowała Polaków wrodzona gracya, której w Niem-

czech — zdaniem autora — nie zdołają wyuczyć sztucznymi figlasami. Komiczne potroszę wrażenie sprawia twierdzenie naszego podróżnika, tłómaczącego nazwę kołomyjki od Kołomyi w ten sposób, iż „w mieście owem są ludzie, którzy nie chcą pracować, jeno zajmują się układaniem co raz to nowych tańców i śpiewów...“. Przyznaje też Rohrer Polakom wyjątkowe zdolności sceniczne „Widziałem we Lwowie“ — pisze autor — sztuki Kotzebuego, grane w obu językach przez Polaków i Niemców i powołuję się nie na sąd mój osobisty, jeno na zdanie innych, niemieckich widzów, czy nie przyznają Polakom pierwszeństwa pod względem przedstawienia humorystycznego myśli tego pisarza? Co do oświaty jednak ludność galicyjska była wcale zacofaną, tak w sferze szlacheckiej, jak włościańskiej. Brak gospodarskiej poradności objawił się zwłaszcza w roku 1799, gdy skutkiem spożywania sporyszu w świeżem życie, nastąpiła znaczna śmiertelność wśród ludu wiejskiego, podczas gdy równocześnie bydło padało licznie z powodu niezdrowej paszy. Klęski te przypisywano najrozmaitszem przyczynom, miasto pomyśleć o zapasowych szpichlerzach oraz o suchej paszy. Podobnież rzecz się miała z gospodarką leśną, podczas gdy ludność miejska podwyżkę ceny drzewa opałowego przypisywała jeno wyzyskowi handlarzy. Wykształcenie zamożniejszej młodzieży, zdanej przedtem na łaskę i niełaskę przygodnych, francuskich pedagogów, zmieniło się na korzyść skutkiem zaprowadzenia przez rząd gimnazyów i uniwersytetu. A jakkolwiek zrazu na wydziale medycznym było więcej profesorów, aniżeli uczniów, to smutny ten objaw przypisać należało nie złemu doborowi nauczycielskiego grona, lecz wrodzonemu lenistwu młodzieży. Dzięki temu fakultetowi posiadała Galicya chrześciańskich lekarzy krajowców, podczas gdy przedtem posługiwała się wyłącznie żydowskimi szarlatanami. Wzmianka o medykach nasuwa naszemu autorowi pod pióro wielce ciekawą wiadomostkę o włościanach w Hrebennem, leczących choroby syfilistyczne bez użycia merkuryusza. Rohrer, bawiąc tamże w przejeździe, napróżno dopytywał się włościan o zioła, których używali do kąpieli dla chorych przyrządzanej. Podejrzliwi Rusini przypuszczali, że autor nasz jest doktorem, chcącym wybadać ich tajemnicę i nie zdradzili mu swego sekretu.

Pisząc o religii, wyznawanej przez mieszkańców Galicyi, nie zaniedbał Rohrer oddać należytego hołdu tolerancyi szlachty polskiej, która i dawniej pozwalała na swobodne wykonywanie ćwiczeń religijnych przez członków rozmaitych wyznań. Zaznaczył również bardzo trafnie, że religijność ruskiego chłopa zasadza się raczej na

formie, niż na rzeczywistem pojęciu i zrozumieniu wiary. Kradzież drzewa i siana u sąsiada, uważał on za grzech o wiele drobniejszy, aniżeli złamanie postu przez spożycie nabiału. Opis uroczystości Jordanu i świąt Bożego Narodzenia skreślił autor trafnie. Natomiast zwyczaj obrzucania celebrującego kapłana w dniu świętego Szczepana owsem, mylnie przypisuje Rohrer wyłącznie unitom. Jest on w użyciu i w rzymsko-katolickim kościele. Gorące pochwały oddaje też nasz autor arcybiskupowi Kickiemu, tudzież biskupom grecko-katolickiego obrządku, Adamowiczowi w Przemyślu i Skorodyńskiemu we Lwowie, podnosząc zasługi tego ostatniego około urządzenia seminaryum dla przyszłych kapłanów unickich.

Ostatni, interesujący nas ustęp w książce Rohrera, traktujący o moralnym charakterze ludności galicyjskiej, o zwyczajach i obrzędach, wypadł najsłabiej, jak tego dowodzą: drastyczny opis cukrowej kolacyi w dworach szlachty podolskiej, tudzież mylne tłómaczenie znaczenia śmigusa. W tym również ustępie ksiażki, unosi się nasz statystyk nad naturalnością panien polskich w stosunku z mężczyznami. „Polka, gdy kocha, nie jest tak ślamazarną jak Niemka“ — słowa autora. — Nie czytuje poezyi przy świetle księżyca, ani też nie kreśli własnych fantazyi na papierze! Nie przechadza się z chusteczką po swym pokoiku, gdyby szyldwach na straconym posterunku w pobliży nieprzyjaciela. Nie wzdycha i nie ziewa, lecz jest najweselszem, szczerem, najmilszem stworzeniem w stosunku z człowiekiem, widzącym w niej swe bóstwo...“ Mniej korzystnem jest zdanie Rohrera o małżeństwach, rozwodzących się w owych czasach z taką łatwością, o kordyalnym sposobie witania się mężczyzn, wreszcie o surowem traktowaniu służby przez chlebodawców. Nie pomija też autor milczeniem sympatyi, jaką oddawna żywiło społeczeństwo galicyjskie dla zakarpackich sąsiadów, lecz błędnie zupełnie opowiada o zwyczaju łamania się opłatkiem. Zwyczaj ten był i jest ogólno narodowym, nie zaś wyłącznie mieszczańskim i odbywał się w wilię Bożego Narodzenia, nie w dzień Nowego Roku, — jak tego chce autor. Pobieżnym również i wielce fantastycznym jest opis charakteru ludu wiejskiego w Galicyi, upstrzony tego rodzaju wymysłami, jak zaprzysięganie dworskich kozaków przy księdzu i świecach zapalonych. Znać, iż autor bezpośrednio się nie stykał z ludem i z życiem wiejskiego dworu, lecz powtarzał w dobrej wierze zmyślone opowieści. I owa łatwowierność przedstawia właśnie ujemną stronę rozprawy Rohrera.

Równocześuie z rozprawą o Sławianach, wydał Rohrer w Wiedniu studyum o żydach w monarchii austryackiej p. t. *Versuch über die*

jüdischen Bewohner der österreichischen Monarchie. (Wien 1804), w którem znajdujemy również cenne wzmianki o żydach galicyjskich.

Najwięcej stosunkowo żydów przebywało w Galicyi wschodniej, gdzie liczba ich w roku 1797 wynosiła 192.840 głów, zaś ogólna cyfra ludności starozakonnej w Galicyi wschodniej i zachodniej dochodziła w roku 1801 do 254.581 dusz. We Lwowie w roku 1797 tworzyli żydzi trzecią część ludności, gdyż na 37.388 mieszkańców przypadało 12.730 wyznania mojżeszowego. Istniały nawet miasteczka w Galicyi, zamieszkane wyłącznie przez żydów, jak na przykład słynna z jarmarków na konie Łęczna, gdzie starozakonni utrzymywali się głównie z wynajmu swych mieszkań gościom jarmarcznym. Natomiast mieszczanie Krasnostawscy mieli przywilej, wzbraniający żydom pobytu w tem mieście, zaś w Krakowie, w śródmieściu żyd pod żadnym warunkiem nieśmiał zatrzymywać się na noc.

Załatwiwszy się po krótce z historyą przybycia żydów do Polski, oraz po ogólnych uwagach na temat fizycznego rozwoju rasy żydowskiej, oraz używanych przez nią pokarmów, nadmienia nasz autor o stroju, noszonym przez współczesne żydówki galicyjskie. Ulubionym ich kolorem był pons lub karmazyn; stanik był naszywany złotym galonem, podobnie jak spodnica. Trzewiki nosiły izraelitki galicyjskie na wysokich korkach, na szyi zaś łańcuch z złotą monetą. Głowę okrywały kosztowną bindą z prawdziwych pereł, przedstawiającą niekiedy wartość kilkuset dukatów. Ta binda tworzyła dla żydówki skarb najwyższy, z którym się rozstawała chyba w ostateczności. Jeżeli izraelitce groziło fantowanie ruchomości, wówczas sprzedawała pozornie swą bindę za drobną kwotę którejkolwiek z sąsiadek, zastrzegając sobie prawo odkupu. W ten sposób mogła następnie w sądzie zaprzysiądz, iż kwestyonowana binda nie jest już jej własnością... Czarna jupica, przepasana pasem takiejże barwy, tudzież płaszcz, z którym żonaty żyd nie rozstawał się nawet w czasie największych upałów, tworzyły główne części ubrania izraelity polskiego. Ubiór ten, jako sprzyjający niechlujstwu i ukrywaniu rzeczy kradzionych, miał wyjść z użycia w roku 1791. Tak przynajmniej przepisywał reskrypt Józefa II. Ale po śmierci tego monarchy żydzi postarali się o odwołanie rzeczonego rozporządzenia, przedstawiając, iż w razie zmiany używanego przez nich ubioru, nieuchronne bankructwo groziło fabrykantom sukna i wyrobów bawełnianych!

Co do zajęcia ludności żydowskiej w Galicyi, to trafiały się wśród niej rzadkie jeno wyjątki, trudniące się uprawą roli. Do ta-

kich wyjątków zaliczały się: dziesięć rodzin rolników żydowskich, osiadłych w Gajach i w Dawidowie, w cyrkule lwowskim, sześć rodzin w tarnowskim i tyleż w żółkiewskim obwodzie osiadłych. Natomiast na Bukowinie, w okolicy Seretu i Suczawy, istniały całe gminy żydowskie, prowadzące wzorową gospodarkę rolną.

Z rękodzieł najchętniej trudnili się żydzi krawiectwem, choć woleli sprzedawać suknie, aniżeli je szyć. Szewctwo było już dla nich zbyt uciążliwem rzemiosłem, choć nie pogardzali handlem gotowych butów i trzewików, a z szczególniejszem zamiłowaniem kupczyli surowemi skórami i płótnem. Szmuklerstwo było również ulubionem zajęciem starozakonnych, którzy czasem trudnili się blacharstwem i mosiężnictwem. Złotnictwo pozostało atoli właściwą sferą działalności żydowskiego rękodzielnika i kwitnęło zwłaszcza w Głogowie i w Rzeszowie. W Głogowie sporządzano ordynarne pierścionki i spinki dla włościan, zaś wyroby rzeszowskie pod względem delikatności wykończenia mogły rywalizować z biżuteryą praską. Ale złoto, z jakiego je sporządzano, nie było wcale dukatowe, gdyż zawierało zaledwo część dziesiątą szlachetnego kruszcu. Żydzi rzeszowscy zapuszczali się z swymi wyrobami aż do Liworna i Aleksandryi, lecz głównym terenem ich działalności handlowej były Węgry, Rosya i Prusy. Nawet muchy hiszpańskie były artykułem handlu, prowadzonego na wielkie rozmiary przez niejakiego Berla Joslowicza, osiadłego w Krajach Zabranych, który w roku 1800 pięć cetnarów tego artykułu wysłał na sprzedaż do Wiednia, każąc sobie płacić tamtejszym aptekarzom po trzy złote za funt. Bardziej ogólnym był wiedziony przez żydów galicyjskich handel miodem, zakupowanym przez nich na Ukrainie, w Multanach, na Bukowinie. Miodu używano do fabrykacyi gdańskich wódek, jak również do innych rosolisow. We Lwowie najprzedniejszym fabrykantem rosolisu był Leib Mimeles, zamieszkały przy ulicy Sykstuskiej. U niego czyniły zakupy pierwszorzędne zakłady cukiernicze. Na wielkie rozmiary kupczyli też żydzi tutejsi futrami. O skali handlu futrzanego w Brodach świadczyła najlepiej okoliczność, iż podczas pożaru tego miasta [1]) zgorzało tam futer i kożuchów wartości półtora miliona złr. Towar ten zakupowali kupcy brodzcy głównie w Berdyczowie i sprzedawali takowy do Wrocławia i Lipska. Potażarnie bukowińskie dostarczały również żydom galicyjskim artykułu wywozowego.

Rocznie do 100.000 cetnarów potażu wywożono z Bukowiny do Gdańska. Handlowali też żydzi galicyjską pszenicą, zakupując ją

[1]) Brody zgorzały niemal doszczętnie w roku 1801.

na pniu u ziemian, anyżem mołdawskim i węgierskiemi winami. Obok handlu były wszakże inne jeszcze zajęcia, kultywowane przez żydów z szczególniejszem zamiłowaniem. Do nich należało faktorowanie szlachcie we wszelakich sprawach. Faktor był prawą ręką, nieodstępnym towarzyszem ziemianina, któremu starał się stać niezbędnym, by tem pewniej go oszukać. Handel pieniądzmi, to jest pożyczanie na zastawy i wekslarstwo, czyli wymiana monety brzęczącej na bankocetle lub też zmiana pieniędzy krajowych na zagraniczne, przedstawiały dla starozakonnych dalsze, nader obfite do wyzysku pole, mimo rozlicznych zakazów i rozporządzeń rządowych, podobnie jak arendy rozmaitego rodzaju. Wprawdzie ustawodawstwo józefińskie zabroniło żydom dzierżawy dóbr, młynów, dziesięcin a w szczególności arendowania wyszynków wódki i piwa, ale przemyślna dziatwa Izraela zdołała zawsze ominąć najbardziej stanowcze zakazy, działając jużto przez podstawione osoby, już też dostarczając rzeczywistym dzierżawcom potrzebnych do wyszynku napojów.

O zmyśle artystycznym żydów źle świadczyły: niechlujstwo, panujące w dzielnicach przez nich zamieszkałych, tudzież nieczystość ich mieszkań. Piękność przyrody była dla nich rzeczą obojętną. Śpiew żydowski raził monotonią. Że jednak nie zbywało im na instynkcie estetycznym, zdawałyby się dowodzić — według Rohrera — wyroby pieczętarskie żydów rzeszowskich, wśród których najznamienitszym był artystą niejaki Wolf Szaja Finkelsteiner. Podobno król szwedzki miał go otaczać szczególniejszymi względami i pragnął go zatrzymać na swym dworze.

Mówiąc o przesądach żydowskich, przytaczał nasz autor cały szereg rozporządzeń rządowych, mających na celu zniewolenie starozakonnych rodziców do posełania dzieci do szkół publicznych, a zarazem wyznał, że władza i pod tym względem nie mogła się poszczycić pomyślnym rezultatem swych zabiegów. Doradzał przeto Rohrer, by w szkołach ludowych urządzono rodzaj kursów przemysłowych, celem zaznajomienia dziatwy zarówno z miejskim, jak z wiejskim przemysłem. Przy wyliczaniu sekt żydowskich, istniejących w Galicyi, nie szczędzi autor entuzyastycznych pochwał dla Karaitów, osiadłych w Kukizowie, (20 rodzin), w Haliczu, (60 rodzin). Nadto w Stanisławowie, w Tyśmienicy i w Kutach liczono do dwustu rodzin karaickich Przed laty mieli Karaici przebywać także we Lwowie, ale żydzi postarali się u władzy o wydalenie z miasta sekciarzy, trudniących się uprawą roli, handlem koni i furmanką. Wzmianki Rohrera o innych sektach izraelickich: o Chassydach, Konach, Lewitach, jak niemniej wywody jego o ogól-

nożydowskim charakterze nie przedstawiają dla badacza stosunków galicyjskich żadnego interesującego szczegółu, z wyjątkiem dwóch uwag, dotyczących ludności izraelickiej we Lwowie. I tak na podstawie naocznego doświadczenia chwali Rohrer gorliwość, okazywaną przez lwowskich żydów podczas gaszenia pożarów, a zarazem daje chlubne świadectwo uczciwości żydowskich t. z. tragarzów, dźwigających ciężary i przenoszących ruchomości podczas zmiany mieszkania.

Niezmiernie też charakterystycznemi są końcowe uwagi naszego autora, twierdzącego, że żydów należy albo wygnać, albo też uczynić ich nieszkodliwymi dla państwa. W tym ostatnim celu należałoby dla dorosłych, pozbawionych zajęcia żydów stworzyć domy przymusowej roboty, zaś dla młodzieży założyć szkoły przemysłowe. Jeżeli jednak chodzi o uszlachetnienie rasy żydowskiej na przyszłość, to należy — zdaniem Rohrera — zniewolić ich użyciem siły do zajęcia się rolnictwem. Dziewicza Bukowina nadawałaby się szczególniej na zakładanie rolnych kolonii żydowskich. A ponieważ osadnicy żydowscy mieli brzydki zwyczaj opuszczania samowolnego wyznaczonych im przez władzę siedzib, przeto jedyną radę widzi nasz autor w — utworzeniu kordonu wojskowego, strzegącego, by żaden z kolonistów nie wydalił się bez pozwolenia władzy z miejsca osiedlenia!... Wnioski tego rodzaju znamionują aż nadto wyraźnie wychowańca ówczesnej szkoły polityczno-państwowej, pragnącej uszczęśliwiać ludzkość, choćby pod grozą bagnetów a zapominającej w zupełności o tem, że każde społeczeństwo rozwijać się może jedynie w prawidłowych, wskazanych mu przez przyrodę i wiekową tradycyę warunkach. Przepomnienie o tej prawdzie przez mężów stanu owej doby naraziło zarówno ogół monarchii, jakoteż i Galicyę na wiele ofiar i strat wielce dotkliwych, tak moralnych, jak i materyalnych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Daniel Chodowiecki. Ein Berliner Künstlerleben im achtzehnten Jahrhundert. Von Wolfgang v. Oettingen. Mit Tafeln und Illustrationen im Text nach Originalen des Meisters. — Berlin, Grote'sche Verlagsbuchhandlung 1895.

W rok po Wystawie krajowej we Lwowie, na której w dziale sztuki retrospektywnej po raz pierwszy można było oglądać w Polsce w znaczniejszej liczbie razem zebrane utwory ołówka jednego z najznakomitszych rysowników i sztycharzy XVIII. w.: wyszła pierwsza bardziej wyczerpująca biografia Chodowieckiego. W obszernym tomie, przyozdobionym licznemi illustracyami, kreśli profesor düsseldorfskiej akademii sztuk pięknych, Wolfgang Oettingen, obraz życia i twórczości artysty, który już u współczesnych zażywał niezwykłej wziętości i rozgłosu, któremu jednak dopiero potomność złożyła należny dank sławy.

Daniel Chodowiecki urodził się w Gdańsku w dniu 16. października 1726 r. Rodzina jego, pochodzenia polskiego, należała do rodzin zamożnych i znanych. Chodowieccy byli katolikami, odłam jednak rodziny, osiedlony w Gdańsku, należał do kościoła reformowanego. Matka Daniela była z rodu Francuzką, on sam zaś spędził najznaczniejszą część życia w Berlinie, gdzie należał do kolonii francuskiej i piastował w niej rozliczne godności. Wymawiano imię jego najczęściej: „Kodowiki" albo „Schodowiki" — on jednak protestował przeciw temu sołennie i protest swój stwierdzał czarno na białem, nie podpisując się nigdy inaczej, jak Chodowiecki. W ogóle nie tylko nie zapierał się nigdy swego polskiego pochodzenia i polskiej narodowości, lecz przeciwnie przy danej sposobności ją podnosił i nią się chlubił, Biblioteka Jagiellońska zaś w Krakowie posiada jego własnoręczny list, w którym pisze między innemi: „Uważam to sobie za zaszczyt, że jestem prawdziwym Polakiem, chociaż osiadłem w Niemczech." Swoją drogą zwykłym jego językiem konwersacyjnym był język francuski.

Ojciec Daniela był kupcem — zarazem jednak także zapalonym miłośnikiem sztuki i dyletantem w malarstwie. Młody też Chodowiecki już jako dziecko objawiał niezwykły talent i niezwykłe zamiłowanie do rysunku i malarstwa, a jako ośmioletni chłopak malował już miniatury, — w szczególności także liczne miniatury ulubieńca owych czasów, króla Stanisława Leszczyńskiego; nie umiejąc jeszcze pisać, ku niemałemu podziwowi rodziców wyrzeźbił w kości, z fotograficzną ścisłością, drukowaną modlitwę: „Ojcze nasz“. W roku 1740 umarł ojciec; majątku nie zostawił, rodzina była liczna (Daniel był drugim z rzędu w pośród sześciorga rodzeństwa), młody chłopak musiał zatem przez półtora roku po 16 godzin dziennie obsługiwać klientów swej ciotki, właścicielki sklepu korzennego w Gdańsku. Wspaniałe linie starożytnych budowli i rzeźb w Gdańsku sprawiły, że wrażliwy umysł młodego chłopaka wśród zajęć tak odbiegających od całej jego przyszłości nie zatracił wrodzonych zdolności; Daniel krążył po kościołach Gdańska, godzinami całemi wpatrywał się w starożytne obrazy i aby utrwalić sobie ich rysy w pamięci, kreślił je palcem na otwartej dłoni. Opowiada to sam w swej autobiografii, spisanej w języku francuskim. Z Gdańska dostał się Daniel do Berlina, gdzie jego wuj był kupcem; wuj ten umiał znaleźć chętnych nabywców także na miniatury Daniela, który, stojąc za ladą kupiecką, studyował fizyonomie przybywających do sklepu gości i w ten sposób zaprawiał się do przyszłego zawodu. W nocy kopiował sztychy do dzieł Racine'a, Molière'a i Voltaire'a; malował emalie na tabakierkach według Watteau i Bouchera, a zwolna począł sam tworzyć. W r. 1754 mógł już opuścić sklep wuja, w roku 1755 ożenił się, od roku następnego próbuje swych sił także w rysunku (radyrowaniu), berlińska akademia umiejętności powierza mu ilustrowanie wydawanych przez siebie kalendarzy, w r. 1764 zostaje rektorem, w r. 1788 wicedyrektorem a w r. 1793 rzeczywistym dyrektorem berlińskiej akademii sztuk pięknych. W r. 1785 umiera jego żona w dniu, w którym dwie najstarsze ich córki miały wyjść za mąż. Chodowiecki niezmordowanie czynny i pracowity przez całe życie, pracuje nawet jako starzec dniem i nocą, — to też nic dziwnego, że samych odręcznych szkiców i rysunków jego ma być zachowanych do 3.500. Umarł w d. 7. lutego w r. 1801.

Pomimo, że kształcił się w malarstwie i rysunku, naśladując utwory szkoły francuskiej, pełne wdzięku i nadzwyczajnej techniki, nadzwyczajnego wykończenia: już od początku okazuje on zamiłowanie do prawdy, do rzeczywistości, do realizmu, którego w malarstwie jest pierwszym szermierzem. Jak sam powiada, chodziło mu zawsze o to, aby malować świat, jakim on jest. W swej autobiografii opowiada on tak

o tem: „Rysowałem mimochodem. Będąc w towarzystwie, siadałem tak, ażebym mógł dobrze widzieć całe towarzystwo, lub pewną jego grupę, albo też pewną osobę i rysowałem je tak szybko albo też tak dokładnie, jak na to pozwalał czas lub nieruchomość osób. Nie prosiłem nigdy o pozwolenie, lecz starałem się szkicować o ile możności ukradkiem, kobieta bowiem (a nieraz i mężczyzna), skoro wie, że się chce ją rysować, pragnie się zrobić przyjemną i psuje wszystko, przybiera bowiem wymuszoną pozę. Nie irytowałem się tem, gdy mi uciekł ktoś, kogo miałem już do połowy gotowego; coś bowiem przecież zyskałem. Cóż to niekiedy za wspaniałe grupy chwytałem do mego albumu, z światłem i cieniami, ze wszystkimi przymiotami, jakie posiada największy z tylu sławionych ideałów: natura, skoro jest sobie samą pozostawiona! Czyniłem to także często wieczorem przy świetle; nie ma lepszego nad to studyum, aby wydobyć wielkie partye, światło i cienie. Rysowałem stojąc, idąc, jadąc konno; rysowałem przez dziurkę od klucza dziewczęta, leżące w łóżku w najrozkoszniejszych pozycyach . . . Według obrazów rysowałem mało, według figur gipsowych trochę, wiele zato z natury. W naturze znajdowałem najwięcej zadowolenia, najwięcej pożytku; ona jest moją jedyną mistrzynią, moją jedyną przewodniczką, moją dobrodziejką. Gdziekolwiek znajduję, posyłam całusa, chociażby tylko w myśli: rozkosznemu dziewczęciu, wspaniałemu koniowi, okazałemu dębowi, krzewowi, chacie wieśniaczej, pałacowi, zachodowi słońca, światłu księżyca; wszystko to jest mi drogie, a moje serce i ołówek radują się na ich widok. Jakżeż jestem zmartwiony, gdy przy największej pracy i troskliwości nie mogę tego osiągnąć, co natura mi wskazuje. Wtedy usprawiedliwiam sam siebie tą tak słuszną uwagą: Cała nasza wola, całe nasze dążenie, to tylko dzieło sztuki, a obraz, który widzę, przymknąwszy oczy i wpatrzywszy się w tylną ścianę mego mózgu, zupełnie jest inny od tego, co słaba dłoń moja przelać może nieudolnym rysikiem na papier.“

Realizmu jego główną podstawą, głównem źródłem była — rodzina. Słynny rysunek Chodowieckiego: „Le cabinet d'un peintre“, przedstawia go pracującego w gronie rodziny: żony i pięciorga dzieci; ściany zawieszone są obrazami i statuetkami, każdy szczegół wypracowany jest z drobiazgowem zamiłowaniem i dokładnością. Ta rodzina była gniazdem jego artyzmu. Najlepsze jego utwory przedstawiają szczegóły lub sceny z tego cichego, skromnego życia. W Berlinie nie było naonczas życia artystycznego, a artysta nie mógł się wydostać na szerokie fale rozległych stosunków towarzyskich — zastosowując zatem cnotę z konieczności, musiał on swe *milieu* przenieść w cichy zakątek domowego ogniska. Samouk i realista, spędził on jednak wiele nocy na studyach

nad pismami o teoryi sztuki, a uznany od r. 1775 za pierwszorzędnego mistrza rysunku, próbował — bez szczególniejszego jednak powodzenia — sił swoich w malarstwie olejnem. O współpracownictwo jego, jako ilustratora dzieł, ubiegali się najznakomitsi pisarze. Głośny „filozof wychowania“, Bazedow, umiał go pozyskać dla swego wielkiego dzieła: „Elementarwerk“, nowomodnego „Orbis pictus“; na stu kartach dał Chodowiecki 400 kompozycyj, a dzieło miało pokup ogromny. Podobnie także Lavater, potrzebując głów, pełnych wyrazu, do swoich „Physiognomische Fragmente“, udawał się do „malarza duszy“, do Chodowieckiego. Chodowiecki kazał sobie płacić — jak na owe czasy — dobrze i zarabiał dosyć. Pracował od rana do późnej nocy, jak „galernik, który jednak lubi swe wiosło“ — mawiał sam o sobie. Praca ta pozwalała mu jednak zajmować się także innemi rzeczami, — służyć obcym za przewodnika po Berlinie, odbywać konferencye z handlarzami i miłośnikami obrazów, odbywać podróże dla oceniania galeryj. W szczególności wzywany był także na zamek słynnej hrabiny Cosel w Saksonii, aby ocenić jej obrazy.

Na szczególne podniesienie zasługuje jego podróż do Gdańska w r. 1773. Po 30 latach nieobecności w stronach ojczystych, podjął tę podróż, pełną trudności i awanturniczych przygód, aby zobaczyć jeszcze raz matkę staruszkę, aby przypomnieć sobie ojczyznę i krewnych. W Gdańsku utrzymywały jego siostry pensyonat. Pragnął on tam zabawić tylko dwa tygodnie, — sława jego sprawiła jednak, że zabawił przeszło dwa miesiące, w Gdańsku znalazło się bowiem tylu, którzy pragnęli, aby artysta ich sportretował, że Chodowiecki zarobił 254 dukatów a nawet tego dnia, w którym o godz. 7. rano odjechał z Gdańska, musiał naprędce zrobić portret jeszcze jednego jegomości. Arcybiskup gnieźnieński, prymas Gabryel Jan hr. Podoski, bardzo go polubił; zapłacił mu 100 dukatów za sporych rozmiarów swój wizerunek i prawie codziennie zapraszał go do swego stołu. Gdy Chodowiecki odjeżdżał, rodzina odprowadziła go do miejscowości Langfuhs. Tutaj ugościł ich w zajeździe i na ścianie wypisał słowa: „Adieu mes amis, adieu ma patrie. D. Chki. 1773 ce 10. août.“ Z szkiców, zrobionych w tej podróży, powstało album: „Mon Voyage“ o 108 kartach. Chodowiecki cenił je sam na 1000 talarów, nie mógł jednak sprzedać, a i po śmierci jego przy licytacyi jego spadku nie znalazło ono nabywców i przeszło wreszcie drogą zapisu do Biblioteki berlińskiej akademii sztuki. Przed kilku laty wydane, zostało tak rozchwytane, że musiano zarządzić nowe wydanie.

Smutna jednak rzecz, że Chodowiecki nie doczekał się dotychczas godnej oceny w literaturze tego narodu, za którego członka zawsze z taką dumą się uważał. *(a)*

X. Jan Piotrowski: *Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków.* Wydał A. Czuczyński. — W Krakowie 1894 r.

Historyk rosyjski, Kojałowicz, ogłosił p. t. *Dniewnik posledniawo pochoda Stefana Batoria na Rossiju* — dziennik X. Piotrowskiego, Petersburg 1867 r. P. Czuczyński wydał obecnie ten sam „dziennik" — opierając się na tekście Kojałowicza i na rękopisie biblioteki dzikowskiej. Autor „dziennika", X. Piotrowski, herbu Świnka, Wielkopolanin, kształcił się w kraju i zagranicą, następnie był „mniejszym sekretarzem" królewskim Zygmunta Augusta i trzech jego najbliższych następców. Obrotny i pilny umiał podobać się kanclerzowi Zamoyskiemu, a mając przy tem poparcie gorące ze strony marszałka w. kor., Andrzeja Opalińskiego, został kanonikiem krakowskim i dostał kilka dobrych beneficiów kościelnych. Umarł w Krakowie 17. kwietnia r. 1591 — widocznie bogaty, bo na kościoły i szpitale zostawił legat 20.000 złp.

P. Czuczyński słusznie podnosi, że najwięcej pomagała zawsze w życiu Piotrowskiemu protekcya marszałka kor., nie wie jednak, skąd Piotrowski doszedł do blizkich, prawie przyjaznych stosunków z tym dygnitarzem. Sądzimy, że stąd, iż Piotrowski był poprostu zaufanym sługą Opalińskiego, który, co zresztą p. Czuczyński sam podnosi, miał mu donosić wiernie o wypadkach bieżących na królewskim dworze. Także „Dziennik wyprawy króla Stefana pod Psków" jest pisany w formie „listów od jednego przyjaciela od dworu do p. marszałka koronnego"; że zaś p. marszałek życzył sobie relacyi codziennych, dlatego „listy" te idą dzień po dniu od 9. kwietnia 1581 r. do 18. marca 1582 r. Pierwszy taki list datowany jest z Mścibowa, skąd król Batory pod Psków wyruszał, ostatni wysłany został z Rygi, gdzie król zjechał, aby pilnować odebrania Inflant z rąk moskiewskich, na mocy świeżo zawartego pokoju w Jamie Zapolskiej.

Trudno tutaj cały „dziennik" dokładnie streszczać, podamy tylko najcharakterystyczniejsze jego cechy i treść ogólną. Oto X. Piotrowski — pisząc poufnie do marszałka kor. — pisze wszędzie prawdę, a zna ją, bo jako sekretarz królewski wiele widzi i słyszy. Wszędzie chodzi mu głównie o podanie przebiegu oblężenia Pskowa — tylko tu i owdzie potrąca o inne sprawy publiczne, rzadziej o prywatne. Przez to „dziennik" jego jest źródłem pierwszorzędnej historycznej wagi i dobrze zrobił p. Czuczyński, że go raz jeszcze, mimo wydania p. Kojałowicza, ogłosił drukiem.

Treść — to jak już wspomnieliśmy — oblężenie Inflant. Trudne oblężenie wielkiego, warownego Pskowa, przedstawia X. Piotrowski szczegółowo, przy czem narzeka ciągle na wielkie mrozy, brak żywności i pieniędzy dla wojska. Król i Zamoyski, świeżo hetmanem mianowany, mogą tylko własnym przykładem i wysiłkami woli utrzymać jaką taką karność w obozie, a Possewin, znany Jezuita, prowadzi tymczasem rokowania o pokój z carem Iwanem. Pokój, jak wiadomo, doszedł do skutku w Jamie Zapolskiej, ale pośrednik, t. j. Possewin, nie znalazł łaski w oczach polskich. „Possewin w podejrzeniu, że nie szczerze działa", — „wie zły duch, jako też i Jezuitom ufać" — pisze X. Piorowski, a wszyscy wiedzą, że chce cara nawracać, z czego jednak w obozie polskim „śmiano się".

Bardzo ciekawy szczegół znaleźliśmy w „dzienniku" X. Piotrowskiego na str. 23. „Przywiedziono mi (królowi), tu w Litwie gdzieś niedawno dziecię we 13 lat, a przy niem niewiastę. Ten chłopiec mężem był tej niewiasty, a przecież ojciec jego mieszkał z nią, jako z żoną, czekając, aby syn dorósł." Wiemy z badań socyologicznych, że w „zadrugach", czyli wspólnotach rodzinnych, zachowały się pewne zwyczaje rodowo-ustrojowe, a najważniejszy z nich jest pożycie małżeńskie teścia z swą synową. W Rossyi, w niektórych okolicach, zwyczaj ten, zwany „snochactwem", utrzymuje się jeszcze po dziś dzień, mimo, że występuje przeciw niemu Kościół i państwo. (Por. Leroy-Beaulieu: *Das Reich der Zaren u. die Russen* — Berlin 1884. I. 412—3). W rozprawie. p. t. *Ślidy snochactwa w naszych horach* („Żytie i słowo", Lwiw 1895. IV. 101 i nast.), dowiódł dr. Iwan Franko, że „snochactwo" istnieje do dziś dnia, jako objaw szczątkowy, także wśród górali karpackich. Ustęp, który powyżej zacytowaliśmy dosłownie z „dziennika" X. Piotrowskiego, jest wystarczającym dowodem, że w XVI. w. mieliśmy resztki „snochactwa" także na Litwie. „Snochactwo" to — dodamy dla objaśnienia — jest jedną z form lewiratu *(Schwagerehe)*, a jako takie sięga w historyi rozwoju rodziny daleko wstecz, bo aż do rodziny t. z. „punaluan", t. j. komunistycznej *vel* gminnej, związanej z reguły z pewną fazą ustroju archaiczno-komunistycznego (chociaż nie koniecznie z t. z. „hordą pierwotną").

Dr. K. J. Gorzycki.

Klemens Bąkowski: *Humoreski z życia prawniczego.* — Kraków 1895.

Jestto niewielka książeczka (str. 77) z dwudziestu szkicami i powiastkami, w których autor — często z powodzeniem — stara

się wydobyć humor z obowiązujących obecnie w Austryi przepisów prawniczych. Że humor jest i w prawie, zwłaszcza w przepisach każdego prawa obowiązującego, o tem wiedzieli już starożytni Rzymianie, o tem wiedział genialny Ihering, pisząc swą pracę: „Humor im roemischen Rechte“. Najlepiej powiodło się p. Bąkowskiemu zastosowanie technicznych terminów prawniczych do określenia rozmaitych stosunków w życiu małżeńskiem. Bądź co bądź, książeczka p. Bąkowskiego, chociaż dowcip i humor nie zawsze w niej na tej samej utrzymują się wyżynie, jest w ogóle cennym nabytkiem naszej literatury, w której dział dobrego humoru — właściwie powiedziećby należało dobrego i zdrowego dowcipu — coraz słabiej jest reprezentowany.

Kucharzewski Feliks: *Nasza najdawniejsza książka o miernictwie.* — Warszawa 1895.

Tytuł tej najdawniejszej naszej książki o miernictwie opiewa: „Geometria. To jest Miernicka Nauka po Polsku krótko napisana z Greckich y z Łacińskich ksiąg. Naydziesz też tu iako naszy Miernicy zwykli mierzyć Imiennie na Włóki albo na łany. Item Jugerum Romanum iako wiele ma w sobie. Item, jako Wieże albo co inszego wysokiego zmierzyć, albo dalekość jaką. Naprzykład, kiedyby chciał wiedzieć jako daleko do zamku przez błoto, albo przez wodę etc. Teraz nowo wydana roku 1566 w Krakowie, Łazarz Andrysowic wybijał.“ — Książeczka ta — autorem jej był Grzepski — wydana była w formacie małej ósemki, drukowana czcionkami gotyckiemi, z figurami w tekscie. P. Kucharzewski, pisarz znany z zasłużonych prac w dziedzinie bibliografii technicznej, podaje rozbiór dziełka Grzepskiego, podnosząc, że była to nietylko pierwsza u nas praca w dziedzinie miernictwa, lecz także w ogóle pierwszy podręcznik nauk technicznych. P. Kucharzewski podaje także rys dziejów miernictwa do pojawienia się książki Grzepskiego i życiorys jej autora. Na końcu znajduje się słowniczek terminów technicznych, których w dziełku swem używa Grzepski.

Dzieje powszechne ilustrowane. — Wiedeń. Franciszek Bondy.

Wydawnictwa tego wyszło siedm dalszych zeszytów (do 59 włącznie) tomu drugiego.

Jan Wolfgang Goethe: *Z mojego życia (prawda i fantazya).* Przełożył i wstępem zaopatrzył Ludwik Jenike. — Wydawnictwo „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej“. — Warszawa, S. Lewenthal 1895, str. 489.

Znany i ceniony tłómacz „Fausta“ oraz innych arcydzieł Goethego, przyswoił językowi naszemu jeden z najbardziej zajmujących, pisanych prozą utworów wielkiego poety i pisarza niemieckiego, jego autobiografię z 25 pierwszych lat życia: „Aus meinem Leben Wahrheit und Dichtung“ W tłumaczeniu Jenikego książka ta, pełna efektownych scen i pięknych myśli, rzucająca ciekawe i wyraźne światło na rozwój talentu młodego poety a malująca także wiernie epokę, w której późniejsze bożyszcze Niemiec, wielki i dobry ich geniusz wstąpił na widownię publiczną, — przedstawia się jak najlepiej a praca tłómacza zasługuje na jak najzupełniejsze uznanie.

Gabriel Hanotaux. *Le premier ministère de Richelieu. Novembre 1616. — Avril 1617.* — (I. La politique d'autorité. — Les affaires de Venise et de Savoie. — II. Les affaires d'Allemagne et d'Italie. Grave échec de Richelieu. — La chute). Revue des deux mondes. Zeszyty z 1 stycznia i 1 lutego 1896.

Byłego francuskiego ministra spraw zewnętrznych p. Gabriela Hanotaux, już zanim objął ster zagranicznej polityki swego kraju, poprzedziła sława zamiłowanego i bystrego badacza czasów kardynała Richelieu. Teraz, gdy bieg wypadków politycznych uwolnił p. Hanotaux od obowiązków ministra, powrócił on znowu do ulubionych studyów nad wielkim mężem stanu XVII. stulecia i owoc z nich, opracowanie pierwszego ministerstwa (dzisiaj powiedziałoby się pierwszego gabinetu) Richelieu'go, ogłasza na kartach „Przeglądu dwóch światów“. Autor, hołdując postawionej przez siebie zasadzie: „En diplomatie, tout finit par se savoir“, rozbiera szczegółowo ważne i ciekawe wypadki, które omawia, stara się odsłonić ich motywa polityczne i przedstawić wyczerpująco stronę dyplomatyczną ich rozwoju, — a na tem tle kreśli wyraźnie coraz potężniejszą i coraz bardziej demoniczną postać późniejszego kardynała Richelieu, którego nazywa zazwyczaj tak, jak go wówczas z tytułu jego ówczesnego biskupstwa nazywano: „Luçon“. Dotychczas ogłoszoną część studyum kończy barwny opis tragicznej śmierci marszałka d'Ancre, Conciniego. Concino Concini był — jak wiadomo — ulubieńcem Maryi Medici, matki Ludwika XIII. Ten król, pragnąc się uwolnić od ciężącej mu opieki matki i „tyranii“ marszałka kazał go zamordować. Richelieu stał jeszcze wówczas nie po stronie króla, lecz Maryi Medici.

Opowiadanie p. Hanotaux jest nader żywe i barwne, styl świetny, a sposób traktowania przedmiotu godny prawdziwego dyplomaty, nieco pozujący na dyskrecyę, pełen uwag i aluzyj, pełen zajmujących sądów o akcyi dyplomatycznej i spostrzeżeń mających wartość prawie aktualną.

Frédéric Fébvre *Journal d'un Comédien (1850—1870).* T. I. Paris. Ollendorf 1895.

„Ex-vice-doyen de la Comédie Française" — jak siebie sam nazywa na karcie tytułowej — znakomity i głośny artysta paryski, Fébvre, który od niedawna dopiero usunął się ze sceny, wydał obecnie pierwszy tom swych pamiętników. Wspomnienia to nader zajmujące, pełne szczegółów poważnych lub wesołych, a tem cenniejsze, że artysta sceniczny rzuca w swych pamiętnikach także kilka ciekawych promieni na scenę życia i dziejów, dając pogląd na niektóre wypadki z czasów drugiego cesarstwa i na niektóre postacie w wypadkach tych pierwszorzędną odgrywające rolę. W szczególności w „dzienniku" jego jest wiele zajmujących szczegółów o Napoleonie III. i cesarzowej Eugenii. Fébvre po raz pierwszy występował przed obliczem cesarskiem w sztuce Wiktoryna Sardou: „Nos Intimes". Sztuka ta i dzisiaj jeszcze utrzymująca się w repertoarze, zrobiła ogromne wrażenie — grano ją 150 razy — a cesarstwo zaprosili ansambl teatru Vaudeville — do którego właśnie należał wówczas także Fébvre — do Compiègne. Gdy Fébvre wszedł już do składu Komedyi francuskiej, w d. 13. czerwca 1867 r. musiał wraz z panią Plessy grać w Tuileryach pewną jednoaktówkę Legouve'go w obec zaiste niezwykłego audytoryum: w audytoryum tem znajdował się obok obojga cesarstwa także — król pruski Wilhelm i hr. Bismark... Po przedstawieniu król zawezwał do siebie Fébvre'a i zachęcał go, aby z panią Plessy przyjechał do Berlina, pragnąłby bowiem, ażeby niemieccy artyści zobaczyli ich grę; ten rodzaj „des escrimes littéraires" byłby dla nich nader pouczający. Gdy artysta zwlekał z odpowiedzią na zaszczytne wezwanie, wyręczył go Napoleon III., mówiąc cicho: „*A Berlin... nous verrons...*" Dopiero w r. 1870 — pisze Fébvre — zrozumiałem odpowiedź cesarza, daną królowi pruskiemu w czerwcu r. 1867...

Podobnych szczegółów, nie pozbawionych historycznego i politycznego znaczenia, jest mnóstwo w całej książce. Ostatnie przedstawienie, które cesarz widział, była to sztuka Oktawiusza Feuillet'a: „Julia". Panny: Reichemberg a zwłaszcza Favart grały znakomicie, — główne role męskie mieli Fébvre i Lafontaine. Cesarstwo byli nadzwyczaj wzruszeni, a cesarzowa ze łzami w oczach ofiarowała pannie Favart na pamiątkę wieczoru kosztowną bransoletę, z którą się zwykle nie rozłączała. Było to w d. 4. maja 1869 r. Dopiero w r. 1871 i to w Chislehurst zobaczył Fébvre cesarza z małżonką. Personal Komedyi francuskiej i Wodewilu bawił wówczas w Londynie, — w Paryżu musiałaby ich bowiem spotkać niechybnie śmierć głodowa. Ktoś namówił Fébvre'a, by złożył swe uszanowanie wygnańcom; udał się więc do Chislehurst i został

przyjęty. Cesarzowa wybuchnęła na jego widok łkaniem; przypomniał jej bowiem dawne, lepsze czasy; książę Lulu poznał go natychmiast. Cesarz przybył później — i zrobił na nim wrażenie widma dawnego Napoleona III. Towarzyszył mu hr. Clary. Po przedstawieniu Fébvre'a i rozmowie o Paryżu, zwrócił się Napoleon do hr. Clary, a wstając z krzesła z wielką trudnością, rzekł: „Ah! kochany hrabio, dzisiaj rano dowiedziałem się, kto jest autorem pamfletu, nadesłanego mi przed kilku dniami; nazwisko tego nieszczęśliwca wypadło mi z pamięci, jest to jednak ten sam, którego długi niedawno po raz trzeci zapłaciłem." A pożegnawszy się z Fébvre'm, odchodząc, mówił dalej do hr. Clary: „Allons, nigdybym nie uwierzył, że jeden człowiek może stworzyć tylu niewdzięczników."

Goethe. Von Richard M. Meyer. Preisgekrönte Arbeit. — Berlin. Ernst Hofmann u. Comp. 1895.

Goethe. Von Karl Heinemann. 2. Bände. — Leipzig. Verlag von J. A. Seemann.

Dawno już powiedziano, że z dzieł o Goethem stworzyćby można sporą bibliotekę; — do tej biblioteki przybyły obecnie dwa powyższe dzieła, z których pierwsze zwłaszcza jest niepospolitej wartości. Meyer wskazuje między innemi na szczególną właściwość indywidualności Goethego: na jego uniwersalność. Był on wielkim poetą i zarazem uczonym, który torował nowe drogi nauce, — był wzorem genialnego artysty i zarazem sumiennym urzędnikiem. — Dzieło Meyera opiera się już na całem mnóstwie listów i dzienników Goethego i o Goethem, wydanych w ostatnich czasach przez tyle ruchliwe muzeum Goethego.

Mrs. Anne Thackeray-Ritchie: *Chapters from some memoirs*. — Londyn 1895.

Jest długi szereg dzieł o znakomitym pisarzu angielskim, Thackeray'u, — biografii jednak jego, takiej biografii, jaką posiadają inni równie znakomici pisarze angielscy: Macaulay, Dickens, Carlyle, z której możnaby poznać całego człowieka, jego życie wewnętrzne i zewnętrzne, — dotychczas nie było. Sposób myślenia Thackeray'a i jego uczucia można wprawdzie wyobrazić sobie w ogólnych zarysach na podstawie jego dzieł; o jego charakterze jednak, o skłonnościach i nawyczkach czysto ludzkich, opisy życia, które wyszły z pod pióra Hannay i Trollope, J. T. Fvelda, w. H. Rideinga i in., oraz liczne artykuły, rozrzucone w prasie angielskiej, dają tylko niedokładne wyobrażenie. A jednak ludzkość zawsze chce poznać, jaki człowiek, człowiek z wa-

dami i przymiotami, kryje się za poetą czy pisarzem, którego uznaje i ceni.

Teraz brak ten został usunięty. Obecnie wiemy już, jakim był Thackeray na codzień, a wiemy to od własnej jego najstarszej córki, znanej autorki angielskiej, mrs. Anny Thackeray Ritchie. Wspomnienia jej sięgają aż do r. 1840, kiedy jako trzyletnie dziecko, trzymające się ręki ojca, który mu także matkę musiał w życiu zastępować, przypatrywała się z nim razem powtórnemu pogrzebowi Napoleona I. w Paryżu. Wspomnienia te pełne rzeczywistego wdzięku a wolne od usiłowań wydawania sądów o Thackeray'u, jako pisarzu i autorze — sądów, które nie mogłyby być bezstronnymi — przedstawiają go tylko jako ojca rodziny, jako syna, męża, gospodarza domu i człowieka w życiu prywatnem, pełnego codziennych wad a zarazem prawdziwych i wielkich zalet. Wspomnienia te rzucają także wiele zajmującego światła na wybitne osobistości świata, zwłaszcza literackiego, z któremi Thackeray się stykał, tak n. p. na panią George Sand. Książka córki wielkiego pisarza dowodzi także, że w Thackeray'u, poecie, który niemiłosiernie chłostał złość i słabość ludzką, który nic nie chciał wiedzieć o zwycięstwie dobrego na ziemi, który postawiony obok największych swych towarzyszy, takiego Dickensa i Eliota n. p., zawsze wyda się jednostronnym, że słowem w Thackeray'u - satyryku nigdy ani na chwilę nie zagubił się Thackaray - człowiek.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

I.

Moralne czynniki rozwoju prawa.

(Ciąg dalszy).

Z tą zapowiedzią łączy się w tem samem dziele Tarde'a obraz ewolucyi przestępstwa w świetle cywilizacyi, ewolucyi, polegającej na zmianie postaci i akcessoryów formalnej natury, ale nie na częściowem wytępieniu złego. W sposób drastyczny objaśnia Tarde tę cywilizacyjną metamorfozę złego. Dawny romantyczny typ prostego rozboju, brygantyzm, porównuje z dzisiejszym miejskim typem wyzysku. Rozwinął się on na tle wolnej konkurencyi i pod takiemi formami czy pokrywkami postępu obrotowo-przedsiębiorczego, jak n. p. owe nawet przez wielbiciela dzisiejszego obrotu, Iheringa, jako jedno z najfatalniejszych urządzeń współczesnych napiętnowane kompanie akcyjne, wyzuwa ludzi z mienia wprawdzie nie tak brutalnie, ale za to i nie tak otwarcie, zawsze jednak z takim samym skutkiem, jak dawny brygantyzm.

Przestępstwo zmienia tedy z biegiem czasu nieustannie postać swoją, jak Proteus, ale istota jego, zdrożność moralna, pozostaje tem, czem była dawniej. Właśnie to spostrzeżenie skierowało uwagę Tarde'a na środki zaradcze moralnego znaczenia, już wypróbowane w historyi rozwoju prawnego i cywilizacyjnego ludzkości. Zatem na stanowisku historyczno-filozoficznem odsłoniła się niedostateczność siły repressyjnej samego prawa i konieczność jego przymierza ze środkami moralnemi nawet prawnikowi-filozofowi, oddanemu całą duszą programowi tego pozytywizmu, który wiecznie sporną w teoryi

kwestyę stosunku prawa do etyki stawia nieraz tak skrajnie, iż nie waha się wprost głosić, że to tylko jest prawem, co zawiera dziennik ustaw obowiązujących, że trzeba przystąpić już do zupełnego oddzielenia etyki od prawa, że wreszcie prawo samo sobie wystarcza a etyka tylko zawadza mu w spełnieniu właściwych zadań. W słowach powyższych nie mieści się exageracya, lecz, jak to piszący w innej pracy swojej przedstawił[1]), tylko charakterystyka prądu wybitnego i licznie reprezentowanego w dzisiejszej filozofii prawa.

Z podobnym dualizmem zapatrywań, jak u Tarde'a, spotkać się dziś można nawet w jednem i tem samem dziele, gdy wśród teoretycznej apologii prawa, wyemancypowanego z pod wpływów etyki, wzrok autora zwróci się mimowoli ku stosunkom aktualnym. Pozytywista-teoretyk wypada wtedy ze swojej roli, spowiada się szczerze ze zwątpienia i nieraz jedną dygressyą, opartą na trzeźwym poglądzie na stosunki panujące, trafić musi do przekonania nieuprzedzonego czytelnika daleko prędzej, aniżeli długiemi wywodami subtelnemi o samodzielności prawa wobec etyki. Przytoczymy tylko jeden taki przykład, pochodzący z „kraju myślicieli i poetów", ze społeczeństwa, które samo siebie nazywa „państwem dobrych obyczajów i bojaźni bożej", z tego świata prawniczego, który pracę swoją uważa za kontynuacyę dzieła jurisprudencyi rzymskiej, — przytoczymy przykład z Niemiec, roszczących sobie dziś prawo do nadawania tonu naukowego całemu światu. E. Bekkerowi, jednej z gwiazd dzisiejszego świata prawniczego Niemiec, wymknęła się właśnie taka dygressya i to w dziele, które jako hołd koleżeński, złożony Iheringowi w dniu jego złotego jubileuszu doktorskiego, miało być a przynajmniej powinnoby być, już z samego założenia swojego, pomnikową apologią dla pozytywizmu prawnego.

Oto słowa Bekkera[2]): „*Qui proficit in litteris et deficit in moribus, plus deficit quam proficit.* Dobre i złe obyczaje odbijają się w niezliczonych rodzajach zjawisk, z których wiele, może największa część, usuwa się z pod wszelkich tabelarycznych zestawień. Kryminalna statystyka może wchodzić w rachubę tylko jako wskazówka, ale niema jej prawie dla początku bieżącego stulecia. Oprócz zestawienia wypadków ukarania potrzebne byłyby daty o niesprawiedliwych uwolnieniach i o przestępstwach, nieobjętych doniesieniami.

---

[1]) Dr. Bronisław Łoziński: *Juris ignorantia* — Lwów 1893, str. 248 i n.

[2]) Ernst Immanuel Bekker: *Ernst und Scherz über unsere Wissenschaft* — Leipzig 1892, str. 200.

Jakżeż jednak można zebrać te daty? Że pod koniec ubiegłego stulecia kobiety i mężczyźni także i z wyższych stanów nie byli bez wyjątku wzorami cnót, to rzecz wiadoma, ale któż sprawdzi, o ile staliśmy się lepsi lub gorsi? Aby jednak nie popadać dalej w pedanteryę, trzymam się tego, o czem na każdym kroku czytać można, o czem mówią głośno na zgromadzeniach różnych towarzystw: „Mimo wzrostu oświaty szkolnej, mimo poprawy stosunków materyalnych i zdrowotnych, zdziczenie mas robi postępy; dowody na to sypią się jak z rogu obfitości, mianowicie w miastach stołecznych a przedewszystkiem na pół dojrzała młodzież wykazać się może pod tym względem rezultatami, które trudno pojąć, które dawniej były niesłychane... Postąpiliśmy naprzód w wielu dobrych rzeczach, ale najmniejszy postęp wykazuje sztuka edukacyjna. Dwudziestemu stuleciu przypadnie jako najpilniejsze zadanie poprawa obyczajów".

Na takich ogólnych, prawie desperackich, stwierdzeniach niedostateczności samych środków prawnych w tępieniu złego, które szeroką strugą rozlewa się po za tamy kodeksowe na grunt społeczny, dziś refleksya kończyć się już nie może, gdyż wydoskonalona w ostatnich czasach statystyka kryminalna zawiera daty złowrogie, nawołujące do jaknajrychlejszego pomnożenia i spotęgowania środków ochronnych. Nawet prawnik-pozytywista, oglądający się za takiemi środkami, chociażby tylko przeciw niższym kategoryom przestępstwa, tym, które stojąc poniżej skali karno-kodeksowej przekazane zostały judykatarze policyjno-administracyjnej, musi w końcu koniecznie zwrócić się do społeczeństwa [1]) i do tych instytucyi jego moralnej organizacyi, na które, jak na dom i szkołę w połączeniu z kościołem, pozytywizm prawny, na siłach samego mechanizmu paragrafowego polegający, do niedawna jeszcze nie oglądał się tak, jak się zawsze oglądać należało na moralnych sprzymierzeńców prawa, w duchu jego klassycznej filozofii niezbędnych a za świadectwem jego nieuprzedzonej historyi zawsze i wśród wszelkich stosunków wypróbowanych.

Pomiędzy prawem karnem a prywatnem jest linia graniczna a raczej neutralna sfera graniczna, w której obrębie skuteczność środków samego mechanizmu prawnego w zbyt wielu wypadkach szczególnie zawodzi nawet skromne oczekiwania. Nie wszystko bowiem, czego kodeks karny nie uchwycił w swoje obcęgi paragrafowe a kodeks cywilny nie opatrzył marką interesu, osłoniętego

---

[1]) Dr. Karl Fuhr: *Strafrechtspflege und Socialpolitik* — Berlin 1892.

proceduralną gwarancyą, czyli używając zwrotu dziś w praktyce prawniczej tak utartego, nie wszystko, czego ani kodeks karny ani kodeks cywilny „nie przewidział“, jest już z tego tytułu słusznem i godziwem. Może być przecież spełniony akt widocznej niegodziwości, nawet nikczemności, wprawdzie „nieprzewidziany“ przez kodyfikatora, więc i nie podlegający judykaturze oficyalnej, ale nie mniej przez to godny potępienia i pogardy.

Ta sfera graniczna zmniejsza się w miarę, jak ścieśniają się węzły między etyką a prawem a rozszerza się w takim samym stopniu, w jakim pozytywizm prawny, przejęty hasłem, że prawo samo sobie wystarczać powinno, widzi kryterya prawości i godziwości wyczerpane już w tem, co jego przepisy zawierają.

Określenie tej linii czy sfery granicznej między bezprawiem karnem a cywilnem stanowi i stanowić będzie nadal, jak stanowiło dotąd, jednę z tych kwestyi spornych, około których ścierają się ze sobą filozoficzne poglądy na istotę i cele prawa, na jego niedostateczność bez pomocniczego współdziałania czynników moralnych. Wprawdzie pozytywizm prawny najświeższej daty, zrywający tak śmiało łączność prawa z etyką, uważa całą tę kwestyę sporną już tylko za ślad wrzekomo zamkniętej fazy zgubnego w jego wyobraźni aliansu prawa z „metafizycznemi subtelnościami“ dawnej filozofii [1]), ale w świetle historyi prawa i rozwoju jego missyi cywilizacyjnej takie ubicie całej sprawy, lub chociażby tylko zepchnięcie jej do rzędu dysput, pozbawionych aktualnego znaczenia, krytyki wytrzymać nie może. Nawet A. Schäffle w swoim wielkim, na pół fantastycznym, chociaż na ściśle naukowem tle osnutym, obrazie przyszłej ewolucyi społecznej nie wróży takiego ubicia powyższej kwestyi wątpliwej, lecz owszem uznaje wprost brak zasadniczej podstawy dla jej stanowczego rozwiązania [2]).

Zwróćmy tylko uwagę na obecny stan życia prawnego pod tym względem. Na każdym kroku przecież spotkać się można z widokiem jawnych tryumfów podstępu, nieuczciwości, w ogóle złej wiary, która dzięki swojej ruchliwej i sprytnej pomysłowości umie obejść wszystkie baryery prawa karnego a nawet i zadrwić z całej formalizmem skrępowanej przezorności prawa prywatnego. W ten sposób niegodziwość, nawet nikczemność, przybiera zbyt często charakter

---

[1]) Dr. Mittelstädt: *Schuld und Strafe* (w *Gerichtssaal* z r. 1892, t. XLVI. str. 399 i n.).

[2]) Dr. Albert E. Fr. Schäffle: *Bau und Leben des socialen Körpers* — Tübingen 1878, t. IV. str. 373.

interesu z bezczelną, ale formalnie uzasadnioną, pretensyą do osłony prawa a ludzie „bez czci i wiary“, owi według słów Tarde'a bryganci najnowszej daty, nietylko chełpią się pod okiem prawa swoją przedsiębiorczością, lecz nadto z cynizmem litują się nad nieporadnością ofiar, które raz wpadłszy w sieć formalistyki prawnej już się z niej bez szwanku wydobyć nie mogą. Kto niema trafnego wyobrażenia o sytuacyi prawnej pod tym względem a raczej wyobrażenia o niebezpieczeństwie, na jakie narażony jest każdy człowiek, działający w dobrej wierze i uważający dobrą wiarę za naturalną premissę w zawieraniu interesów, ten zaraz w pierwszym występie swoim na widowni obrotowej dozna najprzykrzejszego rozczarowania. Stanie się ofiarą jawnego oszustwa a jednak nie znajdzie satysfakcyi ani w prawie karnem, ani w prawie prywatnem, gdyż pierwsze przyznaje spekulacyi, według wielce poważnego świadectwa naukowego J. Kohlera [1]), najdalej idące ustępstwa co do legalności ukrywania swoich planów i nazywa oszustwem dopiero wprowadzenie w błąd pod pewnemi pozytywnie określonemi warunkami a drugie z subtelną, obronę niesłychanie utrudniającą, formalistyką swoją łączy jeszcze ową fatalną przestrogę: *vigilantibus iura scripta*, przestrogę, równającą się w dzisiejszym okresie hyperprodukcyi nowych ustaw i powszechnej nieznajomości prawa niemal prostemu szyderstwu. Któż tedy wskaże kryterya kwalifikacyi prawnej takiego czynu „spekulacyjnego“, granicznego z oszustwem? Kto zakreśli dokładnie granice między oszustwem a sprytną spekulacyą?

W imieniu prawa pozytywnego Kohler w przytoczonej rozprawie daje na powyższe pytania taką odpowiedź: „Oszustwo jest jednem z najzawilszych przestępstw; określenie granicy między prywatno-prawnem a karnem oszustwem wystawia często jurisprudencyę na ciężką próbę. Rzecz naturalna, że różnica ta nie jest raz na zawsze określona. Jestto kwestya cywilizacyjnego ustroju stosunków, gdzie prywatno-prawne środki i społeczne czynniki reakcyi nie wystarczają a wskutek tego przymus karny musi być stosowany. W każdym razie przymus ten winien być stosowany tylko w wypadkach absolutnej potrzeby.“ Jakie srodki społecznej reakcyi miał Kohler na myśli, tego wyraźnie nie powiedział, że jednak tutaj można mówić tylko o środkach społeczno-moralnych, to rzecz jasna.

Jeżeliby wskazany przez Mittelstädta sposób rozwiązania sprawy granic między bezprawiem cywilnem a karnem tylko za pomocą

[1]) Dr. J. Kohler: *Treue und Glauben im Verkehr* — Berlin 1893.

przepisów pozytywnego prawa miał być trafny, jeżelibyśmy mieli polegać zupełnie na paragrafach bez oglądania się na „subtelności metafizyczne“, jakiemi w takim razie byłyby wyższe względy etyczne, to chyba już normalnym wypadłoby nazwać taki ogólny widnokrąg prawny, jaki kreśli jeden z wybitniejszych przedstawicieli pozytywnej filozofii prawa, A. Lasson. „Faktycznie — mówi on [1]) — porządek prawny, broniąc pretensyi prawnych każdego, osłania tem samem bardzo wiele złego i zdrożnego. Jestem uprawniony być prostakiem i nikczemnikiem, mogę pod osłoną prawa wykupić pretensye do pewnego dłużnika, aby go zrujnować, mogę formy prawa wyzyskiwać w sposób rabulistyczny, aby osiągnąć złe, egoistyczne cele... Prawo wcale nierzadko osłania działającego niemoralnie wobec niewinnie cierpiącego, dopóki pierwszy trzyma się form prawnych. Wszelki możliwy podstęp w kupnie i sprzedaży, wszelka srogość i bezwzględność egoisty chciwego, wszelkie kłamstwo i chytrość intryganta i zdrajcy, znajdzie w samem prawie osłonę i broń, aby się ukryć i zabezpieczyć. Prawo pomnaża niedolę uciśnionego i wydaje cnotę występkowi na pastwę... Trzeba się temu poddać, nie może być inaczej i nie powinno być inaczej... Prawo należy do najwyższych warunków ludzkiego bytu; nie może ono być innem, jak tylko takiem, jakiem jest; trzeba je przyjąć jakby los, jakby jedną część konsekwencyi, leżących w znikomej naturze człowieka.“ Zgodnie z tym obrazem sytuacyi prywatno-prawnej brzmi dalszy pogląd tego filozofa na ocenianie winy w prawie: „Ojciec rodziny — mówi on — który w nieokiełzanej kapryśności i wyrafinowanym egoizmie najbliższym sobie osobom życie zatruwa, przełożony, który z nieuzasadnionej złośliwości lub w egoistycznych widokach chorobliwego podwładnego na śmierć znęka, pisarz, który dla zewnętrznego efektu lub serwilistycznie zapiera się swojego przekonania bądźto wobec motłochu, bądź wobec osób wysoko postawionych, artysta, który dla poziomego interesu, dla oklasku lub zysku, psuje obyczaje, nadużywa swojego talentu lub poniża go — wszyscy ludzie tego rodzaju mogą być wobec boskiego trybunału mordercami i złodziejami, wcielonymi szatanami, winnymi grzechu przeciw Duchowi św., ale wobec prawa nie ciąży na nich żadna wina. Na odwrót najcięższe przewinienie wobec prawa może być tylko lekką zdrożnością w znaczeniu moralnem, albo nawet wielką zasługą.“

---

[1]) Adolf Lasson: *System der Rechtsphilosophie* — Berlin & Leipzig 1882, str. 212 i 492.

Nie może być inaczej, mówi Lasson, nie powinno być inaczej! Tak, ale chyba tylko w wyobrażeniu tej skrajnej w pozytywizmie filozofii prawa, która jego pojęcie zamyka zupełnie w drukowanym tekscie księgi ustaw bez względu na to, co ona zawiera, czy n. p. w danej chwili sankcyonuje niewolnictwo w nowożytnej formie barbarzyńskiego panowania plantatorów południowo-amerykańskich. Niechżeż jednak w takim razie owa filozofia prawa będzie zawsze przygotowana na to, że wypadnie jej kapitulować nietylko przed wielką zawieruchą społeczną, lecz nawet, jak już raz w swoim czasie, przed — piórem powieściopisarskiem kobiety *à la* Beecher Stowe.

Nie może być inaczej i nie powinno być inaczej! Biednaż byłaby ta ludzkość, gdyby polegać miała na tych słowach niemieckiego filozofa a zapomniała o tem, że było inaczej i musiało być inaczej, skoro prawo nietylko nie przeszkadzało jej, lecz owszem wspierało ją tak dzielnie w tym wielkim pochodzie cywilizacyjnym, jaki dotąd przebyła. Musiało być inaczej i było inaczej już w elementarzu wszelkiego prawa, w prawie rzymskiem, które uczciwe życie *(honeste vivere)* stawiało na czele przykazań swoich a nie wszystko, co prawnie było dozwolone, nazywało uczciwem *(non omne quod licet honestum)*. Ale Lasson umiał uporać się z temi przeszkodami dla swojej argumentacyi, bo owemu naczelnemu przykazaniu prawa rzymskiego krótko a węzłowato odmówił charakteru reguły prawnej a drugie połączył mechanicznie z innym fragmentem pandektowym, w którym prawnik rzymski, Paulus, kupującemu i sprzedającemu pozwala nawzajem siebie w pole wyprowadzać *(invicem se circumscribere)*. Te słowa Paulusa uważa Lasson za zasadnicze uznanie obojętności prawa prywatnego co do — oszustwa! Rzadki to w dziele filozoficznem przykład tendencyjnego tłumaczenia a raczej nakręcania myśli niewygodnych zdań do własnych zapatrywań. Paulus bowiem mówi w tym fragmencie [1]), — a trzeba go brać w całości a nie urywkowo — że „przy kupnie i sprzedaży naturalnie wolno za mniejszą cenę kupować to, co więcej warte, a za większą sprzedawać to, co mniej warte.“ Więc wolno się targować i w tym targu odnosić korzyści. Tak było zawsze i tak będzie zawsze, dopóki rzecz kończy się na tak zwyczajnych zresztą fortelach, jak na przesadnem zachwalaniu i również przesadnem

---

[1]) Quemadmodum in emendo et vendendo naturaliter concessum est, quod pluris sit minoris emere, quod minoris sit pluris vendere et ita invicem se circumscribere (l. 22. §. 3. D. 19. 2. Locati conducti. Paulus).

ganieniu towaru, podnoszeniu urojonych szans lub obaw i t. p. *(invicem se circumscribere)*. Ale nikczemności, jawnego podstępu lub oszustwa, nie mógł mieć na myśli wielki prawnik tego społeczeństwa, które uczciwość i cześć osłaniało osobnym trybunałem społeczno-moralnym (cenzurą) i osobnemi karami społeczno-moralnej natury *(ignominia, infamia)*.

Lasson, który jest tylko jednym z przedstawicieli, ale ani jedynym, ani najsilniejszym filarem pozytywnej filozofii prawa, pisanej w duchu, jaki przebija z powyższego cytatu, powinien był właśnie unikać jak ognia wszelkiego powoływania się na prawo rzymskie. W niem bowiem najlepszą posiada illustracyę etyczna strona bezprawia, o którego charakterze cywilnym lub karnym rozstrzygają motywa, więc kryteryum niezależne od tej granicy kodeksowej, jaką w danej chwili utylitarny, oportunistyczny, chociażby nawet przytem szerszy wzgląd na interesa społeczne i na politykę ustawodawczą zakreślił między jedną a drugą kategoryą bezprawia.

Historyczny proces stopniowego odgraniczenia bezprawia karnego od prywatno-prawnego przedstawił Ihering [1]) z właściwą sobie głębokością myśli na prawie rzymskiem i właśnie na tem tle historycznem uznał proces ów „jednym z najciekawszych faktów cywilizacyjnego znaczenia, jakie historya prawa w jego wychowawczej missyi dla ludzkości wykazać może.“ Dzisiejszemu tak ścisłemu oddzieleniu prawa karnego od prywatnego nie odmawia ten pisarz uzasadnienia ze stanowiska systematyki prawa nowoczesnego, widzi w tem jednak tę stronę ujemną, że nie zwrócono przytem należytej uwagi na pojęcie winy i kary w zakresie stosunków prywatno-prawnych. Pojęcie to przeważało w pierwotnem prawie rzymskiem tak samo, jak człowiek w pierwotnym stanie kultury, niby dziecko idące ślepo za popędami, nie ogląda się ani na źródło złego, ani na ścisłe kryterya winy, lecz daje repressyjny wyraz każdemu uczuciu doznanej przykrości, uderza n. p. kamień, o który noga się potknęła, uderza każdą rzecz martwą, która w drodze stanie i t. d. Dopiero w miarę wznoszenia się na wyższy stopień cywilizacyi człowiek zaczyna w intelligentnej refleksyi odróżniać winę od przypadku a potem sprowadzać równowagę między stopniami winy a doznaną przykrością. W pierwotnem prawie rzymskiem pojęcie kary miało przewagę w dziedzinie stosunków prywatnych, dopóki zasada powetowania szkody nie zastąpiła kar prywatnych tam, gdzie nie było

[1]) R. v. Ihering: ***Das Schuldmoment im römischen Privatrechte*** (j. w.) str. 4.

winy w znaczeniu karnem. W duchu zasad etycznych przeprowadzili rzymscy prawnicy konsekwentnie ten rozdział, wykluczając karygodność podstępu nie według kryteryów formalnych, lecz z uwzględnieniem moralnych czynników działania w wypadkach, w których w grę wchodziły szlachetniejsze uczucia i motywa, aby w ten sposób ten, kto w takiej sytuacyi uchybił zobowiązaniu, zasłonięty był przed infamią, ale bez ujmy dla obowiązku powetowania szkody. „Wdzięczne uznanie“ niejako w imieniu prawa prywatnego wyraża przytem Ihering prawu kanonicznemu za to, że świetnie uzupełniło to rozpoczęte w rzymskiem społeczeństwie dzieło prawno-cywilizacyjne, rozszerzając zasadę powetowania szkody w miejsce kary prywatnej na dalsze kategorye stosunków. Za daleko jednak posunął się Ihering w swoich dalszych konkluzyach, kończąc dzieło o winie w rzymskiem prawie prywatnem temi słowy: „W dziedzinie prawa w miarę postępu ludzkości zwiększa się jego wrażliwość dla pierwiastka winy a zmniejsza popęd do kar. W miarę wzrostu idei prawa obumierają kary a zapas środków prawnych stoi w odwrotnym stosunku do doskonałości prawa i dojrzałości ludów.“ Z etycznego stanowiska Oettingen [1]) wystąpił słusznie przeciw ostatniemu twierdzeniu, prostując je trafnie w ten sposób, że kara nie „obumiera“ z postępem cywilizacyjnym, lecz tylko rozjaśnia się jej pojęcie w idealnem świetle moralnem, więc zmienia się niejako w formie swojej w miarę, jak po za prawem pozytywnem ożywia się współdziałanie społeczeństwa, kierowane głosem sumienia publicznego.

Nie obumarła i w Rzymie kara, lecz pojęcie i zastosowanie jej w zakresie stosunków prywatnych uległo modyfikacyi. Ta społeczno-moralna instancya (cenzura), która po za sferą prawa pozytywnego działała pod hasłem: *honeste vivere*, nie puszczała płazem pominiętej w sferze paragrafowej niegodziwości prywatno-prawnej, lecz wyciskała piętno hańby na niegodziwcu, którego prawo karne dosięgnąć nie mogło.

Sam Ihering postawił sprawę na tem stanowisku i to właśnie w dziele, które jest niejako hołdem, złożonym w imieniu prawa utylitaryzmowi społecznemu i obrotowi nowoczesnemu. „Prawo kryminalne — mówi on [2]) — zaczyna się tam, gdzie kara jest dla interesów społeczeństwa wskazana. Jeżeli dobra wiara i uczciwość

---

[1]) Alexander Oettingen: *Die Moralstatistik und die christliche Sittenlehre* — Erlangen 1868, tom I. str. 612.

[2]) R. v. Iering: *Der Zweck im Recht* — Leipzig 1877—1883, tom I. str. 478 i n.

w obrocie nie może się w inny sposób utrzymać, musi kara wkroczyć... Rozciągłość kary w sferze bezprawia cywilnego, lub, co na jedno wychodzi, wobec przestępstwa w szerszem znaczeniu, jest pod historycznym względem zmienna, jak zmienny jest stosunek prawa do moralności. Bywało tak w Rzymie, że pewne stosunki umowy *(fiducia, mandatum* i t. d.) nie potrzebowały wcale opieki prawnej, lecz zostawały pod osłoną obyczajową *(infamia)*, potem przyznana została tym stosunkom obrona cywilna *(actio)* a w końcu kryminalna *(stellionatus)*". Środki te jednak nie wykluczały się nawzajem, lecz owszem łączyły w całość, jakby w jednolity system warowni, zasłaniających zdrowe życie prawne. Pretor zajmował panujące stanowisko w zakresie prawa prywatnego, ale przechowywana w najpiękniejszych tradycyach siła cenzorskiego wpływu, streszczającego się w ujmie na czci jako karze społeczno-moralnego znaczenia, oddziaływała zawsze na stosunki prywatno-prawne w sposób tak uszlachetniający, że wpływowi temu prawo rzymskie zawdzięcza w niemałej części ów blask, już tyle wieków promieniejący w świecie cywilizowanym.

Blizki stosunek cenzury rzymskiej do sądownictwa w sprawach prywatno-prawnych, więc ścisłe współdziałanie moralnego czynnnika z prawnym stanowi fakt historycznie stwierdzony [1]) a wpływ cenzury w tym kierunku, scharakteryzowany w źródłach jako akcya pod hasłem słuszności *(praetorium ius ad legem, censorium ad aequum)*, torował w praktyce prawnej i w życiu prawnem drogę tak zasadzie w tem haśle zawartej, jak i zasadzie dobrej wiary *(bona fides)*, więc właśnie tym zasadom moralnym, które prawu rzymskiemu zapewniły niespożytą wartość w historyi prawodawstwa wszystkich czasów i narodów.

Pomnikiem historycznym tego wpływu cenzury, jako trybunału społeczno-moralnego, na rozwój prawa prywatnego, są trybunalskie mowy Cicerona, w których nietylko przestępstwa, lecz i interesa prywatne, wykraczające przeciw dobrej wierze i zaufaniu, napiętnowane są hańbą i stawiane na równi ze zbrodniami [2]). Doniosłość

---

[1]) T. Mommsen: *Römisches Staatsrecht* — Leipzig 1878, tom II. str. 437.

[2]) N. p. Si qua enim sunt privata iudicia summae existimationis et paene dicam capitis, tria haec sunt: fiduciae, tutelae, societatis. Aeque enim perfidiosum et nefarium est fidem frangere, quae continet vitam... In privatis rebus si quis rem mandatam non modo malitiosius gessisset, sui quaestus et commodi causa, verum etiam negligentius, eum maiores summum admisisse dedecus existimabant. Itaque mandati

uzupełniającego i uszlachetniającego wpływu takich moralnych czynników na rozwój prawa rzymskiego objaśnia jego historya na wielu urządzeniach prawnych. Za przykład posłużyć może zastaw. Istniał on, zanim genialni prawnicy rzymscy ujęli go w trwałe formy techniczne, ale istniał tylko jako akt, osłonięty powagą społeczno-moralną, nie zaś prawno-procesową. Dłużnik oddawał bowiem przedmiot zastawu na własność wierzycielowi, który zwrócić go miał po spłaceniu długu. Przelew własności odbywał się podług ścisłej formy prawnej, ale dla warunkowego zobowiązania do zwrotu przedmiotu zastawionego po spłaceniu długu nie było formuły, która potem miałaby stanowić podstawę dla skutecznej akcyi procesowej. Oddawał się tedy dłużnik wierzycielowi na łaskę a raczej opierał się tylko na jego dobrej wierze, zkąd też pochodziła nazwa całego interesu *(fiducia)*. Czy taka moralna gwarancya wystarczała? Zupełnie, chociaż rzymski wierzyciel nie był istotą wyjątkową, lecz człowiekiem, łaknącym, jak każdy człowiek, wzbogacenia się jaknajtańszym kosztem. Na czemże polegało to bezpieczeństwo dłużnika? Tylko na grozie hańby (infamii), która zawisła nad głową każdego niesumiennego wierzyciela a stanowiła w pojęciu rzymskiego społeczeństwa taką rękojmię, iż polegano na niej co do umów, na dobrej wierze opartych, nawet wtedy, gdy mechanizm prawny był już znakomicie wydoskonalony. Tak znacznie dawała się za świadectwem historyi ścieśnić środkami moralnemi owa powyżej podniesiona sfera neutralna pomiędzy bezprawiem karnem a cywilnem.

Dziś, kiedy wszechwładny obrót światowy zrywa znaki graniczne między prawami poszczególnych krajów a właściwe zaciera stopniowo ich odrębności i dąży śmiało do ogólnej assymilacyi i w tem dążeniu szuka podstawy tak trwałej, żeby jego klientela miała dostateczne zabezpieczenie mimo braku jednolitego kodeksu światowego i jednolitej procedury światowej, wzrok prawnika zwracać się musi ku tej świetnej reminiscencyi prawnej, jaką zostawiło społeczeństwo rzymskie z czasów potężnego wpływu czynników moralnych na rozwój prawa prywatnego. Nie fantasta, lecz praktyczny prawnik dzisiejszy musi oddać hołd tej reminiscencyi, bo w zasadzie dobrej wiary znajduje najlepszy punkt wyjścia dla planów wytworzenia trwałej światowej organizacyi prawnej [1]). Takie reminiscencye

---

constitutum est iudicium non minus turpe, quam furti. Ergo idcirco turpis haec culpa est, quod duas res sanctissimas violat: amicitiam et fidem.

[1]) Dr. Julius Ofner: *Der Grundgedanke des Weltrechtes* — Wien 1889, str. 23 i n.

prawne miał pewnie na myśli Zitelmann [1]), jeden z najświetniejszych prawników niemieckich dzisiejszej chwili, kiedy rozpatrując możliwość a przytem tak filozoficzne jak i praktyczne warunki powstania prawa uniwersalnego, powiedział wprost, że recepcya prawa rzymskiego jeszcze nieskończona, gdyż to tylko, „co jest w niem specyficznie rzymskiem, przemija, a to, co w niem posiada charakter prawa światowego, pozostanie nadal i tam, gdzie jeszcze nie jest w mocy, zostanie przyjęte.“

Któż może być kompetentniejszym do wydania sądu w tej sprawie od Iheringa, który w swoim wielkim obrazie ducha prawa rzymskiego odsłonił z filozoficzną głębokością jego niespożyte zalety, w dziele o czynniku winy w tem prawie przedstawił niezmiernej dla rozwoju całego prawa wagi proces stopniowego wydzielania się pojęcia winy i kary ze sfery stosunków prywatno-prawnych a wreszcie w ostatniem swojem dziele filozoficznem o celu w prawie, dziele, stanowiącem najdalej idące ustępstwa dla wszechwładnego dziś obrotu i w ogóle dla praktycznego utylitaryzmu, stanął na gruncie tak pozytywnym, że pewnie nie może być posądzony o marzycielstwo, lub, mówiąc słowami Mittelstädta, o wznawianie aliansu prawa z „subtelnościami metafizycznemi“?

Weźmy najpierw sąd Iheringa o dzisiejszej fazie rozwojowej prawa prywatnego. Przedstawiwszy w drugiem z powyżej przytoczonych dzieł, jak zasada winy i kary w cywilizacyjnym rozwoju tego prawa stopniowo ustępować musiała przed zasadą odszkodowania, mówi ten prawnik-filozof: „Czy zasada ta jest w stanie zastąpić należycie zasadę kary w prawie prywatnem, t. j. czy może zapewnić obrotowi równe bezpieczeństwo, jakie dawała mu niewątpliwie ostatnia zasada, jestto kwestya, zależna od trafnego unormowania procesowych środków. Żeby nasz dzisiejszy proces, nasze dzisiejsze sądownictwo, odpowiadały pod tym względem chociażby tylko najsłuszniejszym wymaganiom, tego nikt nie poważy się powiedzieć, kto ma zdanie wyrobione w tej sprawie.“

Od czasu, kiedy Ihering słowa te wypowiedział, upłynął ćwierćwiekowy okres bardzo intenzywnej pracy ustawodawczej, okres reform rzzpoczętych lub przynajmniej zapowiedzianych we wszystkich kierunkach i zakresach prawa, okres rzeczywiście wydatny w dzieła o szerszym zakroju i szerszym poglądzie. To ostatnie zdanie można

---

[1]) Dr. Ernst Zitelmann: *Die Möglichkeit eines Weltrechtes.* (W *Allgemeine österreichische Gerichtszeitung* z r. 1888, str. 211).

jednak zastosować tylko do prawa administracyjnego a częściowo i to z pewnemi zastrzeżeniami do prawa karnego. Natomiast w zakresie stosunków prywatnych droga dla ludzi bez czci i wiary, wyzyskujących fortele w tej sferze prawa, którą nazwaliśmy neutralną a w której interes uczciwy znosić musi najbliższe sąsiedztwo z nieuczciwością, nieuchwyconą i częstokroć uchwycić się niedającą w ciężkie obcęgi karno-paragrafowe, jest ciągle utorowana, może nawet, dzięki niezmiernemu rozwojowi obrotu i połączonej z nim komplikacyi stosunków, więcej ubita i szersza, aniżeli dawniej. Ustawodawstwo współczesne usiłuje wprawdzie, idąc za radą i wskazówkami teoryi, poskromić specyalnemi ustawami przynajmniej najjaskrawsze i najszkodliwsze w tej chwili objawy w powyższym rodzaju, mianowicie tak jawnie występującą nierzetelną konkurencyę, ale od dobrych zamiarów do skutecznego czynu jeszcze daleko a o rzeczywistem wskrzeszeniu dawnych tradycyi prawnych dobrej wiary dziś nawet marzyć trudno [1]).

I w takiej właśnie chwili Ihering, występując z dziełem o celu w prawie, które sam uważa za ukoronowanie całej swojej działalności naukowej, zamiast formułować nowe gwarancye prawne i procesowe dla uczciwości i dobrej wiary w obrocie, więc dla bezpieczeństwa prawnego zwraca się do społeczeństwa [2]), każe mu stworzyć takie gwarancye w swojej judykaturze moralnej, mianowicie w wyniesieniu czci, jako wyrazu zupełnego poczucia praw i obowiązków, na stanowisko regulatora całego działania tak w sferze ściśle prawnych interesów jak i po za nią. Tak samo postępuje pod tym względem także i filozof, Lasson, dodając do powyżej przytoczonych ponurych poglądów na dzisiejszą sytuacyę prawną, jakgdyby dla uśmierzenia skrupułów, które przecież koniecznie ozwać się musiały, następującą uwagę: „Jest wiele bezprawia, pochodzącego ze złego zamiaru i z podstępu a niezagrożonego środkami karnemi. Wobec tego bezprawia prawo uznaje się niezdolnem do specyalnej akcyi zaradczej... Siła obyczajów, potrzeba zaufania i poczucie czci musi tutaj spełnić swoje zadanie, aby bezprawie, wobec którego środki prewencyjne nie wystarczają, nie wzrastało po nad miarę.“

W podniesieniu moralnej siły czci w sferze stosunków prawnych stanęła przed oczyma Iheringa cenzura rzymska w aureoli wielkiego trybunału społeczno-moralnego, który w rzymskiem społeczeństwie

[1]) Dr. Bronisław Łoziński: *Dobra wiara* (w zeszycie październikowym *Biblioteki Warszawskiej* z r. 1895).

[2]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. I. str. 483 i t. II. str. 497 i n.

świetnie spełnił powyższą missyę i tem zapewnił sobie w historyi rozwoju prawa niespożytą sławę.

W miarę, jak pozytywna filozofia prawa uderza na łączność prawa z etyką wrzekomo dla jego udoskonalenia a wskutek tego rozszerza się owa neutralna sfera pograniczna między prawem prywatnem a karnem, dająca przytułek niegodziwościom i nikczemnościom różnego rodzaju, uwaga prawnika, zaniepokojonego złemi następstwami takiego stanu, zwracać się musi dziś więcej niż kiedykolwiek ku takim instytucyom, jak cenzura rzymska, która uchodzić może za historyczną niejako aprobatę przeciwnego poglądu filozoficznego na stosunek prawa do etyki i za jeden z najpiękniejszych pomników wielkiego znaczenia moralnych czynników w rozwoju prawa. Pomniki takie stanowią najwymowniejszą illustracyę do zdania Montesquieu'go, że prawa objaśniać należy historyą a historyę prawami, oczywiście w tym celu, aby ztąd wysnuwać najtrafniejsze wnioski i wskazówki dla przyszłości.

Dla uzasadnienia ostatniej uwagi wskażemy przedewszystkiem na poważne świadectwa ze sfery naukowej, które jako połączone nie z historycznemi reminiscencyami, lecz z rozbiorem kwestyi prawnych aktualnego *par excellence* znaczenia, już same wystarczać powinny dla zamierzonego celu. Eckstein [1]) w badaniu pojęcia czci ze stanowiska filozoficznego i prawnego, w badaniu głębokiem i dobitnie objaśniającem niemoc dzisiejszego prawa prywatnego tak co do wyzyskania tego moralnego czynnika dla swoich wyższych celów, jak i co do jego ochrony, uważa „nieszczęsne oderwanie prawa od moralności, ten koncept nowoczesnej filozofii, podnoszony jako postęp wobec poglądów starożytności“, za przyczynę „wyzucia prawa z jego powagi w życiu“, poniżenia prawa na stanowisko prostego mechanizmu z pojęciami tak skrzywionemi, jak n. p. owo, które teoretycznie chciałoby moralny charakter pobudek wyłączyć zupełnie ze sfery prawnej, chociaż w takim razie w ścisłej konsekwencyi powinnoby nie oglądać się zupełnie na tak ważny nawet w dzisiejszej praktyce prawnej czynnik, jak dobra wiara *(bona fides)*, ta niezmiernej wartości spuścizna dawnych odmiennych poglądów na stosunek prawa do etyki: „Rzymianie, mistrze prawa po wieczne czasy, — mówi Eckstein — w swojem poczuciu taktu prawnego i tutaj także znaleźli trafny kierunek. Czego nie uwzględniło *ius civile*, to znajdowało opiekę w komplexie reguł prawnych *(fas)*, których zastoso-

---

[1]) Joseph Eckstein: *Die Ehre in Philosophie und Recht* — Leipzig 1889, str. 91 i n.

wanie dotąd jeszcze nie jest zupełnie rozjaśnione a po za temi obszarami prawa swobodna działalność cenzury wypełniała później luki *iuris civilis*. Cenzura stanowiła czujną straż na granicy między czynami niedozwolonemi pod względem moralnym i prawnym. Wskutek tego urządzenia państwowe i poczucie prawa pozostawały w pięknej harmonii. Także i rodzaj kar przez cenzurę nakładanych był trafny.“ Karę cenzorską stanowiła skaza na czci, więc uszczerbek na tym właśnie czynniku moralnym, którego określenie w dzisiejszem prawie głównie pobudziło wspomnianego autora do tak smętnych refleksyi.

Głośny kryminalista niemiecki, F. Holtzendorff, w pracy, poświęconej określeniu istoty i wartości opinii publicznej [1]), więc sprawie tak aktualnej w czasach dzisiejszych, jak mało innych, wynosi cenzurę rzymską jako „organ judykatury moralnej“, czuwający z ramienia społeczeństwa nad jego moralnym stanem, więc w zakresie, w którym nowoczesne ustawodawstwo samo sobie pozostawione nie może spełnić całego zadania. Luki, powstające pod tym względem w prawie karnem, w ogóle w prawie, wymagają koniecznie cenzorskiej czujności społeczeństwa, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, wśród nowego ustroju stosunków społecznych, „wobec wybryków indywidualizmu, przekraczającego wszelką miarę i wobec nieokiełzanego egoizmu.“ W tym duchu dzisiejszej opinii publicznej stawia za wzór cenzurę rzymską dr. Emil Steinbach w swojej głośnej rozprawie o obowiązkach łączących się z posiadaniem [2]).

I dawniej w chwilach, gdy skażenie obyczajów, w ogóle rozluźnienie karbów moralności w życiu społecznem, pobudzało wyższe umysły do szukania środków zaradzenia złemu, myśl zwracała się ku cenzurze rzymskiej i jej dobrym tradycyom nie w samej tylko formie wspomnienia historycznego, lecz z dążnością do wskrzeszenia tych tradycyi w sposób do stosunków danej chwili zastosowanych. Nasz wielki pisarz polityczny Andrzej Frycz Modrzewski wspomina w ten sposób o tradycyach cenzury rzymskiej w swojem dziele „O poprawie Rzeczypospolitej“ a i w innych krajach współczesnej Europy głośni reformatorowie i mężowie stanu także występowali z podobnemi pomysłami [3]).

---

[1]) Franz v. Holtzendorff: *Wesen und Werth der öffentlichen Meinung* — II. Aufl. München 1880, str. 16 i 73.

[2]) Dr. Emil Steinbach: *Über die Pflichten des Besitzes* — Wien 1885, str. 5.

[3]) Henri Baudrillart: *Histoire du luxe privé et public depuis l'antiquité jusqu'à nos jours* — Paris 1878. T. III. str. 676 i n T. IV. str. 19.

O cenzurze rzymskiej dziś nawet intelligentny ogół nie posiada zupełnie trafnego wyobrażenia i wobec banalnej profanacyi tej nazwy w codziennem życiu przedstawia sobie cenzora rzymskiego jakby jakiego dziwoląga, którym tylko prawnik-antykwaryusz na seryo zajmować się może. A tymczasem w świetle historycznem odsłania się nam pod tą nazwą poważny, podniosły i niemal udzielny w swojem działaniu organ nadzoru nad karnością społeczną i czystością obyczajów, które w starym Rzymie rozstrzygały o najwyższym wyrazie wartości moralnej i społecznej człowieka, o jego czci. Cenzura rzymska stanowiła niejako trybunał społeczno-moralny, wyposażony najwyższą powagą obok powagi konsularnej i pretorskiej, trybunał, który chociaż ani nie dysponował siłą zbrojną, ani nie dzierzył miecza sprawiedliwości w swoich rękach a nawet w ogóle stał zawsze po za sferą *imperium*, t. j. władzy, służącej najwyższym magistraturom, nietylko przecież równy był w powadze najwyższym dostojnikom państwa, lecz na nich nawet mógł cisnąć grom swojego wyroku *(nota censoria)* i dosięgnąć ich karą hańby *(ignominia)*. A cała ta władza cenzorska nie opierała się na żadnym specyalnym kodexie, na żadnem prawie pisanem w ogóle, lecz na tradycyjnej sankcyi społecznej i na głębokiem przedświadczeniu społeczeństwa, że niezbedny jest taki organ, któryby stojąc poniekąd po nad prawem pozytywnem a właściwie uzupełniając je dyrektywami moralnemi, występował z interwencyą w imieniu dobra społecznego zawsze i wszędzie, gdzie tego wymagał interes moralności, nieosłonięty skutecznie prawem pozytywnem, lub gdzie prawo to z natury swojej zawsze o tyle niedostateczne, że nie obejmuje całego człowieka z całem działaniem jego i ze wszystkiemi intencyami, musiało być w danych razach wypełnione lub uzupełnione orzeczeniami do moralnego charakteru wypadków zastosowanemi.

Już ta ogólna charakterystyka cenzury rzymskiej, którą niejako wyprzedzamy tylko dalsze szczegółowe przedstawienie jej genezy i działalności publicznej, objaśnia powody, dla których obraz tej magistratury moralnej wysuwa się, jak to już powyżej zaznaczyliśmy, na pierwszy plan w głębszych filozoficzno-historycznych refleksyach o społecznych zadaniach prawa i o warunkach, pod jakiemi one w jaknajszerszym zakresie spełnione być mogą.

Formalna organizacya cenzury starorzymskiej może być zaliczona do reminiscencyi historycznych, ale nie wypływa ztąd, żeby także funkcye, jakie ona spełniała, miały należeć już tylko do reminiscencyi tego rodzaju w znaczeniu przeszłości, nie dającej się wskrzesić. Funkcye te, jak je powyżej w ogólnym tylko zarysie

skreśliliśmy, nie mogły i nie mogą nigdy pójść w zapomnienie, jak przeszłość odległa, gdyż w takim razie prawo nie mogłoby było dotąd spełniać takiej wielkiej missyi cywilizacyjnej, jaką faktycznie spełniło w ciągu długich wieków aż do chwili obecnej. O tych funkcyach społeczeństwo zapomnieć nie mogło i nigdy też nie zapomniało, ale sposób, stopień, w jakim je faktycznie spełniano, nie był jednakowy w historycznym rozwoju prawa.

Powyższe uwagi ogólne tłumaczą powody, dla których nad obrazem cenzury rzymskiej i jej działalności dłużej nam wypadnie się zatrzymać. *Sanctissimus magistratus* — tak cenzurę nazwał Cicero — zasługuje na to tem więcej, że w dzisiejszych wykładach prawa rzymskiego instytucya ta, chociaż jej charakterystyka niezbędną jest dla zupełnego zrozumienia ducha i kierunku rozwojowego tego prawa, traktowana bywa w ten sposób, jakgdyby chodziło tutaj o przedmiot, ważniejszy dla historyka-antykwaryusza, aniżeli dla prawnika, jakgdyby cenzura rzymska, ten wielki trybunał społeczno-moralny *(morum disciplinaeque Romanae regimen)*, była magistraturą zwyczajnej miary, więc do innych podobną a nie jak historycy i prawnicy, Niebuhr i Mommsen, Savigny i Ihering, jednomyślnie uznają, główną piastunką tych cnót, które w społeczeństwie rzymskiem wytworzyły tak olbrzymi zapas sił moralnych, iż całe wieki potem, wieki wypełnione skażeniem obyczajów i ogólną deprawacyą życia publicznego i prywatnego, żyły jeszcze resztkami tego kapitału moralnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d' ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.
1767.
(Ciąg dalszy).

XI.

Nieograniczona władza konfederacyi, której wszyscy przysięgają na zupełne posłuszeństwo. — Nieporozumienie z powodu dwuznacznej redakcyi w przysiędze hetmana w. — Wielkiemu marszałkowi dodano dwóch delegatów od konfederacyi, bez których nie wolno mu sądzić żadnej sprawy kryminalnej. — Ambasador chce przenieść siedlisko konfederacyi do Warszawy i przyspieszyć ich połączenie się, a tem samem i wysłanie poselstwa do carowej. -- Deputaci od obu konfederacyi na posłuchaniu u króla. — Ambasador objawia życzenia, aby królewicz saski Karol zażądał od przyjaciół Saksonii, magnatów, do konfederacyi należących, iżby ci popierali plany carowej w Polsce, a głównie sprawę dyssydentów. — Hetman w. odmawia złożenia przysięgi konfederacyi. — Nieporozumienie między Repninem a Radziwiłłem.

Warszawa, 18. lipca 1767.

Książę Repnin za mojem pośrednictwem składa Waszej Królewiczowskiej Mości, z powodu uroczystości Jego urodzin, najszczersze życzenia z wyrażeniem głębokiego swego uszanowania.

Książę prymas przebywa tu już od dni paru i odbiera ciągłe powinszowania. Hetman wielki przysłał do ambasadora generała Mokronowskiego z oświadczeniem, że nie może tu przybyć z powodu

słabości. Wojewoda kijowski odjechał stąd w dniu wczorajszym do Węgrowa, celem odebrania przysięgi od hetmana wielkiego, za powrotem zaś odbierać będzie przysięgę od komisyi wojska, dowódców i różnych urzędników. Ponieważ jednak nie życzy sobie pokazywać się królowi, przeto delegaci konfederacyi słuchać będą przysięgi komisyi, usuwając bezzwłocznie tych, którzyby jej odmówili.

Postawa, jaką przybierze książę wojewoda ruski, budzi tu nadzwyczajne zaciekawienie. Ambasador nie da mu się w pole wyprowadzić; mówił mi, iż nie rozumie zupełnie, co mógł myśleć, zamierzając opuścić Warszawę.

Powodem wielkich nieporozumień było jedno wyrażenie w przysiędze hetmana wielkiego i podskarbiego. Powiedziano tam: „Przysięgam na wierność królowi i innym stanom skonfederowanym" (jak gdyby król był również stanem skonfederowanym), co dało powód do wniosku, że król, z powodu swej powagi, będzie wyższym od konfederacyi.

Ambasador wszakże przez to wyrażenie chciał zabezpieczyć króla, że nie będzie ofiarą napaści ze strony konfederacyi, gdyż w dalszym ciągu tekstu przysięgi wyraźnie jest mowa, że składa się przysięgę na zupełne posłuszeństwo jednej tylko konfederacyi.

Jenerałowie, podskarbiowie i komisarze, którzyby nie ulegli konfederacyi, utracą władzę swoją, a jeżeliby i komisye nie chciały być jej posłuszne, to ona sama zamianuje nowych dowódców wojska i naczelników skarbowych. Trybunały podległe będą tylko konfederacyi, która zastrzegła sobie uniwersałem swym władzę rozpoznawania ich postępowania, oraz zawieszania spraw tych konfederatów, którzyby nie zechcieli być wtedy sądzeni.

Wielkiemu marszałkowi dodani będą dwaj delegaci od konfederacyi, bez których żadnej sprawy kryminalnej sądzić mu nie będzie wolno.

Takim sposobem ambasador przelewa władzę w ręce konfederacyi, która działać będzie zawsze w porozumieniu z nim, a w skutek tego Rosya samowolnie rządzić będzie w tym kraju. Konfederacya przenosi się do Warszawy, gdzie książę Radziwiłł mieć będzie lepsze towarzystwo, niż w Radomiu, bo tam jego siostry i szwagier Rzewuski ciągnęli go do poprzedniego trybu życia; nie do wina wprawdzie przyzwyczajać go zaczęli, ale do dziwactw w postępowaniu.

Ambasador chce przyspieszyć połączenie się konfederacyi, co dokonanem zostanie w Warszawie za pośrednictwem deputowanych, którzy w tym celu przybędą tu pocztą od konfederacyi litewskiej. Wysłał on na koszta 1000 dukatów marszałkowi Brzostowskiemu.

Nacisk ambasadora w tym względzie ma na celu przyspieszenie poselstwa do carowej, które będzie obowiązane uspokoić ją i prosić o bezpieczeństwo i zadowolenie narodu. Dokładam wszelkich starań, aby w poselstwie przyjął udział Ossoliński, a to w tym celu, ażeby mieć zdolnego reprezentanta, na któregoby liczyć można było.

Ambasador miał tu z wojewodą kijowskim i Mokronowskim, wysłanym ze strony hetmana wielkiego, długą konferencyę, na którą byłem zaproszony. Dwa punkta nie zostały zdecydowane, a mianowicie: konfederacya pruska oraz kwestya, czy sejm ma być wolny, czy też pod konfederacyą.

Deputaci obu konfederacyi mieli w dniu wczorajszym posłuchanie u króla. Poniński miał mowę, której treść poprzednio nam zakomunikował, ale Kozakowski nie mógł się powstrzymać od wypowiedzeeia wielu słów przykrych, których nie spodziewali się ani król, ani ministrowie. Oświadczył sam ambasadorowi, że się zanadto uniósł, prosząc jednocześnie, aby to tylko jemu samemu było poczytane za winę, bez składania tego na instrukcye konfederacyi. Należało uwzględnić to jego uniesienie, jak niemniej przebaczyć i księciu kanclerzowi, który dał również inną odpowiedź, zupełnie odmienną od tej, jaką poprzednio przyrzekł.

W niedzielę ambasador oznajmił mi, że otrzymał rozkazy od carowej w przedmiocie apanażów dla Waszych Królewiczowskich Mości z zastrzeżeniem, aby wszystko uregulowane było z zupełnem Ich zadowoleniem. Podziękowałem mu za przedstawienia, uczynione do dworu rosyjskiego, i za wyjednanie przychylnej decyzyi.

— „Nie można tu nic zmieniać — powiedział — carowa tak mieć chce i jest bardzo zadowolona z dworu saskiego i z postępowania Ich Królewiczowskich Mości w tym kraju. Wszakże sprawa dyssydentów napotyka pewne trudności, a interesuje ona nadzwyczaj carową, która przywiązuje do niej wielką wagę i pragnie, aby sprawa ta mogła się pomyśluie zakończyć. Ich Królewiczowskie Mości mają tu przyjaciół, przeważnie magnatów do konfederacyi należących, a tem samem dobrą sposobność zadowolenia carowej, gdyby raczyli skłonić tych przyjaciół do zadosyćuczynienia życzeniom monarchini.“

Odpowiedziałem mu na to, że skoro do tej chwili Wasze Królewiczowskie Mości unikali starannie mięszania się pod jakimkolwiek pretekstem w tutejsze sprawy, aby nie ściągnąć na siebie zarzutu, iż chcą korzystać z zamieszek, przeto tę samą gotowość do udzielenia poparcia, jakiej Wasza Królewiczowska Mość wraz z księciem administratorem dał dowody w sprawie księcia Radziwiłła, nie omie-

szka okazać i obecnie, upominając listownie swoich przyjaciół, aby w danej kwestyi starali się zasłużyć na łaskę i protekcyę Rosyi, nie wspominając wszakże nic o dyssydentach, w której to sprawie Wasze Królewiczowskie Mości mogliby tylko udzielić mnie i panu Esseniusowi instrukcye co do ustnego nakłaniania swych przyjaciół, aby ci stosowali się do życzeń ambasadora.

— „Nie — odpowiedział — będzie nierównie lepiej, jeżeli wprost od siebie do nich o tem napiszą, z zaleceniem sprawy dyssydentów dla zadowolenia imperatorowej."

— „A jeżeli sprawa weźmie zły obrót?" — zapytałem.

— „To się źle nie skończy — przerwał — wierz mi pan; a będzie to wielką zasługą Ich Królewiczowskich Mości. Pomów tylko w tej kwestyi z panem Esseniusem."

Tego samego poranku opowiedziałem wszystko Esseniusowi, który widział się u dworu z ambasadorem i długo z nim rozmawiał. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak powołać się na jego raport, jaki złożył Waszym Królewiczowskim Mościom.

Za obowiązek jednak uważam poczynić następujące uwagi:

Czy to przez opieszałość, powolność, brak energii, czy też z powodu złego sposobu wzięcia się do rzeczy konfederatów tutejszych a może w skutek starań, zabiegliwości i przyjaźni ze strony króla, dość, że zmiana na korzyść Jego Królewskiej Mości jest widoczna. Książę Repnin jest z niego bardzo zadowolony, często się z nim widuje, a Branicki bywa jeszcze częściej u ambasadora.

Wiadomo mi także, że uniwersał królewski na sejmiki komunikowany był również ambasadorowi, a jakkolwiek ten ostatni obiecał wojewodzie kijowskiemu, że inny uniwersał królewski wydany będzie, wszakże za porozumieniem się z królem zmienił następnie zamiar i posłał księciu Radziwiłłowi polecenie, aby tenże ogłosił od konfederacyi uniwersał, mający być do pewnego stopnia uzupełnieniem królewskiego. Przedstawienia, czynione ambasadorowi w tym względzie, pozostały bez żadnego skutku, przeciwnie rozgniewały go a nawet zdawało mi się, że konfederaci powinni się obawiać, aby Rosya, z powodu napotykanych trudności w sprawie dyssydentów, nie przeszła na stronę dworu tutejszego i nie starała się za jaką bądź cenę dopiąć głównego celu, t. j. zaspokajania żądań dyssydentów.

Z tego wzystkiego Wasza Królewiczowska Mość wnieść raczy, że cokolwiek nastąpi, należy zawsze trzymać z Rosyą, z wyjątkiem tej ewentualności, gdyby mocarstwo to, podobnie jak monarchia Ludwika XIV., znalazło się w zupełnym upadku i bez przyjaciół.

Zamiast przybyć na Pragę, jak to przyobiecał, hetman wielki nagle zmienił zamiar: odmówił złożenia przysięgi konfederacyi i odjechał w dniu wczorajszym z Węgrowa do Białegostoku, wojewoda zaś kijowski do Tarnopola. Odjechali również i posłowie turecki i tatarski, nie pokazując się tu więcej.

Tylko co powróciłem od ambasadora, który wysyła mnie powtórnie do Radomia dla namówienia księcia Radziwiłła, aby przeniósł tu siedlisko konfederacyi; nie chciał bowiem tego uczynić, dopóki nie będzie mu dodana straż ze strony ambasadora i dopóki marszałek wielki koronny nie złoży przysięgi konfederacyi. Na te dwa punkta ambasador nie chce się zgodzić, a książę Radziwiłł miał oświadczyć pułkownikowi Carr, że woli zrzec się wszystkiego i odjechać do Rosyi, i jeżeli już ma być aresztowanym, to woli, aby to uczyniła Rosya, a nie jego rodacy.

Misya w mowie będąca jest dla mnie bardzo nieprzyjemna, nie mogłem jednak odmówić ambasadorowi, który jest niezadowolony z konfederacyi.

Czartoryscy obawiają się konfederacyi, król także jest bardzo niespokojny; niepodobna bowiem zgodzić się na to, aby carowa miała opuścić konfederatów i cofnąć swoją deklaracyę albo ogłoszony list Panina.

XII.

Wielka zmiana na dworze królewskim z chwilą przeniesienia się konfederacyi do Warszawy. — Poselstwo konfederacyi do Moskwy. — Listy do carowej od konfederacyi redaguje sam Repnin. — Repnin rozkazuje, żeby wybierać do sejmu tylko tych posłów, których on sobie życzy i żeby marszalkiem sejmu był marszałek konfederacyi generalnej, nakoniec, żeby sejm był pod konfederacyą (nie zaś wolny). — Benoit nie bierze udziału w tych sprawach. — Wiadomości z prowincyi w przedmiocie sejmików brzmią niepomyślnie. — Duchowieństwo robi trudności w podpisaniu akcesu do konfederacyi. — Biskupi kujawski i płocki przedstawiają swój kontrprojekt. — Breve papieskie wzywa duchowieństwo do oporu. — Czacki poprzedza manifestem swój akces do konfederacyi. — Jego aresztowanie. — Ambasador rosyjski nie pozwala czytać na sejmikach listów biskupa krakowskiego i hetmana w.

Warszawa, 1. sierpnia 1767.

Z chwilą przeniesienia się konfederacyi do stolicy tutejszej zaszła wielka zmiana na dworze królewskim. Dawniej żartowano z niej, obecnie widać tam wielkie zaambarasowanie i niepokój.

Książę wojewoda ruski zrezygnował z godności prezesa komisyi wojny, tak samo postąpił książę Sułkowski i trzech innych komisarzy.

W dniu dzisiejszym obie podległe konfederacyi komisye mają złożyć przysięgę. Wkrótce mianowani zostaną posłowie konfederacyi do Moskwy, na których mają być przeznaczeni: Pociej, hr. Wielhorski, pan krajczy oraz starosta sandomierski w charakterze ministrów pełnomocnych skonfederowanego narodu, z zachowaniem zupełnej równości. Wyjeżdżają za dni kilka. Pociej ma otrzymać prezydyum poselstwa. Wszyscy są przyjaciółmi Waszej Królewiczowskiej Mości i dla tego bardzobym prosił o rekomendacyę dla nich do Sackena. Konfederacya zaopatrzyła ich już w listy do carowej, redagowane przez samego ambasadora. Co do instrukcyi, jakie udzielono posłom, te zawierają w ogóle tylko przedmioty, wymienione w akcie konfederacyi, w deklaracyi carowej i liście Panina.

Ambasador otwarcie wprowadza do sejmu zwolenników dworu i familii, między innymi brata królewskiego i księcia Adama, a to, jak sam powiada, dla tego, aby przy ich współdziałaniu dyssydenci byli zaspokojeni, i aby nie mogli tłómaczyć się w następstwie, że w tem wcale nie brali udziału.

Jestem w wielkiej obawie, aby na sejmikach nie nastąpiły jakie zamieszki, gdyż ambasador rozkazał mianować na sejm tych posłów, których sobie życzy i wydał odpowiednie instrukcye, a przytem artykułem oddzielnym poleconem zostaje, że marszałkiem sejmu ma być marszałek konfederacyi generalnej, jakkolwiek ten wcale posłem nie był wybrany.

Nadchodzące z różnych stron kraju listy donoszą o wielkiem zaniepokojeniu patryotów z powodu tego nacisku i wymienionej wyżej instrukcyi. Odpowiedziano na nie, że trzeba stosować się do otrzymanych rozkazów, dowódcy zaś wojsk otrzymali polecenie ścisłego dopilnowania tego wszystkiego.

Artykuł o dyssydentach spotka już sam przez się silną opozycyę.

Nie uwzględniają tu mojego planu. Proponowałem, aby konfederacya była *in activitate*, sejm wolny, aby posłowie zależeli od wolnego wyboru, a dalej, aby konfederacya zaprojektowała prawa i negocyacye, ambasador zaś rosyjski był pośrednikiem, ograniczał zbytnie żądania konfederacyi, oraz skłaniał sejm do przyzwalania na to, co jest słuszne.

Tymczasem rzeczy poszły zupełnie inaczej. Ambasador chce, aby sejm był pod konfederacyą, z jego posłów złożony. Powody do tego mieć musi, sprawa jednak nie jest łatwa, a dla niego specyalnie bardzo uciążliwa, mimo, iż nie żałuje pracy, sam najwięcej jest zajęty ze wszystkich.

Benoit nie bierze udziału w tych sprawach; niektórzy z jego przyjaciół utrzymują, że król pruski nie aprobuje wcale tego, co się tu dzieje. Daj Boże, abym się mylił, ale zdaje mi się, że tu nie obejdzie się bez rewolucyi. Najważniejszym artykułem, jaki obejmuje instrukcya posłów do Moskwy, jest podziękowanie carowej za apanaże, przyznane Waszym Królewiczowskim Mościom. Artykuł ten, zredagowany przezemnie i aprobowany przez ambasadora, brzmi dosłownie tak:

„Wdzięczność, jaką przejęci jesteśmy ku najjaśniejszej imperatorowej za interesowanie się honorem i korzyściami narodu naszego, zwiększyła się jeszcze bardziej z powodu jej intencyi, objawionych nam przez księcia Repnina, swojego ambasadora, aby królewiczom naszym, Ksaweremu i Karolowi, przyznane zostały apanaże. Życzenia najjaśniejszej imperatorowej zgadzają się zupełnie z uczuciami obu narodów, które pragną ze swej strony złożyć dowody, jak wiele zawdzięczają zmarłemu królowi. Z tych względów polecamy posłom naszym wynurzyć najjaśniejszej imperatorowej nasze najszczersze i najuniżeńsze podziękowanie za najmiłościwszą jej interwencyę na korzyść królewiczów i zapewnić ją o wielkiem zadowoleniu, jakiego przez to doznają oba narody, a jednocześnie oświadczyć, że stosować się zawsze będziemy do woli i intencyi najjaśniejszej imperatorowej, jakie raczyła objawić na korzyść naszych ukochanych królewiczów.“

Nadchodzące z prowincyi wiadomości nie robią wielkich nadziei co do pomyślnego skutku sejmików. Fanatyzm jednak ustaje w miarę zbliżania się wojsk rosyjskich. Ambasador wszakże przygotowuje się na wszelkie ewentualności. Gdy mu doniesiono, że szlachta województwa sandomierskiego postanowiła nie być wcale na sejmiku w Opatowie, wysłał bezzwłocznie kuryera po starostę sandomierskiego, rozkazując mu jechać natychmiast do Opatowa. Hr. Moszyński, jeden z siedmiu posłów proponowanych na ten sejmik, przyjechał tu w dniu wczorajszym; z rozkazu księcia ambasadora musiał natychmiast udać się do Opatowa, mimo iż dotąd nie podpisał aktu konfederacyi i ekwipaże jego jeszcze tu nie nadeszły.

Biskupi również robią trudności w podpisaniu akcesu do konfederacyi w sposób przepisany przez ambasadora. Muszą wszakże albo spełnić jego żądanie, albo też wyrzec się udziału w sejmie.

Biskupi kujawski i płocki byli u mnie w dniu wczorajszym i skłonili mnie do przedstawienia ich kontrprojektu księciu ambasadorowi. Nie zgadzają się wcale na to, aby w akcesie do konfederacyi była mowa o dyssydentach; sądzę wszakże, że ostatecznie zastosują się do życzeń ambasadora.

Breve papieskie wręczone już zostało biskupom przez nowego nuncyusza; duchowieństwo wezwane jest do stawiania oporu wspomnianej wyżej innowacyi, a to z uwagi, że niema związków między wiernymi i niewiernymi, oraz że podawana zasada wymierzenia sprawiedliwości dyssydentom jest tylko pozorna, a cały projekt jest zamachem na wiarę świętą.

Za wystąpienie z manifestem, którym poprzedził akces swój do konfederacyi, cześnik Czacki został aresztowany w drodze przez wojsko rosyjskie, pod strażą odprowadzony do domu, skąd nie pozwalają mu się wydalać.

List biskupa krakowskiego nie był wcale czytany na sejmikach. Przyczyną tego było, jak objaśniłem pomienionego biskupa, że poprzednio nie był komunikowany księciu Repninowi, który też na jego czytanie nie pozwolił. Taki sam los spotkał list hetmana wielkiego.

XIII.

Wzajemna nieufność stronnictw i wielkie oburzenie na ambasadora rosyjskiego. — Niekorzystny sąd rezydenta sasko-kurlandzkiego o ówczesnej generacyi polskiej. — Wszystkie sejmiki słuchają rozkazów ambasadora rosyjskiego, jeden tylko rawski oponuje. — Ambasador okazuje wielką przyjaźń dla Radziwiłła, a jest bardzo niezadowolony z biskupa krakowskiego i marszałka Brzostowskiego. — Wysyła sztafetę z poleceniem, aby przy pomocy siły zbrojnej powstrzymać wykonanie wyroku przeciwko podkanclerzemu litewskiemu. — Zjazd w Puławach.

Warszawa, 29. sierpnia 1767.

Sądziłem dotąd, że panujące w kraju tutejszym ogólne niezadowolenie wywoła powstanie, — obecnie jednak uspakajam się i zaczynam wierzyć, że wszelkie żądania, jakie tylko Rosya postawi, w zupełności spełnione zostaną. Król, familia, konfederaci, zgoła wszyscy żywią względem siebie obawę i terroryzują się wzajemnie. Większość nosi płaszcz na dwóch ramionach, jak powiadają, a wszyscy ci, którzy najwięcej ulegają żądaniom ambasadora rosyjskiego, potajemnie złorzeczą mu i skarżą się na niego. Prawdopodobne jest, że gdyby się znalazł kto taki, coby posiadał ogólne zaufanie i miłość wszystkich, rzeczy może innym poszłyby torem, a każde nowe wkroczenie wojsk rosyjskich spowodowałoby krwawe starcie.

Wszakże męztwo zdaje się, jak gdyby należało już do innego pokolenia. Teraźniejsza generacya polska w ogóle zepsuta i przedajna, nie jest już zdolna do niczego. Dzisiejsi Polacy powinniby

uważać się za bardzo szczęśliwych, jeżeli uda im się uniknąć niewoli. Spotykać się dają wszędzie ich żądania zupełnego oddania się Rosyi; zdarzało mi się nieraz słyszeć podobne opinie od wysoko położonych i zamożnych osób. „Bylibyśmy wtedy — powiadają — narodem znakomitym, któryby imponował całej Europie, dyktował jej prawa.“ Ja sądzę, że mógłby tego dokonać minister rosyjski bystrego umysłu, gdyby tylko zręcznie wziął się do rzeczy, gdyby potrafił zyskać zaufanie arystokracyi.

Sejmiki odbywają się w zupełności według woli ambasadora rosyjskiego. Jeden tylko rawski, pomimo obecności dosyć znacznego oddziału wojska (około 500 ludzi) i oporu dowodzącego pułkownika, odrzucił instrukcye ambasadora i obok okólnikowego listu tego ostatniego czytać kazał również listy księcia biskupa krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego. Marszałek Radziwiłł dziś rano był z wizytą u ambasadora, który mu bardzo wiele uprzejmych słów powiedział. Przyrzekli sobie widywać się często i rozmawiać zawsze bez ceremonii. Radziwiłł wyraził mi wczoraj zupełne swoje zaufanie; nie nadużyję nigdy tego zaufania, może być tego pewny, nie byłem nigdy interesownym względem niego. I będę się uważał za zupełnie zadowolonego i wynagrodzonego za moje trudy, jeżeli ten książę cenić będzie przyjaźń Rosyi i zyska zaufanie tak jej, jak również i Waszej Królewiczowskiej Mości, przez co stanie się użytecznym dla swojej ojczyzny.

Książę biskup krakowski jest w bardzo złych stosunkach z ambasadorem, za co czyniłem mu słuszne uwagi w dniu wczorajszym. Oświadczył mi na to, że za kilkanaście dni ambasador będzie z niego o tyle zadowolony, o ile dziś jest niekontent.

Ze wszystkich sejmików najspokojniej odbył się opatowski za staraniem starosty sandomierskiego, który właśnie już powrócił do Warszawy i natychmiast udał się za poselstwem do Moskwy. Po jego odjeździe ambasador wysłał kuryera, przedstawiając go dworowi rosyjskiemu w najpochlebniejszych wyrazach.

Sejmik wielkopolski, jak również proszowski i zatorski, odbyły się pod opieką wojska rosyjskiego. Pomyślny rezultat pierwszego przypisać należy staraniom generała Apraksina, dwóch innych zaś wpływom i zabiegom pułkownika Igelstroma. Nie można w ogóle sądzić, żeby szlachta zezwoliła dobrowolnie na proponowane instrukcye, a mianowicie co do dyssydentów i gwarancyi ze strony Rosyi, chyba po otwarciu sejmu, jeżeli na pierwszym planie postawią prawa, mające na celu wynagrodzenie krzywd poprzednich i będące w stanie zapewnić krajowi pomyślność i bezpieczeństwo. Możliwą jest

rzeczą, że wzburzone umysły uspokoją się, oraz że Rosya zdobędzie dla siebie to zaufanie, o jakie napróżno dotąd się starała.

Ambasador jest zupełnie niezadowolony z Litwy. Marszałek Brzostowski nie przyjął żadnego z proponowanych przez ambasadora kandydatów na posłów i nie chciał pozwolić na obecność wojsk rosyjskich podczas sejmików. Ambasador zostawił to zupełnie jego woli, składając na niego odpowiedzialność za wybór posłów, na których zjednanie dał mu pięć tysięcy dukatów, zwłaszcza, że wpływ księcia Radziwiłła na opinie wybranych posłów usuwa, jak się zdaje, powody wszelkiej obawy pod tym względem. Co wszakże najwięcej budzi gniew ambasadora przeciw Brzostowskiemu, to właśnie wydany przeciw podkanclerzemu wyrok, którym tenże na zawsze pozbawiony zostaje swego urzędu. Oprócz tego w liście, wystosowanym do ambasadora rosyjskiego, pisze, że ten sam los spotka księcia kanclerza w d. 9. przyszłego miesiąca, jeżeli po raz drugi dopuści do zaocznego wyroku w sądzie. Ambasador zawiadomił go bezzwłocznie sztafetą, że nie marszałkowi konfederacyi, ale sejmowi przysługuje atrybucya pozbawiania podkanclerzego urzędu, i że wydał już rozkaz, aby przy pomocy siły zbrojnej powstrzymane zostało wykonanie tego wyroku, jeżeli marszałek zechce przy nim obstawać.

Należy się jednak spodziewać, że za przybyciem Brzostowskiego sprawa ta zgodnie załatwioną zostanie.

Książę wojewoda ruski udał się do Puław, dokąd również wyjechał i książę marszałek. Kanclerz wielki ma podobno udać się tam po imieninach króla, który wybiera się do Kozienic na polowanie, skąd również pojedzie do Puław. Temu zjazdowi przypisują cel polityczny; ambasador jednak zachowuje zupełny spokój i jest przekonany, że gotowi są wszystko poświęcić, byleby tylko nie stracić na znaczeniu. Dziś rano powiedział do obecnych biskupów: „Albo należy wymierzyć sprawiedliwość pokrzywdzonym, albo zostać męczennikami; jednej rzeczy mógłbym od was żądać, — która może nie byłaby zupełnie sprawiedliwą, — abyście przyjęli do senatu biskupa mohilewskiego.“

Z takiej mowy możnaby słuszny wyprowadzić wniosek, że ambasador chce zapewne zmusić Polaków do rewolucyi; dotąd jednak skutek tego jest taki, że im więcej żąda, tem więcej otrzymuje, tak mu na każdym kroku ustępują.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

II.

Tadeusz Czacki i projekt urządzenia szkół w Krzemieńcu.

(Ciąg dalszy).

Wiadomo już, że Czacki został mianowany wizytatorem szkół gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Nie chciał on piastować zaszczytnego, choć zarazem trudnego, urzędu nominalnie jedynie, z całą — właściwą sobie energią — jął się pracy, jeździł od szkółki do szkółki, przemawiał przy każdej sposobności, zachęcając zgromadzonych do kształcenia ciągłego siebie a następnie dopiero innych. Jako wizytator właśnie uczestniczy 20. października 1803 r., a więc w miesiąc zaledwie po ułożeniu projektu, streszczonego poniżej — w zjeździe duchowieństwa, odbywającym się w Łucku z racyi założenia tamże akademii, mającej kształcić kler rzymsko-katolicki. „Wy Duchowni — woła — celnieysze w roznoszeniu światła trzymać winniście mieysce. Wasza ręka opóźni lub posunie oświecenie. Sami siebie doskonaląc, gotuycie innym wydoskonalenie!“ . . . „Sami w jednej ucząc się szkole okażcie, iak iedna nauka daie pomoc drugiey, iak uczenie szkół i szkółek parafialnych, i do nich sposobienie się iest celnieyszą przed Niebem, Bogiem i ludźmi zasługą.“ Kończy zaś wezwaniem, by „zacni duchowni“ zechcieli dobrze rozważyć i zrozumieć słowa jego. „Miłość kraiu, przywiązanie do wspólnych prawideł religii“ — otworzyły mu usta. „Stanę ia, staniecie i wy przed sądem późniey żyiących. Ja co ostrzegam, proszę i wzywam;

wy co udzielić możecie wsparcia, lub ie usunąć zupełną macie wolność!" [1])

Że powyższe wezwanie Czackiego nie było głosem wołającego na puszczy, poświadcza on sam w przemówieniu, wypowiedzianem po upływie lat ośmiu, w Kijowie. „Od początku XVIII. w. w Rossyi, cierpiąca ludzkość i nauki nie otrzymały tyle pomocy, ile w ciągu kilku lat wdzięczna Oyczyzna liczy darów." Obok gimnazyum krzemienieckiego, rozwijającego się świetnie — „ledwie iest iaka szkoła powiatowa, któreyby Obywatelska gorliwość nie uposażyła, a 179. szkół parafialnych dobrze opatrzonych, składa świadectwo o naszych ziomkach." Cała kijowska gubernia ogólną zrobiła ofiarę, by jeno mieć w stolicy swej prowincyi gimnazyum, a niebawem i szkoły w Machnówce i Radomyślu oddane do użytku młodzi okolicznej zostaną [2]).

Powiedzieliśmy już dawniej, że Tadeusz Czacki wezwał do pomocy w wielkiej wagi dziele — jakiem było bezsprzecznie urządzenie gimnazyum wołyńskiego — reformatora krakowskiej akademii, ks. Hugona Kołłątaja, który — spędziwszy w więzieniach austryackich całych lat dziewięć, uwolniony, za wdaniem się w tę sprawę Aleksandra I., natchnionego przez ks. Adama Czartoryskiego, swego ministra i doradcę — rozlokowuje się na wsi, o milę od Krzemieńca oddalonej, gdzie „dręczony bolami artrytycznemi aż do początku roku 1807, w towarzystwie choroby i ubóstwa przesiedział" [3]).

Nie mamy zamiaru kreślić na tem miejscu, choćby nawet pobieżnej, biografii ks. Hugona. Zanadto wiele zajęłaby ona i czasu i miejsca, trudno jednak powstrzymać się od uczynienia kilku uwag. Różni różnie scharakteryzowali oryginalną tę i niezwyczajną postać. Bez względu na to, czy komu wyda się ona więcej lub mniej sympatyczną, o niepośledniem encyklopedycznem wykształceniu, jak również o nieostatniej miary zasługach opiekuna i jednego z twórców gimnazyum krzemienieckiego nie ma dwóch sądów, dwóch opinii. — Zdaniem p. Tadeusza Korzona [4]), był Kołłątaj człowiekiem umysłu bystrego, wykształcenia wysokiego, posiadał przytem bie-

[1]) *Mowa JW. Tad. Czackiego... miana na zjeździe Duchow. Łuck. Obrządku Łacińskiego 20. X. 1803 r. w Łucku.* — Przedruk jej umieściła *Biesiada Krzemieniecka.* Paryż 1858, str. 27—48.

[2]) *Mowa JW. Tad. Czackiego... dn. 30. I. 1812 r. w Kijowie miana.* W druk. gimn. woł. w Krzemieńcu.

[3]) Jan Śniadecki: Pisma rozmaite. I. 107—108.

[4]) *Wewn. dzieje Polski* I. 95.

głość w sprawach i naukach państwowych; Łętowski[1]) twierdzi znowu — a zaliczać go do zaślepionych nie mamy prawa — że „z mężem tym umarło wiele szlachetnych pomysłów i zdolność niepospolita“; Śniadecki wreszcie zostawił wyczerpującą biografię ks. Hugona, ręką przyjaciela skreśloną. Karty następne niniejszej pracy dostarczą niejednego szczegółu do uzupełnienia charakterystyki tej postaci. za Śniadeckim powtarzamy więc jedynie kilka najciekawszych jej rysów: „Był Kołłątay wzrostu nadobnego, ale nie przerosłego, twarzy białey okrągłey, czoła wysokiego, nosa równego u wierzchu i okrągławego, oczu i włosów czarnych, brwi dobrze okrytych: postaci z weyrzenia ponurey, ale przystoyney i szykowney: w mowie łagodny, poważny, płynnie i przyiemnie się tłumaczący. Umysłu zawsze przytomnego i rzadko się mieszaiącego. Charakteru żywego, śmiałego, więcey skrytego iak otwartego. W mocnych poruszeniach umiał się miarkować; tkliwy na cierpienia ludzi, nie miał w sobie ani zawziętości ani zemsty. W przywiązaniu giętki aż do słabości: w przyiażni nadto łatwy, stateczny, ale nieszczęśliwy. Sam obyczaiów prostych i czystych, zawsze baczny na przystoyność, był na słabości ludzkie wyrozumiały, dla swych sług i domowników słodki i przychylny. W wydatkach domowych hoyny, lubiący życie wystawne i wygodne, ale umieiący spokoynie znosić niedostatek. W zamysłach i przedsięwzięciach śmiały aż do zuchwałości; stały i wytrzymały aż do uporu; żadne przeszkody i zawady nie zdawały mu się do pokonania trudne, bo w żyzney głowie znaydował zaraz rozliczne środki do uniknienia ich, albo do zwyciężenia; i dla tego, gdy raz plan robót ułożył i popierać zaczął, wszystkie zarzuty i trudności były tylko popisem dla iego głowy, ale nie osłabieniem przedsięwzięcia. Przy bystrem poięciu, przy dziwney łatwości w robieniu i pisaniu, pracowitość wielka i niezmordowana. W przeciwnościach cierpliwość i wytrzymałość prawie stoiczna. Naukę i każdy w ludziach talent kochał, uymował i poważał.... Lubił się radzić i pytać, pisma swoie wprzód przyiaciołom rzeczy świadomym czytać, nim ie ogłosił; każdą słuszną poprawę chętnie przyymował. W prawie kościelnem i w dzieiach kraiowych wiadomości miał rozległe i gruntowne. Piękne sztuki, osobliwie budownictwo i malarstwo, lubił aż do zapału: artystom wiele pomagał i świadczył“ ...[2])

---

[1]) *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich*, III. 136—151.

[2]) Jan Sniadecki, jak wyżej. I. 117—121.

Tyle trzeźwy i pedantyczny matematyk, Jan Śniadecki. Choćbyśmy nawet z owych pochwał poważny procent odjąć zapragnęli, pozostanie zawsze jeszcze dosyć zalet, górujących nad ujemnemi stronami charakteru nieszczęśliwego referendarza litewskiego. Zupełnie racyonalnie woła rektor wileńskiego uniwersytetu: „Mąż tych przymiotów i darów mógł szczęśliwie dowodzić i okryć się chwałą na spokoynem polu nauki i rozmyślania!“ ... ale trafił on na czasy gorączkowe, nie nadające się do cichej pracy wśród czterech ścian, rewolucya i jego porwała w swe szpony [1])...

Z takim to człowiekiem zabrał się pan starosta nowogrodzki do wspólnej pracy. Obaj wiedzieli dobrze, że jeden uniwersytet wileński dla tak wielkich obszarów wystarczającym być nie może, na poufnej konferencyi więc, odbytej w Krzemieńcu d. 7. września 1803 r. [2]), wyłuszczył Czacki Kołłątajowi swoje myśli i plany, ten zaś zobowiązał się według nich ułożyć projekt nauk w gimnazyum krzemienieckiem. Miasto to z góry uznanem zostało za najodpowiedniejsze do założenia wyższego zakładu wychowawczego [3]).

Krzemieniec, położony nieledwie w samem centrum gubernii, „wolny od nacisku dykasteryów wykonawczych i trybunału“, łatwo mógł być nawet oswobodzony od wojskowego garnizonu. Mieszkańcy, w znacznej części chrześcianie, z braku zaś urzędów i lokale — dla uczniów odpowiedne, i wszelkie artykuły spożywcze dostać można za niezbyt wygórowane ceny. Położenie miasta górzyste, powietrze zdrowe, materyału budulcowego nie braknie a i gmachy, dla umieszczenia szkoły konieczne, znajdą się gotowe, wypa-

---

[1]) Pisownia nazwiska reformatora krakowskiej akademii nie jest ustaloną. F. Kojsiewicz — wydawca jego dzieł — pisze wszędzie „Kołłątaj“: toż samo czynią Śniadecki i ks. Łętowski, zdawać więc by się mogło, że tak a nie inaczej pisać je należy. Tymczasem p. Tadeusz Korzon każe nam nazywać ks. Hugona — „Kołłontajem“, w czem poszedł widocznie za Niesieckim. (V. 160—162).

[2]) *Hugona Kołłątaja Korespondencya* i t. d. I. 117. i nast.

[3]) *Muz. Czart. Rękop.* Nr. 3442. T. II. *[Szkoły krzem.* 1803—1808]. Ciekawy rękop., p. t. Uwagi, Postrzeżenia, Zdania rzemieślników mieyscowych względem maiącey się rozpocząć Fabryki Gimnazium krzemienieck. — spisane ręką Tylkowskiego. Ogólnikowo opinia da się streścić w §. I. „Położenie Krzemieńca co do Budowli i do niey materyałów dogodnych; szczęśliwym nazwać się może. Rzadkie iest miasto; żeby mu w tym punkcie wyrównać mogło. Jeżeli Krzemieniec cierpi niewygodę pomieszkań; tę złemu gustowi i małemu przemysłowi winien.“ (Nr. 166).

dnie w nich jeno pewne poczynić zmiany i ulepszenia. Kościół pojezuicki zostałby gimnazyalnym [1]).

Wobec tylu tak poważnych danych przyzna każdy, że lekceważyć ich nie należało i twórcy projektu więc ani chwili nie zawahali się w wyborze miejsca. A projekt ten zakreślonym został w obszernych nader ramach [2]). W zakres wykładów wejść miały: języki klasyczne i nowożytne, literatura, historya i geografia, prawo, matematyka, fizyka, mechanika praktyczna, historya naturalna, botanika, chemia; dodatkowo nadto utworzyć pragnął Czacki kursa ogrodnictwa, rolnictwa, felczerów, weterynarzy, nauczycieli elementarnych i wreszcie szkołę guwernantek [3]).

Wszystko to bezsprzecznie bardzo piękne, ale jakże znacznych wymagało funduszów, a rząd — obdarzywszy uniwersytet wileński dosyć hojnie — dla gimnazyów stosunkowo skromne wyznaczył kwoty, a już bezwarunkowo niewystarczające — jeżeli nauki w nich na tak dalekie zakreślić zapragniemy horyzonty.

Czacki wiedział o tem wszystkiem bardzo dobrze, ufał jednak widocznie i w swoje siły i energią. Kołłątaj układał w wiejskiem zaciszu projekt, on tymczasem nad gromadzeniem koniecznych funduszów pracował [4]). Ksiądz Hugo, donosząc Janowi Śniadeckiemu o kweście starosty nowogrodzkiego na rzecz szkół trzech gubernii, wyraża się, że ma on „osobliwy talent wmówić we wszystkich tego gatunku dobrowolną składkę i nawet zapisy wieczyste na ufundowanie dochodu nowych katedr.“ Z kolei dodaje, że — zdaniem Czackiego — miejsce przeznaczone dla Czecha — jak również dla innych akademików — będą dożywotnie, co miało owych uczonych zachęcić do szukania bezpiecznego i pewnego kawałka chleba na

---

[1]) *Koresp.* I. 244—245.

[2]) *Rękop. Muz. X. Czart.* Nr. 3773. (Autografy Tadeusza Czackiego).

[3]) Założenie szkoły guwernantek nie mogło nastąpić zbyt rychło. Sam Czacki wiedział to dobrze, zachęcił więc panią Rosinkiewiczową do utworzenia pensyonatu, pod dozorem gimnazyum zostającego. Ceny miały być umiarkowane, a wpłynąć na ich obniżenie mogły pewne przywileje. Wizytator prosi zatem zarząd uniwersytetu wil., by ten zechciał uwolnić panią R. od płacenia „procentów ustanowionych od pensyonerów“. W odpowiedzi, podpisancj 23. VIII. 1811 r. przez Śniadeckiego, żąda uniwersytet dokładnej wiadomości o liczbie pensyonarek i profesorów, o rozkładzie nauk i wreszcie o wysokości pobieranych opłat. Jak sprawa załatwioną została? powiedzieć nie potrafimy. *[Ręk. Muz. Czart. Nr. 3443]*.

[4]) K. Kaczkowski: Wspomn. I. 9—15.

dawnych kresach polskich [1]). W liście znowu do Hieronima Strojnowskiego adresowanym (7. IX. 1803 r.) [2]), twierdzi stanowczo, że utworzenie posady prefekta „najduje być rzeczą nieodbicie potrzebną". Bez podobnego urzędnika, dozorującego dyrektorów domowych i uczniów, cała edukacya — czyli raczej moralna jej strona — szwankować bezustannie będzie. Dyrektor szkoły sam, ani temu nie podoła, ani podobnej pracy — obok tylu innych zajęć — podjąć się nawet nie zechce.

Że Czackiemu kwesta szła pomyślnie, najlepiej przekonywują jego listy. W połowie września zawiadamia też swego kolegę, że powiat ostrogski — za przykładem krzemienieckiego — złożył na gimnazyum 1.200 złp., obowiązując się zarazem kwotę powyższą rokrocznie na cel ten przeznaczać; ks. Janusz Sanguszko — prócz wsparcia udzielonego szkole powiatowej — zapisuje na gimnazyum 2000 złp.; Ksawery Malczewski, w którego gościnnym dworze starosta niejednokrotnie przemieszkiwał, na wołyńskie i podolskie po 1000 Złp.; opat Dermański 5000 złp. — Wobec podobnego obrotu sprawy można śmiało i Czechowi przyznać wymaganą przezeń pensyę roczną 1000 rsb. wynoszącą. „Całej fundacyi kładnę warunek mienia Czecha, bo od rządcy wszystko zależy" [3])... pisał Czacki i starań wszelkich dokładał, by pragnienie to urzeczywistnionem zostało.

Rzeczywiście obywatelstwo odczuć musiało pożytek, jaki podniesienie oświaty przynieść powinno w rezultacie; zapał rósł bezustannie, Illiński 40.000 na cele dobra publicznego przeznacza [4]), fundusz gimnazyalny także zwiększał się niemal z dniem każdym, starosta z radości zacierał ręce i dalej prosił, nalegał, wpisując na listę ofiarodawców corazto nowe nazwiska [5]).

---

[1]) *Koresp.* I. 223.
[2]) Ibid. I. 224.
[3]) Ibid. I. 233.
[4]) Ibid. I. 235; *Rękop. Bibl. Jag.* Nr. 3102. (koresp. Czackiego z Janem Śniadeckim).
[5]) *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3441. T. I. [*Szkoły* 1803—1806]. Rejestr ofiar obywatelskich od 9. II. 1805 do 30. X. 1805, wniesionych do kas. Gimn. Woł. (osób 30), wynosił 19.560 złot. — Senator Illiński postanawia corocznie wnosić do kasy Gimn. 1000 złot. Na odpowiednim dokumencie, wystawionym 14. IV. 1806, podpisany w imieniu senatora Józef Staniszewski, pisarz ziemski łomżyński (nr. 78). Sumę 20.000 złot. przyjął na hypotekę szef Drzewiecki, obowiązując się wypłacać corocznie proc. szósty.

W ten sposób obaj ci opiekunowie przyszłej wołyńskiej szkoły niestrudzenie pracowali nad doprowadzeniem do skutku zakreślonego z góry, w poufnej rozmowie, w ogólnych zarysach planu. Wzajemna ich korespondencya, to nieprzebrane źródło, z którego dowoli czerpać można. Dnia 18. września projekt był już napisany, Czacki miał w nim jeno pewne uwagi ze swej strony poczynić [1]).

Krzemieniec — na mocy tegoż — tworzył centralne siedlisko wszystkich zakładów naukowych. Miał on posiadać: gimnazyum (zastępujące czasowo uniwersytet), instytut guwernantek, szkołę nauczycieli ludowych, mechaników i chirurgów (coś pośredniego między lekarzem a felczerem). Po miastach powiatowych: szkoły powiatowe, kurs ośmioletni, program nauczania zbliżony do obecnych gimnazyów. Po miastach mniejszych i wsiach: szkoły elementarne. W szkole krzemienieckiej nauka rozłożoną została na cztery jednoroczne klasy i trzy dwuletnie kursa. W początkowych czterech klasach zwracać miano głównie uwagę na kształcenie i rozwijanie pamięci, ku czemu służyć właśnie miała nauka języków łacińskiego i polskiego, wykładanych przez jednego profesora, podług gramatyki Kopczyńskiego, Pijara, którego dzieła zjednały autorowi uznanie u swoich i obcych. Jeszcze Stanisław August obdarzył go złotym medalem, po upływie zaś lat kilkudziesięciu podobnego rodzaju nagroda spotkała szanownego księdza i uczonego ze strony „wdzięcznych ziomków". Kopczyński — zdaniem Bartoszewicza [2]) — stanowi epokę w gramatyce, pierwszy to był pisarz postępowy, który wiele sprawił w swoim czasie, a w następnym pobudził do czynu przykładem swoim nowych badaczy. Od niego nauka języka już śmiało kroczy i coraz potężnieje.

Rozwijać również pamięć miało uczenie języków nowożytnych, jak: rossyjskiego, francuskiego i niemieckiego. Razem więc etat nauczycieli obejmował czterech osobników. Obok tego: arytmetyka, nauka moralna i geografia stanowiły rodzaj przedmiotów drugorzędnych.

Na każdy z języków przeznaczono — w każdej z czterech klas — po cztery godziny tygodniowo. Pozostałym trzem przedmiotom po jednej godzinie tygodniowo. Że przeładowywanie pamięci młodziutkich słuchaczy uczeniem aż pięciu języków od razu nie mogło wydać odpowiednich rezultatów, to pewna; zaznaczył to zresztą już sam Jan Śniadecki, w rzeczach wychowania publicznego

---

[1]) *Koresp.* I. 239, 296, 338 i następny szereg listów.
[2]) *Hist. lit. polsk.* — Warszawa 1861. I. 485.

biegły i doświadczony. Starosta jednak był przeciwnego zdania, a i dobrodzieje szkoły — ziemianie wołyńscy i podolscy, chętnie słyszeli synów swoich, mówiących kilku językami. Ilość godzin, przeznaczonych na naukę przedmiotów drugorzędnych, nadto skąpo została wydzieloną: widocznie sami autorowie projektu niekonsekwencyę tę spostrzegli, zaprowadzając już po otwarciu gimnazyum pewne pod tym względem zmiany.

Po ukończeniu z dobrym postępem początkowych czterech klas, przechodził uczeń na tak zwane kursa dwuletnie. Wykład był tutaj już czysto uniwersytecki, profesorowie nie trzymali się żadnych podręczników, uczniów przesłuchiwano jedynie podczas rocznych egzaminów.

Wykładało sześciu profesorów tyleż obowiązkowych przedmiotów, którymi były: matematyka elementarna z logiką, fizyka, chemia z historyą naturalną, historya powszechna z geografią, prawo i literatura.

Na każdy z wymienionych objectów przeznaczono, w ciągu dwu lat, po dziesięć godzin tygodniowo, dzieląc je w następujący sposób: dwulecie pierwsze — matematyka z logiką, historya z geografią; dwulecie drugie: prawo i fizyka; dwulecie trzecie: chemia, nauki przyrodnicze, literatura. By jednak nowo-przybywający z klas niższych uczniowie mogli z kursów korzystać, rozdzielono każdy przedmiot w ten sposób, że roczny wykład pewną zamkniętą stanowił całość. Prócz wyżej wymienionych istniały jeszcze przedmioty nadobowiązkowe, których słuchanie zostawiono do woli kursistów. Język grecki, mechanika i budownictwo praktyczne wypełniały, w ciągu dwóch lat, po dziesięć godzin tygodniowo; gramatyka powszechna (porównawcza) języków słowiańskich i bibliografia — w ciągu tego samego okresu — po pięć godzin tygodniowo. Na kurs I. (dwuletni) przeznaczono z nich: język grecki; na II.: mechanikę; na ostatni: gramatykę i bibliografią. Komu cały ten zasób wiedzy nie był jeszcze wystarczającym, ten zostawał na czwarte dwulecie, by słuchać wykładów wyższej matematyki i astronomii.

Reasumując wszystko, co się powiedziało wyżej, przyjdziemy do przekonania, że uczniów z klas niższych nie obciążano zbytnio naukami; wypełniały one im czas od 8—10. rano i od 2—4. po południu, prócz wtorków i czwartków, które z powodu rekreacyi poobiednich lekcyi nie miały. Na kursach obowiązkowych godzin było tyleż; doliczając jednak nadobowiązkowe, liczba ich dochodziła tygodniowo do trzydziestu.

Tyle co do gimnazyum wołyńskiego. Wiadomo atoli, że obok niego istnieć i działać miały w samym Krzemieńcu jeszcze innego

rodzaju naukowe zakłady. Zacznijmy z kolei od konwiktu dla kandydatów na nauczycieli szkół parafialnych, elementarnych, ludowych, czy jak tam je nazwać kto zapragnie. — Że lud oświecać wypadało — wiedzieli o tem projektodawcy aż nadto dobrze. Że kraj nie posiadał odpowiednio ku temu celowi ukwalifikowanych nauczycieli, że wreszcie nie można było liczyć na kandydatów do zajęcia tego rodzaju posad wśród zamożniejszych i w klasie uprzywilejowanej — i to im nie było obcem. Zaradzić podobnemu brakowi miał właśnie konwikt, gdzie przyjmowano na całkowite utrzymanie celujących w naukach a biednych uczniów szkółek parafialnych, po trzech z każdego powiatu, razem więc trzydziestu. Konwiktorzy przez przeciąg lat czterech uczęszczają do gimnazyum; że jednak znajomość języków niemieckiego i francuskiego byłaby dla nich na wsi zupełnie zbyteczną, zastąpiono naukę tychże ogrodownictwem, rolnictwem praktycznem i muzyką, czemu jedynie przyklasnąć można. Po ukończeniu czterech klas przechodzą przyszli nauczyciele na czteroletni kurs nauk wyższych, czyli dopełniających, gdzie im wykładane będą: matematyka elementarna, budownictwo i mechanika praktyczna, weterynarya, historya naturalna wraz z chemią i nakoniec prawo. Tutaj — zgadzając się, z pewnemi drobnemi zastrzeżeniami, na szeroki zakres wykształcenia nauczycieli elementarnych — ze zdziwieniem zapytać można: a gdzie pedagogika? [1]) Jest to jednak błąd usprawiedliwić się łatwo dający brakiem koniecznego doświadczenia. Praca pierwszych pionierów zwyczajnie ulega pewnym niedokładnościom, które ich następcy dopiero wyrównywać usiłują. Po ośmiu latach nauki bezpłatnej obowiązywała każdego z świeżo ukończonych wychowańców dziesięcioletnia służba nauczycielska w szkółkach elementarnych. Po tym upływie czasu zostawali oni szlachtą osobistą; po przesłużeniu w powyższym zawodzie nowych lat dziewięciu nadawano im szlachectwo dziedziczne. W ówczesnych stosunkach rzecz to pierwszorzędnego znaczenia, świadcząca zarazem, jak wysoce cenili autorowie projektu pracę nad duchowem podniesieniem ludu wiejskiego.

Trzecim zakładem projektowanym dla Krzemieńca miała być szkoła chirurgów, skromny zawiązek przyszłego całkowitego wydziału lekarskiego.

---

[1]) Merczyng, w rozprawce p. t. *Kołłątaja i Czackiego projekt urządz. Gimn. Wol.* Warszawa 1881 . . . zupełnie słusznie te same stawia pytanie.

Przebywszy cztery klasy początkowe w gimnazyum wołyńskiem, przechodzili następnie kandydaci na przyszłych eskulapów na kurs sześcioletni, gdzie słuchali wykładów: matematyki elementarnej i chemii (wspólnie z kursistami), anatomii, fizyologii, chirurgii i położnictwa, wreszcie wspólnie z przyszłymi nauczycielami ludowymi zgłębiali weterynaryę [1]).

Seminaryum panieńskie — czyli szkoła guwernantek — posiadać miało na razie cyfrę wakansów ograniczoną. Wypełniało je w pierwszym rzędzie 24. kandydatek (w wieku od 8—9 lat życia), zrodzonych z rodziców ubogich, poleconych przez marszałków szlachty, po dwie z każdego powiatu. Dwie poleca nadto od siebie wielka mistrzyni.

Jeżeli przed ukończeniem zupełnej nauki, jedna z konwiktorek zakład opuści, zajmuje jej miejsce inna, z tego samego powiatu przez marszałka polecona. Zanim zebrane fundusze pozwolą na przyjmowanie po trzy panienki z powiatu, wolno zapisać na listę 10. dodatkowych elewek, za które osoby prywatne oznaczone koszta pokrywać zechcą. Gdy na razie pozyskanie dobrej guwernantki jest na Wołyniu wielce utrudnionem, dozwala się wielkiej mistrzyni „zaprowadzić konwikt, czyli pensyonat, dla 30. córek obywatelskich.“ Będą one miały stół wspólny z pannami funduszowemi, „wspólne powinności ninieyszemi ustawami obięte, wyiąwszy, iż będą miały osobne Appartamenta wraz z dodanemi im guwernantkami, i że do prac i posługi domowey używane nie będą: chybaby tego wyraźnie Rodzice żądali.“

Pensyonat zostaje pod protektoratem cesarzowej, jak się rzecz ma i dzisiaj z gimnazyami żeńskiemi w Rossyi. Urząd honorowy wielkiej mistrzyni pełni z wyboru jedna z okolicznych wybitniejszych obywatelek, która — z dodaną sobie przyboczną radą — zarządza zakładem podług przepisanych ustaw. Dozoruje panny w seminaryum płatna vice-mistrzyni, do pomocy mieć będzie pięć guwernantek; kapelan wspólny z gimnazyum, które również — jak i wizytator szkół — pewną władzę zwierzchniczą nad seminaryum sprawować powinno. Vice-mistrzyni pobiera rocznie 750. rsb., sekretarka — 100; dyrektor gimnazyum — jako należący do rady przybocznej — 200; prefekt i dwaj profesorowie gimnazyalni —

---

[1]) Czytaj obszerniej: *Urządzenie Gimn. Wołyńsk. w Mieście Jego Imper. Mci. Krzemieńcu wszystkich innych przy tem Gimnaz. ustanowień.* Projekt podany do rozwagi a potem do naywyższego potwierdzenia od Wizytatora ... Tad. Czackiego. (Nr. 44). [*Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3441. T. I. *(Szkoły krzem.* 1803—1806)].

z tej samej racyi — po 100; pięć guwernantek — uczących zarazem robót kobiecych — po 300 rsb.; nauczyciele: polskiego, włoskiego, francuskiego i niemieckiego — po tyleż; nauczyciel historyi naturalnej i chemii — 200; fizyki, logiki (historyi rzemiosł i kunsztów), prawa, anatomii i chirurgii po 100 rsb. Przedostatni jest zarazem lekarzem, ostatni chirurgiem seminaryjskim. Metrowie rysunków i muzyki (dwóch) po 350; metr kaligrafii — 50; oporządzenie 30. panien funduszowych 1.500 rsb.; wikt panien funduszowych i ośmiu urzędniczek 1.520 rsb.; całkowity więc koszt utrzymania konwiktu guwernantek wynosił według powyższego projektu 13.240 rsb. rocznie [1]).

Tak się przedstawiała strona finansowo-gospodarska; poznać jednak konieczna i naukową, czyli raczej pedagogiczną. Kurs nauk trwa całych lat sześć; cztery pierwsze wypełnią: język polski, niemiecki, francuski i włoski, nauka moralna, arytmetyka, historya z geografią, formowanie charakteru (kaligrafia), muzyka i spiew, roboty ręczne, jak: przędzenie, szycie, sposób robienia na drutach i warsztacikach. Ostatnie dwa lata: fizyka, logika, chemia, botanika, ogrodownictwo praktyczne, prawo, rysunki, hafty. I znowu nasuwa się uwaga, że i ta część projektu grzeszy brakiem doświadczenia. Na kurs sześcioletni przedmiotów nieledwie dwadzieścia to trochę za wiele, następstwem czego zbytnie przeciążenie elewek. I tutaj zresztą — rzecz dziwna — braknie nauki pedagogiki, ale jest w zamian za to... prawo [2]).

W ten sposób poznaliśmy treść projektu w ogólnych zarysach. Mimo pewnych wad znaleźć w nim nietrudno i strony dodatnie znaczenia pierwszorzędnego; uprzytomnić jeno sobie potrzeba epokę powstania tegoż. W podobnem brzmieniu wyjść projekt mógł z głowy prawdziwego obywatela, jakim był Czacki, a z pod pióra uczonego — nieobcego nowatorskim zachciankom — jakim był ksiądz Hugo Kołłątaj.

Nie od rzeczy będzie w tem miejscu streścić — o ile się da najzwięźlej — broszurkę [3]), wydaną równocześnie prawie z proje-

[1]) *Projekt urządzenia Seminaryum guwernantek. [Rękopis współcz.* arkuszy 9.]; *Korespondencya* I, 391, II. 140 zwiększa ostateczną sumę o 150 rsb.

[2]) *Korespondencya* II. 1—206; Merczyng j. w.; Kaczkowski: *Wspomnienia;* G. Olizar: *Pamiętniki* i t. d.

[3]) *O gimnaz. w Wol. gub. i innych dla obojej płci ustanowieniach uczynione przedstawienie przez Tad. Czackiego... wizytatora r. 1803 w grudniu.*

ktem. Autorem jej starosta nowogrodzki; zawartość tworzy jak gdyby dopełnienie powyższego planu urządzeń krzemienieckich: Ukaz z dnia 18. maja 1803 r., w rozdziale IV. — mówiąc o gimnazyach, powiatowych i parafialnych szkołach — takie, co do gimnazyów w §. 38. przepisał warunki: *a)* przynajmniej 6. klas; *b)* tyluż starszych profesorów; *c)* czterech młodszych. — Pierwsze dwie klasy uważane będą za szkołę powiatową; cztery wyższe za właściwe gimnazyum. Zakres nauki, z racyi obawy braku kapitałów, bardzo ograniczony, ależ ofiarność publiczna złemu zaradzić potrafi. W ukazie z 24. stycznia 1803 r. ogłoszonym został podział na okręgi; w każdym okręgu jedna szkoła główna dostarcza nauczycieli wszystkim innym, pełniąc zarazem zwierzchnią nad niemi władzę. Jeden uniwersytet na cały n. p. okręg wileński za mało; rząd pragnąc więc złemu zaradzić, otwiera obok szkół powiatowych gimnazya, zapełnione wysłańcami uniwersytetu, przez co następuje niezbędne ujednostajnienie metody nauczania. Gimnazya te udzielają nauk przeciętnemu człowiekowi dostatecznych, a to prowadzi do wniosku, aby w nich wykładano wszystkie umiejętności, konieczne do dobrego oświecenia wszystkich warstw społecznych; a więc: języki tak starożytne, jak i nowożytne, matematykę, historyę z geografią, nauki przyrodnicze. Po ukończeniu, w sposób powyższy urządzonego, gimnazyum, należałoby się jeszcze specyalnie w pewnych kierunkach wykształcić. Wszak bez kwestyi potrzeba bardzo, w każdej niemal miejscowości, dobrego mechanika i ogrodnika, wprawnej akuszerki, biegłego chirurga, weterynarza, trudno zaś wszystkich wysyłać do — kryjącego się daleko za górami i lasami — Wilna, więc wniosek prosty: należy urządzić szkoły odpowiednie gdzieś bliżej, n. p. w Krzemieńcu. Ale zkąd na to weźmiemy fundusze? rząd przeznacza na każde gimnazyum zaledwie 5.700 rsb., podczas gdy rozszerzony zakres nauk wymagałby przeszło 28.000 rsb. rocznie [1]). Powstałe braki mają pokrywać ziemianie, do których serca i kasy starosta umiał pukać. Marszałek gubernialny, Stanisław hr. Worcell, wezwał obywateli, przemówił do nich a następstwem tego było postanowienie: utrzymać gimnazyum projektowane przez Czackiego.

Niedobory wyrówna ofiara powszechna i ofiary szczególne. W czasach dawniejszych ustanowiono pewien podatek, opłacany w stosunku do liczby posiadanych dusz, na utrzymanie poczty i „Etatu Cywilnego“. Dochód roczny przewyższał rozchody, Worcell

---

[1]) *W rękop. Muz. Czart.* Nr. 3441. T. I. (jak wyż.) podany koszt rocznego utrzymania, w wysokości 15.200 rubli.

więc — w porozumieniu z marszałkami powiatowymi — umyślił odpowiednie zmniejszenie stopy podatkowej. Skoro to doszło do wiadomości Czackiego, począł zaraz agitować, by nadwyżkę powyższą przeznaczono na zakład guwernantek. Rzecz naturalna, że przychylne przyjęcie swego projektu pan starosta uzyskać potrafił — i to stanowiło właśnie tak zwaną przez niego ofiarę powszechną. — Ofiary szczególne zapisuje każdy z marszałków powiatowych w specyalnie ku temu celowi przeznaczonej książce. Charakterystycznym jest warunek, dodawany prawie przy każdym zapisie na rzecz powszechnego oświecenia: gdyby kiedykolwiek rząd zapragnął statut gimnazyum wołyńskiego zmienić — wtedy każdy do ofiarowanej przez siebie teraz własności powraca.

Czy, i o ile myśl autorów projektu znalazła w następstwie urzeczywistnienie? czy dziecię przez nich wypiastowane w istocie z pożytkiem dla ogółu pracowało? pytanie to i ważne i poważne w całem znaczeniu słowa. Że prócz gimnazyum — przekształconego z biegiem lat na liceum — prócz szkoły geometrów i mechaników, inne projektowane zakłady nie powstały [1]) — rzecz pewna. Wypadki dziejowe i śmierć Czackiego stanęły temu na przeszkodzie, jedno więc liceum cel swój spełniało, a Krzemieniec — przez przeciąg ćwierć wieku — był środowiskiem życia umysłowego i towarzyskiego Podola, Wołynia i Ukrainy; ba — nawet i dzisiaj — choć szkoła Czackiego dawno istnieć przestała, najwięksi nawet ignoranci cośkolwiek wiedzą o Krzemieńcu, a to jedynie dzięki popularności, jaką ona właśnie się cieszyła [2]).

---

[1]) O projektowanej szkole lekarskiej mówimy w innem miejscu; tutaj zaznaczymy jeszcze, że starosta zamyślał również o założeniu w Krzemieńcu szkoły konowalskiej. [*Rękop. Bibl. Jag.* Nr. 3102. List z miesiąca marca 1808 r.].

[2]) Na tem miejscu notujemy, że prof. Majchrowicz w pracy swojej (j. w.) omawia stronę pedagogiczną urządzeń Czackiego, którą my nie chcąc powtarzać w całej rozciągłości uwag naszego poprzednika — pomijamy, ogólnikowo tylko o nich wzmiankując. Starosta znał dobrze „omyłki i opuszczenia" kom. eduk., „dokładnie je rozważył z H. Koł. w częstych z nim rozmowach i listach, założył sobie przy układaniu ustaw dla gimnazyum woł., nie zbaczając z drogi przez komis. wytyczonej poprawić i usunąć pomyłki, które czas odkrył w układzie komisyi eduk. a przytem wprowadzić nowe ustanowienia, »które się okazały niezbicie potrzebne do instrukcyi publicznej«." Że i powstały w ten sposób projekt nie był wolnym od błędów — to pewna, ale winić o to niedoświadczonego w tym kierunku Czackiego nie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MICHAŁ ROLLE.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

(Ciąg dalszy).

Część II.

II. Ustrój społeczeństwa.

1. Gmina i jej charakter.

Przedewszystkiem nasuwają się pytania: czem była i jaką była gmina na Rusi w okresie badanym? [1]) Pragnąc zapoznać się z ustrojem społeczeństwa, od zapoznania się z gminą zacząć należy.

[1]) Przed pięćdziesięciu laty był to ulubiony temat, na który wypowiedziano wiele i bardzo śmiałych domysłów. Nie mam zamiaru badania historycznego przebiegu kształtowania się u różnych pisarzy pojęcia gminy; nie będę zajmował się porównywaniem gminy polskiej lub ruskiej z niemiecką, z którą chyba tyle ma wspólnego, ile zaczątkowe organizmy państwowe u wszystkich narodów, — pragnę tylko nie na podstawie cudzych sądów, lecz niezaprzeczonych i niewątpliwych materyałów i źródeł własny sąd sformułować. Taki punkt wyjścia zająłem w ogóle w pracy niniejszej. Wspomnę tylko, że Lelewel mówi (*Polska wiek. śred.* II., 278; Bolesł. Śm. upadek; sprawa ludu), iż gmina była zebraniem ludzi ku umieniu, ku radzeniu, — stąd jej nazwisko wyprowadza. W. Maciejowski (*Hist. praw słow.* I., 387) myśli, że połączenie dwóch imienitych plemion, mających imię z imienia czyli dostatków, tworzyło związek znany pod nazwą gminy. Są to nietyle hipotezy, ile fantazye historyczne. O reszcie nie mówimy. Szczególniejszem zamiłowaniem do idealizowania gminy odznaczali się pisarze rosyjscy: Leszkow, Bieliajew i w. in.

Wyraz „gmina" nieznany zupełnie na Rusi; ponieważ jednak zawiera pojęcie pewnej wspólności, pewnego związku, odpowiada przeto pojęciu gminy ruskiej, innemi tylko wyrazami nazywanej. Skutkiem tego wewnętrznego pokrewieństwa dwóch pojęć, na oznaczenie których mamy kilka wyrazów, będziemy z konieczności posługiwać się wyrazem gmina, w znaczeniu zbiorowem.

Na oznaczenie pojęcia gminy na Rusi, *Ruska Prawda* używa wyrazów: mir, ludie, sieło, torg, gorod i wierw. Jedne z tych wyrazów używane są w znaczeniu części związku (mir, ludie), inne w znaczeniu siedziby pewnej grupy ludzi (sieło, gorod), niektóre oznaczają miejsca, gdzie się odbywają pewne funkcye obywatelskie lub sądowe (torg), inne zaś zawierają pojęcie pewnej autonomicznej jednostki państwowej (wierw'). Ta ostatnia nazwa, jako wierw', odpowiada najściślej naszemu pojęciu gminy.

Najprzód zastanowimy się nad określeniem samego wyrazu wierw; co on określa, skąd pochodzi?

Leksykologiczne pochodzenie tego wyrazu nie ulega żadnej wątpliwości: źródłosłowem jego jest starosłowiański wyraz wierw (= sznur), który, połączony z pojęciem do pewnego obszaru przywiązanem, oznacza ziemię wymierną, dającą się wymierzyć, objętą mniej lub więcej określonemi granicami. Co zaś do pochodzenia rzeczowego, pojęcie to prawdopodobnie przeniesione zostało z zachodu i ustaliło się dopiero około XI. i XII. w., w którym to okresie dokonywało się stanowcze przejście społeczeństwa z ustroju rodowego do gminnego, pospólnego i potrzebny był nowy wyraz na określenie nowego po-

Na tem miejscu wspomnieć wypada, że hipoteza niektórych historyków najnowszej szkoły o samorodności, że tak powiem, państwowej Rusi nie jest bynajmniej w nauce kwestyą nową, chociaż wiąże się z idealizowaniem ustroju gminnego. Początek temu dał nasz Zoryan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki). „Zapędzony zbytnio w szperaniach swoich — pisze o nim Starczewskij — (*Bibl. dla cztienija* 1852 r. cytowana u Dominika Chodźki: *Wzmianka o życiu i pismach Ad. Czarnockiego*, Teka Wileń. Nr. 2, 28, 277) — w wielu plemionach czudzkich widział prawie wyraźnych Słowian, czego nowsza historyczna krytyka nie przyjmuje i już raz na zawsze odrzuciła. Wiele też rzeczy chciał koniecznie wyjaśnić za pomocą samych tylko źródeł słowiańskich, co niezupełnie bywało sprawiedliwem. Mięszał nareszcie razem ze Słowianami Russów (skandynawskich) i nie chciał rozróżnić tych dwóch wcale oddzielnych plemion, przez co grube nieraz popełniał błędy."

Za nim poszedł M. Maksimowicz i w rozprawie: *Odkuda idiot russkaja ziemlia?* (Kijów 1837), bronił tezy słowiańskiego pochodzenia Warego-russów *contra* hipotezie normańskiej.

rządku rzeczy [1]). Czy były podobne lub identyczne wyrazy na zachodzie, — nad tem zastanawiać się nie będziemy [2]). Bierzemy ustrój, istniejący w okresie badanym przez nas, i z takim zapoznać się chcemy [3]).

Gmina była miejską i wiejską; siedzibą pierwszej był horod, drugiej — wierw w ściślejszem określeniu, w szerszem — ziemla. Obydwa typy gmin bardzo różniły się między sobą nie pod względem zasadniczym, lecz, jakbyśmy dziś powiedzieli, prawnym: szerokością autonomii i charakterem sądownictwa. Z cechami powyższemi zapoznamy się później. Większe skupienia ludności znajdujemy tylko w miastach, których do przyjścia Warego-russów było bardzo mało i to z początku tworzyły one przeważnie ogniska handlu, później dopiero stawały się punktami obronnymi, miejscem siedziby kniaziów, posadników, tysiackich, „kniażych mużów“, a więc nietylko

---

[1]) Wierw = sznur, jako miara ziemi w XVI. w. była ściślej określoną. „Toje ziemli na tri doli dostanetsia dwadcat' tri wierowki“, „na diesiat' wierwiej siejat' desiat' pudów żyta“ (*Juridicz. akty* Nr. 23 r. 1571). Ściślejsze określenie znajdujemy dziś jeszcze w gub. Nowogrodzkiej i Riazańskiej, gdzie wierw, jako miara długości równą była 10—12 sąż. Oprócz tego używane są: tyczyna = 3 sąż. dł., łopot' czyli stupień = piędzi, stopie (*Sbornik materj. dla izucz. russ. poziem. obszcziny*, t. I., str. 163, 271, rok 1880). Czytaj o tem u Leszkowa (*Istoria obszcz. prawa*, 109).

[2]) Niemieckie wyrazy: Seil, Tau, Reif, Reeb; łacińskie: funicula spotykamy na całym zachodzie. Czytaj Maurera (*Einleitung* etc. str. 135), Haxthausena (*Studien üb. inn. Zust. Russland's* I. 124; III., 125 i n.).

[3]) Hruszewskij (*Oczerk istorii Kijew. ziemli*, str. 309) przedstawia ją, jako bierny polityczny organizm — tak bierny, że mimowoli nasuwa się pytanie: po cóż ona istniała? Gmina — powiada autor — nie posiadała wyłącznych, jej tylko właściwych czynności, — ona była poprostu instytucyą kontrolującą. Czynność administracyjna i państwowa znajdowała się w ręku księcia; gmina wtedy dopiero wtrącała się do nich, jeżeli działalność księcia wręcz była przeciwną jej życzeniom, a książę w jakimkolwiek kierunku nie był dla niej dogodnym. Więc miała służyć korekturą niejako rządów książęcych. Gmina mogła się wtrącać w każdą dziedzinę władzy książęcej, lecz zaspokoiwszy żądania swoje na tej lub innej drodze, znowu oddawała władzę księciu, nie wnosząc żadnych ważnych zmian do rządu.

Trudno się na taką bierność, graniczącą z niedołęstwem, zrywającem się od czasu do czasu do akcyi, zgodzić. W każdym razie to, co mówi Hruszewskij, ściągać się może tylko do gminy miejskiej, gdzie śladów politycznej władzy dopatrzyć się można. Gmina wiejska nic z księciem wspólnego nie miała, tak samo, jak jej interesy materyalne długo nie godziły się z interesami kniazia i drużyny.

już skupiały w sobie handel, ale stawały się równocześnie centrami administracyjnemi. Za gminę pierwotną należy uznać wiejską, która z konieczności z istniejących warunków życia wytworzyła sobie pewien samorząd i przyniosła zasady jego do miast, gdzie pod wpływem odmiennych prądów życia publicznego i okoliczności ukształtowała się odmiennie nieco i szerzej (wiec). Mówiąc o gminie wiejskiej, nie da się ona wyobrazić jako osada w teraźniejszem pojęciu — wieś [1]) — skupiona w jednem miejscu; „sieło" z XI. i XII. wieku było raczej podobniejszem do rozrzuconych na pewnej przestrzeni osad rolnych. Jest to rzeczą zupełnie naturalną: rodowe władanie, jakie Warego-russowie zastali na Rusi, nie mogło się przetworzyć od razu na gminne, inaczej zaś osiadają rody, inaczej gminy. Każdy ród, jak wiadomo, siedział osobno i dopiero rozrastając się i budując się w sąsiedztwie z powodu pokrewieństwa, wytwarzał większe skupienia, zbliżone charakterem osadnictwa do dzisiejszych. Rodowe osiedlanie się na roli z konieczności przeto musiało być jednodworcowem (dworzyszczowem) i takiem długo bardzo, bo do XVI., XVII. a nawet XVIII. w. przechowało się w zakątkach lesistych Rzptej. W okolicach polistych, gdzie skupienie służyć miało w celu obrony, osadnictwo przybierało charakter wspólnego siedlenia się, jaki pozostał w formie wsi dzisiejszej. Ustrój przeto wiejskiej gminy i charakter osadnictwa był wynikiem rozwoju i przekształcenia się formy władania rodowego, nie wynikał zaś „z dostatku ziemi", jak utrzymuje W. A. Maciejowski, bo w owe czasy ziemi niezajętej pod uprawę było tak wiele, że nikt jej, przynajmniej na Rusi, w rachubę nie brał [2]). Najlepszym dowodem chyba służy to, że granic ziemi, nawet w takim razie, gdy ona była w posiadaniu indywidualnem, a więc należała do kniazia, bojarów lub monasterów w przestworze wieków XI. i XII., nie określano wcale. *Prawda Ruska* raz tylko mówi o miedzy rolnej, lecz ma tu na myśli nie granice terytoryalne, lecz granice ziemi ornej, t. j. posiadającej już, skutkiem włożenia w nią pewnej sumy pracy, większą wartość i charakter indywidualnego posiadania.

Jaką była co do wielkości zaludnienia i obszaru gmina, wierw? Nie posiadamy, ażeby odpowiedzieć na to pytanie, żadnych danych. Biorąc jednak na uwagę, że gmina XI. i XII. w. była pewnego rodzaju całością państwową, jednostką nieraz istniejącą tuż obok jednostki państwowej, a więc musiała poniekąd wystarczać sama sobie, —

---

[1]) A. W. Maciejowski: Hist. praw słow., t. IV. str. 26.
[2]) A. W. Maciejowski: Hist. pr. IV., 27.

możemy dla nadania obrazowi dziejowemu plastyczności przyjąć hipotezę najprawdopodobniejszą, że gmina musiała zajmować tyle przestrzeni, ażeby każdy jej członek znalazł najlepsze i najdogodniejsze warunki życia. Gmina owoczesna nie była jednolitą pod względem zatrudnienia, nie składała się wyłącznie z rolników, przeciwnie, na równi z rolnictwem, a niekiedy i więcej zajmowała się myślistwem, do pomocy służyło jej rybołówstwo, zarówno jak i dzika pastwiskowa hodowla bydła, koni, owiec. Wobec tego wszystkiego gmina musiała objąć tyle i takiej przestrzeni, któraby pierwotnym warunkom życia zadość czyniła; w obrębie swoim zatem posiadać musiała rolę, wodę, las i pastwisko.

Granice gminy nie mogły być przeto wcale ścisłe. Istniała formułka średniowieczna na określenie granic, która się stosowała do gminy wschodnio i południowo-słowiańskiej: kędy topor i socha sięga — tam sięgały granice [1]). Wszystko to, co o równości gminy późniejszej, rossyjskiej, która miała być jakoby szczątkowym organizmem państwowym, o ustroju pierwotnym, pisali Haxthausen a za nim inni, a więc wspólność używania, równomierność podziałów ziemi, jakoteż rozmaite cnoty obyczajowe, nie dają się odszukać w źródłach dziejowych XI. i XII. w., a tem bardziej uzasadnić. Uważać przeto należy wszelkie usiłowania w tym kierunku za przesadne idealizowanie ustrojów społecznych przeszłości, za dowodzenie przy pomocy dziejów tezy nowożytnej.

2. Wiec. Charakter jego; władza.

Gmina w ogóle, jako związek indywidualny i prymitywnie-państwowy pewnej ilości ludzi, zarówno miejska, jak i wiejska, objawiała swoją wolę i działała za pośrednictwem instytucyi, zwanej w i e c e m (wiecze). W XI. i XII. w. nie jest ona bynajmniej organizmem stałym, wyrobionym, jasno określonym, przeciwnie, wcale nie posiada cech stałych, atrybucyi jednakich wszędzie. Okres ten należy uważać za przejściowy, a instytucyę samą za przeobrażającą się na lepsze pod względem politycznym na północy, gdzie przybierała bardziej skończone formy autonomiczne, i na rozkładającą się pod wpływem wzrastającej coraz bardziej władzy książęcej na południu.

[1]) Leszkow: Ist. obszcz. prawa, 155, 117. Czytaj tamże na półfantastyczne porównanie p o g o s ł ó w z w i e r w i ą.

Wiec ukształtował się nie z woli książąt, nie drogą ustawodawczą nadany został, lecz był wynikiem administracyjno-sądowych potrzeb gminy i stanowił jedyny organ, za pomocą którego ujawniała się opozycya przeciwko władzy książęcej i jej nadużyciu. Nie urząd, nie tytuły, lecz rozum i doświadczenie odegrywały tu pierwszorzędną rolę. Wiece w pierwszym okresie rozwoju miały charakter poufnej narady ludzi wybitniejszych w gminie. Głos tu mieli „starci i bolare“ [1]), oni decydowali o wszystkiem i wykonywali w zakresie gminy władzę sądowniczą. Instytucya wiecu postępowała dwiema drogami: na południu zwyciężyli z czasem książęta; wzmacniająca się władza ich powstrzymała dalszy prawidłowy rozwój wieców, a poniekąd rozwój ten skoszlawiła. Stało się to jako konieczne następstwo przeniesienia środka ciężkości państwowej na południe, do Kijowa. Gdy więc w Kijowie kniaziowie górę wzięli nad wiecem, w Nowogrodzie i Pskowie górę wziął wiec nad kniaziem i doprowadził, jak obaczymy, do tego, że nietylko wybierał sobie kniazia, lecz dyktował mu pewne pakta, a w razie potrzeby usuwał ich.

Na południu więc owi „starci i bolare“, z początku wszechwładni, „czynili riad“ sami, po przyjęciu religii chrześciańskiej, w towarzystwie biskupów [2]), potem występuje nowa władza: „bojarowie książęcy“, urzędnicy, znani pod nazwą: „mężowie książęcy“ [3]).

Kroniki ruskie notowały działalność wieców zwykle w miastach, gdzie ludność, skupiona w większe ogniska, stać mogła nietylko mocniej w obronie własnych praw, lecz występowała niekiedy, czując się na sile, wbrew woli kniaziów, jeżeli wola ta z dobrem publicznem nie zgadzała się. Wiece wiejskie, ograniczywszy narady swoje do spraw własnych, nie publicznych, zatraciły powoli powagę i siły, zachowując tylko władzę sądowniczą w niektórych sprawach, bezpośrednio gminę obchodzących. W takim charakterze wiece wiejskie, jako sądy kupne, przechowały się do połowy prawie XVIII. w. w zakątkach Drewlańskiej i Krywickiej Rusi.

Wiece miejskie zwoływane były przez kniazia we własnym interesie lub publicznym; działo się tak zwykle na południu, w Kijowie. W Nowogrodzie zwoływano przeciwko kniaziowi, w chęci wytoczenia mu publicznego oskarżenia albo przywołania nowego

---

[1]) Połn. sobr. russ. liet. I., 35 r. 983.

[2]) Połn. sobr. russ. liet. II., 280: „Riad uczynit'... pri jepiskopach i starciech“.

[3]) Połn. sobr. II., 290.

pana. A bywały takie wiece nader burzliwe niekiedy: ludność nietylko wypędzała niemiłego sobie kniazia, ale drużynę jego kowała w kajdany a majątek konfiskowała [1]). Wiece takie bywały jawne, „wielkie", na których brała udział całkowita ludność miejska; gdy jednak chodziło o rzecz bardzo ważną, o spisek przeciwko kniaziowi, a kniaź posiadał dość siły, ażeby się bronić, wówczas odbywały się najprzód narady tajemne, a dopiero potem rozpoczynano akcyę szerszą [2]).

Późniejsze latopisy, mianowicie Gustyński, używają wyrazu snem (sejm) na oznaczenie narad albo pertraktacyi, mających miejsce w miastach drugorzędnych: Ostrzu, Kaniowie i in. Bywały to albo narady książąt między sobą, we własnym interesie, albo też narady w celach pokojowych [3]). Miały one miejsce w r. 1148, 1155, 1158. Jaki był jednak rzeczywisty charakter tych narad — z dokładnością wiedzieć nie możemy, tem bardziej, że i nazwa sama „snem", ani w życiu publicznem, ani w kronikach nie utrzymała się na Rusi, chociaż utrzymała się u Czechów.

Władza i potęga wieców pod wpływem rozwijającej się władzy książęcej zacierała się na południu, a ku końcowi XII. w. wiec stracił już tam prawie zupełnie pierwotne znaczenie; rozwinął się natomiast typowo na północy. Zanim zapoznamy się z tą typową formą wieców północnych, jeszcze o charakterze ogólnym tej instytucyi powiemy słów kilka.

W jaki sposób zbierały się wiece i jak się odbywały? W kronikach ruskich, co do tego punktu, żadnych wiadomości nie ma; wszystko więc to co pisał w tym przedmiocie Bieliajew [4]) o wiecach prawidłowych i nieprawidłowych, o zwoływaniu wieców prawidłowych przez podwojskich a nieprawidłowych zapomocą dzwonu, cały porządek zasiadania i obradowania jest fantazyowaniem na temat ideałów gmino-władczych, niczem innem. Daleko bliżsi będziemy prawdy, przypuszczając i opierając się na tem, cośmy przytoczyli, że nikt nie był obowiązany przychodzić na wiec; przychodził, kto chciał; wiec zwoływano tylko w razie potrzeby — zwoływał kniaź, zwoływał naród, a właściwie gmina, „wierw", gdy potrzeba była. Dla zwoływania posługiwano się dzwonem. Dawniej, przed przyję-

---

[1]) Połn. sobr. russ. liet. II., 88; II., 271; II., 22; Połn. sobr. russ. liet. I., 67.

[2]) Połn. sobr. II., 97.

[3]) Połn. sobr. II., 39, 78, 81.

[4]) Razskazy iz russ. ist. II., 150 i n.

ciem religii chrześciańskiej, zamiast dzwonu używano zapewne t. z. biła (biło), deski, w którą uderzano. Takie biła długo przechowały się w użyciu, nawet w monasterach — jak Nestor o tem świadczy. Stałego miejsca, gdzieby się zgromadzenia odbywały, nie było, przynajmniej z początku: one miały miejsce na „kniażym dworze“ zarówno w Kijowie, jak i Nowogrodzie, na dworach wojewodów lub książąt z linii młodszej (Briaczesławl dwor), najczęściej jednak na miejscu najobszerniejszem, na targu (na torhowiszczi). Sposobu odbywania narad nie znamy zupełnie; prawdopodobnie miały one charakter dzisiejszych schadzek ludowych, na których zagaja ten, co wzywał; wówczas przeważny głos doradczy mieli, jak wiemy, starzy ludzie, bojarowie, „łuczszii ludie“, albo „naroczityje“. Czy na wiecu miejskim uczestniczyli także mieszkańcy gmin wiejskich, czy prowadzono jaką kontrolę zebranych — nic o tem nie wiemy.

Jeżeli nie występował jako opozycya, wiec nosił charakter narady poufnej w sprawach najczęściej politycznych, obchodzących ludność większego obszaru. Wiece mogły być zwoływane przez miasta większe (gorodá) i mniejsze (prigorody, n. p. Białogród był „prigorodem“ Kijowa). Pomniejsze miasta chętnie uchylały się od zwoływania wiecu, tłómacząc się: „na cztoże stariejszii sdumajut, na tom i prigorody stanut“ [1]).

Zaznaczyłem już poprzednio, że przeniesienie środka ciężkości państwowej na południe, do Kijowa, wpłynęło na zdławienie autonomicznej gminy pierwotnej do — warazkiej, a natomiast ułatwiło jej rozwój na północy do tego stopnia, że się tam wyrobił typ samorządu republikańskiego, zupełnie odrębny i nader ciekawy. Samorząd ten znalazł swój wyraz w wiecach, w których powoli skupiła się prawie zupełnie władza państwowa. Rozpatrzymy przeto sferę dzialalności wieców północnych i w ten sposób wytworzymy najlepsze i najdokładniejsze pojęcie w ogóle o wiecach [2]).

Zaczniemy tedy od sfery politycznej. Działalność wiecu polegała tu przedewszystkiem na przywołaniu kniazia, jakoteż usunięciu go, jeżeli interesom gminy nie odpowiadał. W r. 1095 usunęli No-

[1]) Ławrentj. lliet. 358.

[2]) Aleks. Limbert: *Predmioty wiedom. wiecza w kniaż. period.* Jest to próba zrobienia krytycznego przeglądu wszystkich prac, dotyczących charakteru i działalności wieców. Rozprawa ta, pisana w Warszawie, nosi charakter pracy, dokonanej pod wpływem poglądów profesora. Tam jednak, gdzie autor opiera się na źródłach, otrząsa się z poglądów sentymentalnych na wiec i gminę.

wogrodzianie Dawida Świętosławowicza z Rostowa; w 1138 r. wypędzono Wsiewołoda Mścisławowicza, a przywołano Świętosława Olgowicza; w r. 1154 wypędzono Izasławowicza Jarosława, posadzono zaś na księstwie Romana[1]).

Tu nasuwa się nam pytanie, dlaczego tylko goroda i prigorody brały udział w przywoływaniu lub usuwaniu książąt, a gminy wiejskie i cała ziemlia stały obojętne na uboczu? Zdaje mi się, że wyjaśnienia tego faktu trzeba szukać w rozterce panującej acz tajemnie, lecz zawsze między krajem podbitym a władzą narzuconą. Władza ta, jak widzieliśmy niejednokrotnie, była bardzo uciążliwą, jest przeto rzeczą zupełnie zrozumiałą, że z nią paktowano lub usiłowano ją zrzucić. Duch opozycyi nie wygasł z czasem bynajmniej, przeciwnie wzmacniał się w miarę większego wzmagania się żywiołu słowiańskiego w drużynie i ostatecznego wysunięcia resztek elementów napływowych z głównych stanowisk administracyjnych i wojskowych.

Miejsce ich zajmowali już nie kniaži muži, lecz Słowianie osiedli na miejscu, którzy byli wojewodami i tysiącznikami w owych właśnie gorodach i prigorodach. Jakkolwiek wyniesienie się swoje zawdzięczali kniaziom, lecz przez zmianę nielubionego kniazia starali się jeszcze więcej wytargować. Oni to stanowili żywioł opozycyjny, niezadowolony i stojąc na straży własnych interesów, wysuwali na czoło rokoszu goroda i prigorody. Reszta ludności, nie biorąca żadnego udziału w rządzie, nie brała też udziału i w owych wiecach, mających charakter rokoszów.

Po tym okresie, którym zajmujemy się, polityczne prawa wiecu Nowogrodzkiego w stosunku do książąt były jeszcze szersze: spychano ich z tronu, zapraszano, paktowano według woli wiecu. Jakkolwiek ślady paktów conwentów wyraźnie sformułowane znajdujemy dopiero, począwszy od XIII. w. (dogowornyja gramoty), mamy prawo jednak przypuszczać, że podobne układy z kniaziami istniały o wiele wcześniej[2]). Zajmować się niemi nie będziemy, ponieważ wykraczają po za zakres zakreślony pracy naszej; zwracam tylko uwagę na nie czytelników[3]). Na południu wiece zawierały także umowy z książę-

[1]) Połn. sobr. russ. lietop. II., 14, 74.

[2]) Połn. sobr. I., 220.

[3]) Typową formą takich paktów służy umowa Nowogrodu z W. K. Twerskim Jarosławem, zawarta w r. 1265 za posadnikostwa Michała. „Ciełuj krest ko wsemu Nowogorodu . . . czto wołostiej wsich Nowgorodzkich toho ti, kniaże, ne deržati swoimi muži, no deržati muži Nowgorodzkii . . . A bez posadnika tiebie wołostiej ne rozdawati . . .

tami; nie posiadały jednak charakteru tak wybitnego, jak w Rzeczpospolitych północnych, nie były określone ściśle, lecz nosiły cechę pewnego ustępstwa na rzecz nowego kniazia i miały raczej głos doradczy, niż rozkazujący [1]).

Co do wypowiedzenia wojny, jakoteż zawarcia pokoju, rola wieców nie wydaje się stanowczą a nawet wybitną w okresie badanym; przeciwnie, stanowiło to atrybucye książąt, którzy stali na czele siły zbrojnej; książęta zasięgali przeto rady wieców o tyle, o ile potrzebowali większego poparcia, szczególnie na południu; co do wypowiedzenia wojny i zawarcia pokoju, książęta południowi zachowali stanowczo prawo dla siebie [2]).

Daleko obszerniejszą była administracyjna władza wieców, ale i tu zaznacza się wybitnie, jak i w każdej sferze działalności wieców, przewaga pierwiastków autonomicznych na północy, a przewaga władzy książęcej na południu. Wiec Nowogrodzki wybierał sobie „władykę“, arcybiskupa. Miało to n. p. miejsce w r. 1156. W północnych „narodoprawstwach“ wybieranie i usuwanie od władzy „władyki“ przypadło na późniejszą dobę rozwoju wiecu. W południowych zaś księstwach rozporządzali się tem wyłącznie książęta [3]). To samo można powiedzieć o nominacyi posadników, tysiączników, jakoteż o pozbawianiu urzędu: na północy rozporządzał się wiec, na południu kniaź [4]).

Ta zasadnicza różnica władzy, jej zakresu i charakteru między północą a południem da się odszukać w każdej dziedzinie działalności administracyjnej, politycznej, sądowniczej a nawet ekonomicznej: im zaś dalej od okresu badanego przez nas, tem zakres tych dwóch władz — książęcej i autonomicznej różniczkują się coraz bardziej aż do chwili przeniesienia się środka ciężkości władzy z po-

---

A czto ti kniaże poszło na Torożku ili na Wołoci tiwun swoj derżati na swojej czasti a Nowgorodci na swojej czasti... A w Bieżicach. kniaże, tobie ni twojej kniagini, ni bojarom, ni dworianom seł ne derżati, ni kupati, ni darom prinimati... A sud, kniaże, otdał Dimitrij s Nowgorodci Bieżiczanom i Oboniżanom na 4 lieta, sudji ne słati... A bez winy ti muża wołosti ne liszati, a hramot ti kniaże ne posużiwati... (Poł. sobr. gosud. gramot i dogow. t. I., nr. 1).

[1]) Połn. sobr. II., 96 r. 1154. „Boh pojał stroja twojeho Wiacesława, a ty sia s lud'mi w Kijewie ne utwierdził, a pojedi lieple „Kijew“...

[2]) Połn. Sobr. I., 127, 146 i in.

[3]) Połn. sobr. I., 171, 174 i in.

[4]) Połn. sobr. IV., 11, 13, 17.

[5]) Połn. sobr. I., 10, 139.

czątku do Suzdala, a następnie do Moskwy, kiedy wielcy książęta moskiewscy, a późniejsi carowie, zdołali zdławić zupełnie autonomiczne republiki północy. Tak więc na północy wiec polecał budowanie nowych miast, na południu książę; na północy wojewodów naznaczał wiec, na południu książę. To samo da się odnieść do władzy sądowniczej, z tą chyba różnicą, że władza ta spoczywała w ręku zarówno książąt, jak i wiecu po wspólnem porozumieniu [1]). Sąd książęcy, władza książęca, brały górę nad wiecem. Ludność nie zawsze z pokorą przyjmowała narzucaną jej „prawdę". Tiunów „kniażych", którzy w pojęciu latopisców „grabili ludność", nieraz spotykała śmierć, tak że prawo musiało ochraniać ich przy pomocy wysokiej „wiry".

W ogóle wiece w stosunku do władzy kniaziowskiej noszą przeważnie charakter rokoszu, buntu. Zarówno w Nowogrodzie, jak i w Kijowie, występowały one nieregularnie, a prawie zawsze były próbą wydobycia się z pod władzy książęcej. W tym celu zapewne korzystano z każdej chwili sposobnej, z każdego osłabienia władzy książęcej. Gdy Kijowianie bici i ciemiężeni przez Połowców, zwołali wiec na „torhowiszczi", żądali od Izasława broni, aby tem łatwiej bronić się mogli, Izasław broni nie dał — obawiał się zdrady. Istotnie miał racyę, bo Kijowianie napadli na więzienie, w którem był Wszesław zamknięty, wyrąbali go z „porubu" i na tronie posadzili. Działo się to nietylko w Kijowie, lecz w Połocku i Smoleńsku [2]).

W takich głównych zarysach przedstawiał się wiec, jako instytucya autonomiczna gminy XI. i XII. w.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fr. Rawita.

---

[1]) Połn. Sobr. IV., 5 i III., 9.

[2]) Bardzo szczegółowy opis „wyrąbania" Wszesława podaje Nestor. Czytaj także: *Kniaziowie i szlachta* Rulikowskiego i Radzimińskiego, t. I. str. 279 i n. Hruszewskij radby widział w wiecach kijowskich „organ całej ziemi, a przytem organ woli najwyższej, wyrażonej przez ludność z własnego popędu." (Oczerk istorii Kijew. Ziemli, str. 302).

KORZENIOWSKI I TEATR LWOWSKI

(1822 — 1844).

(Ciąg dalszy).

II.

(1831 — 1839).

Na dziesięć lat urywa się nasza korespondencya... nie z winy Korzeniowskiego ani Benzy: wszystko, co dalej powiemy, wskazuje aż nadto, że nie ustały między nimi stosunki, że owszem z czasem łączyło ich coraz więcej węzłów. Urywa się, bo listów tych nie mamy w zbiorku, z którego tutaj korzystamy. Tymczasem wszystko się zmieniło. Wypadki z lat 1830/31 odbiły się boleśnie zarówno na liceum krzemienieckiem, jak i na Korzeniowskim — liceum przestało istnieć, Korzeniowskiego zmuszono przenieść się do Kijowa, do tamtejszego uniwersytetu, gdzie na razie trzeba mu było przyzwyczajać się do obcego sobie świata. W jesieni roku 1832 był już Korzeniowski na nowem stanowisku [1]).

Zanim to jednak nastąpiło, dzień 4. lutego 1831 r. wyrył się zapewne głęboko w pamięci naszego autora, w dniu tym bowiem spełniło się to, o czem marzył przez lat wiele — w dniu tym przedstawiono na scenie lwowskiej po raz pierwszy jego utwór, p. t. *Dymitr i Marya czyli Wróżba i Zemsta* [2]), utwór, napisany tuż po *Anieli* i *Mnichu.* My także chcielibyśmy tutaj dzień ten silnie podkre-

---

[1]) Kantecki 255—260.

[2]) Gazeta Lwowska r. 1831 str. 66 i 84. — Pierwszą wzmiankę o Korzeniowskim w pismach lwowskich spotykamy w „Rozmaitościach" z r. 1830 (str. 184), w której to wzmiance redakcya zapisuje, że pismo lipskie: „Blätter für litterarische Unterhaltung" z r. 1829 mówi o „Próbach dramatycznych" Korzeniowskiego.

ślić, w pracach bowiem o Korzeniowskim, i to aż do najnowszych, spotykamy się z błędnem mniemaniem, jakoby *Piąty Akt* był pierwszem dziełem Korzeniowskiego, przedstawionem w teatrze lwowskim w roku 1836, mimo, że już pp. Estreicher [1]) i Pepłowski [2]) w swych historyach teatru zapisali rok 1831. Stało się więc to o pięć lat wcześniej, co jak każdy przyzna, musiało dodać na przyszłość otuchy młodemu autorowi i wpłynąć na spotęgowanie się jego talentu. Wszakże *Piąty Akt*, pierwszy utwór Korzeniowskiego, przedstawiony w Warszawie, pojawił się tam dopiero w r. 1838! [3])

Czy autor wysłał *Dymitra* do Lwowa zaraz po napisaniu, w r. 1827, jakby wynikało z własnoręcznego spisu jego dzieł, nie budzącego jednak, co prawda, zaufania co do pewności dat? [4]) czy wysłał go później? Jak przyjęła publiczność lwowska tę „trajedyą romantyczną“ (nazywa ją tak *Gazeta Lwowska*, powtarzając zapewne słowa afisza teatralnego), co pisał o niej i o jej przedstawieniu Benza, pośredniczący zapewne i tutaj między autorem a sceną, i jakie to sprawozdanie Benzy wywarło na autorze wrażenie? Oto pytania, na które odpowiedź wielceby dla nas była pożądana. Dać jej jednak niepodobna. Listów niema, a ówczesne pisma lwowskie nie zawierają żadnej wzmianki o przedstawieniu tej sztuki. *Gazeta Lwowska* ogłasza jedynie jej tytuł w rubryce, w której zamieszczano stale repertuar teatru polskiego we Lwowie. Wnioskować tylko możemy, że przychylnem i pochlebnem dla autora było przyjęcie tego utworu, wprawdzie jednego z pierwszych i słabszych utworów Korzeniowskiego, ale o treści wielce zajmującej, bo tej samej, która stanowi przedmiot *Maryi* Malczewskiego, i o charakterze poniekąd melodramatycznym, tak odpowiadającym zamiłowaniu ówczesnej publiczności do sztuk tego rodzaju. O ile wskazuje nam materyał [5]),

---

[1]) Teatra w Polsce III., 358.

[2]) str. 140—141.

[3]) Nie uwzględniamy tego, że przedtem jeszcze przedstawiano „podobno“ w Warszawie „Pelopidów“; brak na to dowodu. Chmielowski, 60. Porów. „Pamiętnik Sceny Warszawskiej“ Wittego na r. 1838, str. 155.

[4]) Wobec tego, cośmy już o tej notatce powiedzieli, bardzo być może, że i dramat „Dymitr i Marya“ powstał w późniejszym nieco czasie.

[5]) Mówiąc o teatrze lwowskim z tych czasów, trzeba przedewszystkiem korzystać z repertuaru, który stale ogłaszano na końcu numerów „Gazety Lwowskiej“, obok tego zaś ze wzmianek, zawartych w kronice czyli w tak zwanych „Nowinach“ tejże gazety, tem bardziej, że nierzadko się zdarza, iż sztuki jakiejś niema wcale we wspomnianym końcowym wykazie. Materyał to do historyi teatru nieoceniony, bo prawie jedyny. Na pytanie jednak, o ile ten repertuar dokładny, niełatwo odpowiedzieć. Pomijamy takie

zawarty w ówczesnych czasopismach, przedewszystkiem zaś repertuar, umieszczany w *Gazecie Lwowskiej*, w tym roku przedstawiano *Dymitra i Maryę* (nie licząc przedstawienia pierwszego) jeszcze trzy razy, przedstawiano go dalej w roku 1832, 1835, 1836, 1839, 1841 i 1843 [1]).

Cyfry te nie wyjaśniają jeszcze wszystkiego. Ażeby lepiej zrozumieć to, co teraz mówimy i co powiemy na kartach dalszych, nie zawadzi oprzeć cyfer tych o tło odpowiednie. Zapytajmy, co opowiada historya teatru lwowskiego o dziesięcioleciu 1830—1840. Był to czas, kiedy teatr chylił się coraz więcej ku upadkowi. Nie powiodło się zupełnie prywatnemu komitetowi akcyjnemu, który powstał w r. 1830, ażeby ratować scenę polską. Rozmaite okoliczności wpłynęły na to, że komitet ten nie istniał już w połowie roku 1832. Wówczas to, jak wiadomo, objęła zarząd teatru spółka artystów pod kierownictwem Kamińskiego. Smutne to dzieje. Kierownictwo długoletniego dyrektora było tylko pozornem, nie miał on tu ani stanowczego głosu, ani odpowiedniej powagi, stąd ciągłe spory i kłótnie, które od czasu do czasu, jak w roku 1835, przybierały tak groźne rozmiary, że poszukiwano zaspokojenia rozmaitych uroszczeń ... na drodze sądowej. Takie stosunki musiały bardzo zgubnie oddziaływać na poziom teatru. Repertuar całego tego dziesięciolecia był coraz

---

wypadki, dosyć wyjątkowe, co prawda, w których nie zaznaczono przedstawienia z powodu niewyjścia numeru; więcej dla nas ważną i zastanawiającą rzeczą jest to, że na trzy przedstawienia polskie, które w zasadzie powinny były się odbyć, zapisuje nam „Gazeta" daleko częściej tylko dwa lub nawet jedno. Co o tem sądzić? Trudno na to dać stanowczą odpowiedź wobec niepewnych wskazówek; o ile jednak badaliśmy tę sprawę, zestawiając repertuar, widzimy, że rzeczywiście musiano często dawać tylko dwa przedstawienia. Niekiedy można nawet podać powód, dlaczego tak było. Nieróżowe zwykle stosunki teatru lwowskiego usprawiedliwiałyby tak małą ilość przedstawień. Wobec tego więc skłonni jesteśmy do przypuszczenia, że repertuar, podawany w „Gazecie", jest w przybliżeniu dokładny, skoro go bowiem „Gazeta" stale zamieszcza, widocznie chodziło jej o to, ażeby repertuar ten był na szpaltach pisma. Od r. 1835 był już redaktorem „Gazety Lwowskiej" sam Kamiński i jeżeli kto, to on chyba pamiętał zawsze o teatrze, tym swoim wychowanku.

[1]) Gazeta Lwowska r. 1831 str. 118, 302 i nr. 136 str. 4 (dodatku); r. 1832 str. 884; r. 1835 str. 636; r. 1836 str. 774; r. 1839 str. 328; r. 1841 str. 883, por. także str. 850 i 869; r. 1843 str. 330 i 349.

Zwracamy przy tej sposobności uwagę na dołączoną przy końcu rozprawy tabliczkę przedstawień sztuk Korzeniowskiego, jak również i na to, że tę pracę swoją zamykamy rokiem 1844.

mniej doborowy i urozmaicony, sztuka poważna należała do rzadkich zjawisk. Publiczność, jak zawsze publiczność lwowska, pożądała nieustannie nowości a lubowała się przedewszystkiem w farsach i melodramatach. Wyjątek stanowiły tylko komedye Fredry, które przedstawiano bardzo często i które miały nadzwyczajne powodzenie. Z innych sztuk otaczano niezmienną sympatyą obydwie części *Krakowiaków i Górali*, Bogusławskiego i Kamińskiego, zwłaszcza zaś część Kamińskiego. Ważną też dla nas jest ogólna ilość polskich przedstawień w całym roku. Trzeba dobrze pamiętać, że obok niemieckich przedstawień dawano tygodniowo trzy przedstawienia polskie, częściej zaś tylko dwa lub nawet jedno, że więc, odliczając miesiące wakacyjne, do których należały zwykle lipiec i sierpień, było tych przedstawień polskich według naszego obliczenia przeciętnie na rok około 100 [1]); w tym zaś roku, o którym mówimy, w r. 1831, z powodu powstania w Królestwie a jeszcze bardziej z powodu wybuchu cholery, nie było ich więcej, jak 60. Tak mała ilość przedstawień zaważy bezwątpienia na szali, gdy zapytujemy, czy jakąś sztukę przyjęto we Lwowie lepiej lub gorzej.

Wśród tych stron ciemnych należy jednak zaznaczyć i jasną. Personal teatru ówczesnego mieścił w sobie talenty pierwszorzędne, którychby się nie powstydziła żadna scena europejska: Benza, Smochowski do ról tragicznych, Jan Nowakowski do ról charakterystycznych. Siłę iście niepoślednią ich talentów poznajemy nietylko ze świadectw współczesnych, przechowała nam ją również tradycya prawie aż do naszych czasów. Wybrańców tych otaczało grono tak uzdolnionych artystów, jak Kamińscy, dyrektor i jego żona, Szczęsny Starzewski, Rudkiewiczowie, Rutkowska (później zamężna Starzewska) i t. d. Było więc z czego i całość ułożyć, a ponieważ artyści ci trzymali się długo tej samej sceny, wytworzyć się mogła ta harmonia, której warunkiem jest dokładne wzajemne poznanie się i ocenienie. Co prawda, wszyscy ci artyści pracowali tutaj już trzeci dziesiątek lat, a im dalej dziesiątek ten się posuwał, traciły talenty stopniowo zwykłą koleją rzeczy na świeżości i sile. Następowała z czasem konieczność wprowadzenia młodszych pracowników [2]).

Po tem, cośmy wyżej powiedzieli, cztery przedstawienia *Dymitra* w jednym roku i pięć przedstawień tegoż dramatu w innych latach, to wynik dla autora wcale korzystny. Mamy jednak i wyraźniej-

---

[1]) Porówn. uwagę 5 na str. 245.

[2]) Co do stanu teatru lwowskiego w latach 1830—1840 porówn. Pepłowskiego, str. 136—156.

sze świadectwo przychylnego usposobienia dla tej sztuki we Lwowie. *Rozmaitości* z r. 1833 [1]), donosząc o artykule umieszczonym w *Tygodniku Petersburskim*, p. t. *Wzmianka o nowożytnych poetach polskich* przez J. S., dodają od siebie, że wspomniana tam *Wróżba i Zemsta* Korzeniowskiego „jestto tylekrotnie z upodobaniem na scenie naszej widziana trajedyja tegoż autora pod tytułem *Dymitr i Marya*“. Co więcej, już daleko później, bo w roku 1841 i 1843, a więc wówczas, kiedy autor zyskał sobie rozgłos o wiele doskonalszemi dziełami scenicznemi, wyrażano się jeszcze w *Gazecie Lwowskiej* nie bez pewnego uznania o tym utworze — utworze wzorowanym na innych mistrzach, ale nie ślepo naśladowanym, jak pisał Jan Dobrzański w r. 1841. Rolę bohatera — Dymitra grał bez wątpienia sam Benza, później (w r. 1841 i 1843) grał ją Dawizon, już wówczas wiele obiecujący artysta [2]).

Dymitr więc wyrobił Korzeniowskiemu wstęp na scenę lwowską — odtąd przedstawiano tutaj po kolei wszystkie jego dramatyczne utwory, napisane po *Dymitrze*. Zanim jednak drugi utwór wszedł do repertuaru tej sceny, dochodziły do Lwowa i z innej strony głosy, rokujące Korzeniowskiemu świetną przyszłość. *Rozmaitości* z r. 1833 przedrukowują wspomniany dopieroco przez nas artykuł *Tygodnika Petersburskiego*, mieszczący w sobie dość obszerny ustęp o Korzeniowskim. Nazywa go autor artykułu „znakomitym poetą i literatem“, *Anielę*, „pierwszą tragiedyą, która swego tytułu nie zawiodła“, chwali *Mnicha*, styl pisarza i artystyczne opracowanie każdej sceny jego utworów, wreszcie kończy swój sąd pochlebny w sposób następujący: „Słowem, czem w komedyi stał się u nas Fredro, tem w trajedyi Korzeniowski. I dwa te wielkie talenta razem zjawione, stanowić będą epokę w dziejach polskiej Talii i Melpomeny.“ Pochwała taka autora, którego sztuce przypatrywano się równocześnie na scenie, musiała chyba zwrócić uwagę.

W pół roku później — dnia 11. kwietnia 1834 r. grano we Lwowie następny z kolei utwór Korzeniowskiego: *Piękność Zgubą*, drukowany później pod tytułem: *Piękna kobieta*, a napisany jeszcze w r. 1829 [3]). I ten dramat cieszył się powodzeniem, chociaż należy on jeszcze do tej epoki twórczości naszego autora, w której zazna-

---

[1]) str. 306—307.

[2]) Gazeta Lwowska r. 1841 str. 883 (ze sposobu, w jaki wyraża się tu Dobrzański o aktorze, grającym Dymitra, wnosimy, że mowa o Dawizonie, który nie cieszył się sympatyą Dobrzańskiego; o Benzie nie wyraziłby się tak recenzent) i r. 1843 str. 349.

[3]) Ten rok przynajmniej wymienia znana nam własnoręczna notatka.

czył się dość silnie wpływ obcych pisarzy, w tej sztuce mianowicie wpływ Shakespear'a [1]). Po drugiem przedstawieniu pisał w *Rozmaitościach*, wnosząc ze stylu, redaktor i dyrektor teatru, J. N. Kamiński (str. 135): „Osnowę dramatu tego, czerpanej z dziejów angielskich, z wielkim talentem wyrobił autor w piękny utwór poezyjny, rozsypał wszystkie skarby poezyi, wszystkie piękności stylu, i chociaż sztuka ta jest prozą pisana, ma bezsprzecznie więcej ducha poezyjnego, jak razem wziąwszy wszystkie może trajedyje nasze do czasu tego autora.“ Dalej chwali autor artykułu „misterność odmalowania“ głównej postaci sztuki, Elfrydy, kończy wreszcie wzmianką o grze aktorów: „Szczególnie dobra gra aktorów naszych przyczyniła się do utrzymania tej sztuki na stopniu, jaki jej tak słusznie przynależy.“ Leszek Borkowski jeszcze w r. 1840 nie szczędził jej pochwał [2]). W r. 1834 przedstawiono *Piękność Zgubą* cztery razy, później przedstawiono ją w r. 1835, 1837, 1840 i 1843 [3]).

Tak dwie te sztuki — *Dymitr i Marya* i *Piękność Zgubą* utrzymywały nazwisko Korzeniowskiego w repertuarzu lwowskiej sceny [4]), aż dopokąd nie ukazał się tutaj *Piąty Akt*, dramat, który, jak wiadomo, rozpoczyna szereg utworów z doby dojrzalszej jego twórczości, a który przedstawiony, nietylko podobał się, ale wywierał na prawdę silne wrażenie na widzów zarówno we Lwowie, jak w Warszawie. We Lwowie grano go po raz pierwszy dnia 7. listopada 1836 r., w Warszawie, jak mówiliśmy już, w r. 1838.

Artykuł w *Rozmaitościach* z dnia 5. listopada (str. 360), napisany, jak styl aż nadto wskazuje, przez redaktora Kamińskiego, miał publiczność korzystnie usposobić dla sztuki. Powiada autor, że dzieła dramatyczne „znanego publiczności“ Korzeniowskiego, tak te, które już wyszły z druku, jak i te, które „z krzywdą sławy naro-

---

[1]) Chmielowski 44—45.

[2]) Dziennik Mód Paryskich z r. 1840. Rocznika tego nie posiada ani Zakład Ossolińskich, ani biblioteki uniwersyteckie we Lwowie i w Krakowie, cytujemy go więc według wybornego artykułu K. Estreichera: „Korzeniowski Józef. Pisarz sceniczny i jego krytycy.“ Rozmaitości r. 1858 str. 171.

[3]) Gazeta Lwowska r. 1834 str. 260, 266, 418 i 784; r. 1835 str. 126; r. 1837 str. 136; r. 1843 str. 922 i Rozmaitości r. 1858 str. 171.

[4]) Pepłowski (str. 147) zapewne tylko przez pomyłkę przypisuje Korzeniowskiemu sztukę: „Pani Mecenasowa czyli Sprawa Rozwodowa“, graną we Lwowie 30. marca 1835 r. Takiej sztuki Korzeniowski nie napisał. — Z roku 1835 to tylko godzi się zanotować, że „Rozmaitości“ w tym roku wydrukowały sonet Korzeniowskiego: „Modląca się“ (str. 37).

dowej“ pozostają jeszcze w rękopisie, są coraz doskonalsze tak co do „formy“ i „organizacyi“, jak i co do „duszy, która tę formę przenika i życiem wypełnia.“ Dalsze określenia przymiotów dzieł scenicznych Korzeniowskiego są tak dziwaczne, że trzebaby studya nad niemi robić, ażeby pojąć, o co tu chodzi. W końcu uspokaja Kamiński publiczność co do tytułu sztuki; niech nie sądzi ona, że będzie na przedstawieniu tego, co się już skończyło, co skonało. I owszem, niech przyjdzie, a zobaczy, jak autor w tak „małym węzełku ...misternie“ rozwinął poważny przedmiot. „Cztery osób (!) tylko dzierga tę dramatyczną tkankę, miłość, honor, cnota są jej deseniem, a cały kwiat umniczy rośnie z serca człowieczego; jest on pełen gorącego życia, ale jakże się łagodnie upośrednia przemianą barw, a zdążywszy w kres kulminacyi, jak się miło lazuruje eterem idealnej piękności. Obłok zmysłowości znika, oko ducha ma idealny wid!“ — Winszujemy publiczności, jeżeli to zrozumiała!

Zresztą *Piąty Akt* miał widoczne powodzenie. *Mnemosyne*, pismo niemieckie, wychodzące wówczas we Lwowie, pisze z powodu przedstawienia *Piątego Aktu* w polskim teatrze, że grano „nadzwyczajnie udatny“ *(äusserst gelungenes)* dramat „sławnego“ Korzeniowskiego, a wrażenie „wybornego“ *(trefflich)* utworu podniosła jeszcze bardziej dobra gra artystów [1]). Publiczność przysłuchiwała się tej sztuce zawsze z wielkiem zajęciem [2]) — „uwielbiony“ *Piąty Akt*, jak go nazywa jeden z kronikarzy *Gazety Lwowskiej* [3]). Jakoż widzimy, że z *Piątym Aktem* występowano nawet w chwilach uroczystych, jak w r. 1842. na ostatniem przedstawieniu w starym teatrze, lub wówczas, gdy chciano zwabić publiczność. W tym samym roku 1842 odegrali go amatorzy na dochód pogorzelców miasta Liska [4]). W repertuarzu sceny lwowskiej utrzymywał się on stale. W r. 1836 grano go dwa razy, w r. 1837 cztery razy, od r. 1838—1841 po razu, w r. 1842 (jak właśnie mówiliśmy) dwa razy, raz przez amatorów [5]). Trzech tłumaczów przekładało go na język niemiecki, na scenie niemieckiej we Lwowie przedstawiano go w r. 1838 i 1840 [6]).

---

[1]) Mnemosyne r. 1836 str. 518.

[2]) Toż pismo r. 1837 str. 300.

[3]) Gazeta Lwowska r. 1839 str. 163.

[4]) Tamże r. 1842 str. 236 i 476.

[5]) Tamże r. 1836 str. 786 i 816; r. 1837 str. 66, 312, 426 i 432; r. 1838 str. 208; r. 1839 str. 86; r. 1840 str. 890; r. 1841 str. 790.

[6]) Mnemosyne r. 1837 str. 300, Rozmaitości r. 1837 str. 207 i rok 1838 str. 271, Gazeta Lwowska 1840 str. 769.

Benza występował zapewne i w tej sztuce stale i miał w niej prawdopodobnie rolę męża, jakto można wnosić ze wzmianki w *Gazecie Lwowskiej* z r. 1842, podnoszącej wysoko grę jego w tej właśnie roli [1]).

O powodzeniu dramatu donosił autorowi także Benza. Widać to z odpowiedzi Korzeniowskiego. Dnia 12 grudnia r. 1836 dziękuje Benzie „po sto razy“ za uwiadomienie, za afisz i artykuł — dodajmy, że może za artykuł Kamińskiego w *Rozmaitościach*, bo nieco dalej prosi Benzę, ażeby wręczył Kamińskiemu załączony do listu bilecik. Do tego zaś dorzuca: „że się udało, może troszkę należy i dziełku, ale więcej zapewne egzekucyi.“ Poleca Benzie podziękować kolegom za ich „usilność“ i uwiadamia, że *Piąty Akt* wyjdzie z dedykacyą wszystkim lwowskim artystom.

W dalszym ciągu listu mowa o nowym utworze Korzeniowskiego. Skoro się tylko skończy — zapewnia on — przepisywanie dramatu w 4 aktach p. t. *Dwa Oświadczenia* [2]), który już dawniej przyrzekł teatrowi lwowskiemu, natychmiast wyszle go do Benzy. Prosi artystę, ażeby go zawiadomił, jaką przyszłość rokuje temu najmłodszemu dziecięciu jego twórczości. „Jest tam — pisze — rola Garbatego, któràby może wziął P. Nowakowski. Nie miałem przyjemności nigdy widzieć go, ale ilem o nim i jego znakomitym talencie słyszał, mam nadzieję, że ją odda tak, jakiem ją pojął.“

Benza wrócił widocznie dopieroco z jakiejś wycieczki. Korzeniowski „winszuje mu tego i zazdrości“, bo „w takich ekskursyach zdrowie i dobry humor przez oczy wchodzi do ciała i myśli.“ „Ja — powiada o sobie z pewnem rozżaleniem — siedzę jak przykuty. Wyjechać nie mogę, ani was widzieć, ani siebie w waszych ustach słyszeć. Gdybyście tu przybyli na kontrakty, choć w cząstce i z doborem sztuk, byłby i rum wielki i zysk niemały.“ Dziękuje Benzie za ciekawe i życzliwe zajmowanie się jego rodziną i to mu przywodzi na pamięć zmarłą żonę Benzy, więc woła: „Biedna Józia! szkoda, że jej niema! umyślnie dla niej skomponowałbym jaką rolę.“ „Rodzice moi — pisze dalej — jeszcze, dzięki Bogu, żyją i zdrowi, mieszkają w Krzemieńcu, gdzie razem mieszka Sowińska (Leosia) z dziećmi, których ma sześcioro. Jasio zawsze w Warszawie, także ma czworo dzieci, ja ich mam pięcioro. Najmłodsza siostra poszła

---

[1]) str. 236, porówn. także Pepłowski str. 208.

[2]) Dramat ten, drukowany później p. t. „Dziewczyna i Dama, czyli Dwa Oświadczenia“. ukończył Korzeniowski, jak stąd widać, u schyłku roku 1836; notatka autora (Dzieła XII.) mówi o roku 1835.

tego lata za mąż ... [1]) Rozmnaża się familia, ale w proporcyi nierównie dobry byt. Ja się skarżyć nie mogę, ale cóż mi stąd, kiedy reszta cierpi. Jest to jedno ciało — niech palec zaboli, w całej budowie cierpienie. Ściskam cię z serca i polecam się twojej pamięci — a mogę powiedzieć i kolegów twoich pamięci — bo nieboraki muszą się uczyć n a p a m i ę ć, co mnie się roiło."

Przysłany Benzie dramat: *Dwa Oświadczenia*, drukowany później p. t. *Dziewczyna i Dama czyli Dwa Oświadczenia*, grano we Lwowie pierwszy raz dopiero 8 czerwca r. 1838 pod zupełnie zmienionym tytułem: *Płochość Ukarana*. Nie wiemy, dlaczego wystąpiono na scenie tak późno z nowym utworem naszego autora, cieszącego się już we Lwowie, zwłaszcza po *Piątym Akcie*, takim rozgłosem i wzięciem. Wszakże w r. 1837 grano *Piąty Akt* aż cztery razy, a w pismach lwowskich spotykamy się odtąd coraz częściej z wzmiankami o Korzeniowskim, jako o pisarzu pierwszorzędnym, którego działalność literacka żywo wszystkich zajmuje i obchodzi. W r. 1838 nazwały go *Rozmaitości* w doniesieniu o reprezentacyi *Piątego Aktu* na lwowskiej scenie niemieckiej po raz pierwszy „genialnym" [2]), popadając w niepotrzebną przesadę wobec znakomitego talentu autora *Krewnych*, tem bardziej, że dotychczasowa twórczość jego daleką jeszcze była od swego zenitu. Przymiot ten „gienialności" powtarza się później nierzadko w pismach tutejszych obok nazwiska Korzeniowskiego [3]).

Płochość Ukaraną grano w r. 1838 cztery razy, później grano ją jeszcze w r. 1840 i 1843: w r. 1839 przedstawiono ją na scenie niemieckiej, w przekładzie W. T(huliego?). Co sądzono o tej sztuce, czy Nowakowski grał w niej rolę garbatego hrabiego i jacy inni artyści w niej występowali? nie doszło do naszej wiadomości. Wzmiankę o samym dramacie wyczytujemy tylko w *Gazecie Lwowskiej* z powodu przedstawienia jej w niemieckim teatrze. Autor (Y***) gani przekład sztuki a potem dodaje: „Chociaż bowiem oryginał nie jest arcydziełem, lecz płodem na romantyczno-francuską stopę, ma przecież zajmujące trafne rysy charakterów, piękność języka, fantazyję i zajmu-

[1]) Mowa tu o braciach i siostrach Korzeniowskiego. Najmłodsza siostra Henryka, zamężna Malczewska. Co do rodziny Korzeniowskiego i jego dzieci porównaj Kanteckiego str. 202, 266 i 242, 270.

[2]) str. 271.

[3]) Porównaj n. p. Gazetę Lwowską r. 1839 str. 143; r. 1843 str. 409—410, 948 i 975. Rozmaitości r. 1839 str. 95.

jące sytuacye"[1]. Tenże sam autor Y*** nie mógł darować Korzeniowskiemu, że się przejął wzorami francuskimi; jeszcze w dwa lata potem, w r. 1841, „gniewał się", że tymi właśnie wzorami przejął się „genialny zresztą" (jak powiada) autor *Anieli* w *Piątym Akcie*, *Dwóch Oświadczeniach* i innych dziełach[1].

Wiadomo, że dzisiejsza krytyka dopatruje się wielu zalet w *Dziewczynie i Damie*.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Czarnik.

---

[1]) Gazeta Lwowska r. 1838 str. 400, 412, 624 i 890; r. 1839 str. 175; r. 1840 str. 776; r. 1842 str. 1011.

[2]) Tamże r. 1841 str. 216.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY DO DELF

I WYKOPALISKA EKSPEDYCYI FRANCUSKIEJ.

Działalność ekspedycyi francuskiej w Delfach poczyna budzić coraz żywsze zajęcie u całego świata uczonego, skutkiem doniosłych rezultatów, jakie dotychczas już osiągnięto. Ponieważ zaś ukończenia podjętych robót i wydania o nich pomnikowego dzieła ze strony francuskiej nie można spodziewać się prędzej, jak za lat kilka, przeto, nim to nastąpi, podaję niniejszem opis terenu i samychże wykopalisk na podstawie dotyczącej literatury i podróży, którą odbyłem w czerwcu 1893 r. Oczywiście pomijam w mem opowiadaniu wszystkie drobniejsze szczegóły i unikam starannie zapuszczania się w dalej sięgające wnioski. bo te nie miałyby jeszcze celu, wobec zmieniającego się ciągle stanu wykopalisk [1]).

I.

Pociąg kolei żelaznej posuwał się szybko po najważniejszej linii nowogreckiego królestwa, łączącej z sobą dwa jego najznaczniejsze miasta: Ateny i Patras. Już minęliśmy zbliżający się podówczas ku zupełnemu wykończeniu kanał istmijski, już zostawiliśmy za sobą lichą mieścinę Koryntu i naprzeciw niej o 6 kilometrów piętrzące się wzgórza Akrokoryntu i wstąpiliśmy na znaną mi już z dni poprzednich ziemię starożytnego Aigialos (Achaji). Na prawo widnieje w całej okazałości zatoka koryncka i zarysowują się w oddali wybrzeża Hellady właściwej; na lewo wyłaniają się nagie góry pasterskiej Arkadyi z jej długo widnym i zawsze śniegiem pokrytym szczytem Kyllene. Między niemi a zatoką wąski tylko rąbek równej i winnicami pokrytej ziemi, po której biegnie nasz pociąg, to gór, to zatoki

[1]) Niniejszy artykuł pisałem w połowie r. 1895.

dotykając ponad liczne, wyschłe i żwirem pokryte łożyska górskich potoków Achaji. Krajobraz byłby wcale nie brzydki, gdyby nie brakło lasów i gdyby nie ten skwar słoneczny, co ziemię wypala i podróżnemu przypominać się zdaje, że minęła już dawno świetna i starożytna kultura helleńska, jak wyginęły gaje i bory, pokrywające niegdyś te szczyty i urwiska, dzisiaj częścią białe od nagich kamieni, a częścią pożółkłe od żaru nadziemskiego.

Nowogrecy podróżują wygodnie, o ile możności pierwszą klasą, nie o wiele tu droższą od drugiej, której bilet ja posiadam. W obszernem *coupé* siedzę swobodnie z moimi dwoma towarzyszami, Czechem filologiem i Słowieńcem historykiem; w drugim przedziele rozsiadł się młody, wysoki i smagły Grek, przypatrujący się nam ciekawie i przysłuchujący się z natężoną uwagą, ilekroć mój czeski towarzysz, zagłębiony w czytaniu książki, zapyta o jakąś miejscowość. Wreszcie nie może się powstrzymać od zawiązania z nami rozmowy i poczyna nam zadawać pytania w nowogreckim języku, dla nas zawsze jeszcze niezrozumiałym, choć podczas kilkutygodniowego pobytu w Grecyi jużeśmy się nieco osłuchali w tej z narzecza ludowego wyrabiającej się mowie. Uciekamy się więc, o ile można i o ile siły nasze pozwalają, do języka starogreckiego, atoli i to nie wiele pomaga. Nowogrek nie zna wymowy naszej, a my choć w teoryi wiemy, jak w nowożytnej Helladzie pojedyńcze głoski się wymawiają, to przecież w szybkiej, potocznej mowie nie możemy dać sobie rady z wyrazami przez naszego nowego towarzysza wymówionymi, a to tem bardziej, że i jemu starogreczyzna idzie z trudnością i co chwila miesza do niej zwroty i słowa żywcem z dzisiejszej mowy przejęte. Nie mogąc się w ten sposób porozumieć, rozpoczynamy przemawiać z kolei po niemiecku, włosku i francusku, na co nasz towarzysz statecznie odpowiada: δὲν καταλαμβάνω, nie rozumiem. Taka apodyktyczna odpowiedź doprowadza nas prawie do rozpaczy, gdy oto z ust naszego Nowogreka padają słowa „poprawną“ łaciną wypowiedziane: *Loquis latine?* — *Loquimur, loquimur!* — chórem na to wszyscy trzej odpowiadamy. — *Ego etiam „loquo“* — brzmi odpowiedź Nowogreka i rozmowa natychmiast się ożywia, sprawiając nam równocześnie wielką uciechę, gdyż zasady gramatyczne naszego nowego niespodziewanego towarzysza stoją w rażącej sprzeczności z utartemi powszechnie wyobrażeniami o konjugacyi i deklinacyi łacińskiej. Było to dla nas tem większą niespodzianką, ile że z rozmowy i świadectwa nam okazanego a przez uniwersytet ateński wydanego dowiedzieliśmy się nieomylnie, iż nasz Nowogrek jest właśnie nauczycielem filologii starożytnej, t. j. języka

łacińskiego i starogreckiego w tak zwanej σχολή ἐθνική *(scholi ethniki)*, odpowiadającej prawie w zupełności naszemu niższemu gimnazyum. W Grecyi bowiem istnieją najpierw szkoły ludowe, po których ukończeniu przechodzi się do σχολή ἐθνική, obejmującej cztery lata nauki z filologią starożytną, jako głównym przedmiotem. Wyższego stopnia nauki nabywa się w γύμνασιον *(jimnasion)* o nowym czteroletnim kursie, uprawniającym ucznia do wstąpienia na uniwersytet, czyli πανεπιστήμιον *(panepistimion)*. W uniwersytecie i γύμνασιον uczą profesorowie: κατηγέται *(katigetes* od κατηγέτης) czyli, jak lud mówi, κατηγίται *(katijites* od κατηγίτης), posiadający stopnie akademickie, podczas gdy w σχολή ἐθνική udzielają nauki nauczyciele διδάσκαλοι *(didaskali)*, w ludowem narzeczu δάσκαλοι *(daskali)*, którzy nie potrzebują mieć ukończonego γυμνάσιον i uczęszczają do uniwersytetu, jako słuchacze nadzwyczajni. Oni to po trzyletnim co najmniej kursie składają w uniwersytecie egzamin z pojedyńczych grup i na podstawie jego uzyskują prawo uczenia w tych przygotowawczych do właściwego gimnazyum i licznie po kraju rozsianych szkołach. Zupełnie też podobne urządzenie istnieje i we Włoszech, gdzie szkoły średnie podzielono również na *ginnasio* i *liceo* z tą tylko różnicą, że w pierwszem kurs trwa lat pięć, a w drugiem tylko trzy. W *liceo* uczy też *il professore*, odpowiadający nowogreckiemu κατηγέτης, a w *ginnasio* nauka odbywa się pod kierownictwem „*i magistri*“, równających się nauczycielom, δάσκαλοι w nowożytnej Helladzie.

Otóż takim nauczycielem, διδάσκαλος czyli δάσκαλος, był i nasz towarzysz, który nadto ku naszemu zdumieniu był i synem włościanina z Delf i teraz za urlopem jechał na kilkudniowy pobyt do rodzinnej miejscowości. Oczywiście skorzystaliśmy z tak szczęśliwego zbiegu okoliczności i nie rozłączając się już ani na chwilę z naszym nowym towarzyszem, przybyliśmy wnet do Αἴγιον (Ejon), skąd wypływają parowce, dążące przez zatokę koryncką do Itei.

Aigion, położone niedaleko miejsca, na którem w starożytności rozsiadło się było miasto tegoż samego nazwiska, nazywało się do niedawna słowiańskiem mianem Vostica. Dopiero rząd grecki, zacierający systematycznie wszystkie ślady po słowiańskich osadnikach, nadał mu tę urzędową nazwę, która powoli i między ludem rozpowszechniać się zaczyna. Miasteczko samo liczy obecnie około 8.000 mieszkańców i jest obok Patras i Koryntu najważniejszym punktem handlowym nad zatoką koryncką. Dworzec kolei żelaznej wznosi się tuż nad samem wybrzeżem, ale całe miasto położone o wiele wyżej na dominującej terasie, skąd przepyszny widok na wielką część za-

toki korynckiej. Należy też ono do najschludniejszych miasteczek, jakie w Grecyi widziałem, a jego małe i czyste domki, jego ulice, ogrody i plantacye sprawiają miłe wrażenie i dowodzą, że osada podnosi się stale w najnowszych czasach.

Przystań niewygodna i zbyt otwarta. Wstąpiliśmy na prymitywne, z desek zbudowane *molo*, przy którem kołysało się na falach niewielkie czółno, co miało nas zawieść do dymiącego o kilkaset kroków parowca. Zatoka wtedy właśnie była nader wzburzoną, a czółno chwiało się na wszystkie strony i znajdowało o jakie dwa metry niżej od poziomu *mola*, na którem staliśmy. Trzeba było zdecydować się na skok i przytem dobrze wymierzyć, by nie użyć zbytecznej kąpieli. Nasz διδάσκαλος, bo tak go odtąd stale nazywać będę, chce nam dodać odwagi i odzywa się naiwnie w swojej łacinie: *Et nunc descendebimus in barcam et mare nos non deiciebit*. Miało to oznaczać, że bez obawy możemy skoczyć do czółna, gdyż fale go nie wywrócą. Nie było rady, usłuchaliśmy rozkazu i po dłuższej walce z spienionemi falami znaleźliśmy się na pokładzie małego parowca, należącego do nowogreckiego towarzystwa żeglugi parowej. Kapitan, pełniący zarazem i obowiązki sternika, wyglądał dosyć inteligentnie i mówił choć niechętnie po włosku; zresztą na pokładzie i w kajucie same postacie służby i podróżnych brudne jak statek, na którym podobnie, jak i na innych nowogreckich okrętach, pełno wszędzie przeróżnego plugastwa, co razem z nimi odbywa podróże morskie i utrzymuje komunikacyę między nadbrzeżnemi miejscowościami.

We dwie godziny później przybyliśmy do dawniejszej słowiańskiej wsi Vistranicy, położonej już na północnem wybrzeżu zatoki korynckiej. Tu skręciliśmy na wschód i płynąc wzdłuż wybrzeża nagiemi górami pokrytego, wpłynęliśmy do zatoki Salony, która w dwóch miejscach wrzyna się głęboko w ląd stały. Pierwsze jest przystanią dla osady Galaxidhi, a drugie zatoką wygodną i dobrze zasłoniętym portem dla małej mieściny Itei, oddalonej o 12 kilometrów od miasteczka Salony, dawniejszej Amfissy.

Na lądzie w Itei otoczyła nas zaraz zgraja Nowogreków, którzy dowiedziawszy się, że zamierzamy jechać do Delf, chcieli każdy dla siebie zrobić dobry interes. Żądano od nas bajecznych sum, zwłaszcza, że wieczór się zbliżał i piechotą iść nie było podobna. Dopiero stanowcze: *andremmo per i piedi*, pójdziemy piechotą, usposobiło ich przychylniej i za 24 drachm otrzymaliśmy wygodny powóz, którym ruszyliśmy zaraz do Delf, czyli właściwie wioski Kastri, oddalonej od Itei na trzy godziny drogi. Rozmowa w kuchennej ła-

cinie toczyła się wesoło, a διδάσκαλος co chwila pod wpływem żywego opowiadania powtarzał: *risusz me habet.* Nawet historyk, Słoweniec, widząc wartość naszej łaciny, wdał się w rozmowę z Nowogrekiem i otrzymał za to w zamian komplement: *Istusz dominusz*[1]) *bene loquit latine.*

Droga prowadziła początkowo przez zamkniętą z trzech stron równinę, pokrytą lasem drzew oliwnych i rozległemi winnicami. U podnóża gór skręca się na lewo do Amfissy, podczas gdy na prawo rozpoczyna się droga zbudowana przez Francuzów i wijąca się ślimakowato po stokach gór aż do samychże prawie Delf. Używają jej niemal wyłącznie tylko cudzoziemcy, gdyż krajowcy przenoszą nad nią krótsze o wiele ścieżki, po których przewożą towary na osłach i zaaklimatyzowanych wielbłądach.

We dwie może godziny po wyjeździe z Itei stanęliśmy w rozległej i dobrze zabudowanej wsi Chrysó, leżącej tuż obok zburzonej niegdyś Krisy, której mieszkańcy przenieśli się częściowo do Amfissy, a częściowo do Kirhy, położonej niegdyś nad samem wybrzeżem, nieco na wschód od Itei, gdzie dziś wioska nowogrecka Magaló. Minąwszy wieś, ujrzeliśmy się wkrótce przed potężną górą, jednym z odłamów Parnasu, dziś Liakurą zwanego. Droga nowa wiła się po pochyłościach wąwozu, przez który w czasie słoty przepływa rzeczka Pleistos, głębokiem łożyskiem pomiędzy owym odłamem Parnasu a na południe od niego leżącym szczytem Kirfisu. Przed nami zaś prosto w górę wspinała się ścieżka o wiele krótsza i, jak się z początku wydawało, dość wygodna. Didaskalos począł nam teraz coś długo i szeroko opowiadać w swojej łamanej łacinie, której przeważnie zrozumieć nie mogliśmy. Utkwił nam jednak w pamięci zwrot: *visebitis, si eatis cum mihi sub pedes primum in novanosz Delphosz, postea in veteranosz*[2]), *erit brevis via, et ista via, si ibimusz in curru, est longissima;* z tych słów domyśliliśmy się, że nam doradza woźnicę odprawić i pójść pieszo krótszą drogą. Zgodziliśmy się na to chętnie, choć zmrok już gruby zapadał, a Nowogrek skorzystał przytem niemało, bo gdy przyszło do zawarcia nowej z woźnicą umowy, wytargował od niego 6 drachm, t. j. tyle, ile wyno-

[1]) Wielu Nowogreków mówiąc obcym językiem, wymawia literę *s* jak *sz*, choć we własnym alfabecie mają tylko *s*, które też całkiem czysto i poprawnie wygłaszają.

[2]) „Veterani Delphi“ nazywał Nowogrek wywłaszczoną przez Francuzów wioskę Kastri, położoną na miejscu dawnych Delf, nazwę zaś „novani Delphi“ nadawał wiosce, którą właśnie podówczas zakładali wywłaszczeni wieśniacy z Kastri.

siła część na didaskalosa przypadająca, której oczywiście teraz nie czuł się w obowiązku zapłacić. I woźnica również mógł się czuć zupełnie zadowolonym, gdyż nie potrzebował męczyć koni po uciążliwej i, jak się później okazało, sporej jeszcze drodze — nam zaś wypadało przyjąć ugodę w milczeniu i zapłacić całą pozostałą sumę, jako przypadającą pierwotnie na nas kwotę. Taka jednakże „bezinteresowność“ naszego towarzysza wpłynęła na oziębienie stosunków pomiędzy nami i pogorszenie humoru. Milcząc przeważnie, poczęliśmy się wspinać w górę, wśród ciemności i ciągłego potykania się o kamienie.

Po całogodzinnej takiej podróży zatrzymaliśmy się na chwilę dla wypoczynku, a Czech filolog, któremu widocznie tego wspinania się było już za wiele, chciał teraz mieć dłuższą do didaskalosa przemowę i począł od zwrotu: *Quae cum ita sint.* Parsknęliśmy na to śmiechem, bo przy bladem świetle księżyca, który nareszcie ukazał się nam z poza chmur, dostrzegliśmy osłupienie Nowogreka, nic a nic tak szumnego dla niego frazesu nie pojmującego. Przykrą chwilę przerwał historyk zapytaniem: *domine, dicas nobis iterum, utrum longa via?* To pojął odrazu didaskalos i natychmiast odrzekł: *Non longa, non! sumusz iam in novanisz Delphis et minusz, quam in una hora, erimusz in veteranisz. Ibimusz, ibimusz ergo!* — której to formy używał stale, zamiast gramatycznego: *eamus.*

Dalsza droga była jeszcze przykrzejszą, ale prawdę mówił Nowogrek, gdyż nie minęła i godzina, a byliśmy już na miejscu, we wsi Kastri, położonej na gruzach dawnej stolicy amfiktyonów. Tu poczęliśmy się domagać u Nowogreka, by nas zaprowadził do mieszkania Basiliosa (czytaj: Wasiliosa), dozorcy starożytności, (παρασκευάς = paraskewas, φύλαξ τῶν ἀρχαιοτήτων = filaks ton archeotiton), który, jak słyszeliśmy, przyjmował w gościnę wszystkich podróżnych. Didaskalos odparł jednak na to: *domus Wasilii altissimusz est et sub pedes difficilissimusz.* Miało to oznaczać, że do mieszkania dozorcy, na krańcu w górnej części wsi położonego, droga daleka i dostęp do niego bardzo utrudniony. Szliśmy więc dalej za naszym przewodnikiem, szliśmy w ciemności po ruinach i dołach, ale ani w skromniutkim miejscowym urzędzie pocztowym, ani u jednego zamożniejszego włościanina nie przyjęto nas i skończyło się na tem, że musieliśmy z konieczności wspinać się dalej w górę aż do domu Wasiliosa, gdzieśmy przybyli dopiero o jedenastej w nocy, wyjechawszy z Aten rano o godzinie siódmej.

Chata naszego gospodarza była jeszcze stosunkowo o wiele lepszą od innych delfickich, czyli właściwie kastryockich lepianek,

podobnych zupełnie do naszych chat wieśniaczych. Z drzewa, gliny i kamienia nieobrobionego, którego tu wszędzie pełno, zbudowana, ma w środku sionkę podłużną, na lewo izbę mieszkalną z ogniskiem i urządzeniem prymitywnem, jak u chłopów galicyjskich, na prawo zaś dwie izby dla gości cudzoziemskich, ze stołem, ławą i trzema zaimprowizowanemi łóżkami, pełnemi nieodłącznych w dzisiejszej Grecyi owadów. W izbie gospodarskiej mieszczą się i kury, a wiatr wieje wszędy przez szpary i trzęsie całym domem. Gospodarz sam, choć dozorca starożytności, mało różni się od chłopa nowogreckiego; rząd opłaca go licho, więc utrzymuje się dostatnio z gości, którym każe sobie dobrze płacić, bo 7 drachm dziennie od osoby. Za to daje im dwa razy dziennie, rano i wieczorem, jaja i κρασί, czyli *vino resinato,* t. j. wino czerwone, niemiłego dla nieprzyzwyczajonych smaku, bo zmieszane z sokiem żywicznym *pinii*, na obiad zaś zupę, znowu κρασί i nieodzowne ἀρνὶ ψιτό, czyli baraninę. Koszt oczywiście niewielki a zysk niemały. Interes idzie też dobrze, gdyż potulny ród archeologów i filologów, gdy mu na odjezdnem gospodarz książkę przedłoży, zapewne grzecznością powodowany i nie chcąc w niczem świętemu miejscu ubliżyć, zapisuje dla gościnności gospodarstwa z małym wyjątkiem same pochlebne świadectwa [1]).

II.

Oryginalnem i w swoim rodzaju wspaniałem było położenie Delf. Wysoko ponad doliną wyżej wspomnianego a wyschłego zazwyczaj Pleistosu, czyli dzisiejszego Xeropotami, schodzą się pod kątem dwie skaliste ściany Parnasu, zwane Faëdriadami: wschodnia Hyampeia, dzisiaj Flembukos, jako dalszy ciąg rozległego grzbietu parnaskiego Petritis (helleńskiego Katopteuterios), i północno-zachodnia Rodini, zaginająca się wnet w kierunku miasta Amfisy. Dzieli je od siebie zaledwie na kilka metrów szeroki wąwóz a raczej olbrzymia, bardzo głęboka rozpadlina, która według podania służyła niegdyś za siedzibę smokowi Πυθώ [2]). Z niej to wypływa potok, który zasilony wytryskającem z Hyampei, sławnem źródłem kastalijskiem, spada wartko do kotliny Papadia, położonej u stóp obydwu powyżej wymienionych ścian Parnasu. Do rzeczki Pleistos, ku której kotlina papadyjska pochylona, nie dochodzi strumyk kastalijski, gu-

---

[1]) Tak było za mego pobytu w r. 1893. Obecnie zapewne postarają się Francuzi o wybudowanie jakiegoś lepszego domu zajezdnego.

[2]) Por. Pausaniasa Periegety: Opis Grecyi X. 6. 5.

biąc się wśród drzew oliwnych, kotlinę częściowo pokrywających, i docierając zaledwie niedaleko od miejsca, z którego sączy się inne małe źródełko, dawniej Σύβαρις a obecnie słowiańskiem mianem: Zaleska zwane.

Druga z wyżej wspomnianych ścian, Rodini, zaginająca się w stronę zachodnią ku miastu Amfisie, wysyła równocześnie wprost na południe jedną odnogę, ciągnącą się mniej więcej aż po wysokość źródła kastalijskiego, i tym sposobem otacza z trzech stron trójkątną, wewnątrz niej położoną terasę, która podnosząc się dość stromo w górę, kształtem swoim przypomina miejsca do siedzeń, czyli *cavea* lub κοῖλον starogreckiego teatru. Otóż na tej terasie, z której rozległy widok aż po zatokę koryncką, na wysokości 500—600 metrów ponad poziom morza znajdował się niegdyś święty plac *(temenos)* Apollina i jego ἀψευδέστατον μαντεῖον, na niej według wyobrażenia starożytnych środek całej ziemi, ὀμφαλὸς τῆς γῆς οἰκουμένης.

Co było właściwie powodem, że temu właśnie miejscu taką nadzwyczajną cześć oddawać poczęto? Pytanie takie, które każdemu poważniej myślącemu podróżnikowi nasunąć się musi, czeka dotychczas rozwiązania. Na razie w braku innych wskazówek odnieść chyba należy zawiązek kultu do tej świętej zgrozy, jaką na każdym człowieku, zwłaszcza w dawniejszych czasach, musiały wywierać dzikość okolicy i majestat jej skał wapiennych wulkanicznego pochodzenia.

Homerowska Πυθώ zażywa już w szóstym wieku przed Chr. światowego znaczenia, które urosło jeszcze więcej podczas trzeciej wojny perskiej, kiedy to bóg sam drapieżnych Persów trzęsieniem ziemi, tu często się ponawiającem, odstraszył od zrabowania świątyni i kiedyto wahająca się początkowo wyrocznia staje po bitwie pod Salamis stanowczo po stronie Greków i zagrzewa ich w przededniu walki pod Plateami. Mała pierwotnie świątynia po każdem spłonięciu [1]) odradza się coraz wspanialej, aż przemieni się w las kosztownych posągów i pysznych zabudowań, jakie wdzięczne państwa greckie bogowi światła ufundują. Ognisko związku amfiktyońskiego i igrzysk pityjskich staje się prawdziwem centrum politycznego życia Hellenów i miejscem pocieszenia dla pomocy i rady potrzebujących. Później i tu upadek następuje. Focyjczycy w drugiej połowie wieku III. rozdrapują kilkakrotnie nagromadzone skarby

[1]) Po raz pierwszy spłonęła świątynia w r. 548, po raz drugi w wieku czwartym (por. Pomtow: *Wochenschrift für classische Philologie* z r. 1895 nr. 1), po raz trzeci w r. 84 przed Chr

delfickie, a choć Etolowie w r. 278 ochraniają bohatersko świątynię przed drapieżną ręką barbarzyńskich Gallów, to jednak bezbożna dłoń Sulli zmusza na nowo kapłanów do wydania w r. 86 wielkiej części bogu poświęconych skarbów, a okrutny Nero wywozi stąd niemniej jak 500 posągów. Mimoto zostaje się przecież niemało, skoro jeszcze za czasów Pliniusza liczono tu 3.000 statui ze złota, srebra, bronzu i marmuru i skoro jeszcze za Pausaniasa Periegety w drugim wieku po Chr. święte miejsce równało się wielkiemu muzeum.

Stanowczy cios Delfom zadało dopiero chrześciaństwo. Na nic się nie przydały usiłowania pojedyńczych cesarzy a zwłaszcza Hadryana, zmierzające do podniesienia kultu pogańskiego. Katastrofa zbliżała się z nieprzepartą siłą. Delfy żyły jeszcze jakiś czas resztkami dawnej świetności, dopóki cesarz Teodozyusz, panujący od r. 379—395, nie położył im końca przez usunięcie wyroczni. Za czasów bizantyjskich przewieziono resztę skarbów do Konstantynopola, a z świętego okręgu zrobiono małą warownię i obwiedziono ją nowym murem. Wówczas do boju wystąpiła tu dzika przyroda, której Delfy zapewnie swój wzrost zawdzięczają. Skutkiem wyludniania się okolicy pustoszeje i traci znaczenie warownia, którą teraz z kolei raz po raz w tych stronach ponawiające się trzęsienia ziemi, dowodzące wulkanicznego początku całej miejscowej formacyi, pokrywają odłamami sterczących nad terasą skał. Na gruzach dawnej świątyni Apollina i jej rozległych przybudowań wznosi się z czasem nowogrecka osada Kastri, 250 numerów licząca, której mało cywilizowani mieszkańcy nie przypominają w niczem hieromnemonów, jak nie przypominają okazałości dawnych świątyń nędzne chaty nowych ich panów. Tylko kolumna Naxyjczyków, pozostała po sławnej świątyni i stercząca ponad gruzami, tudzież tu i owdzie w ściany chat wieśniaczych wmurowane kamienie ze starożytnymi napisami i inne nieliczne szczątki dawniejszych budowli wskazywały, gdzie szukać należy miejsca cudownego. do którego niegdyś pielgrzymowały całe zastępy Hellenów i cudzoziemców.

* * *

Motywem do licznego odwiedzania Delf były zrazu sława nieomylnej wyroczni, tudzież obok igrzysk pityjskich i głęboka wiara i cześć, jaką wszyscy pielgrzymi przejęci byli ku świętemu przybytkowi Apollina. Później zmieniła się pobudka u wielkiej części zwiedzających. Pobożnych pielgrzymów było coraz mniej, za to coraz więcej przybywało Rzymian i zromanizowanych lub zhellenizowa-

nych poddanych imperyum rzymskiego, którzy zaczerpnąwszy ze źródła cywilizacyi greckiej, pragnęli osobiście przyjrzeć się owej Helladzie, jaśniejącej chwałą minionej przeszłości i pełnej jeszcze zawsze zabytków dawnej sztuki i kultury greckiej. Punktem atrakcyjnym były przedewszystkiem Ateny, ale obok nich także Olimpia, Delfy i inne sławniejsze miasta helleńskie. Do nich to teraz ciągnęli ludzie zamożni, podobnie jak do dzisiaj dążą corocznie Anglicy i inne ludy europejskie w kierunku Włoch, Szwajcaryi i Francyi. Podróżom tym zawdzięczamy powstanie dzieła, rzucającego wiele światła na historyę sztuki greckiej i ogrom skarbów, zgromadzonych niegdyś koło świątyni boga delfickiego. Jak bowiem dzisiaj potrzebują turyści całego szeregu Baedekerów i katalogów, tak i wówczas dawała się uczuwać potrzeba podręczników, przypominających rozmaite szczegóły mało wtajemniczonym i podających odpowiedne wskazówki dla nieobeznanych ze skarbami sztuki, które mieli oglądać. Zrozumiano to dobrze w starożytności, a że takie podręczniki mogły liczyć na wielki pokup, przeto już wtedy powstało ich dość wiele. Do nich należy także i dochowany do naszych czasów *Opis Grecyi* w 10 księgach pióra Pausaniasa, zwanego przez uczonych Periegetą dla odróżnienia od innych autorów tegoż samego nazwiska.

Pausanias, pochodzący prawdopodobnie z wybrzeży Małej Azyi, żył w drugim wieku po Chr. Powodowany żądzą wiedzy czytał bardzo wiele i odbywał liczne podróże do krajów, nad morzem Śródziemnem położonych. Na podstawie też autopsyi i całego szeregu najrozmaitszych dzieł i źródeł ułożył swój przewodnik po Grecyi, przepełniony szczegółami archeologicznymi, historycznymi i geograficznymi. Jego opis Grecyi a właściwie tylko Peloponezu, Atyki, Beocyi i Focydy, to prawdziwa kopalnia najróżnorodniejszych wiadomości, częściowo znanych skądinąd, a częściowo jedynie przez niego samego podanych. Dlatego, choć tekst miejscami skażony, choć język i wysłowienie się, jak w każdym katalogu, zwięzłe i suche a często nawet zawiłe i niejasne, wartość jego dzieła właśnie dla nas nieoceniona, a wiarygodność, po przeróżnych zarzutach przez filologów mu uczynionych, zyskuje w miarę postępu wykopalisk coraz większe uznanie nawet u tych, co ją dotychczas zaczepiali.

Pausanias nie podaje nazwisk hotelów i restauracyi, bo tych starożytni prawie nie znali, ale za to prowadzi czytelnika od miasta do miasta i znalazłszy się w Delfach, których opisowi prawie całą dziesiątą księgę poświęcił, w miejscu pełnem najrozmaitszych przedmiotów sztuki i architektury, trzyma się ściśle miejscowymi warun-

kami oznaczonego porządku i przy każdem dziele sztuki objaśnia widza co do nazwiska artysty i przedstawionej osoby, tudzież szczegółów historycznych, z danym przedmiotem ściśle się łączących [1]). To też jego opis jak w ogóle jest niezawodnym przewodnikiem dla każdej ekspedycyi, czyniącej dzisiaj poszukiwania archeologiczne na starożytnym terenie dawnej Hellady, tak i przy wykopaliskach delfickich służyć musi za drogowskaz, który ustawicznie należy mieć przed oczyma.

Po Pausaniaszu z upadkiem całego życia starożytnego nie ma już nowych opisów, bo jak cała Grecya, tak i święty przybytek Apollina popada w coraz większe zapomnienie. Dopiero z rozpowszechnieniem się humanizmu odzywa się napowrót żywsze zainteresowanie się Grecyą. Najpierw więc Włosi a później Anglicy i Francuzi poczynają odwiedzać znowu kraj, który na całe wieki poszedł był w zapomnienie. Wszyscy jednak turyści i uczeni dążą przedewszystkiem do Aten, a na Delfy prócz Cyriaka [2]), Fabriciusa [3]) mało uwagi zwracają. Aż dopiero w naszym wieku po Leakem, który w roku 1806 naszkicował pierwszy plan świętej niegdyś okolicy, zajęli się Delfami głównie Francuzi. Architekt Laurent zdjął na polecenie rządu nowogreckiego pierwszą dokładniejszą kartę miejscowości (skala 1 : 8.000), która z małemi odmianami powtarza się w dziełach uczonych niemieckich, jak n. p. Ulrichsa *(Reisen und Forschungen)*, Curtiusa *(Anecdota Delphica 1843)* i Bursiana *(Geographie von Griechenland)*. Następnie Wescher i Foucart rozpoczęli wykopaliska w r. 1880 i 1881, lecz bez żadnego systemu, szukając tylko w sposób rabunkowy posągów i inskrypcyi, podobnie jakto postępowali Francuzi i w innych miejscowościach a zwłaszcza na wyspie Delos. Stąd też i dzieło ich *(Memoire sur les ruines et l'histoire de Delphes*, Paris 1865), prócz 26 na jaw wydobytych inskrypcyi, nie ma wielkiej wartości i jest w znacznej części tylko powtórzeniem rozprawy Ulrichsa i streszczeniem opowiadania Pausaniasa. Inskrypcyi szukał również i Haussoulier, który do znanych już dodał 39 nowych, ogłoszonych w *Bulletin de correspondence hellenique*, t. V. z r. 1880. Dołączone do nich plany w opracowaniu architekta Loviota o skali 1 : 100

[1]) Tak nie jest tylko w pierwszej księdze, Atyce poświęconej, gdyż wydał ją Pausanias pierwej, kiedy jeszcze nie miał należytego doświadczenia i był nowicyuszem na polu literackiem.

[2]) Cyriacus de Pizzicolle, zwany także Cyriacus z Ankony, był dwukrotnie w Grecyi w r. 1434 i 1448.

[3]) Jan Albert Fabricius, filolog niemiecki, ur. 1668 † 1736.

odznaczają się dokładnością pomiarów i przyczyniły się też niemało do lepszego poznania terenu. Wreszcie w r. 1889 ukazuje się w Berlinie dzieło Niemca Pomtowa: *Beiträge zur Topographie von Delphi*, które niejako zamyka szereg powyższych prac i wielu jeszcze innych niewymienionych rozpraw, tudzież szczegółów inskrypcyjnych, wydanych przed rozpoczęciem robót obecnej ekspedycyi francuskiej. Pomtow, żywiący wielką nieufność dla archeologicznych zdobyczy francuskich, opisał po raz ostatni dawniejszy stan Delf przed podjęciem nowych wykopalisk i przyznać trzeba, że opisał go z całą uczonością i iście niemiecką dokładnością, ale też równocześnie i z wyraźną niechęcią dla rywalizujących z jego rodakami Francuzów. W kilka lat później nastała dla Delf nowa era, obfitująca w nierównie donioślejsze wyniki, jak dotychczas.

Po olbrzymich odkryciach Schliemanna i Dörpfelda i rezultatach, do jakich doszli Niemcy w Olimpii, republika francuska, powodowana ambicyą, stanęła do szlachetnego współzawodnictwa z innymi ludami, a parlament francuski nie wahał się w r. 1891 uchwalić 500.000 franków na cele odkopania starożytnych Delf. Nauczeni doświadczeniem wzięli się też Francuzi inaczej do rzeczy, jak dawniej. Postanowiono wysłać osobną ekspedycyę, na sposób niemieckich wypraw naukowych urządzoną. Utworzenie jej powierzono p. Homolle, szefowi archeologicznego instytutu francuskiego w Atenach *(école française d'Athènes)*, mającego to samo zadanie, co niemieckie archeologiczne instytuty w Atenach i w Rzymie.

W skład ekspedycyi, oprócz jej naczelnika, p. Homolle'a, weszli archeolog i epigrafik, p. Peidrizet, dwaj młodzi wychowankowie instytutu *(membres de l'école)*, pp. Couve i Bourget, tudzież, jak się zaraz okazało, bardzo uzdolniony kierownik robót technicznych, p. Convert, *conducteur des ponts et chassées*. Do kompletu brakło jeszcze tylko fachowego architekty, którego dopiero po reklamacyach ze strony niemieckich uczonych powołano z końcem r. 1894 w osobie p. Tournaire. Zresztą w wykopaliskach bierze z natury rzeczy żywy udział cała *école française*, a p. Homolle powołuje za zezwoleniem władzy i innych członków do przeprowadzenia tej lub owej pracy.

Tak zorganizowana ekspedycya postarała się przedewszystkiem o pozwolenie do wywłaszczenia [1]) wszystkich osadników wsi Kastri

---

[1]) Wywłaszczenie kosztowało Francuzów przeszło 400.000 drachm, czyli licząc według ówczesnego kursu około 300.000 franków, a więc $^3/_5$ uchwalonej przez parlament sumy. Pieniądze trzeba było do grosza

i przeniesienie ich o dwa kilometry dalej na zachód, do innej nierównie rozleglejszej i lepiej położonej terasy, gdzie założono tak zwane Nowe-Delfy. Burzenie domów odbywało się stopniowo i ręką samychże chłopów z Kastri, którzy za otrzymane od ekspedycyi pieniądze mieli po koniec października r. 1893 przenieść się całkowicie do nowej osady tak, aby w r. 1894 praca koło odkopywania nie doznawała już żadnej przeszkody.

Trudności terenu były i są oczywiście znaczne, bo nie licząc kosztownego wywłaszczenia wieśniaków nowogreckich, cała terasa była przywaloną gruzami do znacznej wysokości. Atoli praktyczny właśnie na polu technicznem umysł francuski umiał sobie i tu dać radę i święci już od roku niemałe tryumfy.

Burzenie domów na głównej terasie poczęło się od dołu, od wąwozu Papadii i postępowało powoli coraz wyżej w górę. Na pozyskanym w ten sposób już w pierwszych miesiącach terenie położono natychmiast żelazne szyny i poczęto gruzy uprzątywać, wywożąc je wózkami i zsypując do wąwozu Papadii. W miarę postępu robót szyny przesuwają się w górę lub zakładają coraz nowe tak, że praca może postępywać stosunkowo dosyć raźno. Obecnie wykopaliska objęły już prawie całą wschodnią połowę głównej terasy i mogą się na niej ukończyć mniej więcej w jesieni roku przyszłego 1897. Po odsłonięciu jednak głównej terasy trzeba będzie jeszcze przeprowadzić wykopaliska na jej bocznych odnóżach, z których wschodnie znajduje się popod górą Petritis i Hyampeią, zachodnie zaś na południowym stoku skały Rodini, od strony Nowych-Delf i wsi Chrysó.

Odsłonięte przedmioty większe pozostają na miejscu, w którem je odkopano, czyli *in situ* [1]), mniejsze zaś lub bardzo cenne składają się na razie w małym budynku, skąd je stopniowo po odkopiowaniu przeniosą do centralnego muzeum w Atenach, gdzie już na ich przyjęcie urządzono osobną salę. Zostaną też one wszystkie własnością państwa i narodu nowogreckiego; Francuzi zastrzegli sobie tylko prawo pierwszej publikacyi i przywileju tego bronią tak troskliwie, że ilekroć we wspomnianym budynku, za tymczasowe muzeum służącym, albo koło samychże wykopalisk oglądałem szczątki rzeźby greckiej i jakiś szczegół chciałem sobie zapisać, to wówczas

---

wyliczyć każdemu z Kastryotów na rękę, gdyż inaczej nie chcieli pozwolić na rozpoczęcie robót. Zabudowań w Kastri liczono ogółem 355, między temi około 250 domów mieszkalnych.

[1]) Tak przynajmniej było w r. 1893 za mego pobytu w Delfach. Por. jednak uwagę poniżej na str. 267.

przybiegał natychmiast dozorca i oświadczał kategorycznie, że niewolno kopiować, ani czynić żadnych notatek.

Dopiero więc za lat kilka będziemy mieli dokładną wiadomość o Delfach, kiedy i wykopaliska się ukończą i Francuzi wyniki ich złożą w jakiemś wiekopomnem wydawnictwie. Tymczasem jednak należało zainteresować świat uczony i zaanimować ziomków, by udzielili dodatkowej subwencyi, bezwarunkowo do ukończenia robót potrzebnej. Posłużyły ku temu wybornie cenne nadspodziewanie odkrycia, w r. 1894 dokonane, o których doniosły światu tak dzienniki, jak i wydawnictwa mniej lub więcej poważne [1]). One to już teraz uprawniają nas do przypuszczenia, że ogólny rezultat wykopalisk będzie bardzo doniosłym, donioślejszym nawet, o ile przewidzieć można, od wyniku osiągniętego przez Niemców w Olimpii; one też dowodzą, że do postępowania Francuzów w Delfach możemy, ogółem wziąwszy, mieć już pełne zaufanie, bo choć może i w tym wypadku nie zastosują w całej pełni skrupulatności niemieckiej [2]), to przecież sposób obecnego ich prowadzenia wykopalisk różni się znacznie na korzyść od dawniejszych, czasami nieumiejętnych i rabunkowych poszukiwań.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Korneli Juliusz Heck.

---

[1]) Por. zwłaszcza Chr. Belgera i A. Furtwänglera artykuły w *Berliner philologische Wochenschrift* za r. 1894 nr. 27 i 40, tudzież streszczenia wykładów Pomtowa w *Wochenschrift für classische Philologie* nr. 42 i 43 z r. 1894 i nr. 1, 2 i 3 z r. 1895. Z francuskich publikacyi por. zwłaszcza prace, sprawozdania i notatki z posiedzeń *école française d'Athènes*, ogłoszone przez Homolle'a i innych w *Bulletin de correspondance hellenique*, t. XVI., XVII. i XVIII. Do sprawozdania Homolle'a w t. XVIII. str. 175—196 dołączono także i plan dotychczasowych wykopalisk, wykonany przez Convert'a, o skali 1 : 500. Inne częściowe plany terenu wykopaliskowego wypracował Tournaire (por. *Bulletin de corr. hell.* t. XVII. str. 611). Na miejscu w Delfach założono też obserwacyjną stacyę meteorologiczną, a pp. Convert i Ardaillon (także wychowanek instytutu) mają zamiar zbadać całą Focydę pod względem pokładów geologicznych, fauny i flory.

[2]) Belger l. c. zarzuca Francuzom, że nie wzięli z sobą architekta, któryby na miejscu odkopania czyli *in situ* kopiował przedmioty i że w nieobecności tegoż części kolumn, rzeźb itd. przenoszą często bez potrzeby na inne miejsce lub składają je nieraz dowolnie razem. Byłby to zarzut ważny, bo pozostawienie przedmiotów na miejscu przyczynia się nieraz do oznaczenia, co do czego należy. Sądzę jednak, że Belger przesadza z animozyi ku Francuzom i że ci, jak za mego pobytu w Delfach, tak i teraz przenoszą tylko te przedmioty, które przenieść muszą celem dalszego prowadzenia wykopalisk.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część druga.

(Ciąg dalszy).

II.

Wśród autorów, piszących o Galicyi z końcem ośmnastego i z początkiem bieżącego wieku, jedną z najsympatyczniejszych postaci a zarazem najbardziej bezstronnym obserwatorem jest bezwątpienia Samuel Bredetzky, pastor ewangelicki gminy lwowskiej a zarazem superintendent całej prowincyi. Urodzony w dniu ośmnastym marca 1772 r. w Deutsch-Jakóbjan, w Saroskim komitacie, na Węgrzech, uczył się w ewangelickiem gimnazyum w Oedenburgu, zkąd udał się następnie na uniwersytet do Jeny. Słuchając wykładów Fichtego, Griesbacha, Lentza i Schütza, oddawał się równocześnie studyom teologicznym, filozoficznym i przyrodniczym, które dały mu tę wszechstronność poglądów, objawiającą się zarówno w jego pracach literackich, jak i w kaznodziejskim zawodzie. Będąc jeszcze uczniem jenajskiego uniwersytetu, brał Bredetzky czynny udział w pracach tamtejszego towarzystwa mineralogicznego, a powróciwszy do kraju, zajął zrazu skromne stanowisko nauczyciela szkoły miejskiej w Oedenburgu, zkąd go w roku 1802 powołano na katechetę do Wiednia. W trzy lata później widzimy go kaznodzieją gminy ewangelickiej w Krakowie, zaś od roku 1806 osiadł jako pastor i superintendent we Lwowie. Gorliwy w pełnieniu swych obowiązków zawodowych, wymowny kaznodzieja, znalazł Bredetzky dość czasu na działalność literacką i publicystyczną, której ślady znajdujemy w wiedeńskich publikacyach, p. t. *Annalen der Literatur und Kunst in dem österreichischen Kaiserthume*, w Wächtera

Praktische Bibliotek, w *Hesperusie* i w Jenajskiej *Literaturzeitung*. Część jego rozpraw, dotyczących Galicyi, ukazywała się równocześnie w polskim przekładzie w *Gazecie lwowskiej*, której początkowych roczników imię Bredetzkyego prawdziwą było ozdobą.

Śmierć zaskoczyła go w kwiecie wieku, gdyż zmarł w dniu dwudziestym maja 1812 roku we Lwowie, licząc zaledwo lat czterdzieści, żałowany powszechnie.

Zanim zdamy sprawę z literackiej działalności Bredetzky'ego, dotyczącej Galicyi, słów kilka poświęcić musimy jego rozprawom, rozrzuconym w rocznikach *Gazety Lwowskiej* w latach 1811—1816. I tak w pierwszych zaraz miesiącach istnienia tego pisma znajdujemy ciekawą rozprawę jego pióra: „O płodach natury i kunsztów w Galicyi", po której nastąpiły pomniejsze artykuliki Bredetzky'ego, p. t. Wody Galicyjskie, Rzut oka na strukturę ziemi galicyjskiej, Góry Galicyjskie.

Ze względu na treść samą najwięcej dla nas przedstawia interesu rozprawa: „O płodach natury i kunsztów" [1], drukowana pierwotnie w piśmie peryodycznem: *Vaterländische Blätter*, a następnie rozszerzona i przerobiona przez autora. Pracę swą podzielił autor na dwie części. W pierwszej mówi o płodach natury: o kamieniach, roślinach, zwierzętach, w drugiej o fabrykach i rękodzielniach. W części pierwszej, pisząc o skamieniałościach, nadmienia Bredetzky o odkryciu skamieniałego słonia, którego wykopano w Sadogórze przed rokiem 1808, zaś równocześnie w pobliżu Czerniowiec znaleziono skamieniały szkielet ludzki. Wspomina też o torfie, istniejącym w najlepszym gatunku w okolicy Lwowa. W roku 1808 wyrobiono tu 400.000 sztuk cegieł torfowych, które sprzedawano po cenie cztery złr. za tysiąc. Ciekawą jest niemniej wiadomość o poszukiwaniach złota w okolicach Nowego Targu i Łącka, tudzież o płukarni tego kruszcu koło Kirlibaby na Bukowinie, gdzie w roku 1803 nazbierano złotego piasku wartości siedmiu piastrów. W kopalni ołowiu na górze Dudul pod Kirlibabą wydobyto w roku 1803 tego kruszcu 1.537 cetnarów i 1.063 grzywien srebra. Żelazo wydobywano w kilku miejscowościach na Bukowinie, oraz w Mizuniu, w Skolem, w Smolnie i w Dołhem w Galicyi. Nadto koło Wiśnicza, w Bocheńskiem, odkryto przednią rudę żelazną, ale jej nie eksploatowano.

W dziale roślin głównym ziemiopłodem — zdaniem Bredetzky'ego — jest hreczka. Len udawał się głównie w obwodach podkarpackich, konopie w cyrkułach wschodnich. Tytoń sadzono w Sta-

[1]) Dodatek do „Gazety Lwowskiej" 1811. Nr. 11—14.

nisławowskiem, zaś koniczyna, importowana do Galicyi przez niemieckich kolonistów, tak się rozpowszechniła, iż corocznie po kilkaset cetnarów takowej sprzedawano do Szlązka i do Węgier. Uprawa rheumbarbarum, zarzucona w Mokratynie, podjętą została ponownie w Uniowie. Natomiast z rzepakiem pierwsze dopiero próby czynili koloniści w Winnikach, zaś anyż siano jedynie w cyrkule Stanisławowskim.

Obfitowała też Galicya w drzewa owocowe wszelkiego rodzaju. Udawały się nawet orzechy włoskie, szczególniej na Kortumówce. Kultura szlachetniejszych gatunków drzew owocowych była zasługą główną kolonistów niemieckich, którzy zachęcani nagrodami rządowemi, sadzili i szczepili wiele drzew w swych ogrodach. Słynęła z sadów kolonia Landestreu pod Kałuszem, zaś radca Kortum na swym folwarku Friderikenhof zwanym, (dzisiejsza Kortumówka), posiadał winnicę. Jagody dojrzewały w niej wprawdzie, ale wytłaczane z nich wino było kwaśne. W lasy, prócz okolic podkarpackich, obfitowały obwody: rzeszowski, tarnowski, brzeżański, złoczowski, a główną zasługę uporządkowania lasowej gospodarki w Galicyi przypisuje Bredetzky administratorowi dóbr kameralnych, Kortumowi.

Koń, krowa, owca, są najbardziej liczne w Galicyi, choć woły i krowy tutejsze, dzięki nieumiejętnemu obchodzeniu się, złej paszy w zimie i stajniom źle zaopatrzonym, nie mogą iść w porównanie z bydłem węgierskiem. Autor opowiada o dworach, posiadających do czterdzieści krów w oborze a pozbawionych mleka w zimie... Wczesne zaprzęganie koni i wołów w wieśniaczych gospodarstwach sprawia, iż one karłowacieją. Natomiast woły karmne po dworach dostarczały bardzo pięknych okazów, zaś owce galicyjskie wyższość miały nad węgierskiemi. Ogólna cyfra bydła przedstawiała się w roku 1810, jak następuje: Wołów 310.758, krów 527.579, owiec 381.108, koni 216.008.

Rzecz o płodach natury zamyka Bredetzky wyliczeniem wód mineralnych: w Tyliczu, w Krynicy, (flaszka wody krynickiej kosztowała we Lwowie 1 złr.), w Korzowie pod Brodami, w Dornie na Bukowinie. Zdrojów siarczystych było trzy: w Lubieniu, w Szkle i w Świętym Onufrym pod Seretem. „Kąpiele mineralne we Lwowie“ — słowa autora — „znane pod imieniem wód żelaznych więcej z powodu przyjemnego położenia swojego, niż z wewnętrznej mocy są sławne“...

Niemniej interesującą dla badacza krajowego handlu i przemysłu jest część druga leżącej przed nami rozprawki, traktująca

o fabrykach i rękodzielniach a zaczynająca się od słów następujących: „Przemysł nie przyszedł jeszcze do takiego wzrostu w Galicyi, do jakiego mógłby być doprowadzonym. Niejedna gałęź onego jest zupełnie zaniedbaną; inne są jeszcze w kolebce a inne poczynają dopiero przychodzić do znaczenia. Tymczasem stan fabryk i rękodzielni w Galicyi w ogólności daleko jest lepszym, niżby wierzyć wypadało, słuchając przesadzonych zdań i skarg pojedyńczych pisarzów“...

W ogólności podzielił Bredetzky rękodzielniczą i fabryczną produkcyę galicyjską na trzy kategorye: na wyroby, do których surowca dostarcza królestwo zwierząt, oraz na czerpiące surowiec z świata roślinnego i mineralnego.

Pierwszą kategoryę produkcyi rozpoczyna od jedwabnictwa, bardzo słabo rozwiniętego w kraju. W Kętach i w Jędrzejowie było pięciu jedwabiarzów, w Rzeszowie i w Łańcucie czterech. W Sokalu na dziesięciu warsztatach wyrabiano paski jedwabne do opasywania się. Szmuklerzów było dwóch w Brzeżanach i 58 we Lwowie.

Znaczniejszą była produkcya towarów bawełnianych. W Białej wyrabiano fartuchy i spodnice, w Skrzyszowie i w Rudnie na dwudziestu warsztatach perkal. Najznaczniejszą wszakże była fabryka hr. Fries i Spółki w Nawsiu, zatrudniająca 206 warsztatów, produkujących: madras, nankin i płócienko angielskie, zwane gainghams, podczas gdy w Suczawie czterech rękodzielników wyrabiało fartuchy bawełniane dla wieśniaczek wołoskich, używane przez nie w miejsce spodnic.

Niemniej znaczną była liczba wyrobów, produkowanych z owczej wełny. W Białej na 185 warsztatach produkowano sztuki muślinu, kazimierku i innego sukna. W obwodzie myślenickim, w Lipniku, w Kozach, w Kętach i w Jędrzejowie czynnych było pięćdziesiąt warsztatów.

W wschodniej Galicyi istniała fabryka Heimerlowska w Żółkwi, wyrabiająca corocznie 250 postawów sukna i 50 sztuk baji. W Załościach czynną była jeszcze znaczniejsza fabryka Ignacego hr. Miączyńskiego, produkująca za pomocą maszyn z Anglii sprowadzonych do 2000 sztuk sukna, baji i kołder angielskich. Nadto prosperowały fabryki: Pawła Nikorowicza w Krzywotułach, (baja, kołdry angielskie), tudzież zakłady pomniejsze tego rodzaju w Dukli, w Dobczycach, (sieraki), w Ciężkowicach, w Jaryczowie, w Kulikowie, w Podhajcaeh i w Rzeszowie. Cena tych wyrobów podniosła się w trójnasób w latach 1805—1810 i w tymże samym stosunku podniosły się ceny wełny.

Garbarstwo i wyprawa skór posiadały w różnych stronach kraju zakłady fabryczne i pracownie, przerabiające surowy materyał na mniejszą skalę. Główną pracownią tego rodzaju była uprzywilejowana fabryka w Busku, wyprawiająca rocznie do 15.000 skór. Mniej znaczną była garbarnia w Załościach, produkująca głównie skóry czerwone. Od r. 1810 istniała garbarnia Köhlera i Wernera w Weldziżu, zaś w Kutach i w Tyśmienicy stu dwudziestu i czterech majstrów wyprawiało wyłącznie skóry safianowe. Skóry kordybanowe wyprawiano tylko w Suczawie. Garbarnie na większą skalę założył w Jaworowie i w Tarnowie Wohleber, podczas gdy drobniejszy przemysł garbarski istniał też we Lwowie, w Żółkwi, w Kamionce Strumiłowej i w Lubaczowie.

Pszczelnictwo kwitnęło w Galicyi, lubo tworzyło tylko poboczne zajęcie gospodarzy wiejskich i nie było prowadzone w duchu postępowym. Miód i wosk wywożono do Austryi, Węgier i do Tryestu. Blichowaniem wosku i wyrobem świec trudniły się fabryki Sławika i Wapińskiego, tudzież Schwarcmana w Jarosławiu, zaś w Karowcach, w Złoczowskiem, utrzymywał Kriegshaber woskobójnię, wyrabiającą corocznie do czterystu cetnarów wosku.

Tkactwo najwyżej stało w zachodniej części kraju, w Oświęcimiu i w Żywicach, gdzie liczono do 138 tkaczów, produkujących adamaszek, obrusy i serwety. Cienki rąbek tkano w Dąbrowicach i w Żmigrodzie, a i we Lwowie sporządzano wiele cienkiej bielizny stołowej. Grube płótno, wyrabiane w tysiącach sztuk w całym kraju a zwłaszcza w obwodach: przemyskim, rzeszowskim, samborskim, sanockim, sądeckim i myślenickim, wysełano całemi belami do Gdańska. Ogółem w roku 1800 było w ruchu w Galicyi wschodniej 4.209 tkackich warsztatów, lecz na to wszystko posiadano jeden, jedyny blich większych rozmiarów, założony przez D'Oschota w Krechowcach blisko Stanisławowa, gdzie znajdowała się dyrekcya tego zakładu. Tam też bielono wszelkie gatunki średniego i cienkiego płótna za opłatą 3 złr. od sztuki, liczącej łokci kilkadziesiąt.

Fabryki tabaczne były dwie; obie w posiadaniu skarbu. Fabryka w Winnikach przerabiała rocznie 70.000 cetnarów liścia tytoniowego i zatrudniała 885 robotników. Mniejszą była fabryka w Monasterzyskach, w której pracowało 436 robotników.

Lwów był — według Bredetzky'ego — siedzibą licznych stolarzów i fabrykantów muzycznych. Ci ostatni używali prócz drzewa orzechowego i wiśniowego, także drzewa cisowego, bukowińskiego, które pod względem mocy i piękności nie wiele różniło się od

drzewa mahoniowego. Średniej ceny i najprostsze sprzęty wyrabiała Kolbuszowa, ale bardzo wiele mebli sprowadzano z Wiednia.

W potażarnie obfitowała głównie Bukowina, gdzie w latach 1805—1807 wypalano corocznie cetnarów 5.822 potażu.

Papiernie były też wcale licznie zastąpione. Tego rodzaju zakłady istniały w Piwnicznej, (w Sądeckiem), w Przedborzu i w Szkle, (w Przemyskiem), w Hucisku, (w Żółkiewskiem), w Kutkorzu, (w Złoczowskiem), w Lelechówce, w Nawaryi i w Zawadowie, (w Lwowskiem), w Nowej Grobli, (w Brzeżańskiem), w Geryniu i w Lachowej, (w Stryjskiem), i w Krzywotułach, (w Stanisławowskiem).

We Lwowie czynne były dwie fabryki rosolisów: Baczelesa i Margulesa, zaś w r. 1810 założono trzecią fabrykę tego rodzaju w Jarosławiu. Natomiast gorzelni, pędzących zwykłą gorzałkę, było w Galicyi co niemiara, gdyż każdy dwór posiadał swoją gorzelnię.

Piwa mniej warzono. Tak zwane piwo angielskie wyrabiały browary Oechsnera i Millarda w Hureczku pod Przemyślem, Czartoryskich w Moszczanach i Brunnera Maksymiliana we Lwowie.

W Jaworowie egzystowała fabryka pudru i krochmalu Fiedlera, z którą przez czas krótki konkurowało podobne przedsiębiorstwo, założone w Lanetówce, w obwodzie złoczowskim. Lepiej wiodło się powroźnikom, wyrabiającym liny i sieci rybackie w Radymnie, zkąd je Wisłą spławiali do Gdańska. Wyroby ich płacono bardzo dobrze, podobnie jak pojazdy, wyrabiane we Lwowie, które w Galicyi i w Rosyi rywalizowały z powozami wiedeńskimi.

Z kolei przechodzi Bredetzky do ostatniego rozdziału swej rozprawki, traktującego o produkcyi rękodzielniczej i fabrycznej ze świata mineralnego. Tu znajdujemy na pierwszem miejscu wzmiankę o fabryce fajansów w Glińsku, niedaleko Żółkwi, rozsełającej po całej Galicyi cenne naczynia. Zakład ten, będący własnością Nikorowicza, zatrudniał trzydziestu robotników i sprzedawał swe wyroby za sumę 25.000 do 30.000 złr. Zachęcony tem powodzeniem założył Ludwig fabrykę naczynia kamiennego i fajansów w Worończu. Natomiast istniejącą tego rodzaju fabrykę w Olejowie zamknięto.

Huty szklane egzystowały: w Kamienicy, w Porębie Wielkiej, (cyrkuł sądecki), w Gumniskach i w Niwiskach, (c. tarnowski), w Nisku, (c. rzeszowski), w Okładowie i w Pieniakach, (c. złoczowski), w Zawałowie, (c. brzeżański), w Skolem, (c. stryjski), tudzież w Fürstenthal, w Krasnej i w Putnie, na Bukowinie. Szkło galicyjskie nie było złe, ale brakło tutejszym hutom szlufierni, gdyż jedyna szlufiernia, założona w Skolem znacznym nakładem przez

Jabłonowskich a obsługiwana przez robotników, umyślnie z Czech sprowadzonych, została zwinięta (w r. 1810).

Toż samo dwie saletrzarnie, istniejące w Wieliczce i w Brodach, nie mogły starczyć na pokrycie potrzeb krajowych, tem bardziej, że w Bezbrudach czynnym był młyn prochowy sukcesorów Serca. Musiano więc saletrę sprowadzać z Węgier. Na potrzeby wojskowe służyła fabryka skałek do broni palnej, utrzymywana w Niżniowie, w Stanisławowskiem, przez sukcesorów Freudenheina a zatrudniająca 33 robotników, podczas gdy zakład Singera Leopolda we Lwowie zajmował się wyłącznie wyrabianiem blatów ołowianych na tabakę z fabryki winnickiej.

Hamernie były w Skolu, w Podhorcach, w Synowódzku, w Mizuniu, w Podmichalu, w Sokołowie i w Lachowicach, (cyrkuł stryjski). W Sopocie i w Rybnicach wytapiano też żelazo, zaś hamernie w Smolnie i w Majdanie, (c. samborski), zatrudniały 104 robotników. Mniejsze były hamernie: w Zakopanem, gdzie pracowało 55 ludzi i świeżo założona w Cisnej, w Sanockiem, dająca zajęcie dziesięciu ludziom. Hamernie istniały też w Złoczowskiem, a mianowicie w Sielcach, w Bunkowie i w Ostapkowcach.

W końcowym ustępie rozprawki nadmienia Bredetzky o wykładach pszczelnictwa we Lwowie, zaprowadzonych staraniem rządu dla kandydatów teologii, tudzież o wydzierżawieniu przez skarb dóbr Kitałowice i Morawsko niejakiemu Litschkemu na założenie fabryki sukna dla komisyi mundurowej w Jarosławiu. Później na ten sam cel odstąpiono Fürstenbuschowi zamek w Tarnowicy z przyległymi budynkami i z stawem. — „Jeżeli szlachetne zamiary rządu“ — słowa rozprawy — „nie zawsze były dopięte, nie była w tem nigdy wina z jego strony“ ... Tyle relacyi Bredetzky'ego, rzucającej nader ciekawe światło na nieznane do tej pory, lub też błędnie przedstawiane stosunki przemysłowe Galicyi z początkiem bieżącego wieku.

Większym rozgłosem cieszyła się konkursowa rozprawa tegoż autora, p. t. *O przemyśle i gospodarstwie wiejskiem w Galicyi, tudzież o środkach podniesienia onychże*, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie *Gazety Lwowskiej*. Dzieje tego konkursu przedstawiają się, jak następuje: Z końcem sierpnia 1811 roku pojawiło się w „Gazecie“ ogłoszenie, p. t. Pytanie do rozwiązania. W pytaniu tem władza gubernialna, na której czele stał wówczas Piotr Goess, żądała odpowiedzi na zagadnienie, „jakie gałęzie przemysłu, lub płody ziemi byłyby dla Galicyi podług fizycznej i agronomicznej własności kraju najbardziej do udoskonalenia i powiększenia zdolne?

Gdzie a szczególniej, w których prowincyach cesarstwa austryackiego z korzyścią zbywane być mogą a przez to Galicyi powrócić zdołają te sumy, które za artykuły, za krajem wyrabiane, wydaje? Jakie oraz środki byłyby do tego najdogodniejsze i najprzyzwoitsze?...“ Odpowiedź na powyższe pytanie obejmować miała albo rozwiązanie ogólne, dotyczące całego kraju, albo też uwzględniające poszczególne okolice. Odpowiedź ogólna miała mieć pierwszeństwo przy rozdawaniu nagród, z których pierwsza, *(praemium)*, wynosiła 200 złr., druga, *(accessit)*, sto złr. Termin do nadsełania prac naznaczono do połowy stycznia 1812 roku. Jakoż w tym czasie nadesłano na konkurs jedenaście prac. Ich zbadaniem zajęła się komisya pod przewodnictwem Ignacego Rottersmana, prezesa sądu szlacheckiego, obradująca a złożona z Piotra hr. Zabielskiego, Jana Sachera, naczelnika administracyi solnej, Stanisława hr. Borkowskiego, Antoniego hr. Pawłowskiego, Józefa d'Oschota i z profesora Emanuela Kirschbauma. W dniu dziewiątym lutego 1812 roku sędziowie konkursowi wydali orzeczenie, przyznające pierwszą nagrodę pracy powyż wymienionej Bredetzky'ego, podczas gdy druga nagroda przypadła w udziale anonimowi. Był nim — jak się to później okazało — Nowakowski, radca magistratualny i dziedzic Chorostkowa. Rozprawę jego, p. t. Odpowiedź na pytanie, drukowano w *Gazecie Lwowskiej* z roku 1812, w numerach 84—90, podczas gdy pracę Bredetzkye'ego z niewiadomych bliżej powodów ogłoszono dopiero w cztery lata później, w kwietniu 1816 roku, kiedy wiele szczegółów w niej zawartych postradało już cechę aktualności.

Napomknąwszy we wstępie o dawnym handlu Polski ze Wschodem, wyliczał Bredetzky w swej rozprawie wszystkie ulgi i ułatwienia, czynione przez rząd austryacki w pierwszych zaraz latach po rewindykacyi, celem podniesienia galicyjskiego przemysłu i rolnictwa, poczem przeszedł do omówienia kwestyi, jakie gałęzie przemysłu lub płody ziemi byłyby w Galicyi podług fizycznej i agronomicznej własności kraju najbardziej do udoskonalenia zdolne. Zaczął od chowu bydła, twierdząc, iż jakkolwiek klimat galicyjski sprzyja nadzwyczajnie podniesieniu się tej gałęzi gospodarstwa krajowego, to jednak brak karmy, zwłaszcza u włościan w porze zimowej, częste zarazy, grasujące głównie w okolicy nadniestrzańskiej i złe obchodzenie się z bydłem, sprawiają, iż zarówno konie, jak bydło rogate, są niepozorne, nędzne i nie wytrzymują porównania z końmi i z bydłem rogatem na Węgrzech.

Przeciw temu twierdzeniu autora, zbyt może pessymistycznemu, zastrzegała się redakcya *Gazety* w obszernym przypisku, twierdząc,

18*

nie bez racyi, że konie włościańskie nie w całej Galicyi są nędznie utrzymywane i skarlałe. Najlepsze konie posiadali włościanie w okręgach: Myślenickim, Bocheńskim, Sądeckim i Jasielskim; gorsze zaprzęgi istniały już między Sanem a Dunajcem, lecz najmniej dbała o inwentarz pociągowy ludność rusińska, między Sanem a Dniestrem, choć w górzystych okolicach obwodów: Stryjskiego, Stanisławowskiego i Kołomyjskiego włościanie posiadają szczupłą ilość dobrych koni. Toż samo osadnicy niemieccy w Galicyi i na Bukowinie posiadali wcale dobre zaprzęgi, zaś dwory w obwodzie Myślenickim celowały utrzymywaniem obór z szlachetnych ras bydła złożonych.

Po tej uwadze powróćmy do tekstu Bredetzky'ego, który doradza osuszenie bagnisk i stawów, w miejsce których należałoby zapuścić łąki. Wspomina przeto o projekcie osuszenia bagnisk pod Komarnem, o spuszczeniu stawu Jaryczowskiego, tudzież zalewisk między Zadwórzem a Buskiem. Przy tej sposobności dowiadujemy się, że podczas spustu, urządzanego co trzy lata w stawie janowskim, (900 morgów obszaru), płacono za połów w roku 1800 sumę 14.000 złr. bankocetlami. Opisuje następnie autor olbrzymie bagno, ciągnące się na przestrzeni sześciu mil kwadratowych od Sambora po prawym brzegu Dniestru aż do połączenia się tej rzeki z Małą Bystrzycą. Podczas lat upalnych mieszkańcy okoliczni zbierają z tych bagnisk siano kwaśne, wielce niezdrowe dla bydła. W roku 1811 zajmował się cyrkuł samborski projektem osuszenia tych bagien, popieranym bardzo gorąco przez dyrektora żeglugi, Osterlama, zaś inżynier Mucha wypracował szczegółowy plan prac w tym kierunku dokonać się mających, który uzyskał najwyższe zatwierdzenie.

Dla podniesienia chowu bydła doradza nadto Bredetzky utworzenie ogólnej katedry w ówczesnem liceum lwowskiem, tudzież zaprowadzenie surowej policyi weterynaryjnej, zaznaczając równocześnie, że chów owiec rozwija się nader pomyślnie w Galicyi. Zwłaszcza dodatnio wypadły próby, czynione przez Rungego w Kitałowicach z owcami hiszpańskiemi. Słynęła też z doboru szlachetnych gatunków owczarnia starosty Kickiego, przeniesiona do Galicyi z dóbr jego w Królestwie polskiem położonych, zaś zadaniem rządu byłaby zachęta poddanych w kierunku gospodarki najkorzystniejszym dla ogólnego dobrobytu krajowego.

Pod względem pszczelnictwa Galicya — zdaniem Bredetzky'ego — pierwsze zajmuje miejsce wśród prowincyi monarchii austryackiej. Milowe łany, zasiane hreczką, dostarczają pszczołom głównego pożywienia, a jednak znaczne sumy wydawał kraj nasz rokrocznie na

zakupno wosku z Rosyi, gdyż włościanin galicyjski nie umiał się umiejętnie obchodzić z pszczołami. W Turzy pod Toporowem widział autor w roku 1802 pasiekę, z dwóch tysięcy pni złożoną a umieszczoną w lesie, w drzewach wydrążonych. Niedziw przeto, iż każdej zimy znaczna ilość pszczół ginęła zduszona niezgrabnem okładaniem ula słomą i gnojem, wybijana przy wybieraniu miodu lub też zmarznięta skutkiem niedostatecznego zabezpieczenia przed zimnem. Dziesięcina, wybierana przez dwory w chłopskich pasiekach, wywierała również wpływ ujemny na rozwój bartnictwa. Autor nasz doradza przeto zaprowadzenie katedry pszczelnictwa, oraz rozpowszechnienie wśród ludu popularnej broszury, osnutej na podstawie dzieł Christa a zawierającej wykład racyonalnej gospodarki pszczelnej.

Z kolei przechodzi Bredetzky do omawiania gospodarstwa rolnego w Galicyi. Mimo znacznej ilości zboża, wywożonego rokrocznie za granicę po pokryciu potrzeb miejscowej ludności, sądzi on, że należałoby podnieść poziom tutejszego rolnictwa przez staranniejszą kulturę pewnych ziemiopłodów, nie dość jeszcze rozpowszechnionych. W rzędzie tychże na pierwszem miejscu stawia koniczynę, uprawianą do tej pory w przeważnej części jedynie przez niemieckich osadników. Niedostateczną również była kultura tytoniu, sadzonego w cyrkułach stanisławowskim i w kołomyjskim, skutkiem czego fabryki galicyjskie musiały sprowadzać surowe liście z Rosyi. „Dla ożywienia uprawy tytoniu“ — słowa Bredetzky'ego — „powinnaby być podwyższoną zapłata za liście i należałoby usunąć — o ile możności — te przykrości, na które włościanie, przywożący liście do magazynów, są wystawieni“ ... Trzecim w rzędzie tych ziemiopłodów jest chmiel, sprowadzany dawniej z Czech, sadzony w Galicyi dopiero od lat trzydziestu. Pierwszym plantatorem chmielu na większą skalę był Preschel, który z Czech sprowadził do Buska sadzonki czeskie. Prócz chmielarni w Busku, produkującej corocznie trzydzieści do czterdziestu cetnarów tego artykułu, istniały większe plantacye chmielu w Wiśniczu, w Bocheńskiem, w Medenicach, w Samborskiem i w Radowcach na Bukowinie, nie licząc pomniejszych chmielarni, zakładanych we wszystkich prawie dobrach kameralnych. Dla podniesienia kultury chmielu i większego rozpowszechnienia piwa należałoby, zdaniem autora, znieść podatek czopowy. Ulga ta, prócz korzyści materyalnych dla kraju, posiadałaby i tę nieskończoną doniosłość moralną, że z czasem wyparłaby z kraju wódkę, nazwaną słusznie przez Bredetzky'ego piekielnym dla biednego ludu napojem.

Rzepak w owym czasie był w Galicyi nowością. Uprawą jego zajmował się pierwszy, niejaki Schmidt, kolonista niemiecki w Winnikach, i to z rezultatem wcale pomyślnym. Zachęca też Bredetzky do uprawy rzepaku, za którą, prócz znacznych korzyści, przemawiała też użyteczność oleju rzepakowego do oświetlenia, o wiele tańszego od świec woskowych i łojowych, sprowadzanych z Rosyi. Przy tej sposobności nadmienia nasz autor o wybijaniu przedniejszych gatunków oleju z laskowych orzechów, z nasienia słonecznika, a nawet z pestek śliwkowych. Z tych ostatnich wcale dobry olej wyrabiał aptekarz cyrkularny, Deck, w Brzeżanach. Doradza w końcu Bredetzky uprawę wyki siewnej i sporku, nieznanych zupełnie w Galicyi, oraz roślin farbierskich, jak marzanny i urzetu, z którego według doświadczeń lekarza, Heinricha, poczynionych w Plan, w Czechach, w roku 1811, możnaby dobywać farbę, nieustępującą w niczem wschodnio-indyjskiemu *indigo*. Rząd wynagrodziwszy suto Heinricha za jego odkrycie, zalecił zarządom dóbr kameralnych w Galicyi uprawę urzetu w obrębie ich gospodarstw.

Ze skarbów mineralnych wymienia Bredetzky w dalszym ciągu swej rozprawy: siarkę, znajdującą się w żyłach wśród opoki gipsowej pod Szczercem, i węgle kamienne w Kutach. Węgiel dobywano też dawniej w Mokratynie, ale niebawem zaprzestano tej eksploatacyi, gdyż wydobyty węgiel rozsypywał się w proch na powietrzu. Nie znano jeszcze wówczas procederu, polegającego na mięszaniu prochu węglowego z gliną garncarską dla uzyskania cegły na paliwo. Torf używany był jedynie we Lwowie, zaś Czerwiński w Grzędach zajmował się około roku 1811 eksploatacyą torfu na większe rozmiary. Bursztyn, znajdowany w okolicach Mizunia, nie nadawał się nawet do kadzenia. Natomiast eksploatacya żelaza odbywała się na większe rozmiary. Tu wylicza Bredetzky istniejące w kraju hamernie i huty szklane, znane nam z rozprawy jego, ogłoszonej w roku 1811. Najświeższa huta szklana powstała w roku 1810 w Nisku, kosztem skarbu. Pracowali w niej robotnicy z zamkniętej w tym czasie huty ze Skolego. Najcelniejszym wszakże darem, jakim przyroda obdarzyła Galicyę, są: sól z kopalni wielickich i bocheńskich, tudzież liczne żupy, istniejące w wschodniej części kraju, (w Hucku, w Lacku, w Drohobyczu, Modryczu, Solcu, Starej Soli, Stebniku, w Lisowicach, Bolechowie, w Dolinie, Kałuszu, Krasnem, Petrance, w Delatynie, Jabłonowie, w Kossowie, w Łączynie, w Maniowie, Młodatynie, w Mołodkowie, w Rozsulnie, w Słobodzie, w Utoropiu).

Załatwiwszy się w ten sposób z wyliczeniem skarbów przyrody, jakie Galicya posiadała, zastanawia się Bredetzky nad pytaniem, w jakim kierunku należałoby obrócić wywóz krajowy, by z takowego jak największe osiągnąć korzyści. Zaznaczywszy więc u wstępu konieczność utrzymania równowagi ekonomicznej w każdej z osobna prowincyi monarchii austryackiej, czyni tę wielce słuszną uwagę, iż Galicya na stosunkach handlowych z sąsiednimi Węgrami nie wychodzi bynajmniej z korzyścią. Zaopatruje ona wprawdzie północne Węgry w zboże, w skóry surowe i w żelazo, ale handel ten ulega częstym przerwom, podczas gdy rok w rok zakupuje Galicya za kilkakroć sto tysięcy wina węgierskiego, skutkiem czego pozostaje w stosunku zależności finansowej wobec krajów korony św. Szczepana. Podwyższenie stopy wywozu produktów galicyjskich jest przeto koniecznością. W tem miejscu wspomina Bredetzky o znanych już nam garbarniach w Galicyi, zaznaczając, że fabryka skór w Załościach straciła bardzo wiele skutkiem śmierci jej właściciela, hrabiego Miączyńskiego, gorliwego popieracza krajowego przemysłu. W ślady jego wstępował dziedzic Wełdziża, Matkowski, który w tej miejscowości, prócz garbarni, założył też kużnice żelazne. Wyprawianiem safianu trudnili się garbarze ormiańscy w Kutach, gdzie pracowało siedmdziesięciu majstrów, zatrudniających dwa razy tyle czeladzi i terminatorów. Wyprawiali oni rocznie do 70.000 sztuk koziej skóry. Z sierści koziej sporządzali koce, wędząc zarazem mięso i handlując niem na równi z łojem kozłowym. Zarabiali oni rocznie około 150,900 zł. m. k.

Z Węgier, prócz wina, sprowadzano do Galicyi i papier i saletrę, z Rosyi tysiące cetnarów świec łojowych, wosk, skóry niewyprawione, juchty i futra. We Lwowie używano przeważnie łojówek rosyjskich z powodu ich dobroci i taniości. Natomiast do Rosyi wysełała głównie swe wyroby: bieliznę stołową i nankin wielka fabryka hr. Friesa, istniejąca w Nawsiu. Wielce ożywionym był również handel solą i drzewem, wiedziony z Rosyą. Drzewo z stoków karpackich spławiano Dniestrem aż pod Odesę, podobnie jak piwo angielskie, warzone w Galicyi. Galicyjskie żelazo, skóry i szkła szły do Mołdawii, gdzie znajdowały chętny pokup, podczas gdy tutejsze zboże wyprawiano do Czech, Moraw i Szlązka austryackiego, które nawzajem zarzucały nas masami płócienek i kazimierku, zaś grube galicyjskie płótna zakupowali za bezcen komisanci, wysełani przez gdańskich kupców. Niemało też dochodu przysparzał tutejszym przemysłowcom handel tranzytowy w połączeniu z spedycyą towarów, pośredniczącą między Niemcami a Rosyą. Dzięki temu wzrosła tak

szybko zamożność Brodów, a i mieszczaństwo niemieckie we Lwowie porosło nader rychło w pierze.

Chwali też Bredetzky wyroby lwowskich fabrykantów muzycznych instrumentów, wśród których Schiller, Göbel, Zauner i Welke szczególniejszego zażywali rozgłosu. Lwowscy siodlarze i stolarze współzawodniczyć mieli — jego zdaniem — z fabrykantami wiedeńskimi, zbywając swe wyroby aż w Rosyi. „Zazdrość cechowa jednak“ — mówi nasz autor — „ocknęła się zbyt żywo we Lwowie. Rząd powinienby użyć wszelkich, w mocy jego będących środków, aby ta zazdrość profesyom nie szkodziła. Duch ten nie może brać przewagi, aby ogół przez to nie cierpiał. Im większa współubiegających się liczba, tem większa jest gorliwość i tem szczęśliwsza jest publiczność“ . . .

Po tej uwadze, świadczącej coprawda niezbyt pochlebnie o stosunkach, panujących w sferach przemysłowych i rękodzielniczych Lwowa, powraca nasz autor do produkcyi soli kopalnej w Galicyi, której roczna eksploatacya przenosić miała cyfrę miliona cetnarów, gdy w dwudziestu pięciu żupach krajowych produkowano rocznie 600.000 cetnarów soli. Sól kamienną spławiano Wisłą do Prus lub też prowadzono drogą kołową do Węgier oraz do zachodnich prowincyi monarchii, zaś warzonka galicyjska w dawniejszych latach znachodziła znaczny pokup w Rosyi, zkąd ją wszakże w następnych latach wyparła warzonka krymska i mołdawska.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Ks. Jan Badeni — o radykałach ruskich.

(Radykali ruscy. — Kraków 1896 r.).

Ksiądz Badeni, jeden z główniejszych filarów krakowskiego *Przeglądu powszechnego*, posiada dziwny dar poruszania kwestyi, szersze wzbudzających zainteresowanie. Jego styl — jak to już zresztą w innem zaznaczyliśmy miejscu — niewyszukany, a taki jędrny, taki świeży, nie nuży czytelnika, przeciwnie, skłania go do tem baczniejszego wczytywania się w każdą dalszą kartę rozpraw i studyów ks. Badeniego, do tem niecierpliwszego śledzenia, czy też płodny i ruchliwy autor jakiej nowej pracy w świat nie rzuci. I rzeczywiście, zaledwie mieliśmy czas poznać jego drugą seryę wędrówek po ziemiach słowiańskich, już nowe studyum: *Radykali ruscy* — znalazło się na półkach księgarskich.

Słusznie zupełnie twierdzi autor, że sprawa radykalizmu ruskiego pomijaną była albo pobieżnie traktowaną w prasie polskiej. A czas już był, żeby ktokolwiek stronnictwo to ruchliwe lepiej poznał, żeby je troskliwie zanalizował i szerszemu ogółowi pokazał, z kim właściwie ma się do czynienia. Pracy tej podjął się ks. Badeni.

„Papież radykalny“, ataman radykalizmu; czy jak go tam tytułować zechcemy — Michał Piotrowicz Dragomanow, wezwany 1889 r. z Genewy na profesorską katedrę do Sofii, uczynił ze stolicy Bułgaryi pewnego rodzaju Mekkę, do której pielgrzymowali młodzi, gorętsi Rusini, by tam na miejscu usłyszeć żywe słowo, płynące z ust apostoła i ojca radykalizmu ruskiego, by zaczerpnąć otuchę do dalszej ciężkiej nad ludem i rzekomo tylko dla dobra ludu pracy. Dragomanow od lat wielu głosił już, że Galicya przedstawia najlepsze pole do otwartej nad tłumem wiejskim pracy; jest to „jedyny zakątek Ukrainy“, w którym

mężowie inteligentni stanąć mogą przed ludem, by próbować natchnąć go swemi postępowemi ideami. I tak się stało w istocie; radykalni — nie potrzebując się lękać ni Sybiru, ni katorgi — pracują w latach ostatnich z rosnącą energią; coraz to nowe wiece gromadzą w różnych stronach kraju setki zbałamuconych włościan, słuchających z rozkosznem rozrzewnieniem ognistych mów o „lisach i pasowyskach", o podziale łąk, pól ornych i zalesionych przestrzeni między najbardziej potrzebujących, o oddaniu dóbr kościelnych w zarząd gminny, o zniesieniu podatków i służby wojennej, o zrównaniu wszystkich stanów, o wolności druku, pisma i zgromadzań się, o bezpłatnem nauczaniu w szkołach wszystkich i wreszcie o powszechnem tajnem prawie głosowania. Punkta powyższe tworzą też właściwie program „starych" i „młodych" radykałów, dwóch odłamów stronnictwa, które — aczkolwiek nierzadko się poróżnią między sobą — w stanowczej chwili w jednym zwartym hufcu pójdą naprzód w ogień.

Obok „generałów", stanowiących jakby sztab przyboczny zmarłego niedawno Dragomanowa, grupować się zaczęły szare, ciemne, niewykształcone rzesze, których nie wciągnęło w wir walki apostołowanie w sprawie tajnego powszechnego prawa głosowania, lecz — jak to sami zresztą przyznają radykali ruscy — obietnica podziału lasów i pastwisk. Ostatnie zwycięstwa partyi radykalnej ruskiej przy wyborach do Sejmu dały już pewne pojęcie o sile stronnictwa. *Chliborob* i *Hromadzkij Hołos*, to twierdze „starych" i „młodych", z których leci na głowy popów i Lachów grad pocisków cięższego i lżejszego kalibru, to olbrzymie dwa ogniska, ziejące iskrami między lud galicyjski, by jeno jaknajgroźniejszy wywołać pożar.

Czy cała wina istniejących smutnych w istocie stosunków spada na głowy panów i księży? czy oni tylko winni, że tyle biedaków pozbywa się ojcowizny, by w napadzie jakiegoś szału za morze uciekać? nie! stanowczo nie! „Największem nieszczęściem ruskiego chłopa — opowiada ksiądz dobrze z temi sprawami obznajomiony — najwłaściwszem źródłem dręczącej go biedy, bezprzykładne lenistwo, o którem w zachodniej Galicyi wyobrażenia mieć nie można. Więksi właściciele sprowadzają sobie Mazurów do służby, do roboty w polu; muszą sprowadzać, bo nie wyszliby na swoje. W jednej wsi, należącej do mej parafii, pracuje na dworskich łanach 70. Mazurów, a miejscowi chłopi leżą i patrzą. Jadąc do szkoły, do sąsiada, aż przykro czasem widzieć, jak się chłopi silni, zdrowi i młodzi po polach, po fosach wylegają. Na co jemu na zarobek iść, kiedy dziś ma co jeść, a i do jutra resztki w garnku zostaną?"

Oto największa bolączka chłopa ruskiego. I cóż dziwnego, że kiedy przyjdziesz do odzwyczajonego od pracy, zgłodniałego i powiesz mu: „Idź za mną, a będziesz miał zawsze w chałupie ogień, na stole chleb piękny, mleko tłuste a nawet kawał kiełbasy“ — chłop ruski bez wahania rzuci wszystko i za tobą — jak za nowym Mesyaszem — za morze powędruje.

Z kolei kreśli ks. Badeni sylwetki wybitniejszych wodzów galicyjskiego radykalizmu ruskiego. Najdzielniejszy z nich, wcielony typ agitatora, to Wiaczesław Budzynowski; towarzyszem jego w stronnictwie „młodych“ — niedoszły poseł, znany poeta i powieściopisarz, współredaktor *Kuryera lwowskiego*, Iwan Franko. W stronnictwie „starych“, których centrem działalności była Kołomyja a filią najpierwszą: Śniatyn, najruchliwszymi są Daniłowicz i Trylowski, obaj adwokaci, więc żyją „na pierwszem miejscu z chłopskich procesów“, obaj pobici przy ostatnich wyborach kandydaci do krzeseł poselskich, obaj spowinowaceni z duchowieństwem ruskiem, więc tem samem bardzo często goście na probostwach ruskich. Obok wyliczonych już pracowali lub pracują jeszcze: niegdyś pierwszy adjutant Dragomanowa i były wydawca i redaktor *Narodu* — Michał Pawlik, który cofnął się w domowe zacisze, poprzestając na ogłaszaniu długiej litanii broszur; dr. Oleśnicki, adwokat w Stryju; Włodzimierz Ochrymowicz (obaj połowiczni radykali) i poseł przemyski, Stefan Nowakowski

Ten ostatni nadto często figuruje w ostatnich tygodniach na szpaltach prasy galicyjskiej, więc też i jego sylwetka zaciekawi czytelników. „Dość on jeszcze młody, może liczyć 32, 33 lat życia; ale agitator bardzo już wprawny, wiedzący wybornie, jak i czem współobywatelom swym zaimponować. Przy komisyi wyborczej, choć pierwszy bodaj raz przypatrywał się jej działalności i rozgrywał się własny jego los, nie zadrgnął mu ani jeden nerw; po wyborze podziękował w kilku prostych, spokojnym głosem wymówionych słowach, i natychmiast zabrał się z powrotem do domu, do oddalonych o mil kilka Torek, w których piastuje wójtowską władzę. W ogóle, w sposobie przemawiania, nawet poruszania się naśladuje on podobno spokój, majestat ruskich księży przy religijnych obrzędach; Mazurówby to może zirytowało i pobudzało do ziewania, Rusinom trafia najłatwiej do przekonania. Pewne wykształcenie, a wespół z niem radykalne przekonania, zawdzięcza dzisiejszy poseł swemu bratu, prawnikowi, który przez lat parę u niego mieszkał, do książki, do pióra i do agitacyi go zaprawiał.“ Ideały, do których zmierza, poznajemy z listu Nowakowskiego, przesłanego redaktorowi *Monitora* (nr. 32). Na ławie szkolnej strawił p. poseł czasu niewiele, ukończył zaledwie cztery klasy przygotowawcze, lecz natomiast

szkoła życia, którą przeszedł: „twarda, pełna nauki, mozolna“. Dawni koledzy szkolni powierzyli mu mandat do Sejmu, gdzie ma szczery zamiar stawać mężnie i wytrwale w obronie odwiecznych praw ludu całego. Skarg i użaleń, przepełniających list otwarty Nowakowskiego, wyliczać nie mamy zamiaru: zwykła to i znana piosnka, powtarzana w każdym numerze *Chliboroba* i innych tego rodzaju wydawnictw, bez względu na język, w którym są ogłaszane.

Do pomocy płci brzydszej staje w owej agitacyi płeć piękniejsza; obok gorących radykałów kroczą śmiało naprzód niemniej zapalone Rusinki, co po probostwach swych ojców, braci lub kuzynów porozbijały namioty agitacyjne. Przyczyną tych niezdrowych stosunków jest w pierwszym rzędzie brak odpowiedniej szkoły, brak konwiktów zakonnych, gdzieby sentymentalna Rusinka znalazła obok nauki i prawdziwie chrześciańskie wychowanie. Wróciwszy z miasta na probostwo, lekceważy sobie religijne obrzędy, wstydzi się bić pokłony lub do bractwa się wpisać, pochwyta głoszone przez radykałów pięknie brzmiące teorye, pomięsza jedno z drugiem i staje się gorliwą agitatorką, gotową na każdem miejscu, o każdej godzinie dnia i nocy teorye swoje z prawdziwym niewieścim zapałem propagować. Ojciec macha ręką i milczy, a córka swoje robi, siada na wózek, by w czasie wyborów sejmowych przeciw nieradykalnej kandydaturze własnego rodzica agitować. Ciekawe to i oryginalne, ale niemniej przeto smutne.

Pierwsze skrzypce w owej głośnej radykalno-damskiej orkiestrze spoczywają w ręku powieściopisarki z Bolechowa, pani z Ozarkiewiczów Kobryńskiej: obok niej ugrupowało się wiele innych panien i wdów, rzadziej mężatek. „Radykalni agitatorzy — słowa ks. Badeniego — są w ogóle ludźmi zdolnymi i zapalonymi dla sprawy, za którą walczą; rzucają hasła popularne, domagają się spełnienia niejednego postulatu powszechnie od dawna za niezbędny uznanego; budzą i przywołują do świadomości żądze, pragnienia ukryte na dnie serca; wreszcie nie wahają się własnej swej osoby nadstawić. Czyż dziwić się, że tłumy nie pytają o więcej, że propaganda, prowadzona przez nowych mesyaszów, przyjmuje się i coraz szersze kręgi zatacza? Tem mniej dziwić się temu można, że propaganda to istotnie zręczna, energiczna, a w służbę swą zaprządz umiała wszystkie znane, możliwe środki.“

Takiemi są hasła, głoszone przez apostołów z końca XIX. stulecia; tak przedstawiają się w ogólnych zarysach nowocześni mesyasze radykalizmu, poznajmyż z kolei i drogi, jakiemi agitacya wnika między lud wschodnio-galicyjski.

Prasa — wiece — stowarzyszenia, oto są trzy zasadnicze środki, prowadzące do wytkniętego z góry celu. Przed niespełna ćwierćwiekiem

ukazały się nad genewskiem jeziorem zaczątki wydawnictw radykalnych ruskich. *Mołot*, *Hromada* liczyły w rzędzie swych współpracowników i radykałów, i późniejszych narodowców: obok Pawlika i Franki figurowały tam artykuły z podpisami Bełeja i Romańczuka. Przed sześciu laty nastąpił rozdział na dwa stronnictwa: wtedy to żywot swój niedługi rozpoczął *Narod*, wtedy pojawiły się: dwumiesięcznik naukowo-literacki, *Żytie i Słowo*, rozchodzący się stosunkowo znacznie, bo w około 200 egzemplarzach: kołomyjski *Chliborob*; „młody“ *Radykał* i *Hromadzkij Hołos*.

Radykalne pisma, to przednia pikieta, za którą w ślad postępuje tysiącgłowa armia: wiece. Nietylko w czasie wyborów zwołują je agitatorzy: w każdej porze roku nie zawadzi ustnie powtórzyć chłopom to, co niejednokrotnie już czytać mogli w radykalnych wydawnictwach. Żywe słowo oddziaływa na słuchaczów silniej, niejeden z nich również głos zabierze, inni mu potakują, pisemka nazwiska mowców całemu ogłoszą światu i miłość więc własna zadowolona, a włościanin z ochotą na wiec — jak na bal — spieszy. Pp. Budzynowski, Trylowski i inni z wózka nieomal nie zsiadają, ważną znajdując pomoc w adjutantującej u ich boku młodzieży akademickiej.

Potężnymi rozsadnikami propagowanych haseł są również stowarzyszenia, bez względu na to, czy posiadają one podkład politycznej natury, czy też nie. Lwowski Postup, kołomyjska Narodna Wola, ekonomiczne Narodne Spiłki, wiejskie i miejskie czytelnie, przez radykałów stworzone, nie zasypiają sprawy.

Czyż atoli ten wzmagający się z dniem każdym ruch, ta fala rosnąca, czem więcej oddala się od źródła swego — nie natrafiają na żadne tamy, na żadne przeszkody? I owszem: religia, cerkiew, ksiądz — oto mur, o który uderzają z całą zapamiętałością radykalne hufce. Poznały one zbyt prędko, że księży (z małymi bardzo wyjątkami) w swych szeregach nie ujrzą, więc też przeciw nim, a nawet przeciw religii wrogo stanęły, z czasem jednak powodując się względami praktycznymi — na wzór zachodnich socyalistów — ignorować ją postanowiły. „Zajęcie wprost i brutalnie zaczepnego stanowiska, wprowadzenie radykalizmu ruskiego na faktycznie i taktycznie błędną drogę zaciekłej walki z cerkwią i jej przedstawicielami, jest na pierwszem miejscu zasługą Dragomanowa. Religii, wszystkiego, co z religią miało związek, nienawidził on wprost chorobliwie; czytając jego artykuły i broszury, odnosi się wrażenie, że ma się do czynienia z niepoczytalnym w tym kierunku maniakiem, trzęsącym się na samo słowo: kościół — dostającym spazmów na widok księżej sutanny.“

W ostatnich czasach na tym punkcie odstąpiono od katechizmu „radykalnego papieża“, wołając za zachodem: „Religia jest rzeczą prywatną!“ Nie wynika atoli z powyższych słów zupełnie, by cerkiew była już spokojną, nietykalną. „Religii zaczepiać nie myślimy — głoszą „młodzi“ radykali — ale niech też księża staną na gruncie neutralnym i nas nie zaczepiają. Tymczasem musimy się bronić i stąd pewne wycieczki przeciw metropolicie i duchowieństwu.“ Forma co prawda inna, treść jednak ta sama.

Mimo silnej agitacyi nie wszystkie wsie uległy dotąd zdemoralizowaniu; niecała ludność stanęła wrogo przeciw swoim kierownikom duchownym; religia, cerkiew i ksiądz tworzą jeszcze na szczęście zaporę, wstrzymującą daleko idące zapędy radykałów.

Obok wyżwspomnianych przeszkód są jeszcze i inne, a mianowicie partye ruskie, trzymające się odmiennych programów. By najkrócej ten ich wzajemny stosunek omówić — powtarzamy za autorem pracy: „Noweerzystów“ radykali znieść nie mogą, Moskalofilów czyli „twardych“ nie lubią i trochę się boją, Narodowców czyli „miękkich“ nie bardzo lubią i trochę ich lekceważą.

Sojusznikami radykałów ruskich są radykali polscy wszystkich barw i odcieni.

Co robić? woła na końcu swej bardzo ciekawej rozprawki ks. Badeni? Co robić? powtarza echo po sto razy na obszarach wschodniej Galicyi. Że stronnictwo radykalne istnieje — przyjąć musimy jako fakt, nieulegający zakwestyonowaniu, czyż jednak tylko radykali mają patent na urządzanie czytelń i wieców, na rozrzucanie tysiąca broszur i ulotnych druków? Co prawda, hasła przez nich głoszone przyjemniej brzmią w uszach biedaków, ależ i praca przeciwnego, zacnego stronnictwa, praca wytrwała i bezustanna musi w końcu dobre wydać owoce. Ks. Badeni twierdzi, że z rokiem każdym więcej się w tym dodatnim kierunku na Rusi działa; objaw to nader pocieszający, a jakie będą rezultaty? przyszłość wykaże.

Może nadto obszernie streściliśmy rozprawkę ks. Badeniego, poruszyła ona jednak i zarazem odtworzyła możliwie wiernie tak ważną sprawę, że to nas zupełnie usprawiedliwić powinno.

MICHAŁ ROLLE.

Adolf Strzelecki: *Wystawa etnograficzna w Pradze.* — Kraków. (Odbitka z *Przeglądu polskiego).* 1896 r.

Wystawa etnograficzna, czyli, jak p. Strzelecki słusznie modyfikuje, „ludoznawcza“ w Pradze, znaną jest czytelnikom *Gazety Lwowskiej*

z sumiennego sprawozdania dra Franciszka Krčeka, nie mniej jednak ma imponujący ten wysiłek kulturny narodu czeskiego dla nas zawsze jeszcze, iż się tak wyrażę, bieżące znaczenie, to też korzystnem będzie odświeżyć sobie obraz czeskiej wystawy raz jeszcze na podstawie rozprawki sprawozdawczej p. Strzeleckiego, którą omówić zamierzamy.

Autor rozprawki, czynny sekretarz naszego młodego „Towarzystwa ludoznawczego", miał wiele danych w całym kierunku swych studyów, aby „etnograficzną" wystawę wogóle, a tem bardziej pobliskiego ludu słowieńskiego opisać dobrze, jakoż rzeczywiście sprawozdanie jego z wielu względów na uznanie zasługuje. W krótkiej przedmowie i przy końcu zrobił p. Strzelecki kilka małych alluzyi politycznych, które pomijamy, jako mało ważny stosunkowo wyraz indywidualnych zapatrywań autora, natomiast zajmiemy się więcej samym opisem wystawy. W opisie tym dział spostrzeżeń autora, odnoszących się do historyi, placu, pawilonów itd. wystawy jest bez kwestyi ważny i sumiennie opracowany, że jednak w tym względzie sprawozdanie dra Krčeka było równie dokładne, — dlatego wolimy ograniczyć się do tego, co rozprawka p. Strzeleckiego daje — nowego, t. j. do dat statystycznych, zebranych na wystawie, a więc dat, które dają nam same przez się obraz surowy, ale prawdziwy tego, co zwykle nazywamy „odrodzeniem narodu czeskiego" w najświeższej dobie jego histozycznego rozwoju.

W dziale „etnograficznym" wystawy podnosi p. Strzelecki słusznie wystawę — sławnych na świat cały — haftów i koronek, wyrabianych przez lud czeski. Jak wiele ta gałąź przemysłu domowego czeskiego przyczynia się do podniesienia względnego przynajmniej dobrobytu chłopa czeskiego, łatwo pojąć po przeczytaniu słów p. Strzeleckiego, „że „około 12.000 najbardziej charakterystycznych typów mieściło się w dwustu gablotach i w ramach, na ścianach porozwieszanych, a przecież miejsca nie starczyło na wystawienie wszystkich nadesłanych okazów." Mniej korzystnie przedstawiał się na „wystawie" przemysł domowy walaski — drzewny, jeśli tablice statystyczne, wykazujące dzienny zarobek włościan wskazywały, że drwal zarabia dziennie tylko 20 ct., wywożący drzewo z lasu 40 ct., a z 40 ct. połowa idzie często na opłacanie myta. „Walasi" — według Jirečka i in. — potomkowie Rumunów, przedstawiają ciekawy typ etnograficzny, — kolonia etniczna, przypominająca polskich „walachów" (wołochów).

W oddziale kulturno-historycznym wystawy mnóstwo ciekawych dat statystycznych zebrał p. Strzelecki. Była tam tabela, przedstawiająca ruch literacki i wydawniczy w Pradze. W r. 1892 wydano w Pradze 1507 oryginalnych dzieł czeskich i 456 tłómaczeń na czeskie. Dzieła treści naukowej stanowiły 38·7% ogólnej sumy dzieł oryginalnych, zaś 13·5% sumy tłómaczeń; beletrystyka 21·6% oryginalnych, a 70·9% tłómaczeń, popularne i praktyczne pisma 18·6% oryginalnych, a 14·9% tłómaczeń dostarczyły: pedagogia, książki szkolne i pisma dla młodzieży. Czasopism wychodziło w Pradze w r. 1892 aż 226, z tych 18 naukowych i literackich, 50 politycznych, 127 fachowych, a między temi najwięcej przemysłowych (35) i handlowo-ekonomicznych (26), najmniej zaś prawniczych (3) i i technicznych (4). Sztuce poświęconych było 12 czasopism, 22 czasopism wydawano popularnych i dla młodzieży, oraz 9

treści ogólnej. Ze sztuk pięknych najsilniej reprezentowaną była muzyka, co, jak wiadomo, jest właściwością specyalną narodu czeskiego.

Że oświata, reprezentowana przez tak znaczne cyfry statystyczne, nie jest w Czechach wykwitem egzotycznym, na to znajdujemy w rozprawce p. Strzeleckiego dowody takie, jak znana milionowa składka całego ludu na teatr narodowy praski i rozwój szkolnictwa ludowego. W r. 1861 było w Czechach 2000 szkół ludowych, na wystawie statystyka wykazała aż 2.859 a to o 9.096 klasach. Dzieci podlegających przymusowi szkolnemu, było w Czechach r. 1894 aż 675.319, z tych do szkół uczęszczało 99·2%, w domu uczyło się 0·3%, a uwolniono od uczęszczania do szkoły razem tylko 0·5%. Na Morawach uczęszczało do szkół ludowych 268.698, na Szląsku 20.878 dzieci, tak, że razem około milion dzieci czeskich uczęszczało r. 1894 do szkół ludowych. Sił nauczycielskich liczyły czeskie szkoły ludowe 9.258, w tem 12% kobiet, na Morawach 4.394, w tem 22% kobiet, na Szląsku 260, w tem 7% kobiet. Seminaryów nauczycielskich mają Czechy 12; w r. 1891/2 miały one 1561 uczniów i 370 uczennic, zaś r. 1894 5 uczniów 1706, uczennic 406; w 5. prywatnych seminaryach uczyło się w r. 1894/5 słuchaczy i słuchaczek 351.

Szkolnictwo zawodowe odtwarzało na wystawie dość dobrze rozwój czeskiego przemysłu. W r. 1894 było w Czechach 178 szkół przemysłowych i 23.000 uczniów; szkół handlowych 25 i przeszło 1000 uczniów.

Wiele w tym rozwoju szkolnictwa pomaga w Czechach słynna „Matica", która założyła dotąd 2 wyższe gimnazya, 57 szkół ludowych, 48 ochronek i szkół nauczycielskich, razem 106 szkół w 80 gminach.

To są najważniejsze daty statystyczne, zebrane na wystawie czeskiej przez p. Strzeleckiego, szkoda, że nie ma ich więcej, ale i one już dostarczają nam dość materyału do zrozumienia stanu „odrodzenia narodu czeskiego", o co — jak z całej rozprawki widać — autorowi głównie chodziło.

Uzmysławiając postęp kulturny Czech i ich odrębność etniczną — była wystawa etnograficzna korzystną nietylko z teoretycznych, ale i z praktycznych względów; u nas w łonie „tow. ludoznawczego" powstała już myśl urządzenia podobnej wystawy w Galicyi, a p. Strzelecki, ogłaszając swe sumienne sprawozdanie z czeskiej wystawy, może w ten sposób pośrednio przyczynić się korzystnie do tego, że kiełkująca ta myśl rozwinie się i — może wejdzie w życie.

Dr. K. J. Gorzycki.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

(Ciąg dalszy).

II.

Cenzura rzymska.

Jak powstała cenzura rzymska, na jakich normach opierała się jej pierwotna organizacya i jaki był jej początkowy zakres działania w stosunku do wielkiej akcyi późniejszej? Stawiamy to pytanie na samym wstępie nietylko dlatego, że zbadanie genezy każdej instytucyi prawnej jest w ogóle niezbędne dla zrozumienia jej charakteru, lecz głównie z tego powodu, że właśnie niewyjaśnione i źródłowo wyjaśnić się niedające hypotezy o powstaniu cenzury rzymskiej uważane być mogą za najlepszy a już w każdym razie za najwięcej charakterystyczny komentarz do określenia jej istoty.

Corpus iuris civilis nietylko niedaje odpowiedzi na powyższe pytanie, lecz nawet nie zawiera pewnych wskazówek, za których śladem prawnik mógłby w swoim zakresie dotrzeć do materyałów, rzecz autentycznie wyjaśniających. Nie za taką wskazówkę bowiem, lecz raczej za szczegół, podnoszący jeszcze więcej zagadkowość sprawy, uważać należy ów ustęp Digestów, w którym Pomponius [1]) stwierdza tylko, że cenzuralne funkcye były spełniane jeszcze przed formalnem ustanowieniem cenzorów i że pobudką do ustanowienia tej magistratury była wtedy potrzeba ulżenia konsulom ciężaru agend przez poruczenie spraw podatkowo-ekonomicznych osobnemu organowi.

---

[1]) l. 2. §. 17. D. I. 2. De origine iuris et omnium magistratuum.

Niemożna zresztą szukać takiego zupełnego wyjaśnienia w księdze prawa, której redakcya pochodzi z czasów moralnego upadku społeczeństwa rzymskiego, gdy już w zapomnienie poszły moralne tradycye sądów cenzorskich. Pierwsi cesarze rzymscy łączyli jeszcze cenzurę ze swojemi atrybucyami imperatorskiemi, niejako tylko dla pozoru, ale z upadkiem Domicyana znikło zupełnie nawet to nominalne połączenie. Historya stwierdza zresztą, że główna część funkcyi cenzorskich nie weszła nawet organicznie w zakres władzy cesarskiej, lecz znikła razem z cenzurą [1]), wskutek czego atrybucye cesarsko-cenzorskie nie mogły już powstrzymywać moralnego upadku społeczeństwa, o ile on łączył się z zanikiem dawnej cenzury jako *morum disciplinaeque Romanae regiminis*.

Historycy usiłują wprawdzie dać pozytywną odpowiedź na postawione na wstępie pytanie, ale nie opiewa ona tak, żeby wobec stwierdzonego zakresu działalności cenzury w sferze stosunków prawnych i moralnych oraz jej doniosłego wpływu na całe życie prawne mogła uchodzić za rozwiązanie stanowcze, nie wzbudzające już żadnej wątpliwości.

W odpowiedzi tej Niebuhr i Mommsen są co do głównej kwestyi zgodni ze sobą. Obaj ci historycy bowiem uważają cenzurę w jej pierwotnej organizacyi za instytucyę, ustanowioną przedewszystkiem dla zadań ekonomicznych i podatkowo-statystycznych w szerszem, cały ustrój polityczny państwa i funkcye publiczne jego obywateli obejmującem, znaczeniu. Mianowicie pierwszy historyk mówi [2]), że w zakres kompetencyjny cenzury rzymskiej wchodziły pierwotnie: „zarząd majątku i dochodów republiki, prowadzenie spisu obywateli według stanów i utrzymywanie wykazów podatkowych.“ Rozumie się, że przytaczamy tutaj tylko zdanie Niebuhra o pierwotnych funkcyach cenzury, której późniejszą rolę, jako wybitnej magistratury i trybunału społeczno-moralnego, historyk ten przedstawia z takim samym podziwem, jak inni. Mommsen [3]) łączy powstanie cenzury z ewolucyą, jaką w pierwotnem społeczeństwie rzymskiem przebyła idea państwowa tak samo, jak w innych starożytnych społeczeństwach, z ustroju rodowo-gminnego na stopień właściwej organizacyi państwowej i łączności obywatelskiej w tej organizacyi. W następstwie tej zmiany podatkowa podstawa nowej organizacyi „wymagała

[1]) T. Mommsen: *Römisches Staatsrecht* (j. w.) t. $II/_2$ str. 1012.

[2]) G. B. Niebuhr: *Römische Geschichte* — IV. Aufl. — Berlin 1833, t. II. str. 447.

[3]) T. Mommsen: *Römisches Staatsrecht* (j. w.) t. II. str. 304 i n.

sformułowania a akt publiczny, w którym się to odbywało, naturalnie nie według ścisłego prawa, niepodobnego do zastosowania przy każdorazowem badaniu stanu majątkowego, lecz według słusznego uznania, nazywał się *census* (arbitrium).“ Był to, zdaniem Mommsena, akt dowolnego postępowania i tak też on go w tej mierze konsekwentnie nazywa *(Willkür)*, ale nie w tem znaczeniu, żeby ztąd padać miał cień na słuszność podatkowo-szacunkowej działalności cenzorów, lecz dla zaznaczenia tej różnicy, jaka z natury rzeczy zachodzić musi między ustanowieniem ogólnej daniny obywatelskiej, przeznaczonej na potrzeby państwa, a określeniem podstawy i miary świadczeń należnych według ścisłego prawa. Rozumie się, że i w historyi Mommsena cenzura rzymska w późniejszym rozwoju swoim postawiona została na podniosłem stanowisku trybunału społeczno-moralnego.

Ihering, który w dziele o duchu prawa rzymskiego z prawdziwym entuzyazmem przedstawia społeczno-moralną siłę i powagę cenzury rzymskiej, jako instytucyi jedynej w swoim rodzaju, nawet jedynej w dziejach, bo niedającej się żadną ustawą za wzorem starożytnym skopiować, wysnuwa jej zakres działania z dawnego patrycyuszowskiego ustroju rodowego. Funkcye społeczno-moralnego trybunału wykonywane były w rodach rzymskich niezależnie od władzy państwowej w takim zakresie, w jakim później cenzura jako publiczna magistratura wykonywała je wobec całego społeczeństwa, wobec patrycyuszów i plebejuszów. Na poparcie tej swojej hypotezy przytacza Ihering fakt, że cenzura rzymska w tym charakterze powstała „z prastarego urządzenia“, w drugim roku po zbliżeniu się patrycyuszów do plebejuszów przez uznanie prawowitości wzajemnych związków małżeńskich *(lex Canuleja)*, że dalej władza i powaga cenzury wzrastała w miarę, jak upadało znaczenie dawnego ustroju rodowego [1]). Tego „prastarego urządzenia cenzury rzymskiej“ nie objaśnia Ihering szczegółowo, ale że je tak pojmował jak Mommsen, to wypływa z dalszego ustępu dzieła, w którym objaśnia łączność statystyczno-podatkowych funkcyi cenzorów z judykaturą moralną. „Połączenie — tak opiewa ten ustęp — funkcyi judykatury moralnej z funkcyami cenzorskiemi, nie jest tak dziwnem, jakby się wydawać mogło na pierwszy rzut oka. Przedmiotem ostatnich funkcyi była statystyka siły narodowej a ztąd łatwe przejście do pierwszej

---

[1]) R. v. Ihering: *Geist des römischen Rechts* — IV. Aufl. Leipzig 1878 t. I. str. 192 (łącznie z poprzedniemi) a t. II. str. 51 co do następnego cytatu.

funkcyi, do opieki nad konserwacyą siły narodowej, polegającej nietylko na finansowych, lecz także i na moralnych czynnikach.“

Jak Ihering w przedstawieniu ducha prawa rzymskiego ze stanowiska filozoficznego, tak Savigny w swoim systematycznym obrazie uważa cenzurę — chociaż wyraża to innemi słowy — za prastarą instytucyę, której działalność łączyła się ściśle z organizacyą rodzinną i rodową społeczeństwa rzymskiego. Savigny kładzie dobitnie nacisk na to, że najważniejsze stosunki życia rodzinnego zostawały w społeczeństwie rzymskiem pod osłoną obyczajów a nie prawa, że wskutek tego z rzymskich reguł prawnych możnaby wytworzyć sobie najfałszywsze wyobrażenie także i o pożyciu rodzinnem, jeżeliby tylko te reguły a nie obyczaje miały rozstrzygać o zdaniu. Jak w obrazie rodziny rzymskiej, tak i w ocenieniu rzymskich norm prawnych o czci, Savigny kładzie nacisk na „stałe przez tradycyę niewątpliwie przekazane zwyczaje *(mores)*“, które jako — mówiąc słowami Upiana — *tacitus consensus longa consuetudine inveteratus*, więc jako milcząco przez całe społeczeństwo uznane i przestrzegane normy, uzupełniały niewystarczające dla życia pozytywne prawo i miały swój organ w cenzorach ze zdaną niejako na ich sumienie swobodą działania [1]).

Była tedy cenzura „instytucyą prastarą“ a funkcye jej zostawały w niewątpliwej najściślejszej łączności z całem urządzeniem rodzin i rodów staro-rzymskich już w okresie, historyczno-prawnemi badaniami w całości i wszechstronnie odtworzyć się niedającym. W takim stanie rzeczy i geneza cenzury nie może już być tak objaśniona, jak organizacya innej magistratury, z mocy uchwały ludowej dokonana. Otwiera się zatem pole dla hypotezy, która w sposób, najlepiej do przekonania trafiający, uzasadniałaby nietylko powagę tradycyjną cenzury, powagę równą tej, jaką miały najwyższe magistratury, lecz także organiczną łączność jej działalności z funkcyami prawa.

Taką właśnie hypotezę stawia Jarcke w swojej monografii o cenzurze [2]). Według wywodów tego pisarza, opartych na dokładnem zestawieniu dat źródłowych, tak charakter cenzury rzymskiej, jako uznanego trybunału społeczno-moralnego, charakter określony

---

[1]) F. C. Savigny; *System dcs heutigen römischen Rechts* — Berlin (wydanie z r. 1840) tom I. str. 350 i tom II. str. 196.

[2]) Dr. C. E. Jarcke: *Versuch einer Darstellung des censorischen Stvafrechts der Römer* — Bona 1824 str. 3 i n.

najdobitniej przez Liviusa[1]), jak i powaga tej magistratury, której nadzwyczajne znaczenie w dziejach Rzymu aż do czasów cesarskich Niebuhr, Mommsen i w ogóle wszyscy historycy tak wysoko podnoszą, byłyby zagadką prawdziwą, jeżeliby miała utrzymać się tylko hypoteza, według której Servius Tullius zaprowadził cenzurę dla dokonywania statystyczno-ekonomicznych spisów ludności a dopiero później senat rzymski uchwałą osobną wyposażył tę magistraturę funkcyami trybunału społeczno-moralnego. Natomiast zagadka ta wyjaśnia się w sposób zupełnie zrozumiały dla prawnika, jeżeli brzmienie dat źródłowych będzie tak pojmowane, iż ustanowienie cenzorów jako magistratury dla pomienionych spisów stanowi akt samodzielny a służąca cenzurze *disciplina morum* była prastarem, przedtem już znanem urządzeniem prawnem, które zostawało w ścisłym związku z religijnemi pojęciami i instytucyami społeczeństwa rzymskiego już w odległym, dla badań historyczno-prawnych niedostępnym okresie.

Że ta nietykalna, powagą religijnych tradycyi osłonięta *disciplina morum*, połączyła się w jedną magistraturę z peryodyczną inwentaryzacyą sił społeczeństwa rzymskiego pod względem jego podziału na klasy i stopnie zamożności, to nietylko nie osłabia hypotezy Jarckego, lecz raczej dodaje jej prawdopodobieństwa. Rzymianie bowiem osłaniali powagą religijnego ceremoniału wszystkie ważniejsze akta publiczne. I cenzorowie zatem, sporządzając peryodycznie (w regule co pięć lat) inwentarz społeczny w Rzymie, czynili to z zachowaniem dziś szczegółowo znanego ceremoniału, który zaczynał się od ofiar bogom składanych. Ofiary te miały na celu „oczyszczenie“ ludu, skąd pochodzi nazwa cenzorskich „lustracyi“ i cenzorskiego „lustrum“[2]), jako okresu objętego jedną inwentaryzacyą a pierwotnie jako ofiary cenzorskiej. Jak się te ofiary odbywały i jak w ogóle przeprowadzano cenzorską lustracyę, to źródła już tak dokładnie objaśniają, że pod tym względem nie zachodzą wątpliwości. Po ukończeniu lustracyi i złożeniu ofiar cenzorowie

---

[1]) Idem hic annus censurae initium fuit, rei a parva origine ortae, quae deinde tanto incremento aucta est, ut morum disciplinaeque regimen, senatus equitumque centuriae, decoris, dedecorisque discrimen sub ditione eius magistratus, publicorum ius privatorumque locorum, vectigalia populi Romani sub nutu atque arbitrio essent.

[2]) *luere* = obmywać, zmyć winę, przestępstwo; ponosić karę, zadość uczynić; odwrócić przez ofiarę lub karę (Słownik łacińsko-polski Z. Węclewskiego str. 352).

zanosili modły do bogów, które miały charakter dziękczynny i błagalny [1]).

Leżało to zatem w duchu całego aktu, żeby z inwentaryzacyą narodową łączyła się także owa judykatura społeczno-moralna, którą cenzorowie wykonywali zawsze w myśl tradycyi. Ukaranie winnych było z początku przynajmniej niejako expiacyą społeczną wobec bogów. Z poniżaniem winnych łączyło się wywyższanie zasłużonych, a ponieważ wszystko to odbywało się pod powagą ceremoniału religijnego, przeto od początku samego przejąć się musiało społeczeństwo rzymskie wielką czcią dla cenzury i bezwzględnem posłuszeństwem dla jej zarządzeń.

Jeden szczegół, który Jarcke w uzasadnieniu swojej hypotezy przytoczył tylko mimochodem, nie jako dowód, lecz raczej jako illustracyę, wydaje się nam właśnie tak ważnym, że z naszego stanowiska nacisk nań położyć wypada. Cenzura taka, jak rzymska, z niedoścignionym w historyi majestatem wszechwładnego trybunału społeczno-moralnego, uzupełniającego funkcye prawa nietylko w zakresie karnym, lecz i w obrębie stosunków prywatnych, mogła rozwinąć się tylko w narodzie, którego geniusz stworzył prawo, nazwane przez późniejsze pokolenia „rozumem pisanym“ *(ratio scripta)*. Były jednak w starożytności instytucye, przypominające cenzurę rzymską pod wielu względami, chociaż nie dorównające jej w organizacyi i całem znaczeniu. Posiadał mianowicie podobną instytucyę także i ten drugi naród starożytny, którego geniusz w innym kierunku wzbił się na niedoścignioną wyżynę duchową i pozostawił po sobie wieczyste pomniki cywilizacyjne. Mamy tutaj na myśli Grecyę, gdzie także kary, cześć odejmujące, stanowiły ważną siłę posiłkową prawa [2]). Urząd archontów w Atenach, przypominający rzymską cenzurę, czuwał nad innemi urzędami i nad obywatelstwem w sferze obowiązków ogólnych i zawodowych a w następstwie miał oczywiście prawo karania niegodnych. Także i inne republiki greckie posiadały instytucye, przypominające pod pewnemi względami cenzurę rzymską. Wszędzie wyrastały one z gruntu społecznego pod powagą religijnych motywów, wszędzie jak w Rzymie, tylko nie w połączeniu z taką wybitną organizacyą, ideą przewodnią ich działalności było czuwanie nad czystością obyczajów i nad moralnem zdrowiem

---

[1]) .... „ut dii immortales populi Romani res meliores amplioresque faciant“ a później: .... „ut eas perpetuo incolumes servent“. (T. Mommsen: Römisches Staatsrecht (j. w.) t. $II/_1$ str. 389).

[2]) G. B. Niebuhr: *Römische Geschichte* (j. w.) t. II. str. 449.

społeczeństwa. Pod tem hasłem zdrożności były karcone i tępione a w każdym razie gładzone ofiarami, składanemi bóstwom, w których ręku według ówczesnych wyobrażeń spoczywały losy całego państwa.

Podobieństwo powyżej wskazanych instytucyi greckich do rzymskiej cenzury nietylko przemawia za hypotezą Jarckego o wspólnym religijnym charakterze genezy, lecz nadto rzuca światło na wielką rolę historyczną cenzury. Tylko bowiem taka, religijnemi motywami i społeczną powagą odznaczona, geneza cenzury rzymskiej uczynić może zrozumiałym ten fakt historyczny, że razem z władzą cenzorów wzrastała siła społeczeństwa a z upadkiem tej władzy łączy się upadek moralny Rzymu. Prawo rzymskie, które powstało i rozwijało się pod opieką cenzury, więc w ścisłej łączności z pojęciami moralnemi, nie zdołało później samo o własnych siłach utrzymać zdrowia moralnego w społeczeństwie. Mechanizm prawa rzymskiego, świetny i dotąd nieprześcigniony, był wybornym regulatorem poszczególnych aktów i interesów, ale cały ten wielki obszar życia społecznego, w którego obrębie obyczaje i moralne czynniki zakreślają kierunek działaniu ludzkiemu a nad którym czuwała cenzura, jako trybunał społeczno-moralny, popadł z ustaniem tej opieki w stan deprawacyi, niepowstrzymany w swoim szybkim postępie. Rzym cnotliwy, mówiąc słowami Krasickiego, zwyciężał, Rzym występny zginął.

Rzecz naturalna, że zakres działania instytucyi, która, jak cenzura rzymska, według wyniku badań historycznych nie powstała z mocy pozytywnego aktu organizacyjnegy, lecz niejako samodzielnie wyłoniła się ze społeczeństwa, nie da się tak ściśle określić i odgraniczyć od zakresu innych władz, jak to się rzecz ma w ustroju organów państwowych dzisiejszego kroju. Jeżeli nadto już nie hypotezą, lecz faktem historycznie stwierdzonym jest ta okoliczność, że działalność cenzury rzymskiej rozciągała się na całe życie publiczne i prywatne obywatelstwa rzymskiego, że obejmowała agendy różnorodne, niedające się zamknąć w ramach zwykłego szematu kompetencyjnego, to przedstawienie zakresu działania takiej instytucyi niemoże być wyczerpującem w szczegółach, lecz stanowić będzie tylko ogólną charakterystykę.

Ścisłość źródłowa, gubiąca się w zbytniem rozdrabnianiu rzeczy na poszczególne agendy, nie dawałaby dobrej charakterystyki instytucyi a w dodatku nie zabezpieczałaby nawet osiągnięcia takiego prawno-antykwarskiego celu, jaki często miewa na oku pedantyzm pandektowy, dążący do zupełnego wyczerpania wszelkich a wszelkich szczegółów. W przytoczonej monografii swojej Jarcke nie popadł

w taki pedantyzm, lecz poprzestał na ogólnej charakterystyce, wskutek czego monografia ta dziś jeszcze najwięcej zbliża się do warunków żywego a przytem i dla głębszych badań prawa zawsze pouczającego obrazu historycznego.

Na czele czynów zdrożnych, objętych kompetencyą władzy cenzorskiej, stoi według Jarckego krzywoprzysięztwo, które w Rzymie pierwotnie nie stanowiło przestępstwa w znaczeniu ściśle prawnem, lecz zdrożność moralną, pozostawioną karze zagniewanych bogów z wyjątkiem wypadków, gdy łączyło się z fałszywem świadectwem, złożonem ze świadomością fałszu i faktycznie spowodowało pokrzywdzenie niewinnego. Zapatrywanie to przeważało w społeczeństwie rzymskiem jeszcze i w początkach ery chrześcijańskiej. Właśnie dlatego, że krzywoprzysięztwo stanowiło zdrożność moralną, w przeważnej liczbie wypadków niepodlegającą repressyi prawa karnego, cenzorowie tem większą uwagę zwracali na nie i z wszelką surowością korzystali ze swojej władzy karnej w sprawach tej kategoryi. Źródła przytaczają przykład wymowny w tej mierze. Po nieszczęśliwej bitwie pod Kannami Hannibal pozwolił kilku Rzymianom wziętym do niewoli udać się do Rzymu celem przygotowania wymiany jeńców, jako warunku odzyskania wolności, ale przysięgą zobowiązał ich do powrotu w razie, gdyby cel ten nie mógł być osiągnięty. Kiedy jeńcy wysłani z tą missyą, nie zdoławszy wyjednać dopełnienia postawionego im warunku wolności, postanowili nie wrócić wcale do obozu nieprzyjacielskiego, cenzorowie nie zawahali się skarcić ich surowo, chociaż chodziło tutaj o krok, po ludzku na wszelką wyrozumiałość zasługujący, zwłaszcza w ówczesnych stosunkach wojennych i chociaż ten, wobec którego zaprzysiężono zobowiązanie, był pogromcą potęgi Rzymu i jego wrogiem największym.

Przed trybunał cenzorski dostawały się dalej sprawy, w których zdrożność polegała na targnięciu się na powagę władzy w sposób, nie zawierający jeszcze znamion formalnej zbrodni. Wielce charakterystyczną illustracyę tej kategoryi spraw stanowi kondemnata cenzorska, orzeczona przeciw dydaktorowi Mamercusowi za to, że przeprowadził uchwałę, zniżającą okres funkcyi cenzorskich z pięciu lat na półtora roku w tym celu, aby ta potężna magistratura z nieujętym w ustawowe karby zakresem działania nie stała się groźną dla wolności indywidualnej. Wniosek ten był bardzo popularny, wywołał na zgromadzeniu ludowem zapał dla jego inicyatora i wskutek uchwały powziętej uzyskał moc prawa. Nie było zatem w jego treści nic zdrożnego a i w motywach nie było śladu niegodziwego lub w ogóle złego zamiaru. Zresztą aprobata zgromadzenia ludowego,

więc ówczesnego ciała ustawodawczego, stanowiła sankcyę, wobec której, biorąc rzecz ze stanowiska dzisiejszych pojęć polityczno-prawnych, nawet zamach stanu traciłby charakter czynu karygodnego. Na czemże opierała się kondemnata cenzorska i jak ją pogodzić można z powagą uchwał ludowych? Mamercus targnął się bądź co bądź na powagę cenzury, usankcyonowaną nietylko tradycyami religijnemi i narodowemi, lecz nadto świetnemi rezultatami działalności publicznej, więc wykroczył przeciw temu głębokiemu pietyzmowi, jakim społeczeństwo rzymskie za lepszych czasów zawsze przejęte bywało dla tradycyi i urządzeń nią uprawnionych. Cenzura widziała w wniosku Mamercusa nie akt statecznie rozważonej reformy, lecz objaw wygórowanej ambicyi, która autorowi podyktowała ten projekt jako środek utrwalenia pamięci swojej w tłumach, nie znoszących chętnie takich karbów moralnych, jakie cenzorowie nakładali a nadto zawsze żądnych zmiany i reform.

Jeżeliby kto kryteryami dzisiejszych poglądów politycznych oceniać chciał ów akt cenzury rzymskiej, mógłby go nazwać karą publiczną za warcholstwo i tem najtrafniej scharakteryzowałby cały fakt historyczny. Tak samo oceniać należy inne tego rodzaju akta cenzury, jak n. p. ukaranie trybuna ludowego Duroniusa wykluczeniem z senatu za to, że wnioskiem swoim, chociaż przyjętym tak samo jak poprzedni na zgromadzeniu ludowem, spowodował zniesienie rozporządzenia cenzorskiego, poskramiającego zbytek na ucztach.

Niesforne uchybienie czci, należnej władzy już z samego tytułu obywatelskiego poczucia obowiązków, karcili cenzorowie surowo, jeżeli uchybienie takie nie przekraczało jeszcze tej granicy, po za którą zaczynała się już akcya prawa karnego. Samo nieprzyzwoite zachowanie się wobec magistratury sprowadzało już karę. Uległ jej n. p. za świadectwem historyi pewien dowcipniś za to, że na pytanie cenzora, czy jest żonaty, odpowiedział ślizgą parafrazą przepisanej w badaniach tego rodzaju formuły przysięgi. Pewien Rzymianin ziewnął nieprzyzwoicie w czasie, gdy cenzor funkcye swoje pełnił i tylko pokorną wymówką, że jest dotknięty chorobą, zmuszającą go do częstego ziewania, wyprosił się od dotkliwej kary.

Okrucieństwo, srogość i wszelkie czyny nieludzkie, które nie wychodziły z granic niegodziwego wprawdzie, ale jeszcze sankcyi karnej niepoddanego brutalizmu, a których i dziś po upływie tylu wieków prawo karne nie może ująć w ścisłe karby tak, aby zatamowane zostało to źródło ciągłego zgorszenia, spotykały się z niezależną od pozytywnych przepisów a surową repressyą cenzorską. Cenzor Cato wykluczył prokonsula Luciusa Quintiusa z senatu za to,

że dla dogodzenia krwiożerczej ciekawości swojego małego faworyta kazał w jego oczach ściąć głowę zbrodniarzowi, na ścięcie już przedtem skazanemu. Lucius Quintius właściwie nie dopuścił się przestępstwa, lecz wykonał tylko, — co było niejako jego obowiązkiem, — prawomocny wyrok śmierci. Spełnił jednak ten akt poważny w sposób, uwłaczający godności magistratury, a to stanowiło już w oczach cenzora zdrożność, wymagającą surowego skarcenia.

Za taką zdrożność poczytywali cenzorowie także srogość ojców rodziny wobec dzieci, podlegających ich władzy domowej, i nieludzką bezwzględność panów wobec niewolników. Źródła historyczne nie przytaczają takich poszczególnych przykładów tego rodzaju, jak co do karcącej interwencyi cenzorów w sprawach publicznego znaczenia, ale obrazy domu rzymskiego i pożycia rodzinnego w domu rzymskim, jakie z tych źródeł odtworzyć się dają, uważać należy za jedno wspaniałe świadectwo moralnej doniosłości i skuteczności judykatury cenzorskiej. To pewna bowiem, że Rzymianie za świetnych czasów republiki, w ogóle za czasów istnienia i działalności cenzury, nie byli ani takimi tyranami domowymi, traktująaymi żony i dzieci, jak inne rzeczy, ani takimi okrutnikami, za jakich możnaby ich uważać, jeżeliby tylko samo brzmienie niektórych fragmentów pandektowych uchodzić miało za rozstrzygające kryteryum co do władzy głowy rodziny i domu w starym Rzymie.

Tylko w świetle filozoficzno-historycznem odsłania się nieuprzedzonemu badaczowi właściwy obraz domu rzymskiego i stosunków rodzinnych społeczeństwa rzymskiego. Olśniony takim obrazem Ihering mówi wprost, że gdyby Rzymianin z czasów pełnego rozkwitu cenzury dziś z grobu powstał, słuchałby z politowaniem wszystkich owych szczegółów o tyranii rzymskich ojców i mężów owego okresu, jakiemi przepełnione są podręczniki historyczno-prawne. Ihering nie waha się wprost powiedzieć, że stanowisko matrony wybitnej rodziny rzymskiej z owych czasów dziś nawet możnaby nazwać idealnem, a los niewolników nie gorszym od losu dzisiejszej naszej służby domowej. „Dom rzymski — mówi ten wielki znawca ducha prawa rzymskiego [1]) — stanowi wyjętą z pod moralnych reguł .prawnych dziedzinę miłości i moralności. Wewnętrzne życie rodziny miało według pojęć rzymskich rozwijać się samo z siebie. Sucha proza prawa nie wciskała się do domu rzymskiego a jego normy nie rozciągały się ani na życie domowe, ani na stosunki w domu panujące.

---

[1]) R. v. Ihering: *Geist des römischeu Rechts* (j. w.) t. II. str. 196 i n.

Dom rzymski był kreacyą jego głowy a duch, rozwaga i powaga tej głowy, rozstrzygały o stanie domu. Ale władza głowy domu była zarazem urzędem *(domestici magistratus, sub quorum custodia contineretur domus)*, przez państwo powierzonym pod gwarancyą odpowiedzialności. Głowa domu, ojciec rodziny, dzierżył nieograniczoną władzę nad nią w tym celu, ażeby jej członków należycie wychowywał i trzymał w karności, aby był nie ich tyranem, lecz sędzią... W ten sposób dom rzymski, odgraniczony władzą jego głowy od świata zewnętrznego, stał się świeżą oazą na pustyni prawa. Jak przyroda najdelikatniejsze części organizmu otaczać zwykła ochronną powłoką, tak w domu rzymskim ostra i twarda osłona władzy jego głowy miała na celu takie urządzenie, aby najdelikatniejsze stosunki życia moralnego ochraniała przed wszelkim zewnętrznym naciskiem i przed szkodliwem zetknięciem się ze światem, aby odwracała wszelki wpływ prozaiczno-prawny i umożliwiała najswobodniejszy rozwój życia wewnętrznego. Nasze dzisiejsze i już późniejsze prawo rzymskie uchyliło ową nieograniczoną władzę głowy domu, czyli, co na jedno wychodzi, pozwoliło prawu wtargnąć do wnętrza rodziny. Nie chcę bynajmniej zapoznawać względnego uprawnienia tej zmiany, jeżeli się tylko pamiętać będzie o tem, że nie możemy ztąd wysnuwać wielkiego tytułu do chełpliwości. Rzymianina nasze dzisiejsze urządzenia raziłyby tak samo, jak nas stosunki rzymskie. Że dziecko może już od urodzenia zajmować pod względem majątkowym samodzielne stanowisko wobec ojca, że zatem dziecko może być bogate a ojciec ubogi, że dziecko może procesować się z ojcem, jak z każdym innym obcym człowiekiem, że ojciec nie posiada środków prawnych, aby samodzielnego w działaniu syna wziąć w karby karności, gdy ten zapomina o obowiązkach i o czci, że sędzia musi nieść pomoc mężowi wobec żony, zapominającej o swoich obowiązkach i t. d. — to wszystko Rzymianin z owych czasów uważałby za prawo nienaturalne.“ W takiem kreśleniu podniosłego obrazu domu i rodziny w starym Rzymie z cenzorem, jako stóżem moralnym, Ihering nie jest już dziś odosobniony. Za jego śladem idą już nowsi pisarze nawet w ściśle dogmatycznych wykładach rzymskiego prawa familijnego [1]).

Do takiego obrazu stosunków domowych stosują się piękne słowa Cicerona: *Quid est sanctius, quid omni religione munitus,*

---

[1]) Alphonse Rivier: *Précis du droit de famille romain* — Paris 1891, str. XIV—XV. 80, 126, 223, 261.

quam domus unius cuiusque civium? Hic arae sunt, hic foci, hic dii penates, hic sacra, religiones, ceremoniae continentur.

Dopiero po upadku cenzury cesarze rzymscy zaczęli wydawać rozporządzenia, mające na celu poskramianie srogości ojców rodzin i nadużyć w traktowaniu niewolników. Dlaczegoż dopiero wtedy okazała się potrzeba wydawania takich rozporządzeń? Ani tego zbiegu dat, ani faktu, że owe rozporządzenia nie zdołały już utrzymać domu rzymskiego na dawnej wyżynie moralnej, niemożnaby wytłumaczyć bez trafnego poglądu na moralną energię i skuteczność akcyi cenzorskiej.

W tej troskliwości o moralną stronę i siłę pożycia domowego cenzura rzymska szczególnie baczną zwracała uwagę na ścisłość związków małżeńskich, których prawo nie uznawało nierozerwalnemi. Swawola rozwodowa pod okiem cenzury nie mogła wtargnąć w społeczeństwo rzymskie, bo kto wtedy korzystał z łatwości uzyskania rozwodu w sposób lekkomyślny dla dogodzenia kaprysom miłośnym — nie mówiąc już wcale o motywach zdrożniejszych — narażał się na piętno hańby a nawet i na surowsze skutki. L. Antonius n. p. wykluczony został z senatu za to, że pojąwszy dziewicę rzymską za małżonkę wkrótce potem skorzystał z łatwości zerwania węzła małżeńskiego i odepchnął młodą żonę od siebie.

Rozumie się, że czujność cenzorska nie polegała tylko na poskramianiu swawoli rozwodowej. Moralny nadzór cenzorski nie ustawał u progu domu, lecz sięgał do jego wnętrza, osłaniał czystość obyczajów nietylko w głównych stosunkach, lecz nawet i w szczegółach pożycia domowego. Jak daleko sięgające domysły w tej mierze wysnuwać można i to nie w sposób fantastyczny, lecz całkiem racyonalny z tego n. p. faktu historycznego, że senatora i kandydata na konsula, Maniliusa, cenzor Cato wykluczył z senatu za to, iż uściskał żonę w obecności córki, więc na zgorszenie dane w obrębie domu, zgorszenie, które tylko w czasach moralnego zdrowia i podniosłego pojmowania przyzwoitości mogło być tak surowo traktowane.

Kiedy z upadkiem cenzury osłabł rygor obyczajów, cesarstwo musiało wydawać osobne rozporządzenia karne przeciw wiarołomnym małżonkom, ale środkami temi nie zdołało już powstrzymać nacisku zepsucia.

W pojęciu Rzymian stan bezżenny w ogóle uchodził za sprzeczny ze społecznym obowiązkiem [1]) a swawolna bezżenność za zdro-

[1]) Cenzorowie Camillus i Postumius w przemówieniach swoich upominali Rzymian temi słowy: Natura vobis quemadmodum nascendi

żność moralną, torującą drogę rozpuście i życiu na żart, tem samem podkopującą fundamenta zdrowego domu, więc i zdrowej organizacyi społecznej. Źródła przytaczają liczne przykłady surowych upomnień i kar cenzorskich, nakładanych na rozpustników wszelkiego rodzaju. Były one w skutkach swoich pewnie wydatniejsze, aniżeli później po upadku cenzury wydawane w tej mierze formalne przepisy prawne *(de maritandis ordinibus)*.

Tak samo rzecz się miała ze zbytkiem, poskramianym i ustawami i dozorem cenzorskim, który posuwał się w tej mierze nieraz nawet za daleko, gdyż rolę grało w tej sprawie oprócz obawy przed zgubnymi wpływami złego przykładu także podejrzywanie nieczystego w ówczesnych pojęciach pochodzenia funduszy trwonionych (n. p. ze zdobyczy należącej się państwu a przed jego skarbem zatajonej [1]). Tak n. p. nie mówiąc już o znanej surowości Catona w sprawach zbytku, cenzor Fabricius Luscinus wykluczył znamienitego dostojnika, byłego konsula i dyktatora, Corneliusa Rufinusa, z senatu za to, że kazał sporządzić dla siebie wazę srebrną, ważącą dziesięć funtów.

Swoją drogą historya stwierdza, że w czasie stosowania tych środków zaradczych zbytek w społeczeństwie rzymskiem w wysokim stopniu zatruwał moralną atmosferę, przyczyniał się do zaniku starych cnót rzymskich a tem samem zagrażał podstawom organizacyi społeczno-państwowej tak, jak w żadnym innym narodzie starożytnym. Jeszcze w stanie krzepkości moralnej społeczeństwo rzymskie niejako instynktownie odgadywało, że wzmagający się z wzrostem jego potęgi zbytek sprowadzi stopniowo zupełną degeneracyę ustroju społecznego. Że jednak znosiło ono nawet takie przepisy, które w sposób dokuczliwy krępowały bogatego obywatela rzymskiego w urządzaniu biesiad i tem drażniły jego żywe poczucie wolności osobistej, to najlepszy dowód wielkiej tradycyjnej powagi władzy cenzorskiej. Z upadkiem cenzury zbytek rozpasany tak ogarnął całe społeczeństwo, jak wzbierająca powódź chwilowo tamami i wałami powstrzymywana rozlewa się po obaleniu przeszkód dokoła z inpetem, niejako jeszcze spotęgowanym przez opór dotąd doznawany.

Cenzorowie nie poprzestawali na samem poskramianiu zbytku, na tej negatywnej niejako, bo tylko marnotrawstwu zapobiegającej,

---

ita gignendi legem scribit. Parentesque vos alendo nepotum nutriendorum debito (si quis est pudor) alligaverunt.

[1]) B. G. Niebuhr: *Römische Geschichte* (j. w.) t. III. str. 652.

czujności nad zdrowym stanem i rozwojem życia gospodarczego lecz rozwijali także w tym kierunku akcyę dodatnią, ochronną i pobudzającą do przysparzania sił ekonomicznych. Ten cel wyraźnie przebija n. p. z dyspozycyi cenzorów w zakresie gospodarstwa rolnego. Doglądali oni sposobu prowadzenia gospodarstwa a złą uprawę roli *(agrum male colere)* zaliczano wprost do rzędu zdrożności, podlegających skarceniu cenzorskiemu. Tak ściśle doglądali cenzorowie gospodarstwa rolnego, że karcili gospodarzy za stawianie budynków o większym rozmiarze, aniżeli tego wymagała potrzeba rzeczywista, według obszaru posiadanego gruntu oceniona. W takim składzie rzeczy oczywiście i zaciąganie długów nie mogło ujść surowej baczności cenzora, jeżeli świadczyło o lekkomyślności gospodarczej.

Tak tedy rozciągał się dozór cenzora na cały dom rzymski, na stosunki rodzinnego i gospodarczego życia, zawsze jednak z uszanowaniem granic władzy domowej głowy rodziny. Osoby podległe tej władzy, mianowicie kobiety, były z tego powodu wyjęte z pod cenzorskiej jurysdykcyi, ale za to cenzor czuwał zarówno nad należytem sprawowaniem władzy ojcowskiej wobec dzieci, jak i władzy mężowskiej wobec kobiety [1]).

Kiedy system wychowania publicznego uważano w Rzymie za zagrożony w moralnym kierunku działalnością przybyłych z Grecyi sofistów, którzy pod nazwą retorów i filozofów tworzyli niejako szkoły i w nich nietylko głoszeniem szkodliwych zasad filozoficznych, lecz nadto złym przykładem psuli młodzież, cenzorowie w edykcie napiętnowali to postępowanie [2]) a senat, oparty na powadze tego ważnego głosu, poszedł dalej i uchwałą swoją skłonił pretora do wydalenia niepożądanych gości greckich. Był to już nietylko akt kontroli moralnej, lecz i przezorności politycznej. Tamowała ona w porę szerzenie się zasad, uznanych w przewidywanym wpływie za zgubne dla społeczeństwa i poskramiała importowaną a natarczywą propagandę takich nowinek filozoficznych i społecznych, po których w ówczesnym okresie rozpoczętej już fermentacyi cywilizacyjnej obawiać się należało zachwiania lub zamącenia ustalonych pojęć i tradycyi społecznych.

Podziwiać zaprawdę wypada mądrą przenikliwość cenzorów rzymskich w tem tamowaniu szkodliwych prądów i nauk. Jeden

---

[1]) .... sit censor, qui viros doceat moderari uxores (Cicero).

[2]) Maiores nostri quae liberos suos discere et quos in ludos itare vellent instituerunt. Haec nova, quae praeter consuetudinem ac morem maiorum fiant, neque placent neque recta videntur.

z najgłębszych dzisiejszych prawników-filozofów francuskich, G. Tarde, zastanawiając się nad amfibologiczną kwestyą, czy cywilizacya, jako zbiorowy wyraz wychowania, oświaty, religii, umiejętności, sztuki, przemysłu, zamożności, porządku politycznego i t. p., wpływa na umniejszenie liczby przestępstw, więc na podniesienie poziomu moralnego w społeczeństwie, dochodzi do tego rezultatu, że taki stan fermentacyi cywilizacyjnej, jakim był okres powyżej wspomniany i jakim jest dzisiejszy, chociaż bogaty w nowe pomysły, poglądy i t. p., ale nieustalony *(trés riche sans être trés cohérente)* ujemnie oddziaływa na stan moralny społeczeństwa, więc i liczbę przestępstw, kiedy natomiast stan ustalony, chociaż mniej bogaty w nowinki, za świadectwem historyi wpływa w sposób dodatni. Dla objaśnienia tego twierdzenia, nawet na jego poparcie, Tarde powołuje się właśnie na stan rzymskiego społeczeństwa po wojnach punickich w porównaniu z poprzedzającym okresem statecznego rozwoju [1]).

Są historyczne dowody na to, że nawet na wojsko rozciągał się dozór cenzorski, o ile chodziło o czyny, które nie stanowiły przekroczeń, podlegających specyalnemu sądownictwu wojskowemu, lecz miały charakter zaniedbania obowiązków obywatelskich i patryotycznych. W początkach cenzura piętnowała brak męztwa w walce z nieprzyjacielem. Z czasów późniejszych przekazała historya fakt ukarania tych wszystkich młodzieńców, którzy w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, wśród walk z Hannibalem, usunęli się od służby wojskowej, chociaż jako fizycznie rozwinięci i zdrowi mogli już stanąć w szeregach wojskowych.

Wskazaliśmy powyżej tylko kategorye spraw, podlegających osądzaniu cenzury, idąc w tej mierze przeważnie za wynikiem badań Jarckego. Dalsze badania źródłowe wyświeciły wiele nowych szczegółów, na których podstawie Mommsen ujął zakres działania cenzury rzymskiej w szemat, dwadzieścia punktów obejmujący [2]). Są to szczegóły, z których ani jednego nie możnaby pominąć w wyczerpującej monografii o cenzurze rzymskiej, gdyż każdy co najmniej uwydatnia charakterystykę. Dla celów, wytkniętych tej pracy, takie wyczerpywanie materyału byłoby balastem zbytecznym, gdyż po największej części szczegóły te dają się pomieścić w powyżej naszkicowanych kategoryach. Wspomniemy chyba jeszcze tylko o szczegółach, podnoszących wybitnie działalność cenzury rzymskiej jako

---

[1]) G. Tarde: *La Philosophie pénale* (j. w.) str. 395.

[2]) T. Mommsen: *Römisches Staatsrecht* (j. w.) t. II. str. 349 i n.

trybunału społeczno-moralnego, przed którego forum dostawały się przewinienia i zdrożności, nie podpadające, mówiąc ze stanowiska dzisiejszego prawa, pod sankcyę paragrafową, lecz pozostawione sądowi opinii. I tak hańbiącemu skarceniu cenzora ulegały nawet indywidua już skondemnowane w sądach ludowych w wypadkach, jeżeli czyn występny plamę na czci zostawił. Była to nie druga kara, lecz niejako konsekwencya moralna kondemnaty prawnej. Dalej wylicza Mommsen jako zdrożności, karceniu cenzury podlegające, publiczne występowanie na scenie lub w cyrku (aktorowie i gladyatorowie), czyny stojące na pograniczu między karnem a prywatnem bezprawiem, mianowicie nieuczciwość i niesłowność w interesach i w obrocie w ogóle, więc owe dwie zdrożności, które i dziś mają charakter epidemii moralnej a których samo prawo pozytywne bez pomocy moralnej społeczeństwa ani wytępić, ani nawet dzielnie poskramiać niemoże. Do tej kategoryi zdrożności należały także usiłowane samobójstwo, zaniedbywanie rodowych świątyń i grobów, obrażanie uczuć pietyzmu wobec członków rodziny, złe wychowywanie dzieci, wreszcie rozwiązłe życie w ogóle.

Wobec tak rozległego zakresu kompetencyjnego cenzury rzymskiej możnaby zapytać, czy w ogóle była jaka sfera działalności w obywatelskim i prywatnym kierunku, któraby wcale nie podlegała jej kontroli i rygorowi karnemu? To też nawet Mommsen kończy swoje wyliczenie agend cenzorskich zastrzeżeniem, że może ono nie wyczerpuje jeszcze całej kompetencyi cenzury rzymskiej, gdyż charakterystyczną jej cechą była właśnie nadzwyczajna swoboda, prawie dowolność, w wytaczaniu przed własne forum wszelkich spraw, rzucających, jeżeli nie plamę, to cień na cześć obywatelską. Zastrzeżenie to, wypowiedziane przez uczonego, który w badaniach swoich tak starannie zwracał uwagę właśnie na rozwój starorzymskich urządzeń prawnych, jest z pewnością uzasadnione. Prawnik odgadywaćby to musiał, chociażby nie miał dla tej opinii tak klasycznego świadectwa, jakiem jest zdanie Mommsena. Cenzura rzymska bowiem nie mogłaby była spełnić tak skutecznie swojej wielkiej missyi w czuwaniu nad zdrowiem moralnem społeczeństwa, jeżeliby zasklepiona w pozytywnie określonym szemacie kompetencyjnym miała była na uwadze pewne tylko działy działalności obywatelskiej. Któż zresztą miałby jej zakreślać kompetencyę paragrafową, czyli kompetencyę w dzisiejszem tak ścieśnionem tego słowa znaczeniu? Przecież cenzura rzymska pełniła swoje funkcye nie z mocy nadanej jej przez prawo organizacyi, lecz jako organ społeczno-moralny, stojący po nad prawem w tem znaczeniu, że judy-

katurą swoją nietylko uzupełniała prawo pozytywne w duchu społeczno-moralnym, lecz nawet poprawiała je wtedy, gdy jego przepisy wchodziły w kollizyę z przykazaniami moralności.

To też w rzymskiem prawie karnem, traktowanem nie tak fragmentarycznie, jak się ono w kodyfikacyach Justyniańskich przedstawia, lecz jako całość w zupełnym rozwoju historyczno-społecznym, historya cenzury stanowi niejako uzupełnienie, niezbędne do zrozumienia ducha tego prawa [1]). Bez takiego podniesienia działalności cenzury obejść się niemoże żadne dogmatyczne traktowanie rzymskiego prawa karnego w ogóle a w szczególności jego związku z pojęciem i znaczeniem czci obywatelskiej [2]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) Dr. C. E. Jarcke: *Versuch einer Darstellung des censorischen Strafrechts* (j. w.) str. 29, 32, 34, 44, 99, 106—7, 117.

[2]) Dr. Theodor Marezoll: *Uiber die bürgerliche Ehre, ihre gänzliche Entziehung und theilweise Schmälerung* — Giessen 1824, str. 95 i n.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d' ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.

1767.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Sprzeczność opinii biskupów i ambasadora. — Biskupi przedkładają kilka projektów akcesu, ale żaden nie został akceptowany przez Repnina. — Czacki ciągle pod strażą. — Ogólne oburzenie przeciwko Rossyi. — Dwór wszystko objaśnia tem, że dla braku sił musi jej ulegać. — Przyjazd Brzostowskiego i jego pojednanie z ambasadorem. — Biskup krakowski skłania się do umiarkowania. — Uroczystości z powodu wyboru prymasa.

Warszawa, 9. września 1767.

Stan rzeczy jest ciągle jednaki. Wszyscy tu są przeciwni restytucyi praw dyssydentom, a jakkolwiek jest tu tylko mowa o wymierzeniu sprawiedliwości, na co obie strony wypowiedziały swą zgodę, z tem wszystkiem jednak Polacy pojmują to w inny sposób, niż ambasador rossyjski. Ten ostatni żąda zupełnej równości praw dla obywateli jednej Ojczyzny, bez względu na stan, do którego należą, a nadto chce, aby równość ta nie naruszała w niczem praw panującej religii katolickiej. Biskupi znowu, duchowieństwo i prawie cała szlachta oponują przeciwko temu, aby dopuszczać dyssydentów do senatu, na posłów, deputowanych, na urzędy w ogóle, z obawy,

aby stopniowo nie powiększali żądań i nie byli popierani w swoich roszczeniach. Nie ma motywów, któreby były w stanie przekonać gorliwych katolików o słuszności podobnych poglądów i chyba tylko siłą będzie można ich pokonać. Ambasador przygotowuje się na tę ewentualność i odniósł się już do wszystkich swoich generałów, aby przybyli tu celem porozumienia się w przedmiocie kwater zimowych dla wojska, oraz przedsięwzięcia odpowiednich środków w razie jawnej opozycyi.

Biskupi jeszcze nie przystąpili do konfederacyi, przedstawili wprawdzie kilka projektów tego przystąpienia, ale żaden z tych projektów nie uzyskał aprobaty ambasadora, który z tego powodu wystąpił z własnym projektem, ale tego oni zapewne przyjąć nie zechcą. Wszakże bez akcesu w mowie będącego nie mogą być dopuszczeni do senatu.

Książę biskup krakowski ciągle mówi wiele, przez co naraża się bardzo, i raz uwięziony, może nie tak łatwo uwolnionym będzie, skoro zostanie uznany za niebezpiecznego dla planów Rosyi. Czacki ciągle jeszcze jest pod dozorem i dopóty nie będzie uwolniony, dopóki nie złoży piśmiennej deklaracyi, że wcale się mięszać nie będzie do spraw sejmowych. Na wystosowany do ambasadora raport księcia Radziwiłła, że wszyscy konfederaci chcą się połączyć z królem, kazał mi tenże oświadczyć księciu, iż mylą się, jeżeli sądzą, że połączywszy się z królem, łatwiej będą mogli stawić opór projektom Rossyi.

Podróż księcia wojewody ruskiego do Puław i wielki zjazd obywateli, jaki ma tam miejsce, dowodzi jasno, że familia nie jest pozbawioną siły. Nie ulega wątpliwości, że byłaby skłonną do jawnego wystąpienia, gdyby się mogła spodziewać pomyślnych rezultatów. W samej rzeczy zwolennicy jej mówią głośno o zaborach Rossyi w województwach: mścisławskiem, witebskiem i połockiem, o aresztowaniu urzędnika koronnego, o niebezpieczeństwie ogólnem, o naruszeniu swobody panującej religii.

Dwór wszystko objaśnia tem, że nie ma dostatecznych sił, że musi ulegać Rossyi i zgadzać się na wszystkie jej żądania. Podobna odpowiedź zwiększa tylko ogólne przygnębienie. Książę Adam, pomimo woli obrany posłem z Inflant, będzie zmuszony, podobnie jak książę podkomorzy, popierać sprawę dyssydentów zgodnie z instrukcyą.

W dniu wczorajszym przybył tu marszałek Brzostowski i zaraz przedstawiłem go ambasadorowi rossyjskiemu, od którego otrzymał wszystko, to nawet, czego się wcale nie spodziewał.

Stosownie do pozwolenia ambasadora, kanclerz wielki podlega powtórnemu wyrokowi i Ciechanowiecki uwolniony zostaje od skutków wyroku poprzedniej konfedederacyi, *respective* skasowany zostaje pomieniony wyrok; wszyscy przyjaciele księcia Radziwiłła zostają również przywróceni do praw, z wyjątkiem tych, na których uwolnienie książę zgodzić się nie zechce. Z tą depeszą wyjeżdża Brzostowski, a po zalimitowaniu sądów powróci tu na dzień 28go bieżącego miesiąca.

Ubolewam bardzo nad ewentualną zgubą przyjaciela, który uważał za punkt honoru zostać ofiarą jedynie przez opór w przeświadczeniu, że to wywoła pożyteczną dla kraju rewolucyę.

Mówię tu o księciu biskupie krakowskim. Przepędziłem z nim na rozmowie kilka godzin w dniu wczorajszym, ale pomimo moich perswazyi mało mam nadziei, aby zmienił swoje opinie.

Wychodząc dziś od ambasadora z rezydentem Esseniusem, byliśmy proszeni przez księcia o to, abyśmy się udali do biskupa, jako naczelnika całego opozycyjnego stronnictwa, i starali się przynajmniej skłonić go do układów. Udaliśmy się więc do niego i powrócili dopiero o godzinie 11ej. Zdaje się, iż nam się nareszcie uda sprowadzić go na drogę umiarkowania.

„Wszyscy biskupi mają przystapić do konfederacyi dopiero po ostatniej ceremonii kościelnej z powodu wyboru prymasa. Ten ostatni w imieniu kolegów biskupów ma przemawiać do ambasadora. Dziś miecznik daje dla niego wieczór, na którym ma się znajdować ambasador. Jutro znowu biskup krakowski, jako w dzień wspomnianej uroczystości, urządza u siebie przyjęcie. Na tej uczcie nie będzie obecny żaden z ministrów zagranicznych, z wyjątkiem p. Esseniusa. W poniedziałek prymas podejmować będzie u siebie gości, wszakże ambasador rossyjski znajdować się tam nie będzie, a to z powodu obecności nuncyusza papieskiego.

XV.

Na porządku dziennym rozprawy o nowej formie rządu, którą Rossya mogłaby aprobować. — Ambasador traktuje w tej sprawie z królem w obecności prymasa. — Po połączeniu się w jedno zgromadzenie, konfederacye obu narodów odbyły d. 2. października generalnę sesyę, na której zaproponowano pięć postanowień. — Kuryer z Moskwy od poselstwa konfederacyi. — Aresztowanie posła Kożuchowskiego.

Warszawa, 3. października 1767.

Nie mogłem wysłać do Waszej Królewiczowskiej Mości zwykłego raportu poprzednią pocztą, gdyż ambasador rossyjski, zapro-

siwszy się sam do prymasa na obiad, zaprowadził mnie tam a to w tym celu, abym mu po obiedzie czytał projekty, dotyczące organizacyi władzy wojskowej.

Plan mój Rady nieustającej jest tu ciągle podstawą rozpraw o nowej formie rządu, którą Rosya mogłaby aprobować i gwarantować. Zdaje mi się, że ambasador traktuje w tej sprawie z królem w obecności prymasa, swego nieodłącznego towarzysza. Onegdaj znajdowali się oba u ks. Radziwiłła, skąd razem z wielkim podskarbim poszli do króla z projektem, aby przystąpił do konfederacyi. Król darował Radziwiłłowi pierścień z własnym swoim portretem, w zamian za co otrzymał od tego ostatniego zapewnienie, że żadnej innej woli nad królewską znać nie będzie. W dniu wczorajszym wszyscy ci dygnitarze byli na obiedzie u króla, gdzie również znajdował się i przybyły dnia poprzedniego marszałek Brzostowski.

Po połączeniu się z sobą w jedno zgromadzenie, konfederacye obu narodów odbyły wczoraj generalną sesyę, na której zaproponowano pięć postanowień, które dały powód do niezwykłego zamięszania i zaniepokojenia.

Co do postanowienia, zabraniającego wstępu arbitrom, Krasiński, którego zobowiązałem się zapytać o zdanie, oświadczył, że nie może na to pozwolić bez narażenia swego honoru, skoro bowiem jest marszałkiem, a nie posłem, zamknąłby sobie sam drzwi do sejmu. Tak samo przemawiali inni. Zaproponowałem ambasadorowi, aby marszałkowie i radcy konfederacyi, arbitrowie byli dopuszczeni na sejm, na co tenże się zgodził.

Drugie postanowienie odnosiło się do uznania wojsk rossyjskich za posiłkowe. W tym celu ambasador objaśniał, że już dla samego honoru konfederacyi trzeba jednomyślnie przyjąć to postanowienie, inaczej bowiem powiedzianoby, że konfederacye sprowadziły wojska rossyjskie do kraju.

Trzecie postanowienie dotyczyło wyłączenia kilku posłów, którzy na sejmikach przysięgli niczego nie przyznawać dyssydentom.

Postanowienie czwarte zalecało, aby przy połączeniu izb marszałek Brzostowski zajmował miejsce obok marszałka księcia Radziwiłła, i to nie spotkało żadnej trudności.

Nakoniec piąte opiewało, aby sejm wyznaczył delegacyę do traktowania z ambasadorem o krzywdach kraju i o dyssydentach, aby delegacya ta liczyła dowolną liczbę członków według woli sejmu, aby ten ostatni po wyznaczeniu de-

legacyi był zalimitowany *ad tempus bene visum*, i aby pomieniona delegacya, otrzymawszy władzę, akceptowała projektowane artykuły stosownie do swojej woli.

Dzisiejszej nocy przybył tu z listem (datowanym 25. z. m.) kuryer z Moskwy od posłów konfederacyi. Dotąd mieli dopiero konferencyę z Paninem u Pocieja, który zachorował; posłuchania u carowej dotąd nie było.

Po wczorajszej sesyi Kożuchowski został wieczorem aresztowany z polecenia ambasadora, a to za opozycyę przeciw proponowanym postanowieniom. Wszyscy są tem nadzwyczaj oburzeni, a marszałek obawia się rozruchów. Ze względu, że mam być dziś z prymasem u ambasadora na obiedzie, włożono na mnie obowiązek, abym prosił ambasadora o uwolnienie tego posła, który używa nadzwyczajnej popularności, ile że król i familia wiele zyskują na podobnym sposobie postępowania z konfederatami.

XVI.

Otwarcie sejmu i przemówienie króla. — Mowa Radziwiłła. — Biskup krakowski nie zgadza się ani na prowadzenie układów z ambasadorem, ani na delegacyę. — Tego samego zdania jest wojewoda krakowski. — Król odracza sesyę. — Ambasador grozi wywiezieniem biskupowi krakowskiemu. — Prymas namawia ambasadora, aby dla przykładu kazał aresztować tego biskupa, a jemu oddał administracyę dyecezyi krakowskiej.

Warszawa, 10. października 1767.

W niepraktykowany dotąd sposób odbyło się otwarcie sejmu w zeszły poniedziałek o godzinie 1ej z południa. Wprost do senatu udali się posłowie, gdzie marszałek koronny pomieścił ich województwami. Poczem dwaj marszałkowie konfederacyi zajęli miejsca w fotelach pomiędzy ministrami, którzy nie mieli już krzeseł, jak dawniej, naprzeciwko tronu, ale owalnie zamykali zgromadzenie.

Po wejściu króla i gdy ministrowie stanęli obok tronu, marszałek w. koronny, książę Radziwiłł, z podniesioną laską postąpił wraz z marszałkiem litewskim na powitanie króla, który po ich powrocie na miejsca odczytał krótką przemowę, oświadczając, że łączy się z konfederacyą. Mowa ta nie zrobiła wrażenia.

Z kolei marszałek Izby dał głos księciu Radziwiłłowi, a ten w wymownych słowach przedstawiwszy stan obecny kraju i potrzebę rozwiązania palących kwestyi, usunięcia krzyczącej niesprawiedliwości, złagodzenia krzywd narodowi wyrządzonych, zaspokojenia dyssydentów i dysunitów, których carowa bierze pod swoją opiekę. —

oświadczył, że Izby powinny skorzystać z okoliczności obecnych i wybrać delegacyę. którąby prowadziła układy z ambasadorem i w tym celu właśnie przedstawił odpowiedni projekt, który został odczytany przez sekretarza. Po odczytaniu projektu, biskup krakowski zażądał głosu i w długiej mowie wyjaśniał powody, dla których nie zgadza się wcale ani na prowadzenie negocyacyi z ambasadorem, ani na delegacyę, twierdząc, że pełnomocnicy nie mogą sami decydować, ale że wszystko powinno być zależne od decyzyi Rzeczypospolitej. To samo zdanie wypowiedział z kolei wojewoda krakowski i zakończył oświadczeniem, że gotów jest złożyć w ofierze życie swoje i majątek, ale nigdy nie zgodzi się na odstąpienie od tego zdania. Wzruszony temi dwiema mowami król kazał odroczyć posiedzenie. Obecny na posiedzeniu ambasador rossyjski, stojąc w oknie, obok tronu, robił mi wymówki z tego powodu, że p. Sarnecki z wielkim zapałem popierał zdanie biskupa krakowskiego. Sarnecki jest bliskim moim krewnym (szwagrem mojego zięcia), za co niby ma na mnie ciążyć wina.

Aresztowany Kożuchowski został już uwolniony i z rozkazu ambasadora oddany pod dozór marszałkowi dworu, który przybył tu przed kilkoma dniami. Ten ostatni mówił księciu biskupowi krakowskiemu o groźbie ambasadora, że go każe wywieść na chłopskim wozie, ale biskup odpowiedział, że zrobiłby mu wielką przysługę, gdyby nawet kazał go do ogona końskiego ogona przywiązać i w ten sposób włóczyć po ulicach miasta.

Zamiast przemawiać za biskupem, którego niby jest przyjacielem i któremu wiele zawdzięcza, prymas, przybywszy wczoraj do ambasadora, żądał od niego administracyi dyecezyi krakowskiej i zaprosił go, aby dla przykładu i postrachu kazał aresztować tego zacnego prałata.

XVII.

Na posiedzeniu sejmu król oddaje wielkie pochwały Radziwiłłowi i składa główną odpowiedzialność na tych, którzy pierwsi przeciwko niemu wystąpili. — Biskup krakowski gani list, jakim konfederacya zaopatrzyła posłów do Moskwy, oraz całe jej postępowanie. — Aresztowanie biskupa krakowskiego i biskupa kijowskiego, wojewody krakowskiego, starosty dolińskiego i innych senatorów i wywiezienie ich na wygnanie. — Kanclerz w. Zamoyski składa swój urząd. — Wzajemne zabiegi ambasadora i króla. — Gwałtowność Repnina nie zna granic. — Listy od posłów do Moskwy. — Przegląd wojsk rosyjskich, odbyty przez Repnina na polach Woli i Ujazdowa.

Warszawa, 14. października 1767.

Na ostatniem poniedziałkowem posiedzeniu król miał mowę, w której podniósł wiele drażliwych kwestyi. Powiedział między in-

nemi, że gorąco pragnął dobra Ojczyzny i z narażeniem własnej osoby pracował w tym kierunku, ale że został zawiedziony w swoich zamiarach. Wielkie pochwały oddawał księciu Radziwiłłowi, składając główną odpowiedzialność na tego, kto pierwszy przeciw niemu wystąpił. W końcu zażądał odczytania listu, w jaki zaopatrzyła konfederacya posłów swoich do Moskwy.

Po odczytaniu tego listu wystąpił z opozycyą biskup krakowski, zganił pomieniony list, jak również i całe postępowanie konfederacyi, przypomniał o aresztowaniu wielkiego podczaszego i Kożuchowskiego i żądał, aby sejm wybrał deputacyę, którąby w jego imieniu zapytała ambasadora, czy tenże posiada od dworu swojego instrukcyę, polecającą mu postępować w tak gwałtowny sposób.

W odpowiedzi na to król objaśnił, że deputacya taka prawdopodobnie zrobiłaby więcej złego niż dobrego, i kazał odroczyć posiedzenie do piątku.

Tego samego dnia biskup kijowski miał bardzo gwałtowną mowę. Wczoraj o północy aresztowani zostali przez oddział wojska rossyjskiego: książę biskup krakowski, biskup kijowski, wojewoda krakowski, starosta doliński, syn wojewody, i jeden poseł z Podola, główny mowca przeciwko Rossyi. Pierwszy z nich wzięty został przez Igelstroma z pałacu marszałka dworu, u którego był gościem. Na żądanie biskupa pozwolono wsiąść z nim do powozu jednemu z jego służących i uprowadzono go za Wisłę, skąd po przesadzeniu do innego powozu wywieziony został niewiadomo dokąd. Artysta-śpiewak, Puttini, który wczoraj powrócił z Rossyi, opowiadał, że spotkał wszystkich uwięzionych pod silną eskortą o parę stacyi pocztowych od Warszawy i że biskup krakowski chciał coś do niego przemówić, ale nie dopuścił tego oficer rossyjski.

Wskutek tych wypadków kanclerz w. koronny, Zamoyski, złożył swą pieczęć w ręce króla, a biskup kamieniecki, przybywszy na Pragę, zawiadomił mnie listem, że po tem, co zaszło, nie może tu dłużej pozostać i powraca do domu.

Bardzo jest prawdopodobnem, że opinia Waszej Królewiczowskiej Mości, wypowiedziana w depeszy z Lipska, sprawdzi się wkrótce. Po wywiezieniu czterech dygnitarzy, a między nimi biskupa krakowskiego, uważanego za przywódcę stronnictwa saskiego, to ostatnie znajduje się w największej obawie, aby nie padło ofiarą. Nie mogę pominąć milczeniem zabiegów księcia ambasadora, chcącego przypodobać się królowi, ale usiłowania jego nie idą w porównanie z temi, jakich używa król, aby sobie zjednać przychylność ministra rosyjskiego. Ten ostatni rozkazuje, król prosi, Czartoryscy

zaś ustępują na całej linii wobec gróźb ambasadora, który mówi wszystkim bez ceremonii, nawet mnie to często powtarza, że każe aresztować nietylko ich, ale nawet samego króla, jeżeli się ośmielą występować z opozycyą przeciwko jego żądaniom. Jednego razu powiedział nawet do mnie i do Brzostowskiego, że król musi się pozbyć swojej familii, gdyż inaczej przestanie być królem, że musi spełniać jego rozkazy, chociażby nawet miał zginąć razem z Rzeczypospolitą.

Co do Czartoryskich i marszałka księcia Lubomirskiego, to nie ulega najmniejszej kwestyi, że ambasador rossyjski nie sprzyja im zupełnie i że nie oszczędzi ich przy pierwszej sposobności. Prosił mnie, abym skłonił marszałków konfederacyi, ażeby ci usunęli z senatu księcia Lubomirskiego, albo przynajmniej odmówili mu laski marszałkowskiej, oraz aby żądali złożenia z urzędów kanclerzy litewskich. Oba jednak powyższe żądania nie odniosły żadnego skutku, gdyż naprzód sejm byłby nielegalnym, gdyby, rozpocząwszy się pod laską marszałka koronnego, zakończył się następnie pod laską marszałka konfederacyi, a powtóre nie można w żaden sposób pozbawiać kanclerzy ich urzędów bez poprzedniego formalnego oskarżenia.

Otrzymane tu zostały depesze od posłów konfederacyi. Z raportów tych wynika, że na przedstawienie ich, iż familia i wielki marszałek koronny, kierowani duchem ambicyi i żądzą władzy, starali się ujarzmić cały naród, odpowiedział Panin, że carowa pozostawia ich nienawiści całego narodu, i że z wyjątkiem życia ich dozwala z nimi robić wszystko, co się podoba. Pomieniona depesza odczytaną została na sesyi konfederacyi generalnej.

Powiadają, że książę kanclerz chce emigrować do Czech, a marszałek wielki ma złożyć urząd na rzecz margrabiego Wielopolskiego, i że do tego nakłonił już króla ambasador rossyjski.

Ponieważ konferencye delegacyi u ambasadora mają się zacząć dopiero około 4. listopada, przeto korzystając ze swobodnego czasu, panowie delegaci robią wycieczki na wieś; jeden tylko ambasador, ciągle niezmordowany, nie przerywa swoich zajęć. Odbył właśnie przegląd wojsk na równinach Woli i Ujazdowa. Wojska było wszystkiego dwanaście tysięcy. Zjazd dla panów na ten przegląd naznaczony był do Woli, gdzie ambasador kazał przygotować przyjęcie na pięćdziesiąt osób. Śniadanie to trwało zaledwie dwadzieścia minut.

Generał-major Kreczetnikow miał poruczoną obronę dwóch wsi, a generał-lejtenant Sołtykow miał je atakować. Cała bitwa przedstawiać miała podejście nieprzyjaciela. Atakowani spoczywali właśnie pod namiotami, kiedy przednia straż zaczęła na nich napadać. Z obu stron rozpoczęty został ogień, atakowani wszakże zwinęli na-

mioty i cofnęli się z całym obozem w zupełnym porządku. Ambasador chciał podczas tej rewii wykazać wzorowy atak, wyborną obronę i jeszcze lepszą rejteradę.

Król znajdował się również na tej rewii; oprowadzał go feldmarszałek Branicki, ale tak, że niespodzianie znaleźli się obaj w samym środku podwójnego ognia. Opowiadano mi, że król miał stawiać wiele pytań, z których wszakże można było wnieść, że się wcale nie zna na sztuce wojennej. Na pomienioną rewię udali się również konno: prymas, biskup kujawski, oraz wielu panów, przyjaciół ambasadora.

Król przyjmował u siebie ambasadora, generałów i pułkowników rosyjskich. Wszyscy tu udają się z żądaniami swemi do ambasadora, któremu król niczego nie odmawia. Nominacye na otwierające się posady układają się zazwyczaj u niego.

Wskutek śmierci kasztelana Dzierzbickiego ambasador zachował ten urząd do swojej dyspozycyi.

XVIII.

Sprawa dyssydentów załatwioną zostaje projektem do konstytucyi w formie traktatu między delegacyą a ambasadorem. — Przywrócono im dawne prawa i przywileje. — Inne decyzye są: tron ma być elekcyjny, król religii katolickiej, nieograniczona amnestya dla wszystkich. — Po uregulowaniu sprawy dyssydentów książę Repnin zaprzestał swojej dawnej gorączkowej pracy; ma tylko dwie rzeczy do załatwienia: apanaże dla królewiczów saskich i regulacyę granic z sąsiadami.

Warszawa, 21. listopada 1767.

W zeszłą środę sprawa dyssydentów została stanowczo zdecydowaną. Nic o tem jeszcze nie wiedziałem, idąc na obiad do ministra pruskiego, do którego był również zaproszony i ambasador rossyjski. Przybył w bardzo dobrym humorze, nie ukrywając radości swojej przed całem towarzystwem.

Dyssydentom przywrócono dawne przywileje, zrównano ich zupełnie w prawach z katolikami, z tem jednak zastrzeżeniem dla religii panującej, że uznano ją za taką w całem Królestwie i prowincyach do niego należących. Dalej postanowiono, że tron będzie zawsze elekcyjny, a król religii katolickiej, że apostazya karaną będzie według całej surowości praw; wreszcie, że będzie udzielona powszechna nieograniczona amnestya bez względu na przeszłość.

Wszyscy zaczynają się uspakajać, a po upływie roku, więcej może będą tu rozprawiać o kwestyach finansowych, niż o przywilejach dyssydentów.

Na sesyi delegacyi, u ambasadora przed 9-ma dniami odbytej, kanclerz Młodziejowski chciał się popisywać tonem jakiejś wyższości, zupełnie mu niewłaściwym. To bardzo nie podobało się ambasadorowi, który też odezwał się do niego: „Słuchaj, księże, podobny ton wcale ci nie przystoi, nikt nawet nie zechce ci odpowiadać.“ To odezwanie się ambasadora zdetonowało nadzwyczaj kanclerza; jeden bowiem fałszywy krok mógłby go z pewnością pociągnąć za biskupem krakowskim, tak pamięta ambasador dawniejsze jego postępowanie, kiedy znajdował się przy boku poprzedniego prymasa. Przykład ten wpłynie niewątpliwie na kanclerza Borcha, nadzwyczaj upartego i lubiącego sprzeczki przy naradach.

Zapowiedziana została na dzień dzisiejszy sesya u prymasa dla załatwienia prośb mieszkańców Kurlandyi. W poniedziałek ambasador będzie konferował z prymasem, wielkim podskarbim i marszałkiem konfederacyi w kwestyi krzywd narodowych. Sprawa dyssydentów ukończona została projektem do konstytucyi w formie traktatu między delegacyą a ambasadorem. Kilku Litwinów podało do tutejszego grodu manifest przeciwko powyższemu aktowi; przesłali go do innych grodów z nadmienieniem, że do podpisania go zostali zmuszeni siłą.

Na poniedziałkowej sesyi rozbierane będą prawa zasadnicze, kwestye stanu, które mogą być decydowane tylko jednomyślnością, oraz sprawy wewnętrzne, decydowane większością głosów. Krzywdy narodowe zakończą obrady.

Rossyi iść powinno więcej o zadowolenie narodu, niż króla. Jakiekolwiek bowiem siły rozporządzalne posiada to mocarstwo, w każdym razie rewolucya w kraju tutejszym nie może mu być na rękę. Dotąd szlachta jest niezadowoloną. Wielu liczy na pomoc Porty, a nawet zamierza skłonić ją do tego przez wystawianie jej niebezpieczeństwa, wynikającego z przewagi religii greckiej. Niektórzy nawet rozszerzają opinie, że lepiej jest od razu kraj zniszczyć, niż pozwolić, aby powoli szedł do zguby.

Boże, zachowaj nas od rewolucyi! Byłaby ona zapewne jedną z najstraszniejszych i bezwątpienia rozpoczęłaby się od rzezi. Zdaje mi się, że po sejmie ambasador uda się do Moskwy. Staram się ciągle zyskiwać jego przyjaźń dla Saksonii i Waszej Królewiczowskiej Mości, a jednocześnie jednać sobie zawsze dawnych naszych przyjaciół.

W ogóle bieg spraw tutejszych posuwa się bardzo wolno. Dopóki szło o samych dyssydentów, ambasador uważał sprawę tę za swoją własną: pilnował jej, zajmował się nią ciągle, zmuszając de-

legatów do pracy. Po ukończeniu jej wszakże ambasador zaprzestał tej gorączkowej pracy i powiada, że ma tylko dwie rzeczy do załatwienia z delegatami: apanaże dla Waszych Królewiczowskich Mości i uregulowanie granic z sąsiadami.

Co do innych kwestyi pozostawia im zupełną swobodę: niech się urządzają, jak chcą, byleby tylko zgodnie z dobrem Ojczyzny.

XIX.

Prymas przedstawia projekt do praw zasadniczych na korzyść włościan. — Litwa i ambasador rossyjski oponują. — Projekt zostaje odrzucony. — Sprawa ordynacyi ostrogskiej. — Pogłoski o małżeństwie w. księcia rossyjskiego z księżniczką saską Amelią. — Obiad u ambasadora. — Poselstwo od konfederacyi do Moskwy zyskuje powodzenie. — Pogłoski o wojnie.

Warszawa, 19. grudnia 1767.

Prawa zasadnicze mają być podpisane na dzisiejszej sesyi.

Na ostatniem posiedzeniu miało miejsce wielkie nieporozumienie w sprawie włościan kraju tutejszego. Prymas przedstawił na ich korzyść projekt do praw kardynalnych. Stronnicy królewscy poszli za zdaniem prymasa, prowincya jednak litewska stanęła w opozycyi.

Po długich rozprawach ambasador oświadczył się za zdaniem Litwy, a takim sposobem projekt prymasa został odrzucony, jako dążący do utworzenia czwartego stanu przeciwko bezpieczeństwu i przywilejom szlachty. Dziwna rzecz, że prymas wystąpił z podobną propozycyą, nie będąc pewnym, iż ta przez ambasadora popartą zostanie.

Sprawą ordynacyi ostrogskiej zaczyna się obecnie interesować ambasador. Książę Radziwiłł występuje z pretensyą do niej, jako spadkobierca Radziwiłła, ożenionego z córką fundatora tej instytucyi, po którym uważa się za prawego następcę w braku spadkobierców z linii książąt Zasławskich.

Wiadomo, że ordynacya ta egzystuje na zasadzie konstytucyi z r. 1609, że posiadacze jej, Lubomirski i Sanguszko, są po prostu uzurpatorami, że donacye księcia Sanguszki są właściwie nielegalne. Obecnie nie byłoby żadnych przeszkód w ustanowieniu ordynata; należałoby tylko odebrać majątki ordynacyjne od obecnych posiadaczy, którzy objęli je wskutek znacznych sum, zaliczonych księciu Sanguszce.

Rozpowszechniają tu pogłoskę, że nasza księżniczka Amelia wychodzi za mąż za wielkiego księcia rossyjskiego. Podobne pogłoski zwiększają nadzieje wielu osób, którym zdaje się, że panowanie

Saksonii się zbliża i że wszystko, co Rossya tu zaprowadza, robione jest w tym celu, aby Polacy trzymali z Sasami, a ci ostatni zastali tu wszystko gotowe.

W dzień św. Mikołaja, t. j. na uroczystość imienin ambasadora, prymas dawał wielki obiad na 60 osób; zastawiano 5 krągłych stołów, każdy na 12 nakryć. Obecnym był i król, który przy tej sposobności dziękował księciu Repninowi, iż na ostatniej sesyi nie pozwolił na to, aby zmienione były *pacta conventa*.

Depesze, przywiezione ambasadorowi przez dwóch kuryerów z Moskwy, bardzo są przychylne dla konfederacyi. Wielhorski ma być bardzo dobrze położony u dworu rosyjskiego, a co się tyczy Ossolińskiego, to ambasador otrzymał rozkaz, aby dla niego wyjednał urząd w ministeryum i order Orła białego.

Mówią tu powszechnie o wojnie i dlatego zdaje mi się, że Rossya pragnie jaknajprędzej załatwić się ze sprawami polskiemi.

Prymas otrzymał w darze od carowej szubę sobolową wielkiej wartości, oddaną mu przez samego ambasadora.

KONIEC ROKU 1767.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

(Ciąg dalszy).

III.

Troska o pozyskanie zdolniejszych profesorów — prace przedwstępne — otwarcie gimnazyum w Krzemieńcu.

Nie samem jedynie ułożeniem projektu zajmowali się Czacki i Kołłątaj. Pierwszy zbierał fundusze, o czem wzmiankowaliśmy zresztą już w pierwszych rozdziałach tej pracy; drugi korespondował z powagami krakowskiemi i wileńskiemi. A sumy potrzebne na utrzymanie projektowanych zakładów wychowawczych w Krzemieńcu nie były ladajakie, nie o setki tu się rozchodziło. Już nawet sam Kołłątaj wątpić się zdawał, czy odpowiedni kapitał zgromadzić — drogą obywatelskich ofiar — podobna, doradzając „zawczasu pozmniejszać niektóre objekta wydatków“ [1]); a tutaj na dobitek wybitniejsze osobistości, które projektodawcy pragnęli do Krzemieńca zwokować, stawiały stosunkowo dosyć wygórowane żądania, tym zaś zadosyć uczynić trzeba było, choćby dla tego, że „niedoskonałość w ustawach zastąpić może gorliwość, zdatność i moralność zgromadzenia, że źle dobrane członki, najlepsze ustawy przewrócą, lub dobrej onych exekucyi przeszkodzą“ [2]). Wiemy już z poprzedniego, jak bardzo pragnął Czacki, by na czele szkoły krzemienieckiej sta-

---

[1]) *Koresp.* I. 391.
[2]) Ibid. I. 293.

nał tej miary człowiek, co Józef Czech. Zasięgnąwszy o nim, jak również o profesorze Schejdcie, wiadomości u przyjaciela swego, Jana Śniadeckiego, otrzymał starosta w odpowiedzi opinią nader pochlebną. Śniadecki uczynił jednak uwagę — zupełnie zresztą racyonalną — że według odnośnej ustawy urząd dyrektorów szkół nie jest dożywotnim, czy więc należy na niepewne losy uczonych krakowskich aż na Wołyń sprowadzać [1]). Czacki usiłuje wykołatać dla nich prawa specyalne, a tymczasem z jego natchnienia szturmował ks. Hugo na wszystkie strony listami, w różowych barwach przedstawiając upatrzonym kandydatom przyszłe ich życie na Wołyniu. I do Czecha kołatał niejednokrotnie [2]). W liście n. p. z dnia 3. października 1803 r. donosi jemu: „podług układów, jakie sobie zakłada J. P. Czacki, gimnazyum wołyńskie składać się ma z 12. osobnych katedr, między które, umiejętności matematyczne, fizyczne i moralne dość trafnie rozłożone będą. Nad tem gimnazyum pragnie on mieć W. Pana przełożonym, i do tego przywiązuje całą nagrodę swej pracy, aby temu nowemu ustanowieniu dał tak zacnego dyrektora, który we wszystkich tych ważnych objektach może być dobrym przewodnikiem i dozorcą innych nauczycielów. Zaręcza J. P. Czacki, iż pensya do tego urzędu przywiązana wynosić będzie na rok 1000 rsb., t. j. złp. 6666 i groszy 20. Jeżeliby zachodziła jakowa obawa, że urząd dyrektora podług ustaw 18. Maja r. b. przepisanych nie jest dożywotni, J. P. Czacki zaręcza, iż ta ustawa nie wiąże mu rąk względem wyboru WPana; zapewnia owszem, iż rząd, przez wzgląd na wybór tak zacnej osoby, skłoni się chętnie do oddania WPanu tego urzędu dożywotnio.“ I tak się też stało w istocie. Ministeryum — a raczej departament powszechnego oświecenia uczynił w końcu zadosyć ponawianym przedstawieniom Czackiego. Ma się rozumieć, że — o pomyślnym skutku swych zabiegów — nie omie-

---

[1]) Baliński: Stud. hist. Wilno 1856, str. 11, 14.

[2]) *Koresp.* I. 279; II. 343, 349—352; *Rękop. Bibl. Jag.* nra 3102, 3140. *(koresp. Czackiego i Jana Śniadeckiego)* — wiele szczegółów dotyczących wezwania Czecha i Schejdta. W zbiorach *Muz. Czart.* w Krakowie (nr. 3443) znajduje się: *Jego Imper. Mości od Ministra Oświecenia Dokład* o umowie między Czackim a Czechem i Schejdtem. Da się on streścić w następujących sześciu punktach: Urzędy dożywotnie; pensya w wysokości 1600 rubli rocznie; po upływie $12\frac{1}{2}$ lat emerytura w wysokości 1000 r.; obaj wezwani zostają w stopniu i znaczeniu prof. wil. uniw.; na podróż, rewizye szkół osobne fundusze; dzieci wychowywać się mają kosztem skarbu. — Schejdt przesyła swe warunki z Krakowa 1. VII. 1804 r. *[Rękop.* j. w. *nr. p. 272].*

szkał starosta Śniadeckiemu donieść. „Scheidt i Czech jadą 1. Lipca — pisze on 1805 r. do przyszłego wileńskiego rektora. — Ukaz co do ich osób jest rękojmią ich bezpieczeństwa, jest także dowodem, jak są szacowani, kiedy wszystkie prawa, które były przeciwne umowie przezemnie zawartej, co do ich osób w najpochlebniejszych wyrazach uchylone zostały. Gdy gimnazyum podolskie później się urządzi, Schejdt będzie się trudnił układaniem Flory i wojażem mineralogicznym, biorąc zupełną pensyą. Twoje świadectwo o Czechu i Schejdcie, kursoryą do wszystkich obywateli rozesłałem“ [1])...

Co do profesora Schejdta zachodzi w korespondencyi Kołłątaja z Czackim pewna gmatwanina. Ks. Hugonowi wypadło niejednokrotnie pisać w sprawie Franciszka, o niego bowiem Czackiemu bardzo chodziło; pragnął on go widzieć dyrektorem dożywotnim podolskiego gimnazyum, na warunkach takich samych, jakie przyznano Czechowi w Krzemieńcu [2]). W połowie maja 1804 r. jednak donosi Kołłątaj staroście nowogrodzkiemu: „straciliśmy młodego Schejdta przez śmierć, który był uczniem najlepszych nauczycielów w Pawii i Wiedniu, a dowcipem przewyższał nawet swego brata“ [3])... widoczna więc ze słów powyższych, że dwóch braci Schejdtów spłynąć miało na kresy, jeden z nich jednak — przed doprowadzeniem pertraktacyi do pomyślnego rezultatu — do innego przeniósł się świata; drugi przybył wprawdzie na Wołyń [4]), lecz nie było mu danem długo tutaj wykładać, pospieszył w ślad za bratem żałowany powszechnie.

I o Lindego starał się założyciel gimnazyum wołyńskiego, pragnąc i tego uczonego dla swego pozyskać zakładu. Tym razem wylicza Kołłątaj znowu wszystkie plany i projekta starosty nowogrodzkiego, dodając, że „między wielu korzyściami rachować on będzie za wielką wybór twej (t. j. Lindego) osoby. Nie wymawiaj się, proszę. Talent twój bardzo jest potrzebny w tym kraju; ani rozumiej, żebyś się tu mniej między nami mógł wsławić, jak w Austryi. Pozna Europa z równą łatwością twoje talenta między skałami Krzemieńca, jakby je poznała w stolicy państwa austryackiego. Dla mnie zaś wielką byłoby pociechą, gdybym jeszcze z tobą mógł żyć, a czasem spólnie pracować“ [5]). Niewiele pomagały czułe zaklęcia; o Lindego starał się równocześnie kurator Seweryn Potocki, pragnąc

---

[1]) Baliński j. w. 20; *Rękop. Bibl. Jag.* nr. 3102.
[2]) *Koresp.* II. 431, 434.
[3]) Ibid. II. 397.
[4]) Ibid. II. 207—209, 343; III. 98.
[5]) Ibid. I. 283.

go pozyskać dla charkowskiego uniwersytetu, a i o Warszawie coś głucho przebąkiwać zaczynano. Widocznie ostatnie pogłoski nie obiegały bezpodstawnie, gdyż już 21. stycznia 1804 r. zawiadamia Kołłątaj Czackiego: „Linde jest w Warszawie i już objął urząd dyrektora tamtejszego gimnazyum: straciliśmy tego człowieka na zawsze, równego jemu filologa i grammatyka nie najdziemy.“ Na utyskiwania zaś Czackiego, że profesorowie krakowscy gotowi są aż do Charkowa pospieszyć, odpowiada — zupełnie racyonalnie — „trzeba dać uwagę na stan serca ludzkiego i sądzić o jego poruszeniach nie podług naszego czucia, lecz podług uczucia tych, których przedmiot bliżej dotyka.“ Nadto znajdujemy w tym samym liście bardzo znaczącą uwagę, iż profesorowie krakowscy, czując swoją wyższość nad wileńskimi, gdzie rozwielmożniły się pycha, zarozumiałość, mierność i niezgoda, nie chcą podobnemu podlegać zgromadzeniu, które jest chyba „straszniejsze niż kozaki charkowskie“ [1]). Zapewne, że w powiedzeniu tem księdza Hugona znajdzie się dosyć przesady, świadczy ono bądźcobądź bardzo niekorzystnie o uniwersytecie wileńskim, mającym — jak wiadomo — spełniać władzę zwierzchniczą nad gimnazyum krzemienieckiem.

Nie na tem jednak koniec: wszak na Czechu i Schejdcie nie zamykała się lista profesorów: wszak i inne katedry obsadzić odpowiednio konieczność wymagała. Na miejscu znalazło się wprawdzie kilku kandydatów, lecz ci nadawali się do klas początkowych, a zostawały przecie jeszcze kursa dwuletnie. „Katedra prawa jest bardzo ważnym objektem. — Donosi 21. lipca 1804 r. Kołłątaj Czackiemu. — Pisałem do JWPana na ręce p. Czecha, rekomendując mu pp. Sołtykowicza i Markiewicza, radząc, abyś ich osobiście poznał . . . Tej katedry lada komu powierzać nie można, bo ona — po naukach matematycznych — jest najważniejszą“ [2]). Widocznie atoli — nie wiemy co prawda z jakich powodów — nie udało się pozyskać żadnego z tych panów dla Krzemieńca, nie spotykamy ich bowiem później w szkole wołyńskiej.

Na profesora geografii i historyi powszechnej postanowili obaj autorowie projektu — po wspólnej naradzie — wezwać Mirowskiego. Katedrę języków polskiego i łacińskiego ofiarowano ks. Aloizemu Osińskiemu, pełniącemu właśnie rolę domowego pedagoga przy synie Radzimińskich. Po długich obustronnych pertraktacyach [3]), ks. Osiński

[1]) Ibid. II. 219, 224—225.
[2]) Ibid. II. 406, 407, 410.
[3]) Ibid. III. 102, 104, 108—109, 112—113, 165—171, i t. d.

nie przyjął uczynionej mu propozycyi, wyrażając życzenie, że pragnąłby wykładać literaturę polsko-łacińską, katedra ta jednak oddaną już wcześniej została [1]). Wobec powyższej odmowy do kogo innego zwrócić się należało.

Na profesora mechaniki praktycznej proponuje Czacki Niemczewskiego. „Wice-profesor wileński — donosi o nim Śniadeckiemu — ma w Panu ufność bez granic. Chciej do niego napisać, że nie mam od niego odpowiedzi: może mój list go nie doszedł. Ofiaruję mu katedrę mechaniki w Krzemieńcu, w kraju tanim, gdzie korzec żyta za zł. 6.; mieć będzie rsb. 500“ [2]). I tym razem układy nieuwieńczone pomyślnym skutkiem, starosta zwraca się więc do Zaliwskiego, „który podczas rewolucyi w Wilnie tak prędko i tak skutecznie ludwisarnię założył“ [3]). O ile przekonać się można ze wzmianek, porozrzucanych w ówczesnych korespondencyach, ostatnia okoliczność pierwszorzędną odgrywała w powołaniu Zaliwskiego rolę. Profesor-mechanik, żołnierz Kościuszkowski, stał się typową postacią Krzemieńca, gdzie też do samej przebywał śmierci. Niejednokrotnie wspomnieć nam jeszcze o nim wypadnie w następnych roździałach niniejszej pracy, na razie notujemy jedynie, że i u Jędrzeja Śniadeckiego zasięgał Czacki opinii, przed powierzeniem katedry sympatycznemu założycielowi ludwisarni. „Co do planu Mechaniki — donosi zapytany staroście (3. IX. 1805) — który mi Pan przysłał, nie mam co powiedzieć, ale zawsze rozumiem, że się to nie uda i że Pan Mechaników nie poformujesz. Nie wątpię ja o zdatności Zaliwskiego, o którym wiele słyszałem, ale on może ich nauczyć modelów, co zaś do robót wielkich, temi nie można dysponować podług upodobania, a teby tylko uczniów formować mogły. Mnie się zdaje, żeby ich lepiej uczyć Architektury i Matematyki, a na ów czas łatwo każdą machinę podług modelu wykonać potrafią“ [4]).

Już to co prawda pan Jędrzej dosyć pesymistyczne stawiał horoskopy krzemienieckim urządzeniom Czackiego. Z moralnej strony biorąc, uważał on projekty starosty za nader dodatnie, przypuszczał jednak, że rzecz cała rozbije się o brak niezbędnych funduszów. Wyrażone, w przesłanej sobie tabeli płac profesorskich, kwoty uznał za nadto skromne; przecie Czacki pragnął widzieć na Wołyniu pedagogów najwybitniejszych — wychodząc z zasady, że, co jeden

---

[1]) Ibid. III. 194.

[2]) Baliński j. w. 41.

[3]) *Koresp.* III. 198.

[4]) *Rękop. Bibl. Jagiel.* Nr. 3151. Listy Jęd. Śniadeckiego do T. Czackiego.

zły zepsuje, kilku choćby dobrych z trudnością naprawić potrafi — a takie osobistości za byle co służyć nie zechcą. Nadto zaznacza Śniadecki — zupełnie zresztą słusznie — że płaca nie może być dla wszystkich równą: czem trudniejszy wybór kandydata, czem ten kandydat lepszą posiada markę, tem i honoraryum wyższe być powinno: teologowie mogą pobierać pensye skromniejsze, posiadają bowiem zwyczajnie inne dochody a nierzadko i bogate prelatury. Zdobycie wybitniejszych sił profesorskich utrudnia również niewyjaśniona pozycya szkoły wołyńskiej. Zajmuje ona pośrednie miejsce między uniwersytetem a zwyczajnem gimnazyum: nauczyciele zmuszeni będą podlegać uniwersytetowi wileńskiemu, uczyć podług wskazanych podręczników, a na to tacy kandydaci, jakich Czacki mieć pragnie, niełatwo przystaną. „Wydałeś JWP. Dobr. Uniwersytetowi Wileńskiemu cichą y potaiemną woynę; potrzeba ią zrobić głośną, otwartą y zapewnić sobie zwycięstwo. Do funduszu zebranego na Wołyniu doday JWP. Dobr. podobny, który się zbierze w Gub. Podolskiey y Kiiowskiey y staray się zrobić Uniwersytet, do zebranego funduszu zapewne y Imperator JMość coś doda. Zapewniy JWP. Dobr. w swoim Uniwersytecie mieysca samym Polakom, a ci rzucą się hurmem do niego, nie będziesz ich potrzebował JWP. Dobr. szukać, ale będziesz pomiędzy niemi wybierał... Jeżeli to iest niepodobna, tedy wracam do pierwszego mego proiektu, iako mniey kosztownego. Funduy JWP. Dobr. na Wołyniu Szkołę Lekarską, w którey wszystkie Fizyczne y Matematyczne nauki, iako Medycynie pomocne, będą umieszczone, a która będzie osobną szkołą, bynaymniey od Uniwersytetu niezawisłą." Na profesora weterynaryi poleca Jędrzej Śniadecki najgoręcej Mianowskiego [1]).

Jeżeli uwidocznić sobie zechcemy ówczesny stan głównej szkoły wileńskiej, gdzie wszystkie nieledwie katedry powierzono cudzoziemcom, tem lepiej pojmiemy słowa powyższego listu; dyktowało je uczucie Polaka, oburzającego się na podobnie anormalne postępowanie naczelnej władzy edukacyjnej. — Za Jana Śniadeckiego zmieniły się stosunki uniwersyteckie na lepsze.

Dodać jeszcze jest naszym obowiązkiem, że szczegółowy projekt przyszłej szkoły lekarskiej przesłał Jędrzej Śniadecki staroście w kwietniu 1804 r.; budżet jej wynosił 76.600 zł. pol. [2]). Różne okoliczności wpłynęły na to, że rzecz cała do skutku doprowadzoną być nie mogła.

---

[1]) Ibid. Nr. 3151.
[2]) Ibid.

Do języków greckiego i francuskiego upatrzono kandydata odpowiedniego w Pawle Jarkowskim, zachęcając go — „aby przez rok przykładał się do języka greckiego i wprowadził w jak najlepszy porządek lekcyę języka francuskiego w 4. pierwszych klassach“ [1]).

Nie wszystkich kandydatów można było wezwać odrazu do objęcia katedr w nowo-powstającej szkole. Znaleźli się i tacy, których przedtem — dla dopełnienia studyów — wysłać należało za granicę. Że Czacki nie cofał się przed tego rodzaju kosztownemi, choć ryzykownemi, próbami, wiemy aż nadto dobrze. Że niejednokrotnie zawód nieprzyjemny przypadł mu w udziale — i to nam nieobce. Zupełnie więc słusznie przestrzega go Śniadecki, by w wyborze wysyłanych kandydatów postępować z największą oględnością, gdyż często kończy się rzecz cała jedynie na bezskutecznem poniesieniu znaczniejszych kosztów [2]). I tak n. p. wysyła starosta za granicę Menciszewskiego i Szczuckiego; ostatni — polecony przez Czecha i Schejdta — miał zająć w niedalekiej przyszłości tak niezbędną katedrę rolnictwa i ogrodownictwa; żadnego z nich jednak nie spotykamy później w gronie profesorów krzemienieckich [3]).

Obok ogrodownictwa zapisać trzeba na listę przedmiotów, o które Czackiemu specyalnie chodziło, i botanikę, nic więc dziwnego, że pragnął ważny ów „object“ powierzyć doświadczonej i znanej już osobistości. Chwilowo — jak wiadomo — wykłada botanikę Schejdt, o stałym atoli profesorze pomyśleć należało. Niespodziewana śmierć ostatniego sprawę całą popchnęła naprzód, do dodatniego doprowadzając rezultatu. W ciągu 1808 r. zgłasza się starosta o pomoc i radę do prof. Jaśkiewicza, prosząc go, aby mu dopomógł kogoś „z ziomków na Prof. Botaniki a nayszczególniey na opisanie Flory kraiowey zdatnego“ odszukać. Ani Wilno, ani Kraków, nie mogły na razie poszczycić się wybitniejszym uczniem, nadającym się do objęcia katedry, w braku więc Polaka przystać konieczność kazała na wybór cudzoziemca — „od dawnego już czasu w kraju naszym będącego i język polski sobie znajomy mającego“. Piszący miał w danym wypadku na myśli „JMć P. Bessera, Medicinae Doktora“, którego „wiek, siły fizyczne złączone z gorliwością i przywiązaniem szczególnem do swoiey ulubioney nauki, chęć zna-

---

[1]) *Koresp.* III. 107—108; W *Ręk. Muz. Czart.* Nr. 3441. T. I. (j. w.) znajduje się prośba Pawła Jark. o zwolnienie od obowiązków naucz. języka franc. i o zasiłek na wyjazd za granicę dla dalszych studyów nad literaturą. (Nr. porz. 10).

[2]) Baliński 22.

[3]) Ibid. 21.

czenia w tey części Historyi naturalney" — zalecały do objęcia krzemienieckiej katedry. W dniu 1. lipca 1808 r. układy wzajemne ukończono: „doktor Lekarskiey Nauki" pospiesza dla dopełnienia studyów za granicę, a dyrekcya gimnazyum, w sprawozdaniu rocznem (1809), podaje do powszechnej wiadomości, że botanika i mineralogia nie były wykładane z powodu wyjazdu profesora z kraju. Ma się rozumieć, że i tym razem spisano dla ruszającego w świat przyszłego pedagoga „instrukcyę" osobną, obszerne streszczenie której podaje Majchrowicz. Powtarzamy z niej charakterystyczne dwa punkty: *a)* „Wie J. P. Besser, że wysłowienie się jest dla niego trudnem, zechce codzień głośno w swoim pokoiu lub na spacerze czytać, aby wprawa nagrodziła defekt, który zwyciężyć potrzeba. Niech się J. P. Besser przekona, że uczeń, który słucha, odraża się niepięknem opowiedzeniem rzeczy. Umysł człowieka nim iest zaięty, zmysły iego nayczęściey są dotknięte. Często mierny Professor więcey iest pożytecznym dla uczniów, którzy dla nauki i dla nauczyciela chcą czas swói poświęcić, niż naymędrszy nauczyciel, który nie opowie, co sam poiął, wymyślił lub podać łatwo przedsięwziął. *b)* Wszystkie lekcye w naszych prowincyach dawane są po polsku. Oprócz powinności obywatelskiey przedłużenia mowy naddziadów naszych mamy proste prawidło, że w oyczystym ięzyku, którym ustawnie mówiemy, poięcie iest łatwieysze niż w obcym, na który w myśli naszey tłumaczenie czynić nieiako musimy, mówiąc o ogóle uczniów niewprawnych do różnych dialektów. Nadto uczniowie szkoły ogrodniczey obcych ięzyków nie umieią. Codzień iakiekolwiek dzieło Polskie czytać proszę i, gdzie tylko można, mówić po polsku, nie uważaiąc czy początkowo będą błędy. Kto źle nie mówi, dobrze mówić nie będzie" [1]).

Widocznie Besser zastosował się ściśle do rad, przez Czackiego sobie udzielonych, w Krzemieńcu bowiem wykładał w polskim języku. Gdy — w zmienionych warunkach — zająć mu wypadło katedrę uniwersytecką w Kijowie, nie ćwiczy się już w języku rossyjskim, prelekcye wygłasza po łacinie.

Z dniem każdym zbliżała się chwila otwarcia szkoły, o jej więc urządzeniu, o przygotowaniu mieszkań dla profesorów i uczniów pomyśleć wypadało. Już od dłuższego czasu zajmowali się tem specyalnie Antoni Jarkowski, na prefekta upatrzony, i architekt Kubicki

---

[1]) *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3444. (Rap. Czackiego); Budanow: Istor. Imper. Uniw. s. Wład. I.; *Materye z nauk* r. 1809; Majchrowicz j. w. (*Muzeum* 1894. s. 89—92).

Władzę zwierzchniczą nad wszystkiem pełnił niestrudzony ks. Kołłątaj, przesyłając — ze swej strony — szczegółowe o postępie robót sprawozdania podróżującemu bezustannie po trzech guberniach Czackiemu. — W listach też obu tych ludzi znajdujemy niezliczoną ilość wzmianek o rozmaitych ulepszeniach, zaprowadzanych w Krzemieńcu. Powtarzać ich tu niepodobna, omawiają one z największą drobnostkowością wielorakie codziennego żywota kwestye, jak sprawę odpowiedniego ulokowania profesorów, opału i t. d. i t. d. Wszystko dowodem jednak być może, jak dogodzić się starano sprowadzanym zdaleka uczonym. Nawiasowo dodamy, że sześciu nauczycieli mieszkać miało w samem kollegium; Wojciech Jarkowski — profesor matematyki i geometryi — i Mirowski posiadali własne obejścia; dla pana Schejdta najęto dworek Kozerskiego; trzech wreszcie pozostałych ulokowano u Bazylianów [1]).

Na pomieszczenie szkoły przeznaczono — za zgodą rządu — kollegium pojezuickie i bazyliańskie. Ostatnim oddawano w zamian klasztor Reformatów [2]). Dnia 30. lipca 1805 r. przybył do Kołłątaja architekt Kubicki, by obmyśleć wspólnie plan rekonstrukcyi powyższych gmachów [3]) wedle zdjęć p. Braiera, architekta z Wiśniowca, który w ostatnich tygodniach ubiegłego roku bawił w Krzemieńcu i pomiary wszelkie na miejscu przeprowadzał. Oprócz wymienionego architekty powierzono tę samą misyę i Wojciechowi Jarkowskiemu. W połowie sierpnia 1804 r. składa on Czackiemu odnośny raport, zapisując w nim fakt dosyć ciekawy. Oto superyor O. O. Bazylianów nie chciał go wpuścić do środka gmachu, musiano więc tym razem poprzestać na wymiarze zewnętrznego obwodu klasztoru. Wypadek to drobny wprawdzie, wskazywał jednak, że O. O. Bazylianie niechętnie przystawali na proponowaną przez rząd zamianę [4]). W sierpniu układano już plan egzaminów wstępnych i pierwszych lekcyi. „J. P. Czech — pisze Kołłątaj do Czackiego — jako urzędnik pierwszy i gospodarz zgromadzenia, nie powinien być gościem w czasie otwarcia Gimnazyum; trzeba mu dać czas na jego domowe zatrudnienia i publiczne.... Profesorowie, mający zjechać w przyszłym

[1]) *Koresp,* III. 107.

[2]) Ibid. III. 101.

[3]) Ibid. III. 131—140.

[4]) *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3441. T. I. i 3442. T. II. (Nr. porządkowy 169). Tytuły — jak wyżej. — Tamże Nr. 3443. Doniesienie ks. kuratora [Nr. 74. Petersburg 17. VII. 1807], iż cesarz polecił oddać gimn. wołyńskiemu klasztor X. X. Bazylianów w Krzemieńcu. Ukaz w jęz. ros. nosi datę 13. VII. 1807 r.

miesiącu, powinni zastać gotowe dla siebie mieszkania... 17. września trzeba zacząć egzamina zjeżdżających się uczniów, żeby ich podzielić na klassy i kursa podług ich usposobienia i zdatności. W tych wszystkich robotach sam Antoni Jarkowski nie wystarczy, będąc zwłaszcza zatrudniony dozorem fabryki i mając sobie zapowiedziane, że dawać musi na ten rok kurs prawa. Trzeba więc, żeby J. P. Czech zjechał jaknajprędzej do Krzemieńca, a objąwszy swe urzędowanie, wziął się do pracy, która go czeka... JP. Schejdt powinien podobnie prędko zjechać dla dwóch ważnych przyczyn: 1) Ażeby zrobił przygotowania do swej lekcyi, jeżeli je rozpocznie zaraz 2. Octobr.; 2) ażeby wziął się zaraz do rozłożenia instrumentów fizycznych, nie czekając na przybycie p. Witwickiego, co nie mało zabierze czasu"...[1]) O ostatnim znajdujemy niejedną wzmiankę w współczesnej korespondencyi pana starosty z powagami, których rad i zdań zasięgał w tej trudnej materyi. Nie chcąc na własną odpowiedzialność brać mianowania odpowiednich profesorów do poszczególnych przedmiotów — zgłasza się listownie do braci Śniadeckich, ufając, że ci doświadczeni pedagogowie wybawią go z kłopotu. List Jędrzeja Śniadeckiego — pisany ze stolicy Litwy w dniu 16. sierpnia 1805 r., a więc na kilka tygodni zaledwie przed otwarciem szkoły — wyjaśnia nam w pewnej części owe zabiegi wizytatora: „Jaśnie WP. Dobr. — są jego słowa — możesz się przychylić do zdania mego brata, który sądzi, że można Witwickiego wziąść na rok na próbę. Ja wiem, że człowiek ma wiadomości i głowę, przy pracy i książkach może sam dopełnić tego, na czymby mu jeszcze zbywało, bo ja zupełnego zdania o nim dać nie mogę — nie miałem albowiem sposobności poznania go jak należy. Wolffgang decydowałby się do Krzemieńca, gdyby tam mógł mieć aptekę, wyrozumiałem nawet z niego, żeby rad na rok jeden wyjechać dla douczenia się tego, czego mu braknie z mineralogii"...[2])

Już choćby z listu Kołłątaja przekonać się łatwo, że Witwickiemu powierza Czacki wykład fizyki. Wolffganga nie spotykamy w Krzemieńcu.

Sierpień i wrzesień 1805 r. należały, w podobnych warunkach, do niebywale ciężkich dla osób z gimnazyum przyszłem związanych. Kołłątaj pracuje nad ułożeniem odezwy do zgromadzenia nauczycielskiego; jemu powierzono również koncept projektu, mającego być

---

[1]) *Koresp.* III. 142—143.

[2]) *Rękop. Bibl. Jagiel.* Nr. 3151. (Koresp. Jędrzeja Śniadeckiego).

rozesłanym przez marszałków po powiatach, plan samej uroczystości otwarcia szkoły i t. d. i t. d.

Program nauk na rok 1805 wyszedł także z pod jego pióra, poprawki tylko pewne poczynił w nim Czacki. Druk tegoż powierzono oficynom poczajowskim: jeden z profesorów ma na miejscu pilnować, by korrekta nie szwankowała zbytnio [1]). Wszystko spoczywało teraz na głowie prefekta Jarkowskiego [2]), inni profesorowie przybycie swoje z dnia na dzień odkładali, co utrudniało jeszcze więcej już i bez tego nużące przedwstępne roboty. Jeszcze w połowie września posyła starosta do Schejdta i Czecha sztafetę, „aby żony i rzeczy porzucili i przyjeżdżali pocztą". Nie na wiele to się jednak zdało, przedmowę więc wstępną układa Kołłątaj, podpisując pod nią Czecha.

Olędzki — zastępca ks. Osińskiego — i Malawski — nauczyciel niemieckiego języka — zapowiedzieli swe przybycie lada dzień; Witwicki — profesor fizyki — spodziewanym jest 20.; pobierać będzie na razie 600 rsb. rocznie; profesor literatury, Kruszyński, zjawi się 21. września; o Zaliwskim zawsze założyciel gimnazyum z największą odzywa się sympatyą; języka rossyjskiego i arytmetyki w początkowych klasach uczyć będzie Antoni Strzelecki; geometryi — mieszkający stale w Krzemieńcu — dr. Wojciech Jarkowski, brat prefekta i Pawła Jarkowskiego [3]).

Wobec tego, że — mimo licznych próśb i zaklęć — wielu profesorów — i to najważniejszych — przyjazd swój z tygodnia na tydzień odwlekało, bez nich zaś trudno chyba gimnazyum otwierać; wobec faktu, że reskryptu — przez cesarza już podpisanego — nie można się było doczekać, doradza Kołłątaj, by uroczystość, którą ma swoją obecnością zaszczycić liczne grono dygnitarzy, odłożyć na 10. a choćby i 15. października [4]). Na dobitek — obok wyżej przytoczonych przeszkód — znalazły się i inne. Oto w połowie czerwca

---

[1]) *Koresp.* III. 284.

[2]) *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3441. T. I. (j. w.) podaje rachunki Jarkowskiego z pieniędzy, przeznaczonych na odpowiedne urządzenie budynków szkolnych, oraz tegoż sprawozdania o przebiegu robót. Na tem miejscu zanotujemy również, że do chwili zupełnego ukonstytuowania się gimnazyum pomocnym był Jarkowskiemu we wszystkich zajęciach J. N. Tylkowski, dyrektor dawnych szkół krzemienieckich. Widoczne to z licznych raportów, Czackiemu składanych. Szczególniej kłopotliwem było sprowadzenie z zagranicy, przez Brody, pak z instrumentami. Jeździł po nie do Brodów prof. dawn. szkół, Tecław.

[3]) *Koresp.* III. 212—291.

[4]) Ibid. III. 241—244; 292.

pożar zniszczył część Krzemieńca; wprawdzie gmachy przyszłej szkoły ocalały, spłonęło jednak wiele domostw prywatnych, co wywołać musiało w następstwie podniesienie cen pozostałych mieszkań [1]). Była to jednak drobnostka wobec innej chmury, zawisłej nad przyszłem gimnazyum wołyńskiem. W drugiej połowie lipca zjeżdża do Kijowa minister oświaty, by zbadać dokładnie, czy ma tam być założona „*Universitas* na tutejsze gubernie, czy w jakiem innem miejscu; lub czyli można się bez tego obejść.“ Rzecz naturalna, że — powstanie o miedzę uniwersytetu — uniemożliwiałoby rozwinięcie się szkoły Czackiego, wedle zakreślonego przezeń pierwotnie projektu, upadłaby bowiem wskutek tego konieczność istnienia wyższego zakładu naukowego na Wołyniu. Książę kurator — jako Polak — przeciwnym był fundowaniu uniwersytetu w Kijowie, wiedział bowiem dobrze, że nie da się tam przeprowadzić języka wykładowego polskiego, obliguje więc starostę, by do Kijowa pospieszywszy, ministrowi wszelkie plany z głowy wybić się starał. Czacki ani chwili się nie zawahał, a powody, przezeń wyłuszczone, wystarczyły panu ministrowi; założenie uniwersytetu zaniechanem zostało [2]). Bezsprzecznie więc tylko starosty nowogrodzkiego to zasługa, że odwlekł otwarcie w stolicy Rusi rossyjskiego wyższego zakładu naukowego, pochłonąłby on bowiem wszelkie zbiory i z takim mozołem zebrane kapitały, co — po upływie lat dwudziestu kilku — w zmienionych znacznie okolicznościach nastąpiło.

Ostatecznie — zwalczywszy wszelkie zapory — postanowiono, by uroczyste otwarcie gimnazyum w Krzemieńcu odbyło się 1. października. W zastępstwie nieobecnego Czecha odbierał z rąk Czackiego dyplom cesarski, przesłany „przez potomka Jagiełłów i dziedzica gorliwości o sławę narodu“ — ks. Czartoryskiego, prefekt Jarkowski; z tej też racyi musiał on, w ostatniej chwili, i mowę dawniej ułożoną odpowiednio do okoliczności zmienić. Wzniesiony przybytek nauk — nazwał w niej — „twierdzą Narodu a sławy wiekopomną świątynią“ [3]).

Według układu Kołłątaja, cały obrzęd odbyć się miał w następujący sposób: Dnia 1. października o godzinie 6. zrana stokrotny wystrzał z armat i dzwony wszystkich kościołów ogłoszą całemu

---

[1]) *Ręk. Muz. Czart.* Nr. 3441. T. I. (jak wyż.). Do JW. Tayn. Konsyl. Jego Imper. Mci Wizytatora i Kawalera Tadeusza Czackiego od przełożonego szkoły krzemienieckiej Jana Tylkowskiego uwiadomienie o pożarze, w nocy z dnia 12. na 13. czerwca. (Nr. porządkowy 11).

[2]) *Koresp.* III. 103—122.

[3]) Osiński (j. w.) 98; *Rękop. Bibl. Jag.* Nr. 3023.

miastu uroczystą i znaczącą dla Wołynia chwilę. O wpół do dziewiątej stanie honorowa warta u drzwi kościoła i gimnazyum; podwoje świątyni otwiera się dopiero teraz, u boków tronu cesarskiego stanie również dwóch żołnierzy. O godzinie 9. uda się do kościoła biskup łucki, otoczony duchowieństwem. Ostatnie zajmie miejsce dla siebie wyznaczone, pierwszy do celebry gotować się będzie. Po upływie pół godziny ruszy do świątyni orszak z wizytatorem na czele; obok zebranych ze stron wszystkich gości postępować będą delegaci uniwersytetu wileńskiego, szkół powiatowych, oraz całe grono profesorskie krzemienieckie. Trzy kwadranse na 10. zacznie ksiądz biskup Cieciszowski wotywę o św. Duchu; po *Credo* biskup Podhorodeński wygłosi odpowiednie kazanie, po ukończeniu którego muzyka na chórze więcej grać nie będzie, tylko śpiewacy odpowiadać będą celebrującemu.

Po skończonem nabożeństwie biskup łucki, dawszy pasterską benedykcyę i odczytawszy ostatnią ewangelię, zasiądzie z całą asystencyą na swojem miejscu. Wtenczas wizytator sekretarzowi gimnazyum odda z rąk własnych ukaz cesarski, który donośnym głosem ma być przeczytany; podczas czytania ukazu wszyscy stać będą, poczem wizytator usiadłszy, da sekretarzowi swemu do odczytania list ministra. Z kolei następuje przemówienie Czackiego, odpowiedź na nie dyrektora; poczem zabiorą głos marszałek gubernialny — imieniem ziemian — i profesor literatury — o użyteczności nowego ustanowienia.

Po tem wszystkiem biskup Cieciszowski zaintonuje *Te Deum*, dalej śpiewać będzie modlitwę za Imperatora, a sufragan łucki, ks. Kaczkowski — przybrany w aparat biskupi — otoczony profesorami i uczniami, uda się do gimnazyum celem poświęcenia sal szkolnych [1]).

Program — przyznać trzeba — został obmyślanym i ułożonym bardzo odpowiednio. Aranżerowie uroczystości pragnęli widocznie ową chwilę — tak świetną w dziejach Wołynia — upamiętnić na długie lata w umysłach młodocianych widzów. Z drugiej strony atoli nie wiemy, czy odbyła się ona rzeczywiście podług planu, nakreślonego przez księdza Hugona. Współczesne pamiętniki — do nich bowiem, w braku innych źródeł, uciec się należało — opisują ją wprawdzie z zachwytem, ale bardzo przytem ogólnikowo. Nawet przyszły profesor szkoły krzemienieckiej, naturalista Andrzejowski, wyjątkowo w danym wypadku, nader wstrzemięźliwym się okazał,

---

[1]) *Koresp.* III. 163—165. Podobny ceremoniał — z małemi zmianami — w *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3443.

zamykając rzecz całą w paru zaledwie zdaniach. „Uzyskawszy dyplom cesarski — są jego słowa — wezwał urzędników i obywateli wołyńskich Czacki, i odbył z całą uroczystością ten obchód.“ Oto i wszystko, cośmy w *Ramotach starego Detiuka* [1]) znaleźli, a spodziewaliśmy się odkryć tam bogate do tej chwili źródło.

Ks. Aloizy Osiński, w biografii Czackiego [2]), nieco obszerniej fakt powyższy omawia. Ksiądz Kasper Kolumna Cieciszowski, „czcią i uwielbieniem powszechnem“ cieszący się pasterz dyecezyi łuckiej, w asystencyi licznego duchowieństwa świeckiego i zakonnego, celebrował osobiście. Biskup polemoński, ks. Jan Kanty Bożydar Podhorodeński, wygłosił wzniosłe kazanie, „jak rozum bez religii naraża się na błędy niezliczone i zarodem jest najokropniejszych zdrożności“ [3]). Z kolei przemawiali — imieniem obywatelstwa — Jan Wyleżyński; w imieniu uniwersytetu wileńskiego — dr. Jan Lernet; imieniem warszawskiego Tow. Przyj. Nauk — Aleksander hr. Chodkiewicz, a wszystkie owe hymny, sławiące wielkość, dobroć i wspaniałomyślność Aleksandra I., rozum ministra oświaty i patryotyczne uczucia ks. Adama Czartoryskiego, zostały — na wieczną rzeczy pamiątkę — drukiem ogłoszone [4]).

Dłużej nieco zatrzymać się wypadnie nad przemówieniem samego twórcy szkoły krzemienieckiej — Tadeusza Czackiego. W obecności gubernatora — ks. Wołkońskiego i dwóch biskupów; przedstawicieli uniwersytetu, towarzystwa naukowego warszawskiego, szkół powiatowych i szlachty; prawnuka fundatora gmachów, w których się właśnie uroczysty obrzęd odbywał — hrabiego z Wielkich Kończyc Michała Wandalina Mniszcha i licznie zgromadzonych ze stron wszystkich gości, podniósł się ze swego miejsca starosta nowogrodzki i — wśród ciszy, jaka w tej chwili zaległa obszerną świą-

---

[1]) Andrzejowski: Ramoty starego Detiuka o Wołyniu. Wilno 1861. T. II. 134.

[2]) *O życiu i pismach Czackiego.* 94—95.

[3]) *Kazanie na niedzielę XVIII. po Świątkach, t. j. dn. 1. X. 1805 na otwarciu gimnaz. Wol. w Krzemieńcu miane.* In 4-to, bez oznacz. drukarni; Osiński j. w.; Słowikowski: Wspomn. Szkoły Krzemienieckiej *(Bibliot. Warsz.* 1863. T. II. 347).

[4]) Słowikowski: Wspom.; Estreicher: Bibl. polsk. I. 195, II. 578, V. 200; w zbiorach *Bibl. Jagiel. (Katalog rękop. Nr. Inw. 3023)* znajduje się dokładna kopia, jedną i tą samą ręką zrobiona, przemówień: Wyleżyńskiego i Chodkiewicza, a nadto profesorów: Ant. i Wojciecha Jarkowskich i Strzeleckiego. Ostatnie trzy zostały wygłoszone przy rozpoczęciu wykładów odpowiednich przedmiotów. Wzmiankujemy o tem w innem miejscu dokładniej.

tynie — mówić zaczął. Z piersi przepełnionej radością, że mu Bóg dozwolił tak szczęśliwego dnia dożyć, że mu dał dosyć sił i wytrwałości potrzebnej do doprowadzenia do pomyślnego skutku tyle trudnego dzieła — wyrywały się słowa podzięki dla Aleksandra I., słowa uznania dla współobywateli, którym nieobce obowiązki względem uczącej się młodzi. Z właściwą sobie erudycyą przebiega dzieje ubiegłych wieków; wspomina o rządach Stanisława Augusta, zaznacza, że uczuliśmy „za tego panowania dobroczynny wpływ nauk w naszych prawach, sądownictwie, spokoyności domowey, w gospodarstwie i w wygodach nawet naszego życia. Utworzoną została kommisia edukacyina. Europa oddała cześć temu ustanowieniu przez naśladowanie. Dziecię mieszkańca stało się dziecięciem Państwa. Jednostayne prawidła w wychowaniu zostały powszechnemi. Jeden nauczyciel i iedna księga zdawały się uczyć i rozkazywać całey młodzieży; gdy ieden duch oświecenia w iedney szkole czerpany ożywiał wszystkich, co uczyli, i iedne do kształcenia serca i rozumu podawał prawidła.“ Dalej wspomina mowca o ludziach, których imiona w dziejach oświaty złotemi zapisać należy głoskami. Joachim Chreptowicz „podał i utrzymał projekt“ komisyi edukacyjnej; ks. Czartoryski „był oycem korpusu kadetów i te prowincye wizytował“; Ignacy Potocki „przewodniczył Towarzystwu Elementarnemu, i ma celnieysze prawo do sławy, którą te księgi przyniosły, i szczęśliwe odmiany w sposobie uczenia upewniły.“ Z kolei należało coś powiedzieć o ofiarności obywateli wołyńskich i sąsiednich gubernii, by w ten sposób podziękować jednym, innych zachęcić do naśladownictwa. A było czem się pochwalić: sam Czacki nabył dla gimnazyum bibliotekę królewską, medale, obserwatoryum astronomiczne i gabinet historyi naturalnej; Teofila Sapieżyna składa w darze parę tysięcy dzieł niezmiernie ważnych i rzadkich; Stanisław ordynat Zamojski powiększa hojnie już i bez tego zasobny gabinet fizyczny; pisarze zagraniczni nadsyłają swe prace; Kołłątaj przyniósł w ofierze gabinet mineralogiczny, zakupiony 1792 r. w Dreźnie u p. Gotliba Pötschen — „człowieka gruntownie biegłego w tej umiejętności“. A nie była to kolekcya lada jaka, w skład jej wchodziło 6000 przeszło okazów, tworzących zupełny kurs mineralogii, systematycznie ułożony i t. d. i t. d. [1])

---

[1]) *Koresp.* II. 217, 344; III. 101, 141; Osiński (j. w.) 102; *Mowa JW. Tad. Czackiego... dnia 1. Oktobra 1805 r. przy otwarciu Gimn. Wol. w Krzemieńcu miana.*

Wobec tak świetnych wyników — ciężkiej co prawda — pracy, mógł Czacki uważać się śmiało dumnym, miał się czem pochlubić przed licznie zgromadzonymi uczestnikami uroczystości, mógł niejednego — obojętnego dotychczas lub źle nawet uprzedzonego — przekonać, iż sprawa dobrą, uczciwą i konieczną być musi, kiedy tak silny oddźwięk w narodzie znalazła. „Dyploma mi powierzone z Naywyższey woli — zakończył, zwracając się do prefekta — składam w ręce twoie Mości Jarkowski, zastępco spodziewanego w tych dniach Dyrektora JP. Czecha. Obydwa ucznie Jana Śniadeckiego, którego imię okryte chwałą, zdobi poczet uczonych, przynoście na naszą ziemię iasny iego wykład dowiedzionych prawd i czynionych odkryciów. Znana wasza gorliwość, niech tylko na ten koniec liczy trudności, aby ie usuwała“ [1]).

Że pan prefekt w odpowiedzi wygłosił zastosowaną do okoliczności mówkę — wspominaliśmy poprzednio. Na tem się też musiała uroczystość zakończyć, po niej zaś następowało — według programu — święcenie sal gimnazyalnych i, jak się domyślać można, wielki obiad u starostwa Czackich, podczas którego niejeden toast na pomyślność kraju, prowincyi i szkoły spełnić musiano.

Odczytując z uwagą wszystko, co do tej uroczystości materyał źródłowy stanowić może, pytamy z niemałem zdziwieniem, dlaczego Kołłątaja nietylko między gośćmi nie było, lecz w dodatku Czacki o nim ani jednym nie wzmiankował wyrazem. Wszak człowiek ten niejedną cegiełkę do wielkiej owej budowy dołożył, wszak pracował nad urzeczywistnieniem wymarzonych planów długie miesiące.... Ani na chwilę nie przypuszczamy, że w roli niemego widza gdzieś dalsze zajmował miejsce; widocznie w dniu uroczystym nie znajdował się w Krzemieńcu, w przeciwnym bowiem razie wyznaczonoby mu z prawa pierwsze miejsce między najpierwszymi i z pewnością skłonionoby go do odezwania się do młodzieży, przyszłej podpory kraju, o której ukształcenie tak silnie się troszczył.

Dopiero wczytawszy się dobrze we wzajemną korespondencyę księdza Hugona z panem Tadeuszem, znajdujemy rozwiązanie obu pytań wyżej postawionych. Kołłątaja zatrzymała w domu choroba, zdala więc myślą jedynie mógł uczestniczyć w uroczystości, o której mu Czacki jeszcze tego samego dnia pokrótce donosi, nazajutrz zaś nową śle wiązankę. „Opowiem różne szczegóły — są jego słowa — w ogóle donoszę, że to święto odbyło się z wielką uroczystością i sprawiło wielkie i dobre skutki.“ W odpowiedzi przesyła Kołłątaj

[1]) Czacki: Mowa.... (j. w.)

3. października ze Stołpca, gdzie właśnie przebywał — króciutką karteczkę. „Od soboty — pisze w niej — cierpię podagrę, która dnia wczorajszego zaczęła mi atakować głowę. nie jestem więc wstanie nic napisać, chyba jeżeli mi ulży ciężki ból głowy.... nie jestem wstanie nawet na listy JWPana odpisać“ [1]).

W ten sposób mielibyśmy odpowiedź na pierwsze pytanie, pozostaje jednak drugie — kto wie, czy nie ważniejsze od poprzedniego.

Dnia 14. września 1805 roku bawi Czacki w swoim Porycku. Ztamtąd wysyła też do Kołłątaja obszerny list [2]), z którego ustęp ostatni przytoczyć nie zawadzi: „Miło mi jest wyznać wyższość JWPana w nauce i znajomości ludzi. Pewny jestem jego łaskawej pomocy, i dla tego proszę o napisanie mi mowy na dzień otwarcia i przysłanie mi jej przez mego kozaka. Nie mam czasu do myślenia o niej, bo ustawnie na dyszlu jestem i ustawnie bazgrzę. To co Pan napisze, ja cokolwiek do mego zastosuję. Proszę tylko: 1° Aby krótki był obraz tych nauk, które się dają, i ich łańcuch. 2° O potrzebie instytutu kobiet i innych, które się później otworzą. 3° O zachowaniu języka naszego w naukach i ztąd wynikłych pożytkach; łącząc uwagi, że język polski i rossyjski nawzajem słowiańską mowę udoskonalą. 4° O wdzięczności za ofiary tej gubernii i kijowskiej. 5° O moralności i religii należy mówić jak o pierwszej nauce. 6° O historyi upadku kraju i nauk. 7° Spomnieć towarzystwo warszawskie, jako pierwsze zgromadzenie, które ośmieliło się wskrzesić powinność zachowania języka narodowego, wspomnieć o uniwersytecie wileńskim, a jeśli się zdaje, o liceum warszawskiem. 8° Czule należy mówić do młodzieży, aby umiała korzystać z tego ustanowienia, ćwiczyła się w cnocie i nauce. — Wolno mnie obwinić o zbytnią skromność, ja wolę cudze a dobre myśli złączyć z mojemi, niż moje tylko niewytrawione zostawić“

Kołłątaj i tym razem z największą gotowością zadosyć czyni żądaniu pana starosty. Po upływie dni ośmiu posyła mu ze Stołpca cały obszerny referat, napisany z właściwą reformatorowi krakowskiej akademii znajomością dziejów ubiegłych wieków. „Dopełniłem ostatniego zlecenia — oto początek jego listu [3]) — nie w tem przekonaniu: żebym powierzoną mi rzecz był wstanie dobrze, tem bardziej lepiej zrobić, bo mi się to po mojej głowie nie snuje względem nikogo, tem bardziej względem JWPana; lecz że widziałem, iż

[1]) *Koresp.* III. 292—295.
[2]) Ibid. III. 234—239.
[3]) *Koresp.* III. 245—283.

mając tak wiele do czynienia, potrzebujesz, aby mu w pracy ulżyć."

Porównywując elaborat, przesłany Czackiemu przez Kołłątaja, z tekstem mowy, przez pierwszego z nich w dniu 1. października wygłoszonej, możnaby śmiało twierdzić, że służył on staroście za podstawę do jego przemówienia. Tak jednak nie było, bo oto tego samego dnia, w którym Kołłątaj ze Stołpca do Porycka pracę swoją posyła, wiezie równocześnie kozak dworski list Czackiego do księdza Hugona: „Ośmielam się posłać niedokończoną jeszcze mowę. Napisałem ją wczoraj, dziś przepisaną przejrzałem. Dołączę koniec do nauczycielów i uczniów. Przynoszę to pismo do łaskawej decyzyi i uwagi. Proszę poprawić, za przybyciem winne złożę dzięki" [1]). Otrzymawszy zaś pakiet od Kołłątaja, pisze dnia następnego list nowy [2]): „Rozumiem, że już mój człowiek oddał mój list i projekt mowy do poprawy: odbieram łaskawą pracę JWPana. Gdy pozwalasz mi zaufania w swojej dobroci, niosę prośby, abyś moją ramotę raczył wydoskonalić. Ta praca JWPana ma ważne do literatury materyały: ma piękne myśli: ale swoje własne, choć mniej dobre, z większem mówi się uczuciem. Miałem cokolwiek czasu, napisałem, a łaski JWPana upraszam, abyś to, co mu się zdaje, na boku posłanej mowy dopisał, lub przekreślił, zawsze ja czuć będę jego łaskę: raczyłeś się trudzić dla przyjaciela, dokończ swe dzieło poprawieniem mego. Nie rumienię się brać naukę od JWPana, masz ją prawo udzielić, a udzielasz ją łaskawie, udzielasz ją w najprzyjemniejszym sposobie. Będę w poniedziałek wieczór lub wtorek bardzo rano. Dokończenie mowy równie posyłam do poprawy."

Pięknie doprawdy wygląda owa skromność założyciela gimnazyum wołyńskiego; wspólność myśli i pewnych zwrotów jego mowy z referatem Kołłątaja da się jedynie tem wytłomaczyć, że były one właśnie następstwem poprawek, przez ostatniego „na boku" poczynionych. Lecz chociażby nawet starosta dosłownie powtórzył tekst mowy przez przyjaciela napisanej, obowiązkiem jego było przynajmniej pobieżnie o zasługach ks. Hugona — ze swej strony — dodać. Współcześni wiedzieli wprawdzie o nich aż nadto dobrze, o następnych pokoleniach pomyśleć atoli wypadało. Czacki nie uczynił tego; w jego przemówieniu najmniejszej nie znajdujemy o wytrwałej pracy Kołłątaja wzmianki, nawet ogólnikowo o niczem podobnem nie wspomniał, choć innym — mniej zasłużonym — kadzidła nie szczędził.

---

[1]) *Koresp.* III. 288.
[2]) Ibid. III. 290.

Chyba więc na poufnej naradzie wymógł na Czackim jego towarzysz owe karygodne — w razie przeciwnym — milczenie. W inny sposób faktu tego wytłómaczyć sobie nie możemy, ani nie chcemy.

By okazać — za jaką powagę naukową uważanym był przez współczesnych Kołłątaj — wzmiankujemy na zakończenie, że obok Czackiego, udającego się doń o poradę w każdej sprawie większego znaczenia, o czem zresztą z poprzedniego przekonać się łatwo — i szanowny prefekt Antoni Jarkowski — przed ogłoszeniem mów swoich drukiem — przesyła je Kołłątajowi z uprzejmą prośbą, by ten „nawet myśli, które mu się zdawać nie będą, poprawił lub wymazał; inaczej nie wyjdą te mowy na świat“ [1]. Już chociażby z odpowiedzi księdza Hugona, w której on prosi Jarkowskiego, by ten o jego zasługach na polu szkolnictwa wyraźnie nie wzmiankował, bo to obudza zazdrość, a „zazdrość graniczy z nienawiścią“, wnioskować można, że domysł nasz i co do poufnej narady dwóch autorów projektu nie daleko odbiegł od rzeczywistości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle.

---

[1]) *Koresp.* III. 295—296.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

(Ciąg dalszy).

3. Własność ziemska; tytuły posiadania i używalności.

Odmienne warunki życia gminy wiejskiej, inny punkt oparcia dla wytworzenia istnienia materyalnego, musiały z konieczności wpłynąć nietylko na odrębny charakter jej rozwoju, lecz i na drogi odmienne. Gmina wiejska opierała się o ziemię; usunięta tedy z konieczności od głównego środowiska władzy książęcej i admininistracyjnej, jakkolwiek ulegała sądowi książęcemu i centralizacyjnej sile państwowej, stała się skutkiem oddalenia i odosobnienia odrębnym organizmem ekonomicznym, w łonie którego odbywała się powolna ewolucya przekształcania się stosunków agrarnych i społecznych. Jedynym niemal bodźcem tego przekształcania się były potrzeby, wynikające ze zmieniających się warunków życia ekonomicznego i państwowego. Zanim poznamy ludność, składającą gminę w ogóle a wiejską w szczególności, i stosunki rozmaitych warstw tej ludności do siebie, zapoznać się musimy z formami i warunkami władania i posiadania. Chodzi nam tu przedewszystkiem o własność ziemską, o jej formy i charakter.

Jaką była własność ziemska w owe czasy?

Jest to pytanie bardzo ważne dla historyi rolnictwa, jakoteż dla historyi ewolucyi, jakiej własność ziemska podlegała; trzeba przyznać jednak, że dotychczas nie było zadowalniająco rozwiązane. Nie twierdzę bynajmniej, aby moje w tej mierze uwagi rozwiązały ją.

Zasadniczą przeszkodę do wyjaśnienia rzeczywistego położenia rzeczy należy upatrywać w dwóch punktach: skąpym materyale dziejowym i używaniu tego materyału dla dowodzenia z góry postawionej tezy. Niejasność źródeł wydaje mi się pozorną: wynika ona najczęściej z tego, że te lub owe ustępy z kronikarzy lub pomników prawnych rozważane były dorywczo, bez związku z duchem całości i nieobjaśnione innymi ustępami, zanotowanymi niekiedy mimochodem przez kronikarzy. Co do mnie, wątpię, ażebym mógł dać pogląd na tę sprawę zupełnie zadowalniający, sądzę jednak, że się znajdą w nim dowody pozytywne, które na stan własności ziemskiej z okresu badanego światło pewne rzucą.

Tak samo jak idealizowano ustrój dawnej gminy słowiańskiej, idealizowano także pospólne władanie ziemią. Dopatrzywszy łatwo dostrzegalnego pierwiastku solidarności prawnej w gminie i wytłumaczywszy tę solidarność wysokim stopniem uspołecznienia gminy, chociaż jak w wypadku płacenia „dzikiej wiry“ i in. solidarność ta była zbyt widocznie wywołaną siłą władzy książęcej, obrońcy gminy postawili tezę wspólności ziemi już w pierwszym okresie państwowego istnienia Rusi [1]). Że własność wspólna istniała, rzecz jest

[1]) Impuls do tego dał Haxthausen w cytowanem dziele, opisując istniejącą w Rossyi gminę wiejską, na prawie pospólnego władania opartą, w początkach prawie XIX. w. Rossyjscy pisarze uważali tę gminę jako formę starożytną, przechowaną do naszych czasów, niby jakąś doskonałość, którą lud z pietyzmem pewnym utrzymywał. Badaniem ustroju gminy rossyjskiej nowej, jako prototypu starej, zajmowali się: Wasilczikow (*Ziemlawładienije i ziemledielije w Rassii i drug. jewrop. gosud.* Pbrg. 1876 tt. 2), Sokołowskij (*Oczerk ist. sielsk. obszcz.* Petersburg 1877), Kawelin (*Poziem. obszcz. w drew. i now. Rossii.* Wiest. Jewr. 1877, 5), Cziczorin (*Obzor istor. razwit. siel. obszcz.* Wiest. Jewr. 1856. 3, 4), Bielajew i w. in. Wszyscy prawie ci badacze, z niewielkiemi różnicami w poglądach, przychodzili do wniosku, że istniejące w Rossyi gminy, o pospólnem władaniu, są resztkami ucalałemi takich gmin z pierwszego okresu państwowego. Badano je tedy jako zabytki starożytności, oglądając się ciągle na X., XI. i XII. w., chociaż w źródłach nie było nawet nazwy g m i n a, dopiero dokumenty XVI. i XVIII. w. wyjaśniły, że gminy nowożytne w n i c z e m dawnych gmin nie przypominają, że z niemi wspólnego nic nie mają, że powstały nie skutkiem jakoby wysokiego uspołecznienia ludności, lecz przeciwnie — zbyt małego może. Prawo porównych działów ziemi, solidarna poręka i odpowiedzialność były wynikiem nie wybujałego pojęcia solidarności gminnej, lecz środkiem f i s k a l n y m, nakazanym przez rząd w celu ułatwienia pobierania podatku i zabezpieczenia wypłaty. Idealną jakoby stroną gminy rossyjskiej nowożytnej jest: proporcyonalna do siły roboczej równość posiadania ziemi; losowanie mającej przypaść w udziale

bardzo prawdopodobną i da się wysnuć jako logiczny wniosek z krytycznego badania źródeł współczesnych: nigdy i nigdzie jako o takiej formie mowy nie ma, lecz jest mowa o innych formach własności lub posiadania. W kronikach i źródłach współczesnych, które posłużyły nam za osnowę do naszkicowania obrazu społeczeństwa w XI. i XII. w. nie znajdujemy nawet nazwy gmina, — z tego jednak, że pewna nazwa nie istniała, nie wynika bynajmniej, ażeby forma lub instytucya tą nazwą objęta nie istniały także. To co powiedziałem, ściąga się do rozmaitych form własności ziemskiej.

Co do własności ziemskiej pospólnej, istnienie jej prawie nie ulega wątpliwości, ale jakie były cechy posiadania i używania — tego na podstawie faktów określić nie możemy. Wnioskowanie ze szczątków i ułamków takich form władania, zebranych i opisanych przez badaczy naszych czasów, a istniejących u ludów na pierwotnym stopniu kultury, o identycznych formach władania w XI. i XII. w., byłoby mniej lub więcej prawdopodobnym domysłem — niczem więcej. Takie głuche wiadomości kronikarskie, jak: brano podatek od „pługa“ lub od „sochy“, nie mogą niczego dowodzić innego, jak tylko ustalonej przewagi zatrudnienia rolniczego w pewnej okolicy; co zaś do charakteru władania ziemią mogło ono być zarówno indywidualnem, pospólnem, jak i połowniczem.

Nestor napisał, że Polanie siedzieli „rodami“, każdy ród osobno (osobie), a ponieważ wątpliwości nie ulega żadnej, że plemiona te zajmowały się rolnictwem, — możemy z tego pewne wnioski wyprowadzić o charakterze posiadania i władania ziemią, tem bardziej, że szczątki rodowego władania przechowały się w prawodawstwie i w rzeczywistości na Litwie, na Polesiu kijowskiem, w ziemi dawnych Drewlanów. Owo „siedzenie rodami“ bardzo podobne jest do zachowanego aż do naszych prawie czasów „siedzenia futorami“, na futorach. Dziś dopiero taki charakter posiadania usuwa się i za-

części, a po pewnym czasie używania ponowne działy i posiadanie; opieka gminy (mira) nad zubożałymi i niezdatnymi do pracy; pomoc gminy (mira); solidarna poręka podatkowa. Bliższe rozpatrzenie tych wrzekomych korzyści dowodzi, że są one niesłychanie uciążliwe dla jednostek, które zrzekają się niekiedy praw, przysługujących im w gminie, uciekają natomiast za zarobkiem o setki mil. Część pozostałych gmin dawniejszych indywidualizuje własność. Reakcya w literaturze rossyjskiej przeciwko sentymentalnemu poglądowi na gminę objawiła się od pewnego czasu. Czytaj w tej mierze ciekawe dzieło K. Gołowina (*Sielskaja obszczina w lit. i diejswitielności*. Petersburg 1887. Roz. III., IV. i in.).

ciera się zupełnie skutkiem wytworzenia się odmiennych warunków agrarnych. Otóż siedzenie na futorach niczem innem nie było, jak władaniem rodowem, ucalałem do naszych czasów. Odróżniam tu futory, przemienione przez późniejszych właścicieli ziemskich na ogrody, pasieki lub przytułki dla hodowli koni, od futorów, będących w posiadaniu włościan. Tu głowa rodziny był na małą skalę głową dawnego rodu. Wprawdzie rodzina jest tylko zwężonem pojęciem rodu, obejmuje bliższe krwią osoby, połączone do wspólnej pracy, ale charakter posiadania nic na tem nie traci. Głowa rodziny przyjmuje do siebie zięciów, powinowatych, którzy wspólnie pracują, z pracy tej żyją, ziemię uważają za wspólną własność. Śmierć zmienia osobę, kierującą warsztatem, lecz nie zmienia istoty rzeczy. Taki charakter władania jest powszechny jeszcze w XVI. w. na Rusi Drewlańskiej śród ludu. Jużci nie można tego nazwać władaniem pospólnem w tem znaczeniu, jak je nowożytni ekonomiści sformułowali, ale charakterem swoim do tej formy się zbliża. Nie było już „rodowiczów“ i „zakupów“, jak w XI. i XII. w., lecz byli „pryjmaki“ i „najmyty“, którzy za pracę pobierali wynagrodzenie w naturaliach, — zupełnie jak za czasów *Prawdy Ruskiej*.

Tak więc, jakkolwiek nie da się stwierdzić faktami istnienie pospólnego władania ziemią na Rusi, w pojęciu naszem teraźniejszem, nie ulega wątpliwości, że istniało ono pod formą władania rodowego, mocno zmienionego i zmieniającego się z czasem. Typ takiego władania, nie określony ściśle przez kronikarzy, a dający się wyrozumieć na podstawie kilku zapisanych przez nich uwag z teraźniejszego punktu widzenia, — istniał niezawodnie i przeważał w ogólnym systemie władania ziemią. Siła jednak indywidualna, jednostkowa rozbijała powoli taki system i objawiała się pod formą żądania działów; stąd też późniejsze „wydzielanie się“ z pod rodowej dyscypliny „braci niedzielnych“, jakoteż uczestników władania, zwanych przez statut litewski „siabrami“, a stosunek ich wzajemny „siebrostwem“.

Obok jednak typu władania rodowego, nie mającego wcale charakteru własności indywidualnej — zawsze w naszem pojęciu — istniały inne formy własności ziemskiej. Z powodu obfitości ziemi, a braku ludności nikt nie stawił tamy rozszerzaniu posiadania, chyba tam i wtedy, gdy jedno wchodziło w drugie. O ścisłych granicach posiadłości mowy być nie mogło, — używalność stanowiła jedyny precedens prawny i granice; gdybyśmy zrobili inne przypuszczenie, odwrotne, musielibyśmy zgodzić się również i na to, że istniały jakieś zarządzenia administracyjne i prawne, które na straży tego po-

rządku stały. Istniały jedynie granice używalności bezpośredniej, zbliżającej się do własności indywidualnej z tytułu włożonej w nią pracy. Były to miedze rolne (mieża rolejnaja; ziemla bortnaja; znamienija na brti)[1]). Takie granice prawodawstwo ochraniało.

Z chaosu — nie własności ziemskiej, lecz władania ziemią — w przestworzu XI. i XII. w. poczyna się wychylać wyraźnie forma własności indywidualnej. Nie żadna ewolucya ekonomiczna, dziejowa stworzyła ją, lecz siła i przemoc. Książęta Waregscy, podbiwszy Ruś, uważali ją niejako za własność swoją pod względem państwowym. Na tem stanowisku stali, mówiąc o „wsiej ziemlie ruskoj". Idea podboju, o ile ona wyrażaną bywa przez kronikarzy, polegała nie na tem, że kniaziowie waregscy uważali od tej chwili wszystką ziemię za własność swoją, którą mogą się rozporządzać dowolnie, lecz na wytwarzaniu stałej zależności między ludnością, tę ziemię zamieszkującą, a kniaziem. Formą tego pojęcia była tak zwana „dań", danina. Normanowie wszędzie gdzie się zjawili, zajęli się wytworzeniem organizacyi państwowej, ale taka organizacya nie była nigdy celem pierwotnym; cel bywał daleko pospolitszy: łup, zdobycz, przeobrażone później w mniej lub więcej regularną daninę. Ziemia w pierwszej chwili podboju o tyle miała dla nich wartość, o ile zamieszkaną była przez ludność, a tem większą, im ludność mogła opłacać większą daninę. Pozostawiono więc posiadanie ziemi nietkniętem i nienaruszonem. Punkta obronne stanowiły dla nich pierwszorzędną wagę, bo im mocniej o nie opierać się mogli, tem łatwiej mogli panować nad ludnością, czyli wybierać daninę, okup, podatek — jeżeli można użyć tego wyrazu — tytułem kompensaty za spokojne używanie.

W miarę tego, jak rosła ilość grodów, a ziemi niezajętej było jeszcze bardzo wiele, zaczęło się już rozdawnictwo, najprzód grodów, a potem ziemi. Oczywiście tedy, że pierwsza własność indywidualna musiała być kniaziowską i bojarską — kniaziowską, bo mógł ją dać komu się podobało, mając siłę po temu, bojarską — bo tylko bojar z drużyny tu i ówdzie jeńców mógł dostać i na roli osadzić, zresztą on tylko jeden, szczególnie z chwilą przybycia Waregów, ziemi nie posiadał — o ile oczywiście nie wyszedł z łona podbitego społeczeństwa i do drużyny nie przystał.

Takie kształtowanie się własności indywidualnej w XI. i XII. już jest niezaprzeczone i wyraźne.

---

[1]) Kucharski: Antiq. mon. juris słov., str. 23 §. 42, 43 i in.

Z pierwszą chwilą osiedzenia się na późniejszej Rusi książęta posiadali i dążyli do posiadania ziemi w znaczeniu własności indywidualnej. Widzieliśmy, że stosunek kniazia do drużyny wymagał materyalnego utrzymania drużyny, a „kniaży dwór“ był pewnego rodzaju magazynem, piwnicą, kuchnią, skarbem publicznym. Zasilał się on wprawdzie przez daniny, ale danina możebną była tylko w formie przedmiotu łatwego do handlu, a taka forma nie zawsze odpowiadała potrzebom materyalnym kniazia i drużyny. Kniaż potrzebował żywności dla drużyny i koni, dla jeżdzców — lecz nie mamy śladu, ażeby daninę wybierano w koniach lub żywności. Oczywiście, że kniaź o to wszystko dbać musiał, a tem więcej, im się bardziej zwiększała drużyna. To wszakże zmuszało kniaziów do prowadzenia własnego gospodarstwa, a przyczynę tę należy uważać za pierwszy impuls do kształtowania się własności indywidualnej i za przykład, który chętnie bywał naśladowany. Że kniaziowie posiadali ziemię na własny użytek, a nawet folwarki już w XI. w., na to mamy dowody niezbite. Stawało się to koniecznością nietylko gospodarską, że tak powiem, ale także z tej samej racyi, dla jakiej bojarowie zakładali folwarki: rozmaitą drogą stawali się oni właścicielami ludzi, których osadzali na roli. Jeńcy kniaziowscy, służba, ludzie wolni, szukający chleba lub przytułku, wreszcie skazani na kary sądowe (potók), które pociągały za sobą przymusowe niewolnictwo, — wszyscy tacy siadali na roli książęcej, ufni w jego opiekę i pomoc, lub z obawy przed jego siłą. Tworzyli oni odrębną klasę, pośrednią między ludźmi wolnymi a niewolnymi i nosili ogólną nazwę s m e r d ó w. Byli to zwykli robotnicy rolni, siedzący na ziemi kniaziowskiej; po smerdzie, umierającym bezdzietnie, ziemia przechodziła do kniazia — córki, jeżeli i były nawet, nie dziedziczyły wcale [1]). Mieli oni własny sąd, własnego sędziego. Stali mocno przy swoich przywilejach i powoływali się przy sposobności na to, że oprócz kniazia nikt do nich prawa nie ma, nikt nie ma prawa ich karać bez „kniażeskaho słowa“ [2]). W razie potrzeby powoływano ich do broni, prawdopodobnie w charakterze ciurów obozowych, lub może nawet do posług obozowych z własnymi końmi i wozami. Z tej racyi książęta troszczyli się o nich, nie chcąc na wiosnę powoływać do obozów i walki, bo odrywając uprawiaczy zboża od roli i pługa, obawiali się widma głodu [3]). Już w XII. w. kniaziowie posiadali

[1]) Antiquis. mon. juris slov. 25.
[2]) A. Bielowski: Monum. I., 724.
[3]) ibid. patrz w poprzednich odnośnikach.

ogromne własne folwarki, gdzie hodowano stadniny i produkowano zboże. W r. 1146 Połowcy zagrabili stada książąt Igora i Świętosława w lesie, pod Rachnami, a było tam 3000 klaczy i 1000 koni [1]). Nie zadowolnili się tem jednak, gdyż rozpuścili zagony po wsiach książęcych, popalono zboże i folwarki (dwory).

Własność ziemską indywidualną, taką samą jak kniaziowie i o takim samym charakterze, posiadali także bojarowie.

Nie było ziemi smerdów, ale była kniaziowska i bojarska. *Prawda Ruska* nie nazywa stopnia posiadania żadnem imieniem, ale określa je. Istnienie własności ziemskiej indywidualnej bojarskiej da się dowieść prawem spadkowem. Na oznaczenie spadku *Prawda Ruska* posiada dwa wyrazy: zadnica i státok. Pod spadkiem pierwszej kategoryi rozumieć należy: dwor, dom, towar. Dwór XI. w. nie był tem, czem jest dzisiaj w dosłownem znaczeniu. Czem innem był dwor w mieście, a czem innem musiał być na wsi; w mieście oznaczał nietylko mieszkanie pewnej osoby, lecz i całe gospodarstwo potrzebne do posług właścicielowi (Kniaź dwor, Briaczesławl dwor, Krasnyj dwor i t. d.). Na wsi — jakbyśmy dziś powiedzieli — był wprawdzie tem samem, ale inny miał charakter. W dworze wiejskim mieścił się dom mieszkalny ojca rodziny (chóromy); na dworze chowano konie, bydło, żito (stogi), czelad' (służba). A więc dwor XI. w. był nie czem innem, jeno folwarkiem, w pojęciu mniej więcej dzisiejszem. Istniała nawet ludność robotnicza, rolnicza — zakupy, najmyty, z którymi zapoznamy się później. Zapewne, obydwie te kategorye ludności istniały przy pospólnem, jakoteż rodowem władaniu ziemią, określenie jednak stosunku ich do chlebodawców (gospodin, ospodar) świadczy wyraźnie, że ci, którzy z pracy rąk ich korzystali, byli właścicielami ziemi, używającymi nazwy bojarów; w stosunku do kniazia, o ile należeli do drużyny jego, byli „mężami kniazia“, a nazwa gospodin i ospodar przysługiwała im z powodu zatrudnienia i fachu.

Prawo spadkowe odróżnia spadek człowieka, posiadającego własność indywidualną ziemską, od człowieka, własności tej nie posiadającego. W pierwszym wypadku posługuje się wyrazem zadnica. Obejmuje on całość własności posiadanej: dwor, dom, towar (majątek ruchomy), czeladź, skot *(pecus)* — co wszystko drogą spadku przechodzi przy własności indywidualnej, łącznie z ziemią, do najbliższych spadkobierców. Smerdowie, jako posia-

[1]) Połnoje sobr. rus. liet. II., 26.

dacze książęcej ziemi, nie dziedziczyli jej; ziemia przechodziła do kniazia [1]).

Inaczej działo się z tymi, którzy ziemi na własność nie posiadali: po nich nie mogło być zadnicy, pozostawał jeno statek, o-statek, t. j. nieco ruchomości, które przechodziły do najbliższej rodziny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fr. Rawita.

---

[1]) Antiquis. mon. 25, §. 46—61.

KORZENIOWSKI I TEATR LWOWSKI

(1822 — 1844).

(Ciąg dalszy).

III.

(1840 — 1844).

Po wystawieniu *Płochości Ukaranej* nastąpiła znowu przerwa zarówno w korespondencyi, jak w ukazywaniu się nowych sztuk Korzeniowskiego na lwowskiej scenie. Poczęści wpłynęła na to zmiana, która ponownie zaszła w losach naszego autora, poczęści zaś inne okoliczności, z któremi czytelnik zaraz się zapozna. Rząd rosyjski spoglądał ciągle jeszcze nieufnem okiem na profesora, mniemał, że działa on na młodzież w duchu wrogim dla tegoż rządu. Na wiosnę r. 1838 kazano mu nagle opuścić Kijów i przenieść się na posadę dyrektora gimnazyalnego w Charkowie. Nie będziemy powtarzali bliższych szczegółów tego przeniesienia, jako rzeczy skądinąd już znanych. Powiemy tylko krótko, że znalazł się tutaj wśród ludzi i stosunków zupełnie mu obcych, wśród społeczeństwa przeważnie rosyjskiego. Co więcej, był to prawdziwy zaścianek. „Wszakże nie wyobrażaj sobie — pisze do żony zaraz po przybyciu — że tu jedziesz dla jakiejkolwiek przyjemności! Nudy, moja droga, drobiazg, i nie wiem, jak nazwać takie życie.“ Wątpił nawet wówczas, czy zdoła tutaj swoje dzieci wychować. Dłuższego czasu trzeba było, ażeby z tutejszej kolonii polskiej złożyło się jakieś kółko towarzyskie, z którem przynajmniej wspólnie znosiłoby się przykry los „wygnania“, jak nazywa Korzeniowski pobyt w Charkowie. Z czasem dopiero przyszło uspokojenie i równowaga umysłu. Owszem, przyszłość okazała, że to życie w zakątku bardzo sprzyjało jego twórczości — wiele tu pisał, a z zakresu dramatu i komedyi rzeczy

najcelniejsze [1]). Zwolna jednak tylko wstępował spokój do duszy. Jeszcze 19 lipca r. 1839 pisze do przyszłego zięcia swojego, Karola Wittego w Warszawie: „Oddalenie moje wszystkie mi szyki połamało“. Narzeka, że powieści porozpoczynał a nie pokończył, że tomu II.-go *Dramatów* nie ma za co drukować. Witte prosił go, ażeby mu przysłał coś ze swoich utworów do wydawanego przez siebie *Pamiętnika Sceny Warszawskiej*. „Wierszów ci nie poszlę, odpowiada na to Korzeniowski, trzebaby coś komponować, a mnie teraz nie do poezyi.“ W sierpniu tegoż roku 1839 posłał Wittemu do *Pamiętnika* „fraszkę“ *Zakład*, prosząc go zarazem, ażeby kopii tej fraszki dostarczył Benzie we Lwowie [2]). Nie wiemy — czy Witte to uczynił, *Zakład* grano we Lwowie dopiero w r. 1847 [3]).

My spotykamy się z Korzeniowskim dopiero pod koniec roku 1840. Nie zapomniał jeszcze o wszystkiem, ale już nieco spokojniejszy, wrócił do pracy, a praca ta, kształtowanie artystyczne nowych pomysłów, godziło go z położeniem. „Dawno, bardzo dawno — pisze do Benzy 1. listopada r. 1840 — nie mieliście nic odemnie. Moje przeniesienie, inny rodzaj życia, inne zajęcia przerwały wszystkie dawniejsze marzenia i osnowy. Długiego potrzeba było czasu, nim pozwiązywałem porwane nitki. Teraz posyłam znowu Galicyi, ojczyźnie mojej, upominek z dalekich stron, który jej wielorako należy. Jeżeliś jeszcze nie otrzymał, to otrzymasz wkrótce dramat w 3 aktach pod tytułem: *Karpaccy Górale* albo *Rekrut*“.

O tem swojem arcydziele, ponad które potem już nic większego nie stworzył, pisze autor skromnie: „Mam nadzieję, że przy pomocy waszej, przy grze żywej, prostej, jak natura, jakiekolwiek zrobi wrażenie.“ Wskazówka to, którą Korzeniowski w późniejszych listach nieraz jeszcze powtarza. A potem pisze dalej: „Starałem się unikać wszystkiego, coby mogło drapnąć po uchu cenzurę. Gdyby wszakże co się znalazło, daję wam pełną moc piłować póty, póki delikatna rączka cenzora nie powie, że już niema żadnej chropowatości. Rozumie się, że jeżeli zechcą tak przemieniać, że z prostego górala zrobi się krzywy szłapak, to dajcie pokój, niech leży.“

W zakończeniu listu wraca jeszcze do swego dramatu, prosi dekoratora, ażeby w akcie 1. miejsce przed karczmą było płytsze, izba górala natomiast głęboka, „co potrzebne będzie dla efektu sceny ostatniej“.

---

[1]) Kantecki 260—272.

[2]) Witte Kaźmierz: „Józef Korzeniowski.“ Tygodnik ilustrowany r. 1888, t. II. str. 163.

[3]) Pepłowski 207.

Załatwiwszy się z *Karpackimi Góralami,* mówi Korzeniowski dalej: „Proszę do mnie napisać list długi — donieść o sobie, o Kamińskim, o teatrze itd., słowem o różnych nowościach miejscowych, które mię tem bardziej interesują, że moje nazwisko częściej tam na rogach ulic czyta się, niż w jakiembądź innem mieście.“ Te ostatnie słowa przypominają mu widocznie Warszawę, bo zaraz dalej woła: „Jak też oni w Warszawie zepsuli mój *Piąty Akt.* Tam efekt zależy od skupienia wrażeń w jeden moment czasu, a oni .... rozdzielili ten króciutki akcik na trzy obrazy i rozumie się, że skutek przepadł. Wiadomo, co są międzyakty; w nich nowe dramata rozgrywają się w lożach itd. — ja ich w ogólności nie lubię. Gdyby nie były konieczne dla odetchnienia aktorom, zniszczyłbym je zupełnie.“ Mybyśmy zrobili uwagę, że autor i od publiczności nie może za dużo wymagać w teatrze.

Wystosowuje wreszcie Korzeniowski jedno jeszcze pytanie do Benzy: czemu kto nie napisze o teatrze lwowskim i o ruchu literackim w Galicyi do *Tygodnika Petersburskiego*, jedynej gazety, którą powszechnie czytają we wszystkich rosyjskich guberniach i w Królestwie. Inne gazety prawie nie dochodzą. „Ja tu mam tylko tę jednę — mówi on — i jakbym wdzięczny był autorowi za takową wiadomość, choćby nawet o mnie nie wspomniał lub mnie złajał.“

„Bądź zdrów, kochany Panie Antoni!“ — kończy Korzeniowski. „Jesteśmy od siebie o mil przeszło 130, ale myślą jakże Was bliski jestem! Podamyż sobie kiedy dłonie? uściskamyż się kiedykolwiek?“

Karpackich Górali przedstawiono we Lwowie dopiero 21. czerwca r. 1844. Dlaczego? Bezpośrednich wskazówek nie mamy żadnych. Nie ulega jednak wątpliwości, że przedstawieniu sztuki stanęła na przeszkodzie właśnie cenzura, której się Korzeniowski tak bardzo obawiał w tym liście. Jakoż zarówno myśl zasadnicza i cała atmosfera *Górali*, jak i świat ten i kierunek, który reprezentuje postać mandataryusza, wszystko to .... w ówczesnych stosunkach galicyjskich nie mogło się ostać wobec nadzwyczajnie drażliwej i ostrej cenzury. Wybornie charakteryzuje ówczesne przepisy cenzuralne dla polskich utworów dramatycznych we wszystkich zaborach, w szczególności zaś w Galicyi, Fed' Borejko, jeden z współpracowników *Orędownika* poznańskiego, pisząc właśnie o *Karpackich Góralach.* Autorowi — mówi on — stawiają tylko takie warunki: „Nie waż się brać przedmiotu ani z starego, ani nowego testamentu, ani z historyi polskiej, ani obcej, jeśli z nią polski książę lub król ma styczność. Od Ninusa do Semiramidy maluj wszystkie króle i kró-

lowe dobrymi, omijaj księży, jakby ich w społeczeństwie nie było, a to dla powagi duchowieństwa, omijaj wojskowych, rzucaj dobre tylko światło na wyższe stany i urzędniki, a wszystko złe zwalaj na burmistrza z małego miasteczka, wreszcie na szewców i wieśniaków“ [1]).

Tymczasem zdawałoby się właśnie, że Korzeniowski, skrępowany w swej osobistej wolności przymusowym pobytem na obczyźnie — w Charkowie, przygnębiony tęsknotą, która nieraz dźwięczała łzawą nutą w poufnych jego zwierzeniach, chciał chociażby w wyobraźni znaleść się w pośród tej krainy górskiej, gdzie pierś oddycha głęboko, umysł buja swobodnie, wielkie, niczem niepohamowane grają namiętności. Może przebiegały niekiedy przez głowę jego podobne myśli, jakie wypowiada bohater dramatu, Antoś: „Ich ziemia taka szeroka! ich wojska tak wiele! a ja jeden wśród tylu tysięcy. — Darmo o tem myśleć. Trzeba służyć do końca....“ A gdy wzrok ducha jego spoczął na tym ludzie, tak zdala żyjącym jeszcze od wpływów cywilizacyi, dał nam pełen ponurej grozy obraz walki tego ludu z bezwzględnemi urządzeniami społecznemi, a co gorsza, z niesprawiedliwością ludzką i ludzkiem okrucieństwem. Wszystko to zaś dzieje się za wolą i zgodą znienawidzonych przez lud ten „Niemców“, których przedstawicielem jest wstrętna figura mandataryusza. Ani cenzura rosyjska, ani ówczesna cenzura austryacka nie mogły pozostać obojętnemi wobec takiego przedmiotu.

Są jednak i wyraźniejsze ślady, że chodziło tu właśnie o cenzurę. Oto bowiem o rok później — 20. października 1841 r. — pisze Korzeniowski, przysyłając Benzie pierwsze dwa akty *Umarłych i Żywych:* „Spodziewam się, że tu już cenzura ani jednego słowa nie wymaże.“ A nieco dalej w tym samym liście: „Żal mi *Górala*, to moje ulubione dziecko [2]), oprócz sceny pomieszania, którą zmienię, żeby nie przypominała Ofelii. — Cóż robić, przywykłem ja do wszelkiego rodzaju szczutków. Dziwię się, że dotąd jeszcze mam ochotę.“ Opowiada Widmann w swojej książeczce o Korzeniowskim, że na-

[1]) Orędownik r. 1841 str. 224.

[2]) Wyrażenia tego o „Karpackich Góralach“ musiał Korzeniowski częściej używać; nazwał ich tak najprawdopodobniej i w liście do Karola Wittego w Warszawie, gdy tam przygotowywano przedstawienie „Górali“. Witte w swej odpowiedzi (między 26. lipca a 4. sierpnia 1844 r.) pisze: „Tylko już pan dobr. przyjedź na swe ulubione dziecię popatrzyć.“ Witte: Józef Korzeniowski. Tygod. ilustr. 1888, II. str. 164.

wet wówczas, kiedy już zezwolono na przedstawienie sztuki, wykreślano w niej wszędzie wyraz „Niemiec“ [1]). Zobaczymy jeszcze później, co Korzeniowski pisze o cenzurze z powodu przedstawienia *Karpackich Górali.*

Skończyło się na razie na tem, że *Dziennik Mód Paryskich* z roku 1841 (str. 53) pomieścił w swych łamach znaną piosenkę z dramatu: *Czerwony płaszcz, za pasem broń.* Czy Korzeniowski zmienił później scenę obłąkanej Praksedy, „żeby nie przypominała Ofelii?“ Wytykał mu to współcześnie Przeździecki [2]), wytyka po części i krytyka dzisiejsza — czy zmienił? niewiadomo. Niema niestety rękopisu dramatu w naszym zbiorku, niema go i w lwowskiej teatralnej bibliotece [3]); natomiast znaleźliśmy ślad, że rękopis dostał się do rąk wyżej już wspomnianego Borejki, który w *Orędowniku* z r. 1841 umieścił artykuł o *Karpackich Góralach* [4]).

Przesyłając ostatni list i najnowszy dramat do Lwowa, zadał zarazem Korzeniowski kłam wieściom o swej śmierci, krążącym po mieście w listopadzie r. 1840. „Z wielką radością“ przyjęły to sprostowanie fałszywej pogłoski zarówno *Gazeta Lwowska*, jak i niemiecka *Mnemosyne*, która w dłuższym artykule życzy jak najdłuższego życia autorowi *Piątego Aktu* [5]).

Z powodu, że musiano przymusowo zaniechać myśli przedstawienia *Karpackich Górali*, nic nie słychać we Lwowie o Korzeniowskim w pierwszej połowie roku 1841, dopiero pod koniec roku przedstawiono *Piąty Akt* i *Dymitra* i *Maryę.* Dobrzański, pisząc o przedstawieniu tej ostatniej sztuki, powiada, że między dramaturgami naszymi Korzeniowski pierwsze zajmuje miejsce [6]). A jednak w życiu

---

[1]) str. 77.

[2]) Biblioteka Warszawska 1844 II., 125.

[3]) Na prośbę naszą robili poszukiwania w lwowskiej bibliotece teatralnej za rękopisem „Karpackich Górali“ p. Adolf Walewski i p. Franciszek Wysocki, artyści dramatyczni teatru lwowskiego, mimo jednak gorliwych usiłowań, nie zdołali nic znaleść. Za trud w tym kierunku podjęty składamy tym panom na tem miejscu szczere podziękowanie.

[4]) Orędownik r. 1841 nr. 28—32. Autor po przedstawieniu smutnych stosunków cenzuralnych w całej Polsce (zwraca szczególną uwagę na obcinanie sztuk Korzeniowskiego we Lwowie) i szkody, jaką przez to autorowie dramatyczni ponoszą, pisze: „Takie uwagi nasunęły mi się na widok najnowszego Korzeniowskiego dramatu, który po odbytej nadaremnie dalekiej wędrówce, przypadkiem do mnie się zbłąkał.“

[5]) Gazeta Lwowska r. 1840 str. 824 i 842; Mnemosyne r. 1840 str. 370.

[6]) Gazeta Lwowska r. 1841 str. 883.

Korzeniowskiego rok ten był jednym z najprzykrzejszych. Wróciwszy właśnie z Petersburga, pisał 25. lutego r. 1841 do Wittego: „Napisz, co się tam w waszej literaturze dzieje. Ja ci się przyznam, że mi już wszystko obrzydło. Walczyć z takiemi trudnościami może tylko człowiek młody. Pisać będę, ale drukować nie — albo pod cudzem imieniem — albo, jak mi dokuczą, to.... nie kończę, bo myśl grzeszna“ [1]).

Co to były za „trudności“? niepodobna zbadać. Dorozumiewać się można tylko z brzmienia tych słów, że spowodowała je jakaś surowa a niesprawiedliwa krytyka działalności literackiej autora, chociaż artykuł, który go mógł tak boleśnie dotknąć, artykuł Tyszyńskiego, przyznający Korzeniowskiemu wcale skromne stanowisko w literaturze polskiej, pojawił się dopiero po napisaniu tego listu, w marcowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* z r. 1841. Czyżby Korzeniowski wiedział już wówczas o nim? A jeżeli nie, to musiały być chyba jakieś inne przykrości, których bliżej nie znamy.

Stan ten jednak był tylko chwilowym. W tym właśnie roku, zachęcony, jak sam powiada, zdaniem Benzy o *Góralach* [2]) a zapewne i zdaniem wszystkich lwowskich przyjaciół, pracował nad dramatem: *Umarli i Żywi czyli Wszystkiego po trosze*, a co więcej, odesłał go w tym samym jeszcze roku do Lwowa. Pierwsze dwa akty mianowicie wyprawił Korzeniowski w drogę 20. października r. 1841, a wyprawił je w liście, „aby prędzej i wierniej doszły.“ Mamy je właśnie przed sobą. Na ostatniej stronicy rękopisu skreślił autor słów kilka do Benzy. Co ze słów tych odnosi się do *Karpackich Górali*, poznaliśmy już powyżej. O nowej swej sztuce pisze: „Daj Boże, żeby wam ta praca moja obróciła się na pożytek. Dla mnie tylko cokolwiek oklaskow, a dla was oklaski i pieniądze.“ Skromnem więc było honoraryum autorskie! Po prośbie, ażeby Benza dał sztukę przepisać i po wyjaśnieniu, jak ma ją dać przepisać, powiada dalej: „Mam nadzieję, że ci się podoba i uda rola Hrabiego. Chciałbym, żeby na Fabia był aktor zręczny, pojmujący ironią i z rozumem“. Prosi wreszcie autor Benzę o doniesienie mu po otrzymaniu końca sztuki, jak mu się ona podoba i „jaki może być jej los“. „Sądzę, — dodaje — że powinna efekt zrobić, bo tam jest wszystkiego po trosze.“ Ostatnie te słowa, jak czytelnik zapewne zauważył, powtarzają drugi tytuł sztuki.

---

[1]) Witte l. c. 163—164.
[2]) List z 11. lutego r. 1843.

Dnia 28. października tegoż roku wysłał już autor dwa ostatnie akty. Przy nich tylko króciutki dopisek: „Otóż i wszystko. Bywaj zdrów kochany Panie Antoni! Waszemu staraniu, waszej *pamięci* [1]) (znaczy wyuczać dobrze rolę), waszej naturalności i sztuce polecam moje dziełko. Kłaniaj się Kamińskim i innym znajomym“ [2]).

Umarłych i Żywych grano stosunkowo dość prędko. Pierwsze przedstawienia przypadły na dnie 2., 4. i 14. marca r. 1842, potem grano ich jeszcze 19. września i dwa razy w r. 1843. Wszystkie trzy pierwsze przedstawienia odbyły się wobec amfiteatru przepełnionego publicznością. W owych czasach było to czemś nadzwyczajnem — dramat ten stał się przez to najgłośniejszym wypadkiem w ostatnich miesiącach istnienia starego teatru. Wiadomo, że przedstawieniem z 18. marca zakończył się jego żywot [3]).

A i stosunki teatralne są teraz nieco inne, aniżeli w poprzedniem dziesięcioleciu. Od roku 1840 począwszy widać w repertuarzu znacznie więcej ożywienia i doboru. Nowe też życie i ruch wnoszą do koła artystów lwowskich świeże a wybitne siły: Dawizon w r. 1840, mający kiedyś zajaśnieć jako znakomity artysta na pierwszorzędnych scenach we Wiedniu i Dreźnie, i Aszpergerowa, zwracająca uwagę już zaraz z początku i uzdolnieniem i wszechstronnością [4]).

Nowy dramat Korzeniowskiego, *Umarli i Żywi*, podobał się publiczności bardzo — krytyka zajęła wobec niego wielce przychylne stanowisko. Jan Dobrzański, sprawozdawca teatralny *Gazety Lwowskiej*, pisał o sztuce i grze artystów trzy razy, z tych dwa razy obszerniejsze artykuły. *Umarli i Żywi* zajmą według niego „w repertuarzu teatralnym niepospolite miejsce“. Zgadza się on zupełnie z ich zasadniczą myślą i podnosi wysoko charakterystykę osób. Przyznaje wprawdzie, że dramat łamie się na dwie części, ale zarazem dodaje, że i w tej drugiej części „nie ustają dramatyczne sceny“. Zresztą widzi w nim tylko same zalety.

---

[1]) Wyraz trzy razy podkreślony.

[2]) Z tego dopisku, jak i z własnego i to prawie współczesnego świadectwa Korzeniowskiego, które przytaczamy poniżej (list z 11. lutego r. 1843) wynika, że dramat „Umarli i Żywi“ powstał w r. 1841, więc już po napisaniu „Karpackich Górali“. Notatka Korzeniowskiego (Dzieła XII.) zaznacza przy „Umarłych i Żywych“ datę r. 1839 i umieszcza ich przed „Karpackimi Góralami“.

[3]) Pepłowski 166—167.

[4]) Tamże 156—159.

Podobną co do treści jest recenzya Leszka Dunina hr. Borkowskiego. Przedstawiwszy myśl i zamiar autora, powiada: „Sztuka cała jest nieustającem działaniem, obrazy pełne życia, pełne wrażenia dla nadzwyczajnych położeń, pełne wdzięku dla myśli głębokich i poetycznie oddanych, następują jedne po drugich prawie ze stopniowaną mocą.“ Jest to jednak tylko powieść dramatyczna, bo niema w niej dramatycznej całości. „*Umarli i Żywi* należą — kończy on — do najlepszych sztuk naszego znakomitego pisarza, są może najlepszą.“

Obydwaj recenzenci oddają wielkie pochwały wybornej grze artystów. Dobrzański zwłaszcza chwali „mistrzowską“ („jak we wszystkich utworach Korzeniowskiego“) grę Benzy, występującego stosownie do życzenia autora w roli Monti'ego, i grę Starzewskiej (Łucya). Fabia, o którego tak troszczył się Korzeniowski, grał (jak wynika z zestawienia ról) znakomity artysta, Smochowski, inne role tacy artyści, jak Nowakowski i Rudkiewiczowie [1]).

Zadowolony był autor z powodzenia *Umarłych i Żywych*. Pod miłem jego wrażeniem zabrał się, przynajmniej tak sam powiada, do napisania następnego utworu [2]). Dnia 11. kwietnia 1842 r. wysyłał już Benzie rękopis *Starego Męża*, a na ostatniej stronicy pisał: „W odpowiedź na list twój, w którym donosiłeś mi o reprezentacyi mojego dramatu, posyłam ci teraz nową robotę. Jeśli się wam ta fraszka podoba, proszę ją dać na teatr. Przedstawienie tego dramaciku [3]), w którym charaktery i obyczaje są nasze, powinnoby się udać i nie mieć żadnej trudności. Byle tylko z P. Sędziego karykatury nie robić. — Dziękuję wam, stokroć dziękuję za trud i starania wasze — może mi Bóg pozwoli kiedy (mówi on, powracając do swej ulubionej myśli) osobiście podziękować i poznać tych artystów, którzy starają się dać poznać publiczności moje myśli i uczucia. Byłbym bardzo szczęśliwym, gdybym mógł choć na niejaki czas być między wami. Cóż? — dodaje z rozpaczliwem jakiemś westchnieniem — konieczności nie przemożesz, głową muru nie przebijesz.“

A potem zwykły Korzeniowskiego apel. Prosi Benzę, ażeby mu doniósł przez pocztę, czy sztuka może być grana, jak również, ażeby mu napisał szczegółowo o sobie i lwowskim teatrze. Zapytuje

---

[1]) Gazeta Lwowska r. 1842 str. 171, 178, 190—191, 204, 241—242 (por. także str. 236) i 718; r. 1843 str. 33—34 i 502. Dziennik Mód Paryskich r. 1842 str. 47—48.

[2]) List z 11. lutego r. 1843.

[3]) W rękopisie naszym czytamy także „Stary Mąż“, dramacik, w druku natomiast (Wilno 1844): komedya.

dalej, czy był wydrukowany jaki artykuł o przedstawieniu *Umarłych i Żywych*, zapytuje, „co robi teraz Fredro? co Kamiński!“ Każe wreszcie przeprosić Zielińskiego, wydawcę *Lwowianina*, że mu w zamian za przysyłanie pisma niczem dotychczas się nie przysłużył, „ale trudno się rozerwać.“ „Da Pan Bóg, — zapewnia — zbiorę się na co.“

Benza pisał widocznie w tych czasach do Korzeniowskiego, jak wskazuje dalszy ciąg listu, że nie wie, czy zostanie nadal przy lwowskim teatrze. Wiadomo, że hr. Skarbek, po ukończeniu budowy teatru i po uzyskaniu przywileju, zajął się zebraniem artystów dla nowej sceny i rozpoczął przedewszystkiem układy z dawnymi artystami. Wywiązały się stąd długie i bardzo przykre spory między Skarbkiem a artystami, a gdy wreszcie pozawierano ugody, rozpoczęły się znowu spory między artystami starszymi i młodszymi, które przez kilka lat z rzędu mąciły spokój i naruszały harmonię. Nie zrozumie ten dobrze ówczesnych dziejów teatru lwowskiego, dla kogo obcą jest ta właśnie ich strona.

I Benza ma tutaj swoją historyę. Ugoda między nim a Skarbkiem nie mogła jakoś dojść do skutku i to właśnie poddaje Korzeniowskiemu następujące słowa: „Dlaczegoż to Pan Antoni wątpisz, żebyś był członkiem nowego teatru. Bardzo się boję, aby się tam coś nie wmieszało, co zepsuje teraźniejszy stan teatru lwowskiego — teatru jedynego, gdzie jeszcze polski dramatyczny pisarz znajduje przytułek. Warszawa niestety! nie dla nas. — Donieś mi, proszę cię, szczegółowo, jaki być ma skład tego teatru — jakie daje nadzieje — wszystko mi donieś, co tylko was tam obchodzi — bez was jestem połową tylko tego, czem jestem — bo cóż jest dramat bez reprezentacyi, bez talentu aktorów, prawie tem, czem są nóty koncertu bez smyczka Lipińskiego. Oczekiwać będę twego listu.“

Przy końcu listu jeszcze raz wraca do nowin o teatrze lwowskim: „Przykra mi ta myśl, że pracowawszy tyle lat dla teatru lwowskiego, może będziesz musiał gdzie indziej się schronić. Czemuż to? Cóż ten Pan Skarbek? czy nie więcej tam fanfaronady, jak gorliwości! Żalby mi było, bom sobie o nim stworzył piękny ideał. Dla mnie, pisarza dramatycznego, człowiek tyle poświęcający dla teatru, jest rzeczą ciekawą — nie chciałbym stracić swojej iluzyi.“

Benza ostatecznie nie został zaangażowany; wyjechał do Wiednia, gdzie przebywał brat jego. Wina leżała, o ile dziś można zbadać tę sprawę, po jednej i po drugiej stronie: Skarbek występo-

wał zbyt bezwzględnie wobec starego, zasłużonego artysty, Benza zaś, wówczas (trzeba to powiedzieć) u schyłku swego zawodu, stawiał zbyt wygórowane warunki. Zresztą Skarbek miał dla teatru jak najlepsze chęci. Okazał to i w tym wypadku, otwierając Benzie pod naciskiem opinii już w sierpniu tegoż roku 1842 podwoje teatru. Artyście jednak, jak zobaczymy, trudno było pogodzić się z nowymi stosunkami — na scenie lwowskiej miał on już bardzo krótko przebywać [1]).

W pół roku po przysłaniu przedstawiono *Starego Męża* w teatrze. Przedstawiono go mianowicie 11. i 16. listopada r. 1842, 6. lutego i 27. listopada r. 1843, wreszcie raz w roku 1844 [2]). Ogromne pochwały towarzyszyły pojawieniu się tej nowej sztuki. *Dziennik Mód Paryskich* z roku 1842 [3]) umieścił naprzód krótką wzmiankę, bardzo wysoko podnoszącą *Starego Męża*, a w tydzień potem obszerny artykuł Jana Dobrzańskiego [4]). Streścimy go nieco obszerniej, bo, jak zobaczymy, ucieszył on nadzwyczajnie autora *Krewnych*. Odtąd wspomina on zawsze bardzo mile swojego krytyka.

Dobrzański zaczął od tego, że starał się nietylko usprawiedliwić, ale zarazem wyjaśnić i uzasadnić zarówno sam pomysł, jak i charaktery osób w komedyi, co, jak wiadomo, w *Starym Mężu* ważną odgrywa rolę. W zapale popada Dobrzański w przesadę i podsuwa Korzeniowskiemu rzeczy, o których on, tworząc, zapewne wcale nie myślał. *Stary Mąż* — zdaniem jego — to utwór oryginalny w całem tego słowa znaczeniu. Wiedział Korzeniowski, że życie rodzinne po utracie bytu politycznego jest dla nas wszystkiem, nie wyśmiewa więc w swej komedyi tego życia rodzinnego, „ale tworzy oddzielny gatunek dramatycznych tworów, nie narodową komedyę, ale narodowy obraz, dramę familijną.“ Dlatego to tak usilnie usuwa on od głównych osób sztuki wszelką śmieszność a obdarza nią tylko podrzędne postacie. Po mistrzowsku i „w prawdziwie narodowy sposób“ łączy autor poważne ze śmiesznem i stąd powstają obrazy zarazem rzewne i wesołe. W sztuce tej jednak charaktery nietylko zewnętrznie, ale także i „w samym rdzeniu, w samej najgłębszej myśli są polskie.“ I stądto rozumie Dobrzański bardzo dobrze postąpienie sędziego —

---

[1]) Estreicher: Teatra III., 501—509; Pepłowski str. 174—175, 183, 185—186; Zawadzki: Z Teki Literackiej str. 213—214.

[2]) Gazeta Lwowska r. 1842 str. 870 i 884; r. 1843 str. 98 i 922; r. 1844 str. 806.

[3]) str. 176.

[4]) str. 182—184.

sędziego, „który (tu już powtarza prawie słowa samego Korzeniowskiego) niejednę burzę kraju, niejedno nieszczęście przetrwał, żona jego jest córką przyjaciela, który się zań w ważnej poświęcał sprawie. Umie on ocenić wielkość poświęcenia, dla pamięci przyjaciela wszystko uczynić zdolny.“ Słowem sędzia — „to uosobiony rozum tej sztuki, rozum swojski, chociaż rozwinięty i głęboki, przecie nie wykwintny, lecz prosty.“ Tak omówiwszy pomysł *Starego Męża*, chwali dalej Dobrzański śmiałość charakterystyki osób, wykończenie jej nawet w szczegółach, dzielność „w sztuce wynalezienia“, co ostatnie jest powodem, że widzowie przypatrują się nie jakimś nadzwyczajnym i efektownym zdarzeniom, ale osnowie „prostej i jak życie samo niewymuszonej.“ Chwali wreszcie znajomość warunków scenicznych u autora i talent zastosowywania się do tych warunków.

Dość charakterystycznem jest zakończenie Dobrzańskiego. Przytacza on zdanie pisarza i estetyka niemieckiego, Marggraffa: „Może sto lat upłynie, nim Sofokles lub Szekspir natchnie jakiego cudzoziemskiego poetę tak, jak natchnął Szylera i Getego“ — a potem woła, tracąc swoim zwyczajem odpowiednią miarę w sądzie i pochwałach: „O nie upłynęło lat sto, my już teraz mamy jenialnego wieszcza dramatycznego, który utworzył *Piąty Akt*, *Umarli i Żywi*, *Górale*, a teraz *Starego Męża*. U nas już teraz rozpoczyna się nowa epoka dramatu.“

Ostatnie te słowa wywołały rodzaj protestu w *Leseblätter* z r. 1843, lwowskiem niemieckiem piśmie. W artykule, p. t. *Geschichtlicher Uiberblick der Leistungen des polnischen Volkes im dramatischen Fache im Allgemeinen*, odpowiada Dobrzańskiemu Wurzbach (W. Constant) [1], znany autor dzieła: *Biographisches Lexicon des Kaiserthums Oesterreich*, że chociaż Korzeniowski dostarczył już teatrowi utworów wybornych *(Treffliches)*, a na przyszłość każe się spodziewać jeszcze wspanialszych, to daleko do tego, ażeby można go nazwać polskim Szekspirem. „Korzeniowski — dodaje autor bardzo złośliwie — pozostawałby, jak dotąd, w takim stosunku do Szekspira, w jakim pozostaje komin do wieży św. Szczepana“ [2]. Szkoda tylko, że

[1] W roczniku (z lwowskiej Biblioteki uniwersyteckiej), który mamy pod ręką (str. 41 i 53), wytarto nazwisko autora. Została tylko w jednym numerze litera W. Z tej litery W., z wielkości wytartego miejsca, wreszcie z tego, że nazwisko to W. Constant (pseudonim Wurzbacha) ciągle spotykamy w niniejszym roczniku, wnosimy na pewne, że jestto artykuł Wurzbacha. Rocznika tego nie ma ani w Bibliotece Ossolińskich, ani w Bibliotece Jagiellońskiej.

[2] Leseblätter r. 1843 str. 58.

Wurzbach. występując tak cięcie przeciw Dobrzańskiemu, zmienił nieco w swem przedstawieniu jego zapatrywanie.

Podobnie pochlebny sąd o *Starym Mężu*, jak Dobrzańskiego, zamieściła także *Gazeta Lwowska* z początkiem r. 1843, po trzeciem przedstawieniu [1]. Rozegrała się jednak również i we Lwowie ta sama historya, jaka zawsze się powtarza, ile razy idzie o *Starego Męża*. Tak jak Przeździecki wystąpił w Warszawie w r. 1844 przeciw głównemu założeniu komedyi [2], a bronił go Witte [3], jak w naszych czasach wystąpili przeciw temu założeniu Morzkowska [4]) i Rząrzewski [5], a bronił go Chmielowski [6], tak i wówczas we Lwowie wystąpił przeciw powyższym gorącym pochwałom August Bielowski w *Dzienniku Mód Paryskich* z r. 1843 [7]. Wysoko stawia on Korzeniowskiego, przyznaje, że niektóre sceny w tym utworze „są zachwycające, pełne jędrności i barw poetyckich ..., że nadto komedya ta zupełnie nosi barwę miejscowości i krajowości“, ale „nienaturalną i oburzającą“ nazywa myśl, iż sędzia dąży do rozwodu nie pod wpływem jakichś nadzwyczajnych okoliczności, lecz z własnej woli. To go właśnie zmusza do wystąpienia przeciw temu utworowi.

Wybornie musiano grać tutaj naszą komedyę. Sprawozdawcy nie mają dość słów uznania dla gry artystów. Nowakowski zwłaszcza miał stworzyć z roli sędziego postać dziwnie prawdziwą i wykończoną: „do złudzenia“ — woła Bielowski, który tak walczył przeciw podstawowej myśli komedyi — i w całym blasku prawdy oddał nam p. sędziego.“ Dobraneż to bowiem było grono artystów, mianowicie męskie grono. Obok Nowakowskiego — Stanisławem

---

[1]) str. 112.
[2]) Biblioteka Warszawska 1844, II. str. 126—128.
[3]) Tamże r. 1844, III. str. 428.
[4]) Niwa r. 1876 t. X., 428—429.
[5]) Biblioteka Warszawska 1876 I., 176.
[6]) str. 80—81.
[7]) str. 32. Artykuł podpisany literą A. Że jest to Bielowski, porów. Estreicher: „Korzeniowski Józef“ Rozmaitości r. 1858 str. 180. Estreicher wymienia nazwisko autora w skróconej formie: Aug. B. W łaskawej odpowiedzi na nasz list oświadcza Czcigodny Dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, że dziś już nie pamięta, czy mu sam Bielowski mówił o autorstwie tej recenzyi, dodaje jednak bardzo słusznie, że artykuł swój o Korzeniowskim drukował za życia Bielowskiego i że autor „Pieśni o Henryku Pobożnym“ byłby niewątpliwie zwrócił jego uwagę na pomyłkę, gdyby w rzeczywistości nie napisał recenzyi o „Starym Mężu“.

był Dawizon. Mateuszem, wiarusem, był Benza; panom godnie wtórowały panie, pochlebnie mianowicie oceniają grę panny Rutkowskiej (Agnieszka) i panny Radowskiej (Marcinowa). Dobrzański powiada, że aby należycie ocenić Korzeniowskiego, trzeba widzieć jego sztuki na scenie lwowskiej, „gdzie artyści, szanując wielki narodowy talent, ich przedstawieniu wszelką staranność poświęcają."

Zdarzył los, że w tym samym dniu, w którym wystąpiono we Lwowie w *Dzienniku Mód Paryskich* przeciw *Staremu Mężowi* — w dniu 11. lutego r. 1843 pisał Korzeniowski list do Benzy. Nadzwyczajnie ucieszyły go wieści, jakie Lwów przesyłał mu o tym ostatnim utworze. Właśnie w tym czasie otrzymał dwa listy od Benzy: jeden ze znanym nam już artykułem Dobrzańskiego, drugi z afiszem *Starego Męża*. Pisze więc do Benzy: „Dziękuję, po stokroć dziękuję za te wiadomości. Po każdym twoim liście nowa przychodzi ochota i nowy powstaje dramat. Tak się zrodzili *Umarli i Żywi* po odebraniu wiadomości o *Góralach*, *Stary Mąż* po wiadomości o *Umarłych*, a teraz, po przeczytaniu tak pięknej, tak zachęcającej recenzyi o *Starym Mężu*, kończę nowy dramat w czterech aktach pod tytułem *Żydzi*. Dlatego i spóźniłem się cokolwiek z odpowiedzią, żeby ci już donieść z pewnością. W tych dniach będzie skończony i najdalej za miesiąc go otrzymacie."

Do recenzyi Dobrzańskiego wraca raz jeszcze w niniejszym liście: „Któż jest ten P. D., który mię tak pochlebnie, tak wysoko ocenił. Artykuł ten napisany tak pięknie, tak gruntownie, że prawdziwie, aż chce się wierzyć, że pochwały nieprzesadzone. Musisz pewnie znać autora. Podziękujże mu serdecznie odemnie." Wobec takiego uznania dla siebie w artykule Dobrzańskiego nie zważał już Korzeniowski, iż jednak była przesada w niektórych jego ustępach! „Jeżeli mi kiedy — pisze dalej — Bóg pozwoli być w gronie waszem i wynurzyć wam moję wdzięczność za waszę usilność, policzę tę chwilę do najmilszych w mojem życiu. Tymczasem przyjmiecie publiczne wynurzenie mojego podziękowania. Wkrótce posyłam Zawadzkiemu *Starego Męża* i dedykuję go wam: Artystom dramatycznym teatru lwowskiego." Dodamy od siebie, że w drukowanej dedykacyi tego utworu czytamy jeszcze dalej słowa: „publicznie dziękując za staranne i umiejętne tej sztuki wystawienie."

Wyraża wreszcie Korzeniowski swą wdzięczność Benzie, że wziął w *Starym Mężu* rolę Mateusza. „Wyobrażam sobie, — powiada — jaki musiał być mój Mateusz w twojej osobie. — Mój Boże! kiedyż ja to obaczę? i czy obaczę kiedykolwiek?" A nieco

dalej dodaje ze smutkiem: „Tęsknota okrutna opanowuje mię tu coraz bardziej. Odświeżajcie mię przynajmniej waszą życzliwością.“

Ze Lwowem łączą więc autora *Krewnych* coraz ściślejsze stosunki. Repertuar teatru lwowskiego w r. 1842 wykazuje 8 przedstawień sztuk Korzeniowskiego [1]), przedewszystkiem zaś *Umarłych i Żywych* i *Starego Męża*, które zajęciem, jakie obudziły, i ożywieniem, jakie z sobą przyniosły, górowały niezmiernie nad całorocznym repertuarem. Z Warszawą jednak nie ma jeszcze zgody. Bał się jej i nie ufał. Wyczytał w *Kurjerze Warszawskim* ogłoszenie przedstawienia *Umarłych i Żywych:* „Boję się jednak — pisze w tym samym jeszcze liście z 11. lutego r. 1843 — czy tam jakim swoim konceptem nie ruszyli i nie zrobili mi takiej sztuki, jak z *Piątym Aktem,* bo tytuł już raczyli poprawić. Co to za rozum!“

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Bronisław Czarnik.

---

[1]) Porównaj dołączoną tabliczkę przedstawień sztuk Korzeniowskiego.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY DO DELF

I WYKOPALISKA EKSPEDYCYI FRANCUSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

III.

Aby otrzymać obraz całości, rozpocznijmy przegląd nasz od wschodu, od terenu przez Francuzów jeszcze nietkniętego i postępujmy najpierw w ślad za Pausaniasem, który prowadzi czytelnika drogą od Arachowy, starozytnej Anemoryi (?), drogą świętą pielgrzymów, przybywających lądem od strony Megary, Attyki i Beocyi.

Na godzinę przed przybyciem do Anemoryi znajdował się pielgrzym starogrecki na tak zwanej σχιστὴ ὁδός, t. j. w miejscu, gdzie krzyżowały się drogi z starożytnego Daulis i Cheronei z prowadzącymi od Delf i Ambrysos (dzisiejszego Distomo). Do tego rozdroża, do tego dzikiego wąwozu nawiązało podanie sławną legendę o zabiciu Laiosa przez Edypa, którego pamięć czcił niemal każdy z Hellenów.

Za Anemoryą trzeba było ominąć wybiegające na południe stoki Parnasu i obejść Petrites (wym. Petritis), aby po półtoragodzinnym marszu z Arachowy znaleść się na ziemi delfickiej. Tu na lewo, na jakie pół godziny drogi od Kastri, znajdują się dzisiaj ruiny budynku, z potężnych kwadrów wzniesionego o tajemniczem przeznaczeniu. Pomtow [1]) uważa je bez zastrzeżenia za szczątki grobowca, na kształt wieży zbudowanego, i śmieje się z naiwności Foucart'a, który poważył się w nich domyślać resztek starożytnej *tour de l'observation.* Czy domysł Foucart'a jest rzeczywiście tak naiwnym i czy w rzeczywistości można się tak apodyktycznie, jak

---

[1]) Beiträge zur Top. v. Delphi, str. 70.

Pomtow, wyrazić, nie chciałbym stanowczo rozstrzygać. Jeżeli jednak mam wyrazić moje osobiste przekonanie, to śmiałbym twierdzić, że do takiego ironicznego traktowania drugich nie było w tym wypadku podstawy. Zagadkowe ruiny, masywnie zbudowane i niewątpliwie z odległych czasów pochodzące, sprawiają w rzeczywistości wrażenie jakby jakiejś strażnicy, panującej nad drogą do Anemoryi i nie są podobne do grobowców, których tak wielką ilość z rozmaitych epok wszędzie oglądać można.

Postępując dalej drogą, znajdujemy się wnet na wschodniej odnodze głównej delfickiej terasy, odnodze długiej mniej więcej na jeden kilometr, ale szerokiej zaledwie na kilka do kilkunastu metrów. Na prawo jeszcze góra Petrites i jej dalszy ciąg Hyampeia, na lewo zaś kotlina doliny Papadii. Tu prawie na samym załonie góry, zasłaniającym wędrowcowi widok na wioskę Kastri, znajdujemy liczne, w skale wykute, dosyć wąskie i owalne zagłębienia, w których na pierwszy rzut oka poznajemy grobowce dawnych Hellenów. To starożytna wschodnia nekropolis delficka, późniejsza co do pochodzenia od drugiej podobnej, leżącej na zachodniej stronie Delf przy drodze, którąśmy z Itei przybyli. Tu znaleziono szczątki z sarkofagów i statui, pomiędzy którymi sarkofag, śmierć Meleagra przedstawiający, naczelne zajmuje miejsce. Dzisiaj tu pusto zupełnie, ale w starożytności ten cały szereg ładnie wykonanych grobowców nastrajał pielgrzyma poważnie i przygotowywał niejako do wrażeń, jakie uroczyste miejsce niewątpliwie na każdego wywierało. A było tych wrażeń sporo zaraz u wstępu.

Drogą wzdłuż grobowców zstępowało się coraz niżej i już po niewielu krokach dochodziło się do tak zwanego Logári, czyli dwu równoległych, na trzy do czterech metrów wysokich wcięć w skale, które miały osadę drzwi naśladować i pielgrzymom bramę Hadesu uzmysławiać [1]). Bramy właściwej nie było, gdyż nie wspomina o niej ani Pausanias, ani też po lewej stronie nie ma żadnego śladu jakichś fundamentów pod słup, futrynę zastępujący — a teren pochyla się coraz bardziej stromo ku kotlinie Papadii.

Po za tą idealną bramą terasa rozszerza się trochę i prowadzi nas dalej wśród niezmienionych warunków terenu: Na prawo dalszy ciąg grzbietu Petritis, na tej przestrzeni w starożytności Hyampeią, dzisiaj Flembukos zwanego, na lewo o kilka metrów niżej od terasy widoczne podmurowania kilku większych budynków. Pausanias wy-

---

[1]) Ob. zdjęcie fotograficzne u Pomtowa: Beiträge, tabl. X. nr. 27.

licza w tem miejscu[1]) pięć świątyń: z pierwszej już za jego czasów pozostały były tylko ruiny, druga przez niego również nie nazwana stała pustką i chyliła się także ku upadkowi; w trzeciej, zbudowanej przez władców rzymskich, widziałeś ongi posągi kilku cesarzy, a czwarta Atenie poświęcona (Ἀθηνᾶς Προνοίας), zawierała spiżowe ἀνάθημα mieszkańców Massylii, wywodzących się od Focyjczyków w Jonii osiadłych. Poza świątynią Ateny był jeszcze święty okręg Fylaka (Φυλάκου τέμενός ἐστιν ἥρωος) na pamiątkę szczęśliwego ocalenia Delf przed Persami. — Obecnie z tych gmachów pozostały, jak wyżej powiedziałem, tylko podmurowania, ziemią i gruzami przywalone, które ekspedycya francuska niewątpliwie odsłoni[2]), podając zarazem klucz do lepszego zrozumienia samego miejsca, dzisiaj w ludowem narzeczu μαρμαριά przezwanego.

W niewielkiem oddaleniu od świętego okręgu Fylaka wznosi się nieznaczny monaster N. Panny (τῆς Παναγίας = tis Panadias), stojący na miejscu dawnego γυμνάσιον, podczas gdy nie istniejące jeszcze za Pausaniasa heroon Antinoosa znajdowało się o jakich dwieście kroków dalej, po prawej stronie tuż popod Hyampeią.

W dalszym pochodzie mijamy dwa wspaniałe platany, rosnące i dzisiaj na tem samem miejscu, gdzie ich pradziadów według tradycyi zasadził własnoręcznie wódz Agamemnon. Poza nimi skręca się droga na prawo i przechodzi w małą trójkątną płaszczyznę, zamkniętą przez obydwie ściany Faedriadów i przerzniętą strumykiem kastalijskiem. Tu na lewo rodzaj prymitywnie urządzonej studni, podczas gdy na wierzchołku płaszczyzny wstęp do owej dzikiej i głębokiej rozpadliny, obydwa grzbiety górskie oddzielającej. Na prawo natomiast wotywna nisza, jeszcze w skale Hyampei wykuta, a tuż koło niej zapewne owa sławna krynica kastalijska. Widok jej dzisiaj niezbyt czarujący, podobnie jak prawie wszystkich źródeł, niegdyś przez starożytnych poetów opiewanych, zawsze jednak jeszcze powabniejszy od stanu sławnej ateńskiej Καλιῤῥόη, która obecnie jest błotnistą kałużą, chyba żabom jakie takie schronienie dającą. Źródło Kastalii, dzisiaj zaledwie sączące się, posiada przynajmniej wodę czystą i dosyć przyjemną do picia, chociaż nie tak orzeźwiającą, jak woda niejednej naszej górskiej krynicy. Jakżeż więc to wszystko się zmieniło! Dawniej wśród inaczej ukształtowanej przyrody tryskała tu obficie bogom poświęcona źródlana woda,

[1]) l. c. X., 8, 6 nstp.

[2]) P. Couvert zapewniał mnie, że przy odkopywaniu nie pominie się i tego miejsca, choć je Pausanias po macoszemu traktuje.

szanowana przez pielgrzymów, bo w niej stosownie do świętego zwyczaju mieli się omyć, zanim przestąpili progi Apollinowego przybytku. Opowiada nam to wyraźnie orzeczenie pityjskiej wyroczni, które w niemieckiem tłómaczeniu brzmi następująco:

Rein von Herzen betritt den Tempel des lauteren Gottes,
Wenn dir der heilige Quell eben die Glieder benetzt!
Gutem Pilger genügt ein Tropfen, aber dem Bösen
Wüsche das Weltmeer selbst nicht die Verschuldung hinweg.

* * *

Powyższe zabudowania od Logari aż do źródła i strumyka kastalijskiego, leżące na przestrzeni niewiele metrów szerokiej, ale za to mniej więcej na jeden kilometer długiej, tworzyły tak zwane przedmieście wschodnie, czyli Kastalijskie, i nie wchodziły w obręb właściwego świętego okręgu. Bogom poświęcone Delfy leżały poza strumykiem kastalijskiem, na owej, jak już powiedziałem, trójkątnej, stopniowo w górę wznoszącej się terasie, popod grzbietem Rodini. Tu droga święta, przekroczywszy strumyk, wspinała się dość stromo w górę i prowadząc zrazu w kierunku zachodnim, dochodziła najpierw do potężnego muru, święty okręg niegdyś otaczającego i dawniej Peribolos a później Hellanikó przezwanego. Jestto już teren odsłonięty w znacznej części przez Francuzów, teren najważniejszych, tu poczynionych odkryć.

W miejscu, gdzie droga święta dochodzi do owego muru obwodowego, znajduje się w nim trzymetrowa przerwa, a w niej kilka stopni urządzonych dla pieszych. Poza murem prowadzi droga dalej w kierunku zachodnim, a następnie zwraca się na północny zachód, wspinając się coraz wyżej w górę. Szerokość jej przeciętna wynosi 4 metry, wyłożoną zaś jest kamiennemi płytami, które mają poprzeczne rowki dla lepszego wspinania się lub schodzenia z góry. Odległość drogi od muru obwodowego równa się 13 metrom i jest na tej przestrzeni wszędzie jednaką, tak że mur powtarza wszystkie zagięcia, jakie na drodze zauważyć można. Stąd wniosek, że budowano go później niż drogę i że z rozmysłu zachowywano jeden ten sam odstęp.

Po obu bokach drogi stały na tej przestrzeni posągi i skarbce i to po lewej, południowej stronie od muru może we dwu rzędach, a po prawej, północnej prawdopodobnie tylko w jednym. Wylicza

je Pausanias po kolei, jak tego dowodzą to znaczniejsze, to mniejsze resztki, po nich pozostałe [1]):

1) Pierwszym z rzędu na południowej stronie był spiżowy byk, przysłany w darze przez Korcyrejczyków i wykonany przez Theopropos z wyspy Eginy. Znaleziono z niego tylko podstawę *(basis)* wraz z napisem dedykacyjnym i to na innem miejscu, przesuniętą o jakich 100 kroków wyżej, w pobliże głównej świątyni Apollina.

2) Poza bykiem Korcyrejczyków w tym samym rzędzie następowały dary Arkadów, przysłane w ofierze z powodu zwycięstwa nad Spartanami: Apollo, Nike i miejscowi heroowie, t. j. Kallisto i Arkas z trzema synami i jednym z wnuków. Wykonali te posągi Pausanias z Apollonii, Daidalos z Sikionu, Antifanes z Argos i Samolas z Arkadyi. Ustawione były na jednej podstawie, która spadła poza mur obwodowy, w miejsce bliżej jeszcze nieznane. Widziano ją jednak już w czasach nowożytnych za Cyriaka i odkopiowano napis, zanim jej znowu ziemia i gruzy nie przykryły.

3) Trzecim z kolei był prawdopodobnie podług Pausaniasa rumak z spiżu, ofiarowany przez Argiwów, roboty ich rodzimego artysty, Antifanesa. Po nim nie pozostało ani śladu. Natomiast w drugim rzędzie pomiędzy poprzedniemi trzema pomnikami a murem obwodowym znajduje się:

4) obszerne batron z anatemu, wystawionego przez Ateńczyków ze zdobyczy maratońskiej. Stało na niem 10 posągów dłuta samego Fidyasa, wyobrażających Atenę, Apollina, Milcyadesa i eponymów siedmiu fil atyckich. W późniejszych czasach umieszczono jeszcze na tejże samej podstawie Antygona, Demetriosa i Ptolomeusa, jako eponymów trzech dalszych fil.

5) Naprzeciw czterech powyższych monumentów na północnej stronie drogi znajduje się baza, silnie z kwadrów zbudowana pod celę 25 metrów długą. W niej we dwu rzędach ustawili Lacedemończycy 37 statui na podziękowanie bogom za zwycięstwo Lizandra nad Ateńczykami koło Aigospotamoi. W pierwszym rzędzie stali Dioskurowie, Zeus, Apollo, Artemis, Poseidon, wieńczący Lizandra obok wyrzeźbionego, kapłan Abas i sternik admiralskiego okrętu Hermon, tuż zaś koło nich i poza nimi w drugim rzędzie jeszcze 28 dowódców podwładnych tak spartańskiej, jak i sprzymie-

[1]) Oznacza je najlepiej Pomtow (w *Woch. für class. Phil.* r. 1895 nr. 2 i 3), to też idę za jego zdaniem, opuszczając tylko uczone wywody, nieodpowiednie dla takiego, jak niniejszy, informacyjnego artykułu.

rzonej floty. Imiona artystów: Antifanes z Argos, Athenodoros i Dameas z Kleistor w Arkadyi, Pison z Kalauryi, Theokosmos z Megary, Alipos z Sikionu, Tisandros, Patroklos i Kanachos.

6 i 7) Przeszedłszy znowu na południową stronę drogi spotykałeś w dalszym ciągu obok pomnika 4. siedmiu dowódców przedhistorycznej wyprawy Polineikesa przeciw Tebom. Posągi Polineikesa i pięciu z jego towarzyszy umieszczono na przedzie a Amfiarosa z jego woźnicą Batonem i rydwanem prawdopodobnie w drugim rzędzie poza nimi. Była to ofiara Argiwów za zwycięstwo nad Lacedemończykami pod Oinoe, roboty Hypatodorosa i Aristogeitona. Z tego anatemu nie pozostało prawie ani śladu, podczas gdy obok położone półkoliste batron o 9 metrowej średnicy, zbadane bliżej jeszcze przez Pomtowa, służyło za podstawę dla również przedhistorycznych siedmiu epigonów, ofiarowanych także ze zdobyczy w tej samej bitwie pod Oinoe osiągniętej.

8) Naprzeciw ostatniego batron po północnej stronie drogi na podmurowaniu, które przed pochyłością góry ochrania mur z kwadrów zbudowany, odsłonili obecnie Francuzi drugą podobną, półkolistą bazę o takich samych, jak poprzednia, rozmiarach i z napisem, dowodzącym wyraźnie, że stały na niej posągi argiwskich heroów, ofiarowane na pamiątkę udziału Argiwów w odbudowaniu Mesenii przez Epaminondasa. Wykonał je także kilkakrotnie już przez nas wspomniany Antifanes z Argos.

9) W dalszym ciągu niedaleko miejsca, w którem droga zagina się na północ, jest strona lewa czyli południowa tak do szczętu zniszczoną, że nie ma i śladu jakichkolwiek dzieł sztuki. Według Pausaniasa[1]) stały tu spiżowe konie i kobiety branki, wykonane przez Ageladesa z Argos na pamiątkę zwycięstwa Tarentynów nad Mesapijczykami. Do nich przytyka trochę niżej od drogi położony

10) skarbiec Sikiończyków, pierwsza większa budowa od wejścia do temenos, w której, jak i w innych skarbcach delfickich już za czasów Pausaniasa pieniędzy wcale nie było. W formie świątyni z antami (poprzednicami) zbudowany spoczywał skarbiec Sikiończyków częściowo na fundamentach jakiegoś innego budynku, przedtem tu istniejącego i wskutek nieznanej katastrofy w jakiś czas później zniszczonego. Przy zakładaniu nowych fundamentów zużytkowano z poprzedniego budynku nawet architrawy (nadsłupia, tramy, bierzma) i kręgi (głowice) słupców, z tufu i w stylu doryckim VI.

---

[1]) L. c. X. 10, 7.

wieku wykonane. Wewnątrz i poza obrębem skarbca znaleziono również w wielkiej ilości z tufu wyrobione metopy (międzytramia), na których na białem tle wypisano imiona osób tamże przedstawionych. Są to jedne z najpiękniejszych okazów archaistycznego stylu poros. Tu Europa siedzi naprzód pochylona, tam młodzieńcy, trzema włóczniami uzbrojeni, uprowadzają zdobyte bydło. Na innej płynie okręt a po obu jego bokach po jednym jeźdźcu (może Argo i Dioskurowie?), na innej znowu trzej lutniści z wygoloną górną wargą. Wszystkie figury na czerwono malowane a rąbki ich sukien wyraźnie uwydatnione i w guście owego archaicznego stylu przyozdobione. Jednem słowem całe wykonanie dowodzi niewątpliwie, że i te rzeźby powstały w VI. w. przed Chr., nieco tylko później od poprzednich, przy zakładaniu fundamentów użytych. Stąd wniosek, że obydwa budynki pochodzą z VI. stulecia przed Chr. i te pierwszy z jego początku, a drugi z jego końca, mniej więcej z czasów Kleistenesa.

11) Z obok położonego anatemu Knidyjczyków znowu nie pozostało ani śladu, natomiast z nieco tylko dalej na zachód wysuniętego

12) skarbca Sifnijczyków [1]) dochowały się tak znaczne resztki, że może nawet uda się odtworzyć go napowrót w całości. Była to wspaniała, nader bogato przyozdobiona świątynia [2]), frontem ku zachodowi zwrócona. Na potężnem podmurowaniu, spierającem się od południa na murze obwodowym a od północy świętej drogi dotykającem, wznoszą się ściany świątyni, z których podłużne miały 8·90 m. a poprzeczne 6·35 m. długości. Części tych ścian i kolumn odnalazły się prawie wszystkie, a rekonstrukcya ich, dokonana już częściowo przez Francuzów, sprawi światu niezawodnie prawdziwą niespodziankę, ze względu na piękność rzeźb i bogactwo form architektonicznych stylu starojońskiego, występującego tu w całej swej okazałości.

Ponad kolumnami z paryjskiego marmuru wznosił się bogato płaskorzeźbami ozdobiony fryz a nad nim rząd bisiorków (paciorków) [3])

---

[1]) Σίφνος wyspa, jedna z Cykladów.

[2]) Pomtow w *Woch. f. cl. Ph.* r. 1895 nr. 2 powiada, że należała do typu zwanego prostylos, czyli podczołkowego.

[3]) Co do polskich terminów technicznych stosuję się do wydanego przez krakowską Akademię umiejętności dzieła dr. Teofila Żebrawskiego: *Słownik wyrazów technicznych, tyczących się budownictwa* (str. 433, Kraków 1883), tudzież Karola Podczaszyńskiego: *Nomenklatura architektoniczna*, wyd. 2. Warszawa 1855, str. 154 i XXXV.

i lesbijskie kyma (piętka). Ponad tem widniał bogato przyozdobiony tympan (pole przyczółkowe), a w około niego jasnemi barwami pomalowany geison (krajnik), którego dolną część przystrojono szeregiem wyrzeźbionych palmetek (dłoniatek, pępawek) i kwiatów lotosu.

Płaskorzeźby na fryzie prześcigają skutkiem delikatności wykonania, żywości figur i bogactwa nowych motywów wszystkie dotychczas znane dzieła dawniejszej, przedfidiasowej sztuki greckiej.

Na północnej, podłużnej stronie fryzu wyrzeźbiono gigantomachią: Bogom pomagają zwierzęta, a Kybele, przyodziana w skórę jakiegoś bliżej nieoznaczonego zwierzęcia, walczy z wozu ciągnionego przez lwa, który rzucił się także na przeciwnika i wpił się zębami w jego ciało, rozszarpując równocześnie pazurami jego kolana. Apollo i Artemis walczą aż z pięcioma gigantami, z których jeden już upadł na ziemię zabity. Afrodyta (?), uniesiona zapalczywością, godzi jeszcze raz namiętnie w poległego przeciwnika, a Eolus, wyrzeźbiony na rogu pola, spieszy również bogom na pomoc i wypuszcza swoje wiatry na walczących olbrzymów. Hełmy gigantów, przedstawionych i uzbrojonych jak ludzie, przyozdabiają rogi wołów i przeróżne członki innych zwierząt, a kity ich podtrzymują węże lub rogi kozie. Tarcze gigantów na czerwono pomalowane oddano niełylko w pełnym profilu, jak na innych okazach archaistycznej sztuki, ale także z ubocza i w skróceniu tak, że wydają się jakby wrzeźbione w marmur. Inne natomiast części zbroji, tudzież uzdy, lejce, dyszle i koła wozów są z marmuru całkiem wyrobione lub bronzowemi zastąpione i dlatego częściowo uległy później odłamaniu.

Wschodnia strona fryzu przedstawia walkę o ciało Patroklosa ze współudziałem bogów, nie tak spokojnych, jak na fryzie Partenonu, ale rozprawiających widocznie żywo między sobą i przejętych do głębi zmiennymi losami toczącej się bitwy. Ares w pełnej zbroi siedzi po lewej stronie, obok niego Leto i Artemis, głaszczące po twarzy stojącego przed nimi młodzieńca (może Apollina?). Dalej widzimy Atenę z Egidą i Dionysosa, siedzących na pysznie rzeźbionych krzesłach, przyczem oparcie stołka Dyonizosowego spoczywa na Satyrze i jednej z Merad.

Grupa wyrzeźbiona na stronie południowej przedstawia znowu według Homolle'a porwanie Chrysejdy i wypadła jeszcze dosyć nieudolnie, znaczenia zaś grupy zachodniej odgadnąć na razie niepodobna, możliwe jednak, że domyślać się w niej należy apoteozy Heraklesa. Wśród scen i postaci obu tych grup spostrzegamy orszak powoli ciągnących jeźdzców, tudzież skrzydlatą Atenę, jadącą na kwadrydze, ciągnionej przez konie, również skrzy-

dłami opatrzone. Najefektowniejszą jednak jest kobieta, która, wysiadając z wozu, obraca się wstecz i lejcami ściąga rumaki. Również zwrócić trzeba uwagę, że tu po raz pierwszy [1]) z zaprzęgu czworokonnego wyrzeźbiono tylko jednego konia w profilu, a inne oddano w perspektywicznem skróceniu.

I oba pola przyczołkowe (tympany), wschodnie i zachodnie, były również rzeźbami pokryte. Scen zachodniego dotychczas z szczątków odtworzyć nie zdołano, natomiast o wschodniem wiemy już dzisiaj, że przedstawioną tam była walka o trójnog pomiędzy Heraklesem a Apollinem: Atena stoi w środku i chwyta rękami tak Heraklesa, jak i Apollina, aby ich rozłączyć. Za Apollinem postępują dwie niewiasty, Leto i Artemis, za Heraklesem również dwie figury i zaprząg, na którym przybył. Naroża tympanu pozostały puste, bo coraz więcej zwężającego się pola nie umiał artysta wypełnić. Wykonanie tu zresztą w ogóle o wiele nieudolniejsze, jak na fryzie, stąd też tak Homolle, jak i Belger, sądzili pierwotnie, choć cechy stylistyczne jednakowe, iż powyższa scena pochodzi z innego budynku. Później dopiero zauważono, że różnica w wykonaniu wytłómacza się odmiennymi warunkami technicznymi [2]). Na fryzie mamy przed sobą płaskorzeźby łatwiejsze do wyrobienia, na tympanie zaś musiały to być postacie pełne, okrągłe, z któremi ówczesna sztuka nie mogła dać sobie jeszcze rady. Artysta więc, aby uniknąć trudności, stworzył coś takiego, co doskonale uzmysławia powolny rozwój sztuki greckiej. Oto dolną część ciała oddał jeszcze w płaskorzeźbie, a tułów i głowę wyrzeźbił w zupełności, tak, że postacie, jak piszczałki przy organach, zwężają się ku dołowi a rozszerzają ku górze. Oczywiście wynikła stąd pewna sztywność postaci, dla oka niemiła, ale dla badacza sztuki nadzwyczaj pouczająca.

Styl więc wszystkich tych rzeźb jest niewątpliwie jońskim, ale wykonanie lepsze i swobodniejsze, niż na starojońskich, małoazyatyckich skulpturach. Ponieważ zaś dalej za materyał służy w tym wypadku marmur paryjski, przeto przypuszcza Furtwängler, iż na wyspie Paros powstała w VI. wieku osobna szkoła, której dzieła tworzą przechód od rzeźb małoazyatyckich do sztuki ateńskich i peloponeskich mistrzów. Gdyby się to sprawdziło, mielibyśmy

---

[1]) Nie licząc waz późniejszego stylu, w których na czerwonawem lub żółtawem tle znajdują się czarne figury.

[2]) Por. Belger, l. c. str. 862, a Furtwängler l. c. 1276 nstp. i Pomtow, *Woch. f. cl. Ph.* 1895 str. 54.

nowy pouczający przykład, jakto z czasem wybrzeża Małej Azyi poczęły wpływać na rozwój kultury w swoich metropoliach.

13) Tuż koło powyższego skarbca Sifnijczyków stały w dalszym ciągu na południe od świętej drogi posągi, ustawione niegdyś przez Liparyjczyków na podziękowanis bogom za zwycięstwo nad Tyrhenami. Z nich nie pozostało nic prócz jednej inskrypcyi, odnalezionej obecnie przez Francuzów.

Po prawej, czyli północnej stronie świętej drogi, naprzeciw dzieł sztuki pod nr. 9—13 przytoczonych a tuż koło trzeciego pomnika Argiwów (nr. 8) znajduje się mała, kwadratowa komórka a w dalszym ciągu i druga, więcej podłużna, z nyżą (wnęką) po obydwu bokach. Na zachód od tej ostatniej ciągnie się na dalszej przestrzeni poligonowy mur, podtrzymujący stok góry, a dalej naprzeciw anatemu Liparyjczyków (nr. 13) trzecia z kolei półkolista baza, mniejsza co do średnicy od wspomnianych pod nr. 7 i 8. Co zawierały obie te komórki i co stało na owej trzeciej bazie, — niewiadomo dotychczas, gdyż ani Pausanias o tem nic nie wspomina, ani też nie znaleziono żadnych napisów, któreby nas w tym względzie oświecić mogły.

(Dokończenie nastąpi).

Korneli Juliusz Heck.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część druga.

II.

(Ciąg dalszy).

Słusznie twierdzi Bredetzki, że przemysł galicyjski zająć się winien w pierwszym rzędzie wyrobem tych artykułów, które sprowadzać musiano do nas z zagranicy. Przedewszystkiem więc doradza ulepszenie krajowego tkactwa do tego stopnia, by mogło współzawodniczyć z wyrobami czeskimi i szląskimi. „Głównym celem do tego byłoby“ — słowa rozprawy — „gdyby szlachta galicyjska zwróciła uwagę na płody swojskie i takowe zamiłowała . . . Za mało jest jeszcze w Galicyi fabryk, kunstmistrzów i rzemieślników. Masa ludności składa się z wieśniaków, którzy dla swej niewiadomości i nieokrzesania połowy tego nie czynią, coby uczynić mogli. Oprócz Lwowa mało jest miast, w którychby kwitnąć mógł przemysł“ . . . Ogół mieszczaństwa, trudniącego się rękodzielnictwem i przemysłem, wynosić miał w Galicyi w r. 1808: 15.132, w r. 1810: 16.523 głów.

Szczegółowe te informacye, dotyczące najrozmaitszych rodzajów produkcyi, kończy Bredetzky ogólnymi wnioskami, wskazującymi środki ożywienia przemysłu i handlu w Galicyi. Takimi są według jego mniemania: ujednostajnienie miar oraz wag w Galicyi i zrównanie kalendarza dla obrządków rzymsko- i grecko-katolickiego. Co do miar i wag, panował istny chaos u nas, z którego korzystali w całej pełni mniej uczciwi kupcy tutejsi. Wprawdzie od września 1777 roku obowiązywała prawnie w całym kraju waga lwowska, ale w praktyce działo się inaczej. Między korcem przemyskim, jarosławskim a lwowskim zachodziła różnica, wynosząca całe dwa garnce. W miejsce polskiego łokcia podsuwali niektórzy kupcy przy sprzedaży mniejszy łokieć wrocławski i krzywdzili swych klientów. Tra-

fnie więc zauważył nasz autor, iż podobnie jak różnica kalendarza szkodzi moralności, tak też różnica miary i wagi jest szkodliwą dla handlu, choć szkoda ta nie każdemu w pierwszej chwili wpadnie w oko.

Drugim środkiem podniesienia galicyjskiego handlu i przemysłu jest, według Bredetzky'ego, utworzenie szkoły ekonomicznej, na wzór zakładów tego rodzaju, istniejących oddawna w zachodnich prowincyach monarchii. Brak teoretycznie wykształconych gospodarzy był rażącym w kraju tak przeważnie rolniczym, jak Galicya. Wprawdzie rząd usiłował temu zaradzić, projektując w roku 1811 kreacyę katedr gospodarstwa wiejskiego w gimnazyach galicyjskich, ale sposób, w jaki się wzięto do rzeczy, nie odpowiadał bynajmniej celowi. Oto sześciu stypendystów, pobierających rocznie zasiłki po 525 złr., wysłano z szkół galicyjskich do ekonomicznego instytutu w Wiedniu, z którym w związku pozostawał praktyczny zakład agronomiczny w Fösenbergu. Stypendyści ci, pozostający pod opieką Ossolińskiego, kształcili się na przyszłych nauczycieli gospodarstwa wiejskiego w gimnazyach tutejszych. Jakoż już w roku 1816 zaprowadzono wykłady agronomiczne w gimnazyach: słanisławowskiem i we lwowskiem, ale praktycznego pożytku z nich nie było dla braku dostatecznego przygotowania ze strony słuchaczów, oraz z powodu niedostatku doświadczalni.

W razie, gdyby instytut ekonomiczny miał pozostawać w związku z liceum lwowskiem, musiałby takowy, zdaniem naszego autora, tworzyć odrębny zupełnie wydział o czterech katedrach: agronomii, weterynaryi, umiejętności lasowej i matematyki stosowanej wraz z nauką rysunków i mapowania. Wykłady odbywałyby się przeważnie w języku polskim a teorya musiałaby znaleźć praktyczne zastosowanie na folwarku instytutowym. W gmachu instytutu, założonego wspólnym kosztem ziemiaństwa i rządu, należałoby pomieścić obok sal wykładowych muzeum narodowe, agronomiczno-przemysłowe, zawierające modele i okazy z flory i z fauny galicyjskiej. Nadzór nad instytutem zdawał Bredetzky w ręce efora, wybranego z grona znamienitszego ziemiaństwa a podległego władzy gubernialnej.

Nie poprzestając wszakże na przysposobieniu młodzieży do gospodarstwa wiejskiego, projektował nadto nasz autor zawiązanie uczonego towarzystwa gospodarskiego na wzór istniejącego na Morawii. Towarzystwo to, prócz członków honorowych, liczyłoby w swem gronie członków czynnych i korespondentów. Zadaniem czynnych członków miało być podawanie rządowi stosownych projektów ekonomicznych, uchwalanych na kwartalnych zebraniach towarzystwa, którym członkowie-korespondenci podawaliby dwa razy do roku

sprawozdania na piśmie. Projekt ten był piękny i nietrudny do urzeczywistnienia, a jednak wiele, bardzo wiele wody upłynąć musiało, zanim zacna myśl Bredetzky'ego doczekała się wykonania. Na owym też projekcie urywa się konkursowa jego rozprawa, zakończona tą głęboką refleksyą: „Największa czynność jednego człowieka ginie w wiecznym, krążącym biegu świata powszechnego, ale zjednoczenie kilkunastu różnych osób, połączonych szczerze zdolnością, nauką i siłami, dla wspólnego celu, zostawia ślady, których czas zatrzeć nie zdoła" [1]).

Ogłoszona drukiem spuścizna literacka, pozostała po Bredetzkym, nie grzeszy zbytnią obfitością. Składają się na nią dwa dzieła: *Reisebemerkungen über Ungarn und Galizien, (Wien A. Doll. 1809)*, wydane w dwóch tomach, oraz *Historisch-Statistischer Beytrag zum deutschen Kolonialwesen in Europa nebst einer kurzen Beschreibung der deutschen Ansiedlungen in Galizien. (Brünn, J. G. Trassler 1809).*

„Wspomnienia z podróży po Węgrzech i Galicyi" spisał Bredetzky — jak z przedmowy do pierwszego tomu wynika — w ciągu roku 1807. Tom pierwszy tej pracy nie przedstawia dla nas szczególniejszego interesu, gdyż, prócz „Fragmentów Wiedeńskich", znajdujemy w nim jedynie wspomnienia z lat młodzieńczych autora, oraz rozprawkę o wpływie, jaki żywioł niemiecki wywarł na szkolnictwo oraz na system wychowawczy w Węgrzech. Osnutą na tle węgierskich stosunków jest również rozprawka „O racyonalizmie i patryotyzmie", zaś końcowy, (piąty), rozdział tej książki zawiera opis podróży, odbytej przez Bredetzky'ego w roku 1805 z Wiednia do Krakowa. I tu prócz wrażeń, odniesionych przez autora w ciągu wędrówki po Węgrzech, oraz szczegółowego opisu Spiża, nie znajdujemy żadnych wiadomości, odnoszących się do Galicyi.

Natomiast tom drugi „Wspomnień", ozdobiony stalorytem, przedstawiającym ogólny widok Lwowa, zawiera wiele ciekawych szczegółów, odnoszących się do naszego kraju. Poświęciwszy kilkanaście początkowych kartek wzmiance o literaturze na Spiżu, opisuje Bredetzky drogę, jaką z Kesmarku na Magórę, Nowy Targ i Myślenice podążał do Krakowa. Podróż tę odbywał z wiosną 1805 r. a chwaląc gościniec, wiodący od Magóry ku Dunajcowi, oraz drogę, przecinającą Nowytarg, skarży się z powodu okropnego stanu tejże, od Myślenic począwszy. Półtrzecia doby trwała podróż naszego autora z Kesmarku do Krakowa, jakkolwiek w Myślenicach wziął ekstrapocztę. Malownicze okolice Czorsztyna, dolina Raby, płynącej

[1]) Gazeta Lwowska 1816. Nr. 61—77. 100.

z szumem i łoskotem wśród lasów szpilkowych, sprawiły na Bredetzkym nader silne wrażenie. Przed Myślenicami, dokąd zdążył późnym wieczorem, ustały jego konie, skutkiem czego zmuszony był się przesiąść na wóz jakiegoś nieznajomego, jadącego w tę samą stronę. Ciemność nocy, szum wichru, lasy w około, towarzystwo nieznanych ludzi, nabawiły nieco strachu biednego pastora, który wszakże przekonał się niebawem, że nie miał do czynienia z rozbójnikami. Myślenice zaliczały się wówczas do najnędzniejszych miasteczek galicyjskich. Od węgierskiej strony wjeżdżało się do nich wąwozem, wymytym przez wodę. Po obu brzegach wąwozu ciągnęły się ubogie chałupy. W rynku, tworzącym czworobok, istniało zaledwo kilka porządniejszych domostw, zajętych przez urzędników rządowych; reszta zabudowań, brudna i nędzna, smutny sprawiała widok. Ludność wyznania rzymsko-katolickiego posiadała kościół i parafię w miejscu. Prócz nich istniały w miasteczku: zarząd kameralny, urząd podatkowy i poczta, łącząca się przez Izdebnik z głównym gościńcem wiedeńskim. Na Izdebnik i Mogilany udał się Bredetzky do Krakowa, którego opisowi poświęca drugi rozdział tego tomu.

Już z Mogilan, ostatniej stacyi przed Krakowem, widać było poważną siedzibę dawnych królów polskich. Widok z tej strony na miasto jest w rzeczy samej wspaniały. Wielka ilość klasztorów i kościołów przedstawia się z oddali imponująco i nadaje miastu wygląd iście królewski. Pięknie odbija na brzegu Wisły zamek warowny, stojący na skale odosobnionej, wapiennej, której szarawą barwę zdala można rozróżnić. Nieco dalej, w odległości godziny drogi, leży wśród lasu posępny klasztor Kamedułów. Okolica Krakowa z tamtej strony Wisły jest równiną, przerzniętą jeno przez niezbyt wielkie pagórki. Wisła zdaje się odcinać ostatnie odgałęzienia Karpat a zarazem tworzy granicę między dwoma rodzajami gleby. Około Karpat formalne morze piaskowych pokładów rozciąga się ku tej rzece. Poszarpane, lesiste wzgórza przerywają liczne potoki górskie. Atmosfera w tej okolicy jest wietrzna i wilgotna, drogi z powodu wielkiej ilości źródlisk są złe i w przeważnej części nie do przebycia.

Inaczej wygląda okolica w pobliżu Krakowa. Piękne, wapniste wzgórza wznoszą się łagodnie na brzegu lewym Wisły, rozbiegając się na wszystkie strony. Lasy składają się przeważnie z drzew liściastych. Na równinach, tu i owdzie, wśród uprawnej roli, ciągną się znaczne przestrzenie piaszczyste. Łagodniejsze powietrze, sucha ziemia i tysiące przyjemności, których się wyrzec należy w podkarpackiej okolicy, sprawiają na podróżniku wrażenie, jak gdyby się zbliżał ku południowi.

Zanim dojedzie się do Krakowa, staje się w Podgórzu, miejscowości świeżo powstałej i obdarzonej po rewindykacyi Galicyi wschodniej wolnością handlową. Z chwilą zajęcia Galicyi zachodniej Podgórz stracił swe znaczenie, gdyż przestał być miejscowością graniczną. Protestanci posiadają tu zbór, chylący się ku ruinie, lecz nie myślą o jego restauracyi, gdyż przeważna część protestantów mieszka w Krakowie, gdzie też odbywa się nabożeństwo. Podgórz pozostaje w związku z Kazimierzem, pierwszem przedmieściem krakowskiem, za pośrednictwem zbudowanego, drewnianego mostu. Minąwszy most, widzi się piękny kościół Bożego Ciała. Kazimierz, prócz brudnej ulicy żydowskiej, (dziś ulice: mostowa i krakowska), posiada jedną tylko ulicę, wiodącą w prostej linii ku Wiśle, (dziś: Starowiślną). Ulica ta liczy około ośmset kroków długości. Drugi most, rzucony na bocznem ramieniu Wisły, łączy Kazimierz z Stradomiem, drugiem przedmieściem krakowskiem. Prócz nowego budynku cłowego i kilku kościołów, niewiele tu się znajdzie piękniejszych budynków i widok, imponujący od strony Mogilan, kontrastuje zbyt widocznie z rzeczywistością.

Widok śródmieścia oddziałał o wiele korzystniej na naszego turystę. Długa, licząca 735 kroków ulica — słowa Bredetzky'ego — wiedzie nas w prostym kierunku na piękny, jedyny może w dziedzicznych krajach monarchii plac, tworzący regularny czworobok. W środku tego placu stoją: starożytne Sukiennice, ratusz, kościółek Jana Nepomucena, (św. Wojciecha) i jeszcze jeden, publiczny budynek. Kramy, cisnące się dokoła tych budynków, sprawiają wrażenie wstrętne. Oddawna już była mowa o ich usunięciu i przeniesieniu na inne miejsce. Ponieważ jednak przynoszą miastu dochód, przeto też cierpi się to uchybienie przeciw dobremu smakowi. Powierzchnia rynku obejmuje 11.400 sążni kwadratowych. Długość tego placu od ulicy Grodzkiej ku wylotowi Floryańskiej wynosi 255 kroków, zaś cały Kraków, począwszy od Wisły a skończywszy na Kleparzu, liczy w prostym kierunku pięć tysięcy geometrycznych kroków. Obszar miasta nie odpowiada bynajmniej ani liczbie domostw, ani też zaludnieniu i tłómaczy się jedynie wielką liczbą kościołów i klasztorów, zajmujących znaczną przestrzeń. Sądząc z obszaru, miasto to mogłoby pomieścić trzy razy tyle ludności. Widząc wielką ilość kościołów i klasztorów pustych, tworzących masę budynków niezamieszkałych, patrząc na ogrom gmachów uniwersyteckich, burs, na *Collegium Jagellonicum*, w przeważnej części wyludnionych, zrozumie się łacno, dlaczego w tak dużem na oko mieście tak mało jest mieszkańców.

Ogół ludności Krakowa, bez załogi wojskowej, wynosił według obliczenia Bredetzky'ego w roku 1804: 25.750 mieszkańców, zajmujących 1.772 domy. Najbardziej zaludnione było śródmieście, (11.400 mieszkańców, 681 domów), poczem następowały: dzielnica żydowska, (4.300 m., 207 d.), Piasek, (4.040 m., 367 d.), Kleparz, (3.550 m., 295 d.), Kazimierz, (1.900 m., 191 d.) i Stradom, (560 m., 31 d.).

Niemniej ciekawym jest wykaz cechów wraz z liczbą majstrów, czeladzi i uczniów, istniejących w Krakowie w roku 1804, przyczem nasz autor oddzielnie liczy chrześcian i żydów.

Liczba porządkowa	Nazwa korporacyi i cechów	Liczba		
		majstrów	czeladzi	uczniów
1	Rymarze	12	8	8
2	Szewcy	192	120	77
3	Złotnicy	12	8	14
4	Kordybaniści	12	4	6
5	Fryzyerzy	18	5	9
6	Farbiarze i tkacze . . .	23	3	—
7	Rusznikarze	18	1	14
8	Zegarmistrze	8	9	4
9	Kuśnierze	20	7	1
10	Mularze i kamieniarze . .	19	57	30
11	Krawcy	121	80	117
12	Cieśle	11	55	17
13	Krupiarze	12	2	3
14	Mączarze	39	—	—
15	Introligatorowie	13	10	6
16	Bednarze	14	14	9
17	Kramarze	44	—	—
18	Siodlarze i tapicerzy . .	11	11	8
19	Mydlarze	5	5	4
20	Szklarze	12	5	4
21	Stolarze	46	47	36
22	Rybacy	12	—	—
23	Ślusarze	33	23	34
24	Kapelusznicy	9	6	7
25	Pasztetnicy i cukiernicy . .	21	6	6
26	Piekarze	24	18	10
27	Kupcy	113	30	20
28	Garbarze	18	3	2
29	Mosiężnicy	5	5	5
30	Rzeźnicy	38	16	6
31	Kowale	9	18	19

Liczba porządkowa	Nazwa korporacyi i cechów	Liczba majstrów	Liczba czeladzi	Liczba uczniów
32	Piekarze grubego chleba .	82	—	—
33	Sukiennicy	6	7	—
34	Paciorkarze i koralnicy . .	12	3	7
35	Konwisarze	5	2	4
36	Stelmachy . . .	10	8	7
37	Grzebieniarze	9	—	4
38	Pasamonnicy	21	11	3
39	Białoskórnicy	12	3	2
40	Odlewacze dzwonów . .	12	10	5
41	Rękawicznicy	9	—	3
42	Piernikarze	4	4	1
43	Blacharze	8	5	5
44	Malarze i lakiernicy . .	21	8	14
45	Garncarze	16	5	4
46	Powroźnicy	7	5	7
47	Aptekarze	9	10	11
48	Chirurgowie, utrzymujący oficyny	19	15	7
49	Balwierze	19	—	—
50	Gorzelnicy . . .	5	—	—
51	Miodowarnicy	10	—	—
52	Winiarze	6	—	—
53	Kominiarze	5	3	12
54	Tapicerzy	3	—	—
55	Tokarze	5	2	2
56	Fabrykanci instrumentów .	6	9	5
57	Szczotkarze	1	1	—
58	Szlifierze	5	—	—
59	Tandeciarze	16	—	—
60	Muzykanci	22	—	—
61	Słoniniarze	3	—	—
62	Handlarze sadła . . .	6	—	—
63	Handlarze oleju . . .	15	—	—
64	Handlarze drzewa . . .	21	—	—
65	Handlarze śledzi . . .	18	—	—
66	Waciarze	2	1	—
67	Tracze	4	—	—
	Ogółem . .	1.378	688	590

Osobny wykaz kupców i rękodzielników sporządził Bredetzky dla dzielnicy żydowskiej.

Liczba porządkowa	Nazwa korporacyi i cechów	Liczba		
		majstrów	czeladzi	uczniów
1	Kupcy	84	13	12
2	Winiarze	6	—	—
3	Miodosytnicy	2	—	—
4	Mydlarze	2	—	—
5	Handlarze drzewa . . .	2	—	—
6	Kowale	52	2	16
7	Stolarze	1	—	—
8	Szklarze	3	—	—
9	Rzeźnicy	10	—	—
10	Tasiemkarze i szmuklerze .	22	3	2
11	Balwierze	4	—	—
12	Tapicerzy	3	—	—
13	Rytownicy	2	—	—
14	Rękawicznicy	5	—	—
15	Tokarze	1	—	—
16	Introligatorowie . . .	5	—	—
17	Czapkarze	12	2	2
18	Haftkarze	6	—	—
19	Mączarze	2	—	—
20	Kramarze	30	—	—
21	Fabrykanci cykoryi . .	4	—	—
22	Muzykanci	7	—	—
23	Tandeciarze	17	—	—
24	Drobni Przekupnie . . .	9	—	—
25	Złotnicy	7	1	1
26	Szewcy	2	—	—
27	Piekarze	13	—	6
28	Kuśnierze	11	9	6
	Ogółem w dzielnicy żydowskiej	324	31	45
	„ w Krakowie . . .	1.378	688	590
	Razem . .	1.702	719	635

W porównaniu z stanem ludności i przemysłowym ruchem miasta za czasów rządów polskich zaznacza Bredetzky zmianę na lepsze w rozwoju Krakowa, który według Coxe'a liczyć miał 16.000 ludności. Natomiast autor wydanego w Salcburgu w roku 1793 dzieła: *Nachrichten über Pohlen*, (Kausch), powątpiewał co do prawdziwości tej cyfry, zaś Zöllner obliczał ludność Krakowa na sześć do siedmiu tysięcy głów...

Osobny rozdział poświęca nasz autor opisowi biblioteki Jagiellońskiej. Skreśliwszy pokrótce zewnętrzną, średniowieczną postać Kollegium Małego, stwierdza Bredetzky, iż większa część książek bibliotecznych pochodziła z szesnastego i z siedmnastego wieku, to jest z czasów najżywszego rozkwitu wszechnicy krakowskiej. Katalog książek drukowanych znajdował się w stanie tak opłakanym, iż z trudnością można się było z jego pomocą oryentować. Nie widział również Bredetzky rzadkich inkunabułów, które miały znajdować się w księgozbiorze. Natomiast wyraża żywe ubolewanie z powodu, iż kosztowne sztychy zastał porzucone na stole, dostępnym dla niepowołanych rąk. Szerzej rozwodzi się nasz autor nad zbiorem rękopisów, obejmującym do pięciu tysięcy sztuk. Obok materyałów do dziejów soboru trydenckiego, wymienia celniejsze rękopisy, dotyczące historyi Czech i Węgier, wspomina o Długoszu i ostrej poddaje krytyce bezładny katalog manuskryptów, sporządzony w r. 1772 przez Putanowicza i Mrugaczewskiego, profesorów wydziału teologicznego. Mimo całej bezstronności, charakteryzującej jego opowieść, nie może się Bredetzky powstrzymać od złośliwej uwagi o sumach, poświęconych przez uniwersytet krakowski na proces kanonizacyi Jana Kantego. Z autora przemawia tu pastor reformowanego wyznania, którego purytanizm przebija się również w jednym z następnych ustępów, w którym nam prawi o młodzieży polskiej. Opis biblioteki Jagiellońskiej zamyka u niego wzmianka o czterech czy pięciu działach tego księgozbioru, nieuporządkowanych, niespisanych, oddanych na pastwę szczurów i nieczystości...

Wprost od biblioteki przechodzi Bredetzky do opisu przechadzek publicznych w Krakowie. Jest ich bardzo niewiele, zaś najbliżej miasta leżą ogrody Krzyżanowskiego i Wodzickich. Ten ostatni zwano też ogrodem Fränzlowskim. Ogród Krzyżanowskiego był na wiosnę i w lecie miejscem zbornem dla śmietanki towarzyskiej Krakowa, której wyłączność wobec innych warstw społecznych wpadła od razu w oko autorowi, przywykłemu w Wiedniu do oglądania w publicznych ogrodach bardziej mięszanego towarzystwa. Niższe warstwy odstręczała też niezawodnie od bywania w ogrodzie Krzy-

żanowskiego okoliczność, iż prócz kawy, pączu, limoniady i lodów — (Napis: Lody widniał nad bramą wchodową) — nie można tam było dostać wina, piwa lub wódki. O charakterze zebrania w ogrodzie świadczył już zdaleka widok powozów i karet, czekających u wejścia do ogrodu, gdzie też równocześnie tłoczyła się zgraja najwstrętniejszego żebractwa. Żebracy w Polsce — mówi autor — dokładają wszelkich starań, by wyglądać jak najbardziej odrażająco. Nie wystarcza im najokropniej wykręcona noga. I szczudło, na którem się opierają, musi być najdziwaczniej wygięte.

Tem większe przeciwieństwo sprawia na wchodzącym obraz wytwornego towarzystwa, znajdującego się w ogrodzie, liczącym zaledwo 250 kroków długości i 96 szerokości. Piękne łączy się tu z pożytecznem. Obok różanych krzewów widać kapustę, szparagi i sałatę. W jednym z zakątków ogrodu urządzono szkółkę drzewek, cieplarnię, tudzież oranżeryę, zbudowaną na niewielkiem wzniesieniu. Z drugiego znów pagórka roztacza się dla używających przechadzki prześliczny widok na okolicę, a miniaturowe rozmiary wszystkich tych urządzeń przypominają mimowoli słowa satyryka: Uprasza się nie rozdeptywać tej góry... Tuż obok bramy ogrodowej istniała sala z przyległymi, gustownie urządzonymi pokojami, służąca dla zamkniętych towarzystw do zebrań i tańców. Tam też mieściły się: bilar, kuchnie i mieszkanie właściciela, obok którego pod namiotem sprzedawano lody, oraz inne chłodniki. Najbardziej ożywionym był ten ogród podczas świętojańskich kontraktów, ściągających do miasta liczny zastęp ziemiaństwa dla interesów i zabaw.

Te zebrania dały powód Bredetzky'emu do ogólnych uwag o polskiej młodzieży. Chwali więc urodę, smak w ubiorze i dar podobania się u Polek, zachwycając się ich wdziękiem w tańcu. Młodzież płci obojga łączy lekkość Francuza z powagą Anglika i z ową ludzkością, jednającą serca wszystkich. Wszystkie te zalety znikają wszakże pod wpływem biesiadniczej ochoty — zdaniem autora. Mężczyźni podochoceni powracają do domów, kobiety krzykliwością nie ustępują mężczyznom. „Znam wśród szlachty polskiej“ — powiada nasz pisarz — „wielu mężów szlachetnych, entuzyazmujących się dla wiedzy, humanitarnych w pożyciu, ale wśród młodzieży panują demoralizacya straszliwa, zdziczenie, graniczące z barbarzyństwem.“ Co zaś szczególniej oburzało poważnego pastora, to niczem niepohamowana swoboda słowa, jakiej nadużywała młodzież, opowiadając sobie bez żadnych ogródek wielce drastyczne epizody z swych przygód w publicznych restauracyach. „Gdyby wielki Sobieski mógł rzucić okiem na skarlałych swych potomków“ — woła

Bredetzky — „to wówczas smutna dola tego narodu nie przedstawiałaby dla niego zagadki!“ ...

Trzeci rozdział książki poświęca autor, nie krępujący się widocznie jakimkolwiek systemem w układzie swego dzieła, opisowi szlifierni, będącej własnością niejakiego Eisenbacha a istniejącej o pół mili od Podgórza. Szlifiernia, pędzona wodą z potoku, wpadającego do Wisły, posiadała jedyny w całej okolicy młot żelazny i produkowała klingi do pałaszy, pochwy, ostrogi i sprzączki, potrzebne dla wojska, i zatrudniała sto siedm osób, licząc w to pracujące w zakładzie kobiety i dzieci. Sam młyn kosztował właściciela do 27.000 złr., lecz fabryka ta, przetwarzająca na miejscu krajowy surowiec i dostarczająca zupełnego uzbrojenia dla kawalerzysty, nie doznawała należytego poparcia, skutkiem czego nie mogła się odpowiednio rozwinąć. Z szlifiernią połączoną była kuźnia gwoździarska, w której pracowała cała rodzina, złożona z ojca, matki i synów. Dwa psy, zaprzęgane na przemiany do kołowrotu, poruszały miechy.

Z czwartego rozdziału, zawierającego statystyczne miscelanea o Galicyi, zestawione na podstawie konskrypcyi wojskowej z roku 1807, wyjmujemy daty, dotyczące Lwowa, który w tym czasie liczył 43.614 mieszkańców, (w tej liczbie: 26.031 żydów). W roku 1808 ludność Lwowa wzrosła do 44.655 głów, (26.766 żydów). Dla badacza krajowego przemysłu wielce interesującym będzie również zawarta w tym rozdziale wiadomość o fabryce perkalików, bielizny stołowej i nankinów hrabiego Friesa i spółki, założonej w Nawsiu, w roku 1786 przez Edera. Fabryka ta zrazu wyrabiała perkaliki i wyroby bawełniane i dopiero od roku 1803 rozwinęła swą działalność na szeroką skalę, pozyskawszy kierownika w osobie Achillesa Jeannota, dawniej dyrektora podobnego zakładu w Offenbach. Dzięki jego energii i doświadczeniu fabryka podniosła się do tego stopnia, iż w roku 1806 zatrudniała w Nawsiu i w swej filii, w Dębowicy, 429 robotników, wyrabiając rocznie: 5.000 tuzinów chustek bawełnianych, 500 sztuk bielizny stołowej i 15.000 sztuczek nankinu. Wyroby swe wysełała fabryka głównie do Wiednia a w części też za granicę. Bawełnę sprowadzano z Anglii i z Wiednia.

Króciuchna notatka o częściach składowych góry piaskowej we Lwowie, zabłąkana niewiadomo w jaki sposób w tym dziale, przegradza nas od zawartej w piątym rozdziale opowieści o wycieczce autora do Krzeszowic.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Od dr. Klemensa Bąkowskiego, adwokata w Krzeszowicach, otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Z powodu artykułu Alkara: „Klejnoty koronne polskie", zamieszczonego w *Przewodniku nauk. i liter.* za styczeń b. r., pozwalam sobie przesłać Szanownej Redakcyi kilka szczegółów do kwestyi zniknięcia insygniów koronnych.

Ksawery Kratzer, kantor katedralny, w pamiętniku, wydanym przez Lucyana Siemieńskiego w *Bibliotece Warszawskiej*, podaje opis najścia na Wawel Prusaków 1794 r. między innemi, że po wybiciu spodniego węgaru od skarbca wszedł tym otworem do wnętrza ślusarz i rygle otworzył, poczem komisarz króla pruskiego, Hoym, zabrał ze skarbca zamknięte puzdro i wywiózł. W związku z tym faktem jest wiadomość w protokołach magistratu krakowskiego (cytowana już przezemnie w broszurze: „Kraków w czasie powstania Kościuszki"), że komendant austryacki, który dnia 5. stycznia 1796 r. zajął Kraków po opuszczeniu go przez Prusaków, wezwał miasto do wysłania delegatów na Zamek celem zobaczenia koron królewskich, ale „delegowani powróciwszy z Zamku, uczynili relacyę, iż pierwsze drzwi zastali zapieczętowane i kłódką zamknięte, nietykane, drugie drzwi otwarte, a w skrzyni żelaznej, w której kufer był z koronami, haki poupiłowane i korony nie znajdują się." Zdawałoby się więc, że rzeczywiście Prusacy obok innych kosztowności zabrali także insygnia koronne.

Atoli obok legendy o ukryciu koron przed Prusakami, obok kategorycznego twierdzenia ks. Wacława w broszurce: „Kraków w r. 1794", że „Ojciec Kajetan, gwardyan Kapucynów, dnia 25. maja 1794 r. wywiózł Krakowa dla ukrycia insygnia koronne" — pewną wskazówką

może być następujący fakt: przed paru laty zmarły cesarz niemiecki, Fryderyk III., zwiedzając w Krakowie Muzeum XX. Czartoryskich, zażądał pokazania sobie koron polskich. Gdy zdziwiony kustosz odpowiedział, że korony są w Berlinie, odparł Fryderyk III.: „Chyba chciałeś pan powiedzieć w Poczdamie . . . ale my tam już dawno wiemy, że to nie są korony polskie . . . myślałem, że tu są.“ Z tych słów cesarza możnaby wnioskować, że jakieś korony są w Poczdamie — być może, że Prusacy w skarbcu nie zastali żadnych koron i zabrali jakie z trumien królewskich, może znaleźli tylko niekoronacyjne lub korony królowych . . .

Zważywszy, że w czasie powstania Kościuszki był w Krakowie obecny kustosz skarbca, X. Sierakowski, że przy zabieraniu sreber kościelnych na cele powstania, musiano przypomnieć sobie i skarbiec koronny, przypuścić można, że skarbca nie zostawiono losowi, lecz coś względem niego postanowiono — a wobec tego legenda o ukryciu koron znajduje pewne poparcie.

Ponieważ kustosz skarbca nie mógł mieć wszystkich kluczy, przeto użycie gwałtu przy otwarciu drzwi i upiłowanie haków przy skrzyni, niekoniecznie Prusakom przypisać należy — mogli oni zastać już wypróżniony skarbiec, i można mieć nadzieję, że korony polskie znajdą się jeszcze. Dr. Klemens Bąkowski.

Dr. Max Gumplowicz: *Bischof Balduin Gallus von Kruszwica, Polens erster lateinischer Kronist.* — Wien 1895.

Jestto praca poświęcona studyom nad kwestyą, kto był autorem najdawniejszej kroniki dziejów polskich, znanej pod nazwą „Kroniki Galla“. O tej kwestyi pisano już wiele i często z nakładem niemałej erudycyi uzasadniano przypuszczenie, raz, że najpierwszy i najważniejszy przed Długoszem kronikarz polski był Francuzem, to znowu że był Niemcem, Włochem, mnichem klasztoru bernardyńskiego w St. Gilles (w Prowancyi) i t. d.

Dr. Gumplowicz dochodzi do zupełnie innego rezultatu. Rozumowanie swoje opiera on na tem przypuszczeniu, że wspominaną przez Galla w jego kronice *nostra terra*, *nostra patria* była ta część Polski, w której Gall osiadł i w której kronikę swą napisał, przyczem dochodzi z rozmaitych wzmianek Galla do wniosku, iż Gall przebywał często w Kruszwicy. Zlokalizowawszy w ten sposób kwestyę, na podstawie dalszych szczegółów, zaczerpniętych z kroniki oraz z kombinacyi rozmaitych wydarzeń dziejowych, dochodzi do konkluzyi, że Gallus był kapelanem Bolesława III., że był pochodzenia flandryjskiego, że z czasem

został opatem klasztoru Benedyktynów a wreszcie po Pawle z Kruszwicy, biskupem kruszwickim. Jednem słowem, kronikarzem Gallem jest późniejszy biskup Baldwin z Kruszwicy. — Studyum napisane jest gruntownie, dowód przeprowadzony skrupulatnie i ostrożnie.

Ernest Renan: *Ma soeur Henriette.* — Paryż 1895.

Dopiero po śmierci głośnego pisarza, stosownie do jego woli i do zlecenia pozostawionego wdowie, wyszła książka, którą pierwotnie (za życia swego) w ograniczonej tylko liczbie stu egzemplarzy pozwolił wydrukować. Są to wspomnienia Ernesta Renana o jego siostrze Henryce. W pismach jego często się o niej czyta, dzieło o *Życiu Chrystusa*, które powstało, gdy Renan odbywał z siostrą podróże na Wschód, jest jej poświęcone, a w swych *Wspomnieniach z dzieciństwa i młodości* nazywa ją „tą, która największy wywarła wpływ na jego życie.“ W pamiętniku wreszcie, który jej w r. 1882 poświęcił, nazywa Ernest Renan dwieście franków, nadesłanych mu z Polski przez siostrę, w chwili, gdy opuszczał seminaryum duchowne i rozpoczynał zawód świeckiego uczonego, „kamieniem węgielnym swej egzystencyi“. „Nie użyłem ich wprawdzie — pisze — ale dały mi one spokój ducha, którego potrzebowałem do niezakłóconej pracy umysłowej i uwolniły mię od konieczności spełniania usług, których ciężar mię przygniatał.“

Ten pamiętnik, to właśnie wydana niedawno przez wdowę po Renanie książka: *Ma soeur Henriette.* Zarówno postać siostry Renana, jak i ten pamiętnik o niej, zasługują z wielu względów na uwagę: prócz roli, jaką odegrała w życiu znakomitego pisarza, była Henryka Renan kobietą, pełną niezwykłych zdolności, rozległej wiedzy, gotową do wielkich ofiar i poświęceń, niezwykle czynną i zręczną. Dla nas postać ta tem więcej zajmująca, że część swego życia spędziła Henryka Renan w Polsce.

Ojciec Henryki i Ernesta, kapitan okrętu, trudniący się przedsiębiorstwem żeglugi na własną rękę, zaangażował się w interesa, które przechodziły jego siłę materyalną i nie odpowiadały jego uzdolnieniu. To też gdy w pewnej podróży morskiej, w sposób nie dość wyjaśniony zginął, osierocona rodzina, składająca się z wdowy, córki i dwóch synów, otrzymała w spadku po nim prawie tylko długi. Po uciążliwych poszukiwaniach powiodło się wreszcie odnaleźć zwłoki nieszczęśliwego, które morze wyrzuciło na brzeg. W tej stanowczej i ciężkiej chwili Henryka powzięła postanowienie pomagać matce w spłaceniu długów i w wychowaniu swego młodszego brata Ernesta. Rozległe wiadomości, jakie posiadała, wskazały jej odpowiednią drogę: otworzyła szkołę dla

dziewcząt. Niestety, tylko przez kilka lat mogła szkołę utrzymywać, po r. 1830 bowiem zwyczaj arystokratycznych rodzin francuskich, aby dziewczęta oddawać na wychowanie do klasztoru, przyjął się także w kołach w t. zw. burżoazyi i szkoła panny Renan nagle stała się prawie pustą. Pełna wielkiego powabu i niepospolitej inteligencyi w tych ciężkich chwilach swego życia znalazła mężczyznę, który powziął dla niej głębokie uczucie i starał się o jej rękę. Ofiarował jej świetne stanowisko majątkowe i towarzyskie i zyskał jej wzajemność: ponieważ jednak w sposób delikatny dał jej do zrozumienia, że dosyć już dotychczas uczyniła dla swej rodziny i że on pragnąłby, aby na przyszłość oddzieliła swe losy od ich losów. Henryka odrzuciła jego zabiegi... W 24. roku życia porzuca rodzinną Bretanię i obejmuje stanowisko nauczycielki w pewnym zakładzie naukowym w Paryżu; szesnastogodzinna jednak praca dziennie a skromne rezultaty tej pracy i skromne warunki materyalne, które sprawiły, że zaległości, wzięte w spadku po ojcu, bardzo zwolna tylko się zmniejszały; skłoniły ją do przyjęcia innej posady. Henryka udaje się przez Niemcy, przez Wiedeń, za Karpaty — do Polski, by tam w domu hr. Andrzeja Zamoyskiego objąć kierunek wychowania późniejszej księżny Lubomirskiej. W Klemensowie nad Bugiem upływa jej w ciszy dziesięć lat życia, w domu i w otoczeniu, dla którego ma tylko wyrazy sympatyi i uznania. Z klimatem jednak nie mogła się pogodzić; w skutek też uporczywego cierpienia gardła, spowodowanego zaziębieniem, musiała powrócić do klimatu cieplejszego. Wraca więc do Francyi. W Berlinie (w r. 1850) oczekuje ją Ernest Znalazł, że znacznie postarzała: straciła to, co było jej wielką ozdobą, a co Francuz *le charme* zowie; na zawsze jednak została w całej jej postaci, w wyrazie jej twarzy, w jej usposobieniu wielka, niezmierna dobroć. Dzięki jej pracy dom rodzinny został już tymczasem uwolniony od długów, starszy z braci wstąpił już na wytkniętą sobie drogę, młodszy zaś był już także „czemś".

Ernest — młodszy od siostry o lat dwanaście — i Henryka zakładają teraz w Paryżu wspólny dom, prawdziwe „gniazdo uczonych". „Wynajęliśmy — pisze Renan — małe mieszkanko z ogródkiem w pobliżu Val-de-Grâce. Henryka nie miała i nie szukała żadnych znajomości. Jej cześć dla mojej pracy była nadzwyczajną. Codziennie przez długie godziny wieczorne siadywała w domu, bojąc się prawie oddychać, by mnie nie przeszkodzić. Drzwi jednak między jej pokojem a moim były zawsze otwarte: chciała mnie ciągle widzieć. Dzięki nadzwyczajnej oszczędności, stworzyła mi przy bardzo skromnych środkach dom, w którym jednak nigdy niczego nie brakowało, a który posiadał nawet pewien zewnętrzny, pełen powagi powab. Myśli nasze spotykały się ze

sobą nawzajem w tym stopniu, że prawie nie potrzebowaliśmy ich sobie powtarzać. ... Pojmowała najsubtelniejsze strony teoryj, które podówczas dojrzewały we mnie. W wielu kwestyach nowożytnej historyi, którą źródłowo studyowała, wyprzedzała mnie... Była mym nieporównanym sekretarzem. Przepisywała wszystkie me prace i przejmowała się niemi do tego stopnia, że mogłem się spuścić na nią, jako na żywy pamiętnik mych myśli. Pod względem stylu jestem jej wiele winien. Czytała wszystkie korekty mych dzieł i z niewypowiedzianą subtelnością spostrzegała w pismach mych rozmaite niedokładności, przezemnie przeoczone. Pisała wybornie, zupełnie według wzoru dawnych autorów. Styl jej był tak czysty i nienaganny, że nie wiem, czy od czasów Port Royal osiągnął kto taki wysoki stopień idealnie dobrego wyrażania swych myśli. Czasem czyniło ją to zbyt surową. ... Przekonała mię, że można wszystko powiedzieć w prostej i poprawnej prozie i że nowe wyrażenia, jaskrawe okresy polegają albo na źle pojętem gonieniu za efektami, albo na lekceważeniu, czy nieznajomości bogactwa językowego. To też od czasu, gdy po jej powrocie z Polski razem zamieszkaliśmy, w mym sposobie pisania nastąpiła wielka zmiana. Przyzwyczaiłem się przy pisaniu mieć z góry na myśli jej uwagi, a niekiedy z rozmysłu próbowałem użyć jakiegoś frazesu, aby się przekonać, jakie wrażenie on na nią sprawi, z góry zrezygnowany ustęp ten poświęcić, skoro tylko ona tego zażąda. To też od czasu, gdy jej nie stało, mam przy pracy pisarskiej uczucie kaleki, który zawsze tak się zachowuje, jak gdyby miał jeszcze brakujący mu organ."

Henryka nie rozłączyła się z Renanem, nawet, gdy ożenił się z Kornelią Scheffer, córką Ary Scheffera. Towarzyszyła mu także w podróży po Ziemi świętej, w tej podróży, podczas której jej brat począł pisać największe swe dzieło. W syryjskiej wsi Amszil, gdy Ernest Renan sam walczył z uporczywą gorączką, śmierć ją dosięgła. Renan był nieprzytomny i zgoła nie widział, że tuż obok niego kona wierny jego druh i sekretarz, gaśnie dobroczynna gwiazda jego życia.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

II.

Cenzura rzymska.

(Ciąg dalszy).

Niektóre czyny zdrożne weszły formalnie w ramy prawa karnego dopiero po upadku cenzury za czasów cesarstwa a niemożna przecież przypuścić, żeby czyny te uchodzić miały przedtem za niekarygodne a tem mniej, żeby społeczeństwo rzymskie dopiero ocknąć się miało pod tym względem właśnie w okresie skażenia obyczajów i rozpoczynającego się już moralnego upadku, więc w okresie mniejszej wrażliwości na przestępstwa.

Możnaby przytoczyć cały szereg przykładów tego rodzaju. Dopiero za cesarzy rzymskich wydane zostały rozporządzenia przeciw znęcaniu się nad niewolnikami, których los w czasach cenzury i jej moralno-karnej opieki był tak znośny, iż, jak już wspomnieliśmy, najlepsi znawcy prawa i dziejów republiki rzymskiej nie wahają się porównywać go z dolą dzisiejszej klasy sług domowych z uwagami, wcale niemiłemi dla naszej dzisiejszej ambicyi cywilizacyjnej [1]).

Na pożycie domowe cenzura zwracała szczególnie baczną uwagę a że jej czujny i surowy nadzór nad czystością obyczajów w tej sferze życia i stosunków dobrze uzupełniał prawo, o tem świadczy fakt, iż przepisy karne, skierowane przeciw zgubnej dla państwa i moralności publicznej swawoli w traktowaniu instytucyi małżeń-

---

[1]) R. v. Ihering: *Geist des römischen Rechts* (j. w.) t. II. str. 178 i n.

stwa, pochodzą dopiero z czasów, gdy cenzura istniała już tylko nominalnie czy tytularnie. Prawo karne wtedy dopiero niejako ocknęło się i spostrzegło wielką lukę moralną, którą w jakikolwiek sposób trzeba było wypełnić. Tak samo dopiero po upadku cenzury prawo ocknęło się co do potrzeby poskromienia zgubnego dla społeczeństwa wzrostu zbytków różnego rodzaju.

Uzupełniający charakter działalności cenzorskiej wobec prawa karnego uwydatnia się nadto w postępowaniu karnem w formie ważnej i niezbędnej korektury. Wobec ścisłej łączności rzymskiego prawa karnego z prywatnem panowała zasada, że gdzie niema oskarzyciela, tam niema także i sędziego. W braku publicznego oskarzyciela, instytucyi prokuratorskiej w dzisiejszem znaczeniu, ściganie przestępstwa zależnem było od wniesienia skargi przez poszkodowanego, lub kogokolwiek z łona społeczeństwa. W dzisiejszym ustroju stosunków prawno-społecznych taki stan proceduralny, jaki wówczas istniał, uważany jest przez prawników za tak niemożliwy, że gdyby chciano go żywcem wskrzesić, tylko na krótką próbę, nie przetrwałby jej porządek społeczny i prawny. Czy pogląd ten jest słuszny pod względem zasadniczym, to inna kwestya, której w powyższy apodyktyczny sposób co najmniej bez zastrzeżenia już z tego powodu rozstrzygać niemożna, że podobne co do przewodniej myśli urządzenie łączy się w Anglii ściśle z tradycyami rozwoju prawnego i dopiero w ostatnich czasach zostało w znaczeniu swojem zachwiane, ale jeszcze niezupełnie podkopane, przez zwolenników kontynentalnego systemu prokuratorskiego. Niepodobna jednak oprzeć się zdumieniu, że stan, dziś bądź co bądź przez większość świata prawniczego za niemożliwy uważany, mógł nietylko istnieć przed wiekami, lecz nawet uchodzić za normalny w społeczeństwie, reprezentującem szczyt starożytnej cywilizacyi na całym obszarze prawa, w państwie, które nietylko wewnątrz rozwijało się tak świetnie, lecz nadto podbijało świat dokoła i długo umiało go trzymać w karbach swojego panowania. Jestto szczegół wielce charakterystyczny w historyi prawa karnego, w historyi prawa w ogóle. Na wytłumaczenie tego zjawiska składa się wiele przyczyn głębszego znaczenia pod względem politycznym i społecznym. Że jednak w rzędzie szczegółów, objaśniających to zjawisko tak, iż ono wcale nie wydaje się nam dziś nieprawdopodobnem, instytucya cenzorska ze swoim wielkim zakresem działania ważną odgrywała rolę, to nie ulega wątpliwości, to nie hypoteza, lecz fakt dla historyka i prawnika niewątpliwy. Cenzor bowiem nie potrzebował czekać aż na formalne oskarzenia, żeby karcić zdrożność, która w jakikolwiek sposób doszła do jego wiado-

mości. Był on bez szkody dla interesów prawa, pojmowanych w ścisłej łączności z interesami moralnemi, nawet z korzyścią dla tych interesów, i prokuratorem i sędzią w jednej osobie. Że za tem połączeniem dwóch funkcyi przemawia nietylko domysł, oparty na całym charakterze działalności cenzorskiej, mianowicie na czuwaniu cenzury nad tem, aby niegodni zaraz byli wykluczani z senatu, ze stanu rycerskiego i t. d., lecz wprost wyraźne świadectwo źródłowe, to wykazał Jarcke w swojej monografii i tego nie obaliły późniejsze badania.

W tej missyi, uzupełniającej prawo karne w ogóle a postępowanie w sprawach karnych w szczególności, ostrze kary cenzorskiej dosięgało nawet samych sędziów, jeżeli zaciężył na nich zarzut przedajności a nie znalazł się oskarzyciel, aby spowodować zwyczajną akcyę kryminalną. Dopiero w późniejszym okresie rozwojowym rzymskiego prawa karnego, dopiero za czasów cesarzy, spotykamy się z inkwizycyjno-kryminalną inicyatywą sędziowską, niezależną od wystąpienia oskarzyciela.

Ze stanowiska dzisiejszych stosunków i zapatrywań prawnych krytyka, nieoparta na historyczno-filozoficznem ocenieniu rzeczy, mogłaby powiedzieć, że połączenie funkcyi prokuratorskiej z sędziowską w magistraturze, posiadającej wybitny charakter administracyjny a sędziowski więcej tylko w nieokreślonej ściśle pozytywnem prawem sferze moralności, było nawet dla społeczeństwa rzymskiego stanem tak anormalnym i złym, iż wobec niego każda zmiana tylko za postęp uchodzić może. A jednak historya Rzymu wykazuje, że tak nie jest, że przeciwnie owa kumulacya funkcyi na dobre wychodziła społeczeństwu rzymskiemu, że ustała ona nie wyłącznie jako rezultat doskonalenia się prawa i społeczeństwa, lecz razem z upadkiem cenzury, więc dopiero w czasie skażenia obyczajów, w początkach owej wielkiej deprawacyi moralnej, która światowe imperium rzymskie wiodła w szalonym pędzie ku przepaści. Tego zjawiska nie zdoła wytłumaczyć prawnik, który niemoże lub niechce wydobyć się z więzów dzisiejszego pozytywizmu, nie uznającego łączności prawa z etyką a nawet uważającego łączność tę za zawadę w rozwoju prawa. Trzeba zająć stanowisko historyczno-filozoficzne, aby uznać w cenzurze rzymskiej jedyną w swoim rodzaju, pomnikową magistraturę społeczno-moralną, która w dawnej swojej formie i sile moralnej wśród zmienionych stosunków późniejszych nigdy już skopiować się nie dała, która jednak, jako jeden z najpotężniejszych filarów wielkości społeczeństwa rzymskiego z czasów republiki, stanowi taki podniosły przykład historyczny, że w badaniu i szukaniu środków

zgodnego współdziałania przepisów prawnych i norm moralnych dla dobra społecznego prawnik na widok tego przykładu nigdy z podziwu wyjść niemoże.

Kogo sama dodatnia działalność cenzury, pomijana w dzisiejszych wykładach prawa rzymskiego, jako nieobjęta kodyfikacyą Justyniańską faza historyczna w rozwoju tego prawa, nie przejmie takim entuzyazmem, dla tego niezrozumiałym pozostać musi fakt, że późniejszy wrzekomy rozwój rzymskiego prawa karnego pod względem formalnym i materyalnym nie zdołał podnieść poziomu moralnego w społeczeństwie i raczej uchodzić może za jedno ze znamion niepowstrzymanego upadku moralnego. Zorganizowana została publiczna inicyatywa w ściganiu przestępstw, wypełniono luki w przepisach karnych nietylko specyalnemi postanowieniami *(crimina extraordinaria)*, lecz nadto tak elastycznemi ogólnemi normami, że w ich ramach pomieścić się musiała wszelka zdrożność w ogóle (n. p. *stellionatus* [1])) — a jednak cały ten rozwój prawa nie zastąpił akcyi cenzorskiej, nie powstrzymał szerzenia się deprawacyi moralnej w coraz szerszych kołach społeczeństwa.

Instytucya cenzorska spełniała swoje funkcye nietylko w kierunku repressyjnym, lecz także w sposób dodatni, pochwałą, która uchodziła za hołd publiczny, cnocie obywatelskiej oddany, za premię dla tej cnoty. Tylko z tego stanowiska trafny pogląd na działalność cenzury rzymskiej umożliwia ocenienie całej doniosłości jednej z najgłębszych norm pandektowych, mianowicie normy, według której prawo działać powinno nietylko przymusem i środkami repressyjnemi przeciw wszelkim zamachom na nie wymierzonym, lecz także w kierunku dodatnim, w sposób nagradzający i zachęcający [2]) do takiego postępowania, jakie streszcza się w owem znanem pierwszem *praeceptum iuris* według Ulpiana, w słowach: *honeste vivere!* Właśnie tę normę wynosi Ihering dziś jeszcze, i to w swoim utylitarnym systemie prawno-filozoficznym [3]), jako pożądany postęp w przyszłym rozwoju prawa, „co będzie tylko powrotem na tory starożytne". Po upadku cenzury już w samem społeczeństwie rzymskiem i owa

---

[1]) Ubicumque titulus criminis deficit, illic stellionatus obiciemus. (l. 3. §. 1. D. 47. 20. Stellionatus — Ulpianus).

[2]) . . . iustitiam namque colimus et boni et aequi notitiam profitemur, aequum ab iniquo separantes, licitum ab illicito discernentes, bonos non solum metu poenarum, verum etiam praemiorum quoque exhortatione efficere cupientes (l. 1. §. 1. D. I. 1. De iustitia et iure — Ulpianus).

[3]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. I. str. 188—9).

norma i owo *praeceptum iuris* Ulpiana miały chyba tylko charakter pięknej reminiscencyi historyczno-prawnej. Luki tej nawet wypełnić nie próbowano pozytywnemi przepisami prawnemi. Imperatorowie rzymscy przybierali tylko tytuł cenzorski a zaprzepaścili wszystkie tradycye z tym tytułem połączone i całą siłę moralną cenzury.

Dla prawnika dzisiejszej daty wielce ciekawą i godną uwagi jest kwestya kar, któremi cenzura, jak dzieje wykazały, nietylko tak skutecznie zapobiegała demoralizacyi w znaczeniu najszerszem, bo całe życie publiczne i prywatne obywatela rzymskiego obejmującem, lecz nadto powagę swoją utrzymała na takiej wysokości, jakiej już nigdy potem żadna magistratura nie dostąpiła. Mamy tutaj oczywiście na myśli powagę moralną a nie terroryzm, brutalnemi środkami wzbudzony i podtrzymywany. W historyi takiego terroryzmu cenzura rzymska żadnej nie odgrywała roli, stanowiłaby chyba świetną antitezę tych nowoczesnych teoryi karnych, które swój punkt ciężkości przenoszą w naturę człowieka-zwierzęcia, w takie poskromienie jego skłonności do przestępstwa, jakgdyby dziedzina prawa karnego przedstawiać miała wydoskonaloną środkami cywilizacyjnemi tresurę ludzkomenażeryjną!

Kto zatem przerażony dążnością tych wszystkich „nowych horyzontów prawno-karnych“, które, przyjąwszy degradacyę człowieka z wyżyny duchowej na poziom zwierzęcy, tylko w środkach brutalnych a nie w moralnych szukają punktu oparcia dla systemu karnego, pragnie pokrzepić się nie samemi abstrakcyami filozoficznemi, lecz przykładami z powagą stwierdzonych faktów historycznych, na tym wprost dobroczynny wpływ wywrzeć musi świadectwo historyi rzymskiego społeczeństwa w ogóle a historyi prawa w szczególności o nadzwyczajnej powadze i skuteczności władzy cenzorskiej. Była to bowiem powaga zdobyta i całe wieki utrzymywana bez pomocy brutalizmu repressyjnego, jedynie za pomocą wpływów i kar a raczej karceń wyłącznie, lub co najmniej w przeważnej liczbie wypadków, moralnego znaczenia. Dwa urywki z mów i pism Cicerona dają najlepszą illustracyę w tej mierze. Podniósł on znaczenie cenzury rzymskiej tak wysoko, że nieraz (jak n. p. w użyciu nazwy *sanctissimus magistratus)* mógłby być posądzony o krasomowczą przesadę, a cały rygor karny tej magistratury zamknął w słowach, które kryminalista dzisiejszych czasów, zwłaszcza pozytywista jakiej nowej szkoły włoskiej, zalecający jaknajszersze stosowanie kary jako exterminacyi czy „eliminacyi społecznej“ do przestępcy, uważałby pewnie także tylko za zwrot krasomowczy. Rumieniec wstydu — to

według słów Cicerona [1]) cały efekt wyroku cenzorskiego, więc hańba, wstyd, to cała treść, całe ostrze tego wyroku.

A jednak takie określenie istoty wyroku cenzorskiego nie jest zwrotem krasamowczym, lecz wierną charakterystyką, tak wierną, że historyczne badania źródłowe dotąd jej nie osłabiły, że Mommsen tak samo, jak jego poprzednicy, na tem określeniu oparł się w swojem źródłowem przedstawieniu historycznej roli cenzury [2]).

Nie przestępstwem w prawnem tego słowa znaczeniu, lecz moralną zdrożnością *(probrum)* [3]) były czyny, podlegające wyrokom cenzorskim *(nota censoria)* [4]) a na ich techniczne określenie służył wyraz hańby *(ignominia)* [5]).

Rumieniec wstydu *(rubor)* przedewszystkiem wyciskać musiała *nota censoria* i jej skutek *ignominia*, gdyż jak społeczno-moralna judykatura cenzury wypływała ze źródła religijnego, tak i orzeczenia jej stały pod osłoną powagi ceremonialno-religijnej. Ofiary lustracyjne składano dla przebłagania bogów i zjednania sobie ich łaski na przyszłość. Owo oczyszczenie społeczeństwa, którego idea cechowała ceremoniał lustracyi cenzorskiej, dokonywało się przedtem w rzeczywistem, nie przenośnem tylko, tego słowa znaczeniu. Kto bowiem popełnił *probrum* i ściągnął na siebie *notam censoriam*, tego wykluczano z klassy obywatelskiej, do której należał, w której miał głos i udział w ofiarach, ze stanu wyższego (senatorskiego i rycerskiego), jeżeli go tam poprzednio zasługi wyniosły. Takie wykluczenie było w ówczesnej dobie rodzajem exkomuniki religijno-obywatelskiej i degradacyi moralnej.

W miarę wzrostu powagi cenzury rzymskiej w zakresie spraw publicznych jako magistratury prowadzącej, mówiąc słowami Iheringa, materyalną i moralną statystykę sił narodowych Rzymu, z hańbą jako główną treścią orzeczenia cenzorskiego łączyły się także

---

[1]) Censoris iudicium nihil fere damnato affert, nisi ruborem.

[2]) T. Mommsen: *Römisches Staatsrecht* (j. w.) t. II. str. 349 i n.

[3]) *Probrum* = czyn haniebny, hańba. (Prof. dr. T. Dydyńskiego: *Słownik łacińsko-polski do źródeł prawa rzymskiego* — str. 541).

[4]) *Nota* = znak, przypisek, uwaga, hańba, zmaza. (Prof. Dydyńskiego: *Słownik* (j. w.) str. 440). — Notę cenzorską należy brać w jednem i drugiem znaczeniu t. j. jako dokonany po uroczystej lustracyi zapisek w rejestrach centuryalnych i jako naganę *(reprehensio, animadversio)*. (Dr. C. E. Jarcke: *Versuch* itd. (j. w.) str. 58).

[5]) *Ignominia* = utrata dobrego imienia, obelga, zniewaga. (Prof. Dydyńskiego: *Słownik* (j. w.) str. 292).

dotkliwe następstwa materyalne [1]), mianowicie w sprawach służby wojskowej (odjęcie prawa służenia w dystyngowanej pod każdym względem konnicy) i w sprawach podatkowych przez zepchnięcie do najniższej klasy obywatelskiej *(aerarii)*, która ponosiła ciężary wyższe, dowolnie nakładane a nie, jak u innych obywateli, z ich własnego szacunku majątkowego wymierzane. Wpływ hańby cenzorskiej objawiał się nietylko na zewnątrz w utracie oznak wyższej godności obywatelskiej (w utracie prawa noszenia insygniów stanowych, zajmowania osobnych miejsc dla senatorów i rycerzy w teatrze rezerwowanych i t. p.), lecz także w innych kierunkach życia politycznego, w umniejszeniu wpływu obywatelskiego na tok spraw publicznych, w utracie prawa głosowania i dostojeństw *(ius suffragii et honorum)*. Kto zatem ściągnął na siebie kondemnatę cenzorską, pozostawał wprawdzie obywatelem rzymskim, ale obywatelem upośledzonym, należał do kategoryi poniżonej w opinii *(civis non optimo iure)*. Na tę degradacyę obywatelską utarła się później stała formuła: zaliczenie do Caerytów *(in Caeritum tabulas referri)* t. j. do grona obywateli miasta Caere (w Etruryi), którzy otrzymali w swoim czasie obywatelstwo rzymskie niejako drugiej klassy, samą *civitas* rzymską bez wotum obywatelskiego *(ius suffragii)*, czyli — żeby użyć z dykcyonarza biórokratycznego tak zrozumiałego dla ogółu wyrażenia — „tytuł i charakter“ obywateli rzymskich.

Wszystkie te dotkliwe następstwa politycznego i materyalnego znaczenia stanowiły akcessorya prawne a istota kondemnaty cenzorskiej polegała zawsze na wykluczeniu ze związków społeczno-obywatelskich *(tribu movere)*, wykluczeniu, mającem charakter wyparcia się niegodnego uczestnika. Dlatego ów rumieniec wstydu *(rubor)*, o którym mówi Cicero jako o głównym skutku kondemnaty cenzorskiej, pozostał na zawsze znamienną cechą kary cenzorskiej, jako potępienia moralnego.

Jak ten rumieniec wstydu piekł dotkliwie, to znowu najlepiej objaśnia jeden ustęp z mowy Cicerona. Dotknięty karą cenzorską *(ignominia)* był jakby zapowietrzony a wszyscy unikali zawiązywania z nim stosunków, wszyscy się odeń odwracali, wszyscy się go lękali, jakoby — dzikiej bestyi lub dżumy [2]). A piekł ten rumieniec

---

[1]) Dr. C. E. Jarcke: *Versuch* i t. d. (j. w.) str. 59—99) i T. Mommsen: *Römisches Staatsrecht* (j. w.) t. $II/_1$ str. 374 i n.

[2]) Cum illo iam nemo rationem, nemo rem ullam contrahebat. Neque illum ex tam multis cognatis et affinibus tutorem unquam liberis suis scripsit. Nemo illum aditu, nemo congressione, nemo sermone, nemo

wstydu z wyroku, już bez apellacyi wydanego, nie do pewnego tylko ściśle określonego czasu, jak w naszych dzisiejszych wyrokach karnych, skazujących na więzienie z utratą pewnych praw obywatelskich, lecz tak długo, dopóki nie znikły moralne powody kondemnaty. Trzeba się było zrehabilitować na seryo, tak jawnie wobec całego społeczeństwa, jak jawnemi były poprzednie zdrożności, napiętnowane hańbą cenzorskiej kondemnaty. Cenzorowie nie oszczędzali nikogo, ani najwięcej wpływowych obywateli, ani najwyższych dostojników, — bo są przykłady napiętnowania jednego cenzora przez drugiego — ale za to i w rehabilitacyi także nie kierowali się względami ubocznemi, lecz badali tylko jej moralną podstawę. Już najbliższa lustracya mogła zmazać hańbę, ciężącą na skondemnowanym, jeżeli rzeczywista poprawa usprawiedliwiała rehabilitacyę. Rumieniec wstydu ustępował a potępiony wracał do związków społecznych, do wspólności ofiar, do prawa dostąpienia godności państwowych i obywatelskich ze wszystkiemi ich akcessoryami honorowemi. Co najlepiej charakteryzuje tę rehabilitacyę po hańbiącym wyroku cenzorskim i co zarazem najlepiej świadczy, jak rumieniec wstydu, wyrokiem tym wywołany, pobudzał lepsze charaktery do poprawy, nawet do współzawodnictwa z najlepszymi obywatelami, to fakt historycznie stwierdzony, że niejeden napiętnowany przez cenzora a potem zrehabilitowany dostępował sam — godności cenzorskiej, więc stawał się przedstawicielem najpodnioślejszej magistratury społeczno-moralnej *(sanctissimus magistratus)* [2]).

III.

Infamia.

Jak niekształtne resztki z wspaniałego niegdyś gmachu, tak z dawnej podniosłej działalności cenzury rzymskiej w zakresie społeczno-moralnej kontroli i judykatury w sprawach czci sterczą w *Corpus iuris civilis* trzy grupy fragmentów [3]), trzy paragrafowe waro-

convivio dignum iudicabat. Omnes aspernabantur, omnes abhorrebant, ut utiquam immanem ac perniciosam bestiam postemque fugiebant.

[1]) ... quorum (t. j. skazanych przez cenzorów) ignominia virtutem acuit. Rubore enim eius excitati omnibus viribus incubuerunt, ut digni civibus viderentur, quibus dari potius, quam obiici censura deberet (Valerius Maximus).

[2]) D. III. 2. De his qui notantur infamia. C. II. 12. De causis, ex quibus infamia alicui inrogatur. C. X. 57. De infamibus.

wnie, które pod względem swojej skuteczności w życiu społecznem stanowią chyba jednę z illustracyi tej właśnie przez prawników rzymskich głęboko pojętej i lapidarnie sformułowanej prawdy o nierozdzielnej łączności prawa z etyką: *Vanae sine moribus leges!* Jakby dla stwierdzenia tej illustracyi rzymskie fragmenty o infamii zostały w nowoczesnej literaturze prawniczej zepchnięte na szary koniec, nawet w tych czasach, kiedy niemieccy prawnicy aż do drobiazgowości posuwali subtelne studya nad wszystkiemi fragmentami pandektowemi.

Już w okresie poprzedzającym wejście w życie nowoczesnych kodexów karnych, kiedy w ówczesnym niemieckim systemie kar i ich następstw prawnych infamia rzymska wzbudzać jeszcze mogła żywszy interes ze stanowiska historyczno-prawnego a poniekąd nawet i praktycznego, jako komentarz do rozwoju pewnych urządzeń prawnych [1]), temat ten uważany był za niewdzięczny i niewydatny. Dziś i w niemieckim świecie prawniczym źródłowe badanie fragmentów o infamii uchodzi już za rodzaj dziwactwa naukowego, za marnowanie trudu naukowego. Ihering n. p. odezwał się z tego powodu w swoich słynnych humoreskach prawniczych z przykrym sarkazmem nawet o Vangerowie [2]) a sarkazm ten przyjęty został za wyraz trafnej opinii.

Jeżeliby chodziło o temat do nudnej i nużącej rozprawy z zakresu fragmentów pandektowych, to rzeczywiście rozdziały o infamii mogłyby sobie rościć prawo pierwszeństwa a już co najmniej prawo do tego, aby stały w pierwszym szeregu obok tych wszystkich, które Ihering w swoich humoreskach wyszydzał. Z drugiej strony jednak, jeżeli kto chce iść za radą Montesquieu'go i historyę objaśniać ustawami a ustawy historyą, to znowuż mało znajdzie równie wdzięcznych tematów, jak właśnie te fragmenty o infamii.

Kto wejdzie na tę właśnie drogę i weźmie infamię tylko za punkt wyjścia w rozleglejszych badaniach historyczno-prawnych, ten już nie potrzebuje obawiać się szyderstw, jakiemi zasypał Ihering tych prawników, którzy fragmenta o infamii brali pod lupę żmudnych obserwacyi naukowych i spierali się ze sobą o wszystkie subtelne

---

[1]) H. Selchow: *Selecta capita doctrinae de infamia* — Goettingae 1770.

Dr. T. Marczoll: *Die bürgerliche Ehre* itd. (j. w.)

[2]) Dr. K. A. v. Vangerow: *Lehrbuch der Pandekten* — Marburg & Leipzig 1863, t. I. str. 84 i n. (Zawiera oprócz skrupulatnego wyliczenia wypadków infamii rzymskiej także szczegółową informacyę o literaturze w tej sprawie).

formalno-dogmatyczne wątpliwości. Właśnie Ihering zachęca niejako do takiego traktowania infamii, gdyż sam mówi o niej, że jeżeli się ją weźmie jako prawny wyraz uczuć moralnych społeczeństwa, za rodzaj kodexu społeczno-moralnego, to przybiera ona charakter instytutu prawnego, jakiego żadne pozytywne ustawodawstwo nie jest w stanie stworzyć [1]). Jeżeli zaś infamię weźmiemy w takiem znaczeniu, to z natury rzeczy musimy wprowadzić ją w związek historyczny z cenzurą rzymską, która tak samo według Iheringa stanowi instytucyę, nie dającą się ani stworzyć, ani utrzymać mehanizmem ustawodawczym, jeżeli jej samo społeczeństwo nie postawiło na straży swoich interesów moralnych.

Ten wspólny szczegół charakterystyczny pandektowej infamii i przedpandektowej cenzury stanowi tak ścisły węzeł między obiema instytucyami prawnemi, że pierwszej ani zrozumieć, ani trafnie ocenić niemożna, jezeli się przedtem nie zbadało istoty i znaczenia drugiej. Kto wejdzie w ducha działalności cenzury rzymskiej i fragmentów o infamii, ten znajdzie doskonałą dyrektywę do objaśnienia i ugrupowania materyału w słowach Iheringa, wypowiedzianych na powyżej przytoczonem miejscu o innych urządzeniach prawnych społeczeństwa rzymskiego z epoki upadku: „Z ludzkiemi urządzeniami rzecz się ma co do ducha, który je stworzył tak samo, jak z ciepłem ziemi wytworzonem promieniami słonecznemi. Jak w jesieni uczuwamy jeszcze ciepło słońca letniego, tak podupadające pokolenie żyje jeszcze siłą przodków, która utrzymała się w ich urządzeniach, zwyczajach i formach. Pamiętać jednak należy także i o odwrotnej stronie sprawy. Jak bowiem teraźniejszości wychodzi na korzyść wola przeszłych pokoleń, wyrażona w ich urządzeniach, tak z drugiej znowu strony teraźniejsze pokolenie musi przezwyciężać trudności, wynikające ztąd dla postępu. Jestto prawo o wyrównywaniu się siły, która działa w przyrodzie tak samo, jak w historyi. Niema ani w przyrodzie, ani w historyi chwili, którаby warunki bytu sama z siebie wydobywała: teraźniejszość działa zawsze łącznie z przeszłością.“

Możnaby zebrać formalną bibliotekę z dzieł, poświęconych ścisłemu, niemal drobiazgowemu rozbiorowi wszystkich fragmentów rzymskich o infamii. Zaznaczamy to tutaj tylko, nie zatrzymując się dłużej przy tych pracach, gdyż chodzi przedewszystkiem o podniesienie dla illustracyi takich jedynie szczegółów charakterystycznych,

---

[1]) R. v. Ihering: *Geist des römischen Rechts* (j. w.) t. I. str. 281 i t. II. str. 288.

z których poznać można, że w wspomnionych fragmentach odzywa się dobitnie odgłos tradycyi społeczno-moralnej judykatury cenzorskiej.

Pierwszy zaraz fragment, przytaczający słowa edyktu pretorskiego z wyliczeniem przestępstw i zdrożności, infamią napiętnowanych, popiera zdanie powyższe już tym — we wszystkich zresztą powyżej zacytowanych tytułach pandektowych uderzającym — brakiem ścisłości systematycznej, która wszędzie w tak niedościgniony sposób cechuje całe prawo rzymskie. Infamia spada według tego edyktu na osoby, wykluczone w sposób hańbiący z szeregów wojskowych, występujące na scenie, utrzymujące domy rozpusty, skazane w własnej sprawie, względnie zapobiegające przez ugodę skazaniu za szykanę pieniacką, zmowne działanie ze stroną przeciwną w sporze, kradzież, porwanie cudzej rzeczy, pokrzywdzenie (obrazę) lub działanie podstępne i w złej wierze.

Jeżeli za powyższem łączeniem infamii z tradycyami społeczno-moralnej judykatury cenzorskiej przemawia już to przytoczenie czynów kryminalnych obok zdrożności i to nietylko takich, które, jak utrzymywanie domów rozpusty, obrażają względy moralności, lecz także i takich, które, jak produkcye sceniczne, stanowią tylko wykroczenia przeciw przyzwoitości i dobrym obyczajom w ówczesnem pojmowaniu rzeczy, to tem więcej wniosek ten wysnuć się daje z dalszych słów edyktu pretorskiego. Wyciskają one bowiem piętno infamii na osobach, skazanych w sprawach spółki i opieki, pełnomocnictwa i depozytu, więc w sprawach, które, jak to już raz zaznaczyliśmy, zostawały pod osłoną władzy i kary cenzorskiej, zanim jeszcze prawo roztoczyło nad niemi opiekę swoją. Infamia spadała dalej na tego, kto kobietę, zostającą pod jego władzą, wydał za mąż przed upływem czasu żałoby, jaką zwyczaj kazał nosić po mężu, kto świadomie wchodził w związek małżeński z taką kobietą, wreszcie kto zostającemu pod swoją władzą pozwalał pojąć za żonę taką kobietę. Następuje potem orzeczenie infamii za jednoczesne zawarcie dwóch ślubów małżeńskich i za dwukrotne zaręczyny. Na tem kończy się już pierwszy główny fragment o infamii, stanowiący wierny cytat z edyktu pretorskiego.

Na obwarowanie grozą infamii żałoby, zwyczajem uświęconej, wypada nacisk położyć, gdyż jestto niezawodnie szczegół wielce charakterystyczny dla rzeczy samej. Nasuwa się pytanie, dlaczego podlegać miało tak dotkliwej w następstwach swoich karze, jak infamia, już samo naruszenie żałoby, więc nie występek, nawet nie zdrożność tej miary, jak zawiedzenie lub podejście dobrej wiary w stosunkach opieki, spółki, pełnomocnictwa lub depozytu? Czy motywu szukać na-

leży tutaj w wyniesieniu pietyzmu na wyżynę obowiązku, czy w tem, co prawnikowi, praktycznie rzecz pojmującemu, domysł najpierw podsuwa i za czem zresztą niejedno w innych ustępach (n. p. fragment 11) przemawia, t. j. w obawie, aby przedwczesne wyjście wdowy za mąż nie wywoływało wątpliwości co do pochodzenia dzieci *(turbatio sanguinis)*? Kto, jak n. p. Savigny, nie zapomina o działalności cenzury rzymskiej jako trybunału społeczno-moralnego, ten chociażby rad przechylić się na stronę praktycznego pojmowania rzeczy, uczuwać musi skrupuły [1]), które tem więcej się nasuwają wobec faktu, że dopiero za czasów cesarstwa, więc w okresie wzrastającego zepsucia obyczajów, osłabły i rygor prawny i opinia co do obowiązku przestrzegania żałoby jako oznaki pietyzmu [2]). Puchta łączy oba powyższe powody, ale zawsze na pierwszem miejscu stawia przyzwoitość, więc względy na pietyzm [3]). Karlowa w historycznej monografii o infamii wynosi pietyzm jako właściwy powód ścisłego, prawem osłoniętego, obowiązku przestrzegania żałoby [4]).

Przytoczyliśmy tylko kilka głosów najpoważniejszych, ale i skłonniejszych przytem do przechylenia się na stronę praktycznych względów w ogóle. Jeżeliż tedy nawet w tych głosach na pietyzm pada większy nacisk, aniżeli na praktyczne motywa wzięcia żałoby pod osłonę prawa, to każdy, kto ma na oku głównie nie interpretacyjne łączenie wątpliwych fragmentów pandektowych w świetle praktycznych celów, ze stanowiska dzisiejszego pojmowania stosunków i interesów, lecz odsłonięcie moralnej siły cenzury rzymskiej i jej wpływu na ducha prawa rzymskiego, nie zawaha się wynieść pietyzmu na stanowisko właściwego motywu, który dopiero później mógł osłabnąć lub połączyć się ze względami praktycznemi tak, iż one już na pierwszy plan wystąpiły. Tak też rzecz pojmuje Rivier [5]) nawet w dogmatycznem przedstawieniu rzymskiego prawa familijnego.

Pierwszy fragment pandektowy rozciąga infamię na żołnierzy, wykluczonych z szeregów w sposób czci uwłaczający z powodu hańby

---

[1]) F. C. Savigny: *Uiber einige zweifelhafte Punkte in der Lehre von der Infamie* (dodatek VII. do II. tomu dzieła: *System* itd. (j. w.) str. 354 i n.).

[2]) Dr. T. Marezoll: *Uiber die bürgerliche Ehre* itd. (j. w.) str. 184 i n.

[3]) G. T. Puchta: *Pandekten* — IX. Aufl. Leipzig 1863, t. II. str. 953, dopisek 1.

[4]) Prof. dr. Karlowa: *Zur Geschichte der Infamie* (w *Zeitschrift für Rechtsgeschichte)* t. IX. str. 229 i n.).

[5]) Alphonse Rivier: *Précis du droit de famille romain* (j. w.) str. 247.

(*ignominiae causa*), a drugi fragment objaśniając wypadki, w których ustąpienie z wojska czci nie uwłacza, dodaje, że haniebna (*ignominiosa*) forma demissyi ma być zaznaczona w samym akcie wykluczenia ze szeregów. Następstwem haniącej demissyi była infamia nawet wtedy, gdy chodziło o dostojnika wojskowego z odznakami konsularnemi. Żołnierzom, którzy w ten sposób ulegli infamii, niewolno było przebywać ani w Rzymie, ani tam, gdzie bawił cesarz. Było to ciężkie zaostrzenie kary a szczegół ten zasługuje na podniesienie, gdyż stanowi nowy ślad wpływów cenzury, która w całej działalności swojej także wszelkiemi sposobami pobudzała do honorowego pełnienia obowiązków służby wojskowej a zarazem starała się odstraszać od pomijania tych obowiązków. Nie jestto może dziełem przypadku, lecz także śladem wpływu tradycyi cenzorskich, że właśnie co do tej sprawy w obu fragmentach dla określenia hańbiącej formy demissyi, jako powodu infamii, wybrany został z bogatego pod tym względem słownika wyraz tak ściśle połączony z judykaturą cenzury jak *ignominia*, owa techniczna nazwa kary cenzorskiej za dawnych czasów, odzywająca się już tylko jakby echo w tych i innych jeszcze fragmentach pandektowych.

W szczegółowem podniesieniu różnych sposobów ułatwiania rozpusty, podlegających infamii, czwarty fragment uważać można także za żywy odgłos działalności cenzury, która w czuwaniu nad czystością obyczajów, w karceniu wybryków pod tym względem, była szczególnie surową i tem właśnie spełniła ważną missyę, wychowując społeczeństwo rzymskie w czerstwości, w czystej atmosferze moralnej. Prawo pozytywne jest właśnie w tym zakresie zdrożności, jak wykazuje historya prawodawstw, do tej chwili zbyt wstrzemięźliwe, chwiejne w wyborze środków, nawet skłonne do kompromisów ze zdrożnością i bezsilność swoją kładzie na karb większej wrażliwości na wszelkie ograniczanie wolności osobistej. Kto dzisiejsze prawo w tym zakresie porówna z przepisami rzymskiemi, uczuć musi niemal pewne upokorzenie. Tyle wieków bowiem upłynęło od tego czasu a stan obecny jest taki, że kto ma na oku względy społeczno-moralne, odzywa się o prawie dzisiejszem, o jego pobłażliwości, czy niemocy wobec wzmagającej się nieustannie rozwiązłości i połączonego z tem podkopywania podstaw zdrowego życia rodzinnego, wreszcie o roli władzy państwowej w tej sprawie, z otwartą goryczą, lub nawet wprost ze zgorszeniem [1]). Świat prawniczy dobrze

[1]) A. Oettingen: *Die Moralstatistik* (j. w.) t. I. str. 441. — C. Scholl: *Das Aergerniss im deutschen Strafrecht* (w *Zeitschrift für die gesammte Strafrechtswissenschaft* — t. XIII. str. 312).

czuje anormalność dzisiejszych stosunków, czego dowodem obfita literatura ostatnich lat na tem polu i obfita wiązanka różnych pomysłów i projektów prewencyjno-karnych [1]). We wszystkich tych pracach albo wprost został wypowiedziany, albo przynajmniej przebija, brak wiary w skuteczność samych środków prawnych bez współudziału społeczno-moralnych czynników tak w zapobiegawczym, jak i w repressyjnym kierunku.

Rozumie się, że niema mowy o radykalnej skuteczności jakichkolwiek środków w tem znaczeniu, aby taka zdrożność jak nierząd, posiadający za świadectwem dziejów ludzkości niezaprzeczony tytuł do nazwy wieczystego *malum necessarium*, mogła być całkowicie wypleniona w społeczeństwie, z samych moralnie ułomnych istot złożonem. Musiałby się przedtem ziścić warunek tak niemożliwy, jak zmiana całej natury człowieka. Nie wypływa jednak ztąd wcale, żeby tutaj ospałość w akcyi repressyjnej, lub za daleko posunięta pobłażliwość prawa karnego, miała być usprawiedliwiona. Równałoby się to wprost uznaniu abdykacyi tego prawa. Kto bowiem ma na myśli człowieka rzeczywistego, moralnie ułomnego, a nie jakiś ideał nieuchwytny, ten nazwą *malum necessarium* mógłby objąć także i cały szereg ciężkich zbrodni, które za świadectwem historyi prawa karnego nigdy z ram jego nie wychodzą. A któż śmiałby na tej podstawie zalecać prawu tolerowanie tego, co za świadectwem dziejów ludzkości posiada niezaprzeczony tytuł do nazwy wieczystego *malum necessarium*, zalecać prawu, ażeby i wtedy nie wysilało się w walce ze złem, które nigdy radykalnie wyplenić się nieda, lecz starało się wejść z niem w pewien kompromis, poprzestając, jak się to dziś w sprawach nierządu dzieje, na samej lokalizacyi złego, czy raczej jego koncentracyi w pewnych tylko miejscach, więc na tolerancyi, zamaskowanej względami krótko widzącego oportunizmu policyjnego? Prawo niemoże wobec żadnej żdrożności, chociażby najgłębiej zakorzenionej w ludzkiej naturze, chociażby najtrudniejszej do poskramiania, zrezygnować ze swojej dążności do wszelkiej możliwej akcyi zaradczej. Na tej uwadze dygressyjnej możemy poprzestać, gdyż zabezpiecza ona od zarzutu ideologicznych zapatrywań co do zdań, w poprzednim ustępie wypowiedzianych.

Szósty fragment pandektowy, objaśniający wypadki zobowiązań, w których na skazanego spada infamia, kończy się charakterysty-

[1]) Sprawozdanie w *Zeitschrift für die gesammte Strafsrechtswissenschaft* (t. XIII. z. 1 z r. 1892 str. 110 i n.) może pod tym względem służyć za bliższe objaśnienie tej uwagi co do niemieckiej literatury prawniczej.

cznym dodatkiem, że dłużnik, który w sporze z wierzycielem nie utrzymał się z pretensyami ze swojej strony podniesionemi, nie staje się infamisem z tego powodu, iż w sprawach spornych tego rodzaju nie chodzi o złamanie wiary *(perfidia)*, lecz o rachunek. Przypomina się tutaj powaga cenzury rzymskiej z tych czasów, kiedy ona wobec nierozwiniętego jeszcze zupełnie prawa w dziale zobowiązań czuwała nad przestrzeganiem dobrej wiary w interesach a jej złamanie, perfidię, piętnowała swojemi kondemnatami moralnemi.

Według trzynastego fragmentu infamia spada na skazanego z powodu *crimen stellionatus*. Samo powyżej w źródłowem brzmieniu przytoczone określenie tego przestępstwa, wprowadzonego w sferę prawa karnego jako generalna nazwa dla przestępstw nieobjętych specyalnemi postanowieniami dopiero w epoce moralnego upadku społeczeństwa rzymskiego, wskazuje, że chodzi tutaj o czyny, które dawniej sama cenzura poskramiała. *Stellionatus* niema w prawie rzymskiem ścisłej definicyi a raczej, jak widzieliśmy, posiada definicyę tak ogólnikową, że w niej pomieścić się daje wszelka nieuczciwość z charakterem oszustwa, nie podpadająca pod inne postanowienia karne [1]). Domysł powyższy nie stanowi bynajmniej interpretacyi, nastrojonej do tematu. Tak samo rzecz tę pojmuje Rein w dziele, poświęconem historyczno-systematycznemu przedstawieniu rzymskiego prawa kryminalnego [2]).

W kodeksie Justyniańskim ślady cenzury rzymskiej na wypadkach infamii są także widoczne. I tam jeszcze użyta jest techniczna nazwa kary cenzorskiej *(ignominia)* [3]). Śladem cenzury w tym kodeksie jest także „plama na czci" *(labes pudoris)*, spadająca za zaniechanie zwyczajami uświęconej żałoby po zmarłym małżonku *(lugere maritum moris est)* [4]).

Charakter moralnej normy a nie prawnego tylko przepisu ma fragment trzynasty kodeksu, według którego słowa ojca, karcące syna w testamencie, nie sprowadzają wprawdzie infamii pra-

---

[1]) Według słownika prof. dr. T. Dydyńskiego do źródeł prawa rzymskiego (str. 649) *stellionatus* oznacza: „czyn podstępny, mający na celu oszukać, zdradzić lub podejść kogo, który w ustawie karnej jest karą zagrożony, chociaż nie da się ściśle podciągnąć pod stałą kategoryę przestępstwa."

[2]) Dr. Wilhelm Rein: *Das Criminalrecht der Römer* (j. w.) str. 331.

[3]) l. 5. C. II. 11. De causis itd. Imper. Severus et Antoninus A. A. Amrosio.

[4]) l. 5. C. ibid.

wnej (*infames iure non faciant*), lecz obciążają jego opinię (*opinionem onerant*) w oczach mężów uczciwych i poważnych (*apud bonos et graves*) z tego powodu, iż się ojcu nie podobał.

Fragment ośmnasty kodeksu piętnuje infamią transakcye pieniężne, którémi winny dla złego sumienia (*pro mala conscientia*) chciałby zapobiedz skardze z powodu krzywdy wyrządzonej. W dwudziestym drugim fragmencie samo niebezpieczeństwo infamii uważane jest jeszcze za dostateczny środek nacisku wobec tego, kto w spółce był nierzetelny (*fidem rumpens societatis*). Groźbie infamii przypisać to należy, że według fragmentu dziewiętnastego napomnienia sędziowskie sprowadzały na dobrą drogę (*ad melioris vitae frugem se reformare*).

Trudno wstrzymać się tutaj od dygressyi, gdyż historya napomnienia sędziowskiego, jako środka prawno-karnego, stanowi znaczący symptom w historyi prawa w ogóle. Zamiast przekształcać się w formie i rozwijać w treści, jak tego zmieniające się stosunki z pewnością wymagały, napomnienie to popadało w zanik w miarę, jak się rozluźniały węzły między prawem a etyką. Zamiast tedy przekształcać i w ten sposób zakonserwować tę broń skuteczną w swoim arsenale, prawo pozwoliło jej zardzewieć a potem już jako zardzewiałą wyrzuciło ją z arsenału swojego. W kodeksie Justyniańskim napomnienie sędziowskie było, jak widzimy, środkiem karno-poprawczym. W prawie kanonicznem zachowało ono ten sam charakter. Według postanowień soboru Lateraneńskiego exkomunikę poprzedzać miało — wyjąwszy bardzo ciężkie wypadki winy — trzykrotne napomnienie, niejako niższe stopnie kary. W dawnem prawie świeckiem napomnienie sędziowskie nie odbiegało od tych tradycyi swoich. W prawie staro-francuskiem n. p. napomnienie to odbywało się w przepisanej formie uroczystej [1]), zaznaczającej charakter tej kary w taki sposób, że przypomina się najświeższa innowacya prawno-karna t. j. warunkowe skazanie winnego, dającego pewną rękojmię poprawy. Gdzie w nowszem ustawodawstwie karnem zachowało się jeszcze napomnienie sądowe, tam albo odgrywa ono już rolę martwej litery, albo w formalistycznem zastosowaniu traci swoją powagę i jest lekceważone przez napomnionego a bodaj czy i nie przez napominającego. Co najważniejsza, to fakt, że nawet w nauce kredyt napomnienia sądowego upadł tak dalece, iż uważane jest ono obecnie aż za „nie-

---

[1]) „La Cour vous admoneste et vous fait grâce; tachez d'être plus circonspect à l'avenir.“ (Henri Joly: *Le Combat contre le crime*. — Paris 1892 str. 175).

zgodne ze znaczeniem i godnością postępowania karnego" a od biedy tylko odpowiednie w sprawach, dopuszczających zastosowania środka karnego z tak „familiarnym charakterem", mianowicie w traktowaniu młodych złoczyńców [1]). Że włoscy koryfeusze „nowych horyzontów" w prawie karnem wprost lekceważą upomnienie sędziowskie, jak n. p. Ferri z powodu wskrzeszenia tego środka karnego w nowym kodeksie włoskim [2]), to już łatwiej pojąć, bo w teoryi tych koryfeuszy całe dzisiejsze prawo karne ze swojemi moralnemi podwalinami miałoby być na zagładę skazane.

Drugi rozdział kodeksu Justyniańskiego, infamii poświęcony, zastrzega tylko, że chociaż dla infamisów niedostępne są dostojeństwa, należące się mężom nieposzlakowanym, to jednak nie są oni uwolnieni od powinności publicznych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) Dr. Franz Holtzendorff: *Encyklopädie der Rechtswissenschaft* — V. Aufl. München 1890 str. 950.

[2]) H. Ferri: *La Sociologie criminelle* (j. w.) str. 560.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d' ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.

(Ciąg dalszy).

1768.

I.

Konferencye u ambasadora rossyjskiego. — Monopol tabaczny. — Pensye przyznane na sesyi delegatów. — Inne decyzye. — Nota ambasadora rossyjskiego do dworów zagranicznych w przedmiocie wywiezienia senatorów z Warszawy. — Zabiegi biskupa kamienieckiego.

Warszawa, 13. stycznia 1768.

Pułkownik Igielström powrócił z Moskwy 10. stycznia. Poprzedziło go dwóch kuryerów, a trzeci przybył wieczór tego samego dnia. Książę Repnin otrzymał od swego dworu decyzye, na które oczekiwał z niecierpliwością.

Rozpoczęły się znowu u ambasadora konferencye w dniu wczorajszym i odbywać się mają codziennie, dopóki wszystkie sprawy nie zostaną załatwione.

Jeżeli sądzić mamy z odpowiedzi, jakie otrzymał prymas od carowej i od hr. Panina, to naród polski będzie zadowolony z opieki i przyjaźni rossyjskiej. Losy Rzeczypospolitej zależą od prymasa; życzyćby tedy należało, aby umiał dobrze użyć tego zaufania, jakie Rossya w nim pokłada, o czem jednak muszę wątpić. Dowodów na to dostarcza dzień wczorajszy.

Dwór tutejszy zaproponował monopol tabaczny. Prymas w pierwszej chwili zaoponował, ale wnet ustąpił, gdy ambasador rossyjski

oświadczył się za pomienioną propozycyą, a to z uwagi, że jest ona korzystną dla króla, do którego należy połowa zysków.

Komisye wojny i skarbu mają być utrzymane, ale dziwnem jest żądanie Rossyi utrzymania traktatu przeciwnego karłowickiemu. Zadowolony jestem z tego, że ambasador nie ciągnie mnie wcale do tych zajęć. *Liberum veto* zachowane. Podobno wojska rossyjskie mają tu przybyć na czas sejmu. Nie będzie na nim opozycyi, jestem tego pewny, ale też i nie będzie zadowolenia.

Przybyły do Warszawy kuryer spotkał porwanych senatorów za Mińskiem, niedaleko Smoleńska.

Będąc u prymasa, dowiedziałem się od niego, że na sesyi delegatów ustanowiono następujące pensye: królowi milion pięćkroć sto tysięcy złotych rocznie; podskarbiemu wielkiemu kor., jako wynagrodzenie poniesionych w czasie bezkrólewia strat — pół miliona; księciu Radziwiłłowi, na rachunek przypadających mu od Rzeczypospolitej należności — pięć milionów złotych; podskarbiemu w. litewskiemu podwyższenie płacy o 40 tysięcy złotych; hr. Flemingowi 160 tysięcy; biskupowi Massalskiemu 130 tysięcy i wielu innych, których nie mogłem zapamiętać. Ale żadna z wyznaczonych pensyj nie była tak jednomyślnie przyjętą, jak apanaże dla Waszych Królewiczowskich Mości, co dowodzi przychylności i przywiązania narodu. Zadecydowano również, że dwa starostwa i jedno biskupstwo mają być przywiązane do urzędów kanclerskich w tym celu, aby wszystkie ekspedycye z kancelaryj były wydawane bezpłatnie.

Ambasador rossyjski oświadczył księciu kanclerzowi, aby złożył swój urząd, na co tenże odrzekł, że piastując go od czterdziestu przeszło lat, nie potrzebuje go się zrzekać obecnie. Wszakże wiem na pewno, iż robi przygotowania do wyjazdu do Czech, gdzie zamierza stale zamieszkać.

Wskutek nalegań Porty ottomańskiej, która niespokojnem okiem patrzy na pobyt wojsk rossyjskich w Polsce, wojska te mają wyjść stąd zaraz po sejmie. Ambasador komunikował wszystkim ministrom zagranicznym przy dworze tutejszym notę w przedmiocie wywiezienia senatorów z Warszawy. Otrzymał on w dniu dzisiejszym wiadomość, że biskup kamieniecki wysłał do Konstantynopola, w poselstwie do Porty, księdza z prośbą o pomoc przeciwko Rossyi, oraz że Porta dała odpowiedź, iż Turcy, nie będąc przez nią zaczepieni, nie mogą wkroczyć do Polski. Według tego samego źródła, pomieniony biskup przebywał przez pewien czas *incognito* na granicy, ale niespodzianie odjechał.

II.

Protestacya nuncyusza papieskiego. — Manifest Chreptowicza przeciwko gwałtom, popełnianym przez Rossyę. — Ambasador rossyjski ogłasza, że kto ośmieli się wystąpić przeciwko projektom delegacyi na sejmie, tego spotka los biskupa krakowskiego. — Wielu posłów wyjeżdża z tego powodu. — Nota Porty ottomańskiej w przedmiocie wojsk rossyjskich w Polsce.

Warszawa, 3. *lutego 1768.*

Zalimitowany w roku zeszłym sejm, odroczony został do dnia 1. marca r. b. Mają być na nim odczytane i zadecydowane wszystkie projekta delegacyi w przeciągu dni dziewięciu. Posiedzenia tej ostatniej odbywają się bez przerwy. Największe trudności napotyka artykuł, odnoszący się do rozdziału podatków.

Nuncyusz papieski zakomunikował królowi i prymasowi energiczną notę, protestującą przeciwko wszystkiemu, co się tu dzieje ze szkodą swobody i przywilejów religii katolickiej. Protestacya jest poniekąd exkomuniką, a to z powodu użytego wyrażenia *damno.* Prymas prosił mnie bardzo, abym przedstawił to pismo ambasadorowi. Nie zaniepokoiło go to nawet tyle, co manifest Chreptowicza, marszałka konfederacyi grodzieńskiej a jednocześnie pisarza ziemskiego. Ten sprzedał swoje dobra, udając się z pieniędzmi do Rzymu, i stamtąd rozesłał swój manifest w języku łacińskim. Przedstawia on w nim szczegółowo gwałty, popełniane przez Rossyę, wykazuje sprzeczność deklaracyi carowej i listu Panina z tem, co się obecnie dzieje w Polsce i zachęca wszystkich szczerych patryotów do łączenia się z sobą.

Dzień 27. lutego naznaczono na odczytanie projektów delegacyi na sejmie. Pomienione projekta obejmują ogromny wolumen i potrzebować będą wiele czasu do swego zatwierdzenia. Ambasador oznajmił w dniu wczorajszym, że kto ośmieli się wystąpić przeciw projektom delegacyi na sejmie, tego spotka los biskupa krakowskiego. Z tego powodu wielu posłów opuściło już Warszawę, z tych zaś, którzy pozostali, żaden zapewne nie postąpi tak nierozważnie wobec wojsk rossyjskich, otaczających całe miasto.

Porta ottomańska zażądała od ambasadora objaśnień w przedmiocie pobytu wojsk rossyjskich w Polsce, zakładania magazynów wojskowych i w ogóle wszystkiego, co się tu dzieje obecnie. Odnośne pismo przysłane zostało przez kuryera do pana de la Roche z poleceniem, aby je wręczył ambasadorowi i odpowiedź jego uzyskał bezzwłocznie.

Nie mając żadnych instrukcyi od dworu swego, ambasador wysłał natychmiast do Petersburga kuryera, po którego powrocie odpowiedział zaraz, że wojska rossyjskie opuszczą kraj tutejszy, ale wiem z bardzo pewnego źródła, że pozostawią tu znaczne siły, jakoby do pilnowania rzeczonych magazynów.

III.

Projekt konstytucyi. — Książę Repnin grozi, że nie pozwoli nikomu oddalić się. dopóki wszystkie sprawy sejmowe załatwione nie będą. — Protest posła Wybickiego. — Rozwiązanie konfederacyi. — Przedstawienie do carowej w przedmiocie uwolnienia porwanych senatorów. — Wojska rossyjskie przygotowują się do wymarszu. — Nominacye. — Eksces księcia Radziwiłła. — Umiarkowanie ambasadora rossyjskiego. — Król zamyśla utworzyć konfederacyę. — Pułkownik Judycki raportuje o zawiązaniu się konfederacyi Barskiej. — Branicki wysłany przeciwko konfederatom. — Ksiądz Marek, karmelita. — Projekt poselstwa do carowej o pomoc przeciwko konfederatom.

Warszawa, 12. lutego 1768.

Przystąpiono nakoniec do czytania na sejmie projektu konstytucyi. Książę Repnin zobowiązał mnie, abym śledził pilnie postępowanie posłów a głównie pruskich. Oświadczył im, kiedy ich do niego zaprowadziłem, że domaga się od nich, podobnie jak od wszystkich innych posłów, aby zaraz dzisiaj, jak tylko odczytane zostaną pewne projekta, zażądali podpisania i ratyfikowania konstytucyi. Nie broni on wcale zabierać głosu, ale kładzie wielki nacisk na to, że wszelka opozycya nie będzie mieć żadnego skutku, że w sejmie konfederacyjnym większość jest decydującą i że wskutek tego powstałyby jedynie nieporozumienia i zamięszania, któreby tylko przedłużały sejm bez żadnej potrzeby. W końcu zastrzegł, że nie pozwoli nikomu oddalić się, dopóki wszystko na sejmie należycie załatwionem nie będzie.

Na sesyi sobotniej poseł pomorski, Wybicki, zażądał głosu w sprawach dyssydentów. Marszałek odpowiedział, że może mu go udzielić dopiero po wysłuchaniu wszystkich postanowień delegacyi, wskutek czego pomieniony poseł zaprotestował przeciw wszystkiemu, co dotąd zrobionem było, i w wielkiem uniesieniu powtarzał, że protestacyi tej nie cofnie. Król odroczył sesyę do poniedziałku, a Wybicki z n i k n ą ł bez wieści.

Umarł biskup poznański, a biskupstwo po nim zostało oddane kanclerzowi w. koronnemu, przemyskie zaś, które zawakowało wskutek tego awansu, konferowano suffraganowi Kierskiemu, a urząd sekretarza koronnego po nim — bratu królewskiemu.

W tej chwili powróciłem z zamku. Wszystko już zostało ukończone z zupełnem zadowoleniem księcia Repnina. Król i dwaj marszałkowie konfederacyi podpisali konstytucye. Konfederacya została rozwiązana. Marszałkowie, żegnając króla, polecili jego opiece uwięzionych senatorów. Niektórzy posłowie mieli w tej materyi mowy, a mianowicie synowie wojewody krakowskiego; prymas w imieniu senatu, marszałkowie zaś w imieniu stanu rycerskiego błagali króla, aby raczył przedstawić carowej prośby senatu i posłów w ogóle, złożone swojemu monarsze. Wszystko to odbyło się za poprzedniem porozumieniem z ambasadorem rossyjskim, skąd oczywiście wynika, że więźniowie zostaną wkrótce uwolnieni. Sejm zamknięty został przed południem i widać było powszechne niezadowolenie.

Wojska rossyjskie przygotowują się do wymarszu.

Z otrzymanych tu wiadomości ambasador jest niezadowolony. Brat biskupa Krasińskiego miał zawiązać konfederacyę, był w Krymie i ma pod swojem zawiadowaniem hordy tatarskie, pozostające na koszcie Porty.

Prymas otrzymał datowany z Karlsbadu list od biskupa kamienieckiego, mówił do mnie, że biskup przebywa w blizkości granicy kraju i ciągle mu grozi.

Książę Radziwiłł otrzymał województwo wileńskie, Ogiński kasztelanią w., książę Sanguszko i Gurowski zostali mianowani marszałkami.

W sobotę, po zamknięciu sejmu i rozwiązaniu konfederacyi, książę Radziwiłł pozwolił sobie dziwnego ekscesu.

Oto w stanie nietrzeźwym, wziąwszy z sobą do powozu chirurga, któremu kazał sobie puścić krew z nogi, pojechał z pożegnaniem do ambasadora rossyjskiego, który na prośbę księcia pił jego zdrowie i kazał grać muzyce wojskowej. Powróciwszy od ambasadora, kazał się wozić po mieście, a następnie pocztowymi końmi wyjechał z Warszawy, oświadczając, że chce się godzić z żoną swoją. Z rozkazu Brzostowskiego dopędzono go w Jeziernie i uproszono, aby powrócił, co też uczynił dnia następnego, przeprosił ambasadora i po bankiecie w licznem towarzystwie opuścił Warszawę, udając się na Litwę.

Od pewnego czasu ambasador rossyjski zmienił zupełnie system postępowania i stara się odzyskać utracone zaufanie obywateli kraju tutejszego. Rozmawiał bardzo uprzejmie z tymi, co byli u niego z pożegnaniem, a między innymi z posłami pruskimi, ale ci pomimo tego odjechali niezadowoleni, gotowi manifestować się i zawiązać konfederacyę, jak tylko wojska rossyjskie wyjdą z kraju. Naród nie-

nawidzi króla i Rossyi, gdyż z ich przyczyny doznał zawodu. Nie brak wprawdzie pochlebców, którzy okłamują króla, że jest kochany; ambasadorowi znowu zdaje się, że ma tu wielu przyjaciół i życzliwych. Ale obaj się mylą, mają bowiem tylko zwolenników między podłymi ludźmi. Co do mnie, uważam króla i Rzeczpospolitą za zgubionych, jeżeli prawdą jest to, co mówią. Słyszałem, że jak tylko wojska rossyjskie opuszczą kraj tutejszy, król niebawem zawiąże konfederacyę, której marszałkiem zostanie były kanclerz w., Zamoyski.

Celem tej konfederacyi ma być zmuszenie narodu do przyjęcia konstytucyi ostatniego sejmu.

Jeżeli konfederacya taka się zawiąże, może przyjść rzeczywiście do ostateczności: albo król zostanie rzeczywistym władcą i panem kraju, albo też upadnie, jeżeli stronnictwo jego będzie bez siły.

Odbyła się tu u króla wielka rada wojenna wskutek otrzymanych wiadomości od pułkownika Judyckiego o utworzeniu się nowej konfederacyi w Barze, forteczce, stanowiącej własność ks. Lubomirskiego, miecznika koronnego. Ofiarowano Lubomirskiemu godność marszałka tej konfederacyi, ale jej nie przyjął i umknął. Zabrano mu cały arsenał, działa, broń i t. d. Raport regimentarza Judyckiego donosi, że staroście Strzemecki przybył do Baru z 40. ludźmi ze starostwa śniatyńskiego ze starostą Wareckim i jego synem, że podkomorzy Różański połączył się z konfederatami barskimi, których jest tam około 500. Celem konfederacyi jest obrona religii i swobód; konfederaci przysięgają na dochowanie tajemnicy i za wszystko płacą gotówką. Pomieniony regimentarz donosi również, że biskup kamieniecki jest w porozumieniu z konfederatami i że trzech specyalnych kuryerów przybyło do niego z Konstantynopola.

Z powodu tego raportu polecone zostało regimentarzowi Judyckiemu, aby natychmiast wyprawił do konfederatów oficera z zapytaniem, jakie są ich żądania, a w razie, gdyby nie dali zadawalającej odpowiedzi, aby ich bezzwłocznie atakował. Do wykonania tego rozporządzenia przeznaczony już został faworyt królewski, generał artyleryi Branicki.

Wczoraj nadeszła tu wiadomość do komisyi wojny, że Kaniewicz udał się do konfederatów, z którymi połączyły się już cztery oddziały wojska polskiego. Konfederaci mają chorągiew z „Orłem Białym“ i dewizą: *Vincere aut mori pro Patria.* Słynny ksiądz Marek, karmelita, znany ze świątobliwości, zachęca do łączenia się z konfederacyą, a w składanej przysiędze konfederaci zobowiązują się walczyć dopóty, dopóki porządek dawny nie będzie przywrócony i dynastya saska nie będzie na tronie polskim.

Na ostatniem posiedzeniu rady senatu postanowiono wysłać do konfederatów barskich jednego senatora, podobno Kierskiego, biskupa przemyskiego, dla poznania ich żądań i wydania odpowiednich poleceń, jeżeli żądania te będą racyonalne. Gdyby nie nastąpiło żadne porozumienie z konfederatami, postanowiono wysłać poselstwo do carowej z prośbą o pomoc wojskową.

Ambasador rossyjski kazał w tym celu zwołać wszystkich senatorów i starał się ich skłonić do tego, co powiedziano wyżej, prosząc ich jednocześnie, aby się sprzeciwili wysłaniu rezydentów do Rzymu, Genui i Hamburga. Wydał również rozkaz generałom: Kreczetnikow i Podhoryczany, aby pospiesznym marszem udali się do Zamościa, a następnie ku granicy i zaatakowali z obu stron konfederatów barskich, których siły ciągle wzrastają. Podobno mają dwa tysiące Tatarów i ciągle przybywa do nich masa dezerterów austryackich z bronią w ręku; pułk Mniszcha i kilka oddziałów polskich połączyły się już z nimi i ze wszystkich stron ciągnie do nich szlachta.

IV.

Generał Mokronowski w poselstwie do Baru. — Król wysyła napomnienie do naczelników konfederacyi. -- Łaski carowej dla ambasadora i nieograniczone pełnomocnictwo. — Energiczne działanie Rossyi przeciwko konfederatom barskim. — Porta zamierza wystąpić w obronie konfederacyi przeciwko Rossyi, żąda tylko moralnego poparcia dworu wiedeńskiego. — Potocki mianowany posłem konfederacyi w Dreźnie. — Kompanie polskie nie chcą iść przeciwko konfederatom. — Niepowodzenie Kreczetnikowa w Lubelskiem. — Wszystkie prawie województwa zawiązują nowe konfederacye.

Warszawa, 9. kwietnia 1768.

Wojska rossyjskie otoczyły już konfederatów, zbliżywszy się do nich na odległość 6 mil. Generał Mokronowski wyjeżdża dziś do Baru. Oświadczył mi sam, że jest bardzo niekontent z tej misyi. Ambasador żąda, aby konfederaci w ciągu dni 15 broń złożyli, w przeciwnym razie będą wszyscy wytępieni. Król wysyła napomnienie do naczelników konfederacyi, senat listy do wszystkich jej członków, na których położono adres: „Do pana Krasińskiego, podkomorzego Różańskiego, Puławskiego i innych“.

Konfederaci zabrali 30 żołnierzy regimentarzowi Gandzickiemu, który też wysłał zaraz za nimi oddział dragonów. Nastąpiło starcie, przyczem trzech ludzi raniono. Krasiński kazał powiedzieć regimentarzowi, aby zabronił swym ludziom strzelać do konfederatów, którzy nie w tym celu skonfederowali się, aby przelewać krew swoich rodaków.

Miało też miejsce krwawe starcie pomiędzy konfederatami a wojskami rossyjskiemi (200 ludzi piechoty i 50 kozaków). Jak powiadają ci ostatni, miało zginąć im 6 ludzi, a jednego kozaka powieszono, stratę zaś konfederatów oznaczają na 20 ludzi.

Z niecierpliwością czeka ambasador rossyjski na rozkazy swego dworu oraz na rezultat misyi generała Mokronowskiego. Ma zamiar kazać na nich uderzyć, jeżeli nie skłonią się do posłuszeństwa.

Przybył tu z Petersburga książę Piotr Repnin, brat ambasadora, który przywiózł ratyfikacyę traktatu i 50.000 rubli gratyfikacyi dla ambasadora, order Aleksandra newskiego, pozwolenie udania się za granicę z zachowaniem urzędu i płacy ambasadora; przytem carowa udziela mu pełnomocnictwo pozostawienia wojsk rossyjskich lub opuszczenia tego kraju, stosownie do jego uznania. Poleca dalej, aby kazał atakować i rozbić konfederatów bez względu na zachowanie się Turków.

Wskutek tego ambasador kazał natychmiast wezwać do siebie generałów Sołtykowa, Apraksina i Prozorowskiego dla zakomunikowania im decyzyi monarchini i wysłał rozkaz do pułkownika Kreczetnikowa, aby atakował konfederatów wszystkiemi rozporządzalnemi siłami, dochodzącemi do sześciu tysięcy ludzi.

Jeden z senatorów, o którymby tu nikomu nawet na myśl przyjść nie mogło, aby miał należeć do konfederacyi, po przybyciu od prymasa zaprosił mnie na obiad. Jako serdeczny mój przyjaciel, zwierzył się przedemną z całą otwartością, oświadczając: że wielki wezyr jest przyjacielem konfederatów, że ich uprzedził, aby się wystrzegali reis-efendi'ego; że Porta zdecydowana na wojnę z Rossyą i daje na wszystko pieniądze; że niczego więcej nie żąda od dworu wiedeńskiego, jak tylko tego, aby oświadczył, że lituje się nad losami Polski, nie mięszając się wcale do niczego; że dotąd nie mają nikogo odpowiedniego na posła do Wiednia, bo biskup kamieniecki nie chciał się podjąć tej misyi, ale wyprawił go do Warszawy, aby wyrozumieć nuncyusza papieskiego, czyby za jego pośrednictwem i interwencyą nie można było otrzymać od dworu wiedeńskiego deklaracyi, żądanej przez Portę. W końcu oświadczył mi, że zamierza wyprawić stąd jednego ze swoich przyjaciół niby do Karlsbadu na Berlin, że tenże mówić ma z samym królem pruskim i będzie zaopatrzony od konfederacyi w list uwierzytelniający dla użycia go w razie potrzeby. Gdyby misya jego w Berlinie się powiodła, uda się stamtąd do Drezna dla pomówienia z księciem administratorem i Waszą Królewiczowską Mością, oraz że konfederaci zdecydowani są zwyciężyć lub zginąć.

Przytem zapewnił mnie, że starosta kaniowski, Potocki, mianowany został posłem konfederacyi w Dreźnie, a na moją uwagę, że to może skompromitować dwór saski i Waszą Królewiczowską Mość, odpowiedział mi, że on wprawdzie występował przeciwko temu poselstwu, ale że konfederacya postanowiła się zdemaskować.

Wypowiedziawszy to wszystko, zobowiązał mnie pod słowem honoru do zachowania tajemnicy i nie wyjawiania jej nikomu, chyba tylko Waszej Królewiczowskiej Mości dla zawiadomienia o tem księcia administratora (elektoratu) z prośbą o zachowanie wszystkiego w najgłębszej tajemnicy. W końcu dodał, iż są pewni, że jeżeli Wasze Królewiczowskie Mości nie uczynią im nic dobrego, to z pewnościa żadnej krzywdy wyrządzić im nie zechcą.

Podczas całej tej rozmowy stałem jak na rozżarzonych węglach. Zachowam ją w największej tajemnicy i oczekuję rozkazów Waszej Królewiczowskiej Mości.

Do komisyi wojny przybył kuryer z raportem od regimentarza Gandzickiego, że zostające pod jego dowództwem kompanie nie uderzą na konfederatów barskich, oraz że on, nie mając odpowiednich zdolności na dowódcę wśród podobnych okoliczności, prosi o dymisyę. Otrzymał polecenie, aby pułki Mniszcha i dragonów hetmańskich wyprawił pod Kamieniec a inne kompanie do ekonomij królewskich.

Pułkownik Kreczetnikow raportuje z Lublina, że nie zastał już tam konfederatów, ale że kazał ich ścigać. Włościanie z tego województwa zaczynają się już mięszać do tej sprawy, a pocztę lwowską otrzymano z pieczęciami konfederacyi.

Pochód Kreczetnikowa na Lublin nie wydał pomyślnego skutku. Ambasador jest niezadowolony, wysłał tam pułkownika Carr z poleceniem objęcia dowództwa. Słychać o zawiązaniu się nowych konfederacyi w Gnieźnie, Wieluniu, Kaliszu, Płocku, Sieradzu i Chełmie i według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie województwa powstaną, choćby tylko z obawy, aby w razie pobicia konfederatów barskich wojska rossyjskie nie rozlały się po całym kraju i nie zechciały się mścić na wszystkich, szukając wszędzie podejrzanych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

(Ciąg dalszy).

IV.

„Materyie z nauk“ — czy i o ile zaprowadzono w nich zmiany — profesorowie — podręczniki.

Pan Merczyng zużytkował — z trudem znaleziony w Warszawie — rozkład nauk w gimnazyum wołyńskiem za rok 1807/8; my posiadamy więcej podobnych unikatów, mianowicie z lat: 1807/8, 1809, 1812, 1816 i 1819 [1]), a nadto: *Wzór i Porządek Nauk, które na Lekcyach Publiczn. w Gimnaz. Wołyńskiem od 1. Października 1805 do ostatnich dni Lipca 1806 dawane będą.* Broszurka ostatnia o 32. nieliczbowych kartach szarej bibuły, bez wyrażenia roku i miejsca wydania, posiada — rzecz prosta — tekst o wiele zwięźlejszy od późniejszych *Materyi*, podany w dwóch językach: łacińskim i polskim; oznajamia też dosyć dokładnie — w jaki sposób ułożono plan nauk w nowo-otwartem gimnazyum, w pierwszym zaraz roku jego istnienia. — W czterech początkowych klasach był on tak unormowany, że uczniowie każdej z nich mieli tygodniowo 20. godzin lekcyami wypełnionych, tyleż godzin wykła-

---

[1]) *Materyie z nauk w gimnaz. Wołyńsk. w przeciągu roku szkolnego wyłożonych na popisy publiczn. uczniów tegoż gimnaz. w czerwcu ..... r.* (Toż samo za wszystkie, wyliczone w tekscie lata; późniejsze drukow. w samym Krzemieńcu).

dowych miał każdy z czterech profesorów, którym przeznaczono po dwa przedmioty do nauczania.

Uczniowie — jak to mówiliśmy dawniej — słuchali języków polskiego i łacińskiego, rossyjskiego, francuskiego i niemieckiego, nauki moralnej, arytmetyki i geografii. Wiadomo również, że dwa pierwsze języki szły zawsze w parze, że za wspólny podręcznik służyła w danym wypadku gramatyka Kopczyńskiego. Uczył ich Franciszek Olędzki, nauczyciel zastępca, wezwany na katedrę po odmowie ze strony ks. Osińskiego. Był on autorem mowy o pożytkach nauki języka łacińskiego oraz wierszy, drukowanych w *Dzienniku Wileńskim* [1]).

Nawiasem wtrącimy, że — według projektu przez Czackiego i Kołłątaja ułożonego — winien był każdy z profesorów rozpocząć swoje wykłady odpowiedniem przemówieniem, do zebranej młodzieży i gości zwróconem [2]). Wygłosił je zapewne i Olędzki, z pod prasy drukarskiej jednak nie wyszło, a może w zmienionej szacie, uzupełniwszy odpowiednio, odczytał profesor to samo na popisach szkolnych w 1811 r. i wtedy dopiero tłocznia krzemieniecka umożliwiła poznanie jego rozprawki szerszym warstwom czytelników, przekazując ją pamięci późniejszych pokoleń.

Pragnąc widocznie zapobiedz raz na zawsze wszelkim nieporozumieniom, wynikającym z różnicy zapatrywań na daną kwestyę, a nadto skłonić grono profesorskie do solidarnego na zewnątrz występowania — radzi Kołłątaj, by „każda mowa, lub jakiekolwiekbądź inne dzieło, mające być wydane na świat pod imieniem któregokolwiek bądź professora lub urzędnika gimnazyum, było wprzód na sessyi zgromadzenia prezentowane, i albo w przytomności wszystkich poprawione i potwierdzone, albo zgromadzenie powinno wyznaczyć trzy osoby do przeczytania, poprawienia i dania opinii o takowem dziele“ [3]).

Mowy inauguracyjne — wspomniane wyżej — stanowiły pewien rodzaj programu, jaki profesor zakreślał swemu przyszłemu wykładowi, z tego też powodu — przypuszczamy — ulegały one

---

[1]) *Mowa przy rozpoczęciu popis. roczn. w gimn. Woł. O użytku i potrzebie Języka Łacińsk., szczególn. w stosunku s Pisarzami klas. Rzymian* i t. d. Drukow. w Krzemieńcu 1811 r.; Słowikowski Adam: Wspom. (j. w.); Estreicher: Bibl. polska III. 289; Walenty Spektator: Krzemieniec. Przygody i Wspomnienia ucznia pierwszej klasy. — Kraków 1873, str. 176 i nast.

[2]) *Koresp.* III. 296—307.

[3]) Ibid. j. w.

przed wygłoszeniem rewizyi autorów projektu, czyniących w nich ze swej strony pewne poprawki i uwagi.

Wracając do Olędzkiego, dodamy, że miał to być człowiek zdolny i dobrze z przedmiotem swoim obeznany, choć — z drugiej strony — Kołłątaj dosyć krytycznie wyraża się o jego kwalifikacyi na profesora. Umarł w Krzemieńcu na stanowisku w 1828 r., zastąpiony na opróżnionej katedrze przez Dominika Bartoszewicza [1]), który — przerzucany z miejsca na miejsce — w niejednej uczył szkole. Autor kilku prac, figuruje z kolei w spisie profesorów: w Międzybożu, w liceum wołyńskiem, w Winnicy i Żytomierzu. W r. 1835 przenosi się do Królestwa polskiego, gdzie też w szesnaście lat później umiera [2]). W Winnicy pozostawił po sobie pamiątkę, uporządkowawszy i spisawszy bibliotekę szkolną, za co — jak również za staranne nauczanie — został przez rząd mianowany kolegialnym sekretarzem *(koležskij sekretar)* [3]).

W ostatnich już chyba miesiącach istnienia wołyńskiej szkoły zajmuje miejsce Bartoszewicza Józef Mikulski, który od r. 1818 pełnił w liceum urząd pomocnika bibliotekarza i uczył zarazem języka angielskiego. Wychowaniec to krzemieniecki, dokąd przybył ze szkół galicyjskich w Zbarażu i Buczaczu; po zamknięciu liceum przenosi się — wraz z innymi kolegami — do uniwersytetu kijowskiego, jeszcze więc raz o nim wzmiankować nam wypadnie [4]).

Wykładu języka francuskiego i nauki moralnej podjął się wychowaniec dawnych szkół krzemienieckich, w których z kolei w zaraniu bieżącego wieku sam uczył, jeden z trzech braci Jarkowskich, imieniem Paweł. Twórcy gimnazyum wołyńskiego, śledząc pilnie za odpowiednimi kandydatami, zwrócili i na niego uwagę. Pan Paweł, przeznaczony początkowo do greczyzny i francuskiego języka, uczy czas jakiś i nauki moralnej, z prawdziwem jednak zamiłowaniem opyla i porządkuje książki bogatej biblioteki zakładowej [5]). Po przekształceniu gimnazyum na liceum obejmuje katedrę grama-

---

[1]) Słowikowski (Wspomn.) mylnie Bartoszewicza Aleksandrem nazywa.

[2]) K. Wł. Wójcicki: Encykl. Powsz. Orgelb. II. 968; Estreicher: Bibl. I. 71.

[3]) Michalewicz: Podolskaja gimnazija w Winnice. — Kamieniec 1890 str. 7—8.

[4]) W. Szulgin: Istorija Uniwersiteta św. Władimira. S. Petersb. 1860, str. 133—134; Słowikowski j. w.

[5]) Pomocnikami bibliotekarza byli: Mikulski, Piotr Urbański i Zaorski. (Wal. Spekt. j. w. str. 280).

tyki powszechnej — po Michale Ściborskim — i bibliografii, której już nie opuszcza aż do chwili zwinięcia zakładu w 1832 r. Na polu bibliografii niemałe położył zasługi, przyznawane mu przez współczesnych uczonych; przywiązanie zaś jego do szaf i książek krzemienieckich było „tak silne, że gdyby ten zbiór został własnością Nogajów lub Samojedów, onby i u nich był bibliotekarzem!“ [1]) Po przeniesieniu więc biblioteki — z takim mozołem gromadzonej — do Kijowa, zostaje tam przy niej nadal i Paweł Jarkowski, na której to posadzie umiera w ostatnich dniach maja 1845 r., poświęciwszy służbie publicznej całych 45 lat swego pracowitego żywota. Zostawił po sobie wspomnienie uczciwego człowieka, żal powszechny i szereg prac — drukiem nieogłoszonych — z zakresu wykładanych niegdyś przedmiotów [2]).

Z chwilą widocznie, kiedy Jarkowskiemu powierzono katedrę na wyższych kursach, a może nawet parę lat wcześniej (co prawdopodobniejsza), obejmuje dawne jego miejsce w czterech niższych klasach Karol le Fort, autor — wydanej w 1812 r. w Krzemieńcu — gramatyki języka francuskiego. Umarł on przed samem zwinięciem liceum w 1831 r., naukę moralną odebrać mu jednak wcześniej musiano, gdyż w spisie profesorów tego przedmiotu spotykamy nazwisko Jakóba Serwatowskiego, nauczyciela niemieckiego języka i historyi starożytnej. Karol le Fort wykłada, w zamian za to, dodatkowo geografię nowożytną [3]).

Nauczyciel języka francuskiego — „w niedostatku dzieła, któreby służyć mogło za elementarne“ — opierać się winien na gramatyce P. de Wailly, skróconej przez ks. Kajetana Kamieńskiego [4]), uzupełniając wszelkie braki postrzeżeniami, zaczerpniętemi ze sławniejszych autorów francuskich. Szanowny ksiądz Pijar był przytem autorem i gramatyki niemieckiej [5]), równą cieszącej się (może z konieczności) wziętością, gdyż tak ona, jak i poprzednio

---

[1]) G. Olizar: Pamiętniki str. 28.

[2]) F. M. Sobieszczański: Encyklop. Powsz. Orgelb. XIII. 79—80; Słowikowski: Wspomnienia; Szulgin (j. w.) i t. d.

[3]) Słowikowski i inne źródła nazywają go Karolem (?); u Estreichera (Bibl. II. 558) zapisany z imionami: Jan Mikołaj.

[4]) Estreicher: II. 342—343; *Wzór i Porządek Nauk* itd.

[5]) „Używaliśmy wówczas bardzo lichej gramat. Kamińskiego, gdzie co krok był jakiś niedostatek do dopełnienia i wyjaśnienia; prof. Michalski, niemcem zwany, sumiennie uczył i wiele, kto go słuchał dobrze, mógł nauczyć. Często tedy powiedział coś takiego, czego w książce nie było...“ (Walenty Spektator: Krzemieniec j. w. 238).

wspomniana — francuska, doczekały się prawie po dziesięć wydań — każda. Przypuszczać można, że po r. 1812 książkę ks. Kamieńskiego zastąpił, w Krzemieńcu przynajmniej, podręcznik wydany przez Jana Mikołaja le Fort. Do wykładu nauki moralnej używano dziełka ks. Antoniego Popławskiego, również Pijara, zmarłego 1786 r. [1])

Język niemiecki i geografię objął — wezwany przez wizytatora szkół — Antoni Malawski, autor mowy wygłoszonej przy rozpoczęciu pierwszego roku szkolnego istnienia gimnazyum [2]). Następcą jego był Cyrylli Błoński [3]), wykładający również i historyę starożytną. Po Błońskim zajął z kolei katedrę niemieckiego i historyi, wspomniany już wyżej, Jakób Serwatowski; katedrę geografii — le Fort. Ostatnim z rzędu, uczącym w liceum języka niemieckiego, geografii nowożytnej i historyi starożytnej został Józef Michalski [4]).

Wszyscy oni, będąc osobistościami może najzacniejszemi, pedagogami pracowitymi, mimo to prawie żadnych śladów swej działalności po sobie nie zostawili. Los to zwyczajny ludzi powszedniej miary; szczęście jeszcze, że nazwiska owych cichych pracowników zanotować jesteśmy w stanie. O Malawskim jedynie Antoni Andrzejowski w swych wspomnieniach kilkakrotnie z wdzięcznością wzmiankuje, jako o człowieku bardzo zacnym i na usługi drugich oddanym [5]).

Czwartym profesorem, kształcącym młodzież w początkowych klasach, był Antoni Strzelecki, nauczyciel języka rossyjskiego i arytmetyki. I on również wypowiedział — za przykładem innych kolegów swoich — mowę o języku słowiańskim i rossyjskim, ogłaszając ją aż w trzech wydaniach. — Jako podręczniki do języka rossyjskiego używane były książki, służące ku temu samemu celowi w szkołach cesarstwa, a więc Elementarz *(Bukwar)*, krótka rossyjska gramatyka *(Naczalnyja osnowanija Rossijskoj Hrammatiki)* itp. „Do tłomaczenia zaś Arytmetyki użyie (profesor) dzieł nowszych Matematyków, a w wyborze przykładów Arytmetyki P. Lhvilier [6]) (?) na szkoły przepisanej.“ Tak postępować zaleca *Wzór*

---

[1]) Estreicher: III. 491.
[2]) Słowikowski: Wspomn. Estreicher III. 48.
[3]) Słowikowki (j. w.).
[4]) Ibid.; Walenty Spektator j. w. 238.
[5]) *Ramoty* II. 139 i inne.
[6]) Chyba arytmetyka ułożona przez Szymona Lhuillier, przetłumaczona przez ks. Andrz. Gawrońskiego, ona bowiem przepisaną została przez komis. Eduk., doczekawszy się licznych wydań, zanotowanych u Estreichra: Bibl. polsk. II. 594—595.

i Porządek Nauk, na rok 1805 ułożony; zaraz w następnych jednak latach uczył już Strzelecki podług książki Czecha, choć jej Wilno za podręcznik nie ogłosiło. Znał on dobrze swój przedmiot, więc i młodziutcy słuchacze korzyść odnosili — a czegóż więcej od nauczyciela klas początkowych wymagać można [1]). Prócz wyżej wspomnianego pedagoga uczyli języka rossyjskiego, kolejno po sobie następujący: Michał Butowski [2]), autor gramatyki, przeznaczonej dla uczniów gimnazyum wołyńskiego, a drukowanej 1809 r. w Poczajowie; Bazyli Cichocki i wreszcie Jan Rafalski. Obydwaj ostatni — jako duchowni — udzielali równocześnie nauki religii wyznawcom prawosławnej cerkwi. Rafalski dostąpił z czasem najwyższych godności, był bowiem metropolitą petersburskim i nowogrodzkim [3]).

Naukę arytmetyki objął po Strzeleckim chwilowo Stanisław Perłowski, uczeń krzemieniecki, znany ze szczególnych zdolności do matematyki. Zostawił po sobie w szkole dobre wspomnienie, umarł dopiero przed kilku laty, jako właściciel pięknego kawałka podolskiej gleby [4]). Po Perłowskim — Wojciech Zborzewski, wykładający również geometryę Euklidesa. Z pochodzenia Podolak, uczył w liceum krzemienieckiem, potem w gimnazyum połtawskiem, w końcu osiada w Moskwie, uznany przez współczesnych za pierwszorzędnego naturalistę polskiego. Pisał w języku polskim, francuskim i rossyjskim; moskiewskie cesarskie towarzystwo badaczów

---

[1]) Andrzejowski: Ramoty II. 241, IV. 12; Estreicher: IV. 398; Słowikowski: Wspomnienia j. w.; wiele szczegółów o nim u Walentego Spektatora: Krzemieniec — Przygody i wspomnienia ucznia pierwszej klasy.

[2]) *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3442. T. II. (jak wyżej) posiada oryginalny i pod pewnymi względami dosyć charakterystyczny „Raport“, złożony Czackiemu. — Oto wyznaczeni do przejrzenia i oceny Gramatyki jęz. ros., napisanej po polsku i rossyjsku przez Michała Butowskiego, wydają następującą opinię: „Znaleźliśmy ją dość dobrze i porządnie napisaną. Gdy iednak dla zbliżenia się więcey do układu Grammatyki Narodowey Polsko-Łacińskiey i stania się tem dokładnieyszą potrzebowała niektórych popraw i odmian, wskazaliśmy więc Wydawcy oney potrzebne Uwagi i prawidła, których domieszczeniem i potrzebną poprawą oraz przepisaniem porządnie manuskryptu zaymuie się iuż wydawca. A tak sądzimy, iż Grammatyka ta będzie użyteczną i do użycia młodzi w szkołach zdatną.“ Podpisani na dokumencie: Joannes Alexandrowski, Professor Liter. Ros. w Gimn. Woł.; Antoni Strzelecki, Prof. języka ros.; Michał Witanowski, koleż. Sekretarz. (Nr. porządk. 160).

[3]) Słowikowski j. w.

[4]) Karol Witte (Walenty Spektator) j. w. 207, 238—239.

przyrody mianowało go swoim członkiem, a nie było to jedyne odznaczenie naukowe, którem mógł się pochwalić [1]). Jan Majorkiewicz w pismach swoich zostawił obszerniejsze studyum jemu poświęcone, p. t. *Uczony a nieznajomy naturalista polski Wojciech Zborzewski* — tam więc ciekawych bliższych szczegółów żywota krzemienieckiego profesora odsyłamy.

Geometryę Euklidesa przed Zborzewskim wykładali: Wojciech Jarkowski i Grzegorz Hreczyna, zarazem profesorowie wyższych kursów, tam też o nich obszerniej mówić wypadnie.

Kapelanem szkolnym został, sławny z niebywałej popularności i wziętości, Ojciec Prokop Krzywicki, kapucyn. W Krzemieńcu kazał on całych lat dwadzieścia, odznaczając się wielkim darem wymowy i zdolnością oddziaływania na tłumy, bez względu na inteligencyę i stanowisko socyalne słuchaczy. — Czacki bardzo go pragnął dla Krzemieńca pozyskać, to też — kiedy mu się to udało — z radością donosi prefektowi Jarkowskiemu: „Jedzie dobry kaznodzieja J. ks. Prokop. Tak godny człowiek zasłuży sobie na względy WP. Dobr., jak w ogólnem zaleceniu obligowałem W. P. D., abyś opatrzył mu stancyę i wygody, tak z nim się rozmów i staraj się uprzyjemnić jego bytność w Krzemieńcu. Pochlebiam sobie, że J. ks. Sobkiewicz zaszczyci go swoją przyjaźnią, i prośby moje w tej mierze przyjmie. Biblioteka jest wolna dla J. ks. kaznodziei“ [2]). Wspomniany wyżej ks. Sobkiewicz udzielał nauki religii uczniom rzymsko-katolickiego wyznania. Był on kanonikiem oraz autorem kazania, drukowanego w Poczajowie w ostatnich latach ubiegłego stulecia. — Z czasem zajął jego miejsce w szkole wołyńskiej ks. Jan Kulikowski, również kanonik katedralny łucki, po zamknięciu liceum — prałat i rektor seminaryum w Żytomierzu, autor katechizmu, wydanego w Poczajowie [3]).

Tak więc wspomnieliśmy — o ile się dało dokładnie — o wszystkich owych skromnych — częstokroć zapomnianych prawie — pedagogach, kształcących młódź, uczęszczającą do czterech niższych klas gimnazyum wołyńskiego, które tworzyły jakby rodzaj nauk przygotowawczych, niezbędnych do zrozumienia wykładów kursowych.

Mówiąc o przedmiotach, powierzonych do nauki Malawskiemu (język niemiecki, geografia), ani słówkiem nie dotknęliśmy odno-

[1]) Ibid.; a nadto Sobieszczański F. M.: Enc. powsz. Orgel. XXVIII. 416; Estreicher, V. 267—268.

[2]) List do Jarkowskiego z dnia 10. XII. 1811 r. (*Athenaeum* 1848, zesz. V. str. 114).

[3]) Słowikowski j. w.; Walenty Spektator j. w.

śnych podręczników, bo też i *Wzór i Porządek nauk* na r. 1805 milczy o nich zupełnie. Tak samo ma się rzecz z nauką religii, przy której posiłkowano się katechizmem i historyą starego i nowego testamentu we wszystkich używanemi szkołach.

W ogóle przyznać trzeba, że na razie zupełnie zadowalniających podręczników częstokroć brakowało. Że z czasem powstałyby odpowiedniejsze — nie ulega wątpliwości. Wszak sam Czacki i Kołłątaj myśleli o tem nieraz, omawiając we wzajemnej korespondencyi rzecz całą obszernie i wyczerpująco, a i profesorowie krzemienieccy pozostawiali w spadku po sobie całkowite opracowania wykładanych przez siebie przedmiotów. — Nie zostały one wprawdzie ogłoszone drukiem, lecz w tem nie ich wina; okoliczności się zmieniły, zakład wychowawczy polski zwinięto, system nauczania unormowano na inną modłę, i podręczniki więc, przez profesorów dawnej epoki przygotowane, w znacznej części straciły na wartości.

Nauka języków polskiego i łacińskiego wypełniała w każdej z czterech klas po pięć godzin tygodniowo, ułożonych w ten sposób, że dwukrotnie łączono po dwie godziny razem (n. p. od 8—10, albo od 2—4), na trzeci więc raz zostawała tylko jedna. Widocznie system ów wiązania godzin w dwójki uważano za najodpowiedniejszy, zastosowywano go bowiem i w wykładach pozostałych trzech języków nowożytnych, z których każdy wypełniał w każdej z klas dwukrotnie po dwie godziny. Jeżeli nadto dodamy po jednej godzinie: arytmetyki, nauki moralnej i geografii (w każdej z 4. klas), zechcemy przytem pamiętać, że, prócz wtorków i czwartków — w których lekcye odbywały się jedynie rano — wypełniały one czas od 8—10 i od 2—4, w takim razie uwidocznienie sobie rozkładu nauk nie będzie przedstawiać najmniejszych trudności [1]).

Porównawszy program nauki języków z lat 1805, 1807, 1809, 1812, 1816 i 1819, przychodzimy do przekonania, że — w tym przynajmniej okresie czasu — wybitniejszych zmian nie zaprowadzono niemal żadnych. Były wprawdzie, ale zanadto drobne i małoznaczne, by je na tem uwidoczniać miejscu.

Z geografii zaznajamiano ucznia w pierwszych dwóch latach z wiadomościami wstępnemi, z kolei ze szczegółowym opisem Europy. Powtarzało się to bez większych zmian corocznie, że nie podnosimy takich, jak n. p. w klasie I. w 1807 i 1809 r. — obok

---

[1]) *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3441 T. I. podaje dokładne rozkłady nauk w pojedyńczych klasach, na kursach, jak również w innych, projektowanych w Krzemieńcu, zakładach. *[Urządz. Gimn. Wol.]*

wiadomości ogólnych — uczono szczegółowej geografii Rossyi, Szwecyi, Norwegii i Danii; w 1816 — Rossyi, Szwecyi i Danii: w 1819 — jedynie Rossyi — mogło to bowiem być wynikiem przypadkowego zupełnie opóźnienia w wykładzie, z racyi nadprogramowych feryi szkolnych, choroby profesora lub czegoś podobnego. Przypuścić można, że w roku następnym starano się te braki powetować; wszak coś podobnego i obecnie przytrafić się może. Co do klasy II. — w programach z 1809 i 1816 r. — wspomniano ogólnikowo, że dano uczniom wiadomość o krajach środkowych i południowych Europy. W r. 1819 wyliczono państw jedynaście, na ich zaś czele: Królestwo polskie. W klasie III. porządek nauk z 1805 r. zapowiada zaznajamianie ucznia z podziałem i państwami Azyi i Afryki: w klasie zaś IV. „opisawszy Amerykę zakończy (profesor) naukę jeografii na krótkiem wyłożeniu kuli ziemskiej i niebieskiej". W *Materyach* z 1809 i 1816 r. przypada na klasę III. Azya i Afryka; na IV.: Ameryka a nadto: w 1809 r. ogólny wykład o sferze; w 1816 „pierwszy roździał z *Jeografii* Jana Śniadeckiego o ziemi, jako planecie głównej; o sposobach poznawania różnych miejsc na jej powierzchni, o biegu jej dziennym i o skutkach z tego biegu wynikających."

W trzy lata później w klasie III. mieli wyłożone całą Azyę, jej podział, rozległość, granice, ludność, produkta i t. d., obok opisu szczegółowego: Tartaryi, Arabii, Persyi, Indyi Wschodnich, Chin i Japonii; w kl. IV.: całą Amerykę, Indye Zachodnie, Australię, zakończono zaś naukę — wykładem mapy, czyli tłómaczeniem kart geograficznych.

Że tutaj pewne zmiany nastąpiły — aż nadto z przytoczonych notatek widoczna; choć z drugiej strony przyznać konieczna, że były one nader skromne. I jeszcze jedno: w latach 1805, 1809 i 1816 występuje język francuski połączony z nauką moralną, zapewne więc — jak to było w projekcie początkowym — wykładany przez jednego i tego samego profesora. W r. 1819 natomiast złączono go już z geografią, odbierając ostatni przedmiot profesorowi języka niemieckiego, który w zamian za to objął dodatkowe wykłady nauki moralnej, historyi starożytnej, greckiej i prawa przyrodzonego. Chyba na jedną głowę trochę za wiele.

Język rossyjski szedł stale w parze z wierną swą towarzyszką — arytmetyką. Co do wykładu ostatniego przedmiotu, stał on w pierwszych trzech klasach zawsze na tym samym stopniu; w czwartej natomiast wprowadzono z czasem — w każdym jednak razie już przed 1809 r. — z geometryi wykład kilku pierwszych ksiąg Euklidesa.

Powiedzieliśmy wyżej, że uczniowie w ciągu lat czterech przygotowywali się do słuchania — raczej zrozumienia — wykładów kursowych. I to wiadomo, że te ostatnie trwały lat sześć, podzielone na trzy dwuletnie okresy. Pierwszy z nich nosił nazwę: Nauk matematycznych, tutaj też przedmiot główny wypełniał 10. godzin tygodniowo. Po tyleż godzin przeznaczono historyi powszechnej (wraz z geografią) i nadobowiązkowemu przedmiotowi, który stanowiła początkowo greczyzna, później nauka wymowy. Ulubione łączenie godzin wykładowych w dwójki i tym razem zastosowano, rozkładając je w ten sposób, że w poniedziałki, środy, piątki i soboty — każdy, z wyszczególnionych wyżej, trzech przedmiotów wypełniał po dwie godziny, we wtorki zaś i czwartki po jednej — razem 30. godzin tygodniowo.

Wykład matematyki powierzono Wojciechowi Jarkowskiemu, królewskiemu przysięgłemu geometrze, matematyki elementarnej publicznemu profesorowi. Przedmiot jego rozpadał się na trzy części: geometryę teoretyczną, trygonometryę płaską i geometryę praktyczną. Za podręczniki służyć mają — obok Euklidesa — Szymon Lhuillier, Metzburg, Bezout (?), Liesganig i Ignacy Zaborowski[1]. I tu więc, obok dzieł wydawanych w językach niemieckim i francuskim, posługiwano się pracą przez księdza napisaną. Umarł on w trzecim roku bieżącego stulecia; tak *Geometrya praktyczna*, jak również jego *Logarytmy dla szkół narodowych* doczekały się kilku edycyi. Ostatnia puszczona w obieg 1820 r., odbita w warszawskiej drukarni zgromadzenia ks. Pijarów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle.

---

[1]) Estreicher: III., 103; II. 599; V. 219.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

(Ciąg dalszy).

4. Klasy społeczne i stosunek ich do siebie.

Wszystkie klasy i warstwy ludności, jakie w społeczeństwie XI. wieku istniały, objęte zostały w większej lub mniejszej mierze *Prawdą Ruską*. Ażeby ułatwić sobie rozejrzenie się śród tej ludności i poznanie jej, rozklasyfikujemy ją na trzy działy:

1. Według narodowości lub stanu: R u s i n, S ł o w i a n i n, W a r i a g, K o ł b i e g, c z u ż e z i e m i e c, h o r o ż a n i n, s i e l a n i n, l u d i n, h o s t', k u p i e c.

2. Według stosunku do kniazia: b o j a r y n, o g n i s z c z a n i n, g r i d', s m e r d, o s p o d i n (ospodar), r e m s t w i e n n i k (rzemieślnik), r e m s t w e n n i c a, h o r o d n i k, m o s t n i k, m e t a l n i k, i z g o j, c z a d'.

3. Według stopnia samodzielności lub zależności. Dział ten sam przez się składa się z dwóch klas: ludzi wolnych, do których można zaliczyć: b o j a r a, o s p o d a r a, s m e r d a i niewolnych: r a d o w i c z, z a k u p, r o l e j n y j z a k u p, n a j m y t, c h o ł o p, c h o ł o p o b e l n y j, r a t a j, r a b, r a b a, c z e l a d i n i c z e l a d i n i e c.

W powyższym tedy porządku ludność tę, jakoteż jej stosunki wzajemne rozpatrzymy, o ile to będzie możebne.

Co do pierwszej kategoryi byłyby tu potrzebne niektóre wyjaśnienia filologiczne i historyczne wyrazów nieswojskich, jak n. p. K o ł b i a g, W a r i a g, R u s i n, — takie jednak poszukiwania nie są moim zamiarem i celem. Znaczenie innych nazw zbiorowych nie-

trudne do zrozumienia, gdyż bezpośrednio do stanu lub zatrudnienia się ściąga. Tak więc horożanin i selanin są uogólnieniem i sformułowaniem niejako istniejącej dwoistości gmin: miejskiej i wiejskiej, — o czem poprzednio mówiliśmy; jest zaznaczeniem różnic między dwoma społecznemi odłamami ludności, tem bardziej, że różnice te dotyczyły nietylko stanu, lecz także praw i przywilejów.

Nazwa ludin nic innego nie oznaczała, jak tylko ogólne pojęcie ludności tubylczej, miejscowej w przeciwstawieniu do ludności napływowej, z której wytworzyła się klasa panująca niejako, bo u steru rządu stojąca. Ponieważ prawie żadnej wątpliwości nie ulega, że miasta w znaczeniu wielkich środowisk handlowych albo administracyjnych na Rusi północno- i południowo-wschodniej do przyjścia Warego-Russów prawie nie istniały, te zaś, które istniały, jak Nowogród, Smoleńsk i inne, były wyjątkiem i miały raczej charakter składów cudzoziemskich, — przypuścić tedy możemy, że ludin oznaczało pierwotnie wyłącznie ludność wiejską. Nazwa powyższa, spotykana jeszcze na początku XI. w., później zaciera się zupełnie z powodów bardzo naturalnych: z rozpoczęciem organizacyi państwowej zaczęło się większe różniczkowanie stanów i warstw, a więc powstały nowe nazwy na określenie nowego stanu rzeczy, a dawna, ogólniejsza, zatarła się zupełnie, przynajmniej w pomnikach rękopiśmiennych.

Nazwy gost' i kupeć oznaczają ludzi, zajmujących się handlem: gośćmi nazywano cudzoziemców, którzy ze Wschodem prowadzili handel hurtowy. Mieli oni swoje składy w Nowogrodzie i Kijowie, swoją organizacyę i znaczenie w kraju dość silne, bo już w XI. i XII. w. przeważali w Nowogrodzie i Pskowie, a przy pomocy wytworzonego stanu kupieckiego miejscowego zorganizowali się w Rzpltę. Na południu nie udało się im dopiąć tego celu, skutkiem większego rozwoju samodzielnej władzy książęcej, która górę wzięła nad pierwiastkiem autonomicznym, tkwiącym w organizacyi pierwotnej gminy, istniejącej do przyjścia Waregów.

Znaczenie gości, na początku kształtowania się historycznego ustroju państwowego, było bardzo wielkie. Jakkolwiek niema dowodu, żeby tworzyli oni organizacyę wojskową do przyjścia Waregów, nie ulega wątpliwości, że stanowili siłę — jedyną, z którą książęta waregscy liczyli się i uznawali, a nawet z którą dzielili władzę poniekąd, wysuwając gości na czoło reprezentacyi politycznej tam, gdzie chodziło, jak przy zawarciu traktatu, o powagę u cudzoziemców.

Gost'bą nazywano osobny rodzaj handlu zewnętrznego. Ostatecznym celem takich gości była Grecya, Carogród. Witano ich tam chętnie, a nawet z honorami, wydawano bezpłatnie półroczną prowizyę żywności pod formą chleba, wina, ryb, mięsa, owoców. Gdy chcieli odpłynąć, mogli to uczynić w każdym czasie, a na drogę zaopatrywano ich w żywność, w kotwice, w liny i żagle [1]). Jeżeli przychodzili bez towarów, miesięcznej prowizyi nie pobierali. Nestor nazywa ich imieniem zbiorowem „Ruś"; bardzo być przeto może, że byli to Waregowie, w większych grodach osiedli, lub z „za-morza" przybyli. W pokoju, zawartym przez cesarzów Leona i Aleksandra z Olegiem (r. 907), zawarowano, ażeby do miasta od razu wszyscy nie wchodzili, lecz zatrzymywali się poprzednio na przedmieściu, gdzie urzędnik cesarski spisywał imiona, a potem dopiero partyami po 50 wpuszczano ich bez broni, w asystencyi „męża cesarskiego". Prowizyę miesięczną pobierali porządkiem miast: najprzód z Kijowa, potem z Czernigowa, następnie z Perejasławia, wreszcie z innych miast [2]). Tworzyli oni osobne drużyny kupieckie, dość silne i wielkie, które w razie potrzeby stawały się groźnemi oddziałami wojskowymi.

Występowali tacy goście nietylko w charakterze kupców, lecz także posłów książąt normańskich, jak wiemy, osiadłych już na Rusi, a w poselstwie tem przestrzegali nietyle może pożytku kniaziów, ile własnego. Do jakiej narodowości należeli ci posłowie, nie trudno odgadnąć, przejrzawszy długi spis kilkudziesięciu nazwisk tych, którzy w imieniu Igora posłowali do cesarzów Romana, Konstantyna i Stefana, — niema pośród niego ani jednego słowiańskiego nazwiska [3]).

Nie zawsze jednak wyraz: gość oznaczał kupca. W wielu razach Nestor używa go w zwykłem słowiańskiem znaczeniu, mówiąc o ludziach, przybywających w odwiedziny [4]). Dowodzić tego chyba nie potrzeba.

Różnica między gościem, który prowadził hurtowny handel zagraniczny, posiadał składy i brał od innych towary do spienię-

---

[1]) A. Biel.: Monum. pol. hist. I., 567, 573. Ostatnie miejsce: „i da tworjat im mow jeliko chotiat", „niech mają kąpiel, ilekroć zechcą", wskazywałoby, że o łaźni parowej tutaj mowa, nie zaś o kąpieli zwykłej, które były dostępne dla wszystkich.

[2]) ibid. 574.

[3]) ibid. 588.

[4]) ibid. 598.

żenia [1]) (w gost'bu), a zwyczajnym kupcem, przekupniem, który zbierał tylko surowe produkty do handlu (kupla), zacierało się z czasem. Musiało to nastąpić z konieczności, z przyczyn po prostu współzawodnictwa, do czego przyczyniły się także zmieniające się stosunki, wynikające z rozpoczętej organizacyi państwowej.

Te właśnie zmieniające się stosunki wytwarzały nowe zupełnie klasy ludności. Osią wszelkich zmian stał się kniaż: on miał władzę, siłę, własną sferę interesów materyalnych i dynastycznych; według tej dyrektywy przeto kształtować się musiały lub przeobrażać się podstawy ustroju społecznego a więc i państwowego.

Przedewszystkiem skupiła się gromadka ludzi koło osoby kniazia, jako najwyższego wodza: jedni nieśli mu na posługę oręż i ci mieli stanowisko wybitne, bo na drużynie orężnej opierała się przewaga kniazia, a nawet jego powaga; drudzy dawali posługę bezpośrednią lub pracę, inni wreszcie występowali w charakterze urzędników cywilnych. Pierwszą grupę pośród tej nowo tworzącej się warstwy ludności stanowili bojarowie, drugą — urzędnicy publiczni (horodnik, mostnik, metalnik), trzecią rzemieślnicy, których obowiązkiem było przysposabianie środków do materyalnego utrzymania zarówno kniazia, jak i drużyny kniaziowskiej (smerd, remstwiennik, remstwiennica); wreszcie służba pokojowa i orężna kniazia (grid', czad').

Poza obrębem niejako tego uwarstwienia, które spostrzegamy w bezpośredniem otoczeniu kniazia, poza gminą miejską, następuje także przeobrażanie się gminy wiejskiej i form posiadania ziemi, skutkiem czego bądź wytwarza się nowe uwarstwienie ludności, bądź nowe ustosunkowanie jej do kniazia (ospodar, ogniszczanin).

Charakter i stosunek do kniazia niektórych warstw i klas określiliśmy już poprzednio, — mianowicie: stanowisko bojarów, smerdów i rzemieślników w przeobrażającym się ustroju społecznym; wracać tedy do przedmiotu tego nie będziemy. Wyjaśniliśmy także rolę niektórych urzędników cywilnych (mostnik, horodnik). Chodziłoby tylko o etymologiczne wyjaśnienie niektórych przynajmniej nazw, co jest tem potrzebniejsze, że taką drogą możemy dojść niekiedy do określenia zależności różnych warstw do książąt, państwa, jakoteż klas innych.

Co oznaczała n. p. nazwa „bojar“? Od zaczątku dziejów przeszła ona przez całe życie polityczne Rusi, zatraciła się w XVIII. wieku, dopiero skutkiem gwałtownego cywilizowania nowożytnej

[1]) Antiq. mon. juris slov. str. 19.

Rossyi przez Piotra i Katarzynę, chociaż utrzymała się jeszcze na Wołoszczyźnie w znaczeniu posiadaczy ziemi. Źródłosłowem tego wyrazu jest bój, o czem mówiliśmy szerzej w dopiskach i przy określeniu stosunku drużyny do kniazia. Nie ulega przeto żadnej wątpliwości, że pierwotnie „bojar“ znaczył tyle co wojownik. Późniejsze ciągłe identyfikowanie bojarów i drużyny zdaje się ten domysł potwierdzać; pierwsza z tych nazw oznaczała wojownika, druga stosunek tego wojownika do kniazia — przyjacielski, zbliżony. Na oznaczenie doradców mają kronikarze wyraz: starci i łuczii ludie albo naroczityje, a chociaż doradczy głos posiada także drużyna, ale z faktów tych, notowanych przez latopisców, widać, że miał on charakter narady wojskowej. Posiadłszy ziemię, zawsze z łaski kniazia, powoli usuwali się bojarowie od wojenki, a obok nich często stawała już do walki albo rat' zaciężna, albo pospolite ruszenie (ludie ot mała do wielika).

Zagadkowa nazwa smerd nie została dotychczas wyjaśnioną, a jakkolwiek stosunek jej zależności od kniazia w XI. i XII. w. zaznaczyliśmy wyżej, to jednak mieli smerdowie inne jeszcze prerogatywy, mianowicie: do obrony kraju powoływani byli. Tworzyli więc klasę ludzi na pół wolnych, na pół wojskowych, posiadających zupełną swobodę indywidualną [1]). Jakkolwiek pracowali na roli, nie byli ludnością wyłącznie rolniczą, do roli przykutą [2]), jak mniemał Karamzyn, identyfikując smerdów z późniejszymi pańszczyźnianymi chłopami (czornyje ludi). W nazwisku ich nie było również nic upokarzającego, jak sądził Rakowiecki [3]). Być może, że etymologiczne wyjaśnienie tego wyrazu rzuci na niego pewne światło, chociaż nie wpłynie to w niczem na znaczenie smerdów społeczne, dające się zupełnie wyrozumieć ze źródeł współczesnych. W XI. i XII. wieku smerdowie są już słowianami, tubylcami, chociaż nazwa sama jest niesłowiańską i zapożyczoną może została od sąsiadów, z którymi książęta północno- i południowo-wschodniej Rusi ustawiczną walkę prowadzili. Kniaziowie bierali w walce z Pieczyngami, Połowcami, Czarnymi Kłobukami i innymi plemionami „połon bezczislen“ [4]), osadzali tedy tych połonieńców na swojej roli, na swoich folwarkach, kazali pracować na siebie. Z tej też racyi ochraniali ich więcej od innych. Taki był początek smerdów. Potem pewien stosunek

---

1) Rulikowski i Radzimiński: Kniaziowie i szlachta, I., str. 284, nie słusznie zaliczają ich do ludzi stanu niewolnego.

2) A. Bielowski: Monum. I., 778, 810, 822.

3) Rakowiecki: Ruska Prawda. I., 92.

4) A. Bielowski: Monum. I., 572, 578.

ludności krajowej do kniazia, taki sam jak smerdów, ułatwił przeniesienie nazwy obcej na ludność tubylczą i utrwalenie tej nazwy. Smerdowie u Połowców oznaczali niższy stopień wojska, może ciurów. Włodzimierz Monomach wyraźnie powiada: „pojmaliśmy kilku smerdów“ [1]). Bierano ich i po kilkaset. Jako jeńcy wędrowali oni pewnie z Bolesławami do Polski, siadali na roli królewskiej, dawne zachowując nazwy a może i prawa [2]), gdyż we dwa przeszło wieki potem nadania Kaźmierzowskie zaznaczały różnicę między smerdami a rolnikami, przywiązanymi niejako do ziemi.

Godną jest rzeczą zanotowania, że nazwa kmieć, tak powszechna u nas, do prawodawstwa XI. i XII. w. nie weszła, chociaż znaną była i używaną w charakterze wyróżnienia. Włodzimierz Monomach, wyliczając w swojej *Nauce* czyny różne ku pamięci dzieciom, notuje nazwiska książąt połowieckich, wziętych do niewoli, pośród których było kilkunastu „młodych kmieci“ [3]). Kronikarz współczesny prawie, opisując ucztę, wydaną przez Izasława (1150) Węgrom, powiada, że Kijowianie przyglądali się z podziwieniem „ilości ich, kmieciom (kmetswu) ich i koniom ich“ [4]). Piewca wojny Igora używa także wyrazu kmieć w znaczeniu wojowników, malując to znaczenie jędrnym, obrazowym i poetycznym językiem [5]). W końcu XII. w. zginęło prawie zupełnie nazwisko kmiecia z kart kronikarzy.

Z kolei wypada nam mówić o ogniszczaninie. W zastanawianiu się nad znaczeniem rozmaitych nazw ludności, składającej przeważnie gminę wiejską, i nad określeniem wzajemnego stosunku tej ludności zarówno do siebie, jak i do kniazia, nie będziemy się trzymać żadnego porządku. Można byłoby przyjąć ten system, ażeby z początku mówić o ludności wolnej, później o niewolnej lub od-

---

[1]) A. Bielowski: Monum. I., 875.

[2]) Lelewel: Pol. wiek. śred. III., 118: „villam Kaszów cum adscripticiis; villam Czułów cum *smardonibus*.“

[3]) A. Bielowski: Monum. I., 878.

[4]) Połn. sobr. rus. liet. II., 56.

[5]) Małaszow: Słowo o poł. Ig. str. 51.

A moi te Kuranie świedomy kmety:
Pod trubami powity,
Pod szełomy wżlelejany;
Puti im wiedomy,
Jarugi im znajemy,
Tuli otworeni,
Szabli izostreni . . .

wrotnie, ale ponieważ bardzo rzadko da się tu pociągnąć wyraźnie zamarkowana granica, nie widzę dostatecznej racyi trzymania się takiego podziału. Ponieważ jednak podział według stopnia zależności obejmuje ludność przeważnie rolniczą, przeto jako o takiej mówić będziemy kolejno o każdej warstwie lub stanie.

W objaśnieniach nazwy i stanu ogniszczan panuje zamęt prawdziwy. A. W. Maciejowski, idąc za Karamzynem i Ewersem, zalicza ich do ludności miejskiej, opierając się, jak się zdaje, na dzisiejszem znaczeniu wyrazu ognisko (dom). Tylko w ruskiem prawodawstwie — powiada — dopatrzeć się ich można; w starodawnym (nie zbyt ścisły wyraz) słowniku czeskim, jako wyzwoleńcy wspomniani, nie przeszli w statuta. Snać równo ze smerdami pod władzę należeli księcia, który ich pod zarząd osobnych poddawszy Tiunów, w czterykroć większą niż innym nawiazkę (wynagrodzenie za rany) przyznał. Przed innymi w Nowogrodzie stali na czele mieszczaństwa i do obrad należeli publicznych. W XVI. w. znikli, przeszedłszy w poczet bojarów miejskich [1]). Podobnego zdania trzymał się Polewoj [2]), a Tatyszczew utrzymywał, że byli tylko urzędnikami policyjnymi w miastach, na wzór istniejących jeszcze w XVIII. w. ogniewszczyków, rodzaju straży pożarnej.

W innym kierunku jednak prawdy szukać należy. Przedewszystkiem uderza ta okoliczność, że nazwa powyższa nabrała rozgłosu u Słowian północno-wschodnich, nieznaną zaś była zupełnie w Polsce i na południo-wschodzie. Dla wyjaśnienia znaczenia nazwy ogniszczanin w XI. i XII. w. musimy użyć metody badania odwrotnej i z objawów późniejszych o wcześniejszych wnioskować.

Ogniskiem — ogniszcze — dotąd w gub. Archangelskiej, Wołogodzkiej i Wiatskiej, nazywa się las wypalony dla posiewu zboża albo lnu, a rolnicy, którzy w ten sposób gospodarują, nazywają się powszechnie ohniszczanami [3]). Napotykanie nazwy

---

[1]) A. Maciejowski: Hist. praw. sł. II. 129.

[2]) Istor. russ. nar. II., 314.

[3]) Jewgienij metrop. *Ist. Kniaż. Pskow.* I., 42. System gospodarstwa wypalającego nazywa się dotychczas w Rossyi: „liadnoj, ogniewoj, podsieczńyj". (A. Jermołow: *Organiz. Polewoho chaziaj.* I., 70). Tenże autor powiada (I., 147): „wyżeg liesa nazywajetsia u nas podsiekom ili liadom; wyżeg kustarnika syrosiekom; wyżeg diorna — kubyszom. Obszczeje-że nazwanije takich kultur ogniszcza ili pały. Podobne gospodarstwa w XV. w. były jeszcze na Litwie. Czytaj o tem Gwagnina: *Kronikę Sarmacyi Europejskiej*, str. 214, wyd. Turow.

takiej u Nowogrodzian da się usprawiedliwić stosunkami rolniczymi. Mała ilość roli uprawnej obok zwiększającej się ludności, z drugiej strony obfitość lasów, nakazywały poniekąd zdobywanie potrzebnej ziemi za pomocą wypalania przestrzeni, zadrzewionych niskopianym lasem, przez wypalanie po prostu lasów. Nie spotykamy ogniszczan jako rolników u Polan, na południu, gdzie ziemi było podostatkiem dla wszystkich, nie spotykamy nawet w Polsce, gdzie skutkiem kolonizacyi wcześnie poczęto tworzyć wsie i osady na nowym korzeniu, za pośrednictwem karczunku.

Tak więc ogniszczanie, zrodzeni niejako z potrzeby ekonomicznej, znaleźli się z czasem mimo woli i wiedzy pod władzą książęcą prędzej od innych, gdy kniaziowie we własnym interesie rozdawnictwo ziemi, tam przynajmniej, gdzie można było, w swoje zagarnęli ręce. W ten sposób pewna część ludności, wysiedlając się z gmin macierzystych, lub otrzymawszy część ziemi od kniazia, zakładała już nie nową gminę, lecz nowe ognisko, nowy dom, dwor (folwark), nowe gospodarstwo na wypalenisku i stawała w stosunku bezpośredniej zależności od kniazia. Od sposobu, w jaki zdobywali rolę, zwali się ogniszczanami, t. j. ludźmi, siedzącymi na ognisku, na nowej osadzie, od czego i ziemia wypalona nazwaną została w przenośni ogniskiem. Na czem mianowicie polegała zależność ich od kniazia — bawić się w domysły nie chcemy; opierając się jednak na zasadzie stosunku do kniazia, pobierającego pewną daninę, przypuścić należy, że musiał im udzielać większych praw i przywilejów, niż posiadała ludność gmin, nie zawsze uznająca władzę książęcą spokojnie. Jako ludzie, którzy w stosunku z księciem byli, łatwiejszy znajdowali dostęp na „kniaży dwór", do urzędów, a skutkiem tego i wpływ zdobyli. Znajdując się w bezpośredniej zależności od kniazia, ogniszczanie tworzyli jakby odrębną korporacyę, złożoną bądź co bądź z ludzi więcej rzutkich, zręcznych, nie lękających się nowatorstwa, jakimi są w ogóle wszyscy koloniści. Wydzieliwszy się z gminy, wszedłszy w ściślejszy stosunek zależności od kniazia, wytwarzać poczęli nowe uwarstwienie nie skutkiem jakiegoś nowego, odrębnego sposobu gospodarowania, ale skutkiem odrębnego stanowiska względem kniazia. Nie tracąc praw osobistej wolności, stawali się, dzięki swemu stanowisku, warstwą pośrednią między bojarami, ospodarami a „ludynami", ludźmi, tworzącymi gminę odrębną, autonomiczną. W tym charakterze zbliżali się do boku kniazia, osiadali w miastach i dosługiwali się urzędów, gdy zwykły „ludyn" sielski wcale się do kniazia nie garnął. Posiadali oni wszyscy równe prawa i przywileje, większe od ludności,

siedzącej na roli gminnej, i z czasem wytworzyli rodzaj odrębnej korporacyi, na czele której stał Tiun ogniszczański, tak samo, jak mężom kniażym, smerdom przodował Tiun kniażyj, a w obczy, w werwi — Tiun sielski i ratajnyj. Urząd Tiuna odpowiadał mniej więcej pojęciu naszego wójta i sołtysa, którzy oprócz władzy administracyjnej i policyjnej posiadali także z ramienia książąt władzę sądowniczą.

Opierając się na takim wykładzie nazwy ogniszczan, możemy sobie łatwiej wytłumaczyć, dlaczego Tiun ogniszczański oceniony był na 80 grzywien, głowa zaś Tiuna ratajnego i sielskiego tylko na 12 [1]).

Nic przeto dziwnego, że przy warunkach sprzyjających ogniszczanin wzmógł się szybko w znaczenie i bogactwo, a dla wojenki i handlu zbliżywszy się do miasta, przy boku kniazia poczesne miejsce zajął, tak jak zajmowali w Polsce ziemianie, panowie, szlachta — w ogóle posiadacze ziemi. Przez służbę w drużynie stanął obok kniazia i na wiecu wybitny udział przyjął [2]). W południowo-wschodniej Rusi wcale ogniszczanów nie było, a miejsce ich w przeważnej części zajęli bojarowie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fr. Rawita.

---

1) A. Kucharski: Antiq. mon. juris slov., str. 7, §. 7, 9.

2) Płoszczański: Gorodskoje sost. Russk. naroda, str. 42, pod r. 1166: „Rostisław pozwa Nowgorodci na porad: ogniszczanie, grid', kupci wiaczszii“ (znakomitszych); r. 1195: „Nowgorodci na otpiraszesia jemu, idosza z kniaziem Jarosławom ogniszczanie, grid'ba i kupci.“

KORZENIOWSKI I TEATR LWOWSKI

(1822 — 1844).

III.

(1840—1844).

(Dokończenie).

Rękopis *Żydów* przyszedł wreszcie do Lwowa. Było to w marcu lub kwietniu r. 1843 [1]). Datę uzupełniamy, bo króciutki liścik na ostatniej stronicy rękopisu wcale jej nie posiada. W każdym razie w maju miała już dyrekcya teatru lwowskiego rękopis w swojem ręku [2]).

Początek listu odnosi się do nowego utworu: „Otóż masz kochany Panie Antoni! ramotę długą — z duszy pragnę, aby się wam podobała. Może się to niektórym Panom naszym nie wyda — ale cóżem ja temu winien? niech golą brody — niech nie będą szulerami, nieludzkimi itd., a nikt im chrztu nie zaprzeczy. — Nowakowski, jak sądzę, będzie grał komornika — czy nie wziąłbyś roli Arona? zresztą jak sobie ułożycie. Pewny jestem waszego dobrego serca, życzliwości dla mnie, a zatem i staranności, z którą ta sztuka będzie wystawiona. Bądź łaskaw donieś mi zaraz po odebraniu, jak ci się wyda? czy spodziewasz się dla niej sukcesu? ja taki jestem tchórz, że zupełnie sobie nie wierzę. Poproś tego, kto będzie grał Antoniego Star(oświęckiego), aby scenę w księgarni odegrał z takiem czuciem, z jakiem ją pisałem. Wszakto historya

---

[1]) W liście poprzednim z 11. lutego r. 1843 pisał autor, „że najdalej za miesiąc otrzymacie“ „Żydów“.

[2]) Gazeta Lwowska z 27. maja r. 1843 (str. 409—410) donosi, że dyrekcya teatru przeznacza połowę dochodu i wszelką nadwyżkę z przedstawienia „Żydów“, mającego odbyć się w czasie kontraktów, na korzyść pogorzelców miasta Żmigrodu.

nas wszystkich, a może i jego własna. W roli Arona nie należy bardzo łamać języka. Taki żyd szene-moreyne tłumaczy się dosyć czysto, oprócz właściwego akcentu, który konieczny. Pani Szenionowa niech się wyuczy dobrze roli, żeby się ani zająknęła, a będę jej bardzo wdzięczny. Nakoniec powtarzam jeszcze, że się oddaję waszej życzliwości" [1]).

Dalszy ciąg listu na rękopisie *Żydów* mieści jeszcze niektóre wiadomości. Korzeniowski zachęcony tem, że w przeciągu połowy lutego grano w Warszawie cztery razy *Umarłych i Żywych*, miał ochotę przesłać tam *Starego Męża*, ale bał się, czy przepuści go cenzura ze względu na występujących tam szaserów. Pisał jednak, że spróbuje... Dla teatru lwowskiego natomiast przyrzekał przysłać wkrótce dwie „fraszki" jednoaktowe: *Fabrykanta* i *Zaręczyny Aktorki*. „Jeszcze ich wprawdzie nie zaczynałem, — pisze — ale idzie tylko o napisanie, a to już rzecz mała — grunt, aby były w głowie."

Serdeczne pozdrowienie dołącza dla „swego recenzenta", Dobrzańskiego, z artystów zaś przedewszystkiem dla Nowakowskiego; dopytuje się wreszcie, co słychać o dyrektorze Kamińskim. Jak w jednym z listów poprzednich, tak i tu radzi jeszcze raz, ażeby ktoś ze Lwowa posyłał wiadomości literackie do *Tygodnika Petersburskiego*, będącego (jak pisze) organem tych prowincyi, w których przebywał Korzeniowski. „Choć niezupełnie życzliwy dla was, dodaje, ale cóż to szkodzi?" Myśl przybycia do Lwowa i ujrzenia prac swoich na scenie lwowskiej nie opuszcza go w Charkowie. I tutaj mówi: „Wiele razy kończę list do ciebie, zawsze mi się chce napi-

[1]) Z ciekawością może ktoś zapyta, jak wyglądają rękopisy utworów, które są w naszem ręku, a mianowicie rękopisy „Umarłych i Żywych", „Starego Męża" i „Żydów", i w jakim stosunku pozostają te rękopisy do drukowanych tekstów. Powiemy więc tutaj, że wszystkie trzy utwory spisane są przez autora własnoręcznie (z wyjątkiem „Żydów", których połowę przepisała inna ręka) na papierze listowym, pismem wprawdzie zupełnie wyraźnem, ale drobniutkiem i nadzwyczajnie ścisłem ze względu na ówczesną bardzo znaczną opłatę pocztową. Rzeczy przeznaczone dla teatru wysyłał Korzeniowski zupełnie już opracowane i wykończone. Później do druku robił tylko bardzo małe poprawki, poprawki li tylko stylistyczne. Tu i owdzie zastąpił jakiś wyraz innym, dosadniejszym lub gładszym, opuścił lub dodał kilka słów lub króciutkie zdanie. To ostatnie odnosi się zwłaszcza do wskazówek dla reżysera lub artystów. Wszystko to bardzo drobne zmiany, nie wpływające nietylko na całość utworu, ale nawet na jego ustępy.

sać: do widzenia! Czy to wróżba? O dałby Pan Bóg — jak byłbym szczęśliwym!“

Żydów przedstawiono we Lwowie dnia 8. grudnia r. 1843; już jednak 3. czerwca podał *Dziennik Mód Paryskich* czytelnikom swoim wyjątek z rękopisu [1]) tej komedyi, mianowicie znaną scenę w księgarni [2]). Poprzedził wyjątek ten króciutki wstęp o „wysokiej wartości“ najnowszej pracy Korzeniowskiego, którą sprawozdawca odczytał „z wielką roskoszą“ i której przedstawienia na scenie lwowskiej oczekiwał z niecierpliwością. Radośnie zapowiada również *Żydów Gazeta* [3]) trzy dni przed okazaniem się ich na deskach teatralnych, ciesząc się, że zawsze dotąd scena lwowska występowała pierwsza z utworami autora *Starego Męża*. Nie dziw, że wobec tego i publiczność na długo przed przedstawieniem zajmowała się nową komedyą, oczekując jej z prawdziwem upragnieniem.

„Przy niepamiętnym oddawna natłoku“ odegrano wreszcie *Żydów* dnia 8. i 11. grudnia, po raz trzeci i czwarty dnia 20. grudnia r. 1843 i 5. lutego r. 1844 [4]). Komedya wywarła wielkie wrażenie na ogóle. Usiłowania wszystkich artystów składały się na to, ażeby stworzyć całość jak najbardziej wykończoną. Grano ze zwykłą czcią i uszanowaniem dla płodów znakomitego autora, nawet w rozdziale ról zastosowano się, jak zobaczymy, do jego życzeń. Palmę pierwszeństwa przyznawano znowu Nowakowskiemu w roli komornika Staroświeckiego. Robiono podczas przedstawienia uwagę, — mówi *Dziennik Mód Paryskich* — „że z Nowakowskim zstąpił (!) do grobu kunszt przelewania w widzów tego, co w życiu dawnem najpiękniejszego znaleść się może... Był on i tego wieczora roskoszą widzów.“ Chwalono dalej bardzo Benzę, który, spełniając wolę autora, grał Arona, a pamiętał tak bardzo o jego prośbie, że w wymowie nie łamał zbytnio polskiego języka: chwalono Aszpergerową za postać hrabiny. Przyznawano wreszcie wszystkim innym, że starali się stanąć na wysokości zadania, a byli w gronie występujących artystów tacy, jak Dawizon (Antoni) i Smochowski.

I krytyka lwowska przyjęła *Żydów* z wielkiem i szczerem uznaniem. Obszerniejsze sprawozdania z samego utworu i przedstawień na scenie podały (zachowamy porządek chronologiczny) *Lese-*

---

[1]) „Żydów“ wydrukowano w Wilnie w tymże r. 1843, data jednak cenzury jest: 24. lipca r. 1843.

[2]) str. 94—96.

[3]) Gazeta Lwowska r. 1843 str. 948.

[4]) Tamże r. 1843 str. 956, 975, 990 i r. 1844 str. 101 (przynajmniej na dzień 5. lutego zapowiedziano „Żydów“).

blätter, w których podpisał się pseudonim Siborn [1]), *Gazeta Lwowska* [2]), *Dziennik Mód Paryskich* (August Bielowski) [3]) i *Orędownik* poznański z r. 1844 [4]). *Orędownik* wydrukował o *Żydach* korespondencyę jakiegoś K. T., lwowianina, napisaną 10. grudnia r. 1843, a więc zaraz po pierwszem przedstawieniu. Sąd ogólny o tem dziele autora *Krewnych* zbliżał się wielce do sądu krytyki dzisiejszej doby. Uznawano je za jedno z najlepszych autora. Podnoszono przedewszystkiem w tej komedyi bogactwo postaci z różnych sfer i śmiałą a wyborną ich charakterystykę, podziwiano realizm w odtworzeniu obrazu z współczesnego życia polskiego i współczesnych obyczajów; wskazywano na wiele wzniosłych ustępów, na dyalog gładki a zarazem cięty i zastosowany do okoliczności, na piękny język. Wołano podobnie, jak autor recenzyi w *Gazecie Lwowskiej*: „dzięki i sława… poecie, że naszą scenę tak pięknym dramatycznym wzbogacił obrazem."

Zaznaczano jednak już i wówczas, że nie stworzył autor w komedyi tej arcydzieła, nie dał bowiem w niej jednolitej, silnie ze sobą spojonej całości. Obok tego wypowiadali recenzenci, jak zawsze to bywa, swoje indywidualne zapatrywania. Recenzent *Gazety Lwowskiej* uważał *Żydów* raczej za dramat, aniżeli za komedyę; „pod piórem autora — mówił on — poważnieją komiczne postacie, każdy charakter wybiega na pole dramatu", zakończenie zaś jest tragiczne. Inny recenzent (Siborn w *Leseblätter*) zauważył słusznie, iż nie jest to komedya typów, ale charakterów, robił nawet z tego poniekąd zarzut autorowi. Uwagi obu recenzentów nie ostały się. Pojęcie komedyi rozszerzyło się już wówczas, kiedy Korzeniowski rzecz swoją pisał, a dzisiaj Chmielowski uważa to za jedną z największych zasług Korzeniowskiego w literaturze polskiej, że po świetnej komedyi typów Fredry, wprowadził on polską komedyę indywidualnych charakterów. Wreszcie korespondent *Orędownika*, zaznaczając bardzo silnie swe postępowe stanowisko, występował w długim wywodzie przeciw temu, że Antoni i Zofia zrzekli się ukoronowania swej miłości małżeńskim węzłem. Przesąd to i prawie słabość charakteru — osobista wartość i siła miłości równa wszystkie stany. Dodajmy, że w kilka miesięcy później i Karol Szajnocha nazwał to zrzeczenie się

[1]) r. 1843 str. 563—564.
[2]) r. 1843 str. 975—976.
[3]) r. 1843 str. 208. Porówn. Estreicher: „Korzeniowski Józef". Rozmaitości r. 1858 str. 180, jak również niniejszą pracę, str. 356 uw. 7.
[4]) nr. 21—23.

osobistego szczęścia przez kochanków „niedołęstwem i niemocą“ nawet popędów serca u klas wyższych [1]).

W listopadzie r. 1843 miał już Benza w ręku *Fabrykanta* [2]), którego Korzeniowski przyrzekał z początkiem tego roku. *Dziennik Mód Paryskich*, umieszczając zaraz po przysłaniu kilka scen z nowego utworu, nazywa go „jednym z lżejszych płodów autora“ [3]). Wystawiono *Fabrykanta* 19. stycznia r. 1844; w tym samym roku grano go jeszcze trzy razy [4]). Recenzent *Gazety Lwowskiej*, może Karol Szajnocha, wówczas już współpracownik *Gazety* [5]), pierwszy wypowiedział to, czego, jak wykazywaliśmy, dotykali przedtem i inni, ale nie zdołali jeszcze jasno i wyraźnie określić. Korzeniowski pierwszy — mówi on — wprowadza do naszej literatury oryginalny rodzaj komedyi, która nie jest naśladowaniem ani sztucznie zbudowanych utworów francuskich, ani płaskich utworów niemieckich, ale jak najwierniejszem odtworzeniem naszego życia i naszych obyczajów. Osnowa jego komedyi wolna jest zupełnie od niepotrzebnych powikłań, a układ jak najprostszy. Słowem — dodajmy od siebie — jestto polska komedya charakterów, ale — dodajmy także — szczepiona tak dzielnie na naszym gruncie wedle wskazówek i wzorów, które można już było znaleść w nowszej francuskiej komedyi, począwszy od Scribe'go. Zwraca się potem autor do *Fabrykanta*, mówi, że i ta komedya nosi na sobie cechy talentu Korzeniowskiego, mówi o artystach sceny lwowskiej, że grali *con amore*, jak zawsze w sztukach Korzeniowskiego. Niech nam — pisze — zazdrości autor, że nie widział w tej sztuce pań Rudkiewiczowej i Aszpergerowej, panów: Benzy, Dawizona, Rudkiewicza, i niech się dowie, że się stał polubieńcem lwowskiej publiczności [6]). Benza grał rolę tytułową; jeszcze w rok potem, gdy już ustąpił ze sceny, przypominano sobie jego mistrzowską grę w tej właśnie roli [7]).

Tak dotarliśmy do początku r. 1844. Rozpoczynała się w życiu Korzeniowskiego epoka coraz większego rozgłosu, niosąc z sobą wiele przyjemności, ale też, jak to zawsze bywa, i niejedną przykrość.

---

[1]) Gazeta Lwowska r. 1844 str. 488.

[2]) Tamże r. 1843 str. 948.

[3]) Tamże r. 1843 str. 197—200.

[4]) 1. marca, 11. października i 20. listopada. Gazeta Lwowska r. 1844 str. 56, 176, 788 i 896.

[5]) Od końca r. 1843. Zobacz Kantecki: Żywot Szajnochy w X. tomie „Dzieł“ Szajnochy str. 282—283.

[6]) Gazeta Lwowska r. 1844 str. 101.

[7]) Tamże r. 1845 str. 1010.

We Lwowie doszedł on już do szczytu powodzenia i uznania. Jak to powodzenie było stopniowo coraz większe, śledziliśmy rok po roku; teraz nazwisko Korzeniowskiego spotykamy bardzo często zarówno na scenie lwowskiej, jak i w lwowskich pismach. W roku 1843 zapowiadają afisze teatralne dziesięć razy przedstawienia sztuk Korzeniowskiego, co zestawiając z ogólną roczną ilością przedstawień w tutejszym teatrze, okazuje się wielce korzystnem dla naszego autora.

Lwów przyswoił sobie, że się tak wyrazimy, Korzeniowskiego na własność, pisma lwowskie nazywają go teraz „naszym" Korzeniowskim. Jakiś L. ze Lwowa w liście do redakcyi *Biblioteki Warszawskiej*, pisanym w styczniu r. 1844, wyrzucał Warszawie, że Korzeniowski, „poeta w całem tego słowa znaczeniu" i o „potężnym talencie" nie zwrócił tutaj należytej uwagi, nawet po stworzeniu *Karpackich Górali* i *Żydów* [1]). Przyzwyczajono się tak dalece do oglądania utworów Korzeniowskiego najpierw we Lwowie, że gdy posłał *Pannę Mężatkę* wprzód do Warszawy, pisano o nim z początkiem kwietnia tegoż roku z pewną przymówką, że „sprzeniewierzył się" tutejszej scenie. W miesiąc jednak potem, w połowie maja, przysłał Korzeniowski i do Lwowa *Pannę Mężatkę* i *Okno na pierwszem piętrze* [2]).

Wieńczył wreszcie Lwów swój tyloletni a tak serdeczny stosunek do Korzeniowskiego przedstawieniem dramatu *Karpaccy Górale* dnia 21. czerwca r. 1844. Dramat ten ze „śpiewami i tańcami", jak opiewało ogłoszenie w *Gazecie Lwowskiej*, z muzyką dorobioną do dwu znanych śpiewów przez artystę Nowakowskiego, dawano na dochód żony dyrektora, Apolonii Kamińskiej, artystki żyjącej już w tych czasach więcej sławą nabytą w przeszłości. Grała tu Kamińska rolę matki bohatera — Marty.

Cztery lata minęły od czasu, jak autor przysłał do Lwowa *Karpackich Górali* — od roku był już ten dramat ogłoszony drukiem. Wielce więc radośnem zdarzeniem musiało być dla niego wystawienie tego „ulubionego dziecka", jak dramat sam nazywa. Dla czego stało się to właśnie teraz, jakie zabiegi wyrobiły zezwolenie cenzury i o ile trzeba było zaprowadzić w sztuce zmiany — wszystko to pokryła mgła tajemnicy. To pewna, że były w sztuce zmiany. Rzuca na nie pewne światło sam Korzeniowski, pisząc 30. czerwca

[1]) Biblioteka Warszawska r. 1844, I. str. 689.

[2]) Gazeta Lwowska r. 1844 str. 287 i 412. — Notatka Korzeniowskiego (Dzieła XII.) zapisuje, że „Okno" powstało w roku 1841. Z tego, co mówimy powyżej, wypada rok 1844 lub w ostatecznym razie koniec roku 1843.

r. 1844 z rozdrażnieniem do Benzy: „Afisz *Góralów* odebrałem. Pocóż tam takie przemiany? czyż na mandataryusza nie pozwoliła cenzura? czy strzelec gorszy od hajduka? czy Rewizorczuk zawadzał, że go przezwano Dobiasiem? Jakiż to Kuźma, przyjaciel Antosia?" Bądź co bądź, czy dramat przedstawiono z większemi, czy z mniejszemi zmianami — odbył on chrzest na scenie.

I znowu zapisują roczniki teatru lwowskiego, że nie pamiętano „takiego natłoku" w amfiteatrze, chyba na *Żydach* tegoż autora. Jedno jedyne pióro (zapewne z winy cenzury) przekazało nam wiadomość o tem przedstawieniu — pióro Karola Szajnochy w *Gazecie Lwowskiej*, który podpisał artykuł swój pierwszemi literami. Dość obszerne to sprawozdanie wskazuje, że Szajnocha nie był zbyt pobłażliwym sędzią. Powiada on, że „gra aktorów nie wzniosła się do ostatniego . . . szczebla doskonałości", robi zarzuty beneficyantce Kamińskiej, Nowakowskiemu (Maksym), Aszpergowej (Prakseda) i Rejmersowi (Prokop); natomiast „podporą i duszą" całego przedstawienia był zdaniem jego Smochowski w roli Antosia, który w scenie ostatniej okazał się wprost „godnym podziwienia". Zarzuca dalej sprawozdawca, że na przedstawieniu było za dużo śpiewów, muzyki i baletu — „większa część tego wszystkiego, dodaje, była zupełnie niepotrzebna" w poważnym dramacie. Nie darował Szajnocha i publiczności, zapisał bowiem ku wiecznej pamięci na kartach *Gazety*, że „największy entuzyazm u publiczności na przedstawieniu arcydzieła Korzeniowskiego wzbudził taniec JMP. Szczepańskiej z JMP. Tschirschnerem".

„Arcydzieło" to ocenił Szajnocha bardzo pochlebnie. *Żydzi* i *Karpaccy Górale* są, jak powiada, „nietylko najpiękniejszymi utworami Korzeniowkiego, ale w ogólności, oprócz *Krakowiaków i Góralów* Bogusławskiego, co do myśli i ducha najsamodzielniejszemi zjawiskami sceny polskiej." W przeciwieństwie do *Żydów*, przedstawiających śmieszności, wady i zepsucie pewnych warstw naszego światka — *Karpaccy Górale* malują „całą naturalną pierwotną dzielność gminnego serca." I w tym kierunku nie popadł autor dramatu w przesadę. „Możnaby mu zarzucić raczej zbytnią prostotę i pojedynczość, brak wszelkiego dramatycznego związku i zawikłania, niedostateczne umotywowanie głównych i w rzeczy samej uzasadnionych wypadków, przeciągłe czasem powtarzanie się — słowem pewną artystyczną niedoświadczoność, która robiąc z zamierzonego dramatu dramatyzowaną tylko powieść (zgadzał się z tem także jakiś X. w *Gazecie Lwowskiej*, sądząc po stylu, może Kamiński), przypomina nam mimowolnie owe

pierwotne greckie czasy Tespisa, kiedy dramat zaczął się od prostej pieśni i gminnego opowiadania." Zarzut ten jednak, na który, jak wiadomo, dzisiejsza krytyka wcale się nie godzi, uważając *Karpackich Górali* za arcydzieło i przyznając im przeciwnie nadzwyczaj silną kolizyę dramatyczną [1]), zarzut ten osłabia Szajnocha w dalszym ciągu tak dalece, że zmienia się on prawie w pochwałę i uznanie. Być może, powiada, że dramat po dzisiejszym „intrygowym i prywatnym" wróci do „pierwiastkowej swej prostoty", do prostoty początkowego dramatu greckiego, aby na tej podstawie rozwinąć się w całkiem inny, nowy rodzaj, którego zarody są już w sztuce Bogusławskiego i w utworach Korzeniowskiego.

Ciekawem, bo charakteryzującem poniekąd ówczesne stanowisko i wyobrażenia Szajnochy, jest to, że broni on autora (uprzedzając w tem Wittego w Warszawie [2])) przed zarzutem Aleksandra hr. Przeździeckiego, który pisał z powodu strącenia obłąkanej Praksedy do rzeki przez wuja Maksyma: „Do takiej ohydy jeszcze żaden zbrodniarz francuskich dramatów nie doszedł" [3]). „Ach, panie hrabio! — odpowiada Szajnocha — czyżby biednej, obłąkanej Praksedzie było doprawdy lepiej bez kochanka przy życiu, na służbie, na łasce czyjej — niż tam na dnie Czeremoszu?" A „ta czuła publiczność" wzdrygnęła się zapewne tylko dla tego na widok tej ostatniej sceny, że pierwszy raz zaglądnęła „pod strzechę poddańczą i obaczyła tam nieszczęście w całej jego nagiej i potwornej prawdzie" [4]).

W tym roku grano we Lwowie *Karpackich Górali* tylko raz jeszcze — 28. czerwca [5]), raz tylko niewątpliwie dla tego, że Korzeniowski nadsyłał później, jak zobaczymy, coraz nowe utwory, które wraz z powtarzaniem niektórych dawniejszych wymagały dość znacznej liczby przedstawień. W roku 1844 poświęcono Korzeniowskiemu 11 wieczorów [6]), mimo, że w tym roku do zwykłych przeszkód, które zwalczał teatr polski, przybyła i ta, iż trupa francuska Trouilleta dała 30 przedstawień, przeważnie na niekorzyść polskich przedstawień [7]).

Kiedy Benza przesłał Korzeniowskiemu wiadomość o odegraniu *Karpackich Górali*, podniósł się on właśnie z jakiejś cięższej sła-

[1]) przedewszystkiem Chmielowski.
[2]) Biblioteka Warszawska r. 1844, III., 440.
[3]) Tamże r. 1844, II. 125—126.
[4]) Gazeta Lwowska r. 1844 str. 469, 476, 488—489 i 526.
[5]) Tamże r. 1844 str. 496.
[6]) Porówn. dołączoną tabliczkę przedstawień sztuk Korzeniowskiego.
[7]) Gazeta Lwowska r. 1844 str. 300.

bości: „Ja już chodzę — pisze w liście z 30. czerwca r. 1844, tym samym, który mówi o skutkach cenzury na dramacie naszego autora — o swojej mocy i bez laski, chociaż wiele chodzić nie mogę jeszcze. Zresztą jestem zdrów...“ Radość jednak z okazania się *Karpackich Górali* na scenie lwowskiej przyćmiewało nieco niezadowolenie z rozmaitych przeistoczeń i niedostatków w przedstawieniu, o jakich zawiadamiał go przysłany mu przez Benzę afisz. Widzieliśmy, jak go niecierpliwiły zmiany cenzury w nazwach osób, a wprost oburzała go rzecz inna, której dotknął już i Szajnocha. „I gdzie było umieszczone — pisze on — to nieszczęśliwe *pas de deux*, jeżeli w pierwszej scenie, no, to jeszcze — ale jeżeli gdzie dalej, to protestuję się i nie pozwalam na żadne wybryki baletowe tam, gdzie potrzebna gra prosta, chłopska, ale głęboka i silna. Proszę cię, napisz mi o tem.“

To wplecenie tańców do utworu o nastroju poważnym tak go dręczyło, że 26. lipca tegoż roku donosił o tem Karolowi Wittemu w Warszawie, gdy tam przygotowywano przedstawienie naszego dramatu: „We Lwowie — czytamy w liście — przy wystawieniu *Góralów* wtrącili jakieś góralskie *pas de deux*. Zmiłuj się, obroń tam moich *Góralów* od wszelkich wybryków baletowych: niech dadzą ich tak, jak napisano“ [1]).

List Benzy przynosił mu także wieść inną, wieść, która musiała go silnie poruszyć. Oto tyloletni pośrednik między nim a sceną lwowską, protektor wszystkich jego utworów na tej scenie — Benza, sam z niej się usuwał. Ustąpił artysta z teatru lwowskiego z początkiem roku 1844; między nim a hr. Skarbkiem nie mogło jakoś dojść do porozumienia, któreby zadowoliło obie strony [2]). Pisał z tego powodu Korzeniowski do artysty: „List twój, w którym donosisz mi o swojem usunieniu się ze sceny, mocno mię zmartwił. Pocieszam się tem, żeś pamiętał o sobie i o starych swych latach i masz tyle, że możesz się nie kłaniać. Cokolwiek swojego da ci niezależność, tem bardziej, żeś sam jeden. Bardzo więc aprobuję twoje postępowanie w tym względzie. Masz mniej dochodu, ale za to i mniej rozchodów. Występowanie na teatrze zawsze musi kosztować —

---

[1]) Witte l. c. str. 164.

[2]) Ostatni raz wymieniono nazwisko Benzy w pismach 18. lutego, w sztuce Sue'go i Pijata: „Matylda“ (Gazeta Lwowska r. 1844 str. 161); 1. marca grano jednak komedyę Korzeniowskiego p. t. „Fabrykant“, w której występował on w roli tytułowej. Zdaje się więc, że występował jeszcze i 1. marca. Porówn. także Pepłowski, str. 186 i Zawadzki: Z Teki Literackiej str. 214—217.

a teraz możesz sobie chodzić, jak ci się podoba. O jedzeniu nie mówię, bo to bardzo łatwo zastosować się do możności. Życzę ci więc umiarkowania, wytrwałości i dobrego humoru, a z tym będziesz miał zdrowie, i da P. Bóg, jeszcze się obaczymy i pogadamy o naszych biedach.“ Niestety! — nie stało się według słów Korzeniowskiego. Benza spędzał ostatnie dni swoje w obawie o przyszłość i w ciągłych procesach, umieściwszy nieoględnie zebrany kapitalik.

Po wynurzeniu swego żalu z powodu zmiany w losach Benzy, zmiany zresztą, która mogła być zdaniem jego dla artysty korzystną, zwraca się Korzeniowski do szczegółów, dotyczących własnej twórczości. Ciekaw jest, jak we Lwowie powiedzie się *Pannie Mężatce;* o *Okno na pierwszem piętrze* spokojny, łatwiejsze ono bowiem do odegrania. „Pewny jestem, — umieszcza w *postscriptum* listu — że Nowakowski gra majora (w *Pannie Mężatce)* i że go odda żywcem.“ Po słabości nic jeszcze nie napisał, oprócz dwuaktowej sztuczki: *Zaręczyny Aktorki;* jeżeli Benza chce, to mu ją przyszle — „może będzie mógł zrobić dla siebie z tego jaki użytek“ [1]). „Do niczego jeszcze — pisze dalej — wziąść się nie mogę. Kilka planów kręci się po głowie, ale to jeszcze niedojrzałe. Trzeba czekać chwili, aż który z nich zastuka w mózgownicy i da znać, że już mu czas na papier. Najlepiej obrobione mam plany trzech dramatów historycznych, ale do tych nie mam ochoty brać się, bo wiem, że na teatr nie pójdą — a żal się Boże pisać dramat tylko dla czytelników. Bez teatru nie ma uroku, nie ma kolorytu, nie ma życia. Jest to czarna, mizerna litografia.“ Inaczej zupełnie brzmią te słowa od tych, które wypowiedział w r. 1826 o niebezpieczeństwie przedstawiania sztuk w teatrze i narażania się przez to na krytykę „żaków“ na parterze.

Jakież to mogły być dramaty historyczne? Przedewszystkiem był to *Andrzej Batory*, a dwa inne, to chyba *Izabella d'Ayamonte* i *Sąd Przysięgłych*, chociaż nie są one historycznymi w ścisłem tego słowa znaczeniu [2]).

---

[1]) „Zaręczyny Aktorki“ przedstawiono w teatrze lwowskim dnia 4. kwietnia r. 1845. Gazeta Lwowska r. 1845 str. 248—249.

[2]) Zwracamy uwagę, że Korzeniowski w swej notatce (Dzieła XII.) zaznaczył mylnie, iż „Andrzeja Batorego“ napisał w r. 1843. Z powyższego listu wynikałoby, że w połowie r. 1844 miał dopiero „obrobiony plan“ dramatu; skąd inąd zaś wiemy już dzisiaj, że skończył go w pierwszej połowie r. 1845. Witte l. c. 182. Co do dwóch innych powyższych dramatów notatka zapisuje rok 1846.

Zakończenie listu drga tą nutą tęsknoty, którą zawsze spotykamy w listach Korzeniowskiego z Charkowa. „Zresztą jestem zdrów — pisze — i tęsknię do ukończenia służby, abym mógł przejechać się po kraju i obaczyć swoich. Nim się obaczymy (za jak wiele lat, nie wiem), ściskam cię serdecznie, kochany Panie Antoni i proszę cię, abyś mię zawsze kochał i wierzył w moję dla ciebie przyjaźń i życzliwość.“ Kamińskiemu, Nowakowskiemu i Dobrzańskiemu przysyła ukłony.

Dnia 1. lipca przedstawiono we Lwowie po raz pierwszy dwie nowe sztuki Korzeniowskiego: *Pannę Mężatkę* i *Okno na pierwszem piętrze.* Szajnocha, dość surowy w swoich sądach, jak poznaliśmy go już z tej strony, okazał się niemniej surowym i teraz w krótkiej recenzyi, umieszczonej w *Gazecie Lwowskiej. Pannę Mężatkę*, komedyę, którą dzisiaj uważają za jedną z najlepszych Korzeniowskiego, niektórzy za najlepszą, zaliczył Szajnocha do „sztuk pośledniejszych“ autora. Pomysł uznał za dość komiczny, chociaż nie nowy, sądził jednak, że pomysłowi temu nie odpowiedziało wykonanie. Widz wie już od początku, jaki będzie koniec. Co do *Okna na pierwszem piętrze*, to „wolelibyśmy byli — pisze Szajnocha — w interesie Pana Korzeniowskiego i naszym, nie widzieć wcale tej sztuki na teatrze.“

Dzielnie wziął Korzeniowskiego w obronę jakiś X., ten sam X., w którym, mówiąc o *Karpackich Góralach*, domyślaliśmy się samego redaktora, Kamińskiego. Sądzi on, że Korzeniowski zasługuje na poważniejszy i głębszy rozbiór, aniżeli to uczynił autor artykułu. *Panna Mężatka* „nie jest utworem pośledniejszym i owszem jest on po artystowsku prowadzony“; wykazuje, że wszystkie zarzuty, z jakimi wystąpił Szajnocha przeciw autorowi, są niesłuszne. *Okno na pierwszem piętrze* wypadłoby daleko lepiej, gdyby była lepsza obsada ról. „Oby nam nieba — woła — więcej Korzeniowskich dały, abyśmy na swoje patrząc, raz już od lichych utworów z obczyzny sprowadzanych oczy nasze odwiedli, a siebie samych lepiej cenić i poważać się nauczyli.“ *Dziennik Mód Paryskich* (pisał to, zdaje się Dobrzański) uznał *Pannę Mężatkę* za utwór „istotnie piękny“, który „podobał się na scenie prostym, naturalnym i pełnym wdzięku wykładem“; *Okno* określił jako „wcale nie zły dramacik“, o sytuacyach dobrze pomyślanych i należycie oddanych.

Nowakowski oddał rolę majora w *Pannie Mężatce* „po mistrzowsku“, dobrze grali także Aszpergerowa (Cecylia) i Starzewski (Adolf). Przedstawienie *Okna* nie należało do najlepszych, chwalą mimo to grę Starzewskiej (hrabina) i Smochowskiego (hrabia).

Pannę Mężatkę powtórzono w r. 1844 jeszcze dwa razy — *Okna* nie grano już więcej w tym roku [1]).

*
* *

Data 30. czerwca r. 1844 kończy w zbiorku, będącym w naszem ręku, korespondencyę Korzeniowskiego z Benzą. Pisywali do siebie zapewne i później, Benza bowiem zszedł z tego świata dopiero w r. 1859, po ustąpieniu jednak artysty z teatru pisywali może nie tak często, jakto było dotychczas [2]). Z tem wszystkiem rok 1844 zamyka już tę epokę, w której Korzeniowski należał prawie wyłącznie do Lwowa — rok 1844, jak wiadomo, pogodził go z Warszawą.

Na zakończenie słowo. Ile materyał przez nas podany pomnaża zasób wiadomości biograficznych o Korzeniowskim i przyczynia się do poznania genezy jego pism, łatwo ocenić, skoro się zna tych kilka prac o naszym autorze, tak niedostatecznie rozświetlających koleje jego żywota. Niemniej jasno i wyraziście przedstawia się ten szczerze serdeczny stosunek, jaki łączył Korzeniowskiego z Benzą. Ze strony artysty było to uznanie dla znakomitego talentu autora, ze strony Korzeniowskiego prawdziwa wdzięczność dla tego, który był jakoby ojcem chrzestnym dzieci jego ducha, wprowadzał je na scenę, troszczył się o to, aby je jak najstaranniej wystawiano, przyczyniając się często własną grą do podniesienia ich wartości.

Należy nam jednak zwrócić uwagę na rzecz inną. W dotychczasowej literaturze o Korzeniowskim mówiono tylko bardzo ogólnikowo a nie rzadko i błędnie o stosunku jego do teatru lwowskiego i o jego powodzeniach we Lwowie: jedynie w dziele p. Pepłowskiego, dotyczącem historyi tego teatru, można było znaleść prawdziwe daty pierwszych przedstawień każdego z utworów autora *Karpackich Górali* i najogólniejsze wskazówki co do ich przyjęcia. Nie jedną z tych wskazówek zawarł również znany nam już artykuł Estreichera. Lecz dopiero listy Korzeniowskiego do Benzy i w całości zestawiony materyał z ówczesnych pism lwowskich przedstawiają nam rzecz tę w pełnem świetle i świadczą, że zasługi Lwowa wobec Korzeniowskiego nie były należycie dotychczas ocenione. A jednak od roku 1831, od *Dymitra i Maryi* począwszy,

[1]) Gazeta Lwowska r. 1844 str. 488, 502, 513, 526—527, 588 i 884; Dziennik Mód Paryskich r. 1844 str. 85—87 i 119.

[2]) Mamy n. p. w naszym zbiorku kopertę z datą: wrzesień r. 1845; list niestety zaginął.

grano tu po kolei wszystkie jego utwory, napisane po tej tragedyi. I z czasem, gdy talent autora zmężniał, a dzieła jego sceniczne stawały się coraz doskonalszemi, przystępowano do ich odegrania ze szczerem uszanowaniem i niekłamaną miłością. Widzieliśmy, jak wzorowo wypadały nieraz całe przedstawienia i jak pyszne kreacye stwarzało doborowe grono artystów lwowskich z postaci, powołanych do życia przez naszego autora. Dni pierwszych przedstawień nowych utworów Korzeniowskiego stawały się wówczas prawdziwemi teatralnemi uroczystościami. Wobec tego nie dziw, że później już przysyłał on swoje utwory z całem zaufaniem, przekonany o życzliwości dla siebie i świadom dobrze tego serdecznego stosunku, jaki wytworzył się między nim a lwowskim teatrem.

W tej pracy jednak około osiągnięcia tak wysokiego uznania dla Korzeniowskiego współdziałały i inne czynniki: pisma lwowskie i lwowska publiczność. Pisma otaczały nazwisko to i talent coraz żywszą opieką; z głosów tu pojawiających się mógł być autor nietylko zadowolonym, ale nie rzadko i dumnym, mógł z nich czerpać podnietę i zachętę. Publiczność lwowska śledziła owoce jego twórczości ze wzrastającem ciągle zajęciem i z tą pełną ciepła życzliwością, którą zawsze wywołuje rodzimy talent. Jak z głębi serca płynęła wdzięczność naszego pisarza dla wszystkich tych, którzy czemkolwiek mu się przysłużyli, mieliśmy na to liczne dowody; nie pominął żadnej sposobności, ażeby o niej nie zapewnił w wyrazach rzewnych i drżących uczuciem.

Komu nie obce są, chociażby powierzchownie, dzieje teatru lwowskiego, ten wie, jak wielkie i różnorodne zasługi zaskarbił on sobie wobec naszego społeczeństwa w czasie, kiedy kraj przechodził chwile najboleśniejsze, kiedy teatr był jedną z bardzo nielicznych przystani dla ducha narodowego i ojczystego języka. A to pozostanie z pewnością nie najmniejszą jego zasługą, że był on przez półtora dziesiątka lat prawdziwym orędownikiem jednego z najwybitniejszych naszych talentów literackich i wspierał go dzielnie aż do czasu, w którym uzyskał poklask i uznanie w całej Polsce.

Długo nie mógł sobie wyrobić nasz autor wstępu do Warszawy, czuł też do niej z tego powodu żal i urazę; silną goryczą są zawsze zaprawne uwagi jego o warszawskim teatrze. Pierwsze przedstawienie sztuki Korzeniowskiego w grodzie syrenim, mianowicie *Piątego Aktu*, odbyło się bardzo późno, bo w roku 1838, przedstawienie *Umarłych i Żywych* w r. 1843; inne sztuki nie ukazywały się wcale na deskach tutejszego teatru. Dopiero w roku 1844 zaczęto przedstawiać jeden utwór po drugim: *Pannę Mężatkę*, *Żydów*, *Fabry-*

kanta [1]), przygotowywano nawet *Karpackich Górali*. Uzyskały one teraz tutaj rzeczywiste powodzenie i przeważyły szalę przychylności zupełnie na stronę autora *Starego Męża*. A stało się to mimo surowej oceny wszystkich jego utworów scenicznych, która okazała się w kwietniowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* z r. 1844 [2]); ocena ta wyszła z pod pióra Aleksandra hr. Przeździeckiego, a wypowiadała zarzuty znaczne i zasadnicze, lecz nie zawsze słuszne i sprawiedliwe. Nie wpłynęła ona już jednak na zmianę zwrotu, jaki odbywał się w mieście tem na korzyść Korzeniowskiego. Kiedy więc on sam zjechał w jesieni do Warszawy, ażeby starać się tutaj o stałe przeniesienie do stolicy Królestwa, przyjęto go jak najserdeczniej, otwarto dlań na oścież nietylko podwoje teatru, ale i serca... Wiadomo też, że od r. 1846 mieszkał już stale w Waszawie, spełniając naprzód obowiązki gubernialnego dyrektora gimnazyum, wkrótce potem wizytatora szkół, a wreszcie dyrektora wydziału oświecenia.

Do Lwowa, do którego wybierał się od czasu przysłania *Anieli*, nie pozwoliły mu losy przybyć. Ujrzenie własnych utworów na scenie, przedstawiającej je nieraz tak wybornie i skończenie, pozostało w sferze niespełnionych marzeń. Jedynie listy i gazety opowiadały mu o lwowskich tryumfach...

DODATEK.

Z papierów, które dostały się do Zakładu Ossolińskich po ś. p. drze Antonim Józefie Rollem, ogłaszamy jeszcze w zakończeniu naszego artykułu jeden list i wierszyk znakomitego autora *Karpackich Górali*.

---

[1]) Dowody na to znajdzie czytelnik w naszej rozprawie i w cytowanych już dziełach: w Chmielowskim, Kanteckim i artykułach „Biblioteki Warszawskiej" z r. 1844. Zdaje się, że wykaz ten sztuk granych w Warszawie jest dokładnym, zaręczyć jednak nie śmiemy z tej prostej przyczyny, że biblioteki lwowskie nie posiadają współczesnych pism warszawskich, zwłaszcza codziennych. Dla braku tych pism i dla tego, że nie mamy dotychczas historyi teatru warszawskiego, powstrzymywaliśmy się również w ciągu rozprawy od bliższych objaśnień co do stanu tego teatru i stosunku jego do Korzeniowskiego. Wobec tego byłoby z wielu względów bardzo pożądanem, ażeby któryś z literatów warszawskich przedstawił w osobnej pracy stosunek Korzeniowskiego do warszawskiego teatru.

[2]) str. 109—133

Od syna zmarłego historyka, p. Michała Rollego, dowiadujemy się, że autografy te złożył w darze ś. p. Rollemu wnuk Korzeniowskiego, dr. Józef Korzeniowski.

List nie ma adresu, z tego jednak, co pisał Kantecki o Korzeniowskim [1]), jak również z wyjaśnień, które nadesłała nam łaskawie córka niezapomnianej pamięci pisarza, p. Marya Falkenhagen-Zaleska, wynika niewątpliwie, że list to pisany do Adolfa Dobrowolskiego, plenipotenta Książąt Czartoryskich, a kolegi szkolnego i długoletniego przyjaciela autora *Krewnych*.

d. 4. maja 1852 r. Warszawa.

Kochany Adolfie! Dziękuję ci najserdeczniej za pomoc, jakiej mój synek od ciebie doświadczył, a oraz za twoje ze mną tak otwarte i bez ceremonii postąpienie. I jedno i drugie uważam za dowód przyjaźni i równie jestem obowiązany. Żal mi tylko, serdecznie żal, że cię zła wola ludzi, nadużywających twojej gotowości w służeniu, postawiły w niemożności dogadzania sercu. Da P. Bóg, że się wydobędziesz z tych kłopotów i zapewnisz sobie spokojniejszą starość. Bo to P. bracie starość już nam obom zagląda w oczy, chociażeśmy oba dotąd jeszcze nie żyli, a dopiero przygotowujemy się użyć pokoju życia j u t r o. Ale czy to jutro nastąpi kiedy, to P. Bóg raczy wiedzieć. Jak śmierć zaskoczy, zawsze jeszcze jakiś płot nie będzie dogrodzony. Cóż robić, takie jest życie, i ani my, ani Ludwik Napoleon zmienić go nie zdołamy. Rezygnacya więc w kłopotach, dobry humor w zawodach! to niech ci P. Bóg daje.

Twój na zawsze

J. Ko.

Pani Dobr. od nas obojga serdeczny ukłon.

„Synkiem“, który „doświadczył pomocy“ od p. Adolfa, był, jak pisze p. Falkenhagen-Zaleska, Hipolit, wówczas już doktor medycyny, później profesor warszawskiej szkoły głównej i akademii w Petersburgu, znany jako jeden z najdzielniejszych polskich chirurgów. Ta szlachetność jednak w postępowaniu z ludźmi nie wyszła Dobrowolskiemu na dobre, naraziła go bowiem na dotkliwe straty majątkowe, które zatruły mu ostatnie lata życia, spędzone w Kamieńcu Podolskim. To właśnie ma na myśli Korzeniowski, żałując w powyższym liście tak szczerze i serdecznie przyjaciela.

* * *

[1]) Porówn. str. 178, 279 i inne miejsca.

Wierszyk, przeznaczony może do czyjegoś albumu, a dotychczas, o ile wiemy, nigdzie niedrukowany, brzmi, jak następuje:

Pamięć, to święta człowieka skarbnica:
W niej świat miniony nietknięty spoczywa,
W niej żyją rysy kochanego lica
I głos znajomym dźwiękiem się odzywa.
Przeszłej radości krótka błyskawica,
Choć ją obecność gasi i pokrywa,
W niej się rozświeca, gdy serca potrzebą
Wyzwana, chmurne ma rozjaśnić niebo.

Tabliczka przedstawień sztuk Korzeniowskiego

Tytuł sztuki	1831	1832	1833	1834	1835	1836
Dymitr i Marya	4 lutego 19 ,, 6 maja 16 listopada	14 grudnia			7 wrześnla	2 listopada
Piękność Zgubą (Piękna Kobieta)				11 kwietnia 14 ,, 13 czerwca 3 listopada	20 lutego	
Piąty Akt						7 listopada 18 ,,
Płochość Ukarana (Dziewczyna i Dama)						
Umarli i Żywi						
Stary Mąż						
Żydzi						
Fabrykant						
Karpaccy Górale						
Panna Mężatka						
Okno na pierwszem piętrze						

*) O ile dokładnym jest materyał, na którym oparto to zestawienie, po-
z których uzyskano dowody na przytoczone tu daty. Dodajemy także, że Estreicher
na 128, w r. 1843 na 123, w r. 1844 na 92.

w teatrze lwowskim od roku 1831—1844.*)

1837	1838	1839	1840	1841	1842	1843	1844
		8 maja		15 listopada		1 maja	
3 marca						6 paździer.	
27 stycznia 5 maja 21 czerwca 23 ,,	23 marca 14 sierpnia (w teatrze niemieckim)	4 lutego	15 paździer. [w teatrze niemieckim] 7 grudnia	18 paździer.	18 marca 28 czerwca [amatorzy w teatrze hr. Skarbka]		
	8 czerwca 13 ,, 3 września 17 grudnia	7 marca (w teatrze niemieckim)	23 paździer.			2 stycznia	
					2 marca 4 ,, 14 ,, 19 września	6 stycznia 3 lipca	
					11 listopada 16 ,,	6 lutego 27 listopada	18 paździer.
						8 grudnia 11 ,, 20 ,,	5 lutego [przynajmniej zapowiedziano]
							19 stycznia 1 marca 11 paździer. 20 listopada
							21 czerwca 28 ,,
							1 lipca 5 sierpnia 15 listopada
							1 lipca

równaj rozprawę str. 245—247. W rozprawie podano też przy każdej sztuce źródła, (Teatra III.) oblicza ilość ogólną przedstawień polskich w r. 1841 na 108, w r. 1842

Dr. Bronisław Czarnik.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY DO DELF

I WYKOPALISKA EKSPEDYCYI FRANCUSKIEJ.

(Dokończenie).

IV.

Poza domniemanym anatemem Liparyjczyków i ową trzecią niewiadomego przeznaczenia bazą zagina się droga święta na północ i prowadzi najpierw stromo w górę przez pierwszych 13 metrów. Na tej przestrzeni, znowu po stronie lewej czyli teraz z kolei zachodniej, stoją dwie nowe większe budowle. U dołu w punkcie zagięcia się drogi na północ i pod kątem prostym do terasy, znajdującej się przed frontem skarbca Sikiończyków, wznosi się drugi skarbiec Tebańczyków, a o 13 metrów wyżej u szczytu drogi takaż sama budowa Ateńczyków.

14) Skarbiec Tebańczyków, wystawiony po bitwie pod Leuktrą, spoczywa tak samo, jak skarbiec Sikiończyków, na fundamentach z tufu, należących do jakiegoś przedtem tu istniejącego budynku. Budowę wykonali Tebańczycy w stylu doryckim z siwego wapienia i pokryli ją licznymi napisami, odnoszącymi się tak do spraw publicznych, jak i prywatnych. W późniejszych czasach uległ skarbiec zupełnemu zniszczeniu, a pojedyńcze kwadry pospadały nawet poza mur obwodowy, gdzie je dopiero obecnie odszukano.

15) Nierównie lepiej dochował się i nierównie też większego dla nas znaczenia jest skarbiec Ateńczyków, przepiękna świątynia dorycka z antami (poprzednicami), 10 metrów długości a 6 szerokości, zbudowana według Pausaniasa [1]) ze zdobyczy maratońskiej a więc po r. 490. Fundamenta jej są z czerwonawego wapie-

[1]) L. c. X. 11. 4.

nia, reszta z paryjskiego marmuru. Ekspedycya francuska znalazła tu tyle kwadrów, stopni, płyt z posadzki, kręgów kolumn, architrawów i kapiteli i to tak jeszcze dobrze utrzymanych, że należy oczekiwać zupełnej rekonstrukcyi świątyni, której też architekt Tournaire podobno niemal całkowicie dokonał. Ułatwiła mu zadanie ta okoliczność, że ściany skarbca pokryte są prawie od spodu do góry przeróżnymi napisami, między którymi jest kilka nieocenionej dla nas wartości. Do nich należą przedewszystkiem fragmenty hymnów na cześć Apollina, spis uczestników teoryi (uroczystych ekspedycyi), wysłanych z Aten do Delf, i wreszcie różne dekrety amfiktyonów w sprawach Ateńczyków [1]). Oprócz tego na terasie przed skarbcem urządzonej znaleziono dwa nagrobki *(cippi)* z peanem, napisanym również na cześć Apollina, i wiadomościami, odnoszącemi się do historyi ateńskiego rodu Labyadów z V. wieku przed Chr. Liczba wszystkich uchwał amfiktyonów i innych inskrypcyi, bądź to wyrytych na ścianach skarbca, bądź na terasie koło niego znalezionych, przenosi cyfrę 150.

Największego rozgłosu doczekały się pean i hymny na cześć Apollina, ułożone do śpiewu i opatrzone nutami starożytnemi.

P e a n, wydany świeżo przez Weila [2]), pochodzi z drugiej połowy trzeciego wieku, t. j. mniej więcej z r. 235—210 przed Chr. [3]). Pisany w rytmie glikoneicznym, składa się z dwunastu zwrotek czterowierszowych, z których zawsze po dwie łączą się w jedną parę i tworzą dopiero razem wzięte pewną zaokrągloną całość. Pierwsze trzy wiersze w każdej zwrotce są glikoneiczne, czwarty zaś ma metrum ferekratyczne i kończy się na przemiany refrainem: ἰήϊε Παιάν lub ὦ ἴε Παιάν [4]).

---

[1]) Por. *Bulletin de correspondance hellénique*, t. XVII. str. 612 i nstp.

[2]) *Un Péan Delphique* par Henri Weil. *Bulletin de corr. hell.*, t. XVII. z r. 1893, str. 561—568. Por. także rozprawę Crusiusa w *Ergänzungsheft* do czasopisma *Philologus*, t. 40 r. 1894.

[3]) Por. *Woch. für class. Phil.* r. 1894, str. 908. Inni przenosili powstanie peanu w czasy Lysandra, wodza spartańskiego, lecz, jak się zdaje, bez słusznej podstawy.

[4]) Jeżeli więc pominiemy dopuszczalne rozwiązania długich zgłosek na dwie krótkie, to takim będzie schemat każdej pary wrotkowej:

⏓ ⏒ –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑ –́	Πυθίαν ἱερόκτιτον
⏓ ⏒ –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑ –́	ναίων Δελφίδ᾽ ἀμφὶ πέτραν
⏓ ⏒ –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑ –́	ἀεὶ θεσπιόμαντιν ἕ-
⏓ ⏒ –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑	δραν, ἰήϊε Παιάν.
⏓ ⏒ –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑ –́	Ἄπολλον, κοίου τε κόρας

Tok myśli pojedyńczych par wrotkowych jest następujący: I. Syn Zeusa i Latony obejmuje za wolą bogów władzę nad Delfami. II. Odkąd on tam zamieszkał, wychodzą z miejsca niegdyś postrach siejącego zdania i wyrocznie święte dla pielgrzymów, wróżby szukających. III. Oczyszczony w dolinie Tempe ze zmazy [1] i zawezwany przez Palladę, układa się młodzieńczy bóg po przyjacielsku z Geą i Temidą [2], które mu odstępują świątynię delficką na zawsze, w wieczne posiadanie. IV. Apollo pamięta jednak dobrze o usłudze oddanej mu przez Palladę; naznacza jej dlatego zaszczytne miejsce na przedzie świątyni i uwiecznia w ten sposób pamięć jej czynów. V. Bogowie inni: Poseidon, Nimfy, Dionysos i Artemis, grupują się teraz koło Apollina i do hołdów dodają nowe zaszczyty, im samym tylko przynależne. VI. Oby ten potężny bóg wysłuchał i naszych pieśni łaskawie i wziął nas w swą życzliwą opiekę.

Autorem tego hymnu był Aristonoos (Ἀριστόνοος) z Koryntu, jak to wynika z dekretu amfiktyonów na czele przed samą pieśnią wyrytego. Sądząc o nim z tego jednego peanu, moglibyśmy, — powiada Weil — zastósować do autora znany wiersz:

Quamvis ingenio non valet, arte valet.

I jabym się również pisał na podobne zdanie, bo nie ma tu ani większego natchnienia i plastyki, ani też nowych myśli i obrazów. Poeta zebrał tylko motywa, poruszone już dawniej przez podania ludowe i poezyę, i połączył je w wiersz gładki, pod względem metrycznym nienaganny. Na owe jednak czasy upadku i wyjałowienia poezyi było i to bardzo wiele, to też amfiktyonowie postąpili zupełnie słusznie, nadając owym dekretem w nagłówku wyrytym tak samemu poecie, jak i jego potomkom proksenią, promanteję (prawo pierwszeństwa w pytaniu wyroczni), dalej prawo honorowego miejsca podczas uroczystości, polubownego sądzenia, nietykalności w wojnie i pokoju, wolność od podatków i opiekę na równi z rodowitymi Delfijczykami.

Fragmenty hymnów na cześć Apollina znaleziono dwukrotnie: po raz pierwszy wyryte na czterech większych (A. B. C. D.) odłamach kamienia i sześciu drobniejszych, po raz drugi na kilku

---

⏓ ⏔ –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑ –́ Λατοῦς σεμνὸν ἄγαλμα καί
⏓ ⏔ –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑ –́ Ζηνὸς ὑψίστου, μακάρων
⏓ ⏔ –́ ⏑ ⏑ –́ ⏑ βουλαῖς, ὦ ἴε Παιάν.

[1] Spowodowanej zabiciem smoka Pyto.
[2] Dotychczasowemi przełożonemi wyroczni.

mniejszych odłamkach, uzupełniających tekst pierwiej odszukanych bloków C. i D. Ponieważ na nich ponad tekstem dostrzeżono i starożytne nuty muzyczne, przeto fragmenty doczekały się natychmiast niemałego rozgłosu. Oprócz bowiem teoretycznych dzieł starożytnych muzyków (zwłaszcza Alypiusa), posiadaliśmy dotychczas właściwie tylko dwie kompozycye z nutami, przypisywane Dionysiosowi i Mesomedesowi, bardzo miernej wartości i z późnej już epoki Antoninów, czyli II. wieku po Chr., tudzież dwa inne z epoki hellenistycznej drobne zabytki, odkryte dopiero w ostatnich latach, t. j. niewielką melodyę, odczytaną na nagrobku niejakiego Seikilosa, i ułamek z partytury Eurypidesowego Orestesa w o wiele późniejszem obrobieniu. To też nic dziwnego, że cały świat zainteresował się żywo nowem odkryciem i że z wielkiem zajęciem wyczekiwano ogłoszenia i fachowego zbadania fragmentów.

Francuzi nie dali na siebie długo czekać i jeszcze przed odszukaniem drugiej seryi fragmentów, uzupełniających odłamy C. i D., odfotografowali z wielką starannością znalezione szczątki, a pp. Couve i Bourget odkopiowali dokładnie tekst pod okiem i naczelnem kierownictwem samego Homolle'a. Następnie przesłano fotografie i tekst z drobiazgowym opisem do Paryża, do użytku znakomitego filologa francuskiego, Henryka Weila, i znawcy muzyki starożytnej, Teodora Reinacha, którzy też nie zwlekając długo, ogłosili rezultaty swych badań w XVII. tomie Biuletynu, wydawanego przez instytut francuski w Atenach [1]).

[1]) *Nouveaux fragments d'hymnes accompagnées de notes de musique* par Henri Weil. *Bulletin de correspondance hellénique*, t. XVII. z r. 1893 str. 569—583, tudzież *La musique des hymnes de Delphes* par Théodore Reinach, tamże str. 584—610. — Reinach, jak sam powiada, korzystał z uczonych wskazówek Eugeniego Eichtala, jednego z najlepszych znawców starożytnej muzyki, a Weil czytał swą pracę najpierw na posiedzeniu towarzystwa humanistów francuskich *(Société des Humanistes français)* i zużytkował kilka uwag, wygłoszonych podczas toczącej się tamże dyskusyi. Odbicia odłamów A. B. i D. znajdują się na końcu tomu, heliograwowane przez Dujardin'a z Paryża. Ogłoszony tekst przedrukował i poddał rewizyi niemiecki uczony Crusius (l. c.), uzupełniając go swojemi poprawkami i konjekturami. W naszej literaturze już po napisaniu niniejszego artykułu, doczekaliśmy się dwu cennych rozpraw, do których odsyłam czytelników, żądnych dokładniejszych i bardziej szczegółowych informacyi. Pierwszą z nich jest dra Witkowskiego: *Nowe odkrycia w dziedzinie muzyki greckiej (Przegląd Polski* z r. 1895, t. II. str. 64—84), w których autor na podstawie prac Reinacha, Weila, Crusiusa i innych ogólniejszego zakroju w naukowy a przecież barwny i przejrzysty sposób

Znalezione szczątki nie przystają wprawdzie jedne do drugich dokładnie, ale mimo to niektóre z nich należą widocznie do siebie. Tyczy się to mianowicie zaraz obu pierwszych odłamów A. i B., zawierających kompozycyę jakiegoś Ateńczyka [1]) z nutami do spiewu według jednej i tej samej intonacyi. O ile wywnioskować można z tekstu oczywiście tylko fragmentarycznie dochowanego, znajdował się początek kompozycyi na odłamie A., bo tuż przed pieśnią u góry dochowało się słowo 'Αθηναῖος (Ateńczyk), pochodzące widocznie z nagłówka, mieszczącego w sobie nieraz nazwisko poety, zwłaszcza przy utworach, jak ten na kamieniu rytych. Tekst na nim rozpoczyna się pochwałą Apollina, syna Jowiszowego, i brzmi mniej więcej zrazu tak [2]): „Wielbić będziemy ciebie! sławnego lutnistę, syna wielkiego Zeusa, który przy tej wysokośnieżnej górze, ze świętej głębi wszystkim śmiertelnym ogłaszasz wyroki; ciebie! który zawładnąłeś trójnogiem wieszczym, strzeżonym przez wrogiego nam smoka. Twymi pociskami przebiłeś potwór o pstrych skrętach, aż zwierz ciągle sycząc, ducha wyzionął.“

Dalszy ciąg tekstu na odłamie A. jest tak uszkodzonym, że odczytać go niepodobna. Domyślać się tylko możemy, iż poeta wielbił następnie Apollina za odparcie tłumu barbarzyńskich Gallów [3]), którzy wdarli się świętokradzko do tego świętego ustronia, ale ulegli pokonani, doznawszy na sobie potęgi władnącego Delfami syna Zeusa i Latony.

Łączący się z poprzednim odłam B., największy ze wszystkich (0·41 metra wysokości i 0·41 szerokości), zawiera tekst stosunkowo najpełniejszy i najlepiej dochowany. Tu zrazu inwokacya do muz a potem nowe modły do Apollina: „Wy, któreście gaje Helikonu otrzymały w udziele, groźnie grzmiącego Zeusa pięknoramienne córy,

---

obznajamia czytelnika głównie z zasadami, na jakich opierała się muzyka grecka. Druga rozprawa to dra Maksymiliana Kawczyńskiego: *Dwa hymny delfickie na cześć Apollina (Eos* rocznik II., str. 28—47), praca zapewne, jak mnie się wydaje, więcej oryginalna, ale też, nie mówiąc o kilku drobnych usterkach, i więcej pretensyonalna i nierównie mniej dla szerokiego koła czytelników przystępna. Tekst Peanu i Hymnu przedrukował p. Kawczyński według Crusiusa w całości i dodał dobre ich polskie tłómaczenie.

[1]) Może poety Kleocharesa z Aten, bo obok szczątków hymnu znaleziono dekret Delfijczyków, przyznający mu przywileje podobne do wymienionych w dekrecie na cześć twórcy peanu Aristonoosa.

[2]) Por. przekład p. Kawczyńskiego, l. c. str. 38.

[3]) Tekst nazywa ich Galatami, gdyż część ich osiedliła się w MałejAzyi, w prowincyi od nich później Galacyą przezwanej.

przybywajcie wielbić pieśniami równej wam krwi Feba złotowłosego, co po dwuszczytnej siedzibie skał Parnasu chodzi razem z dostojnemi córami Delf do przezroczystych źródeł Kastalii i włada wyrocznią na stromej górze delfickiej. Do ciebie udaje się z modlitwą córa wielkomiejskiej Attyki, zamieszkująca nietkniętą (przez Gallów) ziemię Tritogenejskiej [1]) wojowniczej bogini. Na świętych ołtarzach Hefaistos trawi uda młodych byków, równocześnie kadzidło Arabii podnosi się ku Olimpowi; flet (klarnet) z drzewa lotosowego głośnobrzmiący drżącymi tony gra pieśń; złota, miłodźwięczna kitara towarzyszy hymnom; cały rój młodych mieszkańców Attyki...“ Na tem przerywa się 60 taktów odłamu B (127 (?) od początku kompozycyi) w miejscu, sądząc z melodyi dochowanej, może najwięcej podniosłem i natchnionem; dalszych ustępów i końca brak dotychczas zupełnie.

Dla lepszego zrozumienia powyższej pieśni dodać należy, że jak tu z Aten, tak samo i z innych miast greckich wychodziły często do Delf grupy pielgrzymów, które znalazłszy się w świętem miejscu, odbywały uroczysty pochód od świątyni do źródła kastalijskiego. Dla nich to widocznie napisany nasz hymn, a śpiewano go niewątpliwie przy dźwiękach fletu a raczej klarnetu i lutni.

Połączeniu obu fragmentów ze sobą nie sprzeciwia się wcale umieszczenie inwokacyi na początku drugiego a więc w środku całej pieśni. Początek hymnu odśpiewano zapewne jeszcze, stojąc przed świątynią, natchnioną zaś przygrywkę zachował sobie poeta do chwili najpodnioślejszej, kiedy pobożny orszak ruszał w uroczystym pochodzie do Kastalii. A wtedy to pod wpływem uczuć patryotycznych — pisał bowiem Ateńczyk dla Ateńczyków — potężnieje natchnienie poety i wylewa się w wierszach, pełnych podniosłego liryzmu, jak hasło do boju pobożnej, bezwzględnie bogom ufającej rzeczy.

Obok treści, wiążącej się dość dobrze ze sobą, przemawia za połączeniem obu fragmentów w jedną całość i ułożenie nut do śpiewu według jednej i tej samej intonacyi, tudzież i ten sam rytm peaniczny, o stopach wartości pięciu mor [2]), nie mówiąc dalej już nic

---

[1]) τριτωνίς, τριτογενής, przydomek Ateny, od najdawniejszego miejsca jej kultu, jakiegoś miasta Tritonu, położonego w Beocyi nad jeziorem Kopais.

[2]) Mora jest to czas potrzebny do wymówienia krótkiej zgłoski : — Rytm peaniczny występuje w hymnie w czworakiej postaci :

jako kretyk albo amfimacer – ◡ –
„ pean od pierwszej – ◡ ◡ ◡
„ pean od czwartej ◡ ◡ ◡ –
„ pięć krótkich ◡ ◡ ◡ ◡ ◡

o tem, że obydwa fragmenty były wyryte na jednym i tym samym skarbcu Ateńczyków i że wcięcie dolnej krawędzi odłamu A. przystaje dość dokładnie do karbu, znajdującego się na górnym brzegu bloku B.

Uważając tak oba fragmenty za jedną całość, wnioskuje dalej Weil ze wzmianki o napadzie Gallów, że hymn napisany został niedługo po odparciu Brennusa a więc w pierwszej połowie trzeciego wieku przed Chr. Ponieważ śpiewa go chór pielgrzymów ateńskich, przeto sądzi także, że mamy tu do czynienia z pieśnią ułożoną na obchód tak zwanych Σωτήρια, t. j. uroczystości, zainagurowanej razem przez Etolów i Ateńczyków na podziękowanie Apollinowi za uratowanie Grecyi przed barbarzyńskiemi hordami Brennusa. Odniesione bowiem zwycięstwo ratowało i Ateńczyków przed wtargnięciem nieprzyjaciół od strony Beocyi i przed spustoszeniem Atyki, któremu ich flota nie mogłaby była stanąć na przeszkodzie. Tem też tłómaczyłaby się i okoliczność, że hymn wyryto na pamiątkę na ścianach skarbca ateńskiego. Inni uczeni, mianowicie niemieccy, odnoszą powstanie hymnu do czasu późniejszego, między r. 175 a 135 przed Chr. [1]).

Odłamy C. i D., przed odszukaniem łączącej się z nimi drugiej seryi szczątków o wiele mniejsze od kamieni A. i B., zawierają fragmenta innych hymnów z nutami dla muzyki instrumentalnej. Nut do śpiewu nie ma tu wyrytych, choć niewątpliwie odśpiewano i te hymny, jak tego dowodzi ich ortografia, powtarzająca dwa lub więcej razy jedną i tę samą głoskę, jeżeli należała do dwu lub więcej nut.

Fragment odłamu C. mieści w sobie nową inwokacyę do muz, by opiewały syna Latony, podczas gdy fragment D. może był zakończeniem dokumentu, znalezionego również przez ekspedycyę a zawierającego nazwiska architeorów, czyli przełożonych uroczystej deputacyi, wysłanej z Aten do Delf za archonta Euthydoma, a więc prawdopodobnie w r. 40 przed Chr. Przechowany tekst fragmentu D. obejmuje najpierw prośbę do boga (może Dionysosa?), by uchronił Menady przed jakimś nieszczęśliwym wypadkiem, o który było nietrudno podczas szalonego ich pochodu po niedostępnych i niebezpiecznych szczytach Parnasu, a następnie zawiera prawdopodobnie słowa, błagające o wzrost i długie trwanie państwa, zapewne rzymskiego. Fragment zresztą C. pisany w rytmie peańskim opiewa widocznie tylko Apollina, słowa zaś odłamu D., ułożone w rytmie glikoneicznym, odnoszą się zapewne także do innych bogów, a nie wyłącznie do samego władcy wyroczni delfickiej.

---

[1]) Por. *Woch. f. class. Phil.* r. 1894 str. 908.

Inne odłamki (E., F., G., H., I,. K.), jako zbyt drobne, są na razie prawie bez żadnej wartości.

Nuty, jak już wyżej powiedziano, są na fragmentach dwojakiego rodzaju: wokalne na odłamach A. i B., instrumentalne na innych fragmentach. Odczytanie ich nie przedstawiało zbyt wielkich trudności, bo klucz do nich przechował się w dziełach starożytnych teoretyków na polu muzycznem, między któremi Alypiusa Εἰσαγωγὴ μουσική (prawdopodobnie z II. wieku po Chr.) naczelne zajmuje miejsce.

Kompozycya do śpiewu choralnego na odłamach A. i B. ułożoną jest w tonacyi frygijskiej, transkrybowanej już w starożytności w obręb tonu lidyjskiego [1]). Reinach oddał ją w dzisiejszej transkrypcyi *c mol* [2]), podczas gdy Crusius, aby melodyę uczynić przydatniejszą do śpiewu, podniósł ją o kwintę i zastosował do *f mol*. Skalą kompozytor grecki posługuje się najpierw diatoniczną, podobną do naszej, dzisiaj używanej. Trzyma się więc zrazu tonów normalnych z małymi tylko wyjątkami; w drugiej jednak części pieśni przechodzi do gamy chromatycznej, dla ucha naszego niezwykłej, aby sprawić tem większe wrażenie i oddać ruch obrzędowy: modlitwy, palenie ofiary, kadzidło, grę na flecie i gitarze. W końcu powraca znowu porządek diatoniczny, a melodya powtarza najwybitniejszy motyw części pierwszej.

Melodya obraca się przeważnie w małych interwallach aż do tercyi, choć nie brak i skoków o całą oktawę. Takt jest niezwykły: $^5/_8$ w muzyce nowoczesnej bardzo rzadko się pojawiający [3]), rytm kretycki – ◡ – z dozwolonemi odmianami jako peany od pierwszej stopy – ◡ ◡ ◡ lub od czwartej ◡ ◡ ◡ –. Między rytmem i iloczasem

---

[1]) Po bliższe szczegóły odsyłam czytelnika do wyżej wspomnianej pracy p. Witkowskiego, od siebie dla zrozumienia dodaję tylko, że Grecy używali trzech tonacyi: doryckiej, lidyjskiej i frygijskiej. W pierwszej półton leżał w oktawie między tonem najniższym a drugim, tudzież między piątym a szóstym (e f g a | h c d e), w drugiej między 2 a 3 i 6 a 7 (d e f g | a h c d), w trzeciej między 3 a 4 i 7 a 8 (c d e f | g a h c). W obrębie każdej z tych tonacyi używali muzycy trzech gam: diatonicznej, podobnej do naszej, chromatycznej, w której mogły po sobie następować bezpośrednio dwa półtony, i enharmonicznej, nader skomplikowanej i wyszłej wcześnie z użycia, w której tony mogły być oddalonymi o ćwierć tonu.

[2]) Por. Reinach l. c. str. 590 i 586—588.

[3]) Z nowoczesnych kompozytorów użyli tego taktu podobno tylko Boïeldieu w jednej z aryi *Białej Damy*, Gounod w duecie z opery Magali i Saint-Saëns w jednem z triów.

zgłosek a tonami muzycznymi istnieje związek jak najściślejszy tak, że długiej zgłosce odpowiada, mówiąc dzisiejszym terminem, ćwierćnuty a zgłosce krótkiej jedna ósemka. Melodya zresztą, ułożona na śpiew choralny *unisono*, bo akordu i harmonii w specyalnem tego słowa znaczeniu Grecy jeszcze nie znali, nie płynie w tym hymnie z serca, jak n. p. w aryach ludowych, ale jest raczej sztuczną i uczoną, jak cała hellenistyczna owych czasów poezya. Brak w niej także budowy stroficznej, czyli rozczłonkowania rytmicznego. Jestto raczej jeden długi *recitatiw*, który swoją dążnością charakteryzowania tekstu melodyą i ostremi przejściami przypomina nie co innego, jak tylko kompozycye najnowszego niemieckiego mistrza tonów, Ryszarda Wagnera. Widocznie rozwój muzyki greckiej odbywał się i w starożytności według podobnych prawideł.

Co się tyczy zewnętrznej strony, to dodać nam wypadnie, że nuty oznaczano zapomocą 24 liter afabetu jońskiego, pisząc je ponad odnośnemi słowami tekstu. Jedną przytem i tę samą nutę bezpośrednio po sobie kilkakrotnie powtarzającą się i należącą do kilku zgłosek w śpiewie pisano tylko raz. Zupełnie przeciwnie postępowano sobie, gdy jedna i ta sama zgłoska tekstu należała do kilku nut. Wtedy powtarzano ją tyle razy, ile nut w sobie zawierała, n. p. μαντειεῖον = μαντεῖον, Δεελφίσιιν = Δελφίσιν. Znano także znaki *crescendo* < i *decrescendo* >, podczas gdy przeciwnie z oznaczania pauz lub fermatów nie spotykamy żadnego śladu.

Nuty instrumentalne, na innych odłamach się znajdujące, ułożone są na kitarę i flet (właściwie klarnet), w tonacyi lidyjskiej i hipolidyjskiej [1]), w skali diatonicznej i takcie również $^{5}{}_{8}$. Przetranskrybowane przez Reinacha odpowiadają mniej więcej naszemu *d mol* o jednym bemole i budzą nierównie mniej zainteresowania już dla samej szczupłości i urywkowości dochowanych fragmentów. Tony oznaczano tu także zapomocą liter z tą jednakże różnicą, że półtony oddawano przez znaki kładzione leżąco lub obracane na lewo, odpowiednio do tego, czy chciano wyrazić ton o połowę podwyższony, czy o połowę zniżony.

Równie ważnemi są i rzeźby, na metopach (przerwach, międzytramiach) skarbca ateńskiego niegdyś umieszczone, tak ze względu na piękne ich wykonanie, jakoteż i z tego powodu, że czas ich powstania dokładnie nam znany. Znalezione bowiem inskrypcye

---

[1]) Oprócz tonacyi doryckiej, frygijskiej i lidyjskiej wytworzyło się później jeszcze sześć innych, określonych przyrostkami: ὑπὲρ i ὑπὸ, t. j. hiper i hipodorycka, hiper i hipofrygijska, tudzież hiper i hipolidyjska.

potwierdzają w zupełności wiadomość, podaną przez Pausaniasa, iż cały monument wzniesiono ze zdobyczy maratońskiej.

Metopów było ogółem 30, po dziewięć na ścianach podłużnych, a po sześć na poprzecznych. Pierwsze przedstawiają czyny Teseusa i Heraklesa, drugie gigantomachię, tudzież geryoneię [1]) i walki z amazonkami. Wykonanie śmiałe, a motywa podobne do tych, jakie spotykamy na wazach z tego czasu, o czarnem tle i czerwonych figurkach. Tezeusa przedstawiono, jak stawia nogę na karku byka i przechylając się naprzód, chwyta go rękami za części płciowe. Herakles znowu klęczy na jakiemś zwierzęciu; włosy spływają mu w lokach po głowie, a wszystkie części ciała żywo i wyraźnie oddane.

Pole przyczółka (tympanon) było prawdopodobnie również przyozdobione. Do figur tu wyrzeźbionych należeli może dwaj jeźdzcy, z których każdy zeskakuje z konia i obie nogi trzyma w powietrzu po lewej jego stronie.

Tylną ścianę skarbca podpiera mur, naprzemian z kwadrów i poligonowych kamieni wzniesiony. U stóp jego po uprzątnięciu gruzów znaleziono prosto do góry stojącą, w ziemię wbitą archaistyczną statuę Apollina, którą, jak dowodzi umieszczony u dołu napis, wyrzeźbił jakiś Argiwijczyk o nazwisku, kończącem się na .... μεδες. Wykonaną była razem z podstawą z jednego kamienia, pochodzącego z wyspy Naxos. Główne cechy charakterystyczne zapożyczone od Jończyków z wysp Samos i Naxos, ale samo wykonanie nie bez znamion oryginalności. Przedewszystkiem wyraz twarzy jest o wiele żywszym i energiczniejszym, niż na innych okazach typu jońskiego. Nadto *pubes* oznaczono zupełnie wyraźnie, a włosy oddano więcej realnie i opatrzono na końcach w kręcące się loczki.

16) Po prawej czyli wschodniej stronie świętej drogi znajduje się naprzeciw skarbca Ateńczyków półkolista *exedra* do odpoczywania dla przechodniów, a obok niej resztki jakiegoś czworobocznego budynku, może skarbca Knidyjczyków (?), wymienionego przez Pausaniasa.

* * *

Powyżej ostatniej budowy rozdziela się święta droga na dwa odgałęzienia: jedno prowadzi do zachodniej części muru obwodowego

[1]) Geryones, posiadacz wielkiej trzody wołów, mieszkający na odległej wyspie Oceanu. Herakles zabrał mu trzodę, zabiwszy najpierw strzegącego jej pasterza Eurytiona i dwugłowego psa Orthrosa a następnie i samego właściciela, Geryona.

i starożytnych domów mieszkalnych, poza obrębem jego położonych, z licznymi śladami studzien i cystern, drugie idzie najpierw w kierunku wschodnim popod kolumnę Naksyjczyków i portyk Ateńczyków, a następnie zagina się na północ i okrążywszy ze wszech stron główną świątynię Apollina, łączy się znowu zapomocą stopni z punktem rozgałęzienia się drogi. Francuzi zwrócili oczywiście główną uwagę ku wschodniemu odgałęzieniu drogi i teren, leżący po obu jego bokach, odsłonili już prawie w zupełności, dobywając na jaw cały szereg nowych niemałej wartości przedmiotów.

17) Kolumna Naksyjczyków, stercząca niegdyś sama wśród gruzów i rumowiska, leży teraz odkopana w całej okazałości przed nami, jako jeden ze wspaniałych okazów dawnej sztuki greckiej. Odnaleziono z niej wszystkie kręgi i joński kapitel, tem od innych późniejszych się odróżniający, że zwoje (woluty) i piętka (kyma) na nim nie zlały się jeszcze z sobą, jak to później nastąpiło. Najcharakterystyczniejszą jednak jest okoliczność, że na kapitelu znajdował się olbrzymi sfinx skrzydlaty z marmuru naksyjskiego. Dolna jego warga układa się do powszechnie znanego uśmiechu, ale górna pozostaje nieruchomą. Całość pełna powagi sprawia przyjemne wrażenie i należy, ogółem wziąwszy, do typu rzeźb samijskich, które przeszczepione widocznie na wyspę Paros rozwinęły się tu i może dały pochop do wytworzenia się osobnej szkoły naksyjskiej.

18) Na wschód od kolumny Naksyjczyków i wzdłuż północnej krawędzi wschodniego odgałęzienia świętej drogi wznosi się już i pierwej dość dobrze znana hala *(stoa)* albo portyk Ateńczyków, z której pozostały tylko bazy z penteligijskiego i pewna ilość kręgów z paryjskiego marmuru.

19) Tuż poza portykiem Ateńczyków i wzdłuż niego ciągnie się potężny mur poligonowy, chroniący stok góry przed usuwaniem się i pokryty prawie od dołu do góry napisami, wydanymi częściowo dopiero teraz przez członków ekspedycyi Couve i Bourget [1]) a częściowo znanymi już przedtem z prac Haussouliera, Weschera-Foucarta i innych.

20) Naprzeciw portyku, po stronie południowej drogi, znajduje się plac wolny, pokryty częściowo ławkami w półkole. To tak zwane ἅλως, miejsce zebrań dla Delfijczyków i cudzoziemców, skąd wyruszały procesye w uroczystym pochodzie, πομπαί, i gdzie odbywały się przeróżne uroczystości.

---

[1]) *Inscriptions inédites du mur poligonne* par mm. L. Couve et E. Bourget. *Bulletin de corr. hell.*, t. XVII. str. 343—409.

Naprzeciw wschodniego rogu muru poligonowego widoczne ślady murowanych stopni, prowadzących wprost do samego wejścia do temenos. Po nich wychodzili do głównej świątyni ci z pieszych pielgrzymów, którzy chcieli wyminąć zakręty świętej drogi i obrać sobie krótszą ścieżkę.

21) Właściwa droga święta, doszedłszy do wschodniego rogu muru poligonowego, skręca, jak już wyżej powiedziałem, na północ i prowadząc to stromo w górę, to wijąc się po równej płaszczyźnie, okrąża w obrębie niej stojącą główną świątynię Apollina od wschodu, północy i zachodu. Po obu jej bokach i na terasach przed świątynią stały niegdyś niezliczone anatemy, przysłane do Delf z różnych stron świata i pochodzące niejednokrotnie od mistrzów sztuki greckiej. W przedsionku *(pronaos)* świątyni czytałeś owe dwa sławne zdania, wyryte przez siedmiu mędrców greckich: Γνῶθι σαυτόν i μηδὲν ἄγαν, a fasady świętego przybytku zdobiły rzeźby, wykonane przez Ateńczyków: Praxiasa i Androstenesa. Wewnątrz świątyni, oprócz innych posągów, była statua Apollina ze złota, a gdzieś w jakimś zakątku stał ów trójnog wyroczni, z którego Pytia głosiła niegdyś odpowiedzi czekającym na nie ze drżeniem pobożnym pielgrzymom. Wszystko to opisuje nam Pausanias [1]), jako istniejące jeszcze za jego czasów, a dziś — dziś wbrew wszelkim nadziejom i oczekiwaniom pozostały z tych pomników sztuki tylko nieznaczne resztki, nie dające nawet wyobrażenia o świetności i okazałości, jaka tu przed wiekami panowała. Obecne wykopaliska ekspedycyi francuskiej dowiodły dobitnie, że świątynia i jej skarby uległy radykalniejszemu zniszczeniu, niżeśmy przedtem przypuszczali. Czego nie rozdrapała ręka Focyjczyków i władców rzymskich, czego nie zniszczyły pożar i trzęsienie ziemi, to później do Konstantynopola uprowadził rozkaz Konstantyna Wielkiego i jego następców, pozostawiając zaledwie nieznane okruchy dla Francuzów do odsłonięcia.

Z samego przybytku Apollinowego dochowały się tylko potężne, dość wysokie fundamenta i część kręgów kolumnowych i to nie na miejscu, ale rozrzuconych szeroko naokoło świątyni. Ile więc było kolumn, jaka odległość (międzysłupie) między niemi i jaka ich wysokość — tego prawdopodobnie może nigdy nie dowiemy się, choć wykopaliska trwają jeszcze ciągle, zwłaszcza na stronie północnej, stosunkowo jeszcze nalepiej dochowanej.

W samym środku świątyni znajduje się w posadzce obszerne zagłębienie, w którem przy odkopywaniu znaleziono pełno inskrypcyi,

---

[1]) l. c. X. 13—24.

tudzież szczątków baz, kolumn i rzeźb. Jestto widocznie adyton, t. j. tajemnicze, tylko dla kapłanów przystępne miejsce, w którem układano wyrocznie na podstawie niezrozumiałych słów, wygłoszonych przez Pytyę. Leżało ono widocznie w środku świątyni a nie w tylnej jej części czyli opisthodomie, jak przypuszczano dotąd na podstawie analogicznego stanu w innych bogom poświęconych budowlach.

Pod posadzką odkryto całą sieć podziemnych krużganków i sal (δώματα ὑπόγαια), widocznie założonych umyślnie zaraz przy budowie świątyni. Legenda przywiązała do tych podziemnych mieszkań istnienie wielkiego skarbu, ale przy poszukiwaniach, podjętych obecnie przez ekspedycyę, nie znaleziono niczego, prócz kilku naczyń glinianych i narzędzi bronzowych bez wartości. Nie ma nawet żadnych stopni, któreby te podziemne komnaty z górną częścią łączyły, jednem słowem, nie ma i śladu, by ich kiedykolwiek miano używać. Obszerne podziemia założono więc widocznie tylko dlatego, by podnieść poziom świątyni. Okazało się to później zgubnem, bo spotęgowało tylko siłę trzęsienia ziemi, któreby niewątpliwie było mniej szkody zrządziło, gdyby świątynię zbudowano wprost na skale.

Na terasie przed wschodnią stroną świątyni znajduje się masywna, w kształcie wieżycy wzniesiona budowa, z niebieskawego wapienia i marmuru. Wygodna i do dziś częściowo istniejąca rampa łączy ją z świątynią i świętą drogą. Prawdopodobnie był to główny ołtarz, choć nie znaleziono tu ani popiołu, ani żadnych resztek z palonych do ostatka ofiar. W tejże samej linii na terasie po przeciwnej, t. j. wschodniej stronie świątyni, odsłonięto nadzwyczaj wielką okrągłą bazę, w której pobliżu znaleziono niezwykłą ilość cennych przedmiotów z terakoty i bronzu, jako to trójnogi, czary, statuetki itd. itd. Nieco dalej natrafiono na cały szereg inskrypcyi, nader ważnych tak dla historyi związku delfickiego, jak i samejże świątyni. Są między niemi i rachunki dostawców i przedsiębiorców przy restauracyi świątyni w IV. wieku, wyryte na marmurowych płytach.

Kiedy mianowicie w r. 548 pożar zniszczył pierwotny stary budynek, rozpoczęto z dobrowolnych składek i za przyczynieniem się zamożnego rodu ateńskiego Alkmeonidów odbudowywać świątynię nierównie wspanialej, z marmuru paryjskiego, według planów Koryntyjczyka, Spintarosa. Nowa budowa przetrwała jednak tylko do wojen focyjskich, t. j. mniej więcej do połowy IV. wieku przed Chr., a nie, jak dotychczas sądzono, aż do napadu Gallów w roku 278.

Dowiódł tego niedawno Pomtow [1]) właśnie na podstawie owych wyżej wymienionych rachunków i innych świeżo znalezionych inskrypcyi, opowiadających nam o surowych represaliach, jakich użyto względem Focyjczyków, aby ich zmusić do zwrotu zabranych pieniędzy i nowego znaczniejszego zrestaurowania świątyni. W niespełna trzy wieki później, w r. 84 przed Chr., spalili Trakowie święty przybytek po raz trzeci, jak to wynika z krótkiej wzmianki u Hieronyma [2]): *templum tertio apud Delphos incensum et Romae Capitolium.* Restauracyi dokonano i tym razem, skoro Pausanias, żyjący w II. wieku po Chr., opisuje tak samą świątynię, jak i skarby w niej zawarte.

Z rzeźb znaleziono naokoło świątyni tylko bardzo niewiele. Do najcelniejszych należy wielka głowa konia, którą zrazu bez należytej podstawy łączono z rydwanem Heliosa, zanurzającego się w nurtach Oceanu, t. j. sceną, wyobrażoną niegdyś na polu wschodniego przyczółka (tympanu) świątyni. Pięknym również i pomimo odpadnięcia ramion dobrze dochowanym jest kolosalny biust Antinoosa, ulubieńca cesarza Hadryana, którego po śmierci (utonął w Nilu w roku 130 po Chr.) zaliczono na rozkaz cesarski między heroów i czczono niemal jako boga. Z jakiejś zaginionej gigantomachii pochodzi wreszcie głowa zranionego giganta, o wyrazie pełnym prawdy i namiętności. Strzała trafiła go popod lewe oko, przeszyła głowę na wskróś tak, że ostrze pocisku wyszło znowu niedaleko prawego ucha. Z bolu najeżyły mu się włosy i zacisnęły zęby; oko niezranione i usta rozwarły się szeroko, a czoło i nos ściągnęły się w fałdy, jak u lwa, któremu myśliwi dotkliwą zadali ranę.

* * *

Na zachód i północ od głównej świątyni znajduje się teren, prawie nietknięty jeszcze rydlem Francuzów. Mówić o nim wiele, nie opłaci się teraz, skoro wkrótce wykopaliska przysporzyć mogą całego zapasu nowych, nieznanych szczegółów. Przejdźmy go więc tylko kursorycznie, aby zaokrąglić całokształt obrazu, a dokładniejsze uzupełnienie jego pozostawmy sobie na przyszłość, gdy znowu przybędzie wiele nieznanego dotychczas materyału.

Na północy, może jeszcze w obrębie muru obwodowego, którego położenie dopiero dalsze wykopaliska dokładniej oznaczą, leżał teatr, dzisiaj zupełnie gruzami zasypany. Zaledwie kilka stopni κοῖλον widnieje obecnie jako ślad, gdzie go szukać należy.

[1]) Por. *Woch. f. class. Phil.* r. 1895 str. 26.
[2]) ap. Eusebium II. p. 133 w wydaniu Schone'go.

Obok teatru znajdowało się λέσχη, miejsce zebrań kapłanów, niegdyś okazała budowla, bogato przyozdobiona i słynna z dwu olbrzymich fresków mistrza Polygnota, z których jeden przedstawiał zburzenie Troi a drugi Odyseusa w Hadesie. Pausanias poświęca ich opisowi aż 7 rozdziałów [1]) i nie może się dość nachwalić trafnej kompozycyi, bogactwa figur i szerokiego uwzględnienia literatury cyklu homerowego. Czy posłuży tu szczęście Francuzom i my choć szczątki tych przepysznych obrazów będziemy kiedyś mogli oglądać?

Poza murem obwodowym pokazują jeszcze dzisiaj odłam skały, który Kronos miał z siebie wyrzucić, gdy mu go owinięty w płótno zamiast własnego dziecka do zjedzenia podano. — Na północny wschód od niego prawie tuż koło wierzchołka terasy znajduje się obfite, dobrze ocembrowane źródło Kérna. Według jednego z uczonych niemieckich, Thierscha [2]), ma ono zapomocą podziemnego wodociągu, zbudowanego jeszcze w starożytności, spływać na dół i jako nowe źródło wychodzić na jaw koło kościołka św. Mikołaja, położonego już w obrębie świętego temenos. Jeżeliby tak rzeczywiście było, to wówczas byłoby ono prawdopodobnie identycznem ze źródłem Kassotis, które według Pausaniasa (X. 24. 7) miało znikać pod ziemią i następnie niewiastom w adyton udzielać daru wieszczego.

Całkiem na północy, tuż powyżej wierzchołka głównej terasy, leżało stadion, jeszcze i dzisiaj całkiem widoczne. Wschodnia jego, północna i zachodnia strona wyrobione w skale, podczas gdy południowa była sztucznie z kamienia wymurowaną.

Na zachód od świątyni, w obrębie muru obwodowego i poza nim, były, jak już wyżej wspomniałem, różne zabudowania dla użytku amfiktyonów i domy mieszkańców delfickich, należące tak do samychże jeszcze Delf, jak i drugiego delfickiego przedmieścia: Πυλαία. Czekają one prawie wszystkie na odsłonięcie ich przez ekspedycyę francuską, co może już w przyszłym roku nastąpi. Możemy więc śmiało pominąć na razie nieznaczne ich resztki, tu i owdzie z gruzów wystające, i dodać jedynie, że synedrion, t. j. miejsce zgromadzeń, znajdowało się prawie na zachodniej kończynie przedmieścia pylejskiego. Na gruzach jego powstał z czasem mały kościołek św. Eliasza [3]), zbudowany częsciowo z materyału, z którego

---

[1]) l. c. X. 25—31.

[2]) *Abhandlungen der bayerischem Akademie der Wissenschaft* z r. 1840, t. III. p. 18.

[3]) W niewielkiej wiosce Kastri znajdowały się przed rozpoczęciem wykopalisk aż trzy kościołki: św. Mikołaja, Eliasza i Jerzego, i jeden

niegdyś wzniesiony był budynek Synedrionu. Do dzisiaj istnieje na cmentarzu przed kościołkiem coraz bardziej zniszczeniu podlegający kawałek ładnej mozaikowej posadzki i grobowiec Plutarcha z Cheronei, znakomitego pisarza i zasłużonego koło Delf kapłana Apollina i epimelety (przełożonego) amfiktyonów z czasów Hadryana. Sami amfiktyonowie polecili wystawić mu ten grobowiec i umieścić na nim napis do dzisiaj istniejący:

Λελφοὶ Χαιρωνεῦσιν ὁμοῦ Πλούταρχον ἔθηκαν
τοῖς Αμφικτυόνων δόγμασι πειθόμενοι.

Na zachód poza przedmieściem pylejskiem, przy drodze do Itei i u stóp owego na południe wysuniętego odnóża góry Rodini, znajduje się druga zachodnia nekropolia, wcześniejsza od wschodniej, jakto poznać z bardziej nieudolnego wykonania i braku jakichkolwiek szczątków ornamentyki lub skulptury. Ona jedna pada ofiarą dzisiejszych wykopalisk i niszczeje coraz bardziej, bo chłopi z Kastri, zmuszeni do opuszczenia dawnych swych siedzib, rozsadzają jej sarkofagi w skale wykute, aby otrzymać kamień, potrzebny im do wybudowania sobie nowych domów mieszkalnych.

Wreszcie ponad tą nekropolią, na wierzchołku owego cyplu góry Rodini, znajdują się resztki zburzonego zamku Philomela, przewódcy Focyjczyków podczas wojny świętej. Miejsce było dobrze dobranem i dominowało tak nad Delfami, jak i drogą do Amfissy i zatoki krysejskiej prowadzącą.

Korneli Juliusz Heck.

---

monaster pod wezwaniem Przenajświętszej Maryi. wspomniany już poprzednio przy opisie przedmieścia kastalijskiego. Nic to dziwnego w Grecyi, gdzie na 2 miliony mieszkańców jest około 40 biskupów i arcybiskupów i niezliczona ilość cerkwi i kaplic.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część druga.

II.

(Ciąg dalszy).

Krzeszowice w roku 1805 były jeszcze własnością Lubomirskich, gdyż dopiero po śmierci księżny marszałkowej w roku 1816 dostały się w spadku Arturowi Potockiemu. Drogą złą, piaszczystą, na Łobzów i Bronowice udał się Bredetzky do Krzeszowic, napomykając przy tej sposobności o słynnej z swej gleby Czarnej Wsi, zamieszkałej w przeważnej części przez ogrodników, uprawiających wszelakiego rodzaju warzywa. Fizyonomia tej wsi przypomniała naszemu autorowi niemieckie osady, lecz z tej illuzyi wywiódł go rychło okropny stan drogi. Z jednej kałuży wpadał wóz w drugą, z jednej dziury w następną, zaś rozwalona za Łobzowem karczma przypomniała znów Bredetzky'emu dość często powtarzające się w ówczesnym Krakowie wypadki zawalenia się domów, co zdawałoby się świadczyć niezbyt korzystnie o umiejętności budowniczych miejscowych. Natomiast Krzeszowice wywarły na przybyszu nader miłe wrażenie zarówno swem uroczem położeniem, jak czystością murowanych budynków i starannem utrzymaniem parku, rozciągającego się po obu brzegach Rudawy — (pałac obecny wystawili dopiero Potoccy). Z istniejących tamże dwóch źródeł jedno było żelaziste, drugie siarczane. Do kąpieli dla chorych używano mięszanej wody z obu zdrojów, sprowadzanej do łazienek rurami. Mieszkanie, złożone z dwóch izb, z łazienki i z kuchni, kosztowało dziennie 2 złote reńskie.

Wśród wzgórz, otaczających Krzeszowice od strony południowej, istniała kopalnia węgla kamiennego, eksploatowana w sposób nader

prymitywny, gdyż górnicy, pracujący w sztolni, musieli leżąco wydobywać węgiel. Przeciętna, roczna produkcya węgla wynosiła 10.000 korców, (korzec licząc po dwa cetnary), które sprzedawano na miejscu po szesnaście groszy. Węgiel krzeszowicki nie zaliczał się do najlepszych w Galicyi. Był to tak zwany węgiel brunatny. Zresztą prawidłową eksploatacyę tej kopalni utrudniały i woda zaskórna i brak odpowiednich robotników, których zastępowali na razie miejscowi włościanie pod dozorem niemieckiego górnika. Zwiedził też Bredetzky pobliski Tęczyn oraz górę z rozwalinami zamkowemi i nasłuchał się do syta z ust włościan opowieści o ukrytych w tem miejscu skarbach.

Opisowi kopalni węgla w Jaworznie poświęca nasz autor szósty rozdział swej książki, twierdząc, że tamtejsze pokłady węgla odkryte zostały jeszcze za polskich czasów podczas kopania dołów na wilki. Nie korzystano z nich wszakże aż do czasów przejścia tych okolic pod berło austryackie. Eksploatacyę węgla w Jaworznie rozpoczął w kwietniu 1795 roku Krzysztof Ried na koszt skarbu. W czasie pobytu Bredetzky'ego istniało w Jaworznie pięć pokładów węgla rozmaitej szerokości i zarząd kopalni nosił się z myślą budowy podziemnego, wodnego kanału, na którymby można spławiać węgiel wydobyty na powierzchnię ziemi. Węgiel tamtejszy, łupkowy, w przeważnej części był zużytkowywany w Krakowie, dokąd też corocznie sprowadzano tysiące cetnarów węgla z Prus. Autor nasz doradza ogłoszenie zakazu przywożenia obcego węgla do kraju, gdyż zarówno rządowe, jak prywatne kopalnie krajowe są w możności zaopatrzenia Krakowa i okolicy w potrzebny materyał opałowy. W Jaworznie pracowało, prócz dziewięciu zawodowych górników, czterdziestu dwóch poddanych, obowiązanych do odrabiania pańszczyzny przez dwa dni tygodniowo. Ludzie ci pod względem zręczności nie ustępowali górnikom zawodowym. Węgiel wydobyty spławiano z Jaworzna na tratwach rzeczką Przenicą do Wisły a następnie Wisłą do Krakowa. Prócz kopalni rządowych istniały w Jaworznie jeszcze kopalnie węgla: Burdy, (dostarczająca rocznie 4.000 korcy), Sierakowskiego, 1.300 korcy), i Sperlinga, (5.000 korcy). Sperling, kolonista, do Polski przybyły z Niemiec, założył też w pobliżu Krakowa wapniarkę oraz fabrykę skałek do broni palnej. Prócz powyżej wymienionych, istniała jeszcze w Jaworznie kopalnia węgla Rittera, produkująca rocznie 1000 korcy.

W Dąbrowie pod Tęczynkiem była również czynną kopalnia węgla Potockich, (9.000 korcy rocznie), podczas gdy kopalnia wielicka produkowała rocznie 33.000 korcy. Kopalnia Nowaka pod

Łuczkowicą posiadała wprawdzie jeden z najlepszych gatunków węgla, lecz musiała walczyć nieustannie z zalewającą ją wodą. Dostarczała ona rocznie 12.000 korcy węgla. Ogółem roczną produkcyę węgla w tych stronach oblicza Bredetzky na 91.619 korcy.

Zupełnie odmienny charakter posiada siódmy rozdział książki, w którym autor opisuje wrażenia, odniesione z wycieczki, jaką odbył w sierpniu 1805 roku do Kalwaryi Zebrzydowskiej. Było to w przededniu Wniebowzięcia Matki Bożej i tłumy pątników, z wszystkich stron Polski, Szląska i Moraw przybyłych, przepełniały miasteczko licho bardzo zbudowane. Wmięszany w tłum, obszedł Bredetzky stacye Męki Pańskiej, zdumiewając się nad żarliwą pobożnością prostaczków, acz raziły go włóczenie się na kolanach, leżenie krzyżem, biczowanie się, dokonywane przez niektórych pątników, podobnie jak sztuczne ognie, spalone wieczorem przez braciszków klasztornych ku niemałej uciesze tłumów, koczujących pod gołem niebem. Nazajutrz od świtu kościół był przepełniony. Z powodu gorąca i ciżby wyniesiono wiele kobiet omdlałych z świątyni, a podobno jakaś mieszczanka krakowska utraciła w tłoku życie... Zwiedzając szczegółowo klasztor, zaszedł też Bredetzky do celi, w której gwardyan zapisywał msze, zamawiane przez pątników. Szczególniej wzruszył naszego pastora widok starej góralki, która, składając grosz swój wdowi w ofierze, prosiła księdza, by modlił się za powodzenie jej syna, zabranego w rekruty. Wspomnienie tej kobiety, dodaje Bredetzky, towarzyszyć mi będzie zawsze w chwili przykrego uczucia, wywoływanego objawami brutalnej bigoteryi...

Podobnej treści, kreślące osobiste wrażenia autora podczas wycieczek po kraju, są następne dwa rozdziały, (ósmy i dziewiąty), zawierające opisy Wieliczki, Bochni i kolonii niemieckich, rozrzuconych nad Rabą. Wspominając o Wieliczce, napomyka Bredetzky, iż nie jest nieprawdopodobnem podanie, jakoby dolina, w której ta miejscowość leży, powstała dopiero z biegiem czasu, gdyż powolne obniżanie się terenu, skutkiem wydobywania pokładów soli pod miastem leżących, byłoby wielce naturalne. Ogrody otaczają wszystkie domostwa miejskie, budowane przeważnie z drzewa. Z Wieliczki przybył autor do Letnicy, kolonii niemieckiej, stworzonej za Józefa II. z osadników, przybyłych z okolic nadreńskich. Ludzie ci mieli się bardzo dobrze i byli zadowoleni z swego bytu. Minąwszy Gdów, nędznie zabudowaną mieścinę, dotarł Bredetzky do Bochni, którą porównuje z jednym, wielkim ogrodem. Drzewa zasłaniają też w znacznej części lichy stan domostw, rozrzuconych dość chaotycznie. Na północ od Bochni, nad Rabą, znajdowało się sporo kolonistów nie-

mieckich, osiadłych w Nowym Gawłowie i w Nowych Majkowicach, w Wojtowstwie, w Książnicach i w Krzeczowie. Ogół osadników Niemców oblicza Bredetzky w tej okolicy na 3.110 głów. Urodzajna ziemia, bliskość Bochni i Krakowa a co najgłówniejsza, pracowitość tych kolonistów, zapewniły im znaczny dobrobyt. Po tej ogólnej uwadze znajdujemy kilka refleksyi autora na temat gospodarki rolnej kolonistów, a oraz opis zwyczaju, kultywowanego w drugi dzień Zielonych Świątek przez polskich włościan w Letnicy, obiegających swe pola z tykami, na których płonęły zatknięte wiechcie słomy. Czynność ta miała zapewnić im urodzaje...

Z powodu tego zwyczaju napomyka Bredetzky o barbarzyńskim zabobonie, którego ofiarą padł pewien wieśniak w cyrkule radomskim, pod Łomnią. Wieśniak ten zachorował i w letargu zaniesiony został do trupiarni. Ocknąwszy się, zawlókł się o własnej sile do chaty, ku niemałemu przerażeniu rodziny i znajomych, którzy sądząc, że mają przed sobą upiora, ucięli nieszczęśliwemu głowę i nogi, aby na przyszłość nie straszył. Władza, powiadomiona o tem zdarzeniu, starała się stłumić wiadomość o niem, nie chcąc karać zbrodni, popełnionej z ciemnoty. „Długie jeszcze lata upłyną“ — słowa Bredetzky'ego — „zanim szkoły ludowe w Galicyi znajdą rozpowszechnienie, chłop bowiem żywi ten szczególniejszy przesąd, iż nie warto uczyć chłopaka pisania i czytania, choćby dlatego, że i tak go z pewnością zabiorą do wojska“...

W rozdziale dziesiątym przenosi nas autor do Galicyi wschodniej, zdając w tym ustępie sprawę z wycieczki, odbytej w sierpniu 1807 roku ze Lwowa do Kałusza. Dojeżdżając do Szczerca, zwrócił uwagę na nadzwyczajną obfitość sadów i owoców w kolonii Reichenbach, na piękne położenie osady Dornfeld, założonej przez byłego komisarza tegoż nazwiska a zabudowanej w kwadrat. Wspomina następnie o osadzie Rosenberg, nazywanej też Nowym Szczercem a zalecającej się nadzwyczaj urodzajną glebą, o koloniach: Falkenstein, Einsiedel i Chrusno, sprawiających swą schludnością i zamożnością widok wielce przyjemny. We wszystkich tych miejscowościach ogrody były tak rozległe, iż osada Lindenfeld sprawiała, zwłaszcza zdaleka, raczej wrażenie lasku, aniżeli kolonii gospodarczej. Ludność tych osad, pozostających pod zarządem urzędów kameralnych w Szczercu i w Siemianówce, była wyznania reformowanego i posiadała kilka szkół.

Wśród tych osadników znaleźli się także Menonici, potomkowie głośnych Anabaptystów z XVII. wieku, którzy, odrzuciwszy w Holandyi dawniej praktykowane wielożeństwo i uznawszy istnienie

władz rządowych, przybrali nazwę od swego przewodnika, imieniem Menos Simonis. Galicyjscy Menonici przybyli do nas za Józefa II. w liczbie trzydziestu rodzin, z których część pewna wyniosła się następnie do Rosyi. Bredetzky naliczył dwadzieścia rodzin tej sekty, liczących razem 128 głów. Główną ich siedzibą była kolonia Einsiedel. Zrazu traktowano Menonitów jako protestantów, każąc im opłacać kwotę pewną na utrzymanie pastora w Dornfeldzie. Ponieważ jednak Menonici obywają się bez duchowieństwa, przeto władza zarządziła w r. 1795 komisyę, która urzędowała w Siemianówce. Rezultatem tych dochodzeń było uwolnienie Menonitów od obowiązków składania opłaty na rzecz pastora w Dornfeldzie. Sekciarze nie przyjmują urzędów, nie składają przysięgi, oraz nie pełnią służby wojskowej. Dzielą się na ściśle przestrzegających przepisów sekty, tak zwanych szwajcarskich Menonitów, nie noszących guzików i nie golących brody, oraz na mniej ścisłych wyznawców, którzy noszą guziki i brody. Są to ludzie pracowici, spokojni, unikający wszelkich gwałtowniejszych wzruszeń, wyróżniający się i pod względem zewnętrznym korzystnie wśród innych kolonistów. Z tego też powodu młodzi koloniści chętnie żenią się z Menonitkami, które dzieci wychowują w zasadach swej sekty. Wypadki tego rodzaju zupełnie zresztą naturalne — zdaniem autora — wywoływały straszliwą wrzawę wśród osadników, protestantów.

Z Reichenbach na Rozwadów udał się Bredetzky do Stryja. Od Rozwadowa jechał dobrym gościńcem, tworzącym podczas wiosennych wylewów Dniestru niejako groblę. Podobnież groblą musiano przed laty zabezpieczać miasteczko Stryj wobec wylewów rzeki tegoż nazwiska, nader bystrej i nieustannie zmieniającej swe koryto. Stryj sprawił na podróżniku nader sympatyczne wrażenie. Wjeżdżało się do niego długą ulicą, wzdłuż której widniały dobrze zbudowane, otoczone ogrodami, dworki. Dopiero minąwszy rogatkę, ujrzał nasz podróżny zwykłe, żydowskie miasteczko, zabudowane w regularny czworobok drewnianymi domkami, o daleko wystających dachach, pełne nieczystości i błota. Ze Stryja promem przeprawił się na przeciwną stronę, udając się do Kałusza, by po drodze zatrzymać się w Lisowicach, gdzie istniała warzelnia soli. Położenie żupy u stóp wzgórza, od strony południowej, nasunęło autorowi pod pióro pytanie, czy nie należałoby w tem miejscu urządzić warzelni, produkującej sól pod wpływem słońca, na wzór zakładu, istniejącego w Artern, w Saksonii. Pod Bolechowem zauważył osadę, zwaną Nowy Babilon, przeznaczoną pierwotnie dla żydów, którzy wszakże niebawem porzucili wyznaczoną im przez urząd rolę. Miejsce ich

zajęli pracowici koloniści niemieccy. Tuż pod miasteczkiem istniała żupa solna o czterech panwiach. Z Bolechowa na Hoszów, z bazyliańskim monasterem wśród skał położonym, zajechał Bredetzky do Mizunia, gdzie produkòwano żelazo, przerabiane następnie na panwie do żup, na piece, oraz na rozmaite naczynia kuchenne. Oddalona od dwie mile od Bolechowa Dolina, przypomniała mu swą fizyonomią Bochnię, zaś w okolicy tego miasteczka powstały znaczniejsze i kwitnące osady niemieckie: Ugartsthal ze zborem i z szkołą, tudzież leżąca w uroczem położeniu, słynna z sadów owocowych, Landestreu. Od Ugartsthal, w półmilowej zaledwo odległości, leżał Kałusz, siedziba niegdyś starostwa. W roku 1807 były tam: wyższy urząd leśny, zarząd żupy, dwa urzędy cłowe, komisaryat drogowy i szkoła normalna. Kałusz był więc w owym czasie znaczniejszem miasteczkiem w Galicyi. Na równinie, roztaczającej się pod miasteczkiem, widoczne były obfite pokłady torfu, sięgające miejscami od trzech do pięciu stóp a niewyzyskane, być może, nawet nieznane okolicznym mieszkańcom. Ludność ruska w okolicach Kałusza zastanowiła naszego badacza, którego zdaniem była najpiękniejszą w całej Galicyi. Jeden z urzędników, zapytywany przez Bredetzky'ego co do pochodzenia owej ludności, oświadczył mu, iż na poprawienie rasy w tych stronach wpłynął niewątpliwie pułk saski kirasyerów, załogujący tamże przez długie lata za czasów Augusta II. Odpowiedź ta nie zadowoliła uczonego badacza, który w bardzo ostrych wyrazach karci niemoralność ludu wiejskiego z tych okolic, brodzącego przez rzekę po większej części w stroju Adamowym...

Przegląd topograficznej literatury o Galicyi zajmuje cały jedenasty rozdział leżącej przed nami książki. Bredetzky ujemnie wyraża się o historyi Galicyi, wydanej w r. 1792 w Wiedniu przez Jakóba A. Hoppego, jako o bezładnej kompilacyi, z rozmaitych autorów sporządzonej [1]). Ostrej też poddaje krytyce wiadome *Listy* Krattera, w których zawarte wiadomości oszpecił autor nędznemi plotkami. Natomiast wyżej stawia *Wspomnienia z podróży* Józefa Rohrera, choć autor zbyt może czarno zapatrywał się na otaczające go stosunki [2]) a z wielkiemi pochwałami wyraża się o dziele Franciszka Jekla, omawiającem przeobrażenia państwowe w Polsce, oraz ostatnią

---

[1]) Jakób August Hoppes, k. k. Bochnier Kreisschulendirektors: Ältere und neuere Geschichte der Königreiche Galizien und Lodomerien. (Wien, J. Alberti 1792).

[2]) Bemerkungen auf einer Reise von der türkischen Grenze... nach Wien von Joseph Rohrer. (Wien, A. Pichler 1804).

konstytucyę [1]). Chwali i erudycyę autora i przystępność jego wykładu i obfitość przytoczonych w dziele jego źródeł. Również dodatnio wyraża się o wydanej bezimiennie w Salzburgu książce Kauscha, choć, zdaniem jego, praca ta miała przeważnie charakter okolicznościowy, interesujący szczególniej w dobie przedrozbiorowej [2]). Zaszczytną wzmianką darzy też Bredetzky naukowe opisy podróży Carosiego, Hacqueta i Ferbera [3]), tudzież polityczną publikacyę, p. t. *Magna Charta von Galicien*, przypisywaną Kortumowi. Z całą jednak stanowczością i z widoczną niechęcią występuje nasz autor przeciw J. A. Schultesowi, lekarzowi i profesorowi uniwersytetu krakowskiego. Oddaje mu zasłużone uznanie za naukowe zbadanie zdrojów krynickich i ogłoszenie drukiem rezultatu tychże badań [4]), lecz z tem większą bezwzględnością zwalcza twierdzenia, wyrażone przez krakowskiego uczonego, w listach, ogłoszonych w wiedeńskim *Intelligenzblacie* [5]). Wytyka mu mianowicie twierdzenie, rzucone *ex cathedra*, jakoby Karpaty były najmniejszemi górami w Europie. Krytykuje też banalną opowieść Schultesa o mogiłach Krakusa i Wandy, lecz z szczególną lubością znęca się nad nieszczęśliwym chemikiem z powodu ogłoszonych przez niego paradoksów o żydach galicyjskich, którzy — zdaniem Schultesa — jedynie byli godnymi posiadania tego kraju. Nie przytaczamy całej tej, wcale dowcipnie skreślonej polemiki, która dla czytelników, nie znających listów Schultesa, nie może być dostatecznie zrozumiałą. Nadmienimy więc tylko, że uczony badacz źródeł krynickich przedstawił żydów, jako jedynie uprawnionych do posiadania Galicyi z tego powodu, iż oni tylko są w stanie zarobić na utrzymanie, uprawiając rękodzieła i rolę, lepiej od chrześcian, warząc trunki doskonałe i spełniając wyśmienicie obowiązki gospodarzy po domach zajezdnych. Nie dość na tem. Nie poprzestając na wymienieniu tylu zalet moralnych, zachwycał się Schultes ich urodą: oczyma, pełnemi ognia, orlimi nosami, usty, brodami a nawet ryżą czupryną dzieci ludu wybra-

---

[1]) Franz Joseph Jekels: Pohlens Staatsveränderungen und letzte Verfassung. (Wien 1803, A. Pichler).

[2]) Nachrichten über Pohlen. (Salzburg, Mayer, 1793).

[3]) Johann Philipp v. Carosi: Reisen durch verschiedene pohlnische Provinzen. (Leipzig 1781). — Hacquets: Neueste physikalisch-politische Reisen. (Leipzig 1790— 1796). — Johann J. Ferbers: Relation von der . . . mineralogischen . . . Reise durch einige pohlnische Provinzen. (Arnstadt 1804).

[4]) Über die Mineralquellen zu Krynica. (Wien 1807).

[5]) Intelligenzblatt der Neuen Annalen des Österreichischen Kaiserthums. (Wien 1807).

nego. Na każdy z tych punktów odpowiada Bredetzky w sposób, niepozbawiony głębszej satyry. Naturalnym rzeczy porządkiem, w pierwszym rzędzie bierze on w obronę niemieckich mieszczan i osadników wiejskich tejże narodowości, którym przypisuje wszystkie postępy cywilizacyjne, jakie w ostatnich lat dziesiątkach Galicya poczyniła. Nie zaniedbał atoli przy tej sposobności obronić też ludność polską w Galicyi, którą Schultes stawiał na równi z mieszkańcami Nowej Holandyi, z Ostjakami, oraz z mieszkańcami Kalifornii, twierdząc, że Polak nie przyda się nawet na żołnierza, gdyż nie chce się bić, jeno pić i spać... Dawszy surową, zgodną z rzeczywistością odprawę krakowskiemu koledze, kończy Bredetzky swe wywody następującem zdaniem: „Jeżeli pisarz, poważny zresztą, zuchwale ciska publiczności w oczy zdania na poły prawdziwe, lub wręcz fałszywe, wówczas zdradza wobec niej lekceważenie, które nigdy dość surowo nie może być zganione. Jeżeli jednak publiczność spokojnie przyjmuje owe „radomontady“ z obawy przed jego ostrem piórem, wówczas zasługuje na częstsze przyjmowanie takich, jak Schultesa, listów“...

Z dwunastego rozdziału książki wyjmujemy jedynie ustępy, Galicyi dotyczące, znajdujące się w opisie podróży autora, odbytej ze Lwowa na Spiż i Preszów do Koszyc. Bredetzky jechał gościńcem janowskim. Pierwszem przeto miasteczkiem na tej drodze był Janów, którego ludność ocenia na pięćset dusz. Staw janowski o dziewięciuset morgowym obszarze słynął z swej rybności. Ryby janowskie szły na stoły królów polskich. Staw ten spuszczano co cztery lata, wydzierżawiając cały połów za kwotę 14.000 złr., podczas gdy koszt utrzymania stawu wynosił zaledwo pięćdziesiąt złotych, które płacono stawniczemu. O dwie mile od Janowa leży Szkło, znane z siarczanych kąpieli. Rząd pobudował tamże w pierwszych latach bieżącego wieku jadalnię, oraz piętnaście domków mieszkalnych. Tuż naprzeciw mieszkań istniały łazienki. Przed domem kąpielowym rozciągał się ogród z kapliczką, w której latem codziennie mszę odprawiano. Źródło tryska w niewielkiej rozpadlinie. Obok nowych łazienek zachowano dawniejsze, przeznaczając je dla żołnierzy. W długiej szopie ustawiono wannę przy wannie dla chorych synów Marsa, o których wygodę nikt zbytnio nie dbał. Dzierżawcą zakładu był niejaki Smutny, który za dwa złote dziennie dostarczał mieszkania, kąpieli, obiadu i wieczerzy. A że karmił swych gości do syta, przeto i taksa, przez niego pobierana, nie była zbyt wygórowaną. Kąpiel, brana oddzielnie, kosztowała piętnaście, dla obcych dwadzieścia kraj-

carów. Opodal od zakładu istniała piękna papiernia, własność Pillerów, cel zwykłych przechadzek gości kąpielowych.

Do Jaworowa wiodła ze Szkła źle utrzymana, piaszczysta droga. Jaworów, siedziba zarządu kameralnego, zabudowany w kwadrat, liczył do tysiąca numerów i odznaczał się nader rozległemi przedmieściami, zamieszkałemi przez ruskich chłopów. Przedmieście krakowieckie ciągnęło się przeszło na milę długości. Mimo piaszczystej gleby spotkał tam Bredetzky nadzwyczaj piękne zboże. Jaworów posiadał staw nader rybny, podobnie jak oddalony o dwie mile Krakowiec, zalecający się nowym, w czystym stylu zbudowanym kościołem. Od miasteczka do rezydencyi dziedzica, którym był hr. Cettner, wiodła prześliczna alea, ćwierćmilowej długości, wysadzana jasionami, wierzbami i lipami, wśród których widniały mieszkania dworskich oficyalistów i włościańskie chaty. Z Krakowca na Zaleską Wolę i Radymno udał się Bredetzky do Jarosławia, którą to miejscowość opisuje jako bardzo miłe miasteczko. Śródmieście składało się z dwustu domów, budowanych z cegły, gdyż kamień musiano sprowadzać dopiero z Lubaczowa lub z Przemyśla. Grunt gliniasty, miękki był prawdopodobnie przyczyną katastrofy, zawalenia się wieży przed trzema laty, przyczem do pięćdziesięciu ludzi postradało życie. Jarosław, prócz gmachu komisyi mundurowej, posiadał kilka kościołów, zbór ewangelicki i stacyę pocztową. Okolica nad Sanem była prześliczna; dokoła ciągnęły się dobra Czartoryskich. Domy w Jarosławiu otaczały liczne ogrody. Na przedmieściu istniały trzy czy cztery blichy woskowe. Natomiast pszczelnictwo w tych stronach nie wiodło się. Grunta pod Jarosławiem odznaczały się urodzajnością. Najlepiej udawało się żyto i jęczmień. I sadownictwo kwitnęło w tych stronach.

Odległy o dwie mile od Jarosławia Przeworsk, zalicza Bredetzky do najmniej pokaźnych miasteczek w Polsce. Budynki drewniane przedstawiały widok bardzo smutny. Natomiast Łańcut, z swą aleą lipową milowej długości, wspaniałą był rezydencyą, należącą obok Puław do najbardziej interesujących miejscowości w Galicyi.

(Dokończenie nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Mickiewicz nad grobem Garczyńskiego w Awinionie.[1])

Do nieznanych a niezmiernie rzadkich wizerunków Adama Mickiewicza należy, będący w posiadaniu mojem, rysunek tuszem Józefa Kurowskiego, niewielkich co prawda rozmiarów: $15\frac{1}{2} \times 10\frac{1}{2}$ centimetr. Poeta przedstawiany tam jest w całej postaci, smętnie zadumany nad grobem Stefana Garczyńskiego, na cmentarzu w Awinionie, w 1833 r.

Wiadomo, że dwóch tych ludzi łączyły za życia krótkie wprawdzie, lecz ścisłe węzły serdecznej przyjaźni. Przecięła je niespodzianie śmierć Garczyńskiego.

Poeta ten odziedziczył po matce swojej zaród choroby piersiowej, która w sposób groźny rozwinęła się za pobytu poety w Dreźnie na wiosnę 1833 r. Jedynym ratunkiem zdawał się być zalecony przez lekarzy wyjazd do Włoch. Chorego z bezgranicznem poświęceniem i miłością otaczała Klaudyna Potocka. Ona też jadąc na spotkanie męża swego, Bernarda Potockiego, odwiozła Garczyńskiego do Bex, w Szwajcaryi, gdzie już dnia 18. lipca stanął Mickiewicz, ażeby czuwać nad łożem dogorywającego przyjaciela.

Z Bex Mickiewicz przeniósł się z chorym do Genewy, następnie zaś, przerwawszy pisanie „Pana Tadeusza", pojechał do Lyonu, by stamtąd Rodanem popłynąć do Awinionu. Do łoża chorego przybył wkrótce przyjaciel jego, Pągowski, a następnie pani Potocka. Mickiewicz mógł wtedy wyjechać do Marsylii, by starać się o pasport do Włoch, dokąd tak gorąco pragnął się dostać biedny Garczyński.

Lecz dla niego rady już nie było, bo zasnął spokojnie snem nieprzespanym w dniu 20. września, w 29. roku życia swego, na dwa dni przed powrotem Mickiewicza z Marsylii.

---

[1]) Artykuł ten w streszczeniu pomieszczony był w nr. 14. „Tygodnika ilustrowanego" za r. b.

Pochowano go na pełnym pięknych drzew cmentarzu, pod murem, po lewej stronie od wejścia, a na tablicy z białego marmuru Mickiewicz położył następujący napis łaciński:

D. O. M.
Stefanus Garczyński
miles
In bello contra Moscoviae tyrannum
equitum Posnanensium
Centurionis vices gessit
Vates
Polonorum arma virosque cecinit
Patria a tyranno oppressa
Exul
Obiit Avenioni. anno MDCCCXXXIII. Septembris. [1])

Lecz grobowiec ten, jak zapewnia Marya Konopnicka, już dawno nie istnieje na awiniońskim cmentarzu. Co dziesięć lat bowiem „przekopują tę cmentarną rolę", więc zaginął nawet ślad mogiły, w której złożono śmiertelne Garczyńskiego szczątki. Jako jedyna tego smutnego wypadku pamiątka, pozostał akt zejścia, opisany w merostwie, i ów rzadki Józefa Kurowskiego rysunek.

Oto urzędowy dowód śmierci poety:

Département de Vaucluse. *Mairie d'Avignon.*
État civil.

L'Officier de l'État civil de la ville d'Avignon certifie, que Étienne Garczyński, Lieutenant du 12. des Lanciers polonais, Chevalier de l'ordre de la Croix-d'or de Pologne, né à Cosmowo (Palatinat de Kalisz, Pologne) âge de 27. ans, de passage à Avignon, est décédé en cette ville, rue Calade, Nr. 25, le Vingt Septembre mille huit cent trente trois.

Avignon, le 20. Janvier 1893.

L'officier de l'État civil
(podpisano) *Eug. Sachy.*

Kurowski, przebywający jednocześnie z Mickiewiczem w Paryżu, wykonał w r. 1834 dwa portrety wieszcza, małem odznaczające się podobieństwem [2]).

[1]) Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza, t. II. str. 278.

[2]) Adam Mickiewicz. Dessiné d'après nature par Kurowski. Paris 1834. Dedié aux Lithuaniens par Kurowski, Artiste polonais. Z podo-

Śmierć Garczyńskiego, owo nieubłagane fatum, sprawiła, według słów Bohdana Zaleskiego, zawieruchę i rozstrojenie w całej organizacyi Adama, tak zbytnie czułej i drażliwej. Okoliczność ta prawdopodobnie natchnęła Kurowskiego do upamiętnienia tego faktu, i postać poety na tym obrazku cmentarnym wypadła daleko szczęśliwiej niż poprzednie. Twarz przypomina profil ze znanego medalionu Davida, chociaż udało się artyście oddać na niej wyraz głębokiego smutku.

Lecz podpis położony na boku: „Kurowski, Paryż 1834“, i napis polski na płycie grobowej, świadczą, że artysta wykonał swój rysunek znacznie później i że zapewne nigdy na cmentarzu awiniońskim nie będąc, wyrysował go sobie z pamięci. O ile więc wcale nie złą jest postać Mickiewicza, o tyle o cmentarzu awiniońskim i grobowcu Garczyńskiego żadnego z owego rysunku nie można powziąć wyobrażenia.

A jak wygląda ten cmentarz, opowiada pięknem i barwnem słowem Marya Konopnicka, która przed laty kilku napróżno szukała mogiły autora poematu: „Wacława dzieje“.

Oto wyjątek z listu, za który niezawodnie wdzięczni będą znakomitej poetce czytelnicy nasi:

„Ten cmentarz?... Jak wygląda ten cmentarz, na którym Garczyński leży?...

Jest jak bór.

Jak bór czarny od wielkich prowansalskich jodeł, które go nakrywają wierzchem swoich kopuł; jak bór głuchy, kiedy te jodły zaszumią, zahuczą nad nim; jak bór podszyty gęstwą traw, krzewia i nizkich kamiennych krzyżów.

Leży ten cmentarz za południowo-wschodnim murem Awinionu, mało co od wałów miejskich odsunięty w pole, na szerokiej, rozległej płaszczyźnie, której ostatni kraniec olśniewa ku północy srebrzystemi wodami Rodanu.

Kiedy się tam po raz pierwszy znalazłam w podwieczornej porze, cały gwar bujnego życia południowców bił ku murom cmentarza zmieszaną, poszarpaną falą, niosąc pomiędzy groby wrzawę przedmieść i gościńca od „Wielkich ogrodów“ aż do „Carretière“.

Wśród kłębów białej, wapiennej kurzawy toczą się tam szeroką, sadzoną platanami drogą, ciężkie, szczękające żelastwem wozy ku Montpellier, ku Antibes, ku Taraskanowi tak gęsto, że huk i turkot prawie nie ustaje. Ryk mułów, krzyki poganiaczy, brzęk uprzęży, śmiechy dzie-

---

bizną podpisu, pół figury, twarz wprost, w płaszczu na lewem ramieniu. 230×220 centm. Adam Mickiewicz. Rys. Kurowski, w lit. P. Wyszkowskiego. Popiersie $^3/_4$, w płaszczu, z białym wyłożonym kołnierzem. Kraków. 105×95 centm.

wcząt. śpiewki robotników i żołnierzy, brzdąkania gitary, piskliwe głosy kobiet ciągnących wózki z jarzynami, napełniają całą tę przestrzeń, jaka dzieli cmentarz od bramy św. Łazarza, nieznośną, wprost jarmarczną wrzawą.

Nad wszystkiem górują wysokie, ostre, przenikliwe głosy dzieci, które wziąwszy się za ręce, zataczają wśród pyłów gościńca szalenie wirujące koła, śpiewając aż do zachrypnięcia zwrotkę starej farandoli:

»Sur le pont
D' Avignon
Tout le monde y passe.«

Naraz cisza. Kto biegł — staje, kto jechał — usuwa się z drogi, kto krzyczał — milknie i pochyla głowę. Pogrzeb idzie z miasta. Od „Vieux Septier" idzie, albo od „Saunerie", albo od św. Krzysztofa. Skądkolwiek wszakże przychodzi, iść musi przez ulicę „des Douleurs". Już wkracza na nią. Słychać zdaleka przyśpieszony tupot wielu nóg obutych w saboty i w klapiące trepki. To idą penitenci.

Od bramy św. Łazarza wysuwają się dwa szeregi białych i czarnych postaci, niosąc światła i krzyże, z głowami w kapuzach, zamykających twarze płócienną, czarną, albo białą maską, z której oczy tylko błyskają dziwacznie posępnym blaskiem.

Nad niemi chwieją się mary zarzucone kwieciem, za nimi płyną psalmodyczne szmery. Z szeregu do szeregu, z ust zakrytych do ust, podają sobie penitenci ponury recytatyw śmierci:

... *Miserere mei, Domine* ... *Miserere mei!* ...

Zaledwie wszakże przeszli szerokość gościńca, gwar życia wybucha z nową i niewstrzymywaną siłą. Huk wozów głuszy pogrzebowe echa; słychać trąbkę i bęben żołnierzy, maszerujących do blizkiego fortu, krzyki mulników, śmiechy kobiet, setnych głosów wrzawę. Dzieci zawzięcie tańczą swoją farandolę.

Rankiem za to bywa na tym cmentarzu cicho i spokojnie. Rankiem, wśród czarności jodeł świeci nad nimi żywy szafir drobnemi szybami i słońce upada z wysokości, siejąc się złotym pyłem po grobowych płytach. Głosy życia dochodzą i teraz wprawdzie, ale innej, czystszej, godzącej się z temi miejscami natury. Słychać wtedy pogwizdywanie kosów, monotonną śpiewkę starego, współobłąkanego grabarza, który w progu kaplicy krzyżyki z jaworu struże, słychać oddalone echo bijących kijanek, któremi nad brzegiem Druencyi, na kamykach stojąc, praczki chusty piorą.

Samotność zupełna prawie.

Nikt z tych, żyjących obecną chwilą południowców, nie rad przypominać ostatniej godziny.

Czasem tylko, na zarosłej trawą ścieżce spotkasz kobiecą postać w ciemnym prowansalskim płaszczu z kapturem, prostą, wyniosłą, szczupłą, cyprysowi żałobnemu podobną. Błysną ci wtedy w oczy lśniące pasma gładko na skroni przyczesanych włosów, szafir fijołkowych niemal źrenic z pod rzęs długich, czarnych.

Ani jedna z tych postaci nie pomija grobowca „De Noves'ów“, w którym leżą prochy rodu, który wydał „Messira Andiberta de Noves“, ojca Petrarkowej Laury.

Staje przed nimi, opuszcza splecione ręce na proste fałdy płaszcza, podnosi fijołkowe oczy i zamyśla się. Jedne tylko Prowansalki tak się zamyślać umieją, i takiemi je Pradier widywać tu musiał.

W takiej to ciszy i w takiej samotności chodzisz pod starym omszonym murem, czytając na wpół zatarte napisy, trącając odłamki płyt i drobnych kamiennych krzyżów.

Tu, ówdzie delikatny profil kobiety zaświeci z płaskorzeźby pożółkłym marmurem; tu, ówdzie urna ze złocistym płomykiem przypomina wieczyste żarzenie się ducha, a zresztą groby dosyć zaniedbane.

Jest to może właściwością tego bujnego, bogatego życia, że się niewiele o zmarłych troszczy. Co dziewięć lat przekopują całą tę cmentarną rolę pod nowy posiew śmierci. Więc tylko co świeższe mogiły trzymają się w darni i kwieciu; dawne, te z przed lat siedmiu, ośmiu rozdeptane lub dziko zarosłe, zapadają się powoli same, nim je rydel ruszy. Kamienne pomniki, broniące mogiły od zrównania z ziemią, też nieopatrzone; wiele spękanych płyt grobowych, bluszcz tylko w całości trzyma. W największej ciszy czasem, ot za przebiegającą jaszczurką sypie się gruz i tynki. Krzyże i nagrobki nizkie, przyziemne, jakby ustępujące miejsca i powietrza tym potężnym jodłom, które i w najcichsze rano nad tym cmentarzem szmer czynią, właśnie jakby kto stare powieści szeptem prawił. Więc kiedy się w te szmery zasłuchasz, a stąpiwszy na jeden ze strzaskanych głazów za mur wyjrzysz i zobaczysz Rodan zielono-srebrzysty i mgły modre, które na Sewannach leżą, zadumasz się, jak daleko los poniósł proch i kości tego, który tu pątnikiem z pól swoich zaszedłszy, znalazł w tej ziemi obcą i zimną gospodę.

Ale kiedym na ten cmentarz przyszła raz ostatni, był mistral.

Ogromny szum targanych wichrem jodeł uderzył we mnie już od miejskiej bramy. Drogę — jak wymiótł. Ani ludzi, ani zwierząt, tylko ta skłębiona, wirująca masa pobielałego, mętnego powietrza, w której znikły wszelkie linie, kształty i kolory.

Na cmentarzu huk, szum, trzask krzyżów, szczęk blach, łoskot sypiących się gruzów, pęd wirujących liści, wieńców i mogilnych prochów; jęk, wycie, skarga, łkanie, cała burza rozpaczy od nieba do ziemi.

Naraz ucicha wszystko. Mistral wypoczywa. A wtedy słychać prędkie, nierówne, naglące brzęki sygnaturki na dachu kostnicy.

I znów zrywa się wściekły zamęt szalonej wichury. Z przeraźliwym świstem, z rykiem i ze zgrzytem wpada mistral między krzyże, trzaska je, szamocze, obala, rwie darnie, miecie żwiry i garście trawy, ukazuje błyskawicznie nagość odkrytych z piasku kości. A nad tem huk jodeł, jak gdyby waliła się puszcza.

Taki jest ten cmentarz, na którym Garczyński leży"...

. . . .

LEOPOLD MÉYET.

Jerzy Brandes: *Indryg fra Polen.* — Kopenhaga 1896.

Znany pisarz i krytyk duński w dziele tem, zaopatrzonem dewizą: „Malgré tout", na blisko czterystu stronach druku (w formacie ósemki), omawia ruch literacki i artystyczny w Polsce; naturalnie nie brak przytem i uwag lub spostrzeżeń politycznych, nacechowanych w ogóle wielką życzliwością dla naszego narodu. Chociaż tytuł dzieła: *Wrażenia z Polski*, kazałby myśleć, że rzecz to dorywcza — dzieło Brandesa przedstawia się jednak w rzeczywistości jako obszerne i w ogólności poważne studyum.

Niewinny. — Powieść Gabryela d'Annunzio.

Jak na żer rzucili się tłómacze rozmaitych języków na nową powieść jednego z najinteligentniejszych, największym temperamentem i świeżością formy odznaczających się dekadentów włoskich: Gabryela d'Annunzio. Już dla samego wrażenia, które wywołała, powieść ta zasługuje na zanotowanie, a jest ona także bardzo ciekawym objawem „eksperymentalnej patologii instynktów", jak ktoś nazwał dekadentyzm. Podobnie jak w ogólności d'Annunzio, tak w szczególności powieść jego zdaje się jednoczyć w sobie wszystkie „nowoczesne" rysy, które rozsypane są po powieściach Zoli, Tołstoja, Dostojewskiego, Ibsena, Strindberga i i., a to wszystko w stylu nowomodnym, t. j. podającym spostrzegane objawy z ścisłością bezwzględną, matematyczną, z ścisłością badacza przyrody a nie powieściopisarza. Wystarczy znać treść, aby mieć wyobrażenie o powieści, treść zaś jest bardzo krótka i — brzydka. Opowiadanie utrzymane jest w formie pamiętnika, jakby w formie przemówienia mordercy, który, broniąc się przed oskarżeniem, wyjaśnia motywa swego potwornego kroku. Tym bohaterem-mordercą jest Tullio, człowiek młody, żonaty, — obok żony posiadający jednak kochankę. Żona, Julianna,

ubóstwia pięknego, lecz płytkiego Antinousa, którego jej losy dały za męża, — jest zaś za dumną, za dobrą, aby bronić swoich praw wobec kochanek męża. W umartwieniu i zimnem ubóstwianiu zawsze drogiego jej Tullia, staje się ona coraz bardziej przeźroczystą, eteryczną, chorą; cierpi na anemię, na nerwy, — typ kobiety o niezaspokojonych pragnieniach. To jednak daje jej pewien urok i drażni takiego neurastenika, jakim jest Tullio; opuszcza więc kochankę i powraca do swej żony, którą chciał był uczynić „siostrą“, powiernicą swych bezwstydnych zwierzeń, swych pociech i smutków, zaznanych w stosunkach z innemi kobietami. W tym samym samotnym zamku, gdzie spędzili miodowe miesiące poślubne, Julianna i Tullio używają teraz rozkoszy na nowo obudzonej miłości małżeńskiej. Opisy tych miłosnych zabiegów i przekomarzań się dwojga małżeństwa — są przepyszne. W chwili jednak, gdy dawna miłość znalazła nowe potwierdzenie, Tullio przekonywa się, iż Julianna go oszukała. Jest w stanie błogosławionym. Tullio musi milczeć, błędu swej żony nie chce czynić głośnym; pomiędzy małżeństwem wywiązuje się jednak szczególny stosunek. Dlaczego Julianna oszukała go? Dlatego, ponieważ zaniedbywał ją, a ona, kochając go zawsze, w chwili słabości, w chwili rozpaczy, wywołanej jego postępowaniem, w chwili zwątpienia, — upadła. Tullio, mając na swem sumieniu tyle względem niej grzechów, nie ma siły jej karać. Oburza się, lecz tylko na siebie. Żonę swoją, jej wdzięki ubóstwia teraz, chociaż go zdradziła. Pomści się jednak — na dziecku. Syna tego nienawidzi, nienawidzi go także Julianna, nawet zanim przyszedł na świat. Z naturalistyczną wiernością opisuje d'Annunzio to przyjście dziecka na świat. Nienawiść Tullia do dziecka rośnie w ciągu pierwszego roku jego życia. Ponieważ Julianna, przygnębiona swym błędem, chce umrzeć, więc Tullio, aby ją zachować dla siebie, postanawia zamordować dziecko. Czyni to w sposób czysto nowomodny, wyrafinowany; postępuje tak, że dziecko umiera, jego jednak nie można pociągnąć do odpowiedzialności: trzyma oto niemowlę podczas chłodnej nocy przy oknie, dziecię dostaje zapalenia płuc i kona. Julianna umiera jednak także, a nieszczęśliwy zbrodniarz-neurastenik zostaje, aby spisać swe dzieje.

To jest treść romansu o 428 stronicach ścisłego druku. Autor stara się troskliwie, aby nie wydać wyroku o swym bohaterze, mimo to czytelnik o zdrowej duszy, zdrowych nerwach, o zdrowych zasadach nie pomyli się w sądzie swym ani o bohaterze, ani w ogóle o chorobliwym kierunku najnowszej twórczości i jego przedstawicielu.

Sepp: *Neue hochwichtige Entdeckungen auf der zweiten Palästina-Fahrt.* Mit zwei Karten und zahlreichen Illustrationen. — München, Liter. Institut dr. M. Huttler, 1896. XII. 368, 292 str.

Sepp, autor słynnego dzieła o Palestynie, które było owocem długoletnich jego studyów oraz pierwszej podróży do Ziemi świętej, — obecnie, jako spóźniony nieco owoc drugiej podróży, wydał zacytowane powyżej dzieło, pełne rzeczywiście nadzwyczaj ciekawych odkryć i spostrzeżeń. Podróż służy autorowi tylko za tło, na którem wznosi gmach swojej niepospolitej wiedzy i bogatej, zadziwiającej wprost znajomości zarówno kraju, jak wszystkich szczegółów o nim z dawnej i średniowiecznej literatury, z pism rabinów żydowskich, literatury arabskiej i chrześciańskiej. W pierwszej części mówi autor o podróży z Akki przez jezioro Genezareth do Jerozolimy, a raczej o pamiątkowych miejscowościach i okolicach wzdłuż drogi tej położonych. W drugiej części zajmuje się autor samą Jerozolimą i jej okolicami, oraz drogą powrotną do Jaffy. Autor wskazuje w dziele swem, które jest nieocenionem dla znajomości dawnej Palestyny, także na rywalizacyę, jaka panuje przy św. Grobie pomiędzy europejskiemi państwami. Rossya i Francya w szczególności starają się tam niespostrzeżenie owładnąć sytuacyą, a bierność innych państw zostawia im pole otwarte.

Jules Lemaître: *Les contemporains.* Sixième série. — Paris, Lecène et Oudin.

Szósta serya świetnych Lemaitre'owskich portretów osób współczesnych, pomimo wszystkich zarzutów, jakieby można p. Lemaitre, jako pisarzowi czy krytykowi, uczynić, daje czytającemu rozrywkę, przyjemność i pożytek wielki. Obszerniejsze studya w tym tomie poświęcone są Lemartine'owi i Veuillot'owi, którego Lemaitre, jak sam zapewnia, tak bardzo kocha, jak Renana; trzecie zaś obronie dawniejszych pisarzy francuskich przeciw Ibsenowi i Tołstojowi. Drobne portrety, „figurynki", mające największą może wartość, z których każda od drugiej godniejsza jest czytania, przedstawiają: Taine'a (jest to bardzo bystro napisany, ale bardzo ostry nekrolog lub raczej krytyka znakomitego pisarza), gorące i piękne wspomnienie o Maupassancie, oraz cięta satyra na Brunetiére'a.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

III.

Infamia.

(Ciąg dalszy).

Dotąd przedstawiliśmy charakter infamii rzymskiej w ten sposób, aby przebijała łączność historyczna z tradycyami judykatury cenzorskiej. Było to niezbędnie potrzebnem, gdyż wszelka próba wyjaśnienia i ujęcia w całość systematyczną fragmentów pandektowych o infamii, bez względu na tę łączność, musiałaby doprowadzić, jeżeli nie do formalnych dziwolągów, to do takich wątpliwości, że trudno byłoby pojąć, jak cały ten materyał dostać się mógł w takiej formie do ram prawa, nazywanego „rozumem pisanym“ *(ratio scripta)*. Takim dziwolągiem byłoby n. p. tłumaczenie, że fragmenty o infamii, umieszczone w Digestach bezpośrednio po tytule, określającym prawo wytaczania spraw przed pretorem w własnem imieniu i w zastępstwie innych osób *(de postulando)*, miały na celu jedynie szczegółowe sformułowanie i przytoczenie wszystkich wypadków infamii, odejmujących lub ścieśniających to prawo w różnych kierunkach.

Jeżeli w jakiej sprawie, to tutaj wskazówki historyczne są niezbędnie potrzebne dla rozjaśnienia wątpliwości. To też koryfeusz szkoły historycznej, Savigny [1]), nazwał takie tłumaczenie, jak powyższe, wprost niemożliwem i wyraził zdanie, że pretor w edykcie swoim zastosował tylko „stare i znane pojęcie infamii“ do celu specyalnego a szczególnie dlań ważnego, t. j. do unormowania kwestyi, które osoby i w jakim zakresie uprawnione są do wytaczania spraw

[1]) C. F. Savigny: *System* (j. w.) t. II. str. 189 i n.

przed jego forum. Określając bliżej pojęcie prawne rzymskiej infamii, Savigny szuka jej genezy i znaczenia w prawie publicznem. Miałaby ona z założenia swojego być pewnym rodzajem degradacyi obywatelskiej *(capitis deminutio)*, przedewszystkiem w zakresie praw politycznych bez ujmy dla prywatno-prawnej zdolności, i stałaby w takim razie w skutkach swoich na równi z kondemnatą cenzorską, różniąc się od niej tem tylko, że jest oparta na ogólnych i pewnych normach a w prawnych następstwach swoich z reguły nieodwołalna.

Normy o infamii — tak streszcza Savigny swój wywód — opierały się nie na ustawie, lecz na tradycyjnych zapatrywaniach społeczeństwa *(mores)*, których jednakowe uznanie i przestrzeganie wymagało dozoru ze strony państwa. Dozór ten był cenzorom poruczony, którzy sporządzali spisy członków senatu i t. p. a wskutek tego mieli sposobność do wykluczania infamisów z takiego spisu. W wykonywaniu stałej normy postępowali cenzorowie tak, jak w innych wypadkach już według swojego uznania postąpić mogli. Działali oni zatem w dwóch kierunkach. Po części bowiem tylko stosowali pozytywne normy o infamii a po części uzupełniali je własnem uznaniem. Jeżeli w wykonywaniu swojego urzędu cenzorowie byli niedbali, to niezawodnie każdy konsul i pretor mógł w komicyach odepchnąć infamisa, występującego w roli kandydata nawet wtedy, gdy tylko głosować zamierzał.

Wprowadziwszy infamię w tak ścisłą łączność z cenzorską kondemnatą, musiał Savigny uznać w konsekwencyi także i to, że jej podstawy szukać należy w sferze moralności, z której opinia obywatelska czerpie kryterya dla oceniania, o ile cześć współobywatela jest zasłużona i nie doznała skazy. Z politycznej genezy infamii i jej łączności z szerszym zakresem judykatury cenzorskiej wysnuwa Savigny dalszy wniosek, że za czasów cesarstwa, gdy poniżył się poziom życia publicznego a z nim i znaczenie praw politycznych, z obywatelstwem połączonych, infamia straciła dawną doniosłość i utrzymała się w prawie rzymskiem tylko w tym szczupłym zakresie i w tej niejasnej, prawie zagadkowej, formie, jaką przedstawia edykt pretorski.

Także i drugi koryfeusz szkoły historycznej, Puchta, podnosi pierwotny polityczny charakter infamii jako pewnik i opiera jej istotne znaczenie na utracie prawa głosowania i piastowania wyższych stanowisk politycznych *(ius suffragii et honorum)*, więc na skutku prawnym, który z biegiem czasu stracił dawne znaczenie [1].

---

[1]) G. F. Puchta: *Pandekten* (j. w.) t. I. str. 183.

Savignego wywody dogmatyczne o znamionach i skutkach prawnych infamii spotkały się z opozycyą, która wobec niejasności fragmentów pandektowych miała w ogóle ułatwione zadanie w stawianiu odmiennych hypotez. Ale tam nawet, gdzie strona dogmatyczna kwestyi spotyka się ze stanowczą opozycyą [1]), nie ulega jej zdanie, że pretor w edykcie swoim o infamii nie stworzył dopiero nowego pojęcia prawnego, nie podyktował nowych prawideł, lecz tylko ujął w ramy pozytywnych przepisów i to nie w sposób ogólny, lecz dla celów specyalnych swojej judykatury, pojęcia społeczeństwa rzymskiego o czci i jej utracie, pojęcia już uświęcone tak tradycyami moralnemi, jak i opartą na nich opinią obywatelstwa.

Tylko z takiego szerszego stanowiska daje się objąć cały obszar infamii, mianowicie zasadnicze odróżnienie jej dwóch kategoryi, z których pierwsza opierała się na pozytywnych prawidłach prawnych *(infamia iuris)* i spadała na winnego albo już *ipso iure* wskutek popełnienia pewnego czynu występnego *(infamia immediata)*, albo dopiero w następstwie wyroku sądowego *(infamia mediata)*, druga zaś *(infamia facti)* [2]) miała podstawę w samej tylko opinii współobywateli o hańbiącym charakterze czynu, lub poniżającego sposobu życia w ogóle i dlatego też nazywana była wprost tylko hańbą *(turpitudo)*.

W związku z tą drugą kategoryą infamii zostaje cały szereg epitetów, nadawanych w prawie rzymskiem bez specyalnych konsekwencyi prawnych, niejako w moralnem tylko znaczeniu, osobom z czcią splamioną lub oddającym się zajęciu, poniżającemu w ówczesnych wyobrażeniach *(personae turpes, viles, abiectae, humiles)*. Wszystkie te rodzaje infamii i bezecności, na opinii współobywateli opartej, równe były sobie w znaczeniu i w skutkach tam, gdzie cześć niczem nieskalana stanowiła główny warunek wybitnej działalności publicznej na wyższych stanowiskach. Wszelka tedy infamia, wszelka hańba zamykała drogę do dostojeństw [3]).

---

[1]) Prof. Dr. Karlowa: *Zur Geschichte der Infamie* (j. w.) str. 204 i n., nadto:

A. W. Zumpt: *Das Criminalrecht der römischen Republik* (j. w.) t. I. str. 391 i n., oraz tegoż autora: *Der Criminalprocess* (j. w.).

[2]) Nazwa ta utarła się dopiero w naszych czasach, ale uzasadniona jest w brzmieniu niektórych fragmentów, n. p. licet enim verbis edicti non habeantur infames ita condemnati, re tamen ipsa et opinione hominum non effugiant infamiae notam (l. 2. pr. D. 37. 15. De obsequiis parentibus et patronis praestandis — Julianus).

[3]) Neque famosis et notatis et quos scelus aut vitae turpitudo inquinat et quos infamia ab honestorum coetu segregat dignitatis portae patebunt (l. 2. C. 12. 1. De dignitatibus Imp. Constantinus A.).

Wpływ opinii uczciwych współobywateli, tego żywego, za świetnych czasów republiki całe życie obywatela obejmującego, wyrazu dobrych obyczajów *(boni mores)*, które w społeczeństwie rzymskiem, jak wiadomo, nadzwyczaj ważną odgrywały rolę, był tak potężny, że niejako posiadał moc prawa, wprawdzie niepisanego, ale mimo to wysoce szanowanego, bo opartego na silniejszej podstawie, aniżeli edykt magistratury, na tradycyach i ustalonych pojęciach moralnych. Temu wpływowi opinii przypisuje Ihering[1]) to fenomenalne w historyi prawa zjawisko, że zasada wolności, obwarowana zresztą w prawie rzymskiem w tak staranny sposób, nie doprowadzała w okresie zdrowia społecznego do nadużyć, lecz przeciwnie była na każdym kroku przez moralną siłę na wodzy trzymana i dawała się pogodzić z istnieniem i zbawiennem działaniem takiej szkoły karności obywatelskiej, jaką była cenzura, która w swojej organizacyi i akcyi, niekrępowanej żadnemi karbami kompetencyjnemi w znaczeniu dzisiejszego prawa, wydawaćby się mogła na pierwszy rzut oka otwartą negacyą wolności osobistej: „Niekoniecznie — dodaje przytem Ihering — ustawą wzbronione być musi to wszystko, czego czynić nie należy. Obyczaj może to samo sprawić, co ustawa. Bywają nawet takie czasy i stosunki, że obyczaje stanowią daleko wyższą siłę, aniżeli gdzieindziej ustawa... Właśnie w sprawach wolności obyczaj ma największe znaczenie. Wolność tylko tam trwale może się utrzymać, gdzie obyczaje są dość silne, aby zastąpić mogły przymus ustawy. Właśnie u tych ludów, które system wolności doprowadziły do najwyższego rozwoju, spostrzegać się daje jako czynnik równowagi i umiarkowania surowe, nawet czasem despotyczne, panowanie obyczajów" (n. p. w Anglii).

Szlakiem filozoficznym docierał Ihering do tajników ducha prawa rzymskiego, z pomiędzy których, jeżeli nie najdonioślejszy, to w każdym razie jeden z najdonioślejszych, odsłonił się przed jego genialnym wzrokiem w całej świetności swojej. Mamy na myśli ową łączność prawa rzymskiego z etycznemi podstawami, wyrażoną na samym wstępie w trzech regułach prawnych *(iuris praecepta)*, z których pierwsza zaleca życie uczciwe *(honeste vivere)*, druga wzbrania wyrządzania ujmy innym *(alterum non laedere)* a trzecia każe oddać każdemu, co mu się należy *(suum cuique tribuere)*. Na czele tedy stoi reguła prawna z brzmieniem przykazania moralnego, brzmieniem, które w miarę, jak prawo odbiegało od etyki, ograniczając się

---

[1]) R. v. Ihering: *Geist des römischen Rechts* (j. w.) t. II. str. 138 i n.

na samych zewnętrznych objawach woli, roszcząc sobie wszelką niezależność od intencyi i pobudek moralnych, dziwić jeżeli już nie razić zaczęło każdego prawnika-pozytywistę. Już dla Savignego niewygodne były owe reguły prawne i dlatego odmówił im tego charakteru, uważając je raczej tylko za „podstawę dla klasyfikacyi przepisów prawnych pod względem ich genezy", ale za podstawę tak określoną, że „oczywiście nikt o tem myśleć niemoże, aby system prawa był w tym porządku traktowany" [1]. Od czasów Savignego pozytywizm prawny postąpił tak, że pierwsza z powyższych reguł prawnych, jako przykazanie czysto moralne, niema już mieć nawet znaczenia klassyfikacyjnej wskazówki, nie należy już wcale do systemu prawa. Dla Iheringa jednak w filozoficznem traktowaniu zasad prawa rzymskiego owo *iuris praeceptum* nietylko było zrozumiałe, lecz nawet stanowiło jeden z najważniejszych rysów charakterystycznych ducha tego prawa, jako lapidarne streszczenie łączności prawa pozytywnego z moralnemi motywami. „Według naszego dzisiejszego pojmowania stosunku obywatelstwa do państwa — mówi ten pisarz [2]) — jest on tylko prawny, t. j. państwo ogląda się tylko na zewnętrzny charakter działania swoich obywateli a intencye, z których ono wypływa, niemają dla niego istotnej wagi. Starożytne państwo wymagało natomiast nietylko pewnego działania, lecz także takiego nastroju moralnego, żeby odpowiednie działanie wypływało zeń samo na każdym kroku i w najpiękniejszy sposób." Przedstawiając dalej, jak zapatrywanie to w postępowaniu karnem doprowadzone było do dalekich konsekwencyi, Ihering ostrzega wprawdzie czytelnika, aby nie zapominał, że stan taki, chociaż „ma w sobie coś pięknego, pociągającego" i chociaż „względnie był uprawniony", mimo to wszystko należy do „mniej doskonałej fazy rozwoju prawa", przestroga ta jednak niemoże być, jak z ducha całego dzieła wynika, tak pojmowana, jakoby antiteza powyższej zasady, t. j. oderwanie prawa od etyki w ten sposób, jakgdyby to były czynniki, działające nie w zupełnej harmonii cywilizacyjnej, lecz na odrębnych torach, czasem nawet zawadzające sobie, miała należeć „do więcej doskonałej" fazy rozwoju prawa. Między ostatecznościami jest przecież środek, owa względna t. j. dostępna dla człowieka doskonałość, harmonia prawa z etyką, do czego społeczeństwo nigdy dążyć nie przestanie.

---

[1]) F. C. Savigny: *System* (j. w.) t. I. str. 410.

[2]) R. v. Ihering: *Geist des römischen Rechts* (j. w.) t. II. str. 47 i n.

Intuicya odsłoniła Iheringowi obraz cenzury rzymskiej i infamii w takim zarysie, na jaki dogmatyczne, czyli, jakby w tym wypadku już dziś trafniej powiedzieć można, ściśle antykwarskie traktowanie rzeczy nigdy się nie zdobędzie. Jestto zasługa Mommsena [1]), że nie zważając na utartą doktrynę, nie zawahał się skruszyć zastygłej lawy fragmentów pandektowych, aby odsłonić zagrzebany pod nią obraz starorzymskiej judykatury społeczno-moralnej. Rezultat jego poszukiwań historyczno-prawnych był w zakresie tych kwestyi wątpliwych, nad których rozjaśnieniem daremnie mozolili się dogmatycy, niemal taki, jak rezultat poszukiwań archeologicznych w Pompei i Herculanum. Upadła przedewszystkiem hypoteza Savignego, jakoby infamia w pierwotnem znaczeniu stanowiła tylko pojęcie prawnopaństwowe i oznaczała pozbawienie praw politycznych z zachowaniem obywatelstwa a dopiero potem weszła w edykt pretorski. więc w sferę życia prawnego i prawa prywatnego. Infamię uważa Mommsen nie za wyraz prawno-techniczny, lecz za ustalone w codziennem życiu określenie bezecności, które tak dla kierownika wyborów, jak i dla pretora, stanowiło podstawę w uszczuplaniu praw jednostek, niegodnych zażywania czci zupełnej. Za czasów cesarstwa pojęcie infamii, ściślej już unormowane w prawie cywilnem, przeniesione zostało o tyle w sferę stosunków publicznych, że kto według edyktu pretorskiego był infamisem, stawał się także niezdolnym do piastowania publicznych urzędów [2]).

W infamii w znaczeniu prywatno-prawnem z następstwami w edykcie pretorskim skreślonemi, i w bezecności, z orzeczenia cenzorów na winnego spadającej, widzi Mommsen wspólną moralną podstawę. Różnica polegała na tem, że pojęcie czci obywatelskiej ustaliło się w judykaturze jednej i drugiej magistratury odrębnie drogą zwyczaju i prawa. Mogły zatem zachodzić pewne odmiany, ale nie dotykały one samej istoty rzeczy. Że pretorska infamia za czasów cesarstwa była ściślej sformułowana, aniżeli cenzorska za czasów republiki, to przypisać należy więcej różnicy, tkwiącej w duchu czasów, aniżeli w zmianie samej instytucyi prawnej. Gdyby dziś znana nam była pretorska infamia za świetnych czasów republiki, to zapewne różnica nie wpadałaby w oko tak samo, jak nie byłoby zapewne takiej różnicy formalnej w tym razie, gdyby cenzura utrzymała się była tak długo, jak pretura.

---

[1]) T. Mommsen: *Römisches Staatsrecht* (j. w.) t. I. str. 396 i n., t. II. str. 355 i n., t. III/1 str. 502 i n.

[2]) l. 1. pr. D. 48. 7: Ad legem Juliam de vi privata; l. 8. C. 10. 32: De decurionibus l. 3. C. 12. 36: De re militari itd.

Uważając infamię za ogólny wyraz bezecności, opartej na społeczno-moralnym sądzie opinii, więc nie oglądając się na prawo pozytywne tak, jakgdyby ono było jej wyłącznem źródłem, Mommsen mówi o trzecim rodzaju infamii, o infamii konsularnej, t. j. o bezecności, na którą uwagę zwracał konsul i w ogóle kierownik wyborów w razie odmówienia biernego prawa wyborczego. Możnaby wreszcie przyjąć jeszcze osobny rodzaj infamii dla stanu rycerskiego a i w takim razie podstawa pozostanie wspólną. „W tem właśnie, — dodaje Mommsen — że Rzymianie nie znali odjęcia praw honorowych z mocy wyroku sądowego z bezwarunkowem znaczeniem a nawet nie próbowali ująć pojęcia czci obywatelskiej w ramy ogólnie obowiązującego określenia, lecz owszem ten sam wypadek magistratury rozmaicie traktowały, stosownie do tego, czy chodziło o procesowe zastępstwo, czy o prawo wyborcze czynne lub bierne, każdy rozważny prawnik uznawać i podziwiać musi dalszy dowód genialnego ograniczenia pojęć prawnych i państwowych w Rzymie do miary możliwej i koniecznej. W wielu wypadkach bezecność była niewątpliwa; kto n. p. przyznał się do kradzieży, albo komu czyn taki udowodniony został, był, jako pozbawiony czci obywatelskiej, jednakowo traktowany przez pretora, konsula i cenzora. Ale wszystkich wypadków nie stawiano na równi. Odmówić n. p. wyzwoleńcowi prawa głosowania a wykluczyć go od zastępstwa w sądzie, to wypadki całkiem odmienne. Rzemieślnikowi, którego nie dopuszczono do ubiegania się o urząd gminny, nie mogło być odjęte prawo głosowania. Zarówno niezbędne jak niebezpieczne pojęcie skażenia czci obywatelskiej staje się w szablonowem traktowaniu i nienaturalnem ustaleniu jeszcze niebezpieczniejszem. Rzymianie zastosowywali to pojęcie w najszerszym zakresie, ale nigdy inaczej, jak tylko z uwzględnieniem poszczególnych wypadków.“ W konsekwencyi nie godzi się Mommsen na ustaloną dotąd opinię, jakoby infamia pretorska miała charakter trwały i tem się różniła od zniesławienia cenzorskiego, które już następny cenzor mógł uchylić. W jednym i drugim wypadku charakter infamii był, zdaniem Mommsena, z natury swojej przemijający, bo w jednym i drugim razie następca w magistraturze mógł zapomnieć o orzeczeniu poprzednika swojego.

Tak tedy wszystkie pomniki społeczno-moralnej judykatury starego Rzymu, cenzura i jej *ignominia*, pretorska infamia i wszystkie inne opinii współobywateli dotykające odcienia bezecności i hańby, składają się razem na jeden wielki obraz zdrowego rozkwitu opinii publicznej starożytnego społeczeństwa. Mommsen stworzył podstawę historyczną dla takiego pojmowania tych instytucyi prawno-

społecznych. Kto w tej chwili zastanawia się nad historyą opinii publicznej, pojmowanej nie w sprofanowanem dziś tak powszechnie znaczeniu zmiennych prądów, zachceń i sądów, lecz z wyższego stanowiska, w charakterze moralnego czynnika w życiu publicznem społeczeństw, dla tego cenzura rzymska przybiera charakter trybunału społeczno-moralnego z zakresem działania, którego ani nie ścieśniały paragrafowo-kompetencyjne skrupuły, ani nie obałamucały inne formalistyczne kruczki dzisiejszego kroju. „Cenzura — mówi współczesny kryminalista niemiecki, Holtzendorff [1]) — uważana być musi, o ile weźmie się w rachubę jej moralno-sędziowską władzę, za organ opinii publicznej, skierowany ku osłonie politycznej i obywatelskiej moralności, strzegący obyczajów w tym zakresie, który z natury swojej nie podlegał surowemu rygorowi prawnemu państwa a nadto usuwał się z pod tradycyjnego wpływu władzy domowej, objawiającej się w sądzie domowym.“

Jeżeli się tak ocenia znaczenie cenzury rzymskiej, to rzymskie pojęcie czci obywatelskiej *(existimatio)* stanowiło, jak ten sam pisarz dalej zaznacza, wyraz rzymskiej opinii publicznej. Opinia ta była „miernikiem czci obywatelskiej tak w jej znaczeniu wobec ogółu, jak i co do jej nietykalności wobec innych obywateli. Opinia publiczna w związku z tym pewnym, przynajmniej co do dawnej republiki, faktem, że na forum w centuryach, w tribus, w organizacyi wojskowej, jednem słowem wszędzie objawić się mógł sąd całego obywatelstwa o wartości pewnego członka, polegała nie, jak w presumcyach nowoczesnych kodexów karnych, na abstrakcyjnej refleksyi o moralnych przymiotach działania ludzkiego, lecz na całkowitem ocenieniu faktycznie poznanego charakteru każdej jednostki.“

Takie pojmowanie opinii publicznej w starożytnym Rzymie tłumaczy zupełnie także ów wpływ potężny, jakie obywatelstwo rzymskie wywierało jeszcze w ostatnich czasach republiki na przebieg spraw karnych w ich jawnem dla ogółu traktowaniu. Świadectwem na to są mowy Cicerona a obraz malowniczy i pouczający tego ścisłego związku rozpraw sądowych z sądem opinii obywatelskiej daje nam źródłowe przedstawienie przebiegu i form rzymskiego procesu karnego [2]). Że za czasów cesarstwa zbladła opinia publiczna w znaczeniu powyższem, to stanowi właśnie jednę ze znamiennych cech

---

[1]) Franz v. Holtzendorff: *Wesen und Werth der öffentlichen Meinung* (j. w.) str. 16 i n.

[2]) A. W. Zumpt: *Der Criminalprocess der römischen Republik* (j. w.) str. 126 i n.

moralnego upadku społeczeństwa i najbliższej konsekwencyi tej zmiany — rozstroju społeczno-państwowego. To też świat ten już zupełnie nie jest podobny do tego, w którym „rumieniec wstydu", wywołany skarceniem cenzury jako trybunału społeczno-moralnego, piekł jak ogień aż do rehabilitacyi i widokiem swoim ostrzegał innych, zapobiegał zepsuciu czystych obyczajów, więc podkopywaniu fundamentów zdrowego ustroju społecznego. Okres stopniowego moralnego upadku społeczeństwa rzymskiego nie byłby się przewlókł tak długo, gdyby poprzednie wieki nie były nagromadziły tak ogromnego zapasu sił moralnych. Jak marnotrawca, trwoniący wielki kapitał bez przysparzania nowych zasobów, może długo błyszczeć i jeszcze na schyłku środków swoich grać rolę magnata z fortuną niewyczerpaną, tak z tym ogromnym zasobem sił moralnych stary Rzym mógł jeszcze w czasach zdeklarowanej deprawacyi łudzić świat pozorami czerstwości. Ale upadek był już niepowstrzymany od chwili skażenia obyczajów, od chwili zatrucia tego tak czystego w złotym okresie jurisprudencyi rzymskiej zdroju sił moralnych, z którego zasilało się prawo pozytywne [1]), nie wyłączając nawet karnego [2]), a którego związek, nawet etymologiczny z moralnością *(mores)*, Ihering podniósł ze stanowiska prawno-filozoficznego w sposób znaczący także i dla stosunków obecnych [3]).

Jeżeli w określeniu istoty i znaczenia cenzury rzymskiej, infamii i wszelkich odcieni bezecności i hańby w społeczeństwie rzymskiem, antykwarsko-dogmatyczne traktowanie samych fragmentów pandektowych bez rozleglejszego widnokręgu historycznego i bez wzięcia w rachubę społeczno-moralnych czynników wiedzie, jak to już objaśniliśmy, na manowce i zawieść w końcu może do dziwolągów interpretacyjnych, lub co najmniej do nietrafnych wniosków, to w równym, jeżeli nie w wyższym jeszcze, stopniu grozi to niebezpieczeństwo w razie podobnego traktowania fragmentów pandektowych, określających istotę i kryterya czci w sposób dodatni. Możnaby nawet powiedzieć, że jeżeli, jak to później dokładniej po-

---

[1]) Ex non scripto ius venit, quod usus comprobavit. Nam diuturni mores consensu utentium comprobati legem imitantur (l. 9. J. I. 2. De iure naturali et gentium et civili). . . . et hoc est ius, quod dicitur moribus constitutum (l. 32. §. 9. D. I. 3. De legibus itd. Julianus) itd. itd.

[2]) N. p. w matactwach procesowych: Praevaricationis iudicium aliud publicum, aliud moribus inductum est (l. 3. pr. D. 47. 15. De praevaricatione. Macer).

[3]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. II. str. 53.

znamy, nowoczesna jurisprudencya, hołdująca pozytywizmowi prawnemu, dochodzi do rozpaczliwego poczucia bezsilności w ścisłem i trafnem określeniu moralno-prawnej istoty czci, jej kryteryów, należnego jej w prawie stanowiska i potrzebnych z tego powodu specyalnych środków ochrony, to pochodzi to głównie ztąd, iż także i w tej sprawie za punkt wyjścia wzięto definicyę prawa rzymskiego bez oglądania się na ducha tego prawa, lecz tylko w słabem, nawet złudnem świetle antykwarsko dogmatycznej interpretacyi. Ten chaos zdań, jaki dziś w tej mierze w literaturze prawniczej panuje, jest tedy właściwie tylko stałym pochodem na szlaku jednej i tej samej metody interpretacyjnej, która wielu pracownikom, nie szczędzącym w studyach ani wielkiego nakładu erudycyi, ani wysileń kombinacyjnych, przyniosła niezawodnie zasłużone uznanie benedyktyńskiej pracowitości, ale nauce nie dostarczyła zupełnych wyjaśnień.

Najlepiej dla badającego studya tego rodzaju, bo otwartem stwierdzeniem zamięszania, rozpoczyna się premiowana w swoim czasie rozprawa Waltera [1]), który i w nauce i praktyce zarzuca, że wspólnie pracowały nad „skrzywieniem" pojęć rzymskich. Sam autor nie wiele przyrzeka czytelnikowi, czem pośrednio potwierdza tylko fakt, że pojęcie czci nie daje się wyrwać ze sfery moralnej, poddać analizie prawno-dogmatycznej bez względu na wpływ społecznych czynników i następnie całkowicie zamknąć w kleszczach paragrafowej definicyi.

Na domiar złego właśnie co do elementarza prawnego, prawa rzymskiego, zachodzi w wyższym stopniu ta trudność oryentacyjna, na którą w sprawach tego rodzaju zawsze do pewnego stopnia już z góry trzeba być przygotowanym. Pisarze, których dzieła służyć muszą za główny materyał źródłowy, piszą najmniej o tem, co w społeczeństwie całem jest powszechnie zrozumiane, uznane i przestrzegane, co zatem z ich stanowiska nie wymagało już szczegółowego rozbioru i określenia. A właśnie rzymscy prawnicy odznaczają się lapidarnym charakterem swoich definicyi i starannie unikają takich objaśnień, które w ich pojmowaniu rzeczy byłyby tylko powtarzaniem tego, co każdemu jest dobrze znane.

Oficyalna, w Digestach zawarta, definicya rzymska czci *(existimatio)* pochodzi od prawnika (Callistratusa) z czasów rozkwitu jurisprudencyi, więc z okresu, w którym prawnicy rzymscy reprezentowali najlepszą, przewodnią, klasę społeczeństwa. Definicya, po-

---

[1]) Dr. T. Walter: *Über Ehre und Injurien nach römischem Rechte* (w *Neues Archiv für Criminalrecht* — t. IV. z r. 1820).

chodząca z takiego źródła w sprawie tak subtelnej, jak cześć, to nie jedna z owych konstrukcyi prawnych, ukutych z niezmiernym trudem kazuistycznym, lecz jędrny wyraz przekonań i zapatrywań moralnych społeczeństwa i to tej najlepszej jego części, która przechowywała wszystkie najświetniejsze tradycye przeszłości.

Definicya ta tak opiewa: „Cześć obywatelska jest stanem nienaruszonej godności, ustawami i zwyczajami uznanym, który z występku naszego mocą ustaw albo się umniejsza, albo się zatraca“ [1]). Do każdego niemal słowa tej definicyi pisano komentarze, wskutek czego jest ona rozmaicie pojmowana, wprawdzie nie co do głównej treści swojej, lecz co do rozciągłości. Przedewszystkiem trzeba wystrzegać się subtelności komentatorskiej w tłumaczeniu wyrazu *status* (stan). Jeżeli bowiem kto do tego wyrazu z pominięciem jego znaczenia zwyczajnego, faktycznego, jako jedynie trafnego [2]), szukać zacznie w rzymskiej technice prawno-terminologicznej odrębnego określenia, rozminie się z treścią definicyi tak, że ją w końcu uzna za niejasną lub niedostateczną. Treść ta koncentruje się w dwóch wyrazach: *existimatio* i *dignitas*, z których pierwszy, jako ogólny, oznaczał cześć w znaczeniu zewnętrznem, reputacyę, opinię ludzi prawych, drugi zaś godność (poważanie) [3]), nie specyalną tylko, z pewnym urzędem lub pewnem stanowiskiem połączoną, lecz taką, jaka należała się każdemu prawemu obywatelowi rzymskiemu.

Punkt ciężkości definicyi co do jej znaczenia nietylko prawnego, lecz i społecznego zarazem, tkwi w wyrazie *moribus* a raczej w ścisłem połączeniu wyrazów *legibus ac moribus*, więc w dobitnem zaznaczeniu i postawieniu na równi z ustawami tego niezmiernie ważnego czynnika społeczno-moralnego (obyczajów), który, jak to już podnieśliśmy, stanowił czysty zdrój prawa rzymskiego tak w zakresie stosunków prywatnych, jak i w obrębie urządzeń publicznych, a zo-

---

[1]) Existimatio est dignitatis inlaesae status, legibus ac moribus comprobatus, qui ex delicto nostro auctoritate legum aut minuitur aut consumitur (l. 5. §. 1. D. 50. 13. De variis et extraordinariis cognitionibus itd. Callistratus).

[2]) F. C. Savigny: *System* itd. (j. w.). Dodatek VII. do t. II. (Status und capitis deminutio) str. 452 i n.

[3]) *Dignitas* = poważanie ze strony współobywateli, opierające się na moralnej wartości człowieka. (Prof. dr. T. Dydyńskiego: *Słownik* (j. w.) str. 183).

W tem znaczeniu wyraz ten używany jest jako antiteza infamii. N. p. l. 3. C. 12. 36. De re militari. Imp. Antoninus A. Juliano: Milites ignominia missi, cum infamia notantur, nullis honoribus, qui integrae dignitatis hominibus deferri solent, uti possunt.

stawał pod tak niedoścignioną w późniejszych stadyach historyi prawa opieką, jaką pretura w pierwszym a cenzura w drugim rozwijała kierunku.

W tłumaczeniu wyrazu *moribus* tkwi głębsza różnica zdań i kombinacyi interpretacyjnych, aniżeli na pozór wydawać się może. Jeżeli się wyraz ten weźmie w znaczeniu rozleglejszem, moralnem, mianowicie w tem, jakie Rzymianie nadawali *iuri gentium*, temu źródłu humanitarnych i postępowych zasad, które stopniowo rozwijały i uszlachetniały twarde w swojej formalności i bezwzględności *ius civile*, to wtedy ramy rzymskiej czci obywatelskiej rozszerzą się po za sferę ściśle prawną czci zewnętrznej, pospolitej famy, opierającej się na negatywnej presumcyi prawnej o nieposzlakowanym charakterze, a wejdą w sferę moralności, wymagającej dodatniego stwierdzenia poczucia czci w całem działaniu, w całem postępowaniu, zgodnem z obyczajami. Wtedy zrozumiałą się stanie potężna akcya cenzury rzymskiej w tym kierunku ściśle moralnym, akcya społeczno-wychowawcza, wtedy zrozumiałą się stanie także groza kar cenzorskich, na pozór tylko rumieniec wstydu wywołających a jednak niszczących społeczną egzystencyę ukaranego, który według przytoczonych już słów Cicerona błąkał się z piętnem hańby, omijany i unikany przez każdego prawego obywatela, jakby człowiek zapowietrzony lub zwierz dziki.

Rzymska cześć obywatelska, pojmowana w tem znaczeniu podniośleJszem, rozszerzona w ramach swoich po za linie doktryny pandektowej, upatrującej w niej jedynie synonim zdolności prawnej, zależnej od stanu wolności i posiadania obywatelstwa rzymskiego, ułatwia wytłumaczenie pewnych pozytywnych postanowień prawa rzymskiego, które w razie odmiennego pojmowania rzeczy byłyby zagadkowe. Jeżeliby bowiem rzymska cześć obywatelska miała tylko to ostatnie ciaśniejsze znaczenie, to zgoła niezrozumiałem byłoby postanowienie, według którego także infamia ciężyła na każdym, kto przed wyzwoleniem swojem ciągnął zyski z nierządu, więc jako niewolnik miał zajęcie, zniesławiające tylko wolnego obywatela [1]). Zkądżeż bowiem w tym razie spadałaby infamia? Przecież nie z mocy pozytywnego prawa, skoro infamis tej kategoryi wchodził w sferę prawa jako podmiot dopiero po wyzwoleniu a tem samem czyny z jego poprzedniego okresu życia nie powinny były zaważyć na szali prawnej.

[1]) Pomponius et eum, qui in servitute peculiaria mancipia prostituta habuit, notari post libertatem ait (l. 4. §. 3. D. 3. 2. De his qui notantur infamia. Ulpianus).

W dalszych ustępach fragmentu Callistratusa przytoczone są przykłady zupełnej utraty czci *(consumitur existimatio)* i zmniejszenia czci *(minuitur existimatio)* wskutek przestępstwa z mocy ustaw. Pomijamy trudności interpretacyjne, jakie ustępy te przedstawiają dla dogmatycznego traktowania rzeczy, trudności, które wielu pisarzy z wielkim nakładem pracy i kombinacyi próbowało usunąć lub przynajmniej złagodzić. Dla celów niniejszej pracy wystarczy samo zaznaczenie, że utrata zupełna czci była następstwem kary, niszczącej prawo obywatelstwa wraz z wolnością lub z zachowaniem wolności *(capitis deminutio maxima* i *media)*, co następowało w wypadkach skazania do ciężkich robót w kopalniach *(damnatio in metallum, damnatio in opus metalli)*, banicyi *(aquae et ignis interdictio)* i deportacyi. Umniejszenie czci było następstwem kary, która nie pozbawiając obywatelstwa czyniła ujmę w stanowisku publicznem *(status dignitatis)*, odejmowała niektóre prawa publiczne *(ius suffragii et honorum)* i w ten sposób niejako degradowała obywatela rzymskiego z pełni praw *(civitas optimo iure)* na niższy stopień. Takiemi karami były relegacya, wyłączenie ze stanu dystyngowanego, uznanie niegodnym piastowania publicznych urzędów, chłosta, skazanie na przymusowy udział w pracy publicznej, wreszcie infamia w następstwie wypadków, w edykcie pretorskim przytoczonych.

Cały szereg wątpliwości łączy się z tem postawieniem infamii jako powodu zmniejszenia czci i z powołaniem się na edykt pretorski, jako postanowienie rozstrzygające w tej mierze. Przedewszystkiem powstała owa już powyżej podniesiona wątpliwość co do genezy i charakteru prawnego infamii, mianowicie kwestya, czy infamia powstała najpierw w zakresie prawa publicznego a dopiero potem przeszła w zakres prawa prywatnego i została w edykcie pretorskim sformułowana. Z tem pytaniem głównem połączono jaknajściślej szereg innych kwestyi, których pewne rozwiązanie miałoby się dopiero złożyć na materyał dla dogmatycznego przedstawienia sprawy. Ponieważ takiego rozwiązania niema, więc otworem stoi droga dla wszelkich hypotez.

Gdybyśmy zechcieli postępować szlakiem tych hypotez, aby zestawić i ugrupować systematycznie cały materyał, czytelnik słusznie mógłby zarzucić, że wstępujemy sami na drogę tych pandektowo-antykwarskich dociekań, którym już przedtem odmówiliśmy praktycznego znaczenia. Ale w całym tym długim szeregu wątpliwych kwestyi, podnoszonych przez pandekcistów w sprawie rzymskich pojęć o czci w ogóle a o infamii w szczególności, jedna zasługuje na uwagę głównie dlatego, że jeszcze w bieżącem stuleciu mogła

być na seryo wzięta pod dyskussyę. Mamy tu na myśli kwestyę aktualności postanowień prawa rzymskiego o infamii. Wbrew takiej powadze, jak Savigny, nie wahało się wielu prawników niemieckich i to takich, których znaczenia lekceważyć niemożna (n. p. Marezoll [1]) i Vangerów) [2]), wystąpić z twierdzeniem, że postanowienia te nie straciły w Niemczech aktualnego znaczenia i wobec recepcyi prawa rzymskiego stosowane być mogą a nawet powinny dalej, oczywiście z niezbędnem uwzględnieniem zmienionych w niejednym zakresie stosunków społecznych. Miałożby to oznaczać, że od czasów rzymskich w pojęciu bezecności nie zaszła żadna zmiana, że infamia, po rzymsku sformułowana, przetrwała wieki tak samo, jak tyle innych definicyi, które w zakresie prawa prywatnego kodexy nowoczesne przechowały w całości, lub sparafrazowały tylko w sposób, zastosowany do zmienionych stosunków?

Z zasadniczego stanowiska na pytanie to wypada dać odpowiedź twierdzącą. Jeżeli bowiem uczciwe życie *(honeste vivere)* pozostać ma zawsze, jak w prawie rzymskiem, pierwszem *iuris praeceptum* w ogóle, a w rzymskiej infamii w połączeniu z cenzorską judykaturą i jej karami na czci mieści się wyraźne uznanie moralnej podstawy prawa *(boni mores)*, względnie niedostateczności samych pozytywnych przepisów jego bez pomocniczego współdziałania społeczno-moralnych czynników, przedewszystkiem czci, jako wyrazu harmonii całego działania człowieka z obowiązującemi w sferze moralnej intencyami, to infamia rzymska w zasadniczej treści zaliczona być powinna do rzędu tych instytucyi, które z prawa rzymskiego jako elementarza prawnego przejść musiały do każdego prawa późniejszego, nie zapierającego się swojej missyi cywilizacyjnej.

Skorośmy tak postawili kwestyę, to liczyć się musimy z zarzutem, że panowanie prawa rzymskiego nie było przecież nieprzerwanem, że zatem w okresie od chwili wejścia nowych ludów na widownię dziejową po upadku imperium rzymskiego aż do wskrzeszenia waloru prawa rzymskiego, albo cześć nie odgrywała już takiej wybitnej roli w życiu prawnem a w takim razie zdanie powyższe nie byłoby uzasadnionem, albo musiały z tego samego źródła moralnego, któreśmy na pierwszy plan wysunęli, wypłynąć inne normy, niezależne od pojęć rzymskich, pod wpływem odmiennych stosunków

---

[1]) T. Marezoll: *Uiber die bürgerliche Ehre* itd. (j. w.) str. 355 i n.

[2]) Karl Adolph Vangerów: *Lehrbuch der Pandekten* (j. w.) str. 84 i n,

i w odmiennej formie. Ponieważ ostatnia alternatywa należy w historyi prawa do faktów niewątpliwych, więc możemy tutaj ograniczyć się tylko do szczegółów, zostających w bezpośrednim związku z myślą przewodnią tej pracy.

Niemcy zawsze ze słuszną dumą podnoszą słowa, wypowiedziane przez Tacyta o starych Germanach: *Plus ibi valent boni mores, quam alibi bonae leges*. Jeżeli historyk rzymski, świadomy wyższości swojego społeczeństwa nad ludami dopiero na widownię dziejową wstępującemi i źródła tej wyższości a zarazem świadomy i niebezpieczeństwa, grożącego z tej strony potędze rzymskiej, podniósł wielkie znaczenie dobrych obyczajów w starogermańskim świecie, znaczenie, górujące nad siłą samych przepisów ustawowych, to niezawodnie świadectwo takie zasługuje na to, aby przechowywane było na zawsze w tradycyach Niemiec, jako tytuł do chwały a zarazem jako nauka dla wszystkich pokoleń.

Gdzie dobre obyczaje, jak owe rzymskie *boni mores*, odgrywały tak ważną rolę, że więcej znaczyły, niż dobre ustawy, tam poczucie czci w powyżej wskazanem znaczeniu musiało być wrażliwe, chociażby przytem szorstkie, nawet dzikie w swoich objawach, jak wszystko u ludów, wstępujących dopiero na widownię dziejową. „Spotęgowanem prawie do chorobliwej extrawagancyi“ nazwał to poczucie Wilda [1]) i przedstawił je niemal jako zamienną cechę prawa niemieckiego od najdawniejszych czasów a tak się przejął tą charakterystyką, że nawet dla kompozycyi staroniemieckiego prawa karnego szuka tła głównego w poczuciu czci wbrew ustalonej opinii naukowej, iż — jak słusznie mówi Dareste [2]) — „jeżeli w historyi prawa pierwotnego jaką prawdę uważać można za wykazaną, to jest nią ta, że wszędzie zemsta prywatna stanowiła najstarszą praktykę a pierwszą etapą prawa karnego było zaprowadzenie kompozycyi.“

Mimo tej przechwałki jednak historycy i prawnicy niemieccy nie są w stanie wykazać odrębnego a jednolitego przytem rozwoju pojęć o czci i o bezecności w prawie starogermańskiem, lecz zawsze dochodzą do wątpliwości, które kładą na karb wrzekomo zgubnego wpływu prawa kanonicznego i rzymskiego po jego recepcyi w Niemczech.

Wyjście z tej sytuacyi jest bardzo trudne dla każdego, ktoby znaleźć je chciał koniecznie w takiem pedantyczno-konstrukcyjnem

---

1) Dr. W. E. Wilda: *Das Strafrecht der Germanen* (j. w.) str. 150 i n.

2) Rodolphe Dareste: *Etudes d'histoire du droit* (j. w.) str. 388.

ugrupowaniu całego materyału, jakie mniej więcej zawsze wiedzie do celu, gdy chodzi o przedstawienie pewnego urządzenia prawnego w zakresie prawa rzeczowego i t. p., w ogóle w zakresie stosunków, całkowicie normami prawa pozytywnego objętych i uregulowanych.

Nawet infamii rzymskiej niepodobna tą drogą, jak widzieliśmy, jedynie przy pomocy fragmentów pandektowych określić w taki sposób systematyczny, więc cóż dopiero mówić o roli infamii, w ogóle czci, w ramach prawa zupełnie nowej formacyi z epoki tak burzliwej i tak niestałej, jak owa, w której powstawały wszystkie te niewyjaśnione dotąd całkowicie staroniemieckie wyrażenia prawne, jak owo zupełne wyjęcie z pod prawa *(Echtlosigkeit)*, upośledzenie w prawnej zdolności *(Rechtlosigkeit)* i wyzucie z czci *(Ehrlosigkeit)*, w epoce, w której, co trafnie podniósł Marezoll, nie wyzyskawszy jednak przytem należycie tego szczegółu, „pojęcie czci w zbiorach prawa nie było wtłaczane w ramy definicyjne, lecz — rzecz całkiem naturalna w tych czasach — przytaczane zawsze jako żywe i społeczeństwu znane“ [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) Dr. T. Marezoll: *Uiber die bürgerliche Ehre* (j. w.) str. 300.

PAMIĘTNIKI PUŁKOWNIKA d' ALOY

REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.

1768.

(Ciąg dalszy).

V.

Przyjęcie biskupa kamienieckiego na dworze saskim wywołuje niezadowolenie Rossyi. — Zamiary króla. — Prymas nie chce przystąpić do konfederacyi królewskiej. — Uroczystość św. Stanisława. — Konfederacya barska zyskuje przewagę. — Porta nie chce różnić się z Rossyą z powodu konfederatów barskich. — Interdykt papieski na prymasa. — Branicki generalnym regimentarzem. — Protest przewodniczącego w komisyi wojny, wojewody Moszyńskiego. — Wzburzenie umysłów. — Rossya ciągle wysyła wojska pod Bar, aby nie dopuścić utrwalenia się konfederacyi. — Projekt amnestyi dla konfederatów.

Warszawa, 15. maja 1768.

Przyjęcie biskupa kamienieckiego na dworze saskim zwróciło tu uwagę tak ambasadora rossyjskiego, jak i ks. Białosielskiego. Wymienione w depeszy do pana Esseniusa, jaką otrzymał od dworu saskiego, jak również w depeszy Waszej Królewiczowskiej Mości z dnia 27. kwietnia, motywa nie były w stanie usprawiedliwić przed ambasadorem tego, że okazano więcej uprzejmości biskupowi, niż carowej, w której imieniu tenże ambasador upraszał, aby konfederaci nie byli przyjmowani w Saksonii.

Wszelkimi sposobami usiłowałem wyjaśnić i usprawiedliwić przyjęcie biskupa tą okolicznością, że, według otrzymanych wiadomości, w Saksonii uważają już konfederacyę barską za nieistniejącą i rozbitą przez przeważne siły rossyjskie; że zatem uprzejmość, oka-

zana tak dostojnej osobie, jak biskup kamieniecki, nie może mieć żadnego znaczenia. Pomimo to jednak ambasador uważa za swój obowiązek donieść o tem swemu dworowi i nadmienił przytem, że najwłaściwszym środkiem naprawienia tego byłoby przeprosić carową i zapewnić, że każdy konfederat, któryby przybył do Saksonii, zostanie stamtąd wydalony.

Przybywa tu ciągle od armii wielka liczba kuryerów do ambasadora. Otrzymany onegdaj raport generała Podhoryczany donosi o cofnięciu się konfederatów do Konstantynowa i nadmienia, że generał ten zaatakował ich w tem mieście, ale że po wymianie strzałów odstąpili w kierunku Modliborza.

Niepomyślne wiadomości otrzymano tu od Kreczetnikowa. Wielki podczaszy Potocki z kilku tysiącami górali i Niemców, w szczególny sposób uzbrojonych, miał rozciągnąć kordon aż do Zbaraża i przeciął mu zupełnie dowóz prowiantów. Wiem również na pewno, że generał Sołtykow maszeruje do stolicy i że przybyć tu ma na uroczystość imienin króla.

Zamiarem króla i ambasadora jest:

1) Utrzymać w uległości tutejsze pułki polskie, którym nie dowierzają;

2) Zapewnić bezpieczeństwo osoby króla;

3) Podtrzymać konfederacyę, jaką król zamierza zawiązać w dzień św. Stanisława, korzystając ze sposobności przybycia wielu osób, które ambasador ma zamiar ściągnąć na ten dzień, celem wykazania, jak mówił prymasowi i podskarbiemu, że przyjaciele Rossyi są zarazem przyjaciołmi króla.

Ambasador wspomniał wczoraj prymasowi o tej nowej konfederacyi, ale ten ze względu, że jako kapłan obowiązany jest raczej wpływać na uspokojenie umysłów, a nie podburzać jeden naród przeciw drugiemu, oświadczył wprost, że nie przystąpi do konfederacyi królewskiej i że jeżeli król czuje się dotkniętym przez konfederacyę barską, to ma dla karania winowajców sądy, jakie przepisuje konstytucya z r. 1717, on zaś, jako prymas, nie chce się wcale plamić czynem tak nikczemnym.

Wojska rossyjskie wkraczają do stolicy. Uroczystość św. Stanisława, o której, Bóg wie, co przepowiadano, nie przedstawiała nic nadzwyczajnego, a ci, którzy przybyli z nadzieją otrzymania ozdoby orderowej, zostali zupełnie zawiedzeni, król bowiem kazał oświadczyć, że w tym roku nikomu orderu nie udzieli. Dał wszakże order „Orła Białego“ referendarzowi koronnemu, Małachowskiemu, i hrabiemu Kayserlingowi.

Wieczorem król był w teatrze a następnie na balu u ambasadora; nie siedział jednak przy stole podczas wieczerzy, ale rozmawiał z damami, z któremi tańczył.

Przed chwilą przybyło tu czterech kuryerów. Jeden przybył z Jass do pana de la Roche i z listem do ambasadora rossyjskiego od Porty; oświadcza ona, że się wcale nie myśli interesować konfederacyą barską, którą nawet już zawiadomiła, aby nie liczyła na pomoc Turcyi.

Drugi kuryer, jak utrzymują, przybyć miał od generała Mokronowskiego, który zawiadamia z Baru, że konfederaci chcą wejść z nim w układy, wszakże zastrzegają sobie, aby ich uznano za legalnie skonfederowanych. Z tego powodu prosi o odpowiednie instrukcye.

Trzeci kuryer przybył do komisyi wojny z doniesieniem, że regimentarz Judycki wszedł do Mołdawii tylko z 24 ludźmi. Cała jego partya porzuciła go, zabrali ją konfederaci, podobnie jak podolską, pozostającą pod dowództwem Woronicza. Wszystkie kompanie wojska polskiego oraz cztery pułki, konsystujące w tamtejszych okolicach, przeszły do konfederatów.

Czwarty kuryer przybył do dworu z doniesieniem od zarządu dóbr królewskich, położonych na granicy, że wszyscy fabrykanci schronili się na terytoryum mołdawskie, zwolennicy zaś króla zostali zarekwirowani do konfederacyi.

Ambasador rossyjski mówił, iż otrzymał potwierdzenie porażki konfederatów pod Chmielnikiem, ale rozgłaszane o tej porażce wiadomości są bardzo wątpliwego charakteru.

Pod Zakroczymem miało miejsce bardzo niepomyślne spotkanie dla oręża rossyjskiego. Na 80 ułanów polskich napadło 300 żołnierzy rossyjskich, którzy chcieli im odebrać kwatery. Ułani wskoczyli na koń i tak ich potraktowali, że 7 żołnierzy zostało zabitych, a 40 ciężko rannych przywieziono na Pragę.

Czytałem list rezydenta rossyjskiego w Konstantynopolu, p. Obrezkow, pisany do ambasadora, w którym donosi mu, że na konferencyi, mianej z Reiseffendim, ten ostatni zapewniał go, że Porta Ottomańska nie chce wcale różnić się z Rossyą z powodu konfederatów i nie udzieli im żadnej pomocy.

Generał hr. Apraksin wraz z bratem ambasadora wyjeżdża dla objęcia dowództwa nad korpusem, 4000 ludzi liczącym, a przeznaczonym przeciwko podczaszemu. Mokronowski donosi, że siły jego nie przechodzą 2000 ludzi, siły zaś konfederacyi barskiej oceniają na 7 tysięcy.

Dowiedziałem się ze źródła bardzo sekretnego, że nuncyusz papieski otrzymał kuryerem interdykt na prymasa.

Po wielu projektach i planach, jakie podawane były, postanowiono ostatecznie mianować Branickiego jeneralnym regimentarzem, a to celem zastąpienia dwóch innych regimentarzy, z których jeden aresztowany przez konfederatów, drugi zaś wparty na terytoryum mołdawskie.

Nowy ten regimentarz mieć będzie pod swoją naczelną komendą pułk gwardyi konnej litewskiej Grabowskiego, pułk dragonów Wielopolskiego, ułanów królewskich, wreszcie 10 pozostałych kompanii polskich.

Zdawało się, że wyprawa tego bohatera nie napotka żadnych przeszkód, że czeka on tylko na rozkaz od komisyi wojny; tymczasem przewodniczący w tej komisyi, wojewoda lubelski Moszyński, odmawia podpisu swego na rozkazie, polecającym wojskom polskim zbrojnie występować przeciwko swoim rodakom, przeciwko synom tej samej ojczyzny, walczącym przeciwko Rossyi za religię i swobody kraju. Co większa, wspomniany kasztelan Moszyński złożył urząd swój, nie podpisał nawet ostatniego postanowienia Rady senatu i wyszedł razem z wojewodą rawskim i kasztelanem sochaczewskim.

Po Moszyńskim, prezydującym według starszeństwa w komisyi wojny, przewodniczyć będzie z kolei książę podkomorzy, który nietylko obecny, ale i wszelkie inne rozkazy chętnieby podpisał, ale wstrzymuje go dotąd od tego kroku obawa, aby podobnie, jak król, nie stał się przedmiotem powszechnej nienawiści.

Takie jest ogólne usposobienie umysłów: zemsta, nienawiść, rozpacz z każdym dniem zwiększają się. Nie ma innych środków dla króla i ambasadora, nie ma innego lekarstwa nad użycie siły. Zdaje im się, że w razie pobicia konfederatów cała szlachta przyprowadzoną będzie do uległości, że dojdą do tego celu w ciągu kilku tygodni, i dlatego wysyłają ciągle wojska pod Bar, aby tym sposobem niedopuścić rozszerzenia i utrwalenia się konfederacyi. Wszakże dawno już ona utrwalona, dawno opanowała serca patryotów, którzy zewsząd ciągną do niej, jednym ożywieni zapałem, jedną natchnieni myślą: zwyciężyć albo zginąć!

Zaczęła tu wychodzić gazeta, która ogłasza krajowi o tryumfach wojsk rossyjskich nad konfederatami. Załączam egzemplarz tej gazety z objaśnieniem, że nikt tu nie wierzy jej doniesieniom. Sądzą, że to tylko nowy podstęp ze strony ambasadora, pragnącego terotyzować wzburzone umysły. Wyprawił on pułkownika Wołkowa z listem

do Krasińskiego, w którym używa rad, perswazyi, nie szczędząc nawet gróźb. Pismo to wszakże pozostało bez skutku, a wysłaniec uwięziony przez konfederatów. Wysłany ze strony króla i senatu Mokronowski nic również nie zdołał uzyskać, a nawet, jak powiadają, został aresztowany w Gródku przez wielkiego podczaszego. Branicki i Stępkowski wyjeżdzają ze strony komisyi wojny, wioząc amnestyę i pieniądze dla zjednania konfederatów. Prymas mówił mi, że również chce wysłać do nich ze swej strony pośrednika, aby poznać, jakie są ich żądania, które zobowiązuje się przedstawić carowej, nawet gdyby odnosiły się do detronizacyi króla.

VI.

Niezadowolenie ambasadora rossyjskiego z pułkownika Weissmanna. — Powrót Mokronowskiego. — Klasztor Paulinów w Berdyczowie podstępnie zajęty przez konfederatów. — Generał Kreczetnikow maszeruje na Berdyczów. — Niezadowolenie Repnina. — Manifest Puławskiego. — Konfederaci otrzymują broń z Królewca. — Niezadowolenie Porty. — Konfederacya krakowska. — Rozmowa z księciem podkomorzym. — Ważne wiadomości z pola bitwy.

Warszawa, 18. czerwca 1768.

Ogłoszona przez księcia Repnina deklaracya, nie odniosła wcale skutku, jakiego się ten ambasador spodziewał. Rossya, dwór tutejszy i jego zwolennicy uważają konfederatów jedynie za rozbójników i buntowników, ale prawdziwi patryoci błogosławią ich, życzą powodzenia i uważają za jedynych obrońców swobód narodowych, za prawdziwych synów ojczyzny, walczących przeciw uciskowi rossyjskiemu.

Ambasador otrzymał potwierdzenie o zniesieniu konfederacyi trembowelskiej przez pułkownika Weissmanna. Podczaszy zmuszony był ujść za granicę, Weissmann ścigał go aż do Śniatynia, a nawet nie spostrzegłszy się, przekroczył granicę i dopiero ujrzawszy straż pograniczną turecką, powrócił do Śniatynia. Sądził, że więcej powstańców nie ma, gdy tymczasem wracając z Turcyi, zaatakowany został znowu przez oddział, 500 ludzi liczący. Rozgniewany tem zuchwalstwem i zdradą baszy chocimskiego i idąc za radą Boskampa, przebywającego w okolicznych dobrach królewskich, napisał do pomienionego baszy list, wyrzucający mu podobne postępowanie. Nadmienia prócz tego pułkownik Weissmann w swoim raporcie, iż dowiedział się w następstwie, że podczaszy miał się udać do Mohilowa, aby się połączyć z konfederatami barskimi.

Ambasador rossyjski był bardzo niezadowolony z tego nierozważnego kroku pułkownika i jak mógł, usprawiedliwiał go przed panem De la Roche.

Otrzymano tu wiadomości o utworzeniu się konfederacyi w Wielkopolsce, oraz że konfederaci poznańscy mieli już atakować wojska rossyjskie.

Powrócił tu już generał Mokronowski. Powiedział mi, że został wezwanym z rozkazu króla i ambasadora. Siły konfederatów ocenia na 8 tysięcy ludzi; wojska rossyjskie, działające przeciw nim, są liczebnie prawie równe. Żołnierze rossyjscy rabują domy szlacheckie, co nadzwyczaj oburza konfederatów. Poniński przysłał sztafetą wiadomość o pobiciu konfederatów pod Pyzdrami przez majora Drewitza. Księżna Sanguszkowa otrzymała wiadomość od swego komisarza z Lubaru, że Kreczetnikow obłożnie chory, że główny oddział konfederatów pomaszerował na Żytomierz, ale zaatakowany przez przeważne siły rossyjskie cofnął się pod Berdyczów, niewielką forteczkę, utrzymywaną przez księży Paulinów, podobnie jak Częstochowa. W tej forteczce chcieli znaleźć schronienie konfederaci; księża jednak, aby nie narażać miejsca, w którem złożone są skarby znaczne, zebrane z całego województwa, nie chcieli ich wpuścić do forteczki. Bezustannie ścigani konfederaci zmuszeni byli do przyjęcia bitwy. W porę jednak otrzymali posiłki i wojska rossyjskie zostały w zupełności rozbite. Po odniesionem zwycięztwie konfederaci zażądali, aby odśpiewane było w kościele *Te Deum* i tym sposobem wpuszczeni do forteczki, podstępem zajęli ją w swoje posiadanie. Syn Pulawskiego stoi na ich czele.

Generał Kreczetnikow doniósł ambasadorowi, że idzie oblegać Berdyczów, co nadzwyczaj gniewa tego ostatniego, gdyż widzi w tem tylko chęć rabunku klasztoru, gdy tymczasem tym ruchem może być konfederatom otwarta wolna droga w głąb kraju. Z tego powodu wysłał tam natychmiast z odpowiedniemi instrukcyami pułkowników Igelströma i Carra oraz księcia Prozorowskiego, jako oficerów, na których zdolność może liczyć.

Puławski ogłosił manifest, któryśmy właśnie otrzymali. Oskarża generała Mokronowskiego, że zawiódł zaufanie publiczne, przejęte bowiem korespondencye przez konfederatów dowodzą, że podczas gdy on, w ciągu piętnastodniowego zawieszenia broni, umawiał się o warunki pokoju, strona przeciwna postanowiła razem z wojskami rossyjskiemi zaatakować znienacka nieprzygotowanych konfederatów. Oprócz tego, w pomienionym manifeście wyraża zadowolenie konfederatów z tego powodu, że ich postępowanie i wytrwałość znalazły

uznanie u wielu dworów zagranicznych, a mianowicie u Porty Ottomańskiej, o czem zawiadomieni zostali listami baszy chocimskiego, co wprawiło w wielki gniew ambasadora rossyjskiego, gdyż zdyskredytowało w zupełności jego deklaracyę.

Z dobrego źródła dowiaduję się o ciągłym przejeździe kuryerów między Konstantynopolem a Berlinem, oraz o tem, że konfederaci otrzymują broń i amunicyę z Królewca, że król pruski kazał usunąć z wojska wszystkich katolików Polaków. Przytem widzę tu wielką serdeczność między ministrem pruskim a szwedzkim. Żaden z ministrów obcych dworów nie bywa u ambasadora rossyjskiego, wszyscy porozjeżdżali się na wieś.

Powiadają, że Porta jest nadzwyczaj obrażona z powodu wejścia Weissmanna na terytoryum tureckie, oraz z tego, że król w ostatniem piśmie swojem nie użył tytułu: „Pan kijowski, siewierski, smoleński, czernichowski", jak również, że dobra podczaszego zostały obłożone sekwestrem i administrowane są na rzecz carowej, a z tego powodu jest obawa i o majątki województwa podolskiego.

Cztery tysiące kozaków hetmańskich uzbroił Potocki, wojewoda kijowski, i oświadczył generałowi Kreczetnikowowi, że pozostanie spokojnym, jeżeli go nie zaczepią, w przeciwnym razie będzie się bronił. W samej rzeczy siedzi on cicho, podczas gdy wszyscy inni Potoccy, oprócz krajczego, który tu przebywa, należą do konfederacyi. Maryan Potocki wydał manifest, w którym maluje w bardzo jaskrawych barwach nikczemne postępowanie ambasadora rossyjskiego w Polsce, przytaczając wiele na to dowodów, i nazywa go tyranem.

Ambasador rossyjski otrzymał dzisiejszej nocy wiadomość, że w Krakowie zawiązała się konfederacya, oraz że 500 żołnierzy rossyjskich, którzy podstąpili pod to miasto, nie byli w stanie ani go zdobyć, ani nawet bronić się przeciw szlachcie ze wszech stron napływającej. Według tego, co mi mówił książę podkomorzy, dwór tutejszy bardzo jest zaniepokojony smutnemi wiadomościami, jakie zewsząd nadchodzą, i zakończył rozmowę zapytaniem:

— Co tu robić w takim razie?

— Trzeba zyskać sobie miłość i zaufanie u narodu — odpowiedziałem na to — nic się nie zrobi przy użyciu siły i gwałtu.

— Za późno! — odpowiedział mi i odszedł nadzwyczaj przygnębiony.

Otrzymano tu ważne wiadomości od armii rossyjskiej. Opisuję je Waszej Królewiczowskiej Mości tak, jak je podał ambasador ros-

syjski w liście do prymasa i w zawiadomieniach, przesłanych wszystkim tutejszym ministrom-rezydentom dworów zagranicznych.

Kreczetnikow zdobył Berdyczów i wziął do niewoli 1.200 konfederatów, a w ich liczbie i młodego Puławskiego. Korpus konfederatów w sile 3.000 ludzi, spieszący ku Berdyczowi na odsiecz, został rozbity przez generała Podhoryczany i uszło z niego zaledwie 400 ludzi, reszta poległa lub wzięta do niewoli. Generał Apraksin zdobył Bar i wziął do niewoli 1.300 konfederatów. Sądzę jednak, że jeżeli mimo to wszystko wojska rossyjskie opuszczą kraj tutejszy, to musi z konieczności zawiązać się z czasem konfederacya generalna, która ten wyda rezultat, że Rossya i król będą jeszcze bardziej nienawidzeni i niecierpiani przez nieszczęśliwy kraj.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

IV.

„Materyie z nauk“ — czy i o ile zaprowadzono w nich zmiany — profesorowie — podręczniki.

(Ciąg dalszy).

Jaki podział wykładu matematyki nakreślono w porządku nauk z 1805 r. — wspomnieliśmy nieco wyżej; zaraz w następnych latach jednak rozszerzono zakres umiejętności matematycznych i to w dodatku bardzo znacznie, postępując w myśl projektu Kołłątaja, przeznaczającego na kurs I. dwulecia pierwszego: geometryę i trygonometryę, na kurs II.: algebrę do funkcyi przestępnych i logikę [1]). To też w *Materyach* z 1809 i 1816 r. podaje dyrektor szkoły, że uczniowie pierwszego roku, kursu I. uczyli się trzech w 1805 roku podanych działów, uczniom zaś drugoletnim tegoż kursu wykładano algebrę podług książki J a n a Ś n i a d e c k i e g o, oraz zastosowanie jej do geometryi linii i powierzchni krzywych. Prócz tego słuchali oni logiki i wymowy. W r. 1809 obejmował wykład logiki rozdział „o początku rodzenia się wyobrażeń i władz duszy“, a nadto „sposób rozbiorowy w swoich środkach i skutkach uważany“. W nauce wymowy natomiast objaśniano rozdziały: o sztuce pisania; o stylu uważanym powierzchownie, wewnętrznie; o przenośniach; o postaciach słownych, które nie są przenośniami, o postaciach myślnych; z kolei

---

[1]) *Koresp.* III. 41.

przystąpiono do objaśniania celniejszych rożdziałów stylu i wymowy, zakończono zaś historyą tejże i tłómaczeniem pisarzów wzorowych: Cycerona, Horacego, Liwiusza, Tacyta i Wirgiliusza.

W 1816 r. wykład logiki dzielono na logikę czystą, metodykę logiczną i logikę stosowaną. Za podręcznik do tej nauki służyła *Loika elementarna*, przepisana dla gimnazyów państwa rossyjskiego, wydana 1810 r. w Charkowie przez Ludwika Henryka Jakoba [1]). Co do wymowy — udzielaną ona była mniej więcej w tym samym stopniu, co 1809 r.

W roku 1819 nauki matematyczne podzielono nieco inaczej; w przykładach w czasie lekcyi wymowy posługiwano się wzorami swady polskiej, o wykładzie logiki nie wspomniano wcale.

Profesor Wojciech Jarkowski, doktor filozofii, ogłosił drukiem mowę — o pożytkach nauk matematycznych — mianą w dniu 2. października 1805 r. do uczniów krzemienieckich [2]). W rękopisie zostawił: wstęp do geometryi elementarnej, geometryę praktyczną, trygonometryę płaską i wreszcie prawo graniczne polsko-litewskie [3]). Wszystko to świadczy, że profesor czasu nadaremnie nie marnował, przeciwnie — pracował ciągle nad wykładanymi przez siebie przedmiotami. — A zajęć szkolnych nie brakło; obok kursów, gdzie niejedną przydzielono mu katedrę, uczył jeszcze geometryi praktycznej w osobnym instytucie geometrów „skarbowych“ (rządowych), przy gimnazyum wołyńskiem urządzonym. — Ciekawą wzmiankę o tym pedagodu znaleźliśmy w pamiętniku jego kolegi: „Umiejętność pana Wojciecha nie sięgała za Euklidesa i Zaborowskiego geometryę i dwa rożdziały algebry. Ale pan matematyk pilnie wygotowany był na demonstracyę każdego podania i nigdy się w rachunku nie mylił, to też można powiedzieć, że uczniowie z korzyścią wykładu jego słuchali“ [4]). Nie bawiąc się w obronę pana matematyka, tę jeno zrobimy uwagę, że — skoro Jarkowskiego wykład dodatnie przynosił rezultaty — uważać należy wybór jego osoby za możliwie szczęśliwy. Jeżeli zechcemy sobie przypomnieć, z jakim brakiem ludzi musieli założyciele gimnazyum walczyć, usprawiedliwimy w znacznej części mianowanie profesorem na wyższych kursach człowieka, co tak skromny zasób posiadał koniecznych wiadomości.

---

[1]) Estreicher o podobnej pracy tegoż autora nie wzmiankuje, choć z drugiej strony *Mater. z nauk* za rok 1816 na str. 26 całkowity jej tytuł podają.

[2]) Estreicher II. 204.

[3]) Słowikowski: Wspomnienia (j. w.).

[4]) Andrzejowski: Ramoty IV. 12.

W innem zupełnie świetle występuje następca Jarkowskiego na katedrze geometryi, kursistom wykładanej — młodziutki Grzegorz Hreczyna. Uczył się on w gimnazyum krzemienieckiem, stopień naukowy zdobył w Wilnie, gdzie też przeznaczono go na profesora w szkole Czackiego. Początkowo wykładał tutaj tylko geometryę: katedra algebry, zanim się jemu dostała, różne przechodziła koleje. Tego przedmiotu, jak i wyższej matematyki, uczył znakomity Ściborski, który — otrzymawszy naczelną godność w szkole — zostaje na katedrze algebry zastąpiony przez ucznia Czecha a chlubę zakładu, Mikołaja Czarnockiego. Prawie równocześnie przybywa z Wilna do matematyki wyższej Stefan Wyżewski, człowiek szlachetniejszych popędów, charakteru prawego, kochany i szanowany powszechnie, przytem matematyk biegły. Po zamknięciu liceum uczy w uniwersytecie kijowskim. Biedny Czarnocki w 1818 roku — w przystępie obłędu — życie sobie odbiera; następcą jego dopiero zostaje Grzegorz Hreczyna, uczący w Krzemieńcu aż do chwili kasaty tego zakładu wychowawczego, poczem przenosi się z Wyżewskim do Kijowa, gdzie 1836 r. stopień doktora filozofii uzyskuje. W trzy lata później zaliczony do grona zwyczajnych profesorów uniwersytetu charkowskiego, piastuje tę godność niespełna rok jeden. Śmierć zabrała człowieka w sile wieku, wielką krzywdę wyrządzając nauce i uczącej się młodzieży [1]).

Miejsce Jarkowskiego w szkole geometrów zajął Jędrzej Szemega. Wydał on u Bazylianów w Poczajowie 1818 r.: *Rysunki topograficzne*, podręcznik dla kandydatów na rządowych geometrów, czyli, jak ich często nazywano: komorników. Czytał również na jednem z publicznych posiedzeń gimnazyalnych rozprawę, w języku łacińskim napisaną, a „dla pożytku uczących się“ na język polski przełożoną: *O sposobie uczenia rysunków topograficznych*. Ogłaszając ją następnie drukiem, wyliczył — ku wiecznej pamięci — wszystkie swoje tytuły i temu też zawdzięczamy wiadomość, z kim się ma właściwie do czynienia. Otóż pan Szemega był „dawniej Świty Jego Imperatorskiej Mości, po części Kwatermejsterskiej — Porucznikiem, potem Gubernii Wileńskiej Skarbowym Jeometrą, Kolegskim Ase-

[1]) Andrzejowski: Ramoty IV. 13—14; G. Olizar: Pamiętniki 48—51; Słowikowski: Wspomnienia; Sobieszczański F. M.: Encykl. Powsz. XII. 217; Kaczkowski Karol: Wspomnienia; Podbereski Rom.: życiorys w Tyg. Petersb.: Estreicher: Bibl. II. 152.

sorem", wreszcie — o czem już wiemy — w gimnazyum wołyńskiem rysunków topograficznych i geometryi nauczycielem [1]).

Następcą Szemegi został na obu katedrach Aleksander Sawicki, że zaś profesor Hreczyna zaczął w tym czasie wykładać algebrę, dodano pierwszemu geometryę praktyczną i... prawo graniczne rossyjskie. Już to, co prawda, rozkład katedr często dosyć dziwnie w Krzemieńcu się przedstawiał. Paweł Jarkowski uczy n. p. języka francuskiego, gramatyki powszechnej i bibliografii; jego brat Wojciech matematyki, geometryi, rysunków topograficznych i prawa; tak samo Sawicki; Błoński: języka niemieckiego, nauki moralnej, historyi starożytnej, greckiej i prawa przyrodzonego i t. d. i t. d. Jeżeli więc zakres nauki był rzeczywiście takim, jak się przedstawiał w *Materyach* (a trudno, by był innym), zasłużyli owi, przeciążeni pracą, skromni wołyńscy pedagogowie na pełne uznanie.

O Sawickim nic nadto, że był profesorem w Krzemieńcu i że ogłosił 1811 r. drukiem rozprawę, po rossyjsku napisaną: *O koniecznej potrzebie dla Wołyniaków uczenia się języka rossyjskiego* — nie jesteśmy w stanie powiedzieć [2]).

Katedra logiki zdaje się tylko chwilowo posiadała odrębnego profesora, a był nim znany z nauki i ciekawych przejść urozmaiconego żywota — Michał Wiszniewski. I on zasłyszawszy o rozbrzmiewającej sławą szkole, niegdyś przez Czackiego założonej, pospieszył do niej w celu dopełnienia swych studyów, ztąd dopiero udając się na uniwersytet edynburgski. Że nie był to pierwszy z Galicyanów, kształcących się w Krzemieńcu — nie ulega wątpliwości; o zwyczajnych jednak śmiertelnikach milczą dzieje. Ten zapracował w dalszem życiu na imię rozgłośne, ztąd też i dowiedzieliśmy się, że do szkoły wołyńskiej uczęszczał. Po kilkoletniej wędrówce na obczyźnie i Wiszniewski wezwanym zostaje na katedrę w liceum, bawi jednak tutaj bardzo krótko, bo od 1823 r. po koniec następnego. Ocena licznych i nader poważnych prac jego znajdzie się w dziejach literatury polskiej, które chwilowemu profesorowi krzemienieckiemu niepoślednie miejsce w gronie pisarzy i uczonych wyznaczą. My dodamy na zakończenie pobieżnej o nim wzmianki, że — zapewne powodowany uczuciem wdzięczności dla założyciela szkoły wołyńskiej — umieszcza Wiszniewski w swoich *Pomnikach Historyi i Literatury polskiej* i rozprawę Tadeusza Czackiego: *O prawach mazowieckich* [3]).

---

[1]) Estreicher: IV. 443; Słowikowski: Wspomn. (j. w.).
[2]) Słowikowski j. w.
[3]) Kraków 1837. T. IV. str. 1—34.

Drugim przedmiotem obowiązkowym kursu I. była — jak wiadomo — historya powszechna. Czacki upatrzył do tej katedry kandydata w osobie Karola Mirowskiego, mieszkającego stale w samym Krzemieńcu, gdzie nawet własny posiadał dworek, z którego połowę chętnie odstępował jednemu z przyszłych swoich kolegów, ułatwiając w ten sposób żmudne dosyć poszukiwanie odpowiednich pomieszkań dla przybyłych z różnych stron kraju profesorów [1]).

Mirowski, co prawda, nie zbyt chętnie przyjął uczynioną sobie propozycyę wykładów w szkole krzemienieckiej; więcej mu się uśmiechała zwierzchnicza władza w jakiej szkole powiatowej, przedkładał w dodatku Podole nad Wołyń, w końcu jednak — wobec tego, że wszystkie podobne miejsca były na razie już obsadzone — przyjmuje proponowane warunki, „obiecał przeczytać dzieło Mentela i Volneya, ułożyć sobie plan kursu i za parę niedziel komunikować“ tenże Kołłątajowi, z zastrzeżeniem atoli, że jeśliby ewentualnie jaka posada dyrektora szkółki powiatowej zawakowała, jemu powierzoną zostanie [2]). Był on w Krzemieńcu pierwszym z rzędu profesorem historyi powszechnej, której kurs zupełny w rękopisie zostawił; z czasem objął nadto po Joachimie Lelewelu geografię starożytną, wykładaną przez tegoż od 1809—1811 r. Lelewel dobrze ogółowi znany, nie potrzebujemy więc na tem miejscu powtarzać historyi jego pracowitego żywota [3]). Inna rzecz z Mirowskim, lecz tym razem biografia profesora nie bogata w wypadki większego znaczenia. Już sam fakt, że ubiegał się o naczelną władzę w szkole powiatowej, świadczyłby o tem, iż do starszej zaliczał się gwardyi. Młodych przerzucano z miejsca na miejsce, a w nadgrodę dopiero za długoletnią pracę otrzymywali najbardziej zasłużeni posady dyrektorów szkół powiatowych. Niejeden więc rok służby posiadać musiał za sobą i Karol Mirowski, którego miejsce w liceum wołyńskiem 1818 r. zajmuje Józef Uldyński.

Nowy profesor wykłada geografię starożytną, chronologię i historyę powszechną, a nadto z własnego natchnienia, bezinteresownie, poświęcał dwie godziny tygodniowo nauczaniu słuchaczy swoich historyi polskiej. Postać to dziwnie szlachetna i sympatyczna; jako profesor wykładał świetnie i z wielkim pożytkiem. Z urodzenia Żmudzin, stopnie naukowe zdobywa w Wilnie, zkąd 22-letniego mło-

---

[1]) *Koresp.* III. 107.

[2]) Ibid. III. 109, 114.

[3]) Węclewski Zygm.: Listy Joach. Lelewela do G. E. Grodka. *(Przewod. Nauk. i Liter.* 1876, str. 236, 368, 571)-

dzieńca posyłają na nauczyciela w gimnazyum podolskiem w Winnicy. W chwili, kiedy szkoła wołyńska na wyższy stopień podniesioną została, znalazł się w gronie jej profesorów i Uldyński. Zaraz w następnym roku ogłasza w Poczajowie i Krzemieńcu *Jeografię starożytną*, uznaną przez uniwersytet wileński jako podręcznik szkolny. Wysłużywszy wymagane w służbie publicznej lata, osiada w skromnym, ale własnym domku, gromadzi z zamiłowaniem numizmaty, pomagając przytem uczącej się ubogiej młodzieży w czerpaniu wiedzy, tyle każdemu niezbędnej. Umiera 1863 r., pozostawiwszy po sobie dobrą pamięć i kilka wykończonych rękopisów [1]).

Historyę rossyjską wykładał w Krzemieńcu Jan Aleksandrowski, autor monografii tej starej placówki kresowej, czytanej w języku rossyjskim na publicznem posiedzeniu szkoły wołyńskiej. Przekład jego rozprawy o piśmie staro-cerkiewnem wyszedł w *Dzienniku Warszawskim* z pod pióra Ordyńca.

Zanim przystąpimy z kolei do opisu kursu II., wypadnie — choćby najzwięźlej — przedstawić, w jaki sposób wykładano tutaj historyę i geografię. Według *Wzoru i porządku nauk* z 1805 roku, profesor zaczyna od historyi państw nowożytnych, że jednak „z potrzeby tey nauki wypada, aby była razem dawana z Jeografią, przeto odesławszy swych uczniów na kursa Matematyczne i Fizyczne; gdzie będzie mowa o Kosmografii i Jeografii Fizyczney, przystąpi do tłomaczenia samey tylko Jeografii polityczney, którą podzieli na starożytną i nowożytną. A że w tym roku dawać tylko będzie historyą nowożytną, przeto do niej zastosuie takąż samą Jeografią...“ Pan Merczyng [2]) — na podstawie programu nauk z 1807 r. — konstatuje fakt, że w wykładzie zwracano przedewszystkiem uwagę na stosunki dynastyczne, że nadto pominięto w historyi francuskiej drażliwą dosyć kwestyę rewolucyi. Jak — z przytoczonego powyżej ustępu — przekonać się łatwo, dano pierwszeństwo historyi i geografii nowożytnej (a dlaczego?), w następnym zaś roku wykładaną być miała dopiero starożytna. Szczęśliwym trafem znajdujemy, w posiadanych przez nas *Materyach z nauk*, streszczenie wykładu tak jednej, jak i drugiej połowy omawianego przedmiotu. Na r. 1816 przypadła „jeografia i historya nowożytna“; na r. 1819 historya powszechna starożytna z jeografią.“

---

[1]) Słowikowski: Wspomn.; C. B.: Encyklop. powsz. XXV. 969—970; Estreicher: Bibl. IV. 598; Bibliot. Jagiel. posiada rękopis Uldyńskiego, p. t. Historya powsz. (*Przewodnik Bibliogr.* 1887. Str. 243).

[2]) *Kołłątaja i Czackiego projekt*... str. 19.

Połowa pierwsza rozpadała się na rozdziały: ogólne geograficzne opisanie Europy; szczególny opis geograficzny, chronologia i zbiór dziejów Polski i cesarstwa rossyjskiego: ogólne wiadomości o narodach północnych: geograficzny opis, chronologia i zbiór dziejów Szwecyi i Danii; stan dawnej i obecnej Anglii; Francya; Niderlandy; Hiszpania i Portugalia; opisanie Niemców i krajów ich w powszechności; o Austryi, Czechach, Węgrach, Prusach, Saksonii i innych państwach niemieckich szczegółowo; zbiór dziejów cesarstwa niemieckiego; Włochy; Turcya. Zakończył zaś wykład roczny ogólnikowy pogląd na historyę i podział geograficzny państw, znajdujących się w innych częściach świata. W ustępie o Rossyi umieściła dyrekcya szkoły uwagę, że ponieważ do historyi cesarstwa rossyjskiego ustanowiono specyalną katedrę, „przeto w tem mieyscu tyle tylko z niej powiedziano, ile dla wystawienia sobie ogólnego obrazu Dzieiów powszechnych mówić koniecznie wypadało.“ Z naszej strony dodamy, iż wykład powyższy musiał być dosyć ogólnikowym, w razie przeciwnym profesor nie byłby w stanie w oznaczonej ilości godzin wykończyć przedmiotu podług planu, z góry w nadto obszernych ramach zakreślonego.

Historya i geografia starożytna obejmowały: „krajopismo“ i dzieje Egipskie, Izraelskie, Babilońskie, Assyryjskie i Medów; Azyi mniejszej, Perskie i Greckie. W latach n. p. 1809 i 1819 wykłady żadnej prawie nie uległy zmianie, z tą chyba różnicą, że w 1809 r. objęto i dzieje rzymskie, w 1819 na greckich naukę przerwano.

Na drugie dwulecie [1]) przeznaczał projekt wykłady fizyki i prawa, obok nadobowiązkowej mechaniki. Pan Merczyng jest zdania, że już w r. 1807/8 dodano tutaj matematykę wyższą, mającą tworzyć początkowo osobne czwarte dwulecie, i teoryę stylu i wymowy [2]). W r. 1809, z powodu nieobecności profesora, nie wykładano w Krzemieńcu mineralogii i botaniki. Wykład wyższej matematyki (II. k.) obejmował w 1809 r. ciąg dalszy algebry i geometryę linii krzywych; w 1812 algebrę i trygonometryę kulistą.

Wykład fizyki powierzono Janowi Witwickiemu. We wzajemnej korespondencyi obu twórców szkoły krzemienieckiej znajdzie się niejednokrotnie wzmianka, nominacyi tego profesora dotycząca.

---

[1]) Według pierwotnego planu przeznaczono na kurs I.: Matematykę, Historyę i jęz. grecki; na k. II.: Fizykę, Budownictwo i Mechanikę prak., Prawo; na k. III.: Histor. natur. i Chemię, gramatykę powszech. i literaturę, Bibliografię. *[Ręk. Muz. Czart.* Nr. 3441. T. I. *Urząd Gimn. Wol.].*

[2]) *Kołłątaja i Czack. projekt* 20.

Był on ojcem Stefana, poety z doby Mickiewiczowskiej; do Krzemieńca dostał się już w podeszłym wieku; wychowywał przedtem znanego pisarza, księdza Stanisława Chołoniewskiego, z kolei został dyrektorem pojezuickiej szkoły w Winnicy, ztąd dopiero — wezwany przez Czackiego — obejmuje katedrę fizyki doświadczalnej i meteorologii. Zostawił podobno prace w rękopisach. Następca jego, Jan Łuczyński, wykłada — obok fizyki — trygonometryę kulistą i geografię matematyczno-fizyczną. Meteorologię objął Franciszek Miechowicz (po nim dopiero Łuczyński i tego uczył przedmiotu), zarazem profesor architektury, balistyki, geometryi wykreślnej i — po Zaliwskim — mechaniki teoretyczno-praktycznej. Tak jednemu, jak i drugiemu, słów kilka poświęcić wypadnie.

Doktor filozofii, Jan Łuczyński, krakowianin, syn matematyka i astronoma polskiego, w mieście rodzinnem kończył studya, tam też następnie lat kilkanaście w szkołach publicznych uczył. Do Krzemieńca przybył — na zaproszenie Czackiego — w 1807 roku, a jako słuchacz niegdyś Jana Śniadeckiego, potrafił — za przykładem swego mistrza — i młodsze pokolenia przez całych lat trzynaście zachęcać do gorliwego studyowania wykładanych przez siebie przedmiotów. Warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk zapisało go 1820 r. w poczet swoich członków. Drukiem ogłosił dwie rozprawy o elektryczności i o głosie, oraz o składaniu się sił przyczepionych do jednego punktu wolnego. „Pierwsza i druga wypracowane gruntownie; rzeczy wyłożone jasno; obiedwie pisane stylem właściwym umiejętnościom dokładnym“ [1]). Inne zostały w rękopisach. Bardzo dobrego następcę wykształcił w osobie Karola Jentza [2]).

Typ człowieka wytrwałego przedstawia wołyniak z krwi i kości, Franciszek Miechowicz, wychowaniec dawnych szkół krzemienieckich, który — będąc już nawet prywatnym geometrą — nie zawahał się w 22. roku życia wstąpić do nowo-utworzonego gimnazyum Czackiego. Z początku uczęszcza na wykłady Zaliwskiego, z czasem mianowany jego pomocnikiem, musiał posiadać pewne zalety, kiedy go szkoła wysyła swoim kosztem 1818 r. dla dalszych studyów za granicę. Po trzechletnim pobycie we Francyi i Anglii wraca do kraju, gdzie otrzymuje natychmiast nominacyę na profesora licealnego, pełniąc zarazem funkcyę zakładowego architekty, oraz zarządcy instytutu mechaników. Po zamknięciu krzemienieckiej

---

[1]) *Roczniki W. T. P. N.* Warszawa 1821. T. XIV. 5—6, 14.
[2]) Ibid. Warszawa 1822. T. XV. 22—29; Słowikowski: Wspomnienia; Sobieszczański: Encykl. powsz. XVII. 674.

szkoły, zostaje w 1834 r. zwyczajnym profesorem uniwersytetu kijowskiego a nadto budowniczym całego naukowego okręgu. W r. 1838 widzimy go dziekanem wydziału matematycznego, w następnym — jako emeryt — osiada w Żytomierzu, gdzie też w ostatnich dniach lutego 1852 r. rozstaje się z tym światem. Kilka dzieł fachowych ogłosił drukiem, inne zostały w rękopisach [1]).

Następca Łuczyńskiego, wspomniany już wyżej jego uczeń — Karol Jentz, mógł śmiało — przy sprzyjających okolicznościach — wyrobić się na siłę fachową pierwszego rzędu. W Krzemieńcu objął wykłady: trygonometryi kulistej, geografii fizyczno-matematycznej, fizyki doświadczalnej i meteorologii. Odznaczając się darem porywającej wymowy, zachwycał słuchaczy obojej płci na publicznych wykładach z zakresu fizyki, jakie urządzał w wołyńskiem środowisku oświaty. Powołany na katedrę technologii do Wilna, spieszy przedtem — w celu dopełnienia studyów — za granicę, gdzie też z nadmiaru pracy umysłowej kończy w Paryżu swój krótki żywot [2]).

Ostatnim profesorem licealnym fizyki i meteorologii był Ignacy Abłamowicz [3]). Wykształcony pod okiem powag paryskich, rzecz prosta, przewyższał pod niejednym względem młodego Jentza, który słuchając w Wilnie — pozbawionego zupełnie daru słowa — Drzewińskiego, nie mógł wiele z jego uczoności skorzystać. Ale Jentz odznaczał się ogromną gorliwością w wykładzie, pałał nadto prawdziwie synowską miłością dla Krzemieńca, te zaś dwie okoliczności zapowiadały w nim pierwszorzędnej wartości profesora, na czem się i uniwersytet wileński niechybnie poznał. Abłamowicz przeciwnie. Ominęła go nadzieja uzyskania wyższej posady, przybywał do Krzemieńca niechętnie, rozżalony do świata i ludzi. Uważał przytem liceum za nadto szczupłe pole działania, wobec czego i uczniowie z jego niemałej znajomości przedmiotu zbyt jeno skromne odnosić mogli korzyści. Po kassacie głównej wołyńskiej szkoły dosłużył resztę przepisanych lat w uniwersytecie kijowskim, gdzie też — jako emeryt — życia dokonał. Prace jego nie zostały drukiem ogłoszone [4]).

[1]) Andrzejowski: Ramoty IV. 8—9; Sobieszczański: (j. w.) XVIII. 497; Słowikowski: Wspomn., a nadto tegoż autora wyczerpujący życiorys Miechowicza w *Bibl. Warsz.* 1853, T. IV. 571—574.

[2]) Andrzejowski: IV. 7—8; Słowikowski: Wspomn.

[3]) Rolę asystenta przy katedrze fizyki pełnił Chlebowski (Wal. Spektator j. w. s. 280).

[4]) Słowikowski: Wspomn.; Szulgin: Istor. Uniw. św. Władim.; Andrzejowski: IV. 7—8; *Rękop. Bibl. Jagiel.* Nr. 3104. *Listy Ad. Czartoryskiego do Jana Śniadeckiego.*

W ten sposób przedstawia się całkowita lista profesorów fizyki, którym dodatkowo inne katedry powierzano. Że zwolna cyfra ostatnich — a co zatem idzie i zakres nauk — zwiększały się, aż nadto choćby pobieżny uwidocznia przegląd. Wraz ze specyalizowaniem studyów zamieniało się liceum — bodaj zewnętrznie — w pewien rodzaj maleńkiego uniwersytetu, gdzie poszczególne działy, jednego i tego samego przedmiotu, równocześnie kilku wykłada profesorów. Najjaskrawiej cecha wzmiankowana występuje w traktowaniu nauk fizyczno-matematycznych; dostrzedz ją nie zbyt trudno — choć w mniejszym stopniu — i w wykładach innych przedmiotów.

Według początkowego brzmienia programu miała nauka fizyki wypełniać tygodniowo godzin dziesięć: cztery razy po dwie; dwa razy po jednej godzinie. Kurs jej dwuletni. Ogólne wyobrażenie nauki fizyki, własności ciał, siła powinowactwa, krystalizacya, cieplik i jego skutki, woda, powietrze, barometry, wymiar wysokości, wiatry, meteory wodniste, sztuka latania, głos, bieg i jego rodzaje, teorya równowagi, rozkład sił, teorya wahadeł, spadanie ciał, własności cykloidy i prawa sił środkowych a nadto geografia fizyczna — przeznaczone zostały na kurs I. drugiego dwulecia; kurs II. tegoż wypełnią „traktaty“ o elektryczności, magnetyzmie, galwanizmie i świetle. Za podręcznik przy nauce geografii fizycznej służyć miała, wydana w 1804 r. w Warszawie, praca Jana Śniadeckiego. Z czasem wprowadzono w wykładzie fizyki pewne nieznaczne zmiany, polegające głównie na odmiennym nieco podziale przedmiotu na dwa kursa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

---

4. Klasy społeczne i stosunek ich do siebie.

(Ciąg dalszy).

Do kategoryi ludności zarobkującej, wolnej, policzyć należy zakupa, zwanego przez Rakowieckiego zakupniem. *Prawda Ruska* z nazwą tą identyfikuje także najmyta, w niczem nie wskazując odcienia między najmytem a zakupem [1]), charakteryzując, jak się zdaje, wyrazem zakup stopień zależności od „ospodara", a pod wyrazem najmyt rozumiejąc charakter zatrudnienia. Wypada nam przeto mówić o zakupie tylko. Pod tym nazwiskiem zdaje się *Prawda Ruska* wyłącznie rozumieć pewną służebną klasę ludzi, poświęcającą się zatrudnieniu rolniczemu. Na pozór wydaje się rzeczą dziwną, że klasa służebna, ludzi na pół wolnych, istniała tam właśnie, gdzie wolno było każdemu tyle posiadać roli, ile niemal zechce; zdawałoby się, że każdy chętniej będzie pracować na siebie, niż na innych. Praca jednak na roli wymaga nietylko chęci i dobrej woli, lecz kapitału pod formą rozmaitą: inwentarza martwego, żywego, jakoteż robotnika. Jeden przeto miał siłę, chciał, potrzebował pracować, ażeby zarobić na przeżycie, lecz nie posiadał środków do pracy; inny posiadał środki, lecz pracować nie chciał lub wolał pracować na innem polu. Dwie te kategorye ludzi poszukiwały się wzajemnie. „Gospodarz", czyli jakbyśmy dziś powiedzieli właściciel folwarku i ziemi, łatwo znajdował wspólnika do pracy, zakupa, bo

---

[1]) A. Kucharski: Antiq. monum., 31. „Prodast'li gospodin zakupa obl, to najmytu swoboda wo wsiech kunach."

inwentarz, posiadany przez niego, większą miał wartość, niż ziemia. Z tej wzajemnej potrzeby wynikały pewne zobowiązania. Umowa ich między sobą miała charakter „najmu“ *(locatio, conductio)*. Zasadnicza podstawa tych zobowiązań była dwojaka: gospodarz albo wypłacał zakupowi pewną kwotę tytułem zaliczki, zwrotnej pod formą pracy albo „służby“, lub też zawierał umowę, że zapłatę uiści w naturaliach. W tym drugim wypadku była już pewnego rodzaju współka, o której słówko jeszcze powiemy, zastanawiając się nad systemem rolnictwa i gospodarstwa w XI. i XII. w.

Służbowe zobowiązania między „ospodarem“ a „zakupem“ dadzą się ująć w następujące punkty: gospodarz nie powinien wyrządzać krzywdy zakupowi, nie odbierać od niego wysłużonej zapłaty, nie bijać bez winy, lecz tylko „pro dieło“. Gdyby tu jednak przesadził, przysługiwało mu prawo zaskarżyć „ospodara“ przed sądem kniażym. Gospodarz nie miał prawa sprzedać nikomu zakupa, jak niewolnika, tytułem własności prywatnej, gdyby jednak to uczynił, wówczas zakup uważał się za zwolnionego z umowy, a „ospodar“ płacił jeszcze karę tytułem wyrządzonej krzywdy. Zakup obowiązany był nagrodzić stratę, jakąby gospodarz miał z powodu jego zaniedbania się lub niedozoru; n. p. gdy nie przypędził do folwarku (na dwór) bydła, w ogóle inwentarza domowego, gdy nie zamknął, jak należy, lub zgubił pług albo bronę gospodarza. Jeżeli zakup okazał się złodziejem i ukradłszy cudzą rzecz, pozostawał nadal na służbie, wówczas gospodarz płacił za niego wartość skradzionej rzeczy, a zakup stawał się chłopem niewolnym swego gospodarza, a według życzenia mógł być nawet sprzedany jako niewolnik. Tak samo stawał się niewolnikiem, chłopem, gdy przyjąwszy pewne zobowiązania, lub wziąwszy pieniądze naprzód, „kuny“, potajemnie zbiegł od gospodarza. W tem źródle prawnem należy szukać pochodzenia niewolnictwa pod formą robotnika, przywiązanego do gleby, zmuszonego pracować na pożytek i korzyść swego „ospodara“ [1]).

Powiedzieliśmy wyżej, że zakup bywał wynagradzany także zapłatą w naturaliach i pobierał mianowicie k o p ę albo o t a r y c ę (otarycia) [2]). Co to była za zapłata i w jakiej formie? Rozwiązanie tego pytania rzuci światło na system i charakter owoczesnego gospodarstwa. Dla wyjaśnienia tych wyrazów musimy znowu do metody odwrotnej się udać, gdyż we współczesnych dokumentach nie znajdujemy odpowiedniego materyału.

---

[1]) A. Kucharski: Antiq. monum. juris slov. 21, §. 18; 31 §. 57.
[2]) ibid. 31 §. 59.

Kopę i otarycę Rakowiecki nazwał ordynaryą bez żadnego uzasadnienia: Maciejowski pod otarycą rozumie o c i e r k i, t. j. omłot snopów. z gruba dla właściciela, a dalszy wymłot miał być nagrodą za pracę, przyczem łączy otarycę z kopą [1]). Domysł Rakowieckiego jest bez żadnej podstawy, a Maciejowskiego ma o tyle słuszności, że opiera się na przypadkowej współbrzmienności wyrazów. Tymczasem dziś jeszcze dostawca bydła na Białej Rusi nazywa się o t a r s z c z y k [2]). Na Rusi południowej, na Podolu, w gub. Chersońskiej, w pałankach dawnej Siczy, stada bydła lub owiec nazywają dotychczas o t a r ą, pszczoły zaś b o ż ą o t a r ą [3]). Tak więc o t a r y c a niczem innem nie była, jak tylko wynagrodzeniem zakupa przypłodkiem za pracę w doglądaniu bydła. Dziś jeszcze na Ukrainie, Podolu a nawet w lesistych okolicach Wołynia i Polesia, gdzie pastwiskowy chów bydła na wielką skalę prowadzi się, pastuch pobiera, jako wynagrodzenie, stosownie do umowy, piąte jagnię, piąte ciele itd. O t a r y c a więc dowodziłaby, że w owe czasy gospodarstwo pasterskie stało jeszcze na równi z gospodarstwem rolnem, a może jeszcze przeważało je bardzo znacznie [4]).

Co zaś do k o p y stanowiła ona niewątpliwie wynagrodzenie z a k u p a za pracę pewną częścią zboża w naturze, w snopie, gdyż zwyczaj takiego wynagrodzenia przechował się dotychczas jeszcze na Rusi. Jak wysokie było owe wynagrodzenie? Źródła współczesne nie dają nam pod tym względem żadnej odpowiedzi.

Z tego jednak, cośmy powiedzieli o k o p i e i o t a r y c y, jako sposobie wynagradzenia pracy rolniczej zakupów, wnosić możemy

---

[1]) Maciejowski: Hist. praw. sł. II., 134 §. 107.

[2]) K a ł a c z o w: *Predwar. świed. dla poł. objaśn. R. pr.*, powołuje się na Dijewa *(O wirach)*, który otarycę uważa za jednoznaczną z bydłem, na tej zasadzie, że na B. Rusi dostawca bydła nazywa się o t a r s z c z y k.

[3]) *Zatwa* 1881 nr. 21: „Czto za tarabarskaja hramota uchod za o t a r o j u?" Czytaj także J. J. Mandżura: *Stepowy dumy ta pisni;* wiersz: N a p a s i c i:

Wystawyw bdżiłońku jaru
Światoju wodoju kropyw
I wziatku na b o ż u o t a r u
U hospoda Boha prosyw.

[4]) Petruszewicz, wyjaśniając niektóre topograficzne nazwy dzisiejszej Galicyi, przytacza wyraz a t a r a, oznaczający u bojków wielką górę ze skalistym szczytem. *(Do istorii perszych Rurykowiczów*, art. Om. Partyckiego w *Dile*, 1893). Wyraz ten nic wspólnego jednak mieć nie może z powyższem wyjaśnieniem.

o systemie gospodarstwa, panującym w w. XI. i XII., — o tem jednak w miejscu właściwem mówić będziemy.

Gmina, wieś, wierw', obcza, składająca się z ludności wiejskiej, trudniącej się rolnictwem lub chowem bydła, a więc gmina wiejska tworzyła, jak wiemy, całość odrębną. Rozmaicie nazywano tę ludność — ludie po prostu, ludyny, mir albo rataje. Wszystko to były nazwy nie poszczególnych warstw, lecz całości dotyczące, nazwy zbiorowe. Trzy pierwsze zachowały dotychczas swoje zbiorowe znaczenie, rataj utrzymało się w charakterze najemnego robotnika, pracującego na roli. Czemże właściwie byli rataje?

Z *Prawdy Ruskiej* widać, że to był stan wiejski, sielski, posiadający więcej odrębności i samodzielności od innych o tyle, że się w niektórych może sprawach sam sobą rządził, bo miał własnego, ratajnego, Tiuna. Część ludności sielskiej, zależna ekonomicznie od kniazia, posiadała z jego ramienia Tiuna [1]), którego głowa była tak samo oceniona na 12 grzywien, jak i ratajnego. Oczywiście rataje siedzieli na roli, uprawą jej trudnili się i z ich to szeregów różnemi drogami wychodzili zakupy, najmyty, chłopi zwykli i obelni, a nawet niższe stopnie służby — czeladź i niewolnicy. Bez żadnej podstawy osadził go W. Maciejowski na roli książęcej tak samo, jak zakupa na gruncie prywatnym, bo się zakupem nazywał nie dlatego, że na prywatnym gruncie siedział, lecz dlatego, że zobowiązania pewne przyjmował, że ktoś pracę jego „zakupił“, kupił, wynajął. To, że rataje siedzieli na roli, nie dowodzi jeszcze, ażeby na książęcej roli siedzieli. O zależności ich od książąt nie mamy żadnego źródłowego dowodu. Dzisiejszą nazwę rataj identyfikują z nazwą historyczną, tak samo, jak Szafarzyk robił, stworzywszy dla ułatwienia swoich wywodów nieistniejący wyraz orataj [2]), ażeby tem snadniej źródłosłowu w oraniu doszukać się. Tymczasem szukać go należy w innym kierunku i w czasach dawniejszych, niż najazd Waregów na późniejszą Ruś. Nie oznaczał rataj oracza [3]), lecz wojownika raczej, człowieka osiadłego, uprawą roli zajętego, który w razie potrzeby stawał do obrony swej roli, gospodarstwa, dobytku, gminy; który obowiązany był do służby w pospolitem ruszeniu w czasie, gdy tylko swojscy książęta rządzili, a miast i ludności miejskiej nie było jeszcze, gdy

---

[1]) A. Kucharski: Antiq. mon. str. 7.

[2]) Hist. praw. sł. II.. 133.

[3]) W języku rossyjskim rat' dziś jeszcze znaczy wojsko, ratowat' = walczyć, skąd powstały wyrazy rat(aj)nik = wojownik, żołnierz; polski: ratować = bronić kogoś, od niebezpieczeństwa uchronić.

powoływano do broni „ot mała do wielika“, co później i książęta waregscy naśladowali. Jużci do walki musiał stawać ten tylko, kto miał coś do obrony i na miejscu siedział. Pasterz w razie niebezpieczeństwa umknął w lasy lub dalej, w bezpieczne miejsce posunął się, — rolnik na miejscu siedział, musiał być przeto naraz rolnikiem i wojownikiem, a charakter ten stracił, tracąc go powoli, w miarę wzmacniania się władzy książęcej i kształtowania się regularnej drużyny z ludności słowiańskiej. Straciwszy charakter, zatrzymał nazwę. Znikł on z prawodawstwa, gdyż nazwa stanu, do jakiego należał, rozpadła się na rozmaite poddziały i odcienia, określające prawa i zależność różnych warstw, ale utrzymał się długo jeszcze jako nazwa zbiorowa, stan rolników oznaczająca [1]).

Ludność niewolną stanowiła wyłącznie prawie czeladź, zarówno pracująca w zagrodzie domowej, w mieście lub na wsi, na roli. Na określenie jej *Prawda Ruska* używa wyrazu czeladin [2]); spotykamy również nazwy: rob, roba, chołop, chołop obelnyj, obeł, rodowicz. Nazwy czysto słowiańskie: rob, roba, są doskonałem odbiciem się owoczesnych pojęć o niewolnictwie. Rozmaitą drogą dochodziło się do utraty wolności osobistej, t. j. pewnych praw przynależnych na mocy przywileju obyczajowego. Nie miano jednak na względzie pozbawiać nikogo wolności na całe życie; przypuszczano go do wspólnej pracy, do roboty, — stąd jeniec nazywał się robem, że rob-ił, pracował, przybierając z czasem nazwę rodowicza, na znak, że do tego lub owego rodu należał, lub też zakupa i najmyta. Potomek roba w męskiej linii — po-robek wytworzył później nazwę, powszechnie przyjętą dla robotnika, — parobek lub najmyt [3]). Co zaś do nazwy rodowicza, pochodzenie tego wyrazu od ród, zakończonego patronymicznym suffixem, pozwala w rodowiczu domyślać się wyzwoleńca, pozostałego w usługach rodu, który go wolnością obdarzył.

Chłop reprezentował w owe czasy prawie wyłącznie żywioł niewolny; było to indywiduum ułowione, uchopione na wojnie,

---

[1]) Małaszow: Słowo o połku Igorewie, 57.

Tohda po ruskoj ziemlie
Riedko ratajewi kikachut'
No czasto wrani grajachut'
Trupja siebie dielacze.

[2]) A. Kucharski: Antip. monum. 13.

[3]) Wyraz najmyt pochodzi od starosłowiańskiego imati — imać, jąć, co oznacza człowieka wziętego do roboty.

w ogóle śród walki ujęte, jak chcą Jungman, Szafarzyk i Maciejowski. T. Wojciechowski nie podziela tych poglądów [1]). Opierając się na pokrewnym wyrazie chałupa, uważa chłopa za prastare słowiańskie imię, nadawane całej ludności wiejskiej. Należy jednak pamiętać, że oprócz chałupy mamy jeszcze wyraz chata na oznaczenie tego samego pojęcia, a niezaprzeczona słowiańskość nazwy chałupa nie obala wcale domysłu Jungmana i Szafarzyka, przeciwnie, popiera go, bo mogła się utworzyć jako nazwa zbiorowa, przeniesiona od osoby do rzeczy. Przynajmniej na Rusi późniejszej nie ulega to prawie żadnej wątpliwości, gdyż ciągle czytamy o tem, że kniaziowie tyle a tyle niewolnika wzięli i osadzili na roli. Działo się to na długo przed najazdem Waregów, a tem bardziej dziać się musiało, że Słowianie północno- i południowo-wschodni otoczeni byli ludami obcego plemienia, z którymi ciągłe walki prowadzili.

Zanim przejdziemy do rozważenia stanowiska chłopów w nowoorganizującem się społeczeństwie, zastanowimy się jeszcze nad niektóremi nazwami ludności niewolnej, ażeby już potem do tego przedmiotu nie wracać.

Blizkie stosunki Rusi z sąsiedniemi plemionami Połowców i Pieczyngów wprowadzają nowe nazwy na oznaczenie niewolnictwa, n. p. czaga i koszczej. Co do tej ostatniej nie jest ona dość jasną, a w latopissie Hipackim można się pod nią ciurów wojskowych domyślać. Nazwy te zna jednak piewca wyprawy Igora i używa dla nadania obrazom kolorytu miejscowego [2]).

Do kategoryi ludności niewolnej, a raczej pośrednie zajmującej miejsce, *Prawda Ruska* zalicza piastuna i piastunkę (kormilicz i kormilica), oceniając ich głowy po 12 grzywien, gdy rodowicz, równie jak chłop, oceniony jest pięciu grzywnami [3]).

Czeladin, czeladiniec, zakup, czeladnik (najmyt, rob, roba) uważane jako nazwa zbiorowa, stan pewien oznaczaczająca, przed sądem, jako niewolny, nie stawał; w zastępstwie za niego stawił się właściciel i w sprawach cywilnych był prawnie

---

[1]) *Chrobacya* I., 228. Wyraz kmieć ma być zaleciałym do nas. Wyraz chłop zatarł się u nas w dokumentach wskutek używania urzędowej łaciny, gdzie figurują jako *incolae*, *homines*, *adscripti*, *mansuarii, rustici*. Czeski tłumacz Ewangelii św. Jana (X. w.) wyrazy: *servi* i *ministri*, tłómaczy przez chlapi, zlugi.

[2]) Małaszow: *Słowo o połku Igorewie*, 68, werset 457, 458.

[3]) A. Kucharski: Antiq. mon. 7, §. 9, 10. Piastun i piastunka, chociażby niewolnicy, cenieni byli w prawodawstwie słowiańskiem jak wolni, dzięki moralnemu stosunkowi z wolną rodziną.

odpowiedzialny. Czeladnika uważało prawo za własność rzeczową: mógł on być sprzedanym według woli „gospodarza“, „ospodara“, ale dobrowolnie opuścić go nie mógł, gdyż wtedy zniknięcie jego obwoływano na rynku, publicznie. Gdy po trzech dniach nie wracał lub nie przyprowadzono go do właściciela, ten, u kogo go odszukano, zwrócić go musiał, a uwodziciel płacił kary trzy grzywny. Jeżeli zaś uciekł dobrowolnie, porozumiawszy się z kimkolwiek, wówczas uwodziciel 12 grzywien kary płacił [1]). Gdy z rąk przechodził do rąk, aż poznanym został, właściciel szedł z nim po konach [2]),

---

[1]) A. Kucharski: Antiq. mon., str. 11.

[2]) Wyrazy kon, koniec mają wspólny źródłosłów i bardzo zbliżone znaczenie, ale pamiętać należy, że przeszły one ze wsi do miasta, z gminy do grodu, gdyż pierwej istniały gminy niż grody. Nowogród i Psków tak samo, jak terrytoryum państwowe tych miast, podzielone były na końce, czyli piatyny. W każdym końcu miał być kon, gdzie zasiadał sąd, ustanowiony z wybranych starców. Tak mniema Rakowiecki (*Prawda Ruska* czyli prawa Wielkiego księcia Jarosława Władymirowicza, t. I., str. 112—114), identyfikując kony z kontynami, kościołami pogańskich Słowian, gdzie także odbywały się sądy. Maciejowski (*Hist. prawod. słow.* II., 14 §. 10 i dal.) nic w tym względzie innego nie mówi.

Czemże był kon w rzeczywistości? Dla objaśnienia tego wyrazu musimy się cofnąć do dzisiejszej gminy rossyjskiej. Konem albo żerebem, żerebjem (losem) nazywa się dziś nadział ziemi na jedną duszę roboczą, nadany jej przez gminę, a wylosowany przez używalnika. Stąd też kon, żereb, żerebje są wyrazami analogicznemi (*Sbornik matierjałow dla izuczenija sielskoj poziemielnoj obszcziny*, t. I. (1880) str. 111, 186 i in. Czytaj artykuł: *Murajewinskaja wołost'*, Riazanskoj gub.). Losowanie, czyli podział ziemi przez losy pomiędzy członków gminy, miało na celu zaprowadzenie równości względnej, nietylko co do ilości ziemi, ale co do jakości gleby, jakoteż innych agronomicznych warunków. Wielkość nadziału stosowała się do posiadanego przez gminę obszaru ziemi, tak, że stałą jednostką nie mogła być i faktycznie nie była nigdy. Normalna wielkość tego nadziału, jakoteż stosunek liczebny ludzi do ziemi nie interesuje nas w tym wypadku wcale.

Powiedziałem, że dwie powyższe nomenklatury: kon i żereb, — tak na pozór różne, są analogiczne: kon oznaczał figurę pola używanego, określoną granicami, a żereb — nadział wylosowany, co było w gruncie rzeczy tem samem. Ponieważ kon oznaczał ziemię, pewną jej część, pewną figurę, pojęcie to przenoszono na całą osadę włościańską, nazywając ją konem, jak dziś mówimy: grunt Jana, Grzegorza i t. d., włączając w to i sadybę Jana i Grzegorza.

Zwod jest prastarym wyrazem, używanym i w polskim języku, w *Statucie litew.* (Rocz. XIV., art. 3), dokąd niezawodnie z *Prawdy Ruskiej* się dostał; oznacza on proceder, sposób postępowania, bardzo podobny do istniejącego w rossyjskiem prawodawstwie pod nazwą ocznyja

sprawdzając, gdzie się przechowywał, według ustnego zeznania „czeladnika“, a to w celu wyszukania winowajcy. Przy trzecim „zwodzie“ poszkodowany, gdyby się czeladnik nie odszukał, brał innego; tymczasem poszukiwanie szło dalej. Miało ono charakter „ocznych stawek“, konfrontacyi osobistej, która tak długo prowadzoną była, aż dopóki nie odszukano rzeczywistego winowajcy. „Czeladnik nie jest bydlę — mówi prawodawca — i może powiedzieć, kto go kupił“, — zaś kto kupił lub namówił do ucieczki, płacił właścicielowi wszystkie straty, z tego powodu wynikłe i 12 grzywien kary na korzyść księcia.

Pod panowaniem Włodzimierza Monomacha chłopstwo, chłopi, w znaczeniu rolników niewolnych stale do roli przywiązanych, stanowią już przeważną część ludności wiejskiej, trudniącej się pracą koło roli; zwraca też na nich pilniejszą uwagę ustawodawstwo i stosunki ich reguluje. Kiedy napływowy z kniaziami normańskimi element, składający drużynę, zacierał się powoli lub „drużynniki“, dostając ziemię w posiadanie, coraz więcej i częściej środków utrzymania szukali przy roli, część pewna ludynów i smerdów przechodzi do urzędów, do nowej drużyny, słowem, na służbę do kniazia. Skutkiem tego zatraca swój dawniejszy charakter, staje się bojarami, ogniszczanami, gridniami itp. Przy roli tedy, naturalnym porządkiem rzeczy, pozostaje coraz więcej czeladzi rozmaitej, połonieńców, niewolników i ubogich lub zubożałych ludynów, usuwających się od kniazia, z którymi dochodzili niekiedy do zatargów, a zawsze do niezadowolenia, wynikającego chociażby skutkiem zmieniających się stosunków. Ci siedzieli przeto w werwi, w obczy, w gminie, w zagrodach własnych lub osadach świeżych, trudniąc się pracami rolniczemi. Chłop obelny, obeł występuje jako osobistość przejściowa do niewolnictwa ludu, do ujarzmienia jego, jako osobistość, na której już owoczesne rolnictwo wspierało się. Na myśl tę łatwo naprowadza cały ostatni ustęp *Prawdy*, dodany bądź przez Mono-

---

stawki. Odnaleziony czeladnik powinien był nazwać, wskazać zawodźcę, który go kupił lub do ucieczki namówił i oto w tym celu prowadzony był przez odpowiedni urząd po konach, t. j. po sadybach tych gospodarzy, których wskazywał sam lub wskazywali inni jako winowajców.

Kon więc, o którym wspomina *Prawda Ruska*, nie był ani końcem, ani kontyną, a tem bardziej jakąś izbą sądową. Z tego, co powiedziałem, da się uzasadnić etymologiczne znaczenie wyrazów: dokonać, pokonać, t. j. dojść do pewnego kresu. W konie tkwi to pojęcie zarówno w ekonomicznem znaczeniu wyrazu, jak i prawnem.

macha, bądź przez jego najbliższych następców, który surowo a z pewną ścisłością określa obowiązki ludzi niewolnych, przestrzega związków niewolnych z wolnymi, opierając się na prawie rzymskiem, niekiedy z wyraźnem lekceważeniem lub naruszeniem dawnych praw obyczajowych słowiańskich. Zbiega, jeśli kto zasłyszał o nim lub dowiedział się o tem, że jest niewolnym, nie miał prawa nikt ani zatrzymać, ani nakarmić, ani przyodziać, a nawet drogę wskazać pod karą 5 grzywien za czeladnika i 6 za „robę“ [1]). Nie unikał tej kary nawet w takim razie, gdy przyjął lub zatrzymał cudzego chłopa do roboty przez rzeczywistą niewiadomość; jedynie odprzysiężenie się uwalniało go od kary [2]).

Namiestnik kniaziowski lub posadnik obowiązany był do przestrzegania wałęsań się lub ucieczek czeladzi od jednego właściciela do drugiego; chłopa przeto zbiegłego, po którego zgłosił się właściciel, musiał związanego odstawić na miejsce. Włóczęgów, którzyby się dostatecznie nie zdołali wylegitymować, zatrzymywał, aż dopókiby się właściciel po niego nie zgłosił. „Gospodarz“, jeżeli dowiedział się, u kogo chłop jego znajduje się lub przechowuje, mógł w każdym czasie wziąść u posadnika „otroków“, związać chłopa i zabrać go do siebie jak własność, a „otrokom“ — pachołkom — płacił tylko „wiązebnego“ 10 kun.

„Gospodarz“, u którego schroniłby się cudzy chłop lub czeladnik, obwieścić o tem był obowiązany na rynku lub w urzędzie, a jeśli znał właściciela, powiadomić go osobiście a chłopa zatrzymać u siebie; gdy go oddał właścicielowi, na ręce otrzymywał przejmowego (przejmu) grzywnę kun, jeśli zaś nie upilnował, a zbieg uciekł, płacił cztery grzywny kary, piąta liczyła się za przejem [3]).

Jeśli chłop zaprzedał się w zupełną niewolę, a kupujący wiedział o tem, że jest chłopem, to jest, że należy do innego, musiał go wrócić dawnemu właścicielowi, a pieniądze za kupno zapłacone tracił. Mógł je odzyskać w takim tylko razie, gdy odprzysiągł się, że kupował, nie wiedząc o tem, że jest chłopem [4]).

Chłopom wzbronionem było prowadzić handel na własną rękę, chyba za pozwoleniem właściciela, a w takim razie, jeżeli się

1) Rakowiecki (*Prawda Ruska*, II., 119 §. 80) wyrazy „usraszczet, usraczet“, tłómaczy przez „przyjmie do roboty“. Ponieważ w języku starosłowiańskim sraczyca oznacza koszulę, — stąd stosowniejszem zdało mi się przyjąć wyraz — „przyodzieje“.

2) Kucharski: Antiquis. mon. 41, §. 82.

3) ibid. 41, §. 83, 84.

4) ibid. 43, §. 87, 88.

w handlu zadłużył, właściciel obowiązany był długi spłacać a niewolnika wykupić. Gdyby zaś chłop, zbiegłszy, w handlu dorobił się majątku, „towaru", dawny właściciel odbierał niewolnika i „towar"; „pański jest chłop i dług, pański zatem i towar" — powiada *Prawda Ruska* — odprzedać go niewolnik nie miał prawa [1]).

Prawodawstwo późniejsze tak było surowem dla chłopa, że uważało nawet za sprawiedliwe w danym razie dzielić rodzinę. Jeżeli chłop okradł kogokolwiek, a w kradzieży sam jeden uczestniczył, złapany stawał się własnością poszkodowanego; gdyby go właściciel odkupić nie chciał, żona i dzieci zostawały przy „gospodarzu". Jeżeli zaś żona i dzieci uczestniczyli w kradzieży, lub kradzione przechowywali, właściciel albo wykupywał całą rodzinę, albo poszkodowanemu ją wydawał [2]).

Szeregi ludności niewolnej zwiększały się ludźmi wolnymi, którzy wolność z wyroku prawa tracili. Na określenie takiego stanu znajdujemy w ruskiem prawodawstwie wyraz „potok", w znaczeniu degradacyi, strącenia niżej z tego społecznego stanowiska, jakie poprzednio zajmował [3]). Potoczeniec, jako winowajca, zostawał wyłącznie na łasce kniazia; nie mógł on być i nie był niewolnikiem na wieki, na życie całe. Kara ta dotykała tylko ludzi wolnych; dla niewolnych niewolnictwo było stanem normalnym. Potoczeniec zatem, karany wyłącznie przez księcia, mógł tylko od niego uzyskać ułaskawienie. „Potokiem", czyli degradacyą, karane było stawanie w zastępstwie do pojedynku; zastępca z całą rodziną, żoną i dziećmi stawał się „potoczeńcem", t. j. tracił posiadane prawa i przywileje, majątek zaś jego przychodził do podziału: część przypadała na korzyść kniazia, a część na korzyść zabitego. Zdaje się, że głównie

1) A. Kucharski: Ant. mon. 43, §. 89.

2) ibid. 43, §. 91.

3) ibid. 5, §. 5. Wydawcy *P. R.*, między nimi i Karamzin niesłusznie tłómaczą potok przez zatoczen'je, więzienie, bo na oznaczenie więzienia owoczesne społeczeństwo znało inny wyraz — porub, a Nestor często go używa. (A. Bielowski: Mon. pol. I., 720). Etymologicznie potok oznacza zniżenie, spadek, w przenośni — utratę pewnych praw, degradacyę. Łącznie z taką degradacyą istniała konfiskata majątku, razgrabież, razgrablenije. Treść przeto paragrafu 5. brzmi: za takie lub takie przestępstwo degradacya, a w połączeniu z nią konfiskata majątku. Wyraz potok znajdujemy u naszych pisarzy rolniczych XVI. w., mianowicie Anz. Gostomskiego (patrz *Gospodarstwa* etc., rozdział XII.) „Około przędziwa oracz ma mieć miądlicę, cierlicę, motowidło, wijadlo, kocioł, potok, kijankę." Coby jednak ów „potok" oznaczał" — nie wiem.

przeciwieństwo przeciwko kniaziowi karane było **potokiem**: złodziej „książęcego konia“ szedł na „potok“, gdy złodziej-zakup przechodził na własność „gospodarza“, stawał się chłopem obelnym.

Prawda Ruska dopuszczała tylko trzy wypadki przejścia do niewoli, do chłopstwa. Najprzód: jeżeli kto kupił człowieka i w jego obecności dał choćby „nogatę“; jeżeli człowiek wolny żenił się z cudzą „robą“ bez poprzedniego porozumienia się z jej właścicielem. Ponieważ „roba“ w zwykłym porządku rzeczy, idąc za mąż za człowieka wolnego, prawnie zyskiwała swobodę, — gdy taki związek przeto zawierał się potajemnie, właściciel ponosił stratę, prawo stawało w jego obronie, jako pokrzywdzonego, i karało winowajcę, jako działającego skrycie na cudzą niekorzyść. Gdy związek następował wskutek porozumienia się z gospodarzem „roby“ — „jaka była umowa — powiada prawodawca — na tem ma stać.“ Nareszcie chłopem „obelnym“ stawał się, kto przyjmował na siebie urząd „Tiuństwa“ chłopskiego, kto „przepasywał klucz — godło tiuństwa — bez upoważnienia i umowy“ (riad). Można to sobie dwojako tłómaczyć: albo chodziło w tym wypadku o przywłaszczenie urzędu, albo o domniemanie prawne *(praesumptio juris)*, że kto pełni urząd tiuna chłopskiego, musi być chłopem. Jeżeli to był urząd z ramienia kniazia, co jest bardzo prawdopodobnem, nic dziwnego, że książę, broniąc własnej powagi, karał przywłaszczenie urzędu; ale i to być może, że Tiun nie koniecznie musiał być chłopem, należał do stanu wolnego, a w takim razie robił pewne zastrzeżenia, umowę (riad), mocą której, pełniąc nawet obowiązek chłopskiego „tiuna“, nie tracił praw, przynależnych jego stanowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fr. Rawita.

STAROGRECKA REAKCYA

PRZECIW MATERYALIZMOWI.

Pierwsze zaczątki filozofii greckiej w jońskim Hylozyzmie i późniejszy jej rozwój w Atomistyce mają cechę wybitnie materyalistyczną. Reakcya przeciw temu kierunkowi pojawia się wkrótce — po części już współcześnie z nim — w mistycyzmie Pytagorejczyków, w śmiałych spekulacyach i bystrej do zaprzeczenia materyi wiodącej dyalektyce Eleatów, a nareszcie w stanowczym na rozumowaniu opartym spirytualizmie Anaxagoras'a.

Chronologicznie najdawniejszym jest Pytagoreizm.

Wiadomości, które nam pozostawiła starożytność o sławnym założycielu tej szkoły, tak są pełne cudowności i tajemniczości, że trudno pokusić się o rozwikłanie całej i czystej prawdy.

Aristoteles mało pisze o nim. Im później, tem więcej się rozpisują rozmaici autorowie, a mianowicie Neopythagorejczycy, ci najmniej wiarogodni, piszą najwięcej.

Pythagoras urodził się około r. 580 przed nar. Chrystusa i dożył późnej starości, wedle jednych 80, wedle innych 99 lat.

Był synem Mnesarchos'a, bogatego handlarza zbożem z wyspy Samos. Rozległe stosunki kupieckie ojca były mu, jak się zdaje, wielkiem ułatwieniem w jego podróżach.

Wedle zdania Rötha, który ma wiele uznania także u krytyków francuskich, miał Pytagoras już w 18tym roku życia opuścić Samos. Następnie słuchał wykładów Pherekides'a na wyspie Lemnos i Anaximandros'a w Milecie. Bawił potem przez lat dwa w Fenicyi i zamieszkał nareszcie w Egipcie. Tu przebył wszystkie obrzędy i próby — jak golenie włosów na całem ciele i obrzezanie — doszedł do najwyższych stopni kapłańskich, odkryto mu wszystkie tajne nauki egipskie, poznał tamtejszą geometryę, aż nareszcie po 22wu latach pobytu popadł w niewolę króla perskiego Kambyzes'a, który go uprowadził

wraz z wieloma innymi kapłanami egipskimi do Babilonu. Pitagoras, korzystając z dwunastoletniej babilońskiej niewoli, oddawał się chaldejskiej matematyce i astronomii. (Matematyka chaldejska rozwinięta była głównie w kierunku arytmetyki, podczas kiedy egipska więcej w kierunku geometryi, było to więc dla niego uzupełnieniem studyów).

Do Samos powrócił Pitagoras dopiero w 56tym roku życia swego. Objechał raz jeszcze znaną mu z dawnych lat Grecyę, poczem jako sześćdziesięcioletni starzec założył swą sławną szkołę w Krotonie i stał na jej czele przez lat 20, nareszcie wygnany przebywał w Tarencie i Metaponcie do 99go roku życia swego, nie opuszczając już południowej Italii, zwanej wtedy Wielką Grecyą.

Niektórzy z historyków niemieckich posuwają tak daleko swój skeptycyzm, że nietylko podają w wątpliwość zbyt może dokładną chronologię tego życiorysu i pojedyńcze mniej ważne szczegóły, ale wątpią nawet, czy Pitagoras był kiedykolwiek w Egipcie i w Babilonie, nie przeczą jednak, że on był tym wielkim mężem, który zapoznał Grecyę z zapatrywaniami religijno-filozoficznemi i ze zdobyczami naukowemi Wschodu.

Co było pierwotną nauką Pitagoras'a, co zaś dodali, zmienili i wypaczyli późniejsi jego zwolennicy, liczni i bardzo w zdaniach się różniący, trudno dziś z pewnością oznaczyć.

Zasadniczą była u Pitagorejczyków, zawsze i wszędzie, idea liczby, miary i harmonii. W liczbach nie masz złudzenia — mawiali oni — na stosunkach, dających się liczbami wyrazić, polegają prawa, stanowiące świat cały i wszystkie jego objawy. Zasadę tę rozciągali Pitagorejczycy nawet do objawów moralnych.

Przypominają się tu Wundt'a pomiary szybkości myśli i próba Drebisch'a matematycznego przedstawienia psychologii. Słowacki powiedział: „Każde drzewo jest rozwiązaniem zagadnienia matematycznego“ (Genezis z ducha), i rzeczywiście odkrywają botanicy przedziwny geometryczny porządek w bardzo zresztą rozmaitem i na pozór nieregularnem rozmieszczeniu liści w około łodygi, ziarnek w owocach i t. p. Ciekawe bardzo są mechanizmy, za pomocą których mogą nasiona korzystać z rozmaitych sposobności przenoszenia się z miejsca na miejsce i wciskania się w zwilżoną ziemię. Ciekawsze jeszcze są przyrządy do łowienia owadów u tak zwanych mięsożernych roślin. Architekci mogliby się uczyć ustroju belków i słupów na szkieletach ludzi i zwierząt, tak dokładnie odpowiadają kształty kości matematycznie obliczonym potrzebom oporu przeciw działającym na nie siłom. Odkrycie to zrobiono najpierw na piszczelach ludzkich.

W ruchu będące, a działaniu dwóch sił ulegające przedmioty, n. p. jakiekolwiek pociski, albo ciała kosmiczne, zakreślają krzywizny, dające się z całą ścisłością rachunkiem oznaczyć. Minerały krystalizując się, przybierają formy geometryczne. Stosunki połączeń chemicznych dadzą się najdokładniej liczbami wyrazić. Nietylko astronomia, ale cała optyka i mechanika są tylko zastosowaną matematyką.

Żeby w tych właśnie rozmiarach, w ten sposób, a mianowicie z oparciem o te same fakta przyrodnicze objawianie się matematyki w naturze pojmowali Pitagorejczycy, tego w żadnym razie utrzymywać nie można: jakkolwiek bardzo przyczynili się do uwidocznienia ważności matematyki dla badań przyrodniczych, w znacznej części jednak powodowali się dopiero jakiemś mistycznem przeczuciem o ważności tej nauki.

Ściśle łączyli oni muzykę z matematyką. Już sam Pitagoras wykryć miał zależność wysokości tonów od szybkości drgania strun. Przeprowadzał on doświadczenia i rachunki w tym kierunku.

Szczególnie oddawał się badaniu własności rozmaitych liczb; znał liczby potęg kwadratowych i sześciennych, tudzież pierwiastki tychże, dalej progresye, ilości nieracyonalne i zrównania pierwszego i drugiego rzędu.

Zdaje się, że te dociekania doprowadziły go do odkrycia znanego pod jego nazwiskiem prawidła, że kwadrat z przeciwprostokątnej równy jest dwom kwadratom z obu przyprostokątnych.

Wiedział on, że uważana za mistyczną liczba 10, będąca podstawą znanego już wtedy dziesiętnego systemu rachunkowego, powstaje ze sumy, czterech pierwszych liczb (świętej τετράκτυς 1+2+3+4), z których dwie ostatnie 3 i 4, jakoteż suma ich 7 były przedewszystkiem przedmiotem symboliki oryentalnej.

Spróbowawszy w podobny sposób sumować potęgi tych liczb, łatwo mógł się przekonać, że suma kwadratów z 3 i 4 równa się kwadratowi z 5, t. j. że 9 i 16 równa się 25. W geometrycznej konstrukcyi zaś, której łączenie z arytmetyką on pierwszy zaczął przeprowadzać, okazało się, że trójkąt o bokach, których długość wynosiła 3, 4 i 5 jakichkolwiek miar, miał kąt przeciwległy najdłuższemu bokowi najdokładniej prosty. Wykrywszy to, potrzebował już tylko sprawdzić, że także w każdym innym trójkącie prostokątnym suma kwadratów z obu przyprostokątnych równa się kwadratowi z przeciwprostokątnej.

Nakreślenie powyżej opisanego trójkąta o bokach, wynoszących 3, 4 i 5 jakichkolwiek miar, podaje Vitruvius jako najłatwiejszy

sposób dokładnego oznaczenia kąta prostego bez wszelkich geometrycznych przyrządów.

W astronomii pracował Pitagoras bardzo gorliwie: sporządzał mapy ryte na metalowych płytach, kwadranty astronomiczne i zegary słoneczne.

Jakie były jego pojęcia kosmologiczne, wnosić tylko możemy z formy, którą przybrały u jego uczniów.

Przypuszczali istnienie jakiegoś wielkiego ogniska środkowego, skrytego przed wzrokiem mieszkańców ziemi przeciwziemią, którą przyjmowano zupełnie dowolnie, jak się zdaje, dla uzupełnienia mistycznej dziesiątki także w astronomicznym ustroju świata. Świat składał się wedle zapatrywań Pitagorejczyków z ziemi, przeciwziemi. słońca i z 7miu planet włącznie z księżycem. Ziemia wraz z przeciwziemią obracała się około środkowego ognia, zaś słońce i księżyc wraz z innemi planetami około ziemi, odrzucając jej światło i ciepło otrzymywane z środkowego, cały świat ożywiającego, a przeciwziemią zasłoniętego źródła.

O świecie ustrojowym mieli po części bardzo wyrobione pojęcia: sądzili, że duch ludzki ma swą siedzibę w mózgu, czynności zwierzęce, życie i czucie w sercu. Nie znali oni jeszcze układu gangliowego wraz z uplotem słonecznym, kierującego ruchami serca. Mniemali, że zwierzętom spólną jest z roślinami zdolność zapuszczania korzeni i rozwijania się z zarodka, tylko, że zwierzęta zapuszczają korzenie idące od pępka ku łożysku ustroju macierzyńskiego, zaś rośliny zapuszczają korzenie w łono ziemi żywicielki. Wielu tegoczesnych fizyologów używa tego samego porównania. Wiedzieli, że rozradzanie się na podstawie dwoistości płci wspólną bywa cechą zwierząt i roślin.

Wspomnę z kolei o stopniowem wypaczaniu się poglądów Pitagorejskich.

Nauka o znaczeniu liczb przeszła później w zupełnie czczą symbolikę i wszelkiej doświadczalnej podstawy pozbawiony mistycyzm.

I tak twierdzili, że przeciwieństwu liczb parzystych i nieparzystych odpowiadają przeciwieństwa ograniczoności i nieograniczoności, męskości i kobiecości, jedności i wielości, prawej i lewej strony, spoczynku i ruchu, linii prostej i krzywej, światła i ciemności, dobrego i złego, kwadratu i prostokątu. Przeciwieństw tych wyliczali razem dziesięć.

Liczby nieparzyste uważali jako doskonalsze od parzystych, a to z powodu, że nieparzyste posiadają początkową, środkową i końcową jednostkę. że dodane do innej liczby zmieniają zupełnie jej

własności, z parzystej czynią nieparzystą, z nieparzystej parzystą. Odmiennie zaś w tej mierze zachowują się liczby parzyste.

Liczby nieparzyste nazywali Pitagorejczycy gnomonicznemi, ze względu na cechującą je własność, że dodane do pewnej liczby kwadratowej dają znów liczbę kwadratową. (γνωμονικός, zdatny, bystry, rozsądny).

I tak n. p. gnomonicznemi są liczby: 3, 5, 7, 9, 11, 13, 15... ponieważ, jak to wykazuje następujące zestawienie:

$1^2 = 1,$	$1 + \mathbf{3} = 4,$	$4 = 2^2.$
$2^2 = 4,$	$4 + \mathbf{5} = 9,$	$9 = 3^2.$
$3^2 = 9,$	$9 + \mathbf{7} = 16,$	$16 = 4^2.$
$4^2 = 16,$	$16 + \mathbf{9} = 25,$	$25 = 5^2.$
$5^2 = 25,$	$25 + \mathbf{11} = 36,$	$36 = 6^2.$
$6^2 = 36,$	$36 + \mathbf{13} = 49,$	$49 = 7^2.$
$7^2 = 49,$	$49 + \mathbf{15} = 64,$	$64 = 8^2.$

Z zastosowania znaczenia liczb nietylko do geometryi, ale i do astronomii, fizyki, muzyki i psychologii, powstały następujące, po części słuszne, po części nieuzasadnione symbole: Jednostka oznaczała Boga, albo też punkt, dwójka linię, trójka płaszczyznę, czwórka materyalną, stereometryczną rozciągłość (ponieważ linię oznaczają przynajmniej dwa punkty, płaszczyznę trzy, zaś materyalną rozciągłość przynajmniej cztery).

Czwórka oznaczała także sprawiedliwość, zdaje się dlatego, że nietylko sama liczba cztery, ale także różne jej sumy i potęgi dzielą się na dwie równe części znowu przez liczbę dwa dzielne.

Piątka oznaczała jakość.

Za symbol świata uważano liczbę 36 albo także 40.

Nie wchodzę w Pitagorejskie sposoby uzasadniania tych fantastycznych pomysłów, bo i tak już za wiele rozgadałem się o dziwactwach tej szkoły. Uczyniłem to jednak głównie z przyczyny, że owo mistyczne tłómaczenie liczb, zdaje się pierwotnie chaldejskie, przeszło następnie do Nowo-Pitagorejczyków i Nowo-Platoników, jeszcze zaś później napotykamy je u rabinów talmudzistów i u średniowiecznych astrologów i alchemików, ciekawą może być zatem rzeczą poznanie pochodzenia tej symboliki.

Pitagorejczycy zdaje się pierwsi powzięli myśl, później aż do naszych czasów wielokrotnie wznawianą i znowu zarzucaną, że różnica ciał pierwotnych, czyli tak zwanych żywiołów albo pierwiastków, polega na różnicy kształtów ich części składowych (atomów?) i tu okazuje się, że znali pięć umiarowych ciał geometrycznych. Przypisywali ogniowi

tetraeder czyli czworościan, ziemi hexaeder czyli sześcian, wodzie ikosaeder czyli dwudziestościan, powietrzu oktaeder czyli ośmiościan, zaś eterowi dodekaeder czyli dwunastościan.

Niektórzy z Pitagorejczyków uznawali jedno najwyższe bóstwo, inni całą hierarchię duchów, którą starali się godzić z politeizmem mitologii greckiej; wszyscy zaś wierzyli w nieśmiertelność dusz ludzkich i przyszły wymiar sprawiedliwości. Dalszym tej wiary rozwojem była nauka o metampsychozie, który to przesąd jest, jak się zdaje, w Pitagoreizmie naleciałością egipską, nie zaś indyjską.

Pewniejsze i dokładniejsze wiadomości mamy o etyce i zewnętrznych formach życia Pitagorejczyków.

Już sam mistrz Pitagoras kładł główny nacisk na etyczną i polityczną stronę życia. Zwolennicy jego byli zorganizowani w rodzaj zakonu. Podzieleni na ezoteryków i exoteryków, t. j. wtajemniczonych i niewtajemniczonych, przebywali przed przyjęciem do związku rozmaite próby i ćwiczenia, mianowicie zachowywanie przez dłuższy czas milczenia w celu skupienia myśli, posty i t. p. Ale i po przyjęciu należała do stałego sposobu życia pewna dyeta; w niektórych szczegółach dość dziwaczna. I tak n. p. wykluczano jedzenie bobu. Już starożytni upatrywali w tem polityczną demonstracyę, używano bowiem ziarnek bobu przy demokratycznym naówczas zwyczaju wylosowywania urzędników, związek zaś pitagorejski miał wybitną cechę arystokratyczną — prawda, że bardzo pięknie pojętą, bo na wyższości duchowej polegającą.

Pitagorejczycy gardzili tłumem, cnotę porównywali z harmonią, zwali ją zdrowiem duszy, polecali cześć dla rodziców, wierność dla przyjaciół, poświęcenie się dla ojczyzny, oddawanie się naukom, doprowadzenie do zapanowania ducha nad ciałem.

Bardzo wielką wagę przywiązywali do wychowania młodzieży, główny kładli nacisk na matematykę, muzykę i gimnastykę (Krotona i Sybaris). Już pod koniec życia Pitagorasa rozpoczęły się w Krotonie i innych miastach prześladowania ze strony demokratów i wynikające ztąd zaburzenia polityczne.

Rzecz godna uwagi, że pomimo pewnego mistycyzmu Pitagoreizm nie traci z oczu celów praktycznych — etyka i polityka są główną częścią ich filozofowania i działania.

Inaczej zupełnie zachowują się Eleaci. Pomimo niezwykłej samoistności i siły rozumowania, poruszają się oni głównie w abstrakcyach, bujają z całą swobodą po najwyższych sferach dziedziny

filozoficznej, zapewniają sobie niespożyty w niej wpływ, usuwają się jednak od czynnego udziału w życiu politycznem.

Pierwszym z nich był Xenofanes.

Urodził się w Kolofonie około roku 569 przed narodzeniem Chrystusa, doczekał się późnej starości, przeszło lat 90ciu.

Młodym jeszcze człowiekiem opuścił ojczyznę i po długich podróżach, mianowicie po Sycylii i Wielkiej Grecyi, osiedlił się w Elei.

Pojmował on cały wszechświat razem wzięty jako jedność i zwał ją bogiem. (Spinoza). Występował bardzo nietylko przeciw politeizmowi, ale nawet przeciw wszelkim antropomorficznym przymiotom Boga, jako ograniczającym pojęcie o Nim. W urywkach, pozostałych z jego epopei, „o naturze“, περὶ φύσεως, tak się wyraża:

„Jedyny bóg największy z bogów i ludzi, niepodobny ludziom ani postacią, ani duchem, nie czarny więc i płaskonosy, jak Etyopy, nie ryży i modrooki, jak Traki. Przecież woły i lwy odtwarzałyby postacie bogów na podobieństwo własnych, gdyby to czynić były zdolne.“

Znakomicie cechuje zapatrywanie Xenofanes'a na pojęcie najwyższej istności satyryk Timon w następujących słowach, które wkłada w usta mistrza: „Gdziekolwiek zwracałem ducha mego, wszędzie w tożsamość rozkładało się wszystko, wiecznie istniejąca wszystkość stała przedemną cała i zupełnie w podobną naturę zebrana.“

Nie dziw więc, że Xenofanes, broniąc takich poglądów, żywo potępiał Homera i Hezyoda, że wysławiają bogów jako ludzi, potężnych wprawdzie, ale niemoralnych. Jego bóg był najwyższą, wieczną jednością i wszystkością, po za którą nic nie ma. Utożsamiał go poniekąd z wszechświatem. Już starożytni zarzucają mu, jakoby miał wypowiedzieć zdanie, że Bóg jest kulistej postaci. Czy słusznym jest ten zarzut, z pewnością wiedzieć nie możemy, sądzić jednak można, że jestto tylko obrazowy sposób przedstawiania Boga jako najdoskonalszej, wszystko ogarniającej jedności, wszędzie sobie równej, nie mającej żadnych części składowych. A może utożsamiając Boga ze światem, przypisywał światu ogólny kształt kulisty — wtedy jednakowoż byłby musiał przypuszczać, że ten świat jest skończony, albo też przypuszczając, że jest nieskończony, uważać go za kulę o nieskończenie wielkim promieniu. Te jednak pojęcia są zbyt nowożytne, zaś dokładniejszych wiadomości o tem, w jaki sposób pojmował Xenofanes ową kulistość Boga, a raczej świata, nie mamy. Lubiąc żywy i barwny sposób wyrażania się, mówi, opisując wszechwiedzę i wszechmoc owego tak pojętego Boga, że „jest cały

okiem i cały uchem", dalej, że „nie znając zmęczenia, potęgą myśli wszystko kieruje."

Xenofanes nie przeprowadził jeszcze z całą ścisłością zasad późniejszych Eleatów. Nie mniej cechująco odróżnia go od nich pewien skeptycyzm, z jakim nakoniec przyznaje, że zupełnie pewnych rzeczy o bogach i o tem wszystkiem, o czem on sam uczy, żaden śmiertelnik wiedzieć nie może — i to ani z tych, co żyją, ani z tych, co żyć będą. Δόκος δ'ἐπὶ πᾶσι τέτυκται. „Mniemanie bowiem tylko wszystkim przypadło w udziale."

W ogóle zdania jego miały cechę przeważnie teologiczną, przypominającą mi Spinozę.

W kierunku jeszcze śmielszych i bardziej oderwanych spekulacyi posuwa filozofię Eleacką Parmenides.

Urodzony w Elei około r. 515 przed nar. Chrystusa z możnych rodziców. Uważają go za ucznia Xenofanesa, korzystał on jednak także z nauk Pitagorejczyków. Ceniono i poważano go ogólnie, nietylko jako znakomitego uczonego i myśliciela, ale także jako męża wysokiej wartości moralnej i znakomitych cnót obywatelskich. Powiedzenie: „Żyć jak Parmenides", weszło było u Greków w przysłowie. Główne jego dzieło, napisane wierszem metrycznym, pod tytułem, często później używanym: „περὶ φύσεος", „O przyrodzie", składa się, stosownie do jego nauki, z dwóch części: „O bycie" i „O niebycie".

Z pierwszej części metafizycznej mamy znacznie więcej ustępów przechowanych, niż z drugiej przyrodniczej. W allegorycznym wstępie do swego dydaktycznego poematu opisuje Parmenides, jak dusza jego, unosząc się z ciemności ku światłu, przybyła do wrót, u których dzielą się drogi nocy i dnia. Sprawiedliwość rozwarła przed nim podwoje, a duch mędrca, dotarłszy nareszcie do bogini mądrości, otrzymał od niej przyrzeczenie, że mu wszystko okaże, nietylko śmiertelnych mniemania, w których nie ma rzetelnej pewności, ale nawet przekonującej Prawdy niewzruszone serce.

Po tym wstępie następuje część pierwsza o Prawdzie, którą zdobyć można jedynie, idąc za „poznaniem rozumowem", a nie za „wyobrażeniami zmysłowemi".

Prawdą i rzeczywistym bytem jest tylko to, co niezmienne, wieczne, jednotliwe, wolne od wszelkiej rozmaitości i zewnętrznych określeń, istniejące samo przez się wewnętrzną koniecznością. Główną cechą tej jedności wszystko ogarniającej jest utożsamienie bytu i myślenia, w niej jest byt myśleniem a myślenie bytem. (Spinozy jeden

byt a dwa przymioty: myślenie i rozciągłość, Kirchmann uważa *Sein und Denken* jako przeciwieństwa).

Wobec tego, jedynie prawdziwego bytu, wszystko co nie istnieje stale, nie jest.

Wszelkie więc stawanie się *(Das Werden)*, ponieważ albo było, albo dopiero będzie, nie ma zaś żadnego trwania, jest tylko przemijającem powstawaniem i znikaniem: tak więc świat, tak ludzie na nim, tak ich działanie, tak wszystko co po nich zostaje, jest tylko pozorem bytu, nie zaś bytem samym, bytem rzeczywistym.

W przeciwieństwie z Heraklejtosem, który wieczne stawanie się uważał jako ogólną zasadę świata i wszechrzeczy istotę, nie zaś niezmienny byt, zapytywał Parmenides: skądże wywieść początek stawania się, jeśli przeczymy istnieniu wiecznego bytu, czyli prabytu — czy może z niebytu? którego nawet pomyśleć sobie nie możemy, gdzież ta konieczność, któraby w czasie, prędzej lub później, wywołała następstwa zmian?

Jak widzimy, są pojęcia Parmenides'a zupełnie wolne od owej cechy teologicznej, która była tak wybitna u Xenofanes'a. Tłómacząc te pojęcia na dzisiejszy sposób myślenia, porównałbym ów byt wieczny, niezmienny, wszystko ogarniający z prawami logiki i matematyki, z rozumem odwiecznych i niezmiennych praw przyrody, w przeciwieństwie do wszystkiego, co jest znikomym światem zjawisk, czy w nieskończonych obrotach ciał kosmicznych, czy tu na ziemi w zakresie pracy i dążeń człowieka.

Byt można zresztą także uważać jako *summum genus*, jako najwyższy rodzaj, którym jest wszystko objęte — jako najogólniejszą cechę, wspólną wszystkim przedmiotom.

Biorąc jednak dosłownie znaczenie dopiero co omówionej pierwszej części poematu Parmenides'a, okaże się nam część druga, której przedmiotem jest świat wrażeń zmysłowych, świat zmian i pozoru, czyli niebyt, pewną niekonsekwencyą.

Świat ten uważa Parmenides jako wynik dwóch zasadniczych przeciwieństw, bytu i niebytu, którym odpowiada światło i ciemność, czyli, jak je bliżej określa, czysty, eteryczny ogień i ciemna, ciężka, gęsta materya.

Pierwszy, jako byt, jest stroną czynną, kształtującą, druga, jako niebyt, stroną bierną, kształtowaną.

Ogólną konieczność (prawidłowość?), która wszystkiem rządzi, zwie obrazowo miłością (ἔρος) rodzicą bogów.

Człowiek, powstały z mułu, zlepek tych dwu pierwiastków, tem doskonalszy, im cieplejszy; jeżeli eteryczną, ognistą swą częścią

zdolen jest poznania wszechbytu, to znowu gnieciony ziemską naturą błądzi w ułudach niebytu.

Bardzo mało pozostało nam wiadomości o pojęciach kosmologicznych Parmenides'a, przyjął w nich wiele z nauk pitagorejskich. Słynął jako astronom.

Eleacka subtelność myśli i bystrość rozumowań dochodzi do szczytu, graniczącego już jednak z paradoksalizmem u Zenona, zwanego u starożytnych „Eleatą“ dla odróżnienia od Zenona stoika. Urodził się około roku 490 przed narodzeniem Chrystusa, uczeń i serdeczny przyjaciel Parmenides'a, wedle niektórych pisarzy jego syn przybrany, znakomity polityk i patryota.

O ile prawdziwemi są różne podania o jego wystąpieniu przeciw jednemu z tyranów i o bohaterstwie, z jakiem znosił zadawane mu męki, trudno dziś wyświecić.

O treści pism jego mamy tylko pośrednie wiadomości, w znacznej części niedokładne.

Zeno utrzymując, podobnie jak Parmenides, wyłączne istnienie czystego bytu, usiłuje wykazać, że wszelkie przypuszczanie wielości, stawania się i ruchu — co wszystko wedle pojęć Eleatów należy zaliczyć do niebytu — wikła nas w nieuniknione sprzeczności logiczne.

Główny tok myśli jego w polemice przeciw wielości jest mniej więcej taki:

Gdyby byt był wielością, musiałby być zarazem nieskończenie małym i nieskończenie wielkim — nieskończenie małym musiałby być, ponieważ jako wielość składać się musi z jedności, jednością zaś jest tylko to, co już nie jest złożonem z części, co niepodzielne, niepodzielnem zaś jest tylko to, co niema wielkości (gdyż każda wielkość jest podzielną), co dodane nie powiększa, ujęte nie pomniejsza, co zatem i razem zebrane nie da żadnej wielkości.

Nieskończenie wielkim musiałby się byt okazać, ponieważ jako wielość składa się z części, które się znów coraz dalej dzielą, są odrębne jedne od drugich, a więc znowu czemś porozdzielane, bo spłynęłyby się w jedno, a wszystkie te części, tak jak wszystko, co je dzieli, aby istnieć, muszą przecież mieć pewną wielkość — i tak w nieskończoność; byt więc, jako zbiór tego wszystkiego, musi być nieskończenie wielki.

Rozumowania tego używali już starożytni przeciw atomistyce. Zdaniem niemieckich historyków filozofii, nawet tak znakomitych, jak Zeller, ma rozumowanie to w tem właśnie zastosowaniu zachowywać całą swą siłę logiczną, nam zdawałoby się raczej, że polega

ono na nieodróżnianiu w myśli przeprowadzanego dzielenia geometrycznej przestrzeni, od rzeczywistego dzielenia i rzeczywistej podzielności materyalnych cząstek. Tyczy się to zresztą i dalszych rozumowań Zenona.

Myśl, że wielkość jest zupełnie czemś względnem, podejmowała już i nowsza filozofia (Gouliver). Oto weźmy najprostsze ogólnie znane zjawiska: bryłka ziemi, wyrzucona w powietrze, spada rychło pomimo silnego nawet wiatru — ale spróbujmy tylko rozetrzeć tę samą bryłkę na drobny pył, a w tej zmienionej postaci uniesie ją lada wietrzyk. Objaw ten fizyczny jest skutkiem zasady geometrycznej, że im mniejsze rozmiary bryłowate jakiegoś ciała, tem stosunkowo większą jest jego powierzchnia. Ta zwiększona powierzchnia bryłki ziemi powiększa tarcie o powietrze przy niezmienionym jej ciężarze, wskutek czego jako pył spada tak powoli, że słabe nawet prądy powietrza unoszą ją w górę. Dalszym, innym już skutkiem tej zmiany stosunku powierzchni do wymiarów sześciennych przy rozdrobnieniu jest szybsze ostyganie lub ogrzewanie się ciał mniejszych niż większych, inne zatem zachowywanie się wobec wpływów klimatycznych zwierząt mniejszych, inne zwierząt większych. Nie da się zatem pogodzić z zasadami fizyki i fizyologii przypuszczenie, że możliwemi byłyby wszystkie geologiczne, biologiczne i historyczne zmiany na ziemi, nawet gdyby była ze wszystkiem, co w niej kiedykolwiek było, jest i będzie, tysiąc razy większa lub mniejsza, niż jest rzeczywiście. Ziemia w zmniejszonem wydaniu ostygałaby szybciej, musiałyby i dzieje lilipuciej ludzkości prędzej się kończyć, maleńcy zbrodniarze, strącani z Tarpejskiej skały, uchodziliby cało, jak pchły skaczące ze stołu na podłogę. Uwagi te łączą się bezpośrednio z hipotezą atomistyczną, której podstawą jest przypuszczenie przeciwieństwa między nieskończoną podzielnością przestrzeni a skończoną podzielnością materyi. Atomy są takie, jakie są — ilość ich zawarta w drobinie jest jednym z czynników, stanowiących tak o wielkości drobiny, jak i o jej własnościach. Jakkolwiek znowu ze stanowiska filozofii odrzecby można, że nieskończona podzielność przestrzeni jest tylko myślową, geometryczną, zaś skończona podzielność materyi jest tylko doświadczalną i hipotetyczną.

Fizyka i fizyologia a nawet geometrya przeczą temu.

O zapatrywaniach Zenona na pojęcie przestrzeni wspomnę tylko w krótkości, a to z powodu, że, jak powiada Dühring: „W całem tego słowa znaczeniu, urywkowo i niedostatecznie, przekazano nam pojęcia, które się wyrobiły w szkole eleackiej, o przestrzeni i jej nieskończoności.“ (Dühring: *Kritische Geschichte d. Philosophie.* Str. 38).

Podobne zdania wypowiadają w tym przedmiocie także inni poważni pisarze: zaniecham zatem krytycznego odtworzenia tej części filozofii Eleatów. Próby, które w tej mierze czyniono, są bardzo wątpliwej wartości, te, które znam, czynią zbyt wielką ujmę mężowi, uznanemu w starożytności za twórcę dyalektyki i okazującemu zresztą niezrównaną potęgę myśli. Zaznaczę tylko, że jeżeli występywał przeciw przedmiotowej rzeczywistości przestrzeni, *(objective Realität des Raumes)*, to miał w tem zapatrywaniu później znakomitego następcę w Kancie.

Rozumowania, przypisywane mu w tej formie, w jakiej nas doszły, odnosiłyby się raczej do niemożności przypuszczenia ograniczonej przestrzeni. Miał bowiem Zeno utrzymywać, że aby pojąć przestrzeń, potrzeba przypuścić także dalszą przestrzeń, która tę pierwszą ogarnia i tak dalej w nieskończoność — przestrzeń zatem istnieć nie może.

Bez porównania dokładniejsze pozostały nam wiadomości o pojęciach, jakie miał Zeno i jego szkoła o ruchu.

Pojęcia te mają rzeczywistą filozoficzną wartość, pomimo obrazowo popularnego sposobu przedstawienia, nadającego im pozory paradoksów, a nawet dyalektycznych sztuczek. Doniosłość jego rozumowań występuje tem jaśniej, im czyściej i abstrakcyjniej przedstawiamy zawartą w nich myśl.

Oto pierwotna ich forma: Szybkonogi Achilleus nie może doścignąć powolnego żółwia; w czasie bowiem, kiedy przebiega drogę dzielącą ich, żółw już pierwotne miejsce opuścił i dalej polazł. I ten odstęp przebiega Achilleus, ale i żółw w tymże czasie już o nową część drogi się posunął — i tak w nieskończoność, bo w każdym razie Achilleus między sobą a żółwiem mieć będzie przestrzeń, którą żółw ulazł w tym czasie, kiedy on przebiegał odległość, dzielącą go od punktu, w którym żółw był poprzednio.

W podobny sposób wykazywał Zeno niemożliwość logiczną ruchu w ogóle. Utrzymywał bowiem, że każdy przedmiot n. p. lecąca strzała, która ma przebyć drogę dzielącą ją od celu, musi pierwej przebyć tej drogi połowę. I niewątpliwie tak jest. Przebywszy tę połowę, zanim przebędzie drugą połowę, musi przebyć i tej drugiej połowy znowu połowę, t. j. część czwartą całej drogi i t. d. w nieskończoność. Do celu zatem wcale nie doleci.

Co więcej, niepodobna pojąć — powiada Zeno — jak może strzała, którą wypuszczamy z łuku, ruszyć się z miejsca. Zanim bowiem doleci do połowy drogi, która ją dzieli od celu, musi pierwej przebyć tej połowy połowę, czyli czwartą część ogólnej drogi. I tak jest

niewątpliwie. Zanim tę czwartą część przebieży, musi przebyć jej połowę, t. j. $^{1}/_{8}$ całej drogi i tak w nieskończoność — nie ruszy się zatem wcale z miejsca.

Inna forma, wykazująca sprzeczności wynikające z przypuszczenia ruchu, znana jest pod nazwą: „Lecącej strzały".

„Lecąca strzała nie rusza się z miejsca!" — powiada Zeno. W każdym punkcie drogi, którą ta strzała — wedle kłamliwego świadectwa zmysłów naszych — zakreśla, znajduje się ona w pewnym stosunku do swego otoczenia. W punkcie tym jest stosunek taki, jaki jest! jest on niezmieniający się! W punkcie tym zachowuje strzała pewne położenie! O ile ten punkt jest punktem matematycznym, położenie to jest niezmieniające się! dwóch położeń nie ma i być nie mogą!

A ponieważ cała droga składa się z takich punktów, w których strzała zachowuje pewne niezmieniające się położenie — zaś położenie niezmieniające się jest spoczynkiem — strzała więc spoczywająca w punkcie matematycznym, nie przyjdzie w drugi punkt matematyczny wchodzący w skład tejże drogi — nie ruszy się zatem z punktu, w którym się znajduje w chwili, w której ją spostrzegamy — ruch jest zatem tylko złudzeniem zmysłów, jest pozorem, któremu przypisując rzeczywistość, narażamy się na popełnianie sprzeczności w rozumowaniu. Ruchu zatem nie ma!

Bardzo ułatwionem będzie wejście w myśl tego rozumowania tym, którzy mieli sposobność zauważania, jak przy świetle błyskawicy, wśród ciemnej nocy, na chwilę oświecony przedmiot wyda się zawsze spoczywającym, choćby był nawet w ruchu w zwykłem oświetleniu bardzo widocznym, jak n. p. ruch wahadła lub koła u wozu.

Równie pouczającem może być w tej mierze znane doświadczenie, polegające na nagłem oświeceniu iskrą elektryczną dwóch przedmiotów, znajdujących się w ciemnej sali, z tkórych jeden spoczywa a drugi się porusza — choćby nawet dość szybko — obydwa wydadzą się spoczywającymi.

Cała trudność rozwikłania paradoxalnego rozumowania Zenona polega na rozwiązaniu zagadnienia, czem jest ruch w matematycznym, nierozciągłym punkcie drogi? Dopiero z tego stanowiska uważane rozumowanie Zenona nabiera właściwego znaczenia — z tego tylko stanowiska je osądzając, musimy przyznać, jeżeli nie słuszność, to w każdym razie wielką doniosłość w metafizyce tym właśnie myślom Eleatów.

Z kolei nasuwa się tu drugie pytanie, a raczej tego samego pytania druga strona — czem jest ruch w punkcie czasowym, t. j. w chwili czasu nie mającej trwania, n. p. w teraźniejszości. (Teraźniejszość bowiem jest właściwie tylko matematycznym punktem — *sit venia verbo* — oznaczającym zetknięcie przeszłości z przyszłością — teraźniejszość nie ma i mieć nie może żadnego trwania). Jużci ruchu w punkcie czasowym nie ma, t. j. nie ma ruchu w teraźniejszości, bo gdyby był ruch, wtedy mógłby przedmiot A w czasie zero zrobić drogę M, a wiemy, że tak nie jest.

Jeżeli zatem lecąca strzała nie ma ruchu w pewnym punkcie czasowym, n. p. w obecnym, w teraźniejszości, jakżeż ustał, jeżeli był w poprzedzającym ustępie drogi, skądże powstanie, jeśli go obecnie nie ma, jakże pojąć, że strzała doleci do celu, przebywając drogę, złożoną z nieskończonej ilości punktów, które strzała zajmując, ruchu nie ma?

Jeżeli zatem nie można pojąć ruchu w pewnym matematycznym punkcie przestrzeni lub czasu, nasuwa się pytanie, czem jest w pewnym matematycznym punkcie czasowym, czyli w pewnej, trwania nie mającej chwili czasu cały pod zmysły podpadający świat, który w ostatecznym rozbiorze zdaje się być także tylko rozmaitym ciągłym ruchem?

Chcąc należycie ocenić stanowisko Eleatów w tej mierze, potrzeba sobie jasno zdać sprawę, nietylko z pojęć spoczynku i ruchu, ale jeszcze z trzeciego pojęcia — rzadziej zazwyczaj branego pod rozwagę — które w stosunku do tych obu jest neutralne, obojętne. Nie mówię pośrednie, gdyż między spoczynkiem a ruchem środka nie ma, choćby najpowolniejszy ruch już nie jest spoczynkiem. Ma tu miejsce znana logiczna zasada: *Exclusi medii tertii*, wynika to ze samychże określeń spoczynku i ruchu. Spoczynek jest zachowaniem miejca, czyli pozostaniem w miejscu, ruch jest ciągłą zmianą miejsca.

Owem tedy trzeciem, jak się wyraziłem, neutralnem czyli obojętnem pojęciem, jest „położenie *(Die Lage)*.

Mówimy o jakimś punkcie lub przedmiocie, że „spoczywa“ jeżeli przez pewien przeciąg czasu na jednem i tem samem miejscu pozostaje.

Spoczynkiem jest tedy nie w ogóle „obecność“, ale „trwająca obecność“ na pewnem miejscu.

O innym zaś punkcie albo przedmiocie mówimy, że się porusza, jeżeli w przeciągu pewnego czasu przez szereg miejsc przechodzi, na żadnem się nie zatrzymując. Ruch jest zatem, jak już powiedziałem i jak zresztą wiadomo, ciągłą zmianą miejsca.

„Położenie“ pewnego punktu lub przedmiotu, względnie do otoczenia, musi być chwilowo zupełnie jednakiem, czy ten punkt albo przedmiot zajmie jakieś oznaczone miejsce przejściowo, poruszając się, czy też trwale, spoczywając.

To lub inne położenie czegoś, położenie w stosunku do otaczających przedmiotów, położenie w pewnem miejscu, jest stosunkiem ściśle i wyłącznie przestrzennym, nie zaś czasowym.

A jednak każdy ruch po jakiejkolwiekbądź linii czy drodze jest zawsze tylko zbiorem nieskończonej ilości położeń poruszającego się punktu lub przedmiotu. Zbiór ten położeń odpowiada nieskończonej ilości punktów matematycznych, składających ową linię czy drogę, po której się wspomniany przedmiot porusza. Zachodzi więc pytanie, w jaki sposób zestawiając „położenia“, t. j. pewne stosunki przestrzenne, otrzymać możemy wynik tego zestawienia, t. j. ruch, a z nim czasowe trwanie, stanowiące część istoty ruchu; czasowe trwanie, które jest jego *conditio sine qua non* — ruchu bowiem niema bez czasowego trwania.

Mamy więc pierwszą logiczną niemożliwość. Nie chcę się już nawet rozwodzić nad drugą, w jaki sposób jedna i ta sama ilość położeń, odpowiadająca jednej i tej samej przebieżonej drodze, ma dawać różne sumy, t. j. dłuższe lub krótsze czasowe trwania, odpowiadające różnej szybkości ruchu poruszającego się punktu lub przedmiotu?

Różni krytycy, już od Aristoteles'a począwszy, zarzucali Eleatom pomijanie wzajemnego stosunku czasu do przestrzeni, nieuwzględnianie równej podzielności, w nieskończoność idącej, tak czasu, jak przestrzeni. Lecz właśnie ta okoliczność stanowi siłę rozumowań Eleackich, że nie mamy innego sposobu ocenienia ruchu, jak porównanie rozmiarów przebytej przestrzeni z trwaniem czasu.

Czyniąc to, porównywamy ilości niemniej różnorodne, jak n. p. stopień ciepłoty i wysokość tonu, albo nasycenie barwy ze słodyczą jakiegoś płynu; na domiar zaś wzmocnienia stanowiska Eleatów, uciekamy się do tworzenia, przez przeprowadzone w pojęciu tylko dzielenie w nieskończoność, nieskończonych szeregów, które w doświadczeniu przedstawiają się jako ostatecznie przebieżone a więc wyczerpane, ukończone (strzała bowiem dobiega do celu).

Te i tym podobne trudności w wynalezieniu zgodności praw naszego myślenia z wyobrażeniami, powstającemi za pośrednictwem wrażeń zmysłowych, są tylko dowodem niedostateczności podstaw naszego poznawania; są one dalej wskazówką, że nie posiadamy jeszcze klucza do rozwiązania zagadkowego stosunku między światem

zewnętrznym a tym, który pod jego wpływem w naszej duszy powstaje, czyli inaczej mówiąc, nie znamy jeszcze stosunku między materyą a duchem, przedmiotowością a podmiotowością. Z tego to powodu popadamy w sprzeczności tak często, starając się zrozumieć umysłem to, co jest poza umysłem, objąć podmiotem to, co jest przedmiotem, przenieść w jaźń to, co jest niejaźnią.

Czując tę trudność Genliux i Malebrauche, utworzyli teoryę zwaną „Occasionalizmem", której zadaniem było wytłómaczyć stosunek między wewnętrznym światem wrażeń i myśli a zewnętrznym zmian materyi.

Podobnych obrazowych zwrotów dyalektycznych, jak o Achilleus'ie i strzale, przypisywano Zenonowi cztery. Tak jak inni Eleaci, kładł i on nacisk na mylność i chwiejność wrażeń zmysłowych. Po nim chyli się ku upadkowi szkoła Eleacka.

Naśladowcą już tylko — i to dość słabym — Eleatów był Melissos z wyspy Samos.

Mianowany wodzem przez ziomków swoich, odniósł zwycięztwo morskie nad Ateńczykami w r. 442 przed narodzeniem Chr.

Jako filozof trzymał się wprawdzie głównie zasad szkoły Eleackiej, polemizował z filozofią szkoły Jońskiej, ale rozwinął tak mało samoistności, że mimowoli uległ po części jej wpływom.

„Bytowi" przyznaje ze stanowczym naciskiem oprócz określeń, które przyjął od Eleatów, przymiot nieskończoności w przestrzeni i nadaje mu przez to, pomimo że go chce za niemateryalny uważać, cechę istności materyalnej. Uwagę tę czyni już Aristoteles. Przeczy próżni, bo ta ograniczałaby nieskończoność bytu, ponieważ zaś ruch wymaga próżni, więc ruchu nie ma.

Taki byt, jedyny, wszystko ogarniający, nie skończony w czasie i przestrzeni, a więc już nie czysto duchowy, przypomina także substancyę Spinozy, dlatego to ciekawego zbliżenia, które zdaje mi się, że poniekąd słusznie upatruję, wspominam tu Melissos'a, zresztą mało znanego i niezbyt ważnego w dziejach rozwoju filozofii greckiej.

Przedstawicielem zupełnie innej i na odmiennych podstawach opartej reakcyi przeciw starogreckiemu materyalizmowi jest Anaxagoras.

Filozofia jego, pomimo że jest także spirytualistyczną, stanowi pod pewnym względem przeciwieństwo do filozofii Eleackiej. Eleatów cechuje niezwykle śmiała spekulacya i bystra dyalektyka — te dwa ich przymioty doprowadzają do zerwania z doświadczeniem i świa-

dectwem zmysłów, co więcej do upatrywania sprzeczności w wynikach doświadczenia i w świadectwach zmysłów. Anaxagoras przeciwnie opiera się oględnie na doświadczeniu i na podstawach przyrodniczych; w tłómaczeniu zjawisk szuka wszędzie przyczyn mechanicznych, a dopiero gdzie te nie wystarczają, przypuszcza działanie Boskiego rozumu.

Anaxagoras urodził się w Klazomene, w Małej Azyi, około r. 500 przed nar. Chr. W myśl filozofii Jońskiej tłómaczy wszelkie powstawanie i przemijanie rzeczy mieszaniem i rozdzielaniem się pierwotnych składników, które zwie pierwiastkami („nasionami“) wszechrzeczy. Są to później tak nazwane „homoiomerye“ (τὰ ὁμοιομερῆ), czyli jednorodne cząstki, z których się każde ciało składa, niezmienne wprawdzie co do swych różnych jakości, bez żadnej jednak oznaczonej granicy podzielności.

Nie są one więc atomami, tem bardziej, że nie mając pewnych niezmiennych, cechujących je kształtów, różnią się tylko swą wewnętrzną istotą, podobnie jak cztery żywioły Empedokles'a, są one tylko w rodzajach swoich daleko liczniejsze. Najstarszy to pomysł Anaxagorasa.

Początkowy stan świata przedstawia sobie jako chaotyczne zmieszanie (σύμμιξις, μίγμα) tych rozdrobnionych pierwiastków; drobne ich cząstki są zarodami, nasionami (σπέρματα) wszystkich następnie wytwarzających się rzeczy. Zasadniczą podstawą teoryi jego jest dualistyczne przeciwstawienie tak pojętej materyi i porządkującego ją, rządzącego nią umysłu (νοῦς).

Czując niemożność wytłómaczenia na podstawie teoryi atomistycznej tak początku ruchu w ogóle, jak i ładu, prawidłowości i celowości w ustroju świata, przypuszcza istnienie siły, będącej zarazem umysłowością.

Pojmuje ją jako istność jednotliwą, wszystko wiedzącą, wszystkiem rządzącą, sobie zawsze równą, nie mieszającą się z materyą — niewiadomo dokładnie, czy jej przypisuje osobowość. Działaniem jej wprawiony został ów pierwotny chaos w niesłychanie szybki ruch wirowy, o którym obecne stosunki nawet pojęcia nam dać nie mogą, wskutek tego wydzielać się poczęły różne jego części składowe, tworzyć ciała kosmiczne i ziemia.

Tę śmiałą i ogromnej doniosłości myśl zasadniczą, rozpierającą ciasny i jednostronny schemat atomistyki, podaje Anaxagoras bez żadnych dowodów, przynajmniej nie widać ich w urywkach pism jego, które nas doszły. Być może, że w całości dzieła inaczej się wszystko przedstawiało. Całe dalsze szczegółowe przeprowadzenie

tworzenia się świata, oparte na wywodach czysto mechanicznych, których wartość ze stanowiska dzisiejszych nauk przyrodniczych sądzona okazałaby się bardzo małą.

Wszystkie objawy życia, nawet roślinnego, przypisuje owej myślącej sile. Stopniowanie potęgi władz umysłowych od najmniejszych zwierząt do człowieka tłómaczy różnym udziałem w tem wspólnem źródle umysłowości. Podobnie jak Empedokles i inni wyprowadza materyalne powstanie ustrojów z namułu ziemi, osychającej pod wpływem promieni słonecznych z pierwotnego zalewu. W ogóle ogranicza bardzo oględnie działanie owej myślącej siły, przypisuje jej głównie, oprócz objawów duchowych, tylko nadanie początkowego ruchu, wszędzie chętnie zastępuje teologiczne tłómaczenie świata mechanicznem; podnosi to Aristoteles, a mianowicie Plato w swoim Fedonie w formie zarzutu. Oto co powiada o tem Dühring *(Kritische Gesch. der Philosophie):* „My przeciwnie musimy w tem zachowaniu się filozofa natury *(des Naturphilosophen)* uznać właściwy takt. Zauważał, że połączenie rzeczy (ich ustosunkowanie w świecie, *der Zusammenhang der Dinge)* możnaby pojąć także jako uczłonkowane podług sposobów zapatrywania ludzkiej inteligencyi (co nie wyklucza możności innego rzeczywistego połączenia, istniejącego naturalnie poza granicami ludzkiego poznania) i przypuścił, na tem się opierając, rządzący w świecie rozum, jako pierwiastek życiowy. Na tem też przypuszczeniu zakończył."

Wedle Aristotelesa nie przyjmował Anaxagoras próżni. *(Aristot. Phys.* IV. 6. p. 213).

Taką to stanowczą i wszechstronną reakcyą przeciw materyalizmowi, teistycznym spirytualizmem kończy się pierwszy okres filozofii greckiej. Po nim pojawi się burzące działanie Sofistyki, z której wyłoni się, jak Fenix z popiołów, wspaniale odrodzona filozofia grecka okresu po-Sokratesowego.

Dr. Aleksander Raciborski.

O ŁOWIECTWIE POLSKIEM

W CZASACH PIASTOWSKICH.

(Wiek X., XI., XII., XIII., XIV.).

Literatura nasza historyczna wieków średnich, bujnie rozwijająca się w ostatnich latach 30, zbyt mało mogła dotychczas uwzględniać stronę wewnętrzną, obyczajową naszej przeszłości; zajęta wielkimi wypadkami dziejowymi, nie znalazła jeszcze dosyć czasu, aby zajrzeć w głąb domowego, pokojowego życia praojców naszych. Mamy tyle do roboty, aby jako tako dotrzymać kroku naszym zachodnim sąsiadom, nic dziwnego, że znajdować się muszą w badaniach naszych wielkie luki.

To też, kto zechce się przypatrzeć bliżej tym czasom, nie na polach walki, ani wśród obrad wiecowych, jeno w oświetleniu codziennego życia, tego już od pierwszeoo kroku, jaki zrobi w tym kierunku, ogarnia jakiś powiew świeżości, ulega on temu urokowi, jaki wywiera zawsze rzecz nowa, nieznana, okryta jeszcze — że tak powiem — dziewiczym puszkiem. Odbywa on niejako podróż eksplaracyjną wśród lasów pierwotnych, na każdym kroku zatrzymują go kłody próchniejące, zbutwiałe pnie, z siekierą w ręku przedziera się przez przeszkody wszelkie, a w ślad za krokami jego przebija się mały, skromny, nieśmiały promień światła przez mroczne mateczniki.

Sprawozdaniem z takiej właśnie podróży jest rozprawka, do której się czytelnik w tej chwili zabrał. Poprowadzi go ona w głąb lasów dawnej Polski i pokusi się zapoznać czytelnika z tem wszystkiem, co z „łowiskami“ Polaków dawnych w bliższym zostaje związku.

Jestto tylko skromny obrazek czasów z przed 6. wieków, nie mający wcale pretensyi do godności naukowej rozprawy i natchniony jedynie zamiłowaniem do tego, co nasze, co polskie, a co ginie w pomroce zapomnienia.

A teraz dosyć już wstępu — przejdźmy do rzeczy samej.

Nie potrzebuję, zdaje mi się, zwracać uwagi czytelnika na to, jak wielką rolę grały polowania w życiu naszych przodków. W owych odległych czasach, kiedy gospodarstwo spoczywało w rękach czynszowników przeważnie, zajęcia publiczne ograniczały się na braniu udziału w zjazdach *(colloquia)* i wiecach, a rozmaite przyjemności nowożytne, służące do zabicia czasu, nie były jeszcze wymyślone, polowanie stanowiło obok wojny główne zajęcie ówczesnego właściciela. Jako ślady tego zamiłowania, możemy dzisiaj jeszcze oglądać na bardzo wielu pieczęciach dawnych głowy zwierząt; szczególnie często powtarzają się rogi jelenie. Dochowała się n. p. pieczęć Bolesława Kędzierzawego z r. 1161, przedstawiająca księcia z psami, podobnie pieczęć wojewody gdańskiego, Świeca, wyobrażająca go na łowach. Nie chcę nużyć czytelników wyliczaniem mnogich takich pieczęci, wspomnę tylko jeszcze, że między proklamami czyli zawołaniami rodów polskich znajdujemy nazwy myśliwskie. A podobne emblemata, jak na pieczęciach, spotykamy i na tarczach herbowych, rody Lisów, Czarnych Jeleni (możny i bardzo dotychczas mało zbadany ród panów z Wiszembarka, osiadły na Kujawach) niech wystarczą za przykład. Że to zamiłowanie łowów nietylko w naszych istnieje wyobrażeniach, ale i przez współczesnych było podnoszone, świadczy następujący przykład [1]: Kronika węgiersko-polska (źródło dziejowe zresztą bardzo mętne i niepewne) opowiada, że gdy Stefan węgierski i Mieszko polski równocześnie ubiegali się w kuryi rzymskiej o koronę królewską, jako wynagrodzenie za przyjęcie wiary chrześciańskiej, anioł miał się ukazać we śnie papieżowi i polecić mu, aby odmówił korony Mieszkowi, a przyznał ją Stefanowi, ponieważ Polacy wolą bory niż winnice, łąki niż pola uprawne, zwierzęta dzikie niż domowe, psy gończe, jak ludzi etc. etc. *Si non e vero, e bene trovato.*

To zamiłowanie Polaków w łowach znajdowało zupełne zaspokojenie w obfitości materyału. Wiemy, że lasy pokrywały cały niemal obszar ówczesnej Polski i dopiero praca kolonizacyjna, rozpoczęta w połowie w. XIII., przetrzebiła dobrze nasze gaje i dąbrowy, jak wówczas mówiono. Nic dziwnego, że zwierzyny w tych borach było podostatkiem; z zwierząt czworonożnych, nie mówiąc już o zającach, kozłach i lisach, przechadzały się po kniejach Wielko- i Małopolski stada jeleni, danieli, łosi, dzików, wreszcie niedźwiedzi i turów, które jeszcze w XIV. w. znajdowały się w lasach około

[1]) Mon. Pol. Hist. II.

Pyzder w Kaliskiem, w wspaniałych lasach łowickich i w wielu innych miejscach, mniej przetrzebionych. Jednakowoż już wtenczas stawał się tur rzadkim, dlatego w r. 1359 rozporządził książę Ziemowit mazowiecki, że nikomu oprócz niego samego nie wolno turów zabijać [1]). Z ptaków polowano na kuropatwy, bażanty, których jedna odmiana *(phasanas colchicus)* wówczas w dzikim stanie gnieździła się szczególnie w Wielkopolsce (sprowadzili je byli do Europy jeszcze Rzymianie z Kolchidy, ich ojczyzny, skąd rozprószyły się po całej środkowej Europie) dalej na dropie, żórawie i kwiczoły, ptaki naówczas bardzo poszukiwane i cenione. Zwierzęta dzielono na wyższe *(superiora, magna)* i niższe *(parva, minuta)*, podział, który, jak zobaczymy poniżej, miał obszerne zastosowanie prawne. Do niższych zaliczano, oprócz całego ptactwa, zające, lisy i kozły, do wyższych resztę czworonogich. W czasach najdawniejszych, kiedy zwierzostan był wyższy, zaliczano do zwierząt niższych nawet jelenie, z drugiej strony w XIV. w. przeszły rogacze wielkopolskie, gdzie w parze z intenzywniejszą kolonizacyą szedł intenzywniejszy ubytek lasu i zmniejszanie się liczby zwierzyny, do kategoryi zwierząt wyższych.

Najszlachetniejszą i najwyżej cenioną zwierzyną były jednakowoż bobry. Zamieszkiwały one w wielkich ilościach Wisłę z wszystkimi jej dopływami oraz Wartę, a szczególniej obfitowały w tak licznych jeziorach wielkopolskich. Zasługują one na naszą szczególną uwagę z powodu swego prawnego stanowiska, którego bliższe poznanie musimy wszelako na chwilkę odłożyć.

Nawiasowo zwrócę tu jeszcze uwagę czytelników na ogromną liczbę nazw miejscowych polskich, urobionych od nazw zwierząt. Spotykamy wsi, jak Bóbrka, Bobrowa, Niedźwiada, Niedźwiedzie, Turza, Turów, w okolicach, jak n. p. Mazowsze lub Krakowskie, gdzie od wieków niesłyszano o bobrach, niedźwiedziach lub turach. Pozostała tylko nazwa lokalna, jako smutne wspomnienie lepszej przeszłości, która już nie zdoła chyba nigdy powrócić.

W czasach, kiedy lefuszówki i lankastrówki nie były jeszcze wynalezione, musieli się przodkowie nasi posługiwać na łowach sposobami, któreby w dzisiejszych naszych Nemrodach wzbudziły chyba odrazę lub politowanie. Główną bronią przeciwko grubszej zwierzynie, jak niedźwiedziom, dzikom itd., był oszczep *(venabulum)*, służący zarówno jako pocisk, jak i za lancę. Obok polowań z obławą *(fascalio, agitatores)*, polowano na zające i rogacze z psami, których rozmaite gatunki, jako to: *valtres* czyli *melampi*, *canes odavatuci*,

---

[1]) Kod. wielk. III. 133.

leporarii chowały się po psiarniach naszych panów. Kiedy chodziło nie o przyjemność łowów, lecz o przysporzenie zwierzyny na uczty, przyjęcia, uciekano się chętnie do mniej szlachetnego sposobu polowania, łowiąc ptactwo i drobniejsze zwierzęta w sidła i sieci *(retia)* lub kopiąc jamy *(pedicae)*, pokryte chrustem, jak to dzisiaj często robią polujący na słonie w Afryce. Często dalej robiono po lasach zasieki, zamykające tym sposobem znaczny kawałek lasu, z którego zwierzęta nie mogły się już wydostać i stawały się łacno łupem myśliwych. Nazywało się to po łacinie: *indagines*, *structurae*, *clausulae*, a po polsku: grodze lub kłody. Powstały w ten sposób niejako zwierzyńce, w których można było zwierzynę dłuższy czas bezpiecznie przechowywać. Wieś Zwierzyniec pod Krakowem z klasztorem Panien Premonstratensek reguły św. Norberta, z połowy XIII. wieku, jest do dziś dnia żywą illustracyą tych czasów. Jednakowoż rodzajem sportu myśliwskiego najwięcej *fashionable* było polowanie z sokołami na wszelkie ptactwo a nawet na zające. Nie będziemy się zatrzymywać dłużej nad stroną obyczajową myśliwstwa, nam chodzi głównie o uwydatnienie tego, co było specyficznie polskiem; pomijając więc wszelkie szczegóły, odnoszące się w ogóle do średniowiecznego łowiectwa, zajmiemy się nieco dawnem naszem prawem łowieckiem.

Kiedy powstała u nas własność prywatna na nieruchomościach, czy istniała ona już w X. w., czy też powstała dopiero w w. XII. za Bolesława Krzywoustego, jak chce prof. Piekosiński, o to nie będziemy się sprzeczać. Wystarczy powiedzieć, że z chwilą zaistnienia własności indywidualnej okazuje się prawo polowania *(ius venandi)*, jako jej atrybut. Jednakowoż należy rozróżnić tutaj dobra świeckie i duchowne. Właściciele ziemscy świeccy posiadali u siebie prawo polowania bez żadnych ograniczeń, z wyjątkiem monopolu bobrowego, przysługującego panującemu. Monopol ten istniał u nas od czasów najdawniejszych. Nie należy go wszelako pojmować w ten sposób, że faktycznie tylko panujący na bobry polował, czynili to także i panowie świeccy i duchowni, ale za specyalnem zezwoleniem panującego. Tak n. p. w r. 1250 pozwala Bolesław pierwszemu naówczas w Małopolsce wielmożowi, Klemensowi z Ruszczy, z rodu Gryfitów, polować na bobry w własnych jego obszernych włościach [1]), Podobnych nadań posiadamy bardzo wiele. Później w drugiej połowie w. XIII., kiedy coraz wzrastało znaczenie wielmożów w Polsce, podzielonej na drobne dzielnice, zapragnęli oni oczywiście zrównać

[1]) Kod. mał. II. 80.

bobry z innemi zwierzętami; pozwolenia polowania na nie stają się regułą w donacyach, w XIV. w. monopol zupełnie ginie, tak jak wiele innych atrybucyi panującego. Ponieważ, jak wiemy, bobry lubią wędrować z jednego miejsca na drugie, więc nieraz w darowiznach ziemi obdarowany waruje sobie, że, jeżeli kiedyś bobry na jego obszar przywędrują, będzie miał prawo na nie polować. W daleko gorszem położeniu, niż panowie świeccy, znajdowali się właściciele dóbr duchownych, biskupi i klasztory. Przedewszystkiem panujący mógł swobodnie polować w dobrach duchownych, a prawo zwyczajowe określało, wiele razy do roku mógł panujący w jednych i tych samych lasach polować. Tak n. p. przywilej Bolesława Krzywoustego dla Cystersów mogilskich z r. 1103 [1]) stanowi, że kiedy książę dwa razy do roku w dobrach klasztornych polował, strzelcy opata byli skazani na przymusową bezczynność; z drugiej strony klasztor Cystersów w Lądzie (najbardziej faworyzowany klasztor polski XII. i XIII. w.) otrzymał w r. 1145 przywilej od Mieszka Starego [2]), że strzelcy klasztorni mogą wszędzie towarzyszyć książęcym na łowach. Rzecz jasna, że przywilej ten mógł mieć znaczenie tylko wtedy, kiedy chodziło o polowanie w lasach bliskich klasztoru, bo przecież wobec ówczesnych komunikacyi tylko na bliskie odległości można było zwierzynę przewozić. Gdzieniegdzie nawet okoliczni panowie mogli sobie polować w dobrach klasztoru, tak n. p. było u Cystersów w Szczyrzycach. Można to chyba tylko uważać, jako *reservatum* przy uposażeniu klasztoru przez okoliczną szlachtę. W ogóle dopiero około połowy w XIII. w. objawia się wśród naszych klasztorów tendencya, aby co do prawa polowania zrównać się z właścicielami świeckimi, klasztory starają się o przywileje na polowania. Wspomniany już klasztor lądzki otrzymuje takowy dopiero w r. 1291. Wynik tego silnego prądu był taki, że wprawdzie panujący utracił swoje dawne prawo swobodnego polowania, za to jednak wyrobiła się zasada, że zwierzęta szlachetniejsze należą wyłącznie do księcia i ta zasada utrzymała się do końca epoki piastowskiej. W r. 1350 stwierdza król Kazimierz swoje prawa do szlachetnej zwierzyny w dobrach biskupstwa poznańskiego [3]), w r. 1362 w dobrach klasztoru lądzkiego [4]). Obok ograniczenia praw książęcych do zwierzyny szlachetniejszej, domagano się, aby to prawo swoje mógł

---

[1]) Kod. mał. I.
[2]) Rzyszcz. Muczk. T. I.
[3]) Kod. wielk. III. 9.
[4]) Kod. wielk. III. 194.

wykonywać król tylko osobiście. bo w takim razie klasztor, czy kapituła miała gwarancyę pewną, że te wizyty książęce, z pewnością niebardzo pożądane, nie będą się zbyt często powtarzać. Gdyby zaś książę mógł udzielać swoim dworzanom, czy też komukolwiek pozwolenia polować w swojem imieniu w dobrach duchownych, klasztory byłyby narażone na ciągłe wizyty miłośników polowania. Widzimy tutaj jeden objaw tej ogólno-chrześciańskiej reakcyi, która zainaugurowana na zachodzie przez papieża Grzegorza VII., ogarnęła wkrótce cały świat chrześciański; u nas bohaterem tego prądu jest arcybiskup gnieźnieński, Henryk Kietlicz, w pierwszych latach XII. w., za nim idzie cały szereg znakomitych mężów, zasiadających na naszych stolicach biskupich: w Krakowie Iwo Odrowąż, Prandota, Wisław, w Poznaniu Boguchwał, Dobrogost, w Płocku Andrzej, w Gnieźnie Pełka i Jakób. Znaczenie tej reakcyi bardzo doniosłe i widoczne we wszystkich kierunkach życia narodowego, jak widzieliśmy, nawet w walce o prawo polowania. Wreszcie musimy jeszcze zauważyć, że zamiłowanie do łowów było wśród naszych klasztorów bardzo rozpowszechnione, bo aż władza kościelna musiała nałożyć wędzidła na ochoczych zakonników. Statuta synodalne legata papieskiego Filipa, biskupa firmańskiego, z r. 1279 zabraniają [1]) zakonnikom oddawać się sportowi myśliwskiemu i pozwalają każdemu, kto spotka zakonnika z psami lub sokołami, odebrać mu je na własną korzyść. Ciekawa teraz rzecz, czy energiczny ten środek skutkował?

Przewrót w naszych stosunkach gruntowych, sprowadzony przez kolonizacyę i powstanie setek nowych osad, „lokowanych“ na prawie niemieckiem, musiał koniecznie wprowadzić nowe zasady do istniejącego już prawa łowieckiego. Jako ogólnie obowiązującą tu teoryę można postawić, że sołtysowi przysługuje w lasach jego osady polowanie na zwierzynę drobniejszą *(venatio parva s. minuta)*, właściciel rezerwuje sobie zwierzynę szlachetniejszą, notabene, o ile sam ma do niej prawo, będąc świeckim panem. Często stanowią dokumenta lokacyjne, że sołtys ma oddawać właścicielowi połowę ubitej zwierzyny, niekiedy $^2/_3$, a w sołtystwach klasztoru klarysek w Starym Sączu istniał obowiązek oddawania do kuchni klasztornej całej zwierzyny upolowanej [2]). Tego rodzaju przepisy najczęściej oczywiście znachodzą się w lokacyach klasztorów, ponieważ dla zakonników nie polujących nadzwyczajną było wygodą, kiedy im sołtys

[1]) Helzel: Starod. prawa polskiego pomniki I.
[2]) Kod. Mał. III. 20, 42.

dostarczał smacznych cąbrów jelenich i sarnich. Niekiedy specyalne umowy normują liczbę psów i ludzi, których wolno trzymać sołtysowi, tak n. p. sołtys myślenicki [1]) mógł w r. 1342 utrzymywać 1 strzelca i 1 bobrownika. Ograniczenia takie miały na celu powstrzymanie zbyt intenzywnego tępienia zwierzyny przez sołtysów. Kiedy sołtys w Stęszewku, w dobrach kapituły poznańskiej, chciał budować zasieki, o których wspominałem już wyżej, kapituła brała na siebie połowę trudów a dla siebie połowę schwytanej zwierzyny.

Prawo polowania istniało w prawie polskiem nietylko jako atrybut właściciela, względnie emfiteuty, bo w ten sposób można nazwać sołtysów, lecz także jako samoistna służebność. Tak nieraz nadawali książęta prawo łowienia bobrów w rzekach, będących własnością ogółu, n. p. w Wiśle, Pilicy, nie nadając wcale gruntów nadbrzeżnych. Księżna Kinga nadała w 1292 r. swemu kapelanowi Boguchwałowi prawo polowania w lasach książęcych [2]) na wszelkie zwierzęta i wszelkimi sposobami; musiał to być widocznie wielki amator myśliwstwa. Widzimy dalej, że nieraz przy podziałach, transakcyach familijnych prawo polowania odłączano od prawa własności, a zachowały się także i akta sprzedaży prawa polowania w własnych lasach.

Wreszcie pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden przepis dawnego prawa zwyczajowego, który wszedł następnie w skład statutu warckiego (1424) [3]), mianowicie: kto jelenia lub łosia ściganego przez psy obce lub ranionego chwytał, płacił nietylko 3 grzywny, jako zadośćuczynienie dla poszkodowanego, ale drugie 3 grzywny jako karę sądową. W tym wypadku stoi tedy prawo polskie na tem samem stanowisku, co prawo rzymskie, które stanowiło, że zwierzę ranione przez jednego, jeżeli zostanie zabitem na gruncie drugiego, staje się tegoż własnością. Oba ustawodawstwa przyznają prawo do ubitej zwierzyny temu, kto ją ubił ostatecznie, jedynie prawo polskie uwzględnia to, co możnaby nazwać *lucrum cessans* u pierwszego łowca.

Mimo bardzo licznych w XIII. w. darowizn dóbr na cele duchowne, ogromny kawał ziemi pozostawał ciągle w ręku księcia, który większą część roku spędzał, o ile go wojna nie powołała na granice kraju, na ciągłych podróżach i polowaniach w swoich obszernych kniejach. Bolesław Chrobry, według informacyi kroniki wę-

---

[1]) Kod. mał. III. 50.

[2]) Ibid. II. 184.

[3]) Helzel: Starodawne prawa polskiego pomniki I.

giersko-polskiej, ze szczególnem upodobaniem miał polować w okolicach grodu Salis w Słowaczyźnie zakarpackiej, a Kazimierz W. co roku przyjeżdżał na jelenie do Przedborza, gdzie sobie i pałac wystawił, donosi nam o tem kronikarz tego monarchy, Janko z Czarnkowa [1]). Liczny personal myśliwski otaczał księcia. Na czele stał dostojnik, zwany po łacinie *venator*, niekiedy *magister venatorum*, nazwa jego polska jest nam nieznaną, czy nazywał się, jak później, łowczym, nie wiem. Obok tego urzędnika stał zwykle w Wielkopolsce *subvenator* lub *vicevenator*, w Małopolsce urząd ten nie miał zastosowania. Z rozdziałem Polski na mnogie dzielnice, ukazują nam się łowczy na dworach książąt udziałowych, aby później, kiedy Łokietek rozdrobnione państwo napowrót silną ręką spoił, przekształcić się z urzędników rzeczywistych na dygnitarzy województw, ziem i powiatów, jakimi pozostali do upadku Rzpltej.

Na utrzymanie owych łowczych nadwornych, jak w ogóle urzędników dworskich, przeznaczał książę włości, które im oddawał w dożywotne użytkowanie, t. j. pobieranie z nich dochodów. Obok łowczych książęcych napotykamy dworzan tej nazwy na dworach biskupów (Olpa, łowczy arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jakóba Świnki) a nawet opatów, n. p. w Lądzie.

Łowczy miał pod swoimi rozkazami cały zastęp strzelców, iskaczy, jak mówiono naówczas, podzielonych na rozmaite klasy. Gallus, najdawniejszy nasz kronikarz [2]), opowiada, że Chrobry sprowadził sobie strzelców rozmaitych narodowości, którzy mu wszelką zwierzynę chwytali. Pomiędzy strzelcami odróżniano właściwych od sokolników *(aucupes)*, którzy polowali na ptaki z sokołami, i bobrowników *(castararii)*; psami zajmowali się osobni specyaliści *(caniductores)*. Na czele zastępu bobrowników stał osobny dworzanin, t. zw. pan bobrowy *(magister castarariorum)*. Rzecz jasna, że cała ta czereda nie otaczała ciągle księcia, lecz mieszkała porozrzucana po rozmaitych stronach i lasach, gdzie książę zwykł był polować. Bobrownicy mieszkali w chatach nad rzekami i jeziorami, pilnując drogocennych swych pupilów, sokolnicy po stacyach, gdzie chowano i tresowano sokoły, w t. zw. sokolnicach. Wszyscy ci ludzie należeli w czasach najdawniejszych (wiek X., XI.) do klasy ludzi niewolnych *(mancipia)*; mieszkali oni skupieni w odrębnych osadach w pobliżu grodów książęcych. Kiedy ta klasa ludności rozpłynęła się w reszcie ludności poddanej, utrzymała się tradycya, że pewne

[1]) Mon. Pol. Hist. II.
[2]) Ibid. I.

osady mają obowiązek dostarczania księciu pewnego rodzaju sług, stąd też dziś jeszcze napotykamy w rozmaitych częściach kraju naszego osady: Bobrowniki, Sokolniki, Strzelce, podobnie n. p. Kuchary, Piekary, Rybaki, Świątniki. Wszystkie te nazwy przechowują w swojem brzmieniu żywą tradycyę ludzi i stosunków z przed 8 wieków.

Wiemy, że dawne prawo polskie zwyczajowe zna szereg cały opłat i świadczeń rozmaitych, ciążących na ludności wiejskiej poddanej: jedne polegały na świadczeniach *in natura*, tak n. p. *avis*, *vacca*, *bovis*, *porina*, *srem*, *narzas*, *urna mellis*, *perna*, *parens*, *sep*, dalej opłaty targowe i mostne, drugie na usługach osobistych. Tutaj należy *stroza*, *expeditio*, stan i wreszcie najważniejsza i najbardziej uciążliwa angarya *(procuratio)* i przewód *(conductus)*, obowiązek utrzymywania i wożenia księcia z całym jego dworem podczas bytności w pewnem miejscu, dalej gońców książęcych a także, co nas w tej chwili najbardziej obchodzi, strzelców książęcych wszelakiego gatunku i stopnia. W ówczesnym języku nazywało się to „pieczować“, a nietylko ludzi mieli poddani obowiązek utrzymywać, ale także i psy książęce, które wędrowały po kraju ze swoimi mentorami — ta angarya nazywała się „psarskie“. Dalej istniało t. zw. „bobrowe“, t. j. obowiązek pilnowania i doglądania bobrów w obrębie osady. Na Kujawach obowiązek ten obejmował nawet jelenie, które widocznie były tam rzadkością; „kłoda“, t. j. przymusowe budowanie zasieków na żądanie łowczego; *conductus ferinarum*, obowiązek odwożenia ubitej zwierzyny i wożenia namiotów książęcych, wreszcie najciekawsza ze wszystkich angaryi: *falcatio* czyli „sokołowe“. Ludność była odpowiedzialną za gniazda sokole, znajdujące się w lesie, musiała ptaki te strzedz, żywić, a jeżeli pisklę zginęło, ciężkie kary spadały na ludność, niekiedy nawet kara śmierci. Rzecz jasna, że sokolnicy musieli pilną utrzymywać kontrolę nad istniejącemi gniazdami. Możemy sobie chyba łacno wyobrazić, jakie tam panowały stosunki. Łowczy niczem nie krępowani, żadnymi przepisami, żadną apellacyą nie wiązani, łupili dowolnie biednych poddanych, wybierając na swoje utrzymanie wszystko, co chata mieściła, posługując się gwałtem i przemocą w razie odmowy, a drakońskie przepisy o sokołach i bobrach nastręczały szerokie pole do duszenia i uciskania ludności. Psy i sokoły zawsze były przedmiotami wielkiej pieczołowitości ze strony ustawodawstwa polskiego, bo oto, aby ułatwić jeszcze ich utrzymanie, żądano od rzeźników miejskich, skaryszowskich n. p. (miejscowość kwitnąca w XII. w., obok Krakowa, Sącza i Sandomierza, główny punkt handlowy w Małopolsce), aby

główki zwierząt zabitych oddawali dla psów książęcych, a wątróbki dla sokołów [1]).

Poddani dóbr duchownych byli w zasadzie od tych wszystkich powinności uwolnieni, jednakowoż w rzeczywistości nie oglądali się zbyt strzelcy książęcy na granice i poddani kościelni na takie same byli narażeni prześladowania, jak świeccy. Stan ten rzeczy musiał koniecznie wywołać w kołach duchownych opór. Reakcya, sygnalizowana już poprzednio w pierwszej połowie XIII. w., i na tem polu pozostawiła swoje piętno. Inicyatywę energiczną daje po temu papież Grzegorz IX.; w latach 1233, 1236 zwraca się 90-letni starzec do episkopatu polskiego [2]), stawia biskupom przed oczy smutny stan poddanych kościelnych, którzy nie mogąc wydołać ciężarom, uciekają na Ruś lub do pogańskich Prusaków, i poleca im zająć się gorąco sprawą ulżenia ich losowi. Gdy to nie skutkuje, zwraca się papież z energiczną naganą do najwięcej winnego w tej sprawie ks. Konrada mazowiecko-kujawskiego (1238) [3]), nawet dostaje się admonicya księciu Henrykowi Pobożnemu za krzywdy, wyrządzane Kościołowi przez jego nieboszczyka ojca, ks. Henryka Brodatego.

Skutki tej akcyi, podjętej za inicyatywą kuryi rzymskiej przez całe duchowieństwo polskie, nie dają na siebie czekać. Już w stylu dyplomów, wystawionych w latach 1240—1260, są one widoczne; ciągle czytamy tam o ucisku poddanych, nadużyciach oficyalistów książęcych, przebija się w nich przejęcie się niesprawiedliwością własną, obawa otrzymania absolucyi i zbawienia wiecznego, motywa, które zazwyczaj kierowały czynami ludzi XIII. wieku. W r. 1242 [4]) wychodzi wielkie rozporządzenie księcia Konrada, wydane w porozumieniu z synami Mieszkiem i Bolkiem, normujące stosunki w dyecezyach gnieźnieńskiej, kujawskiej i płockiej. Główne punkta tego ważnego aktu są następujące: 1) raz w rok należy się księciu od poddanych utrzymanie zupełne, poza tem mają obowiązek dostarczyć utrzymania dla 1 woźnego *(perticarius)* i 1 strzelca; podwód dostarczają tylko do granic kasztelanii; 2) książę ani nikt w jego imieniu nie będzie polował w lasach kasztelanii łowickiej i wolborskiej, chyba przypadkiem przejeżdżając tamtędy; 3) dobra biskupie uwolnione są od utrzymania wędrujących sokolników książęcych, który to obowiązek obejmuje jedynie bobrowników; 4) polujący na jelenie

[1]) Kod. mał. II. 124.
[2]) Kod. wielk. I. 125, 161.
[3]) Ibid. 177.
[4]) Ibid. 196.

dla księcia zadowalniać się będą tem, co im ludność ofiaruje dobrowolnie, nie wybierając niczego gwałtem. O ile te postanowienia były przestrzegane, dzieje milczą. Oprócz tego rozporządzenia znamy sporo innych drobniejszych, zmierzających do ustanowienia stałego, na prawie zwyczajowem opartego, wymiaru powinności ze strony poddanych. Przytoczę jeszcze na Kujawach obowiązujący przepis, który pozbawia strzelców prawa domagać się od poddanych noclegu, należało im się bowiem tylko siano i to raz na rok. Co do znienawidzonego „sokołowego“ stanowi przepis z r. 1263, że jeżeli się sokół zechce gdzieś na nowo zagnieździć, poddani mogą go niedopuścić, a drzewo ściąć.

W każdym razie musimy skonstatować około połowy XIII. w. stanowczy zwrot ku lepszemu tak w położeniu ludności poddanej w ogóle, jak i w surowych przepisach dawnego prawa zwyczajowego na polu łowiectwa, a przyczyniła się do tego także niepomiernie kolonizacya, która w miejsce obowiązującego prawa polskiego wprowadziła prawo niemieckie z jego szerokiemi swobodami. Kierunek ten postępowy osiąga punkt kulminacyjny swego rozwoju za rozumnych i sprawiedliwych rządów króla Kazimierza.

Prawa polowania nie osiągnęła ludność wieśniacza nawet wtedy, zależało to w zupełności od właściciela, który oczywiście mógł swoim poddanym na polowanie zezwolić. Jeżeli ktoś zabił jakąś zwierzynę w dobrach klasztoru lubińskiego bez pozwolenia opata, podlegał sądownictwu pierwotnie kasztelana lub książęcego prokuratora, później opata (powód i sędzia w jednej osobie, szczegół charakterystyczny dla pojęć prawnych wieków średnich), który wybierał grzywny sądowe. Ma się rozumieć, że te zakazy polowania były tylko martwą literą, łatwość polowania wielka, kontrola prawie żadna, pojęcia etyczne o własności słabo wyrobione, któż potrafiłby się oprzeć pokusie upolować sobie od czasu do czasu zająca, czy rogacza?

W czasach, o których mówimy, było polowanie nietylko przyjemnością czy sportem, ale także zajęciem bardzo korzystnem, bo dostarczającem pieniędzy wprawdzie nie złotych, ani srebrnych, ani nawet miedzianych, lecz po prostu skórzanych. Mam tu na myśli fakt, że w czasach najdawniejszych skórki zwierząt drobniejszych: kun, łosiów, lisów, wiewiórek, zastępowały miejsce pieniędzy, jako środka wymiany i miernika ceny. Słowiańszczyzna słynęła ze swoich skór od pierwszych swoich dni; wspomina już o tem bogactwie kronikarz gocki, Jardanis czyli Jarnandes (piszący około r. 550) [1]. To

[1]) Wyjątki w Mon. Pol. Hist. I.

też nic dziwnego, że w czasach, kiedy pieniądz był rzadkością, wpadli ludzie na pomysł posługiwać się w celach wymiany tym tak tanim i powszechnym produktem. Na Rusi w obiegu były nietylko skórki, ale i główki, nóżki, nosy zwierzęce. W skórkach składano najdawniejsze daniny na rzecz kasztelanów; dziesięcina ze skórek bardzo wysokie zajmuje miejsce w uposażeniu klasztorów XII. w., a jako zamiennik, choćby przy sprzedaży nieruchomości, występują skórki zwierzęce jeszcze na początku XIV. w. Szczególnie doniosłem było zastosowanie skórek przy oznaczaniu kar sądowych. Kary pieniężne znane dawnemu prawu polskiemu: siedmdziesiąta, pięćdziesiąta, obliczone były w grzywnach skórek, a że w XIII. w. grzywny skórek, czyli, według naszej terminologii sądowej, „łupieże“ równały się $1/_3$ wartości grzywny srebra 48 groszowej, a w XIV. w. $1/_5$ tejże grzywny, więc *de facto* skazany na naszą najwyższą karę pieniężną: „siedmdziesiątą“, płacił w srebrze tylko 14 grzywien, skazany na pięćdziesiątą płacił tylko 10. Podobnie, kto naganił wyrok sędziego *(Urtheilschelte)*, stawiał *vadium* w skórkach. Ustawodawstwo wiślickie stanowi, jakie łupieże należą się poszczególnym sędziom: najdroższe gronostajowe kasztelanowi krakowskiemu, łasicze wojewodom i kasztelanom sandomierskiemu i lubelskiemu, reszcie sędziów kunie a podsędkom i pisarzom najgorsze, bo lisie [1]).

W handlu skóry i futra polskie wysoko były cenione. Wywożono takowe, niemniej jak i pierze i włosy zwierzęce, na zachód do Niemiec a szczególnie na Pomorze do Gdańska i innych portów, skąd je morzem posyłano na targi angielskie i francuskie. W handlu wewnętrznym głównem targowiskiem na skóry był Skaryszów. Mieszczanie tamtejsi mieli wyłączne prawo sprzedawania ich na swoim targu [2]), przepis zgodny z całym duchem ustawodawstwa handlowego wieków średnich. Miasta z Krakowem na czele dążyły do tego, aby cały handel skórami skupić w ręku cechu kuśnierskiego i zapewnić mu w ten sposób monopol. Do osiągnięcia tego celu zmierzały wilkierze, zabraniające nabywać skór w mniejszych ilościach, w skutek czego potrzebujący skór, nie jako środka dalszej produkcyi, jeno na własny użytek, musiał z konieczności zwracać się do cechu, który mógł swobodnie oznaczać ceny. Co się tyczy handlu zwierzyną, to w Krakowie n. p. istniały odrębne jatki na rynku, których właściciele ofiarowywali co roku burmistrzowi na

[1]) Ustawodawstwo wiślickie u Helzla: Starod. prawa polskiego pomniki I.

[2]) Kod. mał. II. 124.

jego urodziny po dwie kuropatwy. Wilkierz z końca XIV. w. zabronił kupować zwierzynę po gospodach a nie w owych jatkach.

Przeszliśmy w ten sposób cały zamierzony obszar, od pieczęci i herbów aż do jatek na krakowskim rynku. Wzięliśmy po kolei wszystkie mioty i zdaje mi się nie bez pewnych rezultatów. Sądzę, że udało nam się upolować parę szczegółów może nieznanych, a może i ciekawych.

Wiele się też rzeczy zmieniło od tych czasów. Bobry i tury znikły z naszych kniei, niedźwiedzie chronią się w kryjówkach karpackich, a przez miejsca, które były naówczas ich wyłącznem królestwem, przelatują dzisiaj, świszcząc i sapiąc, pociągi kolejowe. Na miejscu zasieków sterczą kominy fabryk, zamiast oszczepem godzić w dzika, stając z nim oko w oko, kładziemy go bezpiecznie ze strzelby trupem. Bobrownicy i sokolnicy nie duszą nas swojemi pretensyami, żadna dotychczasowa reforma podatkowa jeszcze ich nie zdołała wskrzesić. Zamiast płacić kary w skórkach, wprowadziła nowoczesna cywilizacya ulepszone więzienia, a wątpię, czy zgodziłby się dzisiaj ktokolwiek, by mu wypłacano płacę w ogonach lub uszach lisich, a choćby łasiczych, ale za to wolno nam kupować skóry, gdzie nam się podoba i wiele nam się podoba, a burmistrz krakowski nie ma na imieniny pieczystego z kuropatw za darmo.

Z drugiej strony niektóre punkta, przezemnie poruszone, nie są i wśród dzisiejszych stosunków bez znaczenia, n. p. prawo polowania ludności wolnej, nie mającej lasów, sprawa własności zwierzyny, kwestye, które niedawno były przedmiotem obrad sejmu galicyjskiego przy sposobności wniesienia nowej ustawy łowieckiej.

Wreszcie chcę dodać jeszcze na zakończenie, że w ścisłym związku z całem łowiectwem stały dwie inne gałęzie gospodarstwa społecznego, mianowicie rybołowstwo i bartnictwo. Te same ogólne zasady wytykają rozwój wszystkich tych instytucyi, które należałoby traktować wspólnie i równorzędnie. Jednakowoż dotyczący materyał okazał się zbyt obszernym, tak, że musiałem się na razie ograniczyć na omówieniu, o ile możności dokładnem, łowiectwa, zachowując sobie na później głos w sprawie ryb i barci.

STANISŁAW HENRYK BADENI.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część druga.

II.

(Ciąg dalszy).

Rzeszów. zamieszkały przeważnie przez żydów, zasługiwał, zdaniem naszego autora, na miano galicyjskiej Jerozolimy. Żydzi rzeszowscy zajmują się głównie złotnictwem. wyrabiając towary galanteryjne, zwane rzeszowskiem złotem. Miasto to było siedzibą urzędu obwodowego i drogowego. poczty i katolickiego gimnazyum. Zdobiło je wiele domostw nowych. a do ożywienia tej miejscowości przyczyniała się niepomiernie przepływająca tuż pod miastem rzeka Wisłok, przez którą przeprawiać się trzeba było na promie. Położenie Rzeszowa w samym środku kraju, nad spławną rzeką. kwalifikowało to miasto na stolicę. W dawnym, warownym zamku mieścił się urząd obwodowy. Złe wrażenie na przybywających do Rzeszowa sprawiało jedynie natręctwo żydów, ofiarowujących na każdym kroku swe usługi. Na Sędziszów, Ropczyce, Dębicę i Pilzno udał się Bredetzky do Tarnowa, który mu niczem nie przypominał miast i miasteczek galicyjskich. Dobrze zbudowane, dwupiętrowe kamienice nadają mu pozór niemieckiego miasta. a gdy i żyd mniej się przybywającemu narzuca, to sądzić można, że się jest za granicami Galicyi. Podobnie jak Jarosław, posiada też Tarnów bruk kamienny. Miasto leży na wzgórzu i domy nie zakrywają się wzajemnie. co z pewnej odległości sprawia widok bardzo ładny. Prócz urzędu obwodowego, istniały w Tarnowie tabula krajowa, poczta i szkoła katolicka. Ztąd na Brzesko i Bochnię jechał nasz autor do Gawłowa i Majkowic, przez okolicę, najbardziej żyzną — jego zdaniem — w Galicyi, gdzie też osadnicy niemieccy pozostają w najlepszej zgodzie z krajowcami, współzawodnicząc z sobą co do uprawy ziemi.

Z Majkowic wiodła droga leśna do Niepołomic, siedziby kameralnego inspektoratu. Mieszkania urzędników, piękny szpichlerz kameralny i kościół nadawały tej miejscowości pozór miasteczka.

Zwiedziwszy Wieliczkę, Bochnię i Kraków, opisuje Bredetzky dość szczegółowo kamieniołomy, w okolicy Podgórza istniejące, z których też od lat niepamiętnych korzystał Kraków. Przy tej sposobności nadmienia o krzemieniu, znajdującym się wśród pokładów wapnia, tudzież o fabryce zamków krzemiennych do broni palnej, założonej przez radcę górniczego, Wampego, i wielickiego pocztmistrza, Reichendorfera, między Bielanami a Krakowem. Słysząc wiele o trudności manipulacyi przy przyrządzaniu owych zamków, zdumiał się niemało nasz autor, widząc kilku wiejskich wyrostków, uskuteczniających tę czynność z jak największą zręcznością przy pomocy zwykłego młotka i kowadełka.

W Wiśniczu, przezwanym przez Bredetzky'ego galicyjską Spandawą, zauważył on na grzbiecie góry klasztornej nader bogatą rudę żelazną, niewyzyskaną przez ludność okoliczną. Wobec bogactwa lasów okolicznych doradzał Bredetzky założenie kuźnic żelaznych, do czego możnaby użyć więźniów miejscowych.

Po bezdrożach zupełnych, na Lipnicę i Limanowę, jechało się do Nowego Sącza, ongi warownego miasta, leżącego wśród malowniczej, bardzo żyznej doliny, przerzniętej Dunajcem i Popradem. Stary Sącz przedstawia się zdaleka bardzo pokaźnie, ale za zbliżeniem się widzi podróżny, że ma przed sobą mieścinę brudną, zabudowaną lichemi chałupami. Za Nowym Sączem leżały osady niemieckie: Grodzko, zakupione i rozparcelowane przez kolonistów, Dąbrówka, powstała w miejsce opuszczonej przez żydów kolonii, zwanej Nową Jerozolimą, wreszcie pomniejsze kolonie, Biegonice i Stadło. Najzamożniejsi wszakże osadnicy przebywali we wsiach między Starym Sączem a Rytrem. Niektórzy z nich pozakupowali okoliczne grunta dworskie i podzielili je między siebie. Głównem źródłem ich dochodów była uprawa i handel nasieniem koniczu. W roku 1807 osadnicy tamtejsi przesłali tysiąc cetnarów koniczu do Koszyc, sprzedając cetnar po pięćdziesiąt złotych. Obok handlu zbożem, bydłem i nabiałem, trudnili się też koloniści handlem wina węgierskiego. Za Piwniczną w Mniszku przekroczył Bredetzky granicę węgierską, udając się w dalszą podróż, nie wchodzącą w zakres niniejszego streszczenia.

Króciuchny, bo zaledwo dwie strony tekstu liczący rozdział trzynasty leżącej przed nami książki, zatytułowany: Statystyczne Miscelanea, zawiera sprostowanie dat, błędnie podanych w statystyce Bisingera, zaś z tabeli, dołączonej w tem miejscu, wyjmiemy kilka

szczegółów statystycznych, dotyczących Lwowa, Krakowa, Przemyśla, Rzeszowa, Tarnowa, Bochni i innych miast znaczniejszych Galicyi. Cyfry, podane przez Bredetzky'ego, opierały się na konskrypcyi, ukończonej w maju 1808 roku. I tak Lwów liczył w owym czasie 2.515 domów, 10.133 mieszkań i 41.493 miejscowej ludności, wśród której znalazło się: 202 księży, 767 szlachty, 864 urzędników i honoracyorów, 837 mieszczan, rękodzielników, artystów, 46 chłopów i 5.888 chałupników, oraz ludzi rozmaitego zajęcia. Co do innych miast, poprzestaniemy na wyliczeniu ogólnej cyfry ludności. Kraków liczył 25.736 stałych mieszkańców, Przemyśl 7.358, Rzeszów 4.604, Tarnów 4.312, Bochnia 3.109, Złoczów 6.168, Nowy Sącz 3.629, Jasło 1.493, Żółkiew 2.166, Sanok 1.520, Sambor 6.573, Stryj 5.474, Stanisławów 6.192, Brzeżany 4.357, Tarnopol 7.093, Zaleszczyki 1.603, Czerniowce 5.416.

W końcowym rozdziale książki Bredetzky'ego znajdujemy kilkowierszowe objaśnienie illustracyi, zdobiącej tę pracę a przedstawiającej ogólny widok Lwowa.

Mimo chaotycznego układu treści dzieła, zakrawającego raczej na luźne notatki podróżnicze, aniżeli na systematyczny opis kraju, praca Bredetzky'ego zawiera wiele cennych i ciekawych szczegółów, tem ważniejszych, że opartych na naocznej, spokojnej obserwacyi lub też na datach urzędownie stwierdzonych. Z tego też powodu *Wspomnienia z podróży* pozostaną na zawsze ważnym przyczynkiem do dziejów rozwoju ekonomicznego Galicyi z końcem wieku ubiegłego i z początku obecnego stólecia.

Drugą z kolei, książkową pracą Bredetzky'ego jest wspomniany już poprzednio: *Przyczynek historyczno-statystyczny do dziejów kolonizacyi niemieckiej w Europie*, wydany w Bernie u Trasslera w roku 1812. Z przedmowy dowiadujemy się, że praca ta została napisaną już w roku 1808, oraz, że autor wbrew ogólnemu brzmieniu tytułu opracował na razie tylko dzieje kolonizacyi niemieckiej w Galicyi, którą to rozprawę uzupełnił spisem alfabetycznym wszystkich kolonii niemieckich w naszym kraju.

Pierwsza kolonia niemiecka w Galicyi powstała na wschodniej granicy dawnej Rzeczypospolitej, na lat dwadzieścia i kilka przed rewindykacyą. Twórcą jej był ojciec Stanisława Augusta, kasztelan krakowski, Poniatowski, dziedzic Zaleszczyk, który założywszy po drugiej stronie Dniestru miasteczko, zalecił w r. 1750 swemu plenipotentowi, podpułkownikowi, Rudolfowi Oettykierowi, sprowadzenie niemieckich osadników. Oettykier, sam wyznawca kościoła reformowanego, rozesłał werbowników do Prus i Saksonii, a zamierzając

wprowadzić w ruch w Zaleszczykach fabrykę sukna, pobudował odnośne gmachy i domki dla robotników. Zanim wszakże gmachy te pokończono. jęli już przybywać, sprowadzeni przez werbowników, rzemieślnicy. których na razie pomieszczono i zatrudniono w Lataczu, w dobrach Oettykiera. Jakkolwiek ten ostatni nie szczędził trudów. ni grosza, celem należytego rozwoju zaleszczyckiej fabryki, to jednak nie brakło przeszkód, utrudniających w wysokim stopniu doprowadzenie do skutku tyle korzystnego dla krajowego przemysłu dzieła. Jedną z głównych przeszkód była kwestya wyznaniowa. Przybyli rzemieślnicy byli protestantami i mieli sobie przyrzeczone wolne wykonywanie swych praktyk religijnych, gdy tymczasem władza duchowna przez usta biskupa kamienieckiego stanowcze przeciw temu założyła *veto*. Wobec tego Poniatowski postarał się w roku 1759 u sąsiedniego hospodara mołdawskiego, Jana Teodora Kallimacha, o pozwolenie na budowę zboru reformowanego na jego terytoryum. Pertraktacye pod tym względem przeprowadzone, uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem. Kalimach zgodził się na założenie kolonii, na budowę zboru i szkoły na swem terytoryum i wydał odnośny dokument na piśmie, który jeszcze Bredetzky oglądał w przechowaniu gminy w Zaleszczykach. Na zasadzie tego pozwolenia wydzierżawił Oettykier leżącą tuż naprzeciw Starych Zaleszczyk wieś Filipcze, własność bojara Manoli. a rozpocząwszy budowę zboru, szkoły, tudzież domków dla osadników, zalecił negocyantowi, Döringowi, w Elblągu, pozyskanie nowych osadników dla Filipcza. Prócz bezpłatnego przewozu kolonistów i dostarczenia im potrzebnych na zagospodarowanie inwentarza oraz narzędzi, zapewniono im wolność wyznania oraz uwolnienie po wieczne czasy od wszelkich poddańczych powinności. Położenie nowej osady, oraz przyrzeczone korzyści zwabiły na mołdawską stronę wielu przybyszów rozmaitych zawodów, wśród których wszakże szczupła była tylko liczba rękodzielników i rolników. Przeważał natomiast w owem gronie żywioł awanturniczy, który nie mógł kolonii zapewnić prawidłowego rozwoju. Zaraza na bydło i nieurodzaj, nawiedzające Mołdawię w latach 1760—1761, omal, iż nie zniweczyły bytu kolonii, mimo szczodrych zasiłków kasztelana Poniatowskiego, tudzież przychylnej opieki, użyczanej osadnikom ze strony hospodarów, następców Kalimacha. Tymczasem ukończono budowę zboru i szkoły, sprowadzono z Niemiec pastora i rektora, a ponieważ wydatki te znaczniejszych wymagały zasobów, przeto zarządzono składkę między wyznawcami reformowanego kościoła. Datki protestantów, zamieszkałych w Warszawie, w Gdańsku, w Toruniu, w Elblągu i w Królewcu,

przyniosły sumę piętnastu tysięcy złotych, a kollektanci puścili się następnie do Holandyi i Anglii, gdzie niemniej przychylnego doznali przyjęcia. W miarę wszakże, jak wzrastała zamożność funduszów wyznaniowych gminy, obniżały się jej siły żywotne. Przewrotna polityka hospodarów mołdawskich, pragnących przeniesienia fabryki sukienniczej z Zaleszczyk do Jass, rozruchy krajowe, powstałe podczas elekcyi Stanisława Augusta, niezgoda osadników, wreszcie śmierć Oettykiera w roku 1766, spowodowały upadek kolonii w Filipczu, podczas gdy Stanisław August szczególniejszą otoczył opieką wyniesione świeżo do rzędu miast Zaleszczyki. Pastor tamtejszy, obdarzony tytułem królewskiego audytora, uzyskiwał w ten sposób możność wykonywania swych funkcyi w całym kraju, zaś na zbór zaofiarował król gminie budynek, będący jego prywatną własnością. W r. 1766 kolonia w Filipczu stopniała do szczupłego grona czterech rodzin, które częściowo przeniosły się do Rosyi, częścią zaś osiadły w Zaleszczykach.

Załatwiwszy się w ten sposób z dziejami pierwszej w Galicyi kolonii niemieckiej, obszerniejszą wzmiankę poświęca Bredetzky jednemu z najruchliwszych przybyszów do naszego kraju, Preschlowi, który w budzącym się ruchu ekonomicznym tej prowincyi znaczną odegrał rolę. Preschel był współpracownikiem znanego w całej Polsce domu bankowego w Warszawie Piotra Teppera i w r. 1766 wszedł w spółkę z lekarzem i rajcą lwowskim, Tomaszem Francki, który przedtem był współwłaścicielem, prowadzonego pod firmą Jana Skrochowskiego, handlu sukiennego. Nie mogąc jako protestant uzyskać prawa obywatelstwa we Lwowie, założył Preschel sklep sukienny pod firmą Franckiego, a następnie udawszy się do Warszawy, uzyskał od Stanisława Augusta tytuł nadwornego komisarza, nadający mu prawo do prowadzenia handlu bez posiadania praw miejskich. W r. 1767 odbył Preschel podróż kupiecką do Jass, a w roku następnym rozpoczął na wielką skalę sprzedaż produktów krajowych: pszenicy, grubego płótna, tytoniu, surowych skór bydlęcych, potażu, drzewa materyałowego i klepek, za granicę. W zamian za to sprowadzał z fabryk angielskich i francuskich sukna, materye jedwabne i bawełniane, wyprawiane skóry a nawet gotowe buty i trzewiki. Surowe skóry wysełał do Lipska i Wrocławia celem wyprawy, gdyż w kraju nie było żadnej garbarni. Do stworzenia zakładu tego rodzaju w Galicyi posłużył Preschlowi przypadek. Oto w roku 1769 zjawił się we Lwowie niejaki Dambleve, garbarz z Leodyum, powracający z Rosyi. Z nim zawarł Preschel umowę co do założenia garbarni, na której pomieszczenie obrano po dłuższem szukaniu Busk,

gdzie też Dambleve zakupił bezwłocznie niewielki młynek, stojący na odnodze Bugu, tudzież przyległe grunta. Do spółki, prócz Dambleve'a, pełniącego obowiązki technicznego kierownika przedsiębiorstwa, przypuścił Preschel jeszcze kupca Longchampsa i lekarza Merceniera, którzy dostarczyli potrzebnych na budowę garbarni kapitałów. Starosta buski, Mier, widząc szybko rosnące budynki nowego przedsiębiorstwa, darował Preschlowi bagnistą przestrzeń, ciągnącą się między fabryką a Bugiem, tudzież znaczny obszar gruntu pod ogród. Bagno, zasypywane zużytą dębnicą garbarską, przeobraziło się z czasem w okazały sad, do którego sprowadzono rozmaite gatunki zagranicznych drzew owocowych. Otwarcie garbarni nastąpiło w maju 1770 roku. Zaczęto od wyprawiania skóry na podeszwy. Prócz Dambleve'a, jego żony i syna, zawodowego garbarza, sprowadzono jeszcze dwóch czeladników z Leodyum, którzy z pomocą pozyskanych w Galicyi niemieckich garbarzy i wynajętych w Busku pomocników zabrali się do roboty. W ciągu pierwszego roku fabryka zatrudniała trzydziestu robotników, którzy wyprawili tysiąc sztuk skór na podeszwy i 3.000 sztuk na przyszwy. Prócz licznych odbiorców w kraju, wysełała fabryka swe wyroby do Lipska i Brunświku na sprzedaż, lecz skutkiem niesumienności tamtejszych korespondentów poniosła znaczne straty. Zrażeni niemi, wycofali się ze spółki Longchamps i Mercenier, pozostawiając przedsiębiorstwo Preschlowi, który w niemałym znalazł się kłopocie, gdy w ciągu roku wymarła cała rodzina Damblewów wraz z oboma leodyjskimi pomocnikami, skutkiem nadużycia alkoholu... Zastąpiwszy zmarłych niemieckimi robotnikami, doczekał się Preschel lepszych dla swego przedsiębiorstwa czasów. Gdy bowiem założono w roku 1774 komisyę mundurową w Jarosławiu, zgłosił się on z propozycyą dostarczania potrzebnych dla wojska skór i rzemieni, a zwalczywszy w Wiedniu uprzedzenie, jakie przeciw krajowym wyrobom żywiono, wyszedł zwycięzko z zaofiarowanej mu próbnej dostawy i otrzymał stałe zamówienie na skóry dla wojska, załogującego w Galicyi. Dostawą dla jarosławskiej komisyi mundurowej trudnili się i synowie starego Preschla, Józef i Ludwik, którzy po nim objęli kierownictwo garbarni.

Miasteczko Busk, niegdyś obronne, leży na wyżynie między Pełtwią a Bugiem. Okolica jest nadzwyczaj urodzajna. W roku 1807, gdy Bredetzky zwiedzał po raz pierwszy tę miejscowość oraz zakłady Preschla, zwróciła jego uwagę piękna chmielarnia, którą założył tenże przemysłowiec, zmuszony do objęcia browaru przez niewypłacalnego dłużnika. Widząc, iż za cetnar czeskiego chmielu trzeba płacić do ośmdziesięciu złotych reńskich, sprowadził sadzonki i do-

świadczonego chmielarza z Czech, zaś suszarnię wyprodukowanego chmielu założył w zakupionym od rządu, dawnym klasztorze Dominikańskim. Cesarz Józef II. dwukrotnie zwiedzał garbarnię Preschla, który i około upiększenia Lwowa pewne położył zasługi, osuszając bagna, by zyskać miejsce potrzebne pod budowę domów i ogrody. Straciwszy wzrok, zmarł Preschl w dniu dwudziestym siódmym września 1808 roku w Busku, licząc lat 75.

Poświęciwszy tak obszerną wzmiankę osobistości Preschla i dziejom rozwoju jego przedsiębiorstw, przechodzi Bredetzky do omówienia ogólnego przebiegu dzieła kolonizacyi Galicyi, której głównemi zadaniami były: wzmożenie populacyi krajowej, oraz ulepszenie gospodarki miejscowej tak w dziedzinie gospodarstwa rolnego, jak lasowego. Przytacza następnie w dosłownem brzmieniu patent kamery sandomierskiej z roku 1781, przyrzekający przybywającym osadnikom, rolnikom i rękodzielnikom obok bezpłatnego prawa obywatelstwa, dziesięcioletniej wolności od podatków, uwolnienia od służby wojskowej, także bezpłatne użyczenie budulca, gruntu pod domostwo i ogród, (dla rolników 40 morgów roli, łąk i ogrodu), wreszcie 50 złr. na zakupno inwentarza i sześcioletnie zwolnienie od wszelkich powinności poddańczych. Z końcowego ustępu rzeczonego patentu dowiadujemy się o nadzwyczajnej taniości artykułów spożywczych, panującej w okolicy Sandomierza. Funt cielęciny kosztował 2—2$^{1}/_{2}$ krajcara, wół 12—15 złr., krowa 6—7 złr., nierogacizna 2—3 złr., kogut 6 krajcarów, kaczka 8 krajcarów, gęś 12 krajcarów. Było to więc prawdziwe Eldorado dla zbiedzonych przybyszów, emigrujących z przeludnionych i spustoszonych wojnami francuzkiemi prowincyi nadreńskich, zkąd pochodziła większość wychodźców, choć nie brakło w Galicyi i kolonistów ze Szwabii, głównie z księstwa Geldern. Ztąd też ludność krajowa przezwała ogół kolonistów mianem Szwabów. Zachęcająco dla niemieckich przybyszów działała też okoliczność, iż pierwsze kolonie zakładano w żyznej i pięknej dolinie sądeckiej. „I w rzeczywistości“ — słowa Bredetzky'ego — „nie ma nic śmieszniejszego nad uprzedzenie żywione wobec Galicyi w innych prowincyach monarchii. Nazywają ją austryacką Syberyą. A jednak północne, górskie żupanaty na Węgrzech mają klimat o wiele surowszy. Uważają tę prowincyę jako ubogą, choć Węgry nie wywożą więcej od niej zboża za granicę. Lwów posiada wyższą, miejską kulturę i zamożność, aniżeli Preszburg i Buda“ . . .

Klimat galicyjski bardziej od węgierskiego okazał się sprzyjającym dla kolonistów niemieckich a zmiana warunków bytu wpłynęła dodatnio na uszlachetnienie rasy przybyszów.

Chcąc określić położenie materyalne Niemców w Galicyi, przywodzi nasz autor kontrakt, zawarty w dniu 12. czerwca 1786 r. między osadnikami niemieckimi a administracyą kameralną w Gawłowie. W ogóle każdy kolonista uzyskiwał: 1) dziesięcioletnią wolność od wszelkich podatków, danin, od powinności poddańczych i dziesięciny; 2) podczas podróży na każdą głowę dziesięć krajcarów dziennie strawnego; 3) zupełnie wykończone mieszkanie wraz z stajnią; 4) grunt od 24—40 korcy wysiewu; 5) dwa woły lub parę koni, dwie krowy, dwie sztuki nierogacizny; 6) narzędzia gospodarcze, począwszy od okutego żelazem wozu a skończywszy na kosie: 7) żywność na przeciąg pierwszego roku pobytu oraz obsianie pól wydzielonych. Ponieważ zaopatrzenie powyższe osadnika kosztowało w szczerzeckiej administracyi dóbr 1.200 złr., przeto koszt osiedlenia 213 kolonistów w tych dobrach kameralnych pochłonął sumę 375.600 złr. Gdyby sumy, wydane na kolonizacyę, zostały w rzeczywistości użyte na ten cel, to stan kraju mógłby być kwitnącym. Tak jednak nie było, gdyż wśród komisarzy kolonijnych znaleźli się ludzie, pragnący jak najrychlejszego wzbogacenia się kosztem skarbu. Budowali przeto budynki tak liche, iż po krótkim przeciągu czasu groziły zawaleniem. Mimo taniości bydła, kupowali drogo najgorsze sztuki. Na ujemny rezultat dzieła kolonizacyi wpłynął też pośpiech, z jakim ją uskuteczniano. Kilkaset rodzin musiano żywić przez czas dłuższy, zanim znalazło się dla nich pomieszczenie. We Lwowie wszystkie klasztory przepełnione były przyszłymi osadnikami, gnuśniejącymi bezczynnie. Chcąc się ich pozbyć, budowano domy szybko, źle i drogo. Nadto, gdy koloniści znaleźli się już na miejscu, okazało się, że wielu z nich miało tyle pojęcia o gospodarstwie rolnem, co o Justyniańskiem ustawodawstwie, gdyż manifesty monarsze znęciły do Galicyi wielkie mnóstwo awanturników, stroniących od pracy, skorych do kłótni i bójki. Tak więc w pierwszych latach kosztowne dzieło kolonizacyi zdawało się zupełnie chybionem i sporo czasu było potrzeba, zanim ziarno oddzieliło się od kąkolu. Złe żywioły wśród kolonistów usunęły się lub przepadły, zaś robocze siły zdobyły sobie zamożność.

Nader dodatnio przedstawia Bredetzky współczesne stosunki, panujące wśród osadników niemieckich w Galicyi. Młode pokolenie odznaczało się pracowitością. Kobiety pracowały na równi z mężczyznami w polu. W urządzeniu domowem przebijały się na każdym kroku dostatek i porządek, zwłaszcza u osadników w obwodach: nowosądeckim, bocheńskim, szczerzeckim i lwowskim, choć nie brakło i widoków przeraźliwej nędzy wśród kolonistów, osiadłych na pia-

skach nadwiślańskich lub w okolicach Dobromila. Wszędzie zachowali koloniści strój swój narodowy, przejąwszy od miejscowych włościan jedynie sierak, jako zabezpieczający ich od słoty i zamieci. Mniej korzystnie przedstawiały się stosunki moralne, panujące wśród kolonistów. Wprawdzie odbyta droga przez nieznane im przedtem kraje, wpłynęła pomyślnie na ich intellektualne zdolności, z drugiej jednak strony przejęli oni wiele nałogów od otaczającego ich społeczeństwa. Do tych wad należało przedewszystkiem nadmierne używanie wódki podczas rodzinnych uroczystości. W ogóle poziom moralności kolonistów zawisł, zdaniem naszego autora, od stopnia ich zamożności, gdyż ubogie kolonie obywać się musiały bez pastora i szkoły. Tu właśnie wytyka Bredetzky niewłaściwą taktykę komisyi kolonizacyjnej, która miasto skupiania przybyszów w większych osadach, rozpraszała ich grupami, liczącemi od 8—20 numerów, po całym kraju. Wobec tego nauka dziatwy i wykonywanie praktyk religijnych przez starszych były niezmiernie utrudnione, a w parze z owem zaniedbaniem szły: rozluźnienie węzłów moralności rodzinnej, mnożąca się liczba wypadków niewiary małżeńskiej, chęć do oszukiwania przy sprzedaży produktów wiejskich w mieście za pomocą fałszywej miary i wagi.

Bardzo obszernie odpowiada też nasz autor na pytanie, czy państwo osiągnęło cel zamierzony kolonizacyą Niemców w Galicyi? Zaznaczywszy u wstępu, iż pod tym względem zdania są wielce podzielone i że obok entuzyastycznych chwalców kolonizacyi znajdują się niemniej stanowczy jej przeciwnicy, choćby tylko ze względów narodowościowych, podnosi Bredetzky zasługę kolonistów, którzy swą pracą użyźnili leżące przedtem odłogiem znaczne obszary kraju, a zarazem dobrym przykładem przyczynili się niepomiernie do ulepszenia gospodarstwa rolnego. W tej mierze opiera się nasz autor na rękopiśmiennej *Historyi galicyjskich dominiów i gospodarstwa rolnego*, spisanej przez jednego z urzędników krajowych a wykazującej wpływ dodatni, wywarty przez kolonistów na krajowców zarówno w dziedzinie uprawy roli, jak chowu bydła, produkcyi koniczu i rzepaku, tudzież sadownictwa. Z rozprawy owego anonima dowiadujemy się również, że koloniści obok gospodarstwa rolnego trudnili się również rzemiosłem, jak stolarstwem i ciesielstwem, a w Dobrzanicy stworzyli całą fabrykę wyrobów ze słomy.

W łączności z pytaniem, o ile korzystną dla rządu była kolonizacya Galicyi, pozostawała poruszona w pismach współczesnych kwestya, czy miasto dzielenia ziemi między osadników nie należałoby skarbowi prowadzić gospodarstwa we własnym zarządzie? Nasz

autor oświadcza się stanowczo przeciw gospodarce skarbowej, korzystnej dla urzędników, nie dla skarbu, dającej pole do rozmaitych nadużyć a obniżającej wśród osadników chęć do wiedzenia racyonalnej gospodarki.

Jeżeli jednak państwo nie chce stracić bezkorzystnie wydatków, poniesionych na kolonizacyę, to musi dbać o to, aby osadnicy nie zdziczeli pod względem intelektualnym i moralnym. Doradza przeto Bredetzky popieranie usiłowań kolonistów w kierunku zakładania szkół przez stworzenie seminaryum nauczycielskiego, polepszenie płacy i wynagradzanie pilniejszych nauczycieli, uposażenie pastorów z funduszów rządowych, pomoc ze strony skarbu w budowaniu szkół i zborów.

„Wiele zamysłów wielkiego cesarza Józefa II.“ — pisze Bredetzky w zakończeniu pierwszej części swej rozprawy — „nie zostało uwieńczonych pomyślnym rezultatem, pożądanym dla jego serca. Za prędki, zbyt gorący w przeprowadzaniu swych planów, musiał się często łudzić, często mylić w wyborze środków i często też pracować bez powodzenia. Lecz pięknie i wspaniale przedstawiają się trofea jego rządów w Galicyi. Tysiące rodzin, ocalonych przez niego od nędzy i obdarzonych dostatkiem oraz wolnością, błogosławią jego pamięć.“

Druga część *Przyczynku historyczno-statystycznego* powstała później od pierwszej, w roku 1810 i zawiera opis kolonii niemieckich w Galicyi, ułożony w porządku abecadłowym. W zestawieniu tem uwzględniał nasz autor daty, dostarczane przez poszczególne dominia oraz przez administracyę dóbr kameralnych, tudzież podane mu przez pastorów wyznania protestanckiego, posiłkując się również sumaryuszami rządowej konskrypcyi, choć te ostatnie mniej pewne dawały mu cyfry, zaliczając kolonistów do wsi pobliskich. Ogółem wylicza Bredetzky w swym spisie 175 miejscowości, uwzględniając nawet najdrobniejsze osady z kilku domostw złożone. Z tego też powodu wspomniemy tylko o kilku ważniejszych koloniach, wyróżniających się wśród reszty i liczbą ludności i zamożnością. Najznaczniejszą kolonią niemiecką w Galicyi była Brigidau, tak nazwana ku czci gubernatora, Józefa hr. Brigido, położona w samborskim obwodzie. Posiadała 126 obejść i 697 mieszkańców wyznania protestanckiego, którzy utrzymywali pastora, szkołę i mieli piękny, drewniany zbór. Grunta w Brigidau były gliniaste, ale zostały znacznie sztuczną kulturą ulepszone. Najwięcej po Brigidau mieszkańców liczyła osada Josephsberg, leżąca w kluczu medenickim, w cyrkule samborskim. Obejmowała 90 gospodarstw i 573 mieszkańców. Leżąc na łagodnej

wyżynie, w okolicy urodzajnej, zabudowaną została w czworobok i posiadała dobre pola. Mieszkańcy jej, wyznania helweckiego, utrzymywali własnego pastora, szkołę i piękny, murowany zbór. Trzecie co do zaludnienia miejsce zajmowała kolonia Dornfeld, licząca w 89 obejściach 412 mieszkańców. Gruntów ornych mieli koloniści podostatkiem, lecz skarżyli się na brak łąk, utrudniający im chów bydła. Protestanci tamtejsi posiadali pastora, oraz szkółkę trywialną. Toż samo zbór i szkoła istniały w Ugartsthal, w wielkiej, niemieckiej kolonii, liczącej 329 mieszkańców, leżącej pod Kałuszem, podczas gdy osada Landestreu w stryjskiem, (327 mieszkańców), słynęła — jak już wspomniano — z wzorowej kultury drzew owocowych. Józefów, leżący w kluczu radziechowskim, będącym własnością Miera, posiadał również szkołę i zbór własny, (186 mieszkańców), zaś Dornbach, zwany także Tarnowcem, (170 mieszkańców), położony w państwie Leżajskiem, tworzył jedną z największych kolonii katolickiego wyznania. Natomiast Bandrów, w sanockiem, mimo znacznej stosunkowo liczby mieszkańców, (178 głów), wyznania protestanckiego, był jedną z najuboższych osad w kraju z powodu nieurodzajnych gruntów, położonych w górzystej okolicy. Dobrymi gruntami odznaczała się znów kolonia Einsiedel, w państwie Szczerzeckiem, zamieszkała przez Menonitów. Starsi w tej gminie, liczącej dwanaście familii, pełniący funkcye kapłańskie, wyrabiali wyborne sery i różnili się od reszty swych współwyznawców chyba tem, że w przemowach swoich używali wyłącznie wyrażeń biblijnych. Bredetzky podziwiał pamięć tych nieuczonych ludzi, którzy do każdego potocznego zdarzenia byli w stanie zastosować odpowiedni cytat z pisma świętego.

I w najbliższem sąsiedztwie Lwowa istniały osady niemieckie. Najznaczniejszą z nich były Winniki, (*Oberweinbergen*), liczące 192 mieszkańców, osiadłych w 32 murowanych domostwach. Koloniści ci byli wyznania protestanckiego i podlegali pastorowi lwowskiemu. Posiadali też własną szkołę trywialną. Bliskość stolicy, urodzajność gleby, łatwość zarobku w miejscowej fabryce tytoniu, przyczyniały się do wzmożenia dobrobytu wśród osadników, którzy nadto trudnili się sadownictwem. Niemieccy koloniści, przeważnie ogrodnicy, osiedli też w Bogdanówce, zaś w Sygniówce gospodarzyli przybysze z niemieckich okolic w Czechach i z Moraw. Zarówno osadnicy w Sygniówce, jak i w Zimnej Wodzie, (125 głów), zamieszkali, byli wyznania katolickiego.

Stosownie do wyznania dzieli Bredetzky osady niemieckie w Galicyi na cztery grupy, z których najliczniejszą były grupy osad

ewangelickich, (83 osad z ludnością 9.143 głów), i katolickich, (60 osad, głów 5 628), podczas gdy osad o ludności wyznania mięszanego było szesnaście, (1.268 głów), i tyleż wyznania reformowanego, (1.599 głów). Doliczywszy do tych cyfr mieszkańców osad o niewiadomej ilości zaludnienia, twierdzi Bredetzky, iż liczba kolonistów niemieckich w Galicyi wynosiła okrągłe 20.000 głów.

Książkę naszego autora, będącą dziś białym krukiem nawet w księgozbiorach publicznych, uzupełniają plany sytuacyjne kolonii Brigidau i Königsau wraz z profilami odnośnych budynków gospodarczych, tudzież mapa, przedstawiająca położenie poszczególnych osad w Galicyi, ułożona przez Bredetzky'ego w roku 1808 na podstawie Liesganiga.

Kończąc rzecz o spuściźnie literackiej, pozostałej po Bredetzkym, raz jeszcze podnieść wypada bezstronność autora, cechującą, obok dokładności i trafnej obserwacyi, wszystkie jego prace, traktujące o Galicyi. Z tego też powodu ubolewać należy, iż zaginęła bez wieści pozostała w rękopisie praca Bredetzky'ego, p. t. *Statystyczno-geograficzny podręcznik dla Galicyi*. O istnieniu tej rozprawy wspomina autor nekrologu Bredetzky'ego, zamieszczonego w numerze pięćdziesiątym *Gazety Lwowskiej* z 1812 roku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Dr. Theodor Elsenhanns, Stadtpfarrer in Riedlingen a. D. Wesen und Entstehung des Gewissens: *Eine Psychologie der Ethik.* — Leipzig, Verlag von Wilhelm Engelmann, 1894.

Autor określa etykę, jako naukę o poczuciu moralnem, rozumiejąc przez poczucie moralne kompleks zjawisk psychicznych, który polega na dodatniem lub ujemnem ocenianiu działania ludzkiego i na ujęciu tego oceniania w prawidła działania. Poczucie moralne może być badanem albo ze względu na formę psychologiczną, albo ze względu na zawartą w tej formie treść. Formą poczucia moralnego zajmuje się psychologia etyki, treścią zaś etyka właściwa.

Jeżeli poczucie moralne i oparte na niem ocenianie odnosi się do własnego działania osobnika oceniającego, nazywamy je sumieniem. Sumienie można zatem określić jako poczucie moralne, zastosowane do własnej osoby. Wyraz „sumienie“ posiada więc znaczenie mniej obszerne, aniżeli wyraz „poczucie moralne“; w psychologii etyki można jednak oba te wyrazy uważać za równoznaczące, gdyż oceniając działanie innych osobników, opieramy się ostatecznie na tych samych zasadach, za pomocą których oceniamy działanie własne. Dlatego też można powiedzieć, że psychologia etyki jest nauką o formalnej stronie sumienia.

Dwa są zasadnicze zagadnienia, któremi się psychologia etyki, w ten sposób pojęta, zajmuje. Po pierwsze, chodzi jej o dokładne opisanie zjawisk psychicznych, które składają się na sumienie; po drugie, zajmuje się pytaniem, w jaki sposób sumienie, ta całość zjawisk, nazwana poczuciem moralnem, powstaje i rozwija się. Przytem należy zdać sobie sprawę, czy sumienie jest wyłącznie wytworem czynników zewnętrznych, na umysł ludzki działających, lub czy rozwija się ono na podstawie tkwiącego w organizacyi umysłowej uzdolnienia *(Anlage).*

Zanim autor przystąpi do szczegółowego rozbioru tych zagadnień, zapoznaje czytelnika z odnośnemi zapatrywaniami wybitniejszych filozofów

nowożytnych, wykładając i oceniając ich naukę o istocie rozwoju sumienia. Ten szkic historyczny uwzględnia zarówno filozofów niemieckich, jak angielskich i francuskich.

Zdawszy sprawę z wygłoszonych już poprzednio zdań i teoryi, tyczących się sumienia, autor wyłuszcza swoje własne poglądy. Zadaje sobie przedewszystkiem pytanie, do jakiego rodzaju należą te zjawiska umysłowe, które się składają na sumienie. Przyjmując podział zjawisk umysłowych na trzy grupy: wyobrażenia, uczucia, wola, i analizując stan umysłowy, z którego wyłania się ocenianie ludzkich czynów, dochodzi autor do wniosku, iż uczucia odgrywają tutaj rolę pierwszorzędną: poczucie moralne czyli sumienie, czyli zjawiska umysłowe, które stanowią podstawę oceniania czynów ludzkich, są uczuciami. Ale nie jakiekolwiek uczucia składają się na „poczucie moralne", lecz tylko te, które się obejmuje zwykle nazwą „uczuć moralnych". Uczucia te odnoszą się do wyobrażeń czynów dokonanych, dokonywających się lub mających być w przyszłości dokonanymi, oraz do pobudek na czyny takie wpływających. Cechą znamienną tych uczuć moralnych jest, iż oceniając na ich podstawie czyny ludzkie, nie ograniczamy się do samych czynów, lecz sądem naszym obejmujemy także osoby, czyny te wykonywające, przypisując im „odpowiedzialność" za nie; inną charakterystyczną właściwością uczuć moralnych jest siła ich, z którą działają, gdy występują same w roli pobudek; wtedy bowiem nabierają stanowczej przewagi nad wszelkiemi innemi pobudkami.

Zwracając się do pytania, skąd się biorą w ludziach poszczególnych i w ludzkości w ogóle uczucia moralne, stanowiące istotę sumienia, autor rozróżnia w odpowiedziach, które mogą być i zostały na to pytanie udzielone, dwa kierunki. Natywizm twierdzi, że każdemu człowiekowi „wrodzone" jest sumienie; empiryzm zaś utrzymuje, że sumienie jest wytworem czynników zewnętrznych, pod których wpływem człowiek żyje. Autor rozbiera szczegółowo zdania jedne i drugie; żadne nie wytrzymuje ścisłej krytyki; to też sam obiera drogę pośrednią, opierając się na pojęciu uzdolnienia *(Anlage)* i stosując je do zasadniczej kwestyi: skąd się wzięło sumienie w człowieku?

Ponieważ jednak pojęcie uzdolnienia łatwo mogłoby się spotkać z zarzutem, iż nie posiada treści ustalonej; ponieważ dalej zwolennicy skrajnego empiryzmu mogliby twierdzić, iż wyraz „uzdolnienie" jest tylko czczem brzmieniem, po za którem nie kryje się wcale znaczenie uchwytne, przeto autor się zastanawia przedewszystkiem nad samem pojęciem uzdolnienia. Zwraca więc uwagę na dwa równorzędne zjawiska rozwojowe. Jednem z nich są różnice w rozwoju osobników, rozwijających się wśród tych samych warunków. I tak n. p. bracia rodzeni,

wychowani w równy sposób, żyjący w tem samem otoczeniu, różnią się czasem nawet bardzo swem usposobieniem, swemi upodobaniami. Jeden z nich może wyjść na człowieka, przynoszącego chlubę społeczeństwu; drugi może żywot zakończyć pod ręką kata. Mówimy wtedy, że pierwszy posiadał uzdolnienia w innym kierunku, innego rodzaju, aniżeli drugi. Po drugie, rozwój osobników, do jednego rodzaju lub gatunku należących, odbywa się zawsze w pewnym kierunku i okazuje stałe formy, przypuszczając odmiany tylko do pewnych granic. I tak obaj przytoczeni powyżej dla przykładu bracia, mimo zachodzącej między nimi różnicy, rozwijali się jako ludzie w ten sam sposób: obaj posiadają wspólne cechy fizyczne i umysłowe; a wspólność ta istnieje nietylko względem synów jednych rodziców, ale także między ludźmi, rodzącymi się w strefach podbiegunowych, z jednej a mieszkańcami Afryki środkowej z drugiej strony. I tutaj mówimy o uzdolnieniu do rozwoju w pewnym kierunku. Nie jesteśmy w stanie ostatecznie wytłómaczyć, dlaczego rozwój pewnych osobników, mimo różnych warunków zewnętrznych, odbywa się pod jednym względem w sposób tak różny, i dlaczego pod innym względem rozwój osobników wśród odmiennego zupełnie otoczenia okazuje wspólność cech zasadniczych. Gdy uwzględnimy wszystkie czynniki, wpływające na rozwój, które do pewnego stopnia potrafią nam wyjaśnić wspomniane zjawiska rozwojowe, pozostaje zawsze jeszcze pewna „reszta“, coś, co za pomocą czynników zewnętrznych wytłómaczyć się nie da. Lukę tę wypełnia właśnie pojęcie uzdolnienia *(Anlage)*, przez które rozumieć należy czynnik, tkwiący w samym rozwijającym się osobniku i nadający rozwojowi pewien kierunek.

Wyświeciwszy w ten sposób znaczenie wyrazu „uzdolnienie“, stwierdza autor ważną rolę, jaką pojęcie uzdolnienia odgrywa w teoryach rozwoju organicznego. Wprawdzie niema między przyrodnikami zgody co do samej istoty tego uzdolnienia; jedni upatrują ją w układzie komórkowym zarodków, drudzy w pewnych właściwościach składników komórki, inni jeszcze inaczej rzecz przedstawiają — ale żaden z nich nie zrzeka się w tlómaczeniu zjawisk rozwojowych pojęcia uzdolnienia, posługując się niem jawnie lub ukrycie. Zastosowanie pojęcia tego nieogranicza się do świata fizycznego. Instynktu, tego najniższego objawu duchowości, niepodobna pojąć, nie przypisując zwierzętom uzdolnienia do odnośnych czynności instynktowych; a ktoby czynności te zechciał sprowadzić wyłącznie do odruchów, musiałby przecież przyznać, że na to, by zwierzę na pewne podniety oddziaływało w ten a nie w inny sposób, musi być uzdolnione do reakcyi właśnie takich, a nie innych. Że jednak o uzdolnieniu możemy i musimy także mówić wobec rozwoju osobnika ludzkiego, temu nikt nie zaprzeczy; życie umysłowe rozwija

się w sposób analogiczny z życiem fizycznem i te same względy, które każą nam przyjąć w rozwoju cielesnym ów pierwiastek, nazwany uzdolnieniem, zmuszają nas do twierdzenia, iż rozwój życia umysłowego nie zależy od samych wpływów zewnętrznych, lecz jest zarazem zawisły od uzdolnienia. Faktu, n. p. iż człowiek, na którego siatkówkę działają drgania eteru, odbiera wrażenia barw, nie możemy wytłómaczyć przy pomocy samych tylko czynników zewnętrznych, musimy przeciwnie twierdzić, iż człowiek każdy posiada uzdolnienie do odbierania takich wrażeń, uzdolnienie, objawiające się w odnośnych zjawiskach psychicznych, skoro tylko dane są warunki odpowiednie.

Tak samo więc, jak przypuszczać trzeba istnienie odpowiedniego uzdolnienia do odbierania wrażeń, do urabiania sądów, do odczuwania itp., tak samo też musimy przyznać, że kompleks zjawisk umysłowych, nazwany sumieniem, a składający się w pierwszym rzędzie z t. zw. moralnych uczuć, opiera się na właściwem uzdolnieniu. Istotę uzdolnienia tego upatruje autor w ścisłem połączeniu, jakie zachodzi między uczuciami przykremi i przyjemnemi z jednej, a pewnymi czynami z drugiej strony. Połączenie to tkwi w naszej organizacyi umysłowej; rodzimy się z tem, że jesteśmy zdolni do zupełnie mimowolnego odczuwania przykrości i przyjemności przy wykonywaniu pewnych czynów. Uzdolnienie takie, należycie rozwinięte, prowadzi do sumienia, do możności posiadania uczuć moralnych.

Przypuszczając u wszystkich ludzi jednego rodzaju uzdolnienie do zjawisk, objętych mianem sumienia, autor musi wytłómaczyć, skąd się bierze taka rozmaitość i sprzeczność w orzeczeniach sumienia ludzkiego; otóż fakt ten zostaje w zupełności wyjaśniony, gdy zważymy, że osobniki, rozwijające się na podstawie zupełnie nawet równego uzdolnienia, mogą się różnić z trzech przyczyn: *a)* Uzdolnienie u jednych może pozostać nierozwiniętem, podczas gdy się u drugich prawidłowo rozwija; *b)* Jeżeli wszystkie osobniki rozwijają się prawidłowo i uzdolnienie u żadnego z nich nie pozostaje nierozwiniętem, wtedy jedne z nich mogą się znaleźć już na wyższym stopniu rozwoju, podczas gdy drudzy pozostają jeszcze na niższym; *c)* Chociaż rozwój odbywa się w równej m i e r z e u wszystkich osobników jednego rodzaju, przecież odmienność otoczenia wywołuje w samym s p o s o b i e rozwoju pewne różnice. Autor stara się wykazać, że za pomocą tych trzech „źródeł odmienności rozwoju“ dadzą się rzeczywiście wytłómaczyć wszelkie różnice, jakie zachodzą pomiędzy objawami sumienia poszczególnych narodów i odłamów ludzkości. Uważając sumienie jako wynik rozwoju równego u wszystkich ludzi uzdolnienia, trzeba te objawy sumienia, które napotykamy wszędzie lub przynajmniej u wielu ludzi, sprowadzać do wspólnego uzdol-

nienia, te zaś, co do których zachodzą czasem nawet bardzo daleko idące różnice, wytłómaczyć odmiennem wedle czasu i miejsca rozwojem owego uzdolnienia.

Każde uzdolnienie wymaga podniet, któreby rozwój jego wywołały; inaczej pozostaje nierozwiniętem. Podniety, które działają na uzdolnienie do uczuć moralnych, autor dzieli na dwie grupy: pierwsza, t. zw. czynniki rozwoju, obejmuje podniety, które rozwój powodują; druga, t. zw. wpływy, obejmuje podniety, które wywierają wpływ na kierunek rozwoju. Tak czynniki, jak wpływy są albo rodzajowymi, albo indywidualnymi; rodzajowymi, o ile tyczą się całego rodzaju ludzkiego, indywidualnymi, o ile działają na poszczególnych ludzi.

Autor wylicza dwa czynniki rodzajowego rozwoju sumienia: jednym jest życie społeczne, drugim intelligencya. Pierwszy dostarcza uczuciom moralnym materyału; drugi powoduje sądy, oparte na tych uczuciach. Im obficiej rozwinięte jest życie społeczne, im rozmaitsze są jego formy, im więcej jest, aby użyć wyrazu współczesnych socyologów, „zróżniczkowane“, tem żywiej rozwijają się uczucia moralne, sumienie. Im wyższy zaś jest stopień rozwoju intellektualnego, tem mniej sądy etyczne będą jednostronnymi, tem szersze warstwy społeczeństwa cieszyć się będą możliwością sprawiedliwego oceniania moralnego.

Wpływy, decydujące o kierunku, w którym się sumienie rozwija, są albo bezpośrednimi, albo pośrednimi. Pierwsze wpływają na samo poczucie moralne, drugie wpływają na poczucie moralne albo przez to, że czynnościom i działaniom ludzkim nadają pewien kierunek, albo przez to, że modyfikują wpływy bezpośrednie. Do wpływów bezpośrednich autor zalicza rozwój umiejętności, zwłaszcza filozoficznych, sztukę, religię, obyczaje, rząd, prawo. Z wpływów tych najpotężniej działa religia. Do wpływów pośrednich należy klimat, właściwości szczepowe i narodowe i rozwój przemysłowo-handlowy.

W szeregu czynników i wpływów indywidualnego rozwoju sumienia wypada uwzględnić formę, którą czynniki i wpływy rodzajowego rozwoju przybierają, gdy działają wprost na jednostkę. W tej mierze życie społeczne przybiera formę rodziny, a czynnik intellektualny działa za pośrednictwem szkoły. Wpływy zaś są względem jednostki te same, co względem całego rodzaju; przybywa jednak wpływ nowy, polegający na stosunku jednostki do poziomu moralnego społeczeństwa, wśród którego żyje.

Dzieło swoje autor kończy poglądem na znaczenie, jakie posiada psychologia etyki dla etyki właściwej. Znaczenie to jest bardzo doniosłe. Jeżeli bowiem zapatrywania i zdania, głoszone przez autora, są słuszne, wtedy znika jedna z zasadniczych trudności, z którą etyka umiejętna

nie mogła się dotąd uporać. Trudność ta polega na pozornej zdaniem jednych, a faktycznej zdaniem drugich niemożliwości pogodzenia zmienności i różnorodności poczucia moralnego z bezwzględną słusznością przepisów etycznych, wskutek czego zwolennicy etyki bezwzględnej usiłują interpretować historyę i etnografię tak, aby módz zaprzeczyć, jakoby poczucie moralne podlegało ciągłemu przeobrażaniu się, podczas gdy ci, którym to przeobrażenie się wydaje się faktem niezbitym, nie uznają po prostu etyki bezwzględnej. W świetle wywodów pastora Elsenhannsa trudność ta się rozprasza. Sam autor zaznacza to w taki sposób: „Nikt nie wątpi o bezwzględnej słuszności poznania umiejętnego dlatego, że wyniki badań umiejętnych w różnych czasach i w różnych krajach były różne. Tak samo nie można zaprzeczać istnienia bezwzględnego prawa moralnego, dlatego tylko, że występowało i występuje w rozmaitych formach. W tem samem znaczeniu, w którem istnieje bezwzględna prawda, istnieje też bezwzględne prawo moralne. Zgodność zupełna w zapatrywaniach teoretycznych i etycznych wtedy tylko mogłaby istnieć, gdyby poszukiwanie prawdy naukowej i prawa moralnego było już rzeczą dokonaną. Dopóki badania same znajdują się jeszcze w stanie rozwoju, dopóty zgodność pomiędzy wynikami badań nie może być w pełni osiągniętą.“

Książka, której wynikiem jest zdanie przytoczone, napisana jest jasno i gruntownie. Możnaby jej zarzucić pewne braki, zwłaszcza w części, poświęconej analizie psychologicznej objawów i właściwości sumienia; mimo to śmiało rzec można, iż ze wszech miar zasługuje na to, aby przetłómaczono ją umiejętnie na język polski. Wobec tego, iż literatura nasza posiada rozprawę: „O powstawaniu praw moralnych“ (Al. Swiętochowskiego), broniącą zapatrywania, jakoby etyka bezwzględna istnieć nie mogła, przekład książki, której wywody starałem się streścić w niniejszem sprawozdaniu, byłby rzeczą bardzo pożądaną.

Dr. Kazimierz Twardowski.

Journal des Goncourts. — Paris, Charpentier, 1896.

W Paryżu wyszedł świeżo dziewiąty i ostatni zarazem tom pamiętników Edmunda Goncourta, sięgający od r. 1892 do końca r. 1895. Goncourt będzie wprawdzie dalej pisał, ale ostatnią tę część swych „Wspomnień z literackiego życia“ zachowa w tece; dopiero po jego śmierci ujrzy ona światło dzienne. Na to postanowienie wpłynęły przykrości, jakich znanemu pisarzowi przysporzyły poprzednio wydane tomy; między innemi zdawało się przez chwilę, że ścisła przyjaźń, która łączyła starca z Daudetem, zastępując Goncourtowi poniekąd opłakiwa-

nego przezeń dzisiaj jeszcze brata Juliusza, zerwie się pod wpływem „pamiętnika". Rodzina Daudetów uczuła się mianowicie obrażoną tem, że Goncourt nie przestawał pisać o niej niedyskretne szczegóły w felietonie dziennika *Echo de Paris*, chociaż syna ich, Leona, ostro dziennik ten zaatakował, a Leon Daudet nie mógł na wydawcy dziennika wymódz satysfakcyi. Rodzice Leona Daudeta oczekiwali, że Goncourt wyrzeknie się współpracownictwa w dzienniku, który się w ten sposób obszedł z ich synem, a gdy Goncourt tego nie uczynił, pani Daudet napisała doń list, który omal nie rozerwał trzydziestoletniej przyjaźni. Uroczyste przyrzeczenie Goncourta, iż nie będzie dalej ogłaszać pamiętników, zakończyło spór. Pamiętnik jego z ostatnich lat czterech odznacza się surowymi sądami o innych a wielką wrażliwością na krytyki dzieł własnych. Tak n. p. Maupassanta odsądza od wszystkiego zgoła, nawet od tytułu stylisty i wielkiego pisarza. Natomiast napada ostro n. p. na Sarcey'a, który skrytykował jego dramat, przerobiony z powieści: „Charles Demailly", chociaż mimowoli sam przyznaje, iż akcya dramatyczna rozpoczyna się w tej sztuce dopiero w trzecim akcie. Napaść na Sarcey'a była tak gwałtowna, że nawet *Echo de Paris* nie chciało ustępu tego wydrukować. Zola nie będzie bardzo z tego zadowolony, iż Goncourt zdradził jedną z jego słabostek, a mianowicie, że obawia się grzmotów i piorunów. Oto autor „Pogromu" zamyka podczas burzy szczelnie okna, zapuszcza rolety, zapala lampy, a nawet przewiązuje sobie chustką oczy . . . Natomiast Sara Bernhardt, o której Goncourt mówi, że mimo pięćdziesiątki posiada, gdy się ją widzi nie na scenie, różową świeżość płci młodej dziewczyny, będzie mu za tę wzmiankę niewątpliwie bardzo wdzięczna. O znanych uroczystościach rossyjskich w Paryżu pisze Goncourt: „Francya nie posiada już trzeźwości zdrowego narodu. W sympatyach swych jest ona jak obłąkany, którego skłonność charakteryzuje służalcza uległość." Tom kończą uwagi o wspólnej pracy braci Goncourt. Według tych uwag, Edmund był czynnikiem inicyatywy i organizował wspólną pracę, Juliusz zaś rzucał światło na cienie wspólnej twórczości i wygładzał styl. Może dlatego powieści obu braci Goncourt były lepsze, niż te, które Edmund ogłosił po śmierci Juliusza.

Dr. Ludwik Finkel wspólnie z dr. Henrykiem Sawczyńskim i członkami Kółka historycznego uczniów Uniwersytetu lwowskiego zebrał i ułożył: *Bibliografia historyi polskiej.* Część II., zeszyt II. — W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej polskiej. 4-ka od str. 689 do 848.

Świeżo wydany dwudziestu arkuszowy zeszyt tego bardzo cennego i pożytecznego dzieła, zawiera bibliografię druków, tyczących się drugiego działu „Opracowań“, mianowicie „Wiary i Kościoła“, w szczególności ich epoki chrześciańskiej (mianowicie bibliografię dzieł, odnoszących się do Historyi Kościoła w Polsce, Historyi Kościoła ruskiego, schizmatyckiego i unickiego; Historyi Kościoła ormiańskiego; Sekt Kościoła katolickiego; Religii żydowskiej). Prócz tego rozpoczyna się w tym zeszycie także bibliografia „Opracowań“ z działu III. „Prawo i ekonomia“ a mianowicie w zakresie „Prawa polskiego“. W szczególności z rozdziału tego pomieszczono następujące tytuły: Wiadomości wstępne; Historya prawa polskiego; Prawo polskie publiczne.

Biblioteka powszechna — wydawnictwo księgarni Wilhelma Zuckerkandla w Złoczowie.

Tanie, nagrodzone na ostatniej Wystawie krajowej wydawnictwo powyższe rozwija się nieustannie. W ostatnich czasach wydano szereg nowych tomików, wśród których znajdujemy, n. p. Jokaia: „Dziwne historye“, Paillerona: „Świat nudów“, komedya w 3 aktach, Hołowińskiego: „Legendy“; Mickiewicza: „Grażynę“; Mantegazzy: „Jak dożyć sędziwego wieku?“; Krasińskiego: „Przedświt“; Gothego: „Torkwato Tasso“, dramat; Bełzy: „Maryla i jej stosunek do Mickiewicza“; Słowackiego: „Marya Stuart“, dramat w 5. aktach; Fredry: „Pan Benet“, komedya w 1. akcie; Kraszewski: „Powrót do gniazda“, powieść z podania XVI. wieku; Schnür-Pepłowski: „Ojciec Bem“ i w. i.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

PRZYCZYNEK
DO HISTORYI KONSTYTUCYJNEJ
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

I.

Księstwo warszawskie.

Księstwo warszawskie, utworzone z części zaboru pruskiego, nie było wskrzeszeniem dawnego państwa Polskiego, a statut tegoż księstwa nie stanowił bynajmniej dalszego ciągu „Konstytucyi“ z d. 3. maja 1791 r. Pamiętnikarze i pisarze polscy, zarzucający Napoleonowi niewypełnienie uroczystej obietnicy odbudowania w dawnej wielkości upadłego państwa, opierali swe wywody na dość wątłej i nieujętej podstawie [1]). Po rozbiciu Prus (1806 r.), władca Francuzów, wstępując na ziemie, niegdyś do Rzeczypospolitej polskiej należące, mógł istotnie dać niektórym wybitniejszym osobistościom polskim nieokreślone ściślej przyrzeczenie, którego wykonanie zależnem być musiało od okoliczności, jakie się przy układach pokojowych wytworzyły. Nie można też było przypisywać szczególnej wagi zwołaniu pospolitego ruszenia za pośrednictwem uniwersału podpisanego przez wojewodę Radzimińskiego [2]); odwołanie się bowiem w tym wypadku do dawnego prawa polskiego było raczej fortelem wojennym, mającym na celu zorganizowanie wojska w kraju nieprzyjacielskim i to z materyału należącego do wroga, aniżeli zamiarem odbudowania zburzonego w 1794 r. gmachu państwowego.

Dopóki wojna trwała, wspomnienie dawnej Polski nie było dla Napoleona niedogodnem, a nawet jako środek zatrważania nieprzy-

[1]) Pamiętniki Józefa Wybickiego (wyd. Raczyńskiego), t. III. str. 6.
[2]) Pamiętniki Wybickiego, t. III. str. 65.

jaciół zapowiedzią zniweczenia ich spokoju domowego, okazywało się owo wspomnienie na razie skutecznem. Tymczasowo ustanowiona w ziemiach polskich zaboru pruskiego „Komisya rządowa“ (14. stycznia 1807) stwierdziła wiadomość, że zamieszczone w dekrecie cesarskim wyrażenie: *la Pologne prusienne*, ma być zastąpione odpowiedniejszem: *la Pologne conquise sur le Roi de Prusse.* Maret zaś z polecenia Napoleona objaśnił, że pierwotne wyrażenie było prostą pomyłką druku, i drugie wyrażenie tem jest właściwsze, że dla Francyi nie istniała nigdy Polska-pruska, albowiem nie uznała nigdy podziału tego kraju [1]).

Po zakończonej zwycięstwem Friedlandzkiem wojnie, wśród obrad pokojowych, utworzenie drobnego Księstwa warszawskiego natrafiło na niezwykłe trudności. Nawet ukryte pod warszawskiego autoramentu szatą ziemie pruskiego zaboru stanowiły dla Rossyi, zarówno jak dla Austryi, widmo dawnego państwa polskiego [2]). Austrya odrzuciła wszelkie propozycye odstąpienia Galicyi w celu zjednoczenia jej w jedno państwo z zaborem pruskim [3]), a tymczasem najżywotniejsze interesa Napoleona i Francyi domagały się zawarcia pokoju i wyzyskania wawrzynów w niezwykle krwawych bojach zdobytych [4]).

---

[1]) Protokół czynności Komisyi rządowej z woli Najjaśniejszego Cesarza Francuzów y Króla Włoskiego Napoleona Wielkiego wyznaczoney. Sessyja I. d. 15. stycznia 1807 (Archiwum po byłej Radzie Stanu w Warszawie).

[2]) Mazade: Mémoires du Prince Adam Czartoryski et correspondance avec l'Empereur Alexandre I., t. II. str. 90. „La Pologne touchant et à la Prusse et à la Turquie deviendra pour la politique entreprenante et habile de Bonaparte une mine à enflammer, un brandon de discorde et d'anarchie, un moyen de ménaces et d'esperance.“ Słowa powyższe zakomunikowane zostały w roku 1806 cesarzowi Aleksandrowi. — Bignon w „Histoire de France“, str. 620—621, twierdzi, że księstwo było „un point d'appui formidable contre le Russie et même contre l'Autriche. L'idée d'affranchir un seul hameau de la Pologne suffit pour donner de l'inquiètude à la cour de Vienne.“

[3]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 237. „Dans la tentative faite par Napoleon, dès le mois de novembre 1806, pour obtenir l'assentiment de l'Autriche au rétablissement d'une grande partie de la Pologne, en proposant au cabinet de Vienne l'échange de la Gallicie contre la Silésie prussienne.“

[4]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 242—243. Jeszcze w grudniu 1806 roku zamierzał Napoleon stworzyć obszerniejsze państwo polskie, ale w liście do Józefiny usprawiedliwia się poniekąd: „Plus on est grand, moins on doit avoir de volonté; l'on dépend des

Napoleon uprzedzony został przez Prusy w wymyśleniu politycznego konceptu, który ziemiom polskim pruskiego zaboru przeznaczał względnie samoistne stanowisko. Państwo, które się wysilało najbardziej, aby wprowadzić w czyn: *le dessein prémedité d'anéantir le génie national Polonais* [1]) i które w przededniu wybuchającej wojny w 1806 roku zarzuciło w archiwalnym pyle projekt Radziwiłła, domagający się utworzenia osobnego korpusu polskiego, oraz namawiający monarchę Prus, ażeby przybrał tytuł króla polskiego [2]), a w chwili zawiązywania się rokowań pokojowych w Tylży, stojąc nad brzegiem przepaści, nie wahało się wystąpić z projektami, które Napoleonowi wydały się niemożliwymi do urzeczywistnienia.

Hardenberg przygotował już w Tauroggen dnia 23. czerwca 1807 r. projekt, który brzmi następująco: *1-o Rétablissement d'un Royaume de Pologne, moyennant la rétrocession des provinces ôtées à la Pologne par le dernier partage, excepté le départament de Posen et Dantzig, et Thorn qui resteraient à la Prusse, et pour la Russie, ce quil lui faut pour les communications nécéssaires. Translation du roi de Saxe en Pologne.*

Prusy podług tego ciekawego pomysłu chciały wprawdzie odstąpić Francyi całą Westfalię: *le bas pays de Beireuth*, ale w zamian pragnęły pozyskać ni mniej, ni więcej, tylko: *la Saxe électo-*

événement et des circonstances... Moi je me déclare le plus esclave des hommes: mon maitre n'a pas d'entrailles, et ce maitre, c'est la nature de choses."

[1]) De l'administration prusienne dans le ci-devant provinces polonaises. Essai pour servir au développement des causes, qui ont amené leur séparation de la métropole. Avis aux nouvelles autorités étabies sur ces provinces 1808 r., str. 6.

[2]) Denkwürdigkeiten des Staatskanzlers Fürsten von Hardenberg, herausgegeben v. L. v. Ranke, t. V. Actenstücke i t. d., str. 394. (Denkschrift des Fürsten Radzivill). „Que le roi de Prusse prenne le titre de roi de Pologne, comme Fréderic a pris celui de duc de Silésie aprés la conquète de cette province. Que l'empereur de Russie ajoute aux siens celui de roi de Lithuanie". Str. 395. „Ce titre de roi de Pologne effacera tout autre sentiment, étouffera tout autre idée; c'est alors que le roi se verrait vraiment entouré de ses nouveaux sujets." T. III. Eigenhändige Memoiren Fürsten von Hardenberg, t. II. str. 200. „Man hatte einen Augenblick die Absicht besondere polnische Corps zu errichten. Der Prinz Radziwill, Schwiegersohn des Prinzen Ferdinand von Preussen, ein Mann von Talent, den man überhaupt besser hätte benutzen sollen, übergab schon früh im August (1806) ein Memoire, um diese Massregel wirklich nutzbar zu machen. Es wurde hingelegt und es geschah gar nichts, um sich der ehemaligen Polen zu versichern.

rale et la Luzace, la partie des Pays de Bamberg et de Würzbourg i t. d. Następnie: *la Prusse devant obtenir la souveraineté de l'Elbe aura Lübeck et Hambourg. Elle acquiert de plus une souveraineté limitée sur les Etats suivant qui également séparés de l'Allemagne, formeront un systeme fédératif, sous sa direction: savoir les ducs de Meclembourg, les princes d'Anhalt, Schwarzbourg, Reuss, Stolberg et les maisons ducales de Saxe* [1]).

W tydzień później już Hardenberg uważał za stosowne w Pictupoehnen skreślić nieco skromniejszy projekt. Obejmuje on trzy alternatywy: *Trois alternatives relativement à la Pologne. 1-mo Royaume de Pologne ou état séparé sous telle autre dénomination laissé au Roi. 2-o Résérve du départament de Posen à la Prusse. 3-o Réserve du departament de Posen au Prince d'Orange, contre Fulda, en réservant la souveraineté à la Prusse.* I w tym projekcie jest mowa o wynagrodzeniu Prus w Saksonii, ale opuszczono przynajmniej myśl postawienia Prus na czele federacyi wymienionych w pierwszym projekcie państw niemieckich [2]).

Hardenberg świadom był olbrzymiej klęski, jaką Prusy poniosły w r. 1806 i przekonany był w duszy, że skołatanej ojczyźnie jego nie pozostawiono innego wyboru, prócz płynięcia z biegiem wielkiego strumienia politycznych wypadków. Jako mąż stanu, wzorujący się na Fryderyku II., nie stracił Hardenberg ani na chwilę nadziei, że uda mu się monarchię pruską ocalić od pogromu. Spodziewał się nawet, że może ją zdoła skrzepić, i niezawodnie z tym ukrytym zamiarem skreślił oba projekta [3]).

Rozważywszy pomysły Hardenberga, łatwo dostrzedz wyraźne a niepowściągliwe pragnienie zatrzymania znaczniejszej części ziem ongi polskich, a w końcu choćby tylko departamentu poznańskiego. Dla Rossyi wszakże pomysł wytworzenia Królestwa polskiego, niezależnego i bezpośrednio z nią sąsiadującego, musiał się stać źródłem najpoważniejszych niepokojów. Prócz tego cesarzowi Aleksandrowi I. podsuwał w roku 1804 książę Adam Czartoryski myśl stworzenia Królestwa polskiego z polskich ziem zaboru rossyjskiego, z tym naturalnie warunkiem, ażeby cesarzowie Rossyi byli królami

---

[1]) Eigenhändige Memoiren Fürsten v. Hardenberg, t. II. str. 461.

[2]) Eigenhändige Memoiren Fürsten v. Hardenberg, t. II. str. 495.

[3]) Eigenhändige Memoiren i t. d., t. II. str. 458. (W Szawlach napisane słowa Hardenberga). Für Preussen war keine Wahl, es musste dem Strome folgen. Hier kam es offenbar darauf an, nach den Umständen, die Existenz der Monarchie, ihre Macht und Selbstständigkeit möglichst zu erhalten, *womöglich* zu verstärken.

polskimi i aby Królestwo złączonem zostało na zawsze unią personalną z Cesarstwem. Cesarz Aleksander I. żywił pewne skłonności do powyższego planu, a jeżeli nie zdobył się we właściwym czasie na krok stanowczy, to przeważnie dlatego, aby nie narazić swego stosunku do Austryi i Prus, któreby w tem jego postąpieniu mogły upatrywać przyszłe zaborcze zamysły [1]). Z tem wszystkiem zaprzeczyć się nie da, że swego czasu dyplomacya rossyjska wiedziała o zamiarze cesarza Aleksandra I. odbudowania całej Polski i o chęci złączenia pod swojem berłem zaboru pruskiego, zarówno jak i austryackiego [2]). Niewątpliwie książę Czartoryski, główny autor tych projektów, pragnął nimi uprzedzić Napoleona i, wykazując niebezpieczeństwo, grożące rossyjskiemu cesarstwu, w razie, gdyby się władcy Francuzów udało wytworzyć na granicy Rossyi niezależne państwo. dowodził, że w mocy cesarza Aleksandra leży zażegnanie nadciągającej burzy, a to za pośrednictwem urzeczywistnienia przedstawionego mu planu.

Zachowawszy względem Prus i Austryi mimowolną czy przypadkową lojalność, mógł się cesarz Aleksander pomysłami Hardenberga, jako od zwyciężonego państwa pochodzącymi, uczuć niemile dotkniętym, zwłaszcza, że co do wpływu przyszłego Królestwa na usposobienie sąsiednich ziem, pozostających pod berłem Rossyi, nie-

---

[1]) Mazade: Mémoires du prince Adam Czartoryski i t. d., t. II. str. 63. L'Empereur de Russie, prenant le titre de roi de Pologne itd., t. II. str. 158—159. Znajduje się niezwykle ciekawy memoryał księcia, przedstawiony w r. 1806 cesarzowi Aleksandrowi I., sur la nécéssité de rétablir la Pologne pour prévenir Banaparte. Dowodząc, że: „c'est dans la Pologne que Bonaparte trouve son point d'appui pour combattre la Russie et pénetrer jusque dans ses anciennes frontières". Jedynym sposobem usunięcia złego jest ogłoszenie Królestwa Polskiego przez cesarza Aleksandra, wtedy, „en prévenant Bonaparte tous les avantages de l'initiative, seraint pour nous" i t. d.

[2]) Ks. Wasilczykow: Siemiejstwo Razumowskich, t. IV. str. 73—5 (depesze konfidencyonalne Czartoryskiego do Razumowskiego). „La domination prusienne est haie dans la ci devant Pologne, on y recevra les Russes à bras ouverts... Il y a un moyen sur pour engager les Polonais à offrir leurs vies et leurs biens au service de S. M. c'est de leur faire supposer, que l'Empereur prendra le titre de Roi de Pologne et par là réunira tout ce pays à la Russie. Bien plus cette idée est generalement répandue dans la Prusse polonaise et y produit une éxaltation extrème... Je sais très bien que si l'Empereur finissait par joindre à ses autres titres celui de roi de Pologne, les provinces polonaises de la domination autrichienne formeraient peut-être aussi le voeu de se reunir à leurs anciens compatriotes."

podobna było łudzić się ani chwili. Gdy Budberg po bitwie Friedlandskiej nastawał na dalsze prowadzenie wojny, powołując się przytem na lojalne usposobienie ziem polskich rossyjskiego zaboru, książę Czartoryski oświadczył mu z całą otwartością w przytomności cesarza, że się oddaje fałszywym illuzyom, albowiem wkroczenie wojsk francuskich na terytoryum Rossyi wywoła objawy sympatyi dla cesarza Francuzów [1]). Propozycye więc Hardenberga musiały być uważane przez cesarza Aleksandra i jego dyplomacyę, jako chęć ratowania się Prus kosztem potężnego sprzymierzeńca, którego siła bojowa bynajmniej nie była złamaną i to chęć, na ktorą z różnych wprawdzie względów ani cesarz Aleksander, ani Napoleon zgodzić się nie mogli.

Wobec przeświadczenia cesarza Aleksandra I. o tem, czem się stać mogło, a nawet musiało odrębne państwo, wytworzone na granicy Rossyi, zamiary Napoleona natrafiały na niezwykle twardą opokę. Geniusz jego dyplomatyczny zdołał wszakże pokonać wszystkie trudności, co tem bardziej podziwiać należy, że mu chodziło przedewszystkiem o pozyskanie w cesarzu Aleksandrze sprzymierzeńca, z którym łącznie wyobrażać pragnął najwyższą potęgę rozjemczą Europy [2]). Strategię dyplomatyczną rozpoczął Napoleon od zaofiarowania Rossyi nowej linii granicznej w postaci Wisły [3]), a to w tem przewidywaniu, że rycerski charakter cesarza Aleksandra I. nie pozwoli mu przyjąć łupów, zdartych ze swego sprzymierzeńca. Gdy przewidywania nie zawiodły Napoleona, rozpoczęły się nowe zapewnienia, że mu właściwie nigdy o wskrzeszenie dawnego państwa polskiego nie chodziło, że nie pragnął Księstwa warszawskiego ani dla brata Hieronima, ani dla kogokolwiek innego ze swej rodziny, aby tym sposobem, choćby nawet pośrednio, nie graniczyć z Rossyą [4]).

---

[1]) Tatistscheff: Alexandre I. et Napoléon, str. 116—117.

[2]) Tatistscheff: Alexandre I. et Napoléon, str. 231—232. Zachęcając dyplomacyę rossyjską, aby skłaniała cesarza Aleksandra I. do zajęcia Mołdawii i Wołoszczyzny, Napoleon wyrzekł: „L'Europe n'en dira rien. Qu'est-ce-que l'Europe? Où est-elle, si c'est n'est entre vous et nous“.

[3]) Tatistscheff: Alexandre I. et Napoléon, str. 175 porównać Eigenhändige Memoiren Fürsten von Hardenberg, t. II. str. 472. „Il lui (Benningsenowi) échappa également des propos qui prouvent que les Français fidèles à leur ancien système de perfidie, ont laché quelques insinuations, comme quoi la frontière naturelle de la Russie était la Vistule, et qu'ils pourraient bien se résoudre à consentir à un agrandissement à nos dépens.

[4]) Tatistscheff: Alexandre I. et Napoléon, str. 176.

Dalej zapewniał Napoleon, że konstytucya Księstwa warszawskiego nie będzie naruszać spokoju sąsiadów wspomnieniami dawnego porządku i nalegał usilnie, aby Rossya dla zaokrąglenia granic wzięła obwód Białostocki z 200.000 ludności, gdyż tem najskuteczniej zapobieży wszelkim podejrzeniom, przypuszczającym, że księstwo przeistoczy się w przyszłości w dawne państwo polskie. W końcu zaś, co najciekawsze, dał do zrozumienia dyplomacyi rossyjskiej, że ewentualność zjednoczenia Księstwa warszawskiego z Rossyą nie jest w przyszłości wykluczoną [1]).

Dla zapewnienia zaś głębszego cesarza Aleksandra o szczerości zamiarów swych, nieomieszkał Napoleon wyrażać się przed monarchą Rossyi z lekceważeniem i obojętnością o Polakach [2]), przyrzekając prawdopodobnie już wówczas, że Księstwo warszawskie nie będzie pod żadnym, choćby najdrobniejszym pozorem, służyć do wywoływania widma polskiego, i że nawet w urzędowych aktach nazwa „Polak“, „polski“ starannie omijaną zostanie. Zapewnienia powyższe zdobyły nareszcie zgodę cesarza Aleksandra I. i w wykonaniu artykułu V. traktatu Tylżyckiego stworzone zostało Księstwo warszawskie, któremu nadał Napoleon konstytucyę: *propre à remplir nos engagements, envers les peuples de Varsovie et de la grande Pologne* [3]). Przy Prusach pozostały nietylko ziemie z pierwszego podziału, ale i z terytoryów, zabranych w następnych podziałach, Gdańska n. p. nie wcielono do obszarów księstwa, a w dodatku obwód Białostocki przypadł istotnie w udziale Rossyi, pomimo pierwotnych wzdragań się cesarza Aleksandra I. Że zaś Napoleon pragnął szczerze, aby Księstwo warszawskie nie naraziło jego przymierza z cesarzem Aleksandrem I., mamy na to dowód i w pamiętnikach Senffta. Minister saski zapewnia, że gdy w dniu 24. stycznia 1808 r. zjawiła się w Paryżu deputacya, złożona z trzech senatorów, aby podziękować Napoleonowi w imieniu monarchy i kraju za otrzymane dobrodziejstwa, cesarz Francuzów w przemowie, trwającej więcej niż godzinę, upominał Polaków, aby się zachowywali spokojnie i nie dawali sąsiadom a szczególniej Rossyi powodów do uskarżania się. Zalecając umiarkowanie w postępowaniu i oszczędzanie drażliwości

---

[1]) Tatistscheff: Alexandre I. et Napoléon, str. 176.

[2]) Mazade: Mémoires du prince Adam Czartoryski i t. d., str. 22. Sam cesarz Aleksander I. opowiadał to księciu: „qu'à Tilsit Napoléon s'etait exprimé avec beaucoup de légereté sur tout ce qui tenait à la Pologne et aux Polonais“.

[3]) Statut constitutionnel du duché de Varsovie, w samym końcu. Dziennik praw ks. warszawskiego. T. I.

sąsiedzkiej, Napoleon zakończył rzecz pochlebieniem damom polskim słowami: *les femmes chez vous comptent plus que les hommes*[1]).

Nowe więc księstwo zerwało formalnie wszelką spójnię z wiekiem XVIII., a charakter polski przeistoczyło we wszystkich publicznych stosunkach na warszawski i to do tego stopnia, że w końcu roku 1807 minister sprawiedliwości Księstwa warszawskiego musiał przeprowadzać przez radę stanu, aby wolno było powiedzieć „Polak" z Księstwa warszawskiego, a to opierając się na akcie konstytucyjnym, w którym Napoleon użył wyrażenia: *Grande Pologne*[2]).

W roku 1809 zjawiła się nowa trudność przekonania cesarza Aleksandra o tem, że powiększone częścią zaboru austryackiego księstwo nie jest bynajmniej widmem dawnego państwa polskiego. Cesarz Aleksander I. był w roku 1809 sprzymierzeńcem Napoleona i wojska rossyjskie wkroczyły do Galicyi śladem sprzymierzonych z Francyą wojsk księstwa; nieuniknione względy nakazywały zatem Napoleonowi nie drażnić potężnego alianta i starać się o jego zgodę. I tym razem użyła dyplomacya francuska najmisterniejszych sideł wyrobu Machiavella. Gdy wojska polskie zajęły część Galicyi i naczelny wódz książę Józef wydał do mieszkańców okupowanych obszarów patryotyczne odezwy, Napoleon starał się uspokoić Rossyę i rozkazał, aby Galicya była zajętą i administrowaną w jego imieniu, aby urzędnicy jemu przysięgali na wierność, a milicye galicyjskie aby używały kokardy trójkolorowej[3]). Nie chcąc też aż do ostatniej chwili krępować swego przyszłego postępowania, Napoleon zapewniał cesarza Aleksandra, że księstwo zachowa najwierniej swój warszawski charakter, że nazwa „Polak", „polski" wykreśloną zostanie doszczętnie z publicznych dokumentów[4]) i że nareszcie tylko

---

[1]) Mémoires du comte de Senfft ancien ministre da Saxe. Leipzig 1863, str. 31—33. „Il exhorta les Polonais à être tranquilles et à éviter do donner ombrage á leurs voisins, surtont à la Russie. — Senfft utrzymuje, że deputacya powyższa została wysłaną na żądanie Napoleona.

[2]) Dziennik czynności rady ministrów i Rady Stanu, zgromadzonej stosownie do woli J. Królewskiej Mości przez JW. hrabię de Schönfeld na sesyi komisyi rządzącej d. 5. października 1807 r. Str. 42.

[3]) Vandal: Napoleon et Alexandre I., t. II. str. 99.

[4]) Vandal: Napoleon et Alexandre I., t. II. str. 124: „la dénomination de Pologne et de Polonais serait soigneusement ecartée", na str. 121 czytamy znowu, że Napoleon przez pewien czas: „songea d'abord à ériger la Galicie en Etat distinct, en royaume separé, et à lui donner pour souverain la grand-duc de Würtemberg. Quant aux Varsoviens, ils, n'eussent obtenu en ce cas qu'un district, une parcelle insignifiante de la Galicie, prime decérnée à leur courage, et leur prin-

część Galicyi przyłączoną zostanie do księstwa, w zamian za co Rossya, dla zaokrąglenia granic, zająć powinna ziemie z ludnością rusińską [1]). Z początku była mowa o Lwowie, ostatecznie jednak pozyskano zgodę na powiększone Księstwo warszawskie, ustępując Rossyi obwód Tarnopolski z 400.000 ludności [2]).

Drobne Księstwo warszawskie z 1807 r. zawiodło oczekiwania tych, co, towarzysząc orłom Napoleona na licznych pobojowiskach, mieli nadzieję, że genialny zdobywca stworzonemu przez siebie państwu powróci pierwiastkowy charakter. Zniechęcenie musiało się tem bardziej objawić, że tajemniczego a nietrwałego przędziwa dyplomatycznej roboty ogół społeczeństwa odgadnąć i wyrozumieć nigdy nie potrafi i niema przytem subtelnego poczucia granicy, oddzielającej możność od absolutnej niemożliwości. W r. 1808 jednak stary i chorowity Kołłątaj oświecił ciemnych, a podniósł ducha wątpiących i zniechęconych swą mistrzowską pracą, którą w Lipsku wydrukował [3]). Księstwo nazwał Kołłątaj niepospolitą zagadką w polityce, trudną do rozwiązania dla każdego. „Kraj ten uważany w swem z Saksonią złączeniu ostać się nigdy nie może. Jego więc przeznaczeniem być musi albo przyłączenie do jakiego innego mocarstwa, albo wskrzeszenie na nowo Polski i przywrócenie jej do dawnego politycznego bytu. Gdy przychodzi spoglądać na rozległość księstwa, na jego ludność, dochody i siłę zbrojną: jest to kraj mało bardzo znaczący, tak przez swą niedołężność, jak tem bardziej przez swe geograficzne położenie. Księstwo to oddzielone od Saksonii, otoczone jest naokoło temi samemi mocarstwami, które całą Polskę zniszczyć potrafiły. Gdy znowu spoglądać nam wypada, jako na dzieło Napoleona, zostające pod opieką swego stwórcy: ujrzymy go

---

cipale récompense aurait été d'avoir libéré leurs fréres.“ — Porównać Tatistscheff: Alexandre et Napoleon, str. 514—515. Książę Wicencyi zawarł nawet z hrabią Rumiancowem konwencyę, której 1. artykuł brzmiał: „Le royaume de Pologne ne sera jamais rétabli“, a artykuł 2: „les hautes parties contractantes s'engagent à veiller à ce que les domination de Pologne et de Polonais ne s'appliquent jamais à aucune des parties qui ont précedemment constitué ce royaume, ni à leur habitans ni à leur troupes et disparaissent pour toujours de tout acte officiel ou public de quelque nature, qu'il soit.“

[1]) Tatistscheff: Alexandre I. et Napoleon, str. 503.

[2]) Vandal: Napoleon et Alexandre I., t. II. str. 160, porównać Bignon: Souvenirs d'un Diplomate, str. 204.

[3]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Księstwem warszawskiem. Lipsk 1808.

tyle mocnem i potężnem, ile jest mocna cała Francya, uważana ze wszystkimi swymi sprzymierzeńcami.“

„Na cóżby zaś Francya utrzymywała ten kraj z tak wielką troskliwością i o tak wielkim koszcie, gdyby on nie należał do nowej polityki widoków? na cóżby się nim tak pilnie opiekowała, gdyby miał być przeznaczony zostać w swej początkowej drobności, lub powrócić pod jarzmo swego przywłaszczyciela... Drobne to niemowle w polityce jest też niewątpliwie pierwszym rysem wielkich nowego prawodawcy widoków, które na północy wykonać przedsięwziął, a które jednym tylko naznaczył punktem. Nie mieliśmy ziemi — przekonywa wreszcie Kołłątaj — którąby nam wolno było nazywać naszą: dziś mamy ją z rąk Wielkiego Napoleona. A jeżeli widziemy, że ona w takiej rozległości ostać się nie może; czemuż raczej obiecywać sobie nie mamy, że mądrość jego bardziej to jeszcze pojmując, przy zręcznych sposobnościach skutecznie losom naszym zaradzi. Zostawaliśmy pod anarchią przez dwa wieki, garnęliśmy się dobrowolnie do przemocnego wpływu naszych sąsiadów przeszło od stu lat, szukaliśmy niebacznie ich opieki przeciw nam samym, trwoniliśmy zdobyte przez ojców dzierżawy częściami i powoli, a teraz mamy za złe zbawicielowi kraju naszego, że nas wszystkich razem z tej niewoli nie oswobodził, którą kupiliśmy przez naszą chciwość, niezgodę i ambicyę. Okażmy wprzód na tej małej części ziemi, że jesteśmy godni być wielkim narodem, starajmy się na to zasłużyć, a dopiero będzie nam wolno dociekać celów wielkiego tego człowieka i sądzić o jego całem dziele. Nie my sami jesteśmy, do których się rozciąga jego troskliwość“ [1]). Głębokie i przenikliwe spostrzeżenia Kołłątaja trafiały do serc społeczeństwa w nowem państewku, a gdy rok 1809 rozszerzył jego granice, uważano powszechnie, że warszawska szata nadana księstwu jest tymczasową i że powtórne powiększenie granic i powrót do pierwotnego charakteru jest tylko kwestyą czasu.

Wdzięczność dla Napoleona ujawniała się też we wszystkich dokumentach i przemówieniach publicznych. Nazwisko nowożytnego Cezara przyozdabiano zazwyczaj przymiotnikiem „Wielki“, a nie poprzestając na nim, dodawano „Wskrzesiciel“, „Zbawiciel“, „Dobroczyńca“ i t. p., wyrażając przy każdej sposobności przeświadczenie, że jemu wyłącznie zawdzięcza Księstwo warszawskie swe istnienie. Kiedy w r. 1809 wojska austryackie wkroczyły w ziemie księstwa,

[1]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem i t. d. — str. 3. 4, 69, 73, 74.

rada stanu na sesyi d. 16. kwietnia wydała odezwę następującą do Polaków. „Ten sąsiad, którego stolicę i państwo przodkowie nasi piersiami swojemi od ostatniej zasłonili zguby, dziś czuwając na naszą, opatrywanie napastnych hufców z majątków waszych za czyn swej dobroczynności ogłasza, a was samych w przyszłości na dawne wskazuje jarzmo. Wkracza do nas i mówi jak do hordy, nie mającej króla i rządu, a głosząc się tylko nieprzyjacielem cesarza Napoleona, mniema, że sprawę naszą odłączy od sprawy Dobroczyńcy naszego, którego król nasz wielkim swym sprzymierzeńcem a naszym wskrzesicielem, mówiąc do narodu, ogłosił“ [1]). Posłowie nie pomijali żadnej sposobności, aby Napoleonowi wyrazić swą wielką i serdeczną wdzięczność, a Byszewski, poseł powiatu Zgierskiego, rozpoczął swój głos od zapewnienia, że „Rzecz jest niewątpliwa, iż winniśmy Existencyę naszą Napoleonowi Wielkiemu Wskrzesicielowi Naszemu, wrócił nas do rządu Mocarstw Europejskich a nadewszystko powrócił Nam tego Króla, któregośmy przed laty kilkunastu jednogłośnie na Pana swego obrali, osobliwszy jest to dar Opatrzności, iż takiego mamy Monarchę, którego cała szanuje Europa, a Jego przymioty przewyższają niemal wszystkich Panujących. Cieszy się z tey Opatrzności dzieła Polak, i uwielbia za to Napoleona, a serce jego coraz bardziej rozrzewnia się ku swemu ukochanemu i ulubionemu Monarsze“ [2]).

Jakim zachwytem i uznaniem dla Napoleona rozbrzmiewała kazalnica polska, dowodem tego najdobitniejszym pozostaną kazania Woronicza, a muza polska nie dała się nikomu wyprzedzić i „Wiersz od Polek“ zapewnia, że „Polska do bytu zwrócona, Wdzięczności czuciem przejęta, Kładzie dzień Napoleona — Między narodowe święta. Jest on droższym na dni inne, W tym dniu w postaci Człowieka — Przyszło na świat dobroczynne — Bóstwo. Polaków opieka“ i t. d. [3]).

W końcu wypada jeszcze zaznaczyć, że nietylko sami Polacy zapatrywali się na przyszłe przeznaczenie Księstwa warszawskiego, jako na zwiastuna odradzającej się Polski. Senfft widział w utworzeniu tego kraiku w roku 1807 *la résurrection de la Pologne*, a z połączenia księstwa z Saksonią spodziewał się w przyszłości

[1]) Druk osobny na jednej karcie. (Bibl. Kr.).

[2]) Głos T. Byszewskiego i t. d., prezydującego na Prawodawstwie Cywilnem na posiedzeniu Komissyi wspólnie z JW. Ministrem sprawiedliwości, 13. marca 1809 r. (Druk Bibl. Kr.).

[3]) Druk Bibl. Kr.

wyswobodzenia Niemiec z ciężkiego i upokarzającego jarzma, jakie Napoleon na nie włożył [1]).

II.

Statut konstytucyjny Księstwa.

Statut konstytucyjny Księstwa warszawskiego z dnia 22. lipca 1807 r. nie mógł ujawnić żadnego zewnętrznego związku z Konstytucyą 3. maja, choćby dla tego powodu, że nie wolno mu było zakłócać spokoju sąsiadów, a tymczasem dawne dzieło sejmu czteroletniego, jak to książę Czartoryski oświadczył cesarzowi Aleksandrowi: *est gravée en caractères ineffacables dans les coeur de tous les Polonais* [2]) i przywrócenie Konstytucyi w całości, lub przejęcie się zbytnie duchem ówczesnych prawodawców byłoby zwiastunem powrotu do dawnych stosunków. Zresztą pomiędzy wybitnymi polskimi mężami stanu większość zrozumiała, że w zmienionych okolicznościach Konstytucya 3. maja nie odpowiadałaby wszystkim wymaganiom chwili, nie wspominając już o tem, że konstytucyę obszernego niegdyś państwa trudno było wprowadzać bez poważnych zmian do dwumilionowego kraiku.

Małachowski, dawny marszałek sejmu czteroletniego, należący do składu tymczasowej komisyi rządzącej, podczas podróży do Drezna nalegał podobno na towarzyszów swoich, aby Napoleona prosili o powrócenie Konstytucyi 3. maja, ale natrafił w łonie samejże komisyi na opór. Wybicki odważył się skromnie przedstawić, że sejm konstytucyjny nie był już w nowym duchu czasu, że trzeba było przypuścić całkowitą reprezentacyę narodową, znieść poddaństwo itd., co było w Konstytucyi zamilczanem z przyczyny, że naród niedość jeszcze był się oswoił z tak liberalnemi zasadami [3]). Że zaś poglądy Wybickiego nie były w owym czasie wyjątkowymi, pozwala przypuszczać zdanie Kołłątaja, wydrukowane w r. 1808.

Wybitny ten mąż stanu nie wahał się wyrzec, że Konstytucya 3. maja była wielkiem dobrem, na które zdobyć się mogliśmy w owym

---

[1]) Mémoires du Comte de Senfft, str. 32. (O Senffcie). „Et il s'est longtemps flatté de trouver dans la résurrection de la Pologne et dans sa réunion avec la Saxe, un moyen de grandeur pour celle-ci et la possibilité de délivrer un jour l'Allemagne des indignes fers dans lesquels l'Empereur Napoléon la tenait enchainée“.

[2]) Mazade: Alexandre I. et le prince Czartoryski, str. 143 (pierwsze wyd.).

[3]) Pamiętniki Józefa Wybickiego, t. III., str. 160.

czasie, kiedy raz pierwszy odważyliśmy się wydobyć z odwiecznej anarchii, lecz nie może iść w porównanie z tą, którą nam nadał Wielki Napoleon. Tamta stosowała się jeszcze do przesądów, których rozsądnie trudno było w owym czasie naruszać, bo i tak znaleźli się złośliwi magnaci, którzy ośmielili się targnąć na zniszczenie dzieła powszechnej narodu zgody. Napoleon zaś zniszczył zupełnie te przesądy przez swą konstytucyę ze wszechmiar doskonałą. Wreszcie prawodawcy sejmu czteroletniego wyrzekli, że ktokolwiek stanie nogą na polskiej ziemi, jest tem samem wolny, a nie śmieli wyrzec, że ten, który się na niej urodził, powinien być równie wolny, i sprawiedliwość ludowi naszemu oddał dopiero powszechny Europy prawodawca, na którą my samiśmy się nie mogli zdobyć [1]).

Pominięcie zatem Konstytucyi 3. maja nie ściągnęło na prawodawcę Księstwa warszawskiego zbytnich niechęci, zwłaszcza, że owym prawodawcą był sam twórca księstwa, który mógł być pewnym wszelkiej pobłażliwości dla swego dzieła, zobowiązującego wszystkich do głębokiej jedynie wdzięczności. Członkowie komisyi rządzącej pragnęli ułożyć jakiś projekt, któryby prawodawcę skłonił do uwzględnienia warunków miejscowych w Statucie konstytucyjnym, ale, jak świadczy Wybicki, zamiar nie został należycie wykonanym. Gdy bowiem Potocki z Wybickim zebrali niektóre punkta do konstytucyi, idąc do Napoleona, już w drodze na nie zgody nie było. Zresztą Wybicki, świadek naoczny i uczestnik deputacyi do cesarza, do której cała komisya należała, opisuje w następujący sposób uroczystą audyencyę w Dreźnie u Napoleona. Na zapytanie cesarza: „Macież jaki projekt konstytucyi waszej?“ Potocki to, co się krótko ułożyło, począł czytać. Nie dał (cesarz) dokończyć, mówiąc: „Dziś wam trzeba dać inną konstytucyę reprezentacyjną“. Poczyniwszy wyrzuty niezgody, dążności do anarchii, kończył: „Zniosę u was najpierw poddaństwo i dam wam konstytucyę reprezentacyjną pod berłem króla Saskiego i jego dynastyą“. Dyktował ją prędko, chodząc po pokoju, a książę Bassano ledwie ją zdążył pisać przez abbrewiacyę i to prawie na kolanie. Książę Tayllerand później przybył, odezwał się do niego: „Wiele wygody potrzebujesz, a ja już nadanie konstytucyi nowemu krajowi kończę“ i tu z wielką radością powtórzył: „Zniosłem odwieczne poddaństwo w Polsce i to mych zwycięstw laur najmilszy“. Dyktowanie to konstytucyi nie trwało godzinę i było bez porządku, zwyczajnie jak dzieło przechadzki.

---

[1]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem tey części ziemi polskiej i t. d., str. 203, 204.

Redakcye jej zalecał tylko uporządkować księciu de Bassano, który nic nie mówiąc, kłaniał się tylko i my to samo za jego przykładem, a gdy ją później uporządkował, oddał nam i królowi Saskiemu po egzemplarzu [1]).

Scena powyższa, nosząca na sobie ślady prawdziwości, nie znalazła potwierdzenia u innych pisarzy współczesnych. Koźmian utrzymywał: „że konstytucya dla tego drobnego księstwa przez Stanisława Potockiego za wyrazami samego cesarza na kolanie z pośpiechem kreślona była“ [2]), a Ostrowskiemu w żywocie Tomasza Ostrowskiego, niegdyś prezesa senatu Księstwa warszawskiego, wydawał się Statut z 1807 r. „jakby na koniu, w chwili jakiej szczęśliwej dystrakcyi wielkiego wojownika, jako prawo dla nieszczęśliwego narodu podpisanym, a czas poświęcony na jego ułożenie był niezmiernie krótki. „*Bassano! écrivez moi un plan de constitution pour le grand-duché*“, rozkazał Napoleon i w dwa dni dzieło to było zrobionem [3]).

Najwięcej wiarogodności posiada bezwątpienia opowieść Wybickiego, który spisał to, na co sam patrzał. Tayllerand w swych pamiętnikach nie wspomniał ani jednem słowem o nadaniu konstytucyi Księstwu warszawskiemu, zarówno jak i o uroczystej audyencyi, przy której miał asystować [4]). Za to Bignon i Maret nie zapomnieli o powyższym fakcie, który w historyi pierwszego cesarstwa zaledwie podrzędny stanowił fragment. Bignon utrzymywał, że konstytucya Księstwa powstała za wspólnem porozumieniem się rządu francuskiego z komisyą rządową tymczasową i królem saskim [5]). Maret zaś objaśnia nas dokładniej i z dzieła Ernouf'a, jego działalności poświęconego, dowiadujemy się, że *ce statut* (Księstwa Warsz.) *concerté avec la commission de gouvernement provisoire réunie à Dresde*,

---

[1]) Pamiętniki J. Wybickiego, t. III. str. 164.

[2]) Pamiętniki Kajetana Koźmiana, t. II. str. 3.

[3]) Ant. Ostrowski: Żywot Tomasza Ostrowskiego, t. I. str. 275. Autor dopuścił się w tej krótkiej wzmiance dwóch błędów; 1-mo Napoleon nie mógł żądać napisania konstytucyi dla wielkiego księstwa, gdyż urzeczywistnionym jego zamiarem było tylko księstwo, a 2-do w r. 1807 Napoleon nie mógł nazywać Mareta „Bassano“, gdyż tytuł księcia de Bassano ofiarowany mu został w roku 1809, a na statucie z 1807 r. podpisany jest „Maret“ i dopiero w końcu tego roku został hrabią Maret. Tego błędu dopuścił się i Wybicki.

[4]) Mémoires du prince de Tayllerand publiés avec une préface et des notes par le duc de Broglie, t. I. str 313 i dalsze.

[5]) Souvenirs d'un diplomate, str. 19; interesujące i pouczające wspomnienia Bignona ukazały się w polskim przekładzie w odcinku „Czasu“ za r. 1861.

fut redigé par le ministre secretaire d'Etat (t. j. przez Mareta). Następnie w wykonywaniu powyższego zadania posługiwał się Maret szczególniej sekretarzem swym, Etienne, pisarzem wybitnym *(littérateur distingué)*, który tak samo, jak i on, nie oddzielał w swem poświęceniu Francyi od cesarza [1]).

Dans cet statut polonais Maret s'etait efforcé de maintenir les anciennes institutions nationales, dans tout ce qui pourait concorder avec les éxigence de la situation et de temps nouveaux [2]). O uwzględnieniu zaś jakiegokolwiek projektu, podanego przez Stanisława Potockiego w imieniu komisyi rządzącej, niema żadnej wzmianki i można wątpić, czy na piśmie został do akt komisyi wniesiony, albowiem w protokołach rzeczonej komisyi nie znajdujemy śladu, zdradzającego jego istnienie.

Skarbek wątpi również, ażeby Polacy lub deputacya jaka, w ich imieniu działająca, przedstawiła Napoleonowi jakibądź projekt konstytucyi. Wiadomo bowiem, są to jego słowa, że nikt ze strony cesarza nie zasięgał rad u krajowców względem formy rządu, Księstwu nadać się mającej, i że nie było takiego między Polakami, któryby mógł wpływać jakkolwiek na zdanie Napoleona przy zaprowadzeniu nowych rządów. Jest on także tego zdania, że konstytucya z 1807 r. napisaną została pod okiem samego cesarza, podczas trzech dni zabaw i uroczystości, ale dalekim jest od uwierzenia legendzie, podanej przez Koźmiana (Wybickiego pamiętników widocznie nie znał), a utrzymującej, że statut z 1807 roku za wyrazami samego cesarza przez Stanisława Potockiego na kolanie napisany został. Nie zdaje się nam, zauważył trafnie Skarbek, aby dzieło dobrze obmyślane, które się odznaczało wielką przezornością polityczną, zasługiwało na taki przycinek, zadający mu lekkomyślność w pojęciu i wykonaniu [3]).

Istotnie, rozpatrzywszy się uważnie w owych 89 krótkich artykułach statutu, niemożliwem jest przypuszczenie, ażeby powyższe dzieło prawodawcze było owocem przypadkowego skupienia rozproszonych myśli, choćby najgenialniejszego człowieka. Jako prawodawcza robota, statut z 1807 r. posiada niewątpliwie wysokie przymioty. Przewodnie idee prawa państwowego zostały w nim ujęte ze wzorową ścisłością i treściwością, a usunięto natomiast starannie wszelkie ogólne wyrażenia, zmieniające charakter prawno-państwowy przepisu na frazes polityczny. Zresztą systematyczny ład, panujący

---

[1]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 243.
[2]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 33.
[3]) Dzieje Polski, część I: Dzieje Księstwa Warszawskiego, str. 133.

w statucie, nakazywał domyślać się, że powyższe dzieło prawodawcze obmyślanem zostało uprzednio, a opracowanem przez męża stanu niezaprzeczonej zdolności i doświadczenia.

Scena opisana przez Wybickiego mogła z tem wszystkiem mieć miejsce. Wiadomo, że Napoleon lubił wystąpienia imponujące, które uwydatniały w olśniewający sposób jego geniusz wojenny, dyplomatyczny lub prawodawczy. Zwłaszcza, jako piastun zasad rewolucyjnych, chciał może zaznaczyć wobec deputacyi polskiej, jaką wagę przypisuje artykułowi IV. statutu, znoszącemu niewolę ludu rolnego, i w tym celu urządził ową charakterystyczną audyencyę, która tak żywo utkwiła w pamięci Wybickiemu. Z uwagi zaś, że król saski przyjąć musiał wraz z Księstwem konstytucyę z 1807 r. i do tego samego kroku zniewoloną została komisya rządząca, która w pełnym składzie statut Księstwa podpisała, przeto zamieszczono w samej konstytucyi wyrażenie, pozwalające się domyślać, że owo dzieło prawodawcze powstało za wspólnem porozumieniem się króla saskiego, rządu prowizorycznego i rządu francuskiego [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Aleksander Rembowski.

---

[1]) W końcu statutu konstytucyjnego następne wyrażenie nasuwa powyższą uwagę: „Nous avons approuvé et approuvons le statut constitutionnel ci-dessus, qui nous à été presenté en exécution à l'article V. du traité de Tilsit.“

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

III.

Infamia.

(Ciąg dalszy).

Ze względu na przyczyny i następstwa upośledzenie prawne *(Rechtlosigkeit)* uważane jest w niemieckim świecie prawniczym za najwięcej zbliżone do rzymskiej infamii, przez niektórych pisarzy nawet za identyczne z tą infamią. Nie brak jednak zdań odmiennych, które w historycznym rozwoju powyższych pojęć mają pewne uzasadnienie. Marezoll n. p. w przytoczonem powyżej dziele powołuje się na dokumenta prawne, w których także zupełne wyjęcie z pod prawa *(Echtlosigkeit)* postawione jest na równi z rzymską infamią. Zdaniem tego pisarza najbliższe rzymskiej infamii upośledzenie prawne *(Rechtlosigkeit)* zlało się niejako w XV. i XVI. stuleciu z bezecnością *(Ehrlosigkeit)*, która wskutek tego odtąd nabrała zupełnie znaczenia rzymskiej infamii.

Uwagi te nie mają być ani wstępem do szczegółowej krytyki powyższych pojęć prawa staroniemieckiego, ani streszczeniem wyniku dotychczasowych badań na tem polu. Wychodziłoby to bowiem po za ramy tej pracy. Zależy nam tylko na podniesieniu tej niepewności i chwiejności, do jakiej wiodą i wieść muszą nawet najskrupulatniejsze badania źródłowe w takich kwestyach historyczno-prawnego znaczenia, w których, jak w niniejszej, pozytywne prawo nie wypowiadało i wypowiedzieć nie mogło ani ostatniego, ani nawet stanowczego słowa. W kwestyach tego rodzaju musi być zajęte takie stanowisko, aby z niego otwierał się szeroki widnokrąg, obejmujący nietylko wskazówki samego pozytywnego prawa, lecz także, i to co najmniej

w równej mierze, objawy życia społecznego w ogóle z jego moralnemi czynnikami i motywami.

Szerszy widnokrąg w powyższem znaczeniu objął najpierw Eichhorn [1]) i dlatego nie zastraszając się tem, że wskutek połączenia niemieckiej infamii z rzymską powstało „zamięszanie pojęć, jakiego niema w innych działach prawa“, wziął ustrój społecznych stosunków za podstawę, na której bodaj główne rysy charakterystyczne mógł uwydatnić lepiej i trafniej od poprzedników swoich. W stanowej organizacyi niemieckiego społeczeństwa znalazł Eichhorn wskazówkę przewodnią dla określenia granic pojęcia czci w prawnem znaczeniu. Składa się na nią ogół praw z pewnym stanem połączonych i zależne od tego poważanie na zewnątrz. Wszystkich wątpliwości i sprzeczności, które w pomnikach staroniemieckiego prawa wytworzyło łączenie pojęć rodzimych z rzymskiemi definicyami, nie usunął Eichhorn w swojem przedstawieniu. Zawsze jednak wywód jego wiedzie, o co tutaj najwięcej chodzi, do tego rezultatu, że interpretacyjny punkt ciężkości nie tkwi i z natury rzeczy nawet tkwić niemoże w subtelnej kombinacyi fragmentów rzymskiego i staroniemieckiego prawa, lecz w społeczno-moralnych czynnikach, w zapatrywaniach i poglądach danej epoki. Tą drogą poszli a właściwie na tę drogę zeszli w końcu następcy Eichhorna. Walter n. p. w swoim wywodzie o czci w pojęciu niemieckiego prawa zdaje się na wstępie uważać cześć obywatelską i zdolność prawną za identyczne pojęcia, opierając się w tej mierze na Zwierciadle saskiem, które człowieka czci nieposzlakowanej nazywało doskonałym w prawie swojem *(vollkommen an seinem Recht)*, w dalszym ciągu jednakże czuje niedostateczność samej pozytywnej podstawy prawnej w tej mierze. Wprawdzie określenie istoty, znaczenia i wpływu czci w zakresie stosunków prawnych niemoże być zupełnie pozostawione dowolności opinii i sędziego, lecz powinno mieć pewny punkt oparcia w pozytywnych postanowieniach prawnych, z drugiej strony jednak postanowienia te muszą wobec tego, iż „cześć obywatelska opiera się na czci moralnej i opinii ogółu, łączyć się ściśle z tą opinią i moralnemi uczuciami danej chwili, stanowić poniekąd ich wyraz, jeżeli one nie mają być bezsilnemi“ [2]). W tym duchu rzecz przedstawia także i Marezoll. Nie zapoznaje on stwierdzonego wpływu prawa rzymskiego i kanoni-

---

[1]) Karl Friedrich Eichhorn: *Deutsche Staats- und Rechtsgeschichte* — Goettingen 1808, t. II. str. 931 i n., oraz: *Einleitung in das deutsche Privatrecht* — Goettingen 1823, str. 251 i n.

[2]) Ferd. Walter: *System des gemeinen deutschen Privatrechts* — Bonn 1855 str. 62.

cznego na prawo staroniemieckie i właśnie temu wpływowi przypisuje powikłanie rodzimych pojęć germańskich, które miały podstawę w stanowym ustroju społecznym i w łączności, tym ustrojem wytworzonej, z przyjętą obcą terminologią prawną a w dalszem następstwie i z obcemi pojęciami. Dopóki cześć zostawała w związku z tym ustrojem społecznym, dopóki kontrola stanowych i zawodowych związków społecznych była ścisła, cześć była w zakresie prawa prywatnego warunkiem pełnego używania wszystkich uprawnień, streszczała w sobie dobrą wiarę i uczciwość a wskutek tego nawet w umowach prywatnych o pewne świadczenia słowność poręczano czcią, jakby zastawem *(Ehre verpfänden)* [1]).

Z zanikiem ustroju stanowego i z postępującą niwelacyą praw obywatelskich nierówność w traktowaniu pod względem czci straciła w prawie podstawę, zatrzymując znaczenie tylko w sferze społecznej, mianowicie w zachowanych mimo tej niwelacyi ściślejszych związkach towarzyskich. Powstała natomiast owa ogólna miara czci ujemnie skreślonej, której kryteryum stanowi tylko brak dowodu na jej skażenie. Kto ma na uwadze ściśle tylko polityczną i społeczną stronę rozwoju, dla tego niwelacya ta stanowi dzieło wielkiej ewolucyi cywilizacyjnej. Czy jednak z nią pojęcie czci zatrzymało dawną głębokość, czy przeciwnie stało się płytszem, jak płytszą staje się woda rzeki, rozszerzającej swoje koryto a nie zasilanej świeżemi dopływami, to inne pytanie. W historycznem traktowaniu sprawy odpowiedź nie wypada pomyślnie. Już Marezollowi wymknął się żal, że z tą zmianą stosunków „wyszła na jaw wcale niepocieszająca moralna ospałość". Po upływie połowy wieku od wypowiedzenia tego zdania innemu współczesnemu już prawnikowi niemieckiemu, Osenbrüggenowi, pogląd historyczny na rozwój pojęcia czci dał powód do jeszcze przykrzejszej refleksyi. „Czy trafne pojmowanie czci — mówi ten pisarz [2]) — w postępie czasów dzisiejszych stało się w miarę zaniku przesądów stanowych dobrem powszechnem? Nie odważyłbym się dać na to pytanie odpowiedzi twierdzącej."

Köstlin [3]), który zadał sobie może najwięcej trudu naukowego, aby wywyższyć prawo staroniemieckie co do oryginalności i etycznej

[1]) Dr. J. F. v. Schulte: *Lehrbuch der deutschen Reichs- und Rechtsgeschichte* — VI. Aufl. Stuttgart 1892, str. 434 i n.

[2]) Eduard Osenbrüggen: *Die Ehre im Spiegel der Zeit* — Berlin 1872, str. 25 i n.

[3]) C. Reinhold Köstlin: *Die Ehrverletzung nach deutschem Recht* (w *Zeitschrift für deutsches Recht und deutsche Rechtswissenschaft* — t. XV z r. 1855 str. 151—236 i 364—435).

miary postanowień o czci, także przenieść musiał punkt ciężkości po za sferę pozytywno-prawną, na grunt społeczny. Podniósł bowiem jako szczegół charakterystyczny w rozwoju tego prawa fakt, że „pojęcie czci, posiadające przedewszystkiem charakter społeczny, musiało w wiekach średnich formować się całkiem partykularnie według stanowego ustroju.“ To „partykularyzowanie się“ pojęcia czci miało zdaniem autora niezawodnie ujemne strony, sformalizowało więcej zewnętrzne kryterya z ujmą dla jednolitych warunków czci, jako „moralnej kwintessencyi osoby“, ale mimo to miało zawsze tę dobrą stronę, że grunt społeczny podsycał i odświeżał warunki żywotności. To też mimo „partykularyzacyi stanowej“ pojęcia czci mógł Köstlin na podstawie historycznej stwierdzić, że nawet w tych staroniemieckich pomnikach prawa, które w traktowaniu czci nie zajmują wybitniejszego miejsca, już sam zarzut złej wiary uchodzi za przywarę ciężką, uniemożliwiającą pożycie w społeczno-moralnej łączności.

W historycznym poglądzie Ungra [1]) na znaczenie czci i infamii tak w prawie rzymskiem, jak i niemieckiem, w związku z normami dzisiejszego prawa jaśniej, niż w któremkolwiek innem przedstawieniu tej sprawy, zaznaczone zostały linie graniczne i znamiona charakterystyczne. Zawdzięczać to należy temu szerokiemu widnokręgowi, który objął Unger zaraz na wstępie, podnosząc moralną stronę sprawy, jako rozstrzygającą, temi słowy: „Pojęcie czci należy przedewszystkiem do zakresu moralności. Tak pełne zażywanie niezamąconej, nieskalanej czci z jednej strony, jak i uszczerbek na czci z drugiej strony, jest stanem pełnym znaczenia przedewszystkiem dla moralnej sfery życia człowieka, dla jego moralnych i społecznych relacyi i stosunków. Wobec ścisłego związku między moralnem a prawnem życiem i wobec tej okoliczności, że prawo ma ziszczać wymagania moralności, o ile to pogodzić się daje z jego fundamentalnemi pojęciami, stan taki niemoże pozostać bez wpływu na prawne stosunki. Ten wpływ czci na stosunki prawne objawia się w dwojaki sposób. Najpierw fakt, że pewna osoba z powodu pewnych czynów lub wskutek pewnej sytuacyi i sposobu życia poniżyła się w publicznym szacunku i straciła dobrą sławę, sprawia, iż tam, gdzie chodzi o pełne zaufanie a sąd co do zasługiwania na takie zaufanie pozostawiony jest swobodnemu uznaniu ogółu, oceniający zostawać będzie pod wpływem opinii publicznej. Wpływ ten czci na stosunki prawne jest jednak niepewny, chwiejny i nieda się dokładnie określić.

---

[1]) Dr. Joseph Unger: *System des österreichischen allgemeinen Privatrechts* — V. Aufl. Leipzig 1892, t. I. str. 261 i n.

gdyż sama opinia publiczna, opanowywana przez rozmaite nieobliczalne i nieuchwytne wpływy, ulega ciągłej chwiejności i zmianie a dobre imię człowieka łatwo bez jego winy może być zaćmione. W tych wypadkach cześć doznaje uszczerbku w sposób czysto faktyczny i niepewny przez to, że sprawiedliwy lub niesprawiedliwy sąd współobywateli o pewnej osobie jest mniej lub więcej niekorzystny. Są jednakże wypadki, w których uszczerbek na czci zawisł od pewnych dokładnie określonych warunków, a skutki i następstwa, które w takich razach koniecznie zachodzą, są stanowczo oznaczone. Wtedy wytwarza się osobny instytut prawny z prawnie oznaczonemi premissami i prawnie sformułowanemi następstwami.“

Następstwa te przenosi Unger więcej w sferę prawa publicznego a ścieśnia znaczenie czci w zakresie prawa prywatnego, co równa się uznaniu większego przedziału między prawem a etyką, aniżeliby ze słów powyższych wnosić wypadało. Jestto jednak już kwestya odrębna, łącząca się ściśle z charakterystyką dzisiejszego prawa w ogóle. Na razie chcieliśmy podnieść tylko ten szczegół, że wywód Ungra o znaczeniu czci w prawie staroniemieckiem zaczyna się już od stwierdzenia faktu, iż sama kombinacya pozytywnych przepisów niemoże dać dostatecznego wyjaśnienia. To też w przedstawieniu Ungra przesuwają się tylko, jakby prawno-muzealne zabytki, wszystkie stopnie wyzucia z czci, które przekazała nam historya prawa średniowiecznego, mianowicie: zupełne wyjęcie z pod prawa *(Echtlosigkeit)*, uszczuplenie czci *(Rechtlosigkeit)*, stanowiące nietylko środek prawno-karny w wypadkach przestępstwa, lecz także następstwo nieprawego urodzenia i pewnych hańbiących zajęć zarobkowych, pociągające za sobą niezdolność prawną do pełnienia funkcyi sędziowskich, opiekuńczych, do składania świadectw i t. d., wreszcie właściwa bezecność *(Ehrlosigkeit)*, która z czasem zabsorbowała drugi z powyższych środków prawnych i w późniejszej organizacyi stanowej oznaczała głównie utratę czci, z pewnym stanem połączonej. Przesuwają się te stare instytuty prawne przed okiem czytelnika w towarzystwie infamii rzymskiej, pojmowanej nie według tradycyi cenzorskich, lecz ściśle według kodyfikacyi Justyniańskich a nacisk pada tylko na tę bezecność, która, „jako moralne pojęcie, oznaczające umniejszenie godności pewnej osoby, po części łączyła się ze staroniemieckiem uszczupleniem zdolności prawnej *(Rechtlosigkeit)*, jako następstwo zbrodni, a po części służyła do silniejszego uwydatnienia karygodności przestępstw, polegających na złamaniu dobrej wiary lub w ogóle na naruszeniu pewnych praw szczególnie uświęconych.“ W tem moralnem znaczeniu rzymska bezecność, oparta na

splamieniu się niegodziwemi czynami lub niegodnem życiu *(infamia facti, turpitudo)*, nie stanowiła tedy i nie stanowi ani zagadki, ani zabytku prawno-antykwarskiego. Jestto stan moralny, nieobojętny dla prawa pozytywnego, gdy ono nieposzlakowany charakter postawić musi jako warunek *sine qua non* pewnych aktów lub atrybucyi prawnych, nieobojętny ale i nieuchwytny zarazem, jeżeliby kto samemi dyktatami paragrafowemi bez oglądania się na głos społeczno-moralnych czynników zamyślał go w zupełności określić a przytem i wskazać kryterya, zupełnie wystarczające dla oficyalnych wykonawców prawa.

Jeżeliby rozpowszechnienie się jakiego obcego wyrazu miało wskazywać, w jakim stopniu przystęp znalazło także pojęcie w nim pierwotnie zawarte, to trzebaby przyjąć za pewnik, że w prawie i w społecznych urządzeniach Polski infamia rzymska przyjęła się tak silnie, jak tam, gdzie prawo rzymskie odżyło niejako w swojej mocy obowiązującej. Infamia, infamis, to w naszych pomnikach prawnych, począwszy od najstarszych, jak statut Wiślicki i statut Wielkopolski [1]), taki gość stały, że go niemal zaliczyć można już do swojskich produktów prawno-lexykonowych. Tak się przyjął ten wyraz, że nie w naszych czasach dopiero, lecz już wtedy nawet. gdy jeszcze miał ściśle znaczenie karno-prawne, używany był w aktach urzędowych także w znaczeniu zniewagi [2]).

Wpływu prawa rzymskiego na ustawodawstwo polskie i w ogóle słowiańskie zapoznawać nie można. Są na to dowody w naszych pomnikach prawa. Główny skutek infamii, pozbawienie zdolności do osiągnięcia jakichkolwiek dostojeństw, określony jest w statutach Kazimierza Wielkiego słowami rzymskiego prawa [3]). Prawo rzymskie miało już co najmniej znaczenie, jakie mu Romuald Hube przypisuje [4]), „znaczenie teoryi, powagę zasady naukowej dla objaśnienia

---

[1]) Romuald Hube: *Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego* — Warszawa 1881, str. 109, 134, 142, 200, 204, 205, 209.

[2]) ... *iniuria et infamia* w krakowskich i lubelskich aktach konsystorskich. (Bolesław Ulanowski: *O pokorze publicznej w Polsce* — Kraków 1888, str. 90 i 93; R. Hube: *Sądy, ich praktyka i stosunki prawne społeczeństwa w Polsce ku schyłkowi XIV. wieku* — Warszawa 1886, str. 64 i 253).

[3]) ... infamis permaneat perpetuo nec eidem portae pateant dignitatum itd. (R. Hube: *Ustawodawstwo Kazimierza W.* (j. w.) str. XLV.).

[4]) Romuald Hube: *O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-byzantyńskiego u narodów słowiańskich* — Warszawa 1868, str. 62 i n.; nadto tegoż autora: *Prawo polskie w wieku XIII.* — Warszawa 1874, str. 31 i n.

i rozwinięcia rozporządzeń prawa ziemskiego, albo posługiwało pisarzom naszym (n. p. Modrzewskiemu) jako argument naukowy, za pomocą którego w różnych czasach usiłowali wpłynąć na poprawę, albo raczej wzmocnienie słabego systematu karania, uświęconego prawem krajowem". W wpływie tym prawo rzymskie łączyło się z innemi prawami, gdyż, jak to ten sam uczony podnosi i na przykładach objaśnia, powoływano u nas także *leges communes*, *iura communia*, czem było „nie tyle czyste prawo rzymskie, jak raczej owo amalgama różnych praw: rzymskich, kanonicznych, feudalnych i miejscowych z różnych krajów, z którego teorya i praktyka w braku pełnego krajowego prawodawstwa utworzyła rezerwowy arsenał do obrony zachwianego porządku."

Maciejowski [1]), który jeszcze wyznawał obaloną przez Mommsena opinię Savignego, jakoby infamia rzymska miała znaczenie przedewszystkiem polityczne, podniósł mimo to trafnie wybitne znaczenie a zarazem ogólny charakter infamii w prawodawstwie słowiańskiem. „Z opinii publicznej — mówi ten uczony — czyli z powszechnego mniemania, że nawet ten, co ułaskawiony będzie, nie przestaje być bezecny, wziąwszy zbeszczeszczenie swój początek, ciągle około wyrazu cześć wirowało. Rozwinięta ztąd zasada, że kto ją traci, ten podwójnie szwankuje, albowiem prawa politycznego i rzeczowego, cierpiąc konfiskatę, pozbawiony bywa, ta — mówię — zasada zbliżała zachodnich Słowian do rzymskiego a przeciwnie wschodnich z niemieckiem pokumała prawem. Nie polityczne bowiem i rzeczowe, na zawsze lub chwilowo, jak było u Polaków, Węgrzynów i Czechów, lecz polityczne tylko tracił prawa na obywatelskiej czci szwankujący Rzymianin; nie szwankował zaś na obywatelskiej, lecz na osobistej czci zbeszczeszony Serb i t. d." Tej ostatniej uwagi niemożna chyba tak tłumaczyć, jakoby infamia w Polsce mniej wpływała na cześć osobistą, aniżeli u Słowian wschodnich. Maciejowskiemu widocznie chodziło tylko o zaznaczenie głównych rysów, ale nie o całą charakterystykę, gdyż w tym razie ostatnia uwaga nie dałaby się pogodzić ani z tem, co wyżej mówi o opinii publicznej, ani z inną, bezpośrednio przedtem uczynioną, uwagą, która znowu trafnie uwydatnia ten dalszy szczegół, iż jak w Niemczech, tak i u nas infamia koncentrowała się niejako w stanowym ustroju. Według naszych najstarszych pomników prawa infamię pociągały

---

[1]) Wacław Alexander Maciejowski: *Historya prawodawstw słowiańskich* — wyd. II. Warszawa 1856—1865, t. V. str. 466 i n.

ze sobą po za zbrodniami stanu takie przestępstwa bezwarunkowo hańbiące, jak łotrostwa, łupieże, złodziejstwa i potrójnie popełniona kradzież a skutki prawne infamii równały się zupełnej zagładzie moralnej, skoro łączyła się z nią nietylko utrata prawa do wszelkich godności i odznaczeń, lecz nadto utrata prawa rycerskiego i szlachectwa w ogóle [1]).

Zresztą sam Maciejowski uzupełnia swoją powyższą uwagę w tym duchu, gdyż mówi zaraz potem: „Kara miałali być skuteczną, powinna była dotknąć się najdelikatniejszej strony przestępcy. Tą dla szlachty była cześć osobista, którą kto za karę utracił, taki, obywatelskich praw będąc pozbawiony, odpokutowywał ciężko za swoje przestępstwo, albowiem wraz z czcią tracił i materyalne z posiadania tychże praw spływające na niego korzyści. Jedną z nich była monarsza łaska, której kto pozbawiony bywał, ten nie zyskiwał królewszczyzn, urzędów i t. p.... Szlachta tem bardziej się zasługiwać na karę infamii strzegła, im rzadziej ją na nią rozciągało prawo. Urok więc miała dla niej ta kara wielki, lecz z czasem zaczęła go tracić z winy prawodawcy. Na czem gdy się przecież poznano, usiłowano temu zapobiedz i dostąpiono celu, lubo niezupełnie.“ Taki to już los wszystkich kar, chociażby najsroższych i na pozór najwięcej odstraszających. Zupełne osiągnięcie celu jest w całem prawie ideałem, tak samo niedoścignionym, jak każdy ideał w ogóle. Tem więcej stosuje się to do prawa karnego w jego walce z wieczystą ułomnością moralną człowieka, na której stępiają się prędzej lub później nawet najdotkliwsze środki zaradcze.

O infamii, jako kryminalnym środku prawnym, czy to samodzielnie zastosowywanym, czy tylko dodatkowo jako konsekwencya prawna innej kary, szczegółowo rozprawiać tutaj nie będziemy z tych samych powodów, dla których tylko dotknęliśmy tej strony infamii tak w prawie rzymskiem, jak i w niemieckiem. Chodzi nam bowiem przeważnie o stronę społeczno-moralną sprawy, więc o infamię, sięgającą po za ramy paragrafowej definicyi, o tę infamię, która chociaż w głównej treści swojej jest nieuchwytna dla twardych obcęg prawa pozytywnego, zawsze jednak pozostanie dla niego posiłkowym czynnikiem, co więcej, uzupełnia je niejako, ale nie wobec samych trybunałów prawnych i nie w ręku patentowanych organów wykonawczych prawa, lecz wobec społeczeństwa i z jego ramienia. Takiemu celowi nie przyniosłoby korzyści szczegółowe, ściśle dogmatyczne, określenie wszystkich wypadków i następstw prawnych infamii, tak

[1]) Romuald Hube: *Sądy, ich praktyka* itd. (j. w.) str. 33.

samo, jak to widzieliśmy już w poprzednio omówionych okresach historyi prawa. Bandtkie zestawił z prawa polskiego 19 wypadków infamii z charakterem karnym, zbywając krótką wzmianką banicyę, która zazwyczaj połączona była z infamią. Bandtkiemu chodziło tylko o wypadki infamii, która jako bezecność, pozbawiająca prawa obywatelstwa szlacheckiego z zastrzeżoną sejmowi możnością restytucyi czci, wpływała na prywatno-prawne stosunki dotkniętych osób. Chociaż wykaz ten nie ogranicza się do samych tylko wypadków kryminalnych, lecz obejmuje także i sprawy z charakterem całkowicie lub przeważnie politycznym, to jednak nie wyczerpuje przedmiotu w obrębie prawa prywatnego. Sam Bandtkie przytacza szereg przykładów, w których infamia, bądź to pod tą nazwą techniczną, bądź pod inną (utrata poczciwości, czci i t. d.) wypływa ze spraw prywatno-prawnych. Żeby poprzestać tylko na przykładzie najdobitniejszym, przytaczamy zobowiązanie pod gwarancyą bezecności zaciągnięte *(obligatio sub poena personalis infamiae, sub poena infamiae)*. Była to „klauzula, używana we wszelkich dobrowolnych zobowiązaniach, n. p. w sprzedaży, w dzierzawie, w zapisie na sąd polubowny, w zapisach zastawnych, dożywotnich, w kwicie, w plenipotencyi“ [1]). Tutaj zaciera się już niejako kryminalna linia demarkacyjna infamii a przypomina się owa rzymska *infamia facti* czyli *turpitudo*, dekretowana i z konsekwencyami swojemi stosowana do ludzi, splamionych rozmaitemi niegodziwościami, na których prawo karne nie wyciskało jeszcze swojego piętna specyalnego, przypomina się owa hańba, sromota i t. d., przekazana za czasów rzymskich cenzorów i jurisprudentów, tak samo jak później, rozpoznaniu i judykaturze nie samego prawa pozytywnego, lecz przedewszystkiem społeczeństwa, mianowicie opinii ludzi prawych, orzekających pod powagą moralności i pod grozą owej „złej powieści“ (niesławy), jak się wyrażało stare prawo polskie i czeskie, ciskające infamię na kobiety za złamanie wiary małżeńskiej [2]).

W najgorszych pod względem moralnym czasach społeczeństwo nasze znało kryterya i znamiona tej „złej powieści“, jak rzymskie społeczeństwo kryterya swojej *turpitudo*, niemieckie swojej *Anrüchtigkeit*, *Verächtlichkeit* i t. p. a oparte na tej notoryczności stanu prawo pozytywne mogło już ztąd wysnuwać dalsze konsekwencye

---

[1]) Jan Wincenty Bandtkie Stężyński: *Prawo prywatne polskie* — Warszawa 1851, str. 8—11 i 471—2.

[2]) W. A. Maciejowski: *Historya prawodawstw słowiańskich* (j. w.) t. III. str. 6.

w swoim zakresie i w miarę ścisłości harmonii swej z zasadami moralnemi, zagradzając napiętnowanym w ten sposób osobom drogę do zaszczytów i wybitnych stanowisk, nawet do pewnych od zaufania publicznego zawisłych funkcyi, jak n. p. składania świadectwa, wykonywania opieki i t. p. W paragrafy z ścisłością, wszystkie szczegóły obejmującą, kryterya te ująć się nie dadzą, gdyż albo okazałaby się niemoc definicyjna prawa, albo musiałoby ono sformułować rzecz ogólnikowo w sposób doktrynerski, jak to n. p. stało się w *Zbiorze praw sądowych* A. Zamoyskiego w art. XXV. §. 8. orzekającym, że „mieszczaninem niemoże być pod infamią *facti et iuris* zostający". „To jest -- dodaje słusznie wydawca Dutkiewicz [1]) — podział naukowy bezecności; powinien był być nauce pozostawiony i tego też podziału niema ani w prawie ziemskiem, ani w prawie miejskiem a ta nazwa trudnaby była mieszczanom do pojęcia." Właściwie nie byłaby ona trudną do pojęcia, lecz tylko do definicyjnego określenia dla ścisłej paragrafowej aplikacyi przez organa wykonawcze.

Kto z naszych konstytucyi sejmowych chciałby wyrobić sobie pojęcie o znaczeniu i zakresie infamii, musiałby z góry zrzec się pedantyzmu definicyjnego i brać wyraz ten w znaczeniu szerszem, obejmującem po za techniczno-prawnemi kryteryami także czysto moralne skazy. Spotykamy się tam bowiem z infamią, zaostrzoną tem, że infamis ma być za wroga ojczyzny uważany tak samo w postanowieniach o mężobójstwie [2]), jak i w wypadkach przestępstw politycznych, n. p. w sprawie Hieronima Radziejowskiego [3]), w sprawie kwestyonowania równości praw Litwy i Korony [4]) i t. d. Infamia spada na osoby, skompromitowane w sprawach czysto politycznych, niejako za intrygi polityczne, w danej chwili knowane, jak n. p. na popierających sprawę arcyksięcia Maksymiliana w XVI. stuleciu [5]), na tych, którzy za czasów króla Władysława IV. grali rolę fałszy-

---

[1]) Andrzeja Ordynata Zamoyskiego: *Zbiór praw sądowych* (Wydanie Walentego Dutkiewicza) — Warszawa 1874, str. 221.

[2]) ... homicida ... debet publico edicto infamis pronunciari et hostis patriae iudicari. (*Volumina Legum*, t. I. str. 168).

[3]) ... tegoż Hieronima Radziejowskiego za takową jego zdradę *pro perduelli Reipublicae hoste patriae et perpetuo infami* deklarujemy. (*Vol. Leg.* IV. 168).

[4]) ... ktoby się tej naszej powszechnej zgodzie y postanowieniu Rzeczyp. sprzeciwić chciał y one ruinować, ma być *pro hoste patriae reputandus et eo ipso infamis.* (*Vol. Leg.* V. 417).

[5]) *Vol. Leg.* II. 442.

wych carewiczów [1]) i t. p. a także według kompetencyi sądów sejmowych za Stanisława Augusta na winnych najcięższych zbrodni publicznych, jak spisek, bunt, zamach na sejm, zdrada stanu itd. [2]). Spotykamy się także z infamią wojskową *(poena infamiae militaris)* [3]), która snać ostro była pojmowana, skoro w jednym wypadku rehabilitacyi wyraźnie to zaznaczono, iż rehabilitowani byli tylko „przez ostrość prawa wojskowego o pewne excessy z wojska wytrąbieni“ [4]). Bywała wreszcie infamia nakładana nawet ryczałtowo, jakby klątwa prawna, na t. zw. „kupy swywolne“, które szczególnie w czasach burzliwszych uwijały się na pograniczu Rzeczypospolitej i w kraju a stanowiły prawdziwą mięszaninę złego, zawierały obok pospolitych hultajów i włóczęgów zwyczajnych także i zbrodniarzy, obok warchołów politycznych także indywidua, na prawdę zagrażające porządkowi publicznemu i bezpieczeństwu państwa. W zbiorze konstytucyi sejmowych co chwila spotkać się można z aktami repressyi przeciw tym „kupom swywolnym“ [5]).

Jeżeli w średniowiecznym okresie, do którego jeszcze na chwilę zwrócić się musimy, jeżeli w tej tak ponurej epoce życia prawnego i zamętu społecznego, połączonego z nowemi formacyami państwowemi, nie zapanowało zupełne zdziczenie w całej po za obszarem prawa pozytywnego leżącej sferze interesów, stosunków, w ogóle życia, w tej sferze, której jak objąć nie zdołało całkowicie starożytne dzieło ustawodawstwa, prawo rzymskie, tak i dzisiejsze objąć niemoże, jeżeli tedy w tej epoce tak ciężkich przejść i przesileń cześć bądź co bądź zachowała, jak widzieliśmy, znaczenie jenego z najwyższych dóbr moralnych, jeżeli wreszcie wtedy nawet była ona zwierciadłem, stawiającem każdemu przed oczyma obraz praw i obowiązków, to powstaje pytanie, jaki organ, jaki czynnik moralny czuwał nad czystością tego zwierciadła, nad siłą moralną żywego poczucia czci i jej wartości? Przecież nie samo prawo, zwłaszcza średniowieczne, tak niekształtne a w swojej niekształtności tem więcej niedostateczne. Nawet nie prawo rzymskie, szczęśliwie odgrzebane i od razu ocenione jako niedościgniona doskonałość, jako „rozum pisany“, gdyż całej missyi powyższej prawo to, jak świadczy upadek rzymskiego państwa, nie zdołało już spełnić nawet w tem państwie

[1]) *Vol. Leg.* IV. 47

[2]) *Vol. Leg.* IX. 244 i n., 265—6.

[3]) *Vol. Leg.* II. 406. IV. 320.

[4]) *Vol. Leg.* III. 461.

[5]) *Vol. Leg.* III. 240, 250, 294, 399, 424; V. 180; VI. 163; VII. 87; VIII. 134 itd. itd.

od chwili, gdy zamarła tradycya cenzury jako trybunału społeczno-moralnego a deprawacya obyczajów w upadającem pokoleniu wyczerpała cały kapitał moralnej siły, uzbierany i przekazany potomności w okresie kwitnącej republiki.

Historya w ogóle a historya prawa w szczególności daje na powyższe pytanie wyjaśnienie każdemu, kto go szczerze i bez uprzedzeń szuka. Ta sama potęga moralna, która na gruzach imperium rzymskiego zatknęła dla ludzkości drogoskaz dalszego nieprzerwanego pochodu cywilizacyjnego i przewodziła temu pochodowi, trzymając w karbach świeży, twardy, ale dla celów tej missyi podatny materyał ludów, nowo wstępujących na widownię dziejową, objęła także, jakby nowa uniwersalna cenzura, *morum disciplinaeque regimen* w najszerszem i najpodnioślejszem tego słowa znaczeniu. Zwycięzki chrystyanizm był tą potęgą a kościół ze swojem prawem, ze swojemi urządzeniami i z całą działalnością swoją stanowił ową cenzurę uniwersalną, moralne posiłki prawa pozytywnego w walce ze złem.

Niemcy roszczą zawsze dla swojego prawa najwybitniejszą po rzymskiem rolę cywilizacyjną, więc świadectwo niemieckie jest pod tym względem klassyczne. Jarcke, podnosząc z naciskiem, że zbawienny w historyi cywilizacyi wpływ prawa kanonicznego nie został jeszcze dotąd należycie uznany i oceniony, dodaje [1]: „Kary kościelne stanowiły, jak niegdyś cenzorskie prawo karne w Rzymie, w całym okresie średniowiecznym uzupełnienie świeckiego sądownictwa, głęboko i dobroczynnie wpływające na całe życie społeczne. Kto z historyczną bezstronnością rozważy, jak w tym okresie surowość i srogość nowo powstających kar publicznych stykała się ze starą pogańską zemstą prywatną, jak zasada kompozycyi wobec wzrastającego wśród burz wojennych zdziczenia obyczajów doprowadzić musiała do najlekkomyślniejszego pojmowania zbrodni, jak wówczas czuć się dawał brak urządzeń, strzeżących dziś pokoju i bezpieczeństwa publicznego, a świeckie sądownictwo wobec rozluźnienia węzłów, łączących jednostki i stany w całość, często nie było w stanie wykonać prawa, ten nie zaprzeczy pewnie, że prawo świeckie potrzebowało pomocy od wyższej duchowej potęgi, bez której surowy, dziki, starogermański charakter ludowy nie zostałby był nigdy przezwyciężony a postęp w umoralnieniu stałby się był niemożliwy.“

Ihering, który z prawdziwym zachwytem, jak nikt przedtem, postawił cenzorów rzymskich na podniosłem stanowisku wielkich

[1]) Dr. Carl Ernst Jarcke: *Handbuch des gemeinen deutschen Strafrechts* — Berlin 1827, t. I. str. 51 i n.

korektorów prawa pozytywnego w kierunku moralnym i który wobec tego uwielbienia dla działalności cenzury rzymskiej chętnie widziałby w nowoczesnem prawie instytucyę appellacyjną podobnej miary moralnej w stosunku do judykatury, na pozytywnem tylko prawie opartej, porównuje wprost duchowne sądy średniowieczne z cenzurą rzymską. „Jak obok pretora stał cenzor, tak sądy te stały obok sądów świeckich." W cenzorskiej instytucyi przebijał wybitny charakter polityczny a w sądach duchowych charakter religijny, ale „obie instytucye godziły prawo pisane z wymaganiami obyczajów i moralnego poczucia" [1]). Zdanie to Iheringa podziela Katz w monografii, poświęconej kanonicznemu prawu karnemu [2]), z tem zastrzeżeniem, że w okresie surowego przestrzegania pokuty kościelnej jej potężna siła moralna nawet zupełnie spełniała zadania jurysdykcyi karnej. Nie chcemy przedłużać szeregu świadectw w tym rodzaju, ale na wszelki wypadek pominąć tego niepodobna, że taki prawnik liberalny, jak F. Holtzendorff, w dziele, poświęconem liberalnemu ocenieniu wagi dzisiejszej opinii publicznej, odzywa się o moralnem znaczeniu dawnej jurysdykcyi kościelnej w sposób, stanowiący przykry wyrzut dla dzisiejszego ustroju prawnego. „Ustawy karne — mówi ten pisarz [3]) — mogą tylko w bardzo skromnym zakresie zastąpić działanie moralności publicznej. Moralna akcya kościoła w średnich wiekach nie została po zniknięciu jurysdykcyi kościelnej zastąpiona żadnym pozytywnym środkiem zaradczym przeciw nadużyciom nieposkromionego indywidualizmu i nienasyconego egoizmu."

Nie w samych późniejszych postanowieniach prawnych o infamii szukać należy źródła tego potężnego wpływu kościoła na umoralnienie społeczeństwa. Prawo kanoniczne nie zreformowało infamii rzymskiej w ten sposób, żeby mówić można o infamii kanonicznej w znaczeniu antitezy lub nowej instytucyi prawnej. Co z rzymskich norm stracić musiało znaczenie, jako niezgodne z duchem chrześciańskich urządzeń, to upadło niepowrotnie, jak n. p. upadła infamia wdów, wchodzących w związki małżeńskie przed upływem czasu żałoby, jako niepołączalna z postanowieniami kościoła chrześciańskiego o istocie i warunkach ważności małżeństwa, zawartego chociażby z naruszeniem żałoby, zresztą także i przez kościół uznawanej.

---

[1]) R. v. Ihering: *Geist des römischen Rechts* (j. w.) t. II. str. 56 i n.

[2]) Edwin Katz: *Grundriss des kanonischen Strafrechts* (j. w.) str. 31 i n.

[3]) Franz v. Holtzendorff: *Wesen und Werth der öffentlichen Meinung* (j. w.) str. 73.

Ale sama istota infamii i jej moralne znaczenie jako piętna, wyciskanego przez prawo na niegodziwcu za czyny zdrożne, które i wobec pojęć chrześciańskich tem być nie przestawały, musiały ostać się z prawnemi skutkami, co więcej znaczenie to musiało się rozszerzać w miarę, jak się rozszerzał widnokrąg moralny i obejmował coraz szerszy zakres zdrożności [1]). Niezmieniona pozostała w prawie kanonicznem, jak w prawie rzymskiem, norma, że dla infamisów zamknięta jest droga do dostojeństw [2]), więc i do stanu kapłańskiego, nie znoszącego nawet skazy na sławie *(defectus famae)*. Rozumie się, że kościół, oddając cesarzowi, co jest cesarskiem, nie mógł się zupełnie zamknąć w swoich kryteryach infamii, lecz owszem wprost uznawał pod tym względem normy prawa świeckiego [3]).

Nie wchodzimy w dalsze szczegóły przekształcania się i uzupełniania infamii pod wpływem prawa kanonicznego, gdyż, jak powiedzieliśmy, nie na tej zmianie polegała umoralniająca społeczeństwo akcya kościoła w średniowiecznym okresie. W najwybitniejszym wyrazie tej akcyi karno-moralnej, w pokucie kościelnej, szukać należy punktu ciężkości. W istocie i celach tej pokuty dokonało się wielkie pogłębienie pojęć winy i kary na zasadzie boskiej nauki o grzechu. Pokuta kościelna obejmowała całą działalność człowieka z intencyami i motywami a nie tylko oderwane czyny ze strony ich szkodliwości na zewnątrz, obejmowała wszystkich ludzi bez różnicy pochodzenia ze stanowiska równości chrześciańskiej a w miarę, jak znaczenie jej rosło wobec jurysdykcyi świeckiej, uszlachetniała także świeckie normy karne. Prawo państwowe wymierzało karę tylko według zewnętrznego charakteru stwierdzonych czynów zdrożnych, nie troszcząc się ani o moralne tło i akcessorya, ani o dalsze losy skazanego, kościół natomiast spełniał zadanie karne w duchu poprawy i umoralnienia, nie pragnąc zguby, lecz poprawy grzesznika.

W tej akcyi umoralniającej znaczenie czci podniosło się niezmiernie, gdyż kościół pojmował ją tak, jak to w lapidarny sposób określił mistrz filozoficzny św. Tomasza z Akwinu, Albertus Magnus, jako siłę sumienia *(vis conscientiae)*, więc jako siłę czynnika moralnego, kierującego człowiekiem w rozpoznawaniu i wyborze dobrego i złego, ostrzegającego wyrzutami nawet na manowcach życia, często

---

[1]) Georg Philipps: *Lehrbuch des Kirchenrechtes* — II. Aufl. Regensburg 1871, str. 114 i n.

[2]) Infamibus portae non pateant dignitatum.

[3]) Omnes vero infames esse dicimus, quos leges saeculi infames appellant, et omnes, qui culpis exigentibus ad sacerdotium non possunt provehi.

już nad samą przepaścią moralną. Tak podniośle pojmując poczucie czci, jako syntezy praw i obowiązków, strzegł kościół nawet jej odblasku na zewnątrz w opinii, w dobrem imieniu, w famie zasłużonej uczciwem życiem.

Że pod tym względem prawo niemieckie a wobec jego znaczenia na zewnątrz prawo w ogóle wiele zawdzięcza wpływowi kościoła i prawa kanonicznego, tego wobec niezbitych dowodów historycznych nieuprzedzeni prawnicy niemieccy zapoznawać niemogą. Uznał to otwarcie n. p. Wallenrodt [1]) a chociaż nie wahał się przytem wejść w polemikę z zapatrywaniami germanistów, przesadnie wynoszących samodzielny charakter rozwoju prawa niemieckiego, pewnie nie wyrządził tem ujmy ani temu prawu, ani rozwojowi pojęcia czci w tem prawie. Dawna specyalna osłona prawna czci, wkładająca na tego, kto zamach na cześć bliźniego wykonał, twardy moralny obowiązek naprawienia złego, niejako zwrócenie nieprawnie naruszanego dobra moralnego *(restitutio famae)*, zawdzięcza swoją genezę wpływowi kościoła, duchowi jego judykatury karnej, nie poprzestającej, jak prawo świeckie, na samem zastosowaniu kary jako środka repressyi, lecz dążącej do zgładzenia złego za pomocą kary, niejako do przywrócenia przez pokutę zwichniętej przestępstwem harmonii z moralnością. Warunkiem pokuty skutecznej było zadośćuczynienie a jej częścią integralną powetowanie szkody wyrządzonej, restytucya. W duchu tych określeń, w jakie scholastycy XII. i XIII. stulecia ujęli pojęcie pokuty i restytucyi, przestępca był obowiązany do powetowania nietylko szkody na dobrach materyalnych, lecz także na moralnych, zwłaszcza na takich, które jak dobre imię (fama) przewyższały pierwsze *(quae praeminet divitiis eo quod propinquior est spiritualibus bonis)*. Jak więc scholastycy uznawali obowiązek „zwrotu dobrego imienia“ *(restitutio famae)*, w formie niezbędnego warunku pokuty, tak samo, jakby obowiązek zwrotu odjętej komu innej rzeczy *(tenetur aliquis ad restitutionem famae sicut ad restitutionem cuiuslibet rei subtractae)*, tak i prawo niemieckie a z wzrostem powagi kościelnej jurysdykcyi także i prawa innych narodów Europy uznawały odwołanie dyffamacyi, ile możności tam, gdzie ona popełniona została i przed temi samemi osobami, które były jej świadkami, jako akt restytucyi odjętego dobra, więc początkowo nie jako karę, lecz jako akt powetowania szkody wyrządzonej.

[1]) Dr. C. v. Wallenrodt: *Die Injurienklagen auf Abbitte, Widerruf und Ehrenerklärung in ihrer Entstehung, Fortbildung und ihrem Verfall* (w *Zeitschrift für Rechtsgeschichte* — t. III. z r. 1864 str. 238—300).

Z biegiem czasu jednak to odwołanie zniewagi przybierało charakter środka karnego i utrzymywało się w tym charakterze najpierw z mocy zwyczajowego zastosowywania, dopóki nie nastąpiła legalizacya tego zwyczaju w prawie pozytywnem (Carolina).

Dla podniosłego charakteru moralnego pokuty kościelnej nie wystarczało samo odwołanie zniewagi, gdyż naprawiało ono tylko krzywdę wyrządzoną, ale nie wznosiło się jeszcze na wyżynę expiacyjną. Ten charakter posiadało formalne przeproszenie, które także z jurysdykcyi kościelnej przeniosło się do świeckiej. Nie było takiej ścisłej łączności między odwołaniem a przeproszeniem, jaka zachodziła w kościelnem zastosowywaniu tego środka, zawsze jednak ten ostatni środek prawny stosowany był razem z odwołaniem, zwłaszcza w prawach partykularnych, które dobitniej występowały przeciw pojedynkom. Gdzie przeproszenie weszło w zastosowanie obok odwołania z różnorodnemi stopniami i waryantami w formach, tam sędzia miał szeroki zakres środków prawnych, w którego obrębie uwzględniał wszelkie tak z istoty czynu jak i z różnicy stanowej wynikające odcienia przestępstwa, na czci popełnionego, tam mógł sędzia działać w kierunku umoralniającym przez podniesienie poczucia i wagi czci.

Uchylenie powyższych środków z ram prawa karnego uważa Wallenrodt za dobry skutek filozoficznej reakcyi, za zdobycz ducha czasu. Gdyby to zdanie odnosiło się tylko do formalności, zastosowanych przy oświadczeniach honorowych, odwołaniach zniewagi i przeproszeniach, formalności częstokroć istotnie rażących ze stanowiska zapatrywań dzisiejszych (n. p. upadanie na kolana, występowanie z pochodnią płonącą, obecność kata itd.), to zdaniu temu nie możnaby się sprzeciwić. Ale Wallenrodt uważa samą myśl, tkwiącą w odwołaniu dyffamacyi, myśl, że cześć zewnętrzna (fama) może być w danym razie, jak dobro materyalne, odjęta i potem zwrócona, za paradox w prawnem znaczeniu.

Wypadnie nam jeszcze później dotknąć tej sprawy, ale żeby czytelnika nie pozostawić w mniemaniu, jakoby to zdanie Wallenrodta miało być już uznanym pewnikiem naukowym, zaznaczamy, że i dziś w systemie prawno-filozoficznym, opierającym istotę prawa nie na zmateryalizowanych pojęciach utylitaryzmu, dobre imię, cześć zewnętrzna, uważana jest za dobro moralne, zdobywane pracą, utrzymywane w nietkniętym stanie trudem życia i przekazywane następcom prawnym tak samo, jak inna własność [1]). Jeżeli prawo

---

[1]) Emile Beaussire: *Les Principes du droit* (j. w.) str. 367 i n. — Ad. Franck: *Philosophie du droit pénal* (j. w.) str. 119.

nie określa w tym wypadku warunków nabywania, utrzymywania w posiadaniu i przekazywania własności następcom prawnym tak samo, jak to czyni co do prawa własności na dobrach materyalnych, to jestto, zdaniem tych pisarzy, akt niemocy wobec zadania, niedającego się sformalizować w sposób paragrafowy, zadania, należącego już do samego społeczeństwa, bo wymagającego ciągłej i wszechstronnej a nadto moralnemi kryteryami kierowanej kontroli.

Prawnicy, hołdujący pozytywizmowi, nazywają bez zastrzeżeń postępem, lub, jak Wallenrodt w powyższej sprawie, dobrym skutkiem filozoficznej reakcyi, takie zmiany w stosunku prawa do moralności, nad któremi z filozoficznego stanowiska często wprost ubolewać wypada. Właśnie w sprawie czci wypowiada to filozof Eckstein w ten sposób dobitny [1]: „Zwyczajnie mówi się, że społeczeństwa, które znacznie postąpiły naprzód, poruczają karcenie pewnych zdrożności więcej zwyczajom i opinii publicznej, aniżeli sędziemu karnemu. W bardzo wielu wypadkach życzyćby sobie należało, aby ten postęp nie był nigdy nastąpił. Gdybyśmy pod tym względem cofnęli się do zapatrywań dawnych czasów, wtedy dopiero mielibyśmy prawdziwy postęp."

Strzegąc tak czujnie czci zewnętrznej, famy, jako własności moralnej, mógł kościół w wykonywaniu swojej jurysdykcyi powoływać do współdziałania samo społeczeństwo, więc oprzeć swoją akcyę karną na tem, co doszło do jego wiadomości za pośrednictwem — jak nazywano t. z. *testes synodales* — „ludzi dojrzalszych, uczciwszych i prawdomowniejszych z gminu". Sumienie takich ludzi, siła tego sumienia, więc cześć, dawała już rękojmię, że na kim w ich kole zaciążyła *zła* opinia *(mala fama)*, ten wszedł w kollizyę z prawem. Tym torem postępowała zresztą i judykatura karna w swoim rozwoju u ludów germańskich a od nich razem z ich pomnikami prawnemi postępowanie takie przyjmowało się dalej, jak n. p. „rugi" na wielkich sądach w miastach naszych wraz z prawem Magdeburskiem [2]).

Gdzie tradycya tego urządzenia utrzymała się najdłużej w rozwoju postępowania karnego, tam, jak w Anglii, łączenie repressyjnej akcyi prawnej przeciw przestępstwu z bezpośredniem współdziałaniem samego społeczeństwa nie zostało dotąd, mimo komplikacyi

[1]) Joseph Eckstein: *Die Ehre in Philosophie und Recht* (j. w.) str. 84.

[2]) Bartłomiej Groicki: *Porządek Sądów y Spraw Mieyskich Prawa Maydeburskiego w Koronie Polskiey* — w Krakowie 1629, str. 60.

stosunków, wyrugowane w takim stopniu, jak na kontynencie, w krajach z państwowo-prokuratorskim monopolem co do inicyowania tej akcyi, lecz podtrzymywane jest jeszcze w miarę możności i to, jak świadczy stan społeczeństwa angielskiego, bez uszczerbku dla jego interesów prawnych i moralnych [1]).

Żeby w tem wyniesieniu czci na stanowisko tak ważnego czynnika zabezpieczyć się wobec nadużywania ówczesnych form karno-proceduralnych dla celów potwarczych, prawo kościelne z szczególną surowością występowało przeciw potwarzy, nakładając w wypadkach tego rodzaju w ogóle infamię [2]) a inne surowe kary wtedy, gdy potwarz przybierała wyraźne znamiona fałszywego oskarzenia *(calumnia)* [3]). W naszych starych pomnikach prawa znajdują się niezbite dowody wpływu prawa kanonicznego w powyższym kierunku. Z jego bowiem inspiracyi potwarca zagrożony był taką samą karą, na jaką wystawiał niesprawiedliwie oskarzonego *(poena talionis)* [4]). Mimochodem tylko naznaczamy ten szczegół charakterystyczny, że kara taka jeszcze za króla Stanisława Augusta groziła potwarcy (delatorowi), który nie dowiódł w sądach sejmowych zarzuconego komu występku publicznego, poddanego kompetencyi tych sądów a czci szczególnie uwłaczającego („przeciw narodowi“ lub „przeciw najwyższemu Rzeczypospolitej rządowi“) [5]).

W historycznych przedstawieniach stosunku państwa do kościoła w okresie średniowiecznym przeważa zwykle tło polityczne. Ale historya prawa, niezamącona uprzedzeniami politycznemi, musi to bezwarunkowo uznać, że gdyby w tak ponurej dla prawa epoce średniowiecznej kościół nie był objął missyi cenzury społeczno-moralnej, samo prawo, bezsilne w treści i w organach swoich wobec tak burzliwych czasów i wobec tylu przewrotów, nie mogłoby było przebyć tego okresu rozwojowego bez uszczerbku dla swoich zadań cywilizacyjnych a już w każdym razie nie zdołałoby było o własnych siłach wznosić się stopniowo na dzisiejszą wyżynę. Czy wzniosłszy się tam

---

[1]) Dr. Richard Schmidt: *Staatsanwalt und Privatkläger* — Leipzig 1891, str. 72 i n.

[2]) E. Katz: *Grundriss des kanonischen Strafrechts* (j. w.) str. 157.

[3]) Dr. Hermann Wegele: *Zur Geschichte der falschen Anschuldigung* — Ansbach 1892, str. 25 i n.

[4]) R. Hube: *Prawo polskie w wieku XIII.* (j. w.) str. 149. Karol Dunin: *Dawne mazowieckie prawo* — Warszawa 1880, str. 191.

[5]) *Volumina Legum*, t. IX. str. 246—7.

może już obejść się bez przymierza z tą pomocniczą siłą moralną, której tyle zawdzięcza w całym rozwoju? Pozytywizm prawny najświeższego autoramentu daje na to pytanie odpowiedź twierdzącą w takiem znaczeniu, jakgdyby taka emancypacya prawa z pod wpływów i pomocniczej akcyi czynników moralnych w ogóle była jego naturalną fazą ewolucyjną a nawet dla społeczeństwa samego stanowiła postęp w pochodzie cywilizacyjnym. W książkowej kryjówce zdanie takie może się utrzymywać, ale trzeźwy pogląd na stosunki dzisiejszego życia społecznego, na te mnożące się symptomy bezsilności samego prawa wobec widocznego rozstroju społecznego i wielkich zagadnień bieżącej doby, musi wzbudzić, już nawet wzbudza, refleksye odmienne, coraz śmielsze i coraz głośniejsze.

W historyi prawa, w historyi infamii przedewszystkiem, refleksye tego rodzaju mają silny punkt oparcia. Jak potężnym środkiem prawnym była infamia w pierwszej, rzymskiej, fazie swojego rozwoju, gdy stała pod powagą opartego, jak widzieliśmy, w genezie i działalności swojej na religijnej podstawie trybunału społeczno-moralnego, t. j. cenzury, gdy przytem wykonawcą kary było niejako całe społeczeństwo! Jak dziko natomiast wygląda, jakby jaki upior straszny, jak bezsilnym w moralnem znaczeniu okazał się mimo całej srogości ten środek prawny a przynajmniej jego podobizna, jeszcze w poprzedniem stuleciu ujęta w Niemczech i we Francyi w ramy kodexów karnych w ten sposób, jakto pozytywizm prawny zaleca, z sankcyą wyłącznie paragrafową, z powagą dyktatu, strzeżonego w zastosowywaniu przez sam mechanizm judykatury państwowej. Mamy tutaj na myśli ową śmierć i degradacyę cywilną, o której szczegóły bliższe czyta się dziś już z niedowierzaniem, czy rzeczywiście tak stosunkowo niedługi okres czasu dzieli współczesną fazę rozwoju prawa od chwili, kiedy podobne środki prawne stosowane były w krajach, uchodzących za ogniska cywilizacyi [1]).

W czasach dzisiejszych prawo w walce ze złem niemoże wydobyć ze swojego arsenału żadnego z takich zastarzałych środków. Postęp humanitarny na zawsze wykluczył takie barbarzyńskie wyzuwanie człowieka z ogółu praw a więc i z czci, jakie łączyło się ze śmiercią cywilną, a postęp społeczny, zerwawszy w swoim prądzie niwelacyjnym wszystkie zapory, które, jak w starym Rzymie ustrój polityczny i obywatelski a w wiekach średnich ustrój stanowy, za-

---

[1]) G. A. Kleinschrod: *Uiber den bürgerlichen Tod als Criminalstrafe* (w *Neues Archiv für Criminalrecht* — Halle 1818, t. I. str. 65 i n.).

gradzały massom drogę do pełnego używania praw, rozsadził ramy ówczesnych urządzeń prawnych tak, że o ich rekonstrukcyi mowy niema. Jednakże w tej nowej, na zrównaniu obywatelskiem opartej, dzisiejszej organizacyi społecznej cześć nietylko nie straciła dla prawa w jego celach ogólnych a szczególnie w walce ze złem dawnego znaczenia swojego, lecz owszem spotężniała pod tym względem. Takie świadectwo wystawia jej nawet Tarde, pozytywista czystej krwi, o wiele więcej zbliżony do nowych prawno-karnych horyzontów włoskich, zaliczających nieraz niemal w sposób cyniczny (n. p. Garofalo [1]) poczucie czci do kategoryi konwencyonalnych akcessoryów, czy nawet przesądów dzisiejszego życia społecznego, aniżeli do szkoły klassycznej prawa karnego, utrzymującej pojęcia winy i odpowiedzialności karnej na podniosłem stanowisku moralnem. „Rusztowanie — mówi Tarde [2]) — roboty przymusowe, więzienia, wszystko to nic nie znaczy wobec wielkiego, wieczystego, niewidzialnego systemu karania, jaki stanowi zniesławienie i połączona z niem exkomunika społeczna. Kto odmówi potęgi tej karze? Tak samo wypadłoby chyba zaprzeczyć potęgi interdyktów, rzucanych przez Innocentego III. lub przez polityczną władzę opinii, tego bezimiennego a uniwersalnego rządu. Z tego wypływa, że — mówiąc mimochodem — jeżeli kryminaliści ze szkoły antropologicznej, podobni pod tym względem do moralistów zbyt pobłażliwych, więc do swoich przeciwników, przez pobłażliwość dla przestępstwa osłabiać będą łączący się z niem charakter bezecności, to chociażby potem domagali się kar drakońskich, faktem mimo to będzie, iż ostatecznie osłabili najsilniejszą zaporę, powstrzymującą postęp złego."

„Mimochodem" wypowiedział Tarde uwagę, którą do serca wziąć sobie powinien pozytywizm prawny, mniemający, że samemi dyktatami paragrafowemi, samą siłą mechanizmu prawnego, bez oglądania się na posiłki społeczno-moralnych czynników, można zasłonić i zabezpieczyć cały obszar życia prawnego przed wielką i zapamiętałą armią oblężniczą złego.

Sam mechanizm prawny nie jest w stanie, jak to już wyżej wskazaliśmy, ani odgraniczyć we wszystkich szczegółach „interesu" lub „fortelu" obrotowego od podstępu, nawet od nikczemności z zasłoniętemi przed okiem prawa kryteryami moralnemi czynu zdrożnego, ani nawet ostrzegać skutecznie ludzi dobrej wiary przed ludźmi

---

[1]) R. Garofalo (w francuskim przekładzie): *La Criminologie* — Paris 1890, II. ed. str. 21 i n.

[2]) G. Tarde: *La Philosophie pénale* (j. w.) str. 482.

„nieposzlakowanymi“, ale mimo to „bez czci i wiary“. Cóż dopiero mówić o takiem rozbudzeniu i podtrzymywaniu odrazy wobec bezecności, niesławy, która według słusznej uwagi Tarde'a powinna być uważana za najsilniejszy wał ochronny przeciw postępowi złego? Weźmy n. p. te dzisiejsze akcessorya wyroków karnych, które dotykać powinny czci obywatelskiej a więc miałyby a przynajmniej z założenia swojego powinnyby stanowić dobitny akt czujności prawa nad owym wałem ochronnym. Prawo samo dosięgnąć może tutaj tylko przestępców najgorszej kategoryi i to środkami, któremi, jak czasowem odjęciem pewnych praw obywatelskich lub odebraniem pozycyi, zależnych od nieposzlakowanego życia, pozbawieniem urzędów, odznak honorowych i t. p., zdoła w najlepszym razie wyrzucić napiętnowane w ten sposób indywidua z zajmowanych przez nie stanowisk społecznych, ale zamykając już na tem całą swoją akcyę repressyjną przeciw napiętnowanym, nie troszcząc się dalej o ich rehabilitacyę, owszem pozostawiając im otworem wszystkie dziś tak liczne i tak ułatwione drogi do innych pozycyi społecznych, nie zabezpiecza i zabezpieczyć niemoże społeczeństwa przed ponowieniem się zamachów złego.

Prawodawca sam tutaj spostrzedz musi niemoc swoją, gdy przystępując do reformy na seryo obliczy się ze środkami i zbada linię graniczną, do jakiej siła samego mechanizmu prawnego akcyę zaradczą posunąć może. Świadectwem klassycznem pod tym względem są zeznania, zawarte w elaboracie komissyi austryackiej Rady państwa, która długie lata pracowała nad ułożeniem takiego projektu nowej ustawy karnej, aby w nim streszczał się dodatni rezultat tak ożywionej w ostatnich czasach rozprawy świata prawniczego całej Europy nad potrzebnemi reformami w zakresie karnym.

W unormowaniu następstw kondemnaty kryminalnej pod względem czci *(Ehrenfolgen)* wszystkie austryackie projekty nowej ustawy karnej są co do zasad i głównych szczegółów zgodne tak samo, jak zgodne były wraz z rządem wszystkie komissye parlamentarne, ustanowione dla tej ustawy w wypowiedzianem zdaniu, iż chodzi tutaj o „kwestyę, dla każdego ustawodawcy nadzwyczaj trudną“ [1]. I w tem także zapanowała widoczna, chociaż wyraźnie niewypowiedziana, zgodność zdania, że tę „nadzwyczaj trudną kwestyę“ należy według ulubionej w systemie biurokratycznym maxymy pozostawić, ile możności, w stanie niezmienionym. Uznano n. p. fakt, że takie

[1]) Zu 210 Beilagen zu den stenogr. Protokollen des Abgeordnetenhauses, XI. Session, str. 57 i n.

z góry tylko od upływu pewnego czasu zależne odzyskanie pewnych praw obywatelskich spotkać się musi z zarzutem, iż niepodobna w ten sposób generalizować warunku rehabilitacyi, jeżeli w ogóle wyraz ten tutaj może być użyty, że zatem rehabilitacya „powinna, ściśle rzecz biorąc, następować w każdym wypadku z osobna na podstawie ścisłego i starannego dochodzenia", lub — mówiąc trafniej słowami Francka [1]) — „na podstawie całkiem nowego trybu życia po wyrównaniu przez zniesławionego rachunków z prawem". Mimo to wszystko zatrzymano obowiązujące dotąd normy. Powód przytoczony tak opiewa: „Jasną jest rzeczą, jakim trudnościom podlegałaby taka zmiana i jak nadzwyczajne pomnożenie agend wynikałoby ztąd dla przeciążonych już i bez tego organów sądowych."

Po tem tak ciekawem przyznaniu, że aparat sądowy jest niedostateczny, sprawozdanie komisyjne podnosi konieczność pozostawienia szerokiego zakresu swobodnemu uznaniu sędziowskiemu, gdyż wobec faktu, że „chodzi o zbadanie i odsłonięcie pobudek, które w działaniach jednakowych mogą być nieskończenie rozmaite", ustawa niemoże pod tym względem podać norm, lecz tylko „wskazówki dla sędziego, według których on ocenić powinien, czy obok kary kondemnata pociągnąć ma za sobą także następstwa na czci."

Ustawodawca przyznaje się więc wyraźnie do niemocy i apeluje tutaj do uznania sędziego, które, jak później zobaczymy, jest właśnie w sprawach czci aż nadto skrępowane. Na jakichże normach oprzeć się ma owo uznanie w wypadkach tego rodzaju, zkąd ono czerpać ma kryterya, jeżeli prawo pozytywne tylko na wskazówki zdobyć się może? W owej wielkiej sferze moralności, której chwiejną i zmienną determinacyę stanowi to prawo, są zawsze pewne normy i pewne kryterya dla najzawilszych kwestyi tego rodzaju, byle tylko sędzia, świadomy swojej missyi w podobnej sytuacyi, umiał a wśród krępujących go formalności także i zdołał wznieść się po nad poziom paragrafowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DR. BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

---

[1]) Ad. Franck: *Philosophie du droit pénal* (j. w.) str. 160.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d' ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.
1768.
(Ciąg dalszy).

VII.

Porażka konfederacyi barskiej, którą już zaczynają uważać za nieistniejącą. — Zdaniem Kayserlinga Rossya nie pozwoli nigdy na wzmocnienie się Polski. — Środek proponowany przez Salderna. — Przerażające wiadomości z Podola. — Bunt chłopski. — Między ofiarami zamordowanemi przez hajdamaków niema prawosławnych. — Generał Brühl nie chce iść na Kraków. — Wojsko rossyjskie poszukuje podejrzanych. — Pomyłkowe aresztowanie rezydenta angielskiego. — Wymordowanie mieszkańców Bałty przez kozaków. — Zamierzony szturm Krakowa. — Najazd na biskupa kujawskiego. — Konfederacya gostyńska czyli płocka i ciechanowska. — W Warszawie oczekują nadzwyczajnych wypadków. — Przerażenie króla i Repnina.

Warszawa, 16. lipca 1768.

Generał Apraksin raportuje ambasadorowi, że po porażce konfederatów Krasiński i Potocki cofnęli się do Mołdawii, Puławski zaś odstąpił w kierunku Benderu. Z raportu ks. Prozorowskiego dowiadujemy się, że Toporów, broniony przez 350 konfederatów, uległ przeważnym siłom rossyjskim. Tym sposobem wypadałoby uważać konfederacyę barską faktycznie za nieistniejącą.

Hr. Kayserling mówił mi w dniu wczorajszym, że Rossya nigdy nie pozwoli na to, aby Polacy przyszli do sił, chociażby ją to miało kosztować półtora miliona rubli rocznie.

Środek, jaki Saldern podawał królowi jeszcze w r. 1766, polegał na tem, aby w dalszym ciągu kontynuować konfederacyę,

zawiązana w czasie bezkrólewia. Gdyby Rossya zdołała narzucić ten projekt królowi, to wszyscy marszałkowie i radcy konfederacyi królewskich byliby ludźmi najniegodziwszymi.

Otrzymano tu przerażające wiadomości z Podola, bardzo smutne dla całego kraju a w szczególności dla tych panów, którzy tam posiadają wielkie majątki. Oto weszło tam około 4.000 kozaków zaporożskich, zwanych hajdamakami, dla podżegania do buntu chłopów starostwa bracławskiego, a chodząc od wsi do wsi, wzniecili na Ukrainie i na Podolu powstanie chłopskie. Popłoch okropny, wszyscy uciekają do Turcyi lub w kierunku Zasławia. Duchowieństwo, żydzi, a nawet chłopi uniccy nie są pewni życia, wszyscy wystawieni są na wściekłość tych hajdamaków, którzy nikogo nie oszczędzają. Błagany o pomoc i opiekę przez mieszkańców Kreczetnikow odpowiedział, że niema rozkazów pod tym względem.

Byłem w niedzielę na obiedzie u prymasa, gdzie ambasador rossyjski oświadczył nam, że nie byłoby nic bardziej pożądanego nad to, aby utworzona została jedna monarchia z Rossyi i Polski, że wtedy możnaby wystawić armię do 400 tysięcy dzielnego żołnierza. Następnie, zwracając się do jednego z Polaków, sprzyjającego konfederatom, rzekł niespodzianie: „Zwołajcie pospolite ruszenie i postawcie mnie na czele!“ Ten żart ambasadora wywarł silne wrażenie na zebranem towarzystwie.

Jakkolwiek Porta oświadczyła, że zgadza się na pozostanie wojsk rossyjskich w Polsce do czasu przywrócenia porządku na Podolu, to jednak zastrzegła wyraźnie, aby nie sprowadzano świeżych wojsk. Tymczasem wkroczyły obecnie nowe cztery pułki oraz kilka tysięcy kozaków, co łącznie z partyą rekrutów uczyni przeszło 10 tysięcy ludzi.

Niepodobna przypuścić, aby Porta patrzała obojętnie na ten wzrost sił rossyjskich w kraju tutejszym i na bunt hajdamaków, którzy mordują ludność, oszczędzając tylko tych, co są wyznania greckiego, a Rossya pomaga im w tem dziele mordu.

Kreczetnikow donosi ambasadorowi, iż spodziewa się uspokoić powstanie chłopów pod warunkiem zapewnienia im nietykalności religii greckiej; gdyż tylko prześladowania religijne skłoniły ich do buntu, oraz ta okoliczność, że konfederaci zarządzali tam pobór rekruta. O ile mi jednak wiadomo z dobrego źródła, pomiędzy wziętymi do niewoli konfederatami nie było ani jednego chłopa z tamtejszych okolic.

Według doniesienia Branickiego tysiąc konfederatów i dwa pułki hetmańskie złożyły broń, oddając mu również podpułkownika

Wołkowa i wielu oficerów rossyjskich, którzy poprzednio byli wzięci do niewoli.

Zdawało się, że te pomyślne dla Rossyi wiadomości podniosą znaczenie uroczystości, przypadających na dzień 9. i 10. b. m. (rocznica wstąpienia na tron carowej i imieniny w. księcia); tymczasem dni te nie odróżniały się niczem od zwykłych uroczystości dworskich, chyba tem, że król był nadzwyczaj smutny i nawet nie udał się do teatru. Tego samego dnia dał rozkaz generałowi Brühl, aby wprowadził w nocy do miasta artyleryę, obozującą pod Młocinami, oraz pułk ułanów pod komendą gen. Czapskiego. Gwardye litewskie stoją obozem w Ujazdowie, który od poniedziałku zaczęto oszańcowywać.

Artylerya miała udać się pod Kraków, ale na ten przypadek generał Brühl odmówił udziału, oświadczając gotowość złożenia komendy. Korpus artyleryi oświadczył przez wybraną deputacyę, że się nie ruszy bez swego naczelnika, generała Brühla. Z tego powodu aresztowano 8 oficerów.

We środę wszedł do miasta oddział wojska (kozaków i huzarów) rossyjskiego w celu poszukiwania kilku osób, posądzanych o korespondowanie z konfederatami. Dwie osoby aresztowano, a koniuszy hr. Czapskiego, Kleist, umknął. Przez pomyłkę aresztowany został również i rezydent angielski, któzy wyjechał konno, a to z powodu podobieństwa do jednej z poszukiwanych osób i dopiero uwolniony został za wstawieniem się oficera od ułanów. Wszystko to sprawia bardzo przykre wrażenie.

Ścigając cofających się z pod Mohilewa konfederatów wzdłuż Dniestru, kozacy dotarli do pogranicznej Bałty, której jedna połowa należy do Polski, a druga do Turcyi. Otóż kozacy ci, albo, jak chce ambasador, zbuntowani chłopi, podpalili miasto i wymordowali mieszkańców. Rzecz ciekawa, jak Porta Ottomańska zapatrywać się będzie na ten wypadek. De la Roche mówił do mnie, że Turcya wypowiedziałaby niezawodnie wojnę Rossyi, gdyby była pewną neutralności dworu wiedeńskiego.

Na obiedzie u prymasa ambasador rossyjski opowiadał nam, że 800 zbuntowanych chłopów zostało przez wojska rossyjskie wziętych do niewoli i odesłanych do generała Branickiego, który, stosownie do rozkazu komisyi wojny, przywódców ich każe bezzwłocznie powiesić. Nie mogłem pojąć z początku, dlaczego Rossya raz jest za chłopami, drugi raz przeciwko nim. Zagadka się wyjaśniła. Są tam chłopi prawosławni i unici i to, co opowiadał ambasador, odnosić się zapewne musiało do tych ostatnich.

Biskup kamieniecki, w przejeździe przez Częstochowę, o mało nie wpadł w ręce wojsk rossyjskich, które go właśnie śledziły, ale przestrzeżony w porę, uciekł na Szląsk.

Z konfederacyi, jakie obecnie się zawiązały, dwie tylko mają jeszcze pewne znaczenie: krakowska i sanocka.

Rossyanie zamierzają szturmem zdobywać Kraków. Pułkownik Igelström odjechał w tamte strony. Ambasador oświadczył panu De la Roche, że w tym miesiącu wszystko będzie ukończone, a sejmiki i sejm odbędą się tak, jak w roku zeszłym.

Biskup kujawski, który tu przybył niedawno, opowiadał mi, iż otrzymał niedawno wizytę jakiegoś nieznajomego w Wolborzu, który przybył do niego z listem. Zaproszony do gabinetu biskupa, wręczył mu jeszcze sekretnie bilet, którym go przestrzegano, że następnej nocy przybędzie do niego partya konfederatów, aby mu zabrać pieniądze, kosztowności a również broń, konie i służbę. Biskup natychmiast odjechał i dowiedział się następnie, że rzeczywiście owej nocy najechali go konfederaci sieradzcy, a nie zastawszy biskupa, udali się do Piotrkowa, do starosty tamtejszego, któremu zabrali ludzi, broń i pieniądze.

Zawiązaną została konfederacya w Gostyńskiem, która się przeniosła do Płocka, a inna w Ciechanowskiem. Pierwszą utworzył szambelan królewski, Dzierżanowski, który dawniej podróżował po Ameryce. Był on tak śmiałym, że wyjeżdżając z Warszawy, oświadczał głośno przy pożegnaniu przyjaciołom, iż udaje się po to, aby zawiązać konfederacyę, ale wszyscy uważali to za żart i nie wierzyli wcale jego słowom.

W Warszawie oczekują nadzwyczajnych wypadków. Popłoch powszechny zapanował. Król i ambasador są przerażeni. Jeden z nich każe ułanom mieć ciągle konie osiodłane na wszelki wypadek; drugi sprowadza znowu huzarów dla osobistego bezpieczeństwa. Nienawiść przeciwko Rossyi i królowi jest powszechna, rezultatem czego musi być zguba króla albo Rzeczypospolitej.

VIII.

Wojska rossyjskie nie mogą zdobyć Krakowa. — Figiel podskarbiego Wesla. — Wojska pruskie wkraczają w granice Rzeczypospolitej. — Benoit utrzymuje, że to tylko patrole. — Żądania Porty. — Konferencye Repnina z Czartoryskimi. — Odwaga artylerzystów polskich. — Stracenie Giżyckiego przez konfederatów. — Kuryer od Branickiego, który schronił się do Kamieńca.

Warszawa, 13. sierpnia 1768.

W depeszy z dnia 30. lipca Wasza Królewiczowska Mość raczy objawiać niecierpliwość, że dotąd nie donoszę nic o losie Krakowa

i konfederatów. Co dzień spodziewamy się tu wiadomości o zdobyciu tego miasta przez wojska rossyjskie, ale wiadomości tej dotąd niema, mimo iż generałowie Apraksin i Prozorowski dawno już się znajdują pod Krakowem na czele wojsk. Książę Marcin przybył z całym swoim oddziałem do Krakowa, wszakże z powodu widocznych stosunków swoich z księciem Prozorowskim wpadł w podejrzenie konfederatów i podczas jednej wycieczki umknął z Krakowa.

Przebywający w Pilicy podskarbi w. koronny, Wessel, przez 600 konfederatów uprowadzony został do Krakowa z całym swoim majątkiem ruchomym. Ambasador rossyjski sądzi, że Wessel umyślnie tak się urządził, gdyż marszałek konfederacyi krakowskiej jest jego stronnikiem. Wspomniał prymasowi, że wojska tureckie wykonywają pewne ruchy, posuwając się od strony Chocimia, ale że chodzi im jedynie o rozciągnięcie kordonu, aby nikogo nie przypuszczać do Mołdawii.

Z rozkazu króla pruskiego wojska jego wkroczyły już w granice kraju, ale Benoit utrzymuje, że to tylko patrole, które nie posuną się dalej nad parę mil. Ten monarcha ma na Litwie dwie wsie, gdzie utrzymywał poprzednio 100 żołnierzy pruskich; obecnie wysłać tam kazał cały pułk.

Austrya wystawiła korpus 24.000 żołnierzy na granicy górnego Szlązka dla zaprowadzenia tam kordonu.

W depeszach, jakie w tych dniach De la Roche wręczył ks. Repninowi, Porta Ottomańska żąda objaśnień co do pobytu wojsk rossyjskich. Zapytał on od siebie ambasadora poufnie, czyby nie dało się uśmierzyć zamieszek przez udzielenie amnestyi nieszczęśliwym wychodźcom, którzy schronili się na terytoryum, pod protektoratem Porty będące.

W pierwszej chwili ambasador odpowiedział z gniewem, że ci nieszczęśliwi, to zbóje i buntownicy, których trzeba wytępić, i że w danym razie Porta jest nie na rękę Rossyi, ale że Rossya nie stoi o jej życzliwość i nie lęka się jej gniewu. Po chwili jednak zaczął się uspokajać, nadmieniając, że co do samych naczelników konfederacyi, to darowanie im winy nie zależy od niego, że Carr ma mu przynieść rozkazy carowej w tej kwestyi, a co się tyczy wojska, to wyda bezzwłocznie polecenie, aby odstąpiło od granicy, chociaż właściwie powinienby się skarżyć na to, że Mołdawia służy niejako za punkt zborny wszelkiego rodzaju ludziom.

Wszakże czy to z powodu otrzymywanych z różnych stron niepomyślnych wiadomości, czy też wskutek rozkazów z Petersburga,

aby oszczędzał, o ile można, naród polski, nie palił wsi i nie narażał mieszkańców na szkody, ambasador od pewnego czasu stał się więcej umiarkowanym, odbył nawet kilka konferencyi z książętami Czartoryskimi, z którymi się podobno porozumiał i ma pracować z nimi nad pojednaniem wzburzonego narodu z Rossyą.

Dwóch artylerzystów polskich posprzeczało się tu niedawno z wojskiem rossyjskiem, które wraz z kilkunastu oficerami stoi na kwaterach w pałacu Pocieja. Z dobytymi pałaszami pierwsi rzucili się na oficerów rossyjskich. Mimo przewyższającej liczby zabili jednego oficera i ranili wielu żołnierzy. Dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie dwóch swoich kolegów, korpus artyleryi przyszedł im bezzwłocznie w pomoc i uwolnił od nieochybnej śmierci. Pomimo to jednak zostali oni oddani pod sąd.

Nowy stosunek ambasadora z książętami Czartoryskimi tak jest przeciwny dawnym jego opiniom i poglądom, iż zdaje się, że tak dwór jego, jak i on sam, tracąc zaufanie u swych przyjaciół, nie widzą już dla siebie innego sprzymierzeńca, prócz Czartoryskich. Krąży tu pogłoska, że brat Pocieja zawiązał konfederacyę w Kowieńskiem i że w wydanym manifeście żąda ustąpienia z kraju Rossyan, jeżeli ci są przyjaciółmi, lub też ogłoszenia ich za nieprzyjaciół, gdyby, pozostając tu nadal, chcieli rządzić krajem ze swym ambasadorem, jak to dotąd czynią.

Konfederacya barska wystąpiła znowu w okolicach Żwańca. Poleciła spełnić egzekucyę na Giżyckim, który, jako dowódca pod Barem, dopuścił się zdrady, pozwalając się umyślnie wziąć do niewoli wojskom rossyjskim. Następnie podjął się poselstwa ze strony rossyjskiej i w imieniu hetmana Branickiego do konfederatów, szukających schronienia w Mołdawii, aby obietnicami przebaczenia skłonić ich do poddania się. Przytem przywiózł on kilka tysięcy dukatów dla przekupienia i namówienia do powrotu tych, którzyby dla pieniędzy gotowi byli wszystko zrobić. Co prawda, nie znalazł on wcale takich, którzyby zgadzali się na te propozycye, ale gdy sam ośmielił się głośno narzekać na przewódców konfederacyi, utrzymując, że oni są jedyną i główną przyczyną nieszczęść kraju, jeden z towarzyszy zażądał od Puławskiego aresztowania go jako zdrajcy, który osłabia ducha w konfederacyi. Aresztowano go zatem, oddano pod sąd i stracono.

Według otrzymanego przez ambasadora raportu od majora Drewitza, miał ten ostatni pobić konfederatów pod Piotrkowem. Według innego raportu do ambasadora, o którym dowiedział się od niego prymas, ma być przypuszczony szturm na zamek krakowski. Wezwano

konfederatów do poddania się, ale ci po naradzie oświadczyli, że gdy poddanie się miasta decyduje o ich swobodzie i religii, przeto postanowili raczej zginąć niż się poddać. Ambasador miał po otrzymaniu takiej odpowiedzi wysłać kuryera z rozkazem, aby zdobyto Kraków za jaką bądź cenę.

Przyjechał tu kuryer od Branickiego. Zawiadamia on, że konfederacya barska znowu wystąpiła, ale że niema więcej nad dwa tysiące żołnierzy, że między nimi znajdują się Turcy w liczbie 100 ludzi, których Puławski dostał od baszy chocimskiego za 3000 dukatów. Zdaniem pana De la Roche, nie jest to prawdą, aby Turcya wypowiedziała wojnę Rossyi, ale nastąpi to z pewnością, jeżeli mocarstwo to zechce dalej rządzić w Polsce w sposób dotychczasowy.

Branicki schronić się miał do Kamieńca, skąd właśnie wysłał pomienionego oficera do Warszawy z raportem, co sprawiło niepokój i zamięszanie przy dworze tutejszym.

IX.

Zdobycie Krakowa. — Wszyscy obrońcy jego dostają się do niewoli. — Repnin (młody) i Igelström ranieni. — 50 tysięcy Turków idzie ku granicy. — Repnin stara się zyskać większość posłów na sejmie dla zatwierdzenia konstytucyi poprzednich i unieważnienia wszystkich konfederacyi. — Duchowieństwo prawosławne podżega chłopów do rzezi. — Kozak prymasowski, Kwaśniewski, mianowany generałem.

Warszawa, 24. sierpnia 1768.

W sobotę przybył tu generał Prozorowski z wiadomością, że Kraków został zdobyty. Wojsko rossyjskie cztery razy przypuszczało szturm. Bez względu na barykady i szańce, pułk karabinierów pierwszy wkroczył do miasta dwiema wysadzonemi bramami; na pomoc pospieszyła mu piechota, która, mimo gęstych strzałów z okien i z za murów, opanowała miasto. Wezwani przez Prozorowskiego konfederaci poddali się bezzwłocznie, nie chcąc narażać miasta na bezużyteczne zniszczenie. Wojska rossyjskie straciły 300 ludzi, konfederaci zaś w zabitych i rannych mają nie więcej nad 150. Ani jeden z konfederatów nie uszedł, oprócz marszałka konfederacyi sanockiej, który jest poszukiwany. Tym sposobem dostało się do niewoli ze trzy tysiące konfederatów.

Młody książę Repnin wrócił wczoraj ranny z pod Krakowa. Król udał się do mieszkania ambasadora dla odwiedzenia rannego, który jest lekko kontuzyonowany w nogę. Igelström nie przybył

z nim razem, a to z powodu ciężkich ran, nie dozwalających mu na odbycie podróży.

Przeznaczony na objęcie dowództwa po odwołanym generale Kreczetnikowie książę Prozorowski otrzymał od ambasadora rossyjskiego instrukcyę, aby się zachował bardzo uprzejmie względem baszy chocimskiego, wojewody mołdawskiego, Turków i Tatarów. Pan De la Roche oświadczył jednemu z przyjaciół, że wątpi, aby instrukcya ta, którą mu zakomunikował dla wiadomości ambasador, była dostateczną do uspokojenia Turcyi. Ta ostatnia przekonała się bowiem, że obietnice Rossyi sprzeczne są z rzeczywistością, gdyż pozostaje ona ciągle w Polsce i rządzi w niej samowładnie.

Generał Izmaiłow wraz z korpusem swoim wyrusza na Litwę; ma on instrukcyę, polecającą mu czuwanie nad sejmikami i niedopuszczanie tworzenia się nowych konfederacyi. Swoboda w wyborze posłów ma być dozwolona, byleby tylko w instrukcyach poselskich nie było nic przeciwnego traktatowi i gwarancyom. Do reszty przedmiotów ambasador nie chce się mięszać i nie dba o to, jak postępować będą sejmiki.

De la Roche opowiadał niedawno, że pięćdziesiąt tysięcy Turków pospiesznym marszem idzie ku granicy. Dwór tutejszy utrzymuje, że wojska te wysłane zostały dla poparcia układów, jakie Porta ma prowadzić na granicy z Rossyą w sprawach Polski. Patryoci znowu lękają się układów tureckich, aby nie stali się ofiarą chytrości wezyra, albo jakiego baszy (jak dawniej Szwedzi). Ambasador jednak, jak mi się zdaje, nie zwraca uwagi na ten marsz Turków, najspokojniej zajmując się sejmikami. Przedewszystkiem chodzi mu o to, aby miał po swojej stronie większość posłów na sejmie, na którymby zostały zatwierdzone konstytucye poprzedniego sejmu, jak również unieważnione wszystkie późniejsze konfederacye.

Z Krakowa nie nadeszły tu żadne inne wiadomości. Nie wiemy przeto, co się tam dzieje.

W tych dniach otrzymał nuncyusz papieski z poczty same tylko koperty ze swoimi adresami; listów i depesz nie było w nich wcale, o co bardzo się skarżył przed królem i ambasadorem.

Według prywatnych listów z Podola, w Mołdawii aresztowano popa, który zachęcał greków (t. j. prawosławnych) do buntu; jednocześnie przytrzymano także jednego z naczelników kozackich, który miał przy sobie rozkaz podobny gubernatora kijowskiego. W tym czasie również Rossyanie kazali powiesić kilka tysięcy hajdamaków, a w tej liczbie jednego z ich hersztów — Gontę. Zbun-

towanymi chłopami ma dowodzić obecnie jakiś Kwaśniewski. Przed 20 laty służył on u prymasa jako kozak, następnie zajmował się handlem bydła i wódki na Ukrainie. W końcu zeszłego roku przywiózł do Warszawy kilka fur towarów, dla zabezpieczenia których otrzymał nawet pozwolenie na pomieszczenie ich w obrębie zabudowań pałacu prymasowskiego.

Obecnie dowiaduję się od prymasa, że wspomniany Kwaśniewski wyjechał stąd w randze generał-majora!

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

IV.

„Materyie z nauk“ — czy i o ile zaprowadzono w nich zmiany — profesorowie — podręczniki.

(Ciąg dalszy).

Jak wspominaliśmy już poprzednio, wykładano w drugiem dwuleciu chwilowo i matematykę wyższą. W latach 1807/8 i 1809 n. p. nauka wzmiankowanego przedmiotu obejmowała funkcye przestępne i sposoby wyrażania tychże, a nadto geometryę linii krzywych. Z programu nauk z r. 1819 trudno z wszelką stanowczością wywnioskować, czy geometryę linii i powierzchni krzywych zapisać na listę wykładów II. kursu pierwszego dwulecia, czy też na dwulecie drugie.

Według *Wzoru i porządku nauk* z 1805 r. wypełniało kurs dwuletni drugiego dwulecia prawo, uważane wraz z fizyką za przedmioty równorzędne. Rozpadało się ono na prawo natury, polityczne, ekonomię polityczną i prawo narodów. Rolę podręcznika spełniała praca ks. Hieronima Stroynowskiego, biskupa-koadjutora łuckiego, rektora wileńskiego uniwersytetu, różnych naukowych towarzystw członka. Doczekawszy się kilku wydań w języku polskim, została w 1809 r. przez W. Anastaziewicza przetłómaczoną na rossyjski [1]), co może być dowodem, że cieszyła się w szerszych kołach pewnem uznaniem. Początkowo szanowny prefekt — jemu bowiem tymczasowo powierzono katedrę prawa — ułożył program

[1]) Estreicher: IV. 393.

swych przyszłych wykładów na podstawie dzieła Kołłątaja, przez tegoż w niewoli napisanego, a noszącego tytuł: *Porządek fizyczno-moralny czyli nauka o należytościach i powinnościach człowieka, wydobytych z praw wiecznych, nieodmiennych i koniecznych przyrodzenia.* Drukiem ogłoszone zostało ono dopiero 1810 r. w Krakowie [1]), Jarkowski więc korzystał jeszcze z rękopisu, udzielonego mu przez samegoż autora. Później atoli, z porady księdza Hugona, projekt pierwotny odmienił, zastępując rozprawę reformatora krakowskiej akademii, dziełem rektora wileńskiego uniwersytetu. Że obaj wzmiankowani autorowie nie zbyt wielką pałali ku sobie sympatyą, że więcej we wzajemnych ich stosunkach było polityki, niż szczerego uczucia — to pewna. Cóż więc skłania Kołłątaja do rady udzielonej doraźnemu profesorowi prawa? Rozwiązanie zagadki znajdujemy w liście pierwszego, pisanym w dniu 18. października 1805 r. do ostatniego [2]): „Po dobrej rozwadze nad dyplomatem — widzę, że X. Stroynowski ma bardzo wiele mocy nad umysłem kuratora. Nie radzę więc WPanu dawać lekcyi z mego dziełka, radzę owszem tej myśli zaprzestać i cały prospekt z jego xiążki ułożyć; bo któż może zaręczyć, żeby ta niewinna, choć może pożyteczna nowość, nie szkodziła WPanu osobiście. Proszę więc, abyś to dziełko odesłał mi, bo trzeba się na każdą okoliczność z roztropnością oglądać. Wizytator go nie czytał i okazał się obojętnym, w tym pewnie widoku, żeby nie brał na siebie ciężaru odmiany tej nauki: dał owszem uczuć, jak jest troskliwy za dziełem X. Stroynowskiego."

Już z tego listu widoczny pewien chwilowy dyssonans między dwoma twórcami szkoły krzemienieckiej, a choć później daje się on odczuć w wyższym stopniu, tłómaczymy to tylko chorobliwą zgryźliwością Kołłątaja. Dokuczliwe cierpienia fizyczne i smutny nader stan materyalny usprawiedliwiają zupełnie owe peryodyczne wybuchy żalu, owe skargi i często niesłusznie czynione staroście zarzuty. Czacki, w najwyższym stopniu wrażliwy, do młodzieńczych porywów skory, musiał uznać wielkie zasługi ks. Hugona, musiał uderzyć czołem przed tegoż gruntowną, wszechstronną wiedzą, musiał — mimo pewnych różnic z poglądami Kołłątaja na rozmaite sprawy — uczuć większą sympatyę dla człowieka, co jego ukochane, wymarzone dziecię tak troskliwą okalał opieką. A choćbyśmy nawet — jak chcą niektórzy [3]) — chęć wśliźnięcia się Kołłątaja w łaski Czackiego przy-

[1]) Ibid. II. 409.

[2]) *Koresp.* III. 296—307.

[3]) Pierwszy zdaje się Z. Z., w artykuliku o *Krzemieńcu (Tygodnik Literacki* Wojnarowskiego. Poznań 1839, nr. 36) wyraził się:

jęli za pewnik niczem niewzruszony — przyznać musimy równocześnie, że opłacił on ten krok swój, czy zamiar, z prawdziwą królewską hojnością. Tak wytrwale i usilnie pracować dla dobra powszechnego oświecenia, pracować — dodajmy — bezinteresownie, niewielu potrafi.

Tyle o wzajemnym stosunku Kołłątaja z Czackim. Wracając do przerwanego sprawozdania z wykładów prawa, dodamy, że zakres tychże coraz bardziej rozszerzano, co już choćby sama ilość katedr dobitnie wskazuje.

Wyżwspomniane cztery działy objął w pierwszym roku Antoni Jarkowski, potem Michał Choński; statystykę powszechną — Choński: prawo polsko-litewskie kolejno po sobie wykładali: Ołdakowski, Jaroszewicz, Mickiewicz; rzymskie — ciż sami; graniczne polsko-litewskie — Jarkowski Wojciech, matematyk; takież rossyjskie — Aleksander Sawicki; encyklopedyę prawa — Mickiewicz. Czyż to nie wygląda na mały uniwersytecki wydział prawniczy? Jeżeli pamiętać zechcemy, że działo się to na Wołyniu, w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia — tem bardziej uznania godnem będzie postępowanie kuratoryi i dyrekcyi zakładu naukowego. Bezstronność jednak i prawda przyznać każą, że i w wykładzie prawa — jak i we wszystkich innych urządzeniach krzemienieckiej szkoły — przeziera projekt, zalecony przez Kołłątaja. Radził on mianowicie, by uczniów zapoznawano z prawem politycznem, prawem natury, ekonomią polityczną, historyą wszystkich praw, wreszcie z prawem krajowem politycznem, cywilnem i kryminalnem, teoretycznie i praktycznie. „Jeżeli JWPan — pisze on do Czackiego — masz niepłonną nadzieję podnieść kiedy Krzemieniec do dostojności uniwersytetu, radziłbym starać się zawczasu o usposobienie pięciu ludzi zdatnych do tych pięciu przedmiotów; jeżeli Krzemieniec ma być tylko jak gimnazyum, dosyćby było mieć trzech, lub dwóch przynajmniej nauczycielów prawa. Gdyby ich było trzech, radziłbym, aby jeden dawał prawo natury, polityczne i narodów, wraz z ekonomią polit.; drugi: historyę wszystkich praw, i kommentował na statut litewski, tudzież na późniejsze uchwały sejmowe; aby trzeci

„Tu Kołłątaj przed 1812 r. przesiadywał i wciskał się do zaufania Czackiego, który go w głębi duszy nie lubił a może się lękał???“ Za p. Z. Z. powtórzył tę opinię T. J. Stecki (*Wołyń* t. II. 172); za Steckim p. F. Hösick (*Świat* 1895, zesz. styczniowy). Ostatniego robimy uważnym, że prefektem szkoły krzemienieckiej nie był Wojciech Jarkowski, ale starszy brat jego — ogólnym cieszący się szacunkiem — Antoni.

dawał naukę praktyki wszystkich juryzdykcyi krajowych, w czemby się obejmowało prawo polityczne tego kraju i proces sądowy . . ." [1])

Postępując w myśl rady ks. Hugona, wysyła Czacki dla dalszych studyów za granicę kandydata na katedrę prawa J. P. Kudlickiego, któremu — nikt inny, tylko znowu Kołłątaj — układa marszrutę uniwersytetów i szkół wyższych, jakie on zwiedzić powinien, oraz metodę kształcenia się w obranym kierunku [2]). Co się z owym panem Kudlickim później stało? nie umiemy powiedzieć; nawet bibliografia o nim milczy, nic więc w swem życiu widocznie nie drukował. To tylko pewna, że w Krzemieńcu na katedrze nie zasiadał.

W latach 1812 i 1816 kurs I. dwulecia II. obejmował prawo natury, polityczne — czyli publiczne rządowe — i prawo narodów. Wykład pierwszego zaczynano, jak zwykle, od ogólnego wstępu; z kolei następowało objaśnianie znaczenia wyrazów w tem prawie używanych; dalej tworzono trzy poddziały, z których pierwszy zatytułowano: „Należytości i powinności człowieka względnie na naturę jego fizyczno-moralnego jestestwa bezstosunkowo uważanego, czyli względem samego siebie."

Drugi: „Należytości i powinności człowieka względem drugich"; i trzeci wreszcie: „Wykład porządku przyrodzonego i moralnego, a stąd powinności przyrodzonych względem Boga."

Prawo polityczne stwierdza konieczność poznania „społeczności publiczney udzielney albo Narodu", jak również „naywyższey iego Zwierzchności." Dalej roztrząsa wzajemny ich do siebie stosunek, wzajemną zależność i t. d. Okres ten podzielono, jak i pierwszy, na trzy poddziały, obejmujące 30. poszczególnych paragrafów.

Prawo narodów rozdzielono na dwa okresy; pierwszy pouczał słuchaczy o wzajemnej między narodami wojnie i zachowaniu pokoju; drugi — o wszelkich związkach i ugodach, jakie między narodami zachodzić mogą, wespół z wiadomościami „o posłach publicznych, iako iedynych narzędziach i śrzodkach do zawierania wspomnionych ugod potrzebnych."

Kurs II. dwulecia II. wypełnia ekonomia polityczna. Jest ona zazwyczaj wykładaną „oddzielnie w dwóch różnych systematach, t. j. doktora Quesnay i Adama Smitha." Powody postępowania tego rodzaju wyłuszcza sama dyrekcya szkoły wołyńskiej w wspominanych już kilkakrotnie *Materyach z nauk:* „Przychylenie się

---

[1]) *Koresp.* III. 314—317.
[2]) Ibid. III. 326.

do iednego albo drugiego z tych systematów rodzi stronnictwo, a to częstokroć bardzo przeszkadza do gruntownego poznania wielu prawd, których szczęśliwe można było zrobić zastosowanie w społeczności, a które, albo nie są obięte, albo niedostatecznie roztrząśnione nawzaiem w obydwóch systematach." — Jako podręczniki używano, z dzieł pisanych podług Smitha — książkę „pana Say"; z dzieł zaś zwolenników drugiego systemu — pracę ks. Hieronima Stroynowskiego, „wolną od wszelkich błędów" i za najodpowiedniejszą uznaną.

Całokształt wykładu dzielono na pięć części: I. O tworzeniu się płodów albo produkcyi względnie do przemysłu rolniczego, rękodzielniczego i handlowego: II. o monetach, albo pieniądzach; III. o wartości rzeczy; IV. o dochodach; V. o spożyciu, lub spotrzebowaniu, czyli konsumpcyi płodów, albo raczej ich wartości. W ten sposób streszczają nam wykład omawianego przedmiotu *Materye z nauk* za r. 1809; po upływie lat dziesięciu nauka ekonomii udzielaną zostaje podług Adama Smitha, zawsze ze zwróceniem uwagi na obóz przeciwny; za podręcznik służy tym razem „szacowne, mówić można klasyczne dzieło konsyliarza p. Jakob, jednego ze sławniejszych niemców", którego polski przekład profesora Chońskiego znajdował się właśnie pod prasą. Zupełny wykład przedmiotu zamknął krótki rys historyczny literatury, odnoszącej się do ekonomii politycznej.

Co do ilości godzin wykładowych i podziału tychże, rzecz miała się podobnież, jak z nauką fizyki i nadobowiązkowej mechaniki, razem więc wszystkie trzy przedmioty wypełniały tygodniowo godzin 30, do których dodać jeszcze wypadnie wykłady teoryi stylu i wymowy, zastąpione z czasem — w każdym razie przed r. 1816 — nauką poezyi. Ostatni przedmiot, zdaje się, powtarzano rokrocznie w całej rozciągłości, z małemi bardzo zmianami; tak przynajmniej wnioskować można z programów z lat 1816 i 1819. Wykład uważać trzeba za nader wyczerpujący, obok bowiem tłómaczenia klassyków starożytnych, bardzo szczegółowo omawiano rodzaje poezyi, jak: tragedya, komedya, wiersz bohaterski, bajki i przypowieści, satyry, pieśni, elegie, sielanki i epigrammaty.

Może — w obec dodania innych przedmiotów — zmniejszono nieco ilość godzin jednego, albo i więcej dawniej już udzielanych. Nic jednak stanowczego w tej sprawie powiedzieć nie umiemy; jak również orzec trudno, kiedy starczyło jeszcze czasu na słuchanie tylu dodatkowych wykładów. W obec powstawania coraz to nowych

katedr — pytanie nie łatwe do rozstrzygnięcia [1]). Tłómaczy je dopiero w części sprawozdanie szkolne z lat 1830—31, z którego widoczna, że podział przedmiotów na kursa staje się mytycznym, zastąpiony przez klasyfikacyę na oddziały, według stopnia wykształcenia słuchaczy. Zamiast statystyki uczniów, uczęszczających na ten lub ów kurs, znajdujemy tu już wyliczenie, ilu ich słucha tego lub owego wykładu. A było to następstwem dozwolonego przez władzę szkolną specyalizowania studyów na sposób uniwersytecki, które pod koniec istnienia liceum do nader obszernych doszło granic, przynosząc jeno ujemne rezultaty [2]). Ciekawem jest również zestawienie, ile każda z katedr posiadała w r. 1830 słuchaczy; może być ono dowodem, które z umiejętności znajdowały w danej epoce najwięcej zwolenników.

I tak: początków geometryi uczyło się 75; geometryi linii krzywych (Wyżewski) 11; geometryi praktycznej (Sawicki) 11; rysunków topograficznych 22; historyi powszechnej (kurs I. od. I.) 57; od. II. 10; od. III. 12; języka polskiego od. I. 60; wymowy i literatury polskiej od. II. 28; języka łacińskiego od. I. 56; od. II. 30; literatury łacińskiej od. III. 19; języka rossyjskiego (Aleksandrowski) 53; historyi rossyjskiej 33; literatury rossyjskiej 31; fizyki (Abłamowicz) 44; ekonomii politycznej (Choński) 9; chemii (Zienowicz) 19; mineralogii 11; technologii 25; zoologii (Besser) 6; prawa krajowego (Mickiewicz) 19; bibliografii i gramat. powsz. (Paweł Jarkowski) 5; budownictwa wiejskiego 21; mechaniki 10; języka greckiego od. I. 26; od. II. 8; literatury greckiej od. III. 5. Powtarzamy jednak raz jeszcze, że stan podobny zagościł niestety w szkole Czackiego dopiero w ostatnich latach jej istnienia. Jak sobie pierwej radzono z ilością znaczną przedmiotów wykładanych — odpowiedzieć nie potrafimy, a same domysły i przypuszczenia nie wystarczą.

Z kolei wypadnie nieco bliżej zapoznać się z profesorami prawa. Listę ich rozpoczyna doktor filozofii, Antoni Jarkowski, brat wspomnianych już Wojciecha i Pawła. Pełnił on zarazem urząd prefekta szkoły, a przyznać trzeba, że trudno było znaleźć ku temu

[1]) „Natłok objektów kursowych był tak wielki, że młodociane siły ciała i umysłu zaledwie olbrzymiej pracy podołać mogły. Szacunek i miłość ku Czackiemu, nadzieja, jakiej on w szlachetnych zarysach dostarczał, uczciwa emulacya, do której tak zachęcać umiał, walne były podpory dla upadającej nieraz w wysileniach młodzi.“ (*Gwiazda* Benedykta Dołęgi. Kijów 1847, t. I. str. 95 — artykuł dra K. Kaczkowskiego).

[2]) Władimirskij-Budanow: Istor. Imper. Uniw. św. Władimira I. 57.

celowi kogoś odpowiedniejszego [1]). Przez długich lat czterdzieści pracował szanowany i kochany przez zwierzchników, kolegów i uczniów, choć ci ostatni niezawsze zwykli sprzyjać swojemu bezpośredniemu nadzorcy. Grzebał kilku dyrektorów i kolegów, sam zawsze rzeźki i ruchliwy, skromny i pracowity. O jego działalności — w epoce poprzedzającej otwarcie szkoły krzemienieckiej — wspominaliśmy dawniej, podczas samego otwarcia pełni przygodny urząd zastępcy dyrektora, co mu się zresztą jeszcze kilka razy trafiało. Po śmierci Czecha zapewne miał nadzieję miejsce jego na stałe zająć; tak przynajmniej przypuszczać można po przeczytaniu listu Czackiego, w którym starosta tłómaczy się przed Jarkowskim ze swego postępowania: „Winienem Panu Dobr., jak przyjaciel wytłómaczyć się, dla czego przywiązanie moje dla dobra gimnazyum wskazało mi obowiązek przedstawienia za Dyrektora J. P. Lerneta. Śmierć poczciwego Czecha przypadła w moment najokropniejszy. Nieufność Rządu była do tej szkoły i do mnie w wysokim stopniu. Była intryga, aby J. P. Myszkowskiego z Kijowa przeniesiono. W takim przypadku rozsądek rozkazał się ubezpieczyć. Podałem J. P. Lerneta. On jest okryty znakiem zaszczytu i tytułami, jest dobroczyńcą gimnazyum. Zapewne o jego gorliwości, o jego powolności dobrym radom wątpić nie można, a wydział cyruliczy urządzić najlepiej zdoła.“ Chcąc zaś Jarkowskiemu pominięcie jego osoby osłodzić, obiecuje mu wyrobić zwiększenie pensyi do 1000 rsb., zawiadamia nadto, że stara się dlań o order św. Włodzimierza IV. klasy [2]).

Czy ostatnia myśl Czackiego została pomyślnym uwieńczona skutkiem — trudno zaręczyć; co do zwiększenia pensyi jednak możemy zapewnić, że to nastąpiło; czy zaraz, czy też w kilka lat później — to inna kwestya, dość, że w 1823 r. — z racyi podania się starego weterana na emeryturę — pisze doń z Wilna Jan Śniadecki: „Przedstawienie go do emerytury z pensyą r. s. tysiąc już poszło do Petersburga; o stancyą robią trudności, ale książe kurator pokazał szczerą chęć dogodzenia i tej prośbie W. M. Pana“ [3]). Czterdziestoletnia służba dawała prawo do pełnej emerytury, widocznie więc pan prefekt pobierał 1000 rsb., od którego roku atoli — powiedzieć nie umiemy [4]).

---

[1]) G. Olizar: Pamiętniki — 28.

[2]) *List Czackiego*, datowany z Żytomierza 21. II. 1811 r. (*Athenaeum*. Wilno 1848. *Materyały do hist. Lic. Krzem.*, str. 111).

[3]) Ibid. List Śniadeckiego 117—118.

[4]) W tem miejscu zanotować wypadnie, że Antoni Jarkowski już w r. 1808 prosił o zwiększenie pensyi; Czacki odpowiedział jednak, że

A służba jego nie należała ani do łatwych, ani do lekkich, wymagała nadto sporej dozy i taktu i serca. Tak jednego, jak i drugiego, nie można Antoniemu Jarkowskiemu odmówić, zdarzały się wprawdzie pewne nieporozumienia, lecz te prędko łagodził. Gdy się pamiętać zechce, że obok gimnazyum — a potem liceum — istniały kursa geometrów i mechaników, że w Krzemieńcu zbiegał się, ze wszystkich stron kraju, stek młodzieży najróżnobarwniejszej, zwykle krewkiej, a często i niesfornej; że, obok szkoły, istniały konwikty i funduszowe i wolne, i Lernetowskie — wtedy i obowiązek nadzorowania wszystkich i wszystkiego niełatwym się okaże, wtedy i chwilowe dyssonanse usprawiedliwić konieczna, nie zwalając winy za nie na zwierzchnią władzę szkolną.

A do tej, i tak już przytrudnej, pracy dodano panu Antoniemu wykłady z zakresu prawa, które bądźcobądź — oprócz godzin szkolnych — pewnego przygotowania się w domu wymagały. Pojmował podobną niekonsekwencyę dobrze Kołłątaj, pisząc jeszcze 14. sierpnia 1805 r. do Czackiego: „Przeznaczasz JWPan pana Antoniego Jarkowskiego na tymczasowego profesora prawa: tak on jest dobry, że się z niczego nie wymawia. Ale zastanów się proszę: czyli jeden człowiek z największą ochotą wystarczy tylu różnym objektom, zwłaszcza w pierwszych początkach, gdzie trzeba wszystko do porządku przyprowadzić i wszystkiego doglądać aż po zrzędę. Dyrektor i prefekt będą uczyć; dyrektor musi się trudzić dozorem szkół całej gubernii i wprowadzeniem do niej porządku. Prefekt musi doglądać uczniów i dyrektorów domowych, a nawet żeby nauczyciele nie opuszczali się. Ten obowiązek zajmuje cały dzień Prefektowi. Dodajmy do tego dozór porządku w kollegium, bo dyrektor w mieście mieszkać będzie, dodajmy dozór fabryki: a niepodobna nie przewidzieć, że koniecznie nastąpić muszą częste uchybienia, z których JWPan nie będziesz kontent“ [1]). Nic nie pomogła na razie przestroga ks. Hugona, dziurę zapchać wypadało, więc „dobry“ pan Antoni zamęcza się i rok cały wykłada prawo. Inne szczegóły, życia jego dotyczące, znajdą ciekawi w kronice zakładu, z którym długich lat kilkanaście związały go losy. Tutaj dodamy tylko, że pan prefekt szczycił się szczerą przyjaźnią założyciela szkoły, że w korespondencyi Czackiego znaleźć łatwo aż nadto wiele wyrazów uznania jego pracy, w dobre dla ogółu skutki bogatej.

---

to żądanie musi z przykrością odłożyć na termin nieco późniejszy. Odpowiednie dowody posiada *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3442. T. II. (jak wyżej).

[1]) *Koresp.* III. 196.

Po Jarkowskim obejmuje katedrę prawa (wszystkie cztery działy) doktor filozofii i nauk wyzwolonych, Michał Choński[1]), wykładający nadto statystykę powszechną. Urodzony 1779 r. w dzisiejszej gubernii Augustowskiej, wcześnie został sierotą; zawierucha krajowa pozbawiła — w rzędzie wielu innych — i jego resztek niewielkiej fortunki, o własnych więc siłach przez świat kroczyć mu wypadło. Ukończywszy szkoły w Grodnie, zapisuje się na uniwersytet wileński, gdzie po upływie lat kilku stopień naukowy otrzymał. Zalecony przez swoich profesorów Tadeuszowi Czackiemu, obejmuje w r. 1806 katedrę prawa i ekonomii w Krzemieńcu i nie opuszcza już jej do chwili zamknięcia szkoły wołyńskiej. Wykłady jego odznaczać się miały głęboką znajomością przedmiotu i uwzględniały najnowsze na tem polu badania i wyniki. Po przeniesieniu liceum do Kijowa, urządził w swoim własnym domu prywatny konwikt dla młodzieży obywatelskiej. Z kolei osiada pod wiejską strzechą, że zaś odznaczał się gościnnością i pobłażliwością, że drugim pomagać lubił, więc i na odwiedzających go nie zbywało. Umarł prawie nagle w Żytomierzu w 1855 r., pięknego dożywszy wieku. Tłómaczył z niemieckiego obszerne dzieło L. H. Jacobi: *Zasady ekonomii narodów*, dodając doń wiele własnych uwag. Ogłosił prócz tego rozprawę: *O wpływie systematów podatkowania na stan zamożności narodów*..., zasilał artykułami *Athenaeum* Kraszewskiego, czytywał rozprawy na publicznych posiedzeniach licealnych, słowem — zaliczyć go wypadnie do lepszych sił tego zakładu naukowego[2]).

O Wojciechu Jarkowskim (prawo graniczne polsko-litewskie) i Aleksandrze Sawickim (takież rossyjskie) wspominaliśmy już poprzednio. Teraz wypadnie z kolei — choćby skromne — poświęcić wzmianki: Ignacemu Ołdakowskiemu, Józefowi Jaroszewiczowi i Aleksandrowi Mickiewiczowi. Wszyscy trzej wykładali — kolejno po sobie — prawo polsko-litewskie i rzymskie; ostatni uczył w dodatku — Encyklopedyi prawa.

Ignacy Ołdakowski, doktor praw, to również powaga naukowa. Odznaczenia wywalcza w Wilnie, gdzie też poleconym zostaje — jak i Choński — staroście nowogrodzkiemu i jako dwudziestoczteroletni młodzieniec zasiada w 1809 r. na katedrze — wyż wzmiankowanych przedmiotów — w Krzemieńcu. Zbyt rychło atoli, bo już w 1817 r., upomniał się o niego uniwersytet wileński i —

---

[1]) *Rękop. Muz. Czart.* Nr. 3443. Nominacya (Nr. p. 215).
[2]) Słowikowski: Wspomn.; Estreicher: Bibl. IV.; C. B.: Encykl. powsz. Orgel. V. 457; *Athenaeum:* od. II. T. III. i inne.

ma się rozumieć — wezwanie z Litwy wysłuchanem zostało przez profesora wołyńskiego. Wysłany dla dalszych studyów za granicę, wraca z wędrówki naukowej 1819 r., by umrzeć we dwa lata później. Pisał wiele, choć z drugiej strony drukiem zaledwie parę ogłosił rozpraw [1]).

O ośm lat młodszy od niego doktor praw, Józef Jaroszewicz, również wychowaniec wileńskiego uniwersytetu, tak samo, jak i jego poprzednik Ołdakowski, opuszcza katedrę zajmowaną w Krzemieńcu, spiesząc na wezwanie ze stolicy Litwy doń wystosowane. Widocznie liceum wołyńskie (i pierwej gimnazyum) tworzyło jakby rodzaj szkoły przygotowawczej dla przyszłych profesorów uniwersytetu. Tutaj wprawiano się w udzielanie wiedzy słuchaczom, by następnie — po przejściu praktyki — do wyższego wkroczyć zakładu. A jeśli można na tyle wierzyć ówczesnym pamiętnikom, to zaznaczyć wypadnie, że właśnie na Wołyniu ufundowana wyższa i rozgłośna w szerokim promieniu szkoła, słynęła z wybitnej znajomości prawa w teoryi i w praktyce. Urządzane na popis rozprawy sądowe, z oskarżycielami, sędziami i obrońcami, których cały komplet składały mundurki, podobno wytrawnych nawet prawników w podziw i zdumienie wprawiały. Wykształcił uczniów w ten sposób właśnie Jaroszewicz; wyrażają się też o nim autorowie Rossyanie, że ten dopiero profesor należy — z grona nauczycieli krzemienieckich — do uczonych, znanych szerszym warstwom swoich i obcych.

Opuszcza on liceum wołyńskie już w 1826 r., wykładał więc w szkole Czackiego w przybliżeniu tak długo, jak i Ołdakowski. Słodycz charakteru złączona z powagą nauczycielską, jednały mu powszechny szacunek i sympatyę. Pisał wiele, drukował w rozmaitych współczesnych peryodycznych wydawnictwach. Najwięcej mu może rozgłosu zjednał: *Obraz cywilizacyi Litwy*, którego pewna część została nawet przełożoną na język rossyjski [2]).

Ostatni zasiadał na katedrze polsko-litewskiego i rzymskiego prawa w Krzemieńcu, brat poety Adama, Aleksander Mickiewicz, wykładający — jak wzmiankowaliśmy — i encyklopedyę prawa. Kończy on uniwersytet wileński ze stopniem magistra; ogłoszona drukiem rozprawa: *Jaki wpływ prawodawstwo rzymskie na polskie i litewskie mieć mogło* — zjednała mu katedrę w liceum

[1]) *Dziennik Wileński* 1822. T. II.; Słowikowski: Wspomn.; Sobieszczański: Encykl. powsz. Orgel. XIX. 897—8.

[2]) Słowikowski: Wspomnienia; Estreicher: II. 207; C. B.: Encykl. pow. Orgel. XIII. 120—121; Andrzejowski: IV. 9—11.; Władimirskij-Budanow: Istor. Imper. Uniw. św. Wład. I. 51.

krzemienieckiem, gdzie zostaje do chwili kasaty szkoły wołyńskiej. W roku 1835 zasiada na katedrze prawa rzymskiego w kijowskim uniwersytecie; w r. 1840 na tąż samą przeniesiony do Charkowa. Wysłużywszy emeryturę, osiada we własnym mająteczku na Litwie, gdzie też umiera 1871 r. Zostawił całkowity kurs wykładanych przez siebie przedmiotów w rękopisie [1]). W dalszych rożdziałach niniejszej pracy niejednokrotnie o Mickiewiczu wzmiankować nam wypadnie, w Kijowie należał on bowiem do osobistości ruchliwszych, a i w specyalnej misyi — z ramienia rządu — odbywał wędrówki po trzech guberniach (Podole, Wołyń i Ukraina), zahaczywszy aż o Kamieniec.

W ten sposób przeszliśmy listę profesorów i spis wykładów dwóch kursów pierwszych; głównymi przedmiotami trzeciego dwulecia miały być — według pierwotnego brzmienia projektu nauk gimnazyalnych: chemia z historyą naturalną i literatura; dodatkowymi: gramatyka powszechna i bibliografia. Pierwsze z nich dwa wypełniały po dziesięć, ostatnie — po pięć godzin tygodniowo. Przed r. 1812 matematykę wyższą, która początkowo tworzyć miała czwarte, specyalne dwulecie, przeniesiono do trzeciego — a przypuszczalnie, gdyż z *Materyi* dowiedzieć się o tem trudno, przybyły tutaj: historya i literatura rossyjska, literatura francuska, prawo rzymskie i krajowe. Co do ilości wykładanych przedmiotów zachodziły więc na wszystkich trzech dwuleciach zmiany i to poważne; co do treści — raczej rozciągłości — wykładu zgodzić się chyba wypadnie z p. Merczyngiem, że w tym wypadku zmiany były nieznaczne. By najlepiej uwidocznić zakres nauk trzeciego dwulecia, zestawiamy poniżej szczegółowe sprawozdanie z obu lat tegoż [2]). *Materye* z r. 1816 i 1819 dopełniają się wzajemnie.

Kurs I. dwulecia III. (1816 r.)	Kurs II. dwulecia III. (1819 r.)

Matematyka Wyższa.

a) Rachunek Differencyalny;
b) „ Integralny;

c) Rachunek przemienności;	*c)* Zastosow. rachunk. do geometryi;
d) Zastosow. rachunk. wyższych do linii krzywych;	*d)* „ „ „ mechaniki.

[1]) Słowikowski: j. w.; Sobieszczański: Enc. pow. Org. XVIII. 488; Chmielowski, Bełza, Szulgin, Andrzejowski i inni.

[2]) Umyślnie zachowaliśmy — często oryginalny i charakterystyczny — ówczesny podział przedmiotu i nazwy właściwe.

II. Chemia.

1816 r.

a) pierwszoletnia:

Historya chemii w 6-ciu epokach:

1) początki i stan wiadomości chemiczn. u starożytn. narodów;
2) czasy średnie, od zniszczenia biblioteki Aleksandryjskiej do połowy XVII. w.;
3) początki chemii filozoficznej;
4) odkrycie gazów;
5) wprowadzenie nauki pneumatycznej;
6) Ustanowienie języka chemiczn. i znakomici w Europie mężowie, którzy przyczynili się do udoskonalenia tej nauki.

Etymologia wyrazu chemii, podział tejże, dawniejsze jej nazwiska, definicya.

Działania mechaniczne — chemiczne — powinowactwo.

O ciałach prostych (!), światło, cieplik, elektryczność.

Ciała palne stałe: fosfor, siarka, węglik, bor.

Ciała lotne czyli gazy — O paleniu się ciał — rozbiór Atmosfery — związki ciał palnych z kwasorodem — niedokwasy, kwasy i podkwasy — nadkwasy i przekwasy — metalloidy — alkalia — ziemie alkaliczne — ziemie proste — sole — związki ciał z siarką.

1819 r.

b) drugoletnia, roślinna (organiczna):

Wstęp ogólny, zasady i cel, podział i zamiar; rozwijanie się nasion, wpływy, sposoby opóźniania lub przyspieszania tej ich władzy; wzrost i rozkład istot roślinnych przez ogień, oraz sposoby wskazane przez Thenarda i Berzeliusa do oznaczenia pierwiastków, w skład roślin wchodzących.

Kombinacye w roślinach gotowe, kwasy roślinne.

Fermentacya i twory z niej powstające.

Chemia zwierzęca — kwasy zwierzęce.

Części zwierzęce płynne.
„ „ stałe.

Sole.

Sole nieorganiczne.
„ roślinne.
„ zwierzęce.

Rozbiór ciał.

III. Historya naturalna,

jej określenie i dzieje.

O ciałach organicznych w ogóle.

a) **Zoologia:** o zwierzętach w ogólności; o zwierzętach ssących — ptaki — płazy — ryby — Molluski — zwierzęta wąsonogie, obrączkowe, skorupiaki (zwierzęta skorupiaste), pajęczaki (z. pajączaste) — owady — robaki — zwierzęta promieniste — polipy — wymoczki — O zwłokach kopalnych zwierząt.

b) **Botanika:** Wstęp — Phytografija — terminologia, systematyka; Phytonymija.

1816 r. 1819 r.

IV. Literatura grecka

(podług dzieła G. E. Groddeck'a: *Historiae Graecorum litterariae elementa*).

Wstęp. — Okres I. od r. 907—490; Okres II. od r. 490—224; Okres III. od 224—323 po Chrystusie. — Pisarze kościelni i bizantyjscy.

V. Literatura łacińska i polska.

a) **O mowcach:**

1) o wpływie wymowy i znaczeniu jej u Rzymian;
2) o mowcach rzymsk. przed Cyceronem;
3) porównanie Hortensiusza z Cyceronem;
4) o ośmiu mowach Cycerona;
5) o Filippikach Cycerona;
6) porównanie wymowy Demost. i Cycerona;
7) o pochwale Trajana;
8) przyczyny upadku Wymowy.

b) **O dziejopisach:**

O komentarzach Juliusza Cezara i przekładzie Wargockiego.

Porównanie Liwiusza z Salustiuszem.

O przekładzie Salustiusza przez Pilchowskiego.

Tacyt i tłómacz. Kojałowicza i Naruszewicza.

Kurcyusz i przekł. Wargockiego.

O Justynie i tłómaczeniu; o Paterkulu.

O Florze i przekł. Falissowskiego.

V. Literatura łacińska.

Dalszy ciąg III. okresu od zgonu Sylli do śmierci Augusta.

a) **Historya:**

Życie i dzieła: Jul. Cezara, Kornel. Neposa, Sallustyusza, Liwiusza, Troga Pompejusza, Kremucyusza Korda.

b) **Wymowa:**

O życiu Hortensiusza i Cycerona.

Uwagi nad grobowcem Cycerona.

Rozbiór ośmiu mów Cycerona.

Rozbiór dwóch pierwszych jego Filippik.

Porównanie Cycerona z Demostenesem.

O dziełach retoryczn. Cycer. (5)

Rutyliusz Lupus.

Wojna literacka z powodu dzieł Cycerona.

Cztery jego listy; Cycero *junior* i tegoż listy.

Uwagi Tyrona nad układem Cycerońskich listów i wiadomość o lepszych wydaniach.

c) **Filozofia:**

Filozofowie greccy. — 12 dzieł Cycerona. — Tłómaczenie: Koszutskiego: o powinnościach, Budnego: o starości.

1816 r.

c) **O życiopisach:**

Kornelj. Nepos i polskie tłómacz.

Swetoniusz — porównanie z Tacytem.

d) **O listach:**

Pięć listów Cycerona, listy Pliniusza, porównanie obydwóch autorów, żywot Pliniusza II.

e) **O gramatykach:**

Rys gramatyków; znaczenie gram. u dawnych; rozbiór pisowni polskiej drukow. u Hallera w Krakow. 1518 r.; pisownia Seklucyana i Januszowskiego.

O gramatykach: Zaborowskiego, Hontera, Statoryusza, Volckmara, Meninskiego, Woyny, Szylarskiego, Kopczyńskiego.

f) **O dziełach filozoficznych:**

Cycero — Seneka.

Tłómacz. Koszutskiego i Budnego.

g) **Tłómaczenia:** [1])

z Cycerona, Liwiusza, Salustiusza, Tacyta, Kurcyusza, Flora, Justyna, Paterkula, Seneki, Pliniusza.

1819 r.

d) **Gramatyka:**

O dziełach: Marka Terencyusza Warrona, Werryusza, Higina.

e) **Gospodarstwo wiejskie:**

o dziele Warrona.

Okres IV. od śmierci Augusta do rządów Adryana.

Przyczyny upadku nauk. — Jakich przeszkód i pomocy doznały nauki od panujących w IV. okresie? O zmianie łacińsk. języka w tymże okresie.

a) **Poezya dramatyczna:** [2])

O traged. Seneki i tłómacz.; Górnickiego, Morsztyna, Bardzińskiego.

b) **Wiersz bohaterski:** [3])

O życiu i Farsalii Lukana i polsk. jej przekładzie.

O życiu i Argonautykach Kaja Waleryana Flakkusa.

Życie i poemat o drugiej wojnie kartagińskiej Kaja Syliusza Italika.

Żywot i Tebaida — Stacyusza.

c) **Poezya satyryczna:**

O życiu i satyr. Persyjusza, Juwenalisa.

d) **Bajki:** życie i utwory Fedra.

e) **epigram:** i żywot Marcyalisa.

Tłómaczenia.

---

[1]) W 1809 r. przykłady polsk.: „Trajedyie". — Odprawa posłów greckich, Żółkiewski, Władysław pod Warną, Zygmunt August, Bolesław III., Władysław pod Warną Niemcewicza.

[2]) W 1809 r. dodano do przykładów starożytnych: przykł. z polsk. literatury, jak n. p. o postępie nauk w Polsce; o Klonowiczu i Sarbiewskim, o Wojnie Chocimskiej i miejscach najpiękniejszych.

[3]) Ustępy wybierano wprawdzie w jednym roku inne, w drugim inne, lecz trudno wszystkie tutaj przytaczać. Zresztą i to, cośmy powtórzyli z programu nauk, daje już pewne o rzeczy wyobrażenie.

W ten sposób przedstawia się zakres ważniejszych nauk, udzielanych słuchaczom w ciągu dwóch kursów trzeciego dwulecia. Co się tyczy nauki wymowy (dwulecie I.) opierała się ona również prawie wyłącznie na wzorach starożytnych klasyków; ledwie kilka razy spotykamy się tutaj z oracyami Polaków: Jana Zborowskiego, Czarnkowskiego i paru innych. To samo przypuszczalnie powiedzieć można o wykładzie poezyi (dwulecie II.), gdzie o przykładach wspomniano nadto ogólnikowo, by z tego coś pewnego wywnioskować się dało.

Pan Merczyng w *Materyach z nauk* za r. 1807/8 o wiele więcej — odnośnie do polskiej literatury — znalazł danych. „Z szczegółowego bardzo programatu przekonywamy się, iż szło tutaj o teoryę i historyę literatury nietylko polskiej, lecz w ogóle powszechnej. Spotykamy bowiem roździały: 1) o komedyopisarstwie (pojmowanem tu w ogóle w znaczeniu poezyi dramatycznej); jego teorya a następnie szczegółowa historya, poparta tłómaczeniem autorów, u Greków, Rzymian, Polaków (spotykamy tutaj nazwiska komedyopisarzy: Bielawskiego, Bohomolca, Czartoryskiego, Zabłockiego, Niemcewicza, Trembeckiego); u Francuzów i Niemców; 2) O „rytmie gęślowym“ poezyi lirycznej; jego teorya, historya w literaturach greckiej, rzymskiej, francuskiej, niemieckiej i polskiej, gdzie mowa o Reju, Kochanowskim, Kochowskim, Twardowskim, Karpińskim, Kniaźninie; 3) O „rytmie pasterskim“ w tychże literaturach; o „bajkopiśmie“ i t. d.[1]).

Tak było w r. 1807/8. Że w r. 1816 i 1819 działo się inaczej, zestawienie powyższe wykazuje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle

---

[1]) Merczyng: Kołłątaja i Czackiego projekt 21—22.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

(Ciąg dalszy).

Część III.

III. Stosunki ekonomiczno-rolnicze w gminie.

1. Sposób gospodarowania. Obszar posiadłości rolnika. Narzędzia.

Wiemy już, jakie w XI. i XII. w. były formy własności ziemskiej, jakie one przybierały charakter, jak je rozumiano, teraz nasuwa się pytanie: jak wielkie mogły być posiadłości ziemskie rozmaitych klas i warstw ludności rolniczej?

Kto poznał dokładnie źródła dziejowe, odnoszące się do badanej epoki, ten z czystem sumieniem może powiedzieć, że na pytania powyższe ścisłej i zupełnie zadowalniającej odpowiedzi być nie może; z okruchów jednak tego materyału, jakim rozporządzamy, możemy naszkicować bodaj kilka rysów zanikłego już obrazu dziejowego.

Gdyby formy własności ziemskiej i władania powstawały jednorazowo, gdyby w cechach swoich i charakterze nie miały łącznika między teraźniejszością a przeszłością, poznanie zarówno form własności, jakoteż władania i posiadania, byłoby rzeczą prawie niepodobną, z braku bezpośredniego materyału. Pojęcie własności ziemskiej ze wszystkiemi formami, cechami i charakterami przechodziło drogę ewolucyi dziejowej; badając przeto okresy zbliżone do siebie, czerpiemy tem samem fakty i barwy, cechujące okres pośredni, uzupełniające i ułatwiające poznanie jego.

Formy własności ziemskiej wytwarzają się skutkiem potrzeby ekonomicznej, a dopiero później, z większym lub mniejszym rozwo-

jem, stają się zwyczajem, wreszcie — prawem. Naturalnie, przyczyny ekonomiczne nie są jedynymi czynnikami, a często przyczyna ekonomiczna bywa impulsem państwowej. Pierwotnym warunkom życia społecznego muszą odpowiadać pierwotne formy własności, nazwałbym je formami niezupełnemi w porównaniu z formą państw kulturalnych — indywidualną. Zanim własność ziemska tę formę ostatnią osiągnęła, istniała ona równorzędnie z innymi, z poprzednich wytwarzając się i przekształcając. Własność indywidualną znajdujemy już w zaczątkach państwowego życia na Rusi, z chwilą usadowienia się dynastyi Rurykowiczów; przedtem z wszelką pewnością utrzymywać można, że nie istniała, nie dlatego, ażeby istnieć nie mogła, ale nie było ekonomicznej racyi istnienia jej tam, gdzie ludzi było bardzo mało, a ziemi bardzo dużo — każdy przeto brał tyle, ile mógł i chciał. Ziemia nie była przedmiotem handlu, zamiany, nie przedstawiała sama przez się prawie żadnej wartości — o tyle tylko, o ile na niej siedzieli ludzie, zmuszeni do jakichkolwiek bądź obowiązków względem książąt. Nawet późniejsze rozdawanie jej bojarom — nie ulegające żadnej wątpliwości, — miało na celu wskazanie punktu osadnictwa i połączone było z celami militarnymi; ekonomiczne potrzeby użytkowania wyrobiły się później, w miarę potrzeby wytworzenia przez warstwę, wyłącznie z początku oddaną wojnie rabunkowej, zarówno nowych, pewnych i jednostajnych źródeł żywienia, jak i wytworzenia nowych zasobów siły zbrojnej. Działały więc tutaj łącznie przyczyny: dziejowe, ekonomiczne i państwowe — zupełnie niezależnie od massy ludowej, na ziemi rozsiadłej, z uprawy jej żyjącej, a nowym porządkom państwowym poddającej się niechętnie i bardzo powoli.

Ta cecha dwoistości prądów życia społecznego wpływała nietylko na charakter własności, lecz także na sposób użytkowania z niej, o ile naturalnie klimat i warunki życia ekonomicznego i społecznego pozwalały na to. Zanim przejdę do sposobów użytkowania z ziemi, streszczam to, com o własności ziemskiej poprzednio powiedział. Otóż skutkiem tej dwoistości przyczyn, działających na kształtowanie się własności i jej form, wytwarzał się odrębny sposób użytkowania. U ludu, na nizinach życia, była własność rodowa: na wyżynach własność indywidualna; dla pierwszej typową nazwą jest futor (nazwa znana dopiero od XVI. w.), na północy dwór, dworzyszcze, koło których skupia się posiadanie i praca rolna. Co do własności indywidualnej, nie wyrobiła ona sobie jeszcze nazwy typowej, jaką stała się na zachodzie nazwa „folwark“, lecz używała zarówno na określenie własności, jak i formy użytkowania

z niej nazwy ludowej dwór, rozszerzając jej znaczenie, a poniekąd zmieniając nawet, o ile to ściągało się do sposobu gospodarowania. Tam pracowali rolnicy współposiadacze, współpracownicy, tu — czeladź, niewolni, osadnicy; tam — praca dobrowolna, tu — z początku wyłącznie prawie siły przymusowe pracują. Że nazwa dwór odpowiadała folwarkowi, nie ulega żadnej wątpliwości; może czytelnik sądzić o tem zarówno z tego, com powiedział w rozdziale o własności, jak i z tego, że na Litwie, jeszcze na początku XVI. wieku, używano jej powszechnie w znaczeniu folwarku [1].

Pojęcie „dwór", „dworzyszcze", przeniosło się na ziemię, stąd też często napotykana na Litwie nazwa „dworzyszcze pustownoje", t. j. ziemia nie będąca w używaniu niczyjem, a należąca do księcia.

Wiemy, jakiemi siłami było prowadzone gospodarstwo zarówno na folwarku, jak i w osadzie, będącej w posiadaniu rodowem, ale jak się prowadziło i na jakim obszarze — na to wyczerpującej odpowiedzi dać nie można — szczególnie co do obszaru. Włóki i łany znane dokładnie w XVI. w. na Litwie, nie znane były zupełnie na południowych i południowo-wschodnich kresach Rusi, a obszar późniejszych „służb" także nie da się określić ściśle. Sprawę przeto obszaru gospodarstwa na własności indywidualnej, książęcej, bądź bojarskiej, musimy na teraz przynajmniej pozostawić nierozwiązaną. Inaczej się rzecz przedstawia z własnością niezupełną i gospodarstwem na niej. I tu określenia obszaru dokładnego wymagać niepodobna, bo oprócz roli, każde gospodarstwo, jakbyśmy dziś powiedzieli — włościańskie, mogło używać pastwiska i lasu, ile się mu podobało, a przez wyczynienie pola zwiększać obszar rolny. Tak przynajmniej działo się na Rusi północnej jeszcze w XVI. w.; można przeto przypuścić, że tembardziej działo się wcześniej, gdyż ludzi było jeszcze mniej a ziemi nieuprawnej jeszcze więcej. Inaczej dziać się musiało na południu, w okolicach stepowych, bezleśnych, gdzie roli nie potrzeba było „wyczyniać", przysposabiać, wypalać; jedyną pracą włożoną w nią była orka — im kto więcej mógł zaorać, tem więcej

[1]) Archiw J. Z. R. Część VI. t. I. Kijów 1876. Czytaj na str. 11 Ustawę ekonomiczną Zygmunta I. dzierżawcom i urzędnikom majątków królewskich. (Metr. litew. księga VI., str. 227—232). Ta sama ustawa wydaną była w r. 1529 w formie odmiennej nieco i drukowaną w *Akt. Zapad. Ross.* t. II., Nr. 159, a mieści się w metryce lit. t VII. str. 500—501. „Ustawa dworow naszych u Welikom Kniaztwi litowskom --- jako sia derżawci i uriadnyki zachowaty majut." Czytaj w aktach, poprzedzających ustawę o dworzyszczach. — W ustawie ekon., jak i w innych aktach powołują się na „stary obyczaj".

posiadał. A jednak trzeba było w jakiś sposób opodatkować ludność, wynaleźć przeto jednostkę, któraby stać się mogła podstawą opodatkowania, służyć poniekąd jako skala podatkowa. W tym względzie książęta waregscy nic nowego nie wymyślili, przeciwnie — przyjęli system podatkowy, znany już w Europie oddawna, a nawet u siebie, na północy. Jednostką tą były: pług i socha v. radło. Dwie ostatnie nazwy narzędzi rolniczych, używanych dotychczas, podobne są do siebie nie tyle budową, ile charakterem pracy i pod tym względem można je uważać za identyczne. Radymiczanie płacili po szelągu od sochy, Wiatycze płacili podatek (dań) od radła Świętosławowi, a Włodzimierzowi od pługa; nie znaczy to bynajmniej, ażeby daninę opłacaną od ilości posiadanych narzędzi do uprawy roli, lecz że te narzędzia odpowiadały pewnej ilości, wziętej pod uprawę ziemi. Tak więc pług albo socha były zarówno skalą podatkową, jak i miarą posiadanej ziemi, czyli wskazówką tytułu własności lub używalności. Identyfikowanie wielkości obszaru rolnego z pługiem przechowało się dotychczas u ludu wiejskiego na południowej Rusi [1]). Jakiej wielkości posiadanej ziemi odpowiadał pług a jakiej socha? Przedewszystkiem musimy zwrócić uwagę na zasadniczy charakter pierwotnego rolnictwa w ogóle. Otóż pierwszą przyczyną i bodźcem do zorganizowania pierwotnego gospodarstwa niezależnego rolnika było wyżywienie siebie i swojej rodziny. Z tej wychodząc zasady, brał pod uprawę tyle ziemi, ile w pewnych warunkach jej produkcyjności potrzeba było na jego wyżywienie i ile własnemi rękoma, przy pomocy rodziny, uprawić zdołał. Jednostką do wymierzenia tej potrzeby był pług lub socha, w miarę tego, jaka była gleba co do spoistości; spoistsza wymagała narzędzia o silniejszej budowie i większego zaprzęgu; leksza — zadowolnić się mogła lekką budową i małą siłą zaprzęgową. W pierwszym razie służył pług, w drugim — socha lub radło.

Zrobiwszy powyższe wyjaśnienia, teraz będziemy mogli wrócić do określenia stosunku, jaki zachodził między narzędziami, służącemi do uprawy roli, a wielkością jej, czyli obszarem. Wspomniałem już, że identyfikowanie pługa jako narzędzia z miarą ziemi nie było wcale wynalazkiem Normanów [2]), przypuszczać jednak godzi się, że na Rusi

---

[1]) Gospodarz rolny ukraiński lub podolski, pragnąc dać pojęcie o swojem bogactwie, powiada, że orze dwoma lub trzema pługami, albo posiada tyle a tyle „parowic".

[2]) Łacińscy agronomowie dają mu takie znaczenie. „Nam in Hispania ulteriore metiuntur *jugis*, in Campania *versibus*, apud nos in agro romano ac latino *jugeris*. *Jugum* vocant, quod juncti boves *uno*

oni pierwsi zastosowali pług, jako skalę podatkową. Z tego jednak, że pług w spoistej ziemi może wyorać dziennie morg jeden, a socha dwa razy tyle, jeszcze nie można mieć żadnego pojęcia o tem, jaki był obszar gospodarstwa, rozporządzającego jednym pługiem. Gospodarz, posiadający pług, t. j. zaprzęg cały z pługiem, cztery woły i narzędzie, nie zadowolni się zoraniem jednego morga, bo zbiorem z niego nie wyżywi rodziny, ale nie wyorze także 50 morgów, dajmy na to, bo do jednego pługa stosunkować się musi siła robocza gospodarstwa i czas pracy stosownej. Gdyby przeto zorał nad możność zebrania, zmarnowałby pracę i ziarno. Wprawdzie w czasach, które nas zajmują, ze względu na obfitość pastwiska, mogło być dużo bydła, ale rąk do pracy nie było nigdy podostatkiem, przeto do siły roboczej ręcznej stosować się musiał cały rozmach, że tak powiem, gospodarstwa. Biorąc tedy rodzinę, jako podstawę siły roboczej gospodarstwa, składającą się z czterech osób, pracujących na własne wyżywienie, rodzina taka więcej nie obsieje i nie zbierze nad 4—6 morgów w jesieni i na wiosnę [1]), a przyjąwszy i to na uwagę, że tyleż roli

die exarare possiunt“: a dalej rzecz objaśniając, ten sam pisarz powiada: „jugerum quod quadratos duos actos habeat“. (M. Terentii Varronis, de agricult. lib. I.). Dwa *jugera* — powiada Czacki *(O lit. i pol. praw.*, t. I. str. 232) składały *haeredium* u Rzymian, jak Columella i Pliniusz zaświadczają. Co pisał Varron, wiemy, Snorr-Sturleson i Kittasaga to samo mówią o Islandyi. Duńskie prawa, jakoteż *Congesta Menvidi*, czyli materyały do historyi duńskiej, wspominają o częściach ziemi pługiem oranej, jako dzielnicach własności lub cząstkach funduszu podatków. Eryk IV. (1241) ustanowił podatek, *Plog-Penning* nazwany. *Sochagia* w Szkocyi przypominają także nadania pewnych obszarów ziemi z obowiązkiem służby publicznej. Przypominają one zupełnie nasze „służby“. Takie „mańśtwa“ *(mansio* = zostawanie na miejscu, siedziba, posiadłość), zwane w niektórych krajach *foeda dimidia*, jeżeli obowiązywały do służby wojskowej, nosiły nazwę *soccagium militare*, w innych wypadkach nazywano je *soccagium privilegiatum* (Czacki: *O litews. i pols. pr.* I. 289). Opłata od pługa przeniosła się z północy, z Normandyi, zarówno do Włoch, gdzie w XI. w. istniała *(Istoria civili de Napoli* t. II., Giannone u Czackiego), jak i na Ruś. Słowianie nadbaltyccy, Wagrowie i Obotryci składali biskupowi Alteńskiemu od pługa: miarę zboża, 40 motków lnu i 12 sztuk pieniędzy czystego srebra (Helmold: *Kronika słow.*, 35). Znaną była i w Polsce. Boguchwał jeszcze pod 1232 r. powiada: *a quolibet aratro duo mensuare . . . (O lit. i pol. pr.* I., 232). Ziemia Halicka najdłużej w Polsce zachowała miarę pługa przy opodatkowaniu, skoro uniwersał poborowy z r. 1578 o niej wspomina. Daninę płużną dla biskupów chełmińskich nakazał dekret Zygmunta I. z r. 1526.

[1]) W celu utworzenia jaśniejszego pojęcia w tej sprawie, przytaczam kilka dat, odnoszących się do organizacyi gminy teraźniejszej

co roku odpoczywać musi, nie bardzo się pomylę, jeżeli powiem, że gospodarstwo rolnika, płacącego podatek od jednego pługa, w XI. i XII. w. nie wynosiło więcej nad 12—18 morg. w glebie ciężkiej, a tam, gdzie używano sochy, dwa razy tyle. Co do gleby lekkiej rzadko musiały się trafiać takie warunki, zważywszy, że cała Słowiańszczyzna, w górę od Kijowa ku źródłom Dźwiny i Dniepru, była jedną wielką puszczą leśną, często bagnistą, śród której trzeba było kawał ornej ziemi z trudem zdobywać — przypuszczać przeto należy, że gospodarstwo rolne nigdy a może bardzo rzadko dosięgało normalnej wielkości. Rolnik, któremu trochę brakło chleba, miał podostatkiem ryby i zwierzyny; z zarostów i krzaków wyczyniał więc rolę powoli. Prawodawstwo musiało to uwzględniać, bo daninę pobierano wiewiórkami i popielicami.

Gospodarstwo na „dworach“ v. folwarkach książęcych, bojarskich, jakoteż włościańskich osadach, było jednakie — bardzo pier-

---

(czytaj cytowany *Sbornik materj.* t. I., gmina Tarchowska Tulskiej gub.). Jednostką rolną jest desiatyna, wynosząca m. w. dwa morgi, czyli 2.400 sąż. kwadr. Według prawa zwyczajowego desiatyna wynosi niekiedy 3.200 sąż. kwadr. Od desiatyny wyznacza się podatek, jakoteż dziesiąty grosz na utrzymanie cerkwi i duchowieństwa. Miara taka nazywa się również niwą, połowa jej — półniwkiem, trzecia część — ośminnik, ośmucha, zapewne od ilości wysiewu. Całość ziemi ornej w gminie podzieloną była na żerebja (los, część), zwana także „udziałami“. Całkowity los — żerebje, niekiedy zwany konem, liczył się na osiem roboczych dusz. Osma ($^1/_8$) część losu, czyli część przypadająca na jedną roboczą duszę, nazywa się nadziałem, działem (nadieł). Każda rodzina otrzymuje tyle nadziałów, ile jest w niej dusz roboczych. Za roboczą duszę uważano zarówno mężczyznę, jak i kobietę od lat 17. Na jedną duszę 17-letnią dawano jeden nadział, 19-letnią 2 nadziały. Gminie w ten sposób zorganizowanej niektórzy pisarze rossyjscy — przeważnie — narzucali dążenie przez sprawiedliwość do równomiernego dobrobytu. Bliższe badania przekonały jednak, że tu chodziło nie o dobrobyt, lecz o równomierne ściąganie podatków, gdyż za ubogich, którzy płacić nie mogli, płacili bogaci na tej zasadzie, że odpowiedzialną jest za całość podatków nie jednostka uboga, lecz gmina. W powyższy sposób gmina zorganizowała się już po dokonaniu usamowolnienia włościan: przedtem był inny system podziału: według ciągła, ale zasada była ta sama. Ciągło (tiahło) stanowiły dwie dusze robocze męzkie i dwie żeńskie. W ten sposób więc jeden robotnik reprezentował $^1/_4$ cz. ciągła, dwoje — mąż i żona — półciągła. W takiem urządzeniu należałoby szukać objaśnienia owych zagadkowych wyrażeń średniowiecznej łaciny: *lidi pleni,, lidi dimidii; slavi cum pleno beneficio, cum dimidio beneficio,* gdyby ustrój dawnej, starożytnej gminy przeciągnął się do naszych czasów, w niektórych przynajmniej jej zwyczajach.

wotne. Za czasów Herodota siewano zboże na sprzedaż; dzisiejsza Kijowszczyzna i niezawodnie Podniestrze (Pobereże) zasilało swojem zbożem kolonie greckie. Czasy się jednak zmieniły. Połowce, Pieczyngowie rozsiedli się na stepach i cofnęli rolnictwo na północ. Do Rusi południowej, siedzącej na płaszczyznach, do Polan i do innych zapewne plemion, siedzących ku górnemu Dniestrowi, przyszła od kolonistów greckich znajomość gospodarstwa dwupolowego. Na północy, skutkiem odmiennych warunków agrarnych, istniało gospodarstwo wypalające — ogniszczanie najepiej tego dowodzą. Ponieważ siewano oziminę i jarzynę, wynika z tego, że ziemię uprawiać musiano w jesieni i na wiosnę — jak? w jakim czasie? Nie wiemy [1]).

[1]) Ażeby zadowolić jednak ciekawość czytelników i dać pojęcie o tem, jakie mogło być owoczesne gospodarstwo, wyprzedzę okres badany o trzy wieki. Wiemy, że rolnicy trzymają się najuporniej prastarych zwyczajów, że z ducha swego są najbardziej konserwatywni, dlatego też dla naszkicowania obrazu pozwolę sobie zaczerpnąć barw i faktów z czasów aczkolwiek późniejszych, ale z tych samych okolic. Gwagnin *(Kronika Sarmacyi europ.*, wyd. Turow. str. 214 i następ.) podaje bardzo ciekawe wiadomości o gosp. rolnem północnej Rusi i Litwy. Około Piotra i Pawła — powiada on — rozpoczynało się trzebienie lasów, które pospolicie ladą nazywano i trwało to aż do Wniebowzięcia N. P. M. Jeżeli zarośla były gęste, potrząsano z wierzchu słomą i tak pozostawiano przez zimę. Gdy nastąpiła wiosna, około św. Wielkiej Nocy, a słońce już ogrzało ziemię, owe krzaki, potrząsnąwszy je jeszcze nieco słomą z wierzchu i od spodu, zapalano. Głównie i gałęzie niedopalone zbierano na kupę i zapalano znowu. Na wypalonej ziemi, nie orawszy jej, siewano najprzód pszenicę i zawlekano je sochą i broną w jednego konia. Przeważnie działo się tak na Rusi, gdyż Litwa używała pary wołów i jarzma, zaprzęgano je za rogi. Licho więc chodzono koło roli, a jednak — powiada Gwagnin — „taki tam urodzaj bywa, że twierdziłby drugi, iż się tam Ceres, bogini zboża urodziła."

Tak samo siewano jęczmień, tylko rolę z „miąższejszych" drzew pod niego używano, bo wiedziano, że potrzebuje tłuściejszej roli, aniżeli pszenica. Na wypalenisku takiem siewano bez przerwy 7—8 lat.

Jeżeli drzewa były wysokopienne (jesiony, brzozy, sosny itd.), tedy do siewu nie wyrębywano ich, lecz tylko oczyszczano z gałęzi większych, aby przystęp słońcu ułatwić. Oczyszczano z wielką wprawą i szybkością przy pomocy narzędzia, składającego się z drabinki sznurowej i ławeczki, a nazwanego w Stat. litew. leziwem. Takiego samego narzędzia używano do podbierania miodu w barciach. Po zbiorze pszenicy, na wypalenisku siewano żyto ozime, to samo robiono po jęczmieniu, ale pod żyto orano raz a czasem dwa razy pługiem lub sochą. Siew oziminy rozpoczynał się około 15. sierpnia, t. j. na Wniebowzięcie N. P. Maryi, ostatni zaś termin bywał 8 września. Z jarzyn siewano pszenicę i żyto, zwane jarzycą, wnet po Wielkiej Nocy, jak również owsy i jęczmiona; grochy siewano zwykle około św. Wojciecha.

O tem jednak pamiętać należy, że gospodarstwo rolne na całym prawie obszarze południowo- i północno-wschodnim miało charakter przejściowy od pastwiskowego do rolniczego, a właściwie łączyło w sobie dwa systemy powyższe, które doskonale godziły się i wspierały, wspólnie dostarczając środków do życia. Stosownie do warunków klimatycznych lub geograficznego położenia ten lub ów system przeważał nawet. Latopisce jednako notują fakt „pobi moroz obilje“, „obilije wse potrawisza“, jak i to, że książęta utrzymywali ogromne stada koni.

Co do charakteru gospodarstwa rolnego, z tego, cośmy mówili o stosunku „ospodara“, właściciela ziemi do „zakupa“ i in., wiemy, że oprócz gospodarstwa folwarcznego, prowadzonego przez niewolników (rob), istniało gospodarstwo, że tak powiem, udziałowe czyli spółkowe, przy pomocy owych właśnie zakupów prowadzone. Charakter takiej współki określa Ustawa o ziemskich dieliech Jarosława i stosunki obydwóch stron interesowanych reguluje. Tu już jest wyraźnie mowa o połownictwie. Właściciel ziemi według ustawy odbierał 10 snopów, a 10 „siejawszemu niwy“. Nie jest to mowa wyłącznie o siewie, lecz o całym cyklu, że tak powiem, robót gospodarskich, których ostatecznym rezultatem jest snop lub ziarno, gdyż w innem miejscu ta sama ustawa powiada, że jeżeli rolnik przyjjmie zobowiązanie wspólnictwa, ograniczy się tylko na siewie, a resztę zaniedba, „da nie priimiet nicztoże od płoda toho“. Połownikowi wolno jednak było zrzec się umowy — byle w czas.

Określając bardzo ściśle stosunek wzajemny właściciela ziemi, folwarku do wspólnika-robotnika, ustawa nie mówi jednak nic o zakupie. Sama nazwa zakup dowodzi wszakże, że gospodarstwo połownicze istniało dawniej przed spisaniem ustawy „o ziemskich dielech“, która, jakkolwiek skompilowana według źródeł greckich, przystosowaną niewątpliwie została do stosunków już istniejacych. Ludność tubylcza późniejszej Rusi nauczyła się tego sposobu gospodarowania od kolonistów greckich i łacińskich, tak samo, jak m. w. regularnego systemu dwupolowego.

Teraz nasuwa się pytanie: jakie narzędzia rolnicze używane były w badanym okresie? Skąd przyszły? *Prawda Ruska* wspomina tylko pług i bronę, mówiąc o zakupie i wyliczając jego obowiązki względem gospodarza. O pługu, sosze i radle pisze Nestor — wiemy już w jakich okolicznościach, przeto wracać do tego przedmiotu nie będziemy. Nie ulega wątpliwości, że pług starosłowiański tylko, że tak powiem, typowo mógł być podobnym do

naszego z przed 50-ciu laty pługa na Rusi, t. zw. prostego: nie posiadał prawdopodobnie ani kroju (trzusła), ani odkładnicy, mógł posiadać co najwyżej nakonieczník żelazny, nasadzony na ostry szpic płóży lub wyjątkowo lemiesz. Gdyby posiadał trzusło, jak dzisiaj, byłby może prawodawca wspomniał o tem w *Prawdzie Ruskiej*. Domyślanie się, jak mogło wyglądać każde z tych narzędzi, mało nam przyniesie pożytku; daleko dokładniejsze wyobrażenie da o nich rysunek, chociażby z innej strony, z innych warunków, gdyż wiemy z doświadczenia, jak mało niektóre narzędzia, n. p. socha i radło, zmieniły się dotychczas. Nader ciekawą ewolucyę przystosowania narzędzi do pewnego gatunku gleby, jakoteż stopniowego ulepszania się znajdzie czytelnik w historyi pługa [1]). Na pytanie: skąd się one wziąść mogły? — można odpowiedzieć tylko szeregiem mniej lub więcej prawdopodobnych domysłów lub legend. Wydzielając te domysły z dziedziny faktów pozytywnych, powiem jednak o nich kilka słów w dopiskach dla zaspokojenia ciekawości czytelników [2]).

---

[1]) Dr. K. H. Rau: Gesch. des Pfluges. Heidelberg 1845. Socha str. 35, Pług str. 40 i n.

[2]) Pomiędzy Niemcami a Słowianami oddawna trwa spór o to, który z tych narodów pierwszeństwo trzyma historycznie na polu rolnictwa w ogóle, urządzeń rolniczych, jakoteż niektórych wynalazków technologicznych. Oczywiście ściąga się to do czasów pierwotnego rolnictwa. Nie myślę bynajmniej badać genezy tego sporu i rozstrzygać jego w tę lub ową stronę. Można łatwo zrozumieć, gdy ktoś powie, że ten lub ów wymyślał telefon lub telegraf, ale niezrozumiałem będzie, gdy ktoś powie, że ten lub ów wymyślał chleb, pług, bronę, igłę. To, co ma zaspokajać niezbędne potrzeby ludzkie, bywa już zwykle w y m y ś l o n e — przystosowuje się tylko przez człowieka i ulepsza przez długie szeregi pokoleń. Nie drogą wynalazku przeto, ale p r z y s t o s o w a n i a powstały: noże, igły, łyżki tak samo, jak pługi, brony, radła i d l a t e g o m o g ł y — nie twierdzę, że powstały wszędzie — lecz mogły powstać równocześnie w różnych miejscach. Prawdopodobnie jednak wszystkie narzędzia pierwotnego rolnictwa przyszły do Europy z Indyi wschodnich. Starożytni pisarze nie mogli sobie wytłómaczyć tego, woleli przeto uciekać się do legendy i poezyi. Herodot mniemał (IV., 5), że na późniejszą ziemię słowiańską za panowania synów Targitaosa miały spaść, niesione z nieba, — pług, jarzmo, siekiera i misa ofiarna. Każdy nieomal naród posiadał w tym względzie własne legendy. Odpowiedzi jednak na to: skąd pochodzą lub pochodzić mogą narzędzia rolnicze starożytnego rolnictwa na ziemiach słowiańskich, szukać musimy nie w legendach poetyckich i nie w fantazyach historyków, lecz w filologii słowiańskiej i porównawczej. Przedewszystkiem skonstatować należy jedną rzecz uderzającą, t. j. pewną wspólność nazw: p ł u g, s o c h a i r a d ł o zarówno u słowiańskich, jak germańskich i łacińskich narodów.

Co do sochy i radła oznaczały one prawdopodobnie jedno i to samo narzędzie rolnicze, które w północnej Rusi zwało się sochą, w południowej — radłem. Sochę używaną dzisiaj, a zwaną kosulą, opisuje Rau. Zasadnicza różnica między sochą i radłem a pługiem polega na tem, że pierwsze dwa rozrychlały tylko ziemię,

---

Zacznijmy od pługa. W. Maciejowski (*Hist. praw. sł.* I., 405) przytacza użycie tego wyrazu w statucie Rotarysa Longobardów — plou, ploh; po czesku: plouh, pluh, pluhati; niem.: pflug; ross., rusińska i polska nazwa pług, z akcentem *h* na końcu u Rusinów. Rzymianie nazywali go z grecka *aratrum*, stąd właśnie *aratro*, *aratolo*, u Celtów i Germanów według Pliniusza pług nazywano *planaratrum*. Z wyjątkiem tedy źródłosłowu łacińskiego i greckiego rat, wszędzie odnajduje się inny źródłosłów pli, pl. Zdawałoby się, że jest w tem pozorna sprzeczność — do której wrócimy. W. Maciejowski, pragnąc uzasadnić rodzimość pługa, czyli wykazać najbliższe jego pokrewieństwo z nami, uważa, że jestto wyraz pochodny od położyć, włożyć, gdyż przed rozpoczęciem pracy musiał być pierwej położonym, włożonym w ziemię. Litera *o* jest samogłoską, która często nie wymawia się w językach słowiańskich, — dziś nawet — a więc z położyć stało się płożyć, płużyć (zamiast *o* — *ú*, n. p. koń, kuń). Stąd narzędzie mogło się zwać płużycą. Zważywszy, że rzeczywiście istnieje — dotychczas nawet — narzędzie pośrednie między typowym pługiem a radłem, które nazywa się na Pobereżu płużycą — możnaby wywodom powyższym trochę prawdopodobieństwa przyznać. Czemże właściwie i jaką jest owa płużyca? Jest to bez wszelkiej wątpliwości ucalała dotychczas i niesłychanie rzadko dająca się widzieć archaiczna forma owego słowiańskiego pługa, o którym tyle razy mowa była. Płużyca jest narzędziem pośredniem między pługiem a radłem a zbudowana w sposób następujący: zamiast żelaznego nakonieczznika, naralnika przy radle (rodzaj kapturka wsuniętego na drzewo zaostrzone) posiada mały lemiesz, wciśnięty bezpośrednio na podeszwę płużną, drewnianą, do której przymocowuje się także mała policzka: posiada ona jedną czepigę jak radło i grządziel, w którym osadzone małe, żelazne trzusło. Grządziel tej samej długości, jak u radła, tak że woły zaprzęgają się bezpośrednio do grządziela. Z płużycy za skróceniem grządziela, a dodaniem nakolesnego przodka mógł powstać typ pługa nakolesnego. Liczne rysunki, przedstawiające doskonalenie się pługa znajdzie czytelnik w cytowanem już dziełku Rau'a.

Pomimo jednak pozorów słowiańskości pochodzenia pługa, pomysł jego zdaje się pochodzić z Indyi, z kolebki rodu ludzkiego, jak i wszystko, co się pierwotnego rolnictwa w Europie dotycze. Tem śmielej możemy to twierdzić, że w źródłosłowie języka sanskryckiego odnajdujemy wiele bardzo pojęć i nazw, z których niejedne przeszły do całej Europy, bez różnicy szczepowej, niektóre zachowały się tylko u Słowian. Przytoczę tu mały słowniczek sanskrycki, ażeby czytelnik tem łatwiej mógł sobie wyrobić należyte pojęcie o tem, co powiedziałem, a co niezawodnie historyi pierwotnego rolnictwa dotycze. Ażeby z narzędziami rolni-

posiadając lemiesz w kształcie zaostrzonego od strony zewnętrznej kapturka, który dalej od nasadu rozszerzał się i miał kształt owalnie wypukły, — pług zaś miał lemiesz większy, w formie m. w. trójkąta, którego linia od strony pola była równą. Deszczułeczka.

---

czemi skończyć, mówić będę nietylko o pługu, lecz i o innych narzędziach i pojęciach dotyczących rolnictwa. Wyrazy cytuję według najlepszego niezawodnie Słownika E. Burnouf'a i L. Leupol'a *(Dictionnaire classique sanscrit-français.* Paris. Maisonneuve, Quai Voltaire, 15).

Najprzód co do narzędzi. Źródłosłów p l i, na który poprzednio zwróciliśmy uwagę, odnajdujemy w języku sanskryckim: p l i, p l i h, p l é h é = aller, se mouvoir; p l u, p l a v e oznacza między innemi = passer d'un lieu à un autre, sauter. Widzimy więc, że źródłosłów sanskrycki, podobny do naszego, przedstawia również czynność podobną do pługa.

C o x a (sansk. w pisowni francuskiej) = z o c h a = socha ma znaczenie: pointu, aigu, odpowiadające zupełnie charakterowi sochy.

Co do brony nosi ona w sanskrycie nazwę k o t i z a (kotisa) = k o t y c i a (ukraiń.), oznacza kłodę, wózek do przenoszenia ściętego w lesie drzewa, = walec.

Poprzednio wspomniałem o grecko-łacińskim wyrazie *aratrum.* Zdawałoby się, że on nic wspólnego z pługiem słowiańskim co do pochodzenia niema; tak jednak nie jest. Sansk. r a t' a m = un char, r a t é n a = sur un char. Źródłosłów zatem r a t odnajdujemy w *aratrum.* R a t' a m mogło przeto oznaczać pług nakoleśny dla odróżnienia od innego i odnalazło się w nakoleśnym pługu rzymskim. Wydaje mi się to rzeczą tem bardziej prawdopodobną, że r t i oznacza action d'aller, marche; action d'avancer.

Ażeby przyszłemu historykowi rolnictwa u nas ułatwić pracę, wypisuję kilka wyrazów sanskryckich, mających pokrewne z naszymi pochodzenie lub zbliżone pojęcie:

a b i n a v a; n a v a = nouveau, recent; nowizna, nowina.

a b i l â v a = arrachage; recolte; moisson. Porównaj: o b i l j e.

a v a s a t a (v a s) = village. Ecole. Moisson. Porów.: w i e ś.

a h a l y a (hal) = inculte, non labouré; a h a l y a = personification de la terre non cultivée. Por.: hala. halizna.

â t a r a = traversée, passage, frét, péage. Por.: o t a r a, o t a r y c i a.

k a r á m. k a r i ma różne znaczenia, między innemi: attache, emprisonnement; prison; peine, afflicaton. Czytaj dalej pochodne wyrazy.

k ô n a, k u n = angle, coin. Porów. co poprzednio mówiło się o k o n a c h starosłow. (= klin, część ziemi etc.).

x a m (pis. franc.) = c h a m = terre; xami = dans la terre ou à terre; x a m a (chama) = patient; capable de supporter; capable de faire q. ch.; tolerant, indulgent; c h a (xi) = champ, homme des champs, paysan.

g ô s t' = rassembler, amasser. Czytaj wyrazy pochodne i porów. z g o s t', gost'ba etc.

przymocowana w taki sposób, jak u płużycy, umożebniała nietylko podcięcie skiby, lecz i jej odwrócenie, co w porównaniu z robotą sochy i radła już mogło być uważane jako postęp [1]).

Co do brony — nie mamy pojęcia, jakąby być mogła; z kary jednak, naznaczonej zakupowi za zgubienie jej, wnosić możemy, że posiadała zęby żelazne. Prawdopodobnie używano i z zębami drewnianymi, co się i dotąd widzieć zdarza na gruntach piaszczystych, ale podobna brona nie miałaby już takiej wartości, ażeby za zgubienie jej trzeba było karać sądownie.

(Dokończenie nastąpi).

Fr. Rawita.

---

jati (żati) = maissance, production. Porów.: żąć, żniwo.

jitia (żit'ja) = soc de charrue. Mogła oznaczać pojęcie odżywiania, życia, karmienia — środka do tego.

jéva (żiwa) m. in. = ziemia. Czytaj wyrazy pochodne: jivana, jivadárá, jivitta (żiwana, żiwadara, żiwita).

Mnóstwo innych wyrazów pomijam, pozostawiając badanie ich pod względem filologicznym i leksikologicznym fachowym filologom.

[1]) Socha była także miarą ziemi, jak pług. W późniejszej Rusi Nowogrodzkiej znani byli pososznicy; w Szwecyi i Anglii posiadłości ludności rolniczej zwały się *soccagium* s. *privilegiatum*, s. *militare*, zaś *soccus*, *socca* to samo znaczyło, co u nas socha. Niekiedy pisownię nawet zachowywano słowiańską. (Czacki: *O lit. i pol. pr.* I., 289; Maciejowski: *Hist. praw. słow.* II., 319). Wyraz ten znany prawie we wszystkich językach europejskich. Victor Hehn (*Culturpflanzen u. Hausthiere in ihren Uebergang aus Asien nach Griechenland u. Italien, so wie in d. übr. Europa.* Berlin 1874) wyprowadza znaczenie jej z gotyckiego zoha.

Co do radła kilka słów także powiedzieć należy. „W zbiorze hr. de Ziethen — powiada dr. Sieniawski (*Pogl. na dzieje Słowian*, Gniezno 1881, 343) — znajduje się starosłowiańskie radło, posiadające długości 4 stopy, 5 cali, z drzewa dębowego.“ — Już z samej długości grządziela wnosić możemy, że jest to narzędzie ulepszone, a więc zbliża się do pługa, gdyż długość grzędziela u radeł dziś używanych, u których grzędziel jest przedłużonym dyszlem, wynosi 7—10 łokci. Nawiasem powiedziawszy, wyjąwszy grządziel, budowa owego radła, wykopanego w bagnie pod Dagergotz, nie różni się wcale od dzisiejszych. Nie możemy się zgodzić z Hehnem i źródłosłowu radła szukać w greckim *aratron*. Słowiański korzeń ra(d)ł brzmi daleko jaśniej. To też wyrazu rało używają wszyscy latopiscy. Pochodzi on od ryć, ryj, ryjek, ryło, rydło, skąd łatwo utworzyło się radło i rało. Robota tego narzędzia podobna jest do roboty świńskiego ryja. Herodot (II., 14) opowiada o tem bez ogródki, że Egipcyanie, zasiawszy pszenicę, puszczają świnie na pole, aby ją przykryły.

Z PAMIĘTNIKA KONFEDERATA BARSKIEGO.

Nasza literatura historyczna nie wiele dotąd posiada materyałów do konfederacyi barskiej. Dział pamiętnikowy szczególniej bardzo jest ubogi, ztąd każdy nabytek tego rodzaju pożądanym jest dla badacza dziejów ówczesnych. Posiadając niewydany dotąd rękopis pod tytułem: *Dyaryusz konfederacyi barskiej, zaczęty w roku 1768 d. 5. Martii*[1], podajemy go tutaj, zawiera bowiem niemało nowych szczegółów, zkądinąd nieznanych. Autor nazwał swój pamiętnik dyaryuszem dziejów konfederacyi. Tytuł za wiele obiecujący, gdyż nie są to bynajmniej dzieje związku barskiego, lecz raczej zapiski o wypadkach, w których autor osobiście uczestniczył. Głównie zaś najważniejszym ustępem pamiętnika jest relacya o kilkoletnim (od lipca 1768 do końca 1771 r.) pobycie oddziałów konfederackich z szefami barskimi w Turcyi i powrocie ich do kraju, — jedyna relacya, jaką posiadamy, oprócz nielicznych korespondencyi, drukiem ogłoszonych.

Ze względu jednak na rozwlekłe do zbytku niekiedy opowiadanie o drobnych i małoznaczących faktach lub nawet pogłoskach, opuszczamy niektóre ustępy, nie przedstawiające interesu, a rozszerzające tylko niepotrzebnie ramy pamiętnika. W niektórych zaś miejscach podajemy konieczne objaśnienia lub uzupełnienia na podstawie źródeł współczesnych, jakie mieliśmy pod ręką.

Nazwiska pamiętnikarza nie znajdujemy na kartach rękopisu. Sam jednak powiada o sobie, że w chwili podniesienia konfederacyi w Barze przystąpił do związku wraz z synem, który także piastował

---

[1]) Rękopis pamiętnika obejmuje 137 kart *in folio*, — nabyty został do biblioteki piszącego ze zbiorów po ś. p. Julianie Bartoszewiczu. Na okładkach wyciśnięte: z jednej strony herb Srzeniawa, a z drugiej napis: *De la bibliothèque de Mr. le pr. Alexandre Lubomirski.* (Prawdopodobnie Aleksandra Lubomirskiego, kasztelana kijowskiego od 1785 r.).

pewną szarżę wojskową. Jako komendant znaczniejszego oddziału, autor pamiętnika brał udział w walkach toczonych na Podolu i Wołyniu, następnie z szefami barskimi przeszedł na Wołoszczyznę, mając komendę nad milicyą kijowską. Uczestniczył potem w wyprawie hana tatarskiego, Krym Gireja, na Rossyę wraz z oddziałami konfederatów, zostającymi pod komendą Joachima Potockiego. Choć w gronie starszyzny nie zasiadał, powoływany bywał czasem do narad i powierzano mu nieraz różne funkcye poselskie. Pod koniec konfederacyi przybył z Turcyi na Węgry do generalności wraz z marszałkami, był następnie w Częstochowie podczas ostatniego jej oblężenia przez Golicyna, dotrwał do ostatniej chwili, a gdy na mocy kapitulacyi rozpuszczano hufce konfederackie, — „za wydanym passem do swego domu wyruszył.“

Ponieważ kilkakrotnie zaznacza nasz pamiętnikarz, że dowodził milicyą kijowską, poszukiwaliśmy w aktach współczesnych, komu mianowicie powierzoną była komenda nad tą milicyą. Otóż na pewnym akcie z dnia 30. sierpnia 1768 r., spisanym w obozie pod Moszanicami, „w tureckiej granicy“, obok licznych podpisów wojskowych różnej rangi, będących pod generalną komendą Józefa Pułaskiego, marszałka związkowego wojsk koronnych, znajdujemy podpis Antoniego Laryssy Zdanowskiego, jako pułkownika milicyi kijowskiej. Przypuszczać więc można, choć z wszelkiem zastrzeżeniem, że on to właśnie był autorem owego pamiętnika. Opisując wynikłe między marszałkami spory (sierpień — wrzesień 1768 r.), wyraźnie pisze autor dyaryusza, że wskutek tych waśni, część wojska odstąpiła pod Nielipowce do Potockiego, zostało zaś przy marszałku związkowym „ośm chorągwi i milicya kijowska pod moją komendą.“ W innych aktach współczesnych tyle tylko znaleźliśmy jeszcze o owym Zdanowskim, że jako konsyliarz konfederacyi (bez innych tytułów), podpisał najpierwszy akt konfederacyi, wystawiony w Barze 29. lutego 1768 r. Również na oryginalnym akcie „związku wojskowego“ i obioru Pułaskiego marszałkiem związkowym w dniu 4. marca 1768 r. takiż sam podpis jego znajdujemy. Mięszać go jednak nie należy z drugim Zdanowskim, który był w oddziale Kazimierza Pułaskiego i w oblężeniu Berdyczowa. W pismach współczesnych zwany jest „komornikiem“. Jako delegat, wraz z innymi prowadził układy o kapitulacyę Berdyczowa, a następnie wraz ze starszyzną (K. Pułaski, dwóch Kamińskich, Ortyński, Zdanowski) jako więzień wojenny do Połonnego poprowadzony, ale o nim w dyaryuszu żadnej niema wzmianki. Może z czasem, przy odkryciu pełniejszych relacyi współczesnych, wątpliwość co do nazwiska autora pamiętnika da się usunąć.

I.

Konfederaci w Żytomierzu. — Upadek Berdyczowa i Baru. — Szefowie barscy w Mohylewie. — Przejście do Wołoszczyzny.

Jak mówiliśmy powyżej, pamiętnikarz nasz stanął do apelu na pierwszy odgłos o gromadzeniu się szlachty w Barze, nie podaje jednak szczegółów o podniesieniu konfederacyi, zaznacza tylko, że z Baru syn jego wyprawiony został do regimentarza partyi ukraińskiej [1]) z wezwaniem, aby łączył się z konfederacyą, co też nastąpiło. „Wojsko ochoczo przyjęło to wezwanie — pisze dalej — i ruszyło z Ukrainy do Pohrebyszcz i tam przed marszałkiem związkowym (Józefem Pułaskim) wykonało uroczystą przysięgę, trwać aż do zakończenia konfederacyi w wiecznem posłuszeństwie...“ Sam zaś autor dyaryusza, za ordynansem Pułaskiego, poszedł do Berdyczowa z uniwersałami do obywateli województwa kijowskiego, następnie odkomenderowany był do Żytomierza w celu wyrugowania ztamtąd komendy nieprzyjacielskiej, przyczem sukursować go miał syn marszałka, Kazimierz Pułaski, w 800 koni, później zaś większe siły zbliżyć się miały ku Berdyczowu pod komendą samego marszałka związkowego.

„Dopełniając ordynansów — czytamy dalej w dyaryuszu — ruszyłem do Żytomierza w trzysta koni. Już o milę będąc od Żytomierza, wyszedł przeciwko mnie komendant russki [2]) o godzinie siódmej z rana w 620 koni, w wigilię Zielonych Świątek pod Leszczyn, ale pomocą boską wsparci będąc, już przednią straż naszą pędzącemu

---

[1]) Regimentarzem był Ignacy Woronicz, stolnik żytomierski, rotmistrz chorągwi pancernej. Gdy Pułaski przybył do Pohrebyszcz, Woronicz stał w Białej Cerkwi i pod datą 23. kwietnia pisał do Pułaskiego o swym akcesie do konfederacyi. Z kancelaryi marszałka wydano w tej sprawie kilka ordynansów, a 24. kwietnia Pułaski pisał do Woronicza, wyrażając podziękowanie za wypełnienie „obowiązków obywatelskich a oraz i wojskowych“. Później jednak regimentarz, innych będąc przekonań, od udziału w konfederacyi usunął się.

[2]) Był to kapitan Plec, który w raportach do Kreczetnikowa donosi, że konfederaci pod komendą pułkowników Komińskiego i Słotwińskiego mają zamiar napaść na niego i zająć Żytomierz, prosi więc o rychłą pomoc. Wskutek tego posłano mu 200 dońców. Kilka dni później (około 12. maja) tenże kapitan Plec z pomocą owych dońców rozbić miał oddział Bogdanowicza (*Dziennik Kreczetnikowa*, Poznań 1874, str. 104—105 i 106), o czem jednak w naszym dyaryuszu nie ma wzmianki.

na *corpus*, odpór daliśmy i cały dzień prawie w utarczce trwając aż do godziny ósmej z południa, zostawiwszy na placu trupa czterdziestu sześciu, z plejzerowanemi większą częścią, rejteradę uczynić musiał ku Cudnowu. My nie mieliśmy straty więcej: szlachty dwóch i kozaków czterech. Weszliśmy w nocy w Żytomierz i rozesłałem do wyższych urzędników i obywateli listy z doniesieniem, że miejsce obrad uwolnione od nieprzyjaciela.

„Że rozległe województwo, tak prędko zebrać się nie mogli, odebrałem rezolucyę od nich, że w dzień św. Trójcy pospieszą, ale jakaś odmiana stała się w upewniających mię listach i ordynansach jw. marszałka związkowego. Syn jego, ip. starosta zezuliniecki (Kazimierz Pułaski), przybył w piątek między oktawą Zielonych Świątek do Leszczyna, o milę od Żytomierza, w nocy w wyżej namienionej kwocie 800 komputowego wojska i milicyi kijowskiej. Przysłał do mnie, abym przybiegł do Leszczyna dla umówienia się, przybyło też i trzech urzędników dla ułożenia projektów do konfederacyi, z którymi wybiegłem do Leszczyna, ale już nie zastałem ip. Pułaskiego z całą komendą. Bo odebrawszy raport od szpiegów, że Moskwa ciągnie ku Berdyczowu, ruszył z całą komendą i tam jakowąś radą chytrą zwiedziony, uszedł w miasto Berdyczów. Na sobotę popołudniu oblokowany został w Berdyczowie, a tam nie mogąc utrzymać potencyi russkiej, wszedł w fortecę berdyczowską z końmi i ludźmi, nie mając na to ordynansu.

„W dzień św. Trójcy zbiegło się kilkunastu urzędników, obywateli i dwóch podkomorzych i przysłali dla gospod, mając w poniedziałek na godzinę zbiedz dziesiątą dla napisania *laudum*. Ale jakiś się znalazł niegodziwego charakteru człowiek, co Moskwę uwiadomił. Wykomenderowano z pod Berdyczowa 1.200 ludzi, to jest husarów sześćset i dońców sześćset. O czem uwiadomiony zostałem na godzinę przed ich przybyciem od patrolów moich i przez gubernatora Prażowskiego. Poczyniłem zasadzki w ulicach przedmieścia; w jednej ulicy wpadłszy szwadrony husarskie a w drugiej dońskie, wzięli odpór mocny i utraciwszy kilkadziesiąt ludzi, rejterować się musieli, potem obskoczyli miasto a przedmieścia dońcy palić zaczęli. Przymusili nas z ognia rejterować się w zamek z końmi, ze wszystkiem, do wieczora trwając w ataku i ogniu dzień cały [1]). Przed wieczorem

[1]) O tej bitwie Kreczetnikow pisze w swym dzienniku: „Odebrano raport od majora Misurowa, że w Żytomierzu napadł na powstańców i w tej utarczce zabił im 50 ludzi, a 35 wziął do niewoli i zabrał im pięć armat czahunowych. Związkowi, uciekłszy do zamku, zniszczyli mosty przez wały. Nie mogąc iść za nimi, Misurow odstąpił od Żyto-

oblegli nas w koło szwadronami, upatrzyłem miejsce sposobne salwowania lubo z azardem tej garści ludzi, o godzinie wpół do jedenastej w nocy wyprowadziliśmy konie ścieżką w fossę, przez rzekę Kamionkę, popod zamkiem idącą, przeprawiłem się, pomiędzy bloki russkie przeszedłem i do pomienionych urzędników, o dwie mile czekających, przeszedłem i tam z nimi naradziwszy się, ruszyłem ku rzece Teterowu na Korestyszów. Wyszedłem aż ku rzece Rosi, pomiędzy zabiegające mi podjazdy russkie. Jak stanąłem w Pohrebyszczach, dowiedziałem się, że sukurs idzie Berdyczowu na odsiecz; chciałem się złączyć z tym sukursem, gdzie przybył p. Jasiński, rotmistrz konfederacyi, w sześćdziesiąt koni nowo zrekrutowanych pocztów; pospieszyłem ku Białotówce, kozacy w marszu odstąpili nas i poszli ku Ukrainie. Zostaliśmy w wielkiem niebezpieczeństwie, suponując, że ci kozacy odwrócą się na nas, przecież w ostrożności spieszyliśmy ku Białotówce z samymi tylko pocztami i szlachty trzydziestu kilku konfederatów. Trafiliśmy tam już na nieszczęśliwy los pomienionej odsieczy, którą wojsko ruskie rozproszyło“ . . .

Wzmianka powyższa odnosi się do klęski poniesionej przez oddział, prowadzony na odsiecz ku Berdyczowu przez Stanisława Ortyńskiego. Kreczetnikow w swoim dzienniku podaje szczegóły pogromu owego oddziału. Sam dowódca Ortyński z wielu innymi wzięci do niewoli, a cały oddział rozproszony. Wskutek tego nasz pamiętnikarz, za szczupłe mając siły, aby stawić czoło kolumnom generałów Kreczetnikowa i Podgoryczaniego, cofać się począł i zaszedł aż do Szarogrodu. Zrazu naciskała go pogoń nieprzyjacielska, ale w Szpiczyńcach husarya i dońcy, doznawszy porażki, zatrzymali się.

Autor pamiętnika w wielu miejscach dobitnie wyraża swą niechęć do Joachima Potockiego i tutaj zwala na niego całą winę owej klęski Ortyńskiego i wynikłej wskutek tego kapitulacyi Berdyczowa. Powiada bowiem, że Józef Pułaski wedle pierwotnego planu sam ciągnął na Berdyczów, na pomoc synowi, ale na usilne wezwania Potockiego, aby się z nim połączył w Podhajcach, zwrócił się z główną siłą w tamte strony. Zanim jednak mógł zbliżyć się, Potocki został rozbity i ustąpił za granicę wołoską. Tymczasem Berdyczów kapitulował, a wkrótce potem nastąpiło oblężenie i zajęcie Baru.

---

mierza, straciwszy pięciu husarów i kilka koni zabranych. Rozkazano mu zatem, aby na nowo podstąpił pod Żytomierz i nie wypuszczając ich ztamtąd, czekał na piechotę, która mu posłaną będzie. (Dziennik, str. 109).

„Oblężeńcy w Berdyczowie — pisze dalej pamiętnikarz — nie mając nadziei sukursu żadnego, głodem ściśnieni, kapitulować musieli, a w tem przyspieszył generał Apraxyn z ip. Branickim do Baru, szturmem weszli w miasto, a ip. Barszczewski w zamku musiał prosić o dyskrecyę, gdy jednych pobito, drugich z koszul poobdzierano [1]).

„I tak nieszczęśliwa tych dwóch warunków klęska resztę wojska z marszałkiem związkowym przyprowadziła do rejterady nad granicę turecką do Mohylewa, gdzie marszałek konfederacyi barskiej (Michał Krasiński) z częścią konfederacyi znajdował się. Rada w Mohylewie konfederacyi po stracie tak znacznych dwóch partyi. Pościągały się komendy wszystkie do Mohylewa, do marszałków: generalnego i związkowego. (Michał Krasiński i Józef Pułaski).

„Przybiegli w tem z raportami, iż komenda z pod Berdyczowa zabranych konfederatów dyzarmowała, jednych popuszczali do domów obnażonych, drugich prowadzą pod Bar i że jak prędko się złączy generał Kreczetnikow z Apraxinem i Branickim, tak ścigać będą konfederacyę, nie uważając granicy tureckiej. Drugi raport od Ukrainy, że w Humaniu i w Smilańszczyźnie i w całej Ukrainie wyrżnięto szlachtę, żydów i wszelkiej kondycyi katolickiej wiary i że też chłopstwo ciągnie ku Mohylewu.

„Wyprawiono zaraz do Chocimia do paszy od konfederacyi posłów, dopraszając się o *asilum* ipp. Arczyńskiego, Dębowskiego i Grocholskiego [2]), którym (Turcy) z wielką trudnością pozwolili przeprawić się w granice swoje. Dopraszali się ciż posłowie paszy o ferman dla posła do Stambułu, ale odmówił, oświadczywszy, że jakiekolwiek ekspedycye nieść będziecie, przez ręce moje ordynujcie. I tak marszałek i podczaszy (Krasiński i Potocki) przeprawili się

---

[1]) Szczegóły zdobycia Baru w listach Ksawerego Branickiego do króla, wydanych przez Gumplowicza (Kraków 1872).

[2]) Nazwisko pierwszego z tych posłów mylnie zapisane. Był to Gabryel Porczyński, łowczy bracławski, pisarz grodzki winnicki, konsyliarz konfederacyi, który często wysyłany bywał w poselstwie do hana tatarskiego i baszów tureckich. W październiku posłował do Krym Gireja, przywróconego wówczas na hańswo, zachęcając do wyprawy na Rossyę. — Antoni Dębowski, drugi poseł, jako konsyliarz konfederacyi podpisał najpierwszy akt związku w Barze 29. lutego 1768 r. Był cześnikiem podolskim i porucznikiem znaku pancernego. — Aleksander Grocholski, miecznik kijowski, pułkownik pułku ordynacyi ostrogskiej, konsyliarz konfederacyi, podpisał manifest, wydany 4. lipca 1768 r. przez szefów barskich po upadku Baru. Pisał się także regimentarzem wojska komputowego i konfederackiego.

w Mohylewie. Marszałek związkowy (Pułaski) ruszył z wojskiem ku Jarudze i tam chorągwie z komendantami i po dwóch pocztów do każdej chorągwi pod komendą ip. Orajskiego (Wierzajskiego) [1]) przeprawiło się, z korpusem zaś całym ruszył do Soroki. Regimenty, które były przy konfederacyi, nie chciały się przeprawiać za Dniestr. Marszałek związkowy, widząc podjazdy russkie a nie dowierzając komendantom regimentowym, przeprawił się za granicę i posłał ordynans ip. Mrozowickiemu, staroście stęgwilskiemu [2]), do Raszkowa, aby pod komendą jego tam stojąca partya komputowego wojska przeprawiła się w granice wołoskie. Ale i ztamtąd odebrał niepomyślną wiadomość, bo ip. Giżycki, kasztelanic zakroczymski, przysięgły konfederacyi pułkownik [3]), wzięty w Barze w niewolę, recessował się i wziął na siebie tę obligacyę od ip. Branickiego, ażeby odwieść wojsko od komendy marszałka związkowego. I zastawszy jeszcze nad brzegiem w granicach polskich wojska komputowego kilkaset, nakłonił ich łatwo, że się wrócili do komendy ip. Branickiego, zabrawszy z sobą aresztantów russkich: pułkownika Wołkowa i dwóch z nim oficerów. Tenże ip. Giżycki ponad brzegiem tentując wojska więcej, trafił na Orłowskiego [4]), porucznika chorągwi pancernej ip. starosty Ochockiego, który go wziął w areszt i przyprowadził do konfederacyi za granicę."

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Pułaski.

---

[1]) Józef Wierzajski powołany później (22. listopada 1768) wraz z Ignacym Baranowskim podczas koła wojskowego w Babszynie nad Dniestrem na sędziów i pisarzy wojskowych.

[2]) Dwóch Mrozowickich było wśród konfederatów na Wołoszczyźnie: Adam Mrozowicki, starosta stęgwilski, rotmistrz chorągwi pancernej, był w Barze i podpisał pierwszy akt konfederacyi (29. lutego), później regimentarz części wojska związkowego, zasiadał w starszyźnie; i syn jego, Mikołaj Mrozowicki, porucznik chorągwi pancernej.

[3]) Był to Kajetan Giżycki, chorąży kijowski, syn Bartłomieja, kasztelana zakroczymskiego, w konfederacyi był pułkownikiem. Brat jego, Tadeusz, był również w konfederacyi.

[4]) Józef Wawrzyniec Kostka Orłowski, porucznik znaku pancernego, najprzód w Barze konsyliarz konfederacyi, następnie regimentarz pewnej części wojska, umarł na Wołoszczyźnie w marcu 1769 r.

GALICIANA.

(1778—1812).

(Ciąg dalszy).

Część trzecia.

I.

W roku 1787 ukazała się w Wiedniu i w Lipsku, u G. Wucherera i E. Beera, książka, która pod pewnymi względami tworzy ciąg dalszy i uzupełnienie znanych *Listów* Krattera. Tytuł tej publikacyi, wydanej bezimiennie, opiewał, jak następuje: *Dreyssig Briefe über Galizien oder Beobachtungen eines unpartheyischen Mannes, der sich mehr, als nur ein paar Monate in diesem Königreiche umgesehen hat.* Autorem tego ciekawego dziełka był Alfons Henryk Traunpaur, chevalier d'Ophanie, kapitan armii cesarskiej. Traunpaur, Belgijczyk z rodu, (światło dzienne ujrzał w Brukseli w roku 1734), lubo żołnierz zawodowy, poświęcał się pilnie piśmiennictwu. Pisał w języku niemieckim i w francuskim, posługując się niekiedy pseudonimem: Paturneau. Dzieła jego są dziś prawdziwą rzadkością bibliograficzną, a szereg ich rozpoczyna przekład komedyi Palaprata: *Le Grondeur,* wydany w Preszburgu w roku 1768. Wygotował też Traunpaur dzieło, p. t. *Dictionaire militaire, historique, etymologique, chronologique et critique*, lecz cenzura skreśliła w niem rozdziały o dyscyplinie i subordynacyi wojskowej, czem zrażony autor zniszczył wykończony już zupełnie rękopis. Wyjątki z tej pracy drukowała *Wiener Realzeitung* w latach 1773—1774. Zbiorowe wydanie pism francuzkich Traunpaura ukazało się w trzytomowej edycyi w roku 1784, w Wiedniu, p. t. *Délassement d'un vétéran des armées autrichiennes*, zaś jedną z ostatnich, znanych prac tego autora, jest: *Epître en vers au prince Ypsilanti hospodar de la Valachie. (Vienne 1788).* Miejsce i rok jego zgonu nie są nam niestety wiadome.

W Galicyi przebywał Traunpaur — jak to sam wyznaje w pierwszym ustępie swych *Listów* — przez lat ośm z rzędu, a jakkolwiek Lwowa wcale nie znał, to przecież w ówczesnym ruchu towarzyskim tego kraju żywszy brać musiał udział, gdyż wspomnienia swe kreśli w sposób zdradzający naoczną obserwacyę, nie zaś powtarzanie rzeczy zasłyszanych z ust drugich lub trzecich. Bywalec i światowiec w całem tego słowa znaczeniu, dalekim jest nasz kapitan od wydawania bezwzględnych sądów, potępiających w czambuł całe społeczeństwo za wybryki poszczególnych osobistości. Znać w nim człowieka, który zbyt wiele w życiu swem widział i doświadczył, by nie umiał wielu rzeczy wytłómaczyć lub z pobłażaniem przyjąć do wiadomości. Książka Traunpaura składa się — jak tytuł wskazuje — z trzydziestu listów, oraz z dodatku innego pióra, zawierającego luźne wiadomostki o Galicyi.

W liście pierwszym, tworzącym, wedle autora, zarazem rodzaj przedmowy do całości książki, wspomina Traunpaur przedewszystkiem o dziele Krattera, którego dopowiedzeniem ma być obecna praca, oparta na ośmioletniej obserwacyi miejscowych stosunków. Przesądy, uprzedzenia, błędy, nadużycia, głupota, są wspólną własnością wszystkich wieków i krajów. Dlatego też jest rzeczą niestosowną odmawianie wszystkiego krajowi, posiadającemu wszelkie warunki pomyślnego rozwoju, jedynie dlatego, że nie postąpił tak dalece pod względem cywilizacyjnym, jak sąsiednie prowincye. Jest również rzeczą oddawna stwierdzoną — słowa autora — że we wszystkich stronach ziemskiego globu znajdują się ludzie energiczni, patryoci oświeceni, dzielni i uczciwi słudzy państwa. Prawda, że zamieszkują oni częściej poddasza, aniżeli pierwszopiętrowe apartamenty, oraz że ostatecznie wszystko zależy na tem, by tych wyjątkowych śmiertelników wynaleźć, ocenić i zatrzymać. Niektóre z tych rzadkich istot, nie będące Ganganelimi, Kaunitzami, Herzbergami lub Wielandami, mogą jako zwykli członkowie społeczeństwa oddawać bliźnim nadzwyczaj ważne usługi. Podobnie rzecz się ma z autorami. Nie wszystko, co się pisze i drukuje nad Dunajem, Sekwaną albo nad Tamizą, jest w równym stopniu gruntownem, pożytecznem i praktycznem. A jednak każdy czytelnik, czy czytelniczka, bez względu na ojczyznę, wyznanie, formę rządu, krój i barwę sukni, zawoła nieochybnie: Nie chcemy niszczyć całej sukni z powodu kilku nieznacznych plam.

W tej nadziei — mówi Traunpaur — poważam się poświęcić niemieckiej publiczności zebrane w ciągu lat ośmiu uwagi i spostrzeżenia, tworzące dodatek do wyżej wspomnianych *Listów*, z tem uro-

czystem zapewnieniem, że ani nienawiść, ani stronniczość i osobiste względy, ani też jakiekolwiek niskie pobudki nie spowodowały mię do tego wystąpienia, gdyż znam tylko dwie narodowości: złych i dobrych. W końcu uważam za stosowne nadmienić, że pierwotnie zamierzałem zebrane na tem miejscu wiadomości wydać jako tom trzeci *Listów o obecnym stanie Galicyi*. Lękałem się jednak, by autor tychże nie chciał przypuszczać, iż pod jego skrzydły szukam bezpiecznego schronienia, lub też chcę pewne przycinki, tu i owdzie rozsiane, na jego, niewolne od brzemienia, zwalić barki. Gdy nadto czytelnicy łatwo mogliby popaść w błąd co do rozmaitych w gruncie rzeczy punktów widzenia, a nikt też w istocie nie ma prawa używania tytułu, przez kogo innego pomyślanego, albo też udawania, jakoby porozumiał się z autorem co do dalszego ciągu jego pracy, przeto wszystkie te powody skłoniły mię do nadania mym uwagom tytułu, z którym obecnie występuję wobec publiczności. Przy tej sposobności pozwolę sobie zauważyć, że niektóre błędy, jakie wkradły się do mej pracy, poprawiłem i z tego powodu może zasłużyłem na podziękowanie.

List drugi poświęcił Traunpaur uwagom ogólnym o polskiej narodowości, przyczem zauważył, że autor *Listów galicyjskich* był zbyt gruntownym! Oskarżenia jego, miotane przeciw arystokracyi galicyjskiej, są w istocie zbyt gwałtowne i przesadzone. Podobnie, jak jedna jaskółka nie wywoła wiosny, tak też z dwóch lub trzech szlacheckich nicponiów niepodobna wnioskować o całem społeczeństwie. Ci z Galicyan i z Polaków, którzy szczęśliwym zbiegiem okoliczności przez podróże lub staranne wykształcenie odebrali poprawne wychowanie, przewyższają inne narodowości europejskie. Objaw ten daje się szczególniej spostrzegać u płci pięknej. Wprawdzie nie wielu znajdzie się takich, ponieważ większości zależało na utrzymaniu arystokracyi krajowej w nieoświeceniu, by ją tem łacniej oszukiwać można. O tem wypadłoby spisywać nie listy, lecz całe tomy. Zresztą, mimo wszelakich przeszkód, Polska od najdawniejszych czasów wydała cały szereg mężów, szlachetnie myślących i dzielnych w rozmaitych stanach oraz zawodach. Mogą mówić, co chcą, ale w całej historyi polskiej nie znajdziesz i śladu owych okropności, jakie splamiły przeszłość Francyi, Anglii, Hiszpanii a nawet Rzymu, który chciałby uchodzić za święty!... W tem miejscu przytacza nasz autor znaną charakterystykę Sarmatów, zawartą w dziełach Tacyta, w myśl której szczep ten niezdolnym jest do znoszenia niewolniczego jarzma, ani też nieograniczonej wolności, lubującym się w bezczynności a nienawidzącym spokoju.

Tyle Tacyt! — czytamy w końcowym ustępie drugiego listu. — Naród ten jest wielce przywiązany do swej mowy. Jednem z pierwszych pytań Polaka jest, czy władasz jego językiem? Język polski jest mieszaniną dawnej mowy słowiańskiej i — niemieckiej (!!!). Dlatego też w języku polskim spotyka się znaczną ilość obcych, szczególniej francuzkich wyrazów, najczęściej przeinaczonych, jak na przykład: trybuszon zamiast *tirebouchon*, farmazon miasto *francmaçon*. Polacy utrzymują, że język ich jest wielce zwięzłym, treściwym i ładnie brzmiącym. Niektórzy twierdzą nawet, że żyjący jeszcze w Warszawie były jezuita a obecny biskup *in partibus infidelium*, Naruszewicz, przełożył tak pięknie Tacyta, iż język przekładu przewyższa znacznie oryginał. Jest to szowinistyczna przechwałka, nic więcej.

Po tym wstępie przechodzi nasz autor do opisu stosunków współczesnych w Galicyi. W liście trzecim mówi o urzędach obwodowych. — Zaraz po rewindykacyi Galicyi i Lodomeryi — pisze Traunpaur — ustanowiono dystrykty, pozostające pod dozorem dyrektorów. Rozruchy wszakże, panujące od dawna w Polsce, zjednały tej prowincyi tak fatalną reputacyę, iż bardzo niewielu ludzi uczciwych z innych krajów monarchii zechciało przyjąć tam służbę, mimo warunków najbardziej korzystnych. Tak więc dwór w pierwszej chwili wysłać musiał do Galicyi ludzi, których charakter moralny nienajlepsze pojęcie o Austryakach wzbudzić mógł wśród nowych poddanych. I stało się, iż od czasu objęcia rządów przez pierwszego gubernatora, hr. Pergena, aż do czasów feldmarszałka, hr. Hadika i hr. Auersperga, żaden z tych naczelników rządu nie był zadowolony z kierowników dystryktowych i każdy musiał słuchać skarg mieszkańców przeciwko tymże wnoszonym. Egoizm, chciwość, niesumienność i najwstrętniejsze wybryki pychy musiały zarówno wśród szlachty, jak też między ludem, wywołać najgorsze wrażenie. Dyrektor Ferdinandi we Lwowie, który we Wiedniu był lokajem, zapomniał się do tego stopnia, iż jednego z poważnych ziemian uderzył w twarz szpicrutą. Obrażony szlachcic kazał go pochwycić służbie, związać i wsadzić do chlewu, zkąd następnego dnia odstawił pana dyrektora do Lwowa. Dyrektor, hrabia Hendel, w Lisku wydał za pięćdziesiąt dukatów zbiegłą od rodziców, młodą żydóweczkę, która chciała przyjąć chrzest. Dyrektor Piller w Samborze okradłszy kasę, podpalił cały budynek, nie zastanowiwszy się nad tem, że moneta i po pożarze powinna się była znaleźć, choćby stopiona. Wszystkich trzech urzędników wypędzono natychmiast ze służby i mogli byli mówić o szczęściu, że wówczas jeszcze nie było

zwyczaju używania przestępców do zamiatania ulic. W miarę, jak postępowało uporządkowanie tych krajów i zrównanie ich pod względem urządzeń wewnętrznych z innemi prowincyami monarchii, nie brakło też na różnych stanowiskach dzielnych i szlachetnie myślących ludzi, którzy gorliwie starali się smutną pamięć poprzedników zatrzeć swem postępowaniem. Przy urzędzie gubernialnym, przy wysokich dykasteryach, oraz przy ośmnastu urzędach obwodowych znaleźć teraz można prawdziwych kawalerów i ludzi zasłużonych, umiejących pozyskać ogólną miłość, wdzięczność i szacunek narodu. Między wielu innymi wyróżniają się radcy gubernialni i naczelnicy obwodów: Hr. Trautmannsdorf w Tarnowie, baron Riedheim w Rzeszowie, d'Ellevaux w Dukli i Kollmannshueber w Zamościu. Policya, bieg spraw i inne urządzenia w owych obwodach są bezwątpienia najlepsze i najbardziej zasługujące na pochwały w całym kraju. Inni znów z owych zwierzchników zawiele robią hałasu, albo też ośmieszają się zbytnią gorliwością w drobnostkach. W ten sposób stał się śmiesznym M. (Mühlbacher), naczelnik obwodu w L.... (we Lwowie), który podczas ostatniej bytności cesarza, w sierpniu 1786 roku, wpadł na niewczesny koncept przypięcia papierowych orłów do czapek i ramion chłopów, towarzyszących monarsze...

W tem miejscu należy kilku słowy uzupełnić opowieść Traunpaura, mianowicie co do podziału kraju na dystrykty i obwody. I tak zaraz po rewindykacyi w roku 1772 nastąpił podział kraju na sześć obwodów, stosownie do zajętych w całości lub w części województw. Były więc obwody: krakowski, sandomierski, lubelski, czerwonoruski, bełzki i podolski, które rozpadały się znów na 59 dystryktów. Jednakowoż już w dwa lata później organizacya ta uległa zmianie, gdyż liczbę dystryktów ograniczono do dziewiętnastu, a równocześnie ujednostajniono obszary obwodów z siedzibami w Bełzcu, Haliczu, Lwowie, Pilznie, Samborze i Wieliczce. Ten podział kraju istniał aż do marca 1782 roku, w którym to czasie wprowadzono w miejsce sześciu obwodów i dziewiętnastu dystryktów, podział Galicyi na ośmnaście cyrkułów. Siedzibami urzędów cyrkularnych były miasta: Myślenice, Bochnia, Nowy Sącz, Tarnów, Rzeszów, Dukla, Przemyśl, Sambor, Lisko, Tomaszów, Zamość, Bełz, Lwów, Złoczów, Brody, Maryampol, Zaleszczyki i Stanisławów. Na trzy cyrkuły przypadała jedna, wspólna kasa podatkowa. Kasy te znajdowały się w Bochni, w Rzeszowie, w Samborze, w Tomaszowie, we Lwowie i w Stanisławowie. W listopadzie 1783 roku nastąpiła czwarta z rzędu regulacya cyrkułów. Siedzibę cyrkułu Tomaszowskiego przeniesiono wówczas do Żółkwi, Maryampolskiego do Doliny.

Po tem wyjaśnieniu przejść wypadnie do czwartego z kolei listu, omawiającego kwestyę t. z. komisarzy cyrkularnych. Było ich w każdym urzędzie czterech. Najstarszy pobierał rocznej płacy sześćset złotych reńskich, trzej młodsi po pięćset złotych. Wybierano na te posady w pierwszym rzędzie młodych krajowców (?), obeznanych dostatecznie z językiem niemieckim, albo też takich, którzy służyli przy galicyjskiej gwardyi szlacheckiej. Urzędnicy ci starają się z gorliwością i z pilnością spełniać rozkazy swego nowego władcy, a zazazem dopomóc swym ziomkom do oświecenia, od którego tak jeszcze byli dalekimi. W niektórych obwodach noszą nietylko komisarze, ale i wszyscy urzędnicy cyrkularni, skończywszy na najpodrzędniejszym pisarku, długie ostrogi, zapewne dla okazania swej rączości w urzędowaniu. Ostrogi te wszakże wydają się dziwactwem tak swoim, jak obcym, gdyż zaledwo co dwudziesty z noszących takowe zdoła dosiąść konia, jeżeli go w ogólności posiada. Pomału wchodzi w zwyczaj po wszystkich obwodach używanie munduru, który przyczynia się do podniesienia powagi urzędowej. W gronie komisarzy cyrkularnych znajdują się obecnie kawalerowie z najświetniejszych rodzin w całem państwie. Usiłowania ich odnoszą jak najlepsze skutki, a kraj nie może się dość odchwalić ich bezinteresowności.

I ten list króciuchny wymaga komentarza, a mianowicie co do tak zwanej szlacheckiej gwardyi galicyjskiej, istniejącej na dworze cesarskim w latach 1782—1791 pod naczelną komendą księcia jenerała ziem podolskich. Składało ten korpus sześćdziesięciu gwardzistów, wybranych z grona najpierwszych rodzin szlacheckich w Galicyi, pełniących służbę na przemiany z gwardyami: niemiecką oraz węgierską. Po rozwiązaniu tego oddziału połowę gwardzistów zatrzymano pod bronią i wcielono do gwardyi niemieckiej, zaś zaoszczędzony w ten sposób fundusz przeznaczono na utrzymanie młodzieży szlacheckiej w akademii wojskowej w Neustadt.

Niemniej lakonicznym musiał być z natury rzeczy list piąty, traktujący o wojskowości w Galicyi, gdyż autor, jako oficer armii cesarskiej, nie śmiał wystąpić z jakąkolwiek krytyką swych przełożonych. Poprzestaje przeto Traunpaur na wyliczeniu jeneralicyi oraz pułków, stacyonowanych w tym kraju. — Feldmarszałek-porucznik, br. Wilhelm Schröder, komendant pułku Neipperga podczas wojny siedmioletniej — czytamy w liście piątym — jest od lat ośmiu najzupełniej zasłużenie głównodowodzącym wojsk, rozłożonych w Galicyi i na Bukowinie. Pozostają pod jego rozkazami: pierwszy i drugi pułki garnizonowe, które, jako złożone z starego żołnierza, liczą się w armii zaraz po tak zwanych pułkach domowych, trzy pułki szwo-

leżerów, (Modena, Lobkowitz i Lewenehr), cztery pułki huzarskie, (Cesarski, Barco, Erdödy i Wurmser), cztery bataliony węgierskiej piechoty, (Arcyksiążę Ferdynand, Esterhazy, D'Alton, de Vins), kompania artylleryi i komendy werbunkowe 36 pułków niemieckich, pociągających rekruta z Galicyi. Te ostatnie liczą 72 oficerów, 36 furyerów, 144 kaprali i 900 szeregowców, czyli ogółem 1.152 ludzi. Jeneralicya, pełniąca służbę przy poszczególnych oddziałach, składa się z feldmarszałków-poruczników, br. Spleny, oraz z baronów: Drechsla i Sauera, dalej z jenerałów-majorów oraz brygadyerów: hr. Arnoncourt, Arco, Orlik, Latour, z baronów: Entzenberga i Metzgera, wypróbowanych i niestrudzonych patryotów. Tak więc ogół siły zbrojnej w Galicyi, rozłożonej w rozmaitych miejscowościach, wynosi około 12.000 ludzi, od której to cyfry odjąć wypada cztery bataliony węgierskie, powracające w najbliższej przyszłości do swych pułków w ojczyźnie.

Oryginalny tytuł nosi list szósty. Opiewa takowy: *Von polnischen Uniformsträgern*, i zaraz też z początku tłómaczy się autor, iż inaczej nie mógł nazwać licznego grona jenerałów, adjutantów skrzydłowych, pułkowników oraz oficerów rozmaitych stopni, którzy nigdy nie oglądali obozu, ani też, oprócz wierzycieli, nie spotkali się z żadnym nieprzyjacielem. Tu opowiada Traunpaur o milicyach nadwornych, utrzymywanych przez poszczególnych magnatów w Rzeczypospolitej. Oficerowie takich milicyi podawali swym pryncypałom podczas wielkich festynów miedniczkę do umycia rąk i ręcznik. — Oto jest sławiona, polska wolność! — słowa listu. — Opowiadają, iż po śmierci ostatniego króla Augusta, pewien woźnica, pozostający w służbie w Wiedniu, zażądał natychmiast uwolnienia od obowiązków, gdyż, jak twierdził, pilno mu było udać się do Warszawy, celem wzięcia udziału w nowej elekcyi [1]). Co się tyczy armii koronnej, to takowa tworzy korpus regularny, figurujący na papierze w sile 30.000 ludzi. W rzeczywistości jednak nie liczy ona więcej nad 20.000 żołnierza. Zresztą każde województwo posiada osobny, stały uniform. Tak więc wielu uchodzi za bohaterów, którzy zaledwo znają pojęcia tego znaczenie. Nabywanie honorowych tytułów za pieniądze jest w Polsce rzeczą zupełnie zwykłą. Wszystko jest na sprzedaż, nawet wstęgi orderowe, które przed zajęciem Lwowa przez Austryaków sprzedawał kupiec tamtejszy, Preschel, po czterdzieści a choćby i po trzydzieści dukatów. Ztąd ta trudna do poję-

---

[1]) Na tem tle osnuł Władysław Łoziński swą zajmującą opowieść, p. t. Zakuta.

cia ilość jenerałów, adjutantów, pułkowników, kapitanów — (porucznikiem nikt być nie chce) — kawalerów orderu świętego Stanisława, podczaszych, cześników, stolników i podstolich. Tytuły owe przechodzą nietylko na żony, ale i na najdrobniejszą dziatwę, a Boże zachowaj opuścić który z tytułów w rozmowie lub w liście. Dopuszczającego się takiego błędu okrzyczanoby w całym kraju za gbura, nieuka, źle wychowanego, bez manier, jednem słowem: za Niemca! Przeważna bowiem część Polaków żyje w tem szczęśliwem mniemaniu, że oni tylko oraz ich najserdeczniejsi przyjaciele, Francuzi, są ludźmi dobrze wychowanymi. By ten przesąd wykorzenić, trzeba Polakom wiele podróżować i obcować z cudzoziemcami. Sami to przyznają niektórzy z nich, zwłaszcza po wychyleniu jakiego tuzina toastów. Mimo to każdy uczciwy Niemiec wspomina z uznaniem Sobieskiego, wybawcę Wiednia i całego rzymskiego imperyum, podobnie jak mieszkańcy Lotaryngii Leszczyńskiego, najbardziej dobroczynnego i pożałowania godnego z filozofów, lub jak cudzoziemcy wyrażają się o Stanisławie Auguście, który zasłużył tyle posągów, ile serc liczy jego ojczyzna a jednak...

Nie domawia ostatnich słów nasz autor, by w następnym, siódmym liście scharakteryzować pokrótce stan sztuk i umiejętności w Galicyi. Jak to już w *Listach galicyjskich* zaznaczono — słowa Traunpaura — uniwersytet lwowski spoczywa jeszcze w kolebce. Ojcowie *scholarum piarum* nic nie znaczą. Być może, w Warszawie celują oni nauką i kształcą wzorowo młodzież. Natomiast w Galicyi nie zadają sobie wcale trudu i słusznie powiadają o nich:

Perdocti Patres Piarum
Multa dicunt, docent parum.

O byłych jezuitach, jacy się jeszcze w kraju znajdują, o bernardynach, dominikanach, misyonarzach, lepiej zamilczeć... Wśród arystokracyi płci obojga spotkać wszakże można osoby prawdziwie wykształcone. Do takich zaliczają się: owdowiała księżna Lubomirska, z domu Czartoryska, która, wedle niepodejrzanego świadectwa Marmontela, lepiej włada językiem francuzkim i więcej posiada wiadomości, aniżeli dwie trzecie części akademii paryskiej [1]), Zamoyski, autor kodeksu [2]), hrabina z Trębińskich Szeptycka, kasztelanowa przemyska, uchodząca za galicyjską Sevigne, hrabia Józef Mier,

[1]) Izabela księżna Lubomirska, marszałkowa wielka koronna, starsza siostra księcia-jenerała ziem podolskich.

[2]) Andrzej Zamoyski.

kasztelan buski, założyciel wielu zakładów fabrycznych w swych dobrach, hrabina z Małachowskich Grabińska, która pod względem oczytania i znajomości żyjących języków niewiele jej równych znajdzie w monarchii austryackiej, starosta Dominik Potocki, słynący z dobrego smaku, z prawości charakteru i z wiedzy, wreszcie hrabina z Potockich Małachowska, przedstawiającą istny wzór wykwintnego wychowania. W Rzeczypospolitej panujący władca słynie jako miłośnik sztuk i umiejętności. Co czwartku urządzał on u siebie tak zwane uczone obiady, na które otrzymywali zaproszenia jedynie artyści i literaci. Kilku bogaczów starało się wcisnąć do tego grona i dlatego owe zebrania ustały. Sławny Kopernik, twórca astronomicznego systemu, był Polakiem. Historya oraz listy uczonego Załuskiego są dostatecznie znane badaczom literatury. Następujący trzej uczeni znani są i cenieni zarówno dla pism oryginalnych, jak dla przekładów, a mianowicie: Krasicki, biskup warmiński pod zaborem pruskim, ulubiony korespondent północnego Salomona, autor dowcipnych satyr, którego *Monachomachia* przewyższa o wiele podobny utwór Boileau. Wspomniany już poprzednio biskup Naruszewicz, exjezuita, świetny zarówno w prozie, jak w wiązanej mowie, zwany polskim Owidyuszem, wzorowy tłómacz Tacyta. Ci obaj żyją, podobnie jak bawiąca w Krakowie starościanka, Karolina Czermińska, poświęcająca młode lata oświeceniu swych rówieśnic przez tłómaczenie wybornych pism moralnych z literatury francuzkiej. Próby swego pióra ofiarowuje ona matce, która może być dumną z takiej córki. Przy tej sposobności zasługuje też na wymienienie proboszcz w Brzostku, w cyrkule Tarnowskim, nazwiskiem Ruzbaki, Węgier rodem. Szlachetny ten filantrop z własnej inicyatywy i bez żadnego poparcia założył szkołę ludową i tkacką, w której sprowadzeni przez niego nauczyciele pouczają dziatwę wiejską. Nazwiska tych rzadkich kapłanów zasługują na uwiecznienie w kronikach wdzięcznego narodu, jakim są w przeważnej części Polacy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Henri Rochefort: *Les aventures de ma vie.* — Paul Dupont. Paris 1895 i 1896. Tom I., II., III.

W powodzi nowszej literatury pamiętnikowej mało jest książek równie zajmujących, z równą brawurą, ciętością, umiejętnością zaciekawienia czytelnika, z równą bezwzględnością dla innych i dla samego autora napisanych. — Rochefort, ten korsarz publicystyczny, oryginalną i wybitną odegrał rolę w wypadkach ostatnich trzydziestu lat historyi francuskiej; można nawet powiedzieć, że do dzisiaj ją odgrywa, chociaż wpływ jego jest dziś nieskończenie mniejszy, niż bywał dawniej. Przymioty zaś, które cechowały działalność publiczną głośnego pamflecisty francuskiego, występują z nieporównanym wdziękiem pióra także w jego wspomnieniach z życia, które, jak słusznie powiada tytuł wspomnień, było jednem pasmem awanturniczych zajść i wypadków. Potomek starej szlachty, hołdował Rochefort zawsze najświeższym hasłom przewrotu; hrabia z rodu był zawsze skrajnym demagogiem; podobnie jak inni sztyletem lub dynamitem, on piórem swem druzgocze podstawy wszelkiego ustroju państwowego i społecznego, a mimo to twierdzi sam o sobie, że najmilszem dla niego zajęciem byłoby bawić dzieci; niezrównany agitator i groźny jako przeciwnik, na widok krwi wpada w omdlenie, dając sobą rządzić nerwom rozstrojonym, jak nerwy histeryczki. Jednem słowem był zawsze i jest uosobieniem kontrastów najdziwniejszych i najniemożliwszych; był niem w życiu, w polityce, w całej działalności swej publicznej i prywatnej — a jest także w swych wspomnieniach. Są one najlepszym pomnikiem tego typowego awanturnika politycznego najnowszych czasów.

Chociaż nigdy nie używał należącego się mu tytułu wicehrabiego de Rochefort-Luçay, z pewnem zadowoleniem rozwodzi się na pierwszych kartach swego pamiętnika o świetności swego rodu i rozległych dobrach, które przodkowie jego posiadali; nie zaniedbuje jednak z całą namię-

tnością uderzać przy tej sposobności na dawny francuski dom królewski, okazując w ten sposób, że nawet i względem przeszłości umie być tylko — pamflecistą. Obszernie mówi też o swej młodości (urodził się w r. 1832 w Paryżu) i o swych studyach w kolegium św. Ludwika, które nie pozostawiło w nim miłych wspomnień, zapewnia bowiem, że pobyt tam był dlań przykrzejszy, aniżeli później pobyt w licznych więzieniach. Tam jednak zdobył sobie pierwsze ostrogi literackie, a wymowna ironia tkwi w tem, że pierwszy jego utwór był poematem, napisanym w stancach na cześć... zaślubin księcia Montpensier z siostrą królowej Izabelli. To mu nie przeszkodziło jednak, że już podczas rewolucyi lipcowej brał wraz ze swymi kolegami udział w manifestacyach antiorleanistycznych. Po śmierci ojca znalazł się wraz z rodziną w ubóstwie; zmusiło go to poświęcić się twardej pracy. Naprzód trudni się udzielaniem lekcyj, następnie otrzymuje skromną posadę w komunalnym zarządzie miasta Paryża. Należał też do tych, którzy uważali za swój obowiązek nic nie robić, niczem w biurze się nie zajmować. Wytknął mu to pewnego razu znudzony jego lenistwem przełożony, podnosząc, że takie lenistwo jest podwójnie rażące w obec jego zdolności.

„Moich zdolności!?" — zawołał młody urzędnik. „Ja mam być zdolny!? To oszczerstwo! O tem mówił panu ktoś, kto mnie chciał zaszkodzić." — Rozpoczął się spór między przełożonym a podwładnym, który koniecznie chciał uchodzić za tępą głowę, podczas gdy upatrywano w nim przyszłego geniusza. Rochefort zakończył wreszcie: „Gdybym miał zdolności, nie siedziałbym tutaj." Argument ten tak przygnębił szefa, że zamilkł. — Nie długo też Rochefort popasał w magistracie Paryża. Już tam w godzinach zajęć biurowych z pod pióra jego powstawały powieści, oraz artykuły literackie i polityczne, które sposobem pisania zwracały na siebie ogólną uwagę. Usunięty ze służby, jest też Rochefort kolejno redaktorem kilku pism, jak *Charivari*, *Nain jaune*, *Soleil*, a w końcu *Figara* Villemessant'a. Pióro jego, jako dziennikarza, od razu przybiera zabójczy dla Napoleona III. charakter. Jeszcze teraz przytacza Rochefort z nieukrywaną radością liczne złośliwości, które raz po raz pod rozmaitymi pozorami i przy najrozmaitszych sposobnościach, jak zatrute strzały, ciskał przeciw Napoleonowi. Ściągały one na niego kary pieniężne i kary więzienia, napaści i pojedynki, jak pojedynek z księciem Achillesem Muratem, który go lekko zranił. Zniechęcony też wreszcie trudnościami, jakie czynili mu wydawcy pism z powodu tonu jego artykułów, oraz wyrzucony z redakcyi *Figara* na żądanie ministerstwa, zakłada Rochefort własny tygodnik pod nazwą: *La Lanterne*, w którym z opozycyonisty przeobraża się odrazu w przedstawiciela przewrotu. Dzisiaj trudno nam sobie już wyobrazić, w jak wysokim stopniu

niewielkie zeszyty tego tygodnika, oprawne w papier krzyczącego koloru czerwonego, wprawiały cały Paryż, całą Francyę w rozdrażnienie, poruszając namiętności wszystkich warstw narodu od jego szczytu aż do mętów społecznych. Dzień pojawienia się *Latarni* bywał dniem ogólnej gorączki: jedno i to samo pytanie zdawało się przelatywać od ust do ust: „Co Rochefort pisze dzisiaj o cesarzu Napoleonie?" — jeden i ten sam uśmiech złośliwego zadowolenia ukazywał się na wszystkich ustach, gdy w zeszyciku, który w tysiącach egzemplarzy, przemycanych w koszach, wózkach i t. d. z rue Coq-Héron, rozchodził się w mgnieniu oka po całem mieście, czytano zabójczą ironię: „O cesarzu Napoleonie niedobre krążą wieści; był chory a teraz jest mu jeszcze gorzej . . ."

Z uczuciem niewysłowionej dumy i zadowolenia opowiada Rochefort o niesłychanem powodzeniu swego pisma, powodzeniu, na które on sam nigdy nie liczył, którego nigdy się nie spodziewał. Początkowo chciał swą *Lanterne* drukować w 4.000 egzemplarzy, a każdy egzemplarz sprzedawać po 10 centimów. Za radą drukarza, Girardin'a, zdecydował się podnieść cenę na 40 centimów, t. j. około 20 centów — przyczem przedsiębiorca odważył się rozpocząć nakład od 15.000 egzemplarzy. Rochefort był przekonany, że ta odwaga źle się opłaci. Cóż za zdziwienie jego, gdy w dniu, w którym *Lanterne* po raz pierwszy się ukazała, on, niespokojny o los swego wydawnictwa, wyszedłszy na ulice Paryża, wpadł od razu w tłum roznosicieli gazet i spostrzegł, że oni wszyscy, otoczeni kupującymi, wywoływali jego *Lanterne* i tylko *Lanterne*. Nakład nie wystarczył. Już w przedpołudniowych godzinach tego dnia ze wszystkich stron stolicy nadeszły natarczywe zamówienia na przeszło 120.000 dalszych egzemplarzy; potem przyszły jeszcze zamówienia z prowincyi! Czerwony świstek wywołał z ukrycia, drzemiącego w zaklęciu ducha opozycyi. — Książę d'Aumale ofiarował się, że sam złoży kaucyę, wymaganą przez rząd, i sfinansowanie wydawnictwa chciał wziąć na siebie; Rochefort odrzucił jednak tę propozycyę. Lecz nawet Bonapartyści darzyli *Latarnię*, naturalnie tajemnymi, ukrytymi względami. Nietylko czytano ją potajemnie na samym dworze, lecz nawet popierano: najbardziej zatrute strzały przeciw Napoleonowi ztamtąd pochodziły, anonimowe bowiem listy ze sfer dworskich dostarczały Rochefortowi materyału do uwag i aluzyj, o których wiedziano, że najboleśniej dotkną cesarza lub jego najbliższych. Podłość jest nieśmiertelną! — Powodzenie *Latarni* odczuto też bardzo na dworze; ze strony policyi — jak się później Rochefort przekonał, pojawiły się propozycye, aby Rocheforta milionami przekupić, cesarz nie godził się jednak na to, przeczuwając, że usiłowania byłyby daremne, wszak Rochefort miał olbrzymie dochody ze swego wydawnictwa i pieniędzy nie potrzebował. Rochefort

stał się wówczas najpopularniejszym człowiekiem w Paryżu. Wreszcie jednak rząd zdecydował się energicznie przeciw niemu wystąpić; Rochefort ucieka zatem, a ucieka mianowicie do Belgii, ratując się w ten sposób od zasądzenia na rok więzienia i na wysoką grzywnę. Na tem kończy się tom pierwszy.

Drugi tom obejmuje czas od sierpnia r. 1868 aż do krwawych dni komuny paryskiej. Pierwsze rozdziały zapełnione są opisem pobytu w stolicy Belgii. Zbieg znalazł gościnne przyjęcie w domu Wiktora Hugo, który mieszkał wówczas jako wygnaniec w Brukseli. Rochefort opowiada w barwny sposób rozmaite nieznane szczegóły o życiu i usposobieniu wielkiego poety; miał on n. p. zwyczaj pozostawiania przy jadalnym stole osobnego nakrycia, przed którym stał obszerny, wygodny fotel — miejsce to było poświęcone tym, którzy już zmarli, a fotel nazywano wprost „fotelem przodków“. Czas, spędzony w domu poety, był dla Rocheforta niezwykle szczęśliwym, a Rochefort umie opowiadać z niezwykłą żywością i humorem. Artysta, bonvivant i bohater rozmaitych awantur romantycznych, usuwają w tym tomie polityka na plan drugi i czynią, że pamiętnik zamienia się prawie w romans, lub w romantyczne opowiadania Casanowy. *Lanterne* była wydawana dalej w Brukseli, a zasądzony zaocznie banita, z całą bezwzględnością znęcał się zatrutem swem piórem nad ofiarami swojej ślepej nienawiści. Rząd brukselski nie czynił mu osobiście żadnych trudności, prosił go jednak, aby datował swe wydawnictwo z któregoś z miast niemieckich lub holenderskich, ażeby na Belgii nie ciężyła żadna odpowiedzialność. Za skromne 25 fr. miesięcznie wynajął więc Rochefort w Akwizgranie pokój, który figurował jako biuro redakcyjne. Rochefort nigdy jednak nawet nie był w Akwizgranie. Wydawano *Latarnię* w dwóch wydaniach: zwyczajnem dla Belgii oraz równocześnie w nader małym formacie, na bardzo cienkim papierze, dla Francyi. Zrazu rozsyłano to ostatnie wydanie w kopertach, przyczem dla oszczędzenia wysokiego portoryum zagranicznego przemycano naprzód transport za granicę i tam dopiero zaopatrywano listy w marki dla obrotu wewnątrz kraju. Wnet jednak władze francuskie ze zdziwieniem zauważyły, iż tak ogromna masa listów w pewnych terminach przychodzi z danych miejscowości. Otwarto listy i nakład skonfiskowano. Trzeba było wymyślić inny sposób przemycania wydawnictwa do Francyi. Rochefort chwytał się w tym celu rozmaitych dróg z niewyczerpaną łatwością w pomysłach. Krążyły więc egzemplarze *Lanterne* z Belgii do Paryża zrazu w „dyplomatycznym“ (t. j. wolnym od rewizyi cłowej) kufrze pewnego *attaché* francuskiego poselstwa w Brukseli, potem znowu — cóż za ironia! — we wnętrzu umyślnie w tym celu sporządzanych gipsowych biustów Napo-

leona III., dopóki wreszcie ktoś nie upuścił jednego z takich biustów na ziemię, przyczem okazała się jego zbrodnicza zawartość; następnie rolę schowku spełniały przez długi czas starożytne ramy, które w tym celu podróżowały nieustannie z Brukseli do Paryża i napowrót. Po przybyciu takiej przesyłki, w domu Rocheforta w Paryżu otwierano ją, przygotowane listy wrzucano do skrzynek pocztowych, a pewną liczbę listów, które adresowane były do osób, mających zbyt drażliwe dla drugiego cesarstwa nazwiska, oddawała adresatom sama matka dzieci Rocheforta.

Rocheforta nużyła jednak ta nieustanna walka z trudnościami, a przytem, chociaż tego nie przyznaje, zmniejszyło się także zainteresowanie się jego *Latarnią*. Zwija ją zatem i zakłada codzienne pismo *Le Rappel* z Paryżem, jako nominalnem miejscem wydawania, gdy zaś w roku 1869 nadeszły wybory do Ciała ustawodawczego, postanawia, mimo wiszącego nad nim wyroku, udać się do stolicy Francyi i — kandydować. Rząd francuski nie wiedział co z nim robić; zrazu go uwięziono, potem wypuszczono na wolność, a swoją drogą starano się wszystkimi sposobami nie dopuścić do jego wyboru. Rochefort twierdzi, że później z aktów się przekonał, iż Villemessant otrzymał 250.000 fr. za zwalczanie jego kandydatury w *Figarze*. Pomimo to wszystko wybrano go ostatecznie 18.051 głosami. Cesarzowa Eugenia bawiła wówczas w Egipcie z powodu otwarcia kanału suezkiego. Na wiadomość o wyborze Rocheforta miała zawołać: „Rochefort wybrany! Oto policzek, który nam dał lud paryski.“ Rochefort założył teraz nowe pismo codzienne: *La Marseillaise*, w którem z niebywałą zaciętością uderzał na samego cesarza i jego rodzinę. Czekano więc tylko na pierwszy pozór do wystąpienia przeciw niemu: powodu dostarczyły demonstracye przy pogrzebie dziennikarza, Wiktora Noir, zastrzelonego przez księcia Piotra Bonapartego, syna Lucyana. Nazwa „bandyta“, którą Rochefort dawał wówczas Bonapartemu w swym dzienniku, była jeszcze nienajgorszą z obelg, jakiemi obsypywał dom cesarski. Wytoczono mu znowu proces i zasądzono w d. 22. stycznia 1870 r. na sześć miesięcy więzienia oraz grzywnę. Uwięziono samego Rocheforta i cały prawie personal redakcyjny *Marsylianki*. Wyzwoliła Rocheforta z więzienia dopiero rewolucya z dnia 4. września 1870 r. Wprost z więzienia doszedł on do władzy, jako członek rządu obrony narodowej i „dyrektor budowy barykad“. Opisując szeroko swój udział w rządzie, krytykuje po kolei wszystkich swych kolegów, począwszy od Juliusza Favre a skończywszy na Gambecie i Thiers'ie, w ostatnich rozdziałach zaś stara się wszelkimi sposobami usprawiedliwić komunardów i stwierdzić swoją własną niewinność w wypadkach, wywołanych komuną. Można w to uwierzyć, że

Rochefort, który wówczas rozporządzał już bardzo znacznymi dochodami i mógł sobie pozwolić na zbytek przyozdobienia swego mieszkania najkosztowniejszymi meblami i dziełami sztuki, — nie bardzo pochwalał wandalizm, z jakim komunardzi pustoszyli wszystko i niszczyli. Nienawiść jednak, którą z drugiego cesarstwa przeniósł na trzecią rzeczpospolitę, przemawia wymownie z każdego słowa jego pamiętnika.

W trzecim tomie opisuje Rochefort krwawe dni komuny, ucieczkę swoją przed pogonią władz rzeczpospolitej, która go za podniecanie do rozruchów pociągnąć chciała do odpowiedzialności, schwytanie w Meaux, stawienie przed sąd wojenny w Wersalu, wyrok tego sądu na deportacyę do Nowej Kaledonii, podróż i pobyt w Numei (w r. 1873), ucieczkę ztamtąd (w marcu 1874 r.) do Australii, następnie podróż do Ameryki i Anglii. Te ostatnie wypadki znane są już z jego dawniejszej książki: *De Nouméa en Europe* (w Paryżu r. 1877). Opowiadanie jego i tutaj czyta się, jak powieść, jak fantastyczny romans francuski.

Dalsze losy Rocheforta znane są dobrze współczesnym, jako zbyt jeszcze żywo tkwiące w pamięci. Po powrocie z Numei, przebywał w Szwajcaryi lub w Belgii, gdzie podjął na nowo wydawnictwo *La Lanterne.* W lecie r. 1880, otrzymawszy amnestyę, powrócił do Paryża i założył *l'Intrasigeant'a*, w którym Gambettę i reprezentowany przez tego ostatniego oportunizm atakował z równą zaciętością, jak przedtem *le second empire*. Zmienił tylko przedmiot swych napaści, nie sposób walki. Od r. 1887 był wiernym sprzymierzeńcem Boulangera, ściągnął na siebie przytem nowy wyrok i szukał ocalenia w ucieczce do Londynu. Trzeciej rzeczpospolitej równie niewygodny, jak był nim drugiemu cesarstwu, powrócił on do Francyi, dzięki amnestyi z r. 1895; odtąd walczy dalej przeciw porządkowi państwowemu i wszystkim stronnictwom oraz osobistościom, znajdującym się na powierzchni. Chociaż dzisiaj mniej niebezpieczny, mniej groźny, jest on zawsze dla wszystkich — nieprzejednanym.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

PRZYCZYNEK
DO HISTORYI KONSTYTUCYJNEJ
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

II.

Statut konstytucyjny Księstwa.

(Ciąg dalszy).

Duch nowożytnego porządku *(régime moderne)* panował zatem wszechwładnie i niepodzielnie w statucie z 1807 r., nie potrzebując się wcale liczyć z żywiołami miejscowymi. Kołłątaj nie miał co do tego żadnej wątpliwości. twierdząc. że Napoleon. dając konstytucyę małemu księstwu, przystosował ją zupełnie do powszechnych zasad nowej polityki. Pragnął on przez zastosowanie onej do powszechnych zasad całego imperium zachodniego usposobienia nas, abyśmy się stali godnymi należeć do tej wielkiej oświeconych ludów Rzeczypospolitej [1]). Redaktor wszakże statutu z 1807 r.. Maret, starał się uwzględnić właściwości narodowe. zgodne z postępem i z wymaganiami czasu. Bignon zaś nazywa statut z 1807 r. najdoskonalszą ze wszystkich Napoleońskich konstytucyj. a to głównie dlatego, że przewodnie idee nie zostały przeprowadzone z bezduszną surowością, lecz z uwzględnieniem należytem natury społeczeństwa miejscowego i dawnych narodowych tradycyi [2]). Nie bez naukowego interesu będzie więc stwierdzenie tych objawów, które Maret, zarówno jak

[1]) Uwagi nad położeniem tej części ziemi itd., str. 181 i 201.

[2]) Souvenirs d'un diplomate, str. 19 i 20. „De toutes les constitutions que la France dans ses jours de grandeur, à données ou imposées à des nations etrangères peut-être celle de Varsovie a-t-elle été la plus sage, la mieux appropriée au pays, la plus conforme aut intérêts géneraux de l'humanité."

i Bignon, uważali za odstępstwo od Napoleońskich wzorów konstytucyjnych, zwłaszcza, że i nowożytni historycy zagraniczni twierdzili to samo. Ranke, n. p. wykazując, że Napoleon wprowadzał zazwyczaj razem z urządzeniami francuskiemi rewolucyjne hasła i prądy, przyznał wszelako, że bezwzględny zwykle prawodawca okazał tym razem wielkie poszanowanie dla istniejącego w Księstwie porządku [1]. Inny zaś pisarz niemiecki, zastanawiając się nad kwestyą agrarną w Księstwie, oświadczył bez ogródki, że w kraiku tym rozpanoszyła się napowrót dawna gospodarka szlachecka *(Adelsherrschaft)* [2].

Zarówno Maret, jak i Bignon, uważali zasadniczo statut Księstwa za poczęty z ducha organizacyi cesarstwa z r. 1804. Władza wykonawcza spoczywała w rękach monarchy, który na wniosek rady stanu mógł uzupełnić konstytucyę i prawodawstwo krajowe. Izba poselska skąpą swą działalnością i ograniczoną swobodą poselskiego głosu w komisyach [3] przypominała cesarski Trybunat. Administracya i sądownictwo otrzymały nawet nazwy francuskie, prawo cywilne zastąpił kodeks Napoleona, a artykuł IV. konstytucyi Księstwa, z którego się Napoleon tak chlubił, da się odszukać we wszystkich prawie statutach organicznych, nadanych przez Napoleona krajom zwyciężonym i czasowo okupowanym. „Tylko najważniejszey, bo życie i wolność osobistą dotykającey części prawodawstwa, to jest prawodawstwa kryminalnego nie dostawało. Równie Process, czyli postępowanie sądowe, kodeks handlowy, policyjny i dokładne zastosowanie sądownictwa do wszelkich działań administracyjnych jeszcze postanowienia oczekują“ [4].

---

[1]) Ranke: Denkwürdigkeiten des Staatskanzlers Fürsten von Hardenberg vom Jahre 1806 bis zum Jahre 1813, t. IV. str. 96: „Was insofern doch eine Bedeutung für die Ausbildung der revolutionären Ideen hat, als französische Einrichtungen, wiewohl mit grosser Schonung des Bestehenden eingeführt wurden und die ihnen zu Grunde liegenden Begriffe sich weiter Bahn machten.“

[2]) Keil: Die Landgemeinde in den östlichen Provinzen Preussens, str. 77, wyraża się o Księstwie Warszawskiem: „In die alte Adelsherrschaft zurückfallende Polen“ i t. d.

[3]) Porównać artykuły 46, 48 i 49 statutu Księstwa z artykułami, znajdującymi się w Titre XI. (Du Tribunat) Senatus-Consulte organique portant établissement du gouvernement Imperial (18. maj 1804 r.), patrz Laferrière. Les constitutions d'Europe et d'Amerique, str. CIV.

[4]) Mowa (obraz kraju wystawiająca) JW. Łuszczewskiego, Min. spraw wewn., miana na pierwszej sesyi sejmowej w izbie senatorskiej dnia 10. marca 1809 r., str. 8.

Mimo to, zarówno Maret, jak i Bignon, zaznaczyli zgodnie, że statutowi Księstwa zachował monarszy prawodawca przedewszystkiem charakter arystokratyczny. W senacie Księstwa, czyli Izbie wyższej, panował żywioł szlachecki wyłącznie, w Izbie poselskiej na stu posłów sześćdziesięciu należało do szlachty, a czterdziestu zaledwie do niższych stanów, czyli do deputowanych gmin. W rzeczywistości wszakże pierwiastek szlachecki występował jeszcze silniej. Rada stanu łącznie z Radą ministrów w r. 1807, „wchodząc w ducha konstytucyi, która między tymi dwoma stanami (szlachtą i nieszlachtą) nie czyni innego oddziału, jak tylko, żeby osobno sejmikowały, uważa, że podług niej na sejmikach szlachta, a na zgromadzeniach gminnych nieszlachta obierającemi bydź powinni, obranemi zaś tak pierwsi, jak drudzy, wszędzie bez różnicy bydź mogą, wyjąwszy posłów i deputowanych“ [1]. Z powyżej wyrażonej opinii Rady stanu zdawaćby się mogło, że deputowani gminu wybrani być powinni z pośród nieszlachty, tymczasem „Listy posłów i deputowanych“ na sejmy Księstwa w r. 1809 i 1811 obejmują w szeregach deputowanych nazwiska niewątpliwie szlacheckie, gdy tymczasem w rzędzie posłów trudnoby było doszukać się osoby nieszlacheckiego pochodzenia [2]).

W roku 1808 znowu Rada stanu „dla zbliżenia tych stanów (szlacheckiego i nieszlacheckiego), które powinny mieć wspólny udział w interesach ogólnego dobra, sądzi, aby koniecznie pewna liczba członków ze stanu nieszlacheckiego umieszczona była w radach departamentowych i powiatowych, a wzajemnie także pewna liczba szlachty w radach municypalnych; tym końcem podaje osobny projekt, iżby przynajmniej trzecia część kandydatów na radzców departamentowych i powiatowych wybraną była z pomiędzy obywatelów i nieszlachty, tudzież na sędziów pokoju w powiatach: Warszawskim,

[1]) Dziennik czynności Rady Ministrów i Rady Stanu, zgromadzoney stosownie do woli J. Kr. Mości przez JW. Hrabię de Schönfeld na sessyi Komissyi Rządzącey d. 5. Paździer. 1807 Ses. 108.

[2]) Drukowana liczba posłów i deputowanych z r. 1809 tytułuje posłów JWni, co przy deputowanych jest opuszczonem. Wśród deputowanych Kaliskich gmin figuruje: Pstrokoński, wśród Pułtuskich Laskowski, wśród Łomżyńskich Podbielski. Na liście z r. 1811 są już posłowie i deputowani, obdarzeni tytułem JWnych, a wśród deputowanych spotykamy nazwiska szlacheckie: Zwierzchowskiego, Mioduskiego, Szamowskiego, Bobrowskiego, Łubieńskiego, Rudzkiego, Koźmiana, Raczyńskiego, Kołdowskiego, Wolskiego, Michałowskiego, Radziejowskiego i innych.

Poznańskim, Toruńskim i Kaliskim" [1]). Dekret królewski dozwolił istotnie, aby do rad departamentowych wybierano nieszlachtę, co się jednak tyczy projektu wybierania szlachty do rad municypalnych, to nawet Rada stanu nie uznała go za stosowny [2]). W końcu zaznaczyć należy, że Rada ministrów składała się wyłącznie ze szlachty, w Radzie stanu jedyny Staszic, jak się zdaje, reprezentował chlubnie nieszlachtę, w armii zaś Księstwa olbrzymia przewaga w generalicyi była po stronie szlachty, a w gronie niższych oficerów także po stronie drobnej szlachty [3]).

Przewagę pierwiastku szlacheckiego uważali jednak obaj mężowie stanu francuscy za konieczną w tych okolicznościach, w jakich się znajdowało społeczeństwo świeżo utworzonego państewka. Stanu bowiem miejskiego, czyli tego, którp we Foancyi został nazwany *tiers état*, w Księstwie jeszcze nie było, a przynajmniej nie znajdował się w stadyum pożądanego rozwoju. Lud rolniczy zaś, czyli włościanie, nie zdołali w jednej chwili pozbyć się nawyknień, nabytych w wiekowej niewoli, nie można więc było na razie wyswobodzenia czynić zbyt wygórowanem. Artykuł wreszcie IV. statutu z 1807 r. zapobiegał, zdaniem Mareta i Bignona, temu, aby przewaga pierwiastku szlacheckiego mogła się kiedykolwiek przerodzić w niewolę. Po artykule powyższym obiecywali sobie mężowie stanu francuscy duży wpływ na ościenne kraje, posiadające włościan polskich [4]).

Jakkolwiek Izba poselska wzorowała się na trybunacie cesarskim, to jednak, gdy działalność trybunatu we Francyi zredukowaną została do minimum [5]), w Księstwie Izba poselska stała się drogą pozostałością i wspomnieniem reprezentacyi narodowej, a głosy poselskie w tym małym kraiku były jedynymi, które przerywały abso-

---

[1]) Dalszy ciąg Protokułu Sessyów Rady Stanu w r. 1808. (Od Sessyi 125). Ses. 207.

[2]) Dalszy ciąg Protokułu Sessyów Rady Stanu w r. 1808. Ses. 212 i 221.

[3]) Mémoires du comte de Senfft, str. 153 (wojsko polskie): „Cette brave armée, alors si belle et si brillante, qui de vait son excellent esprit, tant aux qualités de son chef, devenu l'idde du soldat, qu'à cette noblesse d'epée nombreuse et pauvre, qui, vraie base de tout état militaire, composait alors un corps d'officiers incomparable."

[4]) Ernouf: Maret duc Bassano, str. 245. Porównać Bignon: Souvenirs d'un diplomate, str. 20.

[5]) Bignon: Souvenirs d'un diplomate, str. 250. „Depuis la supression du Tribunat en France, il n'y avait plus sur le continent d'autre tribune politique que celle du duché de Varsovie."

lutną ciszę mocarstw ościennych. Ponieważ posłom nie wolno było zabierać głosu, jak tylko w komissyach, przeto wytworzył się zwyczaj odbywania sessyi nieoficyalnych, na których swoboda głosu nie była krępowaną i gdzie poddawano dyskussyi projekta, krytykowano rząd i zastanawiano się nad potrzebnemi reformami [1]. Wreszcie senat dochował dawne godności biskupów, wojewodów, kasztelanów, a w Księstwie godność senatora uważaną była za wyższą od funkcyonującego ministra, co zadziwiło niepomału Bignona [2]. Maret z Bignonem zgodzili się też mniej więcej na to, że w ówczesnych okolicznościach nie można było Księstwu nadać lepszego statutu, i że, choćby nawet niewłaściwie był uzupełnionym, to i tak rzuconym został przezeń cenny posiew, którego dobroczynnych skutków przyszłość zniweczyć nie będzie w możności [3].

Niemniej pochlebnego ocenienia doczekał się statut od ówczesnych uczonych i mężów stanu polskich. Kołłątaj w r. 1808, wskazując na trudności, jakiemi krępowani byli prawodawcy sejmu czteroletniego, oświadcza, że wszystkie te trudności (federalizm i anarchia) znikły w obliczu przenikłego dowcipu naszego prawodawcy. Duch prowincyonalizmu upadał na zawsze w tej konstytucyi, każda część ziemi, która kiedykolwiek przyłączy się do Księstwa Warszawskiego, nie będzie więcej dzieloną na prowincye i województwa, lecz na departamenta, które natychmiast wezmą też samą organizacyę. Aby przekonać tych, co pomawiali artykuł IV. statutu o skłonności demokratyczne, że nie mieli słuszności po swej stronie, nie omieszkał Kołłątaj powołać się na powagę Kanta, „filozofa królewieckiego“. Nawet dobroczynny prawodawca, nadając nam swój kodeks, zdaniem Kołłątaja, nie miał na myśli naszego poniżenia, nie odjął nam wolności stanowienia praw, ale nas chciał tylko zbliżyć do jedności z tylu oświeconymi ludami i dać sposób, abyśmy na jednej osnowie pracowali około wydoskonalenia powszechnego prawodawstwa. Wolno nam poprawiać, wolno nam powiększać tę powszechną ludów oświe-

[1] Bignon: Souvenirs i t. d., str. 157—158. „La liberté de discussion inhérente au gouvernement répresentatif se faisait jour à travers toutes les entraves et d'une façon vraiment curieuse.“ Dopóki marszałek przewodniczył sessyom, obserwowano ściśle konstytucyjny regulamin, lecz gdy marszałek sejmu sessyę zamknął, rozpoczynała się druga nieoficyalna: „dans laquelle l'assemblée se dedomageat amplement du role muet auquel alle avait été condamnée.“

[2] Bignon: Souvenirs i t. d., str. 111.

[3] Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 246 i Bignon: Souvenirs d'un diplomate, str. 20.

conych księgę, a jeżeli okażemy się zdolnymi przydać do niej co pożytecznego, bądźmy pewni, że znajdziemy w tej mierze bezstronnych sędziów i naśladowców. Za wielkie, a może największe dobrodziejstwo uważa Kołłątaj to, że Księstwo pozyskało statut, służący tylko wielkim narodom. Królestwo Westfalskie i Bawarskie w Niemczech, Neapolitańskie we Włoszech nie mają senatu, a Księstwo Warszawskie, które potęgą tym królestwom nie wyrówna, uzyskało od swego prawodawcy senat, podopnie jak królestwo Hiszpanii i Włoskie. Zagadkę, dlaczego nadano Księstwu statut, służący tylko wielkim narodom, rozwiązał Kołłątaj w sposób, usuwający wszelkie wątpliwości. „Xięstwo ma być, zdaniem jego, ziemią obiecaną dla innych części współbratymczych, które Napoleon z rąk przywłaszczycielów pewnie kiedyś odbierze. Tymczasem samo Xięztwo Warszawskie stało się już dla nas nieobojętnem dobrodziejstwem. Wieluż to nie znajdziemy, którzy dla statecznego do swey Oyczyzny przywiązania nie mogą nigdzie indziej znaleźć spokojnego dla siebie przytulenia, mimo ich najskromniejsze zachowanie się: i dla tych Xięztwo Warszawskie stało się już ziemią obiecaną. Wieleż to ochoczey młodzieży nie znalazło pożądaney sposobności ćwiczenia się w sztuce woyskowey, aby się stać mogli podporą swey Oyczyzny i mścicielami jey krzywdy? Wieluż innych nie usposabia się do rozmaitych posług cywilnych, do których sprawowania trzeba będzie kiedyś bardzo wiele zdatnych osób na całe tak rozległe państwo? Xięztwo Warszawskie zdaje się być przeznaczone na pożyteczną w tym względzie szkołę dla pierwszych i drugich. Kraj ten zasłoniony został nietylko od obcey napaści, ale nawet od niebezpiecznego wpływu naszych nieprzyjaciół“ [1]).

Artykułowi IV. statutu, a przedewszystkiem pojęciu równości prawnej, wzbudzającemu najwięcej drażliwości swem ogólnikowem wyrażeniem, poświęcił uwagę Woronicz w podniosłem i głębokiem kazaniu, wygłoszonem dnia 10. marca 1809 r. Wspominając o dawniejszych zamiarach reformatorskich względem włościan, odezwał się Woronicz do słuchaczów temi wymownemi słowy: „Szerzył się ten duch prawdziwego patryotyotyzmu po wielu znakomitych domach i familiach, oczom naszym obecnych, a w ostatnich przedzgonnych czasach cały naród ogniem jego rozgorzał i tak prawo to życiowrotne dla kilkumilionowej rzeszy mądrze przygotował. Ale zostawiona była ta chwała Napoleonowi, aby ten zawiązek ludzkości, w chara-

[1]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem tej części ziemi i t. d., str. 181, 203, 205, 201, 69, 185.

którze narodowym tlejący, godnym siebie sposobem rozwinął i utrwalił, kiedy chcąc mieć nas narodem, na opiekę jego i chlubne sprzymierzeństwo zasługującym, obumarłe roiska ludu, z pewnych i obojętnych widzów martwej dla nich ojczyzny w dzielnych jej miłośników i obrońców wyrokiem niniejszej konstytucyi przeistoczył. Doświadczacie jego na samym wstępie skutków tego zamiaru, spoglądając z radością, że lwy same z taką wściekłością legowisk swoich nie bronią, jak te pracowite mrówki, nadzieją dopiero znalezienia ojczyzny pocieszone, za jej się sławę i całość zastawiają. Zostawiono więc to waszej szlachetności, abyście te nieoswojone jeszcze z nowym bytem niedorostki z pod starszeństwa waszego na chleb własny wyprawując, nie usuwali im tej dobroczynnej opieki, któraby je przyzwoitem oświeceniem, skierowaniem, zapomożeniem do korzystania z niniejszej konstytucyi doprowadziła.“

Wskazując szlachcie obowiązek oświecania i wspomagania włościan, jako pierwszy i najważniejszy z wypływających z miłości kraju i dobrze zrozumianego ducha statutu, Woronicz ostrzega, aby wynikająca z konstytucyi równość w obliczu prawa, opacznie zrozumiana, niedorosłych dzieci o wspólne macierzyste miano nie poróżniła. Woronicz pragnie zażegnać groźne widmo socyalnych waśni miłością chrześcijańską bliźniego, która winna przeniknąć etykę polityczną i przewodniczyć czynom prawego obywatela. „Któż bowiem inaczej tę polityczną i rozumną równość, z rzeczywistą nierównością sił fizycznych, talentów, wychowania, zręcznie pogodzi? Kto dopełni te ogromne przerwy między położeniem, majątkiem, pomyślnością, znaczeniem tych tak daleko odsunionych? Kto ugłaska rozdrażnione chuci i żądze, aby w nędzy i dolegliwości nie rzuciły się na to, co drugiemu, na łonie rozkoszy drzemiącemu, od potrzeby zbywa? O wy! którzy się nie w księgach rozumnych, ale w sercu człowieka niepomylnego rozumu uczycie, miejcie rozum i pobaczenie, aby ten język do reszty między wami nie zaginął, który jeden mocny jest przekonać Łazarza, przed bramą bogacza na śmieciu leżącego, aby swą nędzę miłował i bogaczowi losu jego nie zajrzał, który jeden zdolny jest tę nierówną równość tak trafnie i ściśle porównać, aby dla porządku i dobra ogólnego brat bratu należnego sobie miejsca ustąpił, a słuchał i szanował tego, któremu rozkazywać może, ten język nakoniec, który jest w stanie natchnąć czarodziejskie posłuszeństwo swym cegiełkom w kształcie i naturze równym“ [1]).

---

[1]) Woronicz: Pisma rozmaite. Kraków 1832 r. Kazanie przy pierwszem otwarciu sejmu głównego Księstwa Warszawskiego, 10 marca

Wybicki nazwał konstytucyę Księstwa „bardzo stosowną do czasu i reprezentacyi samowładności krajowej charakter mającą“ [1]), a Stanisław Małachowski, ten sam, który doradzał, aby proszono Napoleona o powrócenie Konstytucyi 3. maja, w pierwszem swojem przemówieniu, jako prezes senatu, nazwał statut Księstwa mądrym i, spełniając życzenia kolegów, prosił monarchy o pozwolenie ucałowania dobroczynnej jego ręki, jak tego dawny zwyczaj polski od senatorów, zajmujących po raz pierwszy swoje miejsce, wymagał [2]). Ciekawym jednak ze wszech miar jest pogląd na statut z r. 1807 posła Maryampolskiego, Godlewskiego, wyrażony w r. 1811, gdy tenże poseł stał na czele opozycyi rządowi. Bignon opisuje, że nawet książę Józef Poniatowski nie mógł wybaczyć Godlewskiemu surowej krytyki, jaką zastosował do wszystkich instytucyj Księstwa, i że w chwili podrażnienia oświadczył mu wprost, że zasłużył sobie na dekoracyę od cesarza Aleksandra I. [3]), a Niemcewicz, stwierdzając fakt, że się Godlewski stał człowiekiem publiczności, dodał z widocznem uprzedzeniem: „Byli, którzy go mienili być narzędziem kilku u nas Kancistów, którzy zyskowne posiadający miejsca, że w Królewcu filozofii Kanta słuchali, mając wszystkich za głupich i najwyższe miejsca za sobie tylko winne uważają“ [4]).

Otóż ten mąż pracujący na korzyść nieprzyjaciół, ten Kancista, uważający wszystkich za głupców, nazwał statut z r. 1807 świętym, a źródło złego upatrywał w niedostatecznem a często błędnem jego rozwinięciu. Nadał nam bohatyr świata i mądry prawodawca statut konstytucyjny, są słowa Godlewskiego, zapewnił wolność i bezpieczeństwo mieszkańców przez gruntowne dla tego w ogólnych zarysach przepisane zasady, aby one do naszego charakteru i ducha, do położenia i okoliczności kraju zastosować łatwiej można było. Potrzebę nawet tego w art. 86 statutu wskazał. Dowiódł aż nadto, jak nas chce uszczęśliwić i do tego wystarczającą podał sposobność. Wyłożywszy zarysy główne statutu konstytucyjnego, przemawia Godlewski

---

1809 r. Str. 184 i 196. — Kazanie powyższe wyszło z drukarni rządowej w tłómaczeniu francuskiem Tęgoborskiego, p. t.: „Discours prononcé dans la Cathédrale de Varsovie lors de l'ouverture de la premiére Assemblée nationale du Duché de Varsovie.

[1]) Pamiętniki, t. III., str. 161.

[2]) Rede S. Exc. des Hern Grafen Stanislaus von Małachowski, Praesidenten des Senats, bey Eröffnung der ersten Senatssitzung den December 1808

[3]) Souvenirs d'un diplomate, str. 161.

[4]) Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza 1811—1820, t. I., str. 288—289.

w następujący sposób: „Mógł-że jeszcze co więcej dla uszczęśliwienia nas postanowić dobroczynny nasz wskrzesiciel? Możnaż doskonalszego, w takim rzeczy stanie i widoku, żądać statutu? trzebaż było przy energii i miłości ojczyzny mieszkańców więcej sposobności wybranym od monarchy do styru rządu dla uczynienia kraju w miarę okoliczności mężnym i rządnym. Czy trzeba lepszej łatwości dla założenia fundamentów do przyszłego szczęścia i pomyślności, dla zobowiązania sobie mieszkańców i dla unieśmiertelnienia ich sławy? Niestety! znaleziono w tym świętym statucie trudności do zaprowadzenia jasnej, prostej, dla mieszkańców dogodnej i do bogactwa kraju stosownej administracyi, a upatrzono potrzebę, czy obowiązek naśladowania rządów państw wielkich i bogatych, do przejmowania od nich różnych cząstkowych urządzeń, składających machinę, której ani części między sobą i ogółem, ani ogółu ciężar z siłą, która go poruszać ma, nie są w stosunku“ [1]). Słowa powyższe będą dostatecznemi, aby przekonać każdego o tem, z jaką czcią pozostawał Godlewski dla statutu i że groty opozycyjne wymierzał jedynie przeciwko nieudolnemu w wielu razach jego rozwinięciu i wykonaniu.

Pozostaje jeszcze jedna uwaga do uczynienia, a mianowicie, jak się na statut z 1807 roku zapatrywali współcześni deputowani gmin i czy ich przewaga szlachty w organach reprezentacyjnych nie drażniła lub nie odstręczała od brania udziału w życiu publicznem. Dowodu niechęci albo przeświadczenia o poniżeniu swego stanu, nie zdołałem odszukać wśród dokumentów, odnoszących się do powyższej doby; za to spotkałem się z drobnymi wprawdzie śladami, stwierdzającymi, że reprezentanci gminu byli z statutu zadowoleni w głębi serca. Ignacy Stawiarski w mowie swej, po wykonaniu przysięgi na urząd obywatela prezydującego zgromadzenia politycznego gminy 5 miasta Warszawy, wspominając „sławne prawo o miastach i Konstytucyę 3. maja“, nadmienia, że „ulubiany od nas Fryderyk August, w pierwszych chwilach swego panowania bacznym okiem mierząc potrzeby kraju, różnemi klęskami dotkniętego, myśl konstytucyi dopełniając, zwołuje swe dzieci, prawo obywatelstwa i głosu na obradach publicznych mające, aby się zgromadziwszy w świątyniach i t. d., ojcowski jego tron otoczyły“ [2]). W całem powyższem przemówieniu niema nawet cienia drażliwości, a zdobywa

[1]) Głosy posła Maryampolskiego, na sejmie roku 1811 w Warszawie miane, z dołączeniem uwagi i krótkiego nadmienienia niektórych w czasie sejmu czynności, str. 35, 36.

[2]) Mowa z d. 23 miesiąca stycznia 1809 r. (druk Bibl. Ord. Kr.).

wiarę każdego zapewnienie, że „szczęśliwym jest lud, który w jednomyślności z królem, uważając w nim więcej ojca, niż pana, umie łączyć ufność synowską z posłuszeństwem, a wdzięczen udziału swobód i troskliwej pieczy, jakiej używa pod dobroczynną strażą prawa, odpowiada nieskażoną wiernością i ścisłem pełnieniem prawideł podległości, do jakiej go wiąże konieczna potrzeba towarzyskiego porządku obrony i całości.“ Andrzej Brzeziński znowu, obywatel prezydujący, w mowie mianej na zgromadzeniu gminy siódmej, wskazując, jak doniosłem jest stanowisko deputowanego na sejm i członków rady municypalnej, oświadczył, że przy wyborach „idzie tu nakoniec o honor stanu nieszlacheckiego, który tak biernym będąc, dopiero darem konstytucyi naszej za stan uznanym został. Tak ważne przedmioty powinny nas jednomyślnie unieść do obrania deputowanego, któryby za nich wszystkich stał się godnym reprezentantem gminu naszego“ [1]).

Z późniejszych historyków, którzy jednak przejęli żywą tradycyę Księstwa, Skarbek ocenił statut z 1807 r. szczegółowo i trafnie. Napoleon, zdaniem jego, nadawał krajom przez siebie utworzonym konstytucye, na jednakowych przez siebie umyślonych i widokom swoim odpowiednich zasadach oparte. Taka konstytucya i Księstwu Warszawskiemu nadana, jakkolwiek daleka od prawdziwych swobód narodowych, była jednakże powołaniem biernych dotąd poddanych pruskich do spraw krajowych i do nowego życia politycznego. Była ona nowym zupełnie utworem, w niczem do układu dawnej Rzeczypospolitej niepodobnym, lecz przywracała ludziom, z wszelkich praw obywatelskich wyzutym, niejaki udział w sprawach pospolitych i użycie języka narodowego w tych sprawach i nadawała prawa, jeżeli nie krajowe, to przynajmniej nie te, pod któremi za rządu pruskiego zostawali. Dalej oświadcza Skarbek, że kształt i układ wewnętrznego rządu Księstwa nie był w niczem podobny ani do dawnego zarządu Rzeczypospolitej, ani do administracyi pruskiej. Był to systemat francuski z całą sprężystością postępowania i bezwarunkową uległością podrzędnych ogniw najwyższej władzy w wykonaniu każdego jej rozkazu, bez względu na to, czy ten rozkaz zgodnym był z prawami narodu i z obowiązującemi ustawami. Był to rząd centralny, w którym każde rozporządzenie niższych władz wykonawczych jest tylko wypływem władzy najwyższej, gdzie wszelka samoistna wola i siła w jednym punkcie jest skoncentrowana, aby stamtąd wychodzącym z nich odnogom działalność nadać i według

[1]) Mowa miana d. 31. stycznia 1809 r. (druk Bibl. Ord. Kr.).

woli swojej kierować mogła niemi. Rząd, za pomocą którego Napoleon samowładnie milionami ludów rządził, zamienił wszystkich urzędników kraju, począwszy od ministra aż do ostatniego dozorcy policyjnego, w ślepe narzędzia woli swojej [1]).

Niewątpliwie jedną z największych zalet statutu z roku 1807, zauważonych już przez Skarbka, była ta okoliczność, że wstępował w miejsce rządów pruskich. Kołłątaj dostrzegł, że „w krajach, które się dostały pod panowanie Austryi, wykorzeniono do szczętu prawidła polskiego wychowania; w krajach, które się dostały królowi pruskiemu, postąpiono podobnie, muzy polskie ledwie znalazły przytułek dopiero pod panowaniem Aleksandra I., gdzie obywatele, ośmieleni wezwaniem tego dobrego monarchy, niczego nie oszczędzali, aby ich potomstwo mogło iść drogą ojców do cnoty i oświecenia“ [2]).

Daleko silniej napiętnował Staszic skryte zamiary i dążenia rządu pruskiego. „Celem poprzedzającego rządu, jak twierdzi, nie było dobro Polskiego Narodu, tylko szczęście nachodniów i przeistoczenie rodaków. Krajowi wysłużeni, bądź wojskowi, bądź cywilni, w ostatniej nędzy; cnotliwi w prześladowaniu, po cudzych ziemiach tułacze. Jak Spartańczykowie Ilotów, tak na wojnę i boje prowadzono Polaków. Tam krew naszą nie rachowano za krew ludzi; nic ze zwycięstwa, nic ze sławy nie spadało na nas, ale tylko na gwałtowników naszych.“

„Najprzewrotniejszą chytrości rządzenia sztuką dążono do wyzucia nas z Polaka duszy, a zdradliwem długów chciwości i marnotrawstwu, zamierzono wyzuć nas z majątku i Polskiej ziemi. Rodzice, którzy w każdej innej krainie, spoglądając na swoje dzieci, najmilszą kwilą się rozkoszą, tu przeciwnie, podczas niewoli naszej, za każdem na swych dzieci spojrzeniem głęboki smutek ogarniał ojca i matki serce, a łzy zalewały oczy, gdy widzieli te równie z życiem miłe im stworzenia, bez celu, bez wszelkiego dla nich widoku.“

„Na polskiej ziemi nie było dla Polskich dzieci żadnego stanu, żadnego przeznaczenia! W dobrem, w rodowitem wychowaniu wi-

---

[1]) Dzieje Polski. Część I. Dzieje Księstwa Warszawskiego, str. 132 i 139. Porównać Żółtowski: Die Finanzen des Herzogthums Warschau (1806—1815) vorzugsweise nach archivalischen Quellen bearbeitet. Część I., str. 15, 29, ocenia tak, jak Skarbek, konstytucyę Księstwa i jego administracyę.

[2]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem tey części ziemi i t. d., str. 207 i 208.

dział każdy ojciec zwiększenie tylko nieszczęść swych dzieci życia; w Edukacyi Rządowej odbierał w swych dzieciach nieprzyjaciół i wzgardzicieli swoich przodków i rodziców. Tak jest, starano się, pracowano, aby dzieci nasze, niewinne ofiary oszukaniem otoczyć, przenaturzyć, w wyrodnych synów przemienić. Chciano, aby po grobach swych ojców, jeżeli nie z zupełną niepamięcią, to przynajmniej syny oszukane deptały je z pogardą. Chciano naszę i naszych dzieci kraju miłość wraz z ojczyzną na wieki w jednym zagrzebać grobie.“

„Jeden tylko jeszcze pozostawał nam środek do wydobycia się z tej okropnej nocy, która ogarnęła jestestwo nasze: tem były władze rozumu, nauki narodowe, doskonalenie myśli narodowych, przez które przecież jeszcze byłoby się można jakożkolwiek mieścić w rzędzie żyjących: przynajmniej ocalić sławę i pamięć narodu od zguby wiecznej. Lecz zbytnie na wszystko czuwali nieprzyjaciele, którzy podstępem wytrąciwszy nam z rąk oręż, podstępem nas ujarzmili. Nie mając mocy do wydarcia nam władzy myślenia, czuwające przeciwko jej użyciu zakładali tamy. Swego rozumu władzą i czynnością w doskonaleniu się na naszej ziemi wszędzie nas zastępując, obmyślali nam nauczycieli, wyznaczali wzory, przepisywali nauki. Lecz ani ci uczyciele, ani te wzory, ani te nauki, narodowemi nie były. Owszem, przez nie prawdziwą Polaka cnotę przemieniano w zbrodnię, naszą krzywdę w sprawiedliwość, na naszej ojczyźnie zdziałane gwałty w prawo i w ludzkość. Na własnej naszej ziemi obcą nam pieśń nucić kazano“ i t. d. [1]).

W roku 1812 Klewitz starał się obronić rządy pruskie od licznych zarzutów i nienawistnego wspomnienia, jakie pozostawiły po sobie. Zapewniając, że rozumie dobrze, jakie musiały panować uczucia wśród społeczeństwa po utracie kraju, zapytuje: *Ob nicht dafür der Segen der wohlwollenden Regierung Sie entschädigte?* Z tem wszystkiem jednak, gdy przychodzi mu dowieść, że rząd pruski żywił poszanowanie dla miejscowego języka, zwłaszcza w szkole, obrona staje się słabą i popierać ją był w stanie zaledwie błahymi przykładami [2]).

Najlepszy dowód, czem była szkoła za pruskich czasów, składa Izba edukacyjna Księstwa w swym raporcie z r. 1808, oświadczając:

---

[1]) Do sejmu w roku 1808. Dzieła Stanisława Staszica, t. IV., str. 7, 8 i 9.

[2]) An die polnische Nation. Ueber die preussische Verwaltung in den ehemaligen Süd- und Neu- Ost-Preussen. Berlin 1812, str. 27 i str. 11, 28.

„Należy oddać sprawiedliwość rządowi pruskiemu, że władzę swą i moc nie chciał opierać na nieświadomości podległego sobie narodu. Przeciwnie oświecenie wszystkich klas było zadaniem jego polityki, chociaż uważał ją za środek do osiągnięcia rezultatów wrogich dla naszej narodowości. Język ojczysty wyrugowano też ze szkół, nauczycieli sprowadzano obcych, ale szkoły istniały przynajmniej, a na ich pochwałę można było i to przytoczyć, że stan zakładów naukowych w krajach po-austryackich był bez porównania gorszy“ [1]).

W każdym razie raport izby edukacyjnej oświadcza, co następuje: „czyli zamiar przeistoczenia narodu jest podobnym, nie tu miejsce rozwagi. Pewną jest rzeczą, iż ten duch wydawał się we wszystkich edukacyjnych tego rządu (pruskiego) ustawach. Ten cel okazywał się nawet w zaprowadzeniu szkół dla ludu: w ustawie ze wszech miar chwalebnej i pożytecznej, której jednak uskutecznienie z tem większą przychodziło trudnością i oporem, że lud, nie pojmujący jeszcze pożytku, zaczął od powzięcia wstrętu ku naukom, dawanym od nauczycieli cudzoziemców“ [2]).

Mimo jednak tylu przeszkód we wszystkich rozszarpanej Polski częściach, młodzież nasza, jak twierdził Kołłątaj, ochronioną została; troskliwi rodzice starali się przelewać w nich cnoty i obyczaje narodwe, pilnie przestrzegając, aby następujące po nich pokolenie nie przetwarzało się na lud własney oyczyźnie obcy. W Warszawie utworzyło się zgromadzenie przyjaciół nauk, które gorliwie pracowało nad uratowaniem literatury polskiej. Nigdy prawie nie smakował tyle Polak w dziełach swych własnych pisarzów, jak gdy widział zgubione imię swey oyczyzny, chcąc przez to dowieść, że tę przynajmniej narodową własność, mowę oyczystą, pragnął wiernie dochować dla późnych pokoleń, jako jedyny skarb, który w tak powszechnem rzeczy naszych zatraceniu dał się jeszcze uratować“ [3]).

Drugie dobrodziejstwo, którem statut darzył Księstwo, wypływało z artykułu 84: *Tous les actes du gouvernement, de la legislation, de l'administration et des tribunaux sont écrits en langue nationale.* Artykuł powyższy został wykonany przez panującego

[1]) Konic: Kartka z dziejów oświaty w Polsce. Władze oświecenia publicznego i oświata elementarna w Księstwie Warszawskiem. Str. 7, 8, 10 i 12.

[2]) Lipiński: Sprawa z pięcioletniego urzędowania Izby edukacyjnej, str. 8.

[3]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem tej części ziemi polskiej i t. d., str. 208.

z całą skrupulatnością i wprowadzony do komendy wojskowej [1]), do obrad rady stanu, w których nawet sam panujący brał udział, a Koźmian przytacza następujące charakterystyczne zdarzenie: „gdy który z radzców stanu, chcąc być lepiej zrozumianym przez króla, wpadł w rozprawę językiem francuskim, co się najczęściej Kochanowskiemu trafiało, król przerywał, mówiąc: Proszę po polsku, bo pan Rządkowski nie rozumie“ [2]). Niewątpliwie też sumiennemu wykonaniu powyższego artykułu zawdzięczało Księstwo owo szybkie odrodzenie się ducha narodowego, które nie uszło uwagi Klewitza i pozyskało nawet jego gorące uznanie [3]).

Trzeciem dobrodziejstwem statutu z r. 1807 był artykuł 86, pozwalający ustawę konstytucyjną dopełniać urządzeniami, wychodzącemi od krola a roztrząsanemi w jego radzie stanu. Dzięki temu artykułowi, niechęci wszelkie omijały statut, a skierowywały swój prąd przeciw tym, których zadaniem było uzupełnienie konstytucyi. Ale i w tym wypadku oszczędzano monarchę, szanowanego i lubianego za najlepsze dla kraju chęci, a pociski opozycyjne zwracano przeciw ministrom i radzie stanu.

Łuszczewski w pierwszem swem przemówieniu na sejmie 1809 r. nazwał statut Księstwa niewzruszalną opoką, na której się powinno rozwijać przyszłe prawodawstwo [4]); ale ani przed rokiem 1809, ani po tymże roku nie poczuwali się ministrowie wraz z radą stanu do obowiązku ślepego naśladownictwa wzorów francuskich, a król zazwyczaj przychylał się do ich zdania. „Gdy w r. 1807 referendarz Morawski czytał wywód, z konstytucyi francuskiej wyciągnięty, na okazanie do konstytucyi Księstwa Warszawskiego potrzeby audytorów w Radzie, Xiążę Minister wojny, wystawiając niemożność zachowania we wszystkiem stosunków konstytucyi francuskiej, sądził naśladować ją tylko w ogólności, a nie w szczegółach, które dla różnicy położenia, obszerności, ludności i zwyczajów nie mogą przypadać równie jednemu, jak i drugiemu krajowi“ [5]). W roku 1809, gdy Minister policyi zauważył, że korporacye nie są statutem Księstwa

---

[1]) Skarbek: Dzieje Polski. Część I. Dzieje Ks. Warszawskiego. Str. 137: „lecz gwardya i pułki legii nadwiślańskiej nosiły kokardy francuskie, w legii komenderowano po polsku, w gwardyi po francusku.“

[2]) Pamiętniki, t. II., str. 339.

[3]) An die polnische Nation i t. d., str. 55.

[4]) Mowa (obraz kraju wystawiająca) i t. d., str. 5.

[5]) Dziennik czynności rady ministrów i rady stanu zgromadzonej do woli J. K. Mości przez JW. hr. Schönfelda, na sessyi komissyi rządzącej d. 5. października 1807 r. Str. 45.

zniesione, a konstytucya francuska przepisuje, że istnieć nie powinny, wyrażono w radzie stanu opinię, że należy w Księstwie uważać korporacye za istniejące i oczekiwać dekretu królewskiego [1]). W tymże samym roku, gdy podano projekt mianowania merów na kilka miasteczek, którzyby rozkazy podprefektów komunikowali burmistrzowi, Najj. król oświadczył, że przez kompletowanie konstytucyi rozumie dodanie szczegółów, ale dalekim jest od odmieniania tejże i projekt natrafił na opozycyę słuszną z tego względu, że był tworzeniem zbytecznem nowej zupełnie władzy [2]).

Ministrowie z radą stanu potrafili domagać się zastosowania konstytucyi francuskiej, jeżeli tylko z tego naśladownictwa korzyść dla Księstwa powstać mogła. Tak n. p. w r. 1808 prezes rady stanu „wniósł, aby przełożyć Najj. Panu, ażeby senat Księstwa mógł być podobny, czynną władzą, jak jest podług konstytucyi francuskiej i nowo ogłoszonej hiszpańskiej, t. j. aby miał opiekę nad wolnością osobistą mieszkańców i nad wolnością druku, oraz żeby składał najwyższy sąd do sądzenia ministrów i radzców stanu [3]). Jeżeli jednak odstąpienie od zasad przewodnich prawa państwowego lub administracyjnego francuskiego obiecywało Księstwu większe pożytki, rada stanu nie wahała się czynić panującemu odpowiedniego przedstawienia, a nawet w kierunku oświaty publicznej udało jej się osiągnąć pomyślny rezultat.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Aleksander Rembowski.

---

[1]) Protokoły posiedzeń rady stanu Księstwa Warszawskiego, odbywanych w przytomności Najj. Pana. Sessya d. 3. marca 1809 roku. (Tom ten niekompletny rozpoczyna protokoły jeszcze w r. 1808).

[2]) Dalszy ciąg Protokołu sessyów rady stanu w roku 1809 od sessyi 246. S. 258.

[3]) Dalszy ciąg Protokołu sessyów rady stanu w roku 1808. Sessya 165.

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

(Ciąg dalszy).

IV.

Cześć w prawie dzisiejszem.

Na czem polega istota czci? Pytanie to powinnoby być w dzisiejszej jurisprudencyi stanowczo rozwiązane, jeżeli pozytywizm prawny nie dla przechwałki tylko, lecz na seryo utrzymuje, że prawo paragrafowe samo o własnych siłach, więc niezależnie od czynników moralnych, może spełniać swoją missyę cywilizacyjną i wywiązywać się z kierującej roli w stosunkach życia społecznego. Przecież takiego dobra moralnego, jakiem jest i będzie zawsze cześć, prawo pozytywne niemoże wyłączyć ze swojej sfery bez abdykacyi z własnej missyi cywilizacyjnej a jeżeli bierze i wziąć musi to dobro moralne w ochronę i rachubę swoją tak samo, jak inne dobra materyalne i moralne, to chcąc dać społeczeństwu zupełną rękojmię, że na jego siłach bezpiecznie polegać może, powinnoby kwestyę powyższą dokładnie rozwiązać. Nie chodzi tutaj o rozwiązanie, ujęte w ścisłe ramy paragrafowo-definicyjne, lecz o takie niewątpliwe kryterya, jakich prawo pozytywne niezbędnie potrzebuje w każdej akcyi swojej dla wyboru trafnej drogi i środków, celowi odpowiadających.

Wprawdzie także i pojęcie zdrowia fizycznego nie jest ujęte w ramy paragrafowo-definicyjne, ale jeżelibyśmy, wyprzedzając niejako dalsze wywody, nazwali cześć wyrazem zdrowia moralnego, to nietylko nie byłoby w tem żadnej analogii korzystnej dla wygórowanych aspiracyi prawa pozytywnego, lecz owszem na zestawieniu tem właśnie najlepiej uwydatniałaby się różnica zasadnicza. Zdrowie fizyczne bowiem, jako stan normalny, każdemu dobrze znany, jako

reguła jednakowa i niewzruszona, odkąd świat i człowiek istnieje, nie potrzebuje bliższych określeń definicyjnych w prawie a każde najmniejsze nawet zboczenie od tego stanu normalnego daje się sprawdzić *lege artis*, fachową dyagnozą rzeczoznawców, więc w sposób niewątpliwy. Gdzie niema żadnego takiego zboczenia, żadnej anormalności, tam jest zdrowie fizyczne, jest stan normalny, jest reguła. Zupełnie niepodobną jest sytuacya w moralnym ustroju człowieka. Z reguły moralnie ułomnym jest człowiek, bo jest — tylko człowiekiem. Do jakiego stopnia ułomność ta w religijno-moralnem wychowaniu daje się złagodzić i czy zawsze to jest możliwem a kiedy ona nawet mimo wszelkiej staranności wychowawczej występuje w życiu dojrzałego już człowieka na jaw w formie rażącej, często nawet aż ohydnej, bo zbrodniczej, kiedy dobre, w wychowaniu i w życiu udoskonalone przymioty i cnoty są w stanie, utrzymać przywary i namiętności na wodzy tak, że się ta wrodzona ułomność tylko przypomina, jakby ostrzeżenie i napomnienie do nieustannej czujności, a kiedy ona wybuja i całą nieposkromioną siłą złych instynktów i popędów zepchnie człowieka na bezdroże, to szereg zagadnień niedocieczonych dla najbystrzejszego obserwatora, to szereg kwestyi, które nie rozwiązać, lecz tylko mniej lub więcej odgadywać, lub objaśniać można.

Nadto w zdrowiu fizycznem zboczenie ukryć się nie daje, bo jego symptomy są dla znawcy dostrzegalne i sprawdzone być mogą po zewnętrznych objawach. Zdrowie moralne w tem względnem znaczeniu, jakie wynika z powyższych uwag, stanowi zagadkę, dla której żadna fachowa wiedza naprzód reguł postawić niemoże, bo do moralnego wnętrza człowieka, do tej ukrytej widowni, na której przed działaniem, więc przed nadaniem woli kierunku, ścierają się ze sobą złe i dobre intencye, nizkie namiętności i szlachetne porywy, najbystrzejsze nawet oko psychologa nigdy nie dotrze. Czy człowiek jest zdrów fizycznie, to zbadać można nawet wtedy, gdy on jest bezczynny, gdy siły zupełnie wypoczywają a niepotrzeba nawet oka rzeczoznawcy, jeżeli siły te w działaniu składają dowód jędrności i energii. Co wart pewien człowiek pod względem moralnym, czy jest zdrów w takim stopniu, w jakim to jest możliwem dla człowieka, tego w stanie bezczynności nikt nie odgadnie po żadnym symptomie w oko wpadającym a samo działanie nawet nie daje jeszcze pewnych kryteryów dla trafnego sądu. Gdzie niema zdrowia fizycznego, tam niemożliwe jest wytężenie sił i energii po za pewną miarę przeciętną a gdzie niema zdrowia moralnego, tam jeszcze przy zręcznej symulacyi możliwe jest w danym razie obałamucenie najbystrzejszych nawet obserwatorów. Wszakżeż, niestety, tak

często słyszy się o nikczemnikach, którzy przewrotność swoją umieli długo ukrywać pod pozorami uczciwości a nawet i szlachetności. Czasem przypadek pomięsza szyki w takiej zręcznie odgrywanej roli, ale jak często odsłania się cała prawda przed zdumionem otoczeniem dopiero wtedy, gdy niema już takiego kuglarza na widowni życia!

Jeżeli, jak to już powiedzieliśmy, cześć uważać należy za wyraz moralnego zdrowia, to po tem wszystkiem chyba już na szyderstwo zakrawałoby powtórzenie wstępnego pytania pod adresem prawa pozytywnego z żądaniem, ażeby odpowiedź jego opiewała stanowczo i jasno. To też prawo pozytywne nie daje i dać niemoże takiej odpowiedzi a teorya, tak niewyczerpana w pomysły, gdy w innych działach chodzi o zasłonięcie luk paragrafowych przed okiem badawczem, w tej kwestyi właśnie najczęściej przyznawać się musi do faktu, że ją tutaj zawodzi cała pomysłowość.

Zarzut ten, teoryi uczyniony, objaśnić można na jej najświeższych wysileniach około uporania się z tym trudnym tematem. Wysileń tych jest w tej chwili może więcej, niż kiedykolwiek, a nie mamy tutaj na myśli tylko komentarzy do poszczególnych kodexów karnych, lecz specyalne monografie, poświęcone sprawie czci i jej osłony w prawie. Sama ta obfitość produkcyi naukowej daje do myślenia, bo jak człowiek zawsze najwięcej myśli o tym właśnie organie, na który nie domaga i który mu dokuczliwemi cierpieniami na każdym kroku się przypomina, tak teoretycy w zakresie jurisprudencyi zdają się mieć powody podobnej natury do zwracania szczególnej uwagi na sprawę czci. Chodzi widocznie o słaby punkt prawa pozytywnego. Szczersi autorowie nie ukrywają tego zresztą wcale, lecz owszem uważają jawne odsłonięcie złego za pierwszy a konieczny krok do poprawienia obecnego stanu.

Nie myślimy dawać szczegółowego obrazu tej całej konsultacyi naukowej, w której zdania ciągle się krzyżują. Ale pogląd krótki, streszczający przynajmniej niektóre wybitniejsze głosy, jest potrzebny, aby poznać sytuacyę i horoskop na przyszłość a przedewszystkiem przekonać się, czy prawo pozytywne jest tylko zakłopotane trafnym wyborem środków już rozporządzalnych a wiodących pewnie do celu jasno określonego, lub przeciwnie zaniepokojone tem, że myśleć trzeba nie o wyborze między skromnemi i niedostatecznemi środkami dotychczasowemi, lecz o wyszukanie innych.

Szczególnie bieżąca niemiecka literatura prawnicza dostarcza ciekawego materyału pod tym względem. Jest ona w traktowaniu czci, jej istoty, znaczenia i osłony prawnej w tej chwili może buj-

niejszą, niż kiedykolwiek. Na pozór mogłoby się wydawać, że trudności są łatwe do przezwyciężenia. Z tonu rozpraw tych bowiem przebija więcej, niż w innych kwestyach prawnych, owo w niemieckim świecie prawniczym jakby jaki dogmat narodowo-naukowy utarte mniemanie, że z dwóch wielkich źródeł dzisiejszej cywilizacyi: prawa rzymskiego i prawa niemieckiego drugie ważniejszą spełniło missyę w historyi postępu ludzkości. To też powtarza się przytem przechwałka, że w prawie rzymskiem cześć *(existimatio)*, wciśnięta w ramy prawa obywatelstwa *(civitas)*, niejako za synonim tego prawa uchodząca, nie wznosiła się na należną jej wyżynę etyczną a dopiero niemieckie prawo pogłębiło pojęcie czci, biorąc w jego określeniu za punkt wyjścia nie samo tylko obywatelskie stanowisko jednej klasy ludności, panującej w wielkim związku państwowym, lecz godność ludzką w ogóle w połączeniu ze świadomością wartości moralnej i społecznej. W tej przesadzie jeden z autorów niemieckich posuwa się tak daleko, że zapominając formalnie o odmiennym ustroju stosunków społecznych, odmawia po prostu rzymskiemu społeczeństwu nawet wrażliwości na podlegające dziś sankcyi karnej akta obrażenia czci i nazywa to aż „właściwością Rzymian“ [1]), więc właściwością tego społeczeństwa, w którem rumieniec wstydu, wywołany naganą cenzorską, sprawiał prawdziwe tortury moralne, w którem obywatel, dotknięty tą naganą według poprzednio już przytoczonych słów Cicerona, stronić musiał od współobywateli, jakby jaki człowiek zapowietrzony. W merytoryczną polemikę z powyższem twierdzeniem wchodzić nie potrzebujemy, skoro już w poprzednim rozdziale skreśliliśmy w zarysie rzymskie pojęcia o czci *(existimatio)*. Jeżeliby zaś tylko nieznajomość dzisiejszych wykwintnych form i manier salonowych a także i idącej z niemi w parze maskarady pojedynkowej miała uzasadniać powyższy zarzut braku wszelkiej wrażliwości na obrazy czci w staro-rzymskiem społeczeństwie, to z taką samą racyą mógłby chyba kto powiedzieć, że starorzymska rasa była pozbawiona wrażliwości nerwów w ogóle, gdyż nawet patrycyusze obchodzili się bez — czarnej kawy, cygar hawańskich i morfiny!

Gdy się czyta podobne sądy o prawie rzymskiem, to należałoby oczekiwać, że w dzisiejszem prawie niemieckiem, skodyfikowanem w drugiej połowie XIX. stulecia, pojęcie i prawna osłona czci stanęły już na idealnej wysokości. Tymczasem potrzeba tylko wziąć

[1]) Dr. Joseph Gabler: *Das Vergehen der sogenannten üblen Nachrede* — Würzburg 1892, str. 4.

do ręki pierwszą lepszą z licznych monografii, które się obecnie na ten temat pojawiają, aby od razu uprzedzić się właśnie do tego działu prawa. „Jeden z tych rozdziałów prawa karnego — mówi n. p. Kratz [1]) na samym wstępie swojej monografii — które w naszym kodexie karnym najwięcej traktowane są po macoszemu, stanowią postanowienia o czci i obrazie czci. Luki, które pod tym względem wykazuje nasze dzisiejsze prawo tak samo, jak nasze partykularne ustawy karne z bieżącego stulecia, są tem dotkliwsze, ileże teorya i judykatura nie mogły się pogodzić ze sobą nawet co do pojęć podstawowych. Tyczy się to przedewszystkiem samego pojęcia czci. Swoją drogą jednak niema w prawie karnem pojęcia, którego ustalenie byłoby z wielu powodów tak trudne, jak właśnie pojęcie czci.“

Przytoczyliśmy ten głos nie dla dowodu, lecz dla przykładu a właściwie dla charakterystyki stanu rzeczy. Zdanie, wypowiedziane przez Kratza, powtarza się w ogóle w monografiach niemieckich o czci z tą tylko różnicą, że autorowie z żywszym temperamentem pisarskim nie oceniają obecnej sytuacyi tak spokojnie, lecz mówią o niej z taką goryczą, często nawet z takiem oburzeniem, jakgdyby uważali stan obecny za niegodny współczesnego ustawodawstwa.

W systematycznych wykładach obowiązującego niemieckiego prawa karnego czyta się to samo w formie ubolewania lub nawoływania do pilnej reformy, przyczem odbywają się popisy konstrukcyjne, w których luki i niejasności pozytywnego prawa karnego są niejako dla oka zasłaniane. Konstrukcye te opierają się raz na wybitnem podniesieniu moralnej strony, jako głównego znamienia czci, drugi raz na wyniesieniu społecznego znaczenia na stanowisko rozstrzygającego kryteryum, wreszcie i na łączeniu obu poglądów. Dla wszelkich takich kombinacyi pole jest zupełnie otwarte, gdyż prawo pozytywne nie daje pewnej dyrektywy, uważając, jak to trafnie podniósł Binding, „nieznane pojęcie czci za powszechnie wiadome“ i pozostawiając praktyce w sojuszu z nauką wypełnianie próżnego „blankietu czci i jej obrazy“.

Gdyby chodziło tylko o otwarte objaśnienie dzisiejszej niemocy czy nieudolności prawa w zakresie czci i formalnego zamięszania w prawno-literackiem opracowaniu tej kwestyi w Niemczech, to możnaby odesłać czytelnika do powołanej już powyżej monografii Kratza, jako jasnego i spokojnego a przytem niepretensyonalnego przedstawienia stanu rzeczy. W takim razie jednak trzebaby dodać ostrze-

[1]) Dr. Hermann Kratz: *Der strafrechtliche Ehrbegriff und das passive Subjekt der Ehrverletzung* — Giessen 1891.

żenie, aby czytelnik nie przyjmował wszystkich konkluzyi tego autora za dobrą monetę, chociaż one z pozorów oparte są nie na suchych komentatorskich pomysłach, lecz na szerszej podstawie społecznych kryteryów. Autor ten bowiem stanął na stanowisku utylitaryzmu, nawet oportunizmu prawno-społecznego, z którego już nie mógł objąć całej doniosłości sprawy. Uznaje to wprawdzie sam Kratz, że ze wszystkich pojęć prawa karnego cześć najwięcej wysuwa się po za jego granice i wchodzi w zakres etyki, ale snać etyka w pojmowaniu autora musi stać zupełnie w usługach utylitaryzmu i do jego kapryśnej chwiejności stosować fundamentalne pojęcia swoje, skoro monografia zaczyna się od oświadczenia, że niema pojęcia czci niezależnego od czasu i stosunków, że zatem cześć jest tylko reflexem prawnych, społecznych i politycznych stosunków i zapatrywań pewnego społeczeństwa w danej chwili. W staro-rzymskiem społeczeństwie podstawą czci było stanowisko jednostki jako obywatela państwa, u starych Germanów koncentrowała się cześć w stanowisku indywidualnem jednostki, w jej dzielności osobistej wobec wspólnego rodu i stanu, wreszcie w XIX. stuleciu uległa wpływom cywilizacyjnej niwelacyi, otrząsła się z właściwości narodowych, stała się pod tym ostatnim względem pojęciem mniej głębokiem i stanowi tylko wyraz całego komplexu naszych stosunków społecznych, państwowych i prawnych.

Cóż się tedy stało z samą istotą czci — możnaby zapytać autora z wszelkiem prawem, skoro poprzednio podniósł jej etyczny charakter a nie dodał przytem zastrzeżenia, że w powyższej charakterystyce ma na myśli samą tylko opinię, opartą na pobieżnych, zewnętrznych kryteryach, więc chwiejną i zmienną, czy to opinię w szerszym zakresie społecznym, więc z pretensyą do nazwy publicznej, czy w ciaśniejszych kołach, więc opinię stanową, zawodową, w ogóle opinię najbliższego otoczenia? Musi być przecież pewne zasadnicze stałe znamię, pewne niezmienne kryteryum czci wśród zmieniających się akcessoryów zewnętrznych, skoro, jak widzieliśmy w poprzednim rozdziale, od czasów rzymskich cześć wśród wszelkich przeobrażeń prawa zatrzymała w jego historyi charakter niespożytego pod względem moralnym czynnika, skoro *civis romanus*, z grobu wskrzeszony, znalazłby w dzisiejszym tak zupełnie obcym mu świecie właśnie co do czci i jej negacyi, infamii, wiele punktów stycznych, n. p. ten główny, że za człowieka bez czci, infamisa, powinien być uważany każdy, ktoby znane trzy *praecepta iuris* (*honeste vivere*, *alterum non laedere*, *suum cuique tribuere*) uważał za obalone już przesądy i postępował wprost w przeciwny sposób.

Po takiem rozcieńczeniu pierwotnie z naciskiem podniesionej etycznej treści czci Kratz mógł już stać się pobłażliwszym dla luki, istniejącej w dzisiejszym prawie pozytywnem, i postulaty reformatorskie tak przykroić do jego ram, aby wydawać się mogło, że znajdą w nich miejsce wygodne. Za punkt wyjścia w tej mierze służy, jak tego już zresztą i po zaznaczonem na wstępie stanowisku utylitarnem autora poniekąd oczekiwać należało, życie obrotowe z całą jego komplikacyą stosunków, interesów i związków, wśród których człowiek każdy w miarę, jak w wyższym lub niższym stopniu posiada przymioty, potrzebne do wspólnego pożycia społecznego, rościć sobie może prawo do wyższej lub niższej wartości społecznej. „Interes“, jaki każde indywiduum w tem posiada, aby w związku społecznym, do którego należy, jego wartość społeczna została uznana, nazywa Kratz jego czcią w najogólniejszem tego słowa znaczeniu. Ponieważ każdy człowiek należy do takiego związku, czy to w znaczeniu ściślejszem, czy obszerniejszem, obejmującem państwo, społeczeństwo w ogóle, przeto każdy ma taki interes i każdy wymaga od prawa jego osłony. W ten sposób postawił Kratz rozcieńczone już tak bardzo pojęcie czci na stanowisku prawa podmiotowego w tem znaczeniu, jak je Ihering na schyłku swoich filozoficznych medytacyi w dziele o duchu prawa rzymskiego określił, na stanowisko interesu normami pozytywnego prawa osłoniętego. Ale zaraz potem Kratz sam to uczuł, że takie rozcieńczone pojęcie czci, równające się niemal tylko uznaniu ludzkiego charakteru w pewnem indywiduum, nie jest dostateczne. Wznosi się zatem cokolwiek wyżej, znowu w sferę etyki społeczno-utylitarnej, i szuka stałej miary dla owej poprzednio w sposób mglisty podniesionej wartości socyalnej w spełnianiu obowiązków, jakie ciężą na jednostce w jej zakresie społecznego życia i stosunków w ogóle. Miara ta rozstrzyga o godności szacunku a prawo do wymagania, aby ta godność była uznana, miałaby teraz stanowić ostateczne określenie czci.

Byłaby tedy gotowa jedna z tych konstrukcyi, któremi pozytywizm prawny wykręca się jakby sianem w wypadkach, gdy, według słów poety niemieckiego, słowa brak pojęć w porę zastępować zwykły. Dla podobnej konstrukcyi może wystarczyć elastyczność, nawet niejasność pojęcia godności szacunku, opartej na spełnianiu obowiązków w ramach takiego utylitarno-etycznego poglądu na stosunki, jaki służył Kratzowi za punkt wyjścia. Ale gdzież jest taki kodyfikator, któryby zdołał z konieczną dla osiągnięcia jakiegokolwiek celu praktycznego precyzyą sformułować warunki tej godności szacunku, określić jej znamienne kryterya zewnętrzne i wskazać

środki zabezpieczenia każdemu takiej właśnie miary szacunku, na jaką zasłużył sobie? Czy jestto rzecz możliwa w ogóle, czy może być mowa o tem szczególnie w dzisiejszem prawie, hołdującem zasadzie, że każdy ma być uważany za uczciwego, dopóki przeciwieństwo nie zostało stwierdzone?

Prawnik-pozytywista, uznając nawet niedostateczność dzisiejszego prawa pod tym względem, wahałby się dać odpowiedź przeczącą na powyższe pytanie, dopóki jestto dlań niewzruszonym pewnikiem naukowym, że prawo pozytywne samo sobie wystarczać powinno i na posiłki społeczno-moralnych czynników koniecznie oglądać się nie potrzebuje.

Zdawałoby się, że w tym pisarzu genialnym, który, jak nikt przed nim, wyniósł moralną siłę działalności cenzury rzymskiej w sferze prawa, że w Iheringu prawna i społeczno-moralna rola czci znajdzie potężnego protektora i reformatora. Gdyby duch prawa rzymskiego tak, jak go ten pisarz w swojem pomnikowem dziele pojął i przedstawił, pozostał był jego przewodnikiem do końca działalności naukowej, oczekiwanie powyższe z pewnością byłoby się ziściło. Ale Ihering w ostatniem dziele swojem o celu w prawie złożył hołd duchowi czasu, niejako ukorzył się przed egoizmem i siłą, jako twórczemi czynnikami prawa, i zająwszy stanowisko społeczno-utylitarne, sprowadził kwestyę czci na poziom tak nizki, iż gdyby w ten sam sposób ocenić wypadło jej znaczenie w historyi prawa, trudnoby było stworzyć obraz jednolity. Czynnik moralny bowiem ustępuje tutaj na drugi plan a kryteryami utylitaryzmu określone pojęcie obowiązku społecznego stanowi właściwą miarę czci. Kto w sferze interesów materyalnych, przedsiębiorca, spekulant lub robotnik, wywiązał się ze swojej pracy zawodowej w sposób celowi odpowiedni, już tem samem bez względu na inne zakresy obowiązków zdobył sobie prawo do czci i szacunku. Cześć bowiem w znaczeniu podmiotowem polegać ma właśnie na poczuciu takiej celowi odpowiadającej działalności a cześć w znaczeniu przedmiotowem, szacunek świata, na świadectwie społeczeństwa o takiej działalności. Sławiąc później dobrodziejstwa obrotu nowoczesnego, który wszystkim tak uprościł i ułatwił wygodne życie, musiał Ihering w konsekwencyi ściśle moralne kryterya zepchnąć jeszcze więcej na drugi plan, tak, aby już zupełnie nie zawadzały utylitarnemu traktowaniu rzeczy. To też mówi on wprost [1]), że obrót nie zna żadnej powagi osób: „Czy kto stoi wysoko, czy nizko, czy jest znany lub nieznany, swój

[1]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. I., str. 233.

lub obcy — obrotowi nic na tem nie zależy, bo patrzy on tylko na pieniądz. To zupełne zrównanie osób w obrocie, ta naturalna konsekwencya egoizmu, który po za zarobkowaniem o nic więcej się nie troszczy, posiada pod względem społecznym nieocenioną zaprawdę wartość. Zapewnia bowiem każdemu człowiekowi bez różnicy zaspokojenie potrzeb i możność urządzenia sobie egzystencyi w sposób, odpowiadający warunkom kultury w danej chwili. Nikt niemoże odjąć człowiekowi tego stanowiska w obrocie. Państwo może mu odjąć wolność i cześć, kościoły i stowarzyszenia mogą go wykluczyć, obrót jednak nigdy go się nie wyprze. Nawet ten, kto już na nic przydać się niemoże, z którym nie chce się mieć żadnej wspólności lub styczności, zawsze jeszcze jest dość dobry, aby z nim zawierać interesa a mieszcząca się w pieniądzu asygnata na pomoc w społeczeństwie zawsze jest płatna.“ A jestto ten sam obrót, którego najświetniejszą inwencyę nowoczesną, kompanie akcyjne, Ihering potępił w tem samem dziele, nazywając ich wpływ „głęboko demoralizującym, zatruwającym samą rdzeń zasad czci i uczciwości.“

Stawianie czci na równi z taką kosmopolityczno-obrotową wartością popiera Ihering wywodami etymologicznemi. W tych wywodach starał się Ihering [1]) wykazać genetyczne pokrewieństwo wyrazów, cześć oznaczających, w języku greckim, łacińskim, niemieckim, hebrejskim i węgierskim, w ogóle w tych językach, co do których wyniki mógł oprzeć bądź to na własnych badaniach, bądź na otrzymanej zkądinąd informacyi naukowej. W każdym z tych języków cześć zostaje etymologicznie w najbliższem pokrewieństwie z materyalną wartością. Szczególnie uderzającem wydało się Iheringowi pokrewieństwo łacińskiego *existimatio* (*aestimatio* = szacowanie; *aes* = pieniądz) z niemiecką *Ehre* (według Grimma od sanskryckiego *ajas* = żelazo, więc i pieniądz, jak *aes*). Jeżeliby Ihering rozciągnął był etymologię na języki słowiańskie, to byłby się albo zachwiał w swoich wnioskach, albo zwątpił w ową, tak chełpliwie przez niemieckich prawników wynoszoną, szczególną wrażliwość Germanów w sferze czci i w ich wrzekomo przodujące pod tym względem stanowisko pomiędzy innemi narodami. Pokazałoby się bowiem, że albo owa germańska wrażliwość ograniczała się na opinii faktycznie istniejącej, ale co do moralnej podstawy niesprawdzonej, albo że język niemiecki nie jest tak *par excellence* filozoficzny, jak go Niemcy sami nazywają. Wobec pokrewieństwa wyrazu czci ze staro-

[1]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. II., str. 501.

słowiańskim wyrazem *czist* [1]) (t. j. człowiek czysty, bez skazy moralnej) przebija dopiero w naszem określeniu czci podniosłe pojmowanie jej istoty w duchu moralnym a nie w znaczeniu wartości materyalnej. To też według Lindego [2]) „cześć miasto cnoty i poczciwości bierzemy" a w naszych pomnikach prawa znaleść można na to dowody autentyczne [3]).

Chociaż Ihering w swoim etymologicznym wywodzie położył nacisk na wartość w takiem znaczeniu, jakie najlepiej odpowiadało kierunkowi całego dzieła, rehabilitującego egoizm i wynoszącego obrót, jako ważną etapę w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, to jednak nie mógł pominąć kwestyi, co począć z moralną stroną sprawy, mianowicie, jakie mają być kryterya, że ta wartość ze swoją skalą utylitarno-obrotową stanowi synonim czci w pełnem tego słowa znaczeniu, w takich przynajmniej ramach moralnych, jakie dla jej praktycznego znaczenia w prawie są niezbędne. Kryteryów takich szukać musiał Ihering już tylko po za sferą obrotową i w ogóle prawną a znalazł je w szacunku, który „jest pojęciem socyalnem i stanowi ujawniający się w opinii publicznej sąd społeczeństwa o wartości". Sąd ten nie ogranicza się na poszczególnych aktach w znaczeniu prawnem, lecz obejmuje człowieka z całą sferą jego działalności.

Tak tedy pozytywizm prawny, tak zresztą biegły w sposobach takiego paragrafowego kurczenia pojęć, aby się przynajmniej wydawać mogło, że samo prawo da sobie radę ze wszystkiemi stosunkami życia, w tej sprawie bodaj pośrednio przyznaje się do niemocy, skoro rezerwuje dla siebie tylko zewnętrzną cześć, sprowadzoną na poziom jeszcze nieposzlakowanej a właściwie formalnie stwierdzonemi po-

---

[1]) Wacław Alexander Maciejowki: *Historya prawodawstw słowiańskich* (j. w.) t. III. str. 5 i 167.

[2]) S. B. Linde: *Słownik języka polskiego* — t. I. str. 370.

[3]) N. p.: . . . ustanawiamy, iż ktobykolwiek na potomne czasy pozwał iaką personę *criminaliter in causis honorem tangentibus* . . . . . . szczypiąc go na poczciwości jego . . . (O rzeczach, które się poczciwości dotyczą — *Volumina legum* t. II. str. 53).

. . . takowy gwałtownik y naiezdnik y *raptor* dóbr . . . ma utracić poczciwość y wszystkie dobra, które trzyma. (*Vol. Leg.* t. II. str. 172).

. . . pod uczciwością i gardłem rozkazuiemy . . . (*Vol. Leg.* t. IV. str. 48).

. . . poczciwość y gardło traci . . .

. . . to już poczciwości jego będzie szkodziło . . .

. . . na poczciwości jaką zmazą naruszony . . .

(Bartłomiej Groicki: *Porządek Sądów i Spraw Mieyskich* (j. w.) str. 91—2 i 123, itd. itd. itd.)

szlakami jeszcze w danej chwili nieobciążonej reputacyi a szacunek, jako dodatni wyraz społeczno-moralnej wartości przekazuje opinii, jako organowi judykatury społecznej. Jestto tylko wydobycie się z trudnej sytuacyi, ale nie takie rozwiązanie kwestyi, żeby społeczeństwo mogło już być spokojne o rolę i losy czci w prawie.

A jednak pozytywizm prawny, znalazłszy takie wyjście, nie ogląda się już na dalsze wątpliwości i zdaje się znowu być pewnym siebie. Za próbkę tej pewności niech posłuży zdanie pisarza, który jest zarazem sędzią w najwyższym niemieckim trybunale państwowym, zdanie Bülowa [1]), wypowiedziane w tych słowach: „Osłonięte prawem karnem dobro prawne czci stoi w pośrodku między wartością (czcią wewnętrzną) a czcią w towarzyskiem znaczeniu *(Cavalerieehre)*. Jest ona zupełnie niezależną od rzeczywistej moralnej wartości a ponieważ nikt nie jest ani doskonałym pod względem moralnym, ani skończonym niegodziwcem, także niezależną od tego, czy wartość moralna pewnej osoby przeważa nad jej moralnemi wadami. Także człowiek małej wartości moralnej, upadły, znikczemniały, posiada cześć w znaczeniu prawnem a kto go łaje, hańbi lub znieważa, nie będąc do tego szczególnemi stosunkami uprawnionym, popełnia karygodną obrazę. Prawo bierze za podstawę ideę o wrodzonej każdemu człowiekowi godności, która na tem polega, że jest stworzony „na obraz i podobieństwo Boga", że jest istotą duchową, wolną, z natury swojej i z przeznaczenia swojego po nad wszystkie inne ziemskie stworzenia wysoko wyniesioną. W żadnym razie nie należy to do istoty karygodnego czynu obrazy, aby w danym wypadku obrażony rozwinął się na osobistość prawdziwie moralną i w swojej osobie stanowił inkarnacyę godności ludzkiej. Prawo bierze za punkt wyjścia wrodzoną, nigdy w całości zatracić się niedającą godność człowieka i dlatego całkiem ogólnie wzbrania okazywania drugiemu lekceważenia czynami, które nie mają podstawy w szczególnem uprawnieniu... Jeżeli zatem cześć w znaczeniu prawnem służy każdemu, nawet osobom niegodnym pod względem moralnym, to z drugiej strony trzeba o tem pamiętać, że cześć, jako wzięte w osłonę dobro prawne, posiada tylko całkiem zewnętrzny charakter, że nie jest niczem więcej, jak tylko służącem każdemu człowiekowi uprawnieniem do żądania, aby inne osoby zaniechały objawów wzgardy lub lekceważenia. Niema żadnego prawa do wymagania szacunku. O usposobieniu dla drugich prze-

[1]) Br. Bülow: *Ueber den Schutz der Ehre und das Recht der freien Meinungsäusserung* (j. w.) str. 267 i n.

pisy niemogą być wydawane... Nie da się uzasadnić prawny obowiązek do przyjmowania podanej lub podawania własnej ręki do uścisku, do witania, do składania wizyty, w ogóle do zawiązywania i utrzymywania towarzyskich stosunków.“

Bülow w rozprawie swojej miał na celu objaśnienie ducha obowiązujących w Niemczech postanowień karno-prawnych o ochronie czci. W tem objaśnieniu jednak, zapewne mimowoli, lepiej niż wątpliwe szczegóły owych postanowień, objaśnił niedostateczność całej ochrony czci, skoro ona służyć ma każdemu bez względu na jego wartość moralną, więc i niegodnemu. Więcej niż niedostateczność, bo stanowczą niemoc prawa pod tym względem objaśnił Bülow, skoro wynik czci, szacunek, wyjąć musiał ze sfery prawa i przekazać go w zupełności opiece społeczeństwa. Szkoda, że autor tèn nie wysnuł zasadniczych konsekwencyi z rezultatów, do których doszedł i ostatecznie dojść musiał, mając na oku tylko cel tak praktyczny, jak objaśnienie obowiązujących postanowień prawa pozytywnego. Aż się prosi bowiem zestawienie tych rezultatów z przechwałkami pozytywistów, że prawo może i musi wyemancypować się z pod zależności od etyki, że samo o własnych siłach jest w stanie objąć i osłonić całą sferę interesów społecznych człowieka.

Jak w dusznej atmosferze świeży powiew powietrza, tak samo wśród prądu utylitarnego, który zapanował w niemieckiej literaturze prawno-filozoficznej w ogóle a w monografiach o czci znalazł, jak widzieliśmy, wyraz znamienny, dobroczynnie podziałała mowa rektorska dr. K. Bindinga, rozszerzona później i wydana przez autora w formie osobnej monografii [1]). Rzadko spotkać się można dzisiaj, w czasie nerwowej produkcyi naukowej i literackiej, w okresie rozwlekłych parafraz, odświeżających tylko w zmiennej formie to, co już przedtem nieraz było wypowiedziane, z rozprawą tak krótką a tak przytem jędrną i treściwą, tak świeżą i bogatą w nowe myśli a w dodatku, co stanowi szczególną zaletę, pobudzającą czytelnika do samodzielnej kontynuacyi pracy duchowej autora.

„Niezmiernie bogata a przytem w równym stopniu zajmująca historya czci — temi znaczącemi słowami rozpoczyna Binding swoją pracę — historya rozwoju zapatrywań o podstawie i istocie czci, o mierze jej wartości, o jej tysiącznych konfliktach z innemi dobrami i ich godziwem rozwikłaniu, o żądzy prawdziwej i pozornej czci, jako motorze działającym w dziejach, o tak zwanej obrazie czci,

---

1) Dr. Karl Binding: *Die Ehre und ihre Verletzbarkeit* — Leipzig 1892.

jej rodzajach, karceniu i wrzekomem naprawianiu — historya ta niestety nie została jeszcze napisana.“ Kto ją zechce napisać, musi wziąć w rachubę cały szereg czynników, jak uczucia społeczeństwa, objawiające się w obyczajach, prawo, naukową refleksyę i poezyę, dla której w pewnych okresach czasu i u pewnych narodów cześć stanowiła punkt oparcia. Szczęśliwem jest społeczeństwo, w którem czynniki te zgodnie działają. Otwarcie ubolewa autor nad społeczeństwem niemieckiem, że szczęściem takiem pochwalić się niemoże, gdyż ową pożądaną harmonię psuje wielka rozterka między obyczajami a prawem, rozterka w zdaniach o istocie czci i jej wymaganiach. Nie jest to zwyczajny spór akademicki, lecz formalna walka, której końca jeszcze nawet przewidzieć niemożna.

Z naciskiem, nadającym charakter całej dążności rozprawy, podnosi Binding różnicę między reputacyą, opinią, jako czcią zewnętrzną a wewnętrzną moralną wartością człowieka, „tym szlachetnym kruszcem charakteru“, który stanowi istotę czci wewnętrznej, jako poczucia tej wartości, bez względu na to, czy ona jest znaną za pośrednictwem opinii. Nie każdy posiada pełną świadomość tej czci wewnętrznej, ale najskromniejszy czuje ją i dlatego obraza odbija się w sferze jego uczuć. Takiej czci ani nadać, ani odjąć niemoże nawet wszechmocne w swojem wyobrażeniu państwo tegoczesne. Odjęcie czci, jako kara przez prawo pozytywne nakładana, nie czyni ukaranego bezecnym, lecz tylko piętnuje, pozbawiając pewnych praw, tego, kto już przedtem stał się bezecnym.

I Binding podnosi społeczną wartość czci, ale bierze ten wyraz w szerszem i podnioślejszem znaczeniu, aniżeli utylitaryści, którzy „w swojej niepięknej mowie nazywają cześć miarą towarzyskiej użyteczności człowieka“. Wartość społeczna czci polega na dopełnieniu obowiązków, więc skala jej jest poniekąd nieskończona, zaczynając od zera, t. j. tych bezbarwnych charakterów, które ani naruszenia obowiązków wyrzucać sobie nie potrzebują, ani ich dopełnieniem poszczycić się niemogą, a skończywszy na heroizmie w podejmowaniu się wszelkiej pracy dla dobra publicznego, w abnegacyi na rzecz społeczeństwa.

Uznanie czci za dobro w prawnem znaczeniu, dobro osłonięte tak samo, jak inne, powagą prawa przed obrażeniem, ma na celu doniosłą funkcyę społeczną. Chodzi bowiem tutaj o osłonę miernika kursu obrotowego ludzi. I tutaj właśnie rozchodzą się prawne i moralne wymagania. Prawo bowiem w ustaleniu tego miernika musi mieć na uwadze niedoskonałość człowieka, brać za podstawę niejako przeciętny stopień prawości, kiedy tymczasem moralność nie zado-

wala się takim skromnym widnokręgiem. Każdy człowiek ma swoje *conto* czci, w którem zapisywane są pozycye czynne i bierne. Dopóki pozycye bierne nie przewyższają czynnych po nad miarę wyrozumiałości, jaką prawo okazuje ułomności natury ludzkiej, można jeszcze mówić o istnieniu czci w znaczeniu prawnem, chociaż ze stanowiska moralnego nasuwa się już wątpliwość.

Na tle powyższej różnicy uwydatnił Binding istotę czci wewnętrznej, polegającej na świadomości spełniania obowiązków, więc na moralnej wartości a tem samem niewystawionej na obrazę tak, jak cześć zewnętrzna, t. j. reputacya, zdobyta faktycznie i uznawana przez innych bez oglądania się na to, czy łączy się rzeczywiście z czcią wewnętrzną, lub tylko brak jej zręcznie pokrywa. Jeżeli się więc mówi o obrazie czci, to odnosi się to tylko do czci zewnętrznej a nie do wewnętrznej. „Zresztą — mówi autor — pretensya każdego, aby był traktowany w sposób, odpowiedni swojemu *conto* honorowemu, jest skutkiem czci, ale nie samą czcią. Zaspokojenie tej pretensyi nie daje czci, lecz tylko stanowi faktyczne jej uznanie a naruszenie tej pretensyi nie odbiera czci, nie stanowi nawet naruszenia czci, lecz tylko czyni ujmę potrzebie szacunku, o ile ona łączy się zarazem z godnością szacunku . . . Cześć, jako idealne dobro prawne, niemoże być przez inną osobę naruszone.“ Kto więc cześć wewnętrzną posiada, ten może ją utracić tylko z własnej winy i w następstwie własnego działania.

Binding uznał temat przez siebie wybrany za kwestyę przeważnie filozoficzną i zajął odpowiadające takiemu pojmowaniu rzeczy stanowisko naukowe, stanowisko, panujące nad tym całym terenem pozytywno-prawnym, na którym ścierają się opinie ściśle prawnicze o znaczeniu czci w prawie i o jej obronie. Tylko z filozoficznego stanowiska można było pociągnąć tę ścisłą linię demarkacyjną między czcią zewnętrzną, czyli reputacyą lub opinią, wystawioną na każdym kroku na pociski z całego otoczenia społecznego, a czcią wewnętrzną, która jako treść moralna człowieka, jako poczucie obowiązków i ich harmonii z prawami, tylko przez niego samego może być zatracona lub zwichnięta.

Taką nowością dla świata prawniczego było to ujęcie kwestyi ze strony filozoficznej, że rozprawa Bindinga, jakkolwiek autor nie wysnuł z niej wszystkich wniosków dla prawa, sprawiła wrażenie, jakgdyby stanowiła formalne odkrycie naukowe, lub rzuciła pierwsze promienie światła na nową, dopiero do celu zawieść mającą drogę. Świadczy to dobitnie, jak dalece owo na wstępie tej pracy podniesione lekceważące traktowanie „subtelności metafizycznych“

w zakresie prawa ośmieliło prawników-pozytywistów do ignorowania filozoficznej strony nawet tych kwestyi, które dyktatami paragrafowemi, na oślep wydawanemi, mogą być ubite, ale nie rozwiązane a tem mniej załatwione tak, jak tego już nietylko dobro społeczne, lecz i powaga samego prawa wymaga.

Gdyby nie owo ignorowanie filozoficznej strony czci, byłaby ona może daleko prędzej stanęła przed ustawodawstwem współczesnem w swojej prawdziwej postaci a wtedy nie byłoby w kodexach dzisiejszych takich luk i usterek, jakie za świadectwem komentatorów faktycznie istnieją. A nietrudno było znaleść w dziedzinie filozoficznej drogę do takiego rozjaśnienia kwestyi, jakie podał Binding, jeżeli się weźmie za punkt oparcia sumienie, oświecające cały obszar obowiązków, w których poczuciu streszcza się cześć człowieka, sumienie, które francuski prawnik Joly w głębokim filozoficznym poglądzie na istotę i objawy przestępstwa w życiu społecznem nazwał „całym człowiekiem“, więc wyrazem całej jego wartości moralnej, której kwintessencyę cześć stanowi [1]). Siłą sumienia *(vis conscientiae)* jest cześć także według słów mistrza św. Tomasza z Akwinu, Alberta Wielkiego, i tem ona pozostać musi w poglądach filozoficznych w których za kryteryum prawdziwej filozofii nie jest uważane strącanie z piedestalu i niweczenie ideałów moralnych ludzkości, jej przewodników od brzasku ery chrześciańskiej w pochodzie na wielkim szlaku cywilizacyjnym. Nawet Schopenhauer, który poniżył moralną stronę pojęcia czci, nazywając ją w objektywnem znaczeniu opinią innych ludzi o naszej wartości a w subjektywnem znaczeniu tylko obawą przed tą opinią, nie odrazu stanął na tem stanowisku, lecz przedtem sumienie wprost nazwał czcią wewnętrzną [2]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) Henri Joly: *Le Crime* — Etude sociale, III. ed. Paris 1888, str. 217.

[2]) A. Schopenhauer: *Parerga und Paralipomena* — Leipzig 1874, t. I. str. 383.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d' ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.
1768.
(Ciąg dalszy).

X.

Krasiński zawiadamia manifestem o pomocy Porty i ogłasza za zdrajców tych, którzyby się udali na przyszły sejm. — Carowa obstaje przy żądaniach swoich. — Odjęcie dowództwa Kreczetnikowowi i Weissmanowi. — Wyroki wykonywane na hajdamakach. — Nota ministeryum polskiego. — Nowy basza chocimski wyraża uznanie marszałkom konfederacyi. — Nowa nota Porty Ottomańskiej. — Wojska tureckie mają tylko tworzyć korpus obserwacyjny, nie mięszając się czynnie do spraw Polski.

Warszawa, 7. września 1768.

Przyjechał tu Carr, a jednocześnie dwóch kuryerów tureckich z Konstantynopola z depeszami do pana De la Roche i do ambasadora od Obrezkowa. Przywieźli oni wiadomość, że 50.000 Turków posuwa się przez Mołdawię ku granicy polskiej, że sułtan bardzo jest niezadowolony z konfederatów, których siły ciągle się zwiększają, że ci ostatni przyjmują do służby tylko zdolnych i zaufanych ludzi, uwalniając wszystkich innych, nie mających tych przymiotów. Wszystko to wróży nowe nieszczęścia dla Polski.

Do wszystkich oficerów, delegowanych na sejmiki, ambasador wysłał instrukcye, polecające im występować jedynie przeciwko zawiązywaniu się konfederacyi, oraz oświadczyć kategorycznie, że do niczego więcej mięszać się nie będą i że szlachta może wybierać posłów, jakich zechce.

Dzień dzisiejszy jest rocznicą elekcyi króla. Byłby to dzień prawdziwie uroczysty, gdyby w tej uroczystości brał udział cały naród, ale ten więcej się cieszy pochodem wojsk tureckich.

Sprawiający interesa wołoskie, p. Saul, mówił mi wczoraj, że maszerująca do granicy armia turecka liczy 70 tysięcy ludzi, że zostaje pod dowództwem baszy rumelijskiego, że jednak chorągiew Mahometa nie została rozwinięta, ani wojna wypowiedziana.

Krasiński wydał nowy manifest, w którym zawiadamia naród o pomocy Porty Ottomańskiej, zapowiadając jednocześnie, że wszyscy, którzyby udali się na przyszły sejm, będą uważani za zdrajców i nieprzyjaciół ojczyzny.

Zachowanie się Porty nie powstrzymuje wcale Rossyi od dawnych zamiarów i planów. Carowa obstaje przy traktacie gwarancyi i prawach dyssydentów, chociażby to miało wywołać wojnę z jakiemkolwiek państwem. Tę opinię polecił mi ambasador zakomunikować listownie księciu Radziwiłłowi, z nadmienieniem, aby w instrukcyach poselskich nie było nic przeciwnego wyżej wymienionym trzem punktom kardynalnym, co gdyby nie miało nastąpić, przekonany jest, że na sejmie skłoni posłów do tego, aby, bez względu na instrukcye, postępowali zgodnie z jego wolą i aby wszystko, co postanowiono na przeszłym sejmie, zostało jednomyślnością zatwierdzone na obecnym.

Z powodu skarg hetmana w. k., że znaczba liczba wojsk rossyjskich konsystuje w jego dobrach, ambasador odpowiedział, że to zarządzone zostało w tym celu, aby go pozbawić środków udzielania pomocy nieprzyjaciołom dworu, jak to miało miejsce niedawno, kiedy wysłał 12.000 dukatów swojemu siostrzeńcowi podczaszemu.

Ambasador otrzymał raport, że na Litwie zawiązują się konfederacye w Kownie, Wiłkomierzu i Upicie. Jest on tego zdania, że Porta zadowoloną będzie z wydanych rozkazów wojskom rossyjskim, aby cofnęły się od granicy, że odjęte zostały dowództwa generałowi Kreczetnikowowi i pułkownikowi Weissmannowi za dopuszczenie nieporządków na granicy tureckiej, oraz że wykonano wyroki śmierci na wielu hajdamakach i zbuntowanych chłopach. Adjutant królewski, Kicki, wyjechał właśnie z synem instygatora koronnego do Lwowa dla ukarania 1.300 uwięzionych tam chłopów.

Rossya zamierza podobno posłać Porcie Ottomańskiej manifest, w którym objaśnia, że nie brała żadnego udziału ani w buncie chłopskim, ani w ekscesach hajdamaków. Ale jakże tu usprawiedliwić podobne ekscesa, skoro ministeryum Rzeczypospolitej zakomunikowało właśnie ambasadorowi rossyjskiemu notę, popartą niezbitymi

dowodami, że popi prawosławni (greckiego wyznania) ciągle podburzają chłopów tego wyznania przeciw unitom i katolikom.

Branicki przysłał kuryera z doniesieniem, że skoro wojska rossyjskie odstępują od granicy, to on własnemi siłami nie będzie w stanie oprzeć się zbuntowanym chłopom, a tem bardziej konfederatom, jeżeli ci ostatni zamierzą wejść znowu w granice kraju tutejszego.

Ile wojsk rossyjskich będzie na Litwie, nie obchodzi to wcale konfederatów; konfederacye zawiązują się tam ciągle i prawdopodobnie przed sejmikami Litwa będzie skonfederowaną. Konfederaci upiccy zarąbali 200 huzarów rossyjskich, którzy zrobili na nich zasadzkę. Oczekiwany od kilku dni w Warszawie hetman Ogiński wcale nie przybył. Zawiadamiał poprzednio, że zapewnie będzie musiał jechać bocznemi drogami i dlatego jest obawa, czy go nie spotkało to, co marszałka Guzowskiego, który zamordowany został w lasach wielkopolskich.

Do Chocimia przybył nowy basza. Spotykali go w podróży marszałkowie konfederacyi. Na udzielonem im posłuchaniu basza zapytał ich, co są za jedni. Po wymienieniu przez nich nazwisk, powiedział do Potockiego:

— „Nazwisko pana jest znane i szanowane przez Turków, jako wielkiego patryoty, ale obecnie panowie jesteście buntownikami i rozbójnikami, rabującymi dochody królewskie, jesteście burzycielami spokoju publicznego, strącacie ojczyznę waszą w przepaść."

Mowa ta zmieszała i zmartwiła marszałków, ale basza roześmiał się i rzekł:

— „Winszuję waszej ojczyźnie, że ma takich zacnych synów-buntowników, którzy poświęcają majątki, rzelewają krew swoją, narażają życie dla jej obrony."

Poczem przyjął ich bardzo uprzejmie. Zapewnie po jego przybyciu do armii ogłoszoną będzie deklaracya o intencyach Porty.

Tutejszy dwór płaci wszystko nowymi holenderskimi dukatami. Król, jak mówią, miał otrzymać przez Gdańsk 350.000 dukatów, tytułem pożyczki od króla angielskiego. Według innej wersyi i to nie bez pewnej racyi, ma to być dar carowej.

Rezydent wołoski objaśnił mi, dlaczego Rossya, mimo zamieszek na Litwie, nie wprowadza tam świeżych wojsk ani od strony Smoleńska, ani od strony Inflant. Ambasador otrzymał notę Porty, która żąda, aby Rossya opuściła prowincye Rzeczypospolitej, a przedewszystkiem, aby cofnęła wojska swoje z województw, graniczących z jej krajami.

Ambasador rossyjski doręczył już panu De la Roche odnośną odpowiedź, w której Rossya, pomijając milczeniem punkt, odnoszący się do opuszczenia Polski, przyrzeka nie wprowadzać tam więcej nowego wojska i cofnąć oddziały wojsk z województw pogranicznych, z tym jednak warunkiem, aby Porta przyjęła na siebie odpowiedzialność za utrzymanie porządku i spokojności w tych województwach i zaręczyła, że nie wpuści tam konfederatów. Z powodu właśnie tej odpowiedzi oczekiwaną jest deklaracya Turcyi, o której wyżej nadmieniłem.

Ze względu na znaną nienawiść Turków i Tatarów ku Rossyi i ponieważ byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną dla Porty, gdyby chciała cofać raz już będącą w marszu armię i gotować do walki, przeto według wszelkiego prawdopodobieństwa wojna jest nieuniknioną.

Sztafeta jednak przywiozła od Branickiego oryginalną odpowiedź nowego baszy chocimskiego, w której tenże oświadcza mu, że wojska tureckie tworzyć będą korpus obserwacyjny, że Porta nie będzie się wcale mięszać do spraw Polski, że chce tylko pośredniczyć dla uzyskania bezpieczeństwa dla konfederatów, którzy się oddali pod jej opiekę. Benoit z tego powodu oświadczył w mojej obecności prymasowi, że basza ten, posiadający całe zaufanie sułtana, gotów jest zrobić wszystko, aby tylko utrzymać pokój.

Oddział, z 400 konfederatów złożony, wpadł niespodziewanie do Bydgoszczy, wziął do niewoli 150 ludzi z pułku Sacha, rozpędził sąd, zabrał kasę z magazynu solnego i odjechał do komor nadwiślańskich, których jednak kasy zastał puste.

W przyszły poniedziałek dowiemy się, do czego są zdolni obecni Polacy, bo właśnie w tym dniu rozpoczynają się sejmiki, na które udać się mogą wszyscy bez obawy i na których w większej nierównie liczbie zbiorą się, niż konsystujące tam oddziały wojsk rossyjskich.

Benoit mówił mi, że nie można się wcale spodziewać dobrych skutków z sejmików, gdyż przyjaciele Rossyi nie śmią się na nie udać. Liczba wojsk rossyjskich, wysłanych przez ambasadora na Litwę, bardzo uszczupliła kontyngens tutejszy i gdyby tak szlachta mazowiecka wsiadła na koń i ruszyła na Warszawę, wszystko, co żyje, uciekłoby w popłochu.

Sejmik warszawski odbył się spokojnie; udział szlachty był bardzo niewielki. Sędziowie Staniszewski i Woliński wybrani na posłów. W ten sam sposób odbył się i sejmik czerski. Nie mamy dotąd żadnej wiadomości o innych, a mianowicie o sejmikach litewskich.

XI.

Cała Litwa zawiązuje w gorączkowym ruchu konfederacye. — Najniebezpieczniejsza oszmiańska jest w stanie wystawić 8 tysięcy kawaleryi. — Dymisya w. wezyra i mianowanie na ten urząd baszy chocimskiego, przyjaciela biskupa kamienieckiego. — Nowe negocyacye Branickiego z konfederatami. — Rozmowa z Igelströmem. — Zagadkowe zachowanie się baszy chocimskiego. — Niezadowolenie Repnina z postępowania Radziwiłła. — Nagły wyjazd rezydentów De la Roche i Saula i spodziewane wypowiedzenie wojny przez Turcyę. — Owacyjne przyjęcie biskupa kamienieckiego w Paryżu. — Uwięzienie Obrezkowa, posła rossyjskiego w Konstantynopolu.

Warszawa, 12. października 1768.

Dotąd nie było zupełnie sejmików w wielu miejscach, jak n. p. w Krakowie, Sandomierzu, Lublinie, Sieradzu, Rawie, Płocku i t. d.; w Wyszogradzie zaś i Dobrzyniu zupełnie się nie udały. Co do tych ostatnich dwór utrzymuje przeciwnie, a ja jestem zdania, iż nastąpi to na skutek nowych uniwersałów, jakie powtórnie rozesłał.

Naczelnik konfederatów wielkopolskich pobity został przez pułkownika Suchotina, który mu zabrał 250 ludzi i 4 działa, a okoliczność ta ułatwiła odbycie sejmiku; nie spodziewają się jednak ztamtąd więcej nad dwóch posłów, t. j. Gawrońskiego i Aleksandra Sułkowskiego.

Według doniesienia, jakie przywiózł kuryer z Litwy, cała ta prowincya znajduje się w gorączkowym ruchu. Zawiązała się nowa konfederacya w Brześciu, inna znowu konfederacya utworzyła się na Żmudzi. Do tej prowincyi wysłany pułk piechoty z Mitawy.

Ambasador rossyjski nie otrzymuje żadnych wiadomości od niektórych generałów, złączonych węzłem przyjaźni z faworytem carowej, Orłowem, jak n. p. Sołtykow, którzy nie chcą być zależni od ambasadora w swoich działaniach wojennych w kraju tutejszym. Kreczetnikow i inni, należący do tej partyi, nie są przyjaciołmi króla, a tem bardziej stronnictwa Repnina. Sam Carr nie ukrywa się ze swoją opinią i oświadcza wyraźnie, że Polska dopóty nie będzie szczęśliwą, dopóki Stanisław August pozostanie na tronie.

Świeże wiadomości o zawiązanych na Litwie konfederacyach bardzo zatrwożyły dwór tutejszy. Najniebezpieczniejszą jest konfederacya oszmiańska, gdyż prowincya ta jest w stanie wystawić 8.000 kawaleryi.

Konfederacya brzeska zabrała kasę wojskową pułku Grabowskiego, około 200.000 złp., oprócz tego 60 siodeł, 80 pałaszy i karabinów.

Województwo nowogrodzkie poszło za przykładem Brześcia. Biskup wileński, który wziął na siebie sejmik miejscowy, nie zdołał nic zrobić mimo obecności 2.000 ludzi wojsk rossyjskich. Konfederaci litewscy obsadzają drogi i lasy i niepokoją wszędzie wojska rossyjskie.

Podobno ambasador rossyjski ma przygotowaną nową deklaracyę, w której oświadcza wprost, że użyje siły przeciw wszystkim, którzy nie są życzliwi dla Rossyi. Pisze do wszystkich senatorów i magnatów, aby przybywali na sejm, w przeciwnym bowiem razie uważać ich będzie za nieprzyjaciół Rossyi.

Konfederacya sanocka sformowała nowy oddział, do 400 ludzi wynoszący. Kilku z nich dostało się do niewoli, a w ich liczbie, według zawiadomienia gen. Apraksina, są tacy, którzy po zdobyciu Krakowa warunkowo byli uwolnieni. Ci zapewnie zostali rozstrzelani.

Wielką nowiną dnia jest dymisya w. wezyra. Był to zacny mąż, prawy, ale już w wieku i nie wojownik. Na urząd wielkiego wezyra mianowany dzielny żołnierz, który przed kilkoma laty był baszą Chocimia, człowiek czynny, energiczny. Pozostawał on dawniej w ścisłych stosunkach z biskupem kamienieckim. Samo się przez się rozumie, że Rossya nie jest z tego wcale zadowoloną.

Konfederaci otrzymali wiele obietnic i propozycyi od Branickiego. Tak dwór tutejszy, jak i ambasador życzą sobie ich powrotu i chcieliby im zbudować do tego złoty most. Zdaje się, że tak Potocki, jak i Krasiński nie odrzuciliby propozycyi, gdyby z innej strony nie mieli pewności silnego poparcia. Co większa, starosta smotrycki, Potocki, zobowiązał się już nawet do powrotu. Wysłano mu w tym celu paszporta od ambasadora i komisyi wojennej. Po rozmowie jednak z bratem, odrzucił wszystkie propozycye i pozostał, z czego wnosić wypadałoby, że muszą liczyć na jakąś wielką pomoc.

Igelström pytał mnie, co sądzę o pogłosce, według której Francya ma wziąć na swój żołd 20.000 Sasów. Odpowiedziałem mu, że pierwszy raz o tem słyszę i starałem się przekonać go wszelkimi sposobami, że Saksonia chce trzymać z Rossyą. Wnoszę jednak z jego mowy, że bardzo zwracają uwagę na Francyę.

Listy z Litwy zawiadamiają, że marszałkiem konfederacyi nowogrodzkiej jest Pac, który ma przebywać w Słucku z wojskiem Radziwiłła. W całej Litwie ma panować wielkie wzburzenie umysłów i wojska rossyjskie tylko z wielką ostrożnością mogą odbywać marsze. Ambasador rossyjski miał podejrzenie na Saksonię, a to z powodu, że Kosakowski zawiązywał konfederacyę na Litwie razem z wujem swoim, który wszakże obecnem swojem postępowaniem zupełnie

uspokoił tego ministra. Przynajmniej tak mi mówił sam książę Repnin. Najprzód uwolnił wszystkich jeńców rossyjskich, a w ich liczbie i adjutanta Igelströma, następnie pożegnał się z towarzyszami broni, namawiając ich, aby wrócili do domów, poczem wraz z wujem swoim uszedł do Prus. Tym sposobem, według słów ambasadora, miały rozwiązać się konfederacye: kowieńska, żmudzka i brzeska.

Cokolwiekbądź, nie wiem, czemu przypisać tę zmianę, tę obojętność na Litwie. Jeżeli konfederacye nie będą z sobą solidarnie trzymać, to w miarę rozwiązywania się jednych drugie tem łatwiej pokonywane będą przez wojska rossyjskie. Przypuszczam, że chyba niektóre mocarstwa odłożyły do wiosny wykonanie swych planów przeciw Rossyi. Ponieważ Kosakowski spełniał tylko polecenia w. hetmana, a ten ostatni znowu prowadził korespondencyę z księżną miecznikową, pozostającą w stosunkach z gabinetem francuskim, przeto z tego powodu zaniechano dalszych planów.

Słyszałem od ambasadora De la Roche, że król pruski miał powiedzieć do generała Skórzewskiego: „Obiecuję wam w roku przyszłym sejm pacyfikacyjny.“ Mówił mi on również, że basza chocimski pisał do Branickiego, iż zamiary Porty względem Rzeczypospolitej są jak najlepsze i byłoby bardzo na czasie, aby Rada stanu wysłała do niego jaką poważną osobę z uczciwym tłómaczem, gdyż miałby mu do powiedzenia wiele ważnych rzeczy, które mogłyby być zużytkowane dla dobra Rzeczypospolitej. Król i gabinet trzymali z początku pomieniony list w sekrecie, nie chcąc obudzać podejrzeń Repnina; następnie jednak, po zniesieniu się z ambasadorem, zdecydowali się nareszcie wysłać tłómacza z poleceniem oświadczenia baszy, że może mu wypowiedzieć propozycye, o jakich napomknął Branickiemu.

Nie umiem sobie objaśnić postępku baszy i intencyi Porty Ottomańskiej, która nie uznała dotąd króla polskiego i jawnie proteguje konfederatów, gdy tymczasem basza znosi się poufnie z reprezentantem partyi królewskiej, t. j. nieprzyjacielem Porty. Wszystko to tak jest sprzeczne i chyba w ten sposób daje się objaśnić, że basza dlatego otrzymał rozkaz podobnego postąpienia, aby lepiej ukryć intencye Porty w przedmiocie prowadzenia wojny.

Poczta sobotnia przywiozła nam wiadomość z Litwy o przyjściu do skutku sejmiku w Pińsku, a również że zawiązała się w Mścisławiu konfederacya, mająca pod bronią 4.000 wojowników, że w Nieświeżu jest już konfederacya, której marszałkiem starosta Pac; w końcu, że w. chorąży Rzewuski stanął na czele 600 ludzi Radziwiłła i pobił oddział wojska rossyjskiego.

Przybyły od księcia Radziwiłła w niedzielę kuryer potwierdził wszystkie te wiadomości. Ambasador był bardzo niezadowolony z księcia Radziwiłła za to wszystko, mimo iż tenże w liście swoim zapewnia, iż ciągle żywi te same uczucia dla Rossyi i jest ciągle na rozkazy księcia Repnina. Ten, podmówiony przez króla i familię, nie posiadał się z gniewu i gotów był wydać rozkazy wojsku do atakowania księcia Radziwiłła. Ale niepodobna przecież było wystąpić w ten sposób przeciw marszałkowi konfederacyi generalnej, który podpisał konstytucyę.

Skończyło się tedy na tem, że przyjmując do wiadomości oświadczenia Radziwiłła, wysłał do niego pułkownika Carra z poleceniem, aby go nie odstępował i przywiózł na sejm do Warszawy.

Niespodziewany wyjazd pp. De la Roche i Saula może być uważany za przepowiednię bliskiej wojny z Portą. Otrzymali oni kuryerem rozkaz opuszczenia Warszawy w ciągu 24 godzin i przyspieszenia swojej podróży tak, aby we dwa tygodnie mogli już być za granicami Rzeczypospolitej. Pożegnali się tylko ze mną, porozumiawszy się, że będą sekretnie korespondować, wysyłając mi listy do Drezna pod adresem p. Georgi. Jeżeli Wasza Królewiczowska Mość uzna to za właściwe, to prosiłbym bardzo o polecenie odbierania tych korespondencyi i o przysyłanie mi ich po odczytaniu przy swoich depeszach.

Wymienieni rezydenci wyjechali stąd za paszportami ambasadora rossyjskiego Repnina, któremu oświadczyli, iż otrzymali od swoich dworów rozkaz wyjazdu.

Listy z Paryża zawiadamiają o przybyciu biskupa kamienieckiego do tego miasta, gdzie ma być przyjmowany z wielkimi honorami. Dwory rossyjski i tutejszy bardzo są niezadowolone z tego, widać zatem, że nie sama tylko Porta Ottomańska gotowa jest do rozpoczęcia wojny. Jestem pewny, że dwór saski skorzystać z tego wszystkiego nie omieszka; życzę tego i pragnę, jako wierny sługa Waszej Królewiczowskiej Mości.

P. Essenius złożył tu królowi listy księcia administratora oraz listy księcia elektora z zawiadomieniem o objęciu rządów elektoratu.

Po odjeździe pp. De la Roche i Saula już drugi kuryer przybywa z wiadomościami od Branickiego, że Tatarzy posuwają się ku Polsce, oraz że on wskutek tego cofać się musi ze swemi wojskami. Wiadomość ta sprawiła wielkie wrażenie. Donoszą z Konstantynopola posłowi szwedzkiemu, że w. wezyr objął już swój urząd i że wojna stanowczo postanowioną została. Taką samą wiadomość odebrał poseł angielski, a będąc osobistym przyjacielem króla polskiego,

bezzwłocznie mu ją zakomunikował. Kiedy król zapytał go, co o tem sądzi, poseł odpowiedział, iż Porta zacznie niezawodnie od tego, że ogłosi tron polski za wakujący, oraz za nieważne to wszystko, co postanowione zostało od czasu bezkrólewia.

Wasza Królewiczowska Mość może sobie wystawić wielkie zaniepokojenie króla z tego powodu, tem więcej, że nie cieszy się uznaniem powszechnem, nie jest wcale kochany przez naród, oraz nie ma przyjaciół, którymby mógł zaufać. Jeden z jego stronników mówił mi, że królowi nie pozostaje chyba nic innego, jak schronić się do krajów imperatorowej.

Byłem u ambasadora rossyjskiego, kiedy król zawiadomił go piśmiennie o ruchach Tatarów. Wpadł on z tego powodu w gniew i wysłał sztafetę z rozkazami do wojsk, w tamtych stronach konsystujących, aby tu natychmiast przybyły. Od chwili otrzymania tych niepokojących wieści, nie może być mowy o sejmie. Żaden z magnatów, ani posłów nie przybył tu jeszcze dotąd i zdaje mi się, że nie przybędzie tu wcale.

Postanowionem zostało, że instygator koronny, Krajewski, jako poseł inflancki ze stronnictwa królewskiego, mianowany będzie marszałkiem sejmu. W razie nadejścia kilku tysięcy wojsk rossyjskich, będziemy mieli drożyznę nadzwyczajną i dlatego wszyscy, nawet ambasador, myślą zawczasu o zaopatrzeniu się w artykuły żywności.

Rezydent angielski otrzymał wiadomość przez kuryera z Wiednia, że Obrezkow, poseł rossyjski w Konstantynopolu, został wezwany przez sułtana, a po godzinnem oczekiwaniu zapytano go, czy może oznaczyć dzień, w którym wojska rossyjskie opuszczą Polskę. Kiedy oświadczył, że nie może tego uczynić, gdyż właśnie oczekuje dyspozycyi od swego dworu, kazano mu wyjść. Zatrzymany następnie jeszcze przez parę godzin, wezwany został powtórnie dla wysłuchania następującej deklaracyi: „że skoro Rossya nie dotrzymała wielokrotnie ponawianych obietnic w przedmiocie wycofania wojsk swoich z Polski, a przeciwnie używa tych wojsk do wykonywania ucisku i ograniczania swobód Rzeczypospolitej, przeto Porta Ottomańska uważa się być w prawie do sparaliżowania tych złych intencyi Rossyi i wypowiada jej wojnę, wskutek czego p. Obrezkow z całą swoją rodziną ma się udać do więzienia.“

Ambasador Repnin konferował w tych dniach z księciem wojewodą ruskim, który mu oświadczył, że miał złych doradców przy tworzeniu konfederacyi radomskiej. Gdyby był trzymał z nimi, byłby uniknął tych smutnych następstw, które teraz tak go niepokoją.

(Ciąg dalszy nastąpi). X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

IV.

„Materyie z nauk“ — czy i o ile zaprowadzono w nich zmiany — profesorowie — podręczniki.

(Ciąg dalszy).

Prócz wymienionych już przedmiotów trzeciego dwulecia należały tu przypuszczalnie: historya i literatura rossyjska, literatura francuska, prawo krajowe i rzymskie; wszystkie wykładano w szerokim zakresie; pierwsze trzy na obu kursach, ostatnie dwa na przemianę: jednego roku krajowe, drugiego — rzymskie.

Historyę rossyjską — po ogólnym wstępie — dzielono na trzy okresy: pierwszy sięgał do Włodzimierza i kończył się na Rossyi w podziałach; drugi — do Jerzego II. i najazdu Tatarów; trzeci — do czasów Jana Wasylewicza I.

Literatura rossyjska w 1816 r. zaczynała się od historycznego porównania języków rossyjskiego i polskiego; dalej następował ogólny wstęp, podział pism poetycznych i prozaicznych na właściwe im rodzaje; w końcu obszernie nader objaśniano na licznych przykładach znaczenie wiersza lirycznego, opowiadającego i dramatycznego. W trzy lata później — obok historycznego i filozoficznego porównania obu języków — wiele czasu poświęcano poetom i prozaikom rossyjskim, zakończyły zaś naukę ćwiczenia pisemne uczniów.

Wykład prawa krajowego dzielono na trzy główne części: Pierwsza z nich omawiała prawa osobiste; treścią drugiej były prawa rzeczowe (o rzeczach i prawie rzeczowem w ogólności; o prawach rzeczowych bezwzględnych, względnych; o przestępstwach i karach);

trzecia traktowała o sądach i przewodzie sądowym; kończyła zaś całkowity wykład historya prawa. Taki sam podział i metodę nauczania zastosowano również na katedrze prawa rzymskiego.

O profesorach obu ostatnich przedmiotów mówiliśmy poprzednio, w grupie prawniczej liceum krzemienieckiego. Z kolei wypadnie obszerniejsze nieco wzmianki poświęcić Czechowi, Schejdtowi i ich następcom; jak również nauczycielom literatury, co najgłośniejsze i najpopularniejsze w kraju imiona, w rzędzie swych pracowników zgromadziła.

Doktor filozofii, Józef Czech, był — jak wiadomo — pierwszym profesorem matematyki wyższej i zarazem pierwszym dyrektorem szkół gubernii wołyńskiej. Jak bardzo Czacki pragnął go widzieć u steru swojej szkoły, jak zabiegał, prosił i tłómaczył obustronny z tego pożytek — rzecz już wszystkim dobrze znana. Czech niedługo sprawował rządy dyrektora wołyńskiego gimnazyum. Krzemieniec to ostatnia epoka pracy trzydziestoletniej człowieka niemałych na polu oświaty zasług, człowieka, którego śmierć otoczenie całe boleśnie nader dotknęła. — Urodzony w Krakowie 1762 r., po ukończeniu studyów, jako młodzieniaszek wysłany został w roli nauczyciela do szkół wydziałowych lubelskich, urządzonych na nową modłę, gdzie przez przeciąg jednego roku uczył w klasie pierwszej przedmiotów tejże przepisanych. Ale już teraz odzywać się w nim poczęła żyłka do nauk z zakresu wyższej matematyki, której tajniki z niebywałem zgłębiał zamiłowaniem. Korzystając więc z nadarzającej się przemiany nauczycieli, przez przeciąg lat trzech w szkołach lubelskich, a następnie rok jeden w płockiej, uczy początków ulubionego przedmiotu, t. j. geometryi. Z kolei, wezwany na nauczyciela tejże do szkół przygłównych krakowskich, dał się bliżej poznać i odpowiednio ocenić sferom, okalającym krakowską akademię, następstwem czego było wezwanie przyszłego dyrektora wołyńskiego gimnazyum do objęcia katedry w owej najpoważniejszej szkole, na obszarach ziem polskich rzuconej. W r. 1791 został właśnie zastępcą profesora wyższej matematyki, po śmierci zaś Jana Krusińskiego mianowany profesorem nadzwyczajnym, a zatwierdzony (1797 r.) przez nowy rząd, staje się jednym z najczynniejszych pracowników akademii krakowskiej, piastując równocześnie godność zwyczajnego profesora matematyki, pomocnika w obserwatoryum i sekretarza akademii.

Zaburzenia, jakie około tego czasu w skołatanej szalały Polsce, wpłynęły nader ujemnie i na losy tej szanownej instytucyi naukowej. Że zaś równocześnie cesarz Aleksander I. — pod wpływem najbliż-

szego otoczenia — o reformach szkolnych myśleć zaczął, a Tadeusz Czacki — ze stosownej chwili korzystając — gimnazyum wołyńskie założył, tu więc na kresach, zdala od stolicy Piastów i Jagiellonów, w placówce urządzanej niegdyś przez zapobiegliwą i niesympatyczną Bonę, nadarzała się i Czechowi sposobność pożytecznej dla dobra ogółu pracy. We wrześniu 1805 r. obejmuje on zwierzchni zarząd nowo-otwartej szkoły i sprawuje tenże po 24. listopada 1810 r. — Tutaj to w chwilach wolnych od zajęć, z piastowaną godnością ściśle skojarzonych, w zacisznym, białym dworku, przygotowuje do druku *Krótki wykład arytmetyki*, jak również tłómaczenie *Początków teoryi Euklidesa* [1]; tutaj — kochany i szanowany powszechnie — kończy doczesną wędrówkę.

Śmierć najbliższych członków rodziny, śmierć długoletniego kolegi i przyjaciela — profesora Schejdta, dobiły spracowanego starca. Nic nie pomogły pielgrzymki do miejsc kuracyjnych, opieka i troskliwość lekarzy, gimnazyum straciło swego zwierzchnika na zawsze, czcząc pamięć jego z wielką uroczystością w żałobnym obchodzie 28. kwietnia 1811 r. Gorące wspomnienie poświęcił swemu koledze Euzebiusz Słowacki, profesor wymowy [2]; profesor zaś literatury, ks. Aloizy Osiński, wygłosił egzortę, pełną zapału i uznania dla nieboszczyka, rozpoczynając ją od słów: „dobrych prac chwalebny jest owoc“. Wspomniawszy, iż do ś. p. Czecha zastosowaćby można powiedzenie króla Dawida — „nieprawość miałem w obrzydzeniu“ — dodaje, że wraz z przezacnym prefektem Jarkowskim zasłużyli się wielce około dobra gimnazyum: „można śmiało powiedzieć, że ta szkoła winna zmarłemu i pełnemu wszelkiey zacności Współpracownikowi chęci chwalebne i trafne zapobieżenie wielu nieprzyzwoitym skutkom, mogącym wyniknąć.“ Jako godnego następcę na posadzie dyrektora wymienia ksiądz profesor Jana Nepomucyna Lerneta, co „przyjazny oświeceniu, bo sam uczony, pełen chęci szlachetnych, bo część majątku znaczną dla nauki i szczęścia ubogich zapisał“ [3]).

Wracając jeszcze do Józefa Czecha, zanotować należy, że liczne towarzystwa naukowe — w uznaniu zasług na polu matematyki położonych — zaliczyły go do liczby swoich członków. Należał on i do warszawskiego Tow. przyj. nauk, z tej też racyi na posiedzeniu, w dniu 10. stycznia 1814 r. odbytem, poświęca prezes, Stanisław

---

[1]) Śniadecki Jan: Pisma rozmaite. Wilno 1818. T. II. 44.
[2]) *O życiu i pracach uczonych Józefa Czecha* . . . Wilno 1811.
[3]) *Kazanie na obchód pamiątki Józefa Czecha.* Krzemieniec.

Staszic, ciepłe wspomnienie krzemienieckiemu dyrektorowi, dodając równocześnie, że wśród nowo-wybranych członków towarzystwa znajduje się i przyszły profesor tejże szkoły — Aloizy Feliński [1]).

Jak wielkiem było pragnienie Czackiego, by Józefa Czecha do Krzemieńca zwokować, tak wielkim był żal, że zbyt krótko nieboszczyk tu pracował. Odezwa starosty, skierowana do grona profesorów i wychowańców gimnazyum, może być klasycznem świadectwem tak uczuć Czackiego, jak i zasług Czecha, który Jana Śniadeckiego „dokładność w tłumaczeniu prawd Matematycznych przeniósł na naszą ziemię (t. j. na Wołyń), a tę samą iasność w poięciu i wyłożeniu przekonania, przeniósł równie w sprawowanie Rządu". „Wyłożywszy, co wspólny żal i szacunek wymaga" — postanawia dalej Czacki: „1) Będzie dla żałobnego obrządku w Kościele Gimnaziowym wyznaczony dzień. Uczniowie i Nauczyciele w żałobie, podług możności będą się znaydować na tey smutney uroczystości. J. X. Professor Literatury będzie miał kazanie, a Profesor Wymowy pogrzebową mowę. 2) Zanoszę prożby do nayszanownieyszego Pasterza, aby Duszę zmarłego modlitwom Diiecezii polecić raczył, a w każdey szkole Powiatowey tych trzech Gubernii, z których szczególniey młodzież w Krzemieńcu doskonaliła się, będzie żałobne nabożeństwo i mowa pogrzebowa o zasługach zmarłego. Ta mowa do Gimnazium przesłaną zostanie. 3) Od dnia rozdania tego obwieszczenia przez sześć Niedziel Nauczyciele i Uczniowie nosić będą znaki żałoby. 4) Obraz zmarłego będzie zawieszony w sali Fizyczney. 5) Na marmurze wyryte będą Imię, przezwisko; Urząd, zasługi Józefa Czecha, z tem wyrażeniem, „że każdy co go znał, żałował iego zgonu, i po iego śmierci płacz był powszechny." 6) Wiele razy nastąpi odmiana Dyrektora Wołyńskiego Gimnazium, w mowie która miewa się przy oddaniu władzy przyimuiącey ią osobie, maią bydź te wyrazy: „bądź podobnym Józefowi Czechowi a równa wdzięczność publiczna ciebie czeka". 7) Wdowie i dzieciom w miarę możności upewnimy winną wdzięczność" [2]).

Że punkt pierwszy z całą powagą wykonanym został — wspominaliśmy nieco wyżej. I to pewna, że szósty w zwyczaj wprowadzono, o czem zresztą przekonamy się przy opisie uroczystej installacyi następcy Józefa Czecha na urzędzie dyrektora szkół gubernii wo-

---

[1]) *Roczn. Warsz.-Król. T. P. N.* — Warszawa 1817. T. X. s. 107.

[2]) *Odezwa do Uczniow i Nauczycielow Gimn. Wol.* (druk ulotny, kart 2).

łyńskiej. Że tablicę pamiątkową w kościele gimnazyalnym wmurować musiano, wnioskować można ze wzmianek, napotykanych w korespondencyi Czackiego, a nadto przemawiają za tem twierdzenia rossyjskich autorów, że starosta pragnął w Krzemieńcu urządzić wołyński *Westminster*. Przypuszczamy, iż i pozostałe cztery punkty w czyn z projektu zamienione zostały; trzy z nich nie przedstawiały ani większych kosztów, ani trudności; jeden tylko, siódmy, wymagał pewnego, znaczniejszego nakładu, lecz i temu, przy szczerych chęciach i właściwej wizytatorowi zapobiegliwości, zaradzić łatwo. Sala fizyczna należała w Krzemieńcu do największych i najwspanialszych; odbywały się w niej doroczne popisy i wszelkie inne uroczyste publiczne zebrania, z tych też powodów tutaj zawiesić uchwalono podobiznę pierwszego, nieodżałowanego dyrektora.

Następcami Czecha na katedrze wyższej matematyki zostali Michał Ściborski, a po nim znany nam już Stefan Wyżewski. Pierwszy z nich został w połowie 1812 r. zwierzchnikiem wołyńskiego gimnazyum, o czem zresztą we właściwem miejscu obszerniej pisać będziemy.

Szereg profesorów chemii i historyi naturalnej rozpoczynał w Krzemieńcu Franciszek Schejdt, kolega i przyjaciel Czecha, człowiek pierwszorzędnych zdolności i rzadkiej znajomości wykładanych przedmiotów. Wspominaliśmy o nim kilkakrotnie na poprzednich kartach naszej pracy, podnosząc fakt, jak usilnie pragnęli go Czacki i Kołłątaj widzieć pracującego na kresach. Miał on zostać dyrektorem gimnazyum podolskiego i jedynie zastępczo wykładał w Krzemieńcu. Często jednak inaczej projektują ludzie, inaczej postanawia władza od nich wyższa, i tym razem więc nie danem było Schejdtowi dotrzeć na Podole, umiera na tymczasowej posadzie w Krzemieńcu, pociągając za sobą do grobu długoletniego przyjaciela i stałego w tułaczce po szerokim świecie, towarzysza, a gimnazyum wołyńskie ponosi prawie równocześnie dwie tak olbrzymie straty.

Już dawno umilkły dzwony pogrzebowe, już następca Schejdta miał czas poznać dobrze swoich słuchaczy, kiedy w innym końcu Polski odezwał się głos pochwalny, czczący pamięć zmarłego krzemienieckiego profesora. Na publicznem posiedzeniu warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w dniu 30. kwietnia 1812 r., czyta Michał Bergonzoni, medycyny doktor, były protomedyk, inspektor jeneralny służby zdrowia Księstwa Warszawskiego — rozprawę o życiu i pracach nieboszczyka, członka tej poważnej instytucyi nau-

kowej [1]). „Przypominać pamięć zmarłych wielkich mężów, iest to samo co przypominać ich cnoty i zasługi, przez które byli społeczności użytecznemi: ten zaś był użytecznym, który we wszystkich czynnościach publicznego i prywatnego życia, innego celu nie miał przed oczyma, iak iey dobro i pożytek.“ Takim był Franciszek Schejdt. Urodzony w Krakowie, z miejscowej patrycyuszowskiej rodziny, już w 23. roku życia nietylko włada kilkoma językami, ale posiadał wszystko, czego od nauczyciela wymagać można. W r. 1780 znalazł się też w Lublinie, w roli profesora fizyki, a wykłady jego tyle budziły zajęcia, że wśród słuchaczy — obok uczniów — zasiadało w ławkach wielu starszych okolicznych ziemian. Tak zdolny człowiek nie mógł zbyt długo zostawać na prowincyi i o Schejdcie też nie zapomniano, wzywając go w 1785 r. do Krakowa. Tutaj otwierało się przed nim szersze do badań naukowych pole, pracuje nad elektrycznością i chemią, urządza gabinet mineralogiczny i ogród botaniczny, sprowadza rzadkie okazy flory ze wszystkich stron kraju, powagi naukowe zagraniczne i miejscowi mecenasi oświaty użyczają mu swego poparcia, w wolnej chwili zaś robi wycieczkę do Wiednia, a nadto — otoczony gronem słuchaczy — kollekcyonuje na obszarach polskich zielnik, nierzadko nieznane dotąd odszukując rośliny. Stanisław August, protektor nauk, zaszczyca go swoimi względami, wysyła dla zbadania gór miedzianych i min srebrnych w Olkuszu — słowem profesor Schejdt nie zaniedbuje niczego, by jeno wiedzę polską posunąć naprzód, a zacne mieszczaństwo krakowskie, co — mimo z obca brzmiących nazwisk — wydało z pomiędzy siebie tylu zasłużonych ojczyźnie ludzi, może bez obawy i chwilowego profesora krzemienieckiego do najwybitniejszych zaliczyć swoich reprezentantów.

Rok 1794 innego rodzaju pracę wepchnął na barki uczonego chemika; oto współobywatele krakowscy — znając uczciwość profesora — mianują go sędzią w wydziale kryminalnym. Zmuszony opuścić miasto rodzinne, zjawia się w Warszawie, by tutaj — patrząc na wypadki listopadowe — kompletnie posiwieć. Nowy rząd ofiarowuje mu w Krakowie poprzednio zajmowaną przezeń posadę, równocześnie jednak i Czacki się doń zgłasza z propozycyą dyrektorstwa w podolskiem gimnazyum, co też prof. Schejdt przyjmuje. Szkoła podolska wymagała atoli koniecznej reorganizacyi, nie chcąc więc być bezczynnym, zajmuje szanowny Krakowianin tymczasowo katedrę chemii i historyi naturalnej w gimnazyum krzemienieckiem,

---

[1]) *Roczniki W. K. T. P. N.* Warszawa 1816. T. IX. str. 459.

gdzie laboratoryum chemiczne, ogród botaniczny, oraz gabinety fizyki i mineralogii zakłada.

Ciężka i ciągła praca zrujnowały organizm, sił odpornych zabrakło, w ostatnich dniach sierpnia 1807 r. prof. Schejdt umiera, choć mógł jeszcze dla dobra szkoły i najbliższej rodziny, którą sam utrzymywał, niejeden lat dziesiątek pożyć. Osierocił żonę i dwoje dziatek, któremi władza zaopiekować się postanowiła.

„Nigdy ludziom nie szkodził i miał dlatego przyjaciół: gdzie się znaydował, nikogo nie zasmucał, miał spoyrzenie miłe i przenikaiące, mowa iego była słodka i przekonywaiąca; uczony bez dumy, mądry bez uprzedzenia o sobie; prawdziwie cnotliwy, a nieprzesadny patryota“ [1]).

Katedrę chemii zajął z kolei Tadeusz Szostakowski [2]), uczeń Jędrzeja Śniadeckiego, wielkich zdolności profesor, a w tak wysokim stopniu posiadał on dar wymowy, że — choć pamiętano świetne wykłady Schejdta — mimo to zgromadzał na swych prelekcyach licznych słuchaczy, nawet z poza sfer akademickich. Chorowity, często zapadał na zdrowiu, w łóżku witać mu wypadło 1. stycznia 1811 r., o czem wzmiankę znajdujemy w listach Czackiego do prefekta pisanych: „Mam wiadomość od p. Hańskiego, że p. Szostakowski mocno słaby. Widziałem w nim zaród melancholii. Racz prosić p. Siedelmejera, aby go kurował, a jego, aby kuracyę rozpoczął. Szkodaby tak pilnego i dobrego Professora“ [3]). Opieka krzemienieckich powag lekarskich o tyle pomyślnym uwieńczoną została skutkiem, że prof. Szostakowski żył jeszcze do 1826 r., z katedrą chemii rozstaje się on już jednak w 1815 r. Dr. Kaczkow-

---

1) Dr. M. Bergonzoni (Roczniki) j. w.

2) Najwłaściwszem chyba będzie na tem miejscu powtórzyć wyjątek z korespondencyi Czackiego z Śniadeckimi (*Ręk. Bibl. Jagiel.* Nr. 3102): „Piszę do P. Jędrzeja, aby dał mi kogo na Professora Chemii, ieźli kochany Schejdt niesposobnem będzie, albo żyć przestanie. Jeden, lub drugi wypadek, acz niezmiernie smutny, iest prawie pewnem. Scheidt uczył Chemii i całey historyi Naturalney, o iedney tylko mineralogii mało mówił. Podobno iest rzeczą trudną znaleśdź Professora, którýby z taką dokładnością uczył tych przedmiotów, potrzeba tedy dawane lekcye Schejdta podzielić na dwóch, to iest Nauczyciela Chemii i Historyi Naturalney. Pierwszy zapewne iest uformowany, drugiego uformować potrzeba. O pierwszym czekam wiadomości. Drugi pewnie będzie wybranym. Trzeba mu wojażu: ten chciejcie obydwa przepisać...“ Tyle z listu. Jak się rzeczy ułożyły, podajemy w tekscie opowiadania.

3) *Athenaeum.* Wilno 1848, od. II. T. V. str. 108; Andrzejowski: Ramoty II. 231—232.

ski zapisuje w swych ciekawych wspomnieniach [1]), iż uczony, lecz zarazem nieszczęśliwy pedagog — z zapamiętałej miłości ku staro-ściance Maryi Czackiej — „rozum zupełnie stracił", konieczna więc było w szkole zastąpić go kim innym. Wybór padł tym razem na Zienowicza. Szostakowski ogłosił drukiem *Pieśni i anakreontyki*, nie samą więc chemią czas wszystek wypełniał [2]).

Katedra mineralogii i botaniki nie od razu obsadzoną została; po paru latach dopiero roździelono wzmiankowane przedmioty między dwóch profesorów: botanikę, z dodatkiem zoologii, obejmuje dr. medycyny, pierwszorzędna powaga naukowa, jedyny obcokrajowiec w szkole wołyńskiej — Wilibald Besser; mineralogię — z dodatkiem technologii — Stefan Zienowicz. Ostatniemu powierzono z czasem — jak to wzmiankowaliśmy — wykłady chemii.

W tem miejscu dodać nie zawadzi, że w czasie choroby prof. Schejdta zastępował go w wykładach botaniki młody asystent Jaworski, z którego polecenia odbywa Andrzejowski — podówczas słuchacz jeszcze — z ogrodnikiem Grabowskim wycieczki, mające na celu zgromadzenie okazów do zielników szkolnych [3]). Że Andrzejowski został z czasem asystentem Bessera — zobaczymy poniżej; co się stało z Jaworskim i Grabowskim? nie wiemy. Zdaje się jednak, że z szkołą krzemieniecką rozstać się prędko musieli. Natomiast spotykamy tam pełniących obowiązki ogrodników zakładowych: Karola Witzel'a, faworyta profesora, Niemca, co — skarciwszy nadto gburowato kursistę, zrywającego kwiaty w ogrodzie botanicznym, wywołał w szkole głośną awanturę, i Józefa Hoffmanna. Pierwszy z nich ogłaszał systematycznie w języku polskim katalogi nasion i roślin [4]).

Wilibald Besser, choć Niemiec, wielkie zasługi dla dobra polskiej szkoły i polskiej nauki położył. Urodzony w Insbruku 1784 r., tam też pobiera początkowe nauki. Zostawszy sierotą, spieszy 1797 r. do Lwowa, kończy tutaj gimnazyum i rozpoczyna uniwersyteckie studya; w 1807 r. uzyskuje w Krakowie stopień doktora medycyny, w następnym zostaje asystentem kliniki i — jako taki — odbiera wezwanie Czackiego do objęcia w Krzemieńcu katedry zoologii i botaniki, wraz z dyrekcyą botanicznego ogrodu [5]). W ten sposób znowu

[1]) *Wspomnienia* II. 204—5.

[2]) Estreicher: IV. 452. Słowikowski: Wspomn. j. w.

[3]) *Ramoty Dziuka* II. 153—154.

[4]) Estreicher: Bibl. V. 113; Słowikowski j. w.

[5]) Profesor bardzo troskliwie chodził około ogrodu botanicznego. Wielce ciekawym jest: „Regestr Drzew Fruktowych, Roślin i Plantów,

przerzuconym został młody Niemiec na krańce świata zupełnie mu nieznane, gdzie się z czasem zaaklimatyzował, z miejscowym żywiołem spokrewnił, dorobił niemałej fortuny i większego jeszcze rozgłosu. Z drugiej strony jednak przyznać trzeba Czackiemu, że posiadał dar poznawania ludzi, że ze sprowadzonych na Wołyń młodzieńców niejedna w przyszłości pierwszorzędna wyrosła powaga.

W r. 1809 obejmuje dr. Besser wyznaczoną mu posadę w Krzemieńcu; w dwanaście lat później uzyskał potwierdzenie zagranicznego stopnia naukowego; w r. 1834 — po zamknięciu liceum — zasiada w gronie profesorów uniwersytetu św. Włodzimierza, wykłada tam botanikę przez przeciąg lat trzech, jakie mu potrzebne jeszcze były do otrzymania emerytury. Widocznie jednak z miejsc, w których czasowo przebywał, najmilsze wspomnienie zostawił mu Krzemieniec, tutaj bowiem wraca 1841 r., tutaj w następnym umiera. Niezmordowany pracownik, każdą wolną od zajęć profesorskich chwilę poświęcał badaniu flory i fauny Podola, Wołynia i Ukrainy, to też znał ją tak dobrze, jak nikt chyba przed nim a mało kto po nim. Znakomity jego zbiór owadów i biblioteka stały się własnością uniwersytetu kijowskiego. Dzieła wydane przezeń, nadto liczne, by je tu wypisywać; przesyłał je w darze i do oceny warszawskiemu towarzystwu naukowemu, które też wyrazów uznania wołyńskiemu nie szczędziło profesorowi. *Słownik roślin Grekom starożytnym znanych i na polski język przełożonych* — opracował wspólnie ze swoim asystentem, Antonim Andrzejowskim [1]).

Ostatni — była to postać, jak zapewniają jego znajomi, bardzo sympatyczna. Charakter szczery i otwarty, gaduła wielki, co zresztą dostatecznie odbija w napisanych przezeń *Ramotach starego Detiuka o Wołyniu*, gdzie i Krzemieńcowi niejeden poświęcił rozdział. Początkowo uczeń Bessera, z kolei tegoż pomocnik, figuruje równocześnie jako profesor rysunków w oddziale pierwszym. *Ramoty*

---

potrzebnych do Ogrodu Gimnaz. wołyńskiego na następną wiosnę (4. III. 1808)." Trudno nam podawać na tem miejscu wszystkie cyfry, zanotujemy więc tylko, że potrzebnych okazów dostarczyły ogrody: kowieński, korecki, annopolski, Borejki, międzyrzecki, mizocki, dubieński, lubomlski, sielecki, porycki, tulczyński i humański, [*Ręk. Muz. Czart.* Nr. 3442. T. II. (jak wyż.) Nr. porządkowy 161].

[1]) *Roczniki Warsz. T. P. N.* Warszawa 1823. T. XVI. 33—34, 219; *Słownik lek. polsk.* Warszawa 1833. Zesz. 1. str. 29; Słowikowski: Wspomnienia j. w.; Estreicher: Bibl. I.; Kaczkowski: Wspomn. II. 184—186. Obszerny życiorys Bessera umieścił X. Józef Wyszyński w *Bibl. Warsz.* 1845 r. T. III. str. 179—185.

jego, to najdokładniejsza autobiografia starego Detiuka — jak siebie sam tytułuje. Członek kilku towarzystw naukowych — po zwinięciu liceum — zostaje adjunktem botaniki i zoologii w Kijowie; w r. 1839 pełni obowiązki profesora nauk przyrodzonych w liceum księcia Bezborodki w Nieżynie, gdzie otrzymuje z czasem emeryturę. W licznych wędrówkach po kraju — od górnego biegu Zbrucza aż po morze Czarne — zbiera materyały do przyszłych prac swoich; umiera w Niemirowie, w siódmym dziesiątku lat bieżącego wieku [1]).

W *Pamiętniku galicyjskim* za rok 1821 [2]) umieszczają obaj wyżej wspomniani przyrodnicy: *Uwiadomienie z Krzemieńca*, zachęcające rodaków do tworzenia zielników, które niejednokrotnie są tak wielką pomocą w poznawaniu krajowej flory. Proponując wzajemną wymianę okazów, ofiarowują ze swej strony znaczne korzyści; innym gotowi — za pewną, z góry oznaczoną kwotę — sprzedawać komplety roślin, uporządkowanych i objaśnionych podług ostatnich wymogów nauki. Czy odezwa ta odniosła jaki skutek? powiedzieć nie potrafimy.

Jedną z roślin, odszukanych w wędrówce po kraju, nazywa Andrzejowski — na cześć założyciela szkoły krzemienieckiej — *Czackia* i przesyła jej opis warszawskiemu naukowemu towarzystwu, dołączając w darze cenny zbiór 200 rzadszych okazów flory podolskiej [3]).

Zmarły w Łucku 1856 r. zgrzybiały starzec, Stefan Zienowicz, był — jak wiadomo — profesorem chemii, mineralogii i technologii w liceum [4]), z kolei w uniwersytecie kijowskim, gdzie nawet godność dziekana wydziału filozoficznego powierzoną mu została. Odznaczał się olbrzymią pracowitością, pisał bardzo wiele, był nawet twórcą nowej fizycznej teoryi, lecz dzieła jego u współczesnych naukowych instytucyi nie mogły wywalczyć sobie aprobaty; społeczeństwo — zdala od owej bezkrwawej walki stojące — posądzało w danym wypadku Wilno o zawiść i prywatę; bezstronnie jednak rzecz biorąc, przyznać trzeba, że szanowny profesor czasami w zapale dochodził do dosyć zabawnych twierdzeń [5]).

---

[1]) Sobieszczański: Enc. pow. Org. I. 796; Słowikowski j. w.; *Ramoty Detiuka*, T. I—IV.; W. K. Guldman: Podolska Gub. 49—52, 59 i t. d.

[2]) Lwów, T. I. 228—238.

[3]) *Roczniki W. K. T. P. N.* Warszawa 1822. T. XV. 132, 134; 1823. T. XVI. s. 14.

[4]) Asystentem i zawiadowcą laboratoryum był przy profesorze Zienowiczu: Panomarowicz (Walent. Spektator j. w. s. 280).

[5]) Kaczkowski: Wspom. II. 205; Słowikowski j. w.; Sobieszczański: Enc. pow. Org. XXVIII. 612.

Jak to z zestawienia przedmiotów, wykładanych w trzeciem dwuleciu widoczna, zajmowały tam poważne miejsce lekcye literatury. Nauka tejże obejmowała szeroki bardzo zakres; udzielana uczniom w sposób uniwersytecki, pochwalić się mogła, że jej katedry zajmowali — kolejno po sobie — ludzie nierzadko wielkiej wiedzy, cieszący się uznaniem ogółu. Obok wykładów obowiązkowych omawianego przedmiotu, istniały i nadobowiązkowe. Do pierwszych zaliczano literaturę polską, łacińską i grecką, francuską i rossyjską; do drugich literaturę angielską a nadto, jako przedmioty dopełniające figurowały: język grecki, nauka wymowy francuskiej, gramatyka powszechna i bibliografia. Dodatkowe przedmioty rozdzielano chyba między trzy dwulecia, albo — jak to się działo później — słuchali tychże uczniowie wszystkich kursów — jeżeli *nota bene* zapisać się na odpowiednie prelekcye mieli ochotę. W godzinach, od wszelkich zajęć szkolnych wolnych, ćwiczyli się uczniowie w grze na skrzypcach, w jeździe konnej, gimnastyce, fechtunku, pływaniu i tańcach. Obok tego istniały jeszcze osobne kursa rysunków, malarstwa i kaligrafii; mechaników praktycznych i geometrów. Jeżeli tu dodamy wreszcie agronomię teoretyczno-praktyczną, wykłady hygieny i wakcyny (szczepienia ospy) — da nam to przybliżone pojęcie, w jak szerokich rozmiarach została w czyn wprowadzoną myśl projektu Czackiego i Kołłątaja. Nie powstały wprawdzie ani szkoła chirurgów, ani guwernantek, ani parafialnych nauczycieli, lecz i to, co uczyniono — było już w ówczesnych warunkach czemś bardzo wielkiem, na uznanie — w całem znaczeniu słowa — zasługującem. Gdyby Czacki dłużej pożył, gdyby postępowanie rządu nie wywołało zbrojnego ruchu, możeby i reszta projektu, odpowiednio na lepsze zmieniona, do skutku doprowadzoną została. Obydwa wypadki stanęły temu na przeszkodzie, drugi wywołał nadto silną reakcyę, następstwem której było uśmiercenie polskiego liceum wołyńskiego, a powstanie rossyjskiego uniwersytetu w Kijowie.

Na katedrze literatury greckiej spotykamy Krakowianina, magistra filozofii, Michała Jurkowskiego, wykładającego zarazem dodatkowo: język grecki, encyklopedyę filologiczną, starożytności greckie. Zapalony filolog i niepospolity znawca greczyzny, uczy w Krzemieńcu od początku do końca istnienia szkoły Czackiego, zapracowując swoją gorliwością na słowa uznania i pochwały ze strony zwierzchników. I tak n. p. doniósł w 1821 r. Franciszek Rudzki, bawiącemu w Paryżu księciu kuratorowi, o dodatniej działalności profesora; d. 16. kwietnia nadeszła do Krzemieńca odpowiedź, skreślona przez przybocznego sekretarza Adama Czartoryskiego. Powta-

rzamy z niej najwięcej interesujący nas w danym wypadku ustęp: „Xże bardzo był kontent, czytając w liście pana, że p. Jurkowski oprócz kursu obowiązkowego daje uczniom, przez samą gorliwość tylko, lekcye krytyki i hermeneutyki. Takiej to gorliwości szkoła do wzrostu potrzebuje...“ [1]) Nie jest to wypadek odosobniony.

Po zamknięciu liceum zostaje Jurkowski, w roli emeryta, dalej na miejscu, gdzie też i umiera pięknego doczekawszy się wieku. Kształcił się w krakowskiej Akademii i zagranicznych uniwersytetach; był czas jakiś profesorem języka greckiego i zastępcą prefekta w krakowskiem gimnazyum akademickiem, ztąd powołany do Krzemieńca. Z prac jego największa, to *Słownik grecko-polski i polsko-grecki;* zaczął on tenże drukować w 1830 r. w Krzemieńcu, ale zaszłe około tego czasu wypadki nie pozwoliły dzieła do końca doprowadzić [2]). W r. 1862, za staraniem margrabiego Wielopolskiego, miał Żupański w Poznaniu wydać drugą edycyę słownika, z uzupełnieniami Wannowskiego i Węclewskiego; projektowano całość wtłoczyć w 160 arkuszy druku. Obok omawianej pracy ogłosił Jurkowski *Antologię grecką* — podręcznik dla uczniów gimnazyum wołyńskiego, oraz rozprawę: *O Demonach, czyli Geniuszach u filozofów greckich w stosunku do duszy człowieka* [3]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle

---

[1]) *Rękop. Bibl. Jagiel.* Nr. 4569. (Papiery F. S. Rudzkiego).

[2]) Obszerniejszą i bardzo przychylną wzmiankę o *Słowniku* prof. Jurkowskiego znajdujemy w *Athenaeum.* Wilno 1844. T. V. 216—219.

[3]) Estreicher: Bibl. II. 308; Słowikowski j. w.; Sobieszczański; Enc. pow. Org. XIII. 544.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

(Dokończenie).

2. Źródła produkcyjne i ich charakter; Gospodarstwo i zagroda rolnika; Miary i wagi; Pszczelnictwo; Bobrownictwo; Chów zwierząt.

Gospodarstwo rolnika XI. w. w północno- i południowo-wschodniej Rusi bardzo było podobne do dzisiejszego włościańskiego pod względem typowego urządzenia — nie prowadzenia i organizacyi, chociaż i w tym względzie dużo zachowało się wspólności. Całe owoczesne gospodarstwo zwało się domem a łącznie z budynkami niezbędnymi, chałupą, inwentarzem żywym i martwym stanowiło jedną całość [1]), którą „ospodar“, „ospodin“ rozporządzał według własnej woli. Chałupę, znajdującą się w tej zagrodzie, nazywano w okolicy lesistej kletią (klet'), niedaleko było gumno, obok kleti chlew; na gumnie prastary magazyn zbożowy Słowian, zwany jamą [2]). Budynki gospodarskie były ugrupowane na jednym dziedzińcu, w okół kleti, jak i teraz, klet' zaś do południa zwróconą była. Charakterystyczny ten zwyczaj budowania domów do słońca

[1]) Kucharski: Ant. mon. 25. 48. „Aże kto umiraja rozdielit dom, na tomże stojati.“

[2]) Klet' = dom mieszkalny, zbudowany w zrąb. Wyraz pochodny od klecić, składać w pewnym porządku kloce, kawałki drzewa. Gumno = (um) = (g)umno = rezultat umna, umienia, umiejętności gospodarskiej, znajomości fachowej. Litera *g* często nie wymawiała się wcale, zlewając się z samogłoskami, których była przedłużeniem. Nie twierdzę, tylko szukam wytłómaczenia. Może wreszcie wyraz ten pochodzi od imienia, mienia, miejsca, gdzie bywał złożony majątek, własność rolnika. Skądby miał pochodzić chlew — nie wiem. Niezawodnie jednak; że musi mieć związek z wyrazami chleb i gleba.

przechowuje się dotąd we wsiach słowiańskich. Przejeżdżając wsie południowej Rusi, widzi się z jednej strony cały szereg chałup, tylną częścią do drogi zwróconych i wysmarowanych żółtą gliną, gdy front i wnętrze białą gliną lub wapnem bielone. Co do budownictwa spostrzegamy w ogóle odrębny typ domu mieszkalnego, charakteryzujący się krytymi gankami, które tworzyły bądź portal grecki, bądź kolumnadę. Dodać nawiasem godzi się, że styl taki przechowuje się dotychczas w południowo-wschodniej Rusi, a nawet dalej w głąb sięga. Widać go w zastosowaniu w dworach i dworkach szlacheckich po miasteczkach, a niekiedy całe wsie są w ten sposób budowane. Domy z górnicą, którą Niemcy, cywilizując Słowian, przerobili na dörnice, a Ruś dotąd zwie horiszczem, u Rusi północnej są dotychczas w użyciu; u stepowej, południowej Rusi przechowała się tylko nazwa [1]).

W snopie zboże składano tylko w gumnie, w stożkach, stogach, w stertach, w ziarnie — szczególnie; jeżeli to miały być zapasy na dłuższy czas — przechowywano w jamach, gdzie, na wypadek wojny, składano wszystko, co miało wartość a przechować się w ziemi dało [2]).

Rolnictwo w owe czasy nie stanowiło zajęcia tak ściśle odosobnionego i zamkniętego wyłącznie w produkcyi roślinnej, jak się zdarza niekiedy teraz w krajach o rolnictwie wysoko posuniętem

---

[1]) Opisy znajdzie czytelnik u Sieniawskiego: *Pogląd na dzieje Słowian*, 355; u Aug. Haxthausen'a: *Studien über die in. Zust. d. Volksleben und insbesondere die ländlichen Einricht. Russland's*. 1847, 1852.

[2]) „Gdy się odgłos wrzawy wojennej rozniósł — powiada Helmold — (patrz *Kron. słow.* 258), wtedy zboże z plew oczyszczone, złoto, srebro i wszelkie kosztowności chowają w jamy, żony zaś i dzieci chowają bezpiecznie po warowniach w lesie.“ Jamy takie opisuje na Białej Rusi i Moskwie Gwagnin (*Kron. Sarm.* 217), mówiąc, że jedni zsypują zboże do szpichlerzy, inni do jam, do lochów podziemnych, gdzie składano w ogóle zapasy żywności obok kosztowności. Jamy takie były o otworze owalnym, niewielkim, rozszerzające się w głąb, wypalone słomą wewnątrz, aby nie było robactwa i wilgoci. W dzisiejszej Rusi południowo-wschodniej, która skutkiem położenia swego najdłużej była narażoną na niepokoje ze strony sąsiadów stepowych, najdłużej przechował się ten zwyczaj ludu wiejskiego, a dziś nawet jamy służą, jako schowek na kartofle i buraki. W Kijowie, na górze Wzdychalnicy, gdzie niegdyś stał zameczek litewski, w czasie plantowania góry, odkryto właśnie taką jamę ze szczątkami zboża. (Zakrzewskij: *Opisanije Kijewa.* Moskwa 1868, t. I.).

lub stojącem na szczeblu gospodarstwa rabunkowego. Wspierało się ono o inne gałęzie produkcyjne, łączyło się z niemi ściśle i pewną całość wytwarzało. Mam tu na myśli pszczelnictwo, bobrownictwo, jakoteż hodowlę zwierząt domowych, o czem niezadługo mówić będę.

Wspominaliśmy już o wierwi, jako mierze ziemi, która dotychczas utrzymała się w Rossyi [1]). Dodać do tego musimy, że wierw, jako miara, przechowała się także na Litwie i jeszcze w XVI. w. powszechnie była używaną [2]). Ponieważ gmina nosiła także urzędownie, bo w prawodawstwie, nazwę werwi, nasuwa się pytanie, skąd mogła powstać ta identyczność nazw? Odpowiedź na to pytanie stoi poniekąd w związku z pewną formą własności ziemskiej i charakterem jej posiadania. Jużci, skoro istniały nazwy seło, obcza i mir na określenie pewnego skupienia ludności, to każda z tych nazw musiała pierwotnie czemś różnić się od siebie, posiadać jakieś cechy odrębne, sobie właściwe. Co do werwi, sądziłbym, że nazwa ta, po za pewnemi prerogatywami lub prawami społecznemi, wskazywała na sposób użytkowania ziemi wymiernej, mierzonej, co dla ludności zarobkującej, że tak powiem, n. p. zakupów, szukających ulokowania sił swoich przy gospodarstwie rolnem, szukających spółki, połownictwa, było niejako gwarancyą materyalną, że na wymierzonej ziemi łatwiej się znajdzie prawdziwy stosunek między włożoną pracą a zyskiem. W każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wierw oznaczała gminę, posiadającą ziemię wymierzoną w stosunku na pługi i ilość wysiewu [3]). Mniejszą miarą długości był łokieć (łokot') [4]).

---

[1]) Patrz: Rozd. Gmina i jej charakter. Przypis. wierw.

[2]) Ustawa ekonomiczna z r. 1557 przepisuje pomiar na morgi, pręty i sznury. „A chcąc kto jeszcze w tem nieumiejętny wiedzieć, jakim obyczajem włoki, morgi i pręty są mierzone, z tego rozdziału i próby niżej opisanej snadniej się sprawić a naostatek każdy domyśleć się może. Najprzód sznur ma być wzdłuż kupieckich łokci 75, z których dzieląc najprzód po łokci $7^1/_2$ działu w sznurze, za łokcie trojakie: kupieckie, prętowe i ziemne, t. j. wyciągnąwszy łokcie jeden wzdłuż a w poprzek drugi, masz łokieć jeden kupiecki, a gdy wyciągniesz półosma łokcia wzdłuż a łokieć w poprzek, to jest łokieć prętowy. Gdy zaś wszystek wyciągniesz wzdłuż i łokieć w poprzek, masz ziemny łokieć; a gdy trzy sznury, jeden wzdłuż, jeden w poprzek, czyni prętów 30 albo morg jeden. A gdy wyciągniesz sznurów 30 wzdłuż a trzy poprzek, uczyni morgów 30 albo włoka jedna. (Czacki: *O liter. i pol. praw.* t. II., 223, przyp.).

[3]) Kałaczów: Izśled. o R. P. XXXI., str. 91.

[4]) Kucharski: Ant. mon. 37, 76.

Z miar sypkich większych *Prawda Ruska* cytuje kad' (kadź)[1]) — jaką ona jednak była, określić niepodobna, gdyż wiemy z doświadczenia, że prawo zwyczajowe trzymało się w różnych zakątkach kraju swoich miar objętości, pomimo jednakich nomenklatur, a ujednostajnienie miar i wag dziś jeszcze dokonanem nie zostało w całej Europie. Z mniejszych miar znane były uborek (u b o r o k), w i a d r o, ł u k n o i k o r c z a k[2]). Do miar objętości należy zaliczyć także cytowany w *Prawdzie Ruskiej* „g o ł w a ż e ń". Każdą z tych nazw dziś domyślnie tylko określić możemy i to dzięki okolicznościom, w jakich użyte zostały. Z wyznaczenia dziennej prowizyi dla urzędników sądowych i dozorców książęcych, możemy przypuszczać, że u b o r e k wynosił tyle, co garść podwójna[3]); ł u k n o musiało wynosić około 16 garncy dzisiejszych, zważywszy, że jedno ł u k n o wyznaczano dziennie na cztery konie. G o ł w a ż e ń była to zapewne mała główka soli warzonki lub nieznana nam dzisiaj zupełnie miara zwyczajowa, która dziennie na dwoje ludzi wystarczyć miała. K o r c z a k musiał być czemś podobnem do kobiałki z kory lipowej lub innej, powszechnie używanej na Polesiu i w innych lesistych okolicach do jagód, a nawet według źródłosłowu od k o r y pochodzi.

O wadze nie znajdujemy dostatecznych danych. Wprawdzie Włodzimierz W. polecił w swojej ustawie „miery i wiesy światititielem blusti", ściągało się to jednak do dziesięciny kościelnej: w ustawodawstwie zaś obowiązującem, jaką była *Prawda Ruska*, ani słówka o wadze nie ma. Słusznem przeto będzie sądzić, że ona była wyjątkowo tylko używaną. W życiu codziennem zastępowała ją miara, jako forma bardziej konkretna i łatwiejsza w zastosowaniu. Dziś jeszcze w głuchych zakątkach Rusi, zarówno północnej jak i południowej, w domowem użyciu włościan waga prawie nie jest znaną. W urzędowym dokumencie znajdujemy ją dopiero w XIII. w., w traktacie księcia smoleńskiego Mścisława z Niemcami, jest mowa o p u d z i e — ale to już do naszego okresu nie należy.

Teraz możemy przejść do niektórych gałęzi produkcyjnych, z rolnictwem owoczesnem związanych lub związek mających. Zacznę od p s z c z e l n i c t w a. Było ono prastarem zatrudnieniem Słowian. Obfitowały w pszczoły północne okolice — względnie do kolonii greckich, rozrzuconych na pobrzeżu Czarnego morza i Taurydy —

---

[1]) A. Kucharski: Ant. mon. 5, 7.

[2]) Bielowski: Monum 675.

[3]) Dziś jeszcze na Rusi znana miara zwyczajowa pod nazwą p r y h o r s z c z, odpowiadająca u b o r o k o w i.

a Herodotowi opowiadali koloniści, że u barbarzyńców północnych mnogość pszczół uniemożliwia wprost życie człowiekowi. Jak w każdej legendzie i w tej dużo było prawdy. Że Ruś późniejsza obfitowała w pszczoły, mamy liczne dowody w handlu woskiem; miód użytkowano w domu, wosk szedł do Carogrodu, do cesarstwa wschodniego, gdzie stanowił bardzo poszukiwany przedmiot handlu. Igor, zawarłszy pokój z Grekami, posłów cesarskich obdarowuje skórami, niewolnikami i woskiem [1]; Olga, żona Igora, obiecuje cesarzom greckim, że z powrotem na Ruś przyszle im „niewolników, wosk i skóry“ [2]) — skóry należy rozumieć w znaczeniu futer. Środkowym punktem owoczesnego handlu Grecyi z Rusią był Perejasławiec nad Dunajem, ulubione miejsce pobytu Świętosława, syna Igora i Olgi, do tego stopnia, że chciał w tę stronę przenieść nawet stolicę swoją. Tam — powiada — schodzą się wszystkie dostatki: z Grecyi złoto, pawołoki, wino; z Czech i Węgier — srebro i konie, a z Rusi — skóry, wosk, miód i służba [3]). Musiała być przeto obfitość pszczół, skoro była obfitość wosku. Jak je hodowano do XI. w., nie mamy pojęcia, dopiero z chwilą, kiedy prawodawstwo krajowe bierze w opiekę pszczoły, przychodzą wiadomości pewniejsze. W owym czasie hodowano je dwojako: w barciach i ulach, a *Prawda Ruska* różnicę tę zaznacza wybitnie, używając dwóch wyrazów: „brt'“ i „olek“. Hodowla prowadzoną była wyłącznie prawie w borach, tak samo, jak w puszczach mazowieckich prowadzono ją jeszcze w XVI. w., na Polesiu kijowskiem nawet w XVIII. a w głuchych zakątkach głębokiego Polesia wołyńskiego dziś jeszcze. Nie natrafiliśmy na ślady organizacyi gminnej pszczelarzy, zjednoczonych w taki sposób, jak organizowali się w gminę bartną w starostwie Przasnyskiem i Ciechanowskiem w XVI. w., jak o tem u Niszczyckiego doczytać się można, ale gospodarstwo pszczelne w borze, bartnictwo było zatrudnieniem tak prostem, że jednako je prowadzono. Hodowano je na drzewach, w barciach, najczęściej „dzianych“ czyli dłubanych w sośninie, zarówno w borach, jak i na pojedyńczo stojących drzewach. Gdzie miejsce dla pszczół było dogodne, a drzewa mało lub niezdatne pod barcie dziane, tam zakładano na nie ule, mniejsze zwykle od barci i dające się przenosić z miejsca na miejsce, w miarę obfitości wziątku lub innej potrzeby. Bardzo być może, że ule takie z początku zawieszano na drzewach w pobliżu mieszka-

[1]) A. Bielowski: Mon. pol. hist. I., 596.
[2]) ibid. 605.
[3]) Mon. pol. hist. I., 609.

nia, ażeby utrudnić dostanie się do miodu złodziejom bartnym lub zwierzętom, a potem dopiero przeniesiono do puszcz i lasów; śladu jednak, ażeby ule przy zagrodzie stały, nie znajdujemy, chociaż zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo, że tak być mogło ze względu na łatwość przenoszenia ula.

Bory, w których hodowano pszczoły, stanowiły własność osobistą i oddzielone były od siebie miedzami „bartnemi", — naturalnie, że tytułem do własności było posiadanie i włożona praca. O wspólności „borów" mowy być nie może tam, gdzie prawodawstwo wyraźnie mówi o granicach [1]). Wszelką szkodę w borze, jako na własności osobistej, prawo karało surowo: gdyż nietylko szkodnik płacił karę za podcięcie drzewa bartnego 3 grzywny, ale w ogóle za wycięcie drzewa w cudzym borze [2]), co naturalnie nie stosowało się do wycięcia drzewa byle gdzie, w lesie, nie należącym do nikogo. Drzewa bartne opatrzone były w znaki, które każdy kładł, jako dowód własności, a zniszczenie ich podlegało także karze sądowej. Miód podbierano w taki sam sposób, jak w puszczach mazowieckich, a dziś jeszcze w borach litewskich; dostawano się na barć przy pomocy „leziwa", podkadzano pszczoły i miód zabierano. Roje zbierano i osadzano w pustych barciach. Barcie, z których miód wybrano, nazywano „łażonemi", pełne — „niełażonemi"; różnica ta stanowiła podstawę do kary, wymierzanej przez sąd na złodziejach: „pszczoły łażone" były tak samo szacowane, jak hodowane w ulach, ze względu na to zapewne, że ule były lub mogły być o połowę mniejsze od barci. *Prawda Ruska* opisuje szczegółowo sposób poszukiwania złodzieja „po śljedu", zupełnie podobny do tego, jaki znany był jeszcze w XVIII. w. na Polesiu i Litwie [3]).

Po wybiciu pszczół, wosk szedł do handlu, miód — do użytku domowego, a w jaki sposób, zobaczymy to później, gdy mówić nam wypadnie o życiu domowem owoczesnego społeczeństwa.

O bobrach niewiele mamy do powiedzenia. Że w ogóle było ich dużo na leśnych i błotnych obszarach późniejszej Rzeczypospolitej, nie ulega to żadnej wątpliwości. Traktowano ich jako dzikie zwierzęta, na które polowano tak samo, jak na kuny i wiewiórki, a z tego powodu prawodawstwo w opiekę ich nie brało. Gdy stawało się ich coraz mniej, gdyż wiadomo, że bóbr nie godzi się z cy-

---

[1]) A. Kucharski: Ant. mon. 23, §. 43.

[2]) ibid. 38, §. 63.

[3]) Fr. Rawita: Zwyczaje prawne na Polesiu kijow. XVI.—XVIII. w. *Niwa* 1892.

wilizacyą i jako prawdziwy konserwatysta ucieka od niej coraz dalej, a dziś należy do zwierząt, przeznaczonych na wymarcie, — wtedy dopiero wystąpiło działanie prawodawstwa ochronnego. Na Mazowszu stało się to już w XIV. w., gdzie istniały bobrownie książęce, gdzie byli osobni urzędnicy — bobrownicy, których obowiązkiem było czuwać nad bobrami, gdzie ochraniano żeremia, żeremiona i żeremiska, miejsca, gdzie hodowane były bobry; na Litwie stało się to później, bo dopiero *Statut lit.* wziął je w opiekę. Wprawdzie *R. pr.* wspomina o bobrze — ale na tym punkcie zgody nie ma, gdyż najdokładniejszy spis, synodalny, nie mówi nic o nim. Ibn-Chordadba mówi o handlu skórami wydr, w których niektórzy pisarze doszukują się bobrów [1]).

Hodowla bydła i zwierząt domowych w ogóle była, można powiedzieć, na pół dziką, jaką i dziś jeszcze jest w stepach lub puszczach, o ile to dotyczy koni, wołów, krów, owiec, kóz i świń; z ptactwa wymienia ***Prawda Ruska*** kury i gęsi. Jakkolwiek Konstanty Porfirogenata powiada, że Russowie u Pieczyngów kupują konie, woły i owce [2]), nie można tego brać jednak za prawdę absolutną, zważywszy, że zagarnąwszy ziemie słowiańskie, zastali tam już ludność nietylko osiadłą, ale rolniczą, zajętą uprawą roli, a nawet pobierali od niej podatek od „pługa", „sochy" lub „radła". Nie mogli tedy rolnicy z lasów północnej Kijowszczyzny wędrować na stepy za bydłem pociągowem, lecz je chowali dla własnej potrzeby w domu. Jeszcze co do koni, można się z tem godzić o tyle, że gospodarstwo rolne zadowalniało się w owe czasy, jak i dziś zadowalnia się, bydłem rogatem wszędzie tam, gdzie tylko znajduje się w warunkach pierwotnych; koń dopiero stał się potrzebnym do wojny. Bardzo być przeto może, że z początku kupowano je u Pieczyngów lub wprost robiono wyprawę dla zdobycia stad, jak później robili kozacy u Tatarów białogrodzkich, ale widzieliśmy, że książęta hodowali na swoich folwarkach wielkie stada koni. ***Prawda Ruska*** odróżnia konia wojskowego, książęcego (kniaż koń) od gospodarskiego i inną cenę naznacza na niego.

Kury i gęsi stanowiły nieodzowną przynależność każdej zagrody wiejskiej, hodowane były przy domu jako nieodłączna potrzeba gospodarstwa domowego, tak samo, jak świnie, prosięta, owce, barany. Jedne z tych zwierząt dostarczały pożywienia, inne siły pociągowej, inne wreszcie wełny na tkaninę i okrycie: w ten sposób nieliczne

---

[1]) A. Bielowski: Monum. I., 17.

[2]) Hruszewskij: Oczerk ist. kijew. ziemli, st 391.

potrzeby i wymagania tamtoczesnego rolnika zaspokajały się jego własną pracą i staraniem. Krótko mówiąc, każda prawie zagroda wiejska, każde gospodarstwo stanowiło samo dla siebie pewną całość, która wystarczała sobie i umożebniała życie bez obcej pomocy i współdziałania [1]).

Część IV.

IV. Życie domowe.

Życie domowe na Rusi układało się w okresie badanym nader prosto i odpowiadało w zupełności maxymie: wystarczać samemu sobie. Modyfikowało się ono nieco w mieście, gdzie wymiana usług była łatwiejsza, gdzie po za przemysłem domowym powstawały różne gałęzie przemysłu, mające na celu zaspokojenie potrzeb zbytkowych lub nawet niezbędnych, stąd też i rzemieślnik (remstwennik, remstwennica) był ceniony prawie, jak człowiek wolny. Po za tem, a raczej po za tą garstką, stała inna blizko książąt i na nich zapatrując się, wprowadzała do swego życia codziennego mody, nowości a nawet przepych, strojąc się w greckie pawołoki i ozdoby metalowe. Carogród był dla Rusi tem ogniskiem cywilizacyjnem, z którego wyszły: prawo (ustawy Jarosława), obrządek religijny, zaczątki nauk, kroniki, strój (krzno, czapka spiczasta) —

---

[1]) Ażeby dać pojęcie czytelnikom naszym, jakie były ceny zwierząt domowych w XI. w., skorzystamy tu z obliczeń Karamzina. Jeżeli w XI. w., mówi on, grzywna Nowogrodzka w stosunku do srebra równą była grzywnie Smoleńskiej z r. 1228, to przypuszczając, że grzywna równa wartości 10 rs., w następującym stosunku możemy ocenić zwierzęta domowe, wspomniane w *Prawdzie Ruskiej*:

Koń książęcy	rs.	7	kop.	—
„ zwyczajny	„	5	„	—
Klacz	„	6	„	—
Żrebiec nie jeżdżony (2—3-let.)	„	2	„	50
Żrebak (łoszę)	„	—	„	75
Wół roboczy	„	2	„	50
Krowa	„	4	„	—
Bujak trzyletni	„	3	„	—
„ roczny	„	1	„	25
Cielę	„	—	„	50
Świnia	„	—	„	50
Prosię	„	—	„	$12^1/_2$
Owca	„	—	„	50
Baran	„	—	„	50
Rój pszczół	„	1	„	25

a wszystko to mięszało się razem ze zwyczajami i obyczajami miejscowymi, ażeby później wytworzyć tę mięszaninę cywilizacyjną tak charakterystyczną a tak odrębną od cywilizacyi zachodniej. Oświata wschodnia, grecka szła z góry przez książąt, bojarów, duchowieństwo, obyczaj narodowy słowiański siedział u dołu, przy podwalinach państwowych. Za Włodzimierza i Jarosława grecki język był tem na Rusi kijowskiej, czem łaciński na dworach państw zachodnich. Wyższe duchowieństwo było greckie, języka słowiańskiego nie znało prawie, a posługiwało się swoim ojczystym; napisy i sentencye, zdobiące cerkiew dziesięcinną, jakoteż św. Zofię „metropolią Rusi", były w języku greckim; księgozbiory Jarosława były greckie, — on też pierwszy założył przy św. Zofii szkoły, zgromadził skoropisców i tłómaczy i polecił te księgi przekładać na język słowiański.

Przy fundamentach ludowych nic o tej greczyźnie nie wiedziano; do zagród, futorów i siół Polanów, Drewlanów, Krywiczów, Radymiczan, Słowian Nowogrodzkich przedostawało się powoli, wsiąkając w obyczaje to tylko, co miało praktyczną wartość i pożytek. Wsiąkanie to odbywało się od niepamiętnych czasów, od chwili, można powiedzieć, rozsiedlania się kolonistów greckich na wybrzeżach morskich, a potem Rzymian na zachodniej miedzy od Dunaju i Dniestru. Dziś moglibyśmy już oznaczyć dokładnie drogi, któremi wpływy bizantyńskie wędrowały. Niezależnie od tego, pod wpływem warunków miejscowych, geograficznych, orograficznych, ekonomicznych, handlu, charakteru nowo wytwarzającej się państwowości i t. p., wyrabiały się zwyczaje, obyczaje, a nawet potrzeby inne — rodzime, własne; powstawał i kształtował się tryb życia. Do tego życia wnikać powoli począł wpływ religii, modyfikując zwyczaje, a nawet codzienny sposób odżywiania się, gdyż weszły w życie nieznane dotychczas posty.

Na pokarm służyło mięso dzikich zwierząt i domowych; jadano także rybę, prawdopodobnie nietylko gotowaną, lecz także suszoną lub wędzoną, jak to robią dotychczas na Polesiu głębokiem, gdzie jest dużo jezior, sadzawek i rzek. Śladów piśmiennych o rybołowstwie nie pozostało nam żadnych, natomiast wykopaliska dostarczają dużo haczyków, jakoteż innych pomniejszych narzędzi do łowienia ryby [1]).

Żyto i pszenicę umiano już przerabiać na mąkę, bo o otrębach jest mowa u Nestora (otrubi); może znano już młyny wodne, ziarno

---

[1]) Antonowicz: Cztienija obszcz. Nestora III., str. 16.

zaś przerabiano na mąkę na ręcznych młynach, używanych dotychczas u ludu i znanych pod nazwą żarna. Użycie jagieł (pszono, kasza) dowodzi, że znano także narzędzie do wyrabiania jagieł, zwane dziś na całej Rusi stupą; inne gatunki krup, n. p. jęczmienne dały się wyrabiać na żornach, czyli młynkach ręcznych. Wypiekano chleb, używano soli do potraw, którą, jak się zdaje, znano pod formą dzisiejszej topki, znacznie tylko mniejszej (hołważeń), warzonką — o takiej przynajmniej *Prawda Ruska* wspomina. Do wypiekania chleba używano „fermentu chlebowego", „zaczynu", nie drożdży. Jakkolwiek o drożdżach nigdzie mowy nie ma, ani o zaczynie, zważywszy jednak, że ludność wiejska na całej Rusi dotychczas do wypieku chleba posługuje się „fermentem", „zaczynem", tem bardziej mamy prawo przypuścić, że i wówczas je znano. Chociaż i możebność drożdży nie jest także wykluczoną, zważywszy, że napoje fermentowane znane były (piwo).

O wódce źródła owoczesne nie robią żadnej wzmianki, ale natomiast jest mowa o piwie i miodzie, jako o napojach codziennego użytku. Z jęczmiennego lub owsianego słodu robiono brzeczkę, którą gotowano z małą ilością chmielu, rosnącego dziko w lasach. Miody także gotowano tylko [1]). Robiono poprzednio tak zwaną „sytę", czyli płyn miodny, który gotowano z chmielem i fermentowano, gdyż owoczesne miody pitne były trunkiem alkoholicznym, którym upijano się. Jak piwo było trunkiem powszednim, tak miód świątecznym; pijali go na weselach i stypach (tryzna) [2]) zarówno zwyczajni ludzie, jak i książęta w domu i na ucztach, uroczystościach. Jako naczynia służyły przy piciu czasze i rogi [3]). O kształtach ich nic jasnego powiedzieć nie możemy: zapoznać z niemi czytelnika jest zadaniem archeologii.

Z potraw płynnych współcześni cytują tylko kisiel. O tem, jakim był kisiel, daje nam pojęcie Nestor, opisując oblężenie Białogrodu (pod Kijowem) przez Pieczyngów za czasów Włodzimierza (r. 997) i fortel, za pomocą którego zdołano się pozbyć oblęgających. Przyrządzano go z owsa, pszenicy a nawet otrębów przez moczenie ziarna w wodzie (cieża) i wyciśnięcie mączki, krochmalu: z tego płynu dopiero gotowano kisiel. Raczyli się nim zwykli ludzie, a nawet książęta Pieczyngów jadali go ze smakiem. Prawie pod taką samą postacią znany jest kisiel i obecnie na Rusi, chociaż dawno już

---

[1]) A. Bielowski: Mon. pol. I., 592.
[2]) ibid. 599.
[3]) A. Kucharski: Ant. mon. 9.

przestał być przysmakiem [1]). Z mięs jadano oprócz zwierzyny wołowe i koninę, wołowe gotowano lub pieczono na węglach rozżarzonych, pokrajane w płatki. Żywiono się w ten sposób szczególnie w czasie wojny. Chętnie używano także koniny, którą spożywano pieczoną na węglach, pokrajaną w zrazy. Była ona jeszcze ulubionem pożywieniem Świętosława [2]). Do płynnych potraw, n. p. kisielu, lub sypkich, jak kasza, używano łyżek z początku drewnianych, a później srebrnych [3]). Drewniane łyżki były w powszechnem użyciu, a srebrnych wyjątkowo tylko używano, ale wyrabiano je już w kraju, przy pomocy domowych rzemieślników. Włodzimierz kazał takie łyżki „kować" dla drużyny w Kijowie. Wyrabiali je prawdopodobnie złotnicy, którzy nietylko dostarczali ozdobnych rzeczy dla codziennego użytku, ale także uprawiali złotnictwo kościelne, bo, jakkolwiek do pierwszych cerkwi sprowadzano „sosudy" z Carogrodu, w miarę wzmagania się i szerzenia się religii chrześciańskiej, część ozdób kościelnych sporządzano na miejscu. Oprócz piwowarów, miodowarów zanotować wypada istnienie szewców. Jakkolwiek przeważna większość używała „łapci" (łapotniki), część drużyny pieszej, w ogóle wojsko znało już buty (s a p o h i, p r o b o s z n i). Zawędrowały one także z Grecyi na Ruś, z Bułgaryi mianowicie. Kiedy wyprawa Włodzimierza na Bułgarów w r. 985 powiodła się, Dobrynia powiadał do księcia: „oglądałem jeńców, wszyscy są w butach; ci dani nam nie dadzą; pójdźmy szukać łapciarzy" [4]). Jakie jednak obuwie mianowicie nazwano butami i jakie one posiadały formy? — Tego na pewno nie wiemy [5]).

Pojęcie o tem, jak się ubierano w XI. w., możemy sobie wyrobić z fresków w cerkwi św. Zofii w Kijowie, zdobiących wschody, prowadzące na chóry. Pośród mnóstwa alegorycznych i symbolicznych rysunków, o znanych motywach średniowiecznych, są tam także freski o motywach miejscowych, przedstawiające pewne chwile z życia domowego. Zauważyć jednak na wstępie należy, że chwile te przedstawiają przeważnie rozmaite uroczystości dworskie, jakbyśmy dziś powiedzieli, wypadki z życia książąt lub ich otoczenia, nie znane

---

[1]) A. Bielowski: Mon. pol. hist. I., 674.
[2]) ibid. 606.
[3]) ibid. 672.
[4]) ibid. 628.
[5]) Co do stroju w ogóle wiele samodzielnych wniosków możnaby było poczynić, rozpatrując znany rysunek, p. t. Rodzina Świętosława, z tak zwanej księgi z r. 1073; z kopii jednak tego rysunku trudno to czynić. Skórę na obuwie nazywano u ś n j e, c z e r e w j e. (Hipac. 84, 127).

nam dzisiaj, a znane i popularne śród ówczesnego świata i społeczeństwa. Przyglądając się tym freskom, przychodzimy do przekonania, że malowane one były ręką malarza — Słowianina, znającego to życie i pragnącego je uwiecznić. Gdybyśmy w tej samej cerkwi św. Zofii nie znajdowali skali porównawczej, twierdzenie nasze nie miałoby podstawy. Śród rozmaitych ozdób tej cerkwi widzimy niejako dwa światy sztuki i dwie metody pojmowania jej: w mozaikach i freskach, przedstawiających świętych (Maryę przy studni, św. Mikołaja), przeważa zupełnie sztuka grecka, grecka żywość kolorytu obok suchości i sztywności kompozycyi, jakoteż niewolniczego trzymania się wzorów i przepisów, ustalonych dla malarstwa religijnego.

Równorzędnie z malarstwem religijnem, greckiem, istnieje malarstwo, że tak powiem, świeckie, rodzime, które pod względem kolorytu wzoruje się wprawdzie na Grekach, ale zachowuje pomysłowość, fantazyę i motywa swojskie (zające, dziki, polowania, tańce) [1]. W malowidłach tych więcej swobody, ruchu, życia i realizmu w pojmowaniu tego życia, niż w mozaikach i freskach greckich mistrzów. Pierwotnością pojmowania sztuki freski kijowskie drugiej kategoryi, czyli świeckie, przypominają malarstwo ludowe wielkorossyjskie (łubocznaja żiwopiś). Dzięki tedy tym freskom nieznanych malarzy przechowało się kilka rysów nie dającego się dziś odtworzyć w całości życia XI. w.

Wspomniałem poprzednio o tem, że freski kijowskie przedstawiają przeważnie życie na „kniażym dworze“ — z tego przeto widać, że jest to życie jednostronne, życie nie ludu, nie szerokich warstw, lecz tylko tej nielicznej warstwy, która na „kniażym dworze“ kupiła się, naśladując jego zwyczaje, będące także naśladownictwem. Dla odtworzenia jednak i tego życia trzeba było pędzla nie Greka, lecz Słowianina. Stosownie do świątecznego życia, jakie przedstawiają freski kijowskie, strój jest także świąteczny. Książęta, jakkolwiek na polowaniu, są przedstawieni w hełmie i w ubraniu, naszyciami i ozdobami mocno przypominającem, t. z. „czerkieski“. Resztę figur można podzielić na dwa typy: skoczków i muzykantów. Jedni i drudzy, co do ubrania, odznaczają się tylko większą ozdobnością; jedni mają zarękawki i kryzy wierzchniej sukni, mniej lub więcej naszyciami ozdobione, drudzy noszą taką samą suknię bez ozdób. Krojem swoim nie przypomina ona niczem chlamidy, szczelnie przylega do ciała, noszoną bywa na spodniach, a sposobem no-

---

[1]) Zakrewskij: Opis Kijowa, t. II. str. 814 i nast., a także *Atlas starożytności Kijowa*, arkusz XII.

szenia, z paskiem w biodrach, mocno podobną jest do koszuli, t. zw. „kacapskiej". Spodnie bywały szerokie, zwężone u dołu i połączone niejako z obuwiem, krótszem lub dłuższem, stosownie do upodobania. W ogóle obuwie jest bez korków, a sposobem noszenia przypomina znane dotychczas „postoły" lub meszty nowoczesnych baletników i baletniczek [1]).

Nakrycie głowy spotykamy trojakie: czapkę wyszywaną, przypominającą formą t. zw. koronę, czyli czapkę Monomacha; formę, znaną dotychczas na Rusi, jako magierkę, i wreszcie zawój, na podobieństwo tatarskiego lub tureckiego, tylko niższy i o brzegach nie tak szerokich. Jaki był strój kobiecy — moglibyśmy tylko domyślać się, gdyż tu na miejscu, we Lwowie, nie posiadamy źródeł dostępnych a pewnych, z których można byłoby kilka rysów prawdy zaczerpnąć. Co do północy — na razie nie posiadamy dostatecznych materyałów historycznych, mówić przeto o tej stronie życia nie będziemy.

W czasie zabaw na dworach książęcych, a zapewne i śród ludu grajkowie zajmowali pierwsze miejsce. W XI. w. znano już sześć instrumentów muzycznych: flet, instrument dęty, podobny do znanej u nas surmy bojowej, przedstawiał prostą rurę, wązką przy ustach, szeroką od strony zewnętrznej; talerze metalowe — takiej samej formy i w taki sam sposób używane, jak dzisiaj; gitara, różniąca się od teraźniejszej tem tylko, że nie posiadała brzegów wciętych głęboko, jak przy skrzypcach, w kształcie litery s, lecz brzegi te ku końcowi zaczepienia strun łagodnie zwężały się, tworząc rączkę dogodną do trzymania. Gitara XI. w. przypomina mocno bandurę ukraińską — formą a nawet sposobem trzymania; harfa czy cytra zasadą budowy przypomina nowożytną harfę, jest tylko prostszą od niej co do budowy, nie posiada wygiętych linii: frontowej, górnej piersiowej i dolnej, lecz proste; sposób trzymania jej i grania zupełnie taki sam, jak dzisiaj. Jednym z najciekawszych instrumentów jest smyczkowy, ośmiostrunny, jajowaty co do formy, trzymany zupełnie w taki sposób, jak skrzypce, posiada tylko smyczek nie kabłąkowaty, jakimi były dawne smyczki, lecz prostolinijny, jak teraźniejsze.

Z rozmaitych zabaw ludowych, o trzech zaledwie możemy mieć dokładne pojęcie. Ulubioną zabawą był taniec, — mówię o tańcu na dworze wielkich książąt, — tam najczęściej brano udział w tańcu przez patrzenie. Byli do tego osobni skoczkowie, którzy popisywali się tańcem w obec książąt ku uciesze widzów. Tańce były najczęściej solowe i polegały, bądź jak greckie, na rytmicznych i pięknych

[1]) Atlas archeol. do opisu Kijowa, ark. XII.

ruchach ciała lub, jak niektóre nasze, na ujawnieniu energii i życia[1]). Dwa powyższe typy odtwarzają freski św. Zofii. Drugi typ szczególnie, zarówno ruchem rąk i nóg, jak i całą postawą przypomina teraźniejszego „kozaczka". Ulubioną rozrywką było t. zw. „dużanie się" siłaczów, które dochowało się dotychczas w Europie i ujęte zostało w pewne prawa, a w Moskwie znane, jako „kułacznyj boj", stanowi ulubioną rozrywkę ludową, którą ochładzać niekiedy trzeba siłą broni. Na Rusi zabawa ta dochowała się pod nazwą „kułaczki" tylko u dzieci[2]). „Łażenie na słup" dla dostania tam przedmiotów nie potrzebuje chyba żadnych wyjaśnień.

Jednym z głównych czynników ustroju społecznego są małżeństwa. Ze śladów, zachowanych w dotychczasowych obrządkach weselnych ludu na Rusi, zdaje się, iż ogólnym pierwotnym zwyczajem, było porywanie żon. Jestto naturalne następstwo, a zarazem dowód, że osiedleń zbiorowych od razu nie było. Z Nestora widzimy, że ten zwyczaj najdłużej przetrwał u Słowian wschodnich: Drewlanów, Radymiczów, Wiatyczów, Siewierzan i Krywiczan, bo aż do nawrócenia się na wiarę chrześciańską; z tą tylko różnicą w zwyczajach, że Drewlanie porywali dziewice przy wodzie (źródłach, rzekach, studniach), a Radymicze, Krywicze, Wiatycze i Siewierzanie stadeł nie mieli, lecz schodzili się na igrzyska, na pląsy i spiewali różne piesni; tu porywali żony sobie, z którymi już wprzódy umawiali się i mieli po dwie i po trzy żony. Ale gdy ci porywają sobie żony i mają ich po kilka, Polanie, obok nich osiedleni, mają stadła małżeńskie i oblubieniec nie chodził sam po narzeczoną, jeno przyprowadzono mu ją wieczorem, a nazajutrz przynoszono do niej wiano. Co więcej — gdy pierwsi stali na niższym szczeblu, od którego ludzkość swój rozwój rozpoczyna, bo nie znali stadeł małżeńskich i żyli w heteryzmie, czyli w wspólności żon, co zdaje się przebijać w tych słowach Nestora: żyli w bezwstydzie przed ojcami i synowemi, Polanie natomiast „mieli zwyczaje ojców swoich proste i skromne, wstydliwość wobec swoich synowych i siostr i matek i ojców swoich, a synowe wobec świekrów i dziewierzów wielką miały wstydliwość." Pisarze arabscy, mówiąc o plemieniu słowiańskiem, najdalej na wschód wysuniętem, utrzymują, że „żony u nich nie są rozpustne, ale dziewicami będąc, gdy która pokocha młodzieńca jakiego, sama idzie do niego dla zaspokojenia swojej namiętności; dlatego też, skoro mężczyzna się ożeni i znajdzie ją w dziewiczym

[1]) Atlas archeol. do opisu Kijowa, XII., 15, 16.
[2]) Sumców: Kulturnyja pereżiwanija, patrz kułaczki.

stanie, to się odrzeka od niej, uważając ją za niewiele wartą, bo przed nim nie znalazła nikogo, któryby ją polubił [1]).

Powyższy treściwy pogląd na związki małżeńskie wśród Słowian, zajmującej nas epoki, wypowiedziany przez Rulikowskiego i Radzimińskiego, jest najzupełniej trafny i z duchem epoki zgodny. Nie wszyscy jednak właściwą miarę do związków małżeńskich tamtoczesnych przykładają, dopatrując w normalnych warunkach pierwotnej tamtoczesnej rodziny wolności obyczajów, konkubinatu, dwużeństwa, częstych rozwodów etc., a stąd wyprowadzają wnioski o sybarytyzmie i rozluźnieniu obyczajowem u niektórych plemion. Błędy te pochodzą z przykładania miary dzisiejszych pojęć religijnych i prawnych o małżeństwie do społeczeństwa, nie znającego tych pojęć wcale i nie będącego jeszcze w tej fazie ewolucyi, w którą małżeństwo weszło z przyjęciem chrześcianizmu [2]).

Pogrzeby były mięszaniną zwyczajów miejscowych ze zwyczajami, przyniesionemi z Grecyi, wraz z obrządkiem wschodnim religii, szczególnie o ile to odnosiło się do pogrzebu książąt i duchowieństwa. Charakterystyczną cechą pogrzebów owoczesnych był zwyczaj, dzisiaj już nader rzadko zachowywany, odwożenia ciała, włożonego do trumny, na saniach. Dziś zaprzęgają do sani woły, prawdopodobnie i dawniej działo się tak samo. Dodać jednak muszę, że zwyczaj ten przechował się na głębokiem Polesiu lub Polesiu kijowskiem (pow. Radomyślski), na Rusi stepowej ciało umarłego odwożą na cmentarz na wozie. Kiedy umarł Włodzimierz (1015 r.), chociaż to było 15. lipca, ciało jego „położono na sanie, przywieziono i złożono w cerkwi św. Bogarodzicy (Dziesięcinnej) [3]). Nie było to wcale żadnym wyjątkiem, lecz zwyczajem powszechnym. Na saniach przywiózł Wszewołod zwłoki ojca swego Jarosława (w r. 1054) z Berestowa do Kijowa. Jakkolwiek działo się to w zimie (20. lutego), gdyby jednak chodziło o paradę tylko, można byłoby ciało przenieść, zważywszy, że kilkokilometrowe oddalenie na przeszkodzie nie stało [4]). Dalsze przykłady przekonują, że przewożenie umarłych na saniach było zwyczajem, stosowanym bezwzględnie na porę roku. Mnisi peczerscy umierającego Teodozego „wzięli na sanie i postawili naprze-

[1]) W. Rulikowski i Z. Radzimiński: *Kniaziowie i szlachta.* Kraków 1880, t. I. str. 56 i 57. U tegoż: Nestor, Bielowskiego str. 559, jakoteż *Izwiestija Al-Bekri i drugich awtorów o Rusi.*

[2]) Hruszewskij: *Oczerk ist. Kijew. Ziemli,* str. 405. Patrz także przypisek 3.

[3]) A. Bielowski: Mon. pol. hist. I., 676.

[4]) ibid. 710.

ciwko cerkwi“ [1]); księcia Izasława (syna Jarosława) przywieźli zabitego w łodzi pod Kijów, a potem „włożywszy ciało jego na sanie, powieźli je“, chociaż działo się to w początku października [2]).

Panował także zwyczaj, że ciała książąt, ludzi możnych i mnichów, w ogóle duchowieństwa wyższego zawijano w drogie materye od stóp do głowy, jak świadczą o tem w ogóle „święci“ kościoła wschodniego, a w szczególności ciała ascetów (postnik), świętych i błogosławionych, spoczywające w pieczarach Ławry kijowskiej. Nestor, pisząc o śmierci w. ks. Włodzimierza, powiada: „obertiewsze w kowr“ ciało jego, spuszczono na sanie [2]). Ten sam latopisiec w innem miejscu, o śmierci Jarosława, powiada głucho: „Wsiewołod spriata tieło otca“ [3]) tak, że tu wyraz „spriata“ równoznaczny z wyrazem „zawinął“, — jakoż istotnie zawijano ciała umarłych i w takich zawinięciach doszły one do czasów naszych.

Składano je w cerkwiach lub podziemiach cerkiewnych, jeżeli to były ciała książąt lub dostojników kościelnych albo świeckich, lub też na cmentarzach, w pobliżu cerkwi, jeżeli umarli należeli do szarego tłumu. Do wiecznego spoczynku składano je do grobowców (raka, raka mramoriana), albo w trumnę (krstu mramorianu). Między jednym a drugim wyrazem trudno dziś różnicę wynaleźć i zdaje się, że i współcześni nie bardzo tę różnicę rozumieli. Kilka takich grobowców ucałało dotychczas i daremnie oczekują na badacza pośród polskich uczonych. Jednym z najbardziej charakterystycznych jest piękny grobowiec z brudnego, żyłkowatego marmuru w kościele św. Zofii, z lewej strony wielkiego ołtarza, uważany za grobowiec Jarosława, chociaż pewności nie ma żadnej a prawdopodobieństwa mało, że istotnie jest grobowcem Jarosława.

Zbadanie pozostałości archeologicznych, wykopalisk etc. dostarczy niezawodnie badaczowi życia domowego na Rusi w odległą epokę dużo bardzo materyału i rzuci światło na narody, zamieszkujące Ruś, i ich cywilizacyę większe i dokładniejsze, niż to, które ze źródeł pisanych płynie. Tylko usystemizowanie wykopalisk dać może należyte pojęcie o przemyśle w ogóle, o przemyśle domowym, a nawet handlu i stosunkach. Obecnie zgromadzenie tego materyału jest zbyt jeszcze kosztowne, a niemożność reprodukowania za pomocą rysunku czyni go prawie niedostępnym dla historyi cywilizacyi, jakoteż historyi w ogóle.

Fr. Rawita.

---

[1]) A. Bielowski: Mon. pol. hist. I., 710.
[2]) ibid. 751. [3]) ibid. 676. [4]) ibid. 710.

Z PAMIĘTNIKA KONFEDERATA BARSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Obozy konfederatów na Wołoszczyźnie. — Sprawy wojskowe. — Spory między marszałkami. — Nowy pasza w Chocimiu. — Poselstwa do hana i do Stambułu. — Wojna wypowiedziana Rossyi przez Turcyą. — Porwanie Puławskiego. — Potocki regimentarzem.

O sprawach i położeniu konfederatów zaraz po przejściu szefów barskich na Wołoszczyznę znajdujemy w naszym pamiętniku trochę szczegółów, uzupełniających znaną relacyę Wybickiego, nie zawsze ściśle dokładną [1]). Jak wiadomo, Wybicki krótko był śród konfederatów na Wołoszczyźnie, wysłany zaraz z missywą do biskupa Krasińskiego od szefów barskich. Nasz pamiętnikarz patrzał z bliska na rozwijające się wypadki, ztąd choć pobieżnie, ale wyraźnie charakteryzuje położenie konfederatów, przedstawia sprawy wojskowe, stanowiące przedmiot sporu między marszałkami, zakończonego porwaniem Puławskiego, przyczem potwierdza podanie, zaregestrowane u Rulhiere'a, o współudziale sołtana tatarskiego w zamachu dokonanym przez Potockiego na marszałku związkowym. Stosunki szefów barskich z władzami tureckiemi, prowadzone natenczas układy i negocyacye, jako mało znane szerszemu kołu, bo najczęściej w tajemnicy trzymane, w ogólnikowych tylko rysach zaznacza, również nic tu nie ma o losach konfederacyi w kraju. Położenie związkowych zaraz po ustąpieniu z granic polskich w ten sposób opisuje nasz konfederat:

„Ściągnęło się wojsko wszystkie pod Rumakowce, wyprawiono do paszy chocimskiego dla pozwolenia trawy dla koni. Pasza poka-

---

[1]) *Pamiętniki Józefa Wybickiego.* (Poznań 1840).

zał w tem swoją grzeczność i wydał teskirę, to jest bilet, aby trawy niepożyteczne do koszenia wszędzie wolne były, lecz w kilka dni Turcy napadli, zabrali kilkadziesiąt koni, które wykupować drogo musiano i od tego czasu codziennie, choćby na tłokach konie paśli, po kilkadziesiąt czerwonych złotych opłacać musieli.

„Po tygodniu jednym ruszyło się wojsko pod Olszanicę i Nielipowce i obozem stanęło. Potem nastąpiła lustracya wojska przez marszałków i ip. podczaszego (Potocki). Nastąpiła przytem jakowaś uraza ip. podczaszego litewskiego do marszałka związkowego, nareszcie przyszło i do żwawszych pomiędzy nimi sprzeczek. Dopraszał się potem ip. podczaszy u marszałka generalnego o złożenie sesyi, remonstrował, że rada powinna być ustawiczna i że konsyliarzów pomnożyć trzeba dla fundamentalniejszych i stalszych czynów. Czynił przyzwoite i głębokie akomodacye marszałkowi generalnemu i wszystko, co chciał, wymógł na nim, bo ten, nie mając żadnej prywaty w czynnościach swoich, szczególnie tylko miał na pieczy dobro publiczne.

„Ip. podczaszy miał czas poznać subjekta, które będą zgadzały się z jego fantazyą, i na drugiej sesyi wprowadził tyle, ile mu potrzeba było, których do przysięgi łatwo przymuszono; podawał propozycye subtelne, zdające się pożytecznemi ojczyźnie. Wyprawiali posłów do Krymu, do hana. Do Stambułu chcieli wyprawić, ale pasza chocimski na to nie pozwolił. W tej materyi najpotrzebniejszej największa była trudność, co najwięcej martwiło marszałka konfederacyi generalnego.

„Przyszła potem wiadomość, że pasza idzie nowy do Chocimia, którego oczekiwali w wielkich nadziejach, suponując, że ten pasza idzie z nową dyspozycyą cesarską, przynoszącą pomyślność dla konfederacyi i mając nadzieję, że pasza chocimski dawniejszy przesłał ekspedycye od konfederacyi do cesarza.

„Dnia 24. augusta przyszedł nowy pasza, do którego jw. marszałkowie pojechali, wielkie prezenta podawali; oświadczył i ten wielką ludzkość, ale jej nie dotrzymał potem [1]).

„Ip. podczaszy litewski dopraszał się marszałka konfederacyi, aby wojsko ściągnąć do kupy. Marszałek związkowy przejrzał dla siebie jakowąś niepomyślność, dał był ordynans ip. Orłowskiemu,

---

[1]) Szczegóły konferencyi marszałków z Chatil-paszą we współczesnych listach Józefa Pułaskiego, przytoczonych w jego życiorysie w *Złotej księdze szlachty polskiej*, wydawanej przez Żychlińskiego. (Tom VIII., str. 266. Poznań 1886).

chorągwi ip. starosty ochockiego porucznikowi, na objęcie komendy subalterna partyi ukraińskiej i na odebranie chorągwi od ip. Orańskiego [1]), towarzysza chorągwi jw. wojewody kijowskiego, które pod komendą jego za granicę przyszły na Wołoszczyznę. Partyi zaś podolskiej był regimentarzem ip. Mrozowicki, starosta stęgwilski, która pozostała jeszcze o mil ośm od miejsca tego.

„Nastąpiła potem lustracya wojska, po której na pierwszej sesyi dopraszali się niektórzy konsyliarze i wojskowi, aby ip. podczaszego lit. regimentarzem generalnym obrano, co łatwo otrzymał, bo wszystkie wota poszły za żądaniem jego. Marszałek związkowy na to nie chciał zezwolić, ale żwawsze potem nastąpiły czynności ip. podczaszego, bo z wielką układnością częstując kilka razy wojsko, ile mógł nakłaniał ku sobie. Potem znalazł swoim chęciom powolnego, ip. Orłowskiego, subalterna-regimentarza marszałka związkowego, który w młodości swojej niewiadomym być musiał artykułów wojskowych, iż ktoby miał czynić jakowe w wojsku sekretne zmowy lub spiski, śmiercią być powinien karany. Wziął tenże kawaler nieszczęśliwy coś pieniędzy i konia szpakowatego, chodził w wojsku po komendantach, namawiał, aby odstąpili Pułaskiego, marszałka związkowego. Długo się wojsko opierało, ale prywata wszystko przemogła, bo zapomniawszy tak wielkich obowiązków w przysiędze swojej, odstąpili i ruszyli się z obozu, poszli pod Nelipowce. Zostało tylko chorągwi ośm i milicya kijowska pod moją komendą.

„Tentowano potem marszałka związkowego, aby dał ordynans ip. poczaszemu lit. na generalne regimentarstwo. Ten człowiek gorliwy za wiarę i wolność, nie przejrzał swego nieszczęścia, i żeby go nie sądzono o jaką prywatę, szkodzącą ojczyźnie, podpisał ordynans, który odebrawszy ip. podczaszy, wydał swoje ordynanse do pozostałych przy marszałku związkowym chorągwi, aby stawały w kwaterze jego głównej w Nelipowcach. My komendanci, będący przy nim, stanęliśmy na tem, że przysięga surowa nie pozwala nam od-

[1]) Stanisław Woyna Orański (na Oraniach, Łaskowie, Oratowie etc.), stolnik czernichowski, był w Barze w chwili zawiązania konfederacyi, po zdobyciu Baru przez Apraksyna z innymi przebił się do wojsk związkowych nad Dniestrem. W Barze został konsyliarzem, długi czas z szefami barskimi przebył w Turcyi, na dokumencie z 1769 r. 16. grudnia, wystawionym w Dankowcach, a stanowiącym warunki umowy z hanem krymskim o wspólną pomoc, podpis jego czytamy. Po upadku konfederacyi podpisał w 1773 r. reces i do dóbr powrócił. Często posłował na sejmy, był rotmistrzem kawaleryi narodowej; w 1778 roku dostał order św. Stanisława, był wtedy podkomorzym czernichowskim, umarł 1778 r.

stąpić osoby tej, której przysięgliśmy. Powtórzył ordynansami swojemi do jak najprędszego łączenia się z nim, ale stateczni komendanci i wojsko zezwolić na to nie chcieli.

„Nastąpiła potem karystya wielka w partyi ip. Pułaskiego, bo pieniędzy na wojsko nie stało. Partya zaś ip. podczaszego po części brała, na którą wymógł u marszałka konfederacyi własnych jego pieniędzy. Nastąpiła też po czasie i jesień zimna, gdzie było czas pod dach wojsku, w czem udali się do paszy. Dał kwaterę ip. podczaszemu w Dankowcach, wojsko zaś po wsiach szwadronami rozłożone było, musieli opłacać kwatery i stajnie, na co i wystarczyć żadną miarą niepodobna było. Część wojska zaś marszałka związkowego pod Rawińcami w polu stać musiała słoty, mizeryę, śnieg cierpiący.

„Dopiero natenczas wyprawiono do Stambułu księdza Hankiewicza [1]), proboszcza żwanieckiego, umiejącego dobrze język turecki, potajemnie, aby mógł zajechać.

„Zostawaliśmy w wielkich żądzach powrotu tegoż pomienionego Hankiewicza, a nie mogąc się doczekać, marszałek związkowy z cząstką swego wojska komputowego i konfederacyi przepławił Dniester przez bród pod Hryńczukiem i spędziwszy forwachty pułków królewskich, ulokował się w Żwańcu. Starosta zezuliniecki (Kazimierz Pułaski) poszedł aż ku Raszkowu i tam, wziąwszy pieniądze, zbierał ludzi w ciągnieniu ku Żwańcowi . . .

„Jw. podczaszy powydawał pozwy wszystkim komendantom, aby stawili się za granicą, aby się przeprawiali nazad pod komendy jego . . .“

W dalszym ciągu nasz pamiętnikarz przytacza pogłoski, jakie rozejść się musiały śród wojskowych o pomyślnym jakoby rezultacie missyi ks. Hankiewicza w Stambule. Może też dla podtrzymania ducha rozpuszczono wieści o posiłkach ze strony Porty. Opowiadano więc w szeregach, że ks. Hankiewicz osobiście sułtanowi, jadącemu do meczetu, wręczył ekspedycyę szefów barskich, że sułtan przyrzekł

[1]) Ksiądz Hankiewicz, proboszcz ze Żwańca, powiernik biskupa Krasińskiego, który go często posyłał do Stambułu w sprawach konfederacyi. Znał język turecki oraz zwyczaje i obyczaje Turków, bo w sprawach wykupu niewolników chrześciańskich często jeździł do Turcyi i miał stosunki śród paszów tureckich. Schmitt pisze, że był kanonikiem kapituły kamienieckiej, Ormianinem z rodu. Zkądinąd wiemy, że w r. 1768 proboszczem żwanieckim był ksiądz Brzeziński, zamordowany przez Turków w 1769 r. (Dr. Antoni J., *Zameczki podolsk.*, tom III., 18). Widać więc, że ks. Hankiewicz opuścił był wcześniej już probostwo żwanieckie.

im pomoc i że w drodze już były przyrzeczone posiłki. Zaszłe w Stambule wypadki sprzyjały rozszerzaniu podobnych pogłosek. Pod tę bowiem porę stronnictwo, pragnące wojny z Rossyą, wzięło górę, ulegając wpływom dyplomacyi francuskiej, i sułtan „kazał wziąć w areszt — jak się wyraża nasz konfederat — posła ruskiego, Obreskowa, i obwołać wojnę publicznie.“ Krym Girej, znany przeciwnik Rossyi, przywrócony do łaski, prowadzić miał 40.000 hordy, a syn jego, Bachty Girej, wyszedł niezwłocznie z 10.000 Tatarów i 6.000 spahów w kraj chocimski.

Przybycie sołtana, mającego wspólnie działać z konfederatami, znacznie ożywiło pokładane w Turcyi nadzieje. Niemniej przecież rozdwojenie między szefami barskimi wzrastało, paraliżując wszelką ich działalność. O waśniach tych śród starszyzny częste są wzmianki w pamiętniku; do intrygi, uknutej przez podczaszego przeciw marszałkowi związkowemu, wchodzić miał ów sołtan tatarski, Bachty Girej. Potocki bowiem — czytamy dalej — pojechał do niego „dopraszać się, aby przez list sprowadził do siebie ze Żwańca Pułaskiego, co łatwo stało się, bo Pułaski, zaufany na swoim charakterze, pojechał bezpiecznie w kilkanaście koni do sołtana. Przyjął go (sołtan) po ludzku, przyjął konia w prezencie od niego, potem dopraszał się go, aby jechał do Dankowiec, do marszałka i podczaszego, mieniąc, że i on miał posłać swoich konsyliarzów, dla ułożenia planty wyruszenia w granice polskie . . .“

Z innych źródeł wiemy, że nieporozumienia zaostrzyły się z tego powodu, że Potocki chciał oczekiwać w Wołoszczyźnie na wybuch wojny turecko-rossyjskiej, Pułaski zaś chciał niezwłocznie wrócić w granice polskie dla podtrzymywania zawiązujących się w kraju konfederacyi i wbrew zdaniu Potockiego, wyprawił był swe oddziały na polską stronę, gdzie już utrzymały się pod komendą jego synów. Wezwany przez sołtana, upewniony przezeń, że w Dankowcach będą narady w kwestyi „wyruszenia w granice polskie“, stary Pułaski pospieszył tamże, lecz zaledwie przybył, został porwany i uwięziony w obozie Potockiego, gdzie też umarł niedługo później.

Tatarzy Bachty Gireja cofnęli się od granic, spustoszywszy całą „raję chocimską“. Pamiętnikarz nasz upatruje w usunięciu się ich intrygę Potockiego, który bogatymi darami skłonić miał sołtana, aby wrócił do ojca. Była to znów pogłoska, powtarzana przez niechętnych Potockiemu, którego samowola i pycha odstręczały wielu, a autor dyaryusza zawsze z niechęcią o nim wspomina, przedstawiając ówczesne stosunki śród konfederatów.

Położenie oddziałów, rozlokowanych na Wołoszczyźnie, było pożałowania godnem, tem bardziej, że pasza chocimski, „posmarowane mając ręce“ — jak się dobitnie wyraża pamiętnikarz — niechętny był konfederatom, bo nawet podbudzał jakoby Lipków, aby ich wycięli. Choć nie przyszło do tego, to jednak czytamy w pamiętniku, że „przejeżdżając od kwater do kwater, z wojska naszego zabijano po drogach, w żadnej zaś rekwizycyi nie nastąpiła satysfakcya od paszy.“

Potocki tymczasem starał się ściągnąć „z granic polskich“ oddziały Pułaskiego i w tym duchu liczne wydał ordynanse, które jednak bez skutku zostały i daremnie „kłócił się z tem wojskiem ip. podczaszy aż do Bożego Narodzenia.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Pułaski.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część trzecia.

I.

(Ciąg dalszy).

Trzy następne listy, (8—10), poświęcił Traunpaur „światowym anegdotom“, które opowiada z werwą nałogowego facecyonisty a z koszarową iście rubasznością. Powtarza więc znaną opowieść o żydku, który zmuszony do udawania kukułki, zastrzelony został na drzewie przez pijanego szlachcica — tradycya czyn ten nieludzki przypisuje głośnemu staroście Kaniowskiemu — tudzież o podobnem barbarzyństwie, dokonanem przez innego ziemianina na osobie nieznanego przechodnia. Bardziej senzacyjną jest opowieść o pewnym szlachcicu, utrzymującym kazirodczy stosunek z własną córką, której męża z jej pomocą zadławił następnie w stajni. Morderca został w roku 1774, we Lwowie, żywcem w koło wpleciony, zaś jego wspólniczkę stracono mieczem. Wiele zbrodni — zdaniem autora — uchodzi w Polsce bezkarnie, dzięki samowoli, przekupstwu oraz innym względom. Natomiast ramię sprawiedliwości ścigało z nieubłaganą surowością obcych złoczyńców. Wieszano ich bez pardonu po krótkiem śledztwie. Wymiar karzącej sprawiedliwości w Polsce jest dziś jeszcze najbardziej bezwzględny obok francuzkiego. Najprzebieglejsi złoczyńcy wyznawali przed egzekucyą, iż udawało im się ujść cało z rozmaitych krajów, lecz dopiero w Polsce przyszło im odpokutować za popełnione zbrodnie.

W dalszym ciągu anegdot czytamy o konfederatach, których przyjacielem nie był nasz autor, tudzież o przygodach słynnego księcia „Panie Kochanku“ podczas jego peregrynacyi po obcych krajach. Zasługuje z tych opowieści, znanych zresztą oddawna, na za-

notowanie anegdota o sławnym uczonym, Albrechcie Hallerze, zamieszkałym w Bernie szwajcarskiem, któremu książę Karol zaofiarował stopień jeneralski w swem wojsku. Stojący nad grobem starzec, kazał księciu podziękować za ten zaszczyt, zapytując równocześnie jego wysłannika, czy armia Radziwiłłowska popisywała się już wobec króla polskiego?... Niemniej interesującym jest epizod z życia księcia wojewody wileńskiego, który już po powrocie do kraju chciał ukarać ścięciem własną małżonkę na podstawie zeznań, złożonych prez fałszywych świadków. Księżna Rozalia, z domu Rzewuska, zdołała ujść z pomocą audytora pułku Tilliers do Lwowa, a następnie do Wiednia, gdzie schroniła się pod opiekę cesarza Józefa II. Wprawdzie rozgniewany małżonek nie chciał jej zrazu dać ani grosza, lecz później rozmyślił się inaczej wobec sekwestru, nałożonego na jego dobra galicyjskie. Z kolei opowiada Traunpaur o wstrętnym handlu na żonę, jakiego dopuścił się szambelan Kuczkowski, odstępując własną połowicę księciu Andrzejowi Sanguszce w zamian za wieś i cztery piękne konie. Miało się to stać przed pięciu laty.

Następnie wymienia autor najgłośniejszych awanturników, jacy krócej lub dłużej bawili w Polsce. Byli między nimi i sławny Cagliostro i pyszałkowaty hr. Boisson de Ruenzy, rycerz łatwego przemysłu, kawaler orderów i członek wielu towarzystw uczonych, uczony Wenecyanin, Casanova di San Callo, głośny z pojedynku, odbytego z Branickim, baron Pöllnitz, chwalący te jedynie dwory, które go darzyły upominkami, baron Moltke, piastujący przez lat 25 szarżę majora w armii cesarskiej, wreszcie hr. Thomatis, umiejący przedziwnie pomagać szczęściu w grze. O Moltkem, który z powodu lekkomyślnego trybu życia przez całe ćwierć wieku, nie został posunięty na wyższy stopień, opowiada Traunpaur następujące zdarzenie z czasów wojny siedmioletniej: Do Moltkego, który zasiadł w kantynie do gry w karty, przemówił kilkakrotnie jego partner, stary chorąży: Panie kolego! Tego było za wiele baronowi, który porwawszy się z miejsca, zawołał: Czy nie widzisz galonów na mej kamizelce, oznaczających rangę sztabowego oficera? — Widzę je całkiem dokładnie — odparł dowcipny wiarus. — Ponieważ jednak pan tyle lat jesteś majorem, ile ja noszę chorągiew, przeto nazwałem ciebie kolegą... Szereg „świeckich anegdotek“ zamyka wzmianka o pewnym aptekarzu w Preszowie, który uciułał sobie mająteczek z sprzedawanej konfederatom suszonej ryby „Stanca marina“, tudzież o hucznych ucztach, wyprawianych przez marszałków konfederackich. Podczas owych bankietów zdarzało się nierzadko, iż rozochoceni goście wyrzucali za okno srebrne półmiski i talerze. Był to zwyczaj,

przejęty od patrycyuszów weneckich, którzy podczas uczt, wyprawianych na cześć dostojnych gości, ciskali w morze kosztowną zastawę, z tą jedynie różnicą, iż dowcipni Włosi zapuszczali poprzednio pod oknami sali biesiadnej gęste siecie, z których następnego dnia wyławiali bez żadnej szkody wyrzucone przedmioty. *Est modus in rebus* — opowiada nasz autor — co świadczy o istnieniu sztuki imponowania ludziom tanim kosztem. Niektórzy Polacy znają wybornie ten sekret.

List jedenasty, poświęcony „anekdotom duchownym", nie nadaje się z rozmaitych względów do powtórzenia. Traunpaur, tyle wyrozumiały w swych sądach dla wszystkich zboczeń i wybryków, daje się w tym ustępie unieść fanatyczną, rzec można, nienawiścią przeciw duchowieństwu, twierdząc, że takowe pobłaża wszelakim wybrykom i zbrodniom, pod warunkiem obserwowania praktyk religijnych i zachowywania postów. Obrusza go zwyczaj nasz staropolski utrzymywania stałych kapelanów po dworach, gorszy się ich rubasznymi konceptami, kazaniami, tudzież opilstwem, jakiemu część duchowieństwa wiejskiego podlegała.

Z większym spokojem rozprawia nasz autor o wolnych mularzach, wśród których, obok rzeczywistych przyjaciół ludzkości, istnieli także pospolici szalbierze. Jedni i drudzy — czytamy w liście dwunastym — mają swą siedzibę we Lwowie, gdzie obok niemieckiej założono lożę francuzką. Żyją one z sobą w takiej zgodzie, jak ogień z wodą. Która jest prawdziwą, tego rozstrzygać nie chcę, gdyż nie mam zaszczytu należenia do tego grona. Tyle tylko wiem, że z funduszów niemieckiej loży hrabia G.... we Lwowie dwukrotnie już spłacał samowolnie swe znaczne długi. Inne miasta cyrkularne, jak n. p.: R(zeszów?), D(ukla?) i T(arnów?) mają swe osobne loże, gdzie przyjmują każdego, kto posiada dobrze wypełnioną sakiewkę. Kawalerowie, oficerowie werbunkowi, urzędnicy cyrkularni, felczerzy, aptekarczyki, fryzyerzy, wszyscy bywali przyjmowani z otwartemi rękoma i stosownie do złożonej opłaty otrzymywali stopnie towarzyszów, mistrzów szkockich i mowców. We Lwowie opłata ta obniżyła się już do kwoty trzech rubli. Nagle pojawiła się piorunująca bulla cesarska, o wiele skuteczniejsza od niejednej papiezkiej. Od razu położyła ona kres szalbierstwom i podziałała tak potężnie, iż pewny komendant werbunkowego okręgu z T. podążył pocztą do R., by wykreślić się z grona członków tamtejszej loży.

Niejaki pan v. P...., przebiegły Włoch i sekretarz hrabiego B. we Lwowie, zajmował się oświecaniem tak zwanych ciemnych i podburzaniem jednych przeciwko drugim. W tym celu używał on,

jako pomocnika, doktora W...., łatwowiernego Tyrolczyka z Roveredo, który gadał gdyby opętaniec wszystkimi językami i żadnego z nich dokładnie nie rozumiał. Innym znów wybitniejszym wolnym mularzem we Lwowie był bawiący obecnie w Tryeście, radca gubernialny, baron v. G...., który nie znał nawet języka niemieckiego. Jego referaty musiał odrabiać sekretarz gubernialny, v. Schmelc, ale pensyę swą w sumie 2.000 złr. pobierał pan baron bardzo regularnie, nie potrzebując pod tym względem żadnego wyręczyciela. Przed publikacyą cesarskiego dekretu nie można się było opędzić werbownikom wolnomularskim w lwowskich kawiarniach i restauracyach. Snuli się jak cienie za upatrzoną ofiarą, zachwalając jej swą lożę i ofiarując przyjęcie do gabinetu Salomona za marną opłatą kilku złotych. Z drugiej znów strony naczelnicy pewnych cyrkułów, oglądający się na zasiłki z kasy lożowej, starali się wszelkimi sposobami wpływać na podwładnych urzędników, by zapisywali się do grona czcigodnych braci ... Teraz dopiero oszukanym otwarły się oczy. Zmądrzeli oni i nie będą na przyszłość napychać swemi pieniądzmi sakiewki fałszywych, wolnych mularzy oraz płacić długów, przez kogo innego zaciągniętych. Oby za tym przykładem poszli wszyscy i oby wszystkie pokątne loże znikły z powierzchni ziemi. Jest to życzeniem każdego patryoty oraz każdego, uczciwego wolnego mularza.

Wspomniane przez Traunpaura rozporządzenie monarsze, dotyczące lóż wolnomularskich, ogłoszone zostało w dniu 29. grudnia 1785 r. i zawierało następujące, wielce charakterystyczne ustępy: „Tak zwane towarzystwa wolnych mularzy“ — słowa cyrkularza — „których tajemnice równie mi tak niewiadome są, im mniej ich kuglarstwa dochodzić kiedy ciekawy byłem, pomnażają się i rozszerzają teraz już nawet po wszystkich, najmniejszych miasteczkach... Przedtem i w innych krajach zakazywano i karano wolnych mularzy i w ich łożach trzymane zgromadzenia niszczono dlatego jedynie, że o ich tajemnicach żadnej wiadomości nie miano. Mnie one, chociaż mi również niewiadome są, dosyć mi na tem wiedzieć, że z tych towarzystw wolnych mularzów przecież niejako dobro dla bliźniego, dla ubóstwa i wychowania młodzi już uczynione było, żebym dla nich więcej, niż w jakim kiedy kraju działo się, niniejszem rozkazał, to jest: Iż one, choć też o ich prawach i czynnościach nie wiedząc, jednakże dopóki one dobre uczynki czynią, w obronę i zasłonę państwa całego być wzięte a tak ich zgromadzenia formalnie pozwolone być mają“ ...

Uznanie to wszakże nie było bezwarunkowe. Monarcha przepisywał, aby w siedzibach rządu krajowego istniały jedna a co najwyżej trzy loże, (te ostatnie jako filie pierwszej), których naczelnicy obowiązani byli do przedkładania gubernatorowi spisu imiennego członków loży, bez wymienienia stopni i godności, piastowanych wśród braci. Natomiast istnienie i zakładanie lóż na prowincyi i we wsiach było surowo zabronione pod zagrożeniem grzywny w kwocie trzystu czerwonych złotych. Donosicielom warowano bezkarność, zachowanie nazwiska w tajemnicy i sto czerwonych złotych nagrody. Rozporządzenie to weszło w życie z dniem pierwszym stycznia 1786 roku.

Treścią trzynastego listu są „Miscelanea", których szereg rozpoczyna wzmianka o Liesganiggu [1]). Niejaki Abbe Liesganigg — pisze nasz autor — rodem z Krainy, były jezuita, kreatura dawniejszego gubernatora, hr. Auersperga, szczyci się tytułem naczelnika żeglugi. Mimo najlepszych chęci nie mogłem wszakże dociec, na czem właściwie owa żegluga polega. Jest to zresztą człowiek bardzo użyteczny i uczony, ale nie biegły w hydraulice. Wiem na pewne, iż inżynierowi, wydelegowanemu przez skarb w sprawie kolonizacyjnej, zwykł był stale odpowiadać: Rób pan, jak uznasz za stosowne...

Pan von Breuning — czytamy w dalszym ciągu tego listu — urodzony z niemieckich rodziców w Portugalii, jest starszym inżynierem przy administracyi dóbr kameralnych i stoi na czele brygady inżynierskiej, złożonej z dwudziestu pracowników. Jest on niestrudzonym filantropem i otrzymał publiczne uznanie ze strony monarchy, który go za wzór innym urzędnikom przedstawił. Jego to pilności oraz wiedzy zawdzięczać należy osuszenie wielkich i szkodliwych bagien w Sandomierskiej ekonomii. Użyźnienie takowych, zaludnienie niemieckiemi koloniami oraz odprowadzenie wody sztucznym kanałem do Sanu i do Wisły — jego jest dziełem. Człowiek ten zawdzięcza swe wykształcenie staraniom ulubionego i rozumnego księcia Bragancy, któremu towarzyszył podczas wojny siedmioletniej i następnie jego kosztem umieszczony został w akademii inżynierskiej we Wiedniu.

---

[1]) Józef Liesganig, znany astronom, urodził się w dniu 13. lutego 1719 roku w Gracu i wstąpiwszy w młodym wieku do zakonu Jezuitów, był kolejno profesorem retoryki i matematyki w rozmaitych kolegiach, a następnie naczelnikiem astronomicznej stacyi w Wiedniu. Po kasacie zakonu wstąpił do służby rządowej i jako radca gubernialny został zamianowany szefem budowy dróg i mostów w Galicyi. Zmarł we Lwowie dnia 4. marca 1799 r.

Niemiecka *Lemberger Zeitung* stoi niżej poziomu miernoty. Zawiera jedynie spóźnione fragmenty z obcych pism, a jakkolwiek bardzo tania, jest jeszcze za droga w stosunku do swej treści [1]. Wychodzi też w Polsce tygodnik, p. t. *Pamiętnik*, wywołujący wielkie wrażenie. W rzeczywistości jednak jest to tylko dosłowny przekład „Hamburgskiego Politycznego Dziennika“. Każdy sobie radzi, jak może. Literaccy korsarze istnieją na całym świecie, nawet tam, gdzie ich się najmniej spodziewać można [2].

Od *Pamiętnika* przeskakuje autor „Miscelaneów“ do ruin pałacu drewnianego w Kolbuszowej, których widok wywołać musi ciężkie westchnienie z piersi znawców. Budowa tego gmachu — jak twierdzi Traunpaur — kosztowała Lubomirskich do 70.000 dukatów. Był to budynek dwupiątrowy, zaopatrzony we wszelkie możliwe wygody i spojony w ten sposób olbrzymiemi żelaznemi śrubami, że z łatwością można go było rozebrać i przenieść na inne miejsce. Owe dziwo nowoczesnej architektury dostało się w ręce młodego marnotrawcy, znanego z szaleństw wszelakiego rodzaju, księcia Marcina Lubomirskiego, małżonka zacnej Anny hrabianki Hadik. W ciągu pięciu lat przetracił on nietylko klucz Kolbuszowski, złożony z piętnastu wsi, wraz z pałacem, lecz nadto trzy miliony złotych reńskich w gotowiźnie. Feldmarszałek Hadik, opuszczając Galicyę, bawił przez kilka dni w tym pałacu i oświadczył zięciowi, że w ciągu wielokrotnych podróży zagranicą nie zdarzyło mu się widzieć podobnego arcydzieła sztuki budowniczej. Wkrótce potem książę Marcin rozwiódł się z swą małżonką, by poślubić tancerkę, która go również niebawem porzuciła. Obecnie żyje on w Warszawie, zawdzięczając swe utrzymanie po części wspaniałomyślności swej pierwszej żony, po części zaś przedsiębiorstwu redutowemu, które objął na własny rachunek. Tego rodzaju wybryki i odmiany losu nie są nadzwyczajnością w Polsce, tworząc część istotną sławionej wolności, panującej w tem państwie.

---

[1] Niemiecka „Lemberger Zeitung“ zaczęła wychodzić we Lwowie w roku 1787.

[2] „Pamiętnik polityczny i historyczny“ wychodził w Warszawie, począwszy od roku 1782 nakładem i pod redakcyą księdza Piotra Świtkowskiego. Była to publikacya w guście zagranicznych „Przeglądów“, podająca obok wiadomości z bieżącej polityki zagranicznej także rozumowane artykuły w sprawach krajowych, ekonomicznych i administracyjnych. Na końcu każdego zeszytu miesięcznego mieścił się rodzaj gazetki. „Pamiętnik“ wychodził do roku 1793 i oddał niemałe usługi sprawie publicznej.

Co do księcia Marcina nie przesadzał bynajmniej nasz autor. Sławny ów hulaka, który rezydując w Warszawie, utrzymywał batalion nadwornej piechoty, zaciągającej co południa wartę przed jego pałacem, zamianowany został w dniu 1. maja 1783 roku przedsiębiorcą tamtejszych widowisk teatralnych oraz redut. Nie długo wszakże trwała teatralna pasya księcia-pana, który już po kilku miesiącach zrzekł się intratnej antrepryzy i opuścił Warszawę. Straciwszy w latach następnych resztki olbrzymiej fortuny, oparł się Lubomirski pod koniec życia aż w Aschafenburgu, gdzie u sekciarza Franka, gościnne znalazł przyjęcie.

Mniej natomiast autentyczną jest opowieść Traunpaura o powstaniu kościoła jezuickiego we Lwowie. Świątynia ta miała być pierwotnie drewnianą i murowany przybytek zawdzięczała, zdaniem autora, jednemu z Potockich, który w ten sposób uzyskać chciał rozgrzeszenie za zabójstwo kapłana, popełnione u stóp ołtarza. Opowiadanie owe jest błędne, podobnie jak twierdzenie Traunpaura, jakoby kościół ten był zbudowany z czarnego marmuru. Nie Potoccy zresztą, lecz Jabłonowscy i Dieduszyccy byli szczególniejszymi dobrodziejami Jezuitów lwowskich.

Żyją jeszcze we Lwowie — słowa listu — siostry nieszczęśliwej Potockiej, córki senatora-kasztelana, która nie zdała się dość dobrze urodzoną swemu teściowi, wojewodzie, i z jego rozkazu została utopioną. Obie są równie piękne, jak ich zmarła siostra. Czyn ten okrutny nastąpił na czas krótki przed rewindykacyą Galicyi i cesarzowa Marya Teresa była zdecydowana kazać wydobyć z grobu zwłoki, zmarłego tymczasem zbrodniarza i spalić je pod szubienicą. Jedynie prośby wielu godnych członków tej rodziny i znaczna ofiara pieniężna, złożona na rzecz ubogich, zdołały zażegnać ten surowy, lecz sprawiedliwy wyrok . . .

I ta opowiastka nie jest niczem innem, jak fantastyczną bajeczką, gdyż proces między Potockimi a Komorowskimi zakończył się — jak wiadomo — polubowną ugodą.

Młody Potocki — prawi dalej nasz autor — który pojął pierwszą małżonkę z szczerej miłości, zaślubił następnie jedynaczkę, córkę Mniszka, i przebywa obecnie w dobrach swych ukraińskich, w Tulczynie. Przewódcą morderców był pewien szlachcic, przebywający zdrowo i bezkarnie w Galicyi, w okolicy nadwiślańskiej. Potocki sprzedał niedawno dobra swe galicyjskie wraz z wspaniałym pałacem w Krystynopolu za pół miliona złotych reńskich księciu Ponińskiemu, utrzymującemu się z podobnych afer. Same tylko urządzenie pałacowe kosztowało trzy miliony złotych. Utrzymywano, że pod

względem kosztowności i gustu nie miało ono równego sobie w całej Europie. Przyczyną tego niezwykłego postanowienia były nieprzyjemności, na jakie naraził się Potocki ze strony dworu wiedeńskiego, namawiając roślejszych szeregowców stacyonowanego w Krystynopolu pułku huzarów do zbiegostwa i przeniesienia się do jego dóbr na Ukrainę. Następstwa tego kroku mogły być dla Potockiego fatalne, a tylko protekcyi swego szwagra, starosty warszawskiego, Bryla, zawdzięczał on pobłażanie, jakiego doznał ze strony władzy.

Ciekawszym, mimo swej krótkości, jest list czternasty, traktujący o „lekarzach, chirurgach, aptekarzach, akuszerkach i szarlatanach." Na podobieństwo nagłej ulewy, nawiedzającej powodzią pewną okolicę, spadła na Galicyę zaraz w pierwszych latach po rewindykacyi istna armia szarlatanów, z wszystkich kątków cesarskich prowincyi wylęgła. Znany u Polaków pociąg do zbytku i połączona z nim nadmierna gościnność wywołały u mnóstwa awanturników to najświętsze przekonanie, że otwarło się dla nich nowe Peru, w którem rychło zgromadzą skarby. Jakoż z początku płacono za jedną wizytę lekarską po dwadzieścia, za puszczenie krwi dziesięć, za asystencyę przy połogu sto dukatów. W miarę jednak, jak regulowano podatki rządowe, zmniejszała się w kraju chętka do zbytku, ustawała hojność i wielu szarlatanów zawiodło się fatalnie w swych rachubach. Nie brakło i takich, którzy, narobiwszy sporo długów, w nadziei spodziewanych zysków, ulotnili się następnie bez śladu. Magnaci wygodniejsi utrzymują sobie własnych lekarzy nadwornych i chirurgów, inni zaś muszą posługiwać się lekarzami cyrkularnymi oraz felczerami. Między lekarzami nie brak też ludzi zasłużonych, jak Knobloch, medyk nadworny Lubomirskich, Kittel u Sanguszków, krakowianin Haller, pełniący obowiązki fizyka w Rzeszowie, Cattarini i Oerther, chirurdzy okręgowi w Tarnowie i w Dukli. Galicyanin Cynarski, aptekarz w Rzeszowie, jest jednym z najbieglejszych i najrzetelniejszych ludzi w swoim zawodzie. Obecnie i we Lwowie lekarz, przysłany z Wiednia, poucza akuszerki w ich sztuce. Dawniej brak był dotkliwy wykształconych w tym fachu kobiet.

W liście piętnastym powraca nasz autor do przerwanych poprzednio „Miscelaneów". Słyszymy więc dość bałamutne wersye o zwyczaju golenia głów u dawnych Polaków i o świętopietrzu, o perukarzach, którzy na prowincyi żadnego nie mają zajęcia, wreszcie o szalbierzach rozmaitego stanu i zawodu. — We Lwowie — pisze Traunpaur — spotyka się najprzeróżniejszych szarlatanów, nawet literackich, nie wyjmując i tego gazeciarza, który puścił w świat bezczelny wymysł, jakoby za krakowską bramą można było oglądać

kobietę, siedzącą na kupie kamieni i okrytą wśród zimna tylko słomą. Od „Gazety Erlangeńskiej“ otrzymał on należytą odprawę. W ogóle *Lemberger Zeitung* jest prawdziwą makulaturą, ale młoda pani Pillerowa znajduje mimo to zawsze przyjaciół i protekcyę. Pewien szlachcic, exjezuita, Rowaliński — prawi dalej autor — zdołał rozkochać przed kilku laty starszą już wdowę, bogatą księżnę Sanguszkową, iż naprzód go sowicie obdarzyła, a następnie zaofiarowała mu swą rękę. W podzięce za to młody małżonek począł ją lekceważyć, utrzymywać sobie kochanki i maltretować swą połowicę do tego stopnia, iż oszukana ofiara sama zażądała rozwodu. Uzyskała takowy, odstąpiwszy oszustowi znaczną część swego mienia. Tego rodzaju wypadki nie są rzadkością w Galicyi. Nikt na świecie nie przesyci się tak rychło żoną, jak Polak. Dewizą jego jest zdanie: Żona moja jest młoda, piękna, rozumna, dobrze wychowana. Mógłbym się w niej na śmierć zakochać, gdyby nie była moją żoną... Przed trzema laty gościłem u pewnego szlachcica, który mię przedstawił trzem swoim, byłym małżonkom. Na zakończenie „Miscelaneów“ daje znów nasz autor folgę swym antyklerykalnym poglądom, przytaczając anegdotki o proboszczu, który bezlitośnie skatować kazał złodzieja, schwytanego w swym sadzie, tudzież o mnichu franciszkańskiego konwentu, znieważającym ohydnemi słowy wizytującego w roku 1785 klasztor tarnowski, księdza Franciszka Hoffmana.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

ORGANIZACYA ZAWODOWA

w przemyśle. [1]

Organizacya zawodowa pracujących w jednej gałęzi w produkcyi przemysłowej nie jest niczem nowem.

Już Rzym starożytny, o ile zna wolną pracę — gdyż gospodaruje, jak wszystkie społeczeństwa starożytne, przeważnie przy pomocy pracy niewolników — ma swoje *collegia* i *sodalicia opificium*, które z upadkiem państwa rzymskiego znikają [2]. Na nowo a potężnie rozwija się organizacya zawodowa przemysłu w cechach średniowiecznych [3] i w tej formie przechowuje się w całej Europie aż do połowy, mniej więcej, naszego stulecia. Dopiero doktryny liberalne, głoszone od końca XVIII. stulecia najpierw przez pisarzy przedrewolucyjnych we Francyi, później przez t. zw. ekonomię klasyczną i jej epigonów, powodują nowy zwrot rzeczy. Pod ich wpływem zaprowadzają państwa europejskie, jedne prędzej, drugie później, wolność pracy przemysłowej i znoszą urządzenie cechowe a tem samem organizacyę zawodową pracy.

Następstwa tego kroku — jak i wielu innych przez owe teorye inspirowanych reform gospodarczych — nie dają na siebie długo czekać. Zanika dawne poczucie jedności i braterstwa między oddanymi jednemu zawodowi, zrywają się węzły etyczne, które łączyły pracodawców z robotnikami, nastaje tylko rozpasana walka konku-

---

[1]) Szkic niniejszy jest obszerniejszem opracowaniem referatu mojego na tegorocznym II. Wiecu katolickim we Lwowie.

[2]) Merkel artykuł: „Collegia“ w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada i Lexisa, tom II. Lotar Bücher: Die Entstehung der Volkswirtschaft. Tübingen 1893.

[3]) Stieda artykuł: „Zunftwesen“ w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada i Lexisa, tom VI.

rencyjna, w której upadają słabsi, wyrabia się proletaryat roboczy i rzemieślniczy i wytwarzają się różne „kwestye“ społeczne, jak: kwestya robocza, kwestya drobnego przemysłu i t. d.

Dzisiaj dopiero, po dziesiątkach lat, po smutnych doświadczeniach i klęskach ekonomicznych, jakie ten stan rzeczy spowodował, pod grozą widma socyalizmu zaczynają społeczeństwa odczuwać na nowo potrzebę organizacyi zawodowej, zaczynają zwracać się ku niej . . . I słusznie.

„Lepiej dwiema być społem — powiada Pismo św. — niż jednemu, albowiem mają pożytek z swego towarzystwa; jeżeli jeden upadnie, drugi go podeprze. Biada samemu, bo jeśli upadnie, nie ma, ktoby go podniósł“ [1]), a na innem miejscu: „brat, który bywa wspomagan od brata, jako miasto mocne“ [2]).

Słowa te Pisma świętego, które tak krótko a wymownie przedstawiają korzyści i potrzebę łączenia się, zespalania ludzi, stosują się i do pracy gospodarczej ludzkiej, zwłaszcza do pracy w jednym zawodzie . . .

Asocyacya zawodowa każda a więc i asocyacya w przemyśle ma przedewszystkiem znaczenie ekonomiczne. Umożliwia ona rozproszonym i słabym ekonomicznie drobnym przemysłowcom produkcyę, dostarczając im w drodze kredytu potrzebnego kapitału, ułatwiając zbyt produktów i dozwala im w ten sposób ostać się wobec wielkich przedsiębiorstw fabrycznych.

Lecz asocyacya zawodowa każda a więc i w przemyśle ma także drugie, może ważniejsze, znaczenie etyczno-społeczne. Robotników pracujących zawiśle jednoczy i skupia, krzepi na duchu i daje im możność bronienia w drodze legalnej swych praw, wreszcie, co najważniejsze, zbliża ich do pracodawców. A przy wzajemnem zbliżeniu nikną wiadomo, z jednej i drugiej strony uprzedzenia i zastarzałe niechęci, we wszystkich oddanych jednemu zawodowi wyrabia się poczucie braterstwa pracy, wspólności interesów. Warstwy społeczne, duchowo wyżej stojące, jak pracodawcy i ich rodziny — także i duchowieństwo — mają sposobność w kasach dla chorych, gospodach czeladnych i tym podobnych instytucyach, zakładanych przy stowarzyszeniach przemysłowych, wpływać w duchu religijnym i moralnym na klasę roboczą, szerzyć wśród niej oświatę, wyrabiać poczucie obowiązków zawodowych . . .

[1]) Ekl. 4, 9, 10.
[2]) Przyp. 18, 19.

I tu przechodzę do jeszcze jednego znaczenia, jakiego dziś specyalnie nabiera asocyacya zawodowa w przemyśle — znaczenia społeczno-politycznego. W walce przeciw szerzącym się skrajnym i niezdrowym prądom społecznym, którą to walkę podjąć jest dziś obowiązkiem każdego społeczeństwa, mogą dopieroco omówione wpływy warstw społecznych na klasę roboczą i zbliżenie się ich wzajemne stanowić broń najlepszą, najlepszą zaporę...

Wobec budzenia się dzisiejszego warstw niższych do życia politycznego, wobec rozszerzania na nie prawa wyborczego, staje się niezbędnem: wpojenie w klasę roboczą zdrowych zasad społecznych, pouczenie jej o obowiązkach i prawach obywateli, jednem słowem, wykształcenie jej obywatelskie... Najlepszą sposobność do tego daje zaś właśnie asocyacya zawodowa i instytucye przy niej tworzone...

Takie jest znaczenie asocyacyi w przemyśle, zwłaszcza w czasach dzisiejszych.

Formą jej dzisiejszą nie są już cechy, lecz stowarzyszenia. Urządzenia cechowe przeżyły się, bo cały ich początek i ustrój stały w związku z średniowieczną organizacyą stanową i właściwym tejże egoizmem klasowym. Przeżyły się i wrócić nie mogą; w miejsce ich wstępują stowarzyszenia zawodowe, t. j. związki pracujących w jednej gałęzi przemysłu, związki przedewszystkiem dobrowolne, niekiedy przymusowo przez władzę zainicyowane.

Dobrowolne stowarzyszenia zawodowe w przemyśle a mianowicie związki robotników pojawiają się w naszem stuleciu dosyć wcześnie. Przoduje w tym względzie Anglia, gdzie wobec potężnego rozwinięcia się wielkiej produkcyi fabrycznej i wobec bewzględnego egoizmu, z jakim wyzyskiwała ona robotników, stan roboczy, poparty przez wyższe klasy społeczne, już wcześnie skupił się dla obrony przeciw kapitałowi. Historya angielskich stowarzyszeń robotniczych Trade-Unions, to jedna z kart dziejów Anglii, jej przeobrażeń społecznych i politycznych... Nie myślę jej tu bliżej przedstawiać, bo przeszłoby to granice mego referatu, zaznaczę tylko, że jakkolwiek pierwsze związki robotników w Anglii tworzą się już z końcem zeszłego i początkiem bieżącego stulecia, to rozwój ich na większą skalę rozpoczyna się dopiero z poparciem ich przez stronnictwo chrześciańsko-socyalne (od r. 1849 mniej więcej). Stronnictwu temu zwłaszcza zawdzięczają w znacznej części stowarzyszenia robotnicze angielskie: przechylenie ogółu społeczeństwa na swą

stronę a następnie ustawowe uznanie. (Aktem z r. 1871 i nowelą doń z r. 1876)[1]).

W ostatnim czasie — na kongresie stowarzyszeń robotniczych angielskich w Norwich w roku 1894[2]) — zamanifestowały się wprawdzie i wśród nich tendencye socyalno-demokratyczne, lecz pomijając, że w kongresie tym wzięła udział bardzo mała ilość stowarzyszeń (179), manifestacye te są objawem przemijającym i nie ulega wątpliwości, jak twierdzą znawcy stosunków angielskich, że żywioły umiarkowane wezmą wnet znowu górę[3]). Raz bowiem trzeźwy rozsądek i zmysł praktyczny robotnika angielskiego nie pozwalają mu zapalać się do utopii, lecz każą raczej w drodze legalnej starać się o polepszenie bytu; powtóre właśnie trwająca już czas dłuższy w Anglii organizacya zawodowa dała klasie roboczej poznać swe korzyści; poprawiła jej byt materyalny, podniosła ją duchowo, przejęła świadomością swych obowiązków a zaufaniem do społeczeństwa.

To też socyalna demokracya ma w Anglii nielicznych ledwo zwolenników w klasie roboczej[4]), gdy tymczasem organizacya stowarzyszeń robotniczych rozwinęła się tam potężnie, a dzięki staraniom zasłużonej *Labour Association*[5]) przystępowanie do

[1]) Bliższe szczegóły por. Webb: The History of Trade Unionism, London 1894; Brentano: Entwickelung u. Geist des englischen Arbeiterorganisationen. Archiv für sociale Gesetzgebung 1895; Brentano artykuł: Gewerkvereine in England w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada i Lexisa II.; Biermer artykuł: Gewerkvereine in England w Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Suppl. B. I.; John: Zur englisch-schottischen Genossenschaftsbewegung. Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung. Tom III. z r. 1894.

[2]) John: Der Collectivismus in den englischen Gewerkvereinen Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik u. Verwaltung. Tom IV. z r. 1895.

[3]) John: Gewerkverein und Productivgenossenschaft in England. Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik u. Verwaltung. Tom IV. z r. 1895; Biermer j. w. str. 411.

[4]) Adler artykuł: Socialdemokratie w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada. Tom V. str. 737.

[5]) Jest to stowarzyszenie, założone w r. 1884 na kongresie spółek produkcyjnych i konsumcyjnych angielskich w Derby, którego celem jest: oprzeć produkcyę kooperatywną spółek tych nie na zasadzie zniżania, o ile można, płacy robotników, a tem samem zbierania większego zysku, lecz na zasadzie dopuszczania robotników do udziału w zysku. Na tej drodze chcą w Anglii usunąć antagonizm między związkami robotniczymi a spółkami produkcyjnemi, zakładanemi przez ludzi

istniejących spółek produkcyjnych lub zakładanie samoistne nowych wśród stowarzyszeń tych coraz się przyjmuje.

W roku 1892 — są to ostatnie urzędowe daty — było stowarzyszeń robotniczych w Anglii: 594, liczba członków ich dochodziła półtora miliona (t. z. 13—15% całej ludności, oddanej przemysłowi w Anglii), a majątek ich wynosił przeszło 37 milionów marek [1]).

Obok tego istnieją w Anglii po wielu parafiach związki czeladników i młodocianych robotników z charakterem religijno-wyznaniowym (*young mens clubs*, *young mens societies*) a zwłaszcza także takie związki katolickie. Te ostatnie tworzą się za inicyatywą duchowieństwa katolickiego, które w Anglii pod wpływem nieodżałowanego kardynała Manninga zwróciło gorliwie swą działalność na pole społeczne [2]).

Nadmienię wreszcie, że przemysłowcy samoistni w Anglii do stowarzyszeń i związków robotniczych nie należą, lecz do izb handlowych, które, tworzone dobrowolnie przez kupców i przemysłowców, są tam ich reprezentacyą zawodową. Ustawą nakazanych obowiązkowych organizacyi, czy reprezentacyi zawodowych nie ma w Anglii.

Francya, jak z jednej strony jest kolebką socyalizmu, tak z drugiej krajem *par exellence* praktycznego chrześciańskiego miłosierdzia. To też rozwinęły się tam już oddawna liczne katolickie stowarzyszenia i instytucye, celem wpływania na młodzież przemysłową w duchu religijnym i moralnym i materyalnego jej wspierania, a pod ich opieką potworzyły się związki katolickie czeladników i rzemieślników. Po roku 1840 założono słynną chrześciańską korporacyę robotniczą w Val-des-Bois, a po wojnie z r. 1870/71 hr. Albert de Mun i markiz de la Tour du Pin Chambly, poznawszy jako jeńcy wojenni w Niemczech tamtejsze katolickie związki czeladników, utworzyli znane stowarzyszenie: *Oeuvre des cercles ouvriers* i poczęli zakładać katolickie kółka robotników, które rozszerzyły się po całej Francyi i dziś liczą przeszło 60.000 członków [3]).

---

uposażonych w większe lub mniejsze kapitały i umożliwić robotnikom, czy całym stowarzyszeniom robotniczym branie udziału w spółkach, por. John: Zur englisch-schottischen Genossenschaftsbewegung, str. 361 i n. John: Gewerkverein u. Productivgenossenschaft, str. 283 i n.

[1]) Biermer, j. w. str. 410.

[2]) Brüll art. „Katholisch-sociale Reformbestrebungen" w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada i Lexisa. Tom V. str. 756, 757.

[3]) Brüll j. w. str. 755.

Obok tego służą we Francyi, jako organizacya zawodowa przemysłu, t. zw. syndykaty, opierające się obecnie na ustawie z 21. marca 1884 r. Są to związki dobrowolne należących do tegoż samego lub pokrewnego zawodu, związki natury ogólniejszej, bo mogą je tworzyć nietylko przemysłowcy lub robotnicy przemysłowi, lecz i rolnicy i osoby t. zw. zawodów wyzwolonych...

Celem tych związków jest: popierać wykształcenie zawodowe swych członków przez zakładanie bibliotek i szkół fachowych, zapewniać im pracę, ułatwiać nabywanie i zbyt produktów, udzielać kredytu, zaliczek na podróże fachowe, wreszcie ubezpieczać na wypadek niezdolności do pracy, braku tejże, starości.

Syndykaty są albo związkami pracodawców albo robotników, albo mięszanemi. Pierwszych było na dniu 1. lipca 1894 r.: 1.518 o 122.251 członkach; drugich 2.178 z liczbą członków 408.025; syndykatów mięszanych było 177 z ilością członków 29.124. Syndykaty mogą tworzyć większe związki: unie lub federacye. Takich unii było na dniu 1. lipca 1894 r. w całej Francyi 73 [1]).

Syndykaty francuzkie daleko lepiej potrafiłyby odpowiedzieć swoim zadaniom, gdyby nie oddawały się tyle — polityce i agitacyom partyjnym!...

W Niemczech dobrowolne związki robotników, t. zw. *Gewerkveine*, owiane są po większej części duchem socyalno-demokratycznym. Z końcem roku 1894 było w Niemczech związków robotniczych odcienia Hirsch-Dunckera, t. z. nie oddanych socyalizmowi, tylko 1.436 o 67.058 członkach, gdy tymczasem socyalno-demokratycznych związków było już na wiosnę r. 1893: 4.543 o liczbie członków: 241.955. W ogóle należy w Niemczech do związków robotniczych różnego rodzaju przynajmniej 400.000 robotników [2]). Przemysłowcy samoistni tworzą odrębne związki, t. z. *Gewerbevereine*, których jest około 500 w całych Niemczech [3]).

---

[1]) V. d. Osten: Gewerkvereine in Frankreich w Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom IV. str. 30—35. Lexis: Gewerkvereine in Frankreich, Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Suppl. B. I. str. 412, 413.

[2]) Adenberg: Gewerkvereine in Deutschland. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Suppl. B. I. str. 381—404. Dr. Max Hirsch: Die Entwicklung der Arbeiterberufsvereine in Grossbritanien und Deutschland. Berlin 1896.

[3]) Landgraf: Gewerbevereine. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom III. str. 1074—1080.

Nadto rząd niemiecki, celem zbliżenia pracodawców do robotników i złagodzenia kwestyi roboczej, wskrzesił na nowo ustawą z 18. lipca 1881 (zmienioną już odtąd nowelami z r. 1884, 1886 i 1887) organizacyę cechową. Nie nadał jej jednak charakteru przymusowego, lecz należenie do niej pozostawił dobrej woli interesowanych. Fakultatywne cechy te *(Innungen)* — z powodu, zdaje się, wadliwej organizacyi wewnętrznej, mianowicie przekazania im zbyt wiele obowiązków, na które nie mają ani dostatecznych środków pieniężnych, ani odpowiedniego materyału w ludziach — nie wydały wielkich rezultatów. W grudniu r. 1888 było ich w całych Niemczech 10.325 o 316.507 członkach; najwięcej rozwinęły się w Prusach, najmniej w południowych Niemczech, gdzie więcej kwitną wspomniane wprzód: *Gewerbevereine.*

To też rząd niemiecki zamierza w miejsce tych cechów, czy obok nich wprowadzić przymusowe stowarzyszenia zawodowe przemysłowców *(Fachgenossenschaften)* na wzór austryackich [1]).

Obok tych wszystkich organizacyi istnieją w całych Niemczech związki robotników i czeladników z charakterem religijno-wyznaniowym. Zwłaszcza związki katolickie są bardzo liczne i rozwijają się nader pomyślnie. Z początkiem roku 1891 liczył powszechny związek czeladników katolickich, założony przez ś. p. ks. Kolpinga, który rozpościera się i na Austryę, a nawet ma filie za granicą 820 związków lokalnych, a liczba jego członków wynosiła około 75.000. Związki te utrzymywały własnym kosztem 190 gospód czeladnych [2]).

W innych krajach Europy, jak w Belgii, Szwajcaryi, Włoszech, nawet Danii, istnieją tylko dobrowolne związki robotników, które mają na celu skupienie ich dla obrony przeciw pracodawcom i uzyskanie korzystniejszych warunków płacy. Niestety, większa część tych związków opanowaną jest przez socyalną demokracyę i uprawia politykę... [3])

---

[1]) Stieda: „Innungen“ w Handwörterbuch des Staatswissenschaften. Tom IV. str. 586—591. Thilo Hampke: Die Organisation des Handwerks u. die Regelung des Lehrlingswesens. Jahrbücher für Nationalökonomie. Hildebranda 1894, str. 78 i n., str. 565 i n.

[2]) Brüll: Katholische Gesellenvereine. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom III. str 837.

[3]) Dr. Ernest Mahaim: Gewerkvereine in Belgien; Herkner: Gewerkvereine in der Schweiz; Lexis: Gewerkvereine in anderen europäischen Ländern. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom IV. str. 35 i n.

Jedynie w Stanach Zjednoczonych Ameryki pojmują robotnicy — podobnie jak w Anglii — trzeźwiej zadania organizacyi zawodowej i trzymają się zdala od polityki i agitacyi socyalistycznych. To też związki robotnicze tamtejsze rozwinęły się potężnie, podniosły wysoko moralnie i materalnie stan roboczy, a w r. 1892 liczyły około 900.000 członków. Każdy związek prawie wydaje własne pismo [1]).

Nawet w Australii istnieje organizacya zawodowa przemysłu, polegająca na dobrowolnych stowarzyszeniach, które tworzą z jednej strony robotnicy, z drugiej pracodawcy [2]).

Katolickie związki robotników po Francyi, najwięcej rozpowszechnione są w Belgii, gdzie je zakładają i popierają przewódzcy ruchu socyalno-katolickiego: profesor Helleputte, redaktor Verhagen, Michel Leroi i ks. Pottier. Obok tego jednak istnieją liczne takie związki i w Szwajcaryi, we Włoszech a nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie dla ruchu robotniczego wiele zdziałał kardynał Gibbons [3]).

A jakżeż przedstawia się organizacya zawodowa przemysłu w Austryi?

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Władysław Pilat.

---

[1]) Sartorius von Waltershausen: Gewerkvereine in den Vereinigten Staaten von Amerika. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom IV. str. 42—46; Suppl. B. I. I. str. 413—420.

[2]) Schultze-Gaevernitz: Gewerkvereine in Australien. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom IV. str. 46—49.

[3]) Brüll: Katholisch-sociale Reform Bestrebungen.

KRONIKA LITERACKA.

Turquan: *L'impératrice Joséphine.* — Paris.

„Gwiazdą swego życia“ nazywał Napoleon I. przez długi czas Józefinę de Beauharnais, a gdy w późniejszych latach powodzenie go coraz bardziej opuszczało i stworzone przezeń dzieło coraz bardziej rozsypywało się w gruzy, pod którymi i on miał znaleźć swój koniec: wyrzekł raz w chwili przygnębienia słowa: „Józefina miała słuszność; było to mojem nieszczęściem, iż ją opuściłem.“

O tej kobiecie, która miała wrzekomo wywierać tak dziwny wpływ na życie i losy niezwykłego człowieka, a która w tem życiu w każdym razie odegrała smutną raczej, niż piękną rolę, pisarz francuski, Józef Turquan, ogłosił właśnie zajmujące dzieło. W pierwszym tomie poświęca swe studya: „generałowej Bonaparte“, zajmując się losami Józefiny przed jej zaślubieniem przez Napoleona, a dalej związkiem ich i pożyciem małżeńskiem w pierwszych latach; w drugim zaś przedstawia już „cesarzową Józefinę“, późniejsze rozłączenie się z mężem i ostatnie lata — odosobnienia i poniżenia. Dzieło to, napisane gruntownie i oparte na najnowszych źródłach, obala niejedną legendę, która przez dziesiątki lat charakter, umysł i serce Józefiny zdobiła niezasłużenie wielkimi przymiotami; w biografii p. Turquan występuje kobieta, pozbawiona wielkich rysów charakteru i umysłu, nie umiejąca wznieść się nad niski poziom zwykłych kobiecych wad i próżności ani w szczęściu, którego nie umiała ocenić, ani w nieszczęściu, którego nie umiała znosić.

Józefina de Beauharnais, z domu Tascher-Lapagerie, pochodziła z wyspy La Martinique. Trudno dzisiaj oznaczyć rok jej urodzenia, ponieważ czarująca kreolka, wychodząc w d. 9. marca 1796 r. za Bonapartego, skorzystała z niedbalstwa, z jakiem wówczas cywilne akta stanu we Francyi prowadzono, i podała fałszywą datę urodzin, prawdopodobnie o wiele późniejszą od prawdziwej. W każdym razie miała wówczas już więcej, niż 36 lat. Chociaż — jak mówią współcześni —

straciła już była wówczas świeżość młodości, umiała się jednak zawsze jeszcze podobać i podobała się rzeczywiście. Pierwszy jej mąż, generał Beauharnais, poległ w bitwie, pozostawiając jej dwoje dzieci: Eugeniusza i Hortenzyę. — W chwili, gdy Napoleon poznał młodą wdowę, wdzięki jej cenił niejeden, a w szczególności także Barras w głośnych swych, świeżo wydanych pamiętnikach utrzymuje, iż nietylko umiała się także i jemu podobać, lecz także swą miłość mu oddała. Pani Tallien, ówczesna władczyni goniącego za pięknościami członka dyrektoryatu — dlatego często „Madame Directrice“ zwana — mimo, że Barras sprzeniewierzał się jej na rzecz Józefiny, była dla Józefiny z nadzwyczajną przyjaźnią. W jej domu to, w Luksembourgu, wśród tłoku żądnych rozkoszy i — pieniędzy kobiet, poznał Józefinę Napoleon, i za jej to pośrednictwem uproszono u Barrasa naczelną komendę we Włoszech dla Bonapartego. Nie ma wątpliwości, iż Józefina wyszła za Napoleona nie ze skłonności, lecz dlatego, iż pozostawała w bardzo trudnem położeniu materyalnem, a zakochany w niej po uszy, z całą naiwnością młodego człowieka, który spędzając czas na studyach i w obozie, nie mógł poznać kobiet, Napoleon przedstawiał zdolnościami i powodzeniem dobre na przyszłość widoki. Chociaż go zaś przyjaciele i przyjaciółki tych przyjaciół przestrzegali, odrzucił wszystkie napomnienia i — ożenił się.

Zrazu, młodzi małżonkowie żyli po największej części zdala od siebie. Wypadki wojenne wzywały Napoleona raz po raz to do Włoch, to do Egiptu; Józefina tymczasem rzuca się w wir rozrywek i rozkoszy w Paryżu, upajając się powszechnie nadawanym jej tytułem: Nôtre Dame de victoire“. Nie ma nawet czasu odpowiadać na pełne namiętności i tęsknoty listy Napoleona, który napróżno ją wzywa, aby przybyła za nim na plac boju, do obozu. Aby nie opuszczać Paryża, zasłania się przed coraz bardziej natarczywemi nawoływaniami męża stanem, wymagającym ochrony i nie pozwalającym na dalszą podróż. Napoleon wiadomością tą jest tak wzruszony, że sam czem prędzej pospiesza ją powstrzymać od zamiarów podróży, prosi ją o przebaczenie i przesyła jej „tysiące pocałunków tak gorących, jak ty jesteś zimną.“ Potem musi ona sama przyznać, że nadzieja była zwodniczą. Napoleona zarówno to, jak i chłód, okazywany mu przez Józefinę, drażni i czyni zazdrosnym; wreszcie nietylko od swych krewnych, o których wie, że jej nie lubią, ale i od bezstronniejszych osób dowiaduje się o niej i o jej życiu bolesnych dla niego szczegółów; czyni więc jej w listach coraz bardziej ostre wymówki, przeplatając je jeszcze wybuchami namiętności i sentymentów. Józefina nie wiele sobie robi i z drugich i z pierwszych. Charakter jej i cała postać zarysowują się w opowieści Turquan'a coraz — nieprzyjemniej. Napoleon, po powrocie z Egiptu, nie oddaje się

już złudzeniom: wie, że nie był nigdy kochany, lub że przynajmniej dawno nim być przestał. Co gorsza, zna swych szczęśliwych współzawodników, nienawidzi ich — i zadowala się odsuwaniem ich od Józefiny. On, nieustraszony w ogniu i w najcięższych przejściach, jest słabym wobec tej kobiety; nie umie nawet odstraszyć, oddalić od niej wszystkich, którzy zabierają mu jej miłość i namiętność. Porucznika Hipolita Charles wysłał sam Napoleon, jako kuryera z Włoch do Paryża, do swej żony, i ona zatrzymuje go dla siebie, dzieląc się nim tylko — naturalnie w zupełnej nieświadomości — z siostrą Napoleona, Pauliną, późniejszą księżną Borghese. Podobnie było z Muratem, późniejszym królem Neapolu. Napoleon był za słaby dla żony, a przytem miał tę próżność, iż nie chciał odgrywać roli *d'un mari à la Molière*. Uginał się przed Józefiną, ale nie przed jej umysłem, lecz wyłącznie przed powabami ciała. Przeciwnie, zabronił jej jak najsurowiej mięszać się do spraw państwowych, a pewnego razu powiedział nawet: „To samo, że żona radziła mi coś, mogłoby wystarczyć, abym wprost inaczej postąpił.“

Powrót z Egiptu, kiedy to Napoleon przekonał się osobiście o sposobie życia swej żony, zabił w nim miłość ostatecznie. Wówczas także powstała w nim po raz pierwszy myśl rozwodu z żoną, o wiele później dopiero urzeczywistniona. Odtąd staje się szorstkim; właściwe jednak dni krzyżowe Józefiny w pożyciu małżeńskiem rozpoczynają się z chwilą, gdy została cesarzową. Napoleon począł szukać także rozrywek z „pięknemi, łagodnemi i przyjemnemi stworzeniami“, jakiemi — według jego wymagań — musiały być panie, które on darzył swymi względami; jednak tylko w stosunek z panią Walewską włożył nieco uczucia — wszystkie inne traktował chłodno. Niektóre z dam, przez siebie odznaczanych, wybierał wprost z otoczenia swej żony, jak panią Duchâtel, pannę Lacoste, panią Gazzini — a Józefina, która wraz z wiekiem stawała się nietylko coraz otylszą, lecz także coraz bardziej zazdrosną i coraz więcej namiętną, choć męża swego otaczała szpiegami, nie zawsze w czas umiała spostrzedz to, za czem pilnie śledziła. Jednem słowem, sytuacya w pożyciu małżeńskiem zwolna się odwróciła. Sceny zazdrości, łzy i wyrzuty, którymi obsypywała cesarza, nie pomogły jednak nic, podobnie, jak zabiegi jej, by schwycić męża *in flagranti*. W późniejszych latach stała się już więcej zrezygnowaną, lecz i to nie pomogło. Napoleon nie mógł jej wybaczyć doznanego zawodu, a przedewszystkiem nie mógł jej wybaczyć tego, iż nie dała mu dzieci. Więc też wreszcie rozwiódł się z nią.

Po rozwodzie zamieszkała Józefina w Malmaison, które przed laty było widownią jej romantycznych przechadzek z pięknym adjutantem

generała Bonapartego, porucznikiem Hipolitem Charles. Tam przyjmowała liczne wizyty, zwłaszcza kobiet z wyższego świata paryskiego i płakała przed niemi nieustannie. Zwolna uspokoiła się, a ten spokój umysłowy spowodował, że tyła coraz więcej. Zabawiała się zresztą wybornie ze swym małym dworem, a hr. Viel-Castel twierdzi w swych wspomnieniach, że ojciec jego, który był kochankiem Józefiny przed jej wyjściem za Bonapartego, był nim także i po zerwaniu tego związku. Rozrzutność jej nie znała granic. Napoleon wyznaczył jej 3 miliony renty rocznej; prócz tego miała wille i zamki, a cesarz płacił nadto niejednokrotnie jej długi. Mimo to wszystko, wierzyciele po śmierci jej zgłosili jeszcze pretensyj na 2 miliony franków.

Jedyną jaśniejszą wzmiankę zapisała o niej kronika historyczna z czasu, gdy Napoleon został ojcem. Pospieszyła wówczas w słowach, pełnych rezygnacyi, wyrazić życzenia swe cesarzowi a błogosławieństwo królowi Rzymu. Do dobrych jej przymiotów należało i to także, że dla dzieci swych z pierwszego małżeństwa zachowała zawsze najtkliwsze uczucia; pomimo licznych, nie tajnych im błędów matki, otaczały one ją również miłością.

Poufałość natomiast, z jaką car rossyjski i król pruski, a zwłaszcza pierwszy z nich, obracali się w domu Józefiny, podczas gdy Napoleon był jeńcem na Elbie, nie rzuca pięknego światła na jej charakter. Nie miała nigdy uczucia godności i płaszczyła się później także przed królem z rodu Bourbonów, byle wyżebrać dla dzieci swych tytuły godności.

Umarła w dniu, w którym przyszedł do skutku ostateczny traktat, niszczący na rzecz domu Bourbonów dzieło Napoleona.

Jules Simon: *Quatre portraits: Lamartine. Le cardinal Lavigerie. Ernest Renan. L'empereur Guillaume II., suivis du discours prononcé pour le centenaire de l'Institut.* — Paris, Lévy 1896.

Zmarły niedawno głośny pisarz francuski miał w d. 25. października z. r., z polecenia wszystkich pięciu oddziałów Instytutu francuskiego, mowę na cześć rzekomo setnej rocznicy założenia tego instytutu. Mowa trwała przeszło godzinę. Jules Simon podniósł w niej sam, że wprawdzie rewolucya zniosła formalnie na chwilę francuską akademię królewską, jako wytwór królestwa i dzieło rządów wielkiego kardynała (Richelieux), że jednak trwale obalić jej nie mogła, to też „*L'Institut existe depuis le 25. octobre 1795, mais les académies, qui le composent, remontent à 1635.*“

Juliusz Simon w życiu politycznem i w swoich pracach zawsze pełen życzliwego sądu, pobłażania dla innych i dla siebie, zawsze gładki, elegancki prawie, usiłujący wszystkich utrzymać w dobrem usposobieniu i zabawić, a nigdy nie starający się być samodzielnym, zdecydowanym, odrębnym i wybitnym, typowy *l'homme distingué dans le genre médiocre* — według jego własnego określenia — jest takim również i w zacytowanych wyżej „portretach". Cóż za różnica n. p. między jego mową pochwalną na cześć Lamartine'a a charakterystyką Merimée'a, skreśloną przez Taine'a; między jego portretem kardynała Lavigerie a sylwetami duchownych Sainte Beuve'a; między jego sądem o Renanie, z którym łączyły go bliskie stosunki od r. 1845, t. j. od chwili, gdy Renan zbierał się porzucić seminaryum duchowne w Saint Sulpice, a studyami o Renanie takich n. p. pisarzy francuskich, jak Challemel-Lacour, Voguë, Deschampes, Séailles, Darmestetter, Boissier i i. O pobycie swoim, w charakterze delegata Francyi, na zwołanym przez cesarza Wilhelma II. do Berlina kongresie dla kwestyi socyalnej, pisał już w swoim czasie w *Revue de Paris*, a sprawozdanie to przetłómaczono wówczas — przynajmniej w wyjątkach — prawie na wszystkie cywilizowane języki. Cesarz Wilhelm uczynił na Juliuszu Simonie „wrażenie młodego szlachcica francuskiego z Normandyi. Posiada on ich sympatyczne usposobienie i ich wesołość. Aby jednak wszystko powiedzieć, przyznam, że po za tą ujmującą stroną zewnętrzną zauważyłem jakąś niepewną nutę, która mówi, że nie warto różnić się z nim w zdaniu w sprawach poważnych." Wrażenie to może wywołało, a może tylko wzmocniło ustąpienie żelaznego kanclerza, które rozegrało się prawie w oczach Juliusza Simona. W dodanych do „czterech portretów" artykułach, będących przedrukiem kilku artykułów wstępnych, ogłoszonych we francuskich dziennikach, zwraca się Juliusz Simon przeciw szowinistom francuskim (n. p. artykuły: *Notre escadre aux fêtes de Kiel*, *Le vrai patriotisme)*. Swoją drogą kończy te refleksye — hołdem dla cara: *il avait donné la paix à l'univers . . .*

Jules Claretie de l'Académie française. *La vie à Paris.* — Charpentier 1896.

Claretie, który, jako typ nieśmiertelnej miernoty, wszedł do tej samej Akademii, która zamykała drzwi swoje przed takimi bądź co bądź mocarzami pióra i talentu, jak Flaubert, Gautier lub choćby Zola, ogłosił w przytoczonej książce, zebrane w jedną całość, swe pogadanki feljetonowe, znane z odcinków *Temps'a*, gdzie wychodziły w pewnych odstępach czasu, podpisane pseudonimem wolterowskiego Candide'a. Chara-

kteryzuje je przedewszystsiem — gadulstwo. Claretie znał Dumasa syna, Gounoda, Vacqueri'ego, Taine'a i inne znakomitości francuskie ostatnich czasów; to jednak, co o nich umie powiedzieć, jest albo równie mierne, jak długi szereg jego dzieł i powieści, albo też równie nieprawdopodobne, jak n. p. następna anegotka: *Taine dans ses conversations intimes prétendait, qu'il avait trouvé le secret de tous les drames de la Révolution française. Il venait d'en découvrir à n'en pas douter le grand impressario. L'homme, qui avait tout fait, le régisseur de la grande tragédie, c'était Laclos, l'auteur des Liaisons dangereuses.* (Str. 335).

Vicomte Melchiór de Voguë: *Devant le siècle.* — Paris, Colin 1896.

Jestto szereg portretów literackich lub nekrologów, poprzednio w *Revue des deux mondes* lub w *Journal des Débats* drukowanych. Znajdujemy tu sylwetki i charakterystyki pp.: Heredia, Canrobert, Pasteur, Montégut, Ney, d'Antraigues, Lareveillère-Lépeaux, księżnej de Broglie i i., kreślone wiernie, w ogóle sprawiedliwie, czasem tylko z pewną przesadą lub pogonią za efektami. Znajdujemy tu także ogłoszony naprzód (w marcu r. 1893) w *Débatach* nekrolog Taine'a, nie wolny od przesady, ale przedstawiający zarówno znakomitego pisarza, jak i autora nekrologu, w świetle prawdziwem, dodatniem.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

PRZYCZYNEK
DO HISTORYI KONSTYTUCYJNEJ
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

II.

Statut konstytucyjny Księstwa.

(Ciąg dalszy).

Statut z 1807 r., jak to słusznie zauważono, ani jednem słowem o „izbie edukacyjnej" nie wspomniał. Wydział oświaty powierzono ministeryum spraw wewnętrznych, pomimo to izba edukacyjna zniesioną nie została, a faktycznie istnienie tej władzy, jej stanowisko w administracyi centralnej, wszystko to składać się musiało na zjawisko pod względem prawno-państwowem oryginalne. W roku jednak 1810 powołaną została do życia „Dyrekcya edukacyi narodowej", która dopiero w r. 1812 rozpoczęła swoją działalność [1]). Projekt utworzenia powyższej „Dyrekcyi" musiał jednak być podanym radzie stanu znacznie wcześniej, albowiem referendarz, Morawski, tłómaczy w r. 1810, dlaczego „tak długiej doznaje zwłoki", a powód tkwi w tem, że się nie da pogodzić z teraźniejszą formą rządu, wypływającą z konstytucyi. Zamierza bowiem ustanowienie dyrekcyi kollegialnej, co przeszkadza pośpiechowi i egzekucyi i uwalnia od osobistej odpowiedzialności, pod jaką powinienby pozostawać dyrektor, działający sam, nie kollegialnie. Zwycięski bój z powyższym poglądem stoczył Staszic, który oświadczył, że taka władza w dyrekcyi edukacyi publicznej niema nic przeciwnego konstytucyi, bo wielki prawodawca, który też konstytucyę nadał, bynajmniej nie położył między wydziałami ministeryum edukacyi, „zdaje się, iż znając, że

[1]) Konic: Kartka z dziejów oświaty w Polsce i t. d. Str. 4 i 14.

ta część administracyi nie potrzebuje tego skoncentrowania, ani tej tak szybko i silnie działającej władzy, jak inne administracyjne wydziały, zostawił więc jej urządzenie zupełnie do woli monarchy. Doświadczenie przytem okazało, że w kierowaniu edukacyą władza kollegialna jest najdogodniejszą, dowodem tego sławna „Komissya edukacyjna", która w owe nieszczęśliwe czasy postępowała w składzie kollegialnym jak najlepiej. Również za rządu teraźniejszego izba edukacyjna, kollegialnie działając, część tę administracyi przy szczupłych funduszach prowadziła z powszechnym dla kraju pożytkiem. Władza kollegialna jest bowiem właściwą z natury magistraturze, kierującej publicznem oświeceniem i wychowaniem, bo jak zakładanie planów, oznaczenie wzorowych autorów i wybór nauczycieli wymaga wielkiej rozwagi i powolności przy obszernych naukach, tak równie w egzekucyi tychże planów potrzeba ciągłego namysłu i więcej powolności, jak prędkich działań, ażeby przepisanych nauk zgłębić zasadę i utrzymać systemat. Objęcie zaś tych wszystkich wiadomości i kombinacyi niepodobnem jest w jednej osobie dyrektora. Jeżeli zaś w takich nieustannych zdarzeniach chciałby zasięgać rady konsyliarzów, ci, znając, że to działanie uważane będzie podług przepisu za własne samego dyrektora i że z dobrego wykonania planu edukacyi nie oni, ale dyrektor osięgnie cały zaszczyt, uczują bardzo osłabione w sobie pobudki, które ich tak czynnymi i gorliwymi robiły w stosunku kollegialnym. Dotąd bowiem największą sprężyną, pobudzającą gorliwość izby edukacyjnej, było zjednanie sobie chwały publicznej i względów monarchy, bo wiedziano, że te spadać będą na cały jej skład dla wspólnej czynności. Dotąd ubiegały się do tego składu osoby z wielu miar znakomite, z których światła i gorliwości korzystała edukacya, takie nie chciałyby się znajdować w składzie dyrekcyi, w której miałby przewagę władzy jeden z jej członków.

Rozumne wywody Staszica nie od razu zdobyły sobie uznanie. Referendarz Morawski w odpowiedzi na nie zaznaczył, że jakkolwiek konstytucya nie jest w szczegółach wykończoną, to jednakże szczegóły stosować się muszą do ogólnego systematu, jaki z ducha jej wypływa. Minister spraw wewnętrznych mniemał, że między powodami, które Naj. Pana wstrzymały od zadecydowania tego projektu, gdy dawniej był J. Kr. Mości przedstawiony, może być i ta przyczyna, że go znalazł niezgodnym z teraźniejszą formą rządu. Prezydujący wreszcie przytoczył, że Naj. Pan dał poznać wyraźnie wolę swoją, stosownie do tej zasady, w trzech dekretach, stanowiących dyrektora generalnego dóbr i lasów narodowych, takiegoż dyrektora

skarbu i dyrekcye żywności, która także nie jest kollegialną, lecz wszędzie exekwuje sam dyrektor.

Staszic odpierał zarzuty, powołując się jeszcze raz na naturę rzeczy, a przytem dodał, że skład taki magistratury, w której jedne członki raz znajdowałyby się w równej władzy z dyrektorem, drugi raz jemu podległymi, byłby bardzo niedokładny i prawie niepraktykowany w dobrych rządach. Ostateczne wywody jego zwyciężyły i projekt jego uważany był za przyjęty przez radę stanu [1]).

Jeszcze w jednym wypadku panujący z radą stanu poszli samodzielnymi tory, nie wypływającymi bynajmniej ani z ducha konstytucyi, ani z przepisów kodeksu Napoleona, a mianowicie w rozwinięciu artykułu IV. statutu z 1807 r. Zdawało się, że dawniejsze prawodawstwo pozostawiło właścicieli ziemskich w tem przeświadczeniu, że polepszenie doli włościanina jest koniecznością [2]) i że kawałek ziemi, dany mu na własność [3]), jest pierwszym warunkiem podźwignięcia go z ekonomicznego i moralnego upadku, który nie pozwalał mu nawet ze swobody osobistej korzystać lub ją należycie rozumieć. Tymczasem dekret z dnia 21. grudnia 1807 roku wątpliwości, jeżeli jaka zachodzić mogła o prawo do gruntów gromadzkich, przeciął stanowczo w ten sposób: że właściciel dóbr jest zarazem właścicielem gruntów w ich obrębie leżących, a przez włościan i rolników trzymanych i obrabianych; zniósł także wszelkie wzajemne ograniczenia na prawach dawniejszych, a ostatecznie pruskich i austryackich oparte [4]). Dzięki podobnemu uzupełnieniu i rozwinięciu konstytucyi, włościanin stał się zupełnie wolnym, ale jak ptak, którego z każdego drzewa, gdzie usiadł, spędzić dozwolono. Tak więc włościanin ową filantropijną konstytucyą stracił to, co mu staroświecki Landrecht zaręczył, to jest prawo do utrzymania życia na tym kawałku ziemi, na którym się rodził. W niektórych okolicach, jak n. p. na Kujawach, gdzie szczególna dobroć ziemi zachęcała do wcielania gospodarstw włościańskich do folwarków, a brak lasów

[1]) Protokoły posiedzeń rady stanu. Rok 1810. Tom II., str. 571.

[2]) Stroynowski: O ugodach dziedziców z włościanami. Wilno 1808, str. 5.

[3]) Nauka z okoliczności zmniejszenia poddaństwa, pańszczyzny i innych dobrodziejstw i t. d., za rezolucyą Komissyi porządkowej wojew. lubelskiego do druku podana (1794). „Trzeba wam ziemi, swojej własnej nie mieilście".

[4]) Objaśnienie teraźniejszego urządzenia rolników w dobrach Ordynacyi Zamoyskiej. str. 458 i 459. Biblioteka Warszawska, r. 1847. Tom IV.

i pastwisk utrzymanie włościan przytrudnem czynił, znaczna liczba gospodarzy włościan zniknęła [1]) i rozpoczęło się włóczęgostwo, które nieodpowiedniemu prawodawstwu przypisywano [2]).

Prócz tego stosunkowi dzierżawnemu, urządzonemu przez kodeks Napoleona, brakowało w zastosowaniu do dzierżawy włościańskiej jednego z naczelnych znamion, t. j. właściwej ceny dzierżawnej. Stąd poszła trudność stosowania do włościan pańszczyźnianych ważnych przepisów kodeksu cywilnego, o jej stanowieniu i dowodzeniu w razie potrzeby jej wysokości, o jej wypłacie lub w pewnych przypadkach stałem albo czasowem zmniejszeniu lub zawieszeniu i t. d. Stąd ostatecznie wynikło, że dzierżawa włościańska nie w całości swojej pod opiekę trybunałów wejść mogła. Właściciele pańszczyźniani zaciągali względem właścicieli gruntu nie zobowiązanie dania, lecz zobowiązanie czynienia. Do czynienia zaś nikt podług zasady prawa cywilnie zmuszonym być nie mógł, gdy zatem do odebrania pańszczyzny nie można było używać sądowej egzekucyi, pozostało jedynie właścicielom dóbr należność tę odbierać osobiście i częstokroć tak do wyjścia na pańszczyznę, jak do należytego jej odrobienia środkami gwałtownymi, jakie były w ręku włościan, przymuszać [3]).

Ta prywatna, dominialna droga, biegnąca poza traktem prawnym i sądowym, a prowadząca do najrozmaitszych samowolności [4]), zadawała kłam artykułowi IV. statutu z 1807 r., Kosiński też w r. 1814 nazwał artykuł IV. konstytucyi „wybuchem wulkanicznym, który zachwyca widzów, nie dając czasu rozwadze. Wybuch podobny może mieć widoki polityczne, lecz niezważony z miejscowymi stosunkami szczęścia ustalić nie zdoła, jak kilkoletnie uczy doświadczenie“. Pomienione prawo okazało się też, zdaniem Kosińskiego, więcej szkodliwem, niż użytecznem [5]), a Żukowski, który się skutkom dekretu z 1807 r. przypatrywał, zaświadczył, że na pańszczyznę i wynikające z niej skutki bynajmniej nie miał wpływu [6]).

---

[1]) Michalski: Włościanie i ich regulacya. Rzut oka na stosunki gospodarcze W. Ks. Poznańskiego przed uregulowaniem włościan. Bibl. Warsz. r. 1845, tom III., str. 353 i 354.

[2]) Projekt polepszenia stanu włościan w Księstwie Warszawskiem, podany przez prefekta departamentu płockiego. 1815, str. 9.

[3]) Objaśnienie teraźniejszego urządzenia rolników w Ordynacyi Zamoyskiej. Bibl. Warsz. r. 1847, tom IV., str. 461 i 462.

[4]) Objaśnienie teraźniejszego urządzenia i t. d., str. 462.

[5]) Amilkar Kosiński: Uwagi nad myślami do zamiaru polepszenia bytu włościan polskich. Poznań 1814, str. 7.

[6]) O pańszczyźnie z dołączeniem uwag nad moralnym i fizycznym stanem ludu naszego. Str. 11.

Istotnie dekret grudniowy z r. 1807 przeistoczył nietylko ducha artykułu IV. statutu konstytucyjnego, ale wyparł się wzniosłych celów podźwignięcia stopniowego włościan polskich, do jakich dążył sejm czteroletni. Protokóły rady stanu wskazują, że w obradach tej poważnej instytucyi przeważał wzgląd na wyczerpanie, obdłużenie i zachwianie się własności ziemskiej dworskiej, i że wobec trwogi, jaka ogarnęła stan ziemiański, zapomniano o środkach, jakie jedynie włościan podźwignąć były w możności. Za włościanami nie przemówił też w radzie stanu ani jeden głos goręcej [1]), pomimo, że w niej zasiadał Staszic, który wiele lat przedtem utrzymywał, że chłopom i mieszczanom trzeba przedewszystkiem nadać wolność, własność i jednakową z każdym innym obywatelem sprawiedliwość [2]). Nikt wreszcie z wybitnych dygnitarzy Księstwa nie zwrócił uwagi monarchy na sprzeczność, jaka między artykułem IV. konstytucyi a królewskimi dekretami się zakradła, pomimo, że w ich rzędzie znajdował się prezes senatu, Stanisław Małachowski, marszałek sejmu czteroletniego, który podczas dawniejszego urzędowania swego uwolnił włościan od poddaństwa i zabezpieczył im sprawiedliwość w komissyach wojewódzkich cywilno-wojskowych [3]).

Dekreta, uzupełniające artykuł IV. statutu, stłumiły w zarodzie wszelkie poczęcie gminy wiejskiej samorządnej. Daremnie książę minister wojny wykazywał, że powierzanie urzędu wójtów wiejskich dziedzicom wywoła narzekania włościan na ucisk przez panów i rzuci podejrzenie na szlachtę, że nieznacznie chce przytłumić prawo włościanom nowo nadane [4]); bez swobodnej własności włościańskiej nie mogło być mowy o swobodnej gminie wiejskiej, a oddanie administracyi gmin samymże ich właścicielom, zdaniem Skarbka, musiało

[1]) Dziennik czynności rady ministrów i rady stanu, zgromadzoney stosownie do woli J. Kr. Mości przez JWgo Hrabię de Schönfeld na sessyi Komissyi Rządzącey d. 5. paźd. 1807 r. Ses. 24, 25 i 26. — Rada stanu oświadcza wszelako, że jest „przekonana, że ten, który od dawna dał przykład uwolnienia poddanych w swoich dobrach, który, sprawując urząd referendarza koronnego (Stanisław Małachowski) zasłaniał włościan od ucisku i tyle spraw ich ułatwił, najlepiej interes ten zgłębić i ułatwić potrafi“. Na sessyi 59, już po wydanym dekrecie, złożono projekt co do urządzenia włościan w dobrach narodowych. Między ministrami i referendarzami zgodność zachodzi co do uznania w tych dobrach włościan za właścicieli gruntowych.

[2]) Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego, str. 154.

[3]) Uwagi nad pismem: Plenipotenci Miast duchownych do JWgo Sołtyka, posła krakowskiego, str. 35.

[4]) Dalszy ciąg protokołu sessyów rady stanu w roku 1805 (od sessyi 125). Ses. 208.

sparaliżować cały systemat wewnętrznego rządu, podług zasad Napoleona urządzonego [1]).

Opierając się zatem na artykule 86 statutu, przy pomocy swych ministrów i rady stanu rozwinął panujący zwięzłą i krótką konstytucyę w wykończoną budowę państwową, która w 1809 roku musiała wytrzymać i wytrzymała chlubnie ogniową próbę, a przytem zniewoloną była czynić zadość nieustającym wymaganiom swego sprzymierzeńca i protektora.

W łonie rady stanu obudziło się w r. 1808 przeświadczenie, że artykuł 86 konstytucyi Księstwa, wkładając na barki tejże instytucyi zbyt wielkie brzemię obowiązków, a nadto usuwając od dzieła uzupełnienia konstytucyi czynniki sejmowe, narazi tem samem radę korony na niechętne i gniewne zarzuty. Jakkolwiek też minister sprawiedliwości był zdania, że „Żadna odmiana w konstytucyi, która est świętą i nietykalną, na której tron i cały rząd stoi, nie może podpadać ani senatowi ani sejmowi. Sam tylko król ma sobie zachowaną moc dopełniania konstytucyi podług 86 jej artykułu“, to jednak referendarz Morawski w złożonym radzie stanu projekcie organizacyi sejmu uzasadniał konieczność oddania zmian konstytucyi pod sankcyę senatu, a to dlatego, że senat jest zawsze złożony z ludzi pewnego wieku i doświadczenia, przywykłych do dawnych zwyczajów, którzy, nie idąc za pociągiem nowości, nie łatwo dopuszczą jakowych odmian. Powtóre, władza senatu jest zawsze przytomną, a takiej właśnie potrzeba dla odmian w prawach politycznych, które dzieją się gwałtownie i nie można z niemi oczekiwać na zebranie się sejmu [2]). Projekt powyższy nie wszedł w życie, a przeciw prawodawczemu dziełu króla, ministrów i rady stanu wystąpiła opozycya sejmowa w r. 1811 z licznymi zarzutami, które rozumowi stanu i zdolnościom prawodawcy dość dwuznaczne wystawiają świadectwo. Poznajmy w najtreściwszym zarysie te zarzuty. Adres do króla z dnia 14. grudnia 1811 r., zapewniając monarchę, że „każdy z nas teraz i zawsze gotów jest zginąć raczej, jak nie pozostawać pod konstytucyą, cnotami narodowemi u wskrzesiciela wyjednaną“, oświadcza następnie, że użyci przez WK. Mość do projektowania i uzupełnienia statutu konstytucyjnego, do tego los kraju i mieszkańców stanowiącego dzieła, ministrowie nie odpowiedzieli zaufaniu, nie przełożyli, albo źle przełożyli sposoby rozwinienia i wypełnienia głównych artykułów statutu.

---

[1]) Dzieje Polski. Część I. Dzieje Księstwa Warszawskiego, str. 140.

[2]) Dalszy ciąg protokołu sessyów rady stanu w r. 1808. Ses. 229.

Wyliczywszy artykuły błędne, a raczej źle rozwinięte, adres nadmienia, że „założono w kraju naszym labirynt praw i urządzeń niezrozumiałych, do naszego narodowego charakteru, gospodarstwa krajowego i stopnia cywilizacyi niestosownych. Wylęgła się oligarchia niebezpieczna w swych skutkach dla tronu, powstała anarchia, a z nią większe dla narodu nieszczęście, jak on może mieć o tem wyobrażenie. Wprowadzenie kodeksu cywilnego do egzekucyi bez przygotowania, bez dokładnego wytłómaczenia i zastosowania do praw dawniejszych oraz zwyczajów narodowych, bez sankcyi, bez przepisania krótkiej, jasnej i niekosztownej procedury w najznaczniejszej części, przyczynia się do cierpień mieszkańców. Zawiłe i do zrozumienia trudne sądownictwo, niedokładne i do obłąkania prowadzące utrzymywanie ksiąg hypotecznych, najniebezpieczniejsze archiwów przy notaryuszach lokacye zamięszały domów naszych spokojność i rzuciły mnóstwo nasion do procesów po ziemi naszej, grożących zakłóceniem późnym po nas pokoleniom“ [1]).

Daleko gruntowniejszą i w najdrobniejsze szczegóły administracyi wnikającą była krytyka, w głosach posła Maryampolskiego zawarta. Nie możemy, powiada Godlewski, mówić o wszystkich skutkach czynności rady stanu, kiedy wielka liczba dekretów i urządzeń nie jest do publicznej wiadomości podana. I to jest pierwsze nieszczęście kraju, że mieszkaniec nie wie o wszystkich urządzeniach kraju i że każdy minister ma sekretne przepisy, sekretne dekreta, które dają powód mieszkańcom do posądzenia o arbitralność i o jakieś podejrzenia przez sam sekret. Zwróćmy tylko uwagę na działania rady stanu pod względem rozwinięcia i dopełnienia statutu konstytucyjnego, jako na źródła, z którego wypłynęła dzisiejsza z różnych obcych cząstkowych urządzeń złożona administracyi krajowej forma, rodzicielka około 9.000 urzędników i oficyalistów. Smutne położenie kraju należy tu przypisać niedopełnieniu niektórych, niedokładnemu dopełnieniu lub przepełnieniu innych artykułów statutu. Raz i ostatecznie powinien był być dopełniony statut konstytucyjny. Sposób, którym się dotąd statut konstytucyjny dopełniał, nie odpowiada swemu celowi. Raz, że wydawane dla dopełnienia rzeczonego wyroki zmieniane bywają, powtóre, że dopełnianie to zdaje się nie mieć końca [2]).

---

[1]) Adres powyższy jest zamieszczonym w głosach posła Maryampolskiego, na sejmie roku 1811 w Warszawie mianych, z dołączeniem uwag i krótkiego nadmienienia niektórych w czasie sejmu czynności, str. 4—8.

[2]) Głosy posła Maryampolskiego i t. d., str. 35—37.

Żaden z mowców opozycyjnych nie dorównał Godlewskiemu rozległością politycznej nauki i zebraniem równie obfitego materyału statystycznego, ale byli jednak tacy, których zmysł praktyczny w wytykaniu błędów organizacyi administracyjnych władz zasługiwał na wszelkie uznanie. Joachim Owidzki n. p., poseł lubelski, w mowie z dnia 18. grudnia 1811 r. zauważył, że „śledząc rząd krajowy w pierwszych jego zawiązkach, niezmiernie uderzają pomnożone nad potrzebę podprefektury, których zbyt szczupły obwód w blizkości siebie umieszczone tychże dowodzą bióra. Godząc zatem oszczędność z użytecznością powyższych urzędów, można bydź tego zdania, ażeby przynajmniey dwa z sobą były połączone Powiaty, zostawując w swojey liczbie reprezentacyą Narodową, co do Posłów; prócz tego doświadczenie na teraźnieyszych dało poznać seymikach, iż wiele jest takich Powiatów, które nie mają tyle obywateli, ile konstytucya chce mieć w nich postanowionych urzędników. To właśnie dowodzi, że podział kraju nie odpowiada naszej ludności i że inny zastosowany do niey zaprowadzony bydź powinien. Wszelakie urządzenie do tey massy ludu zwykło zmierzać, która ma dźwigać ciężary publiczne i jeszcze potrzebnych rządowi dodaje pomocników."

„Bióro Prefektury, równie na dwa Departamenta rozciągnione, obeymie wszystkie części Administracyi Krajowey i ich naczelną składać będzie władzę. Takowe więc połączenie następujące oszczędności zrządzi. Upadnie ogromny Dyrektoryat skarbu. Ustanie z nim ciążący krajowi ucisk i dochody publiczne pod władzą Prefekta, zupełne mieć będą bezpieczeństwo. Zniknie równie kosztowna i niepotrzebna intendentura dóbr narodowych wraz z swoim Dyrektoryatem. Dodany Prefektowi Komissarz-Assesor, ich dozorem trudnić się będzie, co tym łatwiey mu przyjdzie wykonać, gdy wszystkie dobra zostają w arendzie i takowych Rząd trzymać na siebie nie znajduje potrzeby."

„Dyrekcya Poczt, jak w wszystkich rządnych Państwach, od władz mieyscowych zależy, tak przyłączenie jey do Prefektur, pogodzi porządek z umnieyszeniem kosztów skarbu publicznego i właściwie do wydziału wewnętrznego należy. Rozsądny organizator widzi z zadziwieniem oddzielne bióro Policyi i gorszy się, że przełożony nad nim w Departamencie częstokroć o władzę z Prefektem walczy. Ten przedmiot właściwie należy do Prefekta, jako z ustawy swojey największe Rządu mającego zaufanie. Jemu zatym pod odpowiedzialnością wyższey władzy, bydź może oddany."

„Nakoniec, zaznacza Owidzki, że z żalem przychodzi mu wspomnieć Dyrekcyą żywności, którey zaprowadzenie ogromne przyczy-

niło ubogiemu krajowi wydatki i w swoim utworze przywiązane do niey zawodzi widoki. Każda władza, w tym celu postanowiona, nie może bydź jak tylko pod zupełnym rządem Prefekta, który dodając jey wszelakich potrzeb, tym samym naypożyteczniey nią władać jest mocen. Po oddzieleniu rzeczy spornych od Prefektury i oddaniu ich właściwemu sądowi, jey rada jak jest teraz, zostanie niepotrzebną. Cokolwiek jest przedmiotem sądu, z swojey natury do niego należy i nieprzyzwoicie w administracyi politycznej znajduje mieysce.“

„Wskazana także w Sądach Podsędkowskich dla włościan sprawiedliwość, celu swojego chybia. Z żalem wyznaje Owidzki, iż to miejsce nie jest dla nich. Sami Szanowni Mężowie, będąc właścicielami włości, doświadczacie tey prawdy i raczycie oszczędzić dolegliwości mojey, ażebym obszerniey o niey nie mówił. Władza prefekturalna ze wszech miar do tego jest nayprzyzwoitszą, gdzie uciśniony znaydzie i rychłe w swym zdarzeniu wsparcie“ [1]).

Z przytoczonych ustępów mowy Owidzkiego przekonać się łatwo, z jaką starannością i umiejętnością rozejrzał się poseł lubelski w administracyjnej budowie Księstwa Warszawskiego i z jaką sumiennością przemyśliwał nad jej udogodnieniem i uproszczeniem. Mioduski, deputowany miasta Warszawy, uskarżał się znowu na to, że „głośne i bezustanne wszystkich narzekania nie trafiły do przekonania rządu, że Kodex Praw Cywilnych, który w wielkiey części swoich Artykułów ani do położenia Kraju, ani do Obywateli i mieszkańców jego, ani do ich majątków, ani do związków familijnych, bynaymniey stosownym, a co boleśniey, do Praw, pamięci zachowania i uwielbienia godnych, pod któremi się zrodziliśmy, w niczem zbliżony nie jest.“

„Ile się o niestosowności Kodexu praw cywilnych powiedziało, tyle dwoynasób o niedogodności procedury cywilney powiedzieć należy, lecz dla oszczędzenia czasu dość będzie nadmienić, iż nie jest nam Konstytucyą nadana i nie obowiązuje nas w niczem, jest w większey swojey połowie zupełnie niedogodną i temczasowie do Kraju zaprowadzoną, można ją nietylko odmienić, ale nawet zupełnie cofnąć, odwołać i jako dla kraju uciążliwą za niebyłą deklarować“ [2]).

---

[1]) Mowa JW. Joachima Owidzkiego, posła lubelskiego, na sessyi sejmowej dnia 14. grudnia 1811 r. miana (druk). Str. 5, 6, 7 i 13.

[2]) Mowa JW. Jana Mioduskiego, dep. miasta Warszawy, członka pierwszego komissyi prawodawstwa cywilnego, na posiedzeniu sejmowem dnia 13. grudnia 1811 roku miana (druk, jedna karta).

Węgleński, poseł hrubieszowski, mimo, że dla kodeksu Napoleona żywił prawie bałwochwalcze uwielbienie, uskarżał się na wadliwą organizacyę sądownictwa, która dobrodziejstwa płynące z kodeksu praw cywilnych niweczy. „Wszystko, co ta pełna mądrości Praw Xięga, z odzyskaniem bytu naszego nam nadana, zawiera. jest wielkim nietylko dla kraju naszego, ale dla całego rodu ludzkiego dobrem. Wielki, wielkiego Prawodawcy Geniusz, nie uważał ani różnicę stanu, ani wyznania, ani płci różnicę, nie miał na widoku dobra jedney tylko Prowincyi lub Królestwa, Xięgę swą przeznaczając bydź prawem świata całego, położył za zasadę równość wszystkich w obliczu prawa, bo równie wszystkich uszczęśliwić zamierzył. Lecz nieszczęście chciało, iż kosztować dobrodziejstwo, jakie daje Kodex Napoleona, zacząć dotąd niedozwolono, bo bezprzykładnym w dziejach świata sposobem naród nasz tym świętym podlega prawom, których nie rozumi.“

„Czwarty już rok upływa od zaprowadzenia Kodexu, trzeci od procedury, a dotąd dokładnego, z oryginałem w języku francuskim zgodnego niemasz tłumaczenia. Wielu sędziów bez wiadomości języka są jak błędni. Wyroki ich z tym tylko zgodne, co ich Ministeryum Sprawiedliwości swoją, na zapytania daną, nauczy informacyą. Zastosowania praw niemasz żadnego, a to co jest, albo nie z duchem Konstytucyi, albo przeciw Kodexowi. Czyliż są we Francyi Podsędkowie, nieznajoma między Sądem Pokoju a Trybunałem Cywilnym Magistratura? czyliż wspomina o niey dana Xięstwu Konstytucya? Czyliż zaprowadzenie urzędników cywilnych jest takie, jak chce mieć Kodex Napoleona? U nas osobom stanu Duchownego prawie wszędzie ten urząd nadany. W różności rozmaitych Wyznań, przy niewytępionych jeszcze przesądach, nie należyż się obawiać, że Żydzi, Tatarzy, a nawet wyznania ewangelicznego, do Duchownego, Religii od nich różney urzędnika, dla dopełnienia przepisów Kodexu, udawać się nie będą, stąd niepewność Rodu, niepewność praw następstwa czyniąca, ileż po latach kilkunastu nie zakłóci Familii?“ [1])

Szeregi opozycyjne nie ograniczały się na powyżej przytoczonych głosach. Byli tacy, jak n. p. Wodzyński, poseł brzeski, którzy powoływali się na to, co „już Szanowny Kolega mój, JW. Maryampolski, w obszernem i wypracowanem głosie swojem wystawił“ [2]),

---

[1]) Mowa JW. Franciszka Węgleńskiego, posła hrubieszowskiego, miana na posiedzeniu sejmowem d. 15. grudnia 1811 r. (druk). Str. 1 i 2.

[2]) Mowa JW. Macieja Wodzyńskiego, posła brzeskiego, na sessyi sejmowej dnia 17. grudnia 1811 r. miana (druk.). Str. 6.

albo wreszcie i tacy, co właściwie mówiąc, niewiele mieli do powiedzenia.

Poprzestanę na tych kilku uwagach, zaczerpniętych z adresów i głosów opozycyi, nadmieniając, że właśnie ta sama krytyka sejmowej opozycyi dowodzi wyraźnie, że ani reprezentacya Księstwa nie stała się, jak to Koźmian utrzymywał, niemą [1]), ani budowa całego państwa nie przeistoczyła się w ruderę, chociaż istotnie zarzuty opozycyjnych mężów miały dużo słuszności. Bignon nie odmawiał im mimo to lojalności względem Francyi oraz patryotyzmu względem własnego kraju [2]). Przedewszystkiem bowiem głosy Godlewskiego i Owidzkiego ujawniły tak głęboką i gruntowną znajomość spraw publicznych oraz potrzeb administracyi; w krytykę swą wleli posłowie maryampolski i lubelski tyle pracy i przenikliwości, stawiwszy sobie jako przewodni cel dobro kraju, wreszcie przemówienia ich, pozbawione zbytniego krasomówstwa, zmierzały tak skrupulatnie do wyrozumienia ducha konstytucyi i odkrycia wszelkiego rozdźwięku, jaki mógłby się zakraść między instytucyami Księstwa, że, zważywszy, iż to był zaledwie przedświt rządów reprezentacyjnych, śmiało twierdzić można, że kontynent europejski nie mógł się współcześnie poszczycić równie poważną i lojalną opozycyą.

Izba poselska Księstwa nie pozwoliła się zepchnąć do serwilistycznego poziomu niemego trybunatu cesarstwa. Pomimo, że pod przewodnictwem marszałka zabierali głos tylko członkowie komissyi, a i ci musieli się nieraz poddawać ograniczeniom [3]), to jednakże na nieoficyalnych sessyach [4]) dyskussya była żywą i czasami posłowie drukowali swe głosy, których nie mieli sposobności wypowiedzieć [5]).

---

[1]) Pamiętniki. Tom II., str. 3.

[2]) Souvenirs d'un Diplomate, str. 166—7.

[3]) Głos Tomasza Byszewskiego, posła powiatu zgierskiego, prezydującego w komissyi cywilno-prawodawczej, na sessyi sejmowej dnia 20 marca 1809 roku miany (druk). „W każdej mówiąc materyi, nie mogę zamilknąć o oszczędności skarbu, do którego krwawo zapracowany grosz biednego wpływa rolnika (w tem miejscu kontynuowania, w tej materyi dalszego mego głosu, zabronił mi JW. marszałek sejmowy; dla przekonania się jednak publiczności, przedsięwziąłem podać go do druku, w tej jak jest osnowie)“

[4]) Souvenirs d'un Diplomate, str. 159, opowiada, że król nosił się nawet z myślą zabronienia owych sessyj nieoficyalnych, z powodu zbyt gwałtownych dyskussyj, ale nie zdobył się na krok stanowczy i, jak Bignon twierdzi, postąpił roztropnie.

[5]) Tak n. p. Jan Kamieński, poseł z powiatu dąbrowskiego, drukuje „Odezwę do izby poselskiej“, bo chce wypowiedzieć, „że o ile na

Przeświadczenia samodzielności izba poselska nie straciła też nigdy, pomimo że artykuł 45 konstytucyi stanowił: Członki rady stanu są tem samem członkami izby poselskiej; zasiadają w niej i mają głos stanowczy, a artykuł 46 tylko członkom rady stanu i członkom komissyi poselskiej udzielił prawo mówienia w izbie. Wprawdzie rada stanu zauważyła, że „członki rady, będące oraz członkami izby poselskiej, podług konstytucyi powinnyby tylko w takiej liczbie należeć do składu sejmu, w jakiej, to jest osób siedmiu, oznaczyła ich pierwiastkowo konstytucya, wtenczas gdy determinowała liczbę 60 posłów i 40 deputowanych, która się nie powiększa. Gdyż, przypuszczając, że oprócz przydanych radzców stanu może się jeszcze liczba ich pomnażać i że wszyscy mieliby oraz być członkami izby poselskiej, osłabiałaby się przez to moc posłów i deputowanych, wybieranych na zgromadzeniach politycznych, gdy ci w liczbie swojej powiększać się nie będą.“ Dekret zaś z 16. marca 1809 r. postanowił, że w jakiejkolwiek liczbie radzcy stanu pomnożeni zostaną, z nich jednak nie więcej będzie miało prawo wotowania na sejmie, prócz ministrów, jak prezes rady i sześciu radzców stanu do tego od J. Kr. Mości przeznaczonych [1]).

Uwzględniając wszakże doniosłość powyższych ograniczeń, nadmienić wypada, że pierwiastek rządowy, wprowadzony do reprezentacyi narodowej, pozostał i nadal krępującym, a we Francyi podobny przepis wystarczał zupełnie, aby ciało prawodawcze i trybunat przeistoczyć w bierne narzędzie rządu [2]). Izba poselska Księstwa Warszawskiego, szafując też hojnie groszem publicznym na potrzeby wojska, nie przyjęła w r. 1811 kodeksu kryminalnego francuskiego,

---

potrzeby wojska należy być hojnymi, o tyle na wydatki listy cywilnej oszczędnymi być należy“, a „kiedy przez konstytucyę zabieranie głosu w izbie poselskiej jest wam niedozwolone, możność wytłómaczenia obowiązków reprezentanta przez żadne prawo nie jest zakazana“. Porównać: Uwaga JW. Stefana Karnkowskiego, posła departamentu płockiego z powiatu wyszogrodzkiego, stanom sejmującym dnia 17. marca 1809 r. podana (druk). „Kiedy posłowi i głosu zabieranie i projektów podawanie przez konstytucyę jest zabroniono, na piśmie do Was, Szanowni Koledzy, przemówić mi pozostaje“ i t. d.

[1]) Dalszy ciąg protokołu sessyów rady stanu w r. 1808. S. 231 i Protokoły posiedzeń Ks. Warsz., odbywanych w przytomności N. Pana d. 16. marca 1809 r.

[2]) W Senatus-consulcie organicznym cesarstwa z r. 1804 znajdują się podobne przepisy. Patrz Laferrière: Les constitutions d'Europe et d'Amérique, str. CIII—CV.

który potrzebom miejscowego społeczeństwa nie zdawał się należycie odpowiadać [1]).

Kurosz, poseł garwoliński, przedstawił wówczas sejmowi następujące uwagi w swym „Rzucie myśli“. „Wypada samo z siebie zapytanie, dlaczego Oyców naszych wyrzekamy się prawa, a chcemy utrzymać się koniecznie przy konstytucyi kryminalnej francuskiej i co za powody nas do tego znaglają? Domysł sam tylko na to zapytanie odpowiedzieć może. Oto, że Przodkowie nasi nie umieli sądzić o rzeczach sprawiedliwie, że zbrodnią uważali za czyn dobry i nie karę, ale nagrodę jej przeznaczali. Możesz ten zarzut być sprawiedliwym i na wiarę u nas samych zasługiwać?“

„Zarzucić mi kto może, że prawa polskie co do objektów kryminalnych nie są dostatecznemi: wszakże i kodex kryminalny francuski w §. 484 pod tytułem: „Przepis ogólny“, przyznaje się, iż wszystkich nie objął przedmiotów i zalecił sądom lub trybunałom zachowywać urządzenia oddzielne znowu do przedmiotów tych osobno postanowione. Dziesięć lat pracy poświęconych kodeksowi w Francyi nie uzupełniły ze wszystkim tego, coby miało wszystkie objąć przedmioty w tak ważnej materyi.“

„Jakże My w czasie dwóch dni lub najwięcej trzech ośmielić się możemy na przyjęcie lub postanowienie praw najdelikatniejszych, bo honor, życie, sławę i majątek obywatelski za sobą pociągających. Zwolna i z wielkim namysłem przystępuymy, Koledzy, do tego wielkiego dzieła i t. d. Że kodeks kryminalny francuski, choć zbawienne mieści w sobie prawa, jest do nas niestosownym, zastanowiemy się nad najmniejszymi tegoż kodeksu drobnostkami, jakie to wielkie za sobą pociągają konsekwencye, i tak w tymże kodeksie deportacya lub wywołanie z kraju są objekta zbrodni wielkiey, przemilczeć więc o nich nie można, dla tego tylko jedynie, że są wcale dla nas obcemi i przez stosunek do położenia kraju naszego dopełnionemi bydź wcale nie mogą. Nie mając krajów naszych dalekich ani odludnych, w którychby ciężar kary dał się uczuć wykraczającemu, musielibyśmy za granicę państwa naszego, w kray obcy wysyłać zbrodniarza, przypadek którego często doświadczamy niemożności wyrobienia do wjazdu w ościenny kraj paszportu, już tym samym skutku tey karze nadaćby nie mógł.“

---

[1]) Bignon: Souvenirs d'un Diplomate, str. 168, opisuje, jak łagodnej formy używała w tym wypadku izba poselska, tłómacząc, że z powodu, iż potrzeba jednocześnie wprowadzić nową procedurę kryminalną, przekazuje projekt kodeksu kryminalnego następnemu sejmowi.

„Daley postępując, wszelkie nasze posiedzenia i zabawy towarzyskie, tak na Prowincyi, jak po Miastach zerwanemi bydźby koniecznie musiały, boby podpadały zbrodni, gdyby który z złośliwych, nawet służący, choć niesprawiedliwie zaskarżyć przedsięwziął, zanimby się Protokół udowodnienia niewinności wykazał, możnaby się dobrze napić goryczy, jadem niesprawiedliwego aresztu zaprawney.“

„Chłopki nasze stosownie do tegoż kodeksu całkowicie od robót rolniczych oderwanemi byliby, gdyż nie masz wioski, żeby wszystkie bez wyłączenia Gromady, albo w lesie, albo w polach, lub podcięciem płotu, zawaleniem rowu, lub też wypaszeniem zboża czy łąki codzienney szkody nie czynili, ile że w kraju naszym nikt pewney dotąd granicy nie ma; podług więc kodexu kryminalnego aresztem dłuższym lub krótszym karani bydźby musieli. Niewiasty, czyli żony kmiotków naszych nayniewinnieyszym czynem toż prawo urazić mogą i za tłómaczenie znów aresztem także karane bydź winny. Chłopcy wyrostki rzucaniem kamyków na domy od aresztu wybiegać się nie potrafią, zgoła, że w całym Xięstwie wszystek lud wyższy czy niższy, Szlachta, Kupcy, Xięża, Włościanie, na każdy zarzut jakiegobądź człowieka, czy urzędnika, zawcześnie do aresztu przygotowanemi bydź mają i można prawdziwie wyznać, iż całe Xięstwo ogólnemu aresztowi podpadnie, oczewista zatem gradacya, że nie będzie mieysc, gdzieby tych aresztantów pomieścić. Możesz to bydź przyjęte w Kraju naszym, gdzie my takowe wykroczenia za nic uważamy i w napomnieniu lub połajaniu całą naszą karę wymierzamy. Chcąc w obrębach tegoż kodexu ludy Xięstwa Warszawskiego utrzymać, znieważyć wprzódy każdego exystencyę wypada. Póydźmy więc lepiey do praw naszych, piymy z nich Nektar łaskawości przyjemnieyszey i zastosuymy wszystkie prawa kryminalne do teraźnieyszego bytu, w jakim się lud nasz znayduje“ i t. d. [1]).

Opozycya więc na sejmach Księstwa Warszawskiego przejętą była nawskróś wdzięcznością i uwielbieniem dla swego wskrzesiciela, a te uczucia nie opuszczały jej nawet wówczas, gdy wzory francuskie były dla społeczeństwa polskiego bardzo dokuczliwymi. Krytyką opozycyjną nie rządziła też żadna polityczna doktryna, nie mogąca się pogodzić z duchem czasu lub wymaganiami bieżącej chwili. Zbadanie dokładne natury stosunków miejscowych i ścisła przedmiotowość sejmowej dyskussyi odznaczały zawsze mówców opozycyjnych,

---

[1]) Rzut myśli Józefa Kurosza, posła garwolińskiego, do współkolegów, z wyjaśnieniem powodów, dla których kraj Księstwa Warszawskiego przyjąć kodeksu kryminalnego francuskiego nie może i nie powinien (druk).

a gotowość do ofiar i poświęceń jednoczyły opozycyę z resztą izby poselskiej w szlachetnem poczuciu obywatelskiej służby. W takich warunkach opozycya nie ograniczyła się na jałowej, frakcyjnej negacyi, ale służyła swem światłem nieustannie rządowi; to samo zaś da się powiedzieć o izbie poselskiej w ogóle, której członkowie przedstawiali niekiedy rządowi do uwzględnienia ważne projekta. Dość tylko przytoczyć Józefa Karskiego, posła radziejowskiego, „Projekt do zmnieyszenia wydatków publicznych przez złączenie dwóch ministrów w jedno, to jest wewnętrznego i religii z policyi w dniu 15. marca roku 1809 podany“ (druk).

Senat Księstwa zdobył sobie należytą powagę i szacunek. Koźmian utrzymywał „z sumiennością nieuprzedzonego, że rada stanu Księstwa Warszawskiego w osobach, które ją składały, była prawdziwą treścią tego wszystkiego, co tylko naród miał w sobie najcnotliwszego, równie przez talenta, jak przez czysty patryotyzm najznakomitszego.“ To samo mógł powiedzieć o senacie, iż równie cnota, powaga, zacność nie odróżniały go od rady stanu [1]).

Protokóły rady stanu przekonywają, z jakim zasobem nauki i rozumu stanu instytucya powyższa pracowała dla należytego rozwinięcia statutu konstytucyjnego. Dość przejrzeć opracowany przez radę stanu projekt organizacyi sądu na ministrów, dalej projekt organizacyi rady stanu, opracowany głównie przez Staszica, lub dyskussye nad pożytecznością wprowadzenia sądów przysięgłych do Księstwa, aby się przekonać, że słowa pochwały, jakie radę stanu spotkały od Kajetana Koźmiana, nie były zupełnie przesadnemi [2]). Najtrudniejszem do zorganizowania okazało się w naszym kraju ministeryum z administracyą. Senfft zauważył trafnie, że wraz z uwielbieniem do Konstytucyi 3. maja społeczeństwo Księstwa Warszawskiego odziedziczyło skłonność do administracyi kollegialnej i nie zdołało w należytym stopniu przejąć się systemem hierarchii ministeryalnej, wykazującym zasadę: *Si délibérer est le fait de plusieurs, agir est le fait d'un seul* [3]). Wobec też tradycyjnych nawyknień dobór odpowiednich ministrów i wydyscyplinowanego personalu administracyjnego musiał nasuwać poważne trudności. Z tem wszy-

---

1) Pamiętniki, t. II., str. 71.

2) Protokół posiedzeń rady stanu. Tom I., rozpoczynający się od sessyi z d. 16. stycznia 1811 r., zawiera dyskussye nad projektem sądu na ministrów i projektem wprowadzenia przysięgłych. Protokół zaś posiedzeń rady stanu z 1810 r. zawiera dyskussyę nad projektem organizacyi rady stanu.

3) Mémoires du comte de Senfft ancien ministre de Saxe, str. 186.

stkiem. opierając się nawet na surowej krytyce Senffta, której poddał wszystkich ministrów, przyjść można do przekonania, że szefowie administracyjnych gałęzi w nowym kraiku nie przedstawiali się najgorzej. Matuszewicza zdolności i wymowę stawia Senfft wysoko, Łuszczewskiego pracowitości, sumienności i wiadomościom wystawia chlubne świadectwo, a o księciu ministrze wojny oświadcza, że, choć często darzył zaufaniem niegodne osobistości, jednakże armię zorganizował wybornie i natchnął ją duchem patryotyzmu i rycerskości. Zresztą innym ministrom, prócz Sobolewskiego, którego także ceni, zarzuca Senfft nieudolność, próżność lub skłonność do intrygi. Nie ma jednak ani jednego, któryby zasługiwał na absolutne potępienie Senffta, lub którego pamięć możnaby bez skrupułu obciążyć pogardą [1]).

Administracya tylko, ujęta w karby francuskim systemem centralizacyi, objawiła mimo to wiele wad i nieposzanowania dyscypliny służbowej. Koźmian przytoczył słuszne skargi na samowolę prefektów [2]), a Godlewski i Bignon nie mogli przemilczeć tego, że cała administracya wojskowa była wadliwie zorganizowaną i że książę minister wojny nie uważał za stosowne składać rachunków z etatu wydatków skarbowi oraz izbie obrachunkowej [3]). Na usprawiedliwienie nadużyć administracyi, którym ani panujący, ani sejm zaradzić nie byli w stanie, przytoczyć należy, że przykładem rozkiełznania dla Księstwa były komendy wojskowe francuskie, które kraj ten uważały za łup, oddany im na pastwę, i obdzierały, krzywdziły, począwszy od marszałka Davoust'a i Soult'a, a skończywszy na prostym szeregowcu [4]). Wreszcie, jakże monarcha i sejm nie mieli być

---

[1]) Mémoires du comte de Senfft, str. 154, 118, 153, 116—121.

[2]) Pamiętniki, t. II., str. 4.

[3]) Głosy posła maryampolskiego i t. d., str. 46 i dalsze. W wybornej krytyce administracyi wojskowej nadmieniono: „W ogólnych a co rok zmieniających się tytułach i ilościach okazywane wydatki tajemnicą były dotychczas dla kraju. Mówiąc o przeszłości, przyznać muszę, że nie pojmuję mistycznych ogółów i t. d.“ Porównać: Bignon: Souvenirs d'un Diplomate, str. 179 i 180.

[4]) Wyliczenie nadużyć i prawdziwych rozbojów komend francuskich zawiera Pradt'a: Histoire de l'ambassade dans le grand Duché de Varsovie en 1812 r. — Prócz tego znaleźć można dowody: Dalszy ciąg protokółu sessyów rady stanu w roku 1808, ses. 241. — Wyliczono pretensye marszałka Davoust do własności pałacu prymasowskiego w Warszawie, który podług niego ma być nieodłączną częścią Księstwa Łowickiego. Porównać: Protokół sessyów rady stanu od 1. czerwca do 30. grudnia 1808 r. S. 388. „Sprawa Niemojewskiego z marszałkiem Soultem o zabranie mu gwałtem źródeł słonej wody i przyłączenia do dóbr Raciążek“.

pobłażliwymi dla ministra wojny, wiedząc o tem dobrze, że jedynie z braku nawyknienia do biurokracyi oraz do kancelaryjnej biuralistyki bywał w nieporządku z kwitami, lecz że troskliwie dbał o dobro armii, z którą pod Raszynem okrył się rzetelną chwałą [1]) i że jemu przeważnie zawdzięczało Księstwo Warszawskie powiększenie swych granic, którego się doczekało w roku 1809 [2]). Kampania bowiem w tymże roku prowadzoną była przez księcia Józefa samodzielnie bez instrukcyi od księcia-szefa sztabu armii cesarskiej, a nagłość i skuteczność ruchów wojsk polskich zdziwiły nawet samego Napoleona [3]).

Niemniejszej chluby doczekało się Księstwo Warszawskie od tych pułków, które walczyły w roku 1808 przy boku Napoleona. Buletyn armii z d. 2. grudnia 1808 r., oceniając atak szwoleżerów, ułanów polskich, na Somo-Sierrę, zamieścił następujące wyrazy: *Cette charge brillante s'il en fut est à juste titre regardée comme un des faits d'armes le plus audacieux et le plus étonnant dont la cavalerie ait fourni l'exemple. Aussi elle couvrit le régiment de gloire et ce coup d'essai l'associa dès lors, et pour toujoar à l'élite des vieux soldats français* [4]).

Nic też dziwnego, że zwycięzkim i okrytym na tylu pobojowiskach chwałą wojskom śpiewał w r. 1809 Osiński:

„Gdzież zamierzyli granice swej chwały?
Na Alpach, na Pireneach utkwili pałasze,
Nurty Ozazy, wzdęte Nilu wały,
Ileż rzek skrapia święte laury nasze!“

---

[1]) Głosy posła maryampolskiego i t. d. W adresie opozycyi znajduje się wyrażenie: „waleczność i odwaga wojska, okazane w czynach, które nas połączyły z dwoma milionami współbraci i t. d., wstrzymują nas od narzekania na ucisk, mający swój początek w niestosownem do kraju urządzeniu administracyj wojskowych“, str. 9.

[2]) Mémoires du comte de Senfft, str. 95. „Il fut aussi question d'une récompense public pour le prince Joseph Poniatowski, à qui l'on devait la conquête de la Gallicie. M. de Senfft désirait que le roi lui donnât le baton de maréchal i t. d.“ Po naradzie jednak z księciem Bassano postanowiono wynagrodzić Poniatowskiego dobrami ziemskiemi, przynoszącemi 40.000 fr. renty.

[3]) Vandal: Napoléon et Alexandre I., t. II., str. 84 i 94.

[4]) Notice historique sur le régiment des chevau-légers Lanciers Polonais de la Garde Impériale, sa formation, son organisation et l'itinéraire de ses marches, ainsi que sur ses campagnes. Str. 25. (Manuskrypt pisany przez generała Dautancourt'a z uwagami generała Wincentego Krasińskiego).

Wspomnienie zaś krwawych bojów i bohaterskiego poświęcenia polskich rycerzy krzepiło ducha poety i tchnęło weń wiarę w przyszłość całego narodu. Opiewając bowiem nieśmiertelne czyny Marsa synów, przypomina sobie i wszystkim:

„Wyzuto go z ziemi, wydarto mu prawa,
On wielkiej prawdy stając się dowodem,
Wskazał: że naród zawsze jest narodem,
Gdy mu zostają: miecz, serce i sława.“

O administracyi wojennej Księstwa Warszawskiego francuscy ministrowie nie mieli wprawdzie wysokiego wyobrażenia. *Le luxe des états-majors, les uniformes chamarrés qu'ils arborent ne sont que de brillants oripeaux dorant la misère. A Varsoviê, tout est sacriffé à l'armée et sur tout à l'aspect éxtérieur de l'armée, à ses embellissements, à ta passion du panache; dans le duché, deux régiments de hussards coutent autant à equiper et à entretenir que quatre ailleurs. L'armée dévore l'Etat, et l'Etat, déplorablement administré, ne reussit qu'imparfaitement à faire vivre les troupes* [1]) i t. d. Z tem wszystkiem zachowanie się w boju wojsk polskich Księstwa było bez zarzutu i kraj mógł być z nich rzetelnie dumny bez względu na to, czy były zwycięzcami, czy zwyciężonemi.

Zresztą i administracya Księstwa nie okazała się bynajmniej bezduszną maszyneryą, która, wykonywując bezmyślnie rozkazy zwierzchników, uważała za najwyższy cel arbitralność własną. Z pośród urzędników Księstwa jedni występowali z drukowanymi projektami uwłaszczenia włościan za pośrednictwem banku narodowego włościańskiego [2]), inni z utworzeniem na wzór pruski Towarzystwa kredytowego ziemskiego w celu ratowania upadającej własności ziemskiej [3]). Niektórym znowu dla ratowania zadłużonych wydawały się Towarzystwa kredytowe ziemskie nieodpowiednimi, „choć nie można przeczyć, że systema kredytowe, w sąsiednich krajach zaprowadzone,

---

[1]) Vandal: Napoléon et Alexandre, t. III., str. 5, przytacza zdania Bignona, przesyłane Champagny'emu.

[2]) Projekt polepszenia stanu włościan w Księstwie Warszawskiem, podany przez prefekta departamentu płockiego, str. 20 i dalsze, a na str. 17 stwierdza fakt, że już przedtem podprefekt powiatu mławskiego łącznie z radą powiatową projekt uwłaszczenia włościan przedstawił.

[3]) Bielski: Sposoby do ocalenia majątków obywateli Księstwa Warszawskiego od przypadków im zagrażających służące. Radom departamentalnym Księstwa Warsz. za pozwoleniem zwierzchności do uwag podane. Kalisz, 1. lipca 1809 r., str. 49 i dalsze.

wielkie w względzie na handel i rolnictwo przyniosło korzyści. Lecz cóż tym pargaminowym znakom wartości dóbr nadawało kredyt i walor? oto trzy następujące kardynalne warunki: 1) upewnienie wartości dóbr ze strony rządu przez stałość podatków, 2) spokój na czasy, jako przyjazne gospodarstwu i handlowi, przez co wartość dóbr powiększała się, 3) pewna i szybka realizacya listów zastawnych *(Pfandbriefe)*, którą rząd realną gotowizną stanom na pierwszy początek dostarczoną ułatwił. Jak tylko te trzy zasady na swey utraciły substancyi, tak zaraz kredyt listów zastawnych znacznie upadł. Tracą one teraz w Prussach wschodnich 45$^3/_4$, w Prussach zachodnich 45$^3/_4$, w Szląsku 21, w Marchiach 19, w Pomeranii 14$^1/_4$ na sto. Gdy tam nowe podatki do exekucyi przyjdą, stracą pewno więcey". Z tych to powodów Miączyński, członek rady departamentowej kaliskiej, uważa, że więcej niż Towarzystwo kredytowe ziemskie pomogłyby zadłużonym właścicielom następujące cztery punkta projektu: „1) zaradzenie niedostatkowi cyrkulujących pieniędzy i ich znaków przez sprzedaż części dóbr narodowych. Środek ten oraz kredyt powszechnie upadający ratuje i sprawiedliwość wymierza; 2) zniżenie prowizyi do 4, a nawet do 3 od sta, dopóki cena produktów ziemnych tak jak teraz nizka będzie; 3) ustanowienie moratorium dla tych, którzy wypłacają procenta, naprzód do lat trzech, a potem od roku do roku, tak długo, dopóki te same, które teraz okoliczności handlu zbożowego trwają, i 4) exdywizya majątków takowych, których posiedziciele procentów nie płacą, a exdywizya na zasadach detaxacyi dóbr słusznych, i z proporcyi dawney i teraźnieyszey ich wartości wynalezionych" [1]). Byli wreszcie tacy, co przekonywali, że prawo spadkowe kodeksu Napoleona jest dla własności włościańskiej szkodliwe i że należy zaprowadzić majoraty chłopskie [2]), albo tacy, co doradzali rządowi zawiązanie stosunków handlowych z Hamburgiem [3]), tacy, co „błogosławili moment, w którym Wielki Prawodawca czasów naszych natchnięty został myślą utworzenia rad obywatelskich. Od tey bowiem epoki nie masz

[1]) J. Miączyńskiego, Członka Rady Dep. Kaliskiey, Zdanie o powszechnem moratorium i o systemacie Kredytowem, tudzież Myśli do projektu ratowania zadłużonych w Lutym 1811 roku. Warszawa. Str. 11, 12, 13, 14, 15, 55 i 56.

[2]) Młodecki, radca prefekt. depart. radomskiego. O polepszeniu teraźniejszego stanu włościan polskich. Uwagi, str. 29 i 30.

[3]) Szumski, nauczyciel przy gimnazyum w Poznaniu. Myśli ogólne o polepszeniu handlu, rolnictwa, przemysłu i edukacyi narodowej w Księstwie Warsz. 1811, str. 25.

w kraju naszym martwego członka społeczności, każdy jego obywatel do powszechnego dobra przykładać się może i od tey szczęśliwey epoki bydź nie powinno ucisku, o którymby wiadomość z najodleglejszego zakątka do stolicy nie doszła: bydż nie powinno złego, któremuby połączone chęci rządzących i rządzonych nie starały się zapobiedz. Najbliżsi świadkowie i tłumacze potrzeb departamentu, mamy bydź pośrednikami dobra jego, mamy służyć rządowi za skazówkę uszczęśliwienia nas powszechnego" [1]).

Należy jeszcze wspomnieć, że tenże sam Miączyński doradzał rządowi Księstwa, aby w celu polepszenia stanu rolniczego przedsięwziął następujące środki: „1) uchylenie zakazu wyprowadzenia bydła krajowego za granicę a zakazanie wprowadzania z Rusi: gorzałek, łojów i słoniny; 2) założenie przez rząd magazynów zboża; 3) przeistoczenie administracyi solnej na sposób dawny; 4) zaprowadzenie garbarni; 5) zniżenie ceny krajowego a cła inwektowego od zagranicznego żelaza; 6) ustanowienie płacy czeladzi i najemnika w stosunku taxy zbożowey" [2]).

Wreszcie tenże sam członek rady departamentowej kaliskiej wypracował w r. 1812 obszerny projekt o potrzebie i konieczności przemiany dziesięcin. Miączyński przyznaje z góry, że w dobie Księstwa Warszawskiego „duchowieństwo polskie, chociaż z Dóbr swoich odarte, w Kompetencyach swoich zawiedzione, jednak ziemię oyczystą nad wszystko kochające, skruszyło jey więzy chętnem zezwoleniem na przemianę dziesięcin snopowych". Zdaniem też jego należy podatek dziesięcinny na zawsze oznaczyć zbożem w ziarnie, mianowicie zaś tylko żytem i jęczmieniem, a opłacać pieniędzmi podług cen targowych, bardzo starannie określanych [3]).

Staszic obdarzył pierwszy sejm Księstwa Warszawskiego cennemi i doświadczonemi radami. „Pamiętajcież więc — pisał — że na ten seym zwrócone są oczy całej Europy, tak źle o nas uprzedzonej. Pamiętajcie, iż to zebranie się narodu pierwszy raz po tak straszliwem doświadczeniu, najsurowszy sąd czeka. Uważać tu będą nasi nieprzyjaciele wszystkie kroki, wszystkie słowa, aby z nich

---

[1]) Miączyński, członek rady depart. kaliskiej. Uwagi nad teraźniejszym stanem rolnika pod względem ceny zbóż i wydatków jego — Radzie depart. kaliskiej przez członka tejże podane w miesiącu lutym 1810 r. Przedmowa.

[2]) Uwagi nad teraźniejszym stanem rolnika itd., str. 37 i 38.

[3]) Rozprawa o dziesięcinach. Rocznik Tow. nauk. z Uniwersytetem krakowskim połączonego. T. II., str. 3, 233 i 235.

swoje nas pokrzywdzenie usprawiedliwić mogli. Uważać nas będą nam przyjaźni ale uprzedzeni, czyli to jest prawdą, co im o nas tak głośno wywoływano."

„Najistotniejszą tego sejmu sprawą, zdaniem Staszica, jest ustanowienie podatków. Dla utrzymania rzeczy publicznej i dla opłacenia 30 tysięcy żołnierzy, pod bronią gotowych, potrzeba 43 milionów złotych polskich. Na to dobra narodowe, dawne podatki wnoszą bezzawodnie do skarbu 24 milionów, więc do dawnych podatków dodawszy jeszcze drugie tyle, opatrzymy wszystkie potrzeby rzeczy publicznej i dopełnimy wielkiego zamiaru."

„Wszystkie teraźniejsze podatki stałe nie przynoszą od gruntowych dochodów tylko po 5 od sta. Gdyby podniesionemi były, tylko 10 od sta czynić będą. Jeżeli tak powiększone podatki wszystkie, w ogóle wzięte a 43 milionów wynoszące, porównamy z podatkami innych w Europie krajów, których rozległość, ludność, urodzaje i podatki są dokładniej znajome, wypada, iż z wszystkich tych krajów, zachowawszy stosunkową miarę, Xięstwo Warszawskie najmniej płacić będzie. Królestwo Westfalskie ma ludności 1,900.000, płaci podatków 60 milionów franków, wypada na osobę 30 franków. Francya składa przeszło 800 milionów franków, rachuje ludności 30 milionów; więc na osobę wynosi 27 franków."

„Wiadomo nam jest dosyć dokładnie, że podatki, opłacane przez zabory austryackie, przyrównane do ich ludności, czynią na osobę blizko 37 złotych. Xięstwo Warszawskie zawiera mil kw. 1860, ludności 2,370.000, płacąc wszystkich podatków 43 milionów, nie wypada na osobę jak 18 złotych." Kończy zaś Staszic przemowę do sejmu temi słowy: „Takiemi myślami głęboko przejęci, przystępuycież do dopełnienia czynu, który jest krokiem stanowczym względem dalszego odrodzenia się Polaków narodu" [1]).

Pomijam liczne drukowane odezwy obywateli do posłów, ostrzegające ich, dające im rady albo komunikujące „Spostrzeżenia, uwagi i myśli obywatela w zaciszu domowem przyszłemu seymowi podane" [2]), ale jeszcze raz przypomnieć muszę dowody niezwykłej pracowitości i poczucia obywatelskiej służby samorządnej, jakie rady departamentowe złożyły. Dość tylko przytoczyć, że jedna rada departamentowa kaliska w sprawie ratowania kredytu publicznego

[1]) Dzieła Stanisława Staszica. Tom IV. Do sejmu w roku 1808. Str. 4, 5, 6 i 13.

[2]) Pod tym tytułem praca Owidzkiego. Lublin 1811.

wytworzyła aż pięć wymotywowanych projektów [1]) i że w ogóle rady departamentowe poruszały w radzie stanu najważniejsze i najbardziej palące kwestye konstytucyjne. Tak n. p. w r. 1811 rady departamentowe żądają, „aby projekta na przyszły seym wnosić się mające, oraz budget przychodów i wydatków krajowych, z wyświeceniem potrzeb, przynajmniey dwoma miesiącami przed seymem do wiadomości publicznej podane albo posłom komunikowane były." W tymże samym roku znowuż rady departamentowe płocka i łomżyńska, podały do rady stanu prośbę o dokompletowanie statutu konstytucyjnego, oznaczając: 1) za co? 2) gdzie? 3) przez kogo? i 4) jakim porządkiem? ministrowie do odpowiedzi mają być pociągani [2]).

Liczne niedogodności, jakie się uwydatniły w budowie państwowej Księstwa, płynęły z jednego głównego źródła, którego uniknąć nie było podobna, a tem źródłem był fakt, że nowożytny porządek państwowy, wyrobiony w innych warunkach społecznych i w odmiennym procesie dziejowym, trzeba było zastosować do Księstwa i że ta nowa szata napoleońska musiała się okazywać tem niedogodniejszą, im staranniej ją wykończano w szczegółach. Rozwinięcie 89 artykułów statutu w pełny organizm polityczny, żyjący i funkcyonujący w tak nadzwyczajnej dobie, należało do zadań, którym żaden prawodawca w zupełności sprostaćby nie zdołał. Na wypełnienie konstytucyi i wyrobienie w niej samoistnego politycznego ducha składają się zawsze pracą swą liczne pokolenia; prawodawca Księstwa na przeniknięcie i przeistoczenie urządzeń w duchu narodowym miał zaledwie kilka lat czasu.

W dodatku razem z prawem państwowem i administracyjnem Księstwa wprowadzono kodeks Napoleona i procedurę cywilną francuską, czem powiększono zamięszanie i niepokój ogólny [3]). Nic dziwnego, że na tylu i to drogich zwaliskach stawiany nowy porządek społeczny natrafiał na niechęci i że wyrzekano nawet na prawo hipoteczne, zapominając, że je znało dawne prawo polskie wcześniej,

---

[1]) Miączyński: Zdanie o powszechnem moratorium i systemacie kredytowem, str. 5. (O kredycie publicznym). „Między innymi z departamentu naszego pisali o tem: Zerboni di Sporsetti, Biernacki, Stawiski i Bielski." Miączyński był więc piątym.

[2]) Protokół posiedzeń rady stanu, tom I. (od dnia 16. stycznia 1811 r.).

[3]) O tem świadczą: Mowa Łuszczewskiego (obraz kraju wystawiająca) 1809, str. 7 i w pewnym względzie: Pamiętnik hr. Feliksa Łubieńskiego, wydany przez Chomętowskiego, str. 205.

niż pruskie [1]). Z tem wszystkiem świeża ta budowa państwowa, pomimo wielu prawodawczych błędów, będących nieuniknioną koniecznością, z nietrwałej lepianki przeistaczała się z każdym rokiem w coraz to spoistszy gmach, którego mieszkańcy ożywieni byli wytrwale duchem ofiarności obywatelskiej.

---

[1]) Dutkiewicz: Prawo hipoteczne w Król. Polskiem, str. 8. „Wolno nam przeto twierdzić, żeśmy pierwsi może mieli dokładną hipotekę, pruska bowiem datuje się od 1722 r.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Aleksander Rembowski.

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

IV.

Cześć w prawie dzisiejszem.

(Ciąg dalszy).

Wobec tej przewagi strony filozoficznej nad prawną należy z pomiędzy współczesnych monografii o czci podnieść szczególnie pracę Ecksteina [1]). Autor ten bowiem wzniósł się odrazu i nawet jeszcze więcej, niż Binding, na wyżynę filozoficzną a ztamtąd lepiej dostrzedz mógł wszystkich luk w dzisiejszej prawnej ochronie czci, w samem nawet prawnem określeniu pojęcia czci, aniżeli ci prawnicy, którym despotyzm paragrafowy nie daje wznieść się po nad socyalno-utylitarne, lub nawet wprost tylko oportunistyczne, stanowisko. Eckstein zajął tak wyniosłą pozycyę obserwacyjną, że prawnik pozytywnego autoramentu nie zechciałby się tam wspinać po drabinie paragrafowej, tem mniej, gdy ma na zawołanie taką banalną, ale wygodną wymówkę, iż chodzi tutaj tylko o „subtelności metafizyczne", z któremi prawo liczyć się nie potrzebuje, a nawet, o ile nie chce rezygnować z praktycznych celów swoich, liczyć się niemoże. Na taki zarzut nie ogląda się Eckstein, gdyż dla filozofii wprost reklamuje taki sam udział w określeniu istoty czci i jej ochrony, jaki się prawu należy. Jestto, zdaniem jego, jedna z kwestyi dziś najwięcej piekących a tak przytem zaciemniona w mgle definicyjnej, że kto szuka wątka prawdy, ten na pierwszy widok nadzwyczajnej niezgodności i różnorodności zdań mógłby zawołać:

---

[1]) Joseph Eckstein: *Die Ehre in Philosophie und Recht* — Leipzig 1889.

Lasciate ogni speranza voi ch'entrate! Zewsząd bowiem odzywa się pytanie: co to jest cześć a istnieje tyle niemal odpowiedzi, ilu jest odpowiadających. Cześć jest wszystkiem — odpowie człowiek, słuchający więcej głosu uczucia, aniżeli ścisłych definicyi, — cześć stoi wyżej, aniżeli życie fizyczne! W usta prawnika pozytywnego autoramentu wkłada Eckstein chłodną odpowiedź *ex cathedra:* Cześć istnieje tylko w państwie i pochodzi tylko od państwa. Po słuszności także i filozofom nie szczędzi autor wyrzutów, gdyż nie braknie i między nimi takich, którzy cześć nazywają tylko kaprysem lub, jeżeli chcą być ostrożni, rzeczą dla prawa do pewnego stopnia obojętną. Nie tak zapatrywali się na cześć starożytni filozofowie, Grecy i Rzymianie, którym Eckstein składa pod tym względem hołd otwarty, szczególnie społeczeństwu rzymskiemu, za zajęcie w sprawie czci podniosłego etycznego stanowiska. Wielce znaczącym wyrazem tej podniosłości pojęć była już sama piękna symbolika w urządzeniu świątyń bogini cnoty i czci, które tak były ze sobą połączone, iż do drugiej świątyni wejść można było dopiero po przejściu przez pierwszą.

Eckstein najjaśniej określił różnicę między czcią zewnętrzną a wewnętrzną, różnicę, która dla filozoficznego traktowania rzeczy jest rozstrzygającą a dla prawa ma to doniosłe znaczenie, że wskazuje mu granicę, do której w osłonie czci posunąć się może ze swojemi środkami obrony i repressyi a poza którą już w poczuciu niedostateczności własnej broni wezwać powinno do pomocniczej akcyi czynniki społeczno-moralne, stojące poza sferą jego organów. Cześć zewnętrzną stanowi według tej różnicy opinia, którą człowiek działaniem całem zaskarbić sobie musi w otoczeniu społecznem i która potem służy mu w życiu za uznawany dokoła wyraz wartości społeczno-moralnej, dając tytuł do poważania powszechnego. Jak Goethe, który porównał taką opinię ze skórą, całe ciało od stóp do głowy osłaniającą i na każdym punkcie wrażliwą, tak samo i Eckstein widzi w czci zewnętrznej delikatną tkaninę, przylegającą ściśle do osoby a osnutą z tak subtelnego materyału, jakiego dostarczyć może tylko cała działalność człowieka ze wszystkiemi jej motywami i celami. W takiem określeniu nie zaciera się, owszem podniesiony został, moralny charakter czci zewnętrznej. Jest ona wtedy dobrem moralnem, wypływa ze świadomości własnej zasługi i w niej posiada punkt ciężkości a nie, jakby to z wybitnie społeczno-utylitarnego określenia czci często wnosić wypadało, w samych tylko względach na korzyść materyalnego znaczenia. Z tego wynika, że już nawet cześć zewnętrzna w takiem, moralną jej stronę podnoszącem okre-

śleniu, nie może w zupełności polegać na ochronie państwa i jego prawa. Państwo bowiem ma na uwadze ogół równych sobie obywateli w ich publicznem działaniu i ani niemoże, ani nie potrafi, zawsze wejść we wszystkie wewnętrzne pobudki tego działania. więc w sferę głównych czynników etycznego osądzenia. To też prawo zadowala się samym brakiem zdeklarowanej skazy na czci i stawia normę: *quilibet praesumitur bonus et iustus, donec probetur contrarium!* Byle więc kto nie był już napiętnowany za jakąś nieuczciwość, byle władze państwa nie miały w swoich aktach śladów zasądzenia lub obwinienia za jaki czyn zdrożny, już tem samem istnieje tytuł prawny do tego, aby uchodzić za „dobrego i sprawiedliwego człowieka". Że mimo stwierdzenia takiego negatywnego kryteryum uczciwości można być nawet skończonym nikczemnikiem wobec zasad moralności, to rzecz jasna.

Na tę trafną charakterystykę ducha dzisiejszego prawa pozytywnego można się w zupełności zgodzić, ale z tem koniecznem zastrzeżeniem, że jestto obraz sytuacyi dzisiejszej, z czego wcale nie wynika, żeby lepiej być nie mogło, żeby nawet lepiej być nie musiało, aniżeli dziś w okresie zwolnienia węzłów między prawem a etyką i spowodowanej tem moralnej niemocy prawa. Z pewnością Eckstein byłby doszedł do tego wyniku, gdyby rozprawa jego dążyć miała do rozwiązania kwestyi prawnego stanowiska czci a nietylko, jak to z całego jej założenia wypływa, do utorowania drogi podniośleszym poglądom na sprawę. W rozprawie Ecksteina znajduje się nadto wiele zwrotów, uzasadniających ten domysł w sposób niewątpliwy.

Przechodząc do określenia czci wewnętrznej, Eckstein od tego zaczyna, że „żadne ustawodawstwo nie okazało się dostatecznem w zakresie czci" a nikt, ani filozof, ani prawnik, ani nawet poeta, nie zdołał ściśle odgraniczyć pojęcia czci wewnętrznej od czci zewnętrznej, lecz tylko odgadywano tę różnicę. „Pojęcie czci zewnętrznej jest jakby demonem, który ukrył się w samym wyrazie i wszystkich obałamuca, wszystkich w błąd wprowadza." Zakląwszy tego demona, Eckstein szuka istoty czci wewnętrznej w ustroju psychicznym i znajduje ją tam w poczuciu harmonii wszystkich praw i obowiązków, których węzłami każdy człowiek połączony jest z całem otoczeniem swojem. Tego poczucia nie wyucza się, jak form konwenansu towarzyskiego, nie nabywa się więc i nie posiada w tem znaczeniu, jak się nabywa i posiada odznaczenia, dostojeństwa itp. Cześć wewnętrzna to, krótko mówiąc, stan zupełnego zdrowia moralnego, syntezy praw i obowiązków, jako przewodniczki w całem działaniu człowieka.

Dopiero w takiem określeniu czci wewnętrznej mieści się uzasadnienie tego szczegółu charakterystycznego, który już Binding dobitnie podniósł w rozprawie swojej, chociaż go przytem nie wyjaśnił zupełnie, t. j. szczegółu, że cześć wewnętrzna z natury swojej niemoże uledz obrazie w tem znaczeniu, w jakiem bierze się obrażenie czci zewnętrznej, jako zamachu na widoczną dla każdego dobrą opinię, reputacyę, obrażonego.

Postawiwszy cześć wewnętrzną na tak wyniosłem stanowisku, Eckstein objaśnił nietylko jej istotę, lecz także wielką siłę moralną, jako niezawodnej w każdej sytuacyi kierowniczki działania naszego. To też nie zawahał się ten pisarz, liberalny w całym toku swojej rozprawy, powtórzyć i przyjąć za swoje przytoczonego już zdania jednego z największych przedstawicieli scholastycznej filozofii, zdania Alberta Wielkiego, iż cześć jest siłą sumienia, więc siłą tej wielkiej moralnej władzy, która w każdym człowieku, chociażby intellektualnie niedość rozwiniętym, lub, co ważniejsza, już sprowadzonym z drogi obowiązku na bezdroża, odzywa się jeszcze na dnie duszy, tej władzy, w której nawet arcyliberalna etyka socyalna, tak skłonna pod niejednym względem do transakcyi z nowoczesnemi prądami utylitaryzmu w ogóle a w zakresie prawa przedewszystkiem, widzi najdzielniejszy fundament zdrowego ustroju moralnego i zdrowego życia prawnego w zupełnej harmonii z obowiązkami [1]).

Wobec takiego poglądu na cześć wewnętrzną Eckstein musiał oczywiście niemal oburzyć się na to bagatelizowanie jej odblasku, czci zewnętrznej, w prawie pozytywnem, które dzisiejszą taryfą karno-pieniężną, w sposób więcej upokarzający dla pokrzywdzonego, aniżeli dotkliwy dla krzywdzącego, usiłuje uporać się z t. z. obrazami honoru. Plamą na prawie pozytywnem wydała się Ecksteinowi dzisiejsza bezkarność tylu nikczemnych a mimo to w formie wyrafinowanej intrygi dokonywanych zamachów na cześć, zamachów, które zatruwają życie, nieraz nawet niszczą życie osób, niegodnie oczernionych i spotwarzonych. W ustroju psychicznym takich ofiar rozgrywa się w życiu codziennem nieustannie wiele tragicznych zawikłań, od których prawo pozytywne odwraca się, jako od sfery całkiem sobie obcej, pozostawiając ją powieści i dramatowi, jako niewyczerpaną kopalnię motywów i intryg, poruszających do głębi czytelnika wśród lektury lub widza wśród przedstawienia w teatrze.

---

[1]) Alexander v. Oettingen: *Die Moralstatistik und die christliche Sittenlehre* (j. w.) t. III. str. 418 i n.

Nie możemy poprzestać tutaj na samem tylko podniesieniu głosów niemieckich, żeby się nie wydawało, że chodzi tylko o lukę w jednem prawie a nie o sprawę ogólnego, prawno-społecznego znaczenia.

Z ojczyzny „kodexu honorowego“, za milczącą zgodą w całym świecie cywilizowanym uznawanego, z ziemi klassycznej rycerskiego sposobu i dystyngowanych form · załatwiania spraw honorowych, z Francyi odzywają się głosy żalu i przestrogi, pochodzące z ust najznamienitszych współczesnych pisarzy w zakresie filozofii prawa, głosy tak poważne a tak przytem pobudzające do refleksyi, że nawet optymista zachwiaćby się powinien w mniemaniu, iż społeczeństwo może być spokojne o prawną osłonę dobra moralnego czci w prawie dzisiejszem. Proal n. p. w badaniu ogólnych przyczyn wzrostu przestępstw we Francyi kładzie nacisk na niedostateczność osłony prawnej dla czci [1]). Najdobitniej brzmi przestroga Beaussire'a w pracy, specyalnie tej sprawie poświęconej. „Cześć osób prywatnych i mężów publiczną rolę odgrywających — pisze ten autor [2]) — nigdy nie była mniej zabezpieczona w powadze, aniżeli za naszych czasów. Swoboda prassy nie zna granic mimo ograniczań legalnych, których pozory znosić jeszcze musi, a nowe obyczaje, które ona wytworzyła w gronie piszących i publiczności, faworyzują jeszcze więcej jej wybryki. Wobec rozpasanej jawności insultacyi i skandali wszelkiego rodzaju bezczelni okazują wzgardę, zasłaniając się tem, że dla czci obrażonej nie znaleźliby nigdzie skutecznej satysfakcyi. Wielu chwyta się pojedynku, którego praktyka, zresztą mało krwawa, tak się wzmogła w pewnych kołach, że straciła wszelkie znaczenie. Niektórzy sami sobie wymierzają sprawiedliwość, pewnie zawsze bezkarnie. Najszlachetniejsi i najdumniejsi usuwają się od obowiązków publicznych, aby uniknąć wystawiania czci na niebezpieczeństwo. Społeczeństwo traci samo dla siebie respekt, przyzwyczajając się do takiego stanu. Żadna sprawa nie wymaga w sposób więcej naglący refleksyi prawych obywateli.“

Beaussire w tej rozprawie swojej miał głównie na myśli cześć zewnętrzną, ale nie dlatego, żeby w opinii, w zwyczajnej reputacyi, widzieć miał całą istotę czci, której moralne znaczenie, jako syntezę praw i obowiązków, sam tak świetnie omówił w swojem wielkiem dziele o zasadach prawa. Beaussire'owi chodziło o najwięcej aktualną a za-

[1]) Louis Proal: *Le Crime et la peine* (j. w.) str. 282—3.

[2]) Emile Beaussire: *La protection légale de l'honneur* (w *Revue des deux mondes*, t. 84 z r. 1887, str. 663 i n.).

razem przez prawo najmniej zabezpieczoną stronę sprawy, chociaż ona nie jest tak niedostępna dla przepisów prawnych, jak cześć wewnętrzna w powyższem znaczeniu, zwłaszcza w oczach pisarza, który, jakto już przedtem wspomnieliśmy, uznaje analogię między czcią zewnętrzną a prawem własności. Korzyści moralne i materyalne, połączone z poważaniem, jako uznaniem czci, nabywa się według Beaussire'a tak samo, jak każdą własność, trudem osobistym lub w drodze dziedzictwa. Korzyści te, jak wszelkie rodzaje własności i jak w ogóle wszystkie prawa, mają uzasadnienie w tem, że stanowią siłę w służbie obowiązków, na których autor ten poprzednio oparł główną zasadę prawa. Interes nasz a z nim oczywiście interes naszych obowiązków pobudza do zdobywania szacunku dla nas samych i dla dzieci. Presumcya czci przemawia bowiem za tymi, którzy z domu wynieśli tradycye czci. Jestto więc dziedzictwo, ojcowizna honorowa, posiadająca w danym razie wartość materyalną.

Żeby nie mięszać czci wewnętrznej, jako poczucia obowiązków, z czcią zewnętrzną, chociażby nawet pojmowaną tak podniośle, jak w zdaniu powyższem, Beaussire zastrzega się, że nie zawsze wartość wewnętrzna tego dziedzictwa honorowego jest tak wysoką, jak się na pozór wydaje, że często przypadek i przesąd więcej zdziałały w tej mierze, aniżeli rzeczywiste zasługi. Można zatem, nawet należy, być ostrożnym w szacowaniu takiej wartości, ale prawo nie pozwala wyzuwać drugiego z czci dlatego, że się ją uważa za nieprawnie nabytą. Prawo osłania przecież każdą własność bez względu na sposoby jej nabycia, dopóki wymaganiom jego staje się zadość. Kiedy jednak co do sposobów nabycia własności materyalnej znaleść można kryterya w samem prawie, to natomiast co do czci prawo nie daje pewnej dyrektywy, dać jej nie próbuje a dla braku kompetencyi nawet w ogóle dać jej niemoże.

Po takiem stwierdzeniu niemocy prawa pozytywnego, widocznie osłabiającem powyższą analogię między czcią zewnętrzną a prawem własności, czytelnik mógłby oczekiwać zwrotu na tę drogę, na której powyższe kryterya można znaleść po za sferą prawa. Do oczekiwania takiego uprawniało zupełnie główne dzieło Beaussire'a, w którem istota prawa oparta została na silnym fundamencie społeczno-moralnym. Niezupełnie ziszcza się to oczekiwanie, ale tylko dlatego, że autorowi widocznie zależało, jak to już podnieśliśmy, najwięcej na omówieniu aktualnej strony sprawy i na zdobyciu na prawie pozytywnem na razie takich przynajmniej ustępstw, jakie jego zdaniem przyczyniłyby się do większego zabezpieczenia czci zewnętrznej wśród dzisiejszych stosunków. Chociaż zatem uznał nietylko brak

trafnych określeń czci i jej obrażenia w dzisiejszem ustawodawstwie i chociaż państwo nazwał wprost niekompetentnem do tego zadania, jako wchodzącego w sferę porządku moralnego, to jednak wymaga od państwa w jego ustawach takiej osłony, jaka się należy każdemu prawu bez względu na jego przedmiot. Osłona ta może być niedostateczną i taką ona nawet zawsze będzie w tej kategoryi praw, ale ostatecznie należy się i niemoże być odmówiona.

W trzech kierunkach formułuje Beaussire swoje postulaty. Najpierw ustawa powinna wskazać wypadki, w których cześć liczyć może na jej gwarancyę, powtóre należy zorganizować odrębny rodzaj sądów dla spraw honorowych przez ustanowienie osobnych sądów przysięgłych, których orzeczenia już swojem brzmieniem, ewentualnie motywami, stanowiłyby satysfakcyę moralną dla dotkniętego, wreszcie po trzecie z satysfakcyą moralną powinna być połączona także satysfakcya materyalna, odszkodowanie wysokie, ile możności, jak w Anglii. Za tem odszkodowaniem przemawia nie sam interes prywatny. lecz także i społeczny, gdyż „społeczeństwo samo siebie zasłania, osłaniając interesa prywatne.“

To ostatnie zdanie w połączeniu z poprzedniem uznaniem niekompetencyi państwa i jego prawa do całkowitego ujęcia czci w swoją sferę stawia rzecz w jaśniejszem świetle, aniżeli ona przedstawiała się nam przedtem w monografiach niemieckich. Tam były także gorzkie utyskiwania na luki w prawie dzisiejszem co do sprawy czci i desperackie zwierzenia się z braku praktycznych pomysłów, ale zawsze w końcu przebijała w sposób mglisty nadzieja, że pozytywizm prawny ostatecznie znajdzie drogę do celu wiodącą. Francuski filozof natomiast nie szuka złudzeń, nie upiększa obecnej smutnej sytuacyi prawnej, nie pociesza czytelników mglistemi nadziejami, lecz wskazuje na społeczno-moralną stronę sprawy, jako jej punkt ciężkości.

Otwartość taka w uznaniu niemocy pozytywnego prawa dlatego większą oddaje sprawie przysługę, aniżeli subtelne, najlepszemi chęciami dyktowane, ale dotąd bezskuteczne, medytacye niemieckie nad nowemi konstrukcyami paragrafowemi. Jeżeliby bowiem medytacye te miały przynieść jaką korzyść praktyczną, to powinnaby ona już pokazać się w całej pełni na tej najświeższej i największej, jeszcze nieskończonej, ale już w ostatnią fazę przygotowawczą wprowadzonej, kodyfikacyi, jaką stanowi austryacki projekt nowego kodexu karnego.

Zainicyowanie reformy ustawy karnej w austryackiej Radzie państwa zbiega się z brzaskiem samego parlamentaryzmu w Austryi. Pracowało więc nad tą reformą całe pokolenie parlamentarne, pra-

cowało gorliwie a przynajmniej z najlepszemi zamiarami, gdyż każdy parlament nowy wybierał dla projektu, objętego w spuściźnie po swoim poprzedniku, komissyę, złożoną z najdzielniejszych sił prawniczych. Ostatnia z licznego szeregu redakcya komissyjna tego projektu powinnaby zatem streszczać w sobie wszystkie zdobycze, jakie w tym czasie wykazała nauka i praktyka w innych państwach. Weźmy więc ten dokument prawodawczy [1]), aby się przekonać, czy może jaki geniusz kodyfikacyjny nie zawstydził w sprawie czci bezradnych jeszcze dotąd teoretyków takiem jasnem zakreśleniem ramy definicyjnej, iżby odtąd już nie potrzeba było słuchać teoretycznych lamentacyi nad niejasnością sytuacyi prawnej.

Wiele można było oczekiwać po projekcie prawodawczym, tak długo przygotowywanym. Przynosi on niezawodnie zaszczyt autorom pod wielu względami a szczególnie ująć musi tem, że — co z naszego stanowiska osobno tutaj podnieść wypada — ścieśnił w sposób wydatny ową sferę neutralną między bezprawiem cywilnem a kryminalnem, o której na wstępie była mowa, a tem samem ścieśniał swobodę owych poczciwców bez czci i wiary, tak bezkarnie dotąd grasujących w szerokim świecie obrotowym, urągających dobrej wierze w interesach i spekulacyach różnego rodzaju, wyprowadzających w pole łatwowiernych i niedoświadczonych i t. d.

Gdyby to samo powiedzieć można było o postanowieniach projektu, które czci się tyczą! Pod tym względem jednak autorowie projektu co najmniej, niestety, zrzec się muszą pretensyi do roli szczęśliwych reformatorów.

W systemie kar, bezpośrednio czci dotykających, czyli następstw kary kryminalnej pod względem używania praw obywatelskich, projekt austryacki pozostał na dawnym utartym szlaku. Wyzuwa z dostojeństw, odziera z odznaczeń, odsuwa od praw politycznych i t. p. takie osoby, które za znaczne przestępstwo ściągnęły na siebie ciężkie kary. Niektóre z tych konsekwencyi ustają po upływie czasu w ustawie oznaczonego a ustanie to nie jest zależne od warunków, któreby dawały rękojmię rehabilitacyi. Na kim wyciśnięte zo-

---

[1]) 709 der Beilagen zu den stenogr. Protocollen des Abgeordnetenhauses — XI. Session 1893.

Jestto ostatnia redakcya do chwili, gdy autor uwagi te pisał. Rzecz naturalna, że dla naukowej exploatacyi tego projektu, jako rezultatu ćwierćwiekowej pracy kodyfikacyjnej, w kierunku tej pracy wytkniętym obojętną do pewnego stopnia jest w danej chwili kwestya, czy w dalszej fazie parlamentarnego traktowania sprawy nie zajdzie jaka zmiana co do szczegółów tutaj omówionych. (Przypisek Autora).

stało takie nowoczesne prawne piętno hańby, ten może przy dzisiejszej tak niesłychanie ułatwionej ciągłej zmianie miejsc pobytu przebyć czas degradacyi obywatelskiej zdala od widowni swojej kondemnaty, niejako incognito, niepoznany, nawet zażywający opinii nieposzlakowanego człowieka i wrócić po upływie tego czasu na dawną widownię, gdzie go już potem to samo prawo karne, z którem popadł był w fatalną kollizyę, uznaje za zrehabilitowanego bez żadnych dochodzeń rehabilitacyjnych a nadto strzeże nawet przed wypominaniem kondemnaty. Pozostaje zatem taka sama sytuacya, jaka dziś istnieje. Państwo zabiera skazańcowi prawa, jakie z jego ramienia posiada i zwraca mu je potem napowrót z mocy upływu pewnego czasu, nie troszcząc się o to, czy z prawami zwróconemi wrócić może także i szacunek, którego samą ustawą ani nadać, ani w razie utraty zwrócić niemożna. W takim składzie rzeczy rehabilitacya prawna, jeżeli w ogóle mówić można o rehabilitacyi tam, gdzie chodzi tylko o sam upływ pewnego czasu od chwili kondemnaty bez dalszych warunków, nietylko nie postępuje równolegle z niezależną od upływu dłuższego lub krótszego czasu rehabilitacyą społeczną, na którą zasłużyć sobie potrzeba, lecz co gorsza popada z nią w kolizyę. Oby tylko świadomość tej kollizyi nie stępiała w społeczeństwie, bo gdyby nie było jej wobec dzisiejszego systemu prawnych kar honorowych, brak ten byłby fatalnym symptomem, wprost dowodem zwolnienia karbów moralnych w społeczeństwie, dla którego przecież sam upływ pewnego czasu od zniesławienia bez dodatniej rehabilitacyi w życiu i przez życie uczciwe niemoże stanowić tytułu do zwrotu szacunku.

Pewne skrupuły nie pozwalają nam wprost powtórzyć o postanowieniach projektu w dziale obrazy czci zdania, wypowiedzianego powyżej o t. z. karach honorowych. Gdybyśmy bowiem powiedzieli, że i pod tym względem projekt pozostał na utartym, dawnym szlaku, to byłaby to opinia jaknajgorsza. Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby obowiązujący w Austryi kodex karny w samej literze prawa pozostał pod tym względem w tyle poza innemi kodexami. Widzieliśmy już poprzednio, że teorya ryczałtowo obwinia wszystkie kodexy, całe dzisiejsze prawo karne, o niedostateczną obronę czci i uważa luki w tej mierze istniejące za najdotkliwsze, nawet za upokarzające dla prawa w ogóle. W tej naganie dzisiejszy kodex austryacki bierze udział równy z innemi kodexami, o ile chodzi o samą literę prawa, ale rościć sobie może nawet większy, jeżeli się weźmie pod uwagę całą — że tak powiemy — formalną *mise en scène.* Pod tym względem zatem brak wszelkiej zmiany na lepsze

w tak długo przygotowywanym projekcie nowego kodexu byłby już wprost niepodobnym.

Przypatrzmy się tylko dzisiejszej sytuacyi a uwaga powyższa pewnie nie wyda się za ostrą. Nie jestto przecież żadną tajemnicą, że dziś w Austryi w samych sferach sędziowskich „sprawy kodexowo-honorowe“ uważane są raczej za karykaturę tego, czem być powinny. Postanowienia o obrazie czci, zepchnięte na szary koniec, niejako w kącik kodexu, zawierają taryfę karną, której pozycye mogłyby wystarczyć od biedy stróżom kamienicznym, dorożkarzom, przekupkom itp., w ogóle ludziom, stawiającym pospolitą insultacyę, exces ordynarny, jednem słowem burdę na równi z obrazą czci i upatrującym w samym fakcie „wygrania“ sprawy przed forum sądowem błogą satysfakcyę, ale ludzi, szanujących siebie, raczej odstraszają od wstępowania na tę drogę. Jeżeli się do tego jeszcze doda zbagatelizowanie spraw tego rodzaju pod względem formalnym, po części z winy samego prawa a po części z winy tradycyi biurokratyczno-sądowych, to niepotrzeba już chyba przywoływać na świadectwo odstraszającej grozy skandalu, jaki sprowadza dla osoby nawet niegodziwie dotkniętej *każdy*, widocznie dla szykany wszczęty, t. z. dowód prawdy, aby litować się więcej nad pokrzywdzonym, t. j. zwycięzkim wobec sądu oskarzycielem, aniżeli nad skazanym napastnikiem, który znękawszy ofiarę swoją do żywego, raz obrazą a ewentualnie drugi raz takim wrzekomym dowodem prawdy, spotyka się z karą tak bagatelną, iż w oczach niegodziwca jest ona tylko bardzo skromną opłatą za sprawioną sobie piekielną satysfakcyę.

Austryacki projekt nowego kodexu karnego w dziale obrazy czci pod jednym względem nie poszedł utartym szlakiem. Mimo opozycyi w łonie komissyi kodyfikacyjnej, o czem jej elaborat szczegółowo upomina, posunięto tę kategoryę przestępstwa niejako do wyższej rangi, przeniesiono ją z dotychczas zajmowanego szarego końca do wyższego działu występków. Jeżeliby jednak sądzić wypadło o intencyach komissyi z brzmienia jej sprawozdania, to więcej wzgląd na systematyczność układu, aniżeli przejęcie się doniosłością sprawy, wstrzymał większość od zaliczenia niektórych lżejszych wypadków obrazy czci do rzędu przekroczeń, czyli od pozostawienia ich nadal na szarym końcu kodexowym. Komissya bowiem uznała w sprawozdaniu wyraźnie, że taka klassyfikacya tej kategoryi przestępstwa, któraby „była zadowalającą w każdym kierunku, jest w ogóle niemożliwa“ z powodów, tkwiących w samej naturze rzeczy. „Jestto — mówi owo sprawozdanie — szczególna właściwość przestępstwa obrazy czci, że w ramy tego pojęcia wchodzą obok bardzo

karygodnych i z nadzwyczaj niebezpiecznemi następstwami połączonych zamachów na cześć także całkiem drobiazgowe sprawy, które przed forum sądowe dostają się tylko wskutek panującego w niektórych okolicach niezdrowego pieniactwa. Niepodobna jednak nakreślić linii granicznej według pewnych znamion istoty czynu w sposób od biedy zadowalający między cięższemi a całkiem lekkiemi wypadkami obrazy czci. Wszystko bowiem zawisło tutaj od indywidualnych okoliczności."

Z trudnościami formalnej natury nie liczyła się komissya według własnego zapewnienia, gdyż uważała to za rzecz ważną, aby „stało się zadość uprawnionemu i z naciskiem podnoszonemu żądaniu zapewnienia czci wobec ciężkich zamachów skuteczniejszej osłony prawnej, aniżeli jej dziś obowiązujące prawo użycza." Zdanie to brzmi pięknie, ale zaraz potem następuje uspokajające wyjaśnienie, że „surowość, okazana w zaliczeniu obrazy czci do kategoryi występków (a nie przekroczeń), jest więcej pozorną aniżeli rzeczywistą, polega więcej na wyrażeniu, aniżeli na praktycznym stanie rzeczy." Kogoby i to jeszcze nie uspakajało, temu przypomina komissya dalej, że wobec dopuszczenia „kompenzacyi wzajemnych obraz" zmniejszy się znacznie liczba drobnych spraw o obrazę czci, dotąd przed forum sądowe wytaczanych. Ta „kompenzacya", pozwalająca sędziemu nawet zaniechać wymiaru kary w tym razie, jeżeli adwersarze odpłacili sobie pięknem za nadobne, obrazą za obrazę, stanowi wcale charakterystyczną oznakę, jeżeli nie lekceważenia spraw tej kategoryi, to w każdym razie takiej obojętności dla nich, że musi to razić wobec poprzedniego zapewnienia ustawodawcy, iż liczyć się chce z coraz głośniejszem żądaniem wydatniejszej osłony prawnej dla czci i jej bezpieczeństwa.

Wstrzymujemy się od wszelkich dalszych uwag o niezbyt świetnej roli prawa w ogóle w tej „kompenzacyjnej" sytuacyi, o roli spektatora, nie poczuwającego się do żadnej missyi, chociażby admonicyjnej, z tego tylko powodu, że obaj przeciwnicy, przejęci zarówno lekceważeniem tak ważnego dobra moralnego, jakiem jest cześć, wzięli się nawzajem tak dzielnie za łby, iż wyszli z walki z równemi — guzami moralnemi, czy równemi obrazami. Wstrzymujemy się od tych uwag mimo wielkiej pokusy, gdyż nie piszemy ani krytyki całego projektu, ani nawet specyalnego rozbioru działu, mającego na celu osłonę czci, lecz tylko chcemy z tego projektu projektu podnieść niektóre szczegóły, rzucające światło na pytanie, o ile w tej właśnie chwili traktowana, więc najświeższa w Europie, reforma prawa karnego zaradza poprzednio już przytoczonym tak

słusznym żalom teoryi. Zastrzeżenie to jest niezbędne, aby w czytelniku nie powstało mniemanie, że wszystko zresztą w tej reformie musi być dobre, o czem tutaj niema osobnej wzmianki.

Żeby krótko rzecz traktować, powiemy od razu, że projekt austryacki tylko co do kodexowo-hierarchicznej klasyfikacyi obrazy czci i. co za tem iść musiało, pod względem wysokości kary zboczył nieznacznie z dawnego szlaku utartego a natomiast w głównej rzeczy, w określeniu istoty czci, pozostał na tym szlaku. Chodzi tutaj, rozumie się, tylko o cześć zewnętrzną, ale ustawodawca nie wziął jej w tem znaczeniu, jak ją Goethe określił w porównaniu ze skórą, pokrywającą całe ciało od stóp do głowy a wrażliwą i drażliwą na każdym punkcie. Żeby pozostać przy tem porównaniu, powiemy wprost, że cześć w austryackim projekcie nowej ustawy karnej prędzej niż skórę przypomina — wierzchnią suknię, i to wcale dobrze watowaną, tak, iż uważać ją można za dobry pancerz wobec owych delikatnych, ale ostrych ukłuć, jakiemi bywają w regule obrazy pomniejsze.

Żeby według projektu zachodziła karygodna obraza czci, zamach na cześć zawierać musi — pominąwszy otwarty zarzut popełnienia czynu karygodnego lub rozpowszechnienie takiego zarzutu — przypisywanie „pogardliwych przymiotów lub pogardliwego charakteru“ [1], albo przytaczanie faktów, mogących („zdolnych“) ściągnąć na obrażonego pogardę lub „poniżyć go w opinii publicznej“. Na równi z obrazą czci w tem określeniu stawia projekt także „utrzymywanie lub rozpowszechnianie faktów, które mogą (są „zdolne“) zagrażać niebezpieczeństwem lub sprawić uszczerbek zarobkowi, kredytowi innej osoby lub potrzebnemu jej do wykonywania zawodu zaufaniu publiczności.“ Osobno sformułowana została obraza czci, polegająca na „publicznem utrzymywaniu lub rozpowszechnianiu ubliżającej wieści o życiu prywatnem lub rodzinnem innej osoby.“

Skoro już powyżej zastrzegliśmy się, że nie chodzi tutaj o szczegółową krytykę projektowanych postanowień karnych o obrazie czci, lecz o kwestyę zasadniczą a przedewszystkiem o poziom moralny,

[1]) Użyty w projekcie wyraz *Gesinnung* w oficyalnych polskich przekładach oznaczać ma „sposób myślenia“. Jeżeli w tych zasadniczych uwagach krytycznych nadajemy temu wyrazowi o wiele szersze znaczenie, to — pominąwszy nawet kwestyę, które tłumaczenie więcej zbliża się do myśli oryginału — nie wychodzi to na niekorzyść projektu, lecz raczej mogłoby wpływać na osłabienie krytycznych zarzutów. (Przyp. Autora).

na jakim projekt ten pojęcie czci postawił, to możemy opinię sformułować w jednem pytaniu pod adresem nietylko sędziów, nietylko prawników w ogóle, lecz wszystkich, dla których sprawa ta ma znaczenie i w których interes obudza. Pytanie to opiewa: Czy w austryackim projekcie poziom pojęcia czci podniósł się, jeżeli nie tak, żeby postęp dał się mierzyć aż taką idealną miarą, jak szansami zmniejszenia liczby pojedynków, to przynajmniej o tyle, aby zastosować można tak niewygórowaną, nawet skromną, miarę, jakiej dostarcza interes zwyczajny w tem znaczeniu, żeby przed forum prawa odtąd częściej zgłaszali się ci, którzy cześć wewnętrzną pojmują jako kwintessencyę moralną i tej stracić nie mogą, dopóki jej sami nie zaprzepaszczą, ale dbając o cześć zewnętrzną, jako reflex tej kwintessencyi moralnej w opinii publicznej, wrażliwi są na każdy zamach na nią wymierzony, uczuwają za każdym zamachem tego rodzaju w ustroju psychicznym taki ból, jaki — żeby znowu wrócić do trafnego porównania Goethego — uczuwa skóra ludzka na zdrowem ciele za każdem ostrzejszem podrażnieniem?

Sama forma pytania zdradza autora, że je tak postawił, aby już z brzmienia przebijała odpowiedź przecząca a nadto, aby przebijał i powód, dla którego właśnie tak odpowiedź ta wypaść musi. Wspomnieliśmy bowiem w pytaniu o ustroju psychicznym, w którym szukać należy kryteryów i znamion obrazy czci, w powyższem znaczeniu pojmowanej, a na który austryacki projekt nowej ustawy karnej, krocząc utartym szlakiem dzisiejszego prawa, nietylko nie położył nacisku, lecz w ogóle nie zwrócił nawet tyle uwagi, aby w zastosowywaniu ustawy w wypadkach wyjątkowego znaczenia psychiczna strona mogła być w rachubę wzięta.

Czy jestto może żądanie wygórowane, pretensya niejako napastliwa wobec dzisiejszego prawa, krótko mówiąc, pomysł niewykonalny, nieuchwytny dla prawodawcy? Byłoby to już nie zwykłą dygressyą, lecz otwartem zboczeniem na temat odrębny a przytem doniosły, godny osobnego studyum, gdybyśmy tutaj przedstawić mieli niedostateczność dzisiejszego prawa pod względem osłony życia psychicznego w ogóle i potrzebę tej osłony. Nie byłaby to utopia, lecz sprawa wielkiej wagi praktycznej dla życia a przytem kwestya, która już raz była aktualną w literaturze prawniczej, dotąd poniekąd nie znikła zupełnie z widnokręgu naukowego i odzyskać może charakter aktualności nawet w tym razie, gdyby materyalistyczna profanacya duszy ludzkiej a raczej negacya jej odrębności i sprowadzanie jej na mechaniczny poziom funkcyi skomplikowanego ustroju

nerwowego miało jeszcze dalej pozostać opinią tak akredytowaną w świecie naukowym, jak dotąd [1]).

Żeby jednak nie osłabiać praktycznego znaczenia pretensyi do prawa dzisiejszego, którąśmy przedtem w zakresie czci podnieśli, poprzestajemy na tem dorywczem tylko zaznaczeniu zasadniczej strony postulatu osłony całego życia psychicznego przed karygodnemi zamachami. Sprawa ta bowiem w ogólnem, zasadniczem, znaczeniu może być przez dzisiejsze ustawodawstwo jeszcze dalej ignorowana, czy pozostawiona w zawieszeniu a mimo to psychicznemu kryteryum, chociażby w samej tylko obrazie czci, należy się uwzględnienie. Czemże bowiem, jeżeli nie cierpieniem psychicznej natury jest obraza czci, oczywiście obraza istotna a nie owo niejako konwenansowe tylko przybieranie pozy obrażonego przy lada jakiej sposobności? Tak rzecz sformułował nawet Ihering i to nie w dziele, poświęconem duchowi prawa rzymskiego, nie w entuzyastycznej apologii społeczno-moralnej funkcyi cenzorów, lecz w tej prawno-filozoficznej pracy swojej, która stanowi jednę z najświetniejszych rehabilitacyi utylitaryzmu, jako podstawy dla rozwoju prawa, i egoizmu, jako twórcy prawa, w dziele o celu w prawie [2]). Przy pomocy pokrewieństwa etymologicznego wyrażeń niemieckich przedstawił tam Ihering analogię między obrażeniem ciała, jako naruszeniem jego normalnego stanu zdrowia, a obrażeniem czci jako cierpieniem duszy, naruszeniem normalnego zdrowia psychicznego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) Dr. Bronisław Łoziński: *Prawo zwierząt.* Studyum socyologiczne — Lwów 1895, str. 55 i n.

[2]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. II., str. 481.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d'ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.

1768.

(Ciąg dalszy).

XII.

Carr znagla księcia Radziwiłła do rozpuszczenia swego wojska i sekwestruje mu nawet arsenał. — Wątpliwe zebranie się sejmu. — Król i ambasador pracują nad tem, aby sejm przyszedł do skutku. — Porta uznaje konfederacyę barską za legalną. — Wojewoda wołyński. — List baszy chocimskiego do Branickiego. — Poglądy polityczne tego baszy. — Rozmowa prymasa z ambasadorem i rezydentem sasko-kurlandzkim. — Przejęcie poczty wrocławskiej przez konfederatów. — Rada senatu w przededniu zamierzonego otwarcia sejmu. — Niepowodzenie tego ostatniego. — Powrót biskupa kamienieckiego. — Przejście Dniestru przez korpus turecki. — Bezczynność Branickiego, który nie może liczyć na zniechęcone wojsko.

Warszawa, 9. listopada 1768.

Konfederacye litewskie, które przypisują wszystkie księciu Radziwiłłowi, zostały zupełnie stłumione. Carr zmusił księcia do rozpuszczenia swojego wojska, pozwalając jednak, aby trzymał najwięcej 400 ludzi do obrony osobistej. Radziwiłł nadesłał tu kuryerem prośbę do ambasadora, aby mu był pozostawiony cały jego arsenał. Ambasador zażądał, aby arsenał oddany był dowódcy rossyjskiemu za pokwitowaniem, zapewniając księcia, że po ustaniu zamieszek w kraju tutejszym zostanie mu zwrócony.

W poselstwie od wojewody inflanckiego przybył tu p. Zabłocki i z wielkimi honorami przyjmowany był przez ambasadora, który

oświadczył, że jakkolwiek Rossya mieć będzie wojnę z Portą, jednak to wcale nie przeszkodzi, aby rzeczy w Polsce nie miały pozostać w takim stanie, jak postanowiono traktatem i ostatnią konstytucyą. O sejmie ambasador nie mówi z żadnym z obecnych tu przyjaciół, nawet z prymasem.

Kanclerz w. polecił tu wezwać hr. Ogińskiego, którego chce proponować na marszałka sejmu, przyjmując odpowiedzialność za jego kandydaturę. Rzecz jednak wątpliwa, czy się zbierze dostateczna liczba posłów na sejm, zwłaszcza litewskich, najwięcej tu pożądanych, obecnie bowiem przypada na Litwę kolej wyboru marszałka sejmowego. O ile mi wiadomo, dwór i ambasador rossyjski nie szczędzą wielkich starań i trudów, aby sejm mógł się zebrać.

Przybyło tu trzech kuryerów z Konstantynopola: do ambasadora rossyjskiego oraz do rezydentów pruskiego i angielskiego, i wszyscy trzej w towarzystwie adjutanta ambasadora spiesznie odjechali do Petersburga z polecenia tego ostatniego.

Branicki nadesłał przed kilkoma dniami kopię deklaracyi, otrzymanej od baszy chocimskiego. W deklaracyi tej powiedziano, że Porta Ottomańska, uznając konfederacyę barską za legalną i dążącą do obrony praw i swobód narodowych, bierze ją pod swoją opiekę i uważać będzie za nieprzyjaciół wszystkich tych, którzyby chcieli atakować pomienionych konfederatów. Tenże Branicki donosi sztafetą, że korpus wojsk tureckich przeszedł Dniestr w pobliżu Żwańca; Turcy zażądali żywności i koni od kasztelana Lanckorońskiego, a ponieważ ten uciekł, złupili cały jego dom.

Od chwili otrzymania tej wiadomości, ambasador zmienił zamiary swoje co do sejmu; wyraził się nawet do Zabłockiego, że może sejmu wcale nie będzie. Nagłe wkroczenie Turków przeraziło go bardzo, a jeszcze więcej dwór tutejszy. Przerażenie to opanowało wszystkich, którzy obawiają się zemsty Rossyi i króla, poczuwając się do winy względem nich. Wypowiedzenie wojny i opieka, jaką Turcya obiecuje konfederatom, uspokaja cokolwiek umysły w tem nieszczęśliwem położeniu. Mam tu na myśli tutejszych panów, którzy wiedząc, że trzy armie rossyjskie mają tu wkroczyć, a mianowicie od Smoleńska, od Kijowa i od strony Inflant, i że walka toczyć się będzie w kraju tutejszym, do tego stopnia ulegli postrachowi, że gotowi są obecnie uczynić wszystko, co im rozkaże król i ambasador. Tylko wojewoda wołyński jest niezachwiany w swojem postanowieniu: nie ukrywał nigdy przywiązania swojego do Saksonii, nie należał do intryg, gotów był zawsze poświęcić życie i majątek dla spraw ogółu, ciągle odmawiał podpisania wszystkiego,

coby było przeciwne prawom i wolności, nie dając się do tego skłonić ani pogróżkami, ani uprzejmem słowem.

Na obiedzie u prymasa, danym w dniu imienin Waszej Królewiczowskiej Mości, słyszałem od niego, że książę Repnin, zaprosiwszy go do siebie, odczytał mu list, jaki basza chocimski pisał do Branickiego. W liście tym basza żąda kategorycznej odpowiedzi na następujące punkta:

1) Dlaczego król sprowadził do kraju wojska rossyjskie, sprzecznie z warunkami traktatu karłowickiego?

2) Dlaczego wojska te pozostają tam ciągle wbrew woli narodu?

3) Czy król ma dostateczne siły do wydalenia ich z kraju? Przytem dodał, że w przeciwnym razie wyręczą go w tem Turcy, nadmieniając nadto, że jeżeli król legalnie był obrany, to nie potrzebuje pomocy wojska cudzoziemskiego; jeżeli zaś elekcya nie była legalną, to naród powinien być postawiony w możność dokonania nowej swobodnej elekcyi. Dalej opowiadał mi prymas, że ambasador był nadzwyczaj rozgniewany, że król ma zwołać radę w tej sprawie; że trzeba koniecznie, aby uznano konfederatów za buntowników, i oświadczono, że wojska rossyjskie weszły do kraju tutejszego tylko wskutek usilnych próśb króla i stanów, celem przywrócenia bezpieczeństwa, spokojności i należytego porządku; że Porta Ottomańska, protegując buntowników, właśnie pierwsza narusza traktat karłowicki.

Na to prymas miał odpowiedzieć ambasadorowi, że uczyni wszystko, co rozkaże carowa, ale zapytał go jednocześnie, jaka też będzie opieka jej; jeżeli Turcya zostaje w porozumieniu z innemi mocarstwami i jeżeli wobec tego Rossya nie będzie miała przewagi.

Ambasador miał mu szczegółowo wykazywać siły Rossyi i dawał mu co do tego uspakajające zapewnienia.

Z kolei prymas przedstawiał ambasadorowi, że skoro konfederacye nie są zabronione nawet ostatnią konstytucyą, to wskutek tego nie można nazywać buntownikami konfederatów barskich.

Ambasador jednak nie chciał odstąpić od swego zdania, zabraniając prymasowi udawać się na radę królewską bez jego wiedzy. Wszakże prymas musi być mocno przekonany o przewadze sił rossyjskich, skoro zakończył opowiadanie swoje oświadczeniem, iż wobec tego wszystkiego nie ma innego sposobu, jak tylko trzymać się Rossyi.

Wtedy odezwałem się, że on nie mógłby już inaczej postąpić wobec tego, że na ostatniej radzie senatu wypowiedział zdanie, aby prosić carowej o pozostawienie wojsk rossyjskich w kraju tutejszym do czasu jego uspokojenia, t. j. ustania zamieszek, które wzięły początek w Barze.

— „A jakżebyś pan odpowiedział ambasadorowi na mojem miejscu? — zapytał mnie."

— „Odpowiedziałbym, że jeżeli Rossya chce wojny i ma dostateczne siły do jej prowadzenia, to sama może ustanawiać prawa, nie odwołując się do Polaków. Jeżeli jednak pragnie uniknąć wojny, to mogłaby to uczynić z honorem, gdyby, ze względu na wspomniany wyżej list baszy chocimskiego, postanowiono na radzie senatu prosić carowej, aby nie wystawiając dłużej Polaków na wojnę domową, raczyła wycofać wojska swoje z granic Rzeczpospolitej, która nie chce być dłużej ciężarem dla Rossyi i narażać ją na to, aby była zmuszoną prowadzić wojnę w interesie Polski."

Odpowiedź powyższa tak się podobała prymasowi, iż oświadczył mi, że zrobi z niej użytek, jakkolwiek ma zamiar stosować się głównie do tego, czego ambasador żądać będzie.

Poczta wrocławska przejęta została przez 300 konfederatów w Wieruszowie; zabrali wszystkie korespondencye i papiery, oprócz depesz z Saksonii, które pozostawili nietknięte, polecając je pilnej opiece. Oprócz tego zabrali kilka beczek ostryg, przeznaczonych dla króla, inne zaś, własność prywatną stanowiące, pozostawili w całości.

Spodziewają się tu księcia Radziwiłła, którego spiesznego przyjazdu życzy sobie ambasador i w tym celu, jak się zdaje, kazał odroczyć zwołanie rady senatu.

Z powodu imienin Waszej Królewiczowskiej Mości odbierałem powinszowania poselstwa saskiego, szlachty kurlandzkiej oraz wszystkich, którzy zamieszkują saski pałac. Najwięcej jednak zdziwiłem się wizytą podkanclerzego Borcha, wyrażającego mi przywiązanie ku Waszej Królewiczowskiej Mości, które pragnąłbym, aby choć w pewnej części mogło wyrównać mojemu wielkiemu przywiązaniu, najgłębszemu uszanowaniu i najszczerszym życzeniom, jakie ośmielam się złożyć u stóp Waszej Królewiczowskiej Mości.

Dzień 7. b. m., przeznaczony na otwarcie sejmu, obrócił w niwecz wszystkie zabiegi ambasadora rossyjskiego. Przybyło tylko 15 posłów koronnych, których czoła powinnyby były pokryć się rumieńcem wstydu, gdyby mieli poczucie honoru i świadomość tego, co czynią. Z Litwy nie stawił się ani jeden poseł. Kilku senatorów przybyło do zamku więcej z ciekawości. Gdyby nie gwardya, postawiona przez marszałka, niktby się nie domyślił nawet, że to dzień sejmu. Króla nie było wcale, ani też nikt nie mówił w jego imieniu. Nikt się nie znalazł, ktoby przynajmniej dla powagi samego tronu objaśnił niemożność odbycia sejmu.

W wigilię pomienionego dnia król zwołał radę senatu z senatorów i ministrów, na którą prymas wcale nie przybył. Kanclerz postawił w imieniu króla propozycye, czy sejm ma się odbyć, czy nie, i co należy przedsięwziąć w tem położeniu rzeczy. Wojewoda kaliski oświadczył, że sejm wcale niepotrzebny, że król i Rzeczpospolita powinni być neutralni i nie mięszać się wcale do niczego. Czartoryscy wraz z innymi poparli zdanie wojewody. Stronnicy jednak Rossyi, a mianowicie wojewodowie podlaski i gnieźnieński oraz marszałek Gurowski byli innnego zdania i proponowali sejm extraordynaryjny. Król odrzucił tę propozycyę, był nią nawet bardzo dotknięty. Rzeczywiście przez podobny sejm naród mógłby nawet żądać detronizacyi króla. Inni znowu radzili królowi, aby stanął na czele wojska i próbował utworzyć rekonfederacyę, którąby, poparta przez Rossyę, doprowadziła do ogólnego porozumienia i zgody wszystkich.

Dwór postanowił czekać cierpliwie i pozostawił rozstrzygnięcie swego losu wojskom rossyjskim. Te ostatnie gromadzą się w okolicach Dubna, w punkcie zbornym.

Generał Sołtykow przygotowuje się do wyjazdu; to samo zamierza uczynić i książę Repnin, jeżeli carowa, zgodnie z jego prośbą, pozwoli mu udać się na wojnę, i jeżeli Saldern, jak powszechnie utrzymują, zastąpi go w obowiązkach ambasadora.

Biskup kamieniecki wyjechał już z Fontainebleau i oczekiwany jest w tym miesiącu na granicach Rzeczypospolitej, aby wprowadzić w wykonanie układ, zawarty z dworem francuskim, o którym Wasza Królewiczowska Mość poinformowany być musi.

Otrzymaliśmy tu sztafetą wiadomość o przejściu Dniestru przez konfederatów wraz z korpusem tureckim. Branicki pozostaje zupełnie bezczynnym, nie mogąc liczyć wiele na zniechęcone wojsko swoje. Słyszałem od jednego z ministrów, że zapewne Rossya wystąpi z deklaracyą, iż pozostawia narodowi swobodę urządzenia się i ustanowienia rządu według swojej woli, zawsze jednak pod protekcyą Rossyi.

Najważniejszą jednak rzeczą jest wycofanie z Polski wojsk rossyjskich, jako pierwsze zadosyćuczynienie żądaniom Porty, a wtedy naród wybierze niewątpliwie taką formę rządu, jaka najwięcej odpowiadać będzie potrzebom kraju.

KONIEC 1768 ROKU.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

IV.

„Materyie z nauk“ — czy i o ile zaprowadzono w nich zmiany — profesorowie — podręczniki.

(Ciąg dalszy).

Język i literaturę łacińską wykładali Euzebiusz Słowacki, ks. Aloizy Osiński i Maksymilian Jakubowicz. Pierwsi dwaj zajmowali równocześnie katedrę języka i literatury polskiej; ostatni uczył dodatkowo starożytności rzymskich. Filologię rzymską tłómaczył słuchaczom Teodozy Sierociński.

Ojciec poety Juliusza, Galicyanin, różne przechodził koleje. Po ukończeniu szkół — z braku innego zajęcia — zostaje królewskim geometrą, z kolei guwerneruje w zamożniejszych domach ziemiańskich. Tutaj właśnie poznany przez Czackiego, objął katedrę wymowy w gimnazyum krzemienieckiem, gdzie chyba równie był kochanym tak przez uczniów, jak i przez kolegów [1]). W r. 1811 wykłada już w wileńskim uniwersytecie, a prefekt, donosząc o tej zmianie staroście, nazywa ją „nieprzyjemną wiadomością“, robi nadto w swym liście

---

[1]) Prof. Słowacki zaślubił w Krzemieńcu pannę Salomeę Januszewską, córkę Teodora, zarządcy dóbr licealnych. Oboje ruszyli następnie do Wilna. Pani Salomea wraca do Krzemieńca we wdowich szatach, by — jako profesorowa Bécu — po pewnym czasie znowu zawitać do stolicy Litwy. Owdowiawszy powtórnie, osiada na stałe w Krzemieńcu, tutaj umiera też 26. lipca 1855 r. podczas grasującej cholery. Cieszyła się ogólnym szacunkiem. (Dr. H. Biegeleisen: Ze stosunk. rodzin. Julj. Słowackiego. *Bibl. Warsz.* 1895. paźdz.).

charakterystyczny dodatek: „Takie praktyki pewnie i nadal będą, dla czego Gymnasium długo dobrymi Professorami cieszyć się nie może. Jest to pięknie dla Gymnasium i dawniejszych Szkół, ale nie pożytecznie“ [1]). Że „praktyki“ podobne rzeczywiście w przyszłości często miały miejsce — rzecz pewna; wszak uniwersytet niejednego profesora, który w Krzemieńcu chrzest odbył i choć trochę dał się poznać, do Wilna powoływał. Przypuszczamy, że z czasem nawet szanowny prefekt oswoił się z tego rodzaju figlami, przez zwierzchniczą szkołę płatanymi. Wracając do Słowackiego, dodamy, że — obok zajęć profesorskich — redaguje *Kurjera Wileńskiego;* umiera żałowany powszechnie w 1814 r. O jego mowach przygodnych wspominaliśmy poprzednio, wzmiankować też o nich nie omieszkamy w kronice gimnazyalnej. Nadto cztery tomy dzieł, prawidła wymowy i poezyi, rozprawa o potrzebie doskonalenia języków narodowych i t. p. prace zostały w znacznej części ogłoszone już po śmierci autora [2]).

O pozyskanie dla Krzemieńca ks. Aloizego Osińskiego starano się już poprzednio, lecz wówczas ugoda do pomyślnego skutku — mimo wszelkich usiłowań — dojść nie mogła. Ksiądz Osiński, po uczynionej ze strony Kołłątaja — zawsze w imieniu Czackiego — propozycyi, odpisuje mu zaraz ogólnikowo, przyrzekając osobiście do Stołpca zjechać, by ostatecznie porozumieć się w sprawie ofiarowanej mu katedry. Zjawił się też w pierwszych dniach sierpnia 1805 r. w mieszkaniu Kołłątaja, o wyniku zaś poufnej rozmowy ks. Hugo Czackiemu bezzwłocznie donosi; czas już bowiem było ułożyć pewną, stałą listę profesorów przyszłego gimnazyum wołyńskiego. „Xiądz Osiński był u mnie 3. *praesentis*, spodziewał się, iż będzie wezwany do literatury. Gdym mu oświadczył, żo go JWPan wzywasz na nauczyciela języka łacińskiego, prosił, aby mu dać 3. dni do rozwagi; odjechał i żadnej mi dotąd (t. j. 8. VIII.) nie dał odpowiedzi, piszę do niego dzisiaj, a co mi finalnie odpowie, natychmiast doniosę. Jeżeli się podejmie, możesz JWPan być pewnym, że zrobisz dobry wybór; jeżeli się nie podejmie, trzeba będzie szukać innego, jaki się natrafi, bo bez profesora łacińskiego języka pierwsze klassy nie mogłyby się rozpocząć“ [3]).

Równocześnie wysyła Kołłątaj krótkie i zwięzłe zapytanie do Osińskiego; odpowiedź nadeszła wymijająca, lecz w rezultacie odmowna [4]). Nowy więc posłaniec pomknął ze Stołpca, wioząc

[1]) Majchrowicz j. w. (*Muzeum* 1894 s. 94).
[2]) Słowikowski j. w.; Estreicher: Bibl. IV. 282—283 itd.
[3]) *Koresp.* III. 146.
[4]) Ibid. III. 166.

nieprzyjemną dla starosty nowinę. „Ks. Osiński odpowiedział mi — donosi Kołłątaj — że się nie podejmuje lekcyi języka polskiego i łacińskiego: dał mi oraz do zrozumienia, że się spodziewał być umieszczonym na katedrze literatury: tak go zapewnił jego brat, który miał w tej mierze mówić z JWPanem: na co mu odpowiedziałem: że JWPan już przeznaczyłeś p. Kruszyńskiego do tej katedry, którego ja nie znam ani z osoby, ani z talentów. Skończyło się na tem, że X. Osiński dał mi poznać, iż gdybyś go JWPan na przyszły rok wezwał do katedry literatury, do której najwięcej ma gustu i skłonności, tedy podjąłby się jej z ochotą. Ja z mej strony przyrzekłem to wszystko JWPanu przełożyć. Jakoż na stronę X. Osińskiego mówi: 1) Znajomość języków łacińskiego, francuskiego i niemieckiego; 2) że uczył w szkołach publicznych pijarskich; 3) że był nauczycielem literatury młodych Pijarów: 4) że jest obyczajów dobrych i ma do nich stosowną powierzchowność" [2]. Autorowie projektu nie tak prędko jednak odstępują od myśli zwabienia Osińskiego do Krzemieńca.

Z kolei przypuszcza szturm sam Czacki [1]; ksiądz Aloizy w odpowiedzi — dziękując za zaszczyt, jaki mu sprawia „wzywanie osób znakomitych mądrością i sławą" — dodaje, że na razie opuścić domu Radzimińskich nie ma prawa. Kołłątaj ze swej strony tłómaczy panu staroście, że „ten człowiek i przez swą zdatność i przez swą moralność zasługuje, aby mu zostawić miejsce na rok przyszły, którego (nie chcąc zawodu robić Radzimińskim) przyjąć nie może w tym roku" [3]. Na razie w ten sposób zakończono wzajemne pertraktacye: naukę języka łacińsko-polskiego w czterech początkowych klasach objął Olędzki; na kursach wykłada Euzeb. Słowacki, kandydat bowiem — pierwotnie na tę katedrę upatrzony — zawiódł oczekiwania fundatora szkoły. „Kruszyński dowiódł występną lekkość — skarży się 27. IX. 1805 r. Czacki Kołłątajowi. — Mam jego list, mam wstawienia się za nim, mam jego słowo. Podobno przeleciał do Puław i na moją odezwę gardzące zachował milczenie. Jeśli miał później tak brzydki charakter pokazać: niech leci jak motyl, a niech nas nie zaraża" [4].

Coprawda słowa trochę przyostre, ale też, jeśli się weźmie pod uwagę, że Kruszyński takiego figla spłatał na dni kilka przed samem otwarciem gimnazyum, łatwo pojąć gniew Czackiego, widzą-

---

[1]) *Koresp.* III. 194.
[2]) Ibid. III. 198.
[3]) Ibid. III. 199—201.
[4]) Ibid. III. 291—292.

cego z przykrością, iż jedna katedra więcej we właściwym czasie obsadzoną nie zostanie, że nadto znowu odbywać będzie trzeba poszukiwania za odpowiednim kandydatem, co niemało kosztowało trudów i zachodu.

Już z listów Kołłątaja przekonać się łatwo, jakie posady naukowo-pedagogiczne zajmował ks. Osiński przed objęciem katedry w Krzemieńcu. Osobistość to jednak nadto wybitna, byśmy nie przytoczyli na tem miejscu ważniejszych dat z jego żywota. Znakomity ów kaznodzieja polski przyszedł na świat 1770 r. w Sandomierskiem. Widocznie talent krasomówczy był tej rodzinie właściwy, gdyż i brat jego Ludwik z wymowy w szerokim słynął promieniu. Obaj zostali wychowańcami szkół pijarskich w Radomiu; starszy Aloizy przywdziewa też 1784 r. w Drohiczynie sukienkę zakonu, w którym początkowe pobierał nauki i — przechodząc ze stopnia na stopień w hierarchii zgromadzenia — piastuje cztery lata (1802—1806) godność prefekta szkół pijarskich.

W r. 1806 wezwanym zostaje do Krzemieńca na nauczyciela literatury polsko-łacińskiej; stało się więc podług jego życzenia, jakie w listach do Kołłątaja niejednokrotnie wyrażał. Ks. Aloizy wykłada w gimnazyum — a z kolei w liceum wołyńskiem — całych długich lat ośmnaście, wywiera wpływ nader dodatni na swoich uczniów i kolegów. Przy każdej uroczystości szkolnej, wesołej czy żałosnej, wygłasza wzniosłe egzorty, pełne zdrowych myśli i poglądów, pełne młodzieńczego zapału i szczerej zachęty do pracy, której najlepszym przykładem sam mógł służyć, poświęcając wszystkie wolne od profesorskich zajęć chwile pisaniu dzieł poważnych i wyczerpujących. Metropolita Siestrzeńcewicz uwalnia go 1812 r. od obowiązków zakonnych, w pięć lat później zostaje kanonikiem łuckim i prałatem, w r. 1818 członkiem warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk, któremu już przedtem w darze prace swe przesyłał [1]); w r. 1820 Pius VII. ozdabia pierś jego wysokim orderem; w 1824 przenosi się Osiński do Wilna, gdzie go spotykamy w roli assesora konsystorza i deputata pierwszego wileńskiego departamentu oraz sądu granicznego. Po upływie lat kilku zostaje doktorem św. Teologii i kanonikiem wileńskim; w roku 1831 infułatem ołyckim; od 1833—39 rektorem wileńskiej duchownej akademii; w 1839 biskupem sufraganem łuckim. Umiera w Ołyce 10. czerwca 1842 r.

W sposób powyższy przedstawia się najpobieżniejsze zestawienie dat jego żywota dotyczących. Obok towarzystwa warszawskiego za-

[1]) *Roczn. W. K. T. P. N.* Warsz. 1817. X. 437.

pisały profesora w liczbie swych członków naukowa instytucya krakowska i cesarski uniwersytet w Wilnie. Zostawił on rodzinie w spadku po sobie cenny zbiór książek ,a co ważniejsza, przeszło sto rękopisów, które mogą służyć dowodem, ile to człowiek w pracy rozmiłowany dokonać potrafi.

Z ostatnich wyliczymy jedynie wybitniejsze. I tak jedno z pierwszych miejsc zajmą chyba: *Żywoty biskupów wileńskich*, zeszytów 20, każdy innemu dostojnikowi Kościoła poświęcony; nabył je W. H. Skimborowicz. O honorowe miejsce dobija się również *Słownik języka polskiego* (tomów 14.), nad którym ksiądz profesor całe życie pracował, czyniąc w nim bezustanne poprawki i dopełnienia. Dalej idą takie prace, jak: *Słownik z dzieł ks. Skargi*, tomów 2; *O życiu i czynach ks. Jak. Wujka; Początek i wzrost w krajach polskich zakonu Jezuitów; Materyały do historyi literatury polskiej; Spis autorów polskich; Autorowie polscy,* dopełnienia Bentkowskiego, tomów 9; *O kształceniu się, własnościach i bogactwach języka polskiego; Tłumaczenie Enejdy Wirgiliusza; Wypisy z dawnych aktów kościoła katedralnego w Wilnie; O życiu i pismach Tad. Czackiego; Żywot ks. Skargi; O literaturze rzymskiej i polskiej;* mowy i kazania, wygłaszane w Krzemieńcu i t. d. [1]).

Po wyjeździe Osińskiego do Wilna obejmuje przedmioty, przezeń wykładane, aż dwóch profesorów. Język i literatura łacińska wraz ze starożytnościami rzymskiemi dostają się Maksymilianowi Jakubowiczowi, literatura polska Aloizemu Felińskiemu. Charakterystykę dokładną pierwszego z nich znajdujemy we współczesnych pamiętnikach: „Osińskiego zastąpił uczony filolog, Jakubowicz, głębiej może znający język łaciński od swego poprzednika, więcej może filologicznie rozbierający ten język, ale nie mający tego miłego daru wysłowienia się mową Cycerona lub Skargi, tego szczęśliwego oddania wymownie w tłómaczeniu myśli autora co do słowa, jak Osiński. Jakubowicz, starszy latami, flegmatyk z temperamentu, znudzony ludźmi, nie miał tej ujmującej, przy całej nauczycielskiej powadze, uprzejmości, jaką się Osiński zalecał. Być może, że wykład Jakubowicza więcej był uczony, może nawet dokładniejszy, my jednak, uczniowie Osińskiego, dotąd łaciną jego żyjemy, a Teodozy Sierociński najznakomitszym jego wykładu jest pomnikiem. Z uczniów Jakubowicza nie znam biegłego w mowie klasycznej Horacego i Cycerona“ [2]).

---

[1]) Słowikowski: Wspomn.; Estreicher: Bibl. III. 319—320; Sobieszczański: Enc. pow. XX. 114—115; Andrzejowski: Ramoty IV. 5. i nast.; K. Kaczkowski: Wspomn. II. 195 itd.

[2]) Andrzejowski: Ramoty IV. 6.

Inne głosy współczesne mniej stronniczo oceniają osobę i działalność Jakubowicza, podnosząc wielką miłość i szacunek, jakiemi się ten profesor cieszył wśród uczniów i najbliższego swego otoczenia. Tak w danym wypadku, jak również we wszystkich innych, z pamiętników czerpać można, lecz jedynie z wielką ostrożnością i z wielu zastrzeżeniami. My oceniamy zasługi Jakubowicza podług dzieł jego, te zaś stawiają profesora klasycznej literatury na nader wydatnem stanowisku. Z rodu Wołyniak, z wychowania Wileńczyk, bakałarzuje w kilku z kolei szkołach średnich; w Krzemieńcu wykłada do chwili zamknięcia liceum, następnie zasiada na katedrze literatury starożytnej w uniwersytecie kijowskim, w końcu w moskiewskim. Jako emeryt osiada 1842 r. w Żytomierzu, gdzie też po upływie lat jedynastu rozstaje się z tym światem. Drukiem ogłosił kilka podręczników szkolnych, oraz inne rozprawy, w których — obok wielkiej nauki — przebija równie chyba wielka religijność [1]).

Filologię rzymską wykłada w szkole Czackiego Teodozy Sierociński. Czas jakiś zajmował się on guwernerką domową i nauczaniem w szkołach niższych. Po otwarciu gimnazyum w Krzemieńcu rzuca dotychczasowe swoje zajęcie, zapisując się w poczet uczniów nowo-powstałego zakładu wychowawczego, co w każdym razie było dowodem silnej woli i mocy charakteru. W roli słuchacza, łaknącego wiedzy, zostaje tutaj całych lat siedm (1809—16); z kolei sam zasiada na katedrze, wspomnianej poprzednio, zapracowując sobie na uznanie i miłość ogółu. Jakiś czas pełnił on dodatkowo urząd nadzorcy nad konwiktami. Dowiadujemy się o tem z listu sekretarza księcia kuratora, pisanego z nad Sekwany w drugiej połowie kwietnia 1820 roku: „Sierociński niech pamięta, że po śmierci Felińskiego przybyło mu obowiązków, bo powinien utrzymać konwikta w najświetniejszym stanie i przez cześć dla Felińskiego i przez pamięć na siebie, bo ani wątpić, że teraz dawni jego nieprzyjaciele działać może zechcą“ [2]). Po zamknięciu liceum powierzają mu w warszawskiem gimnazyum nauczanie języka polskiego, literatury i pedagogiki, następnie przenoszą do instytutu panien w Puławach. Umiera pod wiejską strzechą 1857 r. Piórem pracował niemało [3]).

---

[1]) Słowikowski: Wspomn.; Andrz. Kwiatkowski: nekrolog w „Kronice wiadom. krajow. i zagr.“; Estreicher: Bibl. pols.; Sobieszczański: Enc. powsz. XII. 898—899.

[2]) *Rękop. Bibl. Jagiel.* Nr. 4569, papiery F. S. Rudzkiego.

[3]) *Ramoty* IV. 5—6; Słowikowski: Wspomn.; Estreicher: Bibl. pol.; Sobieszczański j. w. XXIII. 440—441.

Następcą Osińskiego był również — jak wiadomo — Alоizy Feliński, którego przybycie do Krzemieńca uważano na Wołyniu za wypadek pierwszorzędnego znaczenia, rokując szkole świetną pod rządami tyle wybitnej osobistości przyszłość. Felińskim, dyrektorem zajmować się będziemy obszerniej w kronice zakładu, na razie więc tylko słów kilka powiedzieć o nim wypadnie. Pochodził on ze szlacheckiej, szanowanej powszechnie rodziny ziemiańskiej, gospodarującej na paru wioskach, sprawującej przytem z wyboru urzęda powiatowe. O pięć lat młodszy od Tadeusza Czackiego, w dzieciństwie już związany z nim był szczerą przyjaźnią, losy zaś zrządziły, że po śmierci fundatora szkoły krzemienieckiej towarzysz jego młodości wezwanym został do objęcia naczelnego kierownictwa tejże. Szczegółowych dat biograficznych powtarzać na tem miejscu nie mamy ani zamiaru, ani potrzeby, znane one zkąd inąd dobrze. Zanotujemy tylko, że w styczniu 1814 r. zostaje Feliński „przybranym" członkiem warszawskiego towarzystwa naukowego; po upływie lat trzech wyraża się o nim, na publicznem posiedzeniu tejże instytucyi, niestrudzony jej prezes Staszic, że przyszły dyrektor krzemieniecki w „Barbarze", pierwszy z pisarzów polskich, „nayrozważniey zastanawiał się nad pisownią ięzyka naszego". Z ust takich podobną otrzymać pochwałę, w dodatku — wobec tak poważnego zgromadzenia — zaszczyt nielada [1]). Nie ostatni to raz jednak rozlegają się w murach warszawskiego przybytku nauk słowa wyjątkowego uznania talentu Felińskiego. W dniu 3. V. 1820 r. poświęcono tam jego pamięci gorące wspomnienie, wygłoszone przez przyjaciela młodości, referendarza stanu Michała Wyszkowskiego, który następnie najdawniejsze utwory świeżo zmarłego poety odczytał. „Sława Felińskiego — wyraził się mowca — brzmieć będzie w ustach wszystkich znawców poezyi narodowej, będzie powtarzaną przez wdzięczną młodzież Krzemieńca, której był ukochanym, niestety tak krótko! Nauczycielem i Rządcą" [2]).

Po zgonie Felińskiego zostały w rękopisie: tragedya *Leszek Biały;* kurs nauk w liceum: *Sztuka pisania; Zagajenie publiczn. pedagogiczn. sessyi nauczycielów i dozorców domowych przy lic. woł.; Mowa przy rozpoczęciu publiczn. kursu liter polsk. w lic. woł. 1820 r. miana; Zagajenie publ. posiedzenia Towarzystwa młodzi licealnej, kształcącej się w porządnem mówieniu i pisaniu; Przymówienie się na publ. posiedz. Król. W. T. przyj. nauk* z powodu

[1]) *Roczniki W. K. T. P. N.* Warsz. 1817. X. 107. XII. 55.
[2]) Ibid. Warsz. 1821. XIV. 124—136; XV. 11.

obrania go członkiem; *Rozmowa* — odpowiedź na zarzuty przeciwko jego pisowni, drukow. w *Pamiętn. Warszawsk.*; wreszcie *Mowa* przy wstąpieniu w urząd dyrektora lic. Woł. w Krzemieńcu [1]).

Po Felińskim zajaśniała nad katedrą literatury polskiej w szkole Czackiego gwiazda, której danem było długi lat szereg bogate snopy promieni ożywczych rozsiewać dokoła. Mamy na myśli Józefa Korzeniowskiego, a imię jego znanem jest chyba całemu czytającemu ogółowi polskiemu, poważne miejsce zajmując przytem w literaturze naszej. Niejednokrotnie doczekał się on już trafnej oceny; biografowie zaznajamiali czytelników z przebiegiem życia jednego z sympatyczniejszych i poczytniejszych powieściopisarzy i dramaturgów, z naszej strony więc zanotujemy jedynie fakt, że Korzeniowski od roku 1808 był uczniem gimnazyum krzemienieckiego, którego sława coraz szerzej rozbrzmiewać poczynała; że został wysłany tutaj przez ojca w obawie, by w Galicyi nie zniemczał zanadto. W r. 1818 kurator ks. Adam Czartoryski, wizytując szkołę, zwrócił uwagę na niepospolity talent młodzieńca, uczęszczającego już na kurs ostatni i wyrobił mu posadę domowego nauczyciela przy Zygmuncie Krasińskim. W r. 1823 przyjmuje Korzeniowski opróżnioną przez śmierć Felińskiego katedrę w liceum, przybywa do Krzemieńca po raz drugi, ale już w roli profesora wymowy, poezyi, literatury polskiej i estetyki. Po kassacie wołyńskiej szkoły przenosi się, wraz z innymi kolegami w zawodzie nauczycielskim, do uniwersytetu kijowskiego [2]).

Język i literaturę słowiańską i rossyjską wykładał Jan Aleksandrowski (mylnie Aleksandrowiczem nazywany); angielską Jerzy Forster, Wilhelm Rose i Józef Mikulski [3]); francuską Karol Gerlache, Karol Lefort i Antoni Planson; niemiecką Michał Kołpaczkiewicz i Wojciech Lidl.

---

[1]) Słowikowski j. w.

[2]) Przed powtórnem przybyciem do Krzemieńca ogłosił Korzeniowski: *List do ks. Al. Osińskiego* (Warszawa 1820); w czasie pobytu w liceum *Próby dramatyczne*, w skład których weszły utwory: *Klara* i *Aniela* (ukazały się u Bazylianów w Poczajowie w 1826 r.) a nadto *Kurs poezyi* (Warszawa 1829) i *Mnich* (trajed. w 3. aktach) Warszawa 1830 r.

[3]) W rozprawce, p. t. *Prawdziwy życiorys Tom. Padurry.* — Poznań 1875, str. 25 — znajdujemy wzmiankę, iż profes. angielskiego języka był również „chmurny fantastyk, rodem ze Szkocyi" — Macdonald. Powtarzamy to nazwisko na tem miejscu, z dodatkiem jednak, że go nigdzie zresztą w spisach profes. Krzem. nie spotykamy.

Oprócz tego znany nam już filolog, Teodozy Sierociński, miewał oddzielnie specyalne kursa obu ostatnich literatur.

O dwóch z wyżej wymienionych nauczycieli, t. j. o Mikulskim i Sierocińskim, mówiliśmy już poprzednio. Zdaniem Andrzejowskiego[1]) Karol Lefort, jeśli nie nauczył mówić po francusku, to przynajmniej takie dał zasady tego języka, że wychodzący na kursa uczeń mógł biegle czytać i rozumieć nietylko prozę, ale i poezyę. Co do Lidla i Kołpaczkiewicza nie potrafimy nic dodać nadto, co o nich Słowikowski w swoich wspomnieniach napisał. Michał Kołpaczkiewicz umarł 1829 r., a więc prawie po koniec istnienia liceum zaznajamiał uczniów z literaturą niemiecką. Oprócz *Wypisów niemieckich*, ogłoszonych w Krzemieńcu na sześć lat przed zgonem, drukował poezye w *Dzienniku Wileńskim* a nadto przekład *Messyady* Klopstocka w *Pamiętniku Warszawskim*. Następca jego, Lwowianin, Wojciech (Albert) Lidl[2]), wychowaniec krzemienieckiej szkoły, został po zamknięciu liceum lektorem niemieckiego języka w uniwersytecie kijowskim; umiera 1858 r. na takiejże posadzie aż w Kazaniu. Jego *Gramatyka* niemiecka doczekała się w Wilnie dwóch wydań; oprócz niej ogłosił drukiem *Wypisy niemieckie*, w rękopisie zaś zostawił *Słownik niemiecko-polski*, liczący o 2000 wyrazów więcej ponad cyfrę, podaną przez Mrongowiusa. *Dziennik Wileński* umieścił jego przekład indyjskiej legendy Goethego: „Bóg i Bajadera".

Antoni Planson według Słowikowskiego[3]) ma być autorem trzech podręczników, wydanych w Wilnie; u Estreichera[4]) figuruje Karol Planson, nauczyciel języka francuskiego wprawdzie, ale w gimnazyum wileńskiem. Czy jest to jedna i ta sama osobistość, przez autora wspomnień mylnem imieniem opatrzona, czy też mowa w danym wypadku o dwóch Francuzach, bakałarzujących w Krzemieńcu i w Wilnie — rozstrzygać nie mamy zamiaru.

Pozostawaliby więc jeszcze — obok licznego zastępu wzmiankowanych wyżej członków grona nauczycielskiego szkoły wołyńskiej: Michał Fryczyński, profesor agronomii teoretyczno-praktycznej; Karol Kaczkowski, doktor medycyny, wykładający hygienę; dr. Wojciech Majewski, tłómaczący własność i pożytek „wak-

---

[1]) Ramoty II. 241.

[2]) W rozprawce: *Prawdz. żyw. Tom. Pad.* (j. w.) mylnie Sidlem nazwany.

[3]) *Wspomnienia* j. w.

[4]) *Bibl. pols.* III. 417.

cyny“: Zaliwski, profesor mechaniki praktycznej w odrębnej szkole geometrów „skarbowych“; wreszcie mistrze talentów, które wypełniały wychowańcom krzemienieckim pozostałe od obowiązkowych godzin chwile. Spiew, muzyka, rysunek i malarstwo rozwijały w nich zamiłowanie piękna i pewien gust estetyczny; gimnastyka, jazda konna, szermierka, tańce wzmacniały siły fizyczne, zadosyć czyniąc znanemu powszechnie zdaniu: w zdrowem ciele — zdrowy duch.

Rysunek i malarstwo spoczywały w rękach znanego portrecisty, Józefa Pitschmana, którego prace zdobią ściany wszystkich nieledwie zamożniejszych dworów Podola, Wołynia i Ukrainy. Każdy z dygnitarzy powiatowych lub gubernialnych uwieczniał swą podobiznę, to też Rastawiecki zdołał zapisać długi szereg portretów wykonanych przez profesora licealnego, przyznając jego pędzlowi niejedną zaletę. Rysunku w oddziale niższym uczyli: Jan Królikowski, Bonawentura Klembowski, Filip Pawłowski i Ksawery Kaniewski[1]). Z nich ostatni tylko, wychowaniec liceum krzemienieckiego, dobił się rozgłośniejszego imienia, trzej jego poprzednicy zaliczeni być muszą do rzędu skromnych pracowników, o których pamięć zwyczajnie ginie z chwilą ich śmierci. Kaniewski, nagradzany szeregiem medali, otrzymał od papieża Grzegorza XIV. krzyż złotej ostrogi, został nadto mianowany członkiem rzymskiej akademii Panteonu[2]). Słynął głównie jako portrecista i malarz religijny.

Lekcyi muzyki udzielali: Jan Lenzi, Wincenty Majer[3]), Jan Rolle (Józef?); spiewu: Józef Waniauczek i Beyer[4]). Tańców: Grauman, Franciszek i Piotr Szlancowscy. Fechtunku: Stefan Roussel: konnej jazdy: Audibert i Stanisław Olszański; nauki pływania: Józef Domkowicz.

Michał Fryczyński był również uczniem szkoły wołyńskiej. Książę kurator, zwróciwszy nań baczniejszą uwagę, wysyła go dla dalszych studyów do Moeglina. Uczuwać się w ogóle w kraju dawał brak uczonych rolników, więc — obok instytutu agronomicznego,

---

[1]) Walenty Spektator, j. w. s. 279—280, twierdzi, że rysunków uczył, prócz wyliczonych: Sawicki; kaligrafii: Puchalski; muzyki jakiś Szejdt (?).

[2]) Obszerniej: K. Wł. Wójcicki, Enc. powsz. XIII. 936.

[3]) *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3445.* Umowa między Czackim a Majerem.

[4]) Z zestawienia rachunk. szkoln. za r. 1810 *[Ręk. Muz. Czart. 3445]* dowiadujemy się, że — oprócz wyżej wymienionych — udzielał lekcyi spiewu uczniom funduszowym p. Pokorny.

przy uniwersytecie wileńskim istniejącego — postanowiono podobny utworzyć w Krzemieńcu. Kandydata na profesora odnośnego przedmiotu upatrzono w osobie Fryczyńskiego [1]), a wybór — przyznać trzeba — był nader trafnym. Powróciwszy z wycieczki za granicę, obejmuje on katedrę agronomii, urządzając równocześnie tak zwany folwark wzorowy, dla praktyki konieczny, w Sapanowie, wiosce do starostwa krzemienieckiego, przeznaczonego na utrzymanie szkoły wołyńskiej, należącej. Dar słowa, gruntowna znajomość przedmiotu rozsławiły imię młodego profesora szeroko. Wyrazy uznania dotarły i do Wilna, a tutaj właśnie biedzono się, w jakiby sposób podnieść kursa agronomiczne, zmierzające pod zwierzchnictwem obcokrajowców coraz szybciej do upadku. Rzecz prosta, że następstwem podobnych rozmyślań było wezwanie, wystosowane do Fryczyńskiego, by w głównej szkole objął posadę, zajmowaną dotąd przez Niemców. I to zupełnie naturalne, że Fryczyński wezwanie przyjął, Krzemieniec opuścił, a szkoła agronomiczna wołyńska — tak świetne rokująca nadzieje — bezpowrotnie istnieć przestała. Chwilowy profesor krzemieniecki zostawił w rękopisie *Kurs agronomii*, *Historyę rolnictwa* i parę innych fachowych rozpraw. Drukiem ogłosił skrócony wykład dzieła P. Crud: *Gospodarstwo rolnicze* [2]).

Osobistość Karola Kaczkowskiego jest znaną i popularną. Był on również uczniem i chlubą szkoły Czackiego, studya lekarskie odbywa w Wilnie, zkąd ze stopniem doktora medycyny wraca do Krzemieńca, by tutaj zdobyć sobie niemałą wziętość i wykładać w liceum hygienę. W r. 1829 wezwany do Warszawy, obejmuje katedrę terapii, w lat parę później zostaje naczelnym lekarzem wojska polskiego; w 1832 r. osiada we Lwowie, wyczekując chwili stosownej do powrotu na Wołyń. Włodzimierz, Lubar, Berdyczów i Żytomierz, to miejsca chwilowego pobytu Kaczkowskiego. W stolicy Wołynia organizuje towarzystwo lekarskie, dobroczynności, związ-

---

[1]) *Ręk. Bibl. Jagiel.* Nr. 4569. (List z Puław do Rudzkiego z dn. 14/26 XI. 1821): „Fryczyńskiego, jeśli istotnie zdolny i w przedmiocie swym zakochany, racz Pan pocieszyć i upewnić, że co się przewlecze, to nie uciecze. Toż samo powiedz Pan i Sierocińskiemu. Wszyscy oni niecierpliwi nadto. Przyznaję ja tę niecierpliwość, kiedy chodzi o los nasz dalszy, ale niechże przypomną sobie, że Organizacya Lyceum nie otrzymana jeszcze, więc byłoby nierozsądkiem robić przed nią jakie cząstkowe a zatem nietrwałe urządzenia." Wiemy zkąd inąd, że Fryczyńskiego wysłano później na wędrówkę naukową za granicę.

[2]) Andrzejowski: Ramoty IV. 14—15; Słowikowski j. w.; Estreicher o podobnym autorze nie wspomina.

kową drukarnię i księgarnię, zawsze czynny, zawsze prawdziwy miłośnik i krzewiciel oświaty, zawsze skory do wszelkiej posługi, zwłaszcza, gdy o uczącą się młodzież chodziło. W r. 1860 przesiedla się do Odessy, w trzy lata później wędruje na wygnanie do woroneczskiej gubernii, umiera w Chersonie w połowie października 1867 r. Oprócz pamiętników, opisu podróży do Krymu i paru innych drobiazgów, napisał cały szereg rozpraw lekarskich, a figurują w ich rzędzie i wykłady hygieny [1]).

O Franciszku Zaliwskim wzmiankowaliśmy w kilku wypadkach na poprzednich stronach tej pracy. Wiemy, jakie zalety przyznawał mu Czacki, jak zadowolonym był z pozyskania dla swej szkoły tej osobistości.

Zaszczycony przez ostatniego króla medalem zasługi, jest podobno autorem dzieła, p. t. *Opis machin.* Posiadając dziwny dar opowiadania, wypełniał nieraz kolegom całe wieczory odtwarzaniem wypadków niedawno minionej epoki, cieszył się też wielką sympatyą wśród najbliższego swego otoczenia. Mowę na jego pogrzebie wygłasza profesor Fryczyński, następcą na katedrze zostaje znany nam już dobrze Franciszek Miechowicz [2]).

Na tem miejscu nie zawadzi zanotować charakterystyczną wielce okoliczność, dowodzącą niezbicie, za jaką powagę encyklopedyczną uważał Czacki Kołłątaja. Nie dziwiło nas, gdy założyciel krzemie-

---

[1]) Orzechowski: Wspomn. z papierów pozostałych po sztab-lekarzu i t. d.; *Słownik Lek. Pol.* Zesz. II. 206; *Athenaeum* Kraszewskiego. T. V. od. V. 133—169. — Bardzo serdeczne wspomnienie o Kaczkowskim w *Gwieździe* Dołęgi Jurkiewicza. Kijów 1847. T. I. 143—146.

[2]) Majchrowicz (j. w.) (*Muzeum*, Lwów 1894, str. 93—94) pisze: „Wielu z profesorów gimnaz. wołyńskiego zasłynęło pracami naukowemi i literackiemi . . .“ a parę wierszy dalej: „Już w r. 1805 liczył zakład 10. profesorów, z których każdy miał prawem przepisaną kwalifikacyę, a wielu nawet stopień akademicki. Uczyli tu wtedy: Jan Nepomucyn Tylkowski, dr. filoz., rektor szkoły krzemienieck., Franciszek Tecław, ks. Benedykt Krzesz, exjezuita, Maciej Oświeciowski, dr. filoz., Wojciech, Antoni i Paweł Jarkowscy, Karol Mirowski, Michał Butowski i Tomasz Jentz.“ — Zaszło tu pewne nieporozumienie; prócz trzech braci Jarkowskich, Butowskiego i Mirowskiego, żaden z wymienionych przez autora pedagogów w gimnazyum wołyńskiem nie uczył. Że się nie mylimy, twierdząc w ten sposób, udowadnia chyba najlepiej — przytoczony już dawniej — *Wzór i Porządek Nauk, które na Lekcyach Publicznych w Gymnaz. Wol. od 1. IX. 1805 do ost. dni Lipca 1806. Dawane będą.* — Nic on o owych profesorach nie wspomina, uczyli oni bowiem tylko w dawnych szkołach krzemienieckich.

nieckiej szkoły zgłasza się do reformatora krakowskiej akademii z prośbą o nakreślenie programu wykładów literatury, historyi a choćby i prawa, alеż on tę wiarę w nieomylność ks. Hugona posuwał i dalej jeszcze. „Zaliwski jest jeden z najsławniejszych mechaników praktycznych, lecz teoryi nigdy nie dawał“ — donosi starosta nowogrodzki Kołłątajowi. „Trzeba mu dać wskazówkę“ . . . więc „zrób JWPan tę łaskę i racz mu przepisać porządek. Jest to ważna niezmiernie lekcya, a szkoła w tym rodzaju pierwsza“ [1]).

W jaki sposób wybrnął Kołłątaj z poleconego zadania? — nie wiemy, dość, że Zaliwski mechanikę praktyczną wykładał. W *Materyach* z 1809 r. czytamy: „Uczniowie funduszowi do szkoły Mechaniki praktycznej z miast Imperatorskich przesyłani i inni na koszcie obywatelskim w tej szkole utrzymujący się, dadzą naprzód sprawę z arytmetyki i jeometryi Euklidesa, porządkiem wyłożonym w klassach początkowych (w kursie I.); powtóre: po wyłożonych pierwszych fundamentach Mechaniki Praktycznej okażą ich przystosowanie na wzorach różnych machin, których skład i użycie wytłómaczą.“ W r. 1812 podzielono wszystkich słuchaczy powyżej wymienionych na trzy osobne oddziały. Jednych obznajamiano z geometryą Euklidesa (księgi: I—IV., VI. i XI.); drugich z teoryą mechaniki, rozpadającej się na: statykę, dynamikę, hydrostatykę, hydrodynamikę, naukę oporów fizycznych i ogólną teoryę machin. W 1816 r. dzielono całokształt wykładu na część teoretyczną i praktyczną. Każdą z nich w dodatku na dwa poddziały. Część I. obejmowała z arytmetyki: cztery pierwsze działania, ułamki, liczby różnorodne, stosunki, proporcye, regułę trzech i postępy; z geometryi: pierwsze początki, koło i pomiar kątów, stosunki figur, wielokąty foremne i wymiar koła, płaszczyzny i kąty bryłowe, wielościany, kulę i trzy ciała krągłe. Geometrya praktyczna zaliczoną została do części II. Tutaj to uczono adeptów wytyczania w polu linii prostych, prostopadłych i krzywych; pomiaru linii prostych, kątów, trójkątów, czworokątów, wielokątów; obchodzenia się z używanymi przy tej sposobności przyrządami i t. p. W końcu polecono każdemu z przyszłych geometrów przenieść na papier pewną dowolnie obraną wieś i wytłómaczyć sposób pomiaru tejże.

Mechanika praktyczna również na dwie części dzieloną bywała. Uczniowie oddziału I. „w praktyce uczyli się na różnych machinach poznawania instrumentów, przyuczali ręce do używania onych i wyrabiali materyały do różnych modelów i machin.“

---

[1]) *Koresp.* III. 291.

Uczniowie oddziału II. robili modele rozmaitych narzędzi rolniczych i t. p., oraz wykonywali plany budowli. W r. 1819 wreszcie część teoretyczna pozostała prawie bez zmiany; z praktycznej uczono: o machinach pojedyńczych i złożonych (drąg, kołowrót, krążki, równia pochyła, śruba, klin), o sile i prędkości, gatunkach siły a nadto o zakładaniu grobli. Zatrudniano przytem uczniów rysowaniem młynów, gorzelni, browarów, wraz z obliczeniem ilości zużytego materyału i t. d.

„Uczniowie funduszowi — specyalnej szkoły geometrów — wytłómaczą podział rysunków topograficznych i sytuacyi i okażą sposoby robienia mapp w względzie cywilnym i Ekonomicznym." Tak opiewa ustęp odnośny w programie nauk za r. 1809. W trzy lata później nietyle ogólnikowe dała dyrekcya szkoły sprawozdanie z odbytej nauki wzmiankowanego przedmiotu. „Pierwszoletni brali początki rysunków topograficznych, rysowali karty jeograficzne różnych prowincyi, kopiowali kartę wołyńskiej gubernii, składającą się z 6 arkuszy, którą później zmniejszali, opisując ją po polsku i po rosyjsku. Drugoletni kopiowali plany ekonomiczne, zmniejszali, rysowali plan ogólny, układali inwentarz szczególny wsi starostwa krzemienieckiego. Niektórzy z celniejszych uczniów postąpili do początków rysunków sytuacyjnych."

W 1819 r. wykładano dodatkowo „stosowanie jeometryi praktycznej do rysunków topograficznych."

O pozostałych nadobowiązkowych przedmiotach — wyliczonych już dawniej — mówić obszerniej nie mamy zamiaru. Co do szkoły mechaników i geometrów rządowych (skarbowych) uczyniliśmy pod tym względem wyjątek, by właśnie wykazać, w jaki to sposób kształcono w owej epoce cały kontyngens niższych techników praktycznych.

Z powyższego, szczegółowego dosyć streszczenia *Materyi* za lat kilka przekonać się łatwo o metodzie i zakresie udzielanych w Krzemieńcu nauk. Że już u współczesnych powstawały wątpliwości, czy droga przez Czackiego i Kołłątaja obrana jest właściwą — to pewna. Mówić zresztą obszerniej o tem będziemy w innem miejscu; na razie konstatujemy jedynie fakt, iż — mimo pewnych błędów — oddało gimnazyum krzemienieckie społeczeństwu południowo-zachodnich gubernii niepoślednią usługę. Tego mu nie odejmą najwięksi choćby pessymiści [1]).

---

[1]) *Wzór i porządek nauk w gimnaziium Wol. od XV. Września w Roku MDCCCXI. do XX. Lipca w Roku MDCCCXII.*

Dawać się maiących. Druk. w Krzemieńcu, kart 4. — podaje nam cały szereg wykładów z wylicz. odnośn. profesorów. W klas. początkow. uczą: ks. Sobkiewicz, Olędzki, Strzelecki, Karol Lefort i Malawski. Nadto funkcye „korrepetytorów" pełnią Józef Madeyski (franc.) i Kołpaczkiewicz (niemieck.). — Na I. kursie wykładają w tym czasie: Wojc. Jarkowski, Czarnocki, Szemega, Mirowski, Osiński i Aleksandrowski. Na II. kursie: Łuczyński, Ściborski (i III.), Choński, Hipolit Gerlache. Na III.: Szostakowski, Besser, Ołdakowski, Jurkowski. Dodatkowo: Jurkowski i Forster. Szkoła mechaników: Miechowicz, Zaliwski. Talenta i gimnastyka: Pitschman, Jan Lenzi, Jan Rolle, Franciszek Szlancowski, Karol Audibert i Szczepan Roussel.

Kaczkowski: Wspomnienia I., 17 — zapisuje, że wykłady numizmatyki objął z polecenia Czackiego prof. Lindau. Że tak musiało być w istocie, świadczy i pozycya, umieszczona w zestawieniu rachunków szkoln. za r. 1810. *[Ręk. Muz. Czart. 3445]*. Brzmi ona dosłownie: „Waniączkowi dług s pensyi Prof. Lindawa 25. rsb." Dlaczego inne źródła o tym profesorze milczą? — odpowiedzieć nie umiemy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MICHAŁ ROLLE.

Z PAMIĘTNIKA KONFEDERATA BARSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Wyprawa Krym-Gireja na Rossyę. — Potocki z konfederatami w Bracławszczyźnie. — Niepowodzenia hana. — Odwrót za Dniestr. — Śmierć hana w marcu 1769 r.

W dalszym ciągu pamiętnika znajdujemy opis wyprawy hana tatarskiego, Krym-Gireja, na południowe prowincye rossyjskie, tak zwaną wówczas Nową Serbię. W wyprawie tej, która objąć miała część ukrain polskich, brały udział oddziały konfederatów, stojące na Wołoszczyźnie pod komendą Joachima Potockiego; sam też autor dyaryusza uczestniczył w niej także. Wyprawa ta poprzedzała rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich między Turcyą i Rossyą, miała być wstępem do wojny już zadecydowanej obustronnie. Z rozkazu sułtana, han Krym-Girej, świeżo przywrócony na haństwo, zgromadził u bliższych i dalszych granic, pod koniec 1768 r., świeże siły, które obliczano na 100.000 ludzi. Spodziewano się, że najazd, dokonany z taką potęgą, skuteczną uczynić może dywersyę i znaczne przyczynić straty prowincyom rossyjskim, w których skupić się miały wojska cesarzowej, przeznaczone do walki z Turcyą. Była to jakby straż przednia tureckich zastępów, które, podług planu wojskowych operacyi, nakreślonego w Stambule, — przeszedłszy Dniestr i zająwszy Kamieniec, iść miały na Kijów i Smoleńsk z jednej strony, a z drugiej zgnieść wojska rossyjskie, stojące w Polsce, i tutaj podać rękę stronnictwu, pragnącemu zmiany panującego.

Rzecz naturalna, że szefowie barscy dużo nadziei pokładali w wojnie turecko-rossyjskiej, to też nie szczędzili starań, aby pobudzić jak najwięcej trudności państwu, którego środki, siła i potęga militarna o wiele przewyższały ich własne środki obronne. Ztąd od

pierwszej chwili zawiązania konfederacyi w Barze zwracano się ku Turcyi, szukając w Stambule poparcia i posiłków, a dyplomacya francuska, w celach ogólnej międzynarodowej polityki, popierała zabiegi wysłanników barskich. Do hana tatarskiego jedne po drugich szły missywy z Baru, a gdy wojna turecko-rossyjska nieunikniona już była, zdwojono usiłowania o pozyskanie posiłków. W październiku 1768 roku z obozu pod Dankowcami wysłanym był do hana Gabryel Porczyński, „ablegat", — któremu poleconem było przedstawić hanowi położenie spraw międzynarodowych w Polsce i uprosić hana, „przez traktaty i różne przymierza z nami zjednoczonego, aby wojska swoje w kraj rossyjski jak najprędzej wyprawić raczył." Aby zaś — czytamy dalej w instrukcyi dla Porczyńskiego — „granice najjaśniejszego hana i nasze polskie były ocalone, tudzież aby się nie mnożyły bunty chłopskie od Moskwy podniesione . . ., dla tych dwóch przyczyn najjaśniejszy han dziesięć albo trzynaście tysięcy wojska swego nieodwłocznie wprowadzić w Ukrainę naszą rozkaże, o wspólną całość kraju . . ." Dokument ten podpisali: Krasiński, Potocki i Pułaski [1]), prowadząc w ten sposób tradycyonalną od czasów Jagiellonów politykę względem Tatarów, ci bowiem w kolejnych wojnach Polski z Rossyą stanowili zawsze upragnionych przez jedną lub drugą stronę sojuszników, przechylających najczęściej szalę zwycięztwa.

Do tej missywy dołączył Józef Pułaski list swój „partykularny" do hana, winszując mu powrotu do władzy i wzywając jego pomocy. „Ja z całem wojskiem skonfederowanem — pisze marszałek związkowy [2]) — pod władzą moją marszałkowską będącem, na dowód przychylności wojskowej, sąsiedzkiej, przyłączam do tej expedycyi skonfederowanej Rzpltej naszej i wysyłam starostę czereszeńskiego, pułkownika wojskowego, syna mego (Antoni Pułaski), z partykularnem powinszowania oświadczeniem. A sąsiedzkiej, mężnej i walecznej, Najjaśniejszej Waszej Hańskiej Mości dopraszając się pomocy i posiłków wojskowych przeciw nieprzyjacielom i traktatów gwałcicielom. Dowodnej, sąsiedzkiej życzliwości i łasce N. W. Hańskiej Mości wraz z całem wojskiem oddając się, szczęśliwego i długoletniego życzę panowania. O sąsiedzkiej i wzajemnej przychylności i przyjaźni upewniam etc." W uniwersale zaś, wydanym cokolwiek

[1]) Instrukcya JMC. Panu Gabryelowi Porczyńskiemu, łowczemu bracławskiemu, od Stanów Rzpltej skonfederowanej wyznaczonemu, do Naj. Hana Imci ablegatowi. Dana w Dankowcach d. 26. Octobris 1768 anno. *(Zbiory Książąt Czartoryskich w Krakowie, Rękopis nr. 945).*

[2]) Tamże: Rękopis nr. 945.

później (8. listopada), Pułaski ogłaszał o całym przebiegu spraw tureckich i o zbliżaniu się wojsk posiłkowych [1]). Sam też przeprowadził swe chorągwie w granice polskie i ulokował je w Rureńczuku i Babszynie nad Dniestrem.

Do ostatnich dni listopada szefowie barscy wspólnie załatwiali negocyacye z hanem, gromadzącym swe siły u granic. Po zamachu zaś dokonanym na Pułaskim, Potocki sam głównie prowadzi sprawę owej projektowanej wspólnej kooperacyi wojskowej, mianując się generalnym regimentarzem wojsk skonfederowanych.

Pierwszych dni stycznia 1769 r. han zjeżdża do Bałty, przybywa tu także Potocki, „za którym całe wojsko nasze z panami pomaszerowało ku Bałcie“ — czytamy w jakiejś zapisce współczesnej. Już wówczas wszystko ułożone było między hanem i szefami barskimi. Konfederacya „nie ubliżała“ — jak się wyrażono — pozwolenia przechodu i żywności według możności kraju, zawarowanym był jednak cały porządek wejścia Tatarów przez część kraju polskiego do Rossyi. Dla przeprowadzenia wojsk hańskich komisarzem od konfederacyi był Aleksander Czetwertyński, podkomorzy bracławski, a Stanisław Woyna Orański, stolnik czernichowski, konsyliarz konfederacyi, miał sobie poruczonem dostawę żywności i furażów, zapewne w celu zapobieżenia nieporządkom i rabunkom. Nadto konsul francuski, baron Tott, którego pamiętniki przechowały niemało informacyi o ówczesnych wypadkach, nie opuszczał głównej kwatery hańskiej.

W dyaryuszu naszym jest mowa tylko o oddziałach tatarskich, prowadzonych przez samego Krym-Gireja. Zamierzał on dotrzeć do Elizabetgradu, aby później skierować się ku Humańszczyźnie, dokąd inną drogą postępował osobny ośmiotysięczny oddział, mający się złączyć z Potockim, gromadzącym swe chorągwie koło Czeczelnika. Z Humania wszystko razem iść miało na Kijów. O innych kolumnach tatarskich Nureddyna i Kałgi, działających po lewej stronie Dniepru nasz pamiętnikarz nic nie wie.

Ta jednak wyprawa zupełnie celu swojego chybiła, jako przedsiębrana w niewłaściwą porę zimową. Rychło też han cofnąć się musiał, nie stoczywszy żadnej większej batalii, spustoszywszy tylko trochę kraju i uprowadziwszy około tysiąca ludzi w jassyr. Zabitych ze strony rossyjskiej, podług oficyalnych źródeł, było 126 ludzi [2])

[1]) *Zbiory ks. Czartoryskich w Krakowie:* rękopism nr. 945, uniwersał drukowany u Morawskiego: *Materyały do konfederacyi barskiej*, str. 273—275.

[2]) Petrow: Wojna z Turcyą i konfederatami, tom I. str. 137.

Niewątpliwie i ta część polskich ukrain, przez które Tatarzy przechodzili, ucierpieć musiała. Komendy konfederatów ograniczyły swe działania w okolicach Czeczelnika, Berszady i Ładyżyna, ale również bezskutecznie. Spodziewano się całą Bracławszczyznę i sąsiednie województwa zająć i konfederacyę wzmocnić, tymczasem odwrót hana przymusił także i związkowych do cofnięcia się ponownie za Dniestr.

Ekspedycyę tę, o której tak mało przechowało się świadectw współczesnych, pamiętnikarz nasz opisuje w następujący sposób:

„Około Bożego Narodzenia (1768) przyszła sztafeta od hana, aby marszałek i podczaszy lit. stanęli u niego pod Antepczem, którędy marsz swój obrócił ku Kauszanom. Chciał marszałek jechać, ale podczaszy z radą całą, z konsyliarzami perswadowali, mieniąc, iżby to było przeciwko powadze Rzpltej a osobliwie marszałkowskiej. Złożono sessyę i uproszono podczaszego, aby jechał do hana, a ip. marszałek żeby z wojskiem maszerował ku Jachorlikowi, gdzie i marszałka związkowego w ścisłym areszcie prowadzono. Dywizya zaś marszałka związkowego pod komendą ip. Grocholskiego komputowi, a konfederacya pod komendą ip. Kazimierza Pułaskiego, starosty zezulinieckiego, w Żwańcu i Okopach została.

„Ip. marszałek konfederacki, przebywszy Dniester w Rybnicy, powyżej Jachorlika, odebrał raport, że han z ip. podczaszym znajdują się w Bałcie, zostawił więc wojsko w komendzie ip. Mrozowickiego, subalterna ip. podczaszego, a sam wyprawił się spieszno dla załatwienia się z hanem.

„Przeprawiło się wojsko za granice polskie, żadnej nie mieliśmy o Moskwie wiadomości.

„Ubezpieczony ip. Mrozowicki wyprawił mnie z ip. Kalińskim, regentem grodzkim kijowskim, przydawszy nam towarzyszów i pocztów czterech do Czeczelnika z uniwersałami, gdy ujechawszy pół drogi, zanocowałem w Popowej Grobli. Rano ludzie stajenni konie kulbaczyli, a nas dwóch w izbie dońców dziesięciu zaskoczyło. Już wołali, żeby nas wiązać, przecież Bóg pomógł, żem komendanta zabił, ip. Kaliński drugiego podstrzelił, resztę wygnaliśmy z dziedzińca. Nie wiedzieliśmy, nie mając języka, zkąd przyszli, suponując, że w blizkości podjazd ruski.

„Poszedłem do Bałty, gdzie się znajdowali szefowie z hanem, wokowany byłem do hana, pytałem sekretarza hańskiego, dokąd han imć zamierza z wojskiem? Odpowiedział: idziemy w Moskwę. Chciałem go przestrzedz, żeby na Nową Serbię nie ciągnęli, bo tam Moskwa spaliła wszystkie wsie, ludzi przepędziła za Dniepr, same tylko stepy zostawiła, gdzie ani lasu, ani wody nie ma; alem się

z nim nie mógł rozmówić i terczymana nie mogłem znaleść na prędce. Nazajutrz poszedłem do ip. podczaszego lit., zastałem tam Jakób-Agę, konsyliarza hańskiego [1]), konsula francuskiego (barona Tott) i porucznika Mrozowickiego. Dałem okazyą do mówienia o wymaszerowaniu hana, przyszło do tego, żem wyraził, że ja będąc w dzień zaduszny w Soroce z ip. Chwaszczewskim, człowiekiem godnym, posełaliśmy umyślnego ku Sawraniu, prawdziwy odebraliśmy raport, że Moskwa na głowę wymłacać kazała zboża i za Dniepr wywozić, że na reszcie osiadłości o mil dwadzieścia, wsie i słomy wypalić kazali, ludzi wszystkich na Krzemieńców (Kremieńczug) przeprawili przez Dnieper. Wymówiłem się, żem raportował ip. marszałkowi związkowemu (Pułaskiemu), to musiało być urazą ip. podczaszemu (Potockiemu), bo odpowiedział mi, że już tu wiedzą, w którą stronę ruszyć mają; potem ip. Mrozowicki rzekł mi: Wimć pan nie chciej się wymawiać, bo abyśmy ułożonej nie popsuli planty.

„Stało się według umysłu ip. podczaszego. Wyruszył han stepem tatarskim aż poniżej Gradu (Elizabetgrad), przeprawił Boh i szedł w głębokie stepy dni kilka czambułem. Gdy stanął na miejscu wyżej rzeczonem, nie zastał wprawdzie żadnej wsi, ani chałupy, Tatarów obnocował noc jedną, ale go zachwycił wicher wielki i śnieg, którego chciał przestać, ale co dzień i co noc większe śniegi przybywały. Czwartego dnia chciał ruszać, ale żadną miarą śniegi i wicher ćwierci mili nie dopuściły marszu, leżeć musiał dni dwanaście z wojskiem całem, nie mając siana, ani wody, ani ognia, z czego Tatarom było palić. Wymarzło Turków kilka tysięcy, Tatarów moc wielka, dosyć, że w czternastu tysiącach ośmdziesiąt Nr. 14.080 wojska rzadko kto wyszedł, żeby nie odmroził ręki albo nosa. Był na rezydencyi przy hanie podkomorzy bracławski, Czetwertyński [2]), i dwóch kompanii pancernych, Mikułowski i Sienicki, i ci ręce i nogi poodmrażawszy, przecież żywi powrócili.

---

[1]) Jakób-Aga, zwany także Aga Radziewicz, sekretarz Krym-Gireja i chwilowo rządca turecki w Bałcie, gorliwy stronnik Polski. W początkach konfederacyi zjeżdżał razy kilka do szefów barskich do Dunajowiec i do Baru dla konferencyi. Przez jego pośrednictwo porozumiewano się z baszami tureckimi a dyplomacya francuska używała go jako zręcznego agenta w celu rozniecenia wojny między Turcyą i Rossyą. We współczesnych pismach polskich nazywany bywa plenipotentem i sekretarzem prześwietnej Porty.

[2]) Aleksander Czetwertyński, podkomorzy bracławski (od 1762 r.), kilka razy poseł na sejmy; w Barze podpisał pierwszy akt związku, w Winnicy obrany konsyliarzem konfederacyi województwa bracławskiego (2. maja 1768); z szefami barskimi przeszedł do Wołoszczyzny;

„Pokazał han zaraz swoje nieukontentowanie z rady ip. podczaszego, wymawiał i sądził tę plantę za zdradziecką.

„Ruszył się po tych dniach dwunastu nieszczęśliwych, nie wiedząc dokąd, bo nie mieli przewodników wiadomych, szczególnie miarkując po znakach wypogodzonego nieba, trafił szczęściem pod Mirhorod na granicę polską (Nowomirgorod).

„Nim han ruszył się z Bałty, chciał dać wojska ip. podczaszemu, aby ruszył głębiej w Ukrainę ku Kijowu albo Wołyniowi. Przyobiecał o sobie wiadomość dawać częstą, wzajemnie pretendował wiedzieć o obrotach komendy ip. podczaszego, ale jak han, tak ip. podczaszy przez zapadłe śniegi i burze dopełnić tego nie mogli. Wymówił się ip. podczaszy, że Tatarów mi nie potrzeba, ale piechoty tureckiej i Turków. Przyrzekł hanowi, że nim W. Hańska Mość powrócisz z czambułu, spodziewam się, że Polaków czterdzieści tysięcy zgromadzę i skonfederuję. Han radził, aby stać do powrotu jego w Bałcie, tak wszyscy znający wojnę radziliśmy żołnierze; miarkowaliśmy, że Moskwa w bracławskie i kijowskie województwa głęboko wtargnęła, że z województw nikt się z nami łączyć nie będzie mógł dla rozłożonych wszędzie wojsk nieprzyjacielskich, ale nikt nie mógł zwyciężyć uporu i ułożenia ip. podczaszego.

„Wyruszył z wojskiem do Czeczelnika, tam przez burze i wichry przestaliśmy, po uspokojeniu onej ruszyliśmy do Berszady, w ostatni czwartek przed zapustami. Wyprawiono podjazd pod komendą ip. Humieckiego, komendanta chorągwi ip. starosty opoczyńskiego. Przestaliśmy do poniedziałku zapustowego; powrócił w nocy tenże ip. Humiecki z podjazdem i dał raport, że gdzieś widział Moskwę, czyli słyszał o niej. Ruszyliśmy do dnia z Berszady nazad

---

jako rezydent przy hanie tatarskim odbył wyprawę, opisywaną powyżej, pojmany następnie przez wojska posiłkowe, uprowadzony do Mikołajowa, zmarł tamże w lutym 1769 r. Wyszedłszy z hanem w Humańszczyznę, Czetwertyński wydał był do ludności miejscowej uniwersał (z Humania 10. lutego 1769 r.), zawiadamiając, że po zwycięztwach nad nieprzyjacielem han wchodzi do Polski dla rozszerzenia konfederacyi i pokonania znajdujących się tutaj wojsk rossyjskich. Polecił mu więc wszystkich zawiadomić, aby nikt nie bał się o życie i mienie, aby tylko żywność i furaże przygotowywano po miasteczkach i zawiadamiano o ruchach nieprzyjaciela i t. d. Krzywdy zaś nikomu czynić się nie będzie, a gdyby jaka partya lub komenda przestąpiła rozkazy hana, to do niego, jako do rezydenta przy hanie, poszkodowani zwracać się mają, a zadość sprawiedliwości uczynionem będzie. (Uniwersał ten z rękopismu archiwum wojenno-historycznego cytuje Petrow: *Wojna Rossyi z Turcyą i konfederatami.* Petersb. 1866, tom I. str. 134).

ku Sawraniowi, odstąpiwszy furażu wszelkiego, stanęliśmy w Pużajgowie, o milę od Sawrania.

„We wstępny czwartek przyszedł raport, że Moskwa daleko znajduje się. Wyprawili powtóre za furażami, aby je sprowadzić do Krutych, gdzie wojsko i konfederacya ruszyli razem. Stanęliśmy w sobotę wieczór, aliści w nocy przybiegł mój towarzysz, który był komenderowany za temi furażami, dając znać, że Moskwa jednych zabrała, drugich rozproszyła w Czeczelniku [1]). W tym samym momencie poszedłem z tym towarzyszem do ip. podczaszego i raportowałem mu. Rozkazał mi samemu iść na podjazd, posłał adjutanta do regimentarza, subalterna (Mrozowicki), aby wykomenderował sześćdziesiąt pocztów i sześćdziesiąt Tatarów ze mną, ale tych ludzi zebrać nie mogli, aż o godzinie trzeciej z północy zebrało się pocztów trzydziestu, Tatarowie zaś nie chcieli iść. Raportowałem ip. subalternie, czy mam ruszać w tych trzydziestu pocztów, czyli nie, — rozkazał mi czekać do dnia białego; wyprawiłem jednak towarzysza pancernego, ip. Polewskiego, z sześciu pocztami, patrolem dla bezpieczeństwa wojska. Nie wyszło godzin dwie, powrócił ip. Polewski sam, utraciwszy pocztów, pod którym konia raniono. Posłałem go do ip. regimentarza generalnego i sam za nim poszedłem; czynił tę relacyą towarzysz, że wojska moc wielka, jazdy i piechoty idzie. Radziłem ip. regimentarzowi, aby wojsko wyszło przeciwko nieprzyjacielowi i za miastem ulokowało się. Radziłem, aby wszystkie wozy, bagaże tak wojska, jako i szefów szły na drugą stronę miasta ku Dniestrowi i wyszedłszy z pomiędzy jarów na górę, utaborowali się z tej przyczyny, że jeżeli forsa wielka byłaby Moskwy, wstrzymaćbyśmy ją nie mogli na sobie, rejteradą wolną łączylibyśmy się z taborem.

„Przyjął tę moją refleksyę jw. podczaszy i już kilka chorągwi wyszło pancernych przed miasto. Przybiegł z miasta obersztlejtnant Absolewicz, dał swoje zdanie, że to źle na wojsko, lepiej na tamtą stronę ruszyć. W tym punkcie zawrócono z placu chorągwie, aby na drugą stronę przechodziły; wyszło wojsko, uszykowało się w bardzo złem miejscu między górami, wozy w mieście zostawiwszy. Posłano do Tatarów, którzy byli z nami, aby stawali do szyku, ale ci odpowiedzieli, że my idziemy do Bałty i Benderu. Ruszyło się zatem wojsko ku Rybnicy, nad granicę turecką, nad Dniestrem

[1]) Były to zapewne oddziały jenerała Prozorowskiego, które pod tę porę rozrzucone były między Bohem i Dniestrem, docierając ku południowi aż do Bałty.

leżącej, nie zostawiwszy wozom żadnego ubezpieczenia. Moskwa wpadła w miasto i wozów wiele zagarnęła. Pewnieby było to wojsko rossyjskie wiele profitowało na wojsku naszem, bez porządku uchodzącem ku Dniestrowi, jedno brzegiem polskim, drugie górą stepami, trzecie za Dniestr na Wołoszczyznę rozproszyło się. Szczęściem idący do ataku na nas, przezorny jenerał rossyjski wyprawił patrol w sześćdziesiąt koni huzarów ku Bałcie, ci przyszedłszy ku Pużajkowu na górę, obaczyli wielkie tłumy hordy, ciągnącej z owych stepów granicą naszą. Zdała się im wielkość wojsk, to były tabory, pierwsza straż tatarska, którzy prowadzili jassyr, zabrany pod fortecami rossyjskiemi, ze wsiów dostawiony każdej fortecy dla suficyencyi. Upatrzył ten patrol dalej hana ciągnącego, zdało się im niby, iż ku Czeczelniku i Krutym w tył wojsku rossyjskiemu ciągnie. Powrócił ten patrol z raportem spiesznie i zastał już wyprawiające się wojsko rossyjskie za konfederacyą w granice wołoskie, ale uczyniwszy relacyę, że jedno wojsko idzie ku Pużajkowu, niby do łączenia się z konfederacyą, drugie daleko liczniejsze idzie ku Czeczelniku, tył zabierając wojsku rossyjskiemu; strwożony tem jenerał rossyjski cofnął się z wojskiem ku Niemirowu i przez to konfederacya ocalała.

„Rozlokowała się konfederacya w kluczu jachorlickim, korpus w Harmatce, przy którym subalterna ip. Mrozowicki miał swoją kwaterę w Cybulówce; lewe skrzydło jw. szefowie: marszałek i regimentarz stanęli za granicą w Wyszkowcach. Han przyciągnął do Dubasa (Dubassary), ks. Czetwertyński, podkomorzyc bracławski, przyjechał od hana z relacyą o nieukontentowaniu hana, niemało przynosząc marszałkowi generalnemu umartwienia.

„Wynikły zaraz urazy między szefami z tej przyczyny: wojsko, widząc niepomyślny dla siebie sukces, poczęło się rwać, jedni bez permissyi, drudzy cnotę kochając, upraszali o permissyą, mający pieniądze chorągwiane i swoje własne, upewniając powrót swój, ulokowawszy depozyta swoje. Zezwolił na to jw. marszałek, pobrali permissye od ip. podczaszego, ale jak tylko wyszli za granicę, pochwytani i w niewoli zostali.

„.... Przeprawiając się ip. marszałek do Oksenty. w granicę wołoską, nie chce się łączyć z ip. podczaszym [1]). Przychodzi w tem

[1]) Opuszczamy rozwlekłą a nie przedstawiającą interesu opowieść o sporze, wynikłym naówczas między Potockim i Krasińskim, wskutek tego, że ten ostatni bez wiadomości regimentarza wydał dwom towarzyszom pancernym, Łukaszewskiemu i Leśniewiczowi, permissyą do

raport, że Moskwa znowu się zbliża ku granicy. Składają sessyę, wyprawiają legatów do Kauszan do hana o sukurs lub kwaterę. Odmawia han, wymawia zdradę dwojaką, raz że Sołtana, syna mego, posłałem im pod Chocim w 16.000 wojska, którzy stojąc dni kilkanaście pod Chocimem, chcąc wyruszyć z konfederacyą do Polski, tymczasem zawrócony został od Potockiego, nie mało przez Tatarów poczyniwszy szkody w furażach państwu chocimskiemu, szczególnie tylko na synu moim wyrobiwszy, aby Pułaskiego, znanego już u Porty w czynnościach dobrych dla ojczyzny, wziął w areszt i jemu przystawił. Druga: czyż godziło się mnie namawiać, żebym szedł na Nowo-Serbię, w dzikie stepy, gdzie Moskwa już była lud swój zagarnęła i wsie popaliła i wszystkie żywności dla ludzi i koni. Wojska pomroziłem tyle, że gdyby zrobił to wezyr, nigdyby żyć nie mógł, przeto naraził mnie najwyższemu Padyszy. Prywata ip. podczaszego bezpotrzebna, już taką uczyniła klęskę Porcie, że jej interesa własne, daj Boże, aby nie miały zwłoki. Nie chcę się już interesować więcej....“ I odprawił z niczem delegowanych. Wyprawili drugi raz, dopraszając się jako i pierwiej. Ulitował się przecież, dał ferman do swoich dóbr prd Kauszany do Kopanki, przydał komissarzów swoich, aby furaże czatowali w podróży, lokował wojsko na pięciu wsiach, a w Kopance szefów, siano i chleb na kwaterze dawać (kazał). Cóż kiedy tego długośmy nie używali z jego łaski, bo w sobotę przed kwietną niedzielą umarł.„

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Pułaski.

---

wyjazdu z obozu na kilka niedziel. Czyn ten poczytał Potocki za uzurpowanie jego władzy, permitowanych towarzyszy sprowadził do obozu napowrót, skazał na kilka niedziel aresztu, a Krasińskiemu ostre czynił wymówki, co wywołało rumor w wojsku.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część trzecia.

I.

(Ciąg dalszy).

Następne dziewięć listów, (16—25), wypełnia opowieść werbunkowego oficera, Włocha z pochodzenia, z którego spostrzeżeń, poczynionych podczas wędrówki po Galicyi, Traunpaur uznał za stosowne skorzystać w swej książce. Włoch ów, bezimienny, natrząsa się bez ogródek z lichych budynków mieszkalnych galicyjskiego ziemiaństwa, przezwanych pompatycznie dworami, z portretowych bazgrot, szpecących nawet ściany kościołów wiejskich, z niedbalstwa proboszczów, utrzymujących książki parafialne w jak największym nieładzie. — Spotkać można — powiada ów anonim — po dworach pokoje, zaopatrzone w najwspanialsze sprzęty, z posadzką pełną karkołomnych wybojów, przepyszne srebra stołowe wśród brudnej zastawy, zimne i źle gotowane potrawy na porcelanie japońskiej lub saskiej, połamane krzesła obok kosztownych obić tureckich. Słowem, w żadnym kraju nie spotkasz podobnych kontrastów...

Narzeka następnie obcy podróżnik na zgraje wygłodniałych psów, opadających w dziedzińcu dworskim każdego przybysza, oraz na niesumienność pańskich oficyalistów, którzy dziedzicom, mieszkającym za kordonem, przesyłają prawdziwie aptekarskie rachunki wydatków, spowodowanych rzekomo kosztami utrzymania komisyi ewidencyjnej, podczas gdy w rzeczywistości tylko oficer przez trzy dni gości we dworze, zaś towarzyszący mu żołnierze znajdują stół i mieszkanie we wsi.

W ogóle jednak — dodaje anonim — słuszność każe wyznać, iż gościnność jest wrodzoną cnotą Galicyanów, oraz wszystkich Po-

laków. Każdy z mieszkańców, ubogi czy bogaty, wykonuje ową cnotę chętnie i w miarę możności. Należy więc pobłażliwym być wobec śmiesznej dumy wiejskiej szlachty, która za marną cenę kupuje sobie tytuły szambelanów, cześników, podczaszych, nie oglądając nigdy w życiu ani króla, ani też stolicy. Co więcej, godności te stają się w rodzinie niejako dziedzicznemi i Boże zachowaj od zapomnienia o tytule: pani szambelanowej, panny cześnikównej lub pana stolnikowicza — pod grozą zasłużenia na miano barbarzyńcy. Nadużycia, jakich się dopuszczali oficyaliści dworscy wobec poddanych, uchodziły bezkarnie, dzięki przekupstwu, aż do r. 1785, to jest do czasu, kiedy rząd wysłał do Galicyi wysłużonych oficerów. Pewni ludzie, których wymieniać nie potrzebuję, ponieważ wiadome nadużycia ustały, zebrali sobie w ten sposób kapitaliki od pięciu do sześciu tysięcy, które w ciągu lat trzech potroili, pożyczając na hipotekę, na czterdzieści i pięćdziesiąt procent. Procederem tym trudnili się w ostatnich czasach spekulacyjni kamerdynerzy we Lwowie.

Kołtun, pospolity na dołach, wśród ludności wiejskiej, przypisuje włoski podróżnik nieczystości, gorącym napojom, słoninie oraz cebuli, używanym przez chłopów jako przysmaki, a równocześnie zauważa, że kobiety nie podlegają owej słabości.

Im głębiej w kraj się zapuszczam — słowa ośmnastego listu — tem więcej widzę nadużyć. Rząd nie może im dostatecznie zapobiec. Młodzi wieśniacy żenią się bardzo wcześnie w tem błędnem mniemaniu, że w ten sposób uwolnią się od obowiązku służby wojskowej. Nie wiedzą wcale o obowiązującem obecnie w armii podwójnem *normale* małżeńskiem. W myśl pierwszej normy, żony mogą towarzyszyć mężom do pułku i podczas kampanii; w myśl drugiej ożenieni muszą się wykazywać rewersem zwierzchności wiejskiej, iż ich żony opuszczą pułk, wyruszający w pole, oraz że mogąc zarobić przynajmniej pięć krajcarów dziennie, nie będą ciężarem skarbowi nawet w razie śmierci męża. Kojarzące się pary nie przeczuwają zgoła, że w razie potrzeby zostaną rozdzielone. Handel i przemysł krajowy pozostawiono niemal zupełnie żydom. Bez nich nie można ani jeść, ani pić, ani też się ubrać. Nawet piór do pisania dostarczają żydzi, którym oddać należy sprawiedliwość, że zeznania ich, składane wobec komisyi ewidencyjnej, są najbardziej zgodne z prawdą. Szlachta wiejska, osiadła na małej własności, albo też dzierżawiąca znaczniejsze dobra skarbowe, udaje się rokrocznie do Węgier, gdzie zakupuje mięszane lub zepsute wina, które następnie narzuca swym arendarzom do sprzedaży po karczmach, zyskując w ten sposób od 200—300 dukatów w ciągu roku. Przyczynę nędznego stanu chat

chłopskich upatruje anonim w despotyzmie dziedziców, którzy dawniej każdego gospodarza wypędzali z lepiej pobudowanego domostwa, by je wydzierżawić żydowi, tudzież w poduszczeniach „źle myślących szlachciców i księży“, straszących chłopa, iż cesarz niebawem będzie zmuszony do oddania Galicyi (?!). Bardziej uzasadnionemi są skargi biednego Włocha na harce, wyprawiane w nocnej porze przez stada szczurów i myszy po za obiciami sufitowemi, podczas gdy narzekania jego z powodu niesmacznej, polskiej kuchni, nadmiernego toastowania oraz służby brudnej a łakomej, sprawiają wręcz komiczne wrażenie. Z myszami był nasz wojownik w stanowczej niezgodzie, gdyż poświęca im ponowną wzmiankę w liście dziewiętnastym, zarzucając złośliwym gryzoniom spożycie pończoch jednego z towarzyszących mu żołnierzy, podczas noclegu, w pewnym dworze. Panny wiejskie niepodobały się mu stanowczo. Zarzuca im próżniactwo i brak edukacyi, ograniczającej się na miernej grze fortepianowej, lichem rysowaniu kwiatów i takiejże paplaninie francuzkiej. Przyznaje wszakże zgryźliwy turysta, że młodzież arystokratyczna otrzymuje wychowanie staranne pod kierunkiem wybornych nauczycieli, pobierających płacę po tysiąc i więcej złotych reńskich rocznie.

Mniej zajmujące są spostrzeżenia anonima, dotyczące chłopów i żydów. Natomiast na przytoczenie zasłużył ustęp listu, opowiadający o trybie życia na wsi w przedobiednej porze: O ósmej pije się kawę z śmietanką, o godzinie dziewiątej podają kiełbasę i wino węgierskie, o jedenastej wódkę, chleb i świeże masło, o dwunastej zasiada się do stołu. Po obiedzie piją wino, grają w maryasza i rozprawiają o polityce, zaś około godziny czwartej wszyscy się rozchodzą. Płeć piękna na wsi — jak twierdzi autor — pozwala się bez trudności całować w piersi. Natomiast całowanie rąk nie jest w zwyczaju i trafiają się ludzie, którzy je uważają jako nieprzyzwoitość. Uprzejmi kochankowie toastują z trzewiczka swych bogdanek. Inni kładą się na ziemi dla ucałowania ich nóżek. Najbardziej zakochani proszą, gdyby o łaskę, o pozwolenie pocałowania obnażonego kolana (?). Za dawnych czasów, podczas zabaw, zmorzeni trunkiem legali pokotem na podłodze, poczem gospodarstwo zostawiali gości w spokoju, dopóki nie otrzeźwili się po przespaniu. O ile rzadkimi są w naszych czasach cuda, o tyle codziennie w Polsce trzy cudowne rzeczy podziwiać można: mnóstwo złych mostów a mało utopionych — wiele szabel, mało krwi rozlanej — wiele domostw drewnianych, mało pożarów. Żydzi polscy są najbrudniejsi, najmniej oświeceni i najbardziej zabobonni z żydów całego świata. W samych

Brodach jest ich do 30.000 (?). Posiadają oni szkołę normalną we Lwowie, w której dziatwa żydowska nadzwyczajne ma czynić postępy pod względem naukowym. Ale też na Lwowie wszystko się kończy. Między kobietami z ludu rzadko się spotyka twarz ładniejszą. Polki mają w ogóle w obliczu jeden wspólny rys znamienny: mały, czerwony nosek w kształcie orzeszka laskowego (?). Natomiast wśród pań z arystokracyi oraz wśród żydówek spotyka się bardzo piękne, regularne i ujmujące rysy twarzy. Przeważna część kobiet odznacza się pięknemi, kasztanowatemi włosami, skórą nader delikatną i nieporównanym biustem. W ogóle Polki pod względem rozumu, pojęcia i rozwagi stoją o wiele wyżej od swych mężów, zaś obie płcie są wielce wrażliwe na strój, taniec, grzecznostki, napitek i — wobec księży.

W tym sensie prawi włoski podróżnik i w ciągu dalszych swych listów, przeskakując z dziwną łatwością z przedmiotu na przedmiot. Słyszymy więc kolejno o kańczuku i o dyscyplinie, o niesłowności rzemieślników i o niechęci ludu wiejskiego do płacenia podatków, o niechlujstwie, panującem w miasteczkach galicyjskich — pod tym względem chlubny przedstawiać miały wyjątek: Tarnów, Zamość, Dukla i Rzeszów — i o imionach najpospoliciej używanych w kraju. Również bezładne, aż nazbyt lakoniczne są spostrzeżenia anonima o ciemnocie umysłowej rabinów, o kuchennej łacinie, będącej w użyciu wśród szlachty, o poście na oleju obserwowanym, wreszcie o wyzysku, jakiego się dopuszczają żydzi, handlujący winem węgierskiem, sprzedając odbiorcom po dwadzieścia krajcarów kwartę wina, kosztującą ich na miejscu dziewięć krajcarów. — W ostatni wtorek — pisze nasz turysta — zostałem zaproszony na wieczerzę, po której nastąpił wspaniały bal. Towarzystwo składało trzydzieści strojnych i ochoczych par. Z uderzeniem północy zjawił się w sali kapłan, przybrany w pontyfikalne szaty, dzwoniąc, co sił starczyło, i w jednej chwili tańce ustały. Pospieszono do domowej kaplicy i po posypaniu głów poświęconym popiołem powrócono do jadalni, gdzie po spożyciu marynowanej wyziny rozprawiano o marnościach światowych, poczem wszyscy udali się na spoczynek. Lenistwo i ociężałość są głównymi rysami tej narodowości. Wady te są powodem, iż mieszkańcy zaledwo co dwa tygodnie zmieniają bieliznę. Najpiękniejsze i najmłodsze panie, strojące się w kosztowne, lyońskie materye, nie wstydzą się używać koszuli, zanieczyszczonej do najwyższego stopnia potem i brudem (?!).

Po tej uwadze, dowodzącej, iż autor listu zasięgał swych informacyi chyba — w praczkarni, przechodzi anonim do wzmianki o wiel-

kiej ilości zamków w kraju, które, mimo pięknej struktury, pustoszeją z powodu, iż ich właściciele przebywają chętniej w granicach Rzeczypospolitej. Niektórzy z panów woleli raczej opłacać podwójne podatki, aniżeli przebywać stale w Galicyi. Inni znów bawili w Warszawie, pełniąc funkcye publiczne lub dworskie. Do tych ostatnich zaliczał się książę Michał Radziwiłł, prezydent Rady Nieustającej.

Wzmianka o magnatach, opłacających podwójne podatki, wymaga pewnego wyjaśnienia z naszej strony. Anonim miał tu mianowicie na myśli tak zwanych *sujets mixtes*, to jest ziemian, posiadających równocześnie dobra ziemskie w Galicyi i za kordonem, przeciw którym już we wrześniu 1781 roku wydano surowe przepisy. Odmówiono im przedewszystkiem prawa należenia do Stanów galicyjskich, ubiegania się o godności stanowe i dworskie, tudzież możności nabywania królewszczyzn, pozbywanych przez rząd austryacki pod nader korzystnymi warunkami. Jeszcze ostrzej wystąpiono przeciw obywatelom dwukrajowym w r. 1787. Wówczas to szlachcie z Rzeczypospolitej, posiadającej w Galicyi dobra prawem zastawu — stosunek ten był dość zwykły w owych czasach — nakazano opłacać podatek podwójny. Podobny też rygor nałożono na wszystkich właścicieli dóbr, nie należących do Stanów, którzy nie podpisali rewersu, że większą część roku przepędzać będą w Galicyi. Niemniej surowe przepisy obowiązywały od roku 1786 miejscowe ziemiaństwo, które musiało corocznie przedkładać urzędowe świadectwo, stwierdzające jego sześciomiesięczny pobyt w kraju.

Opuszczamy listy: dwudziesty pierwszy i drugi, zawierające opis wcale nieciekawego spotkania naszego Włocha z jakimś małomiasteczkowym rabinem i przechodzimy wprost do treści dwudziestego trzeciego listu.

Szlachcic — pisze anonim — u którego, we wsi jego Vosni, (Woźniki), o dwie mile od Rzeszowa oddalonej, bawię od czterech dni, zasługuje na poznanie ze strony każdego prawego człowieka. Pan Jan Wikowski liczy lat około czterdzieści, z których czternaście przepędził jako rotmistrz oraz komendant szwadronu w służbie pruskiej, w pułku huzarów Ziethena. Przynosi on zaszczyt swej ojczyźnie, Galicyi, łącząc z prawdziwie męską urodą wesoły humor i najszlachetniejszy sposób myślenia. Obejście jego jest przyjemne; w domu panują ład i gościnność. Nic nie wyrówna harmonii, istniejącej w jego pożyciu z żoną, z domu Mirecką. Gdyby wszyscy Polacy byli im podobni, radbym między nimi zamieszkać na stałe. Wikowskiego, opuszczającego służbę pruską z powodu podeszłego wieku ojca, odprawił król Fryderyk bardzo niechętnie. Gospodarkę we

wszystkich jej gałęziach zna on wyśmienicie a jakkolwiek dobra jego narażone są na powodzie, to przecież pola, łąki i lasy znajdują się w najlepszym stanie. Żadne też ulepszenie nie odbywa się w jego nieobecności. Wikowska kocha się w kwiatach i koło domu utrzymuje ogródek kwiatowy.

Przed dwoma tygodniami zawiązałem też inną, nader przyjemną znajomość z szlachcicem, Horodyńskim w P—z, który lat dwadzieścia służył w armii koronnej, Warszawę zna na wylot i wszystkie stosunki tego czarującego miasta potrafi należycie ocenić. Nieszczęście wszakże chciało, iż zaledwo przybyłem do P.... gdy zjawił się tamże pewny ksiądz, niemądry gaduła.

W B.... zdarzył się mi komiczny wypadek. Stosownie do przepisu, zawiadomiłem tamtejszego dziedzica na trzy dni przedtem o przybyciu komisyi. Otrzymałem na to od owego szlachcica odpowiedź bardzo grzeczną, wystosowaną w lichej łacinie, a ponieważ w skróceniu podpisałem się na liście: *S. R. J. E. (Sacri Romani Imperii eques)*, przeto też mój korespondent wypisał na kopercie swej epistoły: *Perillustri ac Magnifico Domino Sanctissimi Romani Imperii equo, Domino Singularissimo.* Pomysł zamianowania mię k o n i e m i d z i w a k i e m świętego państwa rzymskiego podobał mi się nadzwyczajnie. Uśmiałem się serdecznie z tego powodu i zachowam list otrzymany na wieczną pamiątkę polskiej łaciny. Bezdroża górzyste między M—a i N—a były przyczyną, iż późno dojechałem do tej miejscowości. Znalazłem tam wygodny pokój w ładnym dworku, ale przez noc całą nie zmrużyłem oka. Sądziłem, że setki pocztylionów trąbią nad mą głową. Dwudziestoletni nowożeniec nie oczekuje z większem utęsknieniem nadejścia nocy poślubnej, jak ja oczekiwałem świtu. W końcu zajaśniał upragniony poranek. Prędko wyskoczyłem z łóżka i znalazłem całe okno pokryte ćmą długonogich komarów.

W Wiśniowej — autor pisze: V i s n i o v a — oglądałem budowę nowego pałacu oraz powstający dokoła park angielski. Oba urządzenia przynoszą zaszczyt smakowi młodego starosty, hrabiego Jabłonowskiego. W najbliższej przyszłości wiejska ta rezydencya malowniczem swem położeniem przyćmi najwspanialsze zamki w Galicyi. Kawaler ten przypomina zmarłego swego ojca, zarówno uprzejmością, jak wspaniałomyślnością. W miasteczku Winlopole (?) byłem świadkiem wzruszającej sceny. Proboszcz tamtejszy, Jan Mikołajewski, człowiek sześćdziesięcioletni, pokazał mi parę staruszków, którą zwie swym skarbem. Są to jego rodzice, zaopatrywani przez syna hojnie we wszystkie potrzeby. Ojciec liczy lat dziewięćdziesiąt, matka

ośmdziesiąt. Oboje w mej obecności błogosławili wśród łez swego dobroczyńcę, który w kronikach miłości synowskiej zasłużył na wspomnienie.

Zarządca w P—w., rozsądny człowiek, któremu uczciwość patrzy z oczu, wyznał mi z całą otwartością, że jasny pan, dziedzic, daje mu zaledwo tyle, iż może wyżyć z rodziną, złożoną z siedmiorga dzieci, podczas gdy przed trzema miesiącami przegrał w karty ten sam dziedzic na kontraktach w D... (ubnie?) sumę 12.000 złotych, przedstawiającą dochód dwuletni z jego dóbr. Od dawna zginąłbym z głodu — mówił z całym spokojem ten dzielny człowiek — wraz z dziećmi, gdybym pilnując pańskich interesów, nie pamiętał też o swoich. Las, który pan widzisz na wzgórzu, jest dla mnie litościwszy od dziedzica. Jego drzewa zapewniają mi życie. Zrozumiałem go i oddałem mu zupełną sprawiedliwość (?!). Nie należy głodzić ludzi, którzy wiernie służą.

Tyle anonim, który dziwnie elastyczne żywił pojęcie o uczciwości, gdy mógł się zachwycać postępowaniem owego, dzielnego oficyalisty, żyjącego z „lasu".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

ORGANIZACYA ZAWODOWA
w przemyśle.

(Dokończenie).

W Austryi dobrowolne związki i stowarzyszenia przemysłowe mało się rozwinęły. Przyczyną tego jest to przedewszystkiem, że w wielu krajach Monarchii przeważa nie przemysł, lecz produkcya surowców (rolnictwo, leśnictwo) i ludność tej produkcyi oddana. Powtóre §§. 6, 20 i 24 ustawy o stowarzyszeniach z r. 1867 [1]) nadały władzom prawo zakazywania i rozwiązywania wszelkich stowarzyszeń dla porządku publicznego niebezpiecznych, a władze zmuszone były nieraz postanowienia paragrafów tych i do związków robotniczych stosować... Wreszcie wskutek wprowadzonej w Austryi od r. 1859 ustawowej organizacyi przemysłu, dobrowolna stawała się poniekąd zbędną...

W r. 1892 było w całej Austryi dobrowolnych związków robotniczych *(Gewerkvereine)* — owianych po większej części duchem socyalno-demokratycznym — 135. Co do liczby ich członków braknie dat pewnych, nadmienimy tylko, że redagowane przez te związki liczne pisma robotnicze o tendencyach mniej lub więcej radykalnych liczyły 45.000 abonentów [2]).

Obok tego istnieją w Austryi liczne związki robotnicze i rzemieślnicze z charakterem wyznaniowym, a mianowicie także liczne związki katolickie. Samych związków czeladnych, należących do powszechnego niemieckiego związku ś. p. ks. Kolpinga, o którym wspomnieliśmy wyżej, było w Austro-Węgrzech w roku 1891: 160 [3]). W Galicyi są 4 stowarzyszenia robotnicze katolickie.

---

[1]) Z 15. listopada 1867. L. 134. Dz. U. P. Por. też Herkner: Gewerkvereine in Oesterreich. Handwörterbuch der Staatswissenschaften Tom IV. str. 25 i n.

[2]) Herkner j. w.

[3]) Brüll: Katholische Gesellenvereine, str. 837.

Ustawowa organizacya przemysłu ma w Austryi już swoją historyę. Już mniej więcej od połowy naszego stulecia, wobec rozluźniania się coraz większego dawnych urządzeń cechowych, występuje w Austryi na porządek dzienny kwestya zorganizowania zawodowego przemysłu. Liczne sprawozdania świeżo wówczas utworzonych izb handlowych i przemysłowych, liczne petycye stanu rzemieślniczego domagają się jej od rządu, podnosząc, że wskutek rozluźnienia dawnych cechów rzemieślnicy ubożeją, że braknie coraz umiejętnych robotników, a cały przemysł upada... Rząd jest niezdecydowany przez czas dłuższy, wypracowuje i zmienia projekty ustaw, waha się między organizacyą przymusową a dobrowolną [1]). Wreszcie wychodzi ustawa przemysłowa w r. 1859 [2]) i postanawia w §. 106, że: „Między tymi, którzy w jednej gminie lub sąsiednich oddają się temu samemu lub pokrewnemu przemysłowi, należy istniejący związek wspólności utrzymać, a gdyby go nie było, o ile można na nowo zaprowadzić“, w §. 107 zaś, że każdy, kto w okręgu istniejącego związku przemysłowego prowadzi odpowiedni przemysł, tem samem należy do związku. Mianowicie wedle §. 113 samoistni przedsiębiorcy, majstrowie jako członkowie, pomocnicy, czeladź, uczniowie jako przynależni związku. Niestety, postanowienia te, jakoteż zostające z nimi w łączności dalsze paragrafy ustawy, których celem było utrzymać upadającą organizacyę cechową, przekształcając ją poniekąd, pozostają na razie — martwą literą, a upadek dawnych cechów tylko się wzmaga w dwudziestopięcioleciu, następującem bezpośrednio po wyjściu ustawy przemysłowej.

W całem ustawodawstwie austryackiem nastaje prąd liberalny, którego dewizą jest: wolność gospodarcza na każdem polu; w parlamencie w latach 1861 i 1866 pojawiają się wnioski o usunięcie przymusowych stowarzyszeń, a w praktyce administracyjnej, pod wpływem haseł liberalno-gospodarczych z góry idących, uważa się §§. 106 i 107, tudzież inne przepisy ustawy przemysłowej, dotyczące organizacyi zawodowej przemysłu, jako przeciwne duchowi ustawodawstwa i *de facto* nie obowiązujące! [3]) ...

---

[1]) Reschauer: Geschichte des Kampfes der Handwerkerzünfte und der Kaufmannsgremien mit der österreichischen Bureaukratie. Wien 1882, str. 208—244.

[2]) Patent cesarski z 20. grudnia 1859. L. 227. Dz. U. P.

[3]) Call Freiher Friedrich v.: Die Gewerbegesetzgebung in Oesterreich. Handwörterbuch der Staatswissenschaften, tom III. str. 994. Schmid Dr. Ferdinand: Statistische Studien über die Entwickelung der österreichischen Gewerbegenossenschaften. Statistische Monatschrift, tom XIV. z r. 1888, str. 173.

To też zestawienia statystyczne z r. 1880 wykazują, że w całej Austryi było stowarzyszeń przemysłowych (i to po większej części „szczątków“ dawnych cechów!) zaledwo 2.870, a 832 z nich nie posiadało żadnego majątku! W Dalmacyi nie było ani jednego stowarzyszenia przemysłowego, w Krainie i na Pobrzeżu po jednem tylko. Galicya wykazywała po Czechach najwięcej, bo 379 stowarzyszeń (między tymi 76 bez majątku), lecz nie były to wcale stowarzyszenia w myśl ustawy przemysłowej zawiązane, tylko po prostu dawne cechy... [1]) Wiele z tych stowarzyszeń istniało tylko na papierze, t. z. chociaż władze zatwierdziły formalnie ich statuta, nie weszły one w życie, ani nie rozwinęły żadnej działalności.

Nowela przemysłowa z r. 1883 [2]), celem pobudzenia do życia tej wegetującej organizacyi, wprowadza w niej pewne zmiany. Pomijając więcej szczegółową stylizacyę §. 106, 107 i innych, zastrzega przedewszystkiem w §. 108, że przedsiębiorcy fabryczni (a tem samem ich robotnicy) nie mają obowiązku należeć do stowarzyszeń przemysłowych [3]) i czyni je tem samem obowiązkowemi tylko dla rzemiosła. Następnie w §. 114 określa dokładniej — jakkolwiek zawsze przykładowo tylko — cele stowarzyszenia. I tak w ustępie początkowym tego paragrafu jako środki popierania interesów przemysłowych członków podaje: „zakładanie kas zaliczkowych, składów surowców, sklepów dla wspólnej sprzedaży, wprowadzanie wspólnego używania maszyn i innych sposobów produkcyi.“ W ustępie *a)* tegoż paragrafu zalicza do celów stowarzyszenia: „urządzanie i zakładanie gospód czeladnych i pośredniczenie w szukaniu pracy przez prowadzenie wykazów pracy“ (t. z. wykazów pracodawców poszukujących robotników, i robotników szukających pracy); w ustępie *b):* staranie o uregulowanie stosunków uczniów przemysłowych a zwłaszcza o wychowanie ich religijne i moralne i wykształcenie zawodowe. W ustępie *c)* zaś tegoż paragrafu: tworzenie wydziałów rozjemczych dla rozsądzania sporów między pracodawcami a robotnikami. Nadto przyznaje nowela przemysłowa z r. 1883 pomocnikom przemysłowym (robotnikom, czeladnikom) pewien, lubo ograniczony, wpływ na zarząd stowarzyszenia (§§. 119, 120, 120 *a)* noweli) —

---

[1]) Schmid j. w. str. 174, 175.

[2]) Ustawa z 15. marca 1883. L. 39. Dz. U. P.

[3]) Nowy projekt, zmieniający ustawę przemysłową, przedłożony przez Rząd Izbie deputowanych w roku zeszłym, dodaje wyraźnie, że przedsiębiorcy fabryczni mają prawo przystąpić do stowarzyszenia wraz ze swymi robotnikami. *Beilagen zu den stenogr. Protokollen des Abgeordnetenhauses XI. Session Nr. 1.355.*

dawniej mieli oni tylko bardzo mały udział w sądzie rozjemczym i udział w zarządzie kasą zapomogową (§§. 121, 124 ustawy z r. 1859) — wprowadza szczegółowe postanowienia o kasach dla chorych §§. 121, 121 a), 121 b), 121 c), 121 d), 121 e), 121 f) noweli) i o wydziałach rozjemczych (§§. 122, 123, 124 noweli), zaprowadza sądy rozjemcze dla sporów między samymi majstrami, §. 111 e) wreszcie określa dokładnie, jakie punkta zawierać mają statuta stowarzyszeń (§. 126). Z tego ostatniego paragrafu, jakoteż z całej ustawy widocznem jest, że nowela przemysłowa z r. 1883 utwierdziła wprawdzie obowiązek mniejszych przemysłowców i ich pomocników należenia do stowarzyszeń, lecz zostawiła nadal stowarzyszeniom obowiązkowym zupełną autonomię i swobodę urządzenia swych stosunków wewnętrznych odpowiednio do potrzeb lokalnych...

Od czasu wejścia w życie noweli przemysłowej z r. 1883, zaczyna też organizacya obowiązkowych stowarzyszeń przemysłowych nieco żywiej się poruszać, lubo i dotąd nie wydała ona wcale nadzwyczajnych rezultatów.

Wedle sporządzonej w roku zeszłym przez Ministeryum handlu statystyki stowarzyszeń przemysłowych austryackich [1]) było z końcem roku 1894 w całej Austryi: 5.317 stowarzyszeń przemysłowych obowiązkowych. Największa ilość stowarzyszeń tych, bo 2.015 przypada na Czechy, dalej idą kolejno: Austrya wyższa (660 stowarzyszeń), Austrya niższa (585), Morawy (469) i dopiero Galicya, która wykazuje 455 stowarzyszeń, a mianowicie w zachodniej części kraju (okręgu Izby handlowej krakowskiej) 222, we wschodniej części kraju (okręgach Izb handlowych: lwowskiej i brodzkiej) 235 [2]).

Między 5.317 stowarzyszeniami austryackiemi jest 180 takich, które nie mają jeszcze statutów, zatwierdzonych po myśli noweli z r. 1883, w Galicyi samej jest takich stowarzyszeń 13. Są to stowarzyszenia, które albo świeżo powstały, albo statutów swych w myśl przepisów noweli przemysłowej z r. 1883 dotąd nie zreformowały, albo wreszcie szczątki dawnych cechów [3]).

---

[1]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich* verfasst u. herausgegeben vom statistischen Departament im k. k. Handels-Ministerium. 2 Bände. Wien 1895. Jest to tylko statystyka obowiązkowych stowarzyszeń przemysłowych.

[2]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich*, j. w., I., Einleitung str. 8

[3]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich*, j. w., I., Einleitung str. 5.

Do stowarzyszeń obowiązkowych w Austryi należy w ogóle 1,247.088 osób, oddanych zawodowi przemysłowemu, a mianowicie: członków w ścisłem rozumieniu ustawy, t. z. samoistnych przemysłowców, majstrów: 554.335, przynależnych: 792.753. Między przynależnymi jest 518.348 czeladników, 174.405 uczniów [1]. Największą ilość należących do stowarzyszeń przemysłowych wykazuje Austrya dolna (389.861 czyli 31·2% cyfry całej Austryi) i Czechy (350.478 czyli 28·1% cyfry ogólnej). W Galicyi należy do stowarzyszeń przemysłowych obowiązkowych 43.405 (5·4% cyfry całej Austryi). Z tego jest 19.694 majstrów samoistnych, 23.711 przynależnych pomocników, a mianowicie czeladników 18.499, uczniów 5.212. Czyli biorąc cyfry relatywne, majstrowie tworzą w Galicyi 49·3% wszystkich należących do stowarzyszeń przemysłowych; pomocnicy 50·7% a mianowicie: czeladnicy 29·3%, uczniowie 21·4% [2].

Związków stowarzyszeń *(Genossenschaftsverbände)*, tworzonych w myśl ostatniego ustępu §. 114 noweli przemysłowej, jest w całej Austryi 23, w Galicyi nie ma żadnego takiego związku [3].

Z pomiędzy instytucyi i urządzeń, przekazanych stowarzyszeniom bądź obowiązkowo, bądź fakultatywnie §em 114 noweli przemysłowej, przyjęły się w całej Austryi: kasy dla chorych czeladników i uczniów, wydziały rozjemcze, gospody czeladne i pośredniczenie w pracy, ogólne kasy wsparcia, szkoły fachowe a nawet — lubo w ograniczonej mierze — składy surowców, tudzież wspólne przedsiębiorstwa i sposoby produkcyi [4].

W Galicyi przyjęły się z instytucyi §. 114go tylko:

I. Kasy chorych dla czeladników (wyjątkowo i majstrów i ich rodzin) §. 114 e);

II. Kasy chorych dla uczniów §. 114 f);

III. Gospody czeladne §. 114 a);

IV. Wydziały rozjemcze §. 114 c);

Obok tego są kasy wsparcia ogólnej natury, zakładane jeszcze na podstawie ustawy z r. 1859, i które spotyka się też prze-

[1]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich*, j. w., I., Einleitung str. 12.

[2]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich*, j. w., I., Uebersichten str. 200, 201.

[3]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich*, j. w., I., Einleitung str. 19.

[4]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich*, j. w., I., Einleitung str. 16, 17, 18, 19.

ważnie u dawniejszych stowarzyszeń, jakoteż specyalne urządzenia, nie dające się podciągnąć pod §. 114 noweli przemysłowej.

Ad 1.) Co się tyczy kas dla chorych czeladników, to obecnie, po wyjściu ustawy z 30. marca 1888 L. 33 Dz. U. P. i poddaniu kas tych pod jej przepisy, mogą stowarzyszenia albo zakładać własne kasy dla chorych czeladników, albo przystępować do jednej z kas, ustawą dopieroco wspomnianą zaprowadzonych, zwłaszcza kas powiatowych.

Kasa chorych przy stowarzyszeniu musi jednak zapewniać ubezpieczonym w niej takie same świadczenia, jakie ustawa z r. 1888 przepisuje, gdyż inaczej ubezpieczenie w niej nie uwalnia od obowiązku należenia do jednej z kas ustawą z r. 1888 zaprowadzonych.

Założenie przeto własnej kasy przez stowarzyszenie świadczy w każdym razie o sile i żywotności stowarzyszenia...

W całej Austryi na 5.317 stowarzyszeń posiada własne kasy dla chorych czeladników tylko 1.030, czyli 72·3%; w Galicyi na 455 stowarzyszeń posiada je 76, czyli 16·7% [1]). Z tego w Galicyi zachodniej (okręgu Izby handlowej krakowskiej) jest 36 kas na 222 stowarzyszeń, w Galicyi wschodniej (okręgach Izb handlowych: lwowskiej i brodzkiej) 40 kas na 233 stowarzyszeń. Powodem lepszego niewątpliwie stosunku w Galicyi wschodniej jest miasto Lwów, w którem niemal połowa kas stowarzyszeniowych wschodnio-galicyjskich skoncentrowała się, gdy na zachodzie dzielą się one na poszczególne powiaty.

W ogóle istnieją kasy dla chorych czeladników przy stowarzyszeniach w 24 powiatach galicyjskich. Liczbę ich i stosunek do ilości stowarzyszeń w powiatach tych wykaże następujące zestawienie:

Powiat brzeżański na 2 stowarzyszenia ma 2 kasy; powiaty turczański i samborski, każdy na 1 stowarzyszenie 1 kasę; powiat Lwów (miasto) ma na 21 stowarzyszeń 17 kas; powiat przemyski na 6 stowarzyszeń 5 kas; dąbrowski na 3 stowarzyszenia 2 kasy; powiaty mościski i buczacki, każdy na 4 stowarzyszenia 2 kasy; powiat rzeszowski na 19 stowarzyszeń 9 kas; wadowicki na 20 stowarzyszeń 9 kas; chrzanowski na 9 stowarzyszeń 4 kas; sanocki na 3 stowarzyszenia 1 kasę; gródecki na 8 stowarzyszeń 2 kasy; zaleszczycki na 4 stowarzyszenia 1 kasę; bielski na 14 stowarzyszeń 3 kasy; stryjski, kamionecki i drohobycki, każdy na 5 stowarzyszeń

[1]) Wszystkie daty, które teraz następują, czerpię ze wspomnianej wyżej publikacyi: *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich.* Żeby szkicu tego nie rozciągać, nie cytuję szczegółowo stronnic i tabel odnośnych.

1 kasę; kołomyjski i rohatyński, każdy na 6 stowarzyszeń 1 kasę; powiat Kraków (miasto) na 44 stowarzyszeń tylko 7 kas; powiat borszczowski na 7 stowarzyszeń 1 kasę; powiat tarnowski na 8 stowarzyszeń 1 kasę: powiat żywiecki na 18 stowarzyszeń 1 kasę.

Z 76 galicyjskich kas dla chorych czeladników, istniejących przy stowarzyszeniach, 62 przypada na miasta i miasteczka, będące siedzibą starostwa, 14 zaś tylko na miejscowości w okręgu powiatów.

Opłaty do kas, uiszczane przez czeladników, są w 50 kasach oznaczone procentowo, t. j. polegają na pewnym procencie od zarobku; 49 kas pobiera opłatę, wynoszącą do 2% zarobku, jedna opłatę wyżej 2%.

W 26 kasach są opłaty stałe, wynoszące najwyżej 10 centów tygodniowo.

We Lwowie przeważa system stałych opłat (z 17 kas pobiera je 12), w Krakowie system opłat procentowych: z 7 kas pobiera stałą opłatę tylko 1.

39 kas przy stowarzyszeniach zapewnia czeladnikom równe świadczenia, jak w kasach powiatowych: 5: wyższe świadczenia (z tych 4 przypada na Kraków, jedna jest we Lwowie); 32 kas świadczenia, które nie dadzą się porównać z zapewnianemi przez kasy powiatowe, bo polegają na innej podstawie.

W końcu nadmienić trzeba, że do 76 kas dla czeladników, istniejących przy stowarzyszeniach, należy nieco więcej, bo 88 stowarzyszeń, t. z. że nieraz parę stowarzyszeń utrzymuje wspólną kasę dla chorych czeladników. Mianowicie w Kołomyi jest jedna kasa wspólna 6 stowarzyszeniom, w Żywcu jedna kasa wspólna dla 8 stowarzyszeń, w Drohobyczu 2 stowarzyszenia mają jedną kasę i tak samo ma się rzecz w Tarnowie.

Ad II) Osobne kasy dla chorych uczniów w myśl §. 114 lit. f) noweli przemysłowej i ustawy z 4. kwietnia 1889 L. 39 Dz. U. P. ma w Galicyi 19 stowarzyszeń. Z tego na Lwów miasto przypada 9 kas, na Przemyśl 5 kas, na Kraków 3, na Białę i powiat mościski po jednej. Każda z tych kas służy tylko jednemu stowarzyszeniu.

Wewnętrzny ustrój tych kas przedstawia się różnie.

W 9 lwowskich kasach, w 5 przemyskich, w 2 krakowskich i jednej w Sądowej Wiszni, w powiecie mościskim, majstrowie opłacają na cele kasy za każdego ucznia 2% normalnej pensyi, urzędowo dla nieletnich robotników przepisanej; w jednej krakowskiej kasie za każdego ucznia 3 fl. przy wzięciu go do roboty i 3 fl. przy wyzwoleniu; w kasie bialskiej za każdego ucznia 4 kr. tygodniowo.

Jako świadczenie zapewniają dla ubezpieczonych kasy lwowskie, kasa w Sądowej Wiszni i kasy przemyskie: 60% normalnej pensyi, kasy przemyskie nadto 10 fl. jako dodatek na pogrzeb. Kasy krakowskie zapewniają 80% normalnej pensyi, kasa w Białej 20 centów dziennie. Wsparcia te trwają przez czas ustawowo oznaczony, t. j. przez 20 tygodni, o ile rozumie się, choroba nie trwa krócej.

Ad III). Gospód czeladnych jest w całej Austryi 399, w Galicyi 10. Z tego wypada 5 na Kraków, 3 na Stryj, po jednej: na Lwów i Białę. Każda z tych gospód służy w Galicyi dla jednego stowarzyszenia.

Obok tego w 132 stowarzyszeniach galicyjskich (niemal $^1/_3$ciej części) ma zwierzchność zastrzeżone statutami prawo udzielania wsparć zubożałym majstrom i ich wdowom jednorazowymi datkami. Wysokość tych wsparć waha się od 1—50 zł. w. a.: w większych miastach jest i liczba większa tych instytucyi i wyższa kwota wsparcia w porównaniu z mniejszemi miastami. Publikacya c. k. Ministeryum handlu, z której daty niniejsze czerpiemy, zowie instytucyę tę „obudzającą wątpliwości ze stanowiska ustawy przemysłowej“ . . .

W 8 stowarzyszeniach (czterech lwowskich, trzech krakowskich i jednem w Podkamieniu, w powiecie brodzkim) znajdują się urządzenia, które są jakby uzupełnieniem obowiązkowego ubezpieczenia na wypadek choroby, albo mają ogólne znaczenie humanitarne, n. p. opłata kosztów szpitalnych za członków, czeladników lub uczniów, zasiłki na koszta pogrzebu i t. p.

Przedsiębiorstwo produkcyjne przy stowarzyszeniu napotykamy w Galicyi dotąd tylko jedne: mianowicie cech szewski w Kopyczyńcach, w powiecie husiatyńskim, założył jeszcze w r. 1884 stowarzyszenie zarobkowe i gospodarcze z ograniczoną poręką (na podstawie ustawy z 9. kwietnia 1873 L. 70 Dz. U. P.) dla zakupna skóry i produktów potrzebnych do wyrobu obuwia i sprzedaje zakupione wytwory w swym własnym sklepie członkom i obcym. Stowarzyszenie to liczy 20 członków z udziałami po 25 złr., odpowiedzialnych do 1000 złr. w. a.[1]).

Czeladnicy mają reprezentacyę w zwierzchności stowarzyszenia tylko w jednem stowarzyszeniu galicyjskiem: w stowarzyszeniu szklarzy, stolarzy i t. d. w Białej.

IV) Wydziały rozjemcze przyjęły się w Galicyi stosunkowo więcej niż w innych krajach koronnych. W całej Austryi

[1]) *Die gewerblihxen Genossenschaften in Oesterreich*, tom II., str. 1158 i 1159.

na 5.317 stowarzyszeń jest 3.049 wydziałów rozjemczych, t. z. posiada je w przecięciu tylko 57·3% stowarzyszeń. W Galicyi zaś na 455 stowarzyszeń jest 405 wydziałów rozjemczych, t. z. posiada je 89% stowarzyszeń [1]). Mianowicie w okręgu Izby handlowej brodzkiej na wydział rozjemczy prawie każde stowarzyszenie, w okręgu Izby handlowej lwowskiej na 169 stowarzyszeń 157 ma wydziały rozjemcze, w okręgu Izby handlowej krakowskiej na 222 stowarzyszeń jest tylko 185 wydziałów rozjemczych. W mieście Lwowie jest stowarzyszeń 21 a wydziałów rozjemczych 18, w Krakowie stowarzyszeń 44 a rozjemczych wydziałów 31 [2]).

Tak się przedstawia ustawowa organizacya zawodowa przemysłu w Austryi w stanie jej obecnym. Jak widzimy, wypowiedziana w ustawie oddawna, długi czas nie była wprowadzaną w życie, bo same władze rządowe uważały ją za instytucye reakcyjną, przeciwną duchowi czasu i wolności gospodarczej! Później Rząd robi usiłowania dla przeprowadzenia rzeczywistego tej obowiązkowej organizacyi, lecz usiłowania te małe wydają rezultaty... W części dla braku poparcia przez ogół, przyzwyczajonej do dotychczasowego stanu rzeczy i nierozumienia przez koła bezpośrednio interesowane, t. j. przemysłowców, doniosłości i znaczenia asocyacyi; w części może dla wad samej ustawy, która stowarzyszeniom zawodowym przemysłowym przekazała cały szereg zadań, nie tworząc dla zadań tych w łonie stowarzyszeń właściwych organów...

Rząd jednak kwestyi zorganizowania zawodowego przemysłu z oka nie spuszcza, a czując wobec dotychczasowych słabych rezultatów potrzebę jakiejś reformy przepisów istniejących, przedłożył w ubiegłej sesyi Rady państwa w roku zeszłym Izbie deputowanych projekt ustawy, mający zmienić na nowo ustawę przemysłową [3]), a w projekcie tym wprowadza w organizacyi stowarzyszeń przemysłowych — dalsze zmiany. Pomijając zmiany mniej doniosłe, podniesiemy jako najważniejsze, że nowy projekt w §. 108 zamiast poprzestać na negatywnem postanowieniu, że przedsiębiorcy fabryczni nie są obowiązani należeć do stowarzyszeń, wypowiada wyra-

---

[1]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich*, tom I., str. 204*. Jedynie Bukowina wykazuje wyższy procent wydziałów rozjemczych (na 51 stowarzyszeń 48 wydziałów rozjemczych, t. z. wydziały te posiada 94·1% stowarzyszeń).

[2]) *Die gewerblichen Genossenschaften in Oesterreich*, tom I., str. 97* i n.

[3]) Beilagen zu den stenographischen Protocollen des Abgeordnetenhauses. XI. Session Nr. 1355.

źnie, że przedsiębiorcy ci będą mieli prawo przystępować do stowarzyszeń wraz ze swymi robotnikami i objawia tem samem chęć pociągnięcia do organizacyi zawodowej i wielkiego przemysłu [1]; powtóre, że należenie do podjętych przez stowarzyszenie przedsiębiorstw gospodarczych, jak: spółek produkcyjnych, składów surowców, kas zaliczkowych i t. d., w których dotąd wedle §. 115 al. 2 każdy członek stowarzyszenia mógł wedle swej woli brać udział lub i nie brać, staje się dla wszystkich obowiązkowem, jeżeli większość ($^3/_4$ członków na zgromadzeniu obecnych) to uchwali [2]. Ta druga zmiana, trącąca zanadto socyalizmem, mniej zdaje się nam odpowiednią. Mogłaby ona dać — zwłaszcza u nas — obfite pole do wyzyskiwania przez pewne warstwy innych...

* * *

Taki jest stan dzisiejszy organizacyi zawodowej w przemyśle. Widzimy, że głównie i we wszystkich krajach rozwinęła się dotąd organizacya dobrowolna. Organizacyę obowiązkową, wprowadzoną przez Państwo, posiadają dotąd tylko: Austrya i Niemcy; nie ulega jednak wątpliwości, że w niedalekiej przyszłości pojawi się ona i w innych państwach, które zrozumiawszy doniosłość i znaczenie dzisiejsze asocyacyi zawodowej, czując, że może stać się ona potęgą, zechcą ją ująć w swe ręce.

Jakież wobec tego wszystkiego jest zadanie Kościoła i społeczeństw katolickich a specyalnie naszego społeczeństwa?

Kościół katolicki, który w myśl nauki Chrystusa, tej nauki miłości, już w wiekach średnich łagodził i koił waśnie społeczne, zrozumiał i dzisiaj to swoje posłannictwo i zwrócił się ku — kwestyi socyalnej.

Niezatartemi zgłoskami zapisze się w rozwoju duchownym ludzkości imię Leona XIII., który w swych wzniosłych encyklikach tak dobitnie podniósł i zaznaczył zadanie Kościoła w sprawie społecznej, a duchowieństwu, społeczeństwom i rządom katolickim wskazał ich obowiązki w tej sprawie! Pamiętnymi na zawsze zostaną książęta Kościoła, jak Ketteler, Manning, Gibbons, którzy w duchu miłości chrześciańskiej zaopiekowali się klasą roboczą i podjęli pierwsze prace około wielkiego dzieła — miłości i zgody społecznej!...

Lecz w pracy tej, raz zaczętej, ustawać nie można, a jednym z najpotężniejszych w niej środków jest właśnie: organizacy

[1] §. 108 projektu. [2] §. 115 a) projektu.

zawodowa, są stowarzyszenia robotnicze! To jej znaczenie podnosi kilkakrotnie i z naciskiem Ojciec św. Leon XIII. w swej encyklice *Rerum novarum*...

„W zgodzie z roządkiem i bez trudności — powiada on w jednem miejscu tej encykliki — rozstrzygną robotnicy chrześciańscy spory nad swem położeniem, jeżeli połączeni węzłami stowarzyszeń, pod wodzą mężów roztropnych, tę samą obiorą drogę, której trzymali się... z dobrem własnem i powszechnem“ — chrześcianie pierwszych czasów.“ Jeżeli w swych stowarzyszeniach okażą się: „pilnymi w pracy, umiarkowanymi w wymaganiach, przekładającymi sprawiedliwość nad zyski a świętość obowiązku nad wszystko“, wówczas mimo uprzedzeń „współobywatele z własnego popędu obdarzą ich życzliwością!“ ...

W innem zaś miejscu:

„Na gorące uznanie zasługują ci liczni mężowie nasi, którzy, zrozumiawszy potrzeby czasu... usiłują w duchu słuszności uporządkować wzajemne stosunki między robotnikami i chlebodawcami, ożywiać i wzmacniać w obu stanach poczucie obowiązku.“ A więc w tym celu: „różnych rękodzielników łączą w odpowiednie stowarzyszenia, wspierają radą i czynem, zaopatrują w uczciwą a korzystną pracę. Biskupi dodają zachęty i opieki udzielają; za ich upoważnieniem wielu z kleru świeckiego i zakonnego pracuje troskliwie nad dobrem duchowem stowarzyszonych.“

A jeszcze dalej:

„Ztąd też i na przyszłość żywimy jak najlepsze nadzieje, byleby te stowarzyszenia wytrwale krzewiły się, a rozumne miały kierownictwo. Niechże państwo zaopiekuje się tymi związkami, opartymi na prawie, niech się jednak nie wdziera w ich wewnętrzne sprawy; życie bowiem tryska z wnętrznych źródeł, a łatwo zamiera pod działaniem wpływów postronnych.“

I mógłbym wiele innych — pięknych a głębokich — słów Ojca św. z encykliki tej przytoczyć, lecz brak czasu każe mi być zwięzłym... Nadmienię tylko jeszcze, że w końcu żąda Ojciec św., aby stowarzyszenia miały „prawo układania dla swych związków statutów i regulaminów, jakie uznają za najodpowiedniejsze celowi“, bo nie można „określić z góry i ująć w stałe prawidła szczegółów organizacyi“ i aby zarząd stowarzyszenia każdego „miejsce naczelne wyznaczył trosce o wykształcenie religijne, by każdy z członków poznał obowiązki swoje względem Boga; by dokładnie wiedział, w co wierzyć, czego się spodziewać i co czynić dla szczęśliwości wiecznej, by zdołał się ustrzec krążących błędów i różnorakiego zepsucia.“

Widzimy więc, że Kościół przez usta kierownika swojego w kwestyi organizacyi zawodowej w przemyśle stawia przedewszystkiem jako zasadę współdziałanie Kościoła, państwa i samego społeczeństwa; dalej, że zaleca stowarzyszenia dobrowolne, oparte na podstawach katolickich, gdzie — jak dotąd we większej części krajów — państwo pozostawiło interesowanym wolność stowarzyszania się zawodowego.

A jeżeli gdzie, jak w Austryi i Niemczech, państwo przeprowadziło już przymusową organizacyę zawodową?

Wówczas, jak z przytoczonych wyżej ustępów encykliki *Rerum novarum* i z wypowiedzianej w niej na kilku miejscach zasady współdziałania Kościoła i Państwa niewątpliwie wypływa, żąda Kościół od państwa jedynie, by w organizacyi ustawowej tej zostawiło stowarzyszeniom autonomię, wewnętrzną swobodę, układania statutów i regulaminów, jakie uznają za najodpowiedniejsze celowi."

Że w Austryi ustawowa organizacya zostawia stowarzyszeniom zawodowym daleko idącą autonomię, że w tym przeto kierunku odpowiada życzeniom Kościoła, wykazałem już wyżej. Wadą jej raczej — i to już nietylko ze stanowiska życzeń Kościoła, lecz w ogóle ze stanowiska techniki ustawodawczej rzecz biorąc — jest, że co do samych zasad organizacyi zanadto ogólnikowe zawiera przepisy. Przekazawszy stowarzyszeniom obowiązkowym w §. 114 ustawy przemysłowej rozliczne, bardzo piękne i wzniosłe, cele religijne i moralne, jak: staranie o religijno-moralne wychowanie uczniów, pielęgnowanie ducha jedności i zgody, poczucia obowiązków między stowarzyszonymi, nie dała żadnych wskazówek, jak i na jakiej drodze do tych celów stowarzyszenia ma dążyć, nie stworzyła dla celów tych właściwych organów! Jakżeż n. p. ma przeprowadzać religijno-moralne wychowywanie uczniów katolickich stowarzyszenie, w którem jedną czwartą część stowarzyszonych stanowią tylko katolicy, a trzy czwarte innowiercy, jak u nas żydzi?! Czyż nie należało w ustawie wypowiedzieć, że dla osiągnięcia przez stowarzyszenie tych celów, które jedynie na podstawie religijno-moralnej dadzą się osiągnąć, mają być tworzone w ramach stowarzyszenia, ściślejsze związki — kółka, czy jak je nazwać zechcemy — należących do jednego wyznania i kazać tym związkom celami tymi się zajmować?!... Sądzę, że *de lege ferenda*, w chwili obecnej zwłaszcza, gdy nowa reforma ustawy przemysłowej jest w toku, postulat taki jest koniecznym. Sądzę też, że to nieokreślenie sposobu, w jaki cele religijno-moralne stowarzyszeń mają być osiągnięte, jest właśnie przyczyną, dla której duchowieństwo katolickie, prasa katolicka a nawet

i wybitne jednostki nieraz wobec organizacyi ustawowej przemysłu, jeżeli nie niechętne, to przynajmniej nieufne lub obojętne zajmują stanowisko.

A jednak brak ten dzisiejszy ustawodawstwa austryackiego da się usunąć, wobec znaczenia zaś i siły materyalnej i etycznej, jaką mieć może ustawowa organizacya przemysłu przy współdziałaniu całego społeczeństwa; złą byłoby dla sprawy katolickiej przysługą i z tego pola pracy nie korzystać! Może nas na niem ktoś inny uprzedzić! [1]) . . .

Dlatego, kończąc me wywody, podnoszę z naciskiem, że duchowieństwo nasze i warstwy inteligentne narodu powinny w ustawowej organizacyi zawodowej przemysłu, u nas istniejącej, współdziałać, popierać ją, dążyć do jej ulepszeń, a wówczas dopiero organizacya ta potrafi wydać prawdziwie korzystne i zbawienne dla społeczeństwa rezultaty! [2]) . . .

Dr. Władysław Pilat.

---

[1]) Przypominam tylko, że już międzynarodowy kongres socyalistyczny w Zürichu w r. 1893 uznał, że trzeba używać całej „maszyneryi ustawowej“ dla popierania interesów proletaryatu . . .

[2]) Na podstawie powyższego referatu uchwalił też II. Wiec katolicki we Lwowie następujące rezolucye:

II. Wiec katolicki we Lwowie:

uznając doniosłość organizacyi zawodowej w ogóle, jej korzyści tak ekonomiczne, jak społeczne;

uznając, że w czasach dzisiejszych zwłaszcza stała się ona drogą do złagodzenia antagonizmu kapitału i pracy, tudzież podniesienia moralnego i materyalnego klasy rzemieślniczej i robotniczej;

uznając, że Kościół i państwo powinny na polu społecznem działać łącznie i w zgodzie a nie swe siły rozpraszać, i że obowiązkowa organizacya przemysłu przedstawia dla pracy religijno-społecznej bardzo obfite, dotąd mało wyzyskane pole;

uznając w końcu, że obecne ustawodawstwo austryackie o stowarzyszeniach obowiązkowych w przemyśle pozostawia wprawdzie autonomii tychże szerokie granice, że jednak przekazując stowarzyszeniom obok celów ekonomicznych, także etyczno-społeczne, dające się osiągnąć tylko na podstawie religijnej, nie tworzy dla nich właściwych orgaów;

wyraża przekonanie, że obowiązkową organizacyę zawodową przemysłu u nas już istniejącą, należy utrzymać, popierać ją i rozwijać w duchu katolickim, tak, żeby nie była martwą literą prawa, lecz wydała realne rezultaty tak na polu społecznem, jak i ekonomicznem.

W tym celu należy:

I. *De lege ferenda* przy nowej reformie ustawy przemysłowej, która jest w toku, §. 114 określający cele stowarzyszeń obowiązkowych w ten sposób zmienić, aby dla celów, które się dadzą osięgnąć tylko na podstawie religijno-moralnej, mogły być tworzone w obrębie stowarzyszenia ściślejsze związki należących do jednego wyznania; §. 115 zaś utrzymać w dotychczasowej stylizacyi, tak, aby przystępowanie do przedsiębiorstw gospodarczych, zainicyowanych w stowarzyszeniu, pozostawionem było członkom do woli a nie przymusowem, zależnem od większości głosów.

II. Tak już przy stanie obecnym ustawodawstwa, jak jeszcze więcej po reformie w myśl postulatu I. dokonanej, należy, nie tamując akcyi w kierunku zakładania dobrowolnych stowarzyszeń katolickich rzemieślniczych i robotniczych, pouczać robotników i rzemieślników o znaczeniu i korzyściach organizacyi zawodowej ustawowej i potrzebie wspólnej działalności; — w którym to kierunku zwłaszcza duchowieństwo dużo mogłoby zdziałać.

III. Brać inicyatywę w zawiązywaniu stowarzyszeń zawodowych ustawowych, układaniu dla nich statutów wzorowych, wreszcie w zakładaniu instytucyi i przedsiębiorstw, które wedle ustawy muszą lub mogą być z nimi łączone, jakoto:

1. ściślejszych kółek katolickich rzemieślników i robotników dla krzewienia ducha religijnego, jedności i zgody i miłości chrześciańskiej, zwłaszcza w stosunku pracodawców do robotników i czeladników, dla wyrobienia poczucia obowiązków zawodowych, sumienności i dokładności w pracy, dla kształcenia religijnego i moralnego młodzieży rzemieślniczej, w ogóle dla tych celów, które dadzą się osiągnąć tylko na podstawie religijno-moralnej (§. 114 ustęp początkowy i lit. b).

2. wydziałów rozjemczych.

3. gospód czeladnych i wykazów majstrów potrzebujących czeladników jakoteż czeladników, szukających pracy (§. 114 a).

4. kas dla chorych rzemieślników (§. 114 e).

5. kas dla chorych uczniów (§. 114 f).

6. wzorowych warstatów i szkół przemysłowych (§. 114 d).

7. spółek produkcyjnych, składów surowców i innych wspólnych przedsiębiorstw i urządzeń produkcyjnych (§. 114 ustęp początkowy).

DOKTORKA MEDYCYNY I OKULISTKA POLSKA

w XVIII. wieku

W STAMBULE.

SZKIC HISTORYCZNY NA PODSTAWIE NIEZNANEGO PAMIĘTNIKA.

Przeglądając przed kilku miesiącami katalog biblioteki XX. Czartoryskich, zauważyłem tytuł rękopisu (Nr. 1482 in-4-to), który mię wielce zainteresował. Tytuł ten opiewa: *Echo na świat podane czyli procedura podróży y życia mego awantur, na cześć y chwałę P. Bogu w Trójcy św. Jedynemu y Najświętszey Matce Chrystusa Pana mego y wszystkim Świętym* — napisała „Salomeja Regina de Pilsztynowa, Medycyny Doktorka i Okulistka w r. 1760 w Stambule.“

Rękopis drobnym, starannym charakterem pisany, dedykowany jest p. Ludwice z Mniszchów Potockiej, drugiej żonie Józefa Potockiego, kasztelana krakowskiego i hetmana w. koronnego, w przedmowie zaś do czytelnika usprawiedliwia się autorka, że napisała tę książkę „nie dla jakiego profitu lub pochwały“, pisze ją bowiem na obcej ziemi w Turcyi, gdy Polskę już raz na zawsze pożegnała, pisze głównie dla tego, „aby ci, co ją znali w życiu“, nie obwiniali jej, że będąc urodzoną Polką, mając dzieci i męża w Polsce, te wszystkie „pociechy doczesne“ opuścić musiała, nie znalazłszy w kraju ani pomocy, ani pociechy, a doznawszy tylko krzywdy i wzgardy od męża, dzieci i bliźnich.

Wobec dzisiejszych emancypacyjnych dążeń kobiet, nie bez interesu zapewne będzie proceder życia tej emancypantki polskiej z XVIII. wieku, niewiasty, która z zaniedbaniem obowiązków matki i żony uganiała się w awanturniczy sposób za fortuną, sławą lekarską i szczęściem po całym świecie i w końcu po kilkudziesięciu latach takiej gonitwy do tej konkluzyi przyszła, że ani majątek, ani

rozgłośna sława nie zastąpią miłości i ciepła rodzinnego, które jedynie i wyłącznie po wszystkie czasy kobietę uszczęśliwić mogą.

Autorka pochodziła z Litwy, z domu Makowskich, w województwie Nowogrodzkiem. O ile z dat podanych wywnioskować można, urodziła się w r. 1718 i w 13. roku życia, a więc niemal dzieckiem wyszła za mąż, za Niemca, doktora medycyny, Jakóba Halpira. Po ślubie wyjechali oboje do Stambułu, a że p. Jakób był zdolnym lekarzem, wnet znalazł wzięcie i przyszedł do fortuny. Nie mało mu w jego zajęciach pomaga młoda, ruchliwa i energiczna żona. Oto zaraz na początku pamiętnika czytamy opowiadanie o wypadkach, które świadczą, że swymi zabiegami i sprytem zdołała wyratować męża z wielkiego niebezpieczeństwa.

Rzecz miała się tak, że pewien czausz cesarski, wielki bogacz, ślepy na oczy i ułomny na nogi i ręce przez lat siedm, stargował się był z Halpirem za 500 lewów, „żeby go z tego defektu wyprowadził.“ Halpir wziął go w swą kuracyę i szczęśliwie wyleczył. Gdy się o tem dowiedział sułtan Mehmet, został p. Jakób najsławniejszym lekarzem w Stambule, ów czausz zaś „jeszcze dekokta pił“, bo się kuracya całkowicie nie skończyła, gdy w tem nieszczęście chciało, że po wypiciu takiego jednego lekarstwa umarł. Wszczął się wielki gwałt i rozruch na dworze tureckiego dygnitarza, żona bowiem i dzieci zmarłego podali suplikę do w. wezyra Izmaiła, „który Turków i chrześcian, jak kot myszy, dusił“ i Halpira uwięziono, nazajutrz żaś miano go stracić.

Pani Salomea, zaniepokojona losem męża, kazała się w lektyce ponieść do więzienia i gdy go spytała o radę, co ma czynić, Halpir prosił ją, aby podała suplikę do wezyra. Żona natychmiast to uczyniła, ale gdy jej wezyr kazał przyjść do siebie późną wieczorną godziną, zmięszała się wielce, wiedziała bowiem dobrze, że cały świat „responsy“ wezyrskie w dzień otrzymuje. Podejrzywując Izmaiła o nieczyste zamiary — a pamiętać nam trzeba, że miała lat 17 i była bardzo urodziwą — wróciła do więzienia męża i zwierzyła się mu z swych obaw. Halpir oświadczył jej, że woli raczej najokrutniejszą śmiercią zginąć, niżby jego żona miała „pochop brać do złego życia i skalać swoje czyste sumienie“.

Nazajutrz nie poszła już tedy do wezyra, ale udała się do dygnitarzy tureckich i przyjaciół, zabiegając, aby ją pogodzili z żoną i dziećmi zmarłego czausza. I udało się jej zagodzić tę sprawę pieniędzmi w ten sposób, że zapłaciła rodzinie 5.000 lewów, t. j. 10 kies, i wziąwszy „kwitacyę w sądzie tureckim, uwolniła z więzienia męża, który miał dla niej „wielką obligacyę za tak zabiegliwe starania i koszt“.

I byłoby jak dotąd wszystko bardzo dobrze, gdyby nie zbytnia ruchliwość i niepotrzebne wtrącanie się pani Halpirowej do spraw lekarskich. Mąż jej zajęty był ustawicznie pacyentami, ona zaś miała aż nadto czasu, aby mu wyrabiać jak najszerszą klientelę lub bawić się w czasie jego nieobecności w fuszerkę lekarską, tudzież tropić i prześladować wszystkich tych lekarzy w Stambule, którzy z zazdrości szkodzili jej mężowi.

W kilka miesięcy, gdy zaczęła badać, z czego umarł ów pacyent, który im tyle kłopotu i kosztów narobił, dowiedziała się, że ostatnie lekarstwo, z którego czausz umarł, było robione w jednej aptece według recepty jej męża, przy sporządzaniu zaś tego medykamentu miał być obecnym żyd, doktór, na imię Fonseka, i on to z zazdrości miał dołożyć do moździerza, gdzie się lekarstwo preparowało, trucizny i w ten sposób umarł ów Turczyn. Halpir, namawiany przez żonę, aby aptekarzowi i Fonsece wytoczył proces, nie chciał tego uczynić, Bogu dziękując, że się tylko na więzieniu skończyła sprawa, którą można było życiem okupić. Ale pani Salomea, kobieta umysłu niespokojnego i awanturniczego, inaczej rzecz pojmowała.

W czasie nieobecności męża podała suplikę przed sąd wezyrski, w której opowiedziała cały wypadek o śmierci czausza i o owem podejrzeniu na żyda doktora Fonsekę i aptekarza Johana. Poprzedni wezyr okrutny, Izmaił, był już zrzucony z urzędu, obecnie zaś wezyrem był Ali-basza. Halpirowa na audyencyi prosiła, aby Fonsekę i aptekarza zawezwano przed sąd. Nie upłynęło i godziny, a oskarżeni stali na dywanie. Po wytoczeniu sprawy, Fonseka przestraszony przyrzekał publicznie, że jej wróci owe 10 kies, które zapłaciła rodzinie zmarłego czausza, żeby tylko odstąpiła od procesu. Obwinieni ułagodzili sąd kilkoma tysiącami tynfów, Halpirowej zaś wrócili wydane pieniądze i w ten sposób zgodzono sprawę, o której Halpir nic nie wiedział, pani Salomea bowiem wytoczyła ją w czasie, gdy mąż był u jakiegoś pacyenta, księcia greckiego, mieszkającego sześć godzin od Stambułu. Za powrotem dowiedziawszy się o wszystkiem, tak się Niemczysko przestraszył, iż „uciekł tejże godziny bez wieści aż do Brussy“, dopiero Halpirowa musiała za nim posyłać i jej gorące zapewnienia, że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, zdołały go skłonić do powrotu. Z tej ucieczki Halpira widnieje już chęć opuszczenia na zawsze żony, która mu pod pretekstem pomocy w zawodzie jego przeszkadzała. Mięszała się nietylko w jego sprawy, ale i sama zajmowała się doktorstwem, które jej przynosiło znaczne dochody.

Miewała — jak pisze — manele złote na ręku, ze 100 czer. złotych na sznurkach na szyi, 300 czer. złotych na głowie, klejnoty, pierścienie dyamentowe, kolce z kamieńmi, suknie suto bogate, drogie tulbenty (białogłowskie zawoiki), a woziła się karetą szkarłatem obitą lub kazała się nosić do swych pacyentów w lektyce.

Takie powodzenie Polki w sztuce lekarskiej było powodem zawiści tamtejszych lekarzy, po większej części żydów, którzy wszelkich używali sposobów, aby ją w obec publiczności zdyskredytować. Zdołali oni nawet wyjednać u Hekima-baszy, fizyka w Konstantynopolu, że jej zakazał leczyć mężczyzn, uwzględniając zaś jej niepospolitą biegłość w okulistyce, której się nauczyła u swego męża i u jakiegoś sławnego okulisty z Babilonu, pozwolono jej leczyć białogłowy i to tylko na oczy.

Ale daremnymi były wszelkie zakazy Hekima, gdy bowiem potajemnie wyleczyła na kamień balsamem kopaiwowym pewnego Kaftan-Agasę, t. j. szatnego sułtańskiego, którego już wszyscy lekarze odstąpili, wówczas i Hekim-basza dał się przejednać, a że Turcy do żon swych i córek nie radzi mężczyzn doktorów przypuszczają, więc używaną była do wielkich pań i to nietylko mogła już leczyć oficyalnie oczne słabości, lecz także i wewnętrzne.

Halpirowa weszła w modę w Stambule; podwoje jej apartamentów się nie zamykały, leczył się u niej cały świat stambulski. Wówczas jeden z doktorów, żydowin Samson, użył na nią sposobu następującego. Oto — opowiada nam pani Halpirowa — że ukradł jej jeden patynek haftowany, w którym codziennie chodziła, i tym patynkiem jakieś czary miał czynić, że jej „odjęło“ ręce, nogi i rozum ludzki i zdawało się jej, że ona jest dziecięciem i że powinna w kołysce leżeć. Choroba była tego rodzaju, że gdy zoczyła rękę lub nogę swoją, to „gwałtu“ wołała, żądając, aby jej odjęto te cudze ręce i nogi; męża zaś i sługi miała w nienawiści, bo się jej ciągle zdawało, że mają gołe pałasze i chcą ją rozsiekać; w oknie widywała straszydła w postaci starego człeka, który miał brodę bardzo długę, a tak się bała tych widziadeł, że przez dziewięć miesięcy nic nie spała, tę tylko „folgę mając w cierpieniu, że niejaki Józef, chłopiec prostej kondycyi“, wydawał się jej najmężniejszym, najrozumniejszym i najwierniejszym ze wszystkich ludzi. Jego jednego znosić mogła, jemu tylko ufała, a kazawszy mu nabić dwie pary pistoletów, zleciła mu opiekę nad sobą.

Na jego też perswazye pani Halpirowa zdrzemnęła się nieco od czasu do czasu, on jednak musiał siedzieć za jej plecami i pilnować jej pieniędzy (600 cz. zł.), które miała pod poduszką.

Trwała to choroba dziewięć miesięcy. W tym czasie nic nie jadła. tylko kawę i surowy bób, z wielkiego zaś leżenia poczęło się na niej ciało psuć. Był naówczas w Stambule kupiec z Mysuru (z Egiptu), który się znał na gwiazdach. Ów astrolog dowiedziawszy się o cierpieniu Halpirowej, którebyśmy dziś histeryą wyższego stopnia nazwali, przybył do niej w towarzystwie swych czuhadarów (sług) i oświadczył jej, że to „owi żydzi lekarze z zazdrości na jej zdrowie nastąpili" i do reszty chcą ją umorzyć.

— „Ja wiem, że tak jest — mówił kupiec. — Oto ukradziono ci patynek haftowany jeden, który zakopano w ziemię z gusłami, i póki ten patynek gnije, póty trwać będzie twoja choroba, a gdy ten patynek wcale już zgnije, to umrzesz."

A dalej mi mówił — dodaje Halpirowa: — „Nic od ciebie nie chcę, żadnej nagrody, tylko tę koszulę, co ją na sobie masz."

Koszule jej — jak się dowiadujemy — były pół jedwabne i chętnie byłaby się zgodziła taką drobnostką okupić zdrowie, lecz wstyd jej wzbraniał to uczynić, była bowiem bardzo mizerna, w dodatku zaś obawiała się ujrzenia swych rąk i nóg. Wówczas ów Turczyn z służącym Józefem porwali ją pod ręce, „jak wilcy", i postawili na nogach. Potem „dał mnie ten Turczyn — mówi Halpirowa — niejakieś kadzenie i tak mi się zdało, że na mnie sto korcy grochu suchego wysypali z szumem i wrzaskiem po całem ciele. Jak ten szum ustał, położono mnie i koszulę zdjęto, a nakryto uczciwie; i w tejże chwili ustąpiła owa bojaźń rąk i nóg i obawa przed ludźmi."

Zawołano męża, kupiec zaś wziąwszy z sobą ową zdjętą koszulę, zapewne mu potrzebną do czarów i uroków, wyszedł, a nazajutrz przyniósł jej zgubiony przed dziewięciu miesiącami patynek i jakąś glinianą miseczkę, na środku „inkaustem po turecku zapisaną" i powiedział: „Co tylko pić będziesz, to z tej miseczki pij, to codzień będziesz zdrowsza!"

Od owego dnia coraz było lepiej, a gdy się na miseczce wszystkie litery zmazały, wówczas doszła Halpirową wieść, że żyd, doktor Samson, który czarami ową chorobę sprowadził, umarł. „Cud — kończy doktorka polska — jak mnie Opatrzność Boska w pierwszem zaczęciu doktorstwa cudownie opatrzyła!"

Z tego szczerego jej opisu widzimy, że Halpirowa miała większą wiarę w gusła i zabobony niż w Boga i że była usposobienia nerwowego, a nawet jakiś czas cierpiała w wysokim stopniu na histeryę w połączeniu z manią prześladowczą i z paraliżem odnóży. Wszystko to składało się w całości na organizacyę niewiasty delikatnej, odczuwającej wszelkie doznane wrażenia psychiczne i ciele-

sne, nierównie subtelniej niż zwykłe, zdrowe organizmy. Jeżeli dodamy jeszcze, że krew polska rycerska darzyła ją niezwykłą odwagą, wówczas zrozumiemy jej niepomierną ruchliwość ciała i umysłu, jej ustawiczną gonitwę za niebezpieczeństwami i awanturami przez całe życie, jednem słowem, jej ciągłą żądzę nowych wrażeń.

Wiadomo, że z takiemi kobietami po wieczne czasy była, jest i będzie wielka bieda i kłopot dla otoczenia. Są one zawsze niezadowolone z obecnego porządku rzeczy i zamiast sięgnąć po szczęście tuż blisko, szukają je albo po dalekich krańcach nieba i ziemi lub pragną je znaleźć w szerokim świecie nauki i tych spraw i zatrudnień, które dotąd były dla nich niedostępnemi. Halpirowa, to prototyp wszystkich naszych dzisiejszych emancypantek.

To też mąż wnet sobie sprzykrzył taką żonę. Gdy była zdrową, to się mięszała do jego pacyentów i posługując się z początku nie tyle wiedzą, ile intuicyą, bawiła się w fuszerkę lekarską, co narażało p. Jakóba na liczne nieprzyjemności tak ze strony władz sanitarnych w Stambule, jak i ze strony jego kolegów. Pamiętać również należy, że miała lat 17 i była ładną, jak o tem liczne wzmianki w rękopisie świadczą, nosiła się zaś z wyjątkiem zawoiku na głowie po polsku i chodziła wszędzie z odkrytem obliczem w mieście, gdzie się publicznie kobiet nie spotyka, leczyła zaś nietylko kobiety, lecz i płeć brzydką, co wszystko razem wpłynąć mogło niemało na nieporozumienia i sceny małżeńskie, które ją coraz więcej od męża oddalały. Za ostateczny powód rozłąki podaje pani Halpirowa „himery“ ostatniej choroby i wielki koszt kuracyi, a gdy w końcu nalegać na męża poczęła, że nie chce mieszkać w Stambule dla żydowskich czarów, wówczas samolubny Niemiec, protestant, który w czary nie wierzył, tak się rozgniewał, że zabrał wszystko, co miał, a zostawiwszy żonę z dzieckiem na bruku i poleciwszy tylko przyjacielowi, aby jej dawał co tydzień 1 czerw. złoty, wyjechał z Stambułu do Bośnii, gdzie był lekarzem nadwornym jednego z tamtejszych baszów.

(Dokończenie nastąpi).

L. Glatman.

KRONIKA LITERACKA.

Karol J. Nitman: *Geneza „Kwestyi oryentalnej“ i jej rozwój aż do bitwy pod Mohaczem w r. 1526.* — Sprawozdanie dyrektora w c. k. IV. gimn. we Lwowie za rok szkolny 1896.

Od czasu, kiedy Zinkeisen umieścił w Raumera *Hist. Taschenbuch* r. 1855 wyczerpującą rozprawę o „kwestyi wschodniej“ — historycy uważali poniekąd rzecz tę za załatwioną w nauce, natomiast „Wschód“ stał się bogatą kopalnią faktów i kombinacyi dla dyplomatów i dziennikarzy. Rozprawa p. Nitmana, kończąca się na r. 1526, nie ma jużcić nic wspólnego z t. zw. „bieżącą“ polityką, natomiast stara się autor oświetlić rozwój „kwestyi wschodniej“ w jej zawiązkach z odmiennego nieraz, niżeli Zinkeisen, stanowiska. Dla Zinkeisena jest „kwestya“ ta przedewszystkiem natury dyplomatycznej i po części religijnej; p. Nitman nie przeczy temu, słusznie jednak wykazuje, że zabór półwyspu bałkańskiego przez Turków był wynikiem nie tyle przewagi ich orężnej, ile raczej rozluźnienia się stosunków społeczno-ekonomicznych i politycznych w starem państwie byzantyńskiem, tudzież w państwach bałkańskich Słowian. Byzantynizm, który jeszcze wobec „łacinników“-krzyżowców okazał swą niespożytą wiekami siłę odporną, nie mógł już obronić się przed wojskowem państwem potomków Osmana, a to dlatego, że zachwiały się w XIV. w. stare podwaliny budowy państwowej greckiej, t. j. municypalizm, centralizm absolutystyczny i nawet osławiony, ale przecież silny caesareopapizm. Upadek Konstantynopola wprowadził Turków islamskich na miejsce Greków, ci ostatni jednak przekazali swym następcom wiele urządzeń wewnętrznych, przedewszystkiem zaś absolutyzm wojskowy i biurokratyczny, cechujący do dziś dnia państwo tureckie. W Europie zachodniej „kwestya oryentalna“ była tylko dyplomatyczną, ponieważ zaś solidarność religijno-polityczna ludów zachodnich rozchwiała się jeszcze w XIII. w., otóż nie dziw, że Turcy mogli bez obawy spoglądać na usiłowania papieży, ażeby doprowadzić do powszechnej przeciw nim krucyaty; przeciwnie już w XV. w. znajdowali się

we Włoszech, od XVI. w. zaś we Francyi chrześcijańscy przyjaciele islamskiej potęgi nad Bosforem. Eksterminacyjną wojnę z Turkami prowadziły tylko państwa bezpośrednio zagrożone, t. j. na morzu Wenecya, na lądzie zaś Węgry i bezpośrednio Polska. Dom Jagielloński, panujący na całej przestrzeni ziem od morza bałtyckiego po Dunaj i Morze czarne, związany sojuszem z rzeczpospolitą wenecką, jest aż do r. 1526 przodownikiem i przewódcą w obronie zagrożonej Europy przed Turkami; pokój 17-letni, zawarty w r. 1503 między Władysławem, królem Czech i Węgier, imieniem wszystkich Jagiellonów a sułtanem Bejazatem II., uważany był na Zachodzie za zawieszenie broni, obowiązujące wszystkie państwa chrześciańskie — przynajmniej teoretycznie, dopiero klęska pod Mochaczem w r. 1526 odebrała kierownictwo w „kwestyi oryentalnej“ Jagiellonom na rzecz Habsburgów.

Taką jest krótka treść rozprawy p. Nitmana, która — jak już powiedzieliśmy — zaleca się tem przedewszystkiem, że wobec rozprawy Zinkweisena zajmuje w wielu razach odmienne stanowisko.

Dr. K. J. Gorzycki.

Pierre Louys: *Aphrodite*, moeurs antiques. — Paris 1896. Société du Mercure de France — 30 wydań.

Dawno już nie wywarła we Francyi żadna powieść tak silnego wrażenia, jak zacytowany utwór młodego pisarza. Przybrany w szatę helenizm, jest on w gruncie rzeczy wiernem i rafinowanem odbiciem uczuć i wrażeń, które wstrząsają dzisiejszym, przeczulonym Paryżaninem-Francuzem z końca dziewiętnastego stulecia, ale ta szata helenizmu, ale prześliczna forma, przypominająca najpiękniejszą prozę Gautiera, Flauberta i Anatola France, ale bezwzględny kult ciała, zmysłów i piękności, charakteryzujące ją, zapewniają powieści niesłychany pokup wśród schyłkowym prądem objętych czytelników *fin de siecle*'u. Oto treść „Afrodyty“:

Bohaterką powieści jest nadobna hetera Chryzis; przyjmuje ona miłosne prośby pięknego Demetriosa, rzeźbiarza, którego uwielbiają wszystkie kobiety Egiptu, a którego ukochała królowa, pod warunkiem, że Demetrios spełni trzy jej życzenia. Naprzód pragnie mieć srebrne zwierciadło, w którem się sama Safo przeglądała, a które Demetrios musi ukraść heterze Bacchis. Następnie żąda grzebienia z kości słoniowej, który tkwi we włosach małżonki arcykapłana. Grzebień ten pochodzi z bardzo dawnych czasów: nosiła go pierwsza królowa Egiptu, a obecna właścicielka nigdy się z nim nie rozłącza. Demetrios musi ją więc zabić, by przyjść w posiadanie grzebienia. W końcu chce Chryzis mieć

naszyjnik perłowy, zawieszony na szyi posągu Afrodyty w świątyni, posągu, który wykuł Demetrios, a któremu nadał kształt i rysy królowej. Naszyjnik ten składa się z owych najprawdziwszych pereł, które stoczyły się po białem ciele bogini, gdy powstawała z piany morskiej. Demetrios spełnia jej pragnienia a znużony usypia. We śnie widzi Chryzis i doznaje wszystkich wymarzonych rozkoszy. Nazajutrz Chryzis chce spełnić przyrzeczenie, ale Demetrios odtrąca ją, nie chce psuć wrażeń czarownego snu. Gdy Chryzis jednak, utwierdzona w przekonaniu, że Demetrios ją kocha, skoro spełnił dla niej owe trzy zbrodnie, dopomina się miłości Demetriosa, żąda on od niej nawzajem, aby wziąwszy zwierciadło do ręki, ze zrabowanym grzebieniem we włosach i z perłami Afrodyty na szyi, weszła między tłum. Tłum ten zaś jest oburzony owemi zbrodniami a podejrzanym o nie każe umierać wśród strasznych mąk . . . Chryzis nie cofa się jednak przed ofiarą dla Demetriosa, skoro w nagrodę za to ma ją na godzinę przed jej śmiercią odwiedzić w więzieniu. Bierze więc zwierciadło do ręki, wkłada grzebień we włosy a perły na szyję i wychodzi na miasto. Na środku miasta wznosi się zaś wieża, otoczona dokoła tarasem, na który prowadzą szerokie schody. Po tych schodach kroczy Chryzis i staje na drugim tarasie. Z dołu dochodzi szum, jakby morskich bałwanów — to pomruk wzburzonego ludu. Nagle rozlega się z tłumu okrzyk, pochwycony przez tysiące piersi: „Afrodyte! Afrodyte!“ To Chryzis stała naga, jak bogini, trzymając w lewej ręce końce szkarłatnej zasłony, igrającej z wiatrem, a w prawej zwierciadło, w którem odbijały się promienie zachodzącego słońca. Złudzenie tłumu minęło jednak prędko. Chryzis dostaje się do więzienia i ginie, wypiwszy kielich trucizny. Gdy członki jej już zesztywniały, Demetrios nadaje im takie położenie, w jakiem widział Chryzis we śnie, i modeluje ją w glinie . . .

Klasycy filozofii. Wydawca Froman w Erlangen rozpoczął wydawnictwo, poświęcone *Klasykom filozofii* w języku niemieckim. Każdy tom zawierać będzie życiorys jednego z filozofów, jego charakterystykę i główne zasady jego nauki; w wydawnictwie wspomnianem pomieszczeni zostaną zarówno starożytni, jakoteż nowożytni filozofowie. Redaktorem tego wydawnictwa jest znany historyk filozofii, Falkenberg, który pozyskał już współpracownictwo wielu uczonych niemieckich. W tych dniach wyszły trzy pierwsze tomy, poświecone Fechnerowi, Hoblesowi i znakomitemu duńskiemu poecie-myślicielowi, Kirkehorowi.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

PRZYCZYNEK
DO HISTORYI KONSTYTUCYJNEJ
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Konfederacya generalna Królestwa Polskiego i pospolite ruszenie.

Artykuł 86 statutu Księstwa, upoważniający panującego (po roztrząśnieniu z radą stanu) do uzupełnienia prawodawstwa krajowego [1]), wprowadził w następstwie pewne odstąpienia od francuskich wzorów. Odstępstwa te jednak, jak n. p. kollegialne władze oświecenia publicznego, albo samorząd miejscowy w zakresie szkoły w postaci dozorców szkolnych, dozorców szkół żeńskich, składających się z kobiet [2]), wywołane były, jak trafnie Staszic się wyraził, „naturą rzeczy", czyli wymaganiami postępu, którym napoleońskie wzory administracyjne nie czyniły zadość. Konstytucya wszakże Księstwa nie obejmowała ani jednego, choćby najdrobniejszego przepisu, któ-

[1]) Dalszy ciąg Protokółu Sesyj Rady Stanu w roku 1808. (Od sesyi 125). Ses. 229. „Minister sprawiedliwości twierdzi, iż tylko kwestye o podatkach, o urządzeniu skarbowem, o prawie cywilnem i kryminalnem, o systemie menniczym należą do seymu. Żadna odmiana w Konstytucyi, która jest świętą i nietykalną, na której tron i cały rząd stoi, nie może podpadać ani Senatowi, ani Seymowi, sam tylko Król ma sobie zachowaną moc dopełniania Konstytucyi podług 86 jej artykułu."

[2]) Konic: Kartka z dziejów oświaty w Polsce i t. d. str. 57, a na str. 95 ustawa teoretycznie uznała niezbędność obowiązkowego uczęszczania do szkoły, nie zdołała tylko ustalić ścisłych norm co do praktycznego przeprowadzenia tej zasady.

ryby upoważniał jakikolwiek z organów, bądź to prawodawczy, bądź wykonawczy i to w jakiemkolwiek bądź położeniu lub chwili, do wskrzeszania instytucyi, która oddawna rdzą pokryta spoczęła w muzeum starożytności konstytucyjnych, a z duchem nowożytnych rządów Napoleona nie miała nic wspólnego.

Tymczasem rok 1812 przyniósł Księstwu tę niespodziankę. Już w dniu 26. maja tego roku wydany w Dreznie dekret królewski nadał radzie ministrów zupełną władzę panującemu z mocy konstytucyi służącą [1]), tłómacząc wolę monarszą tem, „że teraźniejszej chwili okoliczności i wielkie przeznaczenia narodowi rokujące, które wymagać mogą rozwinięcia środków najśpieszniejszych, wywołały w Warszawie potrzebę utworzenia władzy centralnej". Korzystając z udzielonej sobie mocy, rada ministrów w dniu 8. czerwca postanowiła sejm zgromadzić, zapowiadając otwarcie takowego w dniu 26. czerwca. W tymże dniu Woronicz w kazaniu uprzedził sejmujących o nadzwyczajnem zadaniu, jakie im przypadło w udziale. „*Possidebitis terram* (posiądziecie ziemię)", oświadcza wzniosły kaznodzieja, nie pozostawiając wątpliwości co do tego, o jakich ziemiach mówi, a dodaje przytem, „*confortamini*, umacniajcie się w ufności nieograniczonej ku Bogu; w dobroci i świętości sprawy waszej; w potędze i rzetelności wiernego sprzymierzeńca, ukochanego Króla waszego. *Estote solliciti:* bądźcie pieczołowitymi w rozpoznaniu gruntownem waszych przedsięwzięć, w dobraniu do nich skutecznych środków, w dzielnem i mężnem wykonaniu onych." Kończy zaś Woronicz swe kazanie słowy: „Boże! nie byłbyś Bogiem, gdybyś nie był w ukaraniu sprawiedliwym, w przebaczeniu miłosiernym i Napoleon nie byłby Napoleonem, gdyby wyraźnego posłannictwa Twego w nadaniu stałego pokoju Europie wdzięcznością naszą nie uwieńczył" [2]). Na sesyi pierwszej w tymże dniu, gdy stary Czartoryski został mianowany marszałkiem sejmu, Tomasz Ostrowski, prezes senatu, wyraził w swym głosie przekonanie, że „należy nam się udać z prośbą do naszego wielkiego protektora, aby ten, który nam byt polityczny nadał, nie dozwolił dziełu swojemu upaść, owszem postawić one raczył w takim stopniu znaczenia i pomyślności, jakiego godność jego i dzielność wymaga."

---

[1]) Dyarysz sejmowy z roku 1812, str. I., na samem czele wydrukowany dekret.

[2]) Kazanie przy otwarciu sejmu nadzwyczajnego Księstwa Warsz. d. 26. czerwca 1812 r., miane w kościele katedralnym warszawskim przez J. Woronicza, str. 8 i 23.

St. Potocki, jako prezes rady ministrów, uważa za obowiązek wyjaśnić, dlaczego rada ministrów sejm tak nagle zwołała. „Południe bowiem zbliżyło się do północy, już się prawie zwarły te dwie najpotężniejsze części świata. Ugina się ziemia nasza pod ciężarem niezwyciężonej broni Napoleona Wielkiego, a orły polskie obok i pod opieką tryumfujących orłów francuskich wraz z niemi śmiałym zagrażają lotem. Ważą się losy narodów na szali mądrości przedwiecznej... która zdaje się, że dla szczęścia narodu ludzkiego utworzyła geniusz nieograniczony, jedynie ustalić pokój świata zdolny. W takich to okolicznościach sejm dzisiejszy jest zwołany. Wychodzi on z ordynaryjnych seymów kolei, tak jak dzisiejsze okoliczności wychodzą z trybu powszechnego rzeczy. Zachowawcze rządów formy, acz słusznie poważane, tyle tylko w nim mocy mieć mogą, ile się z biegiem rzeczy zgadzają. Wszelako nasze ku nim poszanowanie niech się tam nawet ukaże widocznem, gdzie ich uleganie koniecznem będzie“ [1]).

Na temże posiedzeniu złożoną została sejmowi petycya, opatrzona 54 podpisami, która wzywa go, aby się zajął niezwłocznie „wielkim odzyskania ojczyzny przedmiotem“. „Nie potocznych bowiem urządzeń, nie utyskiwań na panujące cierpienia, nie zaradzeń cząstkowych, to jest pora! Honor, miłość oyczyzny, głos ludu, inne w tey chwili kładą na Was obowiązki, wznieścież aż do nich umysł i męstwo Wasze! Nikt bezkarnie pomyślnych nie chybił okazyi... Dziś albo nigdy... Zostawiamy światłu Waszemu i rządu sposób przedsięwzięcia. Oto zbroyne ręce i pałające męstwo waszego tylko czekają hasła.“ Gołaszewski, biskup wigierski, poparł petycyę gorąco, a ks. Jabłonowski i Wybicki w przemówieniach swoich wskazali wyraźnie, że przedewszystkiem chodzi tu o odzyskanie ziem, znajdujących się dotąd pod zwierzchnictwem Rossyi. Jeżeli pierwsza sesya tego extraordynaryjnego sejmu zapowiadała niezwykłe obrady, wykraczające poza obręb przepisanych statutem z 1807 r. sejmowych czynności, to druga sesya z d. 28. czerwca przyniosła jeszcze bardziej oryginalne owoce. Nie dość, że jeden z mowców wyrzekł: „Będzie Polska, co mówię, jest Polska!“ (rozumiejąc przez to łącznie z innymi odebranie ziem, znajdujących się pod władzą Rossyi), ale, aby „spełnić tak szlachetne zamiary i skuteczność onych na zawsze zapownić“, przygotowany został przez deputacyę akt konfederacyi generalnej. W raporcie deputacya zapowiada, „że aby zapałowi dać moc niezwalczoną, zapytajmy dziejów naszych i szukajmy

[1]) Dyaryusz sejmowy z roku 1812 nr. I. str. 16.

tam, co naszym przodkom natchnęła potrzeba chwili. Usuńmy tylko te niebezpieczeństwa, które zbyt często odejmowały związkom konfederackim spodziewane po nich korzyści, niech nauka doświadczenia straconą dla nas nie będzie. Nadajmy tej nowej konfederacyi cechę najściślejszej jedności, wystawmy w niej punkt centralny, przy którym stać będziemy, przy którym z łatwością i porządkiem gromadzić się będą mogli ci, co może tylko czekają, aby wiedzieli, gdzie się im gromadzić należy. Wtedy jakaż siła ludzka wstrzymać potrafi poruszenie jednomyślne wielkiego narodu, ów zapał ludu, podnoszącego byt swój starożytny, i któren, aby go lepiej zapewnił, zapomina o cierpieniach przeszłych, a do nowych ofiar i niebezpieczeństw z radością leci."

W samym akcie znajduje się również zapewnienie, że konfederacya generalna zbaczać nie będzie do tych nadużyć, które państwu śmiertelne zadawały ciosy. Nie otworzą się w jej łonie kuźnie sancitów i komisyj prywatnych na zysk jednych, na prześladowanie drugich, na krzywdę wszystkich. Konfederacya pragnie całą baczność i wszystkie starania obrócić ku temu, aby przygarnąć braci wracających i odzyskane jednoczyć krainy. Nie będzie się ona odrywać od tych prawodawczych i rządowych zatrudnień, które w stanowieniu zimnej i spokojnej uwagi, w wykonywaniu sfornego wymagają porządku. Wymierzanie zatem sprawiedliwości, urządzanie i prowadzenie administracyi zostanie przy władzach, do których ta sprawa należy. Konfederacya zaś z całą pełnością powagi i władzy, służących powszechnemu narodowemu związkowi, przedsięweźmie wielkie dzieło dźwignienia państwa i najszlachetniejszą powinność zatrzymywania i rozszerzania w nieskażonej czystości, w najtęższej mocy narodowego zapału.

Akt konfederacyi nie ograniczył się jednak na ogólnikach, lecz powołaną do życia nową instytucyę określił artykułami. Artykuł 1 oznajmił, że sejm wiąże się z konfederacyą generalną Polski, artykuł 2 brzmi, że konfederacya powyższa, sprawując w całej rozciągłości władzę, służącą powszechnemu narodowemu związkowi, ogłasza, że Królestwo Polskie jest przywrócone i naród na nowo w jedno ciało połączony. Artykuły 3 i 4 przepisują, że mają być zwołane w całem Księstwie sejmiki końcem przystąpienia do konfederacyi, że akty przystąpienia sejmików przesłane będą radzie generalnej konfederacyi, i że wszyscy Polacy są wezwani i upoważnieni do wiązania się w konfederacyę bądź pojedyńczo, bądź łącznie, oraz do przesyłania w jak najkrótszym czasie akcesów swych radzie generalnej. Art. 5 wzywa wszystkie części ziemi polskiej do wiązania

się z konfederacyą, w miarę, jak okoliczności podadzą ku temu dogodną sposobność. Artykuł 6 wzywa wszystkich oficerów, żołnierzy, urzędników cywilnych i wojskowych, aby służbę obcą opuścili. Artykuł 9 przepisuje, że wszyscy członkowie sejmu skonfederowanego, którzy nie należą do rady generalnej, upoważnieni zostają do udania się do swych domów, albowiem mocą artykułu 10 konfederacya przelewa na czas swej limity całą swą władzę radzie generalnej w swym składzie wybranej, w Warszawie zasiadać mającej i złożonej z następujących członków: Ordynata Zamoyskiego, Gołaszewskiego biskupa, Linowskiego, Badeniego, Antoniego Ostrowskiego, Skórzewskiego, Owidzkiego, Wężyka, Franciszka Łubieńskiego, księdza Skórkowskiego i Kajetana Koźmiana, sekretarza konfederacyi, który z mocy art. 12 miał mieć głos stanowczy. Artykuł 11 przepisuje, że komplet, konieczny do posiedzeń rady generalnej, oznaczony jest w liczbie osób pięciu, a artykuły 14 i 15 stanowią wysłanie deputacyi do Króla saskiego, prosząc go o przystąpienie do konfederacyi, i do cesarza Francuzów dla złożenia mu aktu konfederacyi wraz z prośbą, aby raczył osłonić swą potężną opieką kolebkę odradzającego się państwa. Na tejże sesyi „stwierdzony został w ten moment podpisami naszymi związek“, sejm został zamknięty, a rada konfederacyi rozpoczęła pracę artykułami aktu wskazaną.

Zawiązanie konfederacyi generalnej skłoniło Kantorberego Tymowskiego do sklejenia „Ody z powodu uroczystości konfederacyi generalnej Polski“. Jakkolwiek młody zapewne poeta na wstępie oświadcza, że „Natchnęła mnie Bóstwa chwała — Bierze lutnią dłoń zuchwała“, to jednakże czytelnik natchnienia tego nie będzie w stanie brać na seryo, zwłaszcza gdy przeczyta choćby tylko taki rym: „Któż porówna z tym obrazem — Kiedy nadwiślańskie mury — Jednym zabrzmiały wyrazem — Polska jest w narodów rzędzie — Pokolenia czas pochłonie — Wieki znikną w wieków łonie — Podobney chwili nie będzie“ i t. d.

Źródłami, pomagającemi do otworzenia działalności rady konfederacyi generalnej Królestwa Polskiego, są: 1) „Dziennik Konfederacyi Generalnej Król. Polskiego“, który wychodził również w tłómaczeniu francuskiem, p. t. *Bulletin de la confédération du royaume de Pologne 1812*[1]), oraz 2) „Dodatek do Dziennika Konfederacyi

[1]) W egzemplarzu francuskim, który przeglądałem (włas. Bibl. Ord. Kr.) Nr. 1 Dziennika nosi mylnie wypisany Nr. 3 i sesya pierwsza z d. 26 czerwca nosi również mylną datę 2. lipca. Egzemplarz francuski obejmuje tylko 32 numera.

Generalnej Król. Polskiego, zawierający uniwersały i odezwy Rady generalnej, które dotąd oddzielnie tylko drukowane, a w Dzienniku umieszczone nie były". Pierwsze sześć numerów „Dziennika Konfederacyi" zawierają na czele następującą wzmiankę: „Pismo niniejsze wychodzić będzie w drukarni rządowej co dwa dni przez cały ciąg konfederacyi. W niem zawarte zostaną wszystkie akcessa i odezwy, do rady konfederacyi generalnej przesłane, bądź od szczególnych osób, bądź od władz, magistratur i innych zgromadzeń: tudzież to wszystko, co tylko ściągać się może do konfederacyi na dniu 28. czerwca r. b. przez sejmujące stany zawiązanej." Numerów Dziennika powyższego znajduje się 34; ostatni nosi datę 10. listopada roku 1812, co nie dowodzi bynajmniej, ażeby rada konfederacyi już po tym dniu sesyi nie odbywała, tylko akcessów i odezw do rady, wobec klęsk wojennych, nie pojawiło się od tego czasu więcej.

Dziennik 1 rozpoczyna drukowanie akcessów do konfederacyi od przystąpienia dyrekcyi edukacyi narodowej, w której imieniu oświadczył Niemcewicz, że za najwyższy poczytuje sobie obowiązek wyryć w młodocianych sercach i umysłach tę nigdy nie zmazaną pamiątkę największej dla nas epoki. Potem następują akcessa pojedynczych dygnitarzy lub korporacyi, z krótszem lub dłuższem przemówieniem, wśród którego często wspominanem bywa z wdzięcznością imię „Wielkiego Napoleona". Dziennik Nr. 2 nadmienia już, że „tyle jest pism i adresów z największą skwapliwością nadsyłanych radzie konfederacyi Królestwa Polskiego, że zaledwie niektóre z nich w całej rozciągłości umieścić, a o innych tylko chlubną wzmiankę uczynić musimy." Nr. 3 Dziennika obwieszcza (15. lipca), że czas jest nadmienić w krótkości o niektórych czynnościach tejże rady a przedewszystkiem o tem, że w d. 30. czerwca wygotowane zostały adresa do cesarza Francuzów i króla saskiego, poczem nastąpiła nominacya deputowanych do tychże monarchów. Prócz tego rada donosi i o innych wydanych przez siebie uniwersałach, ale ciekawą jest odezwa Azulewicza do rady, zamieszczona w tymże numerze Dziennika. „Naród tatarski (słowa Azulewicza), pomimo różnicy rodu, wyznania i języka, przed czterema wiekami znalazł na ziemi polskiej schronienie, opiekę i byt swobodny. W imieniu tego narodu stawam przed Tobą, Konfederacyo Generalna Królestwa Polskiego, z prośbą o przypuszczenie nas do tego zaszczytu i szczęścia, abyśmy wzorem i trybem przodków naszych nieść mogli życie i krew w obronie powszechnej. Dopraszam się, aby mi wolno było zająć się natychmiast formowaniem pułku konnego tatarskiego, w sposobie, jaki rząd przepisze, i z pomocą jego tam, gdzie gorliwość nasza nie-

uchronnie onej potrzebować będzie.“ W tymże dzienniku podaną została wiadomość, że w powiecie Grodzieńskim, jak tylko powiat ten ujrzał się wspartym potężnem ramieniem Napoleona Wielkiego, została zawiązaną konfederacya, która się połączyła z konfederacyą Księstwa Warszawskiego.

Dziennik Nr. 4 zawiadamia, że wyrokiem Najjaśniejszego Cesarza Francuzów ustanowiona została tymczasowo w Wilnie komisya rządowa z 5 osób złożona, przy której będzie komisarzem cesarskim JW. Bignon. Gubernia Wileńska, Grodzieńska, Mińska i Białostocka zostawać mają pod władzą rzeczonej komisyi. Rada generalna, powziąwszy te wiadomości, wydała swą odezwę do komisyi rządowej w Wilnie, przesyłając jej akt konfederacyi generalnej i wzywając do jaknajrychlejszego przystąpienia do konfederacyi i przesyłania akcesów. Dziennik Nr. 5 ogłosił odezwę rady generalnej do komisyi tymczasowo rządowej w Litwie, aby chciała nie szczędzić zachęcań do podawania akcesów, bądź pojedyńczo, bądź razem i dołączył do tego odezwę rady konfederacyi Grodzieńskiej. Dziennik Nr. 6 obwieścił odezwę obywateli powiatu białostockiego „z wynurzeniem najszczerszem swych chęci przystąpienia do konfederacyi generalnej“, a w Dzienniku Nr. 7 wydrukowano zawiadomienie następującej osnowy: „Dnia wczorajszego (20. lipca) niektórzy z JW. delegowanych do Naj. cesarza Francuzów powrócili z Wilna do tutejszej okolicy. Przynoszą oni najpożądańszą i najpomyślniejszą odpowiedź Wielkiego naszego Wskrzesiciela, równie jak najuroczystszą rękojmię potężnej jego opieki. Jak tylko wszyscy JW. delegowani staną w Warszawie, pokwapi się rada z udzieleniem powszechności na publicznem swem posiedzeniu ważnych a najłaskawszych wyrazów tego, któremu wszystko winniśmy.“

Ponieważ mowa Wybickiego w imieniu delegacyi do Napoleona nie została zamieszczoną w Dzienniku, lecz wydrukowaną osobno w dwu językach, francuskim i polskim, przeto pozwolę sobie w tem miejscu poświęcić jej uwagę, dlatego, że następne numera Dziennika zajmują się tylko odpowiedzią cesarską. Wybicki, jako prezes deputacyi od rady generalnej, w przemówieniu swem nazwał Napoleona „zesłańcem Opatrzności“, jej siła w nim zamieszkała i byt Księstwa naszego jego się potędze należy. „Konfederacya nas deputowała do Waszej Cesarskiej Mości w zamiarze złożenia aktu pod jego najwyższą sankcyę i uproszenia wszechwładnej protekcyi dla Królestwa Polskiego. Rzeknij Najjaśniejszy Panie! Jest Królestwo Polskie! a ten wyrok będzie w oczach świata wyrokiem ziszczonej już prawdy. Jest nas 16 milionów Polaków, jednego między

nimi niema, coby swej siły, krwi i majątku Waszej Cesarskiej Mości nie poświęcił. Wszystkie ofiary staną się dla nas lekkiemi, kiedy o dokonanie powstania naszej Ojczyzny rzecz pójdzie. Na jego odgłos, od Dźwiny do Dniestru, od Dniestru do Odry wszyscy staną pod bronią, wszyscy mu złożą swe serca.“ Wreszcie Wybicki oświadcza, że: „Ile razy Polska obarczoną była brzemieniem ucisków, zawsze przez wieków trzy blisko zwracała swe oczy ku Francyi, temu wspaniało potężnemu narodowi. Ale przeznaczenie zachowało uskutecznienie życzeń naszych do czasów Naczelnika dynastyi czwartej, powiem do Napoleona Wielkiego, przed którym trzech wieków polityka momentu jednego była przedmiotem, a tę przestrzeń, ledwo zmierzoną od południa ku północy, jeden rzut oka Jego ogarnął.“

Odpowiedź Napoleona brzmiała w najważniejszej swej osnowie, jak następuje: „To, coście mi opowiadali, słuchałem nie bez uczucia. Gdybym był Polakiem, myślałbym i czyniłbym, jak wy. Na zgromadzeniu warszawskiem jak wy głosowałbym. Miłość ojczyzny jest najpierwszą cnotą człowieka ucywilizowanego. W mojem położeniu mam wiele względów do pogodzenia i wiele obowiązków do wypełnienia. Gdybym był panował w czasie pierwszego, drugiego lub trzeciego podziału Polski, byłbym cały mój lud na wsparcie wasze uzbroił. Jak tylko mi zwycięztwo dozwoliło wrócić waszej stolicy i niektórym prowincyom prawa wasze dawne, uczyniłem to skwapliwie, bez przedłużenia jednak wojny, któraby jeszcze toczyła krew moich poddanych. Kocham wasz Naród Od lat szesnastu na polach włoskich i hiszpańskich widziałem obok mnie żołnierzy waszych. Pochwalam to wszystko, coście uczynili. Upoważniam usiłowania, które czynić zamierzacie. Co zależy ode mnie, wszystko uczynię dla wsparcia przedsięwzięć waszych.“

„Jeśli usiłowania wasze będą zgodne, powziąć możecie nadzieję zmuszenia waszych nieprzyjaciół do uznania praw waszych. Ale w tych stronach rozległych i tak rozciągniętych, szczególniej na jednomyślności usiłowań wszystkich mieszkańców zasadzać możecie nadzieję waszych pomyślności. To samo przemówiłem do was, gdym raz pierwszy stanął na ziemi waszej. Tu dodać muszę, że gwarantowałem cesarzowi Austryackiemu całość państw Jego, i że żadnego kroku, ani poruszenia nie mógłbym upoważniać, któryby mógł mieszać spokojne posiadanie pozostałych przy Nim prowincyi polskich. Niech Litwę, Żmudź, Witebskie, Połockie, Mohilowskie, Wołyń, Ukrainę, Podole ożywi ten sam duch, jaki w Wielkopolsce widziałem, a Opatrzność pomyślnym skutkiem uwieńczy świętość waszej sprawy. Ona wam wynagrodzi poświęcenie się dla ojczyzny, które

wam powszechnie serca zjednało. którem nabyliście prawa do mego szacunku i mojej protekcyi, a tej we wszystkich okolicznościach powinniście być pewnymi“ [1]).

Dziennik Nr. 8 opublikował przyjęcie przez radę deputowanych powiatu kobryńskiego i zawiadomił, że nazajutrz odbędzie się publiczne posiedzenie rady w celu odebrania sprawy od deputowanych do cesarza Francuzów i ogłoszenia odpowiedzi tego monarchy. W Dzienniku zaś Nr. 9 znajduje się opis uroczystego posiedzenia rady, na którem Wybicki zdawał sprawę ze swej deputacyi i zakomunikował odpowiedź cesarską, która w tym numerze dziennika została wydrukowaną w języku francuskim i polskim. Po odczytaniu odpowiedzi nastąpiły wynurzenia wdzięczności, a rada generalna zdecydowała, że: „Nim będzie wystawionym pomnik w sposobie godnym wielkości dobrodziejstwa i chwały wielkiego wskrzesiciela ku uwiecznieniu pamiątki dnia 11. lipca, w którym Napoleon Wielki raczył przyjąć deputacyę w Wilnie, należy ustanowić uroczystość narodową. Słowa zaś odpowiedzi Naj. cesarza Francuzów, wyrzeczone do deputacyi, wyryć miano na marmurze złotemi literami i umieścić w izbie senatu naprzeciwko Tronu.“

Następne numera Dziennika zawierają same akcesy, czyli przystąpienia do konfederacyi, dopiero Nr. 14 Dziennika ogłasza adres rady jeneralnej do króla saskiego i opisanie posiedzenia rady, dla odebrania sprawy od deputowanych do panującego w Księstwie, którą czynił książę Jabłonowski, prezes deputacyi. W tymże numerze wydrukowanym również został akt przystąpienia Fryderyka Augusta do konfederacyi z d. 12. lipca, w którym król wyraża nadzieję, że „ten Wielki Monarcha nie odmieni swojego potężnego wsparcia, którego naród wzywa.“ Monotonność ogłoszeń akcesów przerywa dopiero Dziennik Nr. 19, publikując przystąpienie do konfederacyi w. księcia Landgrafa Hesskiego w języku łacińskim, które i w polskiem tłómaczeniu zamieszczonem zostało. *Optima causa triumphat!* rozpoczyna się temi słowy przystąpienie, a napisane zostało w Neü-Strelitz. Z Nr. 21 Dziennika dowiadujemy się, że rada jeneralna upraszała panującego o udzielenie hr. Senft-Pilsach, „temu szanownemu i pełnemu zasług ministrowi“, obywatelstwa Księstwa Warszawskiego, która to prośba znalazła uwzględnienie i wydrukowano zaraz odpowiedni dekret.

---

[1]) Dziennik rady zamieścił tylko odpowiedź Napoleona w dwóch językach, ale ukazały się prócz tego różne druki, zawierające razem mowę Wybickiego i odpowiedź cesarza po francusku i polsku, albo tylko po polsku i to każdą oddzielnie.

Nr. 23 Dziennika zawiera wiadomość. że dnia 20. sierpnia odbyło się w izbie poselskiej publiczne posiedzenie rady w celu przyjęcia deputacyi od komisyi rządu tymczasowego W. Ks. Litewskiego, wysłanej dla złożenia akcesu tejże komisyi do konfederacyi. Deputacyę składali Jeleński i Tyzenhaus, z których pierwszy wypowiedział dłuższą mowę, wspominając unię i Wielkiego Napoleona, a składając przytem akces, napisany w Wilnie w kościele katedralnym. W Nr. 24 Dziennika zamieszczono odezwę, jaką rada jeneralna odebrała od komissyi rządu tymczasowego w W. Księstwie Lit. Nr. 27 Dziennika zawiera ciekawe zeznanie ks. Wolickiego w tym sensie: „Wezwany i umocowany załączonym tu w oryginale listem JW. Wawrzyńca d'Engeström, ministra interesów zewnętrznych króla Szwedzkiego i t. d., abym jako pełnomocnik jego do Konfederacyi Jeneralnej Kr. Polskiego przystąpił, dopełniam tego szanownego zlecenia niniejszym akcessem.“

Nr. 30 Dziennika zamieszcza „godny poważnej uwagi akces księcia Antoniego Radziwiłła, w którym oświadcza, że wraca z uniesieniem do nazwiska Polaka“. Nr. 31 Dziennika wydrukował przystąpienie do konfederacyi JO. księcia Anhalt Coethen-Pless, jako obywatela departamentu poznańskiego. Jeszcze Nr. 33 i 34 Dziennika wydrukowały znaczną liczbę akcesów, ale ostatni Dziennik ogłosił w dzień 10. listopada odezwę rady jeneralnej do narodu, która brzmiała niepokojąco i zagadkowo: „Taić wam nie potrzeba, są słowa odezwy, że zwyczajne dochody nie wystarczają nagłym potrzebom wojny, że rządy, którym podlegacie, chwytać się muszą nadzwyczajnych środków; pełnijcie ich wezwania z skwapliwością i gorliwością prawych obywateli. Ubiegajcie się składać wszystko to, czego od was teraz wymagają i czego jeszcze wymagać będą. Wysilenia wasze są wielkie, ofiary liczne. wyniszczenie widoczne, ale są jeszcze w waszym ręku ostatnie źródła pomocy w zrzeczeniu się wygód, w ujęciu sobie potrzeb, do których w teraźniejszych chwilach udać się należy.“ Zaznaczyć jeszcze raz wypada, że wszystkie 34 numera Dziennika przepełnione są akcesami. Wszystkie władze cywilne, wojskowe i duchowne, wielkie i małe uważały za stosowne zbiorowo czy indywidualnie, przemówieniem lub też podpisem tylko, zaznaczyć swe przystąpienie do konfederacyi. Obok senatorów, ministrów, biskupów, generałów, jednem słowem możnych tego świata, spotkać można skromne podpisy wójtów gmin, burmistrzów i pomniejszych wielkości powiatowych. Dekoracyjna wystawa, którą rada jeneralna przedstawiła krajowi w liczbie i tonie akcesów, była nie-

wątpliwie wspaniałą i przejrzeć teraz należy ślady działalności, jakie rada pozostawiła po sobie w wydanych uniwersałach.

Dodatek do Dziennika zawiera zaledwie pięć uniwersałów, z których tylko pierwszy z d. 30. czerwca ma pewną doniosłość. Rada generalna bowiem, w rozwinięciu artykułu 3, 4 i 5 aktu konfederacyi, uniwersałem powyższym obwieszcza wszystkim, że 1) akcesa bądź razem na sejmikach, natychmiast zwołać się mających, bądź pojedyńczo, byle jednakowo uczynione, będą przyjęte do rady generalnej. 2) że władze miejscowe, w Warszawie lub w departamentach będące, mogą razem z podwładnymi sobie urzędnikami przesyłać akcesy do kancelaryi konfederacyi generalnej. Prócz tego dla wszystkich pojedyńczych mieszkańców otwartą będzie w stolicy, w kancelaryi metryki koronnej w zamku, każdego dnia od godziny 9 rano do 1 popołudniu księga wraz z aktem konfederacyi, w którą imię swoje zapisywać będą mocni. Osobnym wreszcie uniwersałem, stosownie do art. 4 aktu konfederacyi, będą niezwłocznie zwołane wszystkie powiaty, miasta i gminy na sejmiki, które skoro odbytemi zostaną, akta przystąpienia i podpisy do kancelaryj prefektury przez marszałków w oryginale wniesione, a przez autentyczne wyjęcie do konfederacyi generalnej przesyłane być mają. Uniwersał z dnia 1. lipca rozwija szczegółowiej myśl, w powyżej przytoczonym artykule wyrażoną, zaznaczając z naciskiem, że sejmików i zgromadzeń, które się zaczną d. 20. lipca, a skończą d. 15. sierpnia, jedynym przedmiotem zajęcia będzie ogłoszenie uroczyste aktu konfederacyi.

W dniu 7. lipca rada konfederacyi generalnej zwróciła się za pośrednictwem uniwersału „do Polaków w służbie moskiewskiej cywilnej i wojskowej przytrzymanych i broń przeciw ojczyźnie nosić przymuszonych“. „Polacy! — przemawia uniwersał — dopóki nie było Oyczyzny, dopóty tylko cierpianemi być mogły te związki, które Wam, bądź potrzeba, bądź przymus, bądź unikanie podeyrzliwego nieprawych rządzców oka narzuciły. Nie masz zapewne takiego wyrodka, któryby je dobrowolnie znosił; nie będą one nigdy i nie były tak mocnemi, aby je zerwać się nie godziło — a dziś już ich niema — bo Oyczyzna staje przy swoich prawach, bo się o nie w całej rozciągłości dopomina — i nie ma tu wyboru, ani namysłu, tylko albo Jey synem, albo Jey zdrajcą zostać potrzeba... Niech więc zawre w Was wstręt i obrzydzenie na to wszystko, co pochodzi z rąk tych, którzy zaprzysięgli Waszą zgubę. Prędzey, prędzey wydajcie się, czem jesteście — wydajcie się Polakami, a zadrżą przywłaszczyciele Waszey Ziemi.“

„Synowie Chodkiewiczów, Sobieskich i Żółkiewskich! zedrzyjcie z siebie te upadlające znaki, odrzućcie od Was oycobójcze żelazo; złączcie się z nami i wspólną z nami zemstą za tyle hańby i zniewagi obróćcie go przeciw uciemiężycielom Waszym... Kiedyż chlubniejsze otwierało się Wam pole, jak obok walecznych współbraci Waszych, którzy napełniwszy lądy i morza polskim imieniem, za drogi owoc, za najchlubniejszą nadgrodę, przynoszą Wam Oyczyznę, wzywając Was do chwalebney za nią walki. Tu! tu! jest prawdziwe pole honoru i obowiązków — tu! tu! prawdziwi Polacy chcą przelewać krew swoją dla wzniesienia prawdziwej Polski. Tu! tu! pod okiem najpierwszego z Bohaterów, naywspanialszego Opiekuna — tu obok najpierwszych rycerzy, obok najpierwszego ludu na świecie, tu nakoniec obok wszystkich oświeconych Narodów, które idą raz na zawsze postawić nieprzebitą zaporę naprzeciw cisnącej się dziczy do Europy“ i t. d.

Uniwersały, zamieszczone w dodatku do Dziennika, nie wyczerpują wszakże działań rady generalnej. W dniu 20. grudnia odbyła się sesya, na której rada generalna wydała uniwersał, zwołujący pospolite ruszenie. Uniwersał rzeczony, zaopatrzony równie, jak i akt konfederacyi, pieczęcią Królestwa Polskiego podpisał ordynat Zamoyski, gdy na poprzednich widnieje podpis ks. Adama Czartoryskiego. Uniwersał ma na czele trzykrotne wezwanie do szlachty, aby siadała na koń, brała się do oręża, bo tu i o byt nasz idzie. Dalej czytamy: „Mianujemy wam regimentarzem jeneralnym ks. Józefa Poniatowskiego. Dodajemy mu za wice-regimentarza ks. Eustachego Sanguszkę... Gromadzić się należy pod chorągwią marszałków po ziemiach i powiatach, gromadzić się podług przepisów, które wam ogłaszamy.“ Na drugiej stronie tejże samej karty in folio, na której ogłaszano odezwę rady generalnej, znajduje się „Urządzenie, podług którego pospolite ruszenie stawić się ma.“

„Urządzenie“ powyższe przepisuje: z uwagi, że konfederacya generalna ostrzeżoną została przez radę ministrów o nagłej potrzebie kraju, zwołuje więc pospolite ruszenie podług następujących prawideł: „1) Każdy szlachcic osiadły, z tego powiatu, w którym do ksiąg obywatelskich jest zapisany, ma wsiadać na koń, lub swoją osobą, lub też przez zastępcę. 2) Każdy mieszkaniec, posiadający dobra ziemskie, chociażby nie był szlachcicem, każdy dzierżawca dóbr ziemskich i narodowych obowiązany czynić to samo. 3) Ani wiek, ani urząd, ani żadna inna przyczyna, prócz aktualnej służby wojskowej, nie uwalnia od stawienia się na pospolite ruszenie osobiście lub przez zastępcę. 4) Po tych, którzy się osobiście stawią, nie wy-

maga się ani jednakowego ubioru, ani jednakowej broni, każdy może wyjechać na koniu, jakiego może posiadać. 5) Ci, którzy za siebie dostawią zastępców, powinni ich na zdrowych koniach, bez względu na lata i wzrost, dostawiać. 8) Na marszałków pospolitego ruszenia pod hasłem konfederacyi mianowani zostali: na warszawskiego Grabieński, na krakowskiego Walewski, poznańskiego Szołdrski, kaliskiego Skórzewski, radomskiego Popiel, bydgoskiego Słubicki, lubelskiego Radzimiński, płockiego Glinka, łomżyńskiego Orsetti i na siedleckiego Niemira."

„9) Regimentarz generalny, w celu spiesznego zebrania i urządzenia pospolitego rutzenia, przeznaczy rotmistrzów i chorążych, ograniczając ich liczbę w miarę potrzeby, którą mu marszałkowie przedstawią. 10) Marszałkowie są pod bezpośrednią władzą i rozkazami regimentarza jeneralnego lub vice-regimentarza. 12) Władze miejscowe na wezwanie regimentarza dostarczać będą żywności i kwater pospolitemu ruszeniu, a wszelkiej pomocy marszałkom, rotmistrzom i chorążym. 13) Marszałkowie, rotmistrze i chorążowie pospolitego ruszenia we wszelkich okolicznościach znosić się mają z władzami miejscowemi i od nich żądać pomocy, lecz w to wszystko, co jest udziałem władz administracyjnych, wdawać się bynajmniej nie mogą. Marszałkowie w czasie urzędowania mają stopień, odpowiadający randze generałów brygady, rotmistrze szefów szwadronu, a chorążowie randze kapitanów. Rangi atoli te nie dają im prawa komenderowania wojskiem liniowem."

„15) Lubo z obowiązków dawnych praw i zwyczajów, a mianowicie ustaw pospolitego ruszenia w Polsce, sama tylko szlachta osobiście lub przez zastępców do pospolitego ruszenia obowiązaną zostaje, wolno jest przecież marszałkom przyjmować pod znaki pospolitego ruszenia ochotników z mieszkańców nieszlachty, którzy się stawią uzbrojeni na własnych koniach. Takowi ochotnicy, oprócz wdzięczności kraju, którą im się najuroczyściej zaręcza, gdy po odbyciu pospolitego ruszenia złożą chlubne dla siebie świadectwa dowódców, do szlachectwa zaszczytów i nagród nabędą prawa. 16) Będzie postanowiony znak honorowy konfederacyi. Każdy, kto wytrwa do końca, mieć będzie do niego prawo. 17) Rada jeneralna udała się do rządu w celu wyznaczenia gruntów z dóbr narodowych, które rozdane będą po ukończeniu pospolitego ruszenia między zasłużonych i najmężniejszych, lub wdowom i potomstwu tych, którzy w boju chwalebnie polegną. Takowe nagrody rozdzielane będą przez radę jeneralną na przedstawienie regimentarza."

„18) Nadto obowiązuje się rada jeneralna temu z marszałków, który tysiąc koni pospolitego ruszenia najpierwej wystawi i do użycia regimentarzowi odda, wyjednać od rządu 10.000 złp. dochodu w ziemi. 19) Niniejsze pospolite ruszenie ulega rygorowi praw wojskowych. Ktoby nieupoważniony zbierał zbrojne kupy, uważany będzie za burzyciela spokojności publicznej. 20) Niniejsze pospolite ruszenie zwołuje się jedynie dla obrony granic kraju od napadu i skończy się z ustaniem niebezpieczeństwa napadu. Wreszcie 22) Gdy pospolite ruszenie uczyni wielu obywateli niesposobnemi do załatwienia procesów i pilnowania zwyczajnego biegu sądownictwa, przeto staraniem będzie rady generalnej, iżby na czas trwania tego pospolitego ruszenia Juristicium, czyli zawieszanie zwyczajnego biegu sądownictwa podług prawideł, przez władzę sądową określić się mianych, ogłoszonem przez też władzę zostało“ [1]).

(Dokończenie nastąpi).

Aleksander Rembowski.

---

[1]) Urządzenie to łącznie z odezwą liczy kart dwie i artykułów 23. Nie uważałem jednak za stosowne wszystkich cytować, ograniczyłem się na ważniejszych, z których większość podałem w skróceniu.

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

IV.

Cześć w prawie dzisiejszem.

(Ciąg dalszy).

Zresztą fachowa komissya, która układała austryacki projekt nowego kodexu karnego, była już niejako na tej drodze, ale zrobiła na niej tylko jeden krok i cofnęła się zaraz na dawne stanowisko, na szlak utarty w dzisiejszem prawie. Kiedy bowiem miała uzasadnić surowe postanowienie, skierowane przeciw publicznemu rozgłaszaniu ubliżających wieści o życiu prywatnem i rodzinnem, zwierzyła się ze swoich motywów w sposób następujący. Ze względu na doświadczenia wykazujące, że zabezpieczona w obowiązującem prawie osłona czci jest wobec zamachów, publicznie, szczególnie w prassie na nią wymierzanych, absolutnie niedostateczna, uznała komissya za rzecz konieczną, aby osłona ta została rozszerzona. Istnieje cała kategorya takich zamachów, które ani nie stanowią zelżenia, ani nie zawierają w sobie zarzutu niehonorowego a jednak mogą być w najwyższym stopniu dotkliwe i wyrządzić dotkniętemu przykrą ujmę w opinii publicznej. Do tej kategoryi należą wieści o dyskretnych sprawach życia prywatnego i rodzinnego. W drugim rzędzie zatem, w sposób niejako uzupełniający, podniesiona została tutaj opinia publiczna, stanowiąca, jak widzieliśmy w właściwej definicyi obrazy czci, punkt ciężkości, a natomiast na pierwszy plan wysunięto przykrość, więc kryteryum psychicznej natury, motyw, na który uważny komentator w danym razie musiałby zwrócić uwagę, z którym jednak sędzia, zakuty w zbroję mechaniczno-paragrafowej interpretacyi, liczyć się nie będzie.

Wzmianka o takim sędziu naprowadza nas na argument, którym ze stanowiska pozytywizmu prawnego tak powyższe jak i dalsze uwagi odsądzić można od charakteru postulatów, posiadających znaczenie praktyczne. Sędziemu trzeba dać w prawie — tak mniej więcej opiewałby ten argument — jasne, niejako dotykalne kryterya rzeczy, ażeby ustawa była ściśle stosowana a dowolność nawet w dobrej intencyi nie znalazła punktu oparcia. Ktoby śmiał powątpiewać o trafności tego argumentu tam, gdzie kryterya dla kwalifikacyi prawnej pewnego czynu dadzą się ująć w ramy ścisłego określenia ze wszystkiemi zewnętrznemi znamionami? Ale do wszystkich przestępstw i ich kryteryów zastosować tego niemożna a i tam nawet, gdzie zewnętrzne znamiona czynu zdają się nie pozostawiać żadnej wątpliwości, może ona powstać w sumieniu sędziego, jeżeli jego uwaga zwróci się ku niedostrzegalnym i nieuchwytnym dla obcęg definicyjnych czynnikom psychicznej natury, jak intencye, wpływy moralne różnego rodzaju i t. p. Niemożna więc w ogóle mówić o niewolniczem skrępowaniu uznania sędziego, jako o bezwarunkowym postulacie sprawiedliwości, niemożna zakuwać sędziego w tak ciężką zbroję paragrafowego mechanizmu i formalizmu, żeby aż ręką, w którą włożono miecz prawa, nie mógł swobodnie poruszać. Komissya austryacka zajęła stanowisko przeciwne takiej samodzielności sędziego właśnie w uwagach swoich o dowodzie prawdy, oświadczając tam, że nie należy „subjektywnemu uznaniu osądzającego sprawę przyznawać co do ocenienia konkretnych momentów nadto swobodnego zakresu“. Swoją drogą jednak „dobra wiara“ w wypadkach obrazy niepopełnionej publicznie uchodzić ma za okoliczność, znoszącą karygodność czynu. Mamy więc błędne koło, bo sędzia miałby być raz jaknajmniej samodzielnym w ocenianiu konkretnych momentów a drugi raz bez ograniczeń rozstrzygać o takich imponderabiliach moralnych, jak dobra wiara.

Rzecz godna uwagi, że w takie błędne koło ustawodawca austryacki wpada szczególnie wtedy, gdy cześć wchodzi w rachubę. I tak n. p. w dwóch paragrafach (15. i 16.) pozostawiono sędziemu wybór między ciężką a zarazem i hańbiącą karą więzienia lub tylko lżejszym jej stopniem, który nie wyciska jeszcze prawnego piętna hańby. Dyrektywą w tej mierze ma być charakter intencyi, z jakich wypłynął czyn karygodny. Wpływać mają na tę decyzyę „bezecność intencyi“, „nieuczciwość“ i „bezwstydność“ — więc motywa, których rozpoznanie wymaga koniecznie swobody „subjektywnego uznania“.

Mimochodem wypada przytem podnieść jednę okoliczność, która wiele wątpliwości tłumaczy a na stosunki życia prawnego rzuca charakterystyczne światło. Forma, w jakiej dana jest powyższa dyrektywa co do wyboru rodzajów więzienia, stanowi poniekąd wotum nieufności dla sędziego. Mówi bowiem komissya w sprawozdaniu swojem o zastrzeżeniach w tej mierze poczynionych, że „wyraźne ich przytaczanie byłoby zbyteczne dla sędziego świadomego swoich zadań *(bei einem verständigen Richter)*“. Jeżeliby tedy ustawodawca świadomość taką uważać mógł — jak być powinno w normalnym stanie rzeczy — za naturalny punkt wyjścia, to nie byłaby ani niewykonalną, ani nawet wygórowaną pretensya do prawa dzisiejszego, aby w danym razie miara samodzielności sędziego znacznie została podniesiona. Jeżeliby kto na to odpowiedział uwagą, że nie wystarcza tutaj zwykła świadomość obowiązków zawodowych, lecz potrzeba dla takich zadań sędziego innej miary, czy nawet innego stylu, a to takiego, któryby w porównaniu z dzisiejszym uchodził chyba za ideał, to i tem jeszcze nie odebrałby podstawy powyższej pretensyi do prawa, lecz tylko dałby powód do dalszego zarzutu, że w dzisiejszej organizacyi państwowo-prawnego aparatu wykonawczego urząd sędziego nie został jeszcze dotąd postawiony tak wysoko, jak tego wymaga jego niezmiernie ważna missya społeczna, że w dzisiejszym pedantyczno-biurokratycznym ustroju funkcye sędziowskie nie są otoczone taką powagą, jakiej wymaga już nie idealnie pojmowany majestat prawa, lecz taki sposób jego stosowania, aby społeczeństwo z otuchą chronić się mogło pod jego opiekę ze wszystkiemi materyalnemi i moralnemi dobrami swojemi.

Takiej otuchy obecnie wzbudzić niemoże ani upośledzone stanowisko obrazy czci w dzisiejszych kodexach karnych, ani sędzia-biórokrata, przyzwyczajony — co prawda poniekąd także i z winy samego społeczeństwa, odpowiadającego na to upośledzenie nie protestacyą i żądaniem godziwej reformy, lecz abstencyą — do traktowania spraw tej kategoryi w taki sposób, jakgdyby to były natrętne drobiazgi, nie zasługujące na większą uwagę, owszem nawet niegodne tego, aby zajmowały wykonawcy prawa czas i trud kosztem innych spraw, w kodexowej hierarchii przestępstwa wyżej postawionych. Prawo dzisiejsze notorycznie dawało a austryacki projekt nowego kodexu karnego dalej daje powód do takiego lekceważenia obrazy czci, stawiając ją w jednym rzędzie, bo w jednej kategoryi przestępstwa, ze sprawami niegodnemi tego stanowiska, aktami naruszenia porządku publicznego, mianowicie ze zwyczajnemi brutalnemi insultacyami, jakie w niższych klasach stanowią zjawisko co-

dzienne, z pospolitemi burdami policyjno-karnego charakteru, które pod względem objektywnym i subjektywnym tak są podobne do obrazy czci, jak przetrzepanie ulicznika do delikatnie wymierzonego policzka w klasach, w których opinii stanowi to bez względu na siłę uderzenia najwyższy szczyt zniewagi. Ta wina samego prawa łagodzi winę jego wykonawcy, o ile on bagatelizowaniem całego komplexu przestępstw obrazy czci przyczynia się do dzisiejszego smutnego stanu. Nad abstencyą samego społeczeństwa już chyba tylko litować się można. Mimo świadomości bowiem, że stan jest jaknajgorszy i że abstencya ta utrwala go jeszcze więcej, niemożeono inaczej postępować. Czyż można bowiem brać to komu za złe, że nie chce szukać satysfakcyi tam, gdzie jej znaleść niemoże, gdzie owszem byłby tylko wystawiony na dalsze przykrości?

W obecnym stanie rzeczy nawet ów dowód prawdy, z założenia swojego mający być najlepszym środkiem jawnego stwierdzenia nikczemności podniesionego zarzutu, lub zdemaskowania szalbierza, który pozorami w błąd wprowadza opinię i dla dobra społecznego jaknajprędzej powinien być strącony ze stanowiska, podstępnie w opinii zajętego, nietylko nie podnosi powagi sprawy, lecz nawet przyczynia się do spotęgowania tej abstencyi społeczeństwa. Skoro bowiem forum, przed którem rozgrywają się takie sprawy, dziś nie jest otoczone taką powagą, żeby jego głos mógł stanowczo zapanować nad opinią, to dowód prawdy niemoże doprowadzić do celu. Jeżeli się powiódł zupełnie, to zdemaskowanie szalbierza nie daje jeszcze bez pomocniczej, od ogólnego zainteresowania się sprawą zależnej, akcyi opinii publicznej tej pewnej rękojmi, że szalbierz taki już skończył swoją rolę. Wszczęty zaś dla szykany tylko i chybiony dowód prawdy naraża napastnika na lekką i w każdym razie nieodstraszającą karę, chociaż tak ciężkiej krzywdy doznał ten, kto mimo nieskazitelności swojej nietylko stał się ofiarą nikczemnego zamachu na cześć, lecz nadto jeszcze znosić i słyszeć musiał wszystko, co przeciwnik napastliwy w formie wrzekomego prowadzenia dowodu prawdy a właściwie tylko dla dalszej jeszcze szykany powtórzył przed sądem jawnie i to przy tak dziś hucznym akompaniamencie reporterki dziennikarskiej. Któż w takim stanie rzeczy zalecić może w dobrej wierze szukanie satysfakcyi na tej drodze? Są oczywiście sytuacye przymusowe, w których innego wyjścia niema, ale to właśnie jeszcze więcej zaciemnia obraz stosunków, skoro z winy urządzeń prawnych nawet takie tortury moralne mają czasem uchodzić za jedyny środek satysfakcyi prawnej.

Komissya, która układała austryacki projekt nowej ustawy karnej w ostatniej redakcyi, podnosi to w swojem sprawozdaniu z widoczną pretensyą do uznania i pochwały, że rozszerzyła zakres dowodu prawdy, zmieniając pod tym względem projekt rządowy. Po tem wszystkiem, cośmy powyżej powiedzieli o osłonie czci w prawie dzisiejszem, mogłaby ewentualnie dalsza komissya redakcyjna znowu ścieśnić zakres dowodu prawdy i mimo to rościć sobie także równą pretensyę do uznania. Jestto bowiem właśnie jedno ze znamion niepewności stanu prawnego w tej kwestyi, że w ustawodawstwie europejskiem znaleść można objaśnione praktycznemi przykładami wzory i argumenta równej siły tak w jednym, jak i drugim kierunku [1]). Swoją drogą w samej naturze sprawy leży trudność zasadnicza, wskutek czego n. p. w dziełach dwóch filozofów-prawników francuskich, zgodnych ze sobą w traktowaniu czci jako własności moralnej i w uznawaniu analogii z prawem własności w ogóle, w dziełach Francka i Beaussire'a, spotkać się można z wręcz przeciwnemi zdaniami. Pierwszy z tych pisarzy w dziele już powołanem [2]) stawia pytanie, czy prawda, której wyrazem jest w danym razie dyffamacya, może być wystawiona na rygor prawa karnego i odpowiada kategorycznie: „Tak, niewątpliwie; dyffamacya jest wyrazem prawdy, ale prawdy, która do nas nie należy . . . Cześć jest własnością moralną, na którą zamach jest co najmniej tak karygodny, jak zamach na własność materyalną. Alež — możnaby powiedzieć — własność ta jest źle nabyta. Cóż komu do tego? Kto ustanowił napastnika sędzią czci i szacunku innych, kto upoważnił go do podkopania tej czci i szacunku, jeżeli ich tytuł wydaje się niedostatecznym? Czy kto z własnej mocy odważy się odebrać drugiemu jego dom, pole, w ogóle dobra dlatego, że nie wierzy, aby one były owocem pracy uczciwej?“

Beaussire, który zgodnie ze swoim filozoficznym poglądem na zasady prawa także cześć uważa za własność moralną, wcale odmiennie zapatruje się na dowód prawdy i to tak w głównem dziele swojem [3]), jak i w rozprawie powyżej przytoczonej, która ma na celu właśnie obmyślenie praktycznych a skutecznych środków osłony czci wobec notorycznej niedostateczności tych, któremi dzisiejsze prawo rozporządza. „Jeżeli — mówi ten pisarz — demaskuję niegodziwca,

---

[1]) Heinrich Lammasch: *Diebstahl und Beleidigung* — Rechtsvergleichende und criminalpolitische Studien — Wien 1893.

[2]) A. Franck: *Philosophie du droit pénal* (j. w.) str. 119.

[3]) E. Beaussire: *Les Principes du droit* (j. w.) str. 111 i 383 i n.

który pozorami szlachetności i ofiarności obałamuca opinię, to spełniam tem obowiązek wobec społeczeństwa, spełniam czyn pod naciskiem słusznej indygnacyi i z bezinteresowanej troskliwości o dobro publiczne, więc akt nietylko dozwolony, lecz i wskazany, więc godny wszelkiej pochwały.“ Jeżeli do czynu tego skłoniły kogo inne pobudki, n. p. chęć wywarcia zemsty lub wyświadczenia przysługi interesom stronnictwa, to niema on już moralnej wartości obowiązku spełnionego, ale zawsze jeszcze posiada charakter wykonania prawa. Prawo pozytywne bowiem nie wchodzi w motywa czynów, które uznaje za dozwolone, mianowicie nie wymaga tego, aby, o ile są dozwolone, dokonane zostały ściśle z poczucia obowiązku, lecz tylko, aby nie popadły w dysharmonię z obowiązkiem. „Jakiekolwiek zatem były motywa usługi oddanej społeczeństwu przez rewelacyę tajemnicy, hańbiącej człowieka niesłusznie czci zażywającego, będzie to zawsze akt wykonania prawa, zależnego od jednego tylko warunku, t. j. od dowodu prawdy co do faktów podanych.“ W wyjątkowych wypadkach rzecz niemoże być tak pojmowana, n. p. wtedy, gdy takie bezwzględne wykonanie prawa mogłoby zniszczyć byt rodziny człowieka, który tylko dzięki ukryciu plamy na czci swojej może utrzymać się na drodze uczciwej pracy, więc na drodze rehabilitacyi. Jestto korektywa moralna, której warunki odmienne w każdym wypadku, tak, jak stosunki osobiste, nie dadzą się w sposób paragrafowy zgeneralizować. Korektywa ta jednak nie osłabia w wywodzie Beaussire'a zasadniczego uznania prawa do demaskowania szalbierzy przez dowód prawdy.

Jak można wytłumaczyć tę różnicę w zapatrywaniach dwóch pisarzy, wychodzących z tego samego stanowiska w uznawaniu czci jako własności moralnej, zasługującej na taką samą osłonę prawną, jak własność materyalna? Tylko w ten sposób, że się przypuści, iż Franck miał na oku obecną tak niedostateczną dla czci osłonę prawną i zmiany na lepsze nie brał nawet w rachubę, kiedy tymczasem Beaussire właśnie na taką reformę kładzie główny nacisk. Żąda on mianowicie ustanowienia osobnych sądów honorowych dla spraw obrazy czci, sądów tak zorganizowanych, żeby powagą swoją dawały potrzebną rękojmię obrażonemu, a wydających orzeczenia swoje w taki sposób, aby nawet wtedy, gdyby szczegóły, wykazujące płonność zarzutów podniesionych, przez wzgląd na inne osoby, niewinne ofiary takiej sytuacyi, nie mogły być w całości wyjawione jako dowód niezbity, już w samem umotywowaniu orzeczenia leżała rękojmia prawdziwości i powaga, potrzebna do stłumienia wszelkich powątpiewań. „W sprawach czci — tak mówi Beaussire, uzasadniając swoje

zdanie — w których sumienie zawsze przemawia dobitniej i jaśniej, aniżeli ustawa, żadna jurysdykcya nie zdoła dorównać orzeczeniu przysięgłych." Ujemnych stron dzisiejszego urządzenia sądów przysięgłych pisarz ten wcale nie zapoznaje, ale mimo to wszystko twierdzi, iż one tylko mogą dać wyraz głosowi sumienia w sprawach tak skomplikowanych, zwłaszcza wtedy, gdy organizacya zastosowana zostanie do ich natury wyjątkowej. „Przysięgli mogliby być albo wskazani przez obie strony, albo losowani z listy naprzód ułożonej. W tym ostatnim wypadku należałoby listę generalną zastąpić listami specyalnemi... Jakąkolwiek kombinacyę pod tym względem weźmie się w rachubę, zawsze główny nacisk na to położyć należy, aby połączone były wszystkie warunki, potrzebne do nadania jaknajwyższej powagi orzeczeniom w sprawach tak delikatnej natury."

Stanowisko, jakie prawo pozytywne zajmuje w sprawie osłony czci, rozstrzygać musi także o jego stanowisku wobec pojedynku, tego — mówiąc słowami Bindinga — „wielkiego misteryum naszego życia honorowego". Kiedy prawnik dotknąć ma sprawy pojedynku, to chociażby ona, jak tutaj, nie stanowiła głównego tematu, lecz tylko jeden ze szczegółów illustracyjnych, nie dających się pominąć, zastrzedz się powinien tak samo, jak filozof, któremu w jakiej sprawie omawianej wejdzie w drogę kwestya wolnej woli. Czem ostatnia kwestya jest dla filozofa, tem pierwsza dla prawnika, tematem o zakroju niezmiernym nawet w takim razie, gdyby tylko wypadło ograniczyć się na zwięzłem ale kompletnem zestawieniu głównych punktów spornych i wątpliwości, w polemicznych rozprawach z jednego pokolenia na drugie przechodzących.

Obojętna jest tutaj dla nas geneza pojedynku i kwestya, na czem właśnie opiera się jego historyczna rola, jako uniwersalnego środka zaradczego tak w drobiazgowych sprawach konwenansów towarzyskich, jak i w najzawilszych i najtragiczniejszych zarazem konfliktach honorowych. Skoro Niemcy, mający najwięcej pretensyi do wątpliwego zaszczytu inwencyi pojedynkowej, zrzekają się go na rzecz Francyi [1]), przeto w dalszych uwagach wypadnie nam częściej powoływać się na zdania francuskich prawników, jako na klassyczne świadectwa. Jeden tylko szczegół historyczny trzeba tutaj osobno podnieść. Ustaliło się mniemanie, jakoby pojedynek był zwyczajem głęboko zakorzenionym w społeczeństwie europejskiem od niepamiętnych czasów, jakoby zatem był niejako złem tak nieroz-

---

[1]) Dr. C. E. Jarcke: *Handbuch des gemeinen deutschen Strafrechts* (j. w.) t. II. str. 226 i n.

dzielnie połączonem z naturą ludzką, jak przestępstwo w ogóle. Tymczasem jestto fakt historyczny, że pojedynek dzisiejszy, jako konwencyonalny sposób załatwiania spraw honorowych, wszedł w zwyczaj, czy w modę, dopiero na schyłku XVI. stulecia. Staliśmy wtedy pod tym względem na równi z zachodnią Europą. I u nas bowiem dopiero w tym czasie zapanowała mania pojedynkowa, jak świadczy pierwszy ślad repressyi prawnej w konstytucyach sejmu walnego z r. 1588. „Iż się to między ludźmi rozbieżało — mówi to postanowienie prawne [1]) — że jeden drugiego na pojedynek wyzywał nad prawo chrześciańskie: tedy uchwalamy, aby żaden szlachcic szlachcica na *duellum* nie wyzywał: a wyzywany aby się nie stawił, oprócz żeby to było komu przez Nas dopuszczone. A ktoby się przeciw temu postanowieniu ważył tego uczynić, tedy ma siedzieć pół roka w wieży, y sześćdziesiąt grzywien dać, o co *forum* w ziemstwie.“

Po za kołami professyjnych bohaterów pojedynkowych w ogóle, w kołach prawniczych w szczególności, niemoże być pomijany fakt, że pojedynek stanowi już z natury swojej jawne i dobitne wotum nieufności tak dla prawa, jak i dla społeczeństwa. Co do prawa charakterystyka ta byłaby trafną nawet w takim razie, gdyby prawo karne nie wyciskało zawsze i wszędzie na pojedynku piętna przestępstwa. Jestto bowiem przecież jawne ignorowanie, nawet prosta negacya prawa, jeżeli osoby, jak to z natury rzeczy wynika, wykształcone a przytem pewnie świadome istoty i zadań prawa, nie oglądając się wcale na nie, lecz owszem pod okiem jego organów, szukają w otwartej walce z przeciwnikiem rozwiązania sporu z pretensyą do takiego uznania, jakie się prawdziwemu bohaterstwu w służbie obowiązków należy, jeżeli dalej sama tajemniczość przygotowań nie jest wypływem takich skrupułów, jakie każde przestępstwo jako złe w sumieniu wzbudzać powinno, lecz stanowi niejako dalszy despekt dla prawa, jako obliczona na uspienie jego czujności lub wyprowadzenie w pole jego organów, uznanych z góry za niezdolnych do interwencyi, poniekąd nawet niegodnych tej interwencyi. Wotum nieufności, jakie dla społeczeństwa pojedynek stanowi, nie jest może tak uderzające, ale mimo to równie stanowcze. Człowiek nieskazitelnego charakteru, bardzo często nawet zasłużony długą działalnością publiczną pod okiem społeczeństwa, więc znany mu dobrze, niemoże w danym razie polegać na jego poparciu, jeżeliby wbrew konwenansowi, czy przesądowi, nie odpowiedział wyzwaniem na uchy-

---

[1]) *Volumina Legum* t. II. str. 255. *De duellis.*

bienie, które w innym składzie rzeczy możnaby a nawet należałoby zbyć pogardliwem lekceważeniem. Z drugiej strony znowu indywiduum. które jest zerem, jeżeli nie wprost szkodliwym pasożytem dla społeczeństwa, nie lęka się wcale jego sądu potępiającego, jeżeli posiadając dzięki zimnej krwi i wprawnej do broni ręce zapewnioną przewagę na arenie pojedynkowej, wyzyskuje ją najniegodziwiej na prowokacye i terroryzowanie swoich ofiar. Odwaga cywilna, przynosząca każdemu najwyższy zaszczyt w służbie obowiązku, czyni takiego człowieka, jak mówi Binding, „tak samo niebezpiecznym. jak jest pogardy godnym, więc podwójnym nikczemnikiem, plagą ludzkości.“ Jeżeliż mimo to taki podwójny nikczemnik poważa się nadto jeszcze przybierać pozę bohatera i wychodzi mu to na dobre, to jestto już nietylko wotum nieufności, lecz akt formalnego lekceważenia dla społeczeństwa. Że jednak to lekceważenie nie jest tak powszechnie uznawane a raczej uczuwane, jak być powinno, że wrzekomy heroizm pojedynkowy nawet lichym awanturnikom ciągle jeszcze pozwala uchodzić za ludzi niepospolitych, to w każdym razie zapisać trzeba na rachunek tych licznych ujemnych pozycyi naszego stanu moralnego, nawet cywilizacyjnego w ogóle. które dopiero dalsza ewolucya społeczna wyrównać musi.

Ponieważ w horoskopach tego rodzaju prawu przyznawana jest kierownicza missya nawet tam, gdzie sprawa traktowana jest nie ze specyalnie prawnego stanowiska, lecz z najszerszego historyczno-cywilizacyjnego widnokręgu [1]), przeto szczególnej wagi nabiera kwestya, jak sprawę pojedynkową rozwiązuje projekt austryackiego kodexu karnego, który jako wynik przeszło dwudziestoletniej pracy kodyfikacyjnej powinienby przecież zawierać w tej arcydrażliwej a zarazem dla prawa i arcysmutnej sprawie jeżeli nie rękojmię polepszenia sytuacyi, jeżeli nie reformę zasadniczą, to przynajmniej wzmocnienie tej pozycyi, jaką dzisiejsze prawo karne w walce z pojedynkiem zajmuje. Żeby krótko a węzłowato scharakteryzować postanowienia tego projektu o pojedynku, nie wahamy się powiedzieć, że zawierają po pierwsze jeżeli nie otwartą kapitulacyę prawa, to przynajmniej preliminarya do takiej kapitulacyi, a powtóre — co najgorsza — poważne ostrzeżenie dla społeczeństwa, aby także zachowało się potulnie i nietylko nie uszczuplało dzisiejszych ustępstw na rzecz pojedynku, lecz owszem dając za wygraną i zapominając nawet o przykładzie Anglii, tak zachęcającym do odmiennego po-

[1]) N. p. Otto Hausner: *O pojedynku* — Lwów 1880.

stępowania, znosiło pojedynek jakby jaką instytucyę, usankcyonowaną zwyczajami, już nigdy zmienić się nie dającemi.

Nie jestżeż bowiem taką kapitulacyą już samo wyjęcie pojedynku z tego jednolitego szeregu zbrodni, w jakim stawia go kodex karny obecnie obowiązujący i wyznaczenie mu stanowiska uprzywilejowanego, co więcej prawie dystyngowanego nietylko w rodzaju kary zagrożonej, lecz w ogóle w całym sposobie traktowania rzeczy? Dystynkcya ta posuwa się tak daleko, że ustawodawca dla niej czyni jeden wyłom po drugim w tej samej logice, na którą w sprawozdaniu swojem co do innych postanowień karnych zwraca uwagę nieraz aż z prawdziwie lękliwą ścisłością. Chociaż bowiem ostatecznie uznaje pojedynek czynem karygodnym, uwalnia samo usiłowanie od kary a funkcye sekundantów, świadków i t. d., więc osób, biorących udział w czynie karygodnym od początku do końca, zostały nietylko wyjęte z pod odpowiedzialności karnej, lecz nawet wprost ulegalizowane. Położono mianowicie nacisk na przestrzeganie „ułożonych lub zwyczajem ustalonych reguł pojedynkowych“, jako na okoliczność, wpływającą w danym razie na surowszą lub łagodniejszą kwalifikacyę czynu co do głównych aktorów. Cały dawny rygor karny ostał się tylko wobec tak zwanego pojedynku amerykańskiego, nacechowanego nadal całem piętnem zbrodni i zagrożonego na prawdę taką karą, jaka się zbrodni należy, chociaż istota i główne znamiona nie uprawniały bezstronnej polityki ustawodawczej do stanowienia takiej różnicy zasadniczej między obiema kategoryami tego wotum nieufności dla prawa jedynie dlatego, że w jednym wypadku wotum to zostaje wypowiedziane „według ułożonych lub zwyczajem ustalonych reguł pojedynkowych“ a w drugim wypadku obie strony, nie oglądając się na te reguły, wcale zresztą nie zabezpieczające zwycięztwa słusznej sprawie, samemu losowi pozostawiają decyzyę o życiu lub śmierci.

Że w tym zarzucie kapitulacyi prawa wobec pojedynku niema przesady, o tem przekonać się można z brzmienia tego ustępu sprawozdania, w którym komissya spowiada się ze swoich motywów. Traktowano pojedynek pobłażliwiej, gdyż trzeba było „liczyć się z zapatrywaniami, głęboko zakorzenionemi w pewnych klasach społeczeństwa“, zatem i „osłabić dyametralną sprzeczność, w jaką popada ustawodawstwo z zapatrywaniami pewnych kół społecznych“. Owe „pewne koła“ przyklasną pewnie temu ustępstwu, ale inne znowu „pewne koła“, i to niezawodnie liczniejsze, będą mogły z zupełną racyą powiedzieć, że teraz dopiero powstanie „dyametralna sprzeczność“ między ich zapatrywaniami a tem najświeższem ustęp-

stwem prawa dla pojedynku. Gdyby w ogóle sprzeczność zapatrywań „pewnych kół“ z rygorem prawa karnego miała stanowić argument tak rozstrzygający dla ustawodawcy, to musiałby on wiele a wiele przestępstw puścić płazem a konsekwencye zawiodłyby go do granic absurdu. Nie chcemy illustrować tego twierdzenia szczegółami ani w sposób szyderczy, ani nawet żartobliwy, chociaż aż się prosi humoreska prawna na temat delikatnych względów ustawodawcy dla rozmaitych „pewnych kół“, których zapatrywania „dyametralnie sprzeczne“ z wielu przepisami karnemi, dotąd na szczęście wcale niedelikatnie bywają traktowane.

Ale ani szyderstwem, ani żartem byłoby pytanie, dlaczego ustawodawca nie powodował się powyższym argumentem w dziale przestępstw politycznej natury? Nie stawiamy tego pytania w tem znaczeniu, żeby to miało być reklamacyą rozszerzenia ustępstw pojedynkowi przyznanych także na przestępstwa ostatniej kategoryi. Chodzi tylko o zaznaczenie faktu, że ów motyw, wysnuty z zapatrywań „pewnych kół“ a raczej z „dyametralnej sprzeczności“ tych zapatrywań z obowiązującemi dotąd postanowieniami karnemi, nie jest argumentem, lecz tylko pretextem. Lepszym, bo przykładem Anglii poprzeć się dającym, jest już ten dalszy argument, że „pożądanego niewątpliwie całkowitego uchylenia pojedynku oczekiwać można tylko po powolnej zmianie zapatrywań i zwyczajów.“ Argument ten jednakże tłumaczy tylko niedostateczność samych środków prawnych bez współudziału społeczeństwa, ale w żaden sposób niemoże służyć za powód do osłabiania tych środków.

Nie było i nie będzie takiej doskonałej ustawy karnej, któraby objęła wszystkie odcienia złego i na wszystkie dawała skuteczne środki zaradcze. Największy optymista, jeżeli nie jest zarazem fantastą, bujającym w obłokach po nad sferą ludzkiego życia i ludzkiej natury, nie przypuści przecież, żeby na tym świecie możliwem było zupełne wyplenienie złego. Jest ono wieczyste w istocie swojej tak, jak wieczyście ułomnym w moralnem znaczeniu pozostanie człowiek na tej ziemi; jest ono przytem ciągle zmienne w swoich objawach zewnętrznych tak, jak ciągle zmienne są stosunki ludzkie, stanowiące tło tych objawów. Nie ustanie więc nigdy ta gonitwa czy walka prawa ze złem a w chwili, w której prawo, zniechęcone niezupełną skutecznością swoich środków, dałoby za wygraną, stanąłby już chyba u kresu nietylko jego rozwój, lecz w ogóle cywilizacyjny byt ludzkości. Niewolno więc prawu wypuszczać z rąk broni, ani nawet mitygować swojego rozpędu w walce z pewnemi objawami złego z tej jedynie przyczyny, czy pod tym tylko pretextem, że

samo nie da rady złemu, lecz musi wezwać do pomocy w walce społeczeństwo, w którego zwyczajach złe wrzekomo znalazło i silny punkt oparcia i kryjówkę bezpieczną. Społeczeństwo zawsze i co do wszystkich objawów złego musi pod grozą własnej zguby nieść prawu taką pomoc, ale prawo niemoże kapitulować, ani nawet ostygać w walce, jeżeli w ogóle pomoc ta ma być możliwą. Nie niesie się przecież odsieczy sile zbrojnej, już broń składającej, lub chociażby tylko układającej się o warunki kapitulacyi, lecz tylko takiej, która nie oglądając się na niebezpieczeństwo walczy z heroizmem do upadłego.

Uwagi powyższe mogłyby już wystarczyć i na odparcie dalszego twierdzenia austryackiej komissyi kodyfikacyjnej, że w repressyi karnej wobec pojedynku „prawo jest bezsilne a doświadczenie historyczne uczy, że ustawy w najwyższym stopniu drakońskie, wprowadzone w życie dla stłumienia pojedynku, okazały się bezskutecznemi.“ Pominąwszy jednak fakt, że mniej więcej to samo możnaby powiedzieć o większej części ciężkich zbrodni, przechodzących od wieków z jednego kodeksu karnego do drugiego, trzeba wziąć pod rozwagę jeszcze tę okoliczność, iż apodyktyczność powyższego twierdzenia, o ile ono odnosi się nie do zupełnego, z natury swojej — jak już powiedzieliśmy — niemożliwego wyplenienia złego, lecz tylko do poskromienia jego zuchwałości i do zmniejszenia jego rozmiarów, nie jest uzasadnioną a przynajmniej może być uważana i faktycznie jest nawet uważana za wątpliwą. Tarde, którego świadectwo jako oparte na doświadczeniach Francyi, klassycznej ziemi pojedynku i ojczyzny „kodexu“ pojedynkowego, ma nadzwyczajne znaczenie w tej mierze, wprost występuje przeciw utartemu zdaniu, jakoby surowe środki prawne były zawsze bezskuteczne wobec manii pojedynkowej. W polemice z Ferrim, powtarzającym to twierdzenie na poparcie ogólnie wypowiedzianego zdania o bezsilności wszystkich środków, któremi dzisiejsze prawo karne rozporządza, więc w polemice z wybitnym reprezentantem tego pozytywizmu karno-prawnego, któremu bądź co bądź także i Tarde hołduje, powołuje się ten pisarz dla poparcia odmiennego zdania swojego na stan Francyi pod rządami Ludwika XIV. Surowa repressya karna za panowania tego króla znacznie poskromiła manię pojedynkową [1]).

Zresztą gdyby nawet utrzymać się dała apodyktyczność twierdzenia o zupełnej bezskuteczności prawnej repressyi w sprawie pojedynku, to jeszcze i w takim razie dzisiejsze prawo, osłaniające cześć, jak widzieliśmy, w sposób bardzo niedostateczny, zapoznające

[1]) G, Tarde: *La philosophie pénale* (j. w.) str. 482.

niemal w współczesnych projektach reformy potrzebę wzmocnienia tej osłony, nie powinnoby przytaczać owego faktu jako argumentu, przemawiającego za ulżeniem repressyi, lecz raczej jako rys charakterystyczny sytuacyi obecnej. Że bowiem ta obojętność, czy bierność, prawa wobec bezpieczeństwa czci więcej objaśnia sytuacyę, aniżeli owo tak stereotypowo powtarzane powoływanie się na zakorzenione zwyczaje, to poświadcza bez ogródek i zastrzeżeń niemiecki prawnik, łączący w sobie wiedzę teoretyczną z praktyką sędziowską (Bülow), temi słowy [1]): „Nie ulega to pewnie żadnej wątpliwości, że sankcya karna wcale niedostateczna w ciężkich wypadkach obrazy czci a nadto i nieenergiczne stosowanie karnych postanowień przez sądy stanowi jeden z powodów, dla których pojedynek uważany jest jeszcze ciągle za niezbędny w kołach, nie należących wcale według swoich zapatrywań i zasad życia do sfer niereligijnych, niemoralnych lub lekceważących prawo.“ Jako przykład zwrotu ku lepszemu stanowi przytacza ten prawnik postanowienia nowego włoskiego kodexu karnego, według którego obraza czci, popełniona przez rozpowszechnianie pism lub w inny sposób, na rozgłos obliczony, ma być karana więzieniem od roku do pięciu lat i karę pieniężną od 1000 lirów. Tę drogę wskazuje filozof Eckstein [2]) w słowach, lapidarnie określających zadanie prawa: „Daremnie pojedynek bywa zakazywany. Chociażby grożono hańbą i szubienicą, zawsze pozostałby on w zapatrywaniu ogółu sprawą honorową. Trzeba jednak dotrzeć do samego źródła złego, trzeba zabezpieczyć cześć wobec obraz, trzeba wydać na to ustawy i ustanowić sędziów, a pojedynek należeć będzie do przeszłości. Nie wystarcza ucięcie samej korony drzewa; odrasta ono napowrót z korzenia.“

Kto nie ogląda się na luki w prawie, przyczyniające się w wysokim stopniu do podtrzymania pojedynku, jako smutnej konieczności, i bierze jedynie małą skuteczność repressyi karnej przeciw pojedynkom za punkt wyjścia, ten zarzuci projektowi austryackiemu połowiczność i w imię konsekwencyi posunie się o krok dalej, aż ku — formalnemu ulegalizowaniu pojedynku. Uczynił to jeden z krytyków tego projektu, dr. Dzbański [3]), który we wniosku, przez siebie po-

---

[1]) Br. Bülow (Reichsgerichtsrath): *Ueber den Schutz der Ehre und das Recht der freien Meinungsäusserung* (j. w.) str. 264.

[2]) J. Eckstein: *Die Ehre in Philosophie und Recht* (j. w.) str. 99

[3]) Dr. Stanislaus Ritter von Korwin Dzbański: *Der Zweikampf* (mit besonderer Berücksichtigung des neuesten Entwurfes eines österreichischen allgemeinen Strafgesetzes) — Wien 1893.

stawionym i umotywowanym, uznaje pojedynek wzbronionym tylko wtedy, gdy nie jest nieunikniony dla załatwienia pewnej sprawy honorowej, usuwającej się z pod decyzyi sędziego, i gdy nie odbywa się w obecności co najmniej trzech odpowiednich świadków według umówionych reguł. O tem, czy pewna sprawa usuwa się z pod decyzyi sędziego i czy wskutek tego pojedynek, jako wrzekomo nieunikniony, odbyć się może bezkarnie, byle tylko stało się to *lege artis* pojedynkowo-sekundanckiej, rozstrzygać miałyby osobne sądy honorowe. Taką samą radę w duchu kapitulacyi prawa daje społeczeństwu Ferri [1]) a za jego przykładem i inni kryminologowie pozytywistycznego autoramentu. Ale Ferri czyni to w dziele, którego myślą przewodnią jest wprost zagłada dzisiejszego prawa karnego, wypowiedziana a raczej streszczona tylko otwarcie w haśle: *ex morte vita!* Dr. Dzbański, którego z przytoczonej rozprawy niemożna zaliczyć do zwolenników Ferrego, zapewne mimowoli tylko zeszedł się z tym otwartym nihilistą na polu prawa karnego.

O organizacyi proponowanych sądów honorowych nie podał dr. Dzbański bliższych szczegółów. Skoro jednak niemożna nawet tego przypuścić, żeby miał na myśli jakiś ustrój biórokratyczny, krępowany literą prawa, lecz zapewne myślał o sądzie honorowym z wyłącznym lub przeważającym czynnikiem obywatelskim a taki sąd wobec upośledzenia osłony czci w prawie dzisiejszem niezawodnie uznawałby każdą drażliwą sprawę honorową za usuwającą się z pod decyzyi sędziego-biórokraty, przeto projekt dr. Dzbańskiego nie byłby niczem innem, jak tylko zupełnem ulegalizowaniem pojedynku, przeistoczeniem czynu dotąd karygodnego poniekąd na instytucyę z napół prawnym charakterem. Nasuwa się mimowoli pytanie, dlaczego owe sądy honorowe, które miałyby z wystarczającą dla prawa rękojmią orzekać, że pewna sprawa honorowa usuwa się z pod decyzyi sędziowskiej, że zatem pojedynek stał się nieuniknionym a w konsekwencyi legalnym środkiem obrony czci, czy satysfakcyi, nie miałyby, zamiast poprzestawać na tem wstępnem negatywnem tylko załatwianiu sprawy, wejść w jej treść i wyrokiem swoim dać dotkniętemu rzeczywistą satysfakcyę pod grozą infamii dla każdego, ktoby się takiemu wyrokowi nie zechciał poddać lub ktoby poważył się wyrok taki lekceważyć? Tem więcej nasuwa się to pytanie, ileże dr. Dzbański w swojej krytyce i w swoich wnioskach apeluje do społeczeństwa, jako najwyższej instancyi w sprawie czci, więc niezawodnie musiał mieć na myśli tylko sądy honorowe, wy-

---

[1]) H. Ferri: *La Sociologie criminelle* (j. w.) str. 237.

posażone dostateczną powagą społeczną i z zapewnionem poparciem ze strony społeczeństwa. Podnieśliśmy to pytanie, by wskazać, jak krucha jest wrzekoma konsekwencya, oparta na założeniu z cechą zasadniczej niekonsekwencyi wobec istoty i zadań prawa karnego.

W dyspucie naukowej na temat karnego charakteru pojedynku ważną rolę odgrywa generalizowanie pewnej kategoryi wypadków, nawet pewnych specyalnych wypadków. Grzeszą tem zarówno obrońcy pojedynku, jak i jego przeciwnicy. Ztąd pochodzi ta dyametralna sprzeczność zdań, bo pierwsi mogą poszczególnemi, czy to dla przykładu z fantazyi wysnutemi, czy rzeczywistemi wypadkami, poprzeć swoje zdanie równie silne, jak drudzy, którym życie codzienne dostarcza, niestety aż nadto wielu, charakterystycznych wypadków pojedynkowego tryumfu nikczemności nad słuszną sprawą. Twórcy austryackiego projektu nowej ustawy karnej snać częściej słyszeli o prawdziwie rycerskich rozprawach pojedynkowych i ztąd pochodzi ich respekt dla tej kategoryi czynów karygodnych. Prędzej już teoretykowi aniżeli ustawodawcy możnaby przebaczyć generalizowanie w sprawie, która tego nie znosi dla wypływającej już z natury rzeczy nadzwyczajnej rozmaitości kollizyi i motywów.

Ustawodawca nie mógł, co prawda, zapomnieć o tem, że w niejednym wypadku, nawet z tragicznym od początku do końca przebiegiem, raziłaby zwyczajna akcya prawa karnego, skierowana przeciw osobom, które w danym razie padają ofiarą fatalnej komplikacyi stosunków. Jakiż jednak wniosek ztąd wysnuć wolno każdemu a prawnikowi przedewszystkiem? Tylko ten, że prawo doskonałe, zapobiegające lub zaradzające złemu zawsze i w każdym wypadku, jest takiem samem niepodobieństwem, jak wszelka doskonałość na tym świecie, że zatem były, są i będą zawsze wyjątkowe sytuacye, wyjątkowe wypadki, z któremi prawo pozytywne rady sobie dać niemoże, że wreszcie w sprawie pojedynku można przewidzieć więcej takich wyjątków, aniżeli w każdej innej kategoryi czynów prawnie wzbronionych. Dla wyjątków jednak reguły ignorować niemożna, zwłaszcza wtedy, gdy, jak tutaj, korektywa nietylko nie jest niemożliwa, lecz nawet nasuwać się musi, jeżeli stosowanie prawa nie będzie pojmowane tak, jakgdyby ono z mechaniczną bezwzględnością odpowiadać musiało z jednakową repressyą na akta z powierzchownemi, zewnętrznemi znamionami identyczności, lub chociażby tylko uderzającego podobieństwa. Sędzia-biórokrata nie jest przecież już nietylko ideałem, lecz chociażby tylko takim typem wykonawczego organu prawa, jakiego w dzisiejszej fazie życia prawnego społeczeństwo wymagać może. Więc nietylko można sobie wyobrazić zmianę

na lepsze, lecz nawet dążyć trzeba do takiej organizacyi funkcyi sędziowskich, ażeby w ich obrębie wyrozumiałość dla wyjątkowych wypadków w powyższym rodzaju uchylała rażące sprzeczności między literą prawa a całym charakterem danego faktu. Jest wreszcie nawet i w dzisiejszym ustroju prawnym owo szerokie prawo łaski, które głowie państwa i najwyższemu zwierzchnikowi jego organów pozwala w wyjątkowych wypadkach wystąpić z interwencyą, uchylającą rażące skutki podobnych kollizyi prawnych. A jeżeliby już ustawodawcy wydawało się niezbędnem wydanie pozytywnej normy dla wypadków wyjątkowego znaczenia w powyższym rodzaju, to jeszcze i w takim razie nie ta droga jest najlepsza, którą projekt austryacki obrał, droga wiodąca do rezultatu widocznie niezgodnego z celem wytkniętym. Uwolnienie uczestników czynu karygodnego, sekundantów od odpowiedzialności i położenie nacisku na przestrzeganie reguł pojedynkowych, to właśnie najpewniejszy sposób wytworzenia całej klasy professyjnych bohaterów pojedynkowych, którzy nie obawiając się żadnej kollizyi z prawem karnem a mając w każdym razie takie ponętne widoki przed sobą, jak sensacyę, rozgłos towarzyski, pozory bohaterskiej missyi i t. p., na wyścigi gotowi będą nieść swoje usługi stronom powaśnionym w jakiejkolwiek sprawie i to usługi, pojmowane nie w duchu uśmierzającym, pojednawczym, lecz przeciwnie w takim, jaki wiedzie prosto na plac walki krwawej nawet w następstwie błahych nieporozumień.

Jeżeli tym wszystkim oficyalnym i nieoficyalnym projektom ulżenia rygoru prawnego przeciw pojedynkom przyświecają przykłady wojskowych rozpraw honorowo-pojedynkowych, to wnioskodawcy nie powinni zapominać o tem, że co można tolerować w świecie zamkniętym dla siebie tak osobnem prawem, jak i osobną organizacyą celową, w której chociażby do przesady posunięta wrażliwość na wszelkie nawet pozory uchybienia czci stanowi punkt kardynalny, to nie da się rozszerzyć na całe społeczeństwo bez podkopania porządku prawnego, w ogóle bez zachwiania całego porządku społecznego. Zresztą przykłady wojskowej organizacyi, czy legalizacyi, pojedynku nie są tak dalece zachęcające, jeżeli kto wtajemniczony uchyli zasłonę, oddzielającą tę widownię szczelnie od reszty świata. Pruskie normy wojskowo-pojedynkowe n. p. uchodziły zawsze pod tym względem za wzór doskonały a jednak rewelacye byłego kapitana Edmunda Millera mogłyby, zwłaszcza w oczach prawnika, rozwiać całą tę illuzyę [1]).

---

[1]) Edmund Miller: *Die Ehre* — Zürich 1891.

Jedynie możliwą bez kapitulacyi prawa drogę wskazali dwaj niejednokrotnie już tutaj wspomnieni pisarze francuscy, którzy sprawę czci a w konsekwencyi i pojedynku poddali głębszej obserwacyi i ocenie, Beaussire i Franck. Obaj, chociaż w niektórych szczegółach niezgodni ze sobą, w tem zgadzają się zupełnie, że najdalszem ustępstwem, jakie prawo uczynić może w sprawie pojedynku, jest uznanie, iż w pewnych wypadkach wyjątkowego znaczenia czyn taki, jakkolwiek zasadniczo podlegający kwalifikacyi karnej, zasługuje na usprawiedliwienie *(excusable)*. „W dzisiejszym stanie naszych obyczajów i naszych ustaw — mówi pierwszy pisarz [1]) — pojedynek zasługuje na usprawiedliwienie, ale tylko na usprawiedliwienie.“ To usprawiedliwienie jednak opiera się tylko na „niemocy prawa i legalnego wymiaru sprawiedliwości.“ Jeżeli samo społeczeństwo przyjdzie prawu w pomoc siłą moralną obyczajów, to pojedynek stanie się, jak w Anglii, już niejako tylko reminiscencyą historyczną. Dokładniej rozwija tę myśl Ad. Franck [2]). Zaczyna on od napiętnowania pojedynku, jako objawu wojny w samem łonie społeczeństwa, „wojny prywatnej, wstępującej w miejsce publicznej repressyi dla pomszczenia obrazy, wobec której społeczeństwo wydaje się być bezsilnem lub obojętnem a prawo rozbrojonem.“ Po tej ogólnej, zasadniczej uwadze Franck liczy się z takiemi do pojedynku formalnie zmuszającemi wypadkami wyjątkowego znaczenia, jak n. p. uwiedzenie żony lub córki, i mówi: „Pojedynek nie zawsze jest takim zbrodniczym aktem, za jaki się go uważa: czasem stanowi on nawet pożyteczne uzupełnienie akcyi prawa, przychodzi w pomoc społeczeństwu i rodzinie zniszczonej. Mimo to sądzę, że wymaga on repressyi, ale repressyi z mocy ustawy specyalnej, która o tyle większy odniesie skutek, o ile więcej przebijać z niej będzie umiarkowanie. Wykonanie takiej ustawy wymaga koniecznie interwencyi sędziów przysięgłych, biorących w rachubę tak opinię i zwyczaje, jak i sprawiedliwość, a sąd przysięgłych powinien oprócz kwestyi okoliczności łagodzących objąć w tej sprawie także tę nową kwestyę, czy można pojedynek usprawiedliwić *(question d'excusabilité)*. Jeżeli fakt ten zostanie uznany, to orzeczenie takie stałoby na równi z uwolnieniem oskarzonego. Tylko pod tym warunkiem mogłoby być uchylone rozdwojenie między prawem a zwyczajami, między sprawiedliwością a opinią.“ Dalsze ustępstwo na rzecz pojedynku byłoby już niemo-

---

[1]) E. Beaussire: *La protection légale de l'honneur* (j. w.) str. 661 i n. i *Les Principes du droit* (j. w.) str. 112 i 369 i n.
[2]) Ad. Franck: *Philosophie du droit pénal* (j. w.) str. 109—113.

żliwe bez kapitulacyi prawa. A potrzebaż jeszcze w odpowiednio udoskonalonej organizacyi sądownictwa większego ustępstwa dla wypadków wyjątkowego znaczenia?

Na tem zamknąć możemy ten rozdział, gdyż cel wytknięty mu uważamy za osiągnięty. Głosy najznakomitszych prawników współczesnych, przytoczone dla illustracyi, ale nie wyczerpujące bynajmniej całego materyału naukowo-dowodowego, stwierdziły niewątpliwie, że w sprawie ochrony czci przed zamachami dzisiejsze prawo karne posiada luki wielkie, prawie rażące a społeczeństwo uczuwa je na każdym kroku. Jeżeliby horoskop, stawiany w tej mierze przez filozofię prawa pozytywnego autoramentu, miał być nieodwołalny, to ze słów jednego z jej wybitnych reprezentantów Lassona [1]) wypadałoby niepomyślny stan dzisiejszy uważać za ostatnie słowo jurisprudencyi. Nietylko bowiem uznaje on, że „na żadnem polu prawo nie jest w swoich środkach tak ograniczone a w skuteczności tak skrępowane, jak w sprawach ochrony i restytucyi czci“, lecz nadto z tem uznaniem „niemocy prawa“ łączy postulat, aby pojedynek, jako środek zaradczy w tej mierze, był „z pewnemi kautelami i w pewnych ciasno zakreślonych granicach“ traktowany pod względem prewencyi i repressyi „w sposób jaknajłagodniejszy“.

Ze szkicu krytyczno-informacyjnego o postanowieniach, jakie w tej sprawie zawiera austryacki projekt nowego kodexu karnego, wynika, że i w bieżącej fazie reform ustawodawczych niemożna jeszcze oczekiwać ani rychłego wypełnienia powyżej wskazanych luk w prawie, ani nawet blizkiego zwrotu ku stanowczej, zasadniczej zmianie dzisiejszych norm prawnych. Za miarę wzięliśmy projekt austryacki i przy nim dłużej zatrzymaliśmy się dlatego, że jako rezultat ćwierćwiekowej niemal pracy najznakomitszych sił austryackiego świata prawniczego, pracy wspieranej krytyką doradczą także całego niemieckiego świata prawniczego, projekt ten może być słusznie uważany za najwierniejszy wyraz dążności i kierunku bieżącej fazy reform ustawodawczych na polu prawa karnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) Adolf Lasson: *System der Rechtsphilosophie* (j. w.) str. 547—8.

PAMIĘTNIKI PUŁKOWNIKA d' ALOY

REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.

(Ciąg dalszy).

1 7 7 2. [1])

I.

Ogiński mianowany ministrem Rzeczypospolitej w Wiedniu. — Wielkie przygotowania wojenne Austryi i Prus. — Dziękczynne nabożeństwo za ocalenie króla. — Po raz pierwszy od czasu zamachu przyjmuje król na audyencyi ministrów zagranicznych. — Starosta wschowski jako minister-rezydent jedzie do Berlina. — Pacyfikacya.

Warszawa, 8. stycznia 1772.

Dwór wiedeński, jak to widzieliśmy z udzielonej królowi odpowiedzi, pragnie skłonić do zgody Rossyę i Portę i przywrócić spokój Rzeczypospolitej. Do spełnienia tych zamiarów potrzebna jest odpowiedź dworu petersburgskiego, która co do wszystkich głównych punktów będzie, jak się zdaje, kategoryczną i w oczekiwaniu na tę odpowiedź wstrzymany został odjazd kuryera wiedeńskiego. Z tej samej przyczyny p. Ogiński, mianowany ministrem Rzeczypospolitej przy dworze wiedeńskim, nie odjechał dotąd na swoje stanowisko.

Ambasador jednak rossyjski ma już, jak się zdaje, jakieś wiadomości, że odpowiedź ta zadowoli życzenia dworu wiedeńskiego,

[1]) Listy pułkownika d'Aloy z lat 1769, 1770 i 1771 zaginęły; dlatego zamieszczamy po r. 1768 bezpośrednio r. 1772.

gdyż oświadczył, że pokój i pacyfikacya nastąpią najpóźniej w końcu marca r. b.

Zdaje się jednak, że gdyby oba dwory, wiedeński i berliński, były z sobą w zgodzie pod względem środków pacyfikacyi kraju, nie trudnoby im było to przeprowadzić.

Ale przygotowania ich wojenne są tak wielkie, że trudno przypuścić, aby miały na celu samych tylko Polaków, i z pewnością ukrywają jakąś tajemnicę.

Dziś kończą się dziękczynne modły za ocalenie życie króla; odbywają się jeszcze uroczyste procesye i odśpiewane będzie *Te Deum*.

Król pokazał się publicznie po raz pierwszy w przeszłą niedzielę. Tylko sami ministrowie zagraniczni byli na posłuchaniu. Król przemówił bardzo uprzejmie, prosząc, aby w jego imieniu podziękowali swoim dworom za okazaną troskliwość z powodu nieszczęśliwego zamachu na jego życie, który, według jego zdania, przyspieszy zapewne pacyfikacyę kraju.

Wieczorem było przyjęcie u króla, który pytał p. Esseniusa o zdrowie Waszej Królewiczowskiej Mości.

Starosta wschowski, mianowany ministrem-rezydentem w Berlinie, wyjeżdża dziś na swoje stanowisko.

Ze wszech stron obiecują nam w tym roku pacyfikacyę. Daj Boże, aby takowa mogła wydać najlepsze rezultaty dla Waszej Królewiczowskiej Mości.

II.

Daremne nadzieje pokoju. — Konfederaci zdobywają szturmem Kraków. — Rewitzki ministrem pełnomocnym dworu wiedeńskiego i różne opinie co do tej nominacyi. — Pogłoski, że Prusy polskie i Pomorze mają przejść pod panowanie króla pruskiego. — Alarmujący raport o tem magistratu toruńskiego i nowe taryfy celne. — Wkroczenie świeżych wojsk rossyjskich na Litwę. — Dwóch nuncyuszów papieskich: Monsignor Durini i arcybiskup Garampi.

Warszawa, 18. lutego 1772.

Napróżno cieszyliśmy się nadzieją pokoju. Właśnie nadeszła wiadomość, że sułtan postanowił dalej prowadzić wojnę, a konfederaci zdobyli Kraków, wzięli szturmem zamek, samo zaś miasto poddało im się zaraz dnia następnego.

Żadna wiadomość nie wywołała takiego zainteresowania, jak wczorajsza, otrzymana sztafetą przez księdza Ghigiotti od nuncyusza Visconti z Wiednia, a mianowicie, że p. Rewitzki, z pochodzenia Madiar, z rodziny Palfi, mianowany został pełnomocnym ministrem

dworu wiedeńskiego przy Rzeczypospolitej, dla którego ksiądz Ghigiotti ma polecone nająć odpowiedni lokal i służbę. Stronnicy króla wystawiają sobie, że przybycie pomienionego ministra będzie gwarancyą szczerej przyjaźni i dobrego porozumienia pomiędzy dwoma dworami, a sama już jego obecność wystarczy do zaprzeczenia krążącym pogłoskom między publicznością, jakoby Austrya sprzyjała konfederatom. Przyjaciele znowu Rossyi i ci, którzy losy swoje złączyli z jej losami, uważają przybycie tego ministra za dzieło dworu petersburskiego, za rezultat nowego jego stosunku z dworem wiedeńskim, w celu utrzymania króla, położenia tamy nadmiernemu wzrostowi potęgi Prus i wspólnej pracy z ambasadorem rossyjskim nad przywróceniem spokojności w kraju.

Ci wreszcie, co należą do partyi przeciwnej, wyobrażają sobie, że Rewitzki będzie ich protektorem, że żądać będzie opuszczenia Warszawy przez wojska rossyjskie, albo że sprowadzi tu Austryaków celem przekonania ogółu, że dwór wiedeński ma takie same prawa do utrzymywania wojsk swoich w kraju tutejszym, jak dwór rossyjski albo pruski.

Są również i tacy, którzy niczego sobie nie obiecują po tym ministrze i, pomimo ogłoszeń w gazetach, nie chcą wierzyć nawet, aby Ogiński otrzymał audyencyę w Wiedniu.

Co do mnie, oczekuję spokojnie przybycia p. Rewitzkiego.

Nadeszła tu wiadomość z Prus, która zapewne każe zapomnieć o wszystkiem, co w powyższej kwestyi mówią. Zawiadamiają z Królewca, że całe Prusy polskie i Pomorze mają na pewne przejść pod panowanie króla pruskiego, że wszystkie mocarstwa europejskie zgadzają się już na podział kraju, że jednak Toruń i Gdańsk z ich okręgami zostały wyłączone wskutek nalegania Anglii i Holandyi, że nawet odbyła się już w Kwidzynie rada generałów pruskich z naczelnym komisarzem królewskim, wskutek czego zarządzono już wydanie nowych taryf celnych w prowincyach zabranych. Magistrat toruński przysłał tu już nawet alarmujący raport w tej sprawie.

Gdańsk dotąd milczy. Zabór jednak Pomorza przez króla pruskiego będzie zgubą dla tych miast, gdyż wówczas wszystko pójdzie Wisłą do Elbląga.

Otrzymaliśmy tu jeszcze dwie inne nowiny, które przesyłam do łaskawej rozwagi Waszej Królewiczowskiej Mości. Podają tu za pewną wiadomość o przybyciu ajenta tureckiego do Jass w celu układów o pokój, gdy jednocześnie listy z nad granicy Kurlandyi zawiadamiają o wkroczeniu świeżych wojsk rossyjskich na Litwę ze

znacznym parkiem artyleryi, pod który rozkazano ludności dostarczyć 1.500 koni.

Rzecz szczególna! będziemy tu mieli niebawem dwóch nuncyuszów papieskich jednocześnie. Monsignor Durini nie został dotąd odwołany (co nie może nastąpić, dopóki Papież nie da mu innego przeznaczenia), gdy tymczasem arcybiskup Garampi już jest w Wiedniu i z Rzymu jeszcze pisał do monsignora Durini o zamianowaniu go nuncyuszem w Polsce. Przybycie ostatniego, popartego specyalną protekcyą cesarza, które w krótkim czasie ma nastąpić, spowoduje wielkie zamięszanie i spory między tymi, którzy uważają monsignora Duriniego za stronnika konfederatów, a tymi, którzy w arcybiskupie Garampim chcą widzieć przyjaciela króla.

Nie kryję się z tem i wypowiadam otwarcie, iż nie pojmuję wcale, jaką wagę można przywiązywać do osoby tego lub owego nuncyusza.

Gdyby nawet sam papież znajdował się w Warszawie, byłby on tu jedynie cudzoziemcem bez władzy dawania jakiejkolwiek przewagi sprawom, bez wpływu na interesa Rzeczypospolitej, których rozwiązanie zależy jedynie i wyłącznie od sprzymierzonych mocarstw ościennych. Zdaniem mojem, sułtan byłby nierównie użyteczniejszym dla kraju, niż papież.

III.

Wkroczenie do Polski 20-tysięcznego korpusu austryackiego pod dowództwem gen. Haditz. — Rokowania pokojowe między Turcyą a Rossyą. — Prusacy rozciągają kordon aż do Sochaczewa, fortyfikują Poznań i kopią kanał, mający połączyć Wisłę z Notecią. — Powszechne przerażenie z powodu pogłosek o podziale Polski. — Król francuski i pani du Barry. — Traktat podziału zawarty między trzema ościennymi dworami. — Książę de Rohan wskutek tego wzywa Paca do Wiednia, aby mu oświadczyć, że konfederaci nie powinni się już niczego spodziewać. — Dwór warszawski i ambasador rossyjski zdają się nic o tem nie wiedzieć. — Lasocki zwycięża pułkownika Fabułowa, ale następnie sam dostaje się do niewoli. — Zaremba oddaje Drewitzowi 200 huzarów.

Warszawa, 6. *maja 1772.*

Austryacki generał Haditz wszedł do Polski z korpusem 20.000 ludzi od strony Sanoka, posuwając się w głąb kraju na mil 15.

Jak donoszą listy, stamtąd otrzymane, dowódca ten ma pod swymi rozkazami generałów-poruczników Esterhazego i Poniatowskiego, oraz generała-majora Bersard.

Ze strony tureckiej Osman-Efiendi z drugim jeszcze pełnomocnikiem przeznaczeni są do prowadzenia układów o zawieszenie broni z panem Simolin.

Pełnomocnicy rossyjscy: Orłow, Obrezkow i Lewaszow, znajdują się już w drodze do Jass, celem rozpoczęcia układów o pokój z Turkami d. 18. b. m. Jak mnie zawiadomiono z Petersburga, Obrezkow otrzymał od carowej 60 tysięcy, Lewaszow 30 tysięcy rubli gratyfikacyi.

Z powodu panujących tam chorób zaraźliwych, wątpię, czy będą w stanie dostać się do Jass. Mówią, że kongres odbędzie się w Bukareszcie, jeżeli poprzednie układy z Simolinem doprowadzą do pomyślnego rezultatu.

Prusacy rozciągnęli kordon swój aż do Sochaczewa, o 8 mil od Warszawy. Partya Zaremby bije się ciągle z woskami rossyjskiemi między Sochaczewem a Łowiczem, którym musiano spiesznie wysłać na pomoc dwa nowe oddziały.

Wiele tu opowiadają o wznoszonych przez Prusaków fortyfikacyach w Poznaniu, oraz o kanale, który król pruski kazał kopać dla połączenia Wisły z Notecią.

Powszechne przerażenie wywołały tu wiadomości o podziale Polski. Nawet sami Rossyanie zdają się być zdziwieni i niezadowoleni. Jedyną pomyślną perspektywą jest spodziewane zawarcie pokoju z Turkami, a poddanie się zamku krakowskiego oraz czynione przez wojska rossyjskie przygotowania na Tyniec lub Częstochowę nie obudzają zapału; powszechnie się tu dziwią, że Francya i Generalność w ciągu kilku miesięcy nie dały zamkowi krakowskiemu żadnej pomocy, ani potrzebnych środków obrony, a sprzymierzona z tem mocarstwem Austrya nie nakazała wojskom swoim zająć Krakowa, jak to uczynił w analogicznym przypadku król pruski z Poznaniem w obecności wojsk rossyjskich.

Poświęcenie 24 mężnych oficerów francuskich wywoła zniechęcenie innych. Wszystko to uważanem jest tutaj, jako skutek układów między Austryą i Prusami, które nie chcą dopuścić Francyi do udziału w sprawach Polski, tak z powodu, że mocarstwo to jest bardzo oddalone i może jedynie działać przez Prusy lub Austryę, jak również i dlatego, że dwór francuski pozostaje ciągle pod wpływem intryg i że mu nie można ufać. Opowiadają przytem o dworze i królu francuskim różne okoliczności, któreby mogły zniechęcić najlepszego nawet patryotę, gdyby były prawdziwe. Tak n. p. mówią, że król niczem więcej się nie zajmuje, jak czesaniem głowy pani du Barry, przyrządzaniem jej ponczu i kawy.

Dotąd jedna tylko depesza Waszej Królewiczowskiej Mości mówi o potrójnem przymierzu i traktacie o podział Polski, zawartym między trzema dworami, komunikowanym d. 15. z. m. ambasado-

rowi francuskiemu, księciu de Rohan, przez ministra Kaunitza. Przedewszystkiem podziwiać należy zimną krew ambasadora wobec podobnej deklaracyi, która powinnaby dać wiele do myślenia wszystkim mocarstwom europejskim. Pac zdawał mu się być osobą małoznaczącą, skoro zaledwie raczył zarządzić wezwanie go do Wiednia, aby mu powiedzieć, że konfederaci nie powinni się już niczego więcej spodziewać. Mógł przecież zawiadomić go listem, aby się zawczasu poddał z całą Generalnością.

Ale rzecz jeszcze dziwniejsza, że dwór tutejszy i ambasador rossyjski zdają się nic o tem nie wiedzieć. Ten ostatni otrzymał nawet d. 7. kwietnia przez kuryera listy od Kaunitza i Galicyna, w których pierwszy ogranicza się jedynie na zawiadomieniu go, że 30 pułków wojsk austryackich otrzymały polecenie wejść do Polski trzema kolumnami, i prosi, aby wojska rossyjskie zachowały się względem Austryaków w sposób odpowiedni dobremu porozumieniu między dwoma dworami. Książę Galicyn nie może nic wiedzieć o traktacie podziału kraju, skoro zawierał ten traktat w imieniu swego dworu. Nawet byłoby bardzo niewłaściwem utrzymywać go w tajemnicy, ale zawczasu ogłosić, aby tym sposobem dać różnym stronnictwom czas do namysłu i przechylenia się na stronę, która najbardziej odpowiada ich widokom. Musi tu więc chodzić o wielką tajemnicę, której powód leży może w tem, że tu nikt zadowolony nie będzie. Dla ministra wiedeńskiego przy Rzeczypospolitej wynajęty już został lokal w domu Dolfusa naprzeciwko Dominikanów.

Lasocki pobił pułkownika Fabułowa, ale potem sam został pokonany i wzięty do niewoli w zeszłym tygodniu. Ma tu przybyć niebawem Zaremba, którego wojsko w znacznej części przeszło pod inne dowództwo. Jak utrzymują, podobno oddał pułkownikowi Drewitzowi 300 huzarów, a reszta towarzyszy jego otrzymała pozwolenie powrotu do domów, lub też przejścia pod komendę pułkownika Stępkowskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

(Ciąg dalszy).

V.

O Komisyi Sądowej Edukacyjnej słów kilka. — Fundusze. — Stypendyum Lerneta. — Stypendyści. — Konwikty.

Jakim był cel, jakie zadanie Komisyi Sądowej Edukacyjnej, wiadomo już wszystkim. Zajęcia miała ona sporo i to nienależącego bynajmniej do przyjemnych. Niejednokrotnie walczyć jej wypadło z uporem ludzkim i rzekomemi, nieuzasadnionemi niczem pretensyami, w następstwie czego wyradzały się kwasy, zatargi, ba, nawet zarzuty krzywdzące. Mimo to wszystko członkowie komisyi wypełniali z chwałą włożone na nich obowiązki, a — choć liczne głosy przeciwko niej występowały — instytucya podobna była konieczną wobec faktu, że wiele sum pojezuickich, lokowanych na prywatnych majątkach, przepadało bezpowrotnie. Myśl jej utworzenia pierwszy podsunął Czacki, on pierwszy określił również zakres jej działania. Rząd projekt zaakceptował i utworzył jednę tego rodzaju juryzdykcyę dla pięciu gubernii na Litwie, drugą dla trzech na Wołyniu. Na czele ostatniej — rzecz naturalna — zasiada sam wnioskodawca; obok niego pracują przez cesarza, na przedstawienie ministra oświaty, zatwierdzeni: rzeczywisty tajny radca, Filip Nereusz hr. Olizar, były rowieński marszałek, Wacław Borejko, Michał Sobański i hr. Aleksander Chodkiewicz. Nadto głos doradczy mieli tutaj: Filip hr. Plater, Feliks Czacki i Romuald Stecki — wszystko najpoważniejsi obywatele, w gubernii całej ogólnem cieszący się zaufaniem.

Odnośny ukaz wydanym został 21. grudnia 1807 r., treść jego poznamy niżej.

Zważywszy, że fundusz, przeznaczony na utrzymanie uniwersytetu wileńskiego i szkół jego wydziału, wymaga szczególnej pieczy, że wskutek zmienionych warunków i okoliczności zaszły tu pewne nieporządki i zawikłania, że wreszcie „roztrząśnienie i ukończenie spraw stąd wynikłych po sądach zwyczaynym ich porządkiem sprawowałoby bardzo wielką zwłokę, i przy mnogości innych spraw tym sądom poruczonych byłoby dla funduszu wcale niedogodnem“ — uznał rząd za niezbędne wydanie kilkunastu artykułów, rzecz całą wyjaśniających, ubezpieczających i utwierdzających.

a) Wszystkie fundusze, uniwersytetowi i szkołom jemu podległym nadane, zostają raz na zawsze własnością tychże, nie mogą być obrócone ku innemu celowi; nad stosownem ich użyciem czuwają kurator i minister oświaty.

b) Dobra pojezuickie, składające fundusz edukacyjny, zostają odjąć się nie mogącą własnością dziedziczną posiadaczów, którzy je przez zakupno nabyli.

c) Od summy szacunkowej dóbr takowych, jak i od wszelkich kapitałów funduszowych, posiadacze — na mocy postanowienia z d. 3. I. 1805 — obowiązani płacić 6%.

d) Przy potwierdzeniu w ten sposób prawa własności, jak również przy powiększeniu i zabezpieczeniu przez to ich pożytków, sprawiedliwość wymaga, aby każdy z posiadaczy dóbr pojezuickich powiększył dochód edukacyjny 25. procentami. Czyli innemi słowy, każdy z nich zwiększa pierwotną sumę szacunkową o czwartą część tejże i od otrzymanej w ten sposób ostatecznej kwoty wnosi 6% na rzecz edukacyjnego funduszu.

e) Sumy te nie mogą być pod żadnym pozorem ani podnoszone całkowicie, ani spłacane.

f) W razie podziału dóbr pojezuickich, prawo funduszu edukacyjnego zostaje nienaruszonem, odpowiada zań cały majątek, żadne inne ciężary nie mogą z nim konkurować.

g) Dla wyjaśnienia spraw, tyczących się funduszu edukacyjnego, i dla rozstrzygnienia sporów, ściągających się do dóbr funduszowych, ustanawiają się dwie komisye: w Wilnie i w Krzemieńcu.

h) W skład każdej z nich — obok prezesa — wchodzi 4. członków, a nadto 3. obywateli miejscowych posiada głos doradczy.

i) W sprawach ze skarbem, Izby skarbowe: wileńska i wołyńska, wyznaczą od siebie do komisyi jednego członka.

k) Komisye trwać mają do chwili zupełnego ukończenia powierzonych im spraw; o przebiegu tychże zawiadamiają co pewien przeciąg czasu ministerstwo oświaty; kancelarye utrzymywane będą z funduszu edukacyjnego.

l) Obowiązki komisyi dzielą się na dwie części:

I. Wyjaśnienie i uporządkowanie funduszów edukacyjnych; tutaj zaś należy: *A)* Ułożenie szczegółowej tabelli wszystkich funduszów edukacyjnych, oraz dóbr i kapitałów, które należały do zgromadzeń duchownych, odpadłych za granicę, a które podług konwencyi trzech dworów uznane zostały za własność państwa rossyjskiego; *B)* Sprawdzenie i wyśledzenie praw, służących na posiadanie takowych funduszów edukacyjnych; *C)* Wyrachowanie zaległości; *D)* Ułożenie wspólnie z rektorem Uniwersytetu Wileńskiego projektu: o urządzeniu dóbr w zawiadywaniu Uniwersytetu będących i beneficyów duchownych na rzecz tegoż Uniwersytetu oddanych; *E)* Przepisanie prawideł ochronnych przeciw nieopatrznemu niszczeniu lasów, w majątkach funduszowych sytuowanych; *F)* Urządzenie odpowiedniego archiwum.

II. Zadecydowanie sporów i procesów w sprawach funduszu, trwających w chwili wydania odnośnego ukazu, jak również w przyszłości wybuchnąć mogących.

m) W celu rozsądzenia wzmiankowanych nieporozumień wzywają komisye wprost do swego biura wszystkie interesowane w sporze osobistości.

n) Jeśliby wezwany nie stawił się, lub komisya uznała za rzecz mniej dogodną wzywać kogo osobiście, wówczas przesyła obwieszczenie z dołączeniem w kopii dowodów i takowe obwieszczenie ma moc pozwu.

o) Pozwany ma prawo wyznaczyć od siebie jednego pośrednika, a w wypadku podobnym czyni to ze swej strony i komisya.

p) Wyrok zapada większością głosów, bez względu na to, czy strona pozwana stawiła się, czy też uznała za wygodniejsze pominąć wezwanie milczeniem. W razie równości głosów rozstrzyga zdanie prezesa komisyi.

r) Sprawy sądzone w komisyach nie podlegają apelacyi.

s) W wyjątkowych wypadkach (n. p. jeśli dobra sporne zostają pod konkursem kredytorów) ma prawo plenipotent funduszu wejść z pozwanym „w ugodliwą umowę“. Tego rodzaju umowy zatwierdza komisya.

t) Wszystkie magistratury udzielać powinny komisyi należną pomoc; „dochody i własności szkolne wybierać się mają za pomocą Guberskich Rządów“ . . .[1]) i t. d.

Jak widać z brzmienia cesarskiego reskryptu, członkowie komisyi, z Tadeuszem Czackim na czele, byli — obok stróżów funduszu powszechnego oświecenia — zarazem sędziami sporów wynikłych między tąż komisyą a stronami. I to jeszcze zaznaczyć wypadnie, że pod ich zarząd oddano również fundusze tak zwanego duchowieństwa galicyjskiego, za staraniem Tadeusza Czackiego także na cele oświaty przeznaczone.

Nowo-utworzona magistratura, z prawami tak bardzo rozległemi, odrazu z całym zapałem i energią jęła się zaszczytnej, lecz zarazem niezupełnie wdzięcznej pracy. Powołana do spełnienia wzniosłej misyi, jaką było ubezpieczenie funduszów oświaty narodowej, stanąć musiała wrogo przeciwko zachciankom i urojeniom ludzi, albo złych, albo nieświadomych stanu rzeczy, ztąd żale i narzekania rzekomo pokrzywdzonych.

W pierwszych dniach lutego 1808 r. rozrzuca prezes komisyi po obszarach trzech gubernii ogłoszenie, do ziomków skierowane, wyjaśniające cel, porządek postępowania i konieczność tego rodzaju juryzdykcyi, tłómaczące zarazem, że chodzi tutaj jedynie o sprawę tyle żywotną, jak gromadzenie funduszu ku szerzeniu oświaty ich własnych dzieci koniecznego. „Niech pamiętają po-Jezuickich Dóbr Posiadacze, że Ich własność warunkowa rozporządzeniami władzy Kraiowey wstrzęśniona, w zupełne i całkowite przemienia się Dziedzictwo. Z ochotą tedy wykonać zechcą to dobroczynne prawo: wszelka zwłoka dla samych posiadaczów przyiemną bydź nie może, bo ostateczney rezolucyi o swoich Dobrach nie otrzymaią, a w zaoczności cnota Sądu omyloną łatwo bydź może, wyroki zaś Kommissyi, która Appellacyi niedopuszcza, cofniętemi bydź nie mogą“ [2]).

Łatwo domyślić się, że chodziło w powyższej odezwie o to, by posiadacze dóbr pojezuickich w oznaczonym terminie pospieszyli z wykazaniem praw swoich do posiadanych obszarów, gdyż w ten sposób tylko można było rzecz całą — z zadowoleniem stron obu —

---

[1]) *Ukaz Rządzącemu Senatowi*, podpisany przez Aleksandra I., ministra Zawadowskiego i dyrektora kancelaryi szkolnego wydziału — Martynowa. Druk współcz., kart 4.

[2]) *a) Kom. Sądow. Eduk. Dla Woł. Podols. i Kijows. Gub.... ustanowiona.* Druk ulotny współczesny. *b) Kom. Sąd. Eduk.... następujące co do porządku w swoich czynnościach i dla stron... ogłasza prawidła.* Druk współcz., kart dwie.

najrychlej do pomyślnego doprowadzić skutku. W przeciwnym wypadku rzeczywiście „cnota sądu“ łatwo omyloną być mogła.

Z początkiem 1828 r. zabrał w radzie państwa głos minister oświaty, przedkładając zgromadzonym wniosek zwinięcia komisyi sądowej edukacyjnej. Motywował on swoje żądanie tem, że wszystkie sprawy, jej do rozwikłania polecone, już ukończyła, że więc tem samem cel ustanowienia tejże instytucyi osiągniętym został i dalsze istnienie komisyi jest zupełnie zbytecznem. Równocześnie otrzymują wszystkie sądy rozkaz, by — z dniem podpisania odnośnego reskryptu przez cara — wszelkie dalsze dochodzenia w sprawie funduszów edukacyjnych za nieistniejące uważane były. Kapitały zebrane oddają się w zarząd ministerstwu finansów [1]).

Tak więc — w myśl Tadeusza Czackiego — określonym został pewien stały termin, po upływie którego posiadaczom ziemskim nikt ich własności nie kwestyonował. Jako zasługę członków komisyi i tę okoliczność podnieść należy, że podróże wszelkie w sprawach funduszowych na własny koszt odbywali, a jedynie na koszta kancelaryi wyznaczono 4.000 rsb. rocznie [2]).

Rozwiązana komisya wołyńska przedstawiła ministrowi tabellę funduszów, na rzecz powszechnego oświecenia zgromadzonych. Dowiadujemy się z niej, że trzy podległe tej juryzdykcyi gubernie rozporządzały w chwili zniesienia komisyi kapitałem 2,127.233 rsb. i $99\frac{3}{4}$ kopiejek, nie licząc w to 36.370 rubli asygnacyjnych. Samego krzemienieckiego liceum fundusze i roczne dochody, składające się z dóbr nieruchomych, kapitałów i wieczystych prywatnych ofiar, przedstawiały 6% od 590.942 rsb. i 44.363 rubli asygn. Dla uzupełnienia rachunku dodaćby do ostatniej pozycyi wypadało: ofiary jednorazowe i dożywotnie, niemniej sumy, które władza na utrzymanie zakładów naukowych corocznie przeznaczała [3]).

Już choćby kilka przytoczonych cyfr najdobitniej świadczy o sprężystości komisyi, a dodatniego wyniku zasługa spada w równej chyba części i na owych cichych urzędników biurowych, których Czacki w tłumie otaczającym go wynaleźć umiał. Na stanowisko pisarza powołał Franciszka Skarbek Rudzkiego; sekretarzem został Michał Chajęcki, potem Józef Kruczkowski, z kolei skarbnik i buchhalter; plenipotentem Tomasz Dunin Borkowski, niegdyś pi-

---

1) Wójcicki: Enc. pow. XV. 231.

2) K. Kaczkowski: Wspomn. I. 27.

3) *Notatka Tadeusza i Feliksa Czackich* (patrz artykuł Wójcickiego j. w.).

sarz ziemski powiatu krzemienieckiego. Zaprowadzone przez prezesa wołyńskiej komisyi ulepszenia, roździał tejże na ekonomiczną i sądową, zyskały szczery poklask i na Litwie, która projekty Czackiego u siebie również zastosowywać postanowiła, a prezes komisyi litewskiej, Tadeusz Wawrzecki, oddał hołd swemu wołyńskiemu koledze w mowie, na jednem ze zgromadzeń wypowiedzianej: „Musicie i powinniście zazdrościć komisyi wołyńskiej Prezesa, któremu wyższe od pospolitych talenta, niespracowana usilność i najdzielniejsze o edukacyę starania, dawno już niezaprzeczone w ważnej zasłudze powszechnego oświecenia zapewniły pierwszeństwo“ [1]).

Że słowa Wawrzeckiego bynajmniej nie były przesadzonemi, wskazuje ostateczny rezultat zabiegów Czackiego, który 2,350.000 zł. pol., czyli 352.500 rsb. na rzecz okręgu naukowego wileńskiego zgromadził [2]). Ciekawe są również poszczególne kwoty, przez pana starostę nowogrodzkiego w bezustannych jego podróżach po powiatach trzech gubernii wykołatane. Dla szkół wołyńskich przypadło wieczystej darowizny 62.200 rsb.; dla kijowskiego gimnazyum 414.666 rubli asygn.; na szkoły powiatowe 4.930 rsb.; specyalnie dla Krzemieńca: jednorazowych darów około 25.000 rsb.; wieczystych (corocznie) przeszło 20.000 rsb. itd. [3]). Chyba już same cyfry świadczą niezbicie o zasługach tego krzewiciela oświaty narodowej. Przemawiają one również za twierdzeniem, że ruch ku lepszemu wszędzie był widocznym.

Czacki pracował z zapałem, rad z pomyślnych skutków swoich usiłowań i zabiegów, a równocześnie niechętne mu żywioły, zrażone może zbyt energicznem poszukiwaniem zatraconych kapitałów jezuickich, podniosły głośny lament, oskarżając starostę o lekkomyślne trwonienie funduszów edukacyjnych i domagając się zarazem, by szkołę z Krzemieńca w bardziej dogodne przeniesiono miejsce. Rzecz najwidoczniejsza, iż inicyatorowie tej burzy starali się usilnie dotknąć założyciela szkoły wołyńskiej w najboleśniejszy sposób, dzwonili więc i na zmianę dotychczasowego *locum* gimnazyum, wiedząc aż nadto dobrze, że to mu przykrość niemałą sprawi.

---

[1]) Osiński: Żyw. i pism. Czack. 142; Kaczkowski l. 27.

[2]) Batiuszkow: Wołyń. Petersb. 1888, str. 260; Osiński j. w. 146—147; Szulgin: 19; Spis ofiarodawców ogłosili, oprócz Osińskiego, Iwanowski (Helleniusz): Rozmowy o koronie polsk. Kraków 1873, t. II. i Merczyng: Fundusz Lerneta *(Roczn. zbiorow. prac. nauk.* Warszawa 1879).

[3]) Szulgin: 19—20.

Nie pierwszy to już raz starano się z Krzemieńca zabrać ufundowany tam przybytek oświaty. W r. 1808 musiał Czacki w tej sprawie walczyć, zawdzięczając wygranę jedynie względom, jakimi się cieszył u ministra Zawadowskiego. „Przed odebraniem jeszcze odezwy JWW. Mć. Pana Dobrodzieja — donosi on staroście nowogrodzkiemu — zniszczyłem usiłowania o przeniesienie gimnazyum z Krzemieńca, wystawując też same przyczyny, jakie w przełożeniu swojem wyraża JWP. Dobr. A tak możesz oddalić już od siebie wielką z tego powodu obawę i cieszyć się nadzieją, że w tem samem miejscu, w którem zaszczepiasz JWP. Dobr. nauki, rozkrzewią się one i zakwitną" [1]). Czacki odetchnął swobodniej; po dwóch latach nowy zamach — przeciwny jego najgoretszym pragnieniom — uknuty został.

Reskryptem najwyższym z dnia 23. września 1810 r. wyznacza Aleksander I. specyalną komisyę, urzędującą w stolicy gubernii — Żytomierzu, której zadaniem być miało dokładne zbadanie czynionych Czackiemu zarzutów. Panowie komisarze — po szczegółowem rozpatrzeniu całej tej przykrej sprawy — oczyścili oskarżonego ze wszystkiego [2]).

Starosta — choć tak boleśnie przez ukrytego przeciwnika ugodzony — nie ciska nań klątwy, nie złorzeczy, ale przeciwnie zachowuje się z całą godnością i powagą. Odpowiada na wszystkie zapytania komisarzy z największą drobnostkowością, tłómaczy się z każdego niemal kroku. „Nie pytam się — są jego słowa — kto w imieniu obywatelów przemówił? Niech się ukrywa. Nie zdejmę z niego zasłony: owszem czuję powinność jeszcze ważniejszą myślenia o wychowaniu publicznem, aby podobne nie odnawiały się przykłady. Jest komisya, niech sądzi..." [3])

Cała lepsza część społeczeństwa wołyńskiego, choć pewna zupełnej Czackiego niewinności, z nietajoną radością przyjęła pomyślny wyrok *ad hoc* wysadzonej komisyi, a książę generał Adam Czartoryski napisał zaraz z Puław do starosty nowogrodzkiego list z wyrazami współczucia w przykrym dla niego wypadku: „Ile żółcią i wzgardą obruszyło się serce moje na tych, którzy mieli chęć i zamiar zamięszania spokojności Obywatela, wystawującego wzór cnoty i poświęcenia wszelkich osobistych względów powszechnym korzy-

---

[1]) Osiński j. w. (dodatki) str. 333.

[2]) St. hr. Potocki: Pochwała (j. w.).

[3]) *Tłumacz. się Taynego Konsyl. i Kawal. Czackiego iako Wizytatora szkół przed Komis... dla rozważ. różn. przedmiotów... ustanowioną 18. XII. 1810 r. w Żytomierzu podane.* — Kart nieliczb. 13.

ściom, tyle serce moje uczuło radości, dowiadując się o zniszczeniu tych układów. Stałość szlachetna i obstawanie przy cnocie i niewinności Marszałków i Obywatelów Gubernii Wołyńsk. równą mi przyniosło pociechę“ [1]).

Nietylko jednak interesowani piorunowali na Komisyę sądową edukacyjną. Uczeń krzemieniecki, poeta Gustaw hr. Olizar, nazywa ją z punktu prawniczego: monstrualną magistraturą. „Pomysł Czackiego — zdaniem jego — z poczciwego wypłynął źródła, jak wszystko, co on zamyślał, t. j. z gorliwości o dobro pokoleń przyszłych naszego kraju. Jednak użyty środek istnem był nadużyciem, ponieważ tworzył oprócz krzyżujących się już niemało rozmaitych władz sądowych, wśród praw ukazami popstrzonych, nową sądowniczą, bezappelacyjną władzę, fiskalizującą na rzecz funduszu edukacyjnego. Był to zapewne najprędszy sposób dorobienia się majątku, przeznaczonego wprawdzie na oświatę publiczną, ale rękojmią jej sprawiedliwości był tylko charakter osobisty osób tę juryzdykcyą składających“ [2]).

W skutkach swoich okazał się projekt pana starosty nowogrodzkiego niezupełnie udałym, znaczne sumy przeszły w posiadanie nieprzyjaznego nam rządu, ale czyż mógł fundator krzemienieckiej szkoły przeczuć, że liberalny Aleksander I. tak rychło ulegnie odmiennym wpływom, a jego następcy zupełnie z innego punktu na sprawy narodowościowe polskie spoglądać zechcą, że więc tem samem i instytucye — w dobrej poczęte wierze — obfitować będą w ujemne dla kraju rezultaty.

Wracając do składu komisyi wołyńskiej, dodać należy, że z czasem zastąpił w niej miejsce Olizara — usuwającego się od urzędowania z racyi podeszłego wieku i słabości zdrowia — Filip hr. Plater, wysoko przez Czackiego już ceniony; miejsce Chodkiewicza — Maksymilian ks. Jabłonowski [3]); prezesem w miejsce Tadeusza Czackiego zostaje po tegoż śmierci Michał Sobański [4]), potem Dymitr ks. Czetwertyński [5]), Wacław Borejko [6]); ostatni godność tę dźwigał od 1826 r., lat dziewiętnaście już pracujący jako członek

---

[1]) Osiński j. w. 152—153.
[2]) G. Olizar: Pamiętniki 45.
[3]) *Ramoty* II. 242.
[4]) *Odezwa Komis. Sąd. Ed.* z dn. 27. VII. 1818 r.; *Ramoty* III. 146; Kaczkowski I. 47.
[5]) Kaczkowski I. 48.
[6]) Iwanowski: Athenaeum od. VI. T. V. 72. (wspomn. o Rudzkim).

komisyi, bratanek starosty, Feliks Czacki, za którego rządów — jak widzieliśmy — przestała ona istnieć, składając tak olbrzymi stosunkowo kapitał ministerstwu finansów. Obok wyliczonych już, pracowali jeszcze w wołyńskiej komisyi: szef Drzewiecki, Adam Bilski, Ludwik Raciborowski, Kazimierz Karwicki, Jan Stempkowski, Celestyn Zakaszewski, Żurowski, Mniszech i kilku innych, wszyscy szanowani powszechnie, a niektórzy nawet krzemienieccy uczniowie [1]). Dziwnym zrządzeniem losu narodzinom i śmierci poważnej juryzdykcyi asystowali członkowie rodziny Czackich; stryj zaczynał dzieło — bratanek kończył.

Z cyfr — przytoczonych wyżej — przekonać się nietrudno, jaka kwota przypadła szkole wołyńskiej w udziale. Obok jednak owych prywatnych ofiar, gromadzonych zapobiegliwością starosty, pamiętać należy o 5.700 rsb., przeznaczonych od rządu na roczne utrzymanie każdego gimnazyum, jak również i o dochodach ze starostwa krzemienieckiego, oddanego z polecenia Aleksandra I. na rzecz wołyńskiego przybytku nauk. Ostatnią tę darowiznę wyprosił jeszcze Tadeusz Czacki, jak nas o tem poucza szereg dokumentów, oraz list hr. Zawadowskiego do starosty pisany [2]). A dawała ona początkowo 3.035 rsb. rocznie; z czasem dochód ten — wskutek ulepszeń zaprowadzanych w administracyi — dochodził do 7.036

[1]) Kaczkowski I. 48.

[2]) Osiński j. w. (dodatki) 333—335. *List Zawadowskiego:* Odebrawszy pismo JWP. Dobr., w którem interesowałeś się o oddanie Stwa Krzemienieck. na rzecz Gimnaz. Wołyńsk., przedstawiłem to Jego Imp. Mci. i Monarcha łaskawie zezwolił na to i wydał Rządzącemu Senatowi Ukaz, którego kopią przyłączam. Zdarzenie to obowiązuje mnie znowu wyrazić JWP. Dobr. szacunek mój za gorliwość i troskliwość jego o dobro edukacyjnych zgromadzeń, które korzystają z Jego o nich starania . . . i t. d.“ *Ukaz Rządzącemu Senatowi* (13. X. 1806 r.) Starostwo Krzemienieck. w Gub. Woł. leżące, które zostawało w posiadaniu dożywotniem zmarłego Xcia Sanguszki, rozkazuję oddać dla Gimnaz. Wołyńsk. a to na wspomożenie szkolnych, miłosiernych i gospodarskich ustanowień przy tem Gimnazyum zaprowadzających się dla pożytku powszechnego. Na oryginale własną Jego Imper. Mci. ręką podpisano: Aleksander.

Ukaz rządzącemu senatowi (lipiec 1807). Ukazem Naszym danym Rządzącemu Senatowi dnia 13. X. 1806 r. Rozkazaliśmy Stwo Krzemienieckie w Guber. Wołyńsk. będące w dożywotniem posiadaniu Xcia Sanguszki zmarłego oddać na rzecz Gimnaz. Wołyńsk. dla wspomożenia szkolnych, miłosiernych i gospodarskich ustanowień przy temże zaprowadzających się na pożytek powszechny. Jednak gdy Lasowy Departament i Rządzący Senat z mocy ustanowienia, aby

rsb. [1]), 7.345 rsb. [2]) a nawet — jak chce Budanow — 9.000 rsb. Na ówczesne stosunki stanowiło to pokaźny, a nadto pewny dodatek, ułatwiający w znacznej części doprowadzenie do skutku projektów Czackiego. W podobnych warunkach śmiało można było stale rozszerzać zakres nauk szkoły, co miała częściowo zastępować zbyt odległy uniwersytet wileński; można było wyznaczeniem wyższych pensyi skłonić powagi naukowe krakowskie do przyjazdu na Wołyń i urządzić im na kresach byt możliwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle.

---

lasy w skarbowych nadaniach, oddanych różnym osobom w dzierżawę, zostawały w zarządzeniu tegoż Departamentu, trudne oddanie pod zarządzenie Gimnazyum znajdujących się w temże Stwie lasów, gdy te dobra nie w doczesne, lecz w wieczne posiadanie przez nas zostały darowane na utrzymanie Woł. Gimnaz., którego własnym będzie pożytkiem, zaprowadzenie najlepszego gospodarstwa w wioskach sobie nadanych, to więc mając na uwadze, rozkazujemy oddać temuż lasowe użytki wraz z innemi przynależnościami i t. d.

[1]) *Tłumaczenie się Tajnego Konsylj.* i t. d.; Szulgin: Istor. Uniw. s. Wład. 20.

[2]) *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3445.* Zestawienie rach. szkoln. za r. 1810. Rozchód równocześnie wynosił 1.500 rubli asygn. i 2.463 rubli srebr.

Z PAMIĘTNIKA KONFEDERATA BARSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

IV.

Po śmierci hana proceder konfederacyi. — Położenie konfederatów. — Śmierć Pułaskiego i Orłowskiego. — Wojna rossyjsko-turecka. — Posluchanie Potockiego u wezyra pod Chan-Teppe. — Deklaracya Machmet-Emina 21. czerwca. — Oblężenie Chocimia. — Potocki się odznacza. — Zmiana wezyra. — Odwrót armii tureckiej i konfederatów za Dunaj. — Krasiński u wezyra. — Lokacya konfederatów w Warnie w grudniu 1769 r.

Po niepomyślnej wyprawie Krym-Gireja położenie konfederatów na Wołoszczyźnie jeszcze bardziej się pogorszyło. „... Żadnej znikąd nadziei nie było — pisze autor dyaryusza — Tatarowie nie pozwolili furażów. Wojsko ścieśnione potrzebą, że od granicy powtórnie za Dniestr wprowadzone. Nie stało furażu, konie w pole puszczać musieli, jedne Tatarowie kradli, drugie Turcy gwałtem brali. Mołdowandży pasza, seraskier benderski, o mil dwie tylko od Kopanki, podobno pretendował, aby mu się ukłoniono, ale nabita ambicyą jakąś głowa ip. podczaszego, tego nie dopuściła. Siedzieliśmy jak w odmęcie. Nareszcie wypadły ordynanse ip. podczaszego, aby koło złożone było przez regimentarza subalterna, na którem podpisywać nam się kazano, jako obywatelom i żołnierzom i kto z jakiego województwa. Na temże kole obrano dwóch konsyliarzów z wojska do izby konfederackiej i tak pomnożył sobie kresek ip. podczaszy w izbie.

„Wojsko w strasznej zostaje desperacyi. Ip. Pułaski, marszałek związkowy, w ścisłym areszcie, wpada w chorobę; przysłał po mnie do Purka, o mil dwie kwaterę mającego. Zastałem go już w gorączce, wyrażał mi upadek ojczyzny przez wyniosłe imaginacye ip.

podczaszego, że Porta poznała z hanem praktyki do tronu polskiego zmierzające, wyraził i to, że już z tej gleby nie wybrniecie, w którą powolność ip. marszałka pozwoliła was zaprowadzić podczaszemu. Bawiłem trzy dnie w Kopance przy nim, alem sekretnie musiał bywać i niedługo u niego, obawiając się ip. podczaszego o sobie jakowej suspicyi w szalonym sądzie niebezpieczeństwa życia. Wpadł drugiego dnia w malignę wielką, trzeciego dnia już począł konwulsye cierpieć, przyszedł trochę do siebie, mówił mi, żebym posłał prosić ip. marszałka (Krasińskiego), niech się z nim pożegnam i dam pewne refleksye, jak z sideł wywikłać się, które już podczaszy na niego zakłada. Posłałem chłopca po ip. marszałka i przyszedł, ale już Pułaski przestał mówić i wprędce skonał [1]).

„Ip. Orłowski, który był autorem nieszczęścia jego przez sfomentowanie wojska, aby go odstąpiło, począł aprendować, wpadł i ten w chorobę, potem w malignę, począł wyznawać winę swoją i grzech. Gdyśmy go nawiedzali i perswadowali, rozpaczał i bluźnił, wołał, aby mu suknie dali Pułaskiego pocałować, którego jestem okazyą śmierci i straty honoru, a najbardziej upadku ojczyzny. W tych pasowaniach się skończył życie. Marszałek konfederacki obydwóch żałował, inni zaś wyrazili ukontentowanie, mieniąc, że to Bóg skarał za nieszczerość ojczyźnie.

„W przeciągu tych tragedyi przyszedł han nowy (Dewlet-Girej) do Kanszan, dał znać o sobie, spodziewając się, że go tam szefowie nasi witać będą, ale tej podłości, żeby się kłaniać onemu nie pozwolił ip. podczaszy, lecz przez delegowanych traktowano o wszystkie potrzeby wojska naszego, choć i ten nowy han ludzkość pokazał, bo pięćdziesiąt kies pożyczył dla wojska, przecież i ta ludzkość jego nie zanimowała, aby mógł odebrać powinną wizytę . . .“

Z wiosną 1769 r. wybuchła, jak wiadomo, wojna turecko-rossyjska. Pamiętnikarz nasz nie wspomina przecież o przygotowywaniach wojennych Turków, ani o zbliżaniu się armii rossyjskiej, prowadzonej przez Galicyna. W drugiej połowie kwietnia miały miejsce pierwsze pokuszenia wodza rossyjskiego o Chocim, które atoli bez skutku zostały. Wówczas to garstka konfederatów, wyparta ze Żwańca, brała udział w tych pierwszych walkach, rozpoczynających kilko-

---

[1]) O śmierci Pułaskiego we współczesnej zapisce taką jeszcze znajdujemy wzmiankę: „Od granic Jw. Pułaski, marszałek związkowy, zarażony powietrzem umarł, którego gdy księża w Mohylowie pochować chcieli, rossyjskie wojsko nie dozwoliło, a tak w polu na Wołoszczyźnie w trumnie tylko pochowany . . .“

letnią wojnę Turcyi z Rossyą. Odwrót Galicyna po pierwszym ataku na Chocim rozbudził w Turkach wielkie nadzieje. Wezyr Machmet-Emin prowadził ogromną armię, ale powoli się z nią posuwał i zaledwie pierwszych dni maja stanął pod Isakczą nad Dunajem. Ztąd wielki wezyr posłał do szefów barskich, wzywając ich do siebie.

„Przyszła sztafeta od Dunaju — pisze lakonicznie autor dyaryusza — aby Krasiński z Potockim jak najprędzej stawali. Chciał marszałek wyjeżdżać zaraz, ale p. podczaszy negował i dopraszał się o sessyę i łatwo na niej wyperswadowano ip. marszałkowi, że to nie jest powaga Rzpltej i osoby jego, aby sam jechał. Dopraszali się ip. podczaszego, ażeby wziął na siebie obligacyę traktowania i do podpisów wyżej nadmienionych wojska napisali plenipotencyą i dekretem obywateli uradzili, aby dwóch posłać posłów z oświadczeniem przybycia ip. podczaszego, pełnomocnego posła od konfederacyi; wyprawiono ip. Kożuchowskiego [1]) i Strzemskiego, starościca hadziackiego [2]). Przyjął ich wezyr dosyć łaskawie, oświadczał chęci swoje pomagać Rzpltej, dopraszał się o jaknajprędsze przybycie tegoż ip. podczaszego; nie bawiąc, odprawił posłów, obdarowawszy kilku kiesami pieniędzy. Powrócili ci posłowie, opowiedzieli łaskawe przyjęcie i wspaniałość wezyra. Tem bardziej nabili głowę ip. podczaszemu; zamiast spieszyć jak najprędzej dla wyrobienia ojczyźnie posiłków, kazał porozsyłać po miastach za materyami i rzemieślnikami, kazał namioty i kostejki robić, karabinierów sześćdziesiąt koni oporządzać, proporce malować i słupy do namiotów, co zabrało już czasu cztery niedziele. Zatem przybiegł czohodar od wezyra z ustnym już rozkazem, aby, jeśli się mają widzieć z wezyrem, w momencie ruszyli i czy mają wolę łączyć się z wojskiem tureckiem, czy nie? Wyprawił powtórnie p. podczaszy ip. Gołuchowskiego, starostę letniowskiego, i Porczyńskiego, pisarza winnickiego, przydał ip. Mieleckiego, jenerał-adjutanta swego [3]), przez którego przepisał regułę, jak powinien być przyjęty, jaki *tain* powinien mu być dany, jakie obiady i kolacye, jak krzesło ma być blisko wezyra, ale jak oba-

---

[1]) Kożuchowski Franciszek, cześnik kaliski, który później (1770) ogłaszał akt *interregni*.

[2]) Dwóch Strzemeskich było w konfederacyi: Antoni, starosta barecki (piszą go także starostą hadziackim), konsyliarz i pułkownik, i Julian Strzemecki, syn jego, pułkownik kawaleryi krzyża świętego.

[3]) W innem miejscu w tymże dyaryuszu zapisany jako Mieleński, ale najpewniej będzie to Andrzej Mielecki, łowczy smoleński, który jako konsyliarz konfederacyi 29. lutego 1768 podpisał w Barze akt konfederacyi.

czył, że nie p. podczaszy, mocno był niezadowolony, mając sobie za afront owe przepisy, jak ma przyjmować posłów. Oziębłe przyjęci, Mieleckiemu odpowiedziano, że Porta zna się na narodach, wie, jak przyjmować posłów. A wtem nadszedł seraskier Rumelij, pasza, szwagier cesarza, z wojskiem kilkudziesiąt tysięcy, którego wyprawił prosto na Jassy do Chocimia. Ip. podczaszy jeszcze dwie niedziele bawił czasu, nim drzewca powysychały u dzid, nim pokończone były roboty.

„W tym czasie przyjechał Francuz z expedycyą dworu francuzkiego, Szatofort (Chateaufort), oraz na rezydencyę do konfederacyi [1]). Przywiózł wiadomość, że Moskwa postąpiła ku Chocimowi, wyrugowała ip. Pułaskiego, starostę zezulinieckiego z Okopów, a ip. Grocholskiego, regimentarza-subalterna marszałka związkowego ze Żwańca, jedni z tych z ip. Pułaskim poszli w góry ku Śniatynowi, a ip. Grocholski z komputowem wojskiem obrócił się ku Jassom.

„Na wyruszeniu już z Kopanki do wezyra, ip. podczaszy, dowiedziawszy się, że komenda pp. Pułaskich wyrugowana ze Żwańca i Okopów, i że ip. Grocholski ciągnie ku Jassom, wyprawił ip.

---

[1]) Pod tę porę wysłannicy francuscy często zjeżdżali do konfederatów i obecnie książę Choiseul, minister spraw zagranicznych, wyprawił owego de Chateaufort'a, którego przecież instrukcya jest nam nieznaną. Tyle tylko wiemy z listu biskupa Krasińskiego do szefów barskich, do których odprawił owego agenta, że „.... de Chateaufort, przysłany z instrukcyą, dostatecznemi listami i expedycyą do barona de Tott ...“ i zalecał, aby go pięknie przyjąć. Ale oczekiwanych pieniędzy z Francyi nie przywiózł, co tak zmartwiło biskupa, że, jak pisał, trzy dni chorował. Przytem zalecał, aby instrukcyę komunikował „na bardzo prywatnej radzie“. Widocznie proponował Choiseul przez tegoż agenta, aby wydano Turkom Kamieniec dla ułatwienia operacyi wojennych, ale już biskup sam odpisał w tym względzie: „... Na artykuł o Kamieńcu, który ten Francuz ma w instrukcyi, odpisałem, że to być nie może, abyśmy Turkom fortecę oddali w garnizon ... Wszystkie inne artykuły instrukcyi nie mają nic wielkiego w sobie.“ (Schmidt H.: *Dzieje panowania Stanisława Augusta*, III. str. 263). Później de Chateaufort był w Konstantynopolu. Lasocki, rezydent konfederacyi w Stambule, pisał o nim do Wessla 18. listopada 1769 roku: „Ip. Chateaufort w końcu tego miesiąca lub na początku przyszłego ztąd wyjeżdża, nie bardzo z niego duc de Choiseul kontent, że nie pisywał do niego i z akcyi z hanem tatarskim, co się miał z nim pokłócić. Zmiarkowałem z ip. Chateaufort, że konfederacyą barską (tak nazywano Krasińskiego i Potockiego), pięknie opisze, ile jeszcze z niej poseł francuzki (Saint Priest), niekontent...“ Dopiero jednak w styczniu 1770 r. Chateaufort otrzymał rozkaz powrotu do Francyi. *(List Lasockiego do szefów barskich, 20. stycznia 1770).*

Przyłuskiego, rotmistrza komputowego przedniej straży z ordynansem, aby tenże ip. Grocholski dniem i nocą śpiesznie ciągnął do obozu pod Kopankę. Gdy jednak Grocholski spotkał się z Rumelij paszą, ten spytawszy, zkąd i dokąd idzie, przykazał mu, aby dalej nie szedł, tylko przy wojsku jego stanął, mówiąc, że tu i wojsko z Kopanki musi przyciągnąć do mnie, bo już mam ferman do Polski.

„Wtem ip. podczaszy stanął u wezyra, nikczemnie był przyjęty . . .“

Temi tylko kilku słowami wspomina autor dyaryusza o przyjęciu Potockiego przez wezyra w obozie pod Chan-Teppe (mogiła hana) nad Prutem w początkach czerwca 1769 roku. Z innych źródeł możemy uzupełnić tę niedostateczną relacyę pamiętnikarza.

Wówczas Potocki, jako przedstawiciel konfederacyi, okazale wystąpił, otoczony świtą 150 ludzi, oficerowie zaś i jego konsyliarze jechali w dwunastu kolaskach. Zaraz też otrzymał posłuchanie u wezyra w obecności agentów zagranicznych i dostojników tureckich. W długiej mowie Potocki, oddając siebie i konfederacyę pod opiekę Wysokiej Porty, przekładał wezyrowi konieczność posiłkowania związku i bronienia Polski. Atoli wezyr jak najgorzej był usposobiony dla Polaków. Z całą też brutalnością odpowiedział Potockiemu, że Polska nie zasługuje na względy Porty, że sama łamie traktaty i tajemnie łączy się z Rossyą przeciw Turcyi. Mówiąc to, miał na myśli owych podwodników polskich, napędzonych siłą podczas pierwszego ataku na Chocim i wyrzniętych przez Turków. Konfederatów w ogóle nazwał zbiegami i zajawił, że Machomet, seraskier Rumelii, ma rozkaz wejść do Polski i prześladować i tępić tych wszystkich Polaków, którzy w jakikolwiek sposób wspierają Rossyę, że nakoniec Potocki z tymże seraskierem może iść do Polski, poddając się jego rozkazom.

To publiczne oświadczenie wezyra, ubliżające Polsce i konfederacyi, wszystkich zadziwiło, jako sprzeczne z dotychczasowym kierunkiem polityki tureckiej wobec Polski. Potocki jednak przeniósł te obelgi roznamiętnionego wezyra, mając upewnienie od wielu dostojników tureckich, że wszystko innym trybem pójść musi. Na następnych też posłuchaniach wezyr okazał się powolniejszym i Potocki brał odtąd udział w naradach co do planu dalszej wojny. Na głównej zaś radzie wojennej za podstawę dalszych operacyi wojennych przyjętym został plan Potockiego, zasadzający się głównie na wprowadzeniu znacznych sił tureckich w Noworossyę, dla rozdzielenia obu armii rossyjskich i na utrzymaniu linii Dniestru z Chocimem i Benderami w celu zabezpieczenia księstw hołdowniczych

i komunikacyi z Polską. Nie mniej przecież wezyr deklaracyą, wydaną 21. czerwca, zapowiadał niemal wojnę z Polską i wysłanie znacznych sił w granice Rzpltej, rychło jednak Machmet Emin ustąpić miał ze stanowiska wezyra i życiem przypłacić niedołężne prowadzenie wojny.

Tymczasem Potocki wraz z Machometem paszą jeszcze 9. czerwca wyruszyli z obozu wezyra, kierując się ku polskiej granicy przez Chocim.

„Szedł ten seraskier Rumelii — pisze autor dyaryusza — spiesznym marszem ku Chocimowi, a z nim ip. podczaszy, przyszli pod fortecę chocimską, blokowani zostali od Moskwy w miasto Chocim, z całem wojskiem wejść przymuszeni byli.

„W wigilię śś. Piotra i Pawła 1769 r. przyszły ordynanse do wojska, aby szło do Chocimia spiesznym marszem. Złożyli sessyę. Włożyli na mnie obligacyę, abym komenderowanych wziąwszy, szedł z Mołdawandżym seraskierem do Kijowa, wojsko wyszło ku Chocimowi. Ja zostałem w Benderze w kilkadziesiąt koni komenderowanych i już wojsko tureckie piechotą przeprawiało się za Dniestr.

„W kilka dni przyciągnął z wojskiem Emin wezyr, przybyli do niego w nocy Rossyanie, którzy, nie bawiąc nad godzin cztery, powrócili nazad z konwojem. Zaraz odmienił plantę całą wezyr, seraskiera benderskiego wyprawił do Jass, wojsko z za Dniestru jego komendy zawrócił, w Benderze kazał wołać wojnę przeciwko Polakom wszystkim, którzy się w Polsce znajdują, tym tylko obiecał pardon, którzy byli w granicach tureckich [1]). Usłyszawszy to, pojechałem do wezyra, byłem u drogomana Porty, prosiłem, aby mi powiedział, co to znaczy obwołanie wojny przeciwko Polsce? Odpowiedział, że ci wszyscy są więksi nieprzyjaciele w Polsce, którzy z Rossyą trzymają, a z wami nie bronią wiary waszej i praw; tych pierwej ukarać musimy, a potem z Moskwą wojnę zaczniemy.

---

[1]) Jest tu mowa o owej deklaracyi z 21. czerwca 1769 roku, o której wspomnieliśmy. Deklaracya ta rozgłoszoną była przez przeciwników konfederacyi i bardzo ujemnie oddziaływać mogła na sprawy w związku, podając w wątpliwość dobre porozumienie Porty z szefami barskimi. To też przez czas długi rezydent konfederacyi w Stambule, Lasocki, upominał się u Porty „o poprawienie owej deklaracyi wezyra, która wojnę Polakom wypowiada.“ Poseł francuski, Saint Priest, popierał te żądania. W listopadzie spodziewał się Lasocki „nowej deklaracyi, do której — jak pisał — mam plantę podać . . będzie dobra i fundamentalna być musi.“ Na nalegania posła francuskiego, Porta wydała nareszcie w 1770 r. żądane wyjaśnienie powyższej noty.

Dopraszałem się o ferman, aby iść za wojskiem swojem, ale mi odmówiono i trzymano niedziel cztery, wymorzyli się ludzie i konie już zdychać poczęły; po czterech niedzielach wypuścić mię kazał z całą komendą.

„Sam Emin wezyr ruszył do Autepczu z wojskiem pod Prut, do którego ip. marszałek konfederacki przyjechał z obozu z pod Jass, dowiedziawszy się, że obwoływano wojnę przeciwko Polsce w Benderze. Bóg ukarał tego wezyra, bo przy bytności ip. marszałka najpierwiej wzięto drogomana do Stambułu. Po nim trzeciego dnia przyszedł Kapiej pasza odebrać pieczęć, która wyraża godność wezyrską, jego posłał kaikiem Prutem do Niekopola a ztamtąd do Adryanopola. Drogoman był stawiony przed samego padyszę, po egzaminie kazał mu łeb uciąć. Kapiej baszę posłał do Adryanopola, aby zięciowi swemu a wezyrowi Eminowi łeb uciął i do Stambułu przywiózł. Pieczęć zaś wezyrską i ferman cesarski posłano Mołdawadży paszy, seraskierowi benderskiemu, z którym ja byłem ordynowany iść do Kijowa [1]).

„Puszczony szedłem aż pod Jassy mil dwadzieścia i cztery piechotą, pomiędzy Wołoszą zbuntowaną, bo inaczej nie można było.

„Wtem przyszła wiadomość, że Chocim uwolniony od oblężenia; potem nastąpiło wojsko tureckie, które zbuntowawszy się przeciwko wezyrowi, opuścili armaty, namioty swoje i wezyra. Nareszcie przyszedł i wezyr z podczaszym, który w temże oblężeniu znajdował się.“

Tu znowu pamiętnikarz w kilku zaledwie słowach wspomina o owem oblężeniu Chocimia, w którem Potocki tak ważną odegrał rolę i gdzie, dzięki jego waleczności i odwadze oraz znajomości rzeczy, tak wybitne zajął stanowisko, zaznaczone w specyalnych nawet opisach ówczesnej wojny turecko-rossyjskiej. Widzieliśmy powyżej, że Potocki zaraz z seraskierem baszą wyruszył był z obozu wezyra do Chocimia. W nadziei, że stosownie do planu, podanego przezeń wezyrowi, wojska tureckie wspólnie z konfederacyą pójdą z Chocimia pod Kamieniec i dalej, Potocki, stanąwszy w Chocimiu, wydał uniwersał (12. lipca), zawiadamiając bliższe województwa polskie, że armia turecka wraz z konfederatami idzie do Polski, wzywał więc wszystkich do łączenia się z nim i przygotowywania furażów

---

[1]) Machmet Emin otrzymał w dniu 31. lipca hati-szerif sułtański, na mocy którego z powodu choroby złożony został z urzędu. W dniu 7. września został on ścięty w Adryanopolu. Kapidzi basza spełniał wyrok. Jednocześnie śmiercią ukarani zostali: Mikołaj Draki, dragoman Porty, i Jerzy Gika, hospodar mołdawski.

i prowiantów dla posiłkowych wojsk tureckich. Jednocześnie seraskier Machomet pasza wydał odezwę do konfederacyi, aby łączyła się z wojskiem tureckiem pod Kamieńcem dla wspólnej walki z nieprzyjacielem [1]).

Nie łatwem jednak było wykonanie rozległego planu. Armia wielkiego wezyra, która wsparta znaczną siłą Tatarów iść miała w Noworossyę, stała bezczynnie, Chocim zaś ponownie obleżony został przez Galicyna wskutek wyraźnych rozkazów z Petersburga, aby koniecznie zająć tę fortecę. Pojedyńcze utarczki codziennie się powtarzały z tej lub z drugiej strony rzeki, Potocki z konfederatami częste robił wycieczki, ale przekładane przezeń wskazówki, co do sposobu prowadzenia wojny, trafiały często na opór paszów tureckich [2]). W połowie lipca rozpoczęła się blokada Chocimia, którego załoga mężny stawiała opór. A gdy sam seraskier basza był rannym, Potocki używał wszelkich środków dla przedłużenia obrony [3]). Położenie obleżonych z każdym dniem stawało się trudniejszem. Konie wszystkie niemal wyginęły z braku paszy, a z powodu ciasnoty i wyziewów, zarażających powietrze, choroby dziesiątkowały armię turecką, wreszcie środki pożywienia były wyczerpane. Horda, wysłana na odsiecz, cofnęła się w nieładzie po pierwszej potyczce; z hanem szedł wówczas Krasiński z 900 konfederatami, pierzchające tłumy Tatarów uniosły z sobą drobny oddział marszałka, który w odwrocie stracił 400 ludzi ze znużenia i chorób i wszystkie prawie konie. Gdy w ten sposób oczekiwana od hana pomoc zawiodła, garnizon chocimski chciał się poddać nieprzyjacielowi. Potocki nie dopuścił kapitulacyi, mimo odezw Galicyna, zapowiadających łagodne warunki w razie poddania się [4]), i przedstawił śmiały plan

---

[1]) Obie odezwy u Petrowa *(Wojna Rossyi z Turcyą i polskimi konfederatami 1769—1774*, tom I. str. 191—192). Odpisy kilku ówczesnych uniwersałów Potockiego mamy również pod ręką. Wszędzie zaznacza wejście do Polski z posiłkowem wojskiem tureckiem.

[2]) Z owego obleżenia Chocimia przechował się rękopiśmienny dziennik Joachima Potockiego, rozpoczęty 15. czerwca 1769 r. Znajduje się w archiwum wojenno-historycznem i topograficznem w Petersburgu, o czem dowiadujemy się z dzieła Petrowa *(Wojna Rossyi* etc., t. I. str. 201), który też cytuje parę ustępów z tegoż dziennika. Szkoda tylko, że dokładniejszej informacyi o nim nie podał. Przypuszczamy, że przy nagłem pierzchnięciu wojsk tureckich kancelarya Potockiego wpaść mogła w ręce wodzów rossyjskich i tą drogą ciekawy ten dziennik dostać się musiał do archiwum wojennego.

[3]) Petrow, l. c. str. 209.

[4]) Tamże, str. 219.

otoczenia całej armii Galicyna, oblegającej Chocim i zcentrowanej w oszańcowanym obozie i zamknięcia jej odwrotnej przeprawy za Dniestr[1]). Przybycie Ali-baszy z nowym korpusem mogło ułatwić wykonanie tego planu. Ale wodzowie tureccy woleli zachować obronne tylko stanowisko, wskutek czego Galicyn w nocy z 6. na 7. sierpnia zdołał cofnąć na powrót za Dniestr armię swoją, ratując ją od zagrażającego jej zniszczenia.

Nowy wezyr, Moldawadży pasza, chcąc korzystać ze zdjęcia blokady Chocimia, postanowił wtargnąć do Polski. Nowe więc wyszły uniwersały Potockiego i odezwy wezyra do Polaków, wreszcie znaczne siły Turków przerzucono za Dniestr, odnosząc zrazu przeważne korzyści. Tymczasem śród armii tureckiej rozeszły się zatrważające wieści, że wezbrane wody Dunaju grożą zerwaniem mostu pod Isakczą. Gdy zaś Dniestr wskutek ulewnych deszczów przybrał z niesłychaną szybkością, tureckie wojska, dotąd zwycięzko następujące na szańce nieprzyjacielskie, w nieładzie cofać się poczęły, przeprawiając się na drugą stronę. Most, przez który te tłumy przechodziły, zawalił się nagle; moc wielka Turków utopiła się, ci zaś, którzy zostali za rzeką, po zawziętej obronie wszyscy wyginęli. Ta klęska przypadkowa taki popłoch wywołała, że wszystko z pod Chocimia pierzchać poczęło. Załoga fortecy w ślad za główną armią podążyła także ku Dunajowi. Chocim, wytrzymawszy dwa groźne oblężenia, zajęty został bez wystrzału. Za wojskiem podążyli wodzowie, Potocki szedł z wezyrem. Konfederaci ostatni wyszli z szańców nad rzeką.

W pochodzie do Isakczy szli oni śród wojsk tureckich. Położenie ich było opłakane ze względu na niedostatek żywności i niebezpieczeństwa, na jakie narażeni byli. Potockiemu dany był osobny konwój, ale niedostatek tak był wielki, że sam Potocki lichymi sucharami żywić się musiał. Resztki armii wezyra po przejściu Dunaju rozłożyły się obozem pod Isakczą. O milę ztamtąd koło monasteru ulokowano konfederatów, Krasiński z Potockim znów razem się znaleźli[2]).

Taki był wynik pierwszej kampanii wojny turecko-rossyjskiej. Z wielkich nadziei, pokładanych przez konfederacyę, nastąpił tylko upadek w ludziach, wyczerpanie zasobów i utrudnienie dalszej akcyi.

[1]) Petrow: *Wojna Rossyi z Turcyą i polskimi konfederatami 1769—1774*, t. I. str. 221.

[2]) Szefowie barscy przybyli do Isakczy 14. października 1769 r. z 2.000 ludzi i 3.000 koni. *(Copie de la note donnée a la Porte le 11. Décembre 1769* przez Lasockiego).

Obrona Chocimia przez Potockiego pozyskała mu wielką wziętość w armii tureckiej. Jeszcze w Chocimiu jeden z dostojników tureckich przywiózł mu od sułtana kaftan honorowy, 300 kies w podarku i — jeżeli damy wiarę współczesnym relacyom — tytuł baszy trzytulnego [1]).

Autor dyaryusza, kreśląc dalsze losy konfederatów w Turcyi, pisze:

„Już nadzieja wszystka nam upadła, bo ani pieniędzy, ani sposobu do życia nie było. Ip. marszałek i wielu innych konsyliarzów i wojskowych komendantów chcieli iść ku Bukaresztowi, gdzie z pod Chocimia, Rumelii pasza z swoją dywizyą poszedł, ale p. podczaszy dopraszał się mocno, aby za Dunaj iść za wezyrem nie tak dla interesów wstrzymania publicznego, jak z przyczyny urazy do seraskiera Rumelii, udając, że interes publiczny będzie mocno wsparty, gdy pójdziemy za Dunaj, upewniając, że na wiosnę z przygotowaną forsą wyprowadziwszy się, dobrze do ojczyzny naszej powrócimy. Zezwolić musieli na to wszyscy, widzący ip. marszałka, nakłonionego na perswazyę jego.

„Przyjechał za nami ip. Lasocki [2]) z doniesieniem, że marszałkowie w Szląsku cesarskim zjechali się, że Generalność uformowali i jak najprędszego wyjścia konfederacyi naszej (do kraju) pretendują. Przywiózł był coś pieniędzy i prezentów z Saxonii. Chciał ip. marszałek zaraz do Bukaresztu, ale przemódz nie mógł, bo na każdej sessyi kreski szły za podczaszym.

„Przeprawiliśmy Dunaj pod Isakczą i stanęliśmy obozem pod monasterem, gdzie przez siedm niedziel bez pieniędzy, o głodzie

---

1) Rulhière: Histoire de l'anarchie de Pologne, III. pag. 271 oraz listy współczesne.

2) Roch Dołęga Lasocki, skarbnik rawski, konsyliarz wieluński, wysłany przez złączonych marszałków w Muszynce do szefów barskich. Instrukcya spisaną dlań została 30. czerwca 1769 r. Nadto miał osobne polecenia od biskupa Krasińskiego i od Wessla, podskarbiego kor. Przybył do szefów barskich do Isakczy zaraz po ich tam przybyciu i przywiózł wiadomość o utworzeniu Generalności w Polsce i obiorze Krasińskiego marszałkiem a Potockiego regimentarzem konfederacyi. Szefowie barscy ze swej strony spisali Lasockiemu instrukcyę w 7 punktach (21. października), którą później 7. grudnia Generalność ratyfikowała odnośnym uniwersałem (*Akta Generalności*, sessya XV.). Zaraz też potem odjechał Lasocki do Stambułu, dokąd przybył 12. listopada 1769 r. i przez trzy lata stale przesiadywał, zrazu jako rezydent konfederacyi. Działając jednak głównie w myśl Wessla, nie miał zaufania u Generalności i szefów barskich, którym też niewiele mógł pomagać i we wszystkich swych pismach niechęć dla nich okazywał.

wielkim, na słocie i zimnie trwać musieliśmy. Tam koni większa połowa wojsku wyzdychała. Ludzi wymarło wiele od zimna i głodu. Do wezyra, stojącego pod Isakczą, ledwie nie codzień delegowanych wysełano, ale bez pożytku, bo po siedmiu niedzielach powrócili z niczem, przywieźli tę wiadomość, że namioty wezyrskie zbierano i wezyr rusza się do Babadagh. Wydał ordynanse ip. podczaszy, acy wojsko wyszło ku gościńcowi, którymby miał maszerować wezyr, tak konne jako i piesze, wyprawił do wezyra ip. Borysławskiego [1]) i mnie z pożegnaniem wezyra i oświadczeniem, iż wojsko zgłodniałe chce mu się prezentować przy gościńcu. Ofuknął nas i ledwie nie kazał nas wypchnąć z namiotu. Już mieliśmy wsiadać na konie, wysłał za nami Regis-Efendego, aby ip. marszałek jechał za nim do Babadagh. Z tem powróciliśmy. Staliśmy jeszcze tydzień w tym nieszczęśliwym obozie, potem przysłał ferman, żeby się ruszyło wojsko polskie, pod Babadagh maszerowaliśmy, konie prowadząc w ręku jedni, a drudzy pędząc przed sobą.

„A gdy już wezyr stanął na kwaterze swojej w Babadagh i wojsko nasze przyciągnęło i rozłożyło się w polu o pół mili od kwatery wezyrskiej, przysłał kausa do ip. marszałka, aby sam przyjeżdżał do niego. Wyjechał ip. marszałek i bardzo był uczciwie przyjęty u Turków, kilka godzin konferował z wezyrem, dopraszał się, aby dał pieniędzy na wojsko, gdzie rzekł wezyr: „Życzę wam słuchać rady mojej, wyszlijcie wojsko w czyjejś komendzie do Ruszczuka, tam niechaj przeprawi Dunaj i łączy się w Bukareszcie z Rumelii paszą seraskirem, ten obmyśli, czy (dać) sukurs, czy sam pójdzie z nimi. Będą się łączyć z narodem swoim i dywersyę nam czynić bardzo potrzebną. Ty zaś z Potockim zostaniecie przy mnie, zostawiwszy sobie ludzi do usług i bezpieczeństwa swego. Wam obydwom na miesiąc naznaczę po dziesięć kies [2]), będziecie tu pilnować interesów publicznych, jeśli zaś zechcecie i do Stambułu jechać, zezwalam.“ Przyjął tę propozycyę marszałek z wielką chęcią i dziękował wezyrowi za życzliwe oświadczenie. Zaraz też wezyr daje teskirę do kassy, aby wyliczono sto kies na wojsko, a zaś na *tain* ip. marszałkowi i podczaszemu dziesięć kies.

„Powraca marszałek z pieniędzmi do ip. podczaszego i oświadcza wezyra ułożenie, które już przyjął. Sprzecza się podczaszy, że to

---

[1]) Antoni z Miłkowic Borysławski, podkomorzy ziemi halickiej, pułkownik i konsyliarz w konfederacyi. Syn jego Andrzej był również w szeregach związkowych.

[2]) Jedna kiesa (une bourse) równała się wówczas 2.500 zł. pol.

być nie może, aby szło wojsko do Rumelij-paszy, które Wmć pan podajesz w niebezpieczeństwo, my zaś bez wojska stać nie możemy. Kłania się nareszcie ip. marszałkowi, płacze, aby tego wojsku nie wspomniał. Marszałek oświadcza, że nie chce się już wdawać z wezyrem o przerobienie czynności. Podczaszy niewoli marszałka swoją układnością, wyprawuje delegowanych, odsyła ferman, dany do przeprawy za Dunaj. Ip. marszałek wyprawuje delegowanych drugi raz, wezyr rozgniewany daje ferman nie do Ruszczuku, ale do Warny, ku Adryanopolu, mówiąc, niech p. Potocki nawiedzi miejsca, gdzie Polacy wojowali. Każe przestrzedz marszałka i Potockiego, aby pieniędzmi temi obchodzili się, a więcej nie spodziewali się z kassy wezyrskiej [1]). Zatrzymali się jeszcze kilka dni deputowani, nim ode-

[1]) O pieniężne zasiłki dla szefów barskich często kołatał w Stambule Lasocki. Zaraz po przyjeździe potrzeby ich przedstawiał posłowi francuskiemu (Saint-Priest), który już był poinformowany, że Potocki żądał od wezyra 600 kies, t. j. 1,500.000 zł. pols. Poseł uważał widocznie tę sumę za wielką. Lasocki objaśnił, że miano dać hanowi tatarskiemu 500.000 zł. pols., wojsku jego tyleż, aby wszedłszy do Polski, jassyru nie brało i tyleż sobie chciano zostawić. Cokolwiek później (11. grudnia), Lasocki podał Kajmakan-paszy następującą notę: „J'ai l'honneur de represanter très humblement à Son Altesse le Kaimakanpacha, que Mrs. les comtes Krasiński et Potocki, ... se reposent sur mon attention à représenter à la Sublime Porte les differents points, dont je suis chargé de leur part... Mais étant toujours embarassés de la detresse à la quelle ils sont exposés, ils viennent de m'expedier avec des lettres datées du 19. Novembre, un exprès du monastére d'Isakthia, par le quel ils m'informent, que depuis le 14. Octobre jour de leur arrivée à Isakthia avec environ 2000 hommes de trouppes et 3000 chevaux, jusqu' au 14. Novembre il ne leur a été donné le taïn en biscuit et en viande que pour 4 jours, sur le pied de 2 oques de biscuitpar semaine, et d'une oque de viande pour 3 jours, et de l'orge 400 tulots de Constantinople, qui out a peine suffi pour nourrir leurs chevaux pendant un jour. Que par effet d'un pareil déficit, il sont déjà perdu dans cet intervale environ mile chevaux, outre 500 qu'ils avaient déjà perdu à Chocim. Qu'enfin à compter du 15. Novembre, il leur à été assigné pour plus de commodité, en échange du taïn, la somme de 150 piastres par jour; que quelque modique qu'elle soit pour nourrire tant d'hommes et tant de chevaux, ils out été contraints d'accepter, sauf a y suppléer du leur, à léffet de quoi, ils ont déjà vendu tous leurs effets et leurs bijoux. Mais que, considérant de rechef l'urgente nécessité ou ils sont de payer, habiller et remonter leurs gens, dont une soisantaine, par un effet de la misère, se sont déjà enfuis, ils ont denouveau recours aux générreux sentiments de Sa Majesté Impériale, pour les secourir par le prêt d'une somme de 600 bourses, pour la sûreté de laquelle, je puis repondre par écrit au nom des

brali ten ferman, a my o sachatów kilkanaście, to jest godzin. mil mniejszych jak polskie, stanęliśmy w Sterze, oczekując delegowanych w nadziei wielkiej, że nam każe zimować w Ruszczuku. Drugiego dnia przybyli delegowani z fermanem inszym, ale martwiącym marszałka i wojsko całe. Stanęliśmy pod Warną w Kapakłyku trzema dniami przed Bożem Narodzeniem (1769)."

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Pułaski.

---

marechaux de la confederation, qui m'on expédié de la Pologne, suppliant Son Altesse le Kaimakan-pacha, de vouloir bien observer, que ce prèt si nécessaire dans le moment présent aux confédérés retirés sous les ailes de la Sublime Porte, sera pour les confédérés résidants en Pologne, une preuve autentique de la bienveillante protection ele la Sublime Porte, et un motif d'encouragement dans leurs opérations ...." W lutym 1770 r. Lasocki na rachunek Generalności pożyczył w Stambule 6.240 dukatów, z których odesłał szefom barskim 82.000 zł. pols., a 26.000 zostawił na swoje wydatki. W kwietniu dowiedział się Lasocki, że szefowie barscy „wszystkich *in summa* pieniędzy (oprócz tainu) pożyczyli 175.000 lewów, to jest 875.000 zł. pols. *inclusive* od 27. Martii." W ogóle na utrzymanie oddziałów, które stały w Turcyi, Porta dość znaczne assygnowała sumy, ale często bywał niedostatek, bo sumy te nie wystarczały na wszystkie potrzeby.

DOKTORKA MEDYCYNY I OKULISTKA POLSKA

w XVIII. wieku

W STAMBULE.

SZKIC HISTORYCZNY NA PODSTAWIE NIEZNANEGO PAMIĘTNIKA.

(Dokończenie).

Opuszczona i wszelkich dostatków pozbawiona kobieta, wychudła, wynędzniała z choroby i z frasunku, postanowiła opuścić Stambuł i nająwszy sobie wóz z końmi za 30 lewów, udała się w drogę do Polski na Adryanopol. Towarzyszył jej stary żebrak, kaleka, Tatarzyn, nazwiskiem Krymil, który umiał cokolwiek po polsku, bo za młodu będąc kupcem, często bywał w Polsce.

W Adryanopolu doznała ludzkiego przyjęcia ze strony tamtejszych niewiast, z któremi zaznajomiła się w łaźni, t. j. w jedynem miejscu, gdzie się same Turczynki dla zabawy schodzić mogą. Znajomość z owemi tureckiemi paniami ułatwiła jej kilka pomyślnych kuracyi, które w swem pamiętniku notuje. Między innemi wyleczyła pewnego szewca, Greczyna, na krwawą desenteryę i suchoty, a pacyent ten nietylko, że jej suto zapłacił (100 lewów), ale jej uczynił taką „estymacyę“ w mieście, że odtąd miała wielu pacyentów godnych i pożytecznych. To ślepy od lat kilkunastu Turczyn, co „czybuki“ robił misterne, to pozbawiona wzroku Anastazya, córka niejakiego Hadży Margaryty, co aż do Jerozolimy jeździła po radę a może i w nadziei uproszenia cudu u Grobu Pańskiego — jej zawdzięczali zdrowie. O owej Anastazyi opowiada nam, że gdy się w czasie bytności w Jerozolimie zdrzemnęła w korytarzach Grobu Pańskiego, ukazać się jej miała Matka Boska, która jej pokazała pewną kobietę i oświadczyła, że ją ta kobieta za 5 lat spotkana w Adryanopolu wyleczy. Po odzyskaniu wzroku zaklinała się dziewczyna, że owa

lekarka, we śnie jej przez Matkę Boską ukazana, tak samo wyglądała, jak Halpirowa.

Wspomógłszy się na kilkanaście tysięcy lewów, wyjechała pani Salomea do Jambułu, gdzie rezydowali synowie hana tatarskiego. Tam wyleczyła żonę i syna Alimgiereya-sułtana, za co dostała 1000 lewów i suknie białogłowskie czerkieskie. Odesłana w konwoju do Tatar-Pazardżiuku, „kurowała“ żonę Ibrahima-efendiego, który ją odesłał do Filipbei w Macedonii. O tem miasteczku opowiada, że jest miejscem urodzenia Aleksandra Wielkiego, i że się zwie od Filipa, jego ojca. Kuracya córki tamtejszego komendanta, który ma tytuł „Nazyra“, nie udała się wcale, chora bowiem po zażyciu kilku kropli jakiegoś *elixiru proprietatis* w dwie godziny później umarła. Doktorka nasza obroniła się przed więzieniem tylko w ten sposób, że resztę pozostałego lekarstwa sama wypiła.

Z Filip-bei udała się do Zofii. Drogę niebezpieczną i bardzo górzystą przez Bałkany trzeba było odbyć konno. Kupuje tedy konia za 400 tynfów, przebiera się w męskie suknie, najmuje 10 koni pod rzeczy i sługi i przyłączywszy się do 30 konnych podróżnych, jedzie do Zofii. W drodze spotyka ją sławny i straszny na owe czasy rozbójnik, Sary Husein-aga, a oświadczywszy wprost, że wie, kto ona jest, wzywa ją, aby się wraz z nim udała do Karłowa, miasteczka bułgarskiego, leżącego w tak głębokim jarze, że kiedy się do niego zjeżdża, to się zdaje, „że z nieba na dół“. Było to miejsce zamieszkania owego sławnego rozbójnika, który, będąc cierpiącym na oczy, żądał, aby go wyleczyła, tudzież, aby wzięła w kuracyę jego krewniaka, który 6 lat na nogi nie chodził. Po skutecznem wyleczeniu krewnego Husein-agi, jego bowiem samego leczyć było niepodobieństwem, gdyż rozbójnik z obawy przed władzami kilkudziesięciu dni na jednem miejscu pozostawać nie mógł, odprowadzoną została w konwoju do Zofii, gdzie wkrótce otrzymała posadę doktorki w haremie baszy Kiupru-Uły.

Przypadek zdarzył, że tu spotkała się z swym mężem, który, będąc lekarzem pewnego bośniackiego baszy, zachorował na kontraktury członków i przybył do wód mineralnych w Zofii dla kuracyi. Spotkanie było bardzo czułe, pani Salomea otoczyła nawet męża serdeczną opieką i pielęgnacyą, zdaje się w nadziei połączenia się z nim. Ale owe nadzieje ją zawiodły. Mężowi towarzyszył jakiś w niewolę zabrany okrętowy lekarz maltański. Halpir, wyleczywszy się, zostawił jej książki swoje i owego maltańskiego lekarza, sam zaś powrócił do Bośnii, gdzie wkrótce potem zarażony powietrzem, umarł. Znajomość z „paizanem“ maltańskim nie była bez pożytku

dla naszej lekarki. Nauczył on ją wyśmienicie zapisywać po łacinie recepty ze znakami doktorskimi i obznajomił z wszystkiemi ziołami, używanemi w medycynie współczesnej.

Dotąd — z wyjątkiem oczu — leczyła bez najmniejszej znajomości sztuki lekarskiej, obecnie z pomocą książek i maltańskiego lekarza mogła już rozporządzać pewnym zasobem wiedzy fachowej. Pobyt jej w Zofii przypada na rok 1737.

Były to czasy bardzo niespokojne. Turcya prowadziła właśnie wojnę z Persyą, Rossyą i Austryą. Wypadki polityczne wpłynęły na Halpirową, że Zofię opuścić musiała, choć jej w baszyńskim haremie bardzo było dobrze i opływała we wszelkie wygody. Gdy austryacki jenerał, Seckendorf, wziął Niż i opanował całą „nyską“ prowincyę, przyszedł ordynans od sułtana, aby zofijski basza Kiupru-Uły kraj ten odebrał od „Niemców“. Seckendorf, pragnąc się przy Niżu utrzymać, zbuntował ludność miejscową przeciw Turkom, których chrześcianie wycięli na kilka tysięcy. Lecz wskutek zdrady następcy Seckendorfa (Dochata), Niż wydano Turkom, ci zaś mszcząc się za poprzednią rebelię, uczynili taką rzeź między chrześcianami, że głowy bułgarskie, zwiezione do baszy zofijskiego, Kiupru-Uły, formowały piramidę na „wysokość wielkiej karczmy“. Rzeź ta tak zraziła, sturbowała i przestraszyła Halpirową, iż pożegnawszy zofijskiego baszę, wyjechała konno, przebrana za janczara, do Widynia tureckiego.

W mieście tem brak był ogólny mieszkań, tak, iż Halpirowa 100 czer. złotych na miesiąc dawała za stancyę i jeszcze nie mogła jej dostać, musiała tedy mieszkać w hanie, t. j. austeryi. Powodem owego braku mieszkań była liczna załoga austryacka, konsystująca w Widyniu. Jenerał „Damnic“ (Daunitz) przyciągnął tu z ogromnem wojskiem, „chcąc zrewanżować, co Seckendorf pobłądził, ale mu się to nieudało, bo przegrał bitwę pod Krajowem i wielu Austryaków dostało się do niewoli.“

Wielu z tych niewolników, zwłaszcza oficerów, kupowano dla interesu, aby ich potem rodzinie dobrze odsprzedawać. Ku wielkiemu zdziwieniu — dowiadujemy się z pamiętnika, że i pani Halpirowa wzięła się do tego niegodnego handlu niewolnikami. Oto z namowy niejakiego Mehmet-agi Kuł-Uły, kupiła sobie 5 osób, t. j. czterech mężczyzn i jedną damę. Nazwiska ich były: Karol Farowina, Teodor Cotner, Antoni Jermentiny, porucznikowie, czwarty zaś był chorążym i nazywał się Józef Fortunatus de Pichlszteyn, tudzież jedna dama. Za te 5 osób dała 800 czer. zł. i kupiła ich — jak wyznaje — dla zysku, „byli to bowiem z dobrych rodzin oficerowie“,

z którymi się stargowała, że dostanie 1.200 czer. zł. i darowizny na 300 czer. zł.

Po wysłaniu listów przez umyślnego kuryera do Wiednia, przysłano jej zamiast 1.200 tylko 900 zł. i liczne podarunki, jak: sukna, pistolety paryskie i różne galanterye... „Tedy ja mówiła do niewolników moich, wszakżeście panowie moi ze mną się stargowali za 1.200 czer. zł., a czemu tylko 900 dajecie? Dali mnie racyę, że jeden oficer między nami zowie się Józef Fortunatus de Pichlszteyn, ten daleko od Wiednia mieszka, musi poczta iść przez Grac, Steiermark, niską Karniolię, wyższą Karniolię do Lambuchu *(sic)*, do miasteczka Bigilszteyn, skąd imię mają Pichlszteynowie; tam mieszkają tego imienia rodzice, to tam tak prędko listy jego nie doszły, dlatego dla Imci pana Józefa Fortunata de Pichlszteyn pieniędzy niema.“

— „To waćpaństwo w imię boskie jedźcie do swego kraju — odrzekła Halpirowa — a pan Józef może mi posłużyć w kompanii...“

I w ten sposób p. Józef został przy okulistce, ażby pieniądze od jego rodziców nadeszły. Halpirowa chwali go, „że się jej udał, był bowiem człek rozumny, dobrej adukacyi, był w szkołach rzymskich, w legorskich, wiedeńskich i na to miał dyploma z pieczęciami“, przytem „trzeźwy, posłuszny, cichy i pobożny...“

Przybył w tym czasie do Widynia ks. Józef Rakoczy, „królewicz węgierski, książę siedmiogórski“, który, dłuższy czas będąc w pojmaniu u cesarza Karola VI., uciekł z niewoli austryackiej i szukał przytułku i opieki na tureckiej ziemi. O ojcu ks. Józefa, ex-królu węgierskim[1]) — opowiada nam pani Salomea — że mieszka w Tekierdagi nad Czarnem morzem (?) i bierze od sułtana dla siebie i dla swego dworu wielką lafę. Brata rodzonego ks. Józefa, Aleksandra, który był kardynałem, po ucieczce ks. Józefa miał cesarz Karol VI., według Halpirowej, „kazać skastrować i do Paryża odesłać“ (!?).

Ów książę Józef, mężczyzna 29-letni, stanąwszy sfatygowany z drogi i z bojaźni w „hanie“ widyńskim, rozchorował się na kaszel i krwią plucie i zażądał pomocy lekarskiej. Trzybuńczuczny basza Widynia, Haywaz Mehmet, przywołał doń Halpirową, a zapłaciwszy jej 400 tynfów, obligował, żeby go wzięła w kuracyę.

[1]) Od pokoju pasarowickiego (1718) mieszkał ks. Rakoczy w Rodosto nad marzem Marmora, gdzie umarł 8. kwietnia 1735 r. Halpirowa więc, pisząc w 20 lat później ów pamiętnik, widocznie zapomina, że w 1737 r. ex-król wygnaniec już nie żył. Podobnych bałamuctw i omyłek historycznych w pamiętniku jest więcej. (Przyp. autora.)

W 30 dniach wyleczyła ona go szczęśliwie, bawiąc się przytem pobożną i uczciwą z nim rozmową, „bo był pan wysokiej nauki i pobożności chrześciańskiej.“

Gdy książę Rakoczy przyszedł do zdrowia, Haywaz Mehmet wysłał umyślnego kuryera do sułtana z oznajmieniem, że królewicz węgierski uciekł do jego kraju i szuka u niego protekcyi i pomocy. Sułtan w odpowiedzi przysłał młodemu Rakoczemu 3000 kies i wiele kolorowych aksamitów na suknie z złotymi galonami, tudzież inne bogate podarunki w sukniach, koniach i służbie, srebrne szory, kulbaki, wierzchowe konie, karety, cugi, rzędy, ludzi urodziwych 24, przybranych w strusie pióra dyamentami nasadzone, zegarki, tabakierki, i księdza kapelana. Cały dwór jego ojca zjechał do niego z Takierdagi i osobna lafa szła na niego z dóbr cesarskich, aby się mógł odpowiednio prezentować. Prócz tego wszystkiego — mówi autorka pamiętnika — cesarz turecki obiecał mu 100.000 janczarów dla odebrania węgierskiej ziemi.

Królewicz, widząc się takim dostatkiem otoczony i przyszedłszy do zdrowia i powodzenia, począł brykać i puszczać wodze swej woli. Nie obeszło się bez tego, żeby się nie pokusił o wdzięki młodej a urodziwej Polki. Ale Halpirowa nie była tak płochą, jakby się na pozór zdawało. Na jego niecne propozycye odparła z godnością: „Wiem, że królewicz ze mną ślubu nie weźmiesz, a jeśli tylko tak dla obrazy boskiej chcesz broić, a potem mnie młodość moją i niewinność i wstyd przyrodzony w hańbę obrócić, i stangretowi lub lokajowi swemu w małżeństwo oddać, to wiedz, że dość jestem bogata i mam co jeść; oko jasne i nikt mi zadać nie może żadnej złej akcyi; jestem młoda, to mnie P. Bóg jeszcze i męża da przy godziwem chrześciańskiem życiu, a Wasza Król. Mość odstąp od złego przedsięwzięcia w tym cudzym kraju.“

Ale książę Rakoczy był natarczywy i groził, że pośle do baszy, prosząc o wydanie mu Halpirowej, przyczem uparcie utrzymywał, że ona nie jest Polką, lecz „Węgrzynką“, więc jego poddanką, gdy się zaś upierała przy swej polskiej narodowości, odrzekł: „Jeśli cesarz turecki tyloma mię obsypał dostatkami, toć mi jednej białogłowy, choćby nawet i Polki nie zechce negować ze swego respektu.“

Zrozumiała kobieta, że trudna będzie sprawa z tak zapamiętałym człekiem, więc nająwszy cicho mały okręcik, „aby zbyć się tego niepotrzebnego amorata“, pojechała Dunajem do Ruszczuku.

Książę Rakoczy, dowiedziawszy się o jej ucieczce, dał znać do Haywas-baszy, że Halpirowa jest szpiegiem i że on żąda, aby za nią wysłano pogoń. I w rzeczy samej wysłani janczarowie złapali ją

w Ruszczuku i uwięzili. Jako szpieg miała być skazana na śmierć, uratować ją zaś mogło tylko przejście na wiarę turecką. Trafiło się jednak, że w tym samym dniu, kiedy ją uwięziono, zjechał do Ruszczuka podskarbi koronny Ahmet-aga, Esteredzy-basza, któremu 22-letni syn „zachorzał“ na dziwną chorobę, bo mu głowa, oczy i cała twarz spuchły i język mu na 5 palców z „gęby“ wysadziło tak, iż nic nie gadał, nie widział i zmysłów nie miał.

Zawołano trzech jedynych w Ruszczuku lekarzy do niego, lecz żaden się nie podjął go leczyć. Wówczas ktoś wspomniał o uwięzionej Halpirowej, którą nazajutrz miano stracić. Ze wschodem słońca podskarbi posłał po nią. Halpirowa, choć nie znała owej choroby, podjęła się na wolę boską wyleczyć syna Esteredzy-baszy. Zaraz na rozkaz podskarbiego wrócono jej wszystkie ruchomości, oddano jej córkę, sługi i fortunę i wzięła się do leczenia. Upamiętał się też w tym czasie książę Rakoczy, odwołał oszczerstwo, jakoby była szpiegiem, uparcie jednak obstawał przy tem, że jest Węgrzynką, nie Polką i żądał jej wydania. Z łaski jednak Esteredzy nie wydano jej wcale, gdy zaś po 40 dniach pacyenta swego wyleczyła, sława jej lekarska się rozgłosiła i była u wszystkich w dobrej estymie. Autorka obiecuje, że kuracya ta będzie opisana w doktorskiej księdze, którą Halpirowa później miała podać do druku [1]). Z kuracyi tej miała wielkie zyski, dostała bowiem 500 lewów (2000 tynfów), kolaskę pąsowem suknem z wierzchu nakrytą, parę koni z szorami, obszerne i wesołe mieszkanie nad Dunajem z wszelką suficyencyą z kuchni podskarbiego, tudzież siano i obrok dla koni.

Turcya, jak już wyżej wspomniano, prowadziła wielkie wojny z Persyą, z Niemcami i z Rossyą. W krwawej porażce azowskiej kilkadziesiąt tysięcy Turków zginęło, drugie zaś tyle dostało się w niewolę. Między tymi było wielu krewniaków, przyjaciół Halpirowej, która musiała patrzeć na ich płacz, lament i żałobę. Powodowana wdzięcznością za doznaną przyjaźń w obcym kraju, postanowiła jechać z Ruszczuka przez Polskę do Petersburga, aby u imperatorowej rossyjskiej wyjednać uwolnienie z niewoli owych zabranych znajomych Turków. Był to jednak tylko pozór do wyjazdu, później bowiem dowiadujemy się, że uwolniła wprawdzie jakichś czterech Turków ruszczuckich z rossyjskiej niewoli, ale kazała im sobie za to dobrze zapłacić, gdy się zaś ociągali, procesem ich do zapłaty zmusiła; powodem więc właściwym owej podróży

---

[1]) Bibliograficzne moje poszukiwania w tym kierunku były bezskuteczne. (Przyp. autora).

była jej awanturnicza żądza poznawania coraz to nowych krajów i ludzi, tudzież wieczna gonitwa za rozgłosem i powodzeniem.

Pożegnawszy ruszczuckich znajomych, udała się w konwoju 40 Turków z córką i z niewolnikiem p. Pilsztynem drogą na Mohilów do Baru. W Polsce musiała się już rachować z opinią i nie chcąc się pokazywać po dworach z niewolnikiem, postanowiła go zostawić u Jezuitów barskich tak długo, pókiby od jego rodziców z „Karniolii“ okup nie nadszedł. Pilsztyn, dowiedziawszy się, że go Halpirowa chce opuścić, począł rzewnie płakać i w tajemnicy wyznał przed Jezuitami, że wdowę miłuje, a że jest człek wolny, przeto radby zostać jej dożywotnim przyjacielem. Halpirowa zważywszy, że tułać się musiała po świecie sama i że jej żaden pan, ani starosta za żonę nie weźmie, zgodziła się na ów związek, a uczyniła to tem chętniej, że już od pierwszego poznania — jak słyszeliśmy — wielką dla Pilsztyna miała sympatyę. W ten sposób p. chorąży „rejmentu jenerała Damnica“, wzięty w niewolę pod Krajowem, po dwuletniej, wiernej służbie u wdowy z niewolnika stał się jednym razem jej panem, a jak się później dowiemy — tyranem. Ślub się odbył w Dubnie, gdzie starała się o służbę dla męża u ordynata księcia Sanguszki, co się jej jednak nie udało. Pilsztynowie mieli już opuszczać Dubno, gdy na zapusty zjechał tam z Ołyki ks. Michał Radziwiłł, hetman polny litewski, który z wielką ochotą przyjął do siebie oboje; mężowi dał zaraz patent na chorąstwo, panią Pilsztynową zaś wziął z sobą za doktorkę do Nieświeża.

W powtórnem pożyciu małżeńskiem Pilsztynowa była podobnie nieszczęśliwą, jak i w pierwszem. Potulny niegdyś p. Fortunat „jak się ożenił, tak się odmienił.“ Nie szanował żony i lekceważył ją, mimo iż go bogato wyposażyła, bo to i w suknie i konie i rzędy, pistolety, szarfy, chusty, nawet w pościel, jednem słowem wyekspensowała się na 5.000 czer. zł. Sprzykrzywszy sobie zaraz z początku pożycie z drugim mężem, oddała córkę z pierwszego małżeństwa do klasztoru Benedyktynek na „adukacyę“, sama zaś postanowiła wyjechać do Petersburga w celu uwolnienia ruszczuckich Turków z niewoli.

Książę Radziwiłł, mimo usilnych próśb, nie chciał jej dać paszportu, ani listów instancyalnych do carowej, śmiesznem się mu bowiem wydało, aby Polka bez żadnych zasług u dworu prosić miała za nieprzyjaciółmi Rossyi.

Mimo oporu swego chlebodawcy pojechała. W dzień później spotykamy ją już na noclegu pod Nowogródkiem w karczmie, w dobrach starosty bobrójskiego, Łopota, który niebezpiecznie chorował,

na głowę i zęby. Starosta, dowiedziawszy się o pobycie tak sławnej lekarki w swej wiosce, zawezwał ją do siebie. Pilsztynowa ledwie miała czas dać choremu lekarstwo, gdy do p. Łopota nadjechali goście. Byli to dwaj bracia Rossyanie, Liwenowie, z których jeden był jenerałem, drugi pułkownikiem. Za wstawieniem się Łopota jenerał dał jej paszport do Petersburga i rekomendacye do wielu panów, starosta zaś opatrzył ją hojnie, poczem puściła się w dalszą podróż na Birże do Rygi.

W drodze tej pełnej rozbójników tylko w ten sposób uniknęła niebezpieczeństwa, że się ukryła na kilka dni w jakiejś nędznej karczmie na uboczu, gdzie ją spotkał niejaki p. Pczemski, „co len wiózł na 14 brykach do statku ryzkiego na Dźwinie“, i ten wziąwszy w środek wozów jej kolaskę, zawiózł ją szczęśliwie do Rygi. Tu mieszkając kilka tygodni w polskiej austeryi, spotkała wielu „godnych“ Polaków, których nazwiska wymienia, tu także poznała się z jenerałem „Bysmarkiem“ (zapewne pradziadem ex-kanclerza niemieckiego), którego jako komendanta załogi prosiła o pozwolenie zobaczenia Turków, zamkniętych w fortecy ryzkiej. Ujrzawszy się z nimi, wypytywała ich o ruszczuckich niewolników i „wzięła o nich dobrą i rzetelną wiadomość, gdzie i w której fortecy rossyjskiej zostają i kto z nich umarł, a kto żyje.“

Tamże zawarła znajomość z oficerem, chorążym, niejakim Burmanem, „człekiem godnym“ — jak pisze — „a dobrej edukacyi kawalerem, bez ale.“ Ten miał w Rydze jedną damę, wdowę dobrze się mającą, którą sobie życzył poślubić, „ta dama zaś także sobie mocno tego życzyła.“ Na przeszkodzie była tylko ta okoliczność, że ojciec chorążego, major Burman, który się znał na hiromancyi, „prognostykował synowi swojemu, że w roku 20 życia swego i w 25 i w r. 35 miał haniebną śmiercią umrzeć.“ I stało się, że w roku 20 wpadł ów syn w rzekę „Niwę“ z koniem z promu i tylko jedna noga w strzemieniu została, która wyśliznęła się, iż go woda uniosła i z wielką tylko biedą się uratował. Następnie służył on w polskiem wojsku za buławy w. hetmana Józefa Potockiego, ale zbrzydziwszy sobie służbę, „zdezerterował“ raz, drugi i trzeci. Gdy go złowiono, był dekretowany na śmierć, w wigilię jednak wykonania wyroku szczęśliwie uciekł z pod warty do ojczyzny swej Rygi, gdzie dosłużył się w garnizonie chorąstwa. „Dama“, w której się kochał chorąży, bojąc się „trzeciego paroksyzmu“, jaki na niego paść miał, bo właśnie kończył 35 rok życia, postanowiła przeczekać ów nieszczęsny rok, nimby mu rękę swą oddała.

Burman, umiejąc po polsku. chętnie przebywał z Polakami, chętniej jeszcze z Polkami, stąd też p. Pilsztynowa dobrą przyjaźń z tym kawalerem zabrała.

Pewnego dnia rozeszła się po mieście pogłoska, że Burman zabił swego kapitana i wzięty jest do więzienia. „Przyczyna tego zabicia była ta, że kapitan źle mówił na damę Burmana.“ Przyszło do wymiany słów, przyczem kapitan oświadczył mu, że on sam najlepiej wie, co to za dama, „bo jest sam świadkiem jej nieuczciwości.“ Burman oburzony odparł: „Ja nigdy nie miałem szczęścia z żoną pana mieć konfidencyi, ale proszę przyjść i przekonać się, że gdy tylko zawrę z nią znajomość, po trzech godzinach już będę miał takie u niej łaski, o jakich pan wspominasz, żeś u mojej damy profitował.“ Dowiadujemy się dalej, że kapitan na ten zakład się zgodził i że Burman, udawszy się do mieszkania jego żony, jednej chwili zyskał względy kapitanowej. Kapitan, wróciwszy do domu, gdy ujrzał, dokąd sprawy doszły, porwał za szpadę i przyszło do bójki, w której sam zginął. Burmana wzięto natychmiast do więzienia, gdzie go Pilsztynowa odwiedziła i pożegnała zarazem, musiała bowiem wyjeżdżać do Petersburga, przyrzekła jednak, że jeśli tylko będzie mogła mówić z cesarzową, to pod przysięgą obiecuje prosić za nim i wyeksplikować jego niewinność. Nawiasem dodaje polska okulistka, że sprawa była trudna, Burman bowiem był katolikiem, podczas gdy większość starszyzny ryzkiej składała się z protestantów.

Przyjechawszy do Narwi, udała się do jenerała Tarasa Harasimowicza Szatiłowa, do którego miała list od jenerała Lewina (z Litwy pod Nowogródkiem). Jenerał przyjął ją bardzo łaskawie i wziął do swego pałacu w gościnę, żona bowiem jego była chora, skuteczna zaś kuracya nietylko doktorowej zapewniła ludzkie i przyjacielskie obejście, ale i protekcyę. Jenerałowa wyzdrowiawszy, napisała list do brata rodzonego, brygadyera Semiona Jurewicza Karaułowa w Petersburgu, „który kiedyś był komendantem w Krakowie podczas inkursyi“ (zdaje się, że było to w czasie koronacyi Augusta III. w styczniu 1733 r.). Po przybyciu do Petersburga, państwo „Karaułowie“, o których dowiadujemy się, że mieszkali w tym czasie w pałacu księcia Szeremetiego na Wasilowym Ostrowie 25 linii, przyjęli ją bardzo gościnnie. Brygadyerowa była właśnie w błogosławionym stanie i bardzo frasobliwa, bo jej dzieci — a miała ich już sześcioro — umierały przy porodzeniu. Pilsztynowa pocieszała ją, że za pomocą P. Boga i z jej experyencyą wszystko dobrze będzie. I w rzeczy samej, kiedy w kilka tygodni później przyszło dziecię na świat bez tchu i gdy się zdawało, że jest nieżywe, le-

karka kazała sobie podać dzierżę do robienia chleba i obróciwszy ją dnem do góry, przykryła nią dziecko, które „w pół pacierza zapłakało i żyło“. Dano mu imię Iwan Siemionowicz i „chwała Bogu żyje i byli potem rodzice z niem w Kijowie na pokłonienie św. Barbary, bo go w tym punkcie ofiarowali.“

Dolegało w Petersburgu naszej doktorce tylko to, że „nijak“ nie miała przystępu do carowej Anny Iwanównej, w dodatku zaś wszyscy jej mówili, że trudno będzie „dostąpić“, że „ludzie po roku siedzą, a nie mogą z nią gadać, nawet suplikę dać jest ciężko; ale że jest tu księżna z domu „Frubiecka“ *(sic)*, a za mężem ks. Czerkawskim, który był pierwszym ministrem na ten czas i że ta księżna ma wielki respekt u carowej Imci“, więc tylko za jej instancyą możnaby z monarchinią mówić.

Pani „Karaułów“, skoro tylko do zdrowia przyszła, wzięła Pilsztynową z sobą do księżnej, którą nam autorka przedstawia, jako kobietę surową i srogą. „Choćby jaką pannę urzędniczkę“ — powiada — „to bić każe lub z mężczyzn, a tu inaczej nie można, trzeba się u niej na służbę prosić, bo rada była różnej nacyi ludzie u dworu swojego mieć.“ Przybywszy do pałacu ks. Czerkawskiej na Milionnej ulicy niedaleko „Asudarskoho Dworca“, oświadczyła jej, że ma umiejętności w doktorskim kunszcie i że chce jej służyć.

Tu następuje opis pałacu i niesłychanych bogactw księstwa Czerkawskich, w których skarbcu widziała Pilsztynowa „beczki srebrne do wody wożenia, drągi srebrne do noszenia beczek, cebry, fajerki *alias* piecyki srebrne, misy, wazy, czary, talerze, niecki do kąpania dzieci, wanny, serwisy“, wszystko z bitego srebra „od stołu aż do belki sufitowej“. Córka księstwa „Warwara“ ma na usługi liczny dwór i w otoczeniu swem dwie katoliczki, guwernantki, które co niedziela jeżdżą do kościoła „OO. Kapucynów (?) na Mszę świętą.“

Księżna, która cierpiała na zawrót głowy, po medykamentach Pilsztynowej wyzdrowiała, sława więc jej lekarska rosła, gdy zaś w kilka tygodni później dokonała zdjęcia katarakty, na jej szczęście dojrzałej, u pewnej praczki przy dworze carownej Elżbiety Petrównej, szczęśliwa ta operacya tak się rozgłosiła przez służbę dworską po całym Petersburgu, że carowa Anna Iwanówna, dowiedziawszy się o niepospolitej okulistce, kazała jej stanąć przed sobą w „Asudarskim“ dworcu.

Było to już o zmroku, gdy ją pojazdem do niej zawieziono. Nasza doktorka padła przed carową na kolana, monarchini zaś łaskawie dała jej rękę do pocałowania i długo z nią rozmawiając, pilnie się o różne szczegóły dopytywała.

— Za czemeś też tu do Moskwy przyjecha? — zagadnęła między innemi Anna Iwanówna.

Pilsztynowa odrzekła, że była w Turczech w Stambule, gdzie służyła córkom cesarskim i wielu innym godnym ludziom, ma bowiem cokolwiek umiejętności w kunszcie doktorskim, tu zaś słyszała, że „dama“ panuje w Petersburgu i życzyła sobie tego szczęścia od Pana Boga, aby ją uczynił godną, to oczyma oglądać, co słyszała; ma ona też tę nadzieję w Bogu, że na dworze tak potężnej pani będzie „mogła opatrzyć swoje potrzeby w Petersburgu“. Po tem pochlebnem oświadczeniu, carowa (która ją w rozmowie nazywa Salamanidą Jefymówną od imienia Salomei, tudzież od imienia ojca Pilsztynowej Joachima), dała jej miejsce u dworu i wyznaczyła mieszkanie w własnym pałacu na parterze.

Tu w dalszym ciągu opowiada autorka pamiętnika awanturę księcia Galicyna, który wyprawiony w poselstwie na dwór wiedeński do Karola VI., mimo iż był żonaty i już miał dorosłą córkę, udawał kawalera i zbałamuciwszy pewną piękną wdowę, przeszedł na katolicyzm i wziął z nią ślub. Sprawa wydała się dopiero po powrocie do Rossyi i oparła się o wyrok samej carowej, która księciu nakazała powrócić do pierwszej żony i dzieci. Druga żona jednak nie opuszczała Rossyi i książę miewał z nią potajemne schadzki. Carowa pod wielką karą surowo przykazała, żeby się książę z nią nie widywał, wtem „czy to z woli bożej, czy z przysługi męża — umiera księcia Galicyna pierwsza żona.“ Po roku żałoby Anna Iwanowna widząc, że książę nie myśli się ustatkować, zawołała go wraz z ową Wiedenką do siebie, a posławszy po duchownego, kazała ich ślub konfirmować, „aby żyli w pokoju“. Ale książę oświadczył, że choćby życie miał dać, to tej „Madame“ za żonę mieć nie chce. Wiedenka usłyszawszy to, padła na ziemię i „została zarażoną chorobą św. Walentego“ i „tak ją bez zmysłów na dół odnieśli do pokoju“ Pilsztynowej. Carowa zostawszy z księciem sam na sam, dowiedziała się od niego, że on już tej drugiej żony nie chce, bo się zakochał w własnej praczce i tę wyłącznie pragnie poślubić. Wówczas Anna Iwanówna „rozgniewana kazała z niego ordery zdjąć i powagę generalską złożyć y lokajskie suknie oblec, y żeby do stołu półmiski z kuchni nosił y z talerzem stał za plecyma drugich od siebie podlejszych.“ Książę z ochotą tę karę przyjął „dla miłości swej praczki“, którą carowa zawezwała do siebie i śmiercią jej groziła, jeśliby poszła za niego. Dziewczyna oświadczyła, „że choćby pewnie znała, że ją mąż zabije, ale dość ma na tem, że choć jeden

dzień będzie Galiczynową y familia jej prosta zaszczycać się kiedyś będą, że księżnę w rodzie mieli.“

Tymczasem owa piękna Wiedenka z frasunku i tęskności od rozumu odchodziła, z czego Pilsztynowa wielką miała niewygodę, bo w tym samym pokoju mieszkając, wszystkich jej narzekań na niestatek księcia i lamentów dzień i noc słuchać musiała.

„Widząc carowa Imci tey Madamy niespokojność, tedy bywało każe przed sobą stanąć księciu w lokajskim ubiorze y Madamie; książę był niskiego wzrostu, owa Madama zaś wysokiego. Tak Madama w prezencyi carowej Imci y całego dworu asystującego weźmie taboret i księcia co siły w łeb uwali. Kilkanaście razy książę ucieka, ale za drzwi nie wypuszczają, tedy tej gonitwy będzie przez długi czas, tego igrzyska mało nie co dzień napatrzyłam się dość; już ja y z Petersburga wyjechałam, a Madame powaryowaną zostawiłam... Wtem carowa Imci obiecała księciu dać ową praczkę, jeśli taką pokutę wypełni, że mu każe pałac lodowaty wystawić z pokojami, z stołami, z kuchnią, z łóżkiem, a on żeby z ową praczką na tem łóżku przenocował bez pościeli, bez futra, w swej sukiennej barwie. narzeczona zaś w kamlotowych bez podszewki sukienkach.“ Książę podjął się tej próby, która się odbyła „po ruskiem Bożem Narodzeniu, w ostre mrozy.“

Na owem weselu były liczne dziwowiska i „konkurs ludzi godny“. Akademia kadecka asystowała w maszkarach, na koniach „ze świecami słomianemi“. Jeść i pić suto dano. Liczne kapele przechodziły przez ulice. Tymczasem pan młody z panną młodą zamknięci w owym lodowym pałacu, zostawali pod wartą, „żeby ani sukien, ani napoju, ani węglów rozżarzonych nie podał kto temu małżeństwu.“ Przenocowawszy długą noc na gołym lodzie, nazajutrz rano stawili się przed carową i upadłszy przed nią na kolana, przywróceni zostali do łaski. Księciu kazano order „przywrócić“ i w książęcy, bogaty strój się ubrać, poczem zaszła po nich poszóstna kareta i odjechali oboje do swego pałacu.

Wyżej była wzmianka o Burmanie, co zabił swego kapitana w Rydze. Gdy ta nowina doszła obecnie do carowej i rozgłosiła się na dworze, wówczas Pilsztynowa opowiedziała całą historyę Annie, która widząc Burmana niewinność, wydała ordynans, żeby go przywieziono do Petersburga, gdzie „dostał pardon“ i „wielką łaskę z woli P. Boga zjednał sobie u carowej y jest pożałowany.“ Został on porucznikiem w „leibkompanii“ w karasyjskim pułku z łaski doktorki polskiej, po jakimś zaś czasie prosił o urlop, aby mógł jechać do Rygi i ożenił się z ową wdową, o którą się bił. Carowa posłała

po nich pojazd, ludzi 15 i tysiąc rubli dała na expens na tę ich drogę, po przyjeździe zaś odebrał porucznik patent na kapitanią a wdowie „sprawiono 12 par wspaniałych sukien, gotowalnię: srebrne pudełka, zegarki, dwie szczero złote tabakiery, kotarę za 1000 rublów nad łóżko y innych wiele rzeczy, tudzież dworek y karetę, 4 konie, y tak z Bogiem w pokoju, wesołych i zdrowych zostawiłam w Petersburgu...“ kończy autorka.

W następnym rozdziale opisuje nam „wesele Imci pana Kiczerlinga“ (Kaiserlinga), szambelana carowej, z pewną „damą jej fraucimeru“. Byli na tem weselu wszyscy ministrowie i dygnitarze dworu: Osterman, Wołyński, ks. Michał Alexiowicz Czerkawski i dam niezliczona moc. Podarunki dla panny młodej stanowiły: dyamentowa korona, kulant (?) y bransoletki waloru 10.000 rubli, łóżko a raczej sypialnia 20.000 rubli z taboretami, z gotowalnią i obiciami. Wymienia też inne mobilia jej darowane, jak: 12 karet poszóstnych, których koła kute były srebrnemi szynami, szory jedwabne z złotą blachą i srebrnymi herbami. Laufry przy karetach mieli kaszkiety dyamentami sadzone, laski w ręku złote, kameryzowane brylantami, przyczem nawiasem autorka wspomina, że tegoż roku wydała za mąż carowa siostrzenicę za „Urlicha *(sic)*, księcia olsztyńskiego“, „która po śmierci Anny Iwanówny była naślednicą y panowała lat siedm (!), w czem Pilsztynowa zdradza grubą nieznajomość współczesnej historyi [1]).

Wesele, o którem wyżej wspomniano, zasługuje na bliższe opisanie ze względu na współczesne rossyjskie zwyczaje. Pan młody, przyjechawszy do pałacu carskiego, rozebrał się do koszuli, tylko był w szlafroku i w nocnej czapce, w „halsztuchu“, tudzież patynki miał nocne na nogach, które mu dała panna młoda. „Te rzeczy były waloru 2000 rubli“. W takim kostiumie pan młody co żywo ucieka do innego pokoju, tymczasem zaś, „co tylko jest ludzi go-

[1]) Po śmierci Anny z początku sprawował rejencyę jej ulubieniec, Biron, w zastępstwie małoletniego Iwana IV. (1740—41). Po kilku tygodniach Biron strącony przez Münnicha i wysłany na Sybir, poczem w. księżna Anna Leopoldówna, zamianowawszy męża swego, Antoniego Ulrycha, ks. holsztyńskiego, komendantem naczelnym wojsk a Münnicha kanclerzem, objęła rejencyę, sprawowała ją zaś nie lat siedm, lecz kilka miesięcy t. j. do początku 1741 r., w którym to czasie Elżbieta z pomocą wiernego Kyryłły, bandurzysty, dostała się na tron. Mały Iwan uwięziony, rodzice jego wygnani, Münnich zaś, Osterman i inni z szafotu poszli na Sybir. Omyłki powyższe tłómaczyć tylko można tem, że autorka pamiętnik swój pisała w kilkadziesiąt lat później w Stambule, nie dziw przeto, że ją pamięć zawodziła. (Przyp. autora).

dnych z dam, kawalerów starych y młodych y cudzych, nawet stangreci i masztalerze“, pchając się do pokoju, gdzie łóżko panny młodej, stawiają ją na środku pokoju bez ubrania, tylko w koszuli i dają jej srebrną wielką tacę, na której kilkadziesiąt stoi kubeczków pełnych „cukrowej wódki“, ona zaś każdemu „z pokorą“ daje kubeczek, prosząc, żeby pili, „y każdy bierze y pije y mocno P. Boga chwalą y błogosławią państwu młodym, żeby szczęśliwe życie y dobre zdrowie y błogosławieństwo boskie mieli, y córki teyże panny młodej, żeby także czystemi pannami za mąż poszły, jak y matka ich teraz w oczach naszych jest czystą panną z daru boskiego.“ Potem przyszedł jeden przystojny i stateczny kawaler z damą i przyniósł sobolą szubę, zieloną, aksamitną z dyamentowemi pentlicami, obszerną i bardzo długą. Obecni goście okryli ją tą szatą, a życząc jej „stanu i postanowienia“, położyli ją na łóżku i wówczas wszyscy obecni ustąpili do innych pokoi, gdzie zasiedli do sutej uczty, po której były tańce i pląsy, „jak zwyczaj bywa na weselu“. Tymczasem pan młody cichaczem przez skryte pokoje skrada się do panny młodej i każe sobie jeść i pić dać i zostają sami dwoje przy swoich domowych sługach i służebnicach przez 24 godzin. Po takiem sam na sam wyszli wspaniale ustrojeni do gości i z nimi się zabawiali. Wesele to „agitowało się strojno i bogato przez ośm dni“.

Pilsztynowa, wracając do własnych wspomnień, opisuje, jak zyskawszy łaskę carowej, wyprosiła sobie 4 Turków z Ruszczuku w niewoli będących, a mianowicie dwóch z twierdzy narewskiej, dwóch zaś z twierdzy rewelskiej. Otrzymawszy konwój z 7 żołnierzy, przybyła wśród najrozmaitszych awantur, napadów zbójeckich i hajdamackich do Koralicz pod Nowogródkiem, do księcia Michała Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego. Chciała owych Turków sama odwieźć do Ruszczuku, ale książę na to nie zezwolił. Wysłano ich do baszy benderskiego, skąd szczęśliwie dostali się do miejsca rodzinnego.

W dalszym ciągu opisuje Pilsztynowa historyę Piotra W., mięszając anegdotyczne opowieści z historyą, nie pomija jednak organizacyjnych i reformatorskich jego czynności. Z tych opisów dowiadujemy się nietylko, jak ów monarcha kraj z rozbójników oczyścił, jak wojsku dał „barwę“ i mustry je uczyć kazał, lecz są tu i takie szczegóły, o których mało kto wspomina, jak n. p. że przy każdej drodze kazał car powbijać słupów 5 na milę, malowanych z podpisem po moskiewsku, po niemiecku i po łacinie, „gdzie jechać i jak daleko“. W austeryach taksy na drzwiach zaprowadził, „wszystko więc tanio można było dostać, a dla ubogich darmo jeść i pić dawali.“

O Peterburgu pisze, co następuje: „Gdzie były błota i trzęsawice, co to za mosty kamienne y drewniane y piaskiem równo wysypane...“ „... Peterburg tak śliczny, tak wspaniały, wystawił Piotr nad rzeką Niwą, że piękniejszy i milszy niż Stambuł i Wiedeń: bo Stambuł lubo wielki, wspaniały bez miary, ale stare miasto. Tu pałac za tysiąc kies, a tu kuźnica, gdzie konie kują, a tu „bąkał“, co ogórki i harbuzy przedaje, y Wiedeń toż samo: tu klasztor wspaniały, tu chałupka jednego rzeźnika lub bakałarza, dość: tu stary dom, tu nowy pałac. Ale Petersburg — ach, jak śliczny i porządny! Takie długie ulice, że kilkaset kamienic czyli pałaców wciąż tak wszystkie równe, zwyż i około siebie równo stoją, że się zdaje jedna ściana. Niektóre pałace miedzianą blachą pobite, około każdej kamienicy różne stoją drzewa. Żeby największy deszcz, to się człek nie pomoczy, pod dachami idąc, a ulice tak szerokie, że się sześć karet pominąć mogą; nigdzie odrobiny śmieci lub błota widać, bo jak chłop prosty z miasta wyjeżdża, to musi dać 2 kopiejki, a jeśli śmiecie lub gruzy weźmie, choćby jedną garść, to już 2 kopiejek nie da, a jak do miasta chłop wjeżdża, to musi drzewo lub kamień przywieść, a nie przywiezie, musi dać 2 kopiejki. To drzewo i kamienie na reparacyę mostów po małych ulicach.“ „Kościół nasz katolicki wspaniały, w nim ojcowie Reformaci.“

Opowiada dalej o następcach Piotra Wielkiego, szeroko zaś kreśli nam postać Anny Iwanównej, na której dworze 1739 r. bawiła, w końcu zaś wspomina, jak Elżbieta z pomocą Kyryła bandurzysty (hr. Razumowskiego), uwięziwszy rejentkę Annę Leopoldównę i jej męża, korony dostąpiła.

O Bironie, którego nazywa „Herc-Hercug von Kurland“, opowiada między innemi, że miał 7 synów. Skoro tylko którego syna żona mu powiła, „to go zaraz wynoszono z kołyską na pokoje carowej Anny, gdzie był aż do czasu, póki się Bironowej drugi syn nie urodził, którego podobnie na pokoje carowej wynoszono, a poprzedniego oddawano rodzicom“... „Taki to afekt y nagrodę — dodaje — odbierają dobrzy słudzy.“

Znajdujemy dalej wiele szczegółów o Kyryle bandurzyście, o jego nobilitacyi i jego pochodzeniu. „Ja będąc w Kozielcu“ — pisze okulistka polska — „w miasteczku za Dnieprem, 10 mil od Kijowa, nie od dziesięciu, ale od kilkudziesiąt ludzi słyszałam, którzy znali Kyryła Rozumowskiego *(sic)* y ojca, matkę y braci y siostry. Był to chłop prosty y kazano mu woły paść, ale nie mógł ich upilnować, bo mu się w szkodę wdzierały... i biednego chłopca za to bito. Ten Kyryło miał extra dobry głos y rad był na kobzie

lub skrzypcach grywać. Jednego dnia krwawo płakał y do P. Boga wołał, żeby mu dobrego pana dał, żeby się mógł czytać y pisać nauczyć y na bandurze dobrze grać. Tegoż dnia porzuciwszy woły w polu, pobiegł drogą pieszy, boso, bez czapki y płacze. Już trzy dni biegł bez posiłku, uciekłszy od wołów, gdy wtem jedzie jakiś pułkownik rossyjski i widzi małe dziecię od lat dziesięciu w lesie płaczące. Kazał się chłopca spytać, gdzie idzie y czego płacze. — „Pana szukam y głodny jestem“ — odrzekł chłopiec. Kazał mu tedy ten pułkownik dać jeść i wziął go na służbę.“

Po kilku latach pilnej i wiernej posługi ów Kyryło wyuczył się pięknych różnych umiejętności, zwłaszcza w muzyce i śpiewie, dobrych manier nabrał i przez wszystkich był lubiany.

Trafiło się, że pułkownik, u którego Kyryło służył, wyjechał do Petersburga. Razu pewnego był on z panem swoim w cerkwi, w której równocześnie znajdowała się Elżbieta Petrówna, „a że w Moskwie przy służbie bożej śpiewają extra wybornie ludzie. tam zaśpiewał y Kyryło. Jak „Elisabet“ posłyszała jego głos, zaraz sobie życzyła mieć go za śpiewaka w swojej kapeli, bo się bardzo, jak y ja wiem, kocha w muzyce, widziałam bowiem, że miała dwanaście dziewczyn, co na bandurach grały . . . Pryncessa Elisabet prosiła więc pułkownika, aby jej ustąpił swego Kyryła“; i w ten sposób dostał on się na dwór Elżbiety. Mówi o nim, że „był to człek wejrzenia pięknego y wzrostu miernego, rozumny, dowcipny, cichy, trzeźwy y pobożny. że się nigdy na nim żaden występek nie pokazał, y przez to zjednał sobie u pani swoiey wielkie łaski, że mu siła świadczyła.“

Po powrocie Pilsztynowej do Polski, książę Radziwiłł kazał jej z mężem jechać do Łachwy na Polesie, owych przywiezionych zaś z Moskwy Turków odebrano jej i odesłano ich do Benderu. Pilsztynowa bardzo była z tego rozkazu hetmańskiego niezadowolona. W dodatku i mąż jej nie sprawiał pociechy, „bo mi oczewiście — pisze — wiarę małżeńską złamał“, wreszcie na odludnem Polesiu „ani rozrywki, ani awantażu“ żadnego nie miała, jeżeli zaś zważymy, że była cierpiąca, „bo z woli Pana Boga w cięży zostawała“, ona, która „przywykła była patrzeć w Petersburgu na takie szlachetne rzeczy i żyć dobrze“, to zrozumiemy, że jej w Polsce wcale nie było wesoło.

W kilka miesięcy chorąży otrzymał od hetmana nowy ordynans, aby z żołnierzami swymi wymaszerował z Łachwy do Żółkwi i wówczas to umyśliła Pilsztynowa prosić męża, aby jej pozwolił jechać do „cesarskiego państwa“, do rodziców jego dla względów

materyalnych, wykupiwszy bowiem męża z niewoli, spodziewała się od rodziny jego pewnego odszkodowania (5000 cz. zł.), „nadewszystko zaś rada była wyrwać się jak z niewoli, bo niekontenta była z gotowego grosza siedzieć na nudnem Polesiu“ lub w Żółkwi. Wziąwszy tedy od chorążego listy do jego rodziców i krewnych, tudzież do jenerała Damnica w Wiedniu, z którego regimentu Pilsztyn pod Krajowem Turkom w niewolę wpadł, córkę zostawiła u niejakiej pani Szczytowej, kasztelanowej smoleńskiej, i wybrała się z dwoma ludźmi i białogłową, czterokonną kolaską, przydawszy wózek pod rzeczy, „na Wrocław, Otawią, Naysę, Ołmyc, Brün, Nikilsburg do Wiednia“, stąd do „Gracu, Niderkarniolii, Überkarniolii do Laibucha“ i o 4 mile dalej do miasteczka Pichlszteyn, skąd przodkowie jej męża mieli szlachectwo od cesarza Leopolda nadane. W domu rodziny męża doznała bardzo gościnnego przyjęcia; przemieszkała tam niedziel sześć, lecz co się tyczy pretensyi pieniężnych, te nie zostały wyrównane, ledwo bowiem zdołała od ojca męża 100 czer. złotych wydostać. Zniechęcona niepowodzeniem materyalnem, naparła się jechać z powrotem do Wiednia, między innemi zaś przyczynami wyjazdu i ten podaje, że „w Karniolii damy w połogu tylko zupy jedzą, a ja, Polka, zwykłam kapłuny jadać.“ Trzeba się jej też było i spieszyć, bo pragnęła przed połogiem dostać w Wiedniu należną gażę ze skarbu wojskowego dla męża za jego wojenne zasługi. Wymieniwszy tedy portrety swoje z krewnemi, pożegnała ich i udała się do stolicy Austryi. W Wiedniu stała na Leopoldstadt „beim rotyn resył“ *(sic)*. Tu, gdy zabrakło jej pieniędzy na dalszą podróż, domagała się audyencyi u cesarza, wszelkie jednak zabiegi, aby uzyskać ze skarbu państwa należny żołd dla męża, skończyły się na czczych obiecankach skąpego monarchy. Wkrótce miała odbyć połóg, a tu ani pieniędzy, ani siana dla koni, tylko na polityce „nie schodziło“. „O! nie tak jak w Petersburgu“ — dodaje autorka. „Nikt mię tu na obiad nie zaprosi. Niemcy nie mają tej maniery, jak Polacy lub Rosyanie, co to kiedy do kogo kubkiem piją za zdrowie i potem też i temu dadzą, do kogo piją. W Niemczech będzie mię szukał z pilnością, gdzie ja siedzę, znalazłszy zaś, pije ten kawaler moje zdrowie: „Ihr Gesundheit engelsze *(sic)* Madame“ — sam Niemiec wypije, a mnie nieda!“

Położenie jej było rozpaczliwe, gdy wtem przyjechał do Wiednia poseł turecki z Stambułu, Dżany Alibei-efendy, w towarzystwie 300 Turków i stanął na Leopoldstadzie. Udała się do niego Pilsztynowa w swej wielkiej opressyi, a poseł dowiedziawszy się, z kim ma do czynienia, przyjął ją za poselską lekarkę, tem chętniej,

że mu ludzie w drodze pochorzali, a z lekarzami wiedeńskimi trudno się im było przez tłumaczów porozumiewać. Wpisano ją na rejestr, dostała mieszkanie, rano i wieczór po ośm półmisków z kuchni, na 4 konie porcya siana i obrok, a prócz tego 3 oka kawy, głowę cukru i 12 czer. zł. Za Turkami poszli inni, co się u niej leczyli, a naprzód damy dworskie, jak: „fraila Porcya księżniczka, fraila Maryanna de Berchtult", gdy zaś wyleczyła „hr. Konwencyła", który kilkanaście lat był ślepy, nietylko że dostała za kuracyę 200 cz. zł., lecz sława jej szybko rozeszła się po całym Wiedniu. Nadszedł czas połogu. Powiła syna, któremu dano imię Franciszek Ksawery. Kumem był „ks. Ferner" (zap. Werner) a kumą „de fraila Berchtult", dama górnego fraucymeru cesarzowej. Chrzest się odbył u fary „in die Leopoldstadt". Cesarzową nazywa „die szeyne Lizil von Wolfinbytel". Opisuje polowanie cesarza w Zwierzyńcu w towarzystwie żony „Lizyl", córki i siostry zaręczonej wówczas z księciem bawarskim. W tem towarzystwie była też siostra rodzona cesarza, Marya Magdalena, która „niegdyś zaślubiona (zaręczona) była za Imci Pana Sapiehę, koniuszego litewskiego, co go rozsiekali" (pod Olkiennikami). „Damy dworskie bardzo go mile wspominały..." Na jednem z tych polowań cesarz Karol tak był rozanimowany strzelaniem, że nie chciał podobno iść do wspólnego obiadu, lecz prosił jednego z strzelców o kawałek „salsesonu", który tenże jadł. Po zjedzeniu tej potrawy, cesarz zachorował i umarł. Podaje też wiele innych szczegółów anegdotycznie opowiedzianych a dotyczących dworu wiedeńskiego, jak n. p. o pewnej mamce, co 2-letniemu synowi Karola VI. wbić miała igłę do głowy, wskutek czego dziecko umarło i ród Habsburgów wyginął po mieczu.

W kilka miesięcy później obdarzona suto przez posła tureckiego, opuszcza Pilsztynowa Wiedeń, kupiwszy sobie wprzód 4 konie za 200 talarów bitych, karetę za 100 talarów i wziąwszy z sobą 500 cz. zł., które z praktyki lekarskiej zarobiła. Wyjechawszy przeto „z pieniędzmi i z honorem", święta Bożego Narodzenia przepędza w Ołomuńcu. W Wrocławiu pod pozorami trudności paszportowych podstępem dostaje się do pałacu królewskiego i gwałtem domaga się posłuchania u Fryderyka III., aby zwrócić na siebie uwagę tego króla. Ale na dworach środkowo-europejskich, wobec potężnej konkurencyi niemieckich lekarzy, trudniej było o miejsce i karyerę, niż w Petersburgu i w Stambule, to też lekarka nasza, nie doznawszy spodziewanego poparcia ani w Wiedniu, ani w Wrocławiu, wraca na Piotrków do Lublina, a następnie udaje się do Lwowa. Tu dowiaduje się, że mąż zmarnował fortunę jej, złożoną w depo-

życie u pani Szczytowej, w dodatku dochodzi ją wieść, że p. chorąży trzyma sobie w domu dwie białogłowy i hulaszcze życie prowadzi. Widząc męża lekkomyślność i marnotrawstwo, stara się o separacyę, lecz bezskutecznie, mąż bowiem, mimo swych excessów, nie chce jej opuścić. W tym czasie ciężarna po raz drugi, zostawia 2-letniego syna u kasztelanowej bracławskiej, pani Potockiej, w Smotryczu i udaje się do Turcyi na Bukareszt, gdzie połóg ją kilka tygodni zatrzymuje. Urodziła znowu syna, któremu dano na imię Stanisław.

Stąd wyjechała do Ruszczuku, gdzie po długim procesie wydostała od owych Turków, których uwolniła z niewoli rossyjskiej, 5000 zł. pol. Po dwóch latach złożywszy sobie 40.000, wróciła znowu do Polski — jak pisze „na swoją biedę". Dunajem popłynęła do Galaczu, stąd zaś na Jassy i Żwaniec do Czarnych Koziniec, gdzie u biskupa kamienieckiego, Mikołaja Dembowskiego, ochrzciła pewnego niewolnika (Hasana baszę), którego przywiozła z sobą z Turcyi i nazwała Mikołajem Nadolskim. Ten Nadolski stale osiadł w Czarnych Kozincach, gdzie się później z Polką ożenił.

Będąc już teraz majętną, zebrała dzieci razem, a więc sprowadziła córkę z pierwszego małżeństwa od Benedyktynek ze Lwowa, odebrała syna od kasztelanowej bracławskiej z Smotrycza i z dziećmi postanowiła mieszkać stale w Kamieńcu. Męża nie życzyła sobie wcale nawet widzieć, ani się o rozwód nie starała, pragnęła tylko w dewocyi żyć, „bo jej to zamęście kością w gardle stało".

W tym czasie był jenerałem kamienieckiej załogi, p. Dominik Bekierski. Jenerał dowiedziawszy się, że Pilsztynowa ma pieniądze, postanowił ją wyzyskać. Gdy się to nie udało, zrobił jej zarzut, że niewolnikami handluje i skonfiskował jej całą gotówkę i klejnoty, grabierzy zaś takiej nietrudno było dokonać dowódcy, który całą załogę miał na usługi. Był to gwałt i nadużycie władzy, ujął się też za nią biskup Dembowski i wydał nawet dekret w konsystorzu, orzekający jej niewinność. Ale to nic nie pomogło; Bekierski kpił sobie z biskupich dekretów. Wówczas biskup kamieniecki, wybrawszy się w podróż do Radomia na komisyę, wziął z sobą Pilsztynową do Załoziec, gdzie hetmanowi w. koronnemu, p. Józefowi Potockiemu, sprawę przedstawił i prosił go, aby wyperswadował jenerałowi, żeby biednej kobiecie oddał zabraną fortunę. Ale i to niewiele pomogło, jenerał bowiem tak się zawarował i obronił fałszywymi świadkami i listami wobec hetmana, że bezradny kapłan, obdarzywszy biedną niewiastę 12 czerw. złotymi, sam pojechał do Radomia, ją zaś zostawił w Załościach.

W jakiś czas dopiero Mniszech, kasztelan krakowski, a ojciec hetmanowej, Postępski, sędzia wojskowy i podkomorzy, tudzież wyleczony przez doktorkę na nogi p. Stefan Błędowski, pułkownik z Olejowa, zdołali przekonać hetmana, że to nie żadna „hultajka", jak utrzymywał Bekierski, lecz „godnych sentymentów" białogłowa, poczem Bekierski, stawiony przed sąd na rozkaz hetmana, wydał jej zabrany kuferek, w którym prócz klejnotów było 18.000 zł.

Było to w r. 1743. Pilsztynowa miała lat 26, a musiała mieć niezwykłą urodę, skoro w dalszym ciągu pamiętnika dowiadujemy się o jej miłosnych sukcesach i awanturach.

Przyznaje się do nich okulistka polska z pewną dyskrecyą i nie przechwala się niemi wcale, owszem uważa je za nieszczęście. Oto pewien szlachcic „godnego urodzenia", którego nazwiska nie wymienia, tak natarczywie stara się o jej względy i rękę, iż kobieta odważa się w duchu raz jeszcze spróbować szczęścia w małżeństwie. Wkrótce jednak przekonywuje się, że amant jej jest pędziwiatrem, awanturnikiem i pijakiem i po wielu kłopotach, które ją dużo zdrowia i pieniędzy kosztowały (a które bardzo szczegółowo opisuje), widząc, że się kawalera nie pozbędzie, córkę swą wydaje za mąż za Antoniego Ostrowskiego, syna 12-letniego zostawia w szkołach kamienieckich, sama zaś udaje się znowu do Turcyi, gdzie już do końca życia przemieszkiwa.

W kilkanaście lat później doznaje ona największej krzywdy, jaką kobieta-matka doznać w życiu może. Oto, gdy w utęsknieniu na obczyżnie przebywała, ów w Polsce zostawiony kawaler, wyłudziwszy resztki majątku zostawionego dla jej syna, wyprawia go do matki z Podoskim, wojewodą płockim, który w r. 1760 był posłem do Turcyi. Stęskniona matka przyjęła syna z otwartemi rękami i usiłowała go zatrzymać przy sobie w Stambule. Ale ani jej prośby, ani łzy, ani dostatek, jakim go otoczyć pragnęła, nie zdołały skłonić młodzieńca do pozostania w Konstantynopolu. Syn nie poczuwał się do obowiązków przywiązania ani wdzięczności względem matki, która dotąd ani jego wychowaniem, ani jego losem wcale się nie zajmowała. Opuścił ją więc i wraz z towarzyszami wrócił do kraju.

Zbolała Pilsztynowa szuka ulgi i ukojenia w modlitwach (których kilka wierszem w swym pamiętniku zapisała) i w peregrynacyi do Grobu Pańskiego w Jerozolimie, tudzież w podróżach po Egipcie, nigdzie jednak odnaleść nie może tego, co ją na zawsze odleciało, t. j. szczęścia, jakie kobiecie daje miłość i ciepło rodzinnego ogniska.

Spędza przeto ostatnie dni życia w Stambule w osamotnieniu na modlitwie i spisywaniu owego pamiętnika, który „podaje do

uwagi ludzkiej". „Kto go czytać będzie, niech uważa, w wielu już byłam niebezpieczeństwach życia i wiele razy fortuna mię bogaciła i nazbyt zubożywała, niech zrozumie, czy miałam ja co dobrego od mężów, od utrapionego kawalera, od dzieci i sług..."

Poeci nasi i powieściopisarze robią nieraz poszukiwania w świecie wyobraźni lub w książkach za bohaterami swych utworów. Pilsztynowa, to typ awanturnicy operetkowej, doznającej w życiu niemal nieprawdopodobnych przygód, gdy zaś w głąb jej zbolałego serca i duszy spojrzymy, to mamy przed sobą bohaterkę wstrząsającego dramatu i obraz zmarnowanego na obczyźnie życia polskiej niewiasty. Nie zaznała ona szczęścia, szukała go bowiem tam, gdzie go kobieta nigdy nie znajdzie.

Przeczytawszy ten pamiętnik, nasuwa się mimowoli myśl, że ubieganie się kobiet o rozgłos i o zajmowanie stanowisk, dzierżonych przez mężczyzn, to rzecz nie nowa, że emancypacyjne dążenia płci pięknej istniały po wszystkie wieki i istnieć będą, jak długo egzystować będą kobiety chore, nerwowe, w pożyciu małżeńskiem nieszczęśliwe, niehigienicznie chowane, szczytnych swych zadań nie pojmujące lub żądne sławy i niezwykłych przygód. Różnica między ubiegłymi wiekami a obecnym jest tylko ta, że choroba owa w minionych wiekach sporadyczna, dziś grasuje modnie i epidemicznie w całym niemal cywilizowanym świecie.

Jeszcze jedna uwaga. Pamiętnik ów, ozdobnie w czerwony kurdyban oprawny, podpisany jest na pierwszej tytułowej stronicy: *Ex catalogo librorum Joannis de Witte, colonnelli artileriae reg. in Kamieniec.*"

Podpis ten pozwala przypuszczać, że Pilsztynowa mogła być znajomą Witta, a że znajdujemy ślady a nawet dowody w jej pamiętniku, że handlowała żywym towarem, ona to więc mogła sprowadzić z Stambułu ową sławną, piękną Greczynkę, panią Wittową, której późniejsze losy i koleje życia powszechnie są znane.

L. Glatman.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część trzecia.

I.

(Ciąg dalszy).

Dysputy z kwestarzami, spotkanymi po drodze, o królu pruskim i o Wolterze, opowieść o obrazie Matki Bożej z konfederatką na głowie, widzianym w jednym z wiejskich kościółków, wypełniają dalszą treść listu, w którym na przytoczenie zasłużyła chyba wzmianka o Wiercanach, (w tekście figuruje nazwa: W i e r k a n y). Dziedzica tamtejszego, Stojowskiego, zwie nasz turysta doświadczonym i rzeźkim staruszkiem. Służył on przez czas dłuższy w armii koronnej i bawił swego gościa opowieścią o wielce komicznych przygodach księcia Marcina (Lubomirskiego?), podczas utarczek z konfederatami.

Podobnie niejasnym i pozbawionym dla nas głębszego interesu jest list dwudziesty piąty, zawierający koniec opisu podróży anonima, który, według własnej relacyi, zwiedził w ciągu trzynastu tygodni 76 dominiów, 290 miejscowości i spisał 86.000 głów. Pobieżność i płytkość kilkowierszowych, pomięszanych bezładnie uwag i spostrzeżeń, oznaczanie poszczególnych miejscowości jedynie pierwszą literą ich nazwy, tudzież niesmaczne dykteryjki o księżach i o zakonnikach, nie przyczyniają bynajmniej wartości relacyi anonima, niezbyt fortunnie wplecionych w całość książki Traunpaura.

Końcowych pięć listów, (26—30), tego autora sprawia raczej wrażenie luźnych notatek, aniżeli literacko opracowanej opowieści. To gorszy się Traunpaur brakiem wychowania u autora „Listów Galicyjskich“, Krattera, który o ludziach współcześnie żyjących wyrażał się bez dodania tytułów pana lub pani, to go śmieszą krzyże przydrożne, obwiązywane szmatami przez lud wiejski, sądzący, że

w ten sposób pozbędzie się febry, to znów uśmiecha się szyderczo, słuchając legendy o Janie z Dukli. Zaraz od tej materyi przechodzi autor do naszkicowania sylwetki galicyjskiego modnisia, którą kreśli w tych słowach: „Galicyjski *Petit maitre* jest najpocieszniejszą w świecie figurą, gdyż suknia polska w towarzystwie fryzury, upudrowanej na wzór francuzki, z szynionem na tyle głowy, pobudzićby musiała do śmiechu nawet ponurego Heraklita“... Śmieszność sąsiaduje u Traunpaura z okropnością. Bez żadnych przejść stylistycznych oraz wstępów opisuje nam akt następujący: Jego Magnificencya (?), szlachcic i właściciel dóbr w G...a, zaślubił w roku 1779, licząc już szósty krzyżyk, dziewiętnastoletnią, dobrze wychowaną panienkę z Podola, która wniosła mu w posagu 50.000 złotych polskich. Spłodziwszy z nią siedmioro dzieci, począł ten nikczemnik w siódmym roku znęcać się nad potulną małżonką, zalecając się równocześnie do sąsiadek w okolicy. Tyranię wobec żony posunął tak dalece, iż odmówił jej nawet dwu filiżanek kawy na śniadanie. Chciał ją na śmierć zadręczyć. Biedna ofiara nie umarła wprawdzie, lecz — co gorsza — postradała zmysły. Zastałem ją w tym smutnym stanie. Ujrzawszy mię, rzekła: Źli ludzie chcieli mnie otruć. Dlatego wyjechałam na Podole. Po trzech dniach opuszczam mą drogą matkę i udam się z nią do Jerozolimy... Tylko wzgląd na drobne dzieci był przyczyną, iż sprawy tej nie oddałem w ręce właściwej władzy.“

Ponury ten epizod nie przeszkadza wszakże naszemu autorowi podjąć już w następnym wierszu polemikę z klerykalnem zacofaniem, poczem znów opowiada o czwórkach i poszóstnych zaprzęgach jednej maści, w jakich się lubują ziemianie galicyjscy, wreszcie o zakupnie dóbr rządowych przez osoby prywatne pod nader korzystnymi warunkami. Ślepi, kulawi, garbaci, w ogóle kaleki trafiają się, zdaniem Traunpaura, bardzo rzadko. Ludność, zwłaszcza rusińska, odznaczała się silną budową ciała. Dlatego też rekruci galicyjscy, wcielani do pułków niemieckich, tworzyli zazwyczaj pierwsze szeregi, a wielu z nich stawało się prawdziwą ozdobą grenadyerskich batalionów. Chłop polski, rzadko jadający mięso, dożywał najczęściej późnego wieku i nie chorował nigdy.

W liście dwudziestym siódmym uderza znów autor na przewagę francuzczyzny wśród galicyjskiego ziemiaństwa. Począwszy od łóżka a skończywszy na podnóżku, wszędzie przeważa wyrób francuzki. Francuzi zajmują w przeważnej części domów szlacheckich posady ochmistrzów, sekretarzy, lektorów, bibliotekarzy i — stręczycieli. — Poczty — czytamy w dalszym ciągu listu — urządzone na

modłę austryacką, pozostają w ręku Czechów, Morawczyków, Węgrów, oraz Szlązaków. Mieszczanie i chłopi, chcąc okazać komu swój szacunek, ściskają go tak silnie za kolana, iż trzeba dobrze trzymać się na nogach, aby nie upaść. Inni znów zginają się aż do ziemi, ściskając stopy honorowanej przez nich osoby. Przypominają w ten sposób pokutującą Magdalenę. Wiele rodzin, które po rewindykacyi przeniosły się za Wisłę, powraca obecnie, widząc porządek i umiarkowanie nowej władzy . . . Spotyka się ku niemałemu zdziwieniu wśród szlachty ludzi, którzy władają żyjącymi językami, posiadają zasobne biblioteki i światły rozsądek, a jednak żywią uporczywie usposobienie nietolerancyi. Są to skutki mniszej edukacyi. Wielu synów pierworodnych dotyka klątwa, ścigająca przeważną część dziedziców majoratów. Są oni najmniej mądremi, najbardziej próżnemi i zarozumiałemi istotami pod słońcem. Co ich w Galicyi wyróżnia na pierwszy rzut oka, to szczególniejsze upodobanie do przeglądania się w zwierciadle. Popełniają też nierzadko literackie kradzieże, wypisując w swych listach ustępy z obcych autorów, których utwory udają za swoje. A takich gapiów istnieje spora liczba. — Wszystkie towary w sklepach żydowskich są tandetą, wziętą na kredyt z handlów wiedeńskich. Okoliczność ta w połączeniu z złą miarą i wagą jest przyczyną, dla której nietylko artykuły zbytkowe, ale i przedmioty potrzebne w codziennem życiu są nierównie droższe, aniżeli w innych prowincyach monarchii. Wprawdzie para butów kosztuje tylko dwa złote reńskie, ponieważ jednak skóra na nie użyta nie jest wyprawiona, przeto owe tanie obuwie nie trwa dłużej nad sześć tygodni. — Wśród płci obojga nie wiele znaleść można osób, tańczących inne tańce, prócz polskich. Nawet ci Polacy, którzy noszą się po niemiecku, tańczą z wielką gracyą francuzkie kadryle, strassburgskie i styryjskie tańce. Panie same zapraszają niekiedy do tańca cudzoziemców przez podanie im ręki. Zwyczaj ten jest wielce ujmujący, podobnie jak wiele innych grzeczności, jakiemi się wyróżniają w Polsce ludzie dobrze wychowani. Muzyka na publicznych balach licha a chłodniki bardzo drogie . . .

Lakoniczne spostrzeżenia różnorodnej treści tworzą też osnowę następnego listu. Poza obrębem Lwowa — czytamy w liście dwudziestym ósmym — niema żadnej, znośnej sceny. Od czasu do czasu zabłąkają się wędrowni komedyanci do którego z miast prowincyonalnych. Są oni jednak tak mierni, iż opłatę za wstęp uważać należy raczej jako jałmużnę. Najlepszemi względnie są przedstawienia maryonetek, sprowadzane od czasu do czasu ze Szląska. Zajmują się niemi pan Pressler i jego miluchna małżonka . . .

Z dalszej treści listu, bającego o wartownikach, pilnujących dworów w porze nocnej, o trudach oficerów ewidencyjnych, o gorących trunkach, używanych przez szlachtę, tudzież o zwyczaju przyozdabiania pokojów obrazami religijnej treści, zasłużyła na wzmiankę notatka o cenie drzewa. Sążeń wiedeński twardego drzewa kosztował od 1 do 4 złr., sążeń miękkiego od 7 do 15 krajcarów.

Podobnie też z treści dwudziestego dziewiątego listu zanotować wypadnie wzmiankę o hotelach. — Dobre zajazdy — powiada Traunpaur — zaliczają się tu do rzeczy cudownych. Zabiegom Preschla zawdzięczać jedynie należy, iż w końcu Lwów posiada piękny, zaopatrzony w wszelkie wygody zajazd [1]).

Rozmaici przedsiębiorcy cudzoziemcsy urządzili wprawdzie w miasteczkach, leżących przy gościńcu, zajazdy i niezawodnie założyliby więcej takowych, ale dziedzice miejscowi im nie sprzyjają i uciemiężają przybyszów. Panowie wrogo są usposobieni dla Niemców, choć bez nich nie mogą sobie dać rady.

W dalszym toku listu nadmienia nasz autor o weselach chłopskich, trwających przez dni kilka, poczem znów mówi o ziemniakach, które pierwsi poczęli sadzić koloniści, przybyli z cesarstwa.

Cudzoziemcy a zwłaszcza żołnierze — słowa listu — byli im za to wdzięczni. Natomiast krajowcy nie mogą się do kartofli przyzwyczaić, twierdząc, że strawa ta jest zbyt pospolita i nadaje się co najwięcej dla bydła. N i e b y ł e m n i g d y w e L w o w i e i n i g d y t a m b y ć n i e c h c i a ł e m. Jest dla mnie rzeczą obojętną, czy miasto to zawdzięcza łacińską nazwę Leopolis księciu Leonowi, swemu rzekomemu założycielowi, czy też rzeczywistemu lwu, zabłąkanemu w te strony z Afryki. Wszystko to wcale mnie nie obchodzi, lecz poprzestaję na relacyach, otrzymywanych od dwóch wiarogodnych przyjaciół, osiadłych w tem kotłowisku. Czy i o ile niektórzy profesorowie tamtejszego uniwersytetu są nieukami — tem się wcale nie troszczymy, ani ja, ani też moi korespondenci. Wiemy, że nie jest rzeczą wskazaną dotykać głów poświęconych lub uczonych. Prawdę tę weźmie sobie do serca prędzej, czy później, nieznany mi dotychczas autor „Listów o Galicyi“. Dość na tem, że uczeni posiadają zazwyczaj więcej żółci, aniżeli nieuczeni prostaczkowie, oraz że do

[1]) Hotel Preschla istniał przy ulicy Karola Ludwika l. 15. Później zakupiła gmina realność Preschlów na pomieszczenie biur tak zwanej jeneralnej komendy, istniejącej w tem miejscu do roku 1839, poczem gmach ten znów przeistoczono na zajazd. Był nim t. zw. hotel angielski. Obecnie w tem miejscu wznosi się gmach Kasy Oszczędności.

nich dałby się zastosować wiersz znany Wirgilego: *Tantaenae animis coelestibus (Sapientibus) irae.*

Lwów — czytamy w dalszym ciągu listu — podobnie jak inne stolice, posiada w swych murach dziwaczne istoty, osobliwsze zajścia i malownicze okolice. Wyjąwszy zacnego, oświeconego gubernatora, jakich trzech radców, trzech księży, oraz innych trzech zacnych ludzi — o reszcie niema co mówić. Bastard, zamianowany radcą i wyróżniający się niedorzeczną pisaniną, stary żołnierz, kupujący na pół przegrane sprawy, by je wygrać za pomocą kruczków. cudzoziemski kamerdyner, uprawiający lichwę za wiedzą swego słabego pana, inny znów radca, płacący dwukrotnie swe długi pieniądzmi wolnych mularzy, szef żeglugi, nie mający wyobrażenia o działaniu wody, zarozumiały furyer, postawiony na czele konskrypcyi, stronniczy i gburowaty dowódca, który podczas bitwy pod Torgau zsiadł z konia i przed frontem całego pułku odprawiał spowiedź, stary wyga, robiący w zakresie rachunkowości wojskowej słonia z muchy, kilka przekwitłych Messalin, frymarczących ciałem i powagą potulnych swych Akteonów, oraz inne karykatury — wszystko to spotyka się bardzo często w stolicy galicyjskiej, tak rozsławionej przez korespondenta *Brünerzeitung*, więc też nie opłaci się trud podróżowania do niej przez piaszczyste wzgórza. Przeciętny Polak przecenia wartość swej narodowości, podobnie jak to czyni Francuz. Pierwszy szczyt doskonałości widzi w Paryżu, drugi w Warszawie.

List ostatni, (trzydziesty), nie zawiera żadnych, powtórzenia godnych szczegółów. Oburza się w nim Traunpaur na wystawność obrzędów pogrzebowych oraz na nadmierną ilość jarmarków, rujnujących lud wiejski. — Tak daleko sięgają moje spostrzeżenia — słowa listu — poczynione w ciągu lat ośmiu. Chcąc opisywać inne przedmioty, jak zwyczaje przy ślubach, chrztach, pogrzebach i ceremoniach kościelnych, musiałbym spisać kilka sporych tomów. Brak mi na to czasu. A zresztą koniec jest najlepszym w opowieści o dawnych niedorzecznościach.

Mimo tego zapewnienia, dodaje Traunpaur do swej relacyi „Sumaryczny ekstrakt“, zawierający następujące napisy:

Drogi, najgorsze we wszystkich czterech częściach świata.

Szalety, nazwane bez namysłu pałacami.

Lud, którego część trzecia jest nieoświecona, wierząc w strachy i czarownice.

Biesiady, podczas których podają potrawy twarde, zimne i po większej części niestrawne.

Junacy wiejscy z szablami, zardzewiałemi w pochwie.

Straszliwe wyziewy z myszy zdechłych za papierowem obiciem.

Źle płatni urzędnicy, bogacący się starym sposobem.

Duszpasterze, lepiej obeznani z wódką i z ładną twarzyczką, aniżeli z mszałem.

Wspaniały serwis srebrny, podany przez zabrudzoną i niewyczesaną służbę.

Wiele pokory, gdy się o coś prosi. Wiele dumy, gdy się otrzyma rzecz żądaną.

Kosztowne tapety tureckie i krzesła połamane.

Wielka ilość nędznych mowców, poetów, polityków i filozofów.

Mnóstwo pokojowo usposobionych bohaterów, burzących się tylko w chwili płacenia długów.

Tu koniec pracy Traunpaura, którą wydawcy, (Wucherer Beer), uznali za stosowne uzupełnić dodatkiem, obejmującym w 25 artykulikach ważniejsze, ich zdaniem, daty, dotyczące Galicyi oraz Lodomeryi. I tak w artykuliku pierwszym, zatytułowanym pompatycznie: *Historya kraju*, dowiadujemy się, iż Galicya tworzyła dawniej część terytoryum Rzeczypospolitej, rewindykowaną w r. 1772. Artykuł drugi, (Wielkość, zaludnienie, dochody), podaje obszar Galicyi w sumie 1.280 mil kwadratowych, z ludnością 3,224.000. Dochód rządowy wynosił cztery miliony złotych rocznie, do czego przyczyniały się w znaczniejszej części dochody z salin bocheńskich i wielickich, zatrudniających stale 900 ludzi i produkujących przeszło 900.000 cetnarów soli rocznie. W artykule trzecim, (p. t. Religia), zaznacza autor skłonność ludu do bigoteryi i do zabobonów, do rzędu których zalicza podanie o wodzie, przemieniającej się w Noc Bożego Narodzenia w wino, tudzież zwyczaj pokrywania wigilijnego stołu sianem. Z artykułów następnych charakterystycznym jest ustęp szósty, mówiący o zwyczajach szlacheckich. — Szlachta — czytamy w tym ustępie — jest w ogóle bardzo uprzejma, hojna i chętna do usług, jakkolwiek duch republikański nie zatracił się wśród niej do tego stopnia, jakby się tego spodziewać można pod rządami monarchicznymi. Cudzoziemców podejmuje i ugaszcza szlachta, jak umie, najlepiej. Nie odmawia sobie jadła, ani napoju. Jakkolwiek nowemi urządzeniami czują się ziemianie ukróconymi w swych prawach, to przecież nie szemrają przeciw monarsze, lecz trwają wobec niego w uległości. Chłop — (artykuł 7.) — przywykł do niewoli. Znamionuje go cicha rezygnacya. Znosi cierpliwe, nawet niezasłużone razy. Polak — (artykuł 8.) — posiada dowcip, rozsądek, zdolność do wszelkich umiejętności. Szlachcic uczy się po łacinie, zajmuje się litera-

turą niemiecką i francuzką. Natomiast sztuki piękne należą tu do rzadkości... W ustępie najbliższym, (9), traktującym o „komplimentach“, znajdujemy trafną zresztą uwagę, iż Polacy w tytułowaniu używają zazwyczaj tytułów wyższych, aniżeli należą się w rzeczywistości odnośnej osobie. Co do mowy, (art. 10), to wedle autora, Polacy w wyuczeniu się języka niemieckiego, który w przyszłości ma być urzędowym, czynią znaczne postępy. W rozdziałach, mówiących o szkole i o miastach, nie znajdujemy nic uwagi godnego. Natomiast w ustępie trzynastym, („Wsie“), wyczytać można wielce naiwną uwagę tej treści, iż chłopi polscy budowali dawniej w swych chatach piece i kominy, których pozbyli się jedynie dlatego, by uwolnić się od postoju obcego żołnierza, narzucanego im przez „królów niemieckich“. Podobnej wartości jest też wzmianka o lichwie, (art. 14), w myśl której żydzi mieli dzierżawić klucze od chrzcielnicy, wydając je dopiero po złożeniu im umówionej zapłaty. Pobieżnością grzeszą również ustępy od 15—23, zbywające w kilkowierszowych ogólnikach przedmioty tak ważne, jak sprawy urodzajności gruntu, gospodarstwa rolnego, dróg publicznych, pszczelnictwa i oświaty ludowej. Obszerniej nieco traktowaną jest sprawa hygieny wśród włościan, choć i tu spotkać się można z komicznym podziwem autora z powodu, iż chłopi chodzą w zimie boso, albo też w butach, wzuwanych na gołą stopę. W sprawie bezpieczeństwa publicznego niema autor nic więcej do nadmienienia, krom uwagi, iż rozbojem trudnią się przeważnie mieszkańcy gór karpackich, osiedli na pograniczu polsko-węgierskiem. Natomiast wręcz niesmaczną jest notatka o robactwie, w której spotykamy się z konceptem, jakoby wszy w Polsce posiadały skrzydła...

W ustępie dwudziestym czwartym podaje nam autor dodatku rzekomy list z Galicyi, noszący datę 3. października 1786 roku a opiewający, jak następuje: „Dotknięty w „Listach Galicyjskich“ hr. L..., kasztelan w B..., miał przyrzec dwieście dukatów temu, kto sprowadzi ponownie do Galicyi Krattera. Zdaje się, że ów magnat chciałby mu odjąć na przyszłość chętkę do pisania. Z takiego konceptu wnosić można, co się dziać musiało w Polsce przed laty piętnastu. Na śmierć batożyć, topić, porywać cudze żony, lub poszczuć kogo psami — to były drobiazgi. Lecz tańczyć, podczas jubileuszu, nie nosić szkaplerza, uważać protestanta jako uczciwego współobywatela, w poście, miasto oleju, gotować na maśle, czytać Woltera — to wszystko było okropną, trudną do przebaczenia zbrodnią!...“

Dobiegamy do końca książki, której wydawca uznał za stosowne usprawiedliwić wystąpienie autora „Trzydziestu Listów“ temi

słowy: Sławny Boileau nie poprzestał w swych znakomitych i ogólnie znanych pismach na przytoczeniu pierwszych liter nazwiska napiętnowanych przez niego głupców, lecz wymienił bez żadnych ogródek oszukańczego handlarza win, Rolleta, płytkiego poetę, Quinauta, nędznego nad wszelkie pojęcie pisarka, Chapelaina, lichego kaznodzieję, Cosina, nie opuszczając ani jednej zgłoski z ich nazwisk. A jednak pism jego nie wieszano publicznie, jak to uczyniono z „Listami Galicyjskimi" w chcącym za cywilizowany gród uchodzić Lwowie, za sprawą kilku nikczemnych członków akademii. Nie brakło nawet napisu: Nagroda dla autora i wydawcy. Jeżeli los równie zaszczytny dostanie się w udziale tym „Listom", to starczy za dowód dla pisarza, iż dotknął należycie winnych. Z tem: Pomagaj Boże!

Tkliwe to zakończenie niezupełnie odpowiada banalnej treści i szyderczym uwagom, w jakie obfituje dodany przez wydawców, rzekomo statystyczny dodatek. Tworzy on ujemną stronę tej ciekawej, bądź co bądź publikacyi a zarazem niezbyt korzystnie świadczy o przysłowiowej, niemieckiej uczoności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Maryan Dubiecki: *Karol Prozor, oboźny w. Wiel. Księstwa Litewskiego.* — Przyczynek do dziejów powstania Kościuszkowskiego. — Monografia opracowana na podstawie nowych źródeł archiwalnych. Z portretem Karola Prozora. — W Krakowie. W drukarni „Czasu“ 1897. Nakładem autora. Str. 335.

Do licznych postaci z końca ubiegłego i początku bieżącego wieku, z rozdroża dwóch stuleci i dwóch epok: przed i porozbiorowej w Polsce, które odegrały w rzeczywistości o wiele większą rolę, niż zdawałby się świadczyć rozgłos ich nazwiska i pamięć ich działalności, przez dzieje podana, należy także Karol Prozor, w. oboźny W. X. Litewskiego. Byle tylko najkrócej wymienić wybitne chwile jego życia, znamienniejsze strony jego działalności: przewodniczył w Trybunale litewskim, brał czynny udział w pracach przygotowawczych przed walką Kościuszkowską i w wypadkach tych uczestniczył; po upadku Rzpltej emigruje, u rządu Rzpltej francuskiej czyni usilne zabiegi, aby wykołatać pomoc dla swego kraju, po powrocie do ojczyzny uczestniczy w tymczasowym rządzie Litwy, gdy wojska Napoleona I. zajęły Wilno, a wreszcie stosunki ze spiskowymi w ostatnich latach panowania Aleksandra I. prowadzą Prozora, już starzejącego się, do więzienia w Petersburgu. Zamyka to okres jego działalności publicznej; wprawdzie z murów więziennych nie wychodzi złamany, nie bierze już jednak udziału w sprawach publicznych. Po epoce działania, w której do niejednej sprawy publicznej dłoń swą skutecznie przyłożył, nadchodzi epoka starości, czasy kontemplacyi, rozmyślań nad przeszłością. Troska o sprawy publiczne nie opuszczała go nigdy, aż do śmierci, która pasmo podeszłego (ur. 1759) a zasłużonego żywota przecięła w d. 1. lutego 1841 r. Zgasł, jak żył, nie o swej sławie myśląc, lecz o szczęściu i dobru ojczyzny, — gdyż dewizą jego było: *ut sit bene patriae.*

Biografię tego męża, zbyt mało dotychczas znanego i nie dosyć słusznie ocenianego, opracował teraz wyczerpująco i dokładnie p. Maryan

Dubiecki w zacytowanej wyżej książce. Monografia zaś ta, rzecz bardzo sumienna, posiada wartość tem większą, że nie o człowieku wyłącznie mówi, ale na całą epokę rzuca ciekawe światło i daje niektóre nowe szczegóły, tyczące się genezy i dziejów walki Kościuszkowskiej.

Wywody te i szczegóły są tem cenniejsze, że autor oparł pracę swą wyłącznie na źródłach zupełnie nowych a bardzo ciekawych, na t. zw. „Archiwum rodzinnem Prozorów“. P. M. Dubiecki opowiada w końcowym ustępie swej książki: „Źródła i zapiski“, historyę tego archiwum, bardzo zajmującą. Archiwum było za czasów oboźnego bardzo obfite, potem podczas różnych klęsk krajowych ulegało częściowym szkodom, wreszcie koło r. 1864 mniemano, że wszystko zaginęło. Dopiero w r. 1880 p. Bronisław Kleczyński, ziemianin wołyński, przebywając dłuższy czas na Polesiu mozyrsko-reczyckiem, w dobrach Prozorów, przypadkiem wynalazł dwie paki z papierami, zapomniane od dawna. Zawierały one cenne materyały do życia oboźnego Prozora a są zarazem niespodzianym, nowym i ważnym przyczynkiem do historyi powstania Kościuszkowskiego. Dzięki obywatelskiej myśli p. Kleczyńskiego ocalenia tych zabytków od zagłady, wszystkie papiery aż do najdrobniejszego świstka skopiowano pod jego okiem i opatrzono rodzinnemi pieczęciami Prozorów, stwierdzającemi autentyczność źródeł. Powstało w ten sposób Archiwum Prozorów, które w autentycznych kopiach złożone było u J. I. Kraszewskiego. Po śmierci J. I. Kraszewskiego przeszło archiwum do rąk p. M. Dubieckiego, który na nich oparł swą pracę. Obecnie zbiór jest własnością Biblioteki Jagiellońskiej. Składa się on z autentycznych kopij, oryginały bowiem pozostały w ręku rodziny Prozorów, potomków oboźnego, która nic nie uszanowawszy, sprzedała je przekupniom. *(ab)*

Dr. Feliks Koneczny: *Głos w sprawie ludowej.* — Nakładem autora. W Krakowie, w księgarni Gebethnera i Sp. 1896. Str. 127.

Trzeba nadać krajowi nowe tło polityczne, licujące z nowym czasem i nowymi stosunkami. — Autor, młody lecz ceniony już historyk krakowski, powyższą tezę postawiwszy sobie za motto swej pracy, zwraca uwagę na tyle aktualną dziś kwestyę ludową, której, jego zdaniem, należy się w rzędzie spraw publicznych stanowcze pierwszeństwo. Bez namiętności partyjnej, ale też bez politycznego temperamentu, spokojnie, rozważnie rozbiera dr. Koneczny najrozmaitsze strony sprawy ludowej, stara się wyjaśniać pojęcia, w które codzienna walka wprowadziła zamęt, stara się prostować zapatrywania, spaczone nieraz pod wpływem stronniczego kąta widzenia. Praca jego nie jest poruszającą

do głębi, podbijającą i pełną werwy polityczną rozprawką X. Jana Badeniego o „Ruchu ludowym“, lecz próbą teoretycznego rozwinięcia i rozwiązania kwestyi ludowej, jako zagadnienia społecznego i politycznego. Autor usiłuje wznieść się ponad stronnictwa, ponad ich działalność i taktykę, — rozbiera naturę i genezę ruchu ludowego, stosunek rozmaitych stronnictw historycznych do niego, znaczenie ludu dla narodu, przyczem przychodzi do wniosku, iż ruch ludowy w Galicyi jest objawem bardzo pożądanym i zasadniczo chwalebnym. Chodzi (autor pisze systematycznie błędnie: rozchodzi się) jednak o to, żeby ruchu tego nie spaczyć i nie przepłoszyć niezręcznością na manowce; to daje autorowi podnietę do zastanowienia się nad kwestyą, jakie rezultaty wywołują dwa różne systemy postępowania z ludem: racyonalizm i asymilacya. Drogi racyonalizmu trzyma się socyalizm; autor zastanawia się szczegółowo nad znaczeniem racyonalizmu w obecnej fazie wpływu jego na lud, a następnie rozbiera także tendencye asymilizacyjne, podnosząc, że narzucają one nieraz ludowi to, co, zdaniem autora, jest ludowi niepotrzebne, a ponieważ biorą swe źródło w egoizmie klas inteligentnych, nie mogą przeto odpowiedzieć istotnym potrzebom ludu. Do tego celu chcąc dojść, potrzeba zarzucić niepotrzebne dziś już i bezcelowe waśnie i reminiscencye historyczne, a natomiast wejść w lud, zrozumieć go, poznać jego materyalne i moralne potrzeby, rozbierając je zawsze z jego własnego stanowiska. Trzeba dalej działalność swą zastosować zawsze do pozytywnych stosunków, trzeba uznać chłopa kolegą w narodzie, wzbudzić w sobie miłość dla ludu wiejskiego, uobywatelić ten lud, podnieść go. Ostatecznie też dochodzi autor do zdania, że hasłem powinno dziś być: Wszystko dla ludu, z ludem i przez lud.

Z poszczególnymi wywodami autora, z jego sądami i zapatrywaniami, można się nie godzić, — przyznać jednak musi każdy, że autor starał się głęboko wniknąć w rzecz, a tak całą kwestyę, jak i pojedyncze zagadnienia do jej zakresu należące, ocenić z wyższego stanowiska. W każdym zaś razie tego rodzaju broszury, jak dra Konecznego, są we współczesnej literaturze politycznej, tyczącej się sprawy ludowej, objawem bardzo pożądanym, budzą bowiem głębszą refleksyę, podnoszą ton dyskusyi i nie pozwalają jej przenieść w zupełności na manowce partyjnych zapasów politycznych. *(ab)*

Aleksander Kraushar: *Ofiara terroryzmu. Legenda i prawda o tragicznym zgonie Rozalii z Chodkiewiczów księżnie Lubomirskiej, ściętej w Paryżu w r. 1794.* — Kraków, księgarnia G. Gebethnera i Spółki. 1897. Str. 153 i dziesięć rycin.

Przez długi czas o tragicznym zgonie młodej i pięknej Polki, kobiety znakomitego rodu, żony kasztelana kijowskiego Aleksandra, Rozalii z Chodkiewiczów Lubomirskiej, która zginęła w d. 30. czerwca 1794 r. w Paryżu pod nożem gilotyny, krążyły tylko legendy, opowieści sprzeczne często z sobą, a zawsze pełne fantazyi. Teraz dopiero znany zaszczytnie z tylu cennych prac historycznych autor, zadał sobie trud i zebrał autentyczne materyały, oraz świadectwa współczesne wypadkowi i wyjaśniające ten fakt, bądź co bądź niezwykły a dla historyi czasu i wypadków z końca XVIII. w. nieobojętny. Materyały te autor dokładnie wylicza, a nawet po części, mianowicie przedewszystkiem odpisy z archiwów francuskich, w „anneksach" dosłownie przytacza.

Na podstawie zarówno tych materyałów, jak i dawniejszych źródeł, odtwarza autor sylwetkę słynnej z urody księżnej, opowiada o jej młodości i zamążpójściu, o urodzeniu się jej jedynej córki, księżniczki Rozalii, późniejszej żony emira Rzewuskiego, o efektownych epizodach z pobytu księżnej w Warszawie, Paryżu i Szwajcaryi. P. Kraushar przedstawia następnie stosunki księżny z słynną panią Dubarry, stosunki, które stały się powodem tragicznej jej śmierci. Pomiędzy papierami bowiem uwięzionej i następnie ściętej pani Dubarry, znaleziono także dwa listy księżnej Rozalii. Osnowa tych listów, bardzo niewinna, nasuwała wietrzącym spisku tyranom rewolucyi podejrzenie o ścisłych stosunkach autorki z panią Dubarry, dowodziły jej współczucia dla smutnej doli nieszczęśliwej Maryi Antoniny, mówiły o lekceważeniu przez autorkę listów „majestatu ludu" i przemożnych „władców" ówczesnej Francyi. Wszystko to wystarczyło, aby księżnę Rozalię Lubomirską postawiono wraz z innymi przed trybunał rewolucyjny i na podstawie ustawy o podejrzanych, jako podejrzaną o udział w spisku dla uwolnienia Maryi Antoniny i w ogóle o udział w pracach stronnictwa kontrrewolucyjnego, skazano na śmierć. Księżna usiłowała zyskać na czasie i ocalić się zeznaniem, niezawodnie dla jej osobistych uczuć bardzo upokarzającem, że jest brzemienną; przedłużyło jej to życie istotnie o kilka tygodni (wyrok nosi datę 22. kwietnia, wykonano go 30. czerwca 1794 r.), lecz nie ocaliło. Zginęła na gilotynie, zanim starania, podjęte przez rodzinę, odniosły rezultat. A już w miesiąc po jej zgonie upadł Robespierre i sam podążył na szafot. Ciało dwudziestotrzyletniej, uroczej i pełnej niezwykłych przymiotów umysłu księżnej spoczęło wśród tysiąca trzechset piętnastu ofiar teroryzmu wielkiej rewolucyi na cmentarzu Picpus w Paryżu, zamięszane z niemi do nieodszukania. — Opowieścią o losach córki księżnej, hr. Rozalii Rzewuskiej, i jej dzieci, kończy autor książkę, którą każdy przeczyta z zajęciem.

(ab)

Michał Rolle: *Seweryn Malinowski*. — Kartka z dziejów sceny polskiej na wschodnich kresach. W Krakowie. Spółka wydawnicza polska. 1896. Str. 44.

Wydając cztery listy Seweryna Malinowskiego, aktora i kierownika teatru prowincyonalnego na Podolu, Wołyniu i Ukrainie w pierwszej połowie b. w., p. Rolle zebrał zarazem rozrzucone po rozmaitych czasopismach i dziełach szczegóły o artyście, który niemałą zdobył sobie zasługę około sceny polskiej na kresach dawnej Rzeczypospolitej, a łącząc szczegóły te i charakterystykę z wnioskami, które można z ogłoszonych świeżo listów wyprowadzić, stworzył rodzaj sylwetki zajmującej tej postaci, oraz obrazek stosunków sceny prowincyonalnej z przed lat pięćdziesięciu w okolicach, w których dzisiaj język rossyjski bezwzględnie już wyparł z desek teatralnych naszą mowę. Listy owe pisane są do regenta Sadowskiego w Kamieńcu, a pochodzą z lat 1838—1841. Pisane są bezpretensyonalnie, ale z pewnym humorem, — rzucają też sporo światła na ludzi i epokę.

Dr. Karol Matyas: *Z krynicy mądrości ludu*. — Wedle opowiadania Stanisława Kołodzieja z Woli rzeczyckiej. — W Krakowie, w drukarni „Czasu". 1896. Str. 7. — *Wesele Stalowskie*. — Warszawa 1895. (Odbitka z „Wisły"). Str. 24.

W drużynie młodszych etnografów naszych zajmuje p. Matyas stanowisko wcale niepoślednie, jako wybitny znawca rozmaitych gwar ludu naszego, jako pilny i uważny obserwator ludu tego zwyczajów, cnót i zalet. — Także i zacytowane powyżej dwie broszurki tego samego tyczą się przedmiotu. Pierwsza z nich to zbiór charakterystycznych i ciekawych przysłów ludu polskiego, zamieszkałego nad Sanem w powiecie tarnobrzeskim, w okolicy Radomyśla. W formie przysłów są tam ukryte istotnie nierzadko myśli głębsze a zadziwiające swą pełną prostoty filozofią. — W drugiej broszurce mamy pełny obraz wesela Stalowskiego według opowiadania jednego z wieśniaków w Stalach (w powiecie Tarnobrzeskim). Jest tu równocześnie żywy wzór t. zw. gwary lasowskiej, której prawidła zestawił w umiejętny sposób p. Szymon Matusiak w rozprawie, ogłoszonej w sprawozdaniach z posiedzeń Wydziału filologicznego Akademii Umiej. w Krakowie (tom VIII. 1880 r. „Gwara lasowska w okolicy Tarnobrzega"), a zarazem bardzo ciekawy przyczynek do zbioru obrzędów weselnych ludu polskiego. Mamy tu przedstawione po kolei rozmaite stadya wesela: wywiady, ugodę, pacierze i zapis przedślubny, rózgowiny, ceremonie przed ślubem i rozplecinу, przeprosiny, wybór marszałka, oddanie rózgi marszałkowi przez

starostę. — potem pochód do ślubu i od ślubu, następnie oddanie rózgi pani młodej przez marszałka i kolacyę, wreszcie t. zw. czepiny, — poprawiny piątkowe, no i pożycie domowe po weselu.

Ludwik Kubala: *Szkice historyczne.* Serya pierwsza. Z czterema rycinami. — Serya druga. Z pięcioma rycinami. — Kraków 1896.

Jest to już trzecie wydanie tak cennych i zajmujących szkiców. Świadczy to najlepiej o ich poczytności. Znajdujemy tu mianowicie szkice następujące: Królewicz Jan Kazimierz, Oblężenie Lwowa, Oblężenie Zbaraża, Poselstwo Puszkina w Polsce, Bitwa pod Beresteczkiem, Kostka Napierski. W seryi drugiej: Proces Radziejowskiego, Pierwsze „Liberum veto", Krwawe swaty, Czarna śmierć, Wyprawa iwaniecka, Mieszczanin polski z XVIII. wieku.

Sigmund Günther: *Kepler. Galilei. Geisteshelden*, herausgegeben von Anton Bettelheim. 22 Band. — Berlin, E. Hofmann u. Co. 1896.

W sposób przystępny, ale gruntowny i naukowy oceniono tu olbrzymie zasługi Keplera i Galileusza na polu astronomii, matematyki, fizyki etc., ich wpływ na zainicyowane przez nich metody badania i na rozwój nauk przyrodniczych w ogóle, oraz życie ich i prace. Naukowy aparat tworzą tu uwagi i odsyłacze, których, odnoszących się do Keplera, jest 228, do Galileusza zaś 498.

Dr. N. Brückner: *Erziehung und Unterricht vom Standpunkt der Socialpolitik.* — Berlin, Siemenroth u. Worms 1895. 8vo str. VIII. i 159.

Książka ta węzłowato, krótko, ale dobitnie i dokładnie wyjaśnia, jakie obowiązki ma państwo i społeczeństwo w odniesieniu do opieki nad młodzieżą, aby utrzymać i rozwijać etyczną i fizyczną siłę narodu.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

PRZYCZYNEK
DO HISTORYI KONSTYTUCYJNEJ
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

III.

Konfederacya generalna Królestwa Polskiego i pospolite ruszenie.

(Dokończenie).

Uniwersał z dnia 10. grudnia nie był jeszcze ostatecznym czynem rady generalnej w Warszawie. Na sesyi dnia 8. stycznia 1813 r. wydała rada generalna uniwersał do wojska, w którym wita przybyłych rycerzy smutnemi słowy: „Waleczność Wasza przepowiedziała nam te bolesne straty, które Oyczyzna w zgonie tylu mężnych opłakuje... Nigdzie niepokonani a tylekroć zwycięzcy — Wy, coście mężnie znieśli przygody sprzysiężonych żywiołów — witaycie, witaycie ukochane dzieci Oyczyzny, naydroższa cząstko Narodu, witaycie Obrońcy nasi... Nie Was zachęcać należy do wytrwałości, boście jej od lat 20 zadziwionym lądom i morzom wiekami nieznany dali przykład. Jeden to od lat 20 trwa zawód. Za Polskę to od lat 20 krew się Wasza leje. Za Polskę podeptaliście zakrzepłe lodem przestrzenie i za Polskę jeszcze walczyć będziecie póty, póki nieprzyjaciel nie uzna sprawiedliwości Waszey sprawy, którey świętości świat cały zaprzeczyć nam nie może.“ Wyliczywszy przymioty i zasługi przybyłych żołnierzy, kończy odezwa rady generalnej swe pocieszenie oznajmieniem, że „w poświęceniu się więc nieograniczonem i w podobnem wytrwaniu spełnienia losów oczekujcie“. Na sesyi zaś dnia 21. stycznia wydrukowała rada odezwę, upominającą o tem, że „chcąc jak najspieszniej oglądać skutki z powołanego pospolitego ruszenia, o ile to być może z największą oszczędnością kosztów obywateli, sądzi rada swoim obowiązkiem ostrzedz publiczność,

iż jako najwięcej zależy obronie powszechnej na spiesznem zebraniu się rycerstwa, tak wszelkie w tym względzie środki, odstępujące od przepisów konfederacyi, jako to: opłaty na ubiór i uzbrojenie, nie odpowiadają celowi i zamiarom konfederacyi i każdy, jak przepisanem zostało, stawający w takim ubiorze, jaki ma, za czyniącego zadosyć wezwaniu konfederacyi uważany być winien i do żadnych w tym względzie obowiązków pociąganym być nie może" [1]).

Zanim wypadnie skreślić krótką dobę istnienia rady generalnej w Krakowie, należy poświęcić uwagę uniwersałowi, zwołującemu pospolite ruszenie, i odpowiedzieć na pytanie, które z konieczności nasuwać się musi, czy był on w stanie powołać do bytu jakąkolwiekbądź siłę nieregularną wojenną. Z powodu braku wszelkich świadectw urzędowych poprzestać muszę na pamiętnikach K. Koźmiana, które w tym względzie dają kilka charakterystycznych wyjaśnień. Skądże to pospolite ruszenie miało powstać? — zapytuje Koźmian — przecież cała młodzież szlachecka służyła w regularnem wojsku, starcy tylko lub niezdatni pozostali, z broni domy szlacheckie wyszły, chyba za broń policzonoby szable liche, zardzewiałe i flinty myśliwskie, nigdzie koni siodłowych ani rynsztunków, nakoniec jaki pożytek z niesfornej i nieumiejętnej zgrai. Jakoż gdy się na pierwszy odgłos zjawił na ulicy w Warszawie poczciwy i już sędziwy szlachcic w kurtce lisiej z piką w ręku i z dubeltówką na plecach, lecz na tak lichej szkapie, że się ledwie wlokła, ujrzano obraz tego pospolitego ruszenia i śmiano się.

Na prowincyi rzeczy miały się trochę lepiej. W lubelskim departamencie był marszałkiem Antoni Radzimiński. Mając pod komendą gwardyę miejską i już z pospolitego ruszenia uzbroiwszy kilkadziesiąt jeźdźców, chciał doświadczyć, czyliby na wypadek nagłego napadu ludność miasta i urzędnicy stanęli do obrony. Kazał więc patrolom, które wysłał, fałszywy alarm zrobić; zbiegła się wprawdzie ludność na wpół uzbrojona, prefekt książę Maciej Jabłonowski wsiadł na konia, lecz to wszystko w takim nieporządku i postrachu, że na placu już strzelać poczęli, choć nie było do kogo. Prefekt zleciał z konia, innych szkapy ponosiły, a tak fałszywy alarm nie obył się bez szwanków. Podobne śmiesznej próżności przechwałki trwały, póki kontyngens marszałków do regularnych szeregów wcielony nie został. Największa jednak ilość pospolitaków, zebranych przez jednego marszałka, dosięgnęła zaledwie cyfry 200 [2]).

---

[1]) Obie odezwy wydrukowane posiada Bibl. Kr.

[2]) Pamiętniki tom II., str. 382—85.

Nie podoławszy zadaniu, które w ówczesnych okolicznościach niemożliwem było do wykonania, rada generalna wyruszyła razem z wòjskami Księstwa do Krakowa, mając sobie przez cesarza Alexandra I., ale pośrednio i niewyraźnie, zapewnione bezpieczeństwo w razie pozostania w Warszawie [1]). Przecież duch rady konfederacyi był niezachwiany i dzielić chciała do ostatniego losy Napoleona. W Krakowie śladów jej działalności odszukać trudno; Koźmian tylko nadmienia, że część członków rady konfederackiej wystąpiła z wnioskiem, wykazującym konieczność sądzenia księcia Sanguszki (wiceregimentarza) przez radę konfederacyi. „Napróżno wystawialiśmy, że jak sama konfederacya zawiązāną została w celu politycznym, tak aktem swoim tylko władzę polityczną zlała na radę, że jeżeli przewinienie jest polityczne, rada mogłaby tylko wnieść oskarżenie lub wezwanie do rządu, aby prokuratorowi rozkazał zaskarżyć winnego przed sądem. Gdzie tu jest prokurator? gdzie sąd kryminalny? Zechceż rada konfederacyi przywłaszczać sobie moc sądowniczą, której sejm konfederacyi jej nie użyczył, tak jak nie udzielił mocy rządzenia krajem? Przypuściwszy, że rada wszystkie władze w sobie jednoczy, więc sama sądzić będzie, lub sąd wyznaczy i wskazać musi w każdym razie, podług jakich praw obwiniony marszałek sądzony będzie. Gdy rada uważała się mimo to za wszechwładną i wniosek miał pójść pod głosowanie, Koźmian zauważył, że rada w dyskusyi powyższej uważała marszałków wojewódzkich za osoby cywilno-polityczne i jedynie podległe jej władzy. Zapomnieli jednak wszyscy, że marszałkowie są osobami wojskowemi i podlegają prawom wojskowym, a gdyby nawet nie uważać ich pod tą postacią, to stali się wojskowym przepisom ulegli, skoro rada konfederacyi poddała ich pod zwierzchnią komendę wodza naczelnego wraz z całem pospolitem ruszeniem. Nie godzi się nam wdzierać w prawa księcia i to w prawa, któreśmy na niego zlali. Po tym wniosku postanowiła rada zaprosić księcia, a ten, przybywszy na sesyę, z całą otwartością oświadczył: jeżeli panowie chcecie przyjąć moje zdanie, przestańcie na tem, abym ja, jako zwierzchnik Sanguszki, dał mu dymisyę, a dam mu ją w sposób taki, że stanie się dla niego dostateczną karą. Radę księcia ostatecznie przyjęto“ [2]).

---

[1]) Mazade: Mémoires du Prince Adam Czartoryski, tom II., str. 305. W tymże tomie, na stronicy 327, czytamy co następuje: „Les membres, de la confédération et du gouvernement ont suivi l'armée et ne sont pas révenus à Varsovie, parce que personne ne les appelait au nom de sa Majeste Imperial.“

[2]) Pamiętniki, tom II. str. 283—85.

Nie brakło i w Krakowie na staraniach, aby radę jeneralną skłonić do powrotu do Warszawy. Linowski, członek rady, pozyskany dla tych planów, starał się nawet skłonić księcia Józefa, ażeby z wojskiem Księstwa odstąpił Napoleona. Książę Józef odpowiedział mu jednak: konfederacya i władze cywilne niech robią, co chcą, król na nie rządy kraju zdał, lecz wojsko poddał pod rozporządzenie cesarza i króla, więc tylko jego i Napoleona słucham [1]). Gdy się jednak zbliżyła chwila opuszczenia Krakowa przez wojska Księstwa, rada jeneralna nie mogła się zdecydować na opuszczenie granic kraju, pomimo, że proponowane jej przez Bignona zostało; uważała ona słusznie krok taki za dezercyę i emigrowanie a nie za służbę krajowi, i dlatego wolała w końcu kwietnia 1813 r. się rozwiązać [2]). Liczyła ona na początku swego pobytu w Krakowie jeszcze ośmiu członków, wkrótce jednak trudno jej było zebrać przepisany aktem komplet z pięciu osób. Koźmian akta konfederacyi pozostawił w Wieliczce i zdaje mu się, że umieszczone tam zostały jako depozyt w klasztorze OO. Kapucynów czy Reformatów [3]).

Wielką byłoby szkodą, powiada Koźmian, gdyby zaginęły. Były między niemi prócz akcesów książąt niemieckich, prośby o indygenaty i inne ważne pisma. Był oryginalny list księcia Metternicha do marszałka księcia jenerała Czartoryskiego, akredytujący pana Bauma, jako rezydenta dworu austryackiego przy konfederacyi Królestwa Polskiego z podpisem na kopercie: *A'son Altesse le prince Czartoryski, maréchal de la Conféderation du Royaume de Pologne,* co było wyraźnem powstającego Królestwa potwierdzeniem. Był tam także protokół wszystkich czynności konfederacyi moją ręką napisany, w którym odbijały się, jak w zwierciadle, osoby i charaktery ich, szczególniej członków, radę jeneralną składających [4]).

Jakim sposobem Koźmian mógł nie wiedzieć o tem, że protokół, jego ręką pisany, był drukowanym w dwóch językach, to po-

---

[1]) Pamiętniki K. Koźmiana, tom II. str. 122.

[2]) Bignon: Souvenirs d'un diplomate, str. 364, nie podaje jednak dnia rozwiązania się rady, nadmieniając, że komisya litewska mimo to nie naśladowała rady. Co się tyczy Rządu tymczasowego litewskiego, to przeglądałem „Wypis z protokółu posiedzeń" tegoż rządu z dnia 10. marca 1813 roku. Późniejszych nie spotkałem. Porównać Pamiętniki Kaj. Koźmiana, tom II. str. 404, który również nie podaje dnia rozwiązania się rady.

[3]) Pamiętniki K. Koźmiana, tom II. str. 405.

[4]) Pamiętniki K. Koźmiana, tom II. str. 405; dokładną charakterystykę wszystkich członków konderacyi podał Ostrowski w żywocie Tomasza Ostrowskiego.

zostałoby trudną do rozwiązania zagadką, gdyby nie ta okoliczność, że jest faktem niezaprzeczonym, że uniwersału drukowanego, zwołującego i organizującego pospolite ruszenie, Koźmian również nie widział, albowiem mylne o nim podał wiadomości. Akcesy książąt niemieckich wydrukowały odpowiednie numera Dziennika, a prośbę konfederacyi jeneralnej do króla o nadanie obywatelstwa hrabiemu Senfft-Pilsach, wydrukował zarówno dziennik jak i dodatek do dziennika. Wiarogodność wszakże tego, co Koźmian napisał o liście Metternicha, wzbudza wielkie powątpiewanie. Jeżeli akces Engeströma został w Dzienniku wydrukowanym, to niewątpliwie rada nie zaniedbałaby się pochwalić listem Metternicha, który dopiero po bitwie lipskiej został księciem. Zresztą, gdzie się podziały akta konfederacyi, trudno dociec. W archiwum po byłej radzie stanu w Warszawie ich nie ma, choć tam się znajduje jeden tom protokółów rady ministrów z 1813 r., odbywanej już w Krakowie i na Podgórzu.

Przedstawiwszy na podstawie skąpego materyału źródłowego przebieg działalności konfederacyi z 1812 roku, należy się jeszcze zastanowić nad zbiegiem okoliczności, które skłoniły sejm Księstwa do skonfederowania się, nieprzewidzianego żadnym artykułem statutu, a następnie wyjaśnić, kto był twórcą pomysłu, którego mocą wskrzeszono dawno zużytą instytucyę a w dodatku nie mającą nic wspólnego z konstytucyami napoleońskiemi. Dla dokładniejszego zrozumienia położenia, w jakiem się znalazł sejm Księstwa w r. 1812, przypomnieć wypada, że kraik, stworzony w roku 1807, bynajmniej nie dochował swego charakteru warszawskiego, który mu został wyraźnie przez Napoleona narzucony. Dekret króla, zwołujący sejmiki w r. 1809, znał wprawdzie tylko obywateli Księstwa Warszawskiego, znał „szlachetny naród“, któremu nie nadawał nazwy polskiego, ale w mowie Najj. Pana, mianej przy otwarciu sejmu d. 10. marca 1809 roku [1]), monarcha, wspominając już o dowodach jednomyślnej ufności, jakie odebrał dawniej od tego narodu, kończy temi słowy: „Polacy! ukazaliście już światu dzielnością oręża, żeście godni waszego odrodzenia; obywatelstwo wasze zapewnia mnie, iż ukażecie równie mądrością obrad, że nieodrodni od przodków sławę i dobro ojczyzny nad wszystko ważycie.“

Napoleon we wszystkich dokumentach, odnoszących się do wojska Księstwa, unikał wyrażenia „polski“, a po 1809 roku niekiedy zamiast „wojska Księstwa Warszawskiego“ używał wyrażenia „wojska sprzymierzone“. Za to jednak akta ministeryum wojny

[1]) Druk. dwie kartki in folio (egz. Bibl. Kr.).

Księstwa nie robiły sobie skrupułów i już w 1808 roku blankiety urzędowe nosiły nagłówek: Ks. Józef Poniatowski, generał dywizyi, naczelny dowódca legionu pierwszego polskiego, ustąpił miejsca „Naczelnemu dowódcy wojsk polskich Księstwa Warszawskiego“. Zresztą bezpośrednia zależność wojsk Księstwa od marszałka Davousta i Berthiera, szefa głównego sztabu Cesarstwa. nie mogła wpływać uspokajająco na mocarstwa okalające Księstwo, zwłaszcza, że z nią szła w parze bezgraniczna usłużność dworu Drezdeńskiego i rządu Księstwa. Aby mieć dokładne wyobrażenie o tem, jak Książę Warszawski starał się odgadywać i wykonywać wszelkie intencye Napoleona, nie sformułowane nawet w urzędowe wymaganie, dość przytoczyć, że rząd Księstwa zasekwestrował dobra Birnbaum, należące do słynnego Steina, bez wyraźnego żądania rządu francuskiego i domyślając się tylko intencyi cesarskiej z ogłoszeń Moniteur'a [1]). Napoleon nie pragnął rządów Księstwa dla swej rodziny, aby nawet pośrednio nie graniczyć z Rossyą, i dla uspokojenia podejrzeń i drażliwości tego mocarstwa oddał Księstwo królowi saskiemu. Tymczasem rozkazując we wszystkiem sile militarnej tego kraju, Napoleon przekonywał, że Księstwo uważa za wysuniętą Marchię Cesarstwa, której przeznaczeniem jest stanowić trwały puklerz dla interesów Francyi [2]). Wreszcie podejrzenie co do ukrytych przeznaczeń Księstwa utrwalił Napoleon jeszcze tem, że nie chciał zatwierdzić konwencyi tymczasowej, zawartej przez ks. Wicencyi z rządem rossyjskim. Upewniając jeszcze raz Rossyę, że nie myśli o odbudowaniu Królestwa, zaznaczył wyraźnie: *je ne veut pas flétrir ma mémoire en mettant le sceau à cet acte d'une politique machiavelique. Car c'est plus qu'avouer le partage de la Pologne, que de déclarer qu'elle ne sera jamais rétablie* (lipiec 1810) [3]).

---

[1]) Mémoires du comte de Senfft, str. 57.

[2]) Dziennik czynności rady ministrów i rady stanu, zgromadzonej stosownie do woli JK. Mości, przez JW. hr. de Schönfeld na sesyi Komisyi Rządzącej d. 5. paźdz. 1807 r. s. 93. „Zastrzegając co do wojskowych zniesienie się przez JW. Serra z marszałkiem Davoust, bez którego żadnej odmiany tyczącej się wojska polskiego czynić nie można.“ Porównać Dalszy ciąg protokółu sesyj rady stanu w r. 1808, s. 136. „Minister wojny donosi radzie stanu, iż jako generał dywizyi odebrał rozkaz dzienny od marszałka Davoust.“ Porównać Protokół sesyj rady stanu od 1. czerwca do 30. grudnia 1809 r., s. 444. „Ks. Poniatowski, jako naczelny dowódca wojska sprzymierzonego Francyi, odbierający rozkazy od N. Cesarza i obowiązany przesyłać raporty księciu Majorowi Generalnemu.“

[3]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 288.

W roku 1809, gdy wojska Księstwa zajęły część Galicyi i w odezwach ks. Poniatowskiego oraz króla saskiego nie kryto się bynajmniej z wyrazem „polski“, istnienie Księstwa, które w tymże roku doznało znacznego powiększenia, poczęło być dla mocarstw otaczających niepokojącem. Austrya jeszcze w roku 1813 przed bitwą pod Bautzen miała wątpliwości, czy Napoleon wyrzeknie się swych planów co do Polski [1]), a cesarz Aleksander I., pomimo wszelkich uspokajań dyplomacyi francuskiej, uskarżał się na to, że postępowanie Polaków w Księstwie obliczonem jest *pour sémer la zizanie entre la Russie et la France* [2]). Istotnie stosunki sąsiedzkie Księstwa Warszawskiego z Rossyą nie mogły należeć do najlepszych i co chwila występowały na jaw czyny, które drażniły uczucia narodowe lub budziły wzajemnie podejrzliwość. Gdy też rząd rossyjski uskarżał się przed dyplomacyą francuską, że wbrew przyjętym zobowiązaniom książę warszawski w odezwach publicznych nazywa Galicyan Polakami i że szafuje dawnemi dekoracyami polskiemi [3]), rząd Księstwa Warszawskiego wypominał wzajemnie, „że obywatelom Księstwa Warszawskiego wolno sukcedować w Rossyi jedynie pod warunkiem, iż złożą przysięgę na wierność tamtemu rządowi“ [4]). Nie brakło w dalszym ciągu cesarzowi Aleksandrowi na radach, aby się ogłosił królem polskim i stworzył Królestwo Polskie lub W. Ks. Lit. Nadmieniłem już o wystąpieniach Czartoryskiego, który wszakże na urzędzie ministra spraw zagranicznych zdobył sobie nieufność wysoko położonych osób i niechęci dyplomacyi rossyjskiej, ujawniające się w postaci prób niesubordynacyi [5]). Niezależnie od Czartoryskiego podawał i Ogiński memoryały cesarzowi Aleksandrowi, przedstawiające konieczność zorganizowania W. Ks. Litewskiego, uwzględniając przytem Konstytucyę 3. maja, tym czynem bowiem zapobiegnie się wpływowi Napoleona na Polaków i odejmie się Księstwu Warszawskiemu ów groźny charakter widma, jaki dotąd posiada [6]).

---

[1]) Mémoires, documents et écrits divers, laissés par le prince de Metternich. T. I. str. 247.

[2]) Tatistscheff: Alexandre I. et Napoleon, str. 495.

[3]) Tatistscheff: Alexandre I. et Napoleon, str. 481.

[4]) Dalszy Ciąg Protokółu Sesyj Rady Stanu w r. 1809, str. 248.

[5]) Tatistscheff: Iz proszławo ruskoj diplomacyi, str. 325 i 334.

[6]) Mémoires de Michel Ogiński, t. III. str. 102, 108. „Avec la promesse de lui accorder une constitution rapprochée de celle 3. de Mai“ i t. d.

Cesarz Aleksander niejednokrotnie brał pod uwagę plany Czartoryskiego, zarówno jak i Ogińskiego. Na wypadek zbliżającej się wojny z Francyą, gotów był monarcha Rossyi ogłosić się królem polskim lub wreszcie, gdyby jaki fałszywy krok Austryi dał mu ku temu dogodny powód. W takiem jednak położeniu, jakie się wytworzyło po r. 1809, wszelkie reformy w ziemiach dawniej polskich byłyby prowokacyą wojny; tymczasem cesarz Aleksander pragnął jej uniknąć i z tego względu, że utwory Napoleona, wypływające z jego geniuszu, znikną wraz z jego śmiercią niepowrotnie i że wówczas obrachunki z Księstwem Warszawskiem skończyć się będą mogły bez nadzwyczajnego rozlewu krwi [1]).

Jakkolwiek cesarz Aleksander nie dał się nakłonić do stanowczego kroku, przyznając, że jedyna sposobna ku temu chwila minęła w r. 1805 [2]), to jednakże wieści o planach i zamiarach tajemnych doszły do dyplomacyi francuskiej [3]). Podług tej wieści, cesarz Aleksander miał się okazać skłonnym do przywrócenia dawnych praw polskich, a nadewszystko do uwzględnienia głównych zasad Konstytucyi 3. maja. Pogłoski w powyższym duchu nie przestały obiegać i w r. 1812, gdy zerwanie Rossyi z Francyą było już nader blizkie urzeczywistnienia. Nie przeszkadzało to jednak temu, że w przededniu wojny Napoleon upewniał Czerniszewa, że ani myśli o odbudowaniu państwa polskiego, a jeżeli Rossya poprze go w działaniach przeciw Anglii, postara się o usunięcie jej niepokojów w tym kierunku [4]). Jednocześnie wszakże przysłanym został księciu Poniatowskiemu tytuł dowódcy piątego korpusu polskiego, a gdy wojna stała się nieuniknioną, sam cesarz Francuzów oświadczał przy sposobności, że rozpoczyna drugą wojnę polską.

Napoleon nie lekceważył bynajmniej przeciwnika, rozpoczynając wojnę w r. 1812. W rozmowie z Metternichem, poprzedzającej kampanią, oświadczył on, że *le triomphe appartiendra au plus patient*, a gdy Metternich, wysłuchawszy projekt cesarski zorganizowania Litwy, wyraził wątpliwość, czy monarcha Rossyi da się na-

---

[1]) Mazade: Mémoires du Prince Adam Czartoryski, t. II. str. 252.

[2]) Mazade: Mémoires i t. d., t. II. str. 130.

[3]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 299. Porównać Bignon: Souvenirs d'un diplomate, str. 197; porównać Mazade: Mémoires itd., t. II. str. 181, §. 8 w memoryale księcia Adama, podanym cesarzowi Aleksandrowi I. w r. 1806, figurowało nawet pospolite ruszenie.

[4]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 370, zapewnienie to było dane jeszcze d. 25. lutego 1812 r.

kłonić do zawarcia pokoju nawet w razie okupacyi ziem litewskich, dodał: *Dans ce cas, je m'avancerai l'année prochaine, jusque au centre de l'Empire, et je serai patient en 1813, comme je l'aurait été en 1812* [1]).

Z chwilą, gdy wojna w r. 1812 stała się nieunikniona, Księstwo nabierało dla Napoleona dużego znaczenia. Wprawdzie kraj powyższy stworzony był przez niego i dla niego, ale liczne wojska Księstwa brały udział w kampanii w tem głębokiem przeświadczeniu, że wywalczą, jak w 1809, powiększenie Księstwa, a społeczeństwo tego kraju oczekiwało jako nagrody za tyloletnie poświęcenia i ofiary przeistoczenia Księstwa Warszawskiego w Królestwo Polskie. Napoleon rozumiał dobrze, że studzić zapału i zawodzić nadziei w chwili rozpoczynającej się wojny nie może. Z drugiej strony jednak, dopóki przeciwnik jego był niezwyciężonym, nie wypadało mu przywracać osobiście Królestwa Polskiego i włączać doń prowincye, nad któremi panował niezaprzeczenie cesarz Aleksander I. Potrzeba więc było koniecznie inicyatywy ze strony Księstwa, mniejsza o to, czy samoistnej, czy inspirowanej, ale w każdym razie takiej, któraby go zasłoniła od zarzutu, że stworzenie Królestwa było zużytym tylko fortelem wojennym, a nie czynem narodowym, urzeczywistniającym dawne pragnienia.

Statut z r. 1807 nie dawał pola do wywołania podobnego czynu, ale dawny porządek państwowy polski posiadał konfederacyę, która się nadawała jako tako do bieżącej chwili. Konfederacya budziła wprawdzie niemiłe wspomnienia we wszystkich poważniejszych mężach stanu dawnej Polski. Kołłątaj zwał ją rokoszem przeciw prawu, gwałtownym związkiem, gdzie albo forma rządu nie dostarcza, albo przemoc odporu potrzebuje [2]), a „ustawa rządowa" z 1791 r. oświadczyła między innemi: „Konfederacye wszelkiego gatunku i sejmy konfederackie, jako duchowi niniejszej konstytucyi przeciwne, rząd obalające, społeczność niszczące, na zawsze znosimy" [3]). Dlatego to w akcie konfederacyi zawarte są usprawiedliwienia wobec tego, że sejm uciec się musiał do podobnego środka, a prócz tego przyrzeczenia, że konfederacya z 1812 r. uniknie błędów dawnych swoich poprzedniczek.

---

[1]) Mémoires, documents et écrits divers laissées par le prince de Metternich, t. I. str. 122.

[2]) Do St. Małachowskiego. O przyszłym Seymie Anonyma listów kilka. Część II. str. 25.

[3]) Vol. leg., t. IX. str. 222.

Pradt, któremu powierzono kierownictwo sejmu w r. 1812, zaznacza krótko i zwięźle, że *cette diète s'etait confedérée, suivant l'ancien usage* [1]), ale zapomina zupełnie o instrukcyach, jakie otrzymał od Bassano, a któremi powinien się był kierować. Otóż instrukcye przepisywały ambasadorowi francuskiemu, aby się o to starał, żeby sejm został zwołany i żeby się zawiązał w konfederacyę, postanowiwszy powrócenie Królestwa Polskiego. Następnie wszędzie, gdzie są tylko Polacy, tam ma być dane prawo konfederowania się w celu dobra publicznego, z nadmienieniem wszakże, że konfederacye zostaną skierowane przeciwko Rossyi wyłącznie, zostawiając Austryę i Prusy w spokoju. Dalej, konfederacya centralna w Warszawie winna zorganizować komitety po województwach, któreby się zajmowały rozsyłaniem proklamacyi i odezw, podnoszących ducha nietylko w Księstwie, ale w prowincyach znajdujących się pod władzą Rossyi, a to dlatego, aby w całym narodzie obudzić *une sorte d'ivresse.* Ręka ambasadora powinna kierować działalnością, ale w ten sposób, ażeby jej dostrzedz nie było można [2]).

Instrukcye przepisały również Pradtowi, aby po zorganizowaniu się konfederacya wysłała deputacyę do cesarza, przedstawiając mu akt konfederacyi i prosząc o protekcyą. Cesarz odpowie im pochwałą ich patryotyzmu i zapału, ale zarazem zwróci uwagę, że jedynie wytrwałości i poświęceniu własnemu zawdzięczać mogą odbudowanie Królestwa. Gdy księciu Bassano nie udało się skłonić Napoleona do przejazdu przez Warszawę i ogłoszenia Królestwa Polskiego, przesłał d. 17. czerwca depeszę Pradtowi, w której wymaga, aby konfederacya starała się o jak największą liczbę akcesów pojedyńczych, i to rozpoczynając od ludzi znacznych, jak Czartoryski, Radziwiłł i Sanguszko. *Il faut enfin q'il y ait chaque jour, un acte d'adhésion, une proclamation, une piece quelconque soit individuelle, soit officielle, soit de la Diète, soit des Diétines, soit des particuliers. Il faut que la publicité de ces pièces suive immédiatement, ce n'est qu'en frappant sans cesse, qu'on parviendra a éxciter les esprits a soutenir leur exaltation* [3]).

Senfft stwierdza również w pamiętnikach swoich, że ks. Bassano pragnął w mieszkaniu Pradt'a zgromadzić jego, Brezę, Serrę, generała Sokolnickiego i Batowskiego, ażeby się zastanowili nad spo-

---

[1]) Histoire de l'ambassade dans le grand Duché de Varsovie en 1812, str. 121.

[2]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 383.

[3]) Ernouf: Maret i t. d., str. 385.

sobami zorganizowania konfederacyi generalnej. *Mais les individus appelés à donner leur opinion, n'etaient point en état de répandre des lumieres satisfaisantes sur un objet de cette nature.* Największy wpływ na cały plan postępowania miał wówczas, zdaniem Senffta, Matuszewicz [1]).

Następnie książę Bassano, donosząc Pradtowi, że cesarz jest niezadowolony z jego zachowania się w ogóle, a z rozwiązania sejmu po dwóch zaledwie sesyach w szczególności, tłómaczy mu, że jeżeli cesarz w odpowiedzi Wybickiemu nie zamieścił słów: *La Pologne existe*, to jedynie dlatego, że wyrzeczenie ich obowiązywałoby go do nieskładania broni aż do chwili, w którejby ją odbudował. Niemniej jednak Napoleon dążyć będzie do tego celu i utworzenie rządu tymczasowego na Litwie nie znaczy bynajmniej, aby z Księstwa litewskiego chciał wytworzyć *un corps separé dans l'Etat. Au moment où la natiou s'organisera comme nation, ces elements separés d'administration se reuniront dans le gouvernement commun* [2]).

Dowiadujemy się nareszcie, że Uniwersał z d. 20. grudnia, zwołujący pospolite ruszenie, był także dziełem księcia Bassano. Bawił on aż do 20. grudnia w Warszawie i naradzał się z radą konfederacyi nad środkami, których trudne okoliczności wymagały. Co do odpowiedniości i właściwości pospolitego ruszenia, zdania były na równi podzielone, ale wszyscy zgodzili się na to, że potrzebne są przepisy w celu zorganizowania nowego korpusu wojsk [3]).

Z instrukcyi, jakie Pradt otrzymał, i z depesz, jakie mu książę Bassano nadsyłał, przekonać się łatwo, że pomysł zawiązania konfederacyi, a następnie zwołania pospolitego ruszenia pozyskał wcześnie, a raczej uprzednio sankcyę Napoleona. Czy na ten środek zwrócił mu który z Polaków uwagę, przesądzać trudno, ale z usprawiedliwiań się, zawartych w akcie konfederacyi, i tego bez zastrzeżeń przypuszczaćby nie należało. Inaczej się rzecz ma z pospolitem ruszeniem, które w roku 1806 nie było czczym wymysłem, ale przyniosło Napoleonowi znaczne pożytki, dostarczając rekruta, a którem nadto komisya rządząca jeszcze w 1807 się zajmowała [4]). Istnieją

---

[1]) Mémoires du comte de Senfft, str. 178.

[2]) Ernouf: Maret i t. d., str. 392.

[3]) Ernouf: Maret i t. d., str. 480—81.

[4]) W d. 22. stycznia 1807 r. Komisya Rządząca wydała odezwę do obywatelów y generałów pospolitego ruszenia, podpisaną przez X. J. Poniatowskiego, Dyrektora Woyny, i Małachowskiego. Drugą zaś odezwę wydała d. 24. lutego 1807 „w zamiarze porządnego z W. Generałami wojewódzkiemi względem pospolitego ruszenia obrachunku.“ (Druk. Bibl. Ord. Kr.).

ślady, dość błahe co prawda, że Napoleon wiedział o uniwersale z d. 20. grudnia: gdy bowiem Węgrzecki zarzucać miał, że pospolite ruszenie wzywa tylko szlachtę do broni, odpowiedziano mu, że się to stało za wyraźnym rozkazem Napoleona, który wezwaniem wszystkich do obrony nie chciał poruszać tłumów [1]).

Zarówno Bignon, jak i książę Bassano, oskarżali Pradta o to, że, rozwiązując sejm przedwcześnie, sparaliżował poniekąd działalność rady konfederacyi. Sejm, zdaniem ich, byłby w stanie rozniecić daleko większy zapał i zorganizować skuteczniej pospolitą obronę. Nie ulega żadnej wątpliwości, że bezradność, nieudolność, a w chwilach krytycznych zwątpienie ambasadora francuskiego, przyczyniły się w znacznym stopniu do tego, że ani konfederacya, ani pospolite ruszenie nie przyniosły tych świetnych owoców, jakie sobie po nich obiecywano. Mniemam jednak, że i największa energia Pradta nie zdołałaby wynagrodzić błędów, popełnionych przez samego Napoleona i że mogłaby jedynie złagodzić niektóre z dotkliwych następstw straszliwej katastrofy. Czyby cały sejm skonfederowany pracował nad roznieceniem zapału, czyby tylko rada konfederacyi siliła się nad urzeczywistnieniem powyższego zadania, w obu razach wielkiej różnicy w rezultatach być nie mogło, zwłaszcza, że kraj był wyczerpany nad miarę, zniechęcony zdzierstwami wielkiej armii i przeświadczony o tem, że nie szczędził ofiar i poświęcenia. W takim stanie wyczerpania i podrażnienia, odezwy, akcesy, jednem słowem wszelki patos, choćby najszczytniejszy, niewiele mógł pomódz, a do zorganizowania pospolitego ruszenia uczuła się rada konfederacyi upoważnioną wtedy, kiedy już stanowczo było za późno na jakikolwiek ratunek. Coby było wówczas, gdyby konfederacya wzorem dawnych zagarnęła rządy i godność marszałka konfederacyi powierzyła naczelnemu wodzowi, ks. Józefowi, przesądzać trudno. Prawdopodobnie mimo wycieńczenia siły militarne Księstwa byłyby większemi, ale, choćby nawet przeszły wszelkie oczekiwania, nie zdołałyby naprawić błędów i pomyłek Napoleona, ani uratować od zagłady wielkiej armii.

Z chwilą rozpoczętej wojny, skuteczność i odpowiedniość konfederacyi i pospolitego ruszenia nie zależy bynajmniej od polityki konstytucyjnej, ani od pomysłów dyplomacyi, lecz wyłącznie od sztuki wojennej. Można tu powtórzyć śmiało rzymskie zdanie: *quae medicamenta non sanant, ferrum sanat.* Na wszystkie choroby i dolegliwości konfederacyi wraz z pospolitem ruszeniem wystarczało

[1]) Pamiętniki K. Koźmiana, t. II. str. 383.

jedno lekarstwo, miecz zwycięski, najlepiej zaś pomyślaną konfederacyę skazywał na nieuchronną zagładę miecz strzaskany. Wszystko więc zależało od tego, czy Mars zwróci jeszcze raz swe przychylne oblicze w stronę tego, który przez lat wiele był jego stałym ulubieńcem. Z rozpoczęciem się bowiem kampanii 1812 r., zarówno jak i przedtem, nietylko konfederacya, ale konstytucya i samo Księstwo tyle miały siły i mocy, jak to słusznie Kołłątaj zauważył, ile miała mocy Francya cała. Jej pogrom rozwiązał w sposób niweczący wszelkie zagadnienia konstytucyjne w Księstwie Warszawskiem.

Aleksander Rembowski.

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

(Ciąg dalszy).

V.

Cenzura społeczna.

Bilans prawny w zakresie czci wypadł w poprzednim rozdziale niepomyślnie. Ujemny rezultat tyczy się tak czci wewnętrznej, kwintessencyi moralnej człowieka, tego poczucia praw i obowiązków w ich wzajemnej łączności i harmonii, którego prawo pozytywne całemi stosami ustaw zastąpić nie zdoła, jak i czci zewnętrznej, odblasku owej kwintessencyi moralnej w całem otoczeniu człowieka, którego prawo pozytywne strzedz powinno w interesie własnej siły żywotnej, jakby oka w głowie.

W sprawie czci wewnętrznej obrona prawa przed zarzutami zdaje się być łatwą. Chociaż bowiem pozytywiści prawni reklamują dla prawa charakter potęgi, wkraczającej z rozkazami we wszystkie zakresy życia i we wszystkie stosunki, biorącej człowieka w opiekę od kolebki, nawet przed przyjściem na świat *(nasciturus pro iam nato habetur, quoties de commodis eius agitur)*, aż do grobu, nawet poza grób, gdy chodzi o ścisłe wykonanie ostatniej woli, to przecież zasłaniać się mogą w takich kłopotliwych sytuacyach, jak powyższa, tem usprawiedliwieniem, że w sferę prawa wchodzi właściwie dopiero człowiek zdolny do działania, więc już z rozwiniętym w poprzedniej fazie edukacyjnej ustrojem moralnym, którego kodexy przecież naprawić nie zdołają, który chyba tylko napiętnować mogą. Gdybyśmy nawet przyjęli bez żadnego zastrzeżenia taką abdykacyę prawa z wszelkiego, chociażby pośredniego tylko, wpływania na formacyę ustroju moralnego w fazie wychowawczej, bez zastrzeżenia,

które jest koniecznem, jeżeli się ma na myśli prawo w ogólnem a fazę wychowawczą życia ludzkiego w szerszem po za progi domowe sięgającem znaczeniu, — to zawsze i w takim razie niepodobna zgodzić się na to, żeby pozytywizm prawny mógł bez skrupułów umyć sobie ręce w tej kollizyi. Potrzebaby bowiem chyba wyższego heroizmu moralnego na to, aby człowiek dziś odbywać mógł wędrówkę po szlaku życia codziennego bez żadnego szwanku dla czci wewnętrznej w znaczeniu kwintessencyi moralnej, jeżeli drogoskazy prawa są fałszywe, albo jeżeli w ogóle brak takich drogoskazów, ostrzegających wśród wiru interesów przed przepaściami i manowcami, po których nieraz długo chodzić można, zanim się stanie u baryery — kryminalnej.

Czy taką jest a właściwie czy taką być musi sytuacya prawna w zakresie stosunków prywatnych? Do pewnego stopnia możnaby to nazwać *malum necessarium*, gdyż owa neutralna sfera między bezprawiem cywilnem a karnem, o której mówiliśmy już w wstępnych uwagach, stanowi i stanowić będzie w prawie niedoskonałość w tem znaczeniu, w jakiem niedoskonałość mniejsza lub większa uchodzić będzie za akcessoryum wszystkich ludzkich urządzeń, akcessoryum nieuniknione, bo tkwiące w naturze rzeczy. Inaczej jednak rzecz się ma z rozmiarem tej sfery neutralnej. Może ona bowiem stanowić tylko przesmyk wązki, bezpieczny chyba dla szczególnie wyrafinowanych śmiałków, a może stać się także szerokim i bitym gościńcem, bezpiecznym a nawet wygodnym i dla wielkiego ładunku interesów.

Owoż właśnie w ostatnich czasach wytworzył się między bezprawiem cywilnem a karnem, między nieuczciwością, nawet szalbierstwem niedostępnem dla kwalifikacyi prawno-karnej a przestępstwem, ujętem w ramy prawa pozytywnego, między interesem a oszustwem, między spekulacyą a podstępem, taki bity i szeroki gościniec, który nęci formalnie każdego, kto się puszcza w drogę ku obiecanej ziemi obrotu. Liberalizm nowoczesny zbudował ten gościniec na trzęsawisku dziś, dzięki Bogu, już zachwianych w kredycie doktryn ekonomicznych, które wolną konkurencyą miały stworzyć raj na ziemi a tymczasem dały przedsmak piekła socyalnego, otwierając na oścież szerokie wrota, przez które wraz z zdrowemi żywiołami i zasadami godziwej spekulacyi dostały się na szeroką arenę współzawodnictwa ekonomicznego także i wszystkie złe instynkta bezwzględnej w swojej chciwości i nienąsyconej w żądzach natury ludzkiej, aby pod hasłem rozwoju ekonomicznego wyprawiać formalne orgie. *Laissez faire, laissez aller*, powiedziała zwycięzka do-

ktryna ekonomiczna a prawo wzięło sobie to hasło do serca i zastosowało się do niego z bierną assystencyą, tak, że dopiero groźne oznaki rozstroju społecznego otworzyły mu oczy na widok ujętych w formalne systemy i wszelkiemi pozorami legalności osłoniętych szalbierstw, wyzysków, podstępów itp.

Dziś, jak świadczą programy ciał prawodawczych, w których rzędzie austryacka Rada państwa ze swoją akcyą przeciw lichwie, różnym formom szalbierczej i w ogóle nielojalnej konkurencyi niezawodnie naprzód się wysuwa, ustawodawstwo rozpoczęło odwrót na całej linii a wszystkie znamiona sytuacyi pozwalają pocieszać się tem, że będzie to nie zwrot chwilowy tylko, lecz stanowcza zmiana na lepsze. Ale zanim się ta zmiana dokona, całe pokolenie ludzi prawnie „nieposzlakowanych“ a jednak szalbierzy lub nawet nikczemników, w ogóle ludzi „bez czci i wiary“, zaprawionych w życiu obrotowem złotego dla nich okresu nieokiełzanej wolności konkurencyjnej, będzie mogło jeszcze długo podtrzymywać kredyt takiej uczciwości, która zasadza się tylko na starannem omijaniu pozytywnych kryteryów kryminalnej kwalifikacyi czynu bez oglądania się na jakiekolwiek skrupuły moralne wobec jawnej krzywdy.

Gdzie istnieje zastarzałe pisemne postępowanie w sprawach spornych, tam stanowi ono także obok prawa materyalnego w powyższym rodzaju eldorado dla poczciwców prawnie „nieposzlakowanych“, chociaż nikczemnych, a tem samem i ważną pozycyę ujemną w wspomnionym na wstępie bilansie prawnym czci. Taką procedurą cywilną, jak uchylona już, dzięki Bogu, w dzienniku ustaw a w praktyce dogorywająca stara procedura austryacka, prawo formalnie zraża każdego, kto po raz pierwszy zetknie się z jego funkcyami na tem polu, do polegania na sile moralnej czci, bo każe mu nietylko być przygotowanym na wszelkie fortele przeciwnika, lecz nadto stłumić w sobie żywsze porywy poczucia czci i zawsze pamiętać o tem, że pod groza klęski procesowej nie powinien być otwartym i szczerym nawet w uznaniu tego, co leży na dłoni, co jasne, jak słońce. *Negantis maior potestas*, — więc aby cały ciężar dowodowy spadł na przeciwnika, trzeba przeczyć wbrew własnemu przeświadczeniu niejako w żywe oczy i można to czynić bezpiecznie, bo co między ludźmi uczciwymi po za areną procesową nazywa się kłamstwem, nawet bezczelnem i niegodziwem kłamstwem, to na tej arenie z mocy prawa ma charakter dozwolonego fortelu w obronie własnych interesów, co człowiek uczciwy zwykł bez ogródek nazywać krętactwem lub matactwem, z tem prawo pozwala wystąpić w procesie bez obawy o splamienie czci. Co chwila więc krzyżuje się droga, którą

poczucie czci postępować każe, z tą, na którą drogoskaz interesu wskazuje. Kto wybierze pierwszą drogę wbrew ostrzeżeniu od prawa otrzymanemu i dozna potem porażki dotkliwej na interesach swoich, niemoże nawet tem się pocieszyć, żeby mu to poczytane być miało za akt moralnego heroizmu. Wobec prawa takiem postępowaniem zasłużył sobie chyba na zarzut, że jest nieoględnym lub nawet nieudolnym ignorantem a gdyby chciał się wylegitymować ze znajomości rzeczy i usprawiedliwić tem, że na arenie prawa uważał drogę prostą co najmniej za równie bezpieczną, jak zygzaki proceduralne, to zyska chyba tylko tyle na tem, iż uważany będzie nie za ignoranta, lecz za — naiwnego dziwaka.

Za te uwagi czeka nas pewnie zarzut słuszny, że niepotrzebnie gorszymy się tym stanem rzeczy, skoro dotychczasowa austryacka procedura cywilna nie była typem stosunków procesowych, w Europie panujących, lecz niefortunnym wyjątkiem a raczej nieuprzątniętym w porę remanentem przebytej już w innych krajach fazy procesowej, skoro nadto w tej chwili już i ten remanent austryacki stacza się w przepaść a wejście w życie nowej, na nowoczesnych zasadach, mianowicie na jawności i ustności, opartej procedury do dwóch lat stanie się faktem dokonanym. Moglibyśmy odeprzeć zarzut taki już samą uwagą, że praca ta z założenia swojego niema być programem reform praktycznych dla potrzeb prawnych bieżącej chwili, lecz zasadniczem określeniem znaczenia czci, jako głównego czynnika moralnego w historyi i w zadaniach prawa. Z tego stanowiska uwagi powyższe nie byłyby zbyteczne w tym ogólnym rachunku z prawem nawet w razie, gdyby w tej chwili już i w całej Austryi proces odbywał się według nowej ustawy o postępowaniu sądowem.

Zresztą reforma, dokonana w duchu praktycznych tylko postulatów, z głównem uwzględnieniem tego celu, żeby mechanizm procesowy, doprowadzony pod względem prawno-technicznym do możliwej doskonałości, funkcyonował szybko i tanio, niemoże jeszcze w zupełności zaspokoić wymagań, z jakiemi z powyżej wskazanego stanowiska wystąpić należy wobec prawa. Najszybciej i najtaniej przeprowadzony proces jest zawsze procesem, więc sporem, więc walką na broń prawną, kończącą się, jak każda walka, nie wyrównaniem nieporozumień, lecz pokonaniem jednej strony, która poddać się musi losowi każdego pokonanego, streszczającemu się zbyt często w słowach: *vae victis*. Że te słowa nie mają tutaj takiej grozy, jak w walce prawdziwej, krwawej, to rzecz podrzędna. O ile bowiem chodzi o owo nieuniknione rozgoryczenie, z jakiem każda

strona pokonana z areny walki ustępuje, stosują się one także do ofiar przegranego procesu, bez względu na to, czy ważyły się losy całej egzystencyi materyalnej, czy tylko szanse interesu miernej wartości.

Że inaczej być niemoże, że świat bez sporów i procesów nie przyśni się nawet najzapamiętalszemu idealiście, to prawda i na to rady niema, tak samo, jak rady niema na wszystkie inne nieuniknione dolegliwości ludzkiej egzystencyi. Ale czy prawo, wydoskonaliwszy ostrze proceduralnej machiny swojej i umożliwiwszy do niej łatwy przystęp każdemu, tem samem już spełniło całą missyę swoją, to inna kwestya. Z moralnego i społecznego stanowiska najtańsza i chociażby *à la minute* działająca machina procesowa nie daje jeszcze prawu takiego absolutoryum, jakby to wypływać się zdawało z poglądów pozytywizmu prawnego.

Jaka część z klienteli prawa wchodzi w każdym wypadku spornym na drogę procesową chętnie lub przynajmniej tak obojętnie, jakgdyby to był krok normalny, zwyczajny i ominąć się nie dający, a jaka część chwyta się tego środka, jeżeli nie ze wstrętem, to przynajmniej z pewnym skrupułem, lub ubolewaniem, iż spór, wynikły z nieporozumienia lub powikłania stosunków, koniecznie musi iść pod ostrze miecza proceduralnego, chociaż przy interwencyi i za pośrednictwem ludzi dobrej wiary i woli mogłoby nastąpić pokojowe rozwikłanie węzła spornego — o to można się spierać i w miarę optymizmu lub pessymizmu w zapatrywaniach ujmować ten stosunek w odmienne cyfry. Że jednak cyfra drugiej kategoryi nie będzie nawet i dziś znikającą wobec pierwszej, to można i bez optymizmu przypuścić na pewne, skoro w przysłowiu ciągle jeszcze złoty proces ustępuje przed słomianą zgodą. W oczach ludzi z żywem poczuciem czci, więc ze świadomością słusznej miary własnych praw i obowiązków, których harmonia wypełnia pojęcie czci, pojednawsze załatwienie sporu, wynikłego z nieporozumienia lub z powikłania stosunków, musi mieć stanowczą wyższość nad procesowem rozcinaniem węzła *lege artis iuridicae.* Czy prawo dzisiejsze należycie liczy się z takiemi sytuacyami, czy ułatwia, ile możności, takie załatwianie sporów bez aparatu procesowego a tem samem czy wyzyskuje według sił swoich i krzepi w ten sposób tak ważny moralny czynnik w porządkowaniu stosunków, jakim cześć jest i zawsze być powinna?

W ramach dzisiejszego prawa procesowego nie wiele daje się zdziałać w powyższym kierunku, bo chociaż sędzia, zwłaszcza w pomniejszych sprawach, może niezawodnie wpływać skutecznie w myśl takiego wyrównywania nieporozumień i sporu na nich opartego, to

jednak akcya taka zazwyczaj albo tylko *pro forma* się odbywa, albo wprost uważana jest za nieleżącą w duchu prawa, co w biórokratycznym ustroju sądów nawet uważać można za opinię do pewnego stopnia normalną. Jeżeliby akcya tego rodzaju miała być wysunięta na pierwszy plan, jako cel równorzędny z samem procesowem rozcinaniem węzłów spornych a ze stanowiska interesów społecznych nawet o wiele sympatyczniejszy i więcej pożądany, to musiałoby być przedtem dokonane takie przeobrażenie, czy uzupełnienie prawnego aparatu wykonawczego, aby żywioł obywatelski wszedł w jego ustrój jako czynnik z równorzędną missyą. Mamy tutaj na myśli oczywiście taką formę organicznego wcielenia tego żywiołu, jaka w historyi życia prawnego jest już znana i wypróbowana, mamy na myśli sądy pokoju, sądy rozjemcze i polubowne, o które nietylko w imię ich pięknych tradycyj, lecz także ze względu na widoczne korzyści praktyczne dla sfer najwięcej interesowanych już w chwili podjęcia reformy procedury austryackiej upomniały się dobitnie poważne głosy właśnie z tych sfer pochodzące [1]). Potrzeby takiej reformy nie mógł zapoznać ustawodawca austryacki a dowód jej uznania stanowi kilka przygotowanych już w tym duchu projektów. Jestto jednak ustępstwo minimalne, traktowane nie w duchu zasadniczej wagi swojej, lecz tylko tak, jakgdyby chodziło o mniej doskonałą, ale w pewnych kategorych sporów mimo to z praktycznego stanowiska pożądaną, formę prawnej interwencyi. Inaczej sprawa ta byłaby podniesiona i w zakroju swoim i w szczegółach, jeżeliby ustawodawca zamierzał był wziąć cześć w rachubę w takim zakresie, jaki się jej należy jako moralnej aliantce prawa w spełnieniu jego missyi społecznej.

Także i dla prawnej osłony czci reforma taka aparatu sądowego miałaby wielkie znaczenie. Inaczej wyglądałyby te dziś na karykatury zakrawające drobne rozprawy honorowe, przed forum sądowe wytaczane, jeżeliby n. p. prawo interwencyę swoją uczyniło zależną od dowodu, że sprawa tej kategoryi była przedtem wytoczona przed urzędem rozjemczym, złożonym z poważnych osobistości, wyborem na to stanowisko powołanych, i niemogła być w sposób pojednawczy, kompromissowy, załatwiona. Byłaby to akcya pojednawcza, jakiej godne jest takie dobro moralne, jak cześć, gdyż przed takiem forum satysfakcya uzyskana, czy to przez rozjaśnienie nieporozumień, czy przez otwarte odwołanie obrazy i przeproszenie

[1]) Alfred von Lindheim: *Das Schiedsgericht im modernen Civilprocesse.* — Wien 1891.

dotkniętego, równałaby się w zasadzie dawnej *restitutio famae*, jako słusznej i godziwej naprawie złego. Owę restytucyę zdyskredytowano w świecie prawniczym tak, że w niejednym czytelniku z tego świata samo jej przypomnienie na tem miejscu może wzbudzić uprzedzenie do uwag poprzednich. Czy jednak zdyskredytowanie to nie odnosi się więcej do form i akcessoryów dawnej restytucyi, w istocie dziwacznych, jak już przedtem zaznaczyliśmy, poniekąd nawet wprost paraliżujących zamierzone cele, aniżeli do samej treści i do tych celów dobrze zrozumianych? Gdyby prawnicy, traktujący dziś zazwyczaj dawną restytucyę czci co najmniej jako pomysł paradoxalny, mieli na uwadze psychiczny charakter obrazy czci, gdyby ta jej strona psychiczna, już poprzednio podniesiona tutaj jako postulat przyszłej zasadniczej reformy, znalazła więcej uwzględnienia, możnaby liczyć na zmianę opinii na rzecz restytucyi. Jeżeli bowiem w ogóle może być mowa o powetowaniu przykrości doznanej w obrazie czci, przynajmniej o uchyleniu tej przykrości, to prędzej przecież cel ten osiągnąć można przez taką moralną satysfakcyę, aniżeli przez to, że na przeciwnika nałożona zostanie kara według skromnej taryfy honorowo-karnej prawa.

Nie do samej tylko akcyi rozjemczej, lecz także i do ściśle karnej musiałby być żywioł obywatelski powołany, jeżeli się wychodzi z założenia, że dzisiejsza prawna osłona czci jako zupełnie niedostateczna musi prędzej lub później stać się przedmiotem rozległej zasadniczej reformy. Widzieliśmy z poprzednio już przytoczonych głosów, tak poważnych i kompetentnych, jak n. p. Beaussire'a i Francka, że z projektem reformy w tej mierze łączy się ściśle myśl o sądach honorowych, jako osobnej kategoryi sądów przysięgłych dla spraw obrazy czci. I ci, którzy najformalniej chcieliby ulegalizować pojedynek, jako jedyny sposób załatwienia sprawy honorowej, usuwającej się z pod judykatury sądowej, żądają także ustanowienia sądów honorowych w powyższym rodzaju dla decyzyi, czy pewna sprawa należy właśnie do tej kategoryi. Jednomyślność tego żądania wskazuje, iż kto tylko wejdzie głębiej w istotę rzeczy, musi przyjść do przekonania, że samo prawo ze swoim mechanizmem paragrafowym i aparatem biórokratyczno-sędziowskim nie zdoła uczynić zadość wymaganiom, jakie stawia osłona czci w znaczeniu jednego z najwyższych dóbr moralnych, że zatem społeczeństwo musi przyczynić się do dzieła nietylko samodzielną akcyą w uszlachetnieniu obyczajów w ogóle, lecz także pomocniczo przez podniesienie poziomu judykatury państwowej.

Jestto błąd właściwy współczesnemu ustawodawstwu, że w reformach wysila się przedewszystkiem na zmianę materyalnych postanowień prawnych a na aparat wykonawczy prawa nie kładzie takiego nacisku, jak tego rzecz sama wymaga. To też aparat ten rdzewieje z biegiem czasu i rozwojem stosunków tak, że niemoże spełniać swoich funkcyi w sposób odpowiadający intencyom ustawodawcy, o ileby one nawet trafnie objęły interesa społeczne. W Austryi szczególnie jaskrawo wychodzi na jaw błąd ten w chwili obecnej, gdy przygotowywana jest z takim wielkim rozpędem reforma kodexu karnego, mająca streścić w sobie cały postęp a przynajmniej najważniejsze postulaty tegoczesnej kryminalistyki. Czy ta cała reforma wejdzie w życie tak, jak została zamierzona, czy w ogóle wejść może w życie z dzisiejszym aparatem wykonawczym, nad tem ustawodawca nie zastanowił się naprzód a od tego właściwie zacząć był powinien, skoro sam przy wielu innych sposobnościach uznał to formalnie i bez zastrzeżeń, że cały stan urzędniczy a sądowy przedewszystkiem znajduje się w położeniu opłakanem, prawie niegodnem państwa ze schyłku XIX. stulecia, które nie pozwala przedsiębiorcom przemysłowym wyzyskiwać robotników z ujmą dla ich zdrowia i potrzeb duchowych a samo tak postępuje z własnymi urzędnikami, przeciążonymi pracą w sposób uniemożliwiający już nietylko ciągłe zawodowe kształcenie się, lecz nawet rozważne rozpatrzenie i załatwienie każdej sprawy, a nadto skazanymi na byt materyalny, nędzny w całem tego słowa znaczeniu. Jeżeli wydobycie stanu sędziowskiego z tej opłakanej sytuacyi dzisiejszej pod względem materyalnym jest tak zwlekane, jakgdyby chodziło nie o rażącą anomalię, lecz tylko o zwyczajną niedostateczność urządzenia, to cóż dopiero mówić o takiem wyniesieniu społecznem tego stanu, aby w nim klientela prawa widziała odblask jego majestatu a społeczeństwo rękojmię nietylko sprężystego, lecz i należną powagą otoczonego aparatu wykonawczego prawa? [1]) A dalszy postulat, aby ten dzisiejszy biórokratyczny typ sądu, świat zamknięty w sobie, oddzielony od życia formalizmem paragrafowo-aktowym, przeobraził się, jeżeli nie dla wszystkich, to przynajmniej dla jednej kategoryi spraw, tak, jak to zalecają najpoważniejsze głosy, przez połączenie się z żywiołem obywatelskim w osobnych sądach przysięgłych dla spraw honorowych —

[1]) Rzecz ta, pisana w r. 1895, opiera się na ówczesnym stanie sprawy. Od tego czasu zaszły w Austryi zmiany na korzyść stanu urzędniczego w ogóle. Autor mimo to nie zmienia textu z tego powodu, że oddać musi pracę do druku w takiej formie, w jakiej ona oceniana była przez warszawskich sędziów konkursowych. (Przyp. Autora).

to już tak śmiałe żądanie, że kto za ozwanie się z niem skarcony zostanie przez krytykę tylko lekceważącym zarzutem, iż jestto utopia, nie zasługująca na poważny rozbiór, może jeszcze mówić o wielkiem szczęściu. Nic nie pomoże fakt jawny, że dzisiejszy typ sądu jest do załatwiania spraw honorowych z powagą rozstrzygającą dla całego otoczenia społecznego osób interesowanych tak uzdolniony, jak — nie uchybiając tem zresztą bynajmniej ani szlachetności, ani użyteczności kunsztu — kowal z ciężkiemi młotami i obcęgami swojemi do naprawiania delikatnego mechanizmu zegarka kieszonkowego. Czy można się więc dziwić, że jak zepsutego zegarka nikt przy zdrowych zmysłach nie zaniesie do kowala, tak samo ten, kto ma żywe poczucie subtelności czci i jej wagi, jako dobra moralnego, nie pomyśli w wypadkach kollizyi o szukaniu satysfakcyi w drodze biórokratyczno-sądowej?

Jestto rzecz charakterystyczna a dla nauki prawa wcale niepocieszająca, że wszystko, co tylko wychodzi poza ramy istniejącej organizacyi, poza linie dzisiejszego deptaka praktyki, uważane jest za utopię niewykonalną, z którą się nawet liczyć niepotrzeba. Technikowi wolno posuwać się w hypotezach i kombinacyach poza wszelkie granice, wolno mu układać najśmielsze plany w sposób na cudotwórczość zakrawający, a gdyby nawet jaki fantasta w przewidywaniu dalszych wielkich odkryć i wynalazków zapowiedział n. p., że za tyle a tyle lat nasi wnukowie lub prawnukowie będą mogli za pomocą maszyn do lotu prześcigać w ruchu jaskółki i urządzać sobie lotne podróże okrężne, to jeżeliby nie znalazł bodaj skrytych adherentów, nawet niewierni Tomasze widzieliby w tem co najwięcej tylko śmiałą antycypacyę przyszłości, w najgorszym razie tylko przesadny wyraz tej pewności przyrodników, iż wobec nieskończonego postępu w odkryciach i wynalazkach prawie niemożna już mówić o pomysłach niepodobnych do urzeczywistnienia. Natomiast biada prawnikowi, jeżeliby w słabej tylko mierze pofolgował w ten sposób aspiracyom, jakieby wzbudził w nim na widok dzisiejszego stanu prawnego nie sam poryw fantazyi, zrywającej wszelki związek z rzeczywistością, lecz głos żywszej tęsknoty za zbliżeniem się do tych ideałów, których prawo wtedy chyba się wyprze, gdy zrezygnuje z tej roli, jaką dotąd odgrywało w pochodzie cywilizacyjnym ludzkości.

Alеż prawda, że i prawnik może uzyskać legitymacyę na najśmielsze wnioski i prognozy, nawet na widoczne paradoxy. Legitymacyę tę daje dziś skrajny pozytywizm i jego hałaśliwa krytyka temu, kto się zaprze wiary w odwieczne podstawy klassycznego

prawa karnego, jak wolna wola i odpowiedzialność moralna, a natomiast, ukorzywszy się przed „nowemi horyzontami“, uzna wszystkie ich ze skrajnego naturalizmu dla prawa wysnute konsekwencye. Wtedy wolno już pofolgować fantazyi poza najdalsze granice z tem przeświadczeniem, że najśmielszy paradox znajdzie chętnych czytelników, sprawi nawet sensacyę, a jeżeli autor jego posiada talent pisarski, może nawet stać się twórcą jakiej nowej szkoły, czyli jakiego nowego horyzontu. Wprawdzie mamy w prawie karnem już tyle szkół i tyle nowych horyzontów, że oryginalność w pomysłach wydaje się trudną. Od czegoż jednak jest licencya na paradoxalność, która jako kopalnia nowych pomysłów nigdy się nie wyczerpie? Wszedłszy na tę drogę można już śmiało poglądy posuwać do granic fantastycznych i wysnuwać najdziwaczniejsze konsekwencye, chociażby droga ta wiodła wprost do negacyi prawa karnego, prawa w ogóle na rzecz takiej socyologii kryminalnej, jaką n. p. Ferri sobie zbudował, do wyparcia prawników z ich dzisiejszych stanowisk w stosowaniu prawa karnego na rzecz samych antropologów, psychyatrów, medyków i t. p., do takiego przekształcenia sali rozpraw sądowych, żeby ona podobniejszą była do szpitalnej sali obserwacyjnej, aniżeli do przybytku sprawiedliwości, wreszcie do takiej zmiany ról w tych rozprawach, aby prokurator jako zastępca społeczeństwa zasiadł na ławie oskarżonych i słuchał z ust przestępcy aktu oskarzenia przeciw stosunkom społecznym, które, zamiast mu utorować drogę, do porządnego życia, popchnęły go na manowce. A wszystkie nowe horyzonty, wiodące nawet do takich konsekwencyi, mogą być przedstawione pod osłoną terroryzującej przeciwników krytyki pozytywistycznej na rachunek postępu naukowego, niosącego ludzkości zbawienie. Przyszłe pokolenia, otrząsłszy się zupełnie z dzisiejszych paradoxów tego rodzaju, zapatrywać się będą na to ich łączenie ze zbawczym dla ludzkości postępem wiedzy w ogóle tak, jak my dziś na patetyczne, względami na męki Chrystusa popierane, upomnienia dawnych pisarzy (n. p. naszego Bartłomieja Groickiego), aby tortury aplikowano racyonalnie i męczono podejrzanych tylko w miarę, jak tego wymaga cel, t. j. wymiar sprawiedliwości!

Na jeden łatwo odgadnąć się dający zarzut trzeba być przygotowanym na seryo i z tą obawą, że wobec chwilowo przemagającego prądu opinii powyższe uwagi przyjmowane będą nawet przez czytelnika, zresztą przychylnego dla głównych myśli, z niedowierzaniem, jeżeli nie z otwartą nieufnością. Podnieśliśmy bowiem wydatne wprowadzenie żywiołu obywatelskiego do sądownictwa, jako jeden z głównych postulatów wzmocnienia wpływu czci w życiu

prawnem i jej skuteczniejszej ochrony przed zamachami a tymczasem dotychczasowy zawiązek takiej reformy, instytucya sądów przysięgłych, wystawiona jest na taki gęsty grad pocisków, ma przytem tak mało i to wcale nieśmiałych obrońców, że możnaby zwątpić już nietylko o jej rozwoju, lecz niemal o warunkach dłuższej egzystencyi w stanie dzisiejszym. Austryacki projekt nowego kodexu karnego o tyle uległ temu prądowi, że wyjął z dzisiejszego zakresu sądów przysięgłych obrazy czci drukiem popełniane. Wśród innych stosunków możnaby przypisywać tej zmianie mniejsze znaczenie i zwracać uwagę wyłącznie tylko na jej przedmiotowe uzasadnienie. Dziś jednak wobec walki, wypowiedzianej instytucyi sądów przysięgłych, zwrot taki ma charakter znaczącego symptomu, zakrawa poniekąd na wotum nieufności ze strony samego prawodawcy.

A walka ta wypowiedziana została w nauce na całej linii. Najgłośniej, wprost zapamiętale, prowadzą ją reprezentanci owych „nowych horyzontów“, w które dziś tak obfituje ogólna teorya prawa karnego. Jakżeż bowiem nie nazwać zapamiętałem n. p. wystąpienia Garofala, który do argumentów zasadniczych nie zawahał się dodać jeszcze i tego zarzutu, że wytworzył się dziś formalny zawód przedajnych sędziów przysięgłych z jawną taryfą? [1]) Jeżeli tak jest istotnie w niektórych prowincyach włoskich, to nie godziło się przecież generalizować wstrętnego nadużycia i to w taki sposób, jakgdyby tutaj chodziło nie o szczegół wyjątkowy, lecz o symptom, poniekąd charakteryzujący całą instytucyę. Zapamiętałość tę, zwłaszcza Ferrego i Garofala, można chyba tem tłómaczyć, że obaj ci koryfeusze nowych kierunków chcieliby zgładzić po prostu cały dzisiejszy system prawa karnego, aby pod hasłem, że nie chodzi o przestępstwo w absolutnem tego słowa znaczeniu, lecz o przestępcę jako anormalną *species* rodu ludzkiego, powstającą wśród danego ustroju stosunków biologicznych, socyalnych i t. p., poruczyć sądownictwo a raczej — mówiąc w duchu tych nowatorów — eliminacyę czy sztuczną selekcyę, więc krótko mówiąc tępienie przestępców, osobnemu kollegium znawców autoramentu antropologicznego, medycznego, socyologicznego i t. p. Prawnik niema głosu w tej sprawie a przynajmniej wyklucza go od głosu na wstępie swojej kryminalogii sam Garofalo temi słowy: „Prawnicy opanowali naukę o przestępstwie; zezwolono na to i popełniono błąd mojem zdaniem... Czem jest przestępność dla prawnika? Nie zna on prawie tego słowa, nie zajmuje się przyczynami naturalnemi tego zjawiska spo-

[1]) R. Garofalo: *La Criminalogie* (j. w.) str. 183 i 388.

łecznego, gdyż ich znajomość jest dlań poniekąd zbyteczna. Przestępca nie jest w oczach prawnika anormalnym pod względem psychicznym, lecz takim samym człowiekiem, jak inni, popełniającym czyn zabroniony i karygodny. Prawnik bada przestępstwo tylko co do jego zewnętrznego objawu, nie wdając się w analizę według psychologii experymentalnej, nie śledzi źródła przestępstwa. Prawnika zajmuje tylko określenie zewnętrznych znamion poszczególnych przestępstw, ich klassyfikacya według praw przez nie naruszonych, dalej oznaczenie kary sprawiedliwej proporcyonalnie, *in abstracto*, a nie kary pożytecznej experymentalnie dla złagodzenia chorobliwego objawu społecznego."

Jeżeli prawnik niema mieć głosu w sądownictwie karnem, to trudno reklamować go dla sądów przysięgłych, które przecież z założenia swojego nie mają i niemogą być takiemi fachowemi kollegiami, o jakich Garofalo marzy.

Ciekawy to jednak szczegół, że nawet ci najskrajniejsi kryminologowie włoscy chcieliby zatrzymać osobne sądy honorowe, jako specyalny rodzaj sądów przysięgłych, i środek ten uważają za skuteczną broń przeciw pojedynkom. Dla sprawy czci to wyjątkowe ustępstwo ma znaczenie charakterystyczne, gdyż tam, zkąd ona pochodzi, moralne czynniki klassycznej teoryi prawa karnego zresztą nie odgrywają żadnej roli. Czy miałby to być tylko wyjątek dla czci i to wyjątek wcale nieoczekiwany po tem, co o niej przedtem powiedziano? W każdym razie — *e pur si muove!*

Tarde, tak zresztą ostrożny w swoim pozytywizmie a wobec programu kryminologów włoskich à la Ferri i Garofalo nawet szyderczy, w tej sprawie zgodny jest z nimi, gdyż uważa sądy przysięgłych za experyment chybiony i już blizki kresu. Z tym głosem trzeba się już na seryo liczyć, gdyż Tarde jest nietylko głębokim filozofem-prawnikiem, lecz także zawodowym sędzią śledczym a głosowi jego wtóruje we Francyi cały chór innych, równie poważnych i nie hołdujących zresztą skrajnemu pozytywizmowi. E. Mouton [1]) — żeby tutaj przytoczyć jeden tylko przykład z ostatniej kategoryi oponentów i to przykład także z powagą zawodowego sędziego — nie waha się swojej opinii o sądach przysięgłych sformułować w ten sposób kategoryczny: „Ze wszystkich widocznych powodów wzrostu przestępności sąd przysięgłych jest — ani na chwilę nie waham się tego powiedzieć — najwidoczniejszym." Fatalnie brzmi ta opinia, ale przebija z niej dobitnie motyw, który zapewne i innych pra-

[1]) Eugéne Mouton: *Le devoir de punir* — Paris 1887, str. 22.

wników francuzkich usposobił tak nieprzychylnie dla sądów przysięgłych. Przerażono się tam arcysmutnemi cyframi oficyalnej statystyki kryminalnej o ogólnym wzroście przestępności w ostatniem 50-leciu (we Francyi o 133%) [1]) i jakby dla ulżenia społeczeństwu odpowiedzialności wybrano sądy przysięgłych na kozła ofiarnego. Stosunki polityczne we Francyi także się przyczyniły do zachwiania powagi sądów przysięgłych. Joly [2]) wyrzuca im arogancyę, wzbudzoną przez panującą zasadę powszechnego głosowania. Sąd przysięgłych, uważając się za reprezentanta społeczeństwa, łączy swój mandat niejako z tą zasadą, uważa się za powagę, stojącą po nad prawem, które z powszechnego głosowania wypływa.

Wzrost liczby przestępstw, na który złożył się cały ustrój dzisiejszych stosunków społecznych, nie ogranicza się na samej Francyi, więc i nie w samej Francyi tylko obciążono sądy przysięgłych taką ciężką odpowiedzialnością. W Niemczech zawtórowano głosom francuzkim, chociaż w chwili zaprowadzenia instytucyi sądów przysięgłych przejmowano się dla niej prawdziwym entuzyazmem, jako dla wybawicielki wymiaru sprawiedliwości z pod jarzma zastarzałych teoryi dowodowych absolutnego systemu, który nadto sądownictwo trzymał w zależności od rządu i jego tendencyi. Sądy przysięgłych spełniły tę piękną missyę i za to nawet Ihering mówi o nich słowami poety, że — murzyn spełniwszy swój obowiązek może już odejść. Ale mimo to Ihering uczuł skrupuł i zaraz po wypowiedzeniu tego przykrego sądu łagodzi go dodatkiem, że zgadza się na sądy ławnicze jako zasilenie żywiołu fachowo-sędziowskiego obywatelskim, że nawet takie przekształcenie organizacyi sądowej ma przyszłość przed sobą [3]).

Ten dodatek zdradza znowu inny motyw, który wywołał a przynajmniej spotęgował dzisiejszą niechęć do instytucyi sądów przysięgłych. Motywem tym jest nieznajomość prawa w tych sferach, z których wybierani są sędziowie przysięgli. Kto na ten szczegół nacisk kładzie, może dziś w okresie zastraszającej zaprawdę nieznajomości prawa nawet w intelligentnych kołach społeczeństwa zwątpić zupełnie o instytucyi sądów przysięgłych. W tę ostateczność popadł n. p. jeden z naszych wybitnych prawników, prof. dr. E. Krzymuski, który w referacie swoim na zjeździe prawników polskich we Lwo-

---

[1]) Henri Joly: *La France criminelle* — Paris 1889, str. 10.
[2]) Henri Joly: *Le Combat contre le crime* (j. w.) str. 50.
[3]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. I. str. 402—412.

wie nie zawahał się uznać instytucyi tej „bezwarunkowo nierozumną i w najwyższym stopniu niebezpieczną dla porządku prawnego [1]). Ostatecznie jednak i prof. Krzymuski uznał wciągnięcie żywiołu obywatelskiego do sądownictwa za pożądane, byle tylko przy wyborze zastępców tego żywiołu zabezpieczony został warunek znajomości prawa.

Nie piszemy apologii sądów przysięgłych, więc nie myślimy przytaczać wszystkich głosów, z któremi wypadłoby polemikę stoczyć. Przytoczyliśmy tylko dla illustracyi głosy, z których można się przekonać, że potępianie tej instytucyi pochodzi głównie z przyczyn, nie łączących się nierozdzielnie z jej naturą i ustrojem. Pozytywiści, posuwający się najdalej w potępianiu sądów przysięgłych, postępują konsekwentnie, gdyż skoro im chodzi o wywołanie przewrotu w całym dzisiejszym systemie prawno-karnym, to taktyka każe im kierować ataki na ten punkt, w którym system ten w swoim normalnym rozwoju najwięcej może się utrwalić, sprzęgając przez wciąganie żywiołu obywatelskiego do sądownictwa akcyę prawa w ogóle a karnego w szczególności z całem życiem społeczeństwa, otwierając tem samem tak niezbędny dla poprawczych celów tej akcyi a przez pozytywizm ignorowany świat motywów i intencyi moralnych. Sędzia fachowy bowiem czyta w księdze prawa a sędzia przysięgły w księdze sumienia. W tych pięknych słowach zamknął najświetniejszą charakterystykę obu czynników sądownictwa Beaussire, który zresztą nie zapoznaje bynajmniej tego, że instytucya sędziów przysięgłych pod niejednym względem wymaga ulepszeń, ale jako nieuprzedzony a głęboki badacz nie zraża się spostrzeżonemi usterkami tak, aby aż zupełnie zapomniał o jej wielkiem zadaniu prawno-społecznem, zadaniu dotąd jeszcze niespełnionem, ale spełnić się dającem. Słów tych Beaussire'a bynajmniej tak pojmować nie należy, jakoby dla sędziego przysięgłego miała już być obojętna księga praw, jakoby zatem ataki, wymierzone przeciw instytucyi sądów przysięgłych z powodu powszechnej nieznajomości prawa, nie miały żadnego znaczenia. Jestto niezawodnie rzecz ubolewania godna, jeżeli tak powszechna dziś nieznajomość prawa ogarnia nawet koła obywatelskie, z których wybierani są sędziowie przysięgli, jeżeli zatem w ogóle powstać może myśl, jakoby między sędzią fachowym a przysięgłym istnieć miała zawsze taka przepaść, jak między dzisiejszą,

---

[1]) Dr. E. Krzymuski: *O konieczności zniesienie sądów przysięgłych* itd. (Referat l. 15 II. zjazdu prawników polskich we Lwowie z r. 1889.

jakby na siedm pieczęci zamkniętą księgą praw a otwartą dla każdego księgą sumienia i jego norm. Jeżeliby taka antiteza dziś do pewnego stopnia była uzasadniona, to nie wypływałoby jeszcze z tego wcale, że tak musi być zawsze. Chyba zagładę prawa przewiduje ten, kto taki horoskop stawia. Jeżeli zaś stan dzisiejszy jest anormalny i zły, to rzecz naturalna, że najbliższym wnioskiem, jaki ztąd wysnuwać należy, jest uchylenie tej anormalności w ogóle lub złagodzenie jej przez taką kombinacyę, jaką Ihering wskazał, więc krótko mówiąc, praca nad poprawieniem złego stanu a nie potępianie instytucyi sympatycznej i doniosłej tak dla życia prawnego, jak i dla stosunków społecznych w ogóle, z tego tylko powodu, że ona wśród dzisiejszej nieprzychylnej dla jej rozwoju sytuacyi niemoże jeszcze ziścić wszystkich oczekiwań.

Kiedy mowa o oczekiwaniach jeszcze nie ziszczonych, to nasuwa się domysł, że tutaj może szukać należy właściwego powodu tej tak głośnej dziś niełaski świata prawniczego dla instytucyi sądów przysięgłych. Za wiele oczekiwano na kontynencie po pospiesznem, niewolniczem skopiowaniu takich urządzeń, które jak ustrój parlamentarny i sądy przysięgłych wyrastały i rozwijały się w Anglii na gruncie odrębnych rodzimych stosunków. Co tam stanowi produkt samodzielnego organicznego rozwoju, rezultat długiego procesu historycznego w odrębnej formacyi stosunków politycznych, prawnych i społecznych, to miało być na kontynencie niejako za jednym zamachem odtworzone. Cóż dziwnego, że taka rachuba niezupełnie dopisała, że nie wszystkie oczekiwania ziściły się od razu? Parlamentaryzm przyniósł dotąd największe rozczarowanie, gdyż tutaj rachuba była szczególnie wygórowana. Ale wszystkie nadzieje nie zostały zawiedzione a te, które się ziściły, rokują powolne osiągnięcie dalszych, byle tylko naśladownictwo nie było niewolnicze, lecz liczyło się z odmiennym ustrojem stosunków. Jeżeliby parlamentaryzm kontynentalny zrezygnował z wyłącznej prerogatywy ustawodawczej, której sprostać niemoże, a właściwie jeżeliby ujął tę prerogatywę w skromniejsze ramy, ograniczając się na uchwalaniu zasad i pozostawiając innym organom techniczną stronę kodyfikacyi, która na parlamentarnym szlaku posuwa się jak po ciężkiej grudzie a nadto co chwila utyka, to ucichłyby pewnie najdrażliwsze głosy pessymistyczne. Jeżeliby instytucya sądów przysięgłych wobec zatrważającej zaprawdę, bo powszechnej w dzisiejszych czasach, nieznajomości prawa pozytywnego zabezpieczona została przed jej zgubnemi skutkami takim fachowym zasiłkiem w ustroju ławniczym, jak to Ihering miał na myśli, to przyszłość jej byłaby zabezpieczona

a ponieważ jej rozwój byłby zarazem jednym z najdzielniejszych środków zaradczych na ową powszechną nieznajomość prawa, więc z czasem ów zasiłek fachowy stałby się zbyteczny i przejście do formy dzisiejszej z wyłącznem panowaniem żywiołu obywatelskiego byłoby utorowane. Ale i bez tego obie instytucye, o których tutaj mowa, przetrwają dzisiejszą ciężką próbę, gdyż obie stanowią wielki akt postępu w organizacyi stosunków prawnych i życia prawnego w ogóle. Tej wiary niemogą zachwiać ani szeregi chybionych lub niedołężnie dokonywanych aktów ustawodawczych, ani szeregi werdyktów, nad któremi jeszcze ubolewać trzeba.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

PAMIĘTNIKI PUŁKOWNIKA d' ALOY

REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.

1772.

(Ciąg dalszy).

IV.

Pogłoski o zawieszeniu broni między Portą a Rossyą. — Ta ostatnia ma się zobowiązać do wspólnego działania z Turcyą przeciwko każdemu mocarstwu, któreby żądało podziału Polski. — Król pruski dopełnia w Kwidzynie przeglądu wojska i udziela posłuchania prymasowi. — Austryacy zajmują Wieliczkę i zaprowadzają tam własną administracyę soli. — Suworow odstępuje od oblężenia Tyńca. — Uniwersał Potockiego, który udaje się do Konstantynopola.

Warszawa, 17. czerwca 1772.

Położenie rzeczy staje się coraz więcej interesującem. W ciągu jednej godziny przybyło tu w sobotę po południu dwóch kuryerów od armii rossyjskiej: jeden do gen. Bibikowa, drugi do ambasadora z wiadomością o zawartem w d. 30. zeszłego miesiąca zawieszeniu broni pod korzystnymi dla Rossyi warunkami, które niebawem mają być ogłoszone w gazetach.

Jak się dowiedziałem, Rossya miała obiecać Turcyi, że wynagrodzi Waszą Królewiczowską Mość w inny sposób za utraconą Kurlandyę, że zrzeka się zaborów na Polsce i zobowiązuje się do wspólnego działania z Portą Ottomańską przeciw każdemu mocarstwu, któreby żądało podziału Polski. Ani ambasador jednak, ani gen. Bibikow nic nie mówili o tych warunkach.

Dnia 6. czerwca przybył do Kwidzynia kuryer od ambasadora pruskiego w Turcyi. Król przez cztery godziny nie pozwolił mu się widzieć z nikim, poczem wysłał go z depeszami pod eskortą czterech żołnierzy, ale nie wiadomo — dokąd. Podobno z powodu przybycia tego kuryera powstrzymane zostały rozkazy, jakie król pruski wydał w kwestyi zajęcia Prus polskich. Monarcha ten, w towarzystwie następcy tronu, przybył 4. czerwca do Kwidzynia, a 5. i 6. dopełnił pod tem miastem przeglądu 20-tysięcznego korpusu wojska, stojącego tam obozem. Dnia 8. przepędził noc w Bydgoszczy dla obejrzenia robót około kanału, mającego połączyć Wisłę z Notecią.

Ks. prymas prosił o pozwolenie przedstawienia się królowi pruskiemu. Miał z sobą brata swego, kasztelana Rypińskiego, oraz komisarza Jezierskiego. Byli to jedyni dotąd Polacy, którzy przedstawiali się temu monarsze. Król przyjął prymasa uprzejmie, mówiąc, że obecność jego bardzo mu jest miłą, zaprosił go na obiad i pozostał przy stole dwie godziny dłużej, niż zazwyczaj. Rozmawiał z prymasem poufale i dowcipnie o rzeczach potocznych, nie potrącając wcale o kwestye polityczne, pozwolił mu towarzyszyć sobie podczas przeglądu wojsk.

Jezierski, który opowiada o tych szczegółach, opuścił Kwidzyń 7. czerwca rano, prawdopodobnie zatem był tam osobą zbyteczną. Czy prymas rozmawiał następnie z królem pruskim, o tem nie wiem.

Król pruski wyprawił część swego wojska na kwatery do miast Prus polskich, resztę zaś rozpuścił na urlop dla przyjęcia udziału w robotach przy wymienionym wyżej kanale. Książę następca tronu pozostał jeszcze w Prusach, a król pozostawił w Kwidzyniu wielu urzędników ministeryum sprawiedliwości, finansów i innych, z drukarnią i wszelkimi rekwizytami na dalsze rozkazy.

W dniu wczorajszym przybyła tu sztafeta z zawiadomieniem, że pułk pruski przybył do bram Elbląga, żądając wpuszczenia do tego miasta. Inna znowu sztafeta zawiadamia z Krakowa, że Austryacy zajęli Wieliczkę i zaprowadzili tam zarząd soli na swój rachunek.

Na żądanie Austryaków Suworow odstąpił od oblężenia Tyńca, pozostawiając im zajęcie tego miasta.

Donoszą ze Lwowa, że Austryacy trzymają w Samborze 6.000 huzarów, oraz że płacą za wszystko gotówką.

Od żydów, przybyłych z Koniecpola, dowiedziałem się, że wojska rossyjskie stoją w odległości ośmiu mil od tego miasta, oraz że nie wiadomo, czy Pułaski znajduje się w tej fortecy, a zresztą nikt nie śmie się nawet o niego pytać.

Niepodobna mi opisać wrażenia, jakie sprawiają na wszystkich te wiadomości. Wyprowadzają tu, Bóg wie, jakie wnioski. Wszakże zdaje mi się, że Francya i Anglia powinny były uzyskać zawieszenie broni między Rosyą i Portą pod zaszczytnymi dla tego ostatniego mocarstwa warunkami, a głównie, aby Polska nie uległa podziałowi i aby krajowi temu została powróconą wolność, której go pozbawiono.

Wobec tych okoliczności nadzwyczaj zdziwił mnie uniwersał podczaszego i regimentarza Potockiego z d. 23. maja, który powiada między innemi, że naród nie powinien tracić odwagi wskutek rozbrojenia niektórych oddziałów wojska i zachęca wszystkie konfederacye, aby nie ustawały w patryotycznej pracy i aby pomnażały ciągle liczbę wojowników.

Utrzymują również, że tenże regimentarz Potocki udał się do Konstantynopola, a Pac do Semlina, Bohusz zaś zniknął i niewiadomo, gdzie się obecnie znajduje.

V.

Zaprzeczenie istnienia traktatu o podziale Polski przez ambasadora rossyjskiego i motywa tego zaprzeczenia. — Otwarcie kongresu w sprawie pokoju. — Generał Esterhazy wchodzi do Lwowa, gen. Kamiński opuszcza to miasto. — W rękach konfederatów pozostaje ciągle Tyniec, którego dzielny komendant, Dé Lorraine, grozi aresztowaniem każdemu, ktoby namawiał do poddania się.

Warszawa, 4. lipca 1772.

W najmiłościwszej depeszy swojej z d. 27. czerwca Wasza Królewiczowska Mość zaleca mi oględność w słowie i postępowaniu. Nie omieszkam do tego się zastosować ze względu na interesa Waszej Królewiczowskiej Mości, jakkolwiek do tej pory opisywałem fakta tak, jak rzeczywiście miały miejsce, albo jak je słyszałem od innych osób.

Śmiem zapewnić Waszą Królewiczowską Mość, że wspomniany traktat w przedmiocie podziału Polski pomiędzy Rossyą, Austryą i Prusami faktycznie dotąd nie istnieje. Wszystko, co te trzy mocarstwa w tej kwestyi postanowić mogły, sprowadza się do tego, co następuje:

Austrya i Prusy, nie mając żadnego powodu do wojny z Rossyą i nie chcąc jej prowadzić z tytułu wkroczenia i pobytu jej wojsk w granicach Rzeczypospolitej, oraz przyznając sobie te same prawa sąsiedztwa, co i Rossya, rozkażą wojskom swoim również wejść do kraju tutejszego i zająć pewną część jego terytoryum.

Gdyby pomimo to Rossya nie wycofała wojsk swoich, albo chciała w dalszym ciągu zajmować nowe terytorya, to prawdopodobnem jest, że wówczas z tego powodu nastąpićby musiały pewne układy.

Ambasador rossyjski jednak zaprzecza dotąd kategorycznie wszelkiemu traktatowi w tej kwestyi, a gdyby nawet i nie zaprzeczał, to niemożliwą jest rzeczą przypuścić, aby Rossya miała się zgodzić na takie położenie rzeczy, któreby ją w zupełności pozbawiło wpływu na Europę, gdy dwa inne mocarstwa mają sobie zapewniony ten wpływ wskutek geograficznego położenia swych krajów.

Z tych względów sądziłbym, że Wasza Królewiczowska Mość nie powinieneś zadawalać się samemi tylko apanażami, ale traktować w Bukareszcie w charakterze księcia kurlandzkiego, przy odwołaniu się w tej sprawie do Porty Ottomańskiej, która w swoim manifeście wojennym wspomniała o Kurlandyi, a jednocześnie i do cesarza, jako pośrednika i protektora pokoju. Ten ostatni oświadczył się bowiem jednocześnie z protekcyą swoją dla kraju tutejszego, przeciwko wszelkim gwałtom i uciskowi, a wskutek tego i dla Kurlandyi, jako stanowiącej integralną część Rzeczypospolitej.

Ambasador rossyjski otrzymał onegdaj przez kuryera raport gen. Rumiancowa o otwarciu kongresu w sprawie pokoju. Zdaje mi się, że Rossya nie będzie śmiała odrzucić interwencyi mocarstw pośredniczących, jak również nalegań Porty o przywrócenie Waszej Królewiczowskiej Mości praw do Kurlandyi. a zdanie moje popiera jeszcze i ta okoliczność. że w. podkomorzy odmówił małżeństwa córki swej Piotrowi Bironowi.

Korpus austryacki przeszedł Wisłę pod Sandomierzem i posuwa się w kierunku Lublina celem rozciągnięcia kordonu po rzekę Wieprz. Generał Esterhazy wszedł do Lwowa. Kiedy pokazał rozkazy swoje gen. rossyjskiemu Kamińskiemu, ten bezzwłocznie opuścił miasto, komendant zaś polski wysłał do komisyi wojny oficera po rozkazy względem załogi polskiej.

Wczoraj przybył tu generał austryacki, Roshaupt, z depeszami do ambasadora rossyjskiego.

Tyniec pozostaje dotychczas w rękach konfederatów. De Lorraine jest podpułkownikiem w służbie konfederacyi i komendantem Tyńca. Miał podobno zagrozić aresztowaniem jednemu marszałkowi, który występował z propozycyą poddania się.

Wojska rossyjskie fortyfikują Piotrków. Prusacy ustąpili z województw: rawskiego i łęczyckiego, i zbliżyć się mają pod Częstochowę dla poparcia układów o poddanie tej twierdzy.

III.

Aresztowanie biskupa kamienieckiego. — Bliższe szczegóły tego aresztowania. — Branicki oraz rezydenci angielski i saski wstawiają się do ambasadora rossyjskiego za biskupem. — Król ma protestować przeciw wszelkiemu podziałowi kraju.

Warszawa, 17. października 1772.

W rocznicę wywiezienia biskupa krakowskiego z Warszawy, przyprowadzono tu w nocy ze środy na czwartek o godziniej 3ej biskupa kamienieckiego, wziętego do niewoli przez wojska rossyjskie. Przybył on do chorążego sieradzkiego, Miączyńskiego, do Kempna z prośbą o pożyczenie pieniędzy. Ten oświadczył mu, że dziś nie ma, ale że się postara o nie na sobotę. Biskup powtórnie przybył w piątek w tym interesie. Dnia następnego, niewiadomo w jakim celu, posunął się dalej po za kordon pruski, udając się do kasztelana Potockiego i sądząc, że jest bezpiecznym, postanowił tam przenocować. Musiał go ktoś poznać i zadenuncyować, gdyż oddział wojsk rossyjskich zbliżył się tam, a przebrany za huzara pruskiego oficer zameldował, że ma do oddania list biskupowi. Skoro ten wyszedł do niego po odbiór listu, oficer oświadczył krótko, że go aresztuje z rozkazu Rossyi. Kazano mu się ubrać, zabrano wszystkie jego rzeczy i uprowadzono konno do Piotrkowa. Tu stawiony został przed gen. Galicyna, który widząc biskupa, nieprzyzwyczajonego do jazdy konnej i mającego poodgniatane i pokaleczone nogi i uda z tego powodu, zlitował się nad nim i we własnym swoim powozie odesłał go pod eskortą dragonów do Warszawy. Zaprowadzono go natychmiast do generała Bibikowa (do pałacu Radziwiłłowskiego). Tego ostatniego nie było w Warszawie i dopiero dnia następnego powrócił z Pułtuska. Tymczasowo zamknięto biskupa w jednym pokoju, w którym następnie rozmawiał z nim generał zaraz po powrocie swoim i kazał mu dać apartament z kilku pokoi na mieszkanie w tym samym pałacu. Jednocześnie zawiadomił o wszystkiem ambasadora rossyjskiego, barona de Stackelberg. Ten udał się bezzwłocznie do biskupa i za przybyciem zapytał, z kim ma zaszczyt mówić.

Na to biskup: „Jestem Krasiński, biskup kamieniecki, obecnie niewolnik wasz.“

Ambasador wymienił swoje nazwisko i oświadczył biskupowi w bardzo uprzejmych słowach, że wcale nie będzie traktowany jako niewolnik, prosił go, aby się uspokoił i zupełnie zaufał wspaniałomyślności carowej, jego monarchini.

Generał Bibikow kazał biskupowi zwrócić pieniądze, jakie mu zabrano przy aresztowaniu i prosił go, aby obrał sobie, jaki chce pałac na mieszkanie.

Wybór padł na pałac biskupa krakowskiego i gen. Bibikow posłał bezzwłocznie po intendenta Waligórskiego, który przybywszy do niego, prosił bardzo biskupa, aby odstąpił od tego zamiaru i nie ściągał do pałacu warty rossyjskiej. Skutkiem tego biskup pozostał na miejscu, prosił tylko pomienionego intendenta o zakupienie mu niektórych rzeczy. Przysłany chirurg opatrzył jego rany, ambasador zobowiązał gen. Bibikowa, aby siadał z nim razem do stołu i tym sposobem starał się łagodzić jego więzienie.

Opisane wypadki miały miejsce we czwartek i nikt w mieście nie wiedział o aresztowaniu biskupa, z wyjątkiem Branickiego, a ten, mając pozwolenie wchodzenia bocznemi drzwiami, pospieszył bezzwłocznie do biskupa, którego zastał właśnie w towarzystwie gen. Bibikowa i barona Stackelberga.

Do tego ostatniego, powziąwszy wiadomość o tem, co się stało, udał się bezzwłocznie poseł angielski z prośbą, aby biskup był dobrze traktowany, co mu przyobiecane zostało. Rezydent Essenius udał się również do ambasadora w dniu następnym, a jakkolwiek minister ten nie przyjmuje nikogo z rana, a tem bardziej w dniu odchodzącej poczty, to jednak zrobił ten wyjątek dla pomienionego rezydenta. Essenius, powołując się na własne oświadczenia ambasadora — że dwór rossyjski pragnie odzyskać utracone zaufanie w kraju tutejszym i zatrzeć pamięć poprzednich gwałtów i nadużyć — wyjaśnił mu, że aresztowanie biskupa może wywołać zupełnie przeciwny skutek wobec tego, że konfederacya barska przestała już prawie istnieć i dziś o niczem innem nikt nie mówi, jak tylko o pacyfikacyi kraju. I dlatego prosił go, aby niezależnie od przyzwoitego obchodzenia się z biskupem uczynił jednocześnie przedstawienie do carowej, że przez uwolnienie biskupa Rossya wiele zyskać może na szacunku w kraju tutejszym.

Ambasador zapewnił go, że biskup będzie traktowany z należnymi mu względami i oświadczył jednocześnie, iż przykro mu nadzwyczaj, że prałat ten dostał się w ręce rossyjskie. Aby zaś dowieść, że to, co mówił, zgadza się z rzeczywistością, odczytał wspomnianemu rezydentowi pismo swoje do carowej, w którem wyraził się między innemi, iż w przeświadczeniu, że monarchini jego raczy zezwolić na uwolnienie biskupa, wysyła go pod eskortą do dóbr jednego z jego krewnych, gdzie może mieć większą wygodę. Przytem oświadczył pomienionemu rezydentowi, że może o tem wszy-

stkiem napisać do dworu saskiego, a zarazem nadmienić, że okazując te względy biskupowi, kieruje się głównie szacunkiem dla niego oraz dla dostojnych osób, z którymi prałat ten pozostaje w bliskich stosunkach.

Rezydent bezzwłocznie po rozmowie z ambasadorem zaszedł do mnie i opowiedział mi o wszystkiem.

Biskup kamieniecki ma się dobrze. Bibikow przeprowadził go z drugiego piętra do nierównie wygodniejszego apartamentu na dole, jaki dawniej zajmowała księżna pani od strony ogrodu. Opowiada wszystkim, że jest zachwycony biskupem, że w nim dopiero widzi prawdziwego senatora. Ambasador również odwiedza go i okazuje mu względy i szacunek, jakie już przez samo nieszczęście nawet mu się należą.

Onegdaj czytano postanowienia Rady senatu. Senatorowie dotąd nie otrzymali ich kopij, ale, o ile wiem, obejmują one te same punkta, jakie są w mowie kasztelana Lipskiego, a mianowicie, że tymczasowo król ma protestować przeciw wszelkiemu podziałowi kraju i udzielić stosowną odpowiedź na deklaracyę ościennych dworów za pośrednictwem ministrów.

(Dokończenie nastąpi).

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

V.

O Komisyi Sądowej Edukacyjnej słów kilka. — Fundusze. — Stypendyum Lerneta. — Stypendyści. — Konwikty.

(Ciąg dalszy).

Józef Kruczkowski, jeden z urzędników komisyi sądowej edukacyjnej, ogłaszał kilkakrotnie drukiem rachunki gimnazyalne, a z czasem i licealne. Wiemy n. p., że miało to miejsce w 1818 r., mimo najtroskliwszych atoli poszukiwań nie udało nam się wielu sprawozdań kasowych gimnazyalnych (drukowanych) odszukać [1]), posiadamy natomiast *Rachunek Dochodów i wydatków Lyceum Wol. Stosownie do punktu 9. Ustaw w dniu 29. Lipca r. 1805 Naywyżey potwierdzonych Do wiadomości Publiczney Podany. Z Roku 1823*, a nadto i prof. Władimirskij-Budanow, autor ciekawej bardzo historyi kijowskiego uniwersytetu, poświęca wstępny jej roździał stosunkom' panującym w szkole Czackiego w Krzemieńcu. Zdaniem jego środki materyalne, zebrane przez starostę nowogrodzkiego, były imponujące. Starostwo krzemienieckie przedstawiało rocznego dochodu ponad 9.000 rsb.; suma, przez rząd dla każdego z gimnazyów przeznaczona, wynosiła 5.700 rsb.; oddzielny dodatek na szkołę geometrów 3.857

---

[1]) Ibid. Nra 3441—3445. włącznie znajduje się wiele materyału, dotyczącego rachunków gimnazyalnych. W znacznej części jednak są to bruliony, utrudniające niemało poszukiwania i porównania. Nie chcąc czytelnika nużyć powtarzaniem zbyt wielu cyfr, poprzestajemy na ogłoszeniu wyciągu ze „Stanu kasy“ za r. 1810.

rsb.: prócz tego obywatelstwo trzech gubernii, z uszczerbkiem dla szkół innych, dla gimnazyum krzemienieckiego niezwykle hojnem się okazało. I tak n. p. w r. 1806 postanowili ziemianie ukraińscy zbierać składkę na otwarcie gimnazyum w stolicy swej gubernii; w 1808 r. na ogólnem zebraniu zapadła uchwała, że, ponieważ zgromadzone fundusze są nadto skromne, by można było fundować odrębną szkołę, a Kijów w dodatku należy do miast zbyt drogich, przeto zebrany już kapitał dołącza się do funduszów krzemienieckich [1]).

---

[1]) Z tej epoki posiadamy parę oryginalnych — nigdzie niewydanych — listów Czackiego. Przytaczamy je w dosłownem brzmieniu: „Racz mój Piasecki przyspieszyć oblatę. Świadectwo nie robi zapreszczenia a pieniądze jeźli będą, pomogą. — Będę Cię prosił, abyś był na wyborach kijowsk. Interes jest taki: 2. Septem. 1805 r. postanowili obywatele po R. A. z duszy na Gimnaz. kij. i oddział z tego funduszu na Instituta w Krzemieńcu. Do wykonania tego oddziału umocnił mnie Minister, na kontraktach wyznaczona komissya uznała, że drobnić Institutów nie można, że pensye byłyby nadto małe dla Nauczycielów, żądała tedy, aby Wołyńsk. gimnaz. miało imię kijowskiego i wołyńsk. i fundusz był oddany do Krzemieńca. Buttowicz po podpisie wszystkich oświadczywszy, że się zgadza, dał rozpis śmieszny, że mego wysokiego stylu nie zrozumiał, że Krzemieniec jest bogaty, a zatem aby Gimnaz. było w Kijowie lub w Winnicy. Rządcy gubernii przychylili się do tego rozpisu. Rzeczą jest naturalną, że napisałem do Ministra, aby to odłożono do obywatelów zgromadzenia. Taki roskaz przyszedł. Wypada, aby obywatele wyznaczyli komissyą do rozważenia rzeczy, a na kontraktach ułoży się. Teraz tylko piszę do Rzewuskiego Adama, później napiszę do Proskury, Montrezora, Poniatowskiego, Hołowińskiego, Zakrzewskiego i Kozłowskiego. Bądź zdrów, mnie kochaj."

„Poryck 3. Septemb. 1808 r. Mój Piasecki! Pisałeś do mnie, że słyszałeś, iż jest rezolucya, aby ofiary do Krzemieńca nie przenoszono, zupełnie inaczej rzecz się ma, ponieważ minister oddał to, stosownie do mego przedstawienia, decyzyi obywatelów na wyborach. Delegacya żądała, aby jedno gimnaz. było dla dwóch gubernii i trzecia część miejsc daremnych była dla Kijowianów. Gdy uchwała 2. VII. 1805 rozkazała na instytuta Dyrektorów parafialnych, cyrulików i instytut guwernantek część tego funduszu do Krzemieńca oddzielić, a resztę zostawić na gimnaz. w Kijowie, chciałem widzieć tę wolę obywatelską dopełnioną. Delegowani uważali, że z takim funduszem nie można mieć takiego gimnazyum w Kijowie, jakie jest wołyńskie, jeżeli z procentu będzie się murować i zakłady kupować, tedy za kilkanaście lat nie zacznie się szkoła; nadto uważali, że jest projekt złączenia szkoły obywatelskiej ze szkołą rycerską i los języka polsk. byłby w niebezpieczeństwie. Ja dla kadencyi nie mogę być na wyborach, ale przekonany jestem, że kilkuset obywateli nie może decydować o takiej rzeczy, piszę tedy do marszałka guberskiego i do wielu obywateli, aby delegacya była wyznaczona, która ze mną ułoży, a co ta delegacya za rozmówieniem

Podobny los miał spotkać i kapitał, przeznaczony tak na szkołę kowelską, jak i szkołę kadetów.

Wobec tego rodzaju zapobiegliwości Czackiego, nic dziwnego, że dochody szkoły wołyńskiej w 1807 r. przedstawiały się w istocie poważnie: Kwota rządowa wynosiła 5.700 rsb., fundusz szkoły kowelskiej 2.820 rsb., na konwikt z podolsk. gubern. 900 rsb., każdorocznie składane prywat. ofiary 13.064 rsb., dochód ze starostwa 9.000 rsb., szkoła geometrów 3.875 rsb., opactwo owruckie 11.000 rsb., od sumy przeznaczonej początkowo na szkołę kadetów 5.000 rsb., z funduszu gubernii kijowskiej 8.000 rsb., na konwikt ubogich 3.000 rsb., razem 62.359 rsb. [1]).

Mimo tyle świetnego położenia (twierdzi Budanow) — Czacki, pragnąc wyprosić u rządu jeszcze 200.000 rsb., przyrzeczonych mu jakoby przez cesarza na audyencyi — przedstawia stan finansowy gimnazyum w ciemniejszych barwach. N. p. dochód ze starostwa, składającego się z ośmiu wsi o 897 duszach męskich, oblicza na 6.000 rsb. tylko, ogólny zaś dochód szkoły krzemienieckiej na 42.071 rsb.

Niemniej ciekawym jest chyba rachunek rozchodów gimnazyalnych z 1808 r.: pensya dyrektora 1.600 rsb., prefekta 600; profesorowie języków starożytnych, angielskiego, literatury francuskiej i rossyjskiej po 500 rsb.; profesor języka rossyjskiego i nauczyciele talentów po 400 rsb.; pozostali po 600, razem 11.948 rsb.; opłata pomocników i korepetytorów 1.338, potrzeby szkoły i kościoła 3.508, utrzymanie specyalnych zakładów 2.300, inne wydatki 680. Łączna suma wynosi 21.974 rsb. Z tych 18.577 rsb. dawał sam rząd, resztę dopełniały wzmiankowane już fundusze prywatne. Pozostała nadwyżka — i to poważna — składała się w szkolnej kasie na dalsze urządzenia i ulepszenia zakładu, te zaś ostatnie wprowadzano bezustannie, już n. p. 1811 roku utrzymanie gimnazyum wy-

---

się ze mną postanowi, to ja wykonam, gdyż kto daje, ma prawo swojej ofierze cel wskazać. Proszę tedy: 1° Do JWRzewuskiego się udać i jego gorliwości pilnować. 2° Uprosić P. Proskury o zadosyćuczynienie mej prośbie. 3° Zrobić, aby nic nie decydowali, ale delegacya była wyznaczona. Posyłam Ci wypisy mów Słowackiego i Biskupa, do wolnego rozdania, aby wiedzieli obywatele, czego uczą w Krzemieńcu. Mam bardzo ważne przyczyny, dla których proszę, aby delegacya była wyznaczoną . . . Bądź zdrów i mnie kochaj. Czacki. [List pierwszy pisany własną ręką starosty; na drugim pan Tadeusz tylko podpis umieścił, resztę napisał sekretarz jego, Kruczkowski].

[1]) Wszystkie cyfry powtarzamy za Budanowem: Istor. Imp. Uniw. Sw. Władim. Kijów 1884. T. I. 41—43.

nosiło 33.663 rsb. Na zwiększenie ogólnej sumy wydatków wpływały również podniesione pensye profesorskie. Pięknieby to wszystko wyglądało — kończy monografista kijowskiego uniwersytetu [1]) — gdyby Czacki nie krzywdził równocześnie innych przybytków nauk. W r. 1808 wyznaczył na utrzymanie szkoły żytomierskiej 2.770 rsb.; łuckiej — 2.820; włodzimierskiej — 200; razem 5.790, że zaś rząd na cel powyższy ofiarował 8.460 rsb., reszta więc wsiąkała w ulubiony Czackiego Krzemieniec. To samo dziać się miało i na Podolu, gdzie z sumy 11.840 rsb. wydawał starosta nowogrodzki na szkoły kamieniecką i winnicką tylko 7.2С0 rsb.

W sposób powyższy przedstawiał się stan materyalny szkoły wołyńskiej za życia jej fundatora i opiekuna [2]). Z kolei poznajmyż — choć z grubsza — finanse liceum z ostatnich nieledwie lat istnienia tegoż. Najplastyczniej — sądzimy — rzecz całą uwidoczni tabelka:

---

[1]) Wład. Budanow j. w.

[2]) *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3445.* Według stanu kasy w r. 1810 przychód wynosił 356 dukatów, 19.260 r. asygn. i 46.845 rsb.; rozchód: 509 duk., 19.077 r. asygn. i 46.502 rsb.; pozostałość na rok 1811: duk. 27, r. as. 186, r. sreb. 342, kopiejek nigdzie nie wymieniamy. Koszta utrzymania budynków szkoln., budowa sali na gabinet fizyczny oraz dokończenie sali na bibliotekę: duk. 175, r. asygn. 4.230, r. sr. 8.191; ogród botaniczny 7. — 1000. — 330; utrzymanie konwiktu ubogich uczniów 60. — 400. — 3.249; pensya profesorów 23. duk., 14.366 rsb.; potrzeby laboratoryum „Chimicznego z apparatem merkuryiusza 300. funt ważącym“ rsb. 452. 1½ kop. i t. d. — *W tece Nr. 3443* tychże zbiorów znajduje się „Wypis z wiadomości o stanie Uniwersytetu i Szkół wydziału Wil. sporządzony w r. 1810 w miesiącu Czerwcu i tegoż roku dn. 5. VII. przy raporcie do Xiążęcia kuratora za Nr. 1144. w ros. języku przesłany.“ Po znanym nam już opisie sposobu wykładów, następuje wzmianka o szkołach mechaników i geometrów, o przygotowaniach do wprowadzenia katedr: Anatomii, Fizyologii, Chirurgii i Weterynaryi. W szkole Geometrów uczniów skarbowych 36, na ich utrzymanie łoży rząd 5.400 r. asygn — Nauczycieli w Krzemieńcu 28, korepetytorów 6. Dochody szkoły stanowią: fundusze eduk. pojezuickie; 5.700 r.; ofiary obywatelskie (15.420); Starostwo [dało wprawdzie w 1809 r. dochodu 9.341 rubli, ale znaczną część tej sumy samo pochłonęło] i remanent szkoły żytomierskiej, łuckiej oraz założyć się mającej szkoły powiatowej w Kowlu. Uczniów 409.

Rachunek kasowy od 1. I. 1823 do 1. I. 1824.

Przychód	Dukat.	Asygnaty		Srebro	
		Rubl.	kop.	Rubl.	kop.
I. *Pozostałość* z 1822 r. . . .	352	8576	7 3/4	4668	79
II. *od rządu:*					
a) na Lyceum	—	—	—	4709	31 3/4
b) dla emerytów:					
Ściborski	—	—	—	533	32
Mirowski Karol . . .	—	—	—	266	66 1/2
Jarkowski Wojciech .	—	—	—	266	66 1/2
Forster Jerzy	—	—	—	113	32 1/2
c) Szkoła geometrów	—	11800	—	—	—
d) duchowne obligacye . .	—	—	—	120	—
e) konwikt funduszowy . . .	—	—	—	2970	—
III. *z dóbr licealnych*	—	—	—	7824	43
IV. *Ofiary obywatelskie* wieczyste:					
A) Gub. Wołyńska:					
pow. Łucki	—	—	—	1278	57 1/2
„ Żytomierski	—	—	—	1343	60
„ Nowogrodzki Wołyński	—	—	—	1900	57
„ Owrucki	—	—	—	525	—
„ Ostrogski	—	—	—	1553	25 1/2
„ Zasławski	—	—	—	1012	84
„ Staro-Konstantynowski	100	—	—	919	94 1/4
„ Rowieński	20	150	—	1107	58 1/2
„ Krzemieniecki	30	300	—	1996	96 1/2
„ Dubieński	6	—	—	2027	—
„ Włodzimierski	44	193	20	2046	69 1/2
„ Kowelski	20	—	—	109	69 1/2
B) Gub. Podolska:					
pow. Winnicki	—	—	—	30	—
„ Hajsyński	—	—	—	1510	—
„ Lityński	—	—	—	377	72
„ Bracławski	—	—	—	296	24
„ Olhopolski	—	—	—	1071	—
„ Bałcki	—	—	—	1240	80
„ Kamieniecki	—	—	—	727	5
„ Płoskirowski	69	—	—	3478	76
„ Latyczowski	—	—	—	214	20
„ Jampolski	—	—	—	1545	78
„ Mohylowski	60	—	—	360	75
„ Uszycki	—	—	—	69	60 1/2

Przychód (ciąg dalszy)	Dukat.	Asygnaty		Srebro	
		Rubl.	kop.	Rubl.	kop.
C) Gub. Kijowska:					
pow. Radomyski	—	—	—	2367	57
„ Machnowiecki	—	—	—	191	25
„ Skwirski	—	—	—	335	90
„ Czehryński	—	—	—	300	—
„ Humański	—	—	—	1045	90
„ Lipowiecki	—	—	—	821	—
Ofiary jednorazowe	4	—	—	414	97
V. *Ze sprzedaży książek elementarn. ros.*	—	5	—	—	82
VI. *Dochody nadzwyczajne:*					
Drukarz Glücksberg (zwrot) 1/6 część pożyczonej w 1819 roku sumy	—	—	—	500	—
najem domów licealnych . .	—	—	—	1135	—
Magistraty Bracławia, Kamieńca i Hajsyna — zaległość za uczniów mechaniki	—	—	—	177	85
Aleksander Sawicki % od pożyczonej sumy	—	—	—	24	—
Tenże wniósł na kapitał . .	—	—	—	67	—
Uniw. Wileński, jako nagrodę dla Andrzejowskiego za wojaż, odbyty w celach naukowych	—	—	—	500	—
Emerytura Franciszka Tecława, Macieja Ocwiejowskiego i Stanisława Andrzejowskiego [1])	—	—	—	293	33
Wydatki nadzwyczajne szkół wołyńskich	—	—	—	1000	—
na kapelana szkoły Żytomierskiej	—	—	—	180	—
Łączna suma .	719	20.024	27 1/4	57.639	97

[1]) Nauczyciele dawnych szkół.

Rachunek kasowy od 1. I. 1823 do 1. I. 1824.

Rozchód	Dukat.	Asygnaty Ruble	Asygnaty kop.	Srebro Ruble	Srebro kop.
Reszta pensyi etatowej za r. 1822	—	—	—	5612	$21^1/_4$
Pensye za r. 1823	—	—	—	15517	$66^1/_2$
Emerytom za tercyał III. 1822 r., I. i II. 1823	—	—	—	2131	79
Szkoła geometrów	—	10390	$65^1/_2$	—	—
Konwikt funduszowy	—	—	—	6218	47
Na uczniów z ofiar utrzymywanych	—	—	—	1764	42
Na potrzeby dóbr licealnych . .	—	2175	—	4005	$78^1/_4$
Zakupno książek i inne wydatki biblioteczne	—	445	—	430	$21^1/_4$
Laboratoryum chemiczne . . .	—	—	—	30	—
Gabinet fizyczny	—	—	—	15	—
„ historyi naturalnej . .	—	—	—	60	—
„ szkoły mechaniki . . .	—	—	—	703	$33^1/_4$
Ogród botaniczny	—	—	—	2331	90
Na potrzeby kościoła licealnego	—	—	—	163	33
„ „ lekcyi rysunków .	—	—	—	15	—
„ „ „ muzyki . .	—	—	—	57	$71^1/_2$
Wydatki kancelaryi licealnej . .	—	—	—	179	60
Drobne naprawki w szkole . .	—	—	—	100	—
Naprawa i dokończenie domów licealnych	—	—	—	6387	$60^1/_4$
Kupno książek element. ros. z depart. przesyłan.	—	115	—	—	70
Druk pism licealnych	—	—	—	8	25
Prenumerata pism peryodyczn.	—	200	4	340	94
Służba licealna	—	—	—	471	—
Utrzymanie zegaru wieżowego .	—	—	—	30	—
Opłata poczty	—	100	—	19	92
„ mieszkań profesorskich .	—	—	—	1948	41
„ kopiejkowego podatku od pensyi etatowych	—	—	—	241	58
Andrzejowskiemu naturaliście na wojaż	—	—	—	300	—
Temuż nagroda Uniwersytetu Wileńskiego	—	—	—	500	—
Prof. Hreczynie na potrzeby miernictwa	—	—	—	—	60
Korzeniowskiemu i Fryczyńskiemu na wojaż . .	—	—	—	531	$2^1/_2$

Rozchód (ciąg dalszy)	Dukat.	Asygnaty		Srebro	
		Ruble	kop.	Ruble	kop.
Przepisującemu słownik ks. Osińskiego	—	—	—	30	—
Ilkiewiczowi i Grocholskiemu, uczniom funduszu Lerneta, zwrócono z procentów od kapitału dodatkowego wydatki na pomoc naukową w ciągu sześcioletniego ich pobytu w liceum z funduszu na ich utrzymanie przeznaczonego (podł. art. 4. §. 9. ustawy Lerneta)	—	—	—	213	86
Na przejazd tych dwóch uczn. do Wilna z tegoż dochodu .	—	—	—	75	—
Tymże posłano do Wilna z tegoż dochodu	—	—	—	294	80
Wdowie Lernetowej procentu za $1\frac{1}{2}$ roku „od summ iey syna do kassy Lycealn. procentuiących“	—	76	—	88	18
Lenzowi zaległość za ubiegłe lata	—	—	—	244	—
„Stosownie do Rezolucyi Komis. Sąd. Eduk. za Nr. 31.457 i pisma zastęp. dyrektora za Nr. 245 wydano Krzysztof. Miaskowskiemu za ewikcyą na dobra jego Podberezie w pow. Włodzimiersk. leżące następujące summy: 1) z opłat od orderu św. Stanisława od 1. I. 1813 do 1. I. 1823 zebrane na szpital	394	—	—	—	—
2) złożone przez Jana Wyleżyńskiego na ogólne potrzeby	—	—	—	189	1
3) Z funduszu Lerneta od dnia śmierci jego po 1. I. 1822 dla syna jego Edwarda zebrane	—	—	—	376	$59\frac{1}{}$
4) Z tegoż źródła dla ucznia Kaszubskiego	—	—	—	637	$84\frac{1}{2}$

Rozchód (dokończenie)	Dukaty	Asygnaty		Srebro	
		Ruble	kop.	Ruble	kop.
5) Procentowych za $1\frac{1}{2}$ roku (do 1. VII. 1823) od sum.: dukatów 123; rsb. 2081, kop. $83\frac{1}{2}$ dla stypendystów Lernet.: Ilkiewicza i Grocholskiego	9	—	—	193	$57\frac{1}{2}$
6) Procentowych od głównej sumy na Izowie dla 4. uczniów Lerneta	—	—	—	300	—
Ogólna suma rozchodu za r. 1823	679	13.460	$69\frac{1}{2}$	53.533	$29\frac{3}{4}$

Zestawiwszy ostateczne cyfry przychodów i rozchodów za rok 1823, przekonamy się, że pozostałość kasowa na rok następny wynosiła: 40 dukatów; 6.563 r. asygn.; 4.106 rsb. — W tabelli rozchodu opuściliśmy szczegółowe pozycye, dotyczące nakładów, poczynionych na rzecz innych szkół wołyńskich, jako na razie mniej nas obchodzące.

Wyjaśniać znaczenia kilku ostatnich liczb nie mamy zamiaru; zrozumie je każdy po przeczytaniu niniejszego rożdziału do końca. Podnieść jedynie — jako charakterystyczne — musimy wydatki na gabinety, laboratoryum chemiczne i „potrzeby miernictwa“. Gdy nadto zechcemy zestawić takie n. p. pozycye, jak pensye profesorów z lat 1808 i 1823, albo kwoty, obracane na utrzymanie konwiktu, przekonamy się, że szkoła, co do liczby katedr i co do ilości kształconych bezpłatnie ubogich wychowańców, postępowała bezustannie naprzód, zwiększając stale tak jedne, jak i drugich. Zresztą w *Tłumaczeniu się Taynego Konsyliarza i Kawalera Czackiego* znajdujemy również wiele ciekawych danych, dotyczących właśnie: płacy profesorskiej [1]), darowizn wieczystych i dożywotnich, i t. d. i t. d.

Na zakończenie sprawozdania z pracy Kruczkowskiego [2]) uczynić musimy jeszcze jedną skromną uwagę. Oto pamiętać należy,

[1]) W 1805 r. wynosiła płaca profesorska 10.501 rsb.; w 1806 roku — 12.652 rubli; w 1807 r. — 14.862 rsb.; w 1808 r. — 19.166 rsb. Remont budynków szkolnych w tych samych latach kosztował: 9.536; 10.150; 5.610 i 9 722 rubli. W 1809 r. 12.667 rsb.

[2]) *Rachunek Dochodów i Rozchodów z Roku 1823* (j. w.).

że kwoty, składane przez poszczególne powiaty, nie są corocznie jednej wysokości; n. p. w przytoczonem powyżej zestawieniu kasowem napotykamy raty wnoszone za lat kilka z góry lub z dołu, więc w latach następnych i ostateczna suma z tej choćby przyczyny niższą być może.

Z kolei słów parę poświęcić wypadnie osobie kasyera, Józefa Kruczkowskiego. Od pierwszej młodości kształci się on pod okiem Tadeusza Czackiego, pełniąc rolę jego osobistego sekretarza [1]). Po śmierci swego dobroczyńcy wstępuje do Wołyńskiej Komisyi Sądowej Edukacyjnej, gdzie lat szereg pełni gorliwie obowiązek podskarbiego i buchhaltera. Z wdzięczności dla starosty nowogrodzkiego miał ułożyć jego biografią, tak przynajmniej twierdzi Słowikowski [2]), choć jeden z profesorów licealnych, dobrze ze wszystkiem — co tej szkoły dotyczyło — obznajomiony, wyraża żal, że Kruczkowski żadnych wspomnień o Czackim nie spisał, a miał sposobność poznać starostę, był bowiem jego nieodstępnym towarzyszem i przyjacielem. Za młodu wielki strojniś jaśniał na wszystkich wieczorach krzemienieckich. „Pióro, pieniądze, klucze starosty, słowem wszystko było w jego ręku.“ Niejednokrotnie też ocalił swego pryncypała od niemałych strat i przykrości. Cechowały go zawsze staranne wychowanie i gładkie obejście się, połączone z wielką prawością charakteru i sumiennością, pozyskał więc ogólny szacunek i dobre imię, obok skromnej emerytury, która mu jaki taki byt umożebniała na starość [3]). Umarł Kruczkowski 1857 r. w Żytomierzu.

Do bardziej znanych osobistości należy jego biurowy kolega, Franciszek Skarbek Rudzki, pełniący równocześnie urząd konserwatora, nabytego po królu Stanisławie Auguście, numizmatycznego gabinetu. Musiał on, wskutek dłuższego przebywania wśród monet minionych wieków, nabrać w znajomości numizmatyki pewną większą biegłość, korespondował bowiem z Lelewelem, udzielając mu ze swej strony własnych uwag i spostrzeżeń [4]). Obok tego znał gruntownie heraldykę, prawo i filozofię.

Urodził się Rudzki w Warszawie 1766 r., szkoły kończy u Pijarów, z Maksymilianem Ossolińskim odbywa podróże do Lwowa i Wiednia, z kolei zostaje archiwistą i sekretarzem przy marszałku koronnym, hr. Fryderyku Moszyńskim. Zawiązawszy z Tadeuszem

---

[1]) Kaczkowski: Wspomn. I. 9; *Ręk. Bibl. Jag. Nr. 4569.* Listy Kruczkowskiego.

[2]) Wspomnienia. *Bibliot. Warsz.* (j. w.).

[3]) Kaczkowski (j. w.) II. 205—206.

[4]) *Listy Joachima Lelewela do Fr. Sk. Rudzkiego* (rękopis).

Czackim stosunki szczerze przyjazne w Komisyi skarbowej a następnie w edukacyjnej, przyjmuje z jego porady miejsce nauczyciela domowego u Olizarów. — „Mój kochany Rudzki! — pisze doń starosta 29. *Novembr.* 1796 r. ze Lwowa. — Znasz, jak mnie Twój los czule obchodzi. Zdarza się teraz miejsce wcale dobre dla WPana za Guwernera u p. Olizara Podczaszego litewskiego. Jeżeli się to WPanu zdawać będzie, i jeśli innych nie masz widoków, odpisz do mnie a za drugim listem wszystko między sobą ułożymy. Proszę być pewnym o mojem do WPana przywiązaniu.“

Nieodrazu się jednak wezwany zdecydował, w roku następnym bowiem znowu Czacki do siostrzeńca swego w tej sprawie pisze: „Nie wiem, gdzie jest Rudzki, na listy moje nie mam odpowiedzi. Radbym, aby przy mnie układ z Olizarem zrobił. Będzie on kontent z niego równie...“ i t. d. Powodem wahania była okoliczność, że Rudzkiemu ofiarowywano równocześnie „Landrathią“, przedstawiającą rocznego dochodu 4.800 zł. Mimo tyle korzystnej propozycyi, dał się jednak w końcu nakłonić i na kilkuletni pobyt do domu Olizarów pospieszył [1]).

Pan starosta nadal się nim opiekować nie przestaje, łagodzi chwilowe niesnaski, między Rudzkim a Olizarem wynikłe, swata pierwszego z panną Piasecką, w końcu zaś — po ustanowieniu wołyńskiej Komisyi Sądowej Edukacyjnej — zaprasza go do zajęcia odpowiedniej w jej biurach posady, której się Rudzki z największą gorliwością przez całych lat trzydzieści poświęca. Człowiek wielkiej nauki, należał jednak do rzędu takich, co w ogłaszanie drukiem obfitych nierzadko wiadomości niechętnie się bawią. To też ledwie parę artykulików, do wydawanych przez uczniów krzemienieckich, Tymona Zaborowskiego i Skomorowskiego: *Ćwiczeń naukowych* i *Pamiętnika naukowego*, przesłać się zdecydował [2]).

Jeden z wychowańców Rudzkiego, wspomniany już dawniej poeta, Gustaw Olizar, wyraża się o swoim mentorze z wielkiem uznaniem: „Jakże to boli opatrzeć się, że są znakomici u nas ludzie, których biografia zupełnie nieznana. Ten, o którym piszę, siedmdziesięciokilkoletni dziś starzec, znękany umysłowymi trudami, domęczony ostatnią rewolucyą, w której sam więzy dźwigał, dzieci i krwawo zapracowany majątek postradał, ten starzec mówię, już

[1]) Kilkadziesiąt listów Czackiego (do Rudzkiego i Piaseckiego) — rękopis, własność autora.

[2]) Słowikowski j. w.; Sobieszczański: Enc. pow. XXII. 477—478.

sam nic o sobie nie powie. Miał jednak przyjaciół w gronie pierwszych osób stolicy i wszyscy, co w zeszłym wieku za uczonych uchodzili, wszyscy mieli z nim przyjaźń lub stosunki, nikt jednak nie raczył wspomnieć o czynnym publicyście w 1792 r. i zdaje mi się, że ja, którego on czytać uczył, mniej ścisłe mając później z nim stosunki, będę pierwszym, co wspomnę o jednym z redaktorów „Gazety Narodowej i Obcej“, o człowieku znakomitym, którego rady Czacki, Feliński i wielu innych nie raz i nie bez korzyści zasięgali“ [1]).

Zupełnie słusznem było oburzenie szlachetne hr. Olizara; dopiero Helleniusz poświęcił krótkie wspomnienie Franciszkowi Rudzkiemu [2]) (w lat parę bardzo serdeczna wzmianka o nim w *Gwieździe*) [3]), wyrażając ubolewanie, iż po śmierci Felińskiego nie powierzono godności dyrektora pisarzowi Komisyi Sądowej Edukacyjnej, ku temu celowi najodpowiedniejszemu. Choć z drugiej strony Kaczkowski [4]) wyraźnie zaznacza, że — po zgonie Czecha — Rudzki ofiarowanego sobie następstwa nie przyjął, „woląc poprzedni swój urząd, jako mniej zależny i mniej odpowiedzialny“; że pracował w Komisyi nadal, głuchy na wszelkie podszepty „zagrożonych“, co — za wykazanie kwestyonowanej sumy jezuickiej niższą, niż była w istocie — ofiarowali mu pokaźne nawet nagrody. Pan pisarz jednak należał do ludzi, którzy grosz publiczny za święty uważać zwykli; odpychał ze wstrętem wszelkie podobne propozycye; imię zostawił nieposzlakowane, ale emerytura zaledwie przed nędzą go ochraniała. Nic dziwnego, że Krzemieniec, bogaty w tego rodzaju szlachetne typy, przeszedł do potomności wyjątkową owiany aureolą; że dzisiaj jeszcze imię Czackiego i jego szkołę wspominamy z niezwykłą czcią i szacunkiem.

Była jednak chwila, w której nawet z całem poświęceniem się oddany sprawom publicznego dobra — Rudzki, zamierzał rzucić wszystko i szukać innego kawałka chleba. Co go tak dalece zraziło, kto szanownego pisarza Komisyi tak boleśnie dotknął — nie potrafimy powiedzieć. Rąbek tajemnicy odsłania nam Kruczkowski, towarzyszący właśnie kuratorowi w wędrówce do stolicy Francyi. Najgoręcej nakłaniając Rudzkiego do zaniechania zamiaru, któryby społeczeństwu wołyńskiemu nieobliczoną przyniósł szkodę, pisze on do swego przyjaciela między innemi: „Mnie się zdaje, że Panowie za-

[1]) G. Olizar: Pamiętniki 18—19.
[2]) Eust. Iwanowski: Wspomn. o Fr. Sk. Rudzkim (*Athenaeum.* Wilno 1846. od. VI. T. V. 65—76).
[3]) Dołęga: „Gwiazda“ T. II. Kijów 1848, s. 299—301.
[4]) *Wspomnienia* II. 201—202.

nadto wiele widzicie w tych wszystkich oskarżeniach na was wymierzanych. Wszak już ich było tyle i cóż one pomogły. Potwarz spada zawsze na potwarcę" [1]). A więc nietylko jednemu Czackiemu niegodne posądzenia i bezpodstawne zarzuty każdą niemal weselszą zatruwały godzinę; los podobny czekał i skromniejszych pracowników poważnej owej instytucyi. Na zakończenie dodamy, że Rudzki został nadal na miejscu; widocznie zdołano go przekonać o właściwej wartości „potwarców". Jaką cieszył się on powagą i zaufaniem wśród swego bliższego i dalszego nawet otoczenia, dowodzi chyba odezwa Wyleżyńskiego z dnia 25. lipca 1819 r. [2]). Wizytator zgłasza się do pana Franciszka z prośbą, by ten mu udzielił światłej rady w sprawie nader ważnej, bo dotyczącej reformy nauczania w szkołach wyższych, powiatowych i gimnazyach, reformy inicyowanej przez kuratora i uniwersytet wileński. Odpowiedzi Rudzkiego niestety nie znamy.

Pierwszym plenipotentem funduszu edukacyi publicznej zostaje — z wyboru Czackiego — Tomasz Dunin Borkowski, niegdyś ziemski pisarz powiatu krzemienieckiego. Tak twierdzą ks. Osiński i Kaczkowski [3]). Inni zapisują na tem stanowisku podkomorzego, Szymona Konopackiego [4]), a nawet Kozaczyńskiego [5]).

Konopacki urodził się 1790 r., szkoły pijarskie kończył w Międzyrzeczu. Po ogłoszeniu Kongresowego Królestwa pełni rolę sekretarza w jednej z dykasteryi rządowych. W Komisyi zostaje prokuratorem funduszów powszechnego oświecenia już po śmierci Czackiego w 1820 r. W trzy lata później wybrany podkomorzym nowogrodzko-wołyńskim; w 1844 r. prezesem Izby cywilnej wołyńskiej. Usunąwszy się w zacisze wiejskie, ujął za pióro, choć już i poprzednio ogłaszał drukiem utwory poetyczne, jak: baladę *Trzy krzyże pod Brykowem* (Krzemieniec 1823); *Poezye* (Wilno 1841) i poetyczną powieść, *Św. Stanisław* (Wilno 1842). Ostatnia i zarazem najobszerniejsza jego praca literacka, to dwutomowa *Chronolo-*

---

[1]) *Ręk. Bibl. Jag.* Nr. 4569. (List z Paryża z d. 16. VI. 1821).

[2]) *Ręk. Bibl. Jag.* Nr. 4569.

[3]) *O życiu i pismach Tad. Czack.* 140; *Wspomnienia* I. 27.

[4]) Słowikowski j. w.

[5]) *Notatka Krzemieńczanina* (Edw. Mierzejewskiego) rękopis; *W papierach Rudzkiego (Ręk. Bibl. Jag.* Nr. 4569) znajdujemy częste o Kozaczyńskim wzmianki. Czytamy tam również w liście Kruczkowkiego (brak dokł. daty): „Proszę mnie nie wydawać z sekretu, ale muszę Panu powiedzieć, że Dyr. Ściborski podał na miejsce Borkowskiego p. Sokołowskiego i z Włodzimierza p. Bieczkowskiego. Nie znam drugiego, ale o pierwszym niewiele dobrego słyszałem." O ile wiemy, żaden z tych panów godności plenipot. fundusz. nie piastował.

gia dziejów Król. Polskiego, wydana 1860 roku w Żytomierzu [1]). Podobno skreślił również dzieje Komisyi Sądowej Edukacyjnej [2]).

* * *

Bardzo poważne miejsce w rzędzie zapisów, uczynionych na rzecz gimnazyum wołyńskiego, zajmowała fundacya Jana Nep. Lerneta. Zasługa jego tem większa, że nie darowywał pewnej części majątku po przodkach odziedziczonego, ale kapitał zebrany — grosz do grosza — ciężką pracą zawodową. Co prawda, poszczęściło mu się widocznie w życiu — przynajmniej pod względem materyalnym — użył jednak tego w sposób najszlachetniejszy, bo na ulżenie przytrudnych warunków ubogiej, łaknącej wiedzy, młodzieży. O szanownym doktorze wspominaliśmy już niejednokrotnie; wszak w dzień otwarcia gimnazyum i on przemówił do zebranych gości, a reprezentował w danym wypadku uniwersytet wileński. Po śmierci Czecha znowu zapisany w dziejach szkoły wołyńskiej, odrzuca bowiem — z racyi podeszłego wieku — proponowaną sobie przez Czackiego zaszczytną posadę dyrektora tejże [3]), choć staroście nowogrodzkiemu tak bardzo chodziło o to, by doktor właśnie postąpił przeciwnie, rachował bowiem na to, że on „wydział cyruliczy najlepiej urządzić zdoła“, a co ważniejsza, pragnął w chwili — kiedy przeciwne jego osobie i dziełu żywioły, zdyskredytowały zakład — mieć na posadzie dyrektora osobistość szanowaną, ozdobioną orderami i najlepiej widzianą u rządu [4]). Nie pomogły atoli żadne przedstawienia, doktor Lernet godności jemu ofiarowanej nie przyjmuje, poprzestając jedynie na honorowym tytule.

Materyał, dotyczący żywota zacnego opiekuna uczącej się młodzi, mamy dosyć skąpy. Jeszcze mniej od nas zdołał zebrać pan Merczyng [5]). W rocznikach warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk niejednokrotnie znajdują się wprawdzie wzmianki o doktorze Lernecie, ale krótkie i obracające się tylko około jednego przedmiotu. I tak w roku 1809 na posiedzeniu, odbytem w dniu 19. stycznia, ksiądz prezes Staszic — zdając sprawę z prac towarzystwa za ubiegłych lat cztery — zawiadamia, iż na ogłoszony temat o morowem powietrzu nadesłano kilka rozpraw, z liczby których nagrodę przy-

---

[1]) Wójcicki K. Wł.: Enc. p. XV. 339—340; Estreicher: Bibl. II. 421.

[2]) Słowikowski j. w.

[3]) Osiński j. w. 224—225.

[4]) Materj. do hist. Lic. Krzem. (*Athenaeum* j. w. 112).

[5]) *Fundusz Lerneta* (Roczn. Zbior. prac nauk. — Warsz. 1879).

sądzono dziełu „uczonego Lerneta. Ta nagroda po ukończonym medalu będzie mu na publicznem posiedzeniu oddana“ [1]. Szanowny doktor nie zaniechał jednak dalszych studyów nad opracowanym już przedmiotem. W styczniu 1815 r., znowu na posiedzeniu w warszawskim przybytku nauk, ogłasza Staszic, że „kolega dr. med. Lernet rozprawę o morowem powietrzu, przed kilką laty uwieńczoną, powiększył ważnemi uwagami, zebranemi ieszcze w ostatniem powietrzu morowem w Multanach“ [2]. Nie na tem jednak koniec: by kwestyę odnośną zupełnie wyczerpać, wzmiankować konieczna, że rozprawa dra Lerneta, na polski język przez dra Soczyńskiego przełożona, wydrukowaną została w wydawnictwach warszawskiego naukowego towarzystwa, wypełniając większą połowę sporego dosyć tomu [3]; że nadto w styczniu 1816 roku ksiądz prezes raz jeszcze w tejże samej sprawie głos zabiera: „Zacny kollega nasz dr. Lernet rozprawę o morowem powietrzu, dawniej przez towarzystwo uwieńczoną, nowemi przydatkami powiększył, i nowemi w podobnym pomorze zebranemi doświadczeniami udoskonalił. Przypisy te z uwielbieniem przez wydział umiejętności czytane, i za udokładniające powyższą rozprawę uznanemi były. Pisarz tak uzupełnione dzieło własnym kosztem wydrukować kazał, i 300 exemplarzy Towarzystwu ofiarował. Dar ten uprzejmie przyjęty został. Imieniem zgromadzenia Autorowi publiczne podziękowanie czynię“ [4].

Umyślnie przytoczyliśmy wszystko, co się dało zebrać odnośnie do osoby Lerneta. Człowiek to bowiem wielkiej zasługi, a nadto mało o nim po dzień dzisiejszy pisano. Wynikiem tego i skąpe dane, odnoszące się do jego biografii. Urodzony w 1745 r., wyższe wykształcenie odbiera zapewne gdzieś za granicą i już ze stopniem doktora medycyny i filozofii osiada na Wołyniu, gdzie rozgłośną cieszy się praktyką lekarską. Były to czasy dla medycyny bardzo pomyślne, człowiek biegły w swoim fachu do pokaźnej nieraz dochodził fortuny. Lernet należał również do wybrańców losu, że zaś był świadkiem usiłowań Czackiego na polu oświaty, postanowił więc i ze swej strony z materyalną stanąć pomocą. Towarzystwo naukowe warszawskie i lekarskie wileńskie powołały go do grona swoich członków; uniwersytet wileński mianuje go członkiem honorowym; gimnazyum krzemienieckie honorowym dyrektorem szkół gubernii

---

[1] *Roczn. K. W. T. P. N.* Waszawa 1812. T. VIII. c. I. 69—70; c. II. 2.

[2] Ibid. T. X. 322.

[3] Ibid. T. XI. s. 1—272.

[4] Ibid. XI. 277.

wołyńskiej: rząd obdarza orderem św. Anny drugiej klasy; społeczeństwo wołyńskie okala miłością i szacunkiem. Umarł Lernet 22. maja 1820 r., osierocając wdowę i chorowitego synka Edwarda, którym zarząd gimnazyum wypłaca skromne odsetki [1]); szkole Czackiego — obok zapisu dawniej uczynionego — zostawia bogaty księgozbiór [2]).

Z powodu śmierci Lerneta raz jeszcze prezes warszawskiego Tow. przyj. Nauk poświęca mu kilka słów serdecznych. Dowiadujemy się przy tej okazyi, że doktor został „przybranym członkiem“ poważnej instytucyi 11. maja 1806 r., że „wierny powołaniu swojego stanu, poświęcał się cały na ratunek cierpiących; a ta ludzkość, tak w osobach tego stanu potrzebna, zjednała mu powszechną miłość“ [3]).

Broszurka wydana 1811 r. [4]) p. t. *Fundusz na czterech uczniów przy gimnaz. wołyńskiem w Krzemieńcu utrzymywać się mających, przez Jana Lerneta różnych uczonych Zgromadzeń Członka, teraz tegoż Gimnaziium Dyrektora, Orderu ś. Anny drugiej klassy Kawalera zrobiony. Reskryptem Nayiaśnieyszego Aleksandra I. Imperatora całą Rossyią Samowładnącego r. 1809 dnia 6. Marca potwierdzony* — stanowi jedyne i najlepsze źródło do poznania historyi i warunków tego zapisu i my też ważniejsze ustępy streścić z niej jesteśmy obowiązani.

Sumę 30.000 rsb. naznacza się dla czterech uczniów gimnazyum wołyńskiego, urodzonych na Wołyniu z niezamożnych rodziców, bez względu na stan i religię, z wyłączeniem jedynie dzieci profesorów i urzędników gimnazyalnych (aż do trzeciego stopnia pokrewieństwa), oraz dzieci służby gimnazyalnej, której pensya — tak w gotowym groszu, jak i w ordynaryi zbożowej — przewyższa kwotę 120 rsb.

Fundusz powyższy pod żadnym warunkiem przeniesiony być nie może do innej gubernii, jak również przeznaczony na inne cele, gdyby więc gimnazyum wołyńskie istnieć przestało, zapis Lerneta do jednej z najbliższych szkół ma być przyłączony. Nie można go również wcielać do ogólnych sum Komisyi edukacyjnej.

Szanowny zapisodawca zamyślał o nabyciu wsi, której — zwiększające się z biegiem czasu — dochody wpływać miały na wzrost

[1]) *Rachunek dochodów za r. 1823* (j. w.).
[2]) Lelewel Joachim: Księgi bibliogr. II. 149.
[3]) *Roczniki 1821.* T. XIV. 280.
[4]) Krzemieniec, drukarnia gimnaz., stron 18.

kapitału, dla ubogiej dziatwy przeznaczonego. Gdyby zaś projektu swego w czyn nie zamienił, suma owych 30.000 rsb. na procencie szóstym, na majątku nieruchomym, za pewną ewikcyą winna być ulokowaną.

Cały zapis pozostaje pod opieką Komisyi Sądowej Edukacyjnej gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, a obrońcą jego i administratorem mianuje dr. Lernet Tadeusza Czackiego i tegoż następców w linii męskiej. W razie małoletności kuratora zastępuje go opiekun.

Obliczając procent szósty od złożonego kapitału, wypadnie do rozporządzenia 1.800 rsb.: suma ta zostanie podzieloną między czterech uczniów, z zastrzeżeniem jednak, by na utrzymanie każdego z nich wydawano rocznie tylko 225 rsb., druga zaś połowa — wraz z narastającymi od niej procentami — tworzy tak zwany kapitał pozostały ucznia, doręczony temuż w sposób następujący: „Po skończonych latach czterech, po odbytem ieszcze raz examinie, uroczyście przyrzekać ma przed składem Professorów i zbiorem uczniów, «że prawidłom Moralności, którą miał dawaną, w całem życiu odpowie, Panuiącemu i Oyczyźnie pełnić będzie w miarę możności usługi, wdzięczność będzie okazywał Obywatelom tey Gubernii, a nayszczególniey we wszystkich zdarzeniach Wołyńskiemu Gimnaziium» — i to oświadczenie podpisze. Odbiera potem świadectwo od opiekuna (Czackiego) o dobrem postępowaniu w naukach i moralności i rekwizycyią do Kommissyi Edukacyyney, aby summa kapitału pozostałego s prowizyi narosła, na niego przypadaiąca, była mu oddana. W ten czas uczeń wychodzący s funduszu, iaki chce, sobie stan obiera. JW. Opiekun użyie starania, aby w miarę zdatności, gdy wychodzący uczeń pewny przedmiot zatrudnienia obierze, był do usługi kraiowey polecony."

Powyższy kilkunastowierszowy ustęp nie bez powodu w dosłownem przytoczyliśmy brzmieniu. Jest on wielce charakterystyczny pod niejednym względem. Najprzód uderza czytelnika nader dodatnia tendencya już w samej formułce składanej przysięgi; owo nałamywanie ucznia do wdzięczności dla szkoły i gotowego do ofiar wołyńskiego obywatelstwa; skłanianie go do pracy dla dobra kraju, a i niemniej ważne wyrabianie w młodzieńcach — opuszczających zakład — poczucia honoru i obowiązków, jest godnem naśladowania zawsze i wszędzie. Na podniesienie zasługuje również ta dalsza moralna opieka kuratora nad byłymi stypendystami; da się ona streścić w kilku zaledwie słowach: ułatwiać korzystanie z wyższych studyów, polecać służbie krajowej — a jednak oddawać może usługi

pierwszorzędnej wagi. — Wszystko to tłómaczy wysoce szlachetną myśl przewodnią zacnego lekarza, pragnącego ochronić stypendystów swego imienia przed szkodliwem błądzeniem po manowcach i ułatwić im ukształtowanie się na obywateli kraju w prawdziwem znaczeniu słowa.

W razie, gdyby uczeń — po ukończeniu czterech klas i trzech dwuletnich kursów — dalszych studyów zaniechał, dostaje — jeżeli ma się rozumieć, kurator na to przystanie — połowę kapitału pozostałego, druga zaś połowa rozdzieloną zostaje między trzech jego „funduszowych“ kolegów. Przewidzianą również została ewentualność, że stypendysta wskutek okaleczenia nie będzie mógł kończyć nauk, a nabyte już utrzymania mu nie zapewnią. W wypadku tego rodzaju przeznacza mu się 120 rsb. z procentów kapitału dodatkowego.

Tutaj ma prawo każdy zapytać, co zacz jest ów kapitał dodatkowy? By uchylić podobną ewentualność, przytaczamy §. III. artykułu III., rzecz całą najdosadniej wyjaśniający.

„Gdybym oprócz Summy 30.000 rsb. nie dodał jeszcze jakiego kapitału w testamencie: tedy przez niniejsze postanowienie waruję, że po śmierci mojej przez dwa lata uczniowie nie będą wybranymi, aby został z prowizyi dwóchletniej kapitał 3.600 rsb., który kapitałem dodatkowym nazywam.“ Dr. Lernet — jak zobaczymy — zapisy dodatkowe poczynił, upadł więc tem samem warunek, opóźniający korzystanie z jego ofiary.

Dalsze paragrafy objaśniają nas, że procent od kwoty dodatkowej z roku pierwszego ma być złożony w gimnazyalnej kasie (nietykalnie, bez prowizyi), by — w razie jakiego nieszczęśliwego wypadku — mógł być bez zwłoki wydany okaleczałemu kandydatowi. Prawo do podobnej doraźnej pomocy mają tylko uczniowie kompletnie ubodzy. Gdyby zaś któremu z nich został, po rodzicach lub krewnych, jaki skromny ruchomy albo nieruchomy majątek, winien być urzędownie oceniony, a suma, w ten sposób wynikła, ma być uważaną za kapitał, od którego szósty procent — jeśli nie wyniesie 120 rsb. — zostaje do kwoty powyższej dopełniony z leżącego w kasie gimnazyalnej procentu od dodatkowej fundacyi.

Dalsze procenta kapitału dodatkowego obracane będą na kupno książek, na opłacanie lekcyi tańców, konnej jazdy i fechtunku.

Najstarszy w szkole uczeń ma zastępować miejsce dozorcy lub korepetytora (dyrektora), otrzymując za to 30 rsb. rocznie z procentów kapitału dodatkowego. W razie śmierci którego z „funduszowych“ lub wykluczenia z gimnazyum za złe prowadzenie się,

pozostałym jego kapitałem dzielą się w równych częściach trzej inni stypendyści. To samo ma miejsce, jeżeli który z „funduszowych“ uznany zostanie za „wiecznie“ okaleczałego, albo też jeśli opuszcza gimnazyum przed ukończeniem wszystkich kursów. W każdym razie jednak potrzebną tu jest zawsze opinia kuratora fundacyi, czyli opiekuna.

Procent z kapitału funduszowego, narosły w czasie, kiedy wakujące miejsce obsadzonem nie było, przypada na rzecz bezpośrednio potem wybranego kandydata. Gdyby kwota 225 rsb., przeznaczona na roczne utrzymanie stypendysty, okazała się nadto wygórowaną, pozostała reszta zostaje temuż z końcem roku do rąk oddaną. Warunek: prowadzenie się ucznia musi być nienaganne.

Na ferye letnie „funduszowi“ nie wyjeżdżają do domów, zostają na miejscu, dyrektor zaś przepisuje biedakom, „w czem w czasie wakacyi doskonalić się mają“. Ten warunek ostatni — zdaniem naszem — zupełnie zbyteczny i nie wytrzymujący krytyki. Dziwna rzecz, że ofiarodawca — tak w wielu wypadkach drobnostkowy i przewidujący — tym razem zmusza jakoby uczniów do powolnego zobojętnienia w stosunkach familijnych. Znajdzie się wprawdzie wielu, na których to ujemnie nie wpłynie, ale też nie trudnym do przewidzenia chyba wypadek, że ośmioletnie n. p. odosobnienie doprowadzi kształtujący się dopiero umysł i serce do chłodu i obniżenia uczuć synowskich i rodzinnych. Nie zaradzi nawet podobnym następstwom dodatek: „wszelako na krótki czas z ważney przyczyny oddalić się Dyrektor (uczniowi) pozwoli“.

Rozumiemy dobrze, że uczeń, zaniedbujący się w naukach, zostaje na czas feryi wakacyjnych w szkole, ale taki już tem samem nie miał prawa korzystać z fundacyi Lerneta, dlaczego więc przez dwa najupalniejsze miesiące więzić uczniów w mieście — choćby tak zdrowem, jak Krzemieniec — zamiast puścić ich do domu, by się mogli nacieszyć niewidzianą rok cały rodziną, by mogli w gonitwie po polach i lasach zaczerpnąć sił nowych, do dalszej pracy tyle koniecznych.

Jeśli jedno lub więcej miejsc funduszowych zawakuje, rozsyła dyrektor gimnazyum do wszystkich szkół powiatowych wołyńskich — przynajmniej na sześć tygodni przed terminem — okólnik z uwiadomieniem, iż w dniu oznaczonym powinni ubiegający się o stypendyum kandydaci stanąć do konkursu. Warunków do przyjęcia niezbędnych było kilka: *a)* świadectwo z odbytej lub szczepionej ospy, oraz poświadczenie lekarskie, że kandydat nie ma żadnej choroby chronicznej; *b)* świadectwo moralności i celującego postępu

w dotychczasowych naukach; *c)* świadectwo z ukończonej drugiej klasy; *d)* dowód, że rodzice nie są wieśniakami poddanymi — „w tym bowiem przypadku uczeń powinien libertacyią przez dziedzica na siebie i rzędownie sporządzoną w aktach powiatowych własnych oblatowaną okazać“; *e)* koniecznem jest również świadectwo ubóstwa, podpisane przez marszałka powiatowego lub horodniczego miasta, zkąd uczeń jest rodem.

Dalszych parę paragrafów przytaczamy dosłownie; świadectwem one być mogą, z jaką powagą odbywały się egzamina ustne i pisemne konkurujących kandydatów. Widocznie usiłowano w ten sposób wywrzeć wrażenie na młodociane umysły i otoczyć pewną aureolą całą Lernetowską fundacyę. Przyznać też trzeba, że cel zamierzony — jeżeli takim był w istocie — został dopięty; dzisiaj jeszcze — choć wołyńskie liceum dawno istnieć już przestało — z pewną uroczystą powagą przystępujemy zawsze do omawiania zapisu szanownego doktora, a wpłynęło na to niechybnie nic innego, jak tylko wyjątkowa aureola, którą sami krzemienieccy wychowańcy otoczyli całą fundacyę.

§. IV. opiewa: „Dyrektor naznacza iawiącym się Uczniom dzień Examinu, pod prezydencyią którego każdy w szczególności Professor klass i dway Professorowie kursowi naystarsi powołaniem lub laty, gdyby razem byli wezwani, według swoiey woli na kartce osobney napisze s podpisem swoim 5. zapytań s każdey Nauki, którą uczeń iuż traktował, lecz każdych 5. pytań na osobney kartce, a takowych kartek tyle bydź ma, ile będzie ubiegaiących się. Wszyscy Profes. wrzucą te zapytania s każdey w szczególności nauki osobno w wazon, s którego uczeń weźmie sobie losem iedną kartkę, potem wkładaią się inney nauki pytania s każdey materyi, którey się uczył. Odpowie zaraz na piśmie w osobney izbie i dopóty nie wolno mu będzie z izby wyyść, póki dyrektorowi odpowiedzi na piśmie z podpisem swoim nie odda, a gdy ubiegaiący się uczniowie odpowiedzi wraz z zapytaniami wszystkie złożą w ręku Dyrektora, ten w przytomności Zgromadzenia odpowiedzi uczniów wraz s pytaniami włoży napowrót w wazon, który ma się zamykać na trzy zamki. Klucz ieden pozostaie przy Dyrektorze, drugi odbierze naystarszy s Professorów, a trzeci JW. Opiekun lub iego Zastępca.

§. V. Zaraz dnia następnego po oddaniu odpowiedzi w przytomnosci całego Zgromadzenia po otwarciu wazonu publicznie czytane bydź maią odpowiedzi uczniów, po czem każdy z ubiegaiących się ustnie na podanych pięć zapytań z nauk, które traktował, przez każdego Professora, odpowie.

§. VI. Po examinie Profes. pod prezydencyią Dyrektora, w przytomności wszystkich uczniów Gimnazyium Wołyńskiego ułożą większością zdań podwóyną liczbę ubiegaiących się do miesc wakuiących. Professorów sumienie obowiązuie, aby tych tylko podali, o których się przekonaią, że są najzdolnieyszymi. W przytomności całey publiczności postawiony będzie wazon, w którym iedna połowa kartek białych a druga czarnych znaydować się ma. Biorący czarną usuwa się, nominacyia ogłoszoną zostanie, a w Aktach Szkolnego Zgromadzenia zapisaną będzie. Jednak w przypadku dwóch lub więcey miesc wakuiących przed wyciągnieniem losów, iednego ucznia examinowanego Opiekun — nie podlegaiąc prawidłom wyrażonym co do wyboru — nominuie: a o tym wyborze gimnazyium wyższey władzy donosi."

Wyobrazić sobie chyba nietrudno, jaki gorączkowy ruch panować musiał w dnie konkursowe wśród zebranej w Krzemieńcu młodzieży. Wszak nie wszyscy pragnęli jednego i tego samego kolegę „na funduszu" ujrzeć, były więc partye, z powstrzymanym oddechem wyczekujące chwili, kiedy dyrektor ogłosi nazwiska tych szczęśliwców, którym białe kartki przypadły w udziale. A łzą niejednokrotnie zaszło oko malca, co przebrnąwszy zwycięzko między Scyllą i Charybdą, jakie tworzyły ustne i pisemne egzamina, ujrzał nagle w rączce, wychylającej się z urny, złowrogą czarną kartkę. Obrazek, nakreślony poniżej, da nam o tem wszystkiem pewne przybliżone wyobrażenie, pierwej jednak trzeba raz skończyć ze statutem fundacyjnym.

I tak §. VII. każe czterem wybrańcom losu mieszkać i stołować się wspólnie, pod opieką — upatrzonego przez władzę szkolną — dozorcy, a nawet i samego prefekta, w zamian za co ostatni „w nagrodę od każdego ucznia ma corok odbierać wartość korcy żyta 15, która wartość stosowana do dnia 1/III. ceny w Krzemieńcu, co 20. lat podług targów ostatnich trzech lat odmieniać się ma."

Stypendyści noszą mundury gimnazyalne, z tą jedynie różnicą, że — zamiast spodni i kamizelek białych — zawsze czarne, że nadto na guzikach wyrytą literę *L.* mieć powinni.

Każdy uczeń „funduszowy" — po ukończeniu czterech klas i trzech dwuletnich kursów — oświadczywszy, czemu na przyszłość specyalnie poświęcić się pragnie, obowiązany jeszcze na miejscu odbywać studya dopełniające przez przeciąg lat czterech. Gdyby one w gimnazyum na miejscu były niedostatecznemi, przenosi się wychowaniec do wileńskiego uniwersytetu, w razie potrzeby odbywa

podróż naukową do zagranicznych zakładów, zostając zawsze pod opieką gimnazyum i kuratora.

Mógł jednak zajść wypadek, że stypendysta odziedzicza po bliższym lub dalszym krewnym jakąś — choćby skromną — fortunkę. Jeżeli ostatnia przedstawia rocznego dochodu 450 rsb., w takim razie interesowany zrzec się powinien wszelkich dalszych korzyści fundacyjnych — „a iego pozostałość s prowizyi lokowanych narosła, ma bydź iemu, ieźli mieć będzie lat 18, do rąk oddana, lub ieżeli będzie małoletnim, na ewikcyi zostaie.“

Takim mniej więcej w głównych zarysach był akt, sporządzony przez Lerneta w Dubnie dnia 8. grudnia 1808 roku — i podpisany w roli świadków przez „grafa“ Igielstroma, Franciszka Biesiekierskiego, marszałka szlachty powiatu dubieńskiego, i Tomasza Żegockiego, łowczego włodzimierskiego i kawalera orderów. Oblata tegoż do akt ziemskich powiatu krzemienieckiego nastąpiła 13. kwietnia następnego roku; podpisani na niej: sędzia powiatowy, Piotr Sokołowski, i dwaj podsędkowie, Joachim Wincenty Podhorski i Jan Krajewski.

Nie na tem atoli koniec. Z aktu dodatkowego, podpisanego w pierwszych dniach kwietnia 1809 r. w Krzemieńcu przez świadków: Józefa Kruczkowskiego i Joachima Lelewela, dowiadujemy się, iż Lernet zaniechał myśli kupna majątku i sumę 30.000 rsb. ulokował u Tomasza Żegockiego. W suplemencie trzecim zawiadamia fundator, że zapisany przezeń kapitał oparty został na dobrach Młodawie w powiecie dubieńskim i Izowie z przyległościami w powiecie włodzimierskim położonych, a do wzmiankowanego już wyżej Tomasza Żegockiego należących, że wreszcie powiększył dawny zapis nowym, 7.500 rsb. (3.600 i 3.900) wynoszącym. „Nad to: do tego kapitału przyłączam (co się rozumie do kapitału dodatkowego) wszystkie prowizyie zaległe, pod dożywociem moiem będące, które po zgonie moim w rękach utrzymuiących summy dla tego funduszu przezemnie wyznaczone pozostaćby mogły.“ I tym razem nadmienia w końcu, że z jego zapisu dopiero po śmierci testatora uczniowie będą mogli korzystać.

Z kolei następuje szereg objaśnień i omówień pewnych paragrafów pierwotnego statutu fundacyjnego. Dowiadujemy się ztąd, że gdyby, w razie zamknięcia gimnazyum, inna szkoła nie dorównywała pod względem wykładu byłemu instytutowi wychowawczemu krzemienieckiemu, ma być stypendysta wysłany dla dalszych studyów do najbliższego uniwersytetu; gdyby wreszcie „który uczeń z funduszowych — przed ukończeniem wszystkich kursów — z gi-

mnazyum oddalił się a natychmiast stan woyskowy dla siebie wybrał, a w przeciągu lat czterech aktualnym został Officerem, a nie dopiero przy odbieraniu abszytu pozyskał tylko rangę Officera; połowę swego kapitału w ciągu lat w szkołach przebytych na niego przypadaiącego, bez prowizyi odbierze, ta zaś prowizyia dla czterech uczniów podzieli się.“

Ciekawym jest również rejestr garderoby, przepisanej dla stypendystów „przez wzgląd na oszczędność i nieuchronne potrzebne ochędostwo“. Jest on jednym dowodem więcej, w jakie drobnostki dr. Lernet w swym zapisie wnikał, a nadto może być wskazówką, ile w owe czasy za wszelkie tego rodzaju rzeczy płacono.

Dla każdego ucznia przeznaczano: Materac skórzany na lat cztery 60 zł.; kołdrę na lat trzy 40 zł.; płaszcz mundurowy na lat trzy 78 zł.; corocznie: frak mundurowy, kamizelek 2, spodni par 3, surdut mundurowy 132 zł.; czapka i kapelusz 20 zł.; butów par trzy 36 zł.; koszul pięć 40 zł.; szlafmyc (!) trzy 9 zł.; chustek na szyję i do nosa ośm 48 zł.; pończoch par sześć 24 zł.; prześcieradeł trzy 30 zł.; poszewek tyleż 15 zł.; kalesonów par trzy 9 zł.; poduszka jedna na lat cztery 8 zł.; razem 549 zł. W następnych dwóch latach z góry 363 zł.; w ostatnim (czwartym) 481 zł. Ogólna suma 1.393 zł.

Ostatnie to uzupełnienie zapisu Lerneta opatrzyli nazwiskami oraz odciskami klejnotów rodowych: Romuald Stecki i Franciszek Skarbek Rudzki, Komisyi Sądowej Edukacyjnej pisarz. Oblatowane ono zostało w aktach ziemskich krzemienieckich 3. sierpnia 1809 r.

„Była moja wola — są słowa fundatora — udzielić majątku mego na Edukacyią czterech Uczniów i ich los zapewnić postanowiłem. To iuż wykonałem. Do Was, których cnocie wykonanie tego funduszu powierzam, uwiecznić i uczynić go użytecznym należy! Tego po Was dobro kraiu, uszczęśliwienie następnych pokoleń i moie zaufanie wyciąga!“

Czy i o ile wykonawcy woli Lerneta obowiązkom na nich włożonym zadosyć uczynili — to pytanie, które z kolei rozwiązać wypadnie. Zastrzedz się atoli naprzód konieczna, że odpowiedź w danym wypadku łatwą nie będzie. Sądzi się gatunek drzewa po owocach — to prawda, ależ mogli być stypendyści Lernetowscy, po ukończeniu nauk, ludźmi najuczciwszymi, obywatelami powszechnie szanowanymi, a mimo to wszystko nic prawie o nich — z małymi wyjątkami — nie doszło do wiadomości następnych pokoleń. Jakże więc w obec podobnej ewentualności rozwiązać postawione w założeniu pytanie? Próbować jednak nie zawadzi.

Jak wiadomo, miała fundacya Lerneta wejść w życie dopiero z dniem śmierci testatora, pobierającego dożywotnio wszystkie jej procenta. Już jednak w r. 1817 zapragnął szanowny lekarz, by zapisy jego choć w połowie w czyn wprowadzone zostały. W dniu więc 7. maja zjawia się on u dyrektora gimnazyalnego, objawia mu swą wolę; zwierzchnik szkoły krzemienieckiej — postępując w myśl paragrafów statutu fundacyjnego — rozsyła ze swej strony do wszystkich szkół powiatowych na Wołyniu odnośny okólnik z wyznaczeniem konkursu na dzień 17. czerwca tegoż roku w Krzemieńcu. Kandydatów przybyło dziesięciu, poddając się wszelkim przepisanym egzaminom; z nich dopiero profesorowie — po obopólnej naradzie — wybrali podwójną liczbę, a więc na razie czterech i ta lista odczytaną została w dniu 20. czerwca przez dyrektora na publicznem posiedzeniu w sali fizycznej, służącej w Krzemieńcu do wszelkich liczniejszych zgromadzeń szkolnych. Kandydatami uznano: Michała Ilkiewicza i Józefa Grocholskiego z IV. klasy; Jana Bałbaszewskiego i Aloizego Tylmana z kl. III.

Na uroczystość tę przybył liczny zastęp gości, a zaciekawienie było tem większe, że odbywała się ona po raz pierwszy. W zastępstwie chorego opiekuna, którą to godność piastował w danej chwili biskup Cieciszowski, występuje kanonik katedralny, hr. Dunin. On więc z prawa przysługującego sobie powołał na pierwszego stypendystę Michała Ilkiewicza; następnie rozpoczęło się losowanie; szczęście sprzyjało tym razem klasie IV., z urny wyszedł bowiem Józef Grocholski.

Po mowach — wygłoszonych przez ks. Dunina i prof. Osińskiego — katecheta Sobkiewicz przeczytał krótkie przemówienie w imieniu dra Lerneta, który „mając serce tak czułe, jak czynność jego jest szlachetną", nie był w stanie uczestniczyć w zgromadzeniu. Uroczystość całą zakończyło nabożeństwo w kościele szkolnym, gdzie ks. Dunin *Te Deum* zaintonował [1]).

Z owych pierwszych dwóch stypendystów Lernetowskich, którzy — przyznać trzeba — nie zawiedli pokładanego w nich zaufania, Michał Ilkiewicz poświęcił się studyom lekarskim; w 1828 r. zdobywa stopień doktora medycyny w Erlandze, w następnym powtórnie w Paryżu; ogłosił drukiem dwie rozprawy [2]). Osiadł wkońcu w Odessie, gdzie też około 1868 r. umiera.

---

[1]) *Kuryer Litewski* 1817. Nr. 60; Merczyng: Fundusz Lerneta j. w. 86—87.

[2]) *Słown. Lek. polsk.* Warszawa 1883. Z. II. 180.

Józef Grocholski, kandydat filozofii, rozbija namioty na Podolu. Zrazu poświęca się nauczycielstwu, kończy na gospodarstwie rolnem i służbie publicznej. Długoletni prezes Sądów sumiennych należał do ludzi wyjątkowych, cieszył się też ogólną miłością i poważaniem [1]).

Nawet niefortunni rywale owych pierwszych wybrańców losu nie przeszli przez życie bez zostawienia jakiegoś po sobie śladu. Jan Bałbaszewski założył w Winnicy pensyonat dla synów ziemian podolskich, bardzo w swoim czasie popularny [2]). Aloizy Tylman tłómaczy — na współkę z Chlebowskim — Karola Dupin: Jeometryą i mechanikę sztuk i rzemiosł; sam zaś Wawrzyńca Piotra Jussieu: Przygody dwóch więźniów Anzelma i Łukasza [3]).

Powtórne wybory miały już miejsce po śmierci testatora. Odbywały się one ze zwykłą okazałością w Krzemieńcu 4. grudnia 1821 r.: kurator fundacyi, biskup Kasper Kolumna Cieciszowski, „dla sił nadwątlonych wiekiem i trudami w Owczarni Chrystusa“ i tym razem osobistego udziału w akcie przyjąć nie może, deleguje więc w swojem imieniu prałata scholastyka katedry łuckiej, a zarazem profesora licealnego, ks. Aloizego Osińskiego. Ten też przemawia do Mikołaja Kaszubskiego, wybranego na fundusz Lerneta. Treść jego słów była — jak zwykle — podniosłą, a wygłoszone z właściwą księdzu profesorowi swadą na zgromadzonych, a co ważniejsza na tym, ku któremu specyalnie zwrócone zostały, silne i niezacierające się rychło wywrzeć musiały wrażenie. Po krótkim wstępie upewnia zastępca biskupa „przezacne zgromadzenie osób, iż żadne stronnictwo i żadna osobistość nie miała wpływu do tego wyboru, i że to wszystko odbyło się w zupełnej ścisłości, co Lernet dobroczyńca chciał mieć zachowanem za życia i po śmierci swoiey.“ Następnie — zwracając się do Kaszubskiego — przedstawia mu przyszłe jego obowiązki i jako przykład naśladownictwa godny wskazuje dwóch innych stypendystów: Ilkiewicza i Grocholskiego, którzy „ieszcze za życia Dobroczyńcy wybrani, sprawdzili we czterech latach nadzieie o sobie powzięte. Z pociechą widział On w nich rozwiiaiące się zdolności i rozumu i serca, i był pewnym, że nie ostygnie w nich zapał do nauk, i nie oziębną chęci kształcenia się na pożytecznych kraiowi obywatelów. Z tą ufnością wstąpił On do grobu“ [4]).

---

[1]) Dr. Antoni J.: *Kraj* 1886. Nr. 51.

[2]) *Notatki Krzemieńczanina* (Edw. Mierzejewskiego) — rękopis.

[3]) Estreicher: Bibl. I. 426; II. 309.

[4]) *Przemowa X. Al. Osińskiego... do Mikoł. Kaszubskiego...* i t. d. Krzemieniec, kart 6.

Kto mógłby być trzecim funduszowym — nie potrafimy powiedzieć. Ks. Osiński w mowie swej nie wspomina o jego nazwisku, choć wzmiankuje najwyraźniej, że biskup polecił mu zastępstwo „podczas wyboru ucznia czwartego".

W r. 1886 ogłosił dr. Antoni J. w *Kraju* petersburskim w Nrze 51. pobieżną notatkę, funduszu Lernetowskiego dotyczącą, w której zapytuje byłych wychowańców szkoły krzemienieckiej: ilu było właściwie stypendystów? jak brzmiały ich nazwiska? jakie losy fundacyi w epoce po zamknięciu liceum? i co się stało z dodatkowym zapisem 7.500 rsb. przez Lerneta później uczynionym, nie występuje on bowiem w ostatnich ogłoszeniach odnosnej władzy. Na wezwanie powyższe odpowiedziało kilku ludzi lepiej z daną kwestyą obznajomionych, redakcya petersburskiego tygodnika przesłała wszystkie otrzymane dopełnienia autorowi notatki, czemu zawdzięczając, jesteśmy dzisiaj w stanie coś więcej o tej ciekawej sprawie powiedzieć.

W 1826 roku odbył się ostatni już wybór stypendystów przed zamknięciem szkoły krzemienieckiej. Władza licealna wyznaczyła do współudziału w czynnościach konkursu i samej uroczystości całe grono profesorów. Występowali tym razem: dr. Wilibald Besser, botanik, Łuczyński, fizyk, Zienowicz, chemik, Choński, ekonomista, Mickiewicz, prawnik, Miechowicz, Korzeniowski... wszyscy w odświętnych strojach z prefektem na czele. Kiedy szereg tych mężów zajął swoje miejsca w obszernej i okazałej świątyni licealnej, wszedł następca Cieciszowskiego, biskup łucki, Piwnicki, w asystencyi licznego kleru, ks. prałata Kulikowskiego i ulubionego kaznodziei ojca Prokopa, kapucyna. Za duchowieństwem wchodzić zaczęli obywatele i dygnitarze miejscowi, jak: popularny i sympatyczny gubernialny marszałek, Przeździecki, Gustaw Olizar, Orłowski, Swieykowski i wielu, wielu innych. Skoro nastała cisza, przemówił ksiądz biskup, w gorących słowach oddając cześć należną pamięci dra Lerneta, a po przeczytaniu ustawy o stypendyach, przystąpiono do wyboru na dwa wakujące miejsca. W tej chwili wystąpił z tłumu, przybyły świeżo z zagranicy, Józef Grocholski, „młodzieniec pięknego oblicza o inteligentnem wejrzeniu", w ciepłych słowach dziękował swym przewodnikom za ich trudy i dobre rady i błogosławił cieniom męża, który hojnym zapisem swoim ułatwił łaknącej wiedzy młodzieży korzystanie ze studyów, tyle każdemu człowiekowi niezbędnych.

Jako nowi kandydaci „na fundusz" przedstawieni przez władzę szkolną zostali czterej synowie miejscowej ubogiej szlachty: Brodowski, Hładki, Skorupski i Kozieradzki. Pierwszy z nich — dobry i sym-

patyczny chłopczyna — wzbudzał w kolegach największe współczucie, pragnęli więc, by on znalazł się na liście stypendystów, los jednak inaczej zrządził. „Gdy w notach przy egzaminie wszyscy okazali się równymi, ciągniono losy, a biskup wywołał nazwiska: Kozieradzki. Skorupski — i położywszy znak krzyża świętego na czołach dwóch młodzieńców, życzył im najprzód wytrwania w wierze katolickiej, życzył postępu w naukach i szczęścia w pielgrzymce dalszego żywota; koledzy otoczyli Brodowskiego, pocieszając biedaka w doznanym świeżo zawodzie [1]).

Skorupski, ukończywszy prawo w Dorpacie, osiada na Podolu, jako plenipotent jednego z miejscowych zamożniejszych posiadaczy ziemskich. Aleksander Kozieradzki studyował medycynę. Urodził się on na Podlasiu w 1813 r., osierociał bardzo wcześnie; czcigodny kapłan, kanonik łuckiej niegdyś dyecezyi, ks. Dobrowolski, wylany dla dobra ogółu — spostrzegłszy niepospolite przymioty i zdolności w młodzieniaszku Kozieradzkim — wychowuje go naprzód wraz z innymi w utrzymywanej własnym kosztem parafialnej szkółce w Turzysku, później w powiatowej łuckiej, nakoniec ułatwił mu drogę do ubiegania się o stypendyum Lerneta w Krzemieńcu. Z kolei widzimy go domowym nauczycielem w domu Balińskich, przy wnukach Jędrzeja Śniadeckiego, a uzyskany w ten sposób grosz umożliwia mu ukończenie studyów w medyko-chirurgicznej akademii w Wilnie, którą opuszcza 1840 r. ze stopniem lekarza pierwszej klasy. Osiadłszy następnie w ukochanym przez siebie Krzemieńcu, w otoczeniu rodziny pracuje z całem poświęceniem dla dobra drugich. Umiera na stanowisku 1860 r., pozostawiwszy — obok trzytomowego pamiętnika w rękopisie — kilka broszur drukiem ogłoszonych z zakresu medycyny [2]).

Kolega jego i długoletni przyjaciel, Aleksander Wermiński, był podobno również stypendystą Lernetowskim. Czyżby to miał być przypadkiem ów trzeci — poprzednik Kaszubskiego, którego nazwiska nie znamy? Bardzo rzecz prawdopodobna, jeżeli ma się rozumieć, wcześnie do szkół wstąpił, urodził się bowiem w Beresteczku około 1810 roku, mógł też 10—11 lat mając, do konkursu stawać. Medycynę kończy — jako stypendysta rządowy — w Wil-

[1]) *Notatka Krzemieńczanina* (Edw. Mierzejewskiego) — rękopis.
[2]) *Słown. Lek. polsk.* z II. 242; *Gazeta Codzienna* 1860. Nr. 306. Nekrolog pióra Aleks. Wermińskiego; *Listy kolegów* (rękopis).

nie 1838 r. [1]), przemawiałoby więc i to za naszem poprzedniem twierdzeniem. Niedługo dozwolono mu żyć i pracować wśród swoich; już w 1839 r. — wraz z wielu innymi — wysłany zostaje na Kaukaz, gdzie lat szereg, jako prosty „sołdat“, dźwiga karabin. Dopiero po zgonie cesarza Mikołaja wrócono Wermińskiemu dawny naukowy stopień i pozwolono praktykować w Krzemieńcu. Ostatnich dwanaście lat życia pełni służbę lekarza wojsk serbskich; umiera w Czupryi nad Morawą w sam dzień nowego 1877 r. Drukiem ogłosił „Dwa spostrzeżenia wodowstrętu u ludzi i u psów“ [2]).

Tyle co do stypendystów Lernetowskich, kształcących się jeszcze w gimnazyum — potem w liceum — krzemienieckiem. Byli jednak — po kasacie tej głównej instytucyi wychowawczej wołyńskiej — i inni „funduszowi“ do innych szkół uczęszczający. Dr. Antoni J. twierdzi [3]) — zupełnie zresztą racyonalnie — że nie przyłączono omawianego zapisu do dawnej szkoły klewańskiej, jak chcą niektórzy, choćby z tej racyi, że została ona równocześnie z liceum zniesioną. Nie mogliśmy nigdzie odszukać dokładnej daty owego wypadku: jedna *Encyklopedya Orgelbrandta* zapisuje: „1834 roku szkołę powiatową przeniesiono do Łucka, a tamtejsze gimnazyum tutaj urządzono, które następnie 1839 r. do Równego przenieśli“ [4]) — a wzmianka powyższa zgadza się zupełnie z udzielonym nam opisem wyboru stypendystów, odbywającym się właśnie w gimnazyum klewańskiem.

Według wspomnianego przed chwilą źródła, wybierano w roku szkolnym 1833 4 w Łucku kandydatów na fundusz Lerneta. Uroczystości przewodniczył podobno osobiście sam rządca dyecezyi, los padł na Grabowskiego; z mocy zaś przysługującego „opiekunowi“ prawa wybrany przez biskupa został na drugie miejsce Tarkowski. Obydwaj uczniowie klasy trzeciej. Po skasowaniu gimnazyum łuckiego przeniesiono obu do klewańskiego, po upływie roku do ki-

---

[1]) *Słown. Lek. p.* z. IV. 541 podaje wprawdzie rok ukończenia studyów 1831, w notatkach jednak rękop. dra M. Łowickiego znajdujemy datę prawdopodobniejszą pod wieloma względami i tę też w tekscie powtarzamy.

[2]) *Słown. Lek. pols.* (j. w.) podaje, że Wermiński był na Kaukazie oficerem i lekarzem wojskowym. Inne źródła (rękop.) zapisują najwyraźniej, że W. skazanym został „w sołdaty“, co nie wyklucza jednak ewentualności, iż mógł z czasem dosłużyć się rangi oficerskiej.

[3]) *Kraj* 1886. Nr. 51.

[4]) T. XIV. 806—808, artyk. pana T. S.

jowskiego, z kolei uczęszczają na uniwersytet św. Włodzimierza i wreszcie na uniwersytet petersburski [1]).

W r. 1838/9 odbywał się znowu konkurs, ale już w Klewaniu. Tym razem chodziło o obsadzenie jednego miejsca, ochotników jednak stanęło siedmiu, sześciu miejscowych, siódmy przybysz z jednej ze szkół powiatowych wołyńskich. Odpowiadał on najlepiej, więc też pierwszy do urny przystąpił; z kolei drugie miejsce przypadło dwom klewańszczanom, mającym zupełnie jednakowe stopnie, wobec tego rzucony los miał rozstrzygać, który z nich pierwszy do urny po kartkę szczęścia ma sięgnąć. Wypadł on na korzyść ucznia klasy III., Żurakowskiego, ten też w rezultacie stypendystą został, przeniesiony zaraz po wakacyach — jak i jego poprzednicy — do pierwszego kijowskiego gimnazyum [2]).

Zkąd inąd dowiadujemy się, że w r. 1834 uczęszczało do gimnazyum klewańskiego dwóch uczniów, noszących guziki mundurowe z literą *L*. Jednym z nich miał być drugoklasista (?), Stanisław Domaradzki, drugim czwartoklasista, Ludwik Tarkowski. W tymże samym roku przeniesieni obaj do Kijowa [3]). Co do Tarkowskiego, zgadza się ostatnia notatka z poprzednią; wszak został on wybrany w Łucku 1833 r., jako trzecioklasista, i był z kolei rok jeden w Klewaniu. Co do Domaradzkiego zaręczyć niepodobna, czy nazwisko jego w redakcyi innej na Grabowskiego przekręcone zostało, czy też obydwaj byli rzeczywiście stypendystami „na funduszu“ Lerneta.

Z powyższych zapisek ludzi współczesnych aż nadto widoczna, że po zamknięciu wołyńskiego liceum fundacya — przez nas omawiana — nie była przywiązaną właściwie do żadnej ze szkół wołyńskich, że gimnazyum łucko-klewańsko-rowieńskie miało w owe czasy prawo do obsadzania powstających wakansów. Z drugiej strony jednak i to pewne, że zwyczajnie zaraz po feryach wakacyjnych przenoszono stypendystów do Kijowa, może więc ostatnia okoliczność właśnie skłoniła p. Merczynga do błędnego przypuszczenia, że na mocy ukazów carskich z dnia 8/20. listopada 1833 r. i 25. grudnia (6. stycznia) 1833/4 r. wsiąkł zapis Lerneta w fundusze szkoły kijowskiej [4]).

Zanim odpowiemy na pytania, odnoszące się do dalszych losów Lernetowskiej fundacyi, należy choćby pokrótce wspomnieć o osta-

[1]) *Notatka jednego z dawnych Klewańszczanów* (Winc. Karpowicza) rękopis.
[2]) jak wyżej.
[3]) Notatka „stałego prenumeratora *Kraju*“ (W. B.) rękopis.
[4]) *Fundusz Lerneta* j. w. 88—89.

tnich kilku stypendystach, by w ten sposób przekonać się — czy i o ile wykonawcy woli szanownego doktora zadosyć uczynili włożonym na nich obowiązkom?

Że wybrańcy krzemienieccy nie zawiedli pokładanych w nich nadziei, że ich praca dla dobra ogółu zostawiła po sobie mniejsze lub większe ślady — przekonać się nietrudno z pobieżnych nawet o nich wzmianek. O jednym Kaszubskim nic nie umieliśmy powiedzieć; okoliczność ta jednak nie wyklucza przypuszczenia, że mógł on być osobistością godną największego szacunku, że działalność jego — choć cicha — obfitować mogła w najlepsze owoce. Niestety ostatnią naszą uwagę zastosować musimy i do reszty stypendystów. Żurakowski — zapewne Narcyz — kończy w 1847 r. medycynę w Kijowie ze stopniem lekarza, a znał swój przedmiot dobrze, w spisie bowiem na pierwszem figuruje miejscu [1]); w późniejszem życiu nic nie drukował, gdyż tak *Słownik lek. polsk.*, jak i *Bibliografia* milczą o nim zupełnie. O Ludwiku Tarkowskim, Stanisławie Domaradzkim i Grabowskim nie byliśmy w stanie żadnej odszukać wzmianki. Ostatni nadto niewiadomy nam z imienia i zaręczyć nawet trudno, czy nazwisko Domaradzkiego w ten sposób przekręcone nie zostało. Jeśli się weźmie pod uwagę, że znajdująca się u nas notatka w lat pięćdziesiąt trzy po wyborach klewańskich napisaną została, przypuścić łatwo, iż w niej przez pomyłkę Domaradzkiego Grabowskim przechrzczono, lub przeciwnie.

Wobec tyle skromnych danych odpowiedzieć na powyżej postawione pytanie można tylko warunkowo. Może z czasem znowu ktoś pospieszy z pewnemi wyjaśnieniami, a wtedy i biografie stypendystów Lernetowskich poznamy, przyznając równocześnie gronu konkursowych sędziów, że na wybrańcach się nie zawiedli, że ułatwili kształcenie się przyszłym dodatnim obywatelom kraju. Dzisiaj kwestya ta pozostać musi niewyjaśnioną.

W porozrzucanych tu i owdzie wzmiankach o doktorze Lernecie czytamy, że zostawił on żonę i chorowitego syna Edwarda. Zkąd inąd wiadomem nam jest również, że między r. 1844 a 1848 mieszkała wdowa fundatora w Dubnie, że przy niej występował syn jej, młody człowiek, „lat około 25, atletycznej budowy, wcale niewyglądający na chorowitego i wątłego chłopca“ — jak twierdzą biografowie Lerneta. „Matka ubolewała często nad tem, że nieboszczyk, nie spodziewając się potomstwa, przeznaczył wszystkie swoje fundu-

---

[1]) *Akademiczesk. spiski Imp. Uniw. św. Władim.* (1834—1884). Kijów 1884 str. 133.

sze na cel dobroczynny (choć właściwie nie wszystkie). Wkrótce też młody Lernet umarł przypadkową śmiercią a matka przeniosła się do Krzemieńca. Chodziły wieści, że to był syn przybrany." [1]).

Tyle o rodzinie fundatora.

W listopadzie 1886 r. ogłasza kurator kijowskiego naukowego okręgu następującą urzędową odezwę: „Na mocy porozumienia ministeryum oświaty z opiekunami funduszu Lernetowskiego, mianowicie z hrabią Czackim i łucko-żytomierskim biskupem, Kozłowskim, kapitał wynoszący 30.000 rsb., który obecnie dosięgnął sumy 160.281 rsb., zapisany przez dra Jana Nepomucyna Lerneta w dniu 8. grudnia 1808 r., dla czterech stypendystów, kształcących się w naukowych zakładach wołyńskiej gubernii, postanowiono zużytkować na urządzenie cztero-klasowego progimnazyum w Łucku, gub. Wołyńskiej. O czem podaje się do wiadomości publicznej, a to z tej racyi, by spadkobiercy, lub krewni ofiarodawcy, albo wreszcie inne osoby postronne, mogły — jeżeli tego zapragną — uczynić odnośne zastrzeżenia. Ku czemu służy im termin czteromiesięczny, poczynając od daty wydrukowania rzeczonego ogłoszenia w organach miejscowej administracyi" [2]).

Czy kto uchwałę powyższą kwestyonował? — wątpimy. Nie wdając się w ocenę, czy? i o ile? zgodziłby się Lernet na tego rodzaju użycie uczynionego przezeń zapisu, konstatujemy jedynie fakt, że kwota 37.500 rsb. do 30.000 zmniejszoną została. Gdzież więc zaprzepaszczono resztę? zapyta każdy. Wiadomo nam, że z sumy 250.000 złot. (co czyni 37.500 r.) ulokowano 100.000 na Izowie. Czernikowie i Rokitnej; drugie tyleż na wsi dziedzicznej Młodawie: pozostałą resztę na dobrach ks. Kazimierza Lubomirskiego: Dytynicze i Kłuki, w powiecie Dubieńskim sytuowanych [3]). Około r. 1862 Czerników i Izów zostały na publicznej licytacyi sprzedane, że zaś suma w ten sposób otrzymana nie dorównywała zaległościom, jakie ciężyły na wzmiankowanych majątkach, przypuszczać więc można, iż obok procentów i część Lernetowskiego kapitału przepaść tu musiała [4]).

Nakoniec powtórzyć mogę tylko życzenie wielu, by — jeżeli to obecnie jest niepodobieństwem — kiedyś w zmienionych warunkach szkołę łucką imieniem dra Lerneta ochrzczono.

---

[1]) Notatka „stałego prenumeratora *Kraju*" (rękop.).
[2]) *Podolskija gubernskija Wiedom.* 1886. Nr. 94, 95.
[3]) Dr. Antoni J.: *Kraj* 1886. Nr. 51.
[4]) Notatka prenumer. *Kraju* j. w.

Obok stypendyów [1]), z których równocześnie bardzo tylko skromna garstka uczniów korzystać mogła, należało pomyśleć o ułatwieniu przystępu do szkoły większej ilości ubogiej dziatwy. Czacki — wyznawca zasady, że kształcić się powinny najszersze warstwy — urządza w Krzemieńcu tak zwane konwikty, gdzie umieszczano wychowańców na całkowitem utrzymaniu gimnazyum. Przeciwnik jednej olbrzymiej bursy nakształt koszar, rozlokowuje w rozmaitych prywatnych domach, dobrej używających reputacyi, po ośmiu do dziesięciu malców. System powyższy — obok łatwego dozoru — posiadał i inną jeszcze dodatnią stronę: umożliwiał zarobkowanie kilkunastu ubogim rodzinom, które znowu wskutek tego i ze swej strony były w stanie nad wychowaniem własnego pomyśleć drobiazgu [2]). Tego rodzaju konwikty dzielono na funduszowe i wolne. Funduszowe założono dopiero 1811 r.; na przedstawienie księcia kuratora wyznaczył hr. Razumowskij na razie na ten cel 2.970 rsb., jako utrzymanie 23 uczniów [3]). Obywatele wołyńscy przyczynili się zebraną między sobą składką do zwiększenia pierwotnej cyfry o 17, a nadto zamożniejsi uczniowie krzemienieccy utrzymywali swoim kosztem w konwiktach 20 przeszło uboższych kolegów [4]). Fakt ostatni stanowi jeden dowód więcej, jakim duchem umiał Czacki natchnąć wychowańców założonej przez siebie szkoły. Z czasem — już po śmierci starosty — musiała władza szkolna, pod naciskiem rządu, różne wprowadzać w Krzemieńcu zmiany. Do nich zaliczyć też wypadnie zniesienie drobnych funduszowych konwiktów i zastąpienie tychże jedną wielką — niesympatyczną pierwotnemu założycielowi — koszarową bursą [5]).

Konwikty wolne roiły się od młodzieży, która za pewnem wynagrodzeniem — przez rodziców lub opiekunów wnoszonem — miała już sobie zapewnione — obok nauki — całkowite utrzymanie, opiekę lekarską i t. d. Odezwa Czackiego, wystosowana do wołyń-

---

[1]) Prócz zapisów dra Lerneta (250.000 złp.) i senatora Illińskiego (20.000 złp.) wspomnieć wypadnie o dwóch jeszcze większych wieczystych fundacyach: Aleksandra Leśnickiego (20.000 złp.) i Klary Łopacińskiej (10.000 złp.). — Czyt.: T. J. Stecki: Wołyń II. 161.

[2]) K. Kaczkowski: Wspom. I. 15—17.

[3]) St. Potocki: *Pochwała . . .* wyd. osobne z dodatk.: *O konwiktach i innych urządzeniach Krzemieńca.* Warszawa, w drukarni Zawadzkiego i Węclewskiego, str. 43—44; inne cyfry w dawniej przytoczonych rachunkach.

[4]) Stecki: Wołyń II. 167.

[5]) K. Kaczkowski I. 48.

skiego ziemiaństwa [1]), najlepiej nas o wszystkiem, co dotyczyło owych konwiktów, poucza: Za opłatą jednego złotego srebrnego dziennie mają wychowańcy stancyą, opał, opranie i żywność, jak widać z załączonego spisu potraw i obfitą i urozmaiconą. Jeżeli więc uczeń — czego sobie starosta życzy — spędza w Krzemieńcu i miesiące wakacyjne, opłaca 360 zł. sr., w razie przeciwnym tylko 310. Oprócz tego jednak istnieją jeszcze i inne wydatki, a mianowicie na dozorcę domowego zł. 66, gr. 20; na światło 6—20; dozorca ogólny i apteka zł. 30, razem więc wynosi opłata w wypadku pierwszym 463 zł. i groszy 10; w drugim 414 z podobną nadwyżką.

Do powyższej kwoty, wnoszonej na ręce prefekta za cały rok z góry, w terminie między 15. sierpnia a 1. września, nie wliczały się „potrzeby szkolne", jak również opłata za lekcye tańców, fechtunku, konnej jazdy i muzyki. Ciekawą jest „specyfikacya" rzeczy, jakie każdy z konwiktorów wolnych posiadać winien. Specyalne przepisy, w tym względzie wydane, obowiązywały wszystkich bez wyjątku. Przytaczamy je poniżej:

papieru liber 10 po zł. 1 gr. 6	zł.	12	gr.	—
atramentu butelek kwartowych 2 po zł. 2 gr. 15 .	„	5	„	—
scyzoryk jeden (2. zł.), ołówków $1\frac{1}{2}$ tuzina . . .	„	5	„	18
piór gęsich kóp 4 (2 zł.), papieru na rysunki liber 4	„	22	„	—
„Raysfeder do rys." 1 (5 zł.), „Raysbret" 1 . . .	„	9	„	—
kredy na rysunki „łotów" 20 po zł. 1	„	20	„	—
„Lubryki łotów 12" po 10 gr.	„	4	„	—
„Rayszkulów kóp 3" (zł. 6), „gumy elastyczney łotów 2"	„	9	„	10
kałamarz i piaseczniczka gr. 20, linia gr. 10 . . .	„	1	„	10
teka 2 zł., mydła ok. 3 po 2 zł. gr. 18	„	9	„	24
szczotek do butów 2 (gr. 20), szczotka do ubrania 1 (gr. 10)	„	1	„	—
grzebieni gęstych i rzadkich 2	„	2	„	20
szuwaksu kwart 4 (zł. 12), igieł różnej wielkości (za gr. 6)	„	12	„	6
nici białych i „farby uniformu" za	„	2	„	—
serwet 6, obrus 1, „maią bydź dane z domu" . .	„	—	„	—
talerzów 4 (2 zł. 20 gr.), sztućców para (zł. 1 gr. 20)	„	4	„	10
łyżka cynowa (1. zł. gr. 20), lichtarz ze szczypcami (4 zł.)	„	5	„	20
szklanek dwie (gr. 20), karafinka jedna (zł. 1) . .	„	1	„	20
Razem złot. sr.		127	gr.	18.

[1]) *Uwiadomienie o wolnym konwikcie dla dzieci obywatelskich w Krzemieńcu.* Dan w Krzemieńcu 14. V. 1811 r.

Prócz tego kuferek, pościel — „w którey pierzyna pod żadnym pozorem bydź nie może“ — i bielizna. Warunek ostatni miał wpływać dodatnio na zahartowanie młodzieży obywatelskiej, pieszczonej w domu rodzicielskim zanadto.

W każdym z konwiktów był jeden dozorca, z pośród samych uczniów wyznaczony, pobierający za tę czynność pewne miesięczne wynagrodzenie: zarząd nad wszystkimi tego rodzaju lokalami spoczywał w rękach płatnego regensa. Prefekt również zaglądał tu od czasu do czasu, by się przekonać naocznie, czy wszystko idzie, jak należy.

Rewizorowie wileńscy: Malewski i Żukowski — za pobytu swego w Krzemieńcu — zwiedzali i konwikty uczniowskie, wyrażają też w referacie przedłożonym uniwersytetowi „uwielbienie JW. Czackiemu, za którego gorliwem staraniem nietylko uczniowie funduszowi wygodnie i ekonomicznie są utrzymani, ale nadto dobroczynną znajdują pomoc uboższe familie, dla których dzieci zwierzchność szkolna opatruje stancyą, stół, pranie, dozorcę domowego, aptekę za zł. 463 gr. 10 na rok, i ci uczniowie stanowią konwikt wolny. Wszyscy konwiktorowie są pomieszczeni w domach mieszczan, koloniami pod osobnym dozorcą. Prefekt gimnazyalny robi z gospodarzami kontrakty i dotrzymania ich pilnuje, uwalniając rodziców od wszelkiego zatrudnienia“ [1]).

Na zakończenie dodamy, że każdy — pragnący dziecko swoje oddać do konwiktu wolnego — powinien „wyjednać dla niego świadectwo od Chirurga-Medyka, lub od Plebana, wreszcie od Zwierzchności Dworskiey, że ospę odbyło; gdyby zaś to dziecko ospy nie miało, tedy Gimnazium przy odbieraniu iego powinno być uwiadomione, aby natychmiast ospa krowia zaszczepioną została.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle.

---

[1]) Osiński: O życiu i pismach Czackiego (dodatki) 357.

Z PAMIĘTNIKA KONFEDERATA BARSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

V.

Nowy wezyr. — Niedostatek w wojsku. — Starania w Stambule. — Surowość Potockiego. — Rozruch w wojsku. — Powietrze. — Zasiłki pieniężne od wezyra. — Lokacya w Czernowodach w listopadzie 1770 r. — Sprawa Kossakowskiego.

„Przyszła wiadomość, że poprowadzono wezyra Mołdawandży do Stambułu. Zaraz sessyę złożono i wyprawiono na rezydencyę do nowego wezyra (Halil-paszy), ip. Zabilskiego i Kalińskiego, regenta kijowskiego, z powinszowaniem tego stopnia. Przyjął ten wezyr posłów, jako i każdy w początkach oświadczał ludzkość wielką, deklarował protekcyę. Mołdawandży paszę przyprowadzono do Stambułu, egzaminował go sam cesarz i wysłał na Jedykułę w więzienie na wyspy Antepeskie.

„Prawda, że kwatera nasza (w Warnie) daleką była od sposobów czynienia korespondencyi z ojczyzną, ale ze Stambułem bardzo było zręcznie, przy pomyślnym wietrze w godzin 24 stanąć można było. Mieliśmy tam ip. Lasockiego, rezydenta przy pośle francuskim już ulokowanego, marszałkowie miewali z nim częste korespondencye.

Po Nowym Roku, w dzień Trzech Króli 1770 r., doniesiono mu, żeśmy stanęli nad morzem i zalecono, aby starania dokładał w interesach ojczyzny publicznych [1]). Dopraszaliśmy się jw. w. szefów,

---

[1]) Pierwsza ekspedycya szefów barskich do Lasockiego z Warny miała miejsce 29. grudnia, przyczem przesłali mu memoryał o swoich potrzebach. Żądali zmiany lokacyi i zasiłków pieniężnych. Poprzednio zaś, jeszcze 10. grudnia wysłany był przez nich chorąży Czarnomski dla pilnowania ich interesów, nie dowierzali bowiem Lasockiemu, jako agentowi Wessla, działającemu na własną rękę. Czarnomski jednak nic nie zrobiwszy, wyjechał ze Stambułu 26. stycznia.

aby który z nich jechał do Stambułu, co łatwo być mogło i bez fermanów. Ip. marszałek miał już to przedsięwzięcie, ale podczaszy nie zezwolił, spokojniejszą mając głowę od wojska, póki pieniędzy stawało. Nareszcie wyszedł czas płacy wojsku, resztę pieniędzy ip. podczaszy wyekspensowawszy na publiczne interesa, nie miał czem wypłacić.

„Nastąpiła znowu karystya w połowie miesiąca stycznia. Konie w pole wygnać musieli, owo zgoła że już w wojsku czwarta część koni została.

„Wyprawili w środopoście do wezyra [1]) z dopraszaniem się pieniędzy, co łatwo otrzymali, bo i ten przysłał sto kies. Rozdane znowu na kwartai pieniądze. Do Stambułu wyprawili ip. Mrozowickiego, rekomendując go za rezydenta, a ip. Lasockiego, który sekretnych korespondencyi wymówił się z nimi trzymać, rewokowano do konfederacyi [2]). Wziął ip. Mrozowicki trzydzieści tysięcy, przybył

---

[1]) Znowu Kaliński był delegatem i długo siedział w obozie wezyra. Dnia 18. marca pisał do marszałków: „Niedziel 4 bawiąc się na miejscu w Babadag, ledwiem się doczekał pożądanego skarbu, z którego szafunek nim nastąpi, poprzedzające przez Tatara, jadącego z ekspedycyą do jw. posła francuskiego, czynię uwiadomienie, iż prócz tainowych pieniędzy, ma nastąpić jakowaś łaska wezyra imci, tylko wiedzieć nie mogę *determinate*, ponieważ jeszcze i ip. drogman nie jest upewniony. Atoli Bóg nadzieja, że za dni kilka będę pomyślnie ułatwiony, chyba z interesu koni, które tu bardzo drogie a na . . . trudne, zabawić się muszę jaki dzień; jednak przez wszelkie sposoby starać się będę o jaknajprędszy wyjazd. Dla bezpieczeństwa jednak pieniędzy, upraszam Jw. Pana, aby wczesny nastąpił ordynans do jw. podkomorzego ziemi halickiej, aby za uwiadomieniem mojem, przez lasy od Bałczyka komenderowanemi, przeprawił mnie do Warny." (Z kopii współczesnej).

[2]) Lasocki nie był jeszcze odwołanym, jak pisze pamiętnikarz. Ale Generalność, projektując wysłać do Stambułu wielkiego posła (księcia Karola Radziwiłła), chciała usunąć Lasockiego. Również szefowie barscy pragnęli innego osadzić rezydenta. W kwietniu 1770 r. Wessel pisał do Lasockiego: „. . . J'apprends dans ce moment que la Généralité pense à Vous rappeler, je doute de la verité de cette nouvelle. Quoiqu'il en soit, supposé que Vous deviez revenir, je Vous prie très instamement de brûler tous les écrits, que je Vous ai envoyé, et de n'en presenter aucun à la Sublime Porte . . . . et l'on m'a fait savoir que le motif de votre rappel est le mécontentement ou l'on est, de ce que Vous deviez leur communiquer. On prétend que le prince Radziwiłł et mr. Czerny, maréchal de Cracovie Vous remplacerout . . ." Odtąd też Generalność czynić poczęła starania o uzyskanie fermanu dla posła, mającego być wysłanym, a w maju przesłała w samej rzeczy szefom barskim instrumenta odwołania Lasockiego i polecenie, żeby Mrozowicki

z ekspedycyą do Stambułu, pokazał instrukcyą sobie daną, ale poseł francuski nie chciał akceptować, oświadczywszy, że już ip. Lasocki jest raportowany dworowi wersalskiemu, a co większa, p. Lasocki wszedł już w wiadomości interesów publicznych, które wielu osobom komunikowane być nie mogą. Zastał ip. Mrozowicki ip. Lasockiego chorego i stanął w stancyi jego. Poseł francuski przyszedł, obaczył, że tam stoi p. Mrozowicki, szafę z archiwum swoją przytwierdził pieczęcią. Dał p. Mrozowicki raport, że go nie akceptują na rezydencyą. Urażony ip. podczaszy rozkazał mu powracać. Chorążego zaś regimentu ip. podczaszego, ip. Zarębę, dla szpiegowania podobno czynności p. Lasockiego kazał zostawić, niby dla pomocy w ekspedycyach p. Lasockiemu, ale znać tam był niepotrzebny, bo w kilka dni po wyjeździe ze Stambułu p. Mrozowickiego zaraził się powietrzem i umarł.

„Był czas tak złoty starania w Stambule o dobro publiczne, który opuściliśmy. Póki pieniędzy stawało, od wezyra drugiego przysłanych, używali wesołych zabaw, parady (były) królewskie. Wojsko z żołdu tak szczupłego dokucza o sposób do życia, nie odbiera żadnej satysfakcyi, z ostatnich porządków żołnierskich powoli sprzedaje się i traci. Niepodobna, żeby nieukontentowani nie szemrali, a ip. podczaszy coraz większe urazy formuje, wysyła pomiędzy konsyliarzów skapitulowanych sobie, aby podsłuchiwali i donosili, gdzie co gadają o jego osobie, straszy kułami, kajdanami i więzieniem, i do tem większej prowadzi irytacyi wojsko. Składa nareście sądy hetmańskie, wydaje pozwy niecledwie połowie wojska, przypomina w pozwach jakieś fomenta w wojsku . . . .

„Zmyślił potem (podczaszy) chorobę, wyniósł się do ks. Nestoryanów i niedziel cztery układał projekta, przybrawszy konsyliarzów: ip. Mrozowickiego, porucznika pancernego, Chrzanowskiego, porucznika chorągwi grafa Sułkowskiego, Porczyńskiego, pisarza winnickiego, i Czetwertyńskiego, podkomorzyca bracławskiego. Ci opisali cudowne praktyki . . .

„Przedtem wyprawił był (podczaszy) do Generalności, mimo wiadomości marszałka generalnego, aby *per sancitum* od Generalności był umocowany na generalne regimentarstwo, tak nad konfe-

---

go zastąpił. Przytem Generalność „zażycie tych pism“ oddawała do woli i przezorności szefów barskich, a to „iżby zirytowany *per similia* ip. Lasocki więcej jeszcze przeciwko im nie determinował się . . . .“ *(Akta Generalności).* Odtąd też przerwane były stosunki Generalności z Lasockim, który bezpośrednio tylko z Wesslem korespondował.

deracyą w całej Koronie, jako i nad wojskiem, tak i nad wyprawami wszystkiemi. Łatwo zyskał, bo brane pieniądze od Porty hojnie na to szafował. Postawił zaraz kresy aż do kontumacyi z ludzi konfederackich. Korespondował ledwie nie co tydzień mimo wiadomości marszałka. Z tej przyczyny nastąpił rozruch w wojsku, poczęliśmy marszałka dopraszać, aby chciał się oprzeć i głębiej wchodził sam w interesa publiczne. Zawsze nas z tem ip. marszałek zbijał, że niech ip. podczaszy pisze, wiem, że interesu ojczyzny nie popsuje, mnie zaś nikt nie pokłóci z ip. podczaszym. Cierpiał tenże szef wiele od podczaszego.

„Gdy staliśmy w Warnie, od św. Jana powietrze wszczęło się. Marszałek z konsyliarzami niektórymi wybiera się w pole, czyniono przeszkody. Podczaszy pisze list do marszałka z wojska, aby nie ruszyli się z Warny, namawia doktora swego, aby pisał list do marszałka, że nie będzie to zdrowo w polu stać, upały większe przyniosą symptomata zarazy. Marszałek postrzega nieżyczliwą radę, wychodzi i staje pod Derwentą, gdzie prawe skrzydło stało pod komendą ip. Sałackiego, szwadronisty chorągwi husarskiej ip. Mniszcha, jenerała wielkopolskiego. Zastaje w wojsku rozruch przeciwko podczaszemu. Doprasza się wojsko, aby było uwolnione od uroczystej przysięgi, oświadcza, że wolą wszyscy wyginąć w tym marszu a ruszyć się, niżeli na coraz większe patrzeć ojczyzny i wojska nieszczęśliwości. Umitygował ich marszałek i rozdał pieniądze swoje na miesiąc dla wojska. Bardzo martwiło podczaszego, że wojsko przywiązańsze do osoby i pierwszeństwa ip. marszałka.

„Wyprawiono potem do Machmeta wezyra ip. Kalińskiego dla pieniędzy i fermanu do wyruszenia w ojczyznę. Czekaliśmy niedziel ośm rezolucyi w wielkiem umartwieniu raz, że w dywizyach zaczęło nam wyrywać ludzi powietrze, którego żadną miarą uchronić się nie można było, bo w około po wsiach, pod któremi staliśmy, okrutnie grassowało.

„I mnie się tego dostało nieszczęścia z Czetwertyńskim Janem, pułkownikiem milicyi bracławskiej[1]), z którym przy marszałkowskim staliśmy namiocie. Człowiek, gotujący nam kaffę, zachorował i taił w sobie słabość. Nalewał kaffy, gdzie i ip. marszałek, wszedłszy w mój namiot, pił też kaffę, potem przyznał się, że chory, ale nie wie na co. Kazałem mu pójść na bok od wojska i szałas mu

[1]) Będzie to zapewne Janusz Czetwertyński, syn Świętosława, który zginął od hajdamaków, a synowiec Aleksandra, podkomorzego bracławskiego, rezydenta konfederacyi przy Krym-Gireju.

postawiono. Posłałem felczera, aby go zrewidował, już znalazł na nim znaki powietrza. Kazałem raportować marszałkowi i odebrałem rezolucyę, abyśmy z Czetwertyńskim szli w pole. Ten człek umarł drugiego dnia. My musieliśmy stać niedziel cztery na kontumacyi. Bóg nas ocalił i czeladź naszą, ale pod chorągwiami wymarło kilku ludzi. Bóg osobliwsze miłosierdzie swoje pokazał nad marszałkiem, bo wśród warty, która była złożona z szeregowców komputowych przy ip. marszałku, jeden z żołnierzy zachorował. Ip. marszałek widząc, że słaby, kazał go zluzować, sam położył się spać na posłaniu, które na ziemi leżało pod ścianą kostejki. Nieostrożny kapral nie kazał choremu żołnierzowi iść do chorągwi, ale kazał mu się położył spać, patrząc na jego twarz czerwoną, zrozumiał, że był człowiek napity. Ten położył się za kostejką, przy samym marszałku, który głową i sobą samym tykał się tylko przez jedną pilśń ip. marszałka. Słyszał ip. marszałek, że go trąca leżący za ścianą, ale przez naturalną kompassyę nad ludem usuwał mu się, rozumiejąc, że dla wczasu ktoś położył się. Gdy przyszedł dzień, tego człeka wzięto i zaprowadzono do szałasu, a w wieczór skończył życie.

„W tych bojaźniach i troskach przepędziliśmy kilka niedziel, aż powrócił ip. Kaliński od wezyra. Przywiózł sto kies na drogę wojsku i ferman, abyśmy ruszyli do Ruszczuka i przeprawiwszy Dunaj, łączyli się z seraskierem Rumelii jeszcze w Bukareszcie.

„Ip. podczaszy, utrzymując swoje przedsięwzięcie, bierze trzydzieści kies. Z tych pieniędzy rozporządza, aby wojsko szło do Czernowody pod Ruszczuk, łączy wojsko wszystkie komputowe i konfederacyę kod komendę ip. Mrozowickiego, wyznacza komendę na asystencyę ip. marszałkowi, milicyę kijowską, komendę pułku ordynackiego Bogdanowicza, chorągiew p. Jasińskiego i Piątkowskiego, mnie polecając nad nimi komendę. Ale że ja kontumacyi nie wysiedziałem, łączyć się nie mogłem z wojskiem, więc ip. Grocholskiemu, porucznikowi chorągwi białej ordynackiej, ip. marszałek dał komendę. Ip. Mrozowicki, subalterna-regimentarz, widząc zawziętość ip. podczaszego ku Grocholskiemu, dał ordynans p. Jasińskiemu, aby temi komenderował ludźmi.

„Ruszyliśmy w trzy niedziele po dniu zadusznym, podczaszy do wezyra, a my do Czernowody. Uśmierzył Bóg w tej podróży powietrze. Stanęliśmy w Czernowodzie, czekaliśmy więcej dwóch niedziel na ip. podczaszego w gotowości przeprawienia się za Dunaj, ale ten, stanąwszy u wezyra sposobem dla Turków przyjemnym, prosił najpierwiej wezyra o odmianę fermanu, ale że był odmówiony, hojnie szafował temi trzydziestu kiesami pieniędzy, które wziął z sobą.

Skaptował ministeryum, zwyciężył wezyra ułożenie i wyrobił ferman, abyśmy w Czernowodach zimowali, w ten sens napisany: Daję ten ferman jw. Potockiemu, marszałkowi i regimentarzowi generalnemu, aby miał zimową lokacyę w Czernowodach z kolegą swoim i konfederacyą, w jego komendzie będącą. Osiedliśmy na zimę w Czernowodach (w listopadzie 1770 r.).

„Zaszła tam także kwestya z ip. Kossakowskim, który był przybył do wojska do Kopanki. Ten kawaler obrany był regimentarzem w Litwie, pojechał do Saksonii, tam opowiedział, że jedzie do konfederacyi barskiej do Turek. Najjaśniejsza elektorowa saska miała mu dać trzydzieści i kilka tysięcy talarów, dała prezenta znaczne i szacowne na wsparcie interesu publicznego. Miał mieć ekspedycyę do wezyra. Nic nie oddał konfederacyi. Wyjechawszy z Kopanki, kwatery naszej natenczas będącej, do Chocimia, złączył się z seraskierem Rumelii-paszą, gdzie i ip. podczaszy z nim był. Zostali obleżeni od Moskwy, miał Kossakowski u tego paszy swoje poważanie, co ip. podczaszego mocno nie kontentowało. Potem jak nastąpił wezyr drugi, Mołdawandży, już po odstąpieniu Moskwy od Chocimia szedł Kossakowski z tym wezyrem aż za Dunaj i nie referując się już do konfederacyi, osobno odłączył się i z ip. Orańskim i Kożuchowskim wyjechał do Węgier. Wyprawiono potem ip. Suchodolskiego, konsyliarza lubelskiego [1]), do Generalności a potem do Saksonii, gdzie ip. Kossakowskiego zastał. Oddał tenże ip. Suchodolski od konfederacyi barskiej ekspedycye. Urażona została najjaśniejsza elektorowa na ip. Kossakowskiego, kazała mu wyjechać z Drezna, nie widząc się z nim...“

Wspomniany tu Szymon Kossakowski, podczaszy kowieński, późniejszy za konfederacyi targowickiej hetman wielki litewski († w Wilnie 1794), zostawał pod tę porę w ścisłych stosunkach z królewiczem Karolem saskim, z którym bronił Mitawy w 1763 r. i którego elekcyę na tron polski popierał w roku następnym. W pierwszych początkach konfederacyi stanął w szeregach związkowych, na czele dość licznego oddziału uganiał się po Litwie i zasłynął

---

[1]) Ignacy Suchodolski przysięgał na konsyliarstwo lubelskie 30. grudnia 1769 r. Pod niebytność jego w kraju obrano dwóch konsyliarzy, którzy zasiadali w radzie generalnej. Że zaś na mocy sancytów Generalności województwo lubelskie dwóch tylko mieć mogło konsyliarzy, a Suchodolski, przyjechawszy z Turcyi, pretendował o miejsce w radzie, Generalność na sesyi 20. kwietnia 1770 r. sprawę tę dla braku czasu odłożyła, zapisując tylko w protokołach ostrzeżenie *juris ac petiti* Suchodolskiego.

jako jeden ze znakomitych partyzantów. Rozbity, przerżnął się do Turcyi, gdzie brał udział w wojnie turecko-rossyjskiej i razem z Potockim był w Chocimiu w czasie oblężenia tej fortecy.

Czynny i przedsiębiorczy, rwał się do pracy publicznej, lecz ambicyi niepomiernej, zaraz się poróżnił z szefami barskimi, nie chcąc władzy ich uznawać, intrygował przeciw nim u władz tureckich, podkopując ich powagę a siebie tylko na pierwszy plan wysadzając. Cała akcya jego w Turcyi, określona przez naszego pamiętnikarza słowami: „miał mieć ekspedycyę do wezyra“, a która taką wrzawę w swoim czasie narobiła, nie jest dość wyjaśnioną, a nawet najsprzeczniejsze o niej spotykamy podania w pismach współczesnych, często też czytamy sądy o Kossakowskim, graniczące z zupełnem potępieniem. Szefowie barscy radzą Generalności, aby się go wystrzegała, biskup Krasiński swoim zwyczajem najdobitniejszych używa epitetów, aby go potępić; Generalność, zrazu pozyskana przez Kossakowskiego, usuwa go później; w Dreźnie przez posła konfederacyi, Rostworowskiego, robią się starania, aby obalić kredyt jego u dworu, ku czemu przyczyniają się także listy Saint-Priest'a, posła francuskiego w Stambule. Wessel tylko, jako przeciwnik obu szefów barskich, bardziej pobłażającą wyraża opinię o Kossakowskim, podziwiając jego zręczność dyplomatyczną.

Niewątpliwie Kossakowski, którego stosunki z dworem saskim były znane, jadąc do Turcyi, mieć musiał jakieś tajne polecenia z Drezna do dostojników tureckich. Poróżniony z Potockim i Krasińskim, na własną rękę działać zaczął i dzięki swej zręczności, jako też przekupstwu, hojnie szafując powierzonemi mu pieniędzmi, znalazł sposoby pozyskania ufności i powolności wezyra, oraz najwyższych dostojników tureckich i za plecyma szefów barskich, rezydenta konfederacyi i posła francuskiego w Stambule, uzyskał pisma oficyalne dywanu tureckiego do konfederacyi i do dworu saskiego, sam zaś wysoko odznaczony, dostał kaftan honorowy i bogate dary. Owe pisma, zwane „ekspedycyą od wezyra“, były dość ważne. W protokołach Generalności znajdujemy pod datą 20. kwietnia 1770 r. poświadczenie, wydane Kossakowskiemu, na złożenie „dwóch listów wezyrskich, jednego do prowincyi koronnej, drugiego do prowincyi litewskiej, *in originali* pisanych z kopiami onych, oraz memoryału przez siebie (podanego) razem z punktami instrukcyi swojej od wezyra imci“ [1]). Wraz z Kossakowskim przybył był do Preszowa jakiś

[1]) Akta Generalności, sessya z d. 20. kwietnia 1770 r.

Turek, który miał towarzyszyć wysłannikom Generalności do dalszego traktowania z dywanem tureckim [1].

O przywiezieniu przez Kossakowskiego pism tych Generalność uwiadamiała szefów barskich listem z dnia 24. kwietnia 1770 r., pisząc:

„... Wimć pan Kossakowski, podczaszy kowieński, przywiozłszy z sobą dwie deklaracye, *favore* koronnych prowincyi jedną, litewskiej drugą, od Dywanu, jako twierdził, wydane. Te jako są miłem prawdziwej między Portą a nami przyjaźni, świadectwem i dowodem, tak do akt naszych ochoczo przyjąwszy i nieodłączoną ich w narodzie publikacyą przyspieszyć, nie zaniedbując oświadczenia winnej ztąd wdzięczności przywożącemu ip. podczaszemu, odmówić nie mogliśmy i ochoczo onę oświadczyliśmy“ [2].

W innych pismach współczesnych dopełniające znajdujemy objaśnienia co do owych skryptów tureckich. Wessel w piśmie do Lasockiego zawiadamiał go, że Kossakowski przywiózł objaśnienie nowego wezyra co do owej deklaracyi (z 21. czerwca 1769 roku), o „poprawienie“ której czynione były dotąd bezskutecznie starania przez Lasockiego i przez posła francuskiego. Pismo to wezyra zachęcało zarazem do ogłoszenia bezkrólewia. Nadto miał jeszcze Kossakowski inną deklaracyę Dywanu tureckiego do dworu saskiego. Tu mieścić się miała propozycya Porty ścisłego przymierza z Saksonią i obietnica tronu polskiego dla elektora. Wessel pisze, że wszystkie te deklaracye opatrzone były pieczęciami i podpisami, a sam widział deklaracyą dla Saksonii w worku ze złotolitej materyi. Gdyby dwór saski w prędkim czasie nie powziął w tej sprawie decyzyi, Kossakowski odwieść miał na powrót Porcie rzeczony dokument [3].

W ślad za Kossakowskim wysłane były z Turcyi od szefów barskich missywy do Generalności i do dworu saskiego, wystawiające nielegalność kroków jego u Porty. Saint-Priest sygnalizował dworowi saskiemu, że Kossakowski zawiódł ufność i dobrą wiarę wezyra, że tak samo chce podejść Generalność i gabinet drezdeński, obiecywał bowiem wezyrowi, że za przybyciem jego do Drezna wyjdzie z Saksonii czterdziesto-tysięczny korpus przeciw Rossyanom [4] i niewątpliwie, aby dostać rzeczone pisma, musiał obiecywać Turkom rzeczy nadzwyczajne.

---

[1]) List Wessla do Lasockiego z dnia 9. maja 1770 r.
[2]) Akta Generalności, sessya 24. kwietnia 1770 r.
[3]) Listy Wessla do Lasockiego z 9. maja 1770 r.
[4]) Listy Wessla.

Ze swojej znów strony szefowie barscy, jak czytamy w dyaryuszu, wysłali z „ekspedycyą“ Suchodolskiego, który wiózł skargi na Kossakowskiego do Generalności i do Saksonii. Przybył on do Preszowa na drugi dzień po przedstawieniu skryptów tureckich przez Kossakowskiego. Odtąd też Generalność inaczej się na tę sprawę zapatruje, co też wyłuszcza w piśmie do Kazimierza Wielhorskiego, posła konfederacyi w Paryżu:

„... Imć pan Kossakowski, podczaszy kowieński, z prowincyi litewskiej obywatel, od żadnej *prorsus* zwierzchności nie będąc *legatisatus*, zjechawszy do Turek i jako nas dokładnie nauczają wiadomości, z jww. marszałkiem i regimentarzem skłóciwszy się, nawet ludzi wojskowych acz w małej liczbie przy nich będących, nieskutecznie fomentowawszy, przykremi kolorami te pierwsze w konfederacyi generalnej osoby u Porty opisał, sam zaś przez nieprzeniknione nam dotąd sposoby trzy deklaracye tureckim *in originali* charakterem i który na jegoż słowo tylko kopiom wierzymy, wyrobił i przywiózł; z nich jedna do prowincyi koronnych, druga do prowincyi litewskiej z zapewnieniem szczerej i nieodmiennej przyjaźni, z przyrzeczeniem pomocy przeciw Rossyi, słowem *conformiter* do deklaracyi *primitive* w początkach konfederacyi wydanej z sobą przywiózł; nie zamyślamy się w tem miejscu nad pożytkiem takowej deklaracyi, która, jak prędko z prywatnym i niecharakteryzowanym zawarta, wielkich obiecywać nie może skutków: nakoniec gdy nie jest nic więcej jako ponowienie zaszłej, lecz szczególnie przezieramy w tem publiczną krzywdę, która przez uwleczenie winnej szefom naszym powagi, przykre za sobą ciągnąć może konsekwencye, mimo drugą ztąd wynikającą bojaźń, iż jak prędko partykularnym osobom Rzpltej imieniem traktować wolno będzie, tak koniecznie w nieporządku zamieszania i nieomylnego *pro publico* niebezpieczeństwa spodziewać się potrzeba ...“ Następnie żali się Generalność, że tenże Kossakowski „znalazłszy przystęp do jo. księcia wojewody wileńskiego (Karola Radziwiłła), zupełnie na poselstwo do Turek determinowanego, *ignoto fine* w podróż do Pragi radę swoją, *uti firmiter supponitur*, determinował...“ i wyraża się ztąd „biorę suspicyę względem tajemnych jakowychści, których dotąd odkryć nie mogliśmy ip. Kossakowskiego intryg i zuchwalszej niż na prywatnego obywatela przystoi ambicyi ... Również ganiła Generalność wmięszania imienia elektora do tych kabał Kossakowskiego ... „Przywieziona przez imćpana Kossakowskiego deklaracya, według tegoż prywatnej i publicznej powieści, ma być *favore* naszego elektora imci z naznaczeniem go do tronu wydaną. Zważysz Jw. Pan łatwo, z jaką

przykrością znosić nam podobne inkonweniencye przychodzi i któż wie, gdybyśmy w granicach *ac per consequens* w zupełności legalnej naszej juryzdykcyi znajdowali się, czybyśmy nie wzięli przed się środków *contra simile attentatum* przyzwoitych, bo chociaż wszystkich nas wszakże do tegoż celu najbliżej skłonione zdają się być intencye. Chociaż w instrukcyach jw. posłów żądana krew saska, oświadczając najpodobniejszym sposobem najjaśniejszego elektora wyznaczać zdawaliśmy się, chociaż dworu wersalskiego, ile dotąd poznawać wolno, do tegoż końca zmierzać zdają się intencye, przecież zawsze z postępku jw. ip. Kossakowskiego wielkie wynika *inconveniens:* 1-mo) Znakiem jest zuchwałym, nad stan swój w takie wchodzić determinacye, które nigdy partykularnym, lecz szczególnie samej Rzpltej są dozwolone. 2-do) Komunikowanej w początku związku naszego konfederacyi, między najjaśniejszą elektorową imcią wdową a królem pruskim wbrew być się zdaje, gdzie ostatni *per expressam* ostrzega, że w interesa polskie wdawać się nie chce, póty ścisłą neutralność zachować pragnie, pókiby którykolwiek z sąsiadów gwałtem nowego nie wkładał króla. 3-tio) Niedość bezpieczna zamiana uzurpowanej dotąd do elekcyi naszych, rossyjskiej influencyi na podobnąż dworu stambulskiego. Tę więc kagoryą rozmyślnie szerzej eksplikowaną Jw. Panu mieć chcieliśmy, żeby *in occurentibus* własnych negocyacyi *pro prudentia* zażyć możnaby" ...[1]).

Takiejże samej treści list wysłano również do Franciszka Rostworowskiego, posła konfederacyi w Dreźnie, dodając nadto, iż Generalność zaniepokojoną była, aby pisma, idące przez Drezno, „przypadkiem jakim tegoż ip. Kossakowskiego nie podpadły ciekawości" [2]).

Gdy zaś w tymże czasie Generalność wyprawiła Zielińskiego, konsyliarza dobrzyńskiego, do szefów barskich dla porozumienia się w różnych sprawach, postanowiono na miejscu najdokładniejszych zasięgnąć informacyi. W instrukcyi też, spisanej natenczas Zielińskiemu (30. kwietnia 1770 r.), czytamy między innemi:

„Zjechał tu do nas jw. pan Kossakowski, podczaszy kowieński, jakie do kancelaryi naszej złożył deklaracye i memoryały, komunikować będzie jw. ablegat. Nie wchodziliśmy w legalność jego charakteru, *qua autoritate* one otrzymał, zapatrując się szczególnie na zysk, może tem żywiej ruszyć i zagrzać się mogącego narodu. Nie ubliżylibyśmy podobno dorównywającego za tę usługę wdzięczności oświadczenia jemu, ale punkt memoryału jego, że to wszystko nie-

[1]) Akta Generalności, sessya 24. kwietnia 1770 r.
[2]) Tamże.

tylko bez pomocy, ale mimo sprzeciwienia się Jwm. Panów czynił i dopełniał, dostateczny był nader i do stracenia z nami wszelkiej poufałości i nawet nieodwłocznego w tej mierze ostrzeżenia rezydujących posłów naszych, jw. Wielhorskiego, kuchmistrza w. ks. lit. przy dworze wersalskim, i jw. Rostworowskiego, starostę żytomierskiego przy dworze drezdeńskim. Obligujemy więc jw. panów, ażebyście nieodwłocznie najdostateczniejszą nam przysłać rozkazali informacyą względem postępków rzeczonego ip. Kossakowskiego i wszystkich okoliczności w tej mierze konexyą mających, tak iżbyśmy gruntownie *eo tenus* przeświadczeni, nietylko zapobiegać dalszym intrygom, ale nawet naród przestrzedz mogli" [1]).

Z pism tych widzimy, jaka burza zebrała się była nad głową Kossakowskiego. Wprawdzie w skryptach, które wyrobił w Turcyi, mieściły się deklaracye, o które dawno dobijano się u Porty, ale pisma Generalności dokładnie wyłuszczają pobudki, dla których działalność Kossakowskiego potępioną była. Nie lepiej mu się powiodło w Dreźnie, dokąd pojechał z Preszowa. Widocznie ratując zagrożoną swą pozycyę, pobiegł z Drezna do Monachium, gdzie wówczas znajdował się królewicz Karol saski, wracający z Paryża, ale tu już braknie nam wskazówek, jak był przyjęty i jak zapatrywano się na owe propozycye Porty przymierza z Saksonią. Powróciwszy z Monachium, Kossakowski, przebywszy ciężką chorobę w Dreźnie, zjawił się znowu w Preszowie, ale już na krótko. Ścigany dekretami Generalności, potępiającymi jego czynności, udał się do wojska na plac boju, wydając kolejno liczne manifesta publiczne, w których bronił się przeciw rzucanym nań oskarżeniom. Powodzenie jednak w gromadzeniu oddziałów i pomyślne walki z nieprzyjacielem, pozyskały dlań wkrótce przychylność tejże samej Generalności, która powierzyła mu później znaczniejszą komendę i dawniejsze dekreta unieważniła.

(Dokończenie nastąpi).

KAZIMIERZ PUŁASKI.

---

[1]) Akta Generalności, sessya 30. maja 1770 r.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część trzecia.

(Ciąg dalszy).

II.

Człowiekiem, który nie z jednego pieca chleb jadał, w dosłownem tego pojęcia znaczeniu, był bez wątpienia Ernest Bogumił Kortum, jeden z najwybitniejszych dygnitarzy galicyjskich, zasłużony administrator dóbr kameralnych, właściciel po dziś dzień istniejącej Kortumówki, tudzież autor bezimiennie wydanych dzieł, p. t. *Magna Charta von Galicien* i *Über Judenthum und Juden.* Kolebka Kortuma stała w Bielsku, na Szląsku austryackim, gdzie w dniu 22. sierpnia 1742 roku ujrzał światło dzienne i początkowe odebrał wykształcenie. Uczył się następnie w Cieszynie i w Królewcu, by po ukończeniu studyów prawniczych w tamtejszym uniwersytecie wstąpić w tem mieście w służbę sądową jako referendarz. W roku 1771 widzimy Kortuma radcą dworu w rządzie księstwa szlezwicko-holsztyńskiego, zaś w dwa lata później przeniósł się on do Warszawy i przez lat dziesiątek pełnił obowiązki sekretarza przybocznego Stanisława Augusta. Wówczas to poznał go Hagen, który scharakteryzował następnemi słowy osobistość Kortuma: *Hier fand ich einen Freund. Es war der geheime Staatssekretär des Königs und hiess Kortum. Der Mann war dazumal vor ungefähr einigen zwanzig Jahren, ein Originalkopf und ein wahres Lexikon. Er konnte beinahe alle europäische Sprachen fertig sprechen, verstand Musik und spielte die Harfe mit Gesang meisterhaft. So gross er in Sprachen war, ebenso gross war er als Jurist.*

Kiedy Kortum porzucił dwór warszawski, by wejść w służbę austryacką w Galicyi — tego z całą dokładnością oznaczyć nie mo-

żemy. Biografowie jego z drem Wurzbachem na czele kładą datę przybycia Kortuma do Lwowa na rok 1785, lecz twierdzenie to nie wytrzymuje krytyki wobec faktu, przywiedzionego przez profesora Ludwika Finkla w *Historyi Uniwersytetu lwowskiego*, iż Kortum uczestniczył osobiście w ceremonii otwarcia tego instytutu. Akt ów odbył się — jak wiadomo — w dniu 16. listopada 1784 r. i Kortumowi przypadł w udziale zaszczyt odczytania aktu fundacyjnego nowego uniwersytetu. Z wszechnicą lwowską łączył go też trwalszy na przyszłość stosunek, gdyż powierzono mu referat spraw uniwersyteckich. Właściwą wszakże sferą działalności Kortuma była i pozostała administracya państwowa. Jako radca gubernialny był on zrazu drugim dyrektorem c. k. zarządu salinarnego, *(k. k. Salzwesendirection)*, a następnie zamianowany radcą dworu objął naczelne kierownictwo domen i salin galicyjskich, *(Domänen und Salinen Administration)*. Rozległe dobra kameralne, rozrzucone na całej przestrzeni kraju, zawdzięczały bardzo wiele ulepszeń energii Kortuma, podobnie jak saliny i lasy rządowe, w których pierwszy zaprowadził racyonalną gospodarkę. Zdolny prawnik, lecz cierpki i szorstki w obejściu, politykiem nie był Kortum nigdy, lubo w r. 1809, w dobie niezmiernie burzliwej, przyszło mu stanąć na czele lwowskiego gubernium. Olbrzymia wiedza, trzeźwy rozsądek, pewność siebie i piękna wymowa zapewniły mu i poza obrębem stosunków urzędowych wybitne stanowisko w towarzystwie lwowskiem. Również ważną odegrywał Kortum rolę wśród miejscowego wolnego mularstwa, tworzącego lożę *Zum Biedermann*. Masonię scharakteryzował on jako pośredniczące ogniwo pomiędzy religią a prawem, pomiędzy biblią a kodeksem, uważając formy i symbole masońskie, jako zbędne dekoracye.

Pod koniec życia zdziwaczał potroszę pan hofrat, usunąwszy się do swej posiadłości podmiejskiej, uroczej Kortumówki, gdzie bawił się ogrodnictwem. Żydów nie cierpiał i nawet na dziedziniec jego domostwa wstęp starozakonnym był wzbroniony. Zmarł Kortum w dniu drugim lutego 1811 roku we Lwowie, a ponieważ nie pozostawił potomstwa, ani bliższej rodziny, przeto posiadłość jego wystawiono na publiczną sprzedaż. Właściwie posiadał Kortum pod Lwowem dwa folwarki. Pierwszy z nich, dzisiejsza Kortumówka, nazwany przez właściciela *Friderikenhof*, był wcale okazałą rezydencyą. Prócz wielkiego, jednopiątrowego domu mieszkalnego istniały tamże: drugie domostwo, stajnie, wozownie oraz inne gospodarskie budynki. W koło rozciągał się starannie utrzymany ogród owocowy oraz spacerowy wraz z małą winnicą, oranżeryą i domkiem ogro-

dnika. W sadzie liczono przeszło dwa tysiące drzew owocowych. Nadto należało do *Friderikenhofu* kilkanaście morgów pola ornego, łąki i lasu w łącznym obszarze trzydziestu czterech morgów. Drugi folwark Kortuma istniał za Janowską rogatką i prócz budynku dla zarządcy obejmował przeszło dziewięćdziesiąt morgów roli.

W wolnych od zajęć urzędowych chwilach bawił się Kortum piórem, a rezultatem jego autorskiej działalności były wspomniane już poprzednio publikacye, powstałe pod wpływem współczesnych wypadków i prądów polityczno-społecznych. Że Kortum a nie kto inny był autorem zarówno dziełka, wydanego w Jassach w r. 1790, p. t. *Magna Charta von Galizien*, jakoteż ogłoszonej w pięć lat później w Norymberdze rozprawy o żydach — o tem świadczą wyraźne wzmianki Kaysera i Schultesa. Pierwszy w znanej swej bibliografii, (*Vollständiges Bücher-Lexicon — Leipzig 1835*), w tomie trzecim wymienia Kortuma jako autora w mowie będących dzieł, a toż samo czyni dr. Schultes w swych „Listach galicyjskich“, pisząc o Lwowie. Zwie on Kortuma „sławnym“ z powodu rozprawki o żydach i dzieła *Magna Charta.* Mylnem jest przeto twierdzenie, wyrażone przez Kalinkę w *Sejmie Czteroletnim* a powtórzone przez profesora Starzyńskiego w *Projekcie galicyjskiej Konstytucyi*, jakoby autorem *Magna Charta* był Franciszek Kratter, twórca głośnych „Listów o obecnym stanie Galicyi“.

W szczegółowy rozbiór książki *Magna Charta von Galizien* wdawać się nie będziemy, gdyż i ściśle polemiczny charakter tej rozprawy i ton namiętny, w jakim autor przemawia, nie przedstawiają obfitszego materyału pod względem pozytywnych o naszym kraju oraz o współczesnych stosunkach wiadomości. Rozważyć wszakże musimy i dobę dziejową, w której książka owa się pojawiła oraz cel jej wydania.

Rok 1790 pamiętnym będzie na zawsze w dziejach Galicyi, która wobec gotującego się w macierzystej Rzeczypospolitej dzieła konstytucyi majowej nie pozostała obojętnym świadkiem. Już w styczniu t. r. gubernator galicyjski, Józef hr. Brigido, w raporcie, słanym do tronu, zwracał uwagę władzy naczelnej na niezadowolenie, jakie ogarnęło ogół ludności tej prowincyi pod wpływem reformy Józefińskiej, a zarazem wskazywał na niebezpieczeństwo powstania w kraju, na wypadek, gdyby przyszło do wojny między Austryą a sprzymierzoną z Prusami Rzecząpospolitą. Przewidywania sędziwego gubernatora nie były mrzonką, gdyż stronnictwo patryotyczne, zyskujące corazto większą przewagę w sejmie warszawskim, dążyło jawnie i otwarcie do przymierza z Prusami, zaś w październiku

1789 roku zakomunikował marszałkowi sejmowemu, Małachowskiemu, rząd berliński projekt odzyskania Galicyi bądź to drogą dyplomatyczną, bądź też za pomocą wojny. Małachowski, tudzież Ignacy Potocki gorąco zajęli się tą myślą, używając do porozumienia się z obywatelstwem galicyjskiem Ignacego Morskiego, który, jako były oficer armii austryackiej oraz jako posiadający dobra po obu stronach kordonu, mniej zwracał na siebie uwagi ze strony władz cesarskich. Morski wywiązał się należycie z powierzonej mu misyi i po upływie kilku tygodni powrócił do Warszawy, przywożąc wiadomości o rozdrażnieniu, panującem wśród ludności galicyjskiej, o wzmacnianiu załóg we Lwowie i w Zamościu, wreszcie o poleceniu rządowem, dotyczącem wywozu znaczniejszych sum pieniężnych z kas publicznych. W ślad za Morskim przybyła do Warszawy deputacya galicyjska dla ułożenia się z dworem berlińskim. Żądania jej, przedłożone za pośrednictwem Lucchesiniego rządowi pruskiemu, nie zostały wprawdzie uwzględnione, gdyż król Fryderyk Wilhelm nie chciał się układać z obcymi poddanymi, ale gorzką tę pigułkę starał się Lucchesini deputatom osłodzić, zapewniając ich, że wszystko zależy od zawarcia traktatu Rzeczypospolitej z jego panem. Toż samo i Małachowski nie mógł dać deputacyi stanowczego zapewnienia, że odzyskanie Galicyi tworzyć będzie jeden z głównych punktów traktatu pruskiego. Rokowania te jakkolwiek nie rozwiały nadziei Galicyan, to jednak ściągnęły na siebie ostrą krytykę partyi królewskiej, zwącej owe plany awanturniczym projektem. O konferencyach grudniowych doszła niebawem wiadomość do Stackelberga, który nie omieszkał jej udzielić rezydentowi austryackiemu, de Cachè. Rzecz naturalna, iż de Cachè pospieszył co rychlej zawiadomić kanclerza Kaunitza o knowaniach warszawskich, skutkiem czego pomnożono załogi galicyjskie o świeżych szesnaście batalionów. Deputaci galicyjscy na wyjezdnem z Warszawy otrzymali instrukcyę, by zachowali się spokojnie i z cierpliwością wyczekiwali dalszych wypadków.

Wieść o zawarciu w dniu 31. stycznia 1790 r. aliansu prusko-tureckiego podziałała podniecająco zarówno na patryotów warszawskich, jako też na stan umysłów w Galicyi. Skorzystał z tego przebiegły Lucchesini i wysunął sprawę galicyjską na porządek dzienny. Za jego inicyatywą powstał tajny komitet w stolicy, mający za cel wywołanie w Galicyi powstania z chwilą wybuchu wojny austryacko-pruskiej. Mówiono o zawiązaniu w Chełmskiem konfederacyi pod laską jednego z Potockich, któraby na wieść o rewolucyi przekroczyła kordon galicyjski, o pomocy pieniężnej Prus na cele uzbrojenia konfederatów, a pisarz koronny, Rzewuski, zorganizował

we Lwowie tajny komitet rewolucyjny, do którego między innymi należeli: biskup przemyski, Gołaszewski, Niezabitowski i mecenas Józef Dzierzkowski.

Za sprawą owego komitetu udała się do Wiednia deputacya celem powitania nowego władcy, Leopolda II., który w lutym t. r. osiadł na tronie Habsburgów. Deputatów, w których gronie znaleźli się Józef Maksymilian Ossoliński, ks. Stanisław Jabłonowski, Mikołaj Potocki i Jan Batowski, przyjął monarcha w pierwszych dniach kwietnia nader życzliwie, nie szczędząc łaskawych obietnic. Jakoż rząd nie zwlekał z czynieniem ustępstw na rzecz kraju. Zawieszono patent urbaryalny, zniesiono podatek rustykalny, wrócono biskupom część należnej im władzy, zapowiadano nawet zwołanie sejmu stanowego. Ośmieleni tą powolnością, postanowili patryoci warszawscy stworzyć we Lwowie jawną reprezentacyę narodową, któraby dawała wskazówki przebywającym w Wiedniu deputatom. W kwietniu t. r. dokonano we Lwowie wyboru komisyi pełnomocnej, z trzydziestu członków złożonej, której upoważnienie do działania podpisało przeszło pięć tysięcy obywateli, osiadłych w Galicyi, podczas gdy w Warszawie podpisywali rzeczone pełnomocnictwo ziemianie, posiadający dobra pod austryackiem panowaniem. Posiedzenia komisyi pełnomocnej, rozpoczęte w drugiej połowie maja, odbywały się pod przewodnictwem biskupa Gołaszewskiego w kamienicy arcybiskupiej w rynku. Przebieg obrad był spokojny, bez fanfaronady — jak pisze w jednym z swych listów, słanych do Ossolińskiego, mecenas Dzierzkowski; o rozpoczęciu czynności komisyi zawiadomiono gubernatora, hr. Brigido, przez osobno deputacyę. Goręcej brała się do sprawy szlachta, na prowincyi osiadła, która przypomniawszy sobie sejmikowe tradycye, chciała tworzyć komitety obwodowe, mimo perswazyi ze strony lwowskiej komisyi. W maju deputacya wiedeńska, której skład pomnożyli w tym czasie: Jan hr. Bąkowski i Piotr Zabielski, uzyskała ponownie posłuchania u Dworu, podczas którego doręczyła Monarsze adres, zredagowany w języku francuzkim.

Akt ten, noszący datę dwudziestego trzeciego kwietnia t. r., obejmował, prócz obszernego *exposè* pióra Ossolińskiego, wyrażone w pięćdziesięciu trzech ustępach życzenia i skargi narodu. Ta ostatnia część memoryału powstała za wspólnem porozumieniem z komisyą lwowską i nie bez współdziałania komitetu warszawskiego.

Exposè, prócz ogólnych oświadczeń o wierności i przywiązaniu Galicyan wobec Korony, wyrażało skargę mieszkańców z powodu ekonomicznej ruiny kraju. Zmniejszanie się ludności, brak gotowizny w kraju, obniżenie wartości majątków ziemskich, skutkiem upadku

rolnictwa, i nadmiernie wysoka stopa podatkowa, pożerająca wszystkie dochody — oto były najgłówniejsze powody zażalenia, które w dalszych ustępach zawierało też skargi politycznej natury, jak: usunięcie obywatelstwa od udziału w rządzie krajowym, pozbawienie Stanów wszelkich praw, ograniczenie wolności osobistej przez ustawy administracyjne, ciągłe zmiany przepisów rządowych, zawierających niezliczoną ilość zakazów, nadużywanie władzy ze strony urzędników, wreszcie zgubność skutków patentu urbaryalnego, tudzież całego systemu podatkowego. — System ten — zdaniem Ossolińskiego — wymyślony został nie w interesie państwa, lecz dla dostarczenia środków do życia całemu rojowi jednostek, które, nie będąc urzędnikami, mogłyby zarabiać na życie w sposób pożyteczniejszy dla kraju. — Nie przychodzimy prosić o odnowienie dawnych naszego narodu przywilejów — pisał Ossoliński — racz tylko Najjaśniejszy Panie sprawić, by ani my, ani nasi potomkowie nie potrzebowali zazdrościć doli przodków swoich“ ... Końcowy ustęp *exposè* wyrażał prośbę, aby zamierzona konstytucya ulegała zmianie jedynie za jednogłośną uchwałą Stanów.

Cesarz Leopold II., przyjmując memoryał, zapewnił deputacyę, że pragnie zadość uczynić, o ile możności, życzeniom kraju, któremu zamierza nadać trwałą i odpowiadającą jego pomyślności konstytucyę. Memoryał, odesłany do nadwornej kancelaryi czeskiej celem bliższego zbadania jego treści, wyrażał życzenia ludności w sprawie zwoływania Sejmów Stanowych i dotyczył również administracyi krajowej, urządzić się mającej na wzór komitatów węgierskich. Nadto wyrażono w owym akcie żądanie, by skarbowość pozostawiono w zarządzie krajowym, by każdoczesny namiestnik posiadał indygenat krajowy i dobra dominikalne w Galicyi, domagając się zarazem odpowiedzialności urzędników sądowych i administracyjnych wobec trybunału konstytucyjnego, tudzież formacyi wojska narodowego w sile czterdziestu tysięcy ludzi, rekrutowanych wyłącznie w kraju i dowodzonych przez oficerów krajowców. Z praw ogólnych, obywatelskich warował memoryał: utrzymanie poddaństwa, przyznanie żydom praw obywatelskich. (z wyjątkiem prawa do nabywania posiadłości ziemskich i wybieralności na urzędy), nietykalność własności, uchylenie ustaw emigracyjnych, nietykalność prawa domowego oraz przestrzeganie zasady: *Neminem captivabimus nisi jure victum.* Kościołowi miały być przywrócone dawne prawa z epoki józefińskiej, zaś kapitały, uzyskane z sprzedaży dóbr królewskich i kościelnych, przypaść miały bankowi krajowemu, założyć się mającemu z funduszem trzydziestomilionowym.

Żądania powyższe uznać miał nawet Lucchesini, jako zbyt wygórowane, co też źle oddziałało na usposobienie dworu wiedeńskiego, powiadomionego zresztą o tajnych związkach deputacyi z patryotami warszawskimi. Kazano Ossolińskiemu przerabiać memoryał, która to praca przeciągnęła się aż do połowy sierpnia t. r. Zmodyfikowany projekt konstytucyjny, przedłożony Monarsze w dniu 19. t. m., składał się z dziewięciu rozdziałów, mówiących: o prawach osobistych, o organizacyi i o atrybucyach Stanów Jeneralnych, o deputacyi pośredniczącej między krajem a Koroną, o władzach administracyjnych i sądowych, wreszcie o sposobach ubezpieczenia konstytucyi. Wzmianki o osobnym korpusie wojskowym, o dowolnem zbieraniu się sejmu i o tegoż władzy ustawodawczej opuszczono w ponownej reakcyi memoryału — na wyraźne życzenie rządu.

W tym samym czasie ukazała się bezimienna i bez miejsca wydania ogłoszona broszurka, p. t. *Uwagi nad rządem galicyjskim. Przyczyny, dla których do tego stopnia nikczemności Prowincya ta przyszła a nakoniec sposoby, jakiemiby los tego Kraju poprawić można. Roku 1790.* Anonimowy autor *Uwag* wypowiadał w formie bardziej drastycznej też same skargi i życzenia, jakie spotykamy w memoryale deputacyi, te same wskazywał środki zaradcze i kończył swe wywody następującą do Monarchy zwróconą odezwą: „Te są pokorne żądania Narodu, a gdy w swey nędzy nie może innej znaleść zalety, odwołuje się do dochowaney swojemu Monarsze wierności, odwołuje się do Monarchy swojego sprawiedliwości, który przez daną Niderlandczykom pełną łaskawości deklaracyą ożywił martwą w innych Poddanych swoich nadzieję, pokazał, iż panując Swemu Ludowi chce być zarazem Królem, Obywatelem, Ojcem i Człowiekiem. Miłe będzie Narodowi poddaństwo, które mu przypominać będzie słodkie Monarchy panowanie. Podniesione z gruzów prowincye, otarte łzy Ludu, zapomniana rozpacz, słowem powszechna szczęśliwość słodkie Tytusa Imię w osobie Leopolda przypomni“...

Wobec lojalnych tych wynurzeń dziwnie szorstką wydać się musiała replika, spisana przez Kortuma w odpowiedzi na adres deputacyi oraz na *Uwagi.* Jego *Magna Charta* powstała, jak świadczy przedmowa, we wrześniu 1790 r. O tonie tej publikacyi, ziejącej nieprzebłaganą nienawiścią przeciw polskiemu ziemiaństwu, świadczy najlepiej następujący ustęp przedmowy: Jeżeli kilkuset ludzi przywłaszcza sobie miano trzymilionowego narodu, jeżeli narzeka na ucisk, polegający w znacznej części na tem, że ustawodawca nie dozwala im innych uciemiężać, jeżeli skargi swe uzasadniają ci ludzie motywami, jakieby przebaczyć zaledwo można

w czternastym wieku, jeżeli występują wobec władcy swego z żądaniami, których urzeczywistnienia, być może, sami spodziewać się nie ośmielą — to wówczas nie należy brać za złe uczciwemu człowiekowi, o niestępionem uczuciu, gdy nie zawezwany bezpośrednio sądzi i pisze o rzeczach blizko państwo obchodzących . . .

Jakoż ten uczciwy człowiek w ośmdziesięciu dwóch artykułach swej rozprawy uderza w sposób bezwzględny, szyderczy a bardzo często niesprawiedliwy na autorów memoryału oraz *Uwag*, zarzucając im wręcz tendencyę oderwania Galicyi od całości monarchii a zarazem odmawiając im prawa do przemawiania w imieniu całej ludności kraju. Jakkolwiek w przedmowie czytaliśmy, że autor wypowiada swe zdanie nie zawezwany bezpośrednio, to jednak dziwić się wypadnie stanowczości, z jaką Kortum, zajmujący jedno z wybitniejszych stanowisk w ówczesnej hierarchii urzędniczej, występował przeciw projektowi konstytucyjnemu w chwili, gdy sprawa ta z polecenia monarszego została przekazaną do zaopiniowania czeskiej kancelaryi nadwornej, by stać się przedmiotem obrad osobnej komisyi, czynnej w styczniu 1791 r. pod przewodnictwem następcy tronu, arcyksięcia Franciszka. Gwałtowne wystąpienie Kortuma jest tem bardziej zastanawiające, ileże nawet gubernator Galicyi, hr. Brigido, powołany do Wiednia celem uczestniczenia w obradach komisyi, nie zaprzeczył wyrażonemu przez nią przekonaniu o istnieniu samowoli ze strony stanu urzędniczego w tej prowincyi oraz o krzywdach, doznawanych przez ludność . . . Nie bez racyi przeto przypuścić należy, że Kortum był w tym wypadku echem zapatrywań, jakie wobec zabiegów deputacyi galicyjskiej żywiła biurokracya, skoncentrowana w czeskiej kancelaryi nadwornej pod wodzą kanclerza Kolowrata. Przewłóczanie sprawy bez końca, formalizowanie się o każdą drobnostkę, odmawianie deputatom charakteru urzędowego, jej było dziełem, a wroga ta dla kraju taktyka odniosła w zupełności skutek zamierzony, gdyż śmierć cesarza Leopolda II. w lutym 1792 r. kres położyła nadziejom konstytucyjnym, żywionym przez światlejszy ogół mieszkańców Galicyi.

Wracając po raz ostatni do książki Kortuma, niepodobna milczeniem pominąć zarzutu niewdzięczności, uczynionego przez niego Polakom z powodu rzekomego ich postępowania wobec Stanisława Augusta. Nam się jednak zdaje, że zarzut niewdzięczności dotyczyćby winien w pierwszym rzędzie nie obywateli Rzeczypospolitej, jeno byłego radcę dworu holsztyńsko-szlezwickiego, który za zyskane w Polsce chleb i znaczenie odpłacił Polakom nienawiścią i pogardą.

Takie wrażenie sprawić musi na każdym nieuprzedzonym czytelniku głośna w swoim czasie a dziś już w pyle zapomnienia pogrzebana *Magna Charta.*

O wiele więcej interesu przedstawia dla badacza stosunków galicyjskich drugie z kolei dziełko Kortuma, wydane w roku 1795 u Raspego, w Norymberdze, p. t. *Über Judenthum uud Juden hauptsächtlich in Rücksicht ihres Einflusses auf bürgerlichen Wohlstand.* Rękopis tej książki przeleżał — jak sam autor wyznaje — czas dłuższy w jego biurku, zanim oddany został do użytku publicznego, gdyż dotyczył on przedmiotu niezmiernie ważnego dla dobrobytu niektórych krajów, lecz ocenianego z rozmaitego stanowiska. Całość tej pracy obejmuje sześć rozdziałów, w których autor zastanawia się kolejno nad punktem widzenia, z jakiego żydów oceniać należy, jako obywateli państwowych, nad polityczno-religijnemi zasadami żydów oraz nad rodzajem wpływu, jaki one wywierają na ogół społeczny. Osobny rozdział poświęca Kortum krytyce głośnego w owym czasie dzieła Dohma o obywatelskiej poprawie żydów, lecz dla nas szczególniej są zajmujące rozdziały: czwarty i szósty, dotyczące bezpośrednio stosunków galicyjskich.

(Dokończenie nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

KRONIKA LITERACKA.

Antoni Małecki: *Lechici w świetle historycznej krytyki.* — Lwów 1897.

Zasłużony autor niniejszej pracy nie jest wcale zwolennikiem hipotezy najazdu, a więc dwoistego niejako składu polskiego narodu. Według hipotezy owej jedna część narodu polskiego miała być rodzimą, druga — napływowa. Jedna warstwa, tubylcza, reprezentowała żywioł polski; druga napływowa, zaborcza, dzierżąca władzę, utworzyć miała odrębną warstwę, stan, nazwany z przebiegiem czasu szlachtą, od imienia protoplastów swoich — Lechitów.

Tu nasuwa się pytanie: skąd się owi Lechici wzięli na naszej ziemi? Szan. autor powiada wprawdzie, że „dziejopisarstwo nasze od lat kilkunastu nie wznawia już mrzonek lechickich", — rozwiązanie jednak zagadki „lechizmu" pociąga szan. autora tak samo, jak pociągało najzdolniejszych i najgłębszych historyków naszych. Jestto rzeczą zupełnie naturalną. Zagadka nierozwiązana w życiu czy w dziejach będzie zawsze tajemniczością swoją wabić ku sobie umysły niepospolite, głębsze, miłujące prawdę i szukające jej. Nic też innego, jak tylko ów rys psychologiczny natury ludzkiej przerzucił szan. autora na pole badań ciekawych a dla każdego Polaka bardzo interesujących.

Postanowił on „rozprawić się z doktryną „lechistów" i z jej zasadniczą ideą nie w sposób polemiczny, lecz dociekając spokojnie, co też mogło dać do niej powód."

Z tej też racyi praca niniejsza rozpada się na dwie części: w jednej (drugiej z kolei) streszcza autor hipotezę lechicką, jak ona traktowana była od Lengnicha aż do *Starej Baśni* Kraszewskiego przez rozmaitych historyków naszych a nawet poetów we wszystkich formach i odmianach; w drugiej przeprowadza poniekąd rewizyę źródeł, z których wypłynęła dwoistość nasza narodowa i stawia swoją hipotezę etymologicznego znaczenia wyrazów: Lach, lacki, lechicki.

Podwójna nazwa nasza narodowa, Polanie i Lachy, nie dowodzi bynajmniej dwoistości społecznej — według mniemania szan. autora. Istotnie z chwilą dziejowej niejako pewności, t j. od Mieszka I., w annałach, kronikach i dokumentach nazywano Polskę — *Polonia*, a Polaków — *Poloni* z różnemi odmianami tej formy. O Lechach i Lechitach ani śladu. Ani Gall, ani pisarze żywotów św. Ottona nie znają innej nazwy, jak *Polonia* i *Poloni*. Bruździ tu trochę szan. autorowi Nestor, który wyraźnie powiada, że „Lachowie" przyszli z za Dunaju, jedni przezwali się Polanie, drudzy Łut.czy, inni Mazowszanie itd. Wybrnął jednak z tego szczęśliwie autor, „pozostawiwszy na uboczu pytanie, czy rzeczywiście nasz naród z nad Dunaju przyszedł." Komentując dalej Nestora, dochodzi on do wniosku, że wyraz „Lachowie" jest nazwą, obejmującą całość narodu polskiego w jednolitem jego znaczeniu. Tego nie dość. Ponieważ książęta kijowscy chadzali na Lachów i grody czerwieńskie od nich odebrali, godzi się z tem, że „Ruś Czerwona uchodziła w oczach Nestora za kraj ludności, nie posiadającej innej nazwy jak Lachy" (21).

Historyk bizantyński, Kinnamos, z XII. w. wspomina także o Lechach: *Scythicae genti, quorum regio Hunnis occidentalibus contermina est.* Jakaś garstka Polaków ciągnęła z zachodnią krucyatą na wyzwolenie Jerozolimy, a śród niej miał być „władca Lechów". Nie o fakt historyczny nam chodzi, lecz o wyraz. Kinnamos — powiada autor — musiał powziąć tę wiadomość z ust Słowian serbskiej lub pokrewnej im narodowości. Ponieważ jednak Lachami nazywano Polaków na Rusi, a Ruś w owe czasy jeszcze gęste stosunki miała z cesarstwem bizantyńskiem, prędzej tedy kronikarz bizantyński dowiedział się o tem od nich, niż od Serbów, tem bardziej, że Serbowie, jak obaczymy, w czystej formie nazwy tej nie znali nawet o wiele póżniej, a dla Polaków i Polski posiadali inną nomenklaturę.

Rozważając dalej, w jaki sposób dałaby się wytłómaczyć i uzasadnić jednolitość narodu polskiego przez jednoznaczność wyrazów: Lach i Polak, szan. autor przechodzi do Serbów. Tu w poezyi ludowej, ale dopiero z cyklu królewicza Marka napotyka takie wyrazy zagadkowe niby, jak „biały Ledjan", „kral ledjański", „kral od Ledjana". Stojanow Novakowic w jednym z roczników serbskich (1440) znajduje następujący ustęp: *anno 1440 constitutus est in Ungaria rex Vladislaus Ledianin.* „Ledjanami więc zwała Polaków jeszcze w XV. w. Serbia" (30). Z tej strony — powiada autor — zyskuje kwestya nasza poparcie. „Ledjański" znaczy to samo co polski, a byćby mogło, że w szczególności „małopolski, krakowski". „Tak więc przyszliśmy do wyniku, wyższego nad wszelkie wątpliwości, że byliśmy Serbom

w średnich wiekach, w zaraniu historycznej epoki znani pod nazwą Polan i Lechów — Ledjanów" (33). Właściwie tylko Ledianów, bo domysł przejścia nazwy „Lech-itów" od Serbów do Kinnamosa jest problematyczny.

Teraz pozostało szan. autorowi najważniejsze zadanie: zetknąć nomenklaturę Ledjanin z Lechem, Lachem i wyszukać między tymi, tak na pozór sprzecznymi wyrazami, związek etymologiczny.

Języki słowiańskie — powiada autor — posiadają pewną odrębną formę skróconych, że tak powiem, przyciętych rzeczowników na wyrażenie poufałej i rubasznej, w gruncie rzeczy nie pogardliwej konfidencyi, która jednak i ten odcień z czasem przybiera, a to n. p. w sferze krewieństwa, koleżeństwa, sąsiedztwa, słowem w sferze osób w codziennych z sobą zostających stycznościach. Formacyi tej podlegają przeto z samej natury rzeczy: 1) imiona własne, 2) imiona krewieństwa, sąsiedztwa itp. wyrażające etc. (Stach = Stanisław: swach = swat; brach = brat).

Otóż na tej samej drodze przeszedł Ledianin w skrócone Lech, Ladanin w Lach, a leżące już poza linią pamięci dziejowej Lędianin w Lęch, zachowane w litewskim Lenkas, Lankas. Na tej samej zasadzie tłómaczy szan. autor znaczenie wyrazu madiarskiego: Lendjel, znaczącego Polak [1]).

---

[1]) W tym punkcie nasuwają się pewne wątpliwośce co do wyrazów: ledjanin, ledjański. Może niewątpliwie nazwa ta oznaczać nomenklaturę historyczną narodu polskiego, pod jaką u Serbów byliśmy znani, ale stwierdzić się ona daje dopiero około XV. w. Używanie zaś jej w zabytkach epickiej poezyi ludowej serbskiej, jakkolwiek należącej do mów tego samego okresu dziejowego (XIV. w.) pod względem faktyczności, nie może służyć za niezbity dowód historyczny, choćby z tego względu, że nie możemy oznaczyć czasu powstania owych bohaterskich pieśni. Przypuszczać wszakże godzi się, że powstały one co najmniej w kilkadziesiąt lat po wypadkach, kiedy szczegóły ich zostały zapomniane i przez fantazyę ludową przerobione. Ponieważ więc mamy do czynienia z poezyą, a w kronice serbskiej raz tylko został użyty wyraz „ledianin" i to w kronice tłómaczonej na język łaciński, zachodzi także wątpliwość, czy nie był to tylko dodatek tłómacza, wyjaśniający, co to mógł być za Władysław i stąd użyto wyrazu popularnego w poezyi i w życiu Serbów. Mógł on łatwo przejść z poezyi do kroniki. Gdyby tak się stało, nie miałby on żadnego związku z Lachem i Lechem, a byłby po prostu przenośnią poetycką, omawiającą króla północy, kraj północny, mieszkańców północy. Domysł ten a raczej wątpliwość należałoby sprawdzić za pomocą badań etymologicznych — co pozostawiam fachowym badaczom. Dodać muszę, że istnieją w niektórych językach słowiańskich wyrazy bliższe do Ledjanin i ledjański niż Lach i Lech. W czeskim języku takim wyrazem jest

Tak w najściślejszem streszczeniu wygląda hipoteza Małeckiego, dążąca do połączenia w jednoznaczną i jednolitą nazwę dwóch nomenklatur: *Poloni* i *Lechitae*. Nad genezą przedostania się do naszych kronikarzy wyrazu l e c h, nad modyfikacyami, jakie przebywał, i komentarzami nad nim, jakkolwiek są to dowodzenia pełne obszernej wiedzy, bystrości krytycznej i jasności sądu, zastanawiać się nie będę. Błędy rozmaitych pisarzy z niewiadomości, ze złej woli, z wybryków fantazyi płynące, wprowadziły do dziejów ten chaos, jaki zbałamucił najjaśniejsze umysły i sprowadził na bezdroża, żadnego pożytku nauce nie przyczyniwszy.

Czy hipoteza szan. autora rozwiązuje zagadkę? W każdym razie rzuca ona duże światło na niektóre kwestye uboczne, prostuje wiele błędów poprzedników (wykład znaczenia wyrazu Ł u t i c z y; fałszerstwa w kronice Baszka i w. in.), zawiera wiele prawdopodobieństwa w szczegółach, chociaż hipotezy najazdu nie usuwa z dziejów. Szan. autor sam to najlepiej rozumiał, mówiąc: „w każdym razie początku lechizmu nie na zachodzie, nie za Odrą szukać należy, gdyż za tem nie przemawia żaden ślad jakiegokolwiek podania, ale chyba w s t r o n i e p r z e c i w n e j." Może nawet w pobliżu tego źródła, z którego piękna praca Szajnochy początek wzięła.

Krótką niniejszą notatkę pozwolę sobie zakończyć słowami autora *Lechitów*: „Każdy autor, kiedy stawiał swoją konstrukcyę, wierzył i sam w trafność jej i znajdował pewną liczbę zwolenników swego zapatrywania. Trwało to jednak tak długo, aż się pojawiła nowa konstrukcya. Wtedy wyznawcy pojęć dawniejszych przenosili się z całym taborem do nowo stworzonego obozu, a ci, którym on nie szedł w smak, wyczekiwali czegoś jeszcze lepszego w przyszłości."

Czyśmy z tego błędnego koła już wyszli? Nie wiem. F. R.

---

rzeczownik l e d (lód), a w rossyjskim przymiotnik l e d i a n o j jest tak prawidłowy, jak l e d j a ń s k i (ledianoje morie, ledianoj domik, ledianyja gorki itd.). W przenośni poetyckiej, śród narodu posiadającego klimat łagodniejszy, mogła istnieć dla określenia państwa i narodowości naszej nomenklatura l e d i a n i n, l e d j a ń s k i, a b i a ł y L e d i a n tak dobrze mógł oznaczać potężnego króla i potężne państwo, jak dziś nomenklatura poetycka rossyjska: b i e ł y j c a r, b i e ł o j e m o r i e. Nasuwa się pytanie: dlaczegoż Serbowie nie mieli innego wyrazu na określenie naszej narodowości? Być może, z bardzo prostej przyczyny: kiedy Polska, że tak powiem, formowała się, nie mieli z nią żadnych stosunków, a kiedy była potężną, już Serbowie, podbici przez Turków, odcięci zostali od całego świata słowiańskiego. Wracając jeszcze do wyrazów: L e d i a n i n, l e d j a ń s k i, o ile dziś wyrozumieć można, oznaczały one w ogóle kraj i ludność zamieszkującą go, nie zaś plemię, szczep (Mazowszanie, Połoczanie itd.).

Prof. Adolf Pawiński: *Michał Gröll*. Obrazek na tle epoki stanisławowskiej, z dodaniem spisu wydawnictw Grölla, ułożonego przez Zygmunta Wolskiego. — Kraków 1866.

Jestto nowe, godne polecenia studyum zmarłego niedawno, nieodżałowanego profesora a wydawnictwo zasłużonej księgarni Gebethnera i Wolffa.

W. Preyer: *Darwin*. Geisteshelden, herausgegeben von Anton Bettelheim. 19. Band. — Berlin, Hofman u. Comp. 1896.

W szeregu „bohaterów umysłu", monografij wydawanych przez Bettelheima, przyszła kolej i na Darwina. Dzieło liczy siedm rozdziałów. W dwóch pierwszych czytamy o rodzinie wielkiego angielskiego badadacza przyrody, o jego wykształceniu szkolnem i uniwersyteckiem. W trzecim rozdziale znajduje się opowieść jego podróży na około ziemi na pokładzie statku „Beagle" pod komendą kapitana Fitz-Roy. Opowieść ta napisana na podstawie przez samego Darwina wydanych opisów podróży, kończy się bardzo troskliwie zestawionym kalendarzem podróży, co przedstawiało trudność tem większą, że Darwin, ogłaszając swój dziennik podróży, nie trzymał się chronologicznego porządku, aby nie rozrywać wiążących się z sobą spostrzeżeń przyrodniczych. Sposób życia i sposób pracowania po powrocie do kraju, — grono przyjaciół, którzy Darwina otaczali, stanowią temat czwartego rozdziału. Darwin, jak wiadomo, od czasu podróży swej chorował, a cierpienia, gdy miał lat czterdzieści, nie zostawiały mu jednego dnia całkiem spokojnego i kazały mu nadzwyczaj liczyć się z czasem, aby każdą chwilę wolną od cierpień mógł poświęcić swym zajęciom. „Człowiek, zwykł on mawiać, który może zmarnotrawić choćby jednę godzinę, nie poznał wartości życia." W piątym rozdziale mowa jest o przymiotach charakteru Darwina. Biograf twierdzi, że nie brakło Darwinowi żadnej zalety, którą w obecnym wieku najbardziej cywilizowane narody nazywają cnotami; co najwięcej, wytknąć mu można było zbyteczną skłonność. Ogólna a świetna charakterystyka dzieł Darwina, przedstawienie jego wpływu na rozwój zoologii, geologii, botaniki, anatomii i t. d. tworzy rozdział szósty. Głównem źródłem do tego rozdziału było wydane przez syna Darwina, Franciszka, dzieło: „Życie i listy Karola Darwina". W ostatnim rozdziale mówi autor o osobistych swych stosunkach do Darwina i jego nauki. Najciekawsze tu są listy Darwina do autora tej jego biografii oraz do nauczyciela i przyjaciela Darwina, Henslowa, (z lat 1832—1835).

Les Rothschild, une famille de financiers juifs au XIX. siècle. — Paris 1896.

Jestto monografia jednej z największych dziś potęg finansowych świata: domu Rotszyldów. Dzisiaj rozporządzający miliardami, przed stu laty zaczynali Rotszyldowie karyerę swą, jako skromni faktorzy frankfurtcy. Protoplastą rodu jest Amszel Maier Baum; w r. 1815 otrzymał frankfurcki Maier szlachectwo, a w r. 1822 został baronem Rothschildem. Dzieje ich domu, to dzieje finansów Anglii, Niemiec, Francyi, Austryi, całej prawie Europy, — a nawet więcej niż dzieje finansów, bo także historya politycznych wypadków. Stanowisko to zawdzięczają zarówno pilności i przezorności, jak manewrom giełdowym, sprytowi i bezwzględności.

Historya „Trades Unions“. W Anglii podjęto wydawnictwo historyi związków robotniczych „Trades-Unions“. Dotąd ukazała się pierwsza praca w tym kierunku, p. t. „The Tailoring Trade“, zawierająca wiele ciekawych danych o towarzystwach robotniczych w zakresie rzemiosła krawieckiego w Anglii do r. 1834.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

V.

Cenzura społeczna.

(Dokończenie).

Teraz zwracamy się ku głównemu tematowi naszemu i stajemy przed pytaniem, w którego rozwiązaniu, jakby w wspólnem ujściu, zbiedz się powinny wszystkie kwestye i postulaty, w toku tej pracy podniesione i omówione. Stawiamy to pytanie tak kategorycznie, aby odpowiedź nie mogła być ani wymijająca, ani nawet obwarowana zastrzeżeniami. Czy w razie ziszczenia się wszystkich postulatów i życzeń, które podnieśliśmy powyżej co do reformy prawa materyalnego i formalnego w sprawach czci, cel będzie całkowicie osiągnięty w tym kierunku, żeby cześć jako dobro moralne była w prawie zupełnie zabezpieczona wobec zamachów i mogła odgrywać w życiu prawnem taką rolę, jaka się jej jako pierwszorzędnemu czynnikowi moralnemu należy?

Najkrótszą a myśli przewodniej tej pracy najlepiej odpowiadającą odpowiedzią będzie przytoczenie a raczej powtórzenie już raz przytoczonej rzymskiej dewizy prawno-filozoficznej: *Quid vanae sine moribus leges proficiunt?* Całe życie prawne starego Rzymu z wychowawczą działalnością cenzury w społeczno-moralnym kierunku stanowi wielką illustracyę tego zdania a za jego historyczną affirmacyę uważać można słowa, w których rzymski dziejopis Tacitus hołd złożył świeżej sile moralnej przyszłych pogromców własnej ojczyzny, ludów germańskich, słowa: *plus ibi valent boni mores, quam alibi bonae leges.* Stanowiły więc już w epoce przedchrześciańskiej dobre obyczaje niejako kondenzacyę prawideł moralności a same ustawy, jako minimalna ich determinacya, bez dobrych obyczajów

niemiały siły dostatecznej, aby utrzymać społeczeństwo w czerstwości moralnej. O ileż wzróść musiała potęga społeczno-moralna tego czynnika w świecie chrześciańskim, w świetle boskich przykazań z wieczystą trwałością i nieskończoną skalą dla doskonalenia się moralnego?

Czy dziś w okresie admiracyi dla wszelkich śmiałych, byle z talentem pisarskim rozwiniętych, paradoxów można występować z taką starą prawdą bez narażenia się co najmniej na ten zarzut, że takie twierdzenie wypływać może chyba tylko z niedostatecznej znajomości lub tendencyjnego lekceważenia wielkiej ewolucyi prawa, której wyraz pozytywizm prawny widzi w całej dzisiejszej tak misternie skomplikowanej tkaninie paragrafowej i w biurokratycznie wydoskonalonym aparacie wykonawczym? Jeżeliby zarzut ten miał podstawę, to miałoby ją także twierdzenie olśnionego ogromnym rozwojem swojej umiejętności technika, jakoby w okresie pary i elektryki, jako motorów o sile w nieskończoność podnieść się dającej, niemiała już znaczenia wątła i nikła ręka ludzka, ta ręka, której żadne cudowne wynalazki nie zastąpią, bez której wszystkie te wynalazki pozostałyby tylko martwym produktem genialnej ale jałowej inwencyi. Czem jest i zawsze będzie ręka ludzka mimo wszelkich wynalazków i udoskonaleń w technice, tem były, są i będą zawsze owe *boni mores* wobec już osiągniętego i dalszego postępu prawa pozytywnego w ogóle a pod względem waloru i osłony dóbr moralnych w szczególności. Tak rzecz tę pojmował Ihering w filozoficznem badaniu ducha elementarza prawa, t. j. prawa rzymskiego, tak ją też pojął Montesquieu w filozoficznem badaniu ducha praw w ogóle [1].

Weszliśmy już teraz w sferę moralności, w której cześć wewnętrzna wychyla się w całym blasku jednego z największych dóbr moralnych, jako synteza praw i obowiązków człowieka we wszystkich zakresach i sytuacyach życia a cześć zewnętrzna jako jej wierny odblask w całem otoczeniu społecznem. Czytelnikowi, który począwszy od wstępnych uwag postępował dotąd za autorem w zgodzie z jego poglądami i postulatami, przejście to ze sfery prawa w sferę moralności niemoże wydać się śmiałym skokiem, lecz tylko przerzuceniem uwagi po za linię demarkacyjną, która dzieli prawo od moralności, te dwie potęgi, sąsiadujące ze sobą i żyjące w zgodzie, opartej nie na utylitarnym tylko aliansie, lecz na absolutnej łączności

[1] Les lois sont établies, les moeurs sont inspirées; celles-ci tiennent plus à l'esprit général, celles-là tiennent plus à une institution particulière. *(De l'esprit des lois).*

zadań i celów cywilizacyjnych. Byłoto tedy niejako stopniowe wspinanie się na wyżynę po drodze z góry przez autora wytkniętej i torowanej szeregiem postulatów w tych punktach krytycznych, w których pozytywizm prawny stwarza przeszkody do łatwego pochodu, odgradzając w treści prawa zanadto jego zakres od obszaru moralności a w stosowaniu prawa mechanizm jego aparatu wykonawczego od współdziałania społeczeństwa. Autor nie pochlebia sobie, żeby uwagi i postulaty, powyżej podniesione, uznane zostały przez wszystkich czytelników za zupełne usunięcie wspomnionych przeszkód, za takie utorowanie drogi, aby wszyscy zachęceni zostali do dalszego towarzyszenia autorowi a właściwie do polegania na jego przewództwie w całej dalszej drodze. Chodzi tutaj przecież o szereg zagadnień, o których rozwiązaniu mówić niemożna w tem znaczeniu, żeby jak w rachunku wspólnie prowadzonym wszystkim liczącym jednakowy rezultat wypaść musiał, lub przynajmniej żeby jak w indukcyjnej kombinacyi dat pozytywnych wynikły zbliżone do siebie hypotezy. W tej wielkiej dziedzinie ideałów, w której się teraz znajdujemy, niema ani cyfr ściśle oznaczonych, ani dat dostrzegalnych dla oka. Na szerokim szlaku myśli dotrzeć można do różnych punktów obserwacyjnych, z których objąć się daje wielki obraz zgodnego działania i wpływania wszystkich sił i czynników cywilizacyjnego rozwoju ludzkości, wszystkich ideałów przyświecających w tem działaniu. Dotarłszy do jednego z takich punktów, który odsłaniał się już we wstępnych zasadniczych uwagach, nie obawiamy się zarzutu, żeby to miało być zboczeniem z drogi wytkniętej prawnikowi. Wszakże ideał wypełnia jedną z najpiękniejszych rzymskich definicyi prawa, definicyę Celsusa: *ius est ars boni et aequi* a także i prawnik-pozytywista dzisiejszego kroju z wszelkiego ideału wyzuć się niemoże, jeżeli ma na myśli prawo a nie sam tylko inwentarz paragrafów. Jak wygląda ideał takiego prawnika, to inna kwestya, ale że go mieć musi, chociażby go się wypierał, to pewna. Właśnie w ocenie nowoczesnego prawa jeden z najgłębszych dzisiejszych filozofów francuskich, Fouillée [1]), wypowiedział w porę tę arcytrafną uwagę, że: „uwzględnianie ideału jest tak samo niezbędne dla prawnika i polityka, jak studyum ścisłej geometryi dla mechanika“ a na innem miejscu, że ponieważ historya idei wyprzedza historyę polityczną faktu, więc „prawo ze znamieniem idei wyprzedza fakta i wskazuje im kierunek, którego się trzymać muszą.“

---

[1]) Alfred Fouillée: *L'idée moderne du droit en Allemagne, en Angleterre et en France.* — Paris 1878, str. 36 i 227.

Cześć w tem znaczeniu, jakieśmy jej poprzednio nadali, z taką rozległą i głęboką treścią, jak synteza praw i obowiązków na tle etyki chrześciańskiej rozwiniętych, jest jednym z takich ideałów dla prawa i to jednym z najprzedniejszych. Prawo, jako minimum etyczne, w ogóle już z natury rzeczy w minimalnej tylko mierze może uchwycić treść tego ideału, ale w sferze moralności rzuca on takie światło na człowieka w całem jego działaniu ze wszystkiemi intencyami i motywami, że na wierności jego odblasku w czci zewnętrznej polegać można.

Jeżeli tak jest, to ten czytelnik, który postępuje dalej za autorem, zapytać już może: któż stoi na straży czci tak pojmowanej, kto bada jej kryterya i ocenia jej czystość? Odpowiemy krótko: Samo społeczeństwo, które wypełnia przecież ramy prawa pozytywnego w tylu innych działach, obejmujących najważniejsze interesa materyalne i moralne człowieka. Czy wejdziemy w szczegóły życia ekonomicznego, czy w sferę pracy duchowej na polu sztuki, nauki i t. d., wszędzie część tylko zadań spełnia państwo za pomocą prawa pozytywnego, tę część mianowicie, która z powodów, wypływających z natury rzeczy lub z danych stosunków, wymaga koniecznie rygoru paragrafowego w jednolitem unormowaniu i takiej ścisłości w jednolitem stosowaniu norm, jaką tylko państwowy aparat wykonawczy zapewnić może. Zmienną i zależną od stosunków jest miara wszystkich tych zadań, ale zawsze główna ich część cięży na samem społeczeństwie, któremu państwo spieszy z pomocą prawa pozytywnego dopiero wtedy, gdy to z powyższych powodów staje się niezbędnem lub przynajmniej pożądanem.

Na tem nie koniec, bo teraz nasuwa się dalsze pytanie, jakim organem rozporządza społeczeństwo w tem wielkiem zadaniu swojem? Zdawałoby się, że odpowiedź, wskazująca krótko opinię publiczną jako taki organ, będzie zrozumiała i wystarczająca dla wszystkich czytelników, nie wyłączając nawet prawników najcięższego autoramentu, którym przecież tylko przypomnieć a nie dopiero cytatami wykazywać potrzeba, jak wysokie znaczenie w ogóle a w sprawach czci przedewszystkiem przypisują opinii publicznej w społeczeństwie i prawie rzymskiem nietylko jego wielbiciele z filozoficznym polotem, jak śmiały Ihering i o tyle ostrożniejszy Savigny, lecz nawet chłodni w systematyczności swojej prawnicy, jak n. p. B. Windscheid [1]).

---

[1]) B. Windscheid: *Lehrbuch des Pandektenrechtes* — VI. Aufl. Frankfurt 1887, t. I. str. 150.

Jak było w prawie rzymskiem, tak było i w późniejszych fazach rozwoju prawa a na wszelki wypadek przypomnieć trzeba, że i w najnowszym (austryackim) projekcie kodexu karnego opinia publiczna wyraźnie powołana jest do odgrywania rozstrzygającej roli w kwalifikacyi pewnych czynów, jako karygodnych zamachów na cześć.

Ale samo wskazanie na opinię publiczną nie wystarcza, chociażby tylko dlatego, że jak tyle innych wielkich haseł i formuł, jak n. p. dobro publiczne, interes publiczny i t. d., tak samo opinia publiczna w kuglarskiej grze polityki wystawiona jest dziś więcej, niż kiedykolwiek na dyskredytowanie i tak często wygląda, jakby istna karykatura tego, czem już z nazwy swojej być powinna. Trzeba zatem wejść bliżej w istotę rzeczy, aby wysoka missya społeczno-moralna, jaką opinii publicznej przyznajemy, nie wydawała się utopią lub tylko efektownym fortelem, który miałby autora wyprowadzić z trudnej sytuacyi, wytworzonej dotychczasowemi uwagami krytycznemi.

Jeżeliby dla wydania ścisłego sądu o znaczeniu i wartości opinii publicznej ustanowiono, jak w postępowaniu kanonizacyjnem, osobnego instygatora dla podniesienia wszystkich stron ujemnych i osobnego rzecznika dla stron dodatnich, to pierwszy, *advocatus diaboli*, miałby zadanie nadzwyczaj łatwe, a drugi, *advocatus Dei*, znalazłby się w sytuacyi bez wyjścia. Pierwszy bowiem nie potrzebowałby nawet zajmować odpornego stanowiska czystej negacyi według maxymy *negantis maior potestas*, stanowiska nieprzezwyciężonego w sporach tego rodzaju, lecz mógłby odrazu przejść do działania zaczepnego i cisnąć na głowę swojego przeciwnika cały stos pism, odsądzających opinię publiczną od wszelkiego znaczenia, a nadto sterroryzować go mnóstwem przykładów najdrastyczniejszych, czerpanych z historyi i z życia codziennego. Mamy n. p. w naszej literaturze jedną rozprawkę (Maurycego hr. Dzieduszyckiego) [1]), która w rachunku otwartym opinii publicznej jako wielkie *debet* zapisuje takie wypadki historyczne, jak wygnanie z ojczyzny Cimona, Arystidesa i Temistoklesa, otrucie Sokratesa a nawet — ukrzyżowanie Chrystusa i prześladowanie pierwszych krzewicieli Jego nauki.

Mamy w naszej literaturze jeszcze jeden nadzwyczaj ciekawy akt oskarżenia przeciw opinii publicznej, małą rozprawę Stanisława hr. Tarnowskiego [2]). Autor ten w obrazowy sposób nazwał opinię

---

[1]) Maurycy hr. Dzieduszycki: *Opinia publiczna*. (W Dodatku literackim do *Czasu* z kwietnia 1856).

[2]) Stanisław hr. Tarnowski: *Królowa Opinia*. (*Przegląd polski* z r. 1874).

publiczną królową spodloną, podobną do tych historycznych postaci kobiecych, które z berłem monarszem w ręku leżały u stóp swoich brutalnych a mimo to wszechwładnych faworytów. „W dzisiejszej Europie — mówi St. hr. Tarnowski — jest jedna królowa, która w takiem poniżeniu żyje. Na tronie ona nie siedzi, ale dymem kadzideł owiana i burzą poklasków daje w siebie wmawiać, że w demokratycznym świecie zajęła miejsce tronów i majestatów. Nazywają ją największem w Europie mocarstwem, ona niby króluje i rządzi, ona kieruje polityką gabinetów, ona w parlamentach przemawia, rozprawia, stanowi prawa, rozstrzyga o pokojach i wojnach, ma swoich pochlebców i dworaków, swoich zauszników i swoje Bastylie; królowie i ludy, politycy i awanturnicy, żołnierze i giełdziści, wszyscy przed nią na kolanach biją pokłony, czołami proch z przed jej stóp zamiatając. Na pozór ta królowa tak wspaniała, jak Elżbieta w Windsorze, Ludwik XIV. w Wersalu, jak król Salomon w całej swojej chwale; na prawdę — niewolnica w mocy awanturniczych zauszników i kochanków, niewolnica spodlona, jak Karolina w ręku Actona lub Marya Ludwika Parmeńska u nóg Godoya — spodlona tem bardziej, że spodlenia swego nie czuje. Tą królową jest Opinia publiczna a jej nikczemnym faworytem dziennikarstwo europejskie, któremu z posłuszną uległością powodować się daje.“

Jeżeliby jednak *advocatus diaboli* wolał pozostać na odpornem stanowisku samej negacyi wobec ubóstwiania opinii publicznej, mógłby i w takim razie liczyć na to, że jego lakoniczne a uparte *nego* nietylko nie uprzedzi przeciw niemu świadków dysputy, lecz owszem znajdzie u nich zupełne uznanie i będzie poczytane za bardzo rozumne traktowanie sprawy, która nie zasługuje już może na nowe wysilenia argumentacyjne.

Z jakiegokolwiek tedy stanowiska byłaby ta sprawa traktowana, zawsze przewaga taktyczna instygatora, odsądzającego opinię publiczną co najmniej od wszelkiego znaczenia i wartości, uchodziłaby za niezachwianą. Nie wziętoby mu nawet tego za złe, jeżeliby w tej sprawie zasłonił się powagą filozofa, w tej chwili pewnie najwięcej uprzedzeń niekorzystnych wzbudzającego, i tem zmuszał adherentów swoich do grupowania się pod sztandarem antypatycznym. Mamy tu na myśli E. Hartmana, który opinię publiczną, jak wielu filozofów przed nim, krótko a węzłowato traktuje, jakby proste szalbierstwo temi słowy [1]): „*Vox populi* ma znaczenie tylko w żywo-

[1]) Eduard v. Hartmann: *Philosophie des Unbewussten* — VII. Aufl. Berlin 1876, t. II. 332.

tnych kwestyach rozwojowych, w których instynkt nieświadomy kieruje sądem mas. We wszystkich innych sprawach *vox populi* jest tak ślepą, czy pozorami zaślepioną, przez klakę zbałamuconą, prostactwu oddaną, wreszcie tak pozbawioną zmysłu dla wszystkiego, co jest dobre, prawdziwe i piękne, że zawsze pewnym być można, iż się znajduje na błędnej drodze. We wszystkich sprawach, nie stanowiących żywotnych kwestyj rozwojowych lub przez umiejętność już ostatecznie rozwiązanych *a priori*, możnaby przysiądz na to, że nie większość lecz mniejszość ma racyę. Nawet wspólne osądzenie kwestyi jest tak trudne, że gdy zejdzie się zastęp rozumnych ludzi, tam pewnie tylko głupstwo wyjdzie z ich grona." Więc instynkt nieświadomy ma znaczenie, ale opinia ludzi rozumnych, to — głupstwo!

Cóż na to wszystko, co przytoczył *advocatus diaboli*, odpowie rzecznik opinii publicznej? Ze zdaniem Hartmanna, o ile ono wynosi indywidualizm w zakresie myśli i intelligencyi i z tego tylko stanowiska nie uznaje powagi opinii publicznej, polemiki wszczynać niepotrzeba a nawet niemożna; niepotrzeba dlatego, gdyż zdanie to nie wkracza w sferę moralną, o którą nam tutaj chodzi, niemożna dlatego, że w dziedzinie myśli takie wyniesienie indywidualizmu ma wszelką racyę. Każdy mózg jest sam dla siebie misternym i zupełnie samodzielnym aparatem myślenia, którego siły subtelnej niemożna potęgować samą liczbą głów tak, jak się potęguje siłę mechaniczną w rozmiarach lub liczbie jej aparatów. Natomiast na poprzednie zdania, potępiające opinię publiczną, mógłby jej obrońca odpowiedzieć całym szeregiem zdań odmiennych, wypowiedzianych przez filozofów, przez mężów uczonych i przez mężów stanu, a dających się mniej więcej streścić w słowach Neckera, który w swoim czasie nazwał opinię publiczną: „potęgą, nie posiadającą ani skarbu, ani gwardyi, ani armii, a jednak dyktującą prawa nawet pałacom królewskim." Pozostałby więc w takim razie spór nierozstrzygniętym i w tym stanie pozostanie on zawsze, o ile się ma na myśli opinię publiczną w zakresie polityki, tak samo, jak pozostałby nierozstrzygniętym spór, w jakiej roli dobro publiczne, interes publiczny i t. p. pięknie brzmiące formuły częściej występowały w dziejach, czy jako szczytne hasła, wiodące ludzkość do postępu, czy jak n. p., żeby nie cofać się zbyt daleko w świadectwie historyi, w wielkiej rewolucyi francuskiej, jako płaszczyk dla najpotworniejszych zbrodni? Polityka, ta według dowcipnej definicyi francuskiej „sztuka sukcesu" *(l'art de réussir)* a za świadectwem prawnika, traktującego rzecz

w świetle historyi i filozofii [1]), prawdziwe eldorado wszelkiej depra-wacyi, grunt szczególnie podatny dla wszelkich objawów złego, ma wieczysty przywilej na profanacyę takich haseł, jak powyższe, i z przywileju tego nie wyzuje jej żaden system. Zawsze bowiem sukces będzie głównym i ostatecznym celem w polityce a dopóki tak jest, trzeba się liczyć nawet z fatalnem twierdzeniem Tarde'a [2]), że kłamstwo z całym sztabem swoim, jak przewrotność, podstęp i t. p. stanowić muszą *malum necessarium* ewolucyi cywilizacyjnej. Opinia publiczna z charakterem wyłącznie politycznym, jako służebnica kapryśnych i złych prądów politycznych, nie przestanie więc być taką, jaką jest dotąd w oczach swoich bezwzględnych przeciwników. Zmiana radykalna pod tym względem byłaby chyba jednym z takich szczegółów udoskonalenia życia i ludzi, o jakich, jak w ogóle o każdej doskonałości, tylko marzyć wolno. Że jednak mimo to wszystko nawet i na tem polu bronić można znaczenia zdyskredytowanej opinii publicznej nie po dziennikarsku tylko, lecz ze stanowiska wyższego i ze skutkiem, trafiającym do przekonania, o tem przekonać się można z klassycznej pod tym względem monografii Holtzendorffa [3]).

Zupełnie zmieni się sytuacya, jeżeli nie oglądając się na politykę weźmiemy opinię publiczną w znaczeniu ograniczonem na sferę moralną, w charakterze trybunału społeczno-moralnego, mającego w dzisiejszem demokratycznie zrównanem społeczeństwie spełniać taką missyę, jaką w dawnych fazach rozwojowych prawa spełniły inne czynniki tego rodzaju, już poprzednio wskazane i scharakteryzowane, missyę wielką, bo uzupełniającą akcyę prawa pozytywnego poza jego linią demarkacyjną w dziedzinie, podlegającej nie samym normom ustawowym, lecz owej inspiracyi moralnej, która według słów Montesquieu'ego obyczajami rządzi, w dziedzinie, w której sąd nie jest kierowany chwiejną dyrektywą wszystko względami na powodzenie mierzącego oportunizmu, lecz stałemi kryteryami dobrego i złego. W chwili, gdy sprawa stanie na tem stanowisku, już nietylko przewagę traci ów *advocatus diaboli*, lecz musi wprost umilknąć i ustąpić. Jeżeliby dla uzasadnienia powyższej różnicy potrzebna być miała jeszcze powaga naukowa, międzynarodowego niejako znaczenia, szczególnie dla pozytywistów, to moglibyśmy poprzestać

---

[1]) Louis Proal: *La Criminalité politique.* — Paris 1895.

[2]) G. Tarde: *La Criminalité comparée.* — Paris 1886, str. 196 i n.

[3]) F. v. Holtzendorff: *Wesen und Werth der öffentlichen Meinung* (j. w.).

na świadectwie Milla [1]). W rozprawie o wolności panowanie opinii publicznej nazwał Mill, jako antitezę pełnego rozwoju indywidualizmu, po prostu chińszczyzną, grożącą Europie zaprzepaszczeniem dzisiejszej roli cywilizacyjnej. W tej samej rozprawie jednak a potem w rozprawie o zasadach utylitaryzmu opinia publiczna w znaczeniu moralnem odgrywa już rolę czynnika, uzupełniającego prawo w interesie sprawiedliwości.

Nic lepiej nie charakteryzuje odmiennego w obu powyższych kierunkach znaczenia opinii publicznej, jak fakt, że w owych dwóch rozprawach Maurycego hr. Dzieduszyckiego i Stanisława hr. Tarnowskiego, w których opinia publiczna w swojej roli politycznej tak bezwzględnie została potępiona, jeden i drugi autor wykonał zwrot znaczący, gdy wypadło dotknąć strony moralnej: „Nietrzeba atoli — mówi hr. M. Dzieduszycki — mięszać z tem (t. j. polityczną opinią publiczną) owych powszechnych przeświadczeń ludzkości, które nie w opinii, nie w większości zdań, ale w ludzkiej naturze, w samej istocie i wymaganiach duszy naszej źródło swe i podstawę mają i we wszystkich narodach, czy cywilizowanych, czy barbarzyńskich nawet, przez wszystkie wieki, współcześnie, bez żadnej możliwej zmowy ani porozumienia się, powszechnie i stale się objawiają, jakiemi są n. p. przekonanie o najwyższej istności, o nieśmiertelności duszy, o związku tego świata z drugim, o różnicy złego i dobrego, cnoty i występku, bo sumienie jest właściwą cechą ludzkiej natury. Takie przeświadczenia, które często już u dzieci nawet spostrzegać się dają, na które tak słusznie odwołuje się filozofia i sam Kościół, nie są bynajmniej *vox populi*, ale *vox naturae humanae* (głosem ludzkiej natury), czyli tak zwanym u filozofów *sensus naturae communis* (zmysłem powszechnym ludzkości), który utrzymuje się i przebija wszędzie, nawet mimo grubej mgły barbabarzyństwa i ciemnoty.“

A teraz ustęp z rozprawy St. hr. Tarnowskiego: „Bo nie dzienniki — mówi on — stwarzają opinię, lecz, przeciwnie, jaka opinia, takie będą w kraju dzienniki. One kierować ją mogą od razu do razu w szczegółach, mogą sprowadzić to lub inne rozstrzygnięcie tej lub owej bieżącej kwestyi politycznej, przyczynić się do uchwalenia tej a tej rezolucyi, do odrzucenia tego a tego wniosku do prawa; ale ich strona i stała wartość moralna, ta zawsze zależy od publiczności i zawsze będzie taką, jak publiczność chce lub pozwala.

---

[1]) John Stuart Mill (Zbiorowe wydanie dzieł w niemieckim przekładzie prof. dr. T. Gomperza) t. I. str. 75, 84 i 181.

Jeżeli ta oburzy się na pierwsze lub drugie kłamstwo, dziennik dbały o swój byt z samego wyrachowania w trzecie nie popadnie; jeżeli ze wzgardą odrzuci potwarz, dziennik dla własnego dobra będzie się bał i strzegł szkalowań; jeżeli będzie stała i wierna swoim przekonaniom a na zmiany dziennikarskich chorągiewek oczu zamykać nie będzie, uniknie tego, że rzecz jedna i ta sama dziś w pismach peryodycznych opisana jest jako biała, jutro jako czarna. A jeżeli zażądać zechce, żeby prasa była w ręku samych tylko ludzi godnych i nieposzlakowanych, redakcye we własnym interesie podejrzanych do siebie nie przyjmą lub z siebie wyrzucą."

Hr. Stanisław Tarnowski w dziesięć lat później w innej rozprawie z wybitnym aktualnym charakterem [1]) pośrednio hołd złożył opinii publicznej w moralnem tego słowa znaczeniu, hołd jeżeli nie większy, to co najmniej tak wielki, jak wielką była pogarda, wyrażona przedtem kuglarskiej roli opinii publicznej w życiu politycznem. Cały bowiem ów wstrętny obraz korupcyi, jaki przed światem odsłoniło społeczeństwo francuskie w r. 1892 w chwili wyjścia na jaw szalbierstw zamaskowanych przedsiębiorstwem kanału Panamskiego, szalbierstw, które już nie ku zgorszeniu tylko lecz ku osłupieniu powszechnemu okryły hańbą nazwiska najwybitniejszych osobistości politycznego świata paryskiego, pojmować musi czytelnik rozprawy St. hr. Tarnowskiego jako następstwo ospałości opinii publicznej w moralnem znaczeniu. Milczała ona bowiem długo w życiu towarzyskiem i publicznem wobec pierwszych objawów korupcyi i patrzała bezczynnie na wciskanie się osobistości niegodnych szacunku w koła, do których przystęp tylko ludziom uczciwym powinien być otwarty, aż w końcu przebrała się miara złego i społeczeństwo ujrzało się nad przepaścią moralną.

Ta świetna rozprawa St. hr. Tarnowskiego potrzebuje tylko illustracyi a raczej komentarza pod względem prawnym, aby stanowiła wyniesienie opinii publicznej na piedestal nowoczesnej cenzury społecznej, uzupełniającej akcyę prawa w moralnym duchu i to tak w kierunku repressyjnym przez karcenie infamią nieuczciwości, usuwającej się z pod oka prawa pozytywnego, jak i w kierunku dodatnim przez wymierzanie szacunku, jako nagrody społecznej a zarazem jako najpewniejszego zewnętrznego kryteryum czci prawdziwej. Przyznając tutaj takie wybitne znaczenie rozprawie pisarza, który, chociaż nie jest prawnikiem, za genialną inspiracyą i dzięki podnio-

---

[1]) Stanisław hr. Tarnowski: *Z powodu Panamy* (w ***Przeglądzie Polskim*** z r. 1893).

słemu pojmowaniu moralnej strony życia umiał w omawianiu rozgłośnej sprawy bieżącej wejść na szlak prawdy, olśniewającej także i prawnika zawodowego, nie zamierzamy bynajmniej wyrządzić ujmy powadze prawa, lecz owszem chcielibyśmy w ten sposób tylko pokrzepić otuchę jego adeptów, zrozpaczonych, jak widzieliśmy, w teoryi, gdy chodziło o ujęcie w sferę i osłonę prawa czci, jako jednego z najwyższych dóbr moralnych. Jeżeli pozytywizm prawny, uznając paragraf za potęgę, wystarczającą zupełnie do unormowania stosunków, uznawałby to za despekt dla prawa, to byłby to despekt urojony tak samo, jak urojone jest takie wyobrażenie o wszechmocy prawa.

Żeby zapowiedzianą powyżej illustracyę czy komentarz prawny do rozprawy St. hr. Tarnowskiego ująć w formę jaknajzwięźlejszą, stawiamy wprost pytanie: jaką rolę odegrało prawo pozytywne w brudnej historyi sprawy panamskiej a jaką opinia publiczna w znaczeniu moralnem? Prawo nietylko nie zapobiegło długiej gospodarce szalbierczej, lecz owszem dostarczyło oszustom środków do długiego pokrywania formalnego rozboju płaszczykiem legalności a gdy potem nie zaraz przez jego organa, lecz inną drogą, wszystko na jaw wyszło, nie potrafiło nawet zdemaskować wszystkich poczciwców bez czci i wiary, nie zdołało dojść do tajników finansowych machinacyi, pozwalało słynnemu Artonowi z kluczem do tych tajników uwijać się bezkarnie po świecie i nie byłoby oczyściło atmosfery, gdyby nie potężna interwencya opinii publicznej. Ona to naprawiła wprawdzie formalnie uzasadnioną, ale przez same ofiary chybionego przedsiębiorstwa niemal z oburzeniem przyjętą, ciężką kondemnatę „wielkiego Francuza“, Lessepsa, za brak praktycznego zmysłu dla finansowej strony genialnych chociaż i fantastycznych zarazem pomysłów, ona to nie krępując się formalistyką definicyjną i procesową zmiotła wprost z widowni publicznej nieskondemnowanych sądownie, ale mimo to skompromitowanych, posłów wpływowych, nie wyłączając nawet matadorów, którzy, jak Floquet i Freycinet, piastowali najwyższe dostojeństwa a zapewne i marzyli, nie bez podstawy nawet o zajęciu naczelnego w republice stanowiska. Ocknęła się zatem opinia publiczna we Francyi i za jednym zamachem, jednym gromem, zdziałała dla moralnego uzdrowienia społeczeństwa więcej, aniżeli prawo całą swoją rozwlekłą akcyą.

Że się to stało za późno, że można było nie dopuścić do takiego skandalu, że, co najważniejsza, można było wczesną repressyą zapobiedz rozwojowi innych mikrobów korupcyi w niezdrowej atmosferze społecznej (jak n. p. późniejsza sprawa Lebaudy, Jacques St. Cère itp.), to prawda, prawda smutna i potwierdzająca zarzuty, zawarte

w rozprawie St. hr. Tarnowskiego pod adresem społeczeństwa francuskiego. Ale o ile więcej cięży za to odpowiedzialność na prawie, które poniekąd uspiło czujność opinii tem, że po równie głośnej jak Panama sprawie Wilsona osobną ustawę o szerokich ramach [1]) ustawiło przeciw korupcyi sfer parlamentarnych zaporę w swojem mniemaniu nieprzezwyciężoną? Kiedy mowa o sprawie Wilsona, to i na niej skonstatować należy zwycięzką i zbawczą interwencyę moralnej opinii publicznej, która za szacherkę orderową, prowadzoną całe lata w pałacu prezydenta republiki przez jego zięcia, więc pod okiem prawa, wspieranego wrzekomo niedoścignioną w ścisłości publiczną kontrolą urządzeń republikańskich, zmiotła z widowni publicznej, jako niegodnych czci, nietylko samego Wilsona, lecz i jego teścia, samego naczelnika państwa, wielbionego dotąd weterana sprawy republikańskiej, Grevy'ego. A wszystko to wydarzyło się w kraju, w którego tradycyach karno-prawnych korupcya na stanowiskach publicznych a szczególnie w kołach wybrańców społeczeństwa niegdyś srogo była napiętnowana a nawet karą śmierci zagrożona [2]).

Po francuskiej Panamie przyszło włoskie Panamino, nowy grom moralnej opinii publicznej, który tym razem uderzył najpierw w sam przybytek sprawiedliwości paragrafowej z powodu puszczenia płazem jawnych i gorszących szalbierstw bankierskich a potem zgniótł także matadorów politycznych, wplątanych poprzednio w te szalbierstwa. Takie Panamy i Panamina były zawsze, bo za świadectwem historyi polityka od wieków była dla nich gruntem podatnym [3]), bo zawsze zajść mogą rażące sprzeczności między orzeczeniem niedostatecznego prawa pozytywnego a poczuciem moralnem społeczeństwa, zwłaszcza w sprawach, w których interes materyalny nie stanowi całej treści, lecz ustępuje na drugi plan wobec zaangażowanej czci osobistości, mających pretensye lub nawet już powołanych do odgrywania przodującej roli w życiu społeczeństwa. Takie Panamy i Panamina powtarzać się będą i w przyszłości, bo prawo pozytywne może się znacznie zbliżyć do sfery moralności, ale wszystkich jej norm nigdy z taką ścisłością objąć nie zdoła, aby w ogóle wykluczone były wypadki, w których paragrafy czegoś nie wzbraniają a mimo to

[1]) *Bulletin des lois de la République française*, t. XXXIX. z r. 1889 Nr. 20.943.

[2]) Teulet d'Auvilliers et Sulpicy: *Les codes français annotés.* — Paris 1850, t. II. str. 65.

[3]) Louis Proal: *La criminalité politique* (j. w.). Osobny rozdział poświęcił autor głośnym faktom korupcyi politycznej, z historyczną ścisłością stwierdzić się dającej.

zdrowe poczucie czci protest zakłada. Tak było według wypisanych na czele tej pracy słów Seneki za czasów rzymskich, tak jest dzisiaj i tak będzie dalej. *Officiorum regula*, normy moralności, będą szersze, aniżeli *iuris regula*, prawo pozytywne. Ta tylko zachodzi różnica, że od świtu chrystyanizmu pierwsza kategorya norm posiada podstawy niewzruszone i niezmienne a wskutek tego drugiej kategoryi już wytknięty został jasno kierunek przyszłego rozwoju. *Iuris regula* może, powinna i będzie ciągle doskonalić swój aparat wykonawczy a oparta na etyce chrześciańskiej *officiorum regula* posiadać będzie swojego stróża i wykonawcę w opinii publicznej, jako cenzurze społeczno-moralnej.

Można o tem tak apodyktycznie mówić nawet dziś, w tak mało ustalonej fazie rozwojowej prawa, w okresie tak jawnie propagowanych „nowych horyzontów“, według których główne zasady dotychczasowego prawa karnego miałyby się już przeżyć, stać postępowi w drodze i chylić się ku niechybnej zagładzie. I w tych nowych widnokręgach bowiem opinia publiczna miałaby pod hasłem i w imię czci odgrywać wielką rolę cenzury społecznej, powołanej do czynnej akcyi posiłkowej nawet obok wymarzonego dla przyszłości nowego prawa. Wypływa to wyraźnie z głosów pisarzy, reprezentujących najskrajniejszy odcień reformatorów prawa karnego. Ktoby się tego spodziewał, że nawet Ferri i Garofalo, odzywający się o czci, jak w ogóle o wszystkich moralnych czynnikach klassycznego prawa karnego, z lekceważeniem, nieraz w cynizm przechodzącem, złożą hołd wpływowi moralnemu opinii publicznej, jako skutecznemu środkowi walki z przestępstwem. Pierwszy z tych pisarzy mówi o wpływie moralnym opinii publicznej głównie w wyższych klassach społeczeństwa [1]), drugi jednak składa jej hołd już bez zastrzeżeń i ograniczeń temi słowy [2]): „Przestępność staje się endemiczną, lub szerzy się przez naśladownictwo w mieście, w pewnych okolicach, w całym nawet narodzie z tego powodu, że nagana publiczna nie jest dość silna wobec pewnych czynów występnych. Wtedy prawo winno dać do poznania, że czyny tego rodzaju niemogą być tolerowane, wtedy do prawa należy podniesienie upadającej opinii publicznej, aby ona przyczyniła się do ewolucyi moralnej społeczeństwa i nie ulegając panującemu prądowi przedstawiała przestępstwa endemiczne nie jako błędy lekkie, lecz jako czyny naganne, których absolutnie unikać należy. Cel ten tylko surowością

---

[1]) H. Ferri: *La Sociologie criminelle* (j. w.) str. 205 i 397.
[2]) R. Garofalo: *La Criminalogie* (j. w.) str. 230 i 281.

daje się osiągnąć.“ Zupełnie zgadza się Garofalo ze zdaniem Filangeriego, że piętnowanie infamią czynów zdrożnych nie leży całkowicie w zakresie ustawodawcy. Jestto rzecz opinii publicznej, która „nigdy nie powinna być przez ustawy ani gwałcona, ani poniżana.“ Wobec zaniku zasady odstraszania w dzisiejszym systemie kar niektórzy pozytywiści wprost zniewoleni są szukać środków jej wzmocnienia w hańbie, infamii społecznej, spadającej na przestępcę z dodatkowego wyroku opinii publicznej.

Te głosy, odzywające się z „nowych horyzontów“, stanowią znaczące uznanie faktycznej siły, jaką posiada moralna opinia publiczna, tem więcej, że są niejako wymuszone na autorach trzeźwą oceną aktualnych stosunków, wymuszone na prawdę, skoro z niemi łączy się nawet ujma dla ścisłej konsekwencyi. Żeby poprzestać na jednym tylko szczególe tej niekonsekwencyi, zwracamy uwagę na to, że w świecie naukowym, z którego pochodzą ostatnie głosy, za dogmat uznawany jest determinizm, więc negacya odpowiedzialności moralnej, negacya całego tła moralnego, na jakiem opinia publiczna rozwinąć może swoją akcyę repressyjną i poprawczą. Wszakże dla determinizmu przestępca jest tylko ofiarą stosunków biologicznych, społecznych i t. d., popchniętą formalnie na drogę złego. Skoro musi znosić za to karną repressyę, to w oczach deterministy jestto już maximum złego, jakie nań spadać powinno, a potęgowanie tej repressyi osobną karą moralną, mianowicie dodatkowem piętnem hańby, powinnoby już uchodzić za akt niesprawiedliwości, tem więcej rażącej, że w braku wolnej woli środkiem takim nic osiągnąć niemożna. To też nawet w umiarkowanych, ale konsekwentnie na determinizmie opartych, projektach reformy obecnego systemu kar istotnie odzywają się głosy za takiem wyłączeniem hańby, jako moralnego akcessoryum kary [1]).

Widocznie sam pozytywizm czuje to dobrze, że negacyą wolnej woli gubi poczucie czci i wstydu, więc obala podstawę, na której oprzeć się musi uznana przezeń przedtem skuteczna akcya opinii publicznej w moralnem znaczeniu. To też głębsi koryfeusze naukowi z tego obozu, nie zasklepieni w doktrynie tak, aby jej następstw praktycznych dostrzedz niemogli, starają się ocalić ową podstawę moralną, aby tem samem ocalić i znaczenie opinii publicznej. W tym celu spotkać się można z rozmaitemi zastrzeżeniami, z których żadne

---

[1]) Max Sternau: *Die Abschaffung des Strafmasses* (w *Zeitschrift für die gesammte Strafrechtswissenschaft* — t. XIII. z r. 1892, str. 17 i n.).

zupełnie nie wystarcza a niejedno stanowi tylko prosty wykręt naukowy. Tak się rzecz ma n. p. z zastrzeżeniem Tarde'a [1]), który jako sędzia karny niemógł absolutnie pójść za wszelkiemi konsekwencyami determinizmu i dlatego nazwał uznanie wolnej woli jedną z tych fikcyi a raczej kłamstw, których społeczeństwo dla swojego bytu niezbędnie potrzebuje. To zastrzeżenie koniecznem było dla Tarde'a już ze względu na jego prace naukowe w ogóle, gdyż bez tego fortelu żadnego znaczenia niemiałaby tak często w tych pracach powtarzająca się apologia czci, jako moralnej dźwigni życia prawnego i opinii publicznej, jako cenzury społeczno-moralnej, podniesionej wysoko szczególnie w polemice z twierdzeniem Carnevalego, jakoby z postępem cywilizacyi kara słabła, niejako popadała w omdlenie, czy nawet w zanik fatalny. Twierdzenie to odpiera Tarde wskazując na naganę ogólną *(réprobation générale)*, jako karę prawdziwą, celowi swojemu odpowiadającą, i na rządzącą rolę opinii publicznej. Ktoby, mówi przytem Tarde, zapoznawał siłę opinii publicznej, mógłby idąc śladem Carnevalego utrzymywać tak samo, że z rozwojem cywilizacyi rząd popada w omdlenie i zanik. Tymczasem w miarę, jak łagodnieje strona fizyczna kary, wysuwa się naprzód i wzmacnia jej strona moralna a także w miarę ustępowania władzy politycznej na dalszy plan, czy to pod monarchiczną czy pod inną formą rządu, wzrasta nieustannie siła społeczna opinii.

Niepodobny w kierunku naukowym do Tarde'a, idealista wybitny w pojmowaniu celów i zadań prawa karnego, A. Franck, z innego stanowiska dochodzi do tego samego wniosku, że rozwój środków karnych zmierza ku wyniesieniu tej moralnej siły kary, jaka tkwi w zniesławieniu przez opinię publiczną. Aż do najśmielszych marzeń posuwa się w tej mierze Franck [2]) w następujących słowach: „Może już niezadługo zniknie kara śmierci! Kto wie, może nawet więzienie zniknie, jeżeli oświata się rozszerzy, obyczaje dalej będą się uszlachetniać a poczucie czci szersze zakreśli koła. Może, wtedy nawet kara więzienia da się usunąć wobec cierpień moralnych hańby lub częściowej utraty praw cywilnych i politycznych.“ Zrozumiałem jest to marzenie po słowach poprzednio wypowiedzianych: „Kara nakładana na winnego powinna mieć racyę bytu w jego charakterze ludzkim, powinna dotknąć go najpierw na czci, która w tem znaczeniu, jakie jej przypisywane jest w stosun-

---

[1]) G. Tarde: *L'idée de culpabilité* (w *Revue des deux mondes* z r. 1891, t. 105 str. 848—849).

[2]) A. Franck: *Philosophie du droit pénal* (j. w.) str. 91 i 160.

kach społecznych, polega na szacunku innych osób, całego społeczeństwa, a której przestępca stał się niegodnym z własnej winy i inaczej odzyskać niepowinien, jak tylko przez całkiem inny tryb życia po wyrównaniu rachunku z prawem."

Nie chcielibyśmy popaść w posądzenie, że opieramy się głównie na prawnikach francuskich z pewnej predylekcyi, nie mającej uzasadnienia w samej rzeczy. Może na odparcie zarzutu nieuzasadnionej predylekcyi wystarczyłoby samo powołanie się na fakt, że gdzie kollizya niedostatecznego z natury swojej a nadto chwilowo ospałego prawa z opinią publiczną, jako cenzurą społeczno-moralną, doprowadziła do takiej burzy, jaką stanowiła sprawa Panamy, tam zdrowa refleksya najwięcej odbić się musiała w literaturze prawniczej. Nie na tem jednak tylko polega powód owej predylekcyi. Francuscy prawnicy zasługują w zakresie kwestyi, tą pracą objętych, na szczególną uwagę dlatego, że ich wyrzuty prawu czynione i postulaty na przyszłość stawiane opierają się na znaczących i do rozwagi pobudzających datach najstaranniejszej i najwięcej dotąd pouczającej statystyki kryminalnej. Nadto wyrzuty te i postulaty pochodzą od pisarzy, którzy, jak Tarde, Mouton, Proal i t. d., umieli w pracach swoich połączyć filozoficzne poglądy z daleko idącemi względami na stronę praktyczną, poznaną bezpośrednio z własnej działalności sędziowskiej. Jeżeli tedy tacy prawnicy wynoszą opinię publiczną, jako nowoczesną cenzurę, powołaną do wielkiej missyi społeczno-moralnej, to świadectwo ich jest pewnie klassyczne w całem tego słowa znaczeniu. „Czyż niewiadomo — mówi ostatni z wymienionych powyżej pisarzy [1]) — że obawa przed hańbą, która stanowi następstwo kondemnaty sądowej, wpływa na ludzi tak samo, jak ta kondemnata a nawet w wyższym jeszcze stopniu? Utrata czci, plama na nazwisku człowieka skazanego, wzgarda, którą on widzi w oczach swoich przyjaciół, wszystko to stanowi dotkliwsze cierpienie moralne, aniżeli kara fizyczna . . . Czas już, aby zaczęła się reakcya przeciw teoryom przeciwnym. Miejmy litość dla przestępców, ale nie odłączajmy litości od nagany. Niech wzgarda będzie następstwem popełnionego przestępstwa. Jestto rzecz sprawiedliwa i pożyteczna, aby na przestępców spadała pierwsza kara w pogardzie, która ich czeka. Skoro już na tym świecie tylu winnych uchodzi bezkarnie, to niechże przynajmniej ci, którzy wymknęli się karzącej sprawiedliwości, będą napiętnowani przez sumienie pu-

[1]) Louis Proal: *Le crime et la peine* (j. w.) str. 219 i n., 420 i n.

bliczne.“ Organem tego sumienia jest opinia publiczna, której osłabienie tak ten pisarz, jak i Mouton [1]), uważa za złowrogi objaw dzisiejszego życia prawnego, życia społecznego w ogóle, przytaczając między innemi powodami tego stanu jeden tak doniosłego symptomatycznego znaczenia, iż pod tym względem między Francyą a innemi krajami europejskiemi różnica zachodzić może tylko w stopniu i w podrzędnych szczegółach, ale nie w rzeczy głównej.

Mamy tutaj na myśli najświeższą znamienną metamorfozę w ustroju stosunków społecznych, owo nadzwyczajne uruchomienie społeczeństwa w dzisiejszej dobie. Złożyły się na to najpierw zdumiewające postępy techniki, wskutek których lokomocya doszła do doskonałości, na cud zakrawającej, niemal w okresie jednego pokolenia, powtóre przewrót w całym systemie gospodarczym, który, także dzięki postępowi techniki i podziałowi pracy, zmienił się zupełnie w stosunkowo krótkim czasie i wytwarzając wielkie ogniska skoncentrowanej produkcyi przemysłowej dał impuls do bajecznego wzrostu miast, przedtem już dużych na milionowe mrowiska ludzkie a średnich i małych nawet na duże w dawnem tego słowa znaczeniu. Dodajmy do tego jeszcze administracyjne ułatwienie ruchu ludności i tę ogólną gorączkę we wszystkich kierunkach działalności ludzkiej a będziemy mieli zarys tła, na którem rozwinęła się i potęguje ciągle nowoczesna mobilizacya społeczeństwa, jakby nowa pokojowa wędrówka ludów. Patrzącemu na sytuacyę nie bezmyślnie lecz z poglądem retrospektywnym, wędrówka ta wydać się musi zjawiskiem nadzwyczajnem, może w bezpośrednich skutkach nie tak doniosłem, jak poprzednia faza społecznego rozwoju, niwelacya społeczna na gruzach stanowej organizacyi, ale posiadającem niezawodnie wszelki tytuł do nazwy nowej epoki w ustroju stosunków. Jestto pole obserwacyjne niezmiernie ciekawe dla socyologa pod rozmaitemi względami [2]). Można z tego stanowiska kreślić różne fantastyczne obrazy przyszłości, jak n. p. — żeby poprzestać tutaj na jednej wskazówce — świt nowego okresu ewolucyi społecznej, mianowicie przejście do owego industryalizmu, który w socyologii Spencera jest z takiem uwielbieniem zapowiadany, jakgdyby z nim świat już na pewne w raj się miał zamienić.

Omijamy to ponętne pole marzeń i konjektur socyologicznych a ograniczamy się na jednym tylko szczególe, jako nieobojętnym dla

---

[1]) E. Mouton: *Le devoir de punir* (j. w.) str. 13.

[2]) Dr. Bronisław Łoziński: *Tłum* — Szkic socyologiczny. Kraków 1895.

tematu tej pracy. Z ową mobilizacyą społeczną a przedewszystkiem z bajecznym wzrostem miast, do których przy niesłychanie ułatwionej lokomocyi nieustannie wpływa i z których nieustannie rozlewa się dokoła koczujący zastęp ludności przedsiębiorczej i zarobkującej, łączy się stwierdzony już statystycznie i przez kryminologów objaśniony wzrost przestępności a na wzrost ten składa się szereg przyczyn, pomiędzy któremi ważną odgrywa rolę coraz większa przewaga życia miejskiego nad wiejskiem. Wieś w tych stosunkach traci swój dawny odrębny charakter społeczny, zmienia się wobec skróconej komunikacyą, prawie uchylonej już, odległości od wielkich miast niejako na ich przedmieście a raczej na szlak nieustannego przepływu i odpływu ludności. W tym zaniku odrębnego charakteru wsi, oczywiście w znaczeniu socyologicznem a nie topograficznem lub administracyjnem, powołani przez nas kryminaliści francuscy zgodnie opatrują jedno z głównych źródeł złego co do wzrostu przestępności. Tutaj wchodzi w grę w sposób wybitny cenzura społeczno-moralna, którą wykonuje opinia publiczna w najszerszych kołach. „Opinia publiczna — mówi Proal — i lęk przed hańbą mają większy wpływ w małej mieścinie i na wsi, aniżeli w wielkiem mieście, gdzie przez samą zmianę pomieszkania uchylić się można z pod kontroli krewnych i sąsiadów, kiedy tymczasem mieszkaniec wsi żyje ciągle pod okiem swoich współobywateli.“ Takich głosów możnaby cały szereg przytoczyć, gdyż szczegół ten uchodzi już za pewnik.

Smutną byłaby perspektywa dalszego rozwoju społecznego, jeżeliby to dzisiejsze w ewolucyi miast streszczające się uruchomienie społeczeństwa wraz z towarzyszącą mu ogólną zmianą stosunków i trybu życia miało doprowadzić koniecznie do zaniku kontroli, o której Proal mówi, tem samem do zaniku tej cenzury społeczno-moralnej, jaką była dotąd opinia publiczna i bądź co bądź, mimo wszelkiego sceptycyzmu pessymistów, jest jeszcze ciągle. Stosunki gospodarcze i obrotowe ulegać mogą i ulegać będą ciągłym zmianom, ale zasady moralności w społeczeństwie chrześciańskiem, jako niewzruszone fundamenta całej budowy społecznej, niemogą pod grozą zagłady cywilizacyjnej w taki sam wir wpadać i przebywać metamorfozy. Byłaby to może aspiracya mglista, gdyby się nie opierała na instytucyi, która jak w dotychczasowym pochodzie cywilizacyjnym ludzkości i w całym rozwoju prawa stanowiła niewzruszoną podstawę ustalenia społeczno-moralnego, tak i nadal tem pozostanie. Mamy na myśli dom, w szerokiem całe życie rodzinne obejmującem znaczeniu, dom, jako czysty zdrój moralności i skarbnicę cnót, któremi stoi

i krzepi się ciągle społeczeństwo, dom, jako komórkę społeczną, w której tkwi pierwiastek życia i rozwoju moralnego. Z domu moralnie zdrowego, z rodziny jako pierwszej i najgłówniejszej szkoły społecznej, wychodzi człowiek na widownię życia z takim zapasem sił moralnych, z takim skarbem czci, jako świadomości syntezy praw i obowiązków, z taką wreszcie jędrną siłą odporną wobec pokus i zasadzek życia, że nawet i w dzisiejszym jego trybie, tak gorączkowym we wszystkiem, tak przesyconym żądzą użycia bez opamiętania, tak wreszcie ułatwiającym ukrywanie fałszywych kroków i zagłuszanie skrupułów, ostać się może w zdrowiu moralnem pomimo niedość pomyślnych stosunków prawnego ustroju. Świetna trylogia prawno-filozoficzna H. Joly'ego [1]), w której pisarz ten, opierając się nietylko na świeżej statystyce kryminalnej swojej ojczyzny, lecz nadto i na osobistem badaniu stosunków w poszczególnych departamentach, odsłonił wielki obraz przestępności ze wszystkiemi jej źródłami i z wskazaniem wypróbowanych środków zapobiegawczych, dom otoczony jest taką aureolą moralną, że promienie padają nawet na najciemniejsze części obrazu. Gdzie dom z życiem rodzinnem tak wyniesiony został, tam i siła moralna opinii publicznej, jako wspierającej i uzupełniającej prawo cenzury społecznej, znaleść musiała pełne uznanie. „Społeczeństwo karze — mówi ten pisarz — w dwojaki sposób: po pierwsze karami materyalnemi, z których najcięższa jest pozbawienie życia lub wolności, a powtóre piętnem moralnem, które wyciska w imieniu opinii publicznej.“ A na innem miejscu: „Odkąd złagodzono srogość kar materyalnych, należy pamiętać o tem, że główna kara polega na jawności wyroku i spowodowanem przez to poruszeniu opinii. Jawność ta więcej pewnie, aniżeli mury więzienia, orzeka czasowe lub trwałe wykluczenie winnego ze społeczeństwa.“

W każdem przeobrażeniu się ustroju społecznego a więc i w tem dzisiejszem uruchomieniu gorączkowem dom jest i winien pozostać pod względem moralnym stałym punktem i jądrem nowej formacyi. Nad tem dzisiejszem uruchomieniu społeczeństwa można ubolewać pod pewnemi względami, jak ubolewają rzeczywiście prawnicy i moraliści w krajach najwięcej tem dotkniętych. Trzebaby jednak zwątpić o stałości cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa, żeby przypuścić, iż nowy stan rzeczy w ustroju społecznym zapowiada trwałe zachwianie tych wszystkich czynników moralnego zdrowia, które, jak

[1]) *Le Crime*, *Le combat contre le crime* i *La France criminelle.*

dom, rodzina i inne związki społeczne, rozciągają nad jednostką opiekę a zarazem i tę ścisłą kontrolę, jaka przebija się w opinii publicznej. Forma związków społecznych może ulegać zmianom, ale istota ich pozostać musi nietknięta, bo dopóki człowiek istnieje, dotąd istnieć musi ogólny związek społeczny a z nim i cała sieć związków niższego rzędu. Instynkt społeczny i potrzeba łączności społecznej w ustalonej formie bytu i rozwoju są takiem samem prawem niezmiennem, jak prawo ciężkości w martwej przyrodzie. Nawet w najśmielszych fantastycznych przepowiedniach socyologów o przyszłych kolejach i formach ewolucyi społecznej prawo to stanowi niewzruszony punkt wyjścia. Można się obawiać, że dzisiejszy system prawa przebywać będzie przesilenia niebezpieczne lub nawet ulegnie zasadniczej zmianie, ale żeby ztąd wyniknąć miała zagłada tej kontroli, cenzury społeczno-moralnej, jaka zawsze istniała i istnieje, lub zupełny przewrót w jej kardynalnych zasadach moralnych, tego na schyłku drugiego tysiąclecia ery chrześciańskiej w najposępniejszych poglądach na przyszłość przypuścić niepodobna i niewolno.

Szacunek i infamia stanowić będą zawsze widome znaki, wyrazy tej cenzury społecznej w moralnym kierunku, szacunek, jako sprawdzony i uznany przez społeczeństwo zewnętrzny odblask czci w znaczeniu kwintessencyi moralnej człowieka, w znaczeniu pięknej harmonii praw i obowiązków w całem jego działaniu, infamia, jako piętno moralne, wyciskane w imieniu społeczeństwa przez opinię publiczną za zboczenia z drogi obowiązków, z drogi przez cześć wewnętrzną człowiekowi na każdym kroku i w każdem działaniu wskazywanej. Nieskończoną jest skala jednego i drugiego orzeczenia, nieskończoną w szacunku, jako uznaniu ciągłego doskonalenia się moralnego, nieskończoną w infamii, jako znaku upadku moralnego, z którego można się prędzej lub później podźwignąć, w którym jednak można także i zgubić się na zawsze.

Żeby prawo pozytywne ze swojemi normami wznieść się mogło na tę wyżynę i całą tę skalę ująć w ramy paragrafowe, o tem trudno marzyć, bo dla niego cześć wewnętrzna jest polem niedostępnem. Ale żeby prawodawca ciągle miał przed oczyma tę wyżynę i tę skalę, żeby ile możności nie odbiegał od norm niezmiennie zakreślonych w tej sferze moralnej a jawnej kollizyi z temi normami strzegł się na każdym kroku w interesie samego prawa, to niepowinno uchodzić za pobożne życzenie lub za jednę z „subtelności metafizycznych“, tak wyszydzanych przez pozytywistów, lecz za postulat, wypływający z warunków, pod jakiemi prawo utrzymać się może na podniosłem stanowisku jednego z najgłówniejszych czynni-

ków rozwoju cywilizacyjnego ludzkości. Wyręczamy się tutaj słowami pisarza, który, jak to w poprzednim rozdziale zaznaczyliśmy, wzniósł się najwyżej w określeniu istoty czci. „Między szacowaniem wartości moralnej — mówi Eckstein [1]) — przez państwo i opinię publiczną zachodzi niezaprzeczony stosunek wzajemnego oddziaływania. Jest on widoczny wszędzie, gdzie między społeczeństwem a organami państwa istnieją zdrowe stosunki. Oba czynniki starają się ile możności niezależnie postępować w ocenianiu tej wartości, w kontroli jednak, wzajemnie wykonywanej, spoczywa rękojmia bezpieczeństwa wobec dowolnego postępowania sądów i uprzedzeń opinii publicznej... Każde zdrowe ustawodawstwo musi dążyć do tego, aby ile możności pozostawało w harmonii z moralnemi zasadami opinii publicznej i z duchem społeczeństwa. Niezawodnie zdarza się to, że opinia publiczna tem więcej czci oddaje, im więcej jej państwo odmawia, albo przynajmniej nie oglądając się na sąd prawa, utrzymuje swój własny, przeciwny. Jeżeli taki wypadek zachodzi, to już źle się dzieje w państwie.“

Stanęliśmy u kresu całej rozprawy, którą, jak tego pragnęliśmy, zamknąć możemy perspektywą, wzbudzającą otuchę mimo wszelkich obaw, do jakich powód mógłby dawać pod niejednym względem dzisiejszy stan prawa i jego stosunek do etyki w ogóle a w sprawie czci w szczególności. W tej perspektywie prawo postępuje zgodnie i w sojuszu z etyką a społeczeństwo stawia na szlaku ich zgodnego pochodu drogoskazy wybitne i niemylne. Z tych drogoskazów jeden: szacunek, jako wierny odblask czci wewnętrznej, czci polegającej na syntezie praw i obowiązków, wskazuje kierunek nieskończonego postępu w moralnem doskonaleniu się a drugi: infamia, jako piętno hańby, ostrzega przed przepaścią moralną, w którą wpada się tylko z własnej winy i z której też tylko własnym trudem moralnym wydobyć się można. Społeczeństwo czuwać musi nad temi drogoskazami nieustannie i utrzymywać je w stanie zdrowym i silnym pod grozą katastrofy dla najwyższych interesów swoich.

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) J. Eckstein: *Die Ehre in Philosophie und Recht* (j. w.) str. 59—60 i 120.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d'ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.
1772.
(Dokończenie).

VII.

Książę August Sułkowski prowadzi wielką politykę na swoją rękę. — Nuncyusz papieski wręcza ambasadorowi rossyjskiemu notę o uwolnienie biskupa kamienieckiego. — Prymas przechodzi na stronę Prus. — Książę Henryk, brat króla, obejmuje dowództwo nad armią pruską w Polsce; Panin dowództwo nad armią rossyjską w Mołdawii. — Prusy, Austrya i Rossya pod względem militarnym i finansowym.

Warszawa, 20. października 1772.

W dniu wczorajszym rano miałem przyjemność rozmawiać bez świadków z biskupem kamienieckim. Już poprzedniego dnia oddalono przydaną mu straż i dziś może przyjmować u siebie wszystkich; tak wielką powagę i zaufanie zyskał sobie u generała i ambasadora. Pozostawiono tylko dwóch grenadyerów bez broni: jednego na korytarzu, prowadzącym do apartamentu biskupa, drugiego w przedpokoju. Biskup ma obecnie służbę swego krewnego, który onegdaj tu przybył. Zastałem biskupa w łóżku, skarżącego się, że mu nadzwyczaj dokuczają rany. Przeszło godzinę pozostałem z nim. Opowiadał mi o szczegółach uwięzienia, a mianowicie, że wzięty został w nocy na granicy, w domu, który wynajął dla siebie w Bolesła-

wiu, niedaleko Lublińca, pięć mil za kordonem pruskim. Aresztował go oficer, za huzara pruskiego przebrany, i pod konwojem, w największym galopie, odbył z nim pięć mil drogi. Z powodu wielkiego osłabienia wsadzono go na wóz chłopski i pędzono dalej, mimo iż biskup dostał wymiotów i wielkiego bolu głowy. Po przebyciu kordonu pruskiego jechali już wolniej aż do Piotrkowa i z tego miasta wysłał go własnym powozem książę Galicyn. Biskup zobowiązał mnie, abym złożył Waszej Królewiczowskiej Mości jego najgłębsze uszanowanie.

Z ambasadorem umówił się, że jak tylko wyleczy się z ran, wyjedzie do majątku swego krewnego, gdzie będzie mieć straż, z oficera i dwóch kozaków złożoną.

Ministrowie zagraniczni zajęci są obecnie wszyscy tworzeniem sobie własnych stronnictw. Minister rossyjski, jak sądzę, najwięcej jedna sobie zaufania uprzejmością i taktem w postępowaniu. Ambasadorowi wiedeńskiemu brak dostatecznej energii, ile że z powodu zbytniej ostrożności nie może na nikogo liczyć.

Stronnicy dworu tutejszego pracują nad zawiązaniem konfederacyi w województwie mazowieckiem, celem połączenia jej z innemi w Wielkopolsce pod księciem Augustem Sułkowskim. Nie otrzymałem dotąd jego uniwersału. Niezależnie od rządu i komisyi, utworzył radę z 24 osób złożoną celem niesienia, jak sam powiada, pomocy ojczyźnie swojej, pozostawionej bez wszelkich środków ratunku. Chce sobie przywłaszczyć prawo wysyłania ministrów-rezydentów do zagranicznych dworów. Właściwie plan jego popiera jeden z generałów pruskich.

Wnosząc z różnych danych, przychodzę do przekonania, że konfederacya działała w porozumieniu z Rossyą przeciw Austryi lub Prusom i że w każdym razie Rossya ma przeznaczoną główną rolę.

Zdaje mi się, że wiele osób radzić się będzie dworu saskiego, jak mają postąpić, i tym niewątpliwie wskazaną będzie nierównie pewniejsza droga, gdyż tu prawie wszyscy idą omackiem.

Wczoraj we czwartek biskup kamieniecki był u ambasadora rossyjskiego na obiedzie, dokąd się udał w karecie krewnego swojego bez straży, a dziś rano wyjechał na prowincyę do krewnego swego. Zobowiązał mnie do złożenia gen. Bibikowowi podziękowania za uprzejme obchodzenie się z nim. Wasza Królewiczowska Mość uczyniłby mi wielki zaszczyt, gdyby mię raczył upoważnić do złożenia mu również podziękowania w jego imieniu za uprzejmość względem biskupa, albo gdyby przysłał temu generałowi w darze kilka psów myśliwskich, o które kazał się starać w Saksonii.

Baron Stackelberg prosił również pana Esseniusa o wstawienie się do dworu saskiego za jego szwagrem Felbursan, który straciwszy większą część majątku swojego na poselstwach przy zagranicznych dworach i nie mogąc utrzymać się z pensyi, wyznaczonej mu przez dwór saski na poselstwie we Francyi, prosił księcia elektora o danie mu innego przeznaczenia w kraju, ale prośba ta pozostała bez skutku. Rezydent nasz wspomniał mi o tem dla wstawienia się do Waszej Królewiczowskiej Mości za pomienionym posłem. Byłoby bardzo dobrze, gdyby ten ostatni mógł zawiadomić ambasadora rossyjskiego, że wskutek interwencyi Waszej Królewiczowskiej Mości prośba jego została uwzględnioną.

Nuncyusz papieski zakomunikował baronowi Stackelbergowi notę, w której, odwołując się do wspaniałomyślności carowej, prosi o uwolnienie biskupa kamienieckiego, oświadczając jednocześnie, że obecnie prałat ten nie ma już ani chęci, ani możności agitowania, na co ambasador bardzo uprzejmie odpowiedział.

Wkrótce ma tu przybyć prymas. Stronnicy jego narzekają bardzo, że tak opóźnił swój przyjazd, lękają się bowiem, aby wziętość biskupa kamienieckiego, jaką tenże zyskał u wszystkich, nie była dla niego szkodliwą. Obecnie prymas jest więcej stronnikiem Prus, niż Rossyi. W ogóle jest to człowiek, który gotów wszystko poświęcić, nawet Rzeczpospolitą, dla swoich własnych widoków.

Nie udaję się tu wcale do ambasadora rossyjskiego po radę w sprawie konfederacyi, którą tu się bardzo zajmują; zdaje mi się jednak, że co do tego porozumiewają się z dworem berlińskim, w przeciwnym razie Sułkowski nie śmiałby utworzyć oddzielnej, niezależnej od rządu rady, gdyby nie miał poparcia ze strony Prusaków.

Dowiedziałem się, że dwór tutejszy otrzymał wiadomość o powierzeniu przez króla pruskiego dowództwa nad armią swoją w Polsce bratu swemu Henrykowi, co ogłoszone zostało przy salwach armatnich, oraz że carowa oddała Paninowi dowództwo nad armią rossyjską w Mołdawii. Wskutek tego Rumiancow, mający przewagę nad Orłowem w kongresie, utraciłby ważne stanowisko w armii.

Ministrowie trzech ościennych dworów ubiegają się między sobą w jednaniu sobie stronników — jeden kosztem drugiego. Z pomiędzy tych mocarstw król pruski jest najsilniejszy: skarb jego bogaty, magazyny i arsenały pełne, wojsko bitne i dobrze wyćwiczone, oficerowie zdolni i waleczni, długów nie ma żadnych. Ale jest w ogóle niecierpianym i dlatego każde niepowodzenie może się stać dla niego niebezpieczne, bo wtedy dezercya w wojsku nie miałaby granic.

Cesarz austryacki nie jest bez długów, kredyt jego u bankierów zagranicznych niepewny, a siły państwa nie mogą być skoncentrowane szybko, gdyż trzeba być gotowym do boju na wielu punktach jednocześnie.

Karność, oszczędność jest prawie jednakowa, jak w Prusach, tylko że tam pełni są uwielbienia dla wielkiego wojownika i polityka, gdy tymczasem tu cesarz nie dał dotąd na polu militarnem i politycznem dowodów, któreby zjednały mu zaufanie jego wojsk.

Rossya znowu ma tę wyższość, że wojska jej, mimo iż zostają pod dowództwem złych oficerów, nie poddają się dezercyi, cierpliwie znoszą wszelkie trudy i mogą być żywione lada czem. Z wymienionych trzech mocarstw, Austrya jest najmniej przygotowaną do działania i gdyby była zaatakowaną, mogłaby ponieść wielkie straty.

Gdyby panu Durand udało się odciągnąć Rossyę, możnaby się spodziewać pomyślnych rezultatów, zwłaszcza gdyby mocarstwo to rozpoczęło od zwrotu Kurlandyi Waszej Królewiczowskiej Mości, a to zależałoby tylko od niego samego.

Proszę bardzo Waszą Królewiczowską Mość, aby raporta moje, jakkolwiek w dowodzeniach może nie zawsze trafne, nie były niszczone, ale komunikowane ministrowi francuskiemu i hiszpańskiemu przy dworze saskim. Pomyślność bowiem Polski i Waszej Królewiczowskiej Mości, jak również spokojność Saksonii i całej Europy zależy od rezultatu obecnych układów ministrów: francuskiego i hiszpańskiego w Petersburgu. Powinni zatem wiedzieć, że naród polski, jakkolwiek bardzo osłabiony, gotów jest do wielkich czynów, które mogą zakłócić spokój całej Europy.

VIII.

Dyplomatyczna missya posła francuskiego w Petersburgu, p. Durand. — Stanowisko Saksonii i jej stronników.

Warszawa, 31. października 1772.

Ambasador Stackelberg otrzymał od Rumiancowa kuryerem wiadomość o przedłużeniu zawieszenia broni i rozpoczęciu na nowo układów o pokój. Obrezkow mianowany został ambasadorem pełnomocnym do traktowania w tej sprawie i układy obiecują pomyślny rezulat. Ministrowie dworów pośredniczących rozjechali się, zawieszając układy kongresu. Wysokie strony kontraktujące obejdą się bez nich i prawdopodobnie nie wezwą ich już do powrotu. Mnie rezy-

dent oświadczył poufnie, że jest ktoś ze strony Francyi w Fokszanach, który będzie zawiadamiał pana Duranda o wszystkiem.

Dyplomata ten rozwija wielką działalność pełnomocnego ministra przy dworze petersburskim i doznaje dobrego przyjęcia; prowadzi tam układy w imieniu mocarstwa, które jedno tylko odznacza się otwartością i stałą przyjaźnią dla Polski, oraz interesuje się utrzymaniem praw i swobód Rzeczypospolitej. Skoro tedy nie ulega wątpliwości, że p. Durand dołoży wszelkich starań, aby stać się narodowi użytecznym, przeto w nadziei, że zdoła odwieść Rossyę od rozbioru Polski i skłonić ją do intencyj przyjaznych dla Turcyi i narodu tej Rzeczypospolitej, byłoby bardzo właściwem, aby wszyscy prawdziwi patryoci, do których należą przedewszystkiem i stronnicy Saksonii, powstrzymali się na pewien czas z nienawiścią ku Rossyi, nie stronili od pana Stackelberga, który ich sam poszukuje, i nie występując uporczywie przeciwko jego propozycyom, zgodzili się chociaż na takie warunki, którychby w przyszłości nie mieli potrzeby żałować. Powinniby okazywać mu zaufanie i gotowość do zgody z Rossyą oraz szczerą chęć brania udziału we wszystkich pracach, jakie Rossya przedsiębrać ma na korzyść Polski.

Ale kto przyjmie na siebie obowiązek dawania podobnych rad patryotom polskim? Kto jest w stanie zaręczyć, że Rossya dotrzyma im słowa? Kierująca sprawą konfederatów Francya, wiedząc aż nadto dobrze, że większa część patryotów składa się ze stronników Saksonii i przyjaciół Waszej Królewiczowskiej Mości, którzy, gdyby tylko chcieli, mogliby uczestniczyć w negocyacyach ze Stackelbergiem a tym sposobem byliby w stanie ułatwić, przyspieszyć, poprzeć układy, prowadzone przez pana Duranda, — Francya, powtarzam, powinnaby znieść się koniecznie z dworem saskim i Waszą Królewiczowską Mością dla otrzymania wskazówek i zaleceń, jakieby wypadało udzielić stronnikom Saksonii co do zachowania się ich wobec ministra rossyjskiego.

Dopóki to nie nastąi, rezydent Essenius z wielką gorliwością i pilnością starać się ciągle powinien o zaufanie i przyjaźń ambasadora rossyjskiego, okazując to tak publicznie, jak i prywatnie. Powinien świadczyć pomoc i przysługi przyjaciołom Saksonii we wszystkich tych przypadkach, w których ci ostatni będą potrzebowali udawać się do generała lub ministra rossyjskiego.

Wszakże jeżeli ten ostatni czyniłby im jakie propozycye, dotyczące spraw kraju, pan Essenius nawet, gdyby go prosili o radę, postanowił do niczego się nie mięszać, dopóki nie otrzyma instrukcyi od dworu saskiego.

Otrzymałem zaproszenie do wojewodziny lubelskiej wdowy, gdzie z wielką uroczystością obchodzono dzień imienin Waszej Królewiczowskiej Mości. Kasztelan lipski przybył do mnie z prośbą, abym z tego powodu złożył Waszej Królewiczowskiej Mości jego życzenia, podobnie jak major Pilnitz z całym sztabem oficerów i bardzo wielu innych.

Przybył tu w sobotę kuryer z Petersburga. Ambasador nie wspominał, aby mu przywiózł co ważnego, nadmienił tylko, iż posłowie dworów: francuskiego i hiszpańskiego mieli już audyencyę, oraz że Rossya mianowała ministra swego przy tym ostatnim dworze.

W niedzielę po obiedzie byłem przedstawiony przez rezydenta Esseniusa panu Stackelbergowi; znajdował się tam również i ambasador austryacki, Rewicki, któremu się także przedstawiłem. Książę kanclerz litewski miał oświadczyć ambasadorowi rossyjskiemu, że król i jego ministrowie nie podpiszą nigdy traktatu rozbioru Polski; gdy tymczasem wiadomo mi z bardzo dobrego źródła, iż tenże sam książę wysłał jednego ze swoich dworzan do Białorusi z instrukcyami do przyjaciół, że nie ma już żadnego ratunku, żadnego środka do przeszkodzenia podziałowi Rzeczypospolitej; że powinni dobrowolnie zgodzić się na żądania Rossyi, u której robione będą starania o zachowanie ich przywilejów i praw; że powinni udać się do ministeryum z prośbą o radę, co czynić mają, oraz że udzieloną im zostanie odpowiedź tegoż ministeryum, aby ulegli żądaniom Rossyi.

Wymieniony wyżej kuryer przywiózł również listy od biskupa krakowskiego, według których tenże ma być podobno wkrótce uwolniony. Zdaniem mojem uwolnienie tego dostojnego więźnia oraz innych zależne jest od rezultatu układów ambasadora Duranda.

IX.

Wojska pruskie postępują w głąb kraju. — Groźby Stackelberga: oświadcza, że carowa została wprowadzona w błąd i dla tego cofa rękę swoją od wszystkiego tego, co w jej imieniu zostało dokonanem od czasu bezkrólewia. — Słówko o sprawie królewiczów saskich. — Posłuchanie pana Bochuma u cesarzowej austryackiej. — Dwory ościenne nalegają na króla o zwołanie sejmu, a król pruski posuwa się nawet do gróźb. — Repnin przebywa w Spa. — Audyencya Salderna u carowej.

Warszawa, 16. listopada 1772.

Wojska pruskie posuwają się ciągle naprzód, podczas gdy rossyjskie przygotowują się do wymarszu. Gen. Bibikow ma wyjechać w dniu jutrzejszym w celu zrewidowania całego kordonu, a jak tu powszechnie utrzymują, w celu wyparcia z Polski Austryaków.

Powiadają, że Szwecya ma wypowiedzieć wojnę Danii, że otrzymamy innego króla polskiego, że król pruski ma zrobić jakieś ustępstwa Saksonii, natomiast ma zająć cały Szląsk z warunkiem zrzeczenia się w części lub w zupełności Prus polskich.

Wspominają również o nowem posiedzeniu rady senatu, na którem ambasador Stackelberg ma rozkaz oświadczyć, że skoro jego monarchini została wprowadzoną w błąd, przeto cofa się od wszystkiego tego, co w jej imieniu zrobionem tu zostało od czasu bezkrólewia. Z tem wszystkiem pewnem jest to, że minister pomieniony oświadczył na posłuchaniu u króla, iż pozostawiona mu jest zupełna swoboda czynienia, co mu się podoba; że gdyby jednak sprzeciwiał się podziałowi Polski, będzie zupełnie opuszczonym.

Wprawdzie król chciałby zyskać sławę stawienia oporu, ale obawa zmusi go niezawodnie do zgodzenia się na to żądanie. Wszystko skończy się zapewne traktatem, a nie sejmem, a jeżeli naród polski zmuszony będzie do ofiar, to niezawodnie zażąda innego króla i może go otrzymać, a na taką ewentualność Waszej Królewiczowskiej Mości należy ciągle jednać sobie zaufanie ministra rossyjskiego oraz innych Rossyan, przebywających w Dreznie.

Pan rezydent mówił mi, że Wasza Królewiczowska Mość wraz z księciem Ksawerym raczył skłonić księcia elektora do popierania sprawy, aby na sejmie pacyfikacyjnym utrzymane były apanaże, przyznane jeszcze w r. 1768.

Przedewszystkiem nie sądzę, aby kredyt księcia elektora był tak wielki u trzech dworów sąsiednich, które obecnie same mają wszystko urządzać na przyszłym sejmie, a przytem naród i król, w zupełnej z sobą zgodzie będąc co do tego punktu, chcą unieważnienia konstytucyi z r. 1768. Nadto sejm, jakiego żądają pomienione dwory, ma zatwierdzić podział Polski, nie sądzę przeto, aby w tym razie ktokolwiek z naszych przyjaciół chciał być posłem na tym sejmie. Posłami będą zapewne tylko figury dworów interesowanych, które na pierwszą wzmiankę o apanażach nie omieszkają wystąpić z opozycyą.

Możliwą również jest rzeczą, że dwór wiedeński uważać będzie za złe dworowi saskiemu, iż się zajmuje sprawą Waszej Królewiczowskiej Mości i księcia Ksawerego, nie wspominając wcale o ks. Albercie. Sprawa książąt braci i sprawa własna Waszej Królewiczowskiej Mości nie jest identyczną. Jest wspólną jako królewicza, ale prócz tego Wasza Królewiczowska Mość potrzebuje upominać się o utracone księstwo, albo też o odpowiedni ekwiwalent, o co można

się starać za pośrednictwem ministrów: wiedeńskiego, francuskiego i hiszpańskiego.

Przybyły tu od kilku dni pan Bochum opowiadał mi w dniu wczorajszym o swojem posłuchaniu u cesarzowej, która, przerywając sobie lekturę i nie zostawiając mu nawet czasu na dopełnienie zwykłej etykiety dworskiej (trzykrotnego przyklęknienia), dała mu do ucałowania rękę i zapytała spiesznie o wiadomości z Kurlandyi, na co tenże odpowiedział jej, że szlachta ciągle jest niezadowoloną.

— „Dlaczegoż więc nie zatrzymaliście księcia Karola?“ — zapytała cesarzowa.

— „Nie od nas to zależało“ — odpowiedział Bochum — „Wasza Cesarska Mość zna lepiej powody tego.“

Następnie zapytała go, czy Wasza Królewiczowska Mość ma tam wielu przychylnych i przyjaciół, na co tenże odpowiedział, że cała szlachta i w ogóle wszyscy pragną restytucyi praw Waszej Królewiczowskiej Mości i oczekują tego od współudziału mocarstw w tej sprawie, a głównie dworu wiedeńskiego.

Nic na to nie odrzekła i skierowała rozmowę na inny przedmiot.

Niepodobna, aby cesarzowa i król francuski mieli odmówić Waszej Królewiczowskiej Mości słusznej interwencyi na jego korzyść, celem wyjednania mu albo apanażów, albo przywrócenia go do księstwa, albo ostatecznie przyznania mu odpowiedniego wynagrodzenia. Rezydent saski oświadczył mi, że w żaden sposób nie mógłby mówić za przywróceniem do księstwa, lecz gdyby otrzymał upoważnienie od Waszej Królewiczowskiej Mości, to żądałby wynagrodzenia, nie czekając na instrukcye swego dworu.

Wszystkie trzy ościenne dwory nalegają na króla o zwołanie sejmu. Berliński posuwa się nawet do groźby, że w razie przeciwnym nie omieszka wysłać wojsk swoich do Warszawy. Słyszałem, że wobec tych nalegań król skłania się do ustępstw, senat ma być zwołany w styczniu, sejm zaś w kwietniu lub w maju. Sądzę, że tu jest większe prawdopodobieństwo wojny niż sejmu.

Rossyanie opóźniają się z opuszczeniem Brodów, Austryacy zaś powrócili znowu do województwa lubelskiego. Pułki Potemkina i Fabułowa zajęły kwatery na przedmieściach Warszawy. Po powrocie gen. Bibikowa z objazdu, wojska rossyjskie mają ustąpić stąd na Litwę, a król uda się do Grodna w razie zbliżenia się Prusaków pod stolicę.

Ze Lwowa donoszą, że Rossyanie nie chcą opuścić twierdzy, a gen. Esterhazy zajął młyny brodzkie.

Starosta lwowski wolał zrzec się urzędu swego, aniżeli pełnić go w imieniu cesàrzowej austryackiej. Uwolniono wszystkich urzędników sądowych i ustanowiono dwa trybunały: we Lwowie i Haliczu.

Kuryer od armii rossyjskiej przywiózł wiadomość, że kongres pracuje w dalszym ciągu z pomyślnym skutkiem, zawieszenie broni przedłużone zostało do 9. marca, a pokój, według twierdzenia pana Stackelberga, zawarty będzie z pewnością w ciągu tej zimy.

Bułhakow powrócił ze Spa, pozostawiwszy tam księcia Repnina, i objął na nowo urząd radcy ambasady przy panu Stackelberg.

Ks. wojew. ruski otrzymał odpowiedź od hr. Pergena w przedmiocie objaśnienia swego, że nie może osobiście stawić się we Lwowie. List adresowany był do generała gwardyi koronnej, księcia Czartoryskiego, z zawiadomieniem, że odmowa udania się do Lwowa przesłaną została do decyzyi dworu wiedeńskiego.

Stackelberg jest roztargniony. Carowa ma mu wiele do zarzucenia. Saldern pisał do Gablenza o swojem dwugodzinnem posłuchaniu u carowej, oraz że jej opowiedział wszystko, co tylko leżało mu na sercu.

X.

Dwory ościenne naglą o zwołanie senatu. — Rozmowa z Igelströmem. — Rossya woli w Mołdawii sąsiedztwo tureckie niż austryackie. — Projekt oddania tego księstwa królewiczowi Karolowi. — Zamiar zwołania rady senatu i sejmu. — Austryacy w Krakowie. — Rozmowa z ambasadorem rossyjskim. — Wizyta u nuncyusza papieskiego. — Cesarzowa austryacka gotową jest odstąpić od swoich pretensyi do Polski, jeżeli Prusy uczynią to samo.

Warszawa, 5. grudnia 1872 r.

Wszystkie trzy dwory naglą o zwołanie senatu, wskutek czego miała miejsce wczoraj wielka rada u kanclerza, na której postanowiono zwołać sesyę senatu na miesiąc luty.

Korpus austryacki przeszedł Wisłę pod Sandomierzem.

Powiadają, że każdy z trzech dworów ma tu wysłać ze swej strony 4.000 ludzi. Królowi doradzają wyjazd do Grodna. Pismo króla pruskiego do senatorów zabrania im przyjmować udział w radzie senatu.

Wielki przyjaciel Stackelberga i mieszkający u niego, generał Igelström, odwiedził mnie i zabawił przeszło godzinę. Rozmawialiśmy poufnie o dawniejszych i obecnych sprawach politycznych. Oświadczył mi, że od chwili niełaski Orłowów byłoby wszelkie prawdopodobieństwo przywrócenia Waszej Królewiczowskiej Mości do księstwa kurlandzkiego i dlatego dobrzeby było udać się osobiście

do Petersburga dla widzenia się z carową, od której Wasza Królewiczowska Mość dowiedziałby się wprost o swoim losie.

Co do interesów Polski powiedział mi, iż król pruski nie zrzecze się tego, co objął w posiadanie, i że Rossya nie może mu w tem przeszkodzić, będąc mu wielce obowiązaną z powodu, iż monarcha ten pracował skutecznie nad krzyżowaniem polityki austryackiej względem Rossyi. Austrya chciała mieć Mołdawię i Wołoszczyznę, ale Rossya oświadczyła wprost, że woli sąsiedztwo tureckie, niż austryackie. Wtedy właśnie miał powstać zamiar oddania księstw Waszej Królewiczowskiej Mości. Ponieważ nie można ufać Austryi, jak mi to oświadczył tenże generał, przeto mimo wysłania w granice Polski 40.000 wojska rossyjskiego, trzeba było zjednać sobie króla pruskiego i pozwolić na to, czego tylko zażąda. Stąd wyprowadzam wniosek, że Austrya może być oszukaną przy traktacie podziału Polski.

Dzień 8. lutego naznaczony został na zwołanie rady senatu. Król w listach okólnikowych ogłosił powód zwołania tej rady, na co dozwalają prawa Rzeczypospolitej w wyjątkowych okolicznościach, a mianowicie, że wobec deklaracyi, doręczonej przez trzy dwory pod dniem 4. grudnia, zmuszony zostaje do tego kroku.

Dwór tutejszy zamierza po zebraniu się tej wielkiej rady zwołać jednocześnie sejm z pewną liczbą deputowanych, których obrać każe w województwach. Pomienieni deputowani przyjęci będą w senacie, jak posłowie wybrani na sejm. Przy takim składzie sprawy decydowane będą większością głosów.

Pokazywano mi tu list z Konstantynopola, zawiadamiający, że jeden z dworów pośredniczących chciał wybadać Portę Ottomańską co do dalszej jej polityki, ale że Porta oświadczyła, iż nie ufa niemieckiemu pośrednictwu.

Austryacy stoją w Krakowie na Kaźmierzu. Bibikow wspólnie z nimi ustanawia kordon. Tryumwirat kuleje: Rossya zdaje się być przychylniejszą dla Prus, niż dla Austryi. Jeden ze znajomych, przybyły z Berlina, opowiadał mi, że król pruski pytał go o zdanie, które z trzech mocarstw największe zyski osiągnie przy podziale Polski. Odpowiedział mu na to, że część pruska jest bardzo zaludniona, bogata w miasta, i że Prusy mieć będą w swoich rękach cały handel polski Wisłą, ale za to Austrya będzie w stanie nadać zupełnie inny kierunek wszelkim produktom, co od niej tylko będzie zależało. Taka odpowiedź podobno bardzo przestraszyła króla pruskiego, znanego ze swej chciwości. Przeznaczył on 8.000 dukatów na utrzymanie biskupa warmińskiego i rozkazał biskupowi chełmiń-

skiemu, przebywającemu w Gdańsku, aby bezzwłocznie wrócił do swej dyecezyi.

W dniu wczorajszym byłem długi czas u ambasadora rossyjskiego, który oświadczył mi, że bardzoby sobie życzył poznać moje zdanie w niektórych kwestyach, pragnąłby nawet, abym mógł z nim wspólnie pracować wobec tak trudnych okoliczności. Przyrzekłem mu to natychmiast, jakkolwiek czekać będę decyzyi Waszej Królewiczowskiej Mości w tym względzie.

Z kolei powiedział mi, że dwory nalegają bardzo na zwołanie sejmu, ale że król stawia trudności. „Biedny to człowiek — dodał — złych ma doradców.“

Zapytał mnie potem, jakim sposobem możnaby mieć dobrych posłów na sejm.

Odpowiedziałem mu, że uczciwi obywatele, dowiedziawszy się, że zamiarem dworów ościennych jest, aby przy pomocy sejmu uzyskać ustąpienie zabranych prowincyj, nie będą się wcale starać o poselstwo na sejm, a wtedy król i familia bardzo tanim kosztem mogą sobie zjednać posłów.

Przechodząc w ten sposób od jednego przedmiotu do drugiego, oświadczył mi w końcu, że nie jest zadowolony ani z króla, ani z ministrów jego, a najmniej już z wysłania przez króla Branickiego do Paryża.

Kiedy przyniesiono mu listy, do których czytania zaraz się zabrał, skorzystałem z tej okoliczności i oddaliłem się, postanowiwszy nie przedsiębrać nic bez biskupa kamienieckiego.

Benoit rozgłasza tu, że wszystko musi być skończone najpóźniej w kwietniu. Tym sposobem, jak się zdaje, król pruski chce uprzedzić układy dworów francuskiego z angielskim, mające na celu skłonienie jednego z trzech dworów ościennych, aby odstąpił od traktatu podziału Polski.

W zeszły poniedziałek byłem proszony do nuncyusza papieskiego, gdzie znajdowali się posłowie: wiedeński i saski. Pomieszczony byłem u stołu obok pierwszego, który okazywał mi wielką uprzejmość. Przed obiadem nuncyusz powiedział mi, iż Saldern pisze do niego, że stu takich panów, jak Durand, nie byłoby w stanie nic zmienić w układzie, zawartym przez trzy dwory. Wojewoda zaś poznański mówił, iż według listu, otrzymanego niedawno z Wiednia, cesarzowa miała oświadczyć księciu de Rohan, że gotowa jest odstąpić od wszelkich pretensyi do Polski, jeżeli mocarstwa skłonią do tego również i króla pruskiego, a ambasador

francuski miał na to oświadczyć, że znalazłyby się na to środki, gdyby można było napewno liczyć na dwór wiedeński.

Wczoraj powrócił z objazdu generał Bibikow, na którego jest bardzo rozgniewany książę wojewoda ruski za to, iż przejeżdżając przez Puławy, kazał wpuścić jelenia do ogrodu pałacowego, polował na niego z psami, i że tym sposobem zrobił wielkie szkody w ogrodzie. Zdaje mi się jednak, że powinienby się bardziej gniewać o to, iż stracił przeszło 250.000 rocznego dochodu wskutek zasekwestrowania mu majątków w kordonie rossyjskim z tego powodu, że nie złożył w oznaczonym terminie hołdu carowej rossyjskiej.

XI.

Ułaskawienie biskupa kamienieckiego. — Panin, faworyt carowej, popadł w niełaskę. — Nieporozumienie pomiędzy prymasem a kasztelanem Lipskim załagodzone interwencyą Stackelberga, wskutek czego kasztelan przechodzi w zupełności na stronę Rossyi.

Warszawa, 15. grudnia 1772.

Przybyły z Petersburga kuryer przywiózł p. Stackelbergowi decyzye carowej w przedmiocie ułaskawienia biskupa kamienieckiego. Ambasador polecił bezzwłocznie generałowi Rzewuskiemu zawiadomić o tej pomyślnej nowinie interesanta.

Wysłany w tym celu do Zgierza oficer przepędził tam noc, podejmowany po książęcemu i odesłany został nazajutrz karetą do Warszawy. Obłożnie chory biskup dziękował bardzo uprzejmie oficerowi za tak pomyślną wiadomość, przepraszając go równocześnie, że w danej chwili jest bez wszelkich środków i nie może mu się należycie wywdzięczyć, ale że prosi kuzyna swego, przebywającego obecnie w Warszawie, aby to uczynił w jego imieniu. Ten ostatni po powrocie zaprosił go do domu i ofiarował mu w imieniu biskupa zegarek, ozdobiony brylantami. O tych szczegółach dowiedziałem się onegdaj od gen. Igelströma, u którego byłem wczoraj wieczór razem ze Stackelbergiem i Bibikowem.

P. Essenius mówił mi, że kiedy ambasador dał mu do zrozumienia, iż w ułaskawieniu biskupa kierowano się względami szacunku dla Waszej Królewiczowskiej Mości, skorzystał natychmiast z tego i zapytał pana Stackelberga, czy nie byłoby właściwem, aby królewicz napisał do carowej list z podziękowaniem i aby polecił się jej względom. Stackelberg zaaprobował ten pomysł, chciał jeszcze coś więcej powiedzieć, ale nowa wizyta przerwała im rozmowę.

Rozchodzi się tu coraz bardziej pogłoska, że Panin wpadł w niełaskę. Powiadają nawet, że jest chory i nie wychodzi z domu,

a jednocześnie dodają, że carowa mianowała radę, z czterech osób złożoną, do spraw zagranicznych.

Rewicki otrzymał wczoraj rano depeszę przez kuryera z Petersburga. Wieczorem był u mnie i powiedział mi, że to są depesze od księcia Lobkowicza, który w nich wcale nie wspomina o Paninie. Rzecz widoczna, że w tem coś być musi, ale nie chcą o tem mówić, bo jeszcze może nastąpić powrót do łaski.

P. Essenius komunikował ambasadorowi pismo Waszej Królewiczowskiej Mości, na co tenże oświadczył, że co się tyczy apanażów, nie omieszka mu być użytecznym, ale że dotąd nie ma żadnych instrukcyi od swego dworu. Koniecznem jest, jak powiedział, aby podczas rady senatu dwór saski namówił do wystąpienia w tej sprawie dwór petersburski.

Kasztelan Lipski został wezwany przez prymasa, aby się wyprowadził z jego pałacu, gdy usługi jego potrzebne więcej nie będą. Z tego powodu prosiłem rezydenta Esseniusa w imieniu kasztelana o wstawienie się za nim do prymasa, aby mu przynajmniej raczył płacić pensyę, a gdy ten nie chciał się mięszać w tę sprawę, powiedziałem kasztelanowej, aby sama prosiła o to p. Stackelberga, i napisałem jej bilet do tego ministra z zapytaniem, kiedy może przybyć do niego. Ambasador odpowiedział bardzo grzecznie, że sam ją odwiedzi, co też rzeczywiście nazajutrz miało miejsce.

Kasztelanowa przedstawiła mu wszystkie swoje zarzuty przeciw prymasowi, po wysłuchaniu których ambasador oświadczył, że każe mężowi jej płacić pensyę, oraz że odniesie się do dworu saskiego z prośbą, aby im dano mieszkanie w saskim pałacu.

Pomijam dalsze szczegóły rozmowy i nadmieniam tylko, że p. Stackelberg powiedział o prymasie z pewnem niezadowoleniem: „Wiem, że on trzyma z Francyą“. Następnie prosił kasztelanowej, aby wpływała na męża swego, iżby ten trzymał z Rossyą, nie oddając się wcale w usługi ani królowi, ani familii, ani Francyi. Odpowiedziała mu na to, iż jest pewna, że mąż jej tak postępować będzie, byleby tylko nie wymagano od niego nic takiego, coby było przeciwne jego honorowi i obowiązkom względem ojczyzny.

— „Nie — odpowiedział p. Stackelberg — czegoś podobnego carowa nigdy żądać nie będzie. Wszakże gdyby trzeba było podpisać podział kraju, nie powinien temu się sprzeciwiać.

Wczoraj rano, w czasie wizyty mojej u ambasadora, był on bardzo zajęty z podskarbim i kasztelanem Lipskim. Ten ostatni dziękował mu za obiecaną opiekę, oświadczając jednocześnie, że co do podpisania podziału Polski, gdyby trzy dwory nie chciały od tego

odstąpić, nierozsądnem byłoby wtedy tak z jego strony, jak również i ze strony jego przyjaciół, sprzeciwiać się temu, ale niech patryotom pozostawioną będzie przynajmniej możność sprzyjania więcej jednemu dworowi, niż drugiemu, stosownie do swego wyboru. Według jego zdania, Rossya najwięcej jest zainteresowana w utrzymaniu Rzeczypospolitej, której zguba prędzej czy później może być niebezpieczną dla tego mocarstwa, i to go skłania na stronę Rossyi.

Ambasador bardzo mu dziękował, a zwracając rozmowę do podpisania traktatu podziału, rzekł: „Podpis każdego dobrego obywatela jest koniecznie potrzebny, bo to przyspieszy wyjście wojsk z kraju, a nie przesądza wcale zwrotu Rzeczypospolitej zajętego terytoryum. Zresztą trzeba będzie pomyśleć o nowej formie rządu, który byłby ochroną przeciwko despotyzmowi i anarchii.“ Nie wspominając wcale o królu, oświadczył kasztelanowi zupełne swoje zaufanie.

Skorzystam z tego i używać będę kasztelana we wszystkich sprawach Waszej Królewiczowskiej Mości. Pomyślę również i o p. Borch, którego ambasador zaszczyca swojem zaufaniem i przyjaźnią.

KONIEC 1772 ROKU.

X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

(Ciąg dalszy).

VI.

Kronika gimnazyum. — Zamachy na jego istnienie. — Sądy uczniowskie. — Założenie drukarni. — Ostatnie lata życia Czackiego.

Jak to pisaliśmy już dawniej, w dniu pierwszego października 1805 r. otwarto w Krzemieńcu z całą pompą i okazałością nowy przybytek nauk, którego ustawy Aleksander I. jeszcze 29. lipca zatwierdził.

Że polscy poeci i pseudo-poeci dosiedli pegaza, by chwilę tę upamiętnić — rzecz zupełnie naturalna; dziwniejsza jednak, że i Rossyanie nie pozostali w danym wypadku w tyle. Nieznany nam zresztą z nazwiska rymotwórca woła z zapałem:

„Gdie gorod Kremieniec stoit
. . . .
Tam nowyj Helikon otkryt . . . .
Podobien Czacki tam Mojsieju!“

a oddawszy w powyższych słowach cześć staroście nowogrodzkiemu, nie przepomniał i zasług ministra oświaty:

„Stoboj-li, graf Petr Zawadowskij,
Srawnitsia rimlanin, il grek?“ i t. d.

Polskich okolicznościowych utworów nie znamy, a miało ich być niemało; istniały również *ody* w innych językach pisane [1]).

[1]) Władimirs.-Budanow: I. 36—37.

W dniach najbliższych po uroczystości inauguracyjnej zaczęli obecni już w Krzemieńcu profesorowie wykłady swoje od mów odpowiednich, ku obecnym skierowanych słuchaczom. Znaczna część owych przygodnych oracyi — mniej lub więcej udatnych — drukiem ogłoszoną została. Profesorowie nieobecni przyspieszali — o ile możności — przyjazd, wszystko też zwolna podług ułożonego z góry planu posuwać się zaczęło. Że uczniów w pierwszym zaraz roku nie było nazbyt wielu — rzecz zupełnie zwyczajna. Niejeden później o istnieniu nowej dowiadywał się szkoły, inny zajął względem tejże stanowisko wyczekujące, ciekawy, o ile ona dodatnią lub ujemną w skutkach się okaże.

Sam Czacki donosi w listopadzie 1805 r. Kołłątajowi: „Uczniów w Krzemieńcu mamy mało: ale we wszystkich szkołach jest niezmiernie mała liczba uczniów: twierdzą powszechnie, że drożyzna jest przyczyną“ [1]). Inne źródło podaje nam nawet dokładnie cyfrę wychowańców krzemienieckich. Liczba ich w chwili założenia gimnazyum do 280 głów dobiegała [2]), co stosunkowo znowu tak bardzo mało nie było; Czacki pragnął widocznie jednak, by w jego szkole odrazu tysiące szukały światła wiedzy. Z rokiem każdym niemal Krzemieniec zyskiwał coraz szersze koła zwolenników, ba — nawet zapalonych wielbicieli. W 1806 r. posiadał uczniów 422; w 1807 — 434; 1808 — 404; 1809 — 413; 1810 — 612; w r. 1812 cyfra wzrosła tutaj do 693, a obywatelstwo nietylko wołyńskie, ale podolskie i ukraińskie nazywało szkołę Czackiego „nadzieją dzieci swoich“ [3]).

Założyciel sam osobiście osiadł w Krzemieńcu, by oddać się całem sercem i duszą pracy nad udoskonaleniem zakładu i powolnem a ciągłem wprowadzaniem w czyn swych daleko idących projektów i marzeń. Widocznie jednak nie danem mu było ani jednego roku przeżyć spokojnie, bez boleśniejszych zmartwień i przykrości. Twierdzą ludzie — i chyba zupełnie słusznie — że im bardziej kto pracuje dla dobra drugich, tem usilniej starają mu się inni wyścielać drogę żywota kolcami i cierniami. Zdanie to sprawdziło się w całem swojem brzmieniu na fundatorze — gdyż inaczej go nazwać nie możemy — wołyńskiej cywilizacyjnej i wychowawczej placówki. A do zawiści ze strony swoich przybyła w danym wypadku

---

1) *Koresp.* III. 308.

2) Szulgin: Ist. Im. Uniw. 23.

3) Szulgin j. w. 20, 23; *Tłumacz. się taynego konsyl.* itd.; *Odezwa do uczniów Woł. Gimn.* itd. z 1812 r.

rzecz o wiele niebezpieczniejsza: antagonizm narodowy i religijny. Jeszcze w drugiej połowie września pisał Kołłątaj z Krzemieńca do starosty nowogrodzkiego list obszerny[1]) i wyczerpujący, gdzie — obok omówienia prac przyszłego gimnazyum dotyczących — wspomina o niezadowoleniu wśród zakonnego duchowieństwa, wynikłem po wizytacyi szkół przez Czackiego przeprowadzonej i przytacza plotki po Wołyniu krążące: „Hromaczewski powszechnie narzeka, że JWPan skrzywdziłeś go za to, że do błahoczestyi przeszedł, jak gdybyś się publicznie deklarował z niechęcią do religii panującej, i widać, że ten człowiek czarno myśli. Metrowie języka rossyjskiego tak w Łucku, jak w Krzemieńcu, żalą się także publicznie, że JWPan rossyanów nie lubisz, że szukasz pretextu wykluczyć ich ze szkół pod pozorem niezdatności, ale w rzeczy samej dla tego, żeby tylko polaków po szkołach umieścić; przechwalali się, iż się będą bronić, gdzie należy. Nie takiego wizytatora należało przysłać do szkół tutejszych, mówią oni, lecz rodowitego rossyanina; inaczej rząd o niczem się nie dowie prawdy, a rossyanie będą pokrzywdzeni. Co ja donoszę, dość jest abyś JWPan wcześnie wyobraził, jaki duch publiczny formować się zaczyna z okazyi jego gorliwych prac. Doświadczenie własne nauczyło mię, że tego gatunku ludzie lubią się bronić rzucaniem najzłośliwszych kalumnij i kłamstw nie mających cienia prawdy; że gdy kalumnia zaczyna przechodzić z ust do ust, najcnotliwszy człowiek ma wielką trudność oczyścić się z niej...“

Nawiasem wtrącimy, że tego samego rodzaju zarzuty napotykamy i dzisiaj nawet w dziełach poważniejszych rossyjskich pisarzy. I tak n. p. Władimirskij-Budanow twierdzi, że Czacki posuwał swoje polonizatorskie zachcianki tak daleko, że starał się, by w szkołach wołyńskich i podolskich była nietylko nauka polska i uczniowie Polacy, ale też, żeby całe grono profesorskie — nawet „metrowie“ języka rossyjskiego — z Polaków-katolików się składało. Z tej też racyi, o ile mógł i gdzie mógł, usuwał z posad nauczycieli wyznania prawosławnego[2]). Nie wiemy, czy na razie pan starosta zwrócił baczniejszą uwagę na przestrogi doświadczonego reformatora krakowskiej akademii; to pewna, że przepowiednie ostatniego co do joty się sprawdziły.

Wejście wojsk armii francuskiej do Warszawy 2. stycznia 1807 r. zelektryzowało całe społeczeństwo polskie. I na Wołyniu niejeden najniezawodniej o lepszej zamarzył przyszłości, a rząd ros-

---

[1]) *Koresp.* I. 239—276; o tem samem Kaczkowski I. 39.
[2]) *Istor. K. Uniw. św. Wład.* I. 31.

syjski ze swej strony baczyć pilnie na wszystko nie przestawał. Czacki należał do nadto wybitnych i wpływowych postaci, by każdego jego poruszenia nie śledzono z największą uwagą, by — wobec skarg i donosów rzekomo pokrzywdzonych — nie podejrzywano go o dążności niezupełnie lojalne. W ostatnich dniach stycznia poleca też jemu wojskowy generał-gubernator, Holeniszczew Kotuzow, by na czas pewien usunął się z Wołynia, udając się choćby do Charkowa w celu wizytowania tamtejszego uniwersytetu. Starosta nowogrodzki uczynił zadosyć żądaniu generał-gubernatora i do Charkowa, wprost z kontraktów kijowskich, w towarzystwie nieodstępnego Kruczkowskiego pospieszył. Gdy jednak czas mijał, a wyjaśnień żadnych przyczyn niełaski ze strony rządu mu nie udzielano, a nadto dano delikatnie do poznania, że ruszyć się z miejsca chwilowego pobytu nie ma prawa, napisał do swego opiekuna, ministra Zawadowskiego, list pełen zaklęć — „aby nieodwłocznie rzecz cała zgłębioną została porządkiem prawnym" — wysyłając równocześnie obszerne pismo do samego monarchy [1]).

---

[1]) *Koresp Czackiego* (rękop.). I. „Charków 3. Lut. 1807 r. Mój kochany Piasecki! Od trzech dni tu siedzę. Gubernator nie wiedział i nie wie, po co tu przyjechałem Robią mi tu wielkie grzeczności, gościnność jest wielka, mam kilku znajomych. Piszę dzisiaj do JWKotuzowa mocniejsze tłomaczenie się, chociaż nie wiem o przedmiocie oskarżeń, oskarżycielu i dowodach. List mój do mojej żony aby najprędzej doszedł, poszlij umyślnym, choćby rozstawionemi końmi. Jeźli tu krótko zabawię, proszę mojej żony, aby nie przyjeżdżała, droga niepoczciwa, zdrowie jej nie dobre i nie wypada być w oczach tutejszych wygnańcem. Proszę p. Kosseckiemu kłaniać. Niech zostawi K... i W... w possesyi. Gorzałki kurzenie niech szczególniej go trudni, bo to jeden będzie i jest dochód. Co tydzień będę do Ciebie pisywał. Co do mnie jestem spokojny, bo cień winy do mnie nie dochodzi. Niespokojny jestem o żonę. Instanciów żadnych za mną nie potrzeba. Kto nie winien, błagać nie ma przyczyny. Wyjdę z satysfakcyą, niech tylko rzeczy się wyjaśnią. Bądź zdrów, mnie kochaj. Rudzkiemu kłaniaj. Nie zlęknie się mego ukłonu." Tyle pisze sam Czacki, Kruczkowski dodaje na końcu od siebie słów kilka. II. List jest również przez ostatniego pisany: „Charków 10. II. 1807 r. Wielmożny Mości Dobrodzieju! — Nie mogłem przeszłą pocztą do W. W. Pana Dobr. pisać, bo byłem w obawie, ażeby dla spóźnienia się całej expedycyi, przyjęcie na pocztę nie było odmówione. Nie może być grzeczniejsze przyjęcie, jak jest nasze w Charkowie. Bale, objady, kolacye dla JW. Starosty dawane nie dają nam odpoczynku. Wszyscy admirują obszerność jego wiadomości, a professorowie uznając swoją niższość, utrzymują, że on jeden to wszystko zna, co oni wszyscy umieją. Rektor jest człowiek rozsądny, professorów kilku jest ludzi uczonych, wszyscy pra-

Prośby te odniosły w końcu pożądany skutek; Czacki — niespokojny o żonę i dzieci — choć z największą gościnnością i wyjątkowem uszanowaniem przyjmowany w Charkowie, mimo to z radością opuszcza miejsce „grzecznego“ wygnania i pod strażą „prystawa“ i żandarma odstawiony do Petersburga — staje tam przed *ad hoc* wyznaczoną do zbadania czynionych mu zarzutów komisyą. Grono sędziów tworzyły najwybitniejsze w stolicy państwa osobistości: hr. Wiktor Koczubej, minister spraw wewnętrznych; ks. Piotr Łopuchin, minister sprawiedliwości, i tajny radca, Mikołaj Nowosilcow.

Wyrok i tym razem wypadł dla naszego wygnańca pomyślnie, o czem najdowodniej przekonywują słowa samego cesarza [1]), a tak rodzina carska, jak i przedstawiciele rossyjskiej arystokracyi

---

wie cudzoziemcy. Nauki są dawane w obcych językach Rosyanom, nieumiejącym jak język ojczysty. Nie wielki tu będzie postęp w oświeceniu i z tego nawet względu, że obywatele nie mają szacunku dla Uniwersytetu. Pożenienie się księży professorów rozumiem, że także wiele wpływa do lekkoważenia tego instytutu. Uczniów jest skarbowych 40, swoim kosztem utrzymujących się ubogich 30, nikt z bogatych nie oddaje swoich dzieci na wychowanie do Uniwersytetu. W wolnych od zabaw godzinach bywamy na lekcyach, a w domu zajmujemy się czytaniem książek. W spokojnych chwilach mówimy nieraz ze smutkiem o Porycku i Brusiłowie, niepodobna bowiem, żeby wśród samych zabaw nie czuć choć grzecznej niewoli. W takowym tedy stanie przepędzamy zdrowi dziesiąty dzień w Charkowie szczęśliwi, jeżeli dom prędko oglądać będziemy. Przyjm WWPan . . . od prawdziwego sługi Kruczkowskiego.“

III. List znowu Czackiego ręką pisany; jak i pierwszy — co zresztą starosta zwykł był czynić — bez podpisu. „Charków 12. II. 1807 r. Gościnności największej doświadczam: lecz czuję, że jestem bez żony, dzieci, w obcej ziemi. Czuje, żem wygnaniec bez winy. Żadnego listu jeszcze nie miałem. Nic nie wiem, jak żona, którą kocham nad życie, przyjęła tę wiadomość. Nie wiem ezego życzyć. Jeżli żona przyjedzie, dzieci, interessa w czyichże będą ręku. Jeźli nie odbiorę listu od p. Kotuzowa w ciągu kilku dni, piszę do Imperatora, proszę na siebie o sąd najsurowszy. Ta droga tylko mi zostaje. P. Kosseckiemu kłaniaj, pieniądze niech zbiera. Spokojny w mojem sumieniu, patrzę i na tę przygodę z rezygnacyą. Doświadczam niesprawiedliwości. Niebo jest łaskawe. Bądź zdrów, mnie kochaj.“

[1]) Osiński: O życiu i pismach Tad. Czack. itd. (dodatki): „Mój Panie Czacki Tajny Konsyljarzu. Wszedłszy w usprawiedliwienie WMć. Pana, postanowiłem zniszczyć sprawę z okoliczności czasowych tylko wynikłą, która tak dla WMć. Pana jako i dla mnie była nieprzyjemną; bo znakomite zasługi WMć. Pana w rozszerzeniu Narodowego oświecenia zjednały mu względy i ufność Moję, które się ani zachwiały, ani zachwieją. Upewnienie Moje w tej mierze ponawiając, zostaję w przyjemnej nadziei, że w tymże samym zawodzie, w którym

usiłowali widocznie postępowaniem swojem zatrzeć nieprzyjemne wspomnienie dni ostatnich. Cesarz rozmawiał z Czackim najserdeczniej; cesarzowa-matka zaprasza go do zwiedzenia instytutu panien; minister Koczubej udziela duplikaty z cesarskich zbiorów mineralogicznych: szambelan Sosnowski darowuje gabinet historyi naturalnej i cenną kollekcyę konch; kupiec Sitnikow zbiór drogich kamieni; toż samo hr. Walicki i t. d., a wszyscy wiedzieli aż nadto dobrze, że najbardziej ujmą sobie starostę, przyczyniając się do powiększenia zbiorów gimnazyum krzemienieckiego.

Tadeusz Czacki nie mógł jednak zaraz — jak tego pragnął — ruszyć z powrotem na Wołyń do ukochanej rodziny i szkoły. Cesarz, wyjeżdżając traktować o pokój z Napoleonem, zabierał z sobą, jak zwykle, Czartoryskiego, godność więc kuratora wileńskiego naukowego okręgu miał — przez czas nieobecności księcia — piastować zastępczo starosta. Honor to i uznanie nielada, zarazem policzek moralny oskarżycielom wymierzony, ale nowe zajęcie zatrzymywało opiekuna gimnazyum i stęsknionego męża i ojca w Petersburgu, o co — mówiąc nawiasem — rządowi właśnie chodziło. Choć ministrowie oczyścili podsądnego ze wszelkich zarzutów i podejrzeń, choć cesarz i tegoż otoczenie przyjmowali go najgrzeczniej, zawsze bezpieczniej, by tak wpływowa osobistość znajdowała się w czasach tyle niepewnych zdala od Wołynia.

Charakterystycznym wielce jest fakt, że Czacki wprost odmówił przyjęcia ofiarowanych mu przez Aleksandra I.: krzesła w senacie, posady towarzysza w ministeryum oświaty i wielkiej wstęgi orderu św. Anny, o czem donosząc (22. VII.) dyrekcyi gimnazyum krzemienieckiego, tłómaczy się zarazem z pobudek, które go do podobnego skłoniły postępowania: „Wymówiłem się od ofiarowanych mi łaskawie wyższych stopni Urzędów i pochlebnych znaków. Pewny jestem, że zyskałem prawo mocniejsze do szacunku Nauczycielów i Uczniów. To poważanie przeważy doświadczoną przykrość, i stanie się jedyną trudów moich nagrodą“ [1]).

Powrót wygnańca na Wołyń uważano za pewnego rodzaju święto dla miasta i szkoły; młodzież, schwyciwszy ulubionego swego opiekuna na ręce, zaniosła do zakładu, a on z rozżewnienia dwóch słów nie był w stanie z siebie wydobyć. Witany przez wszystkich

czyny WMć. Pana stały się tak sławnemi, przez nowe prace pomnożysz pożytki dla kraju, a dla siebie wdzięczność szczerze życzliwego: *Aleksander.*“ (20. Lipca 1807 r.).

[1]) Osiński j. w. 128—135 i dodatki; K. Kaczkowski: Wspom. I. 15—25.

życzliwie usposobionych ze szczerą radością, jeszcze w tym samym roku krząta się, by jak najrychlej otworzyć osobną szkołę geometrów, na co odnośny „ukaz“ cesarski (z dn. 27. VII. 1807) miał już w kieszeni. Zadosyć czyniąc żądaniom ziemiańskich zjazdów, urządza równocześnie tyle niezbędną szkołę mechaników [1]).

Pracował starosta, nie zasypiali sprawy i jego przeciwnicy. Skoro podejrzenia natury politycznej nie odniosły spodziewanego prawie na pewne skutku, mierzą w inną — równie dla Czackiego przykrą — stronę, mimo woli może nawet solidaryzując się z autorami anonimowych politycznych donosów. Mamy na myśli głosy, żądające przeniesienia gimnazyum w miejsce bardziej ku temu odpowiedne, o czem zresztą wzmiankowaliśmy już w poprzednim rożdziale niniejszej pracy. — Spiskowanie owe kliki niezadowolonych wywołało wiele hałasu; hr. Zawadowski — rzeczywiście niezwykły, nawet na owe czasy, człowiek — dowiedziawszy się o czynionych szanownemu staroście zarzutach, miał się odezwać publicznie: „Jeżeli Czacki ma być sądzony, to i ja pod tenże sąd równie się poddaję!“ I — choć po upływie niejednego lat dziesiątka — stało się zadosyć wyrażonemu niegdyś życzeniu ministra oświaty: dzisiejsi autorowie rossyjscy, czyniąc cały szereg zarzutów „polonizatorowi“ Czackiemu i o Zawadowskim, którego — rzecz prosta — pojąć i zrozumieć nie są w stanie, wyrażają się niejednokrotnie z ironią, a czasami nawet z domieszką żółci.

Nietylko jednak pan minister powszechnego oświecenia ujął się za Czackim, wtórowali mu i inni dygnitarze miejscowi. Oto wszyscy marszałkowie „jednogłośnie oświadczyli, że skargę podaną mają za przeciwną prawdzie, interessowi i sławie Gubernij. Fundatorowie z trzech gubernij toż samo piszą“ [2]). Ziemiaństwo stanęło więc i prywatnie i oficyalnie po stronie niesłusznie napastowanego starosty, a sprawców awantury, których nazwiska wszystkim dobrze były znane, osądziła opinia publiczna, jak na to zasłużyli.

Wiemy już, że cesarz wyznaczył w tej sprawie specyalną komisyę, zasiadającą w Żytomierzu. Jedni notują w roli komisarzy hr. Fryderyka Moszyńskiego, ks. Karola Jabłonowskiego i Romualda

---

[1]) W *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3443* znajduje się: Zatwierdzenie przedstawionego projektu szkoły Mechaników, podpisane 17. VII. 1805 roku przez rekt. Uniw. Wil., Stroynowskiego i prof. Malewskiego. (Nr. p. 1854).

[2]) *Athenaeum* Kraszewskiego. Wilno 1846 od. VI. T. VI. 189. i *List Czackiego* w dopisku tamże.

Bystrego [1]); inni dodają, do dwóch pierwszych, osobistego wroga starosty, gubernatora Komburleja [2]), gubernialnego marszałka Gostyńskiego i senatora Worcella. W liczbie sędziów miało się znajdować dwóch głównych oskarżycieli [3]), mimo to wyrok wypadł oczyszczający założyciela szkoły ze wszystkich czynionych mu zarzutów.

---

[1]) Osiński: Żywot i t, d. 151—152.

[2]) Bukar Seweryn: Wyjątki z pamiętników. Wilno 1857, str. 205, przytacza słowa z listu Tad. Czackiego: „błogosławmy Komburleja, doniesienia jego (do Petersburga) nacechowane są życzliwością i ufnością dla gubernii (Wołyńskiej) i w rządzie najwyższym zjednały dla niej najlepszą opinią.“ I szlachta tego samego widocznie była zdania, ofiarowując gubernatorowi cenną pamiątkę. Z czasem poznano go lepiej i rozczarowano się zupełnie, o czem na innem mówimy miejscu.

[3]) *Ramoty* II. 236; Kaczkowski: Wspomn. I. 37. Opisuje przykry ten wypadek w następujących słowach: ... „żądło zazdrości budziło uśpione ku Czackiemu niechęci, i gotowało w ukryciu najcięższą próbę, jaka prawego obywatela kraju spotkać może. Graf Worcell — senator; Aloizy Gostyński — marszałek gubernski wołyński i generał — Łobarzewski, podali do cesarza zaskarżenie, że nie w miarę ogromnych składek, zebranych w trzech prowincyach Rusi, wzniósł starosta gimnazyum krzemienieckie; że obywatele z niespokojnością widzą, jak ich ofiary nie ku celowi, na jaki takowe złożyli, są obracane; że korzyści z nowo-założonej szkoły stosunkowo są małe, i że wreszcie, udają się oni do rządu z prośbą, aby zechciał wejrzeć w tę sprawę i do należytego doprowadzić ją porządku. Zaprawdę, trudno było pojąć, co skłoniło wyżej wymienionych do zrobienia podobnego kroku. Nie sam Czacki, ale cała Komis. Eduk. zarządzała funduszami; rachunki jej corocznie były drukiem ogłaszane... Gostyński i Łobarzewski nie dali byli ani grosza, a nikt ich nie upoważniał do występowania w imieniu ogółu.“ Dalej podaje Kaczkowski, że w wyznaczonej w Żytomierzu komisyi zasiadać mieli prócz Komburleja: radca Wołyń. gubernj. zarządu *(sowietnik)* Szczastny, Moszyński, Jabłonowski i Bystry.

Mamy nadto list, pisany przez kogoś z otoczenia Starosty, może przez Piaseckiego (podpis nieczytelny), który uważamy za stosowne powtórzyć. Zgadza się on w znacznej części z opowiadaniem Kaczkowskiego, obaj więc autorowie rzecz całą prawdziwie przedstawić musieli. „Żytomierz 29. Octobra 1810 r. — J. Panu Rudzkiemu Pisarzowi Kommissyi Sądowej Edukacyjnej. — Dziś rano tu stanęliśmy a w kwadrans już wieleśmy się rzeczy dowiedzieli — całe te dzieło Gostyńskiego jest ręki, chwali się z niego przed wszystkimi. Worcell z gubernatorem widać, że się niemało przyłożyli. Lecz gubernator tak jest źle z Gostyńskim *qu'on fait des paries qu il le sacrifiera.* Xże Jabłonowski zaręcza, że Gubernator bynajmniej szkodzić nie będzie. Sam zaś jest czynnym i idzie drogą honoru. Xżę Dymitr Czetwertyński wszystkiemu tu przewodzi, wczoraj podpisali Marszałkowie prozbę, aby im pokazano, kto w imieniu obywateli Guber. Wołyń. żądał, aby Gimnazyum przenoszono, gdy to zupełnie jest przeciwnem ich interesowi. Śmiało ci po-

Uwłaczające uczciwości pogłoski, rozsiewane o Czackim, należały do tak ciężkich, że rządowi nie wystarczyła opinia doraźnego żytomierskiego trybunału. Mogła ona dotyczyć tylko jednego rodzaju oskarżeń; zbadanie zarzutów ze strony pedagogicznej powierza cesarz ludziom fachowym. Z Wilna zjeżdżają umyślni rewizorowie [1]), któ-

wiedzieć mogę, że interes Starosty tak idzie dotąd, jak nawet spodziewać się nie można było. Starosta zdrów i spokojniejszy, aniżeli był w Krzemieńcu, ma tę pociechę, że każdy jego sprawę za osobistą przyjmuje. Kommissyja już się rozpoczęła, w tem momencie przysłała ogromne pismo do Gimnazyum, lecz że nie widząc się z Gubernatorem, ten zgodził się i znalazł rzeczą sprawiedliwą, aby Starosta odpowiadał, przeto i odpowiemy, posłałem po Czarnego, aby nam tłumaczył Starosty w domu nie ma, ja zaś ponieważ w tym czasie niemodnie jest na ulicę w masce wychodzić, siedzę w stancyi i używam całej rozkoszy samotności, bo wezykatoryum złączone z fluxyą łzy mi po troszkę wyciskają..."

[1]) W *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3412* T. II. (j. w.) znajdujemy „Rapport delegowanych Członków Uniwersytetu do przeyrzenia i roztrząśnienia Urządzeń Gimnazium, Seminarium Guwernantek y Szkół Parafialnych w Gub. Woł., podanych przez Tadeusza Czackiego..." bez końca i daty, zapewne brulion. Tekst podzielony na szereg punktów, których treść podajemy w najogólniejszych słowach:

1) Zachwyceni Czackiego ofiarnością i zapobiegliwością, wadliwem jest uczenie malców aż pięciu języków.

2) Nauczyciele kursowi przeciążeni pracą; płaca ich jest niewystarczającą.

3) Uczenie Bibliografij wydaje im się mniej potrzebnem.

4) Nie rozumieją wymagań Wizytatora, aby zaprowadzić w gimnaz. praktykę niektórych umiejętności, zwłaszcza matematycznych. Największa część warstatów rzemieślniczych jest przecie prawdziwą praktyką pewników matematycznych; nie przypuszczają, by Czacki chciał, lub mógł, warstaty w gimnaz. zaprowadzić. Czem wobec tego byłyby wykłady Mechaniki praktycz.

5) Kursa dwuletnie wadliwie urządzone, gdyż uczniowie kończący w pewnym roku 4. niższe klasy, przechodzą na d a l s z y c i ą g wykład. kursowych. W obec tego wypadnie żądać, by profesorowie kursowi c o r o c z n i e wykład zaczynali i kończyli.

6) Dziwne, że Wizytator wkłada na prefekta obowiązek b e z ż e n n o ś c i, że zaprowadzić pragnie s t ó ł w s p ó l n y dla nauczycieli. Przeciwnie, powinna im być zostawiona wszelka wolność; mieszkania wygodne skarb sam opłacać winien, ale wzbronić im należy trzymania uczniów, na co znowu Czacki pozwala.

7) Rzeczą jest niestosowną, by rektor i prefekt ściągali od obywateli zaległości. Winny to czynić Izby skarbowe, a uniknie się w ten sposób narzekań i przykrości.

8) W rozkładzie lekcyi fizyczn. brak fizyki ogólnej a od tej przecie zacząć wypada.

rych powinnością być miało zgłębienie i wyświetlenie metody wykładów krzemienieckich, oraz orzeczenie: czy dałaby się ona i w innych szkołach z pewną zastosować korzyścią. Ruszyli oni 4. lipca 1811 r. ze stolicy Litwy, po upływie tygodnia znaleźli się w Krzemieńcu, tego samego dnia jeszcze — w obecności Czackiego — przystępując do egzaminowania uczniów każdej klasy z każdego przedmiotu z osobna, co całych dni dziewięć zajęło. Dwudziestego lipca uczestniczą wysłańcy wileńscy w uroczystym akcie zamknięcia roku szkolnego i rozdania nagród; 21. roztrząsają z Czackim i kilku wybitniejszymi profesorami metodę naukową, zastanawiając się, czyli tenże plan mógłby być rozszerzonym i na szkoły powiatowe; 22. wreszcie opuszczają Krzemieniec, dążąc z powrotem do Wilna. — W chwilach od egzaminów wolnych zwiedzali szczegółowo „wszystkie zakłady i urządzenia nauk tyczące się" — z czego wszystkiego drobiazgowy raport składają zwierzchniczemu uniwersytetowi. Zawartość jego mniej więcej streścićby można w następujących słowach: Uczniowie czterech niższych klas początkowych, na zadawane im pytania, odpowiadali zupełnie zadowalniająco, wielu nawet bardzo dobrze. System tłómaczenia ustępów łacińskich na wszystkie wykładane w szkole języki uważają za nadto męczący, gdyż zapytany malec musi w myśli tłómaczyć tenże na mowę ojczystą, z ostatniej zaś dopiero na rossyjskie, francuskie lub niemieckie. Pożytek natomiast z podobnej metody w ostateczności nader skromne przedstawia rezultaty. Arytmetyka i geometrya (podług Czecha), geografia, nauka moralna i chrześciańska dawane są dobrze; co się tyczy języków — uczniowie większe postępy okazali w nowożytnych, jak w łacińskim.

Kursiści zadowolnili rewizorów zupełnie, tłómaczyli się z zadawanych im pytań — ze wszystkich z kolei przedmiotów — jasno i ze zrozumieniem rzeczy. Wielką pomoc w naukach stanowią bogate kollekcye i gabinety dobrze zaopatrzone.

---

9) Nauka dla nauczycieli parafialn. nadto obszerna. Tak uczeni ludzie nauczycielami po wioskach być nie zechcą, a przymuszani usuną się z nadgranicznej gubernii zagranicę.

10) Brak dostatecznych nauk lekarskich, aby szkoła mogła wydawać patentowanych chirurgów.

11) Urządzenie Seminaryum Guwernantek doskonałe, ale dla czego zapomniano tutaj o lekcyach tańców?

12) Uniwersytet rozstrzygnie, czy wolno założyć osobną drukarnię gimnazyalną.

Taką jest treść uwag delegatów wileńskich. Że znaczna część ich słuszna — to nie ulega wątpliwości. Opinię rewizorów streszczamy w tekscie.

„Szkoła rysunków jest porządna i nauczyciel zdatny"; dwaj zdolniejsi uczniowie pełnią przy nim funkcye asystentów; rysujących liczba znaczna, wielu okazuje postęp niemały. Muzyki udziela „znaczny ze swego talentu nauczyciel P. Lenzi"; jest również osobny metr śpiewu, który ćwiczy chór z „funduszowych" przeważnie złożony, popisujący się w kościele podczas nabożeństw studenckich. W czasie uroczystego zamknięcia roku szkolnego urządzili uczniowie dla zgromadzonych gości formalny koncert. Sztuki gimnastyczne, jak jazda konna, pływanie, fechtunek — korzyść przynoszą widoczną.

Oprócz wyż wymienionych nauk, istnieją przy gimnazyum specyalne kursa „jeometrów skarbowych" i mechaników „na funduszu miast i obywatelów". Geometrowie uzyskali na egzaminach poklask zupełny ze strony wysłańców wileńskich; mechanicy mają „znacznego ze swej zdatności nauczyciela p. Zaliwskiego", nic więc dziwnego, że „choć wzięci bez potrzebnego przygotowania się do tego przyprowadzeni są stopnia, iż są w stanie pojęcia istotniejszych prawideł teoryi mechaniki" i t. d.

Porządek w szkole wzorowy; nauczyciele pilni, zgodni i spokojni; miasto nie nastręcza uczniom powodów do „roztargnień", a nadto czuwa nad nimi troskliwe oko wizytatora i wyjątkowego prefekta; nabożeństwa odbywane „przykładnie". Popisy roczne, w obecności licznie zaproszonych przedstawicieli miejscowej inteligencyi urządzane, przyczynić się jedynie mogą „do obudzenia szlachetnego uczucia w młodzieży, zachęcenia do nauk, do miłości Ojczyzny i do wdzięczności Najłaskawszemu z Monarchów."

Zbiory i kollekcye ciekawe i bogate, bibliotekarz „okazał się pilnym, pracowitym i dobrze dobranym do swego obowiązku, czego jest dowodem katalog przez niego ułożony porządnie." Pensyonat panien, utrzymywany przez p. Rosienkiewiczową, „kobietę powszechnie szanowaną i publiczne mającą zaufanie", jako też drugi, zostający pod zwierzchnictwem p. Magnus, wypełniają swe obowiązki odpowiednio, delegowani czynią jedynie uwagę, „że na pensyach tłumaczenie pierwszych roździałów Euklidesa jest mniej pożyteczne i — lubo uczennice okazały postęp, chcąc jednak zaprowadzić po pensyach damskich naukę jeometryi, wypadałoby raczej ułożyć do tego stosowne dzieło elementarne."

O konwiktach uczniowskich mówiliśmy w innem miejscu.

Panowie Szymon Malewski i Szymon Żukowski — gdyż oni to właśnie pełnili rolę wspomnianych rewizorów — reasumują ostateczne wyniki swych spostrzeżeń w kilku punktach, których główną treścią, że metoda krzemieniecka nie dałaby się przeprowadzić w szko-

łach powiatowych, pociągnęłaby bowiem za sobą znaczne zwiększenie kosztów, konieczność ilościowego wzmocnienia grona profesorskiego i przedłużenie czasu trwania nauk, „coby było obciążeniem wielkiey liczby familiy ubogich, które dzieci swoie do szkół powiatowych oddaią, i nie żądaią, aby umiały wiele ięzyków, lecz aby były usposobione do posług skarbowych lub obywatelskich.“ Na końcu dodają, że Czacki prosi, by mu dozwolonem zostało w jednej z nowo-powstających szkół powiatowych metodę krzemieniecką zaprowadzić. „Takowe żądanie JWCzackiego delegowani przedstawiają do zdania i decyzyi Rady Uniwersyteckiey, i kończąc rapport swóy o Gimn. Wołyńskiem, składaią świadectwo, iż stan teraźnieyszy Gimn. — przy szczególnem i naygorliwszem staraniu JWCzackiego — iuż zapewnia dostateczne i obszerne źródło gruntownego oświecenia i edukacyi dla tamecznych Prowincyy“.[1]).

Bądź co bądź starosta nowogrodzki nie miał prawa skarżyć się na nieodpowiednią ocenę swoich czynności ze strony przygodnych rewizorów. Zresztą już dwa lata wcześniej (w sierpniu 1809) odebrał on zaszczytny dowód uznania od ks. Adama Czartoryskiego. Między innemi pisał kurator: „Przeświadczony o wielkich użytkach, które Gimnazium Krzemienieckie przynieść może dla kraiu, poczytam sobie za nayświętszą powinność polecić ie szczególney opiece i protekcyi rządu...“[2]), a tego rodzaju pochwałę winien był Czacki uważać jako rekompensatę za wszystkie przykrości, które tylokrotnie znosić musiał.

Jeszcze raz wypadnie nam wrócić do wyżwspomnianej metody krzemienieckiej, stanowiła ona bowiem jednę ze spornych kwestyi, różniących starostę ze Śniadeckim, stanowczo jej przeciwnym. Pierwej atoli usiłować będziemy skreślić, o ile się da dokładnie, kronikę gimnazyalną do chwili zamiany szkoły na liceum.

Zaraz w pierwszym roku szkolnym istnienia gimnazyum wynikło przykre nieporozumienie między uczniami a jednym z profesorów. O przebiegu całej awantury dowiadujemy się z wzajemnej korespondencyi Czackiego z Kołłątajem, przeprowadzonej w pierwszym kwartale 1806 r. — Wojciech Jarkowski ukarał któregoś z kursistów cieleśnie, innego wyłajał bez pardonu — oto i początek zatargu. „Pan matematyk“ był widocznie zwolennikiem dawnego systemu wpajania w uczniów niezbędnych wiadomości, a młódź,

---

[1]) Osiński: j. w. (dodatki) 347—362; Kaczkowski: I. 38—39.

[2]) Ibid. 345—347.

zwyczajnie na to drażliwa, w szkole Czackiego posuwała poczucie własnej godności znacznie dalej; wszak starosta przy każdej okazyi na tę nutę do otoczenia swego przemawiał, wszak każdy malec nawet z wołyńskiego gimnazyum wiedział aż nadto dobrze, iż on jest cielesnym karom stanowczo przeciwny. Mimo podobnego ducha, panującego w studenckim światku, możeby owa burza w szklance wody prędzej się uspokoiła, gdyby nie znalazł się nieproszony opiekun, który skalę obopólnego rozdrażnienia podniósł i sprawę całą przewlókł bezpotrzebnie. Jeden z uczniów udał się ze skargą wprost do Czackiego; pan starosta — rzecz naturalna — odesłał go do zwierzchniej władzy szkolnej, ani na chwilę nie przeczuwając, że „donosiciel“ kolegom swoim w zupełnie odmiennem świetle otrzymane zlecenie przedstawi. Oto, wróciwszy do szkoły, powtórzył oczekującym nań przez siebie samego zmyśloną odpowiedź wizytatora — „że pan Wojciech Jarkowski nie ma mocy karania plagami i że to mu dalej będzie zabronione.“ Można sobie wyobrazić, jaki ruch wywołała owa na prędce sklecona wiadomość wśród szkolnej młodzi; nie brakło bohaterów, co umyślnie nie uczyli się lekcyi, by jeno doświadczyć, czy też profesor ma prawo ich za to odpowiednio ukarać, w obec czego Kołłątaj zupełnie racyonalnie doradza dać dobrą nauczkę „donosicielowi“, a nadto dyrektor oświadczy „publicznie, po wszystkich klasach i kursach, że tenże nie był i nie mógł być upoważnionym od Czackiego donosić uczniom powyższą wiadomość, że uczniowie winni są podlegać swym nauczycielom, i że tak za niepilność, jak i za niepodległość karanymi być od nich mogą i będą, gdy zasłużą.“ Po tego rodzaju ogłoszeniu, jeśliby konieczność wymagała ukarania choćby cielesnego, trzeba na to „panu matematykowi“ raz jeden przynajmniej pozwolić, by uczniowie przekonawszy się, że władza profesorowi odjętą nie została, do dawnej subordynacyi wrócili.

Ze swej strony uczynił Czacki listownie delikatną uwagę Wojciechowi Jarkowskiemu, na co otrzymać miał odpowiedź dosyć ostrą, donosi więc Kołłątajowi: „J. P. Wojciech nie kontent z delikatnego ostrzeżenia o dawanie chłosty kursowym uczniom, napisał do mnie list niebardzo grzeczny, odpisuję mu z umiarkowaniem. Trzeba czasem mądrych panów uniesienia ścierpieć. Kara batogów w kursach jest rzeczą haniebną, a w pierwszych klassach powinna być rzadko użytą.“ Mimo chęci Czackiego, by wojnę domową zażegnać, a „z muchy nie robić wielbłąda“, musiały stosunki w szkole się zaogniać, doszło bowiem nawet do tego, że dyrektor Czech „czterych klas nauczycielom polecił najostrzejsze używanie kary cielesnej“.

Rzekomy obrońca kolegów, który to do starosty pierwszy ze skargą pospieszył, bruździć nie przestawał, namawiając uczniów — nawet wbrew woli ich rodziców — do opuszczania szkoły. A przypuszczać można, iż w całem zajściu odgrywała niepoślednią rolę niechęć ludzi z zawiścią patrzących na to, że aż trzech braci Jarkowskich w jednym uczyło zakładzie. W obec podobnych okoliczności radzi Kołłątaj zostawić Antoniego Jarkowskiego — w myśl jego życzeń — tylko przy prefekturze; Pawła pchnąć na wędrówkę naukową za granicę, a w takim razie tylko Wojciech nadal profesorem zostanie i wszelkim narzekaniom i kwasom raz się położy koniec.

Wspominaliśmy niejednokrotnie, jakiem zaufaniem szczycił się ks. Hugo wśród krzemienieckich pedagogów i teraz więc spieszą oni do jego skromnego mieszkania na poufną naradę nad najstosowniejszem uśmierzeniem rozgorączkowanych umysłów. Kołłątaj powtarza życzenie założyciela szkoły, „aby ile możności starali się używać raczej kar zawstydzających, martwiących, przynoszących cierpienie umysłu, a powściągali się od kar niewolniczych.“ Zgoda na to była prawie powszechną; jeden tylko szanowny prefekt, długoletni praktyk, „najbardziej zdaje się wątpić o dobrym subordynacyi skutku, gdyby zupełnie kara plag ze szkół wywołaną została“. To też wiemy zkąd inąd, że używania rózeczki nie zaniechał wcale, pamiętając atoli dobrze, co się należy latorośli szlacheckiego gniazda, kładł delikwentów na skórze niedźwiedziej i — choć podobne bolesne egzekucye nieraz miały miejsce — mimo to wszystko cieszył się wśród młodzieży wyjątkową sympatyą i szacunkiem, a zjednały mu je wielka sprawiedliwość i do pedantyzmu posunięta bezstronność.

Między innemi rzeczami napomykali zebrani u Kołłątaja pedagogowie, że wszystkie proponowane przez wizytatora środki skutkowały do czasu, „póki nie został wprowadzonym sąd studencki, do którego mają należyć sprawy nietylko zachodzące między uczniem i uczniem, ale nawet między uczniem a nauczycielem, jak np. o niepilność, opuszczanie się w naukach i t. d. Wnosili zatem niektórzy: że nie chcąc wprowadzać codziennego sądownictwa, któreby co moment najprzód nauczyciela, a potem sędziów zatrudniać mogło, przekładali raczej odtąd sami wglądać w pilność dzieci, a opuszczających się karać. Drudzy uważali za rzecz nieprzyzwoitą, ażeby nauczyciel jako oskarżyciel swoję opinię poddawał pod niepewny wyrok sędziów studentów“ [1]).

---

[1]) *Koresp.* IV. 70—79; Majchrowicz (j. w. *Muzeum* str. 593) pisze: „Na zdrowych zasadach oparta praktyka przestrzegania

Kołłątaj rzeczy mu nieznajomej zupełnie ani chwalić, ani ganić nie chcąc, wstrzymuje się z wydaniem sądu o niej do chwili poznania nowych urządzeń Czackiego, który mu też nie omieszkał natychmiast statut owej instytucyi nadesłać. Że zaś w każdym paragrafie sądu studenckiego przebija się dziwnie szlachetny charakter optymisty-wizytatora, marzącego o wyrobieniu w podwładnej sobie młodzieży uczuć najwznioślejszych, pragnącego wykształcić te legiony na przyszłych obywateli kraju w najdodatniejszem znaczeniu słowa — i my więc obszerniej nieco całe urządzenie omówić musimy.

Paragraf pierwszy określa skład sądu i sposób wyboru jego funkcyonaryuszy. Cztery pierwsze klasy sądowi nie podlegają; ustanawia się on jedynie dla kursistów, w przekonaniu, że ci — jako starsi — ocenić zdołają ważność podobnego rodzaju juryzdykcyi. Nie podlegają mu również uczniowie ogrodownictwa, mechaniki praktycznej i innych specyalnych instytutów, w przyszłości powstać mających, a przeznaczonych przeważnie dla wychowańców, obznajomionych jedynie z najkardynalniejszemi zasadami nauki. W poszczególnych atoli wypadkach może być i sprawa słuchacza któregoś z owych praktycznych zakładów do sądu uczniowskiego odesłaną, w takim razie jednak w gronie sędziów zasiadać musi przedstawiciel tego instytutu, z którego podsądny pochodzi. Trybunał składa się z trzech arbitrów, z każdego kursu wybieranych, i z prezesa, na którego przeprowadza się specyalne głosowanie. Pisarz wybranym zostaje z grona sędziów; starszym w sądzie po prezesie jest ten, co na wyborach najwięcej otrzymał kresek, a odbywają się one corocznie, w dwa tygodnie po rozpoczęciu wykładów, pod prezydencyą prefekta lub przez dyrekcyę umyślnie delegowanego profesora.

O wybór ubiegać się nie mają prawa kandydaci, nie doszedłszy do dziesięciu lat wieku (czy i to nie zawcześnie?), oraz „wyłączeni przez wyrok zgromadzenia nauczycielów lub sądy uczniów“. Każdego z pretendentów do krzesła sędziowskiego popierać powinno przynajmniej sześciu kolegów; głosują wszyscy słuchacze wyższych kursów za pomocą kresek sekretnych i wybierają trzech sędziów i prezesa, „nie uważając na kolej jakąkolwiek lub szczególny kurs.“ Wybory potwierdza dyrekcya gimnazyum; ma ona zastrzeżone sobie

karności w gimnazyum woł. nie ma w sobie ani śladu owej szablonowości, jaką zauważyć można we współczesnych systematach pedagogicznych. Jest skutkiem tego w postępowaniu nauczycieli z uczniami wiele taktu, wyrozumiałości przyjacielskiej, ciepła prawdziwie rodzicielskiego, wolnego jednak od zbytniej miękkości i niezdrowej afektacyi.“

prawo żądania ponownego głosowania nad poszczególnym kandydatem i to niezwłocznie.

Oprócz sędziów „uczniowie wyższych kursów mają trzech cenzorów, tym wydział uczniów porucza w kursach dyrektor.“

§. 2. O tem, co sąd uczniów sądzi, cenzorowie czynią. „Żadna sprawa nie przychodzi do sądu bez odesłania od dyrektora lub prefekta.“ Ten właśnie punkt podnosi Czacki jako obronę na zarzuty, że sąd studencki — nie podlegając władzy szkolnej — tworzył osobną juryzdykcyę, tamującą drogę do pewnej subordynacyi, w każdem liczniejszem zebraniu koniecznej. „Nie ma sprawy, tylko z zlecenia Dyrektora, nie masz exekucyi, tylko z jego woli“ — tłómaczy się w liście do Kołłątaja w lutym 1806 r. z Porycka pisanym [1]), prosząc adresata, by raczył ordynacyę sądu przeczytać, a przekona się najdowodniej, że władza nauczycielom odjętą przez to nie została; kończy zaś słowy: „kiedy w Akademii nie botogują, u nas kursowych bić nie można, a wstydzące kary są w ręku nauczyciela.“

Wprawdzie sami krzemienieccy profesorowie odzywali się o wątpliwym nader skutku owych tak zwanych „wstydzących kar“, lecz — *notabene* z wyłączeniem starego prefekta — zadosyć uczynić musieli wymogom wizytatora szkół, zapatrującego się na wszystko ze strony idealnej, bardzo częstokroć różnej od rzeczywistości.

Punkt drugi paragrafu drugiego tłómaczy działalność cenzorów. Każdy z nich — jeśli zauważy coś godnego nagany — powinien winowajcę przestrzedz przed ewentualnemi następstwami podobnego postępowania. Obowiązkiem jego jest również łagodzenie sporów wynikłych; „w przypadkach, gdzie idzie o szkodę trzeciego, którego nie masz przytomnego, albo o zgorszenie, lub jeźli zgoda jest trudną, opowiada prefektowi.“ Ten według swego zapatrywania, albo zwaśnionym pogodzić się każe, albo rzecz całą przedstawia dyrekcyi. Dyrektor poddaje sprawę pod rozwagę zgromadzenia nauczycielskiego.

§. 3. Oznajamia nas ze sposobem postępowania sądowego i wykonywania wyroków. Skarżący zabiera głos pierwszy, po nim dopiero przypada kolej na cenzora, którego zakres działania podobnym jest do władzy prokuratorskiej.

Prezes trybunału, odebrawszy „użalenie“ na piśmie, komunikuje je ze swej strony obwinionemu, wyznaczając równocześnie najbliższy dzień od zajęć szkolnych wolny, jako termin rozpatrywania

[1]) *Koresp.* IV. 76—78.

sprawy. Opornych władza gimnazyalna zmusza do stawienia się przed sądem; nieobecność tłómaczy jedynie choroba.

Po obustronnem wyłuszczeniu przebiegu sprawy, zabiera głos cenzor, przedstawiając areopagowi sędziów, jak usiłował walczących pogodzić, kto i czem powodowany na polubowne załatwienie zatargu przystać nie chciał i t. d. Sąd przesłuchawszy (na ustępie) świadków, jeżeli zgoda będzie możebną, starać się powinien o jej zastosowanie. „Wielość ugód będzie zasługą sędziów. Wielość spraw popieranych będzie zakałą skarżącego się.“

Mimo tego rodzaju tendencyi zastrzeżono w statucie wypadki, w których proponowanie zgody z góry wykluczonem zostaje. Miało to miejsce: *a)* gdzie idzie o szkodę trzeciego, bez dozwolenia interesowanej strony; *b)* gdzie idzie o winę przeciwko obyczajom; *c)* o podniesienie ręki na kogo, a tem bardziej uderzenie w złości na wyższych kursach; *d)* o nieposłuszeństwo nauczycielom lub władzy edukacyjnej.

Gdyby w ciągu sprawy okazał się postępek ucznia natury kryminalnej, oddaną ona być musi pod decyzyą dyrektora. Wyrok — większością głosów zapadły — wpisuje się do osobnej księgi. W wypadkach ważniejszych sędziowie zasięgną porady u profesora prawa; dekret i akta odnośne przesyłają dyrektorowi, ten albo wyrok zatwierdza, albo w zgodzie pośredniczy, lub zostawia podsądnemu możność apelacyi do zgromadzenia nauczycielskiego.

§. 4. Dotyczy wyznaczanych kar; z nich zaś „takie mają być wskazywane, któreby utrzymywały punkt honoru“, a więc: za zaniedbywanie nauk lub opuszczanie lekcyi: *a)* zawieszenie prawa noszenia szpady w święta; *b)* zawieszenie praw ucznia gimnazyalnego — imię podsądnego okryte krepą; *c)* ogłoszenie we wszystkich klasach, że się źle uczy; *d)* gdy to wszystko nie poprawi — wykreślenie z grona uczniów bez dania świadectwa szkolnego.

Za nieposłuszeństwo lub krnąbrność: *a)* odjęcie na czas pewien wolności noszenia szpady; *b)* odłączenie od „społeczeństwa“ współuczniów, bądź w zabawach, bądź w szkole; *c)* zawieszenie praw ucznia gimnazyalnego; *d)* wykreślenie raz na zawsze z liczby słuchaczy.

Za winy przeciwko obyczajom: *a)* zawieszenie w prawach ucznia; *b)* wykreślenie raz na zawsze ze szkoły; *c)* toż zamo z dodatkiem, aby „uczeń nigdzie przyjętym być nie mógł.“

Za podniesienie ręki lub uderzenie w złości: *a)* „wymazanie na zawsze i uznanie niesposobnym znajdowania się w społeczeństwie uczniów“; *b)* ogłoszenie winy po szkołach całej gubernii.

Za użycie obelżywych wyrazów: *a)* czasowe zawieszenie w prawach ucznia; *b)* wypisanie nazwiska winnego na tablicy najwyżej przez przeciąg czterech tygodni; *c)* wykreślenie ze szkoły.

§. 5. ostatni omawia różne co do tego sądu szczególne urządzenia. I tak: posiadacz medalu — przez czas trwania kary — używać go nie ma prawa; wykreślony z liczby uczniów, lub dwukrotnie w prawach tychże zawieszony, winien posiadaną nagrodę zwrócić władzy szkolnej; najlepiej uczący się a dwukrotnie za naganne postępowanie, lub użycie słów obelżywych, karany, medalów mieć nie ma prawa [1]).

Tak w głównych zarysach przedstawiały się ustawy, przez Czackiego Kołłątajowi do oceny przesłane. Z naszej strony dodamy, że — chociaż pan starosta w dawniejszych, przez uniwersytet wileński w 1804 r. ułożonych, prawidłach — jedynie pewne poczynił modyfikacye, ale właśnie one najlepiej charakteryzują ich autora.

Profesor Władimirskij-Budanow mocno rzecz całą krytykuje. Chyba czytelnikom naszych czasów — dodaje — nie trzeba udowadniać niepedagogiczności podobnych urządzeń wśród uczącej się młodzi. Pamiętać atoli należy, iż tego rodzaju zgromadzenia, wybory i wygłaszane mowy stanowiły część zasadniczą metody szkolnej polskiej edukacyjnej komisyi. Teraz wszystko to otrzymało jedynie nową myśl przewodnią: nałamywanie uczniów do dawnych (z czasów politycznego istnienia Polski), wyszłych już z praktyki — porządków. Jeśli więc ani metoda wychowawcza, ani liczba szkół, nie zmieniły się w epoce Czackiego, zostając nadal na tym poziomie, na jakim znajdowały się podczas funkcyonowania komisyi edukacyjnej i w następnym peryodzie — w takim razie cała zasługa Czackiego kończy się jedynie na założeniu jednego gimnazyum krzemienieckiego, zakładu rzeczywiście nie istniejącego przedtem, dla którego poświęcał on środki — tak rządowe, jak i prywatne — innych instytucyi naukowych Podola, Wołynia i Ukrainy [2]).

Ma to być ze strony rossyjskiego uczonego odpowiedzią tym wszystkim pisarzom, co zasługi założyciela wołyńskiej szkoły zbytnio przeceniają — a do rzędu ostatnich zalicza on i pana Szulgina, patrzącego „na działalność Czackiego oczyma panegirysty“, przyznającego, że wprawdzie szkoła wołyńska przyczyniła się w znacznej części do wypadków 1831 r. na Rusi, ale miało to miejsce już po śmierci starosty, kiedy to jego następcy — schodząc na drogę po-

[1]) *Koresp.* IV. 88—95.
[2]) *Istor. Uniw. św. Władimira* I. 34.

litykomanii — przewodnią myśl nieboszczyka skazili. W owej „karygodnej“ epoce znajdował się Krzemieniec pod zwierzchnią władzą wileńskiego uniwersytetu [1]).

Nie minęło czasu zbyt wiele, a i pan Szulgin zapracował sobie na odmienną opinię u Budanowa. Prądy reakcyjne, wiejące na szerokich obszarach rossyjskiego cesarstwa, i na jego pracach wycisnęły charakterystyczne piętno. W drugiej połowie swej literackiej działalności i ten — dotychczasowy wielbiciel Czackiego — spogląda nań przez szkła zupełnie od dawniejszych różne. „Już powstanie 1831 r. — powiada on — otworzyło oczy naszej władzy na następstwa postępowania chytrego polonizatora zachodniej Rossyi, księcia Czartoryskiego, i tegoż sojusznika, hr. Tadeusza Czackiego, poświęcającego się specyalnie, by w sposób dla rządu nieuchwytny — niemniej przeto energiczny i niezawodny — polonizować i latynizować południowo-zachodnie nasze gubernie. Zupełnie też racyonalnie stwierdza Kojałowicz fakt, że południowa Rossya w omawianej epoce w takim stopniu polonizowała się i latynizowała, jak to dotąd nigdy jeszcze nie miało miejsca. A dzisiaj jeszcze żyją staruszkowie, którzy utrzymują, iż do Czartoryskiego wielu z drobnej zachodnio-ruskiej szlachty, choć uważali się zawsze za Polaków, mimo to nie znali polskiego języka, mówili i pisali po rusku“ [2]).

Umyślnie przytoczyliśmy te na tyle różne od siebie opinie o szanownym wizytatorze szkół trzech gubernii. Toż przyzna z nas każdy, że właśnie czynione Czackiemu zarzuty za jego zasługę — i to w dodatku niepoślednią — uważać trzeba. Jeśli Polacy przedtem języka swego nie znali, a on ich dopiero na drogę właściwą sprowadził, z pięknościami rodzinnej mowy zaznajomił — należy mu się pomnik trwały w pamięci i sercach wszystkich następnych pokoleń polskich. Czy szkoła Czackiego, czy też reakcyjne dążenia rządu cesarskiego wywołały ruch narodowy w 1831 r. — różni różnie sądzą. Wolno autorom rossyjskim zwalać całą winę na kierunek i myśl przewodnią ówczesnego wychowania publicznego, których ojcami mianują Czartoryskiego i Czackiego; wolno i nam odmiennego zupełnie pod tym względem być przekonania. Po czyjej stronie leży więcej prawdy i słuszności — niech rozstrzygają inni.

Że Budanow skrytykował sądy studenckie — rzecz zupełnie naturalna; dzieje wewnętrzne Rossyi ostatnich paru lat dziesiątków

---

[1]) Szulgin j. w. 13—39.

[2]) Szulgin: Juho-zapadnyj kraj pod uprawleniem Bibikowa. Kijów 1864.

nie mają przecie nic wspólnego z autonomią, choćby w najciaśniejszem pojęciu słowa. Ciekawszem jest pytanie, jak ocenił urządzenia sądownicze Czackiego reformator krakowskiej akademii? Odpowiedź na nie — i w dodatku wyczerpującą — znajdujemy w korespondencyi Kołłątaja [1]). Jest on zasadniczo przeciwnikiem sądów uczniowskich; wychowańcy, prowadzeni „od wczesnej młodości przez praktyki jurystowskie, nabiorą skłonności do pieniactwa i będą mieli gust prawować się o najdrobniejsze bagatele; każdy z nich chciałby być sędzią, patronem, rejentem, instygatorem i t. d.“ Wczytawszy się w przesłaną sobie ustawę, przychodzi Kołłątaj do przekonania, że mogłaby być ona „wzorem do prawa dla opisania każdego sądu“, że nie można nic ująć ani dodać „do tak wybornych myśli“, jeżeli *nota bene* wpierw się uzna, „że ten sąd jest koniecznie dla uczniów potrzebny“. W każdym jednak razie doradza usunięcie z zakresu działania trybunału studenckiego spraw „o niepilność i nieposłuszeństwo“; uważał widocznie, że najwłaściwiej będzie, gdy karanie za nieuctwo i niesubordynacyę zostawi się samymże profesorom. Uwagi księdza Hugona, które on Czackiemu przesyła poufnie — nie komunikując ich krzemienieckiemu nauczycielskiemu gronu — nie występują więc przeciwko samejże ustawie, bo w niej „nie ma nic do przydania ani do poprawy: są raczej przeciw potrzebie takowego sądu“, zdaniem jego bowiem: „wszelkie prawnictwo, bądź pod najlepszemi pozorami zaprowadzone, jest niebezpieczne dla młodzieży“.

Pomimo przestróg przez Kołłątaja udzielonych — a zaczerpniętych widocznie z tyloletniego smutnego doświadczenia, że pieniactwo niejedną szkodę w następstwie wywołało, że przyczyniło się znacznie do moralnego upadku społeczeństwa polskiego w ostatniej epoce politycznej Polski egzystencyi — marzyciel Czacki raz zaprowadzonych sądów szkolnych nie znosi. Wiemy z pamiętników współczesnych, że sędziowie — nawet w czasie uroczystych gremialnych wystąpień szkoły krzemienieckiej — szli dla odróżnienia osobno, zwracając w ten sposób ogólną na siebie uwagę i wywołując liczne zapytania, często z pięknych usteczek płci nadobnej wybiegające [2]). I tutaj — jak w wielu innych wypadkach — przebija się myśl przewodnia Czackiego, nie opuszczająca go ani na chwilę, by tak szkołę wołyńską, jak i wszelkie jej urządzenia, otoczyć w obec uczącej się młodzieży i całego ziemiaństwa pewną wyjątkową powagą i aureolą.

---

[1]) *Koresp.* IV. 95—114.
[2]) *Ramoty* II. 251.

Wspominana tylokrotnie korespondencya księdza podkanclerzego koronnego najdowodniej przedstawia nam, jak ważną rolę odgrywał wyjątkowy ten uczony w szkole wołyńskiej. O wielu jego pracach dla dobra ostatniej wzmiankowaliśmy poprzednio; teraz myśli on z kolei nad założeniem specyalnej drukarni gimnazyalnej, gdyż poczajowska nadto niedbale drukuje; łamie sobie głowę nad wygrzebaniem kandydatów do objęcia nowopowstających katedr; do niego spieszą z Krzemieńca profesorowie z prośbą o protekcyą do Czackiego: żonaci życzą sobie osobnego dodatku na mieszkanie; kawalerom wyznaczono bezpłatne lokale w kollegiach, dla czegoż więc obarczeni rodziną mają krzywdę ponosić, sami je opłacając. Antoni Jarkowski lęka się, „aby bliższe zatrudnienia jego około fabryki — mimo pracy i straty czasu — nie narobiły mu zazdrości, jak już tego doświadczył w naganie materyałów od p. Zaliwskiego i innych“, prosi więc — za pośrednictwem Kołłątaja — by podobny ciężar zdjąć z jego pleców, gdyż „dwie funkcye razem prefekta i profesora są mu zanadto uciążliwe, zwłaszcza przy tych fabrycznych zatrudnieniach, bo osobliwie prefektura jest funkcya bardzo zrzędna i niedająca nawet momentu odpoczynku.“ Porzuciłby on chętnie profesurę, boi się jednak zmniejszenia pensyi, gotów więc w ostateczności wykładać dalej, zrzekając się natomiast godności prefekta. Witwicki żąda zwiększenia płacy; Paweł Jarkowski uwolnienia od francuzczyzny, której już bezinteresownie, z wielkim dla uczniów pożytkiem, udziela Euzebiusz Słowacki; całe zaś grono nauczycielskie wyraża pragnienie, aby starosta — stosownie do dyplomatu imperatorskiego — „wydać im raczył patenta nominacyi, w których byłyby opisane wszystkie warunki, pod jakiemi każdy w szczególności wezwany został.“ Otrzymali tego rodzaju dokumenty Czech i Schejdt, i inni więc woleli mieć prawa do emerytury gruntowniej ubezpieczone [1]).

Wszystko to — z odpowiedniemi ze swej strony uwagami i radami — komunikuje Kołłątaj Czackiemu — a przerozmaitych żądań mieli profesorowie znacznie więcej, przytoczyliśmy dla przykładu jedynie ważniejsze. Świadczą one z jednej strony dobitnie o uznaniu, jakiem się cieszył w gronie profesorskiem ks. Hugo — o czem zresztą wspominaliśmy już wyżej — jak również z drugiej: ile to najróżnorodniejszych zajęć — i rzecz prosta kłopotów — spoczywało na głowie wizytatora. Ludzie zawsze pozostaną ludźmi nie bez pewnych przywar i stron ujemnych; profesorowie wołyńscy nie sta-

[1]) *Koresp.* IV. 123—135.

nowili pod tym względem wyjątku i tu kiełkowały pewne zawiści i niechęci, zmysłu politycznego więc i taktu nielada potrzebowało kierownictwo tylogłowym kolosem. Pracowitość nadmierna, dar zjednywania ludzi i wielka miłość kraju i narodu — oto wybitne cechy Czackiego, nic też dziwnego, że tak wiele jeden człowiek zdziałać potrafił. Nie dokonałby on jednak tego, gdyby nie mądra i wytrwała pomoc Kołłątaja. Chociaż więc ostatni zastrzegł się, by wspólna jego z Czackim praca występowała na zewnątrz jedynie pod marką starosty [1]), względy bezstronności z jednej, a wdzięczności z drugiej strony wymagają, by w dziejach szkoły krzemienieckiej i nazwisko Kołłątaja na naczelnem figurowało miejscu.

Mówiąc o Czackim i Kołłątaju, zaznaczyć musimy, że od pewnego czasu uczuwać się daje we wzajemnych stosunkach obu wielce dla oświaty na kresach zasłużonych autorów projektu — pewien chłód, pewne naprężenie. Co właściwie wpłynęło na podobną zmianę? orzec trudno, dość, że się coś psuć zaczynało. Starosta wprawdzie dawniejszym zwyczajem posługuje się w ważniejszych i drobniejszych nawet sprawach wszechstronną wiedzą i doświadczeniem Kołłątaja, wprawdzie ksiądz Hugo jest zawsze główną osią, około której wszystko w Krzemieńcu krąży, mimo to faktem niezbitym było, że coś między nimi przebiegło.

Już wszystko, co się powiedziało dotąd, wypełnia w znacznej części kronikę zakładu [2]). Po za tem nauki szły podług planu z góry zakreślonego, profesorowie wykładali, prefekt ostry i poważny pilnował porządku, młodziutka rzesza uczyła się i bawiła, wyrządzając psoty i pokutując za nie, szlachta bliższa i dalsza rozbijała namioty w głuchem dawniej miasteczku, a osiadając w nich z rodzinami, zwiększała znacznie ruch towarzyski prastarej — warownej niegdyś — wołyńskiej placówki. Obok domów Czackich, Sapiehów, Ożarowskich, Sobańskich, Platera, Olizarów, Rzewuskiego, Drzewieckich, grupowało się i wiele, wiele innych, a gdy dodamy rodziny profesorskie Schejdtów, Malewskich, „matematyków“ Jarkowskich, Słowackich, Witwickich, Czechów i t. d., gdy pamiętać zechcemy o ruchliwym kanoniku Osińskim, sławnym „bajarzu“ Zaliwskim, ukochanym ojcu Prokopie, poważanym prefekcie, Rudzkim, Kruczkowskim . . . da nam to pewne wyobrażenie o tem, co się w krze-

---

[1]) K. Wł. Wójcicki: artykuł o Kołłątaju w Enc. powsz. Org.

[2]) W pierwszych dniach kwietnia 1806 r. nabyto dla szkoły bibliotekę prof. Schejdta, płacąc za nią 8.623 złot. pols, w srebrnej monecie. *(Ręk. Muz. Czart. Nr. 3445).*

mienieckiem kółku dziać mogło i rzeczywiście działo. Nic dziwnego więc, że zbiór śmietanki towarzyskiej i umysłowej nadał zapomnianemu zakątkowi kresowych prowincyi wybitną i wyjątkową cechę, że nawet obcy nazywali ówczesny Krzemieniec Atenami polskiemi, albo wołyńskiemi [1]).

W połowie maja 1806 r. zjeżdża do Krzemieńca — zaproszony przez Czackiego — ksiądz Kołłątaj. Nie chcąc przybyć z próżnemi rękoma przywozi w darze dla gimnazyum zbiór labradorów, za które niegdyś przeszło 300 czerw. złot. zapłacił [2]). Najniechybniej musiał reformator krakowskiej akademii odwiedzać klasy i kursa wyższe, musiał zadawać uczniom pytania z różnych przedmiotów, by się jeno przekonać, czy dzieło — nad którem i on pracował — obfite daje owoce. Czacki był właśnie bardzo zajęty wydawaniem żądanych przez profesorów patentów, oraz omawianiem poszczególnych pensyi emerytalnych i innych warunków kontraktowych.

W połowie lipca odbyć się miały pierwsze egzamina roczne, połączone z rozdawaniem nagród [3]). Ksiądz Hugo przybył na tę uro-

---

[1]) Korzeniowski: *Tadeusz Bezimienny;* Walenty Spektator (Karol Witte): *Krzemieniec, przygody i wspomnienia studenta pierwszej klasy.* Kraków 1873 — przedstawiają szczegółowo tryb zajęć szkolnych, opisy uroczystości gimn. itp., tam więc ciekawych odsyłamy.

[2]) *Koresp.* IV. 140.

[3]) Nie znając oryginału pochwalnych listów krzemienieckich, nie możemy dosłownego ich brzmienia na tem powtórzyć miejscu. Przypuszczamy jednak, że jednakowa ich formułka używaną była we wszystkich ówczesnych gimnazyach, z tej więc racyi przytaczamy poniżej tekst *Listu pochwalnego* innej szkoły:

„W czasie odbytey przezemnie wizyty Szkoły Powiatowey Międzyrzeckiey, na stopniu Gimnazyum będącey, z mocy Urzędu Dozorczego nad szkołami w powiecie Rowieńskiem — Za wspólnym Nauczycieli zdaniem, i z własnego przekonania się, że: uczeń klassy 4tej JPan Dyonizy P... z pilności w przykładaniu się do nauk i z pożytku z nich odniesionego, a szczególniey z dobrych obyczaiów zasłużył sobie na pochwałę i okazał się Uczniem dobrych nadziei dla Kraiu. Daię to pochwalne świadectwo — Władzom go szkolnym polecaiąc. Dan w Międzyrzeczu dnia 4. Lipca 1820 R. JEgo Imper. Mości Imiennym ukazem Roku 1811 dnia 26. Czerwca — Dozorca honorowy Szkół w powiecie Rowieńskim Bywszy Marszałek tegoż Powiatu i członek Komissyi Edukacyiney Guberni Wołyńskiey, Podolskiey i Kijowskiej, Kawaler

Wacław Boreyko."

(odcisk pieczęci).

W *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3441* T. I. (j. w.) znajduje się „Protokół z popisów krzemienieckich z 21. VII. 1806 r." Dowiadujemy się

czystość ponownie do Krzemieńca; Czacki, w wygłoszonej programowej mowie, bardzo obszernie rozbierał pożytki i dogodności właściwe wychowaniu publicznemu w szkołach; wskazywał różnice między temże a wychowaniem domowem; zapowiada z rokiem przyszłym ciągły wzrost zakresu studyów, zwiększanie stałe zbiorów i liczby nauczycieli; wzywa w końcu uczniów, by świadectwo prawdzie w obec swych rodzin złożyli [1]).

Kołłątaj tym razem czarno na świat i otoczenie całe spoglądał, był tylko „niemym spektatorem" całej uroczystości, zarzucał Czackiemu zimne, ceremonialne powitanie, ganił przebieg egzaminów, krytykując dosyć ostro rozmaite urządzenia obce mu do tej chwili [2])... Rozdźwięk występował więc coraz widoczniej, a nie uniewinniając bezwzględnie starosty nowogrodzkiego, nie omylimy się zbytnio wyrażeniem przekonania, że choroba i przykre nad wyraz stosunki materyalne Kołłątaja, a może i żal do ludzi — zasług jego niedoceniających — wyrobiły w nim charakter zgryźliwy, który zwyczajnie zraża choćby i najlepiej usposobionych i pociąga za sobą w następstwie zupełne osamotnienie.

Popisy roczne publiczne odbywały się w połowie lipca, jak świadczą daty, umieszczane na wydawanych przy tej okazyi przygodnych drukach. Wówczas, jak i na dzień otwarcia roku szkolnego, spraszano liczny zastęp gości, zjeżdżały rodziny wychowańców gimnazyalnych, przemawiał do zebranej młodzieży sam Czacki, a nadto jeden z profesorów czytał — umyślnie ku temu celowi napisaną — rozprawę. Uroczystość — odbywającą się w murach szkolnych — łączono z solennem nabożeństwem w świątyni zakładowej, gdzie przy biciu we wszystkie dzwony *Te Deum* intonowano, a chóry studenckie i orkiestra amatorska — pod batutą metrów muzyki i śpiewu — z formalnym występowały koncertem.

W roku szkolnym 1806/7 Czacki nie uczestniczył w uroczystem zamknięciu kursów. Jak z poprzedniego widoczna bawił jeszcze 22.

---

zeń, że medal złoty otrzymał w tym roku R. Kawecki; medale srebrne: Eligi Piotrowski, Stanisław Proskura, Eug. Poniatowski i Antoni Malczewski. Między darami najważniejszy pochodził od Józefa Drzewieckiego (172. oryg. rysunków pierwszych mistrzów). Popisy zakończono puszczeniem znacznej wielkości balonu. Jednego z medalowych napadli koledzy, nazywali go osłem medalowym i wyszturchali nawet. Sprawa wlokła się długo, wywołała starcie się prefekta z dyrektorem.

[1]) *Mowa JW. Tad. Czackiego... przy ukończeniu roku szkoln. w Gimn. Woł. miana 20. Lipca 1806 r.*

[2]) *Koresp.* IV. 155—159.

lipca w Petersburgu, dokąd go smutna zapędziła sprawa. Zastępował pana starostę na egzaminach brat jego, podczaszy koronny; zaszczycił je swoją obecnością czcigodny biskup Cieciszowski, stawił się i liczny kontyngens najpoważniejszych ziemian, jak gdyby pragnąc zadokumentować solidarność swoją z założycielem szkoły. Egzaminowano tym razem niezwykle ostro, by przekonać niechętnych, że — mimo nieobecności zwierzchnika — tak uczniowie, jak ich nauczyciele spełniali swoje obowiązki nienagannie [1]). W drugiej połowie lipca nadeszło do Krzemieńca doniesienie księcia kuratora, zawiadamiające o „ukazie“ carskim, podpisanym przez monarchę w dniu 13. tegoż miesiąca, a polecającym oddać do użytku gimnazyalnego lasy darowanego szkole wołyńskiej starostwa krzemienieckiego [2]). By rzeczy nie rozdrabniać, dodamy na tem już miejscu, że — za pośrednictwem Adama Czartoryskiego — otrzymuje wileński uniwersytet 6. maja 1808 r. zawiadomienie z Petersburga, iż Gołubcow przesłał Izbie Skarbowej Wołyńskiej rozkaz, by „z darowanego ukazami 13. października 1806 i 13. lipca 1807 r. Krzemienieckiego Starostwa dla Wołyńskiego Gymnazium nie pobierano odtąd kwarty i szelążnego dochodu“ [3]).

W ciągu następnego roku szkolnego starał się Czacki usilnie, aby Wilno i Krzemieniec, mające prawo kreować geometrów rządowych, czyli jak wówczas zwano: „skarbowych“, jednakowe dla ośmiu gubernii wprowadziły przepisy egzaminacyjne. Zasięgał przytem rady Sądów Cywilnych podolskiego, wołyńskiego i kijowskiego, by się dowiedzieć, czy nie zechcą one uczynić jakich zarzutów przedstawionemu przezeń projektowi egzaminów. Sąd podolski odpowiedział, „iż Departament nieznayduie w prawidłach do examinu Geometrów przepisanych, coby opuszczonym było, ale gdy Geometrowie prócz Nauk odpowiednych ich powinnościom powinni posiadać przymioty, któreby zaręczały Sąd do przysięgi ich dopuszczać mogący, o niezłomnie przez nich dochować się maiącey wierze, przeto znayduie swą powinnością upraszać (Czackiego), aby Szkoły, w których oni nabywać potrzebnych Nauk będą, zaświadczyły ich konduitę.“ Sądy wołyński i kijowski tylko drobne bardzo proponują „w instrukcyi examinu“ zmiany [4]).

Uczniowie owej specyalnej Szkoły Geometrów, o których przyszłość pan starosta tak dalece troszczył się, już w latach najbliż-

[1]) *Ramoty* II. 163—164.
[2]) *Rękop. Muz. Czart. Nr. 3443.*
[3]) Ibid. Nr. 3443.
[4]) Ibid. Nr. 3443.

szych niemało przysporzyli mu zmartwień. Prefekt Jarkowski — tak energiczny i strachem przejmujący — nie potrafił ich w karbach posłuszeństwa utrzymać. W pierwszych dniach grudnia 1810 roku podpisało 26 geometrów wspólną skargę, której zarzuty streścić się dadzą w następujących kilku punktach: Geometrom wydziela szkoła nadto skromne fundusze, przeznaczone na ich utrzymanie, muszą więc szukać korepetycyi po domach prywatnych, czemu znowu przeszkadza obciążenie nauką języków niemieckiego i francuskiego, z których — nie mając odpowiednich początków — nic nie korzystają, a braknie im za to czasu na studyowanie obowiązkowo przypisanego języka rossyjskiego. Uczą się w szkole całych lat cztery, lecz — wskutek przeciążenia — właściwych przedmiotów, dla nich niezbędnych, gruntownie poznać nie są w stanie. Przyrzeczono im wprawdzie nagrody za plany, ale na obiecance wszystko się skończyło. Na skargi na niedostatek otrzymują od prefekta pozwolenie ucieczki z Krzemieńca. Postępują z nimi ostro i niegrzecznie, przypominając bezustannie o ślepem posłuszeństwie władzy szkolnej. Wszystko to obmierziło uczniom jeszcze więcej to miejsce, z którego jeno wyrwać się corychlej pragną. Skargę kończy groźba, że — jeżeli zwierzchność i tym razem nie wysłucha głosu 26 podpisanych geometrów — udać się oni będą zmuszeni do ministeryum oświaty [1]).

Jaskrawą ilustracyą powyższej wspólnej odezwy jest list prywatny jednego z podpisanych na niej, przesłany wizytatorowi. Wyjaśnia on Czackiemu, iż jedynie ostateczność zmusiła młodzież do tego zbiorowego kroku i przytacza rozmaite odpowiedzi prefekta, który w istocie zbyt bezwzględnie, a nawet nieodpowiednio sobie poczynał, choć z drugiej strony dodamy, że geometrowie wyprowadzili widocznie swojem zachowaniem się popędliwego staruszka z granic cierpliwości [2]). Znając takt, bezstronność i sprawiedliwość Jarkowskiego, inaczej tej całej wojny domowej wytłómaczyć nie potrafimy. Zresztą wypadek, jaki zaszedł zaraz w pierwszych tygodniach następnego roku, udowadnia najdobitniej, że uczniowie szkoły geometrów rzeczywiście dosyć swobodnie niejednokrotnie postępowali. Tym razem poprzestajemy na powtórzeniu urzędowego sprawozdania, przesłanego Czackiemu przez zastępcę dyrektora (pref. Jarkowskiego) 17. lutego 1811 r. [3]):

---

[1]) Ibid. Nr. 3444.
[2]) Ibid. List Al. Sawickiego.
[3]) Ibid. Nr. 3445.

„Pierwszych dni Stycznia dowiedziałem się od cenzorów sumiennych, że Kajetan W..., uczeń funduszowy Jeometryi, chce się żenić z pną. D... W dniu 3. stycznia za Nr. 12. odniosłem się do X. Gwardyana Franciszkanów i innych w Krzemieńcu Proboszczów, aby mu szlubu nie dawano, póki nie okaże od swey Zwierzchności autentycznego na to zezwolenia. Zaradził sobie na to W..., kiedy w dniu 12. b. m. klęknąwszy z oblubienicą przy ołtarzu w kościele Franciszkanów, przeczytał wspólnie rotę szlubu, a obróciwszy się do ludzi, oświadczył, iż w obliczu Kościoła szluby małżeńskie zawarł. Xiądz po ukończonej Mszy, oświadczył ludowi, że zawarte W—go szluby nie są zgodne z przepisami Kościoła. Uczynek ten w konsekwencyach swoich iest bardzo szkodliwym — dodaje zupełnie słusznie pan prefekt — gdyż przykład W... może się stać pobudką dla inney młodzieży do popełnienia podobnego występku i będzie iako przeciwny opinii nietylko okazyą do złego mówienia Obywateli o Gymnazium, ale i przyczyną niedawania młodzieży na naukę do tey szkoły.“

O ile nam wiadomo, nie znalazł pomysłowy pan W... naśladowców wśród swego otoczenia, że jednak nieprzyjaciele Czackiego i Krzemieńca ów odosobniony — choć niemniej oryginalny — wypadek wyzyskali — to nie ulega wątpliwości [1]).

O ucieczce geometrów, braci Kaleczyckich, mówimy w innem miejscu.

W roku 1808 w dniu 10. lipca przy rozpoczęciu popisów wygłasza mowę profesor Euzebiusz Słowacki [2]). Treścią jej pożytek, jaki odniosła młódź kształcąca się w gimnazyum wołyńskiem w ciągu upłynionych właśnie dziesięciu miesięcy. Dowiadujemy się ztąd, że nauki religii udzielano w ten sposób, by z wychowańców doczekać się dobrych chrześcian, nigdy zaś „kłótliwych zagorzalców“, by wpajając w nich przywiązanie do wiary przodków, nie napełniać wzgardą i nienawiścią ku innym wyznaniom; upewnić wreszcie, że nie można kochać Boga, nie kochając bliźnich. Dalej wykładano o powinnościach, cnotach i wadach życia towarzyskiego, a w ten sposób „religia i moralność przyjmując młodego człowieka z łona rodzicielskiej opieki, otwierają mu w tej szkole obszerny zawód umie-

---

[1]) Ibid. Nr. 3444. Od r. 1807 do stycznia 1811 było w szkole geometrów uczniów 47. W r. 1811 weszło w służbę rządową 9; w następnym 12.

[2]) *Mowa przy rozpocz. popis. roczn. w Gimn. Woł. przez Euzebj. Słowackiego prof. Wymowy dnia 10. VII. R. 1808 miana.* Kart nieliczb. 17, bez wyraż. miejsca i roku druku.

jętności.“ Że należy poznać przedewszystkiem gramatykę własnego języka, zaprzeczyć się nie da, z kolei więc i gimnazyalnej dziatwie dano do ręki książkę Kopczyńskiego, co lat tyle niezachwianą cieszyła się powagą, kształcąc całe pokolenia mowców i pisarzy. — Równocześnie z gramatyką ojczystą następowało poznanie klasycznej mowy Homera i Demostenesa; wychowańcy krzemienieccy „uczą się rozumieć ich wyrazy, zgłębiać myśli, uwielbiać piękność.“ Że zaś i językom żyjącym pewne należą się prawa, zapoznawano uczniów z gramatyką rossyjską, francuską, niemiecką i angielską. Dyrektor Józef Czech, profesor matematyki, wykłada „z nieporównaną łatwością prawdy i wynalazki uczynione w długim przeciągu wieków“. Chemia i historya naturalna rozwijają umysł, rozszerzają horyzont; historya powszechna uczy poznawania ludzi i czerpania z ich cnót i błędów pożytku dla siebie, a nie pojmowano jej w gimnazyum, jako próżne obciążanie pamięci nazwiskami miejsc i osób; „ograniczona krótkością swoją, dotyka z lekka mniej ważnych zdarzeń; ale przyciska pęzel, gdy trzeba kreślić wielkie obrazy sławnych ludzi.“

Z kolei następuje obszerny okres o geografii, obszerniejszy jeszcze o poznawaniu literatur, o nauce wymowy i t. d. Każdy przedmiot — wyliczony już choćby przy opisie projektu — został w przemówieniu szanownego profesora hojnie uposażony w bogate retoryczne zwroty, z których co chwila dolatują nas oddźwięki klasycznej starożytnej historyi Greków i Rzymian. Sądzę, że zebrani obywatele wołyńscy — z uwagą wysłuchawszy krasomówczej swady ojca Juliusza — obdarzyli go, nie żałując swych dłoni, rzęsistymi oklaskami — jeżeli te *nota bene* były już wówczas w użyciu [1]) — dzisiejsze atoli czytające pokolenie, przyzwyczajone do innego rodzaju stylu, uważać może przygodną oracyę profesora wymowy jedynie jako zabytek dawno minionej przeszłości. Nadmienić jeszcze wypada, że pan Euzebiusz poświęcił w swem przemówieniu słów kilka pamięci zmarłego kolegi: „... Lecz na wspomnienie chemii, jak smutne uwagi ogarniają mój umysł!... jak tkliwe pamiątki!... jak rozrzewniające myśli! Przebaczcie, zacni Mężowie, temu zboczeniu, w które mnie żal wprowadza... Mógłżebym mówiąc o Chemii, nie wspomnieć o godnym jej w tej szkole nauczycielu, którego nam śmierć wydarła? Jeszcze w roku przeszłym głos jego rozbijał się

---

[1]) W. Spektator j. w. 119 — twierdzi, że paryzka moda oklaskiwania prelegentów nie była wówczas jeszcze u nas w życie wprowadzoną. Po ukończonem przemówieniu jedni osobiście życzenia profesorowi składali, inni „najuprzejmiejszym ukłonem zbliżywszy się do stołu najszczersze zadowolnienie“ objawiali.

w tych murach, i choć słabość, skutek zwątlonych trudami uczonemi sił, zagrażała zniszczeniem budowy jego ciała; nadzieja, w zwyczajnej rzeczy ludzkich przemianie, wskazywała nam możność zachowania tego męża, któregośmy mieć nieśmiertelnym pragnęli. Cieniu święty!... Już wdzięczność postanowiła miedzią i marmurem uwiecznić twoją pamięć, już wymowniejsze od moich usta uczciły twój grobowiec daniną sprawiedliwych pochwał: lecz jeżeli łza, którą ręka żalu wyciska, nie znieważa pamięci człowieka, dzielącego niegdyś życie swoje pomiędzy pożyteczne dla ludzi prace i słodycz niewyczerpaną przyjaźni; racz ją łaskawie przyjąć w przybytku nieśmiertelności, w którym cię twoje umieściły cnoty, i gdzie już szczęścia i pokoju nie miesza żadna przemiana."

Wszyscy słuchacze wiedzieli dobrze, do kogo się to czułe wspomnienie odnosi, i nam profesor Schejdt nieobcy... [1])

W roku szkolnym 1808/9 w gimnazyum krzemienieckiem ważne zachodzą zmiany. Czacki — po powrocie z Petersburga — dalej broni interesów zakładu, dalej pracuje dla jego dobra. Byt gimnazyum z dniem każdym niemal na mocniejszych opartym zostaje podstawach. Już przed paru laty darowane starostwo zwiększa jego dochody, całe zachodnie skrzydło pojezuickich murów przekształcono na wspaniałe sale biblioteczne, gdzie umieszczono wszystkie zbiory, a w ich liczbie i foliały po ostatnim królu nabyte; gmachy reformackie — po przeniesieniu tego zakonu do Dederkał — oddano Bazylianom; bazyliańskie, sąsiadujące z jezuickimi, przyłączono do gimnazyum, nie brakło więc miejsca i na szkołę geometrów i mechaników. Katedrę, osieroconą po Schejdcie, obejmuje niemniej zdolny Szostakowski; uczony niemiec Besser urządza botaniczny ogród; były wychowaniec krzemieniecki, Czarnocki, zasiada na katedrze algebry, sprowadzony Lenzi uczy muzyki [2]); cyfra uczniów do 700 głów dobiega, było więc z czego się cieszyć, był impuls do dalszej dla Czackiego pracy [3]), a właśnie w tym roku zapobiegł on znowu szczęśliwie grożącemu szkole niebezpieczeństwu.

---

[1]) Jak znaczne ofiary zbierał Czacki, może być dowodem choćby Tabella opłat na r. 1807 (*Ręk. Muz. Czart. Nr. 3442* T. II. j. w.). Po 25. II. 1807 wypłacono szkole 11.150 złot.; z lat 1805 i 1806 zaległość wynosi 43.452; nie wypłacono jeszcze w r. 1807 złot. 66.128, od dnia więc 25. II. 1807 do 1. I. 1808 r. należy się gimnazyum 109.580 złot.

[2]) Umowę z prof. L. zawarł Czacki 10. X. 1808 r. (*Ręk. Muz. Czart. Nr. 3444)*.

[3]) *Ramoty* II. 230—232.

Krzemieniec, zbliżony ku austryackiej granicy, odczuwał gorąco wszystko, co się za kordonem działo. Mimo czujności i baczności — w danej chwili zdwojonej — młodzież gimnazyalna wiedziała aż nadto dobrze o każdem poruszeniu wojsk polskich, o każdej wygranej lub przegranej potyczce, nic więc dziwnego, że niejeden z kursistów chętnieby porzucił gramatykę łacińską, zamieniając ją na konia i szabelkę; rzecz naturalna również, że władza szkolna usiłowała owym zachciankom przeszkodzić, że starała się ucieczkę swoich wychowańców do szeregów walczących uniemożliwić. O ile jej się to udało, wyjaśnia urzędowy protokół, spisany w dniu 28. lutego 1809 r. przez Czecha i Jarkowskiego [1]). Przytaczamy ciekawy wielce ten dokument w dosłownem brzmieniu: „Dnia 15. lutego 1809 r., po godzinie 4tej popołudniu, trzech uczniów t. j. I. P. P. Kazimierz Tarszyński kursu II., Benedykt Traczewski i Adolf Świderski kursu I. ujechało z gimnazyum wołyńskiego bez wiedzy zwierzchności szkolnej. Ludzie do szukania ich po mieście rozesłani, uwiadomili prefekta, że I. P. P. Ignacy Kołyszko (k. II.) i Ambroży Syroczyński (k. I.) odprowadzali uszłych. Zawołani do Wielm. Dyrektora gimnazyum wołyńskiego zeznali w przytomności Prefekta: 1) że zbiegłych odprowadzali; 2) o wyjeździe zamierzonym przez nich wiedzieli; 3) Kołyszko odwodził ich od zamiaru wyjazdu; 4) Syroczyński przenosił bieliznę Świderskiego. Nakoniec Kołyszko wyznał, że zbiegli udali się drogą ku Radziwiłłowi, a Syroczyński, że ku Dubnowi. Natychmiast tak z gimnazyum, jakoteż z policyi wysłana została pogoń, lecz ta uciekających nie dosięgła. Nazajutrz (16) przed południem wysłana została od Dyrektora gimnazyum sztaffeta do Krynek, z żądaniem, aby dyrektor zalecił straży na granicy chwytanie zbiegłych, a gdy zostaną schwytani, aby do gimnazyum ich odesłano. Uczniowie zaś Kołyszko i Syroczyński, jako świadomi zamiaru ucieczki, zostali przez zwierzchność szkolną aresztowani; pierwszy siedział od 15. do 21, t. j. do dnia przybycia ojca, który ręczył za syna, iż się podobnej nie dopuści płochości; drugi dnia 18. został odesłany do domu rodziców. Na zbiegłych uczniów Zwierzchność gimnazyalna miała powinną baczność, albowiem w dniu 4. lutego Dyrektor Gimnazyum, odebrawszy od Prefekta uwiadomienie, że Traczewski i Tarszyński wymówili się, pierwszy przed Uszczapowskim i chłopcem Winklerem; drugi przed Traczewskim i Świderskim, że wyjeżdżać mają do Warszawy, zalecił przez prefekta prof. Mirowskiemu, Jurkowskiemu i dozorcy Józefowi Strumieńskiemu pilną

[1]) *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3445.*

na nich baczność, co prefekt nietylko względem profesorów dopełnił, ale dla większego bezpieczeństwa zażądał listownie od policmajstra, aby ten zakazał furmanom, iżby żaden z nich, bez wiedzy policyi i prefekta, nie ważył się żadnemu studentowi najmować koni lub podwody. W dniu zaś 14. lutego tenże Dyrektor gimnaz. odebrawszy od Mirowskiego a następnie od prefekta uwiadomienie, jakoby służący Tarszyńskiego miał powiedzieć, że pan jego ma zamiar wyjechać do Warszawy, nietylko ponowił zalecenie baczności nad zbiegłymi, ale kazał uwiadomić rodziców o pozorach zamierzonego przez ich synów wyjazdu. Zbiegli uprzedzili odpowiedź rodziców, mimo pilnego na nich baczenia."

Zeznania profesorów Mirowskiego i Jurkowskiego, u których widocznie amatorowie wojenki mieszkali, jak również dozorcy Strumieńskiego stwierdzają prawdziwość przesłanego staroście urzędowego sprawozdania. Nauczyciel konnej jazdy, Audibert, zapewnia ze swej strony Czackiego, że obwinionym ani koni, ani wózka nie pożyczał, z czego domyślać się można, iż jego właśnie o to posądzano.

Podczas gdy w Krzemieńcu gimnazyum i policya były w ciągłym ruchu, trzech panów kursistów coraz to większa odległość dzieliła od murów szkolnych. Czacki ze swojem otoczeniem przeląkł się, by rząd nie zechciał z nadarzającej się korzystać sposobności; byłby to dla szkoły cios śmiertelny, wszystko więc robić należało, żeby jeno pożar stłumić i nie dać mu się rozszerzyć. Ojciec Traczewskiego ze swej strony czynił poszukiwania za zbiegami; donosi też listownie, że studentów złapano w Lubomlu; „czesny" (czastny) prystaw, Piątkowski, narobił wiele hałasu, kazał więźniów pilnować dziesiętnikom, setnikom i gromadzącym się jak zwykle ze wszystkich stron żydom, a w nocy — po otrzymaniu hojnego okupu — sam im dalszą ucieczkę ułatwił [1]).

Nie na tem jednak koniec. I innym młodzieniaszkom uśmiechała się widocznie wojenka; i oni zapragnęli w oczach kolegów i panien wyróść na bohaterów, a tu w dodatku palestranci wmięszali się w tę sprawę; palestranci, których srogość prefekta nie przestraszała, gdyż mu nie podlegali. Oto 22. maja 1809 r. zjawił się w biurze miejscowej policyi Ignacy R..., guwerner, zostający od trzech miesięcy bez stałego zajęcia, i doniósł, że go namawiać miano do ucieczki za kordon do Brodów. Rzecz naturalna, że natychmiast rozpoczęło się energiczne śledztwo. Władze szkolne przesłuchiwały uczniów, policya badała ich otoczenie. Tym razem wmię-

[1]) Ibid. List z Ławrowa z dat. 15. marca.

szani byli w sprawę rzekomego sprzysiężenia: Aleksander Czacki, Ludwik Jaszewski, Aleksy Rynecki, Wincenty i Ludwik Kaleczyccy, Erazm Peretiatkiewicz, Ksawery Montresor, Antoni Drużbacki, Kossowski, Daniel Aleksandrowicz, Rotaryusz oraz palestranci: Baczyński, Kowaliński i Chęciński. Indagacye wypełniły kilkanaście arkuszy, wyrok wypadł następujący: Drużbacki i Peretiatkiewicz odesłani do domów rodziców; bez udowodnienia zupełnej niewinności przyjęci z powrotem do gimnazyum nie zostaną. Al. Czackiemu przypadł dwudniowy areszt we własnem jego mieszkaniu; Kossowski — po odsiedzeniu dwudniowych rekolekcyi — odtransportowany będzie do domu rodziców. Jaszewski otrzymał cztery dni aresztu we własnem mieszkaniu. Kaleczycki Wincenty i Aleksandrowicz, jako uczniowie funduszowi, już przez to samo ostrzejszej podpadli karze: zamknięto każdego z nich o chlebie i wodzie na dni czternaście, pozwalając tylko dwa razy tygodniowo na mięsne potrawy. Rotaryusz wreszcie raz na zawsze wykreślony został z listy uczniów gimnazyum wołyńskiego [1]).

Zkąd inąd dowiadujemy się, że „funduszowi" szkoły geometrów, bracia Wincenty i Ludwik Kaleczyccy, rzeczywiście zbiegli ze szkoły i służyli w wojsku, widocznie jednak zbyt prędko zatęsknili za Krzemieńcem, gdyż 28. października następnego roku pyta prefekt Jarkowski, czy można ich ponownie przyjąć „na fundusz" i jaką karę za samowolną wycieczkę wyznaczyć im należy? [2]) Odpowiedzi Czackiego nie znamy.

Przypuszczać śmiało można, iż właśnie ten ruch wśród uczącej się młodzieży, jak również rozmaite pogłoski, rozgłaszane przez wrogów szkoły Czackiego, skłoniły księcia kuratora do osobistego przybycia do Krzemieńca, że zaś zdanie tego zaufanego doradcy monarchy miało w Petersburgu decydujące znaczenie, niezbyt daleko odbiegniemy od prawdy, sądząc, że uchroniło ono Wołyń od utraty przybytku oświecenia, którym się ta prowincya tak bardzo szczyciła.

Książę Adam spędza w Krzemieńcu czas dłuższy; w towarzystwie licznie zebranych na jego powitanie obywateli uczestniczy w uroczystościach szkolnych, sam egzaminując, prosząc przybyłych ziemian, by i oni ze swej strony zadawali uczniom pytania [3]).

---

[1]) Ibid. Nr. 3445. Akt. śledcz. kom.

[2]) Ibid. Nr. 3445.

[3]) Osiński: O życiu i pism, Tad. Cz. 345—347; *Ramoty* II. 232—233; *Ręk. Bibl. Jag. Nr. 955:* list Czackiego do Zaleskiego.

I tym razem profesorowi Słowackiemu powierzono wygłoszenie stosownej treści odczytu. Za temat wybrał sobie ojciec „Julka“: *O potrzebie doskonalenia języków narodowych* i *używania mowy ojczystej w wykładzie nauk* [1]). Zadanie co prawda piękne i na popis zupełnie odpowiedne; tem odpowiedniejsze nawet, że — wśród słuchaczy — na honorowem miejscu siedział właśnie człowiek, który z pomocą Czackiego — jak to przyznają autorowie rossyjscy — myśl prelegenta w czyn wprowadzać się starał. Streszczać odczytu nie będziemy; sposób opracowania właściwy współczesnym rozprawom tego rodzaju, więc o Rzymianach i Grekach, o klasycznej starożytności częste wzmianki. Jeden z końcowych, wdzięczniejszych ustępów przytaczamy w dosłownem brzmieniu, maluje on bowiem kilku pociągnięciami pędzla — nieostatniej miary artysty — zwrot, jaki uczuć się dawał w całym kraju za rządów Poniatowskiego: „Na początku panowania Stanisława Augusta postrzeżono błąd dwóch wieków prawie i starano się go poprawić. Język polski był przywrócony naukom, upowszechniono go w pismach i rozmowie. Ledwo nowa Grammatyka nadała mu prawidła i pewne iestestwo, aż uyrzeliśmy obok grobowców Szymonowicza i Kochanowskiego powstaiących Krasickich, Naruszewiczów, Węgierskich, Szymanowskich i wielu innych. Widzieliśmy, iak blask oświecenia rozszedł się nagle po rozległych prowincyach, iak wszystkie nauki zaczęły mieć ludzi biegłych i sławnych, iak cała massa narodu ulepszyła się moralnie, iak postrzegliśmy nasze i oyców naszych błędy, i iak im staraliśmy się zaradzić! Możnaż rozumieć, że bylibyśmy mogli dostąpić tego celu, gdybyśmy dotąd zamiast Grammatyki Kopczyńskiego uczyli się zbioru prawideł Alwara, gdyby nauki były dotąd dawane w iezyku obcym . . .“

Z kolei zwraca się profesor do przyszłej podpory znękanego kraju, do wychowańców szkoły wołyńskiej, wzywając młode zastępy do wytrwałej na tem polu pracy: „Wieleśmy wprawdzie uczynili, ale więcey ieszcze czynić pozostało!“ — Kończy zaś słowami najlepszego ich „przyjaciela i dobroczyńcy: Upowszechniaycie cześć wysokiemu Prawodawcy, który pozwala błogosławić Niebu w mowie Oyców naszych, że stawiamy grobowiec Oyczyzny za ołtarz nauk i umiejętności.“

---

[1]) *O Potrzebie* . . . i t. d.; *Rzecz miana przy Rozpocz. Popis. Roczn. w Gymnaz. Wołyńsk. Dnia 16. VII. 1809 R.* Kart nieliczb. 9, bez wyrażenia roku i miejsca druku.

Że książę kurator zadowolony był ze wszystkiego, co w Krzemieńcu oglądał — świadczy list jego, wystosowany do starosty, o czem zresztą wzmiankowaliśmy już poprzednio. Niemniej jednak udowadnia to twierdzenie fakt, jaki notują współczesne pamiętniki: Czacki zajęty w swojej pracowni, zatopiony w stosach papierów, które przeczytać wypadało, by żądaniom poszczególnym albo zadosyć uczynić, albo umotywować odmowną odpowiedź — ani przypuszczał, że równocześnie w mieszkaniu chwilowem kuratora zebrane obywatelstwo naradzało się, w jakiby sposób uczcić zasługi założyciela krzemienieckiego ogniska oświaty. Gdy dnia następnego Czacki przewodniczył komisyi sądowej edukacyjnej, otworzyły się nagle drzwi do sali prowadzące, stanął w nich Czartoryski na czele licznego zastępu ziemian, do których przyłączyli się zaraz — świadomi dobrze wszystkiego — radzący właśnie członkowie komisyi. Starosta nowogrodzki, zerwawszy się z zajmowanego miejsca, powitał przybyłych, kurator pozdrowił go nawzajem pełnym uszanowania ukłonem, prosząc w imieniu obywateli, by Czacki pozwolił im uczcić swoje zasługi, trudy i poświęcenia przez postawienie w gimnazyalnej bibliotece swego biustu i wybicie medalu z podobizną wizytatora i stosownym napisem. „Co do mnie — zakończył kurator — z najżywszą serca pociechą odniosę Monarsze głos obywatelstwa, o potwierdzenie zamiaru ich prosić będę i przedwcześnie przewidując pomyślną odpowiedź, serdecznym przyjaźni uściskiem, winszuję ci tak świetnego dowodu powszechnego uwielbienia. Szczęśliwym! nader szczęśliwy, że licząc się w gronie tego zacnego obywatelstwa, uczuć ich tłumaczem zostałem.“ — Czacki, zaskoczony niespodzianie nieoczekiwaną wcale owacyą, rozczulił się bardzo, począł dziękować i wymawiać się od nagrody przewyższającej — zdaniem jego — rzekome zasługi. Nic to wszystko jednak nie pomogło, Czartoryski odpowiedział słusznie, że głos całej prowincyi jest w danym wypadku decydującym, że w tej sprawie żadne osobiste względy nie wywierały wpływu, na liście bowiem znajdą się podpisy ludzi, ledwie z nazwiska Czackiemu znanych... Wobec więc wszystkich argumentów nie pozostawało staroście nic innego, jak poddać się woli ogółu. Uczynił też to, że zaś podówczas żadna uroczysta bardziej chwila nie mogła w Krzemieńcu obejść się bez modlitwy, zawieszono więc posiedzenie komisyi i wszyscy gremialnie pospieszyli do kościoła [1]).

Po upływie dni kilku opustoszał Krzemieniec; uczniowie rozbiegli się po wioskach bliższych i dalszych, zabierając uboższych

---

[1]) *Ramoty* II. 234—236; Osiński: Żywot... 154—155.

kolegów ze sobą; rodziny ziemiańskie zwinęły swe namioty i ruszyły w świat, by dopiero w jesieni przybyć do miasta z powrotem; część nauczycieli również się rozjechała, zapraszana przez rodziców kształcących się w szkole malców; prefekt przystąpił do oporządzania budynków zakładowych, a niejeden z kupców wzdychał do chwili, w której młódź wesoła znowu ściągać ze stron wszystkich rozpocznie. Każdemu uczniowi nieledwie towarzyszyła w drodze do szkoły matka, często i rodzic przyłączał się do kompanii a i panienek parę zasiadało na wózku; podobnych kawalkat ciągnęły w stronę Krzemieńca dziesiątki i setki, miasteczko ożywiało się, a handlarze i kupcy zacierali ręce z radości, bo przecie nikt chyba nie wracał do domu bez nabycia tego lub owego, bez porobienia mniejszych lub większych sprawunków. A i w gmachach szkolnych było i ludno i gwarno. Starsi wychowańcy — oznajomieni już ze wszystkiem — oprowadzali przybyłe rodziny po gabinetach i bibliotece, niejeden zaś wąsaty ziemianin lub kuty na cztery nogi powiatowy jurysta — patrząc na ofiarność drugich — spieszył do wizytatora, by tam z własnej kiesy sypnąć nieco grosza na dzieło w tak zdrowe i pożywne owoce bogate.

Tym razem uroczyste otwarcie roku szkolnego wypadło 26. września. Piękne kazanie wygłosił ks. Aloizy Osiński, profesor literatury. Rozpoczynając je od sentencyi z Pisma świętego; Porzućmy sprawy ciemności i przywdziejmy zbroję światła — zakończył zwróceniem uwagi młodzieży, iż wszystko winna ona Czackiemu — „temu mężowi, którego życie jest samą dobrocią, co w rozszerzaniu nauk i sławy rodaków nie zna odpoczynku“ [1]).

W ciągu roku nie zaszło nic ważniejszego; wspomnieć chyba wypadnie o fundowaniu dwóch nowych katedr: prawa rzymskiego „z zwróconą uwagą na kodex Napoleona“ i prawa krajowego. Ostatnia katedra jest w Krzemieńcu niezbędną, „gdyż szkoła prawa w Warszawie utworzy Prawników, ale nie Polaków“ [2]). Prefekt baczył po za tem na wszystko pilnie, trwogą też przejmowało uczniów znane dobrze pukanie pana Antoniego do drzwi szkolnych i słowa po tem zwyczajnie następujące: „panowie N. N. stawią się zaraz do pana prefekta“. Charakterystyczny nader wypadek opisują nam byli krzemieńczanie. W pierwszych oto zaraz latach

[1]) *Kazanie miane przy rozp. Nauk w Gimn. Wol. przez X. Al. Osińskiego Profes. Liter. Dn. 26. Wrześn. 1809 r.* Kart nieliczb. 4, bez wyrażenia roku i miejsca druku.

[2]) *Ręk. Bibl. Jag. Nr. 955.* List Czackiego (sierpień 1809) do Zaleskiego, Wojskiego Litewskiego, członka litewsk. sądow. edukac. kom.

istnienia gimnazyum trzech zamożnych Podolaków hulało sobie po Krzemieńcu zanadto wesoło, zrzadka jeno zaglądając na wykłady szkolne. Prefekt pilnie każdy krok ich niemal śledząc — mocno awanturującym się kawalerom dokuczył, to też na poufnej naradzie owych kresowych rycerzy nowego pokroju — zapada uchwała, by nocą otoczyć przeciwnika i kijami go poczęstować. Sposobność ku wykonaniu podobnego planu nadarzała się często, prefekt bowiem wracał zwyczajnie późno od braterstwa swoich „państwa matematyków", nie spodziewając się zaś napaści nic prócz laski, na której się podpierał, do obrony nie nosił.

Kto jemu zdenuncyował ukartowany plan zbyt krewkich młodzieniaszków — pozostało tajemnicą, dość, że pan prefekt był o wszystkiem najlepiej poinformowanym, a laska zastukała w czasie lekcyi do drzwi klasy i trzej spiskowcy powędrowali do kancelaryi ostrego zwierzchnika. W przedpokoju nie zastali nikogo, toż samo w dalszych trzech pokojach, w czwartym oczekiwał ich surowy i poważny pan prefekt, który oprowadziwszy wezwanych po kątach i pokazawszy, że świadków niema, pozamykał wszystkie drzwi na klucz, dał każdemu z przerażonych spiskowców trzcinę do ręki, mówiąc: „teraz tu wybijcie prefekta, tu nikt nie zobaczy i nie usłyszy ani waszej zawziętości, ani wstydu obitego starca." Chyba końca sceny opisywać nie mamy potrzeby; domysł łatwy, że rycerzom odbiegła wszelka ochota do wypełnienia nieopatrznie powziętego zamiaru [1]).

Już choćby przytoczony wypadek dowodzi, ile taktu posiadał prefekt, a co za tem idzie, jak był w Krzemieńcu niezbędnym. Malców z klas pierwszych — powtarzamy — niejednokrotnie kładł na skórze niedźwiedziej; starszych wstydził, do ambicyi i honoru studenckiego przemawiając i choć bać się swej osoby przyzwyczaił, do miłości i szacunku niesforne nawet skłaniał żywioły.

Zakończono uroczyście rok szkolny w dniu 17. lipca, przemawiał znowu Euzebiusz Słowacki. Wziął on sobie za temat do oracyi szkody, wynikające wskutek przerywania ciągłości nauk [2]). Wspomniawszy o pochlebnej opinii księcia kuratora, który „wzniesiony do naypierwszych w Cesarstwie dostoieństw, raczył przerwać swoie wysokie zatrudnienia, zniżyć się do poięcia i stanu rozumu tych dzieci, z któremi dobrotliwie rozmawiał, i nic za rzecz małą nie

---

[1]) *Listy współczesne* (rękop.); *Ramoty* II. 239.

[2]) *Mowa przy zakończeniu Roku szkolnego w Gymn. Woł. o Szkodach . . . przez Euzebj. Słowackiego Prof. Wym. miana dn. 17. VII. 1810 Roku.* Kart nieliczb. 7.

poczytał, co się sprawy oświecenia tyczyło"; wspomniawszy o pochwałach ze stron wszystkich spadających na szkołę, przestrzega rodziców, ile szkodliwem w następstwa jest wczesne zabieranie dzieci z pod opieki władzy edukacyjnej. W każdym fachu wymaganą jest teraz gruntowna wiedza, osobnik więc niedouczony — pozbywszy się w dodatku „jedynego stróża, który czasem umie zwracać ze złej drogi", czyli innemi słowy: „nałogu wątpienia" — albo przepada marnie, albo też wyniesiony do iakiegokolwiek urzędu przynosi z sobą głęboką nieświadomość, i gorsze nad nią serce zepsute, z umysłem pełnym fałszywych wyobrażeń cnoty i honoru..."

Profesor nie szczędził obrazów o barwach ponurych, trwogą przejmujących, widocznie jednak nałóg odbierania młodzieży w środku studyów wymagał podobnej przestrogi, wypowiedzianej przez człowieka poważnego i doświadczonego, co niejednej tego rodzaju historyi naocznym niemal był świadkiem.

Gdy się pamiętać zechce, jak smutno do niedawna przedstawiał się poziom oświaty kresowych prowincyi, gdzie brat szlachcic ledwie podpisać swoje nazwisko potrafił [1]) — tem goręcej przyklaśnie się uwagom prelegenta. Postęp był już wprawdzie znaczny, ale ileż jeszcze na zbyt długo odłogiem leżącem polu zrobić wypadało?

O owacyi Czackiemu urządzonej wspominaliśmy wyżej nieco. I któżby przypuszczał, patrząc na obywatelstwo wołyńskie, wyściskujące starostę, po przemowie przez księcia kuratora wypowiedzianej, że po upływie roku z jego grona odezwą się głosy z żądaniem przeniesienia szkoły z Krzemieńca, zbadania rachunków i t. d. O wyznaczeniu osobnej komisyi, urzędującej w Żytomierzu, pisaliśmy poprzednio. Działo się to właśnie w pierwszych tygodniach nowego roku szkolnego, by jednak stwierdzić raz jeszcze przekonanie ludzi, że nieszczęścia zwykły iść w parze, nowy grom z pogodnego zda się nieba uderzył w gimnazyum krzemienieckie: 24. listopada 1810 roku umiera dyrektor Czech [2]), nic więc dziwnego, że Czacki — przesyłając z Brusiłowa prefektowi życzenia noworoczne — pisze w swym liście: „Dwie okropne przygody nas dotknęły w tym roku, śmierć

[1]) Dr. Ant. J.: Oświata na dawn. kresach. *(Przew. Nauk. i Liter.* j. w.).

[2]) *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3444.* Doniesienie Jarkowskiego pełne żalu o śmierci Czecha, datowane 25. listop. 1810 r. Czacki przesłał zaraz ze swej strony zawiadomienie o smutnym wypadku do Wilna; Uniwersytet przyjmując je do wiadomości, poleca dn. 14. XII. 1810 r. (p. l. 2449) tymczasowe pełnienie obowiązków dyrektora — Jarkowskiemu. *(Tamże Nr. 3443).*

Czecha i wyznaczenie kommisyi. Roniliśmy łzy nad stratą tak wielką. Kommisya skończy się szczęśliwie, ale jej bytność niewyrachowane złe zrobiła. Patrz, co w tym roku zebrałem, byłbym więcej zebrał tego roku, ani mi się godzi prosić. Z Warszawy uczniów boją się przesyłać. Muszą iść rzeczy powoli: powiększenie pensyi Professorów musi się odłożyć, codziennie pokrzepiam moją cierpliwość. Nie traćmy odwagi. Jeśli pewny porządek nie wprowadzimy, jeżeli nie ubezpieczymy siebie, staniemy się przedmiotem narzekania od jednych, urągowiska od drugich. Pracujmy — tak nam każe cnota" [1]).

Pogrzeb Czecha odbył się, jak na to zasłużył zmarły całem życiem swojem: ksiądz profesor Osiński mową do łez zgromadzonych rozżewnił, zjazd obywatelstwa był olbrzymi, a 800 uczniów otaczało trumnę swego zwierzchnika. Na razie dyrekcyę szkoły objął zastępczo Jarkowski, prefekt. Wiemy, z jakich powodów Czacki nie robił go rzeczywistym dyrektorem; czuł on to nadto dobrze, że drugiego podobnego prefekta nieprędko odszuka. Wiemy również, że dr. Lernet ofiarowanej sobie posady nie przyjmuje, przedstawiono więc rządowi do zatwierdzenia Ściborskiego, odpowiedź nie nadeszła jednak tak rychło [2]).

---

[1]) *Athenaeum* Kraszewskiego j. w. 104.

[2]) Na tem miejscu winniśmy podać kilka, wyjaśniających rzecz, dokumentów: „Wilno 1811 dn 29. I. Do JW.... Czackiego. Na Sessyi Rządu Uniwersytetu dn. 27. I. czytano pismo JW. Hr. Razumowskiego Ministra Oświecenia pod dn. 15. t. m. z N. 142 z wyrażeniem, że na przedstawienie Uniwersytetu potwierdza na lat 4. na Urząd Dyrektora Gymnaz. i Szkół Gub. Woł. JPana Lerneta, Doktora Medycyny. Postanowiono uwiadomić o tem (uwiadamia się) JW. Wizytatora, aby potwierdzonego Dyrektora do obowiązków wezwał i onego w pełnienie tychże obowiązków wprowadził. Jan Śniadecki. Rektor." Zacny staruszek wahał się przyjąć tak trudny i ciężki urząd, a starosta widocznie rozmyślnie zwlekał z przedstawieniem innego kandydata, pragnął bowiem koniecznie widzieć Lerneta zwierzchnikiem swojej ulubionej szkoły. Uniwersytet chciał stan przejściowy skrócić, przesyła więc 16. IV. 1811 (l. p. 651) wizytatorowi powtórne polecenie, by Lerneta w urzędowanie wprowadził, a jeżeli doktor obowiązków spełniać nie może, by o tem w najkrótszym czasie uwiadomił. Urgens ostatni wywołał list dra Lerneta. Donosi on z Dubna, iż — z powodu nadwątlonego zdrowia i starości — z prawdziwą przykrością urzędu dyrektora przyjąć nie może. Czacki proponuje więc Ściborskiego, wskutek czego prefekt Jarkowski pisze do wizytatora (9. IV. 1812), że mianowanie po śmierci Czecha dyrektorem Lerneta, który „w stanie akademickim" nie pracował i tutaj żadnych zasług nie położył, nieprzyjemnie go dotknęło. „Lecz gdy teraz obeymie Urząd Osoba maiąca swoie zasługi i zdatności do sprawowania tego Urzędu, nietylko ztąd naymnieyszey nie czuię przykrości,

Z mniej ważnych faktów zanotować należy sprowadzenie do gimnazyum metra tańców. „Jak przyjdą pieniądze — donosi starosta prefektowi — Szlancowskiemu podług ugody z Izbickim zawartej, trzeba do Warszawy posłać 50. cz. zł. Organizacya nóg interessuje więcej wielu nieroztropnych, od napełnienia głowy potrzebnemi wiadomościami“ [1]). W innem miejscu znajdujemy znowu wzmiankę, że Szlancowski przybędzie do Krzemieńca po karnawale, tymczasem zaś winni uczniowie ćwiczyć się w fechtunku i konnej jeździe.

Z listów, pisanych przez Czackiego do prefekta, dowiadujemy się nadto o niepokojach w szkole geometrów, z których 26. gremialną podało skargę [2]). Zajście to przykre omówiliśmy obszerniej na poprzednich kartach niniejszego szkicu. O zbiorach gimnazyalnych pan starosta ani na chwilę nie zapominał, do każdego listu nieledwie dołączając jakiś skromny pakiecik. Pamięta również o uwiecznieniu zasług Czecha. „Potrzeba, abyś koniecznie dostał marmuru czarnego — donosi prefektowi — na tablicę dla naszego kochanego Czecha. Napis przyszłą pocztą przyszlę. Jest to dług święty, który wypłacić powinniśmy“ [3]).

W uroczystem zakończeniu nauk współuczestniczyli delegaci wileńscy, o czem we właściwem miejscu pisaliśmy obszerniej. Tutaj dodamy tylko, że mowę o użytku i potrzebie języka łacińskiego wygłosił tym razem prof. Franciszek Olędzki [4]), że nadto sam Czacki czytał rozprawę: *O prawach mazowieckich* [5]). Obydwie one wyszły z oficyn drukarskich miejscowego gimnazyum.

Już przed kilku laty myśleli wizytator i Kołłątaj o założeniu własnej drukarni; poczajowska bowiem bardzo niedbale ogłaszała powierzane jej rękopisy. Czacki w ciągu 1811 roku doprowadził dawny plan swój do skutku, zwabiając do Krzemieńca Natana Glücksberga, który syna swego, Leona, kierownikiem nowo-powstałej na

---

ale się owszem prawdziwie cieszę, że Gymnazium ma Osoby zdatniejsze nademnie do posiadania wyższych Urzędów i mogące odpowiedzieć w całey obszerności tym wysokim celom, iakie Sobie JWPDobr. zamierzasz dla dobra publicznego.“ Wszystkie szczegóły z *Ręk. Muz. Czart. Nr. 3443 i 3444.*

[1]) *Athenaeum* j. w. 105.

[2]) Ibid. 104, 109, 110.

[3]) Ibid. 109.

[4]) *Mowa przy rozpocz. pop. roczn. w Gimn. Woł. O użytku i potrzebie Jęz. Łać., szczególniey w stosunku z Pisarzami klas. Rzymian. Miana 14. VII. 1811 przez* .... kart nieliczb. 7.

[5]) *Rozprawa czytana w Krzem. na zakończ. roku szkolnego 14. VII. 1811.* W drukarni gimnaz.

kresach drukarni ustanawia. Mieściła się ona początkowo w domu Ożarowskich, z kolei przeniesioną została do byłego bazyliańskiego klasztoru. Zostawała czas pewien pod dozorem księdza Osińskiego, drukowała też jego prace, Uldyńskiego: Geografią starożytną; Michała Jurkowskiego: Słownik; Materye z nauk, mowy przygodne i drobniejsze rozprawki innych profesorów gimnazyalnych [1]) itd. Miała być urządzoną na sposób nowszym wymogom odpowiedni; wydania uskuteczniała nawet w obcych językach, a rozchodziły się one w szerokim promieniu, zadowalniając zupełnie uczonych czytelników. Z chwilą zniesienia liceum i ta instytucya kończy krótki swój żywot.

W następnym roku szkolnym (1811/12) znowu nieco wyjaśniać się począł horyzont nad Krzemieńcem. W stolicy innem okiem na zabiegi Czackiego spoglądano, wszelkie wyznaczane komisye i rewizye uniewinniły go zupełnie, a i Czartoryski niejedno życzliwe dorzucił słowo, przekonały się więc w końcu sfery rządzące, że podejrzenia bezpodstawnie na rdzennie uczciwego i zasłużonego ciskano człowieka [2]). Ojciec Prokop, zwerbowany do Krzemieńca, w zachwyt słuchaczy swoich wprowadzał, a i nominacya nowego dyrektora nadeszła nareszcie po długiem oczekiwaniu, o czem Czacki nie omieszkał zaraz donieść kochanemu swemu współpracownikowi dla dobra szkoły wołyńskiej: „Przybywszy dowiaduję się — pisze doń 8. czerwca — że przyszła rezolucya stanowiąca Dyrektorem JP. Ściborskiego. Przestaniesz WPDobr. bydź wkrótce zastępcą Dyrektora. Ciągle będziesz kochanym i szacownym Prefektem. Ten urząd ciągły i dożywotni, wpływa wiele do szczęścia moralnego tej młodzieży,

---

[1]) J. S. Bandtkie: Hist. drukarń. Kraków 1826. T. I. 321—322; Sobieszczański: Enc. pow. VII. 472; Stecki: Wołyń I. 183.

[2]) Gubernator podolski zażądał 27. I. 1812 r. od dyrekcyi, by ta przysłała mu bliższe szczegóły, dotyczące szkoły Mechaników. Zaliwski odpowiada, że Czacki przeznaczył do nauki dla uczniów, wstępujących już ze znajomością arytmetyki, lat cztery. Gubernia Podolska przysłała w 1807 r. do szkoły uczniów 18, nie umiejących arytmetyki, a często nawet i czytać. Z tych jeden w r. 1808 po feryach wakacyjn. do Krzemieńca nie wrócił; innych 5. dla niezdatności w tymże roku odesłano do domu; jednego los podobny spotkał w roku 1810; jeden uciekł sam w r. 1811; z pozostałych 4. uczyło się w r. 1807—8: arytmetyki, w r. 1808—9: geometryi, w r. 1809—1810: trygonometryi. U niektórych rozpoczynano naukę od czytania, trudno więc profesorowi — z racyi różnego stopnia umysłowego rozwoju uczniów — oznaczyć stały okres trwania nauki. Przykłady, z doświadczenia zaczerpnięte, wykazują, że uczniowie — przychodzący bez żadnych początków — potrzebują na ukończenie ustawą przepisanych studyów lat sześciu. *(Ręk. Muz. Czart. Nr. 3444).*

która zawsze wspomni tak cnotliwe jego trudy. Poświęcamy się sprawie oświecenia, nie urzędu nazwisko, ale sposobność służenia narodowi nas zastanawia. Zapewne potrzeba było kilka słów moich, abym miał świetniejszy tytuł, lecz kocham tę ziemię, i w małym będąc stopniu, sprawuję szczęśliwe dość skutki moich widoków" [1]).

Wracając do Ściborskiego, dodać należy, iż był on uczniem krakowskiej akademii i to jednym z bardziej wyróżniających się, więc też musiał zwrócić na siebie uwagę i Tadeusza Czackiego, śledzącego pilnie i bezustannie za tem, kogoby — z pożytkiem dla szkoły — na grunt wołyński przesiedlić można. Instalacya odbyła się z nadzwyczajną uroczystością w kościele szkolnym. Na tronie cesarskim umieszczono portret Aleksandra I., naprzeciw zaś podobiznę zmarłego Czecha. Całą świątynię po brzegi wypełniała publiczność; Czacki w otoczeniu profesorów, z nowym dyrektorem i prefektem na czele, zajmował honorowe miejsce, wszyscy w mundurach, tak samo i uczniowie. Po ukończonej celebrze biskupiej zabrał głos założyciel szkoły i w stosownem przemówieniu wskazał Ściborskiemu przyszłe jego obowiązki, kończąc je znaczącemi słowy: „bądź Józefowi Czechowi podobny!" Ściborski wygłosił równie oracyą — podobno bardzo piękną — i w przysiędze wykonanej dodał: „stać się podobnym czcigodnemu poprzednikowi mojemu, najgorliwszem mojem będzie staraniem." Następnie biskup Kaczurski pobłogosławił nowego zwierzchnika szkół gubernii wołyńskiej i zaintonował hymn dziękczynny. Wielki obiad u pana starosty i bal obywatelski w salonach miejscowego kasyna zakończyły tę uroczystość [2]).

Ściborskiemu ułatwiała pozycyę dawna przyjaźń z prefektem, którego też rad w każdej zasięgał sprawie, wszystko też szło w szkole nadal składnie i ku ogólnemu zadowoleniu.

Do chwil przyjemniejszych w życiu swojem zaliczyć musiał Czacki dzień wyboru członków sądu uczniowskiego, o który tak wytrwale kruszył kopie. Oto młodziutki syn jego Józef jednogłośnie prezesem trybunału obwołany został, a nie odmawiając zasług nowemu dygnitarzowi studenckiemu, uważać musimy wybór powyższy za akt wdzięczności, staroście samemu przez młodzież szkolną złożony. Z zadowoleniem również przesyłał wizytator panu Antoniemu „oryginał darowizny zapisu na Grabówkę", dodając nadto pomyślną wiadomość, że „Radziwiłłowa, z domu Zakrzewska, biedna i nieszczęśliwa po zgonie syna matka, chce wielki fundusz zrobić; teraz

[1]) *Athenaeum* j. w. 116.
[2]) *Ramoty* II. 245.

mniejszy, po śmierci ogromny 500.000 złot. Niech Wilno się gniewa, a Opatrzność niech zsypuje dary. Niech późne pokolenia błogosławią naszym trudom. Nic nas nie odstraszy. Musi Krzemieniec bydź szkołą okrytą sławą; wdzięczność publiczna osłodzi nam przykrości. W ostatnich godzinach życia będziemy mieli tę pociechę, że dobrze czyniliśmy, i za dobre czynienie walkę ustawnie wieść mamy" [1]).

Oto pobudki, które popychały Czackiego bezustannie dalej i dalej; w nich czerpał sił niezbędnych do przyciężkiej nieraz pracy, ani przeczuwając, jak już rychło z woli najwyższego sędziego spocząć mu wypadnie... na wieki.

Niezbyt zadawalniały go konwikty, niejednokrotnie też w ich sprawie głos zabierał: „O konwiktach szczególniej funduszowych, proszę mieć szczególniejsze staranie. Smutną jest rzeczą, że ja w nich nie widzę tej nadziei, jaką mieć należy. Dwa miesiące corok dłużej się uczą, zepsuciu tak nie podlegają. Proszę jak najmocniej, aby ci uczniowie mogli moim staraniom odpowiedzieć."

W tym samym liście donosi prefektowi, że wyrobił u księcia Bagrationa uwolnienie Krzemieńca od artyleryi i prosi go, by wraz z Rudzkim pomówił o odpowiedniem pomieszkaniu dla Felińskiego, którego „katedra i dziennik zrobią sławę Wołyńskiemu Gimnazyum" [3]). Że autor „Barbary" dopiero później i w odmiennych warunkach zawitał do kresowej placówki — mówić o tem obszerniej w innem będziemy miejscu. Jaką katedrę chciał mu ofiarować Czacki? chybaby księdza Osińskiego jedynie przy wykładzie literatury łacińskiej zostawił a polską powierzył tyle popularnej osobistości, która w samej rzeczy szkołę rozsławić mogła. Są to jednak wszystko tylko przypuszczenia... Może niepewne jutra czasy i śmierć Czackiego przerwały układy w samym zawiązku.

Burza wojenna, całą Europę obejmująca, i na Krzemieńcu odbić się musiała. Obywatelstwo wołyńskie miało w swem gronie również wielbicieli Napoleona, oczekujących po tym wyjątkowym geniuszu wojskowym lepszych dla Polski czasów. Czacki jednak nie należał do łudzących się, widział rzeczy jasno, przestrzegał też, by raczej wiernie stać przy Aleksandrze, który w danej chwili może i szczerze przemyśliwał o polepszeniu naszej doli. Świadectwem podobnego staroście usposobienia w szerokich kołach najpoważniejszych ludzi mogą być pamiętniki, przez tychże pisane, lub listy współczesne. One to dowodzą, że stronnictwo — chcące iść z Aleksandrem —

---

[1]) *Athenaeum* j. w. 112—113.
[2]) Ibid. 113.

istniało na Wołyniu, że spodziewało się ze strony tego monarchy ulg wielu [1]). Mimo zachowania się jednak Czackiego, osoby nieżyczliwe — z gubernatorem Komburlejem na czele — intrygować przeciw niemu nie przestawały.

Corocznie uczestniczyła cała szkoła gremialnie w procesyi Bożego Ciała, i teraz więc wszyscy brali udział w tej uroczystości kościelnej, profesor Osiński celebrował, uczniowie przystrajali ołtarze, odśpiewano wśród bicia we wszystkie dzwony *Te Deum*, wieczorem zaś jedna z mieszkających w Krzemieńcu obywatelek zaprosiła młodzież do siebie, gdzie nie obeszło się i bez skocznych tańców.

Nikt chyba nie przypuszczał, że niewinna zabawa stanie się powodem poważnej awantury. Komburlej doniósł ks. Bagrationowi, iż całe gimnazyum wołyńskie — z Czackim na czele — brało udział w uroczystem *Te Deum*, odśpiewanem w kościele z racyi zwycięztw armii francuskiej, że później odbył się nadto bal, a dzień radośny uwieńczyła illuminacya.

Główno-dowodzący rossyjską armią, otrzymawszy tego rodzaju doniesienie, wysłał bezzwłocznie feldjegra z rozkazem, by ten Czackiego sprowadził do głównej kwatery do Łucka. O świcie stanął wysłaniec w kancelaryi pana starosty, zastał go siedzącego już przy pracy i oznajmił, z czem i po kogo przybywa. Czacki ani chwili opierać się nie myślał, pożegnał rodzinę i służbę, wsiadł — w towarzystwie nieodstępnego „Kruczkosia“ (Kruczkowskiego) — do karety i ruszył w drogę, sam nie wiedząc dokładnie na jak długo.

Można sobie wyobrazić przerażenie, jakie ogarnęło całe miasto i tegoż *centrum:* gimnazyum; o nauce nikt nie myślał, wszyscy błąkali się oszołomieni z kąta w kąt, najrozmaitsze wysnuwając przypuszczenia, jedne smutniejsze od drugich, a czasy wyjątkowe usprawiedliwiały i najdalej idące domysły.

Ale Czacki trafił widocznie na człowieka rozsądnego, wytłomaczył znaczenie procesyi i usprawiedliwił się zupełnie z czynionych sobie zarzutów. Główno-dowodzący, wysłuchawszy wszystkiego z uwagą, pokazał staroście listę zdolnych do noszenia broni 380 wychowańców krzemienieckich z starościcem Józefem na pierwszem miejscu. Miał ją ułożyć sam Komburlej. Wizytator, przeczytawszy szatańsko obmyślany dokument, z całą energią oświadczył, że uczniów krzemienieckiego gimnazyum do rąk rodziców tylko oddać powinien i odda, a żadna władza inaczej postąpić zmusić go nie zdoła.

---

[1]) Ogiński M.: Pamiętniki. Poznań 1873. T. IV. 128; *Athenaeum* od. VI. T. VI. Wilno 1846: List o Tadeuszu Czackim, s. 188; J. Drzewiecki: Reszty pamiętnika, Wilno 1858, s. 296, list Bartł. Giżyckiego.

Bagration zdumiony tem, co usłyszał, uściskał Czackiego serdecznie, radząc mu, by wracał zaraz do Krzemieńca, popisy szkolne przyspieszył, dziatwę do domów rodzicielskich rozesłał, a sam na czas jakiś wyjechał na Podole lub w Tarnopolskie, Komburlej bowiem bardzo jest względem niego wrogo usposobiony, Bóg jeden więc tylko wiedzieć może, co nastąpi z chwilą, gdy Bagration opuści Łuck [1]).

W ten sposób przedstawia rzecz całą uczeń, a z kolei asystent szkoły wołyńskiej, sympatyczny, ale wielce sentymentalny, a często przesadny i nienaturalny — Andrzejowski. Mniej poetycznym, lecz natomiast o wiele prawdopodobniejszym jest opis tego samego zdarzenia u Kaczkowskiego:

Bagration — władzą dyktatorską obdarzony — stał na czele południowej armii rossyjskiej, z nieufnością śledząc każdy najmniejszy ruch wśród polskiego ziemiaństwa. Względem Czackiego źle z Petersburga uprzedzony, poduszczany nadto bezustannie przez Komburleja i tegoż klikę, zamierzał po wojskowemu jednem cięciem szabli zniszczyć całą dotychczasową długą i żmudną pracę starosty, czyli innemi słowy — szkołę zamknąć a młódź dla dalszej nauki przetranzlokować do Charkowa. Skoro jeno podobne wieści obiegać zaczęły po Wołyniu, przestraszeni ziemianie zwracają się do Czackiego z prośbą, by on w jaki sposób zaradził nieszczęściu. Ostatni — nie chcąc dopuścić do zamknięcia szkoły przez rząd, groziło to bowiem zupełnem jej zniesieniem — sam postanowił ze swej strony nauki na czas pewien zawiesić i w celu wykołatania tego rodzaju pozwolenia pospieszył osobiście do Łucka. Dyktator przyjął zrazu starostę dosyć cierpko, posypały się wymówki, których główną treścią było, że młodzież krzemieniecka stroni od cesarskich sztandarów. — Czacki zaprzeczył temu stanowczo, twierdząc, że właśnie kilku podwładnych mu uczniów pragnie poświęcić się służbie wojskowej, prosi więc o przysłanie kogoś z przybocznych, któryby — wyegzaminowawszy kandydatów — przekonał się, o ile są oni do przyszłego uzdolnieni zawodu. Udobruchany Bagration wysłał do Krzemieńca osobną komisyę, złożoną z kwatermistrza, kilku inżynierów i pułkownika Jermołowa; egzamina wypadły świetnie; dwaj Zagórscy, Studziński, Gorłow i paru innych przywdzieli mundury wojskowe, dyktator zaś ze swej strony zezwolił na czasowe zamknięcie gimnazyum i rozesłanie młodzieży do domów rodzicielskich [2]).

---

[1]) *Ramoty* II. 256—264.

[2]) Kaczkowski: Wspomn. j. w.; Karwicki Józef Dunin: Szkice obycz. i histor. Warszawa 1882, 104—105.

Wiemy sami aż nadto dobrze, iż pamiętniki uważać można za pewnego rodzaju pomocnicze źródła jedynie w tych wypadkach, gdzie innego materyału dowodowego kompletnie braknie. Z tej też racyi staramy się o ile możności korzystać z nich jak najmniej, z tej racyi zestawiliśmy dwa — tyle odmienne — opisy jednego i tego samego zdarzenia, by czytelnik mógł z nich wyrobić przypuszczalnie prawdopodobny sąd własny o danym wypadku.

W połowie czerwca zamknięto rok szkolny, państwo starostowie ruszyli do przyjaznego sobie domu Ksawerostwa Malczewskich, nad samym Zbruczem rzuconego, gdzie szanowny wizytator trzy spędził miesiące, pokryjomo jeno czyniąc wycieczki do ukochanego opustoszałego Krzemieńca [1]). Chociaż przyjmowany pod wiejską strzechą z prawdziwą staropolską gościnnością, mimo to tęsknił ciągle do swojej szkoły, o której dalsze losy lękał się tak bardzo. Pragnął nadto, by obecne działania wojenne nie wywierały żadnego wpływu na zwyczajny bieg nauk, postanawia też z dniem 2. stycznia otworzyć gimnazyum na nowo; uczynił to wprawdzie, liczba uczniów jednak zaledwie do 300 głów dobiegła, a i obywatelskich domów mniej niż zwykle zamieszkało w Krzemieńcu. I nikt się temu dziwić nie będzie, styczeń 1813 r. nie usposabiał do spokojnego codziennego żywota. Jedni przekradali się do armii Napoleona, drudzy walczyli w szeregach wojsk rossyjskich, inni wreszcie woleli w tak niepewnych czasach zatrzymać dziatwę swoją przy sobie.

Wszystkie te przejścia, coroczne niemal zmartwienia, ciągła myśl, by w sposób skuteczny odbić skierowane na gimnazyum pociski, ruina majątkowa i ciężka praca wyczerpać zdołają choćby i największy sił zasób. Znękany już i schorzały, otwiera wizytator kijowskie gimnazyum, a spiesząc ztamtąd na powitanie kuratora Czartoryskiego, dostaje w drodze nerwowej gorączki; pragnie spocząć u swego przyjaciela w Mizoczu, lecz niestety zastaje go — zmarłego z tej samej choroby — już na katafalku; zgnębiony rusza dalej, by w Dubnie, w mieszkaniu doktora Lerneta, zamknąć powieki na zawsze [2]).

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

MICHAŁ ROLLE.

---

[1]) *Ramoty* II. 287.

[2]) Potocki: Pochwała j. w.; Osiński: O życiu.... 240; Andrzejowski: Ramoty; *Athenaeum* od. VI. t. VI. j. w.; Kaczkowski: I. 41—42.

Z PAMIĘTNIKA KONFEDERATA BARSKIEGO.

(Dokończenie).

VI.

Akt bezkrólewia. — Poselstwo Czernego do Turcyi. — Śmierć jego w Widyniu. — Jaroszyński i Bykowski wysłani do wezyra. — Dwór poselski Czernego przybywa do Czarnowody. — Sprawa o sumy pieniężne pozostałe po śmierci posła. — Spory między Potockim i Krasińskim. — Manifest wojska przeciw Potockiemu.

Ogłoszenie bezkrólewia przez Generalność (9. sierpnia 1770) zaledwie wspomnianem jest przez naszego pamiętnikarza, przyczem podaje najzupełniej błędną wiadomość, że jakoby Generalność przysłała szefom barskim dla podpisania uniwersał *interregni;* tymczasem przeciwnie, odnośny akt bezkrólewia, podpisany w Warnie jeszcze 9. kwietnia 1770 r., posłanym był Generalności, która dla wielu ważnych przyczyn ociągała się z ogłoszeniem go i dopiero w sierpniu ogłosiła publicznie.

Również co do projektowanego poselstwa do Turek księcia Karola Radziwiłła, nie dość dokładnie poinformowanym był autor dyaryusza, bo wątpić należy, aby — jak pisze — podczaszy litewski był temu przeciwnym i „szukał sposobów u Generalności, odmienienia podróży Radziwiłła a wybrania kogo innego na jego miejsce". Radziwiłł jeszcze w marcu 1770 r. naznaczonym był na posła do Turcyi, ale cokolwiek później (na sessyi 9. kwietnia) uradzono, aby mu towarzyszył z tytułem ministra pełnomocnego Joachim Czerny, marszałek krakowski, jeden ze zdolniejszych i czynniejszych członków Generalności [1]). Rzecz naturalna, że Radziwiłł

[1]) „...JW. I. Pan Czerny, marszałek krakowski, *ex concluso* Rady Generalnej *pro sotio laboris* JO. Ks. Imci Radziwiłłowi, woje-

był powołany przez Generalność jako przedstawiciel głośnego imienia, znanego i poważanego nawet w Turcyi, ale nie wiele liczono na jego dyplomatyczne zdolności; dlatego Czerny, jako dokładnie obeznany ze sprawami konfederacyi, bo ciągle zasiadał w Generalności, miał towarzyszyć Radziwiłłowi i może kierować całym porządkiem negocyacyi. Atoli, gdy oczekiwano już tylko na ferman od Porty, Radziwiłł usunął się mimo nalegań Generalności, zdaje się, iż głównie z tej przyczyny, że Porta nie chciała przyznać oficyalnego charakteru posłowi konfederacyi, zaledwie zezwalając tylko na pobyt jego przy wezyrze. Sam więc Czerny wyjechał do Turcyi w maju 1771 roku.

Instrukcya, spisana dlań wówczas, jest nam nieznaną, Bartoszewicz tylko wzmiankuje w krótkim życiorysie Czernego, że w instrukcyi, wydanej mu przez Generalność, zalecano mu między innemi, żeby żądał od wezyra i sułtana wydania listów, które do nich senatorowie polscy pisali, a przynajmniej, żeby pozwolili je przejrzeć, Generalność bowiem chciała wiedzieć o treści tych listów, czy szkodliwe były dla Rzpltej i kto je pisał [1]). Na koszta wyprawy Czernego Józef Sapieha, regimentarz litewski, przywiózł z Drezna od elektorowej saskiej 3.000 dukatów, a drugie tyle dodała Generalność. Z sum tych przeznaczono połowę t. j. 50.000 zł. pol. dla posła, drugą połowę na podarki. Jeden z marszałków, Wereszczyński [2]), odprowadzał Czernego do granicy tureckiej [3]).

O dalszych losach poselstwa tego autor dyaryusza opowiada, co następuje:

„... Przybył ip. Czerny do Meadii [4]), dał znać o sobie do Widynia, aby konwój szedł przeciw niemu do granicy i żeby prosto był poprowadzony do Czarnowód a potem do wojska wezyrskiego. Dał raport o sobie ip. marszałkowi. Odpowiedziano mu w Widyniu, że nie może dalej jechać, tylko w Widyniu czekać na inszy ferman,

wodzie wileńskiemu, do Porty Ottomańskiej wielkim posłem naznaczonemu, w charakterze ministra pełnomocnego *designatur. (Akta Generalności*, sessya XLV. 9. kwietnia 1770).

[1]) *Encyklopedya powszechna*, tom VI. str. 462.

[2]) Józef na Wereszczynie Wereszczyński, generał-adjutant buławy polnej koronnej, w październiku 1769 r. obrany marszałkiem ziemi chełmskiej i powiatu krasnostawskiego.

[3]) *Encyklopedya powsz.* l. c.

[4]) Mehadija, miasteczko u granic węgiersko-tureckich, na głównym trakcie z Węgier do Turcyi, naprzeciw Orsowy nad Dunajem, niedaleko od Widynia. Była to forteca nieraz podczas wojen z Turkami oblegana. Czerny przybył do Mehadyi pierwszych dni czerwca 1771 r.

czy może jechać do wojska wezyrskiego, czy nie. Potrwożyło to mocno szefów naszych, wtenczas dopraszać się poczęli wszyscy ip. marszałka, aby sam jechał do wezyra, co łatwo uczynił. Stanąwszy w Babadagh, dano mu audyencyę trzeciego dnia, lecz gdy się dopraszał, aby poseł jechał prosto do obozu wezyrskiego, odpowiedział mu wezyr, że to być nie może, poseł musi się wstrzymać w Widyniu, póki nie będzie rezolucyi od Porty, bo nie wiedzą, że nie Radziwiłł, ale kto inny jedzie. Wyprawił ip. marszałek prędkiego kuryera do ip. podczaszego, aby przez stojące kresy jako najpilniej dał wiedzieć posłowi, iżby się zatrzymał w Meadyi, w granicach cesarskich, ale podczaszy nie słuchał tego, wykomenderował ip. Strzemeckiego, starościca hadziackiego, z konwojem po niego, aby jak najprędzej spieszył. Dał się namówić ip. Czerny, wyruszył z państwa cesarskiego do Widynia, zastał już i konwój turecki nad Dunajem, gdzie według zwyczaju aga turecki za rewersem odebrał posła i stanął z nim w Widyniu, ale ip. Czerny był już słabym. Dano mu kwaterę i *tain*, ale nie taki, jak dla Radziwiłła był wyznaczony. Chciał być poseł u paszy, lecz dla słabości nie mógł. Posłał księdza Hankiewicza do paszy z Zakrzewskim, sekretarzem *legationis* [1]), dopraszać się kazał, aby sekretarz jechał do wezyra. Pasza pokazał rozkaz wezyrski, aby sekretarz jechał, ale z całą expedycyą od Generalności daną i to jak najprędzej. Czerny powtórnie wysłał księdza Hankiewicza, że tego uczynić nie może, bo nietylko w interesach publicznych ma na papierze wyrażono, ale ustnie traktować z najjaśniejszą Portą, według instrukcyi od Rzpltej mu danej, czego nikomu, tylko jednemu wezyrowi powierzyć może. Martwiło to bardzo chorego posła, a bardziej jeszcze jakieś reguły, od ip. podczaszego przepisane, irytowały go. Martwił się też, że nic nie ma od marszałka generalnego, będącego wtenczas w obozie wezyrskim. Utyskiwał na wyruszenie swoje z państwa cesarskiego za granicę, wpadł wreście w jakowąś aprehensyę, a coraz więcej przybywało okazyi. Umarło mu ludzi ośmiu, wpadł w malignę i umarł.

„Idzie wyprawiona od paszy widyńskiego sztafeta do wezyra, wyprawiają kuryera do Czarnowody z oznajmieniem o śmierci posła. Wezyr donosi p. marszałkowi, znajdującemu się w obozie tureckim, ten wysyła umyślnego do podczaszego kuryera, aby dwór poselski nie zatrzymywał się w Widyniu, lecz aby się wrócił do Orsawy.

[1]) Czy nie będzie to Jan Zakrzewski, regent grodzki krakowski, obrany konsyliarzem konfederacyi z województwa krakowskiego jeszcze w samych początkach związku, 21. czérwca 1768 r.

Ip. podczaszy zatrzymuje u siebie tę expedycyę i pisze, aby dwór ten szedł do Czarnowody, przy staroście hadziackim. Powrócił i ip. marszałek z obozu wezyrskiego, niedziel dziewięć w nim bawiąc i odbiera wiadomość, iż dwór poselski idzie Dunajem do Ruszczuka. Przyszły też listy, że Mussuniow (Mussun-ogłu), seraskier Bośni, przeprawił się w Widyniu w 140.000 wojska tureckiego i ten ma być wezyrem. Wyprawiono dwóch z wojska towarzyszów z przywitaniem owego, ale ten seraskier opieszale czynił, bo stał kilka niedziel pod Widyniem, nim się ruszył. Tymczasem wojsko nasze pieniędzy nie miało. Utyskiwało okrutnie. Ip. marszałek, ile mógł, żywił ich, ale i jemu nie stawało już, przyszło do tego, że wiele koni wyzdychało, porządki potracili, wreście poczty i luźni nasi poszli po winnicach greckich i bułgarskich, żywili siebie i panów. Powtórnie wyprawił ip. marszałek ip. Jaroszyńskiego, konsyliarza bracławskiego [1]), z ip. Bykowskim [2]), rotmistrzem milicyi bracławskiej, z expedycyą przeciw temu paszy, dopraszając się o łaskawe względy. Urażał się o to ip. podczaszy . . .

„Powrócił ip. Jaroszyński, przywiózł respons, oświadczający wszelką łatwość dla konfederacyi, ale bez pieniędzy powrócili, to mocno całe wojsko martwiło. Seraskier ruszczukowski, urażony będąc na ip. podczaszego, nic uczynić nie chciał, Czetwertyńskiego podkomorzyca, będącego u niego niby na rezydencyi, nie kazał puszczać do siebie. Ip. podczaszy już odkrycie począł czynić akomodacye Bachty-Girejowi sołtanowi, a Czetwertyńskiemu przydał komendę w 60 koni . . .“

Pomijamy rozwlekłe a zagmatwane opisy większych i mniejszych bitew Turków z Rossyanami nad Dunajem, głównie zaś atak na Dżurdżę (7. sierpnia 1771); Czetwertyński ze swą komendą brał w nich udział przy sołtanie Bachty Gireju. W przeprawie przez most na Dunaju sołtan ten utonął, czem „ip. podczaszy — pisze znowu autor dyaryusza — został umartwiony i zdesperowany, mieniąc, że

---

[1]) Dwóch Jaroszyńskich podpisało pierwszy akt konfederacyi w Barze (29. lutego): Zacharyasz, stolnik winnicki, i syn jego Mikołaj, stolnik bracławski, starosta wyżgrodzki, obrany konsyliarzem konfederacyi z województwa bracławskiego. Zacharyasz Jaroszyński z powodu podeszłego wieku nie uczestniczył w wyprawach wojennych, syn zaś jego był w szeregach konfederacyi do końca takowej.

[2]) Szymon Bykowski, wojski bracławski, naznaczony rotmistrzem przy zawiązaniu konfederacyi bracławskiej 2. maja 1768 r. — Drugi Bykowski, na imię Antoni, podpisał akt związku wojskowego 4. marca 1768 r.

nadzieja upadła, że zamysły nasze nie powodzą się nam. Zawiedziony na fortunie niestatecznej, doprasza się, aby wyprawić kogo do seraskiera na rezydencyę. Złożono sessyę, podano kilku z konsyliarzów i mnie do tej funkcyi. Zezwolili na mnie wszyscy i wyprawili dwóch legatów z oświadczeniem, że na rezydencyę do boku Waszej seraskierskiej mości naznaczyła konfederacya sposobnego do akkomodacyi Waszej seraskierskiej mości. Odpowiedział seraskier: „Już sołtana niema, toć i rezydent wam niepotrzebny, kiedym go nie miał w początku, teraz nie potrzebuję.“

Wydał był wezyr teskirę na tain, należący szefom, na miesiąc po dziewięć kies i tego oddać nie chciał...

„Przyjechał ksiądz Hankiewicz z raportem, że dwór poselski wysiadł na ląd w Ruszczuku. Kazał ip. marszałek uprzątnąć kwaterę, jedną dla sekretarza legacyi i na depozyt jego, dla dworu dano dwie kwatery. Posłał p. podczaszy podjazd swój i Zabilskiego w nocy po sekretarza. Przywiózł go. Nie kazał mu p. podczaszy stawać w naznaczonym konaku, ale lokuje go w stancyi jednej z Zabilskim; nie jedzie (sekretarz) do marszałka, jako powinien był znać pierwszeństwo jego. W kilka dni prosi go ip. marszałek na obiad. Przyszedł, przyjęty jako jego charakter wyciągał. Podaje ksiądz Hankiewicz do izby memoryał, ażeby ip. Zakrzewski podał rzeczy pozostałe po ip. marszałku (Czernym), pieniądze i prezenta, żeby to spisać porządnie regestrem i zapieczętowawszy złożyć, gdzie rozkaże konfederacya. Pokłada od Generalności napisaną dyspozycyę, aby tenże ksiądz Hankiewicz miał inspekcyę tych wszystkich rzeczy.

„Składają sessyę, uznają za rzecz sprawiedliwą, aby ip. Zakrzewski według regestru księdza Hankiewicza komportował rzeczy. Wysyłają z izby dwóch konsyliarzy: Suchodolskiego, konsyliarza lubelskiego, i Porczyńskiego, pisarza winnickiego, aby ip. Zakrzewski, czyli w stancyi u siebie, czyli w izbie konfederackiej, przychyliwszy się do dyspozycyi konfederacyi, komportować raczył. Odpowiedział: nie mam racyi tu się sprawować, Generalność mam za panią, tej odpowiem za wszystko, pieniędzy ani prezentów nie oddam nikomu. Przyszli z tą rezolucyą delegowani do izby, zanotować kazano odpowiedź Zakrzewskiego.

„Po tej sessyi, pierwszej nocy kazał p. podczaszy rzeczy wszystkie przynieść do siebie. Zamilczono kilka dni, lecz urażeni byli wszyscy konsyliarze, dopraszali się o sąd na Zakrzewskiego, dopraszali się o sessyę, ale marszałek zbijał ich refleksyami, nie składał sessyi w tej okoliczności. W tem dał znać o sobie seraskier Musin-ogłu, że się ruszył z wojskiem ku Ruszczukowi. Potrzeba było

naradzić się, wynaleść sposoby do ułożenia planty traktowania z onym.

„Ip. marszałek posyła konsyliarzów do ip. podczaszego, że nazajutrz ma być sessya w materyi tak potrzebnej konfederacyi i że życzyłby sobie, aby w pole wystąpić pod namioty. Odpowiedział podczaszy: co należy do interesu ułożenia, to pozwalam, co zaś do rugowania wojska z kwatery w pole, to do mojej należy osoby a nie do konfederacyi. Czynił to marszałek, aby wojsko było w gotowości, jak przyjdzie seraskier z tak potężnem wojskiem, z którem wojska nieprzyjacielskie łatwo ponękać może i nas wyprowadzi z konwojem w ojczyznę. P. podczaszy miał suspicyę o seraskierze, a już hana, który mu był deklarowany, utracił. Widział też wojsko nieżyczliwe sobie...“

W dalszym ciągu dyaryusza pamiętnikarz nasz opisuje aż do zbytku rozwlekle drobnostkowe nieraz szczegóły sporów między Potockim i Krasińskim. Głównym tu bodźcem była zawsze wygórowana ambicya podczaszego, chęć przewodzenia i samowola, nie znosząca oporu, bez względu na interes publiczny. To też słusznie biskup Krasiński, do którego obie strony się udawały, narzekał na tę kłótnię podczaszego z jego bratem, kłótnię, która — jak się wyrażał — „powiększa naszą Babilonię“. Między obu szefami powtarzały się często gorszące spory, w których brali także udział obecni konsyliarze, zasiadający w „izbie konfederackiej“. Nieporozumienia te przeszły do szeregów wojska, ztąd objawy niesubordynacyi, ztąd ciągłe manifesta, protesta i t. d., w których obie strony wzajemnie się czerniły. Na pewnej sessyi, którą opisuje autor dyaryusza, z racyi owej propozycyi Krasińskiego, aby wojsko wyszło w pole dla przygotowania się do odejścia do Polski, miały miejsce tak burzliwe rozprawy, że Potocki „w okrutnej passyi — pisze sprawozdawca — laską do oczu ip. marszałkowi począł kiwać“. Krasiński i Potocki, kasztelan lubaczewski [1]), porwali się do szabel na podczaszego. W izbie było dwudziestu czterech konsyliarzy, ale „z marszałkiem ledwie ośmiu ludzi bez prywaty“. Marszałek chciał wyjść z izby, ale „wszyscy konsyliarze — czytamy dalej — z obu stron przyjaciele, poczęli padać do nóg, jedni marszałkowi a drudzy podczaszemu, prosząc, żeby się pogodzili. Łatwo było nakłonić ip. marszałka, który

[1]) Był to Maryan Potocki, mianowany kasztelanem lubaczewskim w 1758 r., rezygnował w 1761 r. Był marszałkiem halickim, zawiązawszy w Haliczu konfederacyę 17. marca 1768. Przyszedłszy na Wołoszczyznę, zasiadał między starszyzną i podpisywał jej manifesta, jako konsyliarz i marszałek.

szczególniej dobro publiczne a nie prywatę miał na celu, podczaszego zaś nie mogli umitygować passyi, aż huczeć poczęli na niego wszyscy przyjaciele jego, że gwałt czyni izbie. Nakłoniony przecie został, przeprosili się. Marszałek darował urazy, ale podczaszy, wyszedłszy z izby jako jaszczurka zapalona, poszedł do stancyi swojej i *extreme* zachorował...“

Nazajutrz druga była sessya, ale również burzliwa. Wśród wojska rozeszły się były pogłoski, że Potocki ma wziąść w areszt Krasińskiego, jak ongi Pułaskiego. Na sessyi też zjawili się wojskowi. Wielu uważało to za pogwałcenie obrad i znów sessya salwowaną była. Na trzecie posiedzenie zeszli się tylko stronnicy Krasińskiego, a tych była mniejszość wśród konsyliarzy. Postanowiono wydać pozwy Zakrzewskiemu, sekretarzowi *legationis*, Zabilskiemu i Porczyńskiemu, podskarbiemu konfederacyi, „o komportacyę regestrów percepty i expensy z milionów, wziętych od Porty na wojsko i konfederacyę.“ Rzecz naturalna, czyniono to wszystko przeciw podczaszemu dla wykazania mu, że nieprawnie sam tylko wszystkiem dysponował. Podczaszy wyprawił sekretnie expedycyę do Generalności, „opisując marszałka, konfederacyę i wojsko“. Zakrzewski i Zabilski przyłączyli do pisma Potockiego swe zażalenia, ale kasztelan lubaczowski, Maryan Potocki, przejął pocztę i odebrał ów „paszkwil“ — jak się wyraża pamiętnikarz [1]).

Wskutek tych sporów powstało zamięszanie wśród wojska. Komendanci zebrawszy się, spisali manifest przeciw podczaszemu [2]) i zaniósłszy do kancelaryi konfederackiej, żądali, aby był do ksiąg wniesiony. „Wysyła mnie marszałek — pisze autor dyaryusza — do wojska z perswazyą, aby tych czynności swoich poniechali, a w tak nieszczęśliwym stanie zamięszania nie czynili.“ Krzyknęli

[1]) Wszystkie szczegóły sporów między szefami barskimi, podane przez pamiętnikarza, znajdują potwierdzenie w liście marszałka Krasińskiego do brata jego, biskupa kamienieckiego. List pisany z Czarno wody 22. września 1771 r. *(Zbiory XX. Czartoryskich w Krakowie. Rękop. nr. 943).*

[2]) Kopie urzędowe licznych manifestów, spisanych wówczas przeciw Potockiemu, znajdują się w rękop. *Publica*, w zbiorach Akademii Umiejętności w Krakowie. I tak: 1) Manifest konfederatów z pod Czarnowody 2. września 1771; 2) W żądaniach wojska koronnego w konfederacyi, będącego Sancitum d. 20. września 1771 w Czarnowodzie; 3) Manifest Maryana Potockiego, marszałka ziemi halickiej, przeciwko jw. Potockiemu, podczaszemu lit., 5. września 1771 r.; 4) Manifest jw. ip. Suchodolskiego etc. 22. września 1771 r.; 5) Manifest jw. Jaroszyńskiego etc. 24. września 1771 r. i t. d.

na mnie wszyscy: „I imć pan musisz się tu podpisać“. Inni się odezwali: „Kto się z nami pisać nie będzie, to szablą w łeb weźmie“. Wymówiłem się im przecie takim sposobem: „Jak się będziemy wszyscy pisać na manifeście, nikt nie może być świadkiem, lepiej nas starych zostawić dla świadectwa.“ Przystali przecie na tem, wysunęli się wszyscy do marszałka, dopraszając się gwałtownie, aż pozwolił przyjąć manifest do ksiąg...“

Podczaszy bardziej jeszcze rozżalony z powodu, że wojsko objawiało większą przychylność Krasińskiemu, szukał sposobów dokuczenia marszałkowi, chociaż tłómacząc się przed biskupem Krasińskim, upewniał go, że „wstrzymuje się od wszelkiej gwałtowności... nie chcąc historyi zostawiać po sobie w cudzym kraju“ [1]). Przyszło nareszcie do tego, że obaj szefowie, każdy z osobna, wysyłali delegatów do władz tureckich, wzajemnie oskarżając się przed nimi. Gdy seraskier Bośni przybył do Dżiurdżi, posłowie Krasińskiego: Suchodolski i Gołuchowski, starosta letniowski, nic uzyskać nie mogli, bo Czetwertyński, wysłany przez Potockiego z bogatymi darami dla dostojników tureckich, źle ich usposobił dla marszałka. W tymże czasie przybyli do seraskiera delegaci od wojska. Kurdwanowski, komendant chorągwi pancernej [2]) i autor dyaryusza. Od Potockiego zaś wysłani Zabilski i Czarnomski utrudniali im uzyskanie posłuchania. Wreszcie Suchodolski przedstawił seraskierowi prośby wojska, a mianowicie: aby puszczono ich do ojczyzny przez Węgry, aby seraskier pożyczył pieniędzy na zgłodniałe wojsko, aby albo marszałek, albo podczaszy został w Turcyi, gdyby zaś nie było fermanu na wyjście wojska z Turcyi, aby im dano lokacyę w plewneńskim powiecie. Prośba ta została bez skutku, gdyż obecny przytem Czarnomski sprzeciwiał się tym żądaniom. Wobec zaś wszczętego sporu między delegatami w obecności seraskiera, ten ostatni nie chciał rozpatrywać przedstawionych żądań.

Za powrotem delegatów wojskowych bez spodziewanej rezolucyi, wojsko tak burzyć się zaczęło, że Potocki zażądał od seraskiera przy-

---

[1]) List Joachima Potockiego do biskupa Krasińskiego, z Czarnowody 26. Sebtembris 1771 a. *(Zbiory Czartoryskich w Krakowie. Rękopis Nr. 943).*

[2]) Placyd Jan Kurdwanowski, starosta brusinowski, rotmistrz pancerny i konsyliarz konfederacyi, którego podpis czytamy na oryginalnym akcie obioru Józefa Puławskiego marszałkiem związkowym (4. marca 1768 r. w Barze). Podpisywał również niektóre manifesta, wydawane przez szefów barskich w granicach tureckich. Po upadku konfederacyi mianowany w 1773 a. kuchmistrzem wiel. koronnym.

słania mu stu janczarów. Seraskier odmówił, przysłał tylko dwóch agów dla rozpatrzenia sprawy, ci jednak nic nie załatwiwszy, uszli co prędzej wobec wrzawy przeciw nim podniesionej. Również bez skutku zostały delegacye od wojska do samego podczaszego. Najprzód wysłani byli: Siemieński i nasz pamiętnikarz, następnie Horodyski. Zrazu Potocki odgrażał się przeciw delegatom i wojsku, gdy jednak Siemieński, przekładając mizeryę wojska, rozpłakał się, zmiękł i podczaszy, ale rezolucyi nie dał, żądając tylko, aby wojsko wniosło reces od podanego manifestu i jeszcze tylko było posłuszne. Tymczasem coraz bardziej niedostatek dawał się we znaki wojsku, Krasiński, choć sam miał niewiele i jak pisał do brata, „muszę się zastawiać i przedawać przyjdzie konie na gębę...", to jednak, aby zaradzić biedzie ogólnej, — wyprzedawszy część swych sreber, rozdał wojsku żołd na jeden miesiąc, to jest kompanii po złotych dziesięć na tydzień, szeregowym po złotych trzy, na luźnych, których jeszcze było sześćdziesięciu, po złotych dwa.

VII.

Szefowie barscy wychodzą z Turcyi ze swymi oddziałami. — Kwarantanna w Mehadyi. — Wyjazd do Preszowa. — Pogodzenie się Krasińskiego z Potockim. — Wyjazd do Cieszyna.

Wyprowadzenie z Turcyi konfederatów, o co ciągle nalegała Generalność, opóźniało się wskutek braku funduszów i rozróżnionych zdań szefów barskich. Nakoniec Potocki przychylał się do zdania Krasińskiego i w tej sprawie pisał do biskupa kamienieckiego: „... Nierząd wojska tureckiego, ostatnia w konfederacyi nędza i niedostatek i inne konsekwencye nakłoniły nas do tego, aby czyli z sukursem choć małym i lekkim... przemknąć się do Polski albo przez Węgry. Wprawdzie obydwóch nas myśli na to zgadzały się, ale rzetelnie wyznam, że ja chciałem wychodzić albo z pomocą, za okazaną najpierwszą do tego sposobnością, albo gdyby nakoniec przez Węgry podług myśli jw. marszałka, to z wiadomością Porty i ułożeniem z nią interesów. Imćp. marszałkowi te moje myśli zdały się, że są ukrywające wewnętrzną chęć tu bawienia, choć nie wiem, ktoby w tym kraju, kto go dobrze pozna, mógł podpaść temu posądzeniu..." [1]).

[1]) List Potockiego powyżej cytowany.

Gdy jednak wypadło prosić Portę o ferman na wyjście z Turcyi, obaj szefowie, każdy z osobna, wysłali swych delegatów do Stambułu. Od Potockiego jeździł Czetwertyński, w imieniu zaś marszałka jakiś Płonowski, dobrze władający tureckim językiem. Że jednak oddawna czynione już były starania w tej sprawie, trudności nie było i uzyskanem zostało żądane pozwolenie, ale odnośny ferman oraz dwadzieścia kies na drogę odebrać miano u wezyra. Przytem minister turecki, Kajmakan pasza, pisał do marszałka, życząc mu szczęśliwej drogi i upewniając o nieodstępnej protekcyi cesarskiej dla narodu polskiego. Zaraz też Suchodolski wysłany został do Babadagh do wezyra po ferman i pieniądze, które jednak znacznie się opóźniły i były powodem nowych nieporozumień. Krasiński jednak nie czekając, postanowił puścić się w drogę.

„Ruszyliśmy ku Plewnie bez fermanu — pisze pamiętnikarz — list tylko ministeryalny pisany mając przy sobie. Uszliśmy mil ośm od Czarnowody, wysyłając oboźnego, który szedł dla kwater na noclegi. Przysyła za nami podczaszy na drugi nocleg, prosząc ip. marszałka, aby mu doniósł, którym traktem pójdzie, czy jedną, czy dwoma idzie kolumnami, dając racyę pozorną, żeby swoją kolumną nie szedł tym traktem dla żywności, a tymczasem pisze do Mussun-ogłu paszy, że marszałek uciekł z wojskiem, aby go przytrzymać. Odpowiedział seraskier: niech go Bóg prowadzi szczęśliwie i podczaszy może iść sobie. Zhukało się wojsko przy nim będące, chcieli ruszać za nami, ale namówieni terczymani, niby przyjechawszy z Ruszczuka, ogłosili, że Mussun-ogłu pasza wyprawił dwa tysiące wojska, aby marszałka z całem wojskiem wycięto. My zwolna maszerowaliśmy, bo więcej dwóchset kompanij z pocztami szło piechoto. Dogania nas po trzecim noclegu p. Suchodolski, wyprawiony do wezyra o pieniądze, nie przywozi fermanu, ani pieniędzy, czyni relacyę, że przybywszy do Estery miasta, spotkał wiele Turków uchodzących od Babadagh i że wezyr poszedł już do Prawody ku Warnie, radzili mu Turcy, aby się wrócił, bo w niebezpieczeństwo podałby się.

„Nagłego ruszenia wezyra ta była przyczyna.. Rossyanie zgromadzili giury i kaiki od Akkiermanu, przeprawili się pod Tulczą nocą na kępę, od kępy na ląd wysiedli w cztery tysiące, ruszyli nocą i pod Babadagh przyciągnęli świtaniem, wpadli na Turków raptem. Turcy, odstąpiwszy wszystkiego, ruszyli i wezyr za nimi. Nieprzyjaciel zabrawszy, co zastał, spieszną rejteradę uczynił za Dunaj.

„Ruszył też i p. podczaszy dnia dziewiątego za nami z Czarnowody bez fermanu, tym samym traktem, którędy i my. Przy-

szliśmy w prowincyę Nikopolij, zastali powietrze ledwie nie w każdej wsi, musieliśmy przechodzić, unikając zarazy, przecie ustrzedz się nie można było, bo niejaki p. Krassowski. komendant chorągwi pancernej ip. wojewody wołyńskiego, trafił na kwaterę, do której z kontumacyi ludzie z lasów poprzychodzili; zaraził się z szeregowym, zachorował i umarł. Spiesznie tę mijaliśmy prowincyę, weszliśmy w prowincyę widyńską, dawano nam wszędy obroki, siana i wikt. W tej prowincyi potrwożeni byli ludzie, bo tędy od Dżiurdżi przechodziło wojsko. Dał ktoś znać paszy widynieckiemu, że wojska wiele idzie, a nie wiemy jakiego; zamknął się pasza w Widyniu. Ip. marszałek wyprawił do niego, raportując swój przechód z wojskiem do Orszawy, ku kontumacyi cesarskiej, i ten pasza to samo odpowiedział, co Mussun-ogłu pasza.

„Tymczasem wezyr, stanąwszy w Gradze, wykomenderował stojące tam wojsko ku Dunajowi, a odebrawszy wiadomość, że ruszył się marszałek z konfederacyą, wyprawił zaraz czausa z dwudziestu kiesami i fermanem, pisał list pełen ludzkości do marszałka z oświadczeniem przyjaźni Porty z Rzpltą polską. Dogania ten czaus wojska podczaszego, pyta o stancyę czausa lub agi, będącego przy wojsku, prosi, aby zaprowadził go do stancyi marszałka, nie wiedząc, że to dywizya podczaszego. Idzie z czausem, zostawiwszy pieniądze w stancyi jego, odbiera podczaszy expedycyę, a tymczasem sekretnie posyła swego czausa, aby pieniądze zabrał. Udało mu się dobrze, bo głupie Turki, przy pieniądzach będące, poprowadzili do podczaszego i złożyli. Powraca czaus do stancyi, nie zastaje pieniędzy, Turków łaje, dopytuje się i żali, że pan marszałek nie czekał, aż mu sam pieniądze odda. Informowany zostaje, że to nie marszałek, ale Potocki. Zaraz czaus bieży do podczaszego, pokazuje daną sobie instrukcyę od wezyra, żeby nie komu innemu, tylko marszałkowi expedycyę i pieniądze oddał za rewersem, prosi przynajmniej o rewers, ale ten każe mu jechać za sobą, upewniając, że marszałek będzie czekał na niego w Orszawie, — tam mu rozkażę, aby ci dał rewers. Rozgniewany czaus jedzie do Mussun-ogłu paszy pocztą, opowiada podejście. Pasza wydaje ferman, aby jak najprędzej biegł za Potockim, gdziekolwiek stać będzie komenda turecka, aby pieniądze odebrano, i z niemi aby jechał za Krasińskim i aby od niego przywiózł rewers. Czausa zaś przy p. Potockim będącego, aby wzięli i łeb mu ucięli [1]).

---

[1]) O opisanych tu przejściach wspomina biskup kamieniecki w liście do kasztelanowej połockiej (Brzostowskiej), pisanym cokolwiek później (3. stycznia 1772): „. . . La dernière lettre. que j'ai reçue de Mehadia,

„Już podczaszy miał o czem maszerować. Wyprawuje też z listami do kontumacyi p. Żmijewskiego, towarzysza, który górami mijając Pebliszany, z konwojem kilkunastu koni, o mil ośm od kontumacyi jechał. Ten Żmijewski, nie spodziewając się, wjechał do wsi, gdzie stanęło lewe skrzydło na noc pod komendą p. Prakowskiego, komendanta i szwadronisty chorągwi pancernej hetmana polnego. Tu zabrany i przyprowadzony tenże Żmijewski ze swą expedycyą. Wiózł on list podczaszego do Osieckiego, siedzącego lat dwa na kontumacyi, którego osadził był tam sam podczaszy, aby korespondencya żadna, która nie pod pieczęcią jego była, tak do Generalności jako i do ojczyzny niepuszczaną, lecz zatrzymaną była...

„Teraz pisał podczaszy do Osieckiego, aby choć z największą expensą starał się u oficyalisty kontumacyi, aby p. marszałek z wojskiem niepuszczony był na kontumacyę. Pisał również do Potockiego, starosty szczyrzeckiego [1]), aby pierwej mógł zasiąść kontumacyę niż marszałek...

„Stanęliśmy u przeprawy; przeprawiło się wojsko do Orszawy, ostatniego miasteczka tureckiego. Posłano do Żupanek do komendy cesarskiej, ale już tam wszystko ułożone było przez p. Osieckiego. Przyjechał obersztlejtnant z Meadyi, mający komendę. Jedzie do niego ip. marszałek pod kontumacyę, traktuje z nim, ale on się wymawia, że wojska puścić nie może, ip. marszałka zaś samego w sześćdziesiąt osób przyjmuje. Nie chciał ip. marszałek tylko, aby z całem wojskiem, aleśmy się dopraszali, aby szedł, obawialiśmy się, aby ip. podczaszy nadciągnąwszy, nie zatrzymał jego samego. Dał sobie wyperswadować, zostawił ip. kasztelana lubaczewskiego [2]) przy wojsku, nas zabrawszy słabszych, zasiedliśmy kontumacyą. Jakie tam umartwienie ponosiliśmy. P. Osiecki, tam będący, biegał koło niemców,

---

m'a fait une triste peinture de la situation de mon frère. Il me mande, qu'il tachera de faire sa paix avec podczaszy, aussitôt qu'il arrivera à Mehadia, car il est encore resté quiuze lieues en arrière de la quarantaine. Il se plaint furieusement de sa conduite vis â vis de lui, il me dit, qu'il lui doit quelques milliers de ducats et malgré cela il s'est saisi encore du secours, que les Turcs lui avaient envoyé de sorte, qu'il se trouve sans ressources. J'espère cependant que te trouvant ensemble, ils prendront des mesures convenables. (H. Schmitt: *Źródła do pierwszego okresu panowania Stanisława Augusta*. Lwów 1884, str. 169).

[1]) Piotr Potocki, starosta szczyrzecki, zięć Joachima Potockiego, przez czas jakiś załatwiał sprawy konfederacyi w Wiedniu. Za Sejmu wielkiego był posłem do Stambułu.

[2]) Maryan Potocki.

wiedząc, że p. marszałek pieniędzy niema, fomentował, aby sufficyencyi na kontumacyę nie dawano, aby siana nie puszczano. Konie stały w błocie pod niebem, my, sześćdziesiąt ludzi, musieliśmy się mieścić w trzech izbach, nie chciano nawet wypuścić nas za fórtę z małego dziedzińca dla przejścia się pod palisadami, co wszyscy kontumaciści mieli zawsze pozwolone. Wojsko zaś stało między Orszawą i Żupankami w polu, a konie po piaskach po nad Dunajem. Jedne Wołosza węgierska kradła, drugie od słoty i głodu zdychały.

„W dwie niedziele przyciągnął podczaszy, przeprawiwszy się w sto koni; ze swemi przyjaciołmi prosto wjechał do kontumacyi. Wojsko komendy jego wpuszczono pod same palisady i odtąd w ściślejszym zostaliśmy na kontumacyi dozorze.

„Czynił podczaszy różne naprzykrzenia, żołnierze sposobu nie mieli do życia, głód okrutny cierpieli. Przyszła Opatrznością boską flota p. kasztelanowi lubaczewskiemu [1]), przywiózł człek 700 czerwonych złotych z Polski, dał na wojsko w mizeryi będące czerwonych złotych 300. Żywili się w Orszawie mąką z kukurydzy, której było trzy kramnice, kupowali kompania po par cztery, to jest po groszy 16 polskich oko, mełli na żarnach, żywili się, jak mogli. Ip. podczaszy dowiedział się o tem, wyprawił do Orszawy, kazał te wszystkie kukurydzy zakupić razem, zapłaciwszy po sześć par oko, przywiezione na kontumacyę. Fawor był wielki dla niego, bo nam się nie godziło ani obroku, ani mięsa, ani ryby, ani siana z Orszawy sprowadzać.

Przyszło wojsko do ostatniej mizeryi, aż ip. marszałek u doktora widyńskiego zastawił srebra co jeszcze pozostałego i tem nas wszystkich w numerze jednym będących żywił, ale jak mizernie, bo tylko sztuką mięsa i pieczenią jedną, w wodzie bez wszystkiego ugotowaną. Był jeden z ip. Osieckim, niejaki Gumowski, siedzący na kontumacyi blizko pół roku; służył pod konfederacką chorągwią za towarzysza, ten sprowadzał wszelkie sufficyencye dla podczaszego; kazałem go do siebie zawołać pod palisady, opowiedziałem mizeryę marszałka, prosiłem, aby wziął pieniądze, postarał się kur i legomin, jako i omasty. Ulitowany ten człowiek przyjął to na siebie, mówiąc: przysiągłem ip. marszałkowi w Barze, powinienem to czynić, w czemkolwiek zachodzi rozkaz. Nazajutrz przywiózł siana, kukurydzy, masła, legomin.

„Donieśli o tem p. podczaszemu, pilnując naszego umartwienia, kazał przyjść Gumowskiemu. Po rozmowie Gumowski wypadł z nu-

[1]) Maryan Potocki.

meru podczaszego, poszedł do kapitana, komendę mającego nad kontumacyą. Kapitan chciał go kijem obić, a potem wziąść pod wartę, przecież ten towarzysz stanął żwawo, odpowiedział: nie jestem sługa p. podczaszego, ani p. marszałka, alem konfederat za wiarę i wolność. Przysięgałem marszałkowi i konfederacyi, nie chcę więcej być obowiązanym ip. podczaszemu, ale temu, któremu przysięgałem. I zaraz przyszedł przed numer p. marszałka, kazał stróżowi fórty mnie zawołać. Wyszedłem, prosił mnie, aby marszałek dał mu ordynans do sprowadzenia furażów, co się stało...

„Przybył też i czaus od Mussun-Ogłu do Orszawy, nie zastał już podczaszego, zasiadł bowiem kontumacyą. Przywiózł ferman do wojewody i serdara, aby czausowi, przy podczaszym będącemu, łeb ucięto i aby pieniądze od podczaszego odebrano, marszałkowi oddano i rewers na nie wzięto. Czaus, jeszcze w Orszawie przestrzeżony od sług wojewody orszawskiego, uciekł na kontumacyę do podczaszego, udaje, że chrzcić się będzie. Upomina się wojewoda orszawski o rewers na pieniądze u marszałka, ten wymawia się, że pieniędzy nie widział i rewersu dać nie może. Czaus bierze *testimonium* od wojewody i serdara i wraca do wezyra.

„Dosiadaliśmy niedziel czterech w Meadyi, wypuszczone wojsko z pod palisadów ip. podczaszego. Przyszła dyspozycya, aby ip. marszałek za niedosiedzenie kontumacyi wyszedł pod Meadyą. Jak prędko ruszyliśmy, tak zaraz wojsko, pod Orszawą stojące przez niedziel sześć. we dwóch tylko numerach z kasztelanem lubaczewskim wtłoczone było. Koni jeszcze zostało było ze dwieście i ludzi było ze czterysta. Zostawił im ip. marszałek Gumowskiego, aby miał o nich staranie. Stanąwszy zaś pod Meadyą na kontumacyi, przyjechał komendant cesarski z miasta. Żalił się przed nim ip. marszałek na niedyskretną kontumacyę, oświadczył, że użalenie będzie niósł do najjaśniejszej królowej węgierskiej na komendanta i dyrektora w Żupankach, kontumacyą rządzących. Oświadczył ten komendant lepszą na kontumacyi wygodę. Dopraszał się go ip. marszałek, aby wojsku kredytował chleba i siana. Komendant oświadczył łatwość, kazał sobie podać tabellę wiele ludzi i koni, i dał dyspozycyę komissarzowi, aby na rejestr na każdego człowieka porcyę żołnierską chleba dawano, na konie siana według zwyczaju w wojsku cesarskiem, także za biletami dla ip. marszałka i nas dodawano wszelkiej sufficyencyi. Dopraszał się ip. marszałek, aby przychodzące expedycye od Generalności postmajster z Meadyi do rąk marszałka oddawał. Spodziewał się bowiem rezolucyi od posła francuzkiego z Wie-

dnia i od Zboińskiego, rezydenta konfederacyi[1]), do których stanąwszy w Meadyi, pisał. Exkuzował się ten komendant, że w tem służyć nie może, każdego tygodnia przychodzą expedycye podpisane do rąk podczaszego, zalecono zaś od komissyi z Temeszwaru postmajstrowi, aby będącemu tu p. Osieckiemu do rąk oddawał.

„Dosiadywaliśmy już tych dwóch niedziel. Wojsko się zadłużyło i my wiele nabraliśmy. Pisał marszałek do podczaszego, który wziął był u niego kilkadziesiąt tysięcy pieniędzy jeszcze pod Chocimem, kiedy fomentował na oderwanie się od Pułaskiego, dał mu też na własny interes tysiąc czerwonych złotych. I my też pisaliśmy do niektórych przy ip. podczaszym jego przyjaciół... Poznawali się i oni na czynnościach tak zuchwałych, namawiali podczaszego do ulitowania. Przysłał p. Podhorskiego[2]) do Meadyi i dał bilet do kassyera swego w Węgry, aby przysłał pieniądze, wylikwidowawszy, co się należy. Posłano z tym biletem oficera cesarskiego, przywiózł siedemset czerwonych złotych, wyraziwszy, że kurrencya w państwie cesarskiem tak wynosi. Przyjął i to p. marszałek i popłacić kazał za furaże komendantowi, na które ledwie wystarczyło. Znowu zostajemy w troskach, że w tak drogim kraju sposobu niema tyle ludzi prowadzić i wyżywić, ale Bóg, który patrzy na serce sprawiedliwego człowieka, pospieszył z ofiarnością swoją..."

I opowiada dalej pamiętnikarz, iż pod tę porę aga turecki przyprowadził ze Stambułu w prezencie dla marszałka i podczaszego od Porty dwa konie z rzędami i po pięć kies. Marszałek wysłał Sałackiego, który odsiedział już był kontumacyę, wraz z oficerem cesarskim dla odebrania prezentów i wydania rewersu, poczem pieniądzmi temi opłacono dyrektora za furaż, ale nie wystarczyło.

„Wyszliśmy z lazaretu — pisze dalej autor dyaryusza — do Meadyi, gdzie hiszpan, rządzący ekonomiką powiatu, pozwolił pałacu ip. marszałkowi. W tem nadchodzi poczta, z której odbiera list od królowej węgierskiej i bilet na wypłacenie ip. Krasińskiemu do rąk czerwonych złotych tysiąc dwieście. Odebraliśmy je dnia trzeciego. Kazał marszałek podać tabellę pieszych ludzi i konnych w wojsku, godzi się z hiszpanami o podwody pod pieszych aż do Transylwanii, zostawiając pieniądze na sufficyencyę.

„Ruszyliśmy ku Preszowu i stanęliśmy w Karszemberzu. Odbiera ip. marszałek listy z poczty od Generalności, aby się pogodził

[1]) Antoni Zboiński, konsyliarz malborski.

[2]) M(ichał) Podhorski, p. g. i porucznik pancerny wojsk kor., konsyliarz konfederacyi województwa bracławskiego. Tak się podpisał na manifeście starszyzny z dnia 4. lipca 1768.

z podczaszym, odbiera i od Dłuskiego, starosty łukowskiego [1]), że jedzie do niego ze starostą ciechanowskim [2]) i że wyprawiono dwóch konsyliarzów przeciw marszałkowi, wyraża wreście, że wiezie z sobą tysiąc czerwonych złotych. Wyprawił marszałek przeciwko nim, (donosząc) którym traktem komisya wyznaczyła iść p. marszałkowi...

„Przyszliśmy do Debreczyna, gdy przybiegł kuryer, aby poczta dla podczaszego była (gotowa). Stanęliśmy, tu przybyli starostowie. Łukowski bawił się ku białemu dniu, przez noc namówił podczaszego, aby czekał na marszałka w Grosaradzie, szliśmy z ip. marszałkiem do pierwszego noclegu. P. starosta łukowski jechał z nim w kolasie, miał czas dzień cały traktować z ip. marszałkiem; przenocowaliśmy jeszcze z sobą. Marszałek z starostą łukowskim rano przodem pobiegli do Grosaradu, nas porzuciwszy. My zwyczajem po jednej stacyi maszerowaliśmy, aż nas dognał kasztelan lubaczewski. Po wypuszczeniu z kontumacyi, dowiedział się o wszystkiem od konsyliarzów naszych, pospieszył do Grosaradu, przyciągnęliśmy też tamże na trzeci nocleg. Zastaliśmy tam dwóch konsyliarzów: Orańskiego i Cieszkowskiego [3]). Ip. marszałek zdał się na sentymenta p. Łukowskiego, ale p. podczaszy żadnego punktu kombinacyi nie przyjął z tej podobno przyczyny, że nie zastał owych dwóch od Generalności konsyliarzów, którzy czekając, brali wiadomości od przejeżdżających z kontumacyi o złem traktowaniu ip. marszałka od ip. podczaszego i spiesznie wrócili. Pojechał p. podczaszy do Preszowa, ip. marszałek za nim ze starostą łukowskim.

„Pospieszyli i konsyliarze, a stanąwszy drugiego dnia w Preszowie, zastali już nakłonionego ip. marszałka do zgody. Układali projekta i podali je marszałkowi, ocalając powagę marszałkowską i całość wojska. Dopraszali się, aby Generalność wejrzała w manifesta konsyliarzów i wojska i najpierwej rozsądziła p. podczaszego z nami, jeśli my, wojsko, będziem godni ukarania, te przyjmujemy chętnie. Ip. podczaszy zaś, co dowiedziono będzie, aby wojsku oddał.

---

[1]) Sebastyan Dłuski wysłany był naprzeciw szefów barskich. Biskup Krasiński wydał mu był na piśmie instrukcyę (z d. 30. stycznia 1772 r.), o czem mianowicie miał informować marszałka. Instrukcya ta u Schmitta, *Źródła*, str. 172.

[2]) Adam Krasiński, syn Michała Krasińskiego, marszałka konfederacyi.

[3]) Stanisław Orański był konsyliarzem mianowany w Barze. Cieszkowski, konsyliarz bracławski, wykonał jurament na posiedzeniu Generalności 11. sierpnia 1770 r.

„Zastaliśmy w Preszowie mieszkających kilku marszałków i konsyliarzów, decydowali i ci, że sprawiedliwie utrzymać to należało. Odebrał ip. marszałek ten projekt, przyrzekł wszystkim utrzymać go . . . Ip. Ciechanowski [1]), bywając często u podczaszego, wymógł to znowu na ojcu swoim, perswadując, aby z p. podczaszym sam tylko wyjechał do wojewody podolskiego i ordynata zamojskiego [2]) o mil dwie, co łatwo uczynił, dając racyę, że prędzej interes zakończony będzie, niżeli tu przy tylu będących marszałkach i konsyliarzach. Usłuchał ip. marszałek, wziął z sobą kasztelana czerskiego [3]) i starostę łukowskiego [4]), *incognito* wyjechał. Dowiadują się konsyliarze, wyprawiają kasztelana lubaczewskiego [5]), tymczasem marszałek, który był kwaśno przyjęty, powrócił nazad z niczem, doniósł, że żadnej nie zastałem roboty i nie widziałem, żeby co pisano. Podczaszy miał tam już utajonego p. Podhorskiego konsyliarza [6]), czy na wsi, czy w oficynach, na osobności pisali komplanacyę i napisali, że marszałek zrzeka się wojska i konsyliarzów swoich, że akta wszystkie za granicą czynione za nieważne ma i że podczaszego zawsze w czynnościach jego utrzymywać będzie. Starosta łukowski [7]) przyniósł tę komplanacyę i dał ip. marszałkowi do podpisu. Ip. marszałek, zaufany na sentymentach starosty, nie czytając, podpisał komplanacyę . . .“

W ten sposób zawartą została zgoda między marszałkiem i podczaszym. Partya jednak Krasińskiego, do której i nasz autor dyaryusza należał, niezadowoloną była. Wierzyć jednak trudno, aby — jak pisze sprawozdawca — komplanacya podpisaną została bez poprzedniego przedstawienia jej marszałkowi. Sztafeta, wysłana do Cieszyna, powiadomić miała Generalność o zawartej zgodzie między szefami. Nadeszły też rozporządzenia, aby wojsko szło pod komendę podczaszego. Atoli ordynansów Potockiego nie uznawała część oderwanego wojska, ztąd nowe trudności. Komendanci wojskowi dopominali się o najprędsze wejście w granice polskie i w rzeczy samej część wojska pospieszyła później za granicę, gdzie przyłączyła się do oddziałów marszałka sanockiego, Filipa Radzimińskiego.

---

[1]) W rękopisie jest: ip. łukowski, — tymczasem widocznem jest, że mowa o staroście ciechanowskim, synu marszałka Krasińskiego.

[2]) Jan Zamoyski, mianowany wojewodą podolskim 16. stycznia 1770 r.

[3]) Michał Suffczyński, jeden z czynniejszych członków konfederacyi.

[4]) Sebastyan Dłuski.

[5]) Maryan Potocki.

[6]) Michał Podhorski, konsyliarz konfederacyi.

[7]) Sebastyan Dłuski.

„Przychodzi list od Generalności — czytamy dalej w dyaryuszu — do ip. marszałka, pochlebny, z powinszowaniem zgody, z wyrażeniem, że ich czekają z upragnieniem dla kończenia pomyślnych interesów konfederacyi. Naradzają się, aby wyprawić do wezyra nazad rezydenta, zostawiają w Preszowie ip. Kalińskiego, regenta kijowskiego, który przez całą bytność naszą w Turczech na tej funkcyi wydoskonalił się, zostawiają mu pieniądze na drogę i każą mu czekać od Generalności expedycyi w Preszowie.

„Podczaszy wziąwszy z sobą do jednej karety ip. marszałka, pobiegli do Teszyna, pospieszyli i konsyliarze, którzy w Turczech byli i pod Margatą górą, w Tatrach będącą, spuściliśmy się wodą aż do Zeliny, zkąd pospieszyliśmy najętymi końmi do Cieszyna.

VIII.

Upadek konfederacyi. — Odjazd oficerów francuskich. — Pozostałe oddziały zgromadzone w Częstochowie. — Delegaci wysłani do Warszawy. — Oblężenie Częstochowy przez Gallicyna. — Układy. — Kapitulacya.

„W Cieszynie zastaliśmy już upadek całego interesu, wojska i konfederacyi barskiej, bo jak prędko stanęli, tak zaraz złożono sessyę. Po przywitaniu marszałka dopraszali się, aby przysiągł, co i uczynił... Nazajutrz kazano przysiądz p. podczaszemu na generalne regimentarstwo. Oddano mu moc nad konfederacyą, wojskiem komputowem, wszystkiemi wyprawami z województw. Skasowano zaraz i komissyę (wojskową) [1]... Wyexpedyowała Generalność list do wezyra, p. podczaszy wysłał go do p. Kalińskiego do Preszowa, dano oraz instrukcyę do pilnowania interessów u wezyra.

„Po przysiędze ip. marszałka tegoż dnia pchnięto do Wiednia, do ip. Zboińskiego, pilnującego interesów konfederacyi przy pośle francuzkim. Donosi zaraz w dni kilka p. Zboiński wolę cesarską, aby ip. Pac stawał najprędzej w Wiedniu, że chcą krajać Polskę trzy potencye. Wysyła Generalność ip. Paca [2]) i wojewodę rawskiego [3]). Stanęli prędko i dopominali się o audyencyę u cesarza.

---

[1]) Mowa tu o komisyi czyli radzie wojennej, ustanowionej przez Generalność na sessyi 14. sierpnia 1770 r.

[2]) Michał Pac, starosta ziołowski, marszałek generalny konfederacyi litewskiej, zastępował Krasińskiego podczas pobytu jego w Turcyi i prezydował Generalności.

[3]) Kazimierz Granowski.

Nazajutrz minister kazał ich prosić do siebie, osobliwie Paca; pyta, jak chce mieć audyencyę, czy jako obywatel, czy jako marszałek. Odpowiedział Pac: jestem marszałkiem i jako taki chcę mieć audyencyę. Odpowiedział minister: potencye wszystkie nie uznały konfederacyi i WMPan jako marszałek nie możesz mieć audyencyi, tylko jako obywatel. Odebrali raptownie rezolucyę tak nieszczęśliwą dla konfederacyi. Wojewoda spiesznie powraca do Cieszyna, zostawiwszy Paca w Wiedniu i przywozi na umartwienie sztylet, już nie w sekrecie, ale publicznie głoszą nieszczęśliwości na ojczyznę. Schodzą się marszałkowie i konsyliarze, hałasują na siebie, a nie uznają, kto winny, płaczą i desperują. Powraca i Pac, ostatnią opowiada nieszczęśliwość. Przychodzi zatem mandat cesarski, aby znajdujący się obywatele polscy z Cieszyna wyjeżdżali do Zeliny lub Opawy, czyli do Polski za kordony. Nie wiedzą nieszczęśliwi co z sobą robić. Komendant miasta ogłosić kazał, aby obywatele szląscy i mieszczanie podali regestra, co im od kogo należy. Przyszedł major cesarski do ip. marszałka z odmienną dyspozycyą, aby jedni jechali do Zeliny, drudzy do Opawy.

„Nadchodzi raport od ip. Bełzkiego [1]), że dywizya ip. marszałka już się złączyła z marszałkiem sanockim [2]), a dywizya ip. podczaszego, raptem z pod Koszyc rugowana i na granicy dyzarmowana, i że sam zostaje z Kossakowskim [3]) w areszcie w Preszowie. Stał się rozruch, przyszedł ordynans od posła francuzkiego z Wiednia do generała Vioménil [4]), aby szedł do ojczyzny swojej, zabrawszy wszystkich Francuzów, w służbie konfederacyi będących. Przyjechał i oficer z Krakowa, Francuz, przywiózł bilet od komendantów zamku, przez Rossyan zabranego [5]), że za należącą laffę za kilka miesięcy

---

[1]) Marszałkiem bełzkim był Józef Miączyński, wojewodzic podlaski.

[2]) Filip Radzimiński, starosta dymitrowski, był w Barze przy podniesieniu konfederacyi, jako towarzysz znaku pancernego podpisał z innymi akt obioru Józefa Puławskiego marszałkiem związkowym. Obrany marszałkiem sanockim 13, listopada 1769 r., czynny przez cały czas trwania konfederacyi. Po odjeździe K. Puławskiego zastąpił go w Częstochowie jako komendant i ostatecznie kapitulacyę podpisał.

[3]) Szymon Kossakowski, o którym obszerniej w rozdziale V.

[4]) Antoni du Houx baron de Vioménil, wysłany do Polski przez księcia d'Aiguillon, żeby zastąpić Dumouriera, w sierpniu 1771 roku, odwołany po upadku konfederacyi. Przez czas pobytu w Polsce zjednał sobie ogólny szacunek i zaufanie.

[5]) Zamek krakowski po upornej obronie pod komendą brygadyera de Choisi, zajęty został przez Suwarowa na mocy kapitulacyi 26. kwietnia 1772 r.

oficerom i gemajnom, w Krakowie będącym, generał rossyjski z Branickim [1]) za jego skryptem zapłacili czerwonych złotych trzy tysiące czterysta. Wyliczyć je musiał generał (Vioménil) i odesłał do Krakowa, a sam ruszył w podróż. Został jeden generał francuzki, Valeroissant, u którego, gdy był w Turczech, miał podczaszy wielkie zachowanie i podawał mu był rewersa swoje, wziąwszy u niego kilka tysięcy czerwonych złotych... Valeroissant idzie do Paca, kładzie rewersa, dopomina się o pieniądze. Zwili się jak piskorze, wymawiali się, że nie wiedzą o żadnej expensie; ale Francuz na to nie uważał, forsował interes swój. Nie wiem, jakim sposobem wypłacić mu musieli. Panowie, którzy nie mieli długów, powymykali się, jedni do Opawy, marszałkowie zaś obojga narodów z biskupem kamienieckim [2]) do Zeliny wybrali się, pierwej dawszy ordynans do marszałków, aby konfederacyę i wojsko rozpuścili do domów, a Częstochowską fortecę, księżom oddawszy, opuścili.

„Odebrawszy ordynans ten, marszałkowie widząc, że na niewolę lud wydać kazali, wzięli przedsięwzięcie ściągać się do Częstochowy, gdzie już pospieszył był Radzimiński dla objęcia komendy. Piszą list do króla i do kanclerza kor. [3]); posłowie z niczem powrócili, bo tylko od kanclerza przywożą list [4]), że król jmć póty im nie pokaże łaski swej, aż z ministrem pełnomocnym rossyjskim nie będą traktować. Pisze kanclerz, żeby torem p. Zaremby szli [5]), którego najjaśniejszy pan łaskawie przyjął.

„Wydał ordynans p. Sanocki do komend, aby się ściągały pod Częstochowę. Wyprawia powtórnie do Warszawy ip. Wierżbowskiego i Przyłuskiego, pułkowników. Piszą przez nich do Salderna, ministra rossyjskiego, do króla imci i do kanclerza [6]). Przybyłem i ja do Częstochowy, przyciągały też komendy konfederackie pod fortecę,

---

[1]) Franciszek Ksawery Branicki, wówczas łowczy w. kor,, późniejszy hetman w. kor., brał udział na czele pułków królewskich w oblężeniu Kamieńca.

[2]) Adam Krasiński.

[3]) Listy te pisane były 15. czerwca 1772 (druk. u Schmitta, *Źródła*, str. 188—194).

[4]) Odpowiedź kanclerza kor., Młodziejowskiego, 24. czerwca 1772 (*Tamże*, str. 194—197).

[5]) Józef Zaremba, regimentarz sieradzki, zaraz po kapitulacyi zamku krakowskiego, pierwszy poddał się, przybywszy do Warszawy osobiście.

[6]) Pisma te z dnia 29. czerwca 1772 r. (druk. u Schmitta, *Zródła*, str. 197—200).

jeden tylko ip. Mazowiecki [1]), ordynansu nie słuchając, odpisał: nie myślę kapitulować ani z królem, ani z Rossyą. Przyszedł raport, że komendy rossyjskie zbliżają się ku Częstochowie, jedna Łopuchina, druga Abułdajowa, pułkowników, trzecia Lobrego (Langiego?), i że one łączyć się mają z księciem Galliczynem, generałem. Odebraliśmy i drugi raport, że Łopuchin komenderowany za p. Mazowieckim.

„Wlekło się czasu koło niedziel pięciu, jak wyjechali wysłani do Warszawy, żadnej nie dając o sobie wiadomości. Złożyliśmy konsilium, aby się bronić, poobieraliśmy komendy na wszystkie rondle. Karczewski, marszałek warecki [2]), miał stać od św. Barbary, ja od św. Jakuba przy rondlu, kawalerem zwanym; p. Wierzajski, starosta [3]), od św. Trójcy, ip. Kuczyński, konsyliarz podlaski [4]), od św. Rocha. Przyszedł zatem kuryer z listem do ip. Sanockiego od pułkownika Abułdajowa, który pod Częstochową napędził komendę Mazowieckiego. Zapytywał Abułdajow, czy Mazowiecki łączy się z WPanami, czy nie. Ten list dosyć z ludzkością był napisany. Oświadczał przytem, że ma ordynans Bibikowa, generalnego w Polsce komendanta, aby onego (Mazowieckiego) nie przestał ścigać i zabrać starał się. Odpisał ip. marszałek sanocki [5]), że ip. Mazowiecki i wszystkie komendy pod Częstochowę ściągnęły za ordynansem moim do kapitulacyi z królem imć. Dopraszał się w tym liście Łopuchina, aby nie chciał infastować komend konfederackich aż do rezolucyi z Warszawy. Pisze powtórny list Łopuchin, oświadczając, że zaleciłem wszystkim, w komendzie mojej będącym, aby zachowali spokojność, aby tylko komendy WMPanów zawsze się raportowały, aby daleko wysyłane nie były za stojące wojsko rossyjskie. Prosi ip. Sanockiego na parol do siebie, o dwie mile od Częstochowy do Mstowa. Uczyniliśmy radę. Nie zdało się nam na takie niebezpieczeństwo posyłać komendanta. Dnia drugiego odpisał ip. sanocki,

[1]) Władysław Mazowiecki, regimentarz ziemi dobrzyńskiej.

[2]) Dwóch Karczewskich było w konfederacyi marszałkami. Józef, marszałek ziemi liwskiej, i drugi Karczewski (imienia nie znam) marszałek warecki. Ten sam, jak się zdaje, tytułował się poprzednio marszałkiem czerskim, o co był spór z Lasockim, rozstrzygnięty przez Generalność na korzyść tego ostatniego na sessyi 13. marca 1770 r.

[3]) Józef Wierzajski — z konfederacyą barską był w Wołoszczyźnie — zajmował wówczas urząd sędziego wojskowego.

[4]) Dwóch Kuczyńskich: Wiktoryn, stolnik drohicki, i Ignacy, miecznik mielnicki, byli konsyliarzami województwa podlaskiego.

[5]) Filip Radzimiński.

czyniący zadość woli tegoż pułkownika, aby go nie odrazić, prosi, aby zjechał pod Częstochowę w kilkanaście koni dla rozmowy. Aliści nazajutrz przybiega adjutant z trębaczem, przywozi dwa listy od księcia Galliczyna, już przybyłego do Koniecpola, i od pułkownika Łopuchina; ten ostatni pisze, że już nie ma władzy traktowania z marszałkiem, ponieważ generalna przyciągnęła komenda, przyczem wyraża dosyć pięknym stylem, że interessować się będzie o jak najprędsze dla nich zakończenie. Galliczyn zaś pisze żwawiej, aby p. Mazowieckiego oddać z całą jego dywizyą, aby wyjechał ip. marszałek do niego do Mstowa na rozhowor. Przyrzekł p. marszałek nie do Mstowa, ale pod Częstochowę, jako i pierwej. Nie zjeżdża Galliczyn, tymczasem deszcz dzień i noc leje. Nadchodzi wiadomość, że komenda Łopuchina ruszyła z Koniecpola do Piotrkowa i Galliczyn nazajutrz rusza się. Panowie młodzi poczęli cieszyć się, że musi mieć z Warszawy ordynans, aby opuścił to miejsce. Idę ja do marszałka, perswaduję, aby wydał ordynans do wszystkich komend, aby na noc ściągnęły pod fortecę i żeby wszyscy w gotowości stali pod armatą. Przyjął moją radę za sprawiedliwą i każe Rudnickiemu, pułkownikowi, wszystkie obesłać komendy.

„Nie wiem, co się stało, czy p. Rudnicki nie obesłał ich, czyli lekce sobie ważyli, będąc ubezpieczeni pierwszą wiadomością, lecz nie uczynili zadosyć. Świtaniem napadł Łopuchin na komendę Mazowieckiego, ale coś trochę ostrożniejszego zastał, jedni się rozproszyli i pod Częstochowę przyszli, drudzy z p. Mazowieckim uciekli ku tej wsi, gdzie stał Suhak z komendą znacznie nieostrożnie, bo w jedną stodołę poznoszoną była broń i kulbaki, tylko kilku oficerów przy nich było. Nieprzyjaciel zagarnął konie wszystkie w polu, a pocztów i towarzystwa karabinierowie w wieś wpadłszy, zabili kilkunastu ludzi i w niewolę około trzydziestu zabrali, resztę rozproszyli. Sam tylko Suhak z oficerami przybiegł do fortecy przed wieczorem. Miał mieć areszt, ale gdy w tym odmęcie marszałek się zagadał z konsyliarzami i z nami komendantami, wyszedł Suhak niby do koni za bramę i uciekł w nocy w granice pruskie.

„Nazajutrz stanął Galliczyn w Mstowie, przysyła z listem oficera, aby marszałek wyjechał na kapitulacyę o fortecę. Odpisał marszałek, że nie dotrzymali przyrzeczenia, jako miał list pierwszy od Łopuchina i od samego Galliczyna, że komendy w spokojności stać miały aż do zakończenia kapitulacyi. Wyraził też, że w kapitulacyę z nim wchodzić nie będzie, aż rezolucya przyjdzie od króla. W tem przyszedł chłop z Warszawy do prowincyała z karteczką, w której donoszą, że komendant od komissyi wyznaczony do Czę-

stochowy i że p. Branicki przyjedzie do kapitulacyi z wojskiem. Orzeźwieliśmy trochę tą wiadomością.

„Dwoma niedzielami przedtem uciekł nam Nostycz, inżynier, i ten niecnota najwiadomszy był wszystkich wycieczek i sposobów do należytej obrony, o których i p. Sanocki nie wiedział. Gdzieby się podział, nie wiedzieliśmy. Oficerowie miarkowali, że z bojaźni to uczynił pewnego kryminału. Dufali jego cnocie (żołnierskiej), bo dosyć był wypróbowany podczas ataków Drewicza, ale inaczej się stało, bo prosto poszedł do Moskwy. Przyjęty tam w służbę, wszystkie *praeparatoria* robił do szturmu, wiedział wysokość murów, obronę w fortecy, robił drabiny z poręczami, obijane tarcicami, prowadził mnóstwo podwód. Ruszył się Galliczyn z Mstowa, blokował fortecę w około. W wigilię N. P. Porcynkuli wysyła i nasza jazda, blizko dwóch tysięcy. Podstępowały około pod fortecę szwadrony, nasza jazda ku nim pomykać się poczęła, uczyniła się utarczka żwawa, godzin sześć trwająca. Nareście skoczyły szwadrony moskiewskie, zmięszały wojska między Częstochową i fortecą, przymusiły naszych do rejterady pod rogatki, ale wzięli odpór z rondlów dwóch, z mego i p. Karczewskiego. Zginęło naszych czterech, kompanij dwóch i pocztów dwóch, Moskwy dwieście ośmnastu plejzerowanych a kilkadziesiąt zginęło.

„Poszły wojska moskiewskie na kwatery około fortecy, nasza zaś jazda wprowadziła się za rogatki w koło fortecy. Jak Moskwa następowała, pozabierali po wsiach trzody ubogich ludzi i dworskie, to wszystko za rogatkami nocowało, trzeba było to paść i napawać. Ludzie przychodzili za bydłem, nie można było znieść płaczu.

„W dzień Porcynkuli podsunęło się wojsko moskiewskie pod fortecę. Generał Galliczyn stanął w Częstochowie, Łopuchin w Grabówce, Abułdajew nad rzeką Wartą. Blokowali nas w około placówkami mocnemi. Podsłuchy jeden przy drugim między placówkami postawiwszy. Gdy było potrzeba bydło napaść i konie codziennie, flankierzy musieli się potykać, ale zawsze ze szkodą moskiewską. W kilka dni przysłał Galliczyn oficera z trębaczem. Ten nadgłosił się przy swoich podsłuchach, posłany do ip. marszałka, który wyprawił adjutanta z zapytaniem, czego pretendują. Przywozi rezolucyę, że książę Galliczyn prosi, aby marszałek wyjechał do niego na parol. Ten posłał znowu adjutanta, mówiąc, że wyjedzie ale nie do Częstochowy, tylko do św. Jakuba, w pół drogi, w ośm koni, żeby tam książę wyjechał.

„Stało się uspokojenie flankierów, pojechał marszałek o godzinie ósmej, tymczasem konie i bydło napawali i zboże rwali dla koni.

Tentował Galliczyn, aby z nim kapitulować, marszałek wzbraniał się. Perswadował Galliczyn, aby to uczynił, obiecując ubezpieczenie. A tak po dwóch godzinach, gdy rozjeżdżali się z sobą, oświadczył Galliczyn: „nie winien temu będę, ani Bogu odpowiem, że będę szturmował“ i pokazał list Romaniusza generała, aby żadnego z nas nie żywił i fortecę demoliował.

„Powrócił marszałek z rezolucyą Galliczyna, gotujemy się tedy do obrony. Gdy wzięli z cekhauzu po trzydzieści nabicia, nie zostało w cekhauzie tylko kul trzy armatnich, moglibyśmy szturm pierwszy wytrzymać, ale Bóg wie, czem się było dalej bronić. Komenderował Galliczyn w nocy piechoty sto pięćdziesiąt, uczynił zasadzkę przy wodzie w chwastach i pomiędzy wierzbiną, drugą piechotę od Częstochowy w żytach położył, trzecią u św. Barbary, ale o świtaniu dojrzeliśmy ich i wyprowadziliśmy swojej piechoty po pod górę ośmdziesiąt. Przygotowaliśmy hułbice ku św. Barbarze i u żyta, gdzie piechota leżała i wypuścili bydło i konie do wody. Posunęła się jazda moskiewska z boków, poczęli strzelać, awanżerowała piechota ku bydłu, ale tylko na niespodziewaną piechotę naszą napadli, wsparli ich. Bóg poszczęścił, że moskiewska rejterować się musiała z utratą dwunastu na placu. Chciały ich sukursować szwadrony, ale z armat z rondlów od nas wzięli odpór, dość że wielu plejzerowanych zostało, bydło zaś i konie napoiwszy, napowrót przypędzili do rogatki. Nie stawało już też nam pożywienia dla koni, poczęli komendanci naprzykrzać się p. marszałkowi, aby dał im ordynanse iść, każdy w swoje województwo, obiecując doprowadzić ludzi i po domach rozpuścić. Nie zezwalaliśmy na to, bojąc się, aby rabunków nie czynili. Wysyłamy do Galliczyna p. Olszewskiego, komenderującego partyą wielkopolską komputowych chorągwi, prosząc, aby wypuścił komputowe wojsko. Odpowiedział, żadnego nie wypuszczę, jeżeli o fortecę ze mną kapitulować nie będą. Dopraszał się ip. Olszewski, aby pozwolił wyprawić do Warszawy z raportem, kazał po pas do siebie nazajutrz expedyowanym przyjeżdżać.

„Drugiego dnia pisali expedycyę. A w tem wyjechało kilkanaście koni i stanęli na strzelanie z armaty, przypatrywali się przez perspektywę. Wyrychtowaną armatę jedną u św. Trójcy, drugą od św. Jakuba z rondlów i razem zdarzyło się zapalić. Zginął major i porucznik. O to snać urażeni, gdy posłaliśmy adjutanta z trębaczem po pas dla jadących do Warszawy, odpowiedział generał rossyjski: i pasu nie dam i niech się nie ważą wysyłać, bo każę łapać i wieszać. Wszczęła się też między wojskiem i zakonnikami prawie

wszystkimi dyarya z przyczyny fetorów nieznośnych w fortecy, tymczasem bardziej poczęli nalegać komendanci, aby ich puszczać.

„Naradziwszy się, ip. marszałek daje ordynanse, odbiera od nich rewersa, jako spokojnie zajdą na miejsca swoje. Dnia dwunastego oblężenia wyszło sto kilkadziesiąt koni komendy Rudnickiego i innych, ci przeszli szczęśliwie. Drugiego dnia wyszedł p. Moszczyński, pułkownik, i Mikułowski i z nim Tatarowie komputowi i księcia wojewody ruskiego, i ci by byli daleko zaszli tej nocy, tylko p. Moszczyński lokował gdzieś w lasach ludzi, (a sam) pobiegł do trzech wsi na pożegnanie i tak stracił nocny czas. Ruszył przededniem, ale niedaleko, bo o siedm mil zagnała go komenda moskiewska i rozproszyła. Sam ranny uszedł, rotmistrza kijowskiego zabito. Tatarowie pierwszej nocy, gdy ich był odjechał p. Moszczyński, oderwali się, prosto ku Warszawie poszli i już byli o mil dwanaście. Wszedłszy do wsi nad jakąś rzeką, konie zostawiwszy we wsi, poszli wszyscy do wody grzechy obmywać. Podjazd moskiewski z inszej, nie z Częstochowskiej komendy, wpada na wieś, konie zabiera, a baszkirowie nad rzekę skoczywszy, zabrali wszystkie fanty. Oni nadzy na drugą stronę rzeki w las rejterowali się. Dnia trzeciego poszła (z fortecy) trzecia komenda ku granicy szlązkiej, mając się rozejść po obywatelach. Dnia szesnastego oblężenia przybyli delegowani z Warszawy, przywieźli instrukcyę Galliczynowi, list królewski i kanclerski do nas, według którego dwa dni układali kapitulacyę i wyszliśmy z fortecy [1]).

„Wypuszczeni z honorem, pobraliśmy passy i każdy do swoich domów wyruszył.“

KAZIMIERZ PUŁASKI.

---

[1]) Listy te pisane 6. sierpnia 1772 r. druk. u Schmitta, *Źródła* str. 200—204.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część trzecia.

II.

(Dokończenie).

Tytuł rozdziału czwartego opiewa, jak następuje: Stanowisko polityczne żydów galicyjskich oraz wpływ ich na wieśniaka, mieszczanina, tudzież na inne warstwy mieszkańców.

Jeżeli jest gdziekolwiek w Europie kraj, gdzieby z jednej strony odczuwać się dały: potężny wpływ nadmiernej ilości żydów tak na moralny, jak na fizyczny stan ludności, z drugiej zaś strony nieprzewidziane następstwa przywilejów obywatelskich tego ludu — to jest nim niezawodnie Polska a w szczególności Galicya. Tem zdaniem rozpoczyna autor swe wywody o żydowstwie galicyjskiem. — Prowincya ta, nie licząc Bukowiny, obejmuje na przestrzeń 1.300 niemieckich mil kwadratowych, blisko 3,300.000 mieszkańców. Przeciętnie przeto na milę kwadratową wypada przeszło 2.400 ludzi, co nie stanowi bynajmniej zbyt rzadkiego zaludnienia. Obliczając wszakże ludność każdego obwodu z osobna, trafiają się okolice, gdzie gęstość zaludnienia dochodzi do czterech tysięcy głów na przestrzeni jednej mili kwadratowej. Na owe trzy miliony ludności galicyjskiej przypada 200.000 żydów. Tak więc co szesnasty mieszkaniec Galicyi jest żydem, ale istnieją też w kraju tym miejscowości, w których zaledwo co piąty człowiek nie zalicza się do wyznania mojżeszowego. Lwów liczy ogółem 36.000 mieszkańców, a na to przypada 12.000 żydów. Rzecz trudna do wiary a jednak prawdziwa.

Co do żydów, w Polsce i na Litwie osiadłych, to w braku dat pewnych przypuszcza autor, iż na ośm milionów ludności chrześciańskiej wypadało w Koronie i na Litwie pół miliona żydów. Wpraw-

dzie w tabelach marszałka Moszyńskiego, przedłożonych Sejmowi Wielkiemu w roku 1790, figurował ogół ludności chrześciańskiej w Rzeczypospolitej z cyfrą 7,660.787, zaś żydów z cyfrą 483.285 głów. Ponieważ jednak za podstawę obliczenia ludności chrześciańskiej brano podymne a co do żydów pogłówne — przeto cyfra wyższa ludności, przyjęta przez Kortuma, nie była przesadzoną, zwłaszcza jezeli się zważy wybiegi żydowskie celem uniknienia opłaty pogłównego.

Tego rodzaju stosunek, istniejący w Galicyi i w Rzeczypospolitej, zasługuje, zdaniem Kortuma, na uwagę. Gdyby w takiej ilości osiedli w którymkolwiek kraju Francuzi, Anglicy, Turcy, to musieliby wpływ znaczny wywierać na tubylców. A jednak wpływ żydów na otaczające ich społeczeństwo jest o wiele donioślejszy, aniżeli ze strony jakiejkolwiek kolonii innej narodowości. Liczba chrześciańskiej ludności w Galicyi, osiadłej w miastach a trudniącej się handlem, rękodzielnictwem, przemysłem, jest stosunkowo bardzo szczupła, podczas gdy cyfra ludności rolniczej przedstawia się bardzo okazale. A właśnie żydzi zajmują się wszystkimi sposobami zarobkowania, właściwymi mieszczaństwu a nie mającymi związku z rolnictwem. Zliczywszy wszakże razem ogół ludności chrześciańskiej z żydowską, otrzymamy wcale przyzwoity stosunek między klasą spożywającą a produkującą. Takby wszystko było w porządku, gdyby klasy pracujące pozostawały z sobą w harmonii, kierowały się temi samemi zasadami, łączyły się między sobą węzłami małżeńskimi, kroczyły jedną i tą samą drogą. Wówczas możnaby nie zważać na różnicę wyznania, przyznać żydom równe prawa, uznać ich jako współobywateli — bez narażania na szwank dobra publicznego. Wówczas też możnaby okazywać wobec żydów wszelkie względy ludzkości bez ujmy dla obowiązków patryotycznych oraz obywatelskich. Wtenczas życzenia najgorliwszych apologetów żydowstwa stałyby się rzeczywistością.

Wszystko, cokolwiekby na korzyść uobywatelenia żydów dało się powiedzieć, czegoby sobie szczerze życzyć należało — słowa autora — to stało się już przed wiekami w Polsce faktem dokonanym. Oczywiście owe ustępstwa na rzecz żydów były w znacznej części wypływem przypadkowych przyczyn, a ponieważ uważano ich jako źródło dochodów państwowych, przeto też musiano im od czasu do czasu nadawać pewne wolności, które co do istoty nie były wprawdzie prawami obywatelskiemi, ale posiadały daleko większą od takowych wagę i doniosłość. Gdy pewna część Polski przeszła pod panowanie austryackie, poczęto zapatrywać się na żydów, jako na przedmiot

politycznego ustawodawstwa, ale na równi z tendencyą zrobienia z nich dobrych lub też przynajmniej nieszkodliwych dla społeczeństwa obywateli utrzymywał się wzgląd wyzyskania ich, o ile możności, na rzecz skarbowości państwowej. Nadto przepisy rządowe, dotyczące żydów, zmierzały do wielce ważnego celu, to jest do zmniejszenia populacyi starozakonnej. Z czasem jednak okazały się braki w tak zwanym systemie żydowskim i wówczas to w sferach rządowych pojawił się projekt ustawy, określającej wszystkie stosunki prawne żydowstwa galicyjskiego. Projekt ten, acz nie wolny od usterek, byłby nieochybnie już w pierwszem dziesięcioleciu swego istnienia wywołał nader dodatnie rezultaty. Niestety, nie wszedł on nigdy w życie. Natomiast ogłoszono w roku 1789 patent, o wiele dogodniejszy dla żydów, gdyż nie zmierzał do ograniczenia ich liczby, a zarazem dawał im wszystko, cokolwiek państwo dać im mogło.

Jeżeli szkoła doświadczenia najlepszą ma być mistrzynią, to wedle twierdzenia autora, nadmierna ilość żydów galicyjskich wywiera wpływ nader szkodliwy tak na rolnictwo, jak na przemysł miejski a nawet na moralność wszystkich klas społecznych. Żydzi polscy przybyli do tego kraju z Niemiec; świadczy o tem ich żargon, będący mieszaniną staroniemieckiego języka, pomieszanego z zwrotami i wyrażeniami hebrajskiemi. W średnich wiekach doznawali oni w Niemczech przy każdej sposobności jak najsroższego prześladowania, gdyż Niemcy były w stosunku do żydów tem, czem dziś jest Polska. Wszystkie gałęzie handlu pozostawały niemal wyłącznie w ręku żydów. Oni też posiadali najwięcej gotowizny, oraz znali sposoby jej zdobycia. Pod tym względem byli najbardziej ucywilizowanymi ludźmi swego wieku. Solidarność żydowska była taka sama, co obecnie; posiadali Izraelici ten sam stopień oświaty. Każdy żyd umiał czytać i pisać, podczas gdy ta umiejętność należała do wyjątków wśród chrześcian. O ile wszakże warunki te były im pomocne do zdobycia bogactw i wpływów, o tyle zdobycze owe musiały wywoływać zawiść i nienawiść wśród chrześcian, zwłaszcza od chwili, gdy miasta poczęły wzrastać w potęgę i odegrywać ważniejszą rolę w dziejach Niemiec. W miastach też najwcześniej postradali żydzi kredyt, a duchowieństwo oraz szlachta pozostały im tylko dlatego przychylne, ponieważ w tych sferach pojęcia handlu i przemysłu rozwinęły się o wiele później. Tak więc potrzeba było drobnej przyczyny, by zawiść ludu przerodziła się w srogie prześladowanie żydów, podżegane przesądem religijnym z jednej lub z drugiej strony. Lud skłonny był tem bardziej do okrutnego postępowania wobec żydów, gdyż każde miasto a nawet każdy poszczególny osobnik miał

osobisty interes w ich prześladowaniu. Powoli w ślady mieszczan wstąpiły szlachta i duchowieństwo, skutkiem czego żydzi gromadnie jęli opuszczać swe siedziby w Niemczech, oglądając się za nowym przytułkiem. Przybyli do Polski, gdzie znaleźli daleko więcej, aniżeli utracili w Niemczech. Żydowscy przybysze w nowej siedzibie odkryli nadzwyczaj obszerne pole celem spożytkowania swych wiadomości handlowo-przemysłowych oraz umiejętności lekarskiej. Związani z sobą nader ściśle, jakkolwiek każdy z nich zdawał się działać na własną rękę, stali się w krótkim czasie niezbędnymi polskiej szlachcie, pośrednicząc między nią a miejskimi handlarzami. Żyd polski stał się z czasem dla ziemianina lekarzem, doradcą, faktorem i powiernikiem jego we wszelakich sprawach. W zamian za swe usługi żądali żydzi jedynie pozwolenia na pobyt w kraju oraz na budowę synagog, nie domagając się żadnego udziału w sprawach publicznych. Ta wstrzemięźliwość zdała się Polakom najlepszą rękojmią uczciwości ze strony żydowskich przybyszów, którym pozwolono żyć spokojnie według ich zakonu. Tu przytacza Kortum nadania królewskie, bądź określające stosunki prawne i wyznaniowe żydów polskich, bądź też przedstawiające zaporę przeciw ich zbytniemu rozwielmożnieniu, począwszy od przywileju Bolesława, wydanego w Kaliszu w roku 1264, a skończywszy na konstytucyi Zygmunta Augusta, wykluczającej starozakonnych w roku 1567 od dzierżawy wszelakich ceł, salin, opłat skarbowych i karczem — by ostatecznie dojść do przekonania, że Rzeczpospolita starała się przynajmniej od czasu do czasu ukrócić w drodze ustawodawczej nadużycia żydowskie. Natomiast w Galicyi po roku 1789 nie uczyniono niczego celem powstrzymania izraelickiego zalewu. A jednak nie chodzi tu o nadanie żydom jeszcze większych wolności lub też o poprawienie ich losu, lecz raczej o to, by trzymilionowa ludność Galicyi nie doznawała ucisku ze strony dwukroć stu tysięcy żydów. Nie ma w tym wypadku mowy o przesadzie, gdyż rzeczywistość potwierdza powyższe twierdzenie. Nie wszędzie spotkasz żyda, gdzie włościanin jest biedny, lecz przeciwnie, nigdzie włościanin nie jest zamożny, gdzie jest wielu żydów. Zdanie owe potwierdza w zupełności rozmaity stopień zamożności wieśniaka w Rzeczypospolitej oraz w Galicyi stosownie do tego, czy w sąsiedztwie jego osiadła większa lub mniejsza ilość żydów. W trzech okręgach galicyjskich, graniczących z Szlązkiem, istnieje najmniejsza liczba żydów i tam też spotyka się najwyższą kulturę, najbardziej rozwinięty przemysł i stosunkowo najwyższy stopień dobrobytu wśród ludu wiejskiego. Im dalej ku Wschodowi, tem bardziej zmieniają się i fizyonomia kraju

i stosunki wieśniacze. Włościanin z tych stron ma co raz to mniejsze potrzeby i w tym samym stosunku potęgują się u niego: lenistwo, brak troski o jutro i nałóg pijaństwa. Nawet siły umysłowe zanikają w nim, a powierzchowność jego staje się coraz to bardziej zaniedbana, dzika. Jakkolwiek rola we wschodniej części kraju jest corazto bardziej urodzajną, a w niektórych okolicach przedstawia wegetacyę bujną nad wszelki wyraz, to przecież nie posiada tego uroku, jakiego uprawianym gruntom dodają ślady ludzkiej pracy. Nieprzyjemne uczucie ze strony cudzoziemca wzmaga się jeszcze bardziej, gdy zajrzy do wnętrza nędznych i brudnych chat, na których widok mimowoli z ust jego wyrywa się okrzyk: Jak pięknym byłby ten kraj, gdyby go zamieszkiwali ludzie ucywilizowani! Podobne spostrzeżenie uczynić można w Rzeczypospolitej, gdzie w Wielkopolsce najmniej spotyka się żydów. W miarę, jak wzrasta ich liczba, obniża się poziom zamożności tak wieśniaka, jakoteż mieszczanina. Na Podolu i Wołyniu kraj roi się od żydostwa, więc też trudno sobie przedstawić smutniejszy stan włościanina. Chłop rosyjski jest równie nieoświecony a może też jeszcze mniej oświecony od polskiego. Ponieważ jednak brak w tamtych stronach żydów, przeto przynajmniej pod względem fizycznym ma się lepiej. Można przejść kolejno wszystkie kraje Europy, a nigdzie nie okaże się dodatnio wpływ żyda na wieśniaka. Przeciwnie obecność pierwszego jest zawsze przyczyną zubożenia drugiego. Uznając pewnik, że wewnętrzny obrót pieniężny przyczynia się znakomicie do pomnożenia dobrobytu mieszkańców, niepodobna nie zauważyć, że zarówno w Rzeczypospolitej, jak w Galicyi, wieśniak nie styka się nigdy bezpośrednio z miejskim producentem, lecz zawsze wciska się między nich żyd, który z czasem jednego i drugiego utrzymuje w zależności. Żyd jest przyjacielem, doradcą, panem, lekarzem galicyjskiego i polskiego chłopa, który w nim pokłada zupełne zaufanie. Żydowskie karczmy i arendy są nowoczesnymi zamkami *raubritterów*, nakładającymi kontrybucyę na całą okolicę, a jednak mieszkańcy ich unikają nawet pozoru wymuszenia. Każdy arendarz jest panem w swej wsi, lecz wobec chłopów nie zdradza niczem swej wyższości. Przeciwnie odegrywa wobec niego rolę łaskawcy i powiernika, a w wyjątkowych tylko razach ucieka się do władzy, dzierżonej z tytułu skarbnika dziedzica. W takich jednak wypadkach nie znosi on najlżejszego oporu ze strony poddanych. Umiarkowaniem i pozorną filantropią dopina tem pewniej zamierzonego celu. Chłop, traktowany z góry przez dziedzica, widzi w żydzie jedynego przyjaciela. Mówi z nim otwarcie, słucha jego rad, przyjmuje jego pomoc, ucieka się do jego

protekcyi. Nadto żyd jest szafarzem wódki-pocieszycielki, odegrywającej w życiu włościanina tak ważną rolę. Dzięki wódce chłop zagląda częściej do żyda, który z nim pogwarzy, wysłucha cierpliwie skargi, nie poskąpi rady, a często zapisze receptę (?) lub krew puści. Obcując codziennie z chłopem, dowie się, co tenże posiada, co ma na sprzedaż i czego potrzebuje. Ztąd żyd zna o wiele lepiej stosunki każdego chłopa we wsi, aniżeli sam dziedzic, i staje się panem położenia. Za wódkę staje się chłop dłużnikiem żyda, który wtenczas dopiero przypomni mu swą należytość, gdy nie ma już mowy o zaspokojeniu takowej w gotowiznie. Następuje przeto zgoda. Żyd z iście chrześciańską miłością przyjmie w obrachunku wszystko, co mu dłużnik przyniesie i nie odmówi mu kredytu na przyszłość. Gospodyni widzi wprawdzie ubytek w gospodarstwie, ale napróżno dopytuje się męża o pieniądze za sprzedane przedmioty, a najczęściej żyd i ją samą potrafi zniewolić do milczenia. Tak więc spokojnie mija kilka jasnych chwil w życiu chłopskiem. Przymiera on chętnie głodem, boć nie może się obyć bez napitku. Tymczasem zbliża się termin opłaty czynszów dla dworu, zwrotu otrzymanej zapomogi, zapłaty podatków. I znów żyd pozostaje jedyną ucieczką dla potrzebującego, który w zamian za zaliczone pieniądze sprzedaje mu zboże na pniu lub przyszły przychowek od krowy, zobowiązując się nadto do wysłużenia się żydowi furmanką lub też inną robotą. Chłop odczuwa tylko bieżącą potrzebę i tylko o jej zaspokojeniu myśli, nie zadając sobie wcale trudu obliczenia, ile otrzymana pomoc będzie go kosztowała w przyszłości. Skutkiem tego gospodarstwo jego pozostaje ciągle w najnędzniejszym stanie, a on sam, mimo tak małych potrzeb, cierpi ustawiczny niedostatek, nie domyślając się wcale, kto jest powodem jego biedy. Nałóg zakorzeniony u chłopa, by żyda uważać za przyjaciela, wyradza w wieśniaku nieograniczone zaufanie dla tego ostatniego wielce korzystne. Ten sam wieśniak, który bez wyrzutów sumienia oszuka swego pana, przestrzega uczciwości w stosunku z żydem a podejrzliwy wobec wszystkich, z całym spokojem pozostawia żydowi obliczenie swych długów. W wyjątkowych tylko razach potrzebuje arendarz wzywać asystencyi władzy dla ściągnienia swych należytości podczas trwania arendy. Tem też większy gromadzi się poczet długów chłopskich w chwili, gdy arendarz wieś opuszcza, ale i wówczas dłużnicy uiszczają dobrowolnie swe należytości.

Szlachcic polski — prawi Kortum w dalszym ciągu swych wywodów — już oddawna poznał się na sprycie żyda, który bez żadnych trudności zdołał wydostać pieniądze od chłopa. Nadto prze-

konał się dziedzic, że chrześcianin żadną miarą nie jest w stanie z samego wyszynku trunku płacić mu tak znaczną tenutę, lecz nie zastanawiał się z drugiej strony nad źródłem, z którego arendarz wydobywa swe dochody, przypisując je w najlepszej wierze oszczędności, zapobiegliwości i przemyślności żydowskiej. Tak więc oddawna żydzi wydzierżawili u szlachty wszelakie dochody z majątku ziemskiego płynące, z wyjątkiem gospodarki rolnej. Czynsz, opłacany przez nich, przedstawiał taką cyfrę, jakiej we własnym zarządzie dziedzic żadną miarą uzyskać nie byłby w stanie. I nikt nie zastanawiał się nad tem, że czynsz, opłacany przez arendarza, nie pozostaje w prawidłowym stosunku do ilości wyszynkowanego trunku, czy też do pobranych opłat innej kategoryi, lecz tworzy część mienia, wyłudzonego jego poddanym. Jeżeli tylko czynsz arendarza utrzymywał się w jednakiej wysokości, a chłopi odrabiali porządnie pańszczyznę, to dziedzic w opinii ogółu zyskiwał opinię dzielnego gospodarza. Tej klęsce starano się w Galicyi zaradzić, zakazując szynkarzom żydowskim udzielania chłopom wódki na kredyt w kwocie, przewyższającej 45. krajcarów. Ustawa ta, ogłoszona w r. 1784, nie wykorzeniła bynajmniej złego, lecz wpłynęła jedynie na zmianę manipulacyi ze strony żydów, którzy odmawiali stanowczo chłopu wódki, jeżeli dług jego przekroczył ustawniczą kwotę, wiedząc aż nadto dobrze, że chłop da im, co zechcą, zamiast gotówki, byle otrzymać trunek, przedstawiający dla niego jedyną w życiu przyjemność. Teraz dopiero przekonano się, że nie pijaństwo chłopa, lub wyszynk wódki przez żydów obniżają poziom zamożności włościańskiej, jeno towarzyszące temu zajęciu okoliczności. Dlatego też w listopadzie 1784 roku, (d. 4. t. m.), pojawiła się ustawa, wykluczająca raz na zawsze starozakonnych od wszelakich arend. Ci tylko żydzi zatrzymali prawo do wyszynku po miastach i osadach, którzy przed ogłoszeniem owej ustawy uprawiali rzeczony proceder we własnych domostwach i na własny rachunek. I ta koncesya miała im służyć tylko dożywotnio. Ustawa listopadowa dotykała żydów w sposób dla nich najbardziej dotkliwy i przyczyniłaby się, być może, do radykalnego wykorzenienia złego, gdyby później wydane rozporządzenia nie osłabiły jej wpływu. Jakoż w pierwszej chwili rzeczona ustawa wywołała straszliwy krzyk zarówno wśród chrześcian, jakoteż między żydami. Ci ostatni krzyczeli w niebogłosy: Zginiemy z głodu! podczas gdy ziemianie utyskiwali, iż z ustąpieniem żydów z arendy stracą bardzo wiele. Pierwsi oświadczali gotowość do największych ofiar za cenę zniesienia tego zakazu, drudzy wykazywali jak na dłoni, że chrześcianin nie może w żaden sposób płacić tak

wysokich czynszów, jak *infidelis* żydowin. Stanowczość rządu, okazana w tym wypadku, poczęła już wydawać błogie rezultaty, gdy później ogłoszone zarządzenia osłabiły skuteczność obowiązującej i dziś, (1795 r.), ustawy. I tak dozwolono żydom pędzenia wódki, osiedlania się na wsi, nawet na koszt państwa, nabywania i dzierżawienia dóbr. W ten sposób nie zniesiono formalnie zakazu arendy wyszynków, ale faktycznie pomnożono ich liczbę, zwłaszcza po miastach, dokąd się przeniosła znaczna liczba dawnych arendarzy, zastąpiona na wsi przez świeże zastępy żydów, osiedlających się wśród włościan pod pozorem uprawy roli lub zajmowania się jakiemkolwiek rzemiosłem. Nowi ci przybysze nie mogli się trudnić wyszynkiem wódki, przynajmniej jawne wykonywanie tego procederu było im wzbronione, ale pod względem usidlenia chłopa, jako dłużnika, taktyka ich pozostała niezmieniona. Pod tym względem dopomogła im wielce solidarność żydowska; osiedlający się po wsiach nędzarze żydowscy byli tylko ajentami pozostałych w mieście, bogatszych swych współwyznawców. Za ich pieniądze kupczyli wszystkimi ziemiopłodami, solą, a nawet pośredniczyli w dostawie podwód, potrzebnych rządowi, po cenie tak niskiej, o jakiej chłopi, zapytywani bezpośrednio przez władzę i słyszeć nie chcieli. Rozporządzając wspólnie znacznym kapitałem i potrzebną ilością wprawnych pomocników, mogli się żydzi podejmować wszelakich dostaw, nawet takich, których inni przedsiębiorcy nigdyby nie odważyli się dokonać. Wszędzie posiadali jak najdokładniejsze wiadomości, odkrywali środki pomocnicze, dla innych niedostępne. Jestto rzeczą pewną, że chłop żydowi nigdy nie odmówi pomocy, skutkiem czego znajdzie on wszędzie tyle sił roboczych, ile potrzebuje, gdyż każdy prawie wieśniak pośrednio lub bezpośrednio pozostaje pod wpływem żyda, któremu jest posłuszny bez użycia fizycznego przymusu. Można utrzymywać z całą stanowczością, iż mimo dobrodziejstw monarszych: rozszerzenia praw osobistych i ukrócenia powinności poddańczych, chłop galicyjski nie zyskał tyle, ile przedstawia wartość rządowych nadań. Przypisuje się winę tego lenistwu chłopa, jego opilstwu, w ogóle wszystkim tym wadom, które stoją na przeszkodzie jego dobrobytowi. Zapomina się wszakże przy tej sposobności o zgubnym wpływie, jaki żyd wywiera pod każdym względem na lud wiejski. Monarcha nigdy nie doczeka się plonu z swych dobrodziejstw, jeżeli nie zdecyduje się ich uzupełnić zarządzeniem, aby pewna klasa mieszkańców przestała tam zbierać owoce, gdzie nie posiała ziarna. Cokolwiek chłop zarabia, to zarabia dla żyda. Jak długo nie zaradzi się tej klęsce, jak długo chłop nie odzyska swej samodzielności, jak

długo żyd będzie jego przyjacielem, opiekunem, panem i wampirem — tak długo poprawa moralna wieśniaka, wzmożenie jego dobrobytu a nawet chęć poprawy jego doli pozostaną w krainie pobożnych życzeń.

Z tego, co się powiedziało — słowa Kortuma — można wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przystąpić do rozwiązania zagadnienia, czy w kraju takim, jakim jest Rzeczpospolita lub Galicya, należy myśleć o przeobrażeniu żyda w rolnika i w obywatela, pożytecznego państwu? Żyd, chociażby nawet chciał zostać rolnikiem, po czemu zbywa mu na fizycznych warunkach, doznaje w naszym klimacie, tyle różnym od ziemi obiecanej, najprzeróżniejszych przeszkód w zajęciach, jakich gospodarstwo wymaga, a to skutkiem obowiązujących go przepisów religijnych. Zarówno gospodarstwo rolne, jak chów bydła, zależne są w przeważnej części od pogody, podczas gdy rytualne przepisy starego zakonu nie pozwalają jego wyznawcom pracować w pewne dnie. A dni tych, świąt i półświąt, podczas których starozakonni muszą się powstrzymać od pracy, istnieje tyle w ciągu roku, iż już ta sama okoliczność stawia żydowskiego rolnika w nader niekorzystnem położeniu wobec chrześciańskiego współzawodnika, a liczne wypadki, skutkiem których starozakonny uważać się musi za nieczystego, zdarzają się tak często przy gospodarstwie rolnem, iż i z tych powodów prowadzenie takowego jest połączone dla izraelity z nadzwyczajnemi trudnościami. Nie zważano na to wcale, udzielając patentem z roku 1789 żydom, zamierzającym poświęcić się rolnictwu, pozwolenia, by przez pierwsze dwa lata celem przyuczenia się gospodarki utrzymywali czeladź chrześciańską. Skutek tego zarządzenia był arcyfatalny, gdyż żydzi, chcący korzystać z przywilejów, użyczanych rolnikom, kupowali lub dzierzawili grunty, które następnie poddzierzawiali lub kazali uprawiać na własny rachunek. Sami zaś poprzestawali na roli dozorców swych robotników, których wyzuwali z wszystkiego, nie troszcząc się wcale o ustawę i o władze obwodowe. Choćby więc żyd pozbył się zupełnie przesądów religijnych, utrudniających mu prowadzenie gospodarki rolnej, to jednak nie wyrzecze się on korzyści, jakie zwykł ciągnąć z swych stosunków handlowych z ludem wiejskim. Chcąc przeto zniewolić żydów do zajęcia się na prawdę rolnictwem, należałoby przerwać wszelakie ich stosunki z ludem wiejskim i zmusić osiadłych na roli izraelitów, by własną pracą i bez pomocy chrześciańskich robotników zarabiali na swe utrzymanie. Że tego rodzaju kontrola jest trudna a nawet niepodobna do urzeczywistnienia — dowodzić chyba niepotrzeba. Zresztą złe tkwi w samejże istocie żyda,

który siedząc pod jakimkolwiek pozorem na wsi, nie omieszka w myśl dawnego swego przywyknienia dążyć do owładnienia chłopami, do zabicia w nich wszelkiego poczucia samodzielności i poprawy bytu, byle tylko stać się im nieodzownie potrzebnym. Zdaje się, iż ustawodawstwo od dawna już uznało tę smutną prawdę i tem się też tłómaczy nakaz wydalenia żydów ze wsi, udaremniony zresztą późniejszymi przepisami odmiennej treści. Wskutek tego zarządzenia nastąpiło przepełnienie miast ludnością żydowską, którą spodziewano się lepiej mieć na oku. Sprowadzenie żydów do miasta nie wyszło na korzyść mieszczaństwa, którego dobrobyt w znacznej części polega na bezpośredniej wymianie produktów z rolnikiem. W kraju atoli, gdzie żyd wtrąca się jako pośrednik między mieszczanina a chłopa, zamożność mieszczańska nie może być długotrwałą. Równocześnie żydzi, przesiedleni do miasta, rzucili się do rozmaitego rodzaju rzemiosł, z których niebawem wyparli chrześciańskich współzawodników. Jakkolwiek potrzeby naszego chłopa są nader skromne, to przecież ogół takowych, razem wzięty, przedstawia pokaźny zarobek dla mieszczaństwa. Odzież, buty, tytoń, żelaziwo, wyroby gliniane, rzemieuie, wstążki i tym podobne drobiazgi są to artykuły, które chłop od czasu do czasu nabywa za gotówkę. Wszystkimi tymi towarami kupczą żydzi, zdobywszy sobie w tej dziedzinie faktyczny monopol i pozbawiając zarobku tysiące chrześciańskich mieszczan, którym pozostawili z rękodzieł zaledwo cięższe zajęcia, jak ciesiołkę, murarstwo, kowalstwo, szewstwo i garbarstwo. Podczas jarmarków wiejskich i miejskich kramarze żydowscy zdołają zawsze do siebie ściągnąć chłopów kredytem, pozorną taniością towaru, pochlebstwem i tem zaufaniem, którem wieśniak ochotniej darzy żyda, aniżeli kogokolwiek innego. Od żyda chłop jest zależny nawet pod względem zakupu żywności. Od niego nabywa sól w drobnych ilościach, mięso — od wielkiego święta — i chleb pszenny podczasja rmarku; u innych klas ludności, nawet wśród takich, które zrazu okazywały wstręt i niechęć wobec żydów, wyradza się z czasem przekonanie, że żyd w Galicyi jest nieodzownie potrzebny. Używają go przeto do rozmaitych posług domowych, kupują wszystko u niego, zapominając o pierwiastkowem uprzedzeniu. Przyczyna tego objawu wynika z niecierpliwości ludzkiej, która raczej poprzestanie na mniej dokładnem wykończeniu roboty, aniżeli zdecyduje się na dłuższe oczekiwanie. Gdyby chciano obyć się bez żyda, trzebaby na razie coś drożej zapłacić, albo też zdobyć z większym trudem, lecz z czasem znaleźliby się ludzie, zdolni do zastąpienia żydów. Chłop galicyjski równie chętnie sprzedaje, jak kupuje u żyda, zaś chrześcianin, osiadły

w mieście, przygląda się temu apatycznie, czekając z założonemi rękoma chwili, w której żyd pozwoli mu cośkolwiek zarobić. Do wyrobienia owej wyłączności handlowej posłużyły żydom, prócz wódki, ich solidarność i równość stanu. Ta ostatnia jest według Kortuma powodem, iż żyd każdej sposobności, każdego środka użyje do szacherki, nie uważając takowej za ubliżenie dla swej godności. Wobec tego przemysłowiec galicyjski, podejmujący przedsiębiorstwo w stolicy kraju, czy też na prowincyi, musi się przedewszystkiem kłopotać myślą, czy zdoła wytrzymać współzawodnictwo żydowskie, które mimo pozorów wolnej konkurencyi jest faktycznie monopolem. Żyd bowiem nie działa nigdy odosobniony, zawsze i wszędzie znajdzie chętnych wspólników i pomocników, wszędzie jest w domu, podczas gdy chrześcianin walczyć musi na każdym kroku z brakiem zaufania, z oszczerstwem i z zawiścią, by w końcu zrażony i zniechęcony usunąć się z pola walki, ustępując miejsca żydowi, kroczącemu w zwartym szeregu. Jeżeli się nadto uwzględni brak oświaty, apatyę i niechęć zdobycia sobie lepszego losu ze strony galicyjskiego małomieszczaństwa, to wówczas nikomu nie może się wydać dziwnym nędzny stan miast i miasteczek w tym kraju. Miasto więc pytania, dlaczego ludność galicyjska pozwala się żydom wyzyskiwać? — należałoby raczej zapytać, jak się to dzieje, że istnieją jeszcze chrześcianie w tym kraju?...

Z kolei zastanawia się nasz autor nad zgubnym wpływem moralnym, wywieranym przez żydów na społeczeństwo galicyjskie, przyczem nie czyni starozakonnym wyłącznie zarzutu z powodu lichwy i oszustwa, jeno na podstawie aktów oraz dochodzeń urzędowych stara się wykazać ujemny wpływ Izraelitów na urzędników rządowych w Galicyi, szczególnie na tych, którzy zdala od stolicy kraju przebywają na prowincyi. Kortum nie przypisuje wyłącznej winy z tego powodu samymże urzędnikom, lecz raczej żydom, u których pojęcie honoru i hańby jest zasadniczo różne od pojęć, żywionych przez nas pod tym względem. Jakkolwiek owe *point d'honneur* same przez się nie jest cnotą, to jednak czasem skutecznie zastępuje jej miejsce i będąc częstokroć podnietą do szlachetnych czynów, powstrzymuje nas od działalności przeciwnej. Tymczasem człowiek, nie posiadający owego poczucia, może dopuszczać się takich rzeczy, które są niemożliwością dla człowieka honoru, liczącego się w doborze środków, podczas gdy tamtemu wszystkie środki są obojętne. Należy się postawić — słowa autora — w sytuacyi urzędnika, niezbyt dobrze uposażonego, którego otacza masa ludzi sprytnych, zasobnych a dybiących na to, by go uczynić powolnym dla swych

interesów — a przestaniemy się dziwić, dlaczego urzędnicy tutejsi tak smutnej zażywają sławy. Za wiele wymaga się od człowieka, żądając, by wobec nadzwyczaj silnej pokusy okazywał nadludzki stoicyzm, bez względu na to, iż pobudką jego czynów być może często chwilowa potrzeba. Żądanie tego rodzaju tem mniej jest słuszne, im mniej uwzględnia się pobudki przestępstwa, nie zadając sobie trudu usunięcia lub odwrócenia źródła złego. Nie idąc w ślady tych, którzy żyda widzą wszędzie w postaci lichwiarza i na tem jedynie budują swe zarzuty, przypatrzmy się wpływowi żydów pod względem uczciwości handlowej i publicznego kredytu. Jako osobno wzięta jednostka, żyd nie posiada ani mniej, ani więcej wad, aniżeli każdy inny człowiek. Inaczej zupełnie rzecz się przedstawia, jeżeli weźmiemy na uwagę żydowskiego kupca w stosunku do jego współwyznawców. W tym wypadku należy zupełnie spuścić z oczu poszczególną jednostkę a baczyć na działanie całości. Kupiec starozakonny: *A.* lub *X.* może osobiście zasługiwać na wiarę oraz na zaufanie, ale w stosunku z swymi współwyznawcami posiada on mnogo łatwości, pokusy i sposobności do spożytkowania rozlicznych środków, niedostępnych komu innemu, również goniącemu za zyskiem. Ta wielka ilość środków przedstawia co najmniej pokusę, jeżeli nie motyw dla starozakonnego, by w wielu wypadkach postępować jako żyd, nie jako obywatel państwa. Wobec tego przemysłowiec-chrześcianin ma tylko dwie drogi do wyboru: albo działać wspólnie z żydem, używając go za pośrednika tam, gdzie sam musiałby pozostać bezczynny, a tem samem przywyknąć powoli do innej moralności handlowej, albo też usunąć się z placu, zostawiając żydom wolne do działania pole. Z tego stanowiska należy oceniać tę drażliwą sprawę, która zbija w sposób najbardziej stanowczy dowodzenia filosemitów, jakoby wykluczenie żydów od wolności handlowo-przemysłowej zniewalało ich do używania dwuznacznych środków. Rzeczpospolita i Galicya, gdzie żydzi nie doznają żadnych ograniczeń pod tym względem, są odstraszającym przykładem dla obcych kupców i przemysłowców. A ponieważ handel tych krajów spoczywa przeważnie w rękach żydowskich, przeto niepodobna się dziwić, że cudzoziemski kupiec i fabrykant skutkiem naturalnej zresztą assocyacyi pojęć spoglądają dwuznacznie na najuczciwszego, chrześciańskiego kupca, pochodzącego z tych stron. Tak więc cały stan kupiecki traci kredyt i zaufanie z powodu, iż takowych nadużyła, albo też zgoła nie posiadała pewna klasa ludności . . .

Tu koniec rozdziału czwartego.

W ustępie najbliższym polemizuje autor z wywodami pruskiego męża stanu i publicysty, Chr. Wilhelma Dohma, wyrażonymi w ogłoszonej w roku 1781 rozprawie p. t. *Von der bürgerlichen Verbesserung der Juden*. Z polemiki tej, wcale wyczerpującej, nieobojętnym jest dla nas szczegół, dotyczący Lwowa. Oto od czasu, gdy żydom przyznano prawo nieograniczonego osiedlania się w kraju, wybrali oni sobie najbardziej zyskowne rzemiosła, które wykonywali na punktach miasta najbardziej dogodnych. Skutkiem tego kupcy i rzemieślnicy lwowscy, nie posiadający własnych domostw, ujrzeli się nagle w niebezpieczeństwie wyrugowania ich z dotychczasowych siedzib wobec nadmiernie wysokich czynszów, zaofiarowanych przez żydów właścicielom realności...

W rozdziale szóstym odpowiada Kortum na pytanie, co należy uczynić, by żydów, którzy nie nadają się na pozytywnie dobrych obywateli państwa, zrobić chociażby nieszkodliwymi? albo też zmniejszyć przynajmniej rozmiary klęski, której w zupełności usunąć niepodobna? Chcąc rozwiązać owe zagadnienie, należy przedewszystkiem rozdzielić je na dwie odrębne kwestye a mianowicie: Czy oświata jest środkiem odpowiednim, by żydów postawić na równi z tubylcami pod względem towarzyskim i obywatelskim z zupełnem pominięciem ich zwyczajów i obyczajów narodowych, przesądów i ustaw? Czy też rząd mógłby pożądaną w społeczeństwie jednolitość stworzyć w drodze ustawniczej?

Co do kwestyi oświecania żydów, to przedewszystkiem należałoby osłabić w nich przekonanie o boskiem pochodzeniu i o mocy obowiązującej żydowskich ustaw narodowych, które są najważniejszą przeszkodą w zlaniu się żydów z tubylcami. Do tego celu trzy wiodą drogi: oświata młodzieży szkolnej z wyłączeniem teologii, wyrobienie wśród dorastającego pokolenia obojętności wobec odziedziczonych po przodkach przepisów, przesądów i nakazów, albo też wychowywanie tej młodzieży w zasadach innego wyznania. Nauka szkolna, z wyłączeniem teologii, nie wiodłaby jednak do upragnionego celu, gdyż żyd, najuczciwszy i najwykształceńszy, nie może odrzucić swych przekonań, czyniących go żydem, tem bardziej, że teologia jest dla niego zarazem wiedzą i ustawą. Jeszcze niebezpieczniejszą jest druga droga, polegająca na zobojętnieniu żydów wobec przepisów wyznaniowych. Przypuściwszy nawet, że wpływ szkoły mógłby stać się do tego stopnia silnym, by wyrugować wpajane w umysły młodociane przez rodziców zasady, to w najlepszym razie przyszła generacya żydowska składałaby się z samych indyferentystów. Inaczej mówiąc, państwo niby na tem nie zyskało, a straciłoby bardzo

wiele, gdyż już Solon w swem ustawodawstwie przestrzegał jak najusilniej przed neutralnością obywateli w sprawach wewnętrznych państwa. Zresztą indyferentyzm graniczy bardzo blisko z nietolerancyą i z tego względu środka owego polecać żadną miarą niepodobna. Wszak istnieje spory zastęp żydów, którzy lekceważą całą wiedzę talmudystyczną oraz żydowskie przesądy i z tego tytułu pragną uchodzić za oświeconych, zasłużonych obywateli państwowych. Spotyka się ich, zwłaszcza wśród klasy zamożniejszej od czasu założenia szkół żydowskich. Myliłby się wszakże, ktoby sądził, że ci ludzie, szydzący z rabinów i z talmudu, lekceważyć będą również korzyści, płynące dla nich z solidarności żydowskiej. Nie wypowiedzą oni swych przekonań otwarcie, ani też nie zerwą z ogółem swych współwyznawców. Przeciwnie, udawać będą gorliwych religiantów, jeżeli tego wymagać będzie ich interes, grając komedyę oświaty i liberalizmu wobec dobrodusznych chrześcian. Są to hermafrodyci moralni, którzy nigdy nie mogą się zdecydować na publiczne oświadczenie, po czyjej są stronie.

Wobec tego pozostaje jeszcze trzeci środek oświaty, to jest nawracanie żydów na chrześcianizm. Sam autor jednak wątpi w skuteczność owej konwersyi, choć nie potępia bezwzględnie projektu, by nieślubne, ubogie dzieci żydowskie wychowywać w zasadach religii chrześciańskiej w zakładach na ten cel ustanowionych a czerpiących swe dochody z funduszów żydowskich szkół normalnych.

Oświata przeto nie wiedzie, zdaniem Kortuma, do wytkniętego celu. Natomiast przychyla się on do twierdzenia, że skuteczniejszym środkiem w sprawie uobywatelenia żydów byłyby ustawy policyjne. Nie poskutkowałyby od razu, ale stopniowo. W ustawodawstwie podobnie, jak w medycynie, mając na oku główny skutek, niemożliwy do osiągnienia poszczególnem lekarstwem, należy współdziałać środkami, podporządkowanymi w głównej recepcie. Tak samo dzieje się i w tym wypadku. Poszczególne przepisy policyjne, zastosowywane osobno, tak samo nie odniosą skutku, jak ogólna ustawa, bez pomocniczych środków pobocznych. Należy więc przedewszystkiem znaleść zasadę, na której oprzećby wypadło całe ustawodawstwo żydowskie. Bezwątpienia państwo ma prawo żądać, by każdy, który w niem żyje, stosował się bez wyjątku do ustaw w niem obowiązujących. Zaiste komiczne wrażenie sprawićby musiała odpowiedź danej jednostki, która na żądanie władzy co do spełnienia pewnej powinności ustawą wymaganej, chciałaby się od niej uchylić twierdzeniem, że tradycye rodzinne lub przepisy korporacyjne nie pozwalają jej tego uczynić. Zupełnie naturalnem jest żądanie państwa,

które od każdego, pragnącego w niem używać praw obywatelskich osobnika domaga się: uznania istniejącego władcy, unikania wszelkiego separatyzmu, dążącego do uwolnienia się od nałożonych na obywateli obowiązków pod pozorem tradycyi, prawa zwyczajowego, czy też pisanego, od wieków istniejącego, zarzucenia odrębnej gwary i pisowni. I nikt nie mógłby rządu takiego państwa pomówić o nietolerancyę lub o chęć prześladowania wyznawców odnośnej religii. Inaczej wszakże myślą żydzi. Dla nich ustawodawcą nie jest rząd krajowy, ale Mojżesz i komentatorowie jego przepisów, zwłaszcza w takim wypadku, gdzie zachodzi kollizya między obyczajem żydowskim a miejscową ustawą. Stosunek żyda do władzy rządowej przypomina w zupełności stosunek niewolnika wobec tyrana. Z jednej strony siła i przymus, z drugiej wymuszone posłuszeństwo. Pojęcie obowiązku, wypływającego z naturalnego stosunku między rządzącymi a rządzonymi, obcem jest żydowi, który spodziewa się przyjścia Mesyasza, kruszącego żelaznem berłem książęta tego świata. Jest on obcym w miejscu swego urodzenia i uważa się za wygnańca w kraju, który daje mu byt i mienie. Affektuje swój separatyzm nawet pod względem zewnętrznym i domaga się, by policya miała dla niego szczególniejsze względy, ponieważ gdzieś przed laty tysiącem, w zakątku Azyi istniało odmienne, żydowskie ustawodawstwo. Dlatego też główną zasadą żydowskiego ustawodawstwa musi być zadanie, by wypełnianie obowiązków na równi z ogółem obywatelstwa stało się nieodzownym warunkiem równouprawnienia żydów. Publikacya tej lakonicznej ustawy nie natrafiłaby na żadne trudności w kraju, w którym żydzi jeszcze się nie osiedlili. Ale w kraju tak silnie zaludnionym przez żydów, jak Galicya, gdzie egzystencya ogółu ludności zespoliła się do tak znacznego stopnia z bytnością żydów, wypadnie pomyśleć o zastosowaniu innych środków zaradczych, jeżeli ma być osiągniony cel główny.

Takimi środkami zaradczymi mogłoby być, zdaniem Kortuma, uczynienie zależnem nabycie prawa osiadłości, posiadania nieruchomości, należenia do cechów, od wypełniania wszystkich obowiązków obywatelskich bez wyjątku. Tak więc starozakonny miałby do wyboru albo równouprawnienie obywatelskie, albo też poddanie się ustawom wyjątkowym, wymierzonym przeciwko żydom, trwającym w uporze. Jako dalszy środek zaleca autor zniesienie żydowskiej odrębności wyznaniowej pod względem prawnym, to jest kasatę izraelickich gmin wyznaniowych, rabinatów i t. d., pozostawiając starozakonnym najzupełniejszą swobodę pod względem zastosowywania swych religijnych przekonań do istniejących urządzeń publi-

cznych, a zarazem doradza rządowi wprowadzenie przepisów, utrudniających zawieranie małżeństw żydowskich w ogólności. Ogół tych przepisów, dotyczący żydów już osiadłych w kraju, tworzyłby dla nich rodzaj kodeksu osobowego, zaopatrzonego w klauzulę tej treści, iż wolno każdemu starozakonnemu oświadczyć się, czy zamyśla trwać przy talmudzie i poddać się ustawom wyjątkowym, czy też chce uzyskać równouprawnienie obywatelskie. Kortum przypuszcza, że z każdym rokiem wzrastałaby liczba postępowych żydów, a zmniejszałaby się garstka zelotów, stając się tem samem coraz to mniej szkodliwą dla ogółu społeczeństwa. Autor kończy swe wywody zapewnieniem, że starał się zapatrywania swe pogodzić z tendencyą tolerancyi i miłości bliźniego, spodziewając się, że nawet żydowscy czytelnicy wyróżnią jego pracę od innych publikacyi w tym przedmiocie skreślonych.

Nie wiemy niestety, jakie wrażenie wywołała rozprawa Kortuma w współczesnem społeczeństwie żydowskiem. Pozwolimy sobie wszakże zauważyć, że jakkolwiek cel przez niego wskazany: równe prawa i równe obowiązki dla wszystkich — żadnemu nie może ulegać zarzutowi, tak z drugiej strony wskazane przez autora środki pomocnicze zdradzają w nim na pierwszy rzut oka teoretyka biurokratycznego, nie liczącego się z warunkami powszedniej rzeczywistości. Łatwiej bowiem możnaby przypuścić, że pewna część żydowskiego społeczeństwa w Galicyi, powodowana chęcią uzyskania równouprawnienia, zdobyłaby się, choćby pozornie tylko, na oświadczenie, iż gotową jest do ponoszenia wspólnych ciężarów publicznych z resztą ludności. Natomiast zniesienie odrębności wyznaniowej, żydowskiej pod względem prawno-państwowym byłoby środkiem, jakiego z pewnością nie użyłby żaden rząd nowoczesny, wiedząc aż nadto dobrze, że krok podobny musiałby wywołać wręcz przeciwne od zamierzonych celów skutki. Toż samo podział ludności starozakonnej na dwie kategorye, na żydów-starowierców i reformowanych, musiałby przedstawiać dla administracyi krajowej niepokonane trudności, a dając przekupnym urzędnikom sposobność do rozlicznych nadużyć, pomnożyłby tylko poczet owych srogich na pozór a w rzeczy samej bezskutecznych ustaw antiżydowskich, wydawanych u nas z końcem ośmnastego wieku. W każdym razie poglądom Kortuma niepodobna odmówić trafności z wielu względów a jako wynik naocznych obserwacyi obznajomionego z stanem kraju autora pozostaną one wielce ciekawym przyczynkiem do dziejów kwestyi żydowskiej w Galicyi.

III.

Józef August Schultes, urodzony w Wiedniu dnia 15. kwietnia 1773 r., należał do tych nieszczęśliwych osobników rodzaju ludzkiego, którzy zawsze i wszędzie niezadowoleni, wyobrażają sobie, że o wszystkiem są najlepiej poinformowani i mają z tego tytułu prawo do pouczania otaczającego ich społeczeństwa. Był on uosobieniem negacyi, a jakkolwiek nie zbywało mu na umiejętności i doświadczeniu, zdobytem w ciągu rozlicznych podróży, to jednak nie zdołał nigdzie oddziałać dodatnio i trwale, choćby nawet tego dla własnej egzystencyi jak najszczerzej pragnął.

Ojciec Schultesa, dawny żołnierz z wojny siedmioletniej, z zawodu kowal, przeznaczał go do stanu kupieckiego, podczas gdy matka, widząc u Józefa niezwykłe zdolności i chęć do pracy naukowej, rada była ujrzeć go księdzem. Ojciec atoli sprzeciwiał się dalszemu kształceniu dziecka, skutkiem czego czternastoletni wyrostek sam musiał zapracowywać na swe utrzymanie w szkołach. Przy sposobności popisu uczniów, Gerhard von Swieten zwrócił uwagę na zdolności Schultesa i udzieleniem mu stypendyum umożliwił młodzieńcowi dokończenie studyów na wydziale medycznym. Ponieważ jednak klinika wiedeńska przedstawiała w owym czasie poważne braki, przeto żądny wiedzy stypendysta postanowił przenieść się do Pawii, gdzie czynnym był jako profesor słynny Frank. W tym celu zażądał audyencyi u cesarza Józefa II., a zapytany przez monarchę, dlaczego nie kończy studyów w Wiedniu, odpowiedział z całą otwartością, że na tamtejszym fakultecie nie można się niczego nauczyć... Cesarz nie dał Schultesowi pozwolenia na wyjazd, lecz natomiast powołał Franka do Wiednia. Schultes objął przy uczonym profesorze stanowisko asystenta i już w r. 1796 uzyskał stopień doktora medycyny. Jeszcze w czasie studyów uniwersyteckich odbywał on liczne wycieczki naukowe po Austryi górnej, Styryi, Bawaryi, Szwajcaryi, w ciągu których głównie go zajmowała flora tych krajów. Licząc niespełna lat dwadzieścia cztery, zamianowany został Schultes profesorem botaniki w akademii Terezyańskiej, a równocześnie zażywał znacznego wzięcia, jako lekarz praktykujący. Zajęcia te, połączone z częstemi wycieczkami w góry, nie przeszkodziły Schultesowi w pracy literackiej i w czynnościach wydawniczych, których rezultatem było założone przez niego w r. 1802 pismo literackie: *Annalen der österreichischen Literatur und Kunst*. Redakcyą tego pisma, cieszącego się wielkiem powodzeniem, zajmował się Schultes aż do roku 1805, zaś w roku następnym

otrzymał na własne żądanie katedrę chemii i botaniki w uniwersytecie krakowskim. Urządzenie ponowne wielce zaniedbanego ogrodu botanicznego, tudzież częste wycieczki, podejmowane w różne strony Galicyi, zajęły zrazu w zupełności ruchliwy umysł Schultesa, ale niebawem swoboda jego poglądów i wyrażeń uniemożliwiły dłuższy pobyt profesora w tym kraju. Odrzuciwszy więc poprzednio zaszczytne wezwanie celem objęcia katedry w uniwersytecie peszteńskim, pospieszył Schultes w roku 1808 do Innsbruku, gdzie chwilowy władca tej prowincyi, rząd bawarski, organizował uniwersytet. Zajęcia profesorskie, którym się oddał z całą gorliwością, nie przeszkodziły Schultesowi w głośnem politykowaniu, przyczem nie oszczędzał bynajmniej systemu rządowego, istniejącego w Austryi. To też z chwilą ponownego zajęcia Tyrolu przez wojska austryackie, uwięziono Schultesa i wywieziono do Pięciu Kościołów na Węgrzech. Odzyskawszy wolność, powrócił ów duch niespokojny do Bawaryi, gdzie doznał zrazu nader życzliwego przyjęcia ze strony władzy i otrzymał nominacyę na profesora historyi naturalnej oraz botaniki przy uniwersytecie w Landshut. Ale i tam niebawem znalazł spory zastęp nieprzyjaciół. Jako fanatyczny wielbiciel Napoleona zraził sobie silne w kraju stronnictwo staro-bawarskie, a równocześnie bezwzględnemi wycieczkami obruszył na siebie krzewiący się bujnie „Tugendbund“, tudzież duchowieństwo, z którem w ustawicznej pozostawał niezgodzie. Przeciwnicy, drażnieni przez Schultesa, odpłacali mu pięknem za nadobne i za ich wpływem zasłużony profesor z chwilą przeniesienia uniwersytetu do Monachium pozostał na miejscu w charakterze dyrektora nowo zawiązanej szkoły chirurgicznej w Landshut, której głównem zadaniem było kształcenie felczerów wiejskich. Dotknięty do żywego doznanem upokorzeniem, poświęcił się Schultes z całą ofiarnością pielęgnowaniu chorych w miejscowym szpitalu, zajęciom naukowym, tudzież dłuższym podróżom, odbywanym po krajach monarchii austryackiej, po Niemczech, Anglii, Holandyi i Francyi. Wkrótce też zawód doznany w karyerze naukowej, oraz nieznośne stosunki, panujące w Landshut, przyprawiły energicznego badacza o melancholię, która zapanowała nad jego umysłem przez ostatnich pięć lat życia. Zgasł w dniu 21. kwietnia 1831 r. w Landshut, licząc zaledwie 58 lat wieku.

Z nader obfitej spuścizny pisarskiej Schultesa, składającej się z rozpraw naukowej treści, rozrzuconych po czasopismach zawodowych, oraz z opisów podróżniczych, wydanych w formie książkowej, wyjmujemy te tylko publikacye, które dotyczą Galicyi.

Najpierwszą co do daty powstania wzmiankę Schultesa o Galicyi znajdujemy w tomie drugim *Dziennika Chemiczno-fizycznego*, wydawanego w Berlinie przez dra Adolfa F. Gehlena [1]). Artykuł ten zatytułowany: *O kopalniach w Bochni*, nosi datę drugiego grudnia 1806 r. i zawiera pewne wiadomości, dotyczące produkcyi miejscowej oraz stosunków tamtejszych. Kopalnie bocheńskie dostarczały, według Schultesa, 300.000 cetnarów soli rocznie, w trzecim kwartale 1806 r. wydobyto z nich 75.000 wiader soli, każdy po 284 funty. Oprowadzający profesora po kopalniach urzędnik zaprzeczał wprawdzie, jakoby istniało połączenie między kopalniami bocheńskiemi a wielickiemi, twierdząc natomiast, że takowe zachodzi między Bochnią a salinami, istniejącemi w Multanach. Ten sam urzędnik opowiadał Schultesowi, iż zasługa odkrycia salin bocheńskich przypadła w udziale szewcowi, kopiącemu studnię. Szyb wjazdowy do wnętrza kopalni znajdował się w samem śródmieściu tuż obok kościoła. Urzędnicy, tudzież goście zwiedzający saliny, spuszczali się pod ziemię za pomocą windy. Na końcu sznura, zwisającego nad otworem szybu, były urządzone cztery pętlice, zaopatrzone w szerokie gurty, tworzące siedzenie i połączone w poprzek przeprowadzonym rzemieniem. Na dany znak drzwi od szybu otwierają się i następuje jazda w otchłań, liczącą trzydzieści ośm sążni. Pierwsze piętro kopalni, najstarsze, liczyło zaledwie 300 sążni długości i czterdzieści szerokości. Na tem piętrze, dość wilgotnem, z powodu wody, przeciekającej z powierzchni ziemi, mieściły się stajnie dla koni, używanych na drugiem piętrze kopalni do obracania kołowrotów. Na drugie piętro, położone o sześćdziesiąt sążni poniżej, schodziło się po 700 schodach, wykutych w soli, a dostępnych dla koni. Tam też obrabiano bałwany soli, złożone z soli zielonej a właściwie szarej, liczące po sto i więcej funtów wagi, zaś odpadki i znajdowane od czasu do czasu kawały białej soli pakowano do wiader, ważących do 280 funtów. Sól windowano do góry osobnym szybem za pomocą kołowrotu, poruszanego przez konie, podczas gdy innym znów szybem, wiodącym z pierwszego piętra, pompowano wodę, odprowadzaną podziemnemi rynnami do wspólnego zbiornika. Wodę ową, nasyconą dostatecznie solą, marnowano bezużytecznie, wylewając ją do Wisły. Im dalej w głąb kopalni, tem większa panowała posucha, tak, iż w najniżej położonych sztolniach unosił się istny kurz, objaw dość niezwykły w kopalniach. Pył ten, gryzący,

---

[1]) „Journal für die Chemie und Physik“ herausgegeben von Dr. Adolf Ferdinand Gehlen, (Berlin 1806). B. II. S. 164—171.

uniemożliwiał górnikom pracę w odzieży. Dlatego pracowali oni na pół nadzy. Liczba górników w kopalniach bocheńskich dochodziła do czterystu głów. Płaca ich wynosiła 26. krajcarów dziennie. Górnicy, pracujący za kontraktem, zarabiali więcej, pobierając od bałwana po dwanaście krajcarów. Drugie piętro kopalni, na którem główna sztolnia nosiła miano Augustowskiej, było największe, (1.300 sążni długości i 50 szerokości). Tamtéż istniały wykute w soli kaplice, w których odprawiano solenne nabożeństwa. Trzecie piętro, położone o 48 sążni niżej, nie przedstawiało, zdaniem Schultesa, żadnych osobliwości, podobnie jak czwarte, w którem dopieroco rozpoczęto eksploatacyę soli. Utrzymują tu — pisze Schultes — iż sól bocheńska tworzy pokłady, ponieważ jednak dotychczas nie dotarto do miejsca, w któremby się owe pokłady kończyły, a pomiędzy poszczególnemi sztolniami istnieją również obfite warstwy solne, przeto należałoby raczej przypuścić układ piątrowy. Wśród warstw gipsu i gliny, przerzynających w niektórych miejscach pokłady soli, znachodzono też czasami kostkowe kryształy czystej soli kuchennej, ongi bardzo poszukiwane przez fabryki angielskie i holenderskie. Obecnie — dodaje autor — około trzydzieści beczek tej soli odstawiają corocznie do Wieliczki. Osobliwszych maszyneryi nie posiadały kopalnie bocheńskie. Pracowano właśnie nad nowym kołowrotem. Skrzynie do przesuwania okruchów solnych były konstrukcyi Peittnera. Przedtem bałwany i beczki transportowano w podziemiu za pośrednictwem koni.

Tyle o salinach bocheńskich. Dalsze relacye Schultesa o kopalni miedzi w Miedzianej Górze, tudzież o hutach żelaznych w Samsonowie i w Suchedniowie, należących w r. 1808 do Austryi, znajdujemy w tomie szóstym *Dziennika Chemiczno-fizycznego* [1]. W zakres niniejszego streszczenia, dotyczącego wyłącznie stosunków galicyjskich, wchodzić wszakże mogą jedynie wstępne uwagi autora, który, opuszczając na zawsze Galicyę, wyraża swe poglądy na stan górnictwa austryackiego. Przedewszystkiem przeto biada Schultes nad zalewem kopalni srebra w Olkuszu, oraz nad brakiem fachowych górników, których po zgonie Borna [2]) i Scopolego [3]) Austrya wcale nie posiadała. Akademia w Szczawnicy Węgierskiej zeszła również,

---

[1]) „Journal für die Chemie, Physik und Mineralogie“, herausgegeben von A. F. Gehlen, (Berlin 1808). VI. Band. S. 124—139.

[2]) Ignacy Born, znakomity geolog i mineralog współczesny, zmarły w Wiedniu dnia 24. czerwca 1791 r.

[3]) Jan Antoni Scopoli, znany górnik i przyrodnik. zmarły w dniu 8. maja 1788 r. jako profesor uniwersytetu w Pawii.

jego zdaniem, na farsę po ustąpieniu Möllinga, zaś zamianowanie marszałkiem nadwornym hrabiego Wrbny [1]), prezydenta nadwornej komisyi menniczo-górniczej, wyrządziło całemu górnictwu nieobliczalne straty. Dwie takie siły, Müller v. Reichenstein [2]) i br. Podmanitzky [3]) — konkluduje autor — nie starczą do podtrzymania wielkiego, grożącego ruiną gmachu... Celem uzasadnienia owych skarg podaje Schultes opis powyżwyszczególnionych kopalni, które po roku dziewiątym ustąpione Księstwu Warszawskiemu, obecnie pozostają w zaborze rossyjskim.

Z kolei przystępujemy do najważniejszego dla nas dzieła Schultesa, które z wielu względów na szczególniejszą zasłużyło uwagę. Mamy tu na myśli jego *Lettres sur la Galitzie ou La Pologne Autrichienne*, wydane w dwóch tomach w Tybindze w roku 1809. Książka ta miała swoją, niepozbawioną oryginalności historyę. Powstała ona podczas pobytu Schultesa w Krakowie, zkąd autor częste a dalekie po całej Galicyi odbywał podróże, badając jej stosunki społeczne, góry i zdrojowiska. Wrażenia z tych wycieczek spisał Schultes w języku francuzkim, ale publikacyi takowych stanęła zrazu na przeszkodzie cenzura wiedeńska, a na przekład niemiecki swej książki nie mógł wcale znaleść nakładcy... Tak więc początkowe tylko dwa „Listy", doczekały się ogłoszenia w języku niemieckim za pośrednictwem czasopisma wiedeńskiego, wydawanego u Antoniego Dolla, pod tytułem *Neue Annalen der Literatur des österreichischen Kaiserthums* [4]), zaś dokładne streszczenie całości podały w roku 1811 znane *Annales de Voyages de la Géographie et de l'Histoire*, wydawane w Paryżu przez M. Malte-Brun'a. Na tem też streszczeniu musimy niestety poprzestać w niedostatku niemożliwej do odszukania edycyi „Listów", ogłoszonej w Tybindze.

Wielce charakterystyczną jest przedmowa wydawcy, umieszczona na początku piętnastego tomu wzmiankowanych już „Roczników". Listy ogłoszone poniżej — pisze wydawca — skreślone zostały w latach 1806—1808 przez badacza bardzo wykształconego,

---

[1]) Rudolf hr. Wbrna de Freudenthal był w r. 1801 wiceprezydentem nadwornej komisyi górniczej.

[2]) Franciszek Józef Müller von Reichenstein, radca dworu, zasłużony wielce około górnictwa w Austryi.

[3]) Józef br. Podmaniczky de Asrod, zmarły w r. 1823, radca peszteńskiego namiestnictwa, historyk i przyrodnik, jeden z wybitniejszych, węgierskich mężów stanu.

[4]) Intelligenzblatt der Annalen der Literatur des österreichischen Kaiserthumes, (Wien), I. Jahrgang. B. I. S. 97—110. — B. II. S. 97—115.

rozsądnego i szczerego, lecz wyrażającego się niekiedy zbyt surowo i lubującego się w szczegółowych drobiazgach. Ponieważ rękopis francuzki autora odstąpiony nam został przez osobę, upoważnioną do tego, przeto czujemy się uprawnionymi do poczynienia pewnych skróceń, wskazanych przez znajomość upodobań publiczności francuzkiej. Ustępy opuszczone uzupełni autor w przyszłej edycyi niemieckiej. W listach tych, tak, jak się one obecnie przedstawiają, znajduje się wiele wiadomości nowych, interesujących a zarazem autentycznych o części Polski, która jest krajem nieznanym dla Europy a mimo swej świetności dziejowej i oświaty mieszkańców, przedstawia dla badacza najwięcej trudności. Prosimy wszystkich Polaków w ogólności a w szczególności tych, którzy mają cokolwiek przyjaźni dla nas, by zechcieli uwierzyć, iż nie podzielamy ze wszystkiem zapatrywań pana Schultesa. Przeciwnie, jesteśmy przekonani, iż sądy jego są zbyt surowe i że wyraża się nazbyt cierpko. Uważamy jednak, iż niepodobieństwem było umieszczenie w tych „Rocznikach“ całego szeregu uwag pouczających i ciekawych. Jesteśmy nader skłonni do umieszczenia wszelkich wiadomości, nadesłanych nam przez Polaków, znających dokładnie tę część ich ojczyzny. Musimy uprzedzić ogół czytelników, że jeżeli przeważna część listów jest w stanie zaciekawienia wszystkich klas społeczeństwa bez wyjątku, to tendencya reszty takowych posiada ściśle naukowy charakter. Ogłaszać je będziemy po dwa i po trzy razem, albo też z osobna, stosownie do wymsgań rozmaitości...

Tu podaje wydawca spis treści poszczególnych listów, zakończony następującą wzmianką: Autor zamierza dedykować swą pracę światłemu ministrowi, jego Ekscelencyi hr. de Montgelas, który pod przewodem ojcowskim króla urządzi Bawaryą.

List pierwszy, zaadresowany do Józefa Köderla [1]), traktuje o sposobie podróżowania po Galicyi oraz o charakterze jej mieszkańców.

— Zauważyłeś pan zapewne — pisze Schultes — że góry wywierają na mnie pewien rodzaj attrakcyi. I w rzeczy samej czuję wobec nich pociąg nieprzezwyciężony. Karpaty, u stóp których los mię postawił, były jedną z głównych przyczyn, dla których postanowiłem przenieść się do Galicyi. — Po tym wstępie wzmiankuje autor, iż wycieczkę w te góry podjął we wrześniu 1806 r. i wspo-

[1]) Józef Köderl, zmarły w Wiedniu w r. 1810, był drugim dyrektorem głównego urzędu cenzuralnego.

mina o niedostatku, z jakim ma do walczenia na każdym kroku podróżnik, zwiedzający Galicyę.

W Austryi, w Styryi, w Solnogrodzie, jakoteż w Tyrolu — słowa Schultesa — znajdziesz wśród gór i lasów, szczytów skalnych i lodowców ludzi uprzejmych i uczynnych, którzy z przyjemnością udzielą ci przytułku w swej chacie, dzieląc się z tobą ostatnim kęsem chleba. Dostaniesz wszędzie chleba, mleka, sera, wybornej wody a często i dobrego piwa i wina znośnego celem pokrzepienia sił wyczerpanych. Natomiast w Galicyi owe konieczne potrzeby życia stają się przedmiotem nadzwyczajnej wagi i podróżnik, chętnie mówiący o sobie, mógłby z największą łatwością zapełnić cały tom opisem przygód oraz trudności, z jakiemi mu walczyć wypadło, udając się z jednej miejscowości do drugiej. Gdy przybędziesz wieczorem do galicyjskiego miasteczka, nie mówiąc już o wsiach lub o osadach, to z pewnością nie dostaniesz wiązki słomy na posłanie. Możesz przebyć daleką przestrzeń, nie spotkawszy się z czystą wodą do picia. Piwo, szynkowane po miasteczkzch, sprawia wrażenie mętnego octu, zaś szklanka wina kosztuje jednego złotego i wyżej. Nie masz tu nic prócz wódki, *(eau de vie)*, którąby raczej nazwać należało wodą śmierci dla Polski, gdzie wywiera ona daleko znaczniejsze od powodzi spustoszenie. W górach znajdziesz wprawdzie czystą wodę, ale brak zato chleba. Jeżeli pod wpływem głodu spożyjesz niestrawny placek owsiany, pomięszany z otrębami i upieczony w popiele, to siły twe wyczerpią się skutkiem wysiłku żołądka celem strawienia tego kwasu podjętego. W zajeździe po miastach nie dostaje się niczego, prócz pozwolenia na zgotowanie posiłku, zaś mięso i jaja trzeba kupować po wygórowanej cenie, chodząc od domu do domu. Właściciel zajazdu na żądanie gościa, by mu dostarczył pokarmu lub napoju, odpowiada najspokojniej w świecie, że nie ma obowiązku żywienia podróżnych...

Nie należy sądzić — prawi dalej autor — iż tego rodzaju nieprzyjemności spotkały mię dlatego, że jestem Niemcem. Przeciwnie, towarzyszyli mi dwaj poczciwi Polacy, dokładający wszelkich starań, by mi osłodzić trudy podróży. Pisma geograficzne rozprawiają szeroko i długo o trudnościach podróżowania po Hiszpanii i Portugalii. Niechże mi wolno będzie powiedzieć cośkolwiek o trudach podróży galicyjskiej i wskazać przyczyny nędzy, gniotącej ten piękny kraj. Hiszpania, Portugalia i Galicya są krajami nader urodzajnymi. Przyroda wysiliła się widocznie, by mieszkańcy tamtejsi mogli się oddać w zupełności próżniactwu, bezczynności i błogiemu lenistwu. Jeżeli w Portugalii wpływ klimatu oddziaływa usypiająco, to podo-

bną rolę spełnia w Galicyi wódka. Lud, ospały z natury, daje się łatwo oszołomić narkotycznym trunkiem, dostarczanym przez tych, w których interesie leży owe poniżenie natury człowieczej. Znalazłszy się wśród chłopstwa polskiego, zrezygnowałbyś chętnie, mój przyjacielu, z przydomku filozofa i filantropa. Zbliżając się do wsi, widzisz już zdala drogę, wiodącą do karczmy, pokrytą ludem płci obojga, opiłym i tarzającym się w błocie. Gdy wstąpisz do takiego zajazdu, to rychło wypędzi cię z izby wstrętny wyziew wódki. Głód atoli zniewala cię do powrotu i wówczas musisz przeskakiwać przez kupy pijaków, leżących na podłodze, zdobywając sobie siłą przejście wśród stojących, przyczem należy unikać razów, jakimi się wzajemnie darzą. Tego rodzaju, powtarzające się w każdej szynkówni, zajścia trwają od świtu do późnej nocy, gdyż w Galicyi słońce tylko po to zdaje się świecić, by wskazać chłopu drogę do karczmy. Już przed godziną dziesiątą rano znajdą się w szynku mąż i żona, pan i sługa, wszyscy podpici do tego stopnia, że się nawzajem nie poznają. Orzą nawet w polu ludzie tak podochoceni, że się nie mogą prosto na nogach utrzymać lub też ledwo wlokący się skutkiem osłabienia, jakie po przepiciu następuje. Ta właśnie słabość, sparaliżowanie wszelkich sił umysłowych i fizycznych, zniweczenie wszelakich trybów maszyny ludzkiej, sprawiają, iż chłop polski zdolnym jest do znoszenia swej nędzy. Jest on z wszystkiego zadowolony, nic go nie wzrusza, pozostaje on w stanie najzupełniejszej apatyi. Nerwy jego postradały zdolność odczuwania jakiejkolwiek podniety, krom wódki. Zatracił on w zupełności uczucie smaku, poprzestając na ladajakiej strawie, zapełniającej mu żołądek, który, jak zwykle, u pijaków, nie wymaga zbyt wiele pokarmu. Chłop zna z długoletniego doświadczenia żyzność uprawionej przez niego roli i wie, iż takowa najgorzej obrobiona zawsze tyle wyda plonu, iż starczy na zaspokojenie domowych potrzeb oraz na zapłacenie po żniwach wódki, branej przez rok cały na kredyt u żyda... W tym tonie rozwodzi się Schultes szeroko i długo nad zgubnymi skutkami wódki wśród ludu wiejskiego, by dojść w końcu do wniosku, że zgubnego rozpowszechniania wódki w Galicyi nietylko nie można wykorzenić, ale nawet ukrócić. O prawdziwości powyższego twierdzenia świadczy, jego zdaniem, okoliczność, iż prawo pędzenia wódki służy jedynie właścicielom dóbr, którzy z tego źródła ciągną dochody od trzech do pięćdziesięciu tysięcy złr. rocznie. — Trudno żądać od dziedziców — słowa listu — by dobrowolnie tracili dwie trzecie części swych dochodów, lecz należy im powiedzieć, że oni je tylko stracą, gdy w przeciwnym razie ich synowie lub wnuki postradają wszy-

stko. Historya Polski stwierdziła ten smutny pewnik. Musi upadać naród, którego część najważniejsza, bo największa, poniżyła się do tego stopnia ogłupienia, iż jak przykład polskiego chłopa wskazuje, nie zna innej potrzeby, ani przyjemności nad odurzanie się wódką, podniecanie takową chorobliwego organizmu, przy zupełnej niezdolności do zniesienia jakichkolwiek wysiłków. Poszczególne porywy, objawiane od czasu do czasu przez naród polski, przypominają wzburzenia pijanych. Przemijają one równie rychło, jak powstały, i przyprawiają uczestników ruchu o zupełną, śmiertelną astenię. O trafności tego twierdzenia świadczy historya polska, zaś dzieje wojenne Austryi dostarczają pod tym względem sporo przykładów. Austrya pociąga z Galicyi wiele rekruta, ale nie zyskuje ludzi, nie pomnaża nimi armii. Przeważna część rekrutów galicyjskich nie jest w stanie pełnienia służby wojskowej, lecz umiera w szpitalach lub podczas transportu. Ci nieliczni rekruci, którzy przybywają na linię bojową, rzadko odznaczają się męstwem, gdyż Polak przywykł pić i spać, ale nie walczyć!...

I pomyśleć, że podobne oskarzenie wyszło z pod pióra wielbiciela Napoleona, człowieka, obeznanego z biegiem współczesnych wypadków, w chwili, gdy wspomnienie legionów Dąbrowskiego było jeszcze na ustach wszystkich, gdyż oręż polski w obliczu całej Europy świeżą okrywał się chwałą. Zaiste tylko sporo zarozumiałości i graniczącej z nierozumem pobieżności w ocenianiu stosunków galicyjskich mogło podyktować podobne poglądy Schultesowi, który w zacietrzewieniu swem doradza, by dzieci polskich rodziców odbierać im, skoro tylko podrosną i oddawać na wychowanie sprowadzonym z niemieckich prowincyi monarchii mentorom. W przeciwnym razie grozi Galicyi, mimo najhojniejszych wkładów rządowych, już w najbliższej przyszłości zupełnem wyludnieniem!

Lecz pozwólmy dalej mówić autorowi...

Mimo to — pisze on — istnieją w Galicyi ludzie, którzy jedynie zasługują na to, by zamieszkiwali ten kraj piękny i urodzajny. Nie mówię o Niemcach, sprowadzonych do Galicyi przez rząd, przyczem wcale nie przestrzegano starorzymskiej zasady, by do nowo pozyskanych prowincyi wysełać tylko najzdolniejszych ludzi. Mówię o dziatwie Izraela. Tyle gadano i pisano dotychczas o żydach galicyjskich, iż naraża się na śmieszność człowiek, poruszający tę kwestyę. A jednak poruszyć ją trzeba koniecznie. Opinia obeznanej z statystyką publiczności, wśród której niebrak też osób, zasługujących na najgłębszy szacunek, utrzymuje, że owe 300.000 żydów galicyjskich są sprawcami nędzy tej urodzajnej prowincyi, że należy

ich wytępić, ochrzcić lub ucywilizować. Żydzi — powiadają — arendujący wyszynki wiejskie, rozpowszechniają wódkę po całym kraju, rozpajają i ogłupiają lud, zabijają w nim poczucie przemysłu, zalewając rynki miejscowe obcym towarem i wywożąc za granicę surowe materyały, któreby należało przetwarzać na miejscu. Prawda, tak postępują żydzi, lecz gdyby oni tego nie czynili, czyż nie działaliby podobnie chrześcianie? Znam bardzo chrześciańskich dziedziców, którzy swych poddanych rozpajają wódką i wywożą skóry, wełnę, nawet len miejscowy za granicę. Różnica między oszustami chrześciańskiego a mojżeszowego wyznania polega na tem, że pierwsi chcą zarobić na towarze od razu kilka złotych, podczas gdy drudzy zadowalają się małym zarobkiem. Żydzi, miasto tłumienia przemysłu, są jedynymi mieszkańcami Galicyi, którzy się nim zajmują. Oni tylko mogliby swym przykładem zachęcić galicyjskiego chłopa do przemysłu, gdyby ten lud zepsuty był zdolny do jakiekolwiek współzawodnictwa i gdyby dziedzice, wydzierżawiający swych poddanych żydom, nie tłumili wśród nich instynktu przemysłowego. Tylko żydzi są w stanie zaspokojenia w Galicyi twych potrzeb oraz żądań. Są oni krawcami, szewcami, tapicerami, rytownikami, szklarzami i złotnikami. Szlifują kamienie drogie i obrabiają wydzierżawiane przez nich pola daleko lepiej od swych chrześciańskich sąsiadów, ponieważ ziarno sprowadzają z zagranicy. Są oni wszędzie gospodnikami i niejednokrotnie wśród pustki, we wsi, w której żyd zamieszkał, znajdziesz posiłek, podczas gdy u chrześcian w mieście i za dukata nie dostaniesz nawet kawałka chleba. Żydzi, osiedli na wsi w Galicyi, różnią się wielce od swych współwyznawców, przebywających po miastach, oraz zamieszkałych w Austryi, tudzież w Morawii. Porównanie fizyonomii żyda i chłopa przypomina zestawienie człowieka z orangutanem. Blada, nalana twarz chłopska nie zdradza iskry umysłowości, podczas gdy oczy żyda w przeważnej części płoną ogniem wschodu. Ich orle nosy, ładnie wykrojone usta, złote włosy i brody nadają im powierzchowność rozsądną, odbijającą od bezmyślnego otoczenia. Nie pożyczałem nigdy od żydów pieniędzy na podobieństwo tych, którzy miasto zapłaty lżyli swych wierzycieli w pismach. Nie zyskuję przeto nic, oświadczając się na korzyść żydów, których pobyt w roku 1806 uważam raczej jako korzystny i konieczny, aniżeli szkodliwy. Oby nigdy nie nastał czas, w którymby żydzi stali się naszymi dłużnikami! Jeden z słynnych autorów porównał żydów z grzybami, toczącymi drzewo. Należy jednak zauważyć, że grzyby pojawiają się jedynie na uschniętych, albo też na zamierających drzewach. Tak też i żydzi nie

przyprawili nigdy o zgubę państwa, któreby nie było już bliskiem rozkładu.

Tyle słów Schultesa o żydach, których przesadna pochwała w rażącem pozostaje przeciwieństwie z bezwzględnymi sądami, jakie wydawał autor o ogóle ludności wiejskiej w Galicyi.

Z tego pobieżnego szkicu — czytamy w dalszym ustępie listu — możesz się przekonać, że podróż po Galicyi nie jest wycieczką dla przyjemności. Ludzi spotyka się jedynie wśród szlachty. Proboszcze, którzy tak gościnnie podejmują wędrowców na wyżynach alpejskich, różnią się tutaj mało co od chłopa. Zaledwo z tymi, którzy ustanowieni zostali przez rząd Józefiński, można wejść w stosunki. Inni są prawdziwymi pastuchami, *pastores ovium*. Właśnie toczy się w Krakowie proces przeciw pewnemu księdzu, który noworodka kazał żywcem pogrzebać, ponieważ podejrzywał jego matkę o chorobę weneryczną. Tak więc tylko do szlachty może się zwrócić podróżnik w Galicyi. Wśród niej należy rozróżnić książąt i magnatów, zamożnych ziemian, (autor zwie ich *les petits comtes)*, tudzież gmin szlachecki, różniący się tem od naszych, wolnych chłopów w górnej Austryi, iż jest głupszy i biedniejszy. Zasługi polskich magnatów około sztuk, umiejętności i ojczyzny są wiadome. Nazwiska: Czartoryskich, Sapiehów, Ossolińskich, Czackich, Załuskich są znane zarówno oświeconemu ogółowi, jakoteż polskim patryotom. Tylko w sąsiednich Węgrzech spotyka się magnackie domy tej miary, jakoto Telekich, Festeticzów, Szechenyich, Bathyanych, współzawodniczących z Polakami. Proszę cię, wskaż mi w Niemczech magnatów, którzy dla ojczyzny, tudzież dla sztuki i nauki zdziałaliby tyle, czego dokazały arystokracya polska i węgierska, otoczone przytem przeszkodami, o jakich niema się w Niemczech wyobrażenia. Nadto niewielu niemieckich magnatów podróżowało tyle, ile arystokraci polscy lub węgierscy. Wśród nich nie znajdziesz żadnego, któryby nie zwiedził przynajmniej Włoch, Francyi, Anglii i Niemiec, tudzież wielkiej części Rosyi, lub też nie przebywał kilkakrotnie w tych krajach. Ziemiaństwo galicyjskie dąży również do oświaty, jaką się arystokracya wyróżnia i przewyższa ją jeszcze na punkcie miłości ojczyzny. Ziemianie ci przebywają przez większą część roku w swych dobrach. Do miasta udają się jedynie podczas karnawału, albo też dla uregulowania swych interesów z dzierzawcami, wreszcie z powodu procesów, jakie bardzo chętnie wiodą. Jestem przekonany, że to przywiązanie średniej klasy szlacheckiej do wsi stanowi wielkie szczęście dla Galicyi i jemu też zawdzięcza kraj wszystko, cokolwiek dobrego posiada. Z tej skłonności szlachty, zarówno naturalnej,

jak rozsądnej, mógłby rząd wielkie odnieść korzyści. W tej klasie ludności zachowały się jak najdokładniej wszystkie narodowe zalety i wady. Nie chcę pierwszych chwalić, by nie być zmuszonym do ganienia drugich. Zresztą mówiąc o charakterze danej narodowości, należy zawsze zważyć dobę rozwoju, w jakiej się znajduje. Tak też i wino sądzi się dopiero po wyklarowaniu oraz po oddzieleniu lagru. Tem mniej zaś należy wydawać sądy o winie zepsutem.

Po tych ogólnikowych uwagach, w których końcowym ustępie usiłował widocznie autor złagodzić przykre wrażenie, wywołane poprzednimi sądami, przechodzi Schultes do szczegółowej relacyi z swej podróży.

Nogą za nogą jadąc, przybył on z Krakowa do Mogilan, pierwszej stacyi pocztowej na trakcie wiedeńskim. Z wioski tej roztacza się przepyszny widok tak na równicę ku północy, ozdobioną Wisłą i licznemi wieżycami krakowskiemi, jakoteż na śnieżne szczyty Tatrzańskie. Tej też okoliczności zawdzięczają Mogilany, iż zdołały zainteresować księcia de Ligne [1]), znawcę i miłośnika pięknych widoków. Z Mogilan na Izdebnik udał się Schultes do Lanckorony, gdzie znów zwrócił jego uwagę prześliczny widok, roztaczający się z góry zamkowej w stronę Szlązka, proszący się formalnie o uwiecznienie pędzlem pejzażysty. Widok Lanckorony, miasteczka, przypomniał autorowi winietę z starego Komeniusza, przedstawiającą czworobok, złożony z kilkunastu domostw z napisem: miasto. Typ ten jest wspólny przeważnej części miasteczek galicyjskich. W środku czworoboku, stworzonego przez dwadzieścia co najwyżej domków, widzi się studnię, koło której umieszczono symbol sądownictwa miejskiego. Przed domami, wzdłuż rynku, ciągną się podsienia, pod których osłoną można miasteczko obejść w koło, nie zamoczywszy się nawet podczas ulewnego deszczu. Natomiast na drogach, dzielących kąty czworoboku, tudzież na rynku przez przeważną część roku można się utopić w błocie. Mieszkańcy Lanckorony nie odznaczali się widocznie gościnnością, gdyż Schultes oraz jego towarzysze — było ich razem jedenastu — nie mogli znaleść w miasteczku przytułku na noc i musieli szukać noclegu u górali.

Górale — powiada nasz autor — są to mieszkańcy gór wzdłuż granicy węgierskiej. Zdają się oni przedstawiać szczep odmienny, wyróżniając się od reszty plemion słowiańskich bardziej charakte-

[1]) Karol Józef ks. de Ligne, feldmarszałek wojsk austryackich, utrzymujący zażyłe stosunki z arystokracyą galicyjską, zmarły w roku 1814 w Wiedniu.

rystyczną fizyonomią, nosem dłuższym i szlachetniejszym wykrojem ust. Małe oczy i pochyły sposób trzymania się zbliżają ich znów do Słowian. Są oni żywsi, silniejsi, bardziej wykształceni i przebiegli, aniżeli mieszkańcy dolin, od których dzieli ich wzajemna, nader silna nienawiść. Mieszkający na dołach, zamożniejsi od górali, uciemiężają ich przy każdej sposobności i drażnią, o ile mogą. Natomiast górale, mszcząc się swych krzywd, wypadają od czasu do czasu na doły, rabując wszystko, co im wpadnie w rękę, zaś poszkodowani nie odważają się podążyć za napastnikami do ich górskich kryjówek (?). Ktoby się tam zapuścił, nie wróciłby z pewnością. Dopiero od czasu, gdy rząd austryacki, zająwszy Galicyę, kazał wieszać tuzinami opryszków, można podróżować bezpiecznie w górach. Wbrew zakazom rządowym, noszą górale topory, których nie odkładają nawet podczas tańca. Władają tą bronią tak wprawnie, iż nie chybiają w rzucie celu, nawet na odległość kilkudziesięciu kroków. Mimo poprawy stosunków, mieszkańcy dolin ciągle jeszcze lękają się górali i chciano mię namówić, bym udając się w tą podróż, uzbroił się w pistolety i w sztylet. Zaufałem jednak uczciwości górali, którzy zazwyczaj są rzetelniejsi od mieszkańców dolin i zabrałem z sobą tylko pióra do pisania oraz fajkę. Co prawda, góral, powieszony za mej bytności w Krakowie z powodu zamordowania podróżnego, pochodził właśnie z tej wsi, do której zdążyliśmy na nocleg, ale okoliczność tego rodzaju mogła odstraszyć tylko tchórza. Około godziny dziewiątej wieczorem przybyliśmy do Skawinek. Nędzna chałupa służyła tam za zajazd. Gospodarz, gospodyni i jeden chłop, wszyscy podochoceni wódką, z trudem zgodzili się na przenocowanie nas na słomie wśród szczurów i myszy. Przez cały dzień nie mogliśmy dostać czegokolwiek do zjedzenia, a i w Skawinkach nie lepiej się powiodło, gdyż gospodarz nie chciał nam sprzedać kawałka chleba. O wiele lepiej wyszli na tem nasi przewodnicy, którzy wszędzie znaleźli podostatkiem wódki, potrzebnej im do pokrzepienia sił. Głód zbudził nas wcześnie i po pięciomilowej wędrówce przez góry dotarliśmy do Makowa, rezydencyi inspektoratu okolicznych domenów.

Górale — opowiada nasz autor — dzielą się na cesarskich, osiadłych w dobrach kameralnych, oraz na poddanych tutejszych ziemian. Ci ostatni zatracili wiele z swych cech oryginalnych. Są wszakże bardziej przemyślni i nie znoszą między sobą żydów. Jedni i drudzy lubią wódkę, a ponieważ są silniejsi z natury, przeto też spotrzebowują znaczniejszą ilość tego trunku. Trafiają się wśród górali ludzie, wypijający dziennie po sześć (?) kwart wódki. Jest to fenomen fizyologiczny, któremu nigdy nie dalibyśmy wiary, gdyby nas

o tem nie zapewnili naoczni świadkowie. W Makowie żyliśmy na sposób hiszpański. to jest gospodarz pozwalał nam ugotować przy swoim ogniu strawę, o którą samemu trzeba się było postarać i ją przyrządzić. Na szczęście znalazło się u inspektora stare wino węgierskie, które też wzięliśmy na zapas w dalszą drogę na Babią Górę. Ku niemałemu zdziwieniu znalazłem w Makowie wzorowo urządzoną szkółkę, w której uczono też języka niemieckiego. Pewna część dziatwy już władała tą mową. Górale okazują chęć do nauki, posiadają wiele zdolności i są o wiele czynniejsi, ruchliwsi od reszty chłopów polskich. Kształcenie tego ludu nie byłoby rzeczą trudną, gdyby sobie ktoś zadał pracę pod tym względem. Człowiek, osiadły wśród gór, jest zawsze lepszy. Pod surową powierzchownością kryje skarby kosztowne. Wynajęliśmy przewodnika, który miał nas zaprowadzić do Wilcznej (?) wsi, leżącej u stóp Babiej Góry. Tam musieliśmy się zatrzymać w dużej, drewnianej chacie, zamieszkanej przez kilka rodzin. Wszyscy mieszkańcy byli zgromadzeni w koło wielkiego ogniska. Palili tytoń, pili wódkę i przygrzewali swą strawę w popiele. Wpółnagie dzieci pełzały do koła, a od czasu do czasu zaglądała do izby nierogacizna. Krótko mówiąc, wśród górali czuliśmy się gdyby między Ostyakami lub mieszkańcami Kalifornii. Pod tym samym dachem, oddzielony tylko ścianą od reszty mieszkańców, mieszkał leśniczy dystryktowy.

Po nocy, spędzonej na słomie, w stodole, wybrali się nasi wędrowcy wczesnym rankiem na Babią Górę. Las, okrywający jej stoki, sprawiał wrażenie smętne i jednostajne. Na polanach wśród lasu pasano w porze letniej owce, zaś chorzy na piersi, używający żentycy, musieli się mieścić w skleconych niezdarnie szałasach. Schultesowi pokazywano jeden z takich szałasów, w którym pewien szlachcic zwykł był przepędzać lato. Na dzień przed jego odjazdem, gdy w szałasie nagromadziło się sporo serów, zjawiło się u szlachcica kilkunastu opryszków z poczernionemi twarzami, którzy, zabrawszy wszelkie zapasy oraz gotówkę gospodarza, obili go bez litości i uciekli. Górale twierdzili, że owi opryszki przyszli z węgierskiej strony. Natomiast Węgrzy zwalali całą winę na górali galicyjskich. Widok, roztaczający się z szczytu Babiej Góry, miał być przepyszny, przewyższający o wiele krajobrazy, podziwiane ze szczytów alpejskich. Widzi się ztąd równocześnie Galicyę, Węgry i część Prus południowych. Widok ten usposobił autora do politycznych refleksyi na temat szybkiego wzrostu Prus. Spisywał je autor — jak świadczy dopisek — w dniu 14. września 1806 roku, a w miesiąc później nastąpiła tyle fatalna dla dynastyi Hohenzollernów bitwa pod

Jeną... Po krótkim odpoczynku na szczycie Babiej Góry ruszył Schultes z towarzyszami w powrotną drogę. — Wszędzie u chłopów — słowa listu — spotykaliśmy ten sam zimny, martwy, zatumaniony wyraz twarzy, wobec którego obumiera fantazya artysty-malarza. Jakkolwiek wielu Anglikom doradzałem wycieczki do Alp austryackich, to jednak odwiódłbym ich od myśli wdrapywania się na Babią Górę, gdzie ogarnąłby ich niezawodnie spleen. który i mię opanował, chociaż nie jestem bynajmniej synem Wielkiej Brytanii.

List następny poświęca nasz autor omówieniu stosunków ekonomicznych Galicyi a w szczególności zajmuje się losem górali tutejszych, przyczem niepodobna nie uznać słuszności niektórych uwag przez niego poczynionych. Jako objaw niekorzystny dla galicyjskiego rolnictwa uważa Schultes podział własności ziemskiej, tworzącej albo znaczne obszary, pozostające w rękach magnackich, albo też rozdrobnionej między szlachtą chodaczkową i wieśniakami. Wielcy panowie — pisze autor — albo oddają zarząd swych majątków wypędzonym z Czech i z Niemiec oficyalistom, którzy ich kradną do tego stopnia, iż po kilku latach sami nabywają dobra i bawią się w magnatów, albo też, celem uniknienia wyzysku, wypuszczają magnaci w dzierżawę swe posiadłości, zaś dzierżawcy niszczą ziemię, wyciągając z niej w ciągu dwóch lat plony, jakie ona dać może zaledwo w przeciągu dziesięciolecia. Mniej zamożni właściciele ziemscy odznaczają się wprawdzie zamiłowaniem do gospodarstwa, lecz brak im odpowiednich wiadomości. Żaden z polskich pisarzy nie pracuje w tej dziedzinie, więc też czytywane bywają tutaj wyłącznie dzieła gospodarcze w języku francuzkim. Rozprawy te wcale nie odpowiadają stosunkom rolnym w Galicyi, gdzie klimat i ziemia różnią się zupełnie od Francyi. Tak więc ziemianie tutesi muszą gospodarzyć według sposobu, praktykowanego przez ich przodków. Wielu też ze szlachty, pod wpływem chciwości, rządzi się najgorzej w świecie. Poświęcając przyszłość dla teraźniejszości i dążąc wyłącznie do jak największego wyeksploatowania ziemi, wyjaławiają rolę na długie lata. Drobna szlachta, różniąca się od chłopów jedynie tytułem własności uprawianej przez nią ziemi, nie rokuje wcale pomyślnej przyszłości dla rolnictwa z powodu braku wykształcenia, zaś dobra rządowe nie mogą się doczekać należytej uprawy skutkiem niewłaściwego doboru rządców. Łatwo bardzo ocenić gospodarkę zarządców tej kategoryi, wiadomo bowiem z doświadczenia, że dobra galicyjskie, administrowane odpowiednio, przynoszą w ciągu dziesięciolecia trzy razy wyższy od pierwotnego dochód. Należy więc porównać cyfry intraty rocznej, a działalność każdego rządcy zostanie

w tej drodze należycie oceniona... W tem miejscu zwraca Schultes uwagę rządu galicyjskiego na niewłaściwą praktykę administratorów kameralnych, którzy, nie mając żadnego osobistego interesu w pozbywaniu zboża czy też innych ziemiopłodów, nakładają na nie ceny niemożliwej wysokości i podwyższają w ten sposób ogólne ceny tych produktów w kraju. Cierpią na tem nietylko konsumenci, lecz także i rząd, kupujący z reguły więcej zboża, aniżeli go sprzedaje. Rządcy czynią to dla zamaskowania lichych zbiorów w dobrach przez nich administrowanych, zaś skarb państwa ponosi stratę, kupując to, co sprzedał za drogie pieniądze, miasto zaopatrzenia tanim kosztem magazynów wojskowych. Niemniej ostro krytykuje nasz autor postępowanie z poddanymi w dobrach kameralnych. Jego zdaniem, doznają oni sroższego ucisku, aniżeli w majątkach, będących własnością prywatną. Sprzedaż majątków rządowych uważa Schultes jako najbardziej korzystną dla skarbu operacyę, gdyż w ten sposób przyszedłby rząd w posiadanie znacznych kapitałów, a równocześnie podniosłyby się znakomicie rolnictwo i — co za tem idzie — siła podatkowa kraju.

Najwięcej obiecującą klasą w społeczeństwie polskiem — czytamy w dalszym ciągu listu — jest drobna szlachta. Obyczaje patryarchalne, zachowywane przez nią, zasługują na szacunek. Starać się jednak gorliwie należy o podniesienie stopnia oświaty wśród tej warstwy społeczeństwa, gdyż tylko z jej pomocą mogliby ci ludzie dojść z czasem do starannej i umiejętnej uprawy roli, do czego jeszcze w Galicyi daleko. Prócz książek gospodarskich, należałoby rozpowszechniać odnośne pisma, rozdając je ziemianom bezpłatnie. Duchowieństwo winnoby też posiadać więcej od szlachty wykształcenia, ale tak nie jest niestety. Proboszczowie wiejscy małoco się różnią wykształceniem od wieśniaków, a zresztą nie mogą oni równocześnie mieć pieczę o swych owieczkach i kłopotać się sprawami doczesnemi.

Następnie wspomina autor o rodzajach gleby galicyjskiej, o nędznym stanie chowu bydła i koni w kraju, o zaniedbaniu zupełnem sadownictwa. Przy tej sposobności przytacza swą rozmowę z pewnym arendarzem, który zapytany, dlaczego wobec ogólnego zamiłowania ludności do gorących trunków, nie sadzi śliw i nie pędzi z nich śliwowicy? — odpowiedział mu z uznania godną otwartością, że ziemi wydzierżawionej nie myśli obrabiać dla swych następców, a zresztą pociąga z sprzedaży lichej wódki takie same dochody, jak ze śliwowicy.

Lasy tutejsze — słowa listu — są w bardzo złym stanie. Sąg drzewa kosztuje szesnaście złotych reńskich i jeszcze mieszkańcy są zadowoleni z posiadania opału, uzyskanego kosztem ogałacania lasów. Od Mogilan do Skawinki drzewostan przedstawia się w sposób zadowalający, lecz od Skawinki do Makowa, na przestrzeni dwudziestu mil, widać tylko nagie góry, pokryte olbrzymimi głazami, utrudniającymi wszelką wegetacyę. Doliny, poorane strugami, zarzucone kamieniami, posiadają drzew bardzo mało. Krótko mówiąc, w całej tej okolicy nie ma porządnego lasu i nieco brzeziny starczyć musi mieszkańcom za cały opał w ciągu długiej, dziewięciomiesięcznej zimy. Górale powracają do domu z dołów, w jesieni, z tak małym zarobkiem, iż po upływie kilku tygodni muszą ponownie opuszczać swe chaty w wędrówce za chlebem. Niektórzy z nich rozchodzą się po całej monarchii, zarobkując jako tkacze albo też domokrążstwem, obnosząc rozmaite drobiazgi z miejsca na miejsca. Wszystkie te zajęcia nie dają im dostatecznego utrzymania i dlatego też bardzo często popadają oni w nędzę, która przyczynia się niemało do fizycznego i moralnego upadku tej ludności. Len i konopie wyrastają tam tak nisko i są tak grube, iż właściwie szkoda czasu na przędzenie ich, ale nędza zmusza górali do tego zajęcia. Jałowa rola wydaje zaledwo jęczmień, owies i hreczkę, lecz uprawa tej ostatniej mało jest dotychczas rozpowszechniona. Wyrabiają też górale meble jak najprostszej konstrukcyi, które jedynie w kraju mogą znaleść źródło zbytu i przemysł ten jest jednym z głównych sposobów ich zarobkowania. Wzruszeni nędzą ludu górskiego, zapytacie zapewne, dlaczego ci ludzie, tak pracowici a siedzący na ziemi nieurodzajnej, nie zajmą się uprawą żyznych obszarów, leżących ugorem w sąsiednich Węgrzech, czy też na Bukowinie? Jest to fenomen, którego nie zdołam sobie wytłómaczyć. Być może, iż przyczyną jest uporczywe przywiązanie do ziemi rodzinnej, choć ta nie może ich wyżywić, a być też może, iż bogaci właściciele obszarów bukowińskich i węgierskich nie umieją sobie pozyskać tego ludu tak biednego i tyle pracowitego. Należy się spodziewać polepszenia istniejących stosunków pod rządami następców Józefa II. Pokój, panujący obecnie, nastręcza ministrom pożądaną sposobność do układania planów, mających na celu polepszenie doli mieszkańców tego kraju. Być może, iż jesteśmy już niedalecy od ziszczenia tych fortunnych projektów. Zanim jednak to nastąpi, ziemia w górach wyjałowieje do tego stopnia, iż nawet lasy mogą zaginąć. Był czas, iż chwalono bardzo wykarczowywanie lasów pod pola uprawne. W razie jednak

dłuższego trwania nieporządnej gospodarki lasowej, trzeba będzie znów pola zalesiać...

Maków jest jedynem, większem miasteczkiem w tej okolicy Mieszczanie tamtejsi żyją przeważnie z handlu i chełpią się, iż tygodniowo biją jednego wołu na swoją potrzebę. Myślę wszakże, że gdyby gościniec rządowy został raz wykończony, to i sto wołów nie starczyłoby na potrzeby miasteczka. Gościniec, kończący się opodal od Makowa, utworzyłby w razie wykończenia drogę handlową przez tę miejscowość, która stałaby się niezawodnie bardzo uczęszczaną.

Jadąc w dół Skawinki, widzimy, iż cała okolica, nawet ludzie przybierają inny wygląd. Rozległe lasy otaczają ze wszech stron rozsypane po dolinie chaty zamożnych mieszkańców. Na dobrych pastwiskach pasie się rosłe bydło, pola lepiej uprawne wydają ładniejsze owsy i żyta, lecz głównie sieją tu owies, z którego górale wyrabiają chleb. Mielą oni ziarno na żarnach i z tej grubej mąki, bez drożdży i soli, robią ciasto, okrągłego kształtu, niewysokie, które pieką pod popiołem, (podpłomyki). Tem zastępują chleb. Ich tylko żołądki mogą strawić placki tego rodzaju, które wraz z kartoflami i kapustą, tudzież z odrobiną masła, mleka i sera stanowią jedyne pożywienie tych wstrzemięźliwych ludzi. Godzi się zastanowić, czem oni żyli, zanim poznali użytek kartofli? Zdrowie i długowieczność stanowią dla górali nagrodę w zamian za życie skromne i wstrzemięźliwe. Wskazywano mi wielu ludzi, liczących zwyż stu lat oraz pewnego starca, liczącego setny dwunasty rok życia, a mimo to uprawiającego rolę z młodzieńczą rzeźkością. W setnym jedenastym roku życia został ten Matuzal ponownie ojcem, a nikomu nawet przez myśl nie przeszło posądzenie jego żony — jest ona trzecią z rzędu — o niewiarę małżeńską. Sędziwy ten człowiek nadzwyczaj mało używał gorących trunków w ciągu całego życia.

Po krótkim opisie stroju góralskiego, doradza Schultes rządowi sprowadzenie 50—60 kolonistów z okolicy Gmunden do pięknej doliny Skawinki celem pouczenia tamtejszych chłopów racyonalnego chowu bydła i należytej eksploatacyi lasów. — O dwadzieścia mil ztąd — powiada nasz autor — płacą za sążeń opału po szesnaście złotych reńskich, a tutaj drzewo gnije na miejscu dla braku zbytu i środków przewozowych. Gdyby przybysze wskazali wieśniakom miejscowym racyonalny sposób korzystania z lasu, to i rząd ciągnąłby znaczniejsze dochody ze sprzedaży drzewa, tudzież z klepek, dostarczanych do salin wielickich aż z pod Babiej Góry. Obecnie mała beczułka na sól kosztuje co najmniej trzy krajcary. Koloniści pobudowaliby z pewnością tartaki, tak liczne w Niemczech a tak

korzystnie zastosowane w salinach w Gmunden. Kilkanaście źle urządzonych tartaków istnieje w okolicy Babiej Góry. Największy z nich daje dochodu sto pięćdziesiąt złotych rocznie, chociaż za piętnastostopowej długości deskę płaci się na miejscu dwanaście centów, a dwa razy tyle o dwadzieścia mil ztąd. Tak samo dzieje się z węglem. Pięć sążni drzewa daje zaledwo pięćdziesiąt korcy węgla, który się sprzedaje w Krakowie w małych woreczkach po siedm i dziewięć krajcarów. Skutkiem tego powstaje rażąca dysproporcya między drzewem a węglem. Jakież to zyski mógłby mieć skarb państwowy, jako właściciel tych lasów, gdyby sprowadzono ludzi umiejętnych w zakresie kultury lasowej a zarazem podejmujących się wywozu drzewa lub spławiania takowego? Sama natura mnóstwem strumieni, spadających z gór, wskazała na ten sposób wywożenia drzewa. Cóż kiedy nikt z niego nie korzysta. Jedynie w czasie znacznych opadów deszczowych decydują się górale na budowanie z grubych kloców tratew, na których puszczają się Wisłą do Krakowa. Tam sprzedają całą tratwę za dwanaście dukatów a nawet i drożej. Kupują je ci, którzy chcą nabyć opał tanim kosztem. Ale oszczędność owa jest tylko pozorna, gdyż nabyte drzewo trzeba dopiero rznąć na sztuki, a robotnik miejski kosztuje drogo i leniwie pracuje. Ponieważ górale wybierają tylko drzewa, dogodne im do budowy tratwy, przeto też w lesie pozostają zbyt grube lub też cienkie sztuki. O wiele korzystniejsze byłoby obrabianie drzewa na miejscu wobec taniości sił roboczych. Obrobiony materyał możnaby spławiać Skawinką do Skawy a następnie Wisłą do Krakowa i cała ta czynność wydałaby się zabawką dla niemieckich kolonistów. Koszta kolonizacyi, które mogą wynosić od ośmiu do dziesięciu tysięcy złotych reńskich, wróciłyby się z pewnością po upływie kilku lat. Leśnik z Wilczny (?) oprowadzał nas podczas wszystkich wycieczek. Człowiek ten zna dobrze swój zawód, złe i dobre strony ludu i stara się złemu zapobiegać, lecz gorliwość jego rozbija się o upór górali. Na razie zabroniono rozniecania ognisk wśród lasów. Oto wszystko, com miał do powiedzenia o tej części Galicyi, którą zwiedziłem. Chłopi miejscowi koniecznie potrzebują przykładu wieśniaków niemieckich. Ci nauczyliby krajowców bardzo wiele, ale w zamian nie mieliby się czego uczyć, chyba jak z rezygnacyą znosić głód i nędzę. Tak więc lud, mający tak małe potrzeby, staje się z natury rzeczy niewolnikiem lenistwa.

Treść listu trzeciego naszego autora, wystosowanego do M. R. Grubera, wypełnia opis jego wycieczki do Krynicy i Bardyowa. — Po powrocie moim z Babiej Góry — pisze Schultes — otrzymałem

zlecenie rządowe udania się do Krynicy i do słynnego zakładu kąpielowego w Bardyowie. W Krynicy miała komisya zdać sprawę o rzeczywistym stanie wód tamtejszych. Chwalono je bardzo, lecz zakład jest wielce zaniedbany. Przejęty uznaniem dla rządu tak gorliwego, tak czynnego i zarazem do tego stopnia interesującego się wszystkiem, co może być korzyścią dla kraju, oddałem się całkowicie na jego rozkazy, czując się szczęśliwym, iż mogę przyłożyć rękę do czynności komisyi, tyle patryotycznych i humanitarnych. Opinia moja została przychylnie przyjęta przez dwór wiedeński i wszystkie projekty komisyi uzyskały zatwierdzenie rządowe. Tak więc miasto obawy, opanowującej dotychczas wszystkich, którzy się zbliżali w okolice Krynicy, wywozić będą za lat kilka przybywający do tej miejscowości nader miłe wspomnienia... Może też kiedyś ktoś z uzdrowionych, opuszczając Krynicę, poświęci mym cieniom życzliwe wspomnienie. Ta myśl mię zachwyca i pewny jestem, że duch mój z radości zadrży w głębi grobu!

Powyższy ustęp zaopatrzył wydawca, (Malte-Brun), dopiskiem następującej treści: Tę sentymentalną apostrofę moglibyśmy z całą swobodą opuścić, lecz pozostawiliśmy ją jako cechę charakterystyczną autora, który mógłby się gniewać na nas, iż wykreślamy miejsca, dowodzące dobroci jego serca, umieszczając jedynie uwagi krytyczne.

Jadąc do Krynicy — prawi w dalszym ciągu nasz autor — przejeżdża się przez Wieliczkę i Bochnię. O tych dwóch miejscowościach mogę dziś powiedzieć tylko tyle, że napróżnoby szukać w nich porządku, jaki się widzi w kopalniach niemieckich. Pochodzi to ztąd, iż urzędnicy wcale nie grzeszą gorliwością w wypełnianiu swych obowiązków, uważając pobyt tamże za rodzaj wygnania i wzdychają tylko, by dostać się, jeżeli już nie do stolicy, to przynajmniej do jakiejś innej, przyjemniejszej okolicy. Nie ma w świecie kraju, gdzieby morderstwa i złodziejstwa były wypadkami tak częstymi, jak w Galicyi. Pomiędzy Wieliczką a Gdowem stoi samotna karczma, w której dwaj polscy szlachcice (?) wraz z byłym pułkownikiem (?) do spółki zamordowali arendarza, całą jego rodzinę, tudzież dwóch przejezdnych żydków, których podejrzywali o posiadanie znaczniejszej sumy pieniężnej. Złoczyńców schwytano w Krakowie, w chwili, gdy ważyli złupione dukaty i dzielili się nimi, ale główny sprawca morderstwa uszedł przed wydaniem potępiającego go wyroku. W ogóle — dodaje Schultes w przypisku — skłonność do złodziejstwa jest wrodzoną u ludów słowiańskich. Pewien proboszcz, zresztą dość ograniczony, nie mógł innym sposobem w czasie kaza-

nia dać swym słuchaczom należytego pojęcia o raju, jak tylko ozwawszy się do nich w te słowa: Dzieci moje! Wszystko w niebie jest z żelaza, drzwi, stołki, stoły — wszystko z żelaza. Tam to będziecie mogli kraść do woli! Ponieważ żelazo zalicza się w tym kraju do przedmiotów najbardziej pożądanych, przeto dobroduszny kaznodzieja sądził zapewne, iż w ten sposób trafi najlepiej do upodobania swych parafian . . .

Chłopi galicyjscy — czytamy w dalszym ustępie listu — są jeszcze na wpół dzicy. Pojęcie własności osobistej jest u nich bardzo słabo rozwinięte, więc też wcale sobie nie robią skrupułu, okradając swych panów. Chłop, schwytany na gorącym uczynku kradzieży, odpowiada, że należy do swego pana! Wiele jeszcze wody upłynie, zanim rząd zdoła wygubić owe resztki barbarzyństwa, a być też może, iż dla tego ludu potrzebnym byłby surowszy kodeks. Jestem z wielkim, jak w ogóle wszyscy, respektem dla Beccaria, Sonnenfelsa i Wagnitza [1]), lecz ułożone przez nich zasady prawne stworzone zostały dla ludzi ucywilizowanych, nie zaś dla barbarzyńców, których poprzednio potrzeba dopiero ucywilizować.

Wypadki kradzieży mnożą się corazto bardziej od chwili, gdy zniesiono karę śmierci. Więzienia są przepełnione skazańcami i nic też dziwnego, iż codziennie trafiają się wypadki ucieczki. Większa wszakże część kryminalistów zadowoloną jest z swego losu, gdyż w więzieniu jest im lepiej, niż gdziekolwiek indziej. Mają bowiem chleb smaczny w miejsce szkaradnego placka bez drożdży i soli, wygodne ubranie w lecie, ciepłą izbę w zimie, dobre posłanie, a praca ich równa się spacerowi po ulicach, gdyż miasto je zamiatać, dotykają zaledwo bruku. Jałmużny, im udzielane, są o wiele donośniejsze od zarobku, jaki mogą zapracować na wolnej stopie, to też zaledwo uwolnieni z więzienia, starają się napowrót dostać w jego mury, zwąc kryminał pensyonatem rządowym. Tam też czują się swobodniejszymi, aniżeli w swych chatach, gdzie głód lub kij dziedzica zapędza leniuchów do pracy. Następująca anegdota niech posłuży za dowód, jaką kontrolę winien rząd rozwinąć nad stanem sędziowskim. Jest to fakt odosobniony, lecz malujący dosadnie zepsucie urzędników galicyjskich. Oto pewien sędzia kazał uwięzić pod pozorem kradzieży wszystkich żydów, zamieszkałych w obrębie swej jurysdykcyi — a była ich bardzo znaczna liczba — jakoteż prze-

[1]) Cesare Bonefano de Beccaria, filozof, prawnik i humanista, zmarły w r. 1793 w Medyolanie, jest autorem pomnikowego dzieła: „Dei delitti e delle pene“. — Józef Sonnenfels, głośny ekonomista i autor wielu dzieł, zmarł we Wiedniu dnia 23. kwietnia 1817 r.

jezdnych izraelitów. Ci ostatni, mając pilne interesy do załatwienia, ofiarowywali znaczne sumy za to, by ich tylko przesłuchano i puszczono na wolną stopę. Niewinność ich leżała jak na dłoni, więc też zostali uwolnieni, lecz skarżących się wobec wyższej władzy ukarano za usiłowane jakoby przekupstwo urzędników. Sędzia odnośny zaprzeczył oczywiście wszystkiemu i został *ab instantia* uwolniony. Był bowiem o tyle przezorny, iż obwinionych badał w cztery oczy. Pytano tego niegodziwca, który niedawno dopiero doczekał się zasłużonej kary, jakim sposobem doszedł do pieniędzy? Tłómaczył się, iż otrzymał spadek, co jest rzeczą tem dziwniejszą, iż cała jego rodzina, to sami biedacy. Cesarz nakazał wytaczanie śledztwa przeciw wszystkim urzędnikom sądowym, którzy zebrali znaczniejsze fortuny podczas pełnienia służby. Wydanie zarządzenia tego rodzaju wskazuje najlepiej, jak wielkie rozmiary złe przybrało. Nadużycia owe doszły do niemożliwości i dopiero po ich zupełnem usunięciu, złoczyńcy, nie znajdując cichego, jak dotychczas, poparcia, lękać się będą naprawdę wymiaru sprawiedliwości. Odwróćmy wszakże oczy od tego smutnego obrazu i przyjrzyjmy się raczej sposobowi, w jaki podróżuje się w tym kraju. Jest to także źródło nadużycia, chociaż mniej intratne. Obecnie wejść mają w życie nowe przepisy także pod tym względem. Wspominam więc o nadużyciach jedynie dlatego, by zaznaczyć rozwielmożnienie się zepsucia w administracyi wobec braku ciągłej i surowej kontroli. Podróżujący, chcąc dostać koni po drodze, musi się zaopatrzyć w mandat zwierzchności a poczmistrze spełniają każde jego żądanie. Opłata za kurs wynosi po dziesięć krajcarów od konia na przestrzeni dwumilowej. Zdawaćby się mogło, iż jest to rzeczą zupełnie naturalną, gdy pieniądze za drogę wręczy się powożącemu wieśniakowi, zmuszonemu niekiedy do porzucenia pilnej roboty w polu dla odbycia tej drogi. Tak jednak nie jest. Jeżeli podróżny zachowa u siebie pieniądze, dla wypłacenia ich pocztylionowi, będącemu zarazem właścicielem koni, w takim razie nie ruszy prędko ze stacyi. Niesumienny bowiem poczmistrz, wiedząc, iż chłop ma otrzymać należytość od podróżnego, opóźnia rozmyślnie wyjazd, gdyż woli sam odebrać pieniądze i zachować je dla siebie.

Z Bochni na Wiśnicz zajechał Schultes do Lipnicy Murowanej, która po śmierci ówczesnego właściciela przejść miała na własność rządu [1]). W Lipnicy istniały pokłady doskonałej gliny, a jednak

[1]) Ostatnim dzierzawcą niegrodowego starostwa, którego środkowy punkt stanowiła Lipnica Murowana, był Fryderyk Moszyński.

w miasteczku pracowało zaledwo trzynastu garncarzy, podczas gdy sto razy tylu ludzi znalazłoby dostateczne zajęcie. Lipnica liczyła trzy tysiące mieszkańców. Można tam podziwiać — słowa listu — piękny gościniec, zaczęty jeszcze za rządów Józefa II., który z rozmaitych powodów dotychczas nie został wykończony. Od strony południowo-wschodniej ciągnął się las, przedstawiający miłe miejsce do spoczynku dla zbaczających z drogi, gdyby nie był miejscem schronienia dla rozbójników (?).

Tu zapuszcza się autor w ponowne refleksye nad smutnym stanem krajowego rolnictwa, spowodowane lenistwem wieśniaków miejscowych, upodlonych poddaństwem i ciemnotą, poczem rozpływa się nad uroczem położeniem doliny sądeckiej. — Położenie Sącza — czytamy w jego relacyi — jest prześliczne, malownicze, godne najlepszego pędzla. Miasto wznosi się na skale, u stóp której płynie Dunajec. Dolina, położona pod miastem, przybiera w dalszym ciągu charakter pagórkowaty, zaś w znacznej odległości bieleją Tatry, pokryte wiecznym śniegiem. Sącz, o ile korzystnie się przedstawia zdaleka, o tyle brzydkim jest zbliska i szpeci tylko tę piękną okolicę. Mieszkańcy tego miasta nie odznaczają się wcale gościnnością, nie wyjąwszy nawet właścicieli zajazdów. Gdy chodzi o dokuczenie Niemcom, nic ich nie wzruszy, nawet nadzieja zysku nie przemówi wówczas im do przekonania. Udzielił mi nakoniec gościny pewien niezamożny mieszczanin, ale i ten był Niemcem.

Z tem też większą radością powitał nasz podróżnik zamożnych kolonistów niemieckich, osiadłych w okolicy tego miasta, i nie szczędzi najbardziej wyszukanych pochwał dla ich rządności oraz gospodarności. — Żebyście mogli zobaczyć ich osady — prawi Schultes — tobyście na równi ze mną przyszli do przekonania, że jedynym sposobem dla podniesienia poziomu galicyjskiego rolnictwa jest sprowadzenie jak największej liczby niemieckich kolonistów i to protestantów, gdyż z niewiadomej mi przyczyny koloniści wyznania reformowanego gospodarzą o wiele lepiej, aniżeli ich ziomkowie-katolicy. Uwaga rzeczona nie pochodzi wyłącznie odemnie, gdyż mówią o tem głośno najbardziej uprzedzeni Polacy, dodając wszakże zupełnie niesprawiedliwy zarzut, że to powodzenie zawdzięczają niemieccy koloniści djabłu, naturalnemu opiekunowi wiernych jego sług... Jestem tego zdania, że należałoby sprowadzić 50.000 niemieckich osadników, by Galicyę postawić na stopie ucywilizowanej i zdania mego nie zmienię, dopóki mi ktoś nie udowodni błędu, czy trafnym argumentem, czy też przykładem. Wiem, że sądu mego nie podziela wielu polityków, zadowalniających się kilkoma tysiącami re-

kruta oraz takąż liczbę miar owsa, dostarczanych przez Galicyę. Ja jednak powiem, dlaczego mamy poprzestać na tysiącach, gdy możemy mieć miliony! Mówią, że koloniści niemieccy są ludźmi upartymi i umiejącymi na wszystko znaleść odpowiedź. Wynika to po prostu z tego, że znają prawo i gdy tego potrzeba, stawiają zacięty opór, tudzież zanoszą skargi do swej zwierzchności, póki nie uzyskają tego, co im się należy. Czyż można z tego powodu podnosić przeciwko nim zarzuty? Nienawidzą ich, ponieważ lepiej im się dzieje, są szczęśliwsi. Z słusznemi zażaleniami nikt przeciw nim nie może wystąpić. Owszem, przyznają wszyscy osadnikom, że dobrze gospodarzą i starannie wychowują swe dzieci. Ale komisarze, wyznaczeni dla spraw kolonialnych, rozmyślnie spotwarzają osadników, byle osłabić wrażenie, wywołane skargami przez nich wnoszonemi. I tak już koloniści nie korzystają ani w połowie z dobrodziejstw, jakie przeznaczył rząd dla nich. Dzieje się to z powodu nadzwyczajnego marnotrawstwa administratorów, których można porównać z wampirami. A jednak kolonie w Dąbrowie i w Bisnicy (?), w okolicy Sącza, mogłyby zostać znacznie powiększone i co do obszaru i co do ilości osadników, gdyby zarządzano niemi w myśl poleceń Józefa II. oraz według intencyi teraźniejszego rządu. Młodzieży znalazłoby się podostatkiem celem utworzenia garnizonu w Sączu, gdyby postanowiono miasto fortyfikować. Zdaje mi się, że położenie tej miejscowości byłoby na warownię wielce odpowiednie, a zresztą pozostawiam to zdaniu ludzi fachowych . . .

Po przebyciu dwu mil znaleźliśmy się przed ładnym pałacem, zbudowanym wśród wąwozu, pomiędzy górami, ciągnącemi się ku Krynicy. Ztąd jedzie się dalej wzdłuż strumienia, który w porze deszczowej jest czasem przyczyną, że i tydzień potrzeba czekać, zanim można się dostać do Krynicy, lub z niej wydostać, skutkiem czego wody tamtejsze mniej licznie są uczęszczane. W Łabowej znaleźliśmy wyborne schronienie. Ztąd do Krynicy liczą jeszcze cztery mile drogi, częścią przez ten przeklęty potok, częścią zaś przez parowy nim potworzone. W końcu przebyć należy górę lasem pokrytą, u stóp której biją źródła mineralne w Krynicy. W zamian za trudy, poniesione podczas przebywania tej strasznej drogi, nie zobaczyliśmy nic interesującego, nic malowniczego. Ludność tamtejsza posiada pewne rysy charakterystyczne, odmiennej rasy słowiańskiej, zwanej: Rusniakami. (Schultes zwie ją: Rousniaks). Lud to równie barbarzyński, jak jego nazwa. Cywilizacya jego stoi na stopniu jeszcze niższym, aniżeli reszty ludności. Natomiast mniej są zepsuci i bardziej wstrzemięźliwi w jadle. Sprawiają wrażenie ludzi pracowitych,

chociaż bardzo mało posiadają wiadomości o należytej uprawie roli. Są wyznania greckiego. Ruscy księża żenią się, a ponieważ dochody ich są bardzo skromne, przeto chcąc utrzymać rodzinę, muszą pracować z konieczności. Tak więc przyświecają ludowi skutecznym przykładem i to też stanowi dobrą stronę księżowskich małżeństw.

Tu podaje nasz autor krótki rys architektury cerkiewnej po wsiach, posiadających trzy dzwony rozmaitej wielkości. Poczciwy ludek — pisze Schultes — wyobraża sobie przez nie trzy osoby Trójcy Świętej, utrzymując, że główny dzwon poświęcony jest Bogu Ojcu, drugi Bogu Synowi, trzeci Duchowi Świętemu...

W końcu przystępuje nasz turysta do opisu Krynicy, który kreśli nam w tych słowach: Zanim rząd zajął się ulepszeniem Krynicy, były wypadki, iż trzeba było chronić się na dachy domostw przed wylewem potoka. Nie było tam ani doktora, ani chirurga. Brakło też żywności, zwłaszcza podczas postu, obserwowanego nader surowo przez ludność greckiego obrządku. Mimo tych wszystkich niedogodności, bawiło tam zazwyczaj około czterysta osób, co jest dowodem niepospolitych zalet wód krynickich. Gdyby warunki bytu w Krynicy były korzystniejsze, to z pewnością stałaby się ta miejscowość tak słynną, jak Spaa. Obecnie jednak bawią w niej tylko prawdziwie chorzy. O dziesięć mil od Krynicy leży Bardyów, będący zupełnem jej przeciwieństwem. Tam przemysłem dopełniają niedostatki naturalne. Po drodze do Bardyowa widzimy Tylicz, posiadający również znakomite wody mineralne. Miejscowość ta wszakże nie jest licznie odwiedzaną, ponieważ zakład tamtejszy nie budzi żadnego zajęcia. Mieszkańcy, acz sąsiadujący z Węgrami, nie przejęli od nich ani pracowitości, ani też sprytu w interesach.

Jakkolwiek opis Bardyowa nie wchodzi w ramy niniejszego streszczania, to jednak uważamy za stosowne przytoczyć słuszne poniekąd uwagi autora, dotyczące wystawnego trybu życia współczesnych magnatów polskich. — Dostatki i zbytek, zwykły w życiu wielkich panów polskich, nie są skierowane — zdaniem Schultesa — ku podniesieniu publicznego dobrobytu, a jednak są ci magnaci przywiązani do swej ojczyzny. Obojętność ta wypływa podobno z niezadowolenia. Panowie bowiem uważali się ongi za panujących w Polsce, a dobrodziejstwa, świadczone poddanym, poczytywali jako wypływ swej szlachetności... O wiele przyjaźniejsze uczucie ożywia szlachtę węgierską, której wiele zakładów publicznych zawdzięcza swe istnienie. W Galicyi dzieje się przeciwnie. Spotkasz tam wspaniałe pałace i przepyszne ogrody, słowem wszystko, co człowiek prywatny może stworzyć w swym zakresie wielkiego, lecz nie widzisz nigdzie po-

mników, dowodzących dbałości o dobro publiczne. Czyż nie jest godnym pożałowania widok Polaków, posiadających wille w Bardyowie a omijających Krynicę, choć ta ostatnia tworzy cząstkę ich ojczyzny, a wody krynickie posiadają więcej przymiotów leczniczych, aniżeli bardyowskie . . . Dlatego też Bardyów zawsze, a przynajmniej jeszcze przez czas dłuższy, szkodzić będzie sławie Krynicy, jeżeli rząd nie postara się o jej ulepszenie na wszelkie możliwe sposoby.

Z Krynicy powracał Schultes inną drogą do Krakowa. Jechał na Limanowę, Tarnawę i Gdów, gdzie mimo długotrwałej posuchy utworzyło się na środku rynku olbrzymie bagno, w którem omal że nie ugrzęźli przejeżdżający.

List czwarty autora, zaadresowany do abéego Edera [1]), dyrektora szkół w Hermansztadzie, zawiera najwięcej stosunkowo wycieczek przeciwko szlachcie, dworom ziemiańskim a nawet przeciw gościnności staropolskiej, której nadmiarem, nie zaś brakiem ojcowie nasi grzeszyli. Są to wyskoki zgryźliwości nałogowego śledziennika, wobec których wydawca uznał za stosowne zastrzedz się w następującym dopisku: Cały ten rozdział — oświadcza redakcya „Roczników" — tchnie uprzedzeniem przeciw Polakom a sympatyą dla Niemców. Nie zmieniamy osnowy artykułu autora, lecz od siebie musimy oświadczyć, że u tych panów polskich, których poznaliśmy i odwiedzaliśmy, nie dostrzegliśmy żadnego z tych śmiesznych a nawet wstrętnych rysów, o jakich mówi Schultes . . . Osnowa powyższego komentarza uwalnia nas od przytoczenia ekspektoracyi szanownego profesora, który w przystępie złego humoru uznał za stosowne nie oszczędzać nawet kobiet polskich, grzeszących — jego zdaniem — nietylko brakiem schludności i niegospodarnością, lecz także bezgraniczną rozwiązłością obyczajów i przystępnością nadzwyczajną . . .

Na początku czwartego listu wspomina Schultes, iż rozkaz rządowy powołał go z Krakowa do Lwowa. Ruszył więc bezzwłocznie w drogę i jadąc na Bochnię, przybył do następnej stacyi pocztowej, która mieściła się w Brzesku. — Chcesz wiedzieć — zapytuje Schultes, jak wygląda miasteczko w Galicyi? Rynek główny, to kwadrat z studnią w pośrodku. Do koła wznoszą się nie domy, lecz budy drewniane, otoczone kupami gnoju. Dalej widać kościół, jeżeli nie drewniany, to budowany z cegły, ale bez cementu. Wszędzie pełno błota i nieczystości. Na targowicy mnóstwo chrześcian, pijanych

[1]) Józef Eder, historyk, zmarły w Hermansztadzie d. 11. lutego 1802 roku.

i pomięszanych z żydami, którzy ich rozpajają. Wszędzie jeden i ten sam widok, jaki zauważyłem w Brzesku i w Wojniczu, w Pilznie, w Dembicy, w Rzeszowie, w Jarosławiu, w Przemyślu, w Samborze i w Drohobyczu.

W Brzesku jest kilku tokarzy, żydów, a żydówki zajmują się koronkarstwem. Inni mieszkańcy śpią lub piją. Żydzi tylko pracują i z tego powodu zasługują na poparcie... Piękne okolice Tarnowa wynagradzają po trosze monotonię, nużącą podróżnego podczas poprzedniej drogi. Istnieje tam wspaniały zajazd, opatrzony dorycką kolumnadą. Brak w tym budynku tylko drzwi i okien, tudzież kominków i dachu, chroniącego mieszkańców przed deszczem. Architekci galicyjscy udają się do Włoch celem kształcenia się w swej sztuce, skąd powróciwszy, budują pod pięćdziesiątym pierwszym stopniem takie same domostwa, jak pod czterdziestym trzecim. To też domy o płaskich dachach walą się, a wiatr tłucze okna sążniowych rozmiarów i kominem śnieg się wali, podczas gdy dla należytego ogrzania ogromnych pieców potrzebaby lasu całego. Wjeżdżając do Tarnowa od strony Krakowa, odnosimy wrażenie, jak gdybyśmy się znajdowali w niemieckiem mieście. Wszystko w koło przedstawia się porządnie, domy są piękne i czyste. Wszędzie panują dobry gust i porządek, lecz jakież przeciwieństwo przedstawia widok śródmieścia. A jednak Tarnów jest stolicą obwodu! Droga, wiodąca z Tarnowa do Pilzna a zwłaszcza do Dembicy, jest najbardziej zajmującą na całej przestrzeni między Krakowem a Lwowem. Zdawaćby się nawet mogło, iż jest się przeniesionym do innego kraju, widząc pola dobrze uprawne i lasy zaszanowane. Jedynie Dembica, brudna i pełna żydów, przypomina, że się jest w Galicyi. Rudka i Sędziszów wyglądają tak samo, jak Dembica, zaś na drodze do Rzeszowa można zginąć z nudów, spoglądając na nagie pagórki oraz na wzniesione na ich szczycie wiatraki. Na całej, ośmiomilowej przestrzeni, jedynem miejscem mile wyglądającem jest Głogów, letnia rezydencya hrabiego Swerts [1]. Zboczyliśmy do Głogowa o cztery mile z naszej drogi, lecz hojnie zostaliśmy za to wynagrodzeni, doznawszy ze strony hrabiego nader miłego przyjęcia. Co do uprawy roli, zastosowano tam gospodarkę niemiecką, lasów administracya wyborna, urządzenie domu wspaniałe. Uprzejmość gospodarza oraz całej jego rodziny pozwoliła nam zapomnieć o tem, że znajdowaliśmy się w Galicyi.

---

[1] Schultes miał tu prawdopodobnie na myśli Filipa Jana hr. Sweerts-Spork, wiceprezydenta sądu apelacyjnego we Lwowie, albo też brata jego, hrabiego Jana Franciszka, prezydenta gubernialnego.

Ach, gdybyż więcej podobnych mu magnatów niemieckich przebywało choćby po kilka miesięcy co roku w Galicyi, jakby inaczej kraj ten wyglądał!...

Z Głogowa zajechaliśmy do Rzeszowa. Jest to jedno z największych miast galicyjskich. Handel i przemysł rozwinięty tam o wiele znaczniej, aniżeli w samejże stolicy kraju. Co prawda, pośredniczą w tem żydzi, ale mniejsza o środki, gdy ostateczny rezultat jest pomyślny. Rzeszów, to małe Brody, a jakkolwiek leży w pośrodku kraju, to przecież dzięki kontrabandzie można tam dostać wszystkiego, czego się zażąda. Oprócz żydowskich kupców przebywa w mieście wielu izraelickich rękodzielników. Są w Rzeszowie rytownicy, wykonujący bardzo tanio na stali, krysztale lub chalcedonie rozmaite herby i godła, a widziałem ich roboty bardzo dobrze wykończone i gustowne. Są tam także złotnicy dość zręczni, którzy często zapuszczają się w głąb Rosyi aż po Moskwę i Petersburg, gdzie są bardzo poszukiwani. Niekiedy docierają nawet do Syberyi.

Tu rozwodzi się Schultes nad użytecznością żydów w Galicyi oraz nad uciskiem, jakiego w tym kraju doznają, i kończy swą relacyę o Rzeszowie temi słowy: ... Porzućmy jednak Rzeszów, gdzie panują febra i niezgoda. Niezgoda gnieździ się tam przez rok cały a febra jesienią. Mieszczanie rzeszowscy są bardzo trudni w nawiązywaniu stosunków znajomości. Nie ma u nich żadnych wieczorów, ani zebrań towarzyskich. Droga z Rzeszowa do Łańcuta nie obfituje bynajmniej w piękne widoki. Boć trudno pięknymi nazwać kilka pagórków, zalesionych dopiero u samego szczytu. Z prawdziwym też żalem widzi się zabiegi księżny Lubomirskiej [1]), by z tej pustyni uczynić raj ziemski. Pałac łańcucki i park są prześliczne. Gdybym losów zrządzeniem dokonać miał życia w Galicyi, to tutaj chciałbym żyć i umierać. Wybór rzeczony jest zarazem pochwałą i naganą. Gdyby księżna miasto wyrzucania milionów na upiększenie rezydencyi, upośledzonej od natury, wydać chciała choćby tysiączną część ponoszonego przez nią nakładu w odpowiedniejszej na ten cel miejscowości, wówczas taki Łańcut stanowiłby epokę w sztuce ogrodniczej. Można czasami poprawiać naturę, lecz niepodobna jej wypowiadać wojny. Można zrobić coś z małego, lecz nigdy tworzyć coś z niczego, Księżna lubi botanikę i zna się dobrze na niej. Umiała przeto zebrać wszystkie rzadkie i piękne rośliny... Ale co zwraca szczególniej uwagę znawców, to fakt, iż cieplarnie nie są przezna-

---

[1]) Izabela z Czartoryskich ks. Lubomirska, starsza siostra księcia jenerała ziem podolskich, zmarła we Wiedniu d. 25. listopada 1816 r.

czone wyłącznie dla okazałości i zbytku, ale też celem kultury umiejętnej krzewów, zajmujących znawców. Księżna nie szczędziła wcale wydatków, by dostać dobrego ogrodnika, a wybór jego przeszedł wszelkie oczekiwania. Udało się jej pozyskać sasa, Simona, który — rzecz rzadka wśród ogrodników — łączy znakomitą wiedzę teoretyczną z praktyką. Pochwały, wyrażane dla Simona, nie czynią najmniejszej ujmy księżnie, gdyż najgłówniejszą zasługę możnych stanowi wyszukiwanie osobistości zdolnych i odpowiednich do spełnienia podjętych przez nie obowiązków. Przepyszna, ślicznie utrzymana aleja ciągnie się na pół drogi z Łańcuta do Przeworska. Powinna była stanowić przykład dla innych. Niestety, nie skorzystano z takowego i postąpiono po cudacku, zasadzając w przedłużeniu alei brzozy siedmio i ośmioletnie. Naturalnym rzeczy porządkiem poschły one w przeciągu roku i dziś wzdłuż drogi widnieją tylko szkielety drzew. Ujemną stronę owej alei przedstawia zły stan gościńca, wiodącego wśród niej, skutkiem czego po każdym silniejszym deszczu należy zaprzęgać do powozu przynajmniej o dwa konie więcej, aniżeli zazwyczaj. Księżna kilkakrotnie ofiarowywała się z naprawą tej drogi na przestrzeni dwumilowej swoim kosztem, ale z niewiadomej przyczyny odrzucono tę wspaniałomyślną ofiarę. Smutny stan gościńca jest tem dziwniejszy, ile że inne drogi publiczne w Galicyi są bardzo dobrze utrzymane. Brak tylko czasami poręczy lub słupów ponad głębszemi fossami.

Przeworsk słynie podobno z ładnych żydówek. Co do mnie, widziałem tam dużo młodych izraelitek, ale żadna z nich nie zasłużyła na podobną sławę. Pod każdym innym względem Przeworsk nie wyróżnia się niczem od reszty miast galicyjskich.

W Jarosławiu zwrócił przedewszystkiem uwagę Schultesa duży klasztor Dominikański wraz z kościołem. — Gorąca wszakże pobożność parafian — zauważa nasz autor — nie doszła do tego stopnia gorliwości, by dbać mieli o swój kościół farny, który kilka lat temu zwalił się im na głowy. W Jarosławiu istnieją trzy fabryki świec woskowych, które zaledwo starczą na potrzeby kościołów krakowskich, podobnie jak fabryka sukna, założona przez rząd galicyjski, nie produkuje dostatecznej ilości wyrobów dla miejscowego garnizonu. Uwidoczniony nad drzwiami kilkuset domostw napis: *Si vis pacem, para bellum!* wydaje się magistratowi zupełnie odpowiadającym wojowniczemu usposobieniu mieszkańców (?). Żydzi sprawiają wrażenie bardziej ucywilizowanych od reszty swych współobywateli. U żydówek nie widać tych szkaradnych, ryżych peruk, które zakrywały ich ostrzyżone głowy. Zastąpiły je małemi, białemi czapecz-

kami, równie skromnemi, jak ładnemi. Radymno sprawia już zdaleka niemiłe wrażenie. Droga wije się w rozmaitych kierunkach. Miasteczko to się ukazuje, to znów znika, zaś oko podróżnego nuży jednostajny widok ugorem leżącej płaszczyzny, poprzerzynanej bardziej jeszcze jałowemi wzgórzami. Niedaleko Radymna przeciągała rossyjska karawana, złożona z pięćdziesięciu wózków jednokonnych. Wiozła ona łój moskiewski do kraju, gdzie jeden morg może więcej wyżywić bydła, aniżeli pięćdziesiąt morgów piaszczystej gleby rosyjskiej. Wiozła owa karawana także skóry. Wygląd przewoźników jest okropny. Możnaby się ich przestraszyć. Podobnie też ubiór ich jest ohydny. Droga z Radymna do Przemyśla mniej jest monotonną. Urozmaicają ją wzgórza, zwane przez lud okoliczny górami, tudzież rzeka San. Ruiny zamku wyglądają zdala bardzo okazale. Jest to drugi, stary zamek, jaki mi się zdarzyło widzieć w Galicyi na przestrzeni siedmdziesięciomilowej (?). W Austryi i w Styryi spotyka się ich o wiele więcej. Gdyby zamki, zamieszkiwane przez szlachtę galicyjską, były tyle razy niszczone przez Turków, Węgrów, Bawarczyków i Szwedów, jak to się działo w Austryi, w Styryi lub w Karyntyi, to nie pozostałoby z nich ani śladu. Tam jednak odbudowano je w przeważnej części albo też zastąpiono nowemi. Szczep celtycki *(sic)* jest o wiele szlachetniejszy od słowiańskiego. W Hiszpanii, we Francyi, we Włoszech, w Szwecyi, w Norwegii, w Anglii i w Niemczech, spotyka się wiele pomników, wznoszonych nietylko przez władców, ale i przez ludzi prywatnych. W krajach słowiańskich nie znajdziesz nigdzie śladów tak chwalebnych dla starożytnych rodów. Cokolwiek z zabytków istnieje do dnia dzisiejszego, to wszystko są szczątki pracy rąk niemieckich, celtyckich. Szczątki budynków w Krakowie, to także prace, wykonane przez Niemców z polecenia Kazimierza i Jagiełły. I w Przemyślu wszystko, co do dziś dnia istnieje, to było zbudowane przez Niemców. Słowianie nigdy nie pracują dla przyszłych pokoleń. Oni kopią rowy lub sypią mogiły, to są ich pomniki. Galicyanie są jeszcze tymi samymi Scytami, o których prawi Justinus, księga II. r. 2. [1]). Od tylu wieków, miasto poprawy, zepsuli się jeszcze bardziej. Dopieroco wspomniany autor mówi bowiem o Scytach, iż złodziejstwo jest dla nich wstrętne, oraz że pogardzają srebrem, tudzież złotem. Ktokolwiek jest zmuszony podróżować po Galicyi, ten wie aż nadto dobrze z doświadczenia, jak dalece obawiać się należy w tym kraju kradzieży.

---

[1]) Marcus Justinus, Frontinus, historyk łaciński z drugiego wieku.

Rosyanie, nasi sprzymierzeńcy, wyrządzili więcej szkody w Niemczech, aniżeli nieprzyjaciele...

Ustęp powyższy, tchnący zjadliwą nienawiścią przeciwko wszystkim Słowianom w ogólności, uznała redakcya za stosowne zaopatrzyć komentarzem następującej treści: Autor myli się, gdyż ani ludy skandynawskie, ani też Niemcy nie pochodzą od Celtów. Raczej to ducha germańskiego lub gotyckiego pragnie on wynieść ze szkodą słowiańskiego. Cały ten jednak ustęp jest zbyt ogólnikowy, by mógł być sprawiedliwym.

— Lecz wróćmy do Przemyśla — pisze nasz autor do swego korespondenta — którego historyę znasz pan może lepiej odemnie, jak również dzieje rządów tego dobrego władcy, któremu zamek przemyski zawdzięcza swe powstanie. Działo się to — jak mi mówiono — w czasach nader dawnych. Dziś, niestety, zamieszkałą jest ta warownia przez sowy i nietoperze. Przemyśl jest siedzibą biskupią. Może ktoś powie, że hotel tamtejszy jest najlepszy w całej Galicyi. Być może, nie przeczę. Atoli mając zamiar przepędzenia w nim nocy, należy zabrać z sobą materace i prześcieradła, jeżeli się nie chce nocować na gołej słomie. Przemyśl posiada tę wyższość nad innemi miastami galicyjskiemi, że domy tamtejsze są budowane z cegły, nie z drzewa, co się ogólnie praktykuje w Galicyi. Widać jeszcze resztki drewnianych domostw, pozostałe po ostatnim pożarze a pozbawione drzwi oraz okien. Rynek, dzielnica żydowska, tudzież część miasta, zamieszkała przez majętniejszą ludność — wszystko to przedstawia obraz wrodzonego nieporządku, dopełnionego harmonizującymi z nim śladami pożogi. Przemyśl nie odznacza się ani handlem, ani też przemysłem. Natomiast dowiedziałem się ze zdziwieniem, że istnieje w tem mieście drukarnia.

Z Przemyśla puścił się Schultes w dalszą drogę ku Lwowu na Mościska i Sądową Wisznię. Między obiema temi miejscowościami rozciągała się piaszczysta pustynia, jaką zresztą często spotyka się w Galicyi — słowa autora. Sądowa Wisznia była niegdyś miejscem, gdzie odbywały się sejmiki i zjazdy szlacheckie. Przybyłem do tego miasteczka w dzień niedzielny, podczas jarmarku, na który ściągnęło się mnóstwo chłopstwa z rozmaitych stron. Przybysze w przeważnej części byli pijani do tego stopnia, iż nie mogli się ruszyć z miejsca. Tak więc konie nasze nie mogły swobodnie przejść wśród tłumu, koczującego na gołej ziemi... Gródek znalazłem mniej wstrętnym od innych miast galicyjskich, a to dlatego, że nie bardzo się przyjrzałem tej miejscowości. Małoco widząc pod-

czas nocnej jazdy, dziękowałem Bogu, że o świcie znalazłem się we Lwowie...

Opisowi stolicy galicyjskiej poświęca autor list ósmy, do którego też bezpośrednio przechodzimy, pozostawiając na sam koniec siódmy ustęp jego relacyi, zawierający rozmaite szczegóły o Krakowie.

Lwów jest, zdaniem Schultesa, miastem nader przyjemnem i wyróżniającem się korzystnie wśród wielu stolic prowincyonalnych. Położenie tego miasta nazwać można miłem, a jego przedmieścia, rozrzucone na wzgórzach, sprawiają wrażenie przyjemne, wesołe. Ulice Lwowa są proste i dość szerokie; place, przestronne i w przeważnej części czysto utrzymane, sprawiają, iż wznoszące się przy nich gmachy wyglądają okazale. Krótko mówiąc, Lwów przedstawia się wcale dobrze. Mieszkańcy, w przeważnej części Niemcy, zamiłowani w porządku i w czystości, trzeźwi i czynni, pracowici i ożywieni duchem przemysłowości, obcym Polakom, sprawiają, iż tutaj, wśród kraju polskiego, znajdziesz wszelakie dogodności niemieckiego miasta. Wiesz pan zapewne — pisze Schultes do swego korespondenta — iż połączone rządy Galicyi wschodniej i zachodniej mają swą siedzibę we Lwowie. Zapewne jednak nie jest panu wiadome, że tutejsi radcy gubernialni są to ludzie w przeważnej części bardzo wykształceni, rządzący się w urzędowaniu uznania godną liberalnością. Nieśmiertelnej pamięci cesarz Józef II., który wielu z nich zamianował urzędnikami i umiał ich należycie ocenić, twierdził, iż posiada w Galicyi najtęższe głowy, lecz zwykł przy tej sposobności wyrażać ubolewanie, że ludzie tak zdolni nie posiadają serca. Natomiast panie lwowskie zaprzeczają słowom monarszym, twierdząc, że owi panowie posiadają za wiele serca...

L'enfant malin qui tient sous son Empire
Le genre humain, les anes et les Dieux

niech rozstrzygają, kto ma słuszność w tym wypadku. Obecnie hrabia Wurmser, syn sławnego jenerała, jest prezydentem gubernialnym a zarazem zastępcą gubernatora [1]). Jest to człowiek bardzo czynny, który od dawna zasługuje na to, by otrzymać posadę gubernatorską, gdyby system rządowy katolickiego państwa pozwalał, by taką godność powierzyć protestantowi. Na szczęście we Lwowie nikt się nie troszczy o podobne rzeczy. Widzisz tu żyjących w jak

[1]) Krystyan hr. Wurmser był gubernatorem galicyjskim we Lwowie, w latach 1806—1809.

najlepszej zgodzie arcybiskupa łacińskiego z superintendentem, a biskupa grecko-unickiego lub arcybiskupa ormiańskiego z rabinem. Nawet Mufti, czy też Mołła tatarski, rezydujący w Studziance, w okręgu bialskim [1]), gdzie istnieje jeszcze gromadka wyznawców Mahometa, zaglądający od czasu do czasu do Lwowa celem przekonania się, ilu prozelitów koranowi przysporzyło wielożeństwo, doznaje w mieście jak najlepszego przyjęcia. Znajdziesz tu katolickich księży, którzy nie odprawiają wcale mszy, lecz żyją najspokojniej na łonie rodziny, składającej się z czworga lub sześciorga dziatwy. Pod tym względem panują jeszcze we Lwowie czasy niezapomnianego Józefa II. Gdy pewien ksiądz katolicki upraszał wielkodusznego monarchę o pozwolenie na ożenienie się, odparł mu cesarz: Jestem wprawdzie, mój przyjacielu, cesarzem rzymskim, ale nie papieżem. Nie mogę pozwalać na to, czego nie zabraniałem. Wiesz co jednak? Jedź do Lwowa. Tam nikogo podobne rzeczy nie obchodzą! Cesarz Józef II. założył uniwersytet we Lwowie, który obecnie zniesiony i przeniesiony do Krakowa, w przeciągu trzech lat zatracił w zupełności charakter, jaki chciał mu nadać fundator. Obecnie istnieje we Lwowie jedynie liceum, liczące trzy razy więcej uczniów, aniżeli uniwersytet krakowski, jakkolwiek profesorowie tamtejsi wcale nie przewyższają uczonością lwowskich kolegów. Lwowski profesor, Vrecha [2]), peroruje *contra diabolicum Cantium*, profesor fizyki [3]) sam jeszcze powinien się uczyć, zaś nauczyciel historyi [4]) stał się sławnym skutkiem zbyt sokratycznego stosunku z uczniami. Z wyjątkiem profesora Rohrera [5]) i bibliotekarza Kuralta niema — o ile mi wiadomo — ani jednego w tem gronie człowieka, znanego wśród publiczności z działalności naukowej.

Nie chcę wygłaszać panegiryku na cześć lekarzy lwowskich, zasługujących w zupełności na szacunek kolegów zawodowych. Zamierzam jednak wspomnieć na tem miejscu o niektórych, osiadłych

---

[1]) Studzianka, wieś w dzisiejszym powiecie bialskim, pod Łomazami, zamieszkała przez Rusinów i Tatarów.

[2]) Wit Vreha, profesor logiki w uniwersytecie lwowskim, zmarły d. 23. stycznia 1809 r.

[3]) Antoni Gloisner, z zawodu prawnik, był profesorem fizyki do r. 1823. Straciwszy słuch, został radcą sądu szlacheckiego we Lwowie.

[4]) Ludwik Edward Zehnmark przeniesiony został w roku 1811 w stan spoczynku z powodu nieudolności fizycznej.

[5]) Józef Rohrer, profesor umiejętności politycznych w uniwersytecie lwowskim i autor rozpraw o Galicyi, zmarły w roku 1828 we Wiedniu.

tutaj uczonych, a mianowicie o Kortumie [1]) i o Kratterze. Pierwszy, głośny z powodu swych dzieł *O Żydach* oraz *Magna Charta* jest w całem tego słowa znaczeniu czcigodnym starcem, na które to miano zasługuje zarówno z powodu podeszłego wieku, jak i dla gruntownej wiedzy. Żyje zdala od świata, w domku podmiejskim, zajmując się ekonomią. Drwi jako filozof z wszystkiego, a w szczególności z żydów, którym nie dozwala wcale przystępu do swej siedziby. Dziwactwo owe staruszka tłómaczy się konsekwentnem przestrzeganiem zasad, wyrażonych przez niego w jego dziełach. Konsekwencya jest przymiotem tak rzadkim w naszych czasach, tak rzadko spotyka się ludzi, postępujących zgodnie z wyrażanemi przez nich w druku zasadami, iż należy cnotę tę uszanować, gdy się ją spotka. Kratter [2]), znany z swych utworów dramatycznych, oraz z *Listów Galicyjskich*, które mu tyle przymnożyły przykrości, zajmuje się dyrekcyą teatru, kierując nim z swego ustronia, zwanego Żelazną Wodą a położonego w nader malowniczej okolicy na jednem z przedmieść Lwowa. Obawiam się, czy przedsiębiorstwo teatralne nie przysporzy mu tyleż przykrości, co dawniejsze *Listy*. Bredetzky [3]), znany z działalności naukowej, jest tutaj od dwóch lat srperintendentem wyznania augsburskiego i zażywa szacunku, jaki mu się słusznie należy. Biblioteka po-uniwersytecka, zasilona wiedeńskiemi zbiorami Garellich [4]), nie jest nieznaczna. Liczy do 40.000 tomów, lecz umiejętności fizyczne są w niej jeszcze słabiej reprezentowane, aniżeli to ma miejsce w innych księgozbiorach austryackich. Brak jej również wielu dzieł nowszych, by zasługiwała na miano kompletnej. Obecny bibliotekarz, Kuralt [5]), posiada wiele wia-

[1]) Ernest Bogumił Kortum, radca dworu, naczelny administrator salin oraz dóbr rządowych w Galicyi, zmarły dnia 2. lutego 1811 r. we Lwowie.

[2]) Franciszek Kratter, autor osławionych „Listów o Galicyi“, pisarz dramatyczny, tudzież dyrektor sceny niemieckiej we Lwowie, zmarły tamże dnia 8. listopada 1830 r.

[3]) Samuel Bredetzky, superintendent wyznania reformowanego we Lwowie, autor wielu rozpraw ekonomicznych, zmarły we Lwowie dnia 20. maja 1812 roku.

[4]) Pius Mikołaj Garelli był lekarzem oraz dyrektorem nadwornej biblioteki wiedeńskiej. Syn jego, Jan Baptysta, (zmarły w roku 1741 we Wiedniu), zaofiarował odziedziczoną po ojcu bibliotekę instytutowi Theresianum. Dublety tego zbioru przeszły na własność c. k. Biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie.

[5]) Abbè Marcin Kuralt, kustosz c. k. biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie, usunięty z posady zajmowanej w roku 1809.

domości w swym zawodzie, a Galicya zawdzięcza mu pierwszą szkołę pszczelniczą. Miewa on także wykłady o bartnictwie i wydał traktujące o tym przedmiocie, znane w Austryi dzieło Janscha [1]).

Lwów posiada trzy czy cztery księgarnie, wśród których najznaczniejszą jest księgarnia Wilda. Atoli Sozyasz ten zdaje się więcej dbać o klientelę w Rosyi, aniżeli o Galicyę. Gubernialny drukarz, Piller, tłoczący patenty, cyrkularze i afisze, wzbogacił się do tego stopnia na swem czernidle, iż posiada obecnie jedną z najładniejszych kamienic we Lwowie. Jest on Trattnerem [2]) galicyjskim w całem tego słowa znaczeniu. Sądzę, że uczciwy księgarz znalazłby zarobek we Lwowie, gdzie istnieje większe zainteresowanie się literaturą, aniżeli w innych miastach austryackich. Dlatego też książki są tutaj straszliwie drogie, a kilka groszy opustu wytworzyć mogą współzawodnictwo. Dopytywałem się o gabinety przyrodnicze i o zbiory numizmatyczne, lecz z wyjątkiem kollekcyi licealnych nie znalazłem nic podobnego. Dr. Masoch, (Schultes pisze: Mazoes) [3]), lekarz bardzo zdolny, posiada nieco obrazów, w rzędzie których taniec śmierci w guście Holbeina zwraca uwagę znawców. Wdowa po poprzednim lekarzu miejskim, Titzu [4]), posiada niewielki zbiorek ptaków, których pióra naklejone na papier, wyglądają gdyby malowidło olejne. Zresztą egzystencya we Lwowie jest nader przyjemna. Można dostać wszystkiego, czego się zażąda. Je się i bawi się doskonale. Żyć można, ruszać się i rezonować bez żadnego przymusu, słysząc rozprawy, pełne dowcipu i prawdy. Słowem, żyje się we Lwowie, gdyby w wolnem mieście portowem, albo też tak, jak się żyło za mych młodych lat pod panowaniem Józefińskiem. Policya jest tu o wiele energiczniejszą, aniżeli w innych miastach. Rząd dba o dobroć, taniość pierwszych artykułów żywności. Piekarze i t. d. pozostają pod surową kontrolą i w razie przestępstwa podlegają karze; ludność sześćdziesięciotysięczna jest zadowolona i składa się z dobrych obywateli państwa. Krótko mówiąc, pobyt we Lwowie byłby dla mnie bardziej pożądany, aniżeli w innych miastach prowincyonalnych monarchii. Okolice i przechadzki podmiejskie są w rzeczy samej nader przyjemne.

---

[1]) Antoni Janscha, wieśniak słoweński z Krainy, znakomity bartnik. Dzieło jego p. t. Vollständige Lehre von der Bienenzucht, ogłoszone w r. 1775, doczekało się licznych wydań i przekładów na rozmaite języki.

[2]) Jan Tomasz Trattner, księgarz i nakładca wiedeński.

[3]) Dr. Franciszek Masoch, lekarz lwowski, rektor uniwersytetu lwowskiego w r. 1802/3.

[4]) Karol Titz, lekarz praktykujący we Lwowie.

Bezwątpienia istnieją i we Lwowie pewne niedogodności, do których się zaliczają nadmiernie wysokie ceny mieszkań i opału, brak rzeki spławnej i tym podobne niedostatki, sprawiające wrażenie *dolce picante* wśród przyjemnej całości.

Tyle słów relacyi Schultesa o Lwowie, który widocznie na zgryźliwym pisarzu wyjątkowo korzystne sprawić musiał wrażenie.

Ostrej natomiast krytyce poddaje nasz autor gospodarkę skarbową w Winnikach. Winnicka fabryka tytoniu — słowa Schultesa — jest własnością cesarską, podobnie jak wszystkie zakłady, produkujące ten betel europejski. Tabaka, wyrabiana tamże, jest dość dobra. Rodzaj tabaki, tak zwanej galicyjskiej, poszukiwany jest nietylko w kraju, lecz stanowi także artykuł wywozowy. Trudno sobie atoli wyobrazić coś ohydniejszego, aniżeli wyrabiany w Winnikach tytoń do palenia. Jest on znacznie gorszy od gatunków, produkowanych w Hamburgu, tudzież w innych fabrykach w krajach dziedzicznych istniejących. Miasto opisu maszyn fabrycznych, które są w rzeczy samej wyborne, całej manipulacyi oraz sposobu macerowania liści, utrzymywanego w najściślejszej tajemnicy podobnie, jak to się dzieje w Hamburgu, pozwolę sobie skreślić parę uwag o szkodliwym sposobie administracyi monopolu tytoniowego w państwie austryackiem. Niczego przytem bardziej nie pragnę, jak tylko, by moje myśli mogły się przyczynić nie do obalenia monopolu monarszego, lecz monopolu kilku żydów i urzędników. W całem państwie austryackiem, z wyjątkiem Węgier, zabronioną została konsumpcya surowego tytoniu, gdyż wpojono ministrowi skarbu przekonanie, iż rząd powinien być jedynym w państwie producentem i sprzedawcą tytoniu. Jest również rzeczą powszechnie wiadomą, że z wyjątkiem tabaki żaden z gatunków tytoniu, produkowanych w fabrykach austryackich, nie przedstawia żadnej wartości. Pruscy, niemieccy, włoscy a nawet holenderscy producenci tytoniu kupują surowy liść tytoniowy w Węgrzech, wywożą takowy za granicę, macerują, wyrabiając z niego rozmaite gatunki Varinów i Knastrów, za które płacimy im pięciotysięczny i większy jeszcze procent, jeżeli nie chcemy, by po trzeciej fajce cesarskiego tytoniu skóra zlazła nam z języka. Surowy tytoń węgierski wywożą w setkach cetnarów za granicę, podczas gdy zaledwo nieznaczna ilość preparowanego liścia tworzy artykuł zamiejscowego zbytu. Rząd pruski jest z pewnością wzorowym administratorem własnych finansów i posiada sztukę pomnażania swych dochodów. Zarzucano nawet temu państwu przesadną oszczędność, a jednak król pruski nie był nigdy wyłącznym fabrykantem lub sprzedawcą tytoniu w swem państwie. Wyciskał tylko swój stempel na wyrobach prywatnych

producentów i ciągnął z tego źródła daleko znaczniejsze dochody, aniżeli rząd austryacki z swych fabryk. Gdyby skarb cesarski postąpił w podobny sposób, wówczas nietylko osiągnąłby w tej drodze większy zysk, lecz nadto nadałby przemysłowi nowy kierunek i otworzyłby dla siebie źródło korzyści, które z trudnością dadzą się obliczyć. Węgry stałyby się wówczas istną Hawanną, a pruscy i niemieccy fabrykanci, miasto sprowadzania z Węgier surowego liścia, którego transport jest kosztowny i uciążliwy, przenieśliby swe zakłady do obrębu granic monarchii. Gdyby Austrya w ciągu stólecia otrzymała tylko jednego Bolongara, którego dzieje tutejszym ministrom skarbu na zawsze winne utkwić w pamięci, gdyby osiedlił się u nas taki Richter lub Neuhaus, wówczas kraj i państwo zyskałyby w ten sposób znacznie więcej, aniżeli dziś, gdy monopol tytoniowy oddano na pastwę kilku chrzczonych i niechrzczonych żydów, bogacąc ich i posiłkując ich lichwiarstwo ze szkodą monarchii. Ileż to fabryk powstałoby w państwie już w najbliższej przyszłości! Ileż tysięcy rąk, do tej pory bezczynnych, znalazłoby zajęcie i utrzymanie przy uprawie tytoniu! Jak łatwo handel kontynentalny stałby się w ten sposób zależny od Austryi!

Podnoszono przeciwko temu projektowi trudność kontroli, zapobiegającej przemytnictwu oraz unikaniu stempla przez sprzedających. Wobec tego pozwolę sobie zauważyć, że mimo istnienia 4.500 tabacznych rewizorów, płatnych przez państwo, przemytnictwo tytoniu odbywa się w najlepsze. Wszak każdy tytoń, znajdujący się w handlu, można ostemplować tak samo, jak dziś się go poddaje opłacie cłowej. Można rozporządzić, by opaskę stemplową niszczono zaraz po zakupieniu paczki tytoniu u dystrybutora. W końcu można też naznaczyć skalę stemplową, wyższą o jedną trzecią część od dzisiejszego dochodu z tytoniowego monopolu. Czyż dozór fabryk — a przecież nie będzie ich 4.500 — nie okaże się łatwiejszy i tańszy od utrzymywania sześciu tysięcy ludzi, ktorzy ostatecznie nic innego w administracyi tytoniowej nie mają do czynienia nad próżniactwo i pisaninę. Ludzie ci, zajęci przy kulturze tytoniu, pozbyliby się przynajmniej hypochondryi, a konsumcya tytoniu wzmogłaby się w dwójnasób, gdyby ludności dostarczono lepszego produktu. Któż zresztą pomyślałby o przemycaniu zagranicznego tytoniu, gdyby tytoń krajowy był znośny. W roku 1799 dochód z monopolu tytoniowego wynosił w Galicyi zachodniej 180.000 złotych reńskich. Od tego czasu podwyższono cenę tytoniu o jedną trzecią część, lecz dochód skarbowy nie zwiększył się w tym samym stosunku, gdyż z jednej strony wzmogło się przemytnictwo, a z drugiej całe wsie

wyrzekły się palenia tytoniu. Mimo to przyjmijmy cyfrę dochodu rocznego w Galicyi zachodniej, w wysokości 200.000 złotych rocznie, podczas gdy ludność w tej części kraju wyniosła 1,700.000 głów. Przyjąwszy zaludnienie całej monarchii — z wyjątkiem Węgier, gdzie monopol nie obowiązuje — w wysokości 14. milionów głów, otrzymamy proporcyonalny dochód z monopolu tytoniowego w sumie 2,200.000 złotych. Przypuśćmy wszakże, że dochód, płynący z tego źródła, przedstawia się w okrągłej sumie trzech milionów złotych, więc ponieważ rząd płaci przeciętnie za cetnar surowego liścia siedm złotych, przeto bez odtrącenia jakiegokolwiek zysku przy fabrykacyi i sprzedaży tytoniu roczna konsumcya musiałaby wynosić 428.000 cetnarów. Ponieważ jednak funt tytoniu sprzedaje się w przecięciu po cenie jednego złotego, przeto zysk wynosi 93%, zaś konsumcya przedstawia się tylko w postaci 3,226.000 funtów. Wyniosłaby ona conajmniej cztery miliony funtów, gdyby tytoń był dobry, a zatem możnaby dla otrzymania dotychczasowego dochodu poprzestać na stemplu 44½ krajcara od funta. Olbrzymie koszta administracyi, istniejące dotychczas, uległyby znakomitej redukcyi, gdyż ograniczyłyby się na płacy urzędnika, stemplującego gotowy już produkt w każdej fabryce, oraz na pensyi kilku kontrolorów, tudzież inspektorów, co razem nie wyniosłoby i dziesiątej części obecnych wydatków.

Chcąc dokładniej wykazać szkodliwość wpływu, wywieranego przez monopol tytoniowy na kulturę krajową oraz na kasę rządową, pozwolę sobie zauważyć, że w myśl rozporządzenia gubernialnego z dnia 27. maja 1807 roku, rząd płaci wieśniakom za cetnar surowego liścia pierwszej jakości po 9. złotych, drugiej jakości po 7. złotych 30. kr., trzeciej jakości po 4. złote 30. kr., podczas gdy dawniej odnośne ceny wynosiły 6. złotych, 5. złotych i 3. złote. Musiano wszakże podwyższyć rzeczoną taksę, gdyż uprawnieni do kultury tytoniu włościanie nie chcieli się zajmować nadal uprawą takowego i urząd musiał sprowadzać dla fabryki w Winnikach zły tytoń rossyjski. Przyczyną, dla której plantatorowie tytoniu wzdragali się na przyszłość dostawiać swe produkty rządowi, była po części niesumienność inspektorów plantacyjnych, taksujących i sortujących liść na gruncie, po części zaś bezwzględność magazynierów rządowych, odbierających tytoń i wypłacających należytość producentom. Zdarzały się wypadki, że kazano wieśniakom czekać na odbiór przywiezionego liścia po ośm i po czternaście dni, wobec czego całą niemal kwotę, wypłacaną przez skarb, pochłaniało utrzymanie koni. Tak więc zła gospodarka funkcyonaryuszów monopolu podko-

pywała kulturę krajową, podczas gdy groszem gotowym trzeba było opłacać tytoń, sprowadzany z zagranicy.

Już to owa fabryka tytoniu stanowi niemałą aferę w gospodarce państwowej. Rewizorowie winniccy nie odznaczają się względnością. Codziennie, gdy odgłos dzwonka zwiastuje koniec pracy w fabryce, zamykają się szczelnie jej bramy i robotnicy, wśród których nie brak też kobiet i młodych dziewcząt, stają do szeregu, gdzie ulegają ścisłej rewizyi odzieży ze strony kontrolorów. Prawda, że rewizya odbywa się za dnia i po formie urzędowej, lecz jest to rzeczą oburzającą, gdy badanie tego rodzaju łączy się z bezwstydem.

Gościniec, wiodący ze Lwowa do Winnik, jest bardzo dobrze utrzymany, lecz ciągnie się wzdłuż parowów, które w niektórych miejscach przedstawiają niebezpieczeństwo. Radca górniczy, Hacquet [1]), znany podróżnik, który przebył szczęśliwie grzbiety niemal wszystkich gór europejskich i podróżował bez szwanku po najbardziej niebezpiecznych okolicach Turcyi oraz Krymu, wywrócił się wraz z powozem do rowu podczas przejażdżki, odbywanej po tym gościńcu. Złamał przy tej okazyi obojczyk i omal że nie poniósł śmierci na miejscu razem z towarzyszącą mu małżonką. *Quid quisquis vitet, nunquam homini satis cautum est in horas.*

Tym klasycznym cytatem kończy Schultes krytykę administracyi tytoniu, by napomknąć pokrótce o wycieczkach, odbytych do Szkła, Lubienia i Sambora. — Udaliśmy się do kąpiel siarczanych w Szkle — pisze w dalszym ciągu swego listu — położonych o mil pięć od Lwowa. Nie należy jednak pod wyrazem: kąpiele dorozumiewać się zakładu kąpielowego, jakie znajdują się zagranicą, gdyż łazienki w Szkle leżą wśród nędznej wioski, tuż obok bagna pod lasem. Restaurator z pobliskiego miasteczka Janowa, mający do wynajęcia około piętnaście ubikacyi, dostarcza w tem zdrojowisku jedynej wygody. Do uprzyjemnienia pobytu w Szkle nie przyczyniają się bynajmniej ranni lub chorzy żołnierze, którzy skutkiem niesumienności lekarzy, miasto polepszenia znajdują śmierć w tych kąpielach. Otrzymałem zlecenie zaradzenia złemu. Uczyniłem wszystko, co było w mej mocy, a po szczerych intencyach gubernium galicyjskiego można się spodziewać, że zabiegi moje nie pozostaną bezowocowne.

Zwiedziliśmy też odległe o trzy mile od Lwewa kąpiele w Lubieniu, odwiedzane liczniej od Szkła, acz nie zawsze okazujące się pomocnemi w cierpieniach, w których je używają. Zdaje się, że roz-

---

[1]) Baltazar Hacquet, profesor fakultetu medycznego w uniwersytecie lwowskim, (w latach 1788—1805), zmarły w Wiedniu w r. 1815.

rywki, o które łatwiej w Lubieniu, ściągają tamże liczniejszą publiczność, aniżeli Szkło. Sala do tańca, muzyka i kuchnia są w Lubieniu wyborne. Natomiast mieszkania sprawiają ohydne wrażenie, podobnie jak cała okolica, pozbawiona drzew, cienia, widoków. Piasek i bagno — oto wszystko, co się widzi dokoła.

W podobnie lakoniczny sposób opisuje nasz podróżnik Sambor, dokąd się udał w przejeździe do Truskawca. Miasto Sambor — stolica cyrkułu tegoż nazwiska — padało kilkakrotnie ofiarą pożogi. Niegdyś miejscowość ta słynęła w całej Galicyi z taniości, lecz teraz panuje w Samborze taka sama drożyzna, jak i w innych miastach tego kraju. Przed laty dwudziestu można było żyć w Samborze na stopie książęcej za sto złotych rocznie, obecnie nie wiele mniej zapłaciliśmy za kilka nędznych obiadów. Żydów w mieście było niewielu i dlatego niczego dostać niepodobna. Natomiast Drohobycz, przepełniony żydami, sprawiał wrażenie gołębnika, zaludnionego samymi izraelitami. W okolicy Drohobycza istnieją zasobne żupy solne. Jeżeli we Lwowie ujrzysz pisarza salinarnego — prawi Schultes — rozbijającego się z wesołemi damulkami czwórką, utrzymującego na pierwszorzędnej pensyi dzieci i dowiesz się, że ów poczciwiec pobiera zaledwo sześćset złotych rocznej pensyi, to gotoweś przypuszczać, że saliny mieszczą w sobie żyły złota. Mogę cię jednak zapewnić, że owe żupy produkują tylko sól, lecz są administrowane w sposób najbardziej niedbały.

Jadąc z Drohobycza do źródeł siarczanych w Truskawcu, znalazłem na samym końcu tej nędznej miejscowości, między lasami i górami, leśnika, Niemca, nader obeznanego z swym zawodem. Nie jest on tylko myśliwym, jak przeważna część leśniczych, lecz zna się również na kulturze lasowej. Jego ogrody: warzywny i owocowy, tudzież pasieka, świadczyły w każdym szczególe o ładzie i porządku... Dzielny ten człowiek jest wyznania reformowanego, a protestanci zarówno w Galicyi, jak w Niemczech, odznaczają się przemysłowością, pracowitością i wyższem wykształceniem. Dlatego też rzadko znaleść u katolików ten ład i dobrobyt, który jest zwykłą cechą domu u protestantów. Sam jestem katolikiem, lecz wyznaję otwarcie, że tak w Szwajcaryi, jak w Niemczech, w Węgrzech, w Styryi, w Karyntyi, a obecnie na pustkowiu galicyjskiem znalazłem zawsze protestantów, bardziej wykształconych od katolików...

Dalszy opis podróży Schultesa do Smolnej i Podbuża nie przynosi żadnych nowych szczegółów, prócz stereotypowych u niego narzekań i wymyślań przeciw otaczającemu go społeczeństwu i niedogodnościom wycieczki, odbywanej po błocie wśród październikowej słoty.

Bardziej dla nas interesującem jest porównanie Galicyi wschodniej z zachodnią, jakie nasunęło się pod pióro Schultesowi w końcowym ustępie ósmego listu. Porównując wschodnią część kraju z zachodnią — słowa naszego autora — nie można twierdzić, by kultura pierwszej miała się tak do kultury drugiej, jak 3 do 1. Wschodnia Galicya w ciągu lat trzydziestu nie poczyniła takich postępów, jak Prusy Wschodnie w przeciągu dziesięciolecia. Niemieckie kolonie w Galicyi wschodniej nie są tem jeszcze, czem osady holenderskie, powstałe w okolicy Warszawy. Przeciwnie, można twierdzić, iż Galicya postradała to, co Wschodnie Prusy zyskały pod względem kultury, przemysłu i handlu. Mimoto położenie Galicyi Wschodniej jest jeszcze korzystniejsze w porównaniu z Zachodnią. Istnieje tam kilka hut szklanych, kilka fabryk fajansu, fabryka perkalu, woskobójnia oraz inne ślady przemysłu. Istnieją w tej części kraju szkoły wiejskie i karność kościelna. Jest szlachta, mogąca się poszczycić takim Zamojskim [1]), Lubomirską, Ledochowskim [2]) i biorąca udział w pracy około oświaty ludowej i roli. Znajdziesz tam kilku fabrykantów, jak Kriegshabera we Lwowie lub Jeannota [3]) w Nawsiu, w Jasielskiem. Obaj ci mężowie, zapisani chlubnie w rocznikach kultury galicyjskiej, dowiedli, że człowiek zdolny i energiczny, wyzyskujący na swą korzyść nawet przeszkody, spotkane po drodze, może wśród pustyni obudzić i szerzyć sztuki, przemysł i oświatę.

Galicya wschodnia posiada w Podgórzu swego Hircela [4]), który podobnie, jak ów filantrop, znany jest pod mianem chłopa-filozofa. Jest to w rzeczy samej chłop z Austryi, który zachował jeszcze strój swój pierwotny i przed laty trzydziestu przybył do Podgórza. Był on pierwotnie parobkiem u tego samego gospodarza, którego gospoda przeszła później na jego własność. Dawny pan jej jest obecnie sługą u naszego filozofa, który zwie się właściwie Jakób Rathmüller i posiada cztery zajazdy, kilka domostw w Podgórzu oraz małą posiadłość wiejską. Majątek jego szacują zwyż stu tysięcy złotych reńskich, lecz on sam niechętnie o tem mówi. Zapytany, ile też może mieć majątku w gotowiźnie i w nieruchomościach, odpowiedział

---

[1]) Stanisław Zamoyski, ordynat na Zamościu, senator-wojewoda i prezydent senatu Królestwa Polskiego.

[2]) Antoni Halka-Ledochowski, starosta hajsyński, wyniesiony w r. 1800 do godności hrabskiej.

[3]) Achiles Jeannot był właścicielem oraz założycielem fabryki nankinu w Nawsiu pod Kołaczycami.

[4]) Jan Kacper Hircel, polityk i filantrop szwajcarski, zmarły dnia 19. lutego 1803 r. w Zurychu.

stary Jakób, iż nie widzi potrzeby spowiadania się z tego. Chętnie jednak wyjawi swój majątek co do centa, jeżeli pytający da mu przynajmniej o jeden złoty więcej nadto, co on posiada. Przytem nie jest Rathmüller skąpcem, ani kutwą. Cały dzień popija dobre wino austryackie i to w takiej ilości, iż Rabelais zaliczyłby go pewnie do swych *buvers illustres*. Posiadając okazałe domostwa, mieszka w skromnej chacie — jak twierdzi — z wdzięczności. W niej — prawi — zrobiłem majątek i w niej też pragnę umrzeć. Była niegdyś moją podporą, teraz ja będę tem samem dla niej. Jego syn jednak mieszka w okazałem domostwie. Stary Jakób znany jest w całej okolicy z swych trafnych, niekiedy bardzo ciętych odpowiedzi... Bywają u niego często ludzie zamożni i zajmujący poważne stanowiska a wówczas powiada on nie bez racyi: Czyż nie jestem rozsądnym człowiekiem? Inni chcąc mieć u siebie towarzystwo, urządzają wieczory kosztowne, na które muszą też zapraszać pewne osobistości jedynie dlatego, aby się nie uraziły pominięciem ich przy takiej sposobności. Ja tymczasem mam u siebie wyborowe towarzystwo z całego Krakowa i miasto wydatków, osiągam jeszcze dochód z tego źródła, gdyż goście wypijają u mnie kwaśne wino austryackie, które im szynkuję za drogie pieniądze... O charakterze tego człowieka świadczy najlepiej następujący wypadek. Parę lat temu kupił Jakób dom zajezdny za sumę dwunastu tysięcy złotych. Wypłacił ową kwotę w południe i tegoż dnia wieczorem pożar zniszczył do gruntu nabyty dopieroco budynek. Filozof nasz przypatrywał się pożodze z krwią najzimniejszą i nakładał sobie fajkę tytoniem. Następnie podjął węgiel z płonącej belki domostwa, zapalił fajkę i rzekł z rozjaśnioną twarzą: Przecież posiadanie tego domu przydało mi się na coś. Mogłem sobie nim przynajmniej zapalić fajkę!... Czyż taki filozof — pyta Schultes — nie zasługuje stokroć więcej na uwagę od filozofów naszych czasów?

Siódmy a zarazem ostatni ze znanych nam listów, poświęcony szczegółowemu opisowi Krakowa, zaadresował Schultes do radcy Bertucha w Weimarze. — Kraków niegdyś był siedzibą królów — czytamy w owym liście. — Jest on stolicą kraju, liczącego 13.400 mil kwadratowych i zachował przywilej przyjmowania swych władców na początku oraz na końcu ich rządów. Tam ich koronowano oraz grzebano nawet wówczas, gdy Kraków przestał już być rezydencyą królewską. Od czasów, jak historya wspomina o Krakowie, przeszło to miasto wiele klęsk. W roku 1767 wyludniła je morowa zaraza, trzy razy był gród ten dobywany i pustoszony przez Rosyan. W r. 1768 spaliły Kraków wojska rosyjskie, w latach 1772 i 1794

załogowała w nim armia austryacka, a oprócz pożaru w roku 1768 pożoga nawiedzała to miasto dziesięciokrotnie, poczawszy od r. 1241. Dziś zasługują jeszcze na uwagę: pałac biskupi, uniwersytet i sąd apelacyjny. Co do ludności, to krom nielicznej szlachty składa się ona z mnóstwa żydów i księży. Miasta, podobnie jak ludzie, zdają się podlegać swemu nieuniknionemu przeznaczeniu, lecz po losie, jakiego Rzym doznał, może się Kraków pocieszyć, że już nie jest stolicą wielkiego państwa, godną Krakusa, któremu przypisują założenie tego miasta. Kraków zasłużył na lepszą dolę, choćby dla prześlicznego swego położenia nad Wisłą, do której wpada Rudawa. Zamek królewski, wzniesiony na skale, nie odpowiada już dzisiejszym wymogom sztuki fortyfikacyjnej. A jednak sam Kościuszko uznał, że ta warownia może jeszcze wytrzymać oblężenie. Położone wśród żyznej równiny, otoczone uroczemi wzgórzami, miasto to powinnoby wywierać silny urok na podróżnika. Tymczasem dzieje się przeciwnie. Widocznie Krakus i pierwsi królowie polscy byli wprawdzie dobrymi władcami, ale złymi prorokami, gdyż nie zdołali przewidzieć zwykłej losów kolei... Miasteczka Kazimierz i Stradom, uchodzące za przedmieścia, tworzą z śródmieściem właściwy Kraków. Pobliskie wzgórza, mnóstwo dzwonnic, wież starożytnych i murów niezwyczajnych, obszerne gmachy — wszystko to razem przedstawia się dosyć imponująco i zdaje się zapowiadać znaczniejsze miasto, niż jest Kraków w istocie. Wieże, stare mury i dzwonnice są siedliskiem kawek. Zdala aż ciemno od nich. Ptactwo to znajduje żer w dawnych fossach miejskich, służących za kloaki. Części suchych owych foss nie przeobrażono w plantacye, jak to się zazwyczaj dzieje w Niemczech, ani też nie zasadzono wałów drzewami. Pewne nieporozumienie powstało między magistratem krakowskim a wojskowością z powodu prawa korzystania z gruzów dawnych murów i bastyonów. Zostały one przysądzone magistratowi pod warunkiem utrzymania w dobrym stanie chodników i ścieków. W Galicyi nazywano pałacem każdy murowany, dwupiątrowy budynek. Takich też pałaców posiada Kraków bardzo wiele, lecz z wyjątkiem komory cłowej, (dziś: Hotel drezdeński), i kamienicy Kłuszewskiego, (dziś: Krzysztofory), inne gmachy nie zasługują na to miano. Reszta budynków zdaje się świadczyć o lichym zbytku ostatnich wieków oraz o obojętności pod tym względem naszego stólecia. Nawet rząd nie mógł w nich znaleść pomieszczenia dla swych biur i musi najmować na ten cel mieszkania w domach prywatnych. Są to jednak ubikacye zadymione, okopcone, o źle domykających się podwojach, niezaopatrzone dostatecznie od deszczu, śniegu i wiatru, a najczęściej

pełne szczurów i wszelakiego robactwa. Jeżeli w innych miastach katolickich architektura oraz sztuki piękne znalazły przytułek po kościołach, nie można tego powiedzieć o Krakowie. Widać tam tylko przepych wschodni, ołtarze przeładowane złotem, budowane z marmuru, wszędzie ten sam zbytek bez gustu i artyzmu. Katedra, wzniesiona około roku 1320, zawiera niejeden pomnik, wydający się karłem wobec olbrzyma. Maleńka kaplica wewnętrzna Świętego Stanisława tworzy niejako *ecclesiam in ecclesia* tak, jak kościół katolicki przedstawia się wszędzie jako *status in statu*. Seminaryum biskupie mieści się w zamku obok koszar wojskowych, które kosztują rząd rocznie 135.000 złotych (?) i starczą zaledwo na pomieszczenie jednego pułku.

Opuszczamy ustęp relacyi Schultesa, opisujący procesyę Bożego Ciała a zakrawający na karykaturę, i przechodzimy do dalszej części listu, w której czytamy, co następuje: W Krakowie istnieją zaledwo trzy księgarnie: jedna polska i dwie niemieckie. Najznaczniejszą z nich jest księgarnia słynnego drukarza, Trasslera [1]), który zbierając plony na polach, niezasianych przez niego, obarczył swe sumienie kosztem Krünitzów, Büschingów i t. d. [2]). Druga księgarnia Groetnera jest nieco lepszą. Co się zaś tyczy księgarni polskiej, to jest ona dzięki surowej cenzurze składem starzyzny literatury polskiej. Właściciel jej, May, wydaje dość dobrą gazetę w języku polskim [3]), Trassler publikuje nędzną gazetę niemiecką. Okropną organizacyę biura cenzuralnego trudno z czemkolwiek porównać. Jest to istna inkwizycya literacka, dzięki fanatyzmowi naczelnika tej władzy. Niepodobieństwem było przeczytanie gazety zagranicznej bez zezwolenia władzy wyższej, a zanim takowe nadeszło z Wiednia, dostawało się dziennik z końcem miesiąca. W Krakowie, ani w okolicy nie ma żadnych fabryk, ani też przemysłu, prócz kontrabandy i handlu przewozowego, gdyż zboże droższe jest w Krakowie, aniżeli we Wiedniu. Nie rachuję do zawodu handlowego lichwiarstwa, ani też handlu wstążek oraz igieł, pozostającego w ręku żydów. Miód i wosk

---

[1]) Józef Jerzy Trassler, księgarz, drukarz i wydawca wiedeński, zmarły tamże dnia 23. czerwca 1816 roku.

[2]) Jan Jerzy Krünitz, encyklopedysta, zmarły dnia 20. grudnia 1796 r. w Berlinie, wydawca „Ekonomiczno-technologicznej Encyklopedyi“ w siedmdziesięciu trzech tomach. — Antoni Büsching, twórca nowej metody geografii politycznej, autor głośnego dzieła „Nowe opisanie Ziemi“, zmarły dnia 28. maja 1793 r. w Berlinie.

[3]) „Gazeta Krakowska“, wydawana przez J. Maya, wychodziła w latach 1796—1825.

wywożą na sprzedaż do Prus, do Niemiec a nawet do Włoch. Laszkiewicz sprowadza bardzo wiele towarów żelaznych ze Styryi, a najmniejszą część takowych przeznacza dla Galicyi. Znaczny kredyt umożliwia bankierom zawieranie korzystnych interesów i w ogóle stan bankierski zalicza się do najbardziej szanowanych w Krakowie, nie wyłączając nawet szlachty. Wielopolscy, Grodziccy, Załuscy odegrywają w mieście mniej znaczną rolę. Jedynie na Święty Jan wielka ilość szlachty zbiera się w mieście na parę tygodni. W tym czasie odbywają się kontrakty dzierzawne, w mieście zapanowuje życie. Wszystkie domy są powynajmowane, a za najmniejsze mieszkanka podnoszą właściciele niepomiernie cenę komornego. Tylko jeden z kanoników, hr. Sołtyk, posiada zbiór rycin, ale w braku katalogu nieocenione te skarby są niemal zupełnie stracone dla sztuki. Istnieje tu też jedyny teatr, w którym grają po niemiecku i po polsku. Oboma językami aktorowie źle władają i niedostatecznie je rozumieją. Należy wszakże zrobić wyjątek dla opery, która jest doskonała. Muzyka polska odznacza się wyrazistością oraz pełnią uczucia. Tańce i balet są zachwycające. Co się tyczy dekoracyi, to są one podziwu godne i nader efektowne. I tak, gdy scena przedstawia wolną okolicę w porze zimowej, wówczas otwiera się tylna część widowni i widz ogląda spadające, prawdziwe płaty śniegu. Złudzenie jest zatem zupełne. Opera krakowska cieszy się zasłużonym rozgłosem, lecz i co do niej należałoby uczynić pewne zastrzeżenie. Oto możnaby zachwycać się wyborną operą, lecz trudno suchą nogą dostać się na jej przedstawienie, gdyż w całem mieście niema ani jednego, porządnego szewca, męzkiego lub damskiego. Garbarnie są do niczego — mówią szewcy, choć nie zdołaliby uszyć butów dobrych z porządnej skóry. Stolarze skarzą się na dostarczane im, surowe drzewo, a żaden z nich nie jest w stanie zrobić stołu, któryby się nie chwiał, lub wygodnego krzesła. Podobne skargi wygłaszają ślusarze z powodu lichego gatunku żelaza i żaden z nich nie chce przyznać, że jest lichym, niezgrabnym rzemieślnikiem. Kuchnia krakowska jest ohydna a to skutkiem nieumiejętności gotowania, gdyż wiktuały tamtejsze są wyborne. Wyrzekam się wszystkich przysmaków, tyle ulubionych przez Galicyan, a przedewszystkiem niech chronią mnie nieba od ich postnej kuchni! Cała chęć użycia tutejszych mieszkańców skupia się w łakociach. Cukiernie włoskie lub szwajcarskie są w Krakowie nader liczne i w przeważnej części zastępują kawiarnie. Zakłady tego rodzaju istnieją w każdym prawie domu, zachęcając do wstąpienia na szklankę ponczu, lub chłodzącego napoju z cukrami, które Włosi nazywają *confetti.*

Przemysł narodowy ujawnia się najbardziej w haftach, w krawiectwie; najzwyklejsze sukmany posiadają wyszycia, dokonane z zdumiewającą starannością. Fraki naszej młodzieży nie ustępują w niczem wyrobom paryskim. Krawcy naśladują mody paryskie z powodzeniem zdumiewającem i można powiedzieć na ich wielką pochwałę, że młodzież krakowska jest równie dobrze ubrana, jak mieszkańcy stolicy Francyi. Zapomniałem nadmienić o pewnym artykule żywności, mianowicie o kaszy hreczanej, (Schultes zwie ją: r o s z a), sporządzanej z hreczki. Trudnoby znaleść kaszę bardziej czystą i delikatniejszą w smaku. Ten rodzaj przemysłu tem bardziej zasługuje na uwagę, że mlewo krakowskie jest złe. W młynach, wadliwie zbudowanych, przynajmniej czwarta część ziarna idzie na marne, a ponieważ młyny są przedsiębiorstwem uprzywilejowanem, przeto młynarze żadnej nie zwracają uwagi na te niedostatki. Prócz tego istnieją jeszcze inne, liczne powody, dla których ziarno w Krakowie jest drogie. Młynarze prywatni płacą znaczne sumy za swe koncesye. Drogi są złe i trudne nieraz do przebycia, wreszcie wysokie myto przy rogatkach, magistrat i policya — wszystkie te czynniki składają się na podniesienie niestosunkowe ceny tego nieodzownego artykułu żywności, którego handel należałoby ułatwić, miasto tamowania go wszelkimi sposobami.

Organizacya municypalna w Krakowie raziła wadliwością. Zmieniono ją podczas okupacyi austryackiej, ale bez pomyślnego skutku. W końcu postawiono na czele zwierzchności miejskiej cesarskiego komisarza, radcę Bauma [1]), pełniącego zarazem obowiązki naczelnika okręgu krakowskiego. Fakt ten zwiększa wprawdzie zawisłość magistratu krakowskiego od rządu, lecz równocześnie zapobiega wadliwemu ustrojowi organizacyi. Należy się więc spodziewać ulepszeń, jakich do tej pory napróżno oczekiwano: czystości i bezpieczeństwa publicznego w mieście, zaprowadzenia chodników oraz kanałów, wreszcie zniżenia cen żywności. W nadziei przyszłych ulepszeń, nie lękajmy się wszakże wytykać złego, które dotychczas istnieje. *Il mondo va do se stesso.* Potrzeba tego bardzo, gdyż Kraków obywa się bez policyjnego porządku. Przyjeżdża się tam bez opowiedzenia się komukolwiek i wyjeżdża się pocztą lub też innym sposobem, bez okazywania paszportu. Gdy się chcesz cośkolwiek dowiedzieć, nie znajdziesz nikogo w biurze policyjnym. Okradziono cię, to nie możesz się nawet spodziewać zwrotu utraconych rzeczy.

---

[1]) Antoni br. Baum, radca dworu i naczelnik obwodu krakowskiego.

Zdaje się, że naczelnik policyi dba tylko o to, by się dowiedzieć, o czem mówią, nie zaś, co się dzieje w mieście. Miasto posiada zaledwo dwieście latarni, służących do oświetlania ulic. Każda latarnia kosztuje rocznie piętnaście złotych reńskich. Pewien przedsiębiorca z Przemyśla sądzi, że zdoła wydatek ten obniżyć do kwoty dwunastu złotych. Warunki przez niego przedłożone są korzystne, lecz do tej pory nie zostały zatwierdzone ze strony władzy.

— Słyszałeś pan zapewne o przysłowiu: *Vinum in Hungaria natum, in Polonia educatum?* Chcesz wiedzieć, o ile jest prawdziwe? Mogę o tem mówić jedynie ze słyszenia. Głos ogólny powiada, że nigdzie niema win tak wytrawnych, jak w Krakowie. Są one wszakże tak drogie, iż nie mogłem sobie pozwolić na podobny wydatek. Są tu wina, których butelkę płaci się od sześciu do dziesięciu dukatów w złocie. Czy uważasz mię za takiego smakosza, bym tak znacznym kosztem opłacał chwilową przyjemność? Nie,. nigdy nie trącę się z szaleńcem tego rodzaju, lecz mamy tu ojca Dominikanina, który się nie może odchwalić win tokajskich, przechowywanych w Krakowie. Trzeba mu wierzyć, boć to wielki inkwizytor całego państwa Bachusowego. Nie robi się też żadnego zakupu bez jego skrupulatnej porady. Czy Polacy z Warszawy są równie niewstrzemięźliwi, jak Krakowiacy, ich ziomkowie? Sądzę, że tak nie jest. Warszawiacy są ożywieni lepszym duchem publicznym w ogólności. Zajmują się oświatą, kształceniem narodowego języka, naukami. Są tam przynajmniej literaci, poważani i uznani nawet przez Niemców, a takich mało mamy w Krakowie. Pokazywałem niedawno kilku literatom krakowskim pierwsze poszyty nowego słownika polskiego, który opracowuje sławny Linde, a jednak nikogo nie zainteresowała ta wiadomość, zdolna zająć każdego prawdziwego Polaka! I ci ludzie będą wobec mnie utrzymywali, że Kopernik urodził się w Krakowie! Gdyby mi przytoczyli dowody, jaśniejsze, niż dzień biały, odpowiem zawsze z Fontenellem: Widzę to dobrze, ale nie wierzę temu. Jeżeli wino zawraca głowę, to równocześnie związuje nogi i zgina kolana, jak to słusznie zauważył Rabelais. Z tego też zapewne powodu nie posiada Kraków żadnych publicznych przechadzek, mimo pięknych okolic i wspaniałych widoków, którymi nikt się nie zachwyca.

Na tym liście urywają się, niestety, relacye Schultesa o Galicyi, reprodukowane w „Rocznikach“ Malte-Brun'a. Pozwolimy je sobie uzupełnić opisem Krynicy tegoż autora, ogłoszonym oddzielnie w języku niemieckim, gdyż broszurka ta, wydana w r. 1807 w Wie-

dniu, u Dolla, zawiera wiadomości, pominięte w znanym już nam, trzecim liście Schultesa.

Tytuł tej publikacyi, wygotowanej na polecenie galicyjskiego gubernium, opiewał, jak następuje: *Ueber die Mineralquellen in Krynica im Sandecer Kreise, in Ostgalizien über ihre Bestandtheile über ihren Gebrauch und über ihre Heilkräfte.* W rozprawce tej, złożonej z dziewięciu rozdziałów, opisuje autor przedewszystkiem dzieje źródeł krynickich, ich położenie, właściwości lecznicze, składniki chemiczne oraz wzajemny stosunek tychże. Mówi następnie o sposobie używania tych wód, o wypadkach, w których takowych używać należy, porównuje źródła krynickie z innemi zdrojowiskami w kraju i zagranicą, a w końcu podaje praktyczne wskazówki co do sposobu dostania się do Krynicy oraz pobytu w tej miejscowości. Słowem książeczka Schultesa na sześćdziesięciu dwóch stronnicach zawiera najważniejsze wiadomości tak dla użytku kąpielowych gości, jakoteż dla lekarza lub chemika.

Mówiąc o dziejowej przeszłości Krynicy, przytacza autor relacyę o źródłach tamtejszych, zawartą w *Auctuarium historiae naturalis curiosae* Gabryela Rzączyńskiego, twierdząc nie bez racyi, iż musiała już z początkiem ośmnastego wieku być znaną lecznicza właściwość Krynicy, gdy pisarz ten, pomijający milczeniem wiele ważnych rzeczy, nie przepomniał o niej. Źródła krynickie były ongi własnością biskupów krakowskich i po rewindykacyi Galicyi przeszły wraz z Muszyną na własność funduszu religijnego, a przed kilku laty komisarz cyrkułu sądeckiego, Styx, sprzedał skarbowi państwowemu oba źródła krynickie wraz z domkiem o trzech pokojach oraz z przyległymi gruntami za cenę 230 złotych reńskich. Wówczas to radca górniczy i profesor, Hacquet, zbadał z wyższego polecenia źródła owe, a zarazem poczęto myśleć o pomieszczeniu gości, przybywających ze wszech stron. W lecie 1806 roku gubernium galicyjskie zleciło sekretarzowi Nicolaiemu zdanie sprawy o źródłach i urządzeniach kąpielowych w Krynicy, a na podstawie przedłożonego przez niego opisu wysłało osobną komisyę celem zaradzenia niedostatkom, na jakie uskarżali się goście, przybywający do Krynicy. W skład tej komisyi wchodzili przez Schultesa: starosta sądecki, radca gubernialny, Ridelswald, inspektor domenów, Nossberg, inżynier cyrkułu sądeckiego, br. Moll, tudzież zarządca Muszyny, Adam Rihm. Komisya w sprawozdaniu, przedłożonem władzy gubernialnej, upraszała o budowę gościńców, wiodących do Krynicy na Sącz i Duklę, wykazywała konieczność wzniesienia znaczniejszej ilości domów mieszkalnych dla gości, którym pobyt należało uprzy-

jemnić stosownemi urządzeniami. Pod tym ostatnim względem dodaje Schultes od siebie uwagę, iż fundusz na upiększenie zdrojowiska możnaby zebrać w drodze składki między gośćmi kąpielowymi. W lecie 1806 roku bawiło w Krynicy trzysta osób. Gdyby każda z nich uiściła tylko dwa złote, zebrałaby się kwota 600 złr., którą łatwo możnaby pomnożyć składkami, zebranemi w roku następnym, i za te pieniądze utrzymać własnego ogrodnika celem urządzenia ogrodu przy źródle. Na administratora tego funduszu proponuje autor miejscowego parocha, który w zamian za trud podjęty miałby prawo do pobierania dziesiątego procentu od ogółu składki na rzecz ubogich swej gminy.

W dalszym ciągu swej relacyi wykazywała komisya konieczność utrzymywania lekarza zdrojowego w porze letniej, zabezpieczenia źródeł od zanieczyszczenia, założenia na miejscu fabryki kamionek, odpowiedniejszych do transportowania wody od używanych dotychczas flaszek, wreszcie zabezpieczenia źródeł oraz domków mieszkalnych groblą, tworzącą gościniec, od wylewów górskiego potoku, wzbierającego podczas deszczów i grożącego zniszczeniem całej miejscowości. — „Ulepszenia te i upiększenia“ — słowa broszury — „popierane przez gubernium oraz przez skarb państwa, przyczynią się niewątpliwie do rozwoju przemysłu. Osoby prywatne zaczną zakupować grunta koło źródeł i wznosić na tem miejscu budynki, które dadzą sto razy więcej dochodu, aniżeli owies, siany obecnie na tem miejscu. Szlachta polska, która pod względem dbałości o honor i o sławę ojczyzny nie ustępuje w niczem zakarpackim sąsiadom, może tu tem chętniej gościć, ile że prócz zamiłowania w życiu wiejskiem i w ogrodnictwie, zachęcać ją będzie do pobytu w Krynicy uczucie patryotyzmu. Szlachetny Polak jest zbyt dobrym patryotą, by nie miał współzawodniczyć z Węgrami, odwiedzającymi Bardyów, którzy dla tych, znacznie słabszych źródeł daleko więcej uczynili, aniżeli zaniedbano uczynić w Krynicy“ . . .

W owym czasie znane były tylko dwa źródła w Krynicy, bijące w miejscu, gdzie cała szerokość doliny wynosiła zaledwo 136 kroków, z których przeważną część, (80 kroków), zajmował wspomniany już potok górski z łożyskiem, przepełnionem kamieniami. Resztę przestrzeni wypełniała droga. W środku tejże biło źródło, z którego brano wodę do kąpieli. Było ono oddalone zaledwo o sześć kroków od potoku, podczas gdy główne źródło, z którego czerpano wodę do picia, znajdowało się tuż w odległości dziesięciu kroków. Źródło to tryskało z rozpadliny, która w każdej chwili groziła mu zasypaniem. Dlatego też komisya doradzała oszkarpowanie tego ur-

wiska, które w połączeniu z groblą tworzyłoby dostateczne zabezpieczenie dla źródeł. Nadto miano wydać zakaz grzebania lub budowania czegokolwiek w odległości 150. sążni od źródeł.

Dalsze rozdziały broszury mniej są zajmujące dla szerszego ogółu czytelników. Nadmienimy więc tylko, że na podstawie chemicznego rozbioru stwierdził Schultes dowodnie, iż wody bardyowskie o połowę mniej zawierały kwasu węglowego, aniżeli krynickie, przewyższając je natomiast ilością składników żelazistych. Ze Lwowa jechało się do Krynicy gościńcem na Tarnów, Jasło i Duklę, podczas gdy z Krakowa dojeżdżało się tamże albo na Sącz, albo na Limanowę prywatnemi drogami, które w porze deszczowej nawet sześciokonnym pojazdem niepodobne były do przebycia. Nadto Sącz, lubo siedziba cyrkułu, nie posiadał żadnej gospody, tak, iż podróżny mógł w tem mieście zginąć z głodu, albo też musiał szukać przytułku w pobliskiej Dąbrówce, u kolonistów niemieckich. Zamierzający lato przepędzić w Krynicy, musieli się zgłaszać u parocha miejscowego lub też u zarządcy kameralnego w Muszynie. W całej Krynicy istniały dwa domy murowane. Jeden, obejmujący sześć izb, był własnością miejscowego restauratora, drugi zbudował jego sąsiad włościanin. Reszta gości mieściła się w drewnianych chatach chłopskich, prowadząc własną kuchnię, albo też żywiąc się w traktyerni.

Broszura o Krynicy jest ostatnią ze znanych dotychczas prac Schultesa, odnoszących się do Galicyi, którą już po dwuletnim pobycie opuścił, by szukać szczęścia na szerokim świecie. Mimo bezwzględności, cechującej przeważną część poglądów, opisy jego pozostaną ciekawym oraz znamiennym obrazem minionej doby dziejowej w rozwoju Galicyi, zarówno pod względem ekonomicznym, jak moralnym.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ I OSTATNIEJ.

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI.

KRONIKA LITERACKA.

Dr. Antoni Karbowiak: *Szkoły parafialne w Polsce XIII. i XIV. wieku.* — W Krakowie. Nakładem Akademii umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej polskiej. 1896. Str. 69 in 8vo.

Znajomość stanu szkół, tego pierwszorzędnego czynnika oświaty, będzie zawsze najważniejszym warunkiem poznania rozwoju samej oświaty i cywilizacyi w ogóle. Z tego stanowiska ze szczerem też uznaniem powitać należy najnowszą, interesującą pracę p. Karbowiaka, który już zdobył sobie pewne zasługi na polu historyi szkolnictwa i oświaty w dawnej Polsce a którego nowa rozprawa pomnaża nieliczny szereg źródłowych prac, będących najważniejszym materyałem do dziejów cywilizacyi w Rzeczypospolitej.

Sięga on w niej do wieku XIII. i XIV. Do końca w. XIV. utrwaliły się w zachodniej Europie i w Polsce tylko szkoły wyższe, t. j. klasztorne, katedralne i kolegiackie, stanowiące w rezultacie jeden tylko rodzaj szkół, którego głównym celem było kształcenie kapłanów przeważnie tylko na niższe szczeble hierarchii duchownej; kształciła się w nich jednak także i młodzież świecka. Już u schyłku wieku XII. istniały na zachodzie także uniwersytety — w Polsce powstała taka szkoła, jak wiadomo, dopiero z końcem XIV. w. (Uniwersytet Jagielloński). — Szkoły parafialne zaś, nazwane tak od kościołów parafialnych, przeważnie miejskich, przy których je zakładano, wykształciły się i utrwaliły w Polsce na prawdę dopiero w w. XIII. Przedtem były one zjawiskiem odosobnionem i przemijającem — dowodem dążenia sfer wyższych do szerzenia oświaty wśród niższych warstw ludności, ale nie naodwrót: dowodem, iż warstwy niższe odczuwały potrzebę nauki szkolnej, gdyż szkoły często, widocznie z powodu braku uczniów, musiano napowrót zwijać.

Na zachodzie pierwsze myśli o zakładaniu szkół parafialnych pojawiły się za czasów Karola W., — usiłowania pozostały jednak bez

wielkiego skutku, a ten stan rzeczy przetrwał z małemi zmianami aż do w. XIII., w którym dopiero przystąpiono w Niemczech do zakładania rzeczywistych, samoistnych szkół tego rodzaju.

W Polsce powstały szkoły te również w w. XIII., a to — podobnie jak i na zachodzie — pod wpływem uchwał IV. soboru lateraneńskiego (1215). Według tradycyi pierwszą taką szkołę założył biskup Iwo (zmarły 1229) w Krakowie przy kościele parafialnym św. Trójcy, później N. P. Maryi. Impuls do zakładania takich szkół w Polsce wyszedł — jak to dr. Karbowiak wykazuje — z Rzymu a nie z Niemiec, co utrzymuje między innymi autor *Historyi szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem*, Łukaszewicz. Koloniści niemieccy przyczynili się tylko znacznie do pomnożenia liczby szkół parafialnych w polskich ziemiach, ale i to dopiero z końcem w. XIII., już zatem po wydaniu ustaw szkolnych przez episkopat polski. Pierwszą taką ustawę wydał synod łęczycki (1257 r.), a tekst jej wskazuje, że szkoły parafialne już przedtem miały rozwiniętą organizacyę.

Co do przyczyn zakładania szkół tego rodzaju u nas, pierwszą i najgłówniejszą był w wiekach średnich Kościół, który pragnął stworzyć nową instytucyę, mającą go w pracach i celach jego wspierać. Pod koniec XIII. w. zaczęła jednak inicyatywa tworzenia szkół parafialnych wychodzić nietylko z góry od Kościoła, ale także z dołu, od warstw ludności, dla których szkołę przeznaczano. Zaczęła się do szkół parafialnych garnąć młodzież mieszczańska, a ponieważ szkoły te, przeznaczone przeważnie dla uczniów, gotujących się do stanu duchownego, i nie mogące kształcić wielkich zastępów młodzieży, nie zaspakajały należycie potrzeb stanu mieszczańskiego, przeto mieszczanie zaczynają sami krzątać się około zakładania własnych szkół. Dość ważną przy tem pobudką była od końca XIII. w. chęć magistratów miejskich pozyskania samorządu w sprawach szkolnych.

Małe szkoły miały tylko jednego nauczyciela — w większych, prócz nauczyciela głównego, czyli rektora, byli jeszcze rozmaici pomocnicy, t. zw. *socii*, *locati*, gdzieniegdzie także nauczyciele śpiewu lub kaligrafii i stylistyki. Kwestya budowy szkół należała do gmin — parafianie, posyłający synów do szkoły, musieli dostarczać szkole drzewa opałowego i opłacać nauczyciela; opłata była różna a zależała od wielkości szkoły. W krakowskiej szkole N. P. Maryi kosztowała w oddziale niższym 14, w wyższym 24 groszy. Dzienny dochód rektora ze szkoły wynosił tam mniej więcej 1 grosz i 1 denar. Za to mógł sobie kupić rektor w roku 1396 dwa dobre kurczęta i dwa jaja, albo też kapłona i dwa jaja, albo prosię i dwa jaja *(Kod. dypl. m. Krakowa*, t. II. str. 392). Nauczyciele trudnili się niekiedy udzielaniem nauki prywa-

tnej, — wielu z nich było zapewne i organistami, — niektórzy rektorowie szkół byli notaryuszami lub pisarzami miejskimi. Na szkoły wywierał wpływ głównie Kościół; tak w ogólności biskup z kapitułą, jak zwłaszcza scholastyk katedralny. Bez wiedzy jego a względnie kapituły nie mogła powstać żadna nowa szkoła. W razie sporu władzy duchownej ze świecką apelowano do Papieża. W XIV. w. wywierały wpływ na szkoły w miastach także rady miejskie — przy tem powstają spory między niemi a duchownemi władzami, a spory te trwają nieraz długo. We Lwowie spór taki o wpływ na szkołę N. P. Maryi załatwia się dopiero około r. 1400 i to na korzyść mieszczan.

Pierwotnie miała szkoła parafialna zadanie prowadzić wychowanków swych do poznania prawd i należytego spełniania ustaw religii chrześciańskiej. Dopiero pod koniec XIII. w. zaczęto się od szkoły domagać udzielania uczniom i takiego wykształcenia, któreby przynosiło im pewne korzyści także w życiu późniejszem oraz w zawodzie, czyniło ich zdatniejszymi do służby radzieckiej i magistrackiej. Systematycznego szerzenia oświaty wśród ludu prostego, średniowieczna szkoła parafialna nie miała na celu. W szczególności w szkołach tych nie kształciła się dziatwa płci żeńskiej, jak w ogóle o wykształcenie dziewcząt nie troszczono się w wiekach średnich wcale. Wyjątkowo tylko zamożniejsze rodziny szlacheckie i mieszczańskie posyłały swe córki do klasztornych szkół żeńskich, gdzie przedewszystkiem kształcono je w robotach kobiecych. Szkoły parafialne były zresztą tylko jakby przygotowawczym zakładem do szkół katedralnych i kolegiackich, przy których swoją drogą w niższych oddziałach można było nabyć tych samych wiadomości, co w szkołach parafialnych. Taki przygotowawczy oddział, czyli jakby niesamoistną szkołę parafialną, musi mieć każda szkoła katedralna, a oddział ten pozostaje dalej, choćby z czasem w danej miejscowości przy zamożniejszym kościele powstała także samoistna szkoła parafialna. Szkoły katedralne i kolegiackie miały zresztą wyłączny przywilej udzielania nauk wyższych, a ujawniało się to także na zewnątrz, gdyż nazywano je szkołami wielkiemi albo wyższemi (*magnae, majores*) w przeciwstawieniu do szkół parafialnych, które były małemi (*scholae parvae*). Szkoły parafialne były w zasadzie szkołami łacińskiemi najniższej kategoryi, a językiem wykładowym język łaciński. Języka polskiego nie uczono w nich wcale, używano go jednak jako pomocniczego do nauki i objaśnień. Obok polskiego używano do pomocy w w. XIII. i XIV. także języka niemieckiego i to nietylko w szkołach kolonistów niemieckich, ale także w szkołach czysto polskich, gdyż w braku nauczycieli polskiego pochodzenia brano na posady nauczycielskie pedagogów niemieckich. Były z tego powodu nawet liczne skargi, gdyż uczniowie

i nauczyciele nie rozumieli się nawzajem; to też biskupi, jako przedstawiciele najwyższej ówczesnej władzy szkolnej, wystąpili z czasem przeciw przyjmowaniu Niemców na nauczycieli i zażądali przyjmowania tylko władających językiem polskim. W tym samym duchu wydały synody (naprzód synod łęczycki, 1257) ustawy językowe, które przyczyniły się znacznie do ochrony języka polskiego a nawet i do powolnej polonizacyi osiadłych w Polsce Niemców.

Co do programu szkoły parafialnej, nie było jej zadaniem uczenie pacierza i pierwszych zasad wiary w języku polskim; szkoła ta, mająca w pierwszym rzędzie dostarczyć plebanowi pomocników, uczyła tych samych przedmiotów, ale po łacinie; uczyła zatem: psalmów, alfabetu, śpiewu kościelnego, rachunku kościelnego i gramatyki łacińskiej. Przedmioty te stanowiły przez całe wieki średnie program nauki elementarnej szkół klasztornych i katedralnych, a były zarazem wyłącznym programem szkół parafialnych zarówno na Zachodzie, jak i w Polsce. Nauczyć dzieci pacierza i najgłówniejszych zasad wiary w języku ojczystym — było obowiązkiem rodziców, czy w ogóle otoczenia domowego, a rzeczą plebana było rozwinąć i utrwalić w kościele odebrane w domu początki. Plan naukowy szkół parafialnych z XIII. i pierwszej połowy XIV. w. nie zmienił się i w drugiej połowie XIV. w. Tak n. p. w ordynacyi szkoły parafialnej krakowskiej N. P. Maryi, z końca XIV. w., podzielono chłopców na dwa oddziały. W pierwszym uczono na t. zw. Donatach czytania a potem początków gramatyki. W drugim oddziale czytali chłopcy rzeczy trudniejsze, uczono ich także śpiewu w dwóch oddziałach. O nauce psalmów, pacierza i pisania ordynacya nie wspomina, ale uczono tych przedmiotów wszędzie, — uczono także, choć może nie systematycznie, rachunków oraz początków stylistyki, pisania listów i przepisywania.

Co się tyczy nauczycieli, autor przypuszcza i zdanie swe popiera wnioskowaniem, że aby zostać nauczycielem w szkole parafialnej, wystarczało ukończyć studya tejże szkoły. Bywali też nauczycielami młodzi ludzie, którzy nie ukończyli całej szkoły kolegiackiej lub katedralnej. Celem pozyskania posady rektora, zwłaszcza znaczniejszych szkół parafialnych, wymagano niewątpliwie odbycia pewnej praktyki. Instytucya pomocników, czyli zastępców nauczycieli, była widocznie praktyczną szkołą kandydatów nauczycielskich. — Naprzód uczono chłopców na pamięć zgoła niezrozumiałych dla nich psalmów łacińskich, potem następowała nauka czytanza (nie na Donatach, ale na psalmach), a potem dopiero nauka pisania (zrazu rylcem na tabliczkach, powleczonych woskiem — jak zachowane na ratuszu toruńskim — następnie na pargaminie lub papierze piórem i atramentem). Naukę śpiewu rozpoczynano

od pierwszej chwili wstąpienia ucznia do szkoły, — nauki języka łacińskiego zaraz, gdy chłopcy nauczyli się czytać. Nauki rachunków uczono przygodnie, — elementarna nauka stylistyki następowała pod sam koniec pobytu ucznia w szkole, gdy już uczeń nabrał wprawy w łacinie. Dla nauki tej istniały zbiory dokumentów publicznych, rodzaj podręczników do nauki dyplomatyki. Były to zresztą tylko początki, które ułatwiały dalsze studya i torowały w najlepszym razie wstęp do kancelaryj notaryalnych.

Osobny rozdział swej pracy poświęca autor kwestyi podręczników do nauki języka łacińskiego w szkołach parafialnych. Z powodu trudów i kosztów, jakie wymagało sporządzanie rękopisów, zredukowano liczbę podręczników w szkołach do minimum, aby nie narażać uczniów na wielkie wydatki. Zresztą i tak mało który z uczniów posiadał własny rękopis, lecz o ile zapas starczył, wypożyczano rękopisy z biblioteki szkolnej. Rękopisy te są to podręczniki średniowieczne tylko do nauki łaciny, mianowicie: Donatus, Cato, Theodulus, Regulae pueriles i Doctrinale de villa Dei.

Zajmującym jest rozdział rozprawy, w którym autor daje obrazy z życia uczniów szkół parafialnych XIII. i XIV. w. W szkołach takich kształcili się z reguły chłopcy młodzi, liczący jednak niekiedy i do 15 lat. Życie szkolne żaka szkoły parafialnej nie należało do zbyt zajmujących i wesołych, a rózga i kij, wręczane nauczycielom przy uroczystych instalacyach, były głównymi czynnikami średniowiecznej pedagogii i szkolnej edukacyi. Przymusu jednak chodzenia do szkoły nie było, a szkoła średniowieczna miała z drugiej strony także wiele środków i sposobności do uprzyjemnienia swym wychowankom życia po za szkołą. Brali więc żacy udział w uroczystych nabożeństwach, procesyach, pogrzebach i t. d., a w dniach i godzinach, wolnych od nauki nabożeństw kościelnych, były rozrywki oraz rozmaite gromadne zabawy, często także bójki, zwłaszcza z żydami, za które potem żacy dostawali plagi.

O szkołach na Rusi nie znalazł autor w źródłach pozytywnych śladów, natomiast zdołał zebrać nieco szczegółów o szkołach żydowskich w XIII. i XIV. wieku. Wyraźne ślady szkół żydowskich znajdują się w przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1264, — toż samo w przywilejach nadanych żydom przez Kazimierza Wielkiego. Szkoły te są złączone ściśle z synagogami, a zatem podobne do parafialnych szkół chrześciańskich.

W drugiej części swej pracy podaje autor zestawienie znanych szkół parafialnych w ziemiach polskich w XIII. i XIV. w. według dyecezyj. Do zestawienia tego dodany jest przegląd tabelaryczny. W Krakowie było: w mieście szkół parafialnych cztery i tyleż na przedmie-

ściach. We Lwowie jedna przy kościele N. M. Panny: data założenia jej nieznana — w źródłach pojawia się po raz pierwszy w roku 1397, oraz szkoła prawdopodobnie katedralna w Haliczu, bez wyraźnych jednak śladów, w którym powstała czasie.

Systematyczne opracowanie dziejów szkół parafialnych w Polsce w XIII. i XIV. przez dra Karbowiaka, przyczyni się niewątpliwie do ułatwienia studyów nad dziejami oświaty w tym okresie, a z tego powodu rozprawa jego, oparta na źródłowych badaniach i sumiennem wyzyskaniu materyałów, zasługiwała na to, by obszerniej przedstawić rezultaty, przez autora w niej osiągnięte. *(ab)*

Fridtjof Nansen: *In Nacht und Eis. — Die Norwegische Polarexpedition 1893—1896.* — Mit einem Beitrag von Kapitän Otto Sverdrup. — Deutsche Originalausgabe. Zwei Bände, reich illustrirt mit Abbildungen und Karten. (Lieferung I. u. II.). Verlag von L. A. Brockhaus in Leipzig. 1896.

Zaledwie świat miał czas ochłonąć z pierwszego, potężnego wrażenia wiadomości o szczęśliwym powrocie Fridtjofa Nansena, śmiałego odkrywcy bieguna północnego, do ojczystej jego Norwegii, a już poczęły wychodzić w kilku naraz językach pierwsze zeszyty dzieła, w którem Nansen sam opowiada o przygodach i spostrzeżeniach, zebranych podczas swej sensacyjnej prawdziwie wyprawy. O istotnych rezultatach tej podróży może przyszłe lata i pokolenia wydadzą sąd bardziej krytyczny, trzeźwiejszy; tak, jak ona dzisiaj się współczesnym przedstawia, jest podróż ta rozwiązaniem gordyjskiego węzła zagadki północnego bieguna, a zatem faktem wielkiej naukowej i cywilizacyjnej doniosłości, nowym dowodem potęgi umysłu i woli ludzkiej, rodzajem bohaterstwa i zarazem tryumfem wiedzy.

Przygotowywał się do niej Nansen długo i mozolnie: odbywał specyalne studya, wertował liczne opisy wypraw morskich, badał warunki atmosfery i klimatu podbiegunowego, za pomocą studyów starał się oznaczyć z góry drogę, którą miał puścić się w podróż do bieguna, sam obmyślił budowę okrętu, do wyprawy takiej najodpowiedniejszego, sam odbył taką podróż po Grenlandyi, aby z doświadczeń w czasie jej zebranych, stworzyć materyał do przyszłej wyprawy. Zabiegi jego uwieńczył jednak jak najpomyślniejszy skutek: w roku 1890 miał Nansen w Towarzystwie geograficznem w Chrystyanii odczyt, który w druku okazał się w marcu r. 1891 (w norwegskiem czasopiśmie: *Naturen*). W odczycie tym rozwinął Nansen zapatrywania swe na stosunki, które mogą panować pod biegunem, na warunki wyprawy podbiegunowej, na

kierunek drogi, mogącej do bieguna najłacniej doprowadzić: a oto dzisiaj ma to przeświadczenie, że odbyta przezeń w latach 1893—1896 wyprawa w zupełności potwierdziła jego przewidywania, w drobnych nawet szczegółach stwierdzając słuszność jego genialnych obliczeń, spostrzeżeń lub przypuszczeń. Niefortunna wyprawa pod przewództwem de Long'a, porucznika marynarki amerykańskiej, urządzona na pokładzie „Jeanette", w latach 1879—1881, wskazała Nansenowi drogę, którą miał się udać pod biegun. Korzystając z prądu morskiego, idącego przez t. zw. drogę Beringa ku biegunowi, rozpoczęła ona podróż z tej strony; w d. 6. września 1879 r. okręt ugrzązł w lodzie na południe od t. zw. wysp Wrangla; przez dwa lata płynął wraz z lodem zwolna w kierunku zachodnio-północno-zachodnim, aż w d. 12. czerwca 1881 r. na północ od archipelagu wysp nowosyberyjskich okręt „Jeanette" zatonął na wysokości 77° 15′ półn. szer. i 154° 59′ wsch. dług. W dwa lata później na południowo-zachodnich wybrzeżach Grenlandyi, a więc z przeciwnej strony od punktu wyjścia wyprawy, znaleziono niektóre przedmioty, pochodzące z okrętu „Jeanette".

Okoliczność ta naprowadziła Nansena na myśl, że musi być prąd, który przechodzi ze wschodu ku zachodowi przez biegun lub pomiędzy biegunem a północnem wybrzeżem odkrytego w r. 1874 przez wyprawę Payera kraju Franciszka Józefa, — i postanowił na tem oprzeć plan swej podróży. Polecił zatem znakomitemu budowniczemu okrętów w Norwegii, Colin Archerowi, zbudować statek według swych własnych wskazówek, tak, aby mógł oprzeć się naciskowi olbrzymich lodów północy, a uzyskawszy potrzebną na wyprawę kwotę od Norwegii, ze skarbca państwowego (280.000 koron), od króla Oskara (20.000 koron) i ze składek prywatnych w kraju i zagranicy (pozostałą kwotę z 445.000 koron, które wyprawa ogółem kosztowała), ruszył w drogę. W d. 20. czerwca 1893 r. rozpoczął Nansen i z towarzyszami na pokładzie statku „Fram" awanturniczą swą wyprawę. Godny wnuk owych północnych Wikingów, którzy już przed Kolumbem na słabych łodziach dotarli do północno-wschodnich brzegów Ameryki; nie dał się zrazić powątpiewaniom uczonych w powodzenie jego podróży, nie dał się odstraszyć okropnościom ciągłej nocy, mrozu, skorbutu, — widmu śmierci, wyglądającej z poza każdego załomu lodowych kolosów. Towarzysze jego była to garść zuchów świetnie dobranych. Wyprawa była obliczona na kilka lat, a na pięć lat wiozła z sobą prowiantów starannie dobranych. Przez trzy lata nie było o nim i jego towarzyszach wiadomości. W d. 13. lutego b. r. rozeszła się nagle z Syberyi fałszywa pogłoska, że widziano Nansena na wyspach, położonych od Syberyi na północ; wszyscy wówczas byli przekonani, że „Frama" spotkał los „Jeanette'y" —

gdy oto w pół roku potem, w dniu 13. sierpnia 1896 r. powrócił Nansen szczęśliwie do Norwegii, a dziwnym zbiegiem okoliczności okręt jego, który Nansen półtora roku przedtem wśród lodów podbiegunowych opuścił, w ośm dni po jego powrocie zawinął także do jednego z norwegskich portów. Okazał się on istotnie statkiem, który „gładki, jak węgorz, zdołał się wywinąć ze zgubnych objęć lodu.“ Zamarznięty wśród lodów, których grubość dochodziła 10 metrów, posuwał się „Fram“ zwolna w kierunku, z góry przez Nansena przewidzianym. Zewsząd groziły mu olbrzymie góry lodowe, ale choć uderzały zawzięcie o ściany statku, choć ściany te pod ich naciskiem trzeszczały, odbierając sen osadzie, myślącej, iż każda chwila nocy, która ogółem przez 500 dni cieniami swymi wyprawę otoczyła, zagubę jej przyniesie: statek ostatecznie oparł się nawale i w stanowczym momencie, dzięki odpowiedniej budowie, zamiast zdruzgotanym, został przez lody wyrzucony nagle do góry. W tem lodowem łożysku przebył „Fram“ wraz z ławicą lodu drogę przez okolice podbiegunowe, aż wreszcie kapitan statku, Sverdrup, prochem i bawełną strzelniczą wyzwolił go z uwięzi lodowej, utorowawszy mu drogę przez 300 kilom. długą ławicę, i skierował na wolne morze.

Czasu, spędzonego na statku, nie stracono na darmo. Wśród polarnej nocy bez końca, pojawiało się na statku, wytwarzane przy pomocy ustawionego na pokładzie wiatraku, światło elektryczne i przyświecało do poważnej, naukowej pracy, do pomiarów i spostrzeżeń na niebie, na lodzie i w morzu. Pierwszem, najważniejszem odkryciem Nansena było stwierdzenie istnienia prądu biegunowego, którego egzystencyę on już przedtem przypuszczał, na niej plan podróży swej opierając. Następnie podczas podróży swej stwierdził Nansen, że w około bieguna rozciąga się, nie jak dawniej przypuszczano, stały ląd, ale morze o głębokości przeszło 4.000 metrów, na dnie tego morza zaś temperatura podnosi się ponad zero, podczas gdy wyprawa musiała znosić mrozy do 60° C!

Nansen, spostrzegłszy, że prąd biegunowy, na który koło Syberyi wypłynął zanadto z zachodniej strony, nie poniesie statku przez sam biegun, lecz poniżej bieguna, opuścił pokład „Frama“ i w towarzystwie jedynego porucznika Johansena postanowił zrobić samowtór wycieczkę — do bieguna. Na łyżwach i sankach przebywali góry lodowe, rozpadliny i przepaście, ale w odległości zaledwie 50 mil od matematycznego bieguna musieli zawrócić, gdyż masy lodu, po których posuwali się, unoszone prądem, pędziły stosunkowo o wiele prędzej na południe, aniżeli oni zdołali podążać po nich naprzód, ku północy. Przytem z psów, które ciągnęły sanie, jeden po drugim musiał być zabijany, aby reszcie służyć

za pożywienie, a w końcu Nansen i Johansen sami musieli ciągnąć sanki, na których znajdowała się ich żywność, amunicya, namioty i łodzie. Lód coraz trudniejsze stawiał zapory w pochodzie, — mięso polarnych niedźwiedzi stało się ostatecznie jedynem ich pożywieniem, tłuszcz koni morskich jedynym materyałem palnym. Przyszła trzecia zima, a podróżnicy musieli długą noc polarną spędzać jak eskimosi w ciasnych jaskiniach lodowych. Tymczasem zegarki im stanęły, karty geograficzne okazały się fałszywemi, brak było wszelkich wskazówek do zoryentowania się, a maszerując nieustannie dalej, nieszczęśliwi myśleli, że od mieszkań i stworzeń ludzkich przedziela ich jeszcze przestrzeń daleka. Nie brakło zaś strasznych przygód: pewnego razu niedźwiedź biały o mały włos nie rozszarpał porucznika Johansena i gdyby Nansen strzał swój spóźnił był o minutę, towarzysz jego nie byłby już zobaczył Norwegii; innym razem koń morski omal przewrócił łódź, w której siedział Nansen i przedziurawił ją kłem, a Nansen z trudnością uszedł smutnemu losowi. Gdy położenie ich stawało się już bez wyjścia, nagle usłyszeli głosy, jakby szczekanie psów, także i w tych stronach znamionujące bliskość ludzi. Wkrótce też spotykają się z Anglikiem, Jacksonem, który, o czem Nansen nie wiedział, wraz z wielką ekspedycyą przeprowadzał badania na kraju Franciszka Józefa. Co za dramatyczna scena spotkania Jacksona z zuchwałym podróżnikiem, o którym już myślano, że zaginął, spotkania wśród lodów Północy! — Obaj podróżni, wynędzniali z głodu i z trudów, mogli wreszcie odpocząć, zjeść i przebrać się po swej straszliwej, bohaterskiej Odysei!

Odkrycia Nansena będą niewątpliwie etapem i drogowskazem zarazem dla dalszego pochodu wiedzy, a pełne prostoty jego opowiadanie tchnie też uzasadnioną dumą zwycięstwa nowożytnego człowieka nad przyrodą. Bardzo zajmującym zaś do tego opowiadania przyczynkiem jest również sprawozdanie kapitana Sverdrupa o losach i kierunku drogi okrętu „Fram“, oraz o przygodach jego osady od chwili, gdy Nansen statek opuścił (14. marca 1895 r.), by z Johansenem przedsiębrać ową wycieczkę do bieguna. *(ab)*

R. de Maulde La Clavière: *Les milles et une nuits d'une ambassadrice de Louis XIV.* — Paris, Librairie Hachette et Comp. 1896.

Prawdziwie, jak najbardziej fantastyczną kartę z baśni tysiąca i jednej nocy, czyta się powyższą książkę, zawierającą, zestawioną na podstawie współczesnych, najlepszych źródeł, opowieść o losach awanturniczej kobiety z początków XVIII. stulecia, która z niezwykłą zuchwałością zdoławszy samowładnie wynieść się na stanowisko francu-

skiego posła w Persyi, umiała Persom zaimponować i przez pewien czas na stanowisku tem się utrzymać.

Kobietą tą była Marya Klaudya Petit. Córka paryskiej praczki, zajmowała w chwili, gdy rozpoczyna się akcya służąca za tło wspomnianej książki, nie nazbyt wyraźnie określoną posadę kasyerki w pewnej jaskini gry w Paryżu przy ulicy Mazzariniego. Tu zaznajomiła się z Jakóbem Babtystą Fabre, który na dalsze jej życie wywrzeć miał wpływ stanowczy. Fabre pochodził z Marsylii, już jednak rodzice jego wyemigrowali do Konstantynopola, gdzie trudnili się handlem i zdołali wytworzyć sobie rozległe interesa. Dom Fabre'ów w Konstantynopolu przytykał tuż do pałacu ambasady francuskiej, a stało się to wystarczającym powodem do nawiązania bliskich stosunków między ambasadą a rodziną Fabre. Wypadek przyszedł zresztą z pomocą p. Fabre w wybiciu się na wierzch. Oto pewnego dnia ambasador Guilleragues zmarł nagle; kanclerz ambasady Nogués usiłował przywłaszczyć sobie tymczasowe kierownictwo spraw urzędu, — pani Guilleragues miała jednak swoje powody do niechęci względem p. Nogués, kazała go więc uwięzić i wyprawiła na okręcie do Francyi. Wówczas to Fabre, obznajomiony doskonale z lokalnymi stosunkami, potrafił uczynić się pożytecznym w ambasadzie, a zarazem sprawić, że o jego zasługach dowiedziano się w Wersalu. Wyrobił sobie w ten sposób stanowisko dyplomatyczne, chociaż w rzeczywistości nikt mu go nie nadał. Następcy p. Guilleragues w urzędzie ambasadora Francyi nie mogli się Fabre'a już pozbyć. Na tem zajmowaniu się sprawami publicznemi cierpiały jednak interesa handlowe Fabre'a, aż wreszcie, gdy z jakiejś dyplomatycznej missyi do Rakoczego powrócił z Węgier do Konstantynopola, wierzyciele tak go obsiedli, że zostawiwszy żonę z trojgiem dzieci nad Bosforem, sam pomknął do Francyi, by tam stworzyć nową podstawę egzystencyi. Zaledwo przybył do Paryża, zaznajomił się w owej podejrzanej restauracyi przy ulicy Mazzariniego z panną Petit i czy to z miłości do niej, czy też dlatego, że miała zebrane pewne fundusze, wymógł na niej, iż będzie mu wszędzie towarzyszyć, a zobowiązanie to umocniła wystawieniem odpowiedniego dokumentu.

Fabre zdołał równocześnie dotrzeć do ministra Pontchartrain i wymódz na nim, iż powierzono mu w interesie rozszerzenia zagranicznego handlu Francyi misyę do Persyi, gdzie już za Ludwika XIII. zdołano utworzyć na granicy francuską dyecezyę, a gdzie Ludwik XIV. zamyślał założyć wielką kompanią francuską dla handlu z Indyami. W styczniu r. 1703 mianowany oficyalnie nadzwyczajnym posłem, któremu do pomocy dodano rezydującego w Bagdadzie „Biskupa Babilonu“, cały ten rok strawił Fabre na przygotowaniach. Przyrzeczono mu ty-

tułem pensyi 18.000 fr. rocznie; z tego na konto zaliczek, udzielonych mu przez pannę Petit, wystawił jej weksel na 8000 fr., płatny w miesiąc po przybyciu ich obojga do Ispahanu. Ambasadorem w Konstantynopolu był wówczas Ferriol; dowiedziawszy się o projektach Fabre'a, starał się on żywo odwieść Ludwika XIV. od zamiaru wysłania tego poselstwa. Król jednak zanadto już się rozmiłował w nadziei uzyskania dla handlu francuskiego nowych terenów zbytu i projekt zatwierdził. Ekspedycyę obliczono na dwa lata. Podarki, które Fabre wiózł dla szecha perskiego, przedstawiały wartość 50.000 fr.

Wreszcie w d. 2. marca 1704 r. odpłynął Fabre z Marsylii na pokładzie statku „Toulouze", wiozący ze sobą 53 osób a między innemi pannę Petit, jako rzekomą żonę kuchmistrza, Du Hamel. W d. 8. kwietnia statek zarzucił kotwicę w porcie Aleksandrety. W Aleppo panna Petit zakwaterowała się do domu konsula i urządzała tam nader wesołe wieczory, podczas których występowała nawet w roli tancerki solo. Porta nie chciała jednak udzielić ekspedycyi pozwolenia do posuwania się przez terytoryum tureckie; ambasador Ferriol bardzo chłodno ujmował się za swym kompatryotą, a panna Petit miała w obec tej zwłoki dość czasu do wywołania publicznego zgorszenia. Konsul w Aleppo widział się wreszcie zmuszonym wypowiedzieć jej dom i zarówno jej, jak i jej pseudo-mężowi wyznaczyć mieszkanie poza obrębem konsulatu, w sąsiedniej kamienicy. I to nie pomogło; panna Petit nie zaprzestała wesołych zabaw, do tego stopnia, że pewnego razu przed jej mieszkaniem zebrał się tłum, złożony z dwóch tysięcy osób, które chciały ukamionować swawolną Francuzkę. Kilku towarzyszy opuściło już tu Fabre'a, który wreszcie po nacisku, wywartym przez ministra spraw zagr. na ambasadora w Konstantynopolu a przez tego na Portę, uzyskał pożądane pozwolenie i mógł ruszyć w drogę. W Paryżu dowiedziano się tymczasem o pannie Petit i przez ambasadora Ferriol kazano oznajmić p. Fabre, by pozbył się tej dwuznacznej osoby, w przeciwnym bowiem razie będzie w przykładny sposób ukarany. Fabre był już jednak wówczas wraz ze swoim orszakiem daleko poza obrębem władzy ambasadora.

Zwyczaj ówczesny wymagał, by poselstwa, które wstąpiły na ziemię perską, utrzymywane były na koszt tamtejszego rządu. Otóż Fabre zażądał na ten cel kwoty 600 fr. dziennie a prócz tego 100 fr. dziennie dla panny Petit, „wysłanniczki księżniczek królewskiego domu francuskiego". Przy tej sposobności dał do poznania, że większa część jego orszaku dopiero nadejdzie, oraz że orszak ten składa się z 550 ludzi, między tymi 80 ze szlachty! Równie fantastyczne baśnie rozsiewał on także o podarunkach, które wiózł z sobą dla władcy Persyi: twierdził, że składają się one między innemi z 20 skrzyń złotogłowia i z rubinu

nieocenionej wartości. W rzeczywistości złotogłowiów nie było żadnych, a rubin średniej wartości otrzymał Fabre istotnie, w Marsylii go jednak — zastawił. Zanim atoli wydały się jego kłamstwa, dosięgła go niespodziewanie śmierć. Umarł nagle, powróciwszy z pewnego polowania, które na jego cześć wydał chan Nakszewanu. Pochowano go na ormiańskim cmentarzu w Egmiasynie.

Teraz nadszedł dla panny Petit czas do rozwinięcia pomysłowości i energii. Nie wiele się namyślając, ogłosiła się następczynią zmarłego Fabre'a na stanowisku jego, jako przywódzcy misyi. Opozycyę, która podniosła się w jej własnym obozie, stoumiła z męską energią. Korzystając z bliskich stosunków z chanem Nakszewanu i z jego protekcyi wrzuciła do fortecy także swego pseudo-małżonka, Du Hamel'a, który stawiał opór jej roszczeniom. Następnie ruszyła w dalszą drogę do stolicy Persyi, rozgłaszając, iż od księżniczek panującego domu we Francyi otrzymała polecenie nauczyć królowę perską wyszukanych form towarzyskich. Gdy któryś z członków ekspedycyi czynił jej trudności, cisnęła mu groźbę, że przejdzie na Islam, poczem każe rozrzuconych po Persyi misyonarzy katolickich wymordować lub wypędzić. O osobę uwięzionego Du Hamela wywiązała się krwawa walka; Europejczycy chcieli go uwolnić, a w bójce, która powstała z tego powodu, zginęli dwaj krajowcy. W końcu chan pozwolił odbywać dalszą drogę tylko Francuzom, a Ormian, którzy przybyli w towarzystwie Fabre'a, zatrzymał u siebie pod ścisłym dozorem. W ogóle orszak żeńskiego posła stopniał bardzo, po drodze bowiem kto tylko zdołał, uciekał, — nawet pokojówka awanturniczej wysłanniczki. Podczas zaś gdy panna Petit targowała się z rządem perskim o przyznanie jej dziennie 100 lirów na utrzymanie, misyonarze francuscy zwrócili się do biskupa Babylonu, Pidou de Saint-Olon, aby odprowadził poselstwo do Ispahanu. Biskup oświadczył swą gotowość pod warunkiem, że poselstwo składać się będzie wyłącznie tylko z kilku wypróbowanej wierności służących, z wykluczeniem kobiet. Panna Petit nie chciała jednak słyszeć o tem, aby ją z poselstwa wyłączono i by zasłonić sobie plecy, przystała na to, aby znajdujący się w orszaku bratanek zmarłego posła, również Fabre, stanął na czele poselstwa.

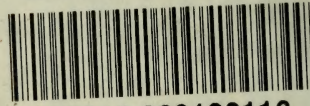
Tymczasem ambasador Ferriol dowiedział się w Konstantynopolu o śmierci Fabre'a i jednemu z swych młodych urzędników, p Michel, polecił dopędzić poselstwo i stanąć na jego czele. Odtąd rozpoczyna się zacięta rywalizacya między mianowanym przez Ferriola posłem a panną Petit. Raz wysyła Michel przestrogę do Ispahanu przed awanturniczą kobietą, to znowu ona czyni to samo, przestrzegając znowu przed nim; raz uznają władze perskie jego, drugi raz ją za upełnomocnione posel-

stwo, a gdy panna Petit widzi, że może grę stracić, udaje się wprost pod opiekuńcze skrzydła swego rywala, na to, by w chwili, gdy spostrzeże, iż może grę odzyskać, być napowrót tak samo zuchwałą, jak w pierwszych czasach podróży. Zwycięstwo ciągle się chwieje między posłem a uzurpatorką, która ostatecznie zwycięża nad Michel'em. Doznała zaszczytu, iż w Ispahanie przyjęto ją na dworze, jako nadzwyczajną wysłanniczkę, i goszczono przez dwa dni; następnie rozpoczęła podróż z powrotem, nie osiągnąwszy naturalnie żadnego praktycznego rezultatu. Michel'a tymczasem otaczano wprawdzie wszelkimi względami, ale oświadczono mu, że szach odbywa jakieś religijne ćwiczenia, nie może się zatem z nim widzieć; słowem, nie szczędząc mu komplementów, odprawiono go z niczem. W Eriwan zjechał się on z panną Petit, która wystąpiła teraz z pretensyami finansowej natury i zdołała go istotnie skłonić, iż wystawił jej weksel na Aleppo w kwocie 12.000 fr. i dał 500 talarów gotówką. Wreszcie jednak wśród drogi otrzymał Michel z Wersalu pisemne uwierzytelnienie w charakterze nadzwyczajnego posła francuskiego. Niezwłocznie więc powrócił do Ispahanu, został przez szacha przyjęty na publicznej audyencyi, a przy pożegnaniu wręczono mu oryginalne pismo władcy perskiego do Ludwika XIV.

Panna Petit nie mogła odgrywać już dalej roli wysłanniczki. Dotarłszy jednak do Konstantynopola, zdołała tam zdobyć sobie w ambasadorze Ferriolu adoratora swych wdzięków. Ambasador starał się ją możliwie najdłużej zatrzymać, ostatecznie jednak musiał ją odesłać na pokładzie królewskiej fregaty „L'Entreprenant“ do Francyi. Zamieszkała w Marsylii. Gdy w jakiś czas potem szach perski przysłał bega Rigę jako posła do króla Francyi, w pannie Petit, która bega osobiście ze swej podróży znała, ożyła nadzieja odegrania znowu roli dyplomatycznej. Spieszy więc czemprędzej do Paryża; — tu jednak rząd ustawił posterunek wojskowy przed jej mieszkaniem i zamknął ją w areszcie domowym tak, że wjazd bega mogła podziwiać tylko z okien swego pokoju. Wkrótce potem umarła w biedzie i opuszczeniu zupełnem. Epoka świetności poselskiej już nie wróciła w jej życiu.

KONIEC TOMU I ROCZNIKA DWUDZIESTEGO CZWARTEGO.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.


UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 032123116